

STEPHEN
KING

BASTION



STEPHEN KING

BASTION

(THE STAND)

TŁUMACZYŁ ROBERT LIPSKI

Wydanie oryginalne: 1993

Wydanie polskie: 2000

TMN

Dla Tabby
Mrocznego kufra pełnego cudów

*Na zewnątrz ulica płonie ogarnięta walcem śmierci
Pomiędzy światem realnym a uludą
A poeci tu, na dole
Nie piszą nic – zupełnie
Po prostu czekają na uboczu na dalszy ciąg wydarzeń
I nagle, gdzieś pośród nocy
Odnajdują swą doniosłą chwilę
Próbują wtedy stworzyć bastion uczciwości
Ale ranni skręcają się z bólu
Nawet nie martwi
Dziś wieczorem w Krainie Dżungli*

Bruce Springsteen

*To oczywiste, że nie mogła iść dalej!
Drzwi były otwarte i wdarł się wiatr
Zgasły świece a potem znikły
Zastłony uniosły się wysoko i wtedy pojawił się ON,
Powiedział: – Nie bój się
Podejdź, Mary.
I strach ją opuścił
I podbiegła do niego
A potem wzbil się w powietrze...
Wzięła go za rękę...
– Chodź, Mary
Nie obawiaj się Żniwiarza!*

Blue Oyster Cult

*Co to za czar?
Co to za czar?
Co to za czar?*

Country Joe and the Fish

KRĄG SIĘ OTWIERA

Potrzebujemy pomocy, zauważył Poeta

Edward Dorn

– Sally.

Mruknięcie.

– Obudź się, Sally.

Głośne mruknięcie:

– Zooostaw mnie!

Potrząsnął nią mocniej.

– Obudź się. Musisz się obudzić!

Charlie.

Głos Charliego. Wołał ją. Od jak dawna?

Sally wysunęła się z objęć snu.

Najpierw spojrzała na zegarek na nocnym stoliku; kwadrans po drugiej w nocy. Charliego nie powinno tu być – powinien być teraz w pracy, na nocnej zmianie. A potem po raz pierwszy przyjrzała mu się uważniej i coś w jej wnętrzu drgnęło – ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie.

Jej mąż był śmiertelnie blady. Miał błędny wzrok. Oczy wychodziły mu z orbit. W jednej ręce trzymał kluczyki od samochodu. Drugą w dalszym ciągu nią tarosił, pomimo że miała otwarte oczy. Zupełnie jakby nie zauważył, że się obudziła.

– Charlie, o co chodzi? Co się stało?

Sprawiał wrażenie jakby nie wiedział, co ma powiedzieć. Jego jabłko Adama daremnie podrygiwało w górę i w dół, ale jedynym słyszalnym odgłosem jaki rozlegał się wewnątrz niewielkiego, służbowego bungalowu, było tykanie zegara.

– Pali się? – spytała. To była jedyna rzecz jaka przyszła jej na myśl, a która mogłaby doprowadzić go do takiego stanu. Wiedziała, że jego rodzice zginęli podczas pożaru domu.

– W pewnym sensie – odparł. – W pewnym sensie to coś o wiele gorszego. Musisz się ubrać kochanie. Zabierz małą LaVon. Musimy się stąd zrywać.

– Dlaczego? – spytała, wstając z łóżka. Ogarnął ją paniczny strach.

Coś było nie w porządku.

To było niczym senny koszmar.

– Gdzie? Powinniśmy wyjść na podwórze na tyłach domu?

Ale wiedziała, że nie chodziło mu o wyjście na podwórze. Jeszcze nigdy nie widziała Charliego równie przerażonego. Wzięła głęboki oddech, jednak nie wyczuła dymu ani spalenizny.

– Sally, kochanie, o nic nie pytaj. Musimy się stąd wynieść. Wyjechać. Daleko stąd. Po prostu zabierz małą i ubierz ją.

– Ale czy... czy mamy dostatecznie dużo czasu bym mogła spakować trochę rzeczy?

Jej słowa sprawiły, że znieruchomiał. Zupełnie jakby zbiła go z pantałyku. Miała wrażenie, że jej strach sięgnął zenitu, ale najwidoczniej się myliła. Uświadomiła sobie nagle że to, co uważała za przerażenie było czystą paniką.

Przesunął drżącą dłońią po włosach i odparł:

– Nie wiem. Będę musiał sprawdzić kierunek wiatru.

Wyszedł, pozostawiając ją z tym dziwnym stwierdzeniem, które nic dla niej nie znaczyło. Była zziębnięta, przerażona i dezorientowana, a do tego bosa i ubrana jedynie w krótką nocną koszulkę. Zupełnie jakby stracił rozum. Co mogło mieć wspólnego sprawdzanie kierunku wiatru z tym czy miała czas na spakowanie paru walizek? I co oznaczało określenie: „daleko”? Reno? Vegas? Salt Lake City? I...

Przyłożyła dłoń do szyi i wtem, przyszła jej do głowy całkiem nowa myśl.

DEZERCJA. Wyjazd w środku nocy oznaczał, że Charlie zamierzał ZDEZERTEROWAĆ. SAMOWOLNE ODDALENIE.

Weszła do małego pokoiku dziecinnego i przez chwilę stała nieruchomo, niezdecydowana, patrząc na śpiące dziecko otulone różowym kocykiem.

Wciąż jeszcze miała słabą nadzieję, że to jedynie koszmarny sen, bardziej wyrazisty niż inne. Ale to minie, a ona obudzi się, jak zwykle o siódmej rano, nakarmi małą i sama coś przekąsi, poogląda pierwszą godzinę programu „Today”, a potem, kiedy Charlie o ósmej wróci z nocnej zmiany w północnej wieży Rezerwatu, usmaży mu jajecznicę. Za dwa tygodnie znów wróci na dzienną zmianę, przestanie się dziwnie zachowywać, a kiedy

ponownie zacznie spędzać noce u jej boku, nie będzie już miewała równie szalonych snów jak ten i...

– Pospiesz się! – syknął, pozbawiając ją wszelkiej nadziei. – Mamy niewiele czasu. Tylko tyle aby zgarnąć trochę najpotrzebniejszych rzeczy. Ale na miłość Boską, kobieto, jeżeli ją kochasz – wskazał na leżące w łóżeczku dziecko – ubierz ją!

Kaszlnął nerwowo, zasłaniając usta dłonią. Zaczął wyrzucać rzeczy z szuflad komody i upychać je bezładnie do paru starych walizek.

Sally obudziła małą LaVon, próbując ją uspokoić, najlepiej jak tylko potrafiła. Trzyletnie dziecko było zdziwione i zaskoczone faktem, iż obudzono je w środku nocy, a kiedy Sally ubrała ją w majteczki, bluzeczkę i kombinezon, zaczęła płakać.

Płacz dziecka przeraził ją bardziej niż kiedykolwiek. Skojarzyła to z innymi przypadkami, kiedy mała LaVon, zazwyczaj aniołek, płakała w nocy jak bóbr. Przyczyny były różne – wysypka, ząbkowanie, krup, kolka. Strach powoli zmieniał się w gniew, kiedy zobaczyła, że Charlie prawie biegiem wpadł do pokoju, niosąc dwa naręcza jej bielizny. Ramiączka biustonoszy unosiły się za nim niczym wstęgi noworocznych serpentyn.

Wrzucił je do jednej z walizek i zatrzasnął wieko. Rąbek jej najlepszej halki wystawał na zewnątrz i mogła się założyć, że materiał został rozerwany.

– O co chodzi? – krzyknęła, a podniesiony ton jej głosu sprawił, że dziecko, które jeszcze przed chwilą pochlipywało cichutko, na nowo wybuchnęło płaczem. – Czyś ty oszalał? Charlie, wyślą za nami żołnierzy! ŻOŁNIERZY!

– Nie wyślą. Nie dzisiejszej nocy – powiedział i pewność w jego głosie wprawiła ją w jeszcze większe zdenerwowanie. – Sęk w tym słodziutka, że jak szybko nie weźmiemy dupy w troki, to w ogóle nie wydostaniemy się z bazy. Właściwie nie mam pojęcia, jak to się stało, że zdołałem opuścić wieżę. Chyba coś się gdzieś spieprzyło. W sumie, dlaczego by nie? Wszystko inne spieprzyło się równo.

Mówiąc to, wybuchnął przeciągłym, obłąkańczym śmiechem, który wystraszył ją bardziej niż wszystko, co zrobił do tej pory.

– Dziecko ubrane? To dobrze. Wrzuć parę jej ubranek do drugiej walizki. Resztę spakuj do niebieskiej torby podróźnej. Jest w szafie. Zrób to i wynośmy się stąd. Wydaje mi się, że mamy szansę. Dzięki Bogu wiatr wieje ze wschodu na zachód.

Ponownie kaszlnął w dłoń.

– Tatusiu! – zawołała stanowczo mała LaVon, unosząc do góry rączki. – Chcę tatusia! Pewno! Chcę na konika, tatusiu! Na konika! Pewno!

– Nie teraz – rzekł Charlie i zniknął w kuchni.

W chwilę potem Sally usłyszała brzęk naczyń. Wybierał jej oszczędności z niebieskiej wazy stojącej na górnej półce. Jakieś trzydzieści, czterdzieści dolarów, które zdołała odłożyć. JEJ OSZCZĘDNOŚCI. A więc sprawa była poważna. Cokolwiek to było, sprawa musiała być

naprawdę poważna. Mała, której tatuś odmówił przejażdżki „na koniku”, choć przecież bardzo rzadko – jeżeli w ogóle kiedykolwiek jej czegoś odmawiał – ponownie zaczęła płakać.

Sally z trudem zdołała ubrać małą w cienką kurteczkę, a potem bezładnie wrzuciła większość jej ubranek do torby. Pomysł dokładania czegośkolwiek do drugiej walizki wydał się idiotyczny – walizka po prostu by pękła. Musiała przydusić ją kolanem aby zatrzasnąć zamki. Uświadomiła sobie, że dziękuje Bogu, iż mała LaVon była na tyle duża, że nie trzeba było martwić się o pieluchy.

Charlie wrócił do sypialni i tym razem rzeczywiście biegł. W dalszym ciągu wpychał pomięte banknoty jedno i pięciodolarowe do przedniej kieszeni „suntanów”. Sally wzięła małą na ręce. LaVon była już na dobre obudzona i mogła iść sama, ale Sally chciała czuć ją w swoich ramionach. Pochyliła się i podniosła torbę podróżną.

– Dokąd idziemy tatusiu? – spytała mała LaVon – Spałam.

– Dziecko może spać w samochodzie – rzekł Charlie, biorąc dwie walizki.

Rąbek wystającej z walizki halki zatrzepotał gwałtownie. Jego oczy wciąż wydawały się mętne, jak gdyby zapatrzone gdzieś w dal. W umyśle Sally zaczęła świtać pewna myśl, przeradzająca się wolno w pewność.

– Był jakiś wypadek? – wyszeptwała. – Jezus, Maria, Józefie Święty! Zdarzył się wypadek, zgadza się? Wypadek. TAM.

– Układałem właśnie pasjansa – powiedział. – Uniosłem wzrok i nagle zobaczyłem, że cyfry zegara zmieniły się z zielonych na czerwone. Włączyłem monitor. Sally, okazało się, że oni wszyscy... – Przerwał, spoglądając w oczy małej LaVon, które pomimo iż rozszerzone i zaczerwienione od łez, pełne były zaciekawienia. – Oni wszyscy tam, na dole NIE ŻYJĄ – dodał – oprócz jednego, może dwóch, ale do tej pory oni też już na pewno wyzionęli ducha.

– Co to znaczy „nie żyją”, tatusiu? – spytała mała LaVon.

– Nieważne, kochanie – powiedziała Sally. Miała wrażenie jakby jej głos dochodził z głębi przepastnego kanionu.

Charlie przełknął ślinę. Coś strzyknęło mu w gardle.

– Kiedy zapalają się czerwone cyfry, wszystko powinno być automatycznie zablokowane. Mają tam komputer firmy Chubb, który zarządza całym tym miejscem, dzięki czemu powinno ono być maksymalnie zabezpieczone. Zobaczyłem co było na monitorze i natychmiast wybiegłem z pomieszczenia. Bałem się, że drzwi przetną mnie na pół. Powinny zostać zamknięte w momencie gdy włączył się alarm, a nie wiem od jak dawna palił się wskaźnik zanim uniosłem wzrok i zauważyłem co się dzieje. Ale nim usłyszałem szcęk zamykanych automatycznie drzwi, byłem już prawie na parkingu. Prawdopodobnie, gdybym uniósł wzrok trzydzieści sekund później, siedziałbym teraz w pomieszczeniu kontrolnym wieży, jak owad w butelce.

– Co to jest? Co się...

– Nie wiem i NIE CHCĘ wiedzieć. Wiem tylko tyle, że to coś ZABIŁO ich błyskawicznie. Jeżeli chcą mnie dostać, będą musieli mnie złapać. Fakt, płacą mi dodatek za ryzykowną pracę, ale nie dość duży żebym miał tu zostawać. Wiatr wieje na zachód. Pojedziemy na wschód. Chodź. Czas ruszać w drogę.

Sally w dalszym ciągu na wpół zaspana, z wrażeniem jakby utkwiała w samym sercu jakiegoś upiornego, nie kończącego się koszmaru, wyszła na podjazd, gdzie, rdzewiejąc spokojnie pośród kalifornijskiej, pustynnej nocy stał ich piętnastoletni chevy.

Charlie wrzucił walizki do bagażnika, a torbę podróżną na tylne siedzenie. Sally stała przez chwilę przy drzwiach od strony pasażera i, trzymając dziecko w ramionach, spoglądała na bungalow, w którym spędzili ostatnie cztery lata.

Uświadomiła sobie, że kiedy się tu wprowadzili mała LaVon rosła wewnątrz jej ciała, a wszystkie przejażdżki „na koniku” były jeszcze przed nią.

– No chodź! – powiedział. – Wsiadaj, kobieto!

Zrobiła, co kazał. Wycofał wóz, przez moment snop światła z reflektorów chevy omiótł ścianę domku. Ich refleksy w szybach wyglądały jak ślepią ogromnej, drapieżnej bestii.

Pochylił się nad kierownicą w pełnym skupieniu. W świetle bijącym z urządzeń znajdujących się na desce rozdzielczej, jego twarz wydawała się bardzo spięta i zmęczona.

– Jeżeli brama bazy jest zamknięta, spróbuję się przez nią przebić.

I rzeczywiście miał taki zamiar.

Sally poczuła nagle, że miękną jej kolana.

Okazało się jednak, że tak desperackie rozwiązanie nie było konieczne. Brama bazy była otwarta. Jeden ze strażników pochylał głowę nad jakimś czasopismem. Nie zauważyła drugiego. Być może przebywał teraz w głównej kwaterze. To była zewnętrzna część bazy – konwencjonalny magazyn pojazdów wojskowych. Tych mężczyzn nie interesowało, co działo się w sercu kompleksu.

„Uniosłem wzrok i nagle zobaczyłem, że cyfry zegara zmieniły się z zielonych na czerwone”.

Zadrżała i położyła dłoń na jego nodze. Mała LaVon ponownie usnęła. Charlie poklepał ją lekko po ręce i powiedział:

– Będzie dobrze, kochanie.

O świcie, przemierzając terytorium Nevady, w dalszym ciągu podążali na wschód, a Charliego męczył dokuczliwy, silny kaszel.

KSIĘGA PIERWSZA

KAPITAN TRIPS

16 CZERWCA – 4 LIPCA, 1990

*Zadzwońiem do lekarza
Mówię: Doktorze, proszę.
Cały się trzęsę, dygoczę i kręcę
Powiedz mi, co to może być?
Czy to jakaś nowa choroba?*

The Sylvers

*Mała, czy możesz polubić swojego faceta?
To porządny gość
Mała, czy możesz polubić swojego faceta?*

Larry Underwood

ROZDZIAŁ 1

Należąca do Texaco stacja Hapscomba mieściła się przy drodze numer 93 na północ od Arnette, miejsciny gdzie „diabeł mówi dobranoc”, leżącej o sto mil od Houston. Dziś wieczorem byli tam sami stali bywalcy, którzy, siedząc przy kasie, popijali piwo, prowadzili leniwe pogawędki i patrzyli na muchy wlatujące do ogromnego, podświetlanego neonu firmy.

Była to stacja Billa Hapscomba, toteż tamci odnosili się do niego z szacunkiem, pomimo iż był zupełnym kretynem. Oczekiwali takiego samego poważania, gdyby spotkanie miało miejsce w ich pracy. Tyle tylko, że wszyscy byli bezrobotni. W Arnette nastały ciężkie czasy. W 1980 roku miasto miało dwa zakłady przemysłowe – fabrykę produkującą wyroby papierowe (głównie na pikniki i rodzinne przyjęcia) i wytwórnię kalkulatorów. Obecnie fabrykę wyrobów papierowych zamknięto na cztery spusty, a wytwórni kalkulatorów też nie wiodło się najlepiej – okazało się, że dużo tańsze produkowano na Tajwanie, podobnie jak rzecz się miała z przenośnymi telewizorami i radiami tranzystorowymi.

Norman Bruett i Tommy Wannamaker pracowali niegdyś w zakładzie wyrobów papierowych; obecnie żyli z pomocy opieki społecznej, gdyż już od dawna nie przysługiwał im zasiłek dla bezrobotnych. Henry Carmichael i Stu Redman pracowali w wytwórni kalkulatorów, ale rzadko przepracowywali więcej niż trzydzieści godzin tygodniowo. Victor Palfrey był na emeryturze i palił ohydnie cuchnące skręty – jedyne papierosy na jakie mógł sobie teraz pozwolić.

– Mówię wam – powiedział Hap, opierając dłonie na kolanach i pochylając się do przodu – powinni olać całą tę inflację. Pal licho dług narodowy. Mamy prasy i papier. Wydrukowałyby się pięćdziesiąt milionów banknotów tysiącdolarowych i puściło je w obieg.

Palfrey, który do 1984 roku był maszynistą, jako jedyny spośród obecnych miał dość ikry i szacunku względem siebie aby wyrazić sprzeciw wobec ewidentnie idiotycznych stwierdzeń Hapa. Teraz, rolując w palcach kolejnego, cuchnącego jak stare skarpety skręta, oznajmił:

– Tym sposobem nigdzie nie zajdziemy. Byłoby zupełnie jak w Richmond w dwóch ostatnich latach wojny secesyjnej. Kiedy miałeś ochotę na piernika, płaciłeś piekarzowi konfederackiego dolara, a on wycinał ci należny kawałek. Wielkości dolarówki. Wiecie, forsa to tylko papier.

– Wiem, że niektórzy się z tobą nie zgadzają – powiedział z goryczą Hap. – Mam dług wobec tych ludzi. A oni zaczynają być pod tym względem coraz bardziej drażliwi.

Stuart Redman, który był najprawdopodobniej najbardziej cichym mężczyzną w Arnette, siedział na popękany plastikowym krześle typu Woolco z puszką pabsta w dłoni i wyglądał przez ogromne okno budynku stacji benzynowej. Stu znał smak biedy. Dorastał w tym mieście. Był synem dentysty; ojciec zmarł kiedy Stu miał siedem lat, pozostawiając żonę i dwoje dzieci oprócz Stu.

Jego matka dostała pracę w Red Ball Truck Stop na przedmieściach Arnette – Stu mógłby z tego miejsca zobaczyć ów budynek, gdyby Red Ball nie spłonął doszczętnie w 1979 roku. Matka zarabiała dostatecznie dużo, by cała czwórka miała co zjeść, ale nic poza tym. Mając dziewięć lat, Stu poszedł do pracy – najpierw do Roga Tuckera, właściciela Red Ball, gdzie pomagał po zajęciach szkolnych rozładowywać ciężarówki za trzydzieści pięć centów na godzinę, a następnie do pobliskiego Braintree, gdzie, aby móc harować do utraty sił po dwadzieścia godzin tygodniowo, musiał zawiązać swój wiek.

Teraz kiedy słuchał jak Hap i Vic Palfrey kłócą się na temat pieniędzy i tajemniczego sposobu w jaki wyparowały, przypomniał sobie pierwszy okres pracy w rzeźni i swoje dłonie krwawiące od nie kończącego się ciągnięcia ciężkich wózków załadowanych skórą i wnętrznościami. Próbował zataić to przed matką, ale domyśliła się wszystkiego w niecały tydzień. Popłakała nieco nad ich losem, jednak nie należała do kobiet, które często i łatwo roniły łzy. Nie poprosiła go aby rzucił pracę. Wiedziała, jak przedstawiała się ich sytuacja. Była realistką.

Po części jego milczenie wynikało z faktu, że nigdy nie miał przyjaciół, albo nie miał dla nich czasu. Dla niego istniały tylko szkoła i praca.

Jego najmłodszy brat, Dev, zmarł na zapalenie płuc w tym samym roku, w którym Stu zaczął pracować w rzeźni. Stu nigdy nie otrząsnął się z tego do końca. Przypuszczał, że dręczyło go poczucie winy. Najbardziej kochał Deva... ale jego śmierć oznaczała, że było o jedną gębę mniej do wykarmienia.

W liceum odkrył futbol i to dodało jego matce otuchy, mimo że musiał przez to zmniejszyć liczbę godzin pracy.

– Graj – powiedziała. – Jeżeli możesz w jakiś sposób się stąd wydostać, to właśnie dzięki futbolowi, Stuart. Graj! Pamiętaj o Eddiem Warfieldzie.

Eddie Warfield był lokalnym bohaterem. Pochodził z jeszcze biedniejszej rodziny niż Stu i okrył się chwałą jako quarterback okręgowej licealnej drużyny futbolowej, po czym wyjechał do Teksasu na stypendium sportowe i przez dziesięć lat grał w drużynie Green Bay Packers, głównie jako quarterback, ale kilkakrotnie stawał nawet na pozycji rozgrywającego. Eddie był teraz właścicielem sieci barów szybkiej obsługi na zachodzie i południowym zachodzie, a w Arnette stał się niemal legendą. W Arnette, kiedy mówiłeś „sukces” miałeś na myśli Eddiego Warfielda.

Stu nie grał jako quarterback i nie był również Warfieldem. Mimo to, w liceum doszedł do wniosku, że warto byłoby wywalczyć sportowe stypendium... a potem pojawiły się różne uczelniane programy i opiekun wydziałowy opowiedział mu o NDEA.

Matka Stu zachorowała i nie mogła już pracować. Rak. Na dwa miesiące przed ukończeniem przez Stu liceum umarła, pozostawiając opiece Stuarta jego brata, Bryce'a.

Stu zrezygnował ze sportowego stypendium i podjął pracę w wytwórni kalkulatorów. Ale to właśnie Bryce'owi się udało. Odnosił sukces. Był teraz w Minnesocie, gdzie pracował dla IBM jako analityk systemów komputerowych. Nie pisywał często, a ostatni raz widzieli się na pogrzebie żony Stu, która zmarła na tę samą chorobę, co jego matka – na raka. Przyszło mu na myśl, że Bryce być może również nosi swój krzyż... i że może przepełnia go poczucie winy wynikające z faktu, iż jego brat zmienił się w jeszcze jednego swojskiego chłopaka w dogorywającym tekszańskim miasteczku, spędzającego dni w fabryce kalkulatorów a wieczory u Hapa albo w Indian Head przy kuflu piwa marki Lone Star.

Małżeństwo było dla niego najlepszym okresem, a trwało jedynie osiemnaście miesięcy. Łono jego młodej żony wydało na świat jedno, posępne i złośliwe dziecko. To było cztery lata temu. Od tej pory myślał tylko o opuszczeniu Arnette w poszukiwaniu czegoś lepszego, jednak nie pozwalało mu na to jego małomiasteczkowe myślenie, znajome miejsca i twarze.

Był w Arnette powszechnie lubiany, a Vic Palfrey obdarzył go kiedyś prawdziwym komplementem, nazywając „Starym Twardzielem”. Kiedy Vic i Hap zakończyli dysputę, wciąż jeszcze zmierzchało, ale okolica tonęła już pośród głębokich cieni. Teraz szosą numer 93 nie przejeżdżało wiele wozów, skutkiem czego Hap miał sporo nie zapłaconych rachunków. Ale oto właśnie zbliżał się jakiś samochód. Stu go zauważył.

Wciąż był jeszcze ćwierć mili stąd, ostatnie promienie zachodzącego słońca rzucały słabe refleksy na chromowane, nie pokryte kurzem części wozu.

Stu miał wyśmienity wzrok, rozpoznał starego chevroleta rocznik być może 75. Chevy, bez włączonych świateł, jadący z prędkością nie większą niż piętnaście mil na godzinę, sunął ostrym zygzakiem. Nikt prócz Stu jeszcze go nie zauważył.

– Powiedzmy, że masz zastaw hipoteczny na tę stację – ciągnął Vic – i powiedzmy, że spłacasz go po pięćdziesiąt dolarów miesięcznie...

– Dużo więcej stary. Dużo więcej.

– No dobra, ale załóżmy, że spłacasz miesięcznie po pięć dych. A teraz powiedzmy, że rząd poszedł ci na rękę i wydrukował dla ciebie całą ciężarówkę szmalu. Gdyby tak się stało, jestem pewny, że ci z banku natychmiast wyczuliby pismo nosem i zażądałoby od ciebie PÓLTOREJ PACZKI. Oskubaliby cię, stary, jak amen w pacierzu. I wszystko byłoby po staremu.

– To fakt – dodał Henry Carmichael.

Hap spojrział na niego, wyraźnie poirytowany. Tak się składało, że wiedział iż Hank miał w zwyczaju bez płacenia wyciągać z automatu puszkę z colą i, co więcej, Hank wiedział, że

on o tym wie. Toteż jeśli Hank miał się opowiedzieć po którejkolwiek ze stron, powinien poprzeć właśnie jego.

– Niekoniecznie musi tak być – mruknął Hap, czerpiąc ze skarbnicy swego dziewięcioklasowego wykształcenia. Zaczął wyjaśniać, dlaczego tak uważa.

Stu, który jako jedyny rozumiał powagę ich obecnej sytuacji, przestał wsłuchiwać się w głos Hapa i patrzył jak Chevy sunie zakosami wzdłuż drogi. Stu zdawał sobie sprawę, że wóz w ten sposób nie zajedzie zbyt daleko. Samochód zjechał w lewo przekraczając białą linię, a jego koła wzbily z pobocza tumany kurzu. Znów wyjechał na szosę, ale już w chwilę potem o mało nie wpakował się do rowu. Następnie, zupełnie jakby kierowca obrał sobie za cel szyld stacji benzynowej, samochód potoczył się w jej stronę. Przypominał pocisk balistyczny, który wytracił niemal całą prędkość. Stu słyszał teraz głuchy, znużony łoskot silnika, jednostajne rżenie i jęk dogorywającego gaźnika i obłuzowanych zaworów. Wóz ominął podjazd i z głośnym stukotem wjechał na krawężnik. Fluorescencyjne pręty nad dystrybutorami odbijały się w brudnej szybie samochodu, tak że trudno było zauważyć, kto znajdował się wewnątrz. Niemniej jednak Stu zauważył jak ciało mężczyzny za kierownicą zakołysało się bezwładnie pod wpływem wstrząsu.

Nie wyglądało na to, aby wóz miał zwolnić – nadal niewzruszenie sunął naprzód z prędkością piętnastu mil na godzinę.

– Posłuchaj, mówię ci, że przy większej ilości pieniędzy znajdującej się w obiegu byłbyś...

– Lepiej wyłącz dystrybutory, Hap – powiedział łagodnym tonem Stu.

– Dystrybutory? Co?

Norm Bruett odwrócił się aby wyrzeć przez okno.

– Chryste Panie – rzucił.

Stu podniósł się z krzesła i, pochylając się nad Tommym Wannamakerem i Hankiem Carmichaelem, wyłączył jednocześnie wszystkie osiem przełączników – po cztery na jedną rękę. Dlatego tylko on jako jedyny nie widział, jak Chevy rąbnął w dystrybutory na górnej wysepce i przewrócił je.

Wjechał w nie powoli, zdawałoby się z pełną, bezlitosną premedytacją, ale i dostojeństwem. Tommy Wannamaker następnego dnia w Indian Head zaklinał się, że w Chevy ani razu, nawet na moment nie zapaliły się światła stopu. Samochód po prostu jechał jak na paradzie „Turnieju Róż”. Podwozie ze zgrzytem przetoczyło się po cementowej wysepce, a kiedy wóz wjechał na nią kołami, wszyscy, oprócz Stu, zobaczyli, jak głowa kierowcy zgoła bezwładnie przechyliła się do przodu i uderza w przednią szybę, na której natychmiast pojawiła się, przypominająca gwiazdę, siateczka pęknięć.

Chevy podskoczył jak kopnięty stary pies i ściął dystrybutor hi-test. Pompa pękła z trzaskiem i całe urządzenie runęło na ziemię, rozlewając drobną strużkę benzyny. Wąż dystrybutora spadł z zaczepu i leżał teraz na ziemi, błyszcząc w świetle neonu. Wszyscy

zauważyli iskry tryskające spod szorującej po cemencie rury wydechowej samochodu, a Hap, który widział eksplozję stacji benzynowej w Meksyku, instynktownie przymknął powieki, spodziewając się lada moment wybuchu i potwornej, oślepiającej kuli ognia. Zamiast tego jednak, tył chevy okręcił się wokół osi i zjechał z cementowej wysepki. Przód samochodu rąbnął w dystrybutor benzyny niskoolowiowej i zwałił go na ziemię przy wtórze głuchego „ba-bam!”. Prawie rozważnie Chevrolet zakończył obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, ponownie uderzając w wysepkę – tym razem jednak bokiem. Tył samochodu wjechał na podwyższenie, ścinając stojący tam dystrybutor ze zwykłą benzyną. Potem chevy zatrzymał się, ciągnąc za sobą przerdzewiałą rurę wydechową. Wóz zniszczył wszystkie trzy dystrybutory na najbliższej autostrady wysepce. Silnik krztusił się jeszcze przez kilka sekund, po czym umilkł.

Cisza była tak ogłuszająca, że aż alarmująca.

– Rany koguta! – powiedział Tommy Wannamaker z zapartym tchem. – Czy on wybuchnie, Hap?

– Gdyby miał wybuchnąć, to już by wybuchł – stwierdził Hap, wstając. Uderzył ramieniem w mapę-układankę i jej części, między innymi Teksas, Nowy Meksyk i Arizona rozsypały się na wszystkie strony. Hap w głębi duszy cieszył się. „Jakie dziwne uczucie!”. Jego dystrybutory były ubezpieczone, a polisy spłacone. Mary zawsze mu marudziła aby wszystko z góry ubezpieczyć.

– Facet musiał być nieźle naprany – stwierdził Norm.

– Widziałem jego tylne światła – stwierdził Tommy piskliwym, pełnym podniecenia głosem. – Ani razu nie błysnęły! Rany koguta! Gdyby pruł sześćdziesiątką już byśmy nie żyli.

Pospiesznie wyszli z biura – Hap pierwszy, Stu jako ostatni. Hap, Tommy i Norm dotarli do samochodu jednocześnie. Czuli woń benzyny i słyszeli powolne tykanie stygnącego silnika. Hap otworzył boczne drzwiczki samochodu i mężczyzna za kierownicą wypadł na zewnątrz jak worek ze starym praniem.

– Niech to szlag! – powiedział głośno, prawie krzycząc Norm Bruett.

Odwrócił się, zacisnął dłonie na swym obfitym kałdunie i zwymiotował. Mdłości nie spowodował mężczyzna, który wypadł z samochodu (Hap złapał go, zanim ten zdążył osunąć się na chodnik), ale ohydny fetor bijący z wnętrza wozu, duszący smród, będący mieszaniną woni krwi, fekaliów, wymiocin i rozkładających się ciał. Był to upiorny odór choroby i śmierci.

W chwilę potem Hap odwrócił się i, chwytając kierowcę pod pachy, wyciągnął go z wozu. Tommy błyskawicznie złapał mężczyznę za nogi i obaj z Hapem przenieśli bezwładne ciało do biura. W świetle płynącym z neonu ich twarze przybrały barwę sera i były przepełnione obrzydzeniem. Hap zapomniał już o pieniądzach z ubezpieczenia.

Pozostali zajrzeli do samochodu i naraz Hap odwrócił się, kładąc jedną rękę na ustach – mały palec jego dłoni sterczał sztywno, jakby mężczyzna uniósł właśnie do toastu kieliszek z winem – podreptał na północny kraniec stacji benzynowej i z wymiotował całą kolację.

Vic i Stu zaglądali do wnętrza samochodu przez dłuższą chwilę, po czym wymienili między sobą spojrzenia i ponownie zajrzeli do środka. Po stronie pasażera siedziała młoda kobieta. Miała wysoko zadartą sukienkę, odsłaniającą nagie uda. Opierało się o nią mniej więcej trzyletnie dziecko – chłopiec lub dziewczynka. Oboje byli martwi. Ich szyje napuchły niczym dętki a ciało nabrało fioletowo-czarnej barwy, jakby było pokryte sińcami. Również pod ich oczami zauważyli opuchliznę. Vic powiedział później, że przypominali graczy w baseball, którzy smarują sobie sadzą grube kreski pod oczami aby nie oślepiało ich światło. Niewidzące oczy kobiety i dziecka zdawały się wychodzić z orbit. Trzymali się za ręce. Z ich nosów wyciekł gęsty śluz, który obecnie już zakrzepł. Wokół nich z brzęczeniem krążyły muchy – podlatywały do śluzu, wlatywały do ich otwartych ust i zaraz z nich wylatywały.

Stu był na wojnie, ale nigdy nie widział czegoś równie okropnego. To było straszne. Przez cały czas powracał spojrzeniem do tych splecionych w uścisku dłoni.

Cofnęli się od samochodu i spojrzeli na siebie mętym wzrokiem. Potem Vic i Stu wrócili do budynku stacji. Widzieli jak Hap mamrocze coś jak oszalały do słuchawki telefonu. Norm szedł nieco z tyłu za nimi i od czasu do czasu spoglądał przez ramię na wrak chevroleta. Boczne drzwiczki samochodu były otwarte. To był smutny widok. Z lusterka wstecznego zwisała para dziecięcych bucików. Hank stał przy drzwiach, ocierając usta brudną chusteczką.

– Jezu, Stu – powiedział zmartwiony, a Stu pokiwał tylko głową.

Hap odwiesił słuchawkę telefonu. Kierowca chevroleta leżał na podłodze.

– Karetka przyjedzie tu za dziesięć minut. Czy jesteście pewni, że oni...

Wskazał kciukiem samochód.

– Oni nie żyją, to pewne – Vic skinął głową. Jego pokryta zmarszczkami twarz miała bladożółty odcień. Rozsypywał po całej podłodze tytoń, jakby próbował zrobić kolejny ze swoich obrzydliwych, cuchnących skrętów. – To dwoje najbardziej martwych ludzi, jakich kiedykolwiek widziałem.

Spojrzał na Stu, a ten pokiwał głową, włożył ręce do kieszeni i przymknął oczy.

Mężczyzna leżący na podłodze jęknął głośno, gardłowo, i wszyscy natychmiast spojrzeli na niego. Po chwili, kiedy stało się jasne, że mężczyzna mówi, a przynajmniej stara się coś powiedzieć, Hap ukląkł obok niego. W końcu ta stacja należała do niego. To samo, co uśmierciło kobietę i dziecko w samochodzie, dosięgło również tego mężczyznę. Ciekło mu z nosa, a kiedy oddychał z jego gardła dobywał się jakby płynący z głębi klatki piersiowej poświst. Pod dolnymi powiekami widać było obrzmienie, jeszcze nie czarne ale już fioletowe, jak sińce. Szyja sprawiała wrażenie zbyt grubej i napuchniętej. Wydawało się jakby mężczyzna miał niejeden ale trzy podbródki. Miał wysoką gorączkę; przebywając blisko niego, odnosiło się wrażenie jakby się stało przy dobrze rozpalonym ruszcie.

– Pies – wymamrotał. – Wypuściłeś go?

– Proszę pana – rzekł Hap, potrząsając nim delikatnie. – Wezwałem karetkę. Wyjdzie pan z tego.

– Cyfry zegara zmieniły się z zielonych na czerwone – wymamrotał mężczyzna leżący na podłodze, a potem zaczął kasłać.

Kaszał raz po raz, prawie bez przerwy, a z jego ust przyskały długie, lepkie, ciągnące się pasma gęstej flegmy i śliny.

Hap odchylił się do tyłu, rozpaczliwie się wykrzywiając.

– Lepiej przekręćmy go na bok – powiedział Vic – bo się jeszcze tym udławi.

Jednak zanim zdążyli to uczynić, mężczyzna przestał kasłać. Jego oddech znów stał się nierówny i świszczący. Zamrugał powoli powiekami i powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go mężczyzn.

– Gdzie... ja jestem?

– W Arnette – odparł Hap. – Na stacji benzynowej Billa Hapscomba. Rozwalił pan kilka moich dystrybutorów. – Po czym dorzucił pospiesznie: – Nic się nie stało. Były ubezpieczone.

Mężczyzna na podłodze próbował usiąść. Aby się podnieść musiał położyć dłoń na ramieniu Hapa.

– Moja żona... moja mała córeczka...

– Nic im nie jest – powiedział Hap, siłąc się na uśmiech.

– Wygląda na to, że jestem poważnie chory – stwierdził mężczyzna. Z jego ust, kiedy oddychał dobywał się ochrypły, jękliwy charkot. – One też były chore. To trwało już od dwóch dni. Od Salt Lake City. – Na chwilę przymknął powieki. – Zachorowaliśmy... a więc chyba nie byliśmy dość szybcy...

Z oddali dochodził zbliżający się jęk syreny karetki.

Chory ponownie otworzył oczy. Teraz malowało się w nich przejmujące, głębokie zatroskanie. Raz jeszcze zaczął się podnosić. Pot ściekał mu po twarzy. Zacisnął dłoń na ramieniu Hapa.

– Czy Sally i mój LaVon nic nie jest? – zapytał z naciskiem.

Kropelki śliny przysnęły z jego ust i Hap poczuł emanującą z ciała mężczyzny gorączkę. Był chory, na wpół szalony i cuchnął. Ten smród przypominał Hapowi woń starego koca, posłania dla psa.

– Nic im nie jest – odparł z uporem w głosie, choć jakby trochę zbyt gwałtownie. – Proszę, niech się pan położy i leży spokojnie... dobrze?

Mężczyzna położył się na ziemi. Jego oddech był teraz bardziej nierówny. Hap i Hank pomogli przetoczyć go na bok i wydawało się, że to przyniosło mu nieznaczną ulgę.

– Aż do zeszłego wieczora czułem się całkiem nieźle – powiedział. – Kaszlałem, ale nic poza tym. Dopiero w nocy się pogorszyło. Obudziłem się i było ze mną źle. Nie zmylił się stamtąd dostatecznie szybko. Czy z małą LaVon wszystko w porządku?

Jego ostatnie słowa zmieniły się w bełkot, którego żaden z nich nie zdołał zrozumieć. Syrena karetki zawodziła jęklonie, coraz głośniejsze i głośniejsze.

Stu podszedł do okna, by obserwować zbliżający się ambulans. Pozostali klęczeli wokół mężczyzny leżącego na podłodze.

– Co on złapał Vic, domyślasz się? – zapytał Hap.

Vic pokręcił przecząco głową.

– Nie wiem.

– Może coś zjedli – stwierdził Norm Bruett. – Wóz ma tablice z Kalifornii więc musieli stołować się w różnych przydrożnych barach. Może zjedli nieświeżego hamburgera. To się zdarza.

Karetka podjechała i, ominąwszy szerokim łukiem rozbitego chevy, zatrzymała się pomiędzy nim a drzwiami stacji benzynowej. Czerwone światełko „koguta” na dachu, kręciło się w kółko, jak oszalałe. Było już całkiem ciemno.

– Pomóżcie mi to was stąd wyciągnę! – krzyknął nagle mężczyzna leżący na podłodze i zaraz potem umilkł gwałtownie.

– Zatrucie pokarmowe – stwierdził Vic. – Tak, to możliwe. Mam nadzieję, że to o to chodzi, bo...

– Bo co? – zapytał Hank.

– Bo jeśli nie, to mogliśmy coś od niego złapać.

Vic spojrzał na nich, a w jego oczach malowało się zaniepokojenie.

– W 1958 roku widziałem epidemię cholery w pobliżu Nogales i to wyglądało podobnie.

Weszło trzech ludzi z noszami.

– Hap – powiedział jeden z nich – masz szczęście, że uratowałeś ten swój pieprzony tyłek. Gdyby chevy wybuchł, wszyscy bylibyście teraz na łonie Abrahama. To ten facet, co?

Rozstąpili się aby ich przepuścić. Billy Verecker, Monty Sullivan, Carlos Ortega – znali ich wszystkich.

– W samochodzie jest jeszcze dwójka – powiedział Hap, odciągając Monty’ego na stronę. – Kobieta i mała dziewczynka. Nie żyją.

– O kurde! Jesteś pewny?

– Tak. Ten facet o tym nie wie. Zabierzcie go do Braintree?

– Chyba tak – Monty spojrzał na niego z zakłopotaniem. – Ale co mam zrobić z tymi dwiema w wozie? Nie wiem jak mam załatwić tę sprawę, Hap.

– Stu powiadomi gliny. Mogę pojechać z tobą?

– Jasne, stary.

Położyli mężczyznę na noszach i kiedy go wynieśli, Hap podszedł do Stu.

– Jadę z tym gościem do Braintree. Powiadomisz gliny?

– Nie ma sprawy.

– I zadzwoń też do Mary. Powiedz jej, co się stało.

– W porządku.

Hap podreptał wolno do ambulansu i wszedł do środka. Billy Verecker zatrzasnął za nim drzwiczki, a potem zawołał pozostałą dwójkę. Mężczyźni z upiorną, chorobliwą fascynacją zaglądali do wnętrza rozbitego samochodu.

Parę minut potem ambulans ruszył, przy wtórze jęśliwego zawodzenia syreny; obracająca się lampa „koguta” na dachu samochodu rzucała krwawe refleksy na asfaltowy podjazd. Stu podszedł do automatu i wrzucił ćwierćdolarówkę.

Mężczyzna z chevroleta zmarł dwadzieścia mil przed szpitalem. Wydał z siebie ostatnie, bulgoczące tchnienie, zakrztusił się i skonał. Hap wyjął portfel z kieszeni spodni mężczyzny i przejrzał jego zawartość. Było w nim siedemnaście dolarów w gotówce. Zgodnie z tym, co widniało w jego prawie jazdy, mężczyzna nazywał się Charles D. Champion. Hap znalazł również legitymację wojskową zmarłego i obłożone w plastik zdjęcia jego żony i córki. Hap nie chciał oglądać tych zdjęć.

Włożył portfel z powrotem do kieszeni spodni zmarłego i powiedział Carlosowi, że może wyłączyć syrenę.

Było dziesięć po dziewiątej.

ROZDZIAŁ 2

Na plaży miejskiej w Ogunquit w stanie Maine, znajdowało się długie, kamienne molo obmywane z obu stron przez fale Atlantyku. Dziś kojarzyło się ono z oskarżycielsko wystawionym palcem i kiedy Frannie zatrzymała samochód na parkingu, dostrzegła Jessa siedzącego na samym jego końcu, niewyraźną sylwetkę skąpaną w promieniach popołudniowego słońca. Wysoko nad nim krążyły donośnie skrzeczące mewy – obraz Nowej Anglii namalowany przez samo Życie – i w głębi duszy wątpiła czy któryś z ptaków zepsuje go, brudząc białym, obrzydliwym guanem nieskalaną, błękitną bluzę Jessa Ridera.

Był on wszak praktykującym poetą.

Wiedziała, że to Jess, gdyż jego rower stał przymocowany do metalowego ogrodzenia za budynkiem dla dozorczy parkingu.

GUS, łysiejący, jowialny grubasek wyszedł jej na spotkanie. Opłata dla gości wynosiła dolara od samochodu ale GUS wiedział, że Frannie była tutejsza, nie musiał nawet patrzeć na nalepkę z napisem REZYDENT, przyklejoną w rogu na szybie volvo.

Fran przychodziła tu często.

„Jasne – pomyślała Fran – przecież zaszłam w ciążę właśnie tu, na plaży, dwanaście stóp poza strefą przyływu. Drogi płodzie – zostałeś poczęty na wybrzeżu Maine, dwanaście stóp ponad linią przyływu, dwadzieścia jardów na wschód od falochronu. To miejsce jest oznaczone krzyżykiem”.

GUS uniósł dłoń w jej stronę, w pokojowym powitaniu.

– Pani chłopak jest na końcu mola, panno Goldsmith.

– Dzięki, GUS. Jak interesy? – Uśmiechając się, wskazała na parking. Stały tam ze dwa tuziny samochodów, z czego większość miała niebiesko-białe nalepki z napisem REZYDENT.

– Za wcześniej aby mówić o interesach. Ruch jest raczej niewielki – odparł GUS.

Był siedemnasty czerwca.

– Za jakieś dwa tygodnie podreperujemy miejską kasę.

– Nie wątpię. Oczywiście jeżeli nie zgarniesz wszystkiego dla siebie.

GUS roześmiał się i wrócił do wnętrza budynku.

Frannie oparła się jedną ręką o nagrzaną metal samochodu, zdjęła trampki i założyła sandały. Była wysoką dziewczyną o kasztanowych włosach sięgających do połowy pleców. Miała na sobie piaskowego koloru bluzkę. Jej figura była doskonała. Długie nogi przyciągały spojrzenia prima sort – jak mówili o nich chłopaki. – Spójrzcie, ale towar – niezła lala – nogi jak stąd aż do samej ziemi”. Miss college’u 1990.

Roześmiała się w duchu, ale jej śmiech miał w sobie nutę gorzkości. „Zachowujesz się tak – powiedziała do siebie – jakby to była wiadomość o znaczeniu dla całego świata”. Rozdział szósty: Hester Prynne przynosi wielebnemu Dinnesdale wieści o groźbie przybycia Pearl. Tyle tylko, że nie on był Dinnesdałem. Nazywał się Jess Rider, lat dwadzieścia, o rok młodszy od naszej bohaterki, małej Fran. Był studentem college’u, praktykującym poetą. Wystarczyło spojrzeć na jego nieskazitelną, błękitną, batystową koszulę i wszystko było jasne. Zatrzymała się na skraju plaży, czując gorący piasek nawet przez podeszwy sandałów. Postać na dalekim końcu mola w dalszym ciągu ciskała do wody kamyki. Myśl, która przyszła jej do głowy była po części zabawna, poniekąd zaś zatrzważająca. „On dobrze wie, jak wygląda, siedząc tam, na końcu mola – stwierdziła w duchu. – Jak Lord Byron – samotny ale nieulekły. Siedzi sam i patrzy na morze, które gdzieś tam, daleko, obmywa brzegi Anglii. Ja wszakże, wygnaniec, już nigdy...

O KURWA!”

Ta myśl nie tyle wyrwała ją z zakłopotania, a raczej pomogła jej uświadomić drzemające w niej odczucia.

Młody mężczyzna, którego – jak sądziła – darzyła miłością, siedział nieopodal, a ona szydziła z niego, za jego plecami.

Zaczęła iść wzdłuż mola, zgrabnie przestępując wystające kamienie i ziejące pomiędzy nimi szczeliny. To było stare molo – niegdyś stanowiło część falochronu. Teraz większość łodzi cumowała przy południowej części miasta, gdzie znajdowały się trzy mariny i siedem swojskich, marnej klasy motelików, w których każdego lata pełno było gości.

Szła powoli, starając się zwalczyć myśl, że przez tych jedenaście dni, odkąd dowiedziała się, że jest „troszkę w ciąży” (jak to określiła Amy Lauder) mogła się w nim odkochać. No cóż, przecież to on sprawił, że to się stało, czyż nie?

Ale nie tylko on – była tego pewna. Brała przecież pigułki. To była najprostsza rzecz na świecie. Poszła do kliniki w miasteczku akademickim, powiedziała lekarzowi, że ma bolesne miesiączki, robią się jej na skórze różne wypryski a doktorzek przepisał jej wszystko czego potrzebowała. Dorzucił też za darmo zapas na cały miesiąc.

Ponownie się zatrzymała – była już przy końcu mola – po jej prawej i lewej stronie przesuwwały się grzywiaste fale, ciągnące w stronę plaży. Nagle przyszło jej na myśl, że lekarze z kliniki musieli słyszeć historyjki o bolesnych miesiączkach i pryszczach na twarzy tak samo często, a może nawet częściej, niż aptekarze stwierdzenie, że „kupuję te kondomy

dla mojego brata”. Zwłaszcza teraz, w tych czasach. Równie dobrze mogłaby pójść do niego i powiedzieć: „Daj mi pigułkę. Będę się pieprzyć”.

Miała już swoje lata. Dlaczego była taka nieśmiała? Spojrzała na plecy Jessa i westchnęła. Nieśmiałość była swego rodzaju sposobem na życie. Znowu ruszyła przed siebie. Tak czy inaczej, pigułka zawiodła. Ktoś w wydziale kontroli jakości w starej dobrej fabryce Ovril zaspał przy kontrolce. To, albo może nie wzięła pigułki i zapomniała o tym.

Podeszła do niego bezszelestnie i położyła mu obie dłonie na ramionach. Jess, który trzymał w lewej ręce kamyki a prawą ciskał je w fale Atlantyku, krzyknął głośno i gwałtownie poderwał się na nogi. Kamyki posypały się na wszystkie strony, a Jess popchnął Fran tak, że o mało nie spadła z mola. Niewiele brakowało a Jess też wpadłby do wody.

Zachichotała bezwiednie i cofnęła się o krok, przykładając obie dłonie do ust, a on, rozwścieczony, odwrócił się w jej stronę. Był dobrze zbudowanym młodym mężczyzną o czarnych włosach, noszącym okulary w złotych oprawkach. Jego regularne rysy, ku wiecznemu niezadowoleniu Jessa nigdy nie potrafiły należycie oddać głębi jego wewnętrznych odczuć.

– Śmiertelnie mnie wystraszyłaś! – krzyknął.

– Och, Jess – zachichotała. – Przepraszam, ale to było takie zabawne. Naprawdę.

– Mało brakowało a wpadlibyśmy do wody – powiedział i groźnie postąpił krok w jej stronę.

Frannie cofnęła się, potknęła o kamień i wylądowała ciężko na tyłku. Przy upadku mocno przygryzła sobie język. Poczowała ostry, przejmujący ból i jej chichot ucichł jak ucięty nożem. Nagła cisza, jaka zapadła – „wyłączyłeś mnie, zupełnie jakbym była radiem, przekręciłeś gałkę i już” – wydała jej się nagle niesamowicie zabawna i znowu zaczęła chichotać wbrew temu, że krwawił jej język, a z kącików jej oczu płynęły łzy, wywołane bólem.

– Nic ci nie jest, Frannie? – zatroskany, ukląkł obok niej.

„Jednak go kocham” – pomyślała i to sprawiło jej pewną ulgę. To dobrze.

– Ucierpiała tylko moja duma – powiedziała i pozwoliła aby pomógł jej wstać. – I przygryzłam sobie język. Widzisz?

Wysunęła język i spodziewała się, że Jess uśmiechnie się do niej, ale on tylko się zasępił.

– Jezu, Fran, leci ci krew. Naprawdę.

Wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni i przyjrzał się jej z powątpiewaniem. W chwilę później włożył ją z powrotem do kieszeni.

W jej myślach pojawiła się wizja ukazująca ich oboje, parę kochanków idących w stronę parkingu, trzymających się za ręce, przy czym ona ma usta wypchane jego chusteczką. Unosi rękę do życzliwie uśmiechniętego dozorca i mówi: „Tcho sze ma Guuus”.

Znowu zaczęła się śmiać, mimo że bolał ją język, a smak krwi w ustach zaczynał przyprawiać ją o mdłości.

– Odwróć się – powiedziała łagodnym tonem. – To nie będzie zachowanie godne damy.

Uśmiechając się pod nosem, Jess teatralnym gestem uniósł dłoń do oczu. Frann, opierając się na jednej ręce, wystawiła głowę poza krawędź mola i splunęła. Ślina była jasnoczerwona. Eep. Jeszcze raz. I jeszcze. Wreszcie metaliczny smak w jej ustach nie był już tak intensywny i kiedy Fran odwróciła głowę w jego stronę zauważyła, że przyglądał się jej przez rozstawione palce.

- Przepraszam – powiedziała. – Jestem taka głupia.
- Nie – powiedział Jess, choć z pewnością tak myślał.
- Pojedziemy na lody? – spytała. – Ty poprowadzisz, ja stawiam.
- Umowa stoi.

Podniósł się i pomógł jej wstać. Ponownie splunęła do wody. Ślina nadal była jasnoczerwona.

Fran, nieco przestraszona zapytała:

- Nie odgryzłam sobie koniuszka, co?
 - Nie wiem – odparł spokojnie Jess. – A czułaś, że coś połykasz?
- Przyłożyła dłoń do ust. Na jej twarzy malował się grymas obrzydzenia.
- To nie jest zabawne.
 - Nie. Przepraszam. Po prostu go sobie przygryzłaś, Frannie.
 - Czy w języku są arterie?

Szli wzdłuż mola, trzymając się za ręce. Fran raz po raz przystawała, żeby splunąć. Jasna czerwień. Nie miała zamiaru tego połykać. O nie. Ani odrobiny.

- Nie.
- To dobrze. – Ścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się uspokajająco. – Jestem w ciąży.
- Naprawdę? To dobrze. Czy wiesz, kogo widziałem w Port...

Przerwał i spojrzał na nią. Nagle jego oblicze stało się nieruchome, niczym kamienna maska. Przepelniał je wyraz niepewności i niepokoju. Miała wrażenie, że pęknie jej serce.

- Co ty powiedziałaś?
- Jestem w ciąży. – Uśmiechnęła się do niego promiennie, a potem jeszcze raz splunęła.

Znowu ta jasna czerwień.

- Kiepski żart, Frannie – rzucił niepewnym tonem.
- To nie żart.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Wreszcie ruszyli w stronę parkingu. Kiedy szli do samochodu, GUS stanął w drzwiach stróżówki i pomachał do nich. Frannie odpowiedziała mu tym samym. Jess również.

Zatrzymali się przy lodziarni Dairy Queen przy szosie numer 1. Jess kupił sobie colę i, siedząc za kierownicą volvo, popijał napój w zamyśleniu. Fran zdecydowała się na deser lodowy Banana Boat i, opierając się plecami o drzwiczki, przedzielona od niego dwiema stopami siedzenia wyjadała z lodów orzeszki i krem ananasowy.

– Wiesz – stwierdziła – te lody, to głównie bąbelki. Wiedziałaś? Większość ludzi o tym nie wie.

Jess spojrział na nią, ale nic nie odpowiedział.

– To prawda – stwierdziła. – Te wielkie maszyny lodowe produkują przede wszystkim bąbelki. Dużo powietrza i mało lodów. To dlatego w Dairy Queen lody są takie tanie. Dawali nam odbitki artykułów na temat teorii biznesu. Jest wiele sposobów na „oskórowanie kota”.

Jess spojrział na nią ale nic nie powiedział.

– Jeśli masz ochotę spróbować prawdziwych lodów, powinieneś pójść do lodziarni Deering Ice Cream, a to...

Wybuchnęła płaczem.

Przysunął się na siedzeniu w jej stronę i objął ją ramionami za szyję.

– Frannie, nie rób tego, proszę.

– Lód mi się rozpułwa. Pobrudzę się – powiedziała, w dalszym ciągu płacząc.

Jess ponownie wyjął chusteczkę i tym razem zrobił z niej użytek. Prawie przestała płakać. Szloch zmienił się w pochlipywanie.

– Banana Boat z krwawą polewą – powiedziała, przyglądając mu się zaczerwienionymi oczami. – Już nie mogę. Przepraszam, Jess. Wyrzucisz?

– Jasne – odparł mechanicznie.

Wziął od niej loda, wysiadł i wyrzucił do kosza na śmieci. Frannie stwierdziła, że szedł w bardzo zabawny sposób – zupełnie tak, jakby ktoś rąbnął go w to najczulsze u mężczyzny miejsce. W gruncie rzeczy przypuszczała, że był to dla niego solidny cios poniżej pasa. Jeśli jednak przyjrzeć się temu z innej perspektywy, w identyczny sposób chodziła po tym, jak straciła dziewictwo na plaży. Czuła się tak, jakby wyjątkowo silnie obtarła ją pielucha. Tyle tylko, że od obtarć nie zachodzi się w ciążę.

Jess wrócił i wsiadł do samochodu.

– Czy to prawda, Fran? – spytał nagle.

– Tak. Naprawdę jestem w ciąży.

– Jak to się stało? Myślałem, że brałaś pigułki.

– No cóż, możliwości jest kilka. Pierwsza – ktoś w wydziale kontroli jakości starej, dobrej fabryki Ovril zasnął przy przełączniku, akurat kiedy na taśmie znajdował się „mój” zestaw pigułek. Druga – w stołówce uniwersyteckiej dają wam takie żarcie, że to powiększa liczbę plemników w spermie. Trzecia – zapomniałam wziąć pigułkę i zapomniałam, że zapomniałam.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, choć z pewnym wymuszeniem i miała wrażenie jakby nieznacznie się od niej odsunął.

– Dlaczego się wściekasz Frannie? Tylko zapytałem.

– No cóż, aby odpowiedzieć na twoje pytanie w inny sposób – w pewną ciepłą, kwietniową noc – to musiało być dwunastego, trzynastego albo czternastego, wsadziłeś swój

członek w moją pochwę i doszedłeś do końca, a kiedy się we mnie spuściłeś, miliony plemników w twojej spermie...

– Przestań! – rzucił ostrym tonem. – Nie musisz...

– Co nie muszę?

Choć na zewnątrz zachowywała kamienny spokój, wewnątrz była przerażona. W najśmielszych wyobrażeniach na temat rozegrania tej sceny, nie przypuszczała, że może dojść do czegoś takiego.

– Być taka wściekła – powiedział łamiącym się głosem. – Nie zamierzam z tobą zrywać.

– Nie – powiedziała bardziej miękko. W tym momencie mogła zdjąć jedną jego rękę z kierownicy i przytrzymując ją, zaleczyć rozjątrzoną ranę. Ale nie mogła się zmusić, by to zrobić. Nie potrzebował pocieszenia. Nie miał w tym żadnego interesu, nawet jeżeli podświadomie tego pragnął. Nagle uświadomiła sobie, że przynajmniej na razie dni radości, beztroskiego śmiechu i szczęścia dobiegły końca. Ta myśl sprawiła, że ponownie zapragnęła płakać. Z ponurą miną starała się powstrzymać łzy. Była Frannie Goldsmith, córką Petera Goldsmitha i nie miała zamiaru ryczeć jak bóbr na parkingu, przed cukiernią Dairy Queen w Ogunquit.

– Co masz zamiar zrobić? – Spytał Jess, wyjmując papierosa.

– A co TY masz zamiar zrobić?

Zapalił zapalniczkę i przez moment, kiedy kłęb dymu uniósł się ku górze, widziała wyraźnie dwie osoby: mężczyznę i chłopca walczących o dominację nad tą samą twarzą.

– Kurwa mać! – powiedział.

– Jest kilka alternatyw. Możemy się pobrać i zatrzymać dziecko. Możemy się pobrać i oddać dziecko. Jak również możemy się nie pobrać i zatrzymać dziecko, albo...

– FRANNIE...

– Albo możemy się nie pobierać i nie zatrzymać dziecka. Mogłabym również poddać się zabiegowi. Czy to już wszystkie możliwości? Coś pominęłam?

– Frannie, czy nie moglibyśmy po prostu porozmawiać...

– Przecież rozmawiamy! – krzyknęła. – Miałaś swoją szansę i powiedziałaś tylko „kurwa mać”. To twoje słowa. Przedstawiłam ci nasze alternatywy. Oczywiście nie miałam zbyt wiele czasu aby przejrzeć całą listę.

– Chcesz papierosa?

– Nie, papierosy są szkodliwe dla dziecka.

– Frannie, na miłość Boską!

– Dlaczego krzyczysz? – spytała łagodnie.

– Bo sprawiasz wrażenie, jakbyś za wszelką cenę chciała mnie wkurzyć – rzucił ostro Jess. Ale zaraz wziął się w garść. – Przepraszam. Po prostu nie uważam, aby to była moja wina. Nie potrafię o tym w ten sposób myśleć.

– Nie? – Spojrzała na niego, marszcząc brwi. – A co to było – niepokalane poczęcie?

– Musisz być tak cholernie wpieniająca? Powiedziałaś, że bierzesz pigułki. Wziąłem to za pewnik. Czyżbym się mylił?

– Nie. Nie mylisz się. Ale to nie zmienia faktu.

– Chyba nie – powiedział ponuro i wyrzucił przez okno do połowy wypalonego papierosa. – No więc, co zrobimy?

– Zadajesz mi pytania, Jesse. Powiedziałaś ci jakie mamy możliwości wyboru. Myślałam, że może ty coś wymyślisz. Jest jeszcze samobójstwo, ale nie biorę tego teraz pod uwagę. Wybierz jedną z alternatyw i porozmawiajmy na ten temat.

– Pobierzmy się – oznajmił, a w jego głosie pojawiła się nagle wewnętrzna moc. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który uznał, że najlepszym sposobem rozwikłania węzła gordyjskiego jest jego przecięcie. Cała naprzód, a szczury lądowe niech gnieźdzą się pod pokładem.

– Nie – powiedziała. – Nie chcę wyjść za ciebie.

Miała wrażenie, jakby jego twarz była połączona w całość dziesiątkami niewidocznych śrub i nitów, które nagle zostały poluzowane i częściowo odkręcone. Kamienne oblicze pękło. Widok był tak komiczny, że musiała przesunąć zranionym językiem po podniebieniu, aby ponownie nie zachichotać. Nie chciała się śmiać z Jessa.

– Dlaczego nie? – zapytał. – Fran...

– Muszę dokładnie przemyśleć powody, dla których nie chcę za ciebie wyjść. Nie mam zamiaru wdawać się teraz w dyskusję na ten temat. Prawdę mówiąc, sama nie wiem, dlaczego.

– Nie kochasz mnie – stwierdził posępnym tonem.

– W większości przypadków miłość i małżeństwo wzajemnie się wykluczają. Zaproponuj coś innego.

Milczał przez dłuższą chwilę. Bawił się wyjętym z paczki papierosem ale nie zapalił go. Wreszcie oznajmił:

– Nie mogę ci zaproponować nic innego, bo nie chcesz rozmawiać ze mną na ten temat. Chcesz się na mnie zemścić.

To ją nieco poruszyło. Skinęła głową.

– Może masz rację. Przez ostatnich kilka tygodni zebrało się parę rachunków, które powinnam uregulować. I do tego jeszcze ty Jess, zachowujesz się jak tłuk – tępy, łajdaki, uczelniany kujon. Gdyby napadł cię jakiś bandzior z nożem, zapewne chciałbyś z miejsca zwołać tam seminarium.

– Och, na litość Boską!

– Zaproponuj coś innego.

– Nie. Ty już powiedziałaś swoje. Może ja też potrzebuję trochę czasu do namysłu?

– W porządku. Odwiesz nas z powrotem na parking? Wsiądziesz tam, a ja załatwię jeszcze sprawunki.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Frannie, przyjechałem z Portland na rowerze. To kawał drogi. Wynająłem pokój w motelu za miastem. Myślałem, że spędzimy ten weekend razem.

– W motelu, w twoim pokoju? Nie, Jess. Sytuacja się zmieniła. Wsiądziesz na swój rower i wrócisz do Portland. A jak się już zastanowisz nad naszymi sprawami, możesz się ze mną skontaktować. Ale nie spiesz się. Nie ma potrzeby.

– Przestań rznąć głupa, Frannie.

– Nie, Jess. To ty mnie rznąłeś! – rzuciła w nagłym przypływie niepoahamowanej wściekłości i wtedy właśnie uderzył ją niezbyt mocno w twarz wierzchem dłoni.

Spojrzał na nią otępiąym wzrokiem.

– Przepraszam, Fran.

– Przepraszam przyjęte – odparła bezbarwnym tonem. – Wracajmy.

W powrotnej drodze na parking przy plaży prawie nie rozmawiali. Frannie siedziała z dłońmi złożonymi na podołku, patrząc w przesuwające się skrawki oceanu widoczne w przerwach pomiędzy letnimi domkami na zachód od falochronu. Przyszło jej na myśl, że wyglądały jak slumsy. Kto był właścicielem tych domków, z których większość była jeszcze zamknięta na głucho, a w szybach okien widniały opuszczone żaluzje? Były to przecież letnie wille, a do kalendarzowego początku lata pozostał jeszcze cały tydzień.

Profesorowie MIT. Lekarze z Bostonu. Prawnicy z Nowego Jorku. Domki nie były zbyt wielkie ani zbyt wystawne – ich właścicielami byli ludzie, których fortuna zawierała się w siedmio – i ośmiocyfrowych liczbach. Jednak kiedy właściciele zjadą tu ze swoimi rodzinami, człowiekiem o najniższym współczynniku inteligencji na Shore Road będzie GUS, dozorca parkingu. Dzieciaki będą jeździć jak Jess na swoich rowerach. Ze znudzoną miną będą chodzić z rodzicami na przyjęcia (danie główne – homar) albo do teatru w Ogunquit. Będą krążyć wzdłuż głównej ulicy, udając w łagodnym, letnim zmierzchu zwyczajnych przechodniów.

W dalszym ciągu patrzyła na cudowne błyski skrawków kobaltu prześwitujących pomiędzy ciasno obok siebie stojących domków, mając świadomość, że nowa porcja łez powoli zaczyna przyćmiewać jej wzrok. Małeńka biała chmurka, która płakała.

Dotarli do parkingu. GUS pomachał do nich. Odmachali mu.

– Przepraszam, że cię uderzyłem, Frannie – powiedział półgłosem Jess. – Naprawdę nie chciałem tego zrobić.

– Wiem. Wracasz do Portland?

– Dziś wieczorem zostanę tutaj, a rano zadzwonię. Ale wybór należy do ciebie Frannie. Jeżeli, no wiesz... zdecydujesz się na aborcję, to ja wyskrobię na to szmal.

– Czy to zamierzona gierka słowna?

– Nie – odparł. – Absolutnie. – Przesunął się na siedzeniu i pocałował ją delikatnie. – Kocham cię Fran.

„Nie wierzę ci – pomyślała. – Nie wiem, dlaczego, ale ani trochę ci nie wierzę... Niemniej jednak przyjmuję to, co powiedziałaś, za dobrą monetę. Tyle zdołam zrobić”.

– W porządku – powiedziała cicho.

– Motel Latarnia Morska. Zadzwoń jeżeli zechcesz.

– Dobrze – usiadła za kierownicą i nagle poczuła się niezmiernie zmęczona. Język, w miejscu gdzie go sobie przygryzła, pulsował tęnym bólem.

Jess podszedł do swojego roweru przymocowanego do metalowego ogrodzenia i odwrócił się w jej stronę.

– Chciałbym abyś zadzwoniła, Fran.

Na jej ustach wykwitł udawany uśmiech.

– Zobaczymy. To na razie, Jess.

Wrzuciła bieg, wykręciła i przejechała przez parking do wylotu na Shore Road. Widziała, że Jess wciąż jeszcze stał przy swoim rowerze – za plecami miał rozległą połąć oceanu i po raz drugi – była tego pewna – zdawał sobie sprawę, jaki obraz tworzył.

Tym razem jednak nie była zdenerwowana, a jedynie odrobinę zasmucona. Jechała przed siebie, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś widok oceanu będzie budził w niej te same uczucia, co dawniej, zanim to wszystko się jej przydarzyło. Okropnie bolał ją język. Otworzyła szerzej okno i splunęła. Tym razem ślina była biała, normalna. Silny zapach soli i oceanu skojarzył się Frannie z gorzkimi łzami.

ROZDZIAŁ 3

Norm Bruett obudził się kwadrans po dziewiątej rano, aby usłyszeć dochodzące zza okna sypialni odgłosy bójki chłopców i dźwięki muzyki country płynące z radia w kuchni.

Mając na sobie tylko workowate gatki i podkoszulkę, podszedł do drzwi na tyłach domu, otworzył je na oścież i krzyknął:

– Stulcie japy, gnojki!

Chwila ciszy. Luke i Bobby stojąc przy starej, zardzewiałej śmieciarce, która była przedmiotem ich sprzeczki, rozejrzeli się naokoło. Jak zawsze, kiedy patrzył na swoje dzieciaki, Norm czuł się dwojako. Po pierwsze bolało go serce, kiedy widział ich ubranych w stare, pocerowane rzeczy – dary z Armii Zbawienia jak te, które noszą dzieciaki Czarnych w East Arnette. Po drugie zaś, czuł potworny, rozsadzający go od środka gniew i przez chwilę miał ochotę podejść do tych dwóch gnoi i stłuc ich na kwaśne jabłko.

– Tak, tatusiu – powiedział potulnie Luke. Miał dziewięć lat.

– Tak, tatusiu – zawtórował Bobby. Kończył właśnie siedem lat.

Norm przyglądał im się przez chwilę, aż wreszcie z hukiem zatrzęsnał drzwi. Przez moment patrzył z niezdecydowaniem na stosik ubrań, które miał wczoraj na sobie. Leżały obok zapadniętego, podwójnego łóżka, tam, gdzie je upuścił.

„Co za niechlujna dziwka – pomyślał. – Nawet nie powiesiła moich łachów”.

– Lila! – ryknął.

Bez odpowiedzi. Miał ochotę ponownie otworzyć gwałtownie drzwi i spytać Luke’a dokąd polazła ta cholera.

Artykuły pierwszej potrzeby z darów miały być rozdawane dopiero w przyszłym tygodniu, a jeżeli ta kobieta znów poszła do biura zatrudnień w Braintree, to musiała być jeszcze większą kretynką niż przypuszczał.

Nie zadał sobie trudu aby zapytać dzieciaki. Czuł się zmęczony i dręczył go upiorny, nieznośny ból głowy. Zupełnie, jakby miał kaca, ale przecież poprzedniego wieczoru u Hapa wypił zaledwie trzy piwa.

To był okropny wypadek. Dwa trupy w samochodzie – kobieta i dziecko, no i ten gość, Campion, umierający w drodze do szpitala. Zanim Hap wrócił, gliniarze zdążyli przyjechać i

pojechać, a facet od ściągania wraków i przedsiębiorca pogrzebowy zrobili, co do nich należało. Vic Palfrey złożył glinom oświadczenie w imieniu całej ich piątki. Właściciel zakładu pogrzebowego, który był jednocześnie prywatnym koronerem, nie miał zamiaru rozmawiać na temat przyczyny zgonu trzech osób.

„Ale to nie była cholera. I nie rozpowiadajcie, że to mogło być to. Wystraszylibyście ludzi. Zostanie przeprowadzona autopsja i będziecie mogli przeczytać o wszystkim w gazecie” – powiedział.

„Pożalowania godny, nędzny śmieć” – pomyślał Norm, ubierając się powoli w rzeczy, które miał na sobie poprzedniego dnia. Ból głowy był teraz tak dotkliwy, że prawie przyćmiewał mu wzrok. Miał wrażenie, że pęka mu czaszka. Lepiej, żeby te gnojki siedziały cicho, bo jak nie, to natrzaska je po gębach, a może nawet połamie im łapy. Dlaczego, do cholery, szkoła nie trwa okrągły rok?

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien włożyć koszuli do spodni, ale stwierdził, że raczej dziś nie powinien się spodziewać wizyty prezydenta w swoich skromnych progach, po czym, tak jak stał – bez kapci i w samych skarpetkach – podreptał do kuchni. Jasne promienie słońca wpadające przez okna od wschodniej strony sprawiły, że musiał zmrużyć powieki.

Ze starego, zdezelowanego radia typu Philco, stojącego nad piecem, płynęły słowa piosenki:

*Hej, ma-ma-ma-ma-mała,
Nikt inny nie wie tego lepiej – powiedz, mi mała,
Czy możesz polubić swojego faceta?
To porządny gość.
Powiedz mała, czy możesz polubić swojego faceta?*

Ostatnio sporo musiało się zmienić, skoro na kanale, gdzie zwykle nadawano muzykę country, zaczynają grać tego typu murzyńskie rock and rolle. Norm wyłączył radio, zanim płynące z niego dźwięki zdążyły rozsadzić mu czaszkę. Przy radio leżał notes. Norm wziął go do ręki i zmrużył powieki aby przeczytać, co było napisane na kartce.

*Kochany Norm,
Sally Hodges potrzebuje kogoś, kto posiedziałby dziś rano przy jej dziecku i ma dać mi za to dolara. Wróć na lunch. Zrób sobie kielbaski, jeśli chcesz. Kocham cię, kochanie,*

Lila

Norm odłożył notes na miejsce i przez chwilę stał nieruchomo, pogrążony w głębokim zamyśleniu. Musiał to wszystko gruntownie przemyśleć, aby zrozumieć treść przeczytanego przed chwilą krótkiego liściku. Trudno mu było myśleć, bo przecież ten upiorny ból głowy przez cały czas nie dawał mu spokoju. Opieka nad dzieckiem... za dolara. Dla żony Ralpa Hodgesa.

Powoli w jego umyśle wykalkulowały się trzy rzeczy. Lila polazła do Sally Hodges aby posiedzieć z trójką jej bachorów za co miała dostać nędznego dolara, zostawiając go z Lukiem i Bobbym. Na Boga, to były naprawdę ciężkie czasy, facet musiał siedzieć w domu, podcierać nosy swoim dzieciakom, podczas gdy jego żona dorabiała jako opiekunka do dzieci w innej rodzinie, aby zarobić marnego dolca, za co nie kupisz na stacji nawet galona benzyny. Taak, to były pierdolone, ciężkie czasy.

Ogarnął go tępy gniew i to sprawiło, że ból głowy jeszcze bardziej przybrał na sile. Powłócząc nogami, doczłapał się do lodówki, którą kupił kiedy jeszcze dobrze mu się wiodło i otworzył ją. Większość półek była pusta, za wyjątkiem niedojedzonych resztek, które wstawiła tutaj Lila. Nie cierpiał tych małych, plastikowych talerzyków. Stara fasola, stara kukurydza, resztki chili... nic, co nadawałoby się do żarcia dla prawdziwego faceta. Nic, prócz małych plastikowych talerzyków i trzech małych, starych kiełbasek w folii. Pochylił się i przyjrzał się im. Znajomy, bezradny gniew był teraz wzmocniony przez tępe ćmienie pod czaszką. Te kiełbaski wyglądały jak oderżnięte członki Pigmejów, tych małych ludzi żyjących w Afryce, Ameryce Południowej, czy cholera wie gdzie. Zresztą i tak nie miał apetytu. Czuł się chory, jeśli chodziło o ścisłość. Podeszedł do kuchenki, zapalił zapałkę o kawałek papieru ściernego, przybitego do ściany. Włączył gaz. Zamierzał zaparzyć sobie kawę. Usiadł i czekał otepiał aż się zagotuje woda. Wyjął z kieszeni chustkę aby wytrzeć nos. Z obu dziurek ciekły mu smarki. „Chyba się zaziębiłem” – pomyślał. Tego mu tylko brakowało! Jednak ani przez chwilę nie pomyślał o flegmie, cieknącej z nosa tego faceta, Campiona, na stacji benzynowej zeszłego wieczoru.

W ogóle nie przyszło mu to na myśl.

Kiedy rozległ się dzwonek u drzwi frontowych, Hap był akurat w garażu, gdzie montował nową rurę wydechową do scouta Tony’ego Leominster, a Vic Palfrey kołysząc się do tyłu na składanym, turystycznym krzeselku, przyglądał mu się i popijał Dra Peppera. Vic wyjrzał ukradkiem.

– Gliniarz – powiedział. – Wygląda mi na twojego kuzyna, Joe Boba.

– W porządku – Hap wyczołgał się spod samochodu i otarł dłonie w zwiniętą szmatę.

Przechodząc przez biuro, kichnął jak z armaty. Nie cierpiał letnich przeziębień. Były najgorsze.

Mierzący prawie sześć i pół stopy Joe Bob Brentwood stał z tyłu przy swoim wozie, napełniając bak. Za nim, jak zabici żołnierze, leżały trzy dystrybutory, ścięte dzień wcześniej przez Campiona.

– Hej, Joe Bob! – powiedział Hap, wychodząc na zewnątrz.

– Hap, ty sukinsynu – rzucił Joe Bob, przełączając dystrybutor na automat i przestępując nad węzem. – Masz szczęście, że ta buda jeszcze dzisiaj tu stoi.

– Co tam. Stu Redman zobaczył jak ten facet nadjeżdża i wyłączył pompy. Przyznaję, że sypnęło trochę iskrami.

– Mimo to, mieliście cholernego farta. Posłuchaj Hap, przyjechałem tu nie tylko po benzynę.

– Taak?

Joe Bob przeniósł wzrok na Vica, który stał w drzwiach.

– Czy ten stary pierdziel był tu zeszłego wieczoru?

– Kto? Vic? Tak, przychodzi tu praktycznie codziennie.

– Czy potrafi trzymać gębę na kłódkę?

– Tak myślę. To porządny gość.

Automat dystrybutora wyłączył się. Hap dolał jeszcze paliwa za dwadzieścia centów, po czym odłączył szlauch, zaczepiając końcówkę w uchwycie i wyłączył dystrybutor. Podszedł z powrotem do Joe Boba.

– No więc, o co chodzi?

– Lepiej wejdźmy do środka. Wydaje mi się, że ten stary również powinien to usłyszeć. I jeśli ci się uda, mógłbyś zadzwonić do pozostałych, że tu byłem.

– Dzień dobry, panie władzo – powiedział Vic.

Joe Bob skinął głową.

– Kawy, Joe Bob? – spytał Hap.

– Raczej nie – spojrzał na nich ponuro. – Sęk w tym, że nie wiem, jak zareagowaliby moi zwierzchnicy, gdyby dowiedzieli się, że byłem u was. Nie sądzę, aby im się to spodobało. A więc jak oni się tu zjawiają, nie zdradźcie się, że dałem wam cynk, dobrze?

– Jacy „oni”, panie władzo? – spytał Vic.

– Faceci z wydziału zdrowia – powiedział Joe Bob.

– O Jezu, a więc to jednak była cholera – rzucił Vic – WIEDZIAŁEM!

Hap przeniósł wzrok z Vica na policjanta.

– Joe Bob?

– Ja nic nie wiem – stwierdził Joe Bob, siadając na jednym z plastikowych krzesełek. Prawie dotykał swoimi kościstymi kolanami do brody. Wyjął z kieszeni bluzy paczkę chesterfieldów i zapalił jednego. – Ten Finnegan, koroner...

– To prawdziwy dupek – rzekł ostro Hap. – Powinieneś go widzieć jak tu paradował. Zupełnie, jak nieopierzony kogucik, któremu pierwszy raz stanął. Uciszył ludzi i w ogóle...

– Dupek żołądny, to fakt – przyznał Joe Bob. – No więc, ściągnął doktora Jamesa aby rzucił okiem na tego Campiona, a potem wezwali jeszcze jednego, którego nie znam. Później zatelefonowali do Houston i mniej więcej o trzeciej nad ranem pojechali na to maleńkie lotnisko za Braintree.

– Kto?

– Oni. Patologowie. Wszyscy trzej. Siedzieli tam z ciałami prawie do ósmej. Sądzę, że je kroili, ale nie wiem tego na pewno. Potem zadzwonili do centrum epidemiologicznego w Atlancie i faceci stamtąd mają przyjechać do nas dziś po południu. Powiedzieli jednak, że póki co Państwowy Wydział Zdrowia przyśle tu swoich ludzi, żeby spotkali się z wszystkimi, którzy byli tego wieczoru na stacji benzynowej i którzy odwieźli ciała do Braintree. Ja tam nie wiem, ale przypuszczam, że chcą was poddać kwarantannie.

– Mojżeszu litościwy – mruknął Hap z przerażeniem w głosie.

– Centrum epidemiologiczne w Atlancie to rządowa placówka – stwierdził Vic. – Czy wysyłałoby cały samolot ludzi, gdyby to była zwykła cholera?

– Nie mam pojęcia – rzekł Joe Bob. – Ale uznałem, że macie prawo to wiedzieć, chłopcy. Z tego, co słyszałem, wynika, że po prostu chcieliście pomóc temu facetowi.

– Doceniamy to, co zrobiłeś, Joe Bob – powiedział wolno Hap. – Co powiedział James i tamci faceci?

– Niewiele. Ale wyglądali na przestraszonych. Jeszcze nigdy nie widziałem równie przerażonych lekarzy. Nie podoba mi się to.

Zapadła grobowa cisza. Joe Bob podszedł do automatu i wyjął butelkę freski. Kiedy zdjął kapsel, rozległ się syk uciekającego gazu. Joe Bob ponownie usiadł na krześle, a Hap wyjął papierową chusteczkę z pudełka stojącego obok kasy. Wyczyścił zapchany nos i włożył chustkę do kieszeni zaplamionego kombinezону.

– Czego się dowiedziałeś o tym Campionie? – spytał Vic. – Wiesz o nim cokolwiek?

– Nadal sprawdzamy – rzekł z powagą w głosie Joe Bob. – Zgodnie z tym co widnieje w jego dowodzie osobistym, pochodził z San Diego, ale większość jego dokumentów jest od prawie trzech lat nieważna. Jego prawo jazdy straciło ważność. Karta Bank Americard wystawiona w 1986 roku również. Miał przy sobie legitymację wojskową i właśnie to teraz sprawdzamy. Kapitan przypuszcza, że Campion nie mieszkał w San Diego od blisko czterech lat.

– Dezerter? – zapytał Vic. Wyjął ogromną, czerwoną chustkę, chrząknął i splunął w nią.

– Jeszcze nie wiadomo. Zgodnie z informacją w jego legitymacji miał pozostać w wojsku do 1997 roku. Miał na sobie cywilne ciuchy, był z rodziną i znajdował się cholernie daleko od Kalifornii, a więc wnioski nasuwają się same.

– No więc dobrze. Skontaktuję się z pozostałymi i powtórzę im wszystko, co od ciebie usłyszałem – mruknął Hap. – Jestem ci wielce zobowiązany.

Joe Bob wstał.

– Jasne. Tylko nie wymieniaj przy tym mojego nazwiska. Nie chciałbym stracić tej roboty. A poza tym, przecież twoi kolesie nie muszą wiedzieć, kto im dał ten cynk. No nie?

– Nie – mruknął Hap, a Vic zaraz mu zawtórował.

Kiedy Joe Bob podszedł do drzwi, Hap przeproszającym tonem powiedział:

– Jeszcze piątaka za benzynę, Joe Bob. Nie chcę wyciągać od ciebie forsy, ale skoro tak się rzeczy mają...

– W porządku – Joe Bob podał mu kartę kredytową. – Państwo za to zapłaci. A poza tym będę miał blankiet kredytowy i wyjaśnienie, gdyby mnie ktoś spytał po co tu przyjechałem.

Hap dwa razy kichnął wypełniając blankiet.

– Musisz na to uważać – powiedział Joe Bob. – Nie ma nic gorszego od letniego przeziębienia.

– Jakbym o tym nie wiedział.

Nagle za ich plecami rozległ się głos Vica.

– Może to nie przeziębienie?

Odwrócili się do niego. Vic wyglądał na przerażonego.

– Dziś rano, kiedy się obudziłem, kichałem i kaszlałem, jakbym miał bardzo wysoką temperaturę – rzekł Vic. – I do tego męczył mnie potworny ból głowy. Wziąłem kilka aspiryn i trochę mi przeszło, ale w dalszym ciągu cieknie mi z nosa. Może się zaraziliśmy? Może złapaliśmy to samo, co Champion? To, co go zabiło.

Hap patrzył na niego przez dłuższą chwilę i gdy miał wymienić kilka argumentów, dlaczego byłoby to niemożliwe, ponownie kichnął. Joe Bob przyglądał im się przez chwilę z ponurą miną, po czym stwierdził:

– Wiesz Hap, z tym zamknięciem stacji to nie był taki zły pomysł. Tylko na dzisiaj.

Hap spojrział na niego przerażony, próbując przypomnieć sobie argumenty, którymi chciał się posłużyć, ale w głowie miał zupełną pustkę. Pamiętał jedynie, że kiedy się obudził dziś rano, jego również bolała głowa i miał zatкany nos. No cóż, przecież każdy może się przeziębnić. To nic nadzwyczajnego. Tyle tylko, że zanim pojawił się ten facet, Champion, Hap czuł się wyśmianie. Nic mu nie dolegało.

Hodgesowie mieli troje dzieci – sześciolatnie, czteroletnie i osiemnastomiesięczne. Dwoje najmłodszych spało, a najstarsze bawiło się za domem, wygrzebując w ziemi dołek. Lila Bruett siedziała w saloniku, oglądając Żar młodości. Miała nadzieję, że Sally nie wróci przed końcem filmu. Ralph Hodges kupił kolorowy telewizor, kiedy w Arnette panowały lepsze czasy, a Lila uwielbiała oglądać filmy w kolorze. Wszystko wydawało się lepsze i ładniejsze. Zaciągnęła się papierosem ale gdy wydmuchiwała dym, chwycił ją nagły atak kaszlu. Poszła do kuchni i wypluła do zlewu flegmę. Kaszel męczył ją od rana i przez cały dzień miała wrażenie jakby ktoś łechtał piórkiem wewnątrz jej gardła. Wróciła do saloniku, ale najpierw wyjrzała na podwórko przez okno spiżarni, aby się upewnić że z Bertem Hodgesem

wszystko jest w porządku. W telewizji nadawano teraz reklamę – dwie tańczące butelki płynu do czyszczenia muszli klozetowych. Lila rozejrzała się po pokoju. W głębi duszy pragnęła, aby jej mieszkanie wyglądało równie uroczo. Hobby Sally było malowanie obrazów przedstawiających Chrystusa. Wszystkie oprawione były w ramy i ponumerowane zdobiły ściany saloniku. Lili podobał się największy obraz przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, wiszący z tyłu nad telewizorem. Sally powiedziała jej, że do namalowania użyła około sześćdziesięciu tubek farb olejnych w różnych odcieniach i pracowała nad nim blisko trzy miesiące. To było prawdziwe dzieło sztuki.

Właśnie skończyły się reklamy, kiedy mała Cheryl zaczęła płakać – był to zawodzący, okropny wrzask przerywany gwałtownymi atakami kaszlu.

Lila zgasiła papierosa i pobiegła do sypialni. Czteroletnia Eva nadal smacznie spała, ale Cheryl leżała na plecach w swoim łóżeczku, a jej twarzyczka przybrała alarmującą, fioletową barwę.

Jej krzyki były teraz zduszone, jakby dziewczynka czymś się dusiła. Lila, która nie obawiała się krupa, gdyż chorowali na to obaj jej chłopcy, podniosła dziecko za nóżki i poklepała je mocno po plecach. Nie miała pojęcia, czy doktor Spock popierałby podobną metodę leczenia, ponieważ nigdy nie czytała nic na ten temat.

W przypadku Cheryl jej metoda okazała się skuteczna. Skrzeknęła jak żaba i nagle wypluła na podłogę żółtą flegmę.

– Lepiej? – spytała Lila.

– Tak – powiedziała mała Cheryl. Ponownie zaczęła przysypiać. Lila wytarła żółtą plamę papierową chusteczką. Nigdy dotąd nie widziała, żeby dziecko wykaszłało tyle flegmy za jednym razem.

Usiadła przed telewizorem, aby obejrzeć dalszy ciąg filmu. Miała niezadowoloną minę. Zapaliła kolejnego papierosa, kichnęła głośno, zaciągając się dymem, a potem sama zaczęła kasłać.

ROZDZIAŁ 4

Zmierzch zapadł przed godziną. Starkey siedział sam przy długim stole, przeglądając plik żółtych kartek. Ich zawartość wprawiła go w zdenerwowanie. Służył krajowi od trzydziestu sześciu lat, rozpoczynając jako wystraszony plebejusz w West Point. Otrzymywał medale. Rozmawiał z prezydentami. Starał się udzielać im rad i bywało, że się do nich stosowali. W przeszłości znajdował się wielokrotnie w różnych trudnych i mrocznych sytuacjach, ale to...

Był przerażony i to tak bardzo, że nie chciał się do tego przyznać przed sobą. Tego typu strach może każdego doprowadzić do obłądu.

Wiedziony jakimś impulsem wstał i podszedł do ściany, gdzie w głąb pokoju zagłębiało pięć włączonych monitorów. Wstając, uderzył kolanem o krawędź stołu i jedna z cienkich kartek zsunęła się na ziemię. Opadała leniwie w oczyszczonym mechanicznie powietrzu i wylądowała na kafelkach, częściowo ukryta w rzucanym przez stół cieniu. Gdyby ktoś stanął nad nią i spojrzał w dół, mógłby przeczytać wiadomość następującej treści:

P.Z. POTWIERDZONA
WYDAJE SIĘ NIEZBĘDNE WPROWADZENIE KODU 848-AB
CAMPION (ż) SALLY
ZMIANY W ANTYGENACH ORAZ MUTACJE
PROCENT ŚMIERTELNOŚCI (RYZYKA) ZAKAŹNOŚCI
WYJĄTKOWO WYSOKI (POWTARZAM) 99, 4%
CENTRUM EPIDEMIOLOGICZNE W ATLANCIE
ORIENTUJE SIĘ W SYTUACJI ŚCIŚLE TAJNE. AKTA BLUE

KONIEC
P-T-222312A

Starkey wcisnął guzik pod środkowym monitorem i pośród niewzruszonych, solidnych konsoli nagle pojawił się obraz. Ukazywał fragment pustyni w zachodniej Kalifornii. Była to nieskalana pustynia, a jej nagość wydawała się jeszcze dziwniejsza wskutek czerwono-

fioletowego odcienia podczerwonej fotografii. „Ale to tam jest, dokładnie na wprost” – pomyślał Starkey. Projekt Blue. Zgroza ponownie próbowała przejąć nad nim kontrolę. Sięgnął do kieszeni i wyjął niebieską pigułkę. Jego córka nazwałaby ją „przygnębiaczem”.

Zresztą nazwy nie były ważne – liczyły się tylko efekty. Połknął ją na sucho, a jego zacięte, gładkie oblicze na moment pokryło się zmarszczkami kiedy przełykał. Projekt Blue.

Spojrzał na pozostałe wyłączone monitory, po czym włączył je wszystkie. Na ekranie numer cztery i pięć widać było laboratoria. Czwórka – laboratorium fizyki. Piątka – laboratorium biologii wirusowej. W tym ostatnim pomieszczeniu stało wiele klatek ze zwierzętami. Były to głównie świnki morskie, rezusy i kilka psów. W laboratorium fizyki bez przerwy pracowała wirówka. Starkey stale się na to skarżył. Skarżył się GORĄCO. W tej wirówce było coś przerażającego, kiedy tak obracała się żwawo dookoła, a opodal niej, na podłodze, leżał doktor Ezwick. Był martwy i przypominał przewróconego przez wiatr stracha na wróble.

Wyjaśnili mu, że wirówka była podłączona do tego samego obwodu co światła i gdyby ją wyłączyli, zgasłoby również oświetlenie. A kamery tam, na dole, nie miały urządzeń na podczerwień. Starkey zrozumiał to. Może zjawią się tu kolejne szczyty z Waszyngtonu i zechcą rzucić okiem na martwego laureata Nagrody Nobla, który spoczywał czterysta stóp pod ziemią, niecałą milę stąd.

Gdyby wyłączyli wirówkę, wyłączyliby również profesora. Elementarna sprawa. Jego córka określiłaby to jako „Paragraf 22”. Łyknął drugiego „przygnębiacza” i spojrzał na monitor numer dwa. Ten obraz był najgorszy. Nie podobał mu się widok faceta z twarzą w zupie. Wyobraź sobie, że ktoś podchodzi do ciebie i mówi: „Spędzisz całą wieczność z facjatą w talerzu z zupą”.

To tak samo, jak ze starym kawałem z tortem – dowcip śmieszny dopóty, dopóki to nie ty dostaniesz tortem w twarz.

Na monitorze drugim widać było stołówkę w Projekcie Blue. Wypadek zdarzył się dokładnie pomiędzy zmianami i w stołówce było niewiele osób. Starkey przypuszczał, że dla tamtych nie miało większego znaczenia, gdzie umarli – w stołówce, w swoich sypialniach czy w laboratoriach. Niemniej jednak, facet z twarzą w zupie...

Mężczyzna i kobieta w niebieskich kombinezonach leżeli na ziemi przy automacie ze słodyczami. Facet w białym kombinezonie spoczywał przy szafie grającej. Przy stołach znajdowało się dziewięciu mężczyzn i czternaście kobiet. Niektórzy z nich osunęli się bezwładnie obok Hostess Twinkies, inni wciąż jeszcze ściskali w zeszywniałych dłoniach kubki na napoje. Na stołach widać było ślady po rozlanej coli i sprite. Przy drugim stole, tuż przy samym jego końcu, siedział człowiek, który został zidentyfikowany jako Frank D. Bruce. Jego twarz była zanurzona w zupie campbella. Pierwszy monitor pokazywał jedynie zegar elektroniczny.

Do trzynastego czerwca wszystkie cyfry tego zegara były zielone. Obecnie zmieniły barwę na jasnoczerwoną. Zegar stanął. Wskazywał dokładnie: 13.06.90; 02:37:16.

Trzynastego czerwca 1990 roku. Trzydzieści siedem minut po drugiej na ranem. I jeszcze szesnaście sekund.

Za jego plecami rozległo się krótkie, przenikliwe brzęczenie. Starkey wyłączył monitory jeden po drugim a potem odwrócił się. Zauważył leżącą na podłodze kartkę papieru, podniósł ją i położył na stole.

– Wejść!

To był Creighton. Miał posępną minę, a jego skóra przybrała ciemnoszary odcień.

„Następne złe wieści – pomyślał ponuro Starkey. – Jeszcze ktoś zarył twarzą w talerz z zupą”.

– Cześć, Len – powiedział półgłosem.

Len Creighton skinął głową.

– Billy. To... Chryste, nie wiem, jak mam ci to powiedzieć.

– Myślę, że po kolei. Tak będzie najlepiej, żołnierzu.

– Ci faceci, którzy zetknęli się z Campionem zostali poddani badaniom wstępnym w Atlancie – wiadomości są niepomyślne.

– Wszyscy?

– Na pewno pięciu. Jeden z nich – Stuart Redman, jak dotąd nie wykazuje objawów chorobowych. Niemniej jednak, o ile wiem, u Campiona rozwój choroby trwał ponad pięćdziesiąt godzin.

– Gdyby tylko Campion nie zdołał uciec... – rzekł Starkey.

– Ochrona była słaba. Bardzo słaba. I nieudolna.

Creighton skinął głową.

– Mów dalej.

– Arnette zostało objęte kwarantanną. Jak dotąd odizolowaliśmy przynajmniej szesnaście przypadków zmieniającej się stale grypy A-Prime. I są to tylko te, które zostały ujawnione.

– Środki masowego przekazu?

– Jak dotąd świetnie. Wierzą, że to wrzody.

– Co jeszcze?

– Jeden bardzo poważny problem. Mamy glinę z teksańskiej drogówki. Nazywa się Joseph Bob Brentwood. Jego kuzyn jest właścicielem stacji benzynowej, tej samej, gdzie rozwalił się Campion. Zjawił się tam wczoraj rano, aby powiadomić Hapscomba o przyjeździe facetów z wydziału zdrowia. Zgarnęliśmy go trzy godziny temu. Jest teraz w drodze do Atlanty. W międzyczasie był na patrolu i objechał pół wschodniego Teksasu. Bóg jeden wie, z iloma ludźmi się zetknął.

– A niech to szlag! – powiedział Starkey, który z przerażeniem uświadomił sobie, że jego głos brzmiał niezwykle miękko, a lodowate ciarki, które zagnieździły się w okolicy jego

podbrzusza powoli zaczęły przesuwać się ku górze. „Stopień zakażenia 99, 4%” – pomyślał. Te słowa raz po raz rozbrzmiewały w jego mózgu, doprowadzając go prawie do obłędu. A to oznaczało śmiertelność rzędu 99,4%, gdyż ludzkie ciało nie potrafiło produkować przeciwciał koniecznych do powstrzymania zmieniających się bez przerwy antygenów wirusa. Za każdym razem, kiedy organizm produkował właściwe przeciwciała, wirus najnormalniej w świecie przybierał nieco inną formę. Z tego samego powodu, praktycznie nie można było stworzyć skutecznej szczepionki.

99, 4%.

– Chryste... – powiedział. – To wszystko?

– No...

– Mów dalej. Dokończ.

Creighton dodał półgłosem:

– Billy, Hammer nie żyje. Popęłnił samobójstwo. Strzelił sobie w oko ze służbowego pistoletu. Na biurku miał rozłożone akta Projektu Blue. Zapewne sądził, że pozostawienie ich tam będzie lepsze od jakiegokolwiek listu pożegnalnego. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Starkey zamknął oczy. Vic Hammer był... właśnie. Był jego zięciem. Jak ma powiedzieć o tym Cynthii? „Przykro mi, Cynthia. Wiesz, Vic dał dziś nurka twarzą w talerz z zupą. Masz, łyknij sobie jednego «przygnębiacza». Widzisz, zdarzył się wypadek. Jedna ze skrzynek zawiodła. Ktoś popełnił błąd. Ktoś inny zapomniał wcisnąć przełącznik, który spowodowałby odcięcie całej bazy. Zwłoka trwała zaledwie czterdzieści kilka sekund, ale to wystarczyło. W tej profesji skrzynka określana jest jako «kasownik». Wykonano je w Portland, w Oregonie na zlecenie Departamentu Obrony i oznaczono numerem 164480966. Są montowane w oddzielnych obwodach przez kobiety-techników, z których żadna nie wie, nad czym pracuje. Być może któraś z nich właśnie wtedy zastanawiała się, co ma zrobić na kolację, a ktoś, kto miał sprawdzać jej pracę, był akurat pochłonięty sprawą sprzedaży rodzinnego samochodu. Tak czy inaczej Cynthio, ostatnim przypadkowym elementem tej układanki był facet z posterunku numer cztery. Ten facet nazywał się Champion i zauważył, że cyfry zegara stały się jasnoczerwone na tyle szybko, że wyszedł z pomieszczenia, zanim drzwi zostały zamknięte i automatycznie zablokowane. Następnie wraz z rodziną opuścił bazę. Przejechał przez główną bazę na cztery minuty przed włączeniem się syren alarmowych i odcięciem całego terytorium. I na dodatek zaczęto go szukać dopiero godzinę później, gdyż na stanowiskach ochrony nie ma monitorów. W tym łańcuchu musi być jakaś luka. Nie można obstawiać strażnika strażnikami, bo w przeciwnym razie ludzie dostaliby świra. Wszyscy przypuszczali, że Champion znajduje w środku, czekając aż «kasowniki» odłączą sektory «czyste» od skażonych. Dzięki temu gość zarobił trochę czasu, a że był cwany, wybierał tylko boczne, mało uczęszczane drogi i na dodatek dopisało mu szczęście, gdyż żadna nie była na tyle rozmyta, by jego samochód ugrzązł w błocie. Stało na tym, że ktoś musiał podjąć kluczową decyzję czy należy, bądź nie, powiadomić o tym co się stało policję, FBI albo może obie te

służby. Tymczasem ten farciarz nie zasypywał gruszek w popiele i zanim uzgodniono, że sprawą powinien zająć się Skleplik, ten fartowny dupek, ten CHORY, fartowny dupek dotarł do Teksasu. Kiedy go wreszcie dopadli, nie próbował uciekać, bo zarówno on, jak jego żona i córka byli już sztywni i leżeli w komorach chłodni, w jakiejś małej, zapomnianej przez Boga i ludzi miejscinie, zwanej Braintree. Braintree w Teksasie. Widzisz Cynthio, chodzi mi o to, że to, co się stało, było jedynie sprawą przypadku. Zbiegiem okoliczności. Wystarczyła odrobina niekompetencji i szczęścia, wybacz, w tym przypadku powinienem chyba powiedzieć – pecha, i stało się to, co się stało. Twój mąż nie ponosi za to winy. Niemniej jednak, był szefem Projektu i widział, jak sytuacja zaczyna się zaostrzać a potem...”

– Dzięki, Len – powiedział.

– Billy, czy zechciałbyś...

– Będę na górze za dziesięć minut. Chciałbym, żebyś zwołał zebranie całego personelu, za piętnaście minut od teraz. Jeżeli będziesz musiał zwlec kogoś z łóżka, zrób to.

– Tak jest, sir.

– I, Len...

– Tak?

– Cieszę się, że to ty mi powiedziałeś.

– Tak jest, sir.

Creighton wyszedł. Starkey spojrzął na zegarek, po czym podszedł do wbudowanych w ścianę monitorów. Włączył dwójkę, splótł dłonie za plecami i w zamyśleniu wpatrywał się w ekran, na którym widać było pogrążone w grobowej ciszy wnętrze stołówki w Projekcie Blue.

ROZDZIAŁ 5

Larry Underwood minął zakręt i znalazł miejsce, w którym mógł zaparkować swego datsuna Z – pomiędzy hydrantem a czymś koszem na śmieci, który, przewrócony, leżał w rynsztoku.

W koszu na śmieci było coś nieprzyjemnego i Larry usiłował sobie wmówić, że wcale nie widział zdechłego, sztywnego jak deska kota i szczura rozrywającego białe futro na jego podbrzuszu. Szczur znikł tak szybko w kręgu światła rzucanego przez reflektory datsuna, że właściwie mogło go tam nie być. Ale martwy kot bynajmniej nie zniknął. Larry, wyłączając silnik, stwierdził, że skoro wierzył w jedno, musiał uwierzyć w drugie. Czy nie mówiono, że Paryż miał największą populację szczurów na świecie? Wszystko przez stare kanały. Ale w Nowym Jorku też było ich sporo. I jeżeli dobrze pamiętał swoją straconą młodość, nie wszystkie szczury w Nowym Jorku chodziły na czterech nogach.

Do cholery, co on tu właściwie robił, siedząc w samochodzie przed tym starym budynkiem z piaskowca, rozmyślając o szczurach? Pięć dni temu, czternastego czerwca, znajdował się w słonecznej Kalifornii, ojczyźnie świrów, dziwnych religii, jedynych na świecie klubów go-go dla białych i kolorowych oraz Disneylandu.

Tego ranka, za kwadrans czwarta przybył na wybrzeże innego oceanu, uiszczając opłatę za przejazd przez Triborough Bridge. Padała posępna mżawka. Tylko w Nowym Jorku letnia mżawka może wydawać się nieodżałowanie posępna.

Larry widział krople rozbijające się o przednią szybę datsuna, a na niebie od wschodu zaczęły się pojawiać pierwsze oznaki zbliżającego się świtu.

„Kochany Nowy Jork. Wróciłem do domu”.

Może Yankees byli w mieście? To mogło sprawić, że jego podróż okaże się opłacalna. Pojechać metrem na stadion, wypić piwo, zjeść parę hot dogów i popatrzeć jak Yankees dają w kość tym tępakom z Cleveland czy z Bostonu...

Myśli rozwiały się jak dym, a kiedy ponownie pograżył się w zamyśleniu, stwierdził, że zrobiło się jaśniej. Zegarek w desce rozdzielczej wskazywał szóstą pięć. Zdrzemnął się. Zauważył, że szczur był realny. Szczur powrócił. Wydrapał całkiem sporą dziurę w brzuchu zdechłego kota, wyzerając mu wnętrzności. Larry, pomimo że miał pusty żołądek, poczuł iż

zbiera mu się na mdłości. Zastanawiał się czy nie nacisnąć parę razy klakson i w ten sposób wystraszyć gryzonia, ale nie pozwalał mu na to widok kamienic z piaskowca ze stojącymi przed nimi śmietnikami i świadomość, że ich lokatorzy byli pogrążeni we śnie.

Obsunął się niżej na fotelu, żeby nie widzieć szczura spożywającego wczesne śniadanie. „Tylko coś przekąszę, stary, i zaraz wracam do kanałów. Wybierasz się dziś na Stadion Yankees? Może cię tam zobaczę, stary? Choć wątpię, żebyś ty zdołał wypatrzeć mnie”. Na frontowej ścianie budynku widniało złowieszcze graffiti – CHI-CO 116, ZORRO 93, MAŁA ABIE NUMER 1!

Kiedy był małym chłopcem, zanim umarł jego ojciec, to była spokojna ulica. Dwa kamienne psy strzegły schodów prowadzących do podwójnych drzwi. Rok przed tym, jak wyjechał na wybrzeże, jacyś wandalę zniszczyli psa stojącego po prawej stronie, tego z podniesionymi łapami. Teraz nie było już żadnego – została jedynie tylna łapa psa, który stał po lewej stronie. Ciało, które miała wspierać zniknęło. Być może było teraz ozdobą chałupy jakiegoś kretyńskiego Portorykańczyka.

Może zabrał je Zorro 93, albo Mała Abie numer 1! Mogły to być również szczury. Kto wie, może w jakąś mroczną noc przeniosły psy do jednego z opuszczonych tuneli metra. Być może zabrały również jego matkę. Sądził, że powinien przynajmniej wejść po schodach i upewnić się, że jej nazwisko nadal widnieje na skrzynce na listy należącej do mieszkania numer 15, ale był zbyt zmęczony. Nie, po prostu będzie siedział w samochodzie i zdrzemnie się trochę, licząc na to, że resztki czerwonych krwinek w jego organizmie obudzą się około siódmej. Potem sprawdzi, co się dzieje z jego matką. Czy nadal mieszka pod piętnastką. W sumie, byłoby lepiej, gdyby umarła. Możliwe, że wówczas przestałby się przejmować drużyną Yankees. Kto wie, może wynająłby pokój w motelu w Baltimore, przespałby całe trzy dni, a potem wrócił na cudowny, złoty Zachód. W tym świetle, w strugach kapuśniaczku, widziany oczami Larry’ego Underwooda cierpiącego na dokuczliwy ból nóg i karku, spowodowany niewygodną pozycją – Nowy Jork miał w sobie tyle samo uroku, co martwa kurwa.

Jego umysł zaczął ponownie odpływać, powracając pamięcią do wydarzeń z ostatnich dziewięciu tygodni i usiłując odnaleźć klucz, który pozwoliłby mu wszystko zrozumieć i pojąć. Jak to możliwe, że przez sześć długich lat objął się to tu, to tam, grywając w klubach, nagrywając taśmy demo, odbywając sesje, i tak dalej, i tak dalej, a potem w ciągu dziewięciu tygodni osiągnął to, czego pragnął? Zrozumienie i uporządkowanie tego wszystkiego było równie niemożliwe, jak rozbicie głową muru. „Musi być jakaś odpowiedź” – pomyślał. Jakieś wyjaśnienie, które pozwoli wymazać nieprzyjemne wrażenie, że to wszystko było tylko fanaberią lub, cytując Dylana: „zwyczajnym zrządzeniem losu”. Pogrążył się w głębszej drzemce, z rękoma splecionymi na piersi. Bez przerwy się nad tym zastanawiał. Efekt jego rozmyślań stanowiła zupełnie nowa, przedziwna mieszanka, cichy, choć złowieszczy kontrapunkt, pojedyncza nuta na granicy słyszalności, płynąca z głośnika syntetyzera, która

jest odbierana przez człowieka, niczym swego rodzaju przecucie: szczur wgrzający się w ciało zdechłego kota. „Chrup, chrup – spodziewam się znaleźć tutaj coś naprawdę smakowitego. To prawo dżungli, stary, jeżeli się wdrapiesz na drzewo, musisz się kołysać...”

To zaczęło się naprawdę osiemnaście miesięcy temu. Grał wtedy z grupą Tattered Remnants w klubie Berkeley i nagle, któregoś dnia zadzwonił do niego facet z Columbii. Żadna szycha, zwyczajna płotka. Okazało się, że Neil Diamond chciał nagrać jedną z jego piosenek zatytułowaną *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?* Diamond nagrywał nowy album, na który składały się wyłącznie własne utwory. Wyjątek stanowiła stara piosenka Buddy Holly *Peggy Sue wyszła za mąż* i – być może – wspomniana piosenka Larry’ego Underwooda. Ale czy Larry zechce przyjechać, żeby zrobić nagranie demo, a następnie wziąć udział w sesji nagraniowej? Diamond chciał wykorzystać drugą gitarę akustyczną, a piosenka wyraźnie przypadła mu do gustu.

Larry odpowiedział: „Tak”.

Sesja trwała trzy dni. Była doskonała. Larry spotkał się z Neilem Diamondem, a także z Robby Robertsonem i Richardem Perry. Jego nazwisko trafiło na listę wykonawców na okładce albumu, a za udział w sesji otrzymał godziwą zapłatę. Mimo to utwór nie znalazł się na płycie. Drugiego dnia sesji Diamond wymyślił inną piosenkę i to ona zajęła miejsce utworu Larry’ego Underwooda. „Cóż, szkoda – powiedział facet z Columbii. – To się zdarza. Ale powiem ci coś, dlaczego sam nie miałbyś nagrać demo? Zobaczą, co się da zrobić”.

Zachęcony takim obrotem sprawy, Larry nagrał taśmę demo a potem znów znalazł się na ulicy. W Los Angeles nastały ciężkie czasy. Wziął udział w kilku sesjach, ale nie było ich zbyt wiele. W końcu znalazł dla siebie pracę – zaczął grywać na gitarze w pewnej restauracji; najczęściej wykonywał rzewne *Softly as I leave you* i *Moon River*, podczas gdy siedzący przy stolikach starzy pierdziele rozmawiali o interesach albo zażerali się włoskimi potrawami. Pisał swoje piosenki na kartkach papieru listowego, gdyż w przeciwnym razie po prostu mu się mieszały albo zapominał je, kiedy uderzając w struny swojej gitary i nucąc pod nosem – hmmm, hmmm-ta-da-hmmm – usiłował naśladować pełną słodyczy, uwodzicielską postawę Tony’ego Bennetta i czuł się przy tym, jak ostatni kretyn. Co gorsza, ogarniało go chorobliwe przeświadczenie, że muzyka towarzyszyła mu bez przerwy, była wszędzie, nawet w windach czy domach towarowych.

I nagle, dziewięć tygodni temu, ni stąd ni zowąd zadzwonił do niego facet z Columbii. Chcieli wydać jego demo jako singiel. Czy mógłby nagrać drugą piosenkę? „Jasne” – odparł Larry. Oczywiście, że mógł. W niedzielne popołudnie wszedł do studia nagraniowego w Los Angeles, w godzinę zrobił podkład do *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?*, a potem nagrał drugą piosenkę, która miała się znaleźć na odwrocie singla. Napisał ją jeszcze dla Tattered Remnants i nosiła tytuł *Kieszonkowy Zbawiciel*. Facet z Columbii wręczył mu czek na pięćset dolarów i kopię kontraktu, zgodnie z którym Larry miał więcej zobowiązań wobec wytwórni płytowej niż ta względem niego. Uścisnął Larry’emu dłoń, powiedział, że cieszy się

ze współpracy, a kiedy Larry spytał jak będzie wyglądała promocja jego singla, uśmiechnął się niemal litościwie i odszedł bez słowa. Było już za późno, aby zrealizować czek, toteż ten wieczór Larry spędził w restauracji u Gina, po raz nie wiadomo który prezentując cały swój repertuar. Pod koniec pierwszego wejścia zaśpiewał nieco złagodzoną wersję utworu *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?* Jediną osobą, która zwróciła na to uwagę był właściciel restauracji, który stwierdził żeby takie be-bopowe kawałki zachował dla czarnuchów, którzy sprzątaję jego lokal.

Siedem tygodni temu facet z Columbii zadzwonił ponownie i powiedział mu, żeby kupił najnowszy numer „Billboardu”. Larry natychmiast to zrobił. *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?* była jedną z trzech „ostrych nowości” zapowiadanych na ten tydzień. Larry oddzwonił do faceta z Columbii, a ten spytał go, czy miałby ochotę zjeść lunch z paroma „grubymi rybami”, aby porozmawiać o albumie płytowym.

Wszyscy byli zadowoleni z singla, który prezentowały już stacje radiowe z Detroit, Filadelfii i Portland w Maine. Wiele wskazywało na to, że piosenka „chwyci”. Utwór Larry’ego wygrał zeszłego wieczoru konkurs pod nazwą „Pojedynek Dźwięków” i miał być prezentowany cztery noce z rzędu przez jedną z soulowych stacji radiowych z Detroit. Najwyraźniej nikt nie zdawał sobie sprawy, że Larry Underwood jest biały.

Przy obiedzie tak sobie popił, że nawet nie zwrócił większej uwagi, jak smakował jego łośoś. Jeden z gości obecnych na obiedzie powiedział, że nie zdziwiłby się, gdyby *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?* otrzymała w przyszłym roku nagrodę Grammy. To stwierdzenie polechtało dumę Larry’ego. Miał wrażenie, jakby to wszystko było jedynie snem, a kiedy wracał do swego mieszkania przez cały czas towarzyszyło mu uczucie dziwnej pewności, że lada moment potrąci go ciężarówka i przerwie jego dobrą passę. „Grube ryby” z Columbii dały mu czek, tym razem na dwa i pół tysiąca dolarów. Kiedy dotarł do domu, Larry zadzwonił do Morta „Gino” Greena i powiedział mu, że będzie musiał znaleźć kogoś innego żeby grał *Yellow bird* klientom przeżuającym z wysiłkiem ohydne, niedogotowane spaghetti. Potem zadzwonił do wszystkich swoich znajomych i przyjaciół, do każdego, kogo tylko zdołał sobie przypomnieć z Barry Griegiem z Remnants włącznie. Kiedy się z tym uporał poszedł do knajpy i pił dopóki nie urwał mu się film.

Pięć tygodni temu singiel wdarł się do gorącej setki „Billboardu”. Od razu na osiemdziesiąte dziewiąte miejsce. Istna bomba. Właśnie w tym tygodniu do Los Angeles zawitała prawdziwa wiosna i pewnego słonecznego, pogodnego majowego popołudnia, kiedy budynki są tak białe a ocean tak błękitny, że aż łzawią oczy, Larry po raz pierwszy usłyszał swoją piosenkę w radio. Było u niego troje czy czworo przyjaciół – wśród nich jego obecna dziewczyna. Wszyscy umiarkowanie przytomni po zażytej dawce kokainy. Larry wyszedł do kuchni i wszedł do saloniku z torebką ciasteczek Toll House, kiedy z radia dobiegł znajomy slogan stacji KLMT: „...Nowa... Muuuuzyka!” A potem Larry zamarł w bezruchu, kiedy z głośników technicsa popłynął jego głos:

*Wiem, czasami między nami było bardzo źle
Wiem, nie dałem ci znać, że znów jestem w mieście
Nikt inny, tylko ty najlepiej to wie
A więc powiedz mi, powiedz, proszę cię
Mała, czy możesz polubić swojego faceta?
To porządny gość,
Powiedz mała, czy możesz polubić swojego faceta?*

– Jezu, to ja – powiedział.

Upuścił ciasteczka na podłogę i stał z szeroko rozdziawionymi ustami, jakby nagle zamienił się w kamień, podczas gdy przyjaciele urządzili mu huczną owację.

Przed czterema tygodniami jego piosenka wskoczyła na siedemdziesiąte trzecie miejsce na liście przebojów tygodnika „Billboard”. Miał wrażenie, jakby ktoś wrzucił go do starej slapstickowej burleski, gdzie wszystko dzieje się zbyt szybko. Telefon praktycznie się urywał. Columbia domagała się nagrania albumu, który byłby ukoronowaniem sukcesu singla. Jakiś kopnięty dupek z A & R dzwonił trzy razy dziennie, upierając się, że ma dla niego przebój i to nie na dzisiaj, ale na WCZORAJ – remake starego hitu zespołu McCoys *Hang On, Sloop*y. „To będzie prawdziwy Potwór! – wrzeszczał do słuchawki zwariowany rozmówca. – Jedyne, co możesz teraz zrobić Lar, w twojej sytuacji! Musisz to nagrać! (Larry nigdy nie spotkał się z tym facetem, a mimo to, ów nie tylko zwracał się do niego po imieniu, ale do tego używał zdrobnienia – Lar.) To będzie istne Monstrum! Potwór! Pierdolony POTWÓR, przez duże P, bez kitu!”

Larry stracił cierpliwość i powiedział temu krzykaczowi, że gdyby miał do wyboru nagrać *Hang On, Sloop*y albo zostać związany i otrzymać lewatywę z coca-coli, bez wahania wybrałby to drugie. A potem odłożył słuchawkę.

Pociąg mknął dalej tym samym torem. Do jego uszu bez przerwy docierały zapewnienia, że to może być najlepsza płyta ostatnich pięciu lat.

Agenci dzwoniли całymi tabunami. Wszyscy sprawiali wrażenie wygłodniałych. Zaczął brać prochy i miał wrażenie, że wszędzie słyszy swoją piosenkę. Któregoś sobotniego poranka usłyszał ją w „Soul Train” i przez resztę dnia starał się przekonać samego siebie, że to była prawda. Tak, to się stało naprawdę.

Nagle odejście Julie – dziewczyny, z którą się spotykał odkąd zaczął grać u Gina, stało się dla niego niewiarygodnie trudne. Zapoznała go z wieloma ludźmi i z niektórymi spośród nich nadal pragnął się widywać. Jej głos kojarzył mu się z pełnymi zachęty głosami agentów, z którymi rozmawiał przez telefon.

Po długiej, zajadłej i gorzkiej kłótni, zerwał z nią. Zaczęła wrzeszczeć, że niedługo jego głowa zrobi się tak wielka, że nie zdoła wejść do studia nagraniowego, że wisi jej pięć stów

za prochy i że jest odpowiedzią lat dziewięćdziesiątych na Zagara i Evansa. Groziła, że popełni samobójstwo. Kiedy było już po wszystkim, Larry czuł się tak, jakby odbył długi pojedynek na poduszki, przy czym poduszki były wypełnione nie pierzem, ale trującym gazem w niewielkim stężeniu.

Trzy tygodnie temu zaczęli pracę nad albumem, a Larry zdołał oprzeć się większości sugestii podawanych „dla jego własnego dobra”. Wykorzystał wszystkie, gwarantowane mu w kontrakcie furtki. Zaprosił do współpracy trzech członków zespołu Tattered Remnants – Barry’ego Griega, Ala Spellmana i Johnny’ego McCalla oraz dwóch innych muzyków, z którymi współpracował w przeszłości – Neila Goodmana i Wayne Stukey’a.

Mieli na nagranie płyty zaledwie dziewięć dni – na tyle wypożyczono im studio – i zrobili to. Columbia chciała wydać album, który byłby przeglądem czegoś, co można określić mianem dwudziestotygodniowej kariery Larry’ego Underwooda – począwszy od *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?* i skończywszy na *Hang, On Sloopy*. Larry chciał czegoś więcej.

Na okładce albumu znalazło się zdjęcie Larry’ego w staroświeckiej wannie, wypełnionej ogromną ilością piany. Na kafelkach za wanną widniał nakreślony szminką sekretarki z Columbii napis KIESZONKOWY ZBAWICIEL oraz imię i nazwisko LARRY UNDERWOOD. Columbia chciała zatytułować album *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?*, ale Larry zdecydowanie zaprotestował i stało na tym, że na plastikowym, przezroczystym opakowaniu płyty pojawiła się okrągła nalepka z napisem: ALBUM ZAWIERA PRZEBOJOWE NAGRANIE SINGLOWE. Dwa tygodnie temu singiel trafił na czterdzieste siódme miejsce na liście i dopiero wtedy zabawa rozkręciła się na całego. Larry wynajął na miesiąc domek na plaży w Malibu i potem wszystko skryło się jakby za zasłoną mgły. Ludzie pojawiali się i odchodzili – było ich za każdym razem coraz więcej. Niektórych znał, jednak większość stanowili obcy. Pamiętał, że był raz po raz nagabywany przez agentów, którzy chcieli „poprowadzić dalej jego pieprzoną karierę”. Pamiętał jakąś dziewczynę, która po ostrej orgietce wypadła na białą niczym kość plażę, golusienka, jak ją Pan Bóg stworzył. Pamiętał jak wciągał do nosa cieniutkie paseczki koki i zapijał to tequilą. Pamiętał jak ktoś w sobotni poranek (to musiało być jakiś tydzień temu) obudził go brutalnie, aby Larry mógł usłyszeć Kasey Kasema zapowiadającego jego piosenkę jako debiut na trzydziestym szóstym miejscu „American Top Forty”. Pamiętał, jak brał prochy całymi garściami i – ale to już słabiej – jak kupował datsuna, mając w dłoni czek na cztery tysiące dolarów, który otrzymał pocztą.

I wtedy przyszedł trzynasty czerwca – to było sześć dni temu. Tego dnia Wayne Stukey poprosił Larry’ego, aby poszedł z nim na spacer po plaży. Była dopiero dziewiąta rano, ale stereo było włączone, podobnie jak oba telewizory i sądząc po odgłosach, w suterenie miała miejsce nielecha zabawa. Larry siedział w ogromnym fotelu w samych tylko slipkach i jak sowa wpatrywał się w stronicę trzymanego w dłoni komiksu Superboy, usiłując odczytać

napisy w dymkach. Był bardzo skupiony ale nie potrafił zrozumieć słów, które czytał. Poszczególne wyrazy wydawały się jakby wyrwane z kontekstu. Z kwadrofonicznych głośników płynęły dźwięki muzyki Wagnera i Wayne musiał krzyczeć trzy a nawet cztery razy, aby można go było zrozumieć. Larry skinął głową. Czuł się, jakby mógł przebyć na piechotę wiele mil.

Jednak kiedy promienie słońca poraziły jego gałki oczne niczym igły, błyskawicznie zmienił zdanie. Żadnego spaceru. O, nie! Jego oczy zmieniły się w szkła powiększające i lada moment przechodzące przez nie promienie słońca wypalały mu mózg. Miał wrażenie, że jego głowa wewnątrz jest sucha jak hubka.

Wayne zacisnąwszy dłoń na jego ramieniu, nalegał.

Zeszli na plażę, przeszli po nagrzanym piasku na twardszy, brązowy grunt i wtem Larry uznał, że może to nie był wcale taki zły pomysł. Odgłos fal bijących o brzeg koił stargane nerwy. Mewa unosząca się w górę, wisząca na tle błękitnego nieba, przypominała białą literę M.

Wayne pociągnął go lekko za rękę.

– Chodźmy.

Larry miał już dość tego spaceru. Przeszedł tyle, ile mógł. I nie czuł się dobrze. Bolała go głowa i miał wrażenie, że jego kręgosłup był zrobiony ze szkła. Powieki pulsowały, a nerki przeszywał tępy ból. Kac amfetaminowy nie jest tak bolesny, jak poranek po nocy, kiedy weźmiesz aż pięć z Czterech Róż, ale nie jest też tak przyjemny jak, powiedzmy, seks z Raquel Welch. Gdyby wziął jeszcze dwie pigułki, bez trudu wspiąłby się na szczyt tej wydmy, która groziła, że lada moment zwali się na niego. Sięgnął do kieszeni, aby je wyjąć i po raz pierwszy uświadomił sobie, że ma na sobie tylko slipki, które były świeże trzy dni temu.

– Wayne, chciałbym wrócić.

– Przejdźmy się jeszcze kawałek.

Miał wrażenie, że Wayne patrzył na niego w dziwny sposób – z wyrazem rozdrażnienia zmieszanego z politowaniem.

– Nie, stary. Mam na sobie tylko gacie. Zgarną mnie za niestosowne zachowanie w miejscu publicznym.

– W tej okolicy mógłbyś nawet wyjść na plażę z fajfusem obwiązany chustką i z jajami zwisającymi jak dzwony i nikt by cię za to nie przytknął. Chodź, stary.

– Jestem zmęczony – powiedział Larry ze skargą w głosie.

Zaczął się wkurzać na Wayne'a. W ten sposób Wayne chciał się na nim odegrać, bo to on, Larry, miał przebój, a Wayne był jedynie klawiszowcem zaproszonym do pracy nad nowym albumem. Nie różnił się specjalnie od Julie. Teraz wszyscy go nienawidzili. Każdy z nich miał w dłoni otwarty nóż. Jego oczy wypełniły się łzami.

– Chodź, stary – powtórzył Wayne i ponownie zeszli na plażę.

Przeszli jeszcze około mili, kiedy nagle Larry'ego złapał gwałtowny skurcz. Ostry ból przeszył mięśnie jego ud. Larry krzyknął i upadł na piasek. Miał wrażenie, jakby jego nogi zostały jednocześnie przebite dwoma identycznymi sztyletami. Ból pojawił się ponownie i w tej samej chwili Wayne ukląkł przy nim i zaczął rozmasowywać jego napięte i bolące mięśnie. Wreszcie złąknione tlenu tkanki zaczęły się rozluźniać. Larry, który wstrzymywał oddech, zaczerpnął głęboko powietrza.

– Och, stary – powiedział. – Dzięki. To było... było okropne.

– Pewnie – powiedział Wayne bez większej sympatii w głosie. – Mogę się założyć, Larry. Jak się teraz czujesz?

– W porządku. Ale może byśmy teraz trochę posiedzieli, co? A potem wrócimy.

– Chciałbym z tobą pogadać. Musiałem cię stamtąd wyciągnąć i chciałem abyś był w miarę trzeźwy. Może zdołasz zrozumieć, co chcę ci wyklarować.

– O co chodzi, Wayne?

„Zaczyna się. Wykład”.

Jednak to, co usłyszał od Wayne'a było tak dalekie od wykładu, że przez moment czuł się tak, jak podczas czytania Superboya – usiłując zrozumieć proste, składające się z sześciu słów zdanie.

– Musisz skończyć tę balangę, Larry.

– Co?

– Balangę. Kiedy wrócisz, wyłącz wszystkie wtyczki, oddaj gościom kluczyki od ich samochodów, podziękuj za wspólną zabawę i odprowadź do wyjścia. Pozbądź się ich.

– Nie mogę tego zrobić! – powiedział Larry wstrząśnięty.

– Lepiej to zrób – stwierdził Wayne.

– Ale dlaczego? Człowieku, przecież ta balanga dopiero się rozkręca!

– Larry, ile dostałeś zaliczki od wytwórni Columbia?

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? – spytał chytrze Larry.

– Myślisz, że chcę cię wydoić, Larry? Zastanów się.

Larry zastanowił się i z narastającym zakłopotaniem uświadomił sobie, że faktycznie nie było powodu, dla którego Wayne Stukey mógłby chcieć go wykorzystać. Nie był jeszcze na szczycie, walczył o robotę jak większość ludzi, którzy pomagali mu w pracy nad albumem, ale w przeciwieństwie do nich Wayne pochodził z dobrze sytuowanej rodziny i był w dobrych stosunkach ze swoimi starymi. Ojciec Wayne'a był właścicielem połowy trzeciej pod względem wielkości wytwórni gier elektronicznych w kraju. Stukey'owie mieli wytworny dom przypominający skromny pałac w dzielnicy Bel Air. Larry ze zdumieniem uświadomił sobie, że on, ze swymi marnymi pieniędzmi wyglądał jak śmieć.

– Nie, chyba nie – mruknął ochryple. – Przepraszam, ale mam wrażenie, jakby wszyscy cwaniacy na zachód od Vegas...

– No więc, ile?

Larry zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Siedem patyków. Ogółem.

– Mają wypłacać ci kwartalnie honorarium za wydany singiel i co dwa lata za album?

– Zgadza się.

Wayne pokiwał głową.

– Czekają, aby sprawdzić, z której strony wieje wiatr, skurczybyki. Papierosa?

Larry wziął jednego i złożył dłonie aby móc przypalić.

– Wiesz, ile kosztują cię te balety?

– Jasne – stwierdził Larry.

– Wynajęcie domu kosztowało cię nie mniej niż tysiąc.

– Owszem. To prawda.

Faktycznie wyniosło go to tysiąc dwieście dolarów, plus pięćset dolarów kaucji za ewentualne szkody. Wpłacił kaucję i połowę miesięcznego czynszu – w sumie tysiąc sto dolarów.

– A ile za prochy? – Zapytał Wayne.

– No wiesz, stary, trzeba mieć coś pod ręką. To zawsze idzie jak świeże bułeczki...

– Była marycha i koka. No mów, ile?

– Pieprzona pijawa – mruknął pod nosem Larry. – Pięć setek i pięć setek.

– A na drugi dzień już nic nie było.

– Gówno prawda! – rzucił Larry poruszony. – Kiedy wychodziliśmy dziś rano widziałem, że były jeszcze dwie miseczki. Fakt, bardzo dużo ubyło, ale...

– Człowieku, nie pamiętasz Decka? – Głos Wayne'a zmienił się nagle w zadziwiająco udaną parodię bełkotliwego głosu Larry'ego. – „Po prostu, wpisz to na mój rachunek Dewey. Żeby tylko dla wszystkich starczyło”.

Larry spojrzał na Wayne'a z uczuciem rodzącej się zgrozy, pamiętał małego, energicznego człowieczka z dziwną fryzurą, którą dziesięć czy piętnaście lat temu nazywano *whiffle*, noszącego koszulkę ozdobioną napisem: JEZUS NADCHODZI I JEST NIELICHO WKURZONY. Ten facet zdawał się dysponować taką ilością prochów, że praktycznie wysypywały mu się z tyłka. Pamiętał nawet, jak mówił temu facetowi, Deckowi nazywanemu również Dewey (to po siostrzeńcu kaczora Donalda), żeby dopilnował, aby wszystkie miseczki zawsze były pełne i wpisał kosztą prochów na jego rachunek. Ale to było... no tak, to było parę dni temu.

Wayne powiedział:

– Już od dawna Dewey Deck nie miał tak dobrego klienta, stary.

– Ile jestem mu winien?

– Za marychę niewiele. Jest w miarę tania. Jakies tysiąc dwieście. Za kokę osiem patyków.

Przez chwilę Larry miał wrażenie, że się porzyga. Wytrzeszczając oczy, wpatrywał się bez słowa w Wayne'a. Starał się coś powiedzieć, ale zdołał tylko wybełkotać:

– Dziewięć tysięcy dwieście dolarów?

– Inflacja, stary – oświadczył Wayne. – Mam mówić dalej?

Larry nie chciał tego słuchać, ale pokiwał potakująco głową.

– Na górze był kolorowy telewizor. Ktoś przebił go nogą od krzesła. Sądzę, że reperacja wyniesie jakieś trzy paczki. Boazeria na dole jest cała pozdzierana. Przy odrobinie szczęścia będzie cię to kosztować cztery setki. Ogromne okno od strony plaży zostało rozbite przedwczoraj. Trzy setki. Drogi, włochaty dywan w saloniku jest całkowicie „kaput” – popalony niedopałkami papierosów, pozalewany piwem i gorzałą. Cztery setki. Dzwoniłem do monopolowego. Są tak samo zadowoleni ze współpracy z tobą jak Deck. Sześćset dolców.

– Sześć setek za gorzałą? – wyszeptał przerażony Larry.

– Masz szczęście, że większość z nich zaprawia się piwem i winem. Rachunek ze sklepu wynosi czterysta dolców, głównie za pizzę, chipsy, tacos i inną zagrychę. Ale jest hałas. Wkrótce zjawią się tu gliny. Lesflics. Zakłócanie spokoju. A ty masz tu czterech czy pięciu gości zaprawionych herą na amen. W domu jest tego ze cztery czy pięć uncji.

– Też na mój rachunek? – spytał ochryłym głosem Larry.

– Nie, Deck nie obraca herą. To działka Organizacji, a Deck nie chciałby, że aby ktoś naciągnął mu na kowbojki cementowe skarpetki. Ale jak gliny się tu zjawią, możesz być pewien, że to ty za nią bekniesz.

– Ale ja nie wiedziałem...

– Biedne, nieświadomione dziecko...

– Ale...

– Jak dotąd ta balanga kosztuje cię, mój drogi, ponad dwanaście tysięcy dolarów – oświadczył Wayne. – I kupiłeś jeszcze tego datsuna... Ile wybuliłeś?

– Dwa i pół tysiąca – odpowiedział automatycznie. Miał ochotę się rozplakać.

– No to, ile ci zostanie do następnej wypłaty? Dwa patyki?

– Mniej więcej – odrzekł Larry, nie odważając się powiedzieć Wayne'owi, że miał mniej niż dwa tysiące, około ośmiuset dolarów – pół na pół w gotówce i czekach.

– Larry, słuchaj mnie, bo nie jesteś wart, żeby powtarzać ci to dwa razy. Zawsze jest gdzieś jakieś przyjęcie. Tu istnieją tylko dwie rzeczy, które trwają nieprzerwanie – nieustanne pieprzenie głupot i nieustanne balowanie. Ci goście są jak małe ptaki, które szukają owadów pełzających po grzbiecie hipopotama. Teraz są tutaj. Zdejmij je z siebie i niech idą z Bogiem.

Larry pomyślał o tuzinach ludzi w domu. W obecnej chwili znał mniej więcej jedną osobę na trzy. Myśl, że miałby wyprosić wszystkich tych obcych ludzi sprawiała, że coś ścisnęło go w gardle. Straci dobrą opinię. Tej myśli została przeciwstawiona wizja Dewey Decka napelniającego miseczki narkotykami, a następnie wyjmującego z tylnej kieszeni notes i

dopisującego kolejną porcję „towaru” do jego rachunku. Ten facet z fikuśną fryzurą ubrany w modny podkoszulek.

Wayne przyglądał mu się ze spokojem, podczas gdy Larry bił się z myślami.

– Człowieku, wyjdę na durnia. Będę największym dupkiem świata – powiedział w końcu, choć nienawidził słabych i drażliwych słów, które popłynęły z jego ust.

– Tak, będą cię określać różnymi epitetami. Powiedzą, że robisz się ważny. Wielki Pan Hollywood. Że zadzierasz nosa i zapominasz o starych przyjaciółach. Tyle tylko, że oni nie są twoimi przyjaciółmi, Larry. Twoi przyjaciele zobaczyli co się święci już trzy dni temu i zmyli się stąd. Nie jest zabawne patrzeć, jak przyjaciel leje w gacie i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał Larry w nagłym przypiływie wściekłości. Gniew, który przepełnił jego wnętrze był spowodowany świadomością, że wszyscy jego prawdziwi kumple wyjechali, i, z perspektywy, wszelkie przedstawione przez nich wytłumaczenia wydawały mu się nieprzekonujące.

Barry Grieg odciągnął go na stronę i próbował z nim porozmawiać, ale Larry był akurat na tripie i tylko kiwał głową i uśmiechał się do Barry’ego pobłaźliwie. Teraz zaczął się zastanawiać, czy Barry nie próbował uświadomić mu tego samego. Myślenie o tym wprawiło go w zakłopotanie i złość.

– Dlaczego mi to mówisz? – powtórzył. – Mam wrażenie, że nie darzysz mnie zbyt dużą sympatią.

– Nie... ale nie mogę powiedzieć, że cię nie lubię. Cóż ci więcej mogę powiedzieć stary, nic. Mógłbym pozwolić, żebyś rozbił sobie na tym nos. Jedna nauczka by ci wystarczyła.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Powiedz im, ponieważ wewnątrznie jesteś twardy. Masz ikrę, chłopie. Masz w sobie to, czego potrzeba do osiągnięcia sukcesu. Zrobisz śliczną, małą karierę. Za pięć lat nikt nie będzie pamiętał większości tej muzycznej papki, którą teraz puszczaają w radio. Miłośnicy dobrej muzyki, licealiści będą zbierać twoje płyty. Zarobisz trochę grosza.

Larry oparł na udach dłonie zaciśnięte w pięści. Miał ochotę rąbnąć raz i drugi w tę spokojną twarz. Wayne mówił takie rzeczy, że Larry czuł się jak mała kupka psich gównien leżąca obok znaku drogowego.

– Wracaj i powyłączaj wszystko – powiedział łagodnie Wayne. – A potem wsiadaj w samochód i w drogę. Po prostu jedź, stary. Zniknij do czasu, aż nie otrzymasz kolejnego czeku.

– Ale Dewey...

– Znajdę faceta, który z nim pogada. Zrobię to z prawdziwą przyjemnością, stary. Ten gość powie mu, żeby był grzecznym chłopcem i cierpliwie czekał na pieniądze, a Deck z radością go posłucha.

Przerwał, przyglądając się dwójce małych dzieci w jaskrawych kostiumach kąpielowych, biegnących wzdłuż plaży. Obok nich poszczekując głośno i wesoło, gnał pies z łbem uniesionym ku błękitnemu niebu.

Larry podniósł się i zmusił się do podziękowania Wayne'owi. Morska bryza wdzierła się i wymykała z jego nieświeżych slipek. Słowo padające z jego ust miało ciężar cegły.

– Po prostu pojedź gdzieś i zbierz się do kupy – powiedział Wayne, stojąc obok niego i w dalszym ciągu obserwując dzieci. – Masz sporo spraw, które powinieneś przemyśleć. Jakiego chcesz menadżera, jakie chciałbyś tournee i jaki kontrakt by ci odpowiadał po sukcesie przebojów z albumu Kieszonkowy Zbawiciel. Myślę, że to naprawdę będzie przebojowa płyta, są na niej świetne kawałki. Jeśli dasz sobie trochę czasu, poradzisz sobie ze wszystkim.

Faceci tacy jak ty, zawsze sobie radzą.

Faceci tacy jak ja, zawsze sobie radzą,

Faceci tacy jak...

Ktoś zastukał w szybę.

Larry drgnął gwałtownie, a potem usiadł. Poczul w szyi silny ból i skrzywił się, czując nieprzyjemne odrętwienie. Nie zdrzemnął się, lecz usnął. Ponownie przeżywał wydarzenia z Kalifornii. Ale tu i teraz był mglisty, szary nowojorski poranek. Stukanie palcem w szybę powtórzyło się.

Kiedy ostrożnie i z bólem odwrócił głowę, zobaczył swoją matkę w czarnej, siatkowej chustce na głowie, zaglądnącą do wnętrza wozu. Przez chwilę tylko patrzyli na siebie przez szybę, a Larry poczuł się dziwnie nagi, niczym zwierzę w zoo. Potem jego usta rozchyliły się w uśmiechu i opuścił szybę.

– Mama?

– Wiedziałam, że to ty – powiedziała dziwnie beznamiętnym tonem. – Wyjdź stamtąd i pokaż mi się, jak wyglądasz na stojąco.

Obie jego nogi były pogrążone we śnie. Kiedy wysiadł z samochodu miał wrażenie, jakby ktoś zaczął mu wbijać w stopy, golenie i uda niewidzialne igły. Nie spodziewał się spotkać z nią w ten sposób, nieprzygotowany i zdemaskowany. Czuł się jak strażnik, który usnął na posterunku i został przyłapany przez zwierzchnika. W głębi duszy spodziewał się, że jego matka będzie sprawiać wrażenie niższej, mniej pewnej siebie – figiel splątany przez czas, który jemu kazał dorosnąć, ale jej nie zmienił ani o jotę. Sposób, w jaki go przyłapała, wydawał się niemal niesamowity. Kiedy miał dziesięć lat, bywało że w sobotnie poranki, kiedy uznała, że dość się już wyspał budziła go, stukając palcem w zamknięte drzwi sypialni.

W ten sam sposób obudziła go czternaście lat później, kiedy spał w swoim nowym samochodzie, jak dziecko, które usiłowało czuć przez całą noc i zostało przyuważone przez Piaskowego Dziadka w niewłaściwej pozycji.

Teraz stał przed nią, wyprostowany, ze zwichrzonymi włosami, a na jego ustach błąkał się głupawy uśmiezek.

Mrowienie w dalszym ciągu dawało mu się we znaki i zaczął przestępować z nogi na nogę. Przypomniawszy sobie, że zawsze kiedy tak robił pytała, czy chce iść do łazienki, toteż momentalnie znieruchomiał, pozwalając aby przypominające ukłucia drobniutkich igiełek ciarki drażniły go do woli.

– Cześć, mamó – powiedział.

Spojrzała na niego bez słowa i nagle w jego sercu pojawiła się zgroza, niczym złowróźbny ptak powracający do starego gniazda. Bał się, że mogła się od niego odwrócić, wyrzec się go, pokazać mu plecy i po prostu odejść w kierunku stacji metra za rogiem, pozostawiając go samego.

– Cześć, Larry – rzuciła. – Wejdz na górę. Wiedziałam, że to ty, kiedy tylko wyjrzałam przez okno. W tym domu człowiek czuje się tak samotny, że można się rozchorować. Nic, tylko chorować.

Odwróciła się, aby poprowadzić go schodami na górę pomiędzy platformami, na których stały niegdyś kamienne psy. Ruszył za nią powoli, krzywiąc się z bólu – wciąż czuł w nogach przejmujące ciarki.

– Mamó?

Odwróciła się do niego i Larry uściskał ją. Przez chwilę na jej twarzy widniał grymas strachu jakby spodziewała się, że ma zamiar ją nie objąć, lecz udusić. Ale to wrażenie szybko minęło i ona również objęła go ramionami.

Poczuł w nozdrzach zapach jej perfum i to nieoczekiwanie obudziło w nim uczucie nostalgii – silnej i słodkiej ale z odrobiną goryczy. Przez chwilę miał wrażenie, że się rozplacze. W głębi duszy był jednak przekonany, że jego matka na pewno się wzruszy. To był Ckliwy Moment. Ponad jej obwisłym prawym ramieniem widział zdechłego kota, wystającego do połowy ze śmietnika. Kiedy się od niego odsunęła jej oczy były suche.

– Chodź, zrobię ci śniadanie. Jechałeś całą noc?

– Tak – odpowiedział nieznacznie ochrypłym z emocji głosem.

– No to chodź, chodź. Winda nie działa, ale to przecież tylko pierwsze piętro. Pani Halsey ma gorzej ze swoim artretyzmem. Mieszka na czwartym. I nie zapomnij wytrzeć butów. Jak nabrudzisz, pan Freeman zacznie się mnie czepiać. To cholerny pedant. Nie cierpi brudu i chyba wyczuwa go jak myśliwski pies. Brud jest jego wrogiem i już.

Weszli na schody.

– Zjesz trzy jajka? Zrobię ci też tosta, jeżeli lubisz pumperniel. Chodź.

Ruszył jej śladem, mijając platformy na których nie było już kamiennych psów; przyjrzał się im z lekkim podenerwowaniem – zrobił to tylko po to, aby się upewnić, że rzeczywiście ich nie było, że nie skurczył się o sześćdziesiąt centymetrów i nie cofnął się w czasie o całą dekadę do początku lat osiemdziesiątych.

Otworzyła drzwi i razem weszli do środka. Nawet ciemnobrunatne cienie i zapach przygotowywanych potraw były takie same.

Alice Underwood przygotowała dla niego trzy jajka na bekonie, tosta, sok i kawę. Kiedy zjadł jajecznicę, tosta, wypił sok i została mu już tylko kawa, zapalił papierosa i odsunął się z krzesłem od stołu. Matka nieprzychylnym wzrokiem spojrzała na papierosa ale nie powiedziała ani słowa. To przywróciło mu nieco wiary w siebie, niezbyt dużo – tylko odrobinę. Jego matka była zawsze diabło cierpliwa.

Wstawiła metalową patelnię do zlewu i zroszony wodą z kranu metal zaskwierczał cicho.

„Nie zmieniła się zbyt wiele” – pomyślał Larry. Była nieco starsza, miała teraz pięćdziesiąt jeden lat, troszkę posiwiła ale pod zgrabną siateczką nadal można było dostrzec czarne włosy. Nosila popielatą sukienkę – zapewne tę samą, w której pracowała. W dalszym ciągu miała spory brzuch, ciasno opięty materiałem sukienki i jeżeli cokolwiek się w niej zmieniło, to właśnie on. „Przytyłaś, mam? Powiedz prawdę. Czy to największa ze zmian?”

Zaczął strzepywać popiół z papierosa na spodeczek do kawy. Natychmiast zabrała go i zamieniła na popielniczkę, którą zawsze trzymała w kredensie. Spodeczek był poplamiony kawą i nie widział powodu, dlaczego nie miałby strząsać na niego popiołu. Popielniczka była czysta, wręcz nieskazitelna, bez jednej plamki i kiedy strącił popiół poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Jego matka była bardzo cierpliwa i umiała zastawiać niezliczone pułapki, a jak już się w nie wpackował, prędzej czy później musiał zacząć mówić.

– A więc wróciłeś – powiedziała Alice i zaczęła szorować patelnię. – Co cię tu sprowadziło?

„Cóż, mam, pewien przyjaciel uświadomił mi parę prostych, życiowych prawd – że głupota nie wybiera, atakuje znienacka i w kilku miejscach naraz i że tym razem postanowiła dopiec mi. Nie wiem, czy przyjaciel, to odpowiednie określenie dla tego człowieka. Żywi wobec mnie niemal szacunek, jakim ja darzę wytwórnię gumy do żucia założoną w 1910 roku. Mimo to, przemówił do mnie na tyle wyraziście, że ruszyłem w drogę, a czyż to nie Robert Frost powiedział, że dom jest takim miejscem, do którego zawsze zostaniesz wpuszczony, kiedy zapukasz do drzwi?”

– Chyba mi ciebie brakowało, mam – powiedział na głos.

Prychnęła.

– To dlatego do mnie tak często pisywałeś?

– Wiesz, że nie przepadam za pisaniem listów – powoli zaciągnął się papierosem. Z koniuszka papierosa odrywały się smużki dymu i ulatywały w górę.

– Powtórz to.

– Wiesz, że nie przepadam za pisaniem listów – powtórzył z uśmiechem.

– I w dalszym ciągu jesteś przemądrzały. Pod tym względem nic się nie zmieniłeś.

– Przepraszam – powiedział. – A co u ciebie, mam?

Wstawiła patelnię do suszarki, wyjęła korek ze zlewozmywaka i otarła zaczerwienione dłonie z piany.

– Nieźle – powiedziała, podchodząc do stołu i siadając na krześle. – Czasami bolą mnie trochę plecy, ale mam swoje pigułki. Jakoś sobie radzę.

– Odkąd wyjechałem nie miałaś kłopotów z dyskami?

– No... raz. Ale doktor Holmes się tym zajął.

– Mamo, ci kręgarze to... – „Zwyczajni oszuści”. Ugryzł się w język.

– No, kto?

Widząc jej szeroki uśmiech tylko wzruszył bezradnie ramionami.

– Jesteś młoda, masz dwadzieścia jeden lat, jeżeli on może ci pomóc to świetnie.

Westchnęła i wyjęła z kieszeni paczuszkę miętowych dropsów.

– Nie mam już dwudziestu jeden lat. I czuję to. Chcesz?

Pokręcił głową, kiedy podsunęła w jego stronę dropsy wysuwając jednego kciukiem. Włożyła pastylkę do ust.

– Wciąż jesteś młodą dziewczyną – powiedział z pochlebstwem w głosie, jak za starych, dobrych czasów. Zawsze to lubiła, ale teraz jego słowa wywołały na jej ustach jedynie cień uśmiechu. – Czy w twoim życiu pojawili się jacyś nowi faceci?

– Kilku – odparła. – A w twoim?

– Nie – odparł z powagą. – Żadnych nowych facetów. Parę dziewczyn, ale ani jednego mężczyzny.

Miał nadzieję, że się roześmieje, ale znów ujrzał w odpowiedzi tylko ten sam cień uśmiechu. „Martwi się o mnie – pomyślał. – To o to chodzi. Nie wie, po co tu przyjechałem. Po trzech latach w ogóle się nie spodziewała, że przyjadę. Chciała, żebym zniknął na zawsze z jej życia”.

– Ten sam stary Larry – powiedziała. – Nigdy nie spoważniejesz. Nie zaręczyłeś się? Widujesz się z kimś regularnie?

– Sporo podróżuję, mamo.

– Jak zawsze. W każdym razie nigdy nie przyjechałeś, żeby mi oznajmić, że poznałeś jakąś miłą, katolicką dziewczynę i masz wobec niej poważne plany na przyszłość. Aż ci się dziwię. Albo byłeś bardzo ostrożny, bardzo uprzejmy, albo po prostu miałeś olbrzymiego farta.

Usilnie starał się zachować pokerową twarz. Po raz pierwszy w życiu, czy otwarcie, czy aluzjami nawiązała w rozmowie do spraw seksu.

– Tak czy inaczej, jeszcze się przekonasz – stwierdziła Alice. – Mówią, że nie ma to jak starokawalerski stan. Ale to nie tak.

Pozostając kawalerem, zmieniasz się jak pan Freeman w starego, zgorzkniałego, sklerotycznego grzyba. Siedzi w tym swoim mieszkaniu w suterenie i wystaje pod oknem, licząc że zawieje silniejszy wiatr.

Larry chrząknął.

– Słyszałam w radio tę twoją piosenkę. Mówię ludziom, że to mój syn. To Larry. Ale większość z nich nie wierzy.

– Słyszałaś ją? – Zastanawiał się, dlaczego w ogóle od tego nie zaczęła, zamiast wciągać go w tę beznadziejną rozmowę.

– Jasne, nadają ją bez przerwy na rock and rollowej stacji, której słuchają młode dziewczęta. WROK.

– Podoba ci się?

– Muzyka, jak muzyka. – Posłała mu stanowcze spojrzenie. – Myślę, że ogólnie brzmi dość sugestywnie. Lubieżnie.

Nagle uświadomił sobie, że zaczął szurać nogami i zmusił się, aby przestać.

– Ta piosenka miała być... namiętna, mamó. To wszystko.

Jego twarz nabiegła krwią. Nie spodziewał się, że będzie siedział przy stole w kuchni i rozmawiał z matką o namiętności.

– Na namiętność jest miejsce w sypialni – stwierdziła oschłym tonem, ucinając niczym chirurg skalpelem temat jego przebojowej piosenki. – I zrobiłeś coś ze swoim głosem. Zupełnie, jakbyś był czarnuchem.

– Teraz? – zapytał zdumiony.

– Nie, w radio.

– *That brown soun, she sho do get aroun* – powiedział Larry, naśladując głos Billa Withersa i uśmiechnął się.

– Właśnie – pokiwała głową. – Kiedy byłam młoda, myśleliśmy, że Frank Sinatra jest bardzo śmiały. Teraz mają ten jakiś rap. Nazywają to Rap. Ja to nazywam Wrzaskiem. – Spojrzała na niego z ukosa. – Dobrze, że na twojej płycie nie ma tych wrzasków.

– Dostałem honorarium – oznajmił. – Określony procent od liczby sprzedanych płyt. To będzie jakieś...

– Och, daj spokój – powiedziała i uciszyła go gestem ręki. – Wypłacili ci już całość, czy może wzięłeś ten mały wozik na kredyt?

– Nie zapłacili mi jeszcze zbyt dużo – stwierdził, balansując na krawędzi kłamstwa ale nie ośmielając się jej przekroczyć. – Uiszcilem pierwszą ratę. Spłacę resztę w terminie.

– Kredyty o dogodnych terminach spłat – mruknęła ze smutkiem. – To właśnie one doprowadziły twojego ojca do bankructwa. Lekarz powiedział, że zmarł na atak serca, ale to nie było to. Pękło mu serce. Twój ojciec zmarł z powodu kredytów o dogodnych terminach spłat.

To była stara śpiewka i Larry puścił ją mimo uszu, kiwając głową we właściwych momentach. Jego ojciec miał sklepik z galanterią męską. Nieopodal niego otwarto salon Roberta Halla i rok później sklepik ojca upadł. Aby zabić smutek zaczął jeść i w przeciągu

trzech lat utył sto dziesięć funtów. Skonał w niewielkim barze na rogu, a na talerzu przed nim została nie dojedzona kanapka z klopsikami.

Larry miał wtedy dziewięć lat. Przypomnił sobie, jak jego matka – Alice Underwood, kobieta, która absolutnie nie potrzebowała pocieszenia – odpowiedziała swojej siostrze usilnie starającej się ją ukoić, że mogło być gorzej. „Mógł zapieć się na śmierć” – stwierdziła, patrząc ponad ramieniem Larry’ego i od tej pory, aż do czasu kiedy wyjechał z domu, jego życie było zdominowane przez jej powiedzenia i uprzedzenia.

Ostatnia uwaga, jaką usłyszał kiedy wraz z Rudy Schwartzem odjeżdżali starym fordem Rudy’ego, brzmiała: „W Kalifornii też są przytułki”.

„O tak, taka jest moja mama. Dokładnie”.

– Chcesz tu zostać, Larry? – spytała łagodnym tonem.

Zdumiony odparował:

– A masz coś przeciw temu?

– Mam tu pokój. Materac do spania w dalszym ciągu jest w gościnnej sypialni. Przeniosłam tam trochę rzeczy, ale mógłbyś poprzesuwać niektóre pudła na bok.

– W porządku – powiedział powoli. – Tylko jeżeli na pewno nie masz nic przeciwko temu. Przyjechałem tu na kilka tygodni. Pomyślałem, że spotkam się z paroma kumplami. Markiem... Galenem... Davidem... Chrisem... z kumplami.

Wstała, podeszła do okna i szarpnięciem podniosła je do góry.

– Możesz zostać tak długo, jak zechcesz, Larry. Może i nie jestem zbyt wylewna, ale cieszę się, że cię widzę. Nie rozstawaliśmy się w dobrej komitywie. Padły nieprzyjemne słowa. – Odwróciła do niego twarz, w dalszym ciągu spiętą, ale równocześnie przepełnioną przeraźliwą, pełną wahania miłością. – Żałuję swoich słów. Powiedziałam to wszystko tylko dlatego, że cię kocham. Nigdy nie umiałam wyrazić tego wprost więc starałam się okazać to w inny sposób.

– W porządku – powiedział, wpatrując się w stół. Rumieniec powrócił. Czuł to. – Posłuchaj mamó, mogę ci dołożyć do czynszu.

– Możesz, jeśli chcesz. Jeśli nie chcesz, nie musisz. Mam pracę. Tysiące ludzi jej nie ma. Nadal jesteś moim synem.

Pomyślał o zeszywniałym kocie zagrzebanym do połowy w śmietniku i o Dewey Decku z uśmiechem napełniającym narkotykami miseczki dla gości, a potem wybuchnął płaczem. Kiedy gwałtownie zamachał dłońmi aby wytrzeć łzy, stwierdził w myślach, że to przecież powinna być ona, a nie on – i że wbrew jego przypuszczeniom nic się nie zmieniło. Absolutnie nic. Jego matka zmieniła się nieco, to fakt. On również, ale nie tak, jak sądził – ona urosła, a on jakimś trafem zmałał.

Nie wrócił do domu dlatego, że musiał dokądś pojechać. Zrobił to, bo się bał i potrzebował swojej matki.

Stała przy otwartym oknie i obserwowała go. Białe firanki falowały na przesiąkniętym wilgocią wietrze, przesłaniając jej twarz. Nie zasłaniały jej całkowicie, ale sprawiały, że wyglądała jak duch. Przez okno do pokoju docierały odgłosy ruchu ulicznego. Wyjęła chustkę z za stanika sukni, podeszła do stołu i wcisnęła mu ją w rękę. W Larrym było coś twardego. Mogłaby wypróbować jego możliwości ale do czego by w ten sposób doprowadziła? Jego ojciec był mięczakiem i w głębi serca wiedziała, że to właśnie ta słabość posłała go do grobu.

Max Underwood wykończył nie tyle wzięty kredyt, ile jego spłacanie. A zatem skąd się wzięła ta twarda jak skała żyła? Komu Larry miał dziękować? Albo kogo winić?

Łzy nie potrafiły skruszyć kamiennej opoki w jego charakterze, podobnie jak pojedyncza letnia ulewa nie może zmienić oblicza skały. Tego typu twardość można było umiejętnie wykorzystać – wiedziała o tym, poznała tę prawdę jako kobieta samotnie wychowująca dziecko w mieście, które nie troszczyło się o samotne matki a tym bardziej o ich dzieci. Ale Larry jak dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy. Był tym samym Larrym, dokładnie tak jak powiedziała jego matka. Będzie brnął naprzód, bez zastanowienia, i będzie wciągał ludzi – a przy tym również i siebie – w przeróżne kłopoty, a kiedy sytuacja stanie się naprawdę złą, zrobi użytek z kamiennej twardości swego charakteru aby uratować skórę. A co z innymi? Zostawi ich, aby utonęli albo ratowali się sami. Skała była twarda, jego charakter naznaczony był twardością, ale on nadal używał jej destruktywnie. Widziała to w jego oczach, w jego postawie, nawet w sposobie, z jakim bawił się tym obrzydliwym sprawcą raka aby puszczać w powietrze sine kółka.

Nie wyszlifował tkwiącej w nim twardości by przemienić ją w ostrze, którym mógłby ranić ludzi i to już było coś – w razie potrzeby zawsze mógł jej użyć, jak maczugi i w ten sposób próbować wydostać się z opresji, w którą sam się wpakował.

„Przyjdzie taki dzień, że Larry się zmieni” – powiedziała sobie w duchu. Ona już się zmieniła, więc i na niego przyjdzie pora. Tyle tylko, że na wprost niej nie było już chłopca. Siedział przed nią dorosły mężczyzna i obawiała się że czas zmian – głębokich i fundamentalnych, które jak mawiał jej duszpasterz zachodziły nie tyle w sercu, co w duszy – w jego przypadku należał już do przeszłości.

Było w nim coś, co sprawiało, że czuło się na plecach lodowate ciarki, jak wtedy, gdy ktoś szoruje paznokciami po tablicy. Z jego wnętrza wyzierał na zewnątrz nie kto inny tylko Larry. W zakamarkach jego serca było miejsce tylko dla niego. Ale go kochała. I była przekonana, że Larry jest w głębi duszy dobry. Rzeczywiście tak było, ale chcąc wydobyć je na powierzchnię potrzeba byłoby prawdziwej katastrofy. A tu nie było żadnej katastrofy, tylko jej płaczący syn.

– Jesteś zmęczony – powiedziała. – Umyj się. Poprzenoszę pudła, a potem położysz się spać. Chyba równie dobrze mogę tam wejść dzisiaj.

Przeszła krótkim korytarzykiem do pokoju na tyłach, który był kiedyś jego sypialnią, a w chwilę później Larry słyszał jak matka stęka i zaczyna przesuwać pudła. Powoli wytarł oczy. Ponownie usłyszał warkot przejeżdżających samochodów.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni płakał w obecności matki. Pomyślał o zdechłym kocie. Miała rację. Jeszcze nigdy nie był równie zmęczony.

Położył się do łóżka i spał prawie osiemnaście godzin.

ROZDZIAŁ 6

Było późne popołudnie, kiedy Frannie wyszła do ogródka na tyłach domu, gdzie jej ojciec cierpliwie pielilił groch i fasolę. Przyszła na świat późno, jej ojciec przekroczył już sześćdziesiątkę – siwe włosy wystawały spod baseballowej czapeczki, którą stale nosił. Jej matka wybrała się do Portland, aby nabyć białe rękawiczki. Najlepsza koleżanka Fran z czasów dzieciństwa, Amy Lauder, wychodziła za mąż na początku przyszłego miesiąca.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się plecami swego ojca. Kochała go. O tej porze światło nabierało specyficznego charakteru, który uwielbiała – precudownego charakteru absolutnej beczasowości, uchwytnego jedynie w okresie wczesnego lata, w Maine. Kiedy myślała o tym szczególnym natężeniu światła w styczniu, zawsze bolało ją serce.

Gasnące światło wczesnoletniego popołudnia pochłaniane przez nadciągający zmierzch kojarzyło się jej z wieloma przyjemnymi rzeczami: z meczem baseballa na boisku Ligi Młodzieżowej w parku, gdzie Fred zawsze grał na pozycji trzeciego i jego odbicia zawsze były kończące, z arbusami, prażoną kukurydzą, mrożoną herbatą w schłodzonej szklaneczce, dzieciństwem...

Frannie chrząknęła.

– Pomóc ci?

Odwrócił się i uśmiechnął.

– Cześć, Fran. Przyłapałaś mnie na kopaniu dołków, co?

– Na to wygląda.

– Czy twoja matka już wróciła? – Zasepił się, ale już po chwili jego oblicze rozpozodziło się. – Nie, to jasne. Przecież dopiero co pojechała. Tak, oczywiście, że możesz mi pomóc, jeżeli chcesz. Tylko nie zapomnij potem umyć rąk.

– Po dłoniach kobiety możesz poznać jej nawyki – rzuciła z odrobiną ironii Fran i parsknęła śmiechem. Peter usiłował się skrzywić z dezaprobatą, ale nie wyszło mu to najlepiej.

Stała obok niego i zabrała się do pracy. Słysząc było ćwierkanie wróbli i nie cichnący szum samochodów przejeżdżających wzdłuż US 1 znajdującej się niecałą przecnicę stąd. Hałas nie był tak donośny jak w lipcu, kiedy praktycznie każdego dnia na odcinku pomiędzy

jej domem, a Kittery będzie miał miejsce tragiczny wypadek, ale mimo wszystko dawał się we znaki.

Peter opowiedział, jak minął mu dzień, a ona zadawała pytania i od czasu do czasu kiwała głową. Pochłonięty pracą nie widział ruchów jej głowy, ale kącikiem oka dostrzegł jej cień.

Był mechanikiem w ogromnej firmie Sanforda zajmującej się częściami do samochodów – największej tego typu firmie na północ od Bostonu. Miał sześćdziesiąt cztery lata i właśnie rozpoczął ostatni rok pracy przed przejściem na emeryturę. Do tego krótszy rok, gdyż miał jeszcze do wykorzystania czterotygodniowy urlop, który zamierzał wziąć we wrześniu, kiedy „letnicy” wrócą już do domów. Sporo myślał o zbliżającej się emeryturze. Powiedział jej, że nie zamierza tego traktować jak nie kończącego się urlopu – miał wielu przyjaciół będących na emeryturze, którzy dostatecznie uświadomili go w tym względzie. Nie uważał, że będzie równie znudzony jak Harlan Endres, ani tak strasznie biedny jak Caronowie – ten bidula Paul przez całe życie codziennie harował w sklepie, a mimo to musiał sprzedać dom i wraz z żoną zamieszkać u swojej córki i zięcia. Peter Goldsmith nie był zadowolony z opieki społecznej, nigdy jej nie ufał. Zwłaszcza teraz, kiedy system zaczynał walić się w gruzy pod wpływem recesji, inflacji i stale wzrastającej liczby bezrobotnych. W Maine w latach trzydziestych i czterdziestych nie było zbyt wielu demokratów – powiedział kiedyś swojej słuchającej go z uwagą córce – ale jej dziadek do nich należał i z woli Boga przekabacił na swoją stronę jej ojca. W najgorszych czasach, kiedy w Ogunquit krzewiły się wszelkiego rodzaju machlojki, Goldsmithowie z powodu poglądów stali się swego rodzaju pariasami. Mimo to jej ojciec miał pewne powiedzenie, równie niezłomne jak filozofia republikanów z Maine: „Nie ufaj książętom tej ziemi, bo cię wydymają i będą wykorzystywać podobnie jak ich rządy, aż do końca świata”.

Frannie roześmiała się. Uwielbiała, kiedy jej ojciec mówił w ten sposób. Zdarzało mu się to raczej rzadko, bo kobieta która była jego żoną, a jej matką atakowała go wówczas tak zjadliwie, że kwas sączący się z jej ust mógł szybko i sprawnie pozbawić go języka (a cisza jaka wówczas zapadała, zdawała się świadczyć, iż faktycznie tak się stało).

– Musisz pokładać ufność wyłącznie w samą siebie – powiedział. – A książęta tego świata niechaj trzymają z ludźmi, którzy wybrali ich na te stanowiska. Zwykle wyborcy nie byli zadowoleni z ludzi, których wybrali. Ale dobrze im tak. Jedni byli wari drugich.

Odpowiedzią jest twarda waluta. Will Rogers twierdzi, że to ziemia, bo to jedyne, czego nie potrafią wyprodukować, ale tak samo ma się rzecz ze złotem i srebrem. Człowiek, który kocha pieniądze jest draniem, kimś kogo należy nienawidzić. Człowiek, który nie potrafi o nie zadbać jest głupcem. Nie nienawidź go, możesz się jedynie nad nim litować.

Fran zastanowiła się, czy mówiąc te słowa, myślał o biednym Paulu Caronie, z którym przyjaźnił się zanim jeszcze Fran przyszła na świat, ale nie zapytała go o to. Tak, czy inaczej nie musiał jej mówić, że miał schowane „w skarpecie” dostatecznie dużo gotówki aby mogli przeżyć spokojnie kilka lat. Wiedziała o tym. Powiedział jej, że nigdy, zarówno w dobrych,

jak i w złych czasach nie była dla nich ciężarem i że był dumny, mogąc powiedzieć swoim przyjaciołom, że stać go było na opłacenie jej nauki. „To, czego on nie zdołał dokonać pieniędzmi, a ona rozumem – mawiał swoim przyjaciołom – robiła starym, wypróbowanym sposobem: pochylając się i ściągając z dupy majtki”. Przekładając te zwulgaryzowane, wiejskie zwroty na prostszy język, miał na myśli pracę, ciężką solidną, pracę. Jej matka nie zawsze potrafiła to zrozumieć. Kobiety się zmieniały niezależnie od tego czy chciały, czy nie. A Carla nie potrafiła pojąć, że jej córka jak dotąd nie starała się „złapać” męża.

– Ona widzi, że Amy Lauder wychodzi za mąż – powiedział Peter – i myśli: „To powinna być moja Fran. Amy jest ładna, ale przy mojej Fran wygląda jak stary, pęknięty pośrodku talerz”.

Twoja matka ma pewne nawyki i już ich nie zmieni. Dlatego bywa, że czasami są między wami tarcia, i jak wtedy, gdy potrzasz stałą krzesiwo powstają iskry. Nie ma potrzeby szukać winnego tych zatargów. Ale musisz pamiętać Fran, że ona jest za stara, by mogła się zmienić, natomiast ty masz jeszcze czas, aby móc to zrozumieć.

Ponownie zaczął opowiadać jej o swojej pracy, kiedy jeden z jego współpracowników stracił kciuk pod małą prasą, bo myślami był już w sali bilardowej.

– Dobrze, że Lester Crowley zdążył odciągnąć go na czas. Ale – dodał – któregoś dnia Lestera Crowleya tam nie będzie.

Westchnął, jakby uświadomił sobie, że jego również tam nie będzie, po czym rozpromienił się i zaczął jej opowiadać, że wpadł na pomysł ukrycia anteny samochodowej w ozdobie dachu. Jego głos zmieniał zabarwienie, przeskakując z tematu na temat, był jowialny i kojący. Ich cienie wydłużały się, pnać się w górę rzędów roślin przed nimi. Została zauroczona, tak jak zawsze. Przyszła tu, aby coś powiedzieć i została aby słuchać, tak jak to jej się przydarzało od wczesnego dzieciństwa. Ojciec jej nie nudził. O ile wiedziała, nie nudził nikogo, może z wyjątkiem jej matki. Był gawędziarzem i to niezłym. Nagle zdała sobie sprawę, że umilkł. Siedział na skale, na końcu grządki, napelniając fajkę i przyglądając się córce.

– Co cię trapi, Frannie?

Przez chwilę patrzyła na niego z otępieniem, niepewna jak powinna się zachować. Przyszła tu, aby mu coś powiedzieć, ale teraz nie była pewna, czy zdoła to zrobić. Cisza, jaka zapanowała pomiędzy nimi pogłębiała się i nagle stwierdziła, że nie wytrzyma tego dłużej. Poderwała się gwałtownie.

– Jestem w ciąży – powiedziała bez ogródek.

Przestał napelniać swoją fajkę i tylko na nią patrzył.

– W ciąży – stwierdził, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa. A potem dodał: – Och, Frannie... Czy to żart? Jakaś nowa zabawa?

– Nie, tatusiu.

– Lepiej podejdź i usiądź obok mnie.

Podeszła posłusznie wzdłuż grządki i usiadła przy nim. Opodal znajdował się kamienny murek oddzielający ich posesję od zieleńca. Za murkiem rozciągał się zapuszczony, słodko pachnący żywopłot, który już dawno temu rozrósł się dziko w najbardziej zadowalający sposób.

Czuła dudnienie w głowie, a żołądek podchodził jej do gardła.

– Na pewno? – zapytał.

– Na pewno – odrzekła, a potem – i bynajmniej nie udawała, po prostu nie mogła tego powstrzymać – jej ciałem wstrząsnął potężny przejmujący szloch.

Obejmował ją jedną ręką i trwało to długo, bardzo długo. Kiedy się nieco uspokoiła, zmusiła się aby zadać pytanie, które najbardziej ją niepokoiło.

– Tatusiu, czy nadal mnie kochasz?

– Co? – Spojrzał na nią zakłopotany. – Tak, nadal cię kocham, Frannie. I to bardzo.

Te słowa sprawiły, że ponownie wybuchnęła płaczem, ale tym razem pozwolił jej aby sama doszła do siebie, a on dokończył wreszcie nabijanie fajki.

Słaby wietrzyk został przesycony aromatem tytoniu Borkum Riff.

– Jesteś rozczarowany? – zapytała.

– Nie wiem. Pierwszy raz zdarza mi się sytuacja, że moja córka zachodzi w ciążę i nie bardzo wiem, jak mam się zachować. Czy to był Jess?

Skinęła głową.

– Powiedziałaś mu?

Znów pokiwała głową.

– Co powiedział?

– Powiedział, że się ze mną ożeni. Albo zapłaci za skrobankę.

– Ślub albo skrobanka – rzekł Peter Goldsmith i wciągnął dym z fajki. – Zdecydowany facet, nie ma co.

Spuściła wzrok i wpatrywała się w swoje dłonie oparte na dzinsach. W bruzdach na kłykciach miała drobne grudki ziemi i brud pod paznokciami. „Dłonie kobiety odzwierciedlają jej nawyki – usłyszała w myślach głos swojej matki. – Córka w ciąży. Będę musiała zrezygnować z mojego członkostwa w kościele. Dłonie kobiety...”.

Jej ojciec rzekł:

– Nie chcę zbytnio mieszać się w twoje sprawy osobiste, ale czy on... albo ty... nie uważaliście?

– Brałam pigułki – odparła. – Ale zawiodły.

– A zatem nie ma winnego, chyba że zrzuciłbym winę na was oboje – stwierdził, przyglądając się jej bacznie. – Ale tego nie mogę zrobić, Frannie. Nie wyrażam takich osądów. Sześćdziesięcioletni facet ma skłonność do zapominania o tym, że kiedyś miał dwadzieścia jeden lat. A więc nie będziemy mówić o czyjejś winie.

Ogarnęło ją głębokie uczucie ulgi i przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje.

– Na temat winy z pewnością wypowie się dogłębnie twoja matka – dodał. – A ja jej nie zabronię mówić, ale wiedz, że nie trzymam jej strony. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinęła głową. Ojciec nie próbował już przeciwstawiać się jej matce. Przynajmniej na głos. Przyczyną tego postępowania był jej zjadliwy, wręcz ociekający jadem język. Kiedy się jej przeciwstawiano, bywało, że traciła nad sobą kontrolę, nie panowała nad słowami i często mogła nimi zadać poważne, długo jęczące się rany. Frannie doszła do wniosku, że jej ojciec wiele lat temu mógł stanąć przed następującym wyborem: przeciwstawić się żonie, co ostatecznie zaowocowałoby rozwodem, albo poddać się. Wybrał to drugie rozwiązanie, ale na swoich warunkach.

Spytała półgłosem:

– Jesteś pewien, że w tej sprawie możesz trzymać się na uboczu, tato?

– Prosisz mnie abym stanął po twojej stronie?

– Nie wiem.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Z mamą?

– Nie, Frannie. Z sobą.

– Nie wiem.

– Wyjdiesz za niego? Powiadają, że we dwoje skromnie, bo skromnie ale jakoś daje się przeżyć.

– Nie jestem pewna, czy chcę to zrobić. Wydaje mi się, że się odkochałam, oczywiście jeżeli w ogóle kiedykolwiek byłam w nim zakochana.

– Dziecko?

Fajka była już dobrze rozpalona i w letnim powietrzu unosił się słodki i silny zapach tytoniu. W zakamarkach ogrodu płożyły się cienie, słychać było również cykanie świerszczy.

– Nie, to nie dziecko jest tego powodem. To stało się ot tak, po prostu. Jesse jest... – urwała, starając się znaleźć powód, dla którego nie zamierzała wyjść za Jessa, coś co mogło zostać przeoczone z powodu zamieszania wywołanego przez dziecko, coś dzięki czemu mogłaby podjąć decyzję i wyrwać się z zasięgu groźnego cienia jej matki, która obecnie znajdowała się w domu towarowym, gdzie kupowała rękawiczki na ślub koleżanki Fran.

Coś, co mogło zostać teraz pogrzebane ale mimo to, przez sześć, szesnaście czy dwadzieścia sześć miesięcy nie zaznałoby spokoju i koniec końców wyostałoby się z grobu aby zaatakować ich oboje.

„Pospieszny ślub to długi żal” – jak mawiała jej matka. To było jedno z ulubionych powiedzonek.

– On jest za słaby – powiedziała. – Nie potrafię lepiej tego wytłumaczyć.

– Nie ufasz mu, prawda Frannie?

– Nie – stwierdziła i nagle uznała, że być może jej ojciec dotarł głębiej do sedna tego problemu niż ona sama. Nie ufała Jessowi, który pochodził z bogatej rodziny i nosił

niebieskie batystowe koszule. – Jesse chce dobrze. I chce postępować właściwie. Naprawdę. Ale... dwa semestry temu poszliśmy na wieczór poezji. Swoje wiersze recytował facet o nazwisku Ted Enslin. W sali było bardzo dużo ludzi. Wszyscy słuchali z pełną powagą... bardzo skupieni... żeby nie przeoczyć ani słowa. A ja... no... znasz mnie...

Objął ją ramieniem w geście pocieszenia i powiedział:

– Frannie ma napad śmiechu.

– Tak. Otóż to. Chyba rzeczywiście dobrze mnie znasz.

– Trochę – powiedział.

– Ten atak śmiechu... ten chichot, pojawił się nie wiadomo skąd. Myślałam przez cały czas: „Jaki ten facet jest niechlujny. Słuchamy niechlujka. Abnegata... Niechlujka...”. Te słowa nabrały rytmu, jak piosenka puszczana przez radio. I wtedy zaczęłam chichotać. Nie chciałam, aby tak się stało. To naprawdę nie miało nic wspólnego z poezją pana Enslina, wiersze były całkiem niezłe, nawet pomimo jego wyglądu. To przez to, jak oni na niego patrzyli.

Spojrzała na ojca, żeby sprawdzić jak to przyjął. Skinął głową aby mówiła dalej.

– W każdym razie musiałam stamtąd wyjść, To znaczy naprawdę musiałam wyjść. Jesse wściekł się na mnie. Jestem pewna, że miał prawo być wkurzony... to było dziecinne zachowanie, dziecinne wrażenie, jestem o tym przekonana... ale często właśnie taka jestem. Nie zawsze, ale często. Potrafię się zachować...

– Owszem potrafisz...

– Ale czasami...

– Czasami Król Chichot puka do twoich drzwi, a ty nie należysz do ludzi, którzy potrafią zatrzymać go na zewnątrz – dokończył za nią Peter.

– Chyba tak. I Jesse też do nich nie należy. A gdybyśmy się pobrali... na pewno byłby świadkiem częstych wizyt tego nieproszonego gościa. Nie codziennie, ale dostatecznie często aby wprawiło go to we wściekłość. A potem ja starałabym się... i sądzę, że...

– Sądzę, że byłabyś nieszczęśliwa – dokończył Peter i przytulił ją mocniej do siebie.

– Chyba tak – powiedziała.

– A więc nie pozwól swojej matce, żeby zmusiła cię do zmiany decyzji.

Zamknęła oczy, tym razem uczucie ulgi było jeszcze silniejsze. On zrozumiał. To musiał być jakiś cud.

– A co sądzisz o tym, żebym usunęła dziecko? – spytała po chwili.

– Sądzę, że od początku właśnie o tym chciałaś rozmawiać.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

Odpowiedział jej dziwnym spojrzeniem – jakby z uśmiechem, gdyż jego lewa brew uniosła się. Mimo to odniosła wrażenie, że traktował to, co powiedział z niemal śmiertelną powagą.

– Być może masz rację – powiedziała powoli.

– Posłuchaj – zaczął, a potem milczał przez dłuższą chwilę.

Ale ona słuchała i usłyszała ćwierkanie wróbli, grę świerszczy, odległy szum przelatującego samolotu, czyjś głos wzywający Jackie aby natychmiast wracała do domu, warkot kosiarki do trawy i samochód z uszkodzonym tłumikiem przyspieszający na pobliskiej US 1. Właśnie miała go zapytać czy nic mu nie jest, kiedy ujął ją za rękę i przemówił:

– Frannie, żaden dla ciebie pożytek z takiego starego ojca, ale nic na to poradzę. Ożeniłem się dopiero w 1956 roku.

Przyglądał się jej uważnie w blasku zachodzącego słońca.

– W tamtych czasach Carla była inna. Prawdziwa diablica. Po pierwsze była młoda. Nie zmieniła się aż do śmierci twojego brata Freddy’ego. Widzisz... nie myśl, że staram się atakować twoją matkę, nawet jeżeli może to zabrzmieć w ten sposób. Widzisz, mam wrażenie jakby Carla po śmierci Freddy’ego... przestała dorastać. Nałożyła trzy warstwy lakieru i jedną szybko schnącego cementu na swój światopogląd i stwierdziła, że jest właściwy. Teraz zachowuje się jak strażniczka z muzeum i kiedy tylko ktoś zaczyna ingerować w idee znajdujące się na jej wystawie natychmiast atakuje. Ale nie zawsze taka była. Uwierz mi na słowo.

– Jaka ona była tatusiu?

– Dlaczego... – Uniósł głowę i jakby od niechcienia spojrzął w stronę drugiego końca ogrodu. – Była bardzo podobna do ciebie, Frannie. Lubiła się śmiać. Jeździliśmy na mecze Red Soxow, a w przerwach szliśmy na piwo.

– Mama... piła piwo?

– Owszem, piła. Pod koniec meczu wychodziła często do toalety i wracając, zawsze narzekała, że przegapiła najlepsze fragmenty rozgrywki, choć przedtem sama namawiała mnie żebyśmy poszli na ten browarek.

Frannie starała się wyobrazić sobie matkę z kubkiem piwa Narragansett w dłoni, patrzącą na ojca i zanoszącą się od śmiechu jak dziewczyna na randce. Po prostu nie potrafiła tego dokonać.

– Nigdy się nie podniecała – powiedział w zamyśleniu. – Poszliśmy oboje do lekarza aby stwierdzić, z którym z nas było coś nie tak. Doktor powiedział, że zarówno ona, jak i ja jesteśmy w porządku. I wtedy w 1960 roku przyszedł na świat twój braciszek Fred. Fran, jak ona kochała tego dzieciaka! Prawie na śmierć. Wiesz, jej ojciec miał na imię Fred. W 1965 roku poroniła i już myśleliśmy, że nic z tego nie będzie. I nagle w 1969 pojawiłaś się ty – wprawdzie miesiąc przed terminem, ale mimo to zdrowa i silna. I od razu cię pokochałem. Prawie na śmierć. Każde z nas miało swoje dziecko. Tylko tyle, że ona swoje utraciła.

Przerwał i na dłuższą chwilę pograżył się w myślach. Fred Goldsmith zginął w 1973 roku. Miał trzynaście lat, Frannie cztery. Facet, który potrafił Freda był pijany. Miał na swoim koncie liczne naruszenia przepisów drogowych, włącznie z przekroczeniem

dozwolonej prędkości, niebezpieczną jazdę i prowadzeniem wozu w stanie nietrzeźwym. Fred żył jeszcze siedem dni.

– Sądę, że aborcja to zbyt czyste określenie tej czynności – stwierdził Peter Goldsmith. Wypowiadał wolno i dobitnie każde słowo, jakby sprawiały mu one ból. – Uważam, że to dzieciobójstwo – proste i czyste. Przykro mi to mówić, ale takie jest moje zdanie... na temat tego nad czym się właśnie zastanawiasz, nawet jeśli robisz to tylko dlatego, że prawo na to zezwala. Jak już powiedziałem, jestem starym człowiekiem.

– Nie jesteś stary, tatusiu – wyszeptwała.

– Jestem. Jestem! – rzucił ochryłym głosem. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. – Jestem starym człowiekiem usiłującym dawać rady swojej córce. Zupełnie jak małpa, która chciała uczyć niedźwiedzia zachowania przy stole. Siedemnaście lat temu pijany kierowca odebrał życie mojemu synowi i od tej pory moja żona nie jest już taka jak dawniej. Zawsze rozważam sprawę aborcji, myśląc o Fredzie. Nie potrafię inaczej, tak jak ty nie potrafiłaś powstrzymać śmiechu podczas wieczoru poetyckiego, Frannie. Twoja matka użyłaby raczej standardowych argumentów. Powie: „Moralność”. Moralność licząca sobie już dwa tysiące lat. Prawo do życia. Bazuje na tym cała nasza zachodnia moralność. Czytałem dzieła różnych filozofów. Interesowałem się różnymi myślicielami jak gospodyni domowa, dysponująca dużą gotówką w sklepie Searsa i Roebucka. Twoja matka czytuje „Reader’s Digest”. Ja po prostu widzę Freda. Został zniszczony od wewnątrz. Nie było dla niego szansy. Gadanie o prawie do życia, to nic w porównaniu ze zdjęciami dzieci utopionych w soli, oberwanych rączek i nóg leżących na metalowym blacie stołu. A więc? Koniec życia nigdy nie wygląda zbyt pięknie. Stale widzę Freda leżącego przez te siedem dni w łóżku, jego zmasakrowane ciało owinięte bandażami.

Życie jest tanie, a przez aborcję staje się jeszcze tańsze. Czytam więcej niż twoja matka, ale ostatecznie to ona potrafi sensowniej wypowiedzieć się na dany temat. To, co robimy i co myślimy jest zwykle oparte o arbitralne osądy, które wydają się słuszne. Nie potrafię przez to przebrnąć. To jak coś, co dławi w gardle – cała prawdziwa logika zdaje się pochodzić z irracjonalności. Z wiary. Gadam bzdury, co?

– Nie chcę usunąć ciąży – powiedziała cichym tonem. – Z własnych powodów.

– Jakich?

– Dziecko jest częścią mnie – powiedziała, nieznacznie unosząc głowę. – Jeżeli nawet to sprawka jego, mniejsza z tym, nie obchodzi mnie to.

– Oddasz je, Frannie?

– Nie wiem.

– A chcesz?

– Nie. Chcę je zatrzymać.

Milczał. Miała wrażenie, że czuje jego dezaprobatę.

– Myślisz o szkole, prawda? – spytała.

– Nie – orzekł, wstając. Oparł dłonie na wysokości krzyża i skrzywił się z zadowoleniem, kiedy jego kręgosłup wydał głośnie chrupnięcie. – Myślę, że dość już się nagadaliśmy. I póki co, nie musisz jeszcze podejmować tej decyzji.

– Mama wróciła – powiedziała.

Odwrócił się, by podążyć za jej spojrzeniem, podczas gdy pół-ciężarówka skręciła na podjazd.

Chrom wozu błyszczał w promieniach zachodzącego słońca.

Carla zauważyła ich, zatrąbiła klaksonem i pomachała do nich.

– Muszę jej powiedzieć – stwierdziła Frannie.

– Tak. Ale odczekaj jeszcze dzień czy dwa, Frannie.

– W porządku.

Pomogła mu pozbierać narzędzia ogrodnicze, po czym oboje ruszyli w stronę półciężarówki.

ROZDZIAŁ 7

W słabym świetle, które spowija ziemię po nadejściu zmierzchu, tuż przed zapadnięciem prawdziwych ciemności, w ciągu tych paru minut, które reżyserzy filmu nazywają „magiczną godziną” Vic Palfrey wyłonił się z zielonej otchłani delirium, odzyskując na krótko przytomność.

„Umieram” – pomyślał i słowo to wywołało w jego umyśle dziwny oddźwięk, zupełnie jakby wypowiedział je na głos, choć tego nie zrobił. Rozejrzał się wokoło i zobaczył szpitalne łóżko – obecnie podniesione, żeby jego płuca nie zostały zalane przez płyny ustrojowe. Był unieruchomiony specjalnymi pasami, a boczne ścianki łóżka podniesiono. „Chyba musiałem się trochę rzucać – pomyślał z pewnym rozbawieniem. – Rozrabiałem jak pijany zajac. – I poniewczasie: – Gdzie ja jestem?”

Na szyi miał śliniak; materiał pokrywały skorupy zaschniętej flegmy. Bolała go głowa. Dziwne myśli pojawiały się w jego umyśle, by zaraz potem umknąć. Wiedział, że majaczył – i że majaki powrócą. Był chory i bynajmniej nie powracał do zdrowia – to jedynie krótka przerwa przed kolejnym nawrotem. Przyłożył do czoła nadgarstek i zaraz odsunął go, krzywiąc się – zupełnie jakby przytknął nieopatrznie dłoń do rozpalonego pieca. Miał silną gorączkę i był cały naszpikowany sondami. Dwie małe, przezroczyste rurki wychodziły z jego nosa. Kolejna wysuwała się jak wąż spod szpitalnej pościeli do butelki stojącej na podłodze i był pewny, że wie do czego był przymocowany drugi koniec rurki. Z metalowego wieszaka stojącego przy łóżku zwisały dwie butelki – z każdej z nich wystawała rurka; łączyły się one w kształt litery Y i już jako jedna rurka docierały do igły wbitej w jego lewą rękę nieco poniżej łokcia. Kroplówka.

„Sądziłbyś, że to już wystarczy” – pomyślał. Ale prócz tego miał na sobie całą masę różnych przewodów. Były przymocowane do jego czaszki, klatki piersiowej i lewej ręki. Wydawało mu się, że jeden kabel przyklejono mu nawet do pępka. I na dodatek dręczyło go wrażenie, że wciśnięto mu coś w tyłek. „Co to mogło być, na Boga? Gówniany radar?”

– Hej!

Miał zamiar wydać z siebie dźwięczny okrzyk, pełen oburzenia. Zamiast tego, z jego ust popłynął jedynie zduszony szept ciężko chorego człowieka. Wypłynął spomiędzy jego warg, otoczony z wszystkich stron flegmą, którą starał się zdławić.

„Mamusiu, czy George odprowadził już konika?”

To były słowa wypowiedane w delirium. Irracjonalna myśl przemykająca niczym meteor ponad polem bardziej racjonalnego rozumowania. Mimo to, przez chwilę dał się oszukać. To nie potrwa długo. Ta myśl przepelniała go uczuciem paniki. Patrząc na chude pątyki swoich rąk, stwierdził, że musiał stracić ponad trzydzieści funtów, a i tak przecież nie zaliczał się do osób tęgich. To... cokolwiek to było, zamierzało go zabić... Perspektywa, że mógł wyzionąć ducha, mamrocząc pod nosem bzdury jak zgrzybiały starzec, wprawiła go w przerażenie.

„George poszedł smalić cholewki do Normy Willis. Sam się zajmij tym konikiem, Vic, i daj mu worek z owsem. Bądź dobrym chłopcem”.

„To nie należy do moich obowiązków”.

„Victor, przecież kochasz swoją mamę, zrób to”.

„Zrobię. Ale to nie...”

„MUSISZ kochać swoją mamę, teraz. Mama ma grypę”.

„Nie, nie masz, mamó. Masz gruźlicę i to gruźlica cię zabije w 1947 roku. A George umrze sześć dni po przybyciu do Korei – zdąży napisać tylko jeden list. A potem pif-paf i po nim. George jest...”

„Vic, pomóż mi, zajmij się konikiem i to już. Teraz. Ostatnie słowo”.

– To ja mam grypę, nie ona – wyszeptał, ponownie wydostając się z otchłani. – Ja.

Patrzył na drzwi i stwierdził, że były raczej dziwne jak na drzwi w szpitalu: zaokrąglone na rogach, okolone rzędami nitów, framuga znajdowała się około sześć cali nad podłogą. Nawet taki pozał się Boże cieśla jak Vic Palfrey

(„Oddaj mi komiksy Vic, dość się już naoglądałeś”.

„Mamo, on mi zabrał komiksy! Oddaj! Oddaaaaaj!”)

zrobiłby je lepiej. To była...

„Stal!”

Ta myśl sprawiła, że coś niewidzialnego, niczym gwóźdź pogrążyło się w mózgu Vica i mężczyzna spróbował się podnieść aby móc lepiej przyjrzeć się drzwiom.

Tak. Dokładnie tak. Drzwi były ze stali. Dlaczego znajdował się w szpitalu ze stalowymi drzwiami?

Co się stało? Czy faktycznie umierał? Czy powinien już zacząć się zastanawiać nad zbliżającym się spotkaniem z Bogiem? Boże, co się stało? Rozpaczliwie starał się przebić gęstą, szarą zasłonę mgły ale słyszał przez nią tylko głosy – odległe głosy, którym nie potrafił przyporządkować nazwisk.

„Mówię wam... powinni olać... całą tę inflację...”

„Lepiej wyłącz dystrybutory, Hap”.

(„Hap? Bill Hascomb? Kim on był? Znam to nazwisko”.)

„Rany koguta...”

„Oni nie żyją, to, pewne...”

„Pomóżcie mi, to was stąd wyciągnę...”

„Oddaj mi komiksy, Vic, zabrałeś...”

I w tym momencie słońce skryło się za horyzontem, a obwód czujników reagujący na światło (w tym przypadku raczej na jego brak) uruchomił sufitowe lampy. W pokoju Vica zapaliło się światło. Kiedy zrobiło się jasno, zobaczył szereg twarzy przyglądających mu się ze śmiertelną powagą zza podwójnej szyby i wrzasnął, gdyż w pierwszej chwili miał wrażenie, że to ich rozmowy słyszał przez cały czas w myślach. Jedna z postaci, mężczyzna ubrany w lekarski kitel, dawał gwałtowne znaki rękoma komuś, kto znajdował się poza zasięgiem jego wzroku, ale Vic już się nie bał. Był zbyt słaby, aby jego przerażenie mogło trwać dłużej. Niemniej jednak nagły przypływ zgrozy spowodowanej zapaleniem się świateł i widokiem wpatrujących się w niego twarzy (przypominających ławę sędziowską odzianych w kitle widm) zdołał usunąć częściowo blokadę w jego umyśle i przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Atlanta. Atlanta w Georgii. Przyjechali i zabrali go – jego, Hapa i Norma razem z żoną i dziećmi. Zabrali Hanka Carmichaela, Stu Redmana i Bóg wie ilu innych. Vic był przerażony i oburzony. Oczywiście smarkał i kichał, ale z całą pewnością nie złapał tej cholery, czy co to było, co uśmierciło tego biedaczynę Campiona i jego rodzinę. Fakt, miał też gorączkę i przypomniał sobie, że Norm Bruett, wsiadając do samolotu, nagle się potknął i trzeba było mu pomóc. Jego żona umierała ze strachu i płakała; mały Bobby Bruett też płakał – płakał i kasłał. To był ochrypły, krupowy kaszel. Samolot czekał na nich na niewielkim pasie startowym za Braintree ale żeby wyjechać poza roгатki Arnette musieli minąć blokadę drogową na szosie numer 93 – widział ludzi rozciągających w poprzek drogi zasieki z drutu kolczastego... rozciągali zasieki przez całą szosę, aż na pustynię...

Nad dziwnymi drzwiami zapaliło się czerwone światełko. Rozległ się syk, a potem dźwięk jakby uruchamianych pomp. Kiedy umilkł, drzwi otworzyły się. Mężczyzna, który wszedł do środka miał na sobie ogromny, biały kombinezon ciśnieniowy z przezroczystym wizjerem. Za płytką wizjera, uwięziona wewnątrz hełmu głowa mężczyzny, podskakiwała jak balon. Na plecach miał butle tlenowe, a kiedy przemówił jego głos był metaliczny i szorstki, pozbawiony wszelkich ludzkich cech. Równie dobrze mógł wydobywać się z jednej z gier wideo, mówiąc: „Spróbuj jeszcze raz Kosmiczny Kadecie”, kiedy ostatni raz pokpiłeś sprawę i rozgrywka dobiegła końca.

Zazgrzytał:

– Jak się pan czuje, panie Palfrey?

Vic nie mógł jednak odpowiedzieć. Ponownie pograżył się w zielonkawej otchłani. Za szybą kasku białego kombinezonu zobaczył twarz swojej matki. Mama była ubrana na białą,

kiedy widział ją po raz ostatni, tego dnia, gdy ojciec zabrał jego i George'a do „Sani-torium”. Musiała iść do „Sani-torium”, żeby reszta rodziny nie zaraziła się tym samym, co ona. Gruźlica była zaraźliwa. Mogłeś od tego umrzeć.

Rozmawiał z mamą... powiedział, że będzie grzeczny... i odprowadzi konika... powiedział, że George zabrał mu komiksy... spytał, czy czuje się lepiej... zapytał, czy już wkrótce zamierza wrócić do domu... i wtedy mężczyzna w białym kombinezonie zrobił mu zastrzyk i Vic pogrążył się jeszcze głębiej w otchłani, a dobiegające do niego głosy rozmyły się w niewyraźny bełkot. Facet w kombinezonie obejrzał się w stronę twarzy widocznych za szybą i pokręcił głową. Przetawił głową przełącznik interkomu umieszczony wewnątrz hełmu i powiedział:

– Jeżeli to nie zadziała, stracimy go jeszcze przed północą.

Dla Vica Palfreya magiczna godzina dobiegła końca.

– Bardzo proszę panie Redman, niech pan podwinie rękaw – powiedziała ładna pielęgniarka o ciemnych włosach. – To potrwa tylko chwilę.

W obleczonej w rękawice dłoniach trzymała opaskę do mierzenia ciśnienia. Za plastikową maseczką uśmiechała się, jakby oboje dzielili jakiś radosny sekret.

– Nie – powiedział Stu.

Uśmiech przygasł na chwilę.

– To tylko pomiar ciśnienia krwi. Nie zajmie nawet minuty.

– Nie.

– Zalecenie lekarza – stwierdziła, przechodząc na urzędowy ton. – Proszę.

– Jeżeli to zalecenie lekarza, to chciałbym z nim porozmawiać.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Jest obecnie bardzo zajęty. Gdyby tylko zechciał pan...

– Zaczekam – odrzekł identycznym tonem Stu, nawet nie rozpinając guzika u rękawa koszuli.

– Wykonuję jedynie swoje obowiązki. Chyba nie chce pan przysporzyć mi kłopotów, prawda?

Tym razem obdarzyła go czarująco smętnym uśmiechem.

– Gdyby tylko pozwolił pan...

– Nie – uciął Stu. – Niech pani idzie i powie im to. Przyślą tu kogoś.

Pielęgniarka, wyraźnie zakłopotana, podeszła do stalowych drzwi i przekreśliła klucz w zamku. Pompa została uruchomiona, drzwi otworzyły się z sykiem i przeszła na drugą stronę. Zanim drzwi zamknęły się, posłała Stu spojrzenie pełne wyrzutu. Uśmiechnął się do niej ironicznie.

Kiedy drzwi zamknęły się, wstał i podszedł niespokojnie do okna – z podwójnych szklanych płyt i okratowanego od zewnątrz – ale zrobiło się już ciemno i nic nie zdołał zobaczyć. Odszedł od okna i wrócił na swoje miejsce. Usiadł. Miał na sobie sprane dżinsy,

koszulę w kratkę i brązowe buty, których szwy na bokach zaczęły się wybrzuszać. Przesunął dłonią po boku twarzy i skrzywił się, z dezaprobatą wyczuwając pod palcami świeży zarost. Nie pozwolili mu się ogolić, a jego zarost rósł bardzo szybko.

Nie miał nic przeciwko samym testom. Nie mógł się pogodzić z tym, że trzymali go w ciemnościach, w ciągłym strachu. Nie był chory, przynajmniej jak na razie, ale bał się, i to bardzo. Z tego, co zdołał się zorientować, wdepnął w jakąś śmierdzącą sprawę i nie miał zamiaru w niej uczestniczyć, dopóki ktoś nie powie mu, co się działo w Arnette i co miał z tym wspólnego ten facet – Champion. Wtedy przynajmniej jego obawy mogłyby mieć jakąś solidną podstawę. Spodziewali się, że będzie próbował wypytywać już wcześniej – widział to wyraźnie w ich oczach.

W szpitalach mają specyficzny sposób ukrywania przed tobą różnych rzeczy. Cztery lata temu jego żona zmarła na raka (miała dwadzieścia siedem lat); choroba zaczęła rozwijać się w jej łonie a potem jak błyskawica objęła całe ciało. Stu zauważył w jaki wymijający sposób odpowiadali na wszystkie jej pytania, zmieniając temat lub karmiąc ją niezrozumiałą, naukową papką. Właśnie dlatego nie zadawał żadnych pytań i widział, że to ich martwiło. Teraz nadszedł czas aby zacząć pytać i otrzymać od nich odpowiedzi. Krótkie, zwięzłe i treściwe. Niektóre białe plamy potrafi zapełnić sam.

Champion, jego żona i dziecko musieli zarazić się czymś naprawdę potwornym. Symptomy przypominały zwyczajną gripę bądź anginę, ale choroba nasilała się – prawdopodobnie dotąd aż zadławiłeś się na śmierć własnymi smarkami lub wypaliła cię gorączka. Choroba była wysoce zaraźliwa.

Przyjechali i zabrali go po południu, siedemnastego – dwa dni temu. Czterech wojskowych i lekarz. Byli uprzejmi, ale stanowczy. Nie mógł odmówić, to nie wchodziło w rachubę, gdyż wszyscy żołnierze byli uzbrojeni.

Właśnie wtedy Stu Redman zaczął się bać. Naprawdę się bał. Z Arnette na pas startowy pod Braintree wyruszył prawdziwy tabor ciężarówek. Stu jechał z Vikiem Palfrey, Hapem, Bruettami, Hankiem Carmichaelem, jego żoną i dwoma podoficerami. Cisnęli się w ciężarówce jak sardynki w puszcze, jednak żołnierze milczeli, nie odezwali się nawet słowem pomimo histerycznych krzyków zawodzącej Lili Bruett.

Inne ciężarówki były również pełne. Stu nie widział wszystkich, których spędzono do samochodów, ale zauważył całą piątkę Hodgesów i Chrisa Ortegę, brata Carlosa, ochotniczego kierowcę karetki. Chris był barmanem w Indian Head. Zauważył Parkera Nasona i jego żonę, starszą parę z kempingu znajdującego się opodal domu Stu. Stu przypuszczał, że zgarniano wszystkich, z którymi oni mogli się kontaktować po zetknięciu się z Championem.

Na rogatkach miasta w poprzek drogi ustawiono dwie oliwkowo-zielone ciężarówki. Stu przypuszczał, że inne drogi dojazdowe do Arnette również były zablokowane. Żołnierze

rozciągali zasieki z drutu kolczastego, a kiedy miasteczko zostanie odizolowane na drogach zapewne zostaną wystawione posterunki wojskowe.

A zatem sprawa była poważna. Śmiertelnie poważna.

Siedział cierpliwie na krześle obok szpitalnego łóżka, z którego nie mógł korzystać i czekał aż pielęgniarka kogoś przyprowadzi. Być może jeszcze przed świtem przyślą tu kogoś, kto będzie na tyle kompetentny, aby udzielić mu informacji, których pragnął. Mógł zaczekać. Cierpliwość zawsze była jego mocną stroną.

Aby zabić czas zaczął się zastanawiać nad stanem zdrowia ludzi, których wraz z nim odwieziono na pas startowy. Nie ulegało wątpliwości, że Norm był chory. Kaszłał, pluł flegmą, gorączkował. Reszta zdradzała większe lub mniejsze objawy zwykłego przeziębienia. Luke Bruett kichał. Lila Bruett i Vic Palfrey cicho kasłali. Hap pociągał nosem i siąkał głośno w chustkę. Przypominali dzieciaki, pierwszo- i drugoklasistów, z którymi Stu chodził do szkoły i z których większość zwykle była chora.

Najbardziej jednak przeraziło go to, co stało się w momencie kiedy wjechali na pas startowy – choć rzecz jasna mógł to być jedynie zwykły przypadek, zbieg okoliczności. Ni stąd ni zowąd wojskowy kierowca trzy razy kichnął jak z armaty. Tak. To był najprawdopodobniej zbieg okoliczności. Czerwiec we wschodnio-centralnym Teksasie był kiepskim okresem dla alergików. Być może kierowca złapał zwykłe przeziębienie, a nie to dziwne choróbko, które dopadło resztę. Stu chciał w to wierzyć. Ponieważ coś, co mogło w takim tempie przenosić się od jednej osoby do drugiej...

Wojskowa eskorta znalazła się razem z nimi na pokładzie samolotu. Milczeli jak głazy, udzielając odpowiedzi tylko co do celu ich podróży. Lecieli do Atlanty. Tam dowiedzą się więcej (jeszcze jedno paskudne kłamstwo). Po udzieleniu tej informacji wojskowi nabrali wody w usta. Podczas lotu Hap siedział obok Stu i sprawiał wrażenie niezłe nabuzowanego. Samolot był wojskowy, urządzone raczej funkcjonalnie, ale alkohole i jedzenie były wręcz wyborowe. Oczywiście nie podawała ich śliczna stewardesa tylko sierżant o posępnej twarzy, ale jeśli się z tym pogodziłeś to ogólnie nie było źle. Nawet Lila Bruett zdołała się uspokoić po wypiciu kilku głębszych. Hap pochylił się, spowijając Stu ciepłą mgiełką oparów szkockiej.

„Niezła zgraja dobrych, rzetelnych chłopaków, Stuart. Wszyscy mają poniżej pięćdziesiątki i u żadnego nie zauważyłem ślubnej obrączki. Zawodowi, stary. Niżsi stopniem”.

Na jakieś pół godziny przed lądowaniem Norm Bruett nagle zasłabł i Lila zaczęła krzyczeć. Dwóch stewardów o zaciętych twarzach natychmiast owinęło go w koc. Lila, która nie potrafiła już dłużej zachować spokoju, krzyczała. Po chwili zwymiotowała drinki i sałatkę z kurczaka. Dwaj stewardzi z niewzruszonymi minami zajęli się oczyszczaniem podłogi.

„O co tu chodzi? – krzyknęła Lila. – Co się dzieje z moim mężem? Czy my umrzemy? Czy moje dzieci umrą?”

Obejmowała dzieci obiema rękami, przyciskając ich główki do swoich obfitych piersi. Luke i Bobby wyglądali na przestraszonych, niezadowolonych i raczej zakłopotanych czynionym przez nią zamieszaniem.

„Dlaczego nikt mi nie powie? Czy to nie Ameryka?”

„Mógłby ją ktoś uciszyć? – mruknął siedzący nieco dalej z tyłu Chris Ortega. – Chryste, ta baba jest gorsza niż grająca szafa, w której zacięła się płyta”.

Jeden z wojskowych zmusił ją do wypicia mleka i Lila faktycznie umilkła. Przez resztę podróży spoglądała przez okno, podziwiając rozciągający się w dole krajobraz i pomrukiwała pod nosem. Stu sądził, że w szklaneczce było coś więcej niż tylko mleko.

Kiedy wylądowali czekały już na nich cztery limuzyny – cadillaki. Mieszkańcy Arnette zajęli miejsca w trzech samochodach. Do czwartego wsiadła ich wojskowa eskorta. Stu przypuszczał, że ci mężczyźni bez obrączek ślubnych, jak również bez bliskich krewnych, znajdowali się teraz gdzieś w tym budynku.

Czerwone światło zabłysło nad drzwiami. Kiedy kompresor, pompa czy czymkolwiek było to urządzenie włączyło się, do pokoju wszedł ubrany w biały, kosmiczny kombinezon mężczyzna. Doktor Denninger. Był młody, miał czarne włosy, oliwkową cerę, ostre rysy i mówił półsłówkami.

– Patty Greer twierdzi, że sprawia jej pan kłopoty – rozległ się głos płynący z głośnika umieszczonego na piersi Denningera, kiedy mężczyzna zbliżył się do Stu. – Jest nieco zdenerwowana.

– Niepotrzebnie – odrzekł krótko Stu.

Trudno mu było zachować spokojny głos, ale czuł, że nie może się zdradzić przed tym człowiekiem. Nie mógł dać po sobie poznać, że się boi. Denninger wyglądał i zachowywał się jak ktoś, kto pomiata swymi podwładnymi, a jednocześnie podlizuje się do przełożonych jak najpodlejszy wazeliniarz. Tego faceta można było sobie urobić, musiał jedynie zrozumieć, że to twoja ręka trzyma bat. Gdyby jednak wyczuł w tobie strach, zachowałby się tak samo jak zawsze – powtórzyłby starą oklepaną śpiewkę: „Przykro mi, ale nie mogę panu powiedzieć nic więcej”, pod którą kryła się pogarda dla głupich cywili, chcących wiedzieć więcej niż to było konieczne.

– Żądam odpowiedzi na kilka pytań – powiedział Stu.

– Przykro mi, ale...

– Jeżeli chcecie, abym z wami współpracował, musicie mi odpowiedzieć na parę pytań.

– W swoim czasie otrzyma pan...

– Mogę wam utrudnić życie.

– Wiemy o tym – stwierdził z irytacją w głosie Denninger. – Po prostu nie posiadam dostatecznych kompetencji, aby udzielić panu wyjaśnień, panie Redman. Sam niewiele wiem.

– Chyba robiliście badania próbek mojej krwi. Te wszystkie igły...

– Zgadza się – odparł ostrożnie Denninger.

– Po co?

– Jeszcze raz powtarzam, panie Redman: nie mogę panu powiedzieć tego, czego sam nie wiem.

Ton irytacji pojawił się w jego głosie i Stu musiał mu, chcąc nie chcąc, uwierzyć. Ten facet był tylko zwykłym technikiem wykonującym swoją pracę, która najprawdopodobniej wcale mu się nie podobała.

– Objęli całe miasto kwarantanną.

– O tym również nic mi nie wiadomo. – Tym razem Denninger odwrócił wzrok i Stu zorientował się, że tamten skłamał.

– Jak to możliwe, że nie podano żadnej informacji na ten temat? – wskazał na telewizor przymocowany do ściany.

– Co takiego?

– Kiedy odcinają miasto od świata i otaczają je zasiekami z drutu kolczastego, zwykle mówi się o tym w wiadomościach – powiedział Stu.

– Panie Redman, gdyby tylko zechciałby pan pozwolić Patty aby zmierzyła panu ciśnienie...

– Nie. Jeżeli będziecie chcieli ode mnie czegokolwiek, to lepiej przyslijcie tu w tym celu ze dwóch osiłków. Po dobroci niczego ze mnie nie wydobędziecie. I niezależnie, ilu ludzi tu przysłecie, postaram się wyrwać parę dziur w tych ochronnych kombinezonach. Wiesz, nie wyglądają na specjalnie mocne.

Znienacka sięgnął w stronę kombinezonu Denningera, a technik odskoczył w tył tak gwałtownie, że o mało się nie przewrócił.

Z głośnika jego interkomu dobiegł przerażony skrzek, a za podwójną taflą szkła zrobiło się poruszenie.

– Sądzę, że moglibyście mi domieszać czegoś do jedzenia, żeby zbiło mnie z nóg, ale to mogłoby wpłynąć niekorzystnie na wyniki waszych testów, prawda?

– Panie Redman, zachowuje się pan nierozsądnie! – Denninger zachowywał stosowny dystans. – Pańska niechęć do współpracy może przynieść ogromną szkodę naszemu krajowi. Rozumie mnie pan?

– Nie – odrzekł Stu. – Jak na razie uważam, że to kraj wyrządza MNIE olbrzymią szkodę. Zostałem zamknięty w izolatce w szpitalu w Georgii z jakimś głupkowskim, zafajdanym lekarzem, który nie ma o niczym zielonego pojęcia. Zabieraj się stąd i przyslij kogoś, z kim będę mógł porozmawiać albo kilku tłuaków, żeby wydusili ze mnie to, czego wam potrzeba. Ale możecie być pewni, że się nie poddam bez walki.

Po wyjściu Denningera przez dłuższą chwilę siedział na krześle zupełnie nieruchomo. Pielęgniarka nie wróciła. Nie pojawiło się również dwóch osiłków pielęgniarzy, którzy mogliby zmierzyć mu ciśnienie, używając przy tym siły. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiał, doszedł do wniosku, że nawet taki drobiazg, jak zmierzenie ciśnienia krwi w

jego przypadku nie mogło zostać wymuszone. Na jakiś czas dadzą mu spokój, żeby poddusił się we własnym sosie. Wstał, włączył telewizor i wpatrywał się w ekran niewidzącym wzrokiem. Strach w jego wnętrzu był ogromny jak uciekający słoń. Przez dwa dni czekał, kiedy zacznie kichać, kaszleć, strzykać czarną flegmą i wypluwać ją do umywalki. Zastanawiał się, co się działo z innymi – z ludźmi, których znał od małego. Zastanawiał się, czy z którymkolwiek było tak źle jak z Championem. Pomyślał o ciałach rodziny zmarłego we wnętrzu starego chevy i zamiast oblicza kobiety widział twarz Lili Bruett, a zamiast dziecka – małej Cheryl Hodges. Telewizor skrzeczał i strzelał. Serce biło mu w piersi powolnym rytmem. Słyszał szum oczyszczanego powietrza włączanego do wnętrza izolatki. Czuł strach, który zwijał się i skręcał w jego wnętrzu, ukryty pod fasadą pokerowego oblicza. Czasami był potężny i paniczny a wówczas tratował wszystko – słoń. Czasami był drobny i rozdzierał każdą rzecz, jaką napotkał na swojej drodze, rozszarpując ostrymi jak brzytwy zębami – szczur. Nie opuszczał go jednak ani na chwilę.

Ale minęło jeszcze czterdzieści godzin zanim przysłali do niego człowieka skłonnego do rozmowy.

ROZDZIAŁ 8

Osiemnastego czerwca, pięć godzin po rozmowie ze swoim kuzynem, Billem Hapscombem, Joe Bob Brentwood zatrzymał pirata drogowego na Texas Highway 40, około dwudziestu pięciu mil na wschód od Arnette. Piratem był niejaki Harry Trent z Braintree, pracujący w ubezpieczalni. Pruł sześćdziesiąt pięć mil na godzinę na obszarze, gdzie dozwolona prędkość wynosiła pięćdziesiąt. Joe Bob wypisał mu mandat. Trent przyjął go z pokorą, a potem rozbawił Joe Boba, usiłując sprzedać mu ubezpieczenie na życie i dom. Joe Bob czuł się wyśmianicie. Śmierć była ostatnią rzeczą, która mogłaby przyjść mu na myśl. Mimo to był już chory. Na stacji Hapscomba otrzymał coś więcej niż tylko samą benzynę. I przekazał Harry'emu Trentowi coś więcej niż tylko mandat za przekroczenie prędkości.

Harry, człowiek towarzyski, lubiący swoją pracę zaraził jeszcze tego i następnego dnia kolejne czterdzieści osób. Nie sposób powiedzieć ilu ludzi zainfekowała ta czterdziestka – równie dobrze można by zapytać ile diabłów mieści się na łebku szpilki. Gdyby przyjąć umiarkowane założenie, że każda z tych osób zarazi pięć następnych, liczba ta wzrośnie do dwustu. Zgodnie z tą samą, konserwatywną formułą, można by rzec, że tych dwieście osób zainfekuje tysiąc, tysiąc – pięć tysięcy, a pięć – dwadzieścia pięć tysięcy.

Na kalifornijskiej pustyni, subsydiowany przez pieniądze podatników, pewien człowiek zainicjował „łańcuszek”, który okazał się skuteczny. I wyjątkowo zabójczy. Dziewiętnastego czerwca, w dniu kiedy Larry Underwood przybył do Nowego Jorku, a Frannie Goldsmith powiedziała ojcu, że jest w ciąży, Harry Trent zatrzymał się na obiad przy niewielkim barze, Babe's Kwik-Eat we wschodnim Teksasie.

Zjadł cheesburgera a na deser zamówił placek truskawkowy – specjalność baru Babe. Był odrobinę przeziębiony (być może był również alergikiem) kichał i odpluwał flegmę. Podczas posiłku zaraził w Babe pomywaczkę, dwóch kierowców siedzących przy stoliku obok, dostawcę chleba i faceta, który przyszedł aby wymienić płyty w szafie grającej. Na stoliku zostawił w formie napiwku dolara, po którym pełzała niewidzialna śmierć. Kiedy wychodził z baru, na parking wjechała akurat półciężarówka. Na dachu wozu znajdował się metalowy bagażnik z prętów. W samochodzie pełno było bagaży i kilkoro dzieciaków. Wóz miał tablice z Nowego Jorku a kierowca, który opuścił szybę, by zapytać jak dojechać do biegnącej na

północ US 21 mówił z nowojorskim akcentem. Harry udzielił mu dokładnych wskazówek jak ma dotrzeć do US 21. Jednocześnie wydał na niego i całą jego rodzinę wyrok śmierci, choć wcale o tym nie wiedział. Nowojorczykiem był Edward M. Norris, porucznik policji, detektyw z 87 Komisariatu w Big Apple* [* Wielkie Jabłko – popularna nazwa na Nowy Jork.]. To był jego pierwszy prawdziwy urlop od pięciu lat. Bawili się wyśmienicie. Dzieci były w siódmym niebie zwiedzając Disney World w Orlando. Nie wiedząc, że cała rodzina umrze jeszcze przed drugim lipca, Norris planował, że powie temu kretyńskiemu sukinsynowi Steve’owi Carelli, że można pojechać wraz z żoną i dziećmi na urlop samochodem i miło spędzić czas. „Steve – powie – możesz być dobrym detektywem, ale jeśli nie potrafisz utrzymać w ryzach własnej rodziny, to jesteś dupa a nie glina”. Rodzina Norrisa zjadła szybki obiad u Babe, po czym zgodnie ze wskazówkami Trenta wyjechała na autostradę. Ed i jego żona Trish nie mogli się nadziwić gościnności południowców, podczas gdy trójka jego dzieci na tylnym siedzeniu zajmowała się malunkami. „Bóg jeden wie – pomyślał Ed – do czego byłaby zdolna ta parka małych potworków Carelli”.

Zatrzymali się na noc w Eustace w Oklahomie. Ed i Trish zarazili kierownika motelu. Marsha, Stanley i Hector zaraziły maluchy, z którymi bawiły się na pobliskim placu zabaw. Te dzieciaki pojechały później do zachodniego Teksasu, Alabamy, Arkansas i Tennessee. Trish zainfekowała jeszcze dwie kobiety w pralni samoobsługowej, znajdującej się dwie przecznice dalej. Ed, idąc motelowym korytarzem po kilka kostek lodu, zaraził mijanego po drodze mężczyznę. Wszyscy od tej pory stali się uczestnikami dramatu. Trish obudziła Eda wczesnym rankiem i oznajmiła, że ich synek Heck jest chory. Bardzo kaszłał i miał wysoką gorączkę. Trish, słysząc jego ochryple kasłanie, uznała, że to może być krup. Ed Norris jęknął i powiedział, żeby dała dziecku kilka aspiryn. Gdyby tylko ten cholerny krup mógł poczekać cztery czy pięć dni, mógłby przynajmniej rozchorować się w domu a on, Ed, pozostałby ze wspomnieniami idealnego urlopu (nie mówiąc już o opowieściach jakimi z pełną satysfakcją raczyłyby wszystkich znajomych). Słyszał tego biednego dzieciaka przez drzwi – zanosił się kaszlem jak stary gruźlik. Trish spodziewała się, że rankiem stan Hectora ulegnie poprawie – krup był chorobą dającą się we znaki leżącym – ale do południa dwudziestego musiała, acz niechętnie, przyznać, że poprawa nie nastąpiła. Aspiryna nie poradziła sobie z gorączką – jedynym jej efektem była szklistość oczu biednego Hectora. Ponadto jego kaszel stał się donośniejszy i bardziej ochryple, co bynajmniej się jej nie spodobało. Oddech dziecka wydawał się teraz mozolniejszy i zduszony przez flegmę.

Cokolwiek to było, najwyraźniej Marsha również to złapała, a i Trish czuła w gardle lekkie łaskotanie powodujące kaszel, choć na razie kasłała tylko sporadycznie i bardzo cichutko.

– Musimy zawieźć Hecka do lekarza – oznajmiła w końcu.

Ed wsiadł do półciężarówki i spojrzął na mapę przypiętą spinaczem do osłony przeciwsłonecznej. Znajdowali się w Hammer Crossing w Kansas.

– Nie wiem – powiedział. – Może przynajmniej uda nam się znaleźć lekarza, który powie co to jest. – Westchnął i przesunął dłonią po włosach. – Hammer Crossing, Kansas! Jezus, dlaczego musiał rozchorować się do tego stopnia, że potrzebny mu lekarz, akurat w takim miejscu?

Marsha, która patrzyła na mapę ponad ramieniem ojca powiedziała:

– Tu jest napisane, że w tym miejscu Jesse James obrabował bank, tatusiu. Dwa razy.

– Pieprzyć Jesse Jamesa – burknął Ed.

– Ed! – krzyknęła Trish.

– Przepraszam – mruknął, jednak wcale nie było mu przykro.

Ruszyli.

Po sześciu telefonach (podczas każdej z tych rozmów Ed Norris usilnie starał się trzymać nerwy na wodzy) zdołali wreszcie dogadać się z lekarzem z Polliston, który zgodził się zbadać Hectora jeśli tylko przywiozą go tam przed trzecią. Polliston leżało nieco na uboczu od ich trasy – dwadzieścia mil na zachód od Hammer Crossing, ale teraz najważniejszy był Hector. Ed zaczął się o niego martwić. Jeszcze nigdy nie widział dziecka, które by tak kaszlało i miało w sobie tyle flegmy.

W poczekalni doktora Brendena Sweeney'a znaleźli się o drugiej. Do tego czasu Ed również zaczął kichać. W poczekalni doktora było pełno ludzi. Do gabinetu weszli dopiero o czwartej. Heck sprawiał wrażenie półprzytomnego, prawie „lał” się przez ręce, a Trish również poczuła pierwsze objawy gorączki. Tylko Stan Norris, dziewięciolatek, jak dotąd czuł się względnie dobrze, ale był niespokojny.

Podczas swego pobytu w poczekalni dr Sweeney'a Norrisowie przekazali chorobę, która już niebawem będzie znana w całym, rozsypującym się w gruzy kraju jako Kapitan Trips, ponad dwudziestu pięciu ludziom włącznie z pewną matroną, która zajrzała tu tylko aby uiszczyć rachunek. Ona z kolei rozsieje zarazki wśród swoich znajomych z klubu brydżowego. Ową dostojną matroną była pani Roberta Bradford, Sara Bradford dla członków klubu brydżowego i Cookie dla swego męża i bliskich znajomych. Tego wieczoru karta szła jej bardzo dobrze – może dlatego, że jej partnerką była bliska przyjaciółka, Angela Dupray. Mogło się wydawać, że te dwie kobiety porozumiewają się telepatycznie. Wygrały trzy robry, jednego po drugim, kończąc ostatniego wielkim szlemem. Dla Sary jedynym minusem tej bądź co bądź miłej rozrywki był fakt, że najwyraźniej zaczynała ją chwytać grypa. To nie było w porządku – przecież tak niedawno chorowała. Kiedy o godzinie dziewiątej przyjęcie dobiegło końca razem z Angielą wyszła na szybkiego drinka do pobliskiego cocktail baru.

Angela nie spieszyła się do domu. Tego dnia David miał gości – grali jak zawsze w pokera i nie potrafiłaby usnąć przy czynionym przez nich hałasie... chyba, że zaaplikowałaby sobie jakiś skuteczny środek nasenny, na przykład dwa drinki z ginem. Sara zamówiła Ward 8 i obie kobiety zaczęły na nowo przeżywać brydżową rozgrywkę.

W tym czasie zdołały zarazić wszystkich znajdujących się w barze, włącznie z dwójką młodych ludzi pijących piwo przy stoliku obok. Wybierali się do Kalifornii – tak jak niegdyś zrobił to Larry Underwood i jego przyjaciel Rudy Schwartz – w poszukiwaniu szczęścia i fortuny. Ich przyjaciel obiecał, że załatwi im pracę w firmie zajmującej się przeprowadzkami. Następnego dnia wyruszyli na zachód, zarażając każdego, kogo napotkali po drodze.

Tak zwane „łańcuszki szczęścia” są zawodne. To sprawdzony fakt. Nigdy nie otrzymujesz miliona czy więcej dolarów, które ci się obiecuje, jeśli tylko wyślesz jednego dolara na nazwisko znajdujące się u góry listy, dopiszesz swoje nazwisko u dołu i wyślesz pięć kopii listu do pięciu swoich przyjaciół. Ten łańcuszek, łańcuszek Kapitana Tripsa, zadziałał wręcz idealnie. Piramida rzeczywiście została zbudowana, ale nie od dołu lecz od góry, przy czym na samym jej wierzchołku należałoby umieścić nieżyjącego już wojskowego strażnika nazwiskiem Charles Champion. „Ziarnko do ziarnka aż zbierze się miarka” – jak mówi przysłowie. Tyle tylko, że w przypadku tego szczególnego łańcuszka nie przynosił stosu listów z jednodolarowymi banknotami w środku – choroba znana jako Kapitan Trips przynosiła ze sobą setki i tysiące sypialni z jednym lub dwoma ciałami, rowy i doły wypełnione zwłokami (w późniejszym stadium) stosy trupów wyrzucane u wybrzeży i do oceanu bądź w głąb kamieniołomów i grzebane w fundamentach nie ukończonych domów. W ostatniej fazie, rzecz jasna, ciała będą gniły tam, gdzie upadły.

Sara Bradford i Angela Dupray wróciły razem do swoich samochodów (zarażając pięciu czy sześciu ludzi, których minęły na ulicy) po czym uścisnęły się na pożegnanie i pojechały każda w swoją stronę. Sara wróciła do domu aby zarazić swego męża, jego pięciu kumpli od pokera i swoją nastoletnią córkę, Samantę. Choć jej rodzice o tym nie wiedzieli, Samanta była wielce przerażona, że złapała syfa od swojego chłopaka. Niemniej jednak, w zasadzie nie miała się czym przejmować. W porównaniu z tym, czym zaraziła ją matka, syfilis był równie poważny jak zwyczajny wyprysk na czole.

Następnego dnia Samanta pojechała na basen YWCA w Polliston aby zarazić wszystkich, którzy się tam znajdowali.

I tak dalej, i tak dalej...

ROZDZIAŁ 9

Zaatakowali go tuż po zmierzchu, kiedy maszerował wzdłuż odnogi US Route 27, która jeszcze milę temu, przebiegając przez miasto, nazywała się Main Street. Jakąś milę czy dwie dalej miał zamiar skręcić na zachód, wzdłuż szosy numer 63, a po dojściu na roгатki rozpocząć długą wędrówkę na północ. Być może dwa piwa, które wypił nieco przytępiły jego zmysły, jednakże czuł, że coś było nie tak. Właśnie zaczął to sobie kojarzyć z czterema czy pięcioma miejscowymi osiłkami, którzy znajdowali się na drugim końcu baru, kiedy wypadli jak burza ze swoich kryjówek i rzucili się na niego. Nick walczył jak umiał, powalił na ziemię jednego z nich a drugiemu rozkwaśił i, sądząc po towarzyszącym temu odgłosie, również złamał nos. Przez krótką, pełną nadziei chwilę miał wrażenie, że zdoła wygrać. Fakt, iż walczył, nie wydając z siebie żadnego odgłosu, nieco zbił ich z tropu. Nie byli zbyt twardzi, być może robili to już wcześniej i zawsze szło im jak z płatka, toteż zapewne nie spodziewali się, że ten chudy dzieciak z plecakiem będzie się bronił z taką zjadłością.

I nagle jeden z nich trafił go tuż nad szczęką, rozcinając mu dolną wargę czymś, co wyglądało jak uczelniany sygnet.

Poczuł w ustach ciepły smak krwi. Zatoczył się do tyłu i ktoś schwycił go za rękę. Szarpał się jak oszalały i zdołał uwolnić jedną rękę, ale w tej samej chwili pięść spadła na jego twarz niczym umykający księżyc. Zanim cios zamknął mu prawe oko, ponownie zobaczył ten mętnie połyskujący pierścień w świetle gwiazd. Zobaczył gwiazdy i poczuł, że robi mu się słabo. Tracił przytomność, rozplywając się wolno w czerni zapomnienia. Ogarnięty przerażeniem zaczął walczyć jeszcze zacieklej. Facet z sygnetem stał teraz na wprost niego i Nick, obawiając się, że ponownie zostanie zraniony, kopnął go w brzuch.

„Sygnet” stracił oddech i zgiąwszy się wpół, rozpaczliwie chwycił powietrze, jak terier cierpiący na laryngitis. Pozostali podeszli bliżej. Dla Nicka byli teraz tylko sylwetkami barczystych mężczyzn – dobrych, starych chłopców, jak siebie określali – w szarych koszulkach z podwiniętymi rękawami, spod których wystawały potężne bicepsy pokryte piegami od słońca. Nosili duże, robocze buty. Ich czoła przesłaniały kosmyki przetłuszczonych włosów. W gasnącym świetle dnia wszystko to zaczynało przypominać senny koszmar.

Krew wpływała mu do otwartego oka. Ktoś zdarł mu z pleców plecak. Grad ciosów spadł na niego, zmieniając go w galaretowatą, podrygującą marionetkę na postrzępionych sznurkach. Jeszcze nie stracił świadomości. Jedyne odgłosami były ich zdyszane oddechy, gdy okładali go pięściami i płynny śpiew lelka dochodzący z gałęzi pobliskiej sosny. „Sygnet” podniósł się chwiejnie na nogi.

– Przytrzymajcie go – powiedział. – Przytrzymajcie go za włosy.

Ich dłonie unieruchomiły jego ręce. Ktoś inny wplótł palce w czarną gęstwinę włosów Nicka.

– Dlaczego on nie krzyczy? – spytał jeden z tamtych, poruszony. – Dlaczego on nie krzyczy, Ray?

– Mówiłem, żadnych imion – rzucił „Sygnet”. – Gównu mnie to obchodzi, dlaczego on nie krzyczy. Wpierdolę mu. Ten skurwiel mnie kopnął. To pierdolony tchórz, który stosuje podstępne sztuczki.

Pięść opadła w dół. Nick szarpnął głowę w bok i sygnet rozorał mu policzek.

– Mówiłem, przytrzymajcie go! – rzucił Ray. – Co wy, kurde, cioty czy jak?

Pięść ponownie opadła w dół i rozkwasiała nos Nicka, zmieniając go w ociekającą czerwienią miazgę. Jego oddech stał się świszczący. Świadomość skurczyła się do rozmiarów wkładu do ołówka. Otworzył szybko usta i zaczerpnął powietrze. Lelek znów zaświergotał, słodko i przejmująco. Nick nie słyszał go, podobnie jak za pierwszym razem.

– Trzymajcie go – warknął Ray. – Trzymajcie go, do cholery!

Pięść śmignęła w dół. Dwa z jego przednich zębów pękły, rozłupane uderzeniem dużego sygnetu. Nie potrafił wyrazić słowami potwornego bólu, jaki go przeszywał. Nogi ugięły się pod nim i Nick osunął się bezwładnie, podtrzymywany teraz tylko przez niewidzialne dla niego ręce osiłków.

– Dość już, Ray! Chcesz go zabić?

– Trzymaj go! Ten skurwiel mnie kopnął. Wpierdolę mu.

Nagle na drodze okolonej po obu stronach krzewami, i gdzieś tam wysokimi sosnami pojawiły się światła.

– O Jezu!

– Zostawcie go! Puście go!

To był głos Raya, ale Raya już przed nim nie było. Nick czuł coś w rodzaju wdzięczności, ale resztkę świadomości jaka mu jeszcze została, pochłonął straszliwy ból promieniujący z jego ust. Na języku czuł pokruszone kawałki zębów.

Ręce pchnęły go, rzucając na środek drogi. Zbliżające się kręgi światła odnalazły go, niczym punktowe światło aktora na scenie. Pisnęły hamulce. Nick podparł się rękoma i chciał zmusić do działania nogi, ale te po prostu odmówiły posłuszeństwa. Były zupełnie jak z waty. Upadł na asfalt i czekał w odrętwieniu, aż zostanie przejechany. Cały świat wypełnił jękliwy

zgrzyt hamulców i pisk opon. Jeszcze moment i wszystko się skończy. Przynajmniej nie będzie czuł tego okropnego bólu w ustach.

I wtem drobne kamyki i żwir trafiły go w policzek, a gdy uniósł wzrok zobaczył oponę, która zatrzymała się niecałą stopę od jego twarzy. Widział mały, biały kamyk wbity między dwoma bieżnikami, jak moneta trzymana pomiędzy kłykciami dwóch palców.

„Kawałek kwarcu” – pomyślał, niejako mimochodem, i zemdlął.

Kiedy Nick doszedł do siebie, stwierdził, że leży na pryczy. Była twarda, ale przez ostatnie trzy lata zdarzało mu się leżeć na twardszych. Z wysiłkiem otworzył oczy. Powieki były posklejane, a prawe oko – to, w które zarobił pięścią, otworzyło się tylko do połowy.

Spojrzał do góry na szary, splekany sufit. Poniżej ciągnęły się zygzaki obciążonych materiałem izolacyjnym rur. Wzdłuż jednej z nich sunął z mozołem wielki żuk.

Jego pole widzenia przedzielał łańcuch. Uniósł nieznacznie głowę, co spowodowało, że poczuł przejmujący ból. Zobaczył jednak drugi łańcuch biegnący od dołu pryczy do pierścienia w cementowanej w ścianę. Odwrócił głowę w lewo (kolejna fala bólu, tym razem nie tak dojmująca) i zauważył chropowatą, betonową ścianę. Była pokryta siateczką pęknięć. Zobaczył na niej wiele napisów. Niektóre były nowe, inne stare, niektóre z błędami ortograficznymi. TU SOM PLUSKWY. LOUIS DRAGONSKY – 1987. LUBIĘ DAWAĆ DUPY. TO MOŻE BYĆ ZABAWNE. GEORGE RAMPLING WALI KONIA. NADAL CIĘ KOCHAM SUZANNO. TEN DOŁEK CUCHNIE, JERRY. CLYDE D. FRED.

Widniały tu rysunki przedstawiające obwisłe penisy, gigantyczne piersi i toporne waginy. Nick natychmiast zorientował się, co to za miejsce. Przebywał w więziennej celi.

Ostrożnie podparł się na łokciach, spuścił stopy (obute w ochronne kapcie) z krawędzi pryczy i uniósł się do pozycji siedzącej. Ból w jego głowie powrócił ze zdwojoną siłą, a kręgosłup Nicka wydał ostrzegawcze skrzypnięcie. Żołądek zaczął podchodzić mu do gardła i poczuł, że lada moment zwymiotuje. Czuł się potwornie, miał wrażenie, że za chwilę zemdleje. W takich chwilach – zarazem przerażających i odbierających odwagę, ma się ochotę wrzeszczeć na całe gardło i prosić Boga, aby to przerwał.

Zamiast zacząć krzyczeć – nie mógł bowiem tego zrobić – Nick pochylił się, oparł dłonie na policzkach, i czekał, aż uczucie mdłości minie. Po chwili doszedł do siebie. Czuł plaster z opatrunkiem przyklejony na policzku, a poruszywszy tą stroną twarzy uznał, że jakiś chirurg-rzeźnik, postanowił na wszelki wypadek umieścić tam kilka szwów.

Rozejrzał się wokoło. Znajdował się w małej celi w kształcie ustawionej na sztorc puszki sardynek. W nogach pryczy znajdowały się drzwi ze stalowych prętów. U wezłowia pryczy Nick dostrzegł pozbawioną klapy i siedzenia muszlę klozetową. Za i nad nim – zobaczył to, unosząc się bardzo powoli i ostrożnie głowę (nadal miał zeszywniały i bolący kark) – znajdowało się niewielkie, zakratowane okienko.

Kiedy posiedział na brzegu pryczy dostatecznie długo, aby mieć pewność, że nie zemdleje, spuścił do kolan szare, workowate spodnie, przykucnął nad muszlą i oddał mocz.

Miał wrażenie, że ta czynność trwała całą godzinę. Kiedy skończył, wstał, trzymając się jak starzec brzegu pryczy. Z niepokojem zajrzał w głąb muszli, szukając śladów krwi, ale jego mocz był czysty. Spuścił wodę.

Podszedł ostrożnie do krat i wyjrzał na krótki korytarz. Po lewej stronie znajdowała się salka dla nietrzeźwych. Na jedynej pryczy leżał staruszek, którego ręka zwisała nad ziemią, nieruchoma jak kawałek drewna. Po prawej korytarz kończył się drzwiami. Były otwarte. Pośrodku korytarza z sufitu zwisała lampa z zielonym abażurem, jak te, które spotyka salonach bilardowych.

W otwartych drzwiach pojawił się cień i do korytarza wszedł wysoki mężczyzna w spodniach bluzie khaki. Przy pasie typu Sam Browne, zwisała kabura z ogromnym pistoletem. Włożył kciuki do kieszeni spodni i przez blisko minutę przyglądał się Nickowi, nie mówiąc ani słowa.

Potem odezwał się:

– Kiedy byłem małym chłopcem, chodziliśmy w góry zapolować na górskiego lwa, a kiedy się go już ustrzeliło, przeciągało się go do miasta – dwadzieścia mil po kamienistym gruncie. To, co zostało z tego zwierzaka, kiedy docieraliśmy do domu, przedstawiało sobą doprawdy najbardziej pożałowania godny widok, jaki kiedykolwiek miałem okazję oglądać. Ty jesteś drugi na mojej liście.

Nick uznał, iż monolog tamtego musiał zostać przygotowany wcześniej, odpowiednio podszlifowany i ubarwiony. Najprawdopodobniej był zarezerwowany dla przejezdnych i włóczęgów, którzy od czasu do czasu trafiali za kratki.

– Nazywasz się jakoś?

Nick przyłożył palec do zapuchniętych i rozbitych ust, po czym pokręcił głową. Zasłonił usta dłonią, po czym wykonał miękki, ukośny ruch i raz jeszcze pokręcił głową.

– Co? Jesteś niemową? Co ty, chcesz mi tu wcisnąć za kit? – Wypowiedział te słowa raczej przyjaznym tonem, ale Nick nic nie usłyszał. Uniósł do góry dłoń, tak jakby trzymał w niej niewidzialne pióro i zaczął „pisać” w powietrzu.

– Chcesz długopis?

Nick skinął głową.

– Skoro jesteś niemową, to dlaczego nie masz przy sobie ani jednej z tych kart?

Nick wzruszył ramionami. Wywrócił puste kieszenie. Przez chwilę boksował, naśladując walkę z cieniem, co spowodowało powrót uciążliwej fali bólu pod czaszką i mdłości. Skończył, uderzając się lekko dłońmi po głowie, wywracając oczami i osuwając się na kraty. Następnie wskazał na puste kieszenie.

– Zostałeś obrobiony?

Nick skinął głową.

Mężczyzna w khaki odwrócił się i poszedł do swojego biura. W chwilę potem wrócił z przytępionym ołówkiem i bloczkiem do notatek. Przełożył je przez kraty. Na każdej z kartek

bloczku widniał napis MEMO i Z BIURA SZERYFA BAKERA. Nick odwrócił bloczek i postukał gumką na ołówku w nazwisko na kartce. Uniósł brwi w pytającym geście.

– Tak, to ja. A kim ty jesteś?

„Nick Andros”. Przełożył dłoń przez kraty. Baker pokręcił głową.

– Nie podam ci ręki. Jesteś także głuchy?

Nick pokiwał głową.

– Co ci się przytrafiło? Doc Soames i jego żona o mało cię nie przejechali, chłopcze.

„Pobito mnie i obrobiono. O jakąś milę od zajazdu przy Main St. Zack’s Place”.

– To nie miejsce dla takiego dzieciaka jak ty. Na pewno jesteś jeszcze zbyt młody aby pić alkohol.

Nick z oburzeniem pokręcił głową.

„Mam dwadzieścia dwa lata – napisał. – Zanim mnie pobili i obrobili wypłem dwa piwa. Nie wolno mi?”

Baker przeczytał te słowa z wyrazem goryczy i rozbawienia na twarzy.

– Najwyraźniej nie w Shoyo. Co ty tu robisz, mały?

Nick wyrwał pierwszą stronę z notesu, zmiażdżył w kulkę i upuścił na podłogę. Zanim zdążył napisać odpowiedź przez kraty wsunęła się silna ręka i twarde palce zacisnęły się na jego ramieniu. Nick gwałtownie podniósł głowę.

– Te cele sprząta moja żona – wycedził Baker – i nie widzę potrzeby abyś miał bałaganić w swojej. Wyrzuć to do kibla.

Nick pochylił się, krzywiąc się pod wpływem silnego bólu, po czym podniósł z podłogi kulkę papieru. Podeszedł do muszli klozetowej, wrzucił papier do środka i spojrzał na szeryfa, unosząc pytająco brwi.

Baker skinął aprobująco głową.

Nick wrócił. Tym razem pisał dłużej, ołówek śmigał po papierze.

Baker doszedł do wniosku, że nauczenie głuchoniemego dzieciaka pisać i czytać było z pewnością nie lada sztuką i aby to opanować, Nick Andros musiał mieć pod czaszką niezłą aparaturkę.

W Shoyo, Arkansas, było paru takich, którzy się nigdy tego nie nauczyli i więcej niż kilku z nich należało do stałych klientów knajpy Zacka. Przypuszczał jednak, że dzieciak, który dopiero co tu zawitał nie mógł o tym wiedzieć.

Nick podał mu kartkę przez kraty.

„Podróżuję, ale nie jestem włóczęgą. Dziś pracowałem dla faceta nazwiskiem Rich Ellerton, sześć mil na zachód stąd. Uprzątnąłem jego stodołę i wciągnąłem na stryszek sporo bel siana. W zeszłym tygodniu byłem w Watts, Okla., gdzie rozciągałem ogrodzenia. Faceci, którzy mnie pobili gwizdnęli moją tygodniówkę”.

– Na pewno pracowałeś u Richa Ellertona? Wiesz, że mogę to sprawdzić? – Baker wyrwał kartkę z wyjaśnieniem sporządzonym przez Nicka, złożył ją do rozmiarów małego zdjęcia i wsunął do kieszeni bluzy.

Nick skinął głową.

– Widziałeś jego psa?

Nick przytaknął ruchem głowy.

– Jakiej jest rasy?

Nick skinął aby tamten oddał mu bloczek.

„Wielki doberman – napisał. – Ale dobry. Nie zły”.

Baker przytaknął, odwrócił się i poszedł do swego biura. Nick stał przy kracie, patrząc z niepokojem. Krótco potem Baker pojawił się ponownie z ogromnym pękiem kluczy w dłoni, przekręcił jeden z nich w zamku i odsunął drzwi celi.

– Chodź do mojego biura – rzekł Baker. – Masz ochotę na śniadanie?

Nick pokręcił głową i wykonał ruch jakby napełniał niewidzialną filiżankę i wypijał z niej łyk.

– Kawy? Nie ma problemu. Z cukrem i śmietanką?

Nick zaprzeczył ruchem głowy.

– Jak prawdziwy mężczyzna, co? – Baker wybuchnął śmiechem. – Chodź.

Baker ruszył korytarzem i choć przez cały czas mówił, Nick nie widział jego ust, toteż nie potrafił go zrozumieć.

– Nie mam nic przeciw towarzystwu. Cierpię na bezsenność. Doszło do tego, że sypiam zwykle trzy, cztery godziny. Moja żona upiera się, że powinienem pójść do jakiegoś bardzo znanego lekarza w Pine Bluff. Jeżeli to się nie skończy, być może się na to skuszę. No popatrz tylko, piąta rano, na zewnątrz jest jeszcze ciemno, a ja siedzę i zajadam jajka i frytki kupione w pobliskim barze.

Kończąc swój monolog, odwrócił się i Nick wychwycił tylko „...w pobliskim barze”. Uniósł brwi i wzruszył ramionami, aby dać do zrozumienia, że jest zakłopotany.

– Nieważne – rzekł Baker. – W każdym razie nie dla takiego dzieciaka jak ty.

W swoim gabinecie Baker nalał Nickowi filiżankę mocnej, czarnej kawy z wielkiego termosu.

Na biurku szeryfa stał talerz z na wpół zjedzonym śniadaniem. Baker przysunął go do siebie. Nick wypił łyk kawy. Ból w ustach powrócił, ale kawa smakowała wyśmienicie.

Poklepał Bakera po ramieniu, a kiedy ten się odwrócił, Nick wskazał na kawę, pogłaskał się po brzuchu i zrobił perskie oko. Baker uśmiechnął się.

– Lepiej żebyś powiedział, że ci smakuje. Parzyła ją moja żona, Jane. – Włożył do ust połowę jajka na twardo, żuł przez chwilę, po czym skinął w stronę Nicka trzymanym w ręku widelcem. – Jesteś całkiem niezły. Jak jeden z tych mimów. Założę się, że nietrudno cię zrozumieć, co?

Nick wykonał ręką półkolisty ruch, jak wycieraczka samochodu. *Comme ci come ca.*

– Nie będę cię zatrzymywał – stwierdził Baker, wycierając tłuszcz pajdką chleba. – Ale powiem ci coś. Jeżeli tu zostaniesz, może uda nam się dopaść gości, którzy cię tak urządzili. Co ty na to?

Nick potrząsnął głową i napisał: „Myślisz, że mogę odzyskać swoją tygodniówkę?”

– Nie ma mowy – odrzekł beznamiętnie Baker. – Jestem tylko nędznym szeryfem. Do czegoś takiego potrzebowałbyś Oral Robertsa.

Nick skinął głową i wzruszył ramionami. Składając ręce jak skrzydła ptaka, zatrzepotał nimi i uniósł w górę.

– Tak. Mniej więcej. Ilu ich było?

Nick podniósł do góry cztery palce, zawahał się i wystawił jeszcze piąty.

– Mógłbyś zidentyfikować któregoś z nich?

Nick uniósł jeden palec i napisał: „Wysoki blondyn. Twojego wzrostu i może trochę cięższy. Szara koszula i spodnie. Miał duży sygnet. Trzeci palec prawej ręki. Fioletowy kamień. Tym mnie zranił”.

Kiedy Baker to czytał, na jego twarzy odmalowało się najpierw zatroskanie, a potem gniew. Nick myśląc, że gniew jest skierowany przeciwko niemu, znów poczuł, że ogarnia go przerażenie.

– Jezu Chryste – rzucił Baker. – Aleś mi zabił ćwieka. Jesteś pewny?

Nick z wahaniem poruszył głową.

– Co jeszcze? Widziałeś coś jeszcze?

Nick zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym napisał: „Mała blizna. Na czole”.

Baker spojrział na kartkę.

– To Ray Booth – oświadczył. – Mój szwagier. Dzięki, mały. Dopiero piąta rano, a już zdążyłeś spieprzyć mi dzień.

Oczy Nicka rozwarły się nieco szerzej i wykonał nieznaczny, ostrożny gest współczucia.

– No cóż, dobrze – powiedział Baker bardziej do siebie niż do Nicka. – Kiepski z niego aktor. Janey dobrze o tym wie. Kiedy byli dziećmi dołożył jej niejedną raz. Mimo to są rodzeństwem i chyba zapowiada mi się z nią kiepski tydzień.

Nick spuścił wzrok, zakłopotany. Po chwili Baker poruszył go za ramię i wskazał, żeby Nick spojrział na jego usta.

– To prawdopodobnie i tak niewiele da – stwierdził. – Ray i jego pojebani kołesie będą świadczyć jeden za drugiego. Twoje słowo przeciwko ich słowom. Masz coś jeszcze?

„Kopnąłem Raya w brzuch – napisał Nick. – Drugi dostał w nos. Chyba mu go złamałem”.

– Ray kumpluje się głównie z Vince Hoganem, Billy Warnerem i Mike Childressem – stwierdził Baker. – Może udałoby mi się dorwać Vince’a samego i złamać go. Ma w sobie tyle ikry, co zdechła ryba. Gdybym go przygwoździł, mógłbym się dostać do skóry

Micke'owi i Billy'emu. Ray dostał ten sygnet od bractwa LSU. Wyleciał z uczelni na drugim roku.

Przerwał, bębniąc palcami o brzeg talerza.

– Wydaje mi się, że moglibyśmy spróbować, gdybyś tego chciał. Ale już teraz muszę cię ostrzec, że prawdopodobnie nic z tego nie wyjdzie. Są podli jak zgraja wściekłych psów, ale to miejscowi, a ty jesteś tylko głuchoniemym włóczęgą. I jak się już z tego wywiną, będą chcieli się do ciebie dobrać.

Nick zastanawiał się. W myślach zobaczył samego siebie, przekazywanego z rąk do rąk, jak zakrwawionego stracha na wróble i wargi Raya wypowiadającego słowa: „Wpierdole mu, kopnął mnie w brzuch”. Ponownie poczuł jak niewidzialne dłonie zrywają mu z grzbietu plecak – jego starego druha, który towarzyszył mu w dwuletniej tułaczce.

Na kartce napisał i podkreślił jedno jedyne słowo:

„Spróbujemy”.

Baker westchnął i skinął głową.

– W porządku. Vince Hogan pracuje w tartaku... no, w zasadzie to nie całkiem tak. Powinienem raczej powiedzieć, że opierdala się w tartaku. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wybralibyśmy się tam o dziewiątej. Może uda się nam go przestraszyć na tyle, że puści parę.

Nick przytaknął ruchem głowy.

– Jak twoje usta? Doc Soames zostawił parę pigułek. Powiedział, że najprawdopodobniej będzie cię to cholernie bolało.

Nick posępnie skinął głową.

– Przyniosę ci je. To... – przerwał i Nick w swoim świecie niemego kina patrzył jak szeryf kilkakrotnie kicha siarczyście w chusteczkę. – I jeszcze to – ciągnął gliniarz, ale odwrócił głowę i Nick zrozumiał tylko początek zdania. – Przyczepiło się do mnie jakieś parszywe choróbsko. Jezu Chryste, czyż życie nie jest piękne i wspaniałe? Witaj w Arkansas, chłopcze.

Wyjął pigułki i podszedł do Nicka. Podał chłopakowi pigułki i szklankę z wodą, po czym delikatnie potarł dolną część szczęki. Pod palcami wyczuwał wyraźne, bolesne obrzmienie. Napuchnięte gruczoły, kaszel, katar i na domiar złego gorączka.

Tak, zapowiadał się naprawdę cudowny dzień.

ROZDZIAŁ 10

Larry obudził się z kacem, który nie był aż taki zły, w ustach miał niesmak jakby małe smoczysko używało ich jako wygodki. Suszyło go, a na dodatek miał wrażenie, jakby znajdował się nie tam, gdzie powinien. Łóżko było pojedyncze, ale leżały na nim dwie poduszki. Czuł zapach smażonego boczku. Usiadł, wyrzał przez okno w kolejny, szary, nowojorski dzień i pierwszą myśl, jaka mu przyszła do głowy było to, że przez noc coś straszego stało się z Berkeley. Było bardziej brudne, błotniste i wyglądało staro. Naraz powróciły do niego wspomnienia ostatniej nocy i zdał sobie sprawę, że patrzył nie na Berkeley lecz na Fordham. Znajdował się w mieszkaniu na pierwszym piętrze przy Tremont Avenue, niedaleko od Concourse, a jego matka na pewno zastanawiała się, gdzie spędził tę noc. Czy zadzwonił do niej, podając jakiegokolwiek, nawet najbardziej nieprzekonujące wyjaśnienie?

Zsunął nogi z łóżka i znalazł zmiętą paczkę winstonów. W środku tkwił jeden papieros. Zapalił go, używając do tego ogromnego plastikowego bica. Smakowało jak gówno. Z kuchni dochodziło niepewne skwierczenie bekonu, przypominające radiowy szum.

Dziewczyna miała na imię Maria i powiedziała, że była... Kim była? Oralną higienistką? Tak, właśnie tak. Larry nie wiedział, jaki był zakres jej umiejętności z dziedziny higieny, ale w kwestii oralnej nie miała sobie równych. Jak przez mgłę przypominał sobie, jak pożerała go niczym pałeczkę perkusisty. Ze starego stereo stojącego w saloniku płynęły słowa piosenki Crosby'ego, Stillsa i Nasha o tym, jak wiele wody upłynęło w rzece i o czasie, który straciliśmy. Jeżeli jego wspomnienia były właściwe, to Maria z całą pewnością nie straciła ani chwili. Była nieco wstrząśnięta, kiedy dowiedziała się, że był on tym Larrym Underwoodem. Czy podczas nocnej balangi nie wychodzili, aby znaleźć jakiś otwarty sklep muzyczny, gdzie mogliby kupić egzemplarz jego płyty?

Jęknął cicho i starał się prześledzić wydarzenia ubiegłego wieczoru: od nieszkodliwego początku do szalonego finału.

Pamiętał dobrze, że Yankees nie było w mieście. Kiedy się obudził, jego matki nie było w domu (poszła do pracy) ale zostawiła mu na kuchennym stole rozkład gier Yankees i krótki liścik:

Larry, jak sam widzisz Yankees nie wrócą aż do dziesiątego lipca. Czwartego jest specjalny, podwójny mecz. Jeżeli nie masz żadnych planów na ten dzień, może zabrałbyś swoją matkę na mecz? Kupię piwo i hot dogi. W lodówce masz jajka i kielbasę, a w pojemniku na chleb znajdziesz słodkie rogaliki – jeżeli je lubisz.

Uważaj na siebie chłopcze.

Poniżej znajdował się typowy dla Alice Underwood P.S.

Większość dzieciaków, z którymi się przyjaźniłaś wyjechała i krzyżyk im na drogę, ale wydaje mi się, że Buddy Marx pracuje w drukarni przy Striker Avenue.

Już na samą myśl o tym liściku skrzywił się.

Żadnego „kochany” przed jego imieniem. Żadnego „kocham” przed jej podpisem. Nie wierzyła w tego typu puste słowa. Prawda znajdowała się w lodówce. W którymś momencie, kiedy on odsypiał długą podróż, ona wyszła na zakupy i nabyła wszystko, co kiedyś lubił. Wszystko, bez wyjątku. To było przerażające. Miała wręcz idealną pamięć. Szynka w puszcze. Dwa funty prawdziwego masła – jak ona może sobie na to pozwolić przy jej zarobkach? Dwanaście puszek coli. Kielbaski. Peklowana wołowina marynowana w sosie, który stanowił sekret Alice i którego składników nie chciała zdradzić nawet swojemu synowi, oraz galon lodów Baskin-Robbinsa o smaku brzoskwiniowym. Do tego sernik z truskawkami. Wiedziony jakimś impulsem poszedł do łazienki. Nie tylko aby ulżyć pęcherzowi, ale również by rzucić okiem na zawartość apteczki. W plastikowym uchwycie tkwiła nowiutka szczoteczka do zębów pepsodent a obok niej ustawione w rzędzie znajdowały się wszystkie jego stare szczoteczki. W szafce znalazł paczuszkę żyletek, pojemnik z kremem do golenia i buteleczkę wody kolońskiej Old Spice.

„Może to i niezbyt wymyślne – Larry prawie słyszał jej głos – ale czuć całkiem dobrze jak na tę cenę”.

Patrzył na te rzeczy, po czym wziął do ręki nową tubkę pasty do zębów. Żadnego „kochany”, żadnego „kocham cię, mama”. Tylko nowa szczoteczka do zębów, nowa tubka pasty, nowa butelka wody kolońskiej. „Czasami – pomyślał – prawdziwa miłość jest tyleż niema, co ślepa”. Zaczął szorować zęby, zastanawiając się, czy gdzieś w tym wszystkim nie kryje się piosenka.

Weszła oralna higienistka, ubrana w różową, nylonową półhalkę i nic więcej.

– Cześć, Larry – powiedziała.

Była niska, niebrzydka, w typie Sandry Dee, a jej sterczące, wymierzone w niego piersi nie wykazywały oznak zwiotczenia. Jak brzmiał ten stary dowcip? Kumpel mówi do kumpla przy piwie: „Słuchaj stary, miałem wczoraj ekstra laskę, wyobraź sobie – para trzydziestek ósemek i taaaka spluwa!” Cha, cha! Bardzo zabawne. Przebył trzy tysiące mil, żeby spędzić noc pożerany żywcem przez Sandrę Dee.

– Cześć – powiedział i wstał. Był nagi, jego ubranie leżało przy łóżku.

Zaczął się ubierać.

– Mam szlafrok, możesz założyć, jeśli chcesz. Przygotowałam łososia i bekon.

– Łososia i bekon? – Żołądek zaczął mu się zwijać w harmonijkę. – Nie, kochanie. Muszę już zmykać. Muszę się z kimś zobaczyć.

– Ejże! Przecież nie możesz mnie tak zostawić...

– Naprawdę. To ważne.

– Ja też jestem ważna!

Jej głos stał się piskliwy. Ten dźwięk zdawał się rozsadzać Larry’emu czaszkę. Nagle pomyślał o Fredzie Flintstonie krzyczącym na całe, rysunkowe gardło: „Wiiiiilmaa!”

– Wychodzi twój Bronx, złotko – powiedział.

– Co to ma znaczyć?

Oparła dłonie na biodrach, w jednej zaciśniętej pięści jak stalowy kwiat trzymała zatłuszczoną łopatkę. Jej piersi zakołysały się ponętnie, ale Larry nie był podniecony. Wsunął stopy w nogawki i zaczął wciągać spodnie.

– Jestem z Bronxu i co z tego? Czy to czyni ze mnie czarną? Co masz przeciwko Bronxowi? Co ty, kurde, jesteś rasista?

– Nic i chyba nie jestem – odrzekł, podchodząc do niej na bosaka. – Posłuchaj, tym kimś, z kim mam się spotkać jest moja matka. Przyjechałam do miasta dwa dni temu i zeszłego wieczoru nie zadzwoniłam do niej ani nic... A może zadzwoniłam? – dorzucił z nadzieją w głosie.

– Do nikogo nie dzwoniłam – odparła mętym głosem. – I mogę się założyć, że to nie chodzi o twoją matkę.

Ponownie podszedł do łóżka i włożył mokasyny.

– Ale tak właśnie jest. Pracuje w budynku Banku Chemicznego. Jest gospodynią. Cóż, myślę, że obecnie jest kierowniczką piętra.

– Mogę się też założyć, że nie jesteś tym Larrym Underwoodem.

– Wierz sobie w co tylko chcesz. Muszę już zmykać.

– Ty tani chuju! – ryknęła. – A co mam zrobić z żarciem, które zrobiłam?

– Może wyrzucić przez okno? – zaproponował.

Pisnęła gniewnie i cisnęła w niego łopatką. Każdego innego dnia łopatką chybiłaby celu. Jak wiadomo, jedno z praw fizyki głosi, że łopatką ciśnięta dłonią rozwścieczonej oralnej higienistki nigdy nie leci po prostej. Tyle tylko, że czasami wyjątek potwierdza regułę. Tak

było i tym razem – świst, świst, obrót dookoła osi, raz i dwa, trzask i łopaska wyrznięła Larry’ego w czoło. Nie zabolalo specjalnie. I nagle, kiedy się pochylił żeby podnieść łopatkę, zobaczył jak dwie duże krople krwi skapują na gruby dywan. Zrobił dwa kroki naprzód, unosząc łopatkę w dłoni.

– Powinienem ci tym dołożyć! – krzyknął.

– Jasne – stwierdziła, wycofując się trwożliwie. Zaczęła płakać. – Dlaczego nie? Wielka gwiazda. Wypierdolić i spłynąć. Myślałam, że z ciebie jest porządny facet.

Kilka łez ściekło jej po policzkach, spłynęło na brodę i kapnęło na wzgórek piersi. Ogarnięty fascynacją patrzył, jak jedna z nich zsuwa się po pochyłości jej prawej piersi i zatrzymuje się na sutku. Efekt był jak w powiększonym szkle. Widział pory i pojedynczy, czarny włos wyrastający wewnątrz brązowej aureoli. „Jezu Chryste, popadam w obłąd” – pomyślał ze zdumieniem.

– Muszę iść – powiedział. Jego biała wiatrówka leżała u stóp łóżka. Podniósł ją i zarzucił na ramię.

– Nie jesteś porządnym facetem! – krzyknęła, kiedy przeszedł do pokoju. – Poszłam z tobą tylko dlatego, że uważałam cię za miłego, porządnego faceta!

Widok pokoju sprawił, że z jego ust niemal wydobył się jęk. Na kanapie, gdzie, jak sobie przypominał (choć mgliście), był „pożerany żywcem”, leżało co najmniej tuzin płyt z *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?*, kolejne trzy leżały na obrotowym stołku przy zakurzonej przenośnym stereo. Na przeciwległej ścianie wisiał wielki plakat Ryana O’Neala i Ali McGraw. „Zostać pożartym, to znaczy nigdy nie potrzebować mówić przepraszam. Cha, cha! Jezu. Naprawdę mi odbija”.

Stała w drzwiach sypialni i w dalszym ciągu płakała. Ubrana w półhalkę wyglądała nader patetycznie. Na jednej nodze zauważył drobne zadraśnięcie – musiała zaciąć się przy goleniu.

– Zadzwoń do mnie – rzuciła. – Nie gniewam się na ciebie.

Powinien powiedzieć: „Jasne” – i to zakończyłoby całą sprawę.

Zamiast tego usłyszał jak z jego ust wydobywa się obłąkańczy śmiech, a potem...

– Twój łośoś się przypala.

Krzyknęła przeraźliwie, a potem rzuciła się na niego i zahaczyła o leżącą na podłodze poduszkę. Przewróciła się. Jedną ręką wywróciła do połowy pełną butelkę mleka i potraçała stojącą obok niej pustą butelkę po szkockiej.

„Boże święty – pomyślał Larry – mieszaliśmy to?” Pospieszenie wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach. Kiedy dotarł do frontowych drzwi, pokonując ostatnie sześć stopni, usłyszał jej głos dochodzący z góry:

– NIE JESTEŚ PORZĄDNYM FACETEM! NIE JESTEŚ...

Zatrzasnął za sobą drzwi i spowiło go parne, mgliste ciepło niosące ze sobą aromat wiosennych drzew i woń spalin samochodowych. W porównaniu z wonią palonego tłuszczu i zastalego, papierosowego dymu był to zapach perfum. Wciąż miał w dłoni papierosa

wypalonego już prawie do filtra. Wyrzucił go do rynsztoka i zaczerpnął do płuc świeżego powietrza.

Cudownie było wyrwać się wreszcie z tego domu wariatów. Powróć teraz wraz z nimi do tych dni normalności, kiedy... Nad nim i za nim z głuchym trzaskiem otworzyło się okno i wiedział, co stanie się za chwilę.

– MAM NADZIEJĘ, ŻE ZDECHNIESZ, TY ŚCIERWO! – wrzasnęła do niego. Typowa kobieta z Bronxu... – MAM NADZIEJĘ, ŻE WPIERDOLISZ SIĘ POD POCIĄG! NIE JESTEŚ PIOSENKARZEM! W ŁÓŻKU JESTEŚ DO DUPY! TY WSZARZU! WSADŹ SOBIE TO W DUPE! ZABIERZ TO SWOJEJ MAMUŚCE, TY WSZARZU!

Z okna sypialni na pierwszym piętrze wyprysnęła w jego stronę butelka po mleku. Larry uchylił się. Butelka spadła jak bomba do rynsztoka i rozbiła się w drobny mak. Następna była butelka po szkockiej. Obracała się leniwie i w końcu roztrzaskała się u jego stóp. Kimkolwiek jeszcze była, jej celność niewątpliwie mroziła krew w żyłach. Puścił się biegiem, unosząc jedną rękę nad głowę. To szaleństwo nigdy się nie skończy.

Z tyłu za nimi rozległ się długi, przejmujący okrzyk przepełniony triumfem i intonacją z Bronxu.

– POCAŁUJ MNIE W DUPE, TY TANI CHUUUUJU!

Potem skręcił za róg i znalazł się na przejściu nad szosą. Opierając się o barierkę, z intensywnością zbliżoną do hysterii zanosił się urywanym śmiechem i patrzył na przejeżdżające w dole samochody.

– Nie mógłbyś rozegrać tego lepiej? – zapytał sam siebie, nieświadomy, że robi to na głos. – Stary, na pewno mógłbyś zrobić to lepiej. To była marna zagrywka. Kiepska scena. Sraj na to.

Uświadomił sobie, że mówi na głos i ponownie ryknął śmiechem. Nagle zakręciło mu się w głowie, mdłości podeszły mu do gardła i zacisnął mocno powieki. Obwód pamięci w Wydziale Masochizmu włączył się i usłyszał głos Wayne Stukey'a mówiącego: „Wewnętrznie jesteś twardy. Masz w sobie ikrę, chłopie”. Potraktował tę dziewczynę jak starą kurwę po całonocnej orgii.

„Nie jesteś porządnym facetem”.

„Jestem. Jestem”.

Jednak kiedy goście na balandze odmówili opuszczenia domku na plaży po tym, jak zaczął ich wypraszać, zagroził, że wezwie policję i bynajmniej nie żartował. Czy aby na pewno? Tak. Nie żartował. Większości z nich nie znał, byli dla niego powietrzem, ale czterech czy pięciu protestujących zaliczało się do grona jego starych kumpli. I do tego Wayne Stukey, ten drań stojący w drzwiach, z rękoma splecionymi na piersiach jak „wielki pan w swoim wielkim dniu”.

Sal Doria wyszedł, mówiąc: „Jeżeli coś takiego przytrafia się takim ludziom jak ty, Larry, to wołałbym, żebyś nadal grał tylko sesje”.

Otworzył oczy i odwrócił się od szosy w dole, rozglądając się za taksówką.

„Och, jasne. Rozdrażniony przyjaciel – na pewno. Skoro Sal rzeczywiście był jego serdecznym kumplem, to dlaczego starał się go wykorzystać? Dlaczego na nim żerował? Byłem głupi, a nikt nie lubi jak głupek w końcu przejrzy na oczy i zmądrzeje. To niezaprzeczalny fakt”.

„Nie jesteś porządnym facetem”.

– Jestem porządny – mruknął pośpiesznie. – A zresztą, czyja to sprawa?

Nadjechała taksówka i Larry zatrzymał ją machnięciem ręki. Kierowca, podjeżdżając do krawężnika, zawahał się przez chwilę i Larry przypomniał sobie, że miał krew na czole. Otworzył tylne drzwiczki i wszedł do samochodu zanim taksjarski zdążył zmienić zdanie.

– Manhattan. Budynek Banku Chemicznego przy Park – powiedział.

Taksówka ruszyła.

– Ma pan zranione czoło – rzucił taksjarski.

– Dziewczyna rzuciła we mnie łopatką – mruknął od niechcenia Larry.

Taksjarski obdarzył go dziwnym, fałszywym uśmiechem współczucia i pogрузzył się w milczenie, pozwalając Larry’emu, by usadowił się wygodnie na siedzeniu i zaczął się zastanawiać w jaki sposób wyjaśni matce, gdzie spędził minioną noc.

ROZDZIAŁ 11

Larry spotkał w holu czarną, zmęczoną z wyglądu, kobietę. Powiedziała mu, że Alice Underwood jest teraz najprawdopodobniej na dwudziestym czwartym piętrze, gdzie przeprowadza inwentaryzację.

Wsiadł do windy i wjechał na górę. Zdawał sobie sprawę, że inni ludzie w kabinie rzucali ukradkiem ciekawskie spojrzenia na jego czoło. Rana już nie krwawiła, ale zasklepiła się w nieładny skrzep. Na dwudziestym czwartym piętrze mieściły się biura japońskiej firmy produkującej aparaty fotograficzne. Larry krążył dobre dwadzieścia minut po korytarzach, szukając swojej matki i zaczął czuć się jak dupek. Mijał kilku pracowników biur, ale ponieważ większość z nich stanowili Japończycy, przy ich przeciętnym wzroście sześć stóp i dwa cale czuł się jak bardzo wysoki dupek.

Niscy mężczyźni i kobiety o skośnych oczach patrzyli na jego zasklepioną ranę na czole i zakrwawiony rękaw kurtki z typowo orientálną łagodnością.

Wreszcie trafił na drzwi z napisem POMIESZCZENIE DOZORCY. SPRZĘT GOSPODARCZY, znajdujące się za ogromną paprotką. Nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte i zajrzał do środka. Jego matka była tam, ubrana w bezkształtny, szary uniform, pończochy z pasem i miękkie pantofle na gumowej podeszwie. Włosy upięła zgrabnie pod czarną siateczką. Stała odwrócona tyłem do niego. W jednej dłoni trzymała kołnотatnik i najwyraźniej liczyła butelki środka do czyszczenia w sprayu, stojące na jednej z wyższych półek.

Larry poczuł nagle silne pragnienie aby wziąć nogi za pas i uciec. Wrócić do garażu o dwie przecznice od jej mieszkania i wyprowadzić datsuna. Pieprzyć szmal, który wyłożył za dwumiesięczny wynajem. Po prostu wsiąść za kółko i hajda! Ale dokąd? Dokądkolwiek. Bar Harbor w Maine, Tampa na Florydzie, Salt Lake City w Utah. Wszędzie będzie dobrze, aby tylko znaleźć się jak najdalej od Dewey Decka i tej małej, pachnącej mydłem kanciapy.

Nie wiedział, czy to przez świetlówki, czy przez ranę na czole, ale potwornie bolała go głowa.

„Och, przestań się rozklejać nad sobą, ty parszywy mięczaku”.

– Cześć, mamó – powiedział.

Drgnęła nieznacznie, ale się nie odwróciła.

– Jesteś, Larry. A więc jednak trafiłeś.

– Jasne. – Zaszurał nogami. – Chciałem cię przeprosić. Powinienem zadzwonić wczoraj wieczorem...

– Taaak. Dobry pomysł.

– Byłem z Buddym. My... eee... trochę połaziliśmy to tu, to tam. Łaziliśmy po mieście.

– Domyślałam się tego. To, albo coś w tym rodzaju.

Przysunęła sobie nogą stółek, stanęła na nim i zaczęła liczyć butelki z pastą do podłogi na najwyższej półce, dotykając przy tym każdej leciutko, zaledwie koniuszkiem wskazującego palca. Musiała wyciągnąć rękę, a kiedy to zrobiła podciągnęła się jej sukienka i zobaczył górny brzeg pończochy oraz skrawek białego uda matki. Natychmiast odwrócił wzrok. Zgoła nieoczekiwanie przypomniał sobie, co stało się z trzecim synem Noego, który przyglądał się swemu ojcu, kiedy ten leżał pijany i nagi na sienniku. Po tym zdarzeniu biedaczyna został skazany na dożywotnie rąbanie drewna i noszenie wody. Zarówno on, jak i wszyscy jego potomkowie. Właśnie dlatego mamy dzisiaj zamieszki rasowe, synu. Chwalmy Pana.

– Czy to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia? – spytała i po raz pierwszy się obejrzała.

– To znaczy... chciałem powiedzieć gdzie byłem... i przeprosić. To nie w porządku z mojej strony, że zapomniałem.

– Tak – powiedziała ponownie. – Ale ty już taki jesteś, Larry. Myślisz, że o tym zapomniałam?

Zaczerwienił się.

– Mamo, posłuchaj...

– Krwawisz. Jakaś striptizerka miała zbyt ostry występ?

Odwróciła się w stronę półek i kiedy skończyła liczyć butelki znajdujące się na samej górze, zapisała ich liczbę w kołonoatniku.

– W ubiegłym tygodniu ktoś wziął sobie dwie butelki pasty do podłogi – zauważyła. – Szczęściarz.

– Przyszedłem tu, żeby powiedzieć, że jest mi przykro! – powiedział głośno Larry.

Drgnęła, ale tylko troszeczkę, w przeciwieństwie do niego.

– Skoro tak mówisz. Pan Geoghan dobierze się nam do skóry, jeżeli ta cholerna pasta nie przestanie wyparowywać.

– Nie zarobiłem w łeb podczas bójki w barze i to nie była żadna striptizerka. W ogóle nic z tych rzeczy. To była... – urwał.

Odwróciła się, a jej brwi uniosły się w stary, sardoniczny sposób, który tak dobrze pamiętał.

– Co to było...?

– No... – Nie potrafił wymyślić błyskawicznie żadnego sprytnego kłamstwa. – To była... Ach... Uhm... Łopatka kuchenna.

– Ktoś cię pomylił z jajecznicą? Musieliście się z Buddym nieźle zabawić tego wieczoru.

Zapomniał, że umiała dotrzeć do sedna okrężnymi drogami. Zawsze tak było i prawdopodobnie zawsze tak będzie.

– To była dziewczyna, mamó. Cisnęła we mnie łopatką.

– Musi mieć świetne oko – stwierdziła Alice Underwood i ponownie się odwróciła. – Ta nieznośna Consuela znowu chowa formularze zamówień. Fakt, że one i tak niewiele dają. Nigdy nie dostajemy wszystkiego, czego potrzebujemy, ale otrzymujemy całkiem sporo i w gruncie rzeczy sama nie wiedziałabym, co mam z tym wszystkim zrobić, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

– Mamó, gniewasz się na mnie?

Nieoczekiwanie opuściła ręce do boków. Jej ramiona obwisły.

– Nie bądź na mnie zła – wyszeptał. – Nie bądź, dobrze?

Odwróciła się i zobaczył w jej oczach nienaturalną iskierkę. No cóż, przypuszczał, że w gruncie rzeczy była ona naturalna, ale z całą pewnością nie spowodowało jej oświetlenie pomieszczenia. Ponownie usłyszał słowa oralnej higienistki, ale tym razem brzmiała w nich nuta ostatecznego potwierdzenia: „Nie jesteś porządnym facetem”.

Po jaką cholere wracał, skoro musiał jej robić takie rzeczy... niezależnie od tego, co ona wyprawiała z nim.

– Larry... – powiedziała łagodnie. – Larry, Larry, Larry.

Przez chwilę miał wrażenie, że nie powie mu nic więcej i w głębi duszy miał taką nadzieję.

– Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? „Nie bądź na mnie zła, mamó... proszę... Nie gniewaj się...”. Słyszę twój głos w radio i choć nie podoba mi się ta twoja piosenka, jestem dumna, że ją śpiewasz. Ludzie pytają mnie, czy to naprawdę mój syn, a ja odpowiadam: „Tak, to Larry”. Mówię im, że zawsze umiałeś śpiewać i chyba mam rację, prawda?

Pokiwał smętnie głową, nie odważając się otworzyć ust, aby cokolwiek powiedzieć.

– Mówię im, jak jeszcze w liceum podebrałeś Donny’emu Robertsowi gitarę i po pół godziny grałeś na niej lepiej od niego, pomimo że Donny od drugiej klasy pobierał lekcje. Masz talent, Larry. Nikt nigdy nie musiał mi tego mówić, a już na pewno nie ty. Sądzę, że ty też o tym wiedziałeś, bo to jedyna rzecz, o którą nie słyszałam, żebyś prosił. A potem odszedłeś i czy powiedziałam ci choć jedno złe słowo z tego powodu? Nie. Młodzi zawsze odchodzą. Tak już jest na tym świecie. Czasami jest to wkurzające, ale to naturalna kolej rzeczy. I nagle wróciłeś. Czy ktokolwiek musi mi mówić, dlaczego tak się stało? Nie. Wróciłeś, bo niezależnie czy ta twoja piosenka jest przebojem, czy nie, wpakowałeś się na Zachodnim Wybrzeżu w niezłą kabałę.

– W nic się nie wpakowałem! – rzucił gniewnym tonem.

– Owszem, tak. Znam symptomy. Jestem twoją matką już od wielu lat i nie uda ci się wcisnąć mi kitu, Larry. Zawsze miałeś tendencję do pakowania się w kłopoty. Gdzie byś tylko nie spojrzął, zaraz musiało ci się coś przytrafić. Czasami myślałam sobie, że przechodziłeś na drugą stronę ulicy tylko po to, aby wdepnąć w gówno. Wybacz mi Boże, że mówię takie rzeczy, ale ty wiesz, że to prawda. Czy jestem zła? Nie. Rozczarowana? Tak. Miałam nadzieję, że pobyt tam zmieni cię. Nie zmieniłeś się. Odszedłeś jako mały chłopiec w ciele mężczyzny i wróciłeś taki sam, tyle tylko, że ów mężczyzna zmienił nieco fryzurę. Wiesz dlaczego moim zdaniem wróciłeś do domu?

Spojrzał na nią, chcąc coś powiedzieć, ale jedyne zdanie jakie mógł teraz z siebie wykrzesać rozgniewałoby ich oboje. „Tylko nie płacz, dobrze?”

– Sądzę, że wróciłeś do domu, bo nie miałeś dokąd pójść. Nie wiedziałeś, kto mógłby cię jeszcze przyjąć. Nigdy nie powiedziałam nikomu złego słowa na twój temat Larry, nawet mojej siostrze, ale skoro mnie do tego zmuszasz powiem ci bez ogródek, co o tobie myślę. Ty jesteś z tych, którzy BIORĄ. Zawsze taki byłeś. Zupełnie jakby Bóg uszczknął z ciebie kawałek, kiedy sprawił, że znalazłeś się w moim łonie. Nie jesteś zły, nie to chciałam powiedzieć. Niektóre miejsca, gdzie mieszkaliśmy po śmierci twojego ojca mogły cię przekabacić na stronę złą, gdybyś miał je w sobie. Bóg jeden wie, że tak mogło się stać. Myślę, że najgorszą rzeczą na jakiej cię kiedykolwiek przyłapałam było pisanie brzydkich wyrazów na korytarzu na parterze domu przy Carstairs Avenue w Queens. Pamiętasz to?

Pamiętał. Napisała mu kredą to samo słowo na czole, a potem musiał wraz z nią okrążyć trzykrotnie budynek. Nigdy więcej nie napisał tego, ani innego brzydkiego słowa na żadnym murze domu czy werandzie.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ty chcesz dobrze, Larry. Czasami wydaje mi się, że byłoby swego rodzaju łaską, gdybyś stał się trochę gorszy. Wygląda na to, że potrafisz wyczuć co jest złe, ale nie potrafisz tego naprawić. Zresztą ja także tego nie potrafię. Staralam się jak umiałam, kiedy jeszcze byłeś mały. Napisanie tego słowa na twoim czole było tylko jednym ze sposobów i zrobiłam to w ostateczności. Nigdy więcej nie zrobiłabym ci czegoś równie podłego. Ty po prostu należysz do tych, którzy biorą – i tyle. Wróciłeś do domu, ponieważ ja jestem z tych, którzy dają i wiedziałeś, że ci nie odmówię. Wielu innym może tak, ale tobie nigdy.

– Wyjadę – powiedział, niemal wypluwając z siebie to słowo jak kłęb zwiniętego bandaża. – Dziś po południu.

I nagle uświadomił sobie, że nie był jeszcze gotowy do wyjazdu. Nie mógł sobie na to pozwolić, przynajmniej do czasu, gdy nie otrzyma czeku od Wayne' a z kolejną ratą honorarium lub raczej tym, co zostało po tym, jak dobrały się do niego żadne spłaty długów sępy. Jeśli chodzi o bieżące wydatki, to w grę wchodziła opłata za parkowanie datsuna i uiszczenie do piątku kolejnej raty za samochód. W przeciwnym razie w niedługim czasie

czekała go wizyta niezbyt przyjaźnie nastawionego faceta zajmującego się odbieraniem nie spłaconych wozów, a do tego nie było mu pilno. Niestety, po ubiegłym wieczorze, który zaczął się tak niewinnie z Buddym, jego narzeczoną i jej koleżanką – oralną higienistką, przemiłą dziewczyną z Bronxu („Larry spodoba ci się, ma wspaniałe poczucie humoru”), było u niego kiepsko z kasą. Nie, jeśli chodzi o ścisłość to był niemal kompletnie spłukany. Ta myśl wzbudziła w nim uczucie paniki. Dokąd miałby się udać, gdyby teraz wyjechał? Gdzie by się zatrzymał? W hotelu? Odźwierny w każdym hotelu natychmiast by go wyśmiał i kazałby wynosić się do diabła. Fakt, że był nieźle ubrany, ale tamci i tak by się domyślili. Oni wiedzieli. Ci dranie zawsze jakimś cudem wiedzieli. Potrafili zwęszyć pusty portfel.

– Nie wyjeżdżaj – powiedziała łagodnym tonem. – Nie chciałabym żebyś wyjechał, Larry. Kupiłam różne specjały do jedzenia. Może już zauważyłeś? Poza tym miałam nadzieję, że wieczorem zagramy kilka partyjek remika.

– Mamo, ty nie umiesz grać w remika – odparł, uśmiechając się pod nosem.

– Takiego dzieciaka jak ty, ograłabym do suchej nitki.

– Może, gdybym ci dał czterysta punktów...

– Co ty nie powiesz – mruknęła ironicznie. – A może gdybym to JA dała TOBIE czterysta punktów? Posiedź tu trochę, Larry. Co ty na to?

– W porządku – odparł.

Po raz pierwszy tego dnia czuł się dobrze, naprawdę dobrze. Cichy głos w jego wnętrzu szeptał, że znów zaczynał brać, że ponownie był tym samym Larrym, który nic nikomu nigdy nie dawał, ale on go nie słuchał. Była przecież jego matką i prosiła go aby został. To prawda, że zanim do tego doszło powiedziała mu parę przykrych słów, ale prośba to prośba, prawda?

– Powiem ci coś. Zapłacę za nasze bilety na mecz na czwartego lipca. Odpłacę ci za to, z czego obiorę cię dziś wieczorem.

– Nie umiałbyś nawet obrać pomidora – odparła z uśmiechem, po czym odwróciła się, ponownie koncentrując uwagę na półkach. – W korytarzu jest toaleta męska. Dlaczego nie zmyjesz tej krwi z czoła? Jak to zrobisz, wyjmij z mojej torebki dziesięć dolarów i idź do kina. Przy Third Avenue są jeszcze stare, dobre kina. Tylko trzymaj się z dala od miejsc, w których roi się od ciemnych typów, zwłaszcza w okolicach 39 Street i Broadway.

– Niedługo zwrócę ci pieniądze – rzekł Larry. – Płyta jest w tym tygodniu na osiemnastym miejscu na liście „Billboardu”. Sprawdziłem u Sama Goody’ego, kiedy tutaj siedłem.

– To wspaniale. Skoro jesteś taki bogaty, to dlaczego nie kupisz gazety zamiast ją tylko przeglądać?

Nagle poczuł, że coś niewidzialnego ugrzęzło mu głęboko w gardle. Starał się odchrząknąć, ale to nic nie dało.

– No cóż, nieważne – powiedziała. – Mój język jest jak narowisty koń. Kiedy już zacznie galopować, to pędzi dopóki się nie zmęczy. Wiesz o tym. Weź piętnaście dolarów, Larry. Przyjmijmy, że to pożyczka. Sądzę, że odzyskam je – w ten, czy inny sposób.

– Odzyskasz – stwierdził. Podszedł do niej i pociągnął za skraj spódnicy, jak mały chłopiec. Spuściła wzrok. Stał na palcach i pocałował ją w policzek. – Kocham cię, mamo.

Wyglądała na zakłopotaną, ale nie pocałunkiem, tylko tym, co powiedział lub może tonem jego głosu.

– Przecież wiem, Larry – odparła.

– A co do tego, co powiedziałaś o moich tarapatkach. Fakt, mam pewne kłopoty, ale to nic...

Jej głos stał się nagle surowy i zimny. Prawdę mówiąc, był tak lodowaty, że słysząc go, Larry po prostu się przestraszył.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– W porządku – stwierdził. – Posłuchaj mamo, które z kin tu w okolicy jest najlepsze?

– Lux Twin – odrzekła. – Ale nie wiem, co grają.

– To nieważne. Wiesz co myślę? Są trzy rzeczy znane i popularne w całych Stanach, ale najlepsze są tylko tu, w Nowym Jorku.

– To znaczy, mój panie krytyku? Co takiego?

– Kina, baseball i hot dogi u Nedicka.

Roześmiała się.

– Nie jesteś głupi, Larry, nigdy nie byłeś.

W chwilę potem poszedł do męskiej toalety, gdzie zmył skrzepłą krew z czoła. A potem wrócił i jeszcze raz pocałował matkę. Wyjął piętnaście dolarów z jej starej, czarnej torebki, a potem poszedł do kina. I obejrzał film, w którym upiór z koszmarów nazwiskiem Freddy Krueger wciągnął grupę nastolatków w głąb lotnych piasków ich snów, gdzie zginęli wszyscy, za wyjątkiem głównej bohaterki. Wydawało się, że Freddy Krueger na końcu również zginął, ale w zasadzie trudno było stwierdzić to na pewno, a ponieważ film miał w tytule kolejną cyfrę rzymską i był całkiem nieźle zrobiony, Larry przypuszczał, że mężczyzna z metalową rękawicą na palcach zakończonych długimi, wąskimi nożami, powróci. Nie słyszał jednak natarczywego odgłosu, jaki rozlegał się za jego plecami, a który oznaczał kres wszystkiego... Już niebawem nie będzie sequeli, ba, niedługo nie będzie już żadnych filmów.

Mężczyzna siedzący w następnym rzędzie za Larrym kasłał.

ROZDZIAŁ 12

W kącie saloniku stał wielki, dziadkowy zegar. Frannie Goldsmith przez całe życie słuchała jego miarowego tykania. Był to najważniejszy punkt pokoju, którego nigdy nie lubiła, a w dniu takim jak ten, wręcz nienawidziła. Jej ulubionym pomieszczeniem był warsztat ojca znajdujący się w szopie łączącej dom i stodołę. Do środka wchodziło się przez półtorametrowe drzwi ukryte za starym, kuchennym piecem. Już same drzwi były świetne, na dobry początek – małe, na wpół schowane, jak wrota z baśni wiodące do krainy fantazji. Kiedy urosła musiała się pochylać, tak samo jak jej ojciec. Matka właściwie nie wchodziła do warsztatu, jedynie w sporadycznych sytuacjach, kiedy nie miała innego wyjścia. To były drzwi jak z Alicji w krainie czarów i często zdarzało jej się marzyć (o czym nie wiedział nawet jej ojciec), że któregoś dnia kiedy je otworzy, nie zobaczy przed sobą starego warsztatu Petera Goldsmitha. Zamiast niego znajdzie się w podziemnym korytarzu leżącym gdzieś pomiędzy Krainą Czarów a Hobbitonem, niskim, ale przyjemnym tuneliku o zaokrąglonych ścianach, gdzie z sufitu wystają, korzenie, o które, jeśli byłeś nieostrożny, mogłeś zawadzić głową i nabić sobie porządnego guza. W tunelu, który nie był przesycony wonią wilgotnej ziemi, błota, ohydneho robactwa i wstrętnych owadów, ale zapachem cynamonu i pieczonych ciast, i który kończył się w spiżarni w Bag End, gdzie pan Bilbo Baggins wyprawiał przyjęcie z okazji swoich sto jedenastych urodzin...

Cóż, tunel nigdy się nie pojawił, ale dla Frannie Goldsmith, która dorastała w tym domu, warsztat (nazywany niekiedy przez jej ojca „narzędziownią”, a przez jej matkę „tym cuchnącym miejscem, gdzie ojciec żłopie piwsko”) okazał się zupełnie wystarczający. Było tam wiele dziwnych przyrządów i narzędzi. Ogromna komoda z tysiącem szuflad, a każda z nich wypełniona po brzegi. Gwoździe, śruby, mutry, papier ścierny (w trzech rodzajach, od drobno do gruboziarnistego), strugi, poziomice i wiele, wiele innych, których nazw nawet nie znała i nie poznała po dzień dzisiejszy. W warsztacie było ciemno, jedyne światło dawała omotana pajęczynami czterdziestowatowa żarówka zwisająca na sznurze i niewielka lampa tensorowa, która zawsze była przekrzywiona, kiedy ojciec pracował. W powietrzu unosiła się woń kurzu, oliwy i dymu fajkowego. Teraz miała wrażenie, że stanowiło to swoistą regułę –

każdy ojciec musiał palić. Fajka, cygara, papierosy, marihuana, haszysz, liście sałaty – cokolwiek. Woń dymu zdawała się być integralną częścią jej dzieciństwa.

„Podaj mi ten klucz, Frannie. Nie, ten mały. Co dziś robiłaś w szkole?... Naprawdę to zrobiła?... Ale dlaczego Ruthie Sears miałyby chcieć cię zepchnąć?... Tak, to okropne. Bardzo. Okropne zadrapanie. Jednak, czy nie sądzisz, że pasuje do koloru twojej sukienki? Przydałoby się teraz znaleźć Ruthy Sears, żeby zepchnęła cię jeszcze raz. Zadrapałabyś sobie jeszcze drugą nogę. Byłoby do pary. Podaj mi proszę, ten duży śrubokręt... Nie, nie, ten z żółtą rączką”.

„Frannie Goldsmith! Natychmiast opuścisz to okropne pomieszczenie i przebierzesz się! Już! Teraz! Pobrudzisz się!”

Nawet dziś, mając dwadzieścia jeden lat, kiedy pochylając się, wchodziła do tego pokoju i stawała obok stołu roboczego lub przy piecu, z którego zimą biło takie przyjemne ciepło, czuła się jak mała dziewczynka. To było iluzoryczne odczucie i niemal zawsze mieszało się ze smutkiem po stracie Freda (choć prawie go nie pamiętała), którego proces dorastania został tak brutalnie i definitywnie przerwany.

Stała tam i czuła wszechobecną woń oliwy, moszczu winnego i słaby zapach fajkowego dymu. Prawie nie pamiętała już jak to jest być małą dziewczynką, tak dziwnie małą, ale w tym jednym, jedynym miejscu, czasami jej się to udawało i to uczucie było po prostu wspaniałe.

Ale teraz do saloniku.

Salonik.

Jeśli warsztat w okresie jej dzieciństwa kojarzył się z tym, co dobre i przyjemne, a głównym tego symbolem był widmowy zapach dymu z fajki jej ojca (czasami, kiedy bolało ją ucho wdmuchiwał jej tam odrobinę dymu, ale rzecz jasna musiała najpierw obiecać, że nie powie o tym Carli) salonik przywodził jej na myśl wszystko, o czym pragnęła zapomnieć. „Mów tylko wtedy, kiedy cię pytają! Zepsuć jest łatwo, naprawić trudniej! Idź w tej chwili na górę i przebierz się, nie wiesz, że to nie wypada? Czy ty w ogóle MYŚLISZ? Frannie, nie rób tak, bo ludzie pomyślą, że masz pchły. Co by sobie pomyśleli wujek Andrew i ciotka Carlene? Mam przez ciebie same zmartwienia!”

Salonik był miejscem gdzie nie wolno było odezwać się bez pytania, podrapać, kiedy cię coś zaswędziało, gdzie należało słuchać rozkazów i wytrzymywać ze spokojem, kiedy krewni szczypali cię w policzki. Nie było mowy o kasłaniu, kichaniu czy – uchowaj Boże – ziewaniu. To było nie do pomyślenia.

Pośrodku pokoju, w którym dominował duch jej matki, stał zegar. Zbudował go w 1889 roku dziadek Carli – Tobias Downes, i zegar prawie natychmiast został włączony do rodzinnego spadku. Przez lata podróżował troskliwie pakowany i ubezpieczony podczas przeprowadzek z jednej części kraju do drugiej (powstał w Buffalo w stanie Nowy Jork w warsztacie Tobiasa, miejscu równie zadymionym i brudnym jak pracownia Petera, jednakże

podobny komentarz Carla uznałaby za irracjonalny), czasami zaś przechodził z rąk do rąk, kiedy rak, atak serca czy wypadek odrąbywały kolejną gałąź ich drzewa genealogicznego. Zegar stał w saloniku odkąd Peter i Carla Goldsmith wprowadzili się do tego domu mniej więcej trzydzieści sześć lat temu. Tu go ustawiono i tak już pozostał, tykając jednostajnie i odmierzając kolejne sekundy zasuszonej ery. Któregoś dnia zegar będzie należał do niej. „Jeśli tylko go zechcę – pomyślała, patrząc na białą, wykrzywioną grymasem szoku twarz matki. – Ale ja go nie chcę! Nie chcę i go nie wezmę!”

W tym pokoju pod dzwonekami ze szkła spoczywały zasuszone kwiaty. Podłogę wyścielał szary dywan z ciemnoróżowymi różami. Z wąskiego, łukowo sklepionego okna rozciągał się widok na zbocze wzgórze i szosę numer 1. Drogę i ogród oddzielał ogromny, ligustrowy żywopłot. Odkąd na rogu ulicy powstała stacja Exxon, Carla tak długo trwała mężowi, że w końcu posadził przy drodze żywopłot. Kiedy już to zrobił, zaczęła go molestować aby przyspieszył jego wzrost. Potrafiłaby przyjąć radioaktywne nawozy, gdyby tylko przyniosły pożądany efekt. Natężenie jej utyskiwań nieco straciło na sile, kiedy żywopłot urósł, a Fran przypuszczała, iż skończą się one zupełnie za mniej więcej dwa, trzy lata, kiedy żywopłot będzie na tyle duży, że zupełnie przesłoni stację benzynową, której widok stanowił obrazę dla jej saloniku. Utyskiwania ustaną. Przynajmniej jeśli chodziło o tę kwestię.

Szablonowy wzór na tapecie – duże, zielone liście i różowe kwiaty, niemal w tym samym odcieniu, co róże na dywanie. Meble w stylu wczesnoamerykańskim i ciemne, mahoniowe drzwi. Kominek na pokaz, gdzie na palenisku leżała wiecznie ta sama kłoda drewna, a samo palenisko było wręcz dziewicze, nie tknięte nawet najmniejszą drobiną sadzy. Frannie sądziła, że kłoda musiała teraz być tak sucha, że gdyby ją podpalić zajęłaby się jak papier. Ponad nią wisiał kocioł. Był tak duży, że praktycznie mogłoby się w nim wykąpać dziecko. Przekazany przez praprababkę Frannie, podobnie jak kominek był jedynie ozdobą saloniku. Powyżej obramowania kominka, niejako dla dopełnienia całości obrazu, znajdowała się stara strzelba skałówka. Okruchy czasu, fragmenty zasuszonej ery.

Miała niewiele wspomnień z dzieciństwa. Jedno z nich wiązało się z przykrym incydentem, kiedy zrobiła siusiu na szary dywan z ciemnymi różami. Mogła mieć wtedy ze trzy latka, nie potrafiła jeszcze nad sobą panować i prawdopodobnie z obawy przed ewentualnymi „wypadkami” pozwalano jej wchodzić do saloniku tylko przy specjalnych okazjach. Mimo to, jakoś weszła do środka i widok jej matki nie tyle biegnącej, co PĘDZĄCEJ w jej stronę aby zapobiec „incydentowi” sprawił, że TO się stało. Jej pęcherz został opróżniony, a na szarym dywanie pojawiła się ciemna plama. Na ten widok jej matka krzyknęła przeraźliwie. Plama w końcu zeszła, ale ile razy trzeba było pokrywać ten fragment dywanu szamponem, by go zmyć? Frannie Goldsmith nie wiedziała. Odpowiedź na to pytanie znał jedynie Bóg.

To właśnie w saloniku matka udzieliła jej długiego, posępnego i niezbyt przyjemnego wykładu po tym, jak przyłapała Fran i Normana Bursteina bawiących się w stodole w

„doktora”. Zegar miarowo odliczał sekundy, a Carla zapytała czy spodobało by się jej, gdyby zabrała Frannie całkiem nagą na spacer wzdłuż szosy numer 1. Jak by się wtedy czuła? Frannie, wówczas sześciolatka rozplakała się, ale do histerycznego wybuchu nie doszło.

Mając dziesięć lat podczas przejażdżki rowerem odwróciła się przez ramię, aby krzyknąć do Georgetty McGuire i wjechała na słupek ze skrzynką pocztową. Rozcięła sobie głowę, rozkwaślała nos, pozdierała oba kolana i na skutek szoku przez dłuższą chwilę widziała wokół siebie tylko morze szarości. Kiedy doszła do siebie, kuśtykając, wróciła do domu. Płakała i była przerażona widokiem krwi wypływającej z jej ciała. Poszłaby do ojca, ale był właśnie w pracy, toteż weszła do saloniku, gdzie akurat jej matka częstowała herbatką panie Venner i Prynne.

„WYNOCHA! – wrzasnęła jej matka, a w chwilę potem podbiegła do Frannie, objęła ją mocno i podniesionym głosem rzuciła: – Och, Frannie, kochanie, co się stało z twoim biednym noskiem?”

Zaprowadziła ją do kuchni, gdzie krople krwi mogły bezpiecznie skapywać na podłogę i pomimo, że bez przerwy ją pocieszała, Frannie nigdy nie zapomniała, że pierwszym słowem, które padło z ust matki nie było „Frannie” ale: „Wynocha!”

Przejmowała się tylko swoim salonikiem, gdzie bez przerwy trwała zaszuszone era i gdzie nie było miejsca na krew. Być może pani Prynne też tego nie zapomniała, bo nawet przez łzy Frannie widziała wyraz szoku i absolutnego zdumienia malujące się na jej twarzy. Od tego czasu pani Prynne przestała być częstym gościem w ich domu.

W pierwszej klasie liceum raport na temat jej zachowania nie był zachwycający i naturalnie musiała porozmawiać w tej sprawie z matką; rozmowa odbyła się w saloniku. W ostatnim roku liceum była trzykrotnie zawieszana w prawach ucznia i to również pociągnęło za sobą konieczność odbycia w saloniku kolejnych rozmów z matką. To właśnie tam dyskutowały o ambicjach Fran, które zawsze okazywały się płytkie i próżne, o jej nadziejach, zazwyczaj bezwartościowych i miałych oraz o jej skargach – oczywiście bezpodstawnych, nie mówiąc już o skomleniu, jęczczeniu i zwyczajnej niewdzięczności.

To właśnie tu na marach ozdobionych różami, chryzantemami i polnymi liliami stała trumna jej brata. W powietrzu unosił się zapach wędnących kwiatów, a zegar niewzruszenie odmierzał kolejne sekundy ery, która przeminęła.

– Jesteś w ciąży – powtórzyła ponownie Carla Goldsmith.

– Tak, mam. – Jej głos był oschły, ale nie zwilżyła warg. Zacisnęła je mocno i pomyślała: „W warsztacie mojego ojca jest mała dziewczynka w czerwonej sukience i ona zawsze tam będzie, chowająca się pod stołem z przykręconym na brzegu imadłem, siedząca w kucki obok ogromnej szafy na narzędzia i tysiącem wypełnionych szuflad. Dziewczynka jest bardzo szczęśliwa. Ale w saloniku matki jest jeszcze mniejsza dziewczynka, która nie może zapanować nad swoim pęcherzem i leje na dywan jak niegrzeczny psiak. I ona też będzie tam zawsze. Niezależnie, czy tego chce, czy nie”.

– Och, Frannie – powiedziała jej matka, wypluwając słowa jak automat. Przyłożyła jej dłoń do policzka gestem, który z założenia miał być pocieszający. – Jak-to-się-stało?

To było pytanie Jessa. Właśnie to ją wkurzyło. Jesse zadał jej dokładnie to samo pytanie.

– Ponieważ sama miałaś dwoje dzieci, więc powinnaś wiedzieć mamó, jak to się stało.

– Nie bądź przemądrzała! – wykrzyknęła Carla. Jej oczy rozszerzyły się i błysnęły w nich jaskrawy ogień, który zawsze przerażał Frannie kiedy jeszcze była dzieckiem.

Wysoka kobieta o starannie upiętych, szpakowatych włosach poderwała się gwałtownie (to również wiele razy przerażało Fran). Miała na sobie jasnozieloną sukienkę i beżowe pończochy. Podeszła do kominka jak zawsze, kiedy była zdenerwowana. Poniżej skałkówki na obramowaniu kominka stała wielka księga. Carla była genealogiem-amatorem i w tej książce znajdowała się cała jej linia rodowa – cała rodzina. Aż od 1638 roku kiedy to najwcześniejszy z możliwych do wytropienia z jej przodków wybił się z bezimiennego tłumu Londyńczyków dostatecznie mocno, by znaleźć się w rejestrach jednego z bardzo starych kościołów pod nazwiskiem Merton Downs z Freemason. Drzewo genealogiczne jej rodu zostało opublikowane przed czterema laty w „The New England Genealogist”, a zebraniem materiałów zajęła się sama Carla.

Teraz wolno kartkowała swoją księgę, bezpieczny teren, na który nie mógł wdrzeć się nikt obcy.

Frannie zastanawiała się, czy pośród tych nazwisk znajdowali się jacyś przestępcy. Alkoholicy? A może samotne matki?

– Jak mogłaś zrobić coś takiego swojemu ojcu i mnie? – spytała wreszcie. – Czy to był ten chłopak, Jesse?

– Tak. To Jesse jest ojcem.

Carla skrzywiła się, słysząc ostatnie słowo.

– Jak mogłaś? – powtórzyła Carla. – Staraliśmy się wychować cię najlepiej jak umieliśmy. To... to po prostu... – Przyłożyła dłonie do twarzy i zaczęła płakać. – Jak mogłaś zrobić COŚ TAKIEGO! – krzyknęła. – Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy tak nam się odwdzięczasz? Parzysz się z tym chłopakiem jak suka w rui? Ty niedobra dziewczyno! Ty niedobra dziewczyno!

Opierając się o obramowanie kominka, pochlipywała na głos. Jedną ręką zasłoniła oczy a drugą wodziła po zielonej okładce książki. Zegar cały czas tykał nieprzerwanie.

– Mamó...

– Nie odzywaj się do mnie! Dość już powiedziałaś!

Frannie zeszytniała. Nogi miała jak z drewna, choć było to złudne odczucie, bo przecież wyraźnie drżały. Łzy popłynęły jej z oczu, ale ich nie otarła – nie pozwoli, aby ten pokój raz jeszcze ją pokonał.

– Wyjeżdżam.

– Dawaliśmy ci jeść! – zawołała nagle Carla. – Kochaliśmy cię... pomagaliśmy... a ty jak nam odpłacasz? Jesteś ZŁA! ZŁA! ZŁA!

Frannie zaślepiona przez łyzy drżała. Prawą stopą uderzyła w kostkę lewej. Straciła równowagę i upadła, rozkładając szeroko ręce. Bokiem głowy uderzyła w stolik do kawy i jedną ręką strąciła na dywan wazon z kwiatami. Nie zbił się, ale na dywanie błyskawicznie rozlała się kałuża wody, zmieniając odcień szarości na ciemniejszy.

– Spójrz na to! – wrzasnęła niemal z triumfem Carla. Łzy wyłobily kręte ścieżki na jej twarzy pokrytej makijażem. Miała ciemne sińce pod oczami. Wyglądała strasznie. – Spójrz tylko, zniszczyłaś dywan! To był dywan twojej babci!

Frannie usiadła na podłodze i jak otępiąta gładziła się dłońmi po głowie. Chciała powiedzieć matce, że to przecież tylko woda, ale była zupełnie roztrzęsiona i nie miała pewności czy to rzeczywiście była tylko woda. A może moc? Tylko czyj?

Carla Goldsmith ponownie z tą przerażającą szybkością podniosła wazon i zaczęła wymachiwać nim Frannie przed nosem.

– Co masz jeszcze w planie panienko? Masz zamiar tu zostać? Spodziewasz się, że damy ci wikt i opierunek, a ty będziesz mogła gzić się z każdym napotkanym chłopem? Przypuszczam, że na to liczysz. No więc, przeliczyłaś się! Przeliczyłaś się, słyszysz? Nic z tego!

– Nie chcę tu zostać – wyszeptowała Frannie. – Myślałaś, że chcę?

– Dokąd pojedziesz? Z nim? Wątpię.

– Do Bobbi Rengarten w Dorchester albo do Debbie Smith w Sommersworth, jak sądzę.

– Frannie powoli doszła do siebie i wstała. Nadal płakała, ale czuła, że powoli ogarnia ją złość. – To nie twoja sprawa.

– Nie moja sprawa? – zawtórowała Carla, wciąż trzymając w dłoni wazon. Jej twarz była biała jak kreda. – Nie moja? To, co robisz, będąc w moim domu, to nie moja sprawa? Ty niewdzięczna, mała dziwko!

Uderzyła ją w twarz. Policzek był siarczysty. Głowa Frannie odskoczyła w tył. Przestała gładzić się po głowie i potarła piekący policzek, wpatrując się z niedowierzaniem w twarz matki.

– Tak nam dziękujesz za to, że posłaliśmy cię do dobrej szkoły – powiedziała Carla, obnażając zęby w nieprzyjemnym grymasie. – A ty jej na dodatek nie ukończysz. Kiedy już za niego wyjdiesz...

– Nie zamierzam za niego wychodzić. I nie chcę rzucać szkoły.

Oczy Carli rozszerzyły się. Popatrzyła na Frannie jak na wariatkę.

– O czym ty mówisz? O aborcji? Chcesz być nie tylko dziwką i włóczęgą, ale na dodatek morderczynią?

– Urodzę dziecko. Opuszczę semestr wiosenny, ale wrócę do szkoły na jesieni.

– A jak to sobie wyobrazasz? Za moje pieniądze? Jeżeli tak, to będziesz musiała to jeszcze przemyśleć. Nowoczesne dziewczyny, jak ty, potrzebują pomocy rodziców.

– Nie powiem, że nie – powiedziała łagodnie Frannie. – Ale co do pieniędzy... jakoś sobie poradzę.

– Nie masz za grosz wstydu! Myślisz tylko o sobie! – krzyknęła Carla. – Czy ty wiesz, co to oznacza dla twojego ojca i dla mnie? Ale tobie w ogóle na tym nie zależy! Ciebie to nie obchodzi. Nieważne, że złamiesz tym ojcu serce i...

– Wcale tak nie uważam – rozległ się głos Petera Goldsmitha, który nieoczekiwanie stanął w progu.

Zaskoczone, odwróciły się gwałtownie.

Stał w drzwiach, ale za progiem, na mniej wystawnym dywanie niż ten drogi, mechaty, w saloniku.

Frannie uświadomiła sobie nagle, że wielokrotnie widywała go stojącego właśnie w tym miejscu. Kiedy ostatni raz wchodził do saloniku? Nie pamiętała.

– Co ty tu robisz? – rzuciła ostro Carla, która natychmiast zmieniła temat. – Myślałam, że dziś po południu miałeś pracować.

– Zamieniłem się z Harrym Mastersem – odrzekł Peter. – Fran już mi powiedziała, Carlo. Będziemy dziadkami.

– DZIADKAMI! – wykrzyknęła. Wybuchnęła nieprzyjemnym, ochrypłym śmiechem. – Zostawiłeś to mnie. Dowiedziałeś się o tym pierwszy, ale nic mi nie powiedziałeś. W porządku. Spodziewałam się tego. Ale teraz mam zamiar zamknąć drzwi i załatwić tę sprawę w cztery oczy. – Uśmiechnęła się złowieszczo do Frannie.

– Tylko... my dwie.

Położyła dłoń na klamce i zaczęła przymykać drzwi. Frannie wciąż jeszcze oszołomiona nie potrafiła pojąć, skąd w jej matce wzięło się nagle tyle jadu i wściekłości.

Peter powoli i jakby z wahaniem wyciągnął rękę i zatrzymał drzwi.

– Peter, chcę abyś pozostawił to mnie.

– Wiem, robiłem tak w przeszłości. Ale nie tym razem, Carlo.

– To nie jest twoja działka.

– Jest – odparł spokojnie.

– Tatusiu...

Carla odwróciła się do niej. Jej policzki pokraśniały.

– Nie odzywaj się do niego! – wrzasnęła. – Nie z nim masz do czynienia, tylko ze mną! Wiem, że zawsze potrafisz go przekabacić, ale dziś moja panno, masz do czynienia ze mną!

– Przestań, Carlo.

– WYNOCHA!

– Nie wszedłem. Chyba wi...

– Nie żartuj sobie ze mnie. WYNOŚ SIĘ Z MOJEGO SALONU!

To rzekłszy, ponownie napała na drzwi. Z pochyloną głową i naprężonymi ramionami wyglądała jak rozjuszony byk.

On z początku powstrzymywał ją bez trudu, potem musiał włożyć w to trochę wysiłku. W pewnym momencie na jego szyi pojawiły się żyły – pomimo, że Carla była kobietą i ważyła siedemdziesiąt funtów mniej niż on. Frannie chciała ich powstrzymać, miała ochotę krzyknąć, aby jej ojciec przestał i poszedł sobie, by oboje nie musieli już oglądać Carli w takim stanie – w napadzie gwałtownego i irracjonalnego rozgoryczenia, które zawsze czaiło się gdzieś głęboko w jej wnętrzu, a obecnie opanowało ją bez reszty. Jednak jej usta wydawały się jak zamrożone – zawiasy zardzewiały i nawet nie drgnęły.

– Won! Won z mojego saloniku! Wynoś się! Wynoś się! Won! TY DRANIU, PUŚĆ TE CHOLERNE DRZWI I WYCHRZANIAJ STĄD!

Wtedy ją spoliczkował. Dźwięk był słaby, prawie niegodny uwagi. Dziadkowy zegar słysząc to, nie rozpadł się w proch i pył ze złości, lecz spokojnie odmierzał czas równomiernym tykaniem, jak gdyby nic się nie stało. Meble nie zaskrzypiały. Mimo to głos Carli ucichł jakby ucięty skalpelem. Upadła na kolana, a drzwi otworzyły się na całą szerokość, uderzając łagodnie w krzesło z epoki wiktoriańskiej, z wysokim oparciem i ręcznie haftowaną narzutą.

– Nie, och nie – wyszeptała zbolalym głosem Frannie.

Carla przyłożyła dłoń do policzka i uniosła wzrok, spoglądając na męża.

– Należało ci się to od dobrych dziesięciu lat – zauważył Peter. Jego głos drżał nieznacznie. – Zawsze mówiłem, że tego nie zrobię, ponieważ nie jestem zwolennikiem bicia kobiet. Ale kiedy ktoś – nieważne, mężczyzna czy kobieta zmienia się w psa i zaczyna kąsać, należy go lub ją uspokoić. Żałuję tylko, że nie zdobyłem się na to wcześniej. Oszczędziłoby to nam obojgu sporo bólu.

– Tatusiu...

– Cicho, Frannie – powiedział obojętnym tonem, na co Franny umilkła. – Mówisz, że ona jest egoistką – stwierdził Peter, w dalszym ciągu patrząc na nieruchomą, zastygłą w wyrazie szoku twarz żony. – Ale to TY taka jesteś. Od śmierci Freda przestałaś się troszczyć o Frannie. Właśnie wtedy uznałaś, że miłość do dzieci może spowodować zbyt wiele bólu i stwierdziłaś, że bez niej w życiu będzie ci łatwiej. Zaczęłaś żyć tylko dla siebie. I twoje życie ograniczyło się do tego pokoju. Właśnie tu dawałaś najsilniejsze przejawy swojego egoizmu. Raz po raz, bez końca. Żyłaś przeszłością w świecie umarłych, zapominając o nas, żyjących. A kiedy Frannie przyszła tu, do ciebie, bo znalazła się w kłopotcie i poprosiła o pomoc, założyła się, że pierwsze, o czym pomyślałaś, to co powiedzą kobiety z Flower and Garden Club albo czy przez to nie będziesz mogła pójść na ślub Arrty Lauder. Ból powoduje zmiany, ale żaden ból nie zdoła zmienić faktów. Byłaś egoistką.

Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Podniosła się jak lunatyczka. Wyraz jej twarzy nie zmienił się – oczy nadal miała rozszerzone i pełne niedowierzania. Wyraz niepokoju gdzieś zniknął, ale Frannie wiedziała, że nie opuścił jej na długo.

Wróci.

Na pewno wróci.

– To moja wina, to przeze mnie ta sytuacja trwała tak długo. Nie chciałem robić zamieszania. Nie chciałem wszczynać kłótni. Widzisz, ja też byłem w pewnym sensie egoistą. A kiedy Frannie poszła do szkoły, pomyślałem – no, nareszcie Carla ma czego chce i nie będzie ranić nikogo oprócz siebie, a jeżeli ktoś nie wie, że rani samego siebie, to w sumie nie czuje się pokrzywdzony. Myliłem się. Ba, myliłem się już wcześniej, ale jeszcze nigdy tak bardzo jak wtedy. – Powoli, choć silnie zacisnął palce na ramieniu Carli. – Mówię do ciebie jako twój mąż – jeżeli Frannie zechce tu zostać, TO ZOSTANIE! To BYŁ i JEST jej dom. Jeżeli będzie potrzebować pieniędzy, dam jej, tak jak zawsze. A jeżeli zdecyduje się zatrzymać dziecko, to zatrzyma je i będziemy się o nie troszczyć wspólnie. Poza tym, jeżeli sądzisz, że nikt do niej nie będzie przychodził, to się mylisz. Frannie ma kilka serdecznych przyjaciółek, które na pewno niejedną raz wpadną tu z wizytą. I jeszcze jedno – jeżeli zechce je ochrzcić, to stanie się to właśnie tu. W tym cholernym saloniku.

Carla otworzyła usta i nagle wydobył się z nich jakiś dźwięk. Z początku przypominał świst pary buchającej z czajnika, potem zmienił się w jęk.

– Twój syn, Peter, leżał w trumnie właśnie w tym pokoju!

– Tak. I dlatego nie widzę lepszego miejsca gdzie można by ochrzcić nowe życie – powiedział. – Krew Freda. Żywa Krew. Carlo, Fred nie żyje już od wielu lat. Do tej pory na pewno zżarły go robaki.

Krzyknęła i przyłożyła dłonie do uszu. Peter pochylił się i zmusił ją do opuszczenia rąk.

– Ale robaki nie dostały twojej córki i jej dziecka. Nieważne jak zostało poczęte. ONO ŻYJE. Zachowujesz się jakbyś chciała, aby Fran wyjechała. Co by ci wówczas zostało? Nic, prócz tego pokoju i męża, który znienawidziłby cię za to, co zrobiłaś. Gdyby ci się to udało, straciłabyś jednocześnie trzy osoby – bo prócz Freda, jeszcze Frannie i mnie.

– Chcę pójść na górę. Muszę się położyć – powiedziała Carla. – Mam mdłości.

– Pomogę ci – zaproponowała Frannie.

– Nie dotykaj mnie. Zostań z ojcem. Wygląda na to, że oboje to zmontowaliście. Zamierzacie mnie zniszczyć. Dlaczego nie miałabyś zamieszkać w moim saloniku, Frannie? Pobrudzić błotem dywan i nasypać popiołu z kominka do tego starego zegara? Dlaczego nie? Dlaczego nie?

Wybuchnęła śmiechem i ominąwszy Petera, ruszyła w głąb holu. Kołysała się jak pijana. Peter próbował objąć ją ramieniem. Wyszczrzyła do niego zęby i zasyczała jak kotka. Jej śmiech przerodził się w płacz, kiedy opierając się ręką o mahoniową poręcz, wolno wchodziła po schodach. W jej szlochu brzmiała nuta bezradności, która sprawiła, że Frannie miała

ochotę jednocześnie wrzeszczeć i zwymiotować. Twarz jej ojca miała barwę starego, pożółkłego prześcieradła. U szczytu schodów Carla odwróciła się i zachwiała tak mocno, że przez chwilę Frannie obawiała się, że matka runie w dół. Spojrzała na nich i już miała coś powiedzieć, kiedy zmieniła zamiar i ponownie się odwróciła. W chwilę potem trzask zamykanych drzwi sypialni zagłuszył posępne odgłosy jej smutku i bólu.

Frannie i Peter, bladzi, patrzyli na siebie nawzajem a dziadkowy zegar tykał nieprzerwanie.

– Wszystko się jakoś ułoży – powiedział spokojnie Peter. – Ona dojdzie do siebie.

– Na pewno? – spytała Frannie. Wolno zbliżyła się do ojca i przytuliła się do niego, a on objął ją ramieniem. – Nie sądzę.

– Nieważne. Nie myślmy o tym teraz.

– Powinnam wyjechać. Ona nie chce, abym tu została.

– Powinnaś zostać. Być tutaj kiedy – jeżeli – ona dojdzie do siebie i przekona się, że nadal ciebie potrzebuje... – przerwał. – Ja już to wiem, Frannie.

– Tatusiu – powiedziała i oparła głowę na jego piersi. – Och, tato, tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

– Ciii... – powiedział i pogładził ją po włosach. Ponad jej głową widział złociste, nieruchome promienie popołudniowego słońca wpadające przez szyby okien. Kojarzyły mu się ze światłem docierającym w głąb sal muzealnych czy nekropolii. – Ciii, Frannie. Kocham cię. Kocham cię.

ROZDZIAŁ 13

Zapłonęło czerwone światelko i rozległ się syk pomp. Drzwi otworzyły się. Mężczyzna, który wszedł do środka nie nosił białego, ochronnego kombinezonu a jedynie niewielki, lśniący, wkładany do nosa filtr przypominający dwuzębny widelczyk, którym wyciąga się ze słoika oliwki.

– Witam, panie Redman – powiedział, przechodząc przez pokój. Wyciągnął dłoń w gumowej, przezroczystej rękawiczce, a Stu, który zaskoczony przeszedł do defensywy, uściśnął ją. – Jestem Dick Deitz. Denninger powiedział, że odmówiłeś współpracy dopóki nie dowiesz się, co jest stawką w tej grze.

Stu pokiwał głową.

– Dobrze – Deitz usiadł na brzegu łóżka. Był niskim, śniadym mężczyzną i kiedy tak siedział z łokciami na kolanach, przypominał trochę krasnala z filmów Disneya. – No to, co chcesz wiedzieć?

– Po pierwsze, dlaczego nie ma pan na sobie tego kosmicznego skafandra.

– Ponieważ Geraldo uważa, że nie jesteś zarażony.

Deitz wskazał na świnkę morską znajdującą się za podwójną szybą. Świnka była w klatce a obok niej, z twarzą pozbawioną wyrazu stał Denninger.

– Geraldo, tak?

– Geraldo oddychał tym samym powietrzem co ty przez ostatnie trzy dni, przez konwektor. Choroba, którą złapali twoi przyjaciele przenosi się łatwo z ludzi na świnki morskie i vice versa. Gdybyś był zarażony, Geraldo prawdopodobnie już by nie żył.

– Ale wolał pan nie ryzykować – stwierdził oschle Stu, wskazując na filtr nosowy.

– Tego nie ma w moim kontrakcie – odrzekł z cynicznym uśmiechem Deitz.

– Co mam?

– Ciemne włosy, niebieskie oczy i niezłą opale... – odrzekł gładko Deitz. Spojrzał uważnie na Redmana. – To nie jest śmieszne, prawda?

Stu nie odpowiedział.

– Chcesz mnie uderzyć?

– To chyba nic by nie dało.

Deitz westchnął i podrapał się po nosie, jakby od rurek filtra bolały go nozdrza.

– Posłuchaj – powiedział – kiedy sprawa jest poważna zazwyczaj żartuję. Niektórzy ludzie palą albo żują gumę. Ja mam taką metodę i to wszystko. Nie wątpię, że wielu ludzi ma inne, lepsze sposoby aby się nie załamać. Co do choroby, którą mogłeś się zarazić, z badań prowadzonych przez Denningera i jego kolegów wynika, że jesteś zdrow jak rydz. Nie jesteś zarażony.

Stu beznamiętnie pokiwał głową. Mimo to, miał wrażenie, że ten mały facecik zdołał wejrzeć w głąb, pod maskę jego pokerowego oblicza i dostrzec głęboką ulgę, jaką poczuł, usłyszawszy te słowa.

– A co złapali inni?

– Przykro mi, to zastrzeżona informacja.

– Jak to się stało, że zaraził się ten facet, Campion?

– Ta informacja również jest zastrzeżona.

– Przypuszczam, że był wojskowym. I w jednej z baz wydarzył się jakiś wypadek. Tak, jak to masowe wymieranie owiec w Utah przed trzydziestu laty, tylko że tym razem jest dużo gorzej.

– Panie Redman, gdybym pisał choć słówkiem na ten temat, odpowiadałbym za to przed sądem.

Stu pogładził się ręką po brodzie, na której pojawił się już zarost.

– Powinien się pan cieszyć, że nie mówimy panu więcej niż potrzeba – stwierdził Deitz. – Chyba zdaje sobie pan z tego sprawę?

– Żebyśmy mogli lepiej służyć krajowi – rzucił oschle Stu.

– Nie, to należy do Denningera – odrzekł Deitz. – Ogólnie rzecz biorąc, Denninger i ja jesteśmy tylko pionkami, przy czym on jest jeszcze mniej ważny niż ja. To serwomotor, nic więcej. Powinienes się cieszyć z bardziej pragmatycznego powodu. Widzisz, ty również jesteś obecnie „zastrzeżony”. Zniknąłeś z powierzchni ziemi, a gdybyś za dużo wiedział ktoś „z góry” mógłby uznać, że najbezpieczniej byłoby cię usunąć. Po prostu zamknąłbyś się na zawsze.

Stu nie powiedział ani słowa. Był wstrząśnięty.

– Jednak nie przyszedłem tu, aby panu grozić. Potrzebujemy pańskiej współpracy, panie Redman. Bardzo.

– A co z innymi, których tu przywieźliście razem ze mną?

Deitz wyjął z kieszeni kartkę papieru.

– Victor Palfrey – nie żyje. Norman Bruett, Robert Bruett – nie żyją. Thomas Wannamaker – nie żyje. Ralph Hodges, Bert Hodges, Cheryl Hodges – nie żyją. Christian Ortega – nie żyje. Anthony Leominster – nie żyje.

Lista nazwisk rozbrzmiewała echem w uszach Stu. Chris – barman. Zawsze trzymał pod barem obrzyna i pewien kierowca ciężarówki, który myślał, że Chris żartuje, kiedy

powiedział, że zrobi ze strzelby użytek srodze się omylił. Tony Leominster, który jeździł wielkim internationalem z CB radio typu Cobra. Czasami wpadał do Hapa, ale nie było go tam tego wieczoru, kiedy Champion rozwalił swoim wozem dystrybutory.

Vic Palfrey... Chryste, znał Vica przez całe życie. Czy to możliwe, że Vic odszedł? Ale największym ciosem była dla niego wiadomość o śmierci rodziny Hodgesów.

– WSZYSCY? Cała rodzina Ralpa?

Deitz odwrócił kartkę.

– Nie, została jeszcze dziewczynka. Eva. Cztery lata. Żyje.

– Jak się czuje?

– Przykro mi, ta informacja jest zastrzeżona.

Przyptyw gniewu był dla niego przyjemnym zaskoczeniem. Poderwał się, a następnie schwycił Deitza za kłapy marynarki i zaczął nim szarpać w przód i w tył. Kątem oka dostrzegł poruszenie za podwójną taflą szyby. Usłyszał słaby, przytłumiony przez odległość i dźwiękoszczelne ściany brzęczyk alarmu.

– Coście narobili? – krzyknął. – Co żeście zrobili, na rany Chrystusa?

– Panie Redman...

– Co? Coście narobili, do kurwy nędzy?

Drzwi otworzyły się z sykiem. Do środka weszło trzech osiłków w oliwkowych mundurach. Wszyscy mieli w nosach filtry. Deitz spojrzał na nich i warknął:

– Wynoście się stąd!

Trzej mężczyźni wyglądali na zakłopotanych.

– Mamy rozkaz...

– WYNOCHA MI STĄD! TO ROZKAZ!

Wycofali się. Deitz spokojnie usiadł na łóżku. Kłapy marynarki miał pomięte, włosy opadły mu czoło. To było wszystko. Patrzył na Stu ze spokojem, a może nawet ze współczuciem. Przez krótką chwilę Stu miał ochotę wyrwać mu z nosa filtr, a potem przypomniał sobie Geralda – co za głupie imię dla świnki morskiej. Rozpacz podziałała na niego jak kubel zimnej wody. Usiadł.

– Chryste Panie – wymamrotał.

– Posłuchaj – powiedział Deitz. – Nie jestem odpowiedzialny za sprowadzenie cię tutaj. Podobnie jak Denninger, czy pielęgniarki, które ci mierzą ciśnienie. Jeżeli ktokolwiek był za to odpowiedzialny, to chyba tylko Champion, ale w sumie trudno go winić. Uciekł, lecz w podobnej sytuacji ty czy ja, zrobilibyśmy to samo. Wymknął się na skutek błędu technicznego, zwykłego przeoczenia. Takie sytuacje się zdarzają. Próbowaliśmy je wyeliminować. Niemniej nie czyni to nas odpowiedzialnymi.

– A więc kto ponosi za to winę?

– Nikt – rzekł Deitz i uśmiechnął się. – W tym wypadku wina rozłożona jest na tyle czynników, że nie sposób jej przypisać konkretnej osobie. To był wypadek. Mógł się zdarzyć na wiele różnych sposobów.

– Niezły wypadek – rzucił Stu, a jego głos był cichy jak szept. – A co z innymi – Hapem, Hankiem Carmichaelem, Lilą Bruett?

Ich synkiem Lukiem? Monty Sullivanem?

– To zastrzeżone informacje – rzucił Deitz. – Znów zaczniesz mną potrząsać? Jeżeli przez to poczujesz się lepiej, to proszę bardzo.

Stu nie powiedział ani słowa, ale jego spojrzenie sprawiło, że Deitz momentalnie spuścił wzrok i zaczął gmerać palcami przy szwie na nogawce spodni.

– Żyją – powiedział. – I będziesz mógł się z nimi zobaczyć.

– Co z Arnette?

– Objęte jest kwarantanną.

– Ilu mieszkańców zmarło?

– Żaden.

– Kłamiesz.

– Przykro mi, że tak sądzisz.

– Kiedy mnie stąd wypuścicie?

– Nie wiem.

– To też zastrzeżone? – spytał z goryczą w głosie.

– Nie, po prostu nie wiemy. Najwyraźniej nie jesteś zarażony. Chcemy się dowiedzieć, dlaczego tak się stało. Potem będziesz mógł wrócić do domu.

– Mógłbym się ogolić? Swędzi jak jasny piorun.

Deitz uśmiechnął się.

– Jeżeli pozwolisz Denningerowi na przeprowadzenie kolejnych testów, sprowadzę tu natychmiast pielęgniarza, żeby cię ogolił.

– Poradzę sobie sam. Robię to, odkąd skończyłem piętnaście lat.

Deitz stanowczo pokręcił głową.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

Stu uśmiechnął się ironicznie.

– Bo mógłbym sobie poderżnąć gardło?

– Powiedzmy...

Stu przerwał mu serią ostrych, suchych kaszlnięć. Były tak gwałtowne, że aż zgiął się wpół.

Deitz zareagował błyskawicznie. Poderwał się z łóżka i podbiegł do drzwi tak szybko, że mogło się wydawać, iż stopami w ogóle nie dotykał ziemi. Sięgnął do kieszeni i wsunął kanciasty klucz do otworu.

– Nie męcz się – rzekł łagodnie Stu. – Udałem. – Uśmiechnął się szerzej.

Deitz zrobił niepewnie dwa kroki w jego stronę. Jego pięści rozwierały się i zamykały na przemian.

- Ale dlaczego? Dlaczego miałbyś to robić?
- Przykro mi – rzucił Stu z uśmiechem. – To zastrzeżona informacja.
- Ty pierdolnięty sukinsynu – mruknął Deitz, nie ukrywając zdumienia.
- No idź. Idź do nich i powiedz, że mogą kontynuować te swoje testy.

Tej nocy spał lepiej niż dotychczas. I miał wyjątkowo wyraźny sen. Często miewał różne sny. Jego żona zawsze się skarżyła, że w nocy zachowywał się niespokojnie i mamrotał coś na głos – ale nigdy dotąd nie miał TAKIEGO SNU.

Stał na wiejskiej drodze, w miejscu, gdzie asfalt zmienia się w biały jak kość grunt. Letnie słońce prażyło niemiłosiernie. Po obu stronach drogi rozciągały się sięgające zdawałoby się w nieskończoność łąny kukurydzy. Opoдал jakiś znak, ale zbyt zakurzony, by można było odczytać napis. Z oddali dobiegało ochryple skrzeczenie wron. Nieco bliżej ktoś grał solówkę na akustycznej gitarze. Vic Palfrey grał całkiem nieźle, a to była świetna solówka.

„Tam powinienem się dostać – pomyślał we śnie Stu. – Tak, to jest moje miejsce”.

Co to była za melodia? *Cudowny Syjon? Pola mego ojca? Słodkie pożegnanie?* Jakiś hymn, który pamiętał z dzieciństwa, coś co kojarzyło mu się z pełnym skupieniem i radosnymi piknikami. Nie mógł sobie przypomnieć tytułu melodii.

Nagle muzyka ucichła. Chmura przesłoniła słońce. Zaczął się bać. Odniósł wrażenie, że gdzieś tam było coś potwornego, coś gorszego niż plaga, pożar, czy trzęsienie ziemi. To coś było pośród łąnow kukurydzy i obserwowało go, coś mrocznego, posepnego. Spojrzał w tę stronę i daleko pośród łąnow, w ciemnościach dostrzegł świecące oczy. Ich widok sprawił, że ogarnął go paraliżujący, beznadziejny strach – zgroza, jaką może odczuwać kura, kiedy zbliża się do niej łośica.

„To on – pomyślał. – Człowiek bez twarzy. O Boże wszechmogący, nie!”

A potem sen zaczął się rozmazywać i obudził się z uczuciem niepokoju, dyslokacji i ulgi. Poszedł do łazienki a potem zbliżył się do okna. Spojrzał na księżyc. Wrócił do łózka, ale minęła dobra godzina zanim zasnął.

„Te łąny kukurydzy” – pomyślał, przysypiając.

To musiała być Iowa, Nebraska albo może północne Kansas. Ale przecież on nigdy tam nie był.

ROZDZIAŁ 14

Była za kwadrans dwunasta. Za niewielkim okienkiem mrok przywierał do szyb. Deitz siedział samotnie w swoim biurze. Krawat miał poluzowany, marynarkę rozpiętą. Stopy opierał o metalowe biurko. W dłoni trzymał mikrofon. Na biurku stał magnetofon. Szpule obracały się powoli.

– Mówi pułkownik Deitz – powiedział. – W biurze stacji epidemiologicznej Atlanta, kod PB-2. Raport 16, dotyczy akta Projektu Blue, subakta Książniczka/Książę. Ten raport, akta i subakta są ściśle tajne, kod zastrzeżenia 2-2-3, tylko dla osób upoważnionych. Jeśli nie jesteś upoważniony aby otrzymać ten materiał, to pierdol się Jack.

Przerwał i na chwilę przymknął oczy. Taśmy obracały się łagodnie.

– Książę nieźle mnie dzisiaj wystraszył – powiedział w końcu. – Nie będę się wdawał w szczegóły, znajdują się one w raporcie Denningera. Na pewno opisze wszystko dokładnie i ze szczegółami. Rzecz jasna zostanie również dołączony dysk z zapisem mojej rozmowy z Księciem oraz niniejszym nagraniem, które sporządzam za kwadrans północ. Byłem tak wkurzony, że chciałem go uderzyć – muszę przyznać, że śmiertelnie mnie przeraził. Przez chwilę znalazłem się w jego sytuacji i poczułem się dokładnie jak on. Pomijając to, że pozuje na Gary Coopera, facet jest dość bystry i piekielnie niezależny. Potrafi osiągnąć to, czego chce, choćby miał w tym celu wykorzystać wszystkie znane powieściowe chwytły. Nie ma bliskiej rodziny w Arnette ani nigdzie w pobliżu, toteż nie możemy przykręcić mu śruby. Denninger ma paru ochotników – a w każdym razie mówi, że ma, którzy są chętni wejść tam i przekonać tego typu do współpracy za pomocą nieco „silniejszych” argumentów. Cóż, być może rzeczywiście do tego dojdzie, ale jeśli mogę sobie pozwolić na jeszcze jedną, osobistą dygresję – uważam, że Denninger będzie potrzebował więcej ochotników. Być może DUŻO więcej. Osobiście jestem temu przeciwny. Moja matka mówiła, że więcej much złapie się na miód, niż na ocet i chyba nadal w to wierzę.

I jeszcze jedno – facet nadal jest czysty. Nie wykazano obecności wirusa. Domyśl się, co to oznacza.

Przerwał raz jeszcze, zwalczając pragnienie zdrzemnięcia się. Przez ostatnie trzy doby spał jedynie cztery godziny.

– O dziesiątej wieczorem – powiedział formalnym tonem i wziął plik kartek leżących na stole – podczas mojej rozmowy z Księciem zmarł Henry Carmichael. Policjant, Joseph Robert Brentwood zmarł przed pół godziną. Nie będzie tego w raporcie Dr D. ale facet srał w gacie ze strachu. Testy Brentwooda wykazały nagle reakcję pozytywną na szczepionkę typu... – Przekartkował plik papierów – O, jest – 63-A-3. Sprawdź sobie subakta, jeżeli chcesz. Gorączka Brentwooda osłabła, charakterystyczna opuchlizna gruczołów zeszła prawie całkowicie, obiekt stwierdził, że jest głodny, zjadł gotowane jajko i tosta. Mówił sensownie, chciał wiedzieć, gdzie się znajduje i tym podobne. A potem nagle o dwudziestej drugiej gorączka powróciła. Gwałtownie. Zaczął majaczyć. Pozrywał pasy, którymi był przymocowany do łóżka i krążył po całym pomieszczeniu krzycząc, prychając i plując flegmą. A potem nagle przewrócił się i zmarł. Bach – i już. Zespół uważa, że zabiła go szczepionka. Pomogła mu przez jakiś czas, a potem nastąpił nawrót choroby i zgon. Wracamy do punktu wyjścia.

Przerwał.

– Najgorsze zostawiłem na koniec. Możemy odtajnić Księżniczkę – Eve Hodges, lat cztery – dziewczynkę, typ kaukaski. Jej czworonożny przyjaciel zdechł dziś po południu. Gdybyś na nią spojrział, powiedziałbyś, że nic jej nie jest, nawet jednego kichnięcia. Oczywiście jest przygnębiona, brakuje jej matki. Poza tym zachowuje się całkiem normalnie. Ale ona też to ma. Badania przeprowadzone po lunchu wykazały to wyraźnie. Przed kolacją Denninger pokazał próbki jej śliny – z uwagi na dietę próbki śliny dziewczynki są naprawdę pierwotne – i pełne tych długich, przypominających wagoniki kolejowe bakterii, które, jak mówi dr D., nie są w zasadzie bakteriami lecz inkubatorami.

Nie mogę pojąć jakim cudem, skoro wie gdzie TO jest i jak TO wygląda, nie potrafi TEGO powstrzymać. Wygłosił mi wykład w naukowym żargonie, ale wydaje mi się, że on też tego nie rozumie.

Deitz zapalił papierosa.

– A więc jak przedstawia się na dziś cała sytuacja? Mamy chorobę, która rozkłada się na kilka ściśle określonych etapów... ale niektórzy ludzie mogą pominąć niektóre stadia – zarówno naprzód, jak i wstecz. Są ludzie, u których jedno stadium trwa bardzo długo i inni, którzy przechodzą przez wszystkie jak burza. Jeden z naszych dwóch „czystych” obiektów nie jest już czysty. Drugi, to trzydziestoletni chłopak, najwyraźniej zdrowy jak ja. Denninger przeprowadził na nim ze trzydzieści milionów testów i zdołał określić tylko cztery anomalie. Po pierwsze: Redman wydaje się mieć na ciele wyjątkowo dużo pieprzyków. Po drugie: ma lekkie nadciśnienie, obecnie nietrudne do usunięcia. Ponadto: lekki tik nerwowy pod lewym okiem, kiedy jest zdenerwowany. Denninger mówi również, że facetowi śni się więcej niż przeciętnym ludziom. Miewa sny prawie każdej nocy i niemal przez całą noc. Wykryli to podczas standardowych testów EEG, zanim pacjent ogłosił strajk. I to wszystko. Nie potrafię

nic z tego wyłuskać, podobnie jak Denninger i wszyscy, którzy sprawdzali wyniki prac dr Demento.

To mnie przeraża, Starkey. Przeraża mnie, bo nikt prócz wyjątkowo sprytnego doktora wiedzącego o całej sprawie nie zdoła wykryć tej choroby. Dla wszystkich będzie to jedynie przypadek zwyczajnej grypy. Chryste, nikt nie chodzi już do lekarza, chyba że ma zapalenie płuc, pokrzywkę albo podejrzewa raka. Ta choroba nie rzuca się w oczy. I dlatego zarażeni będą zostawać w domu, pić dużo płynów i wylegiwać się w łóżku, a potem umrą, jeden po drugim. Ale zanim poumierają zarażą każdego z kim się zetkną.

Każdy z nas w dalszym ciągu spodziewa się, że Książę (myślę, że któregoś dnia zdradzę jego personalia ale póki co, to nie ma znaczenia) umrze, niezależnie czy stanie się to dziś, jutro, czy pojutrze. Jak dotąd żaden z zarażonych nie przejawiał oznak poprawy. Te skurwysyny z Kalifornii odwały, jak na mój gust, zbyt dobrą robotę.

Deitz, stacja epidemiologiczna Atlanta PB, 2. Koniec raportu.

Wyłączył magnetofon i wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. A potem zapalił kolejnego papierosa.

ROZDZIAŁ 15

Była za dwie minuty północ.

Patty Greer, pielęgniarka, która próbowała zmierzyć Stu ciśnienie, kiedy ten zastrajkował, przeglądała egzemplarz „McCallsa” w pokoju pielęgniarek i oczekiwała na kolejne wejście do izolatek i zbadanie panów Hapscomba i Sullivana. Hap powinien oglądać program Johnny Carsona i raczej nie będzie jej sprawiał kłopotów. Lubił sobie żartować, że byłoby mu ciężko uszczypnąć ją w tyłek przez gruby materiał jej białego skafandra.

Hapscomb był przerażony ale chętny do współpracy, nie tak jak ten okropny Redman, który tylko łypał na nią spod oka. Pan Hapscomb był z tych „dobrych chłopców” jak to mawiała Patty Greer. Jej zdaniem pacjenci zaliczali się do dwóch kategorii – „dobrych chłopców” i „zrządzających pierdzieli”. Patty, która mając siedem lat złamała nogę na wrotkach i od tej pory nie przeleżała ani dnia w łóżku, nie miała cierpliwości do „zrządzających pierdzieli”. Albo faktycznie byłeś chory i zachowywałeś się jak „dobry chłopiec” albo, co typowe dla hipochondrycznych „zrządzających pierdzieli”, sprawiałeś kłopoty ciężko pracującej, uczciwej dziewczynie. Pan Sullivan będzie spał i obudzi się w kiepskim humorze. Nie jej wina, że musiała go obudzić i przypuszczała, że pan Sullivan to zrozumie. Powinien być wdzięczny, że otrzymał (i to za darmo) najlepszą opiekę, jaką mógł mu zapewnić rząd. Tak mu właśnie powie, gdyby dzisiejszej nocy znów zmienił się w „zrządzającego pierdziela”.

Wskazówka zegara wskazała północ. Czas iść.

Wyszła z pokoju pielęgniarek i przeszła korytarzem w stronę białego pomieszczenia, gdzie najpierw zostanie spryskana specjalnym środkiem, a następnie pomogą jej założyć kombinezon. W pół drogi zatrzymała się, wyjęła z kieszeni chusteczkę i kichnęła trzy razy. Niezbyt głośno. Włożyła chusteczkę do kieszeni.

Pochłonięta kwestią postępowania z uciążliwym panem Sullivanem nie zwróciła uwagi na katar. Prawdopodobnie to katar sienny. Nie przyszło jej na myśl, że powinna postąpić zgodnie z zaleceniem wiszącym w pokoju pielęgniarek: **O WSZELKICH SYMPTOMACH CHOROBYCH, CHOĆBY NAJDROBNIEJSZYCH, NALEŻY NIEZWŁOCZNIE POWIADOMIĆ ZWIERZCHNIKA.**

Obawiali się, że choroba, czymkolwiek była, mogła wydostać się z izolatek, ale Patty Greer wiedziała, że nawet najmniejszy wirus nie zdołałby przeniknąć przez ochronną powłokę skafandra. Mimo to, w drodze do białego pomieszczenia zaraziła pielęgniarkę, doktora, który właśnie skończył dyżur i jeszcze jedną pielęgniarkę przygotowującą się do nocnego obchodu.

Zaczął się nowy dzień.

ROZDZIAŁ 16

Dzień później, dwudziestego trzeciego czerwca, ogromny biały connie z rykiem mknął na północ wzdłuż US 180 w innej części kraju. Pruł prawie sto mil na godzinę, biały lakier błyszczał w słońcu, od chromu odbijały się oślepiające „zajączki”. Słoneczne refleksy migotały również na tylnej szybie. Szlak, którym podążał connie odkąd Andy i Lloyd zabili jego właściciela i przejęli wóz na południe od Hachita był kręty i dość bezsensowny. W górę wzdłuż szosy numer 81 do US 80, rogatki, aż Andy’ego i Lloyda zaczęło ogarniać coraz większe zdenerwowanie. W ciągu ostatnich sześciu dni zabili sześciu ludzi, włącznie z właścicielem continentala, jego żoną i córeczką. Jednak to nie tych sześć zabójstw wprawiało ich w nerwowy nastrój i zmuszało do uporczywego trzymania się autostrady między stanowej. Powodem były narkotyki i broń. Pięć gramów haszu, niewielka blaszana puszką wypełniona koką i szesnaście funtów marychy. Do tego broń: dwie kalibru .38, trzy .45, magnum .357, który Andy „Dziurawiec” nazywał dziurkaczem, sześć strzelb – z czego dwie były obrzynkami typu „pump” i automat schmeisser.

Kwestia popełnionych morderstw wykraczała poza zasięg ich intelektualnego pojmowania, ale obaj zdawali sobie sprawę z kłopotów, w jakie by się wpakowali, gdyby gliniarze z drogówki przyłapali ich w wozie pełnym „towaru” i „gnatów”. Poza tym byli międzystanowymi uciekinierami. Stali się nimi od momentu przekroczenia granicy Nevady.

„Międzystanowi uciekinierzy”. Lloydowi Henreidowi podobało się to określenie.

„Likwidatorzy. Nażryj się tego, ty parszywy szczurze. Masz trochę ołowiu, frajerze”.

Dlatego też w Deming skręcili na północ i odtąd jechali wzdłuż US 180. Przejechali przez Hurley, Bayard, nieco większe Silver City, gdzie Lloyd kupił torbę hamburgerów i osiem koktajli czekoladowych (Po cholere aż osiem? Niedługo będzie szczał czekoladą). Uśmiechał się przy tym do kelnerki w pusty, choć radosny sposób, co sprawiło, że dziewczyna jeszcze przez parę godzin po tym zdarzeniu nie mogła dojść do siebie.

„Miałam wrażenie, że ten facet mógłby mnie zabić z tym samym uśmiechem na ustach” – powiedziała po południu tego dnia swojemu szefowi.

Minęli Silver City i z rykiem przemknęli przez Cliff – droga ponownie skręcała tu na zachód – a nie chcieli jechać w tym kierunku. Przejechali przez Buckhorn, po czym znowu

znaleźli się w kraju zapomnianym przez Boga i ludzi. Dwupasmowa autostrada biegła poprzez piaszczyste równiny porośnięte tu i tam kępami szaławii, a w oddali majaczyły samotne skały i rozległe płaskowyże.

– Kończy się nam paliwo – zauważył Andy.

– Byłoby więcej, gdybyśmy tak nie pruli – rzucił Lloyd. Trzymał kolejny koktajl, który postanowił wyrzucić przez okno razem z trzema jeszcze nie napoczętymi.

Andy szarpnął samochód w przód, w tył i jeszcze raz w przód.

– Dalej kowboju! – ryknął Lloyd.

– Heeja! Heeja!

– Zapalisz?

– Jak mi dasz, to zapalę – rzekł Andy. – Heeja! Heeja!

Na podłodze między nogami Lloyd'a leżała wielka zielona torba. Znajdowało się w niej szesnaście funtów marihuany. Sięgnął do środka, nabrał trochę trawki i zaczął robić bombowego skręta.

– Heeja! Heeja!

Samochód zaczął jechać zakosami, raz po raz przecinając białą linię.

– Przestań! – wrzasnął Lloyd. – Wszędzie rozsypuję towar!

– Mamy go sporo, heeja!

– Daj spokój, musimy to zhandlować. Musimy to opchnąć, albo zostaniemy złapani i wylądujemy w bagażniku czyjegoś wozu.

– Dobra, stary. – Dziurawiec znów zaczął prowadzić po prostej, ale jego twarz sposepniała. – To był twój pomysł, twój pieprzony pomysł.

– Uważałeś, że to DOBRY POMYSŁ.

– Tak, ale nie spodziewałem się, że przyjdzie nam szwendać się po całej Arizonie. Czy w ten sposób mamy szansę kiedykolwiek wrócić do Nowego Jorku?

– Robimy to, aby zgubić pościg – stwierdził Lloyd. Oczyma duszy widział otwierające się wrota policyjnych garaży i tysiące starych radiowozów jeszcze z lat czterdziestych wyjeżdżających w mrok nocy. Smugi świateł reflektorów przesuwające się po murach. „No wyjdź Canarsie, wiemy, że tam jesteś”.

– Pierdolone szczęście – mruknął nadal posepny Andy. – Odwaliliśmy niezłą robotę, nie ma co. Wiesz ile zarobiliśmy, pomijając towar i spluwy? Szesnaście dolców i trzy karty kredytowe, których nie ośmieliliśmy się wykorzystać. Kurwa mać, nawet nas nie stać na benzynę dla tego żarłoka.

– Bóg nam pomoże – rzekł Lloyd i skleił śliną skręta. Przypalił go zapalniczką wyjętą z deski rozdzielczej wozu.

– Ale nam, kurwa, dopisuje szczęście. Ale skoro chcesz to sprzedać, to co będziemy jarać? – ciągnął Andy, najwyraźniej nie do końca przekonany, że Bóg udzieli im swojej pomocy.

– Zostawimy sobie trochę. Daj spokój, zajaraj sobie.

To zawsze rozbijało Andy'ego. Wybuchnął śmiechem i wziął skręta. Pomiędzy nimi oparty na rozłożonej, metalowej kolbie stał naładowany i gotowy do strzału schmeisser. Connie pruł dalej przed siebie, a wskaźnik poziomu paliwa zatrzymał się na wysokości ósemki.

Dziurawiec i Lloyd spotkali się rok wcześniej w Brownsville w Nevadzie – w obozie pracy o minimalnym nadzorze. Tę farmę tworzyło dziewięćdziesiąt akrów nawodnionej ziemi i obóz, w którym stały więzienne baraki. Brownsville znajdowało się około sześćdziesiąt mil na północ od Tonopah i osiemdziesiąt mil na północny wschód od Gabbs. To było okropne miejsce na odsiadkę. Choć miała to być farma, trzeba stwierdzić, że nie rosło tam zbyt wiele. Marchewki i sałata po pierwszej kąpieli w prażących promieniach słońca usychały. Rosły tu tylko rośliny strączkowe i chwasty, a stanowa legislatura z uporem maniaka tkwiła przy swoim, przekonana, że kiedyś w przyszłości na farmie będzie można uprawiać soję. Jednak najzyczliwsze co można by powiedzieć na temat dość wątpliwego celu farmy to to, że użyźnianie pustyni jest niemiłosiernie uciążliwym i długotrwałym procesem. Strażnik (który kazał nazywać siebie „szefem”) szczyił się opinią prawdziwej kanalii i wszyscy ludzie, których sobie dobierał, byli takimi samymi gnidami jak on. Przede wszystkim w przemowie do nowych chwalił się tym, że Brownsville posiada status obozu o minimalnym nadzorze, ponieważ jeśli chodziło o ucieczki, było jak w starej piosence: *Nie ma dokąd uciec, dziecko, nie ma gdzie się skryć*. Mimo to niektórzy próbowali, ale większość z tych śmiazków sprowadzono dwa czy trzy dni później z poważnymi oparzeniami na całym ciele, na wpół oślepych i chętnych do zaprzędania swoich marnych duszyczek za choćby jeden łyk wody. Niektórzy z nich chichotali jak obłąkani, a jeden chłopak, który był „na zewnątrz” przez całe trzy dni oznajmił, że parę mil na południe od Gabbs zobaczył ogromny zamek, prawdziwe zamczysko z fosą. Stwierdził, że fosy strzegły trolle dosiadające wielkich, czarnych rumaków.

Kilka miesięcy później, kiedy w Brownsville zjawił się ze swoim show wędrowny pastor, chłopak postanowił się nawrócić i zrobił to w wielkim stylu.

Andrew „Dziurawiec” Freeman został osądzony za zwykły napad i zwolniony w kwietniu 1989 roku. Zajmował pryczę obok Lloyd Henreida i powiedział mu, że gdyby Lloyd był zainteresowany jakąś grubszą robotą, wiedział o czymś interesującym w Las Vegas.

Lloyd był zainteresowany.

Henreid został zwolniony pierwszego czerwca. Siedział za usiłowanie gwałtu. Kobieta, tancerka z klubu, akurat wracała do domu i wpakowała Lloydowi w oczy pokąsną porcję gazu łzawiącegogo.

Miał szczęście, że dostał w wyroku od dwóch do czterech lat z zaliczeniem pobytu w areszcie i możliwością zwolnienia za dobre sprawowanie. W Brownsville było za gorąco, żeby można było się źle zachowywać.

Złapał autobus do Las Vegas, a Dziurawiec spotkał się z nim na stacji. „Jest interes do zrobienia” – powiedział mu wtedy Andy. Znał pewnego faceta, który był kiedyś jego „wspólnikiem”, a w niektórych kręgach nazywany był Wspaniały George. Robił interesy z grupą ludzi noszących głównie włoskie nazwiska. Polegały one głównie na przywożeniu i wywożeniu różnych rzeczy. Czasami przewoził coś z Las Vegas do Los Angeles, a innym razem znowu z Los Angeles do Vegas. Przeważnie były to małe partie narkotyków, kropla w morzu przy prochach, którymi handlowały grube ryby. Czasami broń. Broń zawsze tylko przewoził. Andy domyślał się (a trzeba przyznać, że nie należał do zbyt domyślnych ludzi), że ci Sycylijczycy od czasu do czasu sprzedawali broń niezależnym złodziejom. W każdym razie Wspaniały George zamierzał dać im cynk na temat czasu i miejsca kolejnej dostawy. George zażądał dwudziestu pięciu procent z tego, co uda im się zgarnąć. Andy i Lloyd wparują do George’a, zwiążą go i zakneblują a może również, żeby wszystko wyglądało wiarygodniej – dołożą mu jeszcze parę kopniaków.

George ostrzegł, że muszą się nieźle postarać, bo ci faceci z sycylijskimi nazwiskami nie lubili, kiedy się ich robiło w konia. „No cóż – rzekł Lloyd – to brzmi nieźle”.

Następnego dnia Dziurawiec i Lloyd poszli spotkać się ze Wspaniałym Georgem – łagodnym, mierzącym metr osiemdziesiąt mężczyzną o małej głowie, zdającej się wyrastać bezpośrednio z potężnych barów. Z gęstą czupryną jasnych włosów wyglądał jak jeden ze sławnych zapaśników.

Lloyd zastanawiał się nad całą tą sprawą, ale Andy ponownie zmienił zdanie. Był w tym dobry. George powiedział im, żeby przyszli do jego domu w następny piątek około szóstej wieczorem.

– Załóżcie maski, na miłość boską – przestrzegał. – Rozwalcie mi też nos i podbijcie oko. Jezu, po cholere ja się w to w ogóle pakuję?

Nadszedł TEN wieczór. Dziurawiec i Lloyd wysiedli z autobusu na rogu ulicy, na której mieszkał George i pod jego domem nałożyli maski narciarskie. Drzwi były zamknięte, ale zgodnie z obietnicą George’a tylko na jedną zasuwę.

Na dole znajdowało się małe pomieszczenie, gdzie urządzano przyjęcia towarzyskie. George był tam. Stał przed wielką torbą trawki. Stół pingpongowy był zawalony bronią. George był przerażony.

– Jezu, o Jezu. Po jaką cholere ja się w to w ogóle pakuję – powtarzał raz po raz, podczas gdy Lloyd wiązał mu nogi sznurem do bielizny, a Dziurawiec krępował mu nadgarstki taśmą.

Następnie Lloyd jednym ciosem rozkwasił George’owi nos, a Dziurawiec przyrznął mu w oko, nabijając mu solidnego siniaka zgodnie z życzeniem.

– O Jezu! – Zawołał George. – Musiałeś bić tak mocno?

– Chciałeś, żeby wyglądało dobrze, to masz – odparował Lloyd.

Andy kawałkiem plastra zakleił George’owi usta, po czym dwaj rabusie zaczęli zgarniać łup.

- Wiesz co, stary kumplu? – rzekł Andy i umilkł na chwilę.
- Nie – odrzekł Lloyd i zachichotał nerwowo. – Nie mam pojęcia.
- Zastanawiam się, czy nasz dobry, stary George potrafi dochować tajemnicy.

Dla Lloyda było to coś zgoła nowego. Do tej pory nie przyszło mu to do głowy. Patrzył w zamyśleniu na Wspaniałego George'a przez długą, nerwową minutę. George'owi z przerażenia oczy niemal wychodziły z orbit.

Nagle Lloyd powiedział:

- Jasne, gdyby pisnął choć słówko byłby ugotowany.

Ale w jego głosie brzmiała niepewność i tak też się czuł. Kiedy zasieje się ziarno niepewności, to prawie zawsze puści ono pędy. Dziurawiec uśmiechnął się.

– Ale przecież mógł powiedzieć: „Słuchajcie, chłopaki. Spotkałem kumpla i jego kolesia. Pogadaliśmy o tym i owym, wypiliśmy parę piw, aż tu nagle, wyobraźcie sobie, te sukinsyny wparowały do mojego domu i tak mi dołożyli, że nakryłem się nogami. Mam nadzieję, że ich dorwiecie. Opiszę ich wam, żebyście nie mieli problemów z ich rozpoznaniem”.

George dziko potrząsnął głową, a jego oczy pałały przerażeniem. Broń znajdowała się już w ciężkich, płóciennych workach na bieliznę, które znaleźli w łazience na dole. Lloyd zważył nerwowo worek w dłoni i powiedział:

- I jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?

– Myślę, że powinniśmy go podziurawić, stary – rzucił ze smutkiem Andy. – To jedyne, co możemy zrobić w tej sytuacji.

- Nie najlepszy sposób odwdzięczenia się za to, co dla nas zrobił – powiedział Lloyd.

- Świat jest brutalny, stary.

- Tak – westchnął Lloyd, po czym podszedł do George'a.

- Mff – wymruczał George i pokręcił energicznie głową. – Mmmmf! Mmmmmf!

– Wiem – mruknął uspokajająco Dziurawiec. – Fatalnie, co? Przykro mi George, bez kitu. To nic osobistego. Chcę, żebyś o tym pamiętał. Przytrzymaj mu głowę, Lloyd.

Łatwej było to powiedzieć, niż zrobić. Wspaniały George, jak szalony kręcił głowę z boku na bok. Siedział w rogu pokoju i raz po raz walił nią w solidne, ceglane ściany. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle tego nie czuł.

- Przytrzymaj go – rzucił Andy i oderwał jeszcze jeden kawałek taśmy z rolki.

Lloydowi udało się wreszcie złapać handlarza za włosy i przytrzymać tak długo, by Andy zakleił mu plastrem obie dziurki od nosa, odcinając w ten sposób dostęp powietrza.

George po prostu oszalał. Wysunął się z kąta, przetoczył kawałek na brzuchu a potem zaczął zwijać się w kłębek i dygotać nerwowo wydając zduszone dźwięki, które, jak przypuszczał Lloyd musiały być krzykami. Biedaczysko. George znieruchomiał dopiero po dobrych pięciu minutach. Miotał się, podskakiwał i szorował po podłodze. Jego twarz poczerwieniała, jak ściana tatusiowej stodoły. Ostatnie, co zrobił, to uniósł obie nogi na wysokość ośmiu czy dziesięciu cali nad podłogę, a potem opuścił je gwałtownie z głuchym

łoskotem. To skojarzyło się Lloydowi z czymś, co widywał w kreskówkach z Królikiem Bugsem i wielu innych, toteż wyraźnie rozbawiony, zachichotał pod nosem. Aż do tej pory widok nie należał do najprzyjemniejszych.

Dziurawiec ukucnął przy George'u i dotknął jego szyi, aby wyczuć puls.

– No i? – zapytał Lloyd.

– Jedyne, co u niego tyka to zegarek, stary – rzekł Andy. – A mówiąc o zegarku... – Uniósł mięsistą rękę George'a i spojrzał na jego nadgarstek. – Nie, to tylko timex. Myślałem, że będzie miał casio albo coś w tym guście.

Pozwolił ręce George'a opaść bezwładnie.

Kluczyki do samochodu znajdowały się w przedniej kieszeni spodni George'a. W szufladzie w pokoju na górze natrafili na słoik z drobniakami. Zabrali je także. Było tam dwadzieścia dolarów i sześćdziesiąt centów dziesiątkami.

George miał starego, zajeżdżonego mustanga z fatalnymi amortyzatorami i oponami łysymi jak Telly Savalas.

Wyjechali z Los Angeles szosą numer 93 i ruszyli na południowy wschód w głąb Arizony. W południe następnego dnia (to już trzy dni temu) ominęli bocznymi drogami Phoenix. Wczoraj, około dziewiątej zatrzymali się przy zakurzonej domu towarowym dwie mile za Sheldon przy Arizona Highway 75. Wdarli się do sklepu i zabili właściciela – podstarzałego dżentelmena z idealnymi, błyszczącymi, sztucznymi zębami. Zabrali sześćdziesiąt trzy dolary i pickupa właściciela sklepu.

Tego dnia rano złapali jednocześnie dwie gumy. Dwa kapcie, a ani Dziurawiec ani Lloyd nie znaleźli na drodze żadnych gwoździ czy pinezek, choć szukali ich dobre pół godziny, popalając przy tym potężnego skrzyżowania. W końcu Andy uznał, że to był zbieg okoliczności. Lloyd powiedział, że słyszał o dziwniejszych rzeczach.

I wtedy, jakby w odpowiedzi na ich modlitwy, pojawił się biały connie.

Przekroczyli granicę stanu między Arizoną a Nowym Meksykiem dużo wcześniej, choć żaden z nich nie zdawał sobie z tego sprawy i tym samym stali się obiektem zainteresowań FBI.

Kierowca continentalą zatrzymał wóz i wychyliwszy się przez okno, zapytał:

– Potrzebujecie pomocy?

– Oczywiście – powiedział Dziurawiec i rozwalił go na miejscu. Wpakował facetowi kulę z magnum .357 dokładnie między oczy. Biedaczyna, na pewno nawet nie wiedział, co go zabiło.

– Dlaczego nie skręcić tutaj? – zapytał Lloyd, wskazując na zbliżającą się przecnicę. Był radosny i kompletnie naćpany.

– Pewnie, że można – stwierdził z uśmiechem Andy.

Zmniejszył prędkość z osiemdziesięciu do sześćdziesiątki. Przy skręcie w lewo prawe koła ledwie dotykały asfaltu, a zaraz potem rozciągała się przed nimi wstęga szosy numer 78 prowadzącej na zachód. Tym samym, nie wiedząc w ogóle, że je opuścili, ani że w gazetach określano ich mianem morderców działających w trzech stanach, ponownie wjechali na terytorium Arizony.

Mniej więcej w godzinę później po prawej zobaczyli znak: BURRACK 6.

– Burak? – mruknął niewyraźnie Lloyd.

– Burrack – powiedział Dziurawiec i zaczął kręcić kierownicą tak, że samochód jechał teraz zakosami. – Heeja! Heeja!

– Zatrzymasz tutaj? Jestem głodny, stary.

– Zawsze jesteś głodny.

– Pierdol się. Zawsze, kiedy sobie zaćpam chcę coś przekąsić.

– To może weź i wciągnij mojego małego, co? Heeja! Heeja!

– Serio, Andy. Zatrzymaj wóz.

– Dobra, dobra. Przydałoby się też trochę forsy. Jak na razie udało nam się zgubić pościg. Zgarniemy trochę grosza i wypieprzamy na północ. Mam już dość tej cholernej pustyni.

– Dobra – mruknął Lloyd. Nie wiedział, czy to było efektem działania narkotyku, czy czegoś innego, ale ogarnęło go uczucie graniczące z paranoją, jeszcze silniejsze niż na autostradzie. Andy miał rację. Zrobią sobie postój przed tym Burrack i powtórzą numer z Sheldon. Zdobędą trochę zielonych, parę map drogowych, zamienią tego cholernego connie na coś, co bardziej będzie się zlewać z tłem, a potem ruszą na północny wschód, korzystając wyłącznie z mniej uczęszczanych dróg. Wypieprzą z Arizony.

– Powiem ci prawdę, stary – rzekł Dziurawiec. – Nie wiem dlaczego, ale nagle poczułem się tak, jak kot z długim ogonem w pokoju pełnym bujanych foteli.

– Wiem, co masz na myśli, pękaczu – powiedział posępnie Lloyd i w tej samej chwili obaj wybuchnęli śmiechem.

Burrack było rozległym miasteczkiem. Przemknęli przez nie i przy wyjeździe z miasta natknęli się na coś, co było kombinacją kafejki, sklepu i stacji benzynowej.

Na parkingu stał stary ford kombi i zakurzony olds z przyczepą dla konia.

Kiedy Andy zakręcił kierownicą i continental wjechał na podjazd, koń przyglądał się im, ze swego boksu na przyczepie.

– Ten powinien być w sam raz.

Andy skinął głową. Sięgnął do tyłu po .357-kę i sprawdził, czy jest naładowana.

– Jesteś gotowy?

– Chyba tak – stwierdził Lloyd, zaciskając dłonie na schmeisserze.

Przeszli przez rozpalony parking. Policja знаła ich tożsamość już od czterech dni. Zostawili swoje odciski palców w całym domu Wspaniałego George'a i w sklepie, gdzie został podziurawiony kulami staruszek ze sztuczna szczęką. Pickup starego został

odnaleziony o niecałe pięćdziesiąt stóp od ciał trojga ludzi, którzy jechali continentalem, a co za tym idzie, można było przypuszczać, że ci sami ludzie, którzy zamordowali Wspaniałego George'a i sklepikarza, mają na swoim koncie również te trzy ofiary.

Gdyby zamiast magnetofonu słuchali radia, wiedzieliby, że policja z Nowego Meksyku i Arizony wspólnie prowadziła największą od czterdziestu lat obławę na dwóch tanich opryszków, którzy nie do końca zdawali sobie sprawę, że ich poczynania mogły spowodować zamieszanie na tak dużą skalę.

Stacja benzynowa była samoobsługowa; pracownik sklepu musiał tylko włączyć dystrybutor. Podeszli do niewielkiego budynku i weszli do środka. Wzdłuż ścian, aż do lady ciągnęły się trzy rzędy półek z różnymi towarami. Przy ladzie facet w kowbojskim stroju płacił za paczkę papierosów i pół tuzina slim jimów. Pod ścianą jakaś niska, z wyglądu bardzo znużona kobieta o kręconych, czarnych włosach usiłowała wybrać jeden z dwóch rodzajów sosów do spaghetti.

W sklepie czuć było zapach starych cukierków toffi, kurzu i tytoniu.

Właściciel był piegowaty i nosił szarą koszulę. Na głowę założył czapkę z czerwonym napisem Shell na białym polu. Kiedy drzwi się otworzyły, uniósł wzrok. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Lloyd oparł metalową kolbę schmeissera o ramię i puścił krótką serię w sufit. Dwie wiszące na drutach żarówki eksplodowały niczym bomby. Facet w kowbojskim stroju zaczął się odwracać.

– Nie ruszać się, to nikomu nic się nie stanie! – ryknął Lloyd, a Dziurawiec udowodnił, że jego koleś kłamał, rozwalając na miejscu ciemną kobietę.

Runęła w tył ciśnięta impetem kuli, a oba buty spadły jej z nóg.

– Kurde, Dziurawiec! – krzyknął Lloyd. – Nie musiałeś...

– ...jej dziurawić, stary! – dokończył Andy. – Już nigdy nie będzie oglądać Jerry'ego Falwella! Heeja! Heeja!

Facet w kowbojskim stroju nadal się odwracał. W lewej ręce trzymał papierosy. Ostre światło wpadające przez szyby w oknach i drzwiach odbiło się jasnymi gwiazdkami na ciemnych szklach jego okularów. Za pasem miał wciśnięty rewolwer kalibru .45 i wyjął go, podczas gdy Lloyd i Andy patrzyli na zabitą kobietę.

Wymierzył, strzelił i lewa strona twarzy Andy'ego zniknęła nagle pośród rozbryzniętej krwi, tkanek i zębów.

– DOSTAŁEM! – zawył Dziurawiec, upuszczając magnum i zataczając się w tył. Wymachując rękoma, strącał z półek na podłogę torebki z chipsami, tacos i chez doodles. – **POSTRZELIŁ MNIE, LLOYD! UWAŻAJ! POSTRZELIŁ MNIE! POSTRZELIŁ MNIE!**

Wpadł z impetem na drzwi, otworzył je i usiadł ciężko na werandzie na zewnątrz, wrywając jeden z zawiasów w starych, zniszczonych drzwiach.

Lloyd, wstrząśnięty, wystrzelił raczej odruchowo niż w samoobronie. Huk schmeissera wypełnił wnętrze sklepu. Puszki rozprysnęły się wokoło. Butelki pękały, rozbryzgując strugi ketchupu, posiekanych marynat i oliwek. Szklana frontowa ścianka chłodziarki do pepsi rozleciała się z brzękiem. Butelki Dr Peppera, jolta i orange crush eksplodowały niczym gliniane koguciki. Spienione strugi rozlewały się wszędzie.

Facet w kowbojskim ubraniu wymierzył spokojnie i powoli, a następnie nacisnął spust.

Lloyd bardziej poczuł niż usłyszał, jak kula śmignęła mu tuż nad głową i to tak nisko, że zrobiła mu przedziałek we włosach. Zatoczył schmeisserem szeroki łuk, omiatając długą serią wnętrze sklepu od lewej strony do prawej.

Facet za kontuarem runął plackiem tak gwałtownie, że można by pomyśleć, iż ktoś otworzył pod jego nogami zapadnię. Automat do gum przestał istnieć. Czerwone, niebieskie i zielone kulki gum do żucia potoczyły się we wszystkich kierunkach. Szklane butelki stojące na ladzie rozprysnęły się z hukiem. W jednej z nich znajdowały się marynowane jajka, w innej wieprzowe nóżki. Pomieszczenie błyskawicznie wypełniła gryząca woń octu. Facet w kowbojskim stroju dostał trzy kule w brzuch i większość wnętrzości wyleciała przez ziejące otwory w jego plecach, rozbryzgując się po całej ladzie.

Kowboj upadł, w dalszym ciągu ściskając w jednej ręce gnata, a w drugiej paczkę lucky strike'ów.

Lloyd oszalały ze strachu, nie przestawał strzelać. Broń w jego dłoniach nagrzewała się coraz bardziej. Podziurawiony kulami automat z butelkową sodówką runął na ziemię z głośnym brzękiem. Dziewczyna z kalendarza w skąnym bikini otrzymała postrzał w fantastyczne, smukłe udo barwy brzoskwini. Szafka z książkami w broszurowej oprawie przewróciła się. W chwilę potem magazynek schmeissera został opróżniony i cisza, jaka wówczas zapadła wydawała się wręcz ogłuszająca. Woń prochu strzelniczego była silna i drażniąca.

– Rany kota! – powiedział Lloyd. Przyjrzał się z zaciekawieniem kowbojowi. Nie wyglądało na to, żeby w najbliższej czy odległej przyszłości facet miał się jeszcze czymś przejmować.

– **POSTRZELIŁ MNIE!** – zawył Andy i ponownie zatoczył się do wnętrza sklepu. Szarpnął przy tym drzwi tak gwałtownie, że wyrwał z nich drugi zawias. Drzwi z traskiem runęły na werandę. – **SPÓJRZ LLOYD, POSTRZELIŁ MNIE!**

– Dostałem go, stary – powiedział Lloyd uspokajająco, ale Dziurawiec zdawał się go nie słyszeć. Wyglądał okropnie. Jego prawe oko pałało, niczym ogromny szafir. Lewego już nie miał. Lewy policzek wyparował; kiedy mówił, przez ogromną, ziejącą dziurę można było zobaczyć jak porusza szczęką. Po tej stronie znikła również większość jego zębów. Koszula Andy'ego była przesiąknięta krwią. Innymi słowy trudno nie zgodzić się ze stwierdzeniem, że facet był w oplakany stanie.

– TEN PIEPRZONY KUTAS MNIE POSTRZELIŁ! – krzyczał Dziurawiec. Pochylił się i podniósł swoją broń. – DAM CI NAUCZKĘ! ZOBACZYSZ, CO TO ZNACZY DO MNIE STRZELAĆ, TY JEBANY CHUJU!

Zbliżył się chwiejnym krokiem do kowboja. Postawił jedną nogę na pośladku kowboja, jak myśliwy pozujący do zdjęcia, które niebawem ozdobi ścianę jego mieszkania i przygotowywał się do wpakowania kilku kulek w głowę trupa.

Lloyd przypatrywał się temu z otwartymi ustami, trzymając w jednej ręce dymiący automat i zastanawiając się, jak mogło dojść do tego wszystkiego. W tej samej chwili zza kontuaru, jak diablik z pudełka wyprysnął facet w czapeczce Shell-a. Jego twarz wykrzywił grymas desperacji; w dłoniach dzierżył dwulufową strzelbę.

– Co, do cholery? – wybełkotał Andy i uniósł wzrok. Ledwie zdążył spojrzeć w głąb czarnych tuneli luf, kiedy pracownik sklepu nacisnął oba spusty. Następnie zgiął się w pół, i pomimo, że jego twarz wyglądała o wiele gorzej niż dotychczas, już się tym nie przejmował.

Lloyd uznał, że najwyższa pora wziąć nogi za pas. Pieprzyć forszę. Wszędzie jej pełno. Na pewno niedługo znów rozpocznie się pościg – musiał stąd spływać i to szybko.

Określił się na pięcie i opuścił sklep szybkim, sprężystym krokiem; podeszwy jego butów prawie nie dotykały desek podłogi.

Był właśnie w połowie schodów, kiedy na podjazd zajechał policyjny radiowóz. Gliniarz siedzący obok kierowcy wysiadł i wyjął pistolet.

– Stój, nie ruszaj się! Co się tam dzieje?

– Zabito troje ludzi! – krzyknął Lloyd. – To była straszna jatka! Facet, który to zrobił uciekł tylnym wyjściem! Ja stąd spieprzam!

Podbiegł do continentalą, wślizgnął się za kierownicę i właśnie sobie przypomniał, że kluczyki zostały w kieszeni Andy’ego, kiedy gliniarz zawołał:

– Stój! Stój, bo będę strzelał!

Lloyd zastosował się do polecenia. Po tym, jak był świadkiem dość radykalnego przefasonowania facjaty Dziurawca, niedługo trwało uświadomienie sobie, że i jego być może czeka to samo.

– Rany kota – mruknął ponuro, kiedy drugi z gliniarzy przystawił mu do głowy wielki pistolet. Pierwszy założył mu kajdanki.

– Siadaj do tyłu, przyjemniaczku.

Mężczyzna w czapeczce Shell-a wyszedł na werandę. Wciąż trzymał strzelbę.

– On zabił Billa Marksona! – zawołał piskliwym, niezbyt męskim głosem. – Ten drugi zabił panią Storm! Zapiszcie to! Zrobił to z zimną krwią! Tego drugiego ja zastrzeliłem! Zimny trup. Nafaszerowałem mu gębę ołowiem. Jakbyście gdzieś na chwilę poszli, rąbnąłbym też i tego!

– Uspokój się Pop – rzucił jeden z policjantów. – Zabawa skończona.

– Rozwałę go! Rozpieprzę go na miejscu!

To rzekłszy, pochylił się do przodu, jak kłaniający się kamerdyner, i zwymiotował na swoje buty.

– Zabierzcie mnie jak najdalej od tego typu, dobrze? – powiedział Lloyd. – To jakiś świr.

– Ale najpierw to, co ci się należało odkąd wyszedłeś z tego sklepu – rzekł pierwszy z policjantów. Lufa jego pistoletu uniosła się wysoko w górę, aż odbiły się w niej promienie słońca, a potem śmignęła w dół, trafiając Henreida w głowę.

Lloyd ocknął się dopiero pod wieczór w izbie chorych więzienia Apache County.

ROZDZIAŁ 17

Starkey stał przed monitorem numer dwa, patrząc na starszego technika Franka D. Bruce. Kiedy widzieliśmy go ostatni raz, Bruce leżał twarzą w talerzu z zupą campbella. Poza tym, że został zidentyfikowany, jego stan nie uległ zmianie. Sytuacja normalna, wszystko wzięło w łeb.

Pogrążony w zamyśleniu, z rękoma splecionymi z tyłu (jak jego idol z dzieciństwa – generał Black Jack Pershing, podczas przeglądu wojsk) Starkey wpatrywał się w ekran czwartego monitora, gdzie sytuacja znacznie się poprawiła. Dr Emmanuel Ezwick nadal leżał martwy na podłodze, ale wirówka przestała się obracać. Ubiegłego wieczoru o 19:40 wirówka zaczęła dymić. O 19:55 z jej wnętrza dobiegło głośnie łup, łup, łup, łup, które w miarę upływu czasu zmieniało się w coraz donośniejsze, bogatsze i bardziej satysfakcjonujące: buch, buch, buch, buch.

O 21:07 wirówka zrobiła ostatnie buch, buch i powoli zaczęła się zatrzymywać.

Czy to Newton powiedział, że gdzieś, poza najdalszą z gwiazd może się znajdować ciało w stanie idealnego spoczynku?

Starkey pomyślał, że Newton ogólnie rzecz biorąc, miał rację, pomylił się tylko co do odległości. Nie trzeba było szukać aż tak daleko. Projekt Blue znajdował się w stanie idealnego spoczynku. Starkey był zadowolony. Wirówka była ostatnim, złudnym wrażeniem życia, a po sprawdzeniu przez Steffensa tego problemu w komputerze (Steffens patrzył na niego, jak obłąkany i być może rzeczywiście nie był normalny) odpowiedź na pytanie: „Jak długo może pracować wirówka w laboratorium Ezwicka?” brzmiała: PLUS MINUS TRZY LATA. PRAWDOPODOBIENSTWO USTERKI W CIĄGU NASTĘPNYCH DWÓCH TYGODNI 0, 009% MOŻLIWOŚĆ USZKODZENIA APARATU OBROTOWEGO 38%, GŁÓWNEGO SILNIKA 16%, INNE 54%.

To był cwany komputer. Starkey polecił Steffensowi zweryfikować dane, już po spaleniu się wirówki. Komputer sprawdził dane w centralnym banku danych Systemu Inżynieryjnego i potwierdził, że spaleniu uległ mechanizm obrotowy.

„Muszę to zapamiętać” – pomyślał Starkey, kiedy usłyszał za plecami ponaglący brzęczyk. Spalające się łożyska mechanizmu obrotowego wydają głośnie buch, buch, buch...

Podszedł do urządzenia i wcisnął guzik, wyłączając brzęczyk.

– Tak, Len.

– Billy, mam pilną wiadomość od jednego z naszych zespołów w miasteczku o nazwie Sipe Springs w Teksasie. Prawie czterysta mil od Arnette. Mówią, że muszą z tobą porozmawiać. To rozkaz.

– O co chodzi, Len? – spytał spokojnie. Przez ostatnie dziesięć godzin wziął szesnaście pigułek pobudzających i jak na razie czuł się świetnie. Żadnego buch, buch.

– Prasa.

– O Jezu – rzucił Starkey. – Łącz ich.

Rozległ się stłumiony szum statycznych zakłóceń, a w tle jakiś niezrozumiały bełkot.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Len.

Szum powoli ucichł.

– ...Lew. Zespół Lew, czy mnie słyszysz Baza Blue? Czy mnie słyszysz? Jeden... dwa... trzy... cztery... tu Zespół Lew...

– Słyszę cię, Zespół Lew – mruknął Starkey. – Tu Baza Blue Jeden.

– Problem jest zaszyfrowany pod hasłem „Doniczka” w Contingency Book. Powtarzam: hasło „Doniczka”.

– Wiem, kurwa, co znaczy słowo „Doniczka” – rzucił Starkey.

– Jak się przedstawia sytuacja?

Metaliczny, słaby głos dochodzący z Sipe Springs mówił nieprzerwanie prawie przez pięć minut. Sama sytuacja była mało ważna, bo komputer poinformował go już dwa dni temu, że podobna sytuacja (w tej lub innej formie) wydarzy się jeszcze przed końcem czerwca. 88% prawdopodobieństwa. Szczegóły były sprawą drugorzędną. Jeżeli coś miało dwie nogawki i szlufki, z pewnością były to spodnie. Kolor nieważny. Jeden z lekarzy w Sipe Springs dodał dwa do dwóch i wyszło mu cztery, a para reporterów z Hudson połączyła wypadki z Sipe Springs z tym, co miało miejsce w Arnette, Veronie, Commerce City i Polliston w Kansas.

W tych miastach sytuacja stała się tak poważna, że zostały objęte kwarantanną i otoczone kordonami wojska. Komputer miał listę dwudziestu pięciu innych miast w dziesięciu stanach, gdzie zaczęły się pojawiać symptomy Blue.

Sytuacja w Sipe Springs nie była ważna, ponieważ nie wyróżniała się niczym szczególnym. Mieli swoją szansę w Arnette i zaprzepaścili ją. Najważniejsze było to, że „opis sytuacji” miał pojawić się na czymś więcej niż tylko żółtych kartkach wojskowych akt. I pojawi się w gazetach, chyba że Starkey przedsięwzięmie odpowiednie kroki. Nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji. Ale kiedy zduszony, metaliczny głos umilkł, Starkey uświadomił sobie, że mimo wszystko zdecydował się. Być może podjął tę decyzję już dwadzieścia lat temu. Wszystko sprowadzało się do tego, co najważniejsze, a najważniejsza nie była sama choroba, nie fakt, że system bezpieczeństwa jednej z ich stacji okazał się zawodny i będą musieli prowadzić całą operację zabezpieczającą z dużo gorzej wyposażonej bazy w

Stovigton w Vermont ani to, że Blue rozprzestrzenił się błyskawicznie i pozornie jego objawy przypominały zwyczajną gripę.

– Najważniejsze było...

– Powtórz jeszcze raz, Baza Blue Jeden – powiedział z niepokojem głos. – Nie słyszeliśmy odpowiedzi.

– Najważniejsze było to, że doszło do tego pożałowania godnego wypadku.

Starkey cofnął się w czasie o dwadzieścia dwa lata do roku 1968. Był w klubie oficerskim w San Diego, kiedy doszły go wieści o Callay i o tym, co się stało w My Lai Cztery. Starkey grał w pokera z czterema innymi ludźmi, z których dwóch jest obecnie członkami Połączonych Szefostw Sztabów. Rozgorzała zażarta dyskusja na temat, co w tej sytuacji robi wojsko – nie jakaś jedna jego gałąź ale ogólnie wojsko, zwłaszcza, że w Waszyngtonie trwało wówczas zacięte polowanie na czarownice – i pięciu graczy natychmiast zapomniało o pokerze. Jeden z nich, facet, który mógł rozmawiać bezpośrednio z marnym robakiem ukrywającym od dwudziestego stycznia 1959 roku swoją tożsamość pod funkcją Głównego Szefa, delikatnie odłożył swoje karty na zielony, wyłożony filcem stół i powiedział: „Panowie, miał miejsce pożałowania godny wypadek. A kiedy ma miejsce podobny wypadek i jest w to zamieszana któraś z gałęzi naszego systemu wojskowego, nie pytamy o korzenie ale raczej w jaki sposób możemy poprzycinać gałęzie. Służba jest dla nas matką i ojcem. A jeżeli po powrocie do domu znajdujecie swoją matkę zgwałconą albo swego ojca pobitego i ograbionego, zanim zawiadomicie policję czy rozpoczniecie dochodzenie, najpierw zakrywacie ich nagość. Ponieważ ich kochacie”.

Starkey nigdy wcześniej ani później nie słyszał równie wspaniałej mowy. Otworzył dolną szufladę w swoim biurku i wyjął cienką niebieską teczkę spiętą czerwoną taśmą. Na okładce widniał napis: JEŻELI TAŚMA JEST PRZERWANA NIEZWŁOCZNIE NALEŻY POWIADOMIĆ WYDZIAŁ BEZPIECZEŃSTWA.

Starkey przerwał taśmę.

– Jesteś tam, Baza Blue Jeden? – dopytywał się głos. – Nie słyszemy twojej odpowiedzi. Powtarzam, czekamy na odpowiedź.

– Jestem, Lew – powiedział Starkey.

Otworzył akta na ostatniej stronie i przesunął palcem ku dołowi tabeli oznaczonej podpisem: ŚCIŚLE TAJNE DZIAŁANIA W PRZYPADKU SYTUACJI WYJĄTKOWYCH.

– Słyszysz mnie, Lew?

– Słyszemy cię, Baza Blue Jeden.

– Troy – powiedział powoli Starkey. – Powtarzam: Troy. Powtórz, jak odebrałeś, odbiór.

Cisza. Szum zakłóceń. Starkey przypomniał sobie ni stąd ni zowąd walkie-talkie, które robił z chłopakami z dzieciństwa – dwie blaszane puszkę Del Monte i dwadzieścia jardów nawoskowanego sznurka.

– Powtarzam...

- O Jezu! – bardzo młody rozmówca z Sipe Springs przełknął ślinę.
- Powtórz, synu – rzekł Starkey.
- T-Troy – odpowiedział. A potem wyraźniej: – Troy.
- Świetnie – odparł ze spokojem Starkey. – Niech cię Bóg błogosławi, synu. Bez odbioru.
- I pana, sir. Bez odbioru.

Trzask, szum w eterze, jeszcze jeden trzask i wreszcie rozległ się głos Lena Creightona.

– Billy?

– Tak, Len.

– Słyszałem wszystko.

– To dobrze, Len – stwierdził ze znużeniem w głosie Starkey. – Sporządź raport, jeśli uważasz to za stosowne.

– Nie rozumiesz, Billy – rzekł Len – zrobiłeś to, co należało.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

Starkey przymknął powieki. Przez chwilę czuł się zupełnie wypruty z uczuć.

– Niech ciebie też Bóg błogosławi, Len – dorzucił łamiącym się głosem. Wcisnął wyłącznik i ponownie stanął przed monitorem. Splótł dłonie z tyłu jak Black Jack Pershing podczas przeglądu swoich żołnierzy. Spojrzał na Franka D. Bruce'a i miejsce jego ostatniego spoczynku. Po krótkiej chwili znów odzyskał spokój.

Wyjeżdżając z Sipe Springs na południe wzdłuż US 36 jedzie się w kierunku Houston, odległego o dzień drogi. Tą właśnie szosą pruł z prędkością osiemdziesięciu na godzinę trzyletni pontiac bonneville, a gdy dotarł do szczytu wzniesienia i kierowca zobaczył forda bez oznaczeń blokującą drogę, o mało nie doszło do wypadku.

Kierowca, trzydziestosześcioletni dziennikarz jednej z bostońskich gazet wcisnął hamulec aż zapuszczaly opony, a wóz zaczął zjeżdżać z szosy, obracając się nieznacznie w lewo.

– Rany Boskie! – wykrzyknął fotograf siedzący na fotelu obok. Upuścił aparat na podłogę i zaczął gorączkowo zapinać pas bezpieczeństwa.

Kierowca popuścił pedał hamulca i zaczął zjeżdżać na pobocze. W chwilę potem poczuł jak opony zagłębiły się w miękkiej ziemi. Wdusił gaz i bonneville ponownie zaczął wspinać się na asfalt. Spod opon buchnęły strużki niebieskawego dymu. Z radia popłynęły słowa piosenki:

Mała, czy możesz polubić swojego faceta?

To porządny gość.

Hej, mała, czy możesz polubić swojego faceta?

Znów przydepnął pedał hamulca. Bonneville zatrzymał się na środku szosy w upalne, pustynne popołudnie.

Kierowca z trudem zaczerpnął powietrza, po czym zakasłał gwałtownie. Zaczynał się wkurzać. Wrzucił wsteczny i podjechał tyłem do forda i dwóch stojących obok ludzi.

– Posłuchaj – rzucił nerwowo fotograf. Był gruby i nie ćwiczył od czasów licealnych. W tej samej chwili wóz zahamował gwałtownie i fotograf runął ostro do przodu. Kierowca przerzucił dźwignię automatycznej skrzyni biegów na parkowanie i wysiadł.

Ruszył w stronę dwóch młodych mężczyzn za fordem, a dłonie zaciskały mu się w pięści.

– Dobra, skurwysyny! – krzyknął. – Mało brakowało, żebyście nas zabili i chcę...

Miał za sobą cztery lata służby w wojsku. Ochotniczej służby. Bez trudu rozpoznał karabiny, które w niego wycelowali. To były M-3A. Stał, jak wrośnięty w ziemię, skąpany w prążących promieniach słońca, a struga moczu spływała mu po nogach.

Zaczął wrzeszczeć i nagle przyszło mu do głowy, żeby się odwrócić i pognać z powrotem do bonneville'a, jednak nogi odmówiły mu posłuszeństwa. W chwilę potem zaczęli strzelać i kule podziurawiły mu klatkę piersiową i krocze. Kiedy unosząc w górę obie ręce, upadł na kolana, następny pocisk trafił go cał powyżej lewego oka i oderwał mu wierzch czaszki.

Fotograf, który skulił się na tylnym siedzeniu nie zdołał zrozumieć do końca, co się wydarzyło, dopóki nie zobaczył jak dwaj młodzi mężczyźni przestąpiwszy zwłoki, z bronią uniesioną do strzału zaczęli iść w jego kierunku.

Przesunął się na siedzeniu pontiaca, w kącikach ust zbierały mu się bąbelki ciepłej śliny. Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce. Uruchomił silnik i wrzasnął przeciągle, kiedy tamci zaczęli strzelać. Czuł, jak wóz zakołysał się w prawo, jakby pod wpływem kopnięcia olbrzyma i kierownica zaczęła wyczyniać dziwne harce w jego dłoniach. Fotograf podskakiwał i opadał w miarę jak bonneville sunął wzdłuż szosy na podziurawionych oponach. W chwilę potem olbrzym wyrznął w tył samochodu z drugiej strony. Kołysanie przybrało na sile. Z szosy trysnęły snopy iskier. Fotograf jęczał. Tylne opony pontiaca łopotały jak czarne szmaty.

Dwaj młodzi ludzie wrócili do swego forda, którego numery rejestracyjne znajdowały się na liście ewidencji pojazdów wojskowych w Pentagonie. Jeden z nich siadł za kierownicą. Ford wykręcił zgrabnym łukiem i ruszył w pościg.

Przód samochodu zakołysał się, kiedy koła przetoczyły się po ciele zabitego dziennikarza.

Gruby fotograf zaczął popłakiwać, kiedy zobaczył w lusterku wstecznym powiększającą się sylwetkę forda.

Wcisnął gaz do deski, ale pontiac mógł teraz wyciągnąć najwyżej trzydzieści na godzinę.

W radio Larry'ego Underwooda zastąpiła Madonna. Zapewniała, że jest materialistką.

Ford wyminął bonneville'a i przez chwilę fotograf miał jeszcze nadzieję, że pojedzie dalej, pozostawiając go w spokoju.

Nadzieje okazały się płonne. Ford zjechał na bok i szalejący pontiac z całej siły wyrznął przodem w jego błotnik.

Rozległ się zgrzyt rozdieranego metalu. Fotograf rąbnął głową w kierownicę aż krew trysnęła mu z nosa.

Rzucając przerażone, ukradkowe spojrzenia przez ramię ześlizgnął się gładko po ciepłym, okrytym plastikiem siedzeniu, jakby było naoliwione i wysiadł, otwierając drzwiczki od strony pasażera. Pognał wzdłuż bocznej drogi. Były tam zasieki z drutu kolczastego i rzucił się szczupakiem aby je pokonać; przedzierał się przez druty jak oszalały i myślał: „Uda mi się. Musi mi się udać. Mogę biec w nieskończoność...”

Upadł po drugiej stronie zasieków z nogą uwięzioną pomiędzy drutami. Krzyczał w niebo i w dalszym ciągu usiłował uwolnić rozdartą kolcami nogawkę i nogę, kiedy dwaj mężczyźni z karabinami w rękach podeszli do zasieków.

Próbował zapytać ich: dlaczego? Ale z jego ust dobył się jedynie zduszony, bezradny skrzek, a w chwilę potem tył jego czaszki oderwany kulami rozprysnął się w strudze krwi i strzępów mózgu.

Tego dnia nie opublikowano żadnej informacji na temat choroby czy jakichkolwiek innych kłopotów w Sipe Springs w Teksasie.

ROZDZIAŁ 18

Nick otworzył drzwi pomiędzy biurem szeryfa Bakera a celami i w tej samej chwili zaczęli z niego szydzić. Vincent Hogan i Billy Warner zajmowali dwie małe jak puszki sardynek cele po lewej stronie. Mike Childress siedział w jednej z cel po prawej. Druga była pusta, gdyż Ray Booth, ten z sygnetem z fioletowym kamieniem zdołał czmychnąć.

– Hej, ty głupku! – zawołał Childress. – Ty pierdolony dupku! Co się z tobą stanie, kiedy już stąd wyjdziemy? Jak sądzisz? Co się z tobą stanie, ty chuju?

– Osobiście oberwę ci jaja i wepchnę do gardła, żebyś się nimi udławił – powiedział mu Billy Warner. – Kapujesz?

Jedynie Vince Hogan nie brał w tym udziału. Mike i Billy nie mieli z niego wielkiego pożytku tego dnia – dwudziestego trzeciego czerwca, kiedy zostali zgarnięci i wsadzeni za kratki do czasu rozprawy. Szeryf Baker dał Vince'owi popalić, a ten pękł, jak przekłuty balon. Baker powiedział Nickowi, że mógłby wnieść oskarżenie przeciwko tym chłopakom, ale w razie procesu nie miałby nic prócz zeznania Nicka przeciw zeznaniom trzech oskarżonych – czterech, gdyby udało się dopaść Raya Bootha.

Przez ostatnie kilka dni Nick zaczął żywić ogromny szacunek względem szeryfa Johna Bakera. Ów ważący dwieście pięćdziesiąt funtów eks-farmer, jak łatwo można było się domyślić zyskał sobie wśród wyborców przydomek Wielkiego Złego Johna. Szacunek, jaki żywił wobec niego Nick nie wynikał z faktu, iż Baker dał mu pracę polegającą na sprzątanii pomieszczeń aresztu w formie rekompensaty za straconą tygodniówkę, ale dlatego, że zdecydował się dopaść łobuzów, którzy pobili Nicka i zabrali mu pieniądze. Zrobił to, jak gdyby Nick był członkiem jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin w mieście, a nie głuchoniemym włóczęgą. Nick wiedział, że wielu innych szeryfów z południa chętniej skazałoby go na sześć miesięcy obozu pracy albo nawet więzienia.

Prywatnym wozem Bakera (Power Wagonem) pojechali do tartaku, gdzie pracował Vince Hogan. Pod deską rozdzielczą wozu znajdowała się strzelba śrutowa („Zawsze zarepetowana i naładowana” – jak stwierdził Baker), jak również „kogut” z magnezem, który Baker przyczepiał do dachu, jeżeli wybierał się gdzieś w sprawie służbowej. Tak właśnie uczynił, kiedy dwa dni temu zatrzymał się na parkingu przed tartakiem.

Baker chrząknął, splunął przez okno, wydmuchał nos i otarł zaczerwienione oczy chusteczką. Mówił przez nos. Nick naturalnie go nie słyszał, ale wcale nie musiał. Było jasne, że facet był okropnie przeziębiony.

– Kiedy go zobaczymy, ja złapię go za rękę – powiedział Baker – i spytam: „Czy to jeden z nich?” A wtedy ty twierdząco pokiwasz głową. Nic więcej mnie nie interesuje. Po prostu pokiwasz głową. Jasne?

Nick pokiwał głową. Zrozumiał.

Vince pracował przy cięciu desek, wkładając długie, prostokątne kawałki drewna do wnętrza maszyny. Podłogę pokrywały trociny, których było tyle, że prawie zakrywały czuby wielkich, roboczych butów Vince’a. Uśmiechnął się nerwowo do szeryfa i z niepokojem przeniósł wzrok na stojącego obok policjanta Nicka.

Twarz Nicka była wychudzona, wciąż jeszcze mocno poobijana i w dalszym ciągu zbyt blada.

– Się masz, Wielki Johnie, co tu robisz z tym robolem?

Inni pracownicy tartaku przyglądali się temu z uwagą, wodząc wzrokiem od Nicka, przez Vince’a do Bakera i z powrotem, jakby oglądali jakąś nową, skomplikowaną odmianę tenisa. Jeden z nich strzyknął strugą tytoniu w trociny i otarł podbródek nasadą dłoni.

Baker schwycił Vince Hogana za miękkie, opalone ramię i pociągnął go do przodu.

– Ej, co jest grane, Wielki Johnie?

Baker odwrócił głowę, aby Nick widział jego usta.

– Czy to jeden z nich?

Nick zdecydowanie pokiwał głową i gwoli jasności wskazał na Vince’a palcem.

– O co chodzi? – zaprotestował raz jeszcze Vince. – Nigdy nie widziałem tego niemego głupka.

– No to skąd wiesz, że jest niemową? Dobra Vince, idziesz do pierdła. Wpadłeś, jak śliwka w kompot. Możesz wysłać któregoś z tych chłopców żeby przyniósł twoją szczoteczkę do zębów.

Protestujący Vince został odprowadzony i zamknięty w samochodzie. Następnie przewieziony do miasta i zamknięty za kratkami aby zmiękł. Przez cały czas protestował. Baker nie zadał sobie trudu, by odczytać mu jego prawa.

– Szkoda zachodu, on i tak ma teraz mętlik w głowie.

Kiedy Baker wrócił około południa, Vince był zbyt głodny i zbyt przerażony aby dłużej protestować. Wyśpiewał wszystko.

Mike Childress trafił za kratki o pierwszej, a Baker dopadł Billy’ego Warnera w jego domu w chwili, gdy ten z zapakowanym bagażem wyprowadzał swojego chryslera, zamierzając wyruszyć w podróż – długą podróż zważywszy na liczbę skrzynek z alkoholem i ogromne walizy. Jednak ktoś dał Rayowi cynk i ten okazał się na tyle sprytny, że zdążył wyfrunąć z gniazdka.

Baker zaprosił Nicka do siebie na kolację. Chciał również przedstawić mu swoją żonę. W samochodzie Nick napisał na kartce: „Wiem, że to jej brat. Jak ona to przyjmie?”

– Wytrzyma – rzekł Baker, niemal formalnym tonem. – Przypuszczam, że będzie go trochę opłakiwać, ale dobrze wie, co z niego za ziółko. I wie, że rodzina to nie przyjaciele, nie możesz jej sobie wybrać.

Jane Baker była niską, ładną kobietą i rzeczywiście płakała. Spoglądając w jej głęboko osadzone oczy, Nick poczuł się nieswojo. Ona jednak gorąco uściśnęła jego dłoń i powiedziała:

– Miło mi cię poznać, Nick. I jest mi niezmiernie przykro z powodu twoich kłopotów. Czuję się odpowiedzialna, że stało się to przy współudziale jednego z moich krewnych.

Nick pokręcił głową i zaczął z zakłopotaniem przebierać nogami.

– Zaproponowałem mu pracę u siebie – rzekł Baker. – Odkąd Bradley przeprowadził się do Little Rock posterunek wygląda jak chlew. Kwestia posprzątania i odmalowania tego i owego. Poza tym i tak musi tu jeszcze zostać przez pewien czas, aż do... no, wiesz.

– Procesu – dokończyła. – Tak, wiem.

Nastąpiła chwila ciszy tak nieprzyjemnej, że Nick odczuł niemal fizyczny ból. Wreszcie żona szeryfa z wymuszoną wesołością spytała:

– Mam nadzieję, że lubisz szynkę, Nick. Na kolację mamy szynkę z kukurydzą i sałatkę z kapusty. Prawdą jest jednak, że nie robię tak dobrych sałatek jak moja matka. W każdym razie ON tak twierdzi.

Nick pogładził się po brzuchu i uśmiechnął się promiennie.

Po deserze (Nick, który przez ostatnie kilka tygodni nie dojadł pozwolił sobie na dwie dokładki ciasta z truskawkami) Jane Baker powiedziała do swego męża:

– Jest z tobą coraz gorzej, John. Coraz bardziej kaszlesz i kichasz. W dodatku tak mało jesz.

Baker przez chwilę wpatrywał się pokornie w swój talerz, po czym wzruszył ramionami:

– Od czasu do czasu mogę sobie odpuścić jeden posiłek lub dwa – mruknął i dotknął końcami palców podwójnego podbródka.

Nick przyglądając się im, zastanawiał się, jakim cudem tych dwoje ludzi o tak różnej posturze może sobie radzić w łóżku. Sprawiali wrażenie, że jest im ze sobą dobrze. A poza tym to nie była jego sprawa.

– A te rumieńce. Masz gorączkę?

Baker wzruszył ramionami:

– Nie... no... może trochę.

– W takim razie masz szlaban. Zostajesz dziś wieczorem w domu. To ostateczna decyzja.

– Kochanie, przecież mam więźniów. Jeżeli nawet nie trzeba specjalnie nad nimi czuwać, to na pewno należy ich nakarmić i przynieść coś do picia.

– Nick może to zrobić – stwierdziła definitywnie. – Ty idziesz do łóżka i ani słowa na temat twojej bezsenności. Nic ci to nie pomoże.

– Nie mogę wysłać Nicka – powiedział bez przekonania. – Jest głuchoniemy. Poza tym nie jest zastępcą szeryfa.

– A więc zaprzysięgnij go i mianuj swoim zastępcą.

– Przecież on jest nietutejszy!

– Jeżeli nikomu o tym nie powiesz, ja również tego nie zrobię – stwierdziła nieubłaganie. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. – Idź i zrób co do ciebie należy, John.

Takim oto sposobem Nick Andros w niecałe dwie godziny awansował z pozycji więźnia szeryfa miasta Shoyo do rangi zastępcy szeryfa miasta Shoyo.

Kiedy przygotowywał się do powrotu na posterunek do holu na dole zszedł szeryf Baker. W postrzępionym szlafroku wyglądał jak upiór. Sprawiał wrażenie zakłopotanego faktem, że oglądano go w tak niekorzystnym stanie.

– Nie powinienem dać się jej przekonać – stwierdził. – I nie udało się jej to, gdybym czuł się choć trochę lepiej. Ale wydaje mi się, że mam płuca pełne flegmy, a gorączka spala mnie, jakbym był suchym polanem. I czuję się okropnie słaby.

Nick pokiwał głową współczująco.

– Nie mam zastępców i jestem w kropce. Bradley Caide z żoną wyjechali do Little Rock zaraz po tym, jak umarło im dziecko. Syndrom choroby niemowlęcej. Okropna rzecz. Wcale im się nie dziwię, że wyjechali.

Nick wskazał na własną pierś i zatoczył krąg kciukiem i palcem wskazującym.

– Jasne, wszystko będzie w porządku. Tylko musisz być bardzo ostrożny, jasne? W trzeciej szufladzie mojego biurka jest pistolet, kaliber .45, ale nie zabieraj go do pomieszczenia, gdzie przebywają aresztanci. To samo, jeżeli chodzi o klucze. Rozumiesz?

Nick pokiwał głową.

– Kiedy wejdiesz do pomieszczenia z celami aresztantów trzymaj się poza ich zasięgiem. Nie daj się nabrać, kiedy któryś z nich zacznie udawać chorego. To sztuczka stara jak świat. Gdyby któryś z nich rzeczywiście zachorował, doktor Soames zajmie się nim rano. Powinienem być już wtedy w pracy.

Nick wyjął z kieszeni bloczek i napisał:

„Doceniam pańskie zaufanie. Dzięki za wtrącenie ich za kratki i za robotę”.

Baker przeczytał to uważnie.

– Jesteś kompletną zagadką, chłopcze. Skąd pochodzisz? Jak doszło do tego, że musisz radzić sobie sam?

„To długa historia – napisał Nick. – Jeżeli pan chce, spiszę ją dla pana dziś wieczorem”.

– Zrób to – rzekł Baker. – Chyba wiesz, że zacząłem wypytywać o ciebie?

Nick pokiwał głową. Domyślał się, że tak będzie. Ale był czysty.

– Poproszę Jane, żeby zadzwoniła do baru Ma Truck Stop przy autostradzie. Ci chłopcy mogliby cię zaskarżyć za brutalność policji, gdyby nie dostali swojej kolacji.

Nick napisał: „Niech każe dostawcy, żeby wchodził śmiało, bez pukania. I tak bym go nie usłyszał”.

– W porządku – Baker zawahał się jeszcze przez chwilę. – W kącie stoi łóżko dla ciebie. Jest twarde, ale czyste. I pamiętaj Nick, bądź ostrożny. Gdybyś miał jakieś kłopoty, nie będziesz mógł wzywać pomocy.

Nick skinął głową i dopisał: „Poradzę sobie”.

– Tak, nie wątpię. Niemniej jednak zadzwoniłbym do kogoś z miasta gdybym tylko miał kogoś odpowiedniego...

Przerwał, kiedy weszła Jane.

– Nadal zanudzasz tego biednego chłopca? Pozwól mu jechać, zanim mój głupi brat pojawi się na posterunku i uwolni swoich koleśków.

Baker roześmiał się zjadliwie.

– Teraz jest już pewnie w Tennessee. – Westchnął przeciągle i nagle jego ciałem wstrząsnął gwałtowny kaszel. Słysząc było, że gardło ma zapchane flegmą.

– Chyba pójdę na górę i się położę, Janey.

– Przyniosę ci aspirynę, żeby zbić gorączkę – powiedziała. Wchodząc na górę, obejrzała się przez ramię i spojrzała na Nicka. – Miło cię było poznać, Nick. Niezależnie od okoliczności. Tylko tak jak mówił John, uważaj na siebie.

Nick uklonił się jej, a Janey dygnęła szarmancko. Wydawało mu się, że w jej oczach błysnęły łzy.

Pryszcłaty, ciekawski chłopak w brudnej marynarce przyniósł trzy tacki z kolacją pół godziny po tym, jak Nick dotarł do aresztu. Nick skinął na chłopaka, aby postawił tacki na przyczym i kiedy dostawca wykonał polecenie, Nick napisał na kartce: „Zapłacone?”

Chłopak przeczytał napis na kartce z gorliwością licealisty pogrążającego się w lekturze „Moby Dicka”.

– Jasne – stwierdził. – Szeryf ma u nas kredyt. Ale... Czy ty jesteś niemową?

Nick pokiwał głową.

– Straszne – mruknął chłopak i pospiesznie opuścił komisariat, jakby obawiał się, że to może być zaraźliwe.

Nick wziął tacki i pojedynczo wsunął je końcem kija od szczotki przez otwór w dolnej części drzwi celi. Uniósł wzrok i zdołał jeszcze wychwycić jak Mike Childress mówi:

– Tchórzliwy skurwiel, no nie?

Nick z uśmiechem pokazał mu wyprostowany środkowy palec.

– Dam ja ci palec, ty chuju – rzucił Childress, uśmiechając się złowieszczo. – Kiedy stąd wyjdę...

Nick odwrócił się i nie wychwycił już reszty wypowiedzi.

Znalazszy się w biurze, zasiadł w fotelu Bakera, wyjął bloczek, zamyślił się przez chwilę i u góry kartki napisał:

Mój życiorys

Nick Andros

Przerwał, uśmiechając się pod nosem. Bywał w różnych śmiesznych miejscach, ale nigdy, w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że zostanie mianowany zastępcą szeryfa i będzie siedział w biurze na posterunku, pilnując trzech opryszków, którzy go pobili i spisując swój życiorys. Po chwili znów zabrał się do dzieła.

Urodziłem się w Caslin, w Nebrasce 14 listopada 1968 roku. Mój tata był niezależnym farmerem. Moi rodzice zawsze z trudem wiązali koniec z końcem. Mieli długi w trzech różnych bankach. Kiedy moja mama była w szóstym miesiącu ciąży i tata zabrał ją do miasta do lekarza, w ciężarówce zepsuł się wał i wóz stoczył się do rowu. Tata dostał ataku serca i umarł. W trzy miesiące potem ja się urodziłem. Przyszedłem na świat jako głuchoniemy. Był to kolejny cios dla mojej mamy. Zajmowała się prowadzeniem farmy do 1973 roku, po czym straciła ją na rzecz „wielkich operatorów” jak ich zawsze określała. Nie miała rodziny, ale napisała do przyjaciół mieszkających w Big Springs w Iowa i jeden z nich załatwił jej pracę w piekarni. Mieszkaliśmy tam do 1977 roku, kiedy moja matka zginęła w wypadku. Potracił ją motocyklista, kiedy wracając z pracy do domu, przechodziła przez ulicę. To nie była jej wina, raczej zwyczajny pech. Zawiodły hamulce. Motocyklista wcale nie jechał zbyt szybko ani nic... Kościół baptystów wyprawił mojej mamie darmowy pogrzeb. Później ten sam kościół wysłał mnie do sierocińca Dzieci Jezusa Chrystusa w Des Moines. To jedno z miejsc, na którego utrzymanie przesyłają składki wszystkie kościoły. Tam właśnie nauczyłem się czytać i pisać...

Przerwał. Od pisania bolała go ręka, ale nie dlatego przestał. Czuł się zaniepokojony, rozpalony i zły, że ponownie musiał to wszystko przeżywać.

Wrócił do pomieszczenia z celami i zajrzał do środka. Childress i Warner spali. Vince Hogan stał przy kracie, paląc papierosa i wpatrując się w pustą celę na drugim końcu korytarza, gdzie znajdowałby się teraz Ray Booth, gdyby nie zdążył dać nogi. Hogan sprawiał wrażenie, jakby miał się rozplakać i na ten widok Nick powrócił pamięcią do lat dzieciństwa w świecie głuchoniemych.

W tamtym okresie na jakimś filmie poznał określenie INCOMMUNICADO. To słowo zawsze miało dla Nicka fantastyczny, lovecraftiański podtekst, rozbrzmiewało w jego mózgu przy wtórze przerażającego, donośnego echa. Opisywało wszelkie niuanse zgrozy istniejącej poza granicami wszechświata, normalności i wewnątrz ludzkiej duszy. Przez całe życie był INCOMMUNICADO.

Usiadł i ponownie przeczytał ostatnie zdanie: „Tam właśnie nauczyłem się czytać i pisać”. Ale to nie było takie proste. Żył w świecie ciszy. Pisanie było kodem. Mowa była ruchem warg, unoszeniem się i opadaniem zębów, tańcem języka. Matka nauczyła go czytać z ruchu warg i pisać jego imię koślawymi, nierównymi literami. „To twoje imię – powiedziała. – To ty, Nicki”. Naturalnie powiedziała to bezgłośnie. Pierwszy związek pojawił się, kiedy postukała palcem w kartkę, a następnie w jego pierś. Najgorszą rzeczą dla głuchoniemych nie jest to, że muszą żyć w świecie niemego kina, ale to, że nie potrafią nazywać różnych rzeczy. Koncepcję nazw i określeń zrozumiał dopiero, kiedy skończył cztery lata. Nie wiedział, że wysokie, zielone rzeczy to „drzewa”; dowiedział się tego dopiero jako sześciolatek. Chciał wiedzieć, ale nikt nie kwapił się, aby go poinformować, a on nie potrafił zapytać.

Był INCOMMUNICADO.

Kiedy umarła, przeżył niemal kompletny regres. Sierociniec był domem głuchej ciszy, gdzie chudzi chłopcy o posępnych buźkach wyśmiewali się z jego upośledzenia. Dwaj chłopcy podbiegali do niego, jeden zatykał sobie usta, drugi uszy. Jeśli akurat w pobliżu nie było nikogo z personelu, bili go. Dlaczego? Bez powodu. Choć być może wśród rozległej białej klasy ofiar była również podgrupa – ofiary ofiar.

Nie chciał nawiązywać kontaktów i kiedy to nastąpiło jego proces myślenia uległ zahamowaniu. Krążył smętnie z kąta w kąt, ponuro patrzył na bezimienne rzeczy zapełniające świat. Obserwował dzieci na boisku poruszające ustami, unoszące i opuszczające zęby, niczym białe, zwodzone mosty, przesuwające językami w rytualnym tańcu mowy. Czasami nawet przez godzinę patrzył na płynące po niebie chmury.

A potem pojawił się Rudy. Potężny, łysy mężczyzna z twarzą pokrytą bliznami. Mierzący sześć stóp i pięć cali wzrostu, w oczach małego Androsa wyglądał na dwudziestolatka. Po raz pierwszy spotkali się w pomieszczeniu piwnicznym, gdzie znajdował się stół, sześć czy siedem krzeseł i telewizor, który działał tylko wówczas, kiedy miał na to ochotę. Rudy przykucnął, a jego oczy znalazły się na wprost Nicka. Następnie uniósł swe wielkie, pokryte bliznami dłonie i przyłożył, najpierw do ust, a następnie do uszu.

„Jestem głuchoniemy”.

Nick odwrócił głowę:

„Kogo to, kurwa, obchodzi?”

Rudy wymierzył mu policzek.

Nick upadł. Jego usta otworzyły się, a z oczu popłynęły łzy. Nie chciał tu być z tym okropnym, łysym trollem, upiornym Czarnym Ludem. Nie był głuchoniemy, to tylko okrutny

żart. Rudy pomógł mu wstać i podprowadził do stołu. Leżała tam czysta kartka papieru. Rudy wskazał na kartkę, a potem na Nicka. Nick tępo wpatrywał się w kartkę, po czym przeniósł wzrok na tysego, pokręcił głową. Rudy znów zdzielił go w twarz.

Kolejne milczące łzy.

Twarz pokryta siateczką blizn wpatrywała się w niego z zabójczą cierpliwością. Rudy znów wskazał na kartkę. Potem na ołówek. I na Nicka.

Nick zacisnął ołówek w pięści. Napisał cztery słowa, które znał, a które wyszperał w swoim nieco zaśniedziałym umyśle. Brzmiały następująco:

NICHOLAS ANDROS

PIEPRZ SIĘ

Następnie złamał ołówek na pół i tępo spojrzął na Rudy'ego. Rudy się uśmiechał. Nagle sięgnął ponad stołem i zacisnął swoje szorstkie, okaleczone dłonie po obu stronach głowy Nicka. Jego ręce były ciepłe, łagodne. Nick nie pamiętał, kiedy po raz ostatni ktoś dotykał go z taką czułością. W ten sposób dotykała go jego matka. Rudy odsunął dłonie od twarzy Nicka. Podniósł połowę ołówka z zatemperowaną końcówką. Odwrócił kartkę na drugą stronę. Stuknął końcówką ołówka w kartkę, a potem w pierś Nicka. Zrobił to jeden raz, potem drugi, trzeci. W końcu Nick zrozumiał.

„Jesteś czysty jak ta karta”.

Nick rozplakał się. Rudy spotykał się z nim przez kolejne sześć lat.

...nauczyłem się czytać i pisać. Mężczyzna nazwiskiem Rudy Sparkman przychodził aby mi pomagać. Miałem szczęście, że go spotkałem. W 1984 roku sierociniec przestał istnieć. Wiele dzieci zostało odesłanych do nowych domów, ale ja do nich nie należałem. Powiedziano mi, że niebawem znajdą dla mnie rodzinę, a państwo będzie jej płacić za przygarnięcie mnie. Chciałem być z Rudym, ale Rudy pracował wówczas w Afryce dla Korpusu Pokoju. Uciekłem. Miałem wtedy szesnaście lat i chyba nie przejmowali się mną zbytnio. Stwierdziłem, że dopóki nie wpadnę w jakieś kłopoty, wszystko powinno być w porządku i jak dotąd udawało mi się to. Swego czasu uczestniczyłem również w korespondencyjnym kursie szkoły średniej, ponieważ Rudy stwierdził, że wykształcenie to najważniejsza sprawa. Kiedy zatrzymam się gdzieś dłużej spróbuję zdać maturę. Chyba powinno mi się udać. Już niedługo. Lubię szkołę. Może kiedyś pójdę na studia. Wiem, że to brzmi idiotycznie ze strony takiego głuchoniemego włóczęgi jak ja, ale nie wydaje mi się to takie niemożliwe. I to już wszystko...

Poprzedniego ranka Baker zjawił się w biurze około wpół do ósmej, kiedy Nick akurat opróżniał kosze na śmiecie. Szeryf wyglądał lepiej.

„Jak się czujesz?” – napisał Nick.

– Nieźle. Do północy miałem straszną gorączkę. Największą od dzieciństwa. Aspiryna nie działała. Janey chciała zadzwonić po lekarza, ale około wpół do pierwszej gorączka spadła. Zasnąłem i spałem jak zabity. Jak ci idzie?

Nick ułożył okrąg z kciuka i palca wskazującego.

– A nasi goście?

Nick kilkakrotnie otworzył i zamknął usta, jakby naśladował kogoś paplającego bez przerwy. Sprawiał wrażenie rozgniewanego. Uderzał dłońmi w niewidzialne kraty.

Baker roześmiał się. Kichnął kilka razy.

– Powinieneś występować w telewizji – stwierdził. – Napisałeś swój życiorys, jak ci sugerowałem?

Nick skinął głową i podał mu dwie zapisane kartki papieru. Szeryf usiadł i zaczął czytać z uwagą. Kiedy skończył, przeniósł wzrok na Nicka, a jego spojrzenie było tak przeszywające, że Andros przez chwilę poczuł się zakłopotany i zbity z tropu. Spuścił wzrok patrząc na swoje buty, a kiedy w końcu uniósł głowę, Baker powiedział:

– Jesteś samodzielny od szesnastego roku życia? Od sześciu lat?

Nick skinął głową.

– I naprawdę brałeś udział w korespondencyjnych kursach szkół średnich?

Nick pisał przez dłuższą chwilę na jednej z kartek swojego bloczka: „Byłem trochę do tyłu, bo tak późno zacząłem pisać i czytać. Kiedy zamknięto sierociniec właśnie zacząłem nadrabiać straty. Tam właśnie otrzymałem sześć szkoleniowych zestawów korespondencyjnych, a potem sześć dalszych z La Salle w Chicago. Dowiedziałem się o nich z reklamy na pudełku zapalek. Potrzebuję jeszcze czterech zestawów”.

– Jakich zestawów potrzebujesz? – spytał Baker, po czym odwrócił głowę i wrzasnął: – Zamknijcie się, wy tam! Kawę i pączki dostaniecie, kiedy będę miał na to ochotę i ani słowa więcej!

Nick napisał: „Geometria. Wyższa matematyka. Języki – zestaw obejmujący dwa lata nauki. Takie są wymagania na studia”.

– Języki. Masz na myśli języki obce, jak francuski, niemiecki, hiszpański?

Nick pokiwał głową.

Baker roześmiał się i pokręcił głową.

– To ci dopiero. Tego jeszcze nie było. Głuchoniemy uczący się języka obcego. Nie, żebym miał coś przeciwko tobie. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

Nick uśmiechnął się i skinął głową.

– Ale dlaczego tyle wędrowałeś?

„Jako nieletni bałem się zatrzymywać w jednym miejscu zbyt długo – napisał Nick. – Bałem się, że zamkną mnie w drugim sierocińcu. Kiedy osiągnąłem odpowiedni wiek, aby móc przyjąć stałą pracę, nastąpiło gwałtowne pogorszenie się sytuacji. Powiedzieli, że runął rynek akcji, ale jako głuchy nie mogłem tego usłyszeć (ha, ha!)”.

– W większości miejsc pozwoliliby ci ruszyć śmiało w dalszą drogę – stwierdził Baker. – Kiedy czasy są ciężkie, raczej trudno o przejawy ludzkiej życzliwości i dobroci, Nick. Jeśli chodzi o stałą pracę, mógłbym ci coś znaleźć, chyba że te chłopaki na dobre obrzydzili ci Shoyo i Arkansas. Ale... nie wszyscy jesteśmy tacy.

Nick pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

– Jak twoje zęby? Nieźle w nie zarobiłeś.

Nick wzruszył ramionami.

– Brałeś pigułki przeciwbólowe?

Nick uniósł do góry dwa palce.

– Dobra, mam teraz trochę papierkowej roboty. Muszę się zająć tymi chłopakami. Ty rób dalej swoje. Porozmawiamy jeszcze później.

Doktor Soames, który o mały włos nie przejechał Nicka, przybył tego ranka około wpół do dziesiątej. Był sześćdziesięcioletnim mężczyzną o zmierzwionej, rudej czuprynie, chudej, koguciej szyi i bardzo przenikliwych, niebieskich oczach.

– Duży John mówił, że czytasz z ust. Mówi też, że chce ci znaleźć robotę, więc lepiej się upewnij, czy nie zamierzasz wyzionąć ducha. Ściągnij koszulę.

Nick rozpiął guziki błękitnej, roboczej bluzy i ściągnął ją.

– Rany Boskie, spójrz tylko – wyszeptał Baker.

– Odwalili kawał niezłej roboty, nie ma co – rzekł Soames, przyglądając się bacznie Nickowi. – Chłopie, o mało nie straciłeś lewego cycka – wskazał na sierpowy strup powyżej sutka.

Brzuch i klatka piersiowa Nicka mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Soames dotykał go, szturchał i wpatrywał z uwagą w źrenice jego oczu. W końcu obejrzał strzaskane resztki przednich zębów Nicka – jedyną część jego ciała, która obecnie sprawiała mu ból, pomimo spektakularnych sińców.

– Musi boleć jak wszyscy diabli – powiedział, a Nick smętnie pokiwał głową.

– Stracisz je – ciągnął. – Ty... – kichnął trzykrotnie raz po raz. – Przepraszam.

Zaczął wkładać swoje instrumenty do czarnej torby.

– Prognozy są przychylne, zakładając, że nie trafi cię grom z jasnego nieba, albo że nie wybierzesz się ponownie do knajpy Zacka. Czy twoje kłopoty z mową są natury fizycznej, czy wynikają z tego, że jesteś niesłyszący?

Nick napisał: „Fizyczne. Taki się urodziłem”.

Soames skinął głową.

– Szkoda. Ale musisz spojrzeć na to z innej strony: dobrze, że Bóg nie zdecydował się wysłać cię na świat z uszkodzonym mózgiem. Nałóż koszulę.

Nick zrobił to. Polubił Soamesa. Na swój sposób przypominał Rudy'ego Sparkmana, który powiedział mu kiedyś, że Bóg obdarzył wszystkich głuchoniemych facetów dwoma dodatkowymi całami męskości, aby w ten sposób zrekompensować im inne braki.

Soames powiedział:

– Przepiszę ci kolejną dawkę środków przeciwbólowych. Odbierzesz je w aptece. Niech przyślą rachunek na adres biura szeryfa.

– Ho, ho – rzekł John Baker.

– Ma upchane w słoikach więcej pieniędzy, niż locha sutków – ciągnął Soames. Ponownie kichnął, wytarł nos, przez chwilę pogrzebał w torbie i wyjął z niej stetoskop.

– Uważaj no, dziadku, bo cię przymknę za pijaństwo i chuligaństwo – rzekł z uśmiechem Baker.

– Tak, tak, tak – mruknął Soames. – Którego dnia otworzysz usta za szeroko i sam w nie wpadniesz. Zdejmij koszulę John, zobaczymy, czy twoje cycki są tak duże, jak zawsze.

– Mam zdjąć koszulę? Dlaczego?

– Bo twoja żona chce, żebym rzucił na ciebie okiem, ot co. Twierdzi, że jesteś przeziębiony i nie chce, abyś się jeszcze bardziej rozchorował, choć naprawdę nie rozumiem dlaczego. Przecież gdybyś poszedł do piachu, nie musielibyśmy się kryć z naszym małym romanssem... No jazda, Johny. Zrób striptiz i pokaż nam skrawek swojego ciała.

– To było zwyczajne przeziębienie – rzekł Baker, rozpinając z wahaniem guziki koszuli.

– Dzisiaj czuję się całkiem nieźle. Serio. Ty, Ambrose, wydajesz się bardziej chory ode mnie.

– Nie stawiaj diagnoz lekarzowi, to jego przywilej.

Kiedy Baker zdjął koszulę, Soames odwrócił się do Nicka i rzekł:

– Wiesz, to zabawne, jak bardzo zaraźliwe może być zwyczajne przeziębienie. To prawdziwa epidemia. Pani Lanthrop jest chora, podobnie jak cała rodzina Richie i te tępaki z Baker Road. Kaszlą i prychają. Nawet Billy Warner kicha jak z armaty.

Baker uwolnił się z podkoszulka.

– I co my tu mamy? – rzucił Soames. – Takie cycki i nie nosisz stanika? Nawet taki stary przyk, jak ja na ich widok może się nielicho napalić.

Baker westchnął, kiedy stetoskop dotknął jego piersi.

– Jezu, jakie to zimne! Czy ty to trzymasz w zamrażalniku?

– Wdech – rzekł zasępioń Soames. – Wydech.

Wydech Bakera zmienił się w zduszony atak kaszlu.

Soames badał szeryfa dosyć długo. Najpierw z przodu, potem z tyłu. W końcu odłożył stetoskop i użył szpatułki, aby zajrzeć Bakerowi do gardła. Kiedy skończył, przełamał ją na pół i wyrzucił do kosza.

– No i? – spytał Baker.

Soames przyłożył palce prawej ręki do szyi Bakera z prawej strony, nieco poniżej szczęki. Baker skrzywił się.

– Nie muszę pytać, czy bolało – stwierdził Soames. – John, idź do domu i kładź się do łóżka. To nie jest rada, to rozkaz.

Szeryf zamrugał.

– Ambrose – powiedział półgłosem – daj spokój. Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Mam trzech więźniów, którzy dziś po południu muszą być przewiezieni do Camden. Wczorajszej nocy zostawiłem z nimi tego dzieciaka, ale nie miałem w tym żadnego interesu i nie zrobię tego ponownie. To niemowa. Gdybym wczoraj rozumował całkiem normalnie, nie zrobiłbym tego.

– Nie myśl teraz o nich, John. Masz własne problemy. To jakaś infekcja dróg oddechowych. Sądząc po szmerach, całkiem poważna i do tego ta gorączka. Masz zawałone płuca, John. Sytuacja jest niewesoła, zważywszy na to, że masz dość sporą nadwagę. Połóż się do łóżka. Jeśli jutro rano poczujesz się lepiej, wtedy się nimi zajmiesz. Albo jeszcze lepiej, skontaktujesz się z drogowką, aby po nich przyjechała.

Baker spojrział pytająco na Nicka.

– Wiesz – powiedział – NAPRAWDĘ czuję się nie najlepiej. Może odrobina odpoczynku...

„Idź do domu i połóż się – napisał Nick. – Będę uważał. Poza tym muszę przecież zapracować jakoś na swoje lekarstwa”.

– Nikt nie pracuje na ciebie z takim zapalem, jak włóczęga – rzekł Soames i zachichotał.

Baker wziął do ręki kartki, na których Nick spisał swój życiorys.

– Czy mogę zabrać je do domu, żeby Janey mogła to przeczytać? Ona naprawdę cię lubi, Nick.

Nick napisał: „Jasne, że możesz. Ona jest bardzo miła”.

– W pewnym sensie – rzekł Baker i, zapinając guziki koszuli, westchnął: – Znów zaczyna mnie brać gorączka. A już myślałem, że sobie z nią poradziłem.

– Weź aspirynę – rzekł Soames, zamykając torbę. – Ta infekcja gruczołów wcale mi się nie podoba.

– W dolnej szufladzie biurka znajdziesz pudełko po cygarach – rzekł Baker. – Trzymam tam zaskórniaki. Możesz pójść coś przekąsić i po drodze kupić dla siebie lekarstwa. Te chłopaki to palanty, ani trochę nie przypominają desperados. Nie powinieneś mieć z nimi problemów. I zostaw rachunki na to, co kupiłeś. Skontaktuję się z policją stanową i jeszcze dziś po południu uwolnię cię od ich towarzystwa.

Nick ponownie złożył okrąg z kciuka i palca wskazującego.

– Zaufałem ci – stwierdził Baker – a Janey twierdzi, że nie ma w tym nic złego. Pilnuj się!

Nick skinął głową.

Janey Baker zjawiała się wczorajszego wieczoru około szóstej z przykrytym talerzem obiadem i kartonem mleka. Nick napisał: „Bardzo dziękuję. Jak czuje się twój mąż?”

Roześmiała się; niska kobieta o kasztanowych włosach, ubrana w kraciatą koszulę i sprane dżinsy.

– Sam chciał tu przyjść, ale wybiłam mu to z głowy. Dziś po południu miał tak wysoką temperaturę, że aż się zaniepokoiłam. Ale gorączka spadła i teraz czuje się lepiej. Sądzę, że to z powodu policji stanowej. John nigdy nie jest naprawę szczęśliwy, chyba że ma okazję powściekać się na tych gliniarzy.

Nick spojrzał na nią z ukosa.

– Powiedzieli, że do jutra rana do godziny dziewiątej, nie mogą przysłać po więźniów. Mieli bardzo zły dzień. Ponad dwudziestu gliniarzy nie stawiało się do pracy z powodu choroby. A inni są zajęci odwożeniem chorych do szpitala w Camden, czy nawet w Pine Bluff. Grypa szaleje wokół. Jest coraz więcej zachorowań. Mam wrażenie, że Soames jest bardziej zaniepokojony niż się wydaje.

Ona również wydawała się zaniepokojona. Następnie wyjęła z kieszeni na piersi dwie, starannie złożone kartki papieru.

– Niezła historia – powiedziała półgłosem, oddając mu kartki. – Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo, kto miałby takiego pecha, jak ty. To, w jaki sposób pokonałeś wszelkie trudności jest doprawdy godne podziwu. I jeszcze raz chciałabym cię przeprosić za mojego brata.

Nick zakłopotany tylko wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że zostaniesz w Shoyo – powiedziała, wstając. – Mój mąż i ja lubimy cię. Tylko uważaj na tych ludzi za kratkami.

„Będę uważał – napisał Nick. – Powiedz szeryfowi, że mam nadzieję, iż poczuje się lepiej”.

– Przekażę mu pozdrowienia od ciebie.

Wyszła i Nick został w biurze szeryfa sam z więźniami. Od czasu do czasu zaglądał do nich i stwierdził, że faktycznie nie mieli w sobie żyłki desperados. Już o dziewiątej wszyscy spali jak zabici. Dwaj miejscowi mężczyźni przyszli, aby sprawdzić czy z Nickiem wszystko w porządku. Andros zauważył, że najwyraźniej obaj byli chorzy.

Usnął i miał dziwny sen. Kiedy się obudził, jedyne co pamiętał, to to, że szedł wśród nie kończących się łąnów zielonej kukurydzy, szukając czegoś, i śmiertelnie bał się czegoś innego, co było tuż za nim.

Tego ranka wstał bardzo wcześnie i posprzątał zaplecze aresztu, ignorując zaczepki Billy’ego Warnera i Mike’a Childressa. Kiedy wyszedł, Billy zawołał do niego:

– Ray wróci, dobrze o tym wiesz! A kiedy cię dorwie, pożałujesz, że oprócz tego, iż jesteś głuchoniemy, nie jesteś również ślepy!

Nick odwrócony do niego plecami nie zdołał wychwycić jego słów. Wróciwszy do biura sięgnął po stary egzemplarz „Time’a” i zaczął czytać. Zastanawiał się, czy nie oprzeć stóp na blacie biurka, ale doszedł do wniosku, że mógłby napytać sobie biedy, gdyby nieoczekiwanie do biura wkroczył szeryf.

O ósmej zaczął się zastanawiać, czy przez noc stan szeryfa nie uległ pogorszeniu. Nick oczekiwał, że zjawi się lada chwila, aby zająć się więźniami i przekazać ich glinom z policji stanowej. Poza tym Nick czuł nieprzyjemne ssanie w żołądku. Nie zjawił się nikt z przydrożnego baru dla kierowców ciężarówek i Nick bardziej ze złością niż z tęsknotą patrzył na telefon. Był miłośnikiem książek fantastycznonaukowych i nie po raz pierwszy stwierdził, że dzień, kiedy w powszechnym użyciu znajdą się telefony zapewniające łączność nie tylko słuchową, ale i wizyjną, będzie wielkim dniem dla wszystkich głuchoniemych całego świata.

Za kwadrans dziewiąta. Jego niepokój narastał z każdą chwilą. Podeszedł do drzwi prowadzących do pomieszczenia z celami i zajrzał do środka. Billy i Mike stali przy drzwiach swoich cel. Obaj tłukli butami w kraty... co było potwierdzeniem faktu, iż określenie „głupek” jest tylko w niewielkim stopniu adekwatne wobec osób ułomnych fizycznie.

Vince Hogan leżał na podłodze. Kiedy Nick podeszedł do drzwi, odwrócił głowę i spojrzał na niego. Twarz Hogana była trupioblada, jeśli nie liczyć rumieńców na policzkach i ciemnych sińców pod oczami. Na jego czole pojawiły się strużki potu. Nick napotkał jego apatyczne, przesiąknięte gorączką spojrzenie i domyślił się, że mężczyzna jest chory. Jego niepokój pogłębił się.

– Hej, głupku, co byś powiedział na małe co nieco? – zawołał do niego Mike. – Vince chyba potrzebuje lekarza. Nasz gawędziarz chyba się z nim nie zgadza, co, Bill?

Bill nie miał ochoty na kpiny.

– Przepraszam, że wcześniej na ciebie wrzeszczałem, stary. Vince jest chory. Poważnie. Potrzebny mu lekarz.

Nick skinął głową i wyszedł, zastanawiając się, co powinien zrobić w tej sytuacji. Pochylił się nad biurkiem i napisał liścik:

Do szeryfa Bakera lub kogokolwiek

Poszedłem kupić coś do jedzenia na śniadanie dla więźniów i sprowadzić doktora Soamesa do Vince’a Hogana. Wygląda na poważnie chorego – chyba raczej nie symuluje.

Nick Andros

Wyrwał kartkę z bloczku i zostawił ją na środku biurka. Następnie, włożywszy bloczek do kieszeni, wyszedł na ulicę. Pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła, był nie słabnący upał i

zapach roślinności. Do południa zar stanie się nie do wytrzymania. W taki dzień ludzie starają się zrobić to, co mają do zrobienia możliwie najwcześniej, aby spokojnie przeleniuchować skwarne popołudnie. Ale w oczach Nicka główna ulica Shoyo sprawiała wrażenie dziwnie wymarłej, jakby była niedziela, a nie zwyczajny dzień roboczy. Większość miejsc na parkingu przed sklepami była pusta. Na ulicach można było dostrzec kilka samochodów i wiejskich ciężarówek, ale nie było ich wiele. Sklep z artykułami żelaznymi był chyba otwarty, ale żaluzje w oknach banku handlowego były nadal zaciągnięte, mimo że było już po dziewiątej. Nick skręcił w prawo, w stronę postoju ciężarówek pięć przecznicy dalej. Dotarł do trzeciej przecznicy, kiedy zobaczył jadący z naprzeciwka wóz doktora Soamesa. Samochód toczył się powoli, łagodnymi zakosami, jakby z wysiłkiem. Nick pomachał gwałtownie, niepewny czy doktor Soames się zatrzyma, ale lekarz zahamował, bezceremonialnie stając w poprzek czterech ukośnie zaznaczonych na asfalcie miejsc do parkowania. Nie wysiadł, tylko osunął się niżej na siedzeniu dla kierowcy. Wygląd mężczyzny zaszokował Nicka. Soames postarzał się o dwadzieścia lat od chwili, gdy przekomarzał się z szeryfem. Po części powodem było wyczerpanie, jednak Nick wiedział, że to musiało być coś więcej. Jakby na potwierdzenie tego przypuszczenia doktor wyjął z kieszeni na piersi zmiętą chusteczkę – zrobił to niczym iluzjonista wykonujący starą sztuczkę, która już mu się znudziła – i kichnął w nią głośno kilka razy. Kiedy skończył, oparł głowę o siedzenie, a jego usta rozchyliły się aby wziąć oddech. Skórę miał tak lśniąca i żółta, że przypominał Nickowi trupa.

Nagle Soames otworzył oczy i powiedział:

– Szeryf Baker nie żyje. Jeśli dlatego mnie zatrzymałeś, możesz o tym zapomnieć. Zmarł parę minut po drugiej w nocy. Jane złapała to samo, co on.

Oczy Nicka rozszerzyły się. Szeryf Baker nie żyje? Ale przecież jeszcze wczoraj wieczorem jego żona mówiła, że czuł się lepiej. A ona... ona wydawała się zdrowa. Nie, to po prostu niemożliwe.

– Umarł, umarł – powiedział Soames, jakby Nick wypowiedział na głos swoje myśli. – I nie tylko on. W ciągu ostatnich dwunastu godzin wypisałem tuzin aktów zgonu. Jeśli Bóg nie okaże się łaskawy, do południa umrze dwadzieścia kolejnych osób. Jednak wątpię, aby zamierzał to zrobić. Podejrzewam, iż będzie na tyle konsekwentny, że nie zechce się w to mieszać.

Nick wyjął z kieszeni bloczek i napisał: „Co się z nimi stało?”

– Nie wiem – rzekł Soames, mnąc chustkę w kulkę i ciskając ją do rynsztoka. – Ale wydaje mi się, że całe miasto zostało złożone przez tę chorobę, a ja nigdy w życiu nie byłem równie przerażony. Też jestem zarażony, choć obecnie bardziej cierpię z powodu przemęczenia – cóż, nie mam już dwudziestu lat. Nie można funkcjonować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie płacąc za to stosownej ceny, rozumiesz.

Do jego głosu zakradła się drżąca nuta przerażenia, ale Nick na szczęście nie mógł jej usłyszeć.

– I użalanie się nad sobą nikomu nie pomoże.

Nick, który nie zdawał sobie sprawy, że tamten użalał się nad sobą, mógł jedynie patrzeć na niego z wyrazem zakłopotania.

Soames wysiadł z samochodu, przytrzymując się przez chwilę ramienia Nicka. Miał uścisk starca, słaby i odrobinę nerwowy.

– Podejdźmy do tej ławeczki, Nick. Dobrze jest do ciebie mówić. Przypuszczam, że już ci to kiedyś mówiono.

Nick wskazał w stronę aresztu.

– Oni nigdzie nie pójda – stwierdził Soames. – A jeżeli są chorzy, to obecnie znajdują się na samym końcu mojej listy.

Usiedli na pomalowanej na jasnozielony kolor i zaopatrzonej na oparciu w reklamę miejscowej firmy ubezpieczeniowej ławeczce. Soames uniósł głowę do góry, wystawiając twarz na ciepłe promienie słońca.

– Dreszcze i gorączka – powiedział. – Od dziesiątej, wczoraj wieczorem. Wcześniej tylko dreszcze. Dzięki Bogu, że serce nie sprawia mi żadnych problemów.

„Powinieneś pójść do domu i położyć się do łóżka” – napisał Nick.

– Powiniennem i zrobię to. Ale najpierw chcę odpocząć kilka minut.

Zamknął oczy i Nick pomyślał, że stary doktor usnął. Zastanawiał się, czy powinien teraz wstać i pójść do pobliskiego baru, aby kupić coś na śniadanie dla Billy’ego i Mike’a.

Nagle doktor Soames znów się odezwał, nie otwierając oczu. Nick patrzył na jego usta.

– Symptomy są bardzo zbliżone – powiedział i zaczął wyliczać je na palcach. Jego dłonie przypominały teraz dwa rozłożone wachlarze. – Dreszcze. Gorączka. Ból głowy. Ogólne osłabienie. Utrata apetytu. Ból przy oddawaniu moczu. Obrzmienie gruczołów, od niewielkich po całkiem pokaźne. Opuchlizny pod pachami i w kroczu. Kłopoty i przerwy w oddychaniu.

Spojrzał na Nicka.

– To symptomy anginy, grypy albo zapalenia płuc. Potrafimy leczyć te choroby, Nick. Chyba, że pacjent jest bardzo stary, bardzo młody albo osłabiony wcześniej przebytą chorobą i wówczas wykańczają go antybiotyki. Ale z tą chorobą jest inaczej. Atakuje pacjenta szybko albo powoli. Zresztą to w gruncie rzeczy nieważne. Nic nie pomaga. Choroba nasila się, cofa i ponownie się nasila, osłabienie wzrasta, opuchlizna powiększa się i w końcu następuje zgon. Ktoś popełnił błąd. A oni starają się to zatuszować.

Nick spojrzał na niego z powątpiewaniem, zastanawiając się, czy właściwie odczytał słowa z ust doktora i czy Soames nie majaczył.

– To brzmi nieco paranoicznie, no nie? – spytał Soames, patrząc na niego. – Czy wiesz, że zawsze przerażały mnie paranoje młodszego pokolenia? Obawiali się, że ktoś zakładał podsłuchy w ich telefonach... śledził... badał komputerowo... a teraz sam stwierdzam, że oni

mieli rację, a ja się myliłem. Życie to świetna sprawa, Nick. Ale jak się przekonałem, starość obchodzi się raczej brutalnie z naszymi najtwardszymi przyzwyczajeniami.

„To znaczy?” – napisał Nick.

– Żaden z telefonów w Shoyo nie działa – stwierdził Soames.

Nick nie miał pojęcia, czy była to odpowiedź na jego pytanie (Soames prawie nie spojrzał na ostatnią kartkę podsunętą mu przez Nicka), czy też może doktor majaczył – przypuszczał, że gorączka wpływała nie najlepiej na jego umysł i powodowała chaos w myślach. Lekarz zauważył wyraz zakłopotania na twarzy Nicka i najprawdopodobniej pomyślał, że chłopak mu nie uwierzył.

– Ależ to prawda – stwierdził. – Jeżeli próbujesz wykręcić jakikolwiek numer zamiejskowy, słyszysz informację nagrałą na taśmie. Co więcej – duże drogi wjazdowe i wyjazdowe z Shoyo, przy rogatek zostały zablokowane kozłami z napisem ROBOTY DROGOWE. Ale nikt tam nic nie robi. Są tylko te kozły. Byłem tam. Przypuszczam, że bariery dałoby się przestawić, ale dziś rano ruch na autostradzie wydaje się bardzo mały. Prawie same wojskowe wozy. Dżipy i ciężarówki.

„A co z innymi drogami?” – napisał Nick.

– Na drodze numer 63, na wschodnim krańcu miasta zerwano asfalt, by wymienić przepust. Wygląda na to, że na zachodnim krańcu miasta wydarzył się jakiś okropny wypadek. Dwa wozy stoją w poprzek jezdni całkowicie ją blokując. Widać plamy na asfalcie, ale przy samochodach nie uświadczysz choćby jednego gliny, czy pracownika firmy odholowującej wraki. – Przerwał, wyjął chusteczkę i kichnął. – Mężczyźni przy przepuście pracują naprawę w żółtym tempie, a przynajmniej tak twierdzi Joe Rackman, który mieszka niedaleko. Byłem u Rackmanów dwie godziny temu, aby rzucić okiem na ich syna, którego stan jest bardzo poważny. Joe powiedział, że jego zdaniem faceci pracujący przy przepuście, to żołnierze, pomimo iż przyjechali państwową ciężarówką i mają na sobie robocze kombinezony.

Nick napisał: „Skąd to przypuszczenie?”

Soames wstając, rzekł:

– Robotnicy raczej nie salutują sobie nawzajem.

Nick również się podniósł.

„A boczne drogi?”

– To możliwe – przytaknął Soames. – Ale ja jestem lekarzem, nie bohaterem. Joe powiedział, że w kabinie tej ciężarówki widział karabiny. WOJSKOWE karabiny. Gdyby ktoś starał się wyjechać ze Shoyo bocznymi drogami i oni by go przyuważyli... nigdy nic nie wiadomo. A poza tym kto wie, co się dzieje teraz poza Shoyo? Powtarzam – ktoś popełnił błąd. A oni starają się to zatuszować. Szaleństwo. Szaleństwo. Oczywiście informacje na ten temat, koniec końców i tak się przedostaną, ale ilu ludzi do tej pory umrze?

Nick przerażony patrzył na doktora Soamesa, który wrócił do swojego wozu i wolno usiadł za kierownicą.

– A ty, Nick – rzekł Soames, patrząc na niego przez okno. – Jak się czujesz? Masz gorączkę? Kaszel?

Nick za każdym razem kręcił przecząco głową.

– Będziesz próbował opuścić miasto? Gdybyś poszedł polami, mogłoby ci się udać.

Nick pokręcił głową i odpisał: „Ci ludzie siedzą za kratkami. Nie mogę ich zostawić. Vincent Hogan jest chory, ale tamci dwaj chyba są w porządku. Zaniosę im śniadanie, a potem zajrzę do pani Baker”.

– Jesteś troskliwym chłopcem – rzekł Soames. – To rzadkość. A w tej erze zepsucia, chłopak z poczuciem odpowiedzialności jest jeszcze większą rzadkością. Wiem, że ona na pewno to doceni. Pan Brackeman, pastor metodystów, też zapowiadał, że wstąpi na chwilę. Obawiam się, że zanim ten dzień dobiegnie końca, czeka go jeszcze wiele takich wizyt. Będziesz uważał na tych trzech typków za kratkami, tak?

Nick stanowczo pokiwał głową.

– Dobrze, postaram się zajrzeć do ciebie po południu.

Wrzucił jedynkę i ruszył. Był zmęczony, miał zaczerwienione oczy i wydawał się dziwnie skurczony. Nick z wyrazem zakłopotania na twarzy śledził go wzrokiem, a po chwili znów ruszył w stronę baru. Bar był otwarty, ale na zmianie od siódmej do trzeciej godziny brakowało kucharza i trzech kelnerek. Nick musiał bardzo długo czekać na realizację swojego zamówienia.

Kiedy wrócił do aresztu, zarówno Billy, jak i Mikę sprawiali wrażenie śmiertelnie przerażonych.

Vince Hogan majaczył i zmarł jeszcze tego wieczora, parę minut przed szóstą.

ROZDZIAŁ 19

Larry tak dawno nie był na Times Square, że spodziewał się, iż będzie wyglądała inaczej, zmieniona w czarodziejski sposób. Wszystko będzie wydawać się mniejsze, ale jednocześnie lepsze, a on nie będzie czuł niepokoju na widok ordynarnej, cuchnącej, czy niekiedy nawet groźnej emanacji tego miejsca. Tak jak wówczas, kiedy był dzieckiem i gdy sam lub z Buddym Marxem przychodził tutaj, aby za dziewięćdziesiąt dziewięć centów obejrzeć dwa filmy, czy patrzeć na błyszczący chłm w oknach wystawowych sklepów i pawilonów handlowych. Ale wszystko wyglądało tak samo i to nawet bardziej niż powinno, gdyż niektóre rzeczy naprawdę się zmieniły. Przy wyjściu z metra, na rogu stał kiosk z gazetami – teraz go tam nie było. Pół przecznicy dalej, miejsce, gdzie znajdował się salon gier elektronicznych, pełen błyskających światełek, dzwonek i niebezpiecznie wyglądających młodych mężczyzn z papierosami przyklejonymi w kącikach ust, grających zapamiętałe w Gottlieb Desert Isle, czy Space Race, zajmował obecnie Orange Julius. Przed wejściem stała grupka młodych Murzynów podrygujących łagodnie w rytm muzyki, którą jedynie oni potrafili usłyszeć.

Więcej było również salonów masażu i kin porno.

Mimo to Times Square wyglądała prawie tak samo i to go zasmuciło. W pewnym sensie sprawy przedstawiały się gorzej, ze względu na jedną zasadniczą różnicę – obecnie czuł się jak turysta. Ale może nawet rodowici Nowojorczyści czuli się na Square jak turyści, kiedy mali niczym karły w obliczu otaczających ich kolosów unosili głowy, by przeczytać treść elektronicznych reklam. Nie umiał tego stwierdzić. Zapomniał, jak to jest być częścią Nowego Jorku. Nie miał zamiaru ponownie się tego uczyć.

Jego matka nie poszła tego ranka do pracy. Przez ostatnich kilka dni walczyła z przeziębieniem a dziś rano wstała z łóżka z silną gorączką. Leżąc na wąskiej sofie w swoim starym pokoju, słyszał jak krzątała się po kuchni, kichając i powtarzając pod nosem: „cholera”, przygotowywała śniadanie. Potem włączyła telewizor i Larry usłyszał wiadomości w „Today”. Próba przewrotu w Indiach. W Wyoming wysadzono elektrownię. Oczekiwano, że Sąd Najwyższy ogłosi wreszcie swoją decyzję w kwestii zatwierdzenia praw homoseksualistów.

Zanim Larry, zapinając koszulę, wszedł do kuchni, wiadomości dobiegły końca i na ekranie pojawił się Gene Shalit prowadzący wywiad z łysym mężczyzną. Facet pokazywał zbiór własnoręcznie wykonanych przez siebie małych, szklanych zwierzątek. Dmuchanie szkła, jak twierdził, było jego pasją od czterdziestu lat, a wydawnictwo Random House miało niebawem wydać napisaną przez niego książkę. Nagle kichnął. „Na zdrowko” – rzucił Gene Shalit i zachichotał.

– Jajecznicy czy sadzone? – spytała Alice Underwood. Miała na sobie szlafrok.

– Jajecznicy – rzekł Larry, wiedząc, że odmowa i tak by nic nie dała.

Z punktu widzenia Alice śniadanie bez jajek nie było śniadaniem. Zawierały przecież proteiny i były pożywne. Larry wiedział, że znała na pamięć listę substancji odżywczych, jak również ich przeciwieństwa – jujubes, marynaty, slim jimy, różowe paski gumy do żucia, a w ich opakowaniach karty baseballowe, i... Boże, cała masa innych artykułów.

Usiadł i patrzył, jak smażyła jajka, wlewając je na tę samą starą, czarną patelnię i mieszając je tą samą drucianą miotłką, której używała za czasów, kiedy Larry chodził jeszcze do pierwszej klasy podstawówki.

Wyjęła z kieszeni szlafroka chustkę, kaszlnęła w nią, wytarła nos i nim włożyła ją z powrotem do kieszeni, mruknęła pod nosem:

– Cholera.

– Wzięłaś wolny dzień, mamo?

– Zadzwoiłam do pracy i powiedziałam, że źle się czuję. Chyba bierze mnie grypa. Nie cierpię brać wolnego w piątek, w przeciwieństwie do innych, ale po prostu padam z nóg. Mam wysoką gorączkę i nabrzmiałe gruczoły.

– Zadzwoiłaś do lekarza?

– Kiedy byłam jeszcze panną, to lekarze wydzwaniali do swoich pacjentek – stwierdziła.
– Teraz, kiedy chorujesz, musisz sama zgłosić się do szpitala. Albo to, albo przyjdzie ci spotkać się z jakimś konowalem, który nie ma pojęcia o leczeniu i zamiast do gardła ma ochotę zajrzeć wyłącznie do twojego portfela. W każdym razie ja tak to widzę. Zostanę w domu, wezmę parę aspiryn i do jutra postaram się z tym uporać.

Spędził prawie cały ranek w domu, starając się jej pomóc. Żyły wyszły mu na ramionach („Nabawisz się przepukliny i to tylko po to, żebyś mogła obejrzeć «Ubijmy interes»„) ale dzielnie przeniósł telewizor i postawił przy jej łóżku. Przyniósł jej sok i starą buteleczkę syropu od kaszlu, a następnie pognął do księgarni, aby kupić kilka książek.

Później nie mieli już nic do roboty, poza wzajemnym dogryzaniem sobie. Narzekała głośno na kiepską jakość odbioru programu, na co on zmełł w ustach celną ripostę, że lepszy jest marny odbiór niż żaden. W końcu Larry stwierdził, że chyba wybierze się na spacer i pozwiedza trochę miasto.

– To dobry pomysł – powiedziała z wyraźną ulgą. – A ja się zdrzemnę. Dobry z ciebie chłopiec, Larry.

Zszedł po wąskich schodkach, gdyż winda nadal była nieczynna i z uczuciem ulgi, graniczącym z poczuciem winy, wyszedł na ulicę. Był przecież nowy dzień, a on miał w kieszeni nieco gotówki. Tyle, że teraz na Times Square wcale nie był taki uradowany. Maszerował przed siebie z portfelem przelożonym jakiś czas temu do jednej z przednich kieszeni. Zatrzymał się przed witryną sklepu muzycznego i zamarł w bezruchu, kiedy usłyszał swój głos, płynący z umieszczonych wysoko, starych głośników Renfries.

*Nie prosiłem cię, byś spędziła u mnie noc
Nie próbowałem też wcale, wciągając cię pod koc
Nie mam zamiaru z tobą klócić się
A więc powiedz mi, powiedz, proszę cię
Mała, czy możesz polubić swojego faceta?
Polub go, to porządny gość.
Mała, czy możesz polubić swojego faceta?*

„To ja” – pomyślał, wpatrując się tępo w albumy. Ale dzisiaj dźwięki wpędzały go w depresję. Co gorsze, budziły w nim tęsknotę za domem. Nie chciał być tutaj, pod tym szarym, ołowianym niebem, wciągając w nozdrza wszechobecną woń spalin i od czasu do czasu obmacując dłonią kieszeń, by sprawdzić, czy wciąż tkwi w niej portfel.

Nowy Jork, twoje imię to PARANOJA.

Nagle zapragnął znaleźć się w studio nagraniowym na Zachodnim Wybrzeżu i pracować nad nowym albumem.

Larry przyspieszył kroku i skręcił do salonu gier. W jego uszach brzmiała kakofonia głośnych brzęczyków i dzwonek. Słyszał wzmocniony podkład dźwiękowy gry Wyścig śmierci 2000, ryk pędzących samochodów zmieszany z nieziemskimi, elektronicznymi wrzaskami przejeżdżanych przechodniów.

„Świetna gra – pomyślał Larry. – Niedługo powstanie kolejna tego typu: Dachau 2000. Dzieciaki natychmiast ją pokochają”.

Podszedł do kasy i rozmienił dziesięć dolarów na ćwierćdolarówki. Obok Beef’n’Brew, po drugiej stronie była czynna budka telefoniczna. Larry z pamięci wykręcił numer Jane’s Place. Jane było miejscem pokerowych rozgrywek, gdzie czasami zaglądał Wayne Stukey. Larry wrzucał ćwierćdolarówki do otworu, aż zabolęła go ręka, a trzy tysiące mil od tego miejsca rozdzwonił się telefon. Kobięcy głos przemówił:

- Jane’s Place. Otwarte.
- Dla wszystkich? – zapytał niskim, zmysłowym głosem.
- Posłuchaj no, cwaniaczku, bez... ejże, to ty, Larry?
- Tak, to ja. Cześć Arlene.
- Gdzie jesteś? Wszyscy stracili cię z oczu, Larry.

– Jestem na Wschodnim Wybrzeżu – powiedział ostrożnym tonem. – Ktoś dał mi cynk, że przyczepiło się do mnie paru zaciętych łebków i powinienem przeczekać, aż sytuacja się trochę unormuje.

– Może chodzi o pewne WYSTAWNE party?

– Tak.

– Słyszałam o tym – stwierdziła. – Kosztowna impreza.

– Jest tam gdzieś Wayne, Arlene?

– Masz namyśli Wayne'a Stukey'a?

– Przecież nie Johna Wayne'a; on nie żyje.

– O niczym nie wiesz?

– A skąd miałbym wiedzieć? Jestem na drugim wybrzeżu. Chyba u niego wszystko w porządku?

– Jest w szpitalu. Ma grypę. Nazywają tego wirusa Kapitan Trips. Nie ma się z czego śmiać. To poważna sprawa. Mówią, że na tę chorobę umarło już wielu ludzi. Panuje powszechna panika. Mamy sześć wolnych stolików, a wiesz, że w tym lokalu NIGDY nie było wolnych stolików.

– Jak on się czuje?

– A któż to wie? Oddziały w szpitalach są przepelnione i bardzo ściśle strzeżone. Nie ma żadnych odwiedzin. To okropne, Larry. Poza tym, roi się tu od żołnierzy.

– Na przepustce?

– Żołnierze na przepustce nie noszą broni ani nie jeżdżą wojskowymi ciężarówkami. Wielu ludzi jest nielecho przestraszonych. Dobrze, że się stąd wyrwałeś.

– W wiadomościach nic o tym nie mówili.

– Tu w gazetach było tylko kilka drobnych wzmianek o wzroście zachorowań na grypę – i to wszystko. Jednak niektórzy twierdzą, że wojskowi musieli się niewłaściwie obchodzić z jakimś słoikiem z wirusami. Czy to nie jest przerażające?

– To tylko słowa. Bajdurzenie panikarzy.

– Czy tam, gdzie jesteś nic takiego się nie dzieje?

– Nie – odparł i nagle pomyślał o chorobie swojej matki. I czy będąc w metrze, nie zwrócił uwagi, że sporo osób kichało i kaszało? Zupełnie jak na oddziale gruźlików. Jednak, jakby na to nie spojrzeć, w każdym mieście znajdzie się kilka osób, które kaszlą i kichają jak z armaty. „Zarazki powodujące katar i kaszel są nader towarzyskie – pomyślał. – I lubią się dzielić swoim bogactwem”.

– Janey nie ma dziś w pracy – mówiła Arlene. – Ma gorączkę i spuchnięte gruczoły – tak powiedziała. Wydawało mi się, że ta stara kurwa jest za twarda, by dać się złamać jakiemuś choróbsku.

– Trzy minuty dobiegają końca – wtrącił głos z centrali. – Po ich upływie rozlegnie się sygnał.

– Wrócę za tydzień lub dwa, Arlene – powiedział Larry. – Wtedy się zobaczymy.

– Świetnie. Zawsze chciałam się umówić na randkę ze słynnym piosenkarzem.

– Arlene? Nie znasz przypadkiem faceta, którego nazywają Dewey Deck?

– Och! – rzuciła wyraźnie zakłopotana. – Jejku, Larry!

– Co?

– Dzięki Bogu, że nie odłożyłeś słuchawki! Widziałam się z Wayne'm na dwa dni przed tym, zanim poszedł do szpitala. Zupełnie o tym zapomniałam. Ojej!

– O co chodzi?

– O kopertę. Powiedział, że to dla ciebie, ale prosił żebym przechowała ją tydzień czy dwa w kasie, albo przekazała bezpośrednio tobie, jeżeli się spotkamy. Powiedział coś w rodzaju: „Ma cholernego farta, że Dewey Deck nie dostał tego w swoje łapy”.

– Co jest w środku? – Larry przełożył słuchawkę z jednej ręki do drugiej.

– Chwileczkę. Zaraz zobaczę.

Nastąpiła chwila ciszy, później rozległ się odgłos dartej koperty.

– To książeczka oszczędnościowa. First Commercial Bank of California. Stan... rety! Ponad trzysta tysięcy dolarów. Jeżeli usłyszę od ciebie, że nie masz grosza przy duszy, zobaczysz, że pożałujesz.

– Nie licz na to – powiedział, uśmiechając się. – Dzięki Arlene. Przypilnuj tego dla mnie, dobrze?

– Nie. Wyrzucę ją do kanału burzowego. Dupek.

– Miło wiedzieć, że jest się kochanym.

Westchnęła.

– Aż za bardzo, Larry. Włożę ją do koperty na której napiszę dwa nazwiska – twoje i moje. W tej sytuacji, kiedy się zjawisz, nie będziesz mógł mnie okantować.

– Nie zrobiłbym tego, skarbie.

Rozłączyła się, a w słuchawce rozległ się głos z centrali, domagający się dalszych trzech dolarów dla Ma Bell. Larry wciąż czując przyklejony do ust kretyński uśmiech, wrzucił je posłusznie do otworu. Spojrzał na drobniaki rozsypane na półce poniżej aparatu, wybrał jedną ćwierćdolarówkę i wrzucił do otworu. W chwilę potem w mieszkaniu jego matki rozdzwonił się telefon. Pierwszym odruchem w takiej sytuacji jest chęć podzielenia się z kimś dobrymi wieściami; drugim, dobitnie nimi kogoś.

Sądził – nie – wierzył, że w tym przypadku w grę wchodziła jedynie pierwsza ewentualność. Chciał, aby jego matka wiedziała, że znowu był wypłacalny.

Uśmiech powoli zniknął z jego ust. Telefon nadal dzwonił. Może jednak postanowiła pójść do pracy. Przypomniał sobie jej poczerwieniałą, rozpaloną od gorączki twarz i jak kasłała i kichała w chusteczkę powtarzając raz po raz: „cholera”. Nie, pójdzie do pracy raczej nie wchodziło w grę. Prawdę mówiąc, nie sądził aby MIAŁA DOŚĆ SIŁY aby wyjść z domu.

Odłożył słuchawkę na widełki i obojętnym ruchem zgarnął „oddaną” przez automat ćwierćdolarówkę.

Wyszedł, grzechocząc trzymanymi w dłoni monetami. Kiedy zobaczył taksówkę, zatrzymał ją, a gdy samochód ponownie włączył się w ruch uliczny, zaczął siąpić drobny deszczyk.

Drzwi były zamknięte i, zastukawszy dwa albo trzy razy, nabrał pewności, że w mieszkaniu nikogo nie było. Pukał na tyle głośno, że ktoś mieszkający piętro wyżej odpowiedział niczym rozsierdzony duch równie mocnym stukotem.

Już miał pójść do mieszkania pana Freemana, kiedy zza drzwi dobiegł go zduszony jęk. Drzwi do mieszkania matki Larry’ego chroniły trzy zamki, ale pomimo swojej obsesji względem Portorykańczyków, nigdy nie używała trzech naraz.

Larry rąbnął łokciem w drzwi, aż zadygotały. Po drugim uderzeniu zamek puścił. Drzwi otwały się na oścież i trzasnęły w ścianę.

– Mamo?

Znów ten jęk.

W mieszkaniu panował półmrok; niebo na zewnątrz pociemniało gwałtownie, dał się słyszeć huk gromu i bębnienie kropli deszczu. Okno w pokoju było uchylone; firanka porwana przez wiatr uniosła się ponad stołem i w chwilę potem znalazła się na zewnątrz, w przesmyku wentylacyjnym. Na podłodze widniała błyszcząca kałuża deszczówki.

– Mamo, gdzie jesteś?

Głośniejszy jęk.

Wszedł do kuchni. Ponownie huknął piorun.

Prawie się o nią potknął. Leżała na podłodze, w progu sypialni.

– Mamo! O Jezu, mamo!

Na dźwięk jego głosu próbowała się odwrócić, ale mogła jedynie poruszyć głową. Przekręciła się w lewą stronę. Oddech miała ochryply, gardło zapchane flegmą. Jednak najgorszą rzeczą był sposób w jaki na niego patrzyła – jednym widocznym dla niego okiem, niczym świnia w rzeźni. Nigdy nie zapomni tego spojrzenia.

Jej twarz była rozpalona gorączką.

– Larry?

– Zaniose cię do łóżka, mamo.

Pochylił się, z trudem opanowując drżenie kolan, i wziął ją na ręce. Poły jej szlafroka rozchyliły się odsłaniając spraną nocną koszulę i białe, niczym brzuch ryby nogi poprzecinane siateczką żyłaków.

Miała gorączkę.

To go przeraziło. Żaden człowiek nie mógł przeżyć, mając tak wysoką gorączkę. Jej mózg musiał się gotować wewnątrz czaszki.

Jakby na potwierdzenie jego myśli rzuciła bełkotliwie:

– Larry, idź po ojca. Jest w barze.

– Nic nie mów – mruknął zakłopotany. – Nic nie mów i prześpij się mamó.

– Jest w barze z tym fotografem! – pisnęła, a na zewnątrz znów rozległ się odgłos gromu.

Larry miał wrażenie, jakby jego ciało było pokryte ociekającym powoli szlamem. Przez na wpół otwarte okno do pokoju wdarł się chłodny powiew wiatru. W tej samej chwili, w formie jakby reakcji, Alice zaczęła drzeć, a na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. Zaszczekała zębami.

Jej twarz w półmroku panującym wewnątrz sypialni była blada niczym księżyc w pełni.

Larry nakrył ją starannie kocem, podciągając go prawie pod jej brodę. Mimo to nadal trzęsła się jak osika. Gruby koc dygotał i wibrował w rytm miotających nią dreszczy. Na jej twarzy nie było nawet kropelki potu.

– Idź i powiedz mu, żeby natychmiast tu przyszedł! – zawołała, po czym umilkła i słychać było jedynie urywany dźwięk jej oddechu.

Wrócił do pokoju, zbliżył się do telefonu, ale zaraz obszedł go szerokim łukiem. Zamknął gwałtownie okno i dopiero wtedy wrócił do telefonu. Książki teled adresowe leżały na półce pod małym stolikiem, na którym znajdował się aparat. Odnalazł numer Mercy Hospital i wykręcił go.

Na zewnątrz szalała burza. Błyskawica zmieniła okno, które przed chwilą zamknął w błękitno-białą płytę rentgenowską. Gardłowe krzyki jego matki dochodzące z sypialni, mroziły mu krew w żyłach.

Telefon zadzwonił, rozległ się brzęczyk, a w chwilę potem głucho szczęknięcie.

– Tu Mercy General Hospital. W chwili obecnej wszystkie połączenia są zajęte. Proszę czekać na przyjęcie zgłoszenia. Dziękuję. Tu Mercy General Hospital. W chwili obecnej...

– Ścierki są na dole – krzyknęła jego matka. – Ci Portorykańczycy o niczym nie wiedzą!

– ...Proszę czekać na przyjęcie zgłoszenia...

Cisnął słuchawkę na widełki i spocony wpatrywał się w aparat. Co to za szpital, do diabła, gdzie na zgłoszenia odpowiada automatyczna sekretarka? Przecież jego matka była umierająca! Co się tam działo?

Larry postanowił zejść na dół i spytać, czy pan Freeman nie zechciałby zostać z jego matką, podczas gdy on pojedzie do szpitala. A może powinien wezwać prywatną karetkę? Chryste, jak to możliwe, że nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia, skoro przecież powinien o tym wiedzieć? Dlaczego nie uczą tego w szkole?

Z sypialni przez cały czas dochodziło sapanie jego matki.

– Wróć – mruknął półgłosem i podszedł do drzwi. Bał się o nią. Był wręcz przerażony, ale słyszał w głębi duszy głos mówiący: „Takie rzeczy stale mi się przytrafiają” i „Dlaczego to musiało się stać akurat wtedy, gdy chciałem podzielić się z nią dobrymi wiadomościami?”

Ale najokropniejsze z tego wszystkiego było: „Do jakiego stopnia to pokrzyżuje moje plany? Ile będę musiał zmienić?”

Nienawidził tego głosu, pragnął, aby skończył się szybką i okropną śmiercią, ale on rozbrzmiewał raz po raz pod jego czaszką.

Zbiegł po schodach do mieszkania pana Freemana, a pomiędzy ciemnych chmur ponownie dobiegł grzmot.

Kiedy znalazł się na parterze, frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie na oścież i strugi deszczu omiotły klatkę schodową.

ROZDZIAŁ 20

Harbroside był najstarszym hotelem w Ogunquit. Widok od kąda naprzeciw wybudowano klub jachtowy nie był najlepszy, ale w takie popołudnie jak to, kiedy po niebie krążyły burzowe chmury, napęczniałe od grzmotów i błyskawic, wydawał się całkiem znośny.

Frannie siedziała przy oknie; od blisko trzech godzin usiłowała napisać list do Grace Duggan – koleżanki z liceum, noszącej obecnie nazwisko Smith. W liście tym nie zamierzała zwierzać się jej, że jest w ciąży ani opisywać kłótni z matką, gdyż to mogłoby jedynie wprowadzić ją w stan głębokiej depresji. Poza tym przypuszczała, że Grace i tak dowie się o tym niebawem za pośrednictwem jej własnych źródeł w mieście. Po prostu starała się napisać list do przyjaciółki. Opisać, jak w maju wybrała się na wycieczkę rowerową z Jessem oraz Samem Lothropem i Sally Wenscelas do Rangely. Napisać, że szczęśliwie udało się jej zdać ostatni egzamin z biologii, że Peggy Tate (ich wspólna koleżanka) znalazła nową pracę w Senacie, a Amy Lauder niedługo wychodzi za mąż. Jednak pisanie zupełnie jej nie szło. Po części było to winą rozgrywających się na zewnątrz pokazów pirotechnicznych – jak możesz pisać, kiedy nad wodą raz po raz przetaczają się grzmoty i strzelają błyskawice? Poza tym, wszystkie informacje zawarte w liście nie były zupełnie szczere. Były odrobinę naciągane i przekrecone jak nóż, którym zamiast obierać ziemniaka zacinasz się w palec.

Wycieczka rowerowa, owszem udała się, ale stosunki pomiędzy nią i Jessem nie wyglądały już tak różowo.

Zdała egzamin z biologii, ale w gruncie rzeczy liczyła na lepszą ocenę.

Ani ją, ani Grace nie interesował los Peggy Tate i zbliżający się ślub Amy; w obecnym stanie Fran, zakrawało to bardziej na niesmaczny żart niż na radosną wiadomość.

„Wiesz, Amy wychodzi za mąż, a ja będę miała dziecko, ha, ha!” W przekonaniu, że musi dokończyć list, choćby tylko dlatego, żeby się dłużej nie męczyć, napisała:

Mam problemy, sporo różnych problemów, ale obecnie nie potrafię o nich napisać. Wystarczy, że muszę o nich myśleć! Niemniej jednak liczę, że spotkamy się czwartego lipca, chyba że twoje plany od ostatniego listu zmieniły się.

(Jeden list na sześć tygodni? Zaczynam wierzyć, że ktoś amputował ci palce, mała!). Opowiem ci o wszystkim, kiedy się spotkamy. Jestem pewna, że skorzystam z twoich rad.

Wierz we mnie, a ja będę wierzyć w ciebie,

Fran

Podpisała się, typowym dla siebie, kwiecisto-komicznym bazgrołem, który zajął połowę pozostałego miejsca na kartce. Ta czynność wydawała się jej bardziej fałszywa niż kiedykolwiek. Złożyła kartkę, wsunęła do koperty, zaadresowała i oparła o lustro. Skończone.

Świetnie. I co teraz?

Znów zrobiło się ciemno. Wstała i zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju, zastanawiając się, czy powinna wybrać się gdzieś, zanim znów zacznie padać. Ale dokąd mogła pójść? Do kina? Chodziła tam tylko z Jessem. Wybrać się do Portland, aby zrobić obchód sklepów z odzieżą? Mało zabawne. Jedyne ciuchy, które mogły ją obecnie interesować to ubiory z elastyczną gumką w pasie. Ciężówki.

Dziś rano odebrała trzy telefony – pierwszy z dobrą wiadomością, drugi z obojętną, trzeci ze złą. Pragnęła, aby kolejność tych telefonów była odwrotna.

Na zewnątrz zaczęło padać, nadbrzeże ponownie pociemniało.

Postanowiła wybrać się na spacer, nie przejmując się coraz większym deszczem. Świeże powietrze i letni deszcz na pewno dobrze jej zrobią. Może nawet zajrzy do jakiegoś pubu i wypije kufelek piwa. Szczęście w butelce. W każdym razie – równowaga.

Najpierw zadzwoniła do niej Debbie Smith z Somerworth. Debbie stwierdziła, że bardzo chętnie wynajmie jej pokój. Prawdę powiedziawszy było to jej nawet na rękę. Jedna z dwóch dziewcząt, które razem z nią wynajmowały mieszkanie wyprowadziła się w maju, gdyż otrzymała posadę sekretarki w hurtowni. Ona i Rhoda nie dawały rady opłacać czynszu bez trzeciej lokatorki.

„Poza tym, obie pochodzimy z dużych rodzin – stwierdziła Debbie. – Płaczące dzieci absolutnie nam nie przeszkadzają”.

Fran powiedziała, że będzie gotowa do przeprowadzki z początkiem lipca, a kiedy odłożyła słuchawkę, poczuła gorące łzy spływające jej po policzkach. Łzy ulgi. Jeśli zdoła wyrwać się z miasta, w którym dorastała, wszystko będzie w porządku. Uwolni się od matki, a nawet ojca. Dziecko i samotność pomogą jej przynajmniej do pewnego stopnia ustabilizować życie. To z pewnością ważny czynnik, ale nie jedyny. Przypomniała sobie, że był jakiś owad czy żaba, która w chwili zagrożenia nadymała się, powiększając dwukrotnie swoje rozmiary. Drapieżnik na ten widok, przynajmniej teoretycznie, powinien się przestraszyć i czmychnąć. Czuła się, trochę, jak taki właśnie owad, a to wrażenie było powodowane przez całe miasto, środowisko, w którym żyła (gestalt było chyba bardziej

odpowiednim określeniem). Wiedziała, że nikt nie napiętnuje jej szkarłatną literą, ale zdawała sobie sprawę, iż aby ostatecznie upewnić o tym stargane nerwy, musiała opuścić Ogunquit.

Kiedy wyszła na ulicę miała wrażenie, że ludzie nie tyle się jej przyglądają, co raczej są gotowi, aby zacząć się jej przyglądać. Naturalnie stali mieszkańcy, nie letnicy. Miejscowi zawsze mieli na kogo się gapić – na pijaczka, na lekkoducha, chłopca „z dobrego domu”, który został przyłapany na kradzieży w Portland, czy Old Orchard Beach... albo na dziewczynę z brzuchem.

Drugi telefon, ten obojętny, był od Jessa Ridera. Dzwonił z Portland i najpierw zatelefonował do niej do domu. Na szczęście zastał Petera, który bez zbędnych komentarzy podał mu nowy numer Fran. Mimo to, pierwsze co od niego usłyszała, to:

– Miałaś w domu śpięcia, co?

– Owszem, trochę – odparła niepewnym tonem, nie chcąc zagłębiać się w szczegóły. To zmieniło ich w swego rodzaju konspiratorów.

– Twoja matka?

– Dlaczego tak uważasz?

– Wygląda mi na taką osobę. Ma coś w oczach, Frannie. Ten wyraz oczu zdaje się mówić: „Jeśli zastrzelisz moją świętą krowę, ja wykończę twoją”.

Milczała.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

– Nie uraziłeś – odparła.

Jego stwierdzenie było całkiem trafne, ale ona nadal zastanawiała się nad użytym przez niego słowem „urazić”. Nie chciał jej urazić. Zdziwiła się. Nie spodziewała się, że usłyszy to określenie z jego ust. „Może to swego rodzaju postulat” – pomyślała. Kiedy twój kochanek zaczyna mówić o „urazaniu” cię, z pewnością nie jest już twoim kochankiem.

– Frannie, oferta jest nadal aktualna. Jeżeli powiesz tak, wezmę obrączki i przyjadę do ciebie po południu.

„Na rowerze” – pomyślała i o mało się nie roześmiała. Wiedziała, że nie powinna tego robić i zakryła dłonią mikrofon słuchawki, aby jej śmiech nie przedostał się na linię.

Przez ostatnie kilka dni więcej śmiała się i płakała niż odkąd skończyła piętnaście lat i zaczęła umawiać się na randki.

– Nie, Jess – powiedziała prawie spokojnym głosem.

– Mówię serio! – rzucił gwałtownie, jakby widział, że usiłowała stłumić atak śmiechu.

– Wiem – odparła – ale nie jestem jeszcze gotowa na ślub. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości, Jess. To nie ma nic wspólnego z tobą.

– A co z dzieckiem?

– Urodzę je.

– I oddasz?

– Jeszcze nie zdecydowałam.

Przez chwilę milczał i słyszała inne głosy dochodzące z sąsiednich pokojów. Przypuszczała, że tamci również mieli swoje problemy. Ech, dziecino! Świat to dramat rozgrywający się na jawie. Kochamy żyć i dlatego rozglądamy się w poszukiwaniu przewodniego światła z takim samym zapałem, jak oczekujemy kolejnego dnia.

– Zastanawiam się nad tym dzieckiem – rzekł w końcu Jesse.

Wątpiła, aby faktycznie tak było, ale żadne inne słowa nie wywarłyby na niej takiego wrażenia jak te. Była poruszona.

– Jess...

– I dokąd pojedziesz? – rzucił z ożywieniem. – Nie możesz spędzić całego lata w Harborside. Jeśli potrzebujesz chaty, rozejrzę się trochę w Portland.

– Mam gdzie się zatrzymać.

– A mogę zapytać, gdzie?

– Nie powinienes – odparła i ugryzła się w język ze złości, że nie potrafiła powiedzieć tego w bardziej dyplomatyczny sposób.

– Och – mruknął. Jego głos brzmiał dziwnie pusto. W końcu powiedział ostrożnym tonem: – Czy mogę zapytać o coś, aby cię nie wkurzyć, Frannie? Bo naprawdę chcę wiedzieć. To nie jest pytanie retoryczne ani nic takiego.

– Możesz spytać – zgodziła się. W głębi duszy usiłowała nie dać się sprowokować, gdyż wiedziała, że kiedy Jess wyjeżdżał z takim wstępem, przychodziło jej zwykle wysłuchiwać jakiegoś ohydneho, nieświadomie szowinistycznego monologu.

– Czy ja w ogóle nie mam żadnych praw? – zapytał Jess. – Nie mogę dzielić odpowiedzialności i podejmować decyzji na równi z tobą?

Przez chwilę była rzeczywiście wkurzona, ale natychmiast się uspokoiła. Jess był po prostu sobą, próbował bronić własnego zdania, postępując w taki sam sposób jak wszyscy myślący ludzie, aby mogli spać spokojnie. Zawsze lubiła go za jego inteligencję, ale w sytuacji takiej jak ta, inteligencja mogła być nużąca.

Ludzi takich jak Jess – a także ona – uczono przez całe życie, że najważniejszymi (i dobrymi rzeczami) są zaangażowanie i aktywność. Czasami musiałeś jednak się sparzyć i obrywałeś nieliczne ciągi, aby nauczyć się, że pośpiech bywa niekiedy zgubny. Sidła jakie na nią zastawił, nie rzucały się zbyt mocno w oczy, ale to jednak sidła. Nie chciał pozwolić, aby mu się wymknęła.

– Jess – powiedziała – żadne z nas nie chciało tego dziecka. Zgodziliśmy się na pigułki, aby zapobiec niepożądanemu ciąży. Nie ponosisz żadnej odpowiedzialności.

– Ale...

– Nie, Jess – odparła zdecydowanie.

Westchnął.

– Skontaktujesz się ze mną, kiedy się już gdzieś zakotwiczysz?

– Chyba tak.

- Nadal zamierzasz wrócić do szkoły?
- Raczej tak. Opuuszczę sobie jesienny semestr. Może wezmę dziekanę.
- Jeżeli będziesz mnie potrzebować Frannie, wiesz gdzie mnie znaleźć. Nie zamierzam się zmyć.
- Wiem o tym, Jesse.
- Gdybyś potrzebowała pieniędzy...
- Tak.
- Będę w kontakcie. Nie zamierzam być natrętny... ale chciałbym się z tobą zobaczyć.
- W porządku, Jess.
- Bywaj, Fran.
- Bywaj.

Kiedy odłożyła słuchawkę, uświadomiła sobie, że pożegnanie sprawiało wrażenie zanadto ostatecznego, a rozmowa wydawała się niedokończona. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, dlaczego. Oboje nie dodali „kocham cię”, i to była pierwsza, zasadnicza różnica. To ją zasmucało i nic nie mogła na to poradzić.

Ostatni telefon odebrała około południa – dzwonił jej ojciec. Dwa dni wcześniej poszli razem na lunch i wspomniał, że ostatnia kłótnia wywarła na jej matce druzgocący efekt. Carla nie przyszła ostatniej nocy do łóżka, spędziła ją w saloniku, ślęcząc nad starymi zapiskami genealogicznymi. Około wpół do dwunastej poszedł do niej zapytać, kiedy zamierza przyjść na górę. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona i stanik koszuli nocnej. Peter stwierdził, że sprawiała wrażenie roztrzęsionej i niezupełnie świadomej tego, co robiła. Do podółka przyciskała grubą księgę i nawet na niego nie spojrzała, tylko w dalszym ciągu przekręcała strony. Odparła, że nie jest śpiącą. Niedługo przyjdzie na górę.

– Miała gorączkę – rzekł Peter, kiedy tak siedzieli przy stoliku w Corner’s Lunch, bardziej pożerając hamburgery wzrokiem niż jedząc je.

Pociągała nosem. Kiedy Peter zapytał, czy ma ochotę na szklankę mleka, w ogóle nie odpowiedziała. Następnego dnia znalazł ją, śpiącą w fotelu z książką na podółku. Kiedy się wreszcie obudziła, wyglądała nieco lepiej, ale mocniej kichała i kasłała. Nie pozwoliła wezwać doktora Edmonda, stwierdzając, że to zwykłe przeziębienie. Postawiła sobie bańki na piersiach, ubrała w ciepłą, flanelową koszulę i sądziła, że jej zatoki zostały już oczyszczone. Peter był jednak innego zdania. Nie wyglądała najlepiej. Pomimo, iż nie pozwoliła sobie zmierzyć temperatury, domyślał się, że miała gorączkę.

Zadzwoił do Frannie tego dnia, niedługo po tym, jak rozszalała się pierwsza burza. Fioletowo-czarne chmury zawisły nad zatoką a potem zaczęło padać. Lekka mżawka bardzo szybko przerodziła się w prawdziwą ulewę. Rozmawiając z ojcem, wyglądała przez okno i widziała błyskawice przecinające niebo, aby osiągnąć wody za falochronem. Za każdym razem, gdy strzelał piorun, w słuchawce rozlegał się zgrzyt, jak odgłos towarzyszący zagłębieniu się igły adaptera w rowki na płycie.

– Dzisiaj od rana nie wychodzi z łóżka – stwierdził Peter. – W końcu zgodziła się, aby Tom Edmonton ją zbadał.

– Już po wizycie?

– Właśnie wyszedł. Uważa, że złapała grypę.

– O Boże! – powiedziała Frannie, zamykając oczy. – To nic zabawnego dla kobiety w jej wieku.

– Zgadza się. – Przerwał. – Powiedziałem mu wszystko, Frannie. O dziecku i o waszej kłótni. Tom zajmował się tobą odkąd jeszcze byłaś dzieckiem i potrafi trzymać język za zębami. Chciałem wiedzieć, czy to mogło spowodować chorobę. Odparł, że nie. Grypa, to grypa.

– *Flu made who* – powiedziała półgłosem Frannie.

– Słucham?

– Nieważne – mruknęła Fran. Jej ojciec miał zadziwiająco szerokie zainteresowania, ale nie należał do miłośników AC/DC. – Mów dalej.

– W zasadzie to byłoby wszystko, kochanie.

Stwierdził, że ostatnio w powietrzu jest sporo tego „tałatajstwa”. Szczególnie złośliwa odmiana. Wydaje się, że przybyła z południa i rozpleniła się w całym Nowym Jorku.

– Ale przesypanie całej nocy w saloniku... – zaczęła z powątpiewaniem.

– W gruncie rzeczy – odparł – przebywanie w pozycji pionowej powinno jej teraz wyjść na zdrowie... to znaczy głównie jej płucom i oskrzelom.

Nie powiedział nic więcej, ale Alberta Edmonton należy do tych samych organizacji, co Carla, więc nie musiał tego robić.

– Oboje wiemy, że sama się o to prosiła. Jest przewodniczącą Miejskiego Komitetu Historycznego, spędza dwadzieścia godzin tygodniowo w bibliotece, jest sekretarzem Klubu Kobiet i Klubu Miłośników Literatury. Od śmierci Freda prowadziła w mieście doroczny March of Dimes, a zeszłej zimy zajęła się jeszcze Funduszem Serc. Na dodatek udziela się również w Stowarzyszeniu Geologicznym Południowego Maine. Jest wycieńczona, wyczerpana. Między innymi dlatego tak cię potraktowała. Edmonton stwierdził, że była idealnym obiektem dla pierwszego lepszego wirusa. To wszystko, co miał do powiedzenia. Frannie, ona się starzeje i nie chce się z tym pogodzić. Pracuje ciężiej ode mnie.

– Czy jest poważnie chora, tato?

– Leży w łóżku, pije sok i łyka tabletki, które przepisał jej Tom. Wziąłem wolny dzień, a jutro ma przyjść pani Halliday, żeby z nią posiedzieć. Chcę, aby to była pani Halliday, żeby mogły opracować plan lipcowego spotkania Towarzystwa Historycznego.

Westchnął przeciągle, a kolejny piorun spowodował następny trzask w słuchawce.

Fran wyszeptała z niepokojem w głosie:

– Czy sądzisz, że miałaby coś przeciwko temu, żebym...

– Raczej tak. Daj jej trochę czasu, Fran. Dojdzie do siebie.

Teraz, cztery godziny później, zakładając na głowę plastikowy kaptur od deszczu, zastanawiała się, czy jej matka rzeczywiście kiedykolwiek dojdzie do siebie. Może gdyby usunęła ciążę, nikt w mieście by się o tym nie dowiedział. Nie, to było mało prawdopodobne. W małych miasteczkach plotki rozchodzą się w błyskawicznym tempie. „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi”. No i naturalnie gdyby zatrzymała dziecko... ale w gruncie rzeczy chyba o tym nie myślała... Ale czy na pewno? NA PEWNO?

Kiedy nakładała płaszcz, poczuła pod sercem ukłucie winy. Jej matka była wyczerpana. Oczywiście, że tak. Fran widziała to wyraźnie, kiedy po powrocie z college’u witała się z matką. Carla miała worki pod oczami, pożółkłą cerę, a w jej włosach, pomimo modnej fryzury i płukanek za trzydzieści dolarów, można było dostrzec ślady siwizny. Niemniej jednak...

Popadała w coraz głębszą histerię. Zaczęła się zastanawiać, jak by to przyjęła, gdyby przeziębienie jej matki przerodziło się w zapalenie płuc lub załamanie psychiczne. Albo gdyby umarła. Boże, co za okropna myśl. To nie może się stać, proszę Boże, tylko nie to. Oczywiście, że nie. Lekarstwa pokonają chorobę, a kiedy Frannie zniknie jej na trochę z oczu i zdomowi się w Sommerworth, jej matka otrząśnie się z szoku, który przeżyła. Dojdzie do...

Nagle zadzwonił telefon.

Przez chwilę wpatrywała się tępych wzrokiem w aparat, a na zewnątrz błysnął kolejny piorun i huknął grom; grzmot rozległ się tak blisko, że Frannie drgnęła gwałtownie i skrzywiła się. Dryń, dryń, dryń.

Ale przecież odebrała już dzisiaj trzy telefony, kto jeszcze mógł do niej dzwonić? Debbie nie musiała oddzwaniać, Jesse chyba raczej też nie. Może to „Telefoniczna Wygrana”. Albo jakiś telefoniczny sprzedawca lub, kto wie, może Jesse pokusił się na stary, studencki chwyt.

I kiedy sięgnęła po słuchawkę, nie wiedzieć dlaczego, przyszło jej na myśl, że dzwoni jej ojciec i ma jej do zakomunikowania jeszcze gorszą wiadomość. „To jak placek – powiedziała sobie w duchu. – Odpowiedzialność jest jak placek. Myli się ten, kto sądzi, że koniec końców nie będzie musiał odkroić dla siebie sporego kawałka. I będzie musiał zjeść – co do okruszka”.

– Halo?

Przez chwilę w słuchawce panowała głucha cisza; Frannie zmarszczyła brwi zakłopotana i powtórzyła głośniejszym głosem „halo?” Wtedy usłyszała głos ojca:

– Fran?

Był dziwnie zduszony... gardłowy.

– Frannie? – znów ten zduszony dźwięk jak przełknięcie śliny i Frannie ze zgrozą uświadomiła sobie, że jej ojciec z trudem tłumil w sobie płacz. Uniosła jedną dłoń do szyi i zacisnęła palce z całej siły na węźle kaptura przeciwdeszczowego.

– Tatusiu? Co się stało? Czy to ma coś wspólnego z mamą?

– Frannie, będę musiał cię stamtąd zabrać. Przyjadę po ciebie. Zaraz tam będę.

– Czy z mamą wszystko w porządku? – krzyknęła do słuchawki.

Nad Harborside znów przetoczył się grzmot. To ją przestraszyło, rozpląkała się.

– Powiedz mi, tatusiu!

– Jej stan się pogorszył, to wszystko, co wiem – rzekł Peter. – Pogorszyło się jej mniej więcej w godzinę po naszej rozmowie. Gorączka wzrosła. Zaczęła bredzić. Próbowałem skontaktować się z Tomem... ale Rachel powiedziała, że wyjechał... że miał całą masę zgłoszeń od chorych... więc zadzwoniłem do szpitala w Sanford... i dowiedziałem się, że oba ambulansy są obecnie zajęte, ale Carla natychmiast zostanie wpisana na listę. Słyszałaś Frannie – na LISTĘ! Skąd do cholery wzięła się nagle jakaś lista? O ile mi wiadomo, Jim Warrington – kierowca jednego z ambulansów ze szpitala Sanford, jeżeli nie ma wypadku na szosie numer 95, zazwyczaj się objaja albo gra w remika. Co to za LISTA, do diabła? – prawie krzyczał.

– Uspokój się, tatusiu. Uspokój się. Uspokój się.

Znów wybuchnęła płaczem, wypuściła z dłoni węzeł i uniosła rękę do oczu.

– Jeżeli ona jest jeszcze w domu, lepiej sam zawieź ją do szpitala.

– Nie... nie, przyjechali mniej więcej przed kwadransem. I Chryste, Frannie, w karetce z tyłu było SZESĆ OSÓB. Jedną z nich był Will Ronson, sprzedawca z drogerii. A Carla... twoja matka... kiedy wnosili ją do karetki, jakby doszła do siebie i raz po raz powtarzała: „Nie mogę złapać oddechu, Peter, nie mogę oddychać, dlaczego nie mogę oddychać?” O Chryste Panie! – dokończył łamiącym się, piskliwym, niemal dziecięcym głosem, który przeraził ją do szpiku kości.

– Możesz prowadzić, tatusiu? Czy możesz tu przyjechać?

– Tak, jasne, że tak – odparł. Najwyraźniej zdołał się opanować.

– Będę czekała na werandzie.

Odłożyła słuchawkę i zeszła po schodach; trzęsły się jej kolana. Kiedy znalazła się na werandzie zobaczyła, że pomimo iż nadal padało, chmury zaczęły się już rozpraszać, a przez szczeliny między nimi przebijały się promienie popołudniowego słońca. Odruchowo zaczęła szukać wzrokiem tęczy i dostrzegła ją, w oddali, nad wodą – zamglony i mistyczny łuk. W głębi serca nadal dręczyło ją poczucie winy, miała wrażenie jakby w jej żołądku i tam, gdzie rozwijało się teraz nowe życie, zagnieździły się jakieś włochate stwory.

Ponownie się rozpląkała.

– Zjedz swój kawałek placka – powiedziała do siebie, czekając na przyjazd ojca. – To okropnie smakuje, a więc zjedz swój placek. A potem, jeśli zechcesz, możesz dostać dokładkę. Jedną albo nawet dwie. Zjedz swój kawałek placka... do ostatniego okruszka.

ROZDZIAŁ 21

Stu Redman był przerażony.

Wyjrzał przez okratowane okno swojego nowego pokoju w Stovington w Vermont i daleko w dole zobaczył niewielkie miasteczko, miniaturowe szyldy stacji benzynowej, coś jakby fabrykę, główną ulicę, rzekę, roгатkę a poza nią granitowy kręgosłup zachodniego krańca Nowej Anglii – Green Mountains.

Był przerażony, gdyż pomieszczenie, w którym się znajdował przypominało bardziej celę niż szpitalną izolatkę i ponieważ Denninger zniknął. Nie widział Denningera odkąd cały ten cyrk na kółkach przeniósł się z Atlanty tutaj. Deitz również rozplynął się bez śladu. Stu sądził, że Denninger i Deitz mogli zachorować – kto wie, czy jeszcze żyli.

Ktoś popełnił błąd, albo choroba sprowadzona do Arnette przez Charlesa D. Campiona okazała się bardziej zaraźliwa niż ogólnie przypuszczano. Tak, czy inaczej, Centrum Badań Chorób Zakaźnych w Atlancie przestało być bezpieczne, a Stu przypuszczał, że wszyscy, którzy się tam obecnie znajdowali, mieli sporą szansę przetestować na sobie efekty działań wirusa znanego jako A-Prime lub inaczej supergrypa.

Poddawano go różnym testom, ale wydawały się one pobieżne i przypadkowe. Poza tym nie przestrzegano ściśle pór przeprowadzania badań. Rezultaty zapisywano jak zawsze, ale Stu miał wrażenie, że gdzieś tam, ktoś, po pobieżnym ich przejrzeniu kręcił tylko głową i natychmiast wrzucał zapisane kartki do najbliższej maszyny niszczącej.

Jednak to nie było najgorsze. Najgorsze były pistolety. Pielęgniarki, które przychodziły, by pobrać próbki jego krwi, śliny czy moczu, zjawiały się obecnie w towarzystwie żołnierza w białym kombinezonie i ten żołnierz był uzbrojony w pistolet. Broń – wojskowa, kaliber .45 – miał umieszczoną w płóciennej kaburze, przy prawym nadgarstku. Stu nie wątpił, że gdyby spróbował jeszcze raz tego samego numeru, co z Deitzem, lufa pistoletu rozerwałaby płótno kabury na dymiące, poczerniałe strzępy, a jednocześnie Stu Redman przeszedłby do historii.

Jeżeli obecnie wykonywali testy czysto mechanicznie, oznaczało to, że był dla nich zbędny. Znalezienie się pod nadzorem stawiało go w kiepskim położeniu. Znalezienie się pod nadzorem i stwierdzenie, iż było się zbędnym... oznaczało NADER kiepskie położenie. Każdego wieczora o osiemnastej oglądał uważnie wiadomości. Przywódcy nieudanego puczu

w Indiach zostali uznani za „agitorów z zewnątrz” i rozstrzelani. Policja nadal poszukiwała sprawcy, bądź sprawców wysadzenia w dniu wczorajszym elektrowni w Laramie, w Wyoming. Sąd Najwyższy stosunkiem głosów sześć do trzech uznał, że zadeklarowani homoseksualiści nie będą zwalniani ze stanowisk w cywilnych zakładach pracy. Po raz pierwszy pojawiły się też wzmianki o innych wydarzeniach.

Pracownicy AEC z Miller County stanowczo zaprzeczyli pogłoskom o domniemanej możliwości stopienia rdzenia reaktora. W elektrowni atomowej w miasteczku Fouke, znajdującym się o trzydzieści mil od granicy Teksasu borykano się z pewnymi drobnymi awariami urządzeń kontrolujących system chłodzenia stosu, ale nie było powodów do wszczynania alarmu. Pojawienie się wojska w okolicy elektrowni było jedynie wynikiem przedsięwziętych, niezbędnych środków ostrożności.

Stu zastanawiał się, co mogłoby począć wojsko, gdyby reaktor zdecydował się zrealizować koszmar „Chińskiego Syndromu”. Nagle uświadomił sobie, że wojsko mogło znaleźć się w Arkansas z innego powodu. Fouke leżało niedaleko od Arnette.

Podano również informację o pojawieniu się pewnych oznak epidemii grypy ze Wschodniego Wybrzeża; dodano przy tym, że jest to sowiecki wirus, w zasadzie niegroźny, jeżeli nie liczyć małych dzieci oraz osób w podeszłym wieku. W holu Mercy Hospital w Brooklynie przeprowadzono wywiad ze zmęczonym, nowojorskim doktorem. Stwierdził, że wirus do złudzenia przypomina sowiecką odmianę grypy typu A i polecił telewidzom zaopatrzenie się w stosowne pigułki i syropy od kaszlu. Nagle zaczął mówić coś innego i w tej chwili wyłączono dźwięk – widać było tylko jego poruszające się usta. Obraz zmienił się, na ekranie pojawiło się telewizyjne studio i prowadzący wiadomości oznajmił: „W rezultacie gwałtownej fali zachorowań na grypę, w Nowym Jorku odnotowano ostatnio kilkanaście zgonów, ale w większości przypadków okazało się, iż główną przyczyną owych zająć było AIDS lub wyniszczenie organizmu przez trujące związki zanieczyszczające powietrze. Pracownicy Departamentu Zdrowia stanowczo stwierdzają, że rosyjska grypa typu A nie jest groźniejsza od zwyczajnej świnki. Tymczasem mamy dla telewidzów starą dobrą radę, jaką dają lekarze w przypadku tego typu zachorowań: zostańcie w łóżkach, wypoczywajcie, pijcie dużo płynów i bierzcie aspirynę, aby uporać się z gorączką”.

Prowadzący wiadomości mężczyzna uśmiechnął się uspokajająco... i w tej samej chwili ktoś znajdujący się poza kamerą kichnął.

Słońce niemal stykało się teraz z horyzontem, barwiąc go złocistą poświatą, która niebawem zmieni się w czerwoną i bladopomarańczową.

Najgorsze były noce. Został przewieziony do stanu, którego nie znał i który dziwnym trafem nocami wydawał mu się jeszcze bardziej obcy. Teraz, wczesnym latem soczysta, bujna zieleń, którą widział z okna swojej celi sprawiała wrażenie dzikiej, niezwyklej, a nawet odrobinę przerażającej. Nie miał żadnych przyjaciół. Domyślał się, że wszyscy inni, którzy znajdowali się wraz z nim na pokładzie samolotu, kiedy przewożono ich z Braintree do

Atlanty już nie żyli. Był otoczony przez automaty pobierające mu krew i grożące przy tym bronią.

Bał się o swoje życie, pomimo iż nadal czuł się świetnie i w głębi duszy zaczynał wierzyć, że nie złapał TEGO, czymkolwiek TO było.

Stu zastanawiał się, czy ma szansę stąd uciec...

ROZDZIAŁ 22

Kiedy dwudziestego czwartego czerwca zjawiał się Creighton, zastał Starkey'a wpatrzonego w monitory, z rękoma splecionymi za plecami. Mógł dostrzec pierścień Akademii West Point błyszczący na palcu prawej dłoni starego i nagle zrobiło mu się żal tego człowieka. Starkey już od dziesięciu dni był na prochach i zbliżał się nieuchronnie ku upadkowi. „Jednak – pomyślał Creighton – jeśli jego podejrzenia co do ostatniego telefonu były słuszne, upadek właśnie nastąpił”.

– Len – rzekł Starkey, jakby odrobinę zdziwiony. – Dobrze, że wpadłeś.

– *De nada* – rzucił z lekkim uśmiechem Creighton.

– Wiesz, kto dzwonił?

– A więc to naprawdę on?

– Tak, prezydent. Zostałem zwolniony. Ten parszywy skurwiel mnie zwolnił. Len, wiedziałem, że tak się stanie. Ale mimo to, czuję się fatalnie. To boli. Boże, jak bardzo boli. Nie mogę pogodzić się z tym, że zwolnił mnie ten wiecznie uśmiechnięty, głupkowaty palant.

Len Creighton pokiwał głową.

– No cóż – rzekł Starkey, przesuwając dłonią przed twarzą. – Co się stało, to się nie odstanie. Teraz ty tu jesteś szefem. Chce cię widzieć w Waszyngtonie tak szybko, jak tylko zdołasz tam dotrzeć. Weźmie cię na dywanik i wyźmie jak mokrą szmatę, ale ty będziesz tylko kiwał głową i służalczo potakiwał. Uratowaliśmy tyle, ile się dało. To wystarczy. Jestem pewien, że to wystarczy.

– Skoro tak, to ten kraj powinien upaść przed tobą na kolana.

– Przepustnica przypaliła mi rękę... ale mimo to, trzymałem ją tak długo, jak tylko mogłem, Len. Trzymałem ją – mówił szybko. Przeniósł wzrok na monitor i przez chwilę jego usta zadrgały nerwowo. – Nie udałoby się zrobić tego bez ciebie.

– Cóż... niejedno razem przeszliśmy Billy, no nie?

– Fakt, żołnierzu. A teraz posłuchaj. Jedna sprawa jest ściśle tajna i priorytetowa. Przy pierwszej, lepszej okazji musisz się spotkać z Jackiem Clevelandem. On wie, kogo mamy za obiema kurtynami – żelazną i bambusową. Wie, jak można się z nimi skontaktować i nie

będzie się starał przeciwdziałać temu, co musi zostać zrobione. Będzie wiedział, że trzeba zrobić to szybko.

– Nie rozumiem, Billy.

– Musimy zakładać najgorsze – rzekł, a jego twarz rozjaśnił dziwny uśmiech. Górna warga Starkeya uniosła się, odsłaniając zęby; wyglądał jak pies łańcuchowy broniący obejścia. Wskazał palcem na plik cienkich, żółtych kartek leżących na stole. – To wydostało się spod kontroli. Rozprzestrzenia się na obszarach Oregonu, Nebraski, Luizjany i Florydy. Zanotowano pierwsze przypadki zachorowań w Meksyku i Chile. Kiedy utraciliśmy Atlantę, straciliśmy również trzech najlepszych ludzi, którzy mieli uporać się z problemem.

Badania nad panem Stuartem „Księciem” Redmanem nic nie dały. Wiedziałaś, że wstrzyknięto mu wirusa Blue? On sądził, że to jakiś środek uspokajający. Rozprawił się z wirusem i nikt nie ma pojęcia, w jaki sposób. Gdybyśmy mieli sześć tygodni, może by nam się udało. Ale nie mamy tyle czasu. Historyjka o grypie jest możliwie najlepsza, ale druga strona nie może się dowiedzieć o prawdziwej sytuacji panującej w Stanach. To IMPERATYW. ABSOLUTNY IMPERATYW. W przeciwnym razie mogliby wpaść na jakiś głupi pomysł. Cleveland ma od ośmiu do dwudziestu mężczyzn i kobiet w Rosji i od pięciu do dziesięciu w każdym z europejskich krajów satelickich. Nawet nie wiem, ilu obsadził w Chinach.

Wargi Starkeya znowu zaczęły drgać.

– Kiedy dziś spotkasz się z Clevelandem powiedz mu tylko „Rzym upada”. Nie zapomnisz?

– Nie – odparł Len. Jego wargi były zadziwiająco chłodne. – Ale czy jesteś pewien, że naprawdę to zrobią? Wszyscy? Mężczyźni i kobiety?

– Nasi ludzie dostali fiolki tydzień temu. Wierzą, że w środku znajdują się radioaktywne cząsteczki, które mają zostać wychwycone i naniesione na mapach przez nasze satelity typu Sky-Cruise. To wszystko, co powinni wiedzieć, nieprawdaż, Len?

– Tak, Billy.

– A jeśli sytuacja zmieni się ze złej na... gorszą, nikt nigdy się tego nie dowie. Projekt Blue do samego końca był nie do przeniknięcia – co do tego nie mamy żadnych wątpliwości. Nowy wirus, mutacja... nasi przeciwnicy mogą zacząć się czegoś domyślać, ale chyba nie starczy im czasu. Wszystkim po równo, Len.

– Tak.

Starkey znów patrzył na monitory.

– Przed laty moja córka dała mi tomik poezji. Były tam wiersze poety nazwiskiem Yeets. Powiedziała, że każdy wojskowy powinien znać Yeetsa. Wydaje mi się, że żartowała. Słyszałeś o nim, Len?

– Chyba tak – odrzekł Creighton zastanawiając się przez chwilę, czy powiedzieć Starkeyowi, że nazwisko poety brzmiało właściwie Yeates, ale ostatecznie zmienił zdanie.

– Przeczytałem cały tomik od deski, do deski – rzekł Starkey, wpatrując się w ekran, na którym widać było wnętrze pogrążonej w grobowej ciszy stołówki. – Głównie dlatego, że ona uważała, iż tego nie zrobię. Nie powinno się wydawać pochopnych opinii. To błąd. Niewiele z tego zrozumiałem – sędzę, że facet miał nierówno pod sufitem, ale mimo to przebrnąłem przez tę książeczkę. Śmieszne te wiersze. Nie wszystkie miały rymy. Niemniej jednak, jeden wiersz wrył mi się głęboko w pamięć. Zupełnie, jakby ten gość opisywał to wszystko, czemu poświęcam całe moje życie, beznadziejność i chwałę. Pisał, że wszystko się rozpadnie. Że środek nie wytrzyma. Sędzę, że miał na myśli zmęczenie materiału, Len. Tak. Wierzę, że właśnie o to mu chodziło. Yeets zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później wszystko wokół środka zacznie pękać i rozpadać się. Nawet jeśli nie wiedział nic więcej.

– Tak jest – mruknął półgłosem Creighton.

– Końcówka po dziś dzień, ile razy ją sobie przypominam, wywołuje na moim ciele gęsią skórę. Znam to na pamięć.

*Jakaż okrutna bestia
której godzina w końcu wybiła
ku Betlejem zmierza ociężale
aby móc się narodzić?*

Creighton milczał. Nie miał nic do powiedzenia.

– Bestia jest już w drodze – rzekł Starkey, odwracając się. Płakał i śmiał się jednocześnie.
– Bestia jest już w drodze, dużo okrutniejsza niż ten Yeets potrafił sobie wyobrazić. Wszystko się rozpada. Sęk w tym, żeby wszystko utrzymać tak długo, jak się da.

– Tak jest – rzekł Creighton i po raz pierwszy poczuł w kącikach oczu bolesne uządlenia łez. – Tak, Billy.

Starkey wyciągnął rękę, a Creighton ujął ją obiema dłońmi. Ręka Starkeya była stara i chłodna, niczym wylinka węża, wewnątrz której zdechło jakieś małe preriowe zwierzątko, pozostawiając swój drobny szkielet w martwej skórze gada.

Łzy wypłynęły z oczu Starkeya i pociekły po jego starannie ogolonych policzkach.

– Mam jeszcze coś do załatwienia – rzekł Starkey.

– Tak jest.

Starkey zdjął z prawej dłoni pierścień z West Point, a z lewej obrączkę.

– Dla Cindy – powiedział. – Dla mojej córki. Dopilnuj, by je dostała, Len.

– Dopilnuję.

Starkey podszedł do drzwi.

– Billy! – zawołał w ślad za nim Len Creighton.

Starkey odwrócił się.

Creighton stanął na baczność wyprostowany, jakby kij połknął. Łzy nadal ściekały mu po policzkach. Zasalutował. Starkey oddał salut, a potem wyszedł.

Winda pomrukiwała miarowo, pokonując błyskawicznie kolejne piętra. Nagle zahuczał alarm. Brzmiał posępnie, niemal żałobnie. Jakby w jakiś sposób zdawał sobie sprawę, iż ostrzega przed czymś, co było z góry skazane na przegraną.

Kiedy Starkey dotarł na górę, za pomocą specjalnego klucza otworzył drzwi windy i wszedł do pomieszczenia pełniącego funkcję parku maszyn. Starkey wyobrażał sobie Lena Creightona obserwującego go na monitorach. Wybrał dżipa i przejechał nim przez opustoszałe piętro rozległego skrzydła badań testowych i wyjechał przez bramę oznaczoną tabliczką: STREFA ŚCIŚLE STRZEŻONA. OSOBOM BEZ SPECJALNYCH PRZEPUSTEK WSTĘP WZBRONIONY.

Wartownie przypominały budki opłat drogowych przy wjeździe na autostradę. W dalszym ciągu znajdowali się w nich ludzie, ale żołnierze za tafłami żółtawego szkła byli martwi i w suchym, pustynnym upale ich ciała ulegały przyspieszonemu procesowi mumifikacji. Wartownie były kuloodporne, ale nie chroniły przed wirusami. Szkliste, zapadnięte oczy trupów patrzyły tępo w dal, podczas gdy Starkey przejeżdżał obok nich; był obecnie jedyną poruszającą się istotą wśród labiryntu większych i mniejszych drózek okalających kompleks wojskowych baraków i niskich żuźlowych budynków.

Zatrzymał się przed niewielkim budynkiem z tablicą: OSOBOM NIE POSIADAJĄCYM PRZEPUSTEK A-1-A WSTĘP WZBRONIONY.

Wszedł do środka, używając do tego kolejnego klucza i za pomocą następnego uruchomił windę.

Strażnik, stuprocentowo martwy i sztywny jak deska, patrzył na niego z przeszkłonego pomieszczenia wartowni, po lewej stronie od windy. Kiedy drzwi otworzyły się, Starkey błyskawicznie wszedł do kabiny. Miał wrażenie, że czuje na sobie ciężar spojrzenia martwego strażnika, jego oczu – nieżywych i ciemnych, jak dwa zakurzone, okrągłe kamyki.

Winda zjechała na dół tak szybko, że żołądek prawie podszedł mu do gardła. Kiedy się zatrzymała, rozległ się cichy dźwięk dzwonka. Drzwi otworzyły się i Starkey poczuł słodką woń rozkładu. Była uderzająca, niczym lekko wymierzony policzek. Niezbyt mocna, ponieważ wentylatory nadal pracowały, ale nawet one nie zdołały uporać się do końca z nieprzyjemną wonią.

„Kiedy człowiek umiera, chciałby abyś o tym wiedział” pomyślał Starkey.

Przed windą leżało blisko tuzin ciał. Starkey wymijał je, nie chcąc poślizgnąć się na gnijącej, woskowej dłoni czy potknąć się o wyciągniętą sztywno nogę. Mógłby wówczas krzyknąć, a nie chciał tego. Wrzask w samym sercu grobowca mógł doprowadzić każdego do obłędu, a ten budynek nie był niczym innym, jak jednym wielkim grobowcem. Owszem,

wyglądał jak nowoczesny, silnie finansowany kompleks naukowo-badawczy, ale w gruncie rzeczy teraz był tylko masowym grobem.

Drzwi windy zamknęły się za jego plecami. Rozległ się cichy szum i kabina automatycznie uniosła się w górę. Nie zjedzie na dół dopóki ktoś ponownie nie użyje specjalnego klucza. Starkey wiedział o tym; z chwilą, kiedy wewnątrz bazy uległo skażeniu komputery przełączyły wszystkie windy na program ogólnego zabezpieczenia. Dlaczego ci biedni ludzie leżeli tu, na korytarzu? Najwyraźniej liczyli, że komputery nie wykonają polecenia na przejście na program obowiązujący w sytuacji awaryjnej. Dlaczego nie? Była w tym pewna logika. Przecież wszystko inne zawiodło.

Starkey szedł korytarzem prowadzącym do stołówki; obcasy jego butów głucho stuknęły o płytki. Z sufitu płynęło ostre, nie powodujące powstawania cieni światło jarzeniówek.

W oddali leżały kolejne zwłoki. Mężczyzna i kobieta – oboje nadzy, z dziurami od kul w głowach.

„Pieprzyli się – pomyślał Starkey – a potem on najpierw zastrzelił ją, a następnie siebie. Miłość wśród zarażonych”. Mężczyzna wciąż ścisnął w dłoni wojskowy pistolet, kaliber .45. Płytki, którymi wyłożono korytarz były zachlapanie krwią i szarą masą, wyglądającą jak mąka owsiana.

Nagle ogarnęło go przerażające, choć na szczęście krótkotrwałe pragnienie pochylenia się i sprawdzenia, czy piersi kobiety były jędrne czy wiotkie.

Nieco dalej w korytarzu siedział mężczyzna; był oparty plecami o drzwi, a na szyi, na sznurówce miał przywiązany kawałek tekturki. Broda opadła mu do przodu, zasłaniając napis na tekturce. Starkey ujął trupa pod brodę i uniosł jego głowę do tyłu. Kiedy to uczynił, gałki oczne mężczyzny przy wtórze głuchoego plaśnięcia wpadły do wnętrza jego czaszki. Na tekturce, flamastrem wypisano słowa: TERAZ JUŻ WIECIE, JAK TO DZIAŁA. JAKIEŚ PYTANIA?

Starkey puścił brodę mężczyzny. Głowa trupa przekrzywiła się pod kątem i obecnie jego czarne, puste oczodoły wpatrywały się tępo w sufit.

Starkey cofnął się. Znów płakał. Sądził, że płacze, ponieważ nie miał już żadnych pytań.

Drzwi do stołówki były uchylone. Na ścianie, przed nimi wisiała korkowa tablica ogłoszeń. Starkey zauważył, że na dwudziestego czerwca zapowiadano wielki mecz pomiędzy Grim Gutterballers a First Strikers o mistrzostwo Projektu.

Poza tym, Anna Floss chciała dziewiątego lipca wybrać się do Denver albo do Boulder. Była gotowa zwrócić połowę kosztów za benzynę i dorzucić co nieco za fatygę.

Richard Belts chciał oddać w dobre ręce kilka szczeniaków – mieszańców collie z bernardynem.

Prócz tego, w barze, jak co tydzień udzielano chętnym usługi religijnej.

Starkey przeczytał wszystkie ogłoszenia na tablicy i wszedł do stołówki. Wewnątrz panował jeszcze gorszy smród – połączona woń gnijących potraw i ciał.

Starkey ze zgrozą rozejrzał się dookoła.

Niektórzy z nich zdawali się na niego patrzeć.

– Panowie... – zaczął Starkey i nagle urwał. Nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć.

Wolnym krokiem podszedł do krzesła, na którym z twarzą zanurzoną w zupie siedział Frank D. Bruce. Przez kilka minut wpatrywał się we Franka, po czym podniósł jego głowę za włosy. Talerz pozostał na twarzy Franka, gdyż zupa dawno temu zastygła, ale Starkey ogarnięty niewypowiedzianą zgrozą, zamaszystym ruchem ręki uwolnił martwego szeregowca od uciążliwego naczynia. Talerz z głośnym brzękiem wylądował dnem do góry na podłodze. Większość zupy, przypominająca teraz galaretę pozostała na twarzy Franka D. Bruce'a. Starkey wyjął chustkę i na tyle, na ile zdołał, oczyścił oblicze zmarłego. Resztki zupy pozostały na powiekach szeregowca, ale Starkey nie pokwapił się, aby je wytrzeć. Bał się, że gałki oczne Franka zapadną się do wnętrza czaszki tak, jak oczy tamtego mężczyzny z tekturką zawieszoną na szyi. Jednak jeszcze bardziej obawiał się, że pozbawione spoiwa powieki mogłyby unieść się do góry, niczym zwolnione rolety. Bał się ujrzenia wyrazu oczu Franka D. Bruce'a.

– Szeregowy Bruce – powiedział Starkey – spocznij.

Starannie rozłożył chustkę na twarzy Franka D. Bruce'a i tak ją zostawił. Następnie odwrócił się i stanowczym, równym krokiem, jak na paradzie wyszedł z baru.

W połowie drogi do windy, przy ścianie siedział mężczyzna z tekturką na szyi. Starkey usiadł obok niego, odpiął zatrzask kabury przytrzymujący kolbę pistoletu i włożył lufę broni do ust.

Odgłos wystrzału był przytłumiony i pozbawiony dramatyzmu.

Żaden z trupów nie zwrócił na to uwagi.

Urządzenia do oczyszczania powietrza usunęły dym z korytarza.

W trzewiach Projektu Blue zapanowała cisza.

W barze chustka Starkeya ześlizgnęła się z twarzy szeregowego Franka D. Bruce'a i powoli, łagodnie opadła na podłogę. Bruce'owi było to obojętne, ale Len Creighton patrząc na monitor, na którym widać było oblicze szeregowca, zastanawiał się, dlaczego, do cholery, Billy wycierając twarz trupa, nie mógł przy okazji przetrzeć mu czoła i brwi.

Niebawem miał stanąć twarzą w twarz z prezydentem Stanów Zjednoczonych, a jednak o wiele bardziej przejmował się skrzeplymi resztkami zupy na brwiach Franka D. Bruce'a.

ROZDZIAŁ 23

Randall Flagg, mroczny mężczyzna szedł wzdłuż US 51 wsłuchując się w odgłosy nocy napierające z obu stron na tę wąską drogę, która prędzej czy później doprowadzi go z Idaho do Nevady. Z Nevady mógł dotrzeć wszędzie. Od Nowego Orleanu po Nogales, od Portland w Oregon do Portland w Maine. To był jego kraj i nikt nie znał, ani nie kochał go bardziej. Wiedział, dokąd prowadzą drogi i przemierzał je nocami. Obecnie, na godzinę przed świtem znajdował się gdzieś pomiędzy Grasmere i Riddle, na zachód od Twin Falls, nieco na północ od Rezerwatu Duck Valley rozciągającego się na dwa stany. Czyż to nie było cudowne?

Szedł szybko, pościnane obcasy stukały o nawierzchnię drogi, a kiedy na horyzoncie pojawiły się światła samochodu, zszedł z szosy w gęszcz wysokich traw, gdzie roilo się od nocnych owadów... i wóz mijał go. Kierowca przez krótką chwilę czuł na plecach lodowate ciarki, jakby nieoczekiwanie omiółł go podmuch chłodnego powietrza, zaś śpiący na siedzeniu jego żona i dziecko poruszały się niespokojnie, jak gdyby jednocześnie przyśnił im się ten sam koszmar.

Szedł na południe, mocno starte obcasy jego kowbojskich, spiczasto zakończonych butów stukały o asfalt. Wysoki mężczyzna o nieokreślonym wieku, w spranych, powycieranych dżinsach i kurtce z tego samego materiału. Kieszenie miał wypchane pięćdziesięcioma rodzajami wywrotowej literatury, pamfletami na każdy temat, przemowami na różne okazje. Kiedy zaczynał przemawiać, przyjmował jego słowa, niezależnie od tego, jaki temat akurat wybrał: zagrożenia ze strony elektrowni atomowych, roli Międzynarodowego Spisku Żydowskiego w obalaniu rządów zaprzyjaźnionych państw, siatki kokainowej CIA-Contras, związków farmerów, Świadców Jehowy („Jeżeli odpowiedziałeś TAK na dziesięć pytań – już jesteś zbawiony!”), Czarnych dla Równości Wojującej, czy Kodeksu Ku-Klux-Klanu. Mógł mówić na każdy z tych tematów, a nawet więcej. Jego dżinsową kurtkę na piersiach zdobiły powpinane znaczki. Z prawej strony miał przypiętą żółtą plakietkę z popularnym „uśmieszkiem”. Z lewej znaczek ze świnią w policyjnej czapce. Poniżej znajdował się napis wykonany czerwonymi literami, ociekającymi niczym spływająca krew: I JAK TAM TWOJA ŚWINIA?

Szedł dalej, nie zatrzymując się i nie zwalnając, jak gdyby żył tylko w nocy. Jego oczy niemal pały szaleństwem dzięki nocnym możliwościom. Na plecach miał skautowski plecak, stary i podniszczony. Na jego twarzy malowała się mroczna wesołość – i gdyby przyszło ci na myśl szukać jej w sercu owego człowieka, z pewnością byś ją tam odnalazł. Było to oblicze nienawistnie szczęśliwego człowieka, oblicze, na widok którego kelnerkom w przydrożnych barach wypadały z rąk szklanki, a dzieci na trójkołowych rowerkach wjeżdżały na drewniane płoty, a potem z trójkątnymi drzazgami powbijanymi w kolana, płacząc w niebogłosość, biegły do swoich rodziców. To oblicze gwarantowało, iż każda niewinna barowa sprzeczka zamieni się w krwawą jatkę.

Szedł na południe; obecnie znajdował się na US 51, pomiędzy Grasmere a Riddle, nieco bliżej Nevady. Niebawem zatrzyma się gdzieś, aby przespać kolejny dzień i obudzi się wraz z nadejściem zmierzchu. Gotując strawę nad małym, bezdymnym ogniskiem, będzie czytał – nieważne co, cokolwiek – książkę pornograficzną pozbawioną okładek, Mein Kampf, komiks R. Crumba lub jedno z reakcyjnych czasopism wydawanych przez America Firsters, czy Synów Patriotów. Jeżeli chodziło o słowo drukowane, Flagg był jednakowo oportunistycznym czytelnikiem.

Po kolacji znów ruszy w drogę, poruszając się wzdłuż US 51 – wspaniałej, dwupasmowej autostrady, przecinającej te dzikie, zapomniane przez Boga terytoria. Będzie szedł, węsząc, nasłuchując i obserwując okolicę, która stawała się coraz bardziej jałowa; podziwiając suchą, stepową roślinność, niesione wiatrem krzewy biegacza pustynnego i strzelające w górę niczym grzbiet dinozaura pasma gór. Jutro lub pojutrze dojdzie do Nevady, docierając najpierw do Owyhee, potem do Mountain City, gdzie czekał na niego człowiek nazwiskiem Christopher Bradenton. Dopilnuje on, aby Flagg otrzymał „czysty” samochód i „czyste” dokumenty, a potem cały kraj stanie przed nim otworem – niczym ogromne ludzkie ciało, obrazujące przewspaniałe naczynia krwionośne, czekające tylko, aby go przyjąć – jego: mroczną drobinę obcej tkanki, i doprowadzić dokądkolwiek, do każdego z dostępnych fragmentów potężnego organizmu – serca, płuc, wątroby lub mózgu. Był jak skrzep, czekający na swoją okazję, odłamek kości szukający miękkiego organu, który mógłby przebić, albo pojedynczą, szaloną komórką wypatrującą drugiej takiej jak ona, aby osiadłszy gdzieś, mogły się połączyć w przemilego, malutkiego, złośliwego raka.

Szedł dalej, wymachując rażno rękami. Był znany, nawet bardzo znany na trasach, którymi podróżowali biedacy, szaleńcy, zawodowi rewolucjoniści i ci, których nauczono nienawidzić do tego stopnia, iż owa nienawiść odmalowywała się na ich twarzach równie wyraźnie jak zajęcza warga. Niechęciani i akceptowani jedynie przez siebie podobnych, spotykający się i zapraszający wzajemnie do małych, tanich pokoików o ścianach wyklejonych plakatami i sloganami, do piwnic, gdzie we wkręcone w imadła pocięte kawałki rur wtyka się materiały wybuchowe, do suterren, gdzie tworzone są szaleńcze plany i projekty zabicia członka gabinetu, porwania dziecka sławnego dygnitarza, wdarcia się na posiedzenie

zarządu firmy Standard Oil z granatami i pistoletami maszynowymi, by w imię ludu uczynić tam krwawą łaźnię. Znano go tam i nawet najbardziej obłąkany z nich wszystkich patrzył na tę mroczną, uśmiechniętą twarz z ukosa. Kobiety, z którymi sypiał, choćby nawet robiły to z równym zaangażowaniem, jak zjedzenie kanapki dla zabicia głodu, przyjmowały go późnym wieczorem z ciałem zeszywniałym jak deska i odwracały głowę, by na niego nie patrzeć. Robiły to, jakby miały do czynienia ze złotookim baranem albo czarnym psem, a kiedy było po wszystkim, były ZIMNE, tak ZIMNE, że wydawało się niemożliwe, aby kiedykolwiek coś mogło je jeszcze rozgrzać.

Kiedy zjawiał się na zebraniu, histeryczna paplanina cichła – dobiegało końca wzajemne obmawianie, oskarżanie, czy obwinianie, przerywano popisy ideologicznej retoryki.

Zwykle przez chwilę panowała grobowa cisza, po czym zebrani najpierw zwracali się w jego stronę, by niemal natychmiast znów się odwrócić, jak gdyby przybył do nich, trzymając w rękach jakąś starą, przerażającą maszynę zniszczenia, coś tysiącokrotnie gorszego niż plastik produkowany w podziemnych laboratoriach studentów chemii-renegatów, czy czarnorynkowa broń załatwiona przez chciwego sierżanta z działu zaopatrzenia. Wyglądało, iż przybył do nich z urządzeniem zardzewiałym od krwi i zaparowanym na stulecia w Kosmobrezent krzyków, a obecnie znowu gotowym do działania, przyniesionym na spotkanie niczym jakiś złowieszczy, piekielny podarunek, tort urodzinowy z nitroglicerynowymi świeczkami.

Gdy rozmowa rozpocznie się na nowo, będzie racjonalna i zdyscyplinowana – przynajmniej w kategoriach uznawanych przez szaleńców – po czym sprawy zostaną uzgodnione.

Szedł rażno w swoich wygodnych, luźnych, znoszonych, kowbojskich butach. Jego stopy i te buty były starymi kochankami.

Christopher Bradenton w Mountain City znał go jako Richarda Fry. Bradenton był konduktorem podziemnej linii kolejowej, z której często korzystali uciekinierzy. Pół tuzina różnych organizacji, od Weathermenów po Brygadę Guevary wiedziało, że Bradenton miał pieniądze. Był poetą, który czasami wykładał na Wolnym Uniwersytecie lub podróżował po zachodnich stanach – Utah, Nevadzie i Arizonie z serią odczytów dla uczniów szkół licealnych, podczas których zaskakiwał nastolatków (a przynajmniej taką miał nadzieję) informacjami, że poezja żyje, jest co prawda odrobinę narkoseptyczna, ale mimo to miewa się całkiem nieźle.

Obecnie miał już blisko sześćdziesiąt lat, a z jednego z college'ów w Kalifornii zwolniono go przed blisko dwudziestu laty za zbyt spoufalanie się z SDS. Trafił za kratki podczas Wielkiego Chicagowskiego Zjazdu Świń w 1968 roku, raz po raz zmieniał poglądy i sympatyzował z wieloma radykalnymi grupami, z początku przejmując tylko ich szaleństwo, a potem pozwalając im, by pochłonęły go bez reszty.

Mroczny mężczyzna szedł i uśmiechał się. Bradenton był tylko końcem jednego kanału, a istniały ich przecież tysiące – tunele, którymi poruszali się szaleńcy dźwigający swoje książki

i bomby. Te kanały przecinały się ze sobą, znaki były zamaskowane, ale łatwe do wychwycenia dla wtajemniczonych. W Nowym Jorku znano go jako Roberta Franqa i nigdy nie kwestionowano tego, że był czarny, pomimo, że miał dość jasną cerę. Wraz z czarnym weteranem z Wietnamu (Murzyn ów nie miał jednej nogi, ale nadrabiał ten brak skumulowaną w sobie nienawiścią) rąbnął sześciu gliniarzy w Nowym Jorku i w New Jersey. W Georgii był Ramseyem Forrestem, dalekim potomkiem Nathana Bedforda Forresta i w jego stroju z białego prześcieradła uczestniczył w dwóch gwałtach, jednej kastracji oraz spaleniu niewielkiej murzyńskiej osady. To było jednak już dawno temu, na początku lat sześćdziesiątych, podczas pierwszej fali walk o prawa obywatelskie. Czasami zastanawiał się, że mógł przyjść na świat właśnie podczas tego konfliktu. Naturalnie nie pamiętał zbyt wiele z tego, co się z nim działo wcześniej, z wyjątkiem tego, iż pochodził z Nebraski i niegdyś chodził do liceum z rudowłosym, krzywonogim chłopcem nazwiskiem Charles Starkweather. Lepiej pamiętał marsze w sprawie praw obywatelskich z 1960 i 1961 roku – pobicia, nocne wypadki, kościoły eksplodujące, jakby pod wpływem zbyt dużej ilości nagromadzonych w nich cudów, których kruche ściany budowli nie potrafiły utrzymać w ryzach.

Pamiętał, jak w 1962 roku wybrał się do Nowego Orleanu, gdzie spotkał szalonego, młodego mężczyznę rozdającego ulotki z żądaniami, by Ameryka zostawiła w spokoju Kubę. Człowiek ów nosił nazwisko Oswald. Flagg wziął od niego kilka ulotek i nadal miał w jednej z kieszeni kilka tych starych już dziś, pomiętych i pożółkłych kartek. Zasiadał w setkach rozmaitych Komitetów Odpowiedzialności. Przeprowadzał demonstracje przeciwko tuzinowi tych samych firm, w stu różnych kampusach akademickich. Pisał pytania, które, gdy je zadawano, zbijały z tropu elitę władzy, ale sam nigdy ich nie zadawał; na widok jego uśmiechniętej, płonącej twarzy ci handlarze władzą mogliby się przestraszyć i uciec z podium. Z tego też powodu nigdy nie przemawiał na zebraniach, gdyż mikrofony zaniosłyby się mechanicznym wyciem, a obwody eksplodowałyby. Pisał jednak przemowy dla mówców i w kilku przypadkach ich wystąpienia zakończyły się krwawymi zamieszkami. Przez jakiś czas, na początku lat siedemdziesiątych przyjaźnił się z niejakim Donaldem De Freezem i zasugerował, by przyjął on imię Cinque. Pomógł też w ułożeniu planu, który zaowocował porwaniem pewnej dziedziczki i to właśnie on zaproponował, by zamiast zajmować się okupem, lepiej doprowadzić kobietę do obłądu.

Opuścił niewielki dom w Los Angeles, gdzie De Freeze i inni zostali usmażeni na dwadzieścia minut przed przybyciem policji. Szedł ulicą; zakurzone, stare, znoszone buty stukały o chodnik, ale na jego twarzy malował się złowieszczy uśmiešek, który sprawiał, że matki siłą zaciągały swoje dzieci do domów, a kobiety w ciąży odczuwały przedwczesne bóle porodowe. Później zaś, kiedy schwytano kilku pozostałych przy życiu członków grupy, wszyscy dowiedzieli się, że w sprawę był zamieszany ktoś jeszcze, być może nader ważny intruz, mężczyzna o nieokreślonym wieku, nazywany Wędrowcem, a niekiedy również Czarnym Ludem.

Szedł różnym, równym krokiem. Dwa dni temu był w Laramie w Wyoming i brał udział w wysadzeniu elektrowni. Dziś znajdował się na US 51 pomiędzy Grasmere i Riddle, w drodze do Mountain City. Jutro będzie gdzie indziej. I był szczęśliwszy niż kiedykolwiek, ponieważ...

Zatrzymał się.

PONIEWAŻ COŚ SIĘ ZBLIŻAŁO.

Miał wrażenie, jakby nocne powietrze przesiąknięte było smakiem tego czegoś. Czuł przesycony sadzą, ostry smak płynący praktycznie zewsząd, jak gdyby Bóg planował wielkie przyjęcie z *barbecue*, na którym ludzie mieli pełnić rolę pieczeni. Węgla były już rozpalone, białe i złuszczone na zewnątrz, w środku zaś czerwone, niczym ślepia demonów. Wielka rzecz. Olbrzymia rzecz. Czas jego przeobrażenia był bliski. Narodzi się powtórnie, opuści ciasne łono tej ogromnej bestii barwy piasku, którą obecnie miały porodowe skurcze, której nogi poruszały się powoli, a pomiędzy nich wypływały strugi posoki. Oczy zaś, palące niczym dwa słońca wpatrywały się beznamiętnie w pustkę.

Przychodził na świat w chwilach przełomu. Przemianę czuło się w wietrze, w powietrzu wiszącym nad Idaho w ten spokojny wieczór. Czas powtórnych narodzin był coraz bliższy. Wiedział o tym. W przeciwnym razie dlaczego ni stąd ni zowąd zyskałby moc czynienia czarów?

Zamknął oczy, lekko unosząc rozpaloną twarz w kierunku mrocznego nieba, przygotowującego się do nadejścia świtu. Skoncentrował się. Uśmiechnął. Zakurzone, ścięte obcasy jego butów zaczęły odrywać się od nawierzchni drogi.

Mężczyzna zawisł w powietrzu cal nad szosą. Dwa cale. Trzy. Uśmiech na jego twarzy poszerzył się. Teraz od asfaltu dzieliła go już dobra stopa. Kiedy uniósł się na wysokość dwóch stóp, zatrzymał się, a w dole pod jego stopami przemykały niesione przez wiatr drobne obłoczki kurzu.

Poczuł, jak pierwsze promienie świtu wypełzają na mroczne niebo, rozjaśniając je swym blaskiem i powoli opuścił się na ziemię.

Jeszcze nie czas. Jeszcze nie teraz.

Ale już niedługo.

ROZDZIAŁ 24

Dwóch strażników wyprowadziło Lloyda Henreida, którego gazety z Phoenix ochrzciły mianem „nie podlegającego resocjalizacji zabójcy o twarzy cherubina” z celi więziennej w skrzydle dla szczególnie groźnych przestępców. Jednemu ze strażników ciekło z nosa. Obaj zresztą wyglądali fatalnie. Inni lokatorzy skrzydła urządzili Lloydowi gromką owację, waląc w kraty czym popadnie. Był tu bardzo sławny.

– Heeej, Henreid!

– Nie pękaj, chłopie!

– Powiedz prokuratorowi okręgowemu, że jak mnie wypuści, nic mu nie zrobię!

– Bądź twardy, Henreid!

– Śmiało, bracie! ŚMIAŁO, ŚMIAŁO, ŚMIAŁO!

– Tanie, pyskate sukinsyny – wymamrotał strażnik, któremu leciało z nosa, po czym kichnął.

Lloyd uśmiechnął się radośnie. Oszłamiała go ta nowa sława. Tu nie było tak jak w Brownsville. Nawet żarcie mieli lepsze. Kiedy jesteś twardym zabójcą, zasługujesz na pewien szacunek. Wyobrażał sobie, że podobnie musiał czuć się Tom Cruise na światowej premierze nowego filmu.

Na końcu korytarza przeszli przez drzwi i podwójnie okratowaną, elektryczną bramkę. Znów został obszukany, strażnik z gorączką oddychał ciężko przez usta, jak po długim biegu. Następnie raz jeszcze, niejako na wszelki wypadek przeprowadzili go przez bramkę wykrywacza metalu. Chyba chcieli się upewnić, że nie przemycał niczego w tyłku, jak w tym filmie Papillon.

– W porządku – rzekł klawisz z ciekącym nosem i strażnik w kabinie z kuloodpornego szkła machnął ręką, pozwalając im przejść. Przeszli przez kolejny, pomalowany na zielono korytarz. Panowała grobowa cisza, słychać było tylko kroki strażników (Lloyd nosił papierowe ochraniacze) i astmatyczne rżenie jednego z nich. Na końcu korytarza przed zamkniętymi drzwiami czekał kolejny strażnik. Drzwi miały małe okienko, nie większe niż judasz, a szkło wzmacniała stalowa siatka.

– Dlaczego mamra zawsze śmierdzą szczynami? – zapytał Lloyd, by nawiązać konwersację. – Nawet nie cele, tylko w ogóle całe mamra. Po prostu cuchną szczynami. Odlewacie się po kątach, czy jak? – Zachichotał w duchu na tę myśl.

– Zamknij się, zabójco – rzucił ten z przeziębieniem.

– Nie wyglądasz najlepiej – rzekł Lloyd. – Powinieneś być w domu, w łóżku.

– Zamknij się – uciął drugi.

Lloyd zamknął się. Tak to już było, gdy próbował nawiązać z nimi rozmowę. Z doświadczenia wiedział, że strażnicy w mamrach nie mieli za grosz klasy.

– Cześć, śmieciu – powiedział strażnik przy drzwiach.

– Jak się masz, pojebie? – odparł hardo Lloyd. Nie ma to jak miłe pożegnanie, aby się ożywić. Dwa dni w pierdłu i już czuł ogarniające go nudę i rozleniwienie.

– To będzie cię kosztowało ząb – rzekł klawisz. – Dokładnie jeden.

– Ej, co jest, nie możesz...

– Owszem, mogę. Na placu są chłopaki, którzy zaciukaliby własne matki za dwa kartony chesterfieldów, palancie. Chcesz stracić drugi kiel?

Lloyd milczał.

– No to w porządku – mruknął. – Jeden ząb. Wprowadźcie go, chłopcy.

Uśmiechając się lekko, strażnik z gorączką otworzył drzwi, a drugi wprowadził Lloyda do środka, gdzie przy metalowym stole siedział przydzielony z urzędu adwokat, przeglądając wyjęte z aktówki papiery.

– Jest do pańskiej dyspozycji, mecenasie.

Prawnik uniósł wzrok. Był młody. „Pewne dopiero zaczął się golić” – pomyślał Lloyd, ale co mu tam? Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Został złapany na gorącym uczynku i Lloyd podejrzewał, że zarobi co najmniej dwadzieścia lat odsiadki. Kiedy cię przygwoźdzą musisz po prostu zamknąć oczy i zagryźć zęby.

– Dziękuję bar...

– Ten facet – rzekł Lloyd, wskazując na strażnika – nazwał mnie śmieciem. A kiedy mu się odszczeknąłem, powiedział, że każe jednemu z więźniów, aby wybił mi ząb. Czy to niejawni przykład brutalności policji?

Adwokat przesunął dłonią po twarzy.

– Czy to prawda? – zwrócił się do strażnika.

Ten wywrócił oczami, jakby się zdziwił: „Boże, uwierzyłbyś w to, stary?”

– Mecenasie – mruknął – te typy powinny pisać scenariusze do filmów. Powiedziałem cześć, tylko cześć i to wszystko.

– Łże w żywe oczy! – rzucił z naciskiem Lloyd.

– Moją opinię zatrzymuję dla siebie – powiedział klawisz i spiorunował Lloyda wzrokiem.

– Z pewnością – rzekł adwokat – ale wydaje mi się, że nim stąd odejdę, policzę zęby pana Henreida.

Oblicze strażnika spochmurniało, mężczyzna wymienił gniewne spojrzenie z dwoma innymi, którzy przyprowadzili Henreida. Lloyd uśmiechnął się. Może ten dzieciak nie był taki zły. Dwaj ostatni, których mu przydzielono byli starzy, stare pryki i tyle. Jeden z nich przywłókł się do sądu z plastikowym workiem do odprowadzania nieczystości. Lloyd widział już wiele, ale żeby coś takiego? Poza tym starym piernikom w ogóle na niczym nie zależy. Odwalić swoje i wyjść z sali, to było ich motto. Chcieli pozbyć się go jak najszybciej, by móc znów wymieniać z sędzią pieprzne dowcipy. Może ten gość załatwi mu dziesiątkę, napaść z bronią w rękę. Może skończy się tylko na odsiadce. Bądź co bądź sprzątnął tylko żonę tego typu z białego connie; może da się to zwalić na Dziurawca.

Dziurawiec nie miałby nic przeciwko temu. Uśmiech Lloyda poszerzył się. Nie należy tracić nadziei. Trzeba myśleć pozytywnie. To podstawa. Życie jest zbyt krótkie, by postępować inaczej.

Zorientował się, że strażnik zostawił ich samych, a mecenas – Lloyd przypomniał sobie, że facet nazywał się Andry Devins – patrzy na niego w dziwny sposób. Tak mógłbyś patrzeć na grzechotnika, który choć z przetrąconym karkiem nadal może śmiertelnie ukąsić.

– Wpadłeś po uszy w gówno, Sylwestrze! – zawołał nagle Devins.

Lloyd aż drgnął mimowolnie.

– Co? Co chcesz przez to powiedzieć? Nawiasem mówiąc, wydaje mi się, że świetnie ci poszło z tym tłustym klawiszem. Wydawał się tak wściekły, że o mało nie wyszedł z siebie i...

– Posłuchaj mnie Sylwestrze, słuchaj uważnie.

– Nie mam na imię...

– Nawet nie wiesz, w jaki bigos się wpięprzyłeś, Sylwestrze. – Wzrok Devinsa pozostał niewzruszony. Głos miał cichy, lecz pełen napięcia. Jasne włosy ostrzyżone niemal na zapalkę. Pomiędzy nimi przeświecała różowa skóra. Na palcu serdecznym lewej ręki nosił złotą, ślubną obrączkę, a na palcu prawej fikuśny sygnet bractwa akademickiego. Uderzył jednym o drugi, a cichy trzask jaki się przy tym rozległ sprawił, że Lloyd mocniej zacisnął zęby. – Za dziewięć dni, Sylwestrze, staniesz przed sądem, z powodu decyzji, którą przed czterema laty podjął Sąd Najwyższy.

– To znaczy? – Lloyd był niespokojny jak nigdy dotąd.

– Chodzi o sprawę Markham przeciwko Południowej Karolinie – odrzekł Devins. – O warunki, wedle których, w niektórych stanach dozwolone jest przeprowadzenie postępowań w trybie pilnym, gdy w orzeczeniu może zostać zasądzona kara śmierci.

– Kara śmierci! – zawołał ze zgrozą Lloyd. – Mówisz o elektrycznym krześle? Ejże, człowieku, przecież ja nikogo nie zabiłem! Przysięgam na Boga!

– W obliczu prawa to nie ma znaczenia – odrzekł Devins. – Jeżeli tam byłeś, to znaczy, że to zrobiłeś.

– Co to znaczy, że NIE MA ZNACZENIA? – Lloyd prawie krzyczał. – To ma znaczenie! Lepiej żeby miało! To nie ja rozwalilem tych ludzi, tylko Dziurawiec! On był pieprzony! Poje...

– Zamknij się, Sylwestrze – powiedział Devins tym samym, łagodnym, pełnym napięcia głosem i Lloyd zamknął się.

Ogarnięty nagłym przerażeniem zapomniał o owacji zgotowanej mu przez więźniów, a nawet o niepokojącej perspektywie wybicia zęba. Oczyma wyobraźni ujrzał nagle ptaka Tweety robiącego kolejny numer kotu Sylwestrowi. Tyle że Tweety nie walił kocura w łeb młotkiem, ani nie podkładał mu pod łapy pułapek na myszy. Lloyd ujrzał Sylwestra przypiętego pasami do Starego Iskrzyciela, podczas gdy kanarek stał na stołku obok włącznika. Widział nawet czapkę klawisza przekrzywioną filuternie na żółtym łebku Tweety'ego.

To nie było zbyt zabawne.

Może Devins ujrzał to w jego twarzy, gdyż po raz pierwszy zaczął sprawiać wrażenie umiarkowanie zadowolonego. Złożył dłonie na stercie papierów, które wyjął z aktówki.

– Gdy w grę wchodzi morderstwo pierwszego stopnia popełnione podczas pospolitego przestępstwa, nie ma mowy o współudziale – oznajmił. – Stan ma trzech świadków, którzy zeznają, że ty i Andrew Freeman byliście razem, i usmażą cię na skwarce. Rozumiesz?

– Ja...

– Dobrze. A teraz wróćmy do sprawy Markham przeciwko Południowej Karolinie. Wytlumaczę ci, monosylabami, jak ta sprawa ma się do twojej obecnej sytuacji. Najpierw jednak przypomnę, że konstytucja Stanów Zjednoczonych w sposób szczególny zabrania stosowania okrutnych i niezwykłych kar. Powinieneś pamiętać to jeszcze z podstawówki.

– Pamiętam. Choćby to pieprzone elektryczne krzesło – rzekł dobitnie Lloyd.

Devins pokręcił głową.

– W tym właśnie względzie prawo było szczególnie niejasne – powiedział. – Do czasu, gdy cztery lata temu sąd postanowił coś na to zaradzić. Czy określenie okrutna i niezwykła kara odnosi się do elektrycznego krzesła i komory gazowej, czy może do okresu oczekiwania pomiędzy ogłoszeniem wyroku a egzekucją? Apelacje, odroczenia, zawieszenia, miesiące i lata, które pewni więźniowie, jak Edgar Smith, Caryl Chessman i chyba najbardziej znany spośród nich, Ted Bundy, musieli spędzić w Celach Śmierci? Sąd Najwyższy w końcu lat siedemdziesiątych przywrócił wykonywanie kary śmierci, ale Cele Śmierci były wciąż pełne skazańców i nagląca kwestia okrutnej i niezwykłej kary pozostawała nie rozstrzygnięta. W sprawie Markham przeciwko Południowej Karolinie faceta skazano na śmierć za zgwałcenie i zamordowanie trzech dziewcząt z college'u. Premedytację czynu udowodniono dzięki dziennikowi, który pisał Jon Markham. Ława przysięgłych skazała go na śmierć.

– Przerąbane – wyszeptał Lloyd.

Devins skinął głową i uśmiechnął się krzywo.

– Sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, który ustalił, że w pewnych okolicznościach kary śmierci nie można uznać za okrutną i niezwykłą. Sąd zasugerował, że im szybciej zostanie ona wykonana, tym lepiej... z prawnego punktu widzenia. Zaczynasz chwytać, Sylwestrze? Rozumiesz do czego zmierzam?

Lloyd nie rozumiał.

– Wiesz dlaczego byłeś sądzony w Arizonie, a nie w Nowym Meksyku, albo w Nevadzie?

Lloyd pokręcił głową.

– Ponieważ Arizona jest jednym z czterech stanów mających Sąd Okręgowy Przypadków Szczególnych, zbierający się i orzekający karę śmierci w sprawach, w których wnosi się o taki właśnie werdykt.

– Nie kapuję.

– Za cztery dni staniesz przed sądem – wyjaśnił Devins. – Sprawa jest tak oczywista, że stan utworzy ławę przysięgłych z pierwszego tuzina osób, które widnieją na liście. Będę próbował przeciągnąć to najdłużej jak się da, ale już pierwszego dnia będziemy mieli ławę przysięgłych. Drugiego dnia stan przedstawi oskarżenie. Proces potrwa nie dłużej niż trzy dni, a ja spróbuję obie mowy, zarówno wstępną jak i końcową wygłaszać tak długo, dopóki nie przerwie mi sędzia. Trzy dni to moim zdaniem maksimum. I to przy dużej dozie szczęścia. Potem ława opuści salę, by uzgodnić wyrok i jakieś trzy minuty później, jeśli nie zdarzy się jakiś cud, zostaniesz uznany winnym. Za dziewięć dni od dziś skazą cię na śmierć, a tydzień później usmażą. Mieszkańcom Arizony to się spodoba, podobnie jak Sądowi Najwyższemu. Im szybciej tym lepiej. Dla wszystkich. Może uda mi się przedłużyć to o tydzień. Na pewno nie więcej.

– Chryste, to nie fair! – zawołał Lloyd.

– Życie jest brutalne, Lloyd – rzekł Devins. – Zwłaszcza dla zimnokrwistych zabójców, jak cię ochrzczono w prasie i telewizji. Jesteś prawdziwą grubą rybą w świecie przestępczym. Masz swoje pięć minut. Nawet epidemia grypy zeszła dzięki tobie na drugi plan i na dalsze strony gazet.

– Nigdy nikogo nie podziurawiłem – mruknął posępnie Lloyd. – To robota Dziurawca. I stąd jego ksywka, nawiasem mówiąc.

– Nie ważne – uciął Devins. – Staram się uświadomić ci jedno, tępaku. Twoja sprawa zostanie rozpatrzona i osądzona za jednym posiedzeniem. Wniosę apelację i zgodnie z nowym tokiem postępowania trafi ona w ciągu siedmiu dni do Sądu Okręgowego Przypadków Szczególnych, w przeciwnym razie zostałbyś stracony natychmiast. Jeśli odrzucą apelację, będę miał jeszcze siedem dni by złożyć petycję w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych. W twoim przypadku postaram się, aby wnieść apelację jak najpóźniej. Sąd Okręgowy zapewne zechce nas wysłuchać – system wciąż jest nowy i stara się unikać

niepotrzebnej krytyki. Prawdopodobnie wysłuchaliby nawet apelacji samego Kuby Rozpruwacza.

– Ile będę miał czasu? – mruknął Lloyd.

– Och, uwiną się z tobą raz dwa – odparł Devins, a jego uśmiech stał się nagle dwuznaczny i złowrogi. – Widzisz, Sąd Okręgowy tworzy pięciu emerytowanych sędziów z Arizony. Nie mają nic do roboty, jak tylko łowić ryby, grać w pokera, pić markowego burbona i czekać aż jakiś żalosny gówniarz, taki jak ty, pojawi się w ich sali sądowej, z którą nawzajem połączeni są modemami, podobnie jak z gabinetem gubernatora i z własnymi biurami. Mają telefony połączone z modemami w samochodach, domkach na wsi, a nawet na łodziach i w domach. Przeciętą wieku siedemdziesiąt dwa lata...

Lloyd skrzywił się.

– ...co oznacza, że wszyscy musieli w swojej karierze mieć do czynienia z karą śmierci i zasądzać ją. Wszyscy oni wierzą w kodeks Zachodu, szybki proces, mocny sznur i dogodną gałąź. Tak było tu do lat pięćdziesiątych. Kiedy w grę wchodzi postępowanie z wielokrotnymi mordercami, to jedyny sposób.

– Jezu Chryste, musisz mi mówić to wszystko?

– Powinieneś wiedzieć, z czym mamy tu do czynienia – odparł Devins. – Chodzi im tylko o to, by twoja kara nie była okrutna i niezwykła, Lloyd. Powinieneś być im wdzięczny.

– Wdzięczny? Chętnie bym ich...

– Podziurawił? – zapytał półgłosem Devins.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł nieprzekonująco Lloyd.

– Nasza prośba o ponowny proces zostanie odrzucona, a moje zastrzeżenia jedno po drugim zakwestionowane. Jeśli się nam poszczęści, sąd poprosi mnie o przedstawienie świadków. Jeżeli dadzą mi taką możliwość, wezwę wszystkich świadków, którzy zeznawali w pierwszym procesie, kogo tylko się da. Gdyby to było możliwe, wezwałbym na świadków nawet twoich kolegów z podstawówki.

– Rzuciłem szkołę, będąc w szóstej klasie – mruknął Lloyd.

– Jeśli Sąd Okręgowy nas spławi, złożę apelację do Sądu Najwyższego. Spodziewam się, że odrzuci ją jeszcze tego samego dnia.

Devins przerwał i zapalił papierosa.

– I co wtedy? – zapytał Lloyd.

– Wtedy? – rzucił Devins, lekko zdziwiony i rozdrażniony przytłaczającą tępotą Lloyda.

– Trafisz do Celi Śmierci w więzieniu stanowym i, dobrze karmiony, będziesz czekał na swoją kolejkę do Schodów do Nieba. To nie potrwa długo.

– Nie zrobią tego – rzekł Lloyd. – Próbujesz mnie przestraszyć.

– Lloyd, w czterech stanach gdzie istnieją Sądy Okręgowe Przypadków Szczególnych takie sytuacje są na porządku dziennym. Jak dotąd na tej podstawie dokonano egzekucji czterdziestu mężczyzn i kobiet. Utrzymanie dodatkowego sądu to dodatkowy koszt dla

podatników, ale nieduży, gdyż zajmuje się on jedynie przypadkami zabójstw pierwszego stopnia. Poza tym podatnicy nie mają nic przeciwko wydaniu kilku dolarów, gdy w grę wchodzi orzeczenie kary śmierci. Oni to lubią.

Lloyd wyglądał tak, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Tak czy inaczej – ciągnął Devins – Sąd wykorzystuje linię oskarżenia Markhama wyłącznie gdy wina podsądnego jest bezsprzeczna i udowodniona. Nie wystarczy zabić psa mającego na pysku parę okrwawionych kurzych piór, trzeba go jeszcze złapać w kurniku. I tam właśnie wpadłeś.

Lloyd, który niecały kwadrans temu płał się w aplauzie kumpli spod celi, stanął nagle w obliczu ostatnich dwóch, trzech tygodni życia i Wielkiej Pustki po nich.

– Boisz się, Sylwestrze? – zapytał, niemal życzliwie Devins.

Lloyd oblizał usta, zanim odrzekł:

– Chryste, jeszcze jak. Z tego co mi powiedziałaś, jestem już trupem.

– Nie chcę żebyś umarł – rzekł Devins – tylko żebyś się bał. Jeśli wejdiesz do sali dumny i głupkowato uśmiechnięty ani się obejrzysz jak posadzą cię na krzesło, zapną pasy i włączą prąd.

Będziesz czterdziestą pierwszą ofiarą Markhama. Jeśli mnie jednak posłuchasz, może jakoś się wywiniesz. Nie twierdzą, że nam się uda. Jednakże jest to możliwe.

– Mów.

– Możemy liczyć wyłącznie na ławę przysięgłych – oświadczył Devins. – Tuzin kmiotków zgarniętych wprost z ulicy. Chciałbym aby ławę tworzyły czterdziestoletnie damulki, które potrafią z pamięci cytować fragmenty Kubusia Puchatka i urządzają na podwórku pogrzeby ukochanym kanarkom. Każda ława przysięgłych zdaje sobie sprawę z konsekwencji Markhama, gdy procedura zostanie puszczona w ruch. W tej sytuacji nie orzekają werdyktu o karze śmierci, która może, choć nie musi zostać wykonana za pół roku, rok czy lat dziesięć, kiedy już o niej zapomną; facet skazany w czerwcu, nie dalej jak w sierpniu musi wyciągnąć kopyta.

– Walisz prosto z mostu.

Devins zignorował go i mówił dalej:

– W niektórych przypadkach sama ta świadomość wystarcza, by ława przysięgłych ogłaszała podsądnego niewinnym. To jeden z rezultatów sprawy Markhama. W pewnych przypadkach ławnicy puszczają morderców wolno, bo nie chcą mieć ich krwi na rękach. – Pokazał jedną z kartek. – Choć dzięki precedensowi Markhama skazano na śmierć czterdzieści osób, karę tę miano wymierzyć aż siedemdziesięciu. Spośród trzydziestu, które uniknęły egzekucji, dwadzieścia sześć osób uniewinniono decyzją ławy przysięgłych. Tylko w czterech przypadkach werdykt został zmieniony decyzją Sądu Okręgowego Przypadków Szczególnych, raz w Południowej Karolinie, dwa razy na Florydzie i raz w Alabamie.

– Nigdy w Arizonie?

– Nigdy. Już ci mówiłem. Prawo Zachodu. Tych pięciu przyków chce cię załatwić na amen. Jeśli nie zdołasz przekonać ławy przysięgłych, będzie po tobie. Stawiam dziewięćdziesiąt do jednego.

– Ilu ludzi sądzonych wedle tego prawa w Arizonie uznano za niewinnych?

– Dwóch na czternastu.

– Też kiepsko.

Devins uśmiechnął się diabolicznie.

– Powinienem wspomnieć – dodał – że jednego z tych dwóch bronił twój unizony sługa. Był winny, Lloyd, tak jak ty. Sędzia Pechert wściekał się na tych dziesięć kobiet i dwóch mężczyzn przez dobrych dwadzieścia minut. Myślałem, że dostanie apopleksji.

– Jeśli mnie uniewinnią, nie będą mogli ponownie postawić mnie przed sądem?

– Nie.

– A więc musimy postawić wszystko na jedną kartę.

– Tak.

– Rany – jęknął Lloyd i otarł spocone czoło.

– Skoro już rozumiesz całą sytuację – rzekł Devins – i nasz dalszy tok postępowania, przejdźmy do konkretów.

– Rozumiem. Choć wcale mi się to nie podoba.

– Byłbyś kompletnym świrem, gdybyś powiedział inaczej – Devins złożył ręce i pochylił głowę. – Do rzeczy. Powiedziałeś mi, a ja przekazałem policji, że... uhm... – wyjął z aktówki plik zszytych kartek i przerzucił je pospiesznie. – Już mam. „Nigdy nikogo nie zabiłem. To Dziurawiec to zrobił. Był kompletnie porąbany i chyba to lepiej dla całego świata, że już go nie ma”.

– Owszem, to się zgadza. No i co? – spytał niepewnie Lloyd.

– No i to – odparł z uśmiechem Devins – że z twojego zeznania wynika, że bałeś się „Dziurawca” Freemana. Bałeś się go?

– Cóż, raczej nie...

– Bałeś się go. On cię PRZERAŻAŁ.

– Nie sądzę...

– Budził w tobie grozę. Uwierz w to, Sylwestrze. Na jego widok waliłeś w gacie.

Lloyd zmarszczył brwi. Wyglądał jak uczeń, który stara się być pilny, ale ma trudności ze zrozumieniem tematu lekcji.

– Nie każ mi prowadzić cię za rączkę, Lloyd – rzekł Devins. – Nie chciałbym tego. Mógłbyś pomyśleć, że sugerowałem, jakoby Dziurawiec był przez cały czas naćpany.

– Ale był! Obaj byliśmy!

– Nie. Ty nie byłeś naćpany. Tylko on. A kiedy brał, dostawał świra.

– Bez kitu, stary. – W myślach Lloyda rozbrzmiało echo okrzyku „Heeja, heeja” Dziurawca, kiedy z uśmiechem rozwalił tę kobietę w sklepie w Burrack.

– Kilka razy brał cię na muszkę...

– Nie, on nigdy...

– Owszem, tak. Tylko o tym zapomniałeś. Ale przypomniałeś sobie. Raz groził nawet, że cię zabije, jeśli nie zrobisz tego, co ci każe.

– Cóż, miałem gnata...

– Wydaje mi się – rzekł Devins, przyglądając mu się z uwagą – że jeśli wysilisz pamięć, przypomnisz sobie, iż Dziurawiec mówił ci, że twoja broń była załadowana ślepakami. Pamiętasz?

– Teraz, gdy o tym wspomniałeś...

– I nic cię tak nie zdziwiło, jak to, że naboje, rzekomo ślepe, okazały się prawdziwe, zgadza się?

– Jasne – odparł Lloyd. Pokiwał energicznie głową. – O mało się wtedy nie zesrałem.

– Chciałeś nawet wymierzyć broń we Freemana, ale do tego czasu został on zastrzelony.

Lloyd spojrział na młodego mecenasa z nową nadzieją.

– Panie Devins – rzekł szczerze – sam nie potrafiłbym lepiej tego opisać.

Nieco później tego ranka, gdy na placu ćwiczeń obserwował rozgrywkę softballa i zastanawiał się nad tym, co powiedział mu Devins, podszedł do niego inny więzień, Mathers, i podźwignął, łapiąc za kołnierz. Mathers był ogolony na łyso a la Telly Savalas i jego głaca lśniła w blasku słońca.

– Czekaj no – wymamrotał Lloyd. – Mój adwokat policzył mi zęby. Siedemnaście. Więc, jeśli...

– Shockley mi powiedział – syknął Mathers. – I kazał mi...

W tej samej chwili Mathers walnął Lloyda kolaniem w krocze. Między nogami Henreida eksplodował porażający ból, tak dojmujący, że zaparło mu dech w piersiach. Upadł na ziemię, wijąc się i przyciskając obie dłonie do genitaliów, które, jak mu się wydawało, zostały zmiażdżone na papkę. Świat zaćmiła czerwona mgiełka.

Po krótkiej chwili udało mu się unieść głowę. Mathers wciąż gapił się na niego, a jego łyśa głowa wciąż błyszczała. Strażnicy patrzyli w innych kierunkach. Lloyd jęczał i skręcał się z bólu, łzy pociekły mu z oczu, w jego podbrzuszu załęgła się rozgrzana do czerwoności kula ołowiu.

– Osobiście nic do ciebie nie mam – rzekł Mathers ze szczerością w głosie. – To tylko interesy. Jeśli o mnie chodzi, mam nadzieję, że się wywiniesz. To prawo Markhama to rzeźnia, stary.

Odszedł, a Lloyd ujrzał strażnika stojącego przy rampie załadunkowej dla ciężarówek po drugiej stronie placu. Kciuki miał zatknięte za szeroki, skórzany pas i uśmiechał się do Lloyda. Ujrzawszy, że Henreid patrzy na niego, uniósł obie dłonie z wyprostowanymi środkowymi palcami i zaśmiał się triumfalnie. Mathers podszedł do niego, a klawisz rzucił

mu paczkę tarytonów. Więzień schował je do kieszonki na piersiach, zsalutował i oddalił się. Lloyd leżał na ziemi, z kolanami przyciągniętymi do piersi, przyciskając dłonie do bolącego podbrzusza, a w mózgu rozbrzmiało mu echo słów Devinsa: „Życie jest brutalne, Lloyd, życie jest brutalne”.

Święta prawda.

ROZDZIAŁ 25

Nick Andros odsunął jedną z zasłon i wyjrzał na ulicę. Z pierwszego piętra domu zmarłego Johna Bakera, patrząc w lewo, widać było całe śródmieście Shoyo, a patrząc w prawo można było dostrzec wychodzącą z miasta drogę numer 63. Main Street była całkiem wyludniona. Rolety w budynkach biurowych pozaciągane. Pośrodku drogi siedział niezdrowo wyglądający pies, ze spuszczonego łbem; trząśł się, biała piana ściekała mu z pyska na rozpalony żarem chodnik. W rynsztoku pół przecznicy dalej leżał zdechły kundel.

Kobieta z tyłu, za nim, jęknęła cicho, gardłowo, ale Nick jej nie słyszał. Zaciągnął zasłonę, przetarł oczy i podszedł do kobiety, która właśnie się obudziła. Jane Baker, która przed kilkoma godzinami dostała silnej gorączki była opatulona grubymi kocami. Pot ściekał strużkami po jej twarzy, a kobieta w malignie zrzuciła z siebie koce. Nick z zażenowaniem stwierdził, że przez przepoconą nocną koszulę mógł dostrzec ciało kobiety. Ona jednak go nie widziała i wątpił, by w tym stanie przejmowała się takimi drobiazgami. Umierała.

– Johnny, przynieś miednicę. Chyba będę rzygać! – zawołała.

Wyjął spod łóżka miednicę i postawił przy niej, lecz kobieta miotając się dziko, strąciła ją na podłogę. Głuchego, metalicznego huku Andros także nie usłyszał. Podniósł miednicę i patrzył na panią Baker.

– Johnny! – zawołała. – Nie mogę znaleźć mojego pudełka na igły i nici. Nie ma go w szafie!

Napełnił szklankę wodą z dzbanka na nocnym stoliku i przyłożył do jej ust, lecz znów targnęła całym ciałem, omal nie wytrącając mu naczynia z ręki. Odstawił szklankę tak, by mogła po nią sięgnąć, kiedy się uspokoi.

Nigdy jeszcze nie był tak świadomy swojej ułomności, jak w ciągu ostatnich dwóch dni. Pastor metodystów, Braceman był przy niej, dwudziestego trzeciego, kiedy zjawił się Nick. Czytał wraz z nią biblię w saloniku, lecz wydawał się niespokojny i chciał jak najszybciej wyjść. Nick domyślił się, dlaczego. Gorączka mąciła jej umysł, kobieta nie bardzo wiedziała co robi. Może pastor bał się, że zechce go uwieść. Bardziej prawdopodobne jednak, że chciał po prostu zabrać swoją rodzinę i podjąć próbę wydostania się z miasta. W małych miasteczkach wieści rozchodziły się szybko, wielu podjęło już decyzję o opuszczeniu Shoyo.

Odkąd Braceman opuścił salonik domu Bakerów, jakieś dwie doby temu, wszystko zaczęło zmieniać się w koszmarną jawie. Stan pani Baker pogorszył się i to tak bardzo, że Nick obawiał się, iż kobieta nie dożyje zmierzchu.

Niestety, nie mógł być stale przy niej. Poszedł do baru po jedzenie dla trzech więźniów, jednak Vince Hogan nie zdołał przełknąć ani kęsa. Majaczył. Mike Childress i Billy Warner chcieli by ich wypuścić, ale Nick nie mógł się na to zdobyć. Nie żeby się bał, wątpił by zechcieli tracić czas, wyzywając się na nim za swoje cierpienia; raczej jak inni zdecydowaliby się jak najszybciej dać nogę z Shoyo. Czuł się odpowiedzialny. Złożył obietnicę człowiekowi, który już nie żył. Z całą pewnością, prędzej czy później, policja stanowa przejmie nad wszystkim kontrolę, a on przekaze zbirów w ich ręce.

Na dnie szuflady znalazł broń Bakera, wraz z pasem oraz kaburą i po kilku chwilach namysłu nałożył go. Widok zdobionej drewnianą kładziną kolby dotykającej jego kościstego biodra wydał mu się absurdalny, ale ciężar broni dawał poczucie bezpieczeństwa.

Dwudziestego trzeciego po południu otworzył celę Vince'a i zaaplikował choremu prowizoryczne okłady z lodu na czoło, szyję i piersi. Vince otworzył oczy i spojrzał na Nicka tak dojmująco i żałośnie, że ten miał ochotę powiedzieć mu coś, cokolwiek, lecz naturalnie było to niemożliwe. Ta sytuacja powtórzyła się dwa dni później z panią Baker. Również i tym razem miał ochotę coś powiedzieć, by dać jej choć odrobinę pocieszenia, ot, choćby: „Będzie dobrze, wyjdiesz z tego”, albo: „Myślę, że gorączka spada”.

Przez cały czas, gdy zajmował się Vincem, Billy i Mike krzyczeli do niego. Kiedy pochylał się nad chorym, było mu to obojętne, ale unosząc wzrok, dostrzegał ich przerażone twarze, wargi poruszające się i wypowiadające wciąż te same słowa: „Proszę, wypuść nas”. Nick przezornie trzymał się od nich z daleka. Był młody, ale wiedział, że panika czyniła ludzi niebezpiecznymi.

Tego popołudnia kursował w tę i z powrotem po niemal pustych ulicach, spodziewając się, że w jednym punkcie docelowym ujrzy martwego Vince'a Hogana, a w drugim Jane Baker. Wypatrywał wozu doktora Soamesa, lecz nigdzie go nie dostrzegł. Tego popołudnia otwartych było kilka sklepów i stacja paliw Texaco, ale to nie zatarło w nim przeświadczenia, że miasto powoli się wyludniało. Ludzie wybierali przejście przez las, zatłoczone drogi, a może nawet strumień Shoyo przepływający przez skalny tunel by wyłonić się ponownie w miasteczku Mount Holly. „Większość umyka nocami” – skonstatował Nick.

Zaszło właśnie słońce, kiedy zjawił się w domu Bakerów i zastał Jane, która, w szlafroku, chwiejąc się na nogach, przyrządzała w kuchni herbatę. Spojrzała na Nicka z wdzięcznością, kiedy wszedł, a on stwierdził, że oznaki gorączki ustąpiły.

– Chciałam ci podziękować, że nade mną czuwałeś – powiedziała ze spokojem. – Czuję się znacznie lepiej. Napijesz się herbaty? – I wybuchnęła łzami.

Podszedł do niej, lękając się, że mogłaby zemdleć i upaść na rozgrzaną kuchenkę.

Przytrzymała się jego ramienia i oparła głowę o bark, jej ciemne włosy na tle jasnoniebieskiego szlafroka wyglądały niczym czarna kaskada.

– Johnny – rzekła, w pogłębiających się ciemnościach. – O, mój biedny Johnny.

„Gdybym tylko mógł mówić” – pomyślał z konsternacją Nick. Ale jedyne co potrafił zrobić to przytulić ją i podprowadzić do krzesła przy kuchennym stole.

– Herbata...

Wskazał na siebie i pomógł jej usiąść.

– W porządku – mruknęła. – Czuję się lepiej. Naprawdę. Tyle tylko... ty leże...

Ukryła twarz w dłoniach.

Nick zaparzył dla nich obojga herbatę i postawił filiżanki na stole. Przez chwilę pili w milczeniu. Trzymała filiżankę oburącz, jak dziecko. Wreszcie odstawiła ją na stół i zapytała:

– Nick, ilu mieszkańców miasta zachorowało?

„Nie wiem dokładnie – napisał Nick. – Ale sytuacja wygląda bardzo źle”.

– Widziałeś się z lekarzem?

„Nie widziałem go od rana”.

– Zamęczysz się, jeśli nie będzie na siebie uważał – rzekła. – Ale on będzie uważał, prawda, Nick? Nie zamęczysz się?

Nick pokiwał głową, siląc się na uśmiech.

– A co z więźniami? Przyjechali po nich?

„Nie – odpisał Nick. – Hogan jest ciężko chory. Robię co mogę. Tamci chcą, żebym ich wypuścił, zanim zarażą się od Hogana”.

– Nie wypuszczaj ich! – zawołała z emfazą. – Mam nadzieję, że tego nie zrobisz.

„Nie – odpisał Nick i po chwili dopisał: – Powinnaś wrócić do łóżka. Potrzebujesz odpoczynku”.

Uśmiechnęła się do niego, a gdy poruszyła głowę, Nick ujrzał ciemne smugi poniżej linii żuchwy i jakby niepewnie zaczął zastanawiać się, czy aby na pewno pani Baker pokonała już chorobę.

– Tak. Właśnie miałam zamiar się zdrzemnąć. Tylko to wydaje mi się takie dziwne, spać samej, bez Johna... aż trudno mi uwierzyć, że on nie żyje. Usiłuję to sobie uświadomić, ale jakoś ciągle nie mogę. – Uśmiechnęła się blado. – Może kiedyś, w miarę upływu czasu, pojawi się ktoś inny, dla kogo będę mogła żyć. Zaniósłes więźniom kolację?

Nick pokręcił głową.

– Powinieneś. Może weźmiesz wóz Johna?

„Nie umiem prowadzić – napisał Nick – ale dziękuję. Pójdę do baru pieszo. To niedaleko. I zajrzę do ciebie rano, jeśli można”.

– Oczywiście – powiedziała. – Świetnie.

Wstał i wskazał srogo na filiżankę.

– Do dna – obiecała.

Był już przy drzwiach, gdy poczuł na ramieniu jej pełen wahania dotyk.

– John... – powiedziała, przerwała i po chwili zmusiła się, by mówić dalej. – Mam nadzieję, że zabrali go do domu pogrzebowego Curtisa. Tam odbywały się pogrzeby naszych rodziców, Johna i moich. Sądzisz, że tam go przewieźli?

Nick pokiwał głową. Po policzkach Jane spłynęły strużki łez. Znow zaczęła płakać.

Gdy ją zostawił, tej samej nocy udał się wprost do baru dla kierowców ciężarówek. W oknie wisiała ukośnie tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE. Obszedł budynek, zajrzał też do przyczepy z tyłu, ale drzwi były zamknięte, a w oknach ciemno. Nikt nie odpowiedział na jego pukanie. Uznał, że w tych okolicznościach drobne włamanie z wtargnięciem będzie usprawiedliwione, poza tym za wszelkie szkody mógł zapłacić z funduszy szeryfa Bakera.

Rozbił szybę w drzwiach wejściowych baru, tuż przy zamku i wszedł do środka. Nawet przy zapalonym świetle miejsce to budziło niepokój, milcząca i mroczna szafa grająca, brak ludzi przy stołach do gry i automatach, puste stoliki, stołki barowe, krzesła. Pokrywa rusztu opuszczona.

Nick udał się do kuchni, usmażył na kuchence kilka hamburgerów i włożył je do torby. Dołożył jeszcze butelkę mleka i połowę jabłecznika, który znalazł w plastikowym pojemniku na kontuarze. Następnie wrócił do więzienia, pozostawiając na ladzie kartkę z wyjaśnieniem kto włamał się do baru i dlaczego.

Vince Hogan nie żył. Leżał na podłodze celi w kałuży roztopionego lodu i wilgotnych ręczników. Umarł, przytykając obie dłonie do szyi, jakby walczył z jakimś niewidzialnym dusicielem. Koniuszki palców miał zakrwawione. Muchy przysiadły na jego ciele i po chwili odlatywały. Szyję miał poczerniałą i opuchniętą, wyglądała jak bliska pęknięcia opona napompowana do oporu przez nieroztropne dziecko.

– Czy teraz nas wypuścisz? – zapytał Mike Childress. – On nie żyje, pieprzony niemowo, jesteś zadowolony? Zemściłeś się jak chciałeś? On także się zaraził – wskazał na Billy'ego Warnera.

Billy wyglądał strasznie. Jego szyję i policzki pokrywały jaskrawe, czerwone plamy, rękaw bluzy roboczej, którym ocierał ciekący nos był sztywny od smarków.

– To nieprawda! – jęknął histerycznie. – Nieprawda! Nieprawda! Nie...

Nagle zaczął gwałtownie kichać, aż zgiął się w pół, rozpryskując dokoła kropelki śliny i smarków.

– Widzisz? – rzucił Mike. – I co? Teraz jesteś zadowolony? Wypuść mnie! Możesz zatrzymać jego, jeśli chcesz, ale mnie uwolnij. To morderstwo, morderstwo z zimną krwią, do cholery!

Nick pokręcił głową, a Mike dostał szału. Zaczął rzucać się z impetem na kratę celi, objijając sobie przy tym twarz i rozkrwawiając kłykcie obu rąk. Walił czołem w kraty i patrzył na Nicka wytrzeszczonymi, pełnymi przerażenia oczami.

Nick odczekał, aż tamten się zmęczy, po czym trzonkiem miotły przepchnął przez wąskie otwory do cel tace z jedzeniem. Billy Warner przyglądał mu się przez chwilę otepiałym wzrokiem, po czym zabrał się do jedzenia.

Mike cisnął szklanką z mlekiem w drzwi celi. Szkło rozprysło się o metal, mleko rozbryznięło się na wszystkie strony. Dwa hamburgery plasnęły o pokrytą barwnymi graffiti ścianę celi. Jeden z nich przywarł do muru pośród plam musztardy, keczupu i dodatków, których układ przywodził na myśl obrazy Jacksona Pollocka. Następnie Mike zaczął miażdżyć pod butami ciasto z jabłkami. Kawałki rozprysły się dokoła. Biała, plastikowa tacka pękła z trzaskiem.

– Ogłaszam strajk głodowy! – krzyknął. – Pierdolony strajk głodowy! Nie będę nic jadł! Takiego chuja mnie zmusisz, abym zjadł cokolwiek z tego, co mi przyniesiesz, ty pojebany, głuchoniemy dupku!

Nick odwrócił się i w mgnieniu oka otoczyła go cisza. Wrócił do biura nie wiedząc, co począć. Był przerażony. Gdyby umiał prowadzić, sam odwiózłby ich do Camden. Ale nie umiał. I musiał pamiętać o Vince. Nie mógł zostawić go tam, tak leżącego i obsiadanego przez muchy.

W biurze było dwoje drzwi. Jedne od szafy. Za drugimi znajdowały się schody. Zszedł po nich na dół i odkrył ni to piwniczkę, ni składzik. Było tam chłodno. Przynajmniej na razie powinno wystarczyć.

Nick ujął trupa pod ramiona i spróbował podnieść. Mdląca woń bijąca ze zwłok sprawiła, że jego żołądek zaczął wyczyniać dziwne ruchy. Vince był dla niego zbyt ciężki. Przez chwilę patrzył bezradnie na trupa i uświadomił sobie nagle, że dwaj pozostali więźniowie stali obecnie przy drzwiach swoich cel, gapiąc się na niego z upiorną fascynacją.

Nick domyślał się, co im chodziło po głowie. Vince był jednym z nich; nic to, że nie miał za grosz rozumu i był zepsuty do szpiku kości. Należał do ich paczki i tylko to się liczyło. Zdechł jak szczur w pułapce, na jakąś przeraźliwą chorobę, której nie rozumieli. Nick, nie po raz pierwszy tego dnia zastanawiał się kiedy on sam zacznie kichać, mieć gorączkę, a na jego szyi pojawi się ta dziwna opuchlizna. Schwycił Vince'a Hogana za umięśnione przedramiona i wywlókł z celi. Głowa Vince'a odchyliła się w jego stronę, jakby trup patrzył na Nicka, nakazując bezgłośnie, by był ostrożny i nie obijał go za nadto.

Dziesięć minut zajęło mu znoszenie doczesnych szczątków potężnego mężczyzny po stromych schodach. Zdyszany, Nick położył go na betonie skąpanym w blasku neonówek, po czym nakrył postrzępionym wojskowym kocem zabranym z pryczy w jego celi.

Próbował się przespać, ale sen nadszedł dopiero nad ranem. Sny zawsze miewał wyraziste i niekiedy lękał się ich. Rzadko dręczyły go koszmary, lecz ostatnimi czasy jego sny stawały się coraz bardziej złowieszcze. Budziły w nim osobliwe przeczucie, że żadna z przedstawionych w snach osób nie była tym, kim się wydawała, i że normalny świat stał się

miejszem, w którym za zaciągniętymi żaluzjami mieszkań składano ofiary z niemowląt, a w zamkniętych piwnicach ryczały ogromne, czarne maszyny.

Rzecz jasna był jeszcze jeden lęk, jego własny, iż kiedy się obudzi, stwierdzi, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Spał krótko i śniło mu się to samo, co ostatnim razem: pole kukurydzy, zapach ciepłych, rosnących roślin, wrażenie, że coś lub ktoś dobry był bardzo blisko. Wrażenie domu. I nagle ogarnęła go dławiąca zgroza, gdy uświadomił sobie, że coś było w kukurydzy i obserwowało go. Pomyślał: „Mamo, łasica zakradła się do kurnika!” i obudził się w blasku poranka, zlany potem.

Zaparzył kawę i poszedł sprawdzić jak czuli się więźniowie.

Mike Childress płakał. Z tyłu, za nim hamburger wciąż tkwił przyklejony do ściany w brei zaschniętych dodatków.

– Cieszysz się? Ja też już jestem chory. Czy nie tego chciałeś? Czy nie tak miała wyglądać twoja zemsta? Posłuchaj mojego głosu, brzmi jak ryk pieprzonego pociągu towarowego wspinającego się pod górę.

Nicka zmartwił jednak stan Billy’ego Warnera, leżącego jakby w śpiączce na pryczy. Szyję miał obrzmiałą i czarną, jego pierś unosiła się i opadała przy wtórze głośnego świstu, którego Nick jedynie się domyślał.

Wrócił pędem do biura, spojrzął na telefon i w przypływie gniewu i frustracji stracił go z biurka na podłogę, gdzie spoczął, zapomniany, rozciągając na całą długość kręcony przewód. Wyłączył kuchenkę i wybiegł na ulicę, podążając do domu Bakerów. Wydawało mu się, że nadusza dzwonek dobrą godzinę, zanim Jane zeszła na dół, otulona w szlafrok. Jej twarz znów lśniła z gorączki. Kobieta była rozpalona. Nie majaczyła, ale mówiła wolno i bełkotliwie, a wargi miała okropnie spierzchnięte i popękane.

– Nick. Wejź. Co się stało?

„V. Hogan zmarł wczorajszej nocy. Warner chyba umiera. Jest bardzo chory. Widziałaś doktora Soamesa?”

Pokręciła głową, zadrżała w lekkim przeciągu, kichnęła i zakotłosała się. Nick objął ją ramieniem i podprowadził do krzesła.

„Możesz zadzwonić za mnie do jego gabinetu?” – napisał.

– Tak. Oczywiście. Przynies mi telefon, Nick. Chyba znów mnie wzięło.

Przyniósł telefon, a ona wybrała numer doktora Soamesa. Gdy trzymała słuchawkę przy uchu przez blisko pół minuty, Andros zrozumiał, że nie doczeka się połączenia.

Zadzwoniła do doktora do domu, a potem do mieszkania pielęgniarki, którą zatrudniał. Nikt nie odebrał.

– Spróbuję skontaktować się z policjantami z patrolu stanowego – rzekła, ale już po wykręceniu pierwszej cyfry odłożyła słuchawkę na widełki. – Międzmiastowa chyba wciąż jest wyłączona. Od razu gdy wykręcę jedynek rozlega się sygnał „zajęte”. – Uśmiechnęła

się niepewnie i łzy pocięły po jej policzkach. – Nieszczęsny Nick – powiedziała. – I ja nieszczęsna. Wszyscyśmy nieszczęśni. Pomożesz mi wejść na górę? Czuję się tak słaba, że nie mogę złapać tchu. Chyba już niedługo połączę się z Johnem.

Spojrzał na nią, żałując, że nie może nic powiedzieć.

– Jeżeli mi pomożesz, to położę się i trochę odpocznę.

Pomógł jej wejść na pięterko i napisał: „Wróć”.

– Dziękuję, Nick. Jesteś dobrym chłopcem...

Po chwili już spała.

Nick wyszedł z domu i stanął na chodniku, zastanawiając się co czynić dalej. Gdyby umiał prowadzić, mógłby coś zrobić. Ale...

Ujrzał dziecięcy rower leżący na chodniku przed domem po drugiej stronie ulicy. Podszedł do niego, spojrzał na dom, w oknach którego zaciągnięto żaluzje (wyglądał jak dom z jego koszmarnego snu) stanął przy drzwiach i głośno zastukał. Choć zapukał kilkakrotnie, nikt mu nie odpowiedział.

Wrócił do roweru. Był nieduży, ale nie tak mały, by nie mógł na nim pojechać, ryzykując co najwyżej poobijanie sobie kolan o kierownicę. Naturalnie będzie na nim wyglądać komicznie, był jednak pewien, że w Shoyo nie zostało już wiele osób, które mogłyby go zobaczyć... a gdyby nawet, nie sądził, by komukolwiek przyszło do głowy go wyśmiewać.

Wsiadł na rower i popedałował leniwie wzdłuż Main Street, minął więzienie i ruszył na wschód szosą numer 63, do miejsca gdzie Joe Rackman widział żołnierzy przebranych za robotników drogowych. Jeżeli wciąż tam byli i jeśli rzeczywiście byli żołnierzami, Nick poprosi ich, by zajęli się Billy Warnerem i Mike’em Childressem. To znaczy jeżeli Billy jeszcze żył. Skoro ci ludzie objęli Shoyo kwarantanną, to z całą pewnością brali na siebie odpowiedzialność za chorych mieszkańców miasteczka.

Wyjazd na autostradę zajął mu godzinę, rowerek jechał zakosami wzdłuż linii środkowej, chłopak zaś regularnie uderzał kolanami w kierownicę. Kiedy jednak dotarł na miejsce, po żołnierzach czy robotnikach zniknął wszelki ślad. Spośród kilku lamp jedna wciąż się paliła. Stały też pomalowane na pomarańczowo drewniane kozły. Szosa była mocno rozryta, ale Nick uznał, że przejezdna, choć samochód mógł stracić podczas tej operacji resory.

Kątem oka dostrzegł mignięcie czegoś czarnego i w tej samej chwili zerwał się wiatr, przynosząc do jego nozdrzy mdlący, słodkawy smród rozkładu. Czarna poruszająca się chmura była rojem much, który na przemian to zbijał się w ciasną gromadę, to znowu rozpraszał. Nick podszedł z rowerem do rowu po drugiej stronie drogi. Obok nowej, lśniącej karbowanej rury przepustu spoczywały w nim ciała czterech mężczyzn. Ich szyje i obrzmiałe twarze były czarne. Nick nie wiedział, czy byli żołnierzami, czy też nie i już się do nich bardziej nie zbliżył. Powiedział sobie, że wróci do roweru, bo przecież nie było się czego bać, ci ludzie nie żyli, a umarli nie mogą zrobić nikomu krzywdy. Mimo to zanim oddalił się na dwadzieścia stóp od rowu biegł już co sił w nogach i ogarnięty paniką popedałował z

powrotem do Shoyo. Na rogatkach miasta zahaczył o korzeń i wywrócił się wraz z rowerem. Przeleciał ponad kierownicą, uderzając się w głowę i rozkrwawiając obie dłonie. Przez chwilę leżał oszołomiony na środku drogi, a całym jego ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze.

Przez kolejną godzinę i połowę tego ranka, wczorajszego ranka, Nick pukał i dzwonił do drzwi. „Ktoś musi być zdrowy” – powtarzał sobie w duchu. On sam czuł się świetnie i rzecz jasna wierzył, iż takich jak on będzie więcej. W końcu znajdzie kogoś, mężczyznę, kobietę albo nastolatka, kto powie: „O tak, jasne. Zabierzmy ich do Camden. Weźmiemy furgon”, lub tego dopilnuje.

Jednak na jego pukanie i dzwonienie odpowiedziało zaledwie tuzin osób. Drzwi uchylały się na długość łańcucha zabezpieczającego, pojawiała się trawione gorączką oblicze i nadzieje Nicka spełzały na niczym. Oblicze chorego również posępniało, tracąc na widok niemowy resztki wiary, a potem drzwi zamykały się z hukiem. Gdyby Nick mógł mówić spróbowałby ich przekonać, że skoro dają radę chodzić, to równie dobrze mogliby zasiąść za kółkiem. I że gdyby odwieźli jego więźniów do Camden, sami mogliby potem udać się do najbliższego szpitala. I mieliby szanse na wyzdrowienie. Ale nie mógł mówić.

Niektórzy pytali, czy widział doktora Soamesa. Pewien mężczyzna w przyływie delirycznego szału otworzył na oścież drzwi swego małego domku ranczerskiego, wyszedł chwiejnym krokiem na werandę, ubrany tylko w slipki i próbował pochwycić Nicka. Powiedział, że zrobi z nim to, co powinien był zrobić już wcześniej w Houston. Najwyraźniej brał Nicka za kogoś o imieniu Jenner. Krążył za Nickiem w tę i z powrotem po werandzie jak zombi z trzeciorzędnego horroru. Jego genitalia były okropnie spuchnięte, slipki wyglądały jakby ktoś wcisnął do nich melona. Wreszcie rymnął jak długi, a Nick przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, stojąc na trawniku poniżej. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Mężczyzna pogroził chłopakowi pięścią, po czym wpełzł z powrotem do domu, nie zadając sobie trudu, aby zamknąć drzwi.

Większość domów była jednak milcząca i tajemnicza. Nick stwierdził, że nie może dłużej kontynuować swej wędrówki.

Złowieszcze wrażenie, które przepełniało go we śnie powróciło na jawie, wraz z nieodpartym odczuciem, że pukał do drzwi grobowców, dzwonił, usiłując obudzić umarłych i prędzej czy później trupy mogą odpowiedzieć na jego zew. Niezbyt pomogło, gdy próbował przekonać samego siebie, że większość domów była opuszczona, a ich mieszkańcy uciekli do Camden, El Dorado czy Texarkany.

Wrócił do domu Bakerów. Jane Baker spała mocno, czoło miała chłodne. Tym razem wolał nie przesądzać przedwcześnie o jej losie.

Nadeszło południe. Nick wrócił do baru dla kierowców, dopiero teraz zaczął odczuwać skutki nie przespanej nocy. Po upadku z roweru bolało go całe ciało. Broń Bakera obijała mu

się o biodro. W barze podgrzał dwie puszkę zupy i przelał je do termosów. Mleko w chłodziarce wciąż wydawało się świeże, wziął więc jedną butelkę.

Billy Warner był martwy, a na widok Nicka Mike zaczął chichotać histerycznie i pokazywać trupa palcem.

– Dwóch z głowy, został jeszcze jeden! Dwóch z głowy, został jeszcze jeden! Masz swoją zemstę! Zadowolony? Cieszysz się?

Nick ostrożnie końcem szczotki przepchnął przez kraty termos z zupą i dużą szklanekę mleka. Mike zaczął pić małymi łykami zupę wprost z termosu. Nick usiadł ze swoim termosem w korytarzu. Zaniesie Billy'ego na dół, najpierw jednak musiał coś przekąsić. Był głodny.

Pijąc zupę, popatrywał w zamyśleniu na Mike'a.

– Zastanawiasz się, jak się czuję? – zapytał Mike.

Nick skinął głową.

– Tak samo jak rano, kiedy stąd wychodziłeś. Chyba wykrztusiłem z siebie dobry funt flegmy.

Spojrzał z nadzieją na Nicka.

– Moja mama zawsze mówiła, że kiedy odpluwasz flegmę szybciej ci się poprawia. Może to choróbko potraktuje mnie ulgowo. Jak myślisz, wykaraskam się z tego?

Nick wzruszył ramionami. Wszystko możliwe.

– Jestem silny jak byk – rzekł Mike. – Myślę, że to nic wielkiego. Chyba zwalczę to w sobie. Hej, stary, posłuchaj, wypuść mnie stąd. Błagam cię, kurwa, puść mnie.

Nick zamyślił się.

– Cholera, przecież masz spluwę. Nic od ciebie nie chcę. Chciałbym tylko wydostać się z tego miasta. Ale najpierw spotkać się z żoną... zobaczyć, co u niej słychać...

Nick wskazał na lewą rękę Mike'a, na której nie było obrączki.

– Tak, rozwiedliśmy się, ale ona wciąż tu mieszka, przy Ridge Road. Chciałbym do niej zajrzeć. Co ty na to, stary? – Mike płakał. – Daj mi szansę. Nie trzymaj mnie zamkniętego w tej pułapce na myszy.

Nick podniósł się powoli, wrócił do biura i wysunął szufladę w biurku. Klucze były na swoim miejscu. Nie sposób było zaprzeczyć logice rozumowania Mike'a, raczej nie mogli liczyć, że ktoś nagle się zjawi i wybawi ich z tego cholernego bajzlu. Wyjął klucze i wrócił do aresztu. Wybrał ten, który pokazał mu wcześniej Wielki John Baker, ten z kawałkiem białego przylepca i wrzucił przez kraty do celi Mike'a Childressa.

– Dzięki – wybełkotał Mike. – Wielkie dzięki. Przepraszam, że tak ci dołożyliśmy. Przysięgam na Boga, to był pomysł Raya, nie mój; ja i Vince próbowaliśmy go powstrzymać, ale on, jak się schlał dostawał świra...

Drżącą ręką wsunął klucz do zamka.

Nick cofnął się, opierając dłoń na kolbie pistoletu.

Drzwi celi otworzyły się. Mike wyszedł na zewnątrz.

– Mówiłem prawdę – powiedział. – Chcę tylko wyrwać się z tego miasta.

Minął Nicka, a na jego wargach pojawił się lekki, niepewny uśmiezek. Wreszcie mężczyzna niemal pędem wybiegł z biura szeryfa.

Nick wrócił do biura, by ujrzeć zamykające się za byłym więźniem drzwi. Wyszedł na zewnątrz. Mike stał na chodniku i opierając dłoń na parkometrze, lustrował pustą ulicę.

– Mój Boże – wyszeptał i spojrzał osłupiały na Nicka. – Jest aż tak źle? AŻ TAK?

Nick skinął głową, nie odrywając dłoni od kolby broni. Mike chciał coś powiedzieć, lecz dostał gwałtownego ataku kaszlu. Zasłonił usta, po czym otarł wargi rękawem.

– Na rany Chrystusa, spierdalał stąd – mruknął. – I tobie niemowo, jeśli masz dość oleju w głowie, radzę zrobić to samo. To jest jak czarny mór, albo coś w tym rodzaju.

Nick wzruszył ramionami, a Mike pomaszerował w głąb ulicy. Szedł coraz szybciej i szybciej, prawie zaczął biec. Nick obserwował go, póki tamten nie zniknął z pola widzenia, a wówczas wrócił do biura.

Nigdy więcej nie zobaczył Mike'a. Zrobiło mu się trochę lżej na sercu i nagle pojął, że postąpił słusznie. Położył się na pryczy i prawie natychmiast zasnął.

Przespał na pryczy bez koca całe popołudnie i choć spocony, obudził się nieco bardziej rześki. Wśród wzgórz szalała burza, nie słyszał grzmotów, ale widział błękitno-białe zygzaki błyskawic uderzających w stoki. Tej nocy jednak nie dotarła nad Shoyo.

O zmierzchu wybrał się wzdłuż Main Street do salonu radiowo-telewizyjnego Pauliego, gdzie popełnił kolejne włamanie z wtargnięciem. Zostawił przy kasie kartkę i zabrał do biura szeryfa mały, przenośny telewizor Sony. Włączył go i przez chwilę przełączał kanały. Na programie CBS wyświetlano planszę z napisem PRZEPRASZAMY ZA USTERKI. Na ABC pokazywano Kocham Lucy, a na NBC powtarzano jeden z odcinków nowej serii, w którym młoda, hoża dziewczyna usiłuje zdobyć posadę mechanika w firmie samochodowej. Stacja z Texarkany, niezależna i prezentująca głównie stare filmy, teleturnieje oraz religijne show, w ogóle przerwała nadawanie.

Nick wyłączył telewizor, poszedł do baru i przyrządził zupę oraz kanapki dla dwóch osób. Wydawało mu się nieco osobliwe, że wszystkie lampy uliczne wciąż się paliły i cała Main Street w obu kierunkach skąpana była w strugach silnego, białego światła. Włożył kanapki i termosy do koszyka z pokrywką, a gdy szedł do domu Jane Baker podbiegło do niego cztery czy pięć wygłodniałych, zwabionych zapachem pożywienia psów. Nick wyjął broń, ale nie miał serca by jej użyć, dopóki jeden z psów nie rzucił się na niego, zamierzając go ugryźć. Nick pociągnął za spust, a kula z wizgiem odbiła się od chodnika pięć stóp przed nim, pozostawiając na płycie srebrzysty ślad ołowiu. Nie usłyszał huku, ale poczuł stłumione szarpnięcie odrzutu i wibrację.

Psy pierzchły w popłochu.

Jane spała, czoło i policzki miała rozpalone, oddech powolny i wysilony. Wydała się Nickowi potwornie wycieńczona. Mokrym ręcznikiem otarł jej twarz. Zostawił na nocnym stoliku przyniesione dla niej jedzenie, po czym wszedł do salonu i włączył stojący tam, duży kolorowy telewizor.

CBS nie zaczęła nadawać przez całą noc. NBC prezentowała program normalnie, lecz obraz stacji ABC zaczął się zacierać, śnieżyć aż w końcu zanikł zupełnie, by po jakimś czasie znów się pojawić. Na kanale ABC puszczano wyłącznie powtórki, jakby jego łączność z resztą sieci została przerwana. To nie miało znaczenia. Nick czekał na wiadomości.

Kiedy się rozpoczęły, nie mógł ukryć swego zdziwienia. Epidemia supergrypy jak ją obecnie nazywano była tematem numer jeden, lecz prezenterzy obu stacji stwierdzili, iż została ona opanowana. W Centrum Badań Chorób Zakaźnych w Atlancie opracowano szczepionkę przeciwko nowej odmianie grypy i z początkiem przyszłego tygodnia każdy miał ją otrzymać od swego domowego lekarza. Sytuacja w Nowym Jorku, San Francisco, Los Angeles i Londynie była poważna, lecz i tam rozwój epidemii udało się zahamować. W niektórych rejonach, informował dziennikarz, do odwołania zakazano publicznych zgromadzeń.

„A w Shoyo skasowano całe miasto – pomyślał Nick. – Kto tu kogo robi w balona?”

Prezenter dodał na koniec wiadomość, że drogi dojazdowe do większości dużych miast zostały odcięte; restrykcje te zostaną zniesione, gdy tylko szczepionka znajdzie się w powszechnym użyciu.

Kolejne wiadomości dotyczyły wypadku samolotu w Michigan i reakcji członków Kongresu na ostatnią decyzję Sądu Najwyższego w kwestii praw gejów.

Nick wyłączył telewizor i wyszedł na ganek. Była tam zamontowana ławka-huśtawka. Usiadł na niej. Kołyszące ruchy w przód i w tył miały na niego kojący wpływ, a Nick nie słyszał skrzypienia zardzewiałych zawiasów, które John Baker zapomniał naoliwić. Obserwował unoszące się pośród ciemności świetliki. W kłębach chmur na horyzoncie rozbłysła mętnawo błyskawica, sprawiając, że przez chwilę wyglądały one jak ogromne robaczki świętojańskie, widmowe monstra wielkości dinozaurów. Noc była mroczna i parna.

Ponieważ dla Nicka telewizja była czysto wzrokowym środkiem przekazu, dostrzegł on w wiadomościach coś, co inni mogli przeoczyć. Nie było żadnych rozgrywek baseballa, i kto wie czy w ogóle odbyły się jakieś mecze. Prognoza pogody brzmiała mętnie, nie zaprezentowano stosownych map, mogło się wydawać, że Instytut Meteorologii przestał funkcjonować. Bardzo możliwe, że tak właśnie było, przynajmniej w mniemaniu Nicka.

Obaj prezenterzy wydawali się zdenerwowani i niespokojni. Jeden z nich miał katar. W pewnej chwili zakasłał w mikrofon, przepaszając cicho pod nosem. Obaj mężczyźni zerkali w prawo i w lewo od kamery, którą mieli przed sobą... jakby w studio był ktoś mający dopilnować, by wszystko przebiegało zgodnie z planem.

To było w nocy dwudziestego czwartego czerwca. Nick przespał ją na werandzie przy domu Bakerów. Miał koszmarne sny. Teraz zaś, po południu dnia następnego czuł, że Jane Baker umiera, a on nie mógł wyrzec ani słowa, by ją pocieszyć.

Pociągnęła go za rękę. Nick spojrział na jej pobludłe, wynędzniałe oblicze. Skóra kobiety była teraz sucha, pot wyparował. Nie łudził się jednak, że to dobry znak. Ona umierała. Znał to spojrzenie. Wiedział jak wygląda śmierć.

– Nick – powiedziała i uśmiechnęła się. Ujęła jedną jego dłoń w dwie swoje. – Raz jeszcze chciałam ci podziękować. Nikt nie chce umierać całkiem samotnie, prawda?

Pokręcił energicznie głową, a ona zrozumiała, że nie przeczył jej słowom, lecz usiłował dać jej choć odrobinę złudnej nadziei.

– Wiem, że to już koniec – wyszeptła – lecz to nie ma znaczenia. W szafie znajdziesz suknię, Nick. Białą suknię. Poznasz ją po... – Przerwał jej gwałtowny atak kaszlu. Gdy przeszedł, dokończyła: – ...po koronkach. Miałam ją na sobie gdy wyjeżdżaliśmy w podróż poślubną. Wciąż pasuje... a raczej pasowała. Teraz będzie pewnie na mnie trochę za duża, straciłam sporo na wadze, ale to nic. Zawsze lubiłam tę sukienkę. John i ja wyjechaliśmy na miesiąc miodowy nad jezioro Pontchartrain. To były najszczęśliwsze dwa tygodnie mojego życia. John zawsze umiał mnie uszczęśliwić. Będziesz pamiętał o sukience, Nick? Chcę być pochowana właśnie w niej. Mam nadzieję, że nie będziesz zbyt... zażenowany i przebierzesz mnie w nią, dobrze?

Przełknął ślinę i pokiwał głową, wpatrując się w koc. Musiała wyczuć jego smutek i zakłopotanie, bo nie wspomniała więcej o sukni. Zamiast tego niemal kokieteryjnie paplała o innych banalnych sprawach. O tym, jak zwyciężyła w konkursie recytatorskim w swoim liceum, jak pojechała na finały stanowe do Arkansas i jak spadła jej półhalka dokładnie pod sam koniec pełnego ekspresji wykonania Demonicznego kochanka Shirley Jackson. O swojej siostrze, która wyjechała do Wietnamu z misją baptystów i jak wróciła stamtąd z trójką adoptowanych dzieci. O kempingu, na który wybrali się z Johnem przed trzema laty i o tym jak łoś w rui zmusił ich do panicznej ucieczki i wspięcia się na drzewo, gdzie przesiedzieli cały dzień.

– I tak tam siedzieliśmy i tuliliśmy się – rzekła stłumionym, sennym głosem – jak para nastolatków na balkonie w kinie. Boże, kiedy zesliśmy był taki napalony. Był taki... oboje byliśmy... zakochani... tak bardzo... miłość jest tym, co wprawia ten świat w ruch... zawsze tak myślałam... to jedyna rzecz pozwalająca mężczyźnie i kobiecie stanąć prosto... podczas gdy grawitacja zawsze... ściąga ich do ziemi... byliśmy... tak bardzo... zakochani...

Urwała i zasnęła, aż Nick obudził ją, odsuwając zasłonę lub niezdarnie stając na skrzypiącej obluźowanej desce i znów zaczynała majaczyć.

– John! – krzyknęła głosem zduszonym przez flegmę. – Och, John, nie poradzę sobie z tymi drążkami do bielizny. Musisz mi pomóc je zawiesić! Musisz mi pomóc...

Jej słowa utonęły w długim charczącym wydechu, którego nie słyszał, ale wyczuł równie wyraźnie. Cienka strużka ciemnej krwi wypłynęła z jej nozdrza. Osunęła się na poduszkę, a jej głowa wychyliła się do przodu i opadła, raz, drugi, trzeci, jakby kobieta podejmowała jakąś życiową decyzję, ale odpowiedź była wciąż negatywna.

A potem znieruchomiła.

Nick trwożliwie przyłożył dłoń do jej szyi z boku, nadgarstka po wewnętrznej stronie i między piersiami. Nie wyczuł nic. Jane Baker umarła.

Zegar na nocnym stoliku tykał donośnie, lecz żadne z nich go nie słyszało. Na chwilę usiadł, opierając głowę o kolana, płacząc bezgłośnie, na swój sposób. „Wszystko co możesz zrobić, to zmoczyć trochę oczy – powiedział mu kiedyś Rudy – ale w świecie oper mydlanych to niekiedy się przydaje”.

Wiedział co będzie musiał teraz zrobić i wcale nie miał na to ochoty. Jakaś jego część krzyczała, że to nieuczciwe. To nie należało do jego obowiązków. Nie był za to odpowiedzialny. Tylko że nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić – możliwe że w obrębie dobrych paru mil nie było prócz niego żywego ducha – toteż obowiązek ten automatycznie spadał na jego barki. Albo to robi, albo pozostawi ją tu, aby zgniła, a na to nie mógł pozwolić. Była dla niego dobra, a on w swoim życiu spotkał niewielu takich ludzi, zarówno zdrowych jak i chorych. Uznał, że najwyższy czas zrobić to, co do niego należało. Im dłużej tu siedział i zwlekał, tym bardziej przerażające będzie to zadanie. Wiedział, gdzie znajdował się dom pogrzebowy Curtisa – trzy przecznice dalej i jedną przecznicę na zachód stąd. Nie wątpił, że będzie gorąco.

Zmusił się by wstać i podejść do szafy, łudząc się w duchu, że biała sukienka, ta z okresu miesiąca miodowego okaże się wytworem jej zmałowanego gorączką umysłu. Ale była tam. Nieco przez lata pożółkła, rozpoznał ją jednak bez trudu. Po koronkach. Wyjął ją z szafy i położył na ławie przy łóżku. Spojrzał na sukienkę, na martwą kobietę i pomyślał: „Teraz będzie na nią O WIELE za duża. Ta choroba, czymkolwiek jest, okazała się dla niej okrutniejsza niż się jej wydawało... ale w sumie może to i lepiej”.

Zbliżył się wolno, niechętnie i zaczął zdejmować z niej koszulę nocną. Kiedy to jednak uczynił i ujrzał ją leżącą na łóżku całkiem nagą, strach nagle prysnął, a w jego miejsce pojawił się głęboki smutek i żal. Te dwa uczucia zagnieździły się w nim tak głęboko, że ogarnięty nagłym przypiływem współczucia zaszlochał w rozpacz. Płakał, myjąc jej ciało, a potem ubrał ją tak, by wyglądała jak podczas swej podróży nad jezioro Portchartrain. Kiedy skończył i była już przebrana, wziął ją na ręce i zaniósł, otuloną w koronki, te piękne, choć nieco stare koronki, do domu pogrzebowego, niczym pan młody przekraczający z oblubienicą w ramionach próg nieskończoności.

ROZDZIAŁ 26

W nocy z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego czerwca jakaś grupa studencka z kampusu, młodzi demokraci lub może maoiści, musiała ostro dorwać się do powielacza. Rankiem cały kampus uniwersytetu w Louisville oblepiony był plakatami następującej treści:

UWAGA! UWAGA! UWAGA!

JESTEŚCIE OKŁAMYWANI! RZĄD ŁŻE WAM W ŻYWE OCZY!
PRASA WSPÓLPRACUJĄCA ZE SPRZEDAJNYM, DWULICOWYM
WOJSKIEM RÓWNIEŻ KŁAMIE! ADMINISTRACJA
UNIwersytetu OKŁAMUJE WAS, PODOBNIIE JAK LEKARZE,
KTÓRZY WYKONUJĄ ROZKAZY Z GÓRY!

1. NIE ISTNIEJE SZCZEPIONKA PRZECIWI SUPERGRYPPIE.
2. SUPERGRYPY NIE JEST POWAŻNĄ CHOROBA, LECZ CHOROBA ZABÓJCZĄ.
3. PODATNYCH JEST NA NIĄ OKOŁO 75% OGÓŁU SPOŁECZEŃSTWA.
4. SUPERGRYPY JEST DZIEŁEM AGENDY WOJSKOWEJ PRACUJĄCEJ NAD STWORZENIEM NOWEJ BRONI BIOLOGICZNEJ, A WIRUS WYDOSTAŁ SIĘ Z LABORATORIUM PRZEZ PRZYPADEK.
5. ZAKŁAMANA AGENDA WOJSKOWA STANÓW ZJEDNOCZONYCH PRAGNIE OBECNIE ZATUSZOWAĆ SWÓJ ZABÓJCZY BŁĄD NAWET JEŚLI MA TO OZNACZAĆ, ŻE UMRZE 75% CAŁEJ POPULACJI.

REWOLUCJONIŚCI WSZYSTKICH KRAJÓW,
ŁĄCZCIE SIĘ! NADCHODZI CZAS NASZEJ WALKI!
ZJEDNOCZCIE SIĘ, WALCZCIE, ZDOBYWAJCIE!

SPOTKANIE O 19:00 W SALI GIMNASTYCZNEJ.

STRAJK! STRAJK! STRAJK! STRAJK! STRAJK! STRAJK!

To co działo się tego wieczoru w studio WBZ-TV w Bostonie było w sumie dziełem trzech prezenterów i sześciu techników ze studia numer sześć. Pięciu z nich regularnie grywało w pokera, a sześciu z dziesięciu było już chorych. Czuli, że nie mają nic do stracenia. Zebrali prawie tuzin sztuk broni palnej. Bob Palmer, który prowadził wiadomości poranne przyniósł pistolety w torbie podróżnej gdzie zwykle miał ołówki, notesy, bruliony i notatniki z podkładkami.

Studio otoczone zostało kordonem wojska, rzekomo Gwardii Narodowej, ale jak powiedział Palmer George'owi Dickersonowi poprzedniego dnia byli to jedyni gwardziści po pięćdziesiątce, jakich miał okazję widzieć.

O godzinie dziewiętej jeden, kiedy Palmer zaczął odczytywać uspokajające oświadczenie, otrzymane przed dziesięcioma minutami przez podoficera, nastąpił przewrót. W dziesięciu bez trudu przejęli kontrolę nad stacją telewizyjną. Żołnierze, którzy nie spodziewali się żadnych kłopotów ze strony grupki cywilów przyzwyczajonych do relacjonowania tragedii z bezpiecznej odległości, zostali wzięci przez zaskoczenie i rozbrojeni. Reszta personelu stacji przyłączyła się do małej rebelii i, oczyściwszy szybko piąte piętro, pozamykała i zablokowała wszystkie drzwi. Windy ściągnięto na piąte piętro, zanim żołnierze w holu zorientowali się, co się dzieje. Trzej żołnierze spróbowali dostać się na górę schodami, lecz dozorca, Charles Yorkin, uzbrojony w wojskowy karabin oddał strzał ostrzegawczy, ponad ich głowami. Był to jedyny strzał jaki padł podczas całego przewrotu.

Widzowie stacji WBZ-TV ujrzeli Boba Palmera przerywającego wypowiedź w pół zdania i usłyszeli jak mówi:

– Dobra, już!

Zza kadru dobiegły odgłosy szamotaniny. Kiedy było po wszystkim, tysiące zdezorientowanych widzów zobaczyło w dłoni Boba Palmera nieduży pistolet z krótką lufą.

Ochryply głos zza kadru oznajmił:

– Załatwiliśmy ich, Bob! Mamy tych drani! Mamy ich wszystkich!

– W porządku, dobra robota – rzekł Palmer. I znów spojrzął w kamerę. – Obywatele Bostonu, Amerykanie odbierający nasz sygnał. W tym studio miało miejsce coś niezwykle ważnego i doniosłego. Cieszę się, że zdarzyło się to po raz pierwszy właśnie tu w Bostonie,

kolebce amerykańskiej niepodległości. Przez ostatnie siedem dni nasze studio znajdowało się pod kontrolą ludzi należących rzekomo do Gwardii Narodowej. Ludzie w mundurach wojskowych, pod bronią, stali obok naszych kamerzystów, byli obecni w pomieszczeniach kontrolnych i przy stanowiskach faksów. Czy wiadomości były fałszowane? Z przykrością muszę stwierdzić, że tak. Otrzymywałem spreparowane depesze, do przeczytania których zmuszano mnie pod groźbą użycia broni. Materiał, który czytałem wcześniej, dotyczący tak zwanej „epidemii supergrypy” jest wyspany z palca.

Na konsoli zapaliły się kolejne światełka. W ciągu piętnastu minut włączono wszystkie światła.

– Filmy nakręcane przez naszych kamerzystów ulegały konfiskacie lub były celowo niszczone. Artykuły ginęły w niewyjaśnionych okolicznościach. A jednak panie i panowie mamy materiał filmowy i są z nami w studio nasi korespondenci, nie profesjonalni reporterzy lecz naoczni świadkowie tragedii, która może okazać się największym kataklizmem, jaki kiedykolwiek nawiedził ten kraj... i w moich słowach nie ma nawet cienia przesady. Materiał ten nakręcono z ukrytej kamery, stąd jego nie najlepsza jakość. Myślę jednak, podobnie jak moi koledzy, z którymi odbiliśmy naszą stację, że możecie ujrzeć dosyć. Może nawet więcej, niż byście sobie życzyli.

Uniósł wzrok, wyjął chustkę z kieszonki marynarki i wydmuchał nos. Ci, którzy mieli dobry, kolorowy odbiornik mogli ujrzeć, że miał rumieńce i prawdopodobnie wysoką gorączkę.

– Jeśli materiał jest gotowy, George, to zaczynajmy.

Oblicze Palmera zastąpił obraz szpitala Boston General. Wszystkie oddziały pękały w szwach. Pacjenci leżeli na podłodze, zarówno w salach jak i na korytarzach. Pielęgniarki, z których wiele było chorych, kręciły się to tu, to tam, niektóre szlochały histerycznie. Inne pod wpływem szoku popadły w stan osobliwego odrętwienia.

Potem pokazano kordony żołnierzy z karabinami na ulicy, pod budynkiem.

I domy, które wyglądały na splądrowane.

Znów pojawił się Bob Palmer.

– Panie i panowie, jeśli są przy was dzieci – rzekł półgłosem – radziłbym, abyście poprosili je o wyjście z pokoju.

Ziarniste zdjęcie ukazujące oliwkowozieloną ciężarówkę wojskową wjeżdżającą na nabrzeże nad Zatoką Bostońską. Poniżej barka zasłana brezentowymi płachtami. Dwaj żołnierze wyglądający jak kosmici w kombinezonach i maskach przeciwigazowych, zeskoczyli z ciężarówki. Obraz zakołysał się gwałtownie, po czym znów się ustabilizował, kiedy wojskowi odchyłili poły brezentowej plandeki z paki wozu. Następnie weszli do środka i zaczęli przerzucać na barkę ciała: trupy kobiet, mężczyzn, dzieci, policjantów i pielęgniarek, kaskada zwłok zdawała się nie mieć końca. W pewnej chwili widać było, że do przerzucania ciał żołnierze używali widel.

Palmer komentował film przez dwie godziny; coraz bardziej ochrypłym głosem odczytywał treść kolejnych artykułów i biuletynów, przeprowadzał wywiady z innymi członkami ekipy. Trwało to do momentu, gdy ktoś na parterze budynku uświadomił sobie, że by zamknąć im usta nie trzeba wcale zdobywać szturmem studia. Szesnaście minut po jedenastej nadajnik WBZ uciszono skutecznie za pomocą dwudziestu funtów plastiku.

Palmera i pozostałych stracono pod zarzutem zdrady stanu i sprzeniewierzenia się rządowi Stanów Zjednoczonych.

Wydawana w Durbin w Zachodniej Virginii tygodniówka o nazwie „Call Clarion”, redagowana przez emerytowanego prawnika Jamesa D. Hoglissa zawsze sprzedawała się dobrze, ponieważ Hogliss był żarliwym obrońcą praw górników w końcu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, a jego artykuły cechowała kąśliwa krytyka skierowana przeciwko władzom, zarówno na szczeblu miejskim jak i federalnym.

Hogliss miał swoich gazeciarzy, lecz w ten pogodny letni poranek, kiedy zaczął sam rozwozić gazety swoim cadillakiem rocznik 48, o wielkich białych po bokach oponach, stwierdził, że ulice Durbin były dziwnie wyludnione. Gazety ułożył w sterty na siedzeniach i w bagażniku cadillaca. Nie był to najlepszy dzień na wydawanie „Cali Clarion”, ale gazeta składała się tylko z jednej strony wydrukowanej dużą czcionką. Był to właściwie dodatek nadzwyczajny, jedyny wydrukowany przez Hoglissa od roku 1980, kiedy to wybuch w kopalni Ladybird pochłonął życie czterdziestu górników.

Nagłówek wielkimi, wytłuszczonymi literami układał się w słowa: RZĄD PRÓBUJE ZATUSZOWAĆ WYBUCH EPIDEMII!

A poniżej: „Dodatek specjalny do «Call Clarion». Autor James D. Hogliss”.

Pod spodem zaś: „Wasz reporter, z sobie tylko znanego, lecz wiarygodnego źródła uzyskał informację, że epidemia grypy (zwanej również Dusznicą lub w Zachodniej Virginii Nadymką) jest w rzeczywistości zabójczą odmianą zwykłego wirusa grypy stworzoną przez władze dla celów wojskowych, do użytku podczas działań wojennych, przy pełnym braku poszanowania dla ratyfikowanych postanowień genewskich w kwestii broni biologicznej i chemicznej, podpisanych siedem lat temu przez reprezentantów Stanów Zjednoczonych. Moje źródło twierdzi, że obietnice o mającej rzekomo zostać wprowadzonej wkrótce do powszechnego użytku szczepionce to «stek bzdur». Nie wynaleziono dotąd skutecznej szczepionki na tę mutację wirusa, jak twierdzi mój informator.

Obywatele, to coś więcej niż kataklizm czy tragedia, to kres wszelkich nadziei pokładanych w naszym rządzie. Jeśli rzeczywiście uczyniliśmy coś takiego samym sobie, to...”

Hogliss był chory i bardzo słaby. Najwyraźniej napisanie tego dodatku wyczerpało go doszczętnie. Włożył resztę swoich sił w ten artykuł i już ich nie odzyskał. W piersiach czuł flegmę i męczyło go nawet samo oddychanie. Mimo to metodycznie krążył od domu do

domu, pozostawiając swoją gazetkę. Nie miał pojęcia czy w domach ktoś był, a jeżeli nawet, czy miał dość sił by wyjść na zewnątrz i zabrać podrzuconą na progu ulotkę.

Dotarł wreszcie na zachodni kraniec miasta Poverty Row, gdzie królowały prymitywne szałas, baraki, przyczepy i wszechobecny smród środków antyseptycznych. Zostały mu już tylko gazetki w bagażniku, zostawił go więc otwartym – kłapa unosiła się i opadała powoli, gdy przejeżdżał po „tarce” na drodze. Próbował zmóc przeraźliwy ból głowy, widział podwójnie, czuł potworne pulsowanie w skroniach.

Gdy odwiedził ostatni dom, zapuszczony barak przy Rack’s Crossing został mu plik około dwudziestu pięciu gazetek. Swoim starym scyzorykiem przeciął sznurek, którym były związane i pozwolił, by zajął się nimi wiatr, a sam powrócił myślami do majora o jasnych, wodnistych oczach, który zaledwie trzy miesiące temu został tu przeniesiony z jakiegoś ultratajnego kompleksu w Kalifornii o nazwie Projekt Blue. Major opowiedział Hoglissowi wszystko co wiedział, bawiąc się przez cały czas trzymanym w dłoni pistoletem. Hogliss uznał, że najprawdopodobniej major już wkrótce zrobi użytek z tej broni, a może nawet już to uczynił.

Wrócił za kierownicę cadillaca, jedyne samochodu, który posiadał odkąd skończył dwadzieścia siedem lat i stwierdził, że jest zbyt zmęczony by wrócić do miasta. Rozparł się wygodnie na siedzeniu, wsłuchując się w świszczący szept własnego oddechu i patrzył jak wiatr rozwiewa jego gazetkę wzdłuż szosy ku Rack’s Crossing. Kilka egzemplarzy zawisło wśród gałęzi drzew, jak dziwaczne, blade owoce. Z oddali dobiegał szum rwącego nurtu rzeki Durbin, gdzie, będąc chłopcem, uwielbiał łowić ryby. Teraz rzecz jasna nie było już w nim ryb, zadbały o to kompanie górnicze, ale dźwięk mimo wszystko przynosił ukojenie. Zamknął oczy i zmarł półtorej godziny później.

„Los Angeles Times” rozprowadził tylko dwadzieścia sześć tysięcy egzemplarzy jednostronicowego wydania specjalnego zanim ktoś „z góry” dopatrzył się, że nie drukowano ulotki o treści jaka została pismu narzucona. Oficjalna wersja FBI mówiła, że to radykalni rewolucjoniści (stara śpiewka) wysadzili prasy drukarskie w redakcji gazety, powodując śmierć dwudziestu ośmiu pracowników. FBI nie musiało wyjaśniać jakim cudem wybuch sprawił, że każdy z zabitych miał w czaszce dziurę od kuli, ponieważ zwłoki wywieziono i dołączono do tysięcy innych ofiar epidemii, których grzebano na morzu.

Mimo to dziesięć tysięcy egzemplarzy rozeszło się po mieście i to wystarczyło. Nagłówek wydrukowany trzydziestosześcioletnią czcionką krzyczał:

**NA ZACHODNIM WYBRZEŻU
SZALEJE EPIDEMIA ZARAŻY.
Tysiące ofiar zabójczej supergrypy.**

Rząd nakazuje zatuszowanie groźnej sytuacji.

LOS ANGELES. Niektórzy z żołnierzy powołanych do służby w Gwardii Narodowej podczas trwającej obecnie tragedii mają niespełna czternaście lat. Ich zadanie polega po części na zapewnianiu mieszkańców Los Angeles, że super-grypa znana jako Kapitan Trips, jest niewiele groźniejsza od mutacji Londyn i Hongkong... Jednak te zapewnienia padają z ust przesłoniętych grubymi, zabezpieczającymi maskami. Dziś na godzinę 18:00 przewidziane jest specjalne wystąpienie prezydenta, a jego sekretarz prasowy, Hubert Ross donosi, że pogłoski jakoby głowa państwa miała przemawiać z urzędzonego na wzór Gabinetu Ovalnego studia, mieszczącego się w bunkrach pod Białym Domem są „wysrane z palca, złośliwe i absolutnie bezpodstawne”. Z treści otrzymanych przez nas kopii przemówienia prezydenckiego wynika, że zamierza on skarcić naród amerykański za histerię, uleganie nastrojom, przesadne wyrażanie emocji i porównać obecną panikę do tej, która nastąpiła po emisji przez Orsona Wellesa słuchowiska na podstawie powieści Wojna światów w początkach lat trzydziestych.

„Times” ma pięć pytań, na które chciałby aby prezydent odpowiedział podczas swojego wystąpienia.

1) Dlaczego „Timesowi” zabraniają drukować informacje tępi osiłkowie w wojskowych mundurach, jest to przecież pogwałcenie obowiązujących praw konstytucyjnych?

2) Dlaczego autostrady takie jak US 5, US 10, US 15, zostały zablokowane przez pojazdy opancerzone i wozy bojowe?

3) Skoro to jedynie „niewielka pandemia grypy” dlaczego w Los Angeles i okolicach ogłoszono stan wojenny?

4) Skoro to jedynie „niewielka pandemia grypy” dlaczego na wody Pacyfiku odprawiane są barki, których ładunek zrzuca się do oceanu? I czy ładunek owych barek, jak się tego obawiamy i jak potwierdzają nasi informatorzy, rzeczywiście stanowią ciała ofiar zarazy!

5) Na koniec, jeżeli szczepionka rzeczywiście ma trafić w ręce lekarzy oraz do szpitali z początkiem następnego tygodnia, dlaczego żaden z czterdziestu sześciu lekarzy, z którymi kontaktowali się nasi dziennikarze nie zna szczegółów dotyczących rzekomych dostaw? Dlaczego nie powiadomiono, w których klinikach miałyby odbywać się szczepienia ochronne? Dlaczego żadna z dziesięciu aptek, do których dzwoniliśmy nie otrzymała informacji na temat dostaw ani rządowych ulotek dotyczących szczepionki?

Wzywamy prezydenta, aby odpowiedział na te pytania w swojej przemowie, a przede wszystkim domagamy się, by położył kres polityce działań państwa policyjnego i szaleńczym próbom zatuszowania prawdy...

W Duluth mężczyzna w szortach khaki i sandałach spacerował po Piedmont Avenue z czołem pomazanym popiołem. Na plecach i piersiach zawieszony miał drewniane tablice z wypisanymi hasłami. Z przodu napis brzmiał:

CZAS PONOWNEGO PRZYJŚCIA JEST BLISKI
CHRYSTUS PAN WKRÓTCE POWRÓCI
PRZYGOTUJ SIĘ NA SPOTKANIE SWEGO BOGA!

A z tyłu:

I OTO SERCA GRZESZNIKÓW ZŁAMANE BĘDĄ
WIELCY UPADNĄ,
A MALUCZCY ZOSTANĄ WYWYŻSZENI
NADCHODZI CZAS ZŁEGO
BIADA CI, O SYJONIE

Czterej młodzieńcy w kurtkach motocyklowych, pokaślujący i ocierający zasmarkane nosy rzucili się na mężczyznę w szortach i pobili do nieprzytomności tymi właśnie tablicami. Potem uciekli, a jeden z nich głosem przepełnionym histerią rzucił przez ramię:

– To cię nauczy, że nie należy straszyć ludzi! Nie należy straszyć ludzi, naucz się tego, ty porąbany pojebie!

W Springfield w stanie Missouri, największą popularnością przed południem cieszył się poranny show telefoniczny stacji KLFT „Podaj cenę”. Prowadził go Ray Flowers. Miał w studio sześć linii telefonicznych, a rankiem, dwudziestego szóstego czerwca był jedynym pracownikiem, który pojawił się w stacji. Wiedział co się działo i to go przerażało. Odnosił wrażenie, że w ciągu ubiegłego tygodnia zachorowali wszyscy ludzie, których znał. W Springfield nie było wojska, ale słyszał, że do Kansas City i St. Louis ściągnięto Gwardię Narodową, aby „zapobiec szerzeniu się paniki” i „szabrownictwu”.

Ray Flowers czuł się świetnie. Spojrzał z zamyśleniem na swój sprzęt – telefony, urządzenie opóźniające, przeznaczone dla słuchaczy, którzy od czasu do czasu lubili „rzucić mięsem”, sterty kaset z reklamami („To nie żulik i nie ulik, lecz wesoły hydraulik”), a także, naturalnie, mikrofon.

Zapalił papierosa, podszedł do drzwi studia i zamknął je na zasuwę. Wszedł do swojej kabiny i również ją zamknął. Wyłączył muzykę z taśmy i sięgnął po mikrofon.

– Dzień dobry wszystkim. Mówi Ray Rowers w programie „Podaj cenę”, ale dziś rano jak sądzę jest tylko jeden temat, który interesuje nas wszystkich, czyż nie? Możecie nazywać to Dusznica, supergrypą albo Kapitanem Tripsem, ale w gruncie rzeczy chodzi nam

wszystkim o to samo. Słyszałem wiele koszmarnych historii o wojsku trzymającym wszystko za mordę i jeśli chcecie o tym porozmawiać, jestem gotów was wysłuchać. To wciąż jest wolny kraj, no nie? A skoro jestem tu dziś rano sam, pozwalam sobie na wprowadzenie kilku radykalnych zmian. Wyłączyłem opóźniacz i chyba możemy również zrezygnować z reklam. Jeśli Springfield, które widzicie, jest tym samym, które oglądam z okna stacji, nikt nie ma raczej ochoty na robienie zakupów.

No dobra, jak mawiała nasza matka: „Pora przestać gadać i brać się do rzeczy”. Nasze bezpłatne numery to 555-8600 i 555-8601. Jeśli numer będzie zajęty, zachowajcie cierpliwość. Pamiętajcie, jestem tu sam.

W Carthago, pięćdziesiąt mil od Springfield znajdowała się jednostka wojskowa. Wysłano dwudziestoosobowy patrol, by zajął się Rayem Flowersem. Dwaj mężczyźni odmówili wykonania rozkazu. Zostali zastrzeleni na miejscu.

Dotarcie do Springfield zajęło im godzinę. Przez ten czas Ray Flowers odebrał telefony od lekarza, który poinformował, że zarażeni ludzie padają jak muchy i który uważał, że rząd, mówiąc o szczepionce, łże w żywe oczy; pielęgniarki, potwierdzającej, że ze szpitali w Kansas City trupy wywożono ciężarówkami; majaczącej kobiety twierdzącej, że to wszystko wina kosmitów; farmera stwierdzającego, że oddział wojska skończył właśnie kopanie potwornie długiego rowu na polu przy drodze numer 71 na południe od Kansas City, a także pół tuzina innych, pragnących dodać na ten temat coś od siebie.

Rozległ się głośny trzask i łomot do zewnętrznych drzwi studia.

– Otwierać! – dobiegł zduszony głos. – Otwierać w imieniu Stanów Zjednoczonych!

Ray spojrział na zegarek. Za kwadrans dwunasta.

– Cóż – powiedział – zdaje się, że wojsko wpadło do mnie z wizytą. Ale telefony będą nadal przyjmowane, wy...

Dał się słyszeć terkot broni maszynowej i klamka od drzwi studia spadła na dywan. Z postrzępionej dziury wypłynęła smużka siwego dymu. Drzwi zostały sforsowane i do środka wpadło pół tuzina żołnierzy w maskach gazowych i kombinezonach bojowych.

– Kilku żołnierzy wdarło się właśnie do pomieszczeń stacji – rzekł Ray. – Są uzbrojeni... wyglądają na gotowych rozpocząć czystkę, jak we Francji pół wieku temu. Gdyby nie te maski na ich twarzach...

– Wyłączyć to! – ryknął krępy, postawny mężczyzna z paskami sierżanta na rękawach. Stanął przed kabiną studia i groźnie machnął karabinem.

– Raczej nie – odrzyknął Ray. Było mu bardzo zimno, a kiedy wyluskał z popielniczki papierosa stwierdził, że trzęsą mu się ręce. – To licencjonowana rozgłośnia i...

– Odbieram ci pierdoloną licencję. Wyłącz aparaturę!

– Raczej nie – powtórzył Ray i odwrócił się do mikrofonu. – Panie i panowie właśnie otrzymałem rozkaz wyłączenia nadajnika KLFT, lecz odmówiłem i jak sądzę postąpiłem słusznie. Ci ludzie nie zachowują się jak Amerykanie, lecz jak faszyci. Nie zamierzam...

– Masz ostatnią szansę! – Sierżant uniósł broń.

– Sierzancie – rzekł jeden z żołnierzy – Nie ma pan...

– Jeśli powie jeszcze choć jedno słowo, rozwalcie go – rozkazał sierżant.

– Chyba chcą mnie zabić – rzekł Ray Flowers i w następnej chwili szklana ściana jego kabiny rozprysła się w drobny mak, a on sam runął na konsolę.

Nagle rozległ się przenikliwy, jękliwy dźwięk, który z każdą chwilą przybierał na sile. Sierżant wypruł cały magazynek w konsolę i odgłos urwał się, jak ucięty nożem. Światła na panelu kontrolnym wciąż się jarzyły.

– Dobra – mruknął sierżant, odwracając się. – Chciałbym wrócić do Carthage przed pierwszą i nie zamierzam...

Trzej mężczyźni otworzyli do niego ogień równocześnie. Jeden z nich z karabinka bezodrzutowego, wypluwającego z siebie siedemdziesiąt pocisków na sekundę. Sierżant przez dłuższą chwilę tańczył bezgłośnie taniec śmierci, po czym runął w tył przez roztrzaskaną szybę do wnętrza kabiny. Targnął konwulsyjnie jedną nogą, wytlukując odłamki szkła z framugi.

Szeregowiec o rumianej twarzy upstrzonej dorodnymi pryszczami wybuchnął płaczem. Inni po prostu stali, z niedowierzaniem i oszołomieniem. W powietrzu unosiła się ciężka, mdląca woń kordytu.

– Rozwaliliśmy go! – zawołał histerycznie szeregowiec. – Boże Święty, zabiliśmy sierżanta Petersa!

Nikt się nie odezwał. Wciąż wyglądali na zdezorientowanych, choć później będą żałować, że nie zdecydowali się na to wcześniej. To wszystko było zabójczą grą, lecz nie ICH GRĄ.

Telefon, który Ray Flowers zanim umarł odłożył na widelki wzmacniacza wydał serię pisków i trzasków.

– Ray? Jesteś tam, Ray? – Głos był zmęczony, nosowy. – Słucham twojego programu od początku i ja, i mój mąż chcieliśmy powiedzieć, że robisz naprawdę dobrą robotę. Nie daj się im. Bądź twardy. Ray? Ray? Słyszysz mnie, Ray?...

SZYFROWANY RAPORT NR 234 STREFA 2

OD: LANDON STREFA 2, NOWY JORK

DO: DOWÓDZTWA CREIGHTON

DOTYCZY: OPERACJI KARNAWAŁ

CO NASTĘPUJE: KORDON NOWOJORSKI WCIAŻ DZIAŁA
USUWANIE CIAŁ POSTĘPUJE ZGODNIE Z PLANEM W MIEŚCIE
WZGLĘDNA CISZA X PRZYKRYWKA SYPIE SIĘ SZYBCIEJ NIŻ
PRZEWIDYWALIŚMY ALE JAK DOTĄD RADZIMY SOBIE BEZ
PROBLEMÓW SUPERGRYPA SPRAWIŁA ŻE MIESZKAŃCY NIE

OPUSZCZAJĄ SWOICH DOMÓW I MIESZKAŃ XX
OSZACOWUJEMY ŻE 50% ŻOŁNIERZY NA BARYKADACH W
PUNKTACH WEJŚCIA/WYJŚCIA (MOSTACH WASZYNGTONA
TRIBOROUGH BROOKLYŃSKIM LINCOLNA HOLLAND TUNELU I
NA AUTOSTRADACH DOJAZDOWYCH) JEST ZARAŻONA LECZ
WIĘKSZOŚĆ ŻOŁNIERZY WCIĄŻ JEST ZDOLNA DO CZYNNEJ
SŁUŻBY I SPISUJE SIĘ DOBRZE XXX TRZY POŻARY WYMKNEŁY
SIĘ SPOD KONTROLI W HARLEMIE, SEVENTH AVENUE STADION
SHEA XXXX CORAZ WIĘKSZYM PROBLEMEM STAJE SIĘ
DEZERCCJA DEZERTERÓW OD TERAZ BĘDZIE LIKWIDOWAĆ SIĘ
NA MIEJSCU XXXXX WNIOSKI SYTUACJA JEST WCIĄŻ POD
KONTROLĄ LECZ STAN TEN POWOLI NIEUCHRONNIE SIĘ
POGARSZAXXXXXX

KONIEC RAPORTU

LANDON STREFA 2 NOWY JORK

W Boulder, Kolorado zaczęły rozprzestrzeniać się plotki, że centrum badań pogodowo-meteorologicznych było w rzeczywistości tajnym laboratorium wojskowym, gdzie pracowano nad stworzeniem nowej broni biologicznej. Plotki te powtarzał na antenie na wpeł przytomny dyskdzokej stacji FM z Denver. O godzinie 23:00, dwudziestego szóstego czerwca rozpoczął się przypominający masową migrację lemingów exodus mieszkańców Boulder. Z Denver-Arvada wysłano kompanię żołnierzy, aby ich zatrzymać, lecz można by to porównać do wyznaczenia jednego człowieka ze szczotką, by wysprzątał stajnie Augiasza. Ponad jedenaście tysięcy cywilów, chorych, przerażonych, i pragnących znaleźć się jak najdalej od podejrzanego kompleksu przetoczyło się po nich jak burza. Tysiące innych mieszkańców miasta rozjechało się we wszystkich kierunkach.

Kwadrans po jedenastej rozdierająca eksplozja w kompleksie przy Broadway rozświetliła noc.

Młody radykał, nazwiskiem Desmond Ramage podłożył ponad szesnaście funtów plastiku przeznaczonego uprzednio na gmachy sądów i innych budynków tego rodzaju na Środkowym Zachodzie, w holu centrum. Eksplozja była potężna, niestety zawiódł mechanizm zegarowy. Ramage wyparował wraz z całą masą niegroźnych urządzeń meteorologicznych i gadżetów do badania skażenia powietrza.

Tymczasem exodus z Boulder trwał w najlepsze.

SZYFROWANY TAJNY RAPORT NR 771 STREFA 6

OD: GARETH STREFA 6 LITTLE ROCK

DO: DOWÓDZTWO CREIGHTON

DOTYCZY: OPERACJI KARNAWAŁ
CO NASTĘPUJE: BRODSKY ZNEUTRALIZOWANY
POWTARZAM BRODSKY ZNEUTRALIZOWANY ZNALEZIONO GO
PRACUJĄCEGO W MIEJSCOWEJ KLINICE GDZIE ZOSTAŁ
OSĄDZONY I STRACONY POD ZARZUTEM ZDRADY STANU I
SPRZENIEWIERZENIA SIĘ STANOM ZJEDNOCZONYM PACJENCI
PRÓBOWALI INTERWENIOWAĆ POSTRZELONO 14 CYWILÓW 6
ZABITO 3 MOICH LUDZI RANNYCH ANI JEDEN CIĘŻKO X SIŁY W
STREFIE 6 USZCZUPLONE DO 40% Z POZOSTAJĄCYCH NA
SŁUŻBIE SZACUJEMY 25% ZARAŻONYCH 15% POTENCJALNYCH
DEZERTERÓW XX NAJPOWAŻNIEJSZY INCYDENT ZAJŚCIE
PODCZAS REALIZACJI PLANU F JAK FRANK XXX SIERŻANT T.L.
PETERS STACJONUJĄCY W CARTHAGE W MONTANIE ZABITY
PODCZAS PEŁNIENIA OBOWIĄZKÓW W SPRINGFIELD W
MONTANIE NAJPRAWDOPODOBNIJ ZAMORDOWANY PRZEZ
SWOICH PODWŁADNYCH XXXX INNYCH INCYDENTÓW
PODOBNEJ NATURY NIE POTWIERDZONO, LECZ NIE NALEŻY
ICH WYKLUCZAĆ SYTUACJA POGARSZA SIĘ CORAZ BARDZIEJ
XXXXX

KONIEC RAPORTU

GARFIELD STREFA 6 LITTLE ROCK

Gdy niebo pociemniało z nadejściem zmierzchu, niczym wzrok pacjenta po podaniu mu eteru przed operacją, studenci z Kent State University w Ohio weszli na wojenną ścieżkę – i to z wielkim hukiem. Liczący dwa tysiące osób tłum składał się ze studentów pierwszego roku semestru letniego, członków sympozjum na temat przyszłości dziennikarstwa uczelnianego, stu dwudziestu uczestników warsztatów teatralnych oraz dwustu członków Amerykańskich Farmerów Przyszłości z filii Ohio, których konwent dziwnym zbiegiem okoliczności nałożył się na okres gwałtownego rozwoju supergrypy. Wszyscy oni zajęli kampus dwudziestego drugiego czerwca, przed czterema dniami. Podajemy tu transkrypcję rozmów radiowych na częstotliwości policyjnej jakie miały miejsce pomiędzy 19:16 a 19:22.

– Szesnastka, Szesnastka czy mnie słyszysz? Odbiór?

– Słyszę cię, Dwudziestka. Odbiór.

– Mamy tu grupkę dzieciaków, idących w naszą stronę Szesnastka. Jakies siedemdziesiąt ciepłych truposzy, jak mi się zdaje... i... sprawdź to, Szesnastka, jeszcze jedną grupę zmierzającą w przeciwnym kierunku... Jezu, będzie ich ze dwieście albo więcej. Odbiór.

– Dwudziestka, tu baza, słyszysz mnie? Odbiór?

– Głośno i wyraźnie, baza. Odbiór.

– Wysłałam tam Chumma i Hallidaya. Zablokuj drogę swoim wozem. Nie podejmuj żadnych innych działań. Jeśli cię dopadną, rozłóż szeroko nogi i udawaj, że sprawia ci to przyjemność. Nie stawiaj oporu, zrozumiałeś? Odbiór.

– Zrozumiano, baza. Mam nie stawiać oporu. Co robią ci żołnierze po wschodniej stronie deptaku? Odbiór.

– Jacy żołnierze? Odbiór.

– To ja was pytam, baza. Żołnierze...

– Baza, tu Dudley Chumm. O, cholera, tu Dwudziestka. Przepraszam, baza. Banda dzieciaków sunie w dół Burrows Drive. Będzie ich ze stu pięćdziesięciu. Idą na deptak. Cały czas coś śpiewają i nuca. Są tu też żołnierze. Chryste Panie! Noszą maski przeciwgazowe, tak mi się wydaje. Wygląda, że zamierzają zmierzyć się z tymi dzieciakami. Będzie rozróżba. Tak mi się przynajmniej wydaje. Odbiór.

– Baza do Dwunastki. Dołącz do Dwudziestki przy początku deptaku. Takie same zalecenia. Nie stawiać oporu. Odbiór.

– Przyjąłem, baza. Jadę. Odbiór.

– Baza, tu Siedemnastka. Tu Halliday. Jak mnie słyszysz? Odbiór.

– Słyszę cię, Siedemnastka. Odbiór.

– Jestem za Chummem. Kolejne dwie setki dzieciaków zmierzają z zachodu na wschód ku promenadzie. Mają transparenty jak w latach sześćdziesiątych. Na jednym z nich napisane jest ŻOŁNIERZE RZUĆCIE BRONŃ. Na drugim PRAWDA, CAŁA PRAWDA I TYLKO PRAWDA. Te dzieciaki...

– Nieważne co mają napisane na tablicach, Siedemnastka. Dołącz do Chumma i Petersa i odetnij im drogę. Wygląda, że idą w sam środek wielkiej burzy. Odbiór.

– Zrozumiałem. Bez odbioru.

– Tu szef ochrony kampusu Richard Burleigh. Mówię teraz do dowódcy sił zbrojnych stacjonujących na południowym krańcu kampusu. Powtarzam, mówi szef ochrony Burleigh. Wiem, że monitorujecie nasze rozmowy więc proszę oszczędzić mi fatygi i zgłosić się Odbiór.

– Tu pułkownik Albert Philips z armii Stanów Zjednoczonych. Słuchamy szefie Burleigh. Odbiór.

– Baza, tu Szesnastka. Dzieciaki schodzą się pod pomnik pamięci ofiar wojny. Mówią coś do żołnierzy. Kiepsko to wygląda. Odbiór.

– Pułkowniku Philips, mówi Burleigh. Jakie są pańskie zamiary. Odbiór.

– Mam rozkaz nie dopuścić, by ktokolwiek z tu obecnych opuścił ten kampus. I zamierzam wypełnić ten rozkaz. Jeśli ci ludzie chcą urządzać demonstrację, to proszę bardzo, niech ją sobie mają. Ale jeśli spróbują wydostać się poza teren kampusu... nie pozwolę im na to. Odbiór.

– Chyba nie ma pan zamiaru...

– Zrobię, co będę musiał, szefie Burleigh. Bez odbioru.

– Philips! Philips! Odpowiedz pan, do cholery! Przecież to nie żadni komunistyczni partyzanci! To tylko dzieciaki! Amerykańskie dzieciaki! Nie są uzbrojeni! Oni tylko...

– Trzynastka do bazy. Kapitanie, dzieciaki ruszyły w stronę żołnierzy. Machają transparentami. Śpiewają tę piosenkę. Tę, którą śpiewała Joan Baez. O cholera, chyba niektórzy z nich zaczęli rzucać kamieniami. A teraz... Jezu! Jezu Chryste! Oni... nie mogą tego zrobić!

– Baza do Trzynastki. Co się tam dzieje? Co się dzieje?

– Dick, tu Chumm. Powiem ci co się dzieje. To pieprzona jatka. Żałuję, że widzę te rzeź. Wolałbym być ślepy. Skurwiele. Oni... wyrzynają te dzieciaki w pień. Używają broni maszynowej. Zaczęli strzelać bez ostrzeżenia. Dzieciaki, które jeszcze trzymają się na nogach rzucają się do ucieczki... rozbiegają się na wszystkie strony. O Boże! Właśnie widziałem jak kule rozerwały jedną z dziewcząt na pół. Krew... na trawniku leży z osiemdziesiąt ciał. Tyle krwi...

– Chumm! Zgłoś się! Zgłoś się, Dwunastka.

– Baza, tu Siedemnastka. Słyszycie mnie? Odbiór.

– Słyszę cię do cholery, ale gdzie jest Chumm, do cholery? ODBIÓR!

– Chumm i... Halliday chyba też... wysiedli z samochodów aby się lepiej przyjrzeć. Wracamy, Dick. Wygląda, że żołnierze zaczęli strzelać do siebie nawzajem. Nie wiem kto zwycięża i nie obchodzi mnie to. Ktokolwiek to będzie, najprawdopodobniej weźmie się potem za nas. Kiedy ci z nas, którzy zdołają, powrócą, sugeruję abyśmy wszyscy zamknęli się w piwnicy i zaczęli czekać aż tamym zabraknie amunicji. Odbiór.

– Do jasnej cholery...

– Dick, strzelanie do kaczek odchodzi tu na całego. Ja nie żartuję. Bez odbioru.

Przez cały czas trwania powyższej rozmowy w tle słychać ciche trzaski jak odgłosy pękających w ogniu kasztanów. Można również wychwycić ciche krzyki... a w ostatnich czterdziestu sekundach głuchy łoskot eksplodujących pocisków moździerzowych.

Niniejszy zapis jest transkrypcją transmisji odebranej na specjalnej wysokiej częstotliwości radiowej w Południowej Kalifornii. Dokonano jej między godziną 19:17 a 19:20 tamtejszego czasu.

– Massingill, strefa 10. Jesteś tam, Blue Base? Wiadomość zaszyfrowana kod Annie Oakley. Pilne-plus-10. Zgłoś się, jeśli tam jesteś, odbiór.

– David, tu Len. Myślę, że możemy zrezygnować z żargonu. Nikt nas nie słucha.

– Len, to się wymknęło spod kontroli. Wszystko. Los Angeles płonie. Całe pieprzone miasto i wszystko wokół niego. Moi ludzie są chorzy, buntują się, dezertują albo szabrują prywatne domy. Jestem w gmachu głównym Banku Amerykańskiego, na samej górze. W

Pokoju Podniebnym. Jakies sześć setek ludzi próbuje się do mnie dostać. Większość z nich to żołnierze.

– Rzeczy rozpadają się. Środek nie zdoła ich utrzymać.

– Powtórz. Nie zrozumiałem.

– Nieważne. Możesz stamtąd wyjść?

– Za cholerę, nie. Ale pierwsze męty, które spróbują tu wejść dostaną za swoje. Mam ze sobą karabinek bezodrzutowy. Szumowiny! Pierdolone męty!

– Powodzenia Davidzie.

– Nawzajem. Utrzymaj to w ryzach jak długo będziesz mógł.

– Postaram się.

– Nie jestem pewien...

Tu rozmowa się kończy. Słysząc głośnie trzaski, przeraźliwy zgrzyt rozdzieranego metalu, brzęk tłuczonego szkła. Krzyki. Terkot broni maszynowej, a potem, bardzo blisko nadajnika, głośnie, zduszone wystrzały z karabinu bezodrzutowego. Ryczące głosy przybliżają się. Słysząc jękliwy wizg rykoszetu, dobiegający z okolic nadajnika krzyk, głuchy łomot, łupnięcie, a potem zapada cisza.

Niniejsza transkrypcja pochodzi z transmisji nadanej na częstotliwości wojskowej w San Francisco, pomiędzy 19:28 a 19:30 tamtejszego czasu.

– Żołnierze i bracia! Przejęliśmy radiostację i punkt dowodzenia. Wasi ciemężcy nie żyją! Ja, Brat Zeno, a do niedawna sierżant Roland Gibbs ogłaszam się niniejszym pierwszym prezydentem Republiki Północnej Kalifornii! My tu rządymy! Władza należy do nas! Jeśli wasi oficerowie wydadzą wam rozkazy usunięcia mnie ze stanowiska, zastrzelcie ich jak wściekłe psy! Jak świny! Jak suki z zasranymi tyłkami! Zapisujcie nazwiska, stopnie i numery dezertów! Zapisujcie tych, którzy mówią o buncie lub zdradzie stanu w odniesieniu do Republiki Północnej Kalifornii! Nadchodzi świt nowego dnia! Czasy ciemężców dobiegły kresu. Jesteśmy...

Terkot broni maszynowej. Krzyki. Głuche łupnięcie i łaskoty. Wystrzały z pistoletów, nowe wrzaski, przeciągły odgłos plującego ołowiem pistoletu maszynowego. Długi, przedśmiertny jęk. Trzy sekundy ciszy.

– Mówi major Alfred Nunn z Armii Stanów Zjednoczonych. Przejmuję tymczasową kontrolę nad siłami zbrojnymi w rejonie San Francisco. Gromadkę zdrajców w tym punkcie dowodzenia spotkała już zasłużona kara. Teraz ja tu dowodzę. Działania mają być prowadzone zgodnie z otrzymanymi rozkazami. Ze zdrajcami i dezertami należy rozprawiać się na miejscu. Powtarzam, zdrajców i dezertów rozstrzelać na miejscu. Bez litości. Teraz ja...

Odgłosy strzałów. Krzyk.

W tle:

– ... ich wszystkich! Rozwalić ich wszystkich! Śmierć świniom w mundurach...

Długa, zacięta wymiana ognia. A potem cisza w eterze.

O 21:16 czasu wschodnioamerykańskiego, ci, którzy wciąż czuli się na tyle dobrze, by oglądać w Portland w stanie Maine telewizję, włączwszy kanał stacji WCSH ujrzeli ze zgrozą jak potężnie zbudowany Murzyn, nagi – za wyjątkiem różowej, skórzanej przepaski biodrowej i czapki oficera piechoty morskiej – i bez wątpienia chory, przeprowadził serię sześćdziesięciu dwóch publicznych egzekucji.

Jego koledzy, również czarnoskórzy i niemal nadzy nosili przepaski biodrowe oraz opaski z dystynkcjami na znak, że kiedyś służyli w wojsku. Byli uzbrojeni w broń automatyczną i półautomatyczną. W studio, gdzie publiczność oglądała niegdyś miejscowe debaty polityczne i teleturnieje, kolejni członkowie czarnej „junty” trzymali na muszkach blisko dwustu żołnierzy w mundurach khaki.

Postawny Murzyn, który często się uśmiechał, ukazując zdumiewająco równe, białe zęby dzierżył w dłoni broń, kaliber .45 i stał przy wielkim, szklanym bębnie. Dawniej – obecnie wydawało się, że było to wiele lat temu – w bębnie znajdowały się pocięte na paski stronicie książki telefonicznej używane podczas teleturnieju „Zadzwoń po dolary”.

Zakręcił nim, wyjął z bębna prawo jazdy i zawołał:

– Szeregowy Franklin Stern, proszę tu do nas, na środek.

Uzbrojeni mężczyźni otaczający publiczność zaczęli nachylać się, by zajrzeć na plakietki z nazwiskami, podczas gdy kamerzysta, niewątpliwie nowicjusz, zaczął nieco zbyt energicznie omiatać okiem kamery twarze zebranych przed nim ludzi.

Wreszcie postawiono na nogi wątpego, niespełna dziewiętnastoletniego blondyna i choć szarpał się, krzyczał i protestował, wywleczono go na środek sali.

Dwaj czarnoskórzy byli żołnierze zmusili go, by ukląkł.

Murzyn uśmiechnął się, kichnął, splunął flegmą i przyłożył pistolet do skroni Sterna.

– Nie! – zawołał histerycznie Stern. – Pójdę z wami, przysięgam na Boga!

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego – zaintonował wielki Murzyn, po czym z uśmiechem na twarzy pociągnął za spust. Obok miejsca, gdzie klęczał szeregowy Stern widniała wielka plama rozbryźniętej krwi i mózgu, a teraz on również dołożył do niej cząstkę siebie.

Plask!

Murzyn znów kichnął i omal się nie przewrócił. Kolejny mężczyzna siedzący w reżyserce (nosił zieloną wojskową czapkę z daszkiem i białe szorty) nacisnął guzik z napisem BRAWA i neon przed publicznością zajarzył się na czerwono. Czarni strażnicy strzegący więźniów – publiczności, unieśli groźnie broń, a jeńcy, biali żołnierze o twarzach pokrytych potem, z przerażeniem zaczęli gromko klaskać.

– Następny! – rzucił ochryple Murzyn w przepasce biodrowej i ponownie zakręcił bębniem. Spojrzał na pasek papieru i oznajmił: – Sierżant służb technicznych Roger Petersen, prosimy na środek!

Mężczyzna siedzący wśród publiczności zawył przeciągle i rzucił się w stronę tylnego wyjścia. W kilka sekund pochwycono go i przywleczono na scenę. W zamieszaniu jakiś mężczyzna z trzeciego rzędu próbował zdjąć plakietkę przypiętą do bluzy. Rozległ się strzał i żołnierz osunął się na siedzeniu, a jego oczy przeszklily się, jakby znudzony marnym przedstawieniem zapadł w podobny do śmierci półtrans.

Spektakl trwał prawie do za kwadrans jedenasta, kiedy do studia wpadły cztery drużyny regularnego wojska w maskach przeciwgazowych i z bronią półautomatyczną. Dwie umierające grupy żołnierzy natychmiast rozpoczęły walkę.

Murzyn w skórzanej przepasce biodrowej padł prawie natychmiast, klnąc przez zęby i rozpryskując dokoła krople potu oraz krew z ran po kulach, którymi go naszpikowano. Odruchowo zaczął strzelać, lecz wszystkie kule poszły w scenę. Renegat obsługujący drugą kamerę dostał postrzał w brzuch, a gdy nachylił się, by pochwytać wylewające się z brzucha wnętrzności, odwrócił kamerę, ukazując koszmara rozgrywający się wśród publiczności. Półnadzy strażnicy odpowiedzieli ogniem, a żołnierze zasypali gradem ołowiu całą widownię.

Nieuzbrojeni żołnierze znajdujący się pomiędzy dwiema walczącymi stronami zamiast ocalenia doczekali się przyspieszenia egzekucji.

Młody mężczyzna o marchewkowych włosach, z wyrazem dzikiej paniki na twarzy próbował przedostać się do wyjścia po oparciach krzeseł, jak cyrkowy akrobata, dopóki kule kaliber .45 nie urwały mu obu nóg. Inni czołgali się pomiędzy fotelami, jak ich nauczono podczas ćwiczeń na poligonie, gdzie, jak teraz, świstały im nad głową prawdziwe kule. Podstarzały sierżant o siwych włosach wstał, rozłożył ręce jak prowadzący ze znanego programu telewizyjnego i ryknął na całe gardło: „PRZESTAŃCIE!” Dosięgły go kule obu grup i nim upadł, przez dłuższą chwilę tańczył jeszcze ostatniego w swym życiu *jiga*. Ryk broni palnej i wrzaski rannych i umierających sprawiły, że wskaźniki poziomu decybeli w reżyserce wychyliły się na skali do cyfry pięćdziesiąt.

Operator kamery osunął się ciężko na drążki sterujące ruchami urządzenia i widzowie przez całą resztę całego zdarzenia mogli oglądać sufit w studio. Odgłosy wystrzałów ucichły po z górą pięciu minutach. Potem rozległo się jeszcze kilka suchych pistoletowych trzasków i nastąpiła kompletna cisza. Słychać było tylko jęki konających.

Pięć po jedenastej na ekranach sufit w studio zastąpiła znajoma plansza rysunkowego ludzika wpatrującego się smętnie w telewizor. Podpis pod planszą brzmiał: **PRZEPRASZAMY, MAMY PEWNE PROBLEMY!**

Tego wieczora prawie wszyscy mogli podpisać się pod tym hasłem.

W Des Moines o 23:30 czasu środkowoamerykańskiego po wyludnionych ulicach śródmieścia krążył bez przerwy stary buick z nalepkami o treści religijnej – między innymi ze sloganem ZATRĄB JEŚLI WIERZYSZ W JEZUSA. Wcześniej tego dnia w Des Moines miał miejsce pożar, który strawił południowy odcinek Hull Avenue i Grandview Junior College. Później wybuchną zamieszki, które spowodują zniszczenie prawie całego śródmieścia.

Kiedy zaszło słońce ulice pełne były krążących niespokojnie ludzi, głównie młodzieży, wielu z nich było na motocyklach. Wybijali szyby, kradli telewizory, napełniali na stacji baki maszyn benzyną, wypatrując czujnie, czy ktoś nie ma broni. Teraz ulice były puste.

Motocykliści próbowali szczęścia na autostradzie 1-80. Większość mieszkańców jednak wróciła chyłkiem do swoich domów, zamykając drzwi na cztery spusty i trzęsąc się z gorączki wywołanej supergrypą, lub z trwogi przed nią, a która z nastaniem nocy jeszcze bardziej się nasilała. Obecnie Des Moines wyglądało jak po wyjątkowo hucznym sylwestrze, kiedy ostatni z imprezowiczów zapadł w głęboki, zasłużony sen. Opony buicka chrzęściły i szeleściły na tłuczonym szkle zaścielającym ulicę. Wóz skręcił na zachód w Euclid Avenue i minął dwa samochody po czołowym zderzeniu leżące teraz na bokach, splecione zderzakami jak kochankowie po udanym, podwójnym samobójstwie. Na dachu buicka zamontowany był megafon. Po chwili opustoszałe, posępne ulice Des Moines rozbrzmiały słodkim, sennym głosem Matki Maybelle Carter śpiewającej *Patrz na życie przez różowe okulary*.

Patrz na życie przez różowe okulary
Przez różowe okulary na nie patrz
Choć problemów co dzień moc
Długa się wydaje noc
Przez różowe okulary patrz na świat...

Stary buick sunął nieprzerwanie przed siebie, po prostu jechał, robił pętle, ósemki, czasami okręzał tę samą przecnicę trzy lub cztery razy. Kiedy podskakiwał na wyboju (albo przejeżdżał po zwłokach) igła przeskakiwała po płycie.

Dwadzieścia minut przed północą buick przystanął przy chodniku, lecz silnik nie został wyłączony. Wkrótce auto znów ruszyło. Z głośnika popłynął głos Elvisa Presleya śpiewającego *Old, rugged cross*. Nocny wiatr szumiał wśród drzew i rozwiął ostatnie kłęby dymu z osmolonych ruin dawnego college'u.

Z przemówienia prezydenta, wygłoszonego o 21:00 czasu wschodniego nie odbieranego w wielu rejonach:

– ...wielki naród taki jak nasz musi postępować, jak na niego przystało. Nie możemy lękać się cieni jak małe dzieci w ciemnym pokoju, nie możemy również lekceważyć tak

poważnej epidemii grypy. Bracia Amerykanie, nakłaniam was, byście pozostali w domach. Jeśli źle się poczujecie, zostańcie w łóżku, łykajcie aspirynę i pijcie dużo płynów. Bądźcie pewni, że NAJDALEJ za tydzień poczujecie się lepiej. Powtórzę to, co powiedziałem na początku mojego wystąpienia: nieprawdą jest, i powiem to raz jeszcze – nieprawdą jest plotka jakoby ten szczep grypy był zabójczy dla ludzi. W większości przypadków osoba zarażona powinna poczuć się lepiej nie dalej jak po tygodniu. Co więcej...

(głośny przeciągły kaszel)

– Co więcej, pojawiły się złośliwe plotki i pomówienia, rozpowszechniane przez pewne radykalne grupy antyrządowe, jakoby ten szczep grypy powstał z polecenia rządu w laboratoriach wojskowych z zamiarem użycia go do działań militarnych. Bracia Amerykanie, nie dajcie się zwieść kłamliwym podszeptom wrogich sił, których knowania tu i teraz pragnę surowo napiętnować. Ten kraj podpisał i ratyfikował konwencję genewską, w której zapisane są stosowne postanowienia dotyczące wytwarzania gazów trujących, paraliżujących oraz broni biologicznej. Nie posiadamy ani nie...

(seria głośnych kichnięć)

– ...ani nie przyczyniliśmy się nigdy do potajemnego wytworzenia substancji zakazanych przez konwencję genewską. To, z czym mamy do czynienia jest jedynie umiarkowanie poważną epidemią grypy i niczym więcej. Dziś wieczorem otrzymaliśmy raporty o wybuchach podobnej epidemii w kilkunastu innych krajach, między innymi w Rosji i Chińskiej Republice Ludowej. Raz jeszcze...

(seria kaszlnięć i kichnięć)

– ...zwracam się z prośbą o zachowanie spokoju i powagi. Niechaj ci, którzy dziś czują się niezdrowi, mają świadomość, że nie dalej jak z początkiem przyszłego tygodnia otrzymają upragnioną szczepionkę. W kilku punktach kraju wezwano Gwardię Narodową, by chroniła ludność przed wichrzycielami, wandalami, chuliganami i szabrownikami, lecz wszelkie plotki, jakoby niektóre miasta zostały zajęte i były pacyfikowane przez regularne wojsko są z gruntu fałszywe. Kłamstwem jest również sugerowanie, iż podawane w mediach wiadomości są preparowane. Bracia Amerykanie, nie mogę znieść tak plugawych oszczerstw i piętnuję je z całą surowością...

Graffiti na frontonie Pierwszego Kościoła Baptistów w Atlancie, czerwone litery ułożone w słowa:

KOCHANY JEZU. WKRÓTCE SIĘ ZOBACZYMY.
TWÓJ PRZYJACIEL, AMERYKA.
P.S. MAM NADZIEJĘ, ŻE POD KONIEC TYGODNIA
BĘDZIESZ JESZCZE MIAŁ W SWOIM DOMU
JAKIEŚ WOLNE MIEJSCA.

ROZDZIAŁ 27

Larry Underwood rankiem dwudziestego siódmego czerwca siedział na ławeczce w Central Parku, spoglądając w stronę zoo. Z tyłu, za nim Fifth Avenue zakorkowana była mnóstwem aut, teraz milczących, gdyż ich właściciele uciekli, albo zmarli. Nieco dalej w głąb ulicy, sklepy z co cenniejszymi artykułami zmieniły się w rumowiska.

Z miejsca, gdzie siedział, Larry mógł dostrzec lwa, antylopę, zebrową i jakąś małpę. Wszystkie zwierzęta, za wyjątkiem małpy były martwe. Larry uznał, że nie zginęły wskutek grypy, po prostu Bóg jeden wie jak długo nie dostawały wody i pożywienia, i to je w końcu zabiło. Wszystkie zwierzęta, prócz małpy. W ciągu trzech lub czterech godzin, które Larry przesiedział na ławce, małpa poruszyła się zaledwie cztery czy pięć razy. Była dość sprytna, by uniknąć śmierci z głodu lub pragnienia, ale nie umknęła supergrypie. Cierpiała okrutnie. Świat był bezwzględny.

Zegar po jego prawej stronie, ozdobiony figurkami zwierząt wybił jedenastą. Figurki bawiące niegdyś tłumy dzieci występowały dla pustej widowni. Niedźwiedź zadął w róg, mechaniczna małpka, która nigdy nie zarazi się grypą (choć może kiedyś się zepsuć) zagrała na tamburynie, słoń trąbą uderzał w bęben. Smętne tony, dziecinna, bardzo posępna melodia. Suita Koniec Świata w wykonaniu mechanicznych figurynek.

Po jakimś czasie zegar ucichł, a Larry znów usłyszał ochrypły, dobiegający z daleka i mocno wytłumiony krzyk. Osoba, która go wydawała, znajdowała się tego ranka gdzieś po lewej stronie Larry'ego, możliwe że w Heckscher Playground. Może wpadnie do któregoś z tamtejszych basenów i utonie.

– Potwory nadchodzą! – oznajmiał słaby, schrypnięty głos.

Chmury rozwiały się, dzień był pogodny i upalny. Koło nosa Larry'ego przeleciała pszczoła, krążyła nad pobliskim klombem i wylądowała zgrabnie na kwiecie peonii. Z menażerii dobiegło kojące, senne brzęczenie much lądujących na martwych zwierzętach.

– Potwory nadchodzą! – Krzyżącym był wysoki mężczyzna, dobrze po sześćdziesiątce.

Larry usłyszał go po raz pierwszy wczorajszej nocy, którą spędził w Sherry-Netherland. Gdy noc zapadła nad nienaturalnie cichym miastem, słaby, zawodzący głos wydawał się senny i mroczny, jak głos szalonego Jeremiasza płynący pośród ulic Manhattanu i odbijający

się od ścian budynków zniekształconym, skalanym echem. Larry, nie mogąc zasnąć na szerokim, królewskim łożu dla dwóch osób, w strugach światła wpadającego przez okno nabrał osobliwego przeświadczenia, że krzyczący o potworach przybywał właśnie po niego, szukał go, jak to czasami bywało ze stworami z nawiedzających go snów. Przez dłuższy czas miał wrażenie, że głos przybliżał się:

– Potwory nadchodzą! Są już w drodze! Są na przedmieściach!

A Larry był przekonany, że drzwi apartamentu, które zamknął na cztery spusty wylecą nagle z zawiasów i pojawi się w nich nawoływacz – nie człowiek, lecz gigantyczny troll z psią głową, ślepiami wielkości spodków i długimi kłami.

Wcześniej tego ranka, Larry widział go w parku i okazało się, że był to tylko obłąkany stary mężczyzna w sztruksowych spodniach i okularach w rogowej oprawie, którą, najwyraźniej pękniętą, skleił plastrem. Larry próbował odezwać się do niego, na co tamten przerażony natychmiast uciekł w popłochu, krzycząc przez ramię, że lada chwila potwory zjawiają się na ulicach. Wtem potknął się o sięgający kostki siatkowy płótek i wylądował z głośnym, zabawnym plaśnięciem na ścieżce rowerowej. Okulary spadły mu z nosa, ale nie pękły. Larry podszedł do niego, lecz nim zdążył się zbliżyć, nawoływacz schwycił okulary i, podniósłszy się, pognał ku promenadzie, raz po raz wyrzaskując szalone ostrzeżenia. Wtedy też zdanie Larry'ego na jego temat zmieniło się: nie lękał się go już, był co najwyżej znudzony i lekko rozdrażniony obecnością krzykliwego staruszka.

W parku byli też inni ludzie, Larry rozmawiał z kilkoma z nich. Mówili niemal to samo, co Larry. Byli oszołomieni, dezorientowani, z trudem się wysławiali, a gdy mówili, trudno im było pohamować się przed sięgnięciem po twoją rękę. Mieli wiele do opowiadania. Wszystkie historie były identyczne. Ich przyjaciele i krewni umarli lub dogorywali. Na ulicach wybuchały strzelaniny, na Fifth Avenue rozpętało się piekło. Czy to prawda, że nie ma już Tiffany'ego, jak to możliwe? Kto będzie sprzątał? Kto pozbiera śmieci? Czy powinni wyjechać z Nowego Jorku? Słyszeli, że wojsko obstawiało wszystkie drogi wyjazdowe. Jedna z kobiet obawiała się, że szczury wyjdą z tuneli, aby przejąć schedę po ludziach, co przywiódło Larry'emu wspomnienia jego własnych rozważań po powrocie do Big Apple.

Młodzieniec pojadający chipsy z wielkiej torby zwierzył się Larry'emu, że spełnił swoje życiowe marzeń: poszedł na stadion Jankesów, przebiegł nago przez wszystkie bazy i onanizował się na pozycji wyjściowej. „Życiowa szansa, stary” – mruknął, mrugając, i odszedł dalej, zajadając się chipsami.

Wielu ludzi w parku było chorych, ale niewielu tu umarło. Może nie chcieli, by zwierzęta rozwlóczyły ich ciała i, czując zbliżający się kres, powrócili do swoich domów. Larry tego ranka tylko raz widział trupa, ale to wystarczyło aż nadto. Poszedł tego dnia na dworzec autobusowy. Otworzył drzwi i ujrzał siedzącego na ławce, uśmiechającego się trupa, po którego ciele pełzały tłuste robaki. Były wszędzie, na jego twarzy, na dłoniach i nagich udach. Zapadnięte oczy trupa wpatrywały się w Larry'ego. Ze zwłok biła mdląca, słodkawa woń

rozkładu, jakby siedzący był psującym się, przeterminowanym cukierkiem, albo ciastkiem, zostawionym na pastwę much. Larry szybko zamknął drzwi, lecz było już za późno; wyrzucił z siebie zjedzone na śniadanie płatki, a potem wymiotował żółcią, tak mocno, że zaczął obawiać się czy nie wyrzyga z siebie wszystkich wnętrzności. „Boże, jeśli tam jesteś – modlił się, wracając do zoo – i jeśli wysłuchujesz dzisiaj próśb, mam tylko jedno, jedynie życzenie: abym nie musiał dziś oglądać żadnych więcej trupów. Te umarlaki wyglądają naprawdę paskudnie, trzeba mieć nie lada jaja, żeby ich oglądać. Ja nie mam. Z góry dziękuję”.

Obecnie, siedząc na ławeczce (nawoływacz znalazł się, przynajmniej na razie, poza zasięgiem jego słuchu), Larry myślał o World Series sprzed pięciu lat. Miło było wspominać te chwile, bo, choć uświadomił sobie to dopiero teraz, właśnie wtedy, ostatni raz był naprawdę szczęśliwy, w wyśmienitej kondycji fizycznej, odprężony, rozluźniony, a jego umysł nie pracował przeciw niemu.

To było zaraz po jego rozstaniu z Rudym. Fatalna sprawa, że się rozstali. Gdyby kiedykolwiek spotkał Rudy'ego (co raczej wątpliwe, jak podpowiadał mu z westchnieniem wewnętrzny głos) Larry miał zamiar go przeprosić. Ba, całowałby go po nogach, gdyby tylko między nimi znów mogło być jak dawniej.

Zaczęli przejażdżkę po kraju zdezelowanym mercurym rocznik 68, który ostatecznie odmówił posłuszeństwa w Omaha. Od tej pory najmowali się dorywczo do pracy i za zarobione pieniądze podróżowali dalej autostopem. Przez pewien czas pracowali na farmie w Nebrasce – tam właśnie któregoś wieczoru Larry przegrał w pokera sześćdziesiąt dolarów. Następnego dnia musiał poprosić Rudy'ego o pożyczkę. Miesiąc później dotarli do Los Angeles, gdzie Larry pierwszy znalazł sobie robotę – jeżeli zmywanie garów za minimum socjalne można nazwać tym szczytnym mianem. Pewnego wieczoru, jakieś trzy tygodnie później, Rudy podjął temat pożyczki. Powiedział, że spotkał faceta, który polecił mu niezłe biuro pośrednictwa pracy („Robota gwarantowana!”) ale opłata wynosiła dwadzieścia pięć dolarów. Tak się złożyło, że tyle właśnie pożyczył Larry'emu po owej przegranej w pokera. Zazwyczaj w ogóle by nie prosił o zwrot, ale w tej sytuacji...

Larry odparł, że oddał mu już całą należną sumę. Byli kwita. Jeśli Rudy chciał ćwierć setki, nie ma sprawy, dziwił się tylko, że najlepszy kumpel mógł żądać od niego dwukrotnej spłaty jednego długu.

Rudy odwarknął, że nie chce DAROWIZNY, żądał forsy, która mu się należała, a tak w ogóle ma już po dziurki w nosie pana Larry'ego Underwooda. „Chryste – rzucił Larry, usiłując obrócić całą sytuację w żart. – Nigdy nie sądziłem, że będę potrzebował od ciebie pokwitowania. Chyba się pomyliłem”.

Sprzeczka zaczęła się na dobre, niewiele brakowało, a poszłyby w ruch pięści. Pod koniec ostrej wymiany zdań Rudy był cały czerwony na twarzy. „To cały ty, Larry – zawołał. – Cały ty. Taki właśnie jesteś. Sądziłem, że nigdy nie odczuję tego na własnej skórze, ale tak się właśnie stało. Pierdol się, Larry”.

Rudy odszedł, a Larry podążył za nim do schodów niewielkiego, taniego hoteliku, wyłuskując portfel z tylnej kieszeni spodni. Miał w nim trzy banknoty dziesięciodolarowe, starannie zwinięte i włożone do sekretnej przegródki za fotografiami. Wyjął je i rzucił za Rudym. „Masz, parszywy łgarzu. Weź je! Nażryj się! Wsadź je sobie!”

Rudy z trzaskiem zamknął za sobą drzwi i odszedł w noc ku przeznaczeniu, jakie dane jest wszystkim Rudym tego świata. Nie obejrzał się za siebie. Larry stał u szczytu schodów, ciężko dysząc, a minutę lub dwie później odnalazł wzrokiem rzucone na stopnie banknoty, podniósł je i schował do portfela.

Gdy zastanawiał się nad tym zdarzeniem w ciągu ostatnich lat, doszedł do wniosku, że Rudy miał najprawdopodobniej rację. Ba, był tego pewien. Nawet jeżeli mu płacił, Rudy był jego najlepszym kumplem, jeszcze od podstawówki i (z perspektywy czasu) niemal zawsze okazywało się, że Larry'emu brakowało kilku centów do opłaty za wstęp na sobotnią potańcówkę, bo idąc do Rudy'ego kupił kilka pałeczek lukrecji, batonów albo pożyczył mu pieniądze na lunch. Kiedy Rudy poprosił o zwrot dwudziestu pięciu dolarów, Larry pomyślał o tamtych czasach, kiedy mu się nie przelewało. W myślał wziął z trzech dziesiątek dwadzieścia pięć dolarów i usłyszał głos mówiący: „Zostanie ci tylko pięć dolarów. W takim razie na pewno musiałeś już zwrócić mu dług. Nie jestem pewien kiedy, ale zrobiłeś to. Zakończmy już tę sprawę”. I tak też się stało.

Potem jednak został w mieście całkiem sam. Nie miał kolegów, nie próbował nawet z nikim się zaprzyjaźnić, pracując w małej kafejce w Encino. Prawdę mówiąc, był przekonany, że wszyscy, którzy tam pracowali, od wrednego z natury kucharza po kręcące tyłkami, żujące gumę kelnerki, są kompletnymi głąbami i kretynami. Tak, w kafejce Tony'ego wszyscy byli idiotami, wszyscy prócz niego, nobliwego, skazanego na sukces (poważnie!) Larry'ego. Osamotniony w świecie debili czuł się porzucony i żałosny jak zbity pies, albo rozbitek na bezludnej wyspie tęskniący za bratnią duszą. Coraz poważniej zaczął myśleć o powrocie do Nowego Jorku.

I zrobiłby to, nie dalej jak w ciągu paru tygodni... gdyby nie Yvonne.

Spotkał Yvonne Wetterlen w kinie, dwie przecznice od klubu, gdzie pracowała jako tancerka topless. Kiedy rozpoczął się drugi film, szlochając, zaczęła szukać obok fotela swojej torebki. Miała w niej prawo jazdy, książeczkę czekową, legitymację związkową, kartę kredytową, kserokopię aktu urodzenia i kartę z ubezpieczalni. Choć był pewien, że została skradziona, Larry nie powiedział tego na głos i pomógł jej szukać torebki. Czasami odnosimy wrażenie, że żyjemy w baśniowym świecie cudów, gdyż ni stąd ni zowąd Larry odnalazł torebkę Yvonne, leżącą trzy rzędy dalej, w chwili, gdy oboje mieli już zrezygnować z poszukiwań. Uznał, że musiała tam zawędrować odkopnięta przez rozprostowujących nogi widzów z sąsiednich foteli, nudzących się niepomniernie, ponieważ film był kompletną chałgą. Yvonne uściskała go i dziękowała ze łzami w oczach. Larry, czując się jak Kapitan Ameryka

powiedział, że chętnie zaprosiłby ją na hamburgera, aby uczcić ich sukces, lecz niestety finansowo znajdował się akurat pod kreską.

Yvonne zaproponowała, że ureguluje rachunek. Larry przystał na to.

Zaczęli się spotykać; po niecałych dwóch tygodniach widywali się już regularnie. Larry znalazł sobie lepszą posadę sprzedawcy w księgarni i dorabiał, śpiewając z grupą o nazwie Hotshot Rhythm Rangers & All-Time Boogie Band. Nazwa była z tego wszystkiego najlepsza, ale na gitarze wioskował tam Johnny McCall, który później przejdzie do jego odjazdowej kapeli.

Larry i Yvonne zamieszkali razem i dla niego wszystko się zmieniło. Poniekąd dlatego, że miał wreszcie swoje miejsce na Ziemi, własny kąt za który płacił połowę czynszu. Yvonne załatwiła nowe zasłony, potem zdobyli skądś tanie, używane meble, zaczęli ich odwiedzać inni członkowie kapeli i znajomi Yvonne. W mieszkaniu za dnia było jasno, a nocą rześka kalifornijska bryza przynosiła ze sobą chłód i aromatyczną woń pomarańczy. Czasami nikt nie przychodził i oboje z Yvonne oglądali telewizję, a niekiedy ona przynosiła mu puszkę piwa i, siadając na oparciu fotela, masowała mu kark. To było jego miejsce, jego DOM, do cholery. Bywało, że nie mogąc zasnąć, leżał w łóżku, niemal do rana obejmując śpiącą obok Yvonne i rozmyślając o tym, jak mu było dobrze. Wreszcie usypiał snem sprawiedliwego, nie zaprzatając sobie głowy Rudym Marksem. No, w każdym razie myślał o nim bardzo rzadko.

Mieszkali razem przez czternaście miesięcy, ich idylla zaczęła się psuć dopiero w ostatnich tygodniach, wtedy z Yvonne zrobiła się prawdziwa suka, a dla Larry'ego początkiem końca były właśnie rozgrywki World Series. Tego dnia odbębnił swoje w księgarni, a potem odwiedził Johnny'ego McCalla, by we dwóch – cała grupa miała sesję w weekendy, gdyż dwaj pozostali członkowie kapeli pracowali nocami – popracować nad nowymi kawałkami, albo ćwiczyć stare szlagiery, które Johnny nazywał „barowymi bombami”, w rodzaju piosenek *Nobody but Me* i *Double Shot of My Baby's Love*.

Potem wrócił do domu, do SWOJEGO domu, a Yvonne już przygotowała kolację. Nie telewizyjny szajs. Prawdziwe, domowe jedzenie. Dziewczyna umiała gotować. Potem poszli do pokoju, włączyli telewizor i obejrzel mecz. Jeszcze później kochali się. To wszystko wydawało się takie słuszne, wszystko zdawało się należeć do niego. Nic nie zaprzatało jego myśli, nic go nie niepokoiło.

Od tamtej pory nic nie było takie, jak być powinno. Nic nie było w porządku. Absolutnie nic.

Zorientował się, że płacze i zrobiło mu się wstyd. Rozkleił się, siedząc tak na ławce w Central Parku, jak jakiś stary pryk z domu spokojnej starości. I wtedy zrozumiał, że miał prawo oplakiwać to wszystko co stracił, miał prawo być w szoku, jeżeli jego reakcję wywołał właśnie ów wstrząs.

Jego matka zmarła przed trzema dniami. Leżała na łóżku w korytarzu Mercy Hospital i tam też umarła, wśród tysięcy innych dogorywających chorych. Larry klęczał obok niej, gdy

odchodziła. Miał wrażenie, że stracił zmysły, nie mógł znieść widoku umierającej matki, wszechobecnej, dławiącej woni fekaliów i uryny, przyprawiającego o obłęd bełkotu mających chorych, odgłosów dławienia się i przeraźliwych, szalonych wrzasków potwornie cierpiących ludzi. Pod sam koniec już go nie rozpoznawała, nie było ostatniego przeblysku świadomości. Jej pierś uniosła się i niespodziewanie zatrzymała w pół oddechu i opadła wolno, bardzo wolno. Zupełnie jak ciężar auta osuwa się i spłaszcza przebitą oponę. Klęczał przy niej przez prawie dziesięć minut, nie wiedząc, co ma robić, w głowie miał mętlik, głosy podpowiadały mu, że powinien poczekać aż ktoś wypisze akt zgonu jego matki, albo przynajmniej zapyta go, co się stało. Jednak to co się stało było aż nadto oczywiste, podobne sceny rozgrywały się wokół niego przez cały czas. Szpital przypominał dom wariatów. Nie mógł oczekiwać, że zjawi się przy nim jakiś stroskany młody lekarz, by wyrazić współczucie, a potem puścić w ruch maszynę śmierci. Prędkiej czy później jego matkę wyniosą z korytarza jak worek zboża, a on nie chciał tego oglądać. Pod łóżkiem leżała jej torebka. Znalazł w niej pióro, spinkę i notes. Wyrwał kartkę z notesu, napisał na niej jej imię i nazwisko, adres a także, po chwili namysłu, wiek. Następnie przypiął kartkę spinką do kieszonki koszuli zmarłej i rozplakał się. Pocałował ją w policzek i wybiegł ze szpitala, szlochając. Czuł się jak dezertor. Na ulicy poczuł się nieco lepiej, choć trzy dni temu w mieście roiło się od szaleńców, chorych i wojskowych patroli. A teraz, siedząc na ławeczce, opłakiwał utratę rzeczy znacznie ważniejszych – utratę emerytury jego matki, własną zaprzepaszczoną karierę, tamte chwile w Los Angeles, kiedy z Yvonne oglądali mecz, wiedząc, że później pójdą do łóżka i będą się kochać, oraz Rudy'ego. Najbardziej brakowało mu Rudy'ego. Żałował, że nie oddał mu z uśmiechem i wzruszeniem ramion tych dwudziestu pięciu dolarów i nie ocalił owych sześciu, bezpowrotnie dla niego straconych lat.

Małpa zdechła za kwadrans dwunasta.

Siedziała na gałęzi, osowiała i apatyczna, z łapkami pod brodą, gdy nagle zatrzepotała powiekami i runęła do przodu, uderzając o beton z ostatnim upiornym mlaśnięciem.

Larry nie chciał tam dłużej siedzieć. Wstał i ruszył w stronę promenady opodal, z ogromną muszlą koncertową odcinającą się na tle nieba. Jakies piętnaście minut temu znów usłyszał nawoływania, teraz jednak jedynymi odgłosami, jakie rozlegały się w parku były jego kroki i świergot ptaków. Ptaki najwyraźniej nie chorowały na grype. Tym lepiej dla nich.

Kiedy podszedł do sceny ujrzał, że siedziała przed nią na ławce jakaś kobieta. Miała około pięćdziesięciu lat ale sporo się natrudziła, by wyglądać młodziej. Nosila drogie, sądząc po wyglądzie, szarozielone spodnie i jedwabną bluzkę. Na dźwięk kroków Larry'ego odwróciła się. W jednej dłoni miała pigułkę, którą połknęła jak orzeszek.

– Cześć – rzucił Larry.

Wydawała się spokojna, miała niebieskie, błyszczące przenikliwą inteligencją oczy. Nosila okulary w złotych oprawkach, a jej torebka zdobiona była wstawkami z norek. Na

palcach miała cztery pierścionki – obrączkę, dwa pierścienie z brylantami i jeden z „kocim okiem”.

– Uhm... nie jestem niebezpieczny – powiedział. Uznał, że mogło to zabrzmieć absurdalnie, ale przecież ta kobieta nosiła na palcach dobre dwadzieścia tysięcy dolarów. Oczywiście mogły to być nic nie warte świecidełka, choć Larry nie sądził, aby ta nieznajoma dama lubiła obnosić się z ozdobami z tombaku i cyrkoniami.

– Nie – rzekła. – Nie wyglądasz na groźnego, ani na chorego. – Zaakcentowała ostatnie słowo, nadając zdaniu charakteru pytania. Nie była tak spokojna, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. Miała lekki tik mięśni szyi, a pod maską bystrości i inteligencji w jej oczach skrywało się to samo otępienie i szok, które Larry dostrzegł w swoich, gołąc się dziś rano.

– Nie. Nie jestem chory. Chyba nie. A ty?

– Też nie. Wiesz, że masz przyklejony do buta papierek po lodach?

Spuścił wzrok. Rzeczywiście. Zacerwienił się, gdyż powiedziała to takim tonem, jakby miał rozpięty rozporek. Stał na jednej nodze i spróbował odkleić papier.

– Nie stój tak, jak bocian – powiedziała. – Usiądź i zrób to porządnie. Nazywam się Rita Blakemoor.

– Miło mi. Jestem Larry Underwood.

Usiadł. Podała mu rękę. Uścisnął ją delikatnie, palcami musnął jej pierścienie. Wreszcie, energicznym ruchem zerwał przyklejone do podeszwy opakowanie po lodach i wrzucił je do stojącego przy ławce kosza z napisem TO TWÓJ PARK, ZACHOWAJ GO W CZYSTOŚCI! Wydało mu się to zabawne. Wybuchnął śmiechem. Śmiał się szczerze po raz pierwszy odkąd wrócił do domu, gdzie zastał swoją matkę leżącą na podłodze. Z ogromną ulgą stwierdził, że wciąż sprawiało mu to przyjemność. Śmiech rodził się w żołądku i radosną falą wypływał spomiędzy rozchylonych warg.

Rita Blakemoor uśmiechała się zarazem z nim i do niego, a Larry’ego raz jeszcze uderzyła jej elegancja i wdzięk. Wyglądała jak postać z powieści Irwina Shawa. Z Nightwork albo któregoś z seriali telewizyjnych, które oglądał przed laty.

– Kiedy usłyszałam, że nadchodzisz, w pierwszej chwili chciałam się schować – wyznała. – Wzięłam cię za tego mężczyznę w połamanych okularach, wyznającego dziwną filozofię.

– Głosiciela nadejścia potworów?

– Ty go tak ochrzciłeś, czy on sam tak siebie nazwał?

– Ja.

– Bardzo trafnie – rzekła, otwierając swoją torebkę ozdobioną (być może) wstawkami z norek i wyjmując paczkę mentolowych papierosów. – Kojarzy mi się z szalonym Diogenesem.

– Tak, o potworach mowa, a potwór tuż, tuż – rzekł Larry i znów się roześmiał.

Kobieta zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym.

– On także jest zdrowy – dodał Larry. – W przeciwieństwie do większości.

– Odźwierny w kamienicy gdzie mieszkam również wydaje się być w dobrej formie – odrzekła Rita. – Wciąż pełni służbę. Wychodząc dziś rano, dałam mu pięć dolarów napiwku. Nie wiem, czy nagrodziłam go za to, że pracuje, czy że jest zdrowy. A ty jak uważasz?

– Nie znam cię na tyle dobrze, by móc to stwierdzić.

– To prawda. – Schowała papierosy do torebki i Larry zauważył, że miała w niej rewolwer. Podążyła za jego spojrzeniem. – Należał do mego męża. Był szanowanym pracownikiem wielkiego nowojorskiego banku. Miał przed sobą wspaniałą karierę. Zawsze to powtarzał, gdy pytano go, co robi i jakim cudem zachowuje pogodę ducha. Umarł dwa dni temu. Był na obiedzie z jednym z tych Arabów, co to zawsze wyglądają jakby każdy cal odsłoniętej skóry mieli posmarowany brylantyną. Zawał. Umarł pod krawatem. Czy uważasz, że może to być dla naszego pokolenia odpowiednikiem starego powiedzenia: „Umarł w butach”? Harry Blakemoor umarł pod krawatem. To mi się podoba, Larry.

Na ziemi przed nimi usiadła zięba i zaczęła dziobać w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia.

– Obłędnie bał się włamywaczy, kupił więc ten rewolwer. Powiedz, Larry, czy rewolwery naprawdę mają taki duży odrzut i robią wiele huków?

Larry, który nigdy w życiu nie strzelał z żadnej broni, odparł:

– Nie sądzę, aby takie maleństwo miało dużego kopa. To .38-ka?

– Chyba .32-ka.

Wyjęła broń z torebki i ujrzała na jej dnie kilkanaście małych buteleczek z lekarstwami. Tym razem nie podążyła za jego wzrokiem, patrzyła na nieduże, oddalone o jakieś piętnaście kroków drzewo.

– Chyba ją wypróbuję. Sądysz, że trafię w to drzewo?

– Nie wiem – mruknął niepewnie. – Nie sądzę...

Ściągnęła spust i rewolwer wypalił z głośnym hukiem. W pniu drzewa pojawiła się mała, dymiąca dziurka.

– Strzał w dziesiątkę – rzuciła cicho i jak wytrawny rewolwerowiec dmuchnięciem rozwiała dym wypływający z krótkiej lufy.

– Naprawdę nieźle – rzekł Larry, ale jego serce odzyskało w miarę normalny rytm dopiero, gdy schowała broń z powrotem do torebki.

– Do człowieka bym nie strzeliła. Jestem o tym przekonana. A zresztą już wkrótce i tak nie będzie do kogo strzelać, czyż nie?

– Trudno mi powiedzieć.

– Patrzyłeś na moje pierścionki. Chciałbyś któryś z nich?

– Co takiego? Nie!

Znów się zarumienił.

– Jako bankier, mój mąż wierzył w brylanty. Wierzył w nie tak jak baptyści w objawienie Świętego Jana. Mam mnóstwo brylantów i wszystkie są ubezpieczone. Harry i ja nie tylko

posiadaliśmy te kamienie, czasami wydaje mi się, że mieliśmy na nie wyłączne prawo zastawne. Gdyby jednak ktoś chciał mi je odebrać, oddałabym je bez słowa skargi. Wszak to tylko zwyczajne kamienie, nieprawdaż?

– Chyba tak.

– Oczywiście – powiedziała; tik z boku jej szyi powrócił. – A gdyby zechciał ich jakiś rabuś nie tylko bym mu je oddała, lecz podałam mu również adres Cartiera. Ich wybór kamieni jest znacznie lepszy od mojego.

– Co teraz zrobisz? – zapytał Larry.

– A co proponujesz?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – Larry westchnął.

– To jest nas dwoje.

– Wiesz co? Dziś rano spotkałem faceta, który powiedział, że poszedł na stadion Jankesów i zwa... onanizował się na pozycji wyjściowej.

Poczuł, że znów się czerwieni.

– To kawał drogi – odparła. – Dlaczego nie zaproponujesz czegoś bliższego?

Westchnęła, a westchnienie przerodziło się w dreszcz. Otworzyła torebkę, wyjęła butelkę pigułek i wrzuciła do ust żelatynową kapsułkę.

– Co to? – zapytał Larry.

– Witamina E – odrzekła z fałszywym uśmiechem. Drżenie mięśni jej szyi ustało po chwili. Znów się rozpromieniła.

– Bary świecą pustkami – powiedział nagle Larry. – Zajrzałem do Pata przy 43 Street i nie było tam żywego ducha. Mają tam wielki mahoniowy bar, stanąłem za nim i nalałem sobie całą szklankę Johnnie Walkera. I nagle odechciało mi się wszystkiego. Zaprzagnąłem wyjść stamtąd. Zostawiłem szklankę na kontuarze i poszedłem sobie.

Westchnęli równocześnie.

– Miło się z panią gawędzi, pani Blakemoor – rzekł. – Bardzo panią lubię. I cieszę się, że nie jest pani wariatką.

– Rita. Jestem Rita.

– W porządku.

– Jesteś głodny?

– Owszem, tak.

– Może zabierzesz swoją damę na obiad.

– Z przyjemnością.

Wstała, po czym z nieco lekceważącym uśmiechem podała mu ramię. Gdy obejmował je swoim, poczuł zapach jej saszetki z perfumami, zapach, który zawsze kojarzył mu się z dorosłością i poczuciem bezpieczeństwa. Jego matka zawsze miała taką saszetkę przy sobie, kiedy szli razem do kina.

A potem o tym zapomniał, wyleciało mu to z pamięci, kiedy opuścili park i ruszyli wzdłuż Fifth Avenue, oddalając się od zdechłej małpy, nawoływacza wieszczącego nadejście potworów i mroczno-słodko-mdlącej niespodzianki na dworcu nieopodal. Rita trąkotała jak nakręcona, lecz później Larry nie pamiętał ani słowa z tego, co mówiła (nie, nieprawda, zapamiętał jedno: zawsze śniła, że idzie wzdłuż Fifth Avenue, pod rękę z przystojnym mężczyzną, tak młodym, że mógłby być jej synem, lecz nie był nim w istocie). Pamiętał natomiast co innego, samą przechadzkę, zwłaszcza po tym, jak zaczęła się rozłazić w szwach, rozsypywać niczym źle skręcona zabawka. Jej piękny uśmiech, banalny, cyniczny, trywialny monolog, szelest materiału spodni.

Weszli do restauracji. Posiłkiem zajął się Larry i choć nie okazał się kucharzem doskonałym, Rita chwaliła w głos przyrządzone przez niego dania – stek z frytkami i ciastka truskawkowo-rabarbarowe, które popili kawą rozpuszczalną.

ROZDZIAŁ 28

W lodówce był placek truskawkowy. Frannie tępym wzrokiem przyglądała się przez dłuższą chwilę ciastu owiniętemu w folię, aż w końcu je wyjęła. Postawiła placek na ladzie i odkroiła kawałek. Gdy przenosiła go na talerzyk, ze środka wypadła truskawka i z mlaśnięciem rozbryznęła się na blacie. Podniosła truskawkę i zjadła. Mokry ślad wytarła ściereczką. Następnie przykryła placek folią i wstawiła z powrotem do lodówki.

Odwracała się w stronę talerza, kiedy jej wzrok padł na znajdujący się obok kredensu wieszak na noże. Był dziełem jej ojca, który zaopatrzył go w dwa namagnesowane paski metalu. Noże zwisały z nich, ostrzami do dołu. Promienie wczesnopołudniowego słońca odbijały się w ich powierzchni. Przez dłuższą chwilę przyglądała się nożom; jej wzrok nie wystrzył się jednak, a dłonie nerwowo mięły brzegi fartucha opinającego ją w talii. Wreszcie, jakieś piętnaście minut później przypomniała sobie, że coś przygotowywała. Ale co? Ni stąd ni zowąd przyszły jej do głowy dziwne skojarzenia. Pestka. To pestka. Bułka. Jaka bułka? Bułka z masłem? Z dżemem? Dżem? Nie. Ciastko. Ciastko z kremem. Ciastko z dżemem. Ciasto. Odwróciła się w stronę talerza i ujrzała muchę spacerującą po kawałku placka. Odgoniła ją machnięciem ręki. „Muchy precz od mojego ciasta”.

Przyglądała mu się długo. Wiedziała, że oboje rodzice nie żyli. Matka zmarła w szpitalu Sanford, a ojciec, który sprawił, że jego mała córeczka poczuła się w jego warsztacie osobą kochaną i pożądaną, leżał martwy w łóżku, w pokoju na piętrze. „Martwy. Zimny trup. Wziął i łup. W łóżku grób”. Dlaczego zaczęły jej przychodzić do głowy te kretyńskie rymy?

I nagle zdała sobie sprawę ze wszystkiego, a całe jej ciało przeszył dreszcz zgrozy.

W pokoju czuć było spalenizną. Coś się fajczyło.

Frannie energicznie odwróciła głowę i ujrzała patelnię do frytek, pełną oleju, którą postawiła na kuchence i na śmierć o niej zapomniała. Z patelni bił kłęb cuchnącego, czarnego dymu. Tłuszcz pryskał na wszystkie strony gniewnymi bryzgami, a krople lądujące na kuchence zaraz zgasty, jakby niewidzialna dłoń zapalała niewidzialną zapalniczkę. Dno patelni było czarne jak smoła.

Dotknęła rączki patelni i z cichym sykiem zaraz cofnęła dłoń. Metal parzył dotkliwie. Owinęła ścierekę wokół rączki patelni i ostrożnie wyniosła syczące jak rozjuszony smok

naczynie na zewnątrz. Postawiła patelnię na górnym stopniu schodów. Wiatr przyniósł do niej zapach kapryfolium i brzęczenie pszczół, ale prawie tego nie zauważyła. Na chwilę w pancerzu nieczułości, którym otaczała się od czterech dni pojawiła się szczelina i Fran poczuła prawdziwe, dojmujące przerażenie. Przerażenie? Raczej trwogę, od paniki dzielił ją tylko mały krok.

Przypomniała sobie jak obierała ziemniaki i pokrojone wrzucała do oleju, by przygotować frytki. Teraz już pamiętała. Przez chwilę jednak była kompletnie... ech! Zupełnie zapomniała.

Stojąc na ganku ze ścierką w dłoni, usiłowała przypomnieć sobie o czym myślała po tym, jak wstawiła frytki aby się usmażyły. To wydawało się jej bardzo istotne.

Cóż, z początku sądziła, że posiłek składający się wyłącznie z frytek nie będzie zbyt pożywny. Potem doszła do wniosku, że gdyby McDonald's przy szosie numer 1 wciąż był czynny, nie musiałaby smażyć ich sama i mogłaby również zjeść hamburgera. Wystarczyło podjechać do okienka dla zmotoryzowanych i uchylić boczną szybę. Zamówiłaby ćwierćfuntowca i duże frytki w czerwonym, kartonowym pudełku z małymi plamkami tłuszczu od wewnętrznej strony. Bez wątpienia niezdrowe żarcie, ale sama myśl o nim przynosiła ukojenie i pocieszenie. Poza tym kobiety w ciąży miawały dziwaczne zachcianki.

To przywiodło ją do kolejnego ogniwa łańcucha. Myśli o dziwacznych zachciankach obudziły w niej chęć na ciasto z truskawkami. To pragnienie było nie do odparcia. Zaspokoila je, ale w pewnej chwili jej wzrok padł na półkę na noże, którą ojciec zrobił dla matki (pani Edmonton, żona lekarza, tak bardzo jej im zazdrościła, że Peter zrobił drugą także dla niej i podarował jej na Gwiazdkę, dwa lata temu), potem zaś jej umysł... jakby się przegrzał... ciastka, trupy, muchy...

– O Boże – rzekła do pustego podwórza i zachwaszczonego, zapuszczonego ogródka taty. Usiadła, zakryła twarz fartuchem i zapłakała.

Kiedy łyzy obeschły, poczuła się jakby trochę lepiej, jednak wciąż była przerażona. „Czy popadam w obłąd? – zapytała samą siebie. – Czy to tak wygląda, czy tak właśnie się dzieje, kiedy dosięga cię załamanie nerwowe albo coś w tym rodzaju?”

Od śmierci ojca o wpół do ósmej poprzedniego wieczoru, jej zdolność skupienia się na czymkolwiek znacznie osłabła. Zapominała o tym, co akurat robiła, błędziła gdzieś myślami lub po prostu siedziała, nie myśląc o niczym konkretnym, podczas gdy świat znaczył dla niej tyle co główka kapusty, a może nawet mniej.

Kiedy ojciec zmarł bardzo długo siedziała przy jego łóżku. Wreszcie zeszła na dół i włączyła telewizor. Zrobiła to bez konkretnej przyczyny, po prostu uznała, że to całkiem niezły pomysł. Jediną czynną rozgłośnią była WCSH, regionalna stacja NBC w Portland, która nadawała jakiś szalony z pozoru teleturniej. Murzyn, wyglądający jak ucieleśnienie najgorszego koszmaru każdego Ku-Klux-Kla-nowca udawał, że rozstrzeliwał kolejnych białych, podczas gdy zebrani na sali widzowie urządzali na jego cześć huczną owację.

Naturalnie to wszystko musiało być wyreżyserowane, takich rzeczy nie puszczone by w telewizji, gdyby ludzie ginęli naprawdę, choć wyglądało to nader realistycznie. To co ujrzała przywiodło jej na myśl *Alicję w krainie czarów*, tylko że to nie Królowa Kier wołała: „Ściąć im głowy!” lecz ktoś... coś innego. Król Pik. Tak. Właśnie. Tak przypuszczała. Choć ten byczek w przepasce biodrowej nie wyglądał raczej na Króla. Na Księcia też zresztą nie.

Później (nie potrafiła powiedzieć, ile czasu upłynęło) do studia wdarli się jacyś mężczyźni i miała miejsce strzelanina wyreżyserowana jeszcze bardziej realistycznie niż wcześniejsze egzekucje. Ujrzała ludzi niemal zdekapitowanych ogniem z broni maszynowej, ciskanych w tył impetem trafiających w nich kul i krew buchającą strugami z ich rozszarpanych arterii. Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że ani razu nie widziała na ekranie planszy czy choćby znaku ostrzegającego rodziców, iż prezentowany program zawierał sceny drastyczne, niedozwolone dla dzieci i nieletnich, aby mogli oni położyć bachory do łóżka lub przełączyć się na inny kanał. Przyszło jej również na myśl, że za takie numery WCSH mogła stracić licencję na nadawanie. Ten program był naprawdę piekielnie krwawy.

Wyłączyła telewizor, kiedy kamera wymierzyła swój obiektyw w górę, ukazując zwieszające się z sufitu lampy i położyła się na tapczanie również wbijając wzrok w sufit. Potem zasnęła, a dziś rano była bardziej niż przekonana, że cały ten program po prostu się jej przysnił. W tym właśnie sęk: WSZYSTKO wydawało się jej koszmarem pełnym uwolnionych lęków. Zaczęło się od śmierci jej matki, odejście ojca jedynie wzmogło to, co już w niej tkwiło. Jak w Alicji sprawy stawały się coraz ciekawsze i ciekawsze.

W mieście urządzono specjalne spotkanie. Jej ojciec był na nim, choć do tego czasu zdążył już poważnie się rozchorować. Frannie, czując się oszołomiona i nierzeczywista lecz fizycznie nie inaczej niż zwykle, udała się wraz z nim.

W ratuszu miejskim było tłoczno, znacznie bardziej niż podczas podobnych spotkań w końcu lutego i na początku marca. Słyszał się kichanie, kasłanie i pociąganie nosami. Uczestnicy spotkania wyglądali na przerażonych, byle drobnostka mogła wywołać wybuch niekontrolowanej wściekłości. Mówili głośno i ochryple. Wstawali z miejsc. Wygrażali pięściami. Żegnali się. Wielu z nich – nie tylko kobiety – miało łzy w oczach.

W rezultacie podjęto decyzję o całkowitym odcięciu miasta. Nikomu nie będzie wolno do niego wejść ani wjechać. Jeśli ludzie pragnęli opuścić miasto – droga wolna – grunt, by zdawali sobie sprawę, że nie będzie już dla nich powrotu. Drogi wjazdowe i wyjazdowe – wśród nich najbardziej uczęszczana US 1 – zostaną zablokowane autami (po trwającej pół godziny pyskówce zgodzono się na ciężarówki należące do Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Publicznych), a przy blokadach czuwać będą ochotnicy ze strzelbami. Próbujący dotrzeć US 1 na północ lub południe będą kierowani na północ do Wells, a na południe, do York, objazdami, I-95 omijając Ogunquit. Każdy kto próbowałby się przebić, zostanie zastrzelony. „Na śmierć?” – zapytał ktoś. „A jak, kurde” – rozległy się głosy.

Grupka około dwudziestu osób upierała się by tych, którzy już są chorzy natychmiast wywieźć z miasta. Zostali jednak przegłosowani, gdyż wieczorem dwudziestego czwartego, kiedy odbywało się spotkanie prawie wszyscy jeszcze zdrowi mieli chorych krewnych lub przyjaciół w mieście. Wielu wierzyło w podawane w telewizji informacje, że już wkrótce rozpocznie się ogólnokrajowa dystrybucja szczepionek przeciwko supergrypie. Jak mogliby kiedykolwiek spojrzeć na siebie w lustrze, gdyby dali się ponieść panice i wydalić wszystkich chorych LETNIKÓW. Letnicy, których było dość sporo zaoponowali, stwierdzając nie bez racji, że z podatków za swe letnie domki od lat wspierali miejskie szkoły, drogi, ubogich oraz publiczne plaże. Dzięki ich pieniądzom napływającym w sezonie mogły kręcić się interesy, które w okresie od połowy września do połowy czerwca szły bardzo słabo. Jeśli zatem zostaną potraktowani tak obcesowo, mieszkańcy Ogunquit mogli być pewni, że już nigdy więcej ich nie zobaczą. Niech znów zajmą się połowami homarów, małży i ciułają grosz do grosza, wygrzebując z błotnistej plaży jadalne mięczaki. Pomysł aby wydalić z miasta chorych letników upadł sporą przewagą głosów.

Przed północą ustawiono pierwsze zapory, a przed świtem następnego ranka, dwudziestego piątego czerwca, padły przy nich pierwsze ofiary, było kilku rannych i trzech lub czterech zabitych. Byli to uchodźcy z Bostonu, przenoszący się na północ, ogarnięci strachem i zaślepiającą, bezmyślną paniką. Kilka osób bez sprzeciwów zawróciło w stronę Yorku, aby ominąć Ogunquit, inni jednak byli zbyt szaleni, by pojąć co do nich mówiono i próbowali sforsować zapory albo objechać je poboczem. Poradzono sobie z nimi.

Niemniej do wieczora większość mężczyzn na barykadach również była chora. Rozpaleni z gorączki, raz po raz odstawiali strzelby na bok, by wydmuchać nos. Niektórzy, jak Freddy Delancey i Curtis Beauchamp padli po prostu nieprzytomni na ziemię, później zaś przewieziono ich do prowizorycznego szpitala urządzonego w gmachu ratusza, gdzie zmarli.

Poprzedniego ranka ojciec Frannie, który sprzeciwiał się pomysłowi wzniesienia zapor, położył się do łóżka, a Frannie została przy nim, by go pielęgnować. Nie mógł pozwolić, by zawiozła go do szpitala. Powiedział Frannie, że jeśli ma umrzeć, chce odejść tak jak należy, w zaciszu swego domu.

Do południa ruch na drogach ustał prawie zupełnie. GUS Dinsmore, zarządca parkingu przy plaży, stwierdził, że najprawdopodobniej szosy zakorkowane zostały taką liczbą unieruchomionych aut, że poruszanie się po nich było niemożliwe nawet dla zdrowych, posiadających sprawne wozy kierowców. Może to i lepiej, gdyż do południa dwudziestego piątego czerwca ludzi zdolnych do pełnienia wart przy zaporach było niespełna trzy tuziny. Gusowi, który jeszcze do wczoraj czuł się doskonale, też ciekło z nosa. Poza Franny jedyną ewidentnie zdrową osobą w mieście był szesnastoletni brat Amy Lauder, Harold. Sama Amy zmarła jeszcze przed pierwszym spotkaniem w ratuszu, a jej suknia ślubna, której nie zdążyła przywdziać, została w szafie.

Dziś Fran nie wychodziła z domu, nie widziała się z nikim od wczorajszego popołudnia, kiedy GUS zajrzał by sprawdzić, co u niej słychać. Tego ranka Fran słyszała kilkakrotnie odgłos silników, a raz nawet podwójny huk wystrzału z dubeltówki, lecz nic więcej. Niczym nie zmałona, grobowa cisza potęgowała jeszcze wrażenie nierealności wszystkiego, co ją otaczało. A teraz te nieuczestane myśli, które nie dawały jej spokoju.

– Muchy... trupy... placki...

Frannie uświadomiła sobie, że wsłuchuje się w szum lodówki. Urządzenie miało automatyczną formę do lodu i co dwadzieścia kilka sekund z wnętrza dobiegał stuk kolejnej spadającej kostki.

Siedziała tak prawie przez godzinę, mając przed sobą talerz, a jej oblicze przepełniał wciąż ten sam, tępy, bezmyślny wyraz. Stopniowo w jej mózgu zaczęła kiełkować kolejna myśl – nie, dwie myśli, z pozoru wynikające z siebie nawzajem i zarazem nie mające żadnego związku. Czy stanowiły przeplatające się elementy jakiejś głębszej myśli? Słuchając odgłosów spadających kostek lodu wewnątrz lodówki, zastanawiała się nad obiema.

Pierwsza myśl brzmiała, że jej ojciec nie żyje. Umarł w domu i być może był z tego powodu zadowolony.

Druga myśl wiązała się z obecnym, letnim dniem. Był ciepły, wręcz upalny, niebo bez jednej chmurki. Dla takich właśnie dni, turyści zjeżdżali na wybrzeże do Maine. Nie przyjeżdżali tu aby pływać, gdyż woda nigdy nie była dostatecznie ciepła. Letnicy przybywali do Maine by radować się pięknem słonecznych dni.

Słońce prażyło niemiłosiernie. Frannie zerknęła na termometr za kuchennym oknem. Słupek rtęci zatrzymał się tuż pod kreską oznaczającą aż 80 stopni Fahrenheita. Dzień był piękny, a jej ojciec nie żył. Czy te dwie myśli były ze sobą w jakiś sposób powiązane?

Zasępiła się, jej oczy wyglądały na apatyczne i przepełnione zakłopotaniem. Umysł Fran zaczął rozpatrywać sytuację w jakiej się znalazła, by wkrótce zająć się czymś innym. Ale wciąż wracał do palącego problemu.

Był piękny, UPALNY dzień, a jej ojciec nie żył.

I wtedy zrozumiała, tak nagle i niespodziewanie, jakby dosięgnął ją fizyczny cios. Zmrużyła oczy.

Jednocześnie ściągnęła rękoma obrus, strącając ze stołu talerz. Szkło rozprysło się z hukiem w drobny mak, a Frannie wrzasnęła, uniosła obie dłonie do policzków, rozorując je paznokciami do krwi. Wzrok znów miała czujny i bystry. Zupełnie jakby ktoś ją uderzył albo podsunął pod nos otwartą butelkę z amoniakiem.

Nie można trzymać trupa w domu. Nie latem. Nie kiedy jest gorąco. Znów zaczęła ją ogarniać apatia, rozmazując kontury myśli. Groza całej sytuacji pozostała mglista i niejasna, utajona. Fran znów zaczęła nasłuchiwać stukotu spadających kostek lodu...

Zwalczyła to w sobie. Wstała, podeszła do zlewu, puściła zimną wodę i zaczęła ochlapywać nią sobie twarz. Chłodne strugi zmroziły jej zroszoną potem, rozpaloną skórę.

Mogła odejść dokąd tylko chciała, najpierw jednak musiała zrobić co do niej należało. Nie miała wyboru. Nie mogła pozwolić, by został tam, na górze, w łóżku, poddając się przyspieszonemu upałami procesowi rozkładu. Zbyt przypominało to opowiadanie Faulknera, które czytała w zbiorze lektur w college'u, *Róża dla Emilii*. Ojcowie miasta nie wiedzieli co było źródłem potwornego odoru, lecz po pewnym czasie przestało śmierdzieć.

To... to...

– Nie! – wrzasnęła w głos do rozpromienionej słońcem kuchni. Zaczęła krążyć niespokojnie, zastanawiając się co robić dalej. W pierwszej chwili pomyślała o miejscowym domu pogrzebowym. Ale kto miałby... kto mógłby...

– Powiedz to głośno! – wybuchnęła nagle. – Kto go pogrzebie?

I wraz z dźwiękami jej głosu pojawiła się odpowiedź. Była jasna jak słońce. Ona. To przecież oczywiste. Któżby inny? Oczywiście, że ona.

Było wpół do trzeciej po południu, kiedy usłyszała samochód wtaczający się na podjazd, ciężki silnik pomrukiwał z zadowoleniem, na niskim biegu. Frannie odłożyła łopatę na brzeg dołu – kopała w ogrodzie, pomiędzy pomidorami, a kapustą. Odwróciła się, odrobinę zaniepokojona.

Autem okazał się fabrycznie nowy, zielony cadillac coupe de ville, a wysiadł z niego szesnastolatek, Harold Lauder. Frannie poczuła niesmak i obrzydzenie. Nie lubiła Harolda. Właściwie nie знаła nikogo kto darzyłby go sympatią i nawet jego zmarła siostra, Amy, nie znosiła go. Może jego matka. Swoistą gorzką ironią wydawało się jej, że w całym Ogunquit, spośród wszystkich ludzi, został akurat nastolatek, którego szczerze nienawdziła.

Harold był redaktorem magazynu literackiego miejscowego liceum i drukował w nim swoje dziwne nowele, pisane w czasie terażniejszym, w drugiej osobie, a niekiedy jedno i drugie. „Zapuszczasz się w głąb onirycznego korytarza, wyważasz zamknięte drzwi i patrzysz na gwiazdy wyścigów” – oto próbka stylu Harolda.

„On się spuszcza w gacie – wyznała jej kiedyś Amy. – Czy to nie obrzydliwe? Spuszcza się w gacie i nosi je tak długo aż zeszywnieją”.

Harold miał czarne, przetłuszczone włosy. Był dość wysoki, około metra osiemdziesiąt dwa, ale ważył dobre sto dwadzieścia kilo. Nosił kowbojki ze spiczastymi noskami, szeroki wojskowy pas, który stale podciągał, bo kałdun miał większy niż tyłek i kwieciste koszule wydymające się za nim na wietrze, niczym żagle. Frannie było obojętne jak często walił konia, ile ważył i czy w tym tygodniu naśladował Wrighta Morrisa czy Huberta Selby'ego juniora. Jednak patrząc na niego, zawsze czuła pewien niesmak i skrępowanie, jak gdyby dzięki utajonym zdolnościom telepatycznym wyczuwała, iż wszystkie bez wyjątku myśli Harolda były brudne i obrzydliwe. Nie sądziła, nawet w sytuacji takiej jak ta, że Harold mógł być niebezpieczny, aczkolwiek z całą pewnością będzie jak zwykle upierdliwy. Może nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Nie dostrzegł jej. Patrzył w stronę domu.

– Jest tam kto? – zawołał, po czym sięgnął przez okno cadillaca i nadusił klakson.

Przeraźliwy dźwięk zmroził Frannie do cna. Nerwy miała napięte jak postronki. Nie zamierzała się odezwać, ale Harold, wracając do samochodu, będzie musiał zobaczyć dół i ją samą, siedzącą na skraju jamy. Przez moment kusiło ją, by przeczołgać się w głąb ogrodu i ukryć wśród fasoli i grochu dopóki Haroldowi się nie znudzi i nie odjedzie.

„Przestań – powiedziała sobie w duchu – przestań. To przecież człowiek, żywa istota”.

– Jestem tutaj, Haroldzie – zawołała.

Harold aż podskoczył, jego wielkie pośladki zakołysały się pod materiałem obcisłych spodni. Najwyraźniej robił to machinalnie i wcale nie spodziewał się, że ktoś mu odpowie. Odwrócił się i ujrzał Fran wychodzącą z ogródka, otrzepującą ubrudzone dłonie o spodnie, nieco zakłopotaną, że oglądał ją w samych tylko białych szortach i biustonoszu.

Harold wprawnie obmacał ją wzrokiem nim spojrzał jej w oczy.

– Cześć, Fran – rzucił radośnie.

– Cześć, Harold.

– Słyszałem, że jakimś cudem udało ci się nie złapać tego paskudnego choróbska, więc najpierw zajrzałem do ciebie. Zbieram ludzi. – Uśmiechnął się do niej, ukazując zęby, które w najlepszym razie miały niewielką styczeńność ze szczoteczką.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało z Amy. Czy twoi rodzice...

– Niestety – odparł Harold. Na moment pochylił głowę, a gdy znów ją uniosł, zrobił to tak raptownie, że zwichrzyły mu się włosy. – Ale życie toczy się dalej, czyż nie?

– Chyba tak – mruknęła niepewnie Fran. Znów gapił się na jej piersi, na bruzdę pomiędzy nimi i Frannie żałowała, że nie może założyć swetra.

– Jak ci się podoba moja gabłota?

– To wóz pana Brannigana, zgadza się?

Roy Brannigan był miejscowym pośrednikiem w handlu nieruchomościami.

– Był jego – odparł beznamiętnie Harold. – Kiedyś sądziłem, że w dobie światowego kryzysu na rynku paliw każdego kierowcę takiego auta powinno się powiesić przy pierwszej lepszej stacji benzynowej. Ale to się zmieniło. Mniej ludzi oznacza więcej paliwa.

„PALIWA – pomyślała z lekkim oszołomieniem Fran – on powiedział paliwa”.

– Więcej wszystkiego – dokończył Harold. Z błyskiem w oku spojrzał na jej pępek, omiół wzrokiem jej twarz, opuścił go, przyglądając się szortom i znów zlustrował jej oblicze. Uśmiech miał zarazem niepewny i promienny.

– Haroldzie, wybacz proszę...

– A cóż ty tam właściwie robisz, moje dziecko?

Znów była bliska przeniesienia się w błogą nierzeczywistość i zaczęła zastanawiać się, ile potrafi znieść ludzki mózg zanim nie trzaśnie jak zanadto naprężona guma. „Moi rodzice nie żyją i jakoś to zniosłam. Dziwna zabójcza choroba rozprzestrzenia się po całym kraju, może

nawet po całym świecie, a ja to jakoś znoszę. Kopię dół w ogródku, który mój ojciec plewił zaledwie przed tygodniem, a gdy będzie dostatecznie głęboki zakopię go w nim i chyba też to wytrzymam. Ale czy zdzierzę Harolda Laudera w cadillacu Roya Brannigana, rozbierającego mnie wzrokiem? Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić. Nie wiem, Boże. Po prostu nie wiem”.

– Haroldzie – rzekła cierpliwie. – Nie jestem twoim dzieckiem. Jestem od ciebie o pięć lat starsza. Fizycznie niemożliwe, abym była twoim dzieckiem.

– To tylko takie powiedzenie – mruknął. Mrugnął, aby nieco spuściła z tonu. Widział, że się zdenerwowała. – Co to ma właściwie być? Kopiesz dół?

– Grób. Dla mojego ojca.

– Och – powiedział Harold Lauder cichym, niepewnym głosem.

– Zanim skończę, muszę się napić wody. I zrobię to, gdy tylko stąd znikniesz. Nie chcę być nieuprzejma, Haroldzie, ale... Jestem zdenerwowana.

– To całkiem zrozumiałe – odparł z wyraźnym skrepowaniem. – Ale Fran... zakopywać ojca w ogródku?

Szła już w stronę domu, lecz usłyszawszy jego słowa odwróciła się i warknęła gniewnie:

– A co proponujesz? Żebym zapakowała go do trumny i zaciągnęła na cmentarz? Zresztą po co miałabym to robić, na Boga? On KOCHAŁ swój ogródek. Poza tym, co ci do tego? To nie twoja sprawa.

Rozplakała się. Odwróciła się i pobiegła w kierunku kuchni, niemal zahaczając o przedni zderzak cadillaca. Wiedziała, że Harold będzie gapił się na jej podrygujące pośladki, nagrywając ten obraz, by powtarzać go później w myślach w wersji porno i to jeszcze bardziej ją rozjuszyło, zasmuciło i rozkleiło zarazem.

Siatkowe drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem za jej plecami. Podeszła do zlewu i wypila jedną po drugiej trzy szklanki zimnej wody. Uczyniła to zbyt szybko; srebrzysty kolec bólu wbił się głęboko w jej ciało. Coś ścisnęło ją w żołądku i przez chwilę stała, przytrzymując się zlewu, z zaciśniętymi mocno powiekami i zastanawiała się, czy będzie wymiotować. Po chwili żołądek podpowiedział jej, że wystarczy jeśli napije się jeszcze wody. Niedużo. Tylko trochę.

– Fran? – głos był cichy, pełen wahania.

Odwróciła się i ujrzała Harolda. Stał za drzwiami z rękoma zwieszonymi smętnie wzdłuż boków. Wydawał się zatroskany i nieszczęśliwy, przez co Fran nagle zrobiło się go żal. Pożałowała Harolda Laudera krążącego po tym smutnym, obróconym w ruinę mieście cadillakiem należącym wcześniej do Roya Brannigana, Harolda Laudera, który prawdopodobnie nigdy w życiu nie umówił się z żadną dziewczyną na randkę i który zapewne uważał, że cały świat żywi względem niego głęboką pogardę. Nie miał dziewczyny, kolegów, przyjaciół, nikogo. Ona przecież także go nie cierpiała.

– Przepraszam, Haroldzie.

– Nie. Nie powinienem nic mówić. Słuchaj, jeśli chcesz, mógłbym ci pomóc.

– Dziękuję, ale wolę zrobić to sama. To...

– Sprawa osobista. Oczywiście. Rozumiem.

Mogła wyjąć sweter z szafy w kuchni, ale on bez wątpienia domyśliłby się, dlaczego to zrobiła, a nie chciała ponownie go deprimować. Harold tak bardzo starał się być w porządku, próbował grać rolę dobrego faceta, choć nie miał o tym zielonego pojęcia. Wyszła na ganek i przez chwilę oboje stali na nim, patrząc na ogródek i dół ze zwałami ziemi na obrzeżach. A czas płynął, jakby nic się nie zmieniło. Popołudnie zapowiadało się bardzo upalnie.

– Co zamierzasz? – zwróciła się do Harolda.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Sama wiesz... – Urwał.

– Co takiego?

– Trudno mi to powiedzieć, ale nie jestem w tej okolicy zbyt popularny i lubiany. Wątpię czy nawet gdybym został sławnym pisarzem w tutejszym parku postawiono by pomnik poświęcony mojej pamięci, choć zawsze miałem nadzieję, że to kiedyś nastąpi. Nawiasem mówiąc, zanim pojawi się kolejny sławny pisarz, ja pewnie będę już zgrzybiałym starcem z brodą do pasa.

Nie odezwała się ani słowem, po prostu patrzyła.

– Tak więc! – wykrzyknął Harold, a wyrzucając z siebie to słowo, drgnął gwałtownie. – Tak więc, nie pozostaje mi nic innego jak tylko zastanawiać się nad niesprawiedliwością całej tej sytuacji. Owa niesprawiedliwość wydaje mi się tym potworniejsza, że chamom i prostakom dozorującym naszą miejscową skarbnicą wiedzy udało się w końcu doprowadzić mnie do obłądu.

Podsunał okulary nieco wyżej na nosie, a Fran, gdy zwróciła uwagę ile miał na twarzy paskudnych pryszczycy, znów zrobiło się go żal. „Czy ktokolwiek powiedział mu kiedyś, że woda z mydłem zaradziłaby jego problemom? – zastanawiała się w duchu. – A może wszyscy koncentrowali swoją uwagę na drobnej, śliczniutkiej Amy, która przeszła jak burza przez uniwersytet w Maine ze średnią ocen 3,8 i spośród tysiąca studentów na jej roku ukończyła studia na dwudziestej trzeciej pozycji. Śliczna mała Amy, podczas gdy Harold był po prostu upierdliwy i brzydki jak noc”.

– Dostaję fioła – rzekł półgłosem Harold. – Jeżdżę po mieście cadillakiem, a przecież nie mam prawa jazdy. I spójrz tylko na te buty. – Podciągnął nogawki dzinsów, odsłaniając cholewki błyszczących kowbojek z ozdobnym, skomplikowanym szwem. – Osiemdziesiąt sześć doliców. Czuję się jak oszust. Jak aktor w filmie. Dziś już kilka razy byłem niemal pewny, że oszalałem.

– Nie – powiedziała Frannie.

Chłopak cuchnął jakby nie mył się od trzech, czterech dni, ale to już jej nie mierzilo.

– Jak to szło? Będę w twoim śnie, jeśli ty pojawisz się w moim? My nie oszaleliśmy, Haroldzie.

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy jednak powariowali.

– Ktoś się zjawi – ciągnęła Frannie. – Za jakiś czas. Kiedy ta choroba, zaraza, cokolwiek to jest, zniknie.

– Ale kto?

– Ktoś z rządu – odparła niepewnie. – Ktoś kto... będzie uprawniony, by zaprowadzić tu porządek.

Roześmiał się z rozgoryczeniem.

– Moje drogie dziecko... przepraszam, Fran. Fran, to nasz rząd przyrzadził cały ten pasztet. Oni są dobrzy w zaprowadzaniu porządku. Rozwiązali kwestię krachu ekonomicznego, zatrucia środowiska, kryzysu paliwowego i zimnej wojny dzięki jednemu zręcznemu posunięciu. Za jednym zamachem. Trzask, prask i po wszystkim. Tak, zrobili porządek jak się patrzy. Super. Rozwiązali wszystkie problemy, tak jak Aleksander poradził sobie z węzłem gordyjskim, przecinając go na pół jednym cięciem miecza.

– Ale przecież... to tylko nieco inna odmiana grypy. Słyszałam, jak w radio mówili...

– Fran, Matka Natura nie działa w taki sposób. Ten twój ktoś z rządu zgromadził w jakimś, zapewne tajnym ośrodku badawczym, całą armię bakteriologów, wirusologów i epidemiologów, aby wypichcili dla niego tyle najróżniejszych mikrobów, ile tylko zdołają. Bakterie. Wirusy. Mikroby. Bóg wie, co jeszcze. I oto któregoś dnia jeden z dobrze opłacanych jajogłowych mówi: „Spójrzcie, co stworzyłem. To maleństwo potrafi uśmiercić prawie każdego. Czyż nie jest wspaniałe?”. I dostaje od nich medal, podwyżkę, letni domek nad brzegiem oceanu, aż tu nagle ktoś, nieważne kto, wypuszcza to świństwo na wolność. Co zamierzasz, Fran?

– Pogrzebać ojca – odrzekła cicho.

– Och... no tak. Oczywiście. – Przyglądał się jej przez chwile i dodał pospiesznie: – Posłuchaj. Zamierzam wynieść się stąd. Wypieprzam z Ogunquit. Jeśli zostaną tu chociaż dzień dłużej, z pewnością zwariuję. Może wybierzesz się ze mną?

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Na razie.

– Jak już będziesz wiedział, wróć i zapytaj mnie znowu.

Harold rozpromienił się.

– Dobrze. Tak właśnie zrobię... Widzisz, to... to kwestia... – urwał i jak lunatyk zaczął schodzić po stopniach ganku. Jego nowe kowbojki lśniły w słońcu.

Fran patrzyła na niego z gorzkim rozbawieniem.

Zanim wsiadł do samochodu, pomachał do niej. W odpowiedzi Fran uniosła prawą rękę. Kiedy niezbyt wprawnie wrzucił wsteczny bieg, wozem ostro targnęło. Wycofując cadillaca z podjazdu, kilkakrotnie musiał zapalać gasnący silnik. Raz skręcił zbyt mocno w lewo i koła samochodu wgniotły w ziemię kilka kwiatów z klombu Carli, zaś wyjeżdżając na ulicę, omal nie wpakował się do rowu przepustowego. Wreszcie dwukrotnie zatrąbił klaksonem i odjechał. Fran odprowadziła go wzrokiem. Kiedy zniknęła jej z oczu wróciła do ogrodu ojca.

Parę minut po czwartej, ociągając się, niechętnie wróciła na pięterko. Czuła tępe pulsowanie w skroniach i za oczami, wywołane napięciem i zmęczeniem. Zastanawiała się, czy nie zaczekać do dnia następnego, ale to tylko pogorszyłoby sprawę. Pod pachą miała mamy najlepszy obrus z adamaszku, który używany był tylko na szczególne okazje.

Nie było tak dobrze, jak sądziła, ale i nie tak źle, jak się obawiała. Po jego twarzy spacerowały muchy, zacierające kosmatymi odnóżami i zaraz wzbijające się w powietrze, skórę miał szarawą, nieco ciemniejszą niż zwykle, lecz po wielu godzinach pracy w ogródku był tak opalony, że w gruncie rzeczy trudno było to zauważyć – zwłaszcza gdy nie chciało się tego dostrzegać. Nie czuło się również smrodu – a tego obawiała się najbardziej.

Łóżko, w którym zmarł było dwuosobowe, sypiał w nim z Carlą od lat. Położyła obrus na połowie, gdzie dawniej sypiała jej matka, w taki sposób, że brzegiem dotykał ramienia, biodra i nogi ojca. Następnie, przełknąwszy ślinę (w skroniach łupało jej silniej niż kiedykolwiek), przygotowała się w duchu do przetoczenia ojca na ten prowizoryczny całun.

Peter Goldsmith miał na sobie pizamę w paski i to wydało się jej odrobinę frywolne, nic jednak nie mogła na to poradzić. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby go rozebrać, a potem ubrać w coś bardziej przyzwoitego.

Zebrała się w sobie, ujęła go za lewe ramię (było twarde i niewzruszone jak kawałek drewna), po czym pchnęła, przetaczając go na drugą stronę łóżka. Gdy to uczyniła, wydał z siebie upiorny, długi odgłos, jak gdyby czknięcie, beknięcie, które zdawało się nie mieć końca, gdy już raz wypłynęło z jego gardła, zupełnie jakby w jego wnętrzu zagnieżdżyła się szarańcza i właśnie teraz postanowiła dać wszystkim znać o sobie.

Fran wrzasnęła przeraźliwie, cofnęła się gwałtownie i przewróciła nocny stolik. Jego grzebyki, szczotki, budzik, kilka monet i inne drobiazgi posypały się na podłogę.

A potem pojawił się ten smród. Gnilny odór, woń gazów zbierających się w rozkładającym się od środka ciele, a gdy to nastąpiło, ostatnia warstwa opoki kłamstwa i uludy, którą się otoczyła, prysła i Fran uświadomiła sobie straszną, lecz nieuniknioną prawdę. Upadła na klęczki i, kryjąc twarz w dłoniach, zaszlochała. Nie grzebała wyjątkowo dużej lalki czy manekina, zamierzała pochować własnego ojca i oto wokół niej w powietrzu unosiły się resztki jego człowieczego istnienia. Lecz już wkrótce nawet te opary się rozwieją.

Świat poszarzał, dźwięki jej żałobnego szlochu, przejmujące, przeciągłe zawodzenie wydało się jej nagle dziwnie odległe, jak gdyby płynęły z ust kogoś innego, jakiejś postaci z telewizyjnej reklamy lub opery mydlanej. Minął jakiś czas – nie wiedziała ile dokładnie – i powoli zaczęła wracać do siebie, odzyskując jednocześnie świadomość tego, co ją nieuchronnie czekało. Musiała to zrobić, choć nigdy wcześniej tego nie robiła i nie sądziła, że w ogóle kiedykolwiek to nastąpi.

Podeszła i odwróciła ciało ojca. Czknął raz jeszcze, lecz już nie tak donośnie i znacznie krócej. Pocałowała go w czoło.

– Kocham cię, tato – powiedziała. – Kocham cię. Frannie cię kocha.

Jej łzy spadły na jego twarz. Błyszczały na szarej, trupiej skórze. Zdjęła mu pizamę i przebrała go w jego najlepszy garnitur, prawie nie zwracała uwagi na tępe pulsowanie w karku, ból w szyi i plecach ani mdlejące ramiona, gdy unosiła jego bezwładne ciało, stopniowo, krok po kroku dokonując swego żmudnego dzieła. Aby zawiązać mu krawat podłożyła ojcu pod głowę dwa tomy *Księgi wiedzy*. W dolnej szufladzie, pod skarpetkami znalazła medale, które otrzymał, służąc w wojsku – Purpurowe Serce, odznaczenia za wzorową służbę, baretki za udział w jakiejś kampanii... i Brązową Gwiazdę, którą zdobył w Korei. Przypięła je do marynarki na jego piersi. Przyniosła z łazienki puder Johnson's Baby i upudrowała jego twarz oraz dłonie. Zapach proszku, słodki i nostalgiczny, znów wycisnął z jej oczu łzy. Całe ciało miała śliskie od potu. Z wyczerpania pod oczami zrobiły się jej wielkie, ciemne sińce. Przykryła go obrusem, przyniosła matczyne przybory do szycia i przefastrygowała tak powstały całun. Następnie poprawiła swoje dzieło drugim ścięciem. Łkając z wysiłku, z gardłem ściśniętym od płaczu, zdołała ułożyć ciało ojca na podłodze, nie upuszczając go. Następnie, bliska omdlenia odpoczęła przez chwilę. Kiedy uznała, że zdoła kontynuować, podźwignęła trupa do pozycji półleżącej, dociągnęła go do szczytu schodów i najdelikatniej jak potrafiła zwlokła na parter. Tam znów odpoczęła, oddech miała przyspieszony i świszczący. Ból w skroniach narastał, aż eksplodował pod jej czaszką, jakby w jej mózgu ktoś raz po raz zatapiał rozpalone do białości żelazo.

Przeciągnęła trupa przez hol, kuchnię i wywlokła na ganek. Zniosła go po schodach. Żłocisty blask zwiastował rychłe nadejście wieczoru. Znowu pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia; usiadła przy zwłokach, opierając głowę na kolanach i płakała, kołysząc się w przód i w tył. Słysząc było świergot ptaków. Wreszcie dociągnęła trupa do ogródka.

W końcu było po wszystkim. Zanim ostatnie grudki ziemi znalazły się na swoim miejscu (nakładała ziemię rękoma, klęcząc, jakby układała jakąś osobliwą łamigłówkę) zrobiła się za kwadrans dziesiąta. Frannie cała była ubrudzona ziemią. Tylko skóra wokół jej oczu pozostała biała, obmywana płynącymi niemal bez przerwy łzami. Z wyczerpania dygotała na całym ciele. Rozlepiane w strąki włosy przywarły do jej czoła, karku i policzków.

– Proszę, tato, spoczywaj w spokoju – wyszeptwała. – Błagam.

Zaniosła łopatę do warsztatu ojca i cisnęła ją w kąt. Zanim weszła na ganek, pokonując pół tuzina niskich schodków, musiała dwa razy odpocząć. Przeszła przez kuchnię, nie zapalając światła, a wchodząc do saloniku, zrzuciła z nóg trampki.

Padła ciężko na tapczan i w następnej chwili już spała.

We śnie znów wchodziła po schodach, szła do ojca, aby wypełnić swój obowiązek i pogrzebać go w ziemi, jak należało. Kiedy jednak weszła do pokoju, ujrzała, że zwłoki były już nakryte obrusem i drążące ją uczucie smutku i straty zastąpił nagle... śmiertelny strach. Przeszła przez tonący w mroku pokój, choć wcale tego nie chciała, pragnęła uciec stąd jak

najdalej, pobiec co sił w nogach, ale nie mogła się zatrzymać. Obrus błyszczał pośród cieni, skrzył się upiornie, przeraźliwie i wtedy zrozumiała.

To, co spoczywało pod materiałem, nie było jej ojcem. I wcale nie było martwe. Leżał tam ktoś lub może raczej coś – przepelniony mrocznym życiem i odrażającą w swej plugawości radością, a żeby zdjąć z niego całun potrzebowała czegoś znacznie więcej niż było warte jej życie, lecz ona... po prostu... nie mogła się zatrzymać...

Wyciągnęła rękę i, zatrzymując ją w powietrzu ponad obrusem, zdarła go jednym, błyskawicznym ruchem.

On się uśmiechał, lecz tak naprawdę nie widziała jego twarzy. Od jego strony napłynęła do niej fala niesamowitego, mrozącego krew w żyłach chłodu. Nie, nie widziała jego twarzy, lecz dostrzegła podarunek, który owo upiorne widmo przyniosło jej nie narodzonemu dziecku – zdeformowany, poskręcany wieszak.

Wybiegła z pokoju, umykając przed snem, wynurzając się na powierzchnię, budząc się...

Budząc się na krótko o trzeciej w nocy wśród mroków saloniku, czuła, jakby jej ciało unosiło się na falach spienionego oceanu zgrozy – sen, zanikający już i zapominany, kawałek po kawałku pozostawił po sobie jedynie uczucie nadciągającej zguby, jak nieprzyjemny posmak po zjedzeniu czegoś zepsutego. I w tej chwili, pomiędzy snem a jawą, pomyślała: „To on, to on, Wędrowiec, człowiek bez twarzy”.

Zaraz potem znowu usnęła, tym razem nic się jej nie przyśniło, a gdy obudziła się rano, nie pamiętała już snu, który tak ją w nocy przeraził. Mimo to na myśl o dziecku, które nosiła w swym łonie poczuła nagle przyływ wojowniczej opiekuńczości. To dziwne, z pozoru sprzeczne uczucie zaniepokoiło ją i zdeprymowało niesamowitą głębią, a zwłaszcza intensywnością doznań.

ROZDZIAŁ 29

Tego samego wieczoru, kiedy Larry Underwood spał z Ritą Blakemoor, a Frannie Goldsmith samotnie, śniąc swój niezwykły, przerażający sen, Stuart Redman czekał na Eldera. Czekał od trzech dni i tym razem Elder nie rozczarował go.

Parę minut po południu, dwudziestego czwartego czerwca, Elder i dwaj pielęgniarze zjawili się i zabrali mu telewizor. Pielęgniarki wynieśli odbiornik, podczas gdy Elder stał z boku i, trzymając rewolwer (owinięty w plastikowy worek), mierzył w Stu. Redman jednak ostatnimi czasy nie miał wcale ochoty na oglądanie telewizji. Na ekranie działały się zbyt makabryczne rzeczy. Kto by chciał oglądać taki porąbany szajs. Jedyne co robił, to stał przy zakratowanym oknie, spoglądając na miasto i rzekę poniżej. Jak powiedział kiedyś pewien facet: „Nie potrzebujesz meteorologa, aby wiedzieć skąd wieje wiatr”.

Kominy fabryki tekstylnej już nie dymiły. Barwne pasma wylewanych do rzeki barwników zniknęły, woda znów była czysta, jak dawniej. Większość samochodów, błyszczących i maleńkich z tej odległości jak dziecięce zabawki, opuściły parking by nigdy nie powrócić. Wczoraj, dwudziestego szóstego, na autostradzie dostrzegł tylko kilka samochodów, a i one z trudem omijały porzucone na szosie auta, jak narciarze podczas trudnego slalomu. Nikt nie pofatygował się, by odholować pozostawione przez kierowców pojazdy.

Panorama śródmieścia, jaka rozpościerała się przed nim była niczym martwa natura, obraz wymarłego miasta. Zegar na wieży, wybijający godziny jego uwięzienia tutaj, od dziesiątej rano milczał jak zakłęty. Wcześniej melodyjka poprzedzająca kuranty zabrzmiała dziwnie przeciągle i niewyraźnie jak dźwięki płynące z zatopionej pod wodą szafy grającej. Pod miastem wybuchł pożar, zapaliła się przydrożna kafejka, albo może pawilon handlowy. Budynek płonął przez całe popołudnie, słup czarnego dymu odcinał się na tle błękitnego nieba, ale nie pojawił się ani jeden wóz straży pożarnej, by ugasić ogień. Stu przypuszczał, że jeśli budynek nie był otoczony z czterech stron asfaltowym parkingiem, pożar mógł już wkrótce się rozprzestrzenić i objąć nawet połowę miasta. Dziś wieczorem ruiny wciąż jeszcze dymiły, choć po południu lał ulewny deszcz.

Stu domyślał się, że w ostatnim rozkazie Elder otrzymał polecenie pozbycia się go. W sumie, dlaczego nie? Byłby jednym trupem więcej, a przecież znał ich małą tajemnicę. Nie potrafili wytworzyć leku przeciwko supergrypie, ani odkryć, co w jego organizmie odróżniało go od innych ludzi. Myśl, że mało kto miał szansę poznać ich następny sekret raczej nie przyszła im do głowy. Był potencjalnym zagrożeniem dla bandy lubiących siłowe rozwiązania półgłówków.

Stu nie wątpił, że bohater filmu lub powieści znalazłby jakiś sposób, aby wydostać się z kompleksu, ba, nawet kilku naprawdę żyjących ludzi z pewnością by tego dokonało, lecz on nie należał do nich. Ostatecznie z nieco rozpaczliwą rezygnacją uznał, że zaczeka na Eldera i po prostu będzie wypatrywał pierwszej sprzyjającej okazji.

Elder stanowił jawny przykład, że kompleks został skażony przez coś, co jedni nazywali „Blue” inni zaś „supergrypą”. Pielęgniarki zwracali się do niego per „doktorze Elder”, lecz on nie był lekarzem. Był dobrze po pięćdziesiątce, miał mrozące krew w żyłach spojrzenie i za grosz poczucia humoru. Żaden z lekarzy przed Elderem nigdy nie mierzył do Stu z pistoletu. Elder przerażał Redmana, gdyż w jego przypadku jakiegokolwiek próby perswazji były z góry skazane na niepowodzenie. Elder słuchał wyłącznie rozkazów. Gdy je otrzymywał, sumiennie wypełniał swoje zadanie. Był odpowiednikiem mafijnego cyngla, faceta od mokrej roboty, a w świetle obecnych wydarzeń nawet przez myśl by mu nie przeszło, że mógłby sprzeciwić się rozkazom swoich przełożonych.

Trzy lata temu Stu nabył książkę zatytułowaną *Wodnikowe Wzgórze*, aby wysłać ją bratankowi w Waco. Załatwił pudełko, aby w nim wysłać książkę, a potem, ponieważ bardziej niż czytania nie cierpiał pakowania, zerknął na pierwszą stronę, chcąc przekonać się z czym ma do czynienia. Przeczytał pierwszą stronę, potem drugą, i dał się pochłonąć powieści. Zarwał całą noc, pijąc kawę, paląc papierosy i... czytał, czytał, czytał, dla samej tylko przyjemności lektury. Kurczę, to była książka o królikach. Najgłupszych, najbardziej tchórzliwych stworzeniach na tym Bożym świecie... tyle tylko, że facet, który to napisał uważał inaczej. Losami bohaterów naprawdę można się było przejmować. To była cholernie dobra książka i Stu, który czytał dość wolno, skończył ją dwa dni później. Największe wrażenie zrobiło na nim słowo „tarn” i wywodzące się z niego określenie „starniony”. Pojął je natychmiast, ponieważ widział mnóstwo starnionych zwierząt, a kilka nawet przejechał na autostradzie. Starnione zwierzę kuliło się na środku drogi, kładąc uszy po sobie i patrząc na sunący ku niemu samochód, niezdolne do tego, by uciec przed zmierzającą w jego stronę śmiercią. By starnić jelenia wystarczyło smagnąć go po oczach promieniem latarki. Podobny wpływ miała na szopy głośna muzyka, na papugę zaś rytmiczne stukanie w pręty klatki.

Na Stu w taki sposób działał Elder. Jeden rzut oka w mętne, niebieskie oczy Eldera i kompletnie tracił pewność siebie.

Aby go sprzątnąć, Elder prawdopodobnie w ogóle nie potrzebował pistoletu. Zapewne był ekspertem karate, savate i stosowanych w walkach ulicznych brudnych sztuczek. Co Stu

mógłby począć wobec kogoś takiego? Sama myśl o Elderze sprawiała, że puszczały mu nerwy.

Tarn. Dobre słowo na fatalny stan umysłu.

Nad drzwiami kilka minut po dziesiątej zapaliła się czerwona lampka. Stu poczuł, że jego ręce i twarz zrosiły drobne kropelki potu. Działo się tak za każdym razem, kiedy zapalało się to światełko, ponieważ wiedział, że za którymś razem znajdzie się w tym pomieszczeniu sam na sam z Elderem. Przyjdzie sam, ponieważ nie będzie chciał mieć żadnych świadków. Na pewno mieli tu gdzieś krematorium do palenia ofiar zarazy. Elder zanieś tam jego trupa i po sprawie. Ciach. Gotowe.

Elder wszedł do pomieszczenia. Był sam.

Stu siedział na szpitalnym łóżku, wspierając jedną dłoń na oparciu krzesła. Na widok Eldera poczuł znajome, nieprzyjemne ściśnięcie w żołądku. Miał chęć błagać, prosić, wylewać całe potoki z serca płynących słów, choć wiedział, że żadne prośby nie mogły odwieść Eldera od wypełnienia rozkazu. Oblicze za przezroczystą szybką białego kombinezonu było pozbawione litości, kompletnie beznamienne.

Teraz wszystko wydało mu się bardzo wyraziste, bardzo kolorowe, bardzo powolne. Stu wodził wzrokiem za wchodzącym do pomieszczenia Elderem. Tamten był potężnym, masywnie zbudowanym mężczyzną, biały kombinezon ciasno opinał jego ciało. Wylot lufy pistoletu zdawał się wielki jak otwór tunelu.

– Jak się dziś czujemy? – zapytał Elder, a Stu nawet przez maleńki głośnik wychwyił jego nosowe brzmienie. Elder był chory.

– Tak samo – odparł Stu, zdumiony spokojnym brzmieniem własnego głosu. – Powiedz, kiedy mnie stąd wreszcie wypuszczą?

– Już niedługo – powiedział Elder. Mierzył w stronę Stu, niedokładnie w niego, ale i nie kierował broni w bok. Rozległo się stłumione kichnięcie. – Niezbyt jesteśmy dzisiaj rozmowni, co?

Stu wzruszył ramionami.

– Lubię to u ludzi – mruknął Elder. – Wy, pyskacze w rzeczywistości jesteście nędznymi mięczakami i tchórzami. Niecałe dwadzieścia minut temu dostałem dyrektywy w związku z pana osobą, panie Redman. Nie są może zbyt optymistyczne, ale chyba zgodzi się pan ze mną, że rozkazy...

– Jakie rozkazy?

– No cóż, mam rozkaz...

Stu spojrział ponad ramieniem Eldera na górną krawędź hermetycznych drzwi.

– Chryste Panie! – zawołał. – Tam jest pieprzony szczur, co to za kompleks, skoro wpuszczacie tu szczury?

Elder odwrócił się i przez mgnienie oka Stu był zaskoczony, że jego tani fortel się udał. Szybko ześlizgnął się z łóżka, i gdy Elder zaczął odwracać się ku niemu, chwycił obiema

rękami za oparcie krzesła. Oczy Eldera rozszerzyły się, przepelnione nagłym zaniepokojeniem. Stu uniósł krzesło nad głową i postąpiwszy naprzód, opuścił je, wkładając w ten ruch całą swoją siłę.

– Zostaw to! – zakrzyknął Elder. – Nie!...

Krzesło wyrznęło go w prawą rękę. Pistolet wypalił, kula z wizgiem zrykoszetowała od podłogi. Zaraz potem broń wylądowała na ziemi i wystrzeliła ponownie.

Stu obawiał się, że może mieć szansę na zaledwie jeszcze jedno uderzenie krzesłem, nim Elder w pełni dojdzie do siebie. Postanowił dać z siebie wszystko. Zamachnął się nim od boku, jak kijem baseballowym. Elder próbował unieść strzaskaną prawą rękę, aby się osłonić. Nie zdołał. Nogi krzesła z hukiem trafiły w kaptur białego kombinezonu. Plastikowa osłona twarzy pękła, odłamki wbiły się w oczy i nos Eldera. Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie i runął w tył.

Przeturlał się, podniósł na kolana i popęzł po leżący na dywanie pistolet. Stu zamachnął się krzesłem ostatni raz, opuszczając je z impetem na potylicę Eldera. Mężczyzna osunął się na podłogę. Stu, dysząc ciężko, nachylił się i podniósł pistolet. Cofnął się, mierząc w rozciągnięte na ziemi ciało, ale Elder nie poruszył się.

Przez chwilę dręczyła go koszmarna myśl: „A jeśli Elderowi nie rozkazano go zabić, lecz wypuścić? Ale to raczej nie wchodziło w rachubę, prawda? Gdzie tu sens?” Gdyby rozkazano mu wypuścić Redmana Elder raczej oszczędziłby sobie komentarza na temat, takich jak on pyskaczy. Poza tym czy sam nie powiedział, że rozkazy dotyczące Stu nie były dla niego zbyt optymistyczne...

Nie. Eldera przysłano tu, aby go zabił.

Stu, cały rozdygotany spojrzał na leżące przed nim ciało. Gdyby Elder teraz się podniósł, Stu najprawdopodobniej, nawet opróżniwszy cały magazynek, i tak by go nie trafił. Niemniej wątpił, aby Elder zdołał się jeszcze podnieść. Zarówno teraz jak i później. Facet raczej już nigdy nie wstanie.

Nagle chęć wydostania się stąd stała się tak nagląca, że niewiele brakowało a wypadłby na łeb na szyję przez hermetyczne, super-szczelne drzwi pomieszczenia, choć nie wiedział, co czekało go za nimi. Tkwiał w tej „celi” już od tygodnia i jedyne, czego obecnie pragnął, to móc odetchnąć świeżym powietrzem, a potem wynieść się, możliwie jak najdalej od tego straszego miejsca.

Ale musiał to zrobić ostrożnie. Z głową.

Podszedł do śluzy powietrznej i nacisnął guzik z napisem OBIEG. Rozległ się szum włączanej pompy powietrznej i zewnętrzne drzwi stanęły otworem. Za nimi znajdował się niewielki pokój, gdzie stało proste biurko. Leżał na nim cienki plik kart magnetycznych... i jego ubranie. To, które miał na sobie w samolocie, lecąc z Braintree do Atlanty. Znów poczuł na plecach dotyk lodowatego palca strachu. Te rzeczy trafiłyby wraz z nim do krematorium.

Był o tym przekonany. Jego wyniki badań. Ubranie. „Bywaj, Stuarcie Redman. Przechodzisz do historii. A raczej...”

Z tyłu, za nim rozległ się jakiś dźwięk. Stu odwrócił się szybko. Elder szedł chwiejnie w jego stronę, lekko przygarbiony z rękami zwieszającymi się luźno wzdłuż boków. Z ociekającego posoką oka sterczał odłamek przezroczystej, plastikowej osłony. Elder uśmiechał się.

– Nie ruszaj się – rzekł Stu. Ujął pistolet obiema dłońmi i wycelował... a mimo to lufa broni wyraźnie się trzęsła.

Elder sprawiał wrażenie, jakby go w ogóle nie usłyszał. Szedł niewzruszenie ku niemu.

Stu, krzywiąc się, pociągnął za spust. Pistolet w jego dłoniach drgnął gwałtownie, a Elder przystanął. Uśmiech zmienił się w złowrogi grymas, jakby nagle coś ścisnęło go w dołku. W jego białym kombinezonie, na wysokości piersi wykwitł nieduży otwór. Mężczyzna chwiejąc się, stał jeszcze przez chwilę, po czym przewrócił się do przodu. Stu patrzył na niego, kompletnie osłupiały, aż wreszcie wmaszerował wolnym, mechanicznym krokiem do pokoju, gdzie na biurku zebrano jego rzeczy i przedmioty osobiste.

Poruszył klamką drzwi na drugim końcu gabinetu. Były otwarte. Za nimi znajdował się korytarz rozjaśniony słabym blaskiem świetlówek. W połowie drogi do wind przy pomieszczeniu dla pielęgniarek stał porzucony wózek. Stu usłyszał cichy jęk. Ktoś kasłał, ochrypli, gardłowy kaszel zdawał się nie mieć końca.

Wrócił do pokoju, zabrał swoje ubranie i wcisnął je pod pachę. Potem wyszedł, zamknął za sobą drzwi i ruszył w głąb korytarza. Dłoń, w której ścisnął kolbę pistoletu Eldera pokryła się potem. Dotarłszy do wózka odwrócił się zaniepokojony pustką i ciszą. Kaszel ucichł. Stu spodziewał się ujrzeć niezmordowanie pełnącego za nim Eldera, zamierzającego za wszelką cenę wypełnić swój ostatni rozkaz. Nagle zatęsknił za swoją celą, którą zdążył tak dobrze poznać.

Jęk rozległ się ponownie, tym razem znacznie głośniejszy. Przy windach natknął się na drugi korytarz, prostopadły do tego, którym właśnie szedł. Nieopodal pod ścianą siedział mężczyzna, w którym Stu rozpoznał jednego ze swoich pielęgniarzy. Twarz miał napuchniętą i poczerniałą, jego pierś unosiła się i opadała krótkimi, spazmatycznymi skurczami. Kiedy Stu spojrział na niego, ten znów zaczął jęczeć. Z tyłu, za nim skulony w pozycji płodowej leżał martwy mężczyzna. Jeszcze dalej, w głębi korytarza napotkał trzy kolejne ciała, dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Pielęgniarz. Stu przypomniał sobie, że facet miał na imię Vic, znów zaczął kasłać.

– Jezu – wykrztusił Vic. – Co ty robisz na zewnątrz? Nie powinieneś opuszczać swojego pokoju.

– Elder przyszedł mnie sprzątnąć, ale to ja załatwiłem jego – odparł Stu. – Miałem szczęście, że był chory.

– Jezu przenajświętszy, rzeczywiście miałeś szczęście – burknął Vic i z jego piersi ponownie popłynął ochrypty, lecz już nieco cichszy kaszel. – To boli, człowieku, nie wiesz nawet, jak bardzo. Spierdoliliśmy sprawę. Na całej linii. Chryste Panie, ale fuszerka.

– Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? – zapytał nieco niepewnie Stu.

– Jeżeli pytasz poważnie, to przyłóż mi do skroni lufę tego twojego pistoletu i pociągnij za spust. Mam wrażenie jakby coś rozrywało mi wszystkie flaki na kawałki.

Znów zaczął kasłać, a potem jęknął przeraźliwie.

Stu nie mógł jednak się na to zdobyć i kiedy wywołane cierpieniem jęki pielęgniarki nie ucichły po kilku kolejnych sekundach, Redmanowi puściły nerwy. Pobiegł w stronę wind, zostawiając za sobą to poczerwiałe oblicze przypominające księżyc w jednej z kwadr, choć w głębi duszy spodziewał się usłyszeć głos Vica, wołającego przenikliwym, pełnym bezradności, lecz przecież słusznym tonem jakiego zwykle używają chorzy, gdy bardzo czegoś chcą od zdrowych. Vic jednak tylko pojękiwał cichutko i to, nie wiedzieć dlaczego wydało mu się jeszcze gorsze.

Drzwi windy zamknęły się i kabina zaczęła zjeżdżać w dół, kiedy Stu uświadomił sobie, że mogły się w niej znajdować zamontowane pułapki. To byłoby do nich podobne. Trużący gaz albo urządzenie odłączające kable, by kabina runęła w głąb szybu i rozbiła się na jego dnie. Stał pośrodku kabiny i zaczął się uważnie rozglądać, wypatrując ukrytych otworów wentylacyjnych albo pułapek. Poczł lekko ogarniającą go klaustrofobię – pomieszczenie wydało mu się nagle ciasne, jak wewnątrz budki telefonicznej albo trumny. Ma ktoś ochotę na przedwczesny pogrzeb?

Wyciągnął rękę aby nacisnąć guzik z napisem STOP i nagle zreflektował się. Co by mu dało, gdyby kabina stanęła między piętrami? Zanim odpowiedział sobie na to pytanie, winda całkiem zwyczajnie i gładko zatrzymała się.

A jeśli tam, na zewnątrz są uzbrojeni żołnierze?

Kiedy jednak drzwi rozsunęły się na boki ujrzał tylko jedną wartowniczkę, martwą kobietę w stroju pielęgniarki. Skulona w pozycji płodowej tak samo jak martwy pielęgniarz z jego piętra, leżała przed drzwiami damskiej toalety.

Stu patrzył na nią tak długo, że drzwi windy w końcu zaczęły się zamykać. Wyciągnął rękę i drzwi posłusznie znów się otworzyły. Wysiadł z windy. Korytarz prowadził do rozwidlenia w kształcie litery T. Stu ruszył ku niemu, omijając szerokim łukiem martwą pielęgniarkę. Za jego plecami rozległ się jakiś dźwięk; Stu obrócił się na pięcie, unosząc pistolet, ale był to tylko szum drzwi kabiny, które ponownie się zamknęły. Patrzył na nie przez chwilę, wreszcie, przełykając ślinę, pomaszerował dalej. Niewidzialna dłoń strachu powróciła, wygrywając melodie u podstawy jego kręgosłupa, nakłaniając by przestał w końcu zgrywać bohatera i pobiegł co sił w nogach ku wyjściu, jak uczyniłby to każdy inny na jego miejscu, i żeby się pospieszył, zanim ktoś... lub może coś go dopadnie. Echo jego kroków w tym tonącym w półmroku korytarzu budziło aż nazbyt wyraziste, pełne grozy skojarzenia.

„To jak, Stu, weźmiesz udział w zabawie? Doskonale”. Obok niego śmigały drzwi z taflami mlecznego szkła, na których umieszczone były najróżniejsze napisy: DR SLOANE, NAGRANIA I TRANSKRYPCJE, MR BALLINGER, MIKROFILMY, AKTA, KOPIE, MRS WIGGS.

U zbiegu korytarzy stała mała fontanna z wodą pitną, lecz jej ciepły, chlorowany posmak sprawił, że Redmanowi żołądek podszedł do gardła. Korytarz po lewej stronie nie prowadził do wyjścia. Na okafelkowanej ścianie widniała pomarańczowa strzałka, a pod nią tablica z napisem BIBLIOTEKA. Korytarz biegnący w tę stronę zdawał się nie mieć końca. Jakies pięćdziesiąt jardów dalej leżały zwłoki mężczyzny w białym kombinezonie, niczym truchło dziwnego zwierzęcia wyrzucone na nieskalaną, dziewiczą plażę.

Zaczynał tracić nad sobą kontrolę. To miejsce było dużo, dużo większe niż początkowo przypuszczał. Co prawda domyślał się jego rozmiarów po tym, co ujrzał, gdy go tu przywieziono (zobaczył wówczas dwa długie korytarze, windę i jedno z pomieszczeń). Teraz doszedł do wniosku, że cały kompleks musiał mieć rozmiary sporego szpitala. Mógł tak błądzić całymi godzinami, wsłuchując się w echo własnych kroków i od czasu do czasu napotykać kolejne trupy. Były rozrzucone niczym nagrody w jakiejś upiornej grze terenowej. Przypominał sobie jak zawiózł Normę, swoją żonę, do wielkiego szpitala w Houston, kiedy wykryto u niej raka. Na ścianach co kilkanaście kroków wisiały mapki z planszami budynku, a strzałka i kropka oznaczały miejsce, w którym się w danej chwili znajdował. Podpis na strzałce brzmiał TU JESTEŚ. Mapki były po to, by ludzie nie pobłądzili w labiryncie nieskończonych szpitalnych korytarzy. Tak jak on teraz. ZABŁĄDZIŁ. Rany, ale się wpakował. Po same uszy. Jego sytuacja nie przedstawiała się różowo.

– Nie pękaj, prawie się stąd wydostałeś – powiedział, a echo jego słów zabrzmiało pusto i dziwnie. Nie chciał powiedzieć tego głośno i to jeszcze bardziej pogorszyło całą sprawę.

Skręcił w prawo, zostawiając w tyle bibliotekę, minął kolejne gabinety, dotarł do następnego korytarza i poszedł nim dalej. Od czasu do czasu oglądał się przez ramię, aby upewnić się, że nikt (zwłaszcza Elder) go nie ściga i jakoś trudno mu było uwierzyć, że tak właśnie się nie stało. Korytarz kończył się zamkniętymi drzwiami z napisem RADIOLOGIA. Na klamce wisiała wywieszka z odręcznym napisem ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA. RANDALL. Stu zawrócił i wyjrzał zza załomu muru w głąb korytarza, którym tu dotarł. Trup w białym uniformie wydawał się z tej odległości tyciusieńki, jak drobina kurzu, lecz jego widok, tak wieczny i niezmienny sprawił, że Redman znów zapragnął wziąć jak najszybciej nogi za pas.

Skręcił w prawo, znów odwracając się do trupa plecami. Dwadzieścia jardów dalej dotarł do kolejnego rozgałęzienia korytarzy. Wybrał ten po prawej stronie i minawszy drzwi kilku gabinetów, dotarł do laboratorium mikrobiologii. W jednym z pomieszczeń laboratoryjnych ujrzał leżącego na biurku młodego mężczyznę w obcisłych szortach. Mężczyzna był w stanie

śpiączki, krwawił z nosa i ust. Oddech miał świszczący jak szum październikowego wiatru szeleszczącego wśród zeschniętych liści.

Dopiero wtedy Stu zaczął biec, pokonując kolejne korytarze i nabierając coraz głębszego przekonania, że przynajmniej na tym poziomie nie było wyjścia na zewnątrz. Ściagało go echo jego własnych kroków, jakby Elder albo Vic żyli dostatecznie długo, by wysłać jego tropem oddział widmowej żandarmerii. I wtedy tę wizję przyćmiła następna, w jakiś sposób związana z osobliwymi snami, które miewał przez kilka ostatnich nocy. Była tak silna i nieodparta, że aż bał się odwrócić. Lękał się, że uczyniwszy to, ujrzy gnającą jego śladem, białą odzianą postać, człowieka w kombinezonie, pozbawionego twarzy, a w jej miejscu za pleksiglasową taflą osłony ziać będzie plama atramentowej czerni. Oczywiście duszy widział to przerażające widmo, zabójcę spoza znanego wszystkim normalnym ludziom wymiaru czasu i przestrzeni.

Sapiąc jak lokomotywa, Stu wybiegł zza załomu korytarza, pokonując jeszcze dziesięć stóp zanim uświadomił sobie, że zabrnął w ślepy zaułek i walnął z impetem w drzwi, nad którymi umieszczona był tabliczka z napisem WYJŚCIE.

Naparł na dźwignię, pewien, że nawet nie drgnie, lecz stało się inaczej. Drzwi otworzyły się gładko, bez najlżejszego oporu. Biegiem dotarł do kolejnych, cztery stopnie niżej. Na lewo od podestu kolejna kondygnacja schodów prowadziła w dół w nieprzenikniony mrok. Górna połowa drugich drzwi była przeszklona, ale wzmocniona wpuszczoną w szkło siatką. Po ich drugiej stronie rozciągała się noc, przepiękna, łagodna letnia noc i wolność bez żadnych ograniczeń, swoboda o jakiej można jedynie marzyć.

Stu wciąż jeszcze patrzył przez szybę, kiedy z mroku klatki schodowej wysunęła się dłoń i schwyciła go za kostkę. Z ust Stu wyrwał się cichy, zdławiony krzyk. Rozejrzał się wokoło, w jego żołądku skryztałizowała się wielka bryła lodu i ujrzął wylaniającą się z mroku, uniesioną ku górze, okrwawioną twarz.

– Zejdź na dół i zjedz ze mną kurczaka, mój śliczny – wyszeptało to coś ochryłym, zniekształconym, cichym głosem. – Tu jest tak ciemnooooo...

Stu wrzasnął i targnął całym ciałem, usiłując się uwolnić. Uśmiechający się stwór z ciemności nie rozluźnił uścisku, wciąż mówiąc i chichocząc do niego. Z kącików ust ściekała mu krew przemieszana z żółcią. Stu kopnął dłoń trzymającą go za kostkę, a potem przydeptał ją. Twarz majacząca w mroku klatki schodowej zniknęła. Rozległa się cała seria głuchych stukotów... a potem głośne wrzaski. Stu nie potrafił powiedzieć, czy były to dźwięki bólu czy wściekłości. I wcale go to nie obchodziło. Naparł barkiem na drzwi wiodące ku wolności. Otworzyły się na oścież, a on wypadł na zewnątrz i zaczął energicznie wymachiwać rękoma by utrzymać równowagę. Mimo to przewrócił się i wylądował ciężko na cementowym podjeździe.

Usiadł powoli, jakby ze znużeniem. Dzikie wrzaski z tyłu, za nim, ucichły. Chłodny, wieczorny wietrzyk omiótł jego twarz, osuszając spocone czoło. Niemal ze zdziwieniem rozejrzał się dokoła, dostrzegając świeżą, bujną trawę i porośnięte kwiatami klomby. Noc

nigdy jeszcze nie pachniała tak słodko. Na niebie wisiał blady sierp księżyca. Stu spojrzął z westchnieniem w niebo, po czym wstał i ruszył przez trawnik w stronę drogi prowadzącej do Stovington. Trawa była wilgotna od świeżej rosy. Stu słyszał wiatr szepczący wśród sosen.

– Ja żyję – rzucił w mrok nowy Stuart Redman. I rozplakał się. – Ja żyję, Bogu dzięki, żyję. O dzięki Ci, Boże, dzięki Ci, Boże, dzięki...

Nieco chwiejnym krokiem pomaszerował szosą w stronę miasta.

ROZDZIAŁ 30

Przez tereny teksaskiego skrubu przetaczały się tumany kurzu, które o zmierzchu, tworząc półprzezroczystą zasłonę, nadały miasteczku Arnette sepiowego charakteru wymarłej, widmowej osady. Wiatr zerwał szyld Texaco z dachu stacji Billa Hapscomba, który leżał teraz smętnie pośrodku drogi. Ktoś zostawił włączony gaz w domu Norma Bruetta i wystarczyła jedna iskra z klimatyzatora, by poprzedniego dnia cały budynek wyleciał w powietrze; belki, gonty i szczątki rozerwanych wybuchem zabawek firmy Fisher-Price rozsypały się po całej Laurel Street. Na Main Street w rynsztoku leżały zdechłe psy i martwi żołnierze. W barze Randy'ego na kontuarze spoczywał martwy mężczyzna w samej tylko piżamie. Jeden z psów porzuconych teraz w rynsztoku, zanim zdechł nażarł się ludzkiego mięsa, obgryzając niemal do kości twarz martwego mężczyzny. Koty nie zarażały się grypą i obecnie całe ich stada krążyły pośród zapadającego powoli zmierzchu, niczym ulotne, widmowe cienie. Z kilku domów dobiegał szum wciąż włączonych telewizorów, lecz na ekranach widać było tylko „śnieg”. Od czasu do czasu trzasnęła poruszona wiatrem okiennica. Pośrodku Durgin Street, przed karczmą Indian Head stał czerwony furgon, stary, zakurzony i napoczęty przez rdzę, z ledwo widocznym napisem SPEEDWAY EXPRESS po bokach. Na pace wozu stały kontenery z butelkowym piwem i napojami gazowanymi. Na Logan Lane, w najlepszej dzielnicy Arnette, na ganku domu Tony'ego Leominster'a wiatr wprawiał w ruch maleńkie dzwoneczki. Scout Tony'ego stał na podjeździe, boczne szyby w aucie były opuszczone, na tylnym siedzeniu urządziła sobie gniazdo rodzina wiewiórek. Słońce opuściło Arnette; miasto mroczniało coraz bardziej, otulone posępnym skrzydłem nocy. Jeżeli nie liczyć dźwięków wydawanych przez niewielkie zwierzęta oraz pobrzękiwania dzwoneczków Tony'ego Leominster'a całe miasto było otulone ciszą.

Cisza była wręcz namacalna.

Kompletna.

Grobowa.

ROZDZIAŁ 31

Christopher Bradenton otrząsnął się z delirycznego stanu, jak człowiek, który wolno i z mozołem wydostaje się z pułapki lotnych piasków. Był cały obolały. Twarz wydawała mu się obca, jakby ktoś naszpikował ją w tuzinie miejsc silikonem, a obecnie miała rozmiary dyni. Gardło miał zdarte, obolałe i co bardziej przerażające, jego przełyk zmniejszył się chyba do rozmiarów średnicy lufy dziecięcej wiatrówki. Powietrze ze świstem było zasysane i wypływało przez to przeraźliwie małe łącze, dzięki któremu zachowywał jeszcze jako taki kontakt ze światem. Lecz to nie wystarczało, a gorsze od pulsującego w krtani i przełyku bólu było uczucie tonięcia, powolnego lecz nieuchronnego pogrążania się w wodzie. Ale przede wszystkim było mu potwornie gorąco. Nie pamiętał, by kiedykolwiek się tak czuł, nawet dwa lata temu, kiedy przewoził dwóch więźniów politycznych, których zapuszkowano w zachodnim Teksasie do Los Angeles. Ich wysłużony pontiac tempest zdechł na Route 190 w Dolinie Śmierci i wtedy było naprawdę gorąco. Teraz jednak było jeszcze gorzej. Żar tkwił wewnątrz niego, jakby Chris Bradenton miał w żołądku słońce.

Jęknął i próbował zrzucić z siebie koc, lecz nie starczyło mu sił. Czy sam położył się do łóżka? Chyba nie. Ktoś lub coś było w domu wraz z nim. Ktoś lub coś... nie pamiętał, choć przecież powinien. Jedyne, co sobie przypominał to to, że zanim jeszcze zachorował, był śmiertelnie przerażony... bał się, bo wiedział, że ktoś (lub coś) nadchodziło, a on miał... właśnie – co?

Znów jęknął i przetoczył głowę wspartą o poduszkę z boku na bok. Pamiętał tylko deliryczne wizje. Gorące zjawy o dziwnych oczach. Jego matka zjawiała się w tej prostej sypialni o ścianach z drewnianych bali, jego matka, która zmarła w 1969 roku i przemówiła do niego: „Kit, och Kit, mówiłam ci. Nie zadawaj się z tymi ludźmi. Polityka nic a nic mnie nie obchodzi, ale ci ludzie, z którymi trzymasz, są szaleni jak kapelusznicy, wściekli jak toczące pianę psy, a te dziewczyny to zwyczajne ulicznice. Mówiłam ci, Kit”. I wtedy jej oblicze rozpadło się na kawałki, rozeszło się w szwach, a ze szczelin pękającej, żółtej, pomarszczonej jak pergamin twarzy wypełzły gromady żuków gnojaków. Na ten widok Chris zaczął krzyczeć i wyć na całe gardło, póki ciemność nie zaczęła falować, a potem słyszeć było czyjś pełen niepokoju krzyk, tupot butów biegnących ludzi... i pojawiły się światła,

błyśki światła, woń gazu, i znów był w Chicago w roku 1968, gdzieś z oddali dobiegały czyjeś głosy intonujące: „Cały świat patrzy! Cały świat patrzy! Cały świat...” i u wejścia do parku leżała dziewczynka, miała dżinsy-ogrodniczki, gołe stopy, we włosach pełno szkła i twarz pokrytą zakrzepłą warstwą krwi, krwi, która w ostrym świetle reflektorów wydawała się czarna; ta twarz przypominała zmiażdżoną główkę wielkiego owada. Pomógł jej wstać, a ona klękła i przytuliła się do niego kurczowo, bo z kłębow białego gazu wyłaniało się monstrum, istota z innej planety, stwór w lśniących, czarnych butach, masce przeciwgazowej i grubej wojskowej kurtce, dzierżący w jednej dłoni pałkę, w drugiej zaś pojemnik z gazem. Uśmiechał się. Kiedy zaś ów potwór z kosmosu uniósł maskę do góry ukazując uśmiechnięte, rozpalone oblicze, krzyknęli oboje, ponieważ był to ktoś (lub może coś), na kogo czekali, człowiek, którego Kit Bradenton zawsze panicznie się obawiał. To był Wędrowiec. Wrzaski Bradentona skruszyły materię tego snu, jak wysokie C potrafi obrócić w perzynę kryształ, i znów był w Boulder w Kolorado, w mieszkaniu przy Canyon Boulevard, w letni dzień, tak gorący, że nawet mając na sobie tylko szorty, cały był zlany potem, a naprzeciw niego stał najpiękniejszy chłopiec świata, wysoki, opalony i dobrze zbudowany, w żółtych, plażowych slipkach, podkreślających jędrność i krągłość jego pośladków i wiedział już, że okaże się, iż twarz chłopaka jest piękna niczym oblicze anioła Rafaela, a wytrzymałością dorównuje on wierzchowcowi Samotnego Strażnika. „Hej ho, Silver, naprzód! Gdzie go poderwałeś? Na spotkaniu na temat działań rasistowskich w kampusie CU czy w kafejce? A może podwiozłeś go samochodem?” Czy to ważne? Och, jest tak gorąco, ale miał przecież wodę, cały dzbanek wody, urnę pełną wody, pokrytą dziwnymi płaskorzeźbami, a obok leżała pigułka – nie! PIGUŁKA! Ta która odeśle go do miejsca nazwanego przez anioła w jasnożółtych slipkach Huxleylandia, miejsca gdzie pisze się jednym poruszeniem palca, gdzie kwitną uschłe drzewa i... Boże, ależ on ma w tych ciasnych slipkach wielką erekcję! Czy Kit Bradenton był kiedykolwiek tak napalony, tak gotów do miłości? „Chodź do łóżka – rzekł do gładkich, śniadych pleców chłopaka. – Chodź do łóżka, chodź do mnie, a zrobię ci dobrze. Tak jak lubisz”. „Najpierw weź pigułkę – mówi tamten, nie odwracając się. – Wtedy zobaczymy”. Łyknął pigułkę, woda chłodzi ci przełyk i stopniowo, powoli, to co postrzegasz nabiera osobliwego wymiaru, każde spojrzenie wydaje się dziwne, jakbyś patrzył na rzeczy pod innym niż zwykle kątem, z całkiem odmienną perspektywą. Przez jakiś czas gapisz się na wiatraczek na tanim biurku, a potem zerkasz na swoje odbicie w krzywym lustrze powyżej. Twoja twarz wydaje się czarna i napuchnięta, ale nie przejmujesz się tym, bo to tylko pigułka, tylko!!! PIGUŁKA! „Trips – mamrociesz. – O rany, Kapitan Trips, a ja jestem tak cholernie napalony...”

On zaczyna uciekać, a ty wodzisz wzrokiem od jego gładkich bioder, gdzie slipki osunęły się tak nisko, poprzez płaski, opalony brzuch, bezwłosą, piękną klatkę piersiową, długą szyję, na której odznaczają się cienkie węzły mięśni i żył, ku twarzy... a jego twarz... och, jego twarz

nie wygląda wcale jak oblicze anioła z dzieł Rafaela, lecz raczej diabła Goi – z mrocznych orbit łypią pyski małych, zabójczych żmij.

On idzie w twoją stronę, a gdy zaczynasz krzyczeć, szepcze: „Trips, dziecino, Kapitan Trips...”

Potem wszystko ciemnieje, twarze i głosy, których nie pamięta, a w końcu budzi się tutaj, w niewielkim domku, który własnoręcznie zbudował, na obrzeżach Mountain City. Ponieważ teraz było teraz i wielka fala zamieszek, która ogarnęła cały kraj przeminęła dawno temu, młodzi Turcy byli w większości starymi, zgrzybiałymi prykami z mózgiem przeżartym kokainą, a to wszystko było jedną wielką ruiną. Chłopak w żółtych slipkach to przeszłość, w Boulder zaś Kit Bradenton sam był ledwie nastolatkiem.

„Mój Boże, czy ja umieram?”

Odegnął od siebie tę myśl z mrozącą krew w żyłach trwogą, żar wzbierał i mącił mu umysł jak kurz podczas burzy piaskowej. I nagle jego przyspieszony, płytki oddech ustał, gdyż gdzieś spoza zamkniętych drzwi sypialni, z dołu, dobiegł jakiś dziwny dźwięk.

W pierwszej chwili Bradenton sądził, że to syrena wozu strażackiego albo policji. Odgłos, przybliżając się, przybierał na sile. Mieszał się z nim tupot kroków, kogoś, kto z szybkością błyskawicy przebiegł przez sień na dole, duży pokój i popędził schodami na górę.

Kit wtulił głowę w poduszkę, jego twarz przepelniał wyraz dojmującej zgrozy, oczy rozszerzyły się, rozjaśniając nieco napuchnięte, poczerniałe oblicze, a dźwięk coraz bardziej się zbliżał. Nie przypominał już syreny, lecz raczej krzyk, wysokie, przeciągłe zawrodo, wrzask, którego nie potrafi wydać z siebie ani przeciągać tak długo żadne ludzkie gardło. Był to raczej wrzask banshee albo Charona, piekielnego przewoźnika przybywającego, by zabrać go na drugi brzeg rzeki oddzielającej krainę żywych od domeny umarłych. Odgłos biegnących stóp zmierzał wyraźnie w jego kierunku wzdłuż korytarzyka na piętrze, deski skrzypiały, jęczały i protestowały pod ciężarem tych bezlitośnie tupiących podeszew i nagle Kit Bradenton pojął wszystko – nie miał już wątpliwości, kim był jego tajemniczy gość. W tej samej chwili drzwi otwały się z hukiem na oścież i do pokoju wpadł mężczyzna w spranych dżinsach. Morderczy uśmiech błyszczał na jego twarzy jak wirujący biały krąg noży. Wyglądał jowialnie niczym do cna zbzikowany Święty Mikołaj, dźwigając na ramieniu wielkie cynkowane wiadro.

– Heeeeeeejaaaaaaaaahooooooooo!

– Nie! – wrzasnął Bradenton, niezdarnie zasłaniając twarz rękoma. – Nie! Nieeee...!

Wiadro przechyliło się do przodu, a wylewająca się z niego struga wody zdawała się na moment zastygnać nieruchomo w powietrzu, zmrożona żółtym blaskiem lampy, podświetlona niczym największy nie oszlifowany diament świata. Poprzez nią ujrzał oblicze mrocznego mężczyzny, odbite i zniekształcone, przypominające pysk szczerzącego się trolla, który wydostał się właśnie z najgłębszej otchłani ziemi, by odtąd wędrować po jej powierzchni; a potem woda zmoczyła go całego. Była tak zimna, że jego ściśnięte gardło odruchowo znowu

się odetkało, krople krwi z popękanych pęcherzy w krtani spłynęły mu do gardła, wraz ze strugą gwałtownie nabranego powietrza, a konwulsyjny spazm, który targnął całym jego ciałem sprawił, że ciężki koc sfrunął na ziemię jak ciemny ptak. Pozostał więc na łóżku całkiem odkryty, dygocąc jak osika pod wpływem nagłego wstrząsu termicznego.

Krzyknął przeraźliwie raz i drugi. Wreszcie umilkł i leżał, trzęsąc się, a jego rozpalone gorączką ciało zlane było zimnym potem, pod czaszką czuł przeraźliwe łupanie, oczy wychodziły mu z orbit. Krtani znów ścisnęła mu się w wąską szparę i ponownie zaczął walczyć o każdy oddech. Wstrząsały nim konwulsyjne dreszcze.

– Wiedziałem, że cię ostudzę! – zawołał radośnie mężczyzna, którego Kit znał jako Richarda Fry. Z głośnym brzękiem postawił wiadro na podłodze. – Ta, taa, wiedział ja, co sztuczka ta efekt da, ha, ha. Pan być dobry, pan dziękować my wdzięczni. Czy pan dziękować? Nie mówić? Nie? Ja w głębi serca wiedzieć, że tak. Hai-jaaaaaah!

Wybił się w górę jak Bruce Lee w filmie kung fu, rozrzucił nogi szeroko i przez moment zdawał się wisieć w powietrzu nad Kitem Bradentonem, dokładnie tak samo jak wcześniej struga wody; jego cień padł na przemoczoną piżamę Bradentona, który jęknął zduszonym głosem. I wtedy mężczyzna opadł na niego okrakiem, jego kolana znalazły się po obu stronach klatki piersiowej leżącego, zaś opięte materiałem džinsów krocze zawisło kilka cali nad jego zapadniętymi żebrami. Oblicze mężczyzny płonęło skierowane w stronę Bradentona niczym żagiew z powieści gotyckiej.

– Musiałem cię obudzić, stary – rzekł Fry. – Nie chciałem, żebyś kipnął zanim zdążymy zamienić choć kilka słów.

– Zejdź... ze... mnie...

– Nie siedzę na tobie, stary. Wiszę PONAD tobą, co prawda niezbyt wysoko, ale jednak. Jak wielki, niewidzialny świat.

Bradenton, trawiony paraliżującą zgrozą, mógł jedynie dyszeć i próbować odwrócić wzrok od tego rozradowanego, lecz mimo wszystko posępnego oblicza.

– Musimy pogadać o statkach, stadkach i wydatkach i o tym, czy pszczoły mają żądła. A także o papierach, które powinieneś mieć dla mnie, o samochodzie i kluczykach do niego. Jedyne co zobaczyłem w twoim garażu to Chevrolet pickup. Wiem, że należy do ciebie, słodziutki. Co mi o nim powiesz?

– Oni... papiery... nie mogą... mówić... – Z trudem łapał powietrze. Jego zęby szczękały jak świergoczące ptaszki dokazujące w koronach drzew.

– Lepiej, żebyś TY mógł mówić – mruknął Fry i wysunął w jego stronę oba kciuki. Miały podwójne stawy (jak wszystkie jego palce) i zaczął manipulować nimi, wyginając je w przód i w tył, pod nieprawdopodobnymi kątami. To czego dokonywał zdawało się przeczyć wszelkim prawom biologii i fizyki. – Bo jak nie, wylupię ci oczęta i przypnę sobie do kółka na klucze, a ty będziesz musiał szwendać się po piekle z psem przewodnikiem na smyczy.

Wbił kciuki w oczodoły Bradentona. Zupełnie bezradny mężczyzna próbował się cofnąć, opuścić głowę niżej, jednak bez rezultatu.

– Powiesz mi – rzekł Fry – to zostawię ci właściwe pigułki. Nawet przytrzymam ci głowę, żebyś mógł je połknąć. One przyniosą ci ulgę, stary. Pigułki zajmą się wszystkim.

Bradenton, trzęsąc się i szcękając zębami, teraz tyleż ze strachu co z zimna, wykrztusił:

– Papiery... na nazwisko Randall Flagg. W komódce na dole. Pod adresem kontaktowym.

– Samochód?

Bradenton rozpaczliwie próbował zebrać myśli. Czy oddawał temu człowiekowi samochód? To było tak odległe, a wszystko co pomiędzy zniknęło w płomieniach delirium. Delirium wpłynęło w jakiś sposób na jego proces myślenia, wypalało całe fragmenty banku pamięci. Szafki z aktami z przeszłości były już zwęglone, ich zawartość przestała istnieć. Zamiast informacji o samochodzie, których domagał się od niego ten straszny człowiek, w jego myślach pojawiła się wizja pierwszego samochodu, jaki posiadał, studebakera rocznik 53 z pomalowanym na różowo, przypominającym pocisk przodem.

Fry delikatnie zacisnął jedną dłoń na ustach Bradentona, drugą zaś ścisnął mu nos. Bradenton zaczął wierzgać i miotać się jak oszalały. Spod palców Fry dobywały się zduszone jęki. Fry cofnął rękę i zapytał:

– Czy to przywróciło ci pamięć?

To dziwne, ale tak.

– Wóz... – powiedział i zaczął dyszeć jak pies. Świat zawirował, znieruchomiał i Kit znów mógł mówić. – Wóz stoi... za stacją Conoco... pod miastem. Przy szosie numer 51.

– Na północ czy na południe?

– Na po... połu...

– Na połu... Dobra już wiem. Starczy.

– Nakryty brezentem. Bu... bu... Buick. Dowód rejestracyjny jest na kierownicy. Na nazwisko... Randall Flagg.

Znów zaczął sapać, niezdolny wykrztusić z siebie nic więcej. Mógł jedynie patrzeć na Richarda Fry z tępą, naiwną nadzieją w oczach.

– Kluczyki?

– Pod... wycieraczką na podłodze.

Fry uciszył go skutecznie, siadając całym ciężarem na piersi Bradentona. Rozsiadł się tam, jak na wygodnej, miękkiej sofie w mieszkaniu bliskiego przyjaciela i nagle Bradenton stwierdził, że nie potrafi zaczerpnąć powietrza.

Ostatnie tchnienie wypłynęło z jego ust wraz ze słowem:

– Proszę...

– I dziękuję – rzekł Richard Fry obecnie Randall Flagg z promiennym uśmiechem. – Powiedz dobranoc, Kit.

Nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa, Kit Bradenton wywracał tylko oczami, upiornie białymi, tonącymi w fałdach tkanek napuchniętych, szerniałych powiek.

– Nie myśl o mnie źle – powiedział półgłosem mroczny mężczyzna, spoglądając na niego. – Po prostu musimy się bardzo spieszyć. Wkrótce otwarcie nowego, wielkiego lunaparku. Będą tam karuzele, fala, rzutki i koło fortuny. Wiesz co, Kit, dziś jest moja szczęśliwa noc. Czuję to. Bardzo mocno. I dlatego musimy się spieszyć.

Do stacji było półtorej mili. Fry dotarł tam dopiero kwadrans po trzeciej nad ranem. Wiatr przybrał na sile, zawodząc wśród ulic, a on szedł niezmordowanie; po drodze widział truchła trzech zdechłych psów i jednego martwego mężczyznę. Ten ostatni miał na sobie coś w rodzaju munduru. Wysoko w górze zimnym blaskiem lśniły milczące gwiazdy, iskry skrzesane z mrocznej materii wszechświata.

Brezent okrywający buicka był rozpięty sztywno; materiał na ziemi obłożono kamieniami. Wiatr trzepotał grubym, ciężkim płótnem. Flagg zdjął kamienie i wiatr natychmiast porwał brezent w mrok nocy. Płótno, jak wielki brązowy duch, uleciało na wschód. Pytanie brzmiało: „W którą stronę ON miał się udać?”

Staął przy buicku, dobrze zachowanym modelu rocznik 75 (ten klimat był nader łaskawy dla samochodów, wilgotność powietrza niewielka, rdza nie zdążyła jeszcze naruszyć karoserii) i zaczął węszyć jak kojot. Nocne powietrze przesycił zapach pustyni, który najlepiej wyczuwalny jest właśnie przed świtem.

Buick stał pośród cmentarzyska aut i samochodowych części wyglądających niczym posągi z Wyspy Wielkanocnej, smagane zawodzącym, bezlitosnym wiatrem. Tu blok silnika, ówdzie oś, wyglądająca jak pozostawiona przez młodego kulturystę sztanga. Stos opon, wewnątrz których hulał bezkarnie wiatr. Pęknięta szyba. I dużo, dużo więcej.

Najlepiej myślało mu się właśnie w takiej scenerii. W takiej scenerii każdy mógł poczuć się Jagonem.

Minął buicka i powiódł dłonią po wgniezionej masce auta, które mogło być kiedyś mustangiem.

– Ej, mała kobro, nie wiesz, że powinnaś schować ząbki? – rzucił śpiewnie.

Kopnął zakurzonym butem wgnieciony gaźnik i odkrył leżące pod nim klejnoty. Drogocenne kamienie zamrugały do niego płonącymi w ich wnętrzach maleńkimi ognikami. Rubiny, szmaragdy, perły wielkości gęsich jaj, diamenty mogące rywalizować z gwiazdami na niebie. Wysunął rękę w ich stronę i pstryknął palcami. Zniknęły. A dokąd ON miał się udać?

Zawodzący wiatr przepływał przez strzaskaną boczną szybę starego plymoutha i w jego wnętrzu poruszyły się niespokojnie jakieś małe stworzenia.

Z tyłu za nim również coś się poruszyło. Odwrócił się. To był Kit Bradenton, mający na sobie tylko beznadziejne, żółte slipki. Wielki kałdun zwieszał się nad gumką jak zatrzymana

w kadrze lawina. Bradenton podchodził do niego po stercie szczątków starego walca drogowego. Resor przebił mu nogę, jak gwóźdź stopy Ukrzyżowanego, ale rana nie krwawiła. Pępek Bradentona wyglądał jak czarne oko.

Mroczny mężczyzna pstryknął palcami i Bradenton zniknął. Uśmiechnął się i wrócił do buicka. Oparł się czołem o pochyłość dachu od strony pasażera. Czas płynął. W pewnej chwili mężczyzna, wciąż się uśmiechając, powoli się wyprostował. Już wiedział.

Wślizgnął się za kierownicę buicka i kilkakrotnie nacisnął pedał gazu, by rozruszać gaźnik. Silnik ożył i zamruczał cichutko, igła wskaźnika paliwa zatrzymała się przy oznaczeniu PEŁNY. Ruszył i objechał stację benzynową. Blask reflektorów wychwytał przez ułamek sekundy parę szmaragdowych kocich oczu błyszczących wśród wysokich traw opodal drzwi damskiej toalety. W pyszczku kot trzymał niedużą, zwiotczałą już mysz. Na widok jego uśmiechniętej, przypominającej księżyc twarzy łypiącej na niego przez boczną szybę kot upuścił swą zdobycz i uciekł. Flagg roześmiał się w głos, nieskrępowanie, jak ktoś, kto myśli jedynie o rzeczach błahych i przyjemnych. Kiedy dotarł do wjazdu na autostradę, skręcił w prawo, ruszając na południe.

ROZDZIAŁ 32

Ktoś zostawił otwarte drzwi pomiędzy kompleksem Dozoru Specjalnego a przylegającym do niego blokiem więziennym; obite stalą ściany zadziały jak naturalny wzmacniacz, potęgując monotonne, nie cichnące wrzaski rozlegające się przez cały ranek do rozmiarów szaleńczego skowytu, wywołując echa i echa ech, a Lloyd Henreid, słysząc je, trawiony własnymi, dławiącymi lękami pomyślał, że lada moment kompletnie oszaleje.

– Mamo! – rozległ się ochryple, wywołujący echa krzyk. – Maaamooo!

Lloyd siedział po turecku na podłodze swojej celi. Obie ręce miał zbrukane krwią; wyglądał jakby nosił czerwone rękawiczki.

Jasnoniebieska bawełniana bluza więzienna była usmarowana krwią, gdyż wycierał w nią ręce, aby mu się nie ślizgały. Była dziesiąta rano, dwudziestego dziewiątego czerwca. Około siódmej, dziś rano zauważył, że przednia prawa noga jego pryczy oblużowała się, toteż natychmiast zabrał się za odśrubowanie jej od podłogi i ramy łóżka. Próbował tego dokonać palcami, gdyż innych narzędzi nie posiadał i w końcu udało mu się wykręcić pięć z sześciu śrub. W rezultacie jego palce wyglądały jak krwiste, gąbczaste, przygotowane do smażenia mięso na hamburgery. Szósta śruba okazała się wyjątkowo oporna, ale doszedł do wniosku, że i z nią sobie poradzi. O niczym więcej nie myślał, przynajmniej na razie. Nie myśleć, to był jedyny sposób, aby nie dać się ogarnąć panice.

– Maaaaaaamooooooooo...

Poderwał się na nogi, krople krwi z poranionych i pulsujących bólem palców skapnęły na podłogę; Lloyd najdalej jak mógł wystawił głowę na korytarz i z oczami niemal wychodzącymi z orbit zacisnął obie dłonie na prętach krat.

– Zamknij się, pojebie! – wrzasnął. – Zamknij się, bo przez ciebie dostanę pierdolca!

Nastąpiła dłuższa cisza. Lloyd chłonał tę ciszę, radując się nią tak jak kiedyś ćwierćfuntowcem z serem od McDonald'sa. „Milczenie jest złotem” – zawsze uważał, że to głupie powiedzenie, ale bez wątplenia było w nim trochę racji.

– MAAAAMOOOOOOO! – Znów dobiegło go to ochryple, posępne jak jęk syreny mgielnej wołanie.

– O Jezu – mruknął Lloyd. – Jezus, Maria. Zamknij się! ZAMKNIJ SIĘ. ZAMKNIJ SIĘ, PIERDOLNIĘTY ĆWOKU!

– MAAAAAAAAAMOOOOOOOOO...

Lloyd odwrócił się i z szaleńczą dzikością zaatakował metalową nóżkę pryczy, żałując, że nie ma w celi niczego, czym mógłby ją podważyć, próbował zignorować pulsujący ból w palcach i panikę wsączającą się do jego umysłu. Usiłował przypomnieć sobie, kiedy dokładnie po raz ostatni widział swego adwokata – takie sprawy bardzo szybko zacierały się w jego myślach i chronologia ostatnich wydarzeń przedstawiała się dla niego nader wybiórczo. Trzy dni temu. Tak. Dzień po tym, jak ten kutas Mathers przydzwonił mu w jaja. Dwaj strażnicy zaprowadzili go do pokoju widzeń, przy drzwiach stał znowu Shockley i przywitał go słowami: „Proszę, proszę, oto nasz mały pyskacz. To jak, wielka gębo, chciałbyś znów powiedzieć coś zabawnego?”

I wtedy Shockley kichnął, opryskując twarz Lloyda śliną i smarkami. „Masz tu trochę zarazków grypy, palancie, to choróbsko rozłożyło na amen wszystkich innych na oddziale i ja chyba też je złapałem. W Ameryce nawet takie parszywe śmiecie jak ty powinny złapać zapalenie gardła”.

Wprowadzili go do środka, Devins wyglądał jak ktoś, kto stara się ukryć jakoś dobre wieści z obawy, by nie okazały się przedwczesne. Sędzia, który miał przewodniczyć rozprawie Lloyda złapał grypę. Dwaj inni również byli chorzy, czy to na grypę, czy na coś równie zjadliwego. Reszta składu sędziowskiego była więc uziemiona. Może uda im się załatwić odroczenie.

„Trzymaj kciuki” – radził mecenas. „Kiedy będzie coś wiadomo?” – zapytał Lloyd. „Prawdopodobnie dopiero w ostatniej chwili – odrzekł Devins – Nie martw się, dam ci znać”. Ale od tej pory ani razu się nie odezwał, a teraz, gdy o tym pomyślał, przypomniał sobie, że adwokatowi również ciekło z nosa i...

– O BOOOOŻE, O JEEEEEEZUUUUUU!...

Włożył do ust koniuszki palców prawej dłoni i poczuł smak krwi. Niemniej, ta cholerna śruba nieco się poluzowała, a to oznaczało, że na pewno ją wyrwie. Nawet ten krzykacz, maminsynek na końcu korytarza przestał go wkurzać, no, w każdym razie nie wkurzał go tak bardzo. Da sobie radę. Wyrwie śrubę. A potem będzie musiał po prostu czekać i zobaczymy, co się stanie. Siedział z palcami w ustach, pozwalając im odpocząć. Kiedy skończy, porwie swoją bluzę na pasy i obandażuje sobie rękę.

– Mamo?

– Wiem co możesz zrobić ze swoją matką – mruknął Lloyd.

Tej nocy, po ostatniej rozmowie z Devinsem zaczęli wywozić chorych więźniów, a ściślej mówiąc, wynosili z celi tych, którzy byli w naprawdę kiepskim stanie. Facet z celi po prawej, Trask, zauważył, że większość klawiszy również kasłała i smarkała na potęgę. „Może coś nam z tego skapnie” – rzekł Trask. Tamten był chudym mężczyzną o pociągłym, charcim

obliczu, oczekującym za kratkami na proces o napad z bronią w rękę i napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia. „Odroczenia – odburknął. – Bo ja wiem?”

Trask miał pod materacem pryczy sześć skrętów i cztery z nich oddał klawiszowi, który wciąż wyglądał na zdrowego, za garść informacji o tym, co działo się na zewnątrz. Strażnik powiedział, że ludzie masowo wyjeżdżają z Phoenix, nie liczy się dla nich dokąd mają dotrzeć, chcą po prostu znaleźć się jak najdalej stąd. Zaraza szalała w najlepsze, ludzie umierali. Rząd zapowiedział, że wkrótce będzie ogólnie dostępna szczepionka przeciwko zabójczej chorobie, ale większość ludzi przestała wierzyć w takie bzdury. Wiele stacji radiowych z Kalifornii nadawało naprawdę przerażające komunikaty o stanie wojennym, blokadach wojskowych, szalejących bandach szabrowników uzbrojonych w broń automatyczną i supergrypie pochłaniającej każdego dnia dziesiątki tysięcy ofiar. Strażnik powiedział, że nie zdziwiłby się, gdyby wyszło na jaw, że dzieła tego dokonali długowłosi, sympatyzujący z komuchami wywrotowcy, wsypując albo wlewając do wody jakieś świństwo.

Klawisz stwierdził, że sam czuje się dobrze, ale gdy tylko skończy zmianę wypieprzy stąd tak daleko, jak to możliwe. Słyszał, że nazajutrz rano wojsko miało postawić blokady na US 17, I-10 i US 80. Miał zamiar zapakować do auta żonę, dzieciaka, tyle prowiantu, ile zdoła zgarnąć i zaszyć się z nimi w górach, dopóki cały ten bajzel się nie skończy. Miał tam chatkę, a gdyby ktoś zbliżył się do niej na trzydzieści jardów, wpakuje mu bez ostrzeżenia kulę w łeb.

Następnego ranka Traskowi ciekło z nosa i powiedział, że chyba ma gorączkę. Prawie bełkotał w przyływie paniki, wspominał Lloyd, ssąc palce. Trask zaczął wykrzykiwać do każdego przechodzącego klawisza, aby go wypuścili zanim naprawdę się pochoruje, albo jeszcze coś gorszego. Strażnicy nawet na niego nie spojrzeli, podobnie zresztą jak na innych osadzonych, którzy, wszyscy, bez wyjątku, byli teraz niespokojni jak wygłodniałe lwy w zoo. Właśnie wtedy Lloyd zaczął się bać. Zwykle o każdej porze dnia i nocy na bloku było co najmniej dwudziestu klawiszy. Jak to się stało, że po drugiej stronie krat widział teraz zaledwie cztery lub pięć różnych twarzy?

Tego dnia, dwudziestego siódmego czerwca, Lloyd zaczął zjadać zaledwie połowę posiłków, które mu przynoszono, resztę (w sumie niewiele) gromadził pod materacem.

Wczoraj Trask dostał nagle konwulsji. Jego twarz szerniała jak as pikowy, po czym zmarł. Lloyd spoglądał tęsknie na nie tknięty obiad współwięźnia, ale nie miał jak przyciągnąć go do swojej celi. Wczoraj po południu na bloku było co prawda paru strażników, ale żaden z nich nie prznosił już chorych do ambulatorium, niezależnie od tego w jak poważnym znajdowali się stanie. Może ambulatorium do tej pory stało się jedną wielką umieralnią i kierownik więzienia uznał, iż cała rzecz nie jest warta zachodu. Nie zjawił się nikt, by wynieść z celi zwłoki Traska.

Wczoraj po południu Lloyd uciął sobie dłuższą drzemkę. Kiedy się obudził, korytarze kompleksu Dozoru Specjalnego ziały pustkami. Nikomu nie przyniesiono obiadu. Teraz cały

blok naprawdę wyglądał jak pomieszczenie dla lwów w zoo. Lloyd nie potrzebował wysilać wyobraźni, by oczyma duszy ujrzeć co działałoby się tu, gdyby wszystkie cele były zajęte. Nie miał pojęcia, ilu skazańców jeszcze żyło i miało dość sił, by domagać się posiłku, ale echo sprawiało, że głosy brzmiały naprawdę donośnie. Jedyne co Lloyd wiedział i czego był pewien to tego, że Trask po jego prawej stronie stał się karmą dla much, a cela z lewej była pusta. Jej były lokator, młody, mówiący potocznym językiem czarnoskóry mężczyzna, który próbował okraść staruszkę, a w rezultacie ją zabił dobrych parę dni temu trafił do ambulatorium. Naprzeciwko miał dwie puste cele i dyndające stopy mężczyzny, który zabił swoją żonę i szwagra w czasie gry w pokera na pieniądze. Zabójca Pokeno, jak go nazywano, najwyraźniej wybrał wolność, wieszając się na pasku lub, jeżeli mu go odebrano, na sznurze uplecionym z własnych spodni.

Nieco później tej nocy, kiedy światła zaczęły gasnąć automatycznie, Lloyd zjadł trochę fasoli z posiłku sprzed dwóch dni. Smakowała obrzydliwie, ale wmusił ją w siebie. Popił wodą z muszli, po czym wpełzł na pryczę i leżał tak, podkuliwszy kolana do piersi, przeklinając Andy'ego „Dziurawca”, że wpakował go w takie szambo. To wszystko było jego winą. Na własną rękę Lloyd z pewnością nie wpakowałby się w coś takiego.

Stopniowo gromkie ryki więźniów domagających się posiłku ucichły, a Lloyd podejrzewał, że nie był jedynym, który odkładał sobie resztki na czarną godzinę. Niestety nie było tego wiele. Gdyby faktycznie liczył się, że sprawy mogą przybrać taki obrót, odłożyłby więcej. Niektóre myśli i obrazy od pewnego czasu nie dawały mu spokoju, choć wcale nie chciał ich rozpatrywać ani oglądać. Zupełnie jakby w jego umyśle znajdowała się wielka kurtyna, za którą coś się skrywało. Spod kurtyny wyzierały jedynie kościste, wychudłe stopy tego czegoś. To wszystko, co chciałbyś zobaczyć. A to dlatego, że owe stopy należały do kiwającego głową, wynędzniałego, chudego jak szczapa trupa o imieniu ŚMIERĆ GŁODOWA.

– O nie – powiedział Lloyd. – Ktoś tu przyjdzie. Ktoś musi się tu zjawić. To pewne jak to, że gówno przylepia się do papieru.

Mimo to przypomniał sobie królika. Nie mógł o nim zapomnieć. Królika wraz z klatką wygrał na szkolnej loterii. Ojciec nie chciał, aby Lloyd zatrzymał zwierzaka, ale chłopak przekonał go, że będzie o niego dbał i karmił za własne oszczędności. Kochał tego królika i rzeczywiście się nim opiekował. Przynajmniej na początku. Kłopot w tym, że po pewnym czasie inne sprawy zaczęły zaprzętać jego umysł. Zawsze tak było. I pewnego dnia, kiedy bujał się w najlepsze na oponie zawieszanej na konarze starego klonu za ich starym, zapuszczonym domkiem w Marathon w Pensylwanii, nagle przypomniał sobie o króliku i momentalnie zastygł w bezruchu. Nie myślał o króliku od... no tak, dobrych dwóch tygodni. Na śmierć o nim zapomniął.

Pobiegł do niewielkiej szopy, tandetnej przybudówki przy stodole, a ponieważ wtedy jak i teraz było lato, kiedy wszedł do środka smród rozkładającego się królika poraził go niczym

siarczasty policzek. Futerko, które tak lubił głaskać było brudne i zmierzwiene. W oczodołach, gdzie niegdyś znajdowały się śliczne, różowe ślepka wiły się tłuste, białe robaki. Łapki królika były okrwawione i odarte z ciała niemal do kości. Próbował wytłumaczyć sobie, że łapki zwierzęcia były całe we krwi, ponieważ próbowało ono rozpaczliwie wydostać się z klatki i bez wątpienia tak właśnie było, lecz jakaś mroczniejsza, perwersyjna część jego umysłu zasugerowała mu, że być może królik, w przypiływie zrodzonej z głodu desperacji próbował pożreć sam siebie.

Lloyd wyniósł klatkę z królikiem i zakopał go wraz z nią w głębokim dole za domem. Ojciec nigdy nie zapytał go, co się stało ze zwierzakiem, może nawet zapomniał, że jego syn miał królika – Lloyd nie był szczególnie bystry, ale w porównaniu z ojcem można by go uznać za prawdziwego geniusza intelektu – i Lloyd nigdy nie zapomniał tego zdarzenia. Zawrze miewał bardzo barwne (i koszarne) sny, lecz po śmierci królika stały się one szczególnie upiorne. Wizja przypadkiem zamęczonego zwierzątka powróciła do niego, gdy siedział na pryczy z podkulonymi pod brodą kolanami, mówiąc sobie, że ktoś przecież przyjdzie, ktoś się zjawi i uwolni go. Nie złapał Kapitana Tripsa. Był po prostu głodny. Tak jak kiedyś królik. Jak to biedne zwierzątko.

Kilka minut po północy zdołał wreszcie usnąć, a tego ranka wziął się ostro do pracy, zamierzając oderwać poluzowaną nogę pryczy. Teraz zaś, kiedy patrzył na swoje okrwawione palce, znów z przerażeniem pomyślał o czerwonych od posoki łapkach królika, którego nie chciał przecież skrzywdzić.

Przed pierwszą po południu dwudziestego dziewiętego czerwca, Lloyd wyrwał nogę z łóżka. Pod sam koniec śruba wyszła gładko, a metalowa listwa z brzękiem wylądowała na podłodze celi. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, po co właściwie była mu potrzebna. Metal miał jakieś trzy stopy długości.

Podszedł z nim do drzwi celi i zaczął tłuc wściekle w grube, srebrne kraty.

– Hej! – zawołał, łomocząc z całej siły w pręty kawałem metalu. – Hej, chcę stąd wyjść! Chcę stąd wyjść, rozumiecie? Hej, słyszy mnie ktoś, heej!

Przerwał i przez chwilę nasłuchiwał, podczas gdy metaliczne echo z wolna cichło w głębi korytarza. Najpierw odpowiedzią na jego wołania była kompletna cisza, aż wreszcie z bloku obok dobiegło ochryple, przeraźliwe zawodzenie:

– Mamo! Tutaj, mamó! Jestem tutaj!

– Jeezuuu! – ryknął Lloyd, ciskając nogę od pryczy w kąt. Męczył się tyle godzin, niemal zdarł sobie palce do kości tylko po to, by obudzić tego kretyna.

Usiadł na pryczy, uniósł materac i wyjął pajdkę czerstwego chleba. Zastanawiał się czy nie zjeść również kilku daktyli, i choć postanowił zostawić je na później, ostatecznie spałaszował całą dzienną porcję. Zjadł je jeden po drugim, a na końcu chleb, by zabić pozostawiony przez zleżale owoce posmak w ustach.

Kiedy już uporał się z tą żalną parodią posiłku podszedł odruchowo do ściany celi po prawej stronie. Spojrzał w dół i stłumił cisnący mu się na usta okrzyk obrzydzenia. Trask na wpół leżał na pryczy, na wpół na podłodze. Na jego stopach zauważył więzienne kapcie. Nogawki miał podciągnięte tak, że widać było gołe kostki. W jedną nogę Traska wgryzał się wielki, tłusty szczur. Odrażający, różowy ogon gryzonia włókł się za nim po podłodze.

Lloyd przeszedł w drugi róg celi i podniósł metalową nogę łóżka. Następnie wrócił do krat i przez chwilę zastanawiał się, czy szczur go zobaczy i postanowi zmienić okolicę na taką, gdzie towarzystwo było nieco mniej ożywione. Gryzoń był jednak odwrócony do niego tyłem i jak stwierdził Lloyd, w ogóle nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Lloyd ocenił odległość i uznał, że metalowym prętem dosięgnie go bez trudu.

– Uch! – stęknął Lloyd, zamachując się swoją bronią. Pręt zmiażdżył szczura na nodze Traska, a sam Trask z głośnym łupnięciem runął na podłogę. Szczur oszołomiony, leżał na boku i z trudem łapał powietrze. Miał krew na wąsach. Jego tylne łapy poruszały się, jakby mały mózdzek gryzonia nakazywał mu uciekać, ale przekazywane sygnały zanikały gdzieś po drodze przez stos pacierzowy.

Lloyd uderzył raz jeszcze i dobił szczura.

– Mam cię, skurwielu – mruknął Lloyd. Odłożył metalowy pręt i wrócił na swoją pryczę. Był rozpalony, przerażony i chciało mu się płakać. Obejrzał się przez ramię i zawołał: – Jak ci się podoba szczurze piekło, ty trupożerny palancie?

– Mamo! – rozległ się w odpowiedzi radosny głos. – Maaaaamooooo!

– Stul dziób! – wrzasnął Lloyd. – Nie jestem twoją matką! Twoja matka ciągnie druta w burdelu w Srajdole w Indianie!

– Mamo? – powtórzył głos z pewnym powątpiewaniem. I nagle zamilkł.

Lloyd zaczął płakać. Szlochając, przecierał oczy pięściami, jak małe dziecko. Miał ochotę na stek, chciał porozmawiać ze swoim adwokatem i przede wszystkim pragnął wydostać się stąd.

W końcu położył się na pryczy, zakrył oczy przedramieniem i onanizował się. Był to równie dobry sposób na zaśnięcie jak każdy inny.

Kiedy znów się obudził była piąta po południu, a w całym kompleksie panowała grobowa cisza. Lloyd leniwie, bez pośpiechu zwłókł się z pryczy, która, odkąd wyrwał z niej nóżkę, mocno przekrzywiła się na uszkodzoną stronę. Sięgnął po metalowy pręt, przygotował się w duchu, że lada chwila usłyszy wołanie „Mamo!” i zaczął tłuc w kraty celi, jak kucharz na farmie zwołujący najemnych robotników na sutą, wiejską kolację. Kolacja. Cóż za piękne słowo. Czy istniały piękniejsze? Kotlety schabowe z ziemniaczkami, sosem, groszkiem i mlekiem z odrobiną czekoladowego syropu. A na deser lody truskawkowe. Nie, słowo kolacja nie miało sobie równych.

– Hej, jest tam kto? – zawołał Lloyd łamiącym się głosem.

Żadnej odpowiedzi. Nawet mężczyzna wołający matkę milczał. W obecnej chwili prawie mu brakowało jego krzyku. Nawet towarzystwo szaleńca było lepsze od towarzystwa trupów.

Lloyd z brzękiem cisnął metalową nogę na podłogę. Następnie podszedł do pryczy, uniosł materac i zrobił szybką inwentaryzację. Miał jeszcze dwie kromki chleba, dwie garście daktyli, nadgryzionego kotleta i kawałek kiełbasy. Przekroił kiełbasę na dwa kawałki i zjadł większy, ale to tylko zaostriło mu apetyt.

– Dość – wyszeptał, ale zaraz zjadł całego kotleta. Sklął się za to w myślach i przez chwilę płakał. Był pewien, że przyjdzie mu tutaj umrzeć, jak królikowi w klatce, albo Traskowi w celi obok.

Trask.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w głąb celi Traska i zastanawiał się, obserwując muchy krążące nad ciałem, przysiadające na nim i zrywające się ponownie do lotu. Na twarzy Traska muchy urządziły sobie prawdziwe lądowisko. W końcu Lloyd podniósł metalowy pręt, podszedł do krat i sięgnął pomiędzy nimi. Wypreżając się maksymalnie zdołał dosięgnąć truchła szczura i przyciągnąć go do swojej celi.

Kiedy podciągnął go dostatecznie blisko, Lloyd klęknął i podniósł szczura z podłogi. Ujął go za ogon i przez dobrych parę minut trzymał go tuż przed twarzą na wysokości oczu. Wreszcie, oddzielając zwiotczałe truchło od reszty swych skromnych zapasów, włożył go pod materac, by nie dobrały się do niego muchy. Zanim doprowadził pryczę do porządku raz jeszcze przyjrzał się uważnie gryzoniowi, aż w końcu litościwie przykrył go materacem.

– Na wszelki wypadek – wyszeptał w ciszy swojej celi Lloyd Henreid. – Na czarną godzinę. Tak na wszelki wypadek.

A potem wszedł na pryczę, przy jej drugim końcu, podciągając kolana pod brodę i siedział tak w kompletnym bezruchu.

Siedział w ten sposób bardzo długo.

ROZDZIAŁ 33

Za dwadzieścia dwie dziewiąta według zegara nad drzwiami do gabinetu szeryfa pogasły światła.

Nick Andros czytał książkę w broszurowym wydaniu, zabraną ze stojaka w drogerii, powieść gotycką o przerażonej guwernantce, która uznała, że odludna posiadłość, gdzie miała uczyć synów przystojnego dziedzica jest nawiedzona. Choć nie dobrnął nawet do połowy, Nick wiedział już, że duchem była w rzeczywistości żona owego dziedzica, którą najprawdopodobniej obłąkaną trzymano pod kluczem na poddaszu.

Kiedy zgasły światła serce zakołatało mu w piersi, a w myślach rozległ się głos rodem z koszmarów, które od niedawna nachodziły go każdej nocy: „On idzie po ciebie... jest tam teraz, na autostradach nocy... podąża sekretnymi, ukrytymi szlakami... mroczny mężczyzna...”

Upuścił książkę na biurko i wyszedł na ulicę. Niebo rozświeciliły jeszcze ostatnie promienie słońca, ale zmierzch miał się już ku końcowi. Wszystkie latarnie były wyłączone. Zgasły również palące się ostatnio dzień i noc świetlóówki w aptece. Nie słychać było przytłumionego szumu skrzynek odgałęźnych na szczytach słupów elektrycznych. Nick potwierdził ten fakt, przykładając do jednego z nich rękę. Nie poczuł delikatnego drgania, tylko martwe drewno. Wibracje, które odbierał dotykiem ustały.

W schowku w gabinecie znalazł całe pudełko świec, ale to go wcale nie pocieszyło. To nagłe zaciemnienie było dla niego potężnym ciosem, a teraz stał, spoglądając na zachód i w myślach prosił bezgłośnie, aby światła znowu się zapaliły, nie chciał pozostać w ciemnościach na tym wielkim, posepnym cmentarzysku.

Ale światła już się nie włączyły. Dziesięć po dziewiątej Nick nie mógł już nawet przed samym sobą udawać, że wciąż jest jeszcze jasno. Wrócił do biura szeryfa i po omacku dobrnął do szafki, gdzie znajdowały się świece. Gmerał w szufladzie w poszukiwaniu właściwego pudełka, kiedy drzwi za jego plecami otwarły się z hukiem i do środka wszedł chwiejnie Ray Booth z czarną, opuchniętą twarzą i znajomym sygnetem na palcu.

Od owej pamiętnej nocy dwudziestego drugiego czerwca, tydzień temu, ukrywał się w lasach pod miastem. Rankiem dwudziestego czwartego zaczął niedomagać i w końcu tego wieczoru głód i obawa o własne życie skłoniły go do powrotu, lecz w miasteczku nie napotkał

nikogo, za wyjątkiem tego cholernego, głuchoniemego dziwoląga, który napytał mu tyle biedy. Niemowa przemaszerował przez główny plac miasta, jakby całe było jego własnością, na prawym biodrze miał kaburę z bronią, przytroczoną na dodatek rzemykiem do uda, na modłę rewolwerowców. Może temu draniowi faktycznie wydawało się, że jest panem całego miasta. Ray był prawie pewien, że już wkrótce wyciągnie kopyta zmożony tym samym choróbskiem, które uśmierciło resztę mieszkańców, najpierw jednak zamierzał pokazać temu wybrykowi natury, gdzie NAPRAWDĘ jest jego miejsce.

Nick był do niego odwrócony plecami i nie zdawał sobie sprawy, że nie był już sam w biurze szeryfa Bakera, dopóki silne dłonie nie zacisnęły się kurczowo na jego szyi. Pudełko, które właśnie wymacał wypadło mu z ręki, woskowe świece spadły na podłogę i połamały się. Zanim przemógł pierwszy strach, napastnik zdążył dość mocno go poddusić. Nick był przekonany, że miał do czynienia z czarną istotą ze swoich snów, że za jego plecami stał demon z najgłębszych otchłani piekieł i wygaśnięcie świateł było jego sprawką. Uczynił to, aby zaskoczyć Nicka i wycisnąć z niego życie swymi wielkimi, szponiastymi, pokrytymi łuską łapami.

I nagle, zgoła instynktownie zacisnął dłonie na rękach, które go dusiły, próbując przełamać morderczy uchwyt. Fala gorącego oddechu omiatała jego prawe ucho, czuł ją, choć nie słyszał sapania, które mu towarzyszyło. Zanim dłonie znowu wzmocniły uścisk zdążył zaczerpnąć tchu.

Dwaj walczący zataczali się w ciemnościach jak pijani. Ray Booth poczuł, że jego uścisk zaczyna słabnąć – chłopak stawiał silny opór. Pulsowało mu w skroniach. Albo szybko wykończy tego dziwoląga albo nie zabije go wcale. Z całej siły zacisnął mocne palce na chudej szyi niemowy.

Nick poczuł, że cały świat zaczyna odpływać od niego. Ból w szyi, z początku ostry i przejmujący wydawał mu się teraz odległy i dużo słabszy, niemal przyjemny. Wbił obcas buta w stopę Bootha, napierając na niego jednocześnie całym ciężarem. Booth musiał cofnąć się o krok. Chciał odzyskać równowagę, lecz stanął na jednej z wysypanych z pudełka świec. Stożkowaty kształt wyprysnął spod jego stopy, jak wystrzelony z procy. Booth ciężko runął na podłogę. Nick upadł na niego. Morderczy uścisk na szyi Nicka został wreszcie przełamany.

Odturlał się w bok, chwytając powietrze krótkimi, łapczywymi haustami. Wszystko wydawało się płynne i odległe, wszystko za wyjątkiem bólu w szyi, który powrócił powolnymi, tępymi, dojmującymi falami. Czuł w przetyku słono-miedziany smak krwi.

Potężny, zwalisty kształt napastnika, który go zaatakował powoli gramolił się z podłogi. Nick przypomniał sobie o pistolecie i sięgnął ręką do biodra. Broń tkwiła w kaburze, ale jakimś dziwnym trafem zaklinowała się w niej. Niemal oszalały z paniki pociągnął z całej siły za kolbę. Pistolet wypalił. Pocisk rozorał mu udo i zagłębił się w podłódze.

Ciemny kształt runął na niego jak fatum.

Impet uderzenia sprawił, że Nickowi zaparło dech w piersiach, a w chwilę potem wielkie, białe dłonie zaczęły przesuwając się po jego twarzy, kciuki szukały oczodołów. Nick dostrzegł w słabym blasku księżyca fioletowy błysk na jednej z dłoni, a jego usta z niejakim zdziwieniem bezgłośnie wypowiedziały w mroku nazwisko napastnika: „Booth”. Prawą ręką Andros Wciąż usiłował wyjąć z kabury pistolet. Prawie nie czuł palącego bólu płynącego z przeoranego kulą uda.

Booth wbił kciuk w prawe oko Nicka. Pod czaszką chłopaka eksplodowała biała fala niewypowiedzianego bólu. Wreszcie udało mu się wyciągnąć broń. Kciuk Bootha ze stwardniałą od prac fizycznych skórą obracał się to zgodnie, to w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, naciskając z całej siły na gałkę oczną.

Nick wydał z siebie przeciągły krzyk, a raczej ze względu na swą ułomność przeciągły, zbołały wydech i wbił lufę pistoletu w miękki, obwisły bok Bootha. Pociągnął za spust i pistolet kaszlnął cicho, a Nick poczuł silny odrzut, który omal nie sparaliżował mu całej ręki. Muszka broni zahaczyła o koszulę Bootha. Nick zobaczył błysk wystrzału i w chwilę potem w nozdrza uderzyła go drażniąca woń kordytu i spalonego materiału koszuli Raya. Booth zeszytniał i jak w zwolnionym tempie osunął się na niego.

Szlochając z bólu i przerażenia, Nick naparł z całej siły na przygniatające go ciało i Booth na w pół spadł, na w pół zsunął się z niego. Nick odczołgał się w bok, przytykając jedną rękę do zranionego oka. Jeszcze długo leżał kompletnie bezwładny na podłodze, a jego gardło zdawało się płonąć żywym ogniem. Miał wrażenie jakby w skronie bezlitośnie wbito mu ostrza wielkich cyrkli.

Wreszcie zaczął macać w ciemności wokół siebie. Odnalazł świecę i zapalił ją zabraną z biurka zapalniczką. W słabym świetle ujrzał Raya Bootha leżącego twarzą do dołu na podłodze. Wyglądał jak martwy waleń wyrzucony przez fale przypiływu na pustą plażę. Po wystrzale na jego koszuli pojawił się poczerwiał ślad wielkości naleśnika. Krwi było sporo. Wielki i bezkształtny cień Bootha w migotliwym blasku świecy sięgał aż do przeciwległej ściany.

Nick z głuchym jękiem powłókł się do niewielkiej łazienki. Wszedł do środka wciąż zasłaniając oko ręką, po czym stwierdziwszy, że spomiędzy palców sączy mu się krew z niejakim wahaniem opuścił ją i spojrzał w lustro. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że odtąd będzie jednookim głuchoniemym.

Wrócił do pokoju i kopnął zwiotczałe zwłoki Bootha.

„Aleś mnie załatwił – rzekł w myślach do trupa. – Najpierw zęby, a teraz oko. Cieszysz się? Gdybyś tylko mógł, całkiem byś mnie oślepił, mam rację? Wyłupiłbyś mi oboje oczu i pozostawił głuchego, niemego i ociemniałego w świecie umarłych. Jak ci się to podoba, wsioku?”

Ponownie mu przykopał, a gdy poczuł że jego stopa zagłębia się w miękkim, martwym cieple, zrobiło mu się niedobrze. Po chwili podszedł do łóżka, usiadł na nim i ukrył twarz w

dłoniach. Na zewnątrz ciemność miała się dobrze. Na zewnątrz, na całym świecie właśnie wyłączano światło.

ROZDZIAŁ 34

Już od dłuższego czasu (Od ilu dni? Któż to wie? Na pewno nie Śmieciarz) Donald Merwin Elbert znany w przeszłości swoim rówieśnikom z podstawówki jako Śmieciarz, krążył po ulicach Powtanville w Indianie nękany głosami rozbrzmiewającymi w jego głowie. Próbował im uciec, ukrywał się i unosił ręce, by osłonić się przed ciskanymi przez duchy kamieniami.

„Ej, Śmieciarz!

Ej, Śmieciarzu, jak tam śmieci? Podпалиłeś coś w tym tygodniu?

Co powiedziała stara pani Semple, kiedy spaliłeś jej czek emerytalny?

Hej, Śmieciarz, chcesz kupić trochę benzyny?

A jak tam terapia wstrząsowa w Terre Haute?

Śmieciarzu!...

... Ej, Śmieciarzu...”

Niekiedy wiedział, że te głosy nie były prawdziwe, ale zdarzało się, że krzyczał i błagał, by ucichły i dopiero po jakimś czasie uświadamiał sobie, iż jedynym głosem, który słyszał był jego własny. Echo powracające do niego po odbiciu od ścian domów i sklepów, czy żuźłowego muru myjni samochodowej „Szurum-Burum”, gdzie pracował i gdzie teraz właśnie siedział, rankiem trzydziestego czerwca, pojadając wielką, ociekającą masłem orzechowym, kanapkę z dżemem, pomidorami i musztardą. To był jego głos, to jego echo odbijało się od domów i witryn sklepów, by powrócić niczym niechciany gość. Ponieważ nie wiedzieć dlaczego Powtanville świeciło pustkami. Wszyscy odeszli... ale czy na pewno? Zawsze mówili, że miał nie po kolei w głowie, a coś takiego mogło przyjść do głowy jedynie kompletnemu świrowi, tylko wariat mógłby myśleć, że w mieście skąd pochodził nie było nikogo, prócz niego. Powracał stale wzrokiem do zbiorników z paliwem widocznych na horyzoncie, wielkich, białych i okrągłych jak nisko wiszące chmury. Stały pomiędzy Powtanville a szosą do Gary i Chicago. Wiedział, co chciał zrobić i to nie był sen. Może nie było to dobre, ale nie było snem, a on nie mógł temu zapobiec.

„Poparzyłeś sobie palce, Śmieciarzu?

Ej, Śmieciarzu, nie wiesz, że jak będziesz bawił się ogniem to zmoczysz się w nocy?”

Coś jakby śmignęło obok niego. Zapłakał, unosząc obie ręce, przez co upuścił kanapkę na ziemię. Przechylił głowę i wtulił policzek w ramię, ale niczego ani nikogo nie zauważył. Za żuźlową ścianą myjni samochodowej „Szurum-Burum” rozciągała się jedyna w Indianie autostrada numer 130 prowadząca do Gary, lecz po drodze musiałeś minąć wielkie zbiorniki należące do Cheery Oil Company. Pochlipując z cicha, podniósł kanapkę, najlepiej jak mógł otrzepał kurz z kromki białego chleba i znów zabrał się do pałaszowania.

Czy ONI byli snem? Kiedyś, dawno temu żył jego ojciec, ale szeryf zastrzelił go na środku ulicy przed samym wejściem do kościoła metodystów, a on musiał żyć z tym po dziś dzień.

„Ej, Śmieciarzu, szeryf Greeley rozwalił twojego starego jak wściekłego psa, wiesz o tym, ty pieprzony pojebańcu?”

Jego ojciec był u O’Toole’a, miała tam miejsce jakaś ostra sprzeczka, Wendell Elbert wyciągnął spluwę i zastrzelił barmana, a potem wrócił do domu i wykończył jedno po drugim dwóch starszych braci Śmieciarza i jego siostrę. Wendell Elbert był dziwnym facetem, porywczym i pamiętliwym, już od dłuższego czasu zachowywał się co najmniej podejrzanie, wszyscy w Powtanville mogli to potwierdzić. Powiedzieliby jeszcze: „Jaki ojciec taki syn”. Wendell z pewnością zabiłby również matkę Śmieciarza gdyby nie to, że Sally Elbert, krzycząc przeraźliwie, uciekła z domu z małym, pięcioletnim wówczas Donaldem (znanym później jako Śmieciarz) na rękach. Wendell Elbert stał na schodach przed domem i strzelał do uciekających jak do kaczek, kule z wizgiem chybiały celu albo odbijały się od asfaltu, przy ostatnim strzale zaś tani gnata, kupiony od Murzyna w barze przy State Street w Chicago eksplodował mu w ręce. Odłamki pozbawiły Wendella prawie całej twarzy. Oszałały z bólu ruszył ulicą z krwią zalewającą mu oczy, wyjąc na całe gardło i wymachując trzymaną w dłoni resztką broni – jego lufa była u wylotu rozerwana i wygięta na wszystkie strony niczym eksplodujące cygaro, które można nabyć w sklepie ze śmiesznymi rzeczami. Kiedy dotarł do gmachu kościoła metodystów, szeryf Greeley podjechał wozem patrolowym i władczy głośnie rozkazał Elbertowi, aby zatrzymał się i rzucił broń. Wendell zamiast tego wymierzył w gliniarza rozwalonego gnata. Greeley zaś, który albo nie zauważył albo nie chciał dostrzec rozsadzonej lufy taniego pistoletu, poczęstował go ołowiem, wysyłając ekspresem na tamten świat.

„Ej, Śmieciarzu, oparzyłeś sobie kiedyś małego?”

Rozejrzał się wokoło, wypatrując tego, kto to powiedział – głos zdawał się należeć do Carleya Yatesa albo jednego z chłopaków, którzy trzymali z nim sztamę. Tyle że Carley, tak jak on sam, nie był już dzieckiem. Może mógłby teraz być znowu Donaldem a nie Śmieciarzem, tak jak Carley Yates był obecnie panem Carlem Yatesem, sprzedawcą samochodów w salonie Chryslera-Plymoutha. Tyle tylko, że Carla Yatesa już nie było, nie było NIKOGO i kto wie, czy nie było już dla niego za późno, aby mógł być KIMKOLWIEK.

Już nie siedział pod murem myjni samochodowej „Szurum-Burum”, znajdował się jakąś milę lub półtorej na północny zachód od miasta – szedł autostradą numer 130, a miasto Powtanville rozciągało się w dole, niczym ogromna diorama do dziecięcej elektrycznej kolejki. Zbiorniki znajdowały się zaledwie pół mili dalej, a on miał w jednej dłoni pudełko z narzędziami, a w drugiej pięciogalonowy kanister z benzyną.

„Och, to było takie okropne, ale...”

Kiedy Wendell Elbert poszedł do piachu, Sally Elbert podjęła pracę w miejscowej kawiarni, a jej jedyne dziecko, mniej więcej na przełomie pierwszej i drugiej klasy podstawówki zaczęło wzniecać pożary w koszach na śmieci, by, zaproszywszy ogień, uciec czym prędzej z miejsca przestępstwa.

„Dziewczęta baczność, nadchodzi Śmieciarz, uważajcie, bo podпали wam sukienki!

Uuch! Cóż za dziwoląg!”

Gdy był w trzeciej klasie dorośli zorientowali się, co wyprawiał i na scenę wkroczył szeryf, dobry stary szeryf Greeley – facet, który sprzątnął jego ojca przed wejściem do kościoła metodystów – i zgadnijcie, kto został jego ojczymem?

„Hej Carley, mam dla ciebie zagadkę: jak twój ojciec może zabić twojego ojca?”

„Nie wiem Petey, jak?”

„Ja też nie wiem, ale zapytaj Śmieciarza, on ci to wytłumaczy”.

„Hahahahahahaha. Hihhi”.

Stał przy skraju żwirowanego podjazdu. Od dźwigania pudełka z narzędziami i kanistra bolały go ręce i barki. Na tabliczce przy bramie widniał napis CHEERY PETROLEUM COMPANY, INC. GOŚCI PROSIMY O ZGŁASZANIE SIĘ DO BIURA. DZIĘKUJEMY!

Na parkingu stało kilka aut, w sumie niezbyt wiele. Większość miała poprzebijane opony. Śmieciarz podszedł do bramy i stwierdziwszy, że była otwarta, wszedł na teren zakładu. Jego oczy, niebieskie i dziwne, wpatrywały się w pajęczą siatkę schodów biegnącą spiralnie wokół największego ze zbiorników, aż na sam szczyt. Przy wejściu na schody wisiał łańcuch z tabliczką z napisem WSTĘP WZBRONIONY. STACJA PALIW NIECZYNNY.

Przeszedł ponad łańcuchem i ruszył po schodach na górę.

To nie było w porządku, że jego matka poślubiła szeryfa Greeleya. Gdy zdał do czwartej klasy Śmieciarz zaczął podkładać ogień do skrzynek pocztowych. W tym samym roku, kiedy spalił czek emerytalny starej pani Semple ponownie został przyłapany na przestępstwie. Sally Elbert Greeley dostała spazmów, kiedy jej nowo poślubiony małżonek wspomniał o odesłaniu chłopaka do zakładu w Terre Haute. („Uważasz go za wariata! Jak dziesięcioletni chłopiec może być nienormalny? Myślę, że po prostu chcesz się go pozbyć! Pozbyłeś się jego ojca, a teraz masz zamiar usunąć i jego!”). W tej sytuacji Greeley mógł jedynie aresztować chłopaka

i posłać go do zakładu poprawczego, jednak rozwiązanie to raczej nie wchodziło w rachubę. No, chyba że chciałeś aby dzieciak wrócił stamtąd jako lala z wielkim odbytem i miałeś na tyle dość swojej nowej żony, iż pragnąłeś się z nią rozwieść.

Schodami w górę. Coraz wyżej i wyżej. Jego kroki brzmiały metalicznie na stalowych stopniach. Głosy pozostawił na dole, nikt też nie potrafił dorzucić kamienia tak wysoko. Auta na parkingu wyglądały jak błyszczące samochodziki-miniaturki firmy Corgi. Słysząc było tylko głos wiatru, szepczącego mu do ucha i zawodzącego w jakiejś szczelinie nieopodal. Z oddali dochodził śpiew ptaka. Dokoła niego rozciągały się pola, a rosnące przy szosie drzewa w rozmaitych odcieniach zieleni miały lekko błękitnawy odcień, nadawany przez rzadką poranną mgłę. Śmieciarz uśmiechał się radośnie, podążając metalową spiralą naokoło zbiornika, coraz wyżej i wyżej.

Kiedy dotarł do płaskiego, okrągłego szczytu zbiornika odniósł wrażenie jakby znalazł się na dachu świata, a gdyby wyciągnął ręce, mógłby paznokciami zdrapać warstwę błękitnej kredy z nieboskłonu. Odstawił kanister i skrzynkę z narzędziami. Przez chwilę rozglądał się. Po prostu obserwował. Z tej wysokości można już było dostrzec Gary, gdyż kominy fabryk jakiś czas temu przestały dymić i powietrze stało się czystsze niż kiedykolwiek. Chicago wyglądało jak baśniowa, otulona letnią mgiełką kraina, zaś słaby, błękitny błysk daleko na północ musiał pochodzić z tafla jeziora Michigan lub jego nadmiernie pobudzonej wyobraźni. Powietrze zawierało w sobie delikatny, złocisty aromat przywodzący mu na myśl miłe, spokojne śniadanie w dobrze oświetlonej kuchni. A wkrótce dzień stanie w ogniu.

Pozostawiając kanister na schodach, podszedł ze skrzynką do pomp i zabrał się do dzieła. Musiał rozgryźć ich działanie. Miał intuicyjny dar radzenia sobie z wszelkimi urządzeniami mechanicznymi, rozpracowywał je z taką łatwością, jak niektórzy *idiots savants* potrafili w myślach mnożyć przez siebie siedmio – i więcej cyfrowe liczby. Robił to zgoła nieświadomie, bez namysłu. Po prostu przez kilka chwil błędził wzrokiem to tu, to tam, a potem do akcji wkraczały jego ręce, wykonując wszelkie niezbędne czynności szybko, bez wysiłku i z absolutną, niezachwianą pewnością.

„Ej, Śmieciarzu, po kiego żeś podpalił kościół, nie lepiej było sfajczyć szkołę?”

Gdy był w piątej klasie podłożył ogień w pokoju opuszczonego domu w pobliskim miasteczku Sedley. Budynek spłonął doszczętnie. Jego ojczym, szeryf Greeley wpakował go za kratki, bo nie dość, że dzieciaka regularnie bili inni chłopcy, to w kolejce do niego zaczęli ustawiać się żądni sprawiedliwości dorośli. („Gdyby nie spadł deszcz, przez tego pieprzonego piromana mogłoby spłonąć pół miasta!”) Greeley oznajmił Sally, że Donald będzie musiał trafić do ośrodka w Terre Haute, gdzie zostanie poddany serii niezbędnych testów. Sally powiedziała, że jeśli to zrobi jej synowi, odejdzie od niego jak amen w pacierzu. Przecież to było jej jedyne dziecko, na dodatek nie całkiem zdrowe. Greeley jednak okazał się

nieugięty, polecił sędziemu wydać stosowny nakaz i tym oto sposobem Śmieciarz opuścił na pewien czas Powtanville, dokładniej mówiąc, nie było go w miasteczku dwa lata, jego matka rozwiodła się przez ten czas z mężem, a nieco później w wyniku głosowania pozbawiono szeryfa stanowiska i Greeley wylądował ostatecznie w Gary, w montowni samochodów. Sally odwiedzała Śmieciarza regularnie raz w tygodniu i zawsze wtedy płakała.

– Mam cię skurwysynu – wyszeptał Śmieciarz i rozejrzał się ukradkiem, aby sprawdzić, czy nikt nie usłyszał go przeklinającego. Oczywiście prócz niego na szczycie zbiornika nie było żywego ducha, a jeśli nawet tam, w dole, pozostał ktoś żywy, to znajdował się poza zasięgiem jego wzroku. Poniżej były jedynie duchy. Powyżej, po niebie przesuwały się kłębiaste chmury.

Z płataniny urządzeń pompujących wystawała pojedyncza, gruba rura. Jej gwint miał ponad dwie stopy szerokości, a koniec przystosowany był do połączenia tak zwanego przewodu chwytkowego. Przeznaczony był wyłącznie do użytku odpływowego i przepływowego. Zbiornik był prawie po brzegi pełen benzyny bezołowiowej i trochę paliwa wyciekło na zewnątrz. Lśniące, opalizujące strużki rozmyły cienką warstewkę kurzu pokrywającą wierzch zbiornika. Śmieciarz cofnął się z błyskiem w oku, wciąż ściskając w jednej dłoni potężny łom, a w drugi młotek. Upuścił je. Brzęknęły o metalową pokrywę zbiornika.

A więc mimo wszystko nie będzie potrzebował benzyny, którą przyniósł ze sobą w kanistrze. Podniósł pojemnik i zawołał:

– Bomby poszły!

I cisnął kanister w dół. Z niemałym zainteresowaniem obserwował jego lot. Po drodze metalowy pojemnik uderzył w schody, odbił się od nich i spadł na ziemię, obracając się wokół osi i rozbryzgując bursztynowe paliwo przez otwór w bocznej ścianie, wybity podczas uderzenia w jeden ze stalowych stopni.

Wrócił do rury przepływowej. Spojrzał na lśniące kałuże benzyny. Następnie wyjął z kieszonki na piersi pudełko zapalek i spojrzał na nie z poczuciem winy, fascynacji i podekscytowania. Na pudełku widniała reklama szkoły korespondencyjnej w La Salle w Chicago. „Stoję na bombie” – pomyślał. Zamknął oczy, drżąc ze zgrozy i podniecenia, znów czuł to stare, dobre pobudzenie, które powodowało, że drętwiały mu palce dłoni i stóp.

„Ej, Śmieciarzu, ty porąbany piromanie!”

Z zakładu w Terre Haute wypuścili go, gdy miał trzynaście lat. Nie wiedzieli, czy był wyleczony czy nie, ale powiedzieli, że tak. Potrzebowali jego pokoju, by zamknąć w nim na parę lat innego szurniętego dzieciaka. Śmieciarz wrócił do domu. Miał zaległości w szkole i nie potrafił ich nadrobić. W Terre Haute poddawali go terapii wstrząsowej, a kiedy wrócił do Powtanville okazało się, że ma tendencję do zapomniania o różnych rzeczach. Mógł uczyć się do testu i nagle, trzask-prask, zapominał połowę materiału i otrzymywał najniższe oceny.

Przez pewien czas niczego jednak nie podpałił, przynajmniej to można było uznać na plus. Pozornie wszystko było tak, jak być powinno. Szeryf, zabójca jego ojca odszedł w siną dal i rzekomo pracował w Gary, montując reflektory w dodge'ach (jego matka mówiła czasami, że klepał biedę na karoseriach najgorszych rżęchów w całych Stanach). Jego matka powróciła do pracy w miejscowej kawiarni. Wszystko było w porządku. Oczywiście było również Cheery Oil, białe zbiorniki odcinające się na horyzoncie jak wielkie bielone bańki na mleko, a za nimi dymiące kominy przemysłowego Gary. Często zastanawiał się, jak by wyglądał wybuch tych zbiorników. Czy byłyby to trzy pojedyncze eksplozje, tak głośne, że popękałyby od nich bębniaki w uszach i tak jaskrawe, że wypaliłyby gałki oczne? Trzy słupy ognia (ojciec, syn i duch ojczyzna ojcobójcy), które paliłyby się dzień i noc całymi tygodniami? A może w ogóle się nie zapala?

Dowie się tego. Łagodny letni wietrzyk zgasił dwie pierwsze zapałki, które zapalił; upuścił je, już szerniały na metalową pokrywą zbiornika. Nieco po prawej stronie, przy sięgającej kolan barierce otaczającej krawędź zbiornika ujrzał chrząszcza desperacko walczącego o wydostanie się z kałuży benzyny. „Jestem jak ten żuczek” – pomyślał, zastanawiając się nad prawdą o świecie, gdzie Bóg nie tylko pozwalał małym robaczkom ugrzęznąć w najgorszym bagnie w rodzaju rozlanej kałuży paliwa, lecz również pozostawiał je przy życiu, by męczyły się w nim przez wiele godzin, dni, a może nawet lat... jak to było w jego przypadku. Ten świat zasługiwał, aby spłonąć. O tak. Właśnie tak. Wstał, pochylił głowę i gdy miał skrzesać o draskę trzecią zapałkę, wiatr nagle ucichł.

Przez pewien czas po swoim powrocie nazywany był świrem, półgłówkiem i pirogłębem, ale Carley Yates, który wyprzedzał go wtedy o trzy klasy, przypomniał sobie o śmietnikach i wymyślił ksywkę, pasującą do niego jak ulał. Gdy skończył szesnaście lat, za zgodą matki porzucił szkołę („A czegoż można się było spodziewać? W zakładzie kompletnie go spaprali. Gdybym miała forszę, zaskarżyłabym ich. Nazwali to terapią wstrząsową. Ja nazywam to elektrycznym krzesłem, ot, co!”) i zaczął pracować w myjni samochodowej „Szurum-Burum”: „Umyć przednie światła, umyć błotniki, odchylić wycieraczki, wytrzeć szyby, życzy pan żeby wywoskować wóz?”. Przez pewien czas sprawy szły wytyczonym torem. Ludzie pokrzykiwali na niego z drugiego końca ulicy albo z przejeżdżających aut, chcieli wiedzieć co powiedziała stara pani Semple (spoczywająca od czterech lat w grobie, świeć Panie nad jej duszą), kiedy spalił jej czek emerytalny i czy po spaleniu domu w Sedley zmoczył się w łóżku. Co gorsza nawoływali drwiąco, jeden do drugiego, aby czym prędzej gasić papierosy i pochować zapałki, bo właśnie zbliżał się Śmieciarz. Głosy z czasem stały się widmowe, ale on nie potrafił ignorować kamieni, którymi ciskano w niego od wylotu ciemnych zaułków, albo z przeciwnej strony ulicy. Raz ktoś rzucił w niego pełną puszką piwa z okna przejeżdżającego samochodu; puszka trafiła go w czoło z takim impetem, że aż osunął się na kolana.

Takie właśnie było życie: głosy, od czasu do czasu ciśnięty kamień i myjnia. Podczas przerwy na lunch siadywał tak jak dziś, pałaszując przygotowane przez matkę kanapki, spoglądając na zbiorniki Cheery Oil i zastanawiając się, jak by to było...

Takie właśnie było życie, a przynajmniej do owego wieczoru, kiedy znalazł się w kruchcie kościoła metodystów z pięciogalonowym kanistrem benzyny, rozlewając ją dokoła – zwłaszcza na leżące w rogu zbiory hymnów. W pewnej chwili znieruchomiał i pomyślał: „To co robię jest złe, a może nawet gorzej, jest GŁUPIE. Domyślą się czyja to sprawka, będą wiedzieli, nawet gdyby zrobił to ktoś inny, a potem cię zamkną”. Rozmyślał nad tym przez chwilę i poczuł woń benzyny, podczas gdy głosy trzepotały i krążyły pod jego czaszką niczym nietoperze w nawiedzonej dzwonnicy. A potem wolno na usta Śmieciarza powrócił uśmiech, odwrócił kanister do góry dnem i przebiegł z nim wzdłuż głównej nawy, rozlewając benzynę na prawo i lewo; pędził jak pan młody, spóźniony na własny ślub, do tego stopnia, że rozlewał nieopatrznie gorący płyn przeznaczony raczej na nieco późniejszą okazję, w małżeńskim łóżu.

Wrócił do kruchty, wyjął z kieszonki na piersi zapalniczkę, zapalił ją pocierając o suwak rozporka, a potem cisnął na stertę przemoczonych książeczek z hymnami. Trafił w dziesiątkę, puuuf! A następnego dnia przewieźli go do ośrodka poprawczego dla chłopców w Północnej Indianie, mijając po drodze czarne, osmalone ruiny starego kościółka.

Naprzeciwko myjni „Szurum-Burum” stał Carley Yates z petem wciśniętym zawadiacko w kącik ust Lucky Strike. Carley spojrział na niego i ryknął na całe gardło. Słowa te były zarówno jego pożegnaniem, powitaniem, pozdrowieniem jak i epitafium zarazem: „Ej, Śmieciarzu, po kiego żeś podpałił kościół, nie lepiej było sfajczyć szkołę?”

Miał siedemnaście lat, kiedy poszedł do zakładu dla nieletnich, a kiedy skończył osiemnaście lat przeniesiono go do więzienia stanowego. Jak długo tam był? Któż to wie? Na pewno nie on. Nie Śmieciarz. W pierdłu nikogo nie obchodziło, że spalił kościół. W pierdłu byli ludzie, którzy robili znacznie gorsze rzeczy. Morderstwa. Gwałty. Rozbijanie czaszek starych, poczciwych bibliotekarek. Niektórzy osadzeni mieli ochotę coś z nim zrobić; kilku chciało, aby to on zrobił coś z nimi. Było mu to obojętne. To działo się już po wygaszeniu światła. Pewien mężczyzna, całkiem łysy, wyznał mu miłość: „Kocham cię Donaldzie” – a to z całą pewnością było lepsze niż uchylanie się przed ciskanymi w ciebie kamieniami. Czasami chciał zostać tu na zawsze. Bywały jednak takie noce, kiedy śnił o Cheery Oil i w snach zawsze widział jeden, potężny wybuch, po którym następowały jeszcze dwa, równie rozdzierające jak pierwszy. Dźwięk jaki się wówczas rozlegał brzmiał jakoś tak: „Baaam!... Baaam!... Baaam!”. Ogłuszające, nie zharmonizowane eksplozje wdzierające się w blask dnia, kształtujące go jak uderzenia młota, nadające kształt cienkiej miedzi. I wtedy wszyscy w miasteczku przerywali swoje zajęcia i spoglądali na północ, w kierunku Gary, ku miejscu, gdzie na tle nieba odcinały się niczym wielkie, bielone kadzie na mleko, trzy olbrzymie zbiorniki. Carl Yates usiłujący sprzedać dwuletniego plymoutha młodej parze z dzieckiem

urywał w pół słowa swój monolog, odwracając wzrok. Klienci od O'Toole'a i ze sklepu z łakociami wychodzili na zewnątrz pozostawiając drinki i ciastka nie tknięte. Nowy chłopak z „Szurum-Burum” przerywał namydlanie reflektorów kolejnego auta i, nie zdejmując wielkiej rękawicy z dłoni, spoglądał na północ, skąd nadszedł ten złowróżbny dźwięk przerywający rutynowy tok codziennych czynności. „Baaam!”

Tak wyglądał jego sen.

Po pewnym czasie uznano, że jego zachowanie jest poprawne i kiedy wybuchła epidemia dziwnej choroby wysłano go do ambulatorium, ale od kilku dni nie było już chorych, którymi mógłby się zajmować, gdyż wszyscy poumierali. Albo poumierali, albo dali nogę, za wyjątkiem młodego klawisza nazwiskiem Jason Debbins, który wsiadł za kierownicę więziennej ciężarówki przewożącej pranie i palnął sobie w łeb.

Dokąd miałyby się udać, jeśli nie do domu?

Wiatr musnął przelotnie jego policzek i ustał. Zapalił kolejną zapałkę i rzucił. Wylądowała w niewielkiej kałuży benzyny. Paliwo zapaliło się. Płomienie były niebieskie. Rozchodziły się powoli, majestatycznie niczym korona wokół wypalanej zapałki pośrodku. Śmieciarz patrzył przez chwilę, sparaliżowany nieodpartą fascynacją, po czym ruszył dziarsko ku schodkom biegnącym dokoła zbiornika. Raz po raz oglądał się przez ramię. Pompy widział teraz niewyraźnie, jak przez mgłę, niebieską mgłę falującą w tył i w przód niczym fale żaru nad pustynią w upalny dzień. Błękitne płomyki, mierzące nie więcej niż dwa cale wysokości rozszerzającym się półokręgiem sunęły w kierunku maszyn i rury dystrybutora. Chrząszcz przestał się szamotać. Pozostał po nim tylko czarny, wypalony pancerzyk.

„To samo może stać się ze mną”.

Nie chciał, by tak się to skończyło. Coś mówiło mu, że może mieć w życiu całkiem inny cel, o niebo ważniejszy i naprawdę interesujący. Trawiony coraz silniejszym lękiem zaczął pospiesznie zbiegać po schodkach, jego stopy dudniły na metalowych stopniach, dłoń ślizgała się po stromej, nadźartej przez rdzę poręczy.

W dół, coraz niżej i niżej. Zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim zajmą się ogniem opary unoszące się u wylotu przewodu odpływowego, ile potrwa zanim żar stanie się dostatecznie silny, by płomienie wniknęły do wnętrza rury, a przez nią do samego zbiornika.

Z rozwianymi włosami, uśmiechem przerażenia na ustach, wiatrem szumiącym w uszach gnał na łeb na szyję po schodach. Był już w połowie drogi, minął litery CH, mierzące dwadzieścia stóp wysokości, odcinające się zielono na tle bieli zbiornika. Coraz niżej i niżej, a gdyby się potknął albo zahaczył o coś, runąłby w dół jak ciśnięty przez niego wcześniej kanister, gruchocząc wszystkie kości niczym suche gałęzie.

Grunt był coraz bliżej, białe zwirowe kręgi wokół zbiorników i zielona trawa za nimi. Wozy na parkingu zaczynały odzyskiwać normalne rozmiary. A on zdawał się płynąć w

powietrzu, unosić się lekko, jak we śnie; miał wrażenie, że będzie tak biegł i biegł, bez końca, w sumie nie docierając donikąd. Bomba była tuż obok, a lont właśnie został podpalony.

Gdzieś w górze dał się słyszeć suchy trzask, jak wystrzał petardy na czwartego lipca. Coś brzęknęło metalicznie i ze świstem przeleciało obok niego. Ze zgrozą stwierdził, iż był to fragment przewodu dystrybutora. Żar osmalił go i nadał całkiem nowy, ekscytująco-irracjonalny kształt.

Oparł się jedną ręką o poręcz i przeskoczył nad barierką, gdy nagle usłyszał, że coś chrupnęło mu w nadgarstku. Wywołujący mdłości, tępy ból przeniknął całe jego przedramię aż do łokcia. Zeskoczył z wysokości dwudziestu pięciu stóp na ziemię, wylądował na żwirowanym podjeździe i przeturlał się, by złagodzić impet upadku. Żwir zdał mu skórę z przedramion, lecz on nawet tego nie poczuł. Przepęniała go przyćmiewająca umysł szaleńcza panika, a dzień wydawał się taki piękny, jasny, słoneczny.

Śmieciarz podźwignął się z ziemi, rozejrzał dokoła, uniósł wzrok i po chwili znów pobiegł co sił w nogach. Wydawało się, że na wierzchołku środkowego zbiornika wyrosły falujące na wietrze, złote włosy. I włosy te rosły z zatrważającą szybkością. Zbiornik mógł lada chwila eksplodować.

Pobiegł, zaciskając prawą dłoń na złamanym nadgarstku. Przeskoczył nad murkiem ogradzającym teren parkingu i wylądował obiema stopami na asfalcie. Przebiegł na ukos przez parking, pokonał pas żwirowego podjazdu i jak oparzony wypadł przez uchyloną bramę na autostradę numer 130. Znalazłszy się po jej drugiej stronie dał nurka do ciągnącego się wzdłuż pobocza rowu, wylądował na miękkiej ściółce z zeschniętych liści i wilgotnego mchu, po czym, wtuliwszy głowę w ramiona, czekał, oddychając krótkimi, łapczywymi haustami. Płuca paliły go żywym ogniem.

Zbiornik eksplodował. Nie towarzyszyło temu jednak głośnie „Baaam” jak oczekiwał, lecz raczej „Łuuup!” – przeraźliwie głośnie, a zarazem krótkie i chrapliwe, od którego rozboleły go bębunki w uszach i gałki oczne, jakby coś nagle zmieniło się w powietrzu. Potem nastąpił drugi wybuch i zaraz po nim trzeci. Śmieciarz tymczasem wił się na podłożu z zeschniętych liści, uśmiechając się i krzycząc bezgłośnie.

Usiadł, zatykając dłońmi uszy i w tej samej chwili gwałtowny podmuch wiatru uderzył w niego z taką siłą, że rzucił go na ziemię, jak szmacianą lalkę.

Młode drzewka z tyłu, za nim wygięły się do tyłu, a ich liście zaszeleściły wściekle, jak płócienne transparenty nad punktem sprzedaży używanych samochodów w wietrzny dzień. Dwa lub trzy złamały się z cichym trzaskiem, przypominającym odgłos wystrzału z korkowca. Płonące szczątki zbiornika zaczęły spadać na szosę i pobocze po drugiej stronie. Lądowały na ziemi z ogłuszającym metalicznym łoskotem; z niektórych kawałków wciąż wystawały fragmenty przewodów, poskręcanych i szerniałych jak rura dystrybutora.

„Łuuuuuuup!”

Śmieciarz ponownie usiadł i ujrzał gigantyczne ogniste drzewo wyrastające za parkingiem Cheery Oil. Jego wierzchołek zwieńczał bijący w niebo słup czarnego dymu, który nim rozwiał go wiatr zdążył osiągnąć naprawdę imponującą wysokość. Nie potrafił patrzeć na niego inaczej, niż spod półprzymkniętych powiek, a na dodatek buchający od ognia żar powodował, że jego skóra nabrała osobliwego połysku, a drobne włoski na jego ciele zaczęły się skręcać z gorąca. Na dodatek łzawiły mu oczy. Kolejny płat metalu, tym razem w kształcie rombu, mierzący dobre siedem stóp średnicy, spadł do rowu, o niecałe dwadzieścia stóp na lewo od niego i suche liście zalegające na podłożu z wilgotnego mchu natychmiast zaczęły się palić.

„Łuuuup! Łuuuuuup!”

Gdyby pozostał tam dłużej, w przyływie nieprzepartego podniecenia zapewne sam również stanąłby w ogniu – byłby to zapewne pierwszy przypadek wywołanego euforią spontanicznego samozapalenia. Podniósł się niezdarnie i ruszył pędem wzdłuż pobocza autostrady w kierunku Gary. Coraz trudniej było mu oddychać. Przesycone żarem powietrze miało metaliczny posmak. Zaczął dotykać dłońmi włosów, aby sprawdzić, czy się nie zapaliły. W powietrzu rozszedł się słodkawy odór benzyny, tak silny, że zdawał się otaczać go ze wszystkich stron jak niewidzialny kokon. Gorący wiatr szarpał na nim ubranie. Czuł się jak obiad usiłujący za wszelką cenę czmychnąć z mikrofalówki. Droga przed łzawiącymi oczami zaczęła mu się dwoić i troić.

Rozległ się kolejny gardłowy, ochrypły ryk, gdy narastające ciśnienie wywołało implozję budynku, w którym mieściły się biura Cheery Oil Company. Zabójczo ostre odłamki szkła ze świstem rozprysły się na wszystkie strony. Z nieba posypał się na szosę grad betonowych i żuźlowych brył. Odłamek metalu wielkości ćwierćdolarówki i grubości batonu mars rozplątał rękaw koszuli Śmieciarza i rozciął mu skórę do krwi. Inny odłamek, dostatecznie duży, by roztrzaskać mu czaszkę, jak przejrzały melon wylądował z hukiem u jego stóp i, odbiwszy się, poleciał gdzieś w bok, pozostawiając po sobie sporych rozmiarów wyrwę. Wreszcie Śmieciarz znalazł się poza strefą zagrożenia, lecz nie zatrzymał się, tylko biegł dalej. Gnał co sił, a krew dudniła mu w skroniach, jakby ktoś polał bryłę mózgu w jego czaszce olejem opałowym, a potem ją podpalił.

„Łuuuuup!”

To wybuchł kolejny zbiornik, opór powietrza, które znajdowało się przed nim w jednej chwili prysnął, a wielka ciepła dłoń pchnęła go silnie w plecy; dłoń ta potrafiła dopasować się do każdej krzywizny jego ciała, od góry do dołu, i popchnęła go naprzód tak mocno, że palcami stóp ledwie dotykał ziemi. Na jego ustach zaś wykwitł przerażony, głupkowaty uśmiech. Miał wrażenie, że został podwieszony do największego na świecie latawca i puszczony z wiatrem, by unieść się coraz wyżej i wyżej w górę, w powietrze, aż w pewnej chwili wiatr ustanie, a on runie w dół, wrzeszcząc jak opętany.

Z tyłu, za nim rozpętała się istna kanonada wybuchów, to płonął Boży arsenał, trawiony płomieniami prawości – Szatan rozpoczął szturm Niebios, a jego dowódcą artylerii był uśmiechający się buńczucznie debil o czerwonych, obłazących ze skóry policzkach, Śmieciarz. Odtąd już zawsze tylko tak będzie siebie nazywał. Donald Mervin Elbert przestał istnieć. Umarł. Odszedł na zawsze.

Rejestrował obrazy tego, co mijał po drodze – rozbitych aut porzuconych przy szosie, niebieskiej skrzynki pocztowej pana Stranga, przy której chorągiewka była podniesiona, zdechłego psa z łapami w górze i przewróconego słupa trakcji elektrycznej na polu kukurydzy.

Dłoń nie popychała go już tak mocno. Opór powietrza powrócił. Śmieciarz obejrzał się ukradkiem przez ramię, by ujrzeć, że cały pagórek, na którym stały zbiorniki płonął jak wielka pochodnia. Paliło się wszystko. Zdawało się, że na tym odcinku płonęła nawet szosa, drzewa na poboczu opodały wyglądały niczym ogromne zapalki.

Przebiegł jeszcze ćwierć mili, po czym zwolnił tempo do szybkiego marszu. Oddychał ciężko. Był zmęczony. Po przejściu kolejnej mili odpoczął, oglądając się wstecz i napawając się przepelniającym jego nozdrza, jakże przyjemnym zapachem spalenizny. Ponieważ nie było już straży pożarnej, wozów strażackich ani strażaków, którzy mogliby ugasić ten, czy jakkolwiek inny pożar, istniało spore prawdopodobieństwo, że ogień będzie się rozprzestrzeniał. Wszystko zależało od kierunku wiatru. Pożar mógł trwać wiele tygodni. Mogło spłonąć całe Powtanville, później zaś ogień może skierować się na południe, paląc domy, wioski, farmy, pola uprawne, łąki i lasy. Kto wie, może zdoła dotrzeć aż do Terre Haute i unicestwi zakład, w którym go przetrzymywano. A stamtąd jeszcze dalej! Właściwie...

Ponownie skierował wzrok na północ, w stronę Gary. Widział to miasto bardzo wyraźnie, wielkie wygasłe kominy mierzące w niebo, jak kredowe znaki na jasnoblękitnej tablicy. Za Gary znajdowało się Chicago. Ile tam było zbiorników z paliwem? Ile stacji benzynowych? Ile pociągów stało na bocznicach, pociągów towarowych przewożących paliwo i łatwopalne środki uprawy roślin? Ile było tam slumsów, chałup, szałasów i baraków, które można podpalić jedną zapalką?

Ile miast było hen, za Gary i Chicago?

Wszystko wskazywało, że cały kraj był dostatecznie dojrzały i gotowy do spalenia, zwłaszcza w te letnie, upalne dni, gdy słońce przygrzewało aż miło.

Śmieciarz uśmiechając się, wstał, i pomaszerował dalej. Jego skóra poczerwieniała. Wyglądał teraz jak wrzucony do wrzątku homar. Nie czuł na razie bólu, choć tej nocy nie pozwoli mu on zasnąć i będzie utrzymywać go w stanie silnego podniecenia.

W wyobraźni widział już znacznie większe i wspanialsze pożary, które wzniesi w niedalekiej przyszłości. Oczy miał łagodne, przepelnione radością i absolutnym szaleństwem.

Były to oczy człowieka, który odkrył sedno swego przeznaczenia i gorliwie przejął nad nim pełną kontrolę.

ROZDZIAŁ 35

– Chcę wyjechać z miasta – rzekła Rita, nie odwracając się. Stała na balkonie swego niedużego mieszkania, a poranny wietrzyk unosił poły jej półprzeźroczystego peniuaru, w stronę rozsuniętych drzwi do pokoju.

– W porządku – burknął Larry. Siedział przy stole, zajadając kanapkę z jajecznicą.

Odwróciła się do niego. Twarz miała wychudłą i zniszczoną. Jeżeli owego dnia, kiedy spotkał ją w parku wyglądała na zadbaną czterdziestkę to teraz sprawiała wrażenie kobiety balansującej na cienkiej granicy oddzielającej dekadę piątą i szóstą.

Koniuszek papierosa, którego trzymała między palcami serdecznym a wskazującym drżał wyraźnie, smuzka dymu rwała się i falowała, unosząc się w górę. Rita przyłożyła papierosa do ust i wydmuchnęła kłęb dymu, nie zaciągając się.

– Mówię poważnie.

Larry otarł usta serwetką.

– Wiem – mruknął. – Rozumiem cię. Musimy się stąd wynieść.

Mięśnie jej twarzy rozluźniły się w wyrazie ulgi i z niemal (choć niezupełnie) podświadomą odrazą Larry pomyślał, że wyglądała teraz jeszcze starzej.

– Kiedy?

– Dlaczego nie dziś? – zapytał.

– Jesteś kochany – szepnęła. – Chcesz jeszcze kawy?

– Mogę zaparzyć.

– Bzdura. Siedź spokojnie. Mój mąż zawsze wypijał dwie filiżanki. Taki był z niego uparciuch. Przy śniadaniu widziałam zwykle tylko jego przedziałek. Resztę zasłaniał „Wall Street Journal”, albo jakieś literackie dzieło. Nie byle co. Arcydzieło literatury. Same słynne nazwiska. Boll. Camus. Nawet Milton. Jesteś miłą odmianą. – W drodze do kuchni obejrzała się przez ramię. Uśmiechnęła się łobuzersko. – Szkoda byłoby ukrywać TWOJĄ twarz za gazetą.

Odpowiedział niepewnym uśmieszkiem. Jej żarciki wydawały się dziś wymuszone, tak jak przez całe ubiegłe popołudnie. Przypomniał sobie ich spotkanie w parku i to, że rozmowa z nią skojarzyła mu się z rozsypaniem od niechcenia garści brylantów na zielony filc stołu

bilardowego. Jednak od wczorajszego popołudnia stwierdzał, że owe kamienie błyszcząły bardziej jak cyrkonie i choć się skrzyły, ich blask był złudny, kłamliwy jak one same.

– Proszę bardzo.

Postawiła filiżankę, lecz zadrżała jej ręka i odrobina kawy rozlała się na jego przedramię. Cofnął się gwałtownie, sycząc z bólu niczym rozjuszony kot.

– Och, tak mi przykro... – Na jej twarzy pojawiło się coś więcej niż grymas konsternacji, może był to strach?

– Nic się nie stało...

– Nie... ja zaraz... zrobię ci zimny okład... nie wstawaj... siedź... ależ ze mnie niezdarą... głupia... niezdarą...

Wybuchnęła płaczem, ochrypliwy szloch wyrwał się spomiędzy jej warg, jakby nie tyle go oparzyła, co była raczej świadkiem śmierci najlepszej przyjaciółki.

Larry wstał i przytulił ją. Kiedy objęła go konwulsyjnie ramionami omal nie odepchnął jej od siebie.

To był niemal klincz. „Kosmiczny klincz, nowy album Larry’ego Underwooda – pomyślał z rozrzewnieniem. – Niech to szlag. Wcale nie jesteś miłym facetem. Znowu to samo”.

– Przepraszam, nie wiem co się ze mną dzieje, nigdy taka nie byłam, przepraszam...

– Już w porządku, nic się nie stało – pocieszał ją beznamiętnym tonem, przeczesując dłonią jej przyprószone siwizną włosy, które (tak jak i cała reszta) wyglądały znacznie lepiej po spędzeniu przez nią pewnego czasu w łazience.

Naturalnie wiedział, co ją trapiło. Może nie do końca, ale jednak. To było zarazem bardzo osobiste jak i bezosobowe. Również to czuł, choć nie tak głęboko i nie tak gwałtownie. W jej przypadku mogło się wydawać, jakby niecałą dobę temu pękł tkwiący gdzieś w głębi niej kryształ.

Bezosobowym czynnikiem był, jak przypuszczał, zapach. Napływał przez rozsunięte drzwi balkonowe wraz z chłodnym porannym wiatrem, który później ustąpi miejsca parnemu żarowi popołudnia, jeśli dzień będzie taki sam jak kilka ostatnich. Woń przywodziła na myśl zgniłe pomarańcze, zepsutą rybę albo smród, który czasami czuć w tunelach metra, kiedy okna w wagonie są pootwierane, choć nie przypominała do końca żadnego z nich. To był smród rozkładających się zwłok, tysiący trupów gnijących we własnych domach, proces ten przyspieszała jeszcze piękna ostatnio pogoda i skwar, ale tego nikt nie chciał powiedzieć głośno. Na Manhattanie wciąż jeszcze był prąd, ale Larry nie sądził, by ten stan długo się utrzymał.

Ubiegłej nocy, kiedy Rita usnęła, wyszedł na balkon i stwierdził, że w połowie Brooklynu i całym Queens wszystkie światła były już wygaszone. Mroczny pas rozciągał się wzdłuż 110 Street aż do samego krańca Manhattan Island. Spoglądając w drugą stronę wciąż było jeszcze

widać jasno rozświetlone Union City i – może również – Bayonne, ale New Jersey skrywała nieprzenikniona ciemność.

Czerń wskazywała na coś więcej niż tylko brak światła. Przede wszystkim równała się utracie klimatyzacji, współczesnego dobrodziejstwa, które pozwalało ludziom przetrwać upalne lato w tej dusznej, przemysłowej metropolii. To oznaczało, że wszyscy, którzy odeszli cichutko w swoich domach i mieszkaniach prażyli się w nich teraz jak w piekarnikach i zawsze, kiedy o tym rozmyślał, przypominało mu się owo gnijące coś, które widział tamtego dnia na stacji. Śnił o tym, a w snach ta czarna, słodka istota ożywała i przyzywała go kusząco.

W kwestii osobistej podejrzewał, że niepokoiło ją to, co odkryli podczas wczorajszej przechadzki do parku. Gdy wyruszyli, była cała w skowronkach, wesola i rozgadana, lecz po powrocie zaczęła się wyraźnie starzeć.

Nawoływacz zwiastujący nadejście potworów leżał w poprzek jednej ze ścieżek w wielkiej kałuży własnej krwi. Przy jego zeszywniałej, wyprostowanej lewej ręce leżały okulary, oba szkła były stłuczone. Najwidoczniej zjawił się tu jednak potwór. Mężczyzna został wielokrotnie pchnięty ostrym narzędziem. W przyływie czarnego humoru Larry wyobraził go sobie jako wielką poduszkę do igieł.

Rita zaczęła krzyczeć, krzyczała i krzyczała bez końca, a kiedy się w końcu opanowała, zaczęła nalegać, aby go pochowali. Zrobili to. A kiedy wrócili do mieszkania, stała się tą kobietą, którą ujrzał dziś rano.

– Nic nie szkodzi – powiedział. – To tylko lekkie oparzenie. Skóra jest odrobinę zaczerwieniona.

– Przyniosę ungentin. Mam w apteczce wszystko, co trzeba.

Ruszyła ku drzwiom, ale schwycił ją silnie za ramiona i zmusił, by usiadła. Spojrzała na niego zmęczonymi, podkrążonymi oczami.

– Teraz musisz coś zjeść – rzekł z naciskiem. – Na przykład jajecznicę z tostami, i wypijesz kawę. Potem pojedziemy zdobyć gdzieś mapy i wymyślimy sposób na wydostanie się z Manhattanu. Wiesz, będziemy musieli iść pieszo.

– Tak... chyba tak.

Poszedł do kuchni, nie chcąc dłużej oglądać milczącego błagania malującego się w jej oczach i wyjął z lodówki dwa ostatnie jajka. Wbił je do miski, rozmieszał i wyrzucił skorupki do kosza.

– Dokąd chcesz pójść? – zapytał.

– Co? Nie...

– W którą stronę? – zapytał z wyraźnym zniecierpliwieniem. Dolał do jajek odrobinę mleka i postawił patelnię na kuchence.

– Na północ? Do Nowej Anglii? Na południe? Szczerze mówiąc uważam, że to bez sensu. Moglibyśmy też...

Zduszony szloch. Odwrócił się i ujrzał, że na niego patrzyła. Kurczowo zaciśnięte dłonie złożyła na podłożu. Oczy miała błyszczące i wilgotne. Próbowwała nad sobą zapanować – bez powodzenia.

– Co się stało? – zapytał, podchodząc do niej. – O co chodzi?

– Wątpię, abym mogła cokolwiek przełknąć – wychlipała. – Wiem, że tego chcesz i spróbuję, ale... ten smród...

Przeszedł przez pokój, zasunął szklane drzwi i przekręcił zasuwkę.

– Już – rzucił uspokajająco, mając nadzieję, że w jego głosie nie będzie słychać trawiącego go rozdrażnienia. – Lepiej?

– Tak – odparła pospiesznie. – Znacznie lepiej. Teraz mogę coś zjeść.

Wrócił do kuchni i zamieszał jajka, które zaczęły się już ścinać. W szufladzie była tarka. Starł na niej trochę sera i posypał jajka. Z tyłu, za nim rozległy się kroki i po chwili mieszkanie wypełniły dźwięki Debussy'ego, muzyki, przynajmniej jak dla Larry'ego, nieco zbyt lekkiej, łatwej i przyjemnej. Nie przepadał za popularną muzyką klasyczną. Jeśli już lubił ten szajs, to powinien iść na całość, słuchać naprawdę wielkich sław tego gatunku, Beethovena, czy choćby Wagnera, po cholere iść na łatwiznę?

Bez wyraźnego zainteresowania zapytała go, czym się zajmował, zrobiła to z nonszalancją typową dla osoby, dla której praca jest czymś zgoła trywialnym.

– Byłem piosenkarzem rockowym – odparł i trochę się zdziwił, z jaką łatwością użył w tym zdaniu czasu przeszłego. – Śpiewałem w paru kapelach. Czasami nagrywaliśmy w studio.

Ona na to pokiwała głową i na tym rozmowa się urwała. Nie zamierzał opowiadać jej o swoim przeboju *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?*, to należało już do przeszłości. Przepaść pomiędzy tym życiem a tamtym była tak wielka, że jak dotąd nie zdołał jej jeszcze ogarnąć. W tamtym życiu uciekał przed handlarzem kokainy, w tym potrafił pogrzebać w Central Parku człowieka i przyjąć to jako coś normalnego (bardziej lub mniej).

Wyłożył jajka na talerz, zaparzył kawę (rozpuszczalną, z cukrem i dużą porcją śmietanki, tak jak lubił; Larry hołdował zasadzie: „Skoro przepadasz za cukrem i śmietanką, to po cholere ci kawa?”) i wniósł tacę z posiłkiem do pokoju. Ona siedziała na pufie i, splótszy ramiona, wpatrywała się w sprzęt stereo. Muzyka Debussy'ego wylewała się z głośników jak topione masło.

– Obiad podano! – zawołał.

Podeszła do stołu, uśmiechając się blado, spojrzała na jajka jak plotkarz na plotki, ustawione przed nim na bieżni i zaczęła jeść.

– Dobrze – powiedziała. – Miałaś rację. Dziękuję.

– Ależ proszę – odparł. – A teraz posłuchaj. Oto moja propozycja, pójdziemy wzdłuż Fifth Avenue do 39 Street i skęcimy na zachód. Stamtąd tunelem Lincolna dotrzemy do New Jersey. Możemy udać się potem na północny zachód do Passaic i... jak jajka? Świeże?

– Doskonale – uśmiechnęła się. Nabrała trochę na widelec, włożyła do ust i popiła łykiem kawy. – Tego mi było trzeba. Mów dalej, słucham.

– Z Passaic ruszymy na zachód do pierwszej przejezdnej autostrady. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy potem pojechać na północny wschód, do Nowej Anglii. Zrobimy mały objazd, rozumiesz co mam na myśli? Zajmie nam to nieco więcej czasu, ale w ten sposób unikniemy wielu niepotrzebnych kłopotów. Może znajdziemy sobie jakiś przytulny domek nad brzegiem oceanu w Maine. W Kittery, York, Wells, Ogunquit, Scarborough albo Boothbay Harbor. Co ty na to?

Mówiąc i rozmyślając, wyglądał przez okno i w pewnej chwili odwrócił się w jej stronę. To co ujrzał na ułamek sekundy śmiertelnie go przeraziło. Wyglądała, jakby straciła zmysły. Uśmiechała się, lecz był to raczej grymas bólu i zgrozy. Pot zrosił jej czoło wielkimi, okrągłymi kroplami.

– Rito? O Jezu, Rito, co...

– ...przepraszam... – podniosła się, przewracając krzesło, i wybiegła z pokoju. Po drodze omal się nie przewróciła, zahaczając nogą o pufę.

– Rito?

Dobiegła do łazienki i po chwili usłyszał, jak z głośnym charkotem zwróciła zjedzony przed chwilą posiłek. Z irytacją walnął w stół otwartą dłonią, po czym zebrawszy się w sobie, wszedł za nią do łazienki. Nie cierpiał rzygających ludzi. Zawsze i jemu zbierało się wtedy na mdłości. Woń nie przetrawionego sera sprawiła, że żołądek podszedł mu do gardła. Rita siedziała na błękitnych jak jajo drozda płytkach podłogi z podwiniętymi nogami i głową wciąż zwieszającą się nad muszlą klozetową.

Otarła usta kawałkiem papieru toaletowego, a potem spojrzała na niego błagalnie. Twarz miała bladą jak papier.

– Przepraszam, po prostu nie potrafiłam tego przełknąć, Larry. Tak mi przykro.

– Ale... na Boga... skoro wiedziałaś, że tak będzie, to po co w ogóle próbowałaś?

– Bo tego chciałaś. A ja nie chciałam, żebyś się na mnie gniewał. Ale ty i tak się gniewasz, prawda? Gniewasz się na mnie.

Powrócił myślami do ubiegłej nocy. Kochała się z nim z tak szaleńczą namiętnością i zapalem, że po raz pierwszy pomyślał o jej wieku i poczuł się zdegrustowany. Zupełnie jakby został unieruchomiony przy jednym ze stanowisk atlasu do ćwiczeń. Doszedł szybko, prawie w samoobronie, a w jakiś czas potem ona osunęła się na niego zdyszana i nie zaspokojona. Później, kiedy balansował na granicy snu przytuliła się do niego i znów poczuł woń jej aromatycznej saszetki, znacznie silniejszej niż ta, którą miała przy sobie jego matka, kiedy wychodzili do kina, a potem wyszeptala słowa, po których otrząsnął się z sennego rozmarzenia i przez dobre dwie godziny nie zdołał zmrużyć oka.

„Nie opuścisz mnie, prawda? Nie zostawisz mnie samej?”

Przedtem była dobra w łóżku, tak dobra, że to go zdumiało. Po lunchu w dniu, gdy się spotkali, zabrała go do tego mieszkania i to, co się stało było zgoła naturalnym dopełnieniem poprzednich wypadków. Z pewną odrazą przypomniał sobie, jak obwisłe były jej piersi, jak na jej ciele odcinały się niebieskie linie żył (kojarzyły mu się z żyłakami jego matki), lecz zapomniał o tym, kiedy uniosła nogi, a jej uda ze zdumiewającą siłą przywarły do jego bioder.

„Powoli – zaśmiała się. – Ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi”.

Był bliski ejakulacji, kiedy zepchnęła go z siebie i sięgnęła po papierosa.

„Co robisz, u licha?” – zapytał zdumiony, podczas gdy jego członek kołysał się smętnie z boku na bok, pulsując wyraźnymi, rytmicznymi skurczami.

Uśmiechnęła się. „Masz wolną rękę, prawda? Ja również”.

Tak więc palili i robili to jednocześnie, ona gawędziła o tym i owym, choć jej policzki wyraźnie zaróżowiły się i w jakiś czas później jej oddech stał się płytszy, a głos zaczął zanikać.

„Teraz – powiedziała, odbierając od niego papierosa i gasząc oba w popielniczkę. – Zobaczmy, czy potrafisz dokończyć to, co zacząłeś. Jeżeli nie, najprawdopodobniej rozerwę cię na strzępy”.

Dokończył, zresztą w sposób satysfakcjonujący obie strony, a potem szybko usnęli. Parę minut po czwartej obudził się i zaczął przyglądać się jak spała, konstatuując, że ci, którzy mówili o przychodzącym z wiekiem doświadczeniu, mieli rację. Przez ostatnie dziesięć lat przeleciał sporo pańienek, ale to, czego tu doświadczył, nie było pospolitym numerkiem. To było coś znacznie lepszego, choć przy tym odrobinę dekadentckiego.

„Cóż, naturalnie ona również miała kochanków”.

To go podnieciło. Obudził ją.

I tak to trwało do chwili, gdy napotkali martwego nawoływacza i wydarzeń ubiegłej nocy. Już wcześniej miały miejsce pewne symptomy, znaki, które akceptował. Albo się z tym pogodzisz albo kompletnie ześwirujesz. Potraktuj to pierwsze wyjście jako mniejsze zło.

Dwie noce temu obudził się parę minut po drugiej i usłyszał, jak w łazience nalewała sobie wody do szklanki. Prawdopodobnie brała kolejną pigułkę nasenną. Miała te duże, czerwono-żółte żelatynowe kapsułki, znane na Zachodnim Wybrzeżu jako „trzmiele”. Mocny towar. Był przekonany, że musiała je brać na długo przed wybuchem epidemii supergrypy.

I to, w jaki sposób krążyła za nim krok w krok po mieszkaniu, bywało że stała w drzwiach łazienki i mówiła do niego, kiedy brał prysznic albo załatwiał potrzebę. Nie lubił towarzystwa w łazience, tu szczególnie cenił sobie intymność, ale nie wszyscy ludzie podzielali to przekonanie. To w znacznej mierze zależy od wychowania. Będzie musiał z nią o tym... kiedyś... porozmawiać.

Teraz jednak...

Czy będzie musiał ją nieść? Chryste, miał nadzieję, że nie. Wyglądała na dość silną, w każdym razie na początku ich znajomości. Tamtego dnia, w parku, wydała mu się wyjątkowo silną osobą... To był pierwszy, zasadniczy powód, dla którego się z nią związał. „Reklama nie jest już dźwignią handlu” – pomyślał z rozgoryczeniem. Jak, u licha, mógł się nią zajmować, skoro nie potrafił zadbać nawet sam o siebie? Był tego jawnym przykładem. Wayne Stukey również nie omieszkiał mu o tym przypomnieć.

– Nie – powiedział. – Nie gniewam się. Tyle tylko, że... no, wiesz... ja nie jestem twoim szefem. Jeżeli nie chcesz jeść, to nie jesz i tyle. Nie mogę ci niczego nakazać.

– Przecież mówiłam... powiedziałam, że nie zdołam niczego przełknąć...

– Gówno prawda – uciął, zdeorientowany i wściekły.

Pochyliła głowę, wbijając wzrok we własne dłonie. Powstrzymywała płacz, choć przychodziło jej to z trudem. Wiedział, że robiła to dla niego. Bo ON nie chciał, aby kompletnie się rozkleiła. To rozeźliło go jeszcze bardziej i gniewnym tonem rzucił:

– Nie jestem ani twoim ojcem, ani tłustym, przygłupim mężem. Nie zamierzam się tobą zajmować! Chryste Panie, masz o trzydzieści lat więcej ode mnie!

Poczuł zalewającą go, znajomą falę pogardy względem samego siebie i zaczął zastanawiać się, co właściwie w niego wstąpiło.

– Przepraszam – mruknął. – Jestem zimnym, nieczułym łajdakiem.

– Nieprawda – odparła i pociągnęła nosem. – Tyle tylko, że... to wszystko dopiero teraz zaczęło do mnie docierać. Ten... wczorajszy koszmar... nieszczęsny mężczyzna w parku... pomyślałam sobie... nikt nigdy nie złapie ludzi, którzy mu to zrobili ani nie wsadzi za kratki. Będą krążyć jak sępy, wolni i swobodni. Będą zabijać, kiedy przyjdzie im na to ochota. Jak zwierzęta w dżungli. I nagle to wszystko zaczęło wydawać mi się tak potwornie realne. Rozumiesz to, Larry? Pojmujesz, o co mi chodzi?

Spojrzała na niego zaczerwienionymi, mokrymi od łez oczami.

– Tak – odparł, ale wciąż był na nią zły, nadal go denerwowała i mierzyła. Oto prawdziwa sytuacja, prawdziwe życie, czy mogło być inaczej? Tkwili w samym jej środku i wspólnie obserwowali dalszy rozwój wypadków. Próbowali dojść jakoś do ładu z tym, co się wydarzyło. Jego matka nie żyła, widział jak umierała; czy ta kobieta próbowała dać mu do zrozumienia, że była bardziej wrażliwa od niego, że odbierała to wszystko znacznie głębiej i gruntowniej? Stracił matkę, a ona mężczyznę, który woził ją mercedesem, ale dlaczego to jej strata miałaby być dotkliwsza?

„Nie – pomyślał. – To bzdura. Jedna wielka bzdura. Gówno prawda”.

– Nie gniewaj się na mnie – poprosiła. – Postaram się poprawić. Mam nadzieję. Naprawdę.

– Już w porządku – powiedział i pomógł jej wstać. – Chodź, mamy sporo pracy. Dasz radę?

– Tak – odparła, ale wyraz twarzy miała identyczny, jak wtedy gdy usmażył dla niej jajecznicę.

– Kiedy tylko wydostaniemy się z miasta od razu poczujesz się lepiej.

– Naprawdę? – patrzyła na niego z wyczekiwaniem i nadzieją.

– Jasne – odparł z niezłomnym przekonaniem Larry. – Masz to u mnie jak w banku.

Weszli na rympał.

Salon sprzętu sportowego na Manhattanie był zamknięty, lecz Larry, znalezionej gdzieś metalową rurą, wybił szybę wystawową. Alarm antywłamaniowy zawył przeraźliwie, rozdzierając panującą na wyludnionej ulicy ciszę. Larry wybrał dla siebie duży plecak i drugi, mniejszy, dla Rity. Rita zapakowała dla nich dwie zmiany ubrań (na więcej jej nie pozwolił) do lotniczej torby podróżnej z logo linii lotniczej PanAm, którą znalazła w szafie i włożyła do niej także szczoteczki do zębów. Skądinąd zabranie szczoteczek wydało się Larry’emu zgoła absurdalnym pomysłem. Rita ubrała się na drogę luźno i modnie, w białe jedwabne spodnium i elegancką bluzkę. Larry założył sprane dżinsy i białą koszulę, której podwinął rękawy.

Do plecaków zapakowali wyłącznie mrożoną żywność i nic poza tym. Nie było sensu, stwierdził Larry, obciążać się niczym więcej; jeżeli będą czegoś potrzebować, czy to ubrań czy czegokolwiek innego, zdobędą to po drugiej stronie rzeki. Niechętnie przyznała mu rację, jednak jej brak entuzjazmu znów go zirytował.

Po krótkiej wewnętrznej debacie z samym sobą zabrał również karabin .30-.30 i dwieście sztuk amunicji. To była piękna broń, na fiszce, którą bezceremonialnie zerwał z osłony spustu i rzucił na podłogę widniała cena – czterysta pięćdziesiąt dolarów.

– Naprawdę uważasz, że możemy tego potrzebować? – zapytała z niepokojem. Wciąż miała w torebce .32-kę.

– Chyba lepiej, żebyśmy to wzięli – powiedział, nie chcąc dodać nic więcej, ale wciąż miał w pamięci okrwawione zwłoki nawoływacza, obłąkanego mężczyzny w parku.

– Och – szepnęła i po tonie jej głosu domyślił się, że i ona pomyślała o tym samym.

– Czy ten plecak nie jest dla ciebie zbyt ciężki?

– Nie. Wcale. Naprawdę.

– Cóż, z plecakami bywa tak, że z każdą przebytą milą robią się coraz cięższe. Gdyby tak się stało, powiedz, a przez pewien czas poniosę go za ciebie.

– Dam sobie radę – powiedziała i uśmiechnęła się. Kiedy znów wyszli na ulicę rozejrzała się w prawo oraz w lewo i powiedziała: – Opuszczamy Nowy Jork.

– Tak.

Odwróciła się do niego.

– Cieszę się. Czuję się jak... jak przed laty, kiedy byłam małą dziewczynką, gdy ojciec mówił: „Dziś wybierzemy się na wycieczkę”. Pamiętasz takie sytuacje?

Larry w odpowiedzi uśmiechnął się półgębkiem, wspominając wieczory, gdy matka oznajmiała mu: „Wiesz Larry, dziś w Crest grają ten western, który chciałeś zobaczyć. Z Clintem Eastwoodem. Co ty na to?”

– Chyba pamiętam – odparł.

Wyprostowała się, przeciągnęła i nieznacznie poprawiła ułożenie plecaka.

– Tak oto zaczyna się podróż – powiedziała i zaraz potem niemal szeptem, tak cicho, że nie miał pewności, czy dobrze usłyszał dodała: – *A droga wiedzie w przód i w przód.*

– Co?

– To z Tolkiena – odrzekła. – Z Władcy Pierścieni. Zawsze uważałam, że to brama do prawdziwej przygody.

– Im mniej przygód, tym lepiej – powiedział Larry, ale w głębi duszy wiedział, o co jej chodziło.

Wciąż spoglądała w głąb ulicy. W pobliżu tego skrzyżowania ulica przypominała wąski kanion o ścianach z kamieni i odbijający promienie słoneczne termopan, zablokowany mierzącymi wiele mil sznurami samochodów. Wydawało się, jakby wszyscy w Nowym Jorku postanowili jednocześnie zaparkować na ulicy swoje auta.

– Byłam na Bermudach, w Anglii, na Jamajce, w Montrealu, Sajgonie i w Moskwie – wyznała. – Jednak ostatni raz naprawdę wybrałam się w podróż, będąc jeszcze małą dziewczynką, kiedy ojciec zabrał mnie i moją siostrę Bess do zoo. Ruszajmy w drogę, Larry.

Larry Underwood nigdy nie zapomni tej wędrówki. Zaczął dochodzić do wniosku, że niewiele się pomyliła, nawiązując do Tolkiena z jego mitycznymi krainami oglądanymi przez pryzmat czasu i na wpół szalonej, na poły przesadnej wyobraźni, zamieszkiwanej przez elfy, niziołków, trolle i orków. W Nowym Jorku ich co prawda nie było, lecz zmieniło się tak wiele, że nie sposób było postrzegać tego miasta inaczej niż w kategoriach rodem z powieści fantasy. Na rogu Fifth Avenue i 53 East w dzielnicy handlowej na latarni wisiał trup, na szyi miał zawieszoną kartkę z napisem SZABROWNIK. Na sześciokątym koszu na śmieci (ozdobionym reklamą względnie nowego show z Broadway) leżała kotka z kociętami, karmiąc je i wylegując się w ciepłych promieniach słońca. W pewnej chwili do Larry’ego podszedł młody uśmiechnięty mężczyzna z wielką walizką i powiedział, że da mu milion dolarów, jeżeli ten odda mu na piętnaście minut swoją kobietę. Wspomniany milion najprawdopodobniej znajdował się w walizce. Larry zdjął z ramienia karabin i powiedział facetowi, żeby zabierał swoje pieniądze i poszedł z nimi gdzie indziej. „Jasne, stary. Opuść tę pukawkę. Nie miałem na myśli nic złego. Zawsze warto spróbować, no nie? Miłego dnia. Już mnie tu nie ma”.

Wkrótce po spotkaniu z tym mężczyzną (Rita w histerycznym przypiływie dobrego humoru nalegała, by nazywał go John Bearsford Tipton, choć Larry’emu nic to nie mówiło) dotarli do rogu Fifth Avenue i 39 East.

Dochodziło południe, Larry zaproponował, aby zjedli lunch.

Nieopodal znajdował się sklep mięsny, ale kiedy Larry otworzył drzwi, fala bijącego z wnętrza słodkawego smrodu zmusiła go do natychmiastowego odwrotu.

– Lepiej tam nie wchodzić, jeśli chcesz zachować choć odrobinę apetytu – rzekł przepraszającym tonem.

Larry podejrzewał, że mógłby znaleźć wewnątrz mięso nadające się do zjedzenia, salami, pepperoni, czy coś w tym rodzaju, lecz po spotkaniu kilka przecznicy wcześniej z „Johnem Bearsfordem Tiptonem” nie chciał ani na chwilę zostawiać Rity samej. W tej sytuacji znaleźli sobie przytulną ławeczkę o pół przecznicy dalej na zachód i zjedli surowe owoce oraz kilka pasków suszonego bekonu i krakersy z serem, obficie popijając posiłek zimną kawą z termosu.

– Tym razem byłam naprawdę głodna – powiedziała z dumą.

Odpowiedział uśmiechem. Czuł się nieco lepiej. Dobrze było wędrować, po prostu iść, robić coś konkretnego. Powiedział jej, że poczuje się lepiej, kiedy wydostaną się z Nowego Jorku. Wtedy nie był o tym do końca przekonany. Teraz, czując jak zmienia się jego wewnętrzne nastawienie był pewien, że to prawda. Nastrój już teraz znacznie mu się poprawił. Pobyt w Nowym Jorku kojarzył mu się z przebywaniem na ogromnym cmentarzu, gdzie umarli bynajmniej nie spoczywali w spokoju. Im szybciej się stąd wydostaną, tym lepiej. Może Rita znów będzie taka jak pierwszego dnia, w parku, gdy się poznali. Dotrą okrężną drogą do Maine i zamelinują się w którymś z letnich domków tych bogatych snobek. Teraz na północ, a we wrześniu lub październiku na południe. Latem Boothbay Harbor, a zimą Key Biscayne. To brzmiało całkiem interesująco. Pogrążony w myślach nie dostrzegł grymasu bólu na jej ustach, kiedy wstał z ławki i zarzucił sobie na ramię pasek karabinu.

Szli teraz na zachód, cienie wlokły się z tyłu, za nimi, najpierw tłuste i przysadziste niczym ropuchy, lecz w miarę upływu czasu, po południu znacznie się wydłużyły. Minęli Avenue of the Americas, Seventh Avenue, potem kolejne przecznice, aż do Tenth Avenue. Ulice były zatłoczone zastygłymi w bezruchu rzekami aut w najróżniejszych kolorach, wśród których przeważały żółte taksówki. Wiele samochodów stało się karawanami, ciała ich rozkładających się kierowców wciąż tkwiły za kierownicami, pasażerowie zaś spoczywający na siedzeniach obok i z tyłu sprawiali wrażenie jakby znużeni staniem w gigantycznych korkach zdecydowali się na krótką, kilkuminutową drzemkę. Larry zaczął zastanawiać się, czy po opuszczeniu miasta nie powinni zdobyć gdzieś dwóch motocykli. To dałoby im możliwość szybszego poruszania się i przedarcia przez korki, gdyż, jak podejrzewał, większość autostrad, i to nie tylko za miastem, lecz również dalej musiała być zablokowana tysiącami pojazdów.

„Zawsze sądziłem, że ona umie jeździć motocyklem – pomyślał. – Ale zważywszy na to, że wszystko idzie nam jak po grudzie, należy przypuszczać, że okaże się dokładnie na odwrót”. Życie z Ritą przynajmniej w niektórych aspektach okazywało się prawdziwą

mordęgą. Gdyby jednak przyszło co do czego, zawsze mogła usiąść na siodełku z tyłu, za nim. Na skrzyżowaniu 39 Street i Seventh Avenue ujrzeni młodego mężczyznę ubranego tylko w obszarpane szorty, leżącego na dachu taksówki korporacji Ding-Dong.

– Czy on nie żyje? – spytała Rita, a na dźwięk jej głosu młodzieniec usiadł, rozejrzał się dokoła i, dostrzegłszy ich, pomachał energicznie. Odmachali mu. Młodzieniec znów położył się na aucie.

Kilka minut po drugiej, gdy minęli Eleventh Avenue, Larry usłyszał za sobą stłumiony jęk bólu i zdał sobie sprawę, że Rita nie idzie już obok niego.

Kłęczała na jednym kolanie, ściskając dłonią stopę. Niemal ze zgrozą Larry dopiero teraz zauważył, że miała na nogach sandały, drogie buty, zapewne za jakieś osiemdziesiąt dolarów, albo nawet więcej, buty nadające się do przejścia najdalej czterech przecznic podczas rutynowego myszkowania po sklepach, lecz w wędrowce takiej jak ta, na którą właśnie wyruszyli kompletnie nieprzydatne...

Górny pasek sandałów otarł jej skórę. Krew ściekała jej strużkami z kostek obu stóp.

– Larry, tak mi przy...

Gwałtownym ruchem podźwignął ją z kłęczek.

– Gdzie ty miałaś rozum? – krzyknął jej prosto w twarz. Widząc jak cofnęła się strwożona, przez chwilę zrobiło mu się głupio, ale jednocześnie sprawiło mu to przyjemność.

– Sądziłaś, że jak się zmęczysz po prostu złapiesz taksówkę i wrócisz do swojego mieszkania?

– Nigdy nie myślałam...

– Otóż to! – Przeczesał włosy palcami. – Nigdy nie myślałaś. To by się zgadzało. Rito, ty KRWAWISZ. Kiedy to się zaczęło?

Mówiła teraz takim szeptem, że nawet w tej grobowej ciszy trudno mu ją było usłyszeć.

– Gdzieś w okolicach Fifth Avenue i 49 Street... tak mi się zdaje.

– Stopy ci krwawią od dobrych dwudziestu przecznic, a ty nic, kurwa, nie mówisz?

– Myślałam, że to minie... że przejdzie... przestanie boleć... nie chciałam... tak się oboje cieszyliśmy... że opuszczamy miasto... myślałam...

– W ogóle nie myślałaś – burknął gniewnie. – I z czego się tu cieszyć? Że obtarłaś sobie nogi do krwi? Twoje stopy wyglądają, kurwa, jak po ukrzyżowaniu.

– Nie używaj takich słów, Larry – poprosiła i zaczęła pochlipywać. – Proszę cię... bardzo źle się czuję, kiedy ty... kiedy... proszę, nie używaj więcej takich słów...

On tymczasem szalał z wściekłości, później zaś nie zdołał pojąć, dlaczego widok jej krwawiących stóp doprowadził go do takiego stanu. Wrzasnął jej prosto w twarz:

– Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Słowo to powróciło echem odbitym od ścian wieżowców otaczających ich ze wszystkich stron, puste i nic nie znaczące.

Zakryła twarz dłońmi i pochyliła się do przodu. Płakała. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Podejrzewał, że tak naprawdę ona wcale nie chciała widzieć tego ani niczego innego: po prostu zasłoniłaby oczy rękoma i pozwoliła mu się poprowadzić. W sumie, dlaczego nie. Zawsze znalazł się ktoś, kto zechciał zająć się Naszą Bohaterką, Małą Ritą. Ktoś woził ją samochodem, ktoś robił zakupy, mył muszlę klozetową, zajmował się podatkami. Ja tymczasem puszczał jakąś muzyczkę – choćby tego słodkiego do obrzydliwości Debussy'ego i zasłonię oczęta wymanikiowanymi paluszkami, a resztą niech się już zajmie Larry. „Zaopiekuj się mną, Larry, postanowiłam, że nie chcę odtąd niczego widzieć. To wszystko wokoło jest zbyt okropne dla kogoś tak słabego i kruchego jak ja”.

Odsunął jej ręce od twarzy. Zaczęła się szarpać. Próbowwała ponownie zasłonić sobie oczy.

– Spójrz na mnie.

Pokręciła głową.

– Cholera jasna, Rito, spójrz na mnie.

W końcu to uczyniła w dziwny, trwożliwy sposób, jakby spodziewała się, że rzuci się na nią z pięściami, bo inwektywy przestały mu już wystarczać. Jakaś jego część uważała, że nie byłoby to wcale takie głupie, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– Ponieważ wszystko wskazuje, że nie masz zielonego pojęcia o pewnych sprawach, postaram się wyłuszczyć je najprościej jak to możliwe. Po pierwsze, całkiem możliwe, że czeka nas dwadzieścia a może nawet trzydzieści mil marszu. Po drugie, te rany nie wyglądają najlepiej, jeśli nic z nimi nie zrobisz, możesz dostać zakażenia i umrzeć. Po trzecie, chciałbym, żebyś przestała się w końcu opierać jak jakaś damulka i zaczęła mi pomagać.

Trzymał ją za ramiona i ujrzał, że jego kciuki niemal w całości niknęły w jej ciele. Uspokoił się, gdy puściwszy ją, zobaczył na jej ciele wielkie czerwone ślady. Cofnął się o krok, znów poczuł się nieswojo, w głębi duszy wiedział, że przesadził. Larry Underwood kontratakuję. Skoro był z niego taki cwaniak, dlaczego przed wyruszeniem w drogę nie przyjrzał się jej obuwiu?

„Ponieważ to wyłącznie jej sprawa” – zaoponował jego głos wewnętrzny.

Nie, to nieprawda. To było również jego sprawą. Ponieważ ona NIE WIEDZIAŁA. Skoro zabrał ją ze sobą (właśnie doszedł do wniosku, że gdyby tego nie uczynił, jego życie byłoby znacznie prostsze) powinien czuć się za nią odpowiedzialny.

„Ani mi się śni” – odparł posępny głos w jego myślach.

Głos jego matki: „Umiesz tylko brać, Larry”.

I oralnej higienistki z Fordham wołającej do niego z okna: „Sądziłam, że jesteś porządnym facetem! Ale to nieprawda!”

„Pod jednym względem nic a nic się nie zmieniłeś, Larry. Umiesz tylko brać”.

„To kłamstwo! Parszywe kłamstwo!”

– Rito – powiedział. – Przepraszam cię.

Usiadła na chodniku; ubrana w bluzkę bez rękawów i białe spodnium, z siwymi włosami wyglądała przeraźliwie staro. Pochyliła głowę i objęła dłońmi bolące stopy. Nie spojrzała na niego.

– Przepraszam – powtórzył. – Ja... ja nie miałem prawa tak mówić.

Miał prawo, ale to teraz nieistotne. Jeśli przeprosiłeś za swój czyn, sytuacja wracała do normy, gdyż tak właśnie funkcjonował ten świat.

– Idź, Larry – powiedziała. – Nie chcę cię opóźniać.

– Powiedziałem „przepraszam” – mruknął z lekkim rozdrażnieniem. – Znajdziemy ci nowe buty i białe, grube skarpety. To powinno...

– Niczego nie będziemy szukać. Idź już.

– Rito, jest mi przykro.

– Jeśli to powtórzysz, zacznę krzyczeć. Jesteś gnojem, nie przyjmuję twoich przeprosin. Idź już.

– Powiedziałem, że jest mi...

Uniosła głowę i wrzasnęła na całe gardło. Cofnął się o krok, rozglądając dokoła, aby sprawdzić, czy nikt jej nie usłyszał, jakby spodziewał się ujrzeć policjanta biegnącego w ich stronę, zaniepokojonego co zrobił ten młody mężczyzna tamtej starszej pani, siedzącej na bosaka na chodniku i dlaczego ona tak krzyczy. „Skrzywienie kulturowe – pomyślał z przekąsem. – I na co to komu?”

Przestała krzyczeć i spojrzała na niego. Machnęła ręką, jakby odganiała natrętną muchę.

– Lepiej przestań – powiedział z naciskiem – albo naprawdę sobie pójdę.

Lecz ona tylko na niego patrzyła. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy, toteż spuścił wzrok, nienawidząc jej, że go do tego zmusiła.

– W porządku – burknął. – Baw się dobrze, gdy będą cię gwałcić i mordować.

Zarzucił karabin na ramię i pomaszerował dalej, kierując się w lewo, ku pełnemu samochodów zjazdowi do tunelu. Przy zjeździe miała miejsce niełicha kraksa; facet kierujący wielkim furgonem próbował na siłę wpasować się na autostradę, rozrzucając jak kręgle stojące mu na drodze auta. Furgon przygniatał wrak wypalonego punko. Kierowca furgonu zwisał wychylony do połowy przez boczną szybę. Jego głowa i ramiona zwieszały się bezwładnie. Poniżej, na drzwiczkach widniały strugi zaschniętej krwi i rzygowin.

Larry rozejrzał się wokół przekonany, że ujrzy idącą w jego kierunku lub stojącą i patrzącą na niego z wyrzutem Ritę. Tymczasem Rita zniknęła.

– Niech cię szlag – rzucił w przypiływie nagłego wzburzenia. – Próbowałem przeprosić.

Przez chwilę nie mógł się zdobyć, aby pójść dalej. Czuł się osaczony spojrzeniami setek gniewnych, martwych oczu łpiących na niego ze wszystkich tych samochodów dokoła. Przypomniał sobie urywek z piosenki Dylana:

Czekałem na ciebie unieruchomiony w korku...

*wiedziałaś, że powinienem być wtedy gdzie indziej...
ale gdzie ty jesteś tego wieczoru, moja słodka Marie?*

W oddali na wprost niego cztery pasma prowadzącej na zachód autostrady znikwały w mrocznej czeluści tunelu. Larry z dziwnym, graniczącym ze zgrozą lękiem zauważył, że w tunelu było kompletnie ciemno, nie paliła się ani jedna z zainstalowanych tam świetlówek. To będzie jak przejście przez samochodowy cmentarz.

Wpuszczą go do środka, a gdy znajdzie się w połowie drogi oni wszyscy ożyją i zaczną się ruszać... usłyszysz trzaśnięcie otwieranych drzwiczek, a potem suche, zgrzytliwe szuranie powłóczących stóp...

Całe jego ciało zlał zimny pot. Gdzieś wysoko w górze zakrakał ptak. Na ten dźwięk Larry drgnął instynktownie. „Głupiec z ciebie – powiedział sobie w duchu. – To wszystko strachy na lachy. Wystarczy, że będziesz trzymać się chodnika i ani się obejrzysz jak...

... Żywe trupy skręca ci kark”.

Obliznął wargi i spróbował się uśmiechnąć. Nie wyszło mu to najlepiej. Podeszedł kilka kroków w stronę miejsca, gdzie zjazd łączył się z autostradą i ponownie przystanął. Z lewej strony stał cadillac eldorado, z którego gapiała się na niego kobieta o poczerniałej twarzy. Przypominała trolla. Nos miała przyciśnięty do szyby. Krew i smarki ściekły po szkle grubymi, zaschniętymi już teraz strużkami. Mężczyzna, który prowadził cadillaca leżał oparty na kierownicy, jakby szukał czegoś na podłodze. Wszystkie szyby w aucie były podniesione, wewnątrz musiało być gorąco jak w cieplarni. Gdyby otworzył drzwiczki kobieta wypadłaby na asfalt i pękła niczym worek przejrzałych arbuzów, a towarzyszyłaby temu gorąca, parna woń, przesycona wilgocią i rozkładem.

Tak właśnie będzie cuchnęło w tunelu.

Larry odwrócił się na pięcie i zawrócił do miejsca, gdzie zostawił Ritę. Wiatr omiatający mu czoło osuszał je z kropelek potu.

– Rito! Rito, posłuchaj! Chcę...

Gdy dotarł do wylotu zjazdu słowa uwięzły mu w gardle. Rita naprawdę zniknęła. Nigdzie jej nie było. Na 39 Street jak okiem sięgnąć nie było żywego ducha. Przebiegł na drugą stronę szosy, przeciskając się pomiędzy zderzakami i przeczołgując się po maskach samochodów; blacha była tak nagrzana, że niemal parzyła. Ale na chodniku po drugiej stronie również nie było Rity.

Przyłożył dłonie do ust i zawołał donośnie:

– Rito! Rito!

W odpowiedzi usłyszał tylko beznamiętne, puste echo własnego głosu:

– Rito... ito... ito... ito...

Przed czwartą nad Manhattanem zaczęły zbierać się ciemne chmury, a pomiędzy wierzchołkami drapaczy chmur zaczął się przetaczać odgłos grzmotów. Pioruny uderzały w budynki. Wyglądało to tak, jakby Bóg usiłował wypłoszyć garstkę niedobitków z ich kryjówek. Światło stało się żółte i dziwne, co Larry'emu wcale się nie spodobało. Skręciło go w dołku, a kiedy zapalił, papieros drżał mu w dłoni jak Ricie filiżanka nad ranem.

Siedział na szosie, przy zjeździe do tunelu, opierając się plecami o dolną barierkę. Plecak trzymał na podołku, karabin oparł o poręcz tuż obok. Sądził, że Rita przestraszy się i wróci, ale nie wróciła. Piętnaście minut temu przestał ją nawoływać. Echo wywoływało na jego ciele gęsią skórę.

Znowu zagrzmiało, tym razem bliżej. Chłodny wiatr musnął niewidzialną dłonią plecy jego koszuli, przepoconej tak, że lepiła mu się do skóry. Będzie musiał schronić się gdzieś, albo zebrać się na odwagę i przejść w końcu przez tunel. Jeśli nie weźmie się w garść, przyjdzie mu spędzić w mieście kolejną noc, a rano pokonać dalsze sto czterdzieści przecznic na północ do mostu Waszyngtona.

Rozwagał perspektywę przejścia przez tunel. Przecież nie było tam nic, co mogłoby go ugryźć. Zapomniał zabrać dużą, silną latarkę. „Chryste, nie sposób wszystkiego spamiętać”. Ale miał butanowego bica, a chodnik od szosy oddzielała metalowa barierka. Cała reszta, choćby te niepokojące myśli o trupach w samochodach... była jedną wielką bzdurą, humbugiem, fantazją rodem z kiczowatego horroru, równie dobrze mógłbyś bać się Czarnego Luda czyhającego na ciebie w głębi szafy. „Jeśli to wszystko, o czym potrafisz myśleć – pouczył sam siebie w duchu – wiedz, że nie zajdziesz daleko w tym nowym, wspaniałym świecie. Bez dwóch zdań.

Bo jesteś...”

Błyskawica rozcięła niebo prawie dokładnie nad jego głową, aż mimo woli się skrzywił. Zaraz potem zagrzmiało. „Pierwszy lipca – pomyślał. – Tego dnia powinienes raczej pojechać z dziewczyną na Coney Island i zająć się hot dogami. Strącić jedną piłką trzy drewniane kręgle i wygrać szmacianą laleczkę. A wieczorem podziwiać pokaz sztucznych ogni...”

Zimne krople deszczu spadły mu na twarz, a następne na kark, spływając za kołnierz koszuli. Obok niego asfalt zrosiły kolejne krople wielkości dziesięciocentówki. Wstał, założył plecak i wziął do ręki karabin. Wciąż nie miał pewności co powinien uczynić – wrócić na 39 Street czy wejść do tunelu Lincolna. Musiał jednak znaleźć się pod dachem, zanim rozpada się na dobre.

Wysoko w górze niebo rozdarł następny grzmot; usłyszawszy go, Larry odruchowo jęknął ze zgrozy – podobny dźwięk musieli zapewne w takich przypadkach wydawać ludzie pierwotni, dwa miliony lat wcześniej.

– Ty pieprzony tchórze – syknął i szedł po pochyłości ku ziejącej czeluści tunelu. Szedł z pochyloną głową, gdyż deszcz coraz bardziej przybierał na sile. Chłodne krople ściekały mu z włosów. Minał kobietę z nosem przylepionym do szyby eldorado i choć nie chciał patrzeć,

mimowolnie zerknął na nią kątem oka. Deszcz jak jazzowa perkusja wybijał rytm o dach samochodu. Lało jak z cebra, krople odbijały się od asfaltu, rozpryskując się i tworząc lekką, pylistą mgielkę.

Przed wejściem do tunelu Larry zatrzymał się na chwilę, niezdeterminowany. Znow zaczął odczuwać nieprzearty, trudny do wytłumaczenia lęk. I wtedy zaczął padać grad. To była kropla, która przepełniła czarę. Podjął decyzję. Grad był wielki, a jego uderzenia bolesne. Znowu zagrzmiało.

„W porządku – skonstatował Larry. – W porządku, niech będzie, zrobię to. Zdecydowałem się”. I z tą myślą wkroczył do tunelu Lincolna.

Wewnątrz było ciemniej niż to sobie wyobrażał. Na początku jeszcze cokolwiek widział, światło, choć słabe, wpływało od wylotu tunelu i ujrzał w nim samochody, niezliczone mrowie aut stojących zderzak w zderzak („To musiało być okropne, tak tu umierać – pomyślał, kiedy klaustrofobia zaczęła pieszczotliwie i ukradkiem opasywać swymi lepkiemi paluchami jego czaszkę i to co zaczęło się niczym lekkie, delikatne muśnięcia zmienić się wkrótce w tępe, upiorne łupanie w skroniach. – Tak, to musiało być NAPRAWDĘ POTWORNE, PRZERAŻAJĄCE, KOSZMARNE”) oraz zielonkavo-białe płytki glazury, którą wyłożono ściany po obu stronach. Po prawej stronie dostrzegł metalową barierkę odgradzającą pas autostrady od chodnika, niknącą w oddali pośród głębokiej czerni. Po lewej, co trzydzieści, czterdzieści stóp wznosiły się wielkie kolumny wspornikowe. Napis na tabliczce przestrzegał NIE ZMIENIAĆ PASÓW. W sklepieniu tunelu wpuszczone były nieczynne teraz świetlówki, dojrzał również kilka szklanych, ślepych już oczu kamer przemysłowych. Kiedy zaś dotarł do pierwszego, łagodnego zakrętu (w prawo) światło zaczęło słabnąć, aż w końcu dostrzegł jedynie nader rzadkie błyski chromowanych części aut. Wreszcie światło po prostu znikło zupełnie.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę, uniósł przed sobą i potarł kciukiem kółko. Płomyk był żałośnie mały i zamiast dodać mu otuchy, jeszcze bardziej podsycił tkwiące w nim lęki. Nawet po podkręceniu płomienia do maksimum, zasięg widoczności Larry’ego nie przekraczał sześciu stóp.

Schowal zapalniczkę do kieszeni i ruszył dalej, delikatnie przesuwając dłonią po barierce. W tunelu także słycać było echo i, niestety podobało mu się ono jeszcze mniej niż tamto, na zewnątrz. Odnosił przez nie wrażenie, jakby ktoś za nim szedł... śledził go, lub może tropił. Kilkakrotnie przystanął przekrzywiając głowę, z rozszerzonymi (lecz niewidzącymi) oczami, wsłuchując się w cichnące powoli echo. Wreszcie zaczął iść powłóczęgą nogami, nie odrywając stóp od chodnika, by nie wywoływać echa.

W jakiś czas potem znow się zatrzymał i, zapalając zapalniczkę, spojrzal na zegarek. Było dwadzieścia po czwartej, lecz co właściwie z tego wynikało? W tych egipskich ciemnościach czas zdawał się płynąć po swojemu. Odległość również była względna, a

nawiasem mówiąc, ile mierzy tunel Lincolna? Milę? Dwie? Z pewnością nie, zważywszy że biegnie pod korytem rzeki Hudson. Powiedzmy, że milę. Skoro jednak ma milę długości, powinien już dawno dojść do jego wylotu. Jeżeli przeciętny mężczyzna pokonuje cztery mile na godzinę, przebycie jednej powinno mu zająć kwadrans, a on tkwił w tej cuchnącej norze całe pięć minut dłużej.

– Idę znacznie wolniej – powiedział i aż drgnął na dźwięk własnego głosu. Zapalniczka wypadła mu z ręki i ze stukiem spadła na chodnik. Echo odpowiedziało mu, nadając słowom szaleńczy ton:

– ... znacznie wolniej... olniej... niej...

– Jezu – mruknął Larry, a echo odpowiedziało:

– ...ezu... zu... zu...

Otarł twarz dłonią, usiłując przemóc panikę i pragnienie porzucenia resztek zdrowego rozsądku, by nie bacząc na nic, pognać na łeb, na szyję przed siebie. Ukląkł (strzeliło mu w kolanach, a dźwięk ten, przypominający strzały z pistoletu znów napędził mu stracha) i zaczął macać dłońmi po chodniku; jego palce odkrywały na ziemi rozmaite skarby: starego peta, zwiniętą w kulkę folię, aż w końcu odnalazły upuszczonego bica. Wzdychając w duchu, Larry ścisnął mocno zapalniczkę w garści, wstał i pomaszerował dalej.

Zaczął właśnie odzyskiwać nad sobą panowanie, gdy wtem jego stopa uderzyła w coś sztywnego i nieustępliwego. Z jego ust dobył się zduszony krzyk i Larry cofnął się chwiejnie o dwa kroki. Zmusił się, by zachować zimną krew, po czym wyjął z kieszeni zapalniczkę i potarł małym kółkiem. Nieduży płomyk zachybotał szaleńczo w jego drżącej dłoni.

Nastąpił na rękę jakiegoś żołnierza. Siedział oparty plecami o ścianę tunelu, z nogami wyciągniętymi w poprzek chodnika, niczym upiorny strażnik zagradzający przejście śmiałkom, którzy dotarli aż tutaj. Wpatrywał się w Larry'ego szklistymi oczami. Wargi miał obwisłe tak, że wyglądało jakby się uśmiechał. Z jego szyi sterczała ukośnie rękojeść sprężynowca.

Zapalniczka zaczęła się niebezpiecznie nagrzewać. Larry zgasił ją. Oblizując wargi i zaciskając kurczowo dłoń na barierce, zmusił się do przejścia kolejnych paru kroków, dopóki czubkiem buta znów nie dotknął ręki żołnierza. Przesząpił go niezdarnie, a w jego myślach pojawiło się kolejne, przeraźliwe, graniczące z pewnością przypuszczenie. Larry spodziewał się, że w każdej chwili usłyszy szuranie ciężkich butów żołnierza, a zaraz potem martwy strażnik wyciągnie rękę i schwyci go za nogę przypominającymi szpony, lodowatymi palcami.

Powłócząc nogami nieco szybciej niż do tej pory, Larry pokonał kolejnych kilkanaście jardów i wreszcie przystanął, wiedząc, że gdyby tego nie zrobił panika, ovladnęłaby nim na dobre i zerwałby się do biegu, ścigany przez cały pułk upiornych ech.

Kiedy jako tako odzyskał nad sobą kontrolę pomaszerował dalej. Okazało się jednak, że to wcale nie takie proste. Było gorzej niż dotychczas. Palce w butach odruchowo mu się

podkurczały pod wpływem podświadomego impulsu, że praktycznie w każdej chwili znów może natknąć się na kolejne zwłoki leżące na chodniku... I rzeczywiście, niedługo potem sytuacja się powtórzyła.

Jęknął, ponownie sięgając po zapalniczkę. Tym razem naprawdę wdepnął w niezłe szambo. Ciało, którego dotknął stopą należało do staruszka w granatowym garniturze. Na podołku miał jarmułkę, która spadła mu z niemal całkiem łysej głowy. W klapie miał wpiętą srebrną, sześcioramienną gwiazdę. Z tyłu, za nim spoczywało dalszych sześć ciał: dwóch kobiet, mężczyzny w średnim wieku, kobiety po siedemdziesiątce i dwóch nastoletnich chłopców.

Zapalniczka rozgrzała się tak, że nie mógł dłużej jej utrzymać. Zgasił ją i włożył do kieszeni spodni. Miał wrażenie, jakby jego nogi dotykał rozpalony do czerwoności węgielek. Ta grupka, podobnie jak wcześniej żołnierz, nie padła ofiarą Kapitana Tripsa. Ujrzał krew, rozdarte ubrania, odłupane płytki i dziury po kulach. Ci ludzie zostali zastrzeleni. Larry przypomniał sobie plotki, jakoby żołnierze mieli odciąć wszystkie drogi wylotowe z Manhattanu. Nie wiedział, czy w nie wierzyć, czy nie; odkąd wszystko wzięło w łeb stale dochodziły go jakieś plotki, jedne bardziej, inne mniej wiarygodne.

Zrekonstruowanie tego, co się tu wydarzyło było stosunkowo łatwe. Ludzie ugrzęźli w tunelu, ale mieli dość sił, by ruszyć dalej pieszo. Wysiedli z samochodów i zaczęli iść w kierunku Jersey chodnikiem, tak jak on. W pewnej chwili natknęli się na punkt kontrolny, czy raczej stanowisko broni maszynowej. W każdym razie napotkali żołnierzy.

Czy oni jeszcze tu byli?

Rozważając tę kwestię, Larry poczuł, że zaczyna nadmiernie się pocić. Nieprzenikniony mrok był idealną sceną, na której jego umysł mógł odgrywać swe najwymyślniejsze fantazje. Oczyma wyobraźni ujrzał zimnookich żołnierzy w ochronnych kombinezonach przykucniętych za karabinem maszynowym zaopatrzonym w urządzenie na podczerwień; ich zadaniem było likwidowanie wszystkich śmiałków, którzy próbowali przedostać się przez tunel. Jeden z żołnierzy, nie lękający się śmierci samobójczy ochotnik w goglach podczerwiennych został z tyłu, a teraz podkradał się do niego z nożem, dwaj inni bezgłośnie ładowali moździerz pociskiem z trującym gazem.

Mimo to nie zdecydował się zawrócić. Był prawie pewien, że to wszystko okaże się jedynie wytworem jego bujnej wyobraźni, a myśl o powrocie przez cały tunel wydawała mu się nie do przyjęcia. Nie, żołnierzy na pewno już nie było. Trup napotkany niedawno zdawał się potwierdzać tę teorię.

Mimo to...

W gruncie rzeczy tak naprawdę niepokoiły go trupy, które leżały w przejściu przed nim. Spoczywały jedne na drugich, tworząc stertę o wysokości ośmiu lub nawet dziewięciu stóp. Nie przestąpi ich tak jak wcześniej tamtego żołnierza. Schodząc na autostradę, ryzykował złamanie nogi albo skręcenie kostki. Jeśli zatem miał iść dalej będzie musiał...

„No dalej... powiedz to... przejść po trupach”.

Z tyłu za nim, w ciemnościach coś się poruszyło.

Larry odwrócił się energicznie, strwożony dźwiękiem, w którym bezbłędnie rozpoznał... odgłos kroków.

– Kto tam? – zawołał, zdejmując z ramienia karabin.

Odpowiedziało mu jedynie echo. Kiedy ucichło usłyszał – a przynajmniej tak mu się wydawało – cichy szept oddechu. Stał w bezruchu, wytrzeszczając oczy w ciemności. Drobne włoski na jego karku zjeżyły się. Wstrzymał oddech. Było cicho jak makiem zasiał. Już miał złożyć całe to zdarzenie na karb swej wybujałej wyobraźni, kiedy... dźwięk powtórzył się... to był bez wątpienia odgłos czyichś kroków.

Rozgorączkowany, niezdarnie sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Nawet przez myśl nie przeszło mu, że w jej świetle mógł stanowić idealny cel.

Gdy wyciągał ją z kieszeni kółko zapalniczki zahaczyło o nitkę w jego spodniach i bic wypadł mu z ręki. Usłyszał brzęk, gdy spadła na balustradę, a potem cichy stukot, kiedy uderzyła o maskę lub klapę bagażnika jednego z samochodów poniżej.

Szurające kroki powtórzyły się, tym razem nieco bliżej, choć nie potrafił sprecyzować dystansu. Ktoś zbliżał się, aby go zabić. Ogarnięty zgrozą umysł podsunął mu obraz żołnierza ze sprężynowcem wbitym w gardło, który powłócząc nogami wolno przedzierał się pośród ciemności...

I znów ten szurający dźwięk.

Larry przypomniał sobie o karabinie. Przyłożył kolbę do ramienia i zaczął strzelać. Huk wystrzałów w tej ograniczonej półkuliście sklepieniami ścianami przestrzeni był wręcz ogłuszający, na ten odgłos Larry zaczął krzyczeć na całe gardło, lecz jego wrzask utonął wśród ryku karabinowej palby. Błyski ognia przy każdym z wystrzałów zatrzymywały w kadrze zastygłe obrazy sznurów nieruchomych aut i gładkich, okafelkowanych ścian tunelu, gdy .30-.30 na jedyny w swym rodzaju sposób trzaskał kolejne, ekspresowe zdjęcia. Rykoszety z wizgiem odbijały się od asfaltu i betonu. Raz po raz „kopnięcie” broni wbijało mu w ramię podstawę kolby, niemal zupełnie pozbawiając go w nim czucia; Larry dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że siła odrzutu obróciła go dookoła osi i zamiast w stronę wejścia do tunelu strzelał teraz w kierunku autostrady. Mimo to nie potrafił przestać. Jego palec przejął kontrolę nad mózgiem i nie przestał ściągać spustu, dopóki iglica nie szczęknęła metalicznie, natrafiając na pustą komorę.

Echa powróciły. Przed oczami Larry’ego zaczęły tańczyć jaskrawe powidoki. Prawie nie czuł ostrej woni kordytu i nie słyszał przeciągłego świstu dobywającego się z jego piersi.

Nie wypuszczając z rąk broni, odwrócił się na pięcie. Teraz nie widział już żołnierzy w kombinezonach jak z filmu *Andromeda znaczy śmierć*, lecz raczej Morloków z komiksowej wersji *Wehikulu czasu* H.G. Wellsa, przygarbione, ślepe istoty wypełzające z mrocznych tuneli w ziemi, skąd nieustannie dobiegał łoskot ogromnych machin.

Zaczął przedzierać się przez sztywną i miękką zarazem barykadę z ciał, potknął się, prawie upadł, lecz przytrzymał się barierki, zdołał utrzymać równowagę. Jego stopa zagłębiła się w coś lepkiego i przeraźliwie kleistego i zaraz potem powietrze przesycał dławiący gnilny smród, którego on prawie nie poczuł.

Nagle z tyłu, za nim, w ciemności rozległ się krzyk, który niemal go sparaliżował. Było to rozpaczliwe, udręczone wołanie kogoś, kto balansował na cienkiej granicy pomiędzy normalnością a kompletnym obłędem.

– Larry, och Larry, na miłość Boską...

To była Rita Blakemoor.

Odwrócił się. Usłyszał szloch, rozdzierający płacz, który wywołał kolejną falę ech. Przez jedną, krótką buntowniczą chwilę miał chęć pójść dalej i zostawić ją samą. Tak czy inaczej dotarłaby jakoś do wylotu tunelu, po jaką cholerę znów miał się z nią użerać? Mimo to zawołał:

– Rito! Zostań tam gdzie jesteś, słyszysz? Nigdzie nie odchodź!

Szloch nie ucichł.

Spełził ze sterty trupów. Starał się wstrzymać oddech, jego oblicze przepelniał grymas nieprzepracowanej odrazy. Pobiegł w jej stronę, choć nie wiedział właściwie jak daleko będzie się musiał cofnąć. Echo nie pozwoliło mu oszacować dzielącego ich dystansu. Koniec końców prawie się z nią zderzył.

– Larry... – Rzuciła się na niego, obejmując za szyję z morderczą siłą. Poczł jak mocno bije jej serce. – Larry, Larry, nie zostawiaj mnie tutaj samej, nie zostawiaj mnie samej, tu jest tak ciemno...

– Nie zostawię – przytulił ją mocno. – Nie zraniłem cię? Nic ci nie jest?

– Nie... poczułam tylko pęd powietrza... jedna z kul świsnęła mi tuż nad uchem... – ale odłamki... odłamki płytek... posypały mi się na twarz... i chyba trochę pokiereszowały...

– O Boże, Rito, nie wiedziałem. W tym tunelu zacząłem dostawać świra. Ciemność. Na dodatek zgubiłem zapalniczkę... powinnaś zawołać, że to ty. Mogłem cię zabić. – Dopiero teraz w pełni zdał sobie z tego sprawę. – MOGŁEM CIĘ ZABIĆ – powtórzył zdezorientowany.

– Nie byłam pewna, czy to ty. Kiedy sobie poszedłeś, weszłam do kamienicy na rogu. A potem wróciłeś i zacząłeś mnie wołać. Niewiele brakowało, abym... ale nie mogłam się na to zdobyć... a potem kiedy się rozpadało, zjawili się ci dwaj mężczyźni... chyba nas szukali... nas... albo mnie. W tej sytuacji odczekałam w ukryciu, aż sobie pójdą, przez cały czas zastanawiałam się, czy aby na pewno dobrze robię, bo przecież oni wcale nie musieli sobie pójść, mogli się po prostu zacząć i odważyłam się wyjść z tego domu dopiero kiedy uznałam, że być może nigdy się więcej nie zobaczymy, no i postanowiłam... Larry... Larry powiedz, że mnie nie opuścisz, że mnie nie zostawisz. Nie odejdziesz, prawda? Powiedz mi.

– Nie – rzucił krótko.

– Nie miałam racji, nie powinnam tego mówić, ty miałeś słuszość, powinnam ci powiedzieć o sandałach, znaczy się o butach... nie będę grymasić i gdy każesz mi jeść, będę jadła bo ja... ja... oooch!

– Ciiiiii – szepnęła, tuląc ją do siebie. – Już dobrze. Już wszystko dobrze.

W myślach jednak znów ujrzał siebie strzelającego gdzie popadnie w przypiływie zaślepiającej paniki i zdał sobie sprawę, że przecież jedna z tych kul mogła ją zranić, albo nawet zabić. Mdłości podeszły mu do gardła, kolana zmiękły, a zęby zaczęły szcząkać niczym kastaniety.

– Gdy tylko uznasz, że możesz iść, pójdziemy dalej. Nie spiesz się. Odetchnij przez chwilę.

– Tam był mężczyzna... a przynajmniej wydaje mi się, że to był mężczyzna... nastąpiłam na niego, Larry... – Przełknęła ślinę i coś zachrypiało jej w gardle. – Niewiele brakowało, a zaczęłabym wtedy krzyżeć, ale nie zrobiłam tego, bo nie wiedziałam, czy przede mną idziesz ty, czy może jeden z tych mężczyzn. A kiedy zacząłeś mnie wołać... to echo... nie potrafiłam stwierdzić, czy to ty, czy...

– Przed nami jest więcej trupów. Wytrzymasz?

– Z tobą tak. Ale... tylko z tobą.

– Jestem przy tobie.

– Chodźmy więc. Chcę już stąd wyjść. – Wzdrygnęła się konwulsyjnie, wtulając się w niego. – Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego równie mocno.

Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej i pocałował, najpierw w nos, potem w oczy, a na koniec w usta.

– Dziękuję – powiedział z pokorą, choć nie miał zielonego pojęcia, do czego się to odnosiło. – Dziękuję. Dziękuję.

– Dziękuję – powtórzyła. – Och, mój kochany. Nie opuścisz mnie, prawda?

– Nie – odparł. – Nie opuszczę cię. Kiedy będziesz gotowa, powiedz i pójdziemy. Pójdziemy dalej razem.

Kiedy trochę odpoczęła i poczuła, że może iść dalej, powiedziała mu o tym i poszli.

Przepelzli po stercie zwłok, obejmując się wzajemnie ramionami jak dwójka mocno podpitych kompanów powracających do domu z pobliskiej karczmy. Niedługo potem dotarli do kolejnej blokady. Nie potrafili określić, co to było, ale Rita domniemała, że mogło to być położone na boku łóżko. Wspólnie przerzucili je przez barierkę na samochód poniżej. Towarzyszący temu głośny łoskot sprawił, że oboje drgnęli trwożliwie i kurczowo przytulili się do siebie. Za zaporą napotkali kolejne trupy, trzech martwych mężczyzn. Larry przypuszczał, że byli to żołnierze, którzy wymordowali tę żydowską rodzinę. Przystąpili trupy i, trzymając się za ręce, poszli dalej.

Jakiś czas później Rita przystanąła gwałtownie.

– Co się dzieje? – zapytał Larry. – Coś się stało?

– Nie, Larry. Ale... widzę to! Wylot tunelu!

Zamrugał powiekami i wówczas on również to ujrzał. Światło było słabe, narastało stopniowo, tak leniwie, że nie spostrzegł go dopóki Rita nie zwróciła mu na to uwagi. Dopiero teraz dostrzegł lekki poblask na ceramicznych płytkach i bladą plamę twarzy Rity, tuż obok. Spoglądając w lewo, ujrzał martwy strumień uwieczonych w tunelu samochodów.

– Chodźmy – rzucił pogodnie.

Sześćdziesiąt kroków dalej, na chodniku leżały kolejne trupy. Sami żołnierze. Przeszli nad nimi i pomaszrowali dalej.

– Dlaczego mieliby odcinać od reszty świata tylko Nowy Jork? Chyba że... może... to wydarzyło się jedynie w Nowym Jorku?

– Nie sądzę – odparł, choć jej słowa natchnęły jego serce złudną nadzieją.

Przyspieszyli kroku. Wylot tunelu znajdował się dokładnie na wprost nich. Blokowały go stojące zderzak w zderzak dwie wielkie wojskowe ciężarówki. Samochody w znacznej mierze odcinały dostęp światła do tunelu. Gdyby ich tu nie było, Larry i Rita znacznie wcześniej dostrzegliby wylot tunelu. Przy zbiegu chodnika z podjazdem, na zewnątrz leżały kolejne trupy. Przepisnęli się pomiędzy ciężarówkami, przelażąc po ogromnych, wzmocnionych zderzakach. Rita nie zaglądała do środka. Larry owszem. Wewnątrz znajdował się częściowo zmontowany karabin maszynowy zaopatrzony w trójnóg, skrzynki z amunicją i coś, co wyglądało jak granaty z gazem łzawiącym. Oraz trzy trupy.

Gdy wyszli na zewnątrz, ich ciała omiótł podmuch niezbyt silnego wiatru, przesyconego wilgocią i zapachem deszczu. Ta rześka bryza pachniała tak cudownie, że Larry nie miał wątpliwości, iż ich wysiłek nie poszedł na marne. Powiedział o tym Ricie, a ona potaknęła i na chwilę przytuliła się do niego, opierając głowę o jego ramię.

– Mimo to nie weszłabym tam po raz drugi, nawet za milion dolarów – wyznała.

– Za parę lat pieniędzy będzie się używać jako papieru toaletowego. Wyobraź sobie tylko ten miękki dotyk zielonego...

– A więc jesteś pewien...

– Że to wydarzyło się nie tylko w Nowym Jorku? – zapytał. – Rozejrzyj się.

Budki opłat były puste. W środkowej powybijano wszystkie szyby. Nieco dalej, jak okiem sięgnąć, pasma wiodącej na zachód autostrady świeciły pustkami, lecz na szosie prowadzącej na wschód, mającej połączenie ze zjazdem do tunelu i miastem, które właśnie opuścili, powstał zdający się nie mieć końca korek wymarłych, pełnych trupów aut. Na jednym z pasm autostrady leżała sterta ciał. Wokół niej krążyło kilka mew.

– O Boże – szepnęła Rita łamiącym się głosem.

– Podejrzewam, że tyle samo ludzi usiłowało dostać się do Nowego Jorku, co próbowało go opuścić. Nie pojmuję, dlaczego zadali sobie tyle trudu i zablokowali tunel po stronie

Jersey. Zapewne oni także tego nie wiedzieli. Ktoś wpadł po prostu na błyskotliwy pomysł, dał ludziom zajęcie...

Rita usiadła na asfalcie i rozplakała się.

– Nie płacz – powiedział, klękając przy niej. Przeżycia w tunelu były nazbyt żywe w jego pamięci, aby mógł się na nią wściekać. – Już dobrze, już wszystko dobrze, Rito.

– Co dobrze? Co jest dobrze? Wymień choć jedną dobrą rzecz.

– Choćby to, że przeszliśmy przez tunel. Jesteśmy po drugiej stronie. To już coś. I powietrze tak rześko pachnie. Właściwie to nie pamiętam, aby powietrze w New Jersey pachniało tak wspaniale.

Uśmiechnęła się lekko. Larry przyjrzał się zadrapaniom na jej policzku i czole, gdzie trafiły ją odpryski płytek.

– Powinniśmy znaleźć aptekę i przemyć te zadrapania wodą utlenioną albo czymś w tym rodzaju – powiedział. – Możesz iść?

– Tak. – Patrzyła na niego z wyrazem tępej wdzięczności, co odrobinę go zdeprymowało.

– I poszukam też dla siebie nowych butów. Najlepsze byłyby trampki. I będę robiła tylko to, co mi każesz, Larry. Naprawdę. Chcę tego.

– Zrugalem cię, bo się zdenerwowałem – rzekł półgłosem. Odgarnął jej włosy z czoła i pocałował nieduże zadrapanie nad prawym okiem. – Nie jestem wcale taki zły – dorzucił po chwili.

– Ale nie zostawiaj mnie.

Pomógł Ricie wstać i objął ją jedną ręką w pasie. A potem ruszyli wolno w stronę budek płatniczych, przeszli przez bramki i pomaszerowali dalej, zostawiając wymarły Nowy Jork, oddzielony od nich wstęgą rzeki, daleko w tyle.

ROZDZIAŁ 36

W samym centrum Ogunquit znajdował się nieduży park, którego atrakcją był pomnik ofiar wojny i oryginalna armata z wojny secesyjnej. Po śmierci Gusa Dinsmore'a, Frannie Goldsmith udała się tam i usiadła nad stawem, leniwie wrzucając do wody kamyki i patrząc na rozchodzące się majestatycznie kręgi, które łamały się na granicy lilii wodnych na skraju stawu. Przedwczoraj zabrała Gusa do domu Hansonów na plaży. Bała się, że już wkrótce GUS nie będzie mógł chodzić i musiałby spędzić resztę swych dni „ostatniego uwięzienia”, jak trafnym choć ogólnie ponurym eufemizmem określiliby ów fakt jej przodkowie, zamknięty w parnej małej klitce w pobliżu parkingu przy plaży publicznej.

Wydawało się jej, że GUS umrze jeszcze tej nocy. Miał wysoką gorączkę i okrutnie majaczył, dwa razy spadł z łóżka, a raz zaczął nawet spacerować chwiejnym krokiem po sypialni starego pana Hansona, przewracając rozmaite rzeczy, potykając się, upadając na kolana i znów się podnosząc. Wołał coś do ludzi, których nie było w pobliżu, odpowiadał im i obserwował z taką różnorodnością emocji, oscylujących od rozbawienia po trwogę, że Frannie skłonna była w pewnej chwili uwierzyć, iż niewidzialni kompani Gusa istnieją naprawdę, a duchem jest nie kto inny jak ona sama. Błagała Gusa, aby wrócił do łóżka, lecz on jej nie słyszał. Musiała schodzić mu z drogi. Gdyby tego nie uczyniła, zderzyłby się z nią, przewrócił i poszedł dalej.

Wreszcie ciężko opadł na łóżko i ze stanu energicznego delirium przeszedł w charakteryzującą się sapaniem i ciężkim, płytkim oddechem śpiączkę, z której, jak sądziła Frannie, nie powinien się już obudzić. Kiedy jednak zajrzała do niego następnego ranka, GUS siedział na łóżku i czytał broszurowe wydanie powieści westernowej, którą znalazł na jednej z półek. Podziękował jej, że się nim zaopiekowała i jak stwierdził, miał nadzieję, iż poprzedniej nocy nie powiedział, ani nie uczynił niczego, co mogłoby ją urazić.

Odparła, że nic takiego nie miało miejsca. GUS z niejakim powątpiewaniem zlustrował panujący w sypialni bałagan i ponownie jej podziękował, tym razem za ostatnią wypowiedź. Ugotowała zupę, którą zjadł ze smakiem, a kiedy poskarżył się, że ma trudności z czytaniem bez okularów, które stłukł, atakując barykadę na południowym skraju miasta, wzięła od niego książkę (choć starał się protestować) i przeczytała mu cztery rozdziały powieści z Dzikiego

Zachodu, napisanej przez kobietę mieszkającą na północy, w Haven. Nosiła tytuł *Gorące Boże Narodzenie*. Szeryf John Stoner miał spore problemy z bandytami, panoszącymi się w miasteczku Roaring Rock w Wyoming i co gorsza nie wiedział, jaki prezent ma sprawić żonie na Gwiazdkę.

Fran zaczęła już odzyskiwać nadzieję, że GUS mimo wszystko wyzdrowieje, jednak zeszłej nocy jego stan znów się pogorszył.

Zmarł dziś rano, za kwadrans ósma, choć pod koniec w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim działo. Rozmarzonym tonem wyznał, że ma wielką ochotę na koktajl lodowy; ojciec zawsze fundował takie koktajle Gusowi i jego braciom na Święto Czwartego Lipca i Święto Pracy, gdy w Bangor odbywał się doroczny festyn. Lecz do tej pory Ogunquit nie miało już prądu, wyłączono go dokładnie siedemnaście minut po dziewiątej wieczorem, dwudziestego ósmego czerwca, wedle wskazania elektrycznych zegarów i szanse na znalezienie w całym mieście lodów były mniej niż zerowe. Zastanawiała się, czy któryś z mieszkańców mógł mieć generator benzynowy z podłączoną do niego chłodziarką i obwodem zasilania awaryjnego, nawet była gotowa odnaleźć Harolda Laudera i zapytać go o to, ale właśnie wtedy GUS zaczął wydawać swe ostatnie, rżące tchnienia. Męczył się tak, walcząc o każdy kolejny oddech przez dobre pięć minut. Frannie podłożyła mu jedną rękę pod głowę, drugą zaś ocierała mu ślinę, która gęstymi, lepкими strużkami wylewała się z jego ust. I nagle było po wszystkim.

Frannie przykryła go czystym prześcieradłem i pozostawiła go leżącego na łóżku starego Jacka Hansona, skąd przez okno rozciągał się wspaniały widok na ocean. Później przyszła tutaj i, usiadłszy nad stawem, wrzucała do niego kamyczki. Nie myślała o niczym. Podświadomie wiedziała, że akurat teraz DOBRZE JEST o niczym nie myśleć. To nie był stan osobliwej apatii, jak ten, który nawiedził ją po śmierci ojca. Od tego dnia była coraz bardziej sobą. Z „Domu kwiatów” Nathana przyniosła krzew różany i zasadziła go nad grobem Petera. Miała nadzieję, że „się przyjmie”, jak by to powiedział jej ojciec. Teraz nie myśląc o niczym, w pewnym sensie odpoczywała, odreagowywała swoją obecność przy śmierci Gusa. Nie przypominało to preludium do szaleństwa, które przeżyła poprzednim razem. Przywodziło raczej na myśl przejście przez szary, cuchnący tunel pełen kształtów, które były bardziej wyczuwalne aniżeli widoczne. Nie chciała nigdy więcej przechodzić przez ten tunel.

Wkrótce jednak będzie musiała zdecydować, co ma czynić dalej i, jak sądziła, musiała brać również pod uwagę Harolda Laudera. Nie dlatego, że ona i Harold byli dwojgiem ostatnich żyjących ludzi w tej okolicy, lecz dlatego, iż nie wiedziała, co może się z nim stać, gdyby nikt się nim nie zajął. Nie uważała się co prawda za osobę szczególnie praktyczną, skoro tu jednak była, musiała dać sobie radę. Fakt, nie przepadała za nim, ale Harold przynajmniej starał się być taktowny i okazał odrobinę przyzwoitości.

Nawet całkiem sporo, jak na niego.

Od ich spotkania przed czterema dniami Harold nie dał znaku życia – prawdopodobnie chciał dać jej możliwość opłakiwania w spokoju zmarłych rodziców. A więc uszanował jej prośbę. Od czasu do czasu widywała go, jak krążył ostentacyjnie od domu do domu cadillakiem Roya Brannigana. Dwukrotnie, przy sprzyjającym wietrze usłyszała również odgłosy maszyny do pisania płynące z jego sypialni. Fakt, iż było tak cicho, że mogła usłyszeć ów dźwięk, choć dom Lauderów stał dobre półtora mili od ich domu, nazbyt wyraziście podkreślił realność tego, co się wydarzyło. Trochę ją śmieszyło, że choć Harold znalazł sobie taki wóz jak cadillac Brannigana, nie pomyślał o zamianie ręcznej maszyny do pisania na którąś z tych cichych, lekko tylko buczących elektrycznych torped.

„Właściwie teraz nie miałby z niej wielkiego pożytku” – pomyślała, wstając i otrzepując szorty. Lody i elektryczne maszyny do pisania należały już do przeszłości. Ogarnęła ją smętna nostalgia i ponownie, z niebywałym zdumieniem zaczęła zastanawiać się, jak to możliwe, że tak ogromny kataklizm wydarzył się w ciągu kilku zaledwie tygodni. Niezależnie od tego, co mówił Harold, musieli być jeszcze inni ludzie. Jeżeli nawet system władzy tymczasowo się załamał wystarczyło, że odnajdą resztę ocalałych, a wówczas wspólnie spróbują go odbudować. Nie zastanawiała się, dlaczego jej zdaniem „władza” była instytucją niezbędną dla istnienia społeczeństwa, tak jak nie zdziwiło jej automatyczne wręcz poczucie odpowiedzialności za Harolda. Tak po prostu było i już. Struktura okazała się niezbedna.

Frannie wyszła z parku i ruszyła wolno wzdłuż Main Street do domu Lauderów. Dzień był ciepły, ale wiał chłodny wiatr od morza. Nagle przysła jej ochota, by pójść na plażę, znaleźć nad wodą długie, soczyste pasmo wodorostów i wgryźć się w nie.

– Boże, jesteś obrzydliwa – powiedziała w głos.

Nie, wcale nie była obrzydliwa. Była w ciąży. To wszystko. Za tydzień przyjdzie jej ochota na kanapkę z musztardą i cebulką. Albo na kiszone ogórki.

Przystanąła na rogu ulicy o przecznicy od domu Harolda, zaskoczona, że od tak dawna nie myślała o swoim „odmiennym stanie”. Wcześniej myśli na ten temat czały się niemal na każdym kroku, niczym bałagan, który zapomniała uprzątnąć. „Powinnam oddać niebieską sukienkę do prania przed końcem tygodnia (jeszcze parę miesięcy i będę mogła schować ją do szafy, bo jestem w ciąży). Powinnam zmienić olej w samochodzie, zanim tłoki zaczną wypadać z łożysk (ciekawe, co by powiedział Johnny z Citgo, gdyby dowiedział się, że jestem w ciąży)”. Może po prostu przywykła do tego stanu. Pogodziła się z nim. W sumie była już w trzecim miesiącu, jedną trzecią okresu ciąży miała już właściwie za sobą.

Po raz pierwszy z niepokojem zaczęła zastanawiać się, kto pomoże jej przy porodzie.

Zza domu Lauderów dochodził jednostajny, metaliczny szcęk ręcznej kosiarki. Kiedy Fran wyszła zza rogu budynku, to co ujrzała tak ją zdumiało, że tylko dzięki kompletnemu zaskoczeniu powstrzymała się od wybuchnięcia śmiechem.

Harold, ubrany tylko w obciste, elastyczne niebieskie kąpielówki kosił trawnik. Jego biała skóra lśniła od potu, długie włosy lepiły mu się do szyi (choć musiała przyznać na korzyść Harolda, iż sądząc po wyglądzie musiał nie tak dawno umyć głowę).

Waleczki tłuszczu nad gumką spodenek i poniżej ściągacza trzęsły mu się niemiłosiernie.

Od ścinania trawy obie stopy, aż do kostek miał umazane na zielono. Plecy były całe poczerwieniałe, choć trudno powiedzieć, czy ze zmęczenia, czy też może od słońca.

Harold nie tyle szedł, co biegł z kosiarką. Trawniki za domem Lauderów ciągnął się aż do malowniczego, nietypowego kamiennego murku, pośrodku niego zaś znajdowała się ośmiościenna altana. Będąc jeszcze w podstawówce, Fran i Amy przychodziły tam „na herbatki”. Ze smutkiem i żalem Frannie powróciła pamięcią do tamtych dni, kiedy obie płakały jak bobry nad zakończeniem *Charlotte's Web* i wzdychały tęsknie do Chuckiego Mayo, najfajniejszego chłopaka w szkole.

Pod względem zielonego koloru i spokoju trawniki Lauderów przypominały trawniki angielskie, teraz jednakże ową sielankową scenę zmaćcił derwisz w niebieskich kąpielówkach.

Usłyszała sapanie Harolda, które mogło wydać się bardziej niż tylko odrobinę niepokojące, kiedy chłopak skręcił w północno-wschodnie naroże, gdzie trawniki Lauderów i Wilsonów oddzielały krzewy morwy. Zbiegł po pochyłości trawnika, nachylając się nad wygiętą w kształt litery T rączką kosiarki. Ostrza wirowały jak szalone. Trawa wypryskiwała do tyłu gęstą strugą, zbryzgując golenie Harolda. Skosił już pół trawnika, został mu jeszcze zmniejszający się z każdą chwilą kwadrat, pośrodku którego stała stara altana. U podnóża pagórka skręcił, ale zaraz znów się pojawił, na chwilę przesłoniła go altanka i wyprysnął zza niej jak szalowiec, nachylony nad kosiarką niczym kierowca bolidu Formuły Pierwszej. Dostrzegł ją, będąc mniej więcej w połowie stromizny. W tej samej chwili Frannie rzuciła niepewnie:

– Haroldzie?

I dostrzegła w jego oczach łzy.

– Hej! – rzucił, a raczej pisnął Harold.

Wypłoszyła go z jego intymnego, małego świata i przez moment obawiała się, że tak wyczerpany może nie przeżyć tego szoku.

On tymczasem pognał w kierunku domu, rozrzucając zżętą trawę bosymi stopami. Niemal nieświadomie zarejestrowała słodkawy zapach świeżo ściętej trawy rozchodzący się w powietrzu.

Postąpiła krok w jego stronę.

– Haroldzie, co się stało?

Wbiegł po schodach na ganek. Otworzywszy tylne drzwi, wpadł jak bomba do domu i z impetem zatrzasnął je za sobą. W ciszy, która potem nastąpiła słychać było donośny zew sójki i chrobotanie jakiegoś małego zwierzątka w krzakach za kamiennym murkiem.

Porzucona kosiarka stała cicha i wyczekująca nieopodal altany, gdzie Fran i Amy popijały niegdyś Kool-Aid w filiżankach z zestawu kuchennego Barbie, elegancko odginając przy tym małe palce.

Przez chwilę Frannie stała niezdecydowana, lecz w końcu podeszła i zapukała do drzwi. Nikt się nie odezwał, niemniej ze środka dochodził głośny szloch Harolda.

– Haroldzie?

Bez odpowiedzi. Płacz nie ustawał.

Weszła do ciemnej, chłodnej i pełnej różnych woni sieni – znajdująca się w korytarzu po lewej spiżarka pani Lauder była otwarta, a Frannie przypomniała sobie, jak cudownie pachniały przechowywane tam suszone jabłka i cynamon. Na samą myśl o szarlotce aż leciała jej ślinka.

– Haroldzie?

Weszła do kuchni. Harold siedział przy stole. Wplótł palce obu dłoni we włosy, upačkane trawą, zielone stopy opierał na wyłożonej linoleum podłodze, którą pani Lauder zachowywała zawsze w nieskazitelnej czystości.

– Co się stało, Haroldzie?

– Odejdź! – zawołał przez łyżę. – Idź sobie, nie lubisz mnie!

– Lubię cię. Jesteś w porządku. Może nie jesteś wspaniały, ale na pewno w porządku. – Przerwała. – Właściwie, zważywszy na okoliczności i w ogóle, mogę powiedzieć, że obecnie jesteś jednym z największych moich ulubieńców na całym świecie.

Usłyszawszy te słowa Harold zaszlochał jeszcze głośniej.

– Masz coś do picia?

– Kool-Aid – odparł. Pociągnął nosem, smarknął i nie odrywając wzroku od stołu dorzucił: – Ale jest ciepła.

– No jasne. Skąd masz wodę? Z pompy?

Jak wiele małych miast również Ogunquit miało na głównym placu przed ratuszem zabytkową pompę, choć przez ostatnie czterdzieści lat nikt z niej właściwie nie korzystał. Czasami fotografowali ją turyści. „O, a to pompa na centralnym placu takiej małej i nadmorskiej miejsciny, gdzie byliśmy na wakacjach. Czyż nie jest oryginalna?”

– Tak. Z pompy.

Napełniła dwie szklanki napojem i usiadła. „Powinniśmy być teraz w altance – pomyślała. – Kool-Aid powinno się pić właśnie tam. Pilibyśmy z małych filiżanek, odchylając wyprostowane małe place do góry”.

– Co się stało, Haroldzie?

Harold zaśmiał się histerycznie i uniósł szklankę do ust. Opróżnił ją w kilku łykach i odstawił.

– Co się stało? A jak ci się wydaje?

– Chodziło mi o to, czy TOBIE coś się przydarzyło.

Spróbowała napoju i lekko się skrzywiła. Napój nie był ciepły, Harold musiał przynieść wodę względnie niedawno, ale zapomniał o cukrze.

Wreszcie uniósł wzrok. Policzki miał mokre od łez. Głos mu się łamał.

– Tęsknię za mamą – rzucił krótko.

– Och, Haroldzie...

– Kiedy to się stało, kiedy umarła, pomyślałem: „Nie było tak źle”. – Zacisnął dłoń na szklance, wpatrując się w nią przenikliwym, nawiedzonym spojrzeniem, które odrobinę ją zaniepokoiło. – Wiem, jak strasznie musiało to dla ciebie zabrzmieć. Tylko że ja nigdy nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym znieść śmierć rodziców. Jestem bardzo wrażliwy. To dlatego ci kretyni z gabinetu grozy, który ojcowie miasta szczerze nazywają liceum wciąż nie dawali mi spokoju. Wydawało mi się, że ze smutku po ich odejściu stracę rozum, albo zapadnę w śpiączkę... stanę się autystykiem czy coś w tym rodzaju... A kiedy to się stało... kiedy umarli moja matka... Amy... mój ojciec, pomyślałem sobie, że nie było tak źle... Ja... oni... – Walnął pięściami w stół, aż Frannie drgnęła nerwowo. – Dlaczego nie potrafię wyrazić tego, co chcę? – krzyknął. – Zawsze umiałem wysłowić to, co czułem. Praca pisarza polega na operowaniu językiem, docieraniu do sedna, dlaczego więc nie umiem wyrazić słowami tego, co wtedy czułem? Dlaczego nie potrafię powiedzieć, jak to odebrałem?

– Nie musisz, Haroldzie. Wiem, co czujesz.

Spojrzał na nią, kompletnie zdezorientowany.

– Wiesz...? – Pokręcił głową. – Nie. Nie masz o tym zielonego pojęcia.

– Pamiętasz, kiedy przyszedłeś do mnie tamtego dnia? Wtedy, gdy kopałam grób? Prawie odchodziłam od zmysłów. Nie pamiętałam połowy tego, co robiłam. Próbowałam usmażyć frytki i omal nie spaliłam całego domu. Jeśli więc koszenie trawy przynosi ci ulgę, to świetnie. Jeśli jednak będziesz to robił w samych tylko spodenkach kąpielowych, słońce sprząży cię na raczka. Już i tak nieźle się podpiekłeś – dodała, przyglądając się bacznie jego barkom. I z czystej uprzejmości upiła łyk wstrętnego Kool-Aida.

Otarł usta wierzchem dłoni.

– Nigdy za nimi nie przepadałem – mruknął – ale sądziłem, że w takich sytuacjach niezależnie od wszystkiego jest ci żal, że już ich nie ma. Kiedy masz pełny pęcherz, musisz go opróżnić. Jeśli umiera ktoś bliski, musisz po nim płakać.

Pokiwała głową, uznawszy to porównanie za ciut osobliwe, choć nie pozbawione racji.

– Moja matka zawsze preferowała Amy. Wołała ją niż mnie – dodał tonem małego, skrzywdzonego dziecka. – A ojciec odkąd pamiętam nigdy mnie nie znosił. Mierziłem go.

Fran potrafiła go zrozumieć. Brad Lauder był potężnym, silnie zbudowanym mężczyzną, brygadzystą w fabryce włókienniczej w Kennebunk. Z całą pewnością nie był zachwycony, że taki wypierdek mógł być jego synem, krwią z jego krwi i kością z jego kości.

– Któregoś razu wziął mnie na stronę – ciągnął Harold – i zapytał, czy jestem pedziem. Ot, tak, całkiem otwarcie. Tak się przestraszyłem, że zacząłem płakać, a on zdzielił mnie w

twarz i powiedział, że jeśli zamierzam do końca życia być niezgułą, beksą i skończoną oferumą to powinienem natychmiast, jeszcze tego samego dnia wyjechać z miasta. A Amy... chyba sprawiedliwie będzie, jeśli powiem, że kompletnie się tym nie przejmowała. Byłem dla niej problemem, gdy przyprawiała do domu koleżanki. Traktowała mnie jak nużącą uciążliwość.

Fran z niemałym wysiłkiem dopiła napój.

– Kiedy więc wszyscy oni umarli, a ja przyjąłem to bez większych emocji pomyślałem, że coś jest nie tak. Żałoba po kimś to nie odruch, jak po uderzeniu młoteczką w kolano – powtarzałem to sobie raz po raz. Tyle tylko, że w końcu się przeliczyłem. Z każdym dniem coraz bardziej mi ich brakowało. Zwłaszcza matki... Gdybym mógł ją znowu zobaczyć... tyle razy nie było jej przy mnie, gdy jej potrzebowałem... była zbyt zajęta, bo akurat robiła coś dla Amy albo razem z Amy, jednak nigdy nie wyrządziła mi nic złego. I dzisiaj rano, gdy znów zacząłem mieć te myśli, powiedziałem sobie: „Skoszę trawnik. Zajmę się czymś, żeby o tym zapomnieć”.

Ale i tak nie zdołałem się od tego uwolnić. Zacząłem kosić coraz szybciej i szybciej... jakbym mógł prześcignąć własne myśli... chyba właśnie wtedy nadeszłaś. Czuję się jak wariat, ale czy wyglądam na świra?

Wyciągnęła rękę ponad stołem i dotknęła jego ręki.

– W tym, co czujesz nie ma nic złego, Haroldzie.

– Na pewno? – Znów wyglądał jak wystraszone dziecko.

– Tak.

– Będiesz moją przyjaciółką?

– Tak.

– Bogu dzięki – rzekł Harold. – Bogu niech będą za to dzięki.

Jego dłoń była lepka od potu, a gdy to sobie uświadomiła – musiał to chyba jakoś wyczuć – Harold momentalnie cofnął rękę.

– Napijesz się jeszcze Kool-Aida? – zapytał półgłosem.

– Może później – odparła, a na jej wargach wykwitł dyplomatyczny uśmiezek.

Zjedli lunch w parku, jakby byli na pikniku: masło orzechowe, kanapki z dżemem, krakersy i cola. Cola była naprawdę pyszna, gdy schłodzili butelki w stawie.

– Zastanawiałem się nad tym, co powinienem teraz zrobić – rzekł Harold. – Nie chcesz tej połówki krakersa?

– Nie. Zapchałam się.

Harold pochłonął krakersa jednym kęsem. Frannie zauważyła, że żałoba nie umniejszała bynajmniej jego apetytu i skarciła samą siebie za tak złośliwą opinię.

– I co?

– Myślałem o wyjeździe do Vermont – odparł beznamiętnie. – Chciałabyś tam pojechać?

– Dlaczego akurat do Vermont?

– W Stovington mieści się rządowe centrum badań nad plagami i chorobami zakaźnymi. Nie jest tak duże, jak to w Atlancie, ale z pewnością leży znacznie bliżej. Przyszło mi na myśl, że jeśli jacyś ludzie ocaleli i pracują nad zwalczeniem tej grypy, to większość z nich będzie właśnie tam.

– Nie sądzisz, że oni również mogli paść ofiarą zarazy?

– Może tak, może nie – cedząc słowa, odparł Harold. – Niemniej w miejscach takich jak Stovington, gdzie ludzie znają się na chorobach zakaźnych i wiedzą, jak sobie z nimi radzić, na pewno wdrożą stosowne procedury zapobiegawcze. I jeśli ośrodek wciąż działa, naukowcy na pewno będą poszukiwać takich ludzi jak my. Ludzi, którzy są uodpornieni.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – Fran patrzyła na niego z nieskrywanym podziwem.

Harold pokraśniał.

– Sporo czytam. Te ośrodki nie są utajnione. To jak? Co o tym myślisz, Fran?

Uznała, że to cudowny pomysł. Co więcej, współgrał on z jej potrzebą zachowania struktur społecznych oraz władzy. Natychmiast odrzuciła od siebie myśl, że ludzie pracujący w tej placówce mogli już nie żyć. Pojadą do Stovington, zostaną przyjęci, poddani testom i badania bez wątpienia wykażą różnice dzielące ich od ludzi, którzy zachorowali i umarli. Nie przyszło jej do głowy, że do tej pory szczepionka raczej nie będzie nikomu potrzebna, gdyż nie zostanie nikt, kogo można by nią zaszczepić.

– Sądzę, że powinniśmy jutro znaleźć mapę drogową i obmyślić możliwie najlepszy sposób, jak tam dotrzeć – powiedziała.

Rozpromienił się. Przez chwilę sądziła, że zamierza ją pocałować i w tej krótkiej chwili zapomnienia raczej by mu na to pozwoliła, lecz Harold nie wykorzystał okazji. W gruncie rzeczy była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Według atlasu drogowego, gdzie wszystkie odległości można było zmierzyć palcem, ich podróż zapowiadała się wręcz banalnie. Najpierw US 1 do I-95, stamtąd do US 302, potem wzdłuż niej na północny zachód przez pojezierza zachodniego Maine i tą samą drogą przez cypelek New Hampshire do Vermont. Stovington leżało o trzydzieści mil na zachód od Barre, można było dojechać tam szosą numer 61 lub I-89.

– Ale właściwie jak daleko jest do tego Vermont?

Harold wyjął liniał, zmierzył i obliczył odległość, zerkając na skalę mapy.

– Nie uwierzysz – odparł posępnym tonem.

– No, ile? Sto mil?

– Ponad trzysta.

– O Boże. Już po moim pomysle – powiedziała Frannie. – Czytałam gdzieś, że większość stanów Nowej Anglii można przejść pieszo w jeden dzień.

– To bajer – stwierdził Harold z wyższością w głosie. – Można przebyć pieszo cztery stany: Connecticut, Rhode Island, Massachusetts i Vermont, przekraczając granicę tego ostatniego przed upływem dwudziestu czterech godzin od wyruszenia w drogę, ale tylko idąc ściśle określonym szlakiem. To jak ze sztuczką iluzjonisty. Wydaje się prosta, dopiero wtedy gdy powie ci, jak ją wykonać. Kiedy wiesz na czym polega bajer, wszystko wydaje się proste.

– Skąd ty to wiesz? – spytała ze zdumieniem.

– Z książki rekordów Guinnessa – odparł jakby od niechcienia. – Znanej także jako Pismo Święte Biblioteki Liceum w Ogunquit.

Jeżeli chcesz wiedzieć, myślałem o motocyklach. Albo... czy ja wiem, skuterach.

– Haroldzie – powiedziała z powagą. – Jesteś geniuszem.

Harold zakasłał, zaczerwienił się i znów się rozpromienił:

– Moglibyśmy jutro rano dojechać na motorach do Wells. Jest tam salon hondy... umiałabyś poprowadzić hondę, Fran?

– Mogę się nauczyć, tyle tylko, że przez pewien czas jechalibyśmy nieco wolniej.

– Hmm, no wiesz, wydaje mi się, że nadmierna prędkość nie byłaby raczej wskazana – odparł Harold z powagą w głosie. – Nigdy nie wiadomo, czy za następnym zakrętem nie natkniemy się na blokujące szosę rozbite auta.

– To fakt. Nigdy nie wiadomo. Dlaczego jednak mielibyśmy czekać z tym do jutra? Dlaczego nie wyruszymy jeszcze dziś?

– Jest już po drugiej – stwierdził. – Nie dojechalibyśmy dalej niż do Wells, a musimy się odpowiednio przygotować. Potrzeba nam różnych rzeczy. Łatwiej będzie o nie w Ogunquit, bo tu na miejscu wiemy, co i gdzie znaleźć. Rzecz jasna będziemy potrzebować broni.

To dziwne, naprawdę. Kiedy tylko wspomniał o broni, pomyślała o dziecku.

– A po co nam broń?

Patrzył na nią przez chwilę, po czym spuścił wzrok. Rumieniec na jego szyi powiększył się.

– Ponieważ nie ma już policji ani sądów, ty jesteś kobietą, na dodatek całkiem ładną i niektórzy ludzie... niektórzy mężczyźni... mogą... nie okazać się dżentelmenami. Oto, dlaczego.

Jego rumieniec wydawał się teraz prawie fioletowy.

„Ma na myśli gwałt – skonstatowała. – Gwałt. Ale jak ktokolwiek mógłby chcieć mnie zgwałcić? Jestem w ciąży”. Tylko że nikt o tym nie wiedział. Nawet Harold. Poza tym, czy sądziła, że zwracając się do potencjalnego gwałciciela słowami: „Niech pan tego nie robi, bo jestem w ciąży”, sprawi, iż facet spieszy się, rzuci na odchodne: „Rany, panienko, przepraszam, pójdę poszukam i zgwałcę sobie jakąś inną dziewczynę”, a potem zwinie żagle?

– W porządku – mruknęła. – Broń... Mimo to i tak powinniśmy dojechać dziś do Wells.

– Mam tu jeszcze coś do załatwienia – odparł Harold.

Na dachu stodoły Moseesa Richardsona panował potworny skwar. Zanim dotarła na stryszek cała była mokra od potu, ale kiedy oboje weszli po chwiejących się schodach ze stryszku na dach, pot wręcz lał się z niej strumieniami, tworząc na bluzce ciemne plamy i przylepiając cienki materiał do jej krągłych piersi.

– Czy naprawdę uważasz, że to konieczne?

– Nie wiem – Niósł kubek z białą farbą i wielki pędzel nie wyjęty jeszcze nawet z celofanu. – Niemniej stodoła stoi zwrócona w stronę US 1, a sądzę, że tą drogą podążać będzie najwięcej ludzi. Tak czy inaczej, na pewno nie zaszkodzi.

– Zaszkodzi, jeżeli spadniesz i połamiesz kości. – Z gorąca rozboleła ją głowa, a wypita do obiadu cola przelewała się jej w żołądku w nader nieprzyjemny, wywołujący mdłości sposób. – W gruncie rzeczy to mógłby być nawet twój koniec.

– Nie sądzę – rzucił nerwowo Harold. Spojrzał na nią. – Fran, jesteś taka blada, jakbyś była chora.

– To z gorąca – odparła prawie szeptem.

– Wobec tego, na Boga, zejź natychmiast z tego dachu. Połóż się gdzieś w cieniu, pod drzewem i odpocznij, oglądając niebywałego człowieka-muchę wykonującego karkołomne ewolucje na zabójczo stromym dachu stodoły Moseesa Richardsona.

– Nie żartuj sobie. Naprawdę uważam, że to niebezpieczne.

– Owszem, ale i tak to zrobię. Będzie mi lżej na sercu. No, idź już.

„On robi to dla mnie” – pomyślała.

Patrzyła, jak stał przed nią, spocony i przerażony, z jego nagich, tłustych ramion zwieszały się stare pajęczyny, a obwisły kałdun przelewał się nad paskiem obcisłych dżinsów, ale mimo to nie chciał odpuścić, był gotów za wszelką cenę uczynić to, co uważał za słuszne.

Stała na palcach i cmoknęła go leciutko w usta.

– Uważaj na siebie – powiedziała, po czym zeszła szybko po schodach, a cola chlupotała jej w żołądku, przelewając się w górę i w dół, z boku na bok. „Uuuuch”. Zeszła na dół szybko, lecz nie na tyle, by nie dostrzec wyrazu zdumienia, ale i zadowolenia w jego oczach. Jeszcze szybciej ześlizgnęła się po drewnianych szczeblach ze stryszku na usłane sianem klepisko stodoły, ponieważ wiedziała już, że zaraz zwymiotuje i wiedziała, że było to winą upału, coli i dziecka, które w sobie nosiła. A co pomyślałby Harold, gdyby ją zobaczył, lub usłyszał? Chciała dotrzeć za stodołę, gdzie nie mógł jej usłyszeć. Udało się jej. No, prawie.

Harold zszedł z dachu za kwadrans czwarta, oparzenia od słońca na jego ciele przybrały barwę ognistej czerwieni, ramiona upstrzone miał plamkami białej farby. Podczas gdy on pracował, Fran położyła się pod rozłożystym wiązem na podwórzu i ucięła sobie lekką drzemkę. Nie zasnęła jednak głęboko, nasłuchiwała bowiem grzechotu tłuczonych gontów, poddających się ciężarowi grubaska i rozpaczliwego wrzasku nieszczęsnego Harolda, spadającego z wysokości dziewięćdziesięciu stóp na twardą ziemię poniżej. To jednak nie

nastąpiło (Bogu dzięki!), a teraz Harold stał przed nią dumnie, z zielonymi od trawy stopami, ubielonymi rękoma i poczerwieniałymi barkami.

– Po co zносиłeś na dół kubel z farbą? – zapytała zaciekawiona.

– Nie chciałem go zostawiać na górze. Mógłby nastąpić samozapłon i naszą wiadomość diabli by wzięli.

Znów przyszło jej na myśl, że ten niezbyt atrakcyjny tłuscioszek nie zapominał o niczym. To zaczynało być coraz bardziej niepokojące.

Oboje unieśli wzrok, spoglądając na dach stodoły. Świeża farba odcinała się wyraźnie na bladozielonych, wyblakłych od słońca dachówkach. Namalowane na nich słowa przypominały Fran napisy w rodzaju JEZUS ZBAWIA, czy haseł reklamowych, które napotykała niekiedy na Południu, widniejące na dachach stodół.

Wiadomość pozostawiona przez Harolda brzmiała następująco:

POJECHALIŚMY DO
CENTRUM EPIDEMIOLOGII W STOVINGTON
US 1 DO WELLS
I-95 DO PORTLAND
US 302 DO BARRE
I-89 DO STOVINGTON
WYJECHALIŚMY Z OGUNQUIT 2 LIPCA 1990
HAROLD EMERY LAUDER
FRANCES GOLDSMITH

– Nie wiedziałem, jak masz na drugie imię – rzucił przepaszająco Harold.

– Nie szkodzi – odparła Fran. – Jest świetnie. – Wciąż patrzyła na napis. Pierwsza linijka widniała tuż poniżej dachowego okienka, ostatnia, jej imię i nazwisko nieco powyżej rynny. – Jak udało ci się napisać ostatnią linijkę? – zapytała.

– To nie było takie trudne – odparł ze spokojem. – Pobujałem tylko trochę nogami w powietrzu i to wszystko.

– Och, Haroldzie. Czy nie wystarczyłoby, gdybyś tylko ty się podpisał?

– Stanowimy zespół – rzekł z naciskiem i nagle spojrzał na nią, wyraźnie zaniepokojony. – Stanowimy, prawda?

– Chyba... chyba tak... dopóki nie zrobisz nic głupiego i nie skręcisz karku. Jesteś głodny? Rozpromienił się.

– Jak wilk.

– To zjedzmy coś. I nasmaruję ci olejkami te poparzone ramiona. Masz zaraz założyć koszulę, Haroldzie, bo nie będziesz mógł dzisiaj zasnąć. Te oparzenia nie wyglądają najlepiej.

– Na pewno nie spędzą mi snu z powiek – odparł Harold z uśmiechem.

Frannie również się uśmiechnęła. Zjedli kolację z puszek, popijając Kool-Aidem (przygotowała go Frannie i dodała cukru), później zaś, gdy zaczęło zmierzchać, Harold zjawił się w domu Fran, dźwigając coś pod pachą.

– Należał do Amy – powiedział. – Znalazłem go na poddaszu. Dostała go chyba od rodziców po skończeniu gimnazjum. Nie wiem, czy jeszcze działa, ale na wszelki wypadek wzięłem ze sklepu kilka baterii.

Poklepał się po kieszeniach napęczniałych od alkalików.

Był to przenośny adapter z plastikową pokrywą, stworzony dla trzynasto-, czternastolatek, by mogły zabierać go ze sobą na plażę czy na piknik w ogródku. Był to adapter do singli, na czterdzieści pięć obrotów. Na pewno puszczano na nim płyty braci Osmond, Leifa Garretta, Johna Travolty i Shauna Cassidy'ego. Przyjrzała się uważnie urządzeniu i poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami.

– Świetnie – powiedziała. – Sprawdźmy, czy działa.

Działał. I przez blisko cztery godziny siedzieli na przeciwległych końcach tapczanu z adapterem stojącym przed nimi na niskim stoliku do kawy i z twarzami przepełnionymi niemą, smętną fascynacją słuchali muzyki umarłego świata wypełniającej ciepłą, letnią noc.

ROZDZIAŁ 37

Początkowo Stu nie zwracał na ten dźwięk uwagi, stanowił on po prostu typowy element pogodnego, słonecznego poranka. Minął właśnie South Ryegate w New Hampshire i teraz autostrada ciągnęła się kretu pośród wiejskiego krajobrazu. Wiązy rosnące po obu stronach drogi rzucały na nią długie, czarne cienie pocętkowane plamkami poruszających się słonecznych promieni. Zarośla po prawej i lewej stronie były gęste – jasny sumak, niebieskoszary jałowiec i mnóstwo innych krzewów, których nie potrafił nazwać. Ich mnogość wciąż go zdumiewała; we Wschodnim Teksasie nie było tak wielu odmian przydrożnej flory. Z lewej strony pomiędzy gałęzi krzewów raz po raz wyłaniała się ściana prastarej skały, z prawej zaś płynął radośnie na wschód wartki, nieduży potok. Od czasu do czasu na poboczu dostrzegał jakieś zwierzę (wczoraj niemal skamieniał na widok ogromnej łani stojącej na białej linii US 302 i wietrzącej jakąś woń, wyczuwalną w powietrzu) i rzecz jasna słyszał przeciągły świergot ptaków. Odkąd opuścił Stovington widział wiele zdechłych psów, lecz ani jednego żywego. Cóż, konstatował, grypa zabiła większość ludzi, ale jednak nie wszystkich. Zapewne tak samo było z psami. Prawdopodobnie te, które ocalały bały się i unikały ludzi. Najprawdopodobniej, zwietrzywszy go, wczołgiwały się głębiej w gęstwą krzewów, skąd czekały donośnie dopóki nie opuścił granic ich terytorium.

Poprawił pasy plecaka i złożył raz jeszcze na pół chustki podłożone pod paski na ramionach. Bluza, którą nosił po trzech dniach nie wyglądała już jak nowa. Na głowie miał zawadiacki, szerokoskrzydły, czerwony filcowy kapelusz, przez ramię natomiast przewiesił wojskowy karabin. Nie spodziewał się napotkać maruderów, ale pomysł zaopatrzenia się w broń uznał za całkiem sensowny. Może upoluje coś do jedzenia... Świeże mięso. Nie dalej jak wczoraj miał okazję naoglądać się go do woli, ale był zbyt zdumiony i ucieszony jego widokiem, żeby pomyśleć o zabiciu go.

Poprawiwszy plecak pomaszzerował dalej. Ujadanie psa zdawało się dochodzić zza następnego zakrętu. „Może go w końcu zobaczę” – pomyślał Stu. Wybrał US 302 biegnącą na wschód, bo jak przypuszczał prędzej czy później dotrze nią nad brzeg oceanu. „Gdy tam dojdę, pomyślę co dalej”. Póki co nie zamierzał zaprzętać sobie tym głowy. Maszerował już od czterech dni i czynność ta miała na niego bardzo kojący wpływ. Zastanawiał się, czy nie

znaleźć dla siebie roweru albo motocykla, dzięki którym nie miałby problemów z przedostawaniem się przez liczne blokady i miejsca kraks. W końcu jednak zdecydował się na marsz. Zawsze lubił piesze wędrówki, a jego ciało wręcz domagało się wysiłku. Do czasu swej ucieczki ze Stovington przez prawie dwa tygodnie przebywał w zamknięciu i czuł się słaby i wyzbyty formy. Podejrzewał, że prędzej czy później uzna, iż porusza się mimo wszystko zbyt wolno, a wówczas zdobędzie dla siebie jakiś dogodny pojazd, teraz jednak z niekłamaną radością maszerował pieszo na wschód, podziwiając co ciekawsze widoki, odpoczywając, gdy przyszła mu na to ochota, bądź też przespiając upalniejsze popołudnia. Czuł, że to co robi, było dobre. Właściwe. Stopniowo obłąkańcze poszukiwania wyjścia zaczynały zacierać się w jego pamięci, ot jeszcze jedno ze zdarzeń, zamiast koszmaru, który przywoływany, wywoływał na jego czole krople zimnego potu. Najtrudniej było mu pozbyć się wrażenia, że ktoś go ściga. Przez pierwsze dwie noce na szlaku śnił o swoim ostatnim spotkaniu z Elderem, gdy ten przyszedł wypełnić otrzymane rozkazy. W snach Stu zamachując się krzesłem, zawsze okazywał się zbyt wolny. Elder cofał się o krok i, unikając ciosu, naciska spust pistoletu, a Stu czuł silne, choć nie wywołujące bólu uderzenie, jakby wypełnionej ołowiem rękawicy bokerskiej trafiającej go w pierś. Śnił o tym bez końca, a rankiem budził się zmęczony, lecz tak bardzo cieszył się, że żyje, iż prawie nie zwracał na to uwagi. Zeszłej nocy sen nie powrócił. Stu wątpił, czy strachy ot tak, ni stąd ni zowąd nagle przestaną go prześladować, sądził jednak, że to w dużej mierze marsz przyczynił się do stopniowego wydalenia trucizny z jego organizmu. Może nigdy nie pozbędzie się tego całkowicie, ale zauważywszy poprawę nabrał pewności, że kiedy dotrze do oceanu nie będzie miał problemu z podjęciem decyzji o swoim dalszym losie.

Minął zakręt i ujrzał psa, kasztanowej maści setera irlandzkiego. Na widok Stu pies zaszczekał radośnie, po czym pobiegł ku niemu, zgrzytając pazurami o asfalt i machając szaleńczo ogonem. Stanął na tylnych łapach, opierając przednie o brzuch Stu z takim impetem, że mężczyzna musiał cofnąć się o krok.

– Ejże, mały! – rzucił karcąco, ale mimo to uśmiechnął się.

Na dźwięk jego głosu pies zaszczekał radośnie i znów stanął na tylnych łapach.

– Kojak! – rozległ się srogi głos, a Stu drgnął nerwowo i rozejrzał się dokoła. – Leżeć! Zostaw tego człowieka w spokoju! Upaprasz mu całą koszulę! Niedobry pies!

Kojak znów stanął czterema łapami na szosie i z podkulonym ogonem obszedł Stu dokoła. Mimo iż został skarcony, wciąż machał leciutko ogonem, a Stu uznał, że ten seter z pewnością nie nadawał się na psiego aktora.

Dopiero teraz dostrzegł właściciela głosu i najprawdopodobniej też Kojaka. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, ubrany w postrzępiony sweter, stare szare spodnie... i берет. Siedział na stołku fortepianowym, trzymając w dłoni paletę. Przed nim stały sztalugi z rozpiętym na blejtrami płótnem.

Mężczyzna wstał, odłożył paletę na stół (Stu usłyszał jak tamten mruknął pod nosem: „Żeby tylko nie zapomniał i nie usiadł na niej”), po czym podszedł do Stu, wyciągając rękę. Łagodny wietrzyk rozwiewał kosmyki jego długich, wystających spod beretu siwych włosów.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pan zrobić użytku z tego karabinu. Glen Bateman, do usług.

Stu postąpił naprzód i uściśnął dłoń tamtego. (Kojak znów kręcił się obok niego, lecz – przynajmniej na razie – nie próbował na niego skakać.)

– Stuart Redman – przedstawił się. – Proszę nie przejmować się bronią. Zbyt rzadko widuję ostatnio ludzi, by chcieć nafaszerować kogokolwiek ołowiem. Właściwie jest pan pierwszym człowiekiem, którego spotkałem od dobrych paru dni.

– Lubi pan kawior?

– Nigdy nie próbowałem.

– Wobec tego najwyższy czas, aby pan skosztował. Jeśli nie będzie panu smakował, jest mnóstwo innych rzeczy. Kojak, nie skacz. Wiem, że masz na to olbrzymią ochotę – tak łatwo można cię przejrzeć – ale opanuj się. Pamiętaj, Kojak, to umiejętność samokontroli oddziela klasy wyższe od niższych. Kontrola. Opanowanie.

Gdy jego pan zaapelował do uczuć wyższych i lepszej strony natury, Kojak momentalnie przywarował i zaczął ciężko ziajać. Sprawiał wrażenie, jakby uśmiechał się całym pyskiem. Stu z doświadczenia wiedział, że pies, który tak się szczyrzy albo zaraz cię ugryzie, albo jest naprawdę dobry. Nic nie wskazywało, aby ten seter miał go ukąsić.

– Zapraszam pana na lunch – rzekł Bateman. – Jest pan pierwszą osobą, którą widzę od tygodnia. Zostanie pan?

– Z przyjemnością.

– Południowiec, zgadza się?

– Ze Wschodniego Teksasu.

– A więc ze Wschodu. Przepraszam za tę pomyłkę. – Bateman cmoknął i ruszył w stronę płótna, nijakiego akwarelowego pejzażu przedstawiającego fragment lasu rozciągającego się przy szosie.

– Na pana miejscu nie siadałbym na tym stołku.

– Kurde, pewno że nie. Wcale nie zamierzałem...

Zmienił kierunek i pomaszerował ku niewielkiej polance nieopodal. Stu zauważył, że w cieniu stała tam pomarańczowo-biała chłodziarka nakryta czymś, co wyglądało jak starannie złożony biały obrus. Kiedy Bateman go rozłożył, Stu stwierdził, iż faktycznie był to obrus.

– Z kościoła baptystów w Woodsville – wyjaśnił Batesman. – Zabrałem go z ołtarza. Wątpię, aby baptyści mogli go jeszcze potrzebować. Jezus wezwał ich wszystkich do siebie. No, może nie wszystkich, ale tych z Woodsville na pewno. Teraz są naprawdę zjednoczeni w Chrystusie. Choć wydaje mi się, że baptyści będą odrobinę zawiedzeni niebem. Chyba że szefostwo załatwi im tam telewizję – czy raczej powinienem powiedzieć – rajowizję, żeby

mogli oglądać Jerry'ego Fulwella i Jacka van Impe'a. To co mamy tutaj to stare, pogańskie jednoczenie się z naturą. Kojak nie włożył z łapami na obrus. Kontroluj się, nie zapominaj, czego cię uczyłem. Opanowanie to podstawa. Grunt to samokontrola. Przejdziemy na drugą stronę szosy, aby się trochę odświeżyć, panie Redman?

– Mów mi Stu.

– W porządku, Stu.

Przeszli przez szosę, zeszli po zboczach i umyli się w czystej, chłodnej wodzie. Stu był szczęśliwy. Czuł, że tak miało być, że nie bez przyczyny spotkał tu tego człowieka. Kojak wskoczył do wody, po czym popędził w las, ujadając radośnie. Spłoszył bażanta. Stu patrzył, jak ptak z głośnym trzepotem wzbija się w górę z gęstwiny krzewów i nagle, z pewnym zdziwieniem pomyślał sobie, że może jednak wszystko będzie w porządku. Nie wiedział, jakim cudem miałyby się tak zdarzyć. Po prostu miał nadzieję.

Kawior mu nie smakował – przypominał oślizłą, zimną rybią galaretę, lecz Bateman miał również pepperoni, salami, dwie puszki sardynek, kilka lekko przejrziałych jabłek i duże pudełko figowych baloników Keeblera. Te ostatnie, jak stwierdził Bateman, doskonale robiły na żołądek. Stu, odkąd opuścił Stovington nie narzekał na dolegliwości gastryczne, niemniej lubił je i zjadł aż sześć batoników. Właściwie zjadł większość wszystkiego.

Podczas posiłku, składającego się w dużej mierze z sardynek, Bateman wyjawiał Stu, że był asystentem profesora socjologii w college'u w Woodsville. Woodsville, stwierdził, to nieduże miasteczko (słynące z college'u i czterech stacji benzynowych, jak wyjaśnił Redmanowi) leżące sześć mil dalej, wzdłuż szosy. Jego żona zmarła przed dziesięcioma laty. Nie mieli dzieci. Większość kolegów miała go w nosie i nastawienie to działało w obie strony.

– Uważali mnie za wariata – powiedział. – Co prawda wiele wskazywałoby, że mieli rację, to jednak nie powinno w żaden sposób wpływać na nasze wzajemne stosunki.

Epidemii supergrypy przyjął ze stoickim spokojem, gdyż, jak stwierdził, mógł nareszcie przejść na emeryturę i zacząć malować, czego zawsze pragnął.

Podzielił deser, placek z owocami, i podał Stu jego połówkę na papierowym talerzyku, po czym powiedział:

– Fatalny ze mnie malarz. Naprawdę okropny. Ja jednak mówię sobie, że w lipcu tego roku nie ma na tej ziemi lepszego malarza pejzażysty niż Glendon Pequod Bateman, absolwent akademicki, magister dyplomowany i asystent na uczelni. Może to niewiele, ale moje ego łechce należycie.

– Czy Kojak należał wcześniej do pana?

– Nie. Przyznasz sam, to raczej zdumiewający zbieg okoliczności, nieprawdaż? Wydaje mi się, że poprzedni właściciel Kojaka mieszkał na drugim końcu miasta. Widywałem go

czasami, ale skoro nie wiedziałem, jak naprawdę się wabi, postanowiłem go ochrzcić po swojemu. Jemu to chyba obojętne. Wybacz na chwilę, Stu.

Przeszedł przez drogę i po chwili Stu usłyszał, jak wchodzi do wody. Niebawem wrócił; obie nogawki spodni miał podwinięte do kolan. W dłoniach trzymał dwa ociekające wodą sześciopaki piwa marki Narragansett.

– Tym powinniśmy popijać posiłek. Głupiec ze mnie.

– Równie dobrze możemy teraz przepłukać gardła – rzucił Stu, odrywając jedną z puszek.
– Dzięki.

Otworzyli je. Bateman uniósł puszkę do ust.

– Za nas, Stu. Obyśmy mieli przed sobą same szczęśliwe dni, spokój wewnętrzny i niewiele, albo nawet wcale bólu w krzyżu.

– Amen.

Stuknęli się puszkami i wypili. Stu pomyślał, że nigdy jeszcze piwo nie smakowało mu tak jak teraz i zapewne wrażenie to nigdy już się nie powtórzy.

– Jesteś bardzo małowówny – rzekł Bateman. – Mam nadzieję, że nie odnosisz wrażenia, jakbym tańczył na grobie całego świata, czy coś w tym rodzaju.

– Nie – odparł Stu.

– Przyznaję, nie byłem wobec świata przychylnie nastawiony. W ostatnim ćwierćwieczu wydawał mi się on równie ponętny, jak osiemdziesięcioletni ramol umierający na raka dwunastnicy. Mówią, że ludzi Zachodu z końcem stulecia – z końcem każdego wieku – ogarnia ogólne przygnębienie i chandra. Opatulamy się w całuny i szwendamy bez celu, nawołując grobowym głosem „O nieszczęsne Jeruzalem...” czy raczej w tym przypadku... „O nieszczęsne Cleveland!”. W drugiej połowie piętnastego stulecia pojawiła się „tańcząca choroba”, pod koniec czternastego Czarny Mór, dzuma. Pod koniec siedemnastego wieku szalał koklusz, a na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego miały miejsce pierwsze epidemie grypy. Tak do niej przywykliśmy – wydaje się nam równie pospolita, jak byłe angina czy przeziębienie, nieprawdaż? – że nikt, chyba prócz historyków nie wie, że choroba ta przed stu z górą laty w ogóle nie istniała.

W ostatnich trzech dekadach każdego z minionych stuleci pojawiali się fanatycy religijni usiłujący przekonać nas, że nadchodzi dzień Armageddonu. Naturalnie ludzie ci istnieli od zawsze, jednak pod koniec stulecia ich liczba wyraźnie się zwiększa... i całe rzesze ludzi traktują ich poważnie. Pojawiają się potwory. Hun Attyla, Dżyngis Chan, Kuba Rozpruwacz, Lizzie Borden. W naszych czasach Charles Manson, Richard Speck, Ted Bundy i wielu, wielu innych. Moi bardziej uczeni koledzy wysnuli teorię, że człowiek Zachodu potrzebuje od czasu do czasu silnej ekspiacji, oczyszczenia, i ma to właśnie miejsce na przełomie wieków, by mógł on stawić czoła nowemu stuleciu nieskalany i pełen optymizmu. W tym przypadku zaserwowano nam superenemę, ale i okazja jest znacznie wznioślejsza. Wszak stoimy u progu nowego milenium.

Bateman przerwał. Zamyślił się.

– Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że FAKTYCZNIE tańczę na grobie świata. Jeszcze piwa?

Stu wziął puszkę i zastanowił się nad słowami Batemana.

– Właściwie to nie jest koniec – rzekł po chwili. – A przynajmniej tak mi się zdaje. To jedynie... antrakt.

– Trafne porównanie. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wrócę do mego landszaftu.

– Śmiało.

– Widziałeś jeszcze jakieś psy? – zapytał Bateman, gdy ujrzał radośnie gnającego w ich stronę Kojaka.

– Nie.

– Ja również. Prócz ciebie nie spotkałem nikogo, ale Kojak wydaje się być jedynym w swoim rodzaju.

– Skoro on żyje, będą również inne.

– Niezbyt naukowa teza – zaproponował łagodnie Bateman. – Co z ciebie za Amerykanin? Pokaż mi drugiego psa – albo lepiej sukę – a zgodzę się z twoją tezą, że gdzieś tam może żyć jeszcze trzeci. Ale wysnuwać z faktu istnienia jednego obecność drugiego psa... Nie, to do mnie nie przemawia.

– Widziałem krowy – rzekł z zamyśleniem Stu.

– Krowy tak. I jelenie. Ale wszystkie konie wyzdychały.

– Masz rację – potaknął Stu. Podczas swego marszu widział kilka padłych koni. Parę razy natknął się na krowy pasące się obok obrzmiałych ciał koni, stojące do nich pod wiatr. – Ale dlaczego miałyby tak być?

– Nie wiem. Oddychamy praktycznie tak samo, a supergrypa to przecież zasadniczo choroba dróg oddechowych. Zastanawiam się, czy w grę nie wchodzi jakiś inny czynnik. Ludzie, psy i konie są podatni na tę zarazę. Jelenie i krowy nie. Szczury też jakby na moment wywiało, ale chyba znowu wracają. – Bateman machinalnie mieszał farbę na palcu. – Wszędzie są koty, aż się od nich roi, owadów też nie ubyło. Oczywiście drobne faux pas popełnione przez ludzkość rzadko kiedy ma na nie jakiś wpływ, a myśl o zarażonym komarze roznoszącym supergrypę jest zbyt absurdalna, by ją rozważać. To wszystko nie ma sensu. To czysty obłąd.

– Bez wątpienia – potaknął Stu, otwierając kolejne piwo. Przyjemnie szumiało mu w głowie.

– Chyba przyjdzie nam być świadkami ciekawych zmian w ekologii – rzekł Bateman. Popelnił fatalny błąd, próbując nanieść na landszaft wizerunek Kojaka. – Okaże się, czy homo sapiens zdoła podźwignąć się z tego upadku, niemniej możemy zebrać się do kupy i przynajmniej spróbować. Czy jednak Kojak znajdzie dla siebie sukę? Czy kiedykolwiek zostanie dumnym tatą?

– Jezu, raczej śmiem wątpić.

Bateman wstał, odłożył paletę na stołek i wziął sobie kolejne piwo.

– Chyba masz rację – mruknął. – Prawdopodobnie są gdzieś inni ludzie, inne psy, inne konie. Jednak większość tych zwierząt padnie bezpotomnie. Całkiem możliwe, że niektóre ze zwierząt z zagrożonych gatunków były brzemiennie, gdy nadeszła zaraza. Nawet teraz w Stanach mogą żyć całe dziesiątki kobiet, którym, wybaczyć to porównanie – piecze się ciasto w piekarniku. Mimo to pewne gatunki zwierząt będą musiały bezpowrotnie wymrzeć. Jeśli wymrą psy, jelenie, które wydają się uodpornione, zaczną się gwałtownie rozmnażać.

Ludzi z pewnością pozostanie zbyt mało, by mogli utrzymać w ryzach ich populację. Na kilka lat możemy zapomnieć o otwarciach sezonu łowieckiego.

– Cóż – mruknął Stu – nadwyżka jeleni po prostu wymrze z głodu.

– Nieprawda. Ani nie wymrą wszystkie ponadwymiarowe sztuki, ani nawet większość z nich. A przynajmniej nie tutaj. Nie wiem jak będzie wyglądać ta sytuacja we Wschodnim Teksasie, ale w Nowej Anglii przed wybuchem epidemii mieliśmy mnóstwo ogrodów i były one starannie utrzymane. W tym roku i w następnym jeleniom pożywienia nie zabraknie. Później zaś ogrodowa flora zacznie się dziko rozrastać. Przez co najmniej siedem lat jelenie nie powinny odczuwać głodu. Jeśli wrócisz tu za parę lat, będziesz przepychać się łokciami pośród stad jeleni, aby dostać się do szosy.

Stu zamyślił się nad tą teorią.

– Nie przesadza pan? – zapytał w końcu.

– Na pewno nie celowo. Możliwe, że nie wziąłem pod uwagę jakichś czynników, ale szczerze mówiąc, raczej w to wątpię. Zastanówmy się nad moją hipotezą o wpływie na populację jeleni i na związki między innymi gatunkami całkowitej lub prawie całkowitej zagłady populacji psów. Koty mnożą się na potęgę. Co to oznacza? Wspomniałem już, jakoby szczury również ginęły, lecz ostatnio znowu wracają. Jeśli kotów będzie dość, ta sytuacja może się diametralnie zmienić. Początkowo wydawało mi się, że świat bez szczurów to idealne miejsce, jednak nie wiem, czy jest się z czego cieszyć.

– Co chciałeś powiedzieć, mówiąc, że nie wiadomo jeszcze, czy ludzkość zdoła podźwignąć się z tego upadku?

– Możliwości są dwie – odrzekł Bateman. – W każdym razie ja widzę teraz dwie. Pierwsze, że dzieci mogą nie być uodpornione.

– To znaczy, że będą umierać zaraz po przyjściu na świat?

– Tak, lub jeszcze *in utero*. I mniej prawdopodobne, lecz również możliwe, że supergrypa uczyniła tych, którzy ocaleli, bezpłodnymi.

– To szaleństwo... – wyszeptał Stu.

– Mumps także – odparł oschle Bateman.

– Jeśli jednak matki dzieci, tych co są... *in utero*... jeśli matki są uodpornione...

– Tak, w niektórych przypadkach odporność przejdzie z matki na dziecko, podobnie jak to miało miejsce u osób zarażonych. Ale nie zawsze. Nie można być tego pewnym. Wydaje mi się, że przyszłość dzieci, które dopiero mają się narodzić jest co najmniej niepewna. Ich matki są co prawda uodpornione, ale ze statystycznego prawdopodobieństwa wynika, że większość ojców okazała się podatna na chorobę i mężczyźni ci już nie żyją.

– Jaka jest druga ewentualność?

– Że możemy sami dokończyć dzieła zagłady naszego gatunku – odrzekł ze spokojem Bateman. – W gruncie rzeczy wydaje mi się to całkiem możliwe. Nie od razu, ponieważ jesteśmy zbyt rozproszeni. Niemniej człowiek jest zwierzęciem społecznym, stadnym, i zbierze się w końcu w gromadę, choćby tylko po to, by wymieniać z innymi opowieści o tym, jak udało mu się przeżyć wielką plagę lat dziewięćdziesiątych. Większość tych społeczności będzie zarządzana przez prymitywną dyktaturę, małych Cezarów, no, chyba że się nam bardzo poszczęści. Pojawi się też zapewne kilka oświeconych, demokratycznych komun, a powiem ci, czego takie społeczności na przełomie XX wieku potrzebują najbardziej – techników, elektryków, którzy będą potrafili przywrócić ludziom światło. To jest do zrobienia. Powiem więcej, to nie jest szczególnie trudne. Nie doszło przecież do wojny atomowej, która obróciłaby wszystko, w tym także elektrownie w perzynę. Maszyny są nadal sprawne i czekają na kogoś, kto będzie wiedział jak je uruchomić, jak je konserwować i jak o nie dbać. Pozostaje pytanie, ilu spośród ocalonych zna się na technologii, którą przyjmowaliśmy zwykle jako coś zgoła naturalnego.

Stu upił łyk piwa.

– Tak sądzisz?

– Właśnie tak. – Bateman również pociągnął z puszki i wychyliwszy się do przodu, uśmiechnął się blado do Stu. – Pozwoli pan, panie Stuarcie Redman ze Wschodniego Teksasu, że przedstawię mu teraz pewną hipotetyczną sytuację. Przypuśćmy, że mamy dwie społeczności, A w Bostonie i B w Utica. Wiedzą o sobie wzajemnie, a także o warunkach, jakie w nich panują. Społeczność A na Beacon Hill żyje jak pączki w maśle, bo jeden z ich członków okazał się być elektrykiem, na dodatek dobrym fachowcem. Ten facet zna się na rzeczy, na tyle, że potrafił uruchomić elektrownię obsługującą Beacon Hill. Sprawa polega głównie na tym, żeby wiedzieć, które przełączniki przekręcić po tym, jak w elektrowni automatycznie powyłaczały się wszystkie maszyny. Jeśli się je uruchomi, działają praktycznie rzecz biorąc automatycznie. Mechanik może nauczyć innych członków społeczności A, które dźwignie mają przestawiać i które wskaźniki powinni obserwować. Turbiny działają na ropę, której jest obecnie w bród, bo wszyscy użytkownicy paliw płynnych gryzą ziemię. Tak więc Boston ma prąd. Ma ogrzewanie, by przetrwać najcięższe chłody, światło by móc czytać po nocach, działają lodówki, dzięki czemu możesz zmrozić szkocką lodem, jak przystało na cywilizowanego człowieka. W gruncie rzeczy życie w tym mieście staje się idyllą. Nie ma skażenia powietrza. Narkotyków. Nienawiści rasowych. Żadnych niedoborów. Nie ma

problemów z pieniędzmi ani wymianą towarów, bo wszystko jest ogólnie dostępne, a towarów jest dość, by wyżywić to zdziesiątkowane społeczeństwo przez następne trzy pokolenia. Z socjologicznego punktu widzenia grupa taka stałaby się komuną. Nie byłoby w niej przywódców-dyktatorów, bo nie byłoby warunków do ich pojawienia się. Ludzie tacy pojawiają się w społecznościach, gdzie nie są zaspokajane podstawowe potrzeby, gdzie króluje niepewność i prywata. Tam ich nie ma. Bostonem ostatecznie będzie zapewne władac rząd na zasadzie zgromadzeń ogólnych wszystkich jego obywateli.

Wyobraź sobie jednak społeczność B w Utice. Nie ma tam kto uruchomić elektrowni. Wszyscy technicy nie żyją. Nauczenie się od początku zasad działania maszyn zajmie im dużo czasu. Tymczasem nocami zaczynają marznąć (nadchodzi zima), wyjadają pokarm z puszek, są żalosi i w kiepskim stanie. Pojawia się silny osobnik, który staje na ich czele. Pozostali cieszą się, że mają takiego przywódcę, gdyż są zziębnięci, chorzy i zdezorientowani. Niech ON podejmuje decyzje. I ON rzecz jasna robi to. Wysyła kogoś do Bostonu z żądaniami. Potrzebują technika, który uruchomiłby elektrownię w Utica. Alternatywą jest dla nich długa i niebezpieczna wędrówka na południe, gdzie mogliby przeczekać zimę. Co robi społeczność A, spotkawszy się z takimi żądaniami?

– Wysyłają im tego fachowca? – rzucił Stu.

– Na rany Chrystusa, nie! Możliwe, że przetrzymują go w swojej komunie bez jego zgody, choć to raczej mało prawdopodobne. W tym postapokaliptycznym świecie wiedza i umiejętności technologiczne są zaiste na wagę złota. W tych kategoriach społeczność A jest zamożna, podczas gdy B uboga. Co wobec tego czyni społeczność B?

– Wydaje mi się, że rusza na południe – mruknął Stu i uśmiechnął się. – Możliwe, że do Wschodniego Teksasu.

– Być może. Lub w innej wersji grozi ludziom z Bostonu odpaleniem rakiety z ładunkiem nuklearnym.

– Racja – rzekł Stu. – Nie umieją uruchomić elektrowni, ale będą potrafili odpalić raketę w sam środek miasta pokoju i dobrobytu.

– Ja ze swej strony nie zawracałbym sobie głowy raketą jako taką – poprawił Bateman. – Spróbowałbym natomiast wymontować z niej głowicę i przewieźć ją wozem do Bostonu. Sądziś, że to mogłoby się udać?

– Nie mam pojęcia.

– Nawet gdyby okazało się to niemożliwe, wszędzie dokoła jest mnóstwo konwencjonalnej broni. W tym sęk. Cały ten szmelc leży dokoła i tylko czeka, by go podnieść. Gdyby społeczności A i B miały każde swojego technika, konflikt nuklearny dotyczyłby zapewne kwestii religijnych, terytorialnych lub ideologicznych. Pomyśl tylko, zamiast sześciu lub siedmiu mocarstw nuklearnych na świecie, pojawi się ich w samym sercu Stanów Zjednoczonych sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt. Jestem pewien, że w innej sytuacji walka toczyłaby się na kamienie i maczugi. Niestety rzeczywistość jest taka, że starzy, dobrzy

żołnierze powymierali, lecz pozostawili nam w spadku swoje zabawki. Strach o tym myśleć, zwłaszcza po tym potwornym koszmarze, który się właśnie rozegrał... lecz obawiam się, że to całkiem prawdopodobne.

Obaj mężczyźni zamilkli. Z lasu dobiegało ujadanie Kojaka, a czas płynął nieubłaganie. Nadeszło popołudnie.

– Wiesz – rzekł w końcu Bateman. – W gruncie rzeczy jestem człowiekiem wesołym i pogodnym. Może dlatego, że mam obniżony próg satysfakcji. Dzięki niemu tak wiele osób mnie nie znosiło. Zdarza mi się popełniać błędy, jak sam miałeś okazję usłyszeć, za dużo gadam, a do tego fatalnie maluję i nigdy nie trzymały się mnie pieniądze. Bywało, że trzy dni przed wypłatą jadłem tylko kanapki z masłem orzechowym, bo nie stać mnie było na nic innego. Poza tym w Woodsville co jakiś czas otwierałem konto oszczędnościowe, by zlikwidować je po tygodniu lub dwóch. Ale wiesz co, Stu, nigdy się nie poddałem. Nigdy się nie załamalem. Pogodny ekscentryk, oto cały ja. Jediną plagą mego życia są sny. Od dzieciństwa miewałem sny zdumiewająco wręcz wyraziste i realistyczne. Wiele było wśród nich koszmarów. Gdy byłem dzieckiem, śniło mi się, że czyhający pod mostem troll łapie mnie nagle za kostkę, albo że czarownica przemienia mnie w ptaka... Otwierałem usta do krzyku, ale dobywało się z nich tylko ochryple krakanie. A ty, Stu? Czy ty również miewasz koszmary?

– Czasami – odparł Stu, myśląc o Elderze. O tym, jak szedł za nim w tych koszmarach, wlokąc się noga za nogą przez labirynt nie kończących się korytarzy, wypełnionych osobliwym echem i zimnym, białym światłem neonówek.

– A zatem wiesz, jak jest. Będąc nastolatkiem, miewałem regularnie sny o podtekście erotycznym, takie, które kończyły się polucją i fantazje bez wytrysku, w których towarzysząca mi dziewczyna zmieniała się w ropuchę, węża, a nawet rozkładającego się trupa. W miarę upływu lat miewałem sny o upadkach, niepowodzeniach, starzeniu się, samobójstwie i przerażającej śmierci w wypadku. Jakiś czas temu śniło mi się, że zgniata mnie na miazgę podnośnik na stacji benzynowej. Podejrzewam, że to pewna odmiana snu o moście i trollu. W gruncie rzeczy wierzę, że tego typu sny są prostym psychologicznym emetykiem, zaś miewający je ludzie powinni raczej cieszyć się niż niepokoić z ich powodu.

– Jeśli to z siebie wyrzucisz, nie będzie narastać.

– Otóż to. Jest całe mnóstwo interpretacji marzeń sennych, wśród nich najbardziej znane teorie Freudowskie, ja jednakże zawsze wierzyłem, że pełnią one prostą funkcję eliminacyjną, za ich sprawą nasza jaźń wydalą z siebie to, co nie jest jej potrzebne. Takie psychiczne wyrzucanie śmieci. Ludzie zaś, którzy nie śnią, a przynajmniej nie pamiętają sennych wizji po przebudzeniu są w pewien sposób upośledzeni. Bądź co bądź jedyną wymierną nagrodą za przeżyty koszmar jest przebudzenie się ze świadomością, iż był to tylko sen.

Stu uśmiechnął się.

– Niestety ostatnio zaczął nawiedzać mnie wyjątkowo upiorny koszmar. Powraca, jak sen o zgniataniu przez podnośnik, ale w porównaniu z nim, ten ostatni jest zgoła przyjemny. Nie przypomina żadnego snu, jaki miałem kiedykolwiek, ale w pewnym sensie jest jak one wszystkie razem wzięte. Zupełnie jakby... był sumą wszystkich moich sennych koszmarów. Budzę się potem w fatalnym stanie, jakby to, czego doświadczyłem nie było snem, lecz jakąś wizją. Wiem, że to musi brzmieć idiotycznie.

– Co widzisz w tym śnie?

– Mężczyznę – odrzekł półgłosem Bateman. – A przynajmniej wydaje mi się, że to jest człowiek. Stoi na dachu wysokiego budynku, czy może raczej na szczycie skały. Cokolwiek to jest, jest tak wysokie, że podstawa niknie pośród mgieł, tysiące mil poniżej. Nadchodzi zmierzch, lecz ten mężczyzna patrzy w przeciwnym kierunku, na wschód. Czasami wydaje się jakby miał na sobie dżinsowe spodnie i bluzę, zwykle jednak widzę go ubranego w powłóczystą szatę z kapturem. Nigdy nie udało mi się dojrzeć jego twarzy. Widziałem tylko jego oczy. Były czerwone. Co więcej, odniosłem wrażenie, że on mnie szuka i że prędzej czy później odnajdzie mnie, lub też ja będę zmuszony udać się do niego... i że przypłacę to życiem. Wtedy chce mi się krzyczeć i... – urwał z lekkim, pełnym zakłopotania wzruszeniem ramion.

– I budzisz się?

– Tak.

Obaj patrzyli na zbliżającego się Kojaka. Bateman pieszczotliwie poklepał psa po grzbiecie, podczas gdy Kojak opuściwszy łeb wymiół z aluminiowej miski resztki placka.

– Cóż... przypuszczam, że to tylko zły sen – mruknął Bateman. Wstał i skrzywił się, gdy strzeliło mu głośno w obu kolanach. – Podejrzewam, że psychoanalityk odkryłby w moim śnie wyraz podświadomego lęku przed jakimś przywódcą lub przywódcami, którzy rozpoczną cały ten cyrk od początku. A może strach przed technologią w ogóle. Bo wierzę, że wszystkie nowe społeczności, kiedy już powstaną (przynajmniej w świecie Zachodu), będą opierać się przede wszystkim na technologii. Szkoda, nie musiało tak być, teraz jednak nie mamy innego wyboru. Ci ludzie nie będą pamiętać (lub nie będą CHCIELI pamiętać) stanu, do jakiego doprowadziliśmy tę planetę. Brudnej wody w rzekach, uszkodzonej powłoki ozonowej, bomby atomowej, skażenia atmosfery. Będą jedynie pamiętać, że kiedyś mogli ogrzewać się do woli w mroźne, zimowe noce i nie kosztowało ich to wiele wysiłku. Ale widzisz, spośród innych moich ułomności, jestem również ludytą. A ten sen... ten koszmar, Stu... on na mnie żeruje.

Stu nie odezwał się słowem.

– Chyba pora mi już wracać – rzekł pospiesznie Bateman. – Jestem lekko pijany, a wszystko wskazuje, że dziś po południu lunie jak z cebra.

Przeszedł na drugi koniec polany i zaczął coś tam zbierać. Po chwili wrócił, pchając przed sobą taczkę. Obniżył stołek do maksimum, włożył na taczkę, położył obok paletę, chłodziarkę i na wierzch swój kiczowaty landszaft.

– Pchałeś ją taki kawał drogi? – zapytał Stu.

– Pchałem, dopóki nie ujrzałem czegoś, co zapragnąłem namalować. Każdego dnia wybieram inne miejsce. To dobre ćwiczenie. Skoro zmierzasz na wschód, może wdepniesz do Woodsville i spędzisz noc u mnie? Możemy pchać taczkę na zmianę, a w strumieniu chłodzi się jeszcze jeden sześciopak piwa. Nie będzie się nam nudziło po drodze.

– Zgoda – rzekł krótko Stu.

– Świetnie. Ja pewnie będę przez całą drogę nawijał. Masz przed sobą Profesora Gadulę, Tekszańczyku. Kiedy zacznę cię nudzić, każ mi się po prostu zamknąć. Nie obrażę się.

– Lubię słuchać – odparł Stu.

– Zatem jesteś jednym z wybrańców Boga. Chodźmy.

I ruszyli wzdłuż US 302, jeden pchał taczkę, a drugi popijał piwo. Niezależnie od wykonywanej akurata czynności Bateman gadał jak najęty, prowadząc nie kończący się monolog i nad wyraz płynnie przeskakując z tematu na temat. Kojak biegł obok nich. Stu przez pewien czas słuchał wywodów Batemana, lecz w końcu skoncentrował się na własnych rozważaniach. Zaniepokoiła go przedstawiona przez Batemana wizja dziesiątek niewielkich enklaw, w których miały zgromadzić się niedobitki ludności, w tym także militarystów i potencjalnych samozwańczych dyktatorów w kraju, gdzie niemal na każdym kroku, jak na rozrzucone przez dziecko klocki można się było teraz natknąć na przeróżne rodzaje broni, narzędzia ostatecznej zagłady. Może to dziwne, lecz w myślach Stu raz po raz wracał do snu Glena Batemana.

Człowiek bez twarzy, stojący na szczycie wysokiego budynku – lub może skały, człowiek o czerwonych oczach, odwrócony plecami do kuli zachodzącego słońca i z niepokojem patrzący ku wschodowi.

Obudził się przed północą, zlany zimnym potem. Bał się, że przez sen mógł zacząć krzyczeć. Z sąsiedniego pokoju jednak dochodził powolny, regularny szept oddechu śpiącego Batemana, a w korytarzu, z łbem złożonym na przednich łapach drzemał spokojnie Kojak. W blasku srebrzystej, księżycowej poświaty wszystko wydawało się tak jasne, że nabierało wręcz surrealistycznego aspektu.

Po przebudzeniu Stu podparł się na łokciach, teraz zaś znów położył się na wilgotnym od potu prześcieradle i choć zakrył oczy ręką, nie chcąc przypomnieć sobie tego, co mu się przyśniło, nic nie mógł na to poradzić.

Znowu był w Stovington. Elder nie żył. Wszyscy byli martwi. Cały kompleks zmienił się w ogromny, rozbrzmiewający posępnymi echemi grobowiec. Prócz niego nie było tam nikogo żywego, a on nie umiał się stamtąd wydostać. Nie potrafił znaleźć wyjścia. Początkowo

usiłował zapanować nad ogarniającą go paniką. „Nie biegnij, idź” – powtarzał sobie raz po raz, lecz wkrótce mimo tych ostrzeżeń zaczął biec ile sił w nogach przed siebie. Szedł coraz szybciej i szybciej, a pragnienie, by obejrzeć się przez ramię i upewnić się, że nikt go nie ściga z każdym krokiem przybierało na sile.

Mijał zamknięte drzwi gabinetów z nazwiskami odcinającymi się czarnym drukiem na tafli mlecznego szkła. Przeszedł obok przewróconego metalowego wózka. Minął ciało pielęgniarki z białą spódnicą zadartą aż do połowy ud; miała poczerniałą, wykrzywioną w odrażającym grymasie twarz. Niewidzące oczy wlepiły się w roztaczające biały blask świetlówki na suficie.

W końcu zaczął biec.

Szybciej, coraz szybciej, drzwi przepływające obok i zostające w tyle. Jego stopy dudniące o linoleum. Pomarańczowe strzałki wyróżniające się wśród bieli ścian. Tablice. Z początku napisy na nich brzmiały sensownie: RADIOLOGIA, KORYTARZ B – LABORATORIA, WSTĘP TYLKO ZA OKAZANIEM PRZEPUSTKI. I nagle znalazł się w innej części kompleksu, części, której nie widział i nigdy nie miał ujrzeć. Farba na ścianach zniszczyła się i odpadała płatami. Niektóre ze świetlówek zgasły, inne brzęczały jak muchy usiłujące sforsować siatkę moskitiery. Szklane, mleczne tafle szyb w drzwiach kilku gabinetów były wybite i przez najeżone ostrymi, szklanymi jęczorami odrzwia można było ujrzeć potworne zniszczenia i ciała zastygłe w najróżniejszych, udrapowanych niepojętym bólem pozycjach. Wszędzie było mnóstwo krwi. Ci ludzie nie zmarli na gripę. Zostali zamordowani. Na ich ciałach ziały liczne rany klute i dziury po kulach oraz przerażające sińce i stłuczenia po uderzeniach tępymi przedmiotami. Oczy przeszkłone przez śmierć niemal wychodziły im z orbit.

Zjechał windą na dół i znalazł się w długim, ciemnym korytarzu o ścianach wyłożonych gładkimi kafelkami. Na jego drugim końcu znajdowały się kolejne gabinety, tu jednak drzwi pomalowane były na czarno, a strzałki na ścianach miały zjadliwie czerwony kolor. Świetlówki buczały i mrgały bez przerwy. Na tabliczkach pod strzałkami widniały napisy: DO MUZEUM URN KOBALTOWYCH, DO ZBROJOWNI LASEROWEJ, DO MAGAZYNU POCISKÓW SIDEWINDER, DO MAGAZYNU BRONI BIOLOGICZNEJ. I nagle, niemal szlochając, z ulgą ujrzał strzałkę skierowaną ku prawej odnodze korytarza. Ponad strzałką znajdowało się tylko jedno, jakże jednak zbawienne słowo – WYJŚCIE.

Skręcił za załom i zobaczył otwierające się przed nim drzwi. Za nimi rozciągał się mrok nocy przepelniony rzešką, aromatyczną wonią. Ruszył w kierunku drzwi i w tej samej chwili drogę zastąpił mu mężczyzna w dżinsowych spodniach i bluzie. Stu stanął jak wryty. Krzyk uwiązł mu w gardle jak wilgotny knebel. Gdy mężczyzna wszedł w krąg światła rzucanego przez migoczące świetlówki Stu stwierdził, że w miejscu, gdzie u tamtego mężczyzny powinna znajdować się twarz, ziała jedynie plama zimnej, bezdennej czerni, rozjarzonej

blaskiem dwojga nieludzkich, gorejących czerwonych ślepi. Bezdusznym, lecz z poczuciem humoru. Tak, w ich głębi migotały szaleńczo roztańczone iskierki.

Mroczny mężczyzna wyciągnął ku niemu ręce, a Stu spostrzegł, że ociekały krwią.

„Niebo i ziemia. – Z lodowatej, czarnej pustki, gdzie powinna znajdować się jego twarz popłynął łagodny szept: – Całe niebo i cała ziemia”.

Stu obudził się.

Kojak leżący w korytarzu stęknął z cicha i zaczął powarkiwać. Przez sen poruszał łapami, a Stu doszedł do wniosku, że nawet psy miewają sny. Śnienie było czymś zgoła naturalnym, podobnie jak zdarzający się od czasu do czasu koszmar.

Mimo to upłynęło sporo czasu, zanim ponownie zapadł w sen.

ROZDZIAŁ 38

Kiedy epidemia supergrypy wygasła, pojawiła się druga, trwająca z grubsza dwa tygodnie. Epidemia ta wystąpiła powszechnie w krajach wysoko uprzemysłowionych, takich jak Stany Zjednoczone, rzadziej zaś w państwach o niższym poziomie rozwoju technologicznego, jak Peru czy Senegal. W Stanach Zjednoczonych wtórna epidemia pochłonęła około szesnastu procent spośród ocalałych z zarazy. W krajach jak Peru i Senegal niecałe trzy procent. Druga epidemia nie miała nazwy, gdyż symptomy w każdym z poszczególnych przypadków były zróżnicowane. Socjolog, jak Glen Bateman, mógłby nazwać tę drugą epidemię „naturalną śmiercią” albo „podzwonnym dla ocalałych”. W sensie czysto darwinowskim było to zwyczajne dorzynieanie i ktoś mógłby pokusić się o stwierdzenie, że nie miało ono nic wspólnego z miłosierdziem.

Sam Tauber miał pięć i pół roczku. Jego matka zmarła dwudziestego czwartego czerwca w szpitalu w Murfreesboro w Georgii. Dzień później zmarli jego ojciec i młodsza, dwuletnia siostrzyczka April. Dwudziestego siódmego czerwca umarł jego starszy brat Mike, i w ten oto sposób Sam stracił całą rodzinę.

Od śmierci matki Sam był w stanie szoku. Błąkał się bez celu po ulicach Murfreesboro, jedząc kiedy czuł głód, a niekiedy popłakując. Po pewnym czasie przestał płakać, gdyż nic to nie dawało. Płacz nie przywrócił mu rodziców. Nocami nękały go przerażające koszmary, w których tato, April i Mike umierali raz po raz, ich twarze puchły i nabiegały czarną ropą, a potem rzeżąc upiornie, dławili się na śmierć własną flegmą.

Za kwadrans dziesiąta, rankiem drugiego lipca, Sam zawędrował na pole dzikich jeżyn za domem Hattie Reynolds. Uśmiechnięty, z błędnym wzrokiem krążył wśród jeżynowych krzewów, prawie dwa razy wyższych od niego, zbierając jagody i pałaszując je aż jego wargi i podbródek stały się prawie czarne. Kolce szarpały jego ubranie, czasami zadrapując też skórę, lecz on prawie nie zwracał na to uwagi. Wokół niego sennie brzęczały pszczoły. Nie zauważył starej, przegniłej pokrywy studni, na wpół ukrytej wśród wysokich traw i chwastów. Deski pękły pod jego ciężarem z przeciągłym, jęklwym trzaskiem, a Sam runął dwadzieścia stóp w dół kamiennego szybu, by wylądować na suchym dnie z połamanymi nogami. Zmarł

dwadzieścia godzin później, tyleż wskutek cierpienia i strachu, co wskutek szoku, głodu i odwodnienia organizmu.

Irma Fayette mieszkała w Lodi, w Kalifornii. Ta dwudziestosześcioletnia dziewczyna panicznie bała się gwałtu. Jej życie było jednym, nie kończącym się koszmarem, odkąd dwudziestego trzeciego czerwca w mieście pojawili się szabrownicy, a nie było już policji, która mogłaby się nimi zająć. Irma miała nieduży domek stojący w bocznej uliczce. Mieszkała w nim wraz z matką, póki ta nie zmarła na atak serca w 1985 roku. Kiedy zaczęło się rozkradanie dóbr, w okolicy rozległy się pierwsze strzały, a na ulicach zaroilo się od pijanych mężczyzn na motocyklach, Irma pozamykała wszystkie drzwi na cztery spusty i ukryła się w niedużym pokoiku w piwnicy. Od tej pory wychodziła na górę tylko po jedzenie, albo do ubikacji i zawsze starała się być cicho jak myszka.

Irma nie lubiła ludzi. Byłaby wielce szczęśliwa, gdyby wszyscy wymarli, a na Ziemi pozostała tylko ona sama. Jednak nie w tym rzecz. Nie dalej jak wczoraj, gdy już, już zaczęła ludzię się, że w Lodi nie pozostał nikt żywy prócz niej, ujrzała odrażającego, pijanego w sztok hipisa w podkoszulku z napisem RZUCIŁEM PICIE I SEKS I BYŁO TO NAJGORSZE DWADZIEŚCIA MINUT MOJEGO ŻYCIA, wałęsającego się po ulicy z butelczyną whisky w garści.

Miał długie, sięgające aż do ramion, jasne włosy wypływające spod baseballowej czapki. Za pasek dzinsów wcisnął pistolet. Irma zerknęła na niego zza uchylonej zasłony okna w sypialni, dopóki nie zniknął jej z oczu, a potem czmychnęła do swego zabarykadowanego pokoiku, jakby wyrwała się spod działania jakiegoś potężnego, złego czaru.

Nie wszyscy umarli. Skoro ten hipis przeżył, to z pewnością musieli być również inni. I będą mieli na nią ochotę.

Zgwałcą ją. Prędzej czy później odnajdą ją i zgwałcą.

Tego ranka, przed świtem zakradła się na poddasze, gdzie w kartonowych pudłach spoczywały niektóre rzeczy jej ojca. Był marynarzem floty handlowej. Porzucił matkę Irmy w końcu lat sześćdziesiątych. Matka Irmy opowiedziała jej o tym bez ogródek. Była szczerą aż do bólu. Jej ojciec był bestią, wciąż się upijał, a wówczas chciał ją zgwałcić. Jak oni wszyscy.

Wychodząc za mąż dajesz mężczyźnie prawo, by cię gwałcił, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Nawet w dzień. Matka Irmy podsumowywała odejście jej męża w dwóch słowach, którymi Irma kwitowała teraz śmierć prawie wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci na całej ziemi. „Niewielka strata”.

Większość pudeł zawierała tanie błyskotki przywiezione z zagranicznych portów, suweniry z Hongkongu, Sajgonu i Kopenhagi. Był tu także album ze zdjęciami. Większość z nich ukazywała jej ojca na pokładzie statku, czasami uśmiechał się do obiektywu, obejmując ramionami swoich niewyżytych kolegów, bestie w ludzkich skórkach. Cóż, prawdopodobnie zaraza zwana Kapitanem Tripsem dopadła go tam, dokąd uciekł. Niewielka strata.

Prócz albumu znajdowało się tu również drewniane pudełko ze złotymi, delikatnymi zawiasami. Wewnątrz był rewolwer, kaliber .45. Wnętrze skrzyneczki wyłożone było czerwonym aksamitem, a w schowku pod wyściółką znajdowało się kilka nabojów. Były zielonkawe, jakby omszałe, lecz Irma podejrzewała, że powinny wciąż być dobre. Kule wykonywano z metalu. Nie psuły się tak jak mleko czy ser.

Załadowała broń w świetle pojedynczej, obwieszanej pajęczynami żarówki, po czym zeszła z poddasza na dół, aby zjeść śniadanie przy stole, w kuchni. Odtąd nie będzie już kryć się w piwnicy jak mysz. Była uzbrojona. Niech gwałciciele mają się na baczości.

Po południu wyszła na ganek, aby poczytać książkę. Nosiła tytuł *Szatan mieszka na planecie Ziemia i ma się dobrze*. To była pasjonująca i przerażająca zarazem lektura. Grzesznicy i niewdzięcznicy dostali właśnie swój deser – dokładnie tak jak było napisane w książce. Wszyscy odeszli. Wszyscy, za wyjątkiem garstki hipisów-gwałcicieli, a z nimi, jak sądziła, powinna dać sobie radę. Miała broń. O drugiej długowłosa blondyn znowu się zjawił. Był tak pijany, że ledwie trzymał się na nogach. Na widok Armii rozpromienił się, zapewne uznał, że dopisało mu szczęście i oto znalazł sobie „dobrą dupę”.

– Hej mała! – zawołał. – Zostaliśmy tylko ty i ja! Od jak dawna...?

I nagle jego oblicze przepełnił wyraz przerażenia, bo Irma odłożyła książkę i uniosła broń.

– Ej, posłuchaj, odłóż to, dobra... ten rewolwer... czy jest nabity? Ej, ty!

Irma pociągnęła za spust. Broń eksplodowała, zabijając ją na miejscu.

Niewielka strata.

George McDougall mieszkał w Nyack, w stanie Nowy Jork. Uczył matematyki w tamtejszym liceum. Oboje z żoną byli praktykującymi katolikami, Harriett McDougall urodziła mu jedenastkę dzieci, dziewięciu chłopców i dwie dziewczynki. W ten oto sposób pomiędzy dwudziestym drugim czerwca, kiedy jego dziewięcioletni syn Jeff zmarł na – jak to określili lekarze – zapalenie płuc będące pochodną grypy, a dwudziestym dziewiątym czerwca, kiedy jego szesnastoletnia córka Patrycja (Boże, ona była taka młoda i taka piękna) skonała w mękach na chorobę określaną przez wszystkich – to znaczy tych, którzy jeszcze zostali – mianem Kapitan Trips, widział jak dwanaście najbliższych jego sercu osób odchodzi z tego świata, podczas gdy on był zdrowy i nic mu nie dolegało. W szkole żartował, że nie pamięta imion wszystkich swoich brzdąców, lecz kolejność w jakiej umierały na zawsze miała pozostać w jego pamięci. Dwudziestego drugiego czerwca Jeff, następnego dnia Marty i Helen, dwudziestego czwartego jego żona Harriett, Bill, George junior, Robert i Stan, dwudziestego piątego Richard, kolejnego dnia Danny, dwudziestego ósmego trzyletni Frank i na samym końcu Pat, Patrycja, która w ostatnim stadium choroby sprawiała wrażenie, że mimo wszystko oszuka śmierć.

George był bliski obłędu.

Przed dziesięcioma laty zaczął uprawiać jogging. Zalecił mu to lekarz. Nie grał w tenisa ani w szczypiorniaka, płacił dzieciakowi (jednemu ze swoich, ma się rozumieć), aby skosił trawnik, a po chleb nawet do piekarni na rogu jeździł samochodem. „Zaczynasz ostro tyć – oznajmił mu doktor Warner. – Prowadzisz siedzący tryb życia. To szkodzi twojemu sercu. Pobiegałbyś trochę”.

Kupił więc dresy i biegał regularnie każdego wieczora, początkowo na krótkich dystansach, lecz stopniowo starał się je wydłużać. Był bardzo pewny siebie, choć wydawało mu się, że na jego widok sąsiedzi muszą pukać się w czoło i wywracać oczami, lecz ku swemu zdumieniu wkrótce odwiedziło go kilku mężczyzn, których znał tylko z widzenia – kłaniał się im, gdy podlewali trawniki przed domami – i zapytali, czy mogliby się przyłączyć. Widać nie ma to jak bieganie w grupach. W tym czasie George’owi towarzyszyło już dwóch najstarszych synów. Wkrótce jogging stał się w tej okolicy najpopularniejszym sportem i choć jedni rezygnowali, na ich miejsce przychodzili zaraz następni, toteż bieganie popularne było przez wiele lat.

Teraz, kiedy wszyscy inni odeszli, on wciąż kontynuował starą tradycję. Biegał każdego dnia. Po kilka godzin. Tylko podczas joggingu, koncentrując się wyłącznie na tupocie własnych stóp, mechanicznych ruchach ramion i regularnym oddychaniu, potrafił odegnać od siebie wrażenie narastającego z każdym dniem szaleństwa.

Nie mógł popełnić samobójstwa, gdyż jako praktykujący katolik wierzył, że jest ono grzechem śmiertelnym. Czuł poza tym, że Bóg pozwolił mu żyć w jakimś ściśle określonym celu, więc regularnie uprawiał jogging. Wczoraj biegał przez prawie sześć godzin, póki całkiem nie opadł z sił i zdyszany omal nie zwymiotował z wycieńczenia. Miał pięćdziesiąt jeden lat, nie był już młodzieniaszkiem i choć czuł, że nadmierny wysiłek nie wychodzi mu na zdrowie, nie potrafił wymyślić nic innego, co miałyby równie zbawienny wpływ.

Tak więc wstał dziś wczesnie rano, gdyż w nocy prawie nie zmrużył oka; prawie całą noc w jego głowie kołatała się jedna tylko myśl: Jeff-Marty-Helen-Harriett-Bill-George-junior-Robert-Stanley-Richard-Danny-Frank-Patty-a-już-myślałem-że-z-tego-wyjdzie. Nałożył dres, wyszedł na ulicę i zaczął biec. Biegł opustoszałymi ulicami Nyack, czasami słysząc i czując pod podeszwami tenisówek kruszące się rozbite szkło (raz musiał nawet przeskoczyć ponad leżącym na chodniku roztrzaskanym telewizorem), mijając willowe domki z zaciągniętymi żaluzjami w oknach i miejsce potwornej kolizji trzech samochodów na skrzyżowaniu Main Street.

Początkowo biegł truchtem, lecz by zostawić w tyle uciążliwe myśli musiał przyspieszyć kroku. Z truchtu przeszedł w lekki bieg, a potem w sprint i pognał naprawdę jak szalony. Mogło się wydawać, że tego pięćdziesięcioletniego siwowłosego mężczyznę w szarym dresie i białych tenisówkach ściga cała horda diabłów z piekła rodem. Za kwadrans jedenasta doznał rozległego zawału serca i padł trupem na rogu Oak i Pine, tuż obok ulicznego hydrantu. Na jego twarzy malował się wyraz nieziemskiej wręcz wdzięczności.

Pani Eileen Drummond z Clewiston na Florydzie po południu drugiego lipca upiła się w sztok likierem miętowym DeKuyper. Chciała się upić, bo po pijanemu zapominała o swojej rodzinie, a likier miętowy był jedynym alkoholem, jaki przyjmowała. Dzień wcześniej w pokoju swej szesnastoletniej córki znalazła woreczek z marihuaną, którą niemal natychmiast wypaliła, lecz trawa tylko wszystko pogorszyła. Przez całe popołudnie Eileen siedziała w saloniku, napalona, szlochając jak bóbr nad albumem z fotografiami.

Dlatego dziś po południu wypiła całą butelkę likieru miętowego, a potem zrobiło się jej niedobrze. W łazience porządnie się wyrzygała, później zaś położyła się do łóżka, zapaliła papierosa i zasnęła. Pożar wzniesiony przez upuszczony niedopałek strawił cały dom i panią Drummond, która nie musiała się już odtąd niczym przejmować. Zerwał się silny wiatr, przenosząc ogień na sąsiednie domy. W sumie wskutek pożaru spłonęło prawie całe Clewiston. Niewielka strata.

Arthur Stimson mieszkał w Reno, w Nevadzie. Po południu dwudziestego dziewiątego, po kąpieli w jeziorze Tahoe nastąpił na zardzewiały gwóźdź. Rana zaczęła się paskudzić. Wdała się gangrena. Po nieprzyjemnej woni zorientował się, że sprawa jest poważna i próbował amputować sobie stopę. W połowie operacji zemdłał i zmarł wskutek szoku oraz utraty krwi w holu kasyna Toby'ego Harraha, gdzie podjął ową nieszczęsną próbę odjęcia sobie kończyny.

W Swanville w Maine dziesięcioletnia dziewczynka Candice Moran, spadła z roweru i zmarła wskutek pęknięcia czaszki.

Milton Craslow, ranczer z Herding County w Nowym Meksyku został ukąszony przez grzechotnika i w pół godziny później skonał.

W Milltown w Kentucky rozgrywające się wydarzenia w znacznej mierze ucieszyły Judy Horton. Judy miała siedemnaście lat i była bardzo ładna. Przed dwoma laty popełniła dwa poważne błędy – zaszła w ciążę i dała się namówić rodzicom, aby poślubiła sprawcę tego nieszczęścia, „czterookiego” studencika ze stanowej politechniki. Miała wtedy piętnaście lat i pochlebiało jej, że student inżynierii (choć dopiero na pierwszym roku) zaprosił ją na randkę. Co ją podkusiło, że pozwoliła temu Waldo – Waldo Horton, ależ imię, rety! – aby zrobił z nią co chce. Oboje kibicowali drużynie futbolowej Milltown High (Kuguarom z Milltown gwoli ścisłości. „Kiedy Kuguary grają wszyscy pełne portki mają!”), a ona była w drużynie dopingującej. Gdyby nie ten obrzydliwy Waldo Horton, zostałyby przywódczynią drużyny dziewcząt dopingujących. Miała to jak w banku. Ale, wracając do rzeczy, bardziej wolałaby wyjść za mąż za Marka lub Steve'a. Obaj mieli szerokie bary, a Mark oszałamiające, jasne

włosy do ramion. Ale trafiło na Waldo, akurat, pech chciał, że na niego. Zresztą to nie mógł być nikt inny, tylko on. Zajrzała do pamiętnika i obliczyła wszystko jak trzeba. A kiedy przyszło na świat dziecko, nie musiała nawet liczyć. Było bardzo podobne do ojca. Obrzydliwość.

I tak mordowała się przez dwa długie lata, harując za psi grosz w przydrożnych barach i motelach, podczas gdy Waldo wrócił na studia. Ostatecznie znenawidziła tę jego politechnikę, jeszcze bardziej niż dzieciaka i samego Waldo. Skoro tak bardzo pragnął mieć rodzinę, dlaczego nie rzucił studiów i nie znalazł sobie jakiejś pracy? To ONA musiała podjąć pracę. Rodzice nie zgodziliby się na to. Judy sama mogłaby przekonać go, używając słodkich słówek i innych kobiecych sekretów, choćby na ten przykład pozwalając mu się w łóżku dotknąć (najpierw jednak musiałby jej przysiąc, że odpuści studia!), ale teściowie i jej rodzice stale wtrącali się we wszystko. „Och Judy, kiedy Waldo znajdzie dobrą pracę obojgu wam zaraz się polepszy. Och, Judy, gdybyś częściej chodziła do kościoła postrzegałabyś życie w jaśniejszych barwach. Och Judy, stul uszy po sobie i uśmiechaj się, póki wszystko się nie ułoży. Póki ty sobie wszystkiego nie ułożysz”.

I wtedy wybuchła epidemia supergrypy, rozwiązując wszystkie jej problemy. Umarli jej rodzice, jej synek Petie (trochę było jej żal, ale po paru dniach pogodziła się z tym smutnym faktem), potem rodzice Waldo, a na koniec on i była wreszcie wolna. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że ona sama mogłaby umrzeć i rzeczywiście, przetrwała zarazę cała i zdrowa.

Mieszkali w dużej, zapuszczonej kamienicy czynszowej w śródmieściu Milltown. Jednym z czynników, które zadecydowały, że Waldo postanowił, iż się tam wprowadzą (Judy naturalnie nie miała tu nic do powiedzenia) było wielkie pomieszczenie chłodnicze w piwnicy. Zamieszkali w nowym mieszkaniu na drugim piętrze we wrześniu 1988 roku i zgadnijcie tylko, kto zwykle zatrząskiwał się w chłodni zanosząc tam mięso? Waldo i Petie umarli w domu. Zanim to nastąpiło, szpitale pełne były konających, kostnice pękały w szwach (zresztą Judy i tak by tam nie pojechała, za bardzo bała się tych strasznych miejsc), ale w mieście wciąż był prąd.

Dlatego zniosła trupy na dół, do piwnicy i umieściła w chłodni.

Trzy dni temu w Milltown wyłączono prąd, lecz na dole wciąż było względnie chłodno. Judy wiedziała o tym, bo trzy a nawet cztery razy dziennie schodziła do piwnicy, by zerknąć na martwe ciała. Wmawiała sobie, że tylko sprawdza czy wszystko w porządku. Czy mogło chodzić o coś innego? A jak wytłumaczyć uśmiech błąkający się na jej ustach?

Po południu drugiego lipca zeszła na dół i zapomniała włożyć pod drzwi chłodni gumowy klin. Drzwi zamknęły się za nią i zatrzasnęły automatycznie. Dopiero wtedy, po dwóch latach schodzenia tu, na dół, zauważyła, że w drzwiach od wewnętrznej strony nie ma klamki. W pomieszczeniu zrobiło się już zbyt ciepło, aby mogła zamarznąć, ale nie przeszkodziło jej to umrzeć z głodu.

Tym sposobem Judy Horton mimo wszystko umarła, w towarzystwie swego męża i syna.

Jim Lee z Hattiesburga w Mississippi został śmiertelnie porażony prądem, usiłując uruchomić awaryjny, spalinowy generator w swoim domu.

Richard Hoggins, młody Murzyn, mieszkał przez całe swoje życie w Detroit w Michigan. Od pięciu lat był uzależniony od białego proszku, który nazywał „wąchainą”. Epidemia supergrypy zmusiła go, jak wszystkich innych ćpunów do przejścia na odwyk, gdyż znani mu handlarze i narkomani poumierali albo dali nogę.

Tego słonecznego, letniego popołudnia siedział na zasłanej śmieciami werandzie popijając ciepławy 7-Up i marząc o choćby jednym, maleńkim niuchu koki.

Wtem pomyślał o Allie McFarlane. Przypomniało mu się, że słyszał na ulicy coś na jego temat, zanim rozpętało się całe to piekło. Ludzie mówili, że Allie, trzeci w hierarchii ważności handlarz w Detroit otrzymał właśnie nową, świetną dostawę. Wszyscy mieli zapewniony czysty odlot. Żadnego brązowego szajsu. Chińska Biel, czyściocha.

Richie nie miał pojęcia, skąd McFarlane mógł skołować taki towar i do tego w takiej ilości (dla własnego dobra lepiej było tego nie wiedzieć), ale z różnych źródeł słyszał, że gdyby gliniarze przyszli któregoś pięknego dnia z nakazem przeszukania do chaty na Grosse Pointę, którą Allie kupił dla swego dziadka stryjecznego, prędzej książyc zmieniłby barwę na złotą niż Allie wyszedłby zza kratki.

Richie postanowił wybrać się na Grosse Pointe. W gruncie rzeczy nie miał nic innego do roboty.

Odnalazł adres Erina D. McFarlane’a mieszkającego na Lake Shore Drive w książce telefonicznej i pomaszzerował tam jak najszybciej potrafił. Zanim dotarł na miejsce było już prawie po zmierzchu i rozboleły go nogi. Nie próbował nawet przekonywać samego siebie, że była to zwykła przechadzka dla przyjemności.

Chciał strzelić sobie działkę i chciał tego naprawdę BARDZO mocno.

Wokół posesji ciągnął się szary kamienny mur. Richie przelazł na drugą stronę bezszelestnie jak czarny cień, rozcinając sobie dłonie na wbetonowanych w szczyt muru odłamkach szkła. Kiedy zbił szybę, by dostać się do środka, rozległ się przeciągły jęk alarmu i Richie dopiero przebiegłszy przez pół trawnika uświadomił sobie, że przecież nie było już policji, która mogłaby odpowiedzieć na wezwanie. Wrócił do okna roztrzęsiony i zlany zimnym potem.

W tym cholernym domu nie było światła, a pokoi chyba ze dwadzieścia. Będzie musiał zaczekać do jutra, aby się tu porządnie rozejrzeć, a przetrząśnięcie całej chałupy z góry na dół, jak należało, zajmie mu dobre trzy tygodnie. Na dodatek wcale nie miał pewności, czy towar rzeczywiście był w chacie. Chryste. Richie poczuł, że ogarnia go czarna rozpacz. Mimo to postanowił się rozejrzeć. Musiał sprawdzić kilka miejsc, przynajmniej te najbardziej mu znane.

W łazience na piętrze natrafił na tuzin okazałych plastikowych woreczków wypełnionych białym proszkiem. Były ukryte w rezerwuarze. Stary numer. Znana skrytka. Richie patrzył na nie pożądliwie, konstatuując, że Allie musiał posmarować komu trzeba, skoro przechowywał taką kupę towaru w rezerwuarze w pieprzonym kiblu. Ten zapas koki wystarczyłby jednemu człowiekowi na szesnaście wieków z okładem.

Zaniósł jeden z woreczków do głównej sypialni i otworzył na łóżku. Kiedy przygotowywał sobie działkę, trzęsły mu się ręce. Ani przez chwilę nie zastanawiał się nad czystością towaru. Na ulicy najsilniejszy towar, jakiego próbował Richie miał co najwyżej dwanaście procent, a i to wystarczyło, by pogrążyć go we śnie zbliżonym do śpiączki. Nawet okiem nie mrugnął. Trzask prask i po wszystkim, pogrążył się w jednej chwili w czerni nieświadomości.

Wbił igłę w przedramię poniżej łokcia i wcisnął tłoczek strzykawki. Towar był prawie w dziewięćdziesięciu sześciu procentach czystą heroiną. Narkotyk wdarł się do jego krwioobiegu z impetem pociągu ekspresowego, a Richie zwałił się jak kłoda na rozpruty woreczek z białym proszkiem, brudząc nim przód koszuli. W sześć minut później już nie żył.

Niewielka strata.

ROZDZIAŁ 39

Lloyd Henreid klęczał na kolanach. Nucił coś pod nosem i uśmiechał się. Od czasu do czasu zapominał co podśpiewywał; uśmiech znikał z jego warg, mężczyzna zaczynał pochlipywać, ale zaraz podejmował przerwana melodię. Były to *Wyścigi w Camptown*. Od czasu do czasu zamiast nucić lub pochlipywać szeptał tylko pod nosem: *Doo-da, doo-da*. W kompleksie więziennym panowała zupełna cisza, jeżeli nie liczyć nucenia, pochlipywania, zduszonych szeptów i szurania metalowej nogi od łóżka, którą manipulował Lloyd. Próbował odwrócić ciało Traska, aby móc schwycić go za nogę. Panie kelner, zimne nóżki poproszę.

Lloyd wyglądał jak ktoś, kogo poddano intensywnej diecie odchudzającej. Więzienne drelichy wisiały na jego ciele jak żagiel podczas flauty. Ostatnim posiłkiem, jaki podano w całym kompleksie był lunch, osiem dni temu. Skóra na twarzy Lloyd'a była niesamowicie napięta, podkreślając każdą krzywiznę i załamania znajdujących się pod nią kości czaszki. Oczy miał roziskrzzone i błyszczące. Rozsunięte wargi ukazywały pożółkłe zęby i różowe dziąsła. Wyglądał tym dziwniej, że włosy zaczęły wychodzić mu całymi kępkami. Wydawał się szalony.

– *Doo-da, doo-da* – szeptał Lloyd, manipulując kawałkiem żelaza.

Kiedyś, dawno temu, nie wiedział, dlaczego poranił sobie palce do krwi, usiłując odkręcić to cholerstwo. Kiedyś, dawno temu sądził, że wie, czym jest prawdziwy głód. W porównaniu z tym, co czuł obecnie, tamten głód był niczym.

– *Ride around all night... ride around all day... dooda-dooda*.

Koniec metalowej nogi zahaczył o nogawkę spodni Traska, lecz ześlizgnął się po niej. Lloyd opuścił głowę i zaszlochał jak dziecko. Z tyłu, za nim ciśnięty od niechcenia w kąt leżał szkielet szczura, którego zabił w celi Traska dwudziestego dziewiątego czerwca, przed pięcioma dniami. Ze szkieletu wciąż zwieszał się długi, różowy, bezwłosy ogon. Lloyd wielokrotnie próbował go zjeść, ale ogon okazał się zbyt twardy. Pomimo że starał się ją oszczędzać, kończyła mu się również woda w toalecie. Cella przepelniona była wonią uryny, aby nie stracić ani odrobiny wody Lloyd odlewał się na korytarz. Ponieważ od kilku dni praktycznie głodował, jak dotąd nie wypróżnił się, bo i nie miał też czym.

Zbyt szybko zjadł resztki pozostawione na czarną godzinę. Teraz już to wiedział. Myślał, że ktoś się zjawi. Nie potrafił uwierzyć...

Nie chciał zjadać Traska. Myśl o zjedzeniu go wydawała mu się przerażająca. Nie dalej jak ubiegłej nocy ogłuszył kapciem karalucha, a potem zjadł go, jeszcze żywego. Czuł jak insekt wije mu się na języku zanim nie rozgryzł go zębami na pół. Właściwie karaluch nie był wcale taki zły, na pewno smaczniejszy od szczura. Nie, nie chciał zjeść Traska. Nie chciał stać się kanibalem. To jak zjeść szczura. Podciągnie Traska do kraty... ot tak, na wszelki wypadek. Na wszelki wypadek. Słyszał, że człowiek, mając wodę, potrafi długo wytrzymać bez pożywienia.

(„Nie mam zbyt dużo wody, ale nie chcę teraz o tym myśleć, nie teraz, nie teraz, nie teraz”.)

Nie chciał umrzeć. Nie chciał zdechnąć z głodu. Był za bardzo przepelniony nienawiścią.

Nienawiść powoli narastała w nim przez ostatnie trzy dni, wraz z uczuciem głodu. Podejrzewał, że gdyby jego dawno nieżyjący kompan, szczur, potrafił myśleć, nienawidziłby go równie mocno. Ostatnio długo sypiał, a we śnie stale powracał do niego koszmar o króliku, widział nabrzmiałe ciało gryzonia, jego zmierzwione, zmechacone futerko, robaki wijące się w oczodołach, a także co najgorsze, okrwawione, odarte do żywego mięsa łapy. Budząc się, Lloyd z przeraźliwą fascynacją wpatrywał się w swoje palce. Nienawiść Lloyda koncentrowała się na ściśle określonym przedmiocie. Był nim KLUCZ.

Znajdował się pod kluczem. Kiedyś wydawało się to całkiem na miejscu. Był przestępcą. To znaczy nie do końca, bo to Dziurawiec był PRAWDZIWYM przestępcą. On mógł bez swojego kumpla popełnić co najwyżej jakieś drobne przestępstwo. Mimo to dostał to, na co zasłużył. Najpierw Wspaniały George w Vegas, a potem ta trójka z białego kontinentalu – brał udział w tej parszywej aferze i podejrzewał, że w związku z tym zasłużył sobie na karę. Nawet na odsiadkę. Niezbyt długą. Nie zgłosiłby się z własnej woli do mamra, ale kiedy łapią cię na gorącym uczynku bierzesz to, co ci dają, póki nie zechcą posadzić cię na Starym Iskrowniku. Bądź co bądź powiedział swojemu adwokatowi, że spodziewał się zarobić za udział w tak zwanej „morderczej eskapadzie przez trzy stany” jakieś dwadzieścia lat garowania. Na pewno nie krzesło. Chryste, nie. Myśl o tym, że mógłby trafić na krzesło elektryczne była po prostu... szalona.

Ale, niestety to oni mieli KLUCZ. Mogli zamknąć cię za kratami i wyrzucić KLUCZ.

W ostatnich trzech dniach Lloyd mgliście zaczął pojmować symboliczną, magiczną wręcz moc KLUCZA. Jeśli pogrywałeś zgodnie z regułami, w nagrodę otrzymywałeś KLUCZ. Jeśli próbowałeś ściemniać, zamykali cię za kratami. To było coś innego niż „Odsiadka” w grze w Monopol. Nie było dodatkowego rzutu kostką i przejścia dalej, z dwoma setkami dolców w kieszeni. Oni mogli odjąć dziesięć, dwadzieścia czy nawet czterdzieści lat twego życia. Mogli opłacić typów takich jak Mathers, by spuścić ci manto. Mogli nawet odebrać ci życie na krześle elektrycznym.

Niemniej, sam fakt posiadania KLUCZA nie dawał im prawa do odejścia i pozostawienia go na niechybną śmierć z głodu i pragnienia. Nie mieli przez to prawa zmuszać go do zjedzenia martwego szczura i słomy z materaca. Nie mieli prawa zostawiać go w sytuacji, w której aby żyć będzie zmuszony zjeść martwego współwięźnia z sąsiedniej celi (naturalnie jeżeli zdoła przyciągnąć go do kraty... *doo-da, doo-da*).

Pewnych rzeczy po prostu się ludziom nie robiło. Mając KLUCZ, mogłeś pozwolić sobie na to i owo, lecz naturalnie do pewnych granic. Zostawili go tu, by skonał w potwornych mękach niewyobrażalnie upiorną śmiercią, a mogli go przecież wypuścić. Nie był żadnym mordy psycholem wypruwającym flaki każdemu, kto mu stanie na drodze, wbrew temu, co pisano o nim w gazetach. Zanim dogadał się z Dziurawcem zdarzało mu się jedynie wpakować w drobne kłopoty...

Nienawidził więc i nienawiść nakazywała mu żyć... a przynajmniej walczyć o życie. Przez pewien czas wydawało mu się, że nienawiść i niezłomna wola życia były nic nie warte, bo przecież ci, którzy mieli KLUCZ zmarli na grypę. Nie mógł już się na nich zemścić. A potem, stopniowo, w miarę jak coraz bardziej doskwierał mu głód uświadomił sobie, że ONI wcale nie umarli. Grypa nie mogła ich zabić. Zabijała tylko frajerów takich jak on, mogła zabić Mathersa, ale nie tych skurwieli, którzy go opłacali, bo ONI mieli KLUCZ. Ani gubernator ani kierownik więzienia nie mogli umrzeć, klawisz, który powiedział, że ten ostatni był chory, z pewnością kłamał w żywe oczy. Grypa z pewnością nie zabiła również kuratorów, szeryfów okręgowych ani agentów FBI. Nie mogła tknąć nikogo, kto posiadał KLUCZ. Nie odważyłaby się na to. Ale Lloyd nie będzie miał takich oporów. Jeśli tylko pożyje dość długo, aby się stąd wydostać, tknie ich tak, że popamiętają go do końca życia.

Noga od łóżka ponownie zahaczyła o spodnie Traska.

– No, dalej... – wyszeptał Lloyd. – Dalej... chodź no tu... *dooda-dooda*.

Sztywne ciało Traska wolno zaczęło przesuwać się po posadzce jego celi. Żaden wędkarz nie łowił nigdy ryby równie ostrożnie, jak Lloyd przyciągający zwłoki Traska do kraty. W pewnej chwili nogawka spodni trupa rozpruła się i Lloyd musiał zahaczyć metalową listwę w innym miejscu. W końcu jednak stopa Traska znalazła się dostatecznie blisko, by Lloyd mógł sięgnąć poprzez kraty i schwycić ją... gdyby zechciał.

– To nic osobistego – wyszeptał do trupa. Dotknął jego nogi. Poglądził ją. – To nic osobistego. Nie zjem cię, stary. Chyba, że będę musiał.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale po jego brodzie ściekały strużki śliny.

Lloyd usłyszał czyjś głos w szarym półmroku zmierzchu i w pierwszej chwili dźwięk ten wydał mu się tak odległy i dziwny, jak brzęk metalu o metal, że odniósł wrażenie, iż po prostu mu się to przyśniło. Obecnie stany snu i jawy wydawały mu się bardzo podobne, a on prawie nieświadomie przekraczał granice pomiędzy nimi.

I wtedy głos rozległ się ponownie. Lloyd momentalnie usiadł na pryczy; jego oczy w zapadniętej, wychudłej twarzy były rozszerzone, migotliwe i wytrzeszczone. Głos płynął z Bóg wie jak daleka, od strony korytarzy skrzydła administracyjnego, a stamtąd schodami i wąskimi przejściami do kompleksu Dozoru Specjalnego. Przemknął przez podwójne okratowane drzwi i doszedł w końcu do uszu Lloyda.

– U-huuu. Jest tu kto?

Naraz Lloyd, nie wiedząc dlaczego, pomyślał: „Nie odpowiadaj. Może sobie pójdzie”.

– Jest tu kto? Nie ma? No to idę sobie, niech no tylko otrzępię kurz z butów...

W tej samej chwili Lloyd odzyskał władzę nad swoim ciałem. Zerwał się z pryczy, podniósł metalową nogę od łóżka i zaczął tłuc nią jak opętany w kraty celi; silne wibracje przepływały przez metal wprawiając w drżenie kości jego zaciśniętej kurczowo pięści.

– Nie! – zawołał. – Nie! Nie odchódź! Proszę, nie odchódź!

Głos, znacznie wyraźniejszy, dochodził teraz od schodów pomiędzy skrzydłem administracji, a kompleksem, w którym uwięziony był Lloyd.

– Pożremy cię całego... tak bardzo cię kochamy... och, ktoś tu wydaje się bardzo wygłodniały...

Po tych słowach dał się słyszeć zduszony chichot.

Lloyd upuścił metalową nogę na podłogę i schwycił obiema dłońmi pręty krat. Słyszał dochodzące z obszaru głębokich cieni ciche, lecz przybliżające się z każdą chwilą kroki. Lloyd chciał wybuchnąć łzami w wyrazie ulgi... miał zostać ocalony... ale w głębi serca zamiast radości czuł lodowatą zgrozę, narastający z sekundy na sekundę mrozący krew w żyłach lęk, który sprawiał, że żałował, iż w ogóle się odezwał. Żałował, że się odezwał? Boże! Cóż mogło być gorszego od powolnej śmierci głodowej?

Na tę myśl przypomniał sobie o Trasku. O Trasku, leżącym na wznak w półmroku, z jedną nogą wetkniętą pomiędzy prętami krat do celi Lloyda i obnażoną łydką, z której wyżarto kawałek mięsa. łydka była mięsista. Można było dostrzec na niej ślady zębów. Lloyd wiedział, czyje to były zęby, ale prawie nie pamiętał, aby żywił się mięsem Traska. To wspomnienie zdawało się być ukryte za półprzejrzystą, mglistą zasłoną. Mimo to przepełniło go dojmujące uczucie zmieszanych ze sobą odrazy, zgrozy i wyrzutów sumienia. Podeszedł do krat i wypchnął nogę Traska do jego celi. Następnie, oglądając się przez ramię, by upewnić się, że tajemniczego przybysza nie było jeszcze widać, sięgnął przez kraty i przytknąwszy policzek do metalowych, chłodnych prętów opuścił nogawkę spodni trupa, zasłaniając oznaki swojej żarłoczności.

Rzecz jasna nie musiał się wcale spieszyć, gdyż okratowane bramki przy wejściu do kompleksu były zamknięte, a skoro w więzieniu wyłączono prąd, nie sposób ich było otworzyć przez naciśnięcie guzika.

Człowiek przybywający, by go ocalić, będzie musiał wrócić i znaleźć KLUCZ. Będzie musiał...

Lloyd chrząknął, gdy rozległ się zgrzytliwy jęk elektrycznego silnika otwierającego drzwi do cel. Cisza panująca w całym bloku sprawiła, iż dźwięk ten wydał się jeszcze donośniejszy i ucichł dopiero po znajomym TRZASK, ŁUP! włączonych blokad otwierających się bramek.

A potem doszły go kroki nieznanego, idącego wolno korytarzem wymarłego kompleksu.

Lloyd, doprowadziwszy do porządku zwłoki Traska, ponownie stanął przy kratkach swojej celi. Teraz mimowolnie cofnął się o dwa kroki. Spuścił wzrok i jego spojrzenie padło na parę zakurzonych kowbojek o spiczastych noskach i ściętych obcasach. Pierwsze co przyszło mu na myśl to to, że Dziurawiec też miał takie buty.

Kowbojki zatrzymały się przed jego celą.

Powoli uniósł wzrok, by ujrzeć wetknięte w cholewy butów nogawki wyblakłych dżinsów, skórzany pas z mosiężną sprzączką (ozdobioną wieloma astrologicznymi symbolami umieszczonymi w dwóch koncentrycznych kręgach), dżinsową bluzę i wpięte w jej klapy znaczki – po jednej stronie żółty „uśmieszek”, po drugiej martwa świnia z podpisem I JAK TAM TWOJA ŚWINIA?

W chwili, gdy spojrzenie Lloyda z wyraźnym wahaniem dotarło do śniadego oblicza Flagga, ten wrzasnął głośno:

– Buuuuuuu!

Dźwięk ten przepłynął w głąb korytarza wymarłego kompleksu i powrócił głośnym echem.

Lloyd krzyknął, poplątały mu się nogi, upadł i wybuchnął płaczem.

– Już dobrze – rzucił uspokajająco Flagga. – Hej, stary, już wszystko dobrze. Wszystko w porządku.

Lloyd zachlipał.

– Czy możesz mnie wypuścić? Proszę wypuść mnie. Nie chcę skończyć jak mój królik. Nie chcę tak zdechnąć, to nie w porządku, gdyby nie Dziurawiec, nie wpakowałbym się po uszy w to gówno... proszę pana, niech mnie pan wypuści. Zrobię wszystko.

– Ech, nieboraku. Wyglądasz jak model do ulotki reklamowej polecającej letnie wakacje w Dachau.

Pomimo nuty współczucia w głosie Flagga Lloyd nie zdołał unieść wzroku powyżej wytartych kolan jego spranych dżinsów. Gdyby znów spojrział na tę twarz, z pewnością przypłaciłby to życiem. To było oblicze diabła.

– Proszę – wymamrotał Lloyd. – Proszę, wypuść mnie stąd. Umieram z głodu.

– Jak długo tu siedzisz, przyjacielu?

– Nie wiem – odrzekł Lloyd, ocierając oczy chudymi jak patyki palcami. – Długo.

– Jakim cudem jeszcze żyjesz?

– Wiedziałem, że przyjdiesz – rzekł Lloyd, wpatrując się w przyobleczone w jasnoniebieski materiał nogi. Dopiero teraz. – Zachomikowałem trochę jedzenia. Ot i wszystko.

– Czy nie zdarzyło ci się przypadkiem uszczknąć odrobinę tego tam, przemilego faceta z sąsiedniej celi?

– Co? – wychrypiął Lloyd. – Co? Nie, na miłość Boską! Za kogo mnie pan uważa? Proszę pana, bardzo pana proszę...

– Jego lewa noga wydaje się nieco chudsza niż prawa. Tylko dlatego zadałem to pytanie, mój drogi przyjacielu.

– Nic mi o tym nie wiadomo – wyszeptał Lloyd. Cały dygotał.

– A jak tam kuzynek szczur? Jak smakował?

Lloyd ukrył twarz w dłoniach i milczał.

– Jak ci na imię?

Lloyd próbował odpowiedzieć, ale wydał z siebie tylko jękliwy szloch.

– Jak ci na imię, żołnierzu?

– Lloyd Henreid.

Zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć, ale miał w myślach mętlik. Kiedy adwokat powiedział, że grozi mu krzesło elektryczne przestraszył się, nigdy jednak nie był równie przerażony jak teraz. W całym swoim życiu nie doświadczył bardziej dojmującej trwogi.

– To był pomysł Dziurawca! – wrzasnął. – To on powinien tu być, nie ja!

– Spójrz na mnie, Lloyd.

– Nie – wyszeptał Lloyd. Wywracał dziko oczami.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ...

– Mów dalej.

– Ponieważ nie wydaje mi się, żebyś był prawdziwy – wyszeptał Lloyd. – A jeśli jest... pan... prawdziwy... to musi pan być... diabłem.

– Spójrz na mnie, Lloyd.

Henreid bezradnie uniósł wzrok ku owej mrocznej, uśmiechniętej twarzy po drugiej stronie krat. Przybysz ścisnął coś w prawej dłoni, którą trzymał przy prawym oku. Spoglądając na ten przedmiot, Lloydowi na przemian zaczęło robić się to zimno, to znów gorąco. Przypominał czarny kamień, tak ciemny, że wydawał się żywiczny i smolisty zarazem. Pośrodku miał małą czerwoną plamkę, która Lloydowi kojarzyła się z przerażającym okiem, krwawym, na wpół otwartym i gapiącym się na niego. I nagle Flagg przekręcił kamień lekko między palcami i czerwona skaza na jego powierzchni przywiodła Lloydowi na myśl... KLUCZ. Flagg przesunął kamień między palcami w tę i z powrotem. Teraz widział oko, teraz znowu klucz.

Oko, klucz.

Zanucił:

– Przyniosła mi kawę... obiad też mi dała... dogodziła mi niezgorzej... klucza zapomniała. Zgadza się, Lloyd?

– Jasne – rzucił ochryple Lloyd. Nie odrywał wzroku od małego, ciemnego kamyka. Flagg przesuwiał go gładko między palcami jak prezentujący sztuczkę iluzjonista.

– Z pewnością potrafisz docenić wartość porządnego klucza – powiedział mężczyzna. Ciemny kamyk znikł w jego zaciśniętej pięści i zaraz pojawił się w drugiej, by podjąć przerwana wędrówkę pomiędzy palcami. – Taak, nie mam co do tego wątpliwości. Bo klucz służy do otwierania drzwi. Czy jest w życiu coś ważniejszego niż otwieranie drzwi? Odpowiedz, Lloyd.

– Proszę pana, jestem strasznie głodny...

– Z pewnością – powiedział mężczyzna. Na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego zatroskania, tak głębokiego, że wydawało się to wręcz groteskowe. – Chryste Panie, zjadać szcztura, coś podobnego! Wiesz, co ja jadłem na lunch? Wielki krwisty rostbef na białym chlebie, z cebulkami i musztardą. Brzmi nieźle, co?

Lloyd pokiwał głową. Z kącików oczu pociekły mu łzy.

– Do tego frytki, koktajl mleczny, a na deser... a niech to. Torturuje cię tymi wyznaniem, co? Nie możesz już tego słuchać, zgadza się? Ktoś powinien zamknąć mi usta. Przepraszam. Zaraz cię wypuszczę, a potem pójdziemy coś zjeść, zgoda?

Lloyd był zbyt oszołomiony, aby móc choćby pokiwać głową. Nie miał już wątpliwości, że mężczyzna z kluczem musiał być diabłem, lub co bardziej prawdopodobne złudzeniem i pozostanie tam, po drugiej stronie krat, dopóki Lloyd nie padnie trupem, prawiać mu radośnie o Bogu Ojcu, Jezusie i smakowitej, kremowej musztardzie, manipulując przy tym małym, ciemnym, dziwnym kamykiem. Teraz wyraz współczucia na jego obliczu wydawał się całkiem realny, a mężczyzna sprawiał wrażenie szczerze zdeprimowanego i zakłopotanego. Czarny kamyk znów zniknął w jego zaciśniętej pięści. A kiedy rozwarł palce, rozszerzone ze zdumienia oczy Lloyd'a ujrzały leżący na dłoni przybysza płaski, srebrny klucz z ozdobną główką.

– Boże... jedyny...! – wychrypiał Lloyd.

– Podoba ci się? – zapytał z zadowoleniem mroczny mężczyzna. – Nauczyłem się tej sztuczki od pewnej masażystki w Secaucus w New Jersey. Secaucus to światowa stolica hodowli trzody chlewnej. Najwięcej jest tam ferm, na których hodują świnie.

Pochylił się i umieścił klucz w zamku celi Lloyd'a. I to było dziwne, bo o ile dobrze pamiętał (choć obecnie niewiele rzeczy pamiętał zbyt dobrze) w tych celach nie było zamków, wszystkie otwierały się i zamykały elektronicznie. Nie wątpił jednak, że srebrny klucz należycie spełni swoje zadanie.

Włożywszy klucz do zamka, Flagg wyprostował się i spojrzał na Lloyda, uśmiechając się łobuzersko, a Lloyd poczuł, że znów ogarnia go fala dojmującej rozpacz. To wszystko było jedynie sztuczką. Iluzją. Złudzeniem.

– Czy już się przedstawiałem? Nazywam się Flagg. Przez dwa „g”. Miło mi cię poznać.

– Nawzajem – wychrypiał Henreid.

– Wiesz, zanim otworzę tę celę i pójdziemy na pyszną, miłą kolacyjkę, powinniśmy chyba coś ustalić. Żebyśmy się wzajemnie dobrze zrozumieli, Lloyd.

– Jasne – wyskrzecztał Lloyd i ponownie się rozplakał.

– Uczynię cię moją prawą ręką, Lloyd. Będiesz dla mnie odpowiednikiem Świętego Piotra. Kiedy otworzę te drzwi, w twoich rękach znajdą się klucze do królestwa. Niezły układ, co?

– Taa... – wyszeptał Lloyd i znów ogarnęło go przerażenie. Zrobiło się już całkiem ciemno. Widział tylko czarną sylwetkę Flagga i jego oczy. Te oczy... Zdawały się świecić w ciemności jak oczy rysia, jedno po lewej stronie metalowego pręta kraty łączącej się z zamkiem, drugie po prawej. Lloyd bał się, ale czuł również coś innego... coś w rodzaju religijnej ekstazy. Rozkosz. Miał wrażenie, że był WYBRAŃCEM. Wreszcie coś osiągnął... otrzymał szansę bycia KIMŚ SZCZEGÓLNYM.

– Chciałbyś wyrównać rachunki z tymi, którzy cię tu zostawili, nieprawdaż?

– Jasne że tak – mruknął Lloyd, zapominając na moment o swoim przerażeniu. Pochłonął je nienasycony, rozbuchany gniew.

– I nie tylko z nimi, lecz ze wszystkimi, którzy postąpiliby z tobą tak samo – ciągnął Flagg. – To już taki typ ludzi, czyż nie? Dla niektórych człowiek taki jak ty jest niczym, śmieciem, którego powinno się wsadzić za kratki i wyrzucić klucz. Oni uważają się za wszechwładnych i wszechwiedzących. W ich mniemaniu ludzie tacy jak ty nie mają prawa, by żyć.

– Zgadza się – bąknął Lloyd.

Jego niezaspokojony głód nabrał nagle całkiem odmiennego charakteru. Zmienił się tak diametralnie, jak czarny kamyk przeistoczył się w srebrny klucz. Ten człowiek w kilku słowach wyraził wszystkie jego najgłębsze przemyślenia i doznania. Bo przecież Lloyd nie chciał wziąć odwetu tylko na klawiszu pilnującym bramy. „Oto nasz cwany, wyszczekany pojeb. To jak pojebie, masz jakąś nową kąśliwą odżywkę?” Nie, nie chodziło o tego, pojedynczego klawisza. Strażnik miał co prawda KLUCZ, ale nie on go TWORZYŁ. Ktoś musiał mu go dać. Lloyd podejrzewał, że tym kimś był dyrektor więzienia, ale i on również nie tworzył KLUCZA. Lloyd chciał dopaść rzezimieszków, którzy zajmowali się BEZPOŚREDNIO wyrobem KLUCZY. Oni z pewnością będą uodpornieni na grypę. To z nimi musiał się rozliczyć. I uczyni to. Z dziką rozkoszą.

– Wiesz, co o takich ludziach mówi Pismo Święte? – zapytał półgłosem Flagg. – Biblia mówi, że wielcy będą ponizeni, potężni upadną, a sztywne karki zostaną zgruchotane. A

wiesz, co mówi się w Piśmie o takich jak ty, Lloyd? Mówi się, że błogosławieni cisi, bowiem oni odziedziczą ziemię. I że błogosławieni są ubodzy duchem, gdyż oni właśnie Boga oglądać będą.

Lloyd kiwał głową. Kiwał głową i płakał. Przez chwilę miał wrażenie, że wokół głowy Flagga wykwitła ognista aureola, tak jasna i gorejąca, że gdyby Lloyd nie odwrócił wzroku, jej blask wypaliłby mu oczy. Zaraz jednak znikła... naturalnie jeżeli w ogóle się pojawiła, co raczej było mało prawdopodobne, bo przecież Lloyd wciąż mógł widzieć w ciemnościach.

– Nie jesteś zbyt bystry – powiedział Flagg – ale jesteś pierwszym. I wydaje mi się, że potrafisz być bezgranicznie lojalny. Wspólnie, ty, Lloyd, i ja, zajdziemy naprawdę daleko. To dobre czasy dla ludzi takich jak my. Mamy przed sobą przyszłość. Potrzeba mi tylko twojego słowa.

– Sło... słowa?

– Że odtąd będziemy nierozłączni. Że naprawdę chcesz się do mnie przyłączyć. A to do czegoś zobowiązuje. Wiesz, gdy już podejmiesz decyzję to nie ma odwrotu. Żadnych rezygnacji, odmów czy spania na służbie. Niebawem dołączą do nas inni... są już w drodze... jadą na Zachód... ale póki co, jesteśmy tylko my dwaj. Dam ci klucz, jeśli ty dasz mi słowo.

– Masz je... Masz moje słowo – powiedział Lloyd, a jego słowa zdawały się zastygnąć w powietrzu, przesycone osobliwą wibracją. Wsłuchał się w tę wibrację, przekrzywiając głowę w bok, i niemal widział je, połyskujące mrocznie, niczym zorza polarna odbijająca się w oku trupa.

Natychmiast jednak o tym zapomniał, gdyż w tej samej chwili klucz przekręcił się w zamku. Zaraz potem cały zamek z brzękiem spadł na ziemię u stóp Flagga, a z jego otworu popłynęły w górę cienkie smużki dymu.

– Jesteś wolny, Lloyd. Wyjdź.

Henreid z niedowierzaniem, pełnym wahania gestem dotknął krat, jakby obawiał się, że oparzy sobie dłonie. I rzeczywiście, metal był ciepły w dotyku. Kiedy je pchnął, drzwi gładko i bezgłośnie przesunęły się w bok. Spojrzał na swego wybawcę i dostrzegł jego gorejące oczy.

Coś nagle znalazło się w jego dłoni. Klucz.

– Jest twój, Lloydzie Henreid.

– Mój?

Flagg ujął palce Lloyd'a i zacisnął je wokół niedużego przedmiotu, a Henreid poczuł, że klucz poruszył mu się w dłoni... poczuł, że się zmienia. Krzyknął ochryple i gwałtownym ruchem rozwarł pięść. Klucz zniknął, w jego miejsce pojawił się czarny kamyk z czerwoną plamką pośrodku. Uniósł go do oczu, kompletnie zdezorientowany i zaczął obracać między palcami. Czerwona skaza wyglądała na przemian jak klucz, jak czaszka, bądź jak krwawe, częściowo zamknięte oko, w zależności od tego, pod jakim kątem na nią patrzył.

– Mój – odpowiedział do siebie Lloyd. Tym razem sam zacisnął palce, zamykając w dłoni dziwny, czarny kamyk. Zrobił to bardzo mocno. Z całej siły.

– Pójdziemy coś zjeść? – zapytał Flagg. – Suta kolacja dobrze zrobi nam obu. Mamy przed sobą długą drogę do pokonania jeszcze tej nocy.

– Kolacja – rzekł Lloyd. – Doskonale.

– Czekają nas sporo pracy – rzucił radośnie Flagg. – I będziemy musieli poruszać się naprawdę szybko. Zapowiada się ostra jazda.

Ruszyli w stronę schodów, mijając zamknięte w swoich celach trupy. Kiedy pod Lloydem osłabionym z głodu w pewnej chwili ugięły się kolana, Flagg podtrzymał go, nie pozwalając upaść.

Lloyd odwrócił się i spojrzał w uśmiechnięte oblicze Flagga z wyrazem czegoś więcej, aniżeli tylko wdzięczności. Patrzył na twarz mrocznego mężczyzny z głębokim, niekłamanym, graniczącym z miłością uwielbieniem.

ROZDZIAŁ 40

Nick Andros leżał pogrążony w niespokojnym śnie na pryczy biura szeryfa Bakera. Miał na sobie tylko szorty, całe jego czoło lśniło od potu. Ostatnią jego myślą przed zaśnięciem było, że nie dożyje świtu, a mroczny mężczyzna, który ostatnio stale nawiedzał go nocami zdoła jakimś sposobem przebić się przez cienką barierę snu i zabierze go ze sobą.

To dziwne. Oko, na które przestał widzieć po tym, jak potraktował je Ray Booth bolało go przez dwie doby. Wreszcie, trzeciego dnia uczucie jakby ktoś wkręcał mu w czaszkę olbrzymie śruby przygasło, przeradzając się w tępe ćmienie. Teraz, gdy patrzył tym okiem widział jedynie szarą plamę, w której od czasu do czasu poruszały się – lub przynajmniej tak mu się zdawało – jakieś kształty. Jednak to nie uszkodzenie oka sprawiało mu najwięcej bólu, lecz rozorana przez kulę noga.

Nie zdezynfekował rany. Oko tak go paliło, że na śmierć o tym zapomniał. Płytką bruzda ciągnęła się wzdłuż prawego uda i kończyła na wysokości kolana; następnego dnia ze sporym zdumieniem obejrzał dziurę po kuli, w spodniach, w miejscu, którą wyszedł pocisk. A dzień później, trzydziestego czerwca, rana na brzegach zaogniła się i zdawało mu się, że bolą go wszystkie mięśnie w tej nodze. Pokuszył się do gabinetu doktora Soamesa i zabrał stamtąd butelkę wody utlenionej. Wylał całą zawartość na ranę, która miała około dziesięciu cali długości. Jego poczynania można by porównać do zamknięcia drzwi stajni po tym, jak skradziono z niej wszystkie konie. Do tego czasu cała jego prawa noga pulsowała jak zepsuty ząb, a od rany, pokrytej teraz skorupą skrzepłej krwi zaczęły rozchodzić się promieniście czerwone nitki zakażenia.

Pierwszego lipca znowu odwiedził gabinet doktora Soamesa i przetrząsnął jego szafkę z lekarstwami, szukając penicyliny. Znalazł kilka opakowań i od razu połknął dwie pastylki. Wiedział, że jeśli był uczulony na antybiotyki, umrze, ale alternatywą była śmierć w jeszcze gorszych męczarniach. Infekcja postępowała. Penicylina go nie zabiła, lecz nie było również ewidentnej poprawy.

Wczoraj po południu dostał wysokiej gorączki i podejrzewał, że dość długo majaczył. Jedzenia miał pod dostatkiem, jednakże brakowało mu apetytu, chciał jedynie pić. I pił, jeden kubek za drugim, destylowaną wodę ze zbiornika w biurze Bakera. Wypił prawie wszystko,

zanim zasnął (lub zemdlął) wczorajszego wieczoru; Nick nie wiedział, skąd mógłby zdobyć więcej pojemników z wodą. Na razie jego trawiony gorączką umysł nie przejmował się tym zbyt. Niebawem umrze i wtedy w ogóle przestanie martwić się czymkolwiek. Perspektywa śmierci nie wydawała mu się szczególnie ponętna, niemniej z wielką ulgą przyjąłby ostateczne uwolnienie od bólu i wszelkich trosk. Jego noga swędziała, ćmiła i paliła żywym ogniem.

Odkąd zabił Raya Bootha miewał, zarówno za dnia jak i w nocy dziwne sny-nie-sny. Zdawały się zalewać go potężną, niepohamowaną falą. Zupełnie jakby wszyscy, których kiedykolwiek poznał przybywali, by się pożegnać. Rudy Sparkman wskazujący białą kartkę papieru: „Jesteś jak ta czysta karta”. Jego matka, pomagająca mu rysować na innej kartce kreski i kółka: „Tu jest napisane Nick Andros, kochanie. To ty”. Jane Baker, z twarzą wtuloną w poduszkę, szepcząca: „Johnny, mój biedny Johnny”. W jego snach doktor Soames prosił raz po raz Johna Bakera, aby zdjął koszulę, a Ray Booth syczał: „Przytrzymajcie go... załatwię go... ten skurwiel mnie uderzył... przytrzymajcie go...”. W przeciwieństwie do innych snów, w tych Nick nie musiał czytać z ruchu warg. Słyszał, co mówili ludzie. Sny te były niewiarygodnie wyraziste. Blakły, kiedy ból w nodze przywracał go światu jawy. Kiedy zaś ponownie usypiał, natychmiast przed jego oczami pojawiała się kolejna scena. W dwóch snach ujrzał ludzi, których nigdy wcześniej nie widział i te właśnie sny zapamiętał najlepiej, nawet po przebudzeniu.

Był gdzieś wysoko. Ziemia w dole wyglądała jak mapa plastyczna. Miał przed sobą pustynny krajobraz, a gwiazdy w górze sugerowały jakąś szaloną wysokość. Obok niego stał mężczyzna... nie, nie człowiek, lecz istota o ludzkich kształtach. Zupełnie jakby postać tę wycięto z materii rzeczywistości, a to co naprawdę stało obok niego było jej negatywem, czarną dziurą o kształcie człowieka. Głos tego kształtu wyszeptał: „Wszystko to, co widzisz będzie twoje, jeśli padniesz na kolana i oddasz mi pokłon”. Nick pokręcił głową, pragnąc cofnąć się od krawędzi tego piekielnie wysokiego klifu i obawiając się, że kształt wyciągnie długie czarne ręce w jego stronę, po czym zepchnie go w przepaść.

„Dlaczego się nie odezwiesz? Dlaczego kręcisz tylko głową?”

We śnie Nick uczynił gest, który wielokrotnie wykonywał na jawie – przyłożył palec do ust, a potem dotknął dłonią szyi... by zaraz potem usłyszeć własny idealnie czysty, dźwięczny i miły dla ucha głos: „Nie mogę mówić. Jestem głuchoniemy”.

„Ależ możesz. Możesz, jeżeli tylko zechcesz”.

Nick wyciągnął dłoń, aby dotknąć osobliwego kształtu, jego lęki przysły na chwilę w powodzi zdumienia i niepojętej radości. Kiedy jednak zbliżył rękę do ramienia postaci, poczuł chłód, lodowaty, przejmujący, tak silny, że prawie palący. Cofnął dłoń, na kłykciach której zdążyły już uformować się kryształki lodu. I wtedy zrozumiał. Słyszał. Usłyszał głos ciemnego kształtu, odległy zaśpiew polującego nocnego ptaka, nie cichnące zawodzenie wiatru. Zdumiał się tym tak bardzo, że ponownie odebrało mu mowę. Oto doświadczał

nowego wymiaru świata, za którym dotąd nie tęsknił, bo nigdy go nie poznał, teraz jednak brakujący element układanki trafił na swoje miejsce. Słyszał DŹWIĘKI. Spróbował je zidentyfikować, bez niczyjej podpowiedzi. Były wspaniałe. Tak piękne. Po prostu PIĘKNE. Powiódł palcami po materiale koszuli, zdumiewając się cichym szeptem, jaki wydały jego paznokcie muskające włókna bawełny.

I wtedy mroczny mężczyzna odwrócił się ku niemu, a Nick poczuł ogarniające go przerażenie. Istota, czymkolwiek była, nie czyniła cudów za darmo.

„Jeżeli padniesz na kolana i oddasz mi pokłon”.

Nick zasłonił twarz dłońmi, ponieważ pragnął tego wszystkiego, co z wysoka ukazał mu ów czarny, człekokształtny cień – miast, kobiet, bogactwa i władzy. Najbardziej jednak chciał słuchać bajecznego szelestu, jaki czyniły jego paznokcie przesuwające się po koszuli, tykania zegara w pustym domu po północy i sekretnego odgłosu deszczu.

Słowo jednak, które wypowiedział brzmiało: „Nie” i znów poczuł ten palący ziąb, a potem został ZEPCHNIĘTY, spadał na łeb na szyję, krzycząc bezgłośnie, mknął niczym pocisk w dół tej mglistej, pełnej chmur otchłani, by poczuć...

Zapach kukurydzy?

Tak, kukurydzy. To był inny sen, drugi, stopiony razem z poprzednim tak, że nie wiadomo było, gdzie kończył się pierwszy, a zaczynał następny. Leżał pośród kukurydzy, zielonej kukurydzy, pachniało letnią ziemią, krowim łajnem i życiem.

Podniósł się i ruszył wzdłuż bruzdy, w której się znalazł, przystając gwałtownie, kiedy zorientował się, że słyszy delikatny poszum wiatru muskającego zielone liście kukurydzy... i jeszcze coś.

Muzykę?

Tak. Muzykę. We śnie pomyślał: „A więc to jest TO”. Owa niby muzyka dobiegała z oddali. Ruszył w tym kierunku, aby sprawdzić, czy owe piękne dźwięki płynęły z instrumentu zwanego „fortepianem”, „trąbką”, „wielonczelą” czy jakiegoś innego.

Gorąca woń lata w nozdrzach, nieograniczony przestwór błękitnego nieba powyżej i ten cudowny dźwięk. We śnie Nick nigdy jeszcze nie czuł się bardziej szczęśliwy. Gdy zbliżył się do źródła melodii, w muzykę wkradł się głos, stary niczym ciemna skóra, z lekka przeciągający słowa, jak gdyby piosenka była gulaszem, który należy często podgrzewać, by nie stracił niepowtarzalnego smaku ani aromatu. Nick jak zahipnotyzowany szedł naprzód.

W ogrodzie o świtaniu

Rosa łśni wciąż na trawie

Wtem głos mnie skądś dochodzi

Syn Boży się objawił

I On się do mnie zbliża

Rozmawiać ze mną chce

*Owieczką swą nazywa
O Jezu kocham Cię*

Gdy zwrotka dobiegła końca, Nick wyszedł pomiędzy rzędów kukurydzy na polankę, na niej zaś stała chatka – właściwie szałas, z zardzewiałym kubłem na śmieci po lewej stronie i kołyszącą się starą oponą po prawej. Opona zawieszona była na gałęzi niedużej jabłoni, która, choć stara i guzłowata zdawała się tętnić życiem pośród zieleni liści.

Chatka miała nieduży ganek, chwiejącą się starą konstrukcję podtrzymywały w górze oblepione smarem podnośniki samochodowe. Okna były pootwierane, a łagodny letni wietrzyk to wywiewał na zewnątrz, to wpychał z powrotem do środka białe, postrzępione firanki. Z dachu sterczał pod dziwacznym kątem stary komin z cynkowanej blachy, niewiarygodnie wręcz pogięty i niemal całkiem czarny od sadzy. Chatka stała pośrodku polany, z czterech stron zaś otaczało ją ciągnące się jak okiem sięgnąć pole kukurydzy. Dopiero daleko na północy dostrzec można było nitkę starej, bitej drogi niknącej hen, na horyzoncie. Nick nie wiadomo skąd wiedział, gdzie się znajdował – w Polk County w Nebrasce, na zachód od Omaha i nieco na północ od Osceoli. Widoczną w oddali drogą była US 30 i Columbus, na północnym brzegu Platte.

Na ganku siedzi chyba najstarsza kobieta w całej Ameryce, Murzynka o cienkich, kręconych siwych włosach. Jest bardzo chuda, nosi podomkę i okulary. Jest tak chuda, że wydaje się, iż silniejszy podmuch wiatru mógłby porwać ją w górę, unieść ku błękitnemu niebu i przetransportować w ten sposób powiedzmy do Julesburga w Kolorado. Instrumentem, na którym gra (może właśnie jego ciężar nie pozwala oderwać jej od ziemi) jest „gitara”. Nick myśli we śnie: „Tak właśnie brzmią dźwięki gitary. Ładnie”. Czuje, że mógłby zostać w tym miejscu przez resztę dnia, obserwując starą Murzynkę siedzącą na ganku podpieranym dwoma samochodowymi podnośnikami, pośrodku pola kukurydzy w Nebrasce, na zachód od Omaha i nieco na północ od Osceoli w hrabstwie Polk i, słuchać muzyki. Jej twarz pokryta niezliczoną liczbą zmarszczek przypomina mapę stanu, którego wygląd stale się zmienia – wzdłuż policzków powstają na przemian koryta rzek i wąwozy, poniżej wypukłości zuchwy formują się łańcuchy górskie, wysunięta lekko do przodu kość czołowa wygląda jak nawis skalny, oczy przypominają czeluście jaskiń.

Znów zaczęła śpiewać, akompaniując sobie na starej gitarze.

*Jezu proszę przyjdź
Jezu proszę wróć
Dlaczego nie pojawiaasz się
Gdy się dzieje bardzo źle
Gdy nadchodzi mroczny czas
Dlaczego nie ma Cię wśród nas*

Jezu proszę...

„Co jest z tobą, chłopcze, zapuściłeś korzenie, czy jak?”

Układa sobie gitarę jak niemowlę na podolku i kiwa na niego. Nick podchodzi. Mówi, że chciał po prostu posłuchać jej śpiewu, tak pięknie grała i śpiewała.

„Cóż, śpiewanie to jedna z Bożych głupotek. Ostatnio robię to przez cały dzień... a jak ci poszło z czarnym człowiekiem?”

„Przeraża mnie. Boję się...”

„Powinieneś, chłopcze. Powinieneś bać się nawet drzewa o zmierzchu, jeśli tylko zdołasz postrzec je we właściwy sposób. Wszyscy jesteśmy śmiertelni, chwalmy Pana”.

„Ale jak mogę mu odmówić? Jak mam powiedzieć «nie»...”

„A jak to jest, że oddychasz? Jak to jest, że śnisz? Nikt tego nie wie. Ale przybędziesz tu, do mnie, gdy nadejdzie czas. Nazywają mnie Matką Abigail. Jestem chyba najstarszą kobietą w tych stronach, ale jakoś wciąż daję sobie radę. Zjawisz się tu chłopcze, gdy nadejdzie czas. Przybądź. I przyprowadź przyjaciół”.

„Ale jak mam wybrnąć z tego ambarasu?”

„Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze. Nikt tego nie wie. Zrób, co w twoje mocy, a gdy tylko zdołasz, przybądź spotkać się z Matką Abigail. Powinieneś mnie tu zastać. Ostatnimi czasy raczej nie oddalam się zbytnio od domu. Przybywaj więc. Będę tu...”

„Tu, właśnie tu”.

Obudził się powoli, aż obraz Nebraski rozplątał się, a wraz z nim zapach kukurydzy i poorana zmarszczkami, ciemna twarz Matki Abigail. Świat realny wsączył się do jego umysłu, nie tyle zastępując domenę snu, lecz nakładając na nią jawę, aż ta przesłoniła ją zupełnie.

Był w Shoyo w Arkansas, nazywał się Nick Andros, nigdy nie mówił ani nie usłyszał dźwięku gitary, lecz nadal żył.

Usiadł na pryczy, zwiesił nogi na podłogę i przyjrzał się ranie. Opuchlizna nieznacznie się zmniejszyła. Ból zelżał. „Zdrowieję – pomyślał z ogromną ulgą. – Chyba się z tego wykaraskam”.

Wstał z pryczy i pokuśtykał do okna. Wciąż miał na sobie tylko szorty. Noga mu zeszywniała, ale z odrętwieniem powinien poradzić sobie bez większych problemów. Wystarczy odrobina ćwiczeń. Wyjrzał przez okno na ciche miasto; to już nie było Shoyo, lecz raczej trup Shoyo. Wiedział, że jeszcze dziś będzie musiał wynieść się stąd. Nie dotrze daleko, niemniej powinien niezwłocznie wyruszyć w drogę.

Dokąd? Wydawało mu się, że zna odpowiedź na to konkretne pytanie. Sny to tylko sny, jednak na początek postanowił skierować się na północny zachód. W stronę Nebraski.

Wyjechał z miasta na rowerze, kwadrans po pierwszej trzeciego lipca. Rano spakował plecak, wkładając do kieszonki pewien zapas aspiryny – na wszelki wypadek – i trochę żywności w puszkach. Zasmakował w zupach pomidorowych campbella i ravioli boyardee. Zabrał ich dość sporo. Wziął również manierkę i kilka pudełek nabołów do pistoletu.

Ruszył wzdłuż ulicy, rozglądając się w poszukiwaniu garaży, aż w końcu wypatrzył to, o co mu chodziło: rower górski z dziesięcioma przerzutkami, niezbyt duży, jak w sam raz dla niego.

Popedałował wolno wzdłuż Main Street na rozgrzewkę, aby nie przemęczyć bolącej nogi. Kierował się na zachód, ścigany przez swój cień, jadący na własnym, czarnym rowerze. Mijał piękne, ukryte w chłodnym cieniu domki na obrzeżach miasta, żaluzje we wszystkich oknach były opuszczone.

Noc spędził w domku na farmie, dziesięć mil na zachód od Shoyo. Przed zmierzchem czwartego lipca dotarł prawie do Oklahomy. Tego wieczoru, przed położeniem się spać obserwował deszcz meteorytów rozświetlających noc zimnym, białym blaskiem. Pomyślał sobie, że nigdy jeszcze nie widział czegoś równie pięknego. Niezależnie od tego, co go czekało na końcu tej wędrowki cieszył się, że żyje.

ROZDZIAŁ 41

O wpół do dziewiątej rano Larry'ego obudziły promienie słońca i śpiew ptaków. Jedno i drugie wciąż niepomiarne go dziwiło. Każdego ranka odkąd opuścili Nowy Jork witały go słońce i ptasi śpiew. Dodatkową atrakcją, można by rzec premią, było powietrze, czyste, wonne i rześkie. Nawet Rita zwróciła na to uwagę. Myślał, że dobrze jest jak jest, ale z każdym dniem było coraz lepiej. Do tego stopnia, że zaczynałeś zastanawiać się, co właściwie robisz na tej planecie. I zachodziłeś w głowę, czy powietrze ZAWSZE pachniało tak przyjemnie, w Minnesocie, Oregonie lub na zachodnim zboczu Gór Skalistych.

Leżąc w swojej części dwuosobowego śpiwora, pod niskim, materiałowym dachem namiotu (dwójki), który dołączyli do swojego wyposażenia w Passaic, rankiem drugiego lipca Larry przypomniał sobie, jak Al Spellman z kapeli Tattered Remnants próbował niegdyś namówić Larry'ego, aby wyjechał z nim i paroma kumplami na biwak. Zamierzali wyruszyć na wschód, zatrzymać się na noc w Vegas, a stamtąd udać się do Loveland w Kolorado. W górach za Loveland zamierzali spędzić jakieś pięć do sześciu dni.

„Dajcie sobie spokój z tym porąbanym pomysłem – odwarknął na to Larry. – Wróćcie wszyscy pokąsani przez komary, z tyłkami poparzonymi przez trujący bluszcz od srana w krzakach. Jeżeli zdecydujecie się spędzić pięć dni w «Dunes» w Vegas, dajcie mi znać”.

Ale może właśnie tak było wtedy na biwaku. Byłeś sam, nikt nie wchodził ci w paradę (za wyjątkiem Rity, ale z nią akurat potrafił od biedy wytrzymać), oddychałeś świeżym powietrzem, a nocą kładłeś się spać i zamiast wiercić się na łóżku, po prostu, trzask prask, zasypiałeś, jakby ktoś walnął cię po łbie młotem kowalskim. Żadnych problemów, może za wyjątkiem tego, dokąd udasz się nazajutrz i ile zajmie ci to czasu. Tak. To po prostu cudowne.

A ten poranek, w Bennington w Vermont (zmierzali teraz na wschód, wzdłuż autostrady numer 9) był doprawdy niezwykły. Na Boga, wszak dziś wypadał czwarty lipca, Dzień Niepodległości.

Usiadł w śpiworze i spojrzał na Rite, ona jednak wciąż spała jak zabita, widać było tylko zarysy jej ciała pod pikowanym materiałem śpiwora i zmierzwioną szopę czarno-siwych włosów. Cóż... postanowił, że dziś rano obudzi ją z prawdziwą pompą.

Rozsunął suwak po swojej stronie i całkiem nagi wyczołgał się na zewnątrz. Przez chwilę miał gęsią skórkę, zaraz jednak zrobiło mu się ciepło. Na dworze było jakieś 70 stopni Fahrenheita. Zapowiadał się kolejny upalny dzień.

Wypełził z namiotu i wstał.

Obok namiotu stał czarny, chromowany Harley Davidson 1200. Podobnie jak śpiwór i namiot zdobyli go w Passaic. Do tej pory poruszali się samochodem. Zmieniali auta trzy razy. Dwa pierwsze musieli zostawić na szosie, przejazd zablokowało im bowiem kilkanaście rozbitych do cna samochodów, których nijak nie dało się objechać czy wyminąć, trzeci ugrzązał w błocie pod Nutley, kiedy Larry zjechał na pobocze, by ominąć dwie stojące na szosie, rozbite ciężarówki. Jedynym rozwiązaniem był motocykl. Można było precyzyjnie się nim przez najgorsze blokady na drodze, czy to spowodowane kraśkami, czy ustawione przez wojsko. W razie konieczności można było nawet przejechać nim po chodniku, czy w miarę solidnym poboczu. Ricie pomysł ten nie przypadł do gustu – jazda na siodelku z tyłu przyprowadzała ją o palpitację serca, kurczowo wtedy przywierała do pleców Larry'ego, choć jak sama przyznała, nie było dla nich lepszego rozwiązania.

Ostatnie znane ludzkości miejskie korki były dosłownie i w przenośni zabójcze. Odkąd opuścili Passaic i znaleźli się poza miastem, jechało im się wręcz wspaniale. Drugiego lipca wieczorem ponownie przekroczyli granicę stanu Nowy Jork i rozbili namiot na obrzeżach Quarryville, na zachód od którego rozciągało się spowite całunem mgieł i tajemniczy pasmo Catskills. Trzeciego po południu skręcili na wschód, wjeżdżając po zmierzchu do Vermont. I oto znaleźli się w Bennington.

Obozowali na wzniesieniu pod miastem. Stojąc nagi obok motocykla, Larry odlewał się i podziwiał rozciągający się poniżej, urzekający jak z pocztówki pejzaż nowoangielskiego miasteczka. Dwa białe, skromne kościołki, których wieże wznosiły się jakby chciały dosięgnąć czystego, błękitnego porannego nieba, prywatna szkoła, szare kamienne budynki obrośnięte bluszczem, kilka szkół z czerwonej cegły oraz mnóstwo drzew przyodzianych w soczystą, letnią zielen. Wrażenie psuł jedynie brak dymu z kominów fabryk i kilka małych, wyglądających jak blaszane zabawki samochodów parkujących w dziwnych miejscach, na środku ulicy bądź też skrzyżowania, dokąd, nawiasem mówiąc, wiodła szosa, po której się poruszali. W tej skąpanej w słonecznym blasku ciszy (niezmałowanej, jeśli nie liczyć śpiewu ptaków) Larry mógłby zacytować słowa nieżyjącej już Irmey Fayette, gdyby ją znał: „Niewielka strata”.

Ale przecież był czwarty lipca, a on wciąż czuł się Amerykaninem.

Chrzęknął, splunął i zamruczał kilka razy, aby odnaleźć odpowiednią tonację, nabrał tchu, świadom, że lekki poranny wietrzyk muska pieszczotliwie jego nagi tors i pośladki, po czym zagrzmiął na całe gardło:

O, say, can you see

*by the dawns early light
What so proudly we hailed,
at the twilights last gleaming?...*

Odśpiewał niewzruszenie cały hymn, spoglądając w kierunku Bennington i dopiero pod sam koniec zaczął trochę fałszować, czuł bowiem, że Rita przygląda się jego występowi od wejścia do namiotu i uśmiecha się pod nosem. Zasalutował dziarsko w kierunku budynku, gdzie jak przypuszczał znajdowała się siedziba władz Bennington, po czym odwrócił się na pięcie z gorącym przeświadczeniem, że najlepszym rozpoczęciem kolejnego roku niepodległości starych, dobrych Stanów Zjednoczonych Ameryki będzie stary, dobry, szybki numer.

– Larry Underwood, Gorliwy Patriota, życzy miłego dnia...

Okazało się jednak, że płachta u wejścia do namiotu była opuszczona i przez chwilę ponownie wezbrała w nim złość, której powodem po raz kolejny okazała się Rita. Stłumił ją w sobie. Nie mogła przez cały czas nadawać na tych samych, co on falach. Ot i wszystko. Jeżeli zdołasz uświadomić to sobie i jakoś się z tym pogodzić, znajdziesz się na dobrej drodze do dojrzałego związku. Od czasu pamiętnej przeprawy przez tunel w swoich stosunkach z Ritą odczuwał naprawdę sporo dobrej woli, starał się i sądził, że całkiem nieźle mu to wychodzi.

Wszystko polegało na tym, by umieć postawić się w jej położeniu. Musiałeś uświadomić sobie, że była od ciebie dużo starsza i miała swoje nawyki. To zrozumiałe, że trudniej jej zaadaptować się w świecie, który z dnia na dzień stanął na głowie. Choćby te pigułki. Nie ucieszył się kiedy odkrył, że zabrała ze sobą całą aptekę, wielki słoik z zakręcanym wieczkiem pełen najróżniejszych prochów i pastylek. Były tu „trzmiele”, darvon, quaaludes i cała masa innych, które nazywała „podręcznymi niezbędnikami”. Te ostatnie miały czerwony kolor. Wystarczyły trzy plus szklaneczka tequili, abyś przez cały Boży dzień chodził radosny jak skowronek. Nie spodobało mu się to, bo nadmiar prochów po „wyżach psychicznych” powodował nieuniknione „dołki”, a stąd krok tylko dzielił ją od dostania małpiego rozumu. Wyobraźcie sobie King Konga dostającego małpiego rozumu. Poza tym nie podobało mu się to z jeszcze jednego względu, kiedy bowiem powiedział jej o tym wprost, spoliczkowała go. Co ją tak denerwowało? Dlaczego miałyby mieć problemy z zaśnięciem? On nie miał takich kłopotów. Czy nie troszczył się o nią? Jeszcze jak.

Wrócił do namiotu i przed wejściem zawahał się przez chwilę. Może nie powinien jej budzić. Może była zmęczona. Ale...

Spojrzał na swojego Pana Świderka, a ten bynajmniej nie zamierzał pozwolić jej spać. Gwiazdzisty Sztandar nieźle go podkręcił. Larry odwinął płachtę przy wejściu do namiotu i wczuł się do środka.

– Rito?

Poczuł to natychmiast po tak potężnej dawce świeżego, porannego powietrza na zewnątrz. Gdy wypełzał z namiotu był zbyt zaszpany, by zwrócić na to uwagę. Woń nie była zbyt rażąca, gdyż namiot miał całkiem niezłą wentylację, niemniej wyczuwało się ją wyraźnie – słodko-kwaśny odór wymiocin i choroby.

– Rito?

Poczuł narastający niepokój wywołany jej widokiem, a raczej bezruchem, w jakim leżała. Larry widział tylko te posiwiałe włosy sterczące na wszystkie strony. Podczołgał się do niej na czworakach, a smród wymiocin, teraz znacznie silniejszy sprawił, że coś ścisnęło go w dołku.

– Rito, nic ci nie jest? Obudź się!

Żadnego ruchu.

Odwrócił ją. Suwak śpiwora był do połowy rozsunięty, jakby w nocy próbowała się z niego wydostać; może zdawała sobie sprawę, co się dzieje, próbowała walczyć, lecz bez skutku, podczas gdy on przez cały ten czas leżał spokojnie u jej boku, jak Śpiący Rycerz. Odwrócił ją i z jej dłoni wypadła fiołka po lekarstwach. Oczy Rity, widoczne spod półprzymkniętych powiek wyglądały jak lekko zmętniałe, szklane kulki, usta wypełniała zielona masa rzygowin, którymi się zadławiła. Długo, bardzo długo wpatrywał się w jej martwe oblicze. Ich twarze niemal stykały się ze sobą, a w namiocie zaczęło nagle robić się coraz cieplej, coraz goręcej, jak na poddaszu w upalne sierpniowe popołudnie, tuż przed wielką ulewą. Kręciło mu się w głowie. Jej usta pełne wymiocin. Nie mógł oderwać od nich wzroku. W jego mózgu kołatała mu się jedna tylko myśl: „Jak długo spałem przy niej, po tym jak umarła? To odrażające, stary. ODRAŻAJĄCE”.

Wreszcie odzyskał nad sobą panowanie i wypełził na zewnątrz, rozdrapując sobie do krwi gołe kolana na twardej, szorstkiej ziemi przed wejściem do namiotu. Poczuł, że i jemu zbiera się na mdłości, stłumił je w sobie, bardziej niż czegokolwiek innego nie cierpiał właśnie rzygania i nagle pomyślał: „Ale, stary, przecież ja wróciłem tam, żeby ją zerznąć!”. Ledwie to sobie uświadomił, puścił wielkiego pawia, a kiedy odczołgiwał się od parującej kałuży wymiocin, czując w nosie i ustach zniechęcony mdłaco-kwaśny posmak, płakał jak dziecko.

Myślał o niej prawie przez cały ranek. Jej śmierć przyjął niemal z ulgą, a raczej Z WIELKĄ ULGĄ. Nikomu nie przyznałby się do tego otwarcie. To potwierdzało wszystko, co mówiła o nim matka, Wayne Stukey, a nawet ta głupia cipa mieszkająca niedaleko uniwersytetu Fordham. Larry Underwood, zimna ryba z Fordham.

– Nie jestem miłym facetem – powiedział na głos i od razu poczuł się lepiej. Łatwiej było mówić prawdę, a przecież grunt to mówić prawdę. Gdzieś w mrocznych zakamarkach podświadomości, gdzie prowadzone są zakulisowe rozgrywki, zawarł pakt z sobą samym, zgodnie z którym miał się nią opiekować. Może nie był miłym facetem, ale nie był także mordercą, a to co zrobił w tunelu podpadało prawie pod usiłowanie morderstwa. I faktycznie

zamierzał się nią opiekować. Nie zrugął jej, gdy na harleyu ścisnęła go w pasie rękoma jak wytrawna zapaśniczka, nie przejął się tym, że z jej powodu pokonywali mniejsze dystanse niż sobie zamierzył, ani że miewała kretyńskie nawyki.

Poprzedniej nocy wstawiła do garnka puszkę z groszkiem, nie robiąc w wieczku otworu, a on rzuciwszy się jak wariat wyciągnął ją z ognia nadpaloną i spęczniała na trzy sekundy przed tym, jak eksplodowałyby im prosto w twarz, oślepiając i szpikując ich oboje gradem blaszanych odłamków. Czy jednak powiedział jej choć jedno złe słowo? Nie. Rzucił tylko jakiś niewinny żarcik i puścił ten incydent w niepamięć. Tak samo z pigułkami. Uznał, że to wyłącznie jej sprawa.

„Może powinieneś z nią o tym porozmawiać. Może tego właśnie chciała”.

– Nie jestem psychoanalitykiem – rzucił na głos.

Chodziło o przetrwanie. Ona po prostu nie umiała temu podołać. Może zdawała sobie z tego sprawę od tamtego dnia w Central Parku, kiedy wypaliła w pień drzewa ze swojej taniej .32-ki, która wyglądała jakby mogła eksplodować jej w dłoni. Może...

– Morze jest szerokie i głębokie! – warknął gniewnie Larry. Podniósł manierkę do ust, lecz była prawie pusta, a on wciąż czuł w ustach ten nieprzyjemny posmak. Możliwe, że w całym kraju byli inni ludzie, tacy jak ona. Grypa nie pozostawiała przy życiu tylko tych, co mieli przetrwanie we krwi. Niby dlaczego miałoby tak być? Całkiem prawdopodobne, że gdzieś tam, w którymś z miast był człowiek ocalały z zarazy, dogorywający właśnie na zapalenie migdałków. Jak mógłby powiedzieć Henry Youngman: „Ludzie, mam ich cały milion”.

Larry siedział w brukowanej zatoczce przy zjeździe z autostrady. Widok Vermont ciągnącego się w kierunku Nowego Jorku, w oparach złocistej porannej mgły zapierał dech w piersiach. Wedle znacznika miejsce to nazywało się Dwunasta Mila. Larry podejrzewał, że obejmował stąd wzrokiem obszar znacznie rozleglejszy aniżeli dwanaście mil. W pogodny dzień można by chyba zobaczyć stąd koniec świata. Po przeciwnej stronie wysepki znajdował się wysoki do kolan kamienny murek, u stóp którego spoczywały szczątki kilku rozbitych butelek po budweiserze. I zużyty kondom. Podejrzewał, że o zmierzchu zjawiali się tu licealiści, by oglądać gasnące światła w mieście poniżej. To ich podkręcało i przechodzili od słów do czynów. Na ostro.

Dlaczego zatem czuł się tak fatalnie? Przecież powiedział prawdę, czyż nie? Tak. A najgorszą prawdą było to, że przyjął jej śmierć z ogromną ulgą. Bo przecież pozbył się uciążliwego balastu.

„Nie, najgorsza jest samotność. Samotność”.

Smutne, ale prawdziwe. Brakowało mu kogoś, do kogo mógłby zwrócić się choćby takimi słowy: „W pogodny dzień można by zobaczyć stąd koniec świata”. Ale jego jedyna towarzyszka została w namiocie, półtorej mili stąd, z ustami wypełnionymi krzepnącą masą zielonych rzygowin. Sztywna, zimna. Przywabiająca muchy.

Larry oparł głowę o kolana i zamknął oczy. Raz po raz powtarzał sobie, że się nie rozklei. Nie zacznie płakać. Nie cierpiał tego prawie tak samo jak wymiotowania.

Koniec końców stchórzył. Nie potrafił jej pogrzebać. Przychodziły mu do głowy najgorsze myśli – o robakach, żukach, chrząszczach, gryzoniach, które przywabione wonią trupa zjawily się, by się pożywić, a także o niesprawiedliwości jaką było pozostawienie przez jednego człowieka zwłok drugiego, jak papierka po cukierkach czy pustej puszki po pepsi. Niemniej pogrzebanie jej wydawało mu się w pewien sposób bezprawne (a przyrzekł sobie przecież, że będzie mówił tylko prawdę, czyż nie?), choćby nawet wytłumaczenie to nie było w pełni przekonujące. Potrafił pojechać do Bennington, gdzie włamał się do sklepu z artykułami żelaznymi i wybrać najpopularniejszy model łopaty i kilofa. Ba, wrócił nawet, po czym starannie najpopularniejszymi modelami łopaty oraz kilofa wykopał najpopularniejszy model jednoosobowego grobu w pobliżu jakże ongiś popularnej zatoczki przy Dwunastej Mili. Nie potrafił jednak wrócić do namiotu (który z całą pewnością cuchnął teraz w środku jak stacja w Central Parku, gdzie w jakże popularnej budce czekała na nieświadomych przechodniów mroczna, wydzielająca popularny, słodko-mdlący fetor niespodzianka), rozpiąć do końca suwaka śpiwora, wyciągnąć z niego jej zeszywniałe zwłoki, i ujawszy pod pachy, przywlec ją do dołu, wrzucić do środka, a następnie przysypać ziemią, patrząc jak brunatne grudy przesłaniają wolno jej białe nogi upstrzone nitkami żyłaków i wplątują się między włosy...

„Nic z tego, koleś. Chyba to sobie odpuszczę. Jeśli to tchórzostwo, trudno, jestem tchórzem”.

Wrócił do namiotu i odwinął płachtę przy wejściu. Znalazł długi patyk. Zaczerpnął głęboki oddech, wstrzymał i patykiem wyciągnął na zewnątrz swoje rzeczy. Wycofawszy się na bezpieczną odległość ubrał się.

Ponownie nabrał powietrza, wstrzymał oddech i patykiem wyłuskał z namiotu swoje buty. Następnie usiadł na zwalonym pniu nieopodal i wzuł je.

Smród przesiąknął całe jego ubranie.

– Gówno prawda – wyszeptał.

Widział ją, leżała na wpół w śpiworze, na wpół na podłodze namiotu. Jedną rękę trzymała wyciągniętą do przodu. W dłoni wciąż ścisnęła pustą buteleczkę po proszkach. Zdawało mu się, że patrzyła na niego oskarżycielsko spod półprzymkniętych powiek. To znów przywiodło mu na myśl tunel i wizje ożywionych trupów. Pospiesznie sięgnął patykiem i opuścił płachtę namiotu.

Ale wciąż czuł na sobie tę woń.

W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak zrobić w Bennington dłuższy postój. W tamtejszym salonie odzieżowym pozbył się wszystkich swoich rzeczy i zaopatrzył się w nowe. Wybrał dla siebie trzy pełne zmiany, do tego cztery pary skarpet i szortów. Nie

zapomniał również o butach. Przeglądając się w trójdzielnym lustrze, widział za sobą pusty salon i harleya stojącego ukośnie przy chodniku.

– Nieźle, nieźle – mruknął. – Jak z żurnala.

W pobliżu nie było jednak nikogo, kto mógłby podziwiać jego gust.

Wyszedł z salonu i uruchomił harleya. Przypuszczał, że w pierwszym lepszym sklepie sportowym znalazłby dla siebie nowy namiot i śpiwór, lecz jedyne czego obecnie pragnął, to wydostać się jak najszybciej z tego miasta.

Zatrzyma się w którymś z kolejnych miast na trasie.

Wyjeżdżając z Bennington podążył wzrokiem ku wzniesieniu i dostrzegł punkt widokowy Dwunastej Mili, lecz miejsce gdzie rozbili namiot znajdowało się poza zasięgiem jego wzroku. No i dobrze, to nawet lepiej, ponieważ...

Ponownie przeniósł wzrok na szosę i strach ścisnął go za gardło. Pickup marki International Harvester z przyczepą chciał ominąć samochód osobowy i przyczepa przewróciła się. A on, ponieważ nie patrzył na szosę, pruł prosto na nią.

Skręcił ostro w prawo, przez chwilę szorując przyobleczoną w nowy but stopą po asfalcie i prawie mu się udało. Zahaczył jednak lewym podnóżkiem o tylny zderzak przyczepy i potężna siła wyrwała spod niego motor. Larry z głuchym łomotem wylądował na skraju autostrady. Harley przewrócił się z tyłu, za nim.

– Nic ci nie jest? – zapytał na głos. Dzięki Bogu, że jechał zaledwie dwudziestką. Dzięki Bogu, że nie było z nim Rity, ani chybi dostałaby ataku hysterii i kto wie, czy nie oszalałaby do reszty. Oczywiście, gdyby była z nim Rita nie odwracałby się i nie patrzył w stronę wzniesienia, tylko T.O.N. – TROSZCZYŁBY SIĘ O NIĄ!

– Nic mi nie jest – odpowiedział sam sobie, choć nadal nie był pewien prawdziwości tych słów. Usiadł. Cisza, jak to się już niekiedy zdarzało, znów go zdeprymowała. Wrażenie było tak niewiarygodne, że gdyby zaczął się nad nim zastanawiać, bez wątpienia popadłby w obłąd. Ulgę przyniosłby mu nawet odgłos płaczącej Rity.

Przed oczami zawirowały mu błyszczące powidoki i przez chwilę był pewien, że zemdleje. „Jestem ranny – pomyślał – ale poczuję ból dopiero za jakiś czas, kiedy minie szok i wtedy się okaże, że rozharatałem sobie to lub owo, a kto w tej sytuacji założy mi opaskę uciskową?”

Kiedy jednak słabość minęła, przyjrzał się sobie uważnie i uznał, że chyba mimo wszystko wyszedł z upadku bez większego szwanku. Miał zdartą skórę na obu dłoniach i nowe spodnie rozerwane na prawym kolanie (kolano także pokiereszowane), ale były to tylko lekkie zadrapania, każdemu mogło się przytrafić. Niejednemu motocykliście zdarza się czasem spaść z motoru.

Mimo to wiedział co go tak dręczyło. Mógł walnąć głową o asfalt tak mocno, że pękłaby mu czaszka i leżałby tak, dogorywając i prażąc się w promieniach słońca, sam jeden na pustej

szosie (jeśli nie liczyć rozbitych maszyn). Albo zadławiłby się na śmierć własnymi wymiocinami, jak jedna z jego przyjaciółek (obecnie już nieżyjąca).

Podszedł chwiejnie do harleya i podniósł maszynę do pionu. Motocykl wydawał się nie uszkodzony, ale wyglądał inaczej. Wcześniej była to po prostu maszyna, dość czarująca – nawiasem mówiąc, służąca mu do przemieszczania się z miejsca na miejsce i sprawiająca, że czuł się jak James Dean albo Jack Nicholson w Aniołach Piekieł. Teraz jednak chrom maszyny zdawał się szczerzyć do niego niczym naganiacz w lunaparku, nakłaniając by podszedł i przekonał się, czy ma w sobie dość ikry by wsiąść na tego dwukołowego stalowego potwora.

Silnik zapalił przy trzecim kopnięciu startera. Larry wyjechał z Bennington bardzo wolno, niemal z prędkością marszu. Ręce miał spocone i nagle uświadomił sobie, że nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie pragnął ujrzeć twarzy drugiego człowieka.

Lecz tego dnia jego życzenie się nie ziściło.

Po południu nieznacznie przyspieszył, lecz nie potrafił zmusić się, by naprawdę mocno dodać gazu. Igła prędkościomierza wskazywała cyfrę dwadzieścia, mimo że Larry widział, iż szosa przed nim była pusta i prosta jak stół. Na rogatkach Wilmington napotkał sklep z artykułami sportowymi i motocyklowymi. Zaopatrzył się w nim w śpiwór, parę grubych rękawic oraz kask, lecz nawet w kasku utrzymywał prędkość rzędu dwudziestu pięciu mil na godzinę. Przy ostrych zakrętach zwalniał, a czasami nawet zsiadał z siodełka i przeprowadzał maszynę przez wyjątkowo trudny odcinek szosy. Oczyma duszy widział siebie, leżącego bez przytomności na poboczu i wykrwawiającego się na śmierć, gdyż w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby udzielić mu pomocy.

O piątej, gdy zbliżał się do Brattleboro zapaliła się lampka sygnalizująca przegrzanie maszyny. Larry zatrzymał motor i wyłączył go z mieszaniną ulgi i niesmaku zarazem. Był zde gustowany.

– Równie dobrze mógłbyś go pchać! – powiedział. – Te maszyny nie powinny jeździć wolniej niż sześćdziesiątką, ty cholerny kretynie!

Zostawił motocykl na poboczu i wszedł do miasta, nie wiedząc czy po niego wróci.

Tego wieczoru zasnął na plantach, w cieniu muszli koncertowej. Gdy zapadł zmrok położył się po prostu w śpiworze na szorstkich deskach i zaraz usnął. Jakiś czas później obudził go głośny dźwięk. Larry spojrzął na zegarek. Fosforyzujące wskazówki jego zegarka wskazywały jedenastą dwadzieścia. Podźwignął się na łokciu i wlepił wzrok w ciemność, czując otaczające go z trzech stron ściany muszli. Jakże brakowało mu namiotu zatrzymującego ciepło ciała. Czuł się w nim jak w łonie matki.

Dźwięk, jeśli rzeczywiście jakiś się pojawił, ucichł zupełnie, nie było słyhać nawet świerszczy. Czy to dobry znak? Czy to normalne?

– Jest tam kto? – zawołał Larry i przeraził się, słysząc dźwięk własnego głosu. Sięgnął po karabin i przez długą, pełną narastającej paniki chwilę nie mógł go odnaleźć. Kiedy w końcu poczuł pod palcami znajomy kształt, bez namysłu uniósł broń i zacisnął palec na spuście jak tonący zacisnąłby palce na kole ratunkowym. Gdyby nie zaciągnięty bezpiecznik ktoś mógłby oberwać. Zapewne on sam.

W tej ciszy coś było, teraz nie miał już co do tego wątpliwości. Może człowiek, a może jakieś wielkie, groźne zwierzę. Naturalnie człowiek też mógł okazać się niebezpieczny. Jak ten ktoś, kto zaszlachtował szalonego nawoływacza, głoszącego nadejście potworów, albo niejaki John Bearsford Tripton, oferujący mu milion dolców w gotówce za udostępnienie mu na kwadrans kobiety.

– Kto tam?

W plecaku miał latarkę, ale by po nią sięgnąć musiałby puścić karabin, który położył sobie na podołku. Poza tym... czy naprawdę chciał zobaczyć tego kogoś?

Tak więc siedział po prostu w bezruchu, nasłuchując (Czy to, co go obudziło to był rzeczywiście dźwięk? A może po prostu coś mu się przyśniło?), a w jakiś czas później głowa opadła mu na piersi i usnął.

Wtem gwałtownie uniósł głowę, otworzył szeroko oczy, a całe jego ciało przeszły lodowaty dreszcz. Ponieważ teraz NA PEWNO usłyszał ten DŹWIĘK, a gdyby nie pochmurna noc, blask księżyca zbliżającego się do pełni ukazałby mu...

Lecz on nie chciał tego zobaczyć. Na pewno nie. Za żadne skarby. Siedział więc sztywno, jakby kij połknął, z lekko przekrzywioną głową, wsłuchując się w odgłos zakurzonych obcasów oddalający się coraz bardziej, niknący w głębi Main Street w Brattleboro w Vermont, kierujący się na zachód i słabnący z każdą chwilą, by ostatecznie rozpląnąć się w powodzi innych dźwięków.

Larry poczuł nagle nieprzeparte pragnienie by wstać, nie zważając na zsuwające mu się po nogach miękkie fałdy śpiwora i wrzasnął na całe gardło: „WRACAJ, KIMKOLWIEK JESTEŚ! NIE ZWAŻAM NA TO! WRÓĆ!”. Ale czy naprawdę było mu to obojętne? Czy rzeczywiście nie obchodziło go kim był jego nocny gość? Muszla koncertowa wzmogłaby jego wołanie, a raczej, jak w tym przypadku, błaganie. A gdyby te stukające obcasy powróciły, gdyby usłyszał ich dźwięk narastający pośród ciszy, w której nie było słychać nawet grania świerszczy?

Zamiast wstać ponownie się położył, przyjmując pozycję płodową z obiema rękami zaciśniętymi na karabinie. „Tej nocy już na pewno nie zmrużę oka” – pomyślał, lecz w trzy minuty później już spał, a następnego ranka nie miał najmniejszych wątpliwości, że to wszystko tylko mu się przyśniło.

ROZDZIAŁ 42

Podczas gdy Larry Underwood wykonywał swą pamiętną solówkę z okazji Święta Czwartego Lipca, Stu Redman zaledwie jeden stan dalej siedział na wielkim głązie na poboczu, pałaszując lunch. Usłyszał odgłos zbliżających się maszyn. Dopił piwo jednym długim łykiem i starannie domknął kartonowe wieczko tuby z krakersami. Karabin stał oparty o skałę, tuż obok. Sięgnął po broń, zwolnił bezpiecznik i ponownie ją odstawił, tym razem znacznie bliżej.

Nadjeżdżały motocykle, nieduże, sądząc po odgłosach. Dwieście pięćdziesiątki? W tej głębokiej ciszy nie sposób było określić, jak daleko się znajdowały. Dziesięć mil? Może, ale nie na pewno. Miał sporo czasu, aby jeszcze coś przekąsić, gdyby tylko zechciał, lecz wcale nie chciało mu się jeść. Słońce grzało przyjemnie, myśl o spotkaniu z innymi ludźmi wydawała mu się nad wyraz kusząca. Odkąd opuścił dom Glena Batemana w Woodsville nie napotkał po drodze żywego ducha. Znów zerknął na karabin. Zwolnił bezpiecznik na wypadek, gdyby ludzie ci okazali się łajdakami pokroju Eldera.

Ponownie oparł broń o skałę, gdyż mimo wszystko miał nadzieję, że napotka ludzi w rodzaju Batemana, choć może patrzących w przyszłość z nieco większym optymizmem. „Społeczeństwo się odrodzi – mówił Bateman. – Zauważ, że nie powiedziałem «zreformuje». To doprawdy niezamierzona, choć ponura gra słów. Rasa ludzka jest osobliwie odporna na wszelkie reformy”.

Sam Bateman jednak nie miał ochoty przyłożyć ręki do odrodzenia cywilizacji. Wydawał się w pełni zadowolony (przynajmniej na razie), mogąc chodzić z Kojakiem na spacer, malować obrazy, zajmować się ogródkiem i rozważać socjologiczne implikacje wynikające z faktu niemal całkowitej zagłady rasy ludzkiej.

„Gdybyś tędy wracał, Stu i ponowił swoją propozycję, abym «przyłączył się do gry», zapewne się zgodzę. Oto przekleństwo rasy ludzkiej. Instynkt stadny. Chrystus powinien wyrazić się nieco inaczej: «Zaprawdę powiadam wam, gdziekolwiek zbierze się dwóch lub trzech spośród was, tam zjawi się następny, by wszystko roznieść w drobiazgi.» Czy mam ci wyjaśnić, czego uczy nas o rasie ludzkiej socjologia? Będę się streszczał. Pokaż mi samotnego mężczyznę lub kobietę, a ja wskażę ci świętego. Niech spotka się dwoje ludzi, a

zrodzi się między nimi miłość. Tam gdzie spotkają się trzy osoby natychmiast sprokurują one radosny twór, zwany «społeczeństwem». Daj mi cztery osoby, a wzniosą piramidę. Daj mi pięć, a jednego spośród nich uczynią wygnańcem. Zbierz sześć osób, a wynajdą one wrogość. Zbierz siedem, a po siedmiu latach zaczną one między sobą toczyć wojny. To możliwe, że człowiek stworzony został na podobieństwo Boga, lecz społeczeństwo powstało na wzór Jego przeciwieństwa, ten zaś jak zawsze stara się odzyskać, co utracił”.

Czy to prawda? Jeżeli tak, niechaj Bóg ma ich w swojej opiece. Ostatnimi czasy Stu sporo myślał o starych przyjaciółach i znajomych. Jego pamięć miała tendencję do wymazywania ich wad czy najdrobniejszych nawet minusów, choćby tego, jak Bill Hapscomb dłużał w nosie, a potem wycierał palec o podeszwę buta, tego że Norm Bruett miał dla swoich dzieciaków wyjątkowo ciężką rękę albo że Billy Verecker starannie kontrolował przyrost naturalny kotów, miażdżąc cienkie skorupki czaszek nowo narodzonych kociąt pod obcasami swych ciężkich roboczych buciorów.

Myśli na ich temat, przychodzące mu do głowy były całkowicie pozytywne. Wspomnienia polowań, kiedy o świcie czatowali na zwierzynę ubrani w grube, pikowane koszule i pomarańczowe, odblaskowe kamizelki. Pokerek w domu Ralpa Hodgesa, i to jak Willy Craddock zawsze skarżył się, że stracił cztery dolce, choć był dwie dychy do przodu. Jak w sześciu czy siedmiu wypychali z powrotem na drogę auto Tony’ego Leominstera, gdy ten spity jak bela wpakował się do rowu i jak przez cały ten czas Tony plątał się koło nich, zaklinając się na wszelkie świętości, że próbował tylko wyminąć ciężarówkę pełną meksykańskich imigrantów. Jezu, ale się wtedy uśmiali. Albo Chris Ortega, który wciąż opowiadał etniczne dowcipy. Wypadki do Huntsville na dziwki, Joe Bob Brentwood, załapujący od jednej z kurew mendy, usiłujący wmówić wszystkim, że to nie wina panienci, lecz zarobaczywionej szafy w saloniku. To były cholernie dobre czasy. Nie nocne kluby, wykwintne restauracje czy muzea. To były rozrywki dla tak zwanych inteligentów i jajogłowych, a nie dla ludzi jego pokroju. Może inne niż te jego, ale i tak nie zamieniłyby ich na za nic. Powracał do nich myślami raz po raz, jak stary odludek wykładający wolno, jedną po drugiej karty pasjansa z przetłuszczonej, mocno wyświechtanej talii. Przede wszystkim chciał usłyszeć głosy innych ludzi, poznać kogoś, móc odwrócić się do niego i zapytać: „Widziałeś to?”, kiedy kontemplował coś równie pięknego i urzekającego, jak deszcz meteorów ubiegłej nocy. Nie był szczególnie gadatliwy, ale nigdy nie przepadał za samotnością.

Kiedy więc motocykle wyłoniły się wreszcie zza zakrętu nieco się wyprostował i dostrzegł, że rzeczywiście były to dwustupięćdziesiątki, produkcji japońskiej, hondy. Jedną z nich prowadził osiemnastoletni z wyglądu chłopak, drugą zaś nieco chyba od niego starsza dziewczyna. Dziewczyna miała na sobie jasnożółtą bluzkę i jasnoniebieskie levisy.

Zauważyli go, siedzącego przy skale i maszyny lekko się zakołysały, gdy dwójka motocyklistów wskutek zaskoczenia omal nie straciła nad nimi panowania. Chłopak aż otwarł

usta ze zdumienia. Przez chwilę trudno się było zorientować, czy hondy zatrzymają się, czy też przyspieszą, kierując się dalej, na zachód.

Stu uniósł prawą, otwartą dłoń i pogodnym tonem zawołał:

– Cześć!

Serce waliło mu w piersi jak młotem. Chciał aby motocykle stanęły. I tak się stało.

W pierwszej chwili zaskoczyła go ich pełna napięcia postawa. Zwłaszcza u chłopaka – wyglądał jakby wlano mu do krwioobiegu galon adrenaliny. Naturalnie, Stu miał karabin, lecz w nich nie celował, a jak stwierdził przybysze również byli uzbrojeni. On miał pistolet, a ona sztucer przewieszony na ukos przez plecy, jak aktorka odgrywająca Patty Hearst (choć niezbyt przekonująco).

– Myślę, że on jest w porządku, Haroldzie – powiedziała dziewczyna, lecz chłopak, którego nazwała Haroldem wciąż siedział okrakiem na swoim motorze, łypiąc na Stu z mieszaniną zdziwienia i bliżej niesprecyzowanej wrogości.

– Powiedziałam, że wydaje mi się... – zaczęła znowu.

– Skąd twoim zdaniem mielibyśmy to wiedzieć? – warknął Harold, nie odrywając wzroku od Stu.

– No cóż, jeżeli o mnie chodzi, cieszę się, że was widzę. Nie wiem czy to cokolwiek zmienia – rzekł Stu.

– A jeżeli powiem, że ci nie wierzę? – rzucił ostro Harold, a Stu zauważył, że chłopak był prawie zielony ze strachu. Bał się go i najprawdopodobniej przerażała go odpowiedzialność za dziewczynę.

– No to nie wiem.

Stu zszedł ze skały. Drżąca dłoń Harolda przesunęła się w stronę tkwiącego w kaburze pistoletu.

– Nie, Haroldzie – powiedziała z naciskiem dziewczyna. A potem nagle zamilkła i przez dłuższą chwilę żadne z nich nie potrafiło uczynić nic więcej, jak trzy pojedyncze kropki, które po połączeniu utworzą trójkąt, lecz jego kształtu, przynajmniej na razie nie sposób się było domyślać.

– Auuuuu – jęknęła Frannie, sadowiąc się na splechietku mchu u podnóża rosnącego przy drodze wiązu. – Wiesz, Haroldzie, chyba już nigdy nie pozbędę się odcisków z mojego tyłka.

Harold burknął coś niezrozumiale pod nosem.

Fran zwróciła się do Stu.

– Przejechał pan kiedyś na hondzie sto siedemdziesiąt mil, panie Redman? NIE POLECAM.

Stu uśmiechnął się.

– Dokąd jedziecie?

– Nie pańska sprawa – odburknął Harold.

– Haroldzie, jak możesz? – rzuciła strofującym tonem Frannie. – Pan Redman jest pierwszym człowiekiem, którego spotykamy od śmierci Gusa Dinsmore’a! Po cóż innego wyruszyliśmy w drogę, jeżeli nie po to, by odnaleźć innych pozostałych przy życiu ludzi?

– On po prostu stara się ciebie chronić – rzekł półgłosem Stu. Urwał źdźbło trawy i wsunął pomiędzy wargi.

– To fakt – przytaknął Harold beznamiętnym tonem.

– Wydawało mi się, że chronimy siebie nawzajem – powiedziała Fran, a Harold wyraźnie się zaczerwienił.

„Tam gdzie spotkają się trzy osoby natychmiast sprokurują one radosny twór zwany społeczeństwem”. Czy jednak tych dwoje było dla niego odpowiednią parą? Polubił dziewczynę, ale chłopak wydał mu się mocno wystraszonym bufonem. Przerażony bufon w pewnych okolicznościach mógł okazać się zabójczo groźny.

– Skoro tak twierdzisz – wykrztusił Harold. Łypnął spod oka na Stu i wyjął z kieszeni kurtki paczkę marlboro. Zapalił jednego. Palił jakby robił to od niedawna. Od wczoraj, albo może przedwczoraj.

– Udajemy się do Stovington, w Vermont – wyjaśniła Frannie. – Do znajdującego się tam ośrodka badań epidemiologicznych. Chcieliśmy... Co się stało, panie Redman?

W jednej chwili pobladł jak ściana. Źdźbło trawy, które żuł spadło mu na podolek.

– Dlaczego tam? – zapytał.

– Bo jest tam ośrodek badań nad chorobami zakaźnymi – odparł z cwaniackim uśmiechem Harold. – Przyszło mi na myśl, że jeżeli w tym kraju cokolwiek jeszcze funkcjonuje normalnie, to wszyscy specjaliści, naukowcy i ludzie z rządu, którzy umknęli śmierci spod kosa powinni przebywać właśnie w Stovington albo w Atlancie, gdzie znajduje się drugi taki ośrodek.

– Właśnie – potaknęła Frannie.

– Marnujecie tylko czas – uciął krótko Stu.

Frannie wyglądała na oszołomioną i zdezorientowaną. Harold na oburzonego – jego szyja i policzki znów zaczęły nabiegać czerwienią.

– Wiesz co, facet, nie wyglądasz mi na wiarygodne źródło informacji.

– Ale to informacje z pierwszej ręki. Bo właśnie stamtąd wracam.

Teraz oboje wydawali się zbici z tropu. Zbici z tropu i kompletnie zdumieni.

– Wiedziałaś o ośrodku? – zapytała Frannie. Była wyraźnie wstrząśnięta. – Sprawdziłeś go osobiście?

– Nie. To nie tak, jak myślicie. Raczej...

– Łzesz jak pies! – rzucił wysokim, piskliwym tonem Harold.

Fran dostrzegła niepokojący zimny błysk gniewu w oczach Redmana, lecz niemal natychmiast stały się ponownie brązowe i łagodne.

– Nie. Nie kłamie.

– Kłamiesz. Jesteś parszywym...

– ZAMKNIJ SIĘ, HAROLDZIE!

Harold spojrział na nią, urażony.

– Frannie, jak możesz wierzyć temu...

– Jak możesz być tak niemiły wobec tego człowieka? Skąd w tobie cała ta wrogość? Może wysłuchałbyś przynajmniej, co pan Redman ma nam do powiedzenia?

– Nie ufam mu.

„Przynajmniej wali prosto z mostu – pomyślał Stu – nie owija niczego w bawełnę. I bardzo dobrze. Ja też”.

– Jak możesz nie ufać komuś, kogo dopiero poznałeś? Haroldzie, rozczarowałeś mnie.

– Powiem wam, skąd wiem o tym wszystkim – powiedział półgłosem Stu.

Opowiedział im skróconą wersję historii, która zaczęła się, kiedy Champion wjechał samochodem w dystrybutory na stacji Hapa. Streścił krótko swoją ucieczkę ze Stovington, tydzień temu. Harold wpatrywał się tępo w swoje dłonie, które nerwowo wyrwały kępki mchu i rozdzierały go na strzępy. Twarz dziewczyny wyglądała jednak jak rozłożona mapa ogarniętego wielką tragedią kraju i Redmanowi zrobiło się jej żal. Wyruszyła w drogę w towarzystwie tego chłopaka (który, co by nie mówić, wpadł na całkiem niegłupi pomysł), wierząc wbrew wszystkiemu, że w tym państwie pozostał jeszcze choć cień dawnego porządku i ładu. Rozczarowanie okazało się nader gorzkie, jak oszacował po jej wyglądzie.

– Atlanta również? Zaraza unicestwiła oba ośrodki? – zapytała.

– Tak – odparł krótko, a Fran rozplakała się.

Chciał ją pocieszyć, ale chłopak nie pozwoliłby mu na to. Harold spojrział niepewnie na Fran, a potem na strzępki mchu na nogawkach spodni. Stu podał jej chustkę. Podziękowała odruchowo, nie unosząc wzroku. Harold znów spojrział na niego spode łba, wyglądał jak mały chłopiec, który chce zatrzymać tylko dla siebie cały słój z łąkociami. „Jakież będzie jego zdziwienie – pomyślał Stu – kiedy stwierdzi, że dziewczyna to nie słoik cukierków”.

Gdy nieco się uspokoiła, powiedziała półgłosem:

– Wydaje mi się, że Harold i ja powinniśmy panu podziękować. Dzięki panu uniknęliśmy długiej wędrówki, na końcu której czekałoby nas głębokie rozczarowanie.

– Chcesz powiedzieć, że ty... ty mu wierzysz? Ot tak, po prostu? Uwierzyłaś mu? Wcisnął ci Bóg wie jaki kit, a ty to kupiłaś?

– Dlaczego miałby kłamać? Co by na tym zyskał?

– Kto wie, co mu chodzi po głowie? – mruknął zjadliwie Harold. – Może lubi gwałcić. Albo mordować.

– Jeżeli chodzi o gwałt, raczej w nich nie gustuję – odparł łagodnym tonem Stu. – Może ty wiesz coś więcej na ten temat.

– PRZESTAŃ – rzuciła Fran. – Haroldzie, czy mógłbyś wreszcie przestać zachowywać się jak ostatni kretyn?

– Kretyn? – wykrzyknął Harold. – Staram się strzec ciebie – a raczej nas obojga – a ty uważasz, że zachowuję się jak ostatni kretyn?

– Spójrzcie – powiedział Stu, podwijając rękaw. W zgięciu łokcia widać było jeszcze ślady nakłuć i zanikające, blaknące sińce. – Robili mi tam zastrzyki. Licho wie po co.

– Może jesteś po prostu ćpunem – rzekł Harold.

Stu bez słowa opuścił rękaw. Naturalnie chodziło o dziewczynę. Zapragnął jej odkąd tylko ją ujrzał. Cóż, niektóre dziewczyny można było zdobyć i zdominować, inne nie. Ta należała chyba do drugiej kategorii. Była wysoka, ładna, wyglądała kwitnąco. Ciemne oczy i włosy podkreślały spojrzenie, które z łatwością można było pomylić z wyrazem łzawej bezradności. Nietrudno było przeoczyć cienką kreskę („linię chciejstwa” – jak ją nazywała matka Stu) pomiędzy brwiami, która stawała się widoczna, kiedy się denerwowała, gestykulowała dłońmi, czy odgarniała włosy z czoła.

– I co teraz zrobimy? – zapytała bezlitośnie, ignorując ostatnie wtręty Harolda do ich rozmowy.

– Pojedziemy dalej, tak czy inaczej – burknął Harold, a gdy łypnęła na niego, marszcząc brwi, dodał pospiesznie: – DOKĄDŚ przecież musimy pojechać. Dobra, niech będzie, że ten facet mówi prawdę. Co nam jednak szkodzi potwierdzić prawdziwość jego słów? Później wspólnie zadecydujemy co dalej.

Fran spojrzała na Stu, a jej wzrok mówił: „Nie chcę cię urazić, ale...”

Stu wzruszył ramionami.

– W porządku? – naciskał Harold.

– Wydaje mi się, że to bez znaczenia – odrzekła Frannie. Zerwała dojrzały kwiat mniszka i rozwiąła jednym silnym dmuchnięciem.

– Przez całą drogę tutaj nie spotkaliście nikogo zdrowego? – zapytał Stu.

– Jednego psa, który wyglądał całkiem nieźle. Ale żadnych ludzi.

– Ja też widziałem psa. – Opowiedział im o Batemanie i Kojaku. Po chwili dodał jeszcze:

– Wybierałem się na wybrzeże, skoro jednak mówicie, że nie ma tam już nikogo, chyba zwinę żagle i pofaluję gdzie indziej.

– Przykro nam – rzekł Harold, choć sądząc po tonie głosu, powiedział to zgoła nieszczerze. Wstał i zapytał: – Jesteś gotowa, Fran?

Spojrzała na Stu, zawahała się, po czym również wstała.

– Z powrotem na cudowne siodełko wyciskające z człowieka siódme poty. Panie Redman, dziękuję, że podzielił się pan z nami posiadanymi informacjami, nawet jeśli nie napawają one optymizmem.

– Chwileczkę – powiedział Stu i również się podniósł. Zawahał się, nie był pewien czy to była właściwa para. Dziewczyna chyba była w porządku, ale chłopak? Zbuntowany siedemnastolatek prezentował postawę jawnej nienawiści do prawie wszystkiego co żyje. Czy byli to właściwi ludzie, aby się do nich przyłączyć? Z drugiej strony, jaki miał inny wybór?

Na świecie nie zostało zbyt wielu ludzi, by mógł przebierać w nich jak w ulęgałkach. – Wydaje mi się, że wszyscy szukamy ludzi – powiedział. – Chciałbym dołączyć do was, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Nie! – zaoponował natychmiast Harold.

Fran spojrzała najpierw na Harolda, potem na Stu. Wyglądała na zakłopotaną.

– Może moglibyśmy...

– Twoje zdanie się nie liczy. Ja mówię – nie i już.

– A ja nie mam tu nic do powiedzenia?

– Co się z tobą dzieje? Nie widzisz, że jemu chodzi tylko o jedno? Fran, na Boga, przejrzyj na oczy!

– W razie kłopotów troje ma większe szanse niż para – rzekł Stu. – Choć być we dwoje jest lepiej niż samemu.

– Nie – powtórzył Harold. Opuścił dłoń, muskając palcami kolbę pistoletu.

– Tak – oznajmiła Fran. – Cieszymy się, że zechciał pan do nas dołączyć, panie Redman.

Harold odwrócił się do niej z twarzą przepelnioną bólem i wściekłością. Stu na moment zamarł w bezruchu, spięty i gotowy, sądząc, że chłopak zechce ją uderzyć, ale zaraz znowu się rozluźnił.

– A więc to tak? Tylko czekałaś na okazję, aby się mnie pozbyć. Już rozumiem. Teraz już wszystko jasne. – Był tak zdenerwowany, że aż łzy pociekły mu z oczu i to rozeźliło go jeszcze bardziej. – Skoro tego chcesz, nie ma sprawy. Jedź sobie z nim dalej sama. Ja się zmywam. To koniec. Tu się rozstajemy.

Poczłapał w stronę miejsca, gdzie zostawili hony. Frannie spojrzała na Stu z konsternacją, po czym przeniosła wzrok na Harolda.

– Zaczekaj tu – poprosił Stu. – To zajmie tylko chwilę.

– Nie rób mu krzywdy – powiedziała. – Proszę.

Stu ruszył za Haroldem, który usadowił się już na siodełku hony i właśnie usiłował ją odpalić. W przyptywie zaślepiającej wściekłości przekręcił zbyt mocno przepustnicę. „W sumie dobrze się stało, że tak go wzięło – pomyślał Stu. – Gdyby teraz ruszył, motor stanąłby dęba, a nieszczęsny Harold po krótkiej karkołomnej przejażdżce na pełnym gazie walnąłby w pierwsze z brzegu drzewo i kto wie, czy wyszedłby z tej kolizji bez szwanku”.

– Nie zbliżaj się do mnie! – wrzasnął wściekle Harold i ponownie dotknął ręką kolby broni.

Stu położył na jego dłoni swoją, jakby grali w łapki. Drugą rękę zacisnął na ramieniu chłopaka. Oczy Harolda były rozszerzone, a Stu czuł, że nastolatek lada chwila może stracić nad sobą panowanie. W grę wchodziło coś więcej niż tylko zazdrość o dziewczynę – chodziło o jego honor. Jego godność doznała poważnego uszczerbku, nie mówiąc już o tym, że wzięła w łeb jego nowa życiowa misja, za jaką uważał opiekę nad starszą od siebie dziewczyną. Bóg jeden wie, ilu wcześniej doświadczył zawodów, ale sądząc po jego fatalnym wyglądzie,

tlustym brzuchu, butach z ostrymi czubami i nie przebieraniu w słowach musiało być ich sporo. Pod opoką nowego, cwaniacko-zawadiackiego image'u ten chłopak wciąż uważał się za oferę, nieudacznika i ostatniego frajera i Stu raczej wątpił, by kiedykolwiek uwolnił się od tego przekonania. Pod pozorem niezłomnej pewności siebie kryło się przeświadczenie, że przynajmniej dla niego nowy początek to jedynie puste słowa. Tak samo zareagowałby względem Batemana, czy pierwszego lepszego dwunastolatka. W obecności trzeciej osoby, kimkolwiek by ona była, Harold zawsze umieściłby siebie na najniższej możliwej pozycji.

– Haroldzie – powiedział mu niemal wprost do ucha.

– PUSZCZAJ – Jego opasłe ciało w momencie naprężenia wydawało się niemal lekkie. Przenikały go dreszcze. Był cały rozdygotany.

– Haroldzie, czy ty z nią sypiasz?

Harold szarpnął się konwulsyjnie, a Stu wiedział już, że nic między nimi nie zaszło.

– To nie twoja sprawa!

– Nie. Lubię tylko wiedzieć, na czym stoję. Chcę mieć jasny obraz sytuacji. Ona nie należy do mnie, Haroldzie. Należy do samej siebie. Nie zamierzam ci jej odbierać. Przykro mi, że mówię to w taki sposób, ale dla nas obu będzie lepiej, jeśli ustalimy między sobą to i owo. Nas jest dwóch, a ona jedna i nawet jeżeli odjedziesz, sytuacja nie ulegnie zmianie. Nic na tym nie zyskasz. Nikt nie zyska.

Harold milczał, ale opuścił dłoń do boku.

– Postaram się wyjaśnić ci to w możliwie jak najprostszy sposób – ciągnął Stu, wciąż sącząc słowa niemal wprost do ucha Harolda (zalepionego brązową woskowiną) – i będę mówił naprawdę bardzo, ale to bardzo spokojnie. Obaj wiemy, że mężczyzna wcale nie musi gwałcić kobiet. Wystarczy ręka. No i jeszcze przydałoby się wiedzieć, co z nią zrobić.

– To... – Harold obliznął wargi, a potem spojrzał na pobocze drogi, gdzie stała Fran z dłońmi zaciśniętymi na łokciach ramion splecionych poniżej piersi. Przyglądała się im z niepokojem. – To odrażające.

– Może tak, może nie. Gdy mężczyzna przebywa w towarzystwie kobiety, która nie chce z nim sypiać, on wciąż ma jeszcze wybór. Ja ze swojej strony za każdym razem wybrałbym rękę. Ty chyba również, skoro wciąż jest z tobą z własnej woli. Zrozum, chcę żebyśmy obaj dobrze się zrozumieli. Nie zamierzam sprać cię po pysku jak wiejski osiłek rywala na sobotniej potańcówce.

Harold zdjął rękę z kolby pistoletu i spojrzał na Stu.

– Mówisz serio? Czy aby na pewno to wszystko zostanie tylko między nami?

Stu pokiwał głową.

– Ja ją kocham – rzekł ochryple Harold. – I wiem, że ona nie podziela moich uczuć. Zdaję sobie z tego sprawę, ale jak powiedziałeś, mówimy sobie wszystko wprost.

– Tak będzie najlepiej. Nie chcę wchodzić nikomu w paradę. Chciałem tylko przyłączyć się do was.

Harold jak w transie powtórzył:

– Ale obiecujesz? Na pewno?

– Na pewno. Obiecuję.

– W porządku.

Powoli zsiadł z motocykla. Potem obaj, Harold i Stu wrócili do Fran.

– Może z nami jechać – rzekł Harold. – I jeszcze jedno... – spojrzał na Stu i, siląc się na odrobinę godności, wychrypiał: – Przepraszam, że zachowałem się jak palant.

– Hura! – zawołała Fran, klaszcząc w dłonie. – A teraz, skoro mamy to już z głowy, może ustalilibyśmy wspólnie, dokąd pojedziemy?

Koniec końców postanowili, że pojadą na zachód, tak jak do tej pory podróżowali Harold i Fran. Stu wyraził przypuszczenie, że Glen Bateman z przyjemnością ich przenocuje, jeżeli tylko zdołają dotrzeć przed zmierzchem do Woodsville i, kto wie, może rankiem zdecyduje się do nich dołączyć (na te słowa Harold znowu spochmurniał).

Stu wyruszył w drogę na hondzie Fran, ona natomiast usiadła na siodełku za Haroldem. Na lunch zatrzymali się w Twin Mountain, gdzie rozpoczęli żmudny, pełen nieufności i ostrożności proces poznawania się nawzajem. Ich akcenty wydawały się Redmanowi zabawne, zwłaszcza sposób, w jaki przedłużali samogłoskę „a” i opuszczali lub zniekształcali spółgłoskę „r”. Podejrzał, że jego wymowa wydawała się im równie śmieszna, a może nawet śmieszniejsza.

Zjedli lunch w opustoszałej restauracji. Stu raz po raz przyłapywał się, że błędzi wzrokiem ku twarzy Fran, jej błyszczącym, byстрыm oczom, niedużemu lecz stanowczemu podbródkowi i prawie niewidocznej zmarszczce pomiędzy oczami, której pojawienie się podkreślało targające nią emocje. Podobała mu się wizualnie i lubił słuchać jej głosu. Podobała mu się nawet jej fryzura, to, że szcesywała swoje włosy, te długie, ciemne włosy do tyłu, odsłaniając skronie. I mniej więcej wtedy zaczął uświadamiać sobie, że mimo wszystko pragnął tej dziewczyny.

KSIĘGA DRUGA

NA GRANICY

5 LIPCA – 6 WRZEŚNIA, 1990

*Przybyliśmy na okręcie o nazwie Mayflower
Przybyliśmy na statku co na Księżyc się wzniosł
Przybyliśmy w najczarniejszej epoki godzinie
lecz pieśń amerykańska nie schodziła nam z ust.
Ale nic to, nic kolego
Bo nie można mieć wszystkiego...*

Paul Simon

*Już, już wjeżdżasz do drive-in
Szukasz miejsca na parkingu
Hamburgery dzień i noc na grillu skwierczą*

*Z grającej szafy amerykański szlagier sączy się
Tak się cieszę, że mieszkam w Stanach
Tylko w Stanach możesz mieć co chcesz*

Chuck Berry

ROZDZIAŁ 43

Pośrodku Main Street w May w Oklahomie leżał martwy mężczyzna. Nicka wcale to nie zdziwiło. Odkąd opuścił Shoyo widział wiele trupów i był pewien, że mijał po drodze tysiące innych, których nie zobaczył. W niektórych miejscach fetor śmierci był tak silny, że kręciło się od niego w głowie. Jeden trup więcej, jeden mniej nie robił różnicy.

Kiedy jednak trup usiadł, Nick poczuł tak dojmującą zgrozę, że omal nie stracił kontroli nad rowerem. Maszyna zakołysała się i runęła. Nick upadł ciężko na asfalt. Podrapał sobie dłonie i czoło.

– Rety, aleś pan wywinął orła – rzekł trup, podchodząc do Nicka mocno chwiejnym krokiem. – Słowo daję! Tak!

Nick nie wychwycił jego słów. Patrzył na punkt na asfalcie, pomiędzy swoimi dłońmi, na który ściekały krople krwi z rozciętego czoła i zastanawiał się, jak mocno się poranił. Kiedy dłoń dotknęła jego ramienia, przypomniał sobie o trupie i odpełził na czworakach do tyłu, a w jego oczach pojawiły się iskierki przerażenia.

– Chyba się pan tym nie przejął – oznajmił trup, a Nick stwierdził, że nie był to wcale umarłak, lecz młody mężczyzna, przyglądający mu się z pogodnym uśmiechem. W dłoni trzymał na wpół opróżnioną butelkę whisky. Dopiero teraz Nick zrozumiał, z kim miał do czynienia. Ten facet nie umarł, lecz upił się i zmorzyło go na samym środku drogi.

Nick skinął na niego i złączył kciuk z palcem wskazującym. W tej samej chwili kropla ciepłej krwi spłynęła mu do oka uszkodzonego przez Raya Bootha. Uniósł rękę i przetarł oko przedramieniem. Dziś zaczął już trochę widzieć na to oko, ale kiedy zamykał zdrowe, świat wciąż zlewał mu się w jedną, wielobarwną rozmytą plamę. Opuścił specjalną łątkę na oko i podszedł wolno do chodnika, gdzie usiadł przy samochodzie na numerach z Kansas, z którego opon zaczęło już schodzić powietrze. W zderzaku plymoutha ujrzał swoje odbicie i zadrapanie na czole. Wyglądało paskudnie, lecz nie było głębokie. Znajdzie po drodze aptekę, zdezynfekuje ranę i zaklei plastrem z opatrunkiem. Uznał, że nadal musiał mieć w organizmie dość penicyliny, aby zwalczyć potencjalne zakażenie, choć niedawne perypetie z raną od postrzału, która omal nie doprowadziła do jego zgonu, wzbudziły w nim lęk przed infekcją. Krzywiąc się, zaczął wydłubywać z zadrapań na rękach drobiny żwiru.

Mężczyzna z butelką whisky obserwował to beznamiętnie. Gdyby Nick uniósł wzrok, natychmiast wydałoby mu się to dziwne. Kiedy odwrócił się, aby obejrzeć obrażenia w odbiciu w zderzaku, oblicze mężczyzny utraciło nagle wszelkie emocje. Stało się puste, bez jednej zmarszczki. Mężczyzna miał na sobie czyste, choć sprane ogrodniczki i ciężkie, robocze buty. Mierzył jakieś pięć stóp dziewięć cali, a jego włosy były tak jasne, że prawie białe. Jasnyniebieskiego koloru oczy w połączeniu z barwą włosów zdradzały szwedzki lub norweski rodowód nieznanego.

Wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia trzy lata, jednak Nick dowiedział się później, że musiał mieć około czterdziestki, bo pamiętał koniec wojny koreańskiej i jak jego tato wrócił w miesiąc później w mundurze do domu. Raczej nie mógł sobie tego wymyślić. Myślenie nie było silną stroną Toma Cullena.

I stał tam, z twarzą wypraną z emocji, niczym robot, któremu wyłączono zasilanie. Jednak już po chwili oblicze mężczyzny na nowo się ożywiło. Jego poczerwieniałe od whisky oczy zaczęły mrugać. Pojawiły się w nich żywe iskierki. Uśmiechnął się. Przypomniał sobie całą sytuację.

– Rety, ależ pan wywinął orła. Słowo daję! Tak!

Zamrugnął, widząc krew na czole Nicka.

Andros miał w kieszeni koszuli bloczek i bica, ani jedno ani drugie nie wypadło mu podczas upadku. Napisał: „Mocno mnie wystraszyłeś. Sądziłem, że nie żyjesz, dopóki nagle nie usiadłeś. Nic mi nie jest. Czy w mieście jest apteka?”

Pokazał kartkę mężczyźnie w ogrodniczkach. Ten wziął ją do ręki. Spojrzał na to, co było na niej napisane. Oddał kartkę Nickowi, po czym rzekł z uśmiechem:

– Jestem Tom Cullen. Nie umiem czytać. Doszedłem tylko do trzeciej klasy, ale miałem wtedy szesnaście lat i tato kazał mi rzucić szkołę. Powiedział, że jestem za duży.

„Opóźniony – pomyślał Nick – Ja jestem niemową, a on analfabetą”. Przez chwilę walczył z ogarniającym go zakłopotaniem.

– Rety, aleś pan wywinął orła! – wykrzyknął Tom Cullen. Właściwie powiedział to po raz pierwszy dla nich obu. – Słowo daję! Tak!

Nick pokiwał głową. Schował bloczek i długopis. Przyłożył dłoń do ust i pokręcił głową. Zasłonił dłońmi uszy i pokręcił głową. Przytknął lewą dłoń do szyi i pokręcił głową.

Cullen uśmiechnął się zakłopotany.

– Ząb boli? Mnie też kiedyś bolał. Rety, jaki ból. Słowo daję! Tak!

Nick zaprzeczył ruchem głowy i powtórzył całą kombinację. Tym razem Cullen zapytał, czy boli go ucho. Nick wyrzucił obie ręce w górę i podszedł do roweru. Farba była zdrapana, ale pojazd wydawał się cały. Nick wskoczył na siodełko i popedałował kawałek w górę ulicy. Tak, to było właściwe rozwiązanie. Cullen pobiegł za nim, uśmiechając się pogodnie. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od Nicka. Przez niemal tydzień nie widział żywego ducha.

– Nie chcesz rozmawiać? – zapytał, ale Nick nie odwrócił się, nic nie wskazywało, że go usłyszał. Tom pociągnął go za rękaw i powtórzył pytanie.

Rowerzysta zakrył dłonią usta i pokręcił głową. Tom zmarszczył brwi. Teraz mężczyzna postawił rower na stopce i zaczął lustrować witryny sklepów. Najwyraźniej zobaczył to, czego szukał, bo ruszył w stronę chodnika, a potem dalej, w stronę sklepu pana Nortona. Jeśli chciał tam wejść, srodze się zawiódł, drzwi były bowiem zamknięte. Pan Norton wyjechał z miasta. Wyglądało, jakby wszyscy zwinęli interes i opuścili miasto, za wyjątkiem mamy i jej przyjaciółki pani Blakely, ale obie już nie żyły.

Teraz mężczyzna, który nie mówił, podszedł do drzwi. Spróbował je otworzyć. Tom mógłby powiedzieć mu, że to na nic, nawet jeśli na drzwiach wisiała tabliczka z napisem OTWARTE. Tabliczka kłamała. Szkoda, bo Tom z chęcią napiłby się napoju z saturatora. Był dużo lepszy niż whisky, która z początku mu smakowała, potem czyniła go sennym, a jeszcze później bolała go strasznie głowa. Aby uniknąć bólu głowy próbował zasnąć, ale ostatnimi czasy miał strasznie dziwne, niepokojące sny o mężczyźnie w czarnym stroju, jak ten, który nosił zwykle Wielebny Deiffenbaker. Mężczyzna w czarnym stroju ścigał go w snach. Tom czuł, że to bardzo zły człowiek. Jedynym powodem, dla którego zaczął pić było to, że nie powinien tego robić, tak mu mówili mama i tato, ale teraz, kiedy wszyscy odeszli, co mogli mu zrobić? Mógł robić to co chciał.

Ale co robił mężczyzna, który nie mówił? Podniósł z chodnika kosz na śmieci i... co takiego? Zamierzył się, aby rozbić szybę w drzwiach sklepu pana Nortona? Brzęk! Rany! Ale karuzela! A teraz sięgnął do środka i otworzył drzwi.

– Ej, proszę pana, nie wolno tego robić! – zawołał Tom, a jego głos drżał z podniecenia i gniewu. – To zabronione! K-S-I-E-Ż-Y-C – to znaczy zabronione! Nie wie pan?

Ale mężczyzna był już w środku. Ani razu nie obejrzał się za siebie.

– Panie, coś pan głuchy? – rzucił z oburzeniem Tom. – Słowo daję! Czyś pan...

Nie dokończył. Ożywienie i emocje znikły z jego oblicza. Znowu był robotem, któremu wyjęto wtyczkę. W May taki obraz Słabego Toma nie był niczym niezwykłym. Szedł na przykład ulicą, oglądając witryny sklepowe z wiecznie zadowoloną miną na tym okrągłym skandynawskim obliczu, i nagle stawał jak wryty, jego twarz zmieniała się w tępą, beznamietną maskę. Ktoś mógł zawołać: „Tom nadchodzi!” i wokoło rozlegał się głośny śmiech. Jeśli był z nim tato, zwykle się krzywił i szturchał Toma łokciem, albo walił go pięścią po plecach i ramieniu, dopóki Tom znowu nie ożył. Tylko że taty coraz częściej przy nim nie było. Stan ten trwał od początku 1985 roku, kiedy to tato Cullen zaczął zadawać się z tą rudowłosą kelnerką z baru Boomera. Nazywała się DeeDee Packalotte (i na temat jej nazwiska czy imienia nie było żadnych dowcipów). Jakiś rok temu DeeDee i Don Cullen wspólnie dali nogę. Ktoś widział ich w tanim, zawszonym moteliku, niedaleko, w Slapout w Oklahomie, a potem zaginął po nich wszelki ślad.

Większość ludzi traktowała nagle „wyłączenie się” Toma za oznakę postępującego skretynienia, ale w rzeczywistości były to przypadki, kiedy jego umysł pracował prawie normalnie. Ludzkie procesy myślowe są (przynajmniej zdaniem psychologów) oparte na dedukcji i indukcji, zaś osoba upośledzona nie jest zdolna dokonywać owych skoków dedukcyjno-indukcyjnych. W ich mózgach poprzerywane są jakieś łącza, przepalane pewne obwody, uszkodzone niektóre z przełączników. Tom Cullen nie był głęboko upośledzony i potrafił dokonywać prostych połączeń. Czuł, że jest do tego zdolny, tak jak osoba normalna, kiedy czegoś zapomni, ale przez cały czas ma to „na końcu języka”. W takich sytuacjach Tom odłączał się od świata rzeczywistego, który nie był niczym innym, jak potokiem napływających do niego z każdą mijającą chwilą bodźców zewnętrznych i pogrążał się w sferze myślowej. Był wtedy jak mężczyzna w ciemnym, nie znanym mu pokoju, trzymający w jednej dłoni wtyczkę od lampy i pełzający po podłodze, macając wolną ręką w poszukiwaniu gniazdka. Jeżeli je znajdował – a nie zawsze to mu się udawało – stawała się światłość i mógł ujrzeć pokój (albo ideę) w przejrzysty, wyrazisty sposób. Tom był istotą rejestrującą bodźce. Na liście jego ulubionych rzeczy znalazłby się smak napoju z saturatora w sklepie pana Nortona, oglądanie ładnej dziewczyny w krótkiej spódniczce, czekającej na przejście po pasach na drugą stronę ulicy, zapach bzu, dotyk jedwabiu. Jednak bardziej niż cokolwiek innego uwielbiał to co nieuchwytnie, ową chwilę, kiedy miało nastąpić połączenie, przełączenie kontaktu (choćby tylko na chwilę), poprzedzającą moment, kiedy mroczny pokój zaleje fala jasnego światła. Nie zawsze tak się działo, często nie dane mu było dokonać połączenia. Tym razem stało się inaczej.

Powiedział:

– Panie, coś pan, głuchy?

Mężczyzna zachowywał się tak, jakby nie słyszał, co mówił do niego Tom, za wyjątkiem kilku chwil, kiedy patrzył wprost na niego. Na dodatek ten człowiek nie odezwał się do niego, nawet się nie przywitał. Czasami ludzie nie reagowali, kiedy Tom o coś ich pytał, ponieważ już na pierwszy rzut oka orientowali się, że miał nierówno pod sufitem. W takich przypadkach jednak dana osoba sprawiała wrażenie zagniewanej, zasmuconej lub miała czerwone policzki. Ten człowiek zachowywał się inaczej, pokazał Tomowi symbol O.K. – złączone palce kciuka i wskazującego, ale mimo to nie odezwał się do niego.

Dłonie na uszach i przeczący ruch głową.

Dłonie na ustach i ten sam gest.

Dłonie na szyi i znów to samo.

– Słowo daję! – rzekł Tom, a jego oblicze znów ożyło. Przekrwione oczy rozbłyły. Wbiegł do środka, zapominając, że to przecież zabronione. Człowiek-który-nie-mówił nasączał właśnie wacik czymś, co pachniało jak bactine, a potem przetarł nim czoło.

– Ej, proszę pana – rzekł Tom, podchodząc do niego. Człowiek-który-nie-mówił nie odwrócił się. Tom zdziwił się i nagle sobie przypomniał. Poklepał Nicka po ramieniu. Nick odwrócił się.

– Jesteś pan głuchy i niemowa, tak? Nie słyszy! Nie mówi! Tak?

Nick skinął głową. Reakcja Toma wydała mu się wręcz zdumiewająca. Mężczyzna podskoczył wysoko i zaklaskał w dłonie.

– Domyśliłem się tego! Brawa dla mnie! Sam się tego domyśliłem! Brawo dla Toma Cullena!

Nick uśmiechnął się mimo woli. Nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy jego upośledzenie sprawiło komukolwiek tyle radości.

Przed gmachem sądu znajdował się nieduży plac z pomnikiem żołnierza piechoty morskiej w pełnym rynsztunku z czasów drugiej wojny światowej. Tablica na postumencie głosiła, że pomnik ten wzniesiono na cześć chłopców z Harper County, którzy ZŁOŻYLI NAJWIĘKSZĄ Z OFIAR DLA OJCZYZNY. Nick Andros i Tom Cullen usiedli w cieniu pomnika, zjadając szynkę na ostro, mocno przyprawionego kurczaka i chipsy. Nad lewym okiem Nick miał przyklejone, tworzące literę X dwa plastry z opatrunkiem. Czytał z warg Toma (co było dość trudne, bo tamten mówił z pełnymi ustami), a w głębi ducha stwierdzał, że miał już dość żywności z puszek. Aż leciała mu ślinka na myśl o dobrze przyrządzonym steku z grilla z dodatkami.

Odkąd usiedli, Tom nie przestawał mówić. Często się powtarzał i używał zwrotów w rodzaju: „Słowouję! Tak!”. Nick nie miał nic przeciw temu. Dopóki nie spotkał Toma, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakowało mu innych ludzi, ani że skrycie lękał się, iż mógł zostać ostatnim żyjącym człowiekiem na Ziemi. W którymś momencie przyszło mu nawet na myśl, że zaraza zabiła całą ludzkość świata, za wyjątkiem głuchoniemych. Teraz, uśmiechając się w duchu, zaczął zastanawiać się nad możliwością, że oprócz głuchoniemych ocaleli również ludzie upośledzeni. Ta myśl, która o drugiej po południu wydała mu się śmieszna, powróciła nocą, by go nawiedzić, i bynajmniej nie brzmiała zabawnie.

Zastanawiał się, gdzie zdaniem Toma podzieli się wszyscy ludzie. Wiedział już, że jego tato uciekł przed kilkoma laty z jakąś kelnerką, że Tom pracował jako majster do wszystkiego na farmie Norbutta. Dwa lata temu pan Norbutt uznał, że Tom „dostatecznie dobrze sobie radzi” i można dać mu do ręki siekiere.

Którejś nocy kilku twardych chłopaków postanowiło wyżyć się na nim, ale on „spuścił im takie manto, że myślał już, że ich pozabijał, a jeden z nich trafił do szpitala z pęknięciami, K-S-I-E-Ż-Y-C, to znaczy pęknięcia, to właśnie zrobił Tom Cullen”. Dowiedział się także o tym, jak Tom odnalazł swoją matkę w domu pani Blakely, obie były w salonie, nie żyły, i Tom, uznawszy, że nic tam po nim, odszedł. „Jezus nie może przybyć i zabrać umarłych do nieba, jeśli ktoś patrzy” – rzekł Tom (Nick domyślał się, że Jezus Toma był kimś w rodzaju

odwrotności Świętego Mikołaja, który zamiast zostawiać prezenty, wynosił z domu przez komin umarłych). Nie odezwał się jednak ani słowem na temat pustych, mimo ciepłego majowego dnia, ulic, czy braku jakichkolwiek pojazdów w zasięgu wzroku.

Delikatnie dotknął dłonią piersi Toma, uciszając go.

– Co jest? – zapytał Tom.

Nick machnięciem ręki wskazał budynki dokoła. Na jego twarzy pojawił się przesadnie ukazany grymas zdumienia. Nick zmarszczył czoło, przekrzywił lekko głowę i podrapał się po potylicy. Wreszcie dwoma palcami wykonał na trawie gest naśladujący idącego człowieka i spojrzał pytająco na Toma.

To co ujrzał, mocno go zaniepokoiło. Jego oblicze było wyprane z wszelkich emocji, jakby mężczyzna nie żył. Jego oczy, w których jeszcze przed chwilą skrzyły się lśniące iskierki, zmieniły się teraz w niebieskie, zamglone szklane gałki. Usta rozchyliły się i Nick widział koniuszek języka tamtego, upstrzony wilgotnymi okruchami chipsów. Dłonie Toma spoczywały bezwładnie na podłożu. Nick, zatroskany wyciągnął dłoń, by go dotknąć. Wcześniej jednak ciałem Toma wstrząsnął silny dreszcz. Jego powieki zatrzepotały i życie wsączyło się ponownie do jego oczu, jak woda wypełniająca wiadro. Zaczął się uśmiechać. Nawet dymek nad głową, z napisem „Eureka!” w środku nie oddałby lepiej tego, co się stało.

– Chcesz wiedzieć, gdzie się podzieli wszyscy ludzie! – zawołał Tom.

Nick zdecydowanie pokiwał głową.

– Cóż, wydaje mi się, że wyjechali do Kansas City – odparł Tom. – Słowo daję, tak. Wszyscy zawsze mówili, jak tam jest ładnie. Tutaj nigdy nic się nie dzieje. Nie ma nic fajnego. Nawet tor wrotkarski zamknęli. Nic tu nie ma, prócz kina dla zmotoryzowanych, w którym nie puszczają nic ciekawego. Moja mama zawsze mówi, że ludzie wyjeżdżają, ale nikt nie wraca. Jak mój ojciec, co uciekł z kelnerką z baru Boomera, nazywała się K-S-I-E-Ż-Y-C, to znaczy DeeDee Pachalotte. Dlatego wydaje mi się, że wszyscy po prostu zabrali się stąd i wyjechali. Wszyscy równocześnie. Na pewno do Kansas City. Słowo daję. Na pewno wyjechali właśnie tam. Za wyjątkiem pani Blakely i mojej mamy. Jezus zabierze je do nieba i utuli w świętej swojej Rozpatrzności.

Monolog Toma zdawał się nie mieć końca.

„Wyjechali do Kansas City – pomyślał Nick. – W gruncie rzeczy, niby dlaczego nie? Ręka Boga zabrała całą ludzkość tej żalosalnej planety i utuliła jej część w świętej swojej Rozpatrzności, a część odstawiła do Kansas City”.

Oparł się o pomnik, a jego powieki zatrzepotały. Słowa Toma zmieniły się w wizualny odpowiednik współczesnego wiersza, bez wersalików, jak dzieła e.e. cummingsa.

matka powiedziała

nie mam nie

ja do nich tak, tak mówię lepiej

nie zadzierajcie

Poprzedniej nocy, którą spędził w stodole, dręczyły go koszmarne sny, a teraz, kiedy zaspokoił głód, chciał tylko...

słowo daję

K-S-I-E-Ż-Y-C to znaczy

jasne że chcę

Nick zasnął.

Po przebudzeniu przez chwilę, kompletnie oszołomiony, jak to zwykle bywa, gdy zasypiasz w upalny dzień, zastanawiał się, dlaczego tak bardzo się spocił. Kiedy wstał, zrozumiał. Była za kwadrans piąta po południu, przespał dwie i pół godziny, a słońce wyłoniło się spoza pomnika ofiar wojny. To jednak nie wszystko. Tom Cullen w swej niewysłowionej troskliwości nakrył go, aby nie zmarzł. Narzucił na niego dwa koce i pled.

Odsunął je na bok, wstał i przeciągnął się. Toma nigdzie nie było widać. Nick wolno podszedł do wylotu placu, zastanawiając się co – jeśli cokolwiek – miał zrobić z Tomem. Pólgłówek, chcąc zaspokoić głód, odwiedził pobliski sklep samoobsługowy. Nie miał nic przeciwko wejściu tam i wybraniu tego, na co miał ochotę na podstawie nalepek na puszkach, bo jak stwierdził Tom drzwi supermarketu były otwarte.

Nick zastanawiał się, co zrobiłby Tom, gdyby tego sklepu tu nie było. Podejrzywał, że kiedy głód stałby się nie do wytrzymania, Tom zapomniałby o skrupułach, albo zawiesił je do odwołania. Ale co stałoby się z nim, gdyby skończyły się zapasy żywności?

Nie to jednak martwiło go najbardziej, lecz patetyczna gorliwość i otwartość, z jaką ów mężczyzna go powitał. Może i był upośledzony, stwierdził Nick, ale nie na tyle, by nie doskwierała mu samotność. Jego matka i przyszywana ciotka nie żyły. Ojciec dawno temu dał nogę. Jego pracodawca, pan Norbutt, jak wszyscy inni, pewnej majowej nocy przenieśli się do Kansas City, podczas gdy Tom spał. Pozostawili go, by samotnie krążył wzdłuż Main Street niczym lekko świrnięty duch. I by odkrywał rzeczy, takie jak whisky, których nigdy nie powinien próbować. Gdyby znów się upił, mógłby zrobić sobie krzywdę. A gdyby coś mu się stało, a w pobliżu nie było nikogo, kto by się nim zajął, mogłoby to oznaczać jego koniec.

Ale głuchoniemy chłopak i upośledzony umysłowo mężczyzna? Jak mogli sobie nawzajem pomóc? Jeden nie mówi i nie słyszy, a drugi praktycznie nie myśli. Cóż, to nie do końca tak. Tom czasami potrafił myśleć, ale nie umiał czytać, a Nick nie miał złudzeń, że już niebawem znudzi mu się granie z Tomem Cullenem w szarady. Tomowi skądinąd zapewne nigdy to się nie znudzi. Słowo daję, nie.

Stanął na chodniku u wejścia do parku, wsuwając dłonie do kieszeni. „No cóż, mogę zostać tu z nim przez noc. Jedną noc. To nic wielkiego. Mógłbym wreszcie przyrządzić porządny posiłek”.

Nieco pokrzepiony tą myślą udał się na poszukiwanie Toma.

Nick spał tej nocy w parku. Nie wiedział, gdzie spał Tom, ale kiedy obudził się następnego ranka, wilgotny od rosy, lecz odświeżony i w dobrym nastroju, pierwszym, co ujrzał po przejściu przez plac był Tom klęczący nad armadą samochodzików firmy Corgi i dużą plastikową stacją Texaco.

Tom musiał uznać, że skoro włamanie do sklepu pana Nortona nie jest niczym złym, to równie dobrze może wdrzeć się do innych. Siedział na krawężniku, odwrócony do Nicka plecami. Na chodniku stało rzędem około czterdzieści resorków. Obok nich leżał śrubokręt, którym Tom sforsował zamek gabloty. Były tu jaguary, mercedesy, rolls-royce, bentley z długą, zieloną osłoną, lamborghini, cord, czterocalowej długości pontiac bonneville, corvette, maserati i, strzeż nas Boże i ochraniaj, moon rocznik 33. Tom nachylał się nad modelami, które jeden po drugim tankowały pod dystrybutorem stacji benzynowej. Jeden z podnośników na stacji obsługi był sprawny. Nick zauważył, że od czasu do czasu Tom podnosił któryś z samochodów, udając, że dokonuje w nim jakichś napraw. Gdyby nie był głuchy, usłyszałby, jak Tom naśladuje odgłosy aut wyjeżdżających na podjazd modelu Fisher-Price'a „brum-brum-wrrum”, a potem „szuuu-szuuu” podnośnika.

Mógłby również wychwycić fragmenty rozmów pomiędzy właścicielem stacji, a kierowcami małych samochodzików: „Do pełna, sir? Zwykłej? Jasne! Pani pozwoli, że przetrę szybę. To chyba gaźnik. Podniesimy go i obejrzymy sobie łobuza. Toalety? Pewno, że są. Za rogiem, na prawo!”

A ponad tym wszystkim, jak okiem sięgnąć, we wszystkich kierunkach rozciągał się przestwór nieba, które Bóg rozpiął nad tym niedużym zakątkiem Oklahomy.

„Nie mogę go zostawić – pomyślał Nick. – Nie mogę tego zrobić”. I nagle ogarnął go gorzki, absolutnie niewyjaśniony smutek, uczucie tak głębokie i dojmujące, że przez chwilę miał wrażenie, że się rozplacze.

„Wyjechali do Kansas City – pomyślał. – Oto co się stało. Wszyscy wyjechali do Kansas City”.

Nick podszedł i poklepał Toma po ramieniu. Tom poderwał się i obejrzał przez ramię. Na jego ustach wykwitł nieco zażenowany uśmiech, a od kołnierzyka w górę szyi począł pięć się krwisty rumieniec.

– Wiem, że to dla dzieci, a nie dla dorosłych – powiedział. – Wiem to. Słowo daję. Tato mi mówił.

Nick wzruszył ramionami, uśmiechnął się, rozłożył ręce. Tomowi wyraźnie ulżyło.

– Teraz jest moje. Jeśli tylko zechcę. Skoro ty mogłeś wejść do sklepu i coś stamtąd wziąć, ja mogę zabrać coś ze sklepu z zabawkami. Czy nie tak? Słowo daję! Nie muszę tego oddawać, prawda?

Nick pokręcił głową.

– Moje – powiedział radośnie Tom i ponownie nachylił się nad stacją. Nick znów poklepał go po ramieniu, a Tom odwrócił się, by na niego spojrzeć. – Co?

Nick pociągnął go za rękaw. Tom wstał, nie stawiając większego oporu. Nick poprowadził go w dół ulicy, do miejsca, gdzie zostawił swój rower. Wskazał dłonią na siebie. Potem na rower. Tom skinął głową.

– Jasne. Ten rower jest twój. A tamten garaż Texaco jest mój. Ja nie zabiorę tobie roweru, a ty mnie mojej stacji. To jasne! Słowo daję.

Nick pokręcił głową. Wskazał na siebie, potem na rower i na ulicę. Pomachał – pa, pa.

Tom znieruchomiał. Nick czekał.

– Odjeżdża pan? – zapytał z wahaniem Tom.

Nick pokiwał głową.

– Ja nie chcę, żebyś jechał! – wykrzyknął Tom. Jego niebieskie oczy rozszerzyły się i zwilgotniały od łez. – Lubię cię! Nie chcę, żebyś też wyjechał do Kansas City!

Nick przyciągnął go do siebie i objął ramieniem. Wskazał na siebie. Na Toma. Na rower. I na drogę wyjazdową z miasta.

– Nie rozumiem – mruknął Tom.

Nick powtórzył cierpliwie. Tym razem dodał również gest pożegnania i w przypiływie nagłego olśnienia uniósł również dłoń Toma, machając nią pa, pa.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał? – zapytał Tom. Jego oblicze rozpromienił uśmiech niedowierzania.

Nick odetchnął z ulgą i potaknął ruchem głowy.

– Jasne! – zawołał Tom. – Tom Cullen pojedzie! Tom...

Zamilkł, jego oblicze w okamgnieniu nieznacznie sposepniało. Spojrzał na Nicka podejrzliwie.

– A mogę wziąć mój garaż?

Nick zamyślił się przez chwilę, a potem pokiwał głową twierdząco.

– W porządku! – uśmiech znów pojawił się na ustach Toma, jak słońce wyłaniające się zza chmury. – Tom Cullen pojedzie!

Nick podprowadził go do roweru. Wskazał na Toma, a potem na rower.

– Nigdy na takim nie jeździłem – rzekł niepewnie Tom, lustrując przerzutki i wysokie, wąskie siodełko. – Chyba lepiej, żebym nawet nie próbował. Z takiego roweru Tom Cullen na pewno by zleciał.

Nick nie tracił nadziei. Słowa: „Nigdy na takim nie jeździłem”, zdawały się świadczyć, że Tom jeździł kiedyś na rowerze. Należało po prostu znaleźć dla niego jakiś prosty, ładny

model. Tom będzie go spowalniał, to nie ulegało wątpliwości, ale może nie tak bardzo, jak to sobie wyobrażał? A poza tym dokąd miał się spieszyć? Sny to tylko sny. On jednak czuł wewnętrzny impuls, zalecający mu pośpiech, coś tak silnego, a jednocześnie nieokreślonego, że urosło do rozmiarów podświadomego nakazu.

Wrócił z Tomem po jego garaż. Wskazał na zabawki, uśmiechnął się i skinął głową. Tom ukucnął gorliwie i nagle, sięgając po dwa samochodziki naraz, znieruchomiał, spojrzał na Nicka z zakłopotaniem, niepewnością i wyraźną podejrzliwością.

– Nie odjedziesz bez Toma Cullena, prawda?

Nick zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy.

– W porządku – mruknął Tom i wrócił do swoich zabawek.

Nick niemal mimowolnie pogładził go po włosach. Tom uniósł wzrok i uśmiechnął się nieśmiało. Nick odpowiedział uśmiechem. Nie mógł go tu zostawić. To jedyne, czego był pewien.

Dochodziło południe, zanim znalazł rower nadający się, jego zdaniem, dla Toma. Nie spodziewał się, że zabierze mu to tyle czasu, lecz co zadziwiające, większość ludzi pozamykała na klucz swoje domy, garaże i składziki. Zazwyczaj pozostało mu zaglądać do mrocznych pomieszczeń przez zakurzone, obwieszane pajęczynami okna w nadziei, że wypatrzy wewnątrz poszukiwany rower. Dobre trzy godziny krążył od domu do domu, pot łał się z niego strumieniami, a promienie słońca prażyły odsłonięty kark. W pewnej chwili wrócił do sklepu Western Auto, jednak nic mu to nie dało; dwa rowery na wystawie były nowoczesnymi modelami, z masą przerzutek, inne zaś, te bardziej prymitywne, rozłożone były na części.

Wreszcie znalazł, czego szukał, w małym, opuszczonym garażu na południowym skraju miasta. Garaż był zamknięty, ale jedno okno było dostatecznie duże, by można się było przez nie precisnąć. Nick wybił kamieniem szybę i szybko wyłuskał pozostałe odłamki szkła ze starej framugi. W środku panował potworny upał, a powietrze przesiąknięte było wonią kurzu i oleju. Rower, staroświecki schwinn, stał obok dziesięcioletniego furgonu mercedesa, z łysymi oponami i łuszczącymi się panelami wahaczy.

„Sądząc po tym, jak dopisuje mi szczęście, rower przy delikatnym dotknięciu rozleci się w drobny mak” – pomyślał Nick. Będzie miał przebite opony albo będzie brakować łańcucha. Tym razem jednak los uśmiechnął się do niego. Rower chodził gładko. Opony były napompowane, bieżnik głęboki, wszystkie śruby trzymały mocno, zębatki były w porządku. Brakowało tylko kosza, będzie musiał jakoś na to zaradzić, na ścianie zaś pomiędzy gracą a łopata do odgarniania śniegu wisiał łańcuch z osłoną i nowiutka pompka.

Poszperał jeszcze trochę i znalazł stojącą na półce puszkę z olejem. Następnie, nie zważając na upał, usiadł na popękany mencie i starannie nasmarował łańcuch i obie zębatki. Gdy skończył, zamknął puszkę i włożył ją ostrożnie do kieszeni spodni.

Kawałkiem sznurka przywiązał pompkę do bagażnika z tyłu roweru, po czym otworzył zasuwkę w drzwiach garażu i uniósł je. Jeszcze nigdy świeże powietrze nie wydawało mu się równie cudowne. Zamknął oczy, sycąc się nim, po czym wytoczył rower na ulicę, wskoczył na siodełko i popedałował wolno wzdłuż Main Street. Rower szedł gładko. Powinien być idealny dla Toma, zakładając, że rzeczywiście umiał jeździć na rowerze.

Zaparkował schwinna obok swego raleigha i wszedł do supermarketu. Wśród sprzętu sportowego na tyłach sklepu znalazł porządny, drucziany kosz do roweru. Włożył go pod pachę i miał już wyjść, kiedy nagle coś przykuło jego wzrok – był to klakson z chromowanym dzwonkiem i wielką czerwoną, gumową gruszką. Uśmiechając się, Nick włożył klakson do kosza, po czym odwiedził jeszcze dział z artykułami żelaznymi, by zabrać stamtąd śrubokręt i klucz francuski. Wyszedł tylnym wyjściem. Tom, pochrapując, leżał w cieniu starego pomnika ofiar drugiej wojny światowej.

Nick zawiesił kosz na kierownicy schwinna i przymocował na niej klakson. Potem raz jeszcze wrócił do supermarketu, skąd wziął sporej wielkości torbę. Poszedł z nią do sklepu spożywczego i napełnił ją puszkowanym mięsem, owocami i warzywami. Zastanawiał się nad puszkami z fasolą chili, kiedy dostrzegł cień przesuwający się przez przejście na wprost niego. Gdyby nie był głuchy, wiedziałby już, że Tom odkrył swój rower. Wzdłuż ulicy niesły się gromkie okrzyki oraz chichot Toma i głośne trąbienie oraz dzwonienie jego klaksonu.

Nick wyszedł z supermarketu, by ujrzeć Toma pędzącego jak burza wzdłuż ulicy; długie jasne włosy i poły koszuli unosiły się za nim, kiedy nachylony do przodu raz po raz naciskał gruszkę zamontowaną na kierownicy. Przy stacji arco na końcu ulicy zakręcił i zawrócił. Stacja napraw firmy Fisher-Price spoczywała w koszu, nad przednim zderzakiem roweru. Kieszenie spodni i koszulki khaki pełne były metalowych samochodzików corgi. Refleksy słońca odbijały się od obracających się szprych. Nick żałował, że nie może usłyszeć dzwonka roweru, aby móc cieszyć się nim tak jak Tom.

Cullen pomachał do niego i pojechał dalej. Na drugim końcu ulicy znowu zakręcił i zawrócił, bez przerwy naduszając gruszkę klaksonu. Nick wyciągnął rękę jak policjant, kiedy każe komuś, aby stanął. Tom zatrzymał się przed nim z piskiem opon. Na jego twarzy perlily się krople potu. Gumowa rurka pompki zwiślała smętnie. Tom był zdyszany i uśmiechnięty.

Nick pokazał na drogę wyjazdową z miasta i pomachał – pa, pa.

– Czy nadal mogę wziąć ze sobą mój garaż?

Nick pokiwał głową i przewiesił pasek torby przez grubą jak u byka szyję Toma.

– Już wyjeżdżamy?

Nick znów skinął głową. Złączył kciuk i palec wskazujący.

– Do Kansas City?

Nick pokręcił głową.

– Tam, dokąd zechcemy?

Nick skinął głową. „Tak. Wszędzie, dokąd zechcemy – pomyślał – ale najprawdopodobniej wylądujemy gdzieś w Nebrasce”.

– O rany! – zawołał radośnie Tom. – Świetnie! O rany! Hura!

Wyjechali na US 283, wiodącą na północ, ale już w dwie i pół godziny później na zachodzie zaczęły zbierać się burzowe chmury. Burza dopadła ich szybko, gnając na czarnych, napęczniałych od deszczu chmurach. Nick nie słyszał grzmotów, ale widział rozcinające niebo zygzaki błyskawic. Były tak jasne, że musieli przesłaniać oczy, by nie oglądać potem fioletowo-granatowych powidoków. Gdy dotarli do przedmieść Rosston, gdzie Nick zamierzał skręcić na wschód, US 64, woal deszczu pod chmurami zniknął, a niebo nabrało jednostajnego, dziwnie złowieszczonego odcienia żółci. Wiatr, który przyjemnie chłodził mu lewy policzek, ustał zupełnie. Poczł się dziwnie nerwowy i niezdarny. Nikt nigdy nie powiedział mu, że jednym z niewielu odruchów, które człowiek dzielił ze zwierzętami, była taka właśnie reakcja na gwałtowny spadek ciśnienia.

Naraz Tom pociągnął go energicznie za rękaw. Nick spojrział na niego. Zdziwił się, widząc, że z twarzy Toma odpłynęły wszystkie kolory. Oczy miał wielkie jak spodki.

– Tornado! – krzyknął Tom. – Tornado nadciąga!

Nick zaczął rozglądać się za wirującym słupem powietrza, lecz nie dostrzegł żadnego. Obejrzał się w poszukiwaniu Toma, ale jego już nie było. Wjechał rowerem na pole przy drodze i mknął bitą, krętą ścieżką biegnącą wśród wysokich traw.

„Ale z ciebie głupiec – pomyślał gniewnie Nick. – Rozwalisz oś!”

Tom zmierzał w stronę stodoły z silosem, stojącej na końcu gruntowej drogi, mierzącej jakieś ćwierć mili długości. Nick, wciąż jeszcze zdenerwowany, zjechał z szosy i popędził za nim. Rower Toma leżał na podwórzu przed stodołą. Nawet nie opuścił w nim stopki. Nick złożyłby to na karb zwykłego zapomnienia, gdyby już kilkakrotnie nie widział, jak Tom stawia rower na stopce. „Musi być naprawdę przerażony” – pomyślał.

Zaniepokojony obejrzał się raz jeszcze przez ramię i to, co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach.

Od zachodu nadciągała przerażająca ciemność. To nie była chmura, lecz raczej całkowita ciemność. Miała kształt leja i na pierwszy rzut oka jakieś tysiąc stóp wysokości. U góry była szeroka, zwężała się ku dołowi, lecz nie dotykała końcem ziemi. U szczytu rozpędziała chmury na prawo i lewo, jakby obdarzona była tajemną, przepotężną mocą.

Na oczach Nicka, trzy czwarte mili dalej, owa ciemność musnęła gonty i długi, srebrzysty budynek z dachem z blachy falistej, szopa lub magazyn części, eksplodował z gromkim hukiem. Naturalnie tego nie usłyszał, ale doszły go towarzyszące temu wibracje, tak silne, że o mało nie zbiły go z nóg. Cały budynek niejako implodował, jak gdyby lej wyssał z niego całe powietrze. W następnej chwili blaszany dach pękł na dwoje. Jego fragmenty uleciały w górę, wirując w szalonym tańcu. Nick zafascynowany, uniósł głowę, by ujrzeć, co będzie się z nimi działo dalej.

„Mam przed sobą to, co widywałem w najgorszych snach – pomyślał Nick – i nie jest to człowiek, choć czasami może sprawiać takie wrażenie. Tak naprawdę jest to tornado. Wielka czarna trąba powietrzna, przetaczająca się przez to terytorium i porywająca wszystko, co miało pecha znaleźć się na jej drodze. To...”

Nagle został pochwycony silnie za ramiona i brutalnie wciągnięty do stodoły. Obejrzał się przez ramię na Toma Cullena, dziwiąc się przez chwilę jego widokiem. Był tak zaaferowany, że zupełnie o nim zapomniał.

– Na dół! – wydyszał Tom. – Szybko! Szybko! Słowo daję! Tak! Tornado! TORNADO!

Dopiero teraz, wyrwawszy się z chwilowego odrętwienia, Nick przeraził się nie na żarty, przypomniał sobie, gdzie się znalazł i co się działo. Pozwolił, by Tom zaprowadził go do małej piwniczki burzowej obok stodoły, gdzie zdał sobie sprawę, że czuje dziwną, pulsującą wibrację. To było jak tępy ból w samym środku mózgu. I nagle, schodząc za Tomem po schodach, ujrzał coś, czego nigdy nie zapomni – wirujące powietrze wyszarpywało jedną po drugiej deski ze ścian stodoły, porywając je w górę, jak przeżarte próchnicą zęby wyrwane niewidzialnymi szczypcami. Słoma na klepisku zaczęła podnosić się i wirować tuzinem pomniejszych tornad, które, kołysząc się w przód i w tył, przesuwały się wraz z ruchami wielkiego leja. Pulsująca wibracja jeszcze bardziej przybrała na sile.

I wtedy Tom, otworzywszy ciężkie drewniane drzwi, wepchnął go do środka. Nick poczuł woń wilgoci, pleśni i rozkładu. W ostatnim przeblysku światła ujrzał, że dzielili komórkę z rodziną nadżartych przez szczury trupów. Zaraz jednak Tom zatrasnął drzwi i pograżyli się w absolutnej ciemności. Wibracje zelżały, ale nie ustały zupełnie.

Panika zbliżyła się do niego, rozchylając swój płaszcz i szczelnie go nim otuliła. Ciemność zredukowała jego zmysły do węchu i dotyku, ale ani jedno ani drugie nie przesyłało kojących bodźców. Czuł ciągle wibracje desek pod stopami, a nozdrza wypełniał mu smród śmierci.

Tom ścisnął go za rękę, a Nick przyciągnął go do siebie. Czuł, że Tom cały się trzęsie i zastanawiał się, czy tamten płacze, czy może stara się coś mu powiedzieć. Ta myśl nieco złagodziła trawiące go lęki. Uspokajającym gestem objął Toma ramieniem. Tom odwzajemnił uścisk i tak stali w mroku, tuląc się do siebie nawzajem.

Wibracje nasiliły się, nawet powietrze muskające twarz Nicka zdawało się drgać. Tom przytulił go mocniej. Ślepy i głuchy, czekał na to, co mogło jeszcze nadejść, a w duchu pomyślał, że tak właśnie odbierałby świat, gdyby Ray Booth uszkodził mu również drugie oko. Czuł, że jeśli tak by się stało, palnąłby sobie w głowę dobrych parę dni temu.

Później nie potrafił uwierzyć, gdy spoglądając na zegarek, stwierdził, że w owej mrocznej piwniczce spędzili zaledwie kwadrans, jednak logika podpowiadała mu, że skoro czasomierz wciąż chodził, to widocznie tak właśnie było. Nigdy dotąd nie miał okazji odczuć na własnej skórze względności czasu i jego plastyczności. Wydawało mu się, że minęła co najmniej godzina, a może nawet dwie. W miarę upływu czasu coraz bardziej nękała go świadomość, że

nie byli w komórce sami. O tak, były w niej ciała – jakiś nieszczęśnik sprowadził tu, pod sam koniec, swoją rodzinę; zapewne jego trawiona gorączką świadomość podpowiadała mu, że skoro w tej piwniczce zdołali przeżyć inne kataklizmy, to i ten przetrwają w niej szczęśliwie – ale nie o zwłoki chodziło Nickowi. Dla niego trup był jedynie przedmiotem, nie różniącym się zbytnio od krzesła, dywanu czy maszyny do pisania. Trup był przedmiotem martwym, zajmującym określone miejsce w przestrzeni. On natomiast odczuwał obecność innej istoty i był coraz bardziej pewien kim – lub czym ona była.

To mroczny mężczyzna, człowiek, który ożywał w jego snach, istota, której ducha wyczuwał w czarnym sercu cyklonu.

Stał, gdzieś w czarnym kącie, albo tuż za nimi i obserwował. Czekał. W odpowiednim momencie mógłby ich dotknąć, a wtedy... Właśnie, co? To jasne, oszaleliby ze strachu. Ot, tak, po prostu. On widział ich. Nick był tego pewien. Miał oczy jak kot albo filmowe monstrum i doskonale widział w nocy. Jak kot albo ten stwór z filmu Predator. Właśnie. Mroczny mężczyzna postrzegał odcienie spektrum nieosiągalne dla człowieka i w jego oczach wszystko musiało wydawać się powolne oraz czerwone, jakby cały świat zanurzony został w kadzi z posoką.

Początkowo Nick nie potrafił odróżnić tej fantazji od rzeczywistości, ale w miarę upływu czasu nabierał coraz większego przekonania, że owa fantazja była rzeczywistością. Wydawało mu się, że czuje na karku oddech mrocznego mężczyzny.

Miał już rzucić się ku drzwiom, otworzyć je i, nie bacząc na nic, wybiec na zewnątrz, ale Tom zrobił to za niego. Nagle opasujące Nicka ramiona zniknęły. W następnej chwili drzwi do piwniczki otwarły się na oścież, a potok białego światła oślepił Nicka tak mocno, że musiał osłonić dłonią zdrowe oko. Dostrzegł jeszcze widmową sylwetkę Toma Cullena wdrapującego się chwiejnie po schodach i machającego do niego. Podążył za nim, poruszając dłonią na oślep. Zanim dotarł do końca schodów, jego oko przywykło już do światła.

Przyszło mu na myśl, że kiedy schodzili na dół, światło nie było tak silne, teraz wiedział już dlaczego to się zmieniło. Stodoła nie miała już dachu. Został zerwany, a raczej precyzyjnie odcięty, jak chirurgicznym skalpelem, tak elegancko, że na klepisku nie było prawie w ogóle słomy ani drewnianych drzazg. Trzy krokwie zwieszały się smętnie w dół, z boków stryszku ściany zostały niemal doszczętnie odarte z desek. To co zostało, przywodziło na myśl szkielet wielkiego, prehistorycznego potwora.

Tom nie przystanął, by przyglądać się dziełu zniszczenia. Wybiegł ze stodoły, jakby sam diabeł deptał mu po piętach. Raz tylko obejrzał się przez ramię, a w jego rozszerzonych oczach malował się niemal paniczny lęk. Nick nie mógł się oprzeć pokusie i obejrzał się przez ramię, w głąb komórki. Chwiejące się schody ze starych, popękanych desek, sprawiające wrażenie, jakby nie zdołały udźwignąć ciężaru człowieka, niknęły w przeraźliwej otchłani ciemności. Nick ujrzał źdźbła słomy na klepisku i dwie pary rąk wyłaniające się z cienia. Szczury ogryzły ich palce aż do kości.

Jeżeli tam na dole ktoś był, Nick go nie zobaczył.

Zresztą wcale nie chciał.

Wyszedł za Tomem na zewnątrz.

Tom dygocząc, stał przy swoim rowerze. Nick przez chwilę wydawał się rozbawiony osobliwą wybrednością tornada, które zabrało połowę stodoły, a zostawiło ich rowery, ale nagle zorientował się, że Tom płacze. Podszedł do niego i objął ramieniem. Tom patrzył rozszerzonymi oczami na obwisłe wieże stodoły. Nick pokazał mu dłonią O.K. Tom patrzył przez chwilę na Nicka, ale nie uśmiechnął się. Wciąż gapił się na stodołę. Jego oczy miały nieobecny, pusty wyraz, który bynajmniej nie przypadł Nickowi do gustu.

– Ktoś tam był – rzekł nagle Tom.

Nick uśmiechnął się, ale uśmiech zamarł mu na ustach. Nie wiedział, jak mu to wyszło, choć był zdania, że raczej fatalnie. Wskazał na Toma, potem na siebie i wykonał dłonią w powietrzu tnący gest.

– Nie – powiedział Tom. – Nie tylko my. Ktoś jeszcze. Ktoś kto wyszedł z tornada.

Nick wzruszył ramionami.

– Proszę, możemy już jechać?

Nick skinął głową.

Wrócili na autostradę ścieżką utorowaną wśród traw przez tornado. Trąba powietrzna dotknęła ziemi po zachodniej stronie Rosston, przecięła US 283 zmierzając na wschód i, rozrywając biegnącą wzdłuż drogi balustradę, zaatakowała stodołę od lewej strony. Obchodząc ją z boku, przeszła przez dom, który stał dokładnie na wprost niej. Stał. W czasie przeszłym. Czteryście jardów dalej ślad po tornadzie urywał się gwałtownie, pośrodku pola. Chmury burzowe zaczęły się powoli rozwiewać (choć wciąż jeszcze mżył lekki, przynoszący orzeźwienie kapuśniaczek), powietrze znów rozbrzmiało śpiewem ptaków.

Nick patrzył, jak pod koszulą Toma prężą się mięśnie, gdy mężczyzna przenosił rower nad zerwaną balustradą na skraju autostrady. „Ten facet uratował mi życie – pomyślał. – Do tej pory jeszcze nie widziałem tornada. Gdybym go wtedy zostawił, tak jak zamierzałem, byłbym teraz martwy”. Przerzucił rower na szosę, poklepał Toma po plecach i uśmiechnął się do niego.

„Musimy znaleźć kogoś jeszcze – pomyślał Nick. – Musimy, choćby po to, abym mógł mu podziękować. I powiedzieć, jak się nazywam. On nawet nie zna mojego imienia, bo nie umie czytać”.

Stał tak przez chwilę, rozbawiony tą myślą, aż wreszcie objął, Tom i Nick, wsiedli na rowery i odjechali.

Tę noc spędzili na boisku małej ligi drużyny Rosston Jaycees. Wieczór był bezchmurny, niebo rozgwieżdżone. Nick zasnął szybko i nie śnił o niczym. Obudził się o świcie

następnego dnia z myślą, jak to cudownie być znów z drugim człowiekiem. Czuł, że ma to dla niego ogromne znaczenie.

Hrabstwo Polk w Nebrasce istniało naprawdę. Początkowo nieco się zżymał, ale przez ostatnie kilka lat sporo podróżował. Musiał rozmawiać z kimś, kto wspomniał tę nazwę lub stamtąd pochodził i zanotował to sobie w podświadomości. Podobnie było z US 30. Nie potrafił jednak uwierzyć, zwłaszcza teraz, w świetle dnia, że na ganku starego domu stojącego pośrodku pola kukurydzy odnajdzie czekającą na niego Murzynkę w podeszłym wieku, śpiewającą hymny i przygrywającą sobie na gitarze. Nie wierzył w prekognicję czy wizje. Mimo to czuł, że musi udać się dokądś i odnaleźć innych ludzi. W pewnym sensie podzielał pragnienie Fran Goldsmith i Stu Redmana do zgromadzenia w jednym miejscu tych, którzy ocalili. Dopóki to nie nastąpi, wszystko będzie wydawać się obce i niepojęte. Wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo. Nie było go widać, ale dawało się je wyczuć, tak jak w przypadku mrocznego mężczyzny w piwniczce burzowej, dzień wcześniej. Niebezpieczeństwo czyhało wszędzie, w domach, za następnym zakrętem, a nawet kryło się pod samochodami i ciężarówkami, od których roило się na drogach. Pojawiało się natychmiast, bezpośrednio lub w perspektywie – dziś, jutro i pojutrze.

MOST NIECZYNNY. CZTERDZIEŚCI MIL ZŁEJ DROGI. NIE
BIERZEMY ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA BEZPIECZEŃSTWO OSÓB,
KTÓRE PODĄŻAJĄ DALEJ TĄ SZOSĄ.

Po części było to skutkiem przeraźliwego, psychologicznego szoku, wywołanego brakiem jakichkolwiek innych żywych ludzi w okolicy. Dopóki pozostawał w Shoyo, a nie na otwartym, wiejskim terenie, był przed tym w pewien sposób chroniony. Nieważne, że w Shoyo nie było żywego ducha, gdyż Shoyo nie należało do wielkich miast. Stanowiło maleńki trybik w wielkiej maszynie świata. Kiedy jednak ruszałeś w drogę, wszystko stawało się... hmm, przypominał sobie pewien przyrodniczy film Walta Disneya, oglądany w dzieciństwie. Na ekranie pojawiał się obraz tulipana, jednego tulipana, tak piękny, że zapierał dech w piersiach. I wtedy kamera cofała się gwałtownie ukazując całe pole tulipanów. Ten widok dosłownie zwał z nóg. Był po prostu oszałamiający. Tak samo w przypadku tej podróży. Shoyo było wymarłe, ale z tym mógł się jeszcze pogodzić. Tyle, że równie wymarłe były McNab, Texarkana i Spencerville; Ardmore spłonęło doszczętnie. Do tej pory Nick z żywych istot widział jedynie jelenie. Dwukrotnie natknął się na ślady, które mogli zostawić ocaleni z pomoru ludzie – ognisko sprzed, jak sądził, dwóch dni i starannie obrany z mięsa szkielet jelenia. Nie napotkał jednak żywych ludzi. Ta sytuacja mogła doprowadzić do obłędu, gdyż jej ogrom stopniowo wdzierał się do najdalszych zakamarków świadomości. To nie było tylko Shoyo, McNab czy Texarkana, to była cała Ameryka, leżąca jak przewrócona puszcza, na dnie której zostało kilka przeoczonych ziaren fasoli. A poza Ameryką krył się CAŁY ŚWIAT i

myśl o tym, oszałamiała i deprymowała Nicka do tego stopnia, że niewiele brakowało a poddałby się jej zupełnie.

Zamiast tego pochylił się nad atlasem. Może, jeśli nie przestaną jechać dalej, będzie tak jak ze śnieżną kulą staczającą się po zboczu, która powiększa się z każdym kolejnym obrotem. Przy odrobinie szczęścia, nim dojadą do Nebraski, odnajdą kilka osób i albo oni przyłączą się do nich albo na odwrót. Kiedy już odwiedzą Nebraskę, zapewne udadzą się gdzie indziej. Było to jak wyprawa, u kresu której nie czekał żaden wiadomy cel, Święty Graal, czy miecz wbity w kowadło.

Skręcimy na północny wschód, skonstatował, do Kansas. Autostradą US 35 dotrą do szosy numer 81, a nią do Swedeholm w Nebrasce i tamtejszej szosy numer 92, przecinając ją pod kątem prostym. Autostrada US 30 łączyła obie te szosy, tworząc hipotetyczny trójkąt równoramienny. Gdzieś na terenie tego trójkąta leżała kraina z jego snów.

Myśl o niej przepełniała go dziwnym, pełnym nadziei niepokojem.

Ruch dostrzeżony kątem oka zmusił Nicka, aby uniósł wzrok. Tom usiadł, przecierając pięściami oczy. Ziewnął tak szeroko, jakby chciał pochłonąć Nicka w całości. Nick uśmiechnął się do niego. Tom odpowiedział tym samym.

– Dzisiaj też będziemy jechać? – zapytał Tom, a Nick skinął głową. – Jejku, to świetnie! Lubię jechać na moim rowerze. Słowo daję, tak! Mam nadzieję, że nigdy się nie zatrzymamy!

Odkładając mapę drogową, Nick pomyślał: „Kto wie? Może twoje życzenie się ziści”.

Tego ranka skręcili na wschód i zjedli lunch na rozstajach dróg, niedaleko granicy pomiędzy Oklahoma i Kansas. Był siódmy lipca. Panował potworny upał.

Na krótko przed tym, jak zasiedli do obiadu, w typowy dla siebie sposób Tom z piskiem opon zatrzymał rower. Wbił wzrok w tablicę drogową wpuszczoną w betonowy blok na poboczu drogi. Nick spojrzał na nią. Napis na tablicy brzmiał:

**OPUSZCZASZ HRABSTWO HARPER W OKLAHOMIE – WJEŹDŹASZ
DO HRABSTWA WOODS W OKLAHOMIE.**

– Umiem to przeczytać – rzekł Tom, a gdyby Nick zdołał to usłyszeć byłby po części rozbawiony, po części zaś wzruszony, gdy Tom jak chłopiec na szkolnej akademii zaczął deklamować wysokim, dystyngowanym głosem: – Opuszczasz Hrabstwo Harper w Oklahomie. Wjeżdżasz do Hrabstwa Woods w Oklahomie. – Odwrócił się do Nicka. – Wie pan co?

Nick pokręcił głową.

– Nigdy jeszcze nie wyjechałem poza granicę Hrabstwa Harper, słowo daję. Raz tylko tato zabrał mnie tutaj i pokazał ten znak. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek przyłapie mnie za

tym znakiem, to tak mi wleje, że popamiętam. Mam nadzieję, że nie złapie nas w Hrabstwie Woods. Myślisz, że złapie?

Nick zdecydowanie pokręcił głową.

– Czy w Hrabstwie Woods jest Kansas City?

Nick znów pokręcił głową.

– Ale najpierw jedziemy do Woods, a potem dalej, tak?

Nick potaknął.

Oczy Toma zabłyśły.

– Czy to znaczy świat?

Nick nie zrozumiał. Zmarszczył brwi, wzruszył ramionami i zasępił się.

– Chodzi mi o świat jako miejsce – rzekł Tom. – Czy jedziemy w świat? – Tom zawahał się i dorzucił niepewnie: – Czy słowo Woods oznacza świat?

Nick wolno pokiwał głową.

– W porządku – mruknął Tom. Na chwilę oderwał wzrok od tablicy, po czym otarł prawe oko, z którego pociekła łza. Zaraz znów wskoczył na rower. – Dobra, to w drogę. – Nie mówiąc więcej ani słowa, przejechał przez granicę hrabstwa.

Nick podążył za nim.

Przed zmierzchem wjechali do Kansas. Tom po kolacji sposepniał. Był bardzo zmęczony, chciał pobawić się samochodzikami i oglądać telewizję. Nie chciał jechać dalej, bo od siodełka bolał go już tyłek. Nie znał pojęcia granicy stanu i nie czuł, jak Nick, uniesienia, kiedy minęli kolejną tablicę, tym razem z napisem WJEŹDŹASZ NA TERYTORIUM KANSAS. Do tego czasu zrobiło się tak ciemno, że białe litery zdawały się niczym duchy unosić w powietrzu kilka cali nad brązowym znakiem.

Obozowali ćwierć mili dalej, pod wieżą wodną, która ze swymi stalowymi, wysokimi słupami przypominała marsjańską machinę bojową z Wojny światów H.G. Wellsa. Tom wślizgnął się do śpiwora i zaraz zasnął. Było ciemno i jak dla Nicka kompletnie cicho. Na krótko przed tym, jak on sam wpelzył do śpiwora, na płocie opodal przysiadł kruk i najwyraźniej zaczął mu się przyglądać. Jego małe czarne ślepia okolone były krwawymi półksiężycami, refleksami pomarańczowego, letniego księżycy, który bezszelestnie wspiął się na nieboskłon. W krukowi było coś, co nie przypadło Nickowi do gustu, ten ptak budził w nim niepokój. Sięgnął ręką, odnalazł sporą grudę ziemi i cisnął ją w ptaszysko. Kruk zatrzepotał skrzydłami, łypnął na Nicka złowrogo i uleciał w noc.

Tej nocy Nick śnił o człowieku bez twarzy stojącym na dachu wysokiego budynku, z rękoma skierowanymi ku wschodowi, a potem o kukurydzy, sięgającej mu powyżej głowy i dźwiękach muzyki. Tylko że tym razem wiedział już, że to muzyka, a instrumentem gitara. Obudził się przed świtem z boleśnie pełnym pęcherzem, a w uszach wciąż jeszcze słyszał jej słowa: „Nazywają mnie Matką Abigail. Kiedy przyjdzie czas, przybędziesz do mnie”.

Później tego wieczora, jadąc na wschód przez hrabstwo Comanche, wzdłuż autostrady numer 160, ze zdumieniem obserwowali nieduże stadko bizonów, jakieś dwanaście sztuk, nie więcej, kręcące się po szosie w poszukiwaniu świeżej trawy. Północny skraj drogi był ogrodzony drutem kolczastym, ale bizona najwyraźniej sforsowały tę przeszkodę.

– Co to? – zapytał z niepokojem Tom. – To nie krowy!

Ponieważ Nick nie mówił, a Tom nie umiał czytać, Nick nie mógł mu odpowiedzieć. Był ósmy lipca 1990 roku. Tej nocy ułożyli się na spoczynek na wiejskiej równinie, czterdzieści mil na zachód od Deerhead.

Był dziewiąty lipca. Zjedli lunch w cieniu starego, majestatycznego wiązu na podwórzu prawie doszczętnie spalonej farmy. Tom zajadał jedną ręką parówki z puszki, a drugą wyprowadzał auta ze stacji napraw. Raz po raz śpiewał refren tej samej, popularnej piosenki. Nick znał słowa na pamięć, odczytał je z ust Toma.

*Hej mała, czy możesz polubić swojego faceta
to porządny gość
mała, czy możesz polubić swojego faceta?*

Nick był zdeprimowany i nieco przytłoczony ogromem kraju, nie zdawał sobie dotąd sprawy, z jaką nonszalancją wystawiał kiedyś kciuk, mając świadomość, że prędzej czy później los uśmiechnie się do niego. Zjawiał się jakiś wóz i stawał, kierowcą był zazwyczaj mężczyzna z puszką piwa wciśniętą dla wygody między uda. Pytał dokąd jedziesz, a ty podawałaś mu kartkę, którą nosiłaś w kieszonce koszuli. „Cześć, jestem Nick Andros. Głuchoniemy. Przepraszam. Jadę do... Dzięki za podwiezienie. Umieć czytać z ruchu warg”. I tyle. Chyba że gość miał coś do głuchoniemych (a bywali i tacy, choć zdarzali się raczej rzadko). Wskakiwałaś do auta i dojeżdżałaś tam, gdzie chciałaś lub przynajmniej pokonywałaś spory kawałek drogi w pożądanym kierunku. Wóz pożerał kilometry i wypływał resztki przez rurę wydechową. Był niczym teleporter. Pokonywał mapę. Teraz jednak w pobliżu nie było żadnych aut, choć na wielu z tych szos, zachowując ostrożność, mogłaś pokonać samochodem odcinek rzędu siedemdziesięciu, osiemdziesięciu mil. Kiedy zaś, w końcu natrafiłbyś na blokadę, której nie dasz rady objechać, wystarczyło wysiąść, przejść kawałek pieszo i znaleźć sobie inny środek transportu. Bez samochodu byli niczym mrówki pełzające po ciele leżącego olbrzyma, sunące od jednego jego sutka do drugiego. Nick miał nadzieję, że w końcu kogoś spotkają (wciąż uparcie wierzył, że to nastąpi) i będzie tak jak w dawnych, dobrych czasach, gdy podróżował autostopem, a chromowany metal rozbłyśnie w słońcu ponad następnym wzniesieniem, oślepiając oko i napawając serce nieprzewartą radością. To będzie jakiś solidny, amerykański wóz, chevy biscayne, pontiac tempest, dobry stary samochód z fabryki w Detroit. Nigdy nie wyobrażał sobie, że mogłaby to być honda,

mazda lub yugo. To amerykańskie cudeńko zatrzyma się, a za kierownicą będzie siedział mężczyzna, facet z opalonym łokciem wystawionym przez otwarte okno. Gość uśmiechnie się i powie: „Cześć chłopaki! Jak się cieszę, że was widzę! Wskakujcie. Wskakujcie i mówcie, gdzie mamy jechać!”

Ale tego dnia nie spotkali nikogo, a następnego natknęli się na Julie Lawry.

Dzień znów był upalny. Pedalowali przez niemal całe popołudnie z koszulami przewiazanymi w pasie, przez co obaj opalili się na brąz. Tego dnia nie pokonali dużego dystansu. A wszystko przez jabłka. Zielone jabłka. Odkryli je na starej jabłoni na farmie. Były małe i kwaśne, ale od tak dawna nie jedli owoców, że smakowały im niczym ambrozja. Nick zjadł dwa, ale Tom pochłonął łączywie sześć, razem z pestkami. Zignorował Nicka, który gestami nakazywał mu przestać; kiedy coś zaświtało mu w głowie, Tom Cullen potrafił być uparty jak czterolatek.

Tak więc od jedenastej przed południem i jeszcze długo później Tom zmuszony był robić częste postoje. Miał kolkę. Pot ściekał z niego całymi strużkami. Jęczał. Musiał zsiąść z roweru i doprowadzić go pod kilka niezbyt wysokich wzniesień. Pomimo irytacji, że szło im jak po grudzie, Nick musiał przyznać, że widok cierpiącego Toma wzbudzał w nim dwuznaczną, jednak szczerą wesołość.

Kiedy około szesnastej dojechali do Pratt, Nick uznał, że wystarczy jak na jeden dzień. Tom z wdzięcznością osunął się na zacienioną ławeczkę na przystanku autobusowym i natychmiast zapadł w lekką drzemkę.

Nick zostawił go tam i ruszył w stronę śródmieścia w poszukiwaniu apteki.

Zamierzał zabrać stamtąd choćby zwykły pepto-bismol i, czy tego zechce czy nie, zmusi Toma, kiedy się obudzi, aby wypił lekarstwo. Nawet gdyby potrzeba było całej butelki, aby postawić Toma na nogi, dopnie swego. Jutro nadrobią stracony czas. Niebawem odnalazł to, czego szukał. Wszedł do środka – drzwi były otwarte – i przez chwilę wdychał znajomy, nieświeży zaduch. Wśród mieszanki woni wyczuwało się silny, dławiący zapach, najprawdopodobniej perfum. Być może z gorąca popękały jakieś butelki.

Nick rozejrzał się dokoła, szukając lekarstwa od bólu brzucha i próbując przypomnieć sobie, czy pepto-bismol tracił w upale swoje właściwości. Cóż, sprawdzi na nalepce. Minął wzrokiem manekina i dwa rzędy po prawej stronie odkrył to, po co tu przyszedł. Postąpił dwa kroki w tę stronę i nagle uświadomił sobie, że przecież w aptece nie ma manekinów.

Spojrzał raz jeszcze i ujrzał Julie Lawry.

Stała kompletnie nieruchomo z butelką perfum w jednej i krótkim szklanym patyczkiem do próbek w drugiej dłoni. Jej niebieskie oczy rozszerzyły się w wyrazie bezgranicznego zdziwienia i niedowierzania. Kasztanowe włosy miała zaczesane do tyłu i związane jaskrawą jedwabną wstążką sięgającą jej do połowy pleców. Nosila różowy, mechaty sweter i dzinsowe

szorty, tak krótkie, że można je było wziąć za majtki. Na czole miała kilka zaczerwienionych pryszczycy i jeden, ale za to wielki, na środku podbródka.

Przez długą chwilę Julie i Nick stali jak skamieniali i gapili się jedno na drugie. Nagle butelka perfum wypadła jej z ręki, roztrzaskując się w drobny mak, a wewnątrz apteki przesycała dusząca woń, silna i wszechobecna jak w zakładzie pogrzebowym.

– O Jezusie, ty jesteś prawdziwy? – zapytała drżącym głosem.

Nickowi serce zakołatało się w piersi, a krew zatętniła w skroniach. Przed oczami zawirowały mu świetliste powidoki.

Skinał głową.

– Nie jesteś duchem?

Pokręcił głową.

– To powiedz coś. Jeśli nie jesteś duchem, to coś powiedz.

Nick przysłonił usta dłonią, po czym dotknął nią szyi.

– Co to ma znaczyć? – W jej głosie zabrzmiała histeryczna nuta.

Nick nie słyszał jej, ale wyczuwał, widział to w jej obliczu. Bał się do niej podejść, aby nie uciekła. Nie sądził, że się go bała, raczej obawiała się, że mógł być iluzją, złudzeniem, które dla niej równało się z utratą zmysłów. Znowu ogarnęła go głęboka frustracja. Gdyby tylko mógł mówić...

Powtórzył pokazane przed chwilą gesty. To jedyne, co mógł zrobić. Tym razem się udało.

– Nie możesz mówić? Jesteś niemową?

Nick potaknął ruchem głowy.

Roześmiała się, wyładowując trawiące ją lęki.

– No nie, wreszcie ktoś się tu zjawia i okazuje się być niemową!

Nick wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

– No cóż – powiedziała do niego. – Jesteś nawet przystojny. To już coś. – Położyła mu dłoń na ramieniu i dotknęła wypukłą piersią jego ręki.

Czuł zapach przynajmniej trzech różnych rodzajów perfum, a pod nimi kwaśną woń jej potu.

– Mam na imię Julie – powiedziała. – Julie Lawry. A ty? – Zachichotała. – Nie możesz mi powiedzieć, prawda? Biedactwo.

Nachyliła się jeszcze bardziej, muskając go piersiami. Zrobiło mu się gorąco. „Co u licha – pomyślał z niepokojem – to przecież jeszcze dzieciak”.

Odsunął się od niej, wyjął z kieszeni bloczek i zaczął pisać. Skreślił prawie półtorej linijki, kiedy nachyliła się, by spojrzeć przez ramię na kartki, które trzymał w dłoni. Nie miała biustonosza. Jezus. Widać szybko pokonała trawiące ją lęki. Jego pismo stało się ciut niewyraźne.

– O, ho, ho! – mruknęła, jakby był małpką znającą jakąś wyjątkowo trudną sztuczkę. Nick wpatrywał się w kartkę, więc nie „odczytał”, co powiedziała, ale poczuł ciepły powiew jej oddechu.

„Jestem Nick Andros. Głuchoniemy. Podróżuję z mężczyzną o nazwisku Tom Cullen, on jest trochę opóźniony. Nie umie czytać i rozumie tylko najprostsze rzeczy. Jedziemy do Nebraski, bo uważam, że tam mogą być ludzie. Jedź z nami, jeżeli zechcesz”.

– Jasne – rzekła natychmiast, a potem, przypomniawszy sobie o jego ułomności, powtórzyła wyraźnie i dodała: – Umiesz czytać z ruchu warg?

Nick skinął głową.

– Świetnie – powiedziała. – Cieszę się, że ktokolwiek się tu zjawił, nawet jeśli jeden to głuchy niemowa, a drugi półgłówek. Tu jest strasznie. Odkąd nie ma światła nocami prawie nie śpiam. – Na jej twarzy pojawił się zboląły wyraz, bardziej adekwatny dla aktorki z opery mydlanej niż dla istoty z krwi i kości. – Wiesz, moi rodzice zmarli dwa tygodnie temu. Wszyscy umarli, zostałam tylko ja. Czułam się taka samotna. – Zaszlochała, po czym rzuciła się Nickowi w ramiona, tuląc się do niego w obscenicznej parodii smutku i żalu.

Kiedy odsunęła się od niego miała suche i roziskrzone oczy.

– Wiesz co, zróbmy to – zaproponowała. – Jesteś całkiem fajny.

Nick spojrzał na nią zdezorientowany. „To nie do wiary” pomyślał. Ale tak właśnie było. Zaczęła rozpinąć mu pasek.

– No, chodź. Biorę pigułki. Nic się nie wydarzy. – Przerwała na chwilę. – Ty możesz, prawda? To, że nie słyszysz i nie mówisz nie oznacza, że nie...

Wyciągnął ręce, być może, by ująć ją za ramiona, ale zamiast nich napotkał jej piersi. I ostatni mur jego potencjalnego oporu runął. Spójne, logiczne myśli odpłynęły z jego umysłu. Położył ją na podłodze i wziął bez namysłu.

Potem, zapinając pasek, podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz, aby sprawdzić co z Tomem. Mężczyzna wciąż leżał na ławce, martwy dla całego świata. Julie podeszła do niego z nową butelką perfum w dłoni.

– To ten przygłup? – zapytała.

Nick skinął głową, ale to słowo nie spodobało mu się. Zabrzmiało okrutnie.

Zaczęła opowiadać mu o sobie. Nick z ulgą dowiedział się, że miała siedemnaście lat, niewiele mniej od niego. Jej mama i przyjaciele nazywali ją Anielską Buzią albo w skrócie Angel, bo tak młodo wyglądała. Przez kolejną godzinę opowiedziała mu dużo więcej, a Nick stwierdził, że prawie nie potrafił rozróżnić, co z tego było prawdą, a co kłamstwem. Mogła całe życie czekać na kogoś takiego jak on, który nigdy nie przerwie jej nie mającego końca monologu.

Jego oczy zmęczyły się od samego wpatrywania się w jej różowe, kształtujące słowa wargi. Kiedy jednak choć na chwilę odwracał wzrok, by zerknąć na Toma lub wybitą szybę

wystawową w sklepie odzieżowym po drugiej stronie ulicy, dotykała dłonią jego policzka, ponownie zwracając jego uwagę na siebie. Chciała, by „usłyszał” wszystko i niczego nie pominął. To go początkowo drażniło, a potem znudziło. Po godzinie żałował, że ją spotkał i zaczął łudzić się, że mimo wszystko zmieni zdanie, i nie pojedzie z nimi.

Uwielbiała rocka, marychę i coś, co nazywała „kolumbijskimi krótkimi” oraz „skwarkami”. Miała chłopaka, ale tak go wnerwiły władze miejscowego liceum, że w kwietniu ubiegłego roku zaciągnął się do piechoty morskiej. Od tej pory go nie widziała, choć pisała regularnie co tydzień. Wraz z dwiema koleżankami, Ruth Honinger i Mary Beth Gooch bywały na wszystkich koncertach rockowych w Wichita, a we wrześniu zeszłego roku pojechały stopem do Kansas City na koncert Van Halen i Monsters of Heavy Metal. Twierdziła, że „zaliczyła” basistę z Dokkena i było to, jak twierdziła „najbardziej kurewsko zajebiste doznanie w całym jej życiu, po śmierci mamy i taty”, którzy odeszli w ciągu doby jedno po drugim. Płakała i płakała bez końca, mimo iż jej matka była pruderyjną jędzą, a ojciec sztywniakiem, a kiedy Ronnie, jej chłopak zaciągnął się do wojska, postanowiła zostać wizażystką w Wichita, gdzie skończyła liceum, albo „pojechać do Hollywood i załapać robotę w którejś z tych firm zarządzających chaty wielkich gwiazd, jestem w tym kurewsko zajebista i Mary Beth powiedziała, że ze mną pojedzie”.

W tym momencie napomknęła, że Mary Beth Gooch nie żyje, a co za tym idzie jej szanse, by zostać wizażystką albo dekoratorką wnętrz w rezydencjach gwiazd spaliły na panewce, odeszły ze śmiercią jej przyjaciółki i reszty świata. To ewidentnie zasmuciło ją bardziej niż cokolwiek innego. Nie była to jednak prawdziwa burza, a jedynie krótki szkwał.

Kiedy potok słów zaczął powoli wysychać – przynajmniej na pewien czas – zapragnęła „zrobić to” jeszcze raz. Nick pokręcił głową, a Julie wydeła wargi.

– Wiesz co, zastanawiam się, czy z tobą pojedę. Jeszcze nie wiem.

Nick wzruszył ramionami.

– Dureń z ciebie! – rzuciła zjadliwie. W jej oczach błyszczała nienawiść. I nagle się uśmiechnęła. – Ja nie chciałam. Tylko żartowałam.

Nick spojrział na nią beznamyślnie. Obrzucano go znacznie bardziej dotkliwymi epitetami, ale w jej słowach było coś, co nie przypadło mu do gustu. Jakieś rozchwianie i niepokój. Ta dziewczyna, denerwując się na ciebie, nie krzyczałaby, ani nie uderzyła cię w twarz. Raczej rzuciłaby ci się z paznokciami do oczu. Nagle zdał sobie sprawę, że skłamała, mówiąc o swoim wieku. Nie miała siedemnaście, czternaście ani dwadzieścia jeden lat. Miała tyle, ile TY chciałeś, aby miała, tak długo jak TY pragnąłeś i potrzebowałeś jej bardziej niż ona ciebie. Była istotą cielesności i zmysłowości, ale Nick dochodził do wniosku, że jej seksualność stanowiła przejaw czegoś innego w jej osobowości.

To był symptom. Symptom to słowo używane do określenia objawów choroby, czyż nie? Czy uważał, że była chora? W pewnym sensie tak, i nagle zaczął obawiać się o wpływ, jaki mogła wyrzucić na Toma.

– Ej, twój koleś się budzi! – rzekła Julie.

Nick rozejrzał się. Tak. Tom usiadł na ławce, drapiąc się po rozwichrzonych włosach i łypiąc bezradnie dokoła. Wciąż wyglądał na chorego. Nick przypomniał sobie nagle o pepto-bismolu.

– Cześć! – zawołała śpiewnie Julie i pobiegła w stronę Toma. Jej piersi pod obcisłym sweterkiem kołysały się w górę i w dół.

Tom na jej widok otworzył ze zdumienia usta.

– Cześć? – rzucił, a raczej zapytał powoli i spojrzał na Nicka w poszukiwaniu wyjaśnienia bądź potwierdzenia.

Nick maskując swe zaniepokojenie, wzruszył ramionami i pokiwał głową.

– Jestem Julie – powiedziała. – Jak się masz, pączusiu?

Nick z głębokim niepokojem, zamyślony, wrócił do apteki po lekarstwo dla Toma.

– Uhm-hm – rzekł Tom, kręcąc głową i cofając się o kilka kroków. – Nie chcę. Tom Cullen nie lubi lekarstwa, słowo daję, lekarstwo niedobre.

Nick spojrzał na niego z frustracją i niesmakiem, trzymając w dłoni butelkę pepto-bismolu. Spojrzał na Julie, a ta wychwyciła jego wzrok, lecz dostrzegł w jej oczach te same drwiące iskierki jak wtedy, gdy nazwała go durniem, nie były to błyski, lecz zimne, złowrogie lśnienia. Taki wzrok ma osoba, która zamierza z kogoś zadrwić.

– Otóż to, Tom – rzuciła. – Nie pij tego. To trucizna.

Nick spojrzał na nią ze zdumieniem. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, opierając dłonie na biodrach, jakby wyzywała go do przekonania Toma, że jest inaczej. Możliwe, że w ten sposób odgrywała się na nim, że nie zechciał kochać się z nią powtórnie.

Spojrzał na Toma i sam pociągnął z butelki. Czuł gniew pulsujący tępo w skroniach. Podał butelkę Tomowi, lecz ten wciąż się wahał.

– Nie, o nie, Tom Cullen nie wypije trucizny – powiedział, a Nick, patrząc z coraz większą wściekłością na dziewczynę, stwierdził, że Tom był przerażony. – Tato zabronił. Mówił, że jeśli to zabija szczury, to zabije też Toma! Trucizna, nie!

Nick odwrócił się lekko od Julie, nie mógł już znieść widoku triumfalnego uśmiešku na jej ustach. Uderzył ją. Spoliczkował. Mocno. Tom przeraził się jeszcze bardziej.

– Ty... – zaczęła i na chwilę odebrało jej głos. Zaczerwieniła się i wybuchnęła wściekle, niemal plując jadem: – Ty durny, porąbany debil! To był tylko dowcip, baranie! Dlaczego mnie uderzyłeś? Nie wolno ci, żeby cię pokreśliło, ty dupku!

Rzuciła się na niego, ale ją odepchnął. Plasnęła na siedzenie i spojrzała w górę, na niego. Jej wargi rozchyliły się, ukazując zaciśnięte zęby.

– Jaja ci pourywan! – wysyczała. – Nie wolno ci tak ze mną postępować.

Z drżącymi dłońmi i łupaniem pod czaszką Nick wyjął pióro i zaczął pisać wielkimi, koślawymi literami. Oderwał kartkę i pokazał jej. Pałając z wściekłości, rozjuszona jak dzika

kotka, odtrąciła jego dłoń, wytrącając kartkę. Podniósł ją, złapał dziewczynę za kark i podetknął jej kartkę pod nos. Tom cofnął się, pochlipując.

– W porządku! – zawołała. – Przeczytam! Przeczytam twoją pieprzoną notatkę!

Na kartce widniały tylko trzy słowa: „Nie potrzebujemy cię”.

– Pieprzę cię! – syknęła, wrywając się z jego uścisku. Cofnęła się o kilka kroków. Oczy miała tak rozszerzone i niebieskie, jak wtedy, w aptece, kiedy się na nią natknął, teraz jednak przepełniała je nienawiść.

Nick był zmęczony. Dlaczego akurat ona, spośród wszystkich ludzi na świecie?

– Nie zostanę tu – rzekła Julie Lawry. – Wyjeżdżam. I nie powstrzymasz mnie.

Myliła się. Mógł to zrobić. Czy nie zdawała sobie z tego sprawy? „Chyba nie” – pomyślał Nick. W jej mniemaniu to wszystko było jak fragment filmu Made in Hollywood, katastroficznego obrazu, w którym kreowała jedną z ról. W filmie tym Julie Lawry, alias Angel, zawsze dostawała to, czego zapragnęła.

Wyjął z kabury pistolet i wymierzył w jej stopy. Znieruchomiła, a rumieńce znikły z jej twarzy. Coś w oczach Julie zmieniło się, wyglądała nieco inaczej, wydawała się bardziej rzeczywista. Do świata, gdzie żyła, wdarło się coś, czego nie potrafiła wykorzystać wedle swego uznania, czym nie potrafiła manipulować. Broń. Nickowi, prócz tego, że był zmęczony, zrobiło się niedobrze.

– Ja nie chciałam – rzuciła gwałtownie. – Zrobię wszystko, co zechcesz, naprawdę. Przysięgam na Boga.

Machnął pistoletem, nakazując jej odejść.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Szła coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zaczęła biec. Nick schował broń do kabury. Cały był rozdygotany. Czuł się zbrukany, przygnębiony i zdołowany, jakby Julie Lawry nie była człowiekiem, lecz istotą zbliżoną w swej naturze do plugawych, zimnokrwistych żuków, na które można natrafić pod zwałonymi, uschłymi drzewami.

Obrócił się, wypatrując Toma, lecz nie było go w zasięgu wzroku.

Ruszył wzdłuż skąpanej w słońcu ulicy. W głowie czuł potworne łupanie; oko, które uszkodził mu Ray Booth pulsowało tęnym bólem. Znalezienie Toma zajęło mu dwadzieścia minut. Mężczyzna siedział na ganku, dwie ulice od dzielnicy handlowej. Siedział na zardzewiałej huśtawce werandowej, przyciskając do piersi swój zabawkowy garaż. Na widok Nicka rozpląkał się.

– Proszę, nie każ mi tego pić, nie każ Tomowi Cullenowi pić trutki, słowo daję, tato mówił, że jak to zabija szczury, to i mnie też zabije, proooszę!

Nick zorientował się, że wciąż trzyma w dłoni butelkę pepto-bismolu. Wyrzucił ją i pokazał Tomowi puste dłonie. Cóż, facet będzie musiał sam poradzić sobie z rozwolnieniem.

„Wielkie dzięki, Julie”.

Tom zszedł po schodach ganku, bełkocąc pod nosem.

– Przepraszam. Przepraszam, Tom Cullen przeprasza.

Wrócili na Main Street i stanęli jak wryci. Oba rowery były przewrócone. Ich opony zostały pocięte. Zawartość plecaków rozrzucono po całej ulicy.

W tej samej chwili coś śmignęło tuż obok twarzy Nicka – poczuł to – a Tom krzyknął i rzucił się do ucieczki. Nick stał przez chwilę zdezorientowany, rozejrzał się dokoła i tak się złożyło, że spojrzał we właściwą stronę, by ujrzeć błysk drugiego wystrzału. Padł z okna pokoju na pierwszym piętrze hotelu Pratt. Coś szarpnęło go brutalnie za kołnierz koszuli.

Odwrócił się i popędził za Tomem.

Nie wiedział, czy Julie będzie jeszcze strzelać; kiedy odnalazł Toma wiedział tylko, że żaden z nich nie został ranny. „Przynajmniej pozbyliśmy się tej diablidy” – pomyślał, choć okazało się to prawdą tylko w połowie.

Tego wieczora ułożyli się na spoczynek w stodole, trzy mile na północ od Pratt. Tom obudził się z krzykiem; męczyły go koszmary. Obudził również Nicka, potrzebował bowiem ukojenia. Następnego ranka, około jedenastej dotarli do luki i w tamtejszym sklepie o nazwie „Świat sportu i rowerów” znaleźli dwa nadające się dla nich pojazdy. Nick, który powoli otrząsał się już po spotkaniu z Julie, pomyślał, że resztę sprzętu i prowiantu będą mogli uzupełnić w Great Bend, dokąd powinni dotrzeć nie dalej jak czternastego.

Jednak już za kwadrans trzecia, dwunastego lipca po południu, ujrzał błysk w lusterku wstecznym zamontowanym na lewej kierownicy swego roweru. Zatrzymał się (Tom, który jechał za nim, błędząc myślami gdzieś daleko, przejechał mu po stopie, ale Nick nawet tego nie zauważył) i obejrzał się przez ramię. Błysk dochodził spoza wzgórza znajdującego się dokładnie za nimi, był silny, oślepiający i srebrzysty jak światło gwiazdy. Nick nie mógł uwierzyć własnym oczom. Był to stary model chevroleta pickupa, dobry stary wóz z Detroit. Sunął wolno, zakosami od jednego pasa do drugiego, omijając blokującą drogę autą. Podjechał do nich (Tom zamachał energicznie ręką, ale Nick tylko stał na szeroko rozstawionych nogach, zsunąwszy się z siodła) i stanął. Zanim jeszcze ujrzał kierowcę, Nick przez chwilę wyobrażał sobie, że będzie nim uśmiechająca się triumfalnie i złowrogo Julie Lawry.

Będzie miała w dłoni broń, z której wcześniej do nich strzelała, a z tej odległości na pewno nie spudłuje. I w piekle nie znasz takiego gniewu, co dorównałby wściekłości wzgardzonej kobiety.

Kierowca okazał się jednak mężczyzną około czterdziestki, w słomkowym kapeluszu z piórkiem zatkniętym zawadiacko za niebieską, aksamitną wstążkę, a kiedy się uśmiechnął, jego oblicze pokryło się siateczką zmarszczek.

– Boże Świąty! – wyszeptał. – Cóż to ja widzę? Czy mam się cieszyć, że was widzę, chłopaki? Jasne, że tak! Wskakujcie i zobaczymy, dokąd uda się nam dojechać.

W ten właśnie sposób Nick i Tom spotkali Ralpa Brentnera.

ROZDZIAŁ 44

Rozpadał się w szwach, dziecińo, czyż nie zdajesz, sobie z tego sprawy?

To z kawałka Hueya „Piano” Smitha, który akurat przyszedł mu do głowy. Wspomnienia z przeszłości. Z odległej przeszłości. Pamiętasz, jak szedł ten kawałek? *Ach-ach-ach-ach, szabadabada-sza-badabada-ach-ach-ach-ach*. Itepe, itede. Inteligencja, mądrość i świadomość społeczna Hueya Smitha.

– Pieprzyć świadomość społeczną – mruknął. – Huey Smith to dla mnie dinozaur.

Wiele lat później John Rivers nagrał jedną z jego piosenek – *Rockowa angina i grypa boogie-woogie*. Larry Underwood pamiętał to doskonale i uznał, że było jak najbardziej adekwatne do sytuacji. Dobry stary Johnny Rivers. Dobry stary Huey „Piano” Smith.

– Pieprzę to – mruknął znowu Larry.

Wyglądał fatalnie, blade, kruche widmo, błakające się po nowoangielskiej autostradzie.

– Powróćmy do lat sześćdziesiątych.

Jasne, lata sześćdziesiąte to były czasy! Dzieci kwiaty. Ogólne oczyszczenie. Andy Warhol w okularkach z różowymi oprawkami i nowym stylem artystycznym. Velvet Underground. Powrót Potwora z Yorba Linda. Norman Spinrad. Norman Mailer. Norman Thomas. Norman Rockwell i dobry stary Norman Bates z motelu Batesa, he, he, he. Dylan skręcił kark. Barry McGuire wyskrzeczwał *Eve of Destruction*. Diana Ross podniosła świadomość wszystkich białych dzieciaków w Stanach. Wszystkie te cudowne kapele, pomyślał z otępieniem Larry. Powróćmy do lat sześćdziesiątych, a osiemdziesiąte niech idą w cholerę. Jeśli chodzi o rock and rolla, lata sześćdziesiąte były ostatnim zrywem Złotej Ordy. Cream. Rascals. Spoonful. Airplane z wokalem Grace Slick. Norman Mailer na gitarze prowadzącej i dobry stary Norman Bates na perkusji. Beatlesi. The Who. Dead...

Upadł i uderzył się w głowę.

Świat poczerniał i powrócił w oślepiającej bieli. Potarł dłonią skroń, a gdy uniósł ją do oczu, ujrzał na palcach krew. Nie przejął się tym. Co tam, kurwa, jak mawiano w dobrych, starych latach sześćdziesiątych. Cóż znaczył upadek i rozbita głowa, kiedy przez cały ostatni tydzień nie potrafił zasnąć, by nie obudzić się zlanym potem, z potwornego koszmaru, a dobre

noce były takimi, kiedy nie wrzeszczał przy tym na całe gardło? Jeśli wyleś jak opętany i budziłeś się słysząc własny krzyk, to było jeszcze bardziej przerażające.

Śnił o powrocie do tunelu Lincolna. Ktoś szedł za nim, ale w snach to nie była Rita. To diabeł podążał za Larrym z zimnym uśmiechem na beznamietnej twarzy. Czarny człowiek nie był żywym trupem, był czymś o wiele gorszym. Larry biegł jak w koszmarze, powoli, jak przez gęste błocko, potykając się o niewidoczne zwłoki, z przekonaniem, że trupy gapią się na niego szklanymi oczami wypchanych trofeów zamkniętych w kryptach swoich aut, jadących poprzez wieczność ku jakiemuś innemu miejscu; biegł, ale czy miał szansę umknąć czarnemu człowiekowi – diabłu, czarownikowi, który widział w ciemnościach jak kot?

I po chwili mroczny mężczyzna zaczynał nawoływać do niego: „Chodź, Larry, chodź, zrobimy to razem, Laaarry!”

A potem czuł na karku oddech tego człowieka, i zaraz zaczynał się budzić, próbował się obudzić, uciec z tego koszmaru, a krzyk wiązał mu w gardle jak gorąca kość, albo wrywał się pomiędzy jego ust tak głośny, że mógł pobudzić umarłych.

Za dnia wizja mrocznego mężczyzny traciła na sile. Widocznie facet robił na nocnej zmianie. Za dnia Wielki Samotnik zabierał się ostro za niego, w gryzając się w jego mózg ostrymi zębiskami niezmordowanego gryzonia, szczura a może łasicy. Za dnia myślał głównie o Ricie. Cudownej, zakompleksionej Ricie. W myślach odwracał ją raz po raz, by ujrzeć te zmrużone w szparki oczy, jak ślepią zwierzęcia, które umarło w okropnych męczarniach i zdumieniu, i te usta, które kiedyś całował, teraz wypełnione krzepnącymi zielonymi rzygowinami. Umarła tak cicho i łagodnie, pośród nocy, w tym samym co on śpiworze, a teraz on...

Rozpadał się w szwach. Czy nie tak? Oto co się z nim działo. Rozpadał się w szwach.

– Pękam – jęknął. – O rany, odwała mi. Kompletnie świruję.

Jakaś jego część, która wciąż zachowywała zdolność trzeźwego rozumowania potwierdziła, że rzeczywiście mogło tak być, ale to, co mu obecnie doskwierało, to porażenie słoneczne.

Po tym, co stało się z Ritą, nie potrafił jechać dalej na motocyklu. Po prostu nie mógł i już. Blokada psychiczna. Wciąż widział siebie rozsmarowanego na czarnym pasie asfaltu. Wreszcie porzucił motor, zostawił go gdzieś przy drodze. Od tej pory szedł pieszo, ile dni już minęło – cztery, osiem, a może więcej? Nie wiedział. Od dziesiątej rano panował potworny skwar, słońce świeciło mu w plecy, a on nie nakrył niczym głowy.

Nie pamiętał, ile dni upłynęło, odkąd porzucił motocykl. Na pewno nie stało się to wczoraj ani dwa dni temu. Zresztą, czy to ważne? Zsiadł z siodełka, wrzucił bieg, przekręcił, gaz do oporu i zwolnił sprzęgło. Motocykl wyrwał się z jego drżących, chorych dłoni niczym derwisz i pomknął, by stoczyć się z nasypu US 9 gdzieś na wschód od Concord.

Przyszło mu na myśl, że miasteczko, pod którym zniszczył swój motocykl powinno nazywać się Zbrodnioville, choć to również nie miało dla niego większego znaczenia.

Najważniejsze, że motocykl przestał być dla niego użyteczny. Nie odważył się jechać szybciej niż z prędkością piętnastu mil na godzinę, a nawet wtedy doświadczał przeraźliwych wizji, w których był wyrzucany ponad kierownicą i roztrzaskiwał sobie czaszkę, albo pokonując ostry zakręt zderzał się z nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówką, obracając się w kulę ognia. Po jakimś czasie rzecz jasna znów zapalało się to cholerne światełko wskazujące przegrzanie maszyny i naturalnie tak właśnie było. Oczywiście wyobraźni Larry widział inne litery nad czerwoną lampką, układające się w napis TCHÓRZ. Był taki czas, kiedy nie tylko przyjąłby motocykl bez słowa, ale również z nieprzepartą radością; uwielbiałby to uczucie pędu, kiedy wiatr omiatał mu twarz, i widok asfaltu przesuwającego się sześć cali poniżej podpórek dla stóp. Czy to go kiedyś bawiło? Tak. Kiedy była z nim Rita, zanim nie zostało z niej nic, prócz ust wypełnionych zielonymi rzygowinami i zmrużonych oczu. Wtedy naprawdę to kochał.

Wtedy. Teraz już nie. Dlatego zrzucił motocykl z nasypu, w głąb zarośniętego chwastami parowu, a potem zajął tam trwożliwie, jakby obawiał się, że coś może stamtąd wypłynąć i rzucić się na niego. „No, dalej – pomyślał – zdychaj skurwielu”. Ale mimo iż odczekał kilka minut, motocykl już się nie pokazał. Maszyna długo jeszcze wyła i ryczała daleko w dole, jej tylne koło obracało się bezowocnie, głodny łańcuch pożerał liście, pozostałość z ubiegłej jesieni i wypluwał kłęby brązowego gorzko cuchnącego kurzu. Siwy dym buchał z chromowanej rury wydechowej. Larry w swym chwilowym rozchwianiu postrzegał w tym jakiś czynnik nadnaturalny. Spodziewał się zobaczyć, że motocykl zawraca i wydostaje się ze swego grobu, aby go dopaść i pożreć, a może, jeśli nie teraz, to stanie się to któregoś dnia, w przyszłości. Odwróci się, usłyszawszy narastający ryk silnika, i ujrzy swój motocykl, ten cholerny motocykl, który nie chciał po prostu poddać się i spokojnie, jak przystało na dobrą maszynę wyzionąć ducha, pędzący w jego kierunku po pustej szosie z prędkością osiemdziesiąt mil na godzinę, a nad kierownicą pochylać się będzie mroczny mężczyzna, szatan we własnej osobie, z tyłu za nim zaś będzie siedziała Rita Blakemoor w białych workowatych spodniach rozwiewanych wiatrem, z twarzą bladą jak kreda, oczami zmrużonymi w szparki i włosami suchymi i martwymi jak łan kukurydzy zimą. W końcu jednak silnik motocykla zaczął rzeźić, prychać i strzelać, a kiedy wreszcie ucichł, Larry’emu zrobiło się smutno i przykro, jakby zabił część siebie.

Bez motoru nie miał możliwości rozproszenia ciszy, a cisza na swój sposób była gorsza niż trawiące go lęki, strach przed śmiercią albo poważnym wypadkiem. Od tej pory wędrował pieszo. Minął kilka małych miasteczek przy US 9, widział salony motocyklowe z maszynami, które zaopatrzone były w kluczyki, jakby zapraszały, by je zabrać, ale gdy przyglądał się im zbyt długo, przed oczami znów pojawiała się wizja, w której leżał przy szosie w kałuży krwi o barwie jak z horroru klasy B, jednego z tych, gdzie ludzie są wciągani pod koła wielkich ciężarówek albo zarażani larwami wielkich, nieznanymi pasożytów; zostają później rozzerwani, by z ich piersi lub żołądków w rozbryzgach szkarłatnej posoki mogły wydostać się

dorośle już osobniki. Tak czy inaczej odchodził od wystawy rozdygotany, pobladły i przerażony. Mijał salony motocyklowe z kropelkami potu perlącymi się na jego górnej wardze i na skroniach.

Schudł, ale cóż w tym dziwnego? Dzień w dzień maszerował od świtu do zmierzchu. Prawie nie sypiał. Koszmary budziły go o czwartej nad ranem, a wtedy zapalał lampę i kulił się przy niej, czekając aż wszędzie słońce, gdy znów odważy się ruszyć w drogę. I siedł tak aż do zmroku, kiedy robiło się zbyt ciemno, by mógł cokolwiek zobaczyć, a potem rozbijał obóz, szybko i wprawnie niczym z policyjnego konwoju. Wówczas kładł się i leżał do późna, jak ćpun, w którego krwioobiegu krążą dwa gramy kokainy. Och, dziecino, trzęś się, turlaj i tocz. Jak ćpun prawie w ogóle nic nie jadł. Nie odczuwał głodu. Kokaina nie wzmagała głodu. Strach również. Larry nie ćpał od tamtego na wpół zapomnianego przyjęcia w Kalifornii, ale przez cały czas się bał. Trzepot ptasich skrzydeł wśród drzew wywoływał u niego nerwowe dreszcze. Śmiertelny skowyt i pisk małego zwierzątka, zabijanego przez większe wśród chaszczy, sprawiało, że o mało nie wychodził z siebie. Chudł coraz bardziej. „Z kości na ości” – jak to się zwykle mawia. Niebawem, jeśli ten proces będzie postępować, zostanie z niego SAMA skóra i kości. Zapuşcił brodę i, co niezwykle, miała ona czerwonozłocistą barwę, o dwa odcienie jaśniejszą niż włosy. Jego oczy zapadły się głęboko, błyszcząc w nich jak małe zdesperowane zwierzątka pochwycone w bliźniacze pułapki.

– Rozpadam się w szwach – wykrztusił.

Desperacja w jego świszczącym głosie kompletnie go przeraziła. Czy było aż tak źle? Niegdyś był Larrym Underwoodem, facetem, któremu się powiodło i który zdobył umiarkowaną popularność na rynku płytowym. Facetem, który liczył, że stanie się Eltonem Johnem swoich czasów. Rany, ależ Jerry Garcia śmiał się, kiedy to usłyszał. A teraz ten człowiek sukcesu zmienił się w zdruzgotaną, przybitą istotę wlokącą się w upale wzdłuż US 9, gdzieś w południowo-wschodnim zakątku New Hampshire, pełznącą przed siebie jak żaloszny, stary, zdychający wąż. Ten drugi Larry Underwood z całą pewnością nie miał nic wspólnego z tym żalosznym wrakiem człowieka.

Próbował wstać, ale nie mógł.

– Och, to takie absurdalne – powiedział, na wpół śmiejąc się, na poły szlochając.

Po drugiej stronie drogi, na odległym o dwieście jardów wzgórzu, skrząc się niczym przepiękna fatamorgana, stał biały, wytworny farmerski domek. Miał zielone wykończenia, zielone ozdoby i dach z zielonych gontów. Ciągający się pod domem trawnik był już co nieco zapuszczony. Na skraju trawnika szmerząc łagodnie, toczył swe wody wąski, roziskrzony strumyk. Szum wody wydawał się kojący, wręcz hipnotyczny. Wzdłuż brzegu ciągnął się kamienny murek, zapewne znaczący granicę posiadłości, nad nim zaś w równych odstępach pochylały się wielkie, cieniste wiązy. Larry postanowił, że dojdzie-dopełnie-doczłoga się tam i odpocznie przez chwilę w cieniu. A kiedy poczuje się trochę lepiej – jeśli w ogóle poczuje się lepiej – wstanie, podejdzie do strumyka, napije się i umyje jak należy.

Prawdopodobnie śmierdział. Kogo to jednak obchodziło? Kto mógł teraz, kiedy Rita nie żyła, poczuć jego smród?

„Czy wciąż leżała tam, w namiocie, gdzie ją zostawił? – zastanawiał się w duchu. – Czy wezbrały w niej gazy? Żerowały na niej muchy? A może wyglądała tak, jak to czarne słodko cuchnące coś w budce na stacji? W gruncie rzeczy gdzie indziej mogłaby być? W Palm Springs na partyjce golfa z Bobem Hope?”

– Boże, to potworne – wyszeptał i przeczołgał się przez szosę.

Kiedy znalazł się w cieniu był prawie pewien, że zdoła wstać, ale najwyraźniej wymagało to zbyt dużego wysiłku. Na szczęście zostało mu dość energii by mógł obejrzeć się przez ramię, czy nie nadjeżdża, by go pożreć, porzucony przez niego motocykl.

W cieniu było przynajmniej piętnaście stopni chłodniej. Larry odetchnął z ulgą i głębokim zadowoleniem. Dotknął dłonią karku prażonego przez cały dzień przez bezlitosne słońce i aż zasyczał z bólu. Oparzenia słoneczne? Weź ksylokainę. I cały ten szajs. Zabierz ludzi, niech nie siedzą na słońcu. Płoń dziecino, płoń! Watts. Pamiętasz go? Jeszcze jedno wspomnienie z przeszłości. Cała ludzka rasa, jedno wielkie wspomnienie z przeszłości. Całus z za grobu.

– Człowieku, źle z tobą – jęknął i oparłszy głowę o szorstką korę pnia wiązu, zamknął oczy. Pod powiekami zawirowały mu czerwone i czarne plamki. Szum wody, jej plusk i bulgot przynosił ukojenie i brzmiał nieskończenie słodko. Za chwilę pójdzie tam, napije się i umyje. Za minutkę. Zdrzemnął się.

Minuty płynęły, drzemka zaś przerodziła się w pierwszy od wielu dni, głęboki i pozbawiony marzeń sen. Jego splecione na podolku dłonie zwiotczały. Chuda klatka piersiowa mężczyzny unosiła się i opadała, a broda sprawiała wrażenie, że jego oblicze było jeszcze bardziej pociągłe, to była przepełniona niepewnością twarz samotnego zbiega, któremu udało się uciec przed masakrą. Stopniowo bruzdy wryte w jego spieczonym słońcem twarzy zaczęły się wygładzać. Opadał coraz niżej na samo dno nieświadomości, gdzie spoczął jak małe, rzeczne żyjątka przysypiające latem w chłodnym mule. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

Na skraju potoku, w chaszczach, rozległ się głośny szelest, jakby coś, przedzierając się przez nie, znieruchomiało, a potem ruszyło dalej. Po chwili z krzaków wyszedł chłopiec. Miał około dziesięciu lat; był wysoki jak na swój wiek. Nosił spodenki bokserki. Jego ciało miało brązowy odcień, za wyjątkiem białego paska skóry, który wyłonił się, gdy elastyczny pasek spodenek zsunął się nieco niżej. Na ciele miał masę bąbli od ukąszeń komarów i gzów, głównie starych, ale były też i nowe. W prawej dłoni trzymał nóż rzeźnicki. Ostrze było ząbkowane i miało jakąś stopę długości. Błysnęło srebrzyście w słońcu. Chłopak, pochylając się, podkradł się do murku i wiązów, po czym zatrzymał się nad Larrym. Jego oczy miały barwę morza, zielonkawo-niebieską, i były odrobinę skośne, co zdawało się zdradzać

azjatycki rodowód. Były prawie zupełnie pozbawione wyrazu, jeśli nie liczyć żądy mordu. Chłopak uniósł nóż.

– Nie – rozległ się stanowczy, kobiecy głos.

Odwrócił się do niej, przechylił głowę i nasłuchiwał, nie opuszczając noża. Na jego twarzy malowało się zdumienie i rozczarowanie.

– Poczekamy, zobaczymy – rzekł kobiecy głos.

Chłopiec popatrzył tęsknie na nóż, na Larry'ego i znowu na nóż, a potem wrócił tam, skąd przyszedł.

Larry spał w najlepsze.

Pierwsze, co Larry uświadomił sobie po przebudzeniu to to, że czuje się doskonale. Drugie, że jest głodny. Po trzecie, że słońce znajduje się po niewłaściwej stronie horyzontu. Po czwarte zaś, że, za przeproszeniem, chciało mu się łać jak jasny piorun.

Kiedy wstał i przeciągnął się, wsłuchując się w rozliczne trzaski stawów, stwierdził, że nie tyle się zdrzemnął, co raczej przespał całą noc. Spojrzał na zegarek i zrozumiał, co się stało ze słońcem. Było dwadzieścia po dziewiątej rano. Zgłodniał. W wielkim białym domu na pewno będzie jedzenie. Zupa z puszki, może peklowana wołowina. Na samą myśl kiszki zagrały mu marsza. Zanim dotarł do domu, rozebrał się, ukląkł przy strumieniu i obmył się dokładnie. Ponownie uświadomił sobie, jak bardzo schudł podczas tej wędrówki.

Wstał, wytarł się koszulą i wciągnął spodnie. Ze strumienia wystawało kilka większych kamieni. Przeszedł po nich, a na drugim brzegu stanął jak wryty i spojrzał w stronę gęstwiny krzewów. Strach, uspijony w nim odkąd obudził się i rozpałił w nim na nowo niczym strzelający w górę płomień, ale zaraz znowu przygasł. Zapewne szelest, który usłyszał, spowodowała wiewiórka, szop albo lis. To tyle. Odwrócił się obojętnie i ruszył po trawniku w stronę wielkiego białego domu.

W połowie drogi coś zaświtało mu w głowie. Stało się to nagle, bez uprzedzenia, ale implikacje tej myśli sprawiły, że stanął jak wryty.

Myśl brzmiała: „Dlaczego nie wybrałeś sobie roweru?”

Stał pośrodku trawnika, w pół drogi między potokiem a domem, zdezorientowany prostotą myśli, która go nawiedziła. Odkąd porzucił harleya szedł dalej pieszo. Maszerował, szedł bez wytchnienia, umordował się setnie i wreszcie padł, powalony porażeniem słonecznym czy czymś w tym rodzaju. Nieważne. A przecież mógł spokojnie pedałowac na rowerze, jadąc z bezpieczną prędkością i do tej pory byłby już na wybrzeżu, wybierając dla siebie odpowiedni domek na plaży. Z całym wyposażeniem, ma się rozumieć.

Wybuchnął śmiechem, najpierw łagodnym, a potem coraz bardziej upiornym w panującej dokoła ciszy. Śmianie się, gdy w pobliżu nie było nikogo, stanowiło jeszcze jeden dowód na to, że wybrałeś podróż w jedną stronę do krainy wyplatania koszyków i pokoi bez klamek. Mimo to śmiech wydał mu się tak realny i zdrowy, tak CHOLERNIE zdrowy, że Larry

Underwood po raz pierwszy od dawna poczuł się sobą i nie próbował się opanować. Stał z rękoma na biodrach, głową uniesioną ku niebu i śmiał się do rozpuku z własnej głupoty.

Z tyłu za nim, przy potoku, gdzie zarośla były najgęstsze, zielono-niebieskie oczy śledziły Larry'ego, który wciąż rechocząc i kręcąc głową, pokonał dalszy odcinek trawnika i dotarł do białego domu. Patrzyły, jak wchodzi na ganek i porusza klamką, by stwierdzić, że drzwi są otwarte. Widziały jak wchodzi do środka. Wówczas krzewy zafalowały z głośnym szelestem, który Larry usłyszał i zlekceważył. Chłopiec, wciąż nagi, przedarł się przez gęstwiny, wymachując w powietrzu rzeźnickim nożem.

Wtem pojawiła się kolejna dłoń i pogładziła go po ramieniu. Chłopiec natychmiast znieruchomiał. Z zarośli wyszła kobieta, wysoka i władcza, ale poruszała się z niezwykle gracją, niemal bezszelestnie. Miała gęste, czarne włosy poprzeplatane pasemkami śnieżnej bieli, które wyglądały nad wyraz atrakcyjnie. Kobieta splotła z włosów gruby warkocz, który przerzucony przez jedno ramię, sięgał aż do jej krągłej piersi. Patrząc na tę kobietę, najpierw zwracał uwagę jej wzrost, następnie włosy, których oleista czerń zdawała się wciągać cię w otchłań zapomnienia. Gdyby patrzącym był mężczyzna, zastanawiałby się zapewne, jak musiała wyglądać z rozpuszczonymi włosami, rozrzuconymi na poduszce w bladym świetle księżyca. Zastanawiałby się, jaka była w łóżku. Tyle że ona nigdy nie dopuściła do siebie mężczyzny. Była czysta. Czekala. Miała sny. W college'u zetknęła się z tablicą ouija. Zastanawiała się, czy ten mężczyzna był tym, o którego jej chodziło.

– Zaczekaj – rzuciła do chłopaka.

Odwróciła jego udręczoną twarz ku swojej, przepelnionej spokojem. Wiedziała, co może się stać.

– Domowi nic nie grozi. Dlaczego miałby mu coś zrobić, Joe?

Odwrócił się i spojrzał na dom. Tęsknie. Z zatorskaniem.

– Kiedy ruszy w drogę, pójdziemy za nim.

Pokręcił gwałtownie głową.

– Tak, musimy. JA muszę. – To było dla niej niezwykle ważne. Może nie był TYM MEŻCZYZNĄ, ale jeśli nawet, stanowił jedno z ogniw, łańcuch, który od lat śledziła, i zbliżała się do jego kresu.

Joe – choć nie było to jego prawdziwe imię – uniósł nóż tak, jakby chciał uderzyć nim kobietę. Nie próbowała się osłonić ani uciec, więc powoli opuścił dłoń. Odwrócił się w stronę domu i wskazał na niego nożem.

– Nie, nie zrobisz tego – zaoponowała. – Ponieważ to człowiek i doprowadzi nas do... – urwała. „Do innych ludzi”. Tak właśnie zamierzała dokończyć to zdanie. „To człowiek i doprowadzi nas do innych ludzi”. Nie była jednak pewna, czy rzeczywiście o to jej chodziło, a jeżeli nawet, to czy chodziło jej TYLKO o to. Czuła się rozdarta i już zaczęła żałować, że w ogóle spostrzegła Larry'ego. Próbowała znów pogładzić chłopaka po ramieniu, ale wyrwał się jej dziko i ze złością. Spojrzał na biały dom. Jego oczy pały gniewem i zazdrością. W

chwilę potem chłopak, łypiąc na kobietę z wyrzutem, ponownie ukrył się w chaszczach. Podążyła za nim, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Położył się, przyjmując pozycję płodową, nóż trzymał tuż przy piersi. Włożył kciuk do ust i zamknął oczy.

Nadine podeszła do niedużego stawu nad strumieniem i uklękła. Nabrała wody w dłonie, napiła się i przez chwilę obserwowała dom. Jej oczy przepełniał spokój, a oblicze przypominało twarz Madonny pędzla Rafaela.

Późnym popołudniem pedałując wzdłuż okolonego drzewami odcinka US 9, Larry dostrzegł przed sobą wielki, zielony podświetlony znak drogowy i zatrzymał się nieco zdezorientowany, by przeczytać, co na nim było napisane. Napis głosił, że wjeżdżał do Maine, urlopowej krainy. Wprost nie mógł w to uwierzyć, ogarnięty trwogą musiał pokonać na piechotę naprawdę szmat drogi. Albo to, albo umknęło mu gdzieś kilka dni.

Już miał ruszyć dalej, kiedy jakiś hałas, szelest wśród drzew lub tylko w jego głowie sprawił, że obejrzał się szybko przez ramię. Nie dostrzegł niczego, US 9 do New Hampshire była pusta.

Odkąd opuścił biały dom, gdzie zjadł płatki na sucho i zatęchłe krakersy z serem, kilkakrotnie odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje i śledzi. Słyszał jakieś dźwięki, dostrzegał kątem oka jakieś poruszenie. Jego umiejętność obserwacji, która ożywiła się pod wpływem tej dziwnej sytuacji, wyculiła go na nawet najdrobniejsze bodźce, i to głównie dzięki nim nękały go osobliwe, nie poparte dowodami przecucie oraz wrażenie, „że jest obserwowany”. To uczucie bynajmniej go nie przeraziło, w przeciwieństwie do innych. Nie było tu mowy o halucynacjach czy złudzeniach słuchowych. To wrażenie było całkiem inne. Jeśli ktoś go śledził, ale się nie ujawniał, to zapewne ze strachu przed nim. A jeśli ktoś obawiał się chudego, umęczonego Larry’ego Underwooda, „Strachajły”, który pękał, jadąc na motocyklu z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, to nie było się czym przejmować.

Stojąc teraz okrakiem nad ramą roweru, który wybrał ze sklepu sportowego jakieś cztery mile na wschód od białego domu, zawołał donośnym głosem:

– Dlaczego tak się czaisz? Wyjdz. Nie zrobię ci krzywdy!

Bez odpowiedzi. Stał na drodze przy znaku określającym granicę stanu, czekając i wypatrując. Po niebie przemknął ptak, świergocząc głośno. Nie było żadnych innych oznak życia.

Po chwili Larry pojechał dalej.

Przed szóstą wieczorem dotarł do miasteczka North Berwick na przecięciu szos US 9 i US 4. Postanowił tam zanoć i rano wyruszyć na wybrzeże.

Przy skrzyżowaniu w New Berwick natrafił na nieduży sklep. Z nieczynnej chłodziarki wybrał dla siebie sześciopak piwa Black Label. Nigdy wcześniej nie pił tego piwa, zapewne

to jakaś lokalna marka. Zaopatrzył się również w wielką torbę słono-kwaśnych chipsów ziemniaczanych i dwie puszki gulaszu. Włożył to wszystko do plecaka i wyszedł.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się restauracja i przez chwilę wydawało mu się, że dostrzeżę dwa przesuujące się cienie znikające za załomem muru. Możliwe, że tylko mu się przywidziało, ale szczerze w to wątpił. Zastanawiał się, czy nie przebiec na drugą stronę szosy, wołając: „Dobra, dzieciaki, zabawa skończona, wyłaźcie, ale już!”. Zreflektował się jednak. Wiedział, co znaczy strach.

Zamiast tego pokonał krótki odcinek szosy pieszo, pchając rower, na kierownicy którego zawiesił ciężki plecak. Ujrzał wielki ceglany gmach szkoły i rosnącą za nim kępę wysokich drzew. W zagajniku zebrał dość drewna, by zrobić ognisko i rozpałił je pośrodku asfaltowego boiska. Niedaleko był potok; jego wartkie wody przepływały obok fabryki włókienniczej i pod autostradą. Schłodził piwo w potoku i podgrzał gulasz w jednej z puszek. Jadł, posługując się przybornikiem skautowskim. Siedział na jednej ze szkolnych huśtawek i kołysał się leniwie w przód i w tył, podczas gdy jego cień wydłużał się coraz bardziej poza białą linię graniczną boiska do koszykówki.

Zastanawiał się, dlaczego nie lękał się ludzi, którzy za nim podążali, bo teraz już był pewien, że towarzyszy mu co najmniej dwie, a może nawet więcej osób. Co więcej, zachodził w głowę, dlaczego od samego rana był w tak wyśmienitej formie i nastroju, jakby podczas długiego snu poprzedniego popołudnia z jego ciała wypłynęły wszystkie trucizny i złe wapory. Czy to dlatego, że potrzebował odpoczynku? Tylko tyle i nic więcej? To wydawało się zbyt proste.

Logicznie rzecz biorąc, konstatował, gdyby jego „cienie” chciały go skrzywdzić, zapewne już by to zrobiły. Okazja nadarzyła się zapewne niejedną raz. Mogli urządzić zasadzkę i zastrzelić go albo pod groźbą broni zmusić do poddania. Mogli zabrać mu to, co chcieli, ale, logicznie rzecz biorąc (uwielbiał logiczne dywagacje, zwłaszcza teraz, gdy miał już za sobą dni, kiedy jego myślami rządził strach i prymitywna, zwierzęca woła przetrwania), cóż takiego posiadał, co mogliby chcieć od niego inni ludzie? Przecież w każdym z miast i miasteczek było w bród wszystkiego, czego mogliby pragnąć ci, którzy ocaleli z pomoru. Nie było ich w końcu tak wielu. Pozostały jedynie niedobitki. Po co ktoś miałby zadawać sobie trud i kraść coś komuś albo zabijać, aby coś zdobyć, ryzykując życiem, skoro wszystko, czego tylko dusza zapragnie znajdowało się w zasięgu ręki? Wystarczyło jedynie wybić szybę w odpowiednim sklepie lub salonie i brać wedle życzenia.

Jedyne, o co naprawdę było trudno, to obecność innych ludzi. TOWARZYSTWO. To skarb, którego cenę Larry poznał aż za dobrze. W gruncie rzeczy nie obawiał się nieznanymi intruzów dlatego, że domyślał się, czego mogli oni pragnąć. Prędzej czy później przemogą swój strach. Miał czas. Nie spieszyło mu się. Zaczeka. Nie spróbuje ich przepędzić. To tylko pogorszyłoby całą sprawę. Dwa dni temu on sam na widok innego człowieka zapewne też

próbowałby uciekać. Był zbyt przerażony, by móc zachować się inaczej. Dlatego teraz mógł zaczekać. Tylko że tęsknił za spotkaniem z innymi ludźmi. Naprawdę.

Podszedł do strumienia i umył swój przyborek. Wyciągnął z wody sześciopak i wyłuskał z niego jedną puszkę. Otworzył ją i uniósł w dłoni w stronę restauracji, gdzie dostrzegł tajemnicze cienie.

– Wasze zdrowie! – rzekł Larry i duszkiem wypił połowę zawartości puszek. Było wspaniałe!

Zanim skończył sześciopak, było już po siódmej i słońce zaczęło zachodzić. Kopniakiem rozrzucił węgle dogasającego ogniska i zebrał swoje rzeczy. Potem, lekko pijany ale w dobrym humorze, przeszedł jeszcze ćwierć mili wzdłuż autostrady i natrafił na dom z loggią.

Zaparkował rower na trawniku przed domem, zabrał swój śpiwór i śrubokrętem sforsował zamek u drzwi loggii.

Raz jeszcze się rozejrzył w nadziei, że dostrzeże choć jednego ze swych „cieni” – czuł, że jego prześladowcy wciąż mu towarzyszyli – ale ulica była pusta i cicha. Wzruszył ramionami i wszedł do środka.

Było jeszcze wcześniej; spodziewał się, że przez pewien czas nie będzie mógł zasnąć, ale najwyraźniej wciąż potrzebował odpoczynku. W piętnaście minut po tym, jak się położył, zasnął; jego oddech spowolnił się i wyrównał, a prawa dłoń spoczywała tuż obok karabinu.

Nadine była zmęczona. Miała wrażenie, że to najdłuższy dzień jej życia. Dwa razy była pewna, że została dostrzeżona, raz w pobliżu Strafford i powtórnie na skrzyżowaniu Maine Street i New Hampshire, kiedy mężczyzna obejrzał się przez ramię i zawołał do nich. Nie przejmowała się ewentualnym wykryciem. Ten człowiek nie był szalony, w przeciwieństwie do innego, zauważonego dziesięć dni temu przy wielkim, białym domu. Tamten był żołnierzem, uzbrojonym po zęby i obwieszonym granatami oraz bandolierami z amunicją. Śmiał się, płakał i groził, że odstrzeli ją jakiegoś porucznikowi Mortonowi. Porucznika Mortona nigdzie nie było widać. Tym lepiej dla niego, oczywiście jeśli jeszcze żył. Joe też przestraszył się żołnierza i w tym przypadku dobrze, że się tak stało.

– Joe?

Rozejrzała się wokoło.

Joe zniknął.

A ona balansowała na granicy snu i powoli staczała się poza nią. Odgarnęła koc, wstała i, przeciągnawszy się, jęknęła. Była cała obolała. Ile czasu minęło, odkąd przejechała taki szmat drogi na rowerze? Chyba nigdy nie przydarzyło się jej coś podobnego. I na dodatek przez cały czas musiała dbać, by nie zachwiać tej jakże kruchej równowagi. Nerwy miała w strzępach.

Gdyby zbyt szybko się zbliżyli, mężczyzna mógłby ich zauważyć i to mocno zdenerwowałoby Joe. Gdyby zostali za bardzo w tyle on mógłby skrócić w jakąś boczną drogę i wymknąć się im. A wtedy ONA byłaby bardzo zła. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, że Larry mógłby

zawrócić i zająć ich od tyłu. Na szczęście (przynajmniej dla Joe) Larry'emu to również nie przyszło do głowy.

Wciąż sobie powtarzała, że Joe pogodzi się z myślą, iż był im potrzebny – i nie tylko on. Nie mogli być sami. Gdyby pozostali sami, umarliby w samotności. Joe w końcu do tego przywyknie, tak jak ona do czasu plagi żyła wśród ludzi. Przebywanie w towarzystwie innych osób było nawykiem trudnym do przezwyciężenia.

– Joe – powtórzyła półgłosem.

Choć poruszał się wśród zarośli niemal bezszelestnie, jak partyzant Wietkongu, przez ostatnie trzy tygodnie nauczyła się odnajdywać go swym wyostrzonym słuchem, a na dodatek tej nocy na niebie widniał księżyc. Usłyszała cichy szelest i zgrzyt żwiru i wiedziała już, dokąd zmierzał. Nie zważając na ból, poszła za nim. Było piętnaście po dziesiątej.

Obozowali (jeśli można określić w ten sposób rozłożenie na trawie dwóch koców) za North Berwick Grille, naprzeciwko domu towarowego, rowery ukryli w składziku za restauracją. Mężczyzna, za którym jechali spożył posiłek na boisku po drugiej stronie ulicy.

– Jestem pewna, że gdybyśmy do niego podeszli, Joe, też chętnie by się z nami podzielił – rzekła wystudiowanym tonem. – Przyrządził coś na gorąco, czujesz ten zapach? Aż ślinka leci. Na pewno to lepsze niż nasze kanapki.

Oczy Joe rozszerzyły się. Chłopak gniewnie machnął nożem w stronę Larry'ego, a potem poszedł wzdłuż ulicy w stronę domu z loggią. Sądząc po tym, jak prowadził rower, mężczyzna był trochę podchmielony. Teraz zaś położył się spać w loggii wybranego przez siebie domu.

Szła szybko, krzywiąc się, gdy ostry żwir ranił jej bosc stopy. Po lewej stronie stał rząd domów, a przed nimi trawniki zarosły na dobre. Trawa, wilgotna od rosy i wydzielająca słodki zapach, sięgała jej wyżej kostek. Przypomniała sobie, jak biegała z chłopcem po takiej jak ta trawie, na niebie zamiast sierpa, jak obecnie, widniała srebrna tarcza księżyca w pełni. Czowała żar rozpalający jej podbrzusze, a piersi, pełne i jędrne, przeżyły się ponętnie. Instrumenty kobiecej zmysłowości. Księżyc sprawił, że czuła się jak pijana, podobnie oddziaływała na nią trawa zwilżająca jej stopy rosą. Wiedziała, że gdyby chłopiec ją dogonił, pozwoliłaby mu, by odebrał jej dziewictwo. Uciekała jak szalona. Czy chłopiec ją dogonił? Czy to teraz ma jakiegokolwiek znaczenie?

Biegła szybciej, pokonując betonowy podjazd, błyszczący w mroku jak wykuty z lodu.

I ujrzała Joe; stał przy loggii domu, gdzie spał mężczyzna. Jego białe gatki wyraźnie odcinały się w ciemnościach nocy. Skóra chłopaka była tak ciemna, że w pierwszej chwili mogło się wydawać, iż spodni wisią w powietrzu, albo że miał je na sobie Wellsowski niewidzialny człowiek.

Joe pochodził z Epsom, to akurat wiedziała, bo tam go właśnie spotkała. Nadine pochodziła z South Barnstead, miasteczka leżącego o piętnaście mil na północny wschód od Epsom. Metodycznie poszukiwała innych zdrowych ludzi, choć niechętnie opuszczała swój

dom w rodzinnym mieście. Zataczała wokół niego coraz szersze, koncentryczne kręgi. Odnalazła tylko Joe, mającego i trawionego gorączką po ukąszeniu przez jakieś zwierzę – sądząc po rozmiarach rany wiewiórkę albo szczura. Siedział w Epsom na trawniku przed domem nagi, jeśli nie liczyć spodenek, z nożem w dłoni, niczym troglodyta z epoki kamiennej lub umierający, lecz wciąż jeszcze groźny wojownik z plemienia Pigmejów. Wniosła go do domu. Czy należał do niego? Uznała, że zapewne tak, choć upewnił ją o tym dopiero sam Joe. W domu było kilka trupów: matka, ojciec, trójka innych dzieciaków, najstarsze miało jakieś piętnaście lat. Odnalazła gabinet lekarski, a w nim środki odkażające, antybiotyki i bandaże. Nie była pewna, które antybiotyki są właściwe; wiedziała, że dokonując niewłaściwego wyboru, może go zabić, ale gdyby nie uczyniła nic, chłopak i tak by umarł. Został ugryziony w kostkę, jego noga w tym miejscu napuchła jak bania. Los jej sprzyjał. W ciągu trzech dni opuchlizna zesza, gorączka również spadła. Chłopak zaufał jej.

I tylko jej. Nikomu innemu. Poszli do wielkiego białego domu. Nazwała go Joe. Naprawdę nazywał się inaczej, ale jako nauczycielka przez całe swoje życie nazywała każdą, nieznaną sobie bliżej dziewczynkę Jane, a chłopca Joe. Potem zjawił się i odszedł żołnierz, śmiejąc się, płacząc i przeklinając porucznika Mortona.

Joe chciał go zabić. Nożem. Nie rozstawał się z tym wielkim majchrem. Najpierw chciał zabić żołnierza, a teraz tego mężczyznę. Bała się odebrać chłopakowi nóż. Ta broń była jego talizmanem. Gdyby spróbowała go zabrać, mógłby obrócić się przeciwko niej. Spał, nie wyjmując noża z ręki, a kiedy któregoś razu mimo wszystko spróbowała go wyjąć, w okamgnieniu się obudził. W jednej chwili spał jak zabity, w następnej otworzył te swoje niepokojące, lekko skośne oczy, mierząc ją dzikim, głodnym spojrzeniem. Warknąwszy cicho, przyciągnął nóż do piersi. Nigdy nic nie mówił.

Teraz natomiast to unosił nóż, to opuszczał go z impetem. Warczał gardłowo, dźgając nożem w zasłonę w drzwiach wejściowych loggii. Prawdopodobnie przygotowywał się do sforsowania stojącej mu na drodze przeszkody.

Podeszła do niego z tyłu, nie starając się specjalnie, by zachowywać się cicho, ale i tak jej nie usłyszał, Joe zatracił się w swoim świecie. Błyskawicznie, zgoła odruchowo, zacisnęła dłoń na jego nadgarstku i wykręciła z całej siły. Joe sapnął i syknął dziko, a Larry Underwood poruszył się przez sen, odwrócił się i znów się uspokoił. Nóż spadł na trawę pomiędzy nich, ząbkowane ostrze odbijało srebrzyste refleksy księżycowego światła. Wyglądały jak roziskrzony płatki śniegu.

Spojrzał na nią z gniewem, wyrzutem i nieufnością. Nadine spiorunowała go wzrokiem. Pokazała ręką w stronę, skąd przyszli. Joe energicznie pokręcił głową. Wskazał na siatkowe drzwi i ciemny kształt w ściworze za nimi.

Wykonał przeraźliwie wyrazisty gest, przesuwając kciukiem po szyi i uśmiechnął się. Nigdy się dotąd nie uśmiechał. Nadine poczuła, że zastyga jej krew w żyłach. Ten grymas nie mógłby być upiorniejszy, nawet gdyby chłopak miał spiłowane w szpic zęby.

– Nie – rzekła półgłosem. – Albo go zaraz obudzę.

Joe zaniepokoił się. Pokręcił głową.

– Więc wróć ze mną i połóż się spać.

Spojrzał na nóż i na kobietę. Tkwiąca w nim dzikość została, przynajmniej na razie, odsunięta. Wyglądał jak zagubiony chłopiec, tęskniący za swoim misiem albo wyświechtanym kocykiem, z którym nie rozstawał się od kołyski. Nadine uznała, że to doskonała okazja, by spróbować odebrać mu nóż, i pokręciła stanowczo głową. Nie! Czy mogła go do tego zmusić? Nakłonić, by zostawił tu nóż? I co potem? Czy zacnie krzyżeć? Krzyczał, kiedy ten świrnięty żołnierz poszedł sobie, Bóg wie dokąd. Krzyczał, krzyczał, wywrzaskując z siebie nieartykułowane dźwięki gniewu i przerażenia. Czy chciała, by ten męczyzna spotkał się z nimi tej nocy, mając w uszach jego rozdzierający wrzask?

– Wrócisz ze mną?

Joe pokiwał twierdząco głową.

– W porządku – rzekła cicho.

Pochylił się i szybko podniósł nóż.

Wrócili do miejsca, gdzie nocowali, chłopak ufnie przytulił się do niej, jakby zupełnie, choć nie na długo, zapomniał o intruzie. Otulił ją ramionami i usnął. Znów poczuła ten stary, znajomy ból w podbrzuszu, znacznie jednak silniejszy i bardziej dojmujący niż inne, wywołane wysiłkiem. Ból znany wszystkim kobietom. Nic nie mogła na to zaradzić. Zasnęła.

Obudziła się przed świtem (nie miała zegarka), zziębnięta, odrętwiała i przerażona. Przyszło jej na myśl, że Joe mógł odczekać aż ona usnie, a potem wrócić do domu z loggią i poderznąć tamtemu mężczyźnie gardło. Już nie obejmował jej ramieniem. Czowała się odpowiedzialna za chłopaka. Zawsze czuła się odpowiedzialna za mniejszych od siebie, którzy nie prosili się na ten świat. Gdyby jednak zrobił to, czego się obawiała, zostawiłaby go samego. Odbieranie życia w sytuacji tak bezprecedensowej tragedii, było niewybaczalnym grzechem. Poza tym nie mogła dłużej wędrować z Joe sama, czuła się jakby zamknięto ją w klatce z głodnym lwem. Joe, tak jak lew, nie umiał (bądź nie chciał) mówić, a jedynie porykiwał gardłowo.

Usiadła i ujrzała, że wciąż leżał obok niej. Po prostu odwrócił się na drugi bok. Zwinął się w kłębek, wcisnął kciuk do ust, a drugą rękę zacisnął na trzonku noża.

Odeszła kilka kroków, załatwiła swoje potrzeby i wróciła na posłanie. Znów chciało się jej spać. Następnego ranka nie była pewna, czy rzeczywiście w nocy się obudziła, czy tylko jej się to śniło.

„Jeżeli cokolwiek mi się śniło – pomyślał Larry – to raczej coś przyjemnego”. Niczego jednak nie pamiętał. Czuł się doskonale i z nadzieją patrzył w przyszłość. Dziś ujrzy ocean.

Zrolował śpiwór, przymocował go do bagażnika roweru, poszedł po swój plecak i stanął jak wryty.

Betonowa ścieżka wiodła do stopni ganku, a trawa po obu stronach była długa i krzykliwie zielona. Po prawej stronie, tuż przy samej loggii, wilgotna trawa była zdeptana. Kiedy rosa wyparowała, żdźbła powinny się podnieść, ale teraz widać było wyraźnie odcisnięte w niej ślady stóp. Larry nie był tropicielem śladów (wolał Huntera Thompsona niż Jamesa Fenimore'a Coopera), musiałby być ślepy by nie zauważyć, że były ich dwa rodzaje – większe i mniejsze. Nocą ktoś podkraść się do loggii i przyglądał mu się. Przebiegł go dreszcz. Nie lubił takich podchodów i znów zaczął ogarniać go dojmujący lęk.

Postanowił, że jeśli się wkrótce nie ujawnią, spróbuje ich jakoś wypłoszyć. Sama myśl, że miał to zrobić przywróciła mu nieco wiary w siebie. Narzucił plecak i ruszył w drogę.

Przed południem dotarł do US 1 w Wells. Rzucił monetą i wypadła reszka. Skręcił na południe, nie pokwapiwszy się nawet by podnieść monetę z ziemi. Została przy drodze, pobłyskując lekko w słońcu. Joe znalazł ją dwadzieścia minut później i zaczął przyglądać się jej jak kryształowi hipnotyzera. Włożył monetę do ust. Nadine kazała mu ją wypluć.

Dwie mile dalej Larry po raz pierwszy zobaczył ten wielki, błękitny przestwór. Nie wyglądał jak bezmiar Atlantyku czy Pacyfiku w pobliżu Long Island. Ta część oceanu wyglądała na spokojną, dziwnie łagodną, jakby oswojoną. Woda miała tu ciemniejszą, prawie kobaltową barwę i docierała do brzegu leniwie, fala za falą. Piana, gęsta jak białko jajka, wypryskiwała w powietrze i opadała do wody. Grzmiące fale rozbijały się o brzeg. Larry zaparkował swój rower i ruszył w stronę oceanu, czując głębokie, niewytłumaczalne podniecenie. Dotarł na miejsce, dojechał do granicy między wodą a lądem. To był koniec Wschodu, koniec lądu. Kraniec świata.

Przeszedł po podmokłym gruncie, jego buty pluskały, gdy brodził przez wodę stojącą wokół niskich pagórków i kęp trzciny. Czuć było silną, bogatą woń przyływu. Gdy zbliżał się do cypla ujrzał, że był on do cna obdarty z ziemi, została jedynie naga, granitowa opoka. Granit, ostateczna prawda o Maine. Mewy, skrzecząc i zawodząc donośnie, wzbily się w powietrze, białe jak śnieg na tle błękitu nieba. Nigdy dotąd nie widział tylu ptaków w jednym miejscu. Uświadomił sobie, że mimo swego piękna, mewy żywiły się padliną. To co przyszło mu na myśl później było niemal nie do wyobrażenia, ale i tak nie zdołał tego w sobie stłumić. W ostatnim czasie nie mogą narzekać, że nie mają co jeść.

Ruszył dalej, jego buty zgrzytały i chrzęściły na sprężonej słońcem skale, która zawsze będzie wilgotna od obmywających ją fal. W szczelinach między skałami rosły barnakle, a tu i ówdzie dostrzec można było rozłupane skorupy małży, które mewy upuszczały, by dostać się do miękkiego mięsa wewnątrz.

W chwilę potem stanął na nagim cyplu. Morska bryza omiotła go całego. Odgarnął z czoła kosmyki długich włosów. Uniósł głowę, spoglądając na rozciągający się przed nim bezmiar błękitnego żywiołu. Amarantowe fale przewalały się powoli, zwieńczone na

szczytach pióropuszem piany. Jedna po drugiej uderzały samobójczo o skały, tak jak to miało miejsce od zarania dziejów, i ginęły jedna po drugiej, niszcząc przy okazji mikroskopijnie mały fragmencik łądu. Słysząc było gromki, dudniący grzmot, gdy fale wdzierały się w głąb jakiegoś na wpół zatopionego tunelu w skałach, wrytego w przeciągu minionych tysiącleci.

Obrócił się w lewo, potem w prawo i jedyne co ujrzał to woda, wysokie, majestatyczne, przetaczające się fale i grzebień piany rozpryskujące się w kaskadach wody tuż przy brzegu. Ten widok i barwy zapierały dech.

Dotarł na skraj świata.

Usiadł, zwieszając nogi przez krawędź, i poczuł ogarniające go zmęczenie. Siedział tak dobre pół godziny, albo i dłużej. Morska bryza zaostrzyła jego apetyt i Larry zaczął przetrząsać plecak w poszukiwaniu czegoś na obiad. Najadł się do syta. Rozpryskująca się w górę woda sprawiła, że nogawki jego dżinsów wydawały się czarne. Czuł się czysty i odświeżony. Oczyszczony.

Przeszedł po podmokłym gruncie, pogrążony w zamyśleniu i w pierwszej chwili sądził, że wrzaski, które słyszy to skrzeczenie mew. Zdezorientowany uniósł nawet wzrok ku niebu, gdy uświadomił sobie ze zgrozą, że to co słyszy to okrzyk człowieka. Okrzyk bojowy.

Opuścił wzrok i ujrzał chłopaka biegnącego ku niemu co sił w nogach. W jednej dłoni trzymał długi rzeźnicki nóż. Miał na sobie tylko spodenki, a na nogach pełno pręg i zadrapań od kolców jeżyn. Z tyłu, za nim, z gęstwiny jeżyn i pokrzyw po drugiej stronie autostrady wyszła kobieta. Była blada i miała wielkie sińce pod oczami.

– Joe! – zawołała, a potem pobiegła, choć z wyraźnym bólem.

Joe nie zatrzymał się, jego bose stopy rozbryzgiwały kałuże błotnistej wody. Twarz chłopaka wykrzywił morderczy uśmiech od ucha do ucha. Nóż rzeźnicki uniesiony ponad głową chłopaka błyszczał w słońcu.

„Biegnie aby mnie zabić – pomyślał Larry zupełnie zbity z tropu tym, co się działo. – Co ja mu zrobiłem? W ogóle nie znam tego chłopaka”.

– Joe! – krzyknęła kobieta wysokim, znużonym, pełnym rozpaczyny głosem.

Joe biegł dalej. Był już blisko.

Larry uświadomił sobie, że karabin zostawił przy rowerze i w tej samej chwili chłopak znalazł się tuż przy nim.

Kiedy zamachnął się szeroko, a jego nóż zaczął opadać łukiem ku dołowi, Larry ocknął się z odrętwienia. Zrobił krok w bok i bez namysłu uniósł prawą stopę, by wbić mokry, żółty but roboczy w przeponę chłopaka. Zrobiło mu się go żal, nie chciał skrzywdzić tego nieznanego chłopaka, który po solidnym kopniaku runął w tył i stracił przytomność jak zdmuchnięta świeca. Wyglądał na zajadłego, ale nie należał do twardzieli wagi ciężkiej.

– Joe! – krzyknęła Nadine. Potknęła się na nierówności terenu i upadła na kolana, zbryzgując blokiem swoją białą bluzkę. – Nie rób mu krzywdy! To tylko mały chłopiec! Proszę, nie rób mu nic złego!

Wstała i ruszyła dalej.

Joe leżał na wznak z rozrzuconymi szeroko rękoma i nogami. Larry podszedł o krok i przydeptał mu prawy nadgarstek, przyszpilając dłoń z nożem do rozmokłej ziemi.

– Puść ten nóż, chłopaczku.

Dzieciak zasyczał i zagulgotał gardłowo jak indyk. Jego górna warga uniosła się, obnażając zęby. Skośne, chińskie oczy łypnęły na Larry'ego. Przydeptywanie nadgarstka chłopaka przypominało miażdżenie butem rannego, ale wciąż groźnego węża. Czuł, że chłopak próbuje się uwolnić i nie zważał na to, czy dopnie swego za cenę zdartej skóry, tkanek czy złamanej kości. Poderwał się do pozycji siedzącej i próbował ugryźć Larry'ego w goleń przez gruby materiał mokrych dzinsów.

Larry mocniej przydepnął jego chudą rękę, na co Joe wydał zduszony okrzyk, nie bólu jednak, lecz gniewu i wyzwania.

– Daj spokój, mały.

Joe wciąż walczył.

Pat trwałby dalej, dopóki Joe nie uwolniłby ręki z nożem, albo Larry nie złamałby mu nadgarstka, jednak w końcu zjawiła się Nadine, ubłocona, zdyszana i słaniająca się na nogach ze zmęczenia.

Nie patrząc na Larry'ego, upadła na kolana.

– Przestań! – rzekła półgłosem, lecz bardzo stanowczo. Była spocona ale spokojna. Jej twarz od wykrzywionego wściekłością oblicza Joe dzieliło ledwie kilka cali. Kłapnął zębami jak pies, usiłując ją ugryźć i w dalszym ciągu nie przestawał się szamotać.

Larry z posępną miną usiłował zachować równowagę. Gdyby teraz puścił chłopaka, ten najprawdopodobniej zaatakowałby najpierw kobietę.

– Przestań! – rzekła Nadine.

Chłopak warknął. Ślina pociekła mu spomiędzy zaciśniętych zębów. Na prawym policzku miał brudny ślad w kształcie znaku zapytania.

– Zostawimy cię, Joe. JA cię zostawię. Odejdę z nim, chyba że będziesz się zachowywał jak należy.

Larry wciąż czuł ruchy ręki tamtego pod swoją stopą i nagle nacisk zelżał. Chłopak spojrzał na kobietę tęsknie, z wyrzutem i wściekłością. Kiedy zaś przeniósł wzrok na Larry'ego, ten wyraźnie ujrzał w jego oczach błysk zazdrości. Mimo potu, lejącego się z niego strumieniami, pod wpływem tego wzroku Larry'emu zrobiło się zimno.

A ona mówiła dalej, spokojnie, z opanowaniem. Nikt go nie skrzywdzi. Nikt go nie zostawi. Niech tylko wypuści nóż i wszystko będzie dobrze. Zostaną przyjaciółmi.

Larry stopniowo zaczął sobie uświadamiać, że dłoń pod jego butem rozluźnia się i wiotczeje. Chłopiec znieruchomiał z twarzą uniesioną ku niebu. Wyglądał na uspokojonego. Larry zdjął stopę z jego nadgarstka, szybko się pochylił i podniósł nóż. A potem obrócił się na pięcie i cisnął nóż w kierunku cypla. Ostrze obracało się w powietrzu, odbijając refleksy

światła. Joe dziwnym wzrokiem podążał za ulatującym w dal nożem i po chwili wydał z siebie długi, przeciągły jęk bólu. Nóż odbił się od skał z cichym brzękiem i runął w dół, do wody.

Larry odwrócił się i otaksował dziwną parę. Kobieta oglądała prawe przedramię chłopaka, gdzie w ciele wściekłą czerwienią odcisnął się głęboki protektor podeszwy roboczego buta Larry'ego. Spojrzała swymi ciemnymi oczami na Larry'ego. Przepelniał je głęboki smutek.

Larry poczuł, że ciśnie mu się na usta znana, stara jak świat śpiewka: „Musiałem to zrobić, to nie była moja wina, proszę posłuchać, przecież on chciał mnie zabić”; czuł bowiem w tych ciemnych, smutnych oczach oskarżycielską nutę: „Wcale nie jesteś porządnym facetem”.

Ale ostatecznie nie powiedział nic. Sytuacja była jaka była i dzieciak sam wymusił na nim taką właśnie reakcję. Spoglądając na chłopaka, który przyjął pozycję płodu i wcisnął kciuk do ust, wątpił czy to on sprowokował całe zajście. Poza tym wszystko mogło skończyć się o wiele gorzej, jeden z nich mógł zostać ranny albo nawet zginąć.

Dlatego nie odezwał się ani słowem, a kiedy spojrzenie kobiety złagodniało, pomyślał: „Chyba się zmieniłem. Jakoś. Nie wiem jak ani jak bardzo”. Wspomniał słowa Barry'ego Griega na temat pewnego gitarzysty z Los Angeles, niejakiego Jory Bakera, który był zawsze punktualny, nigdy nie opuścił próby ani nie zepsuł nagrania. Nie był co prawda tak dobry jak starzy wyjadacze, Angus Young czy Eddie Van Halen, ale był kompetentny. Otóż ów Jory Baker był kiedyś główną siłą napędową kapeli o nazwie Sparx, której wszyscy wróżyli wielki sukces komercyjny. Grali trochę jak wczesny Creedence, twardy, solidny, oparty na gitarowych riffach rock and roll. Jory Baker pisał większość tekstów i był głównym solistą. A potem zdarzył się ten wypadek, połamane kości, szpital, prochy. Wszedł z tego, jak mówił John Prine w jednej ze swoich piosenek „ze stalową płytką w głowie i małpą na plecach”. Z demerolu przerzucił się na heroinę. Parę razy przedawkował. Niebawem zrobił się z niego jeszcze jeden ćpun z rozbieganymi palcami, żebrzący o parę groszy na dworcu autobusowym i zeszmacający się z dnia na dzień coraz bardziej. I nagle, w ciągu osiemnastu miesięcy facet przeszedł odwyk. Przestał brać. Zupełnie. Nie był już liderem żadnej z grup, skazanej na sukces ani żadnej innej, ale wciąż był punktualny, przychodził regularnie na próby i nie psuł nagrań. Mówił niewiele, ale autostrada igłowa na jego dłoni znikła zupełnie. I Barry Grieg powiedział: „Ten facet powrócił z Tamtej Strony. To wszystko. Nikt nie potrafi powiedzieć, jaka granica dzieli człowieka, którym byłeś, od tego, którym się staniesz. Nikt nie zdołał opisać tego samotnego, błękitnego zakątka piekła. Nie ma takich map, które ukazywałyby szczegóły procesu przemiany. Po prostu wychodzisz, wracasz z Tamtej Strony.

Albo i nie”.

„Coś się we mnie zmieniło – pomyślał ponuro Larry. – Ja też wróciłem z Tamtej Strony”.

– Jestem Nadine Cross – rzekła kobieta. – A to Joe. Miło mi cię poznać.

– Larry Underwood.

Uścisnęli sobie ręce, uśmiechając się słabo, świadomi absurdalności całej tej sytuacji.

– Wróćmy na szosę – zaproponowała Nadine.

Ruszyli; po kilku krokach Larry spojrzął przez ramię na Joe, który wciąż przyciskał kolana do piersi i ssał kciuk, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z ich odejścia.

– Przyjdzie – rzekła półgłosem.

– Jesteś pewna?

– Prawie.

Na zwirowym poboczu drogi potknęła się, a Larry złapał ją za rękę. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Możemy usiąść? – zapytała.

– Jasne.

Usiedli na poboczu, twarzą do siebie.

Po chwili Joe wstał i przydreptał do nich, gapiąc się na swoje bose stopy. Usiadł w pewnej odległości od Larry'ego i Nadine. Larry spojrzął na niego z niepokojem i przeniósł wzrok na Nadine Cross.

– Jechaliście za mną.

– Zorientowałaś się? Tak. Miałam wrażenie, że tak.

– Od jak dawna?

– Od dwóch dni. Zatrzymaliśmy się w Epsom, w dużym domu. – Widząc jego zakłopotanie dodała: – Przy potoku. Spałeś tam, pod murem.

Potaknął.

– A ubiegłej nocy podkradliście się, by obserwować mnie jak spałem na ganku. Może chcieliście sprawdzić, czy nie mam czasami rogów i czerwonego, długiego ogona.

– To Joe – odparła. – Przyszłam za nim, gdy zorientowałam się, że go nie ma. Skąd wiesz?

– Zostawiliście ślady na trawniku.

– Och. – Omiotła go spojrzeniem, a Larry mimo iż chciał tego, nie odwrócił wzroku. – Nie chcę, żebyś był na nas zły. Może to zabrzmiało absurdalnie po tym, jak Joe chciał cię zabić, ale on nie odpowiada za siebie.

– Czy to jego prawdziwe imię?

– Nie. Ja go tak nazywam.

– Jest jak dzikus z programów „National Geographic”.

– Racja. Po raz pierwszy ujrzałam go na trawniku pod pewnym domem, napis na skrzynce brzmiał „Rodzina Rockway”. Może to był jego dom; był chory, został ukąszony przez jakieś zwierzę. Prawdopodobnie przez szczura. Nie mówi. Warczy tylko i pochrząkuje. Aż do dzisiejszego ranka potrafiłam nad nim zapanować. Tylko że jestem już zmęczona i... i...

– Wzruszyła ramionami. Smugi błota na jej bluzce wyglądały jak chińskie ideogramy. –

Najpierw go ubrałam. Zrzucił z siebie wszystko za wyjątkiem spodenek. W końcu znudziło mi się z nim walczyć. Komary ani gzy najwyraźniej go nie obchodzą. – Przerwała. – Chcemy przyłączyć się do ciebie. Zważywszy na okoliczności chyba nie ma potrzeby się z tym kryć.

Larry zastanawiał się, czy opowiedzieć jej o ostatniej kobiecie, która chciała mu towarzyszyć. Wątpił jednak by kiedykolwiek to uczynił; ten epizod pogrzebał głęboko w swej pamięci, mimo że poskąpił należytego pochówku wspomnianej kobiecie. Nie chciał myśleć o Ricie, tak jak morderca nie chciałby wymieniać podczas rozmowy imienia swej ofiary.

– Nie wiem, dokąd jadę – wyjaśnił. – Dotarłem tu z Nowego Jorku, to jak sądzę niezły kawałek drogi. Planowałem, że znajdę sobie miły, przytulny domek na wybrzeżu i pomieszkam tam sobie do października czy coś koło tego. Jednak im dłużej jestem w trasie, tym bardziej tęskno mi do ludzi. Im dłużej jestem w drodze, tym bardziej mnie to wszystko poraża.

Szło mu coraz gorzej i wzmianka o Ricie albo snach o mrocznym mężczyźnie z pewnością nie polepszyłyby jego sytuacji.

– Miewałem dziwne stany lękowe – rzekł niepewnie. – To przez tę cholerną samotność. Można się nabawić paranoi. Zupełnie jakbym tylko czekał, że lada moment ze wszystkich stron obskoczą mnie Indianie i oskalpują.

– Innymi słowy przestałeś szukać domu i zacząłeś szukać ludzi.

– Tak, może.

– Znalazłeś nas. To niezły początek.

– Raczej to wy znaleźliście mnie. I wiesz co, Nadine, ten chłopak mocno mnie niepokoi. Będę z tobą szczery. Co prawda, nie ma już swego noża, ale na świecie są tysiące innych noży, które tylko czekają by po nie sięgnąć.

– Tak, wiem.

– Nie chcę, by to zabrzmiało brutalnie – urwał w nadziei, że powie to za niego, ale ona tylko patrzyła na niego swoimi wielkimi, ciemnymi oczami. – Myślałaś o tym, by go zostawić? Mogłabyś to zrobić?

Jakoś poszło, jak wyrzucenie z siebie odłamka skały i nadal nie wydawał się miłym, porządnym facetem, ale to było słuszne, szczere w stosunku do nich obojga. Czy nie pogorszyliby wzajemnie swojej sytuacji, obarczając się opieką nad dziesięcioletnim psychopatą? Powiedział jej, że to zabrzmiało brutalnie i chyba rzeczywiście tak było, ale świat, w którym żyli był równie okrutny.

Joe utkwiał w nim spojrzenie swych skośnych oczu.

– Nie mogłabym – odparła ze spokojem Nadine. – Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa i rozumiem, jak bardzo ty możesz się czuć zagrożony. On jest zazdrosny. Boi się, że możesz stać się dla mnie kimś ważniejszym od niego. To oczywiste, że może spróbować ponownie, chyba że zdołasz go jakoś do siebie przekonać, zaprzyjaźnić się z nim, a przynajmniej przekonać, że nie zamierzasz... – Nie dokończyła, pozostawiając tę kwestię

cokolwiek zagmatwaną. – Tylko że gdybym JA go zostawiła, równałoby się to morderstwu. Nie przyłożę do tego ręki. Zbyt wielu ludzi umarło, nie potrzeba nam więcej trupów.

– Jeśli w środku nocy poderżnie mi gardło, będzie to po części twoja wina.

Pochyliła głowę.

Mówiąc tak cicho, by tylko ona usłyszała (nie wiedział, czy obserwujący ich Joe rozumiał o czym rozmawiali) Larry dokończył:

– Prawdopodobnie zrobiłby to już zeszłej nocy, gdybyś za nim nie przyszła, mam rację?

– Rozważamy tu sytuacje, które mogłyby, ale nie musiały się zdarzyć – odrzekła półgłosem.

Larry roześmiał się.

– Duch Przyszłych Świąt Bożego Narodzenia?

Uniosła wzrok.

– Chcę ci towarzyszyć, Larry, ale nie mogę zostawić Joe. Będziesz musiał zdecydować.

– Nie ułatwiasz mi zadania.

– Bo życie nie jest łatwe. Przynajmniej ostatnio.

Zamyślił się. Joe siedział na poboczu drogi, obserwując ich beznamyślnie oczami o barwie morza. Z tyłu, za nimi, prawdziwy ocean bezustannie rozbijał fale o skały i wdzierał się do sekretnych tuneli w głębi ziemi.

– W porządku – mruknął. – Uważam, że masz niebezpiecznie miękkie serce, ale zgadzam się.

– Dziękuję – odparła Nadine. – Biorę na siebie odpowiedzialność za jego dalsze poczynania.

– Będzie to dla mnie wielką pociechą, kiedy ten typek poderżnie mi gardło.

– Nie wybaczyłabym sobie tego do końca życia – odparła Nadine i nagle ogarnęło ją nieprzeparte przekonanie, że wszystkie wypowiedziane przez nią ostatnio frazesy o świętości ludzkiego życia już wkrótce, w niedalekiej przyszłości, obrócą się przeciwko niej, udowadniając, jak bardzo się pomyliła; odczucie to było niczym podmuch lodowatego wichru, tak zimnego, że całe jej ciało przeszył dreszcz. „Nie – powiedziała sobie. – Nie podniosę ręki na drugiego człowieka. Nie zabiję nikogo. Nigdy. Przenigdy”.

Tej nocy obozowali na miękkim białym piasku plaży w Wells. Larry ułożył wielkie ognisko powyżej pasm wodorostów oznaczających granicę ostatniego przypływu; Joe usiadł po drugiej stronie, z dala od niego i Nadine, i dorzucał od czasu do czasu małe gałązki do ognia. Niekiedy wtykał do ognia długi patyk, a kiedy jego koniec się zajął, biegł wzdłuż plaży, trzymając go w górze niczym wielką urodzinową świecę. Widzieli go, dopóki nie znalazł się poza zasięgiem blasku ogniska, czyli jakieś trzydzieści stóp od nich, później zaś mogli spostrzec już tylko gorejącą pochodnię, płomień trzepoczący na wietrze i przesuwający się szybko w dal. Wiatr przybrał na sile, zrobiło się chłodniej. Larry jak przez mgłę

przypomniawszy sobie ulewę tego popołudnia, kiedy odkrył, że jego matka jest umierająca, za nim jeszcze supergrypa uderzyła na Nowy Jork z siłą bezlitosnego huraganu. Przypomniawszy sobie burzę i białe franki targane przez wicher. Zadygotał leciutko, a wiatr porwał znad ogniska spiralę ognia i uniósł ku czarnemu, rozgwieżdżonemu niebu. Drobiny żaru wznosiły się coraz wyżej i wyżej, gasnąc jedna po drugiej. Pomyślał o jesieni, wciąż odległej, ale nie aż tak, jak owego czerwcowego dnia, kiedy odnalazł swoją matkę leżącą na podłodze i mającą w gorączce. Zadrżał raz jeszcze. W oddali widać było płomień pochodni Joe unoszący się i opadający na przemian. Poczł się jeszcze bardziej samotny i zziębnięty – jedna iskierka światła migocząca pośród bezmiaru ciszy i ciemności. Przyplłw grzmiał, fale jedna po drugiej rozbiły się o skały.

– Grasz?

Na dźwięk jej głosu poderwał się jak oparzony i spojrzł na futerał gitary, leżący na piasku pomiędzy nimi. Stał przy steinway’u w salonie wielkiego domu, do którego włamali się, by znaleźć coś do jedzenia. Zapakował do swojego plecaka tyle puszek, ile się dało, by uzupełnić zapas i zabrał futerał niemal odruchowo – nie sprawdził nawet, czy w środku rzeczywiście była gitara. Jednak sądząc po fortepianie i eleganckim wystroju wnętrza, powinna być, i do tego dobrej marki. Nie grał na gitarze od tamtego pamiętnego, szalonego party w Malibu, przed sześcioma tygodniami. W innym życiu.

– Owszem, tak – odparł i stwierdził, że ma ochotę zagrać, nie dla niej, lecz dlatego, że czasem dobrze jest trochę pobzdakać; to kołło nerwy i uspokajało umysł. Poza tym przy ognisku na plaży ktoś powinien zagrać na gitarze. Jedno łączyło się nierozzerwalnie z drugim.
– Zobaczmy, co tu mamy – mruknął i otworzył zamki.

Spodziewał się sprzętu dobrej marki, ale to, co ujrzał okazało się zapierającą dech w piersiach niespodzianką. Był to dwunastostrunowy gibson, piękny instrument, być może robiony na zamówienie. Larry nie był aż tak wielkim ekspertem w dziedzinie gitar, by mieć co do tego pewność. Wiedział natomiast, że podziałki na gryfie gitary wyłożone były prawdziwą macicą perłową, czerwono-pomarańczowa poświata z ogniska odbijała się w nich paletą barw.

– Jest piękna – powiedziała Nadine.

– O, tak.

Wykonał na próbę kilka akordów i spodobały mu się dobywane z instrumentu dźwięki, nawet mimo tego, że nie był on jeszcze nastrojony. Dźwięk był pełniejszy i bogatszy niż wydobyty z gitary sześciostunowej. Dźwięk harmonijny, lecz silny i twardy. To był plus gitary mającej stalowe struny, dźwięki, jakie z niej płynęły, były zawsze silne i pewne. Struny były marki Black Diamonds, z owijką, nieco twarde, ale przy zmianie akordów mogłes wykrzesać z nich prawdziwie mocne dźwięki.

Uśmiechnął się lekko, przypomniawszy sobie, jak Barry Grieg gardził płaskimi strunami gitarowymi. Nazywał je „gładkimi dolarówkami”. Dobry, stary Barry, który, kiedy dorośnie, chciał być Steve’em Millerem.

– Co cię rozbawiło? – zapytała Nadine.

– Wspominałem stare czasy – odparł i zrobiło się trochę smutno.

Nastroił gitarę, myśląc wciąż o Barrym, Johnnym McCallu i Wayne Stukey’u. Kiedy skończył, postukała go lekko w ramię. Uniósł wzrok.

Joe stał przy ognisku, w dłoni trzymał zapomniany już, wypalony patyk. Te dziwne oczy gapiły się na niego z nie skrywaną fascynacją, usta miał rozchylone.

Bardzo cicho, tak cicho, jakby to nie były słowa lecz myśl, która zagościła w jego głowie, Nadine rzekła:

– Muzyka ma w sobie magię.

Larry zaczął grać, a ze strun, w które uderzał, popłynęły dźwięki starego bluesa z repertuaru folkowej kapeli Elektra, których album nabył jeszcze w dzieciństwie. Oryginalna kompozycja Koernera, Raya i Glovera. Kiedy uznał, że melodia jest już taka, jak być powinna, zagrał głośniej, by dźwięki popłynęły w głąb plaży. I zaśpiewał. Zawsze śpiewał lepiej niż grał.

*I kiedyś wrócę, maleńka, z daleka
I kiedyś wrócę, maleńka, z daleka
Nie będzie nocy, gdyż stanie się dniem
Już jestem blisko
Choć droga daleka
Na pewno, mała, usłyszysz mnie
Usłyszysz na pewno, mała, jak gram.*

Chłopak uśmiechał się, szczerzył się w ten niezwykły, zdumiewający sposób jak ktoś, kto odkrył wielką tajemnicę. Larry’emu przypominał kogoś, komu od bardzo dawna doskwierało uciążliwe swędzenie pomiędzy łopatkami w miejscu, którego nie potrafił dosięgnąć, aż w końcu trafił się ktoś, kto wiedział gdzie i jak ma go podrapać. Przypomniał sobie jak brzmiał dalszy ciąg piosenki (odkurzył na wpół zapomniane archiwum) i kontynuował:

*Potrafię rzeczy innemu nieznanie
Potrafię rzeczy innemu nieznanie
Znam trochę czarów i mikstur mam moc
Już jestem blisko
Choć droga daleka
Na pewno wkrótce, mała, usłyszysz mnie*

Usłyszysz na pewno, mała, jak gram.

Oczy chłopca rozplómiły się, coś w nich zaiskrzyło. Pojawiło się w nich coś, co, jak stwierdził Larry, mogło rozluźnić mięśnie ud młodej dziewczyny.

Wypróbował kobyłkę, całkiem nieźle. Jego palce wydobywały z gitary właściwe dźwięki: twarde, błyszczące, nieco krzykliwe, jak zestaw tandetnej biżuterii, nawiasem mówiąc najprawdopodobniej kradzionej, sprzedawanej z papierowej torby na rogu ulicy. Pojechał trochę tym tonem, po czym zrejterował do starego, dobrego trzypalcowego E, zanim zdążył wszystko dokumentnie schrzanić.

Nie pamiętał jak szła ostatnia zwrotka, było w niej coś o pociągu i torach kolejowych, więc powtórzył pierwszą i skończył.

Kiedy znów zapadła cisza, Nadine roześmiała się i zaklaskała w dłonie. Joe wyrzucił patyk i zaczął podskakiwać, gromko pohukując z radości.

Larry nie mógł uwierzyć w przemianę, jaka zaszła w tym dzieciaku i wiedział, że nie wolno mu utracić czujności. Mógłby się kiedyś przez to srodze rozczarować.

„Muzyka ma w sobie magię, która koi dzikie bestie”. Z pewną nieufnością zaczął zastanawiać się, czy mogło to być prawdą. Wydawało się zbyt proste, by mogło być prawdziwe. Joe wskazał na niego, a Nadine powiedziała:

– On chce, żebyś jeszcze zagrał. Mógłbyś? To było cudowne. Od razu lepiej się poczułam. O wiele lepiej.

Zagrał więc *Going downtown* Geoffa Mulldaura i swój *Sally's Fresno Blues*, potem *Springhill Mine Disaster* i *That's All Right, Mamma* Arthura Crudupa. Później przeszedł do prostego rock and rolla: *Milk Cow Blues*, *Jim Dandy*, *Twenty Flight Rock* (z refrenem w stylu boogie, choć palce miał już zmęczone i powolne), aż zakończył swój występ *Endless Sleep* Jody Reynoldsa, kawałkiem, który zawsze bardzo lubił.

– Już więcej nie mogę – rzekł do chłopaka, który przez cały jego recital stał w bezruchu.
– Moje palce – pokazał mu palce z poszczerbionymi paznokciami i głębokimi żłobieniami od strun.

Chłopiec również wyciągnął ręce.

Larry zawahał się przez chwilę, ale w końcu uległ. Trzymając gitarę gryfem do przodu, podał ją chłopcu.

– Potrzeba do tego sporo ćwiczeń – powiedział.

To jednak, co potem nastąpiło, było najbardziej zdumiewającą rzeczą, jaką usłyszał w życiu. Chłopak prawie bezbłędnie powtórzył *Jim Dandy*, bardziej wykrzykując słowa niż je wyśpiewując, jakby jego język był przyklejony do podniebienia. Nie ulegało wątpliwości, że nigdy wcześniej nie grał na gitarze, nie uderzał w struny dostatecznie mocno, by wydobyć z nich właściwe dźwięki, a zmian akordów dokonywał niezdarnie i zbyt wolno. Tony, które płynęły z instrumentu były przytłumione, dziwnie widmowe, jakby Joe grał na gitarze

otulonej kokonem z waty, ale mimo wszystko chłopiec całkiem udanie powtórzył piosenkę zaprezentowaną kilka minut wcześniej przez Larry'ego.

Kiedy skończył, Joe z zaciekawieniem spojrział na własne palce, jak gdyby usiłował zrozumieć, dlaczego nie udało mu się wydobyć z instrumentu równie ostrych i soczystych dźwięków jak Larry'emu.

– Po prostu nie uderzasz w struny dostatecznie mocno – rzekł Larry, któremu wydawało się, że te słowa nie płynęły z jego ust, lecz wypowiadał je ktoś inny. – Opuszki na końcach twoich palców muszą stwardnieć, pokryć się grubszą skórą, aby stały się niewrażliwe. I musisz też wyrobić sobie mięśnie lewej ręki.

Joe z uwagą patrzył na Larry'ego, ale trudno było stwierdzić, czy rozumiał co ten do niego mówił. Zwrócił się do Nadine.

– Wiedziałaś, że on umie tak grać?

– Nie. Jestem równie zaskoczona jak ty. Zupełnie jakby był cudownym dzieckiem, lub kimś takim.

Larry pokiwał głową. Chłopiec powtórzył *That's All Right, Mamma*, wychwytyując niemal każdy niuans gry Larry'ego. Dźwięk, jaki wydobywał się ze strun, brzmiał czasami jak uderzenia w drewno, kiedy palce chłopca zbyt szybko tłumiły ich wibracje, zamiast pozwolić im wybrzmieć.

– Pokażę ci – rzekł Larry i wyciągnął dłonie po gitarę.

Oczy Joe zwięzły się w szparki, przepelniała je nieufność. Larry uznał, że Joe musiał przypomnieć sobie o nożu wyrzuconym do morza. Cofnął się, tuląc gitarę do piersi.

– W porządku – rzekł Larry. – Jest twoja. Gdybyś chciał, abym udzielił ci lekcji, przychodź jak w dym.

Chłopiec zahukał jak sowa i pobiegł wzdłuż plaży, trzymając gitarę nad głową niczym drogocenną ofiarę.

– Rozwali ją w drobny mak – mruknął Larry.

– Nie – zaproponowała Nadine. – Nie sądzę.

Larry obudził się późno w nocy i podniósł się na łokciu. Nadine leżała po drugiej stronie wygasłego ogniska, w mroku widział jej rozmyty, szary kształt otulony kocem. Dokładnie naprzeciw niego leżał Joe. On również przykrył się paroma kocami, spod których wystawała jego głowa. Kciuk miał wciśnięty w usta, nogi podkurczone do piersi, a pomiędzy nimi spoczywał dwunastostrunowy gibson. Drugą dłoń zaciskał na gryfie gitary. Larry patrzył na niego z fascynacją. Zabrał chłopakowi nóż i wyrzucił, chłopiec wziął sobie gitarę. Świetnie. Niech ją zatrzyma. Gitarą nie mógł przynajmniej nikogo zabić. „Choć – jak stwierdził po namyśle Larry – gibsonem można było nieźle dać komuś po głowie”. Kilka minut później usnął ponownie.

Kiedy obudził się następnego ranka, ujrzał Joe siedzącego na skale z gitarą na podołku i bosymi stopami obmywanymi przez fale. Chłopak grał *Sally's Fresno Blues*. Grał coraz lepiej. Nadine obudziła się w dwadzieścia minut później i uśmiechnęła się do niego promiennie. Larry uznał, że była piękną kobietą i przyszedł mu do głowy fragment piosenki Chucka Berry'ego *Nadine, kochanie, czy to ty?*

– Zobaczmy, co mamy na śniadanie – zaproponował.

Przygotował ognisko i usiedli przy nim we troje, by ogrzać zmrożone nocnym chłodem kości. Nadine przyrządziła owsiankę na mleku w proszku, którą popili silną herbatą z puszki, na modłę lumpów. Joe jadł, ułożywszy sobie gitarę na podołku. Larry dwukrotnie uśmiechnął się do chłopca i uznał, że nie można nie lubić kogoś, kto kochał gitarę.

Pedałowali na południe wzdłuż US 1. Joe jechał po białej linii, oddalając się od nich niekiedy nawet na milę. Raz zastali go jak prowadził swój rower po poboczu szosy, pojadając borówki w zabawny sposób – podrzucał je jedną po drugiej w górę i bezbłędnie chwycił w usta, kiedy spadały. W godzinę później odnaleźli go siedzącego na pomniku wojny secesyjnej, grającego dziarsko na gitarze.

Tuż przed jedenastą dotarli do dziwacznej blokady na granicy miasteczka Ogunquit. W poprzek drogi stały tam trzy wielkie, jasno-pomarańczowe śmieciarki. Przy jednej z nich z tyłu leżały ogryzione przez kruki zwłoki mężczyzny. Ostatnich dziesięć upalnych dni zrobiło swoje. Na każdym skrawku odsłoniętego ciała kłębiły się żarłoczne robaki.

Nadine odwróciła się.

– Gdzie Joe? – zapytała.

– Nie wiem. Gdzieś przed nami.

– Wolałabym, żeby tego nie widział. Sądziś, że go zobaczył?

– Prawdopodobnie – odparł Larry. Miał wrażenie, że jak na główną arterię przelotową US 1, odkąd opuścili Wells, wydawała się niewiarygodnie wręcz pusta, natknęli się na niej na zaledwie tuzin samochodów. Teraz zrozumiał już dlaczego. Droga była zablokowana. Po tej stronie miasta natkną się zapewne na setki, a może tysiące uwięzionych aut. Wiedział, co Nadine czuła wobec Joe. Dobrze byłoby oszczędzić mu tego wszystkiego.

– Dlaczego zablokowali drogę? – zapytała. – Po co?

– Zapewne próbowali objąć miasto kwarantanną. Domyślam się, że po drugiej stronie miasta napotkamy drugą taką blokadę.

– Widzisz jeszcze jakieś ciała?

Larry postawił rower na stopce i rozejrzał się.

– Trzy – oznajmił po chwili.

– Świetnie. Nie zamierzam ich oglądać.

Skinął głową. Przeprowadzili rowery obok ciężarówek i pojechali dalej. Autostrada znów biegła blisko morza. Zrobiło się chłodniej. Wzdłuż szosy ciągnęły się rzędy surowych, letnich

domków. „Ludzie spędzali tu wakacje? – zastanawiał się Larry. – Dlaczego nie wybrać się do Harlemu, by dzieciaki bawiły się w strugach wody z hydrantu?”

– Niezbyt ładne, co? – rzuciła Nadine.

Znaleźli się w typowym dla kurortu otoczeniu stacji benzynowych, kramów oferujących owoce morza z grilla, sklepów z pamiątkami, moteli w żywych, pastelowych barwach, terenów sportowych.

Widok ten pozostawił Larry’ego boleśnie rozdartym. Pewna jego część była dotknięta smutkiem i rażącą szpetotą oraz prymitywnością umysłów, które przemieniły ten fragment cudownego dzikiego wybrzeża w jeden wielki park rozrywki dla rodzin przybywających tu furgonami turystycznymi. Jednak inna, bardziej subtelna część jego natury, ukryta głębiej w jego wnętrzu, szeptała o ludziach, którzy podróżowali tą drogą i nawiedzali miasteczko w upalne, słoneczne lata. Kobiety w kapeluszach słomkowych i obcisłych szortach, zbyt ciasnych dla ich wielkich tyłków. Studenci w czerwono-czarnych, pasiastych koszulach do rugby. Dziewczeta w strojach kąpielowych i skórzanych sandałach. Rozwrzeszczane dzieci z buziami umorusanymi lodami. To byli Amerykanie, roztaczający wszędzie, gdzie tylko się gromadzili, aurę brudnego, nieodpartego romantyzmu, nieważne czy znajdowali się akurat w snobistycznym Aspen, czy w nędznym, zapyziałym kurorcie przy US 1 w Maine. A teraz tych Amerykanów już nie było. Podczas burzy z jednego z drzew odłupał się wielki konar i strącił plastikowy szyld Dairy Treet na parking przy lodziarni, gdzie leżał teraz na boku niczym sinoblade ośle uszy. Boisko do minigolfa zarosło trawą, której nikt już nie przycinał. Ten fragment autostrady między Portland a Portsmouth był ongiś ciągnącym się na przestrzeni siedemdziesięciu mil lunaparkiem, a teraz zmienił się w widmowe wesołe miasteczko, w którym popsuły się wszystkie zegary.

– Ładne to nie jest – odparł – ale kiedyś było nasze, Nadine. Kiedyś było nasze, mimo iż nigdy tu wcześniej nie byliśmy. A teraz jest już za późno. Lunaparku już nie ma.

– To, że nie ma go teraz nie oznacza, że już zawsze tak będzie – odparła spokojnie.

Spojrzał na jej czyste, lśniące oblicze. Jej czoło, z którego odgarnęła swe zdumiewające, przyprószone siwizną włosy błyszczało jak lampa.

– Nie jestem osobą religijną, ale to, co się stało, określiłabym mianem Sądu Bożego. Za sto, może dwieście lat to znów będzie należeć do nas.

– Te ciężarówki nie znikną przez dwieście lat.

– Ale droga zniknie. Ciężarówki będą stać gdzieś pośrodku lasu lub pola, a w miejscu, gdzie znajdowały się ich opony, rosnąć będą gnidosze i storczyki. Zresztą to już wtedy nie będą ciężarówki. Raczej artefakty. Relikty przeszłości.

– Sądzę, że się mylisz.

– Jak to?

– Przecież szukamy innych ludzi – rzekł Larry. – Jak myślisz, po co?

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

– Cóż. Chyba dlatego, że to jest słuszne – odparła. – Ludzie POTRZEBUJĄ siebie nawzajem. Nie czujesz tego? Nie doskwierała ci samotność?

– O, tak – odrzekł Larry. – Gdybyśmy nie mieli siebie nawzajem, samotność doprowadziłaby nas do obłądu. Kiedy zaś stykamy się już z innymi ludźmi, też dajemy się ponieść szaleństwu. Zaczynamy budować rzędy letnich domków, ciągnące się na przestrzeni wielu mil, a w sobotnie wieczory urządzamy w knajpach burdy i próbujemy się nawzajem pozabijać.

Roześmiał się. Był to zimny, wystudiowany dźwięk, pozbawiony choć odrobiny radości. Przez dłuższą chwilę dźwięk ten rozbrzmiewał w powietrzu niczym nie zmacony.

– Nie ma na to odpowiedzi. To jak uwięzienie wewnątrz skorupy jajka. Ruszajmy, Joe jest gdzieś tam, przed nami.

Jeszcze przez moment siedziała w bezruchu na siodełku, nie odrywając pełnego niepokoju spojrzenia od pleców Larry’ego, który wolno popedałował w dal. Wreszcie pojechała za nim. „Nie – pomyślała. – On nie miał racji. NIE MÓGŁ mieć. Jeśli coś tak potwornego mogło się wydarzyć zupełnie bez żadnego powodu, to czy cokolwiek miało jeszcze jakiś sens? A jeżeli tak, to jaki? Dlaczego wciąż jeszcze żyli?”

Joe wcale nie odjechał daleko. Natknęli się na niego, siedzącego na tylnym zderzaku niebieskiego forda stojącego na podjeździe. Oglądał znalezionej gdzieś „świerszczyka”, a Larry z pewnym zażenowaniem stwierdził, że chłopiec miał erekcję. Spojrzał na Nadine, ta jednak, być może celowo, patrzyła w przeciwnym kierunku.

– Idziesz? – spytał Larry, podchodząc bliżej.

Joe odłożył pisemko i zamiast wstać wydał gardłowy pomruk, pokazując jednocześnie ręką w górę. Larry odruchowo podniósł wzrok, sądząc przez moment, że chłopiec ujrzał samolot. Nagle Nadine zawołała:

– Nie na niebo, na stodołę! – W jej drżącym głosie brzmiało wyraźne podniecenie. – Na dachu stodoły. Boże, dzięki ci za Joe! Nigdy byśmy tego nie zobaczyli!

Podeszła do chłopca, objęła go i mocno przytuliła. Larry odwrócił się do stodoły, gdzie na dachu z wyblakłych gontów białe litery układały się w napis:

POJECHALIŚMY DO
CENTRUM EPIDEMIOLOGII W STOVINGTON

Poniżej znajdował się wykaz dróg dojazdowych i podpis:

WYJECHALIŚMY Z OGUNQUIT 2 LIPCA 1990
HAROLD EMERY LAUDER
FRANCES GOLDSMITH

– Jezu Chryste, tę ostatnią linijkę pisał chyba wisząc tyłkiem w powietrzu – mruknął Larry.

– Centrum epidemiologiczne! – rzuciła Nadine, ignorując go. – Dlaczego o tym nie pomyślałam? Niecałe trzy miesiące temu czytałam o nim w specjalnej wkładce do gazety. A więc tam pojechali.

– Jeżeli jeszcze żyją.

– Jeżeli? Oczywiście, że żyją. Zaraza wygasła przed drugim lipca. A skoro zdołali wejść na dach stodoły, na pewno nie byli chorzy.

– Jedno z nich z pewnością było dość rozbrykane – przytaknął Larry, czując narastające powoli ożywienie. – I pomyśleć, że przecież przejeżdżałem przez Vermont.

– Stovington leży dość daleko na północ od US 9 – rzekła mimochodem Nadine, nie odrywając wzroku od stodoły. – Mimo to na pewno już tam dotarli. Drugi lipca był dwa tygodnie temu. – Jej oczy rozpromieniły się. – Jak sądzisz, Larry, czy w tym centrum mogą być jeszcze inni? Mogą, prawda? Przecież oni tam wiedzą wszystko o kwarantannach i strojach ochronnych. Na pewno pracują nad jakimś lekarstwem, nie uważasz?

– Nie wiem – odparł niepewnie Larry.

– Na pewno – rzuciła ze zniecierpliwieniem i lekkim rozdrażnieniem.

Larry nigdy jeszcze nie widział jej równie podekscytowanej, nawet kiedy Joe tak świetnie naśladował jego grę na gitarze.

– Założę się, że Harold i Frances odnaleźli tuziny, może nawet setki innych ludzi. Ruszamy natychmiast. Najszybsza droga...

– Chwileczkę – rzekł Larry, ujmując ją za rękę.

– Co to ma znaczyć? Czy wiesz...

– Wiem, że napis widnieje na tym dachu już od dwóch tygodni. Skoro tak długo na nas czekał, to może poczekać jeszcze trochę. A póki co, powinniśmy coś przekąsić. Poza tym nasz mały gitarzysta usypia na stojąco.

Rozejrzała się dokoła. Joe znów zaczął przeglądać „świerszczyk”, ale głowa opadała mu na piersi i mrugał powiekami, a jego oczy wydawały się szkliste i jakby nieobecne. Pod oczami miał wielkie, ciemne sińce.

– Powiedziałaś, że niedawno przeszedł poważną infekcję – zauważył Larry. – Ty również masz za sobą szmat drogi, nie mówiąc o śledzeniu pewnego niebieskookiego gitarzysty.

– To fakt, zupełnie o tym nie pomyślałam.

– Potrzeba ci porządnego posiłku i długiego, krzepiącego snu.

– Oczywiście. Przepraszam, Joe. Zupełnie wypadło mi to z głowy.

Joe wydał z siebie ciche, zaspane mruknięcie.

Larry poczuł lęk, który niczym niewidoczna gula zagnieździł mu się w żołądku, ale wiedział, że musi to powiedzieć. Gdyby sam tego nie zrobił, wyręczy go Nadine, gdy tylko

odzyska siły i zdolność racjonalnego myślenia a poza tym chyba nadszedł już czas, by przekonać się, czy rzeczywiście zmienił się tak bardzo, jak mu się zdawało.

– Czy umiesz prowadzić, Nadine?

– Prowadzić? To znaczy czy mam prawo jazdy? Tak, ale przecież przez te blokady na szosach samochody zupełnie nie nadają się do jazdy. Czy sądzisz, że...

– Nie myślałem o samochodzie – odparł i nagle ujrzał przed oczami swój stary motocykl i siedzących na nim mrocznego mężczyznę (symbolizującego śmierć, jak mu się zdawało) oraz Rite; ta trupio blada para na monstrualnym, sunącym w jego kierunku harleyu, przywodziła na myśl szalonych jeźdźców apokalipsy. Zrobiło mu się sucho w ustach, w skroniach zapulsowało tętno, ale kiedy zaczął mówić dalej, głos miał całkiem normalny. Jeśli nawet w pewnej chwili się zająknął, Nadine nie zwróciła na to uwagi. Może to dziwne, ale to właśnie Joe, na wpół drzemiąc, uniósł wzrok i spojrzał na niego, jakby dostrzegł w nim jakąś zmianę.

– Myślałem raczej o motocyklach. Moglibyśmy w krótszym czasie i przy mniejszym wysiłku pokonywać większe odległości, a natrafiając na blokady, moglibyśmy je obejść, tak jak z rowerami, kiedy pod Ogunquit mijaliśmy śmieciarki.

Wyraźnie się ożywiła.

– Tak. To całkiem możliwe, Nigdy nie prowadziłam motocykla, ale ty przecież mógłbyś mnie nauczyć, prawda?

Na te słowa Larry poczuł, że kula lęku w jego wnętrzu powiększa się.

– Tak – odparł krótko. – Ale będziesz musiała jeździć wolno, bardzo wolno, dopóki na dobre nie nauczysz się panować nad maszyną. Motocykl, ba, nawet motorynka nie wybacza ludziom błędów, a jeśli na autostradzie będziesz miała wypadek i coś ci się stanie, nie będę mógł zawieźć cię do lekarza.

– A zatem postanowione. Znajdziemy... Larry, czy zanim nas spotkałeś, poruszałeś się na motocyklu? Chyba tak, skoro tak szybko zdołałeś dotrzeć z Nowego Jorku do Epsom.

– Porzuciłem go po drodze – rzekł spokojnie. – Samotna jazda doprowadzała mnie do obłądu.

– Cóż, odtąd już nie będziesz sam – powiedziała niemal wesoło Nadine. Odwróciła się do Joe. – Joe, jedziemy do Vermont! Spotkamy się tam z innymi ludźmi! Czyż to nie wspaniale? Czyż to nie cudowne?

Joe ziewnął.

Nadine powiedziała, że jest zbyt podekscytowana aby spać, ale położy się z Joe dopóki Larry nie wróci. Larry pojechał do Ogunquit w poszukiwaniu salonu motocyklowego. Nie natrafił na żaden, ale wydawało mu się, że widział jeden przy wyjeździe z Wells. Wrócił, by powiedzieć o tym Nadine i zastał ich śpiących w cieniu niebieskiego forda, gdzie Joe przeglądał „Gallery”.

Położył się niedaleko od nich, ale nie mógł zasnąć. W końcu przeszedł przez szosę i połąć wysokiej do kolan tymotki, do stodoły, na dachu której namalowano napis informacyjny. Tysiące pasikoników pierzchały w popłochu na boki, gdy przechodził przez trawę, a Larry pomyślał: „Jestem ich plagą. Ich mrocznym mężczyzną”.

W pobliżu szerokich, podwójnych wrót stodoły dostrzegł dwie puste puszki po pepsi i resztki kanapki. W normalnych czasach mewy już dawno temu pożarłyby okruchy, ale wszystko się zmieniło i ptaki bez wątpienia przywykły do bardziej sycącego pożywienia. Zmiażdżył pod butem okruchy, a potem jedną z puszek.

„Zabierzcie to do laboratorium, sierżancie Briggs. Myślę, że nasz zabójca wreszcie popełnił błąd”.

„Świetnie, inspektorze Underwood. Oto dzień wielkiego triumfu Scotland Yardu”.

„Dajcie spokój, sierżancie. To nasza praca”.

Larry wszedł do środka, panowała tam ciemność i gorąc, słycać było trzepot ptasich skrzydeł. Siano pachniało słodko. W zagrodach nie było zwierząt, właściciel musiał je wypuścić by przeżyły, lub zabiła je supergrypa, ale wyraźnie nie chciał pozwolić, żeby zdechły z głodu.

„Wspomnijcie o tym koronerowi, sierżancie”.

„Tak jest, inspektorze Underwood”.

Spojrzał na podłogę i dostrzegł jakiś papierek. Podniósł go. Opakowanie po batonie czekoladowym. Ten, kto malował napis na dachu miał być może jaja. Gustu nie miał za grosz. Każdy, kto lubił baloniki payday musiał zbyt długo przesiadywać na słońcu.

Schody prowadzące na stryszek były przybite do jednej z belek wspornikowych. Spocony jak szczur, nie mając pojęcia, co go tu przywiodło, Larry wszedł na górę. Pośrodku stryszku (szedł powoli, wypatrując szczurów) znajdowały się drugie, bardziej konwencjonalne schody wiodące do kopuły. Widniały na nich plamy białej farby.

„Chyba mamy kolejny ślad, sierżancie”.

„Inspektorze, jestem pod wrażeniem, pańską umiejętność dedukcji przewyższa jedynie pański urok osobisty i wyjątkową długość męskiego organu rozrodczego”.

„Ani słowa na ten temat, sierżancie”.

Wszedł do kopuły. Było tam jeszcze goręcej, wręcz nie do wytrzymania, a Larry doszedł do wniosku, że gdyby po skończonej pracy Frances i Harold zostawili tu puszki z farbą, stodoła radośnie spłonęłaby do szczytu już przed tygodniem. Okna były zakurzone i obwieszane gnijącymi pajęczynami, które musiały chyba pamiętać czasy prezydentury Forda. Jedno z okien zostało otwarte na siłę, a kiedy Larry wychylił się na zewnątrz, ujrzał zapierającą dech w piersiach panoramę.

Okno wychodziło na wschód; znajdowało się dostatecznie wysoko, by móc dojrzeć, co kryje się poza drogowymi wyciszaczami, które z wysokości autostrady wyglądały tak szpetnie, stąd zaś przypominały przestwór oceanu, fale zmierzające ku brzegowi rozcinane

gładko na pół przez falochron ciągnący się od północnego krańca przystani. Krajobraz był jak z obrazu przedstawiającego pełnię lata, same zielenie i złociste żółcie, charakteryzujące spokojne, upalne popołudnie. Czuł zapach soli i słonej wody. Spoglądając w dół stromizny dachu, widział – do góry nogami – napis sporządzony przez Harolda.

Sama myśl o wypełnieniu na ten dach, tak wysoko nad ziemią, sprawiła, że coś ścisnęło Larry'ego w dołku. Aby napisać nazwisko tej dziewczyny facet rzeczywiście musiał wisieć z nogami w powietrzu, oparty podbrzuszem o rynnę.

„Po co tyle trudu, sierżancie? Oto jak sądzę jedno z pytań, które musimy sobie postawić”.

„Skoro tak mówicie, inspektorze Underwood”.

Zszedł wolno po schodach, patrząc bacznie pod nogi. Nie mógł przecież złamać nogi. Na samym dole coś przykuło jego uwagę, coś wyrytego na jednej z belek wspornikowych, zdumiewająco białego i świeżego, co żywo kontrastowało z mrocznym, zakurczonym wnętrzem starej stodoły. Podeszedł do belki, spojrział na wyryty w drewnie napis i przesunął po nim palcem, na wpół rozbawiony, na poły zdumiony, że zrobiła go inna żywa, ludzka istota w dniu, kiedy on i Rita jechali właśnie na północ. Ponownie przesunął opuszką palca po znaku w drewnie.

Serce. Przebite strzałą.

„Coś mi się widzi, sierżancie, że ten gość jest zakochany”.

– Szczęściarz z ciebie, Haroldzie – mruknął Larry i wyszedł ze stodoły.

W Wells odnalazł salon motocyklowy hondy i jak uznał, rozejrzawszy się po wystawie, dwóch maszyn brakowało. Jeszcze większą dumą natchnęło go drugie znalezisko, zmięte opakowanie po batonie payday, leżące obok kosza. Wyglądało na to, że jedno z tych dwojga – zapewne Harold Lauder – dojadł balonik, wybierając motocykle. A potem zmiął opakowanie i rzucił do kosza. Chybił.

Nadine przytaknęła, że jego domysły mogły być słuszne, choć nie zachwycała się nimi tak jak Larry. Przyglądała się motorom, pragnąc jak najszybciej wyruszyć w drogę. Joe siedział na schodach, grając na gitarze i pokrzykując z zadowoleniem.

– Nadine, już piąta – zaproponował Larry. – Nie ma sensu ruszać dzisiaj w drogę. Zaczekajmy do jutra.

– Ale do zmierzchu zostały jeszcze trzy godziny! Po co mamy siedzieć beczynnienie? Możemy się z nimi rozminąć!

– To prawda – potaknął Larry. – Ale to nic wielkiego. Harold Lauder zostawił wyraźne informacje, włącznie z trasą, którą zamierzali obrać. Jeśli pojedą dalej, zapewne zrobią to samo.

– Ale...

– Wiem, że nie możesz już wytrzymać – powiedział i położył jej ręce na ramionach. Czuł jak narasta w nim stary, dobrze znany niepokój i spróbował zwalczyć go w sobie. – Ale nigdy dotąd nie jechałaś motorem.

– Umiem jeździć na rowerze. To powinno wystarczyć. I wiem, jak używać sprzęgła. Już ci mówiłam, Larry, błagam. Jeśli zaraz wyruszymy, możemy jeszcze tej nocy dotrzeć do New Hampshire, a jutro wieczorem będziemy mieć za sobą połowę drogi. Moglibyśmy...

– Motocykl to nie rower, do cholery! – wybuchnął i nagle dźwięki gitary ucichły. Zobaczył, że Joe ogląda się przez ramię, a jego oczy zwężone w szparki łypią nieufnie w jego stronę. „Umiem postępować z ludźmi, nie ma co” – pomyślał Larry. To wprawiło go w jeszcze większą wściekłość.

– Sprawiasz mi ból – rzekła Nadine.

Dopiero teraz zorientował się, że boleśnie wpijał palce w jej ramiona. Rozluźnił uścisk i tłący się w nim gniew zastąpiło uczucie wstydu.

– Przepraszam – wyszeptał.

Joe wciąż patrzył na niego. Larry uświadomił sobie, że właśnie utracił połowę względów zyskanych u tego chłopca. A może nawet więcej. Nadine coś powiedziała.

– Co?

– Pytałam, dlaczego motocykl tak bardzo różni się, twoim zdaniem, od roweru.

W pierwszej chwili miał ochotę wrzasnąć: „Skoro jesteś taka mądra i wszystko wiesz, to wskakuj na motor i spróbuj szczęścia. Zobaczmy, czy spodoba ci się oglądać świat z głową wykręconą tył na przód”. Zmitygował się jednak, świadom, że stracił wiele nie tylko u Joe. Utracił część siebie. Może wrócił z Tamtej Strony, ale wciąż miał w sobie wiele z dziecinnego Larry’ego; to wlokło się za nim jak cień w południe, skurczone, zmalale, ale wciąż przy nim tkwiło.

– Jest cięższy – zaczął. – Jeśli stracisz równowagę, trudniej ci ją będzie odzyskać niż w przypadku roweru. Jedna z tych trzystusześcdziesiątek waży ponad trzysta pięćdziesiąt funtów. Możesz szybko nauczyć się kontrolować tę maszynę, ale wymaga to odrobiny wprawy. Musisz do niej przywyknąć. W standardowym aucie kontrolujesz zmianę biegów za pomocą dźwigni ręcznej, a sprzęgło naciskasz stopą. W motocyklu jest na odwrót, biegi zmienia się stopą, a sprzęgłem manipuluje ręcznie, i do tego NAPRAWDĘ trzeba się przyzwyczaić. Właśnie to wymaga najdłuższego treningu. Zamiast jednego masz dwa hamulce. Prawa stopa obsługuje hamulec tylnego koła, prawa ręka przedniego. Jeśli o tym zapomnisz i użyjesz tylko ręcznego hamulca, wylecisz z siodelka ponad kierownicą, do przodu. No i, musisz przywyknąć, że będziesz mieć z tyłu pasażera.

– Joe? Ale ja myślałam, że on pojedzie z tobą!

– Chętnie bym go zabrał – rzekł Larry – ale w obecnej chwili nie sądzę, by był z tego zadowolony. A jak się tobie wydaje?

Nadine przez dłuższą chwilę przyglądała się z namysłem Joe.

– Nie, chyba nie – odparła i westchnęła. – Kto wie, czy zechce nawet jechać ze mną. To może go wystraszyć.

– Jeśli pojedzie z tobą, będziesz za niego odpowiedzialna. A ja za was oboje. Nie chcę zobaczyć, jak rozbijacie się na jakimś zakręcie.

– Czy to właśnie ci się przytrafiło, Larry? Byłeś z kimś?

– Byłem – odparł Larry. – I to ja miałem wypadek. Ale ta kobieta, z którą byłem, wtedy już nie żyła.

– Rozbiła się na motorze? – Oblicze Nadine było prawie nieruchome.

– Nie. Powiedziałbym, że to, co się stało, było w siedemdziesięciu procentach wypadkiem, a w trzydziestu samobójstwem. Widać nie potrafiłem dać jej tego, czego pragnęła. Przyjaźni, zrozumienia, wsparcia. – Był mocno zdenerwowany, w skroniach mu łupało, gardło zaciskało się, do oczu napływały łzy. – Nazywała się Rita. Rita Blakemoor. Nie chciałem, aby was spotkało coś złego. To tyle. Nie chcę, by tobie albo Joe coś się stało.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

– Bo to boli. Bardzo boli. Nawet gdy o tym mówię – rzekł bez ogródek. – To potwornie boli. – Była to prawda, choć nie cała. Były jeszcze sny. Zastanawiał się, czy i Nadine miewała nękające ją koszmary. Zeszłej nocy, kiedy przebudził się na chwilę, widział jak kobieta porusza się nerwowo przez sen, mamrocząc coś niezrozumiale. Dziś jednak nie wspomniała o tym ani słowem. A Joe? Czy miewał koszmary? Cóż, nie wiedział jak to było w przypadku tamtych dwojga, ale nieulękły inspektor Underwood ze Scotland Yardu bał się tych snów, gdyby zaś Nadine miała podczas jazdy wypadek, upiorne koszmary mogłyby powrócić.

– W takim razie wyruszymy jutro z rana – zdecydowała. – A jeszcze dziś nauczysz mnie, jak się prowadzi motocykl.

Najpierw musieli zatankować dwa wybrane przez siebie motocykle. W salonie był dystrybutor, ale nie działał, bo nie było prądu. Przy płycie prowadzącej do podziemnego zbiornika Larry natknął się na jeszcze jeden paperek po batonie i wydedukował, że niedawno musiała ona zostać podniesiona przez pomysłowego i zawziętego Harolda Laudera. Zakochany czy nie, miłośnik kiepskich batonów czy nie, zaskarbił sobie niejako na wyrost sporo szacunku u Larry'ego. Ten facet zaczął mu się podobać. Już go sobie nawet wyobrażał. Prawdopodobnie był po trzydziestce, być może farmer, wysoki, opalony, chudy, niezbyt ocytany, ale sprytny i myślący. Uśmiechnął się. Tworzenie w myślach obrazu kogoś, kogo nigdy nie spotkałeś zdawało się bezsensowne, gdyż osoba ta zwykle i tak wyglądała całkiem inaczej. Wszyscy znają tę historię o ważącym trzysta funtów dyskdzokeju o wysokim, piskliwym głosie.

Podczas gdy Nadine przyrządzała kolację na zimno, Larry rozejrzał się trochę po zapleczu salonu. Przy wielkim blaszanym koszu na śmieci natknął się na łom, wokół którego nawinięty był kawałek gumowej rurki.

„Znów cię znalazłem, Haroldzie! Spójrzcie na to, sierżancie Briggs. Aby uruchomić maszyny nasz człowiek ściągnął z podziemnego zbiornika paliwo przez tę tutaj gumową rurkę. Dziwię się, że nie zabrał jej ze sobą”.

„Może odciął sobie kawałek, a resztę zostawił, inspektorze. Raczy pan wybaczyć, ale to przecież śmietnik”.

„Na Jowisza, sierżancie, macie rację. Podam was do awansu”.

Zabrał łom, rurkę i podszedł do kłapy w podłodze.

– Joe, mógłbyś tu przyjść na chwilę i pomóc mi?

Chłopiec uniósł wzrok, przerywając na chwilę jedzenie krakersów z serem, po czym spojrzał nieufnie na Larry’ego.

– Idź, nie bój się – rzekła Nadine.

Joe podszedł, powłócząc nogami. Nie wyglądał na zachwyconego.

Larry wsunął koniec łomu do otworu płyty.

– Naprzyj na ten pręt całym ciężarem, zobaczmy czy uda się nam podnieść tę klapę – powiedział.

Przez chwilę wydawało mu się, że chłopiec nie zrozumiał albo nie chciał wykonać polecenia. Wreszcie jednak zacisnął dłonie na drugim końcu łomu i pchnął mocno. Ramiona miał chude ale umięśnione w taki sposób, jak widuje się to często u robotników z biednych rodzin. Płyta przekrzywiła się lekko, ale nie na tyle, by Larry mógł wsunąć pod nią palce.

– Całym ciężarem – rzucił krótko.

Dziki, skośne oczy lustrowały go chłodno przez chwilę, po czym Joe położył się na łomie, odrywając stopy od podłoża i wkładając w pchnięcie cały swój ciężar.

Płyta podniosła się nieco wyżej, tak że Larry’emu udało się wcisnąć pod nią palce. Walczył właśnie o zapewnienie palcom dobrego uchwytu na spodzie ciężkiej płyty, kiedy przyszło mu na myśl, że jeśli chłopiec wciąż nie darzył go sympatią, nadarzała się idealna okazja, by mu to okazać. Wystarczyłoby, że puści łom, a wtedy płyta, opadając, pozbawi go gładko wszystkich palców u obu rąk, za wyjątkiem kciuków. Larry zorientował się, że Nadine pomyślała o tym samym. Oglądała jeden z motocykli, ale teraz odwróciła się i patrzyła na nich spięta, czujna i gotowa.

Przeniosła wzrok z Larry’ego, klęczącego na jednym kolanie, na Joe, który napierając na łom, obserwował Underwooda.

Oczy o barwie morskiej wody pozostawały nieodgadnione. A Larry wciąż nie mógł uchwycić płyty jak należy.

– Pomóc ci? – spytała Nadine tonem z pozoru spokojnym, lecz wyczuwało się w nim niespokojną nutę.

Strużka potu ściekła mu do oka, zamrugał powieką. Chwyty był wciąż niepewny. Czuł zapach benzyny.

– Chyba damy radę – powiedział Larry, patrząc wprost na nią.

W chwilę potem jego palce odnalazły płytkie zagłębienie w płycie, od spodu. Naparł z całej siły i płyta uniosła się do góry, by z głuchym brzękiem wylądować na betonie. Larry usłyszał głośne westchnienie Nadine i brzęk łomu, spadającego na chodnik.

Otarł spocone czoło i spojrzał na chłopca.

– Świetnie się spisałeś, Joe – powiedział. – Gdybyś puścił łom, do końca życia musiałbym zapinać rozporek zębami. Dziękuję.

Nie spodziewał się odpowiedzi (może za wyjątkiem nieartykułowanego pohukiwania, przy wtórze którego Joe wróci do oglądania motocykli), aż tu nagle Joe wykrztusił ochryple, z wyraźnym wysiłkiem:

– Płoszę bałdzo.

Larry łypnął na Nadine, ta spojrzała najpierw na niego, potem na Joe. Na jej twarzy malowały się zdumienie i radość, ale, nie wiedzieć dlaczego, sprawiała wrażenie, jakby w głębi duszy tego się właśnie spodziewała. Widział już wcześniej coś takiego, ale nie potrafił tego sprecyzować.

– Joe – mruknął – czy powiedziałaś przed chwilą: „Proszę bardzo”?

Joe energicznie pokiwał głową.

– Płoszę bałdzo. Płoszę bałdzo.

Nadine rozłożyła szeroko ręce. Uśmiechnęła się.

– Świetnie, Joe. Dobrze. Bardzo dobrze. Doskonale.

Joe podszedł do niej i pozwolił się jej przez chwilę obejmować. No, może przez dwie chwile. A potem znów wrócił do motocykli, chichocząc pod nosem.

– Umie mówić – rzekł Larry.

– Wiedziała, że nie jest niemową – odparła Nadine. – Ale świadomość, że może zechce znów mówić jest po prostu cudowna. Wydaje mi się, że potrzebował nas obojga. Dwóch połówek. On, ech, sama nie wiem.

Zauważył, że się zaczerwieniła i chyba zrozumiał dlaczego. Zaczął wsuwać koniec gumowej rurki do otworu w podłodze i nagle uświadomił sobie, że to co robił można było łatwo zinterpretować jako symboliczne (i dość wulgarnie) odzwierciedlenie aktu płciowego.

Spojrzał na nią gwałtownie. Pospieszenie odwróciła wzrok, ale zdążył jeszcze dostrzec, z jaką uwagą obserwowała, co robił, a jej policzki nabiegły purpurą.

Jego pierś wezbrała od zgrozy i na całe gardło zawołał:

– Na miłość Boską, Nadine, uważaj!

Skoncentrowała się na prowadzeniu pojazdu, nie zaś na tym, dokąd jechała i z prędkością pędzącego żółwia, czyli jakieś pięć mil na godzinę zamierzała wpasować hondę w rosnącą opodal sosenkę.

Uniosła wzrok, a Larry usłyszał jak jęknęła: „Och!”. Wydawała się zaskoczona. A potem skręciła raptownie, zbyt raptownie i spadła z motocykla.

Honda wywróciła się.

Podbiegł do niej, serce podeszło mu do gardła.

– Nadine, czy wszystko w porządku? Nic...

Podniosła się chwiejnie, przyglądając się podrapanym dłoniom.

– Nic mi nie jest. Idiotka ze mnie, nie patrzyłam, dokąd jadę. Czy motor jest cały?

– Czort z nim, pokaż mi ręce.

Wyciągnęła je przed siebie, a on wyjął z kieszeni spodni pojemnik i spryskał ręce Nadine sprayem odkażającym bactine.

– Drżysz – zauważyła.

– To nieważne – odparł Larry oschlej niż zamierzał. – Posłuchaj, może lepiej zostaniemy przy rowerach. To niebezpieczne...

– Podobnie jak oddychanie – odparła Nadine, patrząc mu prosto w oczy. – I myślę, że ty też tego chcesz.

– Dobrze, dajmy sobie spokój na dzisiaj. Jest tak ciemno, że prawie nic już nie widać.

– Jeszcze raz. Czy nie jest tak, że po upadku z konia należy zaraz znów na niego wsiąść?

Joe przeszedł obok nich, pojadając borówki z kasku motocyklowego. Za salonem znalazł spory gąszcz krzewów jagodowych i, podczas gdy Nadine odbywała swoją pierwszą w życiu lekcję jazdy na motorze, z zapalem zbierał borówki do kasku.

– Chyba tak – mruknął Larry, zrezygnowany. – Ale proszę cię, jedź ostrożnie i patrz przed siebie.

– Tak jest. Rozkaz. – Zasalutowała i uśmiechnęła się do niego.

Miała piękny uśmiech, który rozpromieniał całą jej twarz. Larry odpowiedział uśmiechem. Kiedy Nadine się uśmiechała, nawet Joe robił to samo.

Tym razem dwa razy objechała plac, a potem wyjechała na szosę, ale zrobiła zbyt gwałtowny skręt i Larry znów omal nie dostał zawału. Zapanowała jednak nad maszyną, zgodnie z jego wskazówkami, wjechała na wzgórze i znikła mu z oczu. Zauważył jeszcze, jak ostrożnie zmienia bieg na dwójkę, a gdy znalazła się za niskim wzniesieniem usłyszał, że wrzuciła trójkę. Później zaś silnik motocykla przeszedł w buczenie, które z wolna zaczęło cichnąć. Larry stał w bezruchu pośród zapadającego zmierzchu, od czasu do czasu tylko unosząc dłoń, by odegnać natrętnego komara. Był zaniepokojony.

Zjawił się Joe z posiniałymi od jagód wargami.

– Płoszę bałdzo – powiedział i uśmiechnął się.

Larry z pewnym wysiłkiem również się uśmiechnął. Jeżeli Nadine wkrótce się nie zjawi, pojedzie za nią. Przed oczami miał już mroczną wizję, ukazującą Nadine leżącą w przydrożnym rowie z przetrąconym karkiem.

Podszedł właśnie do drugiej maszyny, zastanawiając się, czy powinien zabrać ze sobą Joe, kiedy znów doszło go głębokie, regularne buczenie, przeradzające się z wolna w ryk

chodzącego na czwórce silnika hondy. Rozluźnił się trochę. Z pewną konsternacją stwierdził, że póki Nadine będzie prowadzić motocykl, on nigdy nie zdoła w pełni się rozluźnić.

Znów ją zobaczył, reflektor maszyny był włączony.

Podjechała do niego i zatrzymała się.

– Całkiem nieźle, co? – Zgasiła silnik.

– Już miałem po ciebie jechać. Myślałem, że coś ci się stało. Że miałaś wypadek.

– Można tak powiedzieć. – Zauważyła, że momentalnie zeszywniał i dodała: – Zbyt wolno wzięłam zakręt i zapomniałam wrzucić sprzęgło. Wywaliłam się.

– Och. Pewno masz już dosyć na dzisiaj, prawda?

– Tak – jęknęła. – Stłukłam sobie kość ogonową.

Tej nocy leżał na posłaniu, zastanawiając się, czy Nadine przyjdzie do niego, kiedy Joe uśnie, czy może to on powinien pójść do niej. Pragnął jej i sądząc po tym, jak obserwowała wczoraj jego absurdalną pantomimę, odwzajemniała to uczucie. Wreszcie zasnął.

Śniło mu się, że zgubił się na polu kukurydzy. Słyszał jednak muzykę, dźwięki gitary. Joe na niej grał. Jeżeli odnajdzie chłopca, wszystko będzie w porządku. Dlatego ruszył za tym dźwiękiem, przedzierając się przez kolejne łąny kukurydzy, aż w końcu znalazł się na nierównej polanie. Stał tam maleńki domek, właściwie szafas, z gankiem podtrzymywanym przez dwa zardzewiałe podnośniki. To nie Joe grał na gitarze. Jak to możliwe? Joe trzymał go za lewą, a Nadine za prawą rękę. Byli z nim. Na gitarze grała stara kobieta. Grała jakąś jazzową melodyjkę, której dźwięki wywoływały uśmiech na twarzy Joe. Stara kobieta była Murzynką, siedziała na ganku, a Larry uznał, że to chyba najstarsza osoba, jaką widział w życiu. Miała jednak w sobie coś, co sprawiało, że było mu dobrze. Tego samego doświadczył kiedyś przy matce, jeszcze w dzieciństwie, kiedy przytuliła go mocno do siebie i powiedziała: „Oto mój najukochańszy synek, najlepsze dziecko na świecie, najdroższe dziecko Alice Underwood”.

Staruszka przestała grać i spojrzała na nich.

„Cóż, widzi mi się, że mam towarzystwo. Wyjdźcie, żebyśmy mogła was zobaczyć, moje oczy nie są już takie jak kiedyś”.

Podeszli bliżej, trzymając się za ręce, cała trójka, a Joe mijając wiszącą na sznurze łysą, starą oponę, pchnięciem wprowadził ją w ruch wahadłowy. Wyglądający jak pączek z dziurką cień zaczął przesuwac się w tył i w przód po zachwaszczonym gruncie. Znajdowali się na niewielkiej polance, oazie pośród morza kukurydzy. Gruntowa droga wiodąca na północ zlewała się w dali w czarny punkt.

„Chciałbyś pobrzdakać na tym moim starym pudle?” – zwróciła się do Joe, a ten natychmiast podszedł i wziął z jej zdeformowanych palców starą gitarę. Zaczął grać melodię, która towarzyszyła im, gdy szli przez pole, ale o wiele szybciej i lepiej od staruszki.

„Chwała mu, świetnie sobie radzi. Ja jestem już na to za stara. Moje palce nie są tak szybkie, jak kiedyś. To reumatyzm. Ale w 1902 roku grałam w County Hall. Byłam pierwszą Murzynką, która kiedykolwiek tam zagrała”.

Nadine zapytała o tożsamość Murzynki. Znajdowali się w jakiejś oazie wieczności, gdzie słońce zdawało się wisieć na niebie o godzinę od zmierzchu, a cień huśtawki wprawionej w ruch przez Joe zawsze będzie kołysał się w tył i w przód po zachwaszczonym gruncie. Larry zapragnął, by mógł zostać tu na zawsze ze swoją rodziną. To było DOBRE MIEJSCE. Człowiek bez twarzy nigdy nie zdołałby dopaść tu ani jego, ani Joe i Nadine.

„Nazywają mnie Matką Abigail. Jestem najstarszą kobietą we wschodniej Nebrasce, a przynajmniej tak mi się wydaje, ale wciąż sobie jakoś radzę. Przybądźcie do mnie najszybciej, jak tylko zdołacie. Musimy ruszać, zanim on nas wywęszy”.

Chmura zasnuła słońce. Cień huśtawki zniknął. Joe przestał grać, gwałtownie uderzając w struny, a Larry poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie. Stara kobieta zdawała się nic sobie z tego nie robić.

„Zanim kto nas wywęszy?” – spytała Nadine, a Larry żałował, że nie może się odezwać, zawołać, by cofnęła to pytanie, nim uwolni się z pęt i coś im zrobi.

„Ten czarny człowiek. Sługa diabła. Chwała Bogu, że dzielą nas od niego Góry Skaliste, ale nawet one go nie powstrzymają. To dlatego musimy się zjednoczyć. Zebrać wszyscy razem. W Kolorado. Bóg odwiedził mnie we śnie i wskazał odpowiednie miejsce. Musimy się jednak pospieszyć, musimy działać tak szybko, jak to możliwe. Dlatego wzywam was, przybądźcie do mnie. Inni także są już w drodze”.

„Nie – rzekła Nadine zimnym, przerażonym głosem. – Udajemy się tylko do Vermont. Do Vermont i nigdzie dalej. To nie będzie długa podróż”.

„Twoja podróż będzie dłuższa od naszej, jeśli nie zwalczysz jego mocy – odparła stara kobieta we śnie Larry’ego. Patrzyła na Nadine z głębokim smutkiem. – Wiedz, kobieto, że mężczyzna, który ci towarzyszy mógłby być naprawdę dobrym mężem. On naprawdę chce się poprawić, pokazać na co go stać. Dlaczego nie pozostaniesz przy nim, zamiast go wykorzystywać?”

„Nie! Jedziemy do Vermont, do VERMONT!”

Stara kobieta spojrzała na Nadine z politowaniem.

„Jeśli nie będziesz mieć się na baczności, córko Ewy, trafisz wprost do Piekła. A kiedy już tam trafisz, przekonasz się, że jest w nim przeraźliwie zimno”.

Na tym sen się skończył, rozszczępiając się na drobiny ciemności, które go pochłonęły. W mroku tym było jednak coś, co go śledziło. Szło za nim. Było zimne i bezlitosne, lada chwila ujrzy uśmiechnięte zęby swego prześladowcy.

Obudził się, zanim to nastąpiło. Świt nadszedł pół godziny temu; świat spowijała gęsta, biała, płożąca się nad ziemią mgła, która zniknie, kiedy słońce wzejdzie wyżej na niebo.

Salon motocyklowy wylaniał się z oparów niczym dziwaczny dziób statku, wykonany z drewna, nie z żużlowych płyt.

Ktoś leżał tuż przy nim. Okazało się, że nie była to Nadine, lecz Joe. Chłopak ułożył się obok niego, wetknął kciuk do ust i dygotał na całym ciele, dręczony jakimś swoim koszmarem. Larry zastanawiał się, czy sny Joe różniły się od jego snów. Położył się na wznak, wbijając wzrok w białą mgłę i rozmyślał o tym przez następną godzinę, kiedy Nadine i chłopiec wreszcie się obudzili.

Mgła rozrzedziła się na tyle, że po śniadaniu mogli ruszyć w drogę. Zgodnie z przewidywaniami Nadine, Joe nie miał nic przeciwko temu, by jechać na jednym motocyklu z Larrym, a prawdę mówiąc, sam, z własnej woli wskoczył na siodło.

– Wolniej – rzekł po raz czwarty Larry. – Po co się spieszyć, lepiej nie kusić licha. Wypadki chodzą po ludziach.

– Bomba – powiedziała Nadine. – Jestem taka podekscytowana. To prawdziwa wyprawa!

Uśmiechnęła się do niego, ale Larry nie odpowiedział tym samym. Rita Blakemoor powiedziała coś bardzo podobnego w dniu, kiedy wyjeżdżali z Nowego Jorku. Powiedziała to na dwa dni przed śmiercią.

Zatrzymali się na lunch w Epsom, zjedli szynkę z puszki i popili oranżadą, siedząc w cieniu drzewa, gdzie kiedyś zasnął Larry i gdzie Joe stał nad nim z nożem. Larry z ulgą stwierdził, że przynajmniej jak dotąd szło im całkiem nieźle; to był dobry czas, i nawet przejazdy przez miasto nie okazały się takim koszmarem, jakiego się obawiał. Nadine była wyjątkowo ostrożna i zwalniała przed ostrymi zakrętami, nawet na prostej drodze nie ponaglała Larry'ego aby jechał szybciej niż ze stateczną prędkością trzydziestu pięciu mil na godzinę, którą sobie wyznaczył. Uznał, że jeśli pogoda się nie zepsuje, dotrą do Stovinton nie dalej jak dziewiętnastego lipca.

Na kolację zatrzymali się pod Concord, gdzie, jak wyjaśniła Nadine, mogli nadgonić Laudera i Goldsmith zjeżdżając na I-89, wiodącą na północny zachód.

– Na autostradzie na pewno będą blokady i korki – rzekł z powątpiewaniem Larry.

– Nie powinniśmy mieć trudności z ich objazdem – zaoponowała z przekonaniem. – Zawsze możemy skorzystać z pasa awaryjnego. Najgorsze, co się nam może przytrafić, to przymusowy powrót do punktu wyjścia, czyli do zjazdu i konieczność wyboru innej drogi.

Dwie godziny po kolacji spróbowali wprowadzić ten pomysł w czyn i rzeczywiście tuż za Warner natknęli się na blokadę. Cały pas autostrady północno-zachodniej został zatarasowany w poprzek przez furgon z przyczepą dla koni. Kierowca i jego żona nie żyli od kilku tygodni, spoczywali na przednim siedzeniu swojej electry jak worki gnijącego ziarna.

Cała trójka, pomagając sobie nawzajem, zdołała przenieść motocykle nad złączeniem między samochodami i przyczepą. Dokonali tego, ale potem byli tak zmęczeni, że nie mogli

już jechać dalej; tej nocy Larry nie zastanawiał się już, czy powinien pójść do Nadine, leżącej na posłaniu dziesięć stóp od niego (chłopak ułożył się pomiędzy nimi), czy też nie. Tej nocy był zbyt zmęczony, by mieć ochotę na cokolwiek innego, poza snem.

Następnego popołudnia natknęli się na blokadę, której nie potrafili objechać. Tworzył ją przewrócony furgon i pół tuzina aut, które się z nim zderzyły. Na szczęście od wyjazdu za Enfield dzieliły ich tylko dwie mile.

Zawrócili, wyjechali przez najbliższy zjazd i zmęczeni oraz nieco zawiedzeni, zatrzymali się na dwudziestominutowy odpoczynek w parku miejskim w Enfield.

– Czym się wcześniej zajmowałaś, Nadine? – zapytał Larry. Myślał o wyrazie jej oczu, kiedy Joe wreszcie się odezwał (chłopiec dodał do swego słownika zwroty „Larry”, „Nadine”, „cienkuje” i „iść do łazienki”) i na tej podstawie wysnuł pewne wnioski. – Byłaś nauczycielką?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tak. A więc się domyśliłeś.

– Młodsze klasy?

– Tak. Pierwsza i druga.

To mogło poniekąd tłumaczyć niechęć do pozostawienia Joe samego. Przynajmniej umysłowo chłopak cofnął się do poziomu siedmiolatka.

– Ale jak się tego domyśliłeś?

– Dawno temu spotykałem się z terapeutką z Long Island – wyjaśnił Larry. – Wiem, że to brzmi jak początek żartu, ale tak właśnie było. Pracowała w szkole w Ocean View. Młodsze klasy. Uczyła dzieciaki wymowy. Dzieciaki z wadami wymowy, uszkodzonym podniebieniem, zajączą wargą, niedosłyszające. Mówiła, że aby zniwelować niedociągnięcia mowy należy im pokazać alternatywny sposób wydobywania właściwych dźwięków. Pokazać i wypowiedzieć słowo. Pokazać i wypowiedzieć słowo. Raz po raz, bez końca, dopóki dzieciakowi nie zaskoczy coś pod kopułą. Kiedy o tym mówiła, wyglądała tak jak ty, kiedy Joe powiedział: „Proszę bardzo”.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się z lekkim smutkiem. – Uwielbiałam te maluchy. Niektóre z nich były przykre, ale przynajmniej w tym wieku żadne nie wydawało się zepsute do szpiku kości. Maluchy to jedyne dobre istoty ludzkie.

– Nie uważasz, że to nieco zbyt romantyczna idea?

Wzruszyła ramionami.

– Dzieciaki są dobre. A jeśli z nimi pracujesz, musisz być romantykiem. To nie jest takie złe. Czy twoja przyjaciółka terapeutka była zadowolona ze swojej pracy?

– Tak, lubiła ją – odrzekł Larry. – Byłaś zamężna? To znaczy... przedtem. – Znow to samo proste, a jakże wymowne słowo. Przedtem. Tylko dwie sylaby, ale ileż w nich treści.

– Zameżna? Nie. Nigdy nie wyszłam za mąż. – Znów wyglądała na zdenerwowaną. – Jestem typową belferką, starą panną, młodszą niż wyglądam, ale starszą niż się czuję. Mam trzydzieści siedem lat.

Zanim zdążył się pohamować, Larry spojrzął na jej włosy, a ona skinęła głową. Nie musiał nic mówić.

– Przedwczesna siwizna – rzekła ostentacyjnie. – Mojej babci włosy posiwiały jeszcze przed czterdziestką. Co do mnie, myślę, że zostało mi jeszcze jakieś pięć lat.

– Gdzie pracowałaś?

– W małej, prywatnej szkole w Pittsfield. Bardzo ekskluzywnej. Ściany porośnięte bluszczem, najnowocześniejszy sprzęt sportowy. Chrzącić recesję i cała naprzód. Z aut na parkingu pamiętam dwa thunderbirdy, trzy mercedesy benz, parę lincolnów i chryslera imperiala.

– Musiałaś być naprawdę dobra.

– Chyba tak – odparła otwarcie i uśmiechnęła się. – Teraz to już nie ma znaczenia.

Objął ją ramieniem. Drgnęła lekko i zeszywniała. Dłoń i ramię miała ciepłe.

– Lepiej nie – szepnęła niepewnie.

– Nie chcesz?

– Nie.

Cofnął rękę zdezorientowany. Sęk w tym, że było dokładnie na odwrót. Chciała tego, wiedział, że go pragnęła, wyraźnie czuł emanowane przez nią łagodne, choć wyraźne fale. Zarumieniła się i wbiła wzrok w swoje dłonie, złączone lecz poruszające się na jej podołku niczym para zranionych pajaków. Oczy jej błyszczały jakby była bliska łez.

– Nadine...

(„Kochanie, czy to ty?”)

Spojrzała na niego i ujrzał łzy. Chciała coś powiedzieć, kiedy podszedł do nich Joe z futerałem od gitary w dłoni.

Unieśli wzrok z miną winowajców, przyłapanych na czymś o wiele bardziej intymnym niż zwyczajna pogawędka.

– Pani – rzekł głośno Joe.

– Co? – zapytał Larry zdezorientowany. Nie wiedział, o co chodziło chłopakowi.

– Pani! – powtórzył Joe i pokazał kciukiem przez ramię.

I nagle odezwał się czwarty głos, wysoki i pełen emocji, wyraźnie zduszony, zdumiewający niczym głos Boga.

– Bogu dzięki! – odezwał się. – Och, Bogu niech będą dzięki!

Wstali i spojrzeli na kobietę, która biegła ulicą w ich kierunku. Jednocześnie śmiała się i płakała.

– Tak się cieszę, że was widzę – powiedziała. – Tak się cieszę, że was widzę, dzięki Bogu.

Zachwiała się i pewnie by zemdląła, gdyby Larry jej nie podtrzymał. Po chwili zawroty głowy nieznajomej minęły. Poczła się lepiej. Larry uznał, że musiała mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Miała na sobie dzinsy i białą bawełnianą bluzkę. Twarz pobladła, oczy nienaturalnie nieruchome. Wpatrywała się w Larry'ego, jakby usiłowała przekonać samą siebie, że to, co widzi, nie jest złudzeniem wzrokowym i że troje ludzi, których miała przed sobą są istotami z krwi i kości.

– Nazywam się Larry Underwood – powiedział. – Ta pani to Nadine Cross. Chłopak ma na imię Joe. Miło nam cię poznać.

Kobieta jeszcze przez chwilę przyglądała mu się bez słowa, po czym powoli podeszła do Nadine.

– Tak się cieszę – zaczęła – tak się cieszę, że was widzę.

Przez chwilę nie wiedziała, co ma powiedzieć dalej.

– Czy wy jesteście prawdziwi?

– Tak – odrzekła Nadine.

Kobieta objęła ją ramionami i zaszlochała w głos. Nadine przytuliła ją mocno. Joe stał na środku ulicy przy przewróconym pickupie z kciukiem w ustach i futerałem od gitary w ręku. W końcu podszedł do Larry'ego i spojrzał na niego. Larry wziął go za rękę. I tak stali, patrząc w milczeniu na dwie kobiety.

W ten właśnie sposób poznali Lucy Swann.

Kiedy wyjaśnili jej dokąd się udają, i że najprawdopodobniej u celu napotkają co najmniej dwie, a może nawet więcej osób, natychmiast postanowiła się do nich przyłączyć. Larry znalazł dla niej w sklepie sportowym średniej wielkości plecak, a Nadine poszła z Lucy do jej domu na przedmieściu, by pomóc jej się spakować... dwie pary ubrań na zmianę, bieliznę, drugą parę butów, płaszcz przeciwdeszczowy. I zdjęcia jej zmarłego męża oraz córeczki.

Tę noc spędzili w miasteczku o nazwie Quechee, tuż za granicą Vermont. Lucy Swann opowiedziała im krótką, prostą historię nie różniącą się zbytnio od innych, które słyszeli. Rozpacz i szok, ten ostatni zresztą ocalił ją przed popadnięciem w obłęd.

Jej mąż zachorował dwudziestego piątego czerwca, jej córka dzień później. Pielęgnowała ich jak mogła najlepiej, przekonana, że i ona zachoruje na rzeźnicę, jak nazywano chorobę w tym zakątku Nowej Anglii. Dwudziestego siódmego czerwca, kiedy jej mąż zapadł w śpiączkę, Enfield było już całkiem odcięte od reszty świata.

Programy w telewizji były dziwne i nieostre. Ludzie umierali w zastraszającym tempie. W poprzednim tygodniu zaobserwowano na autostradzie wzmożone ruchy wojsk, nikt jednak nie zainteresował się taką dziurą jak Enfield w New Hampshire. Dwudziestego ósmego czerwca nad ranem mąż Lucy zmarł. Jej córka dwudziestego dziewiątego czerwca poczuła się nieco lepiej, ale jeszcze przed wieczorem nastąpił gwałtowny nawrót choroby. Zmarła około

jedenastej w nocy. Do trzeciego lipca w całym Enfield ze wszystkich mieszkańców została tylko ona i staruszek, niejaki Bill Dadds. Lucy powiedziała, że Bill był chory, ale wszystko wskazywało na to, że zupełnie wyzdobył. Rankiem jednak w dniu Święta Niepodległości odnalazła Billa leżącego na środku Main Street, spuchniętego i poczerńałego jak wszyscy inni.

– Pochowałam moją rodzinę i Billa także – wyjaśniła, kiedy siedzieli przy ognisku. – Zajęło mi to cały dzień, ale złożyłam ich na wieczny spoczynek. Przyszło mi na myśl, żeby udać się do Concord, gdzie mieszkali moi rodzice. Nie miałam jednak dość odwagi, aby się tego podjąć. – Spojrzała na nich z przerażeniem. – Czy źle zrobiłam? Czy to możliwe, że oni jeszcze żyją?

– Nie – odparł Larry. – Odporność na pewno nie jest cechą dziedziczną. Moja matka... – wbił wzrok w płomień.

– Wes i ja pobraliśmy się, bo musieliśmy – wyjaśniła Lucy. – To było latem 1984 roku, kiedy właśnie skończyłam liceum. Moi rodzice nie chcieli, żebym za niego wyszła. Chcieli, żeby urodziła dziecko i oddała je. Ale ja nie mogłam. Moja mama powiedziała, że i tak się w końcu rozwiedziemy. Tato twierdził, że Wes to próżniak i nigdy nie znajdzie sobie roboty. Ja mu na to: „Możliwe. Pożyjemy, zobaczymy”. Po prostu chciałam zaryzykować. Wiecie, o co mi chodzi?

– Tak – rzekła Nadine. Siedziała tuż przy Lucy, przyglądając się jej ze współczuciem.

– Mieliliśmy śliczny mały domek, nigdy nie sądziłam, że to się tak skończy – dodała Lucy z płaczącym westchnieniem. – Urządziliśmy się całkiem nieźle we trójkę. To bardziej Marcy niż ja sprawiła, że Wes się ustatkował. Ta mała była słońcem jego życia. Zawsze to powtarzał. Uważał, że...

– Dość – rzuciła Nadine. – To było przedtem.

Znowu to słowo, pomyślał Larry. Te przerażające dwie sylaby.

– Tak. Teraz już jest za późno. Chyba nawet zdołałam się z tym jakoś pogodzić. To znaczy, dopóki nie zaczęły mnie nękać te okropne koszmary.

– Koszmary? – Larry gwałtownie uniósł głowę.

Nadine patrzyła na Joe. Jeszcze przed chwilą chłopiec drzemał przy ognisku; teraz jednak patrzył na Lucy błyszczącymi, ożywionymi oczami.

– Złe sny, koszmary – odrzekła Lucy. – Nie zawsze są takie same. Zazwyczaj ściga mnie w nich jakiś mężczyzna, ale ja nigdy nie widzę go dokładnie, ponieważ cały jest otulony w coś jakby płaszcz. I zawsze trzyma się w cieniu. Czai się w ciemnych zaułkach i mrocznych uliczkach. – Zadygotała. – Doszło nawet do tego, że bałam się zasnąć. Jednak może teraz...

– Czalny człowiek! – zawołał nagle Joe tak przeraźliwie, że wszyscy aż podskoczyli. Poderwał się na nogi i wyciągnął przed siebie ręce niczym miniaturowy Bela Lugosi; palce zakrzywił w szpony. – Czalny człowiek! Koszmary! Goni! Goni mnie! Przełazą!

Z tymi słowy przytulił się do Nadine i z nieufnością wbił wzrok w otaczającą ich ciemność.

Przy ognisku zapadła cisza. Nie trwała jednak długo.

– To jakiś obłąd – rzekł Larry i nagle umilkł.

Wszyscy patrzyli na niego. Ciemność zaczęła nagle sprawiać wrażenie bardzo mrocznej, a Lucy wyraźnie znowu się bała.

Zmusił się, by mówić dalej.

– Lucy, czy śniłaś o pewnym miejscu w Nebrasce?

– Którejś nocy przyśniła mi się stara Murzynka – odparła Lucy – ale to nie trwało długo. Powiedziała coś jakby: „Przybądź do mnie”. A potem znów byłam w Enfield i ten straszny człowiek mnie ścigał. Wtedy się obudziłam.

Larry patrzył na nią tak długo, że pokraśniała i spuściła wzrok.

Spojrzał na Joe.

– Joe, czy kiedykolwiek śniłeś o polu kukurydzy? O starej kobiecie? O gitarze? – Joe tylko patrzył na niego objęty ramieniem przez Nadine.

– Daj mu spokój, tylko go bardziej wystraszysz – ucięła Nadine, ale to raczej ona wyglądała na zdenerwowaną.

– A o domu, Joe? – ciągnął Larry. – O małej chatce z gankiem na podnośnikach?

Wydawało mu się, że w oczach Joe coś zabłysło.

– Przestań, Larry! – rzuciła Nadine.

– A o huśtawce, Joe? O huśtawce ze starej opony?

Joe nagle szarpnął się w ramionach Nadine. Wyjął kciuk z ust. Nadine próbowała go przytrzymać, ale wyrwał się jej.

– Huśtawka! – zawołał z emfazą. – Huśtawka! Huśtawka! – Odwrócił się do nich plecami i wskazał palcem Nadine, a potem Larry’ego. – Ona! Ty! Dużo!

– Dużo? – spytał Larry, ale Joe znów się wyciszył.

Lucy Swann wyglądała na zdezorientowaną.

– Huśtawka – powiedziała. – Tak, ja też ją pamiętam. – Zerknęła na Larry’ego. – Dlaczego wszystkim nam śni się to samo? Czy ktoś bombarduje nas jakimiś promieniami?

– Nie wiem. – Przeniósł wzrok na Nadine. – Czy ty także je masz?

– Mnie się nic nie śni – odparła oschle i natychmiast spuściła wzrok.

„Kłamiesz – pomyślał. – Ale dlaczego?”

– Nadine, jeśli i ty... – zaczął.

– Już mówiłam, że nic mi się nie śni! – krzyknęła głośno, niemal histerycznie. – Dlaczego po prostu nie zostawisz mnie w spokoju? Przestań mnie nękać. Mam tego dość!

Wstała i niemal biegiem oddaliła się od ogniska.

Lucy przez chwilę niepewnie odprowadzała ją wzrokiem, po czym wstała.

– Pójdę za nią.

– Tak. Zrób to. Joe, zostaniesz ze mną, dobrze?

– Brze – odparł Joe i otworzył futerał gitary.

Lucy i Nadine wróciły po dziesięciu minutach. Larry zauważył, że obie płakały, ale najwyraźniej zdążyły się już zaprzyjaźnić.

– Przepraszam – szepnęła Nadine do Larry’ego. – To przez to moje wieczne zdenerwowanie. Objawia się w zaskakujący sposób.

– Nic się nie stało.

Nie wrócili już do tego tematu. Siedzieli i słuchali, jak Joe gra. Chłopak nabrał wprawy i wśród jego pohukiwań oraz chrząknięć można było nawet wychwycić fragmenty tekstów piosenek.

W końcu zasnęli, Larry z jednej, Nadine z drugiej strony, a pomiędzy nimi Joe i Lucy.

Larry’emu przyśnił się najpierw mroczny mężczyzna, znajdujący się gdzieś wysoko nad ziemią, a potem stara Murzynka na ganku swojej chatki. Tyle, że w tym śnie Larry wiedział, że ten mężczyzna się zbliżał, nadchodził od strony pola, wytyczając wśród łąków własną, pokrętną ścieżkę, szedł z przeraźliwym, drwiącym uśmiechem na ustach, szedł ku nim i był coraz bliżej.

Larry obudził się w środku nocy zlany zimnym potem. Pozostali spali jak zabici. Larry jeszcze we śnie wiedział, że mroczny mężczyzna nie nadchodził z pustymi rękami. W ramionach uniesionych przed sobą, niczym ofiarę niósł gnijące zwłoki Rity Blakemoor, zeszywniałe teraz i nabrziałe od gazów, nadżarte przez łasice i świstaki. Rzuci ten niemy dowód wprost do jego stóp, by wykrzyczał jego winę innym, wyjawiał wszem i wobec, że Larry Underwood wcale nie był porządnym facetem, że coś z niego uleciało, że partolił wszystko, czego się dotknął i że umiał jedynie brać.

Wreszcie usnął ponownie i aż do chwili, kiedy obudził się o siódmej następnego ranka, zdrętwiały, zziębnięty, głodny i z pełnym pęcherzem, nic mu się więcej nie przyśniło.

– O, Boże – powiedziała z przejęciem Nadine.

Larry spojrzał na nią i dostrzegł rozczarowanie, zbyt głębokie by mogło wycisnąć z jej oczu łzy. Twarz miała bladą, oczy mętne i niewyraźne.

Było piętnaście po siódmej dziewiętnastego lipca, cienie zaczynały się już wydłużać.

Jechali przez cały dzień, z kilkoma zaledwie pięciominutowymi postojami po drodze i półgodzinną przerwą na lunch w Randolph.

Nikt się nie skarżył, choć po sześciu godzinach na motocyklu Larry czuł na całym, skądinąd obolałym i odrętwiałym ciele, mrówki.

Stali rzędem przed ogrodzeniem z kutego żelaza. W dole, za nimi, leżało Stovington. Miasto nie zmieniło się zbyt wiele, odkąd podczas swego przymusowego pobytu tutaj miał okazję je oglądać Stu Redman. Za ogrodzeniem i trawnikiem oraz liśćmi, pozostałością

niedawnych burz, wznosił się gmach centrum badawczego, dwupiętrowej budowli, której główny kompleks mieścił się – zdaniem Larry’ego – pod ziemią.

Pośrodku trawnika znajdowała się tablica z napisem:

CENTRUM EPIDEMIOLOGICZNE STOVINGTON
PLACÓWKA RZĄDOWA
WSZYSCY GOŚCIE
MUSZĄ REJESTROWAĆ SIĘ W RECEPCJI

Obok znajdowała się druga tablica i to na nią właśnie patrzyli:

SZOSA NUMER 7 DO RUTLAND
SZOSA NUMER 4 DO SCHUYLERVILLE
SZOSA NUMER 29 DO I-87
I-87 NA POŁUDNIE DO I-90
I-90 NA ZACHÓD

TUTAJ WSZYSCY NIE ŻYJĄ
JEDZIEMY NA ZACHÓD DO NEBRASKI
TRZYMAJCIE SIĘ NASZEJ TRASY
WYPATRUJCIE ZNAKÓW

HAROLD EMERY LAUDER
FRANCES GOLDSMITH
STUART REDMAN
GLENDON PEQUOD BATEMAN
8 LIPCA 1990

– Harold, stary – mruknął Larry. – Nie mogę się doczekać, kiedy uścisknę ci dłoń i postawię piwo... albo batona.

– Larry! – krzyknęła Lucy.

Nadine zemdląła.

ROZDZIAŁ 45

Za dwadzieścia jedenasta, przed południem dwudziestego lipca, Murzynka wyszła na ganek, niosąc kubek z kawą i tosta. Czyniła tak zawsze, kiedy tylko termometr za oknem wskazywał ponad pięćdziesiąt stopni Fahrenheita. Była pełnia lata, najwspanialszego jakie Matka Abigail pamiętała od 1955 roku, roku, kiedy dożywszy sędziwego wieku zmarła jej matka. Miała dziewięćdziesiąt trzy lata. „Szkoda, że w okolicy nie ma więcej ludzi, by mogli cieszyć się wraz ze mną – pomyślała, siadając ostrożnie w bujanym fotelu. – Ale czy inni umieli się tym cieszyć? Niektórzy tak, zwłaszcza młodzi zakochani i staruszkowie, których kości dobrze pamiętały zabójcze zimowe mrozy”.

Teraz zarówno jednych jak i drugich już nie było, a tych pośrednich została jedynie garstka. Bóg srodze osądził ludzką rasę.

Niektórzy mogliby oponować przeciwko takiemu osądowi, jednak Matka Abigail do nich nie należała. Raz już tego dokonał za pomocą wody i kiedyś, któregoś dnia, uczyni to ogniem. Nie do niej należało osądzanie Boga, choć w głębi duszy pragnęła by nie uznał jej za godną i zabrał kielich, który przykładał do jej ust. Kiedy jednak chodziło o Sąd, satysfakcjonowała ją odpowiedź Boga, udzielona Mojżeszowi poprzez krzew gorejący, kiedy Mojżesz zdecydował się zadać Mu pytanie. „Kim jesteś?” – zapytał Mojżesz, na co usłyszał: „Jestem, który Jestem”. Innymi słowy, przestań się, Mojżeszu, obijać i weź się rażno do roboty. Zarechotała ochryple, pokiwała głową i umoczyła tosta w kawie, by go rozmiękczyć. Wyszła bezzębna z matczynego łona i taką też zostanie złożona do grobu. Molly, jej prawnuczka, wraz z mężem podarowali jej na Dzień Matki w ubiegłym roku sztuczną szczękę. Jednak szczęka raniła jej dziąsła i Matka Abigail zakładała ją tylko wtedy, gdy wiedziała, że w odwiedziny przyjadą Molly i Jim. Wyjmowała ją wtedy z pudełka w szufladzie, płukała pod zlewem i zakładała. Jeśli zaś miała jeszcze trochę czasu do wizyty Jima i Molly, stroiła miny do starego, popstrzonego plamami kuchennego lustra i zaśmiewała się do rozpuku. Wyglądała jak stary, czarny aligator z bagien Everglades.

Była stara i słaba, ale umysł miała sprawny. Nazywała się Abigail Freemantle, urodziła się w 1882 roku; miała nawet na to papiery. Sporo w swoim życiu widziała, nic jednak nie zdołało przebić wydarzeń ostatniego miesiąca. Nigdy jeszcze nic podobnego nie miało

miejsca, teraz zaś nadchodził jej czas. Będzie miała swój wkład w całą tę kabałę i szczerze ją to mierziło. Była stara. Pragnęła odpoczynku i spokoju w okresie, jaki jej jeszcze pozostał, zanim Bóg, zmęczony oglądaniem starej Murzynki na tym padole, zawezwie ją do siebie. Cóż jednak następowało, gdy próbowałaś pytać Boga o cokolwiek? Otrzymałaś odpowiedź: „Jestem, który Jestem”, i po sprawie.

Kiedy Jego Syn umiłowany poprosił, by Ojciec wziął od niego ten kielich, nie odpowiedział, a ona przecież była nikim. Jedną z wielu grzeszniczek i tyle. Nocą zaś, kiedy zrywał się wiatr, szeleszcząc wśród łanów kukurydzy z przerażeniem myślała o tym, jak Bóg wejrzał ongiś na dziecko, małą dziewczynkę, która przysłała na świat z początkiem 1882 roku i tak rzekł: „Muszę mieć na nią szczególne baczenie. W 1990 roku czeka ją ważna misja do wypełnienia, a do tego czasu zostało jeszcze wiele kartek w kalendarzach”.

Jej czas, tu w Hemingford Home, miał się ku końcowi, ostatnie zadanie zaś czekało ją na Zachodzie, u podnóża Gór Skalistych. Bóg nakazał Mojżeszowi wspiąć się na górę, a Noemu zbudować Arkę. Patrzył, jak Jego Syn zostaje wydźwignięty na drzewie krzyża. Czy choć trochę przejmował się lękiem, wzbudzonym w Abby Freemantle przez człowieka bez twarzy, mężczyznę, który nawiedzał ją w nocnych koszmarach?

Nigdy go nie zobaczyła, ale wcale nie musiała go ujrzeć. Był cieniem przepływającym przez łany kukurydzy w samo południe, podmuchem lodowatego wiatru, krukiem łypiącym na nią z drutów telefonicznych. Jego głos nawoływał ją wszystkimi odgłosami, jakie kiedykolwiek ją przerażały: cichym szeptem, szelestem chrząszczy pod schodami, głosem informującym, że ktoś kochany niebawem umrze; a także krzykiem, odgłosem grzmotu płynącym z czarnych burzowych chmur, przetaczających się po niebie z takim impetem, jakby zwiastowały nadejście Armageddonu. Czasami w ogóle nie było słyhać żadnych dźwięków, a jedynie szelest poruszanych wiatrem łanów; ona jednak wiedziała, że ON był gdzieś tam i to było najgorsze, wtedy bowiem mężczyzna bez twarzy wydawał się jej niewiele mniej potężny od samego Boga. W takich chwilach miała wrażenie, że wystarczy by uniosła rękę, a zdoła dotknąć Anioła Ciemności, tego samego, który bezgłośnie przelatywał nad Egiptem, zabijając pierworodnych z każdego domu, którego drzwi nie zostały pomazane krwią. To przerażało ją najbardziej. Znowu stała się w swoim lęku dzieckiem i wiedziała, że podczas gdy inni wyczuwali i obawiali się go, jedynie ona doświadczyła wizji objawiającej jego prawdziwą moc.

– Co za dzień – mruknęła, wkładając do ust ostatni kawałek tosta.

Kołysała się w tył i w przód, popijając kawę. Był piękny, słoneczny dzień, żadna część ciała nie dokuczała jej dziś specjalnie, Abigail odmówiła modlitwę dziękczynną za to wszystko, co było jej dane. „Bóg jest wielki, Bóg jest dobrocią”. Nawet najmniejsze dzieci mogły nauczyć się tych słów, w nich natomiast zawarty był cały świat i to wszystko, co sobą reprezentował, dobro i zło.

– Bóg jest wielki – powiedziała Matka Abigail. – Bóg jest dobrocią. Dzięki ci za słoneczny dzień. Za kawę. I że moje kiszki wciąż jeszcze pracują. Miałaś rację, te daktyle zrobiły swoje, choć, na Boga, smakują paskudnie. A może się myłę? Bóg jest wielki...

Dopiła kawę. Odstawiła kubek i znów zaczęła się kołysać z twarzą uniesioną ku słońcu niczym jakaś dziwna, żywa skała spojona żyłami węgla. Zapadła w drzemkę, a potem w głęboki sen. Jej serce, którego ścianki były teraz cienkie jak bibuła, biło regularnie, tak jak czyniło to w każdej minucie przez ostatnie trzydzieści dziewięć tysięcy trzysta sześćdziesiąt dni. Jak w przypadku dziecka w kołysce musiałbyś przyłożyć dłoń do jej piersi by upewnić się, że w ogóle oddychała.

Ale uśmiech nie zniknął z jej ust.

Wiele się zmieniło od czasu jej dzieciństwa. Freemantle'owie przybyli do Nebraski jako wyzwoleni niewolnicy, a praprawnuczka Abigail, Molly, śmiała się cynicznie, sugerując, że pieniądze, za które ojciec Abby kupił swój dom, otrzymane od Sama Freemantle z Lewis w Południowej Karolinie jako wynagrodzenie za osiem lat pracy dla jej ojca i braci już po zakończeniu wojny secesyjnej, to zwykła zapomoga, mająca ukoić niespokojne sumienie. Słyszac to, Abigail trzymała język za zębami, Molly i Jim byli młodzi, nie rozumieli nic poza tym, co prawdziwie dobre i prawdziwie złe, ale w duchu burzyła się i powtarzała: „Zapomoga? Pieniądze mające ukoić sumienie? Czyż można sobie wyobrazić czystsze pieniądze?”

Tak oto Freemantle'owie osiedli w Hemingford Home i tu właśnie przyszło na świat ich ostatnie dziecko, Abby. Jej ojciec wywiódł w pole tych, którzy nie chcieli kupować od czarnuchów i tych, którzy nie chcieli im niczego sprzedawać. Kupował grunty stopniowo, kawałek po kawałku, aby nie wzbudzić niepokoju ludzi, którzy złym okiem patrzyli na „czarne tałatajstwo za Columbus Way”. Był pierwszym Murzynem, który w Polk County wprowadził rotację zasiewów i jako pierwszy zaczął używać chemicznych środków uprawy roślin.

W marcu 1902 roku Gary Sites przybył na farmę Johna Freemantle'a aby oznajmić mu, że został zgłoszony do kółka rolniczego. Był pierwszym czarnoskórym członkiem kółka rolniczego w Nebrasce. Ten rok był naprawdę wspaniały. Najlepszy w całym jego życiu.

Chyba każdy, patrząc na swoje życie z perspektywy, mógłby wybrać jeden rok i powiedzieć: „Ten był najlepszy”. Najwyraźniej dla każdego nadchodził taki czas, że wszystko szło jak po maśle, fortuna sprzyjała i ogólnie było po prostu doskonale. Tyle tylko, że później zaczynasz zastanawiać się, dlaczego tak się działo. Można to przyrównać do włożenia do spizarki dziesięciu smakołyków naraz, kiedy każdy z nich lekko przesiąka zapachem innego, i tak grzyby mają posmak szynki, szynka zaś grzybów, dziczyzna zatraça przepiórkami, a przepiórki ogórkami. Później marzysz by te wszystkie dobre rzeczy, które przytrafiły ci się tego szczególnego roku potrwały nieco dłużej i rozłożyły się w czasie, albo żebyś mógł

wybrać sobie jakieś wyjątkowo pamiętne zdarzenie i przenieść je w przyszłość, do trzyletniego okresu, tak nijakiego i bezbarwnego, że nic w związku z nim, zarówno dobrego jak i złego, nie przychodzi ci do głowy. Może za wyjątkiem tego, że wszystko jest takie, jak być powinno w świecie stworzonym przez Boga i poplątanym przez Adama i Ewę, pranie uprane i rozwieszane, podłogi wyszorowane, dzieci umyte i nakarmione, ubrania pocerowane; trzy lata tak szare, miałkie i pospolite, że jedynymi jaśniejszymi okresami są wśród nich Święta Wielkiej Nocy, Bożego Narodzenia, Dziękczynienia i, rzecz jasna, Święto Czwartego Lipca.

Niezbadane są jednak wyroki Boskie i dla Abby Freemantle, jak i dla jej ojca, najlepszym rokiem w całym życiu był Rok Pański 1902.

Abby miała wrażenie, że tylko ona z całej rodziny, naturalnie poza ojcem, zdawała sobie sprawę, jak wielkim, wręcz bezprecedensowym wydarzeniem było zaproszenie go do kółka rolniczego. Był pierwszym czarnoskórym członkiem kółka w Nebrasce, a może i w całych Stanach. Nie łudził się, jaką cenę przyjdzie zapłacić za to jemu i jego rodzinie, w postaci wulgarnych żartów i docinków ze strony tych (zwłaszcza Bena Conveigha), którzy byli przeciwni jego członkostwu. Zdawał sobie jednak sprawę, że Gary Sites oferował mu coś więcej niż szansę przetrwania: dawał mu szansę rozwoju i prawdziwej perspektywy wiążącej się z resztą pól uprawnych kukurydzy.

Jako członek koła przestanie mieć problemy z nabyciem dobrego ziarna. Nie będzie również musiał wywozić swoich zbiorów aż do Omaha, aby je sprzedać. Mogło to oznaczać również koniec sporów o wodę z Benem Conveighem, który pałał zjadliwą nienawiścią wobec „czarnuchów”, jak John Freemantle, i zwolenników Murzynów w rodzaju Gary’ego Sitesa. Kto wie, może nawet miejscowy taksator przestanie go nękać. W tej sytuacji John Freemantle przyjął zaproszenie, przeszedł w głosowaniu (niewielką co prawda różnicą głosów, ale zawsze), a później pojawiły się pierwsze niewybredne żarty na jego temat. Opowiadano o Murzynie, który trafił omyłkowo na zebranie kółka rolniczego, i którego obdarto ze skóry, bo wszyscy myśleli, że jest jedynie niemożliwie brudny; o czarnym dziecku, które poszło do Nieba, a Bóg pomylił go z gackiem i dał mu skrzydła nietoperza, i o tym, że na Johna głosowano, gdyż w tym roku na festynie ktoś powinien odgrywać goryla. John Freemantle udawał, że tego nie słyszy, a w domu często cytował fragment z Biblii: „Gdy ktoś rzuci w ciebie kamieniem, ty rzuć w niego chlebem” i „Co zasiejesz, to będziesz zbierał”, oraz jego ulubiony fragment, który powtarzał w pokorze, ale z pewnym wyczekiwaniem: „Cisi posiadą ziemię”.

Stopniowo krok po kroku zaczął zjednywać sobie sąsiadów. Nie wszystkich, ma się rozumieć. Wściekłych psów w rodzaju Bena Conveigha, jego przyrodniego brata, George’a, Arnoldów oraz Deaconów nie udało się przekonać, ale całą resztę tak. W 1903 roku zjedli kolację z Gary Sitesem i jego rodziną, w salonie, jakby byli biali.

W 1902 roku Abigail zagrała w miejscowej Grange Hall i dała prawdziwy popis; rok wcześniej wygrała (u białych) konkurs talentów. Matka była temu przeciwna. Wtedy też, jak rzadko, w obecności dzieci sprzeciwiła się decyzji męża (należy tu dodać, że chłopcy byli już wtedy w wieku średnim, a sam John miał już włosy mocno przyprószone siwizną).

„Wiem, jak to było – rzekła, popłakując. – Ty, Sites i Frank załatwiliście to między sobą. Oni mnie nie obchodzą, niech robią, co zechcą, ale co tobie strzeliło do głowy, Johnie Freemantle? Oni są biali! Spotykasz się z nimi po kryjomu, na podwórku za domem i rozmawiasz o orce. Możesz nawet pojechać do śródmieścia i wypić z nimi piwo w salonie, jeśli Nate Jackson przepuści cię przez próg. Świetnie! Wiem, co przechodziłeś przez ostatnie lata, nikt inny nie wie tego lepiej ode mnie! Wiem, że uśmiechałeś się niezłomie, choć w głębi serca cierpiałeś. To jednak coś zupełnie innego! Chodzi o twoją córkę! Co powiesz, kiedy stanie na scenie w swojej ślicznej białej sukience, a oni zaczną się z niej wyśmiewać? Co zrobisz, jeśli zaczną rzucać w nią zgniłymi pomidorami, jak w Bricka Sullivana, gdy próbował wziąć udział w konkursie piosenki? Co zrobisz, jeśli podejdzie do ciebie cała wybrudzona od pomidorów i zapyta: «Dlaczego, tatusiu? Dlaczego oni to zrobili? Dlaczego im na to pozwoliłeś?»»,

„No cóż, Rebeco – odrzekł na to John. – Chyba lepiej będzie jeśli zostawimy to jej i Davidowi”.

David był jej pierwszym mężem; w 1902 roku Abigail Freemantle stała się Abigail Trotts. David Trotts był czarnym robotnikiem rolnym spoza Valparaiso Way i, by prosić ją o rękę, pokonał blisko trzydzieści mil w jedną stronę. John Freemantle powiedział kiedyś Rebecce, że ten chłopak musi mieć nie po kolei w głowie. Wielu śmiało się z niego, twierdząc, że „w tej rodzinie to raczej ona nosi spodnie”.

David nie był jednak słabeuszem, a jedynie człowiekiem cichym i roztroptym. Kiedy powiedział Johnowi i Rebecce, że „skoro Abigail uważa coś za słuszne, to tak właśnie powinno być i już on tego dopilnuje”, podziękowała mu z całego serca i powiedziała rodzicom, że podejmie ryzyko.

Tak więc dwudziestego siódmego grudnia 1902 roku, zamężna od trzech miesięcy Abigail, weszła na scenę pośród grobowej ciszy, jaka zapadła po zapowiedzeniu jej przez konferansjera. Tuż przed nią występowała Gretchen Tilyons, prezentując szybki taniec francuski, a na widok jej kostek i halki publiczność zareagowała gwizdami, gromkimi okrzykami i głośnym tupaniem w podłogę.

Stała w ciszy na scenie, wiedząc, jak czarna musi się wydawać w swej nowej białej sukience, serce waliło jej w piersi i pomyślała: „Zapomniałam tekstu, nie pamiętam nawet jednego słowa, obiecałam tacie, że się nie rozplaczę, nie uronię nawet jednej łzy, choćby nie wiem co, ale na widowni jest Ben Conveigh, a kiedy on zacznie wołać «czarna suka», rozbeczę się, jak amen w pacierzu. O Boże, dlaczego się w to wpakowałam? Mama miała rację, to jest moje miejsce i srogo za to zapłacę”.

Białe twarze na widowni spoglądały na nią wyczekująco. Wszystkie miejsca były zajęte, a mimo to z tyłu sali stały jeszcze dwa rzędy ludzi. Lamy naftowe rozciągały przyjemny, miodowy blask. Czerwone, aksamitne zasłony były rozsunięte i przewiązane złotymi sznurami.

„Jestem Abigail Trotts – pomyślała. – Umiem dobrze grać i nieźle śpiewam. To nie jest tylko mój wymysł”.

I tak, w kompletnej ciszy zaintonowała *Stary, drewniany krzyż*, jej palce gładko wydobyły melodię ze strun. Potem zagrała coś mocniejszego – *Jak bardzo kocham Jezusa* i pieśń o jeszcze większym wydźwięku – *Spotkanie w Georgii*.

Widzowie, niemal mimowolnie zaczęli kołysać się w rytm. Niektórzy uśmiechali się i wybijali takt, klepiąc się po kolanach.

Zaśpiewała wiązkę pieśni z czasów wojny domowej: *Kiedy Johnny powraca do domu, Marsz przez Georgię i Polową grochówkę* (przy tej ostatniej na ustach wielu widzów zagościł szeroki uśmiech – na sali byli też weterani, którzy dobrze pamiętali smak polowej grochówki). Zakończyła *Pod namiotem, na starym polu*, a kiedy przebrzmiały ostatnie akordy i zapadła cisza, pełna smutku i zadumy, Abigail pomyślała: „Teraz, jeśli chcecie, możecie zacząć ciskać we mnie pomidorami. Zagrałam i zaśpiewałam najlepiej jak potrafię i byłam naprawdę niezła”.

Kiedy ucichły ostatnie tony, zapadła przedłużająca się, magiczna chwila ciszy, jakby widzowie na fotelach i stojący z tyłu sali podczas jej występu zostali zabrani w długą, czarodziejską podróż, z której nie potrafili powrócić wszyscy naraz. A potem rozległy się brawa, długie, gromkie i naprawdę gorące; zaczerwieniła się, robiło się jej na przemian zimno i gorąco, czuła dreszcze i była cała rozpalona. Ujrzała płaczącą matkę i śmiejących się do niej ojca oraz Davida.

Chciała zejść ze sceny, ale widzowie zaczęli wołać: „Jeszcze! Jeszcze!”. Toteż uśmiechnęła się promiennie i zagrała *Hen, na polu*. Piosenka była może trochę nie na miejscu, ale skoro Gretchen Tilyons mogła publicznie pokazać kostki, ona mogła zaśpiewać odrobinę sprośną piosenkę.

Była przecież mężatką.

Hen, na polu wczoraj byłam

I się troszkę rozmarzyłam

Rozmarzyłam nie wiem z kim

Teraz będzie problem z tym

Piosenka miała jeszcze sześć zwrotek (niektóre nawet całkiem odważne) i zaśpiewała je wszystkie, a gdy skończyła, widownia zareagowała istną burzą oklasków. Później Abigail doszła do wniosku, że jeśli tego wieczoru popełniła jakiś błąd, to było nim zaśpiewanie tej

właśnie piosenki. Bądź co bądź wykonania właśnie takich utworów biali mogli spodziewać się po czarnoskórej dziewczynie.

Owacjom nie było końca. Raz po raz nakłaniano ją by zaśpiewała coś jeszcze. Wróciła na scenę, a kiedy widownia ucichła, powiedziała: „Bardzo wam wszystkim dziękuję. Mam nadzieję, że nie weźmiecie mi tego za złe, jeśli poproszę was, byście pozwolili mi zaśpiewać jeszcze jedną pieśń; nauczyłam się jej z sercem przepełnionym radością, ale nigdy nie spodziewałam się, że będzie mi dane zaśpiewać ją właśnie tutaj. Jest to, moim zdaniem, najlepsza z pieśni, które znam, mówiąca o tym, co prezydent Lincoln i ten kraj uczynili dla mnie i moich rodaków, zanim jeszcze przyszedłam na świat”.

Widzowie zamilkli i słuchali z uwagą. Jej rodzina siedziała sztywno, po lewej stronie, odcinając się na widowni niczym plama po soku jagodowym na białej jedwabnej chustce.

„O tym, co stało się przed laty, w czasach wojny secesyjnej – ciągnęła – i dzięki czemu moja rodzina mogła przybyć tutaj, by żyć w otoczeniu tak wspaniałych sąsiadów”.

Na tym skończyła i odśpiewała *Gwiazdzisty Sztandar*. Wszyscy wstali i słuchali z przejęciem, niektórzy mieli nawet łzy w oczach (w ich dłoniach natychmiast pojawiły się chustki), a kiedy skończyła, zgotowali jej tak huczną owację, że aż zadrżały ściany sali.

Był to najwspanialszy dzień w całym jej życiu.

Obudziła się kilka minut po południu i usiadła, mrugając, gdyż słońce silnie świeciło. Stara, stuśmioletnia kobieta. Taki sen źle wpływał na jej krzyż, prawdziwa męczarnia. Tak jak cały dzień.

– Co za dzień – mruknęła i podniosła się ostrożnie.

Zacząła schodzić powoli po schodach ganku, trzymając się chwiejącej się poręczy. Skrzywiła się, gdy jej krzyż i nogi przeszły niewidzialne sztylety bólu. Kłopoty z krzyżem, ale czy można się temu dziwić? Często ostrzegała samą siebie przed skutkami zaśnięcia w bujanym fotelu. Zapadała w drzemkę, a wtedy powracały do niej wspomnienia z dawnych lat. To było naprawdę wspaniałe, o tak, lepsze niż oglądanie telewizji. Jednak po przebudzeniu przeżywała prawdziwy koszmar. Mogła rugać samą siebie w nieskończoność, ale była jak ten stary pies, który wciąż rozkłada się przed komikiem. Siadając na nasłonecznionym ganku, nieodmiennie zasypiała, ot i wszystko. W tej kwestii nie miała już nic do powiedzenia.

Zeszła z ganku, odczekała aż jej nogi przestaną drżeć, a potem odplunęła na ziemię. Kiedy poczuła się mniej więcej tak, jak zwykle (nie licząc bólu w krzyżu), poszła do wygodki, którą jej wnuk, Victor, postawił za domem w 1931 roku. Weszła do środka, skrętnie zamknęła za sobą drzwi i zablokowała na haczyk, jakby przed nią zebrał się tłum ludzi, a nie tylko kilka gawronów, po czym usiadła na desce. W chwilę później zaczęła oddawać mocz i westchnęła z zadowoleniem. To jeszcze jedna rzecz na temat starości, której nikt jej wcześniej nie wyjawiał (a może po prostu nie słuchała?): tracisz poczucie parcia na pęcherz. Zupełnie jakby ta część twego ciała obumarła, a jeśli nie będziesz należycie

ostrożna, ani chybi przyjdzie ci często się przebierać. Nie lubiła się moczyć, toteż odwiedzała wygodkę sześć, siedem razy dziennie, a w nocy trzymała pod łóżkiem nocnik. Jim, mąż Molly, powiedział kiedyś, że była jak pies, który nie może przejść obok hydrantu, aby nie zdrzeć tylnej łapy, a kiedy to usłyszała, śmiała się tak, że z oczu pociekły jej łzy. Jim, mąż Molly, był menadżerem w Chicago, bardzo obiecującym menadżerem. Był. Abigail przypomniała sobie, że umarł, tak jak oni wszyscy. Molly również. Boże, miej ich w swojej opiece. Niech spoczywają w spokoju.

Od zeszłego roku jedynymi gośćmi, którzy ją tu odwiedzali, byli właśnie Molly i Jim. Reszta jakby zupełnie zapomniała o jej istnieniu, choć w gruncie rzeczy mogła ich zrozumieć. Jej czas przeminął, a ona wciąż żyła. Była jak dinozaur, którego egzystencja jest dla wszystkich niejasna i niewytłumaczalna, istota, której miejsce jest w muzeum (czy, jak w jej przypadku, na cmentarzu). Rozumiała, że mogli nie chcieć jej oglądać, ale nie pojmowała, jak mogli nie chcieć oglądać ZIEMI. Prawdą jest, że niewiele już tego pozostało, zaledwie kilka akrów z olbrzymiego terenu, który kiedyś był ich własnością. Mimo to wciąż należał do nich, to nadal była ICH ZIEMIA. Ale Czarnym przestało już zależeć na ziemi. Sprawiali wręcz wrażenie, jakby się jej wstydzieli. Wyjechali do miast i większości z nich, tak jak Jimowi, powodziło się naprawdę nieźle. Jednak na samą myśl, że odwracają się od ziemi, że wypierają się jej, Matkę Abigail bolało serce.

Molly i Jim dwa lata temu chcieli jej założyć nowoczesną toaletę i kiedy odmówiła, wyglądali na szczerze zawiedzionych. Próbowiła im wytłumaczyć, przekonać w jakiś sposób, ale Molly przez cały czas powtarzała tylko: „Matko Abigail, masz sto sześć lat. Jak się, twoim zdaniem czuję, wiedząc, że w środku zimy wychodzisz na mróz do wygodki? Nie wiesz, że szok termiczny może cię zabić? Przecież masz słabe serce”.

„Kiedy dobry Bóg zechce przywołać mnie do siebie, uczyni to” – powiedziała Abigail, dziergając na drutach, a oni rzecz jasna sądzili, że na nich nie patrzy i nie widzi, jak wymieniają między sobą znaczące spojrzenia.

Nie sposób wyzbyć się pewnych rzeczy. To jeszcze jedno, o czym nie wiedzieli młodzi. W 1982 roku, kiedy skończyła sto lat, Cathy i David podarowali jej telewizor. Przyjęła go. Telewizor był wspaniałym urządzeniem do zabijania czasu, gdy jest się samotnym. Kiedy jednak Christopher i Susy zjawili się z propozycją, że podłączą do jej chatki wodę z wodociągu miejskiego, odesłała ich, tak jak Molly oraz Jima z ich nowoczesną toaletą. Oponowali, że studnia jest płytka i może wyschnąć, jeśli znów przyjdzie tak upalne lato, jak to z 1988 roku, kiedy cały stan nawiedziła susza. To była prawda, ale ona powiedziała twardo: „Nie!”. Uznali naturalnie, że Abigail ma nierówno pod sufitem i że ogarnia ją starcza demencja, ale ona była przekonana, iż jej umysł jest sprawny i całkiem normalny.

Wstała z deski, nasypała przez otwór trochę wapna i powoli znów wyszła na słońce. Dbała o swoją wygodkę, choć była już stara i cuchnęła wilgocią.

Zupełnie jakby usłyszała głos Boga szepczący do niej, gdy Chris i Susy oferowali jej podłączenie do miejskich wodociągów i jeszcze wcześniej, gdy Molly i Jim proponowali jej zamontowanie toalety. Bóg przemawiał do swoich owieczek; czy nie polecił Noemu wybudowanie Arki, mówiąc mu dokładnie, ile ma mieć łokci długości, ile szerokości i ile wysokości? Tak. Abigail wierzyła, że Bóg przemawia także i do niej, a choć Jego głos nie płynął z krzewu gorejącego ani ze słupa ognia, gdzieś tam, słyszała Boski szept mówiący: „Abby, będziecie potrzebować tej ręcznej pompy. Ciesz się elektrycznością, ale pamiętaj byś miała zawsze zapas nafty i knotów do lamp. Dbaj o spiżarkę, tak jak to czyniła przed tobą twoja matka. I nie pozwól by ktokolwiek z młodych zdołał namówić cię do czegoś, co byłoby sprzeczne z Moją wolą, Abby. To twoje dzieci, ale Ja jestem twoim Ojcem”.

Przystanęła na środku podwórza, i spojrzała na morze kukurydzy przecięte pasem gruntowej drogi ciągnącej się na północ do Duncan i Columbus. Trzy mile od jej domu zaczynała się droga asfaltowa. Zapowiadało się, że tego roku kukurydza obrodzi jak nigdy, szkoda że nie miał jej kto zebrać. Zajmą się nią ptaki. Żałowała, że wielkie czerwone maszyny rolnicze nie wyjadą we wrześniu tego roku ze swoich stodół, że nie będzie farmerów zbierających plony, ani dożynek po zakończeniu prac polowych. Wielka szkoda. Na samą myśl o tym robiło się jej ciężko na sercu. Ze smutkiem pomyślała też, że po raz pierwszy od stu ośmiu lat jej także nie będzie już w Hemingford Home by obserwować, jak rozpalone słońcem lato zmienia się w pogańską, pogodną jesień. Będzie kochać to lato tym szczególnie, że było ostatnim w jej życiu, czuła to aż nazbyt wyraźnie.

I nie zostanie złożona na wieczny spoczynek tutaj, lecz znacznie dalej na zachód, w obcej ziemi. Myślała o tym z goryczą.

Podeszła do huśtawki i wprawiła ją w ruch. Zrobiono ją ze starej opony od traktora, którą jej brat, Lucas, zawiesił tu w 1922 roku. Sznur był wielokrotnie zmieniany, ale opona nigdy. W wielu miejscach przebijało płótno, którym była wyściełana, a wewnątrz pojawiło się pokaźne wgłębienie, pozostałość po pośladkach niezliczonych osób, które siadały na tej huśtawce przez minione dziesięciolecia.

Pod oponą widniało głębokie, nagie wyżłobienie w ziemi; trawa nie rosła tu już od dawna, z konara zaś, do którego przywiązany był sznur, kora została starta aż do białego, znajdującego się pod nią drewna.

Lina zaskrzypiała leniwie i tym razem Abigail odezwała się na głos.

– Boże, mój Boże, jeśli to tylko możliwe, zabierz ode mnie ten kielich. Jestem już stara, bardzo się boję i z całego serca pragnęłabym spocząć tu, na mojej rodzinnej ziemi. Jeśli tego chcesz, jestem gotowa odejść nawet teraz. Niech się stanie wedle Twojej woli, wiedz jednak, że Abby to stara, czarna, sterana życiem i śmiertelnie przerażona kobieta. Bądź wola Twoja, Panie.

Słysząc było jedynie skrzyp sznura ocierającego się o konar drzewa i skrzeczenie wron na polu kukurydzy. Murzynka oparła pomarszczone czoło o korę starej jabłoni, którą jej ojciec zasadził przed wieloma laty i zaszłochała gorzkimi łzami.

Tej nocy śniła, że znów wchodzi po schodach na scenę Grange Hall, raz jeszcze była młodą, brzemienią mężatką, śliczną Murzynką w białej, odświętnej sukience, trzymającą w dłoni gitarę. Młoda dziewczyna, która raz za razem powtarzała w myślach: „Jestem Abigail Freemantle Trotts, umiem dobrze grać i nieźle śpiewam. To nie jest mój wymysł”.

We śnie odwróciła się powoli, lustrując białe twarze uniesione ku niej niczym księżycy, spoglądała na salę jaskrawo oświetloną mnóstwem lamp i łagodną poświatą odbitą od pociemniałych, lekko zaparowanych okien oraz na czerwone, aksamitne kotary przewiązane złotymi sznurami. Podbudowana tą myślą zaczęła grać *Rock of Ages*. Grała, a w jej głosie nie zabrzmiał nawet cień wahania i zdenerwowania, śpiewała tak jak podczas prób dźwięcznym, miódopłynnym niczym światło dokoła, tonem.

„Pokonam ich – pomyślała. – Pokonam ich z pomocą Boga. Och, ludu mój, jakiś spragniony. Czyż nie uderzę mą laską w skałę, by trysnęła woda? Pokonam ich, a David i moi rodzice będą ze mnie dumni, będę dumna sama z siebie, uwolnię muzykę z powietrza, a wodę ze skały”.

I właśnie wtedy ujrzała go po raz pierwszy. Stał w kącie, po drugiej stronie sali, za ostatnim rzędem siedzeń. Ramiona miał splecione na piersiach. Nosił dżinsowe spodnie i kurtkę ze znaczkami w kłapie. Na nogach miał stare, zakurzone czarne kowbojki z pościnanymi obcasami; wyglądały, jakby przewędrował w nich wiele mil. Jego czoło było białe jak światło lampy gazowej, policzki czerwone od krwi, w oczach jarzyły się błękitne niczym diamenty złowróźbne iskierki. Tak mógłby radować się Sługa Szatana, który otrzymał etat po Świętym Mikołaju.

Mężczyzna wyszczerzył się, jego wargi wciąż rozchylały się szeroko w dzikim, niemal wilczym grymasie. Zęby miał białe, równe i ostre niczym łasica. Uniósł obie ręce. Zaciśnął dłonie w pięści, mocno, z całej siły. Wydawały się twarde jak sęki na jabłoni. Wciąż się uśmiechał w ten odrażający, szyderczo-radosny sposób. Spomiędzy palców zaciśniętych w kulkę dłoni zaczęła kapać krew.

I wtedy słowa pierzchły z jej umysłu. Palce zapomniały, jak mają uderzać w struny. Przebrzmiał ostatni, fałszywy akord i zapadła głucha cisza.

„Boże! Boże!” – zawołała, ale Bóg odwrócił od niej wzrok.

I wtedy z krzesła podniósł się Ben Conveigh o poczerniałej, zapłonionej twarzy i błyszczących, małych świńskich oczkach. „Czarna suka! – zawołał. – Co ta czarna suka robi na scenie? Żadna czarna łajza nigdy nie będzie umiała porządnie grać na gitarze! Nie zdoła uwolnić dźwięków z powietrza, ani wody ze skały!”

Odpowiedziały mu dzikie, zgodne okrzyki.

Ludzie rzucili się naprzód. Ujrzała, jak jej mąż wstaje i próbuje dostać się na scenę. Czyjaś pięść trafiła go w usta, odrzucając w tył.

„Wywalić to czarne ścierwo z sali!” – wrzasnął Bill Arnold i ktoś pchnął Rebecę Freemantle na ścianę. Ktoś inny, sądząc z wyglądu Chet Deacon, owinął Rebecę jedną z czerwonych aksamitnych zasłon i związał złotym sznurem. „Co to jest? – pytał w głos. – Na zewnątrz złote i czerwone, a w środku czarne!”

Ludzie zaczęli przepychać się ku niemu i kopać oraz okładać pięściami okutaną w gruby materiał, szamoczącą się dziko kobietę.

„Mamo!” – krzyknęła Abby.

Ktoś wyrwał gitarę z jej odrętwiałych palców i roztrzaskał w drobny mak o krawędź sceny.

Zaczęła rozglądać się dziko w poszukiwaniu mrocznego mężczyzny, ale kiedy uruchomiona przez niego machina zniszczenia została puszczona w ruch i, sądząc po rozwoju wypadków działała pełną parą, on sam cicho się ulotnił, udając się w jakieś inne, bliżej nieokreślone miejsce.

„Mamo!” – zawołała raz jeszcze, a potem silne ręce zwlokły ją ze sceny, wcisnęły się pod jej sukienkę, obmacując ją, głaszcząc i szczypiąc po pośladkach. Ktoś schwycił ją mocno za rękę i wykręcił, omal nie wyrrywając ze stawu. Poczula coś twardego i gorącego.

Tuż przy jej uchu rozległ się głos Bena Conveigha: „Jak ci się podoba mój *Rock of Ages*, ty czarna dziuro?”

W sali zapanował chaos. Ujrzała ojca usiłującego dostać się do leżącej nieruchomo pod ścianą matki i zobaczyła białą dłoń roztrzaskującą butelkę o oparcie składanego krzesła. Zrobiło się zamieszanie, a potem postrzępiona szyjka stłuczonej butelki, roziskrzona ciepłą poświatą lamp na ścianach, wbiła się w twarz jej ojca. Zobaczyła jak jego oczy pękają niczym winogrona. Krzyknęła i jej krzyk sprawił, że cała sala znikła, rozpadła się na kawałki, wpuszczając do środka ciemność, a potem znów była Matką Abigail, stuośmioletnią staruszką, starowinką zbyt posuniętą w latach, by w ogóle stąpać jeszcze po tej ziemi („Niech się stanie wedle Twojej woli”), szła pośród łąnów kukurydzy, tej mistycznej kukurydzy, która zapuszczała swe korzenie w ziemię płytko choć rozłożyście, zagubiła się na polu rozsrebrzonym księżycową poświatą i szerniałym od głębokich cieni; słyszała szum wiatru pośród łąnów, łagodny, delikatny dźwięk, czuła zapach rosnących roślin, który tak dobrze znała i który towarzyszył jej przez tyle lat, tyle długich lat, praktycznie przez całe jej życie (i jak już wielokrotnie, tak i teraz, przyszło jej na myśl, że kukurydza była rośliną najbliższą wszelkiemu życiu, jej zapach zaś był zapachem samego życia, jego początkiem. Och, poślubiła i pochowała trzech mężczyzn – Davida Trottsa, Henry’ego Hardesty i Nate Brooksa, sypiała z każdym z nich, każdemu z nich dała to, czego mężczyzna może oczekiwać od kobiety i za każdym razem miała w tym przyjemność. „O, Boże, uwielbiam kochać się z moim mężem, uwielbiam gdy się ze mną kocha, uwielbiam gdy mnie bierze, gdy we mnie

dochodzi”. Czasami szczytując, myślała o kukurydzy, o tej dziwnej roślinie, która nie zapuszcza korzeni głęboko lecz rozłożyście, myślała wtedy o ciebie i o kukurydzy, gdy zaś było po wszystkim, a jej mąż leżał obok, wdychała zapach seksu unoszący się w pokoju, zapach nasienia, które pozostawiał w niej mąż, woń soków mających uczynić jego wejście gładszym i zapach ten, słodki i przyjemny, tak miły i rozkoszny, przywodził jej na myśl zapach kukurydzy).

A mimo to bała się, wstydziła się tej głębokiej zażyłości z ziemią, latem i rosnącymi roślinami, ponieważ nie była sama. On był tu wraz z nią, dwa łany dalej z prawej lub lewej strony. To wysforowywał się na przód, to pozostawał odrobinę w tyle. Mroczny mężczyzna był tutaj, jego buty wbijały się w tkanę ziemi i wyrzucały w górę wyrwane grudy. Uśmiechał się, a jego zęby błyszczały w mroku nocy niczym latarnia sztormowa.

Wreszcie przemówił, po raz pierwszy odezwał się głośno i ujrzała jego cień w blasku księżyca, wysoki, zgarbiony i groteskowy, padający na łan, którym szła. Jego głos brzmiał niczym wiatr zrywający się w październikową noc wśród wyschniętych już łanów, niczym szelest tych starych, nieplodnych już łądyg, zdający się mówić o ich nieuchronnym przemijaniu.

To był łagodny głos. Głos zguby. Głos zagłady.

„Mam w swoich dłoniach twoją krew, stara Matko – powiedział mroczny mężczyzna. – Jeśli modlisz się do Boga, pomódl się, by zabrał cię do siebie zanim usłyszysz zbliżający się odgłos moich kroków. To nie ty uwolniłaś muzykę z powietrza, ani nie ty uwolniłaś wodę ze skały, ale ja mam w swoich dłoniach twoją krew”.

Wtedy się obudziła, na godzinę przed świtem i w pewnej chwili sądziła, że zmoczyła się w łóżko, ale to był tylko pot, lepki jak majowa rosa. Jej chude ciało zadygotało bezradnie, błagając o odrobinę wytchnienia.

„Boże, mój Boże, zabierz ode mnie ten kielich”.

Jej Bóg nie odpowiedział. Słysząc było tylko lekki poranny wiatr kołaczący do drzwi; szyby były obluzowane, wymagały ponownego wypełnienia kitem. Wreszcie wstała, rozpałała ogień w swoim starym piecyku i nastawiła wodę na kawę.

Przez następne dni miała wiele pracy, gdyż spodziewała się gości. Mimo złych snów i zmęczenia nigdy nie miała dość gości i pod tym względem nic się w niej nie zmieniło. Musiała jednak działać wolno i z rozwagą, aby o niczym nie zapomnieć – pamięć ostatnio trochę jej szwankowała – i nie wykonywać tych samych rzeczy po kilka razy.

Przed wszystkim musiała dotrzeć na farmę Addie Richardson (a konkretnie do kurnika), leżącą dobre cztery czy pięć mil dalej. Zastanawiała się, czy Bóg zechce zesłać jej orła by przeniósł ją na miejsce, albo proroka Eliasza z jego ognistym rydwanem, aby ją podrzucić.

– Błuznisz – skarciła samą siebie. – Bóg daje siłę, a nie zajmuje się przewozami ludności.

Wzła swoje ciężkie buty i wzięła laskę. Nawet teraz rzadko z niej korzystała, ale tym razem będzie jej potrzebna. Cztery mile w jedną stronę, drugie tyle z powrotem. Mając szesnaście lat pokonałaby ten dystans biegiem w jedną i truchtem w drugą stronę. Tyle tylko, że nie miała już szesnastu lat.

Wyruszyła o ósmej rano w nadziei, że dotrze na farmę Richardsonów w południe i prześpi największe popołudniowe upały. Przed wieczorem pozabija kurczaki i ruszy w drogę powrotną. Do chaty powinna wrócić po zmierzchu i ta świadomość sprawiła, że przypomniał się jej wczorajszy sen. Jednak mroczny mężczyzna wciąż był jeszcze daleko, a jej goście znacznie bliżej.

Szła bardzo wolno, wolniej nawet niż mogła, gdyż już o wpół do dziewiątej słońce mocno prażyło. Nie spociała się zbytnio (na kościach nie miała wiele skóry i tkanek, z których można by wycisnąć pot), zanim jednak dotarła do skrzynki pocztowej Goodellsów musiała chwilę odpocząć. Usiadła w cieniu pieprzowca i zjadła kilka baloników z bakaliami. W zasięgu wzroku nie pojawił się orzeł ani taksówka. Pocmokała trochę zde gustowana, otrzepała okruszki z ubrania i poszła dalej. Żadnej taksówki. Bóg pomaga tym, którzy radzą sobie sami. Czowała, jak jej stawy w całym ciele zaczynają się dostrajać; w nocy urządzają prawdziwy koncert. Idąc, coraz bardziej się garbiła i coraz mocniej podpierała na lasce, choć przeguby sprawiały jej silny ból. Szurając stopami obutymi w skórzane kamasze z żółtymi rzemiennymi sznurowadłami, wzbijała kłęby gryzącego kurzu. Słońce paliło niemiłosiernie, a w miarę upływu czasu jej cień stawał się coraz krótszy. Tego ranka po raz pierwszy od lat dwudziestych napotkała tak wiele dzikich zwierząt – lisa, szopa, jeżozwierza, rybołowa. Kruki krążyły po niebie, kracząc ochryple. Gdyby usłyszała rozmowę Stu Redmana i Glena Batemana na temat niewytłumaczalnego dla nich sposobu, w jaki supergrypa jedne gatunki zwierząt wybijała doszczętnie, inne zaś miłosiernie pozostawiała przy życiu, wybuchnęłyby gromkim śmiechem. Sprawa była prosta, zaraza dotykała zwierząt domowych, dzikie zaś oszczędzała i tyle. Ocalało co prawda kilka gatunków zwierząt udomowionych, ale był to raczej wyjątek potwierdzający regułę. Plaga zabijała ludzi i zwierzęta, które były mu bliskie. Unicestwiła psy, ale pozostawiła wilki, te były bowiem dzikie.

W jej stawach biodrowych zapłonęły czerwone iskierki bólu, po niedługim czasie podobne źródła bólu pojawiły się pod kolanami, a także w kostkach i przegubach dłoni, którymi opierała się na lasce. Szła, rozmawiając z Bogiem, czasami w milczeniu, innym razem głośno, jakby sam sposób prowadzenia dialogu nie miał dla niej większego znaczenia. Znów zaczęła rozmyślać o swojej przeszłości. 1902 rok był najlepszym w całym jej życiu. Bez dwóch zdań. Później czas jakby przyspieszył tempa, wiatr czasu coraz szybciej zrywał strony kalendarzy, jakby pracował na akord. Ciało tak szybko zmęczyło się życiem. Jak to możliwe, że ciało może odechcieć się żyć? Że może być strudzone samym istnieniem?

Z Davy Trottssem miała pięcioro dzieci, jedno z nich, Maybelle, zadławiło się na śmierć kawałkiem jabłka na podwórzu przy Starej Farmie. Abby wieszała pranie, a kiedy się odwróciła, ujrzała małą leżącą na wznak, chwytającą się oburącz za szyję; jej twarz nabiegała już purpurą. W końcu udało się jej wyjąć kawałek jabłka, ale Maybelle była już wtedy zimna i nieruchoma. Jedyna dziewczynka, którą urodziła i jedyne z jej wielu dzieci, które zmarło wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Siedziała teraz w cieniu wiązu pod ogrodzeniem farmy Nauglerów, a dwieście jardów dalej mogła ujrzeć początek asfaltowanej nawierzchni na drodze; w miejscu tym Freemantle Road stawała się Polk County Road. Upał sprawił, że powietrze tuż nad nawierzchnią drogi falowało, na horyzoncie zaś skrzyło się srebrzyście niczym tafla jeziora ze snów. W gorący dzień zawsze można było dostrzec ten srebrzysty poblask kątem oka, nigdy jednak patrząc wprost na linię horyzontu – a przynajmniej jej nigdy się to nie udało.

David zmarł w 1913 roku na gripę, której epidemia, zbliżona do obecnej, pochłonęła wówczas tak wiele ofiar. W 1916, mając trzydzieści cztery lata, poślubiła Henry Hardesty, farmera z Hrabstwa Wheeler na północy.

Specjalnie przyjechał, by prosić ją o rękę. Henry był wdowcem, miał siedmioro dzieci, ale wszystkie, za wyjątkiem dwojga, były już dorosłe i poszły w świat. Był o siedem lat starszy od Abigail. Dał jej dwóch synów zanim latem 1925 roku traktor, na którym jechał nie wyrócił się, przygniatając go swym ciężarem i zabijając na miejscu.

W rok później wyszła za Nate'a Brooksa i ludzie mieli z tego powodu mnóstwo powodów do plotek (tych skądinąd nigdy nie brakuje). Nate był robotnikiem najemnym u Henry'ego Hardesty i okazał się całkiem dobrym mężem. Może nie tak wspaniałym jak David i nie tak dobrym jak Henry, ale prawym do tego stopnia, że gdy go o coś prosiła, zwykle to robił. Kiedy w miarę upływu lat kobieta zaczyna trochę wydziwiać, dobrze wiedzieć, kto w małżeństwie ma ostatnie słowo.

Jej sześciu chłopców spłodziło w sumie trzydzieści dwoje wnucząt. Te z kolei dziewięćdziesiąt jeden prawnucząt i zanim wybuchła epidemia supergrypy na świat przyszło jeszcze troje praprawnucząt. Byłoby ich więcej, gdyby dziewczęta nie używały dziś regularnie pigułek antykoncepcyjnych. Wyglądało na to, że bawił ich wyłącznie sam seks. Abigail ubolewała nad nimi i ich nowoczesnym stylem życia, ale nigdy nie powiedziała tego głośno. Bóg osądzi, czy biorąc pigułki grzeszyły czy też nie (a na pewno nie będzie o tym decydował ten stary łysy piernik z Rzymu; Matka Abigail przez całe życie była metodystką i szczyliła się, że nic ją nie łączy z zapyziałymi, mającymi klapki na oczach katolikami). Abigail wiedziała, czego nie doświadczą – ekstazy, która nadejdzie, gdy stajesz na skraju Doliny Cieni, ekstazy, której doświadczasz, oddając się swemu mężczyźnie i swemu Bogu, mówiąc: „Bądź wola twoja i bądź wola Twoja”, ostatecznej ekstazy seksualnej w obliczu Pana, kiedy mężczyzna i kobieta przeżywają stary grzech Adama i Ewy, teraz jednak obmyty i uświęcony Krwią Baranka.

„Ach, co za dzień...”

Miała chęć napić się wody, chciała usiąść w domu na bujanym fotelu, chciała zostać sama. Widziała słońce odbijające swe promienie od dachu kurnika po lewej stronie. Jeszcze miła, nie więcej. Było piętnaście po dziesiątej, całkiem nieźle jak na jej wiek. Wejdzie do środka i prześpi się, dopóki nie nadejdzie przyjemnie chłodny wieczór. Cóż w tym złego? W jej wieku nic. Ruszyła wzdłuż pobocza, a jej buty pokryły się grubą warstwą kurzu.

Cóż, rzeczywiście miała dużą rodzinę, którą mogła się cieszyć na stare lata. Niektóre z jej pociech, jak Linda i jej nic nie wart komiwojażer, którego poślubiła, nie odwiedzały od dawna tych stron, ale były również dobre dzieci, jak Molly i Jim, czy David i Cathy, warte tysięcy takich Lind i jej komiwojażerów, krążących od domu do domu by wciskać ludziom drogi kuchenny szmelc. Ostatni z jej braci, Luke, zmarł w 1949 roku, będąc już dobrze po osiemdziesiątce, a ostatnie z jej dzieci, Samuel, w 1974 w wieku czterdziestu czterech lat. Przeżyła wszystkie swoje dzieci, nie powinno tak być, ale wszystko wskazywało, że Bóg miał wobec niej szczególne plany.

W 1982 roku, kiedy skończyła sto lat, jej zdjęcie wydrukowano w gazecie w Omaha, a z telewizji przysłano reportera by przeprowadził z nią wywiad. „Jak udało się pani dożyć takiego wieku?” zapytał młody mężczyzna i wydawał się mocno rozczerowany, gdy odrzekła krótko i zwięźle: „Bóg tak chciał”. Reporter sądził zapewne, że Abigail odpowie, iż stosuje specjalną dietę, jest wegetarianka, albo śpi z nogami w górze. Tak się jednak nie stało. Czy miała skłamać? Bóg daje życie i odbiera je, gdy uzna to za stosowne. Cathy i David podarowali jej telewizor, aby mogła obejrzeć się w wiadomościach, otrzymała również list od prezydenta Reagana (też już nie młodzieniaszka) gratulującego jej dożycia tak pięknego wieku i dziękującego, że odkąd tylko uzyskała prawo głosu, głosowała na Republikanów. A niby na kogo miała głosować? Roosevelt i jego klika byli komunistami; kiedy zaś skończyła sto lat, dla uczczenia tego faktu miasto Hemingford Home dożywotnio zwolniło ją z płacenia podatków. Otrzymała na to stosowne papiery, dokument potwierdzający, że była najstarszą żyjącą osobą w Nebrasce, jakby przez całe swoje życie nie czekała na nic innego. Mimo to zwolnienie z opłat podatkowych wydało się jej całkiem niegłupią sprawą, w przeciwieństwie do reszty, gdyby tego nie uczyniono, mogłaby stracić ten niewielki kawałek ziemi, jaki jej jeszcze pozostał. Większość i tak już przepadła. W magicznym roku 1902, Freemantlowie i ich posiadłość mieli się doskonale, podobnie jak kółko rolnicze, jednak jedno i drugie od tego czasu stopniowo zaczęło podupadać. Z całej posiadłości zostały jej już tylko cztery akry. Resztę utraciła na rzecz podatków albo zmuszona została sprzedać w ciągu minionych lat, by mieć za co żyć. Ze wstydem przyznawała, że sprzedaży tych dokonywali jej synowie.

W ubiegłym roku otrzymała list z biura nowojorskiej organizacji o nazwie Amerykańskie Towarzystwo Geriatryczne. Stwierdzono w nim, że była szóstą pod względem wieku żyjącą osobą w Stanach Zjednoczonych i trzecią w kolejności najstarszą kobietą. Najstarszym był jakiś facet z Santa Rosa w Kalifornii. Miał sto dwadzieścia dwa lata. Poprosiła Jima by

oprawił dla niej ten list w ramkę i powiesił go obok listu od prezydenta. Jim zrobił to dopiero w lutym tego roku. Ze smutkiem skonstatowała, że właśnie wtedy widziała Molly i Jima po raz ostatni.

Dotarła do farmy Richardsonów. Prawie do cna wyczerpana, stała przez chwilę oparta o ogrodzenie opodal stodoły i tęsknym wzrokiem patrzyła na dom. W środku będzie chłodno, chłodno i miło. Miała wrażenie, że jeśli zaśnie, prześpi dobrych sto lat. Wcześniej jednak musiała jeszcze coś zrobić. Plaga zabiła wiele zwierząt – psów, koni i szczurów – i musiała się dowiedzieć, czy dotknęła także kurcząt. Jakże gorzkim dla niej odkryciem byłoby stwierdzenie, że pokonała taki kawał drogi na próżno.

Poczłapała w stronę kurnika, znajdującego się przy stodole i przystanęła usłyszawszy dobiegające ze środka gdakanie. W chwilę potem rozległo się ochryple pianie koguta.

– W porządku – mruknęła. – Doskonale.

Odwróciła się, by ujrzyć ciało leżące przy sągu drewna, mężczyznę osłaniającego ręką twarz. To był Bill Richardson, szwagier Addie. Szukające pożywienia zwierzęta zdążyły go już dość mocno napocząć.

– Biedaczysko – rzekła Abigail. – Biedaczysko. Niechaj aniołowie w niebiosach czuwają, byś spoczywał w spokoju, Billy.

Odwróciła się w stronę chłodnego, kuszącego domu. Wydawał się odległy o całe mile, choć w rzeczywistości musiała tylko przejść przez podwórze. Nie była pewna, czy to jej się uda; padała z nóg. Była skonana.

– Niech się dzieje wola Boża – wyszeptała i zrobiła pierwszy krok.

Słońce świeciło w okno gościnnej sypialni, gdzie położyła się i usnęła, gdy tylko zzuła buty. Przez dłuższą chwilę nie mogła pojąć, dlaczego światło jest tak jasne i silne. Mniej więcej z taką samą myślą przebudził się Larry Underwood, śpiąc pod kamiennym murem w New Hampshire. Usiadła, a każdy mięsień i krucha kość w jej ciele zawyły dojmująco.

„Boże wszechmogący, przespałam całe popołudnie i noc!”

Skoro tak, musiała być naprawdę zmęczona. Czowała się tak fatalnie, że zwleczenie się z łóżka i pójście do łazienki na końcu korytarza zajęło jej całe dziesięć minut. Kolejne dziesięć pochłonęło założenie butów. Chodzenie sprawiało jej potworny ból, ale wiedziała, że musi iść dalej. Gdyby przystanęła choć na chwilę jej nogi, i tak już ciężkie i obolałe, zeszywniałyby niczym dwie bryły żelaza.

Kuśtykając i powłócząc nogami, dotarła do kurnika, a potem weszła do środka. Skrzywiła się, gdy uderzyła ją fala powalającego gorąca, woń ptactwa i nieodłączny smród rozkładu. Woda była tu dostarczana automatycznie, zasilana przez pompę ze studni artezyjskiej, ziarna jednak zaczęło brakować, a na dodatek dokuczliwy upał zabił wiele kurcząt. Najślabsze już dawno padły z głodu lub zostały zadziobane na śmierć; leżały teraz na usłanej guanem i resztkami paszy podłodze niczym smętne, nieduże kupki topniejącego śniegu.

Większość pozostałych kurcząt, gdy weszła, rozpięchła się, dziko trzepocąc skrzydłami. Inne jednak siedziały i, mrugając małymi oczami, przyglądały się dziwnie wyglądającej, starej, steranej życiem kobiecie. Było tak wiele chorób zabijających kurczaki, że obawiała się, iż grypa tych tutaj również nie oszczędziła; wyglądały jednak na całkiem zdrowe i żwawe. Bóg jej sprzyjał.

Wybrała trzy najtłuściejsze i wetknęła im główki pod skrzydła. Usnęły natychmiast. Włożyła je do worka, po czym stwierdziła, że jest zbyt zeszywniała by go podnieść. Musiała ciągnąć go za sobą po ziemi.

Pozostałe kurczaki obserwowały ją bacznie ze swoich grzęd dopóki nie wyszła, potem zaś powróciły do wybierania z podłogi resztek ziarna.

Dochodziła dziesiąta rano. Abigail usiadła na podwórzu na ławce pod dębem i pogrzyżała się w myślach. Wyglądało na to, że powinna zrealizować swój pierwotny plan i wrócić do domu wieczorem, gdy zrobi się nieco chłodniej. Straciła dzień, ale jej goście wciąż jeszcze byli w drodze. Wykorzysta popołudnie by zająć się kurczakami i resztą przygotowań.

Mięśnie przestały jej dokuczać tak silnie jak zazwyczaj, a poniżej mostka czuła nieznaną, lecz raczej przyjemną sensację. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że to uczucie głodu. Była bardzo głodna. Chwała Panu! Ile to już czasu minęło odkąd jadła z prawdziwą przyjemnością, dlatego że miała na to ochotę, nie zaś z przyzwyczajenia? Czuła się wtedy jak palacz wrzucający węgiel w rozpaloną gardziel pieca lokomotywy. Gdy pucina już łebki tym trzem kurczakom, postanowiła sprawdzić, co Addie miała w spizarce i – jeśli Bóg pozwoli – to co w niej znajdzie może okazać się prawdziwym rarytasem.

„Widzisz? – powiedziała sobie w duchu. – Bóg wie najlepiej. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Abigail, nie zapomnij o tym”.

Sapiąc i pomrukując, powlokła worek w stronę pieńka stojącego pomiędzy stodołą a drewnutnią. Przy drzwiach drewnutni znalazła wiszącą na kołkach siekierę. Zabrała ją i wyszła na zewnątrz.

– Teraz, Boże... – zaczęła, stając nad workiem w swoich zakurzonych, żółtych roboczych butach i spoglądając w bezchmurne, letnie niebo. – Dałeś mi siłę, abym tu dotarła i wierzę, że nie poskapisz mi jej w drodze powrotnej. Prorok Izajasz powiada, że ten kto wierzy w Boga, będzie wywyższony i wzbije się w niebo na wielkich orlich skrzydłach. Nie znam się na orłach, wiem tylko, że to paskudne ptaszyska obdarzone dobrym wzrokiem, ale mam tu w worku trzy kurczaki, powinnam je zabić, a nie mogę się na to zdobyć. Niech się stanie wedle Twojej woli, amen.

Podniosła worek, otworzyła i zajrzała do środka. Jedno z kurcząt wciąż trzymało łebek pod skrzydłem; spało. Dwa pozostałe tuliły się do siebie. Prawie się nie poruszały. W worku było ciemno, więc kurczaki myślały, że jest noc. Od hodowlanych kurczaków głupszy byli chyba tylko nowojorscy Demokraci.

Abigail wyjęła jednego i nim się zorientował, położyła na pieńku. Uderzyła siekierą z całej siły, krzywiąc się, jak zawsze, gdy rozległ się głuchy stuk ostrza wgryzającego się w drewno. Łebek spadł na piach obok pieńka. Bezgłowy kurczak zaczął uganiać się po podwórzu, trzepocząc skrzydłami i rozbryzgując krew. Po chwili jednak znieruchomiał. „Hodowlane kurczaki i nowojorscy Demokraci, mój Boże, o mój Boże”.

Wreszcie było po wszystkim. Okazało się, że niepotrzebnie się martwiła, iż coś może pójść nie tak albo że zrobi sobie przy tym krzywdę. Bóg wysłuchał jej modlitwy i teraz miała trzy dorodne kurczaki; jedyne co musiała zrobić, to donieść je do domu.

Włożyła je z powrotem do worka i odwiesiła siekierę na miejsce. Później zaś raz jeszcze weszła do domu, aby przetrząsnąć spiżarnię i sprawdzić, czy zostało w niej coś do jedzenia.

Spała do popołudnia i przyśniło się jej, że goście są już tuż, tuż, na południe od York. Nadjeżdżali starym pickupem. Było ich sześcioro, w tym głuchoniemy chłopak. Mimo swej ułomności był bardzo silny. Należał do tych, z którymi musiała pomówić.

Obudziła się o wpół do czwartej, nieco zeszywniała, ale wypoczęta i rześka. Przez następne dwie i pół godziny skubała kurczaki. Chwilami odpoczywała, gdy zajęcie to poczęło sprawiać ból jej artretycznym palcom, po czym podejmowała je na nowo. Pracując, śpiewała hymny – *Siedem Bram Miasta (Alleluja)*, *Ufaj i bądź posłuszny* i jej ulubiony *W ogrodzie*.

Kiedy skończyła każdy z jej palców pulsował tęnym bólem, a dzień chylił się ku końcowi, zwiastując rychłe nadejście zmierzchu. Był już lipiec i dni stawały się już krótsze.

Wróciła do środka by znów coś przekąsić. Chleb był czerstwy ale nie spleśniały; w tej kuchni, na tej farmie, u Addie Richardson, żaden chleb nie miał prawa spleśnieć. Zrobiła sobie kanapkę z masłem orzechowym, zjadła ją i zrobiła drugą, którą włożyła do kieszonki sukienki na wypadek, gdyby później zgłodniała.

Była za dwadzieścia siódma. Wyszła na zewnątrz, zabrała swój worek i powoli, ostrożnie zesłała po stopniach ganku. Pierze ze skubanych kurczaków wrzucała do drugiego worka, ale kilka piór najwyraźniej jej umknęło i teraz trzepotało na dogorywającym z powodu braku wody żywopłocie.

Abigail westchnęła ciężko i rzekła:

– Boże, ruszam w drogę. Wracam do domu. Będę szła wolno, więc nie dotrę na miejsce przed północą. Biblia mówi jednak, że nie należy lękać się nocnych strachów, ani tego co wędruje po świecie za dnia. Staram się jak mogę najlepiej wypełniać Twoją wolę. Bądź, proszę, przy mnie, Panie Jezu, amen.

Zanim dotarła do miejsca, gdzie kończył się asfalt i zaczynała droga gruntowa, zrobiło się już całkiem ciemno. Grały świerszcze, a gdzieś nad wodą, być może nad sadzawką Cala Goodella, kumkały żaby. Księżyc tej nocy, zanim wszędzie wysoko, będzie miał barwę krwi.

Usiadła by odpocząć i zjeść połowę kanapki z masłem orzechowym (och, cóż by dała za odrobinę dżemu jagodowego, aby zabić ten lepki, tłusty smak; niestety Addie trzymała swoje

przetwory w piwniczce, a żeby się do niej dostać, należało zejść po schodach, a było to niestety ponad siły Abigail). Wlokła worek po ziemi. Znow dokuczał jej dojmujący ból, a siły opuściły ją, gdy do przejścia zostało jeszcze jakieś dwie i pół mili, czuła się jednak dziwnie radosna i ożywiona. Ile czasu upłynęło odkąd ostatni raz była po zmierzchu poza domem, mając nad głową baldachim z gwiazd? Świeciły jasno jak nigdy, a jeśli dopisze jej szczęście, może ujrzy spadającą gwiazdę i pomyśli życzenie. Ciepła, przyjemna noc, gwiazdy, letni księżyc wyłaniający swe krągłe czerwone oblicze zza linii horyzontu – to wszystko znow przywiódło jej na myśl dzieciństwo, owe osobliwe wzloty i upadki, palący żar, zadziwienie i poczucie kompletnej bezsilności, gdy stawała u granic Tajemnicy. O, tak, była kiedyś młoda. Była małą dziewczynką. Niektórzy nie potrafili w to uwierzyć, tak jak nie wierzyli, że gigantyczna sekwoja mogła być kiedyś małym zielonym drzewkiem. Ale ona była dziewczynką i w tych czasach dziecięce lęki przed nocą nieco straciły na sile; dorosłe strachy zaś, te które pojawiają się, kiedy wokół panuje cisza, a ty możesz usłyszeć głos własnej nieśmiertelnej duszy, były wciąż jeszcze przed nią. W tym krótkim okresie czasu, pomiędzy jednym a drugim, noc była przepelnioną różnymi zapachami zagadką, wielką tajemnicą. W takich chwilach patrzyła na usiane gwiazdami niebo; nasłuchiwała szumu wiatru przynoszącego ze sobą najróżniejsze zapachy i czuła bliskość z jądrem wszechświata, z miłością i z życiem. Miała wrażenie, że zawsze będzie młoda i że...

„Mam w dłoniach twoją krew”.

Coś ostro szarpnęło za worek, tak silnie, że serce zakołatało jej w piersi.

– Sio! – krzyknęła łamiącym się, pełnym zdumienia głosem starej kobiety.

Szarpnęła worek i odzyskała go, choć w dniu została nieduża, strzępiasta dziura.

Rozległ się niski, gardłowy pomruk. Na skraju drogi, pomiędzy zwirowym poboczem a łanem kukurydzy siedziała wielka, brązowa łasica. Gapiła się na nią ślepiami, w których odbijała się czerwona poświata księżyca. Po chwili dołączyła do niej druga. I jeszcze jedna. I następna.

Spojrzała na drugą stronę drogi. Tam również zebrało się stado łasic, ich złowrogie ślepie obserwowały ją z uwagą. Zwierzęta czuły, że miała w worku kurczaki. „Jak to możliwe jednak, że zebrało się ich tu aż tyle?” – zastanawiała się z rosnącym niepokojem.

Kiedyś została ugryziona przez łasicę. Sięgała pod ganek Wielkiego Domu po czerwoną, gumową piłkę, która się tam wturlała i poczuła jakby na jej przedramieniu zacisnęła się paszcza wypełniona cienkimi igłami. Było to tak niespodziewane i bolesne doświadczenie, że wrzasnęła na całe gardło. Cofnęła rękę i ujrzała wczepioną w przedramię łasicę; gładkie brązowe futerko zwierzątka było spryskane jej krwią, a łasica wiła się w powietrzu jak wąż. Abigail krzyknęła i machnęła ręką, ale łasica nie puszczała, zupełnie jakby stała się częścią jej ciała.

Jej bracia, Micah i Matthew byli na podwórku, ojciec na ganku przeglądał katalog wysyłkowy. Słyszac krzyk, przybiegli natychmiast. Na widok dwunastoletniej wtedy Abigail

miotającej się po placu, gdzie niedługo potem stanie stodoła, z wyciągniętą przed siebie ręką, z której zwieszała się łasica, przebierająca łapami i rozpaczliwie usiłująca się czegoś uchwycić, na kilka chwil zastygli jak sparaliżowani. Sukienka dziewczynki, jej nogi i buciki zachłapane były tryskającą z rany krwią.

Jej ojciec jako pierwszy otrząsnął się z odrętwienia. Schwycił kawałek drewna opałowego leżącego obok pieńka i zawołał donośnie: „Abby, nie ruszaj się!”. Jego głos, zawsze władczy i nie znoszący sprzeciwu, wdarł się do jej umysłu niczym huragan i jak zawsze, od najmłodszych lat, zrobił swoje. Stała w miejscu, a potem drewno opałowe zatoczyło szeroki łuk. Paralizujący ból gorącą falą sięgnął jej barku (była pewna, że ma złamaną rękę), zaraz potem zaś brązowy stwór, który tak ją zaskoczył i przez którego tak okropnie cierpiała – przez całe to zdarzenie oba te doznania, ból i zaskoczenie, wydawały się jej zamienne – spadł na ziemię; futro miał okrwawione i zmierzwione. Krótco potem Micah dał długiego susa i wylądował na nim obiema nogami; dał się słyszeć ostatni, przeraźliwy dźwięk, głuchy, finalny trzask jak odgłos kruszonego w zębach twardego cukierka i jeśli owo stworzenie wcześniej jeszcze żyło, to z całą pewnością w tej właśnie chwili wyzionęło ducha. Abigail nie zemdlała, ale wybuchnęła niemal histerycznym płaczem.

Wtedy zjawił się Richard, najstarszy z całego rodzeństwa. Twarz miał pobladłą i przepełnioną trwogą. Wymienili z ojcem pełne niepokoju, rzeczowe spojrzenia.

„W życiu nie widziałem, żeby łasica zrobiła coś podobnego – rzekł John Freemantle, kładąc dłonie na ramionach zapłakanej córki. – Bogu dzięki, że nie było tu twojej matki”.

„Łasica mogła być wście...” – zaczął Richard.

„Wypluj te słowa” – uciął John Freemantle. Głos miał zimny, przepełniony zgrozą i wściekłością.

Richard splunął za siebie tak energicznie, że Abby aż podskoczyła. A potem usłyszała głos ojca:

– Abby, kochanie, chodź, musimy to obmyć, podejdź ze mną do pompy.

W rok później Luke powiedział jej to, czego ojciec nie pozwolił powiedzieć Richardowi, że aby uczynić coś takiego łasica prawie na pewno musiała być wściekła, a gdyby tak było Abigail umarłaby w najokrutniejszych męczarniach (z wyjątkiem tortur) znanych człowiekowi. Łasica nie była jednak wściekła, a rana zagoiła się bez komplikacji.

Mimo to Abigail od tej pory bała się łasic, tak jak większość ludzi boi się szczurów czy pajaków. Gdyby tylko pomór zamiast psów wytłukł te obrzydliwe gryzonie...

Tak się jednak nie stało, a teraz ona...

„Mam twoją krew w swoich dłoniach”.

Jedna z nich rzuciła się naprzód, szarpiąc grube płótno worka.

– Sio! – krzyknęła Abigail.

Łasica odskoczyła w bok, przez chwilę mogło się wydawać, że się uśmiecha, a pomiędzy jej ostrych jak igły zębów zwisały nitki wydarte z worka.

To ON je nasłał – mroczny mężczyzna.

Ogarnęło ją przerażenie. Łasice były setki, popielate, brązowe i czarne, wszystkie zwęszyły zapach kurczaków. Stały po obu stronach drogi, przepychając się między sobą, pragnąc uszczknąć choć odrobinę mięsa, które wyczuwały.

„Muszę im je oddać. Wszystko na nic. Jeśli nie oddam im kurczaków, aby je dostać rozerwą mnie na strzępy. Wszystko na nic”.

Oczyma duszy widziała, jak mroczny mężczyzna uśmiecha się, widziała jak wyciąga ręce przed siebie, jak zaciska dłonie w pięści i jak spomiędzy jego palców zaczyna płynąć krew.

Kolejne szarpnięcie. I jeszcze jedno.

Łasice po drugiej stronie drogi ruszyły w jej stronę, szurając brzuchami po ziemi. Ich małe, dzikie ślepka błyszcząły w świetle księżyca jak ostrza kolców do lodu.

„Ten jednak, kto we Mnie wierzy, nie umrze, Ja bowiem nakładam na niego Mój znak i odtąd nie może spotkać go nic złego, on bowiem Moim jest, rzecze Pan...”

Wstała, wciąż przestraszona, lecz wiedziała już co musi uczynić.

– Uciekajcie stąd! – zawołała. – Tak, to kurczaki, ale niosę je specjalnie dla moich gości. Zabierajcie się stąd, ale już!

Zatrzymały się. Ich małe oczka przepęłnił niepokój. W chwilę potem już ich nie było. Jakby rozplynęły się w powietrzu. „To cud” – pomyślała i przepęłniło ją uczucie niezmiętej radości i chwały Bożej. Ale zaraz potem zrobiło się jej zimno.

Gdzieś daleko na zachodzie, poza łańcuchem Gór Skalistych, których nie było nawet widać na horyzoncie, pojawiło się błyszczące oko – wyczuła to. Oko nagle otworzyło się szeroko i skierowało w jej stronę jakby jej szukało. Usłyszała go tak wyraźnie, jakby wypowiedział te słowa na głos: „Kto to? Czy to ty, starucho?”

– Wie, że tu jestem – wyszeptała w noc. – Pomóż mi, Boże. Pomóż mi, pomóż nam wszystkim.

Ciągnąc za sobą worek, ruszyła w dalszą drogę.

Zjawili się dwa dni później, dwudziestego czwartego lipca. Nie zdążyła przygotować się tak, jak to sobie zaplanowała; znów źle się czuła, bolało ją całe ciało. Kuśtykała z miejsca na miejsce, podpierając się starą laską – bez niej w ogóle nie mogła nawet wstać, a nabieranie wody ze studni wydawało się pracą niemal ponad jej siły.

W dzień po tym jak zabiła kurczaki i przepędziła łasice spała bardzo długo, prawie do popołudnia, tak bardzo była wyczerpana. Śniła, że znajdowała się na skutej lodem przełęczy wysoko w Górach Skalistych, na zachód od Działu Kontynentalnego. Pasma autostrady numer 6 wilo się i ciągnęło pomiędzy strzelistymi, skalistymi ścianami przez cały dzień rzucającymi cień na ten przesmyk, za wyjątkiem krótkiej przerwy pomiędzy za kwadrans dwunasta, a za kwadrans pierwsza. W jej śnie nie był to dzień, lecz mroczna, bezksiężycowa noc. Gdzieś z oddali dobiegł ją skowyt wilków. I nagle w ciemnościach otworzyło się Oko;

przetoczyło się upiornie z boku na bok, podczas gdy wiatr zawodził smętnie pośród sosen i srebrzystych górskich świerków. To był on. Szukał jej.

Obudziła się z tej długiej, ciężkiej drzemki bardziej zmęczona, niż kiedy się kładła i raz jeszcze zwróciła się do Boga z prośbą, by uwolnił ją od tego brzemienia, lub przynajmniej zmienił kierunek, w którym zamierzał ją posłać.

„Jeśli każesz mi iść na północ, południe lub na wschód, pójdę z ochotą i wysławiać będę Twe imię w niezliczonych pieśniach. Ale nie każ mi iść na zachód, nie wysyłaj mnie do mrocznego mężczyzny. Góry Skaliste to dla niego nie przeszkoda. Nawet Andy nie uchroniłyby nas przed jego gniewem”.

Ale to nie miało znaczenia. Prędzej czy później, kiedy zły człowiek poczuje się dostatecznie silny, zacznie szukać tych, którzy sprzymierzą się przeciw niemu. Jeśli nie w tym roku, to w przyszłym na pewno.

Zaraza co prawda wybiła psy, ale wysoko w górach pozostały ocalałe z pomoru watahy wilków, gotowe służyć swemu panu, diabłu z piekła rodem.

I nie tylko wilki staną się jego sprzymierzeńcami.

Dzień, w którym się wreszcie pojawili, rozpoczęła o siódmej rano, przynosząc po dwa drebki opałowe naraz i rozpalając nimi w piecu. Bóg obdarzył ją pierwszym od tygodni chłodnym, pochmurnym dniem. Przed zmierzchem może się nawet rozpada. Tak w każdym razie mówiło jej złamane w 1958 roku biodro.

Najpierw w blaszanych formach upiekła ciasta z rabarbarem i truskawkami prosto z ogródka. Chwała Bogu, że pojawiły się już truskawki i Abigail wykorzystała je zanim by się zmarnowały. Sama czynność pieczenia sprawiła, że poczuła się lepiej, gdyż pieczenie było samym życiem. Upiekła placek z jagodami, dwa truskawkowo-rabarbarowe i jedną szarlotkę. Słodki, smakowity zapach wypełnił kuchnię. Jak zawsze postawiła formy na framudze kuchennego okna, by ciasta przestygły.

Zrobiła najlepsze ciasto jakie umiała, choć nie było to łatwe – nie było przecież świeżych jaj. Naturalnie mogła je zabrać z kurnika, były tam, sama widziała i teraz mogła mieć o to pretensje wyłącznie do siebie. Ze świeżymi jajkami czy bez, po południu wewnątrz małej kuchni, gdzie podłoga pokryta była pofałdowanym, wyblakłym linoleum, wypełnił zapach pieczonego kurczaka.

W kuchni zrobiło się gorąco jak w piekarniku, toteż wykuśtykała na ganek, by przeczytać w kalendarzu sentencję na ten dzień, a starym, pogniecionym egzemplarzem „Upper Room” wachlowała sobie twarz by się trochę ochłodzić.

Kurczaki wyszły chrupiące i podsmażone na lekki brąz, tak jak chciała. Jeden z gości będzie mógł pójść na pole, aby zebrać tuzin kolb kukurydzy, a potem ugotują je i zjedzą na słodko z maselkiem. Położyła kurczaki na papierowych ręcznikach i znów wyszła na ganek,

tym razem z gitarą. Usiadła i zaczęła grać. Zaśpiewała wszystkie ulubione hymny, a jej wysoki, drżący głos unosił się w nieruchomym powietrzu.

*Na nic trudy i pokusy
Wolną wolę przecież masz
Śpiewaj więc swojemu Panu
I wychwalaj z nami wraz*

Muzyka, jej zdaniem, brzmiała całkiem nieźle (choć słuch szwankował jej tak, że nie była już pewna, czy gitara była odpowiednio nastrojona). Zagrała więc jeszcze kilka hymnów. Skończyła właśnie *Marsz do Syjonu*, kiedy usłyszała dźwięk silnika nadciągający z północy, od strony County Road. Zamilkła, lecz jej palce wciąż jeszcze szarpały struny. Staruszka przekrzywiła głowę, nasłuchując. Nadjeżdżali, tak, Boże, bez trudu tu trafili. Widziała chmurę kurzu wzbijaną spod opon samochodu, gdy wjechali z asfaltowej na gruntową drogę wiodącą wprost pod jej chatkę. Przepęłniło ją ogromne podniecenie i cieszyła się, że ubrała się tego dnia odświętnie. Wsunęła gitarę między kolana i przysłoniła oczy dłonią, choć przecież nie było słońca.

Dźwięk silnika zbliżał się i przybierał na sile, dochodził z miejsca, gdzie wśród łąnów kukurydzy wiodła ścieżka do sadzawki Cala Goodella.

Tak, wreszcie ją ujrzała, starą rolniczą ciężarówkę chevroleta. Jechała powoli. W kabinie siedziały chyba cztery osoby, musiało im tam być ciasno (policzyła ich bez trudu; mimo stu ośmiu lat wciąż cieszyła się ściąć sokolim wzrokiem) i jeszcze trzy na pace. Ci ostatni stali, opierając się o dach kabiny i patrzyli przed siebie. Dostrzegła chudego blondyna, rudowłosą dziewczynę, a między nimi... tak, to on, chłopiec, który dopiero niedawno nauczył się, co znaczy być mężczyzną. Ciemne włosy, pociągłe oblicze, wysokie czoło. Dostrzegł ją siedzącą na ganku i zaczął energicznie machać obiema rękami. Krótco potem dołączył do niego blondyn. Ruda dziewczyna tylko patrzyła w dal. Matka Abigail uniosła rękę i odmachwała im.

– Dzięki ci, Boże, żeś ich tu doprowadził – wymamrotała ochryple. Ciepłe łzy spływały jej po policzkach. – Dzięki ci, Boże, och, dzięki ci.

Pickup telepiąc się i kołysząc, wturlał się na podjazd. Mężczyzna za kierownicą nosił słomkowy kapelusz z niebieską, aksamitną wstążką, za którą zatknięte było wielkie pióro.

– Jiiii-haaa! – zawołał i pomachał ręką. – Cześć, Matko! Nick powiedział, że tu będziesz i jesteś! Jiiii-haaaa! – Zatrąbił klaksonem.

Obok niego w kabinie siedział mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, kobieta w tym samym co on wieku i mała dziewczynka w czerwonym, sztruksowym kombinezonie. Dziewczynka zamachała nieśmiało jedną ręką. Kciuk drugiej trzymała w ustach.

Młody mężczyzna z łatką na oku i ciemnymi włosami, Nick, zeskoczył z paki zanim jeszcze samochód stanął. Zachwiał się, lecz nie stracił równowagi i podszedł wolno do

staruszki. Twarz miał pełną powagi, ale w jego oku błyskały figlarne iskierki. Stał pod gankiem i rozejrzał się dokoła, ze zdumieniem lustrując podwórze dom i starą jabłoń z huśtawką z łysej opony. Ale przede wszystkim przyjrzał się bacznie starej kobiecie.

– Witaj, Nick – rzekła. – Cieszę się, że cię widzę. Niech cię Bóg błogosławi.

Uśmiechnął się, po policzkach pociekły mu łzy. Wszedł po schodach na ganek, podszedł do niej i ujął jej dłonie w swoje. Uniosła ku niemu pomarszczony policzek, a on ucałował go delikatnie. Ciężarówka stanęła, pozostali pasażerowie zaczęli wysiadać. Kierowca niósł dziewczynkę w czerwonym ubranku, gdyż jak się okazało, mała miała założony na jednej nodze gips. Obiema rękami mocno obejmowała czerwoną od słońca szyję mężczyzny. Obok niego stała pięćdziesięcioletnia kobieta, przy niej zaś ruda dziewczyna i blondwłosy chłopak z brodą. „Nie, nie chłopak – pomyślała Matka Abigail. – Upośledzony mężczyzna”. Jako ostatni w rzędzie stał drugi mężczyzna, który jechał w szoferce. Czyścił właśnie szkła swoich okularów w stalowych oprawkach.

Nick spojrział na nią z przejęciem. Murzynka pokiwała głową.

– Świetnie się spisaliście – powiedziała. – Bóg przywiódł was tutaj, a Matka Abigail zaraz was nakarmi. Witam was wszystkich! – dodała nieco silniejszym tonem. – Nie zostaniemy tu długo, ale zanim ruszymy w dalszą drogę odpoczniemy i wspólnie przełamiemy się chlebem i spróbujemy trochę lepiej poznać się wzajemnie.

– Czy pani jest najstarszą kobietą na świecie? – zapiszczała dziewczynka, którą trzymał na rękach kierowca.

– Ciii, Gina – uciszyła ją towarzysząca jej kobieta.

Matka Abigail oparła dłoń na biodrze i wybuchnęła śmiechem.

– To całkiem możliwe, moje dziecko. Całkiem możliwe.

Rozłożyli czerwony, kraciasty obrus pod jabłonią, a dwie kobiety, Olivia i June, zajęły się przygotowaniem pikniku, podczas gdy mężczyźni poszli po kukurydzę. Ugotowanie jej nie zabrało dużo czasu i choć nie mieli prawdziwego masła, zadowolili się odrobiną margaryny i solą.

Podczas posiłku niewiele rozmawiali, słychać było głównie mlaskanie i rozkoszne, ciche pomruki. Lubiła wiedzieć, że przygotowany przez nią posiłek smakował gościom, ci zaś swoim zachowaniem wręcz lali miód na jej serce. Teraz czuła, że jej wędrówka do Richardsonów i przeprawa z łasicami była warta zachodu. Nie byli głodni, ale po miesiącu żywienia się jedzeniem z puszek, na widok posiłku przyrządzonego specjalnie dla nich poczuli głód szczególnego rodzaju. Ona sama zjadła trzy kawałki kurczaka, kukurydzę i mały kawałek ciasta truskawkowo-rabarbarowego. Kiedy skończyła, poczuła jakże przyjemny ciężar żołądka.

Po południu, kiedy podano kawę, kierowca – miły, otwarty z wyglądu mężczyzna nazwiskiem Ralph Brentner, powiedział:

– Droga pani, to był doprawdy wyśmienity lunch. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem coś tak wspaniałego. Dziękuję bardzo.

Inni przyłączyli się do podziękowań. Nick uśmiechnął się i skinął głową.

– Babciu, czy mogę usiąść ci na kolanach? – zapytała mała dziewczynka.

– Jesteś za ciężka, kochanie – rzekła starsza kobieta, Olivia Walker.

– Bzdura – ucieła Abigail. – W dniu, kiedy nie będę mogła wziąć na kolana dziecka, złożą mnie do grobu. Podejdź tu, Gino.

Ralph zaniósł ją i posadził Matce Abigail na kolana.

– Kiedy będzie ci za ciężko, powiedz.

Połaskotał Ginę w nos piórkiem przy kapeluszu. Dziewczynka uniosła ręce i zachichotała.

– Nie łaskocz mnie, Ralph! Ani mi się waź!

– Bez obaw – odparł Ralph. – Jeszcze długo będę miał dość łaskotania kogokolwiek. – I usiadł.

– Co ci się stało? – spytała Abigail.

– Spadłam ze stodoły i złamałam nogę – odparła Gina. – Dick ją nastawił. Ralph mówi, że Dick uratował mi życie.

Posłała całusa mężczyźnie w okularach. Ten nieco się zaczerwienił, kaszlnął i uśmiechnął się.

Nick, Tom Cullen i Ralph natknęli się na Dicka Ellisa w połowie drogi przez Kansas, gdy szedł poboczem drogi z plecakiem zarzuconym na ramię i długim, wędrownym kijem w dłoni. Był weterynarzem. Następnego dnia, przejeżdżając przez małe miasteczko Lindsborg zatrzymali się na lunch i usłyszeli ciche wołanie, dobiegające z południowej dzielnicy miasta. Gdyby wiatr wiał w przeciwną stronę, nigdy by go nie usłyszeli.

– Łaska Boża – mruknęła Abigail, ze współczuciem gładząc małą po włosach.

Gina od trzech tygodni była sama. Dzień czy dwa wcześniej bawiła się na stryszku stodoły swego wujka, kiedy przegniłe deski podłogi zawaliły się, a ona spadła na klepisko, czterdzieści stóp niżej. Runęła na sterty siana i to ocaliło jej życie. Jednak sturlała się z nich na klepisko i złamała nogę. Początkowo Dick Ellis marnie oceniał jej szansę przeżycia. Aby nastawić nogę zrobił jej miejscowe znieczulenie – dziecko tak wychudło i było w tak kiepskim stanie fizycznym, że obawiał się, iż narkoza mogłaby ją zabić (opowiadając tę historię, literowali kluczowe słowa, podczas gdy Gina bawiła się guzikami przy sukience Matki Abigail).

Gina doszła do siebie w takim tempie, że zdumiało to wszystkich. Bardzo przypadł jej do gustu Ralph ze swoim zabawnym kapeluszem. Niemal szeptem Ellis dodał, że jego zdaniem większość jej problemów wynikała z przytłaczającej ją samotności.

– To oczywiste – potaknęła Matka Abigail. – Gdybyście jej nie usłyszeli, już by jej nie było.

Gina ziewnęła. Oczy miała duże i szkliste.

– Teraz ja ją wezmę – rzekła Olivia Walker.

– Połóż ją w pokoiku na końcu holu – powiedziała Abby. – Jeśli chcesz, możesz z nią spać. Ta druga dziewczynka... jak ci na imię, kochanie? Wypadło mi z pamięci.

– June Brinkmeyer – odparła rudowłosa.

– Ty możesz spać w moim pokoju. Mam materac, na którym mogłabyś się przespać, o ile nie jest zarobaczywiony. Jeden z tych wielkich mężczyzn na pewno zechce ci go przynieść. Chyba że masz jakiś inny pomysł. Łóżko jest za małe dla dwojga, a gdyby nawet, wątpię, abyś chciała spać z takim starym workiem kości jak ja.

– Jasne – odparł Ralph.

Olivia zabrała Ginę, która tymczasem zdążyła już zasnąć, aby położyć ją do łóżka. W kuchni, gdzie od lat nie było tak tłoczno, zrobiło się ciemno. Zapadał zmierzch. Matka Abigail wstała i zapaliła trzy lampy naftowe, po czym jedną postawiła na stole, drugą na kuchence (żelazny blackwood stygł i popykiwał sam do siebie z zadowoleniem), a trzecią na oknie. Ciemność została odparta.

– Może stare sposoby są jednak najlepsze – powiedział nagle Dick i wszyscy spojrzeli na niego. Znow się zaczerwienił i chrząknął, ale Abigail tylko zachichotała. – Chciałem powiedzieć – ciągnął nieco zbity z tropu Dick – że to mój pierwszy domowy posiłek od, tak, chyba od trzydziestego czerwca. Od dnia, kiedy zabrakło prądu. Ostatni posiłek przyrządziłem sam, jeśli moje pichcenie można nazwać domowym gotowaniem. Moja żona... o tak, ona naprawdę umiała gotować. Ona... – urwał.

Wróciła Olivia.

– Gina usnęła. Była bardzo zmęczona.

– Sama pieczesz chleb? – Dick zwrócił się do Matki Abigail.

– Oczywiście. Od zawsze. Naturalnie to nie jest prawdziwy drożdżowy chleb, bo przecież nie ma już nigdzie drożdży. Ale są inne sposoby

– Mam taką ochotę na chleb. Brak mi go – powiedział. – Helen, moja żona, piekła chleb dwa razy w tygodniu. W ostatnim czasie to była chyba jedyna rzecz, jakiej naprawdę pragnąłem. Zjadałem trzy kromki z marmoladą truskawkową i byłem wtedy tak szczęśliwy, że mógłbym chyba nawet umrzeć.

– Tom Cullen jest zmęczony – odezwał się nagle Tom. – K-S-I-E-Ż-Y-C, to znaczy zmęczony. – Ziewnął przeciągle.

– Możesz się położyć w szopie – rzekła Abigail. – Cuchnie tam trochę stęchlizną, ale jest sucho.

Przez chwilę nasłuchiwali szumu deszczu, który padał już od blisko godziny. Gdyby każdy z nich był sam, dźwięk ten wydawałby się apoteozą samotności. Teraz, gdy byli razem, ten miły dla ucha, sekretny dźwięk jednoczył ich ze sobą. Słysząc było szum wody wylewającej się z otworów rynien i plusk pojedynczych kropeł wpływających do stojącego za domem zbiornika na deszczówkę. Gdzieś od strony Iowa dobiegł zduszony grzmot.

– Chyba macie sprzęt turystyczny? – zapytała Matka Abigail.

– Wszystko, czego nam potrzeba – odparł Ralph. – Damy sobie radę. Chodź, Tom.

– Ralph, chciałabym, żebyście z Nickiem zostali jeszcze ze mną przez chwilę – powiedziała stara Murzynka.

Nick przez cały czas siedział przy stole, dokładnie naprzeciw jej bujanego fotela. „Można by pomyśleć – rozmyślała Abigail – że głuchoniemy chłopak zagubi się wśród tylu osób, że w ogóle nie będzie go widać”. Nick miał jednak w sobie coś, co temu skutecznie zapobiegło. Siedział w zupełnym bezruchu, śledząc rozmowę toczącą się w pomieszczeniu, jego oblicze reagowało na każdą wychwyconą przez niego kwestię. To oblicze, tak otwarte i inteligentne, a zarazem zmęczone i napiętnowane mnóstwem przeżyć, zdawało się nie pasować do kogoś tak młodego jak on. Kilkakrotnie zauważyła, że tamci spoglądają na niego, jakby Nick mógł potwierdzić ich słowa. Nie ignorowali go, to pewne. Widziała, że parę razy wyglądał przez okno, w mrok, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia.

– Mogę dostać ten materac? – zapytała półgłosem June.

– Nick i ja zaraz przyniesiemy – rzekł Ralph, wstając.

– Nie chcę być w tej szopie sam – zaproponował Tom. – Słowo daję, nie.

– Pójdę z tobą – zaoferował się Dick. – Zapalimy lampę i położymy się spać. – Wstał. – Jeszcze raz bardzo pani dziękuję. Nie potrafię wyrazić słowami, jak wspaniałe było to wszystko.

Pozostali natychmiast go poparli. Nick i Ralph przynieśli materac i, jak się okazało, nie było w nim robactwa. Tom i Dick poszli do szopy, gdzie wkrótce zapalili małą turystyczną lampę. Niedługo potem w kuchni zostali już tylko Nick, Ralph i Matka Abigail.

– Czy mogę zapalić? – zapytał Ralph.

– Jeśli tylko nie będziesz strząsał popiołu na podłogę. Z tyłu za tobą jest popielniczka.

Ralph wstał aby ją przynieść, a Abby spojrzała na Nicka. Miał na sobie koszulę khaki, dżinsy i wytartą wojskową kamizelkę. Było w nim coś, co sprawiało, że czuła jakby znała go już wcześniej, albo powinna znać. Patrząc na niego, miała wrażenie wiedzy i spełnienia, jak gdyby ich spotkanie zostało zaplanowane dawno temu, a los sprawił, iż ten moment nadszedł właśnie teraz. Jakby na jednym krańcu jej życia był jej ojciec, John Freemantle – wysoki, czarnoskóry i dumny, na drugim zaś ten chłopak – wysoki, biały, głuchoniemy, z jednym błyszczącym, wyrazistym okiem patrzącym na nią z jego wiekowej twarzy.

Wyjrzała przez okno, ujrzała blask lampy bijący z szopy i rozjaśniający skrawek podwórza. Zastanawiała się, czy w szopie wciąż czuć było woń krowy, nie była w niej od prawie trzech lat. Nie miała takiej potrzeby, gdyż ostatnią krowę, Daisy, sprzedano w 1975 roku, ale w 1987 w szopie wciąż czuć było jej woń. Zapewne i dziś nic się pod tym względem nie zmieniło. Nieważne, bywają gorsze wonie.

– Proszę pani?

Odwróciła się. Ralph znów siedział obok Nicka, trzymając w dłoni kartkę papieru i spoglądając na nią w blasku lampy. Nick położył sobie na podołku bloczek do notowania i długopis. Przyglądał się uważnie starej kobiecie.

– Nick mówi... – Ralph chrząknął, lekko zbity z tropu.

– Mów.

– Napisał, że ma trudności z czytaniem z pani ust, bo...

– Chyba wiem, dlaczego – odparła. – Bez obawy.

Wstała i podeszła do komódki. Na drugiej półce u góry stało plastikowe naczynie wypełnione mętnym płynem, w którym niczym eksponat medyczny pływała jej sztuczna szczęka.

Wyjęła ją i opłukała pod wodą.

– Panie Boże, za co ja tak cierpię – powiedziała i włożyła protezę do ust. – Musimy porozmawiać – zaczęła. – Wy dwaj jesteście najważniejsi i musimy ustalić pewne sprawy.

– Cóż – Ralph cmoknął – to chyba jakaś pomyłka. Byłem robotnikiem w fabryce i z zamięłowania również farmerem. Jestem raczej facetem od czarnej roboty niż od główkowania. Odciski mam na rękach, nie na mózgu. To chyba Nick wszystkim rządzi.

– Czy to prawda? – zapytała, spoglądając na Nicka.

Nick napisał coś szybko na kartce, a Ralph odczytał to na głos.

– „Przyjazd tu był, przyznaję, moim pomysłem. Co do tego, czy ja wszystkim rządzę, nie potrafię odpowiedzieć. Nie wiem”. June i Olivie spotkaliśmy jakieś dziewięćdziesiąt mil na południe stąd – dodał Ralph. – Przedwczoraj, czy tak, Nick?

Nick potaknął ruchem głowy.

– Byliśmy w drodze tutaj, ale te kobiety również zdążyły na północ. Dick także. Spotkaliśmy się po drodze, więc dalej pojechaliśmy już razem.

– Czy widzieliście jeszcze jakichś ludzi? – zapytała.

– Nie – odparł Nick. – Ale ja, i Ralph także, mieliśmy wrażenie, że byli tam jacyś ludzie i obserwowali nas. Podejrzewam, że się bali. Prawdopodobnie wciąż nie mogli otrząsnąć się z szoku po tym, co przeżyli.

Skinęła głową.

– Dick powiedział, że na dzień przed tym, jak do nas dołączył, słyszał dobiegający od południa warkot silnika motocykla. W okolicy muszą więc być inni ludzie. Sądzę, że widok dużej grupy ludzi sprawił, że się bali.

– Dlaczego tu przyjechaliście? – Jej oczy otoczone siateczką zmarszczek lustrowały go z uwagą.

„Śniłem o tobie – odpisał Nick. – Dick Ellis także. A Gina, ta mała dziewczynka, na długo przed tym jak tu dotarliśmy nazywała cię «babcią». Opisała nam twoją chatkę. Mówiła o huśtawce z opony”.

– Boże, chroń to dziecko – rzuciła niejako mimochodem Matka Abigail. – A ty?

– Raz, czy dwa, droga pani – odparł Ralph. Zwilżył wargi i dodał: – Głównie śniłem o tym drugim.

– O jakim drugim?

Nick napisał coś i zakreślił odpowiedź w kółko. Podał jej kartkę. Bez okularów albo szkła powiększającego, które kupiła w ubiegłym roku w Hemingford Center miała trudności z czytaniem, ale tym razem poszło jej gładko. Litery były duże, wyraźne jak napis, który Bóg pozostawił na murze pałacu Belshazzara. Ponieważ był otoczony kółkiem, gdy tylko go ujrzała przeszły ją lodowate dreszcze. Pomyślała o łasicach czołgających się na brzuchu po poboczu drogi i rzucających się na jej worek by rozerwać go swymi długimi, ostrymi jak igły, zabójczymi zębami. Pomyślała o pojedynczym czerwonym oku otwierającym się w mroku, poszukującym i wypatrującym z uwagą nie tylko jej, starej, czarnoskórej kobiety, ale całej grupy kobiet, mężczyzn i jednej małej dziewczynki.

W zamasyście nakreślonym kółku widniały dwa słowa: „Mroczny mężczyzna”.

– Powiedziano mi – oznajmiła, składając kartkę na pół, by zaraz rozwinąć ją znowu; powtarzała tę czynność kilkakrotnie zapominając o dokuczającym jej artretyzmie – że musimy wyruszyć na zachód. Wyjawił mi to we śnie sam Pan Bóg. Nie chciałam usłuchać. Jestem już stara i jedyne, czego pragnę, to umrzeć spokojnie na tym niewielkim skrawku ziemi. Od stu dwunastu lat należał on do mojej rodziny, lecz nie dane jest mi tu zasnąć, tak jak Mojżeszowi nie dane było wejść do Kanaanu wraz z Dziećmi Izraela.

Przerwała. Dwaj mężczyźni obserwowali ją z powagą w blasku lampy, na zewnątrz zaś wciąż lało jak z cebra. Nie było już słyhać grzmotów. „Boże – pomyślała – ta szczęka sprawia mi okropny ból. Chciałabym ją wyjąć i położyć się wreszcie spać”.

– Zaczęłam mieć sny na dwa i pół roku przed pomorem. Zawsze miewałam różne sny i niekiedy się one sprawdzały. Proroctwa są darem Bożym i Jego częśćka tkwi w każdym z nas. Moja babka nazywała to „łśnieniem Bożej lampy”, a czasami po prostu łśnieniem. W snach widziałam siebie zdążającą na zachód.

Na początku towarzyszyło mi tylko kilka osób, lecz ich liczba stale się powiększała. Podążaliśmy na zachód, wciąż na zachód, aż w oddali zamajaczyło pasmo Gór Skalistych. Było nas wtedy ze dwie setki albo i więcej. Przy szosie były znaki, nie znaki od Boga, tylko zwyczajne, drogowe, a na każdym z nich widniał napis BOULDER, KOLORADO, 609 MIL albo DO BOULDER.

Przerwała.

– Te sny mnie przerażały. Nigdy o nich nikomu nie mówiłam, tak bardzo się bałam. Chyba podobnie musiał się czuć Hiob, kiedy Bóg przemówił do niego z wirującego słupa powietrza. Udawałam, że to tylko sny, ależ byłam głupia. Jak Jonasz próbowałam uciec przed Bogiem. Lecz, jak sami widzicie, wielka ryba i tak pochłonęła nas wszystkich. Skoro zaś Bóg mówi: „Abby, musisz o tym opowiedzieć”, to nie pozostaje mi nic innego, jak to uczynić.

Zawsze czułam, że ktoś do mnie przybędzie, ktoś szczególny i że gdy się zjawi będzie to znak, że nadszedł czas.

Spojrzała na Nicka siedzącego przy stole i patrzącego na nią z powagą swoim zdrowym okiem poprzez kłąb dymu z papierosa Ralpa Brentnera.

– Wiedziałam o tym, kiedy cię ujrzałam – powiedziała. – To ty, Nick. Bóg dotknął swoim palcem twojego serca. Ma on jednak więcej niż jeden palec i są jeszcze inni. Jadą tu. Chwała Panu, są już w drodze i On również próbuje dotknąć ich swoim palcem. Śnił mi się, wiem, że nawet teraz nas szuka i, oby Bóg wybaczył mi słabość ducha, przeklinam go z całego serca. – Zaczęła płakać i musiała napić się wody, a potem otarła załzawione oczy. Jej łzy były, jak ona, słabe i wątłe.

Kiedy się odwróciła, Nick pisał coś w notesie. W końcu wyrwał kartkę i podał Ralphowi, który ją przeczytał.

„Nie wiem nic o Bogu, ale wiem, że coś się tu dzieje. Wszyscy, których spotkaliśmy zdążyli na północ. Jakbyś znała odpowiedź. Czy śniłaś o innych? O Dicku, June lub Olivii? A może o tej małej dziewczynce?”

– O nich nie. O innych. O małomównym mężczyźnie. O brzemiennej kobiecie. Mężczyźnie, mniej więcej w twoim wieku, który zmierza tu ze swoją gitarą. I o tobie, Nick.

„Uważasz, że wyprawa do Boulder to dobry pomysł?”

– To jest to, co musimy zrobić – odparła.

Nick przez chwilę pisał coś w notesie, wreszcie oddał kartkę Brentnerowi.

„Co wiesz o mrocznym mężczyźnie? Wiesz może kim on jest?”

– Nie wiem kim jest, ale wiem co sobą reprezentuje. To najczystsze zło, jakie pozostało na tym świecie. Reszta złych ludzi to w zasadzie nic nie ważne osoby. Złodzieje, szabrownicy, zbrodniarze i awanturnicy lubujący się w stosowaniu przemocy. Ale on wezwie ich do siebie. Już zaczął ich zwoływać. Robi to szybciej od nas. Ma jeszcze trochę do zrobienia, zanim zdecyduje się uczynić swój pierwszy ruch. Musi zebrać swoją małą armię. Nie tylko złych, takich jak on sam, lecz również słabych, zagubionych i tych, którzy wyrzucili Boga ze swoich serc.

„Może jego wcale nie ma – napisał Nick. – Może nie istnieje naprawdę”.

Przez chwilę gryzła górną końcówkę długopisu, zastanawiając się.

„Może to tylko ta zła, ogarnięta trwogą część nas wszystkich – dopisał. – Może wszyscy śnimy o rzeczach, które moglibyśmy popełnić i tego się właśnie lękamy”.

Ralph zmarszczył brwi, odczytując te słowa na głos, ale Abby od razu zrozumiała, o co Nickowi chodziło. Nie różniło się to zbyt od kazań nowych kaznodziei, którzy w ostatnich dwudziestu latach głosili swoją wiarę w całym kraju. Twierdzili oni, że Szatan nie istnieje. Że zło jest, owszem, i wywodzi się zapewne od Grzechu Pierworodnego, ale tkwi ono w każdym z nas i wyzbycie się go było równie niemożliwe, jak wyłuskanie jajka ze skorupki bez rozbicia jej. Zgodnie z tą teorią Szatan był niczym układanka złożona z niezliczonych

kawałków, którego całość stanowiła połączona ludzkość całego świata. Tak, ta teoria miała w sobie wszystkie cechy nowoczesnego trendu New Age, kłopot w tym, iż rozmijała się z prawdą. I jeśli Nick nie zmieni swego punktu widzenia, mroczny mężczyzna zje go na kolację.

– Śniłeś o mnie – powiedziała. – Czy ja nie istnieję?

Nick spojrzał na nią.

– I ja śniłam o tobie. Czy i ty nie istniejesz? Na Boga, przecież siedzisz tuż obok ze swoim bloczkiem do notowania i długopisem. Tamten mężczyzna istnieje, jest równie realny jak ty czy ja. – Wiedziała, że to co mówi jest prawdą. On był realny. Pomyślała o łasicach i o czerwonym oku otwierającym się w ciemnościach. Kiedy zaś znowu się odezwała, jej głos brzmiał ochryple: – Nie jest Szatanem – wyjaśniła – lecz on i Szatan znają się nawzajem i od dawna ze sobą współpracują.

W Biblii nie jest napisane, co się stało po potopie z Noe i jego rodziną. Nie zdziwiłoby mnie jednak, gdyby rozegrała się wówczas, przerażająca walka o dusze tych nielicznych ludzi, którzy przeżyli – walka o ich dusze, ich ciała i ich SPOSÓB MYŚLENIA. Nie zdziwiłoby mnie, gdybyśmy my właśnie brali udział w podobnej rozgrywce.

Mroczny mężczyzna w tej chwili znajduje się gdzieś na zachód od Gór Skalistych. Prędej czy później wyruszy na wschód. Może jeszcze nie w tym roku, ale kiedy tylko będzie gotowy, uczyni to. Naszym zadaniem jest rozprawienie się z nim.

Nick wyraźnie zdezorientowany pokręcił głową.

– Tak – odparła. – Sam się przekonasz. Czekają nas ciężkie dni. Śmierć, zgroza, zdrada i lzy. Nie wszyscy z nas dożyją by dowiedzieć się, jak to się skończy.

– Nie podoba mi się to – wtrącił Ralph. – Sytuacja i tak jest niewesoła, nawet bez tego strasznego człowieka, o którym oboje mówicie. Czy nie mamy dość kłopotów wynikających z braku lekarzy, prądu i praktycznie wszystkiego? Dlaczego to nas musiało spotkać?

– Nie wiem. Taka jest wola Boża. On nie tłumaczy się przed takim prochem jak Abigail Freemantle.

– Jeśli taka jest Jego wola – odparował Ralph – to wolałbym, żeby złożył swój urząd i przekazał go komuś młodszemu.

„Jeśli mroczny mężczyzna jest teraz na zachodzie – napisał Nick – to może powinniśmy wziąć nogi za pas i przenieść się jak najdalej na wschód?”

Pokręciła głową cierpliwie:

– Nick, wszystko i wszyscy służą woli Pana. Czy nie uważasz, że mroczny człowiek również? Tak, on również służy Jego woli, choć jak zapewne wiesz, wyroki Boskie są pokrętne i niezbadane. Ten człowiek będzie cię ścigał, niezależnie od tego dokąd uciekniesz, ponieważ wypełnia wolę Bożą, a Bóg chce, abyś stawił mu czoła. Ucieczka nic ci nie da. Nie sposób uniknąć tego, co przeznaczył ci Pan Wszelkiego Stworzenia. Jeśli będziesz się opierał, skończysz w brzuchu wielkiej bestii.

Nick pisał przez chwilę. Ralph spojrział na kartkę, potarł palcem skrzydełko nosa; widać było, że nie chce tego przeczytać. Starym kobietom, jak Abigail nie mogło spodobać się to, co właśnie napisał Nick. Nazywały takie stwierdzenia bluźnierstwem i robiły przy tym hałas co niemiara. Ani chybi ta stara Murzynka swoim krzykiem pobudzi wszystkich wokoło.

– Co napisał? – zapytała Abigail.

– Napisał... – Ralph chrząknął, piórko na jego kapeluszu zafalowało. – Napisał, że nie wierzy w Boga. – To rzekłszy, skonsternowany wbił wzrok w czubki swoich butów, oczekując na wybuch wściekłości.

Ale stara Murzynka tylko zachichotała i podeszła do Nicka. Ujęła go za rękę i poklepała po wierzchu dłoni.

– Niech cię Bóg błogosławi, Nick. To nie ma znaczenia. Bo ON wierzy w CIEBIE.

Następne dni spędzili w domu Abby Freemantle i był to najlepszy czas dla każdego z nich od dnia, kiedy wygasła epidemia supergrypy. Zupełnie jak dzień, kiedy opadły wody Potopu, pozostawiając Arkę Noego na górze Ararat. Deszcz ustał nad ranem, a przed dziewiątą spomiędzy chmur wyszło słońce. Wiatr szumiał wśród łanów kukurydzy. Było chłodno, ale przyjemnie.

Tom Cullen przez cały ranek biegał między łanami z szeroko rozłożonymi ramionami, płosząc stada wron i kruków. Gina McCone siedziała uśmiechnięta na ziemi i bawiła się papierowymi lalkami, które Abigail znalazła na dnie kufra w sypialni. Nieco wcześniej ona i Tom bawili się samochodzikami i ciężarówkami w garażu zabranym przez Cullena ze sklepu z zabawkami w May, w Oklahomie. Tom bez sprzeciwów wykonywał polecenia i prośby Giny.

Dick Ellis, weterynarz, zapytał Abigail, czy w okolicy ktoś hodował świnie.

– Owszem, Stonerowie – odparła. Siedziała na ganku w bujanym fotelu, strojąc gitarę i patrząc, jak Gina bawi się na podwórku z wyciągniętą przed siebie nogą w gipsowym opatrunku.

– Czy sądzisz, że któraś z nich jeszcze żyje?

– Musiałbyś sam to sprawdzić. To możliwe. A może rozwaliły ogrodzenie, wybierając wolność i dzikie życie na swobodzie. – Jej oczy rozbłyły. – Możliwe, że znam także kogoś, kto ubiegłej nocy śnił o kotletach wieprzowych.

– Kto wie – mruknął Dick.

– Zabiłeś kiedyś świnie?

– Nie, proszę pani – odparł, uśmiechając się szeroko. – Odrobaczyłem kilka, ale nigdy żadnej nie zabiłem. Zawsze byłem człowiekiem łagodnej natury.

– Czy ty i Ralph dacie radę podporządkować się starej kobiecie?

– Możemy spróbować.

Dwadzieścia minut później wyruszyli we trójkę, Abigail siedziała pomiędzy nimi w sfoferce chevroleta, z laską ściśniętą chudymi kolanami. Na farmie Stonerów odnaleźli w chlewiku dwa dorodne, całe i zdrowe roczne wieprzki. Wygląda na to, że odkąd zabrakło im paszy żywiły się swymi słabszymi i mniej szczęśliwymi krewniakami.

Ralph przygotował w obozie wyciągarkę, a Dick pod kierunkiem Abigail zdołał w końcu zarzucić pętlę na tylną nogę jednego z wieprzków. Piszczący i miotający się prosiak został następnie przeniesiony do obory i podwieszony na łańcuchu wyciągarki, gdzie zawisł łbem do dołu.

Ralph znalazł w domu mierzący trzy stopy długości nóż rzeźnicki. „Boże, to nie nóż, to prawdziwy bagnet” – pomyślała Abigail.

– Nie wiem, czy zdołam to zrobić – powiedział.

– To daj nóż mnie – mruknęła Abigail i wyciągnęła rękę.

Ralph spojrzał z powątpiewaniem na Dicka. Ten wzruszył ramionami.

Ralph oddał Murzynce nóż.

– Panie – rzekła Abigail – dziękujemy ci za dary, które nam zsyłasz. Dziękujemy ci za tego wieprzka, który sprawi, że zaspokoimy nasz głód, amen. Cofnijcie się, chłopcy, będzie chlustało.

Jednym wprawnym cięciem podcięła wieprzkowi gardło – pewnych rzeczy, nawet mimo wieku, nigdy się nie zapomina – a potem cofnęła się szybko.

– Rozpałiłeś pod kotłem? – zwróciła się do Dicka. – Porządnie rozpałiłeś?

– Tak, proszę pani – odparł z szacunkiem Dick, nie mogąc oderwać wzroku od prosiaka.

– Przyniosłeś szczotki? – spytała Ralpha.

Ralph pokazał jej dwie duże szczotki ryżowe.

– Weźcie go teraz i wrzucicie do wody. Kiedy się trochę podgotuje, będzie można usunąć z niego szczecinę. Po wrzuceniu do wrzątku będzie to łatwiejsze niż obranie ze skórki banana.

Na myśl o czyszczeniu wieprzka obaj mężczyźni wyraźnie pozielenieli.

– Do roboty – powiedziała. – Przecież nie będziecie go jeść ze szczeciną. Trzeba go najpierw rozebrać.

Ralph i Dick Ellis spojrzeli po sobie, przełknęli ślinę, a potem zdjęli wieprzka z łańcucha. Skończyli o trzeciej po południu, o czwartej zaś byli już z powrotem z zapasem mięsa. Na kolację były tego dnia kotlety. Mężczyźni nie mieli jakoś apetytu, ale Abigail zjadła aż dwa, z lubością przełykając każdy kęs. „Nie ma to jak świeże mięso” – pomyślała, rozkoszując się smakiem młodej wieprzowiny.

Było parę minut po dziewiątej. Gina spała, Tom Cullen drzemał na ganku w bujaku Matki Abigail. Na niebie od zachodu pojawiła się błyskawica. Wszyscy dorośli zebrali się w kuchni, za wyjątkiem Nicka, który poszedł na spacer. Abigail wiedziała, z czym się teraz borykał i całym sercem była przy nim.

– Chyba nie ma pani naprawdę stu ośmiu lat, co? – zapytał Ralph, przypominając sobie jej słowa wypowiedziane rankiem, zanim wyruszyli po prosiaka.

– Zaczekaj tu chwilę – rzekła Abigail. – Coś ci pokażę. – Weszła do sypialni i zdjęła ze ściany nad komódką oprawiony w ramki list od prezydenta Reagana. Przyniosła go i położyła Ralphowi na podółku. – Przeczytaj to, synku – oznajmiła z dumą.

Ralph spuścił wzrok.

”Z okazji setnej rocznicy Pani urodzin jedną z siedemdziesięciu dwóch udokumentowanych stulatków w całych Stanach Zjednoczonych... piątą najstarszą zarejestrowaną Republikanką w całych Stanach Zjednoczonych... pozdrowienia i gratulacje od prezydenta Ronalda Reagana. 14 sierpnia 1982 roku”.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– O kurr... – przerwał i zaczerwienił się, speszony. – Pani wybaczy.

– Ileż niezwykłych rzeczy musiała pani widzieć w życiu – powiedziała z przejęciem Olivia.

– To wszystko drobiazgi w porównaniu z tym, co zobaczyłam w ciągu ostatniego miesiąca z okładem – westchnęła. – Albo z tym, co dopiero nadejdzie.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Nick. Rozmowa urwała się, jakby wszyscy zabijali tylko czas, czekając na niego. Po wyrazie jego twarzy zorientowała się, że podjął decyzję i w głębi duszy wiedziała jaką. Podał jej kartkę, którą napisał na ganku, stojąc obok Toma. Wyciągnęła rękę, aby móc przeczytać.

„Najlepiej będzie, jak wyruszymy do Boulder już jutro”.

Przeniosła wzrok z kartki na jego twarz i wolno skinęła głową. Podała kartkę June Brinkmeyer, a ta przekazała ją Olivii.

– Chyba tak właśnie powinniśmy zrobić – rzekła Abigail. – Nie pilno mi do tego podobnie jak tobie, ale tak chyba powinniśmy zrobić. Co sprawiło, że podjąłeś tę decyzję?

Niemal gniewnie wzruszył ramionami i wskazał na nią.

– Niech i tak będzie – odparła Abigail. – Ja pokładam moją wiarę w Bogu.

„Chciałbym, aby i ze mną tak było” – pomyślał Nick.

Następnego ranka, dwudziestego szóstego lipca, po krótkiej dyskusji Dick i Ralph pojechali ciężarówką Ralpha do Columbus.

– Żal mi ją porzucać, Nick – mruknął Ralph. – Ale skoro tak mówisz, to trudno, jakoś to zniosę.

„Wróćcie najszybciej, jak to możliwe” – napisał Nick.

Ralph zaśmiał się gardłowo i rozejrzał się po podwórzu; June i Olivia prały w wielkiej balii z przymocowaną do niej tarą. Tom straszył wrony, które to zajęcie, oprócz biegania wśród łanów kukurydzy, przynosiło mu najwięcej radości i pochłaniało go bez reszty. Gina bawiła się jego samochodzikami i garażem. Stara kobieta siedziała, drzemiąc w bujanym fotelu.

– Bardzo ci spieszno włożyć głowę w paszczę lwa, Nicky.

„A czy jest jakieś inne lepsze miejsce, dokąd moglibyśmy pojechać?” – odpisał Nick.

– To prawda. Błąkanie się bez celu nie ma sensu. Czujesz się przez to kompletnie bezwartościowy. Czy zwróciłeś uwagę, że człowiek bez przyszłości czuje się zwykle fatalnie?

Nick skinął głową.

– Świetnie – Ralph poklepał Nicka po ramieniu i odwrócił się. – Dick, wybieram się na przejażdżkę, jedziesz ze mną?

Tom Cullen biegiem wrócił z pola, włosie z kukurydzy miał poprzyklepane do koszuli, spodni i długiej, jasnej czupryny.

– Ja też! Tom Cullen też chce na przejażdżkę! Słowo daję, tak!

– No to chodź – powiedział Ralph. – Spójrz no na siebie, aleś się umorusał. Cały jesteś w kukurydzianym włosiu. I nie złapałeś nawet jednej wrony! Poczekaj, trochę cię otrzępię.

Uśmiechając się szeroko, Tom pozwolił by Ralph otrzepał jego koszulę i spodnie. Nick podejrzewał, że dla Toma dwa ostatnie tygodnie były zapewne najszczęśliwszym okresem w życiu. Był z ludźmi, którzy go akceptowali i potrzebowali. Właściwie, dlaczego nie? Może i był upośledzony, ale w tym nowym świecie stanowił swoisty ewenement.

– Na razie, Nicky – rzucił Ralph, siadając za kierownicą chevy.

– Na razie, Nicky – zawtórował Tom, uśmiechając się bez przerwy.

Nick odprowadził pickupa wzrokiem, dopóki auto nie znikło mu z oczu, po czym udał się do szopy, gdzie znalazł starą skrzynię i puszkę farby. Wyłamał jedną ze ścianek skrzyni i przybił do niej długą deskę. Następnie wyniósł tablicę i puszkę z farbą na podwórze, gdzie w towarzystwie Giny, która bacznie mu się przyglądała, sporządził na tablicy wyraźny, dobrze widoczny napis.

– Co tu jest napisane? – spytała dziewczynka.

– Tu jest napisane: „Pojechaliśmy do Boulder w Kolorado. Aby uniknąć korków i blokad będziemy jechać rzadziej uczęszczanymi, podrzędnymi drogami, kanał 14, pasmo ogólnodostępne” – przeczytała Olivia.

– Co to znaczy? – spytała, podchodząc bliżej June.

Wzięła Ginę na ręce i obie patrzyły, jak Nick starannie stawia tablicę w stronę podjazdu. Wkopał deskę na trzy stopy w ziemię. Teraz nic oprócz solidnej wichury nie mogło przewrócić znaku. Naturalnie w tym zakątku ziemi zdarzały się naprawdę porywiste wichury – pomyślał o tornadzie, które o mało nie zabiło jego i Toma, i o grozie, którą przeżyli w piwniczce w stodole.

Napisał kilka zdań i podał kartkę June.

„Dick i Ralph pojechali do Columbus między innymi aby zdobyć radio CB. Ktoś będzie musiał prowadzić stały nasłuch na kanale 14”.

– Och – szepnęła Olivia. – Sprytnie pomyślane.

Nick dostojnym gestem postukał się w czoło i uśmiechnął się.

Kobiety zabrały się za rozwieszanie prania. Gina wróciła do resorków, podskakując zwinnie na jednej nodze. Nick przeszedł przez podwórze, wszedł na ganek i usiadł przy drzemiącej staruszce. Patrzył na rozciągające się przed nim pole kukurydzy i zastanawiał się, co czekało każdego z nich.

„Skoro tak mówisz Nick, to trudno, jakoś to zniosę”.

Uczynili z niego swego przywódcę. Zrobili to, choć nie miał pojęcia dlaczego. Przecież głuchoniemy nie może nikomu wydawać rozkazów, to brzmiało jak podły żart. To Dick powinien być ich przywódcą. On mógł jedynie grać rolę wartownika, trzeci od lewej to właśnie on. Niema rola bez choćby jednej linijki tekstu, a jedyną osobą rozpoznającą go na scenie byłaby jego matka. Odkąd jednak spotkali Ralpha Brentnera w starym pickupie, jadącego przed siebie bez żadnego wyraźnego celu, rozpoczęła się ceremonia, która dziś wydawała się wręcz na porządku dziennym – ktoś mówił coś, a potem niejako dla potwierdzenia swoich słów spoglądał na niego, na Nicka. Z nostalgią wspominał dni pomiędzy Shoyo i May, zanim zjawił się Tom, a wraz z nim odpowiedzialność. Tak łatwo było mu zapomnieć o dotkliwej samotności oraz lęku, że powracające koszmary koniec końców doprowadzą go do obłądu. Tak łatwo było pamiętać dni, kiedy troszczył się tylko o siebie, wartownika z halabardą, trzeciego od lewej, podrzędnego aktorzyzny w tej potwornej sztuce.

„Wiedziałam, odkąd cię ujrzałam, Nick. To ty. Bóg dotknął swoim palcem twojego serca”.

„Nie, nie zgadzam się. Nie przyjmuję tego. I dla jasności nie akceptuję także Boga!”.

Niech ta kobieta wierzy w Boga, skoro tego chce, Bóg był potrzebny starym ludziom, był dla nich czymś tak niezbędnym jak lewatywa czy ekspresowa herbata liptona. On będzie koncentrował się na poszczególnych sprawach pojedynczo, w ustalonej kolejności. Tak jak z chodzeniem, najpierw stawiasz jedną, a potem drugą nogę. Dowiezie ich do Boulder, a potem zobaczy co dalej. Stara kobieta powiedziała, że mroczny mężczyzna był realny, że istniał naprawdę i nie należało go postrzegać jako symbolu psychologicznego, ale w to również Nick nie chciał uwierzyć, choć w głębi serca uwierzył. W głębi serca uwierzył we wszystko, co mu powiedziała i to go przeraziło. Nie chciał być ich przywódcą.

„To ty, Nick”.

Dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Tak go to zaskoczyło, że drgnął gwałtownie, po czym odwrócił się. Matka Abigail właśnie się obudziła i uśmiechała się do niego ze swego bujanego fotela bez podłokietników.

– Tak sobie siedziałam i myślałam o Wielkim Kryzysie – oznajmiła. – Czy wiesz, że mój tato był kiedyś właścicielem tych ziem, a jego pola rozciągały się na wiele mil w każdą stronę od tego miejsca? To prawda. Był prawdziwym posiadaczem ziemskim, nie jak inni czarnoskórzy, którzy zawsze mieli niewiele albo w ogóle nic. A ja w 1902 roku występowałam na scenie Grange Hall, grając na gitarze. To było dawno temu, Nick. Bardzo, bardzo dawno temu.

Nick pokiwał głową.

– To były piękne dni, w każdym razie większość z nich. Niestety, nic nie trwa wiecznie. Za wyjątkiem miłości Bożej, ma się rozumieć. Mój tato umarł, a jego ziemię rozdzielono między jego synów. Mój mąż również dostał część schedy, sześćdziesiąt akrów, nie za dużo. Ten dom stoi na tym właśnie terenie. Na skrawku tych sześćdziesięciu akrów, choć niewiele już z nich dzisiaj zostało. Cztery akry. To wszystko. Podejrzewam, że obecnie mogłabym odzyskać tę ziemię, wszystko co do kawałka, ale to już nie byłoby to samo.

Nick poklepał ją po starej, pomarszczonej dłoni, a Murzynka westchnęła głęboko.

– Bracia nie zawsze żyją ze sobą w zgodzie; często dochodzi między nimi do waśni. Weźmy na przykład Kaina i Abła! Wszyscy chcieli kierować, a nikt nie chciał pracować na roli. Wreszcie nadszedł rok 1931 i zaczęły się kłopoty finansowe. Bracia próbowali się zjednoczyć, ale było już za późno. Do 1945 roku z całej posiadłości zostało moje sześćdziesiąt akrów i jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt akrów, na których stoi teraz farma Goodella.

Wyjęła chustkę z kieszonki sukienki, a potem wolno, z zamyśleniem otarła nią oczy.

– Koniec końców zostałam tylko ja, bez pieniędzy i w ogóle wszystkiego. A każdego roku na poczet spłaty podatków traciłam drobną część moich ziem. Wychodziłam wtedy na pole, patrzyłam na ziemię, która nie należała już do mnie i płakałam nad nią, tak jak teraz. Co roku przez podatki traciłam jakąś część mojej własności, tak to właśnie było. Kawałek tu, kawałek tam. To, co mi zostało wynajęłam, ale te żarłoczne podatki zawsze okazywały się wyższe niż zyski z najmu. Dopiero kiedy skończyłam sto lat zwolniono mnie dożywotnio z obowiązku ich płacenia. Przyznali mi ten przywilej po tym, jak prawie wszystko zabrali, pozostawiając tylko ochłapy. Wielkoduszne posunięcie, czyż nie?

Uścisnął lekko jej dłoń i spojrzał na nią.

– Och, Nick – rzekła Matka Abigail. – W moim sercu tkwi głęboka nienawiść do Boga. Każdy człowiek, który Go kocha, jednocześnie nienawidzi Go, jest On bowiem Bogiem srogim. Bogiem zazdrosnym. Jest Tym, który jest i na tym świecie za służbę sobie odplaca bólem i cierpieniem, podczas gdy oddani złu są bogaci i jeżdżą cadillacami. Nawet radość służenia Bogu przepelniona jest goryczą. Wypełniam Jego wolę, lecz ludzka część mnie sprawia, że w głębi serca Go przeklinam. „Abby – mówi do mnie Pan – zaplanowałam dla ciebie w przyszłości pewne zadanie. Dlatego pozwolę ci żyć, byś mogła pogrzebać wszystkie swoje dzieci. Będziesz się cieszyć długowiecznością i ujrzysz, jak wszystko co masz jest ci

odbierane, kawałek po kawałku. A na koniec w charakterze nagrody przyjdzie ci odejść wraz z grupą obcych ci ludzi, zostawić to wszystko, co kochałaś najbardziej i umrzeć na obcej ziemi nie dokończywszy rozpoczętego dzieła. Oto moja wola, Abby” – mówi Pan. Ja Mu na to: „Dobrze, Panie. Bądź wola Twoja” – choć w głębi serca przeklinam go i pytam: „Dlaczego, dlaczego, dlaczego?”. Jedyna zaś odpowiedź jaką otrzymuję brzmi: „Gdzie byłaś, kiedy stworzyłem ten świat?”

Szlochała; łzy ściekały jej po policzkach skapując na sukienkę, a Nick zastanawiał się jak to możliwe, że w tej starej kobiecie, która wydawała się wyschnięta i pomarszczona jak uschła gałąź, mogło być aż tyle łez.

– Pomóż mi, Nick – poprosiła. – Jedyne czego pragnę, to wypełnić wolę Bożą. Zrobić to, co jest właściwe.

Uściskał jej dłonie. Gina stojąca z tyłu, za nimi, zachichotała i uniosła trzymany w dłoni samochodzik ku górze, by odbiły się w nim złociste promienie słońca.

Dick i Ralph wrócili w południe. Dick siedział za kierownicą nowego furgonu dodge, a Ralph czerwonej ciężarówki holowniczej ze wzmocnionym zderzakiem z przodu i żurawiem z hakiem z tyłu. Tom stał na platformie machając rażno ręką. Podjechali pod ganek. Dick wysiadł z furgonu.

– W tej ciężarówce jest ekstra radyjko CB – oznajmił Nickowi. – To cacko ma czterdzieści kanałów. Ralphowi na pewno się spodoba.

Nick uśmiechnął się. Na podwórze wyszły kobiety i zaczęły oglądać ciężarówki. Abigail zauważyła, że Ralph podprowadził June do ciężarówki, aby pokazać jej radiostację. Wyczuwała, że między tą dwójką coś zaczynało się kroić. No i dobrze. Kobieta miała szerokie, silne biodra, dobre do rodzenia dzieci. Mogła ich mieć tyle, ile tylko zechce.

– Kiedy ruszamy? – zapytał Ralph.

„Po posiłku – odpisał Nick. – Wypróbowaliście CB?”

– Tak – odparł Ralph. – Przez całą drogę powrotną. Strasznie trzeszczy, jest w niej co prawda guzik wyciszania zakłóceń, ale chyba trochę szwankuje. I wiesz co, jestem gotów przysiąc, że coś usłyszałem. Nawet mimo tych szumów. Słaby dźwięk, słyszalny jak przez mgłę. Może to wcale nie były głosy. Choć prawdę mówiąc, Nicky, nie przejmowałbym się nimi za bardzo. Tak jak tymi snami.

Zapadła długa chwila ciszy.

– Cóż – odezwała się wreszcie Olivia. – Pójdę zrobić coś do jedzenia. Chyba nie macie nic przeciwko kotletom przez dwa dni z rzędu?

Nie mieli. O pierwszej sprzęt turystyczny oraz bujak i gitara Abigail znalazły się w furgonie. Wyruszyli w drogę. Ciężarówka holownicza z silnym jak taran przednim zderzakiem pojechała pierwsza, aby w razie potrzeby spychać z drogi tarasujące ją auta. Abigail zajęła miejsce w furgonie. Nie płakała, gdy wyjechali na szosę numer 30. Laskę

trzymała wciśniętą pomiędzy kolana. Czas łez należał już do przeszłości. Nadszedł dzień by wypełniła wolę Bożą i wykonała zadanie, które jej zlecił, tak się więc stanie. Wola Boża wypełni się, ale Matka Abigail przez cały czas myślała o tamtym czerwonym oku, otwierającym się pośród atramentowych ciemności nocy i jej serce przepełniło się dojmującą trwogą.

ROZDZIAŁ 46

Był późny wieczór dwudziestego siódmego lipca. Obozowali na spustoszonych letniskach burzami terenach Kunkle Fairgrounds. Samo Kunkle, Kunkle w Ohio, leżało na południe stąd. Musiał tu mieć miejsce duży pożar, bowiem Kunkle w znacznej mierze już nie istniało. Stu powiedział, że prawdopodobnie pożar powstał od uderzenia pioruna. Harold naturalnie wdał się z nim w spór. Ostatnio gdy Stu Redman mówił, że coś jest białe, Harold Lauder natychmiast oponował i, używając najrozmaitszych metod, usiłował udowodnić, że jest czarne.

Frannie westchnęła i odwróciła się. Nie mogła zasnąć. Bała się nadchodzących nocami koszmarów.

Po lewej stronie stał rząd pięciu motocykli na podpórkach; blask księżyca odbijał się w ich chromowanych rurach wydechowych i przyrządach. Jakby banda Aniołów Piekieł postanowiła spędzić noc w tym właśnie miejscu. Choć uznała za wątpliwe, żeby jakikolwiek szanujący się rockers wybrał sobie zagraniczną maszynę jak na przykład honda czy yamaha.

Jeździli na „wieprzach” a przynajmniej tak je chyba nazywano w tym starym filmie, który kiedyś oglądała w telewizji. Jaki nosił tytuł? *Dzikie Anioły*. *Diabelskie Anioły*. *Anioły Piekieł na motorach*. Kiedy chodziła do szkoły, w kinie dla zmotoryzowanych często prezentowano filmy o rockersach. Kina w Wells, w Sanford, w South Portland. Płacisz za wjazd i wybierasz. A teraz trzask prask i po wszystkim. Kin dla zmotoryzowanych już nie było, nie mówiąc już o Aniołach Piekieł czy dobrych starych wytwórniach filmowych.

„Zapisz to w swoim pamiętniku, Frannie” – powiedziała do siebie i odwróciła się na drugi bok. Ale nie tej nocy. Dziś w nocy zaśnie, nieważne czy przyśni się jej coś złego, czy też nie.

Dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie leżała, rozłożyli się inni pochrapując w swoich śpiworach jak Anioły Piekieł po wielkiej piwnej popijawie kończącej się orgietką, z której nie tknięci wychodzili tylko Peter Fonda i Nancy Sinatra. Harold, Stu, Glen Bateman, Mark Braddock, Perion McCarthy. Weź dziś w nocy somintex i zaśnij.

Nie wzięli somintexu tylko po pół grama veronalu. To Stu wpadł na ten pomysł, kiedy koszmary stały się naprawdę nie do wytrzymania, co później, za dnia, wpływało na nich wszystkich. Musieli jakoś sobie z tym poradzić. Zanim zaproponował to wszystkim, Stu

poprosił Harolda na bok, aby zapytać go o zdanie na ten temat. Zrobił to dlatego, że wypytywanie Harolda o trzeźwą, racjonalną opinię mile łechtало jego próżność, po drugie zaś Harold naprawdę sporo wiedział. Z jednej strony dobrze, że tak było, choć niektórych mogło to deprymować. Zupełnie jakby przebywali w towarzystwie trzeciorzędnego bożka, bardziej lub mniej wszechmocnego, lecz niezrównoważonego emocjonalnie, który w każdej chwili mógł załamać się psychicznie. W Albany Harold zaopatrzył się w drugi pistolet i nosił je w kaburach na biodrach jak współczesny Johnny Ringo. Fran niepokoiła się o Harolda; musiała też przyznać, że coraz bardziej ją przerażał. Zastanawiała się, czy któregoś dnia Harold nie zacznie strzelać ze swoich pistoletów na prawo i lewo. Często powracała myślami do dnia, kiedy spotkała Harolda na podwórzu za jego domem, gdy kompletnie załamany, ubrany jedynie w spodenki kąpielowe, kosił trawnik i płakał w głos.

Wiedziała, co musiał mu powiedzieć Stu, cichym, niemal konspiracyjnym szeptem: „Haroldzie, te sny stają się coraz większym problemem. Mam pewien pomysł, ale nie wiem, jak go zrealizować myślałem o łagodnym środku nasennym ale nie mam pojęcia, jakie powinny być optymalne dawki. Jeśli weźmiemy za dużo, nie obudzimy się, nawet gdyby się waliło i paliło, a tego przecież nie chcemy. Co sugerujesz?”

Harold zaproponował po gramie veronalu, środka dostępnego w każdej aptece, a gdyby to spowodowało ustanie nawrotu koszmarów, zmniejszenie dawki do trzech czwartych grama. W przypadku gdyby i to okazało się skuteczne, mieli zmniejszyć dawkę do pół grama. Stu zapytał również o zdanie Glena, zasięgając zbieżnej opinii, po czym zaczęli eksperymentować. Przy dawce ćwierć grama koszmary zaczęły powracać, więc podnieśli ją o sto procent.

Przynajmniej w przypadku pozostałych.

Frannie odbierała lekarstwo każdego wieczora, ale nie odważyła się go zażyć. Nie wiedziała, czy veronal zaszkodziłby jej dziecku czy też nie, ale wolała nie ryzykować. Mówi się, że nawet aspiryna może spowodować przerwanie łańcucha chromosomów. Cierpiała więc, dręczona przerażającymi snami. CIERPIAŁA, to było właściwe słowo. Jeden z nich szczególnie dawał się jej we znaki. Jeśli były jakieś inne, prędzej czy później zlewały się w ten jeden. Znajdowała się w swoim domu w Ogunquit i była ścigana przez mrocznego mężczyznę. Gonił ją poprzez labirynt ciemnych korytarzy, przez salonik jej matki, gdzie stary zegar wciąż odmierzał tykaniem kolejne sekundy. Wiedziała, że może mu umknąć, gdyby tylko nie musiała dźwigać tego ciała. To było ciało jej ojca owinięte prześcieradłem. Gdyby je upuściła, porzuciła gdzieś, mroczny mężczyzna zrobiłby z nim coś strasznego, sprofanował w sposób, którego nie można sobie nawet wyobrazić. Biegła więc ze świadomością, że ON jest coraz bliżej i bliżej, aż w końcu jego dłoń, gorąca, dziwna w dotyku, obrzydliwa dłoń zaciskała się na jej ramieniu. A wtedy stawała się słaba i powolna, jakby z jej ciała znikły wszystkie kości, a otulony białym całunem trup jej ojca wyslizgiwał się z wiotkich, kobiecych

ramion Fran. Kiedy się odwracała, brała głęboki oddech by powiedzieć: „Weź go sobie, zrób z nim co zechcesz, nie obchodzi mnie to, tylko przestań mnie w końcu gonić”.

I dostrzegła go. Był ubrany w ciemną, powłóczystą szatę przypominającą mnisi habit z naciągniętym głęboko kapturem, zacieniającym jego twarz. Z mroków kaptura błyskały jedynie jego wyszczerzone w wilczym uśmiechu zęby. W jednej dłoni trzymał pogięty druciany wieszak. Wtedy też fala zgrozy uderzała w nią niczym niewidzialna pięść i Frannie budziła się ze skórą lepką od potu, sercem tłukącym się w piersi niczym spłoszony ptak i głębokim pragnieniem, aby już nigdy, przenigdy nie udało jej się zasnąć.

Mrocznemu mężczyźnie wcale nie chodziło o ciało jej zmarłego ojca, lecz o żywe dziecko, które nosiła w swym łonie.

Przewróciła się na drugi bok. Jeśli wkrótce nie uśnie, wyjmie swój pamiętnik i zacznie pisać. Prowadziła go od piątego lipca. W pewnym sensie robiła to dla dziecka. To był akt wiary, wiary, że dziecko przeżyje. Chciała, aby wiedziało, co działo się przed jego narodzeniem. Aby dowiedziało się, jak pomór dotarł do miasteczka o nazwie Ogunquit, o tym, jak ona i Harold uciekli stamtąd i co stało się potem. Chciała by jej dziecko wiedziało, jak się sprawy miały.

Księżyc świecił na tyle mocno by mogła przy nim pisać, jednak po dwóch, trzech stronach zwykle robiła się senna. To na pewno nie było reklamą jej talentu literackiego. Postanowiła raz jeszcze dać szansę Morfeuszowi.

Zamknęła oczy.

I zaczęła myśleć o Haroldzie.

Sytuacja mogłaby się nieco rozluźnić wraz z pojawieniem się Marka i Perion, gdyby tych dwoje nic ze sobą nie łączyło. Perion miała trzydzieści trzy lata, o jedenaście więcej niż Mark, ale takie drobiazgi nie miały już dziś żadnego znaczenia. Odnaleźli się, chronili się wzajemnie i cieszyli się tym, co ich połączyło. Perion wyznała Frannie, że myśleli z Markiem o dziecku. „Dzięki Bogu, że brałam pigułki – powiedziała. – Niby jak, na Boga, miałabym teraz urodzić?”

Frannie o mało nie zdradziła jej, że jest w ciąży (miała już za sobą pierwsze trzy miesiące), ale coś ją powstrzymało. Obawiała się, że to mogło pogorszyć jej i tak już nie najlepszą sytuację.

Było ich teraz sześcioro zamiast czworga (Glen nawet nie chciał spróbować poprowadzić motocykla i zawsze jechał z tyłu za Stu lub Haroldem), ale obecność jeszcze jednej kobiety niczego nie zmieniła.

„A co z tobą, Frannie? Czego TY chcesz?”.

Jeśli już musiała istnieć na świecie takim jak ten, pomyślała, z tykającym zegarem biologicznym, w którym uruchomi się alarm za sześć miesięcy, pragnęła by jej mężczyzną został ktoś taki jak Stu Redman. Nie, nie ktoś taki, lecz właśnie on. Pragnęła go. No i poszło. Przyznała się do tego sama przed sobą.

Kiedy cywilizacja jako taka przestała istnieć, z silnika ludzkiej społeczności znikła chromowana maska i wszystkie te błyszczące gadzety. Glen Bateman często podejmował ten temat, co najwyraźniej niepomrotnie radowało Harolda.

Równouprawnienie kobiet – uznała Frannie (dochodząc do wniosku, że skoro zaczęła wyklądać swoje karty, równie dobrze może ujawnić je wszystkie) było ni mniej ni więcej tylko tworem stechnicyzowanego społeczeństwa. Kobiety były zdane na łaskę swoich ciał. Były mniejsze i tym samym słabsze. Mężczyzna nie mógł urodzić dziecka, ale kobieta tak – wie o tym każdy czterolatek. Kobieta w ciąży jest istotą szczególnie podatną na zranienie. Cywilizacja stworzyła parasol ochronny, pod którym mogli schronić się przedstawiciele obojga płci. Równouprawnienie, to słowo mówiło wszystko. Znaczyło tyle samo co wyzwolenie. Przed nastaniem ery cywilizacji z jej troskliwym i miłosiernym systemem osłonowym kobiety były niewolnicami. Właśnie tak, niewolnicami. A potem złe czasy dobiegły końca. Kobiece credo zaś, które powinno wisieć w redakcjach wszystkich czasopism kobiecych na widocznym miejscu, winno brzmieć następująco: „Dzięki wam, Mężczyźni, za asfaltowe drogi. Dzięki wam, Mężczyźni, za wynalezienie samochodu i wymordowanie Indian, których grzechem było to jedynie, że chcieli nieco dłużej cieszyć się swoją ojczystą ziemią. Dzięki wam, Mężczyźni, za szpitale, policję i szkoły. Teraz chciałabym uzyskać prawo głosu, mieć wolność wyboru własnej przyszłości i móc samodzielnie decydować o swoim losie. Kiedyś byłam rzeczą, lecz te dni należą już do przeszłości. Moje dni w roli niewolnicy minęły i już nie powrócą. Nie chcę być niewolnicą, tak jak nie marzy mi się samotne przepłynięcie Atlantyku na niedużym jachcie. Samoloty są szybsze i bezpieczniejsze od żaglówek, a wolność jest lepsza od niewolnictwa. Nie boję się latać. Dziękuję wam, Mężczyźni”.

Cóż można więcej powiedzieć? Nic. Wieśniacy mogliby sarkać na palenie biustonoszy, reakcjonści mogliby rozgrywać swoje intelektualne gierki, ale prawda jest prawdą i nic tego nie zmieni. Można jedynie uśmiechać się sarkastycznie, przyznając temu rację. Teraz wszystko się zmieniło, zmiany nastąpiły zaledwie w ciągu kilku tygodni – ale co do ich zakresu, cóż, czas pokaże.

Jednak leżąc tu, pośród nocy, wiedziała, że potrzebowała mężczyzny. O Boże, tak bardzo go potrzebowała.

Teraz chodziło przede wszystkim o zapewnienie bezpieczeństwa jej oraz dziecku. Stu ją pociągał, zwłaszcza po Jesse Riderze. Stu był spokojny, roztropny, ale przede wszystkim miał, jak to mawiał jej ojciec: „poukładane w głowie”. Ona również mu się podobała. Wiedziała o tym doskonale od czasu, gdy czwartego lipca zjedli wspólnie pierwszy lunch w opustoszałej restauracji. Przez jedną, jedyną chwilę ich spojrzenia spotkały się i coś między nimi zaiskrzyło. Zaiskrzyło naprawdę i to z olbrzymią siłą. Domyślała się, że Stu również zdawał sobie z tego sprawę, ale nie ponaglał jej, czekał aby sama we właściwym czasie podjęła przemyślaną decyzję. Była przecież z Haroldem, a zatem należała do niego. Cóż za

odrażające, samcze rozumowanie, choć jak obawiała się Fran w tym świecie, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, będzie ono powszechnie obowiązujące.

Gdyby tylko napotkali jakąś dziewczynę, kogoś kim Harold mógłby się zainteresować, ale jak dotąd nie spotkali, a Fran coraz bardziej dochodziła do wniosku, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu. Pomyślała o dniu, kiedy Harold na swój nieporadny sposób próbował się z nią kochać, a tym samym nieodwracalnie uczynić ją swoją własnością. Jak dawno temu to było? Dwa tygodnie? Chyba więcej. Cała przeszłość wydawała się jej dziwnie odległa. Rozciągała się jak krówka-ciągutka. Rozdarta pomiędzy dylematem, co miała zrobić z Haroldem – obawami jak on by się zachował, gdyby odeszła od niego i związała się ze Stuartem – a jej lękiem przed snami, była pewna, że nigdy już nie zmruży oka.

I z tą właśnie myślą zasnęła.

Kiedy się obudziła, było jeszcze ciemno. Ktoś nią tarosił.

Zaprotestowała głośnym pomrukiem – od tygodnia po raz pierwszy nie przyśniło się jej nic złego – i nagle przebudziła się z przekonaniem, że to już pewnie rano i powinni ruszać w dalszą drogę. Tylko dlaczego mieli jechać dalej, skoro było jeszcze ciemno? Kiedy usiadła, zobaczyła, że na niebie wciąż jeszcze wisiał srebrzysty księżyc.

To Harold ją obudził i wyglądał na przerażonego.

– Harold? Co się stało?

Stu również się obudził. Podobnie jak Glen Bateman. Perion klęczała po przeciwnej stronie ich małego ogniska.

– Z Markiem jest niedobrze – odparł Harold. – Jest chory.

– Chory? – zapytała i wtem od strony wygasłego ogniska, gdzie klęczała Perion i stali dwaj mężczyźni, dobiegł ją cichy jęk. Frannie poczuła lęk wzbierający w jej wnętrzu wielką, czarna falą. Choroba. Tego obawiali się najbardziej.

– To... to nie grypa, prawda Haroldzie?

Gdyby Mark jednak umarł na grypę, oznaczałoby to, że każdego z nich może spotkać to samo. Być może zarazki wciąż jeszcze czyhały tu i ówdzie na ocalałych z wielkiego pomoru.

Może nawet uległy mutacji. Aby cię lepiej uśmiercić, moja droga.

– Nie, to nie grypa. Nic z tych rzeczy. Fran, czy jadłaś dziś wieczorem ostrygi z puszki? Albo wcześniej, kiedy zatrzymaliśmy się na lunch?

Zastanawiała się przez chwilę, wciąż jeszcze czuła się zaspana.

– Tak, zjadłam kilka na lunch i na kolację – odparła. – Były bardzo smaczne. Uwielbiam ostrygi. Czy to zatrucie pokarmowe? Mark czymś się zatrzał?

– Ja tylko zadaję pytania, Fran. Nikt z nas nie wie, co mu się stało. Nie ma wśród nas lekarza. A jak ty się czujesz? Czy nic ci nie dolega?

– Czuję się świetnie, jestem tylko śpiąca.

To nie była prawda. Już nie. Od strony ogniska dobiegł ją kolejny jęk, jakby Mark miał jej za złe, że nie czuła się tak samo źle jak on.

– Glen uważa, że to może być wyrostek – powiedział Harold.

– Co?

Harold uśmiechnął się zjadliwie i pokiwał głową.

Fran wstała i podeszła do pozostałych. Harold włókł się za nią niczym nieodłączny cień.

– Musimy mu pomóc – oświadczyła Perion. Mówiła mechanicznie, jakby już wielokrotnie wypowiadała tę kwestię.

Niespokojnie wodziła wzrokiem po ich twarzach, a jej oczy pełne były lęku i bezradności. Frannie znów miała wrażenie, że wszystko skupia się na niej. Egoistycznie pomyślała o dziecku, które nosiła i choć próbowała odegnąć je od siebie, myśli te, niezależnie czy były właściwe czy raczej nie na miejscu, okazały się od niej silniejsze. „Odejdź od niego – zawyła do niej jakaś jej część. – Odejdź od niego natychmiast! To może być zaraźliwe”. Spojrzała na Glena, pobladłego i wyglądającego bardzo staro w blasku turystycznej lampy.

– Harold twierdzi, że twoim zdaniem to wyrostek – rzuciła niepewnie.

– Nie wiem – powiedział Glen drżącym, pełnym niepokoju głosem. – Ma wszystkie związane z tym symptomy, gorączkę, obrzmiały i naprężony brzuch, boli go, gdy się go dotknie.

– Musimy mu pomóc – powtórzyła Perion i wybuchnęła płaczem.

Glen dotknął brzucha Marka. Jego oczy, przeszkłone i przymknięte otwarły się szeroko. Krzyknął przeraźliwie. Glen cofnął dłoń jakby oparzył się o rozgrzany piec i spojrzał na Stu, potem na Harolda i z powrotem na Stu; z trudem ukrywał ogarniającą go panikę.

– Co sugerujecie, panowie?

Harold miał wrażenie, że coś wielkiego utkwilo mu w przetyku i zaczął się dusić. Wreszcie wykrztusił:

– D-daj mu parę aspiryn.

Perion, która zapłakanymi oczami wpatrywała się w Marka, odwróciła się gwałtownie by spojrzeć na Harolda.

– Aspirynę? – zapytała. W jej głosie pobrzmiwało podsycane gniewem zdumienie. – Aspirynę? – wykrzyczała. – Tylko na to cię stać? Żeby zaaplikować choremu cholerną ASPIRYNĘ? To taki z ciebie mądrała?

Harold włożył obie dłonie do kieszeni i spojrzał na nią rozżalonym wzrokiem, w milczeniu przyjmując tę surową tyradę.

– Perion, Harold ma rację – Stu stanął w jego obronie. – Przynajmniej na razie nie możemy mu podać nic innego. Aspiryna to najlepsze rozwiązanie. Która godzina?

– Po prostu nie wiecie, co macie robić! – wybuchnęła. – Dlaczego nie powiecie tego otwarcie?

– Za kwadrans trzecia – odparła Frannie.

– A jeśli on umrze? – Peri odgarnęła z twarzy kosmyk ciemno-kasztanowych włosów. Od płaczu zrobiły się jej sińce pod oczami.

– Daj im spokój, Peri – rzekł Mark zbolonym, zmęczonym głosem. Zaskoczył ich wszystkich. – Zrobiją, co będą mogli. Zresztą jeśli mam wybierać między tym cholernym bólem a śmiercią, to chyba wolę już umrzeć. Dajcie mi tę aspirynę. Dajcie mi coś. Cokolwiek.

– Przyniosę – zaoferował się Harold, chcąc oddalić się stąd możliwie najszybciej. – Mam w plecaku butelkę supermocnej excedryny – dorzucił jakby w nadziei, że zyska w ten sposób ich aprobatę, i już go nie było.

– Musimy mu pomóc – powtórzyła starą śpiewkę Perion..

Stu wziął Glena i Frannie na stronę.

– Macie jakieś pomysły, co dalej z nim począć? – zapytał półgłosem. – Mnie nic nie przychodzi do głowy. Perion wyzwała Harolda, ale jego pomysł z aspiryną był dwa razy lepszy od każdego mojego.

– Jest zdenerwowana i tyle – ucięła Fran.

– Możliwe że to tylko drobne dolegliwości żołądkowe – westchnął Glen. – To się zdarza. Może samo mu przejdzie.

Frannie pokręciła głową.

– Nie sądzę. Gdyby to było tylko coś z żołądkiem, nie miałby tak silnej gorączki. I jego brzuch nie byłby tak spuchnięty.

Wyglądał naprawdę paskudnie. Zupełnie jakby w jego wnętrzu nabrzmiał jakiś guz. Na samą myśl o tym robiło się jej niedobrze. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz tak bardzo się bała (nie licząc sennych koszmarów, ma się rozumieć). Co powiedział Harold? „Nie ma z nami lekarza”. Święta prawda. Straszna prawda. Boże, wszystko wokół niej waliło się w gruzy, cały świat obracał się w perzynę, a na nią spadały najgorsze możliwe nieszczęścia. Byli tak potwornie samotni. Balansowali na linie rozpiętej nad przepaścią, a w dole pod nimi przez zapomnienie nie rozpięto siatki zabezpieczającej. Przeniosła wzrok z umęczonej twarzy Glena na twarz Stu. Malowało się na nich głębokie zatroskanie, lecz w żadnym z nich nie dostrzegła odpowiedzi, których poszukiwała.

Z tyłu za nimi Mark znów zaczął krzyczeć, a Perion zawtórowała mu, jakby dzieliła jego ból. Frannie podejrzewała, że w pewnym sensie tak było.

– I co my teraz zrobimy? – rzuciła Fran bezradnym głosem.

Myślała o dziecku i raz po raz kołatała się jej w głowie ta upiorna, powracająca jak bumerang myśl: „A jeśli trzeba będzie zrobić cesarskie cięcie? A jeśli trzeba będzie zrobić cesarskie cięcie? A jeśli...”

Leżący z tyłu za nią Mark zawył raz jeszcze niczym szalony, przerażający prorok i, usłyszawszy jego krzyk, Fran z miejsca go znienawidziła.

Spojrzeli na siebie nawzajem pośród rozedrganej ciemności.

Z pamiętnika Fran Goldsmith

6 lipca 1990

Po krótkich namowach pan Bateman zgodził się pojechać z nami. Powiedział, że po spłodzeniu tylu artykułów (napisanych możliwie najprostszym językiem, aby każdy mógł je zrozumieć) i dwudziestu latach zanudzania studentów na śmierć wykładami z podstaw socjologii, socjologii zjawisk patologicznych i socjologii wsi uznał, że nie może odmówić sobie takiej okazji.

Stu zastanawiał się, jaką okazję miał konkretnie na myśli.

– Wydaje mi się to całkiem oczywiste – odrzekł Harold w ten nieznośnie przemądrzały sposób (czasami był naprawdę wspaniały, ale niekiedy wprost nie można z nim było wytrzymać). – Pan Bateman...

– Proszę, mówcie mi Glen – wtrącił wtedy pan Bateman półgłosem, ale Harold tak na niego spojrzął jakby poczuł się obrażony.

– Glen jako socjolog poszukuje okazji do badania podstawowej formacji społecznej. Chce porównać teorię z praktyką.

Glen (skoro tego chce, tak go będę odtąd nazywać) przyznał, że rzeczywiście było to jego zamiarem, zaraz jednak dodał:

– Wyznaję również pewne teorie – nawiasem mówiąc, sam je sformułowałem – i chciałbym, jeśli to możliwe, potwierdzić je albo obalić. Nie wierzę, że człowiek wydzwigujący się z popiołów pomoru będzie podobny do tego, który powstał w dorzeczu Nilu, z kością w nosie, wlokący za włosy kobietę do jaskini. To jedna z moich teorii.

– Ponieważ wszystko jest nadal dostępne, każdy może sięgnąć po to, co tylko zechce – wtrącił Stu półgłosem.

Powiedział to tak posępnym głosem, że aż mnie to zdumiało, nawet Harold dziwnie na niego spojrzął.

Glen tylko potaknął głową i rzekł:

– Właśnie tak. Można by rzec, że społeczeństwo epoki technologii zeszło z boiska, ale zostawiło na nim piłki do gry. W końcu zjawi się ktoś, kto pamięta jak się gra i nauczy zasad pozostałych. Niegłupie, co? Może to kiedyś zapiszę.

(Ja to zrobiłam na wypadek, gdyby zdarzyło mu się zapomnieć. Kto wie? Ciebie wie, he, he).

Na to odezwał się Harold:

– Mówi pan tak jakby wierzył, że to wszystko zacznie się od nowa, wyścig zbrojeń, zanieczyszczenie atmosfery i tak dalej. Czy to kolejna z pańskich teorii? A może wnioski wynikły z pierwszej?

– Niezupełnie – zaczął Glen, zanim jednak zdążył powiedzieć coś więcej, Harold podjął swój wywód.

Nie potrafię powtórzyć go słowo po słowie, gdyż kiedy się denerwuje, Harold mówi bardzo szybko, lecz w gruncie rzeczy, mimo jego wyjątkowo złego zdania na temat ludzi w ogóle, stwierdził, że chyba nie mogą być oni aż tak głupi. Powiedział, że w jego mniemaniu tym razem ustanowione zostaną pewne prawa. Po pierwsze zabroni się eksperymentów z tak zabójczymi świństwami jak fuzja nuklearna czy fleurokarbon (pewnie źle to zapisałam, ale cóż, taka już jestem), sprejami i tym podobnymi rzeczami. Pamiętam jedno, co powiedział, ponieważ mocno utkwilo mi w pamięci.

– Tylko dlatego, że przecięto za nas węzeł gordyjski, nie należy brać tego za zachętę do zawiązywania go na nowo.

Widziałam, że miał wielką ochotę na kontynuowanie sporu; jedną z negatywnych cech Harolda jest jego chęć do popisywania się wiedzą (ma sporo wiadomości, nie przeczę, Harold jest naprawdę bystry), ale Glen powiedział tylko:

– No cóż, czas pokaże, czyż nie?

Całe zajście miało miejsce jakąś godzinę temu. Jestem teraz w sypialni na piętrze, obok mnie na podłodze leży Kojak. Dobry piesek! To wszystko jest raczej dość nostalgiczne, przypomina mi mój dom, ale staram się za dużo o nim nie myśleć, bo zbiera mi się wtedy na płacz. Wiem, że to musi brzmieć okropnie, ale naprawdę chciałabym mieć kogoś, kto pomógłby mi ogrzać to łóżko. Mam nawet swojego sekretnego kandydata.

Zapomnij, Frannie!

Jutro ruszamy do Stovington. Wiem, że Stu nie jest zachwycony tym pomysłem. Boi się tego miejsca. Bardzo lubię Stu. Chciałabym, żeby Harold lubił go bardziej. Harold wszystko komplikuje, ale chyba taką już ma naturę i nic tego nie zmienia.

Glen postanowił, że zostawi Kojaka. Jest mu bardzo przykro z tego powodu, choć Kojak nie powinien mieć problemów ze zdobyciem pożywienia. Nic nie można jednak na to poradzić, chyba że znaleźlibyśmy motocykl z przyczepą, ale nawet wtedy biedny Kojak mógłby się wystraszyć i wyskoczyć z przyczepy. Mógłby się połamać albo nawet zabić.

Tak czy inaczej jutro wyruszamy.

Zapamiętaj: Texas Rangers (drużyna baseballowa) miała miotacza, Nolana Ryana, który potrafił rzucać tak szybkie, podkręcane i Bóg wie jeszcze jakie piłki, że nikt ich nie umiał wybić.

W telewizji były seriale komediowe ze śmiechem wmontowanym w ścieżkę dźwiękową w najzabawniejszych momentach akcji. W supermarketach kupowało się mrożone torty i ciastka, wystarczyło je tylko rozmrozić i można było jeść. Ja najbardziej lubiłam sernik z truskawkami.

7 lipca 1990

Nie mogę długo pisać. Jechaliśmy cały dzień. Pupę mam całą obolałą, a plecy zdrętwiały, jakby ktoś wetknął mi do środka gruby kij. Ostatniej nocy znów miałam zły sen. Harold także

śni o mrocznym mężczyźnie i to wprawia go w fatalny nastrój, gdyż nie potrafi wyjaśnić, jak to możliwe, że obojgu nam śni się to samo.

Stu mówi, że wciąż śni mu się Nebraska i jakaś stara Murzynka. Ona mówi, że powinien do niej przyjechać jak najszybciej. Stu sądzi, że mieszka w miasteczku, które się nazywa Holland Home, Hometown czy coś takiego. Twierdzi, że potrafiłby je odnaleźć. Harold, słysząc to, zaczął sobie z niego dworować i urządził długi wykład o Freudzie i znaczeniu snów, czyli o tym, że są one manifestacją rzeczy, o których na jawie nie odważamy się nawet myśleć. Stu chyba się wkurzył, ale zdołał powstrzymać nerwy na wodzy. Tak się boję, że pomiędzy nimi może dojść do otwartego konfliktu, konfrontacja wisi na włosku, wołałabym, żeby do tego nie doszło.

Nie chcę, aby tak się to skończyło!

Tak czy inaczej Stu zapytał:

– No to jak wyjaśnisz to, że ty i Frannie śnicie o tym samym?

Harold odparł, że to zapewne jakiś dziwny zbieg okoliczności i poszedł sobie.

Stu wyjawiał Glenowi i mnie, że po wizycie w Stovington chciałby nas zabrać do Nebraski. Glen wzruszył ramionami i odparł:

– Dlaczego nie? Musimy dokądś pojechać.

Harold, rzecz jasna, dla zasady będzie oponował. Niech cię diabli, Haroldzie, dorośnij wreszcie!

Zapamiętaj: Na początku lat osiemdziesiątych pojawiły się drobne problemy z benzyną, bo w Ameryce każdy posiadał jakiś pojazd, my zużyliśmy prawie wszystkie nasze zapasy ropy i dzięki temu Arabowie mieli nas w garści. Arabowie mieli tyle pieniędzy, że nie potrafili ich wydać.

Istniała też grupa rock and rollowa The Who, która często kończyła swoje koncerty rozbijając gitary i wzmacniacze. Postępowanie takie nazywano „artystyczną destrukcją”.

8 lipca 1990

Już późno i znów jestem zmęczona, ale spróbuję zapisać tyle, ile zdołam, zanim powieki same mi się zamkną. Harold przed godziną skończył malować swoją tablicę (wykonał ją, muszę przyznać, na odczepnego) i postawił na frontowym trawniku centrum epidemiologicznego w Stovington. Stu pomógł mu przy tym i zachował anielski spokój, mimo docinków i złośliwych uwag ze strony Harolda.

Próbowałam przygotować się na gorzkie rozczarowanie. Nie wierzyłam, że Stu kłamał; Harold zresztą chyba także nie. Teraz już mam pewność, że tutaj nikt nie przeżył. Mimo wszystko było to doznanie tak przejmujące, że się rozpłakałam. Nic nie mogłam na to poradzić.

Nie ja jedna byłam zdenerwowana. Na widok gmachu centrum Stu zrobił się bładny jak ściana. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i dostrzegłam na jego rękach gęsią skórę.

Jego oczy są normalnie niebieskie, ale wtedy zrobiły się popielate jak ocean w pochmurny dzień.

Wskazał na drugie piętro i rzekł:

– Tam był mój pokój.

Harold odwrócił się do niego i wiedziałam, że zaraz palnie jedną ze swoich słynnych przemądrzało-cwaniackich odżywek, ale na widok grymasu na twarzy Stu w porę ugryzł się w język. Chyba dobrze zrobił.

Odezwał się dopiero po chwili.

– Wejdźmy tam i rozejrzyjmy się – zaproponował.

– A to po co? – odpowiedział Stu niemal histerycznym tonem, choć rozpaczliwie starał się trzymać nerwy na wodzy. To mnie przeraziło, tym bardziej że Stu jest zwykle opanowany i zimny jak góra lodowa. To dlatego między innymi Haroldowi było tak trudno zająć mu za skórę.

– Stuart – mówi Glen, ale Stu przerywa mu pytaniem:

– Po co? Nie widzicie, że to wymarłe miejsce? Uwierzcie mi – dodaje. – Gdyby ktoś tu był, już by nas otoczyli. Zamknęliby nas w tych ciasnych białych klitkach jak pieprzone świnki morskie. – I nagle spojrzał na mnie i powiedział: – Przepraszam, Fran, niepotrzebnie się uniosłem. Chyba to przez te nerwy.

– Cóż, JA mam zamiar tam wejść – odzywa się Harold. – Kto idzie ze mną?

Widziałam jednak, że nawet Harold pozujący na WIELKIEGO I ODWAŻNEGO miał sporego pietra.

Glen powiedział, że pójdzie i wtedy odezwał się Stu:

– Ty też idź, Fran. Rozejrzyj się. Po co masz mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

Chciałam powiedzieć, że zostanę z nim na zewnątrz, bo wydawał się tak poruszony (poza tym wcale nie chciałam tam wchodzić), ale to tylko pogorszyłoby cały ten ambaras z Haroldem, więc się zgodziłam.

Jeśli Glen czy ja mieliśmy jakiegokolwiek wątpliwości co do prawdziwości historii Stu, przysły one w chwili, gdy tylko otworzyliśmy drzwi. To przez tę woń. Czuć ją było w każdym większym miasteczku, przez które przejeżdżaliśmy, woń jakby zgniłych pomidorów i... O Boże, znów płaczę, czy to sprawiedliwe, że ludzie nie dość, iż umierają, to jeszcze potem śmierdzą jak...

Stop.

później

No i tak, popłakałam się, drugi raz tego dnia, co się dzieje z małą Fran Goldsmith, która kiedyś była tak twarda, że mogła, jak w powiedzeniu „brać do ust kawałki żelaza by w zębach formować z nich bretnale”? Cóż, obiecuję, że już dziś na pewno się nie rozryczę. Słowo.

Mimo to weszliśmy do środka; chyba pchnęła nas do tego jakaś upiorna ciekawość. Nie wiem jak pozostali, ale ja chciałam zobaczyć pokój, w którym przetrzymywany był Stu. Poza tym, nie chodziło tylko o zapach, ale i chłód jaki panował w środku, podczas gdy na zewnątrz było gorąco jak w piecu. To przez granit i marmur, który musi tworzyć fantastyczną warstwę izolacyjną. Na drugim piętrze było znacznie cieplej, ale na dole... ten smród i... i chłód... to wszystko sprawiało, że cały budynek sprawiał wrażenie grobowca. Błę!

Było tu strasznie, jak w nawiedzonym domu. Zbiliśmy się jak owce we trójkę w ciasną gromadkę, a ja cieszyłam się, że mam ze sobą karabin, nawet tę marną .22-kę. Odgłos kroków powracał do nas echem, jakby ktoś skradał się za nami, no wiesz, śledził nas. I znów powróciłam myślami do tego snu o mężczyźnie w czarnej szacie. Nic dziwnego, że Stu nie chciał przyjść tu z nami.

Po pewnym czasie dotarliśmy do wind i wjechaliśmy na pierwsze piętro. Były tam tylko same gabinety... i kilka ciał. Drugie piętro przywodziło na myśl szpital, ale wszystkie pokoje miały zamiast drzwi śluzy powietrzne (tak je nazwali Harold i Glen) i specjalne okna panoramiczne. Było tam wiele ciał w pokojach, ale również w korytarzach. Prawie sami mężczyźni, kobiet tylko kilka. Ciekawe czy pod koniec próbowali je ewakuować? Tylu rzeczy nigdy się nie dowiemy. Ale niby po co mielibyśmy to wiedzieć?

Na końcu korytarza prowadzącego do wind natknęliśmy się na pokój, którego śluza była otwarta. W środku leżał martwy mężczyzna, ale nie pacjent (ci nosili białe szpitalne koszule) i z całą pewnością nie umarł on na grypę. Leżał w wielkiej kałuży zakrzepłej krwi i wyglądał tak, jakby przed śmiercią próbował wyczołgać się z pokoju. W kącie leżało połamane krzesło. W całym pokoju zresztą panował straszny bałagan, jakby rozegrała się tu jakaś walka.

Glen długo rozglądał się dokoła, aż w końcu rzekł:

– Chyba lepiej będzie nie wspominać przy Stu o tym pokoju. Wydaje mi się, że niewiele brakowało, a zostałyby tu na zawsze.

Spojrzałam na zimne, martwe ciało i poczułam na plecach lodowate ciarki.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Harold i nawet on wydawał się dziwnie przygaszony. Mówił cicho, prawie szeptem, co w jego przypadku było wielkim wydarzeniem.

– Podejrzewam, że ten dżentelmen zjawił się tu aby zabić Stuarta – odrzekł Glen – ale Stu w jakiś sposób zdołał go unieszkodliwić.

– Ale dlaczego? – zapytałam. – Po co mieliby zabijać Stu, skoro był uodporniony? To kompletnie bez sensu!

Spojrzał na mnie i jego oczy mnie przeraziły. Wydawały się martwe jak oczy makreli.

– To nie ma znaczenia, Fran – wyjaśnił. – Sądząc po tym, co tu ujrzałem, zdrowy rozsądek czy jakkolwiek to nazwać mówi mi, że ta placówka nie miała w ogóle racji bytu. Jest pewien rodzaj ludzi, których mentalność opiera się na zakłamaniu. Ci ludzie wierzą w słuszność tuszowania rozmaitych afer. Co więcej, wierzą w to równie szczerze i fanatycznie jak członkowie niektórych grup religijnych wierzą w boskość Jezusa. Dla tych ludzi bowiem,

nawet kiedy zdarzy się jakaś katastrofa, najważniejszym priorytetem jest natychmiastowe jej zatuszowanie. Zastanawiam się, ilu uodpornionych musieli zabić w Atlancie, San Francisco i Centrum Badań Chorób Zakaźnych w Topece zanim plaga nie wytępiła w końcu ich samych, kładąc kres tej morderczej działalności. A ten dupek tutaj? Cieszę się, że wyciągnął kopyta. Szkoda mi tylko Stu, który prawdopodobnie przez resztę życia będzie cierpiał na związane z nim koszmary.

I wiesz co zrobił wtedy Glen Bateman? Ten miły człowiek malujący okropne obrazy? Podszedł i kopnął tego martwego mężczyznę w twarz. Harold aż stęknął jakby to jego kopnięto. Glen tymczasem zamierzył się, by powtórzyć tę czynność.

– Nie! – zawołał Harold, ale Glen nie bacząc na nic, zrobił to raz jeszcze. A potem się odwrócił i otarł usta wierzchem dłoni; dobrze choć, że jego oczy nie wyglądały już jak oczy śniętej ryby.

– Chodźmy – zdecydował. – Wyjdźmy stąd. Stu miał rację. To wymarłe miejsce.

Wyszli z budynku; Stu siedział oparty plecami o żelazną bramę pod wysokim murem otaczającym całą placówkę. Gdy go ujrzałam, zapragnęłam... och, daj spokój, Frannie, powiedz to, jeśli nie możesz wyznać tego pamiętnikowi, to komu? Zapragnęłam podbiec do niego, pocałować i powiedzieć, że wstyd mi za nas wszystkich, że mu nie uwierzyliśmy. Że wstyd mi, bo każdy z nas bez przerwy opowiadał tylko o tym, jak mu było ciężko od dnia, kiedy wybuchła zaraza, a on, Stu, prawie się nie odzywał, choć tamten mężczyzna w budynku o mało go nie zabił.

O rany, zakochałam się w nim, jestem tego prawie pewna. To takie cudowne i gdyby nie Harold na pewno spróbowałabym jakoś dać mu to do zrozumienia.

Tak czy inaczej (zawsze jest jakieś „tak czy inaczej”, nawet teraz, choć palce mam już tak odrętwiałe, że prawie mi odpadają), właśnie wtedy Stu po raz pierwszy powiedział Haroldowi, że chce pojechać do Nebraski, aby sprawdzić swój sen.

Wydawał się zakłopotany, ale na jego twarzy malował się zacięty wyraz, jakby zdawał sobie sprawę, że Harold zaraz palnie mu z tej okazji jakąś głupawą mówkę. Tylko że Harold wciąż jeszcze nie zdołał się otrząsnąć po przerażającej wizycie w centrum epidemiologicznym i bynajmniej nie miał ochoty na kłapanie dziobem czy przeciwstawianie się czemukolwiek. Naturalnie próbował oponować, lecz z mizernym skutkiem, zwłaszcza że do rozmowy włączył się Glen i wyważonym, spokojnym tonem przyznał, że i on także śnił poprzedniej nocy o czarnoskórej starej kobiecie

– Rzecz jasna może stało się tak dlatego, że Stu opowiedział nam o SWOIM śnie – powiedział, lekko się rumieniąc – ale wydawał się on zaskakująco zbieżny.

Harold mruknął, że to całkiem oczywiste, na co Stu rzekł:

– Chwileczkę, Haroldzie, mam pewną myśl.

Jego pomysł polegał na tym, abyśmy wszyscy wzięli kartki i długopisy i opisali to, co pamiętamy z naszych snów z ubiegłego tygodnia, a potem porównali wyniki. Rozwiązanie

było na tyle naukowe, że nawet Harold nie mógł na nie poutyskiwać w typowy dla siebie sposób.

Cóż, jedyny sen, jaki miałam, już opisałam, więc nie będę go powtarzać. Powiem tylko, że spisałam jego treść na kartce, zamieszczając fragment o ojcu, lecz pomijając szczegóły z dzieckiem i drucianym wieszakiem.

Kiedy porównaliśmy nasze zapiski wyniki były wręcz zdumiewające. Harold, Stu i ja, cała nasza trójka śniła o „mrocznym mężczyźnie”, jak go nazywałam. Stu i ja postrzegaliśmy go w mnisim stroju z kapturem zakrywającym twarz, tak że nie sposób było zobaczyć jak rzeczywiście wyglądał. Jego oblicze zawsze tonęło w głębokim cieniu. Według Harolda stał on w ciemnej bramie i przywoływał go jak alfons ruchem ręki. Czasami dostrzegał jego stopy, a niekiedy błysk oczu. „Lśniących jak ślepie łasicy” – to określenie Harolda.

Sny Stu i Glena o starej kobiecie są bardzo zbliżone. Podobieństw jest tyle, że nie ma sensu ich wymieniać (w ten to „literacki” sposób daję do zrozumienia, że bolą mnie palce). Obaj zgodnie jednak przyznają, że Murzynka mieszka gdzieś w hrabstwie Polk w Nebrasce, choć co do nazwy miejscowości nie udało im się podać jednej i tej samej. Stu mówi, że miasteczko nazywa się Hollingford Home, Glen że Hemingway Home. Coś w tym rodzaju. W każdym razie nazwy są zbliżone. Obaj są przekonani, że zdołaliby do niego trafić. (Zapamiętaj, pamiętniku, ja stawiam na nazwę „Hemingford Home”).

– To naprawdę zdumiewające – rzekł Glen. – Wygląda na to, że wszyscy doświadczamy autentycznego doznania parapsychozy.

Harold naturalnie zaczął sarkać, ale robił to bez większego przekonania. Chyba to wszystko i jemu dało do myślenia. Przystał na wyprawę do Nebraski, gdyż jak stwierdził:

– Musimy przecież dokądś pojechać.

Wyjeżdżamy rano. Jestem przerażona, podekscytowana, ale przede wszystkim nie posiadają się ze szczęścia, że wyjeżdżamy ze Stovington, tego miasta śmierci. Poza tym wolę bardziej tę starą kobietę niż mrocznego mężczyznę.

Zapamiętaj: „Trzymać fason” to znaczy nie dać się ponieść nerwom. „Wdechowe” i „czadowe” znaczyło kiedyś tyle samo co „dobre”. „Spoko” znaczy – nie przejmuj się. „Zajebicie” znaczy wspaniale, „balować” to tyle, co dobrze się bawić. Kiedyś sporo ludzi nosiło podkoszulki z napisem CZASEM ZDARZA SIĘ WDEPNAĆ W G... i to niestety prawda, która obowiązuje po dziś dzień.

„Poszło jak po maśle” albo „idzie jak z płatką” oznacza, że coś się komuś udało, albo że wszystko jest w porządku, potoczny zwrot „dymać”... cóż, między innymi oznaczał iść, chodzić; na dom, mieszkanie mówiono „chata”, „kwadrat” albo „chawira”. „Dymać na chawirę”. Głupio brzmi, prawda? Ale takie było życie.

Było kilka minut po dwunastej w południe.

Perion wyczerpana usnęła u boku Marka, którego dwie godziny wcześniej ostrożnie przeniesiono w cień. Mężczyzna to tracił, to znów odzyskiwał przytomność i łatwiej im było to zrobić kiedy był nieprzytomny. Do świtu jeszcze jakoś się trzymał, ale od rana poddał się bólowi i kiedy dochodził do siebie wył tak, że aż krew gotowała się w żyłach. Wszyscy stali bezradnie, popatrując jeden na drugiego. Nikt nie miał ochoty na lunch.

– To wyrostek – oświadczył Glen. – Nie ma żadnych wątpliwości.

– Może... powinniśmy, spróbować... no, wiecie... zoperować go – rzekł Harold. Patrzył na Glena. – Nie przypuszczam, żebyś...

– Zabilibyśmy go – odparł oschle Glen. – Zdajesz sobie z tego doskonale sprawę. Jeśli nawet udałoby się nam go otworzyć tak, by nie wykrwawił się na śmierć, co jest prawie niemożliwe, nie potrafilibyśmy odróżnić wyrostka od trzustki. Organy wewnętrzne nie są popodpisywane.

– Zabijemy go, jeśli nic nie zrobimy – zaproponował Harold.

– A może TY chcesz spróbować? – odciął się Glen. – Wiesz co, Harold, czasami mnie zastanawiasz. Jesteś mocny w gębie, ale gdy przychodzi co do czego...

– Ty też jak dotąd nie popisałeś się niczym szczególnym – mruknął złośliwie Harold.

– Przestańcie obaj – rzucił Stu. – Czemu to ma służyć? A może któryś z was wpadł na znakomity pomysł, aby rozpruć Markowi brzuch scyzorykiem? Przecież to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Opuśćcie sobie, panowie.

– Stu! – krzyknęła Fran.

– No co? – zachnął się i wzruszył ramionami. – Najbliższy szpital jest dopiero w Maumee. Wątpliwe byśmy zdołali go tam dowieźć. Wątpię by wytrzymał choćby do pierwszego zjazdu.

– Oczywiście, masz rację – mruknął Glen i przesunął dłonią po szorstkim jak papier ścierny policzku. – Przepraszam, Haroldzie. Jestem bardzo poruszony. Poniosło mnie. Domyślałem się, że coś takiego może nastąpić, ale choć brałem to pod uwagę, to wyłącznie w charakterze czysto teoretycznym, jako potencjalny problem do rozwiązania. To nie to samo co siedzenie za pulpitem i teoretyzowanie na wybrany temat.

Harold przyjął przeprosiny, mrużąc coś pod nosem, i oddalił się wtykając obie dłonie do kieszeni spodni. Wyglądał jak zasępio, przerośnięty dziesięciolatek.

– Dlaczego nie możemy go stąd zabrać? – zapytała zrozpaczona Fran, spoglądając to na Stu, to na Glena.

– Ponieważ jego wyrostek do tej pory musi być bardzo nabrzmiąły – odparł Glen. – Jeśli się rozleje, w jego ciele znajdzie się tyle trucizny, że można by nią uśmiercić dziesięciu ludzi.

Stu pokiwał głową.

– Zapalenie otrzewnej.

Frannie zakręciło się w głowie. Wyrostek? W tych czasach to małe piwo. Zero. Nic. Bywało, że trafiałaś do szpitala z powodu kamieni żółciowych i kiedy już cię otworzyli przy

okazji usuwali ci również wyrostek. Przypomniała sobie, że jeden z jej kolegów z podstawówki, niejaki Charley Riggers, którego wszyscy nazywali Biggy, miał wyrostek usunięty latem, podczas wakacji między piątą a szóstą klasą. Był w szpitalu zaledwie dwa czy trzy dni. Usunięcie wyrostka to dla lekarzy pestka.

Z medycznego punktu widzenia ciąża to także pestka.

– Ale jeśli zostawi się go w spokoju – zapytała – to wyrostek sam się nie rozleje?

Stu i Glen wymienili spojrzenia, ale żaden z nich się nie odezwał. Miny mieli nietęgę.

– A więc Harold ma rację i rzeczywiście nie jest dobrze! – wybuchnęła gwałtownie. – Musicie coś zrobić, choćby nawet scyzorykiem. MUSICIE!

– Dlaczego my? – odparował gniewnie Glen. – Dlaczego nie ty? Na Boga, przecież nie mamy nawet podręcznika do medycyny!

– Ale... przecież... wy... on... tak nie może być. Usunięcie wyrostka to przecież pestka!

– Kiedyś może i tak, ale na pewno nie teraz – mruknął Glen, ale Fran już tego nie usłyszała. Płacząc, pobiegła przed siebie.

Wróciła około trzeciej, wstydząc się swego zachowania, gotowa przeprosić Batemana. W obozie nie było jednak ani Stu, ani Glena. Harold przysiadł opodal na pniu zwalonego drzewa. Perion siedziała po turecku obok Marka i przecierała mu czoło wilgotnym ręcznikiem. Wydawała się bardzo blada, ale opanowana.

– Frannie! – rzekł Harold, unosząc wzrok. Wyraźnie się rozpromienił.

– Cześć – powitała go i podeszła do Peri. – Co z nim?

– Zasnął – odparła Perion, ale Mark nie spał.

Nawet Fran się zorientowała. Znow stracił przytomność.

– Gdzie Stu i Glen? Wiesz dokąd poszli?

Odpowiedzi udzielił jej Harold. Podeszedł do niej z tyłu i Fran czuła, że miał ochotę dotknąć jej włosów albo położyć dłoń na jej ramieniu. Wołała by tego nie robił. Harold coraz bardziej ją deprimował, czuła się przy nim skrępowana i wołała trzymać się od niego na dystans.

– Pojechali do Kunkle poszukać dobrze zaopatrzonej przychodni.

– Mają zamiar znaleźć odpowiednie książki – dodała Peri. – I potrzebny sprzęt... – Przełknęła ślinę. Znow zaczęła chłodzić czoło Marka, od czasu do czasu polewając ręcznik wodą z manierki i starannie go potem wyżyłając.

– Bardzo nam przykro – powiedział Harold zbolalym głosem. – Może to na nic w tej parszywej sytuacji, ale mówię szczerze. Naprawdę jest nam przykro.

Peri uniosła wzrok i choć kosztowało ją to wiele wysiłku, uśmiechnęła się do Harolda.

– Wiem – powiedziała. – Dziękuję. To nie jest niczyja wina. No, chyba że Bóg jednak istnieje. Bo jeśli istnieje, to jest to tylko i wyłącznie Jego wina! A kiedy Go spotkam, zamierzam kopnąć Go za to w jaja.

Miała podłużną twarz i ciało wieśniaczki. Fran, która u ludzi dostrzegała najpierw zalety, a dopiero potem mankamenty (Harold, na przykład, miał jak na chłopaka bardzo piękne dłonie) zwróciła uwagę, że włosy Peri o delikatnym, kasztanowym odcieniu były wręcz boskie, a jej oczy o barwie ciemnego indygo inteligentne i urokliwe. Peri wyjawiała im, że wykładała antropologię na uniwersytecie nowojorskim, udzielała się politycznie, zwłaszcza gdy w grę wchodziła walka o prawa kobiet, albo o równorzędne traktowanie w świetle prawa ofiar AIDS. Nigdy nie wyszła za mąż. Któregoś razu wyznała Frannie, że nie spodziewała się, iż Mark okaże się tak wspaniałym mężczyzną. Nie miała zbyt dobrego zdania o przedstawicielach „płci brzydkiej”. Inni, których znała, ignorowali ją albo zaliczali do kobiet określanych niezbyt pochlebny mianem „paszтетów” lub „wieśniaczek”. Przyznawała, że w normalnych okolicznościach Mark również mógłby się do nich zaliczać, ale czasy się zmieniły. Spotkali się w Albany, gdzie Perion spędziła lato z rodzicami, ostatniego dnia czerwca i po krótkim namyśle postanowili opuścić miasto zanim bakterie pieniące się we wszystkich rozkładających się ciałach nie zrobią z nimi tego, co nie udało się supergrypie.

Wyjechali więc i już następnej nocy zostali kochankami, bardziej jednak z przytłaczającej ich oboje samotności niż rzeczywistego zauroczenia (to była poufna damska rozmowa i Fran nawet nie wspomniała o tym w swoim pamiętniku). Był dla niej dobry, wyznała Perion w rozmowie z Fran w ten łagodny, pełen zdumienia sposób, jak każda prosta dziewczyna, która w ciężkich czasach spotyka na swej drodze porządnego faceta. W końcu się w nim zakochała i jej miłość z dnia na dzień coraz bardziej przybierała na sile.

Aż tu nagle klops.

– To zabawne – powiedziała. – Poza Stu i Haroldem wszyscy tutaj jesteśmy absolwentami college’u, a i ty, Haroldzie, skończyłbyś college gdyby nie to, że cały ten świat stanął nagle na głowie.

– Tak, chyba tak – mruknął Harold.

Peri spojrzała na Marka i znów delikatnie, z uczuciem zaczęła przecierać mu czoło. Na ten widok Fran przypomniała sobie barwną ilustrację z ich rodzinnej Biblii, na której trzy kobiety przygotowywały do pochówku ciało Chrystusa, namaszczając je wonnościami i olejkami.

– Frannie studiowała literaturę angielską, Glen był wykładowcą socjologii, Mark robił doktorat z historii Ameryki, ty też zająłbyś się literaturą, Haroldzie. Zawsze chciałeś zostać pisarzem. Moglibyśmy spotykać się całą grupą i godzinami chrzanić o pierdołach. Prawdę mówiąc, czasami nawet się nam to zdarza, czyż nie?

– Fakt – potaknął Harold. Jego głos, zwykle donośny, brzmiał prawie jak szept.

– Czytałam gdzieś, że tak zwane sztuki wyzwolone uczą ludzi myślenia. Suche fakty, które przy okazji przyswajasz są sprawą drugorzędną. Najważniejsze byś, opuszczając progi uczelni, umiał myśleć konstruktywnie.

– To dobre – mruknął Harold. – Podoba mi się.

I położył dłoń na ramieniu Fran. Nie zareagowała na to, ale mierzył ją jego dotyk.

– Ale TO mi się nie podoba – rzuciła donośnie Peri.

Harold drgnął i zdjął rękę z ramienia Fran.

Od razu zrobiło się jej lżej.

– Co takiego? – zapytał z niepokojem.

– On UMIERA! – powiedziała Peri niezbyt głośno, ale z gniewem i nutą bezradności w głosie. – On umiera, bo wszyscy trwoniliśmy czas na wysłuchiwanie nic nie wartych wykładów, albo przesiadując w swoich pokojach w uczelnianych kampusach. Jeżeli chcecie, mogę wam opowiedzieć o Indianach Midi z Nowej Gwinei, a Harold zapewne oświeci was w kwestii warsztatu twórczego sławniejszych angielskich poetów, ale czy w ten sposób pomożemy mojemu Markowi?

– Gdyby był z nami jakiś absolwent medycyny... – wtrąciła niepewnie Fran.

– Właśnie, „gdyby”. Niestety, rzeczywistość jest brutalna. „Gdybanie” nic nam nie pomoże. Nie mamy też mechanika ani absolwenta akademii rolniczej, który mógł przynajmniej raz widzieć weterynarza przy pracy operującego chorego konia czy krowę. – Spojrzała na nich a jej oczy o barwie indygo pociemniały jeszcze bardziej. – Mimo że wszystkich was lubię, w obecnej sytuacji bez wahania zamieniłabym całą waszą gromadkę na jednego, średnio wykształconego konowala. Boicie się go nawet dotknąć, choć zdajecie sobie sprawę co go czeka, jeśli żadne z was nic nie zrobi. W tym także ja... także ja.

– Przynajmniej dwaj... – Fran nie dokończyła. Chciała powiedzieć: „Przynajmniej dwaj mężczyźni pojechali do najbliższego miasta”, ale uznała, że mogłaby w ten sposób urazić Harolda, który został w obozie. – Przynajmniej Stu i Glen pojechali do miasta. To już coś, nie uważasz?

– Tak, to już coś – westchnęła Peri. – Ale to Stu zdecydował ostatecznie, że pojedą z Glenem. On jeden z całej naszej grupy uznał, że lepiej jest zrobić cokolwiek, choćby wydawało się to z pozoru absurdalne, niż stać bezczynnie i bezradnie załamywać ręce. – Spojrzała na Frannie. – Czy powiedział ci, czym zajmował się przedtem?

– Pracował w fabryce – odparła krótko Fran. Nie zauważyła, iż Harold spochmurniał zaskoczony szybkością, z jaką odpowiedziała na to pytanie. – Montował podzespoły w kalkulatorach elektronicznych. Chyba można powiedzieć, że był technikiem komputerowym.

– Ha! – rzucił Harold i uśmiechnął się gorzko.

– Jest jedynym spośród nas, który umie rozbierać skomplikowane urządzenia – rzekła Peri. – Jestem pewna, że mimo najszerszych chęci pan Bateman i Stu koniec końców zabiją Marka, ale lepiej żeby umarł podczas próby ratowania go, niż miałby konać w męczarniach, podczas gdy my będziemy się temu bezczynnie przyglądać... jak przejechany pies dogorywający na środku drogi.

Ani Harold ani Fran nie potrafili wymyślić kontrargumentów dla jej słów. Stali tuż obok Peri, patrząc na blade, nieruchome oblicze Marka. Po chwili Harold znów położył swą spoconą dłoń na ramieniu Fran. Kiedy to zrobił, o mało nie wrzasnęła na całe gardło.

Stu i Glen wrócili za kwadrans czwarta. Wzięli ze sobą jeden z motocykli. Teraz na bagażniku maszyny przymocowana była czarna, pękata torba lekarska i kilka dużych, oprawionych w czarną skórę książek.

– Spróbujemy – powiedział krótko Stu.

Peri uniosła wzrok. Twarz miała bladą i pełną napięcia, ale głos spokojny.

– Naprawdę? Błagam. W imieniu nas obojga. Zróbcie to.

– Stu? – szepnęła Perion.

Było dziesięć po czwartej. Stu klęczał na podgumowanym prześcieradle rozłożonym pod drzewem. Pot strużkami ściekał mu po twarzy. Oczy miał błyszczące i nawiedzone. Frannie trzymała przed nim otwartą książkę, pokazując na zmianę dwie barwne tablice, za każdym razem gdy Stu unosił wzrok i kiwał głową. Obok niego upiornie pobladły Glen Bateman trzymał motek mocnej białej nici. Pomiędzy nimi leżał zestaw narzędzi chirurgicznych z nierdzewnej stali. Skrzynka, w której się znajdowały była zachlapana krwią.

– Mam cię! – krzyknął Stu. Jego głos stał się nagle wysoki, zimny, przepelniony triumfem. Oczy zwęziły się w szparki. – Mam cię, mały draniu! Jest! Tutaj!

– Stu? – zapytała Perion.

– Fran, pokaż mi znów tę drugą tablicę! Szybko! Szybko!

– Dasz radę go usunąć? – spytał Glen. – Jezu, Teksąńczyku, dasz radę?

Harolda nie było. Opuścił całe towarzystwo bardzo szybko, przytykając dłoń do ust. Przez ostatnie piętnaście minut stał odwrócony do nich plecami, pod drzewem opodal. Wreszcie się odwrócił, a na jego krągłej twarzy pojawił się pełen nadziei uśmiech.

– Nie wiem – odparł Stu. – Może. Może.

Spojrzał na kolorową tablicę prezentowaną przez Fran. Ręce aż po łokcie miał ubabrane we krwi, przez co mogło się wydawać, że nosił długie szkarłatne rękawice.

– Stu? – rzuciła Perion.

– U góry i u dołu wszystko jest samodzielne – wyszeptał Stu. Jego oczy rozbłysły zdumieniem. – Wyrostek, mały, autonomiczny skurwiel. Ee... Fran... przetrzyj mi czoło. Jezu, pocę się jak świnia... dzięki... Boże... wolałbym nie kroić więcej niż to absolutnie konieczne... to przecież jego cholerne flaki... ale, Chryste, muszę. Muszę.

– Stu? – odezwała się ponownie Perion.

– Glen, daj mi nożyczki. Nie, nie te. Mniejsze.

– STU.

Wreszcie podniósł na nią wzrok.

– Już nie musisz. – Głos miała łagodny, spokojny. – On nie żyje.

Jego oczy rozszerzyły się.

Skinęła głową.

– Od prawie dwóch minut. Ale dziękuję. Dzięki, że spróbowałeś.

Stu patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

– Jesteś pewna? – Wyszeptał w końcu.

Potaknęła. Łzy spływały jej strużkami po twarzy.

Stu odwrócił się, upuszczając mały skalpel, który trzymał w dłoni i w geście bezgranicznej rozpaczyny zakrył oczy dłońmi. Glen już wstał i ruszył przed siebie, nie oglądając się wstecz; był przygarbiony, jakby na jego barkach spoczęło ciężkie brzemie.

Frannie objęła Stu ramionami i przytuliła mocno.

– A więc to koniec – powiedział. Powtarzał to raz po raz, wolno, beznamiętnie, i ta beznamiętność ją przeraziła. – To tyle. Po wszystkim. To koniec. Po wszystkim.

– Zrobiłeś, co mogłeś – odparła i przytuliła go jeszcze mocniej, jakby bała się, że może odfrunąć.

– To koniec – powtórzył posępnym, złowróbnym tonem.

Frannie tuliła go mocno. Mimo myśli nawiedzających ją przez ostatnie trzy i pół tygodnia, pomimo jej „zakochanego zakochania” nie uczyniła żadnego nieprzemysłanego ruchu. Z niemal przesadną, bolesną ostrożnością starała się zatuszować swoje uczucie. Nie chciała się zdradzić. Nie mogła. Sprawa z Haroldem wisiała na cienkim włosku. Nawet teraz nie chciała, nie mogła okazać Stu tego, co do niego czuła. Sposób, w jaki go objęła nie zdradzał, że była w nim zakochana. Wyglądali raczej jak dwoje tulących się do siebie rozbitków, ocalałych z jakiejś niewyobrażalnej katastrofy. Stu chyba to zrozumiał. Położył dłonie na jej ramionach, zostawiając na nich krwawe ślady, naznaczając ją, przez co wyglądali jak dwoje współników popełnionej przed chwilą zbrodni. Gdzieś w oddali rozskrzeczała się sójka, a znacznie bliżej Perion wybuchnęła płaczem.

Harold Lauder, który nie znał różnicy między tulącą się do siebie parą kochanków a rozbitków ocalałych po jakiejś niewyobrażalnej katastrofie, gapił się na Fran i Stu z coraz większą podejrzliwością i niepokojem. Po dłuższej chwili ostentacyjnie pomaszerował w gąszcz krzewów i wrócił dopiero po kolacji.

Obudziła się bardzo wcześnie następnego ranka. Ktoś nią potrząsał. „Otworzę oczy i to będzie Glen albo Harold – pomyślała, otrząsając się z sennego odrętwienia. – Cała sytuacja powtórzy się i będziemy robić to samo raz po raz, aż w końcu zrobimy to dobrze. Ci, którzy nie umieją uczyć się na błędach...”

To był Stu. I był już dzień. Świt nastał niedawno, nad ziemią płożyły się białe pasma mgieł, wśród których przezierały nieśmiało jeszcze, złociste promienie słońca. Reszta ich grupy wciąż spała w swoich śpiworach.

– Co się stało? – zapytała, siadając.
– Znów miałem sen – powiedział. – Nie o starej kobiecie... o tym drugim. O mrocznym mężczyźnie. Bardzo się wystraszyłem
– Przestań – ucięła przerażona wyrazem jego twarzy. – Proszę, powiedz to... Powiedz, co NAPRAWDĘ chciałeś powiedzieć.
– Chodzi o Perion i veronal. Zabrała z plecaka Glena całe opakowanie veronalu.
Fran westchnęła przeciągle.
– O, Boże – jęknął Stu. – Frannie, ona nie żyje. O, Boże, ale się porobiło.
Chciała coś powiedzieć, lecz głos uwiązał jej w gardle.
– Chyba musimy obudzić Glena i Harolda – powiedział niejako mimochodem Stu. Potarł policzek pokryty krótkim, szorstkim zarostem.
Fran wciąż pamiętała jak był gładki jeszcze wczoraj, kiedy tuląc go, dotknęła jego twarzy. Odwrócił się do niej, wzrok miał błędny, niespokojny.
– Kiedy to się skończy?
– Chyba nigdy – odparła półgłosem.
Ich spojrzenia spotkały się w blasku budzącego się dnia.

Z pamiętnika Fran Goldsmith

12 lipca 1990

Dzisiejszej nocy obozowaliśmy na zachód od Guilderland (Nowy Jork) i wreszcie wyjechaliśmy na Wielką Autostradę, szosę numer 80/90. Podniecenie wywołane spotkaniem Marka i Perion (Nie sądzisz, że to piękne imię? Ja tak uważam) wczoraj po południu nieco osłabło. Zgodzili się do nas przyłączyć... właściwie zaproponowali to pierwsi, zanim ktokolwiek z nas zdążył cokolwiek powiedzieć.

Jestem pewna, że Harold wysunąłby taką propozycję. Wiesz, jaki on jest. Był trochę zbity z tropu (Glen chyba też) ilością sprzętu, który tamci mieli ze sobą, w tym również dwa karabinki półautomatyczne. Harold nie byłby jednak sobą, gdyby nie dał im „na dzień dobry” popisu swoich umiejętności... no, wiesz, musiał się odpowiednio zaprezentować.

Wydaje mi się, że zapełniam te strony, jedną po drugiej opisem profilu psychologicznego Harolda i jeśli jeszcze go nie znasz, to już chyba nigdy nie poznasz. Pod fasadą cwaniactwa, przemądrzałości i buty kryje się bardzo niepewny, sfrustrowany mały chłopiec. Nie potrafi uwierzyć, że wszystko się zmieniło. Jakaś jego część, podejrzewam, że większa, musi wierzyć, że wszyscy dręczyciele, którzy nie dawali mu spokoju w liceum pewnego pięknego dnia powstaną ze swoich grobów, a potem zaczną go opluwać i obrzucać niewybrednymi epitetami w rodzaju „Harold Walikonik” (Amy powiedziała mi kiedyś, że między innymi tak go właśnie przezywali). Czasami mam wrażenie, że byłoby lepiej dla niego (i może również

dla mnie) gdybyśmy jednak się w Ogunquit nie spotkali. Należę do jego poprzedniego życia, przyjaźniłam się kiedyś z jego siostrą i tak dalej. Ogólnie mój osobliwy związek z Haroldem można skwitować następującymi słowami:

Choć to może się wydawać dziwne, gdybym wiedziała to wszystko, co wiem teraz, prawdopodobnie zaprzyjaźniłabym się z Haroldem zamiast z Amy, miłośniczką przystojnych chłopaków w oszałamiających samochodach, ubraniach od Sweetiego i (Boże, wybac mi, nie powinnam mówić źle o zmarłych, ale to święta prawda) snobką jakich mało. Harold jest na swój szczególny sposób całkiem miłym chłopakiem. Naturalnie jeśli tylko nie robi z siebie dumia, co mu się, niestety, zdarza dość często. Ale, widzisz, Harold nigdy by nie uwierzył, że ktoś może uważać go za materiał na kumpla albo za fajnego chłopaka. On usilnie pracuje nad tym, by być niezależnym, od wszystkich. Stara się za wszelką cenę sam rozwiązywać własne problemy i radzić sobie najlepiej jak umie w tym nowym, niezbyt wspaniałym świecie. Równie dobrze mógłby zapakować je do plecaka wraz z batonami payday, które tak uwielbia.

Och, Haroldzie, naprawdę sama już nie wiem.

Zapamiętaj: Papuga ara. *Pfefferrr. Pfefferrr.* Pieprzu. Pieprzu.

Dzbanek Kool-Aid – o tak! Tampony OB, opracowane przez kobietę ginekologa. Drużyna All-Stars. Noc żywych trupów. Brrr. To ostatnie jest zbyt bliskie temu, co dzieje się obecnie. Wystarczy na dziś.

14 lipca 1990

Przy lunchu odbyliśmy długą, rzeczową rozmowę na temat nawiedzających nas snów. Robimy wiele postojów, może nawet więcej niż powinniśmy. Nawiasem mówiąc, znajdujemy się obecnie na północ od Batavii w stanie Nowy Jork.

Wczoraj Harold bardzo nieśmiało (jak na niego) zaproponował, abyśmy zaczęli brać w małych dawkach veronal i przekonali się, czy nie zakłóci on „cyklu marzeń sennych”, jak to określił. Przytaknęłam mu, żeby nikt nie zaczął zastanawiać się co jest ze mną nie tak, ale zamierzam wypluwać pigułki, bo nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłyby podziałać na mojego Samotnego Strażnika (mam nadzieję, że jest Samotny, nie wiem, czy dałabym radę bliźniętom).

Kiedy propozycja Harolda została przyjęta, do dyskusji włączył się Mark.

– Wiecie co – powiada – nad sprawami takimi jak ta lepiej za dużo nie debatować. Ani się obejrzymy, gdy zaczniemy uważać się za nowych Mojżeszów, Józefów czy innych biblijnych proroków przyjmujących polecenia bezpośrednio od Pana Boga. „Halo? Kto mówi? Pan Bóg? Co tam sływać w Niebie?”

– Mroczny mężczyzna nie dzwoni z Nieba – wtrąca Stu. – Jeśli to zamiejskowa, to raczej z miejsca położnego o wiele niżej, i podobno jest tam goręcej niż w tropikach.

– Stu chyba chce nam przez to powiedzieć, że Rogaty postanowił nadziać nas na swoje widły – odzywa się Frannie.

– To równie dobre wyjaśnienie jak każde inne – mówi Glen. Wszyscy spojrzeliśmy na niego. – Cóż – mruknął nieco bardziej spokojnym tonem – jeśli na to spojrzeć z teologicznego punktu widzenia wygląda na to, że jesteśmy węzłem na środku liny przeciąganej z jednej strony przez drużynę Nieba, z drugiej zaś przez armie Piekieł, czyż nie? Jeśli z pomoru ocalał choć jeden jezuita, podejrzewam, że to, co się dzieje musi go doprowadzać do białej gorączki.

Mark zarechotał ochryple. Śmiał się aż do rozpuku. Nie bardzo zrozumiałam, co go tak rozbawiło, ale nie powiedziałam tego głośno.

– Cóż, ja uważani, że to wszystko jest absurdalne – wtrącił Harold. – Jeszcze trochę i zaczniemy rozmawiać o Edgarze Cayce i transmigracji dusz.

Wypowiedział nazwisko Cayce jako Case, a kiedy go poprawiłam (wymawia się je jak inicjały Kansas City), spiorunował mnie wzrokiem. Nie należy do ludzi, którzy okazują ci swą bezgraniczną wdzięczność, gdy ujawniasz ich najdrobniejsze nawet mankamenty.

– Gdy w grę wchodzi zjawisko ewidentnie paranormalnej natury – rzekł Glen – jedynym wytłumaczeniem, które zdaje się do niego pasować i nie jest sprzeczne z logiką, to wyjaśnienie z zakresu teologii. To dlatego mentaliści i religia zawsze szli ramię w ramię, od zarania dziejów aż po współczesnych paranormalnych uzdrowicieli.

Harold zaczął mamrotać coś pod nosem, ale Glen i tak mówił dalej.

– Mam nieodparte wrażenie, że każdy z nas posiada wrodzone zdolności paranormalne i są one tak integralną częścią nas samych, że rzadko kiedy je dostrzegamy. Zdolność ta może być w dużej mierze profilaktyczna i również dlatego na co dzień nie zdajemy sobie sprawy, że ją posiadamy.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Ponieważ jest czynnikiem negatywnym. Czy ktokolwiek z was czytał traktat Jamesa D.L. Stauntona z 1958 roku na temat katastrof samolotów i pociągów? Opublikowano go w dzienniku poświęconym socjologii, ale gazety codzienne od czasu do czasu czerpią z niego pewne informacje.

Wszyscy pokręciliśmy przecząco głowami.

– A powinniście – rzekł Glen. – James Staunton był człowiekiem, którego moi studenci przed dwudziestu laty określiliby mianem „tęgiej głowy”. Ów łagodny, bardzo inteligentny socjolog kliniczny miał jedno ulubione hobby – okultyzm. Napisał wiele artykułów, łącząc w nich oba te tematy, aż w końcu na poważnie zaczął parać się okultyzmem by potwierdzić eksperymentalnie wysuwane przez siebie teorie.

Harold parsknął, ale Stu i Mark uśmiechali się. Ja chyba również.

– No to powiedz nam o tych samolotach i pociągach – ponagliła go Peri.

– Staunton zgromadził dane na temat z górą pięćdziesięciu katastrof samolotowych od 1925 roku i ponad dwustu katastrof pociągów od 1900 roku. Wprowadził je do komputera. Porównywał trzy główne czynniki – liczbę osób biorących udział w katastrofie, liczbę ofiar i **POJEMNOŚĆ** pojazdu.

– Nie rozumiem, co chciał przez to udowodnić – odezwał się Stu.

– Aby to pojąć musisz wiedzieć, że wprowadził on do komputera drugą listę danych zawierającą liczbę samolotów i pociągów, które NIE uległy żadnemu wypadkowi.

Mark pokiwał głową:

– Grupa kontrolna i grupa eksperymentalna. To brzmi całkiem nieźle.

– To, czego się dowiedział było dość proste, ale dawało do myślenia. I wnioski wynikające z jego badań, choć pozornie ukryte, mogą wydawać się naprawdę przerażające. Wstyd, że aby ujawnić prosty fakt statystyczny trzeba przekopać się najpierw przez całą masę danych.

– Ale jak brzmi ten FAKT? – zapytałam.

– Samoloty i pociągi z kompletem pasażerów rzadko ulegają wypadkom – odparł Glen.

– Co za pieprzone bzdury! – rzucił Harold.

– Bynajmniej – odparł spokojnie Glen. – Tak brzmiała teoria Stauntona, a analiza komputerowa w pełni ją potwierdziła. Samoloty i pociągi, które uległy katastrofie nie miały na swoich pokładach kompletu pasażerów. Były pełne w sześćdziesięciu jeden procentach, jak wynika z liczby sprzedanych biletów. Natomiast samoloty i pociągi, które nie ulegały wypadkom były z reguły wypełnione w siedemdziesięciu sześciu procentach. Różnica jest rzędu piętnastu procent, co określa się jako znaczną. Staunton twierdzi, że już różnica rzędu trzech procent powinna dawać do myślenia, i ma rację. To anomalia wielka jak Teksas. Dedukcja Stauntona zasadza się na tym, że ludzie WIEDZĄ, które samoloty i pociągi ulegną katastrofie... że podświadomie przewidują przyszłość.

Ciocia Sally doznaje silnego bólu brzucha tuż przed odlotem samolotu numer 61 z Chicago do San Diego. A kiedy samolot się rozbija, wszyscy mówią: „Och, ciociu Sally, ten ból brzucha to była łaska Pańska”. Dopóki jednak nie pojawił się James Staunton nikt nie zdawał sobie sprawy, że takich osób było aż trzydzieści... z bólem żołądka, migreną albo dziwną słabością w nogach, którą odczuwasz, kiedy ciało próbuje uświadomić twojej głowie, że coś jest nie tak i wkrótce stanie się coś złego.

– Nie wierzę w to – mówi Harold i smętnie kręci głową.

– No cóż... dodam tylko – ciągnął Glen – że w jakiś tydzień po przeczytaniu przeze mnie artykułu Stauntona na lotnisku Logan rozbił się odrzutowiec linii Majestic Airlines. Kiedy sprawa trochę przycichła zadzwoniłem do biura firmy Majestic. Przedstawiłem się jako reporter „Union Leadera” z Manchester – drobne kłamstewko w słusznej sprawie. Zapytałem o liczbę osób, które miały znaleźć się na pokładzie, lecz z jakichś przyczyn zrezygnowały z lotu tym samolotem. Mężczyzna, z którym rozmawiałem trochę się zdziwił, bo rzekomo rzecznik linii lotniczej wypowiedział się już na ten temat. Osób takich było szesnaście. Szesnaście osób zrezygnowało z lotu. Zapytałem, ile osób przeciętnie rezygnuje z lotu, przykładowo na trasie z Denver do Bostonu. Odpowiedział, że trzy.

– Trzy – mówi z zadumą Perion.

– Właśnie. Ale facet posunął się dalej. Powiedział, że było również piętnaście potwierdzonych REZYGNACJI, gdy przeciętnie na jeden lot boeingiem 747 przypada osiem. Tak więc gdy nagłówki w gazetach krzyczały „Dziewięćdziesiąt cztery ofiary katastrofy odrzutowca”, ja wyobrażałem sobie inny „Trzydzieści jeden osób uniknęło śmierci w katastrofie odrzutowca”.

Było tam jeszcze wiele informacji z dziedziny parapsychologii, ale odbiegają zbyt od naszego zasadniczego tematu, czyli snów i tego, czy są one zakamuflowanym przekazem od Naszego Stwórcy Niebieskiego czy raczej nie.

Padło jedno ważne stwierdzenie (już po tym jak Harold oddalił się wyraźnie zde gustowany całą dyskusją), kiedy Stu zwrócił się do Glena z pytaniem:

– Skoro wszyscy posiadamy tak silne właściwości parapsychiczne, jak to możliwe, że nie wyczuwamy, kiedy umiera droga nam osoba, albo że tornado obraca nasz dom w przynę, czy coś w tym rodzaju?

– Znanych jest wiele takich przypadków – powiedział Glen – choć przyznaję, iż nie są one tak częste... ani tak łatwe do udowodnienia, nawet z pomocą komputera. To ciekawa kwestia. Mam pewną teorię...

(Jak zawsze, no nie, pamiętniku?)

...zgodnie z którą ma to coś wspólnego z ewolucją. Wicie, o czym myślę, o czasach, kiedy ludzie – lub raczej ich przodkowie, mieli ogony, owłosione ciała i zmysły znacznie bardziej wyostrzone niż nasze teraz. Dlaczego ich już nie mamy? No, szybko, Stu! Masz okazję się wykazać.

– Jak to dlaczego... z tego samego powodu, dla którego ludzie prowadząc auto, nie noszą już długich płaszczy ani gogli. Z pewnych rzeczy po prostu się wyrasta. Stają się zbędne. Dochodzimy do takiego momentu, kiedy nie są nam już potrzebne.

– Otóż to. Po co człowiekowi zdolności paranormalne, które w gruncie rzeczy do niczego się nie przydają? Które są niepraktyczne? Po co ci umiejętność, która wyjawi ci, że kiedy będziesz w biurze, swoją żonę wracającą z zakupów potrąci śmiertelnie samochód? Przecież ktoś do ciebie zadzwoni i powiadomi, co się stało, czyż nie? Ten zmysł, jeśli go kiedykolwiek posiadaliśmy, już dawno temu musiał ulec atrofii. Odszedł w zapomnienie wraz z naszymi futrami i ogonami. Jeżeli chodzi o te sny interesuje mnie w nich to, iż zdają się one zwiastować jakąś nadchodzącą walkę. Wygląda na to, że mamy możliwość ujrzeć w nich niezbyt jeszcze wyraźne sylwetki protagonistów... i antagonistę. Odwiecznego wroga. Adwersarza.

A skoro tak, możemy to przyrównać do przyglądania się samolotowi, na pokład którego mieliśmy wejść... ale rozboleły nas brzuchy. Możliwe, że dano nam szansę byśmy mogli na nowo ukształtować naszą przyszłość, tego nie wiem. To coś w rodzaju czterowymiarowej wolnej woli, możliwość dokonania wyboru w mających nadejść wydarzeniach.

– Ale przecież nie wiemy, co oznaczają te sny – powiedziałam.

– To prawda, nie wiemy. Ale możemy się domyślać. Możemy to wiedzieć podświadomie. Nie mam pojęcia, czy drobna iskierka zdolności paranormalnych to oznaka naszego Boskiego pochodzenia; jest wielu ludzi, którzy wierzą w cud widzenia, nie wierząc przy tym, iż samo widzenie, postrzeganie jest dowodem na istnienie Boga. I ja się do nich zaliczam. Wydaje mi się jednak, że owe sny są mocą twórczą, pomimo iż przerażają nas same w sobie. Zastanawiam się, czy pomysł z veronalem nie jest czasami chybiony. To tak, jakbyśmy łyknęli parę tabletek od bólu brzucha i mimo wszystko wsiedli do podstawionego samolotu – zakończył Glen.

Zapamiętaj: Recesja, deficyt, prototyp forda growlera, który mógł przejechać sześćdziesiąt mil na jednym galonie benzyny. Naprawdę cudowne autko. To wszystko. Dość. Jeśli nie zacznę robić krótszych wpisów ten pamiętnik zrobi się długi jak *Przeminęło z wiatrem*, zanim jeszcze pojawi się Samotny Strażnik (tylko proszę, niech nie przyjedzie na swoim silverze). A tak, jeszcze jedno. Edgar Cayce. Nie mogę go zapomnieć. Rzekomo facet w snach potrafił ujrzeć przyszłość.

16 lipca 1990

Tylko dwie notki, obie związane ze snami (patrz wpis sprzed dwóch dni). Po pierwsze, Glen Bateman przez ostatnie dni był bardzo blady i milczący, dziś wieczorem widziałam jak brał dodatkową dawkę veronalu. Podejrzewam, że przez dwa ostatnie dni nie brał nic na sen i nawiedziły go jakieś WYJĄTKOWO UPIORNE koszmary. To mnie niepokoi. Chciałabym móc jakoś się do niego zbliżyć, porozmawiać z nim szczerze na ten temat, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

Po drugie, moje koszmary. Przed ostatniej nocy (po naszej rozmowie) nic, usnęłam jak kamień, a po przebudzeniu niczego nie pamiętałam. Zeszłej nocy przyśniła mi się po raz pierwszy stara kobieta. Nie mogę dodać nic więcej prócz tego, co już zostało powiedziane. Choć może powinnam powiedzieć, że zdaje się ona roztaczać wkoło siebie niewiarygodnie silną aurę DOBROCI I ŁAGODNOŚCI. Chyba rozumiem już dlaczego Stu tak nalega byśmy wyruszyli do Nebraski i naraża się tym samym na sarkastyczne odzywki Harolda. Dziś rano obudziłam się w pełni wypoczęta i świeża, z przekonaniem, że jeśli tylko odnajdziemy tę starą kobietę, Matkę Abigail, wszystko będzie w absolutnym, super, hiper porządku. Mam nadzieję, że ona rzeczywiście tam jest. I czeka. (Właściwie, jestem prawie pewna, że miasteczko nazywa się naprawdę Hemingford Home.)

Zapamiętaj: Matka Abigail!

ROZDZIAŁ 47

To stało się szybko. Była za kwadrans dziesiąta trzydziestego lipca, a oni jechali od jakiejś godziny. Jechali wolno, gdyż poprzedniej nocy lało jak z cebra i nawierzchnia szosy wciąż była śliska. Prawie między sobą nie rozmawiali od poprzedniego ranka, kiedy Stu obudził najpierw Frannie, a potem Harolda i Glena by powiedzieć im, że Perion popełniła samobójstwo. Winił siebie za to, co się stało, Fran nie miała co do tego wątpliwości. Winił siebie za coś, na co miał mniej więcej taki sam wpływ jak na powódź w Chinach.

Chciała mu to powiedzieć, po części dlatego, że zanadto przejmował się rzeczami od niego niezależnymi, po części zaś, bo go kochała. Nie próbowała już ukrywać tego przed sobą. Sądziła, że zdoła przekonać go, iż nie ponosił winy za śmierć Peri... ale by tego dokonać, musiałyby otworzyć przed nim swoje serce. I zrobić to naprawdę wyraziście. Niestety Harold też poznałby wówczas prawdę. Tak więc to rozwiązanie nie wchodziło w rachubę... przynajmniej na razie. Postanowiła, że zrobi to już wkrótce. Już niedługo. Niezależnie od tego, jak na to zareaguje Harold. Do tego czasu będzie trzymać go w niepewności. Później wyjawি mu prawdę i Harold albo ją zaakceptuje, albo nie. Obawiała się, że raczej to drugie. Takie rozwiązanie przywodziło jej na myśl wszystko co najgorsze. Bądź co bądź, w sensie dosłownym, wszyscy oni byli uzbrojeni po zęby.

Zastanawiała się nad tym, kiedy pokonali kolejny zakręt i ujrzeli wielką ciężarówkę mieszkalną stojącą w poprzek drogi i blokującą ją od pobocza do pobocza. Jej różowy bok z blachy falistej błyszczał jeszcze po ulewie ostatniej nocy. Wyglądało to dość dziwnie, ale po obu stronach drogi stały jeszcze trzy inne samochody – furgony oraz sporych rozmiarów ciężarówka holownicza. Przy samochodach znajdowali się ludzie. Było ich co najmniej tuzin. Fran tak to zaskoczyło, że zbyt gwałtownie zahamowała. Honda weszła w poślizg na mokrej szosie i Fran ledwo zdołała odzyskać panowanie nad maszyną. Wreszcie cała czwórka stanęła w mniej więcej równej linii w poprzek drogi, naprzeciw dziwnej blokady i, mrugając powiekami, popatrzyła ze zdziwieniem na zdumiewająco liczną grupę ocalałych z pomoru.

– Dobra, zsiadajcie z motorów – rozkazał jeden z mężczyzn. Był wysoki, miał gęstą blond brodę i nosił okulary przeciwsłoneczne.

Fran na chwilę powróciła myślami do zjazdu w Maine, kiedy gliniarz zatrzymał ją za przekroczenie prędkości.

„Teraz zażąda, od nas prawa jazdy” – pomyślała Fran. To nie był jednak wylapujący piratów drogowych i wypisujący mandaty samotny glina z drogówki. Było tu czterech mężczyzn (trzech stało tuż za mężczyzną z brodą). Resztę stanowiły kobiety. Było ich co najmniej osiem. Wydawały się blade i wystraszone. Kuliły się zbite w małe grupki wokół furgonów.

Brodacz miał w dłoni pistolet. Towarzyszący mu mężczyźni byli uzbrojeni w karabiny. Dwóch z nich było ubranych po wojskowemu.

– Zsiadać, mówię – warknął brodac, a jeden ze stojących za nim mężczyzn wprowadził nabój do komory zamka karabinu. O poranku, gdy wokoło płożyła się mgła, dźwięk ten wydawał się wyjątkowo głośny i groźny.

Glen i Harold wyglądali na zaniepokojonych i zbitych z tropu. I tylko tyle. „Są jak kaczki na strzelnicy” – pomyślała Frannie z narastającą paniką. Sama nie w pełni jeszcze rozumiała całą tę sytuację, ale zdawała sobie sprawę, że coś jest nie tak. „Czterej mężczyźni i osiem kobiet”, rozległ się głos w jej umyśle, po czym powtórzył to jeszcze raz, tym razem głośniejsze: „Czterej mężczyźni i osiem kobiet!”

– Haroldzie – rzekł ze spokojem Stu. Jego oczy rozbliły. Coś sobie uświadomił. – Haroldzie, nie...

I wtedy rozpętało się piekło.

Stu miał karabin przewieszony przez plecy. Przechylił się, pasek broni zsunął się po jego ramieniu i w chwilę potem miał już broń w rękach.

– Nie rób tego! – krzyknął wściekle brodac. – Garvey! Virge! Ronnie! Załatwcie ich! Zostawcie tylko kobietę!

Harold zaczął sięgać po pistolety, zapominając w pierwszej chwili, że miał je w kaburach, zabezpieczone skózanymi paskami zaopatrzonymi w napy. Glen Bateman wciąż oszołomiony i dezorientowany siedział za Haroldem w kompletnym bezruchu.

– Haroldzie! – zawołał raz jeszcze Stu.

Frannie sięgnęła po swój karabin. Miała wrażenie jakby otaczające ją powietrze zmieniło się w niewidzialną melasę, w której wykonywanie jakiegokolwiek ruchu było maksymalnie spowolnione. Wiedziała już, że nie zdąży zdjąć karabinu na czas. Zrozumiała, że najprawdopodobniej za chwilę umrze.

– TERAZ! – krzyknęła jedna z dziewcząt.

Frannie, mocując się z karabinem, spojrzała na dziewczynę. Nie, nie na dziewczynę, na kobietę, musiała mieć ze dwadzieścia pięć lat. Jej popielatoblond włosy były przycięte dookoła głowy krótko i nierówno, jakby ktoś zrobił to niedawno sekatorem.

Żadna z kobiet nawet nie drgnęła, kilka z nich wydawało się sparaliżowanych z przerażenia. Jednak jasnowłosa dziewczyna i trzy inne diametralnie się od nich różniły.

To co nastąpiło później, trwało w sumie równie siedem sekund.

Brodacz wymierzył do Stu z pistoletu. Kiedy młoda blondynka krzyknęła „Teraz!”, lufa przesunęła się lekko w jej stronę niczym różdżka bioenergoterapeuty, natrafiając na ciek wodny. Pistolet wypalił z głośnym hukim jakby stał przebijała gruby karton. Stu spadł z motocykla, a Frannie wykrzyknęła głośno jego imię.

I wtedy Stu podniósł się na łokciach (oba miał zdarte od upadku na asfalt, a honda przygniotła mu jedną nogę) i zaczął strzelać.

Brodacz zatańczył dziko jak wodewilowy aktorzyzna schodzący ze sceny po kolejnym bisie. Wyblakła, kraciasta koszula raz po raz nadymała się i przywierała do jego ciała. Dłoń z automatycznym pistoletem uniosła się ku niebu i jeszcze czterokrotnie dał się słyszeć ten przeraźliwy dźwięk, jakby stał przebijała gruby karton. Mężczyzna runął na wznak.

Na krzyk blondynki dwaj z trzech stojących za brodaczem drabów zerwało się do działania. Jeden z nich ściągnął oba spusty starego remingtona dwunastki. Kolba strzelby o nic się nie opierała, mężczyzna trzymał broń przy prawym biodrze i kiedy padły strzały, przy wtórze odgłosu przypominającego grzmot rozlegający się w ciasnym pomieszczeniu, po prostu wyleciała mu z rąk do tyłu, zdzierając skórę z obu dłoni. Dubeltówka z grzechotem spadła na asfalt. Twarz jednej z kobiet, która nie zareagowała na krzyk blondynki rozplynęła się w buchającym gejerze krwi i przez chwilę Frannie słyszała jej plusk zraszający nawierzchnię szosy, jakby z nieba lunął nagle szkarłatny deszcz. Spod krwawej maski, w którą zmieniła się twarz kobiety przezierało już tylko jedno oko. Było przeszkłone i wyrażało bezgraniczne zdumienie. Nagle kobieta upadła twarzą do przodu na ziemię. Furgon za jej plecami był jak rzeszoto podziurawiony śrucinami. W jednej z szyb ziały drobne otworki upstrzone pajęczynami pęknięć.

Blondynka zaczęła mocować się z drugim mężczyzną, który odwrócił się w jej stronę. Karabin, który trzymał wypalił pomiędzy ich ciałami. Jedna z dziewcząt rzuciła się by podnieść leżącą na szosie strzelbę.

Trzeci z mężczyzn, który nie odwrócił się w stronę kobiet, zaczął strzelać do Fran. Fran siedziała okrakiem na swoim motorze, z karabinem w rękach i, mrugając powiekami, gapiała się tępo na niego. Miał oliwkową cerę i wyglądał na Włocha. Kula świsnęła jej koło lewej skroni.

Harold wyrwał wreszcie z kabury jeden z pistoletów. Uniósł go i wypalił. Odległość między nimi wynosiła jakieś piętnaście kroków. Chybił. Strzępiasta dziura wykwitła w ścianie różowego furgonu, obok głowy Włocha. Mężczyzna o śniadej skórze spojrzał na Harolda i wrzasnął:

– Teraz cię wykończę, kurwi synu!

– Nie rób tego! – wrzasnął Harold. Upuścił pistolet i uniósł obie ręce w górę.

Mężczyzna oddał do Harolda trzy strzały. Trzykrotnie chybił. Trzecia kula o mało nie dosięgła celu – z głośnym, przeciągłym wizgiem odbiła się od rury wydechowej yamaha Laudera. Motocykl przewrócił się, a Harold i Glen wylądowali na asfalcie.

Uplłynęło już dwadzieścia sekund. Harold i Stu leżeli płasko na ziemi. Glen usiadł po turecku na szosie, wciąż sprawiał wrażenie jakby nie do końca wiedział, gdzie się znajduje ani co się dzieje. Frannie rozpaczliwie próbowała trafić przeciwnika, zanim ten zastrzeli Harolda albo Stu, ale jej karabin nie wypalił, może zapomniała zwolnić bezpiecznik. Blondynka wciąż mocowała się z drugim osiłkiem, a kobieta, która rzuciła się, by podnieść strzelbę, szarpała się teraz z inną, usiłującą wyrwać jej broń. Klnąc na czym świat stoi, ewidentnie zresztą po włosku, mężczyzna znów wymierzył do Harolda i wtedy Stu wypalił, a czoło makaroniarza zapadło się, po czym runął jak worek kartofli.

Jeszcze jedna kobieta przyłączyła się do walczących o strzelbę. Facet, który ją stracił, próbował odepchnąć dziewczynę. Ta schwyciła go ręką za krocze i ścisnęła z całej siły przez materiał dżinsów. Fran ujrzała prężące się pod skórą kobiety mięśnie. Mężczyzna krzyknął. Strzelba już go nie obchodziła. Zacisnąwszy dłonie na uszkodzonych klejnotach, zgięty z bólu, zaczął uciekać niezdarnym, kaczkowatym chodem.

Harold schylił się po swój pistolet, podniósł go i wypalił trzykrotnie, mierząc do uciekającego mężczyzny. Strzelił trzy razy i trzy razy chybił.

„To jak Bonnie i Clyde – pomyślała Frannie. – Boże, wszędzie jest krew!”

Blondynka o zmierzwionych włosach przegrała z drugim mężczyzną walkę o karabin. Facet brutalnie wyszarpnął jej broń i kopnął z całej siły – możliwe, że mierzył w brzuch, trafił jednak w górną część uda. Na nogach miał ciężkie buty na grubych protektorach. Kobieta została odepchnięta w tył i, choć machając rękoma, usiłowała zachować równowagę, z plaśnięciem wylądowała na tyłku.

„Teraz ją zastrzeli” – pomyślała Frannie, ale facet okręcił się na pięcie, jak pijany żołnierz robiący w tył zwrot i zaczął pruć do trzech kobiet kulących się pod ścianą furgonu.

– A macie! Pieprzone dziwki! – wrzasnął ów niebywały dżentelmen. – Macie! Wy dziwki!

Jedna z kobiet upadła i zaczęła wic się po asfalcie między furgonem a przewróconą ciężarówką jak przebita harpunem ryba. Dwie pozostałe kobiety rzuciły się do ucieczki. Stu strzelił do faceta z karabinu, ale chybił. Ten wypalił do jednej z uciekających kobiet. Trafił. Wyrzuciła obie ręce w górę, ku niebu, i upadła. Druga z uciekinierek ukryła się za różową ciężarówką.

Trzeci z mężczyzn, który stracił i nie odzyskał strzelby, wciąż jeszcze kręcił się w kółko, zaciskając dłonie na obolałych genitaliach. Jedna z kobiet wycelowała w niego strzelbę i pociągnęła za oba spusty, mrużąc oczy i krzywiąc się w oczekiwaniu na rozdzierający huk. Ten jednak nie nastąpił. Broń nie była naładowana. Odwróciła ją w dłoniach, schwyciła za lufę i zamachnęła się potężnie. Nie trafiła przeciwnika w głowę, lecz w miejsce, gdzie jego

szyja łączyła się z prawym barkiem. Mężczyzna osunął się na kolana. Desperacko próbował odpełznąć na klęczkach od swej prześladowczyni. Kobieta w niebieskim dresie z logo Uniwersytetu Stanu Kent i wyświechtanych džinsach szła za nim nieustępliwie, raz po raz wymierzając mu ciosy kolbą strzelby. Facet wciąż pełził przed siebie, krew płynęła z jego ciała szkarłatnymi strugami, ale kobieta nie okazując litości, zapamiętale okładała go dalej.

– Aaach, wy dziwki! – wrzasnął drugi z mężczyzn, strzelając do oszołomionej i mamroczącej pod nosem kobiety w średnim wieku. Odległość pomiędzy nią a wylotem lufy broni wynosiła najwyżej trzy stopy; kobieta mogłaby nawet, gdyby chciała, wyciągnąć rękę i zatkać lufę karabinu małym palcem. Facet chybił. Nacisnął spust jeszcze raz i w odpowiedzi usłyszał tylko suchy szcęk iglicy, natrafiającej na pustą komorę.

Harold trzymał teraz pistolet obiema dłońmi, tak jak policjanci w filmach. Ściągnął spust i kula strzaskała łokieć facetowi z karabinem, który upuścił broń i zaczął podskakiwać jak oszalały, wydając dziwne, nieartykułowane dźwięki. Frannie przywodził na myśl Królika Rogera bełkoczącego niewyraźnie, przez nos: „Płoooooszę!”

– Trafiłem go! – zawołał z przejęciem Harold. – Trafiłem go! Na Boga, trafiłem go!

Frannie przypomniała sobie wreszcie o bezpieczniku. Zwolniła go i w tej samej chwili Stu ponownie wypalił. Drugi z mężczyzn upadł, trzymając się już nie za łokieć, a za brzuch. Krzyczał bez przerwy.

– Mój Boże, mój Boże – wyszeptał Glen Bateman. Ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

Harold jeszcze raz pociągnął za spust. Ciało drugiego z mężczyzn drgnęło konwulsyjnie. Jego krzyk urwał się jak ucięty nożem.

Kobieta w dresowej bluzie ponownie uderzyła swoją ofiarę kolbą strzelby i tym razem trafiła pełznącego desperacko mężczyznę w bok głowy. Dźwięk, jaki temu towarzyszył, przypominał ten, z jakim Jim Rice wybijał szybką, podkręconą piłkę. Kolba strzelby i czaszka mężczyzny pękły z głuchym trzaskiem.

Przez chwilę panowała cisza. Słysząc było tylko rozlegający się gdzieś nieopodal ptasi świergot.

Nagle dziewczyna w bluzie od dresu stanęła okrakiem nad ciałem trzeciego z mężczyzn i wydała długi, przeciągły okrzyk triumfu, zupełnie jak dzikuska z epoki kamiennej. Fran Goldsmith do końca swego życia nie zapomni tego przerażającego, pierwotnego zewu.

Blondynka, Dayna Jurgens, pochodziła z Xenia w Ohio. Dziewczyna w bluzie od dresu nazywała się Susan Stern. Trzecią, tą z silnym uchwytym za jądra, była Patty Kroger. Dwie pozostałe były nieco starsze. Najstarsza, jak powiedziała Dayna, nazywała się Shirley Hammet. Nazwiska tej drugiej po trzydziestce nie znały, była w szoku i błąkała się po Archbold, gdzie dwa dni temu odnaleźli ją Al, Garvey, Virge i Ronnie. W dziewiątkę zeszli z szosy, by spędzić noc na farmie na zachód od Columbia, tuż za granicą Indiany. Wszyscy byli

w szoku, a Fran pomyślała później, że ich marsz przez pole od przewróconego różowego wozu kempingowego na farmę, postronnemu obserwatorowi mógł skojarzyć się z wycieczką sponsorowaną przez miejscowy szpital psychiatryczny. Trawa sięgająca do ud i wciąż wilgotna po ulewie ubiegłej nocy całkowicie przemoczyła ich spodnie. Białe motyle unosiły się leniwie po deszczu na ciężkich od wilgoci skrzydłach; zbliżały się ku nim, by zaraz odlecieć, wykonując w powietrzu ciasne ósemki i becзки. Słońce przebijało się uporczywie przez chmury, lecz jak dotąd z mizernym skutkiem. Słaba żółtawa poświata rozjaśniała białe chmury rozciągające się od jednego krańca horyzontu po drugi. Mimo to dzień był upalny, parny, a powietrze wypełnione było odgłosami trzepoczących skrzydeł wronich stad i ich gardłowym, ochryplym krakaniem. „Teraz wron jest więcej niż ludzi – pomyślała nagle Fran. – Jeśli nie będziemy ostrożni, kruki, wrony i gawrony usuną nas z powierzchni Ziemi. Po prostu nas rozdziobią i już. Zemsta kruków. Czy kruki żywiły się mięsem?”. W głębi duszy obawiała się, że tak. Głęboko pod tym strumieniem świadomości, ledwie dostrzegalna jak słońce ukryte za zasłoną chmur (ale tak jak ono potężna, w ten parny, upalny poranek trzydziestego lipca 1990 roku) toczyła się w jej umyśle zażarta walka.

Twarz kobiety zmieciona wystrzałem ze śrutówki. Stu spadający z motoru. Chwila dojmującej zgrozy, kiedy była święcie przekonana, że Stu nie żyje. Mężczyzna krzyczący: „Macie, wy dziwki!”, a potem piszczący jak Królik Roger, kiedy został trafiony przez Harolda. Pistoletowe wystrzały brzmiące jak metal dziurawiący karton. Prymitywny okrzyk zwycięstwa blondynki stojącej nad ciałem jej wroga, podczas gdy mózg mężczyzny, wciąż jeszcze ciepły, wylewał się z rozłupanej czaszki.

Glen szedł obok niej, a jego pociągłe, na co dzień sardoniczne oblicze wyrażało teraz głębokie strapienie; szare włosy sterczały dziko rozwichrzone wokół czaszki niczym motyle. Ujął jej dłoń i zaczął poklepywać ją uspokajająco.

– Nie pozwól, by to cię napiętnowało – powiedział. – Takie rzeczy... straszne rzeczy... czasami się zdarzają. Najlepszą ochronę stanowi liczebność. No, wiesz, społeczeństwo. Jest ono podstawą arki zwanej cywilizacją i jedynym prawdziwym antidotum na przestępczość. Wydarzenia... takie jak to... są nieuniknione. Musisz nauczyć się je znosić. Traktuj to, co się stało, jako pojedynczy przypadek. Ewenement. Jak troll. Tak! Troll, gnom albo chochlik. Coś nienormalnego i potwornego zarazem. Moim zdaniem to przykład jednej z samopotwierdzających się prawd etyki społecznej. Ha, ha!

Jego śmiech zabrzmiał nieco jak jęk. Na każde z jego pokrętnych twierdzeń odpowiadała krótkim „Tak, Glen”, ale on zdawał się jej nie słyszeć. Cuchnął rzygowinami. Motyle wpadały na nich raz po raz, odbijały się, po czym ulatywały w powietrze by zaraz powrócić i popełnić ten sam motyli błąd. Dotarli już prawie do farmy. Strzelanina trwała niecałą minutę. Niecałą minutę, lecz Fran podejrzewała, że w jej myślach trwać będzie całą wieczność. Glen znów poklepał ją po dłoni. Chciała poprosić, aby przestał, lecz bała się, że mogłaby tymi

słowami doprowadzić go do płaczu. Mogła to wytrzymać. Zniesie jego poklepywanie. Nie była jednak pewna, czy zniosłaby widok płaczącego Batemana.

Stu szedł, mając z jednej strony Harolda, a z drugiej blondynkę – Daynę Jurgens. Susan Stern i Patty Kroger szły wraz z nieznaną z nazwiska, pogrążoną w głębokiej katatonii kobietą zabraną z Archbold. Shirley Hammet odeszła nieco w lewo, mamrocząc coś pod nosem i próbując od czasu do czasu chwycić przelatujące motyle. Cała grupa szła wolno, ale Shirley Hammet po prostu się wlokła. Kosmyki siwiejących włosów opadały jej na twarz, a jej przepełnione oszołomieniem oczy przypominały ślepka myszy wyglądającej trwożliwie ze swojej dziury.

Harold spojrzał niepewnie na Stu.

– Rozwaliliśmy ich, prawda, Stu? Załatwiliśmy ich na amen. Rozgromiliśmy jak się patrzy.

– Chyba tak, Haroldzie.

– Człowieku przecież MUSIELIŚMY to zrobić – dorzucił z przejęciem Harold, jakby Stu powiedział coś dokładnie przeciwnego. – Sprawa była prosta: albo oni, albo my.

– Rozwaliliby was na miejscu – rzekła półgłosem Dayna Jurgens. – Kiedy na nas napadli, towarzyszyło mi dwóch mężczyzn. Zrobili zasadzkę i z zimną krwią zastrzelili Ricka i Damona. Kiedy leżeli już na ziemi, dla pewności wpakowali im jeszcze po jednej kulce w głowę. Musieliście to zrobić. Nie mieliście wyboru. Chwila wahania i już byście nie żyli. Właściwie powinniście już być martwi.

– Powinniście już być martwi! – zawołał Harold do Stu.

– W porządku – mruknął Stu. – Nie unoś się tak, Haroldzie.

– Jasne. Adrenalina mi podskoczyła – odparł z emfazą Harold. Sięgnął nerwowo do plecaka, wyjął batonik payday i, próbując rozpakować, omal go nie upuścił. Zaklął cicho, ale wreszcie rozerwał opakowanie i zaczął zajadać łapczywie, trzymając batonik jak loda, obiema dłońmi.

Dotarli do domu na farmie. Harold, pojadając batonik, raz po raz ukradkiem macał się po całym ciele aby upewnić się, że jest cały. Czuł się fatalnie. Było mu niedobrze. Bał się spojrzeć na swoje krocze. Był prawie pewien, że się zmoczył zaraz po tym, jak przy różowym furgonie rozpętało się piekło.

Dayna i Susan podczas obiadu, którego wszyscy spróbowali, ale mało kto jadł ze smakiem, mówiły prawie bez przerwy. Patty Kroger, piękna siedemnastolatka od czasu do czasu wtrącała kilka zdań. Kobieta o nieznanym nazwisku wcisnęła się w najdalszy kąt zakurzonej kuchni. Shirley Hammet siedziała przy stole, pojadając stęchły, ciemny chleb i mamrocząc pod nosem.

Dayna opuściła Xenie w towarzystwie Richarda Darlissa i Damona Bracknella. Ilu jeszcze mieszkańców Xenii przeżyło epidemię grypy? Widziała troje, bardzo starego

mężczyznę, kobietę i dziewczynkę. Dayne i jej przyjaciele zaproponowali by się do nich przyłączyli, ale stary mężczyzna, machnął lekceważąco ręką, mówiąc, że ma „coś do załatwienia na pustyni”.

Od ósmego lipca Dayna, Richard i Damon zaczęli miewać okropne koszmary, w których prześladował ich Czarny Lud. To były naprawdę przerażające sny. Dayna powiedziała, że zdaniem Ricka Czarny Lud istniał naprawdę i żył w Kalifornii. Jego zdaniem to do niego udała się ta trójka, w tym stary mężczyzna mówiący o jakiejś „sprawie na pustyni”. Dayna i Damon zaczęli obawiać się o zdrowie Ricka. Byli prawie pewni, że ich przyjaciel popada w obłąd. Nazywał człowieka ze snów Złym i powiedział, że zbiera on w pewnym miejscu armię złożoną z okrutnych ludzi, takich jak on sam. Twierdził, że armia ta już wkrótce zaleje Zachód, biorąc w niewolę wszystkich, którzy pozostali jeszcze przy życiu, najpierw w Ameryce, a potem na innych kontynentach, by ostatecznie zawładnąć całym światem. Dayna i Damon potajemnie planowali odłączyć się pewnej nocy od Ricka, uwierzyli bowiem, że ich własne sny są wynikiem potężnego wpływu, jaki wywarł na nich obłąkany Richard Darliss.

W Williamstown, po pokonaniu ostrego zakrętu na autostradzie natknęli się na wielką śmieciarkę, przewróconą na bok i leżącą w poprzek drogi. Opodał stały furgon i wóz holowniczy.

– Podejrzewaliśmy, że miała tu miejsce jeszcze jedna kraksa – mruknęła Dayna, ugniatając nerwowo w palcach pajdę ciemnego chleba – i naturalnie tak właśnie MIELIŚMY myśleć.

Zsiedli z motocykli aby przeprowadzić je obok śmieciarki, kiedy – używając określenia Ricka – „czterech złych facetów” otworzyło do nich ogień od strony rowu na poboczu. Zamordowali Ricka i Damona, a Daynę wzięli do niewoli. Była czwartą kobietą w ich prywatnym zoo, lub haremie, jak go niekiedy nazywali. Była wśród nich mamrocząca pod nosem Shirley Hammet, wtedy jeszcze prawie całkiem normalna, choć nieustannie ją gwałcono, sodomizowano i zmuszano do uprawiania fellatio z każdym z czterech mężczyzn.

– Raz – rzekła Dayna – kiedy nie wytrzymała do chwili, gdy jeden z nich miał pójść w krzaki, Ronnie podtarł jej tyłek trzymany w garści zwiniętym kawałkiem drutu kolczastego. Potem jeszcze przez trzy dni krwawiła z odbytu.

– Jezu Chryste – jęknął Stu. – Który z nich to był?

– Ten ze strzelbą – odparła Susan Stern. – Ten, któremu rozwaliłam łeb. Gdyby był tu teraz i leżał przede mną na podłodze, zrobiłabym to znowu.

Faceta o blond brodzie i w okularach przeciwsłonecznych znały tylko jako Doktora. On i Virge byli w jednym oddziale, który wysłano do Akron, kiedy wybuchła epidemia supergrypy. Ich zadanie polegało na utrzymywaniu „kontaktu z mediami”, co w wojskowym żargonie oznaczało zamknięcie ust mediom. Spisali się na medal, a wtedy zajęli się „kontrolą tłumu”, jak w wojskowym żargonie określano strzelanie do szabrowników, którzy próbowali uciekać i wieszanie tych, którzy tego nie próbowali. Do dwudziestego siódmego czerwca, jak

wyjaśnił Doktor, w łańcuchu dowodzenia więcej było luk niż ogniów. Wielu spośród ich ludzi było chorych, w tak ciężkim stanie, że nie mogli już chodzić na patrole, ale do tego czasu to już nie miało znaczenia, gdyż mieszkańcy Akron byli zbyt słabi by czytać albo drukować gazety, a co dopiero mówić o rabowaniu banków czy szabrowaniu salonów jubilerskich.

Oddział przestał istnieć przed trzydziestym czerwca, jego członkowie umarli, dogorywali albo puciekali. Właściwie uciekli tylko Doktor i Virge, i wtedy też znaleźli sobie nowe zajęcie: gromadzenie okazów do swojego prywatnego zoo. Pierwszego lipca natknęli się na Garveya, a trzeciego lipca na Ronniego. On zresztą miał być ostatnim członkiem zrzeszonym w ich małym, prywatnym klubie.

– Ale przecież od pewnego czasu miałyście nad nimi przewagę liczebną – zauważył Glen. Niespodziewanie na jego pytanie odpowiedziała Shirley Hammet.

– Prochy – powiedziała, spod kosmyków jej szarych włosów błyszczały małe, przerażone oczy. – Prochy co rano na dzień dobry i wieczorem na sen. Na pobudkę i na capstrzyk. – Głos jej się łamał. Stał się ledwie słyszalny. Przerwała i po chwili znów zaczęła mamrotać.

Susan Stern podjęła przerwana opowieść. Ona i jedna z nieżyjących kobiet, Rachel Carmody, zostały porwane siedemnastego lipca na obrzeżach Columbus. Tabor składał się wtedy z dwóch furgonów i ciężarówki holowniczej. Mężczyźni używali tej ostatniej do usuwania z drogi tarasujących ją pojazdów, albo jeżeli nadarzała się po temu dogodna okazja, do urządzania blokad. Doktor nosił prochy przy sobie, w specjalnym pasie. Miał ich trzy rodzaje – mocne środki uspokajające na sen, pobudzające, które aplikował z rana i czerwone, dla zabawy.

– Wstawałam rano, byłam gwałcona dwa, trzy razy i czekałam aż Doktor da mi pigułki – oświadczyła rzeczowo Susan. – To znaczy dzienną porcję. Na trzeci dzień moja... no, wiecie, pochwa, była tak poraniona i poobcierana, że każdy stosunek sprawiał mi okropny ból. Pokładałam nadzieję w Ronnie, bo on zawsze chciał, żebym mu obciągnęła. Tylko że po pigułkach stawałam się bardzo spokojna. Nie zaspana, lecz właśnie spokojna. Po tych paru niebieskich pigułkach wszystko przestawało mnie obchodzić. Chciałam jedynie siedzieć z rękoma splecionymi na podolku i patrzeć, jak ci faceci usuwają z drogi kolejny zator. Pewnego dnia Garvey się wściekł, bo jedna z dziewcząt, ona nie mogła mieć więcej niż dwanaście lat, nie chciała... no, nieważne czego. To było naprawdę okropne. Garvey odstrzelił jej pół głowy. Mnie w ogóle to nie wzruszyło. Byłam po prostu... spokojna. Po pewnym czasie prawie przestawałam myśleć o ucieczce. Od chęci ucieczki silniejsze stawało się pragnienie prochów. Chciałem tych cholernych, niebieskich pigułek.

Dayna i Patty Kroger pokiwały głowami.

– Chyba jednak zdali sobie sprawę, że nie dadzą rady zapanować nad więcej niż ośmioma kobietami na raz – dodała Patty. Kiedy ją porwali, dwudziestego drugiego lipca, po zamordowaniu pięćdziesięcioletniego mężczyzny, z którym podróżowała, zastrzelili bardzo starą kobietę należącą od tygodnia do ich „haremu”. Po zgarnięciu w okolicy Archbold

nieznanej z nazwiska kobiety, siedzącej teraz w kącie, zastrzelili szesnastoletnią zezowatą dziewczynę i porzucili jej ciało w przydrożnym rowie.

– Doktor skomentował to żartobliwie – wtrąciła Patty. – ”Nie przechodzę nigdy pod drabiną, zawracam, gdy czarny kot przebiegnie mi drogę i nie zamierzam podróżować w towarzystwie trzynastu innych osób”.

Dwudziestego dziewiątego lipca po raz pierwszy zobaczyli Stu i jego grupę. Zoo obozowało na terenach rekreacyjnych przy autostradzie, kiedy cała czwórka przejechała obok nich.

– Spodobałaś się Garveyowi – powiedziała Susan, spoglądając na Frannie. Ta wzdrygnęła się mimowolnie.

Dayna nachyliła się w ich stronę i rzekła półgłosem.

– I wyrazili się bardzo jasno, czyje zajmiesz miejsce. – Niemal niedostrzegalnie skinęła głową na Shirley Hammet, wciąż mamroczącą pod nosem i zajadającą chrupkie pieczywo.

– Biedaczka – jęknęła Fran.

– To Dayna doszła do wniosku, że możecie okazać się dla nas najlepszą szansą na ocalenie – wyjaśniła Patty. – Kto wie, może nawet ostatnią. Zarówno ona, jak i Helen Roget zauważyły, że jest wśród was aż trzech mężczyzn. Trzech UZBROJONYCH mężczyzn. Poza tym Doktor stał się ostatnio zbyt pewny siebie, popadał w rutynę. Zbyt często powtarzał ten numer z przewróconą ciężarówką na szosie. Doktor zawsze udawał ważniaka, wojskowego albo glinę, a faceci w grupach, które dotąd napotkali (jeśli się w nich znajdowali) zawsze dawali się nabrać. I ginęli. Zabijano ich na miejscu. Zasadzka działała jak marzenie. Numer wydawał się wręcz bezbłędny.

– Dayna powiedziała nam, żebyśmy nie połykały dziś pigułek, tylko ukradkiem je wypłuły – ciągnęła Susan. – W ostatnich dniach przestali sprawdzać, czy naprawdę je wzięliśmy, a poza tym wiedzieliśmy, że dziś rano będą mieli sporo roboty z ustawieniem i przewróceniem na środku szosy tego wielkiego furgonu mieszkalnego. Nie powiedzieliśmy o tym wszystkim. Wtajemniczone były tylko Dayna, Patty i Helen Roget... jedna z dziewcząt, które zastrzelił Ronnie. No i ja, ma się rozumieć.

Helen powiedziała: „Jeśli przyłapią nas podczas wypluwania pigułek, rozwalą nas na miejscu”. Dayna zaproponowała, że prędzej czy później i tak nas pozabiją, a te, które zginą wcześniej będą po prostu miały szczęście. Wiedzieliśmy, że to już najwyższy czas. I zrobiliśmy to.

– Musiałam przez pewien czas trzymać moją pigułkę w ustach – rzekła Patty. – Zanim nadarzyła się okazja do wyplucia jej, zdążyła się już trochę rozpuścić. – Spojrzała na Daynę. – Wydaje mi się, że Helen swoją połknęła. Dlatego była taka ospała i powolna.

Dayna skinęła głową. Patrzyła na Stu z takim wyrazem twarzy, że Frannie poczuła się nieswojo. Tamta wręcz promieniowała ciepłem.

– Wydaje mi się, że udałoby się im, gdybyś w pewnej chwili nie poszedł po rozum do głowy, wielkoludzie.

– Mam wrażenie, że i tak sfuszerowałem – odparł Stu. – Następnym razem spiszę się lepiej, obiecuję. – Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. – Wiecie, w pewnym sensie to mnie nawet przeraża – mruknął, na tyle jednak głośno, by wszyscy go usłyszeli. – To, w jaki sposób z dnia na dzień zdobywamy nową wiedzę i doświadczenie.

Dayna spojrzała na niego ze współczuciem. Fran z miejsca ją znienawidziła. „Jak ona mogła, po tym wszystkim, co przeszła? Ale mimo wszystko jest ode mnie dużo ładniejsza – pomyślała Fran. – I na dokładkę na pewno NIE JEST w ciąży”.

– To świat ludzi zdobywających wiedzę i nowe doświadczenia, wielkoludzie – odparła Dayna. – Albo zmądrzejesz, albo już po tobie.

Stu odwrócił się by na nią spojrzeć, po raz pierwszy naprawdę szczerze zwracając na nią uwagę, a Fran poczuła głęboko pod sercem ukłucie lodowatego ostrza sztyletu zazdrości. „Zbyt długo czekałam – pomyślała. – Za długo zwlekałam. O, Boże, przerznięłam sprawę, zbyt długo zwlekałam, a teraz jest już za późno!”

Całkiem przypadkowo spojrzała na Harolda i spostrzegła, że Harold uśmiechał się ukradkiem, dyskretnie przesłaniając usta dłonią. Miała wrażenie, że dostrzega na jego twarzy wyraz głębokiej ulgi.

Miała ochotę podejść do Harolda i paznokciami wydłubać mu oczy.

„Nigdy, Haroldzie! – krzyknęłyby, wyłupując mu oczy. – Nigdy! Nigdy!”

Z pamiętnika Fran Goldsmith

19 lipca 1990

O, Boże. Stało się najgorsze. W książkach, gdy to nastąpi, wszystko się kończy albo przynajmniej się ZMIENIA, ale w prawdziwym życiu to zdaje się trwać i trwać jak tasiemcowa opera mydlana. Może powinnam uporządkować pewne sprawy, zaryzykować, lecz obawiam się, że w trakcie tego wszystkiego coś mogłoby się wydarzyć.

Pozwól więc, że opowiem ci wszystko, mój pamiętniku, mimo iż opisywanie tych zdarzeń nie jest dla mnie żadną przyjemnością. Mierzi mnie nawet, gdy o tym pomyślę.

Glen i Stu pojechali wieczorem do miasta (nazywa się Girard i znajduje się w Ohio) tuż przed zmierzchem, aby przywieźć coś do jedzenia: koncentraty, puszki, mrożonki, suszony prowiant i temu podobne. Są łatwe w transporcie, a niektóre nawet całkiem smaczne, choć mrożonki i suszone żarcie zawsze, w moim odczuciu, ma smak identycznych odchodów. A skąd ty to wiesz? Czyżbyś miała okazję ich kosztować, że używasz takich porównań? Nieważne, pamiętniku, pewne rzeczy nigdy nie zostaną ujawnione, ha, ha!

Zapytali Harolda i mnie, czy chcemy z nimi jechać, na co odparłam, że po całym dniu mam już dość jazdy motorem i niniejszym odpuszczam sobie, Harold zaś odmówił pod pretekstem, że właśnie zamierzał zagotować wodę. Pewnie już wtedy wszystko miał dokładnie zaplanowane. Przepraszam, że przedstawiam go jakby był urodzonym kombinatorem i zawsze wszystko planował z góry, ale nic na to nie poradzę. On naprawdę taki jest.

(Tu krótka adnotacja: Wszyscy mamy już po dziurki w nosie gotowanej wody, która smakuje ohydnie, jakby była kompletnie pozbawiona tlenu. Jednak Mark i Glen twierdzą, że fabryki są nieczynne zbyt krótko, by rzeki i strumienie zdążyły się samoistnie oczyścić, zwłaszcza tu, na północnym wschodzie, słynącym z wysoko rozwiniętego przemysłu i znanym także jako Pas Rdzy. Toteż dla bezpieczeństwa zmuszeni jesteśmy przegotowywać wodę. Wszyscy mamy nadzieję, że prędzej czy później natkniemy się na duży zapas butelkowej wody mineralnej. Harold twierdzi, że jego zdaniem powinno to nastąpić już dawno temu, ale jakimś dziwnym trafem zapasy te znikają w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach. Stu doszedł do wniosku, że według większości ludzi przyczyną ich choroby była woda z kranu i zanim umarli, wykupili i zużyli większość zapasów butelkowej wody mineralnej.)

Mark i Perion także gdzieś poszli, prawdopodobnie szukają borówek, aby urozmaicić nasz skąpy jadłospis, a może robią coś innego – są pod tym względem bardzo dyskretni i chwala im za to. Zebrałam drewno na ognisko, a potem na zagotowanie wody w kociołku. Harold zjawił się niedawno (podejrzewam, że oprócz nabrania wody wykopał się jeszcze w strumieniu i umył włosy) i zawiesił garnek nad ogniem. A potem podszedł i usiadł przy mnie.

Siedzieliśmy na drewnianej kłodzie, rozmawiając o tym i o owym, gdy nagle Harold objął mnie i próbował pocałować. Napisałam „próbował”, ale tak naprawdę to mu się udało, bo kompletnie mnie zaskoczył. Zaraz jednak odsunęłam się od niego i spadłam z kłody. (Gdy myślę o tym z perspektywy, wydaje mi się to nieodparcie zabawne, choć nadal jestem obolała). Spadając, zahaczyłam bluzką o wystający fragment gałęzi i rozdarłam ją na plecach, zadrapując przy okazji skórę na długości mniej więcej jarda. Krzyknęłam z bólu.

I jak tu nie mówić, że historia się powtarza. Zupełnie jak z lessem na falochronie, kiedy przygryzłam sobie język... za dużo dobrego jak na jeden raz.

W mgnieniu oka Harold klęczał przy mnie, pytając, czy nic mi się nie stało i czerwieniąc się aż po cebulki swych umytych włosów. Harold czasami wydaje się taki zimny i przemądrzały, kojarzy mi się zawsze z zepsutym, młodym pisarzem wciąż szukającym owej szczególnej kafejki przy West Bank, gdzie mógłby przez cały dzień rozprawiać o Jean Paul Sarrze i popijać taniego sikacza, ale w głębi duszy, choć dobrze się maskuje, nadal jest niedojrzałym nastolatkiem z całą gamą najróżniejszych fantazji. A przynajmniej tak mi się wydaje. W swych fantazjach utożsamia się głównie z aktorami i bohaterami z filmów: Tyrone Powerem z *Kapitana z Kastylji*, Humphreyem Bogartem z *Mrocznej przeprawy* i Steve'em

McQuinnem z *Bullitta*. W chwilach szczególnych napięć zawsze wychodzi z niego właśnie ta osobowość, może dlatego, że w dzieciństwie mocno ją w sobie tłumił. Tego nie wiem. Tak czy inaczej, kiedy udaje Bogarta, robi to tak nieudolnie, że przypomina mi faceta, który grał Bogiego w filmie Woody Allena *Zagraj to jeszcze raz, Sam*.

Kiedy więc ukląkł przy mnie, pytając: „Nic ci się nie stało, małeńka?“, zaczęłam chichotać. Historia się powtarza!

Tylko że, no wiesz, to było coś więcej niż humor sytuacyjny. Gdyby chodziło tylko o to, zdołałabym się jakoś pohamować. Nie, to zahaczało raczej o histerię. Koszmary senne, niepokój o dziecko, zeszywnienie mięśni, ogólne zmęczenie, utrata rodziców, absolutna zmiana wszystkiego... zaczęło się od nieśmiałego chichotu, a skończyło na histerycznym śmiechu, którego nie potrafiła opanować.

– Co cię tak śmiesz? – zapytał Harold, wstając.

Chyba chciał to powiedzieć BARDZO POWAŻNYM, wręcz GROŹNYM tonem, ale ja wtedy przestałam już myśleć o nim jak o Haroldzie, a w mojej głowie pojawiła się ta obłądna wizja Kaczora Donalda drepczącego pośród ruin cywilizacji Zachodu i kwaczącego gniewnie pod nosem: „No i co cię tak śmiesz, hę? Co cię tak śmiesz? Co cię tak, kwa, kurwa, śmiesz?”. Zasłoniłam twarz dłońmi i chichotałam, szlochałam i chichotałam, aż Harold pomyślał sobie pewnie, że mi kompletnie odbiło.

Po jakimś czasie zdołałam się trochę opanować. Otarłam załzawioną twarz i już chciałam poprosić Harolda, aby obejrzał mi plecy i sprawdził, czy mocno się poharatałam. Nie zrobiłam tego jednak, gdyż mógłby to uznać za PRYZWOLENIE. Życie, przyzwolenie i chrapka na Frannie, o nie, tego już za wiele. I to wcale nie wydawało mi się zabawne.

– Fran – odezwał się Harold. – Naprawdę bardzo trudno mi to powiedzieć.

– To może lepiej nie mów – odparowałam.

– Muszę – on na to i wtedy uświadomiłam sobie, że nie odpuści, chyba że na niego wrzasnę.

– Frannie – powiedział. – Kocham cię.

Wydaje mi się, że od początku wiedziałam, co powie. Byłoby łatwiej, gdyby chciał tylko ze mną sypiać. Miłość jest znacznie bardziej groźna niż zwyczajne rżnięcie. Byłam w kropce. Jak miałam dać mu kosza? Chyba nie pozostawił mi innego wyjścia. Mogłam zrobić tylko jedno.

– Ale ja cię nie kocham – odparłam.

Maska na jego twarzy popękała.

– Chodzi o niego, prawda? – zapytał, wykrzywiając usta w szpetnym grymasie. – O Stu Redmana, tak?

– Nie wiem – odparłam.

Bywa, że jestem wybuchowa i nie potrafię nad sobą zapanować. Chyba mam to po matce. Jednak wobec Harolda zachowywałam wręcz anielską cierpliwość. Czułam jak coś w moim wnętrzu próbuje zerwać się z uwięzi, lecz zdołałam to ujarzmić.

– Ja wiem – mruknął ochryplym, zbolałym i jakże żalonym głosem. – Ja to wiem. Wiedziałem o tym od dnia, kiedy go spotkaliśmy. Nie chciałem, żeby przyłączył się do nas, bo już wtedy WIEDZIAŁEM. A on powiedział...

– Co takiego?

– Powiedział, że ciebie nie chce. Że mogłabyś należeć do mnie!

– Jak nowa para butów? Czy tak, Haroldzie?

Nie odpowiedział, może zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Przy odrobinie wysiłku powróciłam myślami do tamtego dnia w Fabyan. Pierwsza reakcja Harolda na Stu była reakcją psa, który widzi innego wchodzącego na jego podwórze. Na jego teren. Niemal ujrzałam jak jeżą się krótkie włoski na karku Harolda. Zdałam sobie sprawę, że Stu, mówiąc to, chciał byśmy przestali zachowywać się jak psy i znów zaczęli być ludźmi. Zresztą czy nie o to właśnie w tym wszystkim chodzi? Mam na myśli ten przedłużający się konflikt, w którym tkwimy we troje. Ponieważ jeżeli nie, to po co w ogóle mielibyśmy się starać i choćby próbować zachowywać się jak ludzie?

– Ja nie należę do nikogo, Haroldzie – odparłam.

Wymamrotał coś niezrozumiale.

– Słucham?

– Powiedziałem, że być może będziesz musiała zrewidować swoje poglądy.

Przyszła mi do głowy zgrabna odzywka, ale nie wypowiedziałam jej głośno. Harold błędził wzrokiem gdzieś bardzo daleko, a jego oblicze wydawało się otwarte i dziwnie nieruchome.

– Widziałem już takich facetów. Uwierz mi, Frannie. Dla twojego dobra. To jeden z tych typów, którzy przez całą szkołę grają w piłkę i wszystkich olewają, bo wiedzą, że nauczyciel, choćby tylko za osiągnięcia sportowe postawi mu troję. To jeden z tych facetów, którzy chodzą z najładniejszymi dziewczynami z drużyny dopingującej, a ona uważa go za ósmy cud świata. To jeden z tych facetów, którzy, kiedy nauczyciel każe mu przeczytać wypracowanie, pierdzi, bo uważa się za najlepszego w całej klasie. Tak. Znam takich kutasów jak on. Powodzenia, Fran.

I odszedł. To nie było wielkie wyjście z fasonem, na jakie liczył, jestem o tym przekonana. Sprawiał raczej wrażenie jakby skrycie o czymś marzył, a ja rozwiałam jego nadzieje na cztery wiatry, nadzieje na prawdziwe zmiany, jakiegokolwiek miałyby one być i nową rzeczywistość wymazującą wszelki ślad po starej. Pomiędzy Bogiem a prawdą, czułam się wtedy okropnie, bo zanim odszedł przestał być sztucznie napędzonym cynikiem, cynikiem dla zabawy, ale stał się nim naprawdę, a jego cynizm był cięty jak ostrze brzytwy. Potrafił dopiec.

Był naprawdę uszczypliwy. Do bólu. Tyle tylko, że Harold nigdy nie zdoła uświadomić sobie, że wszelkie zmiany powinien rozpoczynać od siebie, od swojej głowy, bo dopóki on się nie zmieni, cały świat, ten świat, którego nie znosił, również pozostanie taki sam jak do tej pory. A Harold gromadził w sobie urazy tak jak piraci gromadzili skarby...

No i tak. Teraz znów jesteśmy wszyscy razem, kolacja zjedzona, fajki wypalone, veronal rozdany (moją pigułkę mam w kieszeni zamiast w żołądku), zaczynamy układać się na spoczynek. Harold i ja mamy za sobą bolesną i trudną konfrontację, która pozostawiła mnie w przeświadczeniu, że nic tak naprawdę nie zostało rozwiązane. Teraz jednak wiem, że Lauder obserwuje nas oboje, mnie i Stu, by przekonać się co będzie dalej. Robi mi się niedobrze i wzbiera we mnie gniew, gdy piszę te słowa, cóż jednak mogę na to poradzić? Kto dał Haroldowi prawo by nas szpiegować? Kto mu pozwolił komplikować tę i tak pogmatwaną sytuację w jakiej się znaleźliśmy?

Zapamiętaj: Przykro mi, pamiętniku. Mam kompletną pustkę w głowie. Nic nie pamiętam.

Kiedy Frannie podeszła do niego, Stu siedział na kamieniu i palił cygaro. Obcasem buta wygrzebał w ziemi okrągły, płytki dołek i strzepywał tam popiół jak do popielniczki. Spoglądał na zachód, gdzie właśnie przed chwilą zaszło słońce. Przez szczeliny między chmurami przezierał skrawek czerwonego słońca. Choć minął zaledwie dzień odkąd spotkali cztery kobiety i włączyli je do swojej grupy, zdarzenie to wydawało się im wszystkim dziwnie odległe. Prawie bez trudu udało się im wydostać z rowu jeden z furgonów i teraz, posuwając się wolno na zachód, motocykle w połączeniu z ciężarówką tworzyły niezłą kawalkadę.

Zapach cygara przywiódł jej na myśl wspomnienie ojca i jego fajki. Wraz z nim pojawił się smutek, graniczący niemal z nostalgią. „Chyba powoli zaczynam godzić się z tym, że już cię nie ma, tatusiu – pomyślała. – Zakładam, że nie masz mi tego za złe”.

Stu rozejrzał się dookoła.

– Frannie – rzucił z nie ukrywanym zadowoleniem. – Jak się masz?

Wzruszyła ramionami.

– Tak sobie.

– Chcesz usiąść przy mnie i pogapić się na zachód słońca?

Przysiadła obok, jej serce zabiło nieco żywiej. Ale w gruncie rzeczy, po co tak naprawdę tu przyszła? Widziała, w którą poszedł stronę i wiedziała, że Harold z Glenem i dwiema dziewczynami pojechali do Brighton poszukać CB radia (tym razem, dla odmiany, był to pomysł Glena). Patty Kroger została w obozie, pilnując dwóch pozostałych kobiet. Shirley Hammet zaczynała powoli otrząsać się z szoku, ale dzisiejszej nocy obudziła ich wszystkich około pierwszej, krzycząc przeraźliwie przez sen i unosząc obie ręce w górę, jakby broniła się przed jakimś tylko przez nią widzianym zagrożeniem. Druga z kobiet, ta której nazwiska nie

znali, zdradzała zgoła odmienne symptomy. Siadała. Wstawała. Wydalała. Jadła, gdy ją karmiono. Nie odpowiadała na pytania. Ożywiała się dopiero we śnie. Nawet po sporej dawce veronalu często w nocy jęczała, a nawet krzyczała.

– Wygląda na to, że przed nami wciąż jeszcze daleka droga, prawda? – zapytała.

Przez chwilę milczał, po czym odpowiedział:

– Dłuższa niż nam się zdaje. Tej starej kobiety nie ma już w Nebrasce.

– Wiem... – zaczęła i szybko ugryzła się w język.

Spojrzał na nią, uśmiechając się z przekąsem:

– Nie bierze pani swoich lekarstw, moja droga.

– No i wydało się – uśmiechnęła się krzywo.

– Nie tylko my – odrzekł Stu. – Rozmawiałem dziś z Dayną – (Fran znów poczuła pod sercem zimne ukłucie zazdrości i strachu, wypowiedział jej imię z taką emfazą i zażyłością) – i okazało się, że ona i Susan też nie biorą tych proszków.

Fran pokiwała głową.

– A dlaczego ty przestałeś? Czy w... tamtym miejscu... faszrowali cię lekarstwami?

Strząsnął popiół do ziemnego kręgu.

– Dawali mi tylko wieczorami łagodne środki na uspokojenie. Nic więcej. Nie musieli mnie szprycować prochami. Byłem jak zwierzę zamknięte w szczelnej, mocnej klatce. Nie, trzy dni temu przestałem brać veronal ponieważ poczułem, że... tracę łączność. – Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał: – Glen i Harold pojechali po CB, to naprawdę doskonały pomysł. Czemu służy takie radio? Aby nawiązywać łączność. Mój kumpel z Arnette, Tony Leominster, miał radio CB w swoim scoucie. Świetny sprzęt. Można było pogadać z ludźmi, a w razie jakichś kłopotów wezwać pomoc. Z tymi snami jest trochę tak, jakbyś miał w głowie radio CB, tylko że felerne, bo nie możesz przez nie nadawać, a jedynie odbierać transmisje.

– Może mimo wszystko jednak NADAJEMY – odezwała się Fran.

Spojrzał na nią wyraźnie zdziwiony.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Słońce wyzierało spomiędzy chmur jakby chciało się pożegnać zanim całkiem zniknie za horyzontem. Fran potrafiła pojąć, dlaczego prymitywne ludy oddawały mu cześć. W miarę jak z dnia na dzień coraz bardziej dawała się jej we znaki wszechobecna cisza wymarłego kraju, słońce – a także księżyc – zaczynały wydawać się jej większe i znacznie ważniejsze. Bardziej osobiste. Nieboskłon znów wydawał się jej taki jakim go postrzegała w dzieciństwie.

– Tak czy inaczej zarzuciłem to – rzekł Stu. – Ubiegłej nocy znów śnił mi się ten mroczny człowiek. Takiego koszmaru jeszcze nie miałem. Ten... mężczyzna założył swoją siedzibę gdzieś na pustyni. Wydaje mi się, że w Las Vegas. I, Frannie... myślę, że on krzyżuje ludzi. Tych, którzy sprawiają mu kłopoty.

– Co takiego?

– O tym właśnie śniłem. O krzyżach ustawionych wzdłuż autostrady numer 15. O krzyżach ze słupów telefonicznych i drewnianych belek. Było ich mnóstwo. I wisieli na nich ukrzyżowani ludzie.

– To tylko sen – mruknęła bez przekonania.

– Może. – Stu palił i wpatrywał się w podbarwione czerwienią chmury. – Ale przez dwie noce, zanim natknęliśmy się na tych świrów wiążących kobiety, śniłem o niej, o kobiecie nazywającej siebie Matką Abigail. Siedziała w szoferce starego pickupa stojącego na poboczu autostrady numer 76. Stałem na szosie, opierając się jedną ręką o okno i rozmawiałem z nią tak swobodnie jak teraz z tobą. Powiedziała mi: „Musisz wziąć ich bardziej do galopu, Stu, skoro ja, taka stara baba mogę to zrobić, to ty, twardy, wielki Teksaszczyk tym bardziej”. – Stu roześmiał się, upuścił cygaro i zdeptał obcasem buta. Jakby mimochodem, zgola nieświadomie, objął Frannie ramieniem.

– Jadą do Kolorado – powiedziała.

– Tak. Chyba tak.

– Czy... Dayna lub Susan śniły o niej?

– Obie. A zeszłej nocy Susan śniły się krzyże. Tak jak mnie.

– Z tą starą kobietą jest już teraz wielu ludzi.

Stu przytaknął:

– Jakies dwadzieścia osób, albo nawet więcej. My też prawie codziennie mijamy kolejnych ludzi ocalałych z pomoru. Chowają się w najrozmaitszych kryjówkach i czekają aż sobie pojedziemy. Boją się nas... ale wydaje mi się, że w swoim czasie odpowiedzą na jej wezwanie. Przyjdą do niej. Kiedy nadejdzie pora.

– Albo do niego – mruknęła Frannie.

Stu pokiwał głową.

– Taak, albo do niego. Frannie, a dlaczego ty przestałaś brać veronal?

Westchnęła, drżąc zastanawiając się, czy powinna mu wyznać prawdę. Chciała, lecz obawiała się jego reakcji.

– Zachowania kobiety nie sposób przewidzieć – odparła.

– To fakt – potaknął z uśmiechem. – Ale chyba jest pewien sposób, aby przekonać się o czym myśli.

– O czym... – zaczęła, lecz Stu zamknął jej usta gorącym pocałunkiem.

Leżeli na trawie, wśród nadchodzącego zmierzchu. Gdy się kochali, płomienna czerwień ustąpiła na rzecz chłodniejszego fioletu, a teraz Frannie mogła już dostrzec przebijające wśród ostatnich chmur pierwsze, migoczące nieśmiało gwiazdy.

Jutro będzie idealna pogoda do jazdy. Przy odrobinie szczęścia uda im się przejechać przez całą Indianę.

Stu machnął leniwie ręką, odganiając komara unoszącego się z głośnym brzęczeniem w powietrzu nad jej piersią. Jego koszula wisiała na krzaku nieopodal. Fran nie zdjęła bluzki, rozpięła tylko guziki. Spod materiału wylaniały się jej piersi. „Powiększają się – pomyślała Fran. – Na razie tylko trochę, ale da się to już zauważyć... Ja w każdym razie widzę to aż nadto wyraźnie”.

– Pragnąłem cię już od dawna – rzekł Stu, nie patrząc na nią. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

– Chciałam uniknąć kłopotów z Haroldem – odparła. – I jest jeszcze coś...

– Harold pozostawia wiele do życzenia – powiedział Stu – ale gdzieś głęboko w jego wnętrzu skrywa się materiał na porządnego faceta. Mam nadzieję, że będzie umiał kiedyś go wydobyć. Lubisz go, prawda?

– To nie jest odpowiednie słowo. Nie ma takiego określenia, które odzwierciedlałoby to, co do niego czuję.

– A co czujesz do mnie?

Spojrzała na niego i stwierdziła, że choć bardzo tego chciała, nie potrafi powiedzieć mu otwarcie, że go kocha. Nie dała rady.

– Nie – powiedział, jakby usłyszał jej zaprzeczenie. – Postawmy jasno pewne sprawy. Podejrzewam, że nie chciałabyś, aby Harold dowiedział się o tym, co zaszło między nami. A w każdym razie jeszcze nie teraz. Mam rację?

– Tak – odparła z wdzięcznością w głosie.

– No i dobrze. Może jeśli zachowamy odpowiednią dyskrecję sprawy ułożą się jakoś same. Widziałem, jak patrzył na Patty. Ona jest mniej więcej w jego wieku.

– Nie wiem...

– Masz wrażenie, że jesteś mu coś winna, zgadza się?

– Chyba tak. W Ogunquit zostaliśmy tylko my dwoje i...

– To był po prostu łut szczęścia, Frannie. Nic więcej. Chyba nie chciałabyś, aby ktoś wykorzystywał wyłącznie dla siebie coś, co w żadnej mierze nie było od niego zależne, prawda?

– Raczej nie.

– Chyba cię kocham – powiedział. – Powiedzenie tego naprawdę nie przyszło mi łatwo...

– Ja chyba także cię kocham. Ale jest jeszcze coś...

– Wiedziałem.

– Zapytałeś, dlaczego przestałam brać pigułki. – Zaczęła skubać palcami rąbek bluzki. Nie odważyła się spojrzeć na niego. W ustach poczuła nienaturalną suchość. – Pomyślałam, że mogłyby zaszkodzić dziecku – wyszeptwała.

– Zaszkozić... – przerwał. Schwytał ją za ramiona i odwrócił ku sobie. – Jesteś w ciąży? Skinęła głową.

– Nikomu o tym nie powiedziałaś?

- Nie.
- A Harold? Czy on wie?
- Nie. Nikt oprócz ciebie.
- A niech to... – westchnął przeciągle.

Wpatrywał się w jej twarz z takim przejęciem, że aż się przeraziła. Wyobraziła sobie dwa diametralnie różne rozwiązania tej sytuacji. Pierwsze, że natychmiast ją porzuci i odejdzie (zapewne Jess tak by właśnie zrobił, gdyby dowiedział się, że nosiła dziecko innego mężczyzny) i drugie, że przytuli ją czule, pocieszając, by już się nie przejmowała, bo odtąd on wszystkim się zajmie. Nie spodziewała się tak przenikliwego, badawczego spojrzenia i przypomniała sobie ów wieczór, kiedy w ogrodzie wyznała swój sekret ojcu. On również patrzył na nią wtedy w podobny sposób. Żałowała, że nie opowiedziała Stu o wszystkim zanim zaczęli się kochać. Może wtedy w ogóle by do tego nie doszło, ale przynajmniej nie miałby wrażenia, że został w pewien sposób wykorzystany, że była... jak brzmiało to stare określenie? „Spaprana”. Czy za taką ją uważał? Nie potrafiła odpowiedzieć.

- Stu? – rzuciła drżącym z przerażenia głosem.
- Nikomu nie powiedziałaś – powtórzył.
- Nie wiedziałam jak to zrobić. – Była bliska łez.
- Na kiedy masz termin?
- W styczniu – odparła i rozplakała się.

Przytulił ją i, choć nie odezwał się ani słowem, zrozumiała, że wszystko będzie dobrze. Nie powiedział, że nie musi się o nic martwić, ani że zajmie się wszystkim, ale kochał się z nią ponownie i pomyślała, że chyba nigdy jeszcze nie była równie szczęśliwa.

Żadne z nich nie zauważyło Harolda, cichego i mrocznego jak sam mroczny mężczyzna, stojącego wśród krzewów i przyglądającego się im z uwagą. Żadne z nich nie widziało jego oczu, które zwężyły się w wąskie, zabójcze szparki, kiedy już pod koniec Fran zaczęła krzyczeć z rozkoszy, przeżywając głęboki, dojmujący orgazm.

Zanim skończyli zrobiło się już ciemno.

Harold bezszelestnie rozpląnął się w mroku nocy.

Z pamiętnika Fran Goldsmith

1 sierpnia 1990

Wczorajszej nocy nie napisałam ani słowa. Byłam zbyt podniecona i zbyt szczęśliwa. Stu i ja jesteśmy razem.

Zgodził się najdłużej jak to możliwe utrzymywać w sekrecie, że jestem w ciąży. Ma nadzieję, że zanim zacznie być widoczna znajdziemy sobie jakąś bezpieczną przystań. Jak dla mnie może to być nawet gdzieś w Kolorado.

Jestem dziś w takim stanie, że równie dobrze mogłabym osiąść w górach na Księżycu. Czy zachowuję się jak zadurzona po uszy nastolatka? Cóż, jeśli kobieta nie może nawet w swoim pamiętniku zachowywać się jak zadurzona po uszy nastolatka, to gdzie ma wyrażać to, co czuje?

Zanim jednak odejdę od tematu Samotnego Strażnika, muszę powiedzieć jeszcze jedno – jest to związane z moim „instynktem macierzyńskim”. Czy istnieje coś takiego? Wydaje mi się, że tak. Prawdopodobnie to hormony. Już od dobrych paru tygodni czuję, że coś się we mnie zmieniło, ale trudno jest mi określić, co jest wynikiem ciąży, a co skutkiem przerażającej tragedii, która objęła swym zasięgiem cały świat. Pojawiło się jednak pewne uczucie zazdrości (zazdrość nie jest tu w pełni adekwatnym określeniem, ale najbliższym temu, co czuję, a czego nie potrafię wyrazić słowami), uczucie swoistego zbliżenia do jądra wszechświata i towarzysząca mu potrzeba chronienia tej pozycji. To dlatego veronal wydaje mi się większym zagrożeniem aniżeli koszmarne sny, chociaż mój racjonalny umysł podpowiada, że veronal wcale nie zaszkodziłby dziecku. Co to to nie, bynajmniej, zważywszy że jedno i drugie zajmuje miejsce na o wiele niższych poziomach.

Podejrzewam, że ta zazdrość jest poniekąd przejawem miłości, którą czuję do Stu Redmana. Nie tylko jem, ale teraz również kocham za dwoje.

Poza tym muszę się spieszyć. Potrzebuję snu, niezależnie od koszmarów jakie mogą mnie wówczas nawiedzić. Nie udało się nam przejechać Indiany tak szybko, jak się spodziewaliśmy – spowolnił nas potworny zator, mnóstwo pojazdów blokujących autostradę w pobliżu Elkchart. Wśród tych pojazdów wiele było wojskowych. W samochodach i obok nich natknęliśmy się na ciała martwych żołnierzy. Glen, Susan Stern, Dayna i Stu zabrali tyle broni, ile zdołali znaleźć: jakieś dwa tuziny karabinów, parę granatów i... tak, tak, to szczerą prawdą, ręczną wyrzutnię pocisków przeciwpancernych. Gdy piszę te słowa, Harold i Stu próbują rozgryźć mechanizm jej działania. Wraz z wyrzutnią zdobyli do niej mniej więcej siedemnaście czy osiemnaście pocisków. Proszę Boga, aby nie wysadzili się przy tym w powietrze.

Skoro już mowa o Haroldzie, muszę ci wyznać, drogi pamiętniku, że jak dotąd niczego nie podejrzewa (zabrzmiało to trochę jak z tego starego filmu z Bette Davis, czyż nie?). Wydaje mi się, że kiedy już przyłączymy się do grupy Matki Abigail będę musiała mu o wszystkim powiedzieć, niezależnie od tego, co się wtedy wydarzy dalsze ukrywanie przed nim prawdy byłoby, przynajmniej z mojego punktu widzenia, nieuczciwe.

Dziś jednak Harold był pogodny i wesoły jak nigdy dotąd. Uśmiechał się od ucha do ucha. To właśnie on zaproponował, aby Stu pomógł mu rozgryźć sposób działania tej niebezpiecznej wyrzutni i...

Właśnie wrócili. Dokończę później.

Frannie spała głęboko i nic się jej nie przyśniło. Podobnie jak im wszystkim, za wyjątkiem Harolda Laudera. Wkrótce po północy wstał i bezszelestnie podszedł do miejsca, gdzie leżała Frannie. Stał i przyglądał się dziewczynie. Nie uśmiechał się już, choć przez cały dzień robił to promiennie. Czasami miał wrażenie, że lada moment górna część jego czaszki pęknie wzdłuż linii uśmiechu, a mózg rozleje się po ziemi.

Może to przyniosłoby mu ulgę.

Stał, patrząc na dziewczynę i wsłuchując się w koncert świerszczy. „Mamy psie dni – pomyślał. – Psie dni, okres od dwudziestego piątego lipca do dwudziestego ósmego sierpnia, jak napisano w Websterze. Nazwa wzięła się stąd, że rzekomo w tym okresie pojawiało się najwięcej wściekłych psów”. Spojrzał na Fran śpiącą tak słodko, ze swetrem wciśniętym pod głowę zamiast poduszki. Obok niej leżał plecak.

„Każdy pies ma swój dzień, Frannie”.

Ukląkł, jego kolana strzeliły głośno, ale nikt nawet się nie poruszył. Odpiął pasek przy klapie jej plecaka, rozwiązał sznurek ściągacza i sięgnął do środka. W świetle małej ołówkowej latarki zaczął uważnie sprawdzać zawartość plecaka. Frannie wymamrotała coś przez sen, poruszyła się, a Harold wstrzymał oddech. To, czego szukał, znalazł na samym dnie, pod trzema czystymi bluzkami i kieszonkowym atlasem samochodowym z pozaginаныmi rogami. Notes. Wyjął go, otworzył na pierwszej stronie i w świetle latarki ujrzał gęsto zapisane, lecz bardzo wyraźne i czytelne linijki tekstu. Pismo bez wątplenia należało do Frannie.

„6 lipca 1990. Po krótkich namowach Glen Bateman zgodził się pojechać z nami...”

Harold zamknął notes i ukradkiem wrócił z nim na swoje posłanie. Czuł się jak mały chłopiec, którym kiedyś był, chłopiec mający niewiele przyjaciół (jego urodę zachwycano się dopóki nie skończył trzech lat, później już tylko się z niego wyśmiewano, szydono i wytykano palcami) i całą masę wrogów. Jego rodzice tolerowali go, ale ich oczkiem w głowie była Amy, która rozpoczęła swój długi, w założeniu szczytny marsz ku karierze miss America/Atlantic City. Był chłopcem, który znajdował pocieszenie w książkach, i to, że nigdy nie wybierano go do szkolnych rozgrywek baseballa czy tym podobnych turniejów wetował sobie, stając się Długim Johnem Silverem, Tarzanem albo Philipem Kentem... Harold stawał się tymi ludźmi późną nocą, będąc ukrytym pod kocem, oświetlając latarką kolejne zadrukowane stronicy, i prawie nie czując smrodu puszcanych od czasu do czasu bąków. I teraz właśnie ten chłopiec wpełzł do śpiwora z latarką i pamiętnikiem Frannie w dłoniach.

Gdy oświetlił jej promieniem pierwszą stronę notesu naszedł go moment otrzeźwienia. Przez chwilę jakiś głos w jego umyśle wołał: „Nie! Haroldzie! Przestań!”, tak dojmująco, że dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Niewiele brakowało a rzeczywiście by przestał. Przez chwilę naprawdę MÓGŁ przestać, odłożyć pamiętnik na miejsce i odpuścić sobie, zrezygnować z Franny, pozwolić im by ułożyli sobie wspólne życie zanim stanie się coś przerażającego i nieodwracalnego. W tej krótkiej chwili wydawało się, że mógł odsunąć od ust naczynie z

gorzkim płynem, wylać jego zawartość i napełnić czymś innym, co było mu przeznaczone. „Daj sobie spokój, Haroldzie” – błagał ten rozpaczliwy głos rozsądku, ale może już było za późno.

W wieku lat szesnastu zarzucił czytanie Burroughsa, Stevensona i Roberta Howarda na rzecz innych książek opisujących fantazje, które z jednej strony uwielbiał, z drugiej zaś nienawidził – nie traktowały one o raketach czy piratach, lecz o dziewczętach w jedwabnych, przezroczystych piżamach klęczących przed nim na satynowych poduszkach, podczas gdy on, Harold Wielki rozparty nago na tronie tylko czekał na pretekst by wychłostać którąś z nich swoim małym, skromnym batogiem albo laską o rękojeści ze srebra. Były to gorzkie fantazje, w których od czasu do czasu przewijały się niektóre z ładniejszych dziewcząt z liceum w Ogunquit. Owe sny na jawie zawsze kończyły się palącym żarem w lędźwiach i wytryskiem nasienia, który bardziej niż z rozkoszą kojarzył mu się z przekleństwem.

Później zasypiał, a sperma zasychała na jego brzuchu, tworząc białawe łuski. Każdy pies ma swój dzień.

Teraz zaś to właśnie te gorzkie fantazje i pamiętane z dawna urazy, które gromadził wokół siebie niczym pożółkłe ze starości stronicę, starzy druhowie, którzy nigdy nie umarli, których zęby nigdy się nie stępiły, których zabójcze uczucia nigdy nie wygasły, otoczyły go wysokim, zwartym, nieustępliwym murem.

Utkwił wzrok w pierwszej stronie pamiętnika, skierował na nią promień latarki i zaczął czytać.

Na godzinę przed świtem schował pamiętnik Frannie na miejsce, zawiązał sznurek ściągacza i starannie dopiął pasek przy klapie plecaka. Nawet nie próbował się z tym kryć. Gdyby się obudziła był gotów zamordować ją z zimną krwią i uciec. Uciec, ale dokąd? Na zachód. Tyle że nie zatrzymałby się w Nebrasce, ani nawet w Kolorado. Co to, to nie.

Frannie jednak nie obudziła się.

Wrócił do swego śpiwora i przepelnięty bolesnym rozgoryczeniem, zaczął się masturbować. Kiedy w końcu zasnął, spał bardzo niespokojnie. Śniło mu się, że umiera w połowie stromego stoku, wśród osypujących się kamieni i głazów, które przywodziły na myśl krajobraz księżycowy. Wysoko ponad nim, pośród nocy unosiły się ścierwojady czekające aby się nim pożywić.

Nie było księżycy ani gwiazd...

I wtedy w ciemności otworzyło się czerwone Oko; chytre, złowrogie, przerażające. Na jego widok poczuł bezgraniczny lęk, ale również dziwne, niemal hipnotyczne przyciąganie. Zew.

Oko go przywoływało.

Wzywało, by wyruszył na zachód, gdzie nawet teraz gromadziły się cienie wirujące pośród gęstniejącego zmierzchu w swym ostatnim, śmiertelnym tańcu.

Tego wieczora, o zachodzie słońca, rozbili obóz na zachód od Joliet w Illinois. Było piwo, rozmowy i śmiech. Mieli wrażenie, że złą pogodę i nastrój zostawili za granicą Indiany. Wszyscy dziwili się zwłaszcza Haroldowi, który nigdy jeszcze nie był w równie pogodnym nastroju.

– Wiesz, Haroldzie – powiedziała Frannie późnym wieczorem, kiedy impreza dobiegała już końca. – Chyba nigdy nie widziałam cię tak rozbawionego i beztroskiego. Co się stało?

Mrugnął do niej wesoło:

– Każdy pies ma swój dzień, Fran.

Uśmiechnęła się do niego nieco zdezorientowana. Podejrzała, że Harold tak jak zawsze chciał się przed nią popisać. A że nie zrozumiała aluzji? Cóż, nieważne. Grunt, że sprawy zaczęły w końcu przybierać właściwy obrót.

Tej nocy Harold zaczął pisać swój pamiętnik.

ROZDZIAŁ 48

Machając dziko rękoma, wszedł chwiejnie na wysoki nasyp. Słoneczny żar podsmażał mu wnętrzności i gotował mózg. Nawierzchnia szosy zdawała się skrzyć w falującym upale. Mężczyzna, do niedawna Donald Merwin Elbert, ale teraz i zawsze, już po wiek wieków Śmieciarz, miał przed sobą bajeczne miasto, Siedem Cudów Świata w Jednym, Cibolę.

Jak długo wędrował na zachód? Ile czasu upłynęło od Dzieciaka? Bóg jeden to wie. Na pewno nie Śmieciarz. Upłynęło wiele dni. I nocy. Och, te noce! Pamiętał je doskonale!

Stanął, kołysząc się, ubrany w łachmany. Gapił się na Cibolę, Miasto Obiecane, Miasto Marzeń. Był w fatalnym stanie. Nadgarstek, który złamał, zeskakując ze schodków zbiornika z paliwem, nie zrósł się należycie i wyglądał groteskowo, niezdarnie owinięty brudnym bandażem. Wszystkie kości palców tej dłoni dziwnie się podkurczyły, zmieniając rękę w szponiastą łapę Quasimodo. Lewa ręka, poparzona od łokcia po bark powoli odzyskiwała sprawność. Nie wydzielala już odrażającej woni ani nie ropiała, a nowe tkanki były różowe i bezwłose jak skóra taniej lalki. Jego uśmiechnięte, szalone oblicze przyozdobione gęstą, zmierzwioną brodą było czerwone od oparzeń słonecznych i pokryte złączącą skórą oraz strupami po wypadku, kiedy od jego roweru odpadło przednie koło. Nosił wyblakłą, niebieską koszulę roboczą od J.C. Penneya, pod pachami której powiększały się ciemne plamy potu, oraz brudne sztruksy. Plecak, jeszcze niedawno nowy, wyglądał teraz mniej więcej tak jak jego właściciel; jeden z pasków pękł (Śmieciarz naprawił go jak umiał najlepiej) i teraz plecak zwisał na jego ramionach przekrzywiony niczym okiennica w nawiedzonym domu. Był zakurzony, w jego fałdach zalegał piasek pustyni. Na nogach Śmieciarz miał trampki powiązane teraz kawałkami szpagatu, a na poobtłukiwanych, otartych od piasku i podrapanych kostkach widniały nowe, grube skarpety.

Patrzył na miasto leżące przed nim. Uniósł twarz ku błękitnemu niebu i słońcu lejącemu z wysoka bezlitosny, palący żar. Krzyknął. Był to dziki, triumfalny wrzask, podobny do tego, który wydała Susan Stern, rozłupując Królikowi Rogerowi czaszkę kolbą jego strzelby.

Zaczął tańczyć obłądny, frenetyczny taniec zwycięstwa na rozpalonej, skrzącej się nawierzchni autostrady numer 15, podczas gdy pustynny sirocco nanosił piach na szosę i ponad nią, w dal ku błękitnym szczytom Pahrnagat i Gór Cętkowanych szczerzących swe

kamienne kły do nieba, jak to czyniły od tysięcy lat. Po drugiej stronie autostrady stały prawie całkiem zagrzebane w piasku lincoln Continental i T-bird. Ich właściciele za szybami z przyciemnionego szkła zmienili się w wyschnięte do cna mumie. Przed Śmieciarzem, w oddali, po tej samej stronie leżał przewrócony pickup, spod zwałów piasku wystawały tylko koła i resory.

A on tańczył. Jego stopy w bezkształtnych, obwiązanych szpagatem trampkach wybijały na asfalcie szalony rytm. Poły koszuli trzepotały na wietrze. Podobnie jak zwisające luźno końce brudnego bandaża. Słysząc było brzęk manierki obijającej się o plecak. Różowa, gładka, świeża skóra na poparzonej ręce odcinała się nienaturalnie. Na skroniach mężczyzny pojawiły się żyły. Już od tygodnia tkwił na tej Boskiej patelni, posuwając się na południowy zachód przez Utah, wierzchołek Arizony, a potem Nevadę. Był szalony jak Kapelusznik.

Tańcząc, podśpiewywał, monotonicznie powtarzając wciąż te same słowa, na melodię popularną kiedy przebywał w zakładzie w Terre Haute. Piosenka nosiła tytuł *Dziś w night clubie* i śpiewała ją czarna kapela o nazwie Tower of Power. Słowa jednak wymyślił sam. A śpiewał tak:

– Ci-a-bola, Ci-a-bola, łubudu-bum-bum-gruch! Ci-a-bola, Ci-a-bola, łubudu-bum-bum-gruch!

Po każdym końcowym „gruch” podskakiwał żwawo aż od upału wszystko zaczęło falować mu w oczach, a paląco jasne niebo zszarzało, on sam natomiast upadł na asfalt, zemdlony, z sercem tłukącym się dziko w sprażonej słońcem piersi. Reszką sił, mamrocząc i uśmiechając się, podczołgał się do przewróconego pickupa i położył się w jego zmniejszającym się cieniu, dygocząc w upale i dysząc.

– Cibola! – wychrypiał. – Łubudu-bum-bum-gruch!

Szponiastą dłonią zdjął z ramienia manierkę i potrząsnął. Manierka była prawie pusta. Opróżni ją do ostatniej kropli i będzie tak leżał aż zajdzie słońce, a wtedy autostradą dotrze do Ciboli, bajecznego miasta, Siedmiu Cudów Świata w jednym. Jeszcze dziś w nocy będzie pił ze złotych fontann, w których nigdy nie brakuje wody. Najpierw jednak musi zająć to zabójcze słońce. Bóg był największym piromanem. Dawno temu chłopiec nazwiskiem Donald Merwin Elbert spalił czek emerytalny starej pani Semple. Ten sam chłopiec puścił z dymem kościół metodystów w Powtanville, a jeśli w skorupie tego ciała zostało jeszcze coś z Donalda Merwina Elberta, z całą pewnością uległo kremacji przy zbiornikach z paliwem w Gary w Indianie. Było ich ponad dziewięć tuzinów i eksplodowały jak chińskie fajerwerki powiązane na długim sznurku. W samą porę, był przecież czwarty lipca. Pięknie. I z całej tej pożogi uszedł tylko Śmieciarz, choć lewą rękę miał przypieczoną jak barani udziec, a w jego wnętrzu płonął ogień, ogień, który nie wygaśnie nigdy... a przynajmniej dopóki jego ciała nie spali się na węgiel.

Dzisiejszej nocy napije się wody w Ciboli. O tak, i woda będzie miała smak wina.

Przechylił manierkę i strużka stęchłej i ciepłej jak szczyny wody spłynęła mu do gardła, a stamtąd do żołądka. Gdy naczynie było już całkiem puste Śmieciarz cisnął je z całej siły w piasek. Pot zrosił mu czoło. Leżał, dygocząc. Jego ciałem targały silne skurcze wywołane wypitym płynem.

– Cibola – wykrztusił. – Cibola! Nadchodzę! Nadchodzę! Zrobię co zechcesz! Oddam za ciebie życie! Łubudu-bum-bum-gruch!

Teraz, kiedy zaspokoił nieco pragnienie, zaczęła go ogarniać senność. Przsypiał już, kiedy lodowaty sztylet myśli przeszył jego czaszkę, mroząc go do szpiku kości.

A jeśli Cibola to tylko fatamorgana?

– Nie – wybąkał. – Nie-uhm-hm, nie.

Ale samo zaprzeczenie nie zdołało odegnać tej myśli. Ostrze dźgało i kłuło, nie dając mu usnąć. A jeśli dopił resztkę wody, aby uczcić jakiś ulotny, złudny miraż? Na swój sposób zdawał sobie sprawę z ogarniającego go oblędu, szaleńcom czasami to się zdarza. Jeśli miasto rzeczywiście było tylko ułudą, przyjdzie mu umrzeć tu, na pustyni, a jego ciało rozwlóczą padlinożerne zwierzęta.

W końcu, nie mogąc dłużej znieść upiornej niepewności, podniósł się chwiejnie z ziemi i wrócił na drogę, zwalczając dokuczające mu osłabienie i mdłości. Na szczycie pagórka spojrział niepewnie na długą, płaską równinę poniżej, najeżoną skąpą, pustynną roślinnością. Z jego ust dobyło się głucho, przeciągłe westchnienie.

A jednak miasto było prawdziwe!

Cibola, bajeczne, stare miasto poszukiwane przez wieki i odnalezione przez Śmieciarza!

Daleko w dole, na pustyni, otoczone błękitnymi górami, spowite mgiełką... samo miasto wydawało się błękitne, jego wieże i uliczki błyszcząły w promieniach słońca. Były tam palmy... dostrzegął je wyraźnie... a także ruch... i WODE!

– Och, Cibola! – wychrypiał i wrócił na chwiejących się nogach w cień starego pickupa. Wiedział, że do miasta było dalej niż mogło się wydawać. Dziś wieczorem, kiedy Boża pochodnia opuści nieboskłon, zacznie maszerować tak szybko jak nigdy dotąd. Dotrze do Ciboli i pierwsze co zrobi, to wskoczy do pierwszej napotkanej fontanny. A potem odnajdzie JEGO, człowieka, który kazał mu tutaj przybyć. Człowieka, którego zew towarzyszył mu w drodze poprzez równiny, góry, a na koniec przez pustynię, i co więcej, dokonał tego w przeciągu miesiąca, pomimo przeraźliwie poparzonej ręki.

On, który Jest, mroczny mężczyzna, twardziel. Czekał na Śmieciarza w Ciboli i miał pod swoją komendą armie nocy, wojsko złożone z umarłych jeźdźców o trupio bladych twarzach, którzy wyruszą z zachodu ku wschodzącemu słońcu. Przybędą trawieni oblędem, szczerzący się szaleńczo i cuchnący potem oraz prochem strzelniczym. Rozlegną się krzyki, a Śmieciarz za nimi nie przepadał, a także gwałty i przemoc, coś, co lubił jeszcze mniej, morderstwa, które były mu obojętne...

I Wielka Pożoga.

A to wręcz uwielbiał. Mroczny mężczyzna odwiedzał go w snach, stojąc gdzieś wysoko ponad ziemią, rozpościerał ramiona i ukazywał Śmieciarzowi kraj stojący w płomieniach. Miasta eksplodujące jak przy wybuchu wielkiej bomby. Pola uprawne ogarnięte pożogą. Rzeki w Chicago, Pittsburgu, Detroit i Birmingham płonące za sprawą unoszącej się na falach ropy. Mroczny mężczyzna powiedział mu we śnie coś bardzo prostego i to sprawiło, że przybył tu jak na skrzydłach: „Powierzę ci bardzo wysokie stanowisko w mojej armii. Jesteś człowiekiem, którego szukałem”.

Położył się na boku, policzki i powieki miał podrażnione, poranione nawiewanym przez wiatr piaskiem. Zaczął już tracić nadzieję; tak, odkąd z jego roweru odpadło koło powoli zaczynał wątpić. Bóg, ten Bóg szeryfów strzelających do ojców, Bóg Carleya Yatesa był jednak potężniejszy od mrocznego mężczyzny, a przynajmniej tak mu się wydawało. Mimo to nie utracił nadziei do cna i śmiało maszerował przed siebie. Szedł coraz dalej i dalej. Wreszcie, gdy wydawało mu się już, że słońce spali go na popiół na tej przerażającej pustyni zanim zdoła dotrzeć do Ciboli, gdzie czekał na niego mroczny mężczyzna, ujrzał je daleko w dole, marząc na jawie.

– Cibola – wyszeptał i usnął.

Pierwszy sen nawiedził go w Gary, ponad miesiąc temu, po tym jak poparzył sobie ramię. Tej nocy zasypiał z przeświadczeniem, że na pewno umrze. Nikt nie mógł doznać tak straszliwych oparzeń i przeżyć. W jego umyśle rozbrzmiał głośny refren: „Kto ogniem wojuje, od ognia ginie. To, czym żyjesz, przyniesie ci śmierć”.

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa w małym parku miejskim i upadł, z lewą ręką wyciągniętą przed siebie niczym jakaś obca, martwa istota, rękaw miał prawie doszczętnie spalony. Ból był potworny, niewiarygodny. Nigdy nie podejrzewał, że może istnieć tak dojmujący ból. Biegał radośnie od jednego zbiornika do drugiego, nastawiając prymitywne zapalniki czasowe wykonane ze stalowych rur wypełnionych mieszanką palnej nafty, którą od niedużej dawki kwasu oddzielała stalowa przegroda. Umieszczał te zapalniki w przewodach u szczytu zbiorników. Kwas, przezerając przegrodę, powodował zapalenie mieszanki i w efekcie wybuch zbiornika. Śmieciarz miał nadzieję, że zanim któryś z nich eksploduje, zdoła dotrzeć na zachodni skraj Gary by móc stamtąd obserwować, jak całe to parszywe miasto staje w ogniu.

Jednak ostatni zapalnik okazał się wadliwy albo niedopracowany. Eksplodował, kiedy Śmieciarz próbował otworzyć kluczem klapę przy odpływie zbiornika. Z rury buchnął osłepiający, biały płomień, spowijając płynnym żarem całą jego lewą rękę. To nie był nieszkodliwy płomień, jak z paliwa do zapalniczek, który można ugasić, machając energicznie ręką. Miał wrażenie, jakby jego ręka znalazła się w czeluści wulkanu.

Wyjął jak potępieniec, zaczął biegać w kółko po szczycie zbiornika, odbijając się niczym żywa kulka flippera od barierek. Gdyby ich tam nie było, runąłby w dół jak ciśnięta do studni

pochodnia by roztrzaskać się o ziemię poniżej. Ocalenie przyszło przez przypadek: zaplątały mu się nogi i przewrócił się na lewy bok, podkurczając lewą rękę pod siebie. W ten sposób ugasił płomienie.

Usiadł, wciąż na wpół oszalały z bólu. Później dojdzie do wniosku, że jedynie ślepy traf – albo wola mrocznego mężczyzny – uchroniły go przed spłonieniem żywcem. Większość naftowej strugi ognia ominęła go. Był za to niezmiernie wdzięczny, ale na wdzięczność przyjdzie czas później. Póki co mógł jedynie wyć i kołysać się w przód i w tył, odsuwając, jak najdalej od ciała swoje poparzone ramię, którego skóra dymiała, skwierczała i ściągająca się.

Kiedy niebo zaczęło ciemnieć, jak przez mgłę uświadomił sobie, że nastawił tuzin podobnych zapalników. Mogły eksplodować lada chwila. Tak cudownie byłoby umrzeć i na zawsze pozbyć się wszelkich cierpień, jednak śmierć w płomieniach nieodmiennie napawała go zgrozą.

Jakimś cudem spełził ze szczytu zbiornika na ziemię i ruszył przed siebie chwiejnym krokiem, lawirując między stojącymi na szosie, wymarłymi autami. Lewą rękę wciąż trzymał z dala od ciała.

Zanim dotarł do niedużego parku w środku miasta, nastał już zmierzch. Usiadł na trawie pomiędzy dwoma boiskami do gry w kule, zastanawiając się, co jest skutecznym środkiem na oparzenia. „Trzeba je posmarować masłem” – powiedziałyby matka Donalda Merwina Elberta. Ale to skutkowało przy tak niewielkich oparzeniach, jak od pryskającego z patelni tłuszczu albo dotknięcia gorącego garnka. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby posmarować masłem te popękane, szerniałe tkanki, które kiedyś były jego ręką. Nie wyobrażał sobie, jak w ogóle mógłby ich dotknąć.

„Zabij się”. Otóż to. To było rozwiązanie. Skróci swoje cierpienie, tak jak się to robi ze starymi psami.

Po wschodniej stronie miasta miała miejsce gigantyczna eksplozja, jakby coś rozdarło na dwoje całą materię świata. Słup płynnego ognia wystrzelił w górę, w niebo o barwie indygo. Śmieciarz musiał zmrużyć łzawiące oczy, gdyż blask był zbyt silny by można było na niego patrzeć.

Mimo doświadczanych katuszy ogień sprawił mu przyjemność, więcej: przepelnił go rozkoszą i uczuciem spełnienia. Ogień był najlepszym lekarstwem, lepszym nawet niż morfina, którą znalazł następnego dnia (w zakładzie karnym jako wzorowy więzień pracował w aptece, bibliotece i w warsztacie, wiedział, do czego służą morfina, elavil i darvon complex). Nie łączył swoich obecnych cierpień ze słupem płomieni. Wiedział tylko, że ogień był dobry i piękny. Był czymś, czego potrzebował i już zawsze będzie pragnął.

Cudowny ogień!

W chwilę później wybuchł drugi zbiornik i nawet tu, trzy mile od tego miejsca, poczuł ciepły podmuch rozchodzącej się dokoła fali uderzeniowej. Zaraz potem eksplodował kolejny zbiornik i jeszcze jeden. Nastąpiła krótka przerwa, a później wybuchło sześć zbiorników

naraz i choć widok był zbyt oślepiający nie odrywał wzroku od słupów ognia. Patrzył i uśmiechał się, a jego oczy wypełniały żółte płomienie. Zapomniał już o zranionym ramieniu i o samobójczych myślach.

Zanim eksplodowały wszystkie minęły dwie godziny, zapadł już zmierzch, ale wcale nie było ciemno, noc rozpalona jęzorami płomieni nabrała koloru pomarańczowo-żółtego. Cały horyzont od wschodu spowijały roztańczone słupy ognia. Śmieciarzowi przypomniało to jeden z obrazków komiksowej adaptacji *Wojny światów* H.G. Wellsa, którą miał w dzieciństwie. Teraz, po latach, tego chłopca już nie było, podobnie jak komiksu, ale zamiast niego pojawił się Śmieciarz, który znał straszliwy, choć cudowny sekret marsjańskich promieni śmierci.

Nadeszła pora by opuścić park. Temperatura podniosła się już o dziesięć stopni. Powinien ruszyć na zachód, trzymać się z dala od pożaru, który rozniecił w Powtanville, ścigając się z coraz bardziej rozszerzającym się łukiem zniszczenia. Ale on nie był w formie, by ścigać się z czymkolwiek. Zasnął na trawniku, a odblask płomieni tańczył na twarzy zmęczonego, maltretowanego dziecka.

We śnie odwiedził go mroczny mężczyzna odziany w długą szatę z kapturem zasłaniającym całą twarz, ale Śmieciarz czuł, że już go kiedyś widział. Kiedy niebieskie ptaki spod sklepu w Powtanville nabijali się i szydzili z niego, chyba był wśród nich także i ten mężczyzna, milczący i zamyślony. Kiedy pracował w myjni samochodowej „Szurum-Burum” („Namydlić reflektory, odciągnąć wycieraczki, namydlić zderzaki i resory, proszę pana, czy życzy pan sobie również woskowanie?”), nosząc na prawej dłoni myjkę-rękawicę, aż stawała się biała niczym śnięta ryba, a paznokcie odbarwiały się na kolor kości słoniowej, miał wrażenie, że dostrzega twarz tego mężczyzny, dziką i przepelnioną obłądną radością, wyłaniającą się spod falujących kaskad wody spływających po przedniej szybie. Kiedy szeryf wysłał go do wariatkowa w Terre Haute, ten facet był uśmiechniętym pomocnikiem psychiatry stojącym tuż przy nim w pokoju, gdzie traktowali go elektrowstrząsami. Obsługiwał urządzenia („Ugotuję ci mózg, chłopcze, pomogę ci przeistoczyć się z Donalda Merwina Elberta w Śmieciarza, a może życzysz też sobie woskowanie?”), gotów przesłać ładunek tysiąca woltów wprost do jego mózgu. O tak, znał dobrze mrocznego mężczyznę, tę twarz, której nigdy nie widział zbyt wyraźnie, dłonie, które rozdawały karty w tej grze, oczy z błyskającymi w nich iskierkami i niezwykle, upiorny śmiech.

„Zrobię, co tylko zechcesz – rzekł we śnie z wdzięcznością. – Oddam za ciebie życie!”

Mroczny mężczyzna uniósł obie ręce w górę pod połami szaty, nadając jej kształt czarnego latawca. Stali teraz na jakimś wysoko położonym tarasie, a w dole cała Ameryka ogarnięta była ognistą pożogą.

„Powierzę ci wysokie stanowisko w mojej armii. Jesteś człowiekiem, którego mi potrzeba”.

I oto ujrzał armię złożoną z dziesięciu tysięcy najrozmaitszych wyrzutków obojga płci sunących na wschód, przez pustynie i góry, nieujarzmioną ludzką bestię, której godzina wreszcie wybiła. Jechali ciężarówkami, dżipami, furgonami i wozami mieszkalnymi, każdy z tych ludzi nosił na szyi mały ciemny kamyk, a w głębi owych kamyków jarzył się czerwony kształt, który wyglądał jak oko albo jak klucz. Na szczycie wielkiej cysterny jechał on sam. Wiedział, że cysterna wypełniona była napalmem... a z tyłu za nim ciągnęła się kolumna pojazdów załadowanych bombami ciśnieniowymi, minami tellera, plastikiem, miotaczami płomieni, flarami, pociskami naprowadzanymi termicznie, granatami, pistoletami maszynowymi i ręcznymi granatnikami przeciwpancernymi. Niebawem miał się rozpocząć taniec śmierci, struny gitar i skrzypiec zaczynały już dymić, a powietrze przepełniła woń siarki i kordytu.

Mroczny mężczyzna znów uniósł obie ręce, a kiedy je opuścił nastąpiła cisza i chłód. Ogień zniknął, nawet popioły zostały rozwiane i przez chwilę znów był tylko Donaldem Merwinem Elbertem, małym, przerażonym i zdezorientowanym. Przez ten krótki moment podejrzewał, że był tylko jednym pionkiem z wielu, biorącym udział w wielkiej rozgrywce szachowej człowieka w czerni i że został oszukany.

A potem ujrzał jego twarz, oblicze, które nie było już ukryte w cieniu, dwa ciemnoczerwone węgle płonęły w głęboko zapadniętych jamach, gdzie powinny się znajdować oczy, oświetlając wąski niczym ostrze noża nos.

„Zrobię, co zechcesz – Śmieciarz rzekł z wdzięcznością we śnie. – Oddam za ciebie życie! Moja dusza należy do ciebie!”

„Czeka na ciebie wielki ogień – rzekł z powagą mroczny mężczyzna. – Musisz przybyć do mego miasta i wtedy wszystkiego się dowiesz”.

„Gdzie? Gdzie?” – dopytywał się niecierpliwie z nie skrywaną nadzieją.

„Na zachodzie – odparł mroczny mężczyzna, znikając. – Na zachodzie. Za górami”.

Wtedy się obudził, wciąż była noc i wciąż płonęły ognie. Przybliżyły się. Żar dusił w gardle. Domy eksplodowały. Gwiazdy zniknęły spowite całunem gęstego, czarnego dymu. Z nieba jak deszcz spadały płatki sadzy. Boiska pokryły się czarnym śniegiem.

Teraz kiedy miał już cel stwierdził, że może iść dalej. Kuśtykając, ruszył na zachód; od czasu do czasu widział innych (choć było ich niewiele) opuszczających Gary i z przerażeniem obserwujących rozszerzającą się pożogę. „Głupcy – pomyślał niemal z czułością Śmieciarz. – Spłoniecie. Prędzej czy później pochłonie was ogień”. Nie zwracali na niego uwagi, był dla nich jeszcze jednym pozostałym przy życiu mężczyzną. Tamci rozplłynęli się w kłębach dymu i wkrótce po świcie Śmieciarz, kulejąc, przekroczył granicę stanu Illinois. Chicago znajdowało się na północ stąd, Joliet na południowym wschodzie, a płomienie na zasnutym czarnym dymem horyzoncie z tyłu, za nim. To wszystko miało miejsce o świcie, drugiego lipca.

Zapomniał o swoich planach by spalić Chicago do fundamentów, o marzeniach o kolejnych zbiornikach z paliwem i pociągach z cysternami stojących na bocznicy w pobliżu suchych jak szczapy, tylko czekających na iskrę zabudowań. Wietrzne Miasto*[* popularna nazwa na Chicago] znaczyło dla niego tyle co zeszłoroczny śnieg. Tego popołudnia włamał się do gabinetu lekarskiego i ukraść zapas morfiny. To pomogło mu trochę złagodzić ból, ale miało również ważny efekt uboczny: ból, który odczuwał stawał się dla niego mniej istotny.

Wieczorem wyniósł z drogerii duży słoik wazeliny i nasmarował nią poparzone ramię. Był bardzo spragniony, przez cały czas chciało mu się pić. Oczywiście duszy wciąż widział mrocznego mężczyznę, i kiedy o zmierzchu padł jak mops, zaczął dochodzić do wniosku, że Miastem Obiecanym, Siedem Cudów Świata w jednym, tym, do którego kierował go mroczny mężczyzna było właśnie Cibola.

Tej nocy znowu odwiedził go w snach: z sardonicznym uśmiechem potwierdził jego przypuszczenia.

Śmieciarz obudził się z tego barwnego snu, drżąc na pustynnym, nocnym chłodzie. Na pustyni zawsze panował albo palący żar, albo lodowaty chłód, nie było stanów pośrednich.

Pojękując, wstał. Usiłował trzymać się w ryzach. Wysoko w górze migotało mrowie gwiazd, które skąpały równinę zimnym, srebrzystym blaskiem. Śmieciarz miał wrażenie, że wystarczy by unieść rękę, a mógłby dotknąć którejś z nich.

Wrócił na szosę, krzywiąc się z bólu, którego ognisk w swym ciele nie zdołałby chyba zliczyć. Piekła go także poparzona ręka. Ten ból jednak wydawał mu się teraz nikły i nic nie znaczący. Przystanął na chwilę, spoglądając na miasto, tu i ówdzie widać było drobnutki punkciki światła. A potem ruszył przed siebie.

Kiedy kilka godzin później niebo zaczął barwić blask budzącego się nowego dnia, Cibola wydawała mu się niemal równie odległa jak wtedy, gdy patrzył na nią ze wzgórza. A on, jak ostatni idiota wypił resztkę wody; zapomniał, że tu, na pustyni wszystkie odległości okazywały się złudne. Z powodu odwodnienia nie odważył się na dalszy marsz po wschodzie słońca. Kiedy znów zrobi się gorąco będzie musiał znaleźć dla siebie odrobinę cienia.

W godzinę po wschodzie słońca dotarł do mercedesa-benza stojącego przy drodze, którego prawy bok był aż po drzwi przysypany piaskiem. Otworzył drzwiczki z lewej strony i wywlókł na zewnątrz dwa, pomarszczone jak mumie trupy właścicieli wozu, starą kobietę obwieszoną krzykliwą biżuterią i staruszka o siwych włosach wyglądających jak teatralna peruka. Mamrocząc pod nosem, Śmieciarz wyjął kluczyk ze stacyjki, obszedł samochód i otworzył bagażnik. Walizki znajdujące się w środku nie były zamknięte. Pozasłaniał szyby mercedesa ubraniami, które obciążył kamieniami. W ten sposób zyskał chłodne, zacienione schronienie.

Wpełził do środka i zasnął. Wiele mil na zachód od tego miejsca miasto Las Vegas skrzyło się w blasku letniego słońca.

Nie umiał prowadzić samochodu, nie nauczyli go tego w więzieniu, ale umiał jeździć na rowerze. Czwartego lipca, w dniu kiedy Larry Underwood odkrył, że Rita Blakemoor przedawkowała i zmarła we śnie, Śmieciarz wybrał dla siebie rower z dziesięcioma przerzutkami i ruszył w drogę. Początkowo nie szło mu najlepiej, gdyż lewe ramię wciąż miał niesprawne. Pierwszego dnia dwa razy się wywrócił, w tym raz na poparzoną rękę. Ból był tak silny, że omal nie stracił przytomności. Z poparzonego ramienia, spod warstwy wazeliny zaczęła sączyć się ropa. Smród był potworny. Zastanawiał się, czy w ranę nie wdała się gangrena, ale nie myślał o tym zbyt długo. Zaczął mieszać wazelinę z maścią antyseptyczną i choć nie miał pojęcia, czy to pomoże, wiedział, że na pewno nie zaszkodzi. Okład na rękę był teraz mleczną, lepką, gęstą mazią przypominającą z wyglądu nasienie.

Powoli przywykł do prowadzenia roweru jedną ręką i stwierdził, że ma całkiem niezły czas. Jechał po terenie równinnym i mógł utrzymywać dość sporą jak na rower prędkość. Mimo bólu poparzeń i szumu w skroniach pedałował w niezmiennym tempie. Czuł dziwną lekkość, efekt działania morfiny, którą brał regularnie. Wypijał galony wody i jadł za trzech. Zastanawiał się nad słowami mrocznego mężczyzny: „Powierzę ci wysokie stanowisko w mojej armii. Jesteś człowiekiem, którego mi potrzeba”. Jak cudownie brzmiały te słowa. Czy ktokolwiek wcześniej go potrzebował. Powtarzał je raz po raz w myślach, kiedy pedałował w palących promieniach słońca wiszącego nad Środkowym Zachodem. Zaczął nucić pod nosem melodię *Dziś w night clubie*. Po jakimś czasie z jego ust popłynęły słowa („Ci-a-bola! Łubudu-bum-bum-gruch!”).

Nie utracił jeszcze do reszty zdrowych zmysłów, ale był na dobrej drodze wiodącej ku obłądowi.

Ósmego lipca, w dniu gdy Nick Andros i Tom Cullen ujrzeli bizona pasącego się na łące w Comanche County w Kansas, Śmieciarz przekroczył Mississippi w Wielkiej Czwórcie – Davenport, Rock Island, Bettendorf i Moline. Znalazł się na terytorium Iowy. Czternastego, w dniu kiedy Larry Underwood obudził się pod wielkim, białym domem we wschodniej części New Hampshire, Śmieciarz przeciął Missouri na północ od Council Bluffs i wjechał do Nebraski. Powoli odzyskiwał władzę w lewej ręce, jego mięśnie nóg stały się silniejsze. Bliski szaleństwa mężczyzna sunął uparcie przed siebie pchany ponaglającą myślą kołącą się mu się w głowie: „Spiesz się – mówił mu ten dziwny głos. – Spiesz się. Spiesz się”.

W zachodniej części Missouri Śmieciarz po raz pierwszy zaczął zastanawiać się, czy Pan Bóg nie próbuje czasem wmieszać się w jego sprawy i zadecydować o jego dalszym losie. Nebraska wydała mu się dziwna. Coś w niej było nie tak. Zaczął się bać. Wyglądała tak samo jak Iowa... ale tylko z pozoru. Mroczny mężczyzna do tej pory odwiedzał go regularnie każdej nocy, kiedy jednak Śmieciarz wjechał do Nebraski, posępny gość przestał się pojawiać.

Zamiast tego zaczął śnić o starej kobiecie. W tych snach leżał na brzuchu na polu kukurydzy, niemal do cna sparaliżowany nienawiścią i lękiem. Był jasny, słoneczny ranek. Słyszał krakanie kruków. Przed nim rozpościerał się łąn wysokiej kukurydzy. Nie chciał tego, ale nie mógł się powstrzymać i drżącą dłonią odgarnął szerokie liście kukurydzy, aby spojrzeć pomiędzy nimi. Ujrzał polanę, a pośrodku niej starą chatkę. Domek stał na podnośnikach, a może na ceglach. Przed domem rosła stara jabłoń, z jednego z jej konarów zwieszała się na sznurze wielka, łysa opona. Na ganku domu stara, czarnoskóra kobieta grała na gitarze i śpiewała jakąś religijną pieśń. Pieśni każdej nocy były inne, ale Śmieciarz pamiętał większość z nich, znał bowiem kiedyś kobietę, matkę chłopca nazwiskiem Donald Merwin Elbert, która wykonując rozmaite prace domowe, nuciła je radośnie.

Ten sen był prawdziwym koszmarem i wcale nie dlatego, że kończył się on czymś naprawdę przerażającym. Początkowo można by rzec, że w całym śnie nie było nic strasznego. Bo cóż takiego w nim było? Kukurydza? Błękitne niebo? Stara kobieta? Huśtawka z opony? Co mogło być w tym strasznego? Stare kobiety nie ciskały kamieniami, szydząc przy tym złośliwie, zwłaszcza stare kobiety śpiewające pieśni religijne w rodzaju *Rankiem w dniu Zmartwychwstania*, albo *Przyjdź Panie Jezu*. Kamieniami rzucali wszyscy Carleyowie Yeatesowie tego świata.

Mimo to na długo przed końcem snu paraliżował go dojmujący lęk, jakby nie podglądał starej kobiety ale jakieś sekretne, ledwo ukryte światełko, które lada moment pojawi się w powietrzu dokoła niej, zalewając staruszkę ognistą poświatą, przy której gorejące zbiorniki w Gary będą wyglądać jak świeca na wietrze, poświatą tak silną, że wypali mu oczy na popiół. I w tej chwili snu myślał tylko: „Och, proszę, zabierz mnie od niej, nie chcę tego oglądać, nie chcę brać w tym udziału, proszę, och, proszę, zabierz mnie z Nebraski!”

Nagle pieśń, którą śpiewała tej nocy kończyła się atonalnym akordem. Staruszka unosiła wzrok i patrzyła w stronę, gdzie leżał ukryty za zasłoną szerokich, wachlarzowatych liści. Jej oblicze było stare i pomarszczone, włosy tak rzadkie, że pomiędzy nimi widać było brązową czaszkę, ale oczy były lśniące niczym brylanty i przepelnione światłem, którego się obawiał.

Starym, łamiącym się, ale silnym głosem Murzynka wołała nagle: „Łasice w kukurydzy!” A on czuł, że zaczyna się zmieniać i popatrując na siebie widział, że stał się łasicą, włochatą, brązowo-czarną smukłą istotą o długim, spiczastym nosie, oczach jak czarne guziki i palcach zmienionych w pazury. Był łasicą, tchórzliwym nocnym drapieżnikiem polującym na słabe, mniejsze od siebie zwierzęta.

Wtedy zaczynał wrzeszczeć i w końcu ze snu wyrwał go własny krzyk. Budził się zlany zimnym potem, z oczami przepelnionymi przerażeniem.

Obmacywał się gorączkowo aby upewnić się, że wciąż był jeszcze człowiekiem. Na koniec dotykał również głowy, chciał mieć pewność, że to wciąż była LUDZKA głowa, a nie długi, spiczasto zakończony, włochaty łeb małego gryzonia. W trzy dni pokonał czterystumilowy dystans przez Nebraskę. Strach dodał mu skrzydeł. W pobliżu Julesburga

przekroczył granicę z Kolorado i równocześnie upiorny sen zaczął się powoli rozmywać, nabierając odcienia sepii jak stare, na wpół zapomniane fotografie.

(Jeśli chodzi o Matkę Abigail obudziła się ona w nocy piętnastego lipca, po tym jak Śmieciarz minął z północnej strony Hemingford Home, zdjęta przeraźliwym chłodem i uczuciem będącym mieszaniną lęku i współczucia, choć nie potrafiła określić nad kim lub nad czym się litowała. Doszła do wniosku, że przyśnił się jej zapewne jej wnuk Anders, który zginął bezsensowną śmiercią podczas wypadku na polowaniu w wieku zaledwie sześciu lat.)

Osiemnastego lipca, na południowy zachód od Sterling w Kolorado, kilka mil przed Brush, Śmieciarz spotkał Dzieciaka.

Śmieciarz obudził się o zmierzchu. Pomimo zawieszonych na szybach ubrań w mercedesie zrobiło się gorąco. W gardle miał sucho. W skroniach łupało, pod czaszką brzęczało jak w ulu. Wysunął język; muskając go palcem miał wrażenie jakby dotykał uschłego konara drzewa. Usiadł, opuścił dłonie na kierownicę, ale zaraz je cofnął, sycząc z bólu. Aby otworzyć drzwiczki musiał ująć klamkę przez materiał koszuli. Sądził, że po prostu wysiadzie, ale przecenił swoje siły, co więcej, nie zdawał sobie sprawy jak bardzo był odwodniony tego sierpniowego wieczoru – nogi ugięły się pod nim i Śmieciarz runął na rozgrzany asfalt. Jęcząc i skamłając, podczołgał się w cień mercedesa jak zranione pisklę. Usiadł tam z głową i ramionami wciśniętymi pomiędzy rozchylone kolana. Dyszał ciężko. Patrzył pośpiesznie na dwa ciała wywleczone z samochodu, kobietę z bransoletami na wychudłych, pomarszczonych ramionach i mężczyznę o małpiej twarzy z siwą płataniną włosów wyglądających jak teatralna peruka. Musiał dotrzeć do Ciboli przed kolejnym świtem. Jeśli to mu się nie uda, umrze... i to mając swój cel w zasięgu wzroku!

– Oddam za ciebie życie! – wyszeptał Śmieciarz, a kiedy słońce skryło się za pasmem gór, wstał i zaczął iść w kierunku wież, minaretów i alejek Ciboli, w której znów rozblęły iskierki światła.

Kiedy upał dnia ustąpił pola chłodowi pustynnej nocy, było mu o wiele łatwiej iść. Jego podarte, powiązane sznurkiem trampki kłapały o nawierzchnię autostrady numer 15. Szedł krok za krokiem, przed siebie, z głową zwieszoną jak kwiat usychającego słonecznika i minął zieloną, odbłaskową tabliczkę drogową z napisem LAS VEGAS 30 MIL, zupełnie jej nie zauważając. Myślał o Dzieciaku. W zasadzie Dzieciak powinien być teraz z nim. Powinni wspólnie wjechać do Ciboli przy wtórze ech wystrzałów z rury wydechowej coupe Dzieciaka. Ale okazał się niegodny i Śmieciarz musiał kontynuować swoją wędrówkę przez pustkowie samotnie.

Jego stopy unosiły się i opadały na nawierzchnię szosy.

– Ci-a-bola! – wychrypiał. – Łubudu-bum-bum-gruch!

Okolo północy upadł na poboczu drogi i zapadł w lekką, niespokojną drzemkę. Miasto było już niedaleko.

Dojdzie do niego.

Był pewien, że mu się uda.

Usłyszał Dzieciaka na długo przed tym, nim go zobaczył. Ciszę dnia rozdarł trzeszczący ryk pozbawionych tłumików rur wydechowych, dochodzący od wschodu. Odgłosy płynęły wzdłuż autostrady numer 34, od strony Yumy w Kolorado. W pierwszej chwili chciał się ukryć, tak jak ukrywał się przed innymi ocalonymi, których spotykał odkąd opuścił Gary.

Tym razem jednak coś kazało mu pozostać na miejscu, toteż stanął na poboczu wraz ze swoim rowerem, oglądając się niepewnie przez ramię. Grzmot przybierał na sile, pojawiły się odblaski słońca odbitego w chromowanych elementach karoserii i...

(OGIEŃ?)

Coś jasnego i pomarańczowego.

Kierowca spostrzegł go. Z rury wydechowej buchnęła seria głośnych trzasków. Na asfalcie po ostrym hamowaniu pozostały ślady opon goodyeara. I nagle wóz zatrzymał się obok niego, nie tyle mrucząc na jałowym biegu, co raczej dysząc jak zabójcze zwierzę, skądinąd niekoniecznie oswojone; kierowca wysiadł na zewnątrz. Śmieciarz w pierwszej chwili nie odrywał wzroku od samochodu. Znał się na nich, lubił je, choć nigdy nie miał nawet prawa jazdy. To było prawdziwe cacko, auto, nad którym ktoś pracował, od lat wkładając w nie tysiące dolarów, wóz tak wychuchany, wypielęgnowany i odpicowany, jakie ogląda się na specjalnych pokazach. Był to ford deuce coupe rocznik 32, ale jego właściciel nie poprzestał na oryginalnym wyposażeniu wozu. Stale coś do niego dodawał, zmieniając pojazd w parodię wszystkich amerykańskich aut, lśniący wehikuł rodem z powieści science fiction, z ręcznie malowanymi płomieniami buchającymi z rur kolektora. Lakier był złocisty. W chromowanych rurach głównych biegnących wzdłuż niemal całego wozu odbijało się słońce. Przednia szyba była wypukła. Tylne opony auta były wielkimi goodyear wide ovals i aby je zamocować trzeba było usunąć górne fragmenty błotników.

Z maski wystawał masywny grzbiet turbosprężarki, z dachu zaś czarna, upstrzona czerwonymi jak rozżarzone węgle plamkami, stalowa rekinia płetwa. Po obu stronach namalowano na niej pojedyncze słowo, litery pochylone były nieco do tyłu, aby nadać im wrażenie pędu.

Słowo brzmiało DZIECIAK.

– Ej, ty tam, wielki, wysoki i brzydki – wybełkotał kierowca, zaciągając, a Śmieciarz przeniósł wzrok z namalowanych płomieni na kierowcę tej bombowej maszyny.

Facet mierzył jakieś pięć stóp i trzy cale. Włosy miał ułożone z przodu w fale, a z tyłu w kaczy kuper, wypomadowane i lepkie od brylantyny. Same włosy dodawały mu dobre trzy cale wzrostu. Jego kaczy kuper nie był taki zwyczajny, lecz stanowił chyba odzwierciedlenie wszystkich kaczych kuprów całego świata. Na nogach miał czarne buty ze spiczastymi noskami i z gumkami po obu stronach niskich cholewek. Obsasy butów mierzyły kolejne trzy

cale, i w sumie można powiedzieć, że kierowca dzięki obcasom i fryzurze miał całe pięć stóp i dziewięć cali wzrostu. Nosił tak obcisłe i sprane dżinsy, że można było przeczytać daty na monetach, które miał w kieszeni. Spodnie zmieniały jego nieduże, zgrabne pośladki w niebieskie rzeźby i sprawiały, że jego krocze wyglądało jakby wsunął w nie torbę piłek golfowych. Nosił jedwabną, westernową koszulę mającą niegdyś szlachetną barwę burgunda. Ozdobiona była żółtą lamówką i sztucznymi szafirowymi guzikami. Spinki wyglądały jak zrobione z polerowanej kości. Później Śmieciarz przekonał się, że w istocie tak było. Dzieciak miał ich dwa zestawy, jeden z ludzkich trzonowców, drugi zaś z siekaczy dobermana pinczera. Pomimo upału prócz koszuli nosił jeszcze czarną, skórzaną kurtkę motocyklową z wizerunkiem orła na plecach. Miała mnóstwo suwaków, których ząbki błyszczały niczym diamenty. Ze szlufek u paska zwieszały się trzy królicze łapki, jedna biała, jedna brązowa i jedna zielona jak irlandzka koniczynka. Kurtka, jeszcze wspanialsza niż koszula, skrzypiała przy każdym poruszeniu. Ponad głową orła, białą jedwabną nicią wyszyte było jedno jedyne słowo: DZIECIAK. Twarz, która patrzyła na Śmieciarza spomiędzy wypomadowanych, błyszczących od brylantyny włosów a postawionego kołnierza czarnej motocyklowej kurtki była nieduża i blada. Ot, twarzyczka lalki o szerokich, choć nieskazitelnie wykrojonych, wydętych wargach, martwych szarych oczach, szerokim czole nie przeciętym choćby jedną zmarszczką i dziwnie pełnych policzkach. Wyglądał jak mały Elvis.

Na jego płaskim brzuchu krzyżowały się dwa szerokie skórzane pasy, a na biodrach zwieszały się pękate kabury, z których wystawały kolby potężnych .45-tek.

– Ej, mały, i co powiesz? – rzekł, zaciągając Dzieciak.

Śmieciarz pomyślał: „Podoba mi się twój samochód”.

To było właśnie to. I może tylko to. W pięć minut później Śmieciarz siedział już na fotelu pasażera, a deuce coupe sunął spokojnie przed siebie z prędkością dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Rower, którym Śmieciarz dotarł tu aż ze wschodniego Illinois zmieniał się na horyzoncie w coraz mniejszą plamkę.

Śmieciarz nieśmiało zwrócił uwagę, że przy tej prędkości Dzieciak nie zdoła dostrzec na czas blokujących drogę aut czy innego rodzaju przeszkód, gdyby na nie natrafili (w gruncie rzeczy kilkakrotnie to się już zdarzyło i Dzieciak po prostu ominął je slalomem przy wtórze głośnego pisku opon).

– Hej, chłopie – burknął Dzieciak. – Ja mam refleks. I wyczucie czasu. Trzy piąte sekundy. Uwierzyłyś?

– Tak, proszę pana – rzucił słabo Śmieciarz. Czuł się jak ktoś, kto patykami zaczyna grzebać w gnieździe pełnym węży.

– Lubię cię, chłopcze – powiedział Dzieciak dziwnym, zaciągającym głosem. Oczami jak u lalki lustrował roziskrzoną szosę rozciągającą się przed samochodem. Z lusterka wstecznego zwieszała się wielka, styropianowa kostka z trupimi główkami w miejsce kropek.

Kierownica pomalowana była na wściekłe pomarańczowy kolor. – Na tylnym siedzeniu masz piwo. Weź sobie.

Piwo marki Coors było obrzydliwie ciepłe i choć Śmieciarz nie lubił piwa, wypił jedno do dna, bardzo szybko, chwyląc jakie jest wspaniałe.

– Stary – rzucił Dzieciak. – Nie ma lepszego piwa niż coors. Gdybym mógł, nawet bym nim szczał. Uwierzyłyś?

Śmieciarz odparł, że tak.

– Mówią na mnie Dzieciak. Ze Shreveport w Luizjanie. Znasz? Ta bryka wygrywała każde zawody na pieprzonym Południu. Uwierzyłyś?

Śmieciarz powiedział, że tak i wziął sobie jeszcze jedno ciepłe piwo. Zważywszy na okoliczności takie posunięcie wydawało się najrozsądniejsze.

– Jak na ciebie wołają, chłopcze?

– Śmieciarz.

– Że jak? – Przez chwilę martwe oczy lalki świdrowały twarz Śmieciarza. – Robisz sobie jaja, chłopcze? Nikt nie będzie robił sobie jaj z Dzieciaka. Lepiej w to uwierz.

– Wierzę – odparł z przekonaniem Śmieciarz – ale tak mnie właśnie nazywają, bo podpalałem kosze na śmieci, skrzynki pocztowe i takie tam. Spaliłem też czek emerytalny starej pani Semple. Wsadzili mnie za to do poprawczaka. Sfajczyłem także kościół metodystów w Powtanville, w Indianie.

– Powaga? – rzucił Dzieciak wyraźnie uradowany. – Chłopie, chyba jesteś naprawdę zdrowo porąbany. Ale to dobrze. Lubię świrów. Sam jestem szajbus. Nieźle popierdolony. Lepiej w to uwierz. To mówią na ciebie Śmieciarz, taa? Podoba mi się. Stworzymy duet. Pojebany Dzieciak i popierdolony Śmieciarz. Grabuła, Śmieciu.

Dzieciak wyciągnął rękę, a Śmieciarz uściśnął ją tak szybko jak tylko mógł, aby tamten znów położył obie dłonie na kierownicy.

Z wizgiem opon weszli w ostry zakręt, a tuż za nim stał, blokując prawie całą autostradę, bekins semi. Widząc to, Śmieciarz obiema dłońmi zakrył oczy, szykując się w duchu do nieuniknionego opuszczenia tego padołu i przeniesienia się na Łono Abrahama. Dzieciak nawet nie mrugnął powieką. Coupe odbił w lewo i przemknął po poboczu, ledwie muskając bokiem przód ciężarówki. Pomijając zdarty lakier, coupe nie doznał żadnego poważniejszego uszczerbku.

– Niewiele brakowało – mruknął Śmieciarz, kiedy w końcu wydobył z siebie głos.

– No – potaknął Dzieciak. I mrugnął, przesłaniając na moment powieką jedno ze swoich martwych jak u lalki oczu. – Coś o tym wiem. A jak tam piwo? Świetnie smakuje, nie? Na pewno, po tej całej twojej jeździe na dzieciennym rowerku.

– Jeszcze jak – odparł Śmieciarz i pociągnął kolejny łyk ciepłego coorsa. Był obłąkany, ale nie na tyle by sprzeciwić się Dzieciakowi, kiedy ten prowadził. Nic z tych rzeczy.

– Cóż, chyba nie ma sensu ściemniać – mruknął Dzieciak, sięgając do tyłu po swoją puszkę coorsa. – Wydaje mi się, że jedziemy w to samo miejsce.

– Chyba tak – odrzekł Śmieciarz z wahaniem.

– Jak za starych dobrych czasów – rzucił Dzieciak. – Jedziemy na zachód. Tam się wszystko zacznie. Uwierzyłyś?

– Chyba tak.

– Też śnił ci się ten Czarny Lud w czarnym kombinezonie?

– Masz na myśli mnicha?

– Mam na myśli dokładnie to, co mówię – odburknął oschle Dzieciak. – Coś ci powiem. Gość nosi gogle i czarny kombinezon lotniczy, jak John Wayne w filmie z czasów drugiej światowej. Gogle ma tak wielkie, że mu, kurde, zasłaniają całą facjatę. Strasznie przez to wygląda skurwiel, no nie?

– Taa... – odmruknął Śmieciarz, popijając łyk ciepłego piwa. Zaczynało mu szumieć w głowie.

Dzieciak nachylił się nad pomarańczową kierownicą i zaczął naśladować pilota myśliwca podczas walki powietrznej, być może w jednej z bitew drugiej wojny światowej. Deuce coupe zaczął niebezpiecznie zjeżdżać to na jedną, to na drugą stronę szosy, podczas gdy kierowca-pilot wyobrażał sobie wykonywane przez maszynę akrobatyczne ewolucje powietrzne.

– Szuuuuuuuuuu... tatatatatatata... puch, puch, puch, puch... a masz pieprzony Szwabie... kapitanie! Bandy ci na dwunastej! Przywal im z działka pokładowego, ty durnowaty wałkoniu... trata-tatata. Załatwiony, sir! Przestrzeń czysta... wruuuuuu... wracać na swoje miejsca, wruuuuu!

Gdy przeżywał swoje bitewne fantazje na jego twarzy nie pojawił się nawet cień jakiegokolwiek wyrazu, ani jeden tłusty od brylantyny włos nie spadł mu na czoło, kiedy zjeżdżał z pobocza z powrotem na szosę. Śmieciarz poczuł, że serce w jego piersi zaczyna bić jak szalone. Całe jego ciało lśniło od potu. Dopił piwo. Poczul silne parcie na pęcherz.

– Ale nie przestraszyłem się go – powiedział Dzieciak kontynuując jak gdyby nigdy nic przerwany temat. – Ni chuja. To twardziel, ale Dzieciak nie z takimi dawał sobie radę. Niejednemu już dojechałem jak Szef przykazał. Uwierzyłyś?

– Jasne – potaknął Śmieciarz.

– Kapujesz, kto jest Szefem?

– Jasne – odrzekł Śmieciarz. Nie miał pojęcia, kto jest albo może był Szefem.

– Lepiej żebyś kapował. Wiesz co zrobię?

– Pojedziesz na zachód? – rzucił niepewnie Śmieciarz. To wydawało się w miarę bezpiecznym stwierdzeniem.

Dzieciak wyglądał na zniecierpliwionego.

– Potem. Chodzi mi o to, co zrobię POTEM.

– Nie wiem. Co zrobisz?

– Przyczaję się na pewien czas. Wybadam sytuację. Wiesz o co mi chodzi?

– Jasne.

– W dechę. Coś ci powiem. Powęszę to tu, to tam. Obadam sytuację. Prześwietlę naszego szychę. A potem...

Dzieciak zamilkł zgarbiony, z posępną miną, nad pomarańczową kierownicą.

– I co wtedy? – zapytał z wahaniem Śmieciarz.

– Zajebię go. Wyślę w ostatnią podróż. Poślę do piachu. Będzie gryzł ziemię i wachał kwiatki od spodu. Uwierzysz?

– Jasne.

– Zajmę jego miejsce – zwierzył się Dzieciak. – Wejdę na sam szczyt po jego trupie. Możesz mi towarzyszyć, Śmieciu, czy jak cię tam nazywają. Będziemy rządzić. Będziemy panami. Koniec z peklowaną wieprzowiną i fasolą. Odtąd będziemy jeść tylko kurczaki.

Deuce coupe z namalowanymi po bokach maski płomieniami połykał kolejne mile asfaltowej wstęgi szosy. Śmieciarz siedział na swoim fotelu, ściskając w dłoniach puszkę z ciepłym piwem, i choć tego nie zdradzał, był mocno zakłopotany.

Tuż przed świtem, piątego sierpnia, Śmieciarz wszedł do Ciboli, znanej inaczej jako Vegas. W którymś momencie na odcinku ostatnich pięciu mil zgubił lewy trampek i kiedy schodził teraz po pochyłości zjazdu do miasta, odgłos jego kroków brzmiał następująco: plask-KLAP, plask-KLAP, plask-KLAP.

Zupełnie jakby złapał gumę.

Ujrzał chyba ze sto modnych nocnych klubów. Na tablicach widniały napisy: TYLKO U NAS WIELKIE WYGRANE, KAPLICA BLUEBELL, ŚLUBY AKORDOWO, ŚLUB W MINUTĘ, RADOŚĆ NA CAŁE ŻYCIE! Ujrzał rolls royce silver shadow w białego do połowy w witrynę księgarni sprzedającej „świerszczyki” i książki erotyczne. Zobaczył nagą kobietę wiszącą głową w dół na latarni. Zerwał się wiatr i po chodniku, szeleszcząc, przeleciały dwie wyrwane strony z gazety „Las Vegas Sun”. Na pierwszej stronie, gdy tak obracały się niesione wiatrem, można było dostrzec wielki nagłówek z wytłuszczonymi literami układającymi się w słowa: PLAGA ZBIERA CORAZ OBFITSZE ŻNIWO. WASZYNGTON MILCZY! Na gigantycznym billboardzie reklamowano występy Neila Diamonda. Hotel Americana od piętnastego czerwca do trzydziestego sierpnia! Na szybie wystawowej sklepu jubilerskiego, sprzedającego głównie obrączki i pierścionki zaręczynowe, ktoś napisał: LAS VEGAS UMIERA ZA SWOJE GRZECHY!

Na ulicy jak padły koń leżał wielki, wywrócony fortepian. Śmieciarz patrzył na to wszystko, nie mogąc się nadziwić.

Gdy pomaszzerował dalej, zaczął zauważać inne znaki, neony wygasłe po raz pierwszy od wielu lat. Flamingo. The Mint. Dunes. Sahara. Glass Slipper. Imperial. Ale gdzie się podzieli ludzie? I gdzie była woda? Prawie nie wiedząc co robi, pozwalając by nogi same go poniosły,

Śmieciarz skręcił w Strip. Opuścił głowę, podbródkiem niemal dotykając piersi. Drzemał, idąc. Nagle potknął się o krawężnik i upadł do przodu, rozbijając sobie nos, a kiedy uniósł głowę i rozejrzał się dokoła, prawie nie mógł uwierzyć własnym oczom. Krew spływała z rozbitego nosa, brudząc jego podartą, brudną, niebieską koszulę. Zupełnie jakby wciąż jeszcze spał i to był tylko sen.

Ku pustynnemu niebu wznosił się wielki, biały budynek, istny monolit, iglica, monument, równie majestatyczny i wspaniały jak Sfinks czy piramida Cheopsa. W jej oknach od wschodu, niczym omen, odbijały się promienie wschodzącego słońca. Przed tą kościstobiałą pustynną budowlą, po obu stronach wejścia wznosiły się bliźniacze złote piramidy. Nad markizą wisiał wielki spizowany herb z płaskorzeźbą w kształcie głowy lwa.

A nad nim prosty ale jakże znaczący napis: MGM GRAND HOTEL.

To jednak, co przykuło jego uwagę znajdowało się na trawiastym prostokącie pomiędzy parkingiem a wejściem do budynku. Śmieciarz patrzył, a jego ciało przeszywały dreszcze rozkoszy tak silne, że przez chwilę mógł jedynie podpierać się na pokrwawionych rękach, pomiędzy którymi zwisały luźno rozwiązane końce bandaża, i gapić się na fontannę swymi bladoniebieskimi oczami, oczami, które podczas jego wędrówki przez Stany Zjednoczone o mało nie oślepiły od słońca.

Z jego ust dobył się cichy jęk.

Fontanna działała. Była wręcz piękna, wykonana z kamienia i kości słoniowej, cyzelowana i wyłożona złoceniami. Kolorowe światła nadawały wodzie różnych barw, od purpury poprzez żółć, oranż, czerwień, po oliwkową zieleń. Plusk wody wpadającej z powrotem do fontanny był bardzo głośny.

– Cibola – mruknął Śmieciarz, podnosząc się z chodnika. Z nosa wciąż ciekła mu krew.

Zaczął maszerować w stronę fontanny. Z marszu przeszedł w trucht. Z truchtu w kłus, potem w galop, wreszcie w ostry sprint. Jego podrapane kolana unosiły się jak tłoki, niemal dotykając chudej szyi mężczyzny. Z ust Śmieciarza popłynęło jedno, jedyne słowo wznosząc się ku niebu, sprawiając, że wysoko w górze ludzie zaczęli podchodzić do okien (Ale kto ich widział? Może Bóg, albo Diabeł, na pewno nie Śmieciarz).

Słowo przybierało na sile, wypowiadał je coraz bardziej ochryple i gardłowo, a brzmiało ono:

– CIIIIIIIBOLAAAAAAA!

Ostatnie „aaaa” zdawało się nie mieć końca i zawierało w sobie wszelkie rozkosze znane ludziom od zarania dziejów, a skończyło się, kiedy Śmieciarz wyrzwał piersią w obudowę fontanny i, podciągnawszy się, wskoczył do chłodnej, przynoszącej ukojenie i zapomnienie wody. Poczuł, że pory jego ciała otwierają się niczym milion głodnych ust i chłoną wodę jak gąbka. Krzyknął. Schylił głowę, zanurzył ją w wodzie i gdy znów ją uniósł, parsknął głośno, wypływając z nosa i ust wodę zmieszaną z krwią, śliną i smarkami.

A potem pochylił głowę i zaczął łapczywie pić.

– Cibola! Cibola! – zawołał donośnie. – Oddam za ciebie życie!

Okrażył fontannę i znowu się napił, rozbryzgując wodę dokoła, a potem wyczołgał się na zewnątrz i z głuchym łupnięciem wylądował na trawniku. Mimo wszystko warto było. O, tak. Było warto. Od zbyt szybko wypitej wody zaczęły go łapać skurcze. Czknął głośno i zwymiotował. Nawet rzyganie wydało mu się przyjemne.

Wstał i, przytrzymując się obrzeża fontanny uszkodzoną dłonią, raz jeszcze się napił. Tym razem żołądek przyjął wodę znacznie łagodniej. Chlupocząc jak pełen bukłak, poczłapał ku alabastrowym schodom prowadzącym do drzwi owej bajecznej budowli, schodom ciągnącym się pomiędzy dwiema złotymi piramidami. W połowie drogi znów chwyciły go skurcze i zgiął się wpół. Kiedy ustały, podreptał dalej. Drzwi były obrotowe, z trudem zdołał puścić je w ruch. Zużył na to prawie całą resztę swoich sił.

Wszedł do wyłożonego dywanami holu, który zdawał się nie mieć końca. Dywan pod stopami był gruby, miękki i miał barwę żurawin. Śmieciarz ujrzał stół recepcyjny, kasetkę na klucze, pojemnik na listy, okienka kasowe. Nigdzie ani żywego ducha. Po prawej stronie, za bajecznie zdobionym wejściem znajdowało się kasyno. Śmieciarz spojrzał tam z niepokojem. Zlustrował rzędy „jednorękich bandytów” wyglądających jak żołnierze na paradzie, a za nimi stoły do ruletki, black jacka i bakarata.

– Kto tam? – wychrypiął Śmieciarz, ale nikt mu nie odpowiedział.

Nagle ogarnął go strach, gdyż to miejsce wydało mu się domem duchów, kryjówką, gdzie mogły się czaić potwory, ale ze zmęczenia zapomniał o lęku i ostrożności. Zszedł, zataczając się po schodach do kasyna i minął bar „Kostkę”, gdzie wśród głębokich cieni, obserwując go, siedział w milczeniu Lloyd Henreid ze szklanką Poland Water w dłoni.

Dotarł do stołu wyłożonego zielonym suknem. Śmieciarz położył się na nim i natychmiast zasnął. Niedługo potem wokół śpiącego jak suseł mężczyzny w łachmanach zebrał się prawie tuzin mężczyzn.

– Co z nim zrobimy? – zapytał Ken DeMott.

– Niech się wyśpi – odrzekł Lloyd. – Flagg go potrzebuje.

– Tak? A gdzie, u diabła, podziewa się Flagg? – rzucił kolejny mężczyzna.

Lloyd odwrócił się, aby spojrzeć na niego. Mężczyzna był prawie łysy i o stopę wyższy od Lloyda. Mimo to spiorunowany przez Henreida wzrokiem cofnął się o krok. Kamień, który Lloyd nosił na szyi był jedynym, który nie był jednolicie czarny. Pośrodku miał małą, osobliwą czerwoną plamkę.

– Tak ci spieszo znowu go ujrzyć, Heck? – zapytał Lloyd.

– Nie – odparł łysiejący mężczyzna. – Ej, Lloyd, przecież wiesz, że...

– Jasne – uciął Lloyd, spoglądając na mężczyznę leżącego na stole do black jacka. – Flagg wkrótce się zjawi – wyjaśnił. – Czekał na tego faceta. On jest kimś szczególnym.

A Śmieciarz spał smacznie nieświadom tego, co działo się w sali wokół niego.

Śmieciarz i Dzieciak spędzili noc z osiemnastego na dziewiętnastego lipca w motelu w Golden w Kolorado. Dzieciak wybrał dwa połączone pokoje.

Drzwi pomiędzy nimi były zamknięte na klucz. Dzieciak, mający już dość mocno w czubie, rozwiązał ten drobny problem, wywalając zamek trzema kulami ze swojej .45-tki. Potem kopnął w drzwi. Otworzyły się na oścież w błękitnych kłębach dymu po wystrzałach.

– Klawo – mruknął bełkotliwie. – Który chcesz pokój? Wybieraj, Śmieciucu.

Śmieciarz wybrał pokój po prawej stronie i na pewien czas został sam. Dzieciak gdzieś poszedł. Śmieciarz zaczął się zastanawiać, czy nie powinien się ulotnić zanim wydarzy się coś naprawdę złego – przeciwko temu pomysłowi przemawiał fakt, że straciłby szybki środek transportu – gdy niespodziewanie Dzieciak wrócił. Śmieciarz z pewnym przerażeniem zarejestrował, że Dzieciak pchał przed sobą wózek wypełniony sześciopakami coorsa. Oczy, martwe jak u lalki, były teraz przekrwione i zaczerwienione. Fantazyjnie popalowana fryzura rozwichrzyła się, pozlepiane tłuste kosmyki opadały na policzki i uszy Dzieciaka, nadając mu wygląd groźnego jaskiniowca, który znalazł gdzieś skórzaną kurtkę porzuconą przez podróżnika w czasie i nałożył ją na siebie. Królicze łapki kołysały się u jego paska w przód i w tył.

– Jest ciepło – rzekł Dzieciak. – Ale kto by się tym przejmował, nie?

– Pewno, że tak – mruknął Śmieciarz.

– Walnij sobie piwko, dupku – powiedział Dzieciak, rzucając mu puszkę.

Kiedy Śmieciarz zerwał kółko i w twarz prysnęła mu piana, Dzieciak zaniósł się dziwnie piskliwym śmiechem, trzymając się obiema rękami za brzuch. Śmieciarz uśmiechnął się pod nosem. Postanowił, że później, kiedy ten mały potwór położy się spać, ucieknie. Miał już dość. A to, co Dzieciak mówił o mrocznym kąpielaniu... W tej kwestii obawy Śmieciarza były tak wielkie, że wołał o tym nawet nie myśleć. Mówienie takich rzeczy, choćby w żartach, było jak defekacja na ołtarzu kościoła albo wpatrywanie się w niebo podczas burzy i nawoływanie, by uderzył w ciebie piorun.

A najgorsze, że nic nie wskazywało, aby Dzieciak mówił to wszystko w żartach.

Śmieciarz nie zamierzał przedzierać się przez góry i pokonywać ostre zakręty w towarzystwie tego szalonego kurdupla, który pił przez cały dzień (i chyba również całą noc), a potem snuł plany obalenia mrocznego mężczyzny i zajęcia jego miejsca.

Tymczasem Dzieciak w dwie minuty wypił dwa piwa, zgniótł puszki i cisnął je od niechcenia na jedno z bliźniaczych łóżek. Wpatrywał się smętnie w telewizor RCA Chromacolor, trzymając w lewej dłoni nową puszkę coorsa, a w prawej broń, tę samą, z pomocą której sforsował drzwi działowe.

– Nie ma prądu, nie ma telewizji – burknął. Im więcej pił, tym bardziej zaciągał i trudniej go było zrozumieć. – Wkurwia mnie to. Znaczący się nie to, że te wszystkie frajery powymierały, szkoda tylko, kurde, pieprzonego HBO. I wolnej amerykanki. Gdzie się, kurde, podziały te programy. Albo taki kanał, kurde, Playboya. To było dobre, Śmieciarz, powaga.

Znaczy się, nigdy nie pokazali faceta co sobie naprawdę używa, albo jak wylizuje babce piczkę, jak boczek, ale niektóre z tych lasek miały nogi aż po samą szyję, kapujesz, o co się rozchodzi?

– Jasne – odrzekł Śmieciarz.

– To, kurde, dobrze. Powaga.

Dzieciak wbił wzrok w nieczynny odbiornik.

– Ty zimna pizdo – wysyczał i wpakował w niego kulę. Kineskop implodował z głuchym hukiem. Szkło posypało się na dywan. Śmieciarz uniósł rękę by osłonić oczy i przewrócił puszkę. Piwo rozlało się na zielony dywan.

– Spójrz, kurde, co żeś narobił, pizdzielcu! – wykrzyknął Dzieciak. Wydawał się naprawdę wzburzony. Wymierzył broń w Śmieciarza, a wylot jej lufy wydawał się wielki i mroczny jak komin oceanicznego liniowca.

Śmieciarz poczuł drętwienie w kroczu. Możliwe, że złał się w spodnie, ale nie miał pewności.

– Prześwidruję cię za to, kretynie – oznajmił Dzieciak. – Rozlałeś coorsa. Jakby to była inna marka to pies ją trącał, ale ty rozlałeś coorsa. Gdybym mógł szczałbym tym piwkiem, uwierzyłbyś?

– Jasne – wyszeptał Śmieciarz.

– Wydaje ci się, że oni tam w fabryce wciąż je produkują? Tak ci się, kurde, wydaje?

– Nie – odparł cicho Śmieciarz. – Raczej nie.

– I masz kurde, świętą rację. To zagrożony gatunek. – Lekko uniósł broń.

Śmieciarz był pewien, że to już koniec, że zaraz umrze. I nagle Dzieciak nieznacznie opuścił broń. Jego twarz była kompletnie pozbawiona wyrazu. Śmieciarz podejrzewał, że w przypadku tamtego był to przejaw głębokiego zamyślenia.

– Powiem ci coś, Śmieciarzu. Weźmiesz, kurde, nową puszkę i wydudlisz. Jak ci się uda, to nie poślę cię do piachu. Wierzysz mi?

– Ale... co znaczy... wydudlisz?

– Chryste, chłopie, ale z ciebie ciemniak! Wydudlisz znaczy wypijesz duszkiem całą zawartość puszeki, na jeden raz. Gdzieś ty się, kurwa, uchował, w pieprzonej Afryce? Przegrałeś, Śmieciu, i teraz ważą się twoje losy. Jak będę musiał to wpakuję ci kulę prosto w oko. Naładowałem to kopyto kulami dumdum. Po wejściu w ciało rozrywają się i rozwalają człowieka na strzępy. Jak dostaniesz kulę w łeb, zostanie z ciebie tylko tyle, żeby w tej dziurze mogło się pożywić parę głodnych karaluchów.

Skinął .45-ką, nie odrywając spojrzenia czerwonych oczu od Śmieciarza. Na górnej wardze miał pianę z piwa.

Śmieciarz podszedł do kartonowego pudła, wyjął puszkę i otworzył.

– Do dzieła. Pij śmiało. Do ostatniej kropli. I pamiętaj, że jak się porzygasz, to cię, kurde, rozwalę.

Śmieciarz uniósł puszkę do ust. Przechylił. Piwo płynęło mu do gardła. Przełykał konwulsyjnie, jego jabłko Adama unosiło się i opadało jak małpka na patyku. Opróżniwszy puszkę, rzucił ją pod nogi, zwalczył mdłości podchodzące mu do gardła i ocalił życie jednym, potężnym, gardłowym czknięciem. Dzieciak odchylił swą małą głowę i roześmiał się dźwięcznie.

Śmieciarz zakotłosał się w przód i w tył i uśmiechnął się półgębkiem. Piwo uderzyło mu do głowy.

Dzieciak schował broń do kabury.

– W porządku. Nieźle, Śmieciarzu. Nieźle się, kurde, spisałeś.

Dzieciak pił dalej. Na motelowym łóżku piętrzył się coraz większy stosik pustych, pogiętych puszek. Śmieciarz trzymał swoją puszkę między kolanami i popijał kolejny łyk, gdy Dzieciak obrzucał go spojrzeniem pełnym jawnej dezaprobaty. Dzieciak wciąż mówił do siebie, a jego głos z każdą kolejną opróżnioną puszką stawał się coraz bardziej bełkotliwy. Opowiadał o miejscach, w których bywał. O wyścigach, które wygrał. O ładunku narkotyków, który przewiózł przez granicę z Meksyku starą ciężarówką z logo pralni i silnikiem 442 hemi pod maską.

– To był paskudny towar – mruknął. – Wszystkie narkotyki to gówno. Jeden wielki szajs. Sam nigdy nie ruszałem tego świństwa, ale, kurde, jak przeschmuglujesz przez granicę parę partii takiego gówna, to do końca życia zamiast papierem toaletowym możesz się podcierać studolarówkami.

Wreszcie zaczął przysypiać, jego małe czerwone oczka zamykały się na coraz dłużej, aż w końcu powieki znieruchomiały na wpół uniesione.

– Załatwię go, Śmieciarzu – wybełkotał Dzieciak. – Pojadę tam, powęszę i będę tak długo wlaził mu w tyłek, aż zorientuję się co i jak. Nikt nie będzie dyrygował Dzieciakiem. Nikt, kurde. Nie będzie mi nikt rozkazywał. Ja nie jestem, kurde, od wykonywania poleceń, tylko od szefowania. Sam sobie, kurde, jestem panem. Taki mam już styl. Nie wiem, kim on jest, skąd się wziął ani jakim cudem umie wejść człowiekowi w łepetynę, ale, powiadam ci, gość ani się obejrzy jak wypierdolę go z miasta. Zajebię go. Poślę do piachu. Będzie gryzł ziemię i wachał kwiatki od spodu. Trzymaj się mnie, Śmieciu, czy kim tam naprawdę jesteś.

Wolno osunął się na wznak na łóżko. Niedawno otwarta puszką piwa wysunęła mu się z ręki. Na dywanie pojawiła się druga, znacznie większa, ciemna plama coorsa. Karton był pusty i, jeśli Śmieciarz zdołał się zorientować, Dzieciak sam wypił dwadzieścia jeden puszek. Śmieciarz nie potrafił zrozumieć, jak taki kurdupel mógł wypić tyle piwa, ale wiedział, co sam musiał teraz zrobić. Zwiewać. I to szybko. Wiedział o tym, ale był pijany, słaby i naszły go mdłości. Jedyne na co miał teraz ochotę, to zdrzemnąć się odrobinę. Chyba to nic złego, czyż nie? Dzieciak przez całą noc będzie spał jak zabity i kto wie, czy obudzi się przed południem. Miał dość czasu, by trochę się przespać.

Wszedł do sąsiedniego pokoju (na palcach, mimo iż Dzieciak wydawał się być pogrążony w śpiączce) i najlepiej jak umiał zamknął za sobą drzwi działowe, a właściwie tylko je domknął. Kule musiały je wypaczyć i nie sposób było zamknąć ich nawet na klamkę. Na komódce stał nakręcany kluczykiem zegar z budzikiem. Śmieciarz nakręcił go, nastawiając na dwunastą w nocy, choć nie miał pojęcia, która była godzina (i wcale go to nie obchodziło), po czym ustawił budzenie na piątą rano. Położył się na jednym z dwóch łóżek, nie zdejmując nawet trampek. Po pięciu minutach już spał.

W jakiś czas później obudził się w ciemnościach tuż przed świtem, czując na twarzy czyjś oddech przeniknięty wonią piwa i wymiocin. Coś było w łóżku wraz z nim, coś gorącego, gładkiego i ruchliwego. W pierwszej chwili pomyślał, że to łasica, która jakimś cudem przeniknęła do świata realnego z jego koszmarnych snów o Nebrasce. Jęknął cichutko i nagle uświadomił sobie, że zwierzę, które było z nim w łóżku było zbyt duże jak na łasicę. Od piwa bolała go głowa, tępy ból bezlitośnie świdrował mu czaszkę.

– Weź go – wyszeptał w ciemności Dzieciak. Coś schwyciło Śmieciarza za rękę i podało mu jakiś twardy, obły, pulsujący jak tłok przedmiot. – Branzluj mnie. No dalej, zrób to. Wiesz, co masz robić, wiedziałem, że to umiesz, gdy cię tylko ujrzałem. Dalej, skurwysynu, branzluj mnie!

Śmieciarz wiedział, jak to się robi. Musiał przyznać, że trochę mu ulżyło. Wiedział, jak to się robi, pamiętał to jeszcze z więzienia. Mówili, że to złe, że to pedalstwo, ale takie pedalstwo było lepsze niż to, co robili inni, ci, którzy nocami wyrabiali „kosy” z zaostrzonych trzonków łyżek i ci, którzy tylko leżeli na swoich pryczach, patrzyli na ciebie i, strzelając kostkami, uśmiechali się znacząco.

Dzieciak położył dłoń Śmieciarza na czymś, co ten znał i umiał obsługiwać. Zaciśnął palce i wziął się do dzieła. Kiedy skończy, Dzieciak zaśnie. A wtedy on spokojnie da nogę. Oddech Dzieciaka stał się szybki i urywany. Mężczyzna zaczął poruszać biodrami w rytm nadawany przez Śmieciarza. Śmieciarz z początku nie zorientował się, że Dzieciak rozpiął mu pasek i zsunął do kolan dzinsy oraz slipki. Nie oponował. Nie przejmował się tym, że Dzieciak chciał mu włożyć. Robił to już wcześniej. Od tego się nie umierało. To nie była trucizna.

I nagle jego dłoń znieruchomiała. To, co zaczęło napierać, by wedrzeć się w jego odbyt, nie było żywym organem. Było zimną stalą.

Zrozumiał, co to było.

– Nie – wyszeptał.

W ciemnościach jego oczy były rozszerzone i przepełnione przerażeniem. W lustrze widział, choć niezbyt wyraźnie, odbicie tej morderczej, twarzy przypominającej lalkę wyłaniającej się ponad jego ramieniem i przesłonięte kosmykami tłustych włosów, zaczerwienione oczy.

– Tak – odparł Dzieciak. – I nie przestawaj, Śmieciarzu. Nie przestawaj ani na chwilę. Bo jak nie daj Boże zgubisz rytm, ja mogę, kurde, pociągnąć za spust i zrobić ci ze srajmaszynki ser szwajcarski. Kule dumdum, Śmieciu. Uwierzyłyś?

Śmieciarz, pojękując, znów zaczął go pieścić. Jego stęknienia zmieniły się w ciche sapnięcia bólu, kiedy lufa .45-ki wdzierала się w niego coraz głębiej, obracając się, drażąc i rozrywając. Czy to mogło go pobudzić? Mogło.

Dzieciak w końcu zauważył jego podniecenie.

– Podoba ci się, co? – wydyszał. – Wiedziałem, że ci dogodzę, śmierdzielu. Lubisz walenie w tyłek, nie? Powiedz, że tak, śmierdzielu. Powiedz, że tak albo rozpirzę ci dupsko na cztery strony świata.

– Tak – zapiszczał Śmieciarz.

– Chcesz, żebym to zrobił?

Nie chciał. Podniecony czy nie, nie miał na to ochoty. Ale wołał nie oponować.

– Tak.

– Nie dotknąłbym twojego kutasa nawet gdyby był ze szczerzego złota. Zrób to sam. Jak myślisz, po co Bozia dała ci dwie ręce?

Jak długo to trwało? Śmieciarz nie miał o tym pojęcia. Minutę, godzinę, stulecie, co za różnica? Był pewien, że z chwilą gdy Dzieciak dozna orgazmu, on sam poczuje naraz dwie rzeczy, gorącą strugę nasienia małego potwora na brzuchu i rozdzierający ból grzybkującego naboju dumdum wnikającego w jego jelita. Ołowiana lewatywa. Ostatni krzyk mody.

Nagle biodra Dzieciaka znieruchomiały, a jego członek zaciśnięty w dłoni Śmieciarza zdrzął gwałtownie. Jego pięść stała się śliska jak gumowa rękawica. W chwilę potem lufa broni wysunęła się z jego odbytu. Po policzkach Śmieciarza spłynęły łzy ulgi. Nie bał się śmierci, zwłaszcza będąc w służbie mrocznego mężczyzny, ale nie chciał umrzeć z rąk psychopaty w ciemnym pokoju w motelu.

Na dodatek nie ujrzawszy przedtem Ciboli. Pomodliłby się o to do Boga, lecz instynktownie czuł, że Bóg nie patrzył zbyt przychylnie na tych, którzy sprzymierzyli się z mrocznym mężczyzną, oferując mu swoje usługi. A zresztą cóż dobrego zrobił Bóg dla Śmieciarza? Albo dla Donalda Merwina Elberta?

W ciszy przerywanej tylko szeptem oddechu rozległ się gasnący atonalny głos powoli przysypiającego Dzieciaka:

– Moją ferajnę i mnie wszyscy dobrze znają... straszne z nas zakapiory, nawet gliny się nas nie czepiają...

Zaczął pochrapywać.

„Teraz się stąd zmyję – pomyślał Śmieciarz, ale bał się, że jeśli się poruszy, obudzi Dzieciaka. – Spłynę, gdy tylko uśnie na dobre. Głęboko. Za pięć minut. To nie powinno potrwać dłużej”.

W ciemnościach nocy pięć minut może trwać bardzo długo. Nawet całą wieczność. Śmieciarz czekał. Raz po raz przysypiał i budził się, nie wiedząc nawet, że usnął. Wreszcie zasnął na dobre.

Znajdował się na wysoko biegnącej, mrocznej drodze. Gwiazdy zdawały się wisieć tak nisko, że wystarczyło by wyciągnął rękę, a mógłby ich dotknąć. Mógłby pozdejmować je z nieba i zamknąć w słoiku jak robaczki świętojańskie. Było piekielnie zimno. W słabym, srebrzystym świetle gwiazd widział ściany z litej skały, w której wykuto autostradę.

I w ciemnościach coś szło w jego stronę.

A potem zewsząd dobiegł go JEGO głos: „W Górach dam ci znak. Pokażę ci moją moc. Pokażę ci, co spotyka tych, którzy występują przeciwko mnie. Czekaj. I patrz”.

W mroku zaczęły otwierać się czerwone ślepia, jakby ktoś ustawił na szosie trzy tuziny lamp ostrzegawczych, a teraz parami zdejmował z nich osłony. To były ślepia, otaczały Śmieciarza, tworząc krąg fey. Początkowo sądził, że to ślepia łasic, ale kiedy zacieśniły krąg wokół niego stwierdził, iż były to wielkie, szare górskie wilki. Stały na szosie z wysuniętymi do przodu łbami i pianą ściekającą z czarnych nozdrzy.

Poczuł lęk.

„One nie przyszły po ciebie, mój dobry i wierny sługo. Rozumiesz?”

I nagle znikły. Ot tak, trzask prask, i już ich nie było.

„Patrz – rzekł głos. – I czekaj”.

Sen skończył się. Śmieciarz otworzył oczy by ujrzeć promienie wschodzącego słońca wpadające przez okno do jego pokoju. Dzieciak stał przy oknie, nie zdradzając żadnych oznak kaca po zaciętym boju, stoczonym poprzedniego wieczoru z produktami nie istniejącej już firmy Adolpha Coorsa. Na głowie znów miał starannie ułożoną fryzurę z falami z przodu i kaczym kuprem z tyłu. Przyglądał się z podziwem swojemu odbiciu w szybie. Przerzucił skórzaną kurtkę przez oparcie krzesła. Królicze łapki zwisały z paska jak trzej mali wisielcy z belki szubienicy.

– Ej, śmierdzielu! Już, kurde, myślałem, że aby cię obudzić będę musiał znów naoliwić ci grabulę. Wstawaj, czeka nas wspaniały dzień. Wiele się dzisiaj wydarzy, nie uważasz?

– Na pewno – odparł z dziwnym uśmiechem Śmieciarz.

Kiedy Śmieciarz obudził się wieczorem, piątego sierpnia, wciąż leżał na stole do black jacka w kasynie hotelu MGM. Przed nim, na ustawionym tył naprzód krześle siedział młody, jasnowłosy mężczyzna w okularach-lustrzankach. Pierwszą rzeczą, jaka przykuła wzrok Śmieciarza, był kamień zawieszony na jego szyi pod rozpiętą koszulą. Czarny z czerwoną skazą pośrodku. Jak ślepia wilka w nocy.

Próbował powiedzieć, że chce mu się pić, ale wydał z siebie tylko ciche

– Hyyy...

– Wygląda na to, że spędziłeś trochę czasu w silnym upale – powiedział Lloyd Henreid.

– Czy to ty? – wyszeptał Śmieciarz. – Czy ty jesteś...

– Szefer? Nie. Flagg jest w Los Angeles Ale wie, że tu dotarłeś. Dziś po południu rozmawiałem z nim przez radio.

– Przyjedzie?

– Tylko po to by się z tobą spotkać? Ależ skąd! Zjawi się w swoim czasie. Ty i ja jesteśmy tylko pionkami. Przybędzie tu, kiedy uzna za stosowne. – I zadał to samo pytanie, które wcześniej skierował do wysokiego mężczyzny, zanim Śmieciarz zjawił się w hotelu: – Tak ci spieszno go ujrzyć?

– Tak... nie... nie wiem.

– Cóż, tak czy inaczej będziesz miał swoją szansę.

– Pić...

– Jasne. Masz. – Podał mu spory termos wypełniony wiśniowym Kool-Aidem.

Śmieciarz wypił wszystko, a potem zgiął się w pół i targany skurczami pojękiwał cichutko. Kiedy ból minął, Śmieciarz spojrział z wdzięcznością na Lloyda.

– Chcesz coś zjeść? – zapytał Lloyd.

– Tak. Chyba tak.

Lloyd odwrócił się do stojącego za nimi mężczyzny. Facet leniwie zakręcił kołem ruletki, a potem puścił w ruch białą kulkę.

– Roger, powiedz Whitneyowi albo Stephanie-Ann, żeby przyrządzili dla niego porcję frytek i kilka hamburgerów. Nie, kurczę, co ja gadam? Przecież on jest cały odwodniony. Zupa. Niech mu ugotują zupę. Może być, stary?

– Jasne. Cokolwiek – wyszeptał z wdzięcznością Śmieciarz.

– Mamy tu jednego gościa – wyjaśnił Lloyd. – Nazywa się Whitney Horgan i był rzeźnikiem. Jest gruby, wredny, hałaśliwy i obleśny, ale robi takie żarcie, że paluszki lizać! Ach! Poza tym jest tu wszystko, o czym tylko zamarzysz. Kiedy się tu wprowadziliśmy, cały sprzęt wciąż jeszcze działał i chłodnie były pełne żywności. Pieprzone Vegas! Czy to nie najwspanialsze miasto pod słońcem?

– Tak – odparł Śmieciarz. Polubił już Lloyda, a nawet nie znał jego imienia. – Cibola.

– Że co?

– Cibola. Miejsce poszukiwane przez wielu.

– Taak. Wielu ludzi szukało tego miasta, ale spośród tych, którzy je odnaleźli, większość srodze potem żałowała. Nazywaj je jak chcesz, stary. Wygląda na to, że zanim tu dotarłeś o mało nie usmażyłeś się żywcem. Jak się nazywasz?

– Śmieciarz.

Lloyd nawet nie mrugnął powieką.

– Z taką ksywką musiałeś być chyba rockersem. – Podał mu dłoń. Na opuszkach palców wciąż było jeszcze widać zanikające ślady, pamiątki z więzienia w Phoenix, gdzie o mało nie

umarł z głodu. – Ja jestem Lloyd Henreid. Miło mi cię poznać, Śmieciarzu. Witaj na pokładzie dobrego statku „Lody na patyku”.

Śmieciarz uściskał mu dłoń, z trudem hamując łyzy wdzięczności napływające mu do oczu. Dotarł na miejsce. Tam, dokąd chciał dotrzeć. Został zaakceptowany. Wreszcie do czegoś przynależał. Dla chwili jak ta był gotów przebyć dwa razy dłuższy dystans przez pustynię i poparzyłby sobie drugą rękę oraz obie nogi.

– Dzięki – mruknął. – Dziękuję, panie Henreid.

– Kurwa, bracie, jeśli nie zechcesz mówić mi po imieniu, każę wylać tę twoją zupę do kibla.

– Dobrze, niech będzie. Dzięki, Lloyd.

– Już lepiej. Jak zjesz, zabiorę cię na górę i wybierzemy pokój dla ciebie. A jutro przydzielimy jakieś zadania. Sądzę, że szef ma dla ciebie coś specjalnego, ale póki co roboty ci nie zabraknie. Staramy się uruchomić całe to miejsce na nowo, ale dopiero zaczynamy. Większość prac jeszcze przed nami. Załoga przy służbie Boulder próbuje przywrócić w mieście zasilanie. Druga zajmuje się zapasami wody. Codziennie wysyłamy drużyny zwiadowcze, sześć-, ośmioosobowe grupy, ale póki co oszczędzę ci tego. Nie wygląda na to, byś wkrótce dał radę wyruszyć w teren. Słońca masz chyba dosyć na cały najbliższy miesiąc.

– Raczej tak – odparł Śmieciarz, uśmiechając się nieśmiało. Był już gotów oddać życie za Lloyda Henreida. Zebrawszy w sobie całą odwagę wskazał na kamyk zwisający poniżej szyi Henreida. – To...

– Tak, noszą je tu wszyscy wyżsi rangą. To JEGO pomysł. Gagat. Niezupełnie kamień. Bardziej skamieniały bąbel ropy.

– Chodziło mi o... tę czerwoną plamkę. Oko.

– Tobie też się z nim kojarzy? To skaza. Szczególny dar od Niego. Nie jestem najmądrzejszym facetem, który mu służy, ba, nie jestem nawet najmądrzejszym facetem w starym, dobrym Vegas. Powiedziałbym raczej, że jestem jego maskotką. – Przyjrzał się bacznie Śmieciarzowi. – Kto wie, może ty również? To wie tylko on, Flagg. On jest bardzo tajemniczy. Tak czy inaczej ja i Whitney słyszeliśmy, że jesteś dla Niego kimś szczególnym. To coś nowego. Rzadkość. Każdego dnia przybywają nowi i jest ich zbyt wielu by wychwycić tych obdarzonych szczególnymi zdolnościami. Choć podejrzewam, że On mógłby to zrobić, gdyby zechciał. Flagg wie chyba wszystko o każdym, który tu dociera.

Śmieciarz pokiwał głową.

– Umie robić czarodziejskie sztuczki – głos Lloyda stał się lekko ochrypliwy. – Sam widziałem. Wolalbym nie znaleźć się na miejscu tych, którzy próbują wystąpić przeciwko niemu, wiesz o co mi chodzi?

– Tak – odparł Śmieciarz. – Widziałem, co się stało z Dzieciakiem.

– Jakim znowu dzieciakiem?

– Z facetem, który mi towarzyszył, dopóki nie znaleźliśmy się w górach. – Wzdrygnął się. – Nie chcę o tym mówić.

– W porządku, stary. O, jest już twoja zupa. I Whitney przygotował jednak dla ciebie hamburgera. Zobaczysz, są naprawdę pyszne. Facet robi świetne hamburgery, ale postaraj się nie zwymiotować, dobra?

– Dobra.

– Mam kupę roboty. Całą masę miejsc, które muszę odwiedzić i ludzi, z którymi mam się spotkać. Gdyby teraz mógł mnie ujrzeć mój stary kumpel, Dziurawiec, chyba by nie uwierzył. Jestem bardziej zalatany niż jednonogi facet podczas zawodów w nakopywaniu do tyłka. Zobaczmy się później.

– Jasne – mruknął Śmieciarz i niemal trwożliwie dorzucił: – Dzięki. Dziękuję za wszystko.

– Nie dziękuj mnie – odparł z uśmiechem Lloyd. – Podziękuj Jemu.

– Robię to – wyszeptał Śmieciarz.

„Robię to każdej nocy” – powiedział już tylko do siebie.

Lloyd był już na drugim końcu holu, rozmawiając z mężczyzną, który przyniósł Śmieciarzowi zupę i hamburgera. Śmieciarz przyglądał się im z czułością i rozrzewnieniem dopóki nie zniknęli mu z oczu, a potem zabrał się do pałaszowania kanapki. Jadł aż mu się uszy trzęsły. I apetyt dopisywał mu do chwili, kiedy nie zajął do talerza z zupą. To była pomidorowa. Miała barwę krwi. Odsunął talerz. Nagle odechciało mu się jeść. Powiedział Henreidowi, że nie chce rozmawiać o Dzieciaku i to wystarczyło. Ale nie potrafił zapomnieć o tym, co się z nim stało. Nie mógł przestać o tym myśleć.

Podszedł do ruletki. Popijał mleko, które przyniesiono mu wraz z posiłkiem. Leniwie zakręcił kołem i puścił w ruch małą białą kulkę.

Kulka poturlała się gładko po obrzeżu koła, po czym zaczęła przeskakiwać między kolejnymi, zaopatrzonymi w numery otworami. Myślał o Dzieciaku. Zastanawiał się, czy ktoś się zjawi i pokaże mu jego nowy pokój. Myślał o Dzieciaku. Zastanawiał się, czy wypadnie czarne czy czerwone... ale przede wszystkim myślał o Dzieciaku.

Odbijająca się z grzechotem kulka, przeskakująca między kolejnymi przegródkami na kole, wpadła wreszcie do jednego z otworów i już w nim pozostała. Koło znieruchomiało. Kulka znajdowała się na polu oznaczonym podwójnym zerem.

Kasyno wygrywa.

W bezchmurny, upalny dzień, kiedy z Golden wyruszyli na zachód wzdłuż I-70 wiodącej w Góry Skaliste, Dzieciak przerzucił się z coorsa na whisky marki Rebel Yell. Pomiędzy fotelami kierowcy i pasażera leżały jeszcze dwie butelki, skrętnie włożone do pustych kartonów po mleku, żeby nie przewróciły się i nie potłukły. Dzieciak pociągał z butelki, zapijał łykiem pepsi, a potem na całe gardło wrzeszczał: „Kurde!”, „Juhuuu!” albo „Seks

maszyna!”. Kilkakrotnie stwierdził, że gdyby mógł, nawet szczałby Rebel Yellem. Zapytał Śmieciarza, czy w to wierzy. Śmieciarz, blady z przerażenia i wciąż skacowany po wypitych wczorajszej nocy trzech piwach, odparł, że tak.

Na tych drogach nawet Dzieciak nie mógł pruć dziewięćdziesiątką. Zmniejszył prędkość do sześćdziesięciu mil na godzinę i pod nosem przeklinał „pieprzone góry”.

Nagle się rozpromienił:

– Kiedy już będziemy w Utah i Nevadzie, odbijemy sobie stracony czas. Odrobimy to, Śmieciarzu. Na płaskim ta gablota może wyciągać sto sześćdziesiąt. Uwierzyłyś?

– Jasne, przecież to piękny wóz – powiedział Śmieciarz, uśmiechając się wymuszenie.

– Możemy się założyć. – Pociągnął łyk whisky, popił pepsa i ryknął na całe gardło: – Juhuuuuu!

Śmieciarz z dość posępną miną lustrował otaczający ich, skąpany w promieniach porannego słońca krajobraz. Autostrada międzystanowa wiodła pośród łańcucha górskiego i zdarzały się chwile, kiedy z obu stron otaczały ich strzeliste, kamienne ściany. Skały, które widział we śnie, ubiegłej nocy. Czy po zmroku znów, tym razem w rzeczywistości, ujrzy otwierające się czerwone ślepie?

Wzdrygnął się.

Niedługo potem zdał sobie sprawę, że ich prędkość spadła z sześćdziesięciu do czterdziestu na godzinę. A potem do trzydziestu. Dzieciak monotonicznie kłął pod nosem. Kłął przeraźliwie. Deuce coupe raz po raz wymijał stojące mu na drodze pojazdy, milczące, mroczne i wymarłe.

– Co to, kurwa, ma być? – wściekał się Dzieciak. – Co ich naszło? Wszyscy nagle postanowili zdechnąć w tych parszywych górach? Z drogi, palanty. Won! Słyszycie? Wypierdalać!

Śmieciarz skulił się.

Pokonali kolejny zakręt i natknęli się na straszliwą kraksę, cztery samochody zderzyły się i zupełnie zablokowały wiodące na zachód pasma autostrady. Trup, cały we krwi, która dawno zdążyła już zakrzepnąć, stracić połysk i popękać, leżał na szosie twarzą do dołu. Obok niego spoczywało coś, co wyglądało jak pogruhotana lalka. Aut nie sposób było objechać. Z obu stron drogę zagradzały wysokie na sześć stóp stalowe bariery ochronne. Po prawej znajdował się stromy uskoku spowity oparem mgieł.

Dzieciak pociągnął z butelki i skierował coupe w stronę uskoku.

– Trzymaj się, Śmieciarz – wyszeptał. – Ominiemy ten bajzel.

– Nie zmieścimy się – wychrypiał Śmieciarz. Gardło miał suche jak pieprz.

– Zmieścimy się – wyszeptał Dzieciak. Miał błyszczące oczy. Zaczął zjeżdżać z drogi.

Opony po prawej stronie zaszurały na ziarnistym poboczu.

– Ja wysiadam – rzucił szybko Śmieciarz, sięgając dłonią klamki.

– Siedź – uciał Dzieciak – albo pożegnasz się z życiem, śmierdzielu.

Śmieciarz odwrócił głowę i zajrzał w głąb lufy .45-ki. Dzieciak zachichotał z przejęciem.

Śmieciarz przyjął poprzednią pozycję. Chciał zamknąć oczy, ale nie mógł. Ostatnie sześć cali pobocza widoczne jeszcze przed chwilą, gdy wychylił się z auta, zniknęły. Teraz przez okno widział tylko ciągnącą się poniżej panoramę siwoszarych sosen i olbrzymich głazów. Wyobraził sobie, że opony deuce coupe'a są teraz o cztery cale od skraju pobocza... dwa cale...

– Jeszcze cal – wysapał Dzieciak. Oczy miał rozszerzone, na ustach uśmiech od ucha do ucha. Na jego gładkim, pustym jak u lalki czole pojawiły się wielkie, okrągłe krople potu. – Jeszcze... tylko... cal...

Stało się. Śmieciarz poczuł, że tył wozu, po prawej stronie, w jednej chwili ostro opada w dół. Usłyszał grzechot sypiących się z pobocza kaskad żwiru i większych kamyków. Krzyknął. Dzieciak zaklął szpetnie, wrzucając pierwszy bieg, a potem wcisnął gaz do deski. Z lewej strony, gdzie wymijali przewróconego mikrobusa VW, dobiegł zgrzyt gnieczonego metalu.

– Leć! – ryknął Dzieciak. – Jak pierdolony ptak! Leć! Leć, kurwa!

Tyłne koła coupe zaczęły się obracać. Przez chwilę zdawało się, że wóz osuwa się jeszcze niżej, i nagle samochodem zatrzęsło, targnęło do przodu i znów znaleźli się na szosie po drugiej stronie blokady, pozostawiając na asfalcie ślady palonych gum.

– Mówiłem, że się uda! – krzyknął triumfalnie Dzieciak. – Kurwa mać! Udało się. A nie mówiłem? Zrobiliśmy to, Śmieciarzu. I co ty na to, pieprzony pedalski tchórz?

– Zrobiliśmy to – rzekł półgłosem Śmieciarz. Był cały rozdygotany. I nagle po raz drugi, odkąd spotkał Dzieciaka, nieświadomie powiedział coś, co uratowało mu życie, gdyby tego nie zrobił, Dzieciak z pewnością by go zastrzelił, być może w taki właśnie, dość osobliwy sposób uczciłby swój sukces. – Niezły manewr, koleś – mruknął przez zęby. Nigdy dotąd, w całym swoim życiu, nie nazwał nikogo „kolesiem”.

– Eee, to przecież nic takiego – odparł protekcyjnie Dzieciak. – W kraju jest co najmniej jeszcze dwóch gości, którzy umieliby zrobić dokładnie to samo. Uwierzyłybyś?

– Skoro tak mówisz, Dzieciak.

– Pewno, że tak. No dobra, czas przestać się opierdalać. Przed nami jeszcze daleka droga.

Nie ujechali daleko. Deuce coupe Dzieciaka stanął na dobre jakieś piętnaście minut później, o tysiąc osiemset mil z okładem od miejsca, gdzie powstał, w Shreveport w Luizjanie.

– Nie wierzę – syknął Dzieciak. – Kurwa mać, nie wierzę.

Otworzył drzwiczki i wyskoczył z auta, wciąż trzymając w lewej dłoni niepełną już butelkę Rebel Yell.

– Zjedźcie, kurwa, z drogi! – krzyknął Dzieciak, tupiąc gniewnie obcasami swych kowbojskich butów w nawierzchnię szosy. Wyglądał groteskowo jak mini żywiol, niszczycielska siła w pigułce, sztorm w butelce. – Zjedźcie mi zaraz z drogi, pojebańcy,

przecież wy, kurwa, nie żyjecie, skurwysyny, wasze miejsce jest w kostnicy, a nie na pierdolonej autostradzie!

Cisnął butelką. Obracając się w powietrzu i rozbryzgując bursztynowe krople, przeleciała kilka jardów, by roztrzaskać się w drobny o mak o bok starego porsche. Dzieciak zamilkł. Stał, dysząc i chwiejąc się na nogach.

Tym razem sprawa była o wiele poważniejsza. Nie chodziło o nędzne cztery tarasujące drogę auta. To był prawdziwy korek. Pasma autostrady wiodącej na wschód oddzielał od zachodnich mierzący dziesięć stóp szerokości, porośnięty trawą pas środkowy. Deuce coupe prawdopodobnie dałby radę nim przejechać z jednego lub drugiego pasa autostrady, lecz stan obu arterii był identyczny, wszystkie cztery pasma autostrady zablokowane były stojącymi, po sześć w rzędzie samochodami ustawionymi jeden przy drugim, bok w bok i zderzak w zderzak. Nawet na motocyklu nie sposób byłoby przejechać pomiędzy nimi. Niektórzy kierowcy próbowali przebić się pasem środkowym, choć był on nierówny, wyboisty i pełen kamieni wystających z ziemi niczym smocze kły. Może udałoby się to jakiemuś pojazdowi o napędzie na cztery koła i wysoko podniesionym zawieszeniu. Jednak to, co Śmieciarz miał teraz przed sobą na trawiastym pasie środkowym było prawdziwym samochodowym cementaryszkiem porozbijanych, pogruchotanych i zdezelowanych aut rodem z Detroit. Zupełnie jakby kierowców tych pojazdów ogarnęło jakieś szaleństwo i postanowili ni stąd ni zowąd urządzić na autostradzie zawody w niszczeniu samochodów, lub może morderczy wyścig.

„Latem, w Górach Skalistych w Colorado na I-70, mieliśmy obfite deszcze – pomyślał Śmieciarz. – Padało głównie chevroletami. Widziałem na własne oczy”.

O mało nie wybuchnął śmiechem i szybko zakrył usta dłonią. Gdyby Dzieciak usłyszał jego śmiech, z pewnością postarałby się, aby to on sam śmiał się ostatni.

Dzieciak wrócił do auta w swoich szpanerskich butach na obcasie i z błyszczącą w słońcu, starannie ułożoną, fantazyjną fryzurą. Miał jak na kurdupła piorunujące spojrzenie. Oczy niemal wychodziły mu z orbit. Był wściekły.

– Nie zostawię mojego pieprzonego wozu – powiedział. – Słyszysz? Ni chuja. Nie zostawię go. Wsiadaj, Śmieciarzu. Pójdiesz pieszo. Pójdiesz i zobaczysz, jak długi jest ten cholerny korek. Może gdzieś tam jakaś ciężarówka się wywróciła, i tyle. Nie wiem. Wiem tylko, że nie możemy zawrócić. Pobocze zrobiło się za wąskie. To przez to osuwisko. Nie przejeździemy. Runęlibyśmy w dół. Jeśli jednak cały ten bajzel powstał przez jakąś przewróconą ciężarówkę, to, kurde, nie popuszczę. Jeśli będzie trzeba, uruchomię i wypierdolę w przepaść wszystkie te samochody, jeden po drugim. Mogę to zrobić, i lepiej w to uwierz. Ruszaj, synu.

Śmieciarz nie oponował. Pomaszerował ostrożnie wzdłuż drogi, lawirując pomiędzy stojącymi jeden obok drugiego samochodami. Był gotów pochylić głowę i pobiec co sił, gdyby Dzieciak zaczął strzelać. Ale Dzieciak nie sięgnął po broń. Kiedy Śmieciarz oddalił się

na bezpieczną, w jego mniemaniu, odległość (to jest poza zasięg rażenia broni krótkiej), wspiął się na stojącą opodal cysternę i spojrzął wstecz. Z odległości pół mili dostrzegł Dzieciaka, faceta z piekła rodem, karykaturę człowieka wielkości lalki, którą tak przypominał, opartego o deuce coupe i pociągającego z butelki. Śmieciarz zastanawiał się, czy do niego nie pomachać, ale ostatecznie uznał, że to nie jest dobry pomysł.

Śmieciarz wyruszył w drogę o wpół do jedenastej przed południem. Szedł wolno, często musiał przeczołgiwać się po maskach i dachach aut oraz ciężarówek, tak blisko siebie stały, i zanim dotarł do pierwszej tablicy z napisem TUNEL ZAMKNIĘTY było już piętnaście po trzeciej. Pokonał w tym czasie jakieś dwanaście mil. To niewiele, na pewno dla kogoś, kto przejechał na rowerze przez jedną piątą kraju, ale zważywszy na przeszkody można uznać, że to całkiem spory kawałek drogi. Mógł zawrócić już dawno temu by powiedzieć Dzieciakowi, że to niemożliwe, że jego pomysł był z gruntu poroniony. Oczywiście nie zamierzał do niego wracać. Śmieciarz nie znał za dobrze historii (po terapii wstrząsowej czytanie szło mu dość ciężko), ale wiedział, że w dawnych czasach królowie i cesarze często zabijali posłańców przynoszących złe wieści, by choć w ten sposób odreagować stres. To, co widział w zupełności mu wystarczało; widział Dzieciaka w akcji tyle razy, że nie miał ochoty więcej go oglądać.

Staął, spoglądając na tablicę. Czarne litery na pomarańczowym znaku w kształcie rombu. Tablica została przewrócona i leżała teraz pod kołem, chyba najstarszego na świecie yugo. TUNEL ZAMKNIĘTY. Jaki tunel? Spojrzął przed siebie, osłaniając dłonią oczy, i wydawało mu się, że coś zobaczył. Przeszedł jeszcze trzysta jardów i jego oczom ukazał się mrozący krew w żyłach widok: setki pogruchotanych, zmiażdżonych pojazdów i mnóstwo trupów walających się dokoła. Niektóre z samochodów i ciężarówek były doszczętnie spalone. Kilka spośród nich było pojazdami wojskowymi. Wiele ciał miało na sobie mundury. Po drugiej stronie tego przyczółka – Śmieciarz był pewien, że rozegrała się tu jakaś bitwa – znów ujrzał rzędy unieruchomionych, wymarłych samochodów. Jeszcze jeden korek. Sznury samochodów na szosie wiodącej na zachód znikwały, a na autostradzie wiodącej na wschód wyłaniały się z dwóch czarnych jak smoła otworów w litej skale, ponad którymi widniała tablica z napisem TUNEL EISENHOWERA.

Podszedł bliżej. Serce waliło mu jak młotem, nie wiedział, czego właściwie chce. Te bliźniacze otwory w skalnej ścianie przerażały go, a gdy się zbliżył, niepokój zmienił się w dojmującą zgrozę. Doskonale zrozumiałby obawy dręczące Larry'ego Underwooda w tunelu Lincolna. W tym momencie, choć o tym nie wiedzieli, stali się bratnimi duszami dzielącymi ten sam, mrozący do szpiku kości, pierwotny, prymitywny lęk. Zasadnicza różnica polegała na tym, że podczas gdy w tunelu Lincolna przejście znajdowało się na podwyższeniu, ponad nawierzchnią szosy, tu takiego podwyższenia nie było. Niektóre z wozów, jak zauważył Śmieciarz, wjechały dwoma kołami na niski chodnik, gdy ich kierowcy desperacko próbowali

wydostać się z matni. Tunel miał dwie mile długości. Pokonać go można było tylko w jeden sposób, przeczolgując się z dachu jednego samochodu na drugi w absolutnych ciemnościach. Taka przeprawa z pewnością zajmie parę godzin. Śmieciarz poczuł, jak ze zgrozy przewracają się jego wnętrzności.

Przez kilka długich minut przyglądał się tunelowi. Ponad miesiąc wcześniej Larry Underwood, mimo trawiących go lęków, wszedł do tunelu Lincolna. Śmieciarz po namyśle zawrócił i ruszył w drogę powrotną do Dzieciaka. Szedł przygarbiony, z obwisłymi ramionami i drzeniem w kącikach ust. Do tego kroku skłonił go nie tylko brak dogodnego przejścia oraz długość tunelu. (Śmieciarz, który całe dotychczasowe życie spędził w Indianie, nie miał pojęcia jak długi jest tunel Eisenhowera.) Larrym Underwoodem powodował (i być może kontrolował go) własny egoizm oraz prosta logika instynktu samozachowawczego. Nowy Jork był wyspą, zatem musiał się z niej wydostać. Mógł tego dokonać pokonując jeden z tuneli. Dlatego zrobił to, najszybciej jak tylko mógł – przeszedł przez tunel. To, czego dokonał, można by porównać z zatknięciem nosa dwoma palcami i szybkim wypiciem lekarstwa, o którym wiemy, że ma naprawdę obrzydliwy smak i jeszcze gorszy zapach. Śmieciarz nawykł do przyjmowania bolesnych kuksańców od losu i własnej, niewytłumaczalnej natury, i czynił to zwykle z pochyloną głową. Spotkanie z Dzieciakiem było dla niego porażającym, niemal traumatycznym przeżyciem. Zupełnie jak pranie mózgu. Grożono mu śmiercią, jeśli nie wypije duszkiem całej puszki piwa i później zwymiotuje. Został poddany sodomii z użyciem lufy rewolweru. O mało nie spadł wraz z samochodem i jego szalonym kierowcą w trzystujardową przepaść. Jakby tego było mało, miał wczołgać się do mrocznego tunelu wydrążonego w litej skale, w której mogły czyhać na niego Bóg wie jak straszne, niewyobrażalne wręcz niebezpieczeństwa. Skąd miał czerpać odwagę do tak trudnej przeprawy? Nie. To rzecz jasna w ogóle nie wchodziło w rachubę. Może inni byliby do tego zdolni, ale nie on. Nie Śmieciarz. W tym, że wracał, była pewna logika. Fakt, była to logika człowieka przegranego, ofiary losu i półmózgiego krety, niemniej jednak miała ona wciąż pewien perwersyjny urok. Nie znajdował się na wyspie. Nawet gdyby miał poświęcić na powrót resztę popołudnia i przez cały jutrzejszy dzień szukać innej drogi przez góry, zrobi to. Wymyśli jakiś sposób. Znajdzie inną drogę. Będzie musiał co prawda przejść obok Dzieciaka, ale kto wie, może ten świr, mimo swych solennych zapewnień, znudził się czekaniem i po prostu sobie poszedł. Albo odjechał.

Może zalał się w trupa. A może (choć Śmieciarz wątpił, by spotkało go aż tak wielkie szczęście) wyciągnął kopyta. W najgorszym razie, jeśli Dzieciak wciąż tam był, obserwował i czekał, Śmieciarz postanowił, że zaczeka do zmierzchu i prześlizgnie się obok niego jak...

(łasicą)

...małe zwierzątko przemykające pośród krzewów. A potem ruszy dalej, na wschód, aż znajdzie inną drogę by przedostać się przez Góry Skaliste. Wrócił do cysterny, skąd ostatni raz widział Dzieciaka i jego mityczne deuce coupe. Z powrotem szedł znacznie krócej. Tym

razem nie wszedł na cysterne, gdyż byłby zbyt dobrze widoczny na tle wieczornego nieba, ale zaczął przeczołgiwać się na czworakach z jednego auta na drugie, usiłując robić to jak najciszej. Dzieciak mógł czuć i wypatrywać go.

Z takim typem jak Dzieciak nigdy nic nie wiadomo... lepiej nie ryzykować. Żałował, że nie zabrał broni jednego z żołnierzy, choć przecież nigdy w życiu nie miał w ręce pistoletu. Pełzł dalej, a żwir i kamyki na szosie boleśnie raniły jego zdeformowaną rękę. Była ósma wieczorem, słońce skryło się za górami.

Śmieciarz zatrzymał się za maską porsche, w którego Dzieciak cisnął butelką whisky i ostrożnie wyjrzał zza samochodu. Tak. Deuce coupe wciąż tam był – widział jego złotą karoserię, wypukłą szybę i płetwę rekina odcinającą się na tle fioletowego jak siniec, wieczornego nieba. Dzieciak siedział skulony za pomarańczową kierownicą wozu, oczy miał zamknięte, usta rozchylone. Serce zaczęło dudnić w piersi Śmieciarza w rytm melodii zwycięstwa. „Spił się jak bela! – rozbrzmiał głos w jego myślach – Zalał się w trupa! Boże drogi! On jest kompletnie pijany!”. Śmieciarz był pewien, że znajdzie się o dwadzieścia mil od tego miejsca, zanim Dzieciak obudzi się skacowany, z potwornym bólem głowy.

Mimo to był ostrożny. Przemykał od samochodu do samochodu jak owad wodny ślizgający się po powierzchni stawu, obchodząc deuce coupe możliwie jak najszybciej pokonując odległości między kolejnymi autami. Deuce coupe miał teraz po lewej stronie, na dziewiątej, na siódmej, na szóstej, a teraz dokładnie z tyłu, za nim. Czas by zwinąć żagle i znaleźć się jak najdalej od tego porąbanego...

– Ani kroku dalej, ty wredny, popierdolony śmierdzielu.

Śmieciarz znieruchomiał, nie podnosząc się z kolan. Złał się w spodnie, a w jego umyśle wściekle zatrzepotał skrzydłami czarny ptak paniki.

Odwrócił się powoli, a ścięgnięta w jego szyi zaskrzypiały jak zawiasy u drzwi nawiedzonego domu. I wtedy go zobaczył. Dzieciak stał za nim w swojej opalizującej zielono-złotej koszuli i wyblakłych od słońca sztruksach. W obu dłoniach ścisnął kolby dwóch .45-tek, a jego oblicze wykrzywiało upiorny grymas gniewu i nienawiści.

– J-j-ja t-t-tylko sprawdzałem d-d-drogę – powiedział Śmieciarz. – Aby się u-u-upewnić, że wszystko w p-p-porządku.

– Jasne, do tego sprawdzałeś drogę na czworakach. Ja ci, kurwa, pokażę drogę. Wstawaj, ale już.

Śmieciarz podniósł się z asfaltu i by nie upaść przytrzymał się drzwiczek samochodu po prawej stronie. Bliźniacze wyloty luf przywodziły mu na myśl otwory tunelu Eisenhowera. Patrzył teraz śmierci prosto w oczy. Zdawał sobie z tego sprawę. Tym razem, nie było słów, które mogłyby go ocalić.

Zmówił bezgłośnie modlitwę do mrocznego mężczyzny: „Proszę... jeśli taka jest twoja wola... weź moje życie... oddam je za Ciebie!”

– I co tam zobaczyłeś? – zapytał Dzieciak. – Jakąś poważną kraksę?

– Tunel. Jest cały zablokowany samochodami. Dlatego wróciłem. Aby ci powiedzieć. Proszę...

– Tunel – jęknął Dzieciak. – Chryste Panie! – Znowu się skrzywił. – A może chcesz mnie oszukać, pedalski śmierdzielu?

– Nie. Przysięgam, że nie! Nad wejściem jest tablica z napisem TUNEL EJZENHAŁERA. Nie wiem, czy na pewno tak to brzmi, mam pewne trudności ze składaniem wyrazów.

– Zamknij jadaczkę. Daleko to?

– Osiem mil. Może nawet więcej.

Dzieciak milczał przez chwilę, spoglądając wzdłuż szosy, ku zachodowi. I nagle spiorunował Śmieciarza wzrokiem.

– Chcesz mi, kurde, wmówić, że ten jebany korek ma osiem mil długości? Pierdzielisz! Ty kłamliwy skurwysynu, nie będziesz mnie oszukiwał! – Odwiódł kurki obu .45-tek, a Śmieciarz widząc to zapisał jak kobieta i ukrył twarz w dłoniach.

– Ja nie kłamię! – zawołał. – Powiedziałem prawdę! Przysięgam! Przysięgam!

Dzieciak przyglądał się tamtemu przez dłuższą chwilę. Wreszcie opuścił broń.

– Wiesz co, Śmieciu, zabiję cię – powiedział z uśmiechem. – Odbiorę ci twoje popieprzone życie. Najpierw jednak wrócimy do tej blokady, którą pokonaliśmy rano. Zepchasz w przepaść tamten cholerny mikrobus VW. Będę musiał znaleźć jakąś inną drogę, żeby przedrzeć się przez góry. Nie zostawię tu mojego pieprzonego wozu – dodał z zacietrzewieniem. – Ni chuja. Nie ma mowy.

– Nie zabijaj mnie, proszę – jęknął Śmieciarz. – Nie rób tego. Błagam.

– Jeśli zepchniesz mikrobus z szosy w czasie krótszym niż piętnaście minut, może zechcę darować ci życie – odparł Dzieciak. – Wierzysz mi?

– Tak – odparł Śmieciarz. Spojrzał Dzieciakowi prosto w oczy i ujrzał w ich wnętrzu prymitywny, morderczy blask. Choć trwało to tylko chwilę, zrozumiał, że nie może mu wierzyć.

Wrócili do miejsca, gdzie natknęli się na pierwszą blokadę. Śmieciarz szedł przed Dzieciakiem, nogi miał miękkie jak z waty. Dzieciak maszerował różnym krokiem, jego skórzana kurtka przy każdym ruchu skrzypiała tajemniczo.

Na gładkich jak u lalki wargach widniał cień osobliwego uśmiechu.

Zanim dotarli do mikrobusu, prawie zapadł już zmierzch. Mikrobus leżał przewrócony na bok, trupów trójki czy czwórki jego pasażerów na szczęście nie było widać w szybko gasnącym świetle. Dzieciak minął furgon i stanął na poboczu, przyglądając się miejscu, w którym jakieś dziesięć godzin wcześniej minęli zator. Wciąż było tam widać ślad jednej z opon deuce, drugi znikł wraz z osuwającym się fragmentem nasypu.

– Nie – mruknął Dzieciak z fatalizmem w głosie. – Nie przejeździemy tędy, dopóki nie wypieprzymy w przepaść kilku aut. Coś o tym wiem.

Przez jedną krótką chwilę Śmieciarz zastanawiał się, czy nie rzucić się na Dzieciaka i nie spróbować zepchnąć go ze skały. I nagle Dzieciak odwrócił się do niego. W obu rękach miał broń. Mierzył w splot słoneczny Śmieciarza.

– Powiedz no, Śmieciarzu. Coś kombinowałeś. Coś bardzo nieprzyjemnego. Nie próbuj zaprzeczać. Potrafię cię przejrzeć, śmierdzielu.

Śmieciarz przecząco pokręcił głową.

– Lepiej żebyś nie popełnił tego błędu. To jedyna rzecz na świecie, której nie zechcesz zrobić. A teraz bierz się do roboty i zepchnij z szosy ten mikrobus. Masz piętnaście minut.

Opodal, na przerywanej linii środkowej, stał stary austin. Dzieciak otworzył drzwiczki po stronie pasażera, bezceremonialnie wywłócił ze środka obrzmiałe zwłoki młodej dziewczyny (nastolatce odpadła ręka, a Dzieciak odrzucił ją na bok jak ogryzioną kość indyczego udka) i usiadł na fotelu z nogami na asfalcie. Z wyraźnym rozbawieniem wymachiwał bronią, wskazując nią na zgarbionego, rozdygotanego Śmieciarza.

– Nie trać czasu, stary. – Odchylił głowę i zaśpiewał: – Idzie sobie Johnny, w rękę ma kutasa, choć ma jedno jajo, na rodeo hasa! To nie żarty, Śmieciarzu, ty w dupę jebany śmierdzielu, bierz się do roboty, zostało tylko dwanaście minut, raz i dwa, raz i dwa, do roboty, hejże ha...

Śmieciarz oparł się o mikrobus. Ugiął nogi w kolanach, zapał się mocno i pchnął z całej siły. Mikrobus przesunął się o jakieś dwa cale w stronę uskoku. W sercu Śmieciarza znów zaczęła kielkować nadzieja, ten niezniszczalny, pieniący się w ludzkich wnętrzach chwast. Dzieciak był bezmyślny, impulsywny i, jakby to powiedział Carey Yates i jego kolesie: „Bardziej porąbany niż szczur tonący w gnojówce”. Może, jeśli rzeczywiście uda mu się strącić furgon w przepaść i oczyścić drogę dla bezcennego deuce coupe Dzieciaka, ten świr daruje mu życie.

Może.

Opuścił głowę, zacisnął dłonie na chłodnym metalu i popchnął mocno. Ramię, to niedawno poparzone, przeszył palący ból. Śmieciarz wiedział, że kruche nowe tkanki lada moment popękają. A potem ból stanie się nie do zniesienia.

Mikrobus przesunął się o trzy cale. Strużki potu spłynęły Śmieciarzowi do oczu, paląc jak ciepły olej silnikowy.

– Idzie sobie Johnny, w rękę ma kutasa, choć ma jedno jajo, na rodeo hasa! – zaśpiewał Dzieciak. – I raz i dwa, i raz i dwa, do robo...

Piosenka urwała się jak pękająca krucha gałąź. Śmieciarz zaniepokojony uniósł wzrok. Dzieciak wysiadł z austina. Stał zwrócony do Śmieciarza profilem, patrzył ponad samochodami w stronę prowadzących na wschód pasm autostrady. Z tyłu, za nimi, wznosiły się kamieniste, porośnięte krzewami stoki przesłaniające połowę nieba.

– Co to, kurde, było? – wyszeptał Dzieciak.

– Nic nie sły...

I wtedy to usłyszał. Cichy grzechot żwiru i kamieni dochodzący z drugiej strony autostrady. W jednej chwili przypomniał sobie swój sen i krew zastygła mu w żyłach, a w ustach nagle zabrakło śliny.

– Kto tam? – zawołał Dzieciak. – Lepiej, kurde, odpowiedz! Odpowiadaj, do jasnej cholery, albo będę strzelał!

Doczekał się odpowiedzi, ale nie napłynęła ona od istoty ludzkiej.

Ciszę nocy, niczym jęk syreny, przeszył donośny skowyt, to przybierający na sile, to cichnący i przeradzający się w gardłowy warkot.

– Jezus Maria! – jęknął Dzieciak. Jego głos stał się nagle cichy i piskliwy.

Po zboczu, z drugiej strony autostrady szły wilki, chude, szare górskie basiory z czerwonymi ślepiami i wywieszonymi, ociekającymi śliną ozorami. Było ich ponad dwa tuziny. Śmieciarz w przypływie śmiertelnego przerażenia znów zlał się w spodnie.

Dzieciak stanął z tyłu za austinem i unosząc swoje .45-ki zaczął strzelać. Z luf buchnęły płomienie. Odgłosy strzałów odbijały się echem od górskich ścian, powracając głośniejsze i zwielokrotnione, jakby na autostradzie trwał gorący ostrzał artyleryjski. Śmieciarz krzyknął i włożył sobie do uszu palce wskazujące. Nocna bryza rozwiewała dym, powietrze przesycone było ostrą, drażniącą wonią kordytu.

Wilki szły niewzruszenie przed siebie, nie przyspieszając ani nie zwalniając. Ich ślepia... Śmieciarz nie mógł oderwać od nich wzroku. To nie były ślepia zwyczajnych wilków. Co do tego nie miał wątpliwości. „To były ślepia ich Pana” – skonstatował. Ich Pana i JEGO Pana. Nagle przypomniał sobie swoją modlitwę i lęk go opuścił. Wyjął palce z uszu. Zignorował powiększającą się ciemną plamę w kroczu spodni. Zaczął się uśmiechać.

Dzieciak opróżnił magazynki obu .45-tek, zabijając trzy basiory. Potem włożył broń do kabur, nie próbując ich nawet ładować, i ruszył na zachód. Nie przeszedł nawet dziesięciu kroków, kiedy stanął jak wryty. Po pasach autostrady biegnących na zachód szło jeszcze więcej wilków, lawirując między mrocznymi bryłami unieruchomionych aut jak szare, rozplywające się w powietrzu pasma mgły. Jeden z basiorów uniósł łeb ku niebu i zawył. Do jego zewu przyłączył się następny. I jeszcze jeden. Wkrótce na szosie rozbrzmiał cały wilczy chór. Trwało to kilka chwil, po czym wilki podjęły przerwany marsz.

Dzieciak zaczął się wycofywać. Dopiero teraz spróbował załadować jeden z pistoletów, ale naboje zaczęły wysypywać się z jego odrętwiąłych, niemal pozbawionych czucia palców. Nagle się poddał. Broń wypadła mu z ręki i z brzękiem potoczyła się po asfalcie. Wilki jakby tylko na to czekały. Niczym na dany sygnał skoczyły ku niemu.

Dzieciak wydał przeraźliwy, piskliwy wrzask przerażenia, odwrócił się na pięcie i pognął w stronę austina. Biegł i naraz z kabury zwieszającej się nisko na jego biodrze wypadł drugi pistolet. Jeden z basiorów biegnący na samym przedzie, z niskim, gardłowym warkotem dał

długiego susa, i w tej samej chwili Dzieciak wskoczył na przedni fotel austina, zatrzasnął za sobą drzwi.

Zdażył. Basior z głuchym hukiem odbił się od drzwiczek, warknął gniewnie i łypnął czerwonymi, strasznymi ślepiami. Po chwili dołączyły do niego inne i już wkrótce wokół austina utworzył się ciasny, wilczy krąg. Z wnętrza samochodu wyzierała blada jak tarcza księżycy twarz Dzieciaka.

Naraz jeden z wilków podszedł do Śmieciarza, opuszczając trójkątny, klinowaty łeb; jego ślepa błyszcząły jak lampy sztormowe.

„Oddam za ciebie życie...”

Śmieciarz ze stoickim spokojem, bez cienia lęku podszedł do zwierzęcia, wyciągnął poparzoną dłoń, a wilk natychmiast ją polizał. Po chwili zaczął warować u jego stóp, podkulając ogon pod siebie.

Dzieciak patrzył na niego z rozdziawionymi ze zdumienia ustami.

Śmiejąc mu się prosto w oczy, Śmieciarz pokazał mu wyprostowany środkowy palec.

Oba palce.

– Pieprzę cię! – wrzasnął. – Już po tobie, palancie! Słyszysz, co do ciebie mówię? Już nie żyjesz! Jesteś trupem, dupku! Uwierzyłbyś? Lepiej uwierz, stary, bo wiem, co mówię!

Wilki delikatnie ujął zębami zdrową dłoń Śmieciarza. Mężczyzna spojrział na basiora. Zwierzę wstało i pociągnęło go leciutko za rękę. Ciągnęło go ku zachodowi.

– W porządku – powiedział ze spokojem Śmieciarz. – W porządku, stary.

Ruszył przed siebie, wilk podreptał tuż za nim jak dobrze ułożony pies. Kilka chwil później spomiędzy aut wyszło i dołączyło do nich jeszcze pięć wilków. Teraz jeden wilk szedł w pewnej odległości przed nim, jeden z tyłu i dwa po bokach. Eskortowały go niczym jakiegoś dygnitarza.

W pewnej chwili Śmieciarz przystanął i obejrzał się przez ramię. Nigdy nie zapomni tego, co zobaczył: szary krąg wilków siedzących cierpliwie dokoła niedużego austina i bladej twarzy Dzieciaka za przednią szybą, jego wąskie usta poruszające się bezgłośnie. Wydawało się, że wilki uśmiechają się do Dzieciaka, gapily się na niego z wywieszonymi z pysków językami. Zupełnie jakby pytały go, kiedy zamierza wypieprzyć na zbity pysk mrocznego mężczyznę ze starego, dobrego Vegas. Kiedy to zrobi? Dziś? Jutro? A może pojutrze?

Śmieciarz zastanawiał się, jak długo wilki będą siedzieć wokół austina, opasując go ciasnym kręgiem obnażonych kłów. Odpowiedź była oczywista – tak długo jak będzie trzeba. Dwa, trzy, a może cztery dni. Dzieciak będzie siedział w środku, wyglądając bezradnie na zewnątrz. Nie miał nic do jedzenia (chyba że nastolatka miała jakiegoś pasażera), nic do picia, a w upalne popołudnie wewnątrz wozu musiało być gorąco jak pod kwarcówką albo w cieplarni. Pieski pokojowe mrocznego mężczyzny będą czekać, aż Dzieciak umrze śmiercią głodową albo, postrada zmysły i otworzy drzwiczki, po czym spróbuje ucieczki. Śmieciarz

zachichotał. Dzieciak był raczej nieduży. Dla każdego z wilków przypadnie zaledwie po małym kęsie. A i te kawałki mogą stanąć im kością w gardle. Kurdupel był pełen jadu.

– To jak, mam rację? – chichocząc, rzucił triumfalnie do rozgwieżdżonego nieba. – Nie musisz mówić, czy w to wierzysz. Ja to po prostu wiem!

Jego szarzy jak duchy towarzysze przystanęli, siadając na asfalcie wokół niego, nie zwracając uwagi na wołania Śmieciarza. Kiedy po dłuższej chwili dotarli do deuce coupe Dzieciaka, jeden z wilków idących obok niego obwąchał szeroką, wielką oponę marki wide oval, po czym uśmiechając się sardonicznie, uniósł tylną łapę i oddał mocz. Śmieciarz zarechotał. Śmiał się, aż łzy pociekły mu po spękanych, porośniętych krótkim zarostem policzkach. Jego szaleństwo, niczym wykwinna potrawa, domagała się teraz tylko przyprawienia do smaku porcją słonecznych promieni i była gotowa do spożycia.

Maszerowali dziarsko, Śmieciarz i jego świta. Kiedy dotarli do pierwszych stojących jeden przy drugim aut, Śmieciarz zaczął pokonywać przeszkody tak jak to robił za pierwszym razem, przed kilkoma godzinami, a jego drapieżni, milczący towarzysze o żółtych zębach i czerwonych ślepiach żwawo przeczołgiwali się na brzuchach pod samochodami lub wskakiwali na maski i dachy unieruchomionych, wymarłych aut. Przez cały czas byli blisko niego. Kiedy tuż po północy dotarli do tunelu Eisenhowera, Śmieciarz bez wahania wkroczył w mroczną czeluść, w której zniknęły zachodnie pasma autostrady. Czy teraz mógł się czegokolwiek obawiać? Jak mógł się bać, mając u swego boku takich strażników?

Droga była długa i już po kilku minutach stracił poczucie czasu. Po omacku wyszukiwał drogę od jednego auta do drugiego. W pewnej chwili jego dłoń zagłębiła się w czymś wilgotnym i przeraźliwie miękkim, a zaraz potem buchnął mu w twarz kłęb obrzydliwie cuchnących gazów. Mimo to nawet wtedy się nie poddał. Od czasu do czasu dostrzegał w mroku czerwone ślepie. Zawsze go wyprzedzały. Zawsze prowadziły go naprzód.

W jakiś czas później poczuł świeży ciąg w powietrzu i przyspieszył tempa. O mało nie przyplącił tego życiem, gdy poślizgnął się i spadł z maski jednego z aut. Boleśnie uderzył głową w zderzak drugiego. Niebawem jednak, unosząc wzrok, znowu ujrzał gwiazdy wolno błędzące na rozjaśniającym się porannym niebie. Dotarł do wylotu tunelu.

Jego opiekunowie zniknęli. Śmieciarz osunął się na kolana i odmówił długą, dość chaotyczną modlitwę dziękczynną do mrocznego mężczyzny. Był pewien, że to, co się stało, było Jego dziełem. Nie miał co do tego wątpliwości.

Pomimo tego wszystkiego co przeszedł, odkąd poprzedniego ranka po przebudzeniu ujrzał Dzieciaka podziwiającego swoją fryzurę w lustrze motelowego pokoju, Śmieciarz był zbyt podekscytowany aby móc usnąć. Zamiast tego ruszył w dalszą drogę i niebawem tunel Eisenhowera pozostał daleko w tyle za nim. Po drugiej stronie tunelu również natrafił na korek, jednak już dwie mile dalej na szosie zrobiło się dostatecznie luźno, by mógł swobodnie maszerować. Naprzeciwko, na pasach autostrady wiodących na wschód, sznury samochodów czekających na wjazd do tunelu zdawały się nie mieć końca.

W południe zszedł z Przełęczы Vail do samego Vail, mijając po drodze wytworne wille i osiedla domków jednorodzinnych. Dopiero teraz zaczął odczuwać zmęczenie. Wybił szybę w jednym z domków, otworzył zamek w drzwiach i odnalazł sypialnię. Położył się na łóżku. To było wszystko, co zdołał zapamiętać nim usnął, by obudzić się wczesnym rankiem dnia następnego.

Urok manii religijnej polega na tym, że posiada ona moc wyjaśniania dosłownie wszystkiego. Kiedy tylko przyjmiesz Boga (lub Szatana) jako przyczynę wszystkiego, co ma miejsce na Ziemi, przypadek jako taki oraz wszelkie zmiany tracą rację bytu. Kiedy przyswoimy sobie stwierdzenia w rodzaju: „spoglądamy teraz przez ciemne zwierciadło” albo „niezbadane są wyroki Boskie”, możemy pożegnać się z powszechnie przyjętymi prawami logiki. Mania religijna to jeden z niezawodnych sposobów reagowania na wszelkie osobliwości tego świata, ponieważ bezwzględnie eliminuje ona istnienie czystego przypadku. Dla prawdziwego maniaka religijnego wszystko ma jakiś cel.

Między innymi z tego powodu Śmieciarz przez prawie dwadzieścia minut przemawiał do kruka przy drodze wylotowej z Vail. Był przekonany, że ptak jest wysłannikiem mrocznego mężczyzny... lub może nim samym. Kruk przez dłuższą chwilę przyglądał mu się w milczeniu ze szczytu słupa telefonicznego, najwyraźniej nie zamierzając odlecieć, dopóki mu się nie znudzi, nie zgłodnieje... lub nie wysłucha do końca litanii gorących podziękowań Śmieciarza i zapewnień o dozgonnej lojalności wobec Niego.

Przy Grand Junction zdobył nowy rower i dwudziestego piątego lipca mknął niczym strzała przez zachodnie Utah drogą numer 4, która łączy na wschodzie I-89 z wielką szosą numer 15, magistralą południowo-zachodnią, ciągnącą się od północnych rubieży Salt Lake City po San Bernardino w Kalifornii. Kiedy przednie koło jego nowego roweru postanowiło nagle rozstać się z resztą maszyny i samemu kontynuować drogę przez pustynię, Śmieciarz z impetem przeleciał ponad kierownicą i wylądował na asfalcie, uderzając głową w nawierzchnię z taką siłą, że powinien doznać skomplikowanego pęknięcia czaszki (gdy to się stało gnał z prędkością czterdziestu mil na godzinę i nie miał na głowie kasku ochronnego). Mimo to już pięć minut później zdołał się podnieść i choć krew krętymi strużkami spływała mu po twarzy poranej pół tuzinem zadrapań, krzywiąc się i powłócząc nogami, odtańczył krótki triumfalny taniec podśpiewując pod nosem:

– Ci-a-bola, oddam za ciebie życie, Ci-a-bola, łubudu-bum-bum-gruch!

Nie ma nic równie kojącego dla złamanego ducha albo pękniętej czaszki niż solidna porcja „Zdrowasiek” i oddanie się w opiekę swemu Panu.

Siódmego sierpnia Lloyd Henreid wszedł do pokoju, do którego dzień wcześniej wprowadził się odwodniony, na wpół przytomny Śmieciarz. Pokój ten, skądinąd bardzo

przytulny, mieścił się na dwudziestym dziewiątym piętrze hotelu MGM. Było w nim okrągłe łóżko z jedwabną narzutą i okrągłe lustro wielkości łoża zawieszona na suficie.

Śmieciarz spojrzał na Lloyda.

– Jak się czujesz? – zapytał Henreid, odnajdując jego wzrok.

– Dobrze – odparł Śmieciarz. – Lepiej.

– Po prostu potrzebowałeś trochę jedzenia, wody i odpoczynku, i tyle – mruknął Lloyd. – Przyniosłem ci nowe ubranie. Nie wiem, czy będzie pasować. Rozmiar wybierałem „na oko”.

– Wygląda nieźle. – Śmieciarz nigdy nie pamiętał, jakiego rozmiaru nosił ubranie. Wziął od Lloyda dzinsy i niebieską, roboczą koszulę.

– Kiedy się przebierzesz, zejdź na śniadanie – powiedział Lloyd. – Większość z nas jada posiłki w tutejszej stołówce.

– W porządku. Oczywiście.

Stołówka rozbrzmiewała gwarem głosów. Śmieciarz przystanął przed wejściem. Nagle ogarnął go niepokój. Kiedy wejdzie, wszyscy zaczną się na niego gapić. Będą się gapić i uśmiechać złośliwie. A potem ktoś z końca sali zachichocze, ktoś się zaśmieje i już po chwili wszyscy będą zanosić się śmiechem i wytykać go palcami.

„Ej, schowajcie zapalki, zbliża się Śmieciarz!”

Ej, Śmieciu, co powiedziała stara pani Semple, gdy spaliłeś jej czek emerytalny?

Zlałeś się ostatnio w łóżko, Śmieciarz?”

Pot wystąpił mu na czoło i pomimo iż po wyjściu Lloyda wziął szybki prysznic, całe jego ciało stało się wilgotne i lepkie. Przypomniawszy sobie jak wyglądał. Widział swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Widział w nim swoją twarz pokrytą wolno gojącymi się zadrapaniami, swoje ciało, zbyt szczupłe, prawie chude, samą skórę i kości, i oczy, jakby ciut za małe i zbyt głęboko zapadnięte.

Tak, będą się z niego śmiać. Wsłuchiwał się w gwar rozmów, brzęk sztuców i przez chwilę rozważał możliwość ucieczki.

Zaraz jednak przypomniał sobie wilka, który delikatnie ujął go zębami za rękę, odprowadzając od metalowego grobowca Dzieciaka i Śmieciarz, zebrawszy się w sobie, wszedł do stołówki.

Kilka osób uniosło wzrok by na niego spojrzeć, zaraz jednak powrócili do posiłku i przerwanych konwersacji. Lloyd siedzący przy wielkim stole pośrodku sali uniosł rękę i przywołał go do siebie. Śmieciarz ruszył ku niemu, omijając mniejsze stoliki i przechodząc pod olbrzymią, nieczynną tablicą elektroniczną jednej z gier liczbowych.

Przy stole siedziało jeszcze kilka osób. Wszyscy jedli jajecznicę na szynce.

– Weź swoją porcję – powiedział Lloyd. – Jeżeli chodzi o posiłki, obowiązuje tu samoobsługa.

Śmieciarz wziął tacę i nałożył sobie solidną porcję. Mężczyzna za ladą, postawny typ ubrany w nieco przybrudzony biały strój kucharza, przyglądał mu się z uwagą.

– Pan się nazywa Horgan? – zapytał trwożliwie Śmieciarz.

Horgan uśmiechnął się, ukazując braki w uzębieniu.

– Tak, ale jeśli nie chcesz mnie obrazić, nigdy się tak do mnie nie zwracaj. Mów mi Whitney. Lepiej się czujesz? Kiedy tu dotarłeś wyglądałeś jak kupka nieszczęścia.

– Tak, już mi lepiej.

– Jajeczniczy ci nie bronię, bierz i wcinaj ile dusza zapagnie. Ale nie przesadz z frytkami. Nie są najświeższe. I twarde jak stara podeszwa. Miło, że jesteś z nami.

– Dzięki – mruknął Śmieciarz.

Wrócił do stolika Lloyda.

– Śmieciarzu, poznaj Kena DeMotta. Ten łysiejący facet to Hector Drogan. A ten dzieciak, który usiłuje wyhodować na twarzy to, co rośnie w najlepsze na jego tyłku, nazywa siebie Asem.

Wszyscy pozdrowili go skinieniem głowy.

– To nasz nowy chłopak – oznajmił Lloyd. – Nazywa się Śmieciarz.

Wymienili uściski dłoni. Śmieciarz zaczął grzebać widelcem w talerzu z jajecznicą. Spojrzał na młodego mężczyznę z rzadkim zarostem i cichym, uprzejmym głosem poprosił:

– Panie Asie, czy mógłby pan podać mi sól?

Przez chwilę siedzący przy stole mężczyźni wymieniali zdumione spojrzenia, aż w końcu wszyscy wybuchnęli śmiechem. Na ten widok Śmieciarz poczuł, że w jego sercu zaczyna się rodzić panika, a potem usłyszał śmiech, zarówno prawdziwy jak i wyimaginowany, i zdał sobie sprawę, że nie było w nim ani krzty złośliwości. Nikt tu nie zapytał go, dlaczego zamiast kościoła nie puścił z dymem szkoły. Nikt nie będzie go zdręczał pytaniami o reakcję starej pani Semple po spaleniu jej czeku. On też, gdyby tylko zechciał, mógłby się uśmiechnąć. I zrobił to.

– PANIE Asie – zachichotał Hector Drogan. – Ale ci przyładował, Asie. Panie Asie. Tak. To było dobre. Chyba zaraz się zleję.

As podał Śmieciarzowi solniczkę.

– Wystarczy „Asie”. Wszyscy tak mi mówią i ty też powinieneś. Nie mów mi per „panie Asie”, a ja nie będę zwracał się do ciebie per „Panie Śmieciarzu”. To jak, umowa stoi?

– W porządku – odrzekł z uśmiechem Śmieciarz. – Niech tak będzie.

– Na pewno, Panie Asie? – zapiszczał falsetem Hector Drogan. I znów wybuchnął śmiechem. – Och, Asie, chyba zaraz kojfnę. Aż mnie brzuch rozboleł ze śmiechu.

– Jakoś to przeżyję – odparł As i poszedł po dokładkę jajeczniczy.

Mijając Śmieciarza, na chwilę położył mu rękę na ramieniu. Dłoń miał ciepłą i silną. To był przyjacielski uścisk, nie złośliwe uszczypnięcie czy bolesne klepięcie.

Śmieciarz grzebał widelcem w jajeczniczy. Było mu dobrze. Całe jego wnętrze rozpałał dziwny ogień. Ten żar i uczucie przyjemności były dla niego na tyle obce, że odbierał je niemal jak symptomy nieznaney choroby. Pałaszując jajecznicę, próbował wyizolować te

odczucia, zrozumieć je i zidentyfikować. Uniósł wzrok i zlustrował twarze siedzących wokół niego mężczyzn. Chyba rozumiał, co go przepełniało.

To było uczucie szczęścia. Był SZCZĘŚLIWY.

„Jacy to mili i wspaniali ludzie” – pomyślał.

I zaraz potem dodał: – „Jestem w domu”.

Tego dnia pozwolono mu się wyspać, ale następnego wraz z grupą mężczyzn przewieziono go do służby Boulder. Spędzili tam cały dzień, nawijając miedziane druty na wały spalonych silników. Pracował przy warsztacie z widokiem na wodę – jezioro Mead – i nikt go nie kontrolował. Śmieciarz podejrzewał, że nie było tu żadnych majstrów ani brygadzystów, bo wszyscy, tak jak on, robili to co do nich należało z głębokim oddaniem i miłością.

Nazajutrz przekonał się, że nie było to prawdą.

Było piętnaście po dziesiątej rano. Śmieciarz siedział na ławie przy swoim stole, nawijając miedziany drut; robił to odruchowo, bujając myślami w obłokach. W duchu komponował hymn pochwalny na cześć mrocznego mężczyzny. Doszedł do wniosku, że powinien znaleźć jakąś dużą księgę (Księgę przez duże K) i zacząć zapisywać swoje przemyślenia na Jego temat. Może któregoś dnia ktoś zechce ją przeczytać. Na przykład ludzie, którzy czuli wobec Niego to samo co Śmieciarz.

Ken DeMott podszedł do stołu. Mimo silnej opalenizny wydawał się błydy i przerażony.

– Chodź – powiedział. – Mamy fajrant. Wracamy do Vegas. Wszyscy. Autobusy czekają na zewnątrz.

– Co? Dlaczego? – Śmieciarz zamrużył powiekami i spojrzał na niego.

– Nie wiem. To rozkaz od Niego. Lloyd tak powiedział. Bierz tyłek w troki, Śmieciarzu. Gdy w grę wchodzi rozkaz od Szefa lepiej się nie sprzeciwiać.

Śmieciarz nie miał takiego zamiaru. Na zewnątrz przy Hoover Drive czekały z włączonymi silnikami trzy autobusy szkolne. Mężczyźni i kobiety zajęli miejsca w pojazdach. Prawie wszyscy milczeli. Poranny powrót do Vegas nie był rzeczą normalną. Robotnicy umilkli, pogrążając się w myślach. Byli posępni i dziwnie podenerwowani.

Gdy zbliżali się do miasta Śmieciarz usłyszał, jak jeden z mężczyzn siedzących naprzeciw niego wyszeptał do swego sąsiada:

– To Heck. Heck Drogan. Jak on się tego dowiedział, do cholery?

– Zamknij się – burknął oschle mężczyzna i obrzucił Śmieciarza pełnym nieufności spojrzeniem.

Śmieciarz odwrócił wzrok i wyjrzał przez okno na widoczną za nim, przesuwaną się szybko połąkę pustyni. Znow owładnęło nim deprymujące zakłopotanie.

– O Jezu – jęknęła jedna z kobiet gdy wysiedli z autobusu, ale nikt prócz niej się nie odezwał.

Śmieciarz zbity z tropu rozejrzał się wokół. Chyba zebrali się tu wszyscy z całej Ciboli. Sprowadzono ich tu niemal w komplecie, jeśli nie liczyć kilku zwiadowców, którzy mogli znajdować się praktycznie gdziekolwiek od półwyspu Meksykańskiego po terytoria Zachodniego Teksasu. Zebrali się luźnym półokręgiem przy fontannie, ponad czterysta osób stojących w sześć-, siedmioosobowych rzędach. Niektórzy spośród znajdujących się z tyłu, aby móc widzieć, stali na hotelowych krzesłach i Śmieciarz, póki nie podszedł bliżej, sądził, że obiektem ich zainteresowania była fontanna. Unosząc głowę dostrzegł coś, co leżało na trawniku przy fontannie. Na razie nie zdołał jeszcze rozpoznać, co to było.

Czyjaś dłoń ujęła go za rękę. Lloyd. Był blady i wymizerowany.

– Szukałem cię. On chce się później z tobą spotkać. Na razie musimy przebrnąć przez to. Boże, jak ja tego nie cierpię. Chodź. Potrzebuję pomocy. Padło na ciebie.

Śmieciarz miał mętlik w głowie. On chciał się z nim zobaczyć. On!

Ale na razie musieli przebrnąć przez to... czymkolwiek TO było.

– O co chodzi, Lloyd? Co to ma być?

Lloyd nie odpowiedział. Wciąż trzymając Śmieciarza za rękę, poprowadził go do fontanny. Tłum niemal trwożliwie rozstępował się przed nimi. Wąskie przejście, którym szli zdawało się być przepelnione aurą odrazy i lęku.

Przed zebranymi stał Whitney Horgan. Palił papierosa. Jeden z jego podwładnych opierał się na przedmiocie, którego Śmieciarz nie zdołał wcześniej zidentyfikować. Był to drewniany krzyż. Jego pionowa część mierzyła prawie dwanaście stóp długości. Wyglądał jak toporne małe t.

– Są już wszyscy? – zapytał Lloyd.

– Tak – mruknął Whitney. – Chyba tak. Winky się tym zajął. Mamy dziewięciu ludzi w terenie. Flagg mówi, że oni się nie liczą. Co z tobą, Lloyd. Kiepsko wyglądasz.

– Nic mi nie jest – odparł Lloyd. – To znaczy... nie czuję się dobrze, ale... dam radę.

Whitey spojrzał na Śmieciarza.

– Co wie ten nowy?

– Nic nie wiem – odparł Śmieciarz zdezorientowany jak nigdy dotąd. W jego wnętrzu ścierały się nadzieja, niepewność i strach. – o co tu chodzi? Ktoś wspominał o Hecku...

– Tak. Chodzi o Hecka – odrzekł Lloyd. – Kręcił na boku. I ćpał. Boże, jak ja nie lubię takich numerów. Dalej, Whitey, każ by go wyprowadzili.

Whitey odszedł na bok, przestępując nad prostokątnym otworem w ziemi. Otwór był wzmocniony betonem. Wydawał się idealnie pasować do rozmiarów pionowej belki krzyża. Kiedy Whitney „Whitey” Horgan wszedł po szerokich stopniach pomiędzy złotymi piramidami, Śmieciarz poczuł w ustach potworną suchość. Odwrócił się nagle, najpierw

lustrując milczący tłum, a potem spojrzał na Lloyda, który blady i milczący przyglądał się krzyżowi i rozdrapywał białego, ropnego pryszcza na podbródku.

– Ty... to znaczy my... mamy go ukrzyżować? – wykrztusił po chwili Śmieciarz. – To o to chodzi?

Lloyd sięgnął do kieszeni swojej wyblakłej niebieskiej koszuli.

– Wiesz, mam coś dla ciebie. On mi to dał, żebym ci przekazał. Nie mogę cię zmusić abys to przyjął, ale wydaje mi się, że przynajmniej powinienem spróbować cię zachęcić. Rzecz jest atrakcyjna. Chcesz go?

Z kieszonki na piersi wyjął złoty łańcuszek, na końcu którego zawieszony był czarny gagat. Kamień, tak jak ten Lloyda, miał pośrodku czerwoną skazę. Lloyd zakłósał nim przed oczami Śmieciarza jak hipnotyzer swoim amuletem.

W oczach Lloyda odzwierciedlała się prawda, zbyt wyraźnie by jej nie dostrzegł, i Śmieciarz wiedział, że jeśli się zdecyduje, nigdy już nie będzie mógł tłumaczyć się ani przed nim, ani przed nikim innym, a już na pewno nie przed Nim, że nie zrozumiał o co NAPRAWDĘ chodziło. „Weź to, a wraz z tym kamieniem przyjmiesz wszystko” – mówiło spojrzenie Lloyda. A co było częścią tego wszystkiego? Jak to co? Na przykład Heck Drogan. Heck i wzmocniony betonem otwór w ziemi, w którym obsadzona zostanie pionowa belka krzyża.

Powoli wyciągnął rękę. Zatrzymał ją zanim opuszkami palców zdołał dotknąć złotego łańcuszka.

„To moja ostatnia szansa. Ostatnia szansa, aby być Donaldem Merwinem Elbertem”.

Inny głos jednak, ten mówiący z większym naciskiem (ale i pewną łagodnością, niczym chłodna dłoń muskająca rozpalone gorączką czoło) poinformował go, że czas, kiedy mógł dokonać wyboru, minął bezpowrotnie. Jeśli zdecyduje się teraz być Donaldem Merwinem Elbertem, umrze. Z własnej i nieprzymuszonej woli odnalazł mrocznego mężczyznę (oczywiście jeśli dla Śmieciarzy tego świata istniało w ogóle takie pojęcie) i przyjął ofiarowane przez niego łaski. Mroczny mężczyzna ocalił go od śmierci z rąk Dzieciaka (w ogóle nie przyszło mu do głowy, że Dzieciak mógł zostać nasłany na niego przez tegoż właśnie człowieka), a to oznaczało, że był mu winien życie... jemu, mrocznemu mężczyźnie, zwanemu przez niektórych Wędrowcem. Zawdzięczał mu życie? Czyż nie powtarzał wielokrotnie, że jest gotów oddać je za Niego?

„Ale... twoja dusza, czy ją również gotów jesteś oddać?” „Jak wszystko to wszystko” – pomyślał Śmieciarz i delikatnie zacisnął palce jednej ręki wokół złotego łańcuszka, a w drugiej zamknął czarny kamień. Przez chwilę trzymał go w dłoni, zastanawiając się, czy zdoła go rozgrzać. Był prawie pewien, że nie i miał rację. Wreszcie założył łańcuszek na szyję; kamień dotykający jego skóry powyżej piersi wydawał się zimny jak sople lodu.

To mu jednak ani trochę nie przeszkadzało.

– Po prostu powiedz sobie, że go nie znasz – rzucił Lloyd. – Mam na myśli Hecka. Ja zawsze tak robię. W ten sposób jest łatwiej. To...

Podwójne drzwi hotelu z hukiem rozwarły się na oścież. Z holu doszły ich przeraźliwe, ochryple wrzaski. Tłum westchnął.

Po schodach zeszło dziewięciu mężczyzn. Pośrodku nich, Hector Drogan walczył jak tygrys pochwycony w sieć.

Twarz miał trupioblada, za wyjątkiem silnych rumieńców na policzkach. Pot lał się z niego strumieniami. Był nagi. Przytrzymało go pięciu mężczyzn. Wśród nich był również As.

– Hej, Asie! – jęczał Hector. – Co z tobą? Pomóż mi. Powiedz im, żeby mnie puścili. Powiedz, żeby przestali. Już więcej nie będę! Przestanę brać. Odtruję się, na miłość Boską, tylko powiedz im, żeby tego nie robili. Co ty na to, Asie? Błagam, pomóż mi!

As milczał, w odpowiedzi zacieśnił tylko uścisk na ramieniu Hectora. To wystarczyło. Hector zrozumiał. Znow zaczął krzyczeć. Oprawcy okazali się jednak bezlitośni i zawlekli go szamocącego się wściekle przez trawnik w stronę fontanny.

Z tyłu, za nimi, jak smętni przedsiębiorcy pogrzebowi, szli trzej mężczyźni: Whitney Horgan niosący sporych rozmiarów torbę podróżną, mężczyzna nazwiskiem Roy Hoopes ze składaną drabiną i Winky Winks, łysy facet, który stale mrugał powiekami.

Heck został przywleczony do krzyża. Bił z niego odrażający fetor strachu, raz po raz wywracał oczami niczym koń pozostawiony samotnie podczas burzy z piorunami.

– Hej, Śmieciarzu – wychrypiął, kiedy Roy Hoopes ustawił za nim drabinę. – Tak, ty, Śmieciarzu. Powiedz im, żeby przestali. Powiedz im, że przestanę brać. Że się odtruję. Powiedz im, że jedno takie przerażające widowisko jest sto razy lepsze niż jakikolwiek odwyk. Powiedz im to, stary.

Śmieciarz wpatrywał się w swoje stopy. Kiedy pochylił głowę, w jego polu widzenia pojawił się dyndający na łańcuszku gagat. Czerwona skaza – oko – łyptało na niego z zaciekawieniem.

– Nie znam cię – wymamrotał.

Kątem oka dostrzegł, że Whitney przyklął na jedno kolano; z kącika ust zwisał papieros. Wydmuchnąwszy ustami kłęb dymu, przymrużył lewe oko. Otworzył torbę podróżną i wyjął z niej ostre drewniane gwoździe. Śmieciarz z przerażeniem stwierdził, że były wielkie jak śledzie od namiotu. Położył gwoździe na trawie i wyjął z torby drewniany młotek.

Pomimo rozlegających się wokół nich głosów, słowa Śmieciarza najwyraźniej dotarły do ogarniętego paniką umysłu Hectora.

– Co to znaczy, że mnie nie znasz? – zakrzyknął wściekle. – Przecież dwa dni temu jedliśmy wspólnie śniadanie! Powiedziałaś do dzieciaka „panie Asie”. Co masz na myśli, mówiąc, że mnie nie znasz, ty pieprzony, mały tchórze?

– Nie znam cię – powtórzył Śmieciarz, tym razem nieco bardziej zdecydowanie. Nagle poczuł coś w rodzaju ulgi. Człowiek, którego miał przed sobą był mu zupełnie obcy, i na dodatek z wyglądu przypominał trochę Carleya Yatesa. Uniósł rękę i ścisnął w palcach czarny kamyk. Jego chłód uspokoił go jeszcze bardziej.

– Ty kłamco! – wrzasnął Heck. Znow zaczął się wrywać, naprężając z całych sił muskuły; strużki potu ściekały mu po obnażonym torsie i ramionach. – Ty łgarzu! Przecież mnie znasz! Znasz mnie, ty parszywy kłamco!

– Nie. Nie znam cię i wcale nie chcę cię znać.

Heck znow zaczął wrzeszczeć. Czterej mężczyźni, którzy go unieruchomili, byli zmęczeni i ciężko oddychali.

– Do dzieła – powiedział Lloyd.

Pociągnęli Hecka do tyłu. Jeden z mężczyzn, którzy go trzymali, podstawił mu nogę. Hector wylądował częściowo na krzyżu, częściowo na trawniku. Winky tymczasem zaczął piskliwym głosem odczytywać treść informacji z kartki, którą miał przypiętą do drewnianej podkładki. Jego głos brzmiał pośród wrzasków Hecka niczym jęk piły łańcuchowej.

– Uwaga! Uwaga! Z rozkazu Randalla Flagga, Przywódcy Ludu i Pierwszego Obywatela, człowiek ten, Hector Alonzo Drogan, zostaje skazany na śmierć przez ukrzyżowanie za popełnione przez siebie zbrodnie, polegające na zażywaniu narkotyków.

– Nie! Nie! Nie! – krzyczał Hector jak oszalały. Jego lewa, lepka od potu ręka, wyslizgnęła się z uścisku Asa, na co Śmieciarz instynktownie przykląkł i kolanem docisnął jego nadgarstek do belki krzyża. W sekundę później Whitney ukląkł obok Śmieciarza z drewnianym młotkiem i dwoma wielkimi gwoździami. Papieros wciąż zwisał w kąci jego ust. Wyglądał jak facet majsterkujący w upalny dzień na podwórku za domem.

– Dobra, Śmieciarzu, przytrzymaj go jeszcze przez chwilę. Zaraz go przyszpilę. To nie potrwa nawet minutę.

– Zażywanie narkotyków jest w Społeczności Ludu niedozwolone, ponieważ zmniejsza to użyteczność danej jednostki i jej wydajność w pracach na rzecz kolektywu – ciągnął Winky. Mówił szybko jak licytator, raz po raz mrugając nerwowo powiekami. – Oskarżony Hector Drogan został uznany winnym prowadzenia pokątnego handlu i posiadania dużego zapasu kokainy.

Wrzaski Hectora osiągnęły crescendo, dźwięk był tak przeraźliwy, że mógłby strzaskać każdy kryształ, naturalnie gdyby w okolicy znajdowały się jakieś kryształy. Skazaniec targał głową z boku na bok. Na jego wargach pojawiła się piana. Strużki krwi spłynęły po jego ramionach, gdy sześciu mężczyzn, w tym Śmieciarz, podniosło krzyż i obsadziło w zabetonowanym otworze. Ciało Hectora Drogana odznaczało się wyraźnie na tle nieba, głowę miał odchyloną do tyłu, jego usta wykrzywił grymas potwornego bólu.

– ...tak się stanie dla dobra Społeczności Ludu – ciągnął nieugięcie Winky. – Niniejsze obwieszczenie kończy się solennym ostrzeżeniem i pozdrowieniem dla Ludu Las Vegas.

Niechaj ten zapis niezbitych faktów zostanie przybity do krzyża ponad głową skazańca i niechaj ozdobiony zostanie pieczęcią Pierwszego Obywatela, wspomnianego już RANDALLA FLAGGA.

– Boże, jak to BOLI! – dobiegł ich z góry jęk Hectora Drogana. – O, mój Boże, o Boże, o Boże, o Boże!

Tłum pozostał na placu jeszcze przez blisko godzinę, nikt nie chciał być pierwszym, który opuści to miejsce. Na wielu twarzach malował się wyraz odrazy i zdegustowania, na innych podniecenie i ożywienie... ale najbardziej powszechnym wyrazem, obecnym na obliczach kobiet i mężczyzn był strach.

Śmieciarz nie lękał się jednak. Niby dlaczego miałby się bać? Przecież w ogóle nie znał tego człowieka.

Po prostu go nie znał.

I tyle.

Tego wieczora, kwadrans po dziesiątej Lloyd Henreid znów zjawił się w pokoju Śmieciarza. Spojrzał na piromana i rzekł:

– Jesteś ubrany. To dobrze. Już myślałem, że położyłeś się spać.

– Nie – odrzekł Śmieciarz. – Nie spałem. A co?

Lloyd zniżył głos:

– Już pora, Śmieciarzu. On chce się z tobą widzieć. Flagg.

– On...?

– Tak.

Śmieciarz poczuł, że rozpiera go duma.

– Gdzie on jest? Oddam za niego życie, o tak...

– Na ostatnim piętrze – odparł Lloyd. – Zjawił się, gdy skończyliśmy kremować ciało Drogana. Wrócił z wybrzeża. Po prostu już tu był, kiedy wróciliśmy z Whitneyem do hotelu. Nikt nigdy nie widział, jak wyjeżdża albo wraca, ale wszyscy wiedzą, kiedy tu jest, a kiedy go nie ma. Nie wiem, jak to się dzieje. Tak już jest, i tyle. Chodź, pora iść.

Cztery minuty potem winda wjechała na najwyższe piętro i Śmieciarz z błyszczącymi oczami, cały rozentuzjasmowany, wysiadł z kabiny.

Lloyd został w niej.

Śmieciarz spojrzał na niego.

– A ty, nie...?

Lloyd próbował się uśmiechnąć, lecz nie wyszło mu to najlepiej.

– Nie. On chce spotkać się z tobą sam na sam. Powodzenia, Śmieciarzu.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, drzwi kabiny zamknęły się i Lloyd zniknął.

Śmieciarz odwrócił się. Znajdował się w szerokim, rozległym korytarzu. Było tu dwoje drzwi... i jedno z nich, na końcu holu, właśnie się otwierały. Wewnątrz było ciemno. Mimo to Śmieciarz dostrzegł postać stojącą u wejścia. I oczy. Czerwone oczy.

Z sercem dziko tłukącym się w piersi i suchością w ustach, Śmieciarz ruszył w kierunku tej postaci. W miarę jak się zbliżał, powietrze wokół niego zaczęło robić się coraz chłodniejsze. Wręcz lodowate. Na jego opalonych ramionach pojawiła się gęsia skórka. Gdzieś w głębi niego trup Donalda Merwina Elberta przewrócił się w swoim grobie, wydając zduszony jęk.

Ale zaraz znów znieruchomiał.

– Śmieciarz – rozległ się niski, melodyjny głos. – Dobrze, że jesteś. Bardzo dobrze. Cieszę się, że do nas dotarłeś.

Słowa wypłynęły z jego ust niczym kaskada piasku:

– Oddam za ciebie życie.

– Tak – zwróciła się do niego łagodnym tonem postać stojąca w drzwiach. Wargi rozchyliły się w uśmiechu, błysnęły białe zęby. – Choć nie sądzę by to było konieczne. Wejdz. Niech ci się przyjrzę.

Z błyszczącymi oczami i twarzą pozbawioną wyrazu, nieruchomą jak oblicze lunatyka, Śmieciarz wszedł do pokoju. Drzwi zamknęły się. W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej. Przerażliwie gorąca dłoń zacisnęła się na zimnej jak lód ręce Śmieciarza.

– Wiesz co, Śmieciarzu, mam dla ciebie zadanie. Nie tutaj. Na pustyni. Wielkie zadanie. Jeżeli tylko zechcesz.

– Zrobię wszystko – wyszeptał Śmieciarz. – Zrobię wszystko.

Randall Flagg objął ramieniem jego wychudłe, kościste barki.

– Wyślę cię ze specjalną misją. Twoim zadaniem będzie wznieść wielką pożogę – powiedział miódopłynnym tonem. – Chodź, napijemy się czegoś i porozmawiamy o tym.

Požoga zapowiadała się wspaniale.

ROZDZIAŁ 49

Kiedy Lucy Swann obudziła się, jej damski zegarek marki Pulsar wskazywał za kwadrans północ. Na zachodzie, gdzie rozciągał się łańcuch Gór Skalistych, niebo przecięła błyskawica. Lucy Swann poczuła, że ogarniają strach.

Przed obecną podróżą nigdy dotąd nie wypuściła się na zachód dalej niż do Filadelfii, gdzie mieszkał jej szwagier. Mieszkał. W czasie przeszłym.

Druga połowa jej podwójnego śpiwora była pusta, właśnie to ją obudziło. Przyszło jej na myśl by obrócić się na drugi bok i ponownie usnąć – on wróci, kiedy uzna za stosowne – ale ostatecznie wstała i ruszyła bezszelestnie ku zachodniej części obozowiska. Wiedziała, że tam go zastanie. Szła miękko i cicho, nie obudziła nikogo. Pomijając rzecz jasna Sędziego, który stał na warcie od dziesiątej wieczorem do północy i nikt nigdy nie przyłapał go, jak zasnął na służbie. Sędzia miał siedemdziesiąt lat i dołączył do nich w Joliet. Było ich teraz w sumie dziewiętnaścioro – piętnaście dorosłych, troje dzieci i Joe.

– Lucy? – wyszeptał Sędzia.

– Tak. Czy widziałeś może...

Rozległ się cichy chichot:

– Oczywiście. Jest przy autostradzie. W tym samym miejscu, co przez ostatnie dwie noce. Podeszła do niego i ujrzała, że trzymał na podołku otwartą Biblię.

– Sędzio, czytając po ciemku możesz stracić wzrok.

– Bzdura. Światło gwiazd jest najlepsze, jeśli chodzi o tę lekturę. Może nawet jedyne.

Posłuchaj:

Czyż nie do bojowania podobny byt człowieka?

Czy nie pędzi on dni jak najemnik?

Jak niewolnik, co wzdycha do cienia,

jak robotnik, co czeka zapłaty.

Zyskałem miesiące męczarni,

przeznaczono mi noce udręki.

Położę się, mówiąc do siebie:

*Kiedyż zaświta i wstanę?
Lecz noc wiecznością się staje
i boleść mną targa do zmroku.*

– Mocna rzecz – powiedziała Lucy bez większego entuzjazmu. – Naprawdę fajne, Sędzio.
– To nie jest „fajne”. To Księga Hioba. W tej Księdze nie ma nic fajnego, Lucy. – Zamknął Biblię. – „I boleść mną targa do zmroku”. Oto apoteoza twojego mężczyzny, Lucy. To cały Larry Underwood.

– Wiem – powiedziała i westchnęła. – gdybym tylko wiedziała, co go tak zżera.

Sędzia, który miał pewne podejrzenia, milczał.

– Na pewno nie chodzi o sny – ciągnęła. – Żadne z nas już ich nie miewa, może za wyjątkiem Joe. A Joe jest... inny.

– Tak. To prawda. Biedny chłopiec.

– I wszyscy są zdrowi. Przynajmniej od czasów, kiedy zmarła pani Vollman.

Dwa dni po przyłączeniu się do nich Sędziego ich grupa powiększyła się o kolejne dwie osoby, parę, która przedstawiła się jako Dick i Sally Vollmanowie. Lucy uznała, że to mało prawdopodobne by grypa oszczędziła małżeństwo i podejrzewała, że ich związek, raczej nieformalny, trwał od niedawna. Oboje byli po czterdziestce i wyglądali na bardzo zakochanych. Niespodziewanie przed tygodniem, przy domu starej kobiety w Hemingford Home, Sally Vollman zachorowała. Obozowali tam przez dwa dni, oczekując bezradnie, aż kobieta umrze lub wyzdrowieje. Umarła. Dick Vollman pozostał z nimi, ale stał się zupełnie innym człowiekiem, milczącym, zamkniętym w sobie, bladym.

– Wziął to sobie mocno do serca, prawda? – rzuciła Lucy.

– Larry to człowiek, który odnalazł siebie stosunkowo późno – odchrząkując, wyjaśnił Sędzia Farris. – Tak mi się w każdym razie wydaje. Ludziom, którzy odnajdują siebie równie późno jak on, zwykle brakuje pewności siebie. Mimo to posiadają wszelkie cechy tak zwanych prawych obywateli, są bojownikami, lecz nigdy zelotami, szanują czynniki wpływające na daną sytuację, nigdy ich nie naginając. Czują się niezręcznie w roli przywódców, bo niezmiernie rzadko ulegają żądzy władzy. Wręcz przeciwnie. A kiedy dzieje się coś złego... kiedy umiera pani Vollman...

– Czy to mogła być cukrzyca? – Sędzia niespodziewanie zmienił temat. – Tak, to całkiem prawdopodobne. Zasinienie skóry, szybkie zapadnięcie w śpiączkę... tak, to możliwe, możliwe. Ale skoro tak, to co zrobiła ze swoją insuliną? Czyżby chciała umrzeć? Czy to mogło być samobójstwo?

Sędzia przerwał i zamyślił się, splatając dłonie pod brodą. Wyglądał jak zasępiony, czarny drapieżny ptak.

– Mówiłeś o tym, jak reagują ludzie w rodzaju Larry’ego, gdy dzieje się coś złego... – przypomniała mu delikatnie Lucy.

– Kiedy dzieje się coś złego... kiedy umiera Sally Vollman, czy to na cukrzycę czy na krwotok wewnętrzny, człowiek taki jak Larry obwinia za to siebie. Historia uczy, że jemu podobni ludzie często kończą tragicznie. Melvin Purvis, superagent rządowy z lat trzydziestych, w 1959 roku zastrzelił się ze służbowego pistoletu. Lincoln, kiedy został zamordowany, był przedwcześnie postarzałym mężczyzną na skraju załamania nerwowego. Na własne oczy widzieliśmy w telewizji, jak prezydenci z miesiąca na miesiąc niszczej^ą coraz bardziej, naturalnie za wyjątkiem Nixona, który pożądał władzy jak nietoperz-wampir krwi, i Reagana, który był trochę za głupi by się zestarzeć. Chyba to samo można powiedzieć o Geraldzie Fordzie.

– Wydaje mi się, że to nie wszystko – powiedziała Lucy.

Spojrzał na nią pytająco.

– Jak to szło? „I boleść mną targa do zmroku”?

Skinął głową.

– Całkiem udany opis zakochanego mężczyzny, czyż nie?

Zdziwił się, że wiedziała o tym, czego nie chciał jej wyjawiać.

Lucy wzruszyła ramionami i lekko się uśmiechnęła.

– Kobiety to wiedzą – szepnęła. – Kobiety prawie zawsze to wiedzą.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pomaszerowała w kierunku szosy, gdzie w samotności Larry Underwood rozmyślał o Nadine Cross.

– Larry?

– Tu jestem – odparł krótko. – Dlaczego nie śpisz?

– Zmarzłam – skłamała.

– Jasne.

Przesunął się. Głaz wciąż jeszcze był ciepły po upalnym dniu. Usiadła obok Larry’ego, a on objął ją ramieniem. Zgodnie z obliczeniami Lucy znajdowali się jakieś pięćdziesiąt mil na wschód od Boulder. Jeśli nazajutrz wyruszą przed dziewiątą, na lunch powinni dotrzeć do Wolnej Strefy Boulder.

Nazwy tej użył w przekazie radiowym mężczyzna nazwiskiem Ralph Brentner, i choć powiedział, że „Wolna Strefa Boulder” jest w gruncie rzeczy sygnałem rozpoznawczym ich radiostacji, ta nazwa spodobała się Lucy ze względu na jej brzmienie. Tak. To brzmiało naprawdę dobrze. Jak nowy początek. Nadine Cross przyjęła tę nazwę z niemal religijnym oddaniem, jakby była czymś w rodzaju talizmanu.

Trzy dni po przybyciu Larry’ego, Nadine, Joe i Lucy do Stovington, gdzie odwiedzili opuszczone centrum epidemiologiczne, Nadine zaproponowała by zdobyli radio CB i rozpoczęli nasłuch. Larry’emu bardzo się ten pomysł spodobał. „Jak każdy z pomysłów Nadine” – stwierdziła Lucy. Nie rozumiała Nadine Cross. Nie potrafiła jej rozgryźć. Wiedziała, że Larry był w nią zapatrzony jak w obraz, ale Nadine wyraźnie go unikała.

Tak czy inaczej pomysł z radiem CB był trafiony, nawet jeśli umysł, który go spłodził był zimny niczym lód (chyba że chodziło o Joe, ma się rozumieć). Nadine powiedziała, że to najprostszy sposób na zlokalizowanie innych grup i ustalenie miejsca spotkania.

To z kolei zaowocowało kolejną dyskusją w grupie, w tamtym czasie sześciuosobowej, gdyż dołączyli do nich Mark Zellman, spawacz z Nowego Jorku, i dwudziestosześcioletnia pielęgniarka Laurie Constable. Rozmowa, skądinąd bardzo ożywiona, zakończyła się raz jeszcze deprymującym tematem snów.

Laurie zaczęła od stwierdzenia, że przecież DOSKONAŁE WIEDZĄ, dokąd zmierzają. Podążali śladem pomysłowego Harolda Laudera i jego grupy do Nebraski. Powód był ten sam. Mocy snów po prostu nie sposób się było oprzeć.

Po dłuższej wymianie zdań między nimi Nadine niemal wpadła w histerię. Ona nie miewała żadnych snów, mówiła to wyraźnie. O NICZYM NIE ŚNIŁA. Jeśli inni chcieli ćwiczyć nawzajem autohipnozę, to proszę bardzo. Dopóki istniały racjonalne, podstawy przemawiające za wyprawą do Nebraski, w rodzaju tablicy w centrum epidemiologicznym w Stovington, to proszę bardzo. Chciała jednak by wszyscy zdali sobie sprawę, że nie jechała z nimi, gdyż nakazywały jej to jakieś metafizyczne pseudoprzekazy. Ona, jeśli już musiała w coś wierzyć, to raczej w informacje z radia, a nie wizje.

Mark wyszczerzył się do Nadine i zapytał: „Skoro nic ci się nie śni, to jakim cudem i dlaczego wczorajszej nocy mówiłaś tak głośno, że aż się obudziłem?”

Nadine zrobiła się blada jak ściana. „Śmiesz zarzucać mi kłamstwo? – rzuciła podniesionym tonem. – Bo jeżeli tak, to niech lepiej któreś z nas zaraz stąd odejdzie!”

Joe przysunął się do niej, pojękując z cicha.

Larry załagodził sporną sytuację, przystając na pomysł z radiem CB. W zeszłym tygodniu zaczęli odbierać pierwsze transmisje, nie z Nebraski jednak (zanim dotarli na miejsce nikogo tam już nie zastali, powiedziały im o tym sny, ale nawet one zaczęły tracić na sile, blaknąć i rozmywać się), lecz z Boulder w Kolorado, sześćset mil na zachód od tego miejsca, sygnały docierały tak daleko za sprawą potężnego nadajnika Ralpha.

Lucy wciąż miała w pamięci radość i uniesienie na twarzach mężczyzn i kobiet, gdy wśród statycznych trzasków usłyszeli głos Brentnera, z wyraźnym, nosowym akcentem z Oklahomy: „Mówi Ralph Brentner z Wolnej Strefy Boulder. Jeśli mnie słyszycie, odpowiedzcie na kanale 14. Powtarzam: kanał 14”.

Słyszeli go, ale nie mieli dostatecznie silnego nadajnika by mu wówczas odpowiedzieć. Mimo to z każdym dniem byli coraz bliżej Boulder i w tym czasie dowiedzieli się, że stara kobieta, Abigail Freemantle (Lucy zawsze myślała o niej jako o Matce Abigail) i jej grupka dotarła tam pierwsza, z każdym dniem jednak przybywali następni. Zjawiali się po dwoje, troje, a raz do Boulder dotarła nawet grupa trzydziestosobowa. Kiedy Brentner skontaktował się z nimi po raz pierwszy, w Boulder było dwieście osób, dziś wieczorem zaś, gdy do celu

mieli już tak niedaleko, prawie trzysta pięćdziesiąt osób. Włącznie z nimi będzie ich prawie czterystu.

– O czym myślisz? – spytała Lucy Larry’ego i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Myślałem o tym zegarku i upadku kapitalizmu – odrzekł wskazując na jej pulsar. – Pamiętasz wyścigi szczurów i te hasła: „Tyraj albo zdychaj”. Ci, którzy harowali najciężej, mogli się później cieszyć czerwonymi, białymi i niebieskimi cadillacami i zegarkami pulsar. A teraz mamy prawdziwą demokrację. Każda kobieta w Stanach może mieć cyfrowego pulsara i futro z norek. – Roześmiał się.

– Może – mruknęła. – Ale coś ci powiem, Larry. Może nie mam zielonego pojęcia, czym był kapitalizm, ale wiem coś o tym zegarku za tysiąc dolarów. Nie jest wart złamanego grosza.

– Poważnie? – Spojrzał na nią ze zdumieniem i uśmiechnął się. Słabo, ale szczerze. Ucieszyła się, bo przecież uśmiechnął się do niej. – A to dlaczego?

– Ponieważ nikt nie wie, która jest godzina – odpaliła Lucy. – Jakies cztery czy pięć dni temu po kolei zapytałam pana Jacksona, Marka i ciebie o godzinę. Każdy z was udzielił mi innej odpowiedzi i wszyscy przyznaliście zgodnie, że wasze zegarki zatrzymywały się od czasu pomoru co najmniej raz... Pamiętasz to miejsce z zegarem odmierzającym czas dla całego świata? Czytałam kiedyś o tym w jakimś piśmie, oczekując na wizytę u lekarza. To dopiero była maszyna. Odmierzała czas z dokładnością do mikro-mikro-sekundy. Były tam zegary słoneczne, z wahadłami i, Bóg wie, co jeszcze. Kiedy czasami myślę o tym miejscu, szlag mnie trafia. Wszystkie znajdujące się tam zegary na pewno już nie działają, a ja mam pulsara, zegarek za tysiąc dolców, zwędzony z najdroższego zakładu jubilerskiego i nie wiem, która jest godzina. A przecież powinnam wiedzieć i to z dokładnością do jednej sekundy! I to z jakiego powodu? Z powodu grypy! Cholernej grypy!

Zamilkła. Przez chwilę milczeli oboje. Naraz Larry wskazał ręką na niebo.

– Spójrz! Tam!

– Co? Gdzie?

– Na godzinie trzeciej. Teraz na drugiej.

Uniosła wzrok, ale nie dostrzegła tego, co jej pokazywał, dopóki nie dotknął swymi ciepłymi dłońmi jej twarzy i nie odwrócił ku właściwemu kwadratowi nieba. Wtedy to ujrzała i aż westchnęła z przejęcia. Zobaczyła jasno świecący punkcik, srebrzysty jak gwiazda, ale wyraźniejszy i nie mrugający. Przemknął szybko po niebie, kierując się ze wschodu na zachód.

– Boże! – krzyknęła. – To samolot, prawda, Larry? To był samolot?

– Nie. To satelita. Prawdopodobnie będzie tak krążył wokół Ziemi przez następne siedemset lat.

Siedzieli i odprowadzili satelitę wzrokiem, dopóki nie zniknął za mrocznym masywem Gór Skalistych.

– Larry – powiedziała łagodnie Lucy. – Dlaczego Nadine nie chce się przyznać? Chodzi mi o sny.

Poczuła, że nieznacznie zeszywniał i zaraz pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat. Skoro to jednak uczyniła, postanowiła pójść za ciosem... chyba że on okaże się nieprzejednany.

– Ona twierdzi, że nie miewa żadnych snów.

– To nieprawda. Ona również śni, Mark miał w tym względzie rację. I Nadine naprawdę mówi przez sen. Którejś nocy zachowywała się tak głośno, że mnie obudziła.

Spojrzał na nią.

– Co mówiła? – zapytał po dłuższej chwili.

Lucy zamyśliła się, zastanawiając się, jak ma to ująć.

– Rzuciała się w swoim śpiworze i raz po raz powtarzała: „Nie, nie, jest taki zimny, nie, jeśli to zrobisz, nie wytrzymam, nie, jest taki zimny, taki zimny”. A potem przez sen zaczęła szarpać się za włosy. I jęczała. To mnie przeraziło.

– Lucy, ludzie miewają różne koszmary. To nie znaczy, że śniła o... o nim.

– Lepiej nie wspominać o nim po zmroku, nie uważasz?

– Tak. Lepiej zmieńmy temat.

– Larry, ona sprawia wrażenie, jakby coś z nią było nie tak. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak.

Wiedział. Mimo iż upierała się, że nic się jej nie śniło, zanim dotarli do Hemingford Home pod jej oczami pojawiły się wielkie, ciemne sińce. A jej gęste, bujne włosy wyraźnie posiwiały. Kiedy próbował jej dotknąć, reagowała jak spłoszone zwierzę. Niemal umykała przed jego dotykiem.

– Kochasz ją, prawda? – zapytała Lucy.

– Och, Lucy – jęknął z wyrzutem.

– Nie, po prostu chcę, abyś wiedział... – Widząc wyraz jego twarzy, pokręciła energicznie głową. – Muszę to powiedzieć. Widzę, jak na nią patrzysz i jak ona patrzy na ciebie, kiedy jesteś akurat pochłonięty czymś innym i... i jest bezpiecznie. Ona cię kocha, Larry. Ale... boi się. Jest przerażona. To widać.

– Boi się? Ale czego?

Przypomniał sobie, gdy próbował ją pojąć, trzy dni po odwiedzeniu wymarłego Stovington. Od tej pory stała się dziwnie zgaszona – owszem, od czasu do czasu się uśmiechała, niemniej robiła to z wyraźnym wymuszeniem. Joe zasnął. Larry podszedł by usiąść obok niej. Przez chwilę rozmawiali, nie o dniu dzisiejszym lecz o przeszłości, to był bezpieczny temat. Larry spróbował ją pocałować. Odsunęła go od siebie, odwracając głowę, wcześniej jednak Larry poczuł to samo, o czym powiedziała mu teraz Lucy. Spróbował raz jeszcze, jednocześnie łagodnie i brutalnie, tak bardzo jej pragnął. Przez chwilę, przez jedną krótką chwilę uległa, ukazując mu, jak mogłoby być, gdyby... I nagle odsunęła się od niego,

cała blada, z pochyloną głową, zakrywając piersi skrzyżowanymi rękoma, zaciskając dłonie na łokciach. „Nie rób tego więcej, Larry. Proszę cię. W przeciwnym razie zabiorę Joe i odejdę”.

„Dlaczego? Dlaczego, Nadine? Co w tym takiego strasznego?”

Nie odpowiedziała. Po prostu stała tak ze spuszczoną głową, a pod jej oczami pojawiły się zaczątki brązowych sińców.

„Gdybym mogła, powiedziałabym ci” – rzekła w końcu i odeszła, nie oglądając się za siebie.

– Miałam kiedyś przyjaciółkę, która zachowywała się w podobny sposób jak ona – powiedziała Lucy. – To było w drugiej klasie liceum. Nazywała się Joline. Joline Majors. Ona nie chodziła do liceum. Porzuciła szkołę, aby wyjść za mąż. Jej chłopak był w marynarce wojennej. Kiedy się pobrali ona była w ciąży, ale potem poroniła. Jej męża często nie było w domu, a Joline... należała do rozrywkowych dziewcząt. Lubiła, no wiesz, ten sport, a jej facet był o nią piekielnie zazdrosny. Zapowiedział, że jeśli kiedykolwiek dowie się, że nie była mu wierna, połamię jej obie ręce i przefasonuje twarz. Wyobrażasz sobie, jak w takiej sytuacji musiało wyglądać jej życie? Mąż wraca do domu i mówi: „Wiesz, kochanie, wypływam dzisiaj w rejs. Daj mi buzi, a potem troszkę sobie pobaraszkujemy, ale wiesz co, jeśli po powrocie dowiem się od kogoś, że się puszczałaś, połamię ci obie ręce i tak pokiereszuję twarz, że cię rodzona mamusia nie pozna”.

– Tak, to nic przyjemnego.

– I któregoś dnia poznała tego faceta – ciągnęła Lucy. – Był nauczycielem wychowania fizycznego w liceum w Burlington. Zaczęli się spotykać, ale po kryjomu i byli bardzo ostrożni. Nie wiem, czy jej mąż kazał komuś szpiegować swoją żonę, tak czy inaczej po pewnym czasie to przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Joline zaczęła popadać w paranoję. Wydawało się jej, że facet czekający na autobus to jeden z kolegów jej męża. Równie dobrze mógł nim być komiwojażer meldujący się zaraz po niej i Herbim w jakimś tanim, zawszonym moteliku, niezależnie czy hotel ten znajdował się w tej samej dzielnicy, gdzie mieszkała, czy ładnych parę kilometrów za miastem. Mógł nim być nawet glina, którego pytała o drogę do parku rekreacyjnego, gdzie mieli się spotkać. Poza tym, ponieważ mieszkała w kamienicy, gdzie było siedem mieszkań, prawie zawsze ktoś wchodził po schodach. Herb zwątpił, przestraszył się i porzucił ją. Nie wystraszył się męża Joline, lecz jej samej. Tuż przed przyjazdem jej męża na przepustkę, Joline przeżyła załamanie nerwowe. A wszystko dlatego, że trochę za bardzo lubiła te rzeczy... i że jej mąż był o nią pioruńsko zazdrosny. I wiesz co, Larry, Nadine bardzo mi przypomina tamtą dziewczynę. Żał mi jej. Chyba niezbyt ją lubię, ale mimo wszystko jest mi jej żal. Wygląda okropnie.

– Chcesz powiedzieć, że Nadine boi się mnie tak, jak tamta dziewczyna swojego męża?

– Może – odparła Lucy. – Ale powiem ci jedno, kimkolwiek jest mąż Nadine, na pewno nie ma go tutaj.

Zaśmiał się niepewnie.

– Powinniśmy wrócić do obozu. Jutro czeka nas ciężki dzień.

– Tak – mruknęła przekonana, że nie zrozumiał ani słowa z tego, co mu powiedziała. I nagle wybuchnęła płaczem.

– Ej, Lucy – powiedział uspokajającym tonem. – Już dobrze. – Próbował ją objąć lecz odepchnęła jego dłoń.

– I tak dam ci to, czego chcesz, nie musisz się aż tak wysilać!

Wciąż jeszcze było w nim dostatecznie dużo starego Larry’ego by zaczął zastanawiać się, czy mówiła na tyle głośno, że słycać ją było aż w obozie.

– Nigdy cię do niczego nie zmuszałem – mruknął pośepnie.

– Czy jesteś aż tak głupi? – krzyknęła i uderzyła go pięścią w udo. – Larry, dlaczego mężczyźni są tacy głupi? Postrzegasz wszystko wyłącznie w czerni i bieli. To prawda, nigdy mnie do niczego nie zmuszałeś. Nie jestem taka jak ONA. Mógłbyś spróbować wziąć ją siłą, a i tak naplułaby ci w twarz i do samego końca krzyżowała nogi. Faceci mają dla takich dziewcząt jak ja specjalną nazwę, wypisują ją na drzwiach toalet publicznych. Tak w każdym razie słycałam. Wszystko jednak sprowadza się do potrzeby ciepła i bycia z kimś, kto cię ogrzeje własnym ciałem. Do potrzeby kochania kogoś. Czy to takie złe?

– Nie. To nie jest złe. Ale, Lucy...

– Nie wierzysz w to – rzuciła zjadliwie. – Więc dalej próbuj z Panną Niedotykałką, a w antraktach, kiedy zajdzie słońce, masz Lucy, z którą możesz uprawiać najstarszy sport świata w pozycji horyzontalnej.

W milczeniu pokiwał głową. Miała rację. To, co powiedziała, było prawdą. A on był zbyt zmęczony by próbować się z nią spierać. Chyba zdała sobie z tego sprawę, gdyż jej oblicze złagodniało. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jeśli ją zdobędziesz, Larry, ja pierwsza rzucę ci wiązanek kwiatów. Nigdy w życiu nie żywiłam do nikogo urazy. Tylko... żebyś się przypadkiem nie rozczarował.

– Lucy...

Nagle podniosła głos, jakby przepelniła ją potężna, nieprzeparata moc i przez chwilę Larry poczuł na całym ciele gęsią skórę.

– Tak się składa, że uważam, iż miłość jest bardzo ważna; jeżeli mamy przebrnąć przez to wszystko to tylko dzięki miłości, bez niej nam się nie uda. Mamy przeciwko sobie nienawiść i coś o wiele gorszego, pustkę. – Mówiła teraz ciszej. – Masz rację. Już późno. Wracam do obozu. Mam ochotę się położyć. Idziesz?

– Tak – odparł cicho, a kiedy wstali, niemal bez namysłu objął ją ramieniem, przytulił i pocałował. – Lucy, kocham cię jak tylko mogę najbardziej.

– Wiem – odparła i uśmiechnęła się smutno. – Wiem, Larry.

Tym razem, kiedy objął ją ramieniem, nie zaoponowała. Wrócili razem do obozu, potem nieśmiało się kochali, aż wreszcie usnęli.

Nadine obudziła się jak kotka, w ciemnościach, mniej więcej dwadzieścia minut po powrocie Larry'ego i Lucy do obozu i jakieś dziesięć minut po tym, jak skończyli się kochać i zasnęli.

W jej żyłach rozbrzmiał przeraźliwy zew.

„Ktoś mnie pragnie” – pomyślała, nasłuchując, jak jej rozkołatanе serce zaczyna się uspokajać. Oczy, rozszerzone i przepełnione mrokiem, wpatrywały się w górę, gdzie konary wiązu łączyły się z czernią nieba.

„Otóż to. Ktoś mnie pragnie. To prawda.

Ale... on jest taki zimny”.

Jej rodzice i brat zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Nadine miała sześć lat. Ona sama nie pojechała tego dnia by odwiedzić wujków, wołała zostać i bawić się z koleżanką mieszkającą przy tej samej ulicy. Pamiętała tylko, że szczególnie opłakiwała śmierć brata. To jego najbardziej kochała. Brat nie był taki jak ona, mały niziołek skradziony z kołyski w sierocińcu w wieku czterech i pół miesiąca. Pochodzenie jej brata było jasne i wyraźne. Brat był – proszę o fanfary! – ich dzieckiem. Nadine jednak zawsze i po wieczne czasy należała tylko do Nadine. Była dzieckiem Ziemi.

Po wypadku zamieszkała z cicią i wujkiem, jej jedynymi krewnymi, w White Mountains we wschodnim New Hampshire. Pamiętała, że zabrali ją na ósme urodziny na wycieczkę na Górę Waszyngtona, ale narobiła im kłopotu, bo dostała krwotoku z nosa (to przez tę wysokość) i byli bardzo zagniewani. Ciocia i wujek byli zbyt starzy – gdy skończyła szesnaście lat oni byli już po pięćdziesiątce.

Ech, te czasy. Pamiętała ten dzień, kiedy skończyła szesnaście lat, kiedy przy blasku księżycy biegła po mokrej od rosy trawie, owej nocy, nocy wina, kiedy marzenia zdawały się spełniać, a każda chwila miała w sobie jakiś magiczny potencjał. Noc miłości. Gdyby chłopak ją dogonił, otrzymałby nagrodę, której pragnął. Cóż w tym takiego strasznego. Zresztą czy to istotne, czy ją dogonił? Czy najważniejsze nie było to, że oboje biegli pośród nocy?

Nie dopadł jej jednak. Chmura przesłoniła księżyc. Rosa stała się chłodna, nieprzyjemna, przerażająca. Smak wina w jej ustach zatracił swą słodycz. Nastąpiła jakaś osobliwa przemiana, ogarnęło ją przekonanie, że powinna... że musi z tym zaczekać.

Gdzie był tamtej nocy ów pisany jej wymarzony, mroczny oblubieniec? Po jakich szosach, po których ulicach błądził w środku nocy, powodując kolejną, niemal niedostrzegalną rysę w strukturze świata? Które z chłodnych wiatrów zapowiadały jego nadejście? Ile lasek dynamitu nosił w swym postrzępionym plecaku? Ile miał lat? Gdzie był jego dom? Jaka matka tuliła go do swojej piersi? Była przekonana, że tak jak ona był sierotą i że jego czas wkrótce nadejdzie. Stąpał głównie po drogach, które jeszcze nie powstały, podczas gdy ona dopiero stawiała na nich pierwsze kroki. Do skrzyżowania, na którym się spotkają, było jeszcze daleko. Co jeszcze wiedziała? Że był Amerykaninem, lubił mleko,

szarlotkę i potrafił docenić walory ręcznie robionego swetra. Jego domem była Ameryka, poruszał się po sekretnych drogach, tajemnych autostradach, podziemnych magistralach, gdzie kierunki wyznaczały runiczne znaki. Był tym drugim, adwersarzem, zbuntowanym, mrocznym mężczyzną, szefem, twardzielem i wędrowcem, a stukot zdartych obcasów jego kowbojek rozlegał się pośród letnich nocy przesyconych zapachem bzu i jaśminu.

„Któż wie, kiedy przybędzie oblubieniec?”

Czekała na niego, nienaruszona. Nietknięta. W wieku szesnastu lat omal nie zbłądziła i ponownie, później, w college’u. Obaj chłopcy odeszli zagniewani i niepokieszeni, tak jak teraz Larry. Byli przy tym zakłopotani, wyczuwali tkwiące w niej rozstaje, wrażenie czegoś, co ma dopiero nastąpić, mistyczne skrzyżowanie dróg.

Boulder było miejscem, gdzie owe drogi miały się rozejść.

Chwila była bliska. On ją przyzywał, ściągał do siebie.

Po ukończeniu college’u rzuciła się w wir pracy; wynajmowała dom wspólnie z dwiema innymi dziewczynami. Jakimi? Cóż, dziewczęta przychodziły i odchodziły. Zostawała tylko Nadine. Była miła dla młodych mężczyzn sprowadzanych do domu przez jej współlokatorki, ale sama trwała w celibacie. Podejrzewała, że plotkowały na jej temat, nazywając ją materiałem na starą pannę, a kto wie, może nawet uważały ją za kryptolesbijkę.

Oczywiście to nieprawda. Ona po prostu...

Pozostawała nietknięta.

Czekała.

Czasami miała wrażenie, że zbliża się zmiana. Że chowając zabawki w cichej, pustej klasie pod koniec dnia, nagle znieruchomieje z dziwnym błyskiem w oku i zapomnianym misiem trzymanym za jedną łapkę. A potem pomyśli: „Nadchodzi zmiana... zbliża się wielka wichura”. Czasami, gdy nachodziły ją takie myśli, oglądała się przez ramię, jakby coś ją ścigało. A potem ni stąd ni zowąd rozluźniała się i wybuchała śmiechem.

Zaczęła siwieć, kiedy skończyła szesnaście lat. Kiedy ją ścigano, lecz nie dogoniono... początkowo tylko kilka pasemek odcinających się wyraźnie pośród kruczej czerni. Nie były szare ani siwe, o nie, były białe jak śnieg.

Parę lat później brała udział w studenckiej imprezie, w siedzibie uczelnianego bractwa. Światła były przyciemnione i niebawem towarzystwo zaczęło łączyć się w pary, oddalając się w co zaciszniejsze miejsca. Wiele dziewcząt – wśród nich Nadine – nie wróciło na noc do swego akademika. Naprawdę chciała to wtedy zrobić, pójść na całość... ale coś, co tkwiło gdzieś głęboko w jej wnętrzu, skutecznie ją powstrzymało. A następnego ranka, o siódmej, przeglądając się w lustrze, stwierdziła, że przybyło jej siwych włosów. Zupełnie jakby pojawiły się w ciągu tej jednej nocy, choć to rzecz jasna niemożliwe.

I tak mijały lata, przesypując się niczym piasek w klepsydrze. Od czasu do czasu miewała dziwne przecucia, tak, tak, przecucia... i zdarzało się, że budziła się w środku nocy zarazem zimna jak lód i rozpalona, złana potem, rozkosznie żywa i świadoma w intymnym zaciszu

swojego łóżka, w niemal wulgarnej ekstazie rozmyślając o mrocznym, tajemniczym seksie. Tarzaniu się w gorącym płynie. Szczytowaniu i bolesnym kąsaniu jednocześnie. A rankiem, przeglądając się w lustrze, stwierdzała, że znów przybyło jej siwych włosów.

Przez cały ten czas pozornie była zwykłą dziewczyną nazwiskiem Nadine Cross: miłą, uczynną, kochającą dzieci, oddaną swojej pracy i samotną. Niegdyś taka kobieta mogłaby być w społeczeństwie obiektem plotek i najrozmaitszych domniemywań, ale czasy się zmieniły. Poza tym wyróżniała się tak oryginalną urodą, że nic nie wskazywało by mogła być kimś innym, niż się wydawała.

A teraz czasy znowu się zmieniły.

Zbliżała się zmiana i we snach zaczynała właśnie poznawać swego oblubieńca, zaczynała go rozumieć, choć nigdy jeszcze nie ujrzała jego twarzy. Był tym, na którego czekała. Chciała pójść do niego... i jednocześnie nie chciała. Była mu przeznaczona, ale on ją przerażał. I wtedy pojawił się Joe, a zaraz potem Larry. Jednocześnie sprawy się skomplikowały. Zaczęła się czuć jak węzeł zasupłany na środku przeciąganej liny. Jak nagroda w bliżej nieokreślonej rywalizacji. Wiedziała, że jej czystość, jej dziewictwo, było w jakiś sposób ważne dla mrocznego mężczyzny. I wiedziała, że gdyby Larry ją posiadał (zresztą nie chodziło tu o niego, to mógł być jakikolwiek mężczyzna), złowieszczy czar prysnąłby w jednej chwili. Utraciłby swoją moc. A Larry ją pociągał. Prowokowała go z premedytacją, dawała mu do zrozumienia, że nie jest jej obojętny, że chciała TO z nim zrobić. Niech ją w końcu posiadzie i niech się to wreszcie skończy, niech to wszystko się skończy. Była zmęczona, a Larry atrakcyjny. Zbyt długo czekała na tamtego, upłynęło zbyt wiele czasu, zbyt wiele piasku przesyłało się w klepsydrze.

Tylko że Larry nie był TYM MEŻCZYZNĄ... a przynajmniej tak się jej z początku wydawało. Niemal pogardliwie odrzuciła jego awanse, spławiła go, odegnała od siebie jak klacz odgania ogonem natrętnego gza. Czyż jednak mogła mieć do siebie pretensje, że odrzuciła jego zaloty?

Tak czy inaczej przyłączyła się do niego. To niezbity fakt. Ciągnęło ją do innych, pozostałych przy życiu ludzi, nie tylko z powodu Joe, lecz dlatego, że o mały włos nie porzuciła chłopca i nie wyruszyła na zachód, aby odnaleźć swego oblubieńca. Jedyne wrodzona odpowiedzialność, towarzysząca jej od lat, odpowiedzialność za dzieci oddane jej pod opiekę, powstrzymała ją przed popełnieniem tego kroku... to, oraz świadomość, że pozostawiony samemu sobie Joe niechybnie umrze.

W świecie, gdzie umarło tylu ludzi największym grzechem jest dopuszczenie do śmierci kolejnego człowieka.

I dlatego pojechała z Larrym, który był lepszy niż nic i nikt.

Okazało się jednak, że Larry Underwood kryje w sobie znacznie więcej, niż można by sądzić przy pierwszym spotkaniu; był jak optyczne złudzenie (może nawet sam tak myślał o sobie), gdy woda, z pozoru głęboka na cal lub dwa, okazuje się bezdenną otchłanią. Choćby

to, w jaki sposób zbliżył się do Joe. I to, w jaki sposób Joe polubił jego. To po pierwsze i po drugie. A po trzecie jej zazdrość, reakcja na pogłębiającą się więź między atrakcyjnym mężczyzną i chłopcem. W salonie motocyklowym w Wells Larry postawił na dzieciaka palce obu rąk, i wygrał.

Gdyby nie skupili całej uwagi na płycie zbiornika z paliwem, ujrzeliby jak otworzyła usta ze zdumienia. Stała, obserwując ich, nie mogąc poruszyć choćby palcem, ze wzrokiem utkwionym w jasną, metalową kreskę łomu, czekając aż ten najpierw zadrży, a potem wysunie się z otworu. Dopiero gdy było po wszystkim, zdała sobie sprawę, że czekała, kiedy rozlegnie się jego pierwszy krzyk.

Ale tymczasem wieko uniosło się i zostało wypchnięte z otworu, a ona zdała sobie sprawę, że się pomyliła, dokonała mylnego osądu; popełniła omyłkę tak poważną, że wręcz niemożliwą do wybaczenia. W tym przypadku okazało się, że znał Joe lepiej od niej, bez specjalnego przeszkolenia i dokonał tego w znacznie krótszym czasie. Jedyne spóźniony refleks pozwolił jej pojąć jak istotny był epizod z gitarą, jak szybko i jak definitywnie scementował on więź między Larry i Joe. A co było sercem tej więzi?

Jak to co, zależność. To oczywiste. Cóż innego mogłoby przepełnić ją tak silną i palącą zazdrością? Zależność Joe od Larry'ego to była jedna sprawa, skądinąd normalna i całkiem do przyjęcia. Do szału doprowadził ją fakt, że również Larry zależał od Joe, potrzebował go w taki sposób, w jaki ona nie potrzebowała jego, i Joe o tym wiedział.

Czyżby omyliła się w swojej ocenie Larry'ego? Teraz musiała przyznać, że chyba tak. Ta egoistyczna, znerwicowana opoka była tylko przykrywką, zewnętrzną warstwą, która ścierała się wskutek częstego używania. Już sam fakt, że zespolił ich wszystkich razem podczas tej długiej podróży, świadczył o jego determinacji.

Wniosek wydawał się oczywisty. Pomimo swego pragnienia oddania się Larry'emu jakaś jej część wciąż pozostawała lojalna wobec tamtego... a kochając się z Larrym, w pewnym sensie zabiłaby tę cząstkę siebie. Utraciłaby ją bezpowrotnie. Nie była pewna, czy ją na to stać. I nie była jedyną, która śniła obecnie o mrocznym mężczyźnie.

Początkowo to ją niepokoiło, potem zaczęło przerażać. Kiedy byli tylko Joe i Larry, wspólnym elementem ich snu był strach. Kiedy spotkali Lucy Swann i okazało się, że ona również śni podobne sny, lęk przerodził się w szaleńczą, dojmującą zgrozę. Nie mogła już wmawiać sobie, że ich sny tylko przypominają jej prywatne koszmary. A jeśli mieli je wszyscy, którzy ocalili? A jeśli nadszedł w końcu czas mrocznego mężczyzny – nie tylko dla niej, lecz dla wszystkich, którzy pozostali na całej planecie?

Ta myśl bardziej niż cokolwiek innego wzbudziła w niej sprzeczne emocje – skrajny lęk i perwersyjne pożądanie. Niemal panicznie, jak tonący chwyta się brzytwy, domagała się wyprawy do Stovington. Ze swej natury i przeznaczenia było ono symbolem zdrowego rozsądku i racjonalności, opoką rozumu stawiającą czoła silnemu przyływowi czarnej magii, której fale czuła wciąż wokół siebie. Ale Stovington zamiast bezpieczną przystanią okazało

się miastem duchów. Symbol zdrowego rozsądku i racjonalności stał się trupiarnią i wylęgarnią najgorszych z możliwych koszmarów. Kiedy wyruszyli na zachód, przygarniając kolejnych ocalałych, powoli zaczęła wątpić, że uda się jej uniknąć konfrontacji, zanim to wszystko się skończy. Stało się tak, kiedy Larry zaczął zyskiwać w jej oczach. Teraz sypiał z Lucy Swann, ale czy to miało jakieś znaczenie? Sprawa była oczywista. Tamci mieli sny dwojakiemu rodzaju – o mrocznym mężczyźnie i starej kobiecie. Starucha zdawała się uosabiać jakiś rodzaj elementarnej mocy, podobnie jak mroczny mężczyzna. Stara kobieta była rdzeniem, wokół którego stopniowo, warstwami, gromadzili się pozostali.

Nadine nigdy o niej nie śniła.

Tylko o Nim. O mrocznym mężczyźnie. A kiedy sny pozostałych poczęły słabnąć, równie niespodziewanie jak się pojawiły, jej własne zaczęły zyskiwać na sile i wyrazistości.

Wiedziała o wielu rzeczach, o których inni nie mieli bladego pojęcia. Mroczny mężczyzna nazywał się Randall Flagg. Na zachodzie ci, którzy występowali przeciw niemu albo przeciw temu co robił, kończyli ukrzyżowani albo tracili zmysły i obłąkanych wywożono do Doliny Śmierci, by tam skonali z upału i pragnienia. W San Francisco i Los Angeles ocalały małe grupki techników, ale przebywały tam jedynie tymczasowo; wkrótce zaczęły migrować do Las Vegas, gdzie gromadziły się jego główne siły. On się nie spieszył. Nie było takiej potrzeby. Lato dobiegało końca i wkrótce przełęcz w Górach Skalistych zasypie śnieg, czyniąc je nieprzejezdnymi, i choć pługów do ich oczyszczenia nie brakowało, ludzi było zbyt mało i byli zbyt cenni, by wykonywać tak trywialne czynności. Nadejdzie długa zima, a Flagg miesiące te poświęci na skonsolidowanie swojej armii. A w przyszłym roku, w kwietniu... albo w maju...

Nadine leżała w ciemnościach, spoglądając w niebo.

Boulder było jej ostatnią nadzieją. Podobnie jak stara kobieta. Bastion zdrowego rozsądku i racjonalizmu, który miała nadzieję odnaleźć w Stovington, formował się w Boulder. To byli dobrzy ludzie, skonstatowała, normalni i porządni, gdyby to wszystko mogło być tak proste również dla niej, uwięzionej w szalonym labiryncie sprzecznych żądz i pragnień.

Raz po raz, jak zdarta płyta, uporczywy głos w jej umyśle powtarzał, że w tym zdziesiątkowanym przez pomór świecie morderstwo było najstraszliwszym z możliwych grzechów, a serce z równym przekonaniem i pewnością podpowiadało, że domeną Randalla Flagga jest nic innego, jak właśnie śmierć.

Tylko że ona tak bardzo pragnęła jego zimnego pocałunku... och, jak bardzo tego pragnęła... bardziej niż pocałunków chłopaka z liceum czy studenta college'u... i, czego się poniekąd obawiała, bardziej nawet niż pocałunku i bliskości Larry'ego Underwooda.

„Jutro będziemy już w Boulder – pomyślała. – Może wtedy będę wiedziała, czy moja podróż dobiegła końca, czy...”

Nocne niebo przecięła srebrzysta smuga spadającej gwiazdy, a Nadine, jak mała dziewczynka, wypowiedziała w myślach życzenie.

ROZDZIAŁ 50

Wstający świt zabarwił niebo na wschodzie delikatnym odcieniem różu. Stu Redman i Glen Bateman znajdowali się w połowie drogi na szczyt Flagstaff Mountain w zachodnim Boulder, gdzie z równin wypiętrzały się pierwsze wzniesienia Gór Skalistych przywodzące na myśl dni, kiedy świat był jeszcze młody.

W blasku poranka Stu wydawało się, że sosny rosnące pośród nagich, niemal pionowych kamiennych stoków przypominają żyły na ręce olbrzyma wyłaniającego się spod ziemi. Gdzieś na wschodzie Nadine Cross zapadła wreszcie w płytki, nie zadowalający sen.

– Dziś po południu będę miał kaca giganta – jęknął Glen. – Nie wierzę, że mogłem pić całą noc, coś takiego nie przydarzyło mi się od lat.

– Wschód słońca jest tego wart – powiedział Stu.

– To fakt. Jest piękny. Byłeś kiedykolwiek w Górach Skalistych?

– Nie – odrzekł Stu. – Ale cieszę się, że tu jestem. – Pociągnął łyk wina. – Mnie także zaczyna już szumieć w głowie. – Przez kilka chwil rozglądał się dokoła, podziwiając widoki, po czym spojrzał na Glena i uśmiechnął się krzywo. – I co się teraz stanie?

– Co się stanie? – Glen uniósł brwi.

– Właśnie. Po to cię tu ściągnąłem. Powiedziałem Frannie: „Najpierw go spiję, a potem zmuszę do gadania”. Uznała, że to dobry pomysł.

Glen wyszczerzył zęby.

– Na dnie tej butelki nie ma fusów.

– Nie ma, ale Frannie mówiła mi, co robiłaś, zanim się to wszystko zaczęło. Byłaś socjologiem. Badałaś zachowania w grupach. Chciałbym usłyszeć zdanie naukowca w tej sprawie.

– By poznać mądrość, o szlachetny panie, połóż na mej dłoni hojny dar w srebrze.

– Po co ci srebro? Jutro zaprowadzę cię do tutejszego banku i wypłacę milion dolarów w gotówce. Co ty na to?

– A teraz poważnie, Stu. Co chciałbyś wiedzieć?

– To samo, co ten niemowa, Andros. Co się teraz wydarzy. Nie potrafię wyrazić tego inaczej.

– Powstanie społeczność – odparł powoli Glen. – Jakiego rodzaju? Na razie nie sposób stwierdzić. Obecnie mamy tu około czterystu osób. Sądząc po częstotliwości, z jaką przybywają – każdego dnia jest ich więcej – pierwszego września będzie ich już półtora tysiąca. Pierwszego października cztery i pół tysiąca, a z początkiem listopada, zanim śnieg zasypie przełęcz, około ośmiu tysięcy. Uznaj to za przepowiednię numer jeden. Możesz ją nawet zapisać.

Ku rozbawieniu Glena Stu rzeczywiście wyjął z tylnej kieszeni džinsów mały notes i zapisał, co zostało powiedziane.

– Trudno mi w to uwierzyć – mruknął Stu. – Przejechaliśmy przez cały kraj i nie widzieliśmy w sumie nawet stu osób.

– Tak, ale jednak z każdym dniem przybywają nowi, czyż nie?

– Racja... ciągną jak muchy do miodu.

– Że co?

– Ciągną jak muchy do miodu. Moja matka tak mawiała. Coś ci się nie podoba?

– Bynajmniej, Stu. Nie miałem zamiaru obrażać pamięci twojej teksańskiej mateczki.

– Wracając do tematu, to prawda, że wciąż zjeżdżają się tu nowi ocaleni. Ralph jest obecnie w kontakcie z pięcioma czy sześcioma grupami. Gdy pod koniec tygodnia dotrą do Boulder, będzie nas około pięćset osób.

Glen znów się uśmiechnął.

– Tak. Matka Abigail wciąż przesiaduje z Ralphem w jego „radiostacji”, ale sama nie nadaje. Podobno boi się, że porazi ją prąd.

– Frannie kocha tę staruszkę – powiedział Stu. – Między innymi dlatego, że wie tak dużo o rodzeniu dzieci, ale ogólnie kocha ją tak po prostu, bez żadnego powodu. Wiedziałaś o tym?

– Tak. Prawie wszyscy dzielają to odczucie.

– Mówisz, że jeszcze przed nadejściem zimy będzie nas osiem tysięcy – ciągnął Stu, powracając do poprzedniego tematu. – Coś takiego!

– To zwyczajna arytmetyka. Załóżmy, że supergrypa unicestwiła dziewięćdziesiąt dziewięć procent całej populacji. Może nie jest aż tak źle, ale przyjmijmy, że tak się stało. Jeżeli grypa była zabójcza w tylu właśnie procentach, oznacza to, że tylko w tym kraju uśmierciła prawie dwieście osiemnaście milionów ludzi. – Spojrzał na przepełnioną przerażeniem twarz Stu i z posępną miną pokiwał głową. – Może nie było aż tak źle, ale zważywszy na to, co widzieliśmy podczas naszej podróży, śmiem twierdzić, że te szacunki nie są zbyt przesadzone. W porównaniu z Kapitanem Tripsem naziści w kwestii ludobójstwa mogą wydawać się teraz żalonymi amatorami.

– Boże – jęknął Stu.

– Mimo to wciąż pozostaje nam około dwóch milionów ludzi, jedna piąta przedpomorowej populacji Tokio i jedna czwarta przedpomorowej populacji Nowego Jorku. I to tylko w tym jednym kraju. Przyjmijmy dalej, że dziesięć procent z tych dwóch milionów,

mimo iż przeżyło zarazę, zmarło wkrótce potem. Nazwijmy to, co ich spotkało, szokiem popomorowym. Jego ofiary to ludzie tacy jak Mark Braddock, któremu rozlał się wyrostek, ale również wypadki, samobójstwa i rzecz jasna morderstwa. Z dwóch milionów zostaje nam milion osiemset. Podejrzewamy jednak, że pojawił się Adwersarz, czyż nie? Mroczny mężczyzna, o którym śniliśmy. Jest teraz gdzieś na zachód stąd. Tworzy swoje społeczeństwo na terytorium któregoś z siedmiu znajdujących się tam stanów... oczywiście, jeżeli istnieje.

– Wydaje mi się, że istnieje – powiedział półgłosem Stu.

– Ja też tak sądzę. Czy jednak ma on władzę nad wszystkimi ludźmi, którzy się tam znajdują? Wydaje mi się, że to trochę bardziej skomplikowane. Nie jest Panem i Władcą wszystkich ludzi na tym terenie, podobnie jak Matka Abigail nie ma automatycznie kontroli nad ludźmi z pozostałych czterdziestu jeden stanów. Mam wrażenie, że wszystko jest teraz w ciągłym ruchu i że ten stan rzeczy, jaki znaleźliśmy, ma się ku końcowi. Ludzie się jednoczą. Kiedy rozmawialiśmy o tym po raz pierwszy w New Hampshire, sugerowałem pojawienie się tuzinów mikrospołeczności. Nie wziąłem jednak pod uwagę, ponieważ o tym nie wiedziałem, potężnej siły przyciągania owych dwóch przeciwstawnych snów. Tego nowego czynnika nie sposób było przewidzieć.

– Chcesz powiedzieć, że łącznie dziewięćset tysięcy osób trafi do Boulder, a drugie dziewięćset tysięcy do niego?

– Nie. Po pierwsze nadchodząca zima też z pewnością zbierze pokaźne żniwo. Zbierze je również tutaj, ale najciężej doświadczą jej małe grupki ocalonych, którzy nie zdołają dotrzeć do Boulder przed pierwszym śniegiem. Czy zdajesz sobie sprawę, że jak na razie w Wolnej Strefie nie mamy nawet jednego lekarza? Nasz zespół medyczny składa się z weterynarza i Matki Abigail, która zapomniała więcej tajników ludowej medycyny tradycyjnej, niż ty czy ja mielibyśmy szansę kiedykolwiek poznać. Mimo to gdybyś rozbił sobie głowę, spadając z motoru, nie mrugnęliby powieką tylko próbowaliby wstawić ci w czaszkę metalową płytkę.

Stu parsknął głośno.

– Rolf Dannemont sięgnąłby pewnie po swojego remingtona i dobił go jak starego, wiernego psa.

– Podejrzewam, że nim nadejdzie wiosna, populacja w Stanach zmniejszy się do miliona sześciuset osób i są to, moim zdaniem, bardzo prawdopodobne szacunki. Mam nadzieję, że milion z tych osób zdecyduje się przybyć do nas.

– Milion ludzi – rzekł z przejęciem Stu. Spojrzał na rozległe, w większości opustoszałe miasto Boulder rozjaśnione promieniami wschodzącego słońca. – Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić. Miasto będzie pękać w szwach.

– Boulder nie pomieści ich wszystkich. Wiem, co ci chodzi po głowie, kiedy wędrujesz pustymi ulicami śródmieścia aż do Table Mesa, ale tak po prostu musi być. Zasiedlimy okoliczne miasta. Ostatecznie, jak mi się zdaje, wokół tego miasta powstanie wielkie skupisko

ludzi tworzących nową społeczność, a pozostała część kraju na wschodzie będzie zupełnie wyludniona.

– Jak sądzisz, dlaczego większość tych ludzi przybędzie właśnie do nas?

– Z bardzo nienaukowych przyczyn – odrzekł Glen, przeczesując dłonią tonsurę włosów.

– Z całego serca wierzę, że większość ludzi jest dobra. I wydaje mi się, że ten, kto rozpoczął całą tę szopkę na zachodzie, jest zły do szpiku kości. Co więcej, mam przecucie...

Przerwał.

– No, co jest, mów dalej.

– Powiem to, bo jestem pijany. Ale Stu, proszę, niech to zostanie między nami.

– W porządku.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Wydaje mi się, że on zdobędzie większość techników – powiedział w końcu Glen. – Nie pytaj mnie dlaczego, takie mam przecucie. Może łączy się z tym fakt, że technicy lubią pracować w atmosferze surowej dyscypliny. Lubią, gdy wszystko jest ściśle zaplanowane. My tu, w Boulder, mamy raczej bałagan, każdy robi swoje, nikt nie bardzo wie, co i jak. Owszem, musimy, jak to się mówi na studiach, „pozbiierać wszystko do kupy”, ale jeszcze nie teraz. Tymczasem ten drugi... cóż, założę się, że u niego wszystko idzie zgodnie z planem i każdy wie, gdzie jest jego miejsce. A technicy to tacy sami ludzie, jak my wszyscy, pójdą tam, gdzie są najbardziej potrzebni. Podejrzewam, że nasz Adwersarz chce zdobyć tylu zwolenników, ilu tylko się da. Do diabła z farmerami, on woli mieć u siebie paru facetów, którzy zdołają odnaleźć silosy rakietowe i ponownie przywrócić je do działania.

Oprócz tego chce zdobyć dla swoich ludzi czołgi, helikoptery i na dokładkę jeden lub dwa bombowce B-52. Wątpię, aby już je miał, ba, jestem tego pewien. Wiedzielibyśmy. Na razie koncentruje się przede wszystkim na odzyskaniu zasilania i łączności, prąd i radio, oto co go interesuje... może ma przy okazji pewne problemy z niektórymi, co oporniejszymi spośród wezwanych i zmuszony jest przeprowadzać wśród nich czystki. Nie od razu Rzym zbudowano. On o tym wie. Ma czas. Kiedy jednak zbliża się zmierzch, a po nim noc, naprawdę się boję i wcale nie żartuję, Stuart. Nie potrzeba mi już koszmarów, abym się bał. Wystarczy, że pomyślę o nich, gdzieś tam, po drugiej stronie Gór Skalistych, zasuwających jak małe samochodziki.

– Co niby mieliby robić?

– Mam ci wyliczyć? – odparł z uśmiechem Glen.

Stuart wskazał na swój wymiętoszony notes. Na różowej okładce widać było parę tancerzy, a podpis u dołu brzmiał: BOOGIE WIECZNIE ŻYWE!

– Tak – mruknął.

– Żartujesz.

– Ani trochę. Sam powiedziałaś, Glen, że musimy zacząć kiedyś „zbierać wszystko do kupy”. Ja również to czuję. Z każdym dniem mamy coraz mniej czasu. Nie możemy się tu tylko opierdalać, słuchając radia CB. Musimy działać, bo może się zdarzyć, że obudzimy się któregoś dnia i okaże się, że nasz Adwersarz wkracza właśnie do Boulder na czele kolumny czołgów wspieranych przez eskadrę myśliwców bombardujących.

– Nie oczekuj, że stanie się to już jutro – rzekł Glen.

– Nie. Ale w przyszłym roku, w maju... Kto wie?

– Jak sądzisz, co stałoby się z nami?

Glen w odpowiedzi przeciągnął kciukiem po szyi i zaraz potem dopił resztkę wina.

– Racja – mruknął Stu. – To bierzmy się do roboty. Mów.

Glen zamknął oczy. Promienie słońca padły na jego czoło i pomarszczone policzki.

– No dobrze – westchnął. – Zaczniemy od tego, Stu. Odbudowa Ameryki. Małej Ameryki. Wszelkimi dostępnymi środkami. Na początek organizacja i rząd. Jeśli zaczniemy od razu, możemy stworzyć mniej więcej taki rząd, o jaki nam chodzi. Jeśli będziemy zwlekać aż populacja Boulder zwiększy się trzykrotnie, możemy mieć z tym potem mnóstwo najróżniejszych problemów.

Powiedzmy, że zwołamy zebranie za tydzień od dziś, czyli osiemnastego sierpnia. Mają zjawić się na nim wszyscy. Obowiązkowo przed zebraniem należy powołać tymczasową komisję organizacyjną, powiedzmy, siedmioosobową. Ty, ja, Andros, Fran, może Harold Lauder i jeszcze ze dwie osoby. Zadaniem komisji będzie opracować porządek spotkania zaplanowanego na osiemnastego sierpnia. Już teraz mogę ci podać kilka punktów, które powinny się w nim znaleźć.

– Wal.

– Po pierwsze, odczytanie i ratyfikacja Deklaracji Niepodległości. Po drugie, odczytanie i ratyfikacja Konstytucji. Po trzecie, odczytanie i ratyfikacja Karty Praw. Ratyfikacja musi zostać zatwierdzona drogą głosowania.

– Chryste, Glen, przecież wszyscy jesteśmy Amerykanami...

– I tu się właśnie mylisz – powiedział Glen, otwierając oczy. Wydawały się zapadnięte i przekrwione. – Jesteśmy gromadą pozostałych przy życiu ludzi, a nasz rząd, taki jaki kiedyś znaliśmy, już nie istnieje. Stanowimy luźny zlepek przedstawicieli wszystkich grup wiekowych, religijnych, klasowych i rasowych. Stu, rząd to idea. Tym właśnie jest, gdy odrzesz go z wielkiej biurokracji i całego tego szajsu. Posunę się dalej. To wszczep, ścieżka pamięci zapisana w naszym mózgu. To, co teraz tutaj robimy, jest wynikiem naszego zżycia się z pewną kulturą. Większość spośród tych ludzi wciąż wierzy w reprezentację rządową – Republikę – czyli to, co uważają powszechnie za demokrację. Tylko że to zżycie się z kulturą nie będzie trwało wiecznie. Bądź co bądź jej już nie ma. Wkrótce ludzie zaczną zdawać sobie sprawę, że prezydent nie żyje, gmach Pentagonu stoi pusty i czeka na wynajęcie, a w Senacie i Izbie Reprezentantów debatują już chyba tylko karaluchy i termity.

Niedługo ci ludzie tutaj uświadomią sobie, że dawne obyczaje przeminęły i że mogą restrukturyzować społeczeństwo wedle takich zasad, jakie uznają za stosowne. Chcemy, ba, musimy wziąć ich w karby, zanim się zorientują i zrobią coś nieroztropnego.

Wymierzył palec wskazujący w Stu.

– Gdyby podczas zebrania osiemnastego sierpnia ktoś wstał i zaproponował by Matka Abigail objęła w Boulder władzę absolutną, a ty, ja i ten chłopak Andros zostali jej doradcami, ci ludzie przyjęliby ów wniosek przez akklamację, nie dostrzegając w swym zaślepieniu, że z własnej woli ustanawiają w Ameryce pierwszą, legalną dyktaturę od czasów Huey Longa.

– Och, nie. Nie wierzę w to. Mamy tu absolwentów college’u, prawników i aktywistów politycznych.

– Możliwe, że byli nimi. Teraz są gromadą zmęczonych, przerażonych ludzi, którzy nie wiedzą, co się z nimi stanie. Niektórzy mogą oponować, ale nie odezwą się, kiedy powiesz im, że Matka Abigail i jej doradcy w sześćdziesiąt dni przywrócą w mieście zasilanie. Nie, Stu, najistotniejsze jest, by w pierwszym rządzie ratyfikować ducha dawnej społeczności. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o odtworzeniu Ameryki. I tak będzie musiało być dopóty, dopóki w jakiś sposób nie rozwiążemy kwestii zagrożenia ze strony mężczyzny nazywanego przez nas Adwersarzem.

– Mów dalej.

– W porządku. Następnym punktem planu będzie zorganizowanie rządu na wzór rad miejskich z terenów Nowej Anglii. To przykład idealnej demokracji. Dopóki nasza społeczność nie jest nazbyt liczna, powinien działać bez zarzutu. Tylko że zamiast radnych będziemy mieli siedmioro... reprezentantów. Nazwijmy ich reprezentantami Wolnej Strefy. Jak to brzmi?

– Całkiem niezłe.

– Też tak uważam. Musimy dopilnować by w rządzie znaleźli się dokładnie ci sami ludzie, którzy wchodzili w skład komisji. Pójdziemy za ciosem i przeprowadzimy głosowanie, zanim ludzie zaczną zgłaszać do rządu swoich koleśków. Możemy wybrać ludzi, którzy najpierw zgłoszą nasze kandydatury, a potem poprą nas w głosowaniu. To proste jak budowa cepa. Powinno pójść jak po maśle.

– Niezłe – rzekł z podziwem Stu.

– Jasne – mruknął Glen. – Jeśli chcesz skrócić proces demokracji, poproś o radę socjologa.

– Co dalej?

– To powinno przypaść wszystkim do gustu. Następny punkt planu brzmi: „Uchwalić: Matka Abigail ma prawo weta i jej głos może unieważnić każdą, ale to każdą decyzję Rady”.

– Jezu. Czy ona się na to zgodzi?

– Sądzę, że tak. Choć nie wydaje mi się, by w najbliższej przyszłości, zważywszy na okoliczności, miała okazję skorzystać ze swego przywileju. Po prostu nie możemy liczyć, że uda się nam stworzyć w pełni funkcjonalny rząd, jeśli nie uczynimy Matki Abigail jego tytułarną przywódczynią. Wszyscy mieliśmy związane z nią doświadczenia paranormalne. Poza tym ona... ona rozciąga wokół siebie pewną specjalną i bardzo silną aurę. Wszyscy tutaj mówią o niej w ten sam sposób: dobra, miła, łagodna, stara, mądra, wiedząca, inteligentna. Ci ludzie dzielili jeden wspólny sen, który ich śmiertelnie przeraził, i drugi, który przeppełnił ich spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Właśnie z powodu tego pierwszego, straszliwego koszmaru, całym sercem kochają i ufają źródłu drugiego, dobrego snu. Poza tym możemy dogadać się z nią, że będzie naszą przywódczynią wyłącznie z nazwy. Zresztą chyba ona sama by tego chciała. Jest stara, zmęczona...

Stu pokręcił głową.

– Jest stara i zmęczona, ale dla niej problem mrocznego mężczyzny jest porównywalny z kruczają religijną. Zresztą nie dla niej jednej. Wiem o tym doskonale.

– Chcesz powiedzieć, że mimo wszystko może zdecydować się nas poprowadzić?

– Może to nie byłoby takie złe – zauważył Stu. – Bądź co bądź śniliśmy o niej, a nie o Radzie Reprezentantów.

Glen pokręcił głową.

– Nie. Nie potrafię pogodzić się z myślą, że my wszyscy możemy być pionkami w jakiejś postapokaliptycznej bitwie między Dobrem a Złem. Nie potrafię przyjąć tego do siebie. Pomimo snów i całego tego szajsu. Na Boga, przecież to irracjonalne!

Stu wzruszył ramionami.

– Cóż, nie czas teraz by się nad tym zastanawiać. Uważam, że twój pomysł z przyznaniem jej prawa weta jest całkiem niezły. Tylko że brak tu jeszcze czegoś. Powinniśmy dać jej również możliwość zgłaszania wniosków, nie tylko ich wetowania.

– Ale tylko w pewnych granicach. W tej kwestii nie będzie miała ostatecznego głosu.

– O, tak. Jej wnioski będą musiały być ratyfikowane przez radę reprezentantów – powiedział Stu i dodał z przekąsem: – Może się okazać, że to my będziemy zaworem bezpieczeństwa dla niej, a nie na odwrót.

Nastąpiła długa cisza. Glen podparł czoło dłonią.

– Tak, masz rację – odezwał się w końcu. – Ona nie może być tylko figurantką... w każdym razie musimy brać pod uwagę ewentualność, że w niektórych sprawach Matka Abigail zechce przedstawić nam własne propozycje.

I oto nadszedł czas, bym spakował moją szklaną kulę do plecaka, Teksaszczyku. Ponieważ Matka Abigail jest jedną z tych osób, które my, socjologowie, określamy mianem „sterowanych”.

– Kto nią steruje?

– Bóg? Thor? Allah? Pee-Wee Herman? To nieistotne. Ważne jest, że jej słowa niekoniecznie muszą wynikać z bieżących potrzeb społeczności, zarówno teraz, jak i w bliżej nieokreślonej przyszłości. Ona będzie słuchać innego głosu. Tego, który mówi jej, co powinna uczynić. Tak jak Joanna d’Arc. To, co zasugerowałeś, pozwala mi przypuszczać, że być może jesteśmy właśnie w trakcie tworzenia systemu teokratycznego.

– Teo...jak?

– Teokratycznego. Rządów Boga – odparł Glen. Nie wydawał się zbyt uszczęśliwiony. – Czy w dzieciństwie myślałeś kiedyś, Stu, że gdy dorośniesz, możesz zostać jednym z siedmiorga kapłanów w teokratycznym rządzie stuosmioletniej Murzynki z Nebraski?

Stu spojrział na niego.

– Masz jeszcze trochę wina? – zapytał po chwili.

– Nic a nic.

– Cholera.

– Właśnie – mruknął Glen.

Przez kilka sekund w milczeniu przyglądali się sobie nawzajem, a potem obaj, jak na komendę, wybuchnęli śmiechem.

Był to z pewnością najładniejszy dom, w jakim kiedykolwiek mieszkała Matka Abigail i, siedząc na zadaszonej logii, powróciła myślami do tamtego komiwojażera, który odwiedzał Hemingford w 1936 albo 1937 roku. Był to najmilszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkała, miał tak piękny głos, że mógłby nim oczarowywać nawet ptaki, by przylatywały do niego ze swych gniazd. Zapytała tego mężczyznę, pana Donalda Kinga, czego chce od Abby Freemantle, a on odpowiedział: „Droga pani, naszym zadaniem jest przyjemność. Pani przyjemność. Czy lubi pani czytać? Słucha pani czasem radia? A może po prostu wyciąga się pani wygodnie, opiera nogi na miękkich poduszkach i nasłuchuje, jak kręci się świat?”.

Przyznała, że owszem, lubi to wszystko po trosze, nie wspominając, że miesiąc temu sprzedała motorolę, aby zapłacić za dziewięćdziesiąt bel siana.

„I to są właśnie rzeczy, które ja sprzedaję – powiedział jej ten miły, uprzejmy, złotousty domokrążca. – Nazywa się to odkurzaczem marki Elektrolux wraz z kompletem nakładek, ale w rzeczywistości kupuje pani nic innego jak właśnie wolny czas. Włącza pani wtyczkę do gniazdka i otwiera się przed panią cała gama nowych form odpoczynku. I opłaty są niemal zerowe. Tak jak pani obowiązki, gdy zdecyduje się pani na zakup naszego elektroluxu”.

W całym kraju panował wtedy Wielki Kryzys. Nie stać jej było nawet na zakup wstążek do włosów dla wnuczki na urodziny, co dopiero mówić o elektroluksie. Czyż jednak ten pan Donald King z Peru w Indianie nie miał cudownego głosu? Jak on umiał przekonywać! Boże! Nigdy go już nie spotkała, ale na zawsze zapamiętała, jak się nazywał. Mogła się założyć, że złamał serce jakiejś białej pannie. Własny odkurzacz nabyła dopiero pod koniec drugiej

wojny światowej, kiedy wydawało się, że wszystkim stać praktycznie na wszystko i nawet najbiedniejszy biały śmieć miał mercurego schowanego w szopie za chałupą.

W jej obecnym domu, który, jak wyjaśnił Nick, mieścił się w części Boulder zwanej Mapleton Hill (Matka Abigail mogła się założyć, że przed pomorem w tej dzielnicy Czarnych było jak na lekarstwo) znajdowały się wszystkie znane jej gadżety i kilka takich, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia. Zmywarkę do naczyń, dwa odkurzacze, zlew z wmontowanym urządzeniem do mielenia odpadków, kuchenkę mikrofalową, pralkę z suszarką. W kuchni stało coś, co wyglądało jak stalowa skrzynia, a dobry przyjaciel Nicka, Ralph Brentner, wyjaśnił jej, że to zgniatarka do śmieci, można było wcisnąć do niej sto kilo śmieci, a po uruchomieniu tej cudownej maszynki wychodziła z niej zgrabna kostka wielkości pudełka na buty. Człowiek uczy się całe życie.

Są na świecie rozmaite cuda.

Niestety, nie zawsze takie, jakich byśmy sobie życzyli.

Gdy tak siedziała, bujając się na ganku, jej wzrok padł na gniazdko wmontowane przy ścianie. Prawdopodobnie latem mieszkańcy tego domu siadali na ganku i na świeżym powietrzu słuchali radia albo oglądali telewizję. Wtyczki montowane na gankach w specjalnych listwach były bardzo popularne w całym kraju. Nawet ona miała jedną taką wtyczkę na ganku swojej starej chatki w Hemingford Home. Zwykle w ogóle się o nich nie myśli... dopóki działają. Kiedy przestają funkcjonować, ni stąd ni zowąd stwierdzasz, że wraz z nimi odeszła gdzieś znaczna część twojego życia. Cały ten wolny czas, przyjemność płynąca z oglądania ulubionych programów czy teleturniejów... wypływa z tych małych otworów umieszczonych w ścianie, kiedy zaś przestanie płynąć w nich prąd, wszystkie te udogodnienia, włącznie z kuchenką mikrofalową i całą masą innych urządzeń nadaje się tylko na to, by powiesić na nich płaszcz i kapelusz.

Zresztą, co tu dużo gadać! Jej mała chatka była stokroć lepiej przygotowana na ewentualny zgon wszystkich urządzeń elektrycznych, wywołany brakiem prądu, niż dom, w którym się znajdowała obecnie. Tutaj ktoś musiał przynosić jej wodę aż z Boulder Creek i przed użyciem, dla bezpieczeństwa, trzeba ją było gotować. W swojej chatce miała własną pompę. Tutaj Nick i Ralph musieli przywieźć obrzydliwie wyglądające straszdyło zwane „toaletą kabinową”; postawili ją z tyłu, na podwórzu. W Hemingford Home miała swoją starą wygodkę. Chętnie zamieniłaby pralkę z suszarką firmy Maytag na swoją wysłużoną balię, ale Nick znalazł jej nową, a Brad Kitchner załatwił skądś tarę i zapas mydła ługowego. Zapewne uważali ją za stukniętą zrzędę i dziwili się jej uporowi, gdy stwierdziła, że musi sama prac swoje rzeczy, jednak w jej mniemaniu czystość była przymiotem boskości, nigdy dotąd nikt nie wyręczał jej w tym obowiązku i nie zamierzała tego zmieniać. Od czasu do czasu zdarzały się jej drobne wypadki, jak to bywa ze starymi ludźmi, ale dopóki sama prała swoje rzeczy, nikt o tym nie wiedział. I nikt się nie dowie.

Oczywiście przywrócić w mieście zasilanie. To jedna z rzeczy, którą Bóg objawił jej w snach. Wiedziała całkiem sporo o tym, co się tu wydarzy, dzięki snom, a także dzięki własnemu rozumowi i zdrowemu rozsądkowi. Te rzeczy przeplatały się ze sobą.

Już wkrótce ci ludzie przestaną biegać w kółko jak kurczaki, którym odrąbano łebki i zaczną się jednoczyć.

Nie była socjologiem, jak Glen Bateman (który zawsze przyglądał się jej niczym naukowiec obiektowi eksperymentów), ale wiedziała, że po pewnym czasie ludzie zawsze zaczynają zbliżać się do siebie nawzajem. Ta chęć bliskości z innymi, przynależności do grupy, była zarazem największym błogosławieństwem i przekleństwem ludzkości. Ale, cóż, tak to już było; kiedy sześć osób płynie podczas powodzi na zerwanym kościelnym dachu, jest wielce prawdopodobne, że kiedy dach wyląduje na mieliźnie, ludzie ci zaczną grać w bingo.

Najpierw spróbują utworzyć coś w rodzaju rządu, zapewne w oparciu o jej skromną osobę. Oczywiście nie mogła na to pozwolić, choć bardzo tego chciała. To nie byłoby zgodne z wolą Boga. Niech sami sobie rządzą i urządzają tę ziemię na nowo – a przywrócenie zasilania? W porządku, niech się tym zajmą. W pierwszej kolejności wypróbuje tę „zgniatarkę do śmieci”. Przydałoby się też uruchomić ogrzewanie, żeby zimą nie poodmarzały im tyłki. Niech sobie uchwalają swoje uchwały i opracowują plany. Nie miała nic przeciw temu. Będzie nalegać, aby włączyli do tego Nicka i może również Ralpa. Ten Teksaszczyk też wydawał się w porządku, był na tyle rozsądny, że kiedy jego mózg nie pracował, nie kłapał dziobem bez potrzeby. Podejrzewała, że mogą zechcieć włączyć do swoich planów tego grubaska, Harolda, i nie zdoła ich przed tym powstrzymać, ale cóż mogła na to poradzić, że nie darzyła go sympatią. Denerwował ją. Przez cały czas się uśmiechał, ale jego oczy pozostawały beznamiętne. Był miły, mówił do rzeczy, lecz jego oczy wyglądały jak dwa zimne, wyluskane z wody kamyki. Uznała, że Harold coś ukrywa. Nie był do końca szczerzy wobec niej ani wobec pozostałych. Zastanawiała się, jakież ohydny, cuchnący sekret może znajdować się szczelnie zawinięty na dnie serca tego chłopaka. Nie miała pojęcia, co to mogło być – najwyraźniej Bóg nie zamierzał jej tego wyjawić, więc zapewne nie miał on większego znaczenia dla Jego planów wobec tworzącej się tu społeczności. Mimo wszystko czuła się nieswojo, wiedząc, że grubasek może zostać członkiem ich rady rządzącej... jednak nie zamierzała się temu sprzeciwiać.

Jej zadanie, pomyślała, siedząc wygodnie w swoim bujanym fotelu, oraz jej pozycja w radzie i późniejszych obradach nierozzerwalnie łączyły się z mrocznym mężczyzną.

Nie miał nazwiska, choć od jakiegoś czasu lubił nazywać siebie Flagga... Jego dzieło już się rozpoczęło. Po drugiej stronie gór wrzała gorączkowa praca. Nie знаła jego planów, były przed nią ukryte równie starannie, jak sekrety spoczywające w głębi serca Harolda. Nie musiała jednak znać szczegółów. Jego cel był jasny i prosty – zniszczyć ich wszystkich.

Jej pojmowanie Flagga było zdumiewająco złożone. Ludzie, którzy przybywali do Wolnej Strefy, zjawiali się tu by ją ujrzyć. Przyjmowała każdego z nich, choć czasami była nimi bardzo zmęczona... i wszyscy, bez wyjątku, chcieli jej powiedzieć, że śnili zarówno o niej, jak i o NIM. Przerzątał ich, mówili, na co ona kiwała głową, pocieszając ich i uspokajając jak tylko potrafiła, choć w głębi duszy podejrzewała, że większość z nich nie rozpoznałaby Flagga, nawet gdyby spotkali go na ulicy – chyba że on sam chciałby zostać przez nich DOSTRZEŻONY. Mogli go poczuć... jak nagły podmuch lodowatego wiatru albo wrażenie dziwnego, niewyjaśnionego niepokoju, od którego na rękach robi się gęsia skórka, gwałtowny przypływ gorąca, duszności, które zatykają dech w piersiach i dudniący, krótkotrwały, przeszywający ból w skroniach. Ci ludzie mylili się jednak, sądząc, że miał dwie głowy, sześcioro oczu albo wyrastające ze skroni wielkie, ostro zakończone rogi. Prawdopodobnie wyglądał jak przeciętny, szary zjadacz chleba, jeden z wielu zwyczajnych ludzi, mleczarz albo może listonosz.

Przypuszczała, że za świadomym złem kryła się podświadoma czerni. To właśnie odróżniało ziemskie dzieci mroku – nie potrafiły stwarzać rzeczy, a jedynie je niszczyć. Bóg stworzył człowieka na Swój obraz i podobieństwo, co oznacza, że każdy człowiek, zarówno mężczyzna jak i kobieta na tym świecie byli na swój sposób stwórcami, drażnionymi pragnieniem by ukształtować ten świat w nieco bardziej racjonalny sposób. Ten człowiek pragnął niszczyć i tylko to potrafił. Antychryst? Równie dobrze można go było nazwać Antystworzeniem.

Naturalnie znajdzie swoich popleczników, nie było w tym nic nowego. Był łgarzem, a jego ojciec był Ojcem Kłamstw. Będzie dla nich niczym wielki wiszący wysoko na niebie zapalony neon, oślepiający ich oczy feerią barwnych świateł. Owi uczniowie Niszczyciela nie zdołają spostrzec, że tak jak neon raz po raz powtarza on wciąż te same, znane wzorce. Nie zdołają pojąć, że gdy wypuścić gaz, który nadaje neonowi jego wspaniałą barwę i formę, uleci on bezgłośnie gdzieś w dal i rozwieje się, nie pozostawiając po sobie nic, może za wyjątkiem niemiłego dla nozdrzy zapachu. Niektórzy domyśla się prawdy (i zdołają to zrobić nim minie ich czas), w jego królestwie nigdy nie będzie spokoju. Posterunki strażnicze i zasieki z drutu kolczastego ustawione na granicach jego terytorium będą zarówno miały za zadanie zapobiegać ucieczkom nawróconych, jak i nie dopuścić do środka intruzów.

Czy On zwycięży?

Nie miała pewności, że tak się nie stanie. Wiedziała, że wyczuwał jej obecność, tak jak ona jego i nic nie sprawiłoby mu więcej przyjemności niż widok jej chudego, czarnego ciała ukrzyżowanego na jednym ze słupów telegraficznych, gdzie stałoby się żerem dla kruków i wron. Wiedziała, że prócz niej jeszcze kilka osób śniło o ukrzyżowaniach, ale było ich niewielu. Ci, którzy mieli te straszne wizje, opowiadali o nich wyłącznie jej. Nikomu innemu. Tak przynajmniej sądziła. I wciąż nie знаła odpowiedzi na dręczące ją pytanie: „Czy on zwycięży?”

Nie dane jej było tego wiedzieć. Bóg działał dyskretnie i w Sobie tylko znany sposób. To z Jego woli Dzieci Izraela miały przez całe pokolenia znosić trudy i cierpienia niewoli egipskiej. To z Jego woli Józef trafił w niewolę, a cudowny wielobarwny płaszcz brutalnie zdarto mu z grzbietu. To z Jego woli na biednego Hioba spadły dziesiątki plag i z Jego woli Syn Jego Umiłowany zawisł na Drzewie Krzyża z tabliczką o cynicznej treści nad głową.

Bóg był graczem. Gdyby był śmiertelnikiem, zapewne przesiadywałby całymi dniami w swoim domu w Hemingford Home, rozgrywając kolejną partię szachów. Doszła do wniosku, że dla Niego gra była bardziej niż warta świeczki, ona BYŁA świeczką. On zwycięży. Wygra w swoim czasie. Niekoniecznie w tym roku, ani za tysiąc lat... i bynajmniej nie przeceniała tu sprytu oraz potęgi kłamstw mrocznego mężczyzny. Jeżeli On był porównywalny do gazu w neonówkach, to ją można by przyrównać do małej, ciemnej drobiny, ułamka wielkiej, czarnej burzowej chmury zbierającej się nad spragnioną deszczu równiną. Była po prostu jeszcze jednym szeregowcem w służbie Pana, do tego od dawna w stanie spoczynku, to wcale nie żart!

– Bądź wola Twoja – powiedziała i sięgnęła do kieszeni fartucha po torebkę orzeszków.

Jej ostatni lekarz, doktor Staunton, stanowczo zabraniał jej jedzenia słonych rzeczy, ale cóż on wiedział? Przeżyła dwóch lekarzy dbających o stan jej zdrowia odkąd skończyła osiemdziesiąt sześć lat i jeżeli zechce, może pozwolić sobie na kilka fistaszków. Gryzienie ich potwornie raniło jej dziąsła, ale, na Boga, jakież miały cudowny smak!

Zaczęła pojadać orzeszki, kiedy pojawił się Ralph Brentner w nasadzonej zawadiacko na głowie kapeluszu z piórkiem. Zapukał do drzwi werandy i zdjął kapelusz.

– Nie śpisz, Matko?

– Nie – odparła z pełnymi ustami. – Wejdz, Ralph. Wymyśliłam nowy sposób jedzenia orzeszków. Nie gryzę ich, bo nie mam zębów, ale za to miażdżę je na amen dziąsłami.

Ralph zaśmiał się i wszedł do środka.

– Mamy kilka nowych osób. Czekają przy bramie. Jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, chcieliby przywitać się z tobą. Wyglądają na niezły zespół. Facet, który nimi przewodzi jest jednym z tych długowłosych, młodych gniewnych, ale wygląda mi na rozsądnego gościa. Nazywa się Underwood.

– Świetnie, Ralph, przyprowadź ich – powiedziała.

– Już się robi. – Odwrócił się, by odejść.

– Gdzie jest Nick? – zapytała. – Nie widziałam go dziś, ani wczoraj. Gdzie on się podziewa?

– Jest przy zbiorniku – odrzekł Ralph. – Ogląda siłownię wraz z tym elektrykiem, Bradem Kitchnerem. – Potarł skrzydełko nosa. – Byłem tam dziś rano. Uznałem, że tym wodom przyda się choć jeden Indianin, któremu mogliby rozkazywać.

Matka Abigail zarechotała. Lubiła Ralpha. Był prostoduszny, ale sprytny i mądry życiowo. Miał smykałkę do różnych rzeczy. Nie zdziwiła się, że to on uruchomił radiostację,

którą nazywano teraz powszechnie Radiem Wolna Strefa. Był jednym z tych ludzi, którzy nie boją się uszczelnić epoksydem pęknięcia w akumulatorze traktora, a kiedy to się im uda, zdejmują po prostu kapelusz i, drapiąc się po głowie, uśmiechają się od ucha do ucha niczym jedenastolatek, który zrobił właśnie co do niego należało, a teraz zarzuciwszy wędkę na ramię idzie na ryby. Dobrze było mieć obok siebie takiego człowieka, zwłaszcza gdy coś szło nie tak, gdy czasy były niespokojne, a ludzie pełni obaw; tacy jak on w przeciwieństwie do innych prawie nigdy się nie załamywali. Potrafili znaleźć odpowiedni wentyl do pompki rowerowej, gdy ta nie pasowała do nowych opon przy twoim rowerze; jeden rzut oka wystarczał im, by zorientować się, co tak dziwnie buczy w starej kuchence, w pracy zaś, gdzie trzeba było odbijać kartę, zjawiali się zwykle ostatni, wychodzili pierwsi i w takim zakładzie nigdy długo nie zagrzewali miejsca. Potrafili poradzić, jaką mieszankę ze świńskiego łajna należy zrobić by użyźnić pole kukurydzy i znali się doskonale na rolnictwie, ale wobec wszelkich umów prawnych, choćby w przypadku wzięcia na kredyt samochodu czy pożyczki, byli bezradni jak dzieci i nie rozumieli, jakim cudem dealerzy zawsze robili ich w konia. Ich podanie o pracę musiało wyglądać jakby pisał je ośmiolatek z oślimi uszami, pełne błędów ortograficznych, smug od atramentu i tłustych plam. Kiedy jednak materia świata zaczynała pękać, to właśnie Ralphowie Brentnerowie nie lękali się powiedzieć: „Zalepimy tę szczelinę epoksydem, spróbujmy, może się uda”.

I zwykle się udawało.

– Wiesz co, Ralph, dobry z ciebie człowiek. Naprawdę.

– Ty również, Matko. Wiesz, o co mi chodzi. A, zupełnie bym zapomniał. Kiedy tam dziś pracowaliśmy, zjawił się ten facet, Redman. Chciał pogadać z Nickiem o jego członkostwie w jakiejś komisji.

– I co powiedział Nick?

– Ee, zapisał dobrych parę stron. W sumie wyszło na to, że się zgadza, jeśli i ty się zgodzisz, Matko Abigail.

– A co taka stara baba jak ja mogłaby mieć w tej sprawie do powiedzenia?

– Sporo – odparł z niemal komiczną powagą Ralph. – Jesteśmy tu z twojego powodu. Wydaje mi się, że teraz powinniśmy robić to, co nam każesz.

– Nie mogę wam niczego kazać. I nie chcę. Jedyne, czego pragnę, to być wolna tak jak przedtem, żyć jak zwykła, przeciętna Amerykanka. I móc zabrać głos, gdy uznam to za stosowne. Jak Amerykanka.

– To wszystko będziesz miała zapewnione.

– Czy pozostali są tego samego zdania, Ralph?

– Naturalnie.

– To doskonale. – Zakołysała się w swoim bujanym fotelu. – Czas wziąć się do roboty. Ludzie szwendają się po mieście bez ładu i składu. Większość tylko czeka, żeby ktoś wreszcie zaczął podejmować konkretne działania.

– A więc mogą zaczynać?

– Ale co?

– No cóż, Nick i Stu poprosili mnie, żebym poszukał prasy drukarskiej i sprawdził, czy uda mi się ją uruchomić, gdy tylko przywrócone zostanie zasilanie. Odparłem, że nie potrzeba mi prądu, wystarczy, że pójdę do pierwszego lepszego liceum i znajdę tam największy dostępny powielacz. Chcą, żebym wydrukował trochę ulotek. – Pokręcił głową. – Trochę! Ha! Siedemset sztuk! Po co, pytam, skoro jest nas tu tylko czterysta osób, no może trochę więcej niż czterysta...

– A dziewiętnaścioro czeka przy bramie i gdy my tak tu sobie gawędzimy, oni, pewnie są już bliscy udaru słonecznego. Przyprowadź ich.

– Natychmiast – Ralph ruszył ku drzwiom.

– Ralph! – zawołała za nim.

Odwrócił się.

– Wydrukuj tysiąc – powiedziała z uśmiechem.

Weszli przez bramę, którą otworzył Ralph, a ona poczuła swój grzech uważany przez nią za matkę wszystkich grzechów. Ojcem grzechu była kradzież, wszystkie dziesięć przykazań sprowadzały się w sumie do zwykłego: „Nie kradnij”. Morderstwo było kradzieżą życia, cudzołóstwo kradzieżą żony, zawiść sekretną, mroczną kradzieżą tego, co kryło się w jaskini ludzkiego serca. Błuznierstwo było kradzieżą imienia Bożego. Ona nigdy nie była złodziejką w pełnym tego słowa znaczeniu, raczej od czasu do czasu coś podwędziła.

Matką grzechu była pycha.

Pycha wśród rasy ludzkiej stanowiła żeńską połowę Szatana, owo ciche jajeczko grzechu zawsze było płodne. To pycha nie pozwoliła Mojżeszowi wejść do Kanaan, gdzie winogrona były tak wielkie, że trudno je było udźwignąć.

„Kto wydobył wodę ze skały, kiedy byliśmy spragnieni?” zapytali Izraelici. „Ja” – odrzekł Mojżesz.

Zawsze była dumną kobietą. Dumną z podłogi, którą myła na kłęczkach (ale kto dał jej te ręce, kolana i wodę do mycia?), dumną, że żadne z jej dzieci nie zeszło na złą drogę, ani jedno nie trafiło nigdy do więzienia, nie zostało przyłapane na pijaństwie, braniu narkotyków, ani nie robiło nieuczciwych interesów, lecz matki owych dzieci były córkami Bożymi. Była dumna ze swego życia, lecz zostało jej ono dane. Pycha stanowiła przekleństwo człowieczej woli i niczym kobieta, miewała swoje sztuczki.

Mimo podeszłego wieku wciąż jeszcze nie poznała wszystkich jej iluzji, ani nie nauczyła się demaskować jej podstępnych forteli.

Kiedy przeszli przez bramę, pomyślała: „To ze mną przyszli się spotkać”. I w ślad za tym grzechem w jej umyśle pojawiła się seria błuznierczych metafor; wydawało się jej, że podchodzą, jedno po drugim, jak wierni podczas przyjmowania komunii, ich przywódca przez

cały czas miał spuszczone wzrok; u jego boku szła jasnowłosa kobieta, tuż za nią mały chłopiec i kobieta o ciemnych włosach, przyprószonych pasemkami siwizny. Za nimi wolno podążali pozostali. Szli gęsiego. Młody mężczyzna wszedł po stopniach ganku, ale jego kobieta zatrzymała się. Tak jak mówił Ralph, miał długie włosy, ale wyglądały na czyste, i dość okazały, rudoczerwisty zarost. Jego silne oblicze porane było świeżymi, głębokimi zmarszczkami w okolicach kącików ust i pośrodku czoła.

– A więc istniejesz naprawdę – rzekł półgłosem.

– Nie pojmuję, dlaczego miałoby być inaczej – odparła. – Jestem Abigail Freemantle, ale większość ludzi tutaj nazywa mnie Matką Abigail. Witajcie w naszym mieście.

– Dziękuję – rzekł ochryple i zauważyła, że był bliski łez. – Ja... bardzo się cieszę, że tu jestem. Nazywam się Larry Underwood.

Wyciągnęła rękę, a on ujął ją delikatnie, z namaszczeniem, i znów poczuła w sobie przypływ pychy. Zesztywniała. Zupełnie jakby wydawało jej się, że miała w sobie ogień, który go sparzy.

– Ja... śniłem o tobie – powiedział niezdarnie.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową, a on odwrócił się sztywno, omal nie tracąc przy tym równowagi. „To mu przejdzie – pomyślała. – Teraz, gdy już tu dotarł, szybko przekona się, że wcale nie musi dźwigać na swoich barkach brzemienia całego świata”. Człowiek wąpiący w samego siebie nie powinien zbyt długo być wystawiony na ciężkie próby, wprawdzie powinien nieco okrzepnąć, zahartować się; ten mężczyzna zaś, Larry Underwood, wciąż był jeszcze zielony, niedojrzały, łatwo się naginał. Mimo to polubiła go.

Jako następna podeszła jego kobieta, śliczna drobna istotka o oczach jak fiołki. Spojrzała na Matkę Abigail odważnie, lecz nie pogardliwie.

– Nazywam się Lucy Swann. Miło mi panią poznać.

I choć nosiła spodnie, dygnęła lekko.

– Cieszę się, że jesteś tu z nami, Lucy.

– Czy mogłabym zapytać... eee... – Spuściła wzrok i zaczerwieniła się.

– Sto osiem, o ile dobrze pamiętam. – odparła życzliwie. – Choć bywają dni, kiedy się czuję jakbym miała dwa razy tyle.

– Śniłam o tobie. – powiedziała Lucy i nieco zakłopotana zeszła po schodach.

Teraz przyszła kolej na ciemnoooką kobietę i chłopca. Kobieta patrzyła na nią posępnym wzrokiem, nie mrugając powiekami, na twarzy chłopca malowało się szczere zdziwienie. Chłopiec był w porządku. W tej kobiecie natomiast było coś, co zmroziło ją do szpiku kości. „On tu jest – pomyślała. – Przybywa pod postacią tej kobiety... albowiem powiedziane jest, że może przybrać taki kształt, jaki mu się spodoba... wilka... kruka... lub węża”.

Wiedziała, czym jest strach i teraz znów go poczuła; przez chwilę miała wrażenie, że ta dziwna kobieta o siwiejących włosach niemal od niechcenia wyciągnie rękę i skręci jej kark. W tym ułamku sekundy Matka Abigail wyobraziła sobie, że twarz owej kobiety znika, a w jej

miejsce pojawia się dziura czasoprzestrzenna, mroczna otchłań, z której patrzyły na nią tylko jej oczy, ciemne i przeklęte, oczy kobiety zagubionej, przegranej i pozbawionej wszelkiej nadziei. Lecz była to tylko kobieta. Tylko kobieta, nie On. Mroczny mężczyzna nie odważyłby się tu przybyć, nawet pod inną postacią. Tak, to była zwyczajna kobieta, na dodatek niebrzydka, o wyrazistym, zmysłowym obliczu. Jedną ręką obejmowała małego chłopca. Nie, to co ujrzała Matka Abigail nie było wizją, a zwyczajnym przywidzeniem. To nic takiego. Zdarza, się.

Nadine Cross przeżywała wewnętrzne katusze. Była kompletnie rozdarta, kiedy przeszli przez bramę czuła się doskonale. To zmieniło się z chwilą, kiedy Larry zaczął rozmawiać z tą staruszką. Wtedy właśnie nagle owładnęło ją uczucie dojmującej zgrozy i niepohamowanego obrzydzenia. Odrazy. Ta starucha mogła... właśnie, co ona mogła?

„Miała dar postrzegania”.

Tak. Nadine bała się, że starucha wejrzy w głąb niej i dostrzeże mrok, który zapuścił w niej swe korzenie i rozrastał się niczym chwast, z dnia na dzień. Bała się, że starucha wstanie ze swojego bujanego fotela, zdemaskuje ją i rozkaże by pozostawiła Joe w Boulder, a sama odeszła do tego (do Niego), któremu była przeznaczona.

Dwie kobiety, każda z nich dręczona własnymi sekretnymi lękami, spojrzały na siebie nawzajem. Wymieniły spojrzenia. Trwało to bardzo krótko, lecz im obu wydawało się, że minęły całe wieki. „On jest w niej, Sługa Szatana” – pomyślała Abby Freemantle. „Cała ich moc zawiera się właśnie tu – pomyślała z kolei Nadine. – Ona jest wszystkim, co mają, choć może wydaje się im inaczej”.

Joe zaczął się niecierpliwić i ciągnąć ją za rękę.

– Cześć – rzekła pustym, beznamiętnym głosem. – Jestem Nadine Cross.

– Wiem, kim jesteś – odparła stara kobieta.

Te słowa zawisły w powietrzu i w jednej chwili ucichły wszystkie rozmowy toczące się przed gankiem. Ludzie zaczęli się odwracać zaskoczeni tym, co usłyszeli.

– Doprawdy? – powiedziała łagodnie Nadine.

Nagle odniosła wrażenie, że jej opoką, jej jedyną opoką był mały Joe. Wypchnęła go przed siebie jak zakładnika. Joe spojrzał na Matkę Abigail swoimi dziwnymi oczami o barwie morskiej wody.

– To Joe – oznajmiła Nadine. – Czy jego również znasz?

Matka Abigail nie odrywała wzroku od oczu kobiety nazywającej siebie Nadine Cross lecz na jej karku pojawiły się drobniutkie kropelki potu.

– Jeśli on nazywa się Joe, to ja jestem Kasandra – mruknęła oschle. – A ty wcale nie jesteś jego matką.

Z niejaką ulgą spuściła wzrok by spojrzeć na chłopca; w duchu nie mogła wyzbyć się osobliwego przekonania, że ta kobieta w pewien sposób ją pokonała, stawiając chłopca przed

sobą, wykorzystując go, nie pozwoliła jej by dopełniła tego, co do niej należało, co było jej obowiązkiem... ale, Boże, to się stało tak nagle, została zaskoczona!

– Jak ci na imię, chłopcze? – zapytała cicho.

Chłopiec zaczął się szamotać, jakby rybia ość utkwiała mu w gardle.

– Nie odpowie – oznajmiła Nadine, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Nie może. W ogóle nie mówi. Chyba nie pamięć...

Joe wyrwał się Nadine. Wyglądało na to, że przełamał swą wewnętrzną blokadę.

– Leo! – powiedział głośno i wyraźnie. – Leo Rockway to ja! Jestem Leo! – I śmiejąc się, rzucił się w ramiona Matki Abigail.

Zebrani pod gankiem zareagowali radosnymi okrzykami i brawami. Nadine przeszła praktycznie nie zauważona, a Abby znów odniosła wrażenie, że straciła jakąś bardzo ważną okazję, nie wykorzystwała danej jej szansy.

– Joe – zawołała Nadine. Twarz miała beznamiętną, znowu w pełni nad sobą panowała.

Chłopiec odsunął się nieznacznie od Matki Abigail i spojrzał na nią.

– Chodź – powiedziała Nadine. Patrzyła teraz lodowatym wzrokiem na Matkę Abigail i zwracała się nie tyle do chłopca, co wprost do niej. – Ona jest stara. Zrobisz jej krzywdę. Ona jest bardzo stara... i niezbyt silna.

– Och, wydaje mi się, że jestem dostatecznie silna by przytulić czule do serca tak cudownego chłopca jak on – odparowała Matka Abigail, ale nawet ona wychwyciła w swoim głosie nutę niepewności. – Wygląda na to, że przebył długą i uciążliwą drogę.

– To prawda. I jest bardzo zmęczony. Sądząc po wyglądzie, ty także. Chodź, Joe.

– Ja ją kocham – rzekł chłopiec, nie ruszając się z miejsca.

Usłyszawszy to Nadine wyraźnie się skrzywiła.

– Chodź, Joe! – rzuciła ostro.

– To nie moje imię! Leo! Nazywam się Leo!

Gromadka pielgrzymów znowu zamilkła, zdając sobie sprawę, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego i to coś wciąż trwało, choć nie mieli pojęcia, co.

Dwie kobiety spojrzały sobie w oczy.

„Wiem, kim jesteś” – mówiło spojrzenie Abby.

„Tak. A ja znam ciebie” – odpowiadała Nadine.

Tym razem to Nadine pierwsza spuściła wzrok.

– W porządku – powiedziała. – Niech będzie Leo, czy jak sobie chcesz. Ale chodź już zanim zmęczysz ją jeszcze bardziej.

Odsunął się od Matki Abigail, ale zrobił to z wielkim wahaniem.

– Możesz wrócić i odwiedzić mnie, kiedy tylko zechcesz – powiedziała Abby, ale nie uniosła wzroku by włączyć w to Nadine.

– Świetnie – rzucił chłopak i posłał jej całusa.

Twarz Nadine była jak wykuta z kamienia. Nie odezwała się słowem. Gdy schodzili po schodach ganku, obejmująca chłopca ręka Nadine wyglądała bardziej jak brzemię na jego barkach niż coś, co miało przynieść mu spokój i ukojenie. Matka Abigail odprowadziła ich wzrokiem, świadoma, że znów coś jej umknęło. Kiedy tylko straciła z oczu twarz Nadine, w jej umyśle ponownie zapanował mętlik. Nie była pewna swoich odczuć. Ale przecież była zwyczajną kobietą... jedną z wielu... czyż nie?

Młody mężczyzna, Underwood, stał u podnóża schodów z nachmurzoną miną.

– Dlaczego tak się zachowałeś? – zwrócił się do kobiety i choć mówił cicho, Matka Abigail usłyszała go wyraźnie.

Kobieta nie zwracała na niego uwagi. Minęła go bez słowa. Chłopiec spojrzał błagalnie na Underwooda, ale przynajmniej jeszcze przez pewien czas kobieta będzie miała nad nim władzę absolutną i musiał pozwolić by pociągnęła go za sobą.

Nastała chwila ciszy. Nie chciała jej przerywać, ale musiała ją jakoś wypełnić...

...czyż nie?

Czy wypełnianie ciszy nie należało do jej zadań?

Cichy głos zapytał łagodnie: „To jak z tym jest? Czy to twoje zadanie? Czy to po to Bóg przywiódł cię tutaj, kobieto? Abyś stała się Jednoosobowym Komitetem Powitalnym Wolnej Strefy?”

„Nie mogę myśleć – zaprotestowała. – Ta kobieta ma rację. Jestem zmęczona”.

„On umie przybierać inne kształty – naciskał cichy głos w jej wnętrzu – wilka... kruka... węża... kobiety”.

„Co to miało znaczyć? Co się stało? Co się tu przed chwilą wydarzyło? Siedziałam tu sobie spokojnie, czekając aż nowi goście przyjdą mi złożyć pokłon (tak, pokłon, nie próbuj zaprzeczać, właśnie to się tutaj odbywało), aż tu nagle zjawiała się ta kobieta i wtedy coś się stało, a ja nie zorientowałam się w tym. Coś mi umknęło. Coś straciłam i nie wiem, co. Ale w tej kobiecie było coś szczególnego, nieprawdaż?”

„Czy jesteś pewna? Jesteś pewna?”

Nastała cisza i przez tę długą chwilę wszyscy patrzyli na Matkę Abigail, oczekując, by dała dowód swoich umiejętności, lecz ona tego nie uczyniła. Kobieta i chłopiec zniknęli im z oczu, odeszli jakby byli prawdziwymi wyznawcami, a ona jednoosobowym Sanhedrynem, którego obłudę i fałsz w jednej chwili zdołali przejrzeć.

„Och, ale ja przecież jestem stara! To nieuczciwe!”

I wtedy usłyszała inny głos, cichy, łagodny i racjonalny, głos ten nie należał do niej: „Nie aż tak stara by nie zorientować się, że ta kobieta jest...”

Naraz, z widocznym wahaniem zbliżył się do niej kolejny mężczyzna.

– Witaj, Matko Abigail – powiedział. – Nazywam się Zellman. Mark Zellman. Z Lowville w Nowym Jorku. Śniłem o tobie.

Zacząła zastanawiać się, jaką powinna wybrać teraz taktykę działania. Mogła odpowiedzieć na jego powitanie, potem zamienić kilka zdawkowych zdań, aby go nieco rozluźnić (ale nie za bardzo, nie o to jej chodziło), później zaś powtarzać te czynności przy kolejnych gościach, przyjmując ich hołd jak składane jeden na drugim liście palmowe, lub też mogła zignorować tak jego, jak i pozostałych. Podążyła za tą nicią rozumowania w głąb siebie, gdzie poszukiwała dalszego ciągu Boskiego przekazu.

„Ta kobieta jest...”

„Czym?”

„Czy to ważne? Ta kobieta odeszła?”

– Mój prabratanek mieszkał kiedyś w Nowym Jorku – odezwała się do Marka Zellmana.
– W miasteczku Rouse Point. To tuż obok Vermont, nad jeziorem Champlain. Zapewne nigdy nawet o nim nie słyszałeś, prawda?

Mark Zellman odpowiedział, że słyszał, oczywiście, że tak, w stanie Nowy Jork wszyscy znali to miasteczko. Czy kiedykolwiek je odwiedził? Skrzywił się ze smutkiem. Nie. Nigdy. Ale zawsze chciał tam pojechać.

– Sądząc po tym, co pisał Ronnie w swoich listach, niewiele straciłeś – odparła, a Zellman odszedł, uśmiechając się promiennie.

Podchodzili do niej jedno po drugim, tak jak członkowie innych grup przed nimi i ci, którzy zjawiają się po nich w ciągu następnych dni i tygodni. Nastolatek, nazwiskiem Tony Donahue. Jack Jackson, mechanik samochodowy. Młoda pielęgniarka, Laurie Constable (ta kobieta na pewno się przyda). Starzec nazwiskiem Richard Farris, którego wszyscy nazywali Sędzią; zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem i znów poczuła dziwną konsternację. Dick Vollman. Sandy Du Chiens, piękne nazwisko; Francuzka. Harry Dunbarton, który zaledwie trzy miesiące temu, aby mieć za co żyć, sprzedał swoje okulary. Andrea Terminello. Jakiś Smith. Jakiś Rennett. I wielu, wielu innych. Rozmawiała z nimi wszystkimi, kiwała głową, uśmiechała się i dawała im ukojenie, lecz radość odczuwana podczas wcześniejszych spotkań tego dnia uleciała bezpowrotnie i jedyne, co wciąż jej towarzyszyło, to rozdzierający ból w plecach, nadgarstkach i kolanach oraz niepokojące przeczucie, że musi zaraz odwiedzić toaletę, bo w przeciwnym razie na jej sukience pojawi się brzydka plama.

Prócz tego w głębi duszy dręczyło ją (słabnące z każdą chwilą) przeczucie, że przeoczyła coś piekielnie ważnego i że przez jej nieuwagę przyjdzie im wszystkim kiedyś słono zapłacić.

Kiedy pisał, lepiej mu się myślało, zaczął więc zapisywać wszystko, co mogło okazać się istotne; pisał dwoma flamastrami, czarnym i niebieskim. Nick Andros siedział w gabinecie domu przy Baseline Drive, który dzielił z Ralphem Brentnerem i jego kobietą, Elise. Było prawie ciemno. Dom, piękny budynek, stał poniżej masywu Flagstaff Mountain, nieco wyżej jednak niż reszta Boulder, toteż widoczne z szerokiego okna salonu ulice i alejki miasta przywodziły na myśl gigantyczną szachownicę. Okno powleczone było z zewnątrz jakąś

srebrzystą, odblaskową substancją, tak, że znajdujący się w środku mogli widzieć, co działo się na ulicy, natomiast przechodnie nie mogli zobaczyć, co działo się wewnątrz. Nick domyślał się, że dom musiał kosztować w granicach pięciuset tysięcy dolarów... a jego właściciel z rodziną jakby rozplynęli się w powietrzu.

Podczas swej długiej drogi z Shoyo do Boulder, gdy najpierw był sam, potem z Tomem Cullenem, aż wreszcie przyłączyli się do nich inni, napotkał dziesiątki tysięcy miast i miasteczek, lecz wszystkie one stały się cuchnącymi zgnilizną kostnicami. Teoretycznie z Boulder powinno być tak samo... ale nie było. Owszem, tu również roiło się od trupów, były ich tysiące. Należało coś z nimi zrobić, zanim skończą się upalne, suche dni i zaczną się ulewne deszcze, powodując szybszy rozkład i prawdopodobieństwo pojawienia się chorób... jednak mimo to, trupów nie było tyle, ile można się było spodziewać. Nick zastanawiał się, czy ktoś jeszcze prócz niego i Stu Redmana zwrócił na to uwagę. Może Lauder. Lauder prawie nigdy niczego nie przeoczył.

Na każdy jeden dom albo kamienicę zasłaną trupami przypadało dziesięć zupełnie pustych. W którymś momencie podczas epidemii, zapewne w jej ostatnim etapie, większość mieszkańców Boulder, niezależnie, chorych czy zdrowych, opuściła miasto. Dlaczego? Podejrzewał, że to już nie miało znaczenia, i może nigdy się tego nie dowiedzą. Przeróżające było w pewnym sensie to, że Matka Abigail przyprowadziła ich do jedyne go chyba miasta w całych Stanach Zjednoczonych, które zostało oczyszczone z ofiar plagi. Już samo to wystarczało by nawet taki jak on agnostyk zaczął się zastanawiać, skąd brała te swoje informacje.

Nick zajął w domu trzy pomieszczenia piwniczne. Były naprawdę przytulne, z boazerią i meblami z sosnowego drewna. Żadne namowy ze strony Ralphi nie zdołały przekonać go, by powiększył swoją przestrzeń mieszkalną – i tak czuł się jak intruz – niemniej jednak lubił ich... aż do momentu swojej podróży z Shoyo do Hemingford Home nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakowało mu widoku innych ludzi. Wciąż jeszcze odczuwał pewien niedosyt.

Nigdy dotąd nie mieszkał w równie luksusowych warunkach. Miał oddzielne wejście do swego mieszkania, drzwi znajdowały się z tyłu domu, a rower trzymał przy wejściu, pod nisko zwieszającym się daszkiem, gdzie do połowy osi tonął w stercie gnijących, wydzielających wyraźną woń, osikowych liści. Zaczął zbierać książki, coś, czego zawsze pragnął, a w czasie swych kilkuletnich wędrówek nigdy nie zdołał zrealizować. Był wówczas prawdziwym mołem książkowym (w obecnych, nowych czasach, rzadko miał okazję by usiąść i poświęcić się lekturze), niektóre z książek na półkach (należy dodać, że nie było ich jeszcze zbyt wiele) były mu doskonale znane, czytał je wielokrotnie w przeszłości, wypożyczając je z bibliotek za dwa centy na dobę; w ostatnich latach nie zdarzyło mu się zabawić w którymś z miast dostatecznie długo by zdążyć wyrobić sobie kartę biblioteczną. Prócz nich znalazły się tu książki, których wcześniej nie czytał, ale ich tytuły były mu znane. Kiedy tak siedział ze swoimi flamastrami i kartką papieru, miał obok siebie egzemplarz *Set*

this house on fire Styrona. Zamiast zakładki użył znalezionej na ulicy banknotu dziesięciodolarowego. Na ulicach walało się sporo pieniędzy unoszonych wiatrem i pływających w rynsztokach. Wciąż nie mógł się nadziwić, że wielu ludzi, wśród nich także on, wciąż pochylało się by je podnieść. Bo i po co? Książki były teraz za darmo. Idee były darmowe. Czasami ta myśl wprawiała go w dobry nastrój. Niekiedy zaś przerażała go.

Kartka, na której pisał, pochodziła z notesu, w którym zapisywał wszystkie swoje myśli. Zawartość tego notesu była po części pamiętnikiem, po części kartą sprawunków. Odkrył w sobie zamiłowanie do sporządzania list, podejrzewał, że któryś z jego przodków musiał być księgowym. Odkrył, że gdy miał kłopoty z zebraniem myśli, zwykle najlepszym lekarstwem było dla niego sporządzanie list.

Wrócił do leżącej przed nim czystej kartki i zaczął bezmyślnie bazgrać na marginesie.

Miał wrażenie, że wszystko, czego potrzebowali lub pragnęli od starego życia zmagazynowane było w milczącej, nieczynnej elektrowni we wschodniej części Boulder, niczym zakurzony skarb spoczywający na dnie starego kufra. Ludzie zebrani w Boulder zaczęli mieć dziwne odczucia, byli jak wystraszona gromada dzieciaków błąkających się po zmierzchu po nawiedzonym domu. W pewnym sensie to miejsce przypominało cuchnące stęchlizną miasto duchów. Wszyscy zebrani tu ludzie czuli, że ich pobyt w tym mieście nie potrwa długo, że to tylko tymczasowa przystań. Niepokój ów podsycił mężczyzna nazwiskiem Impening, dawny pracownik zakładów IBM w Boulder-Longmont Diagonal. Przez cały dzień krążył po mieście opowiadając ludziom, że w 1984 roku, czternastego września, było już w Boulder półtora cala śniegu, a w listopadzie nadchodziły naprawdę skrzypiące mrozy. Ludzie zaczęli szemrać. Nick miał chęć to ukrócić. Gdyby Impening był w wojsku, zostałby natychmiast zdegradowany za szerzenie defetyzmu, nie o to tu jednak chodziło, lecz o czystą logikę, jeśli w ich obecnej sytuacji można było jeszcze mówić o logice. Sęk w tym, że słowa Impeninga straciłyby swoją moc, gdyby ludzie mogli zacząć wprowadzać się do domów, w których było światło i gdzie za naciśnięciem guzika z kominków buchały podmuchy gorącego powietrza. Jeśli tak się nie stanie przed nadejściem pierwszych chłódów, Nick obawiał się, że ludzie zaczną stąd po prostu uciekać i żadne spotkania, reprezentanci ani uchwały nie zdołają temu zapobiec.

Zdaniem Ralpha elektrownia była sprawna, nie było widać żadnych ewidentnych uszkodzeń. Obsługująca ją załoga wyłączyła po prostu niektóre z urządzeń, inne zaś wyłączyły się same. Ekspłodowały dwa lub trzy silniki turbinowe, zapewne w wyniku gwałtownego przeładowania w końcowym etapie ich działania. Ralph powiedział, że uszkodzenia da się naprawić i będzie potrzebować do tego Brada Kitchnera oraz tuzina silnych mężczyzn. Więcej ludzi potrzeba było do usunięcia stopionego i poczeriałego drutu miedzianego ze zniszczonych generatorów turbiny, a potem nawinięcia na niego nowego drutu. W magazynach w Denver drutu miedzianego było pod dostatkiem. Ralph i Brad sprawdzili to osobiście pod koniec zeszłego tygodnia.

Byli przekonani, że mając odpowiednią liczbę ludzi do pomocy, zdołają przywrócić miastu prąd najpóźniej do Święta Pracy.

„A wtedy urządzimy tu fetę, jakiej to miasto jeszcze nie widziało” – rzekł Brad.

Prawo i Porządek. Jednak coś jeszcze nie dawało mu spokoju.

Czy Stu Redman zdoła udźwignąć tę odpowiedzialność? Wzbraniał się przed tym, ale Nick sądził, że uda mu się go przekonać... i nakłonić kumpla Stu, Glena, by mu w tym pomógł. Wciąż nie dawało mu spokoju wspomnienie, zbyt świeże i bolesne by zaprzętać sobie nim głowę dłużej niż przez kilka chwil, o swoim pobycie w Shoyo, gdzie krótko acz boleśnie pełnił funkcję więziennego strażnika. Umierający Vince i Billy, Mike Childress podskakujący jak opętany i rozbryzgujący na wszystkie strony zawartość tacy z posiłkiem, wrzeszczący zuchwale na całe gardło: „Strajk głodowy! Ogłaszam pieprzony strajk głodowy!”

Czuł wewnętrzny ból na myśl, że prócz rządu mogą potrzebować również sądów, więzień... a może nawet kata. Chryste, przecież opowiedzieli się po stronie Matki Abigail, a nie mrocznego mężczyzny! Podejrzewał jednak, że tamten człowiek nie zaprzętał sobie głowy czymś tak trywialnym jak sądy czy więzienia. Wymierzane przez niego kary będą surowe, zastraszające i egzekwowane w trybie przyspieszonym. Po cóż grozić przestępcom więzieniem, skoro wszyscy mogą ujrzyć na własne oczy rząd ciał wiszących na słupach telefonicznych wzdłuż autostrady I-15, trupów pozostawionych na żer krukowi i wronom.

Nick miał nadzieję, że większość przestępstw, jeśli się wydarzą, będzie raczej małego kalibru. Już teraz kilkakrotnie miały miejsce przypadki nadużycia alkoholu i zakłócania porządku. Pewien dzieciak, zbyt młody by móc prowadzić wóz, wsiadł za kółko wielkiego furgonu i zaczął jeździć nim w tę i z powrotem po Broadway, przeganiając ludzi z ulicy. Wjechał w końcu na ciężarówkę z piekarni i rozbił sobie czoło. Zdaniem Nicka i tak miał szczęście, że nie przydarzyło mu się nic gorszego. Ludzie, którzy go widzieli, wiedzieli, że jest zbyt młody by wsiąść za kółko, nikt jednak nie czuł się odpowiedzialny by go powstrzymać.

„Władza. Organizacja”.

Napisał te słowa na kartce i zakreślił każde z nich dwoma kółkami. To, że opowiedzieli się po stronie Matki Abigail, nie czyniło ich odpornymi na słabości, głupotę czy za to złe towarzystwo. Nick nie wiedział, czy byli Dziećmi Bożymi, czy też nie, kiedy jednak Mojżesz zszedł z góry, miał tę świadomość, choć jego lud w tym czasie czcił złotego cielca i oddawał się najgroźniejszemu, zakazanemu uciechom. Nick wiedział, że muszą być w każdej chwili przygotowani na to, że ktoś podczas gry w karty zechce użyć noża zamiast argumentów słownych i że ktoś inny podczas kłótni o kobietę może próbować rozstrzygnąć spór za pomocą broni palnej.

„Władza. Organizacja”.

Zakreślił te słowa raz jeszcze. Teraz były jak więźniowie za potrójnym rzędem zasieków. Te słowa wydawały się niemal nieodłączne, pasowały do siebie ale ich dźwięk brzmiał wyjątkowo żałośnie.

Niedługo potem zjawił się Ralph.

– Nicky, jutro zjawi się tu kilkoro nowych, a pojutrze spodziewamy się całej gromady. Prawie trzydzieści osób. Toż to prawdziwy tabor!

„Świetnie – napisał Nick. – Założę się, że już niedługo doczekamy się lekarza z prawdziwego zdarzenia. Tak przynajmniej wynikałoby z moich obliczeń”.

– Taa... – mruknął Ralph. – Boulder z dnia na dzień staje się prawdziwym miastem.

Nick pokiwał głową.

– Uciałem sobie pogawędkę z facetem, który przyprowadził dziś do nas tę nową grupę. Nazywa się Larry Underwood. To niezły cwaniak, Nick. Inteligentna bestia. Ostry jak szwajcarski scyzoryk.

Nick uniósł brwi w pytającym geście i nakreślił w powietrzu znak zapytania.

– Cóż, to się jeszcze zobaczy – odrzekł Ralph. Wiedział, co oznaczał gest Nicka: „Jeśli masz o nim więcej informacji, to mów”. – Jest, jak sędzę, sześć, może siedem lat starszy od ciebie i jakieś osiem, dziewięć lat młodszy od Redmana. To facet, o jakiego nam chodzi. Powinniśmy zainteresować się nim bliżej. Gość zadaje właściwe pytania.

Znak zapytania.

– Po pierwsze, kto tu rządzi – ciągnął Ralph. – Po drugie, co będzie dalej. Po trzecie, kto tym steruje.

Nick pokiwał głową. Tak, to właściwe pytania. Ale czy był właściwym człowiekiem? Może Ralph miał rację. A może nie.

„Spróbuję spotkać się z nim jutro i przywitać” – napisał na czystej kartce papieru.

– Tak, powinienes. On jest naprawdę w porządku – Ralph zaszurał stopami. – Zanim się zjawili, ten Underwood i jego gromadka, porozmawiałem przez chwilę z Matką. Spotkałem się z nią tak jak chciałeś.

Znak zapytania.

– Mówi, że powinniśmy to zrobić. Zacząć działać. Uważa, że ludzie się objijają i że potrzebują kogoś, kto by nimi pokierował i powiedział co i jak.

Nick rozparł się wygodnie na krześle i zaśmiał się bezgłośnie. A potem napisał: „Byłem prawie pewien, że tak właśnie powie. Jutro pomówię ze Stu i Glenem. Wydrukowałeś ulotki?”

– A, ulotki! Racja. Cholera, całkiem bym zapomniał – rzekł Ralph. – Przecież zmitrężyłem przy nich prawie całe popołudnie. – Pokazał Nickowi próbny egzemplarz.

Ulotka wciąż wydzielala silną woń farby drukarskiej, ale litery na niej były duże i wyraźne. Przykuwały uwagę. Były dziełem Ralph. Treść ulotki brzmiała następująco:

UWAGA, UWAGA!!!
18 LIPCA 1990 ROKU O GODZINIE 20:30
ODBĘDZIE SIĘ WALNE ZEBRANIE
POŁĄCZONE Z NOMINACJA
I WYBOREM CZŁONKÓW
RADY REPREZENTANTÓW

MIEJSCE SPOTKANIA: Jeśli będzie ładna pogoda
Park przy Canyon Boulevard, przy Muszli Koncertowej
W razie złej pogody Audytorium Chautauqua w parku Chautauqua

PO ZEBRANIU PRZEWIDZIANY JEST POCZĘSTUNEK

Poniżej umieszczone zostały, dla potrzeb nowo przybyłych i tych, którzy jeszcze nie znali miasta, dwie małe mapki z zaznaczonymi oboma alternatywnymi miejscami spotkania. Poniżej, nieco mniejszym, ale wyraźnym drukiem, umieszczono nazwiska osób, które on sam, Stu i Glen, zaproponowali po burzliwej dyskusji dnia poprzedniego.

CZŁONKOWIE TYMCZASOWEJ KOMISJI

NICK ANDROS
GLEN BATEMAN
RALPH BRENTNER
RICHARD ELLIS
FRAN GOLDSMITH
STUART REDMAN
SUSAN STERN

Nick wskazał na linijkę, gdzie podano informację o poczęstunku i pytająco uniósł brwi.

– Ach, tak, to... Frannie powiedziała, że ludzie chętniej przyjdą na spotkanie, jeśli zapewni się im jakiś poczęstunek. Ma się tym zająć ona sama i jej przyjaciółka, Patty Kroger. Podadzą ciasteczka i Zarex. – Ralph skrzywił się. – Gdybym miał wybrać między Zarexem a końskimi sikami, musiałbym się długo zastanawiać. Ale nie martw się, Nicky, oddam ci swoją szklaneczkę.

Nick uśmiechnął się.

– Jedno mnie tylko gryzie – ciągnął Ralph nieco poważniejszym tonem – że mnie, chłopaki, wciągnęliście do tej waszej komisji. Wiem, co to oznacza. Znaczy to: „Gratulujemy,

teraz czeka cię niemożliwa harówka. Będziesz musiał odwalić całą najcięższą robotę”. Cóż, w zasadzie nie mam nic przeciwko temu, całe życie ciężko pracowałem. Tylko że komisje są od tego, żeby pracować głową, wymyślać rozmaite rzeczy, mieć idee, a ja nigdy nie miałem zbyt mocnej mózgowicy.

Nick szybko narysował na swojej kartce radio CB, a w tle wieżę radiową, ze szczytu której rozchodziły się na prawo i lewo zygzaki promieni.

– Tak, ale to zupełnie inna sprawa – mruknął ponuro Ralph.

„Dasz sobie radę – napisał Nick. – Uwierz w to”.

– Skoro tak twierdzisz, Nicky. Dobrze, spróbuję. Choć w dalszym ciągu twierdzę, że powinieneś wciągnąć do współpracy Underwooda.

Nick pokręcił głową i poklepał Ralpha po ramieniu. Ralph pożegnał się z nim, życząc dobrej nocy i poszedł na górę.

Gdy został sam, Nick przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zamyśleniu w ulotkę. Jeśli Stu i Glen ją widzieli, a był pewien, że tak, to wiedzieli już, że zdecydował się jednostronnie usunąć z ich listy nazwisko Harolda Laudera. Nie wiedział, jak to przyjmą, ale uznał za dobry znak, że jak dotąd nie złożyli mu niespodziewanej wizyty. Może uznali, że powinien mieć możliwość zaingerowania w skład ich „komisji” i potraktowali wykluczenie Laudera jako coś zgoła naturalnego. A może będzie musiał z nimi pertraktować. Gdyby w zamian za skreślenie przez niego Laudera chcieli usunąć z listy kogoś jeszcze, da im Ralpha. Bądź co bądź Brentner i tak nie miał wśród nich wysokich notowań. A poza tym tak naprawdę wcale nie chciał tego stanowiska. Był człowiekiem o wielkiej mądrości życiowej i niemal bezcennej umiejętności postrzegania wszelkich problemów z zupełnie innej perspektywy. Byłby dobrym materiałem na członka komisji stałej, a poza tym czuł, że Stu i Glen obsadzają komisję tymczasową swoimi przyjaciółmi. Jeśli on, Nick, chciał wykreślić Laudera, pozostali raczej będą musieli na to przystać. Jeśli mieli utworzyć rząd i uczynić to w taki, a nie inny sposób, musieli wystrzegać się wszelkich zatargów w ich gronie.

„Powiedz mamie, jak to się stało, że ten pan wyjął z cylindra królika?”

„Cóż, synku, nie jestem pewna, ale myślę, że mógł użyć starej sztuczki z odwracaniem uwagi za pomocą ciasteczek i Zarexa. To prawie zawsze skutkuje”.

Ponownie spojrzął na kartkę, na której bazgrał kiedy pojawił się Brentner. Spojrzął na słowa zakreślone nie raz, ale trzy razy, jakby chciał w ten sposób utrzymać je w zamknięciu.

„Władza. Organizacja”.

I nagle napisał pod nimi jeszcze jedno, akurat było dość miejsca. Teraz w potrójnym kręgu znajdowały się słowa:

„Władza. Organizacja. Polityka”.

Nick nie próbował odsunąć z ich grona Laudera tylko dlatego, że czuł, iż Stu Redman i Glen Bateman zaczynają mu wchodzić w paradę. To prawda, miał do nich pewien żal. Byłoby

dziwne, gdyby było inaczej. Na swój sposób to przecież on, Ralph i Matka Abigail założyli Wolną Strefę Boulder.

„Już teraz są nas setki, a jeśli Bateman się nie myli, w drodze są tysiące innych – pomyślał, stukając końcem ołówka w zakreślone na kartce słowa. Im dłużej na nie patrzył, tym wydawały mu się szpetniejsze. – Tylko że kiedy tu dotarliśmy, Ralph, ja, Matka, Tom Cullen i reszta naszej grupy, jedynymi żyjącymi w Boulder istotami były koty oraz jelenie, które przybyły tu z parku stanowego, aby buszować w przydomowych ogródkach... a nawet w sklepach. Pamiętasz tego, który dostał się jakimś cudem do supermarketu w Table Mesa i nie mógł wyjść? Szalał, biegając w tę i z powrotem między regałami, przewracając stoiska, potykając się i znowu wstając.

Owszem, zjawiliśmy się późno, niecały miesiąc temu, ale byliśmy PIERWSI! Stąd pewien żal, ale nie on jest przyczyną, że skreśliłem Harolda z listy. Nie chcę go w naszej grupie, bo mu nie ufam.

Przez cały czas się uśmiecha, ale nie sposób go przejrzeć.

(jego oczu?)

Uśmiecha się tylko ustami, jego oczy pozostają zimne. W którymś momencie musiał pokłócić się ze Stu, o Frannie. Cała trójka twierdzi, że jest już po sprawie, ale ja mam co do tego wątpliwości. Frannie patrzy na Harolda z niepokojem. Ona sprawia wrażenie, jakby zastanawiała się, do jakiego stopnia jest «po sprawie». On jest dość bystry, ale wydaje mi się niestabilny, jak bomba z włączonym detonatorem czasowym”.

Nick pokręcił głową. To nie było wszystko. Niejednokrotnie zastanawiał się, czy Harold Lauder nie jest przypadkiem obłąkany.

„To przede wszystkim ten jego uśmiech. Nie chcę dzielić się swymi sekretami z kimś, kto się tak uśmiecha i sprawia wrażenie, jakby od dłuższego czasu nie przespał całej nocy.

Lauder odpada. Będą musieli pogodzić się z tym”.

Nick zamknął swój notes i włożył do górnej szuflady biurka. Następnie wstał i zaczął się rozbierać. Zamierzał wziąć prysznic. Czuł się potwornie brudny.

„Świat – pomyślał – lecz nie według Garpa, a według supergrypy. Ten nowy, wspaniały świat”. W jego oczach wcale nie prezentował się wspaniale. Zupełnie jakby ktoś wrzucił petardę do pudełka z zabawkami. Huknęło, błysnęło i cała zawartość została rozrzucona we wszystkie strony. Zabawki rozsiała po całej podłodze dzieciennego pokoju. Jedne zostały bezpowrotnie zniszczone, inne da się naprawić, ale większość po prostu rozsypała się dokoła. Są one jeszcze trochę zbyt gorące, by można je pozbierać, ale to da się zrobić, kiedy tylko ostygną.

Tymczasem należało je posortować. Wyrzucić te popsute. Odłożyć na bok nadające się do zreperowania. Zrobić listę tych, które ocalały bez szwanku. Zdobyć nowe pudełko, by można je było tam powkladać. Nowe, ładne pudełko. Silne pudełko. Ta łatwość, z jaką rzeczy mogą zostać rozrzucone gdzie popadnie, wydaje się przerażająca i niewiarygodnie wręcz

atrakcyjna. Zbieranie ich to żmudna harówka. To sortowanie. Naprawianie. Spisywanie. I rzecz jasna wyrzucanie rzeczy, które się już do niczego nie nadają.

Tyle tylko... czy potrafiłbyś KIEDYKOLWIEK wyrzucić rzeczy, które są nie do naprawienia?

Nick zatrzymał się w pół drogi do łazienki, nagi, trzymając w dłoniach swoje ubranie. Och, noc była tak cicha... czyż jednak wszystkie noce nie były w istocie symfoniami ciszy? Dlaczego na jego ciele pojawiła się nagle gęsia skórka?

To oczywiście, bo nagle zrozumiał, że zadaniem komisji Wolnej Strefy nie będzie bynajmniej zbieranie i że celem jej nie będą zabawki. Pojął oto, że przyłączył się do jakiegoś osobliwego kręgu łątaczy ludzkiego ducha – on sam, Redman, Bateman, Matka Abigail, a nawet Ralph ze swoją wielką radiostacją i wzmacniaczem, dzięki któremu sygnał Wolnej Strefy docierał daleko w głąb wymarłego kontynentu. Każde z nich miało igłę. Pracowali wspólnie, tkając coś w rodzaju grubego ciepłego koca, kiltu, mającego ochronić ich wszystkich przed chłodem nadciągającej zimy... a może, pomyślał po chwili, współtworzyli wielki całun dla całej rasy ludzkiej i rozpoczynając swoje dzieło od nóg, powoli acz niewzruszenie posuwali się ku górze.

Gdy skończyli się kochać, Stu zaraz zasnął. Ostatnio niewiele sypiał, a poprzedniej nocy nie zmrużył oka, towarzysząc Glenowi Batemanowi w picciu wina i snuciu planów na przyszłość. Frannie włożyła szlafrok i wyszła na balkon.

Budynek, gdzie mieszkali, znajdował się w śródmieściu, na rogu Pearl Street i Broadway. Ich apartament mieścił się na drugim piętrze, widać z niego było skrzyżowanie Pearl, ciągnącej się ze wschodu na zachód i Broadway, arterii północ-południe. Podobało się jej tu. Mieszkanie jak w kompasie.

Noc była ciepła, bezwietrzna, czarny kamień nieba upstrzony skazami – milionami gwiazd. W ich słabym, mroźnym świetle Fran widziała wznoszące się na zachodzie kształty Flatirons.

Przesunęła dłonią od szyi w dół, ku udom. Miała na sobie jedwabną koszulkę nocną, pod nią była naga. Powiodła dłonią po piersiach, a potem, zamiast po gładkim jak zawsze brzuchu, po jego wyraźnej już wypukłości, do wzgórka łonowego. Jeszcze dwa tygodnie temu ciąża była niewidoczna. Teraz stawała się coraz wyraźniejsza; co prawda nie za bardzo, ale zawsze; Stu zwrócił na to dziś wieczorem uwagę. Jak zwykle powiedział to mimochodem, prawie żartobliwie:

„Jak długo będziemy to mogli robić, zanim go... ee... nie wycisnę?”

„Jego lub jej – odparła z rozbawieniem. – Co powiesz na cztery miesiące, Wodzu?”

„Świetnie” – odparł i rozkosznie się w niej zagłębił.

Wcześniejsza rozmowa była znacznie poważniejsza. Wkrótce po tym, jak dotarli do Boulder, Stu powiedział jej, że rozmawiał o dziecku z Glenem, a ten bardzo nieśmiało

zauważył, że zarazki supergrypy wciąż jeszcze mogą znajdować się w powietrzu. Jeżeli tak, dziecko umrze. Była to niepokojąca myśl (ale Glen Bateman był znany z tego, że umiał niepokoić ludzi), jednak czy nie powinno być tak, że skoro matka jest uodporniona, to dziecko również...?

Było tu wielu ludzi, którym pomór odebrał dzieci.

„Tak, czy to jednak oznaczało...”

Co to mogło oznaczać?

Po pierwsze, że wszyscy ci ludzie tutaj byli epilogiem dla dziejów rasy ludzkiej, krótką kodą i niczym więcej. Nie chciała w to uwierzyć. Nie mogła w to uwierzyć. Gdyby rzeczywiście tak było...

Ktoś nadchodził ulicą, przeciskając się bokiem pomiędzy stojącą dwoma kołami na chodniku śmieciarką, a ścianą restauracji o nazwie Pearl Street Kitchen. Przez ramię miał przerzuconą wiatrówkę, a w ręku trzymał coś, co wyglądało jak butelka albo długolufy pistolet. W drugiej ręce trzymał kartkę papieru, najprawdopodobniej z adresem, bo wyraźnie sprawdzał numery domów. Zatrzymał się w końcu przed ich budynkiem. Patrzył na drzwi, jakby zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Frannie przywodził on na myśl prywatnego detektywa z jakiegoś starego serialu telewizyjnego. Stała niecałe dwadzieścia stóp ponad nim i przez chwilę debatowała, jak się powinna zachować. Gdyby go zawołała, mógłby się przestraszyć. Jeśli tego nie zrobi, on może zacząć pukać do drzwi i obudzić Stu. Poza tym, co robił tu, o tej porze, z pistoletem w dłoni... jeśli to był pistolet.

Nagle mężczyzna uniósł głowę i spojrzał w górę, prawdopodobnie by sprawdzić, czy w którymś z okien paliło się światło. Frannie wciąż patrzyła w dół.

Ich spojrzenia spotkały się.

– Boże Świąty! – zawołał mężczyzna. Mimowolnie cofnął się o krok, ześlizgnął się z krawężnika i ciężko rymnął na tyłek.

– Och! – krzyknęła równocześnie Frannie, po czym wycofała się w głąb balkonu.

Z tyłu za nią na stojaku stała donica z paprotką. Frannie zderzyła się z nią. Doniczka zakołysała się i z głośnym hukiem roztrzaskała się na kamiennej podłodze balkonu.

W sypialni Stu chrząknął, obrócił się na drugi bok i ponownie znieruchomiał. Frannie, co było chyba do przewidzenia, dostała ataku śmiechu.

Przyłożyła dłonie do ust i mocno uszczypnęła się w wargi, ale spomiędzy nich i tak dobywał się ochrypły chichot. „Cała ja” – pomyślała, chichocząc w złożone dłonie. Gdyby miał gitarę, pewnie zrzuciłabym mu tę doniczkę na głowę. O sole mio... ŁUP. Od śmiechu rozbolał ją brzuch.

Z dołu dobiegł ją konspiratorski szept.

– Ej, ty tam, na balkonie... ciii!

– Ciii – szepnęła do siebie Frannie. – Ciii. No tak, świetnie.

Musiała wyjść, zanim zacznie rzeć jak oślica. Gdy zaczynała się śmiać, po prostu nie mogła przestać. Przebiegła prędko przez ciemną sypialnię, odzyskała nad sobą kontrolę i ogarnęła się trochę, opatulając się w podomkę wiszącą na drzwiach łazienki, po czym przebiegła przez korytarz i na podeście nie wytrzymała, wybuchnęła śmiechem na całe gardło. Zbiegła po schodach, dziko chichocząc.

Mężczyzna, dość młody, jak zauważyła, podniósł się już z ziemi, a teraz otrzepywał ubranie. Był szczupły, dobrze zbudowany, dolną część jego twarzy przesłaniała broda, która za dnia musiała być złocista lub lekko rudawa. Pod oczami miał sińce, ale wciąż się uśmiechał.

– Co strąciłaś? – zapytał. – Brzmiało jak fortepian.

– Doniczkę – odparła. – Ona... ona... – i znów zaczęła chichotać. Mogła jedynie wymierzyć w niego palec wskazujący i śmiać się, lekko kręcąc głową, a potem znów przyłożyła obie dłonie do brzucha. Łzy ściekły jej po policzkach. – Wyglądałeś naprawdę zabawnie... wiem, że nie powinnam mówić takich rzeczy komuś, kogo ledwie poznałam, ale, kurczę, naprawdę nieźle się ubawiłam!

– Kiedyś – odparł ze śmiechem – za coś takiego pozwałbym cię do sądu i wyciągnął od ciebie co najmniej ćwierć miliona. To byłaby pestka. „Wysoki sądzie, spojrzałem w górę i zobaczyłem, że ta kobieta gapi się na mnie. Tak. Chyba robiła do mnie głupie miny. Wydaje się, że drwiła sobie ze mnie”. „Ten biedny chłopiec zasłużył na solidne odszkodowanie. Coś takiego nie powinno ująć jej płazem”. „Zarządzam dziesięciominutową przerwę”.

Przez chwilę śmiali się oboje. Młody mężczyzna nosił czyste, sprane dzinsy i ciemnogrnatową koszulę. Letnia noc była ciepła i przyjemna, Frannie zaczynała cieszyć się, że wyszła z domu.

– Nie nazywasz się czasem Fran Goldsmith?

– Tak się złożyło. Ale nie wiem, kim ty jesteś.

– Larry Underwood. Zjawiliśmy się dopiero dzisiaj. Właściwie to szukałem faceta nazwiskiem Harold Lauder. Powiedziano mi, że mieszka przy Pearl Street numer 261 wraz ze Stu Redmanem, Frannie Goldsmith i jeszcze paroma innymi osobami.

Przestała chichotać.

– Harold mieszkał w tym budynku, kiedy przybyliśmy do Boulder, ale wyprowadził się już jakiś czas temu. Teraz mieszka przy Arapahoe, w zachodniej części miasta. Mogę, jeśli chcesz, podać ci adres i wytłumaczyć, jak tam trafić.

– Będę zobowiązany. Chyba jednak poczekam z tym do rana. Mam dość wrażeń jak na jedną noc.

– Znasz Harolda?

– I tak, i nie. Podobnie jak ciebie. Choć muszę przyznać, że wyglądasz inaczej, niż sobie wyobrażałem. W myślach postrzegałem cię raczej jako blondwłosą walkirię, jakby żywcem wyjętą z obrazów i ilustracji Franka Frazetty, wojowniczkę noszącą na biodrach pas z dwoma

koltami kaliber .45. Coś w tym rodzaju. Mimo to miło mi cię poznać. – Wyciągnął rękę, a Frannie uściśnęła ją, uśmiechając się z lekkim zdziwieniem.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

– Usiądź na chwilę na chodniku, to ci wytłumaczę.

Przysiadła na krawężniku. Powiał lekki wietrzyk, unosząc strzępy papieru i kołysząc konarami starych wiązów rosnących na trawniku przed gmachem sądu, trzy przecznice dalej.

– Mam prezent dla Harolda Laudera – rzekł Larry. – To ma być niespodzianka, jeśli więc zobaczysz go wcześniej, nic mu nie mów, dobra?

– Jasne. W porządku. Nie ma sprawy – odrzekła Frannie. Była szczerze zaaferowana.

Pokazał jej rzekomy długolufy pistolet, który okazał się być butelką wina. W świetle gwiazd przyjrzała się etykietce i odczytała napis BORDEAUX oraz znajdującą się u dołu datę – 1947.

– Najlepszy rocznik Bordeaux w tym stuleciu – wyjaśnił. – Przynajmniej tak powiedział mi kiedyś mój, stary, dobry przyjaciel. Nazywał się Rudy. Boże, miej w opiece jego duszę.

– Ale... 1947 rok... to czterdzieści trzy lata temu. Czy do tej pory nie zwietrzało?

– Rudy twierdził, że dobre bordeaux nigdy nie wietrzeje. Tak czy inaczej przebyło ze mną całą drogę z Ohio. Może i jest zwietrzałe, ale z pewnością żadne inne zwietrzałe wino nie przebyło tak dalekiej drogi.

– To dla Harolda?

– Tak. I jeszcze to – wyjął coś z kieszeni kurtki i podał jej. Nie musiała przyglądać się temu w świetle, by odczytać nazwę. Wybuchnęła śmiechem.

– Balonik payday! – wykrzyknęła. – Ulubione słodycze Harolda... Skąd wiedziałeś?

– To cała historia.

– Opowiedz mi ją!

– Dobrze. Pewnego razu był sobie facet nazwiskiem Larry Underwood, który przybył z Kalifornii do Nowego Jorku, aby zobaczyć się z ukochaną, starą matką. Nie był to jedyny powód jego wizyty, ale inne przyczyny są raczej niezbyt przyjemne, trzymajmy się więc miłszego tematu, dobrze?

– Dlaczego nie? – zgodziła się Frannie.

– Wtedy to właśnie Zła Czarownica z Zachodu, albo jacyś kretyni z Pentagonu rozpuścili na cały kraj straszliwą zarazę i zanim zdążyłabyś powiedzieć: „Nadchodzi Kapitan Trips”, prawie wszyscy mieszkańcy Nowego Jorku wyzionęli ducha. W tym także matka Larry’ego.

– Przykro mi. Moi rodzice również nie żyją.

– Tak, i wszyscy inni rodzice też. Gdybyśmy zaczęli wysyłać kartki z kondolencjami, już wkrótce zabrakłoby nam pocztówek. Larry miał jednak szczęście. Udało mu się wydostać z miasta wraz z kobietą o imieniu Rita, która jak się okazało nie potrafiła poradzić sobie psychicznie w nowej sytuacji. Niestety Larry również nie był odpowiednio przygotowany, by pomóc jej uporać się z dręczącymi ją problemami.

– Nikt nie był na to przygotowany...

– Niektórzy jednak przywykli do tego szybciej od innych. Larry i Rita wyruszyli w kierunku wybrzeża Maine. Dotarli do Vermont i tam nasza pani przedawkowała pigułki nasenne.

– Larry, to okropne!

– Larry bardzo mocno to przeżył. Właściwie potraktował to w większym lub mniejszym stopniu jako Boski sprawdzian – osąd jego charakteru. Co więcej, już wcześniej kilka osób powiedziało mu, że najbardziej wyrazistą i niezłomną spośród cech jego charakteru jest egoizm, tak rażący i widoczny, jak fosforyzująca figurka Matki Boskiej przyklejona na desce rozdzielczej cadillaca rocznik 59.

Frannie poruszyła się lekko, zmieniając pozycję.

– Mam nadzieję, że cię nie zanudzam, ale to wszystko przelewało się we mnie od dłuższego czasu i obiecuję, że już wkrótce dojdziemy do roli Harolda w całej tej historii. W porządku?

– W porządku.

– Dzięki. Wydaje mi się, że odkąd tu dziś trafiliśmy i spotkaliśmy się z tą kobietą, szukałem bratniej duszy, której mógłbym to wszystko wyjawić. Sądziłem, że będzie nią Harold. Wracając do rzeczy... Larry pojechał mimo wszystko do Maine, bo nie miał innej alternatywy. Zaczął miewać koszarne sny, ale ponieważ był sam, nie zdawał sobie sprawy, że takie same sny nawiedzają również innych ludzi. Podejrzał po prostu, że jest to jeszcze jeden symptom jego pogłębiającego się załamania psychicznego. W końcu dotarł do małego miasteczka o nazwie Wells, na wybrzeżu, gdzie spotkał kobietę nazwiskiem Nadine Cross i dziwnego chłopca, który, jak się okazało, nazywa się Leo Rockway.

– Wells – powtórzyła półgłosem.

– Ta trójka rzuciła monetą, aby wybrać, w którą stronę mają udać się dalej, a że wyszła reszka, skierowali się na południe i dotarli do...

– Ogunquit! – rzekła z przejęciem Fran.

– Właśnie. Tam po raz pierwszy spotkałem się z Haroldem Lauderem i Frances Goldsmith, których nazwiska ujrzałem na dachu stodoły, namalowane wielkimi, wyraźnymi literami.

– Napis Harolda! Och, Larry, ależ on się ucieszy!

– Zgodnie ze wskazówkami pozostawionymi na dachu stodoły udaliśmy się do Stovington, a stamtąd do Nebraski i dzięki informacjom na tablicy w Hemingford Home, do Boulder. Po drodze spotykaliśmy kolejne osoby. Jedną z nich była Lucy Swann, z którą teraz jestem. Chciałbym, abyś ją kiedyś poznała. Chyba ją polubisz.

Tymczasem jednak wydarzyło się coś, czego Larry nie przewidział i co wcale mu się nie spodobało. Jego mała czteroosobowa grupka powiększyła się o kolejne dwie. Ta szóstka w Nowym Jorku napotkała jeszcze czworo ludzi i przygarnęła ich do siebie. Zanim dotarliśmy

do chatki Matki Abigail, gdzie Harold pozostawił kolejną tablicę informacyjną, było nas już szesnaścioro, a gdy wyruszyliśmy w drogę, dołączyło do nas jeszcze troje ludzi. Przywództwo nad tą dzielną gromadką przejął nie kto inny, lecz właśnie Larry. Nie było żadnego głosowania, nic z tych rzeczy. Tak się po prostu STAŁO. A on wcale nie chciał brać na siebie odpowiedzialności. Była dla niego brzemieniem. Nocami nie pozwalała mu zmrużyć oka. Zaczął brać prochy. Zabawne jednak, jak niekiedy działa ludzki umysł. Nie mogłem odpuścić. To chyba kwestia szacunku dla siebie samego. Mojej własnej dumy. Ja... on... obawiał się, że wszystko dokumentnie schrzani, że któregoś ranka obudzi się i odkryje kolejne zwłoki, kolejną Rite, tak jak wtedy w Vermont, a pozostali zaczną wytykać go palcami, mówiąc oskarżycielskim tonem: „To twoja wina. Spieprzyłeś sprawę. To twoja wina. Nie umiałeś temu zapobiec”. To było coś, o czym nie rozmawiałem nawet z Sędzią...

– Kim jest Sędzia?

– Sędzia Farris. Staruszek z Peorii. Wydaje mi się, że naprawdę był sędzią, we wczesnych latach pięćdziesiątych, ale kiedy zaczął się pomór, on już od dawna był na emeryturze. Jest bardzo bystry. Kiedy na ciebie patrzy, to tak, jakby miał w oczach rentgena. Tak czy inaczej, Harold był dla mnie ważny. Stawał się tym ważniejszy, im więcej ludzi miałem pod swoją opieką. Można by rzec, że jego osoba stawała się dla mnie ważna wprost proporcjonalnie do tempa w jakim powiększała się liczebność naszej gromadki. – Zachichotał. – Ta stodoła! Kurczę! Ostatnią linijkę i twoje nazwisko namalował tak nisko, że gdy to robił musiał chyba zwiśać tyłkiem poza krawędzią dachu.

– Tak. Spałam, gdy to robił. Na pewno kazałabym mu przestać.

– Zacząłem go wyczuwać – ciągnął Larry. – W kopule stodoły w Ogunquit znalazłem papierek po batonie, a potem ten napis wyryty na belce...

– Jaki napis?

Poczuła, że Larry przygląda się jej w ciemnościach i otuliła się szczelniej podomką... nie z czystej skromności, gdyż ten człowiek nie miał raczej wobec niej złych zamiarów, lecz ze zdenerwowania.

– Wyrzył na niej swoje inicjały – skłamał gładko Larry. – H.E.L. Gdyby to było wszystko, nie dotarłbym aż tutaj. Ale potem trafiliśmy do salonu motocyklowego w Wells...

– Byliśmy tam!

– Wiem. Zauważyłem, że brakuje dwóch motocykli. Większe wrażenie wywarło na mnie to, że Harold odciągnął trochę paliwa z podziemnego zbiornika. Musiałaś mu chyba pomagać, Fran. Ja o mało nie straciłem przy tym palców.

– Nie. W ogóle mu nie pomagałam. Harold szukał tak długo, aż znalazł coś, co nazwał czopem odpowietrznikowym...

Larry jęknął i klepnął się w czoło.

– Jasne! Jezu! Że też o tym nie pomyślałem. A on... znalazł ten otwór i po prostu wetknął do środka rurkę?

– N-no... tak.

– Och, Haroldzie... – rzekł z podziwem w głosie Larry, Frannie nigdy jeszcze nie słyszała, by ktoś wyrażał się w taki sposób o Lauderze. – Cóż, to jedna z jego sztuczek, której nie wyłapałem. Potem dotarliśmy do Stovington. Nadine była tak przejęta, że aż zemdląła.

– Ja się popłakałam – wyjaśniła Fran. – Beczałam tak, że sądziłam, iż nigdy już nie przestanę. Byłam pewna, że gdy tam dotrzemy, ktoś wyjdzie nam na powitanie i powie: „Cześć! Wejdźcie, odwszawianie na prawo, kafejka na lewo”. – Pokręciła głową. – Teraz to wydaje mi się takie głupie.

– Ja tak tego nie odebrałem. Nieustraszony Harold dotarł na miejsce przede mną, zostawił tablicę z informacją i pojechał dalej. Czuję się trochę jak kowboj podążający tropem tego Indianina z *Tropiciela śladów*.

Sposób, w jaki postrzegał Harolda, zdumiał ją i zafascynował równocześnie. Czy to nie Stu przewodził ich grupie, odkąd opuścili Vermont i udali się do Nebraski? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Wszyscy byli zbyt przejęci snami. Larry przypominał jej o rzeczach, o których zapomniała lub co gorsze... przyjmowała takimi, jakie były. Harold ryzykował życiem, aby namalować napis na dachu stodoły, w jej mniemaniu było to głupim ryzykanctwem, lecz jak się okazało, postąpił słusznie. Jego trud się opłacił. A wyciągnięcie paliwa ze zbiornika... Dla Larry’ego najwyraźniej była to trudna i niebezpieczna operacja, Harold natomiast potraktował ją jak coś zgoła zwyczajnego. Sprawił, że poczuła się mała, głupia i zagubiona. Zaczęło ją dręczyć poczucie winy. Wszyscy zgodnie uważali, że Harold nie robi nic, prócz nazbyt częstego sztucznego uśmiechania się, ale w ciągu w ostatnich sześciu tygodni Lauder co najmniej kilka razy pokazał, co potrafi. Czy była tak zakochana w Stu, że nie potrafiła spojrzeć na Harolda obiektywnie? Jeszcze bardziej zdeprimowało ją to, że zniósł po męsku to, iż związała się ze Stuartem.

– Tam, w Stovington – ciągnął Larry – patrzę, jest znak, tablica, dokładna informacja, a na trawie tuż obok trzepocze... Co? Oczywiście paperek po batonie payday! Miałem wrażenie, jakbym podążał za Haroldem nie po śladach z ułamanych gałązek i pociętych źdźbeł trawy, lecz właśnie z opakowań po payday. To znaczy nie do końca. Trochę zmieniliśmy marszrutę. Pod Gary w Indianie skręciliśmy na północ, bo w mieście panował straszliwy pożar, paliło się jak wszyscy diabli. Wyglądało, jakby w całym mieście eksplodowały wszystkie zbiorniki z paliwem. Podczas tego przyjemnego objazdu spotkaliśmy Sędziego, a potem zatrzymaliśmy się w Hemingford Home. Wiedzieliśmy, że już jej tam nie ma, powiedziały nam o tym sny, ale mimo wszystko chcieliśmy zobaczyć to miejsce. Pole kukurydzy... huśtawkę z opony... Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak – odparła cicho Frannie. – Tak, wiem.

– I przez cały ten czas odchodziłem od zmysłów, byłem prawie pewien, że lada chwila coś się stanie, napadnie na nas gang motocyklowy, zabraknie nam wody albo coś w tym rodzaju.

Moja mama miała kiedyś książkę, dostała ją chyba od swojej babci, o ile dobrze pamiętam. Książka nosiła tytuł *Podążać Jego śladem*. Było w niej mnóstwo historyjek o ludziach mających różne straszne problemy. Autor książki twierdził, że aby je rozwiązać, musisz zadać sobie pytanie: „Co w tej sytuacji zrobiłby Jezus?”. To zawsze pozwalało na rozwiązanie kłopotliwej sytuacji. Wiesz, o czym myślę? To niczym pytanie Zen, nie tyle pytanie, co sposób na oczyszczenie umysłu, jak powtarzanie na głos „Om” i wpatrywanie się w czubek własnego nosa.

Fran uśmiechnęła się. Wiedziała, że jej matka powiedziała WŁAŚNIE coś takiego.

– Zaczynałem powoli pękać i wtedy Lucy, moja dziewczyna, powiedziała: „No, dalej, Larry, zadaj to pytanie”.

– Co zrobiłby w takiej sytuacji Jezus? – rzekła Fran z rozbawieniem.

– Nie, co zrobiłby w takiej sytuacji HAROLD? – odparł z powagą Larry.

Fran zamurowało. Chciała być przy spotkaniu Larry’ego i Harolda.

Jaka będzie jego reakcja? Nie miała pojęcia.

– Którejś nocy obozowaliśmy na farmie i prawie nie mieliśmy już wody. Na farmie była studnia, ale nie sposób było nabrać wody, bo nie było prądu i pompa nie działała. A Joe... Leo, przepraszam, on naprawdę nazywa się Leo, wciąż tylko chodził i powtarzał: „Spłagniony, Larry, spłagniony, bałdzo!”. To mnie wkurzało. Byłem bliski obłędu. Niewiele brakowało, a dałbym gnojnikowi w ucho. Miły ze mnie gość, nie? Szykuje się, by przyłożyć opóźnionemu w rozwoju dzieciakowi. Człowiek nie może jednak zmienić się cały od razu. To długotrwały i żmudny proces. Jeżeli chodzi o mnie, miałem na to dość sporo czasu.

– Przeprowadziłeś ich cało aż z Maine – powiedziała Fran. – My straciliśmy jednego. Rozlał mu się wyrostek. Stu próbował go operować. Nie udało się. Właściwie bardzo dobrze się spisałeś, Larry, nie pojmuję, czym się tak przejmujesz.

– To Harold i ja dobrze się spisaliśmy – poprawił. – No więc, Lucy powiedziała: „Dalej, Larry, zadaj to pytanie”. Zrobiłem to. Na farmie był wiatrak, który doprowadzał wodę do obory. Działał jak trzeba, ale woda nie docierała do budynków gospodarskich. Wziąłem się więc do roboty i otworzyłem pokrywę obudowy poniżej skrzydeł wiatraka, gdzie mieścił się mechanizm urządzenia. Okazało się, że główne koło napędowe wypadło z obsady. Umieściłem je na swoim miejscu i bingo! Mieliśmy tyle wody, ile dusza zapagnie. Zimnej i smacznej. Dzięki Haroldowi.

– Dzięki TOBIE, Larry. Harolda tam nie było.

– Był. Duchem. A teraz ja jestem tutaj i przyniosłem mu wino oraz batony. – Spojrzał na nią z ukosa. – Wiesz, przez pewien czas myślałem, że jesteście razem.

Pokręciła głową i spojrzała na swe splecione na podolku dłonie

– Nie... Ja i Harold... nie...

Milczał przez dłuższą chwilę, ale czuła, że na nią patrzył. Wreszcie się odezwał:

– No dobrze. Powiedz, w którym miejscu się pomyliłem?

W kwestii Harolda?

Wstała.

– Powinam już iść. Miło cię poznać, Larry. Wróc jutro, poznasz Stu. Przyrowadź Lucy, jeśli nie będzie akurat zajęta.

– Co jest z nim nie tak? – zapytał z naciskiem i podobnie jak ona podniósł się z chodnika.

– Och, nie wiem – odparła oschle. Nagle zebrało się jej na płacz. – Przez ciebie doszłam do wniosku, że byłam niesprawiedliwa wobec Harolda... że potraktowałam go w niewłaściwy sposób... choć nie wiem dlaczego ani jak się to stało... Czy mogę mieć do siebie pretensje, że nie kocham go tak jak kocham Stu? Czy to moja wina?

– Nie, oczywiście, że nie – Larry wydawał się zbity z tropu. – Posłuchaj, bardzo cię przepraszam. To wszystko moja wina. Pójdę już.

– On się zmienił! – wybuchnęła Frannie. – Nie wiem, jak ani dlaczego, i mogłoby się wydawać, że zmienił się na lepsze... ale czuję, że to tylko pozory... że coś jest z nim nie tak, i to bardzo. Tylko że nie potrafię tego sprecyzować. I czasami się boję.

– Boisz się Harolda?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w swoje stopy. Poczula, że powiedziała o jedno zdanie za dużo.

– Wyłumaczysz mi, jak mam tam dojść? – zapytał łagodnie.

– Tak. Prosto, wzdłuż Arapahoe, aż dojdiesz do takiego małego parku, parku Ebena G. Fine. Park jest po prawej, a dom Harolda po lewej, dokładnie naprzeciwko.

– Świetnie. Dzięki. Spotkanie z tobą, Fran, to była prawdziwa przyjemność, ta stłuczona doniczka, i w ogóle.

Uśmiechnęła się, ale bez przekonania. Dobry humor opuścił ją i tego wieczora raczej już nie powróci.

Larry uniósł butelkę z winem i uśmiechnął się do Fran.

– Pamiętaj, jeśli zobaczysz się z nim przede mną, ani mru mru, dobra?

– Jasne.

– Dobranoc, Frannie.

Odszedł w tę stronę, skąd przyszedł. Odprowadziła go wzrokiem, a gdy zniknął jej z oczu weszła na górę i położyła się do łóżka obok Stu, który wciąż spał jak zabity.

„Harold” – pomyślała, przykrywając się po samą szyję. Jak miała powiedzieć Larry’emu, który choć zagubiony i (jak oni wszyscy, zresztą), wydawał się całkiem miły, że Harold Lauder był gruby, niedojrzały i zakompleksiony? Czy powinna mu powiedzieć, że jeszcze nie tak dawno widziała Harolda, tego pomyslowego, zaradnego, nieustraszonego Harolda, jak w samych tylko spodenkach kosił trawnik i lkał wniebogłosy? Czy powinna mu powiedzieć, że czasami posępny, niekiedy przerażający Harold, który przybył z Ogunquit do Boulder, zmienił się w twardego polityka, takiego który umie poklepać po plecach, do każdego się

uśmiecha i ogólnie jest dla wszystkich miły, a jednak ma zimne, nieprzeniknione, martwe oczy niczym śnięta ryba?

Sądziła, że tej nocy jeszcze długo nie zaśnie. Harold zadurzył się w niej bez pamięci, a ona bez pamięci zadurzyła się w Stu Redmanie. Świat był brutalny. „Teraz, za każdym razem gdy widzę Harolda, przechodzą mnie zimne ciarki. I choć wygląda jakby stracił dziesięć funtów z okładem, nie ma pryszczu i tak na jego widok przechodzą mnie dreszcze...”.

Oddech uwiązał jej w gardle, usiadła, rozszerzonymi oczami wpatrując się w ciemność.

Coś się w niej poruszyło.

Sięgnęła dłońmi do niewielkiej wypukłości swego brzucha. Nie, na to jeszcze za wcześnie. To tylko złudzenie. Wydawało się jej... Ale nie. To nie było złudzenie.

I wcale się jej nie wydawało.

Położyła się powoli. Jej serce zabiło szybszym rytmem. Mało brakowało a obudziłaby Stu. Zreflektowała się jednak. Gdyby to było jego dziecko, a nie Jessego, wówczas zaraz by go obudziła i wraz z nim cieszyła się tą chwilą. Zrobi tak. Przy następnym dziecku. Oczywiście jeśli będzie NASTĘPNE DZIECKO.

Znów to poczuła, lekkie poruszenie, równie dobrze mogły to być gazy. Ale ona wiedziała. To było dziecko. Jej dziecko żyło.

Harold siedział na krześle na trawniku przed małym domkiem, który sobie upatrzył, wpatrując się w niebo i myśląc o starym rock and rollowym szlagierze. Nie znosił rocka, ale ten kawałek pamiętał doskonale, niemal cały, znał nawet nazwę kapeli, która go grała: Kathy Young and The Innocents. Wokalistka, piosenkarka czy jak ją zwać, miała wysoki, przejmujący, wyrazisty głos przykuwający uwagę. DJ nazwał ten utwór starym, złotym przebojem. Wspomnieniem z przeszłości. Kawałkiem historii. Nagraniem, które się liczy. Wokalistka sprawiała wrażenie, jakby miała szesnaście lat, była prostą, jasnowłosą, bladolicą dziewczyną. Wydawało się, że śpiewała do zdjęcia, które długo przeleżało w szufladzie komódki, zdjęcia, które wyjmowała jedynie późną nocą, kiedy wszyscy inni w domu głęboko spali. Sprawiała wrażenie bezradnej i zagubionej. Zdjęcie, do którego śpiewała, mogło być wycięte ze szkolnego rocznika jej starszej siostry i przedstawiało zapewne jakiegoś atrakcyjnego chłopaka, kapitana drużyny futbolowej i prezesa uczelnianej rady studenckiej w jednej osobie. Chłopak rznął się w jakimś ustronnym zakątku z przywódczynią zespołu dopingującego, podczas gdy daleko na przedmieściu prosta, młoda dziewczyna, płaska jak deska i z pryszczem w kąciku ust śpiewała:

Tysiąc gwiazd na niebie... a ja jedno wiem...

kocham tylko ciebie... tylko ciebie chcę...

Powiedz, że mnie kochasz, żeś jest tylko mój...

Tej nocy na niebie było więcej niż tysiąc gwiazd, ale nie były to gwiazdy zakochanych. Z tego miejsca nie było widać łagodnego woalu Mlecznej Drogi. Tu, milę powyżej poziomu morza, gwiazdy wydawały się ostre i okrutne niczym otwory wycięte w czarnym aksamicie, rany zadane niebu Boskim kolcem do lodu. To były gwiazdy tych, co nienawidzą, a skoro tak, Harold czuł, że może pomyśleć życzenie. „Życzę sobie, abyście zdechli, świnie”.

Siedział w ciszy, z głową odchyloną do tyłu jak zasepiony astronom. Włosy miał dłuższe niż kiedykolwiek, ale nie były już brudne, pozlepiane ani zmierzwione. Nie roztaczał też wokół siebie nieprzyjemnej woni. Nawet jego cera, teraz, gdy zarzucił słodczyce, wyraźnie się poprawiła. Wysilek fizyczny i długi marsz sprawiły, że sporo stracił na wadze. W sumie całkiem niezłe się teraz prezentował. Ostatnimi czasy już kilkakrotnie zdarzyło się, że przechodząc obok jakiejś gładkiej powierzchni, dostrzegał swoje odbicie, lecz nie rozpoznawał w nim siebie, jakby patrzył na zupełnie obcego mu mężczyznę.

Poruszył się na krześle. Na podółku trzymał książkę, gruby wolumin z niebieskim grzbietem i okładkami z imitacji skóry. Przechowywał ją pod obluzowaną płytą w obmurzu paleniska, w kominku. Gdyby ktokolwiek ją znalazł, byłby w Boulder skończony. W złotym liściu na okładce książki widniało tylko jedno słowo: REJESTR. Był to pamiętnik, który zaczął pisać po przeczytaniu dziennika Fran. Jak dotąd zapisał swym równym zwartym pismem blisko sześćdziesiąt stron. Nie było żadnych akapitów ani przerw, tylko zwarty tekst, nienawiść przelana na papier, wylewająca się z niego jak ropa z nabrzmiałego pryszcza. Nie sądził, że ma w sobie aż tyle nienawiści. Wydawało się, że do tej pory powinien się już całkiem wyładować, ale ta nienawiść wciąż w nim tkwiła. Po prostu znalazł dla niej ujście. Jak w tym starym dowcipie: „Dlaczego ziemia za ostatnim szańcem Custera była cała biała? Bo wciąż nowi Indianie dochodzili i dochodzili...”

Dlaczego nienawidził?

Usiadł prosto, jakby to pytanie nadeszło z zewnątrz. Trudno było na nie odpowiedzieć, chyba tylko kilku ludzi mogłoby się o to pokusić. Czyż to nie Einstein powiedział, że na całym świecie było nie więcej niż pół tuzina osób pojmujących wszelkie implikacje wynikające z równania $E=mc^2$? A co z równaniem we wnętrzu jego czaszki? Z względnością Harolda? Teorią nienawiści? Mógłby zapisać ją dwa razy tyle stron w swoim pamiętniku, czyniąc to coraz bardziej zawile, używając coraz bardziej finezyjnych aluzji i odnośników, aż w końcu zagubiłby się w labiryncie własnych myśli, nie potrafiąc przekazać tego, o co mu naprawdę chodzi. Możliwe, że... uprawiał samogwałt.

Czy to było to? Chyba tak. Na pewno coś zbliżonego. Obsceniczny, nie mający końca akt zadowalania samego siebie.

„Indianie wciąż dochodzili i dochodzili”.

Niedługo opuści Boulder. Za miesiąc, może dwa, na pewno nie później.

Najpierw ureguluje wszystkie zaległe rachunki. Wymyśli odpowiedni sposób.

A potem wyruszy na zachód. Kiedy zaś tam dotrze, opowie o tym miejscu wszystko, co wie. Nie opuści niczego. Opowie im, co się dzieje na zebraniach publicznych i, co ważniejsze, na zebraniach tajnych. Był pewien, że wybiorą go do komisji Wolnej Strefy. Powitają go z otwartymi ramionami, a Tamten nagrodzi go za to sownie... we właściwy sposób... nie wygaszając w nim nienawiści, lecz wybierając odpowiednią dla niej maszynę – Cadillaca Nienawiści albo Lękorado, długą, mroczną i lśniącą. Wsiądzie do niej i da się ponieść, a potem wyładuje na nich swą złość, nienawiść i gniew. On i Flagg rozniosą tę żalną mięścinę jak rozsierdzone dziecko niszczy mrowisko. Najpierw jednak ureguluje rachunki z Redmanem, który oszukał go i ukraść mu kobietę.

„Tak, Haroldzie, ale dlaczego nienawidzisz?”

Na to pytanie nie było zadowalającej odpowiedzi, co najwyżej usprawiedliwienie dla trawiącej go nienawiści. Zresztą czy było to pytanie na miejscu? Równie dobrze mógłbyś zapytać kobietę, dlaczego urodziła upośledzone dziecko.

Był taki czas, kiedy rozważał wyzbycie się tej nienawiści. Stało się tak, kiedy skończył czytać pamiętnik Fran i odkrył, że była po uszy zakochana w Stu Redmanie. Ta nagła świadomość podziałała na niego jak kubeł zimnej wody na ślimaka, lodowata struga sprawiająca, że zamiast wyciągnąć się na całą długość, zwija się on w zwartą, małą kulkę.

W tej krótkiej chwili Harold miał świadomość, że mógł po prostu pogodzić się z tym faktem, przyjąć go jak coś zupełnie normalnego i to przeraziło go i rozbawiło zarazem. Zrozumiał wówczas, że mógłby stać się nowym człowiekiem, całkiem innym Haroldem Lauderem, sklonowanym ze starego skalpelem chirurga o nazwie Kapitan Trips. Ludzie się zmieniali. Nie byli tacy jak dawniej. Lauder lepiej niż inni pojmował, czym była w istocie Wolna Strefa Boulder. Ta małomiasteczkowa społeczność nie przypominała żadnej innej sprzed pomoru. Ludzie tego nie dostrzegali, bo w przeciwieństwie do niego nie wykraczali poza utarte schematy i granice. Mężczyźni i kobiety żyli ze sobą, ale najwyraźniej nie zamierzali przywrócić ceremonii zaślubin. Całe grupy ludzi egzystowały wspólnie jak w komunach. Nie było większych zatargów. Ludzie jakoś układali sobie życie. Najdziwniejsze zaś w tym wszystkim, że żaden z nich nie próbował zgłębiać wyraźnych teologicznych implikacji snów... i samej plagi. Boulder było społecznością klonów, kartą tak białą, że nie zdawała sobie sprawy ze swojego całkiem nowego piękna.

Harold je wyczuwał... i przepelniało go ono nienawiścią.

Daleko za górami znajdowała się jeszcze jedna istota-klon.

Wycinek z mrocznej, złośliwej, gnijącej tkanki, pojedyncza komórka pobrana z umierającego ciała dawnego porządku rzeczy, samotny przedstawiciel raka pożerającego żywcem starą ludzką społeczność. Jedna, pojedyncza komórka, lecz już zaczęła się mnożyć i wytworzyła inne dzikie komórki. Dla społeczności będzie to stara, dobrze jej znana walka, zdrowe tkanki spróbują odrzucić złośliwy, spaczony twór. Każda jednak pojedyncza komórka stanie przed możliwością wyboru, zostanie jej zadane stare jak świat pytanie, pochodzące

jeszcze z czasów Rajskiego Ogrodu: „Zjeść jabłko, czy je sobie odpuścić?”. Gdzieś tam, na zachodzie, jedzono jabłka na potęgę, gdzieś tam gromadzili się masowo mroczni fizylierzy, niszczyciele Edenu.

On sam zaś, mając świadomość, że może zaakceptować to, co się stało, pogodzić się z tym, odrzucił daną mu szansę. Gdyby z niej skorzystał, w pewnym sensie zamordowałby samego siebie. Przeciwwstawiły się temu widma wszelkich doznanych kiedykolwiek przez niego upokorzeń. Jego zamordowane marzenia i ambicje powróciły do stanu pseudożycia, zapytując, czy tak łatwo jest mu o nich zapomnieć. W społeczności Wolnej Strefy mógł być jedynie Haroldem Lauderem. Tam, za górami mógł zostać księciem.

Zło pociągało go i przyzywało. Było niczym mroczne, wesołe miasteczko, diabelski młyn z wygaszonymi światełkami obracający się nad spowitą czernią nocy równiną, nie kończący się festyn połączony z prezentacją jemu podobnych dziwolągów, a w wielkim, głównym namiocie lwy pożerały widzów. To, co go przyzywało, to atonalna muzyka chaosu.

Otworzył swój dziennik i przy świetle gwiazd napisał na kolejnej stronie:

12 sierpnia 1990 (nad ranem)

Mówi się, że dwoma wielkimi grzechami ludzkimi są pycha i nienawiść. Czy aby na pewno? Ja uważam je za dwie wielkie cnoty. Odrzucenie pychy i nienawiści oznacza, że próbujesz zmienić siebie dla dobra świata. Bardziej szlachetnym jest przyjąć jedno i drugie i nauczyć się je wykorzystywać, a co za tym idzie, zmusić świat, by zmienił się dla dobra ciebie. Czekam na wielką przygodę.

HAROLD EMERY LAUDER

Zamknął dziennik. Wszedł do domu i ukrył Rejestr pod płytą w kominku, po czym umieścił kamień na poprzednim miejscu. Wszedł do łazienki, stanął przed lustrem, zapalił małą lampę i przez następne piętnaście minut w jej świetle trenował uśmiechanie się. Wychodziło mu to coraz lepiej.

ROZDZIAŁ 51

Wykonane przez Ralpa plakaty zawiadamiające o mającym się odbyć osiemnastego sierpnia zebraniu, pojawiły się w całym Boulder. Wywołały żywy oddźwięk, ludzie zaczęli dyskutować między sobą, głównie na temat plusów i minusów siedmioosobowej komisji tymczasowej.

Matka Abigail, kompletnie wyczerpana położyła się do łóżka jeszcze przed nastaniem zmierzchu. Tego dnia miała mnóstwo gości, każdy z nich chciał znać jej zdanie w tej kwestii. Dała im do zrozumienia, że uważa większość kandydatów do komisji za właściwe osoby do tej roli. Pytano ją, czy zechce wejść w skład komisji stałej, jeśli ta zostanie utworzona i zatwierdzona na walnym zgromadzeniu. Odparła, że byłoby to dla niej zbyt dużym obciążeniem, lecz udzieli wybranej komisji reprezentantów wszelkiej pomocy, jeśli ta zwróci się do niej z konkretną prośbą. Zapewniała po wielokroć, że każda komisja stała, która zrezygnuje lub odmówi z nią współpracy, zostanie z miejsca rozwiązana. Matka Abigail położyła się do łóżka zmęczona, lecz zadowolona.

Podobnie jak Nick Andros. W ciągu jednego dnia, za sprawą jednego afisza wydrukowanego na prymitywnym ręcznym powielaczu, Wolna Strefa przeistoczyła się z niezorganizowanej gromady ludzi ocalonych z pomoru w zbiorowisko obywateli nowej społeczności, posiadających przywilej głosowania. To się im spodobało, dało poczucie bezpieczeństwa po długim okresie chaosu i niepewności.

Tego popołudnia Ralph zawiózł go do elektrowni. Nick, Ralph oraz Stu umówili się, że za dwa dni spotkają się w mieszkaniu Frannie na pierwsze, wstępne zebranie. Tym samym będą mieli jeszcze dwa dni na zapoznanie się z opiniami mieszkańców Boulder.

Nick uśmiechnął się i dotknął dłońmi swych niesłyszających uszu.

– Czytanie z ruchu warg może się okazać jeszcze przydatniejsze – powiedział Stu. – Wiesz co, Nick, zaczynam wierzyć, że naprawdę uda się nam naprawić te niesprawne agregaty. Brad Kitchner to prawdziwa złota rączka. Gdybyśmy mieli dziesięciu takich jak on, przywrócilibyśmy całe to miasto do życia jeszcze przed pierwszym wrześniem.

Nick pokazał mu symbol O.K., łącząc kciuk z palcem wskazującym, po czym wspólnie weszli do środka.

Tego popołudnia Larry Underwood i Leo Rockway ruszyli wzdłuż Arapahoe Street na zachód, w stronę domu Harolda Laudera. Larry niósł plecak, ten sam, z którym przewędrował cały kraj, teraz jednak niósł w nim tylko butelkę wina i pół tuzina batonów. Lucy z szóstką innych osób wybrali się dwiema ciężarówkami holowniczymi, by oczyścić ulice i drogi wokół Boulder z tarasujących je pojazdów. Kłopot w tym, że byli zdani tylko na siebie i takie operacje przeprowadzano sporadycznie, gdy kilka osób dogadywało się i wspólnie zabierało do dzieła.

„Oczyszczanie zamiast tkania” – pomyślał Larry i jego wzrok przykuł plakat przyczepiony na słupie telefonicznym. WALNE ZEBRANIE. Może to jest odpowiedź. Niech to szlag, ludzie tutaj chcieli pracować, chcieli coś robić, pragnęli, by ktoś wziął wreszcie władzę w swoje ręce i zaczął mówić im, co i jak. A może przede wszystkim chcieli zatrzeć okrutne wspomnienia tego, co wydarzyło się na początku lata (czy to możliwe, że zbliżała się już jesień?), tak jak dziecko w szkole wyciera gąbką błędnie napisane na tablicy słowo. „Może nie uda się nam tego przeprowadzić w całej Ameryce, od jednego wybrzeża do drugiego, ale tu, w Boulder, powinno się nam udać jeszcze przed pierwszymi zamieciami, oczywiście jeśli Matka Natura nie zechce nam tego utrudnić”.

Brzęk szkła. Larry odwrócił się gwałtownie. Leo zabranym z czyjegoś ogródka kamieniem wybił tylną szybę starego forda. Na tylnym zderzaku auta znajdowała się nalepka z napisem WEŹ TYŁEK W TROKI, PODZIWIJ WIDOKI, ODWIEDŹ KANION COLD CREEK.

– Nie rób tego, Joe.

– Jestem Leo.

– Leo – poprawił się. – Nie rób tego.

– Dlaczego nie? – zapytał chłopiec, a Larry przez dłuższą chwilę nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Bo robi się przy tym straszny hałas – odrzekł w końcu.

– Aha. Dobrze.

Poszli dalej. Larry włożył obie dłonie do kieszeni. Leo również. Larry kopnął puszkę po piwie. Leo skręcił w bok, by kopnąć leżący opodal kamyk. Larry zaczął pogwizdywać pod nosem, Leo natychmiast zawtórował mu w murmurando. Larry pogłodził go po włosach, a Leo spojrzał na niego swymi dziwnymi, chińskimi oczami i uśmiechnął się. Larry pomyślał: „Rany Boskie, kocham tego dzieciaka. Ale się porobiło”.

Dotarli do parku, o którym wspominała Frannie i ujrzeli naprzeciw niego zielony domek z białymi żaluzjami. Na betonowej ścieżce wiodącej do drzwi wejściowych stała taczka pełna cegieł, a obok niej leżała pokrywa od kosza na śmieci wypełniona zaprawą, do rozrobienia której potrzeba było tylko trochę wody. Kucał przy niej odwrócony plecami do ulicy barczysty, półnagi facet, na którego plecach wciąż jeszcze łuszczyła się spieczona słońcem

skóra. W jednej dłoni trzymał kielnię. Układał niski, półokrągły ceglany murek wokół kwiatowej rabaty.

Larry usłyszał w myślach głos Fran: „On się zmienił. Nie wiem jak ani dlaczego i mogłoby się wydawać, że zmienił się na lepsze... I czasami się boję”.

Postąpił naprzód i tak jak to sobie obmyślił jeszcze w drodze do Boulder powiedział:

– Harold Lauder, jak przypuszczam.

Harold drgnął zaskoczony i odwrócił się, ręce unosząc jak do obrony. W jednej dłoni trzymał cegłę, a w drugiej ociekającą zaprawą kielnię.

Kątem oka Larry dostrzegł, że Leo nieznacznie się cofnął. Harold nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażali.

„Mój Boże, czy on zamierza mi tym przyłożyć?”

Oblicze Harolda było posępne, oczy ciemne, zwężone w szparki. Włosy przylepiały mu się do ociekającego potem czoła. Wargi, mocno zaciśnięte, wydawały się niemal białe.

Przemiana nastąpiła tak gwałtownie i była tak diametralna, że Larry nie mógł później uwierzyć, iż przez chwilę oglądał tego spiętego, zimnego, beznamiętnego Harolda, który sprawiał wrażenie, jakby nie tyle kładł murek wokół kwiatowej rabaty, lecz szykował się, by zamurować w piwnicznej niszy czyjeś zwłoki.

Uśmiechnął się szerokim, promiennym uśmiechem, od którego w kącikach ust zrobiły mu się głębokie dołeczki. Jego oczy utraciły złowrogi blask (miały barwę starych butelek od coli, były ciemnozielone; jak takie oczy, błyszczące i żywe mogły wyglądać groźnie, czy choćby posępnie?). Wbił kielnię ostrzem w zaprawę. PAC! Otarł dłonie o spodnie i wyciągnął rękę na powitanie. „Mój Boże, toż to jeszcze dzieciak – pomyślał Larry. – Jest młodszy ode mnie. Jeśli ma więcej niż osiemnaście lat to zjem wszystkie świeczki na jego następnym torcie urodzinowym”.

– Chyba cię nie znam – powiedział z uśmiechem Harold, gdy już uścisnęli sobie dłonie. Miał silny uścisk. Trzy mocne ruchy dłonią w górę i w dół i koniec. Larry’emu przypomniało się, jak wymienił kiedyś uścisk dłoni z Georgem Bushem, zanim jeszcze ten rozpoczął swoją kampanię prezydencką. Było to wiele lat temu, za namową matki poszedł na zebranie polityczne. Jeśli nie stać cię na kino, idź do zoo. Jeśli nie stać cię na bilet do zoo, wybierz się na spotkanie z jakimś politykiem.

Uśmiech Harolda okazał się jednak zaraźliwy. Larry również się uśmiechnął. Niezależnie ile tamten miał lat i czy podawał rękę jak rasowy polityk, jego uśmiech wydał mu się absolutnie szczery, a poza tym co najważniejsze, po tak długim czasie i podążaniu śladem pozostawionych przez niego opakowań, wreszcie mógł na własne oczy ujrzeć Harolda Laudera, we własnej osobie.

– Owszem, nie znasz mnie – rzekł Larry. – Ale ja znam ciebie.

– Co ty nie powiesz? – zawołał Harold, uśmiechając się od ucha do ucha.

„Jeszcze trochę – pomyślał Larry z rozbawieniem – a kąciki ust złączą się na jego potylicy i odpadnie mu górna połowa czaszki”.

– Podążałem twoim śladem aż z Maine – powiedział Larry.

– Bez kitu? Naprawdę?

– Naprawdę. – Odpiął klapę plecaka. – Mam coś dla ciebie. – Wyjął i podał Haroldowi butelkę wina Bordeaux.

– Chyba nie powinieneś – rzucił Harold, spoglądając ze zdumieniem na etykietę. – Rocznik 47?

– Najlepszy – odrzekł Larry. – I jeszcze to.

Wcisnął Haroldowi do drugiej ręki prawie pół tuzina baloników. Jeden wyslizgnął mu się między palcami i spadł na trawę. Harold schylił się, by go podnieść i w tej samej chwili Larry znów ujrzał na jego twarzy ten zimny, wyrachowany grymas. Zaraz jednak uśmiech wrócił na jego usta.

– Skąd wiedziałeś?

– Wędrowałem za znakami, które zostawiałeś... i opakowaniami po balonikach.

– Niech mnie wszyscy diabli! Wejdz do mojego domu. Pogawędzimy sobie o starych dobrych czasach, jak to mawiał mój tato. Czy twój chłopak lubi colę?

– Jasne. Prawda, Le...

Rozejrzał się wokoło, ale Leo już przy nim nie było. Stał na drugim końcu chodnika, wpatrując się w szczeliny między płytami, jakby dostrzegał w nich coś wyjątkowo interesującego.

– Hej, Leo! Chcesz colę?

Leo mruknął coś tak cicho, że Larry nie dosłyszał.

– Mów głośniej! – burknął gniewnie. – Po co Bozia dała ci głos? Pytałem, czy chcesz colę.

Ledwie słyszalnym głosem Leo odpowiedział:

– Chyba pójdę i sprawdzę, czy mama-Nadine już wróciła.

– Co, u licha? Przecież dopiero co przyszliśmy.

– Chcę wracać! – rzucił Leo, unosząc wzrok. W jego oczach dziwnie odbiły się promienie słońca.

„Co to ma znaczyć, na Boga? – pomyślał Larry. – On prawie płacze”.

– Chwileczkę – zwrócił się do Harolda.

– Nie ma sprawy – odrzekł z uśmiechem Harold. – Czasami dzieciaki są nieśmiałe. Też taki byłem.

Larry podszedł do Leo i przykucnął, by spojrzeć mu w oczy.

– Co jest grane, mały?

– Chcę wracać – odparł Leo, unikając jego wzroku. – Chcę do mamy-Nadine.

– Dobrze, ty... – Przerwał bezradnie.

– Chcę wracać. – Przez chwilę ich spojrzenia spotkały się. Chłopiec podążył wzrokiem ponad ramieniem Larry’ego, do miejsca, gdzie stał Harold, po czym znów zaczął wpatrywać się w płyty chodnika. – Proszę.

– Nie lubisz Harolda?

– Nie wiem... on jest w porządku... po prostu chcę wracać.

Larry westchnął.

– Trafisz sam?

– Jasne.

– Dobrze. Choć chciałbym, żebyś posiedział chwilę z nami i napił się coli. Od dawna chciałem spotkać się z Haroldem. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– T-tak...

– Potem moglibyśmy wrócić razem.

– Nie wejdę do tego domu – syknął Leo i przez chwilę znów był Joe o dzikim, pustym spojrzeniu.

– W porządku – rzucił pospiesznie Larry. Wstał. – Ale idź prosto do domu. Nie omieszkam tego sprawdzić. I nie wychodź na ulicę. Idź tylko chodnikiem. Będziesz o tym pamiętał?

– Będę. – Nagle Leo znów wybuchnął tym cichym, syczącym szeptem: – Dlaczego nie miałbyś wrócić ze mną? Teraz? Zaraz? Poszlibyśmy razem. Proszę, Larry. Dobrze?

– Jezu, Leo, o co ci...

– Nieważne – odparł Leo.

I zanim Larry zdążył powiedzieć coś jeszcze, Leo pomaszerował przed siebie. Larry odprowadzał go wzrokiem, póki chłopiec nie zniknął mu z oczu. A potem z marsową miną odwrócił się do Harolda.

– Nic się nie stało – mruknął Harold. – Dzieciaki czasem bywają zabawne. I dziwne.

– Tak, na pewno, ale ten jak coś powie, to zwykle ma rację. Sporo przeszedł.

– Z pewnością – odparł Harold, a Larry przez ułamek sekundy ujrzał go takim, jakim Lauder był w istocie. Doświadczył tkwiącego w nim fałszu i obłudy, zrozumiał, że wyrażone przez Harolda współczucie wobec nieznanego mu chłopca było równie sztuczne jak jajka w proszku. I zaczął być względem niego nieufny.

– Zapraszam do środka – powiedział Harold. – Wiesz, jesteś pierwszym gościem w moich skromnych progach. Pomijam Frannie i Stu, którzy zaglądają tu od czasu do czasu. Oni się tak naprawdę nie liczą. – Uśmiech na jego wargach wydawał się nieco smutny i Larry poczuł nagły przypływ współczucia dla tego chłopca, ponieważ w sumie Harold Lauder był jedynie zagubionym nastolatkiem. Był samotny, a on, Larry, ten sam stary Larry, który nigdy nie powiedział o nikim dobrego słowa, śmiał osądzać go po pozorach. To nie było uczciwe. Nadszedł czas, aby przestał być w końcu nieufnym, wrednym typem.

– Bardzo się cieszę – odparł.

Salon był mały, ale przytulny.

– Zamierzam wstawić tu nowe meble, gdy tylko trochę się zadomowię – wyjaśnił Harold.
– Nowoczesne. Chrom i skóra. Jak z tej reklamówki. Chrząć budżet. Mam kartę płatniczą.

Larry wybuchnął śmiechem.

– W piwnicy jest parę nienaruszonych kieliszków. Przyniosę je. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, odpuszczę sobie batoniki, zrezygnowałem ze słodczy, jestem na diecie, próbuję trochę schudnąć, ale ponieważ okazja jest szczególna proponuję, byśmy otworzyli to wspaniałe wino. Przebyłeś całą drogę aż z Maine, podążając za nami i pozostawianymi przeze mnie znakami. To naprawdę coś. Będziesz musiał opowiedzieć mi o tym. A teraz usiądź sobie wygodnie. Proponuję ci tamten fotel. Niezbyt może wygodny, ale najlepszy jaki mam.

Larry'ego uderzyło w tym wszystkim jeszcze jedno. On nawet mówi jak polityk, gładko, szybko i bez zająknięcia.

Harold wyszedł, a Larry usadowił się w fotelu. Usłyszał skrzyp otwieranych drzwi, a potem ciężkie kroki Harolda na schodach. Rozejrzał się wokoło. Nie był to najwytworniejszy salon świata, ale z odpowiednim dywanem i meblami mógł wyglądać całkiem przyzwoicie. Najlepiej prezentował się tu zgrabny kamienny kominek. Jeden z kamieni w kominku był obluzowany. Larry odniósł wrażenie, że coś spod niego wyjęto i w pośpiechu włożono z powrotem. Cały obraz wyglądał jak układanka z kawałków, w której zabrakło jednego elementu albo przekrzywiony portret wiszący na ścianie.

Wstał i unióś obluzowaną kamienną płytę. Harold wciąż krzątał się w piwnicy. Larry miał właśnie położyć płytę na miejsce, kiedy ujrzał leżący w niszy wolumin, grubą księgę, lekko teraz zakurzoną od kamiennego pyłu, w złotym liściu na okładce widniało jedno jedyne słowo: REJESTR.

Nieco zawstydzony jakby szperał w czyichś rzeczach osobistych, wsunął kamień na miejsce i w tej samej chwili znów usłyszał na schodach kroki Harolda. Tym razem starannie opuścił płytę na palenisko kominka, a kiedy wrócił Harold, trzymając w rękach kieliszki, Larry znów siedział jak poprzednio w fotelu.

– Musiałem je dokładnie umyć w zlewie na dole – wyjaśnił Harold. – Były strasznie zakurzone.

– Wyglądają doskonale – odparł Larry. – Niestety nie mogę obiecać, że wino nie jest zwiędnięte. Może się okazać, że przyniosłem ci w prezencie butelkę octu.

– Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma – mruknął Harold i uśmiechnął się.

Jego uśmiech zdeprymował Larry'ego. Underwood zaczął nagle zastanawiać się nad Rejestrem, do kogo należał, do Harolda czy do poprzedniego właściciela domu? A jeśli był własnością Harolda, co mógł zawierać?

Otworzyli butelkę bordeaux i ku swemu zadowoleniu stwierdzili, że wciąż było wyczerpane. W pół godziny później obu im przyjemnie zaszumiało w głowie, Harold wypił nieco więcej niż Larry, ale wciąż uśmiechał się szeroko, może nawet szerzej niż dotychczas.

Larry, któremu wino rozwiązało język, zapytał:

– Widziałeś te plakaty? Te ulotki o wielkim zebraniu osiemnastego sierpnia. Jak to się stało, Haroldzie, że nie wszedłeś w skład tej komisji? Sądziłem, że dla kogoś tak błyskotliwego i pomysłowego jak ty, to coś zgoła naturalnego.

Harold uśmiechnął się z rozmarzeniem.

– Cóż, jestem jeszcze bardzo młody. Zapewne doszli do wniosku, że brak mi niezbędnego doświadczenia.

– Moim zdaniem to wielka szkoda.

Czy naprawdę tak uważał? Ten uśmiech. Mroczny, ledwie dostrzegalny wyraz podejrzenia. Czy aby na pewno? Nie wiedział.

– No cóż, kto wie, co nam przyniesie przyszłość? – odrzekł Harold, uśmiechając się szeroko. – Każdy ma kiedyś swoje piętnaście minut.

Larry wyszedł około piątej. Rozstanie z Haroldem było bardzo przyjacielskie. Lauder uściskał mu dłoń, uśmiechnął się i zaprosił, by odwiedzał go częściej.

Larry miał jednak wrażenie, że Harold wcale by się nie przejął, gdyby nigdy go już więcej nie zobaczył.

Betonową ścieżką dotarł do ulicy i odwrócił się, by pomachać, ale Harold wrócił już do domu. Drzwi były zamknięte. W budynku panował miły chłód, ponieważ w oknach opuszczono żaluzje i wewnątrz wydawało się to całkiem normalne, jednak patrząc z ulicy Larry zorientował się nagle, iż był to chyba jedyny dom w całym Boulder, w którego drzwiach i oknach opuszczono żaluzje i zaciągnięto zasłony. Choć w gruncie rzeczy w mieście wciąż jeszcze wiele było domów z zaciągniętymi zasłonami. To były domy umarłych. Ich mieszkańcy, poddając się chorobie, opuszczali żaluzje, odgradzając się w ten sposób od świata. Zaciągali zasłony i umierali w samotności jak zwierzęta, gdy czują, że nadchodzi ich czas. Żywi, być może, mając w podświadomości ten związany ze śmiercią szczegół, rozsuwali zasłony szeroko i podnosili żaluzje.

Od wina rozbolała go głowa; ponadto próbował sobie wmówić, że lodowate ciarki, które czuł od kilku chwil to efekt lekkiego kaca, słuszną karą za popijanie przedniego wina jak taniego muskatela. Wiedział jednak, że nie do końca było to prawdą. Spojrzał w głąb ulicy, w jedną, a potem w drugą stronę i pomyślał: „Bogu dzięki za zdrowy rozsądek. Bogu dzięki za percepcję selektywną. Bez tego moglibyśmy wszyscy czuć się jak bohaterowie któregoś z opowiadań Lovecrafta”.

Miał w głowie mętlik. Nagle ogarnęło go przekonanie, że Harold obserwuje go spoza listewek żaluzji, jego dłonie na przemian rozwierają się i zaciskają w pięści, a uśmiech na

ustach przeradza się w drapieżny grymas czystej nienawiści... „Każdy ma kiedyś swoje piętnaście minut”. Równocześnie przypomniał sobie tamtą noc w Bennington, kiedy usnął na scenie w muszli koncertowej i obudził się z przeraźliwym przecuciem, że nie jest sam, że gdzieś tam, w ciemności był ktoś jeszcze... a potem usłyszał (czy tylko mu się przyśniło) szuranie obcasów kowbojskich butów, ciche kroki oddalające się ku zachodowi.

„Prześń. Chcesz sam sobie napędzić stracha?”

„Wzgórze Cmentarne – podpowiadał głos w jego umyśle. – Na litość Boską, dajże spokój, nie chciałbym zaprzętać sobie głowy tymi umarłymi, trupami ukrytymi za opuszczonymi żaluzjami i zaciągniętymi zasłonami ich domów, spoczywającymi w ciemności jak w tunelu, w tunelu Lincolna. Chryste, co by było, gdyby oni wszyscy zaczęli się nagle poruszać, Chryste Panie, prześń...”

I nagle przypomniał sobie wycieczkę do zoo w Bronksie, poszedł tam z mamą, kiedy był jeszcze bardzo mały. Odwiedzili małpiarnię i panujący tam fetor uderzył go jak żywe ciało, jak pięść z krwi i kości, która nie tylko podrażniła mu nozdrza, lecz wdarła się głęboko do jego wnętrza. Chciał natychmiast wybiec na zewnątrz, ale matka zatrzymała go.

„Oddychaj, Larry – powiedziała. – Oddychaj swobodnie. Za pięć minut przestaniesz w ogóle zwracać uwagę na tę woń”.

Został tam, choć nie wierzył w to, co mu powiedziała, starał się powstrzymać mdłości (mimo iż miał ledwie siedem lat, bardziej niż cegokolwiek innego nie znosił wymiotowania) i okazało się, że miała rację. Kiedy następnym razem spojrzął na zegarek stwierdził, że minęło całe pół godziny i nie potrafił pojąć, dlaczego wchodzące do małpiarni kobiety w pierwszej chwili zaciskają palcami nosy i wydają się zde gustowane. Wspomniał o tym matce, a Alice Underwood roześmiała się.

„Och, ty wciąż okropnie śmierdzi. Tylko ty już tego nie czujesz”.

„Jak to, mamusi?”

„Nie wiem. Wszyscy to potrafią. A teraz powiedz sobie: «Zaraz znowu poczuję prawdziwą woń małpiarni» i weź głęboki oddech”.

Zrobił to i poczuł obecny w powietrzu fetor, smród jeszcze silniejszy i bardziej dławiący, niż kiedy tu weszli, niedawno zjedzone hot dog i ciastko z wiśniami momentalnie podeszły mu do gardła i gdyby dostatecznie szybko nie wybiegł na świeże powietrze, z całą pewnością nie zdołałby ich w sobie utrzymać.

„Oto czym jest percepcja selektywna – pomyślał teraz – Ona także to wiedziała, choć z pewnością nie znała tej nazwy”. Zaraz potem usłyszał w myślach jej głos. „A teraz powiedz sobie: «Zaraz znowu poczuję prawdziwą woń Boulder»,”.

I poczuł ją, ot tak, po prostu. Poczuł to, co znajdowało się ukryte za zamkniętymi drzwiami, zaciągniętymi zasłonami i opuszczonymi żaluzjami, poczuł fetor powolnego rozkładu, który postępował, aczkolwiek niezbyt szybko, nawet tu, w mieście, które umarło, prawie wyludnione.

Przyspieszył kroku, nie biegł jeszcze, lecz niewiele brakowało, czując w nozdrzach ten dojrzały, gnilny, słodkawy smród, który on sam i wszyscy inni przestali odczuwać, ponieważ był wszędzie, był wszystkim, barwił ich myśli, a ty nie opuszczałeś żaluzji nawet gdy się kochałeś, gdyż za opuszczonymi żaluzjami spoczywają umarli, a żywi wciąż pragnęli wyglądać przez okna na świat.

Był bliski mdłości, tym razem zamiast hot dogów i ciasta z wiśniami podchodziły mu do gardła wino i batonik payday. Ponieważ znajdował się w jednej wielkiej małpiarni, nie miał szans, by z niej wybiec, chyba że trafiłby na jakąś bezludną wyspę, i choć wciąż bardziej niż cegokolwiek innego nie znosił wymiotować, to zaraz...

– Larry, nic ci nie jest?

Tak go to zaskoczyło, że mimowolnie z jego gardła dobył się zdławiony dźwięk. Drgnął gwałtownie. To Leo zagadnął do niego, siedział na krawężniku, trzy przecznice od domu Harolda. Odbijał od chodnika znaną gdzieś piłeczkę ping-pongową.

– Co tutaj robisz? – zapytał Larry. Jego tętno powoli powracało do normy.

– Chciałem wrócić do domu z tobą – odparł bezceremonialnie Leo. – Ale za nic nie wszedłbym do domu tego faceta.

– A to dlaczego? – spytał Larry. Usiadł na chodniku obok Leo.

Chłopak wzruszył ramionami i wbił wzrok w białą piłeczkę ping-pongową. Z cichym pok, pok odbijała się od chodnika i wracała do jego dłoni.

– Nie wiem.

– Leo?

– Co?

– To dla mnie bardzo ważne. Ponieważ jeżeli chodzi o Harolda, mam wobec niego sprzeczne odczucia. Zarazem lubię go i nie lubię. Miałeś kiedyś coś takiego?

– Jeżeli chodzi o niego, wzbudza we mnie tylko jedno uczucie.

Pok! Pok!

– Jakie?

– Strach – odrzekł krótko Leo. – Boję się go. Czy możemy już wrócić do domu, do mamy-Nadine i mamy-Lucy?

– Jasne.

Przez chwilę szli wzdłuż Arapahoe w milczeniu. Leo odbijał piłeczkę od chodnika i zręcznie ją chwycił.

– Przepraszam, że tak długo czekałeś – rzekł Larry.

– Ee, nic się nie stało.

– Naprawdę mi przykro, gdybym wiedział, że na mnie czekasz, nie zabawiłbym tam tak długo.

– Nie nudziło mi się. Znalazłem ją na tamtym trawniku. To piłka pong-pingowa.

– Piłeczka ping-pongowa – poprawił odruchowo Larry. – Jak sądzisz, dlaczego Harold poopuszczał żaluzje w oknach swego domu?

– Chyba po to, żeby nikt nie mógł go podejrzeć – odparł Leo. – Żeby mógł robić w sekrecie to, co zechce. To trochę tak, jak z umarłymi.

Pok! Pok!

Szli dalej, dotarli do rogu Broadway i skręcili na południe. Po drodze mieli okazję ujrzyć kilkoro innych ludzi, kobiety w sukienkach wyglądające przez okna, wracającego skądś mężczyznę z kilofem i innego, ze spokojem gmerającego wśród sprzętu wędkarskiego w rozbitym oknie wystawowym sklepu z artykułami sportowymi. Larry zauważył też Dicka Vollmana, mężczyznę ze swojej grupy, jadącego na rowerze w przeciwnym kierunku. Dick pomachał do nich wesoło. Odmachali mu.

– Sekretne rzeczy – powiedział na głos Larry, choć wcale nie miał ochoty kontynuować tego tematu.

– Może modli się do mrocznego mężczyzny – rzekł Leo, a Larry drgnął, jakby poraził go prąd. Leo nie zauważył tego. Odbijał teraz piłeczkę od chodnika i chwycił ją, gdy odskakiwała, rykoszetując od ceglaneanego murku, który mijali. Pok-pok!

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał Larry, starając się ukryć swe zaaferowanie.

– Nie wiem. On po prostu jest inny niż my wszyscy. Często się uśmiecha. Ja jednak myślę, że ma w sobie coś, jakby robaki, i to one każą mu się tak szczerzyć. Wielkie białe robaki wgryzające mu się mózg. Jak te, co żerują na trupach.

– Joe... to znaczy Leo...

Oczy Leo, ciemne, chińskie i mętne nagle się ożywiły. Uśmiechnął się.

– Spójrz. To Dayna. Lubię ją. Hej, Dayna! – zawołał i pomachał do niej. – Masz gumę?

Dayna, która oliwiła akurat zębate koło łańcuchowe swego eleganckiego roweru z przerzutkami, odwróciła się i uśmiechnęła. Sięgnęła do kieszeni koszuli i wyjęła z niej pięć listków gumy do żucia Juicy Fruit, rozkładając je jak karty. Leo, śmiejąc się wesoło, pobiegł ku niej z rozwianymi włosami i piłeczką ping-pongową w dłoni. Larry patrzył na chłopca, ale myślał zupełnie o czymś innym. Jego wzmianka o białych robakach kryjących się za szerokim uśmiechem Harolda... „Skąd Joe (Nie, Leo, on się nazywa Leo, a przynajmniej tak mi się wydaje) wytrzasnął tak osobliwe i przerażające porównanie. Skąd wzięła się u niego taka wizja? Chłopiec, mówiąc te słowa, wydawał się być pogrążony w płytkim transie”.

Zresztą nie on jeden; ile razy w ciągu ostatnich kilku dni Larry widział, jak jakaś osoba staje nagle na ulicy jak wryta, z pustym wyrazem twarzy, spoglądając tępo gdzieś w przestrzeń, a potem ruszała dalej? Wszystko się zmieniło.

Zakres ludzkiej percepcji najwyraźniej nieznacznie się poszerzył.

To było przerażające. Śmiertelnie przerażające.

Larry ruszył wolno w stronę Dayny i Leo, który zaczął tymczasem rozpakowywać jeden z podanych mu listków gumy do żucia.

Tego popołudnia Stu zastał Frannie piorącą ubrania na małym podwórzu za domem. Nalała wody do niskiej balii, wsypała prawie pół pudełka proszku tide i mieszała rączką mopa do zmywania tak długo, aż zrobiła się gęsta piana. Wątpiła, czy robi to dobrze, ale nie chciała pytać o radę Matki Abigail. Byłoby jej wstyd, że nie ma pojęcia o tak podstawowych rzeczach. Wrzuciła ubrania do lodowatej wody, po czym zaciskając zęby wskoczyła do środka i zaczęła je deptać i ugniatać pod stopami, jakby rozcierała winogrona. „Twój nowy model Maytag 5000 – pomyślała. – Silnik dwunożny, idealny do tkanin białych i kolorowych...”

Odwróciła się i ujrzała swego mężczyznę stojącego przy wejściu na podwórze i przyglądającego się jej z rozbawieniem. Frannie, nieco zadyszana, przestała przebierać nogami.

– Ha-ha, bardzo zabawne. Jak długo tam stoisz, cwaniaczku?

– Kilka minut. Jak nazwałabyś to, co robisz? Tańcem godowym dzikiej kaczki?

– Ale śmieszne, ha-ha. – Spojrzała na niego chłodnym wzrokiem. – Powiedz jeszcze coś, a dzisiejszą noc spędzisz na kanapie albo we Flagstaff ze swoim przyjacielem Glenem Batemanem.

– Posłuchaj, ja nie chciałem...

– Są tu również twoje rzeczy, Stuarcie Redman. Możesz być Ojcem Założycielem, i w ogóle, ale od czasu do czasu i tobie trzeba uprać gacie.

Stu uśmiechnął się szeroko.

– Aleś mi przysoliła, kochanie.

– Jakoś nie mam dziś nastroju do wysłuchiwania twoich żartów.

– Dobrze, wyjdź stamtąd na chwilę, chciałbym z tobą porozmawiać.

Ucieszyło ją to, choć przed ponownym wejściem do balii będzie musiała umyć nogi. Serce tłukło się jej w piersi, nie tyle ze szczęścia, co raczej ze smutku, niczym wierny element jakiegoś urządzenia wykorzystany w niewłaściwy sposób przez bezmyślnego operatora. „Jeżeli tak to robiła moja praprababka – pomyślała Frannie – to może zasłużyła sobie na pokój, który stał się później ukochanym salonikiem mojej matki. Może uznała to za premię za niebezpieczną pracę, czy coś w tym rodzaju”. Spojrzała z niesmakiem na swoje golenie i stopy. Wciąż pozostała na nich cienka warstewka szarych mydlin. Wytarła je z odrazą.

– Kiedy moja żona prała coś ręcznie – rzekł Stu – używała tej, jak jej tam? Tary. Pamiętam, że moja matka miała ich aż trzy.

– To akurat wiem – odparła Frannie z irytacją w głosie. – Przeszukałyśmy z June Brinkmeyer ponad pół Boulder. Nie znalazłyśmy ani jednej. Technologia znowu górą.

Ponownie się uśmiechnął.

Frannie oparła dłonie na biodrach.

– Próbujesz mnie wkurzyć?

– Ależ nie. Tylko przyszło mi na myśl, że chyba wiem, gdzie możemy znaleźć tarę. A nawet dwie, gdyby June też chciała jedną.

– Gdzie?

– Pozwól, że najpierw ja poszukam. Muszę się trochę rozejrzeć.

Przestał się uśmiechać, objął ją i przyłożył czoło do jej czoła.

– Wiesz, że doceniam to, iż pierzesz moje rzeczy – wyszeptał – i zdaję sobie sprawę, że kobieta w ciąży wie lepiej niż jej facet, co powinna, a czego nie powinna robić. Tylko po co, Frannie, odpowiedz mi, po co?

– Po co? – spojrzała na niego zakłopotana. – A co na siebie włożysz? Chcesz chodzić w brudnych łachach?

– Frannie, w sklepach jest odzież pod dostatkiem. A ja noszę taki rozmiar, że zawsze znajdę coś dla siebie.

– Chcesz wyrzucać ubrania dlatego, że są już brudne?

Nieco zdeprymowany wzruszył ramionami.

– Nic z tego. Nie ma mowy – mruknęła. – To już należy do przeszłości, Stu. Tak jak pudełka, do których pakowano Big Maki albo jednorazowe, bezzwrotne butelki. Nie ma do tego powrotu.

Pocałował ją.

– W porządku. Ale następnym razem piorę ja. Zgoda?

– Jasne, że tak. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – A kiedy to będzie? Już po moim rozwiązaniu?

– Kiedy przywrócimy w mieście zasilanie – odparł Stu. – A wtedy podaruję ci największą, najbardziej błyszczącą pralkę, jaką w życiu widziałaś i osobiście ją uruchomię.

– Wniosek przyjęty. – Pocałowała go mocno, a on oddał pocałunek, wplatając palce w jej włosy. Poczowała przypływ ciepła („Pożądania, nie ukrywaj tego, to pożądanie, zawsze je czuję, gdy to robi”) rozchodzący się od sutków w dół brzucha.

– Lepiej przestań – wyszeptała ostatkiem tchu – chyba że masz ochotę na coś więcej niż tylko rozmowę.

– Może porozmawiamy później.

– Ubrania...

– Są tak brudne, że dobrze im zrobi, jeśli się porządnie wymoczą – odparł z powagą.

Wybuchnęła śmiechem, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Kiedy wprowadził ją do domu, zdumiała się ciepłem promieni słońca muskających jej ramiona.

„Czy wcześniej też były tak gorące – zastanawiała się. – Czy słońce grzało tak mocno? Wyraźnie poprawiła mi się cera. I nie mam już pryszczycy na plecach... czy to promienie ultrafioletowe, czy może wysokość, na jakiej się znajdujemy? Czy tak jest każdego lata? Czy jest tak gorąco?”

A potem zajął się nią, jeszcze na schodach zaczął ją rozbierać i wziął już po chwili nagą, gorącą, rozpaloną pożądaniem.

– Nie. Teraz usiądź – powiedział.

– Ale...

– Ja nie żartuję, Frannie.

– Stuart, one tam stężeją, czy Bóg wie co. Wsypałam do balii pół pudełka tude.

– Nie przejmuj się.

Usiadła na ogrodowym krześle, w cieniu rzucanym przez nawis domu. Kiedy wrócili na podwórze, Stu ustawił tam dwa krzesła. Następnie zdjął buty, skarpetki i podwinął do kolan nogawki spodni. Kiedy wszedł do balii i zaczął miarowo ugniatać leżące w niej ubrania, Fran mimo woli zachichotała.

Stu odwrócił się do niej i zapytał:

– Chcesz spędzić noc na kanapie?

– Nie – odparła ze skruszoną miną i zaraz znów zachichotała. Łzy pociekły jej po policzkach, a mięśnie brzucha rozluźniły się i osłabły. Kiedy znów odzyskała nad sobą kontrolę, odezwała się do niego: – Po raz trzeci i ostatni pytam, o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– A, tak. – Dziarsko przebierał nogami, jakby maszerował w miejscu.

W balii zrobiło się już całkiem sporo piany. Para dżinsów wychynęła na powierzchnię, lecz natychmiast posłał je z powrotem na dno z takim impetem, że na trawniku dokoła pojawiły się kremowe ślady piany.

„To wyglądało trochę jak... – pomyślała Frannie. – Nie, nie, odegnaj od siebie tę myśl, chyba że chcesz tu zaraz poronić ze śmiechu”.

– Dziś wieczorem mamy pierwsze wstępne spotkanie komisji tymczasowej – rzekł Stu.

– Mamy dwie skrzynki piwa, krakersy serowe, serki topione i trochę pepperoni, która...

– Nie o to chodzi, Frannie. Odwiedził mnie dzisiaj Dick Ellis i powiedział, że chce zrezygnować z członkostwa w komisji.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

Dick nie sprawiał wrażenia człowieka, który bałby się przyjąć na swoje barki brzemię odpowiedzialności.

– Powiedział, że możemy na niego liczyć, gdy tylko zjawi się u nas lekarz z prawdziwego zdarzenia, lecz do tego czasu po prostu nie potrafi pomóc. Dziś przybyło kolejnych dwadzieścia pięć osób. Jedna z nich ma zranioną nogę, w ranę wdała się gangrena. Ta kobieta zadrasnęła się, przepelzając pod ogrodzeniem z zardzewiałego drutu kolczastego.

– Och, to niedobrze.

– Dick uratował jej życie... Dick i ta pielęgniarka, która była w grupie Underwooda. Wysoka, ładna dziewczyna. Nazywa się Laurie Constable. Dick powiedział, że gdyby nie ona,

ta kobieta z pewnością by umarła. Musieli amputować jej nogę na wysokości kolana i oboje są kompletnie wyczerpani. Zajęło im to całe trzy godziny. Poza tym mają jeszcze chłopaka cierpiącego na ataki padaczki. Dick omal nie wychodzi ze skóry, usiłując dociec, czy to epilepsja, ciśnienie wewnątrzczaszkowe czy może cukrzyca. Jest też kilka przypadków zatrucia pokarmowego z powodu zjedzenia przeterminowanej żywności. Dick twierdzi, że może się to skończyć tragicznie, jeśli już wkrótce nie zaczniemy drukować ulotek z wyraźnymi zaleceniami, jak ludzie mają wybierać żywność i jak rozpoznać, która jest niezdatna do spożycia. Na czym to skończyłem? Dwa przypadki złamań rąk, jedno zachorowanie na gripę...

– Boże. Powiedziałeś: GRYPA?

– Spokojnie. To nie Kapitan Trips. Parę aspiryn uporało się z gorączką... nawrót nie nastąpił. Na szyi chorej nie pojawiły się również czarne plamy. Dick nie ma niestety pewności, które antybiotyki powinien zaaplikować pacjentce i to doprowadza go do szału.

Poza tym boi się, że gripa zacznie się rozprzestrzeniać i ludzie wpadną w panikę.

– Kto zachorował?

– Rona Hewett. Dotarła tu z Laramie w Wyoming. Dick twierdzi, że była tak wycieńczona, że organizm nie miał szans, by poradzić sobie z chorobą.

Fran pokiwała głową.

– Mamy szczęście, że ta Laurie Constable najwyraźniej bardzo polubiła naszego Dicka, mimo że jest od niej prawie dwa razy starszy. Wydaje mi się, że to dobry znak. W gruncie rzeczy cieszy mnie, że tak się stało.

– O, łaskawco, jak wielkodusznie z twojej strony, że przyzwalasz na ów związek...

Uśmiechnął się.

– Dick ma już czterdzieści osiem lat i kłopoty z sercem. Sam wie doskonale, że nie może zbyt szarżować... a przecież, jakby nie było, praktycznie dzień w dzień studiuje tu medycynę. – Spojrzał ze spokojem na Fran. – Chyba rozumiem, dlaczego ta Laurie jest nim tak zauroczona. W naszej małej społeczności jest kimś, kogo można określić mianem bohatera. Ten prosty wiejski weterynarz jest śmiertelnie przerażony, że z jego winy któregoś dnia może umrzeć człowiek. Zdaje sobie sprawę, że codziennie przybywają do Boulder nowi ludzie i niektórzy z nich mogą rozpaczliwie potrzebować jego pomocy.

– Zatem brakuje nam jednej osoby do komisji.

– Właśnie. Ralph Brentner obstaje za tym nowym, Larry Underwoodem, a sądząc po tym, co mi powiedziałaś, facet jest raczej niegłupi.

– Tak. Sądzę, że się nadaje. Ma naprawdę poukładane w głowie. Spotkałam dziś w śródmieściu jego kobietę, Lucy Swann. To bardzo miła osobka, Larry nieźle zawrócił jej w głowie. Świata poza nim nie widzi.

– Czy nie jest tak z każdą, naprawdę dobrą kobietą? Wiesz co, Fran, będę z tobą szczery, nie podoba mi się, że ten facet pierwszej napotkanej osobie opowiada całą historię swojego życia. To nie jest normalne. Zwłaszcza jeśli nie zna tej osoby.

– Moim zdaniem opowiedział mi to wszystko, ponieważ sądził, że byłem z Haroldem. Nie wiedział, że byłem z tobą.

– Ciekawe, jakie jest jego zdanie o Haroldzie.

– Zapytaj go, to się dowiesz.

– Chyba tak zrobię.

– Zamierzasz zaprosić go do udziału w komisji?

– Raczej tak. – Wstał. – Chciałbym też włączyć do niej tego starego faceta, którego nazywają Sędzią. Tylko że on ma już siedemdziesiąt lat. To podeszły wiek.

– Rozmawiałeś z nim o tym nowym?

– Ja nie. Nick. Ten Andros to bystry chłopak. Wprowadził kilka poprawek, przy mojej i Glena współpracy. Glen trochę się boczył, ale w końcu musiał przyznać, że propozycje Nicka były całkiem słuszne. Sędzia powiedział Nickowi, że Larry to facet, o którego nam chodzi. Właśnie takiego szukaliśmy. Twierdzi, że Larry już od dłuższego czasu próbował udowodnić, że jest w czymś dobry i że dzięki temu mógłby się naprawdę wykazać.

– Powiedziałabym, że to dość solidna rekomendacja.

– Tak – mruknął Stu. – Zanim jednak zaproponuję mu członkostwo w komisji, chciałbym najpierw usłyszeć jego zdanie na temat Harolda.

– Co jest nie tak z Haroldem?

– Równie dobrze mógłbym spytać, co jest nie tak z tobą, Fran. Wciąż czujesz się za niego odpowiedzialna.

– Naprawdę? No, nie wiem. Chociaż muszę przyznać, że kiedy o nim myślę, wciąż jeszcze dręczy mnie słabe poczucie winy.

– Dlaczego? Ponieważ zająłem jego miejsce? Fran, czy ty kiedykolwiek byłaś nim zainteresowana?

– Nie, na Boga, nie. – Prawie się wzdrygnęła.

– Okłamałem go kiedyś – wyznał Stu. – A właściwie to nie było kłamstwo. Stało się to w dniu, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy. Czwartego lipca. Chyba już wtedy czuł, co się święci. Powiedziałem mu, że nie jestem tobą zainteresowany. Skąd mogłem już wtedy wiedzieć, że cię kiedyś pokocham? Może w książkach istnieje coś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia, ale w prawdziwym życiu...

Przerwał i uśmiechnął się szeroko.

– Co cię tak rozśmieszyło, Stuarcie Redman?

– Uświadomiłem sobie właśnie, że w prawdziwym życiu zajmuje to... – przez chwilę obliczał w myślach, pocierając palcami podbródek – jakieś cztery godziny.

Pocałowała go w policzek.

- To doprawdy cudowne.
- To prawda. Mimo to wciąż mam wrażenie, że Harold żywi do mnie o to urazę.
- Nigdy nie powiedział o tobie złego słowa... ani o nikim innym.
- Fakt – potaknął Stu. – Ale ten jego uśmiech. Tego właśnie u niego nie cierpię.
- Chyba nie uważasz, że mógłby... planować odwet, czy coś w tym rodzaju?

Stu uśmiechnął się i wyprostował.

– Nie, nie Harold. Glen uważa, że Harold może zacząć gromadzić wokół siebie opozycję. To nic strasznego. Mam tylko nadzieję, że nie spróbuje spieprzyć wszystkiego, co obecnie robimy.

– Nie zapomnij, że on jest przerażony i samotny.

– I zazdrosny.

– Zazdrosny? – Zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową. – Nie, nie sędzę. Raczej nie. Rozmawiałam z nim, na pewno bym to wyczuła. Choć wydaje mi się, że czuje się trochę odrzucony. Chyba spodziewał się, że zaproponujemy mu członkostwo w komisji tymczasowej.

– Wykluczenie go było unilateralną (czy tak się to mówi) decyzją Nicka, na którą wszyscy zgodnie przystaliśmy. Jak się okazało, nikt z nas mu nie ufa.

Frannie zamyśliła się.

– W Ogunquit Harold był najbardziej nieznośnym dzieciakiem, jakiego mógłbyś sobie wyobrazić. Podejrzewam, że w znacznym stopniu chciał sobie w ten sposób powetować sytuację w domu rodzinnym. Sędzę, że rodzice traktowali go jak piąte koło u wozu, kukulczego podrzutka i nedorajdę, ale po epidemii zaszła w nim wielka zmiana. Przynajmniej ja tak to odebrałam. Harold zaczął dorastać... próbował stać się mężczyzną. A potem zmienił się raz jeszcze. Ot tak, trzask, prask i po wszystkim. To się stało nagle. Ni stąd ni zowąd zaczął się ciągle uśmiechać. W ogóle nie da się z nim teraz rozmawiać. Zamknął się w sobie. Zachowuje się jak członek jakiejś sekty albo ktoś, kto przeczytał...

Nagle przerwała, a w jej oczach pojawił się wyraz przerażenia.

– Co przeczytał? – rzucił z naciskiem Stu.

– Jedną z książek, które zmieniają całe ludzkie życie – odparła. – *Kapitał* Marksa, *Mein Kampf Hitlera* albo cudze listy miłosne.

– O czym ty mówisz?

– Hmmm? – Rozejrzała się gwałtownie wokoło, jakby ocknęła się z głębokiego rozmarzenia. I uśmiechnęła się promiennie. – Nic takiego. Czy nie wybierałeś się czasem do Larry'ego? Rzekomo chciałeś się z nim spotkać.

– Tak, tak, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Absolutnie. Wręcz przeciwnie. No, idź już, zmykaj, sio! Spotkanie zaczyna się o siódmej. Jeśli się pospieszysz, zdążysz jeszcze na kolację.

– Świetnie. Już pędzę.

Był już przy bramie oddzielającej podwórza przed i za domem, kiedy dobiegł go jej głos:

– Nie zapomnij zapytać go, co sądzi o Haroldzie.

– Bez obaw – zapewnił Stu. – Nie zapomnę.

– Kiedy będzie odpowiadał, patrz mu prosto w oczy, obserwuj jego oczy, Stu.

Kiedy Stu, niejako mimochodem, zapytał o jego zdanie na temat Harolda (nie wspomniał dotąd ani słowem o wakacie w komisji), w oczach Larry'ego pojawił się wyraz czujności i zakłopotania.

– Fran wspomniała ci o mojej fiksacji związanej z osobą Harolda?

– Tak.

Larry i Stu siedzieli w saloniku niedużego domku przy Table Mesa. W kuchni krzątała się Lucy, podgrzewając na koksowym grillu, przyniesionym i zamontowanym przez Larry'ego, posiłek z puszek. Gaz w butli się skończył. Przy pracy Lucy podśpiewywała *Honky Tonk Women* i wydawała się bardzo szczęśliwa.

Stu zapalił papierosa. Ograniczał się teraz do pięciu, najwyżej sześciu dziennie, nie chciał dorobić się raka płuc i trafić pod nóż świeżo upieczonego chirurga, Dicka Ellisa.

– No, cóż, przez cały czas jak podążałem jego śladem, powtarzałem sobie, że Harold nie będzie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażałem. I to się sprawdziło, ale wciąż próbuję rozgryźć, co jest z nim nie tak. Był miły i uprzejmy aż do obrzydliwości. Sprawiał wrażenie idealnego gospodarza. Otworzył butelkę wina, którą dla niego przyniosłem, po czym wzniesiliśmy toast za siebie nawzajem. Bawiłem się setnie. Tylko że...

– Tylko że?

– W pierwszej chwili go zaskoczyliśmy. Leo i ja. Kładł murek wokół kwiatowej rabaty, odwrócił się tak gwałtownie... podejrzewam, że nie usłyszał nas, dopóki się nie odezwałem... że przez chwilę, gdy tak przed nim stałem, powtarzałem sobie w myślach: „Święci Pańscy, ten facet zaraz mnie zabije”.

W drzwiach pojawiła się Lucy.

– Stu, zostaniesz na kolacji? Jedzenia jest pod dostatkiem..

– Dzięki, ale Frannie na mnie czeka. Obiecałem, że zaraz wrócę. Wpadłem tylko na kwadransik, nie dłużej.

– Na pewno?

– Następnym razem, Lucy, dziękuję.

– Czy przyszedłeś tu specjalnie, by zapytać mnie o Harolda? – wtrącił Larry.

– Nie – odparł Stu, w duchu podejmując szybką decyzję. – Przyszedłem, żeby zapytać, czy zechcesz przyłączyć się do naszej małej tymczasowej komisji. Dick Ellis zmuszony był zrezygnować z członkostwa.

– Tak po prostu? – Larry podszedł do okna i wyjrzał na cichą, wymarłą ulicę. – Sądziłem, że będę mógł wreszcie, choć przez jakiś czas, pobyć zwyczajnym, szarym człowiekiem.

– Naturalnie decyzja należy do ciebie. Potrzebujemy siódmego do kompletu. Zostałeś nam zarekomendowany.

– Przez kogo, jeśli mogę zapytać...

– Zasięgnęliśmy języka tu i ówdzie. Frannie uważa, że możesz się nam przydać. Nick Andros rozmawiał też (to znaczy on jest niemową, ale porozumiewa się z nami na swój sposób) z jednym z waszej grupy, z Sędzią Farrisem.

Larry wydawał się zadowolony.

– Sędzia mnie wam polecił? To świetnie. Wiesz, chyba powinniście skaptować właśnie jego. Jest diabelnie bystry.

– Nick też tak uważa. Tylko że Sędzia ma już siedemdziesiąt lat, a my, jeżeli chodzi o medycynę, jesteśmy gdzieś w okresie kamienia łupanego.

Larry uśmiechnął się pod nosem i spojrzał na Stu.

– Ta komisja nie jest taka tymczasowa, jak mogłoby się wydawać, prawda?

Stu odpowiedział uśmiechem i nieco się rozluźnił. Wciąż jeszcze nie miał o nim sprecyzowanego zdania, lecz nie ulegało wątpliwości, że facet nie urodził się wczoraj.

– No, cóż, ujmijmy to tak. Chcielibyśmy, aby nasza komisja została drogą głosowania wybrana na pełną kadencję.

– Najlepiej jednogłośnie – wtrącił Larry. Wpatrywał się w Stu życzliwym, choć przenikliwym wzrokiem. – Napijesz się piwa?

– Lepiej nie. Kilka nocy temu piłem z Glenem Batemanem i trochę przeholowałem. Fran to dobra i spokojna dziewczyna, ale jej tolerancja też ma swoje granice. No, to jak, Larry? Decydujesz się?

– Chyba tak... dobra, niech tam, zgadzam się. Sądziłem, że nic na świecie nie uczyni mnie szczęśliwszym niż dotarcie tutaj i pozbycie się ciężaru odpowiedzialności za ludzi, którzy mi towarzyszyli... aby dla odmiany zajął się nimi ktoś inny. Okazało się jednak, że gdy już nie mam nad sobą tego bata, nudzę się jak mops.

– Dziś wieczorem mamy u mnie wstępne spotkanie. Trzeba omówić plan wielkiego zebrania wyznaczonego na osiemnastego sierpnia. Sądzę, że się pojawisz?

– Jasne. Mogę przyjść z Lucy?

Stu pokręcił głową.

– Nie. I nic jej o tym nie mów. Przez jakiś czas chcemy to utrzymać w tajemnicy.

Uśmiech Larry'ego zgasł jak zdmuchnięta świeca.

– Nie przepadam za sekretami, Stu. Lubię grać w otwarte karty. Nie chcę się mieszać w jakieś ciche układy. Chcę, aby to było jasne, żeby oszczędzić i sobie i wszystkim innym niepotrzebnych scysji. Wydaje mi się, że to, co zdarzyło się w czerwcu, stało się dlatego, że zbyt wielu ludzi było wobec siebie nawzajem nieszczerych. Każdy na własną rękę usiłował ukręcić łeb sprawie i popatrz, do czego doszło. To nie była kara Boża. Po prostu ludzie spieprzyli sprawę, i tyle.

– Lepiej nie dyskutuj o tym z Matką Abigail, ona ma na ten temat dokładnie przeciwnie zdanie – rzekł Stu. Był odprężony i wciąż się uśmiechał. – Tak się składa, że się z tobą zgadzam. Czy jednak uważałbyś tak samo, gdyby trwała wojna?

– Nie rozumiem?

– Ten człowiek, o którym śnimy. Nie wydaje mi się, aby tak po prostu zniknął.

Larry sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Zastanawiał się gorączkowo.

– Glen uważa, że wie, dlaczego nikt nie chce o tym rozmawiać – ciągnął Stu. – Choć przecież wszyscy zostaliśmy ostrzeżeni.

Ludzie w całym Boulder są nadal w silnym szoku, tak silnym, że pozamykali się szczelnie w swoich skorupach i boją się nawet wyściubić z nich nosa. Mają wrażenie, że aby tu dotrzeć, musieli przejść przez piekło. Teraz pragną jedynie lizać swoje rany i pogrzebać umarłych. Jeśli jednak Matka Abigail jest tutaj z nami, to On jest gdzieś tam, na zachodzie. – Stu skinął głową w stronę okna i widocznych w oddali, spowitych oparami mgły Flatirons. – Może większość ludzi tutaj nie zaprzęta sobie nim głowy, ale ja założę się o ostatniego dolara, że on myśli o nas.

Larry spojrział na drzwi do kuchni, lecz Lucy niedawno wyszła, by zamienić kilka słów z mieszkającą tuż obok Jane Hovington

– Uważam, że on chce nas dopaść – rzekł prawie szeptem. – Cóż za wspaniały temat, zwłaszcza tuż przed kolacją. Doskonale działa na apetyt.

– Larry, ja nie jestem pewien niczego. Matka Abigail twierdzi jednak, że to się nie skończy, dopóki my nie rozprawimy się z nim albo on z nami.

– Mam nadzieję, że nie rozpowiada tego w całym mieście. W obliczu tak obiecujących perspektyw ludzie mogliby zacząć emigrować masowo do Australii.

– Podobno nie przepadasz za sekretami i lubisz grać w otwarte karty.

– Owszem, ale to... – Larry przerwał.

Stu uśmiechnął się życzliwie, Larry również, choć z odrobiną rozgoryczenia.

– W porządku. Punkt dla ciebie. Omówimy, co mamy do omówienia i przez jakiś czas zachowamy wszystko w tajemnicy.

– Świetnie. Do zobaczenia o siódmej.

– Jasne.

Podeszli do drzwi.

– Jeszcze raz podziękuj Lucy za zaproszenie – rzekł Stu. – Frannie i ja nie omieszkamy wkrótce z niego skorzystać.

– Nie ma sprawy. – Kiedy Stu stanął w progu, Larry jakby sobie o czymś przypomniał. – Hej! – zawołał.

Stu odwrócił się, spoglądając na niego pytająco.

– W naszej grupie był pewien chłopiec – rzekł powoli Larry. – Przybył z nami aż z Maine. Nazywa się Leo Rockway. To chłopiec z problemami. Oprócz Lucy i mnie opiekuje się nim jeszcze kobieta nazwiskiem Nadine Cross. Widziałeś ją? To dziwna kobieta.

Stu skinął głową. W mieście od paru dni krążyły plotki o dość osobliwym zdarzeniu, jakie miało miejsce podczas spotkania Matki Abigail i kobiety imieniem Nadine, kiedy Larry przyprowadził swoją grupę do domu staruszki.

– Nadine opiekowała się Leo, zanim się na nich natknąłem. Leo ma dar wnikania do serc i umysłów innych ludzi. Zresztą nie on jeden. Może tacy ludzie jak on istnieli od zawsze, ale wygląda na to, że od czasu pomoru ów dar stał się nieco bardziej pospolity. Otóż Leo... nie chciał za żadne skarby wejść do domu Harolda. Nie chciał nawet stać na jego trawniku. To... dość zabawne, nie uważasz?

– Owszem – potaknął Stu.

Przez chwilę przyglądali się sobie wzajemnie z zamyśleniem, po czym Stu wrócił do domu, na kolację. Podczas posiłku Fran wydawała się zamknięta w sobie i mówiła raczej niewiele. Kończyła właśnie zmywać ostatnie talerze w plastikowym wiadrze z ciepłą wodą, kiedy zaczęli zjawiać się oczekiwani goście, by wziąć udział w pierwszym spotkaniu tymczasowej komisji Wolnej Strefy.

Kiedy Stu wybrał się do Larry'ego, Frannie pobiegła do sypialni na górę. W kącie w szafie znajdował się śpiwór, z którym, przytraczonym do bagażnika motocykla, przejechała przez pół kraju. W małej, zapiętej na suwak torbie przechowywała swoje rzeczy osobiste. Większość z nich znalazła już swoje miejsce w mieszkaniu, które dzieliła ze Stu, kilka jednak wciąż spoczywało obok śpiwora. Było tam parę buteleczek z kremem oczyszczającym (po śmierci rodziców cierpiała na gwałtowną wysypkę, lecz teraz na szczęście już jej przeszło), pudełko pod pasek mini (słyszała, że kobiety w ciąży miewają czasami trudne dni), dwa pudełka tanich cygar – jedno z napisem TO CHŁOPIEC! i drugie z napisem TO DZIEWCZYNKĄ! Rzecz jasna trzymała tam również swój pamiętnik.

Wyjęła go i przez chwilę przyglądała mu się z uwagą. Od swego przybycia do Boulder dokonała zaledwie ośmiu czy dziewięciu, w większości krótkich, niemal zdawkowych wpisów. Najdłuższe i najbardziej wylewne pochodziły z okresu podróży. Teraz miała to już za sobą. Od dobrych czterech dni nie napisała ani słowa i podejrzewała, że z czasem mogłaby zupełnie zapomnieć o pamiętniku. W duchu jednak podjęła stanowcze postanowienie, że kiedy sytuacja nieco się ustabilizuje, zacznie ponownie swój dziennik z większą niż dotąd regularnością. Dla dziecka. Teraz pamiętnik znów zaprzętną całą jej uwagę.

„Zachowuje się jak członek jakiejś sekty... albo ktoś, kto przeczytał coś, co zmienia całe ludzkie życie... jak cudze listy miłosne...”

Nagle pamiętnik zaczął ciążyć jej w dłoni, samo otwarcie go wycisnęło na jej czole kropelki potu...

Obejrzała się przez ramię, serce mocniej zabiło jej w piersi. Czy coś usłyszała, czy tylko się jej zdawało?

To pewnie mysz buszująca za ścianą. Na pewno mysz. Co innego mogło to być? Albo wyobraźnia płata jej figła. Niby dlaczego miałyby teraz myśleć o tym człowieku w czarnej szacie, o mężczyźnie z drucianym wieszakiem w dłoni?

Jej dziecko żyło, było bezpieczne, to był tylko zwyczajny pamiętnik; przecież nie sposób stwierdzić, czy ów pamiętnik dostał się w taki lub inny sposób w niepowołane ręce, i czy te niepowołane ręce należały do niejakiego Harolda Laudera.

Mimo to otworzyła pamiętnik i powoli zaczęła przewracać strony, powracając do przeszłości, jak gdyby oglądała stare, czarno-białe zdjęcia, zatrzymane w kadrze wspomnienia minionych dni.

„Podziwialiśmy je dziś wieczorem, a Harold rozwodził się nad ich barwą, tonem i teksturą, Stu zaś mrugnął do mnie porozumiewawczo. Ależ jestem okropna: odmrugnęłam...

Harold oczywiście będzie próbował się spierać. Do licha, Haroldzie, dorośnij wreszcie!

...już widzę, jak szykuje jedną z tych swoich przemądrzałych odzywek...”

(„Mój Boże, Frannie, dlaczego napisałaś to wszystko? Po co te wszystkie komentarze na jego temat? Po co?”)

„No, wiesz, znasz przecież Harolda... ta jego buńczuczna poza... pompatyczne słowa i kwieciste oświadczenia... lecz tak naprawdę jest tylko zagubionym, małym chłopcem...”

To było dwunastego lipca. Krzywiąc się, przekartkowała kilka stron, aby jak najszybciej dotrzeć do końca. Słowa wciąż atakowały ją z kolejnych stron, bolesne niczym siarczyste policzki: „Przynajmniej teraz Harold pachnie nieco przyjemniej... oddech ma tak nieprzyjemny, że mógłby odegnać nim smoka...” I jeszcze jeden, niemal proroczy wpis: „Gromadzi swe niepowodzenia jak pirat skarby. Ale w jakim celu? Aby sycić swe sekretne przekonanie o własnej wyższości i wynikających stąd prześladowaniach? A może chodziło mu o zemstę? O wzięcie odwetu? Sporządza listę... i dokładnie wszystko sprawdza... musi być pewien, kto był dobry, a kto zły... kto zasłużył na karę, a kto na nagrodę...”

Pierwszego sierpnia, zaledwie dwa tygodnie temu. Wpis zaczynał się u dołu strony.

„Zeszłej nocy nie napisałam ani słowa. Byłam zbyt szczęśliwa. Czy kiedykolwiek byłam równie szczęśliwa? Raczej nie. Stu i ja jesteśmy razem”.

Koniec strony.

Odwróciła ją. Pierwsze zdanie na następnej brzmiało: „Kochaliśmy się dwa razy”. Jej wzrok jednak podążył ku dołowi strony. Pod zbitką zdań o instynkcie macierzyńskim Fran widniało coś, co zmroziło jej krew w żyłach.

Ciemny, rozmazany odcisk palca.

„To były ciężkie dni. Od świtu do nocy na motorze. Ciągle w drodze. Mimo to, kiedy tylko miałam po temu okazję, zawsze się myłam, i w ogóle. Ale ręce szybko się brudzą i...”

Wyciągnęła rękę. Dłoń jej drżała. Fran wcale to nie zdziwiło. Przyłożyła kciuk do rozmazanego śladu. Odcisk palca był znacznie większy.

„Cóż, to przecież oczywiste – powiedziała sobie w duchu. – Taki rozmazany odcisk zawsze jest większy niż twój palec. Ot, i wszystko, to całkiem normalne, nie ma w tym nic...”

Ale odcisk kciuka nie był AŻ TAK rozmazany. Większość linii papilarnych była nadal wyraźna.

I to, co pozostawiło ów ślad nie było smarem ani olejem, najwyższy czas, by przestała się oszukiwać. TEN palec nie był ubrudzony smarem, lecz zaschniętą czekoladą.

„Payday” – pomyślała Fran, czując dziwny ucisk pod sercem. Czekoladowy balonik.

Przez chwilę nie potrafiła się odwrócić. Bała się, że ujrzy za sobą wiszący w powietrzu uśmiech Harolda jak uśmiech kota z Cheshire. Mięsiste wargi Harolda poruszają się i usłyszyci cichy szept: „Każdy pies ma swój dzień, Frannie. Każdy kiedyś ma swoje piętnaście minut”.

Jeśli nawet przyjąć, że Harold potajemnie wertował jej pamiętnik, czy oznaczało to, że przygotowywał w sekrecie okrutną zemstę, wymierzoną przeciwko niej, Stu, czy komukolwiek innemu? Oczywiście, że nie.

„Ale Harold się zmienił” – odezwał się w jej wnętrzu widmowy głos.

– Do cholery, przecież nie zmienił się aż tak bardzo! – wykrzyknęła do pustego pokoju.

Drgnęła usłyszawszy dźwięk własnego głosu, a potem wybuchnęła nerwowym śmiechem. Zeszła na dół i zaczęła przygotowywać kolację. Zjedzą ją dzisiaj wcześniej... ze względu na zaplanowane spotkanie... ale, niespodziewanie, zebranie znacznie straciło dla niej na ważności.

Wyjątki z protokołu zebrania komisji tymczasowej z dnia 13 sierpnia 1990 roku

Zebranie odbyło się w mieszkaniu Stuarta Redmana i Frances Goldsmith. Obecni byli wszyscy członkowie komisji tymczasowej, to znaczy: Stuart Redman, Frances Goldsmith, Nick Andros, Glen Bateman, Ralph Brentner, Susan Stern i Larry Underwood.

Stuart Redman został wybrany przewodniczącym zebrania. Frances Goldsmith obrano protokolantem...

Niniejszy protokół (oraz cały zapis spotkania, zarejestrowany na kasetach memorex, do ostatniego czknięcia i chrząknięcia, na wypadek gdyby znalazł się wariat chcący go wysłuchać) zostanie złożony w skrytce depozytowej Pierwszego Banku w Boulder...

Stu Redman zaprezentował ulotkę ostrzegawczą na temat zatruc pokarmowych, której treść napisali Dick Ellis i Laurie Constable (tytuł był wyjątkowo chwytliwy: „Jeżeli jesz, przeczytaj!”). Stwierdził, że Dick chciał, by wydrukowano ją i rozwieszono w całym Boulder

jeszcze przed walnym zgromadzeniem osiemnastego sierpnia, bo jak dotąd miało już miejsce piętnaście przypadków takich zatruc, w tym dwa poważne.

Komisja stosunkiem głosów siedem do zera przegłosowała, że Ralph wykona tysiąc kopii ulotki Dicka i z pomocą dziesięciu ludzi porozwiesza je w całym mieście...

Susan Stern przedstawiła następnie kolejny punkt porządku dziennego, który Dick i Laurie chcieli zrealizować jeszcze przed zebraniem (szkoda, że nie było tu przynajmniej jednego z nich). Oboje byli zdania, że należy powołać służbę pogrzebową, Dick proponował, by stało się to podczas zebrania, lecz nie należało tego przedstawiać jako zagrożenia dla zdrowia (co mogłoby wywołać wśród ludzi panikę), a raczej jako coś, co powinno być zrobione, „gwoli przyzwoitości”. Wszystkim wiadomo, że w Boulder jest zdumiewająco niewiele zwłok w zestawieniu z przedpomorową populacją miasta, nie wiadomo jednak, dlaczego tak się stało... i obecnie nie ma to większego znaczenia. Mimo to w grę nadal wchodziły tysiące zwłok i trzeba się ich było pozbyć, jeśli zamierzali tu pozostać.

Stu zapytał, czy ten problem jest bardzo palący, na co Susan odrzekła, że na razie nie, sytuacja natomiast znacznie się pogorszy jesienią, kiedy po upalnych nadejdą chłodniejsze, deszczowe dni.

Larry zaproponował, by pomysł Dicka o powołaniu służby pogrzebowej włączyć do programu zebrania osiemnastego sierpnia. Propozycja przeszła stosunkiem głosów siedem do zera.

Następnie w imieniu Nicka Androsa głos zabrał Ralph Brentner, odczytując sporządzone przez niego zapiski. Treść ich brzmiała jak następuje: „Jedną z najważniejszych kwestii, z jaką musi uporać się niniejsza komisja, jest, czy mamy wtajemniczać Matkę Abigail we wszystko, co robimy, i czy należy mówić jej o wszystkim, co dzieje się na naszych spotkaniach, zarówno jawnych, jak i tajnych? Pytanie to można postawić również w innej formie: «Czy Matka Abigail zgodzi się wtajemniczać tę komisję oraz zatwierdzoną później komisję stałą we wszystko to, co robi, i czy zechce wyjawić nam przebieg oraz wyniki swoich spotkań z Bogiem lub też inną siłą, z którą się kontaktuje, chodzi mi zwłaszcza o spotkania tajne?»

Może to brzmi nieco bełkotliwie, ale pozwólcie, że wyjaśnię wam, o co mi chodzi, pytanie jest w rzeczywistości bardzo pragmatyczne. Musimy natychmiast ustalić miejsce Matki Abigail w tutejszej społeczności, ponieważ naszym problemem jest nie tylko «ponowne stanięcie na nogi», tu chodzi o coś więcej. Gdyby chodziło tylko o to, w ogóle nie byłaby nam potrzebna. Wiemy jednak, że mamy jeszcze jeden, znacznie poważniejszy problem: człowieka, którego niektórzy nazywają mrocznym mężczyzną, lub, jak go określa Glen, Adwersarza. Dowód, jaki mam na jego istnienie jest bardzo prosty i sądzę, że większość mieszkańców Boulder zgodziłaby się z moim rozumowaniem, gdyby choć przez chwilę się nad tym zastanowiła. Brzmi ono tak: «Śniłem o Matce Abigail i ona istnieje, śniłem o mrocznym mężczyźnie, zatem on również musi istnieć, choć nigdy go nie

widziałem». Ludzie w Boulder kochają Matkę Abigail, ja także ją Kocham. Nie zajdziemy jednak daleko, ba, w ogóle nie ruszymy z miejsca, jeśli nie uzyskamy na początek jej aprobaty wobec naszych poczynań.

Dlatego dziś po południu pozwoliłem sobie odwiedzić starszą panią i zapytałem ją wprost: «Czy zechcesz z nami współpracować?» Odparła, że tak, ale postawiła kilka warunków. Mówiła bez ogródek. Wyjaśniła, że daje nam wolną rękę w rządzeniu społecznością w kwestii «spraw doczesnych» – tak dokładnie brzmiały jej słowa. Wiecie, o co mi chodzi, oczyszczanie ulic, zasiedlanie domów, przywrócenie w mieście zasilania i tak dalej.

Jasno powiedziała jednak, że chce, by konsultowano z nią wszystkie sprawy związane z mrocznym mężczyzną. Wierzy, że jesteśmy pionkami w rozgrywce szachowej pomiędzy Bogiem a Szatanem. Przedstawicielem tego ostatniego jest Adwersarz, którego Matka Abigail nazywa Randallem Flaggiem (stwierdziła, że ostatnio używa takiego właśnie nazwiska), a z sobie tylko znanych powodów Bóg wyznaczył ją jako swoją orędowniczkę w owej grze. Matka wierzy – i muszę przyznać, że tu się z nią zgadzam – iż nadchodzi czas ostatecznej konfrontacji. Nie będzie w niej miejsca na wahanie czy niepewność, sytuacja jest jasna, albo on, albo my. Matka uważa, że ta walka jest najważniejsza i niezłomnie domaga się, by konsultować z nią wszystko, co się jej tyczy, to znaczy... walki... i jego.

Nie chcę wdawać się w religijne aspekty całej tej sprawy ani debatować, czy Matka ma rację, czy może się myli, niemniej pomijając te wszystkie niuanse, musimy przyznać, że znaleźliśmy się w sytuacji, którą będziemy musieli rozwiązać.

Dlatego też mam kilka wniosków do przedyskutowania”.

Oświadczenie Nicka zaowocowało krótką dyskusją.

A oto wnioski Nicka: „Czy możemy, jako komisja, nie zgodzić się na dyskusowanie teologicznych, religijnych lub nadnaturalnych aspektów Adwersarza podczas naszych spotkań?”

Stosunkiem głosów siedem do zera komisja zgodziła się wetować dysputy na powyższe tematy, przynajmniej podczas trwania obrad.

Następna brzmiała następująco: „Czy możemy przyjąć, że zasadniczym, podstawowym i sekretnym celem tej komisji jest opracowanie planu uporania się z siłą znaną pod nazwą mrocznego mężczyzny, Adwersarza lub Randalla Flagga?”

Glen Bateman poparł ten wniosek, dodając, że od czasu do czasu mogą zdarzyć się sytuacje, jak w przypadku prawdziwego powodu powołania do życia służby pogrzebowej – w których trzeba będzie zachować szczególną dyskrecję.

Wniosek przeszedł stosunkiem głosów siedem do zera.

Z kolei Nick wysunął główny wniosek, z którym nosił się już od samego początku, aby Matka Abigail była na bieżąco informowana o wszystkich publicznych i prywatnych sprawach podejmowanych przez komisję.

Wniosek przeszedł stosunkiem siedem do zera.

Uporawszy się na czas jakiś z kwestią Matki Abigail, na życzenie Nicka komisja zajęła się problemem mrocznego mężczyzny. Andros zaproponował, by wysłać na zachód trójkę ochotników. Mieliby oni dołączyć do ludzi Adwersarza i potajemnie gromadzić informacje na temat jego poczynań.

Susan Stern natychmiast zgłosiła się do udziału w tej operacji. Po długiej i zażartej dyskusji na ten temat, Stu poparł Glena Batemana i odrzucił wniosek Sue. Postanowiono, że nikomu z członków komisji, zarówno tymczasowej, jak i stałej, nie wolno zgłaszać się do udziału w tej lub innych operacjach zwiadowczych. Susan Stern poprosiła o wyjaśnienie tej decyzji.

Glen: Wszyscy doceniamy twoją szczerą chęć do działania, Susan, cieszymy się, że chcesz pomóc, ale szczerze mówiąc nie wiemy, czy ludzie, których tam wysłamy kiedykolwiek powrócą, a jeżeli nawet, w jakim będą stanie. Póki co, mamy tu w Boulder mnóstwo spraw nie cierpiących zwłoki. Gdybyśmy cię tam wysłali, musielibyśmy znaleźć kogoś na twoje miejsce i musielibyśmy wyjaśniać mu od początku to wszystko, co dzisiaj ustaliliśmy. Wydaje mi się, że nie stać nas na takie marnowanie czasu.

Sue: Przypuszczam, że masz rację... a w każdym razie rozumujesz logicznie... ale czasem zastanawiam się, czy te dwie rzeczy zawsze są równoważne. Zastanawiam się, czy choć od czasu do czasu bywają równoznaczne. Chcesz powiedzieć, że nie możemy wysłać nikogo z komisji, bo wszyscy tu jesteśmy tak cholernie potrzebni i niezbędni. Tylko że w ten sposób... my wszyscy... jakby to po wiedzieć...

Stu: Leżymy odłogiem?

Sue: Tak. Dziękuję. O to mi właśnie chodziło. Leżymy odłogiem i wysyłamy na teren wroga ludzi, których, jeśli zostaną zdemaskowani, czeka ukrzyżowanie na słupie telefonicznym albo jeszcze coś gorszego.

Ralph: Co gorszego mogłoby ich spotkać?

Sue: Nie wiem, ale jeśli ktoś to wie, to na pewno Flagg. To straszne. Nie cierpię tego.

Glen: Może i nie znosisz, ale dość dokładnie określiłaś nasz obecny status, tu, w Boulder. Jesteśmy politykami. Pierwszymi politykami nowej ery. Musimy mieć nadzieję, że nasza sprawa jest ważniejsza niż inne, w przeszłości, kiedy to politycy wysyłali emisariuszy w misje, z których mogli już nigdy nie powrócić.

Sue: Nigdy nie przypuszczałam, że zostanę politykiem.

Larry: Witamy w klubie.

Wniosek Glena, że żaden z członków komisji tymczasowej nie może brać udziału w operacji zwiadowczej przeszedł stosunkiem głosów siedem do zera.

Fran Goldsmith zapytała Nicka, jakimi cechami powinny wyróżniać się osoby mające zostać wzmiankowanymi zwiadowcami i co miałyby być celem ich misji.

Nick odpisał: „Nie możemy tego bliżej sprecyzować. Gdy wrócą, przekażą nam zebrane informacje, a my wybierzemy z nich te, które mogą okazać się użyteczne. Jeżeli wrócą. Sęk w tym, że nie mamy pojęcia, czego właściwie powinniśmy się tam spodziewać. Jesteśmy jak rybacy używający ludzkiej przynęty”.

Stu powiedział, że jego zdaniem to komisja powinna wybrać kandydatów na zwiadowców i pozostali zgodzili się z jego opinią. Dalsza część dyskusji zawarta w niniejszych wyjątkach pochodzi z zapisów magnetofonowych, skąd dokładnie ją przekopiowano. Przedstawienie przebiegu dalszych rozmów na temat zwiadowców (szpiegów) wydaje się szczególnie istotne, ponieważ cała sprawa okazała się nad wyraz delikatna i skomplikowana zarazem.

Larry: Gdybym mógł, chciałbym tu kogoś zarekomendować. Podejrzewam, że tym, co go nie znają, jego nazwisko nie powie absolutnie nic, ale uważam, że jest idealnym kandydatem do tego zadania. Chciałbym wysłać w tę misję Sędziego Farrisa.

Sue: Co, tego staruszka? Larry, ty chyba oszalałeś!

Larry: To najbystrzejszy staruszek, jakiego w życiu spotkałem. Poza tym ma dopiero siedemdziesiątkę. Ronald Reagan, pełniąc funkcję prezydenta, był od niego starszy.

Fran: Nie uznałabym tego za przekonującą rekomendację.

Larry: Jest krzepki i w dobrej kondycji. Wątpię, aby mroczny mężczyzna przypuszczał, że możemy wysłać do niego na przespiegi takiego starego pryka jak Farris... a o czym wszyscy doskonale wiecie, musimy brać jego podejrzenia pod uwagę. On spodziewa się po nas takiego posunięcia i wcale bym się nie zdziwił, gdyby wystawił na granicy strażę, mające kontrolować przybywających do niego ludzi i wylapywać potencjalnych szpiegów. Poza tym... i wiem, że może to zabrzmie brutalnie, zwłaszcza dla Fran... jeżeli go nawet stracimy, nie będzie to ktoś, kto miał jeszcze przed sobą dobrych pięćdziesiąt lat życia.

Fran: Masz rację. To zabrzmiało brutalnie.

Larry: Chcę tylko dodać, że Sędzia na pewno się zgodzi. On naprawdę chce pomóc. A ja uważam, że sobie poradzi.

Glen: Celna uwaga. Co o tym sądzą pozostali?

Ralph: Nie znam tego pana, więc pójdę za głosem większości. Nie uważam jednak, że powinniśmy pozbywać się faceta, ponieważ jest stary. Bądź co bądź naszą przywódczynią jest kobieta licząca sobie ponad sto lat.

Glen: Kolejna celna uwaga.

Stu: Hej, łysy, zachowujesz się jak sędzia na korcie tenisowym.

Sue: Posłuchaj, Larry. Co się stanie, jeśli Sędzia zdoła okpić mrocznego mężczyznę, ale padnie trupem na zawał, usiłując jak najszybciej wrócić do Boulder?

Stu: To może spotkać każdego. Atak serca albo jakiś wypadek.

Sue: Racja... tylko że w przypadku starszego mężczyzny to ryzyko znacznie się zwiększa.

Larry: Zgadza się, ale powiem ci jedno, Sue, nie znasz Sędziego. Gdybyś go znała, wiedziałabyś, że w jego przypadku więcej jest plusów niż minusów. To naprawdę cwany gość. Tęga głowa.

Stu: Wydaje mi się, że Larry ma rację. Flagg może nie spodziewać się po nas takiego posunięcia. Popieram wniosek. Kto za?

Komisja zgłosowała na tak; siedem do zera.

Sue: Poszłam ci na rękę, Larry, może teraz ty poprzysz mnie.

Larry: Ech, ta polityka. (Wszyscy wybuchają śmiechem). Kogo proponujesz?

Sue: Daynę.

Ralph: Jaką znowu Daynę?

Sue: Daynę Jurgens. To kobieta z charakterem. Nigdy nie spotkałam drugiej takiej jak ona. Oczywiście nie ma jeszcze siedemdziesiątki, ale podejrzewam, że zgodzi się przyjmując naszą propozycję.

Fran: Tak. Jeśli naprawdę mamy to zrobić, ona nadaje się idealnie. Popierani jej kandydaturę.

Stu: W porządku. Druga kandydatura zgłoszona i zatwierdzona. Poddajmy ją pod głosowanie. Kto za?

Komisja zgłosowała na tak; siedem do zera.

Glen: Świetnie. Kto będzie numerem trzecim?

Nick (tekst odczytany przez Ralpa): „Jeśli Fran nie spodobała się propozycja Larry’ego, to moja na pewno jeszcze bardziej nie przypadnie jej do gustu. Zgłaszam...”

Ralph: Nick, ty chyba oszalałeś! Nie zrobisz tego!

Stu: Daj spokój, Ralph, przeczytaj, co on tam napisał.

Ralph: Dobrze... tu jest napisane, że on chce zgłosić... Toma Cullena.

Poruszenie wśród komisji.

Stu: W porządku, teraz uzasadnienie. Nick pisze jak sam Szatan, bierz się lepiej do czytania, Ralph.

Nick (tekst odczytany przez Ralpa): „Po pierwsze, znam Toma równie dobrze jak Larry Sędziego, a może nawet lepiej. On kocha Matkę Abigail. Zrobi dla niej wszystko, da się dla niej pokrajać na kawałki i smażyć na wolnym ogniu. Naprawdę... to nie żaden kit. Gdyby go o to poprosiła, skoczyłby dla niej w ogień”.

Fran: Nick, nikt tego nie neguje, ale Tom jest...

Stu: Daj spokój, Fran, wysłuchajmy jego uzasadnienia do końca.

Nick (tekst odczytany przez Ralpa): „Po drugie, tak jak w przypadku Sędziego, którego zgłosił Larry, wątpię, by Adwersarz spodziewał się, że wyślemy do niego w charakterze szpiega osobę upośledzoną umysłowo. Wasze gwałtowne reakcje na jego kandydaturę są, być może, najlepszym argumentem przemawiającym za przyjęciem tego wniosku.

Po trzecie – i ostatnie – Tom, choć upośledzony, nie jest bynajmniej głupi. Uratował mi życie, ostrzegając przed nadchodzącym tornadem i zareagował znacznie szybciej, niż zrobiłaby to którakolwiek ze znanych mi osób. Tom jest dziecinny, ale nawet dziecko może nauczyć się wykonywać pewne czynności, jeśli się je do tego odpowiednio przeszkoli, i będzie się to powtarzać przez odpowiednio długi czas. Nie uważam za szczególnie trudne wpojenie Tomowi prostej historyjki. Jestem pewien, że musiałby ją zapamiętać. Koniec końców tamci uznają zapewne, że odesłaliśmy go z Boulder, bo...”

Sue: Bo nie chcieliśmy, aby kałał nasze geny? Tak, to brzmi całkiem niezłe.

Nick: „Bo jest opóźniony w rozwoju. Może nawet powiedzieć, że jest zły na ludzi, którzy przegnali go z miasta i chciałby się na nich zemścić. Jedyne, co trzeba mu będzie wpoić, to to, by nigdy, niezależnie od wszystkiego, nie zmieniał swojej wersji wydarzeń”.

Fran: Nie. Nie wierzę...

Stu: Daj spokój. Wysłuchajmy go do końca. Wszystko po kolei.

Fran: Tak. Przepraszam. Oczywiście.

Nick: „Niektórzy z was mogą sądzić, że ponieważ Tom jest upośledzony, łatwiej będzie go zdemaskować i obalić jego zmyśloną historyjkę, niż stałoby się to w przypadku osoby od niego inteligentniejszej...”

Larry: No tak.

Nick: „Ale jest dokładnie na odwrót. Jeżeli powiem Tomowi, że po prostu MUSI trzymać się wersji wydarzeń, którą mu wpoję, to będzie to robił za każdą cenę, niezależnie od wszystkiego. Tak zwana normalna osoba potrafi znieść tylko przez pewien czas najwymyślniejsze tortury, z podtapianiem, pieszczaniem prądem i wbijaniem drzazg pod paznokcie na czele...”

Fran: Ale do tego nie dojdzie, prawda? Prawda? Chyba nikt z was nie przypuszcza, że może do tego dojść?

Nick: „W końcu jednak złamie się i powie: «Dobra. Poddaję się. Macie mnie. Powiem wam wszystko, co wiem». Tom tego nie zrobi. Jeśli powtórzy swoją historyjkę dostatecznie dużo razy, nie tylko nauczy się jej na pamięć, lecz niemal uwierzy, że jest ona prawdziwa. Nikt nie zdoła udowodnić mu kłamstwa. Chcę powiedzieć jasno i wyraźnie, że moim zdaniem upośledzenie Toma jest w przypadku misji takiej jak ta ogromnym plusem. «Misja» to dość pretensjonalne słowo, lecz tego, co tu planujemy, nie sposób nazwać inaczej”.

Stu: Czy to wszystko, Ralph?

Ralph: Jeszcze nie.

Sue: Nick, jeśli Tom naprawdę zacznie żyć zgodnie z wpojoną mu historyjką, skąd, u licha, będzie wiedział, kiedy ma do nas wrócić?

Ralph: Pani wybaczy, ale właśnie o tym traktuje fragment, który teraz odczytam.

Sue: Och.

Nick: „Zanim wyślemy go w drogę, poddamy Toma hipnozie i w stanie uśpienia odpowiednio go zaprogramujemy. Nazywają to sugestią posthipnotyczną. Nie żartuję. Gdy wpadłem na ten pomysł, zapytałem Stana Nogotnego, czy podjąłby się zahipnotyzowania Toma. Stan robił kiedyś podobne sztuczki dla rozrywki gości na rozmaitych imprezach, tak przynajmniej twierdzi. Stan wątpił, czy to się uda... ale Tom zapadł w trans już po kilku sekundach”.

Stu: A niech mnie. Stary Stan zna się na rzeczy, no nie?

Nick: „Pomysł z hipnozą wpadł mi do głowy, gdy powróciłem myślami do tamtych dni, w Oklahomie, gdzie spotkałem Toma Cullena. Właśnie wtedy zacząłem podejrzewać, że może on być szczególnie podatny na takie rzeczy. Tom przez lata wytworzył w sobie zdolność swoistej AUTOHIPNOZY. Oczywiście w ograniczonym zakresie. W dniu, kiedy go spotkałem, nie potrafił pojąć, o co mi chodzi, dlaczego do niego nie mówię ani nie odpowiadam na jego pytania. Przykładałem dłoń do ust, a potem do szyi, by dać mu do zrozumienia, że jestem niemową, bezskutecznie. I nagle Tom, ni stąd ni zowąd, wyłączył się. Nie potrafię określić tego inaczej. Zastygł w kompletnym bezruchu. Jego wzrok stał się mętny. I nagle wrócił do siebie, tak jak wraca do siebie osoba wychodząca z transu, gdy hipnotyzer każe się jej obudzić, względnie zaklaszcze w dłonie. I okazało się, że zrozumiał. Po prostu wiedział. Wszedł w głąb siebie i wrócił z gotową odpowiedzią”.

Glen: To doprawdy zdumiewające.

Stu: Jeszcze jak.

Nick: „Kiedy przed pięcioma dniami zrobiliśmy tę próbę, poprosiłem Staną, aby «zaprogramował» Toma. Na wypowiedziane przez Staną hasło, zakodowane podczas hipnozy – w tym przypadku było to zdanie: «Chciałbym zobaczyć słonia» – Tom miał poczuć nieodparte pragnienie, aby podejść do ściany i stanąć na głowie”.

Stan wypróbował skuteczność swojej metody po pół godzinie od obudzenia Toma. Rzucił hasło, a Tom natychmiast podszedł do ściany i stanął na głowie. Z kieszeni spodni wysypały mu się wszystkie jego zabawki i kulki. Potem, kiedy usiadł na ziemi i uśmiechnął się szeroko, zapytał: „Ciekawe, dlaczego Tom Cullen miałby chcieć zrobić coś takiego?”

Glen: Wyobrażam to sobie.

Nick: „Tak czy inaczej całe to hipnotyczne hokus-pokus ma na celu dwie bardzo proste rzeczy. Po pierwsze, możemy «zaprogramować» Toma, aby wrócił do nas w określonym czasie. Najprostszym sposobem są fazy księżyca. Proponuję pełnię. Po drugie, wprowadzając go po powrocie w stan głębokiej hipnozy, będziemy mogli usłyszeć od niego dokładne, wręcz drobiazgowo sprawozdanie o tym, co zobaczył”.

Ralph: Na tym kończy się zapis Nicka. O rany!

Larry: Trochę mi to przypomina ten stary film *Zamach na Kosygina*.

Stu: Co?

Larry: Nic.

Sue: Nick, mam pytanie. Czy zaprogramujesz Toma (tak, zaprogramujesz to właściwe słowo) również w taki sposób, by nie wyjawiał nikomu żadnych informacji o tym, co tu robimy?

Glen: Pozwól Nick, że ja odpowiem, a jeśli uważasz inaczej, pokręć tylko głową. Moim zdaniem w ogóle nie musimy poddawać Toma programowaniu. Niech mówi wszystkim wszystko, co wie na nasz temat. Wiemy, że Flagg próbuje nas inwigilować i niewiele jest rzeczy, jeśli chodzi o nasze poczynania, których do tej pory jeszcze się nie domyślił... nawet jeśli jego szklana kula zaczęła trochę szwankować.

Nick: „Dokładnie”.

Glen: W porządku, zatem z miejsca popieram wniosek Nicka. Uważam, że nie mamy nic do stracenia, a wszystko do zyskania. To wielce śmiały i oryginalny pomysł.

Stu: Wniosek został wysunięty i poparty. Możemy go jeszcze przedyskutować, ale wolałbym tego nie przedłużać. Jeśli nie przyspieszymy tempa naszych obrad, przyjdzie nam siedzieć tu przez całą noc. Czy ktoś chce jeszcze zabrać głos w powyższej sprawie?

Fran: Oczywiście. Glen, powiedziałeś, że nie mamy nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Świetnie, ale co z Tomem? Co z naszymi cholernymi duszami? Może wy nie przejmujecie się tym, że jacyś ludzie będą coś wbijać Tomowi pod paznokcie, albo że będą go torturować prądem, ale mnie to przeraża! Jak możecie być tak nieczuli! To okrutne! I ta próba, Nick, kazałeś go zahipnotyzować, potraktowałeś go jak kurczaka z papierową torbą nałożoną na głowę! Powinieneś się wstydić! Sądziłam, że Tom jest twoim przyjacielem.

Stu: Fran...

Fran: Nie uciszaj mnie. Powiem, co mam do powiedzenia. Nie umyję rąk ani nie odejdę, unosząc się skądinąd słusznym gniewem, jeżeli zostanę przegłosowana, jednak swoje powiem. Czy naprawdę chcecie zmienić tego cudownego, opóźnionego chłopca w żywy model U-2? Nie rozumiecie, że to jak popełnianie po raz kolejny tego samego, fatalnego błędu? Nie widzicie tego? A jeżeli oni go zabiją? Co wtedy, Nick? Co zrobimy, jeżeli zabiją ich wszystkich? Zaczniemy wytwarzać nowe zabójcze wirusy? Zmodyfikowaną wersję Kapitana Tripsa?

Przez chwilę panowała cisza, podczas gdy Nick pisał na kartce odpowiedź.

Nick (tekst odczytany przez Ralpha): „To, o czym wspomniała Fran, głęboko mną wstrząsnęło, ale podtrzymuję kandydaturę Toma. Nie, nie czuję się dobrze, każąc Tomowi stawać na głowie, ani wysyłając go na obce terytorium, gdzie może zostać schwytany, poddany torturom i zamordowany. Raz jeszcze pragnę podkreślić, że on byłby gotów podjąć się tego nie dla nas, lecz dla Matki Abigail, jej idei i jej Boga. Wierzę przy tym, że nie pozostaje nam nic innego, jak użyć wszelkich dostępnych środków, by położyć kres zagrożeniu, przed którym obecnie stoimy, a które uosabia istota zwana przez niektórych Adwersarzem. On tam morduje ludzi. Krzyżuje ich. Wiem o tym z moich snów i zdaję sobie sprawę, że nie jestem jedynym, któremu dane było ujrzeć te koszarne wizje. Matka Abigail

również je miała. Wiem z całą pewnością, że Flagg jest wcieleniem zła. Frannie, jeśli ktokolwiek rozpocznie teraz prace nad nowym szczeniem Kapitana Tripsa, to właśnie on, aby użyć go przeciwko nam. Chciałbym go powstrzymać, póki to jeszcze możliwe”.

Fran: To wszystko prawda, Nick. Nie mogę temu zaprzeczyć. Wiem, że On jest zły. Możliwe nawet, że tak jak twierdzi Matka Abigail, Flagg jest Sługą Szatana. Chodzi mi tylko o to, że aby go powstrzymać, chcemy użyć jego własnych metod. *Pamiętasz Folwark zwierzęcy!* „Spojrzeli najpierw na świnię, a potem na ludzi i nie mogli dostrzec między nimi różnicy”. Podejrzewam, że chcecie usłyszeć – nawet jeśli to Ralph czyta odpowiedzi – czy, skoro już zdecydujemy się na użycie tych metod – jeżeli się na to zdecydujemy... to, czy kiedy to się skończy, będziemy potrafili od nich odstąpić. Czy możecie być tego pewni?

Nick: „Nie. Nie ma takiej pewności. Raczej trudno to stwierdzić”.

Fran: Wobec tego głosuję przeciw. Jeśli już musimy wysłać kogoś na zachód, niech to będzie ktoś, kto wie, w co się pakuje.

Stu: Ktoś jeszcze?

Sue: Ja również jestem przeciw, choć z bardziej praktycznych powodów. Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale wygląda na to, że już wkrótce nasz los będzie zależeć od starego pryka i zdzieciniałego popaprańca. Przepraszam za to wyrażenie, ja też lubię Toma, ale taka jest prawda. Jestem przeciw i już się zamykam.

Glen: Przeprowadź głosowanie, Stu.

Stu: W porządku. Po kolei. Ja jestem za. Frannie?

Fran: Przeciw.

Stu: Glen?

Glen: Za.

Stu: Suze?

Sue: Przeciw.

Stu: Nick?

Nick: „Za”.

Stu: Ralph?

Ralph: Cóż... niezbyt mi się to podoba, ale skoro Nick jest za, to i ja również. Za.

Stu: Larry?

Larry: Mam być szczery – uważam, że cała ta sprawa śmierdzi bardziej niż toaleta publiczna w upalny dzień. Mimo to, kiedy jest się na szczycie, trzeba podejmować niepopularne decyzje. Głosuję za.

Stu: Wniosek przeszedł stosunkiem głosów pięć do dwóch.

Fran: Stu?

Stu: Tak?

Fran: Chciałabym zmienić swoją decyzję. Jeśli naprawdę mamy wpakować Toma w to szambo, lepiej jeśli zrobimy to wszyscy razem. Przepraszam, Nick, że tak namącałam. Wiem,

że to cię boli, masz to niemal wypisane na twarzy! To czyste szaleństwo! Dlaczego musiało się tak stać? Dlaczego wydarzyło się to wszystko? Frannie głosuje za.

Sue: Wobec tego ja również. Jak wszyscy, to wszyscy, babcia też. Silni, zwarci, gotowi. Zbiorowa odpowiedzialność. W razie czego wszyscy przyłożyliśmy do tego ręki. Głosuję za.

Stu: Wniosek przechodzi jednogłośnie. Masz chusteczkę, Fran. I chciałbym jeszcze zgłosić wniosek, że cię kocham. Niech to zostanie zaprotokołowane.

Larry: Myślę, że na tym zakończymy nasze dzisiejsze spotkanie.

Sue: Popieram.

Stu: Wniosek o zakończenie dzisiejszego spotkania został zgłoszony i poparty. Przeprowadzimy teraz głosowanie. Ci, którzy są za, niech podniosą ręce. Ci, którzy są przeciw, niech przygotują się, że zarobią po głowie puszką piwa.

Wniosek przeszedł stosunkiem głosów siedem do zera.

– Kładziesz się, Stu?

– Tak. Która godzina?

– Dochodzi północ. Już późno.

Stu wrócił z balkonu do sypialni. Miał na sobie tylko białe spodenki, odcinające się rażąco na tle jego opalonej na brąz skóry. Frannie, leżąca na łóżku i podpierająca się na łokciach, przyglądając się Stu w świetle małej, turystycznej lampy stojącej na nocnym stoliku, nie mogła nadziwić się samej sobie, jak mocno go kochała. I była pewna swoich uczuć.

– Myślałeś o spotkaniu?

– Tak.

Nalał sobie wody do szklanki z dzbanka na nocnym stoliku. Wypił łyk i skrzywił się. Woda była ciepława, niesmaczna.

– Moim zdaniem byłeś wspaniałym przewodniczącym zebrania. Glen zapytał, czy nie podjąłbyś się pełnienia tej funkcji podczas walnego zgromadzenia, zgadza się? Czy to cię tak martwi? Odmówiłeś?

– Nie. Zgodziłem się. Chyba dam radę. Myślałem o wysłaniu tej trójki na zachód. To parszywa sprawa, wysyłanie szpiegów. Miałaś rację, Frannie. Sęk w tym, że Nick również ma rację. I co byś zrobiła w takiej sytuacji?

– Przypuszczam, że zagłosowałabym zgodnie z własnym sumieniem, a potem porządnie bym się wyspała. – Sięgnęła ręką, aby zgasić lampę. – Mogę?

– Tak.

Zgasila lampę. W chwilę później Stu położył się do łóżka.

– Dobranoc, Frannie – powiedział. – Kocham cię.

Wpatrywała się w sufit. Pogodziła się ze sprawą Toma Cullena... ale wciąż nie dawał jej spokoju ten odcisk ubrudzonego czekoladą kciuka.

„Każdy pies ma swój dzień, Fran”.

„Może powinnam powiedzieć o tym Stu – pomyślała. – I to już, teraz, zaraz”. Jeśli jednak wiązał się z tym jakiś problem, to musiała rozwiązać go sama. Musiała po prostu czekać, bacznie obserwować... i mieć świadomość, że coś się może wydarzyć.

Upłynęło sporo czasu, zanim w końcu zmorzył ją sen.

ROZDZIAŁ 52

Matka Abigail leżała nad ranem w łóżku, ale nie spała. Próbowwała się modlić.

Nie zapalając światła, wstała i uklękła w swojej białej, bawełnianej koszuli nocnej. Dotknęła czołem Biblii otwartej na Dziejach Apostolskich. Nawrócenie starego, grzesznego Szawła na drodze do Damaszku. Właśnie podczas tej wędrówki oślepiła go wielka jasność i łuski spadły mu z oczu. Dzieje były ostatnią księgą Biblii, gdzie doktrynę popierały cuda, a czymże były cuda, jeśli nie przejawem działań Bożych na Ziemi?

Na jej oczach także były łuski, czy i one opadną?

Jedynymi odgłosami w pokoju był cichy syk lampy naftowej, tykanie zegara i jej własny, niemal niesłyszalnym szept.

– Ukaż mi mój grzech, Boże, bo ja go nie znam. Czuję, że zblądziłam, że nie dostrzegłam czegoś, co chciałeś mi ukazać. Nie mogę zasnąć, mam problemy z żołądkiem i nie czuję Ciebie, Panie. Mam wrażenie, jakbym modliła się do głuchego telefonu, a pora nie jest po temu odpowiednia. Czym Cię obraziłam? Słucham, Panie. Pozwól mi usłyszeć Twój cichy, spokojny głos w moim sercu.

Nasłuchiwała. Przyłożyła swe powykęcane artretyzmem, gruzłowate palce do oczu i wychyliwszy się jeszcze bardziej do przodu próbowała oczyścić umysł. Widziała jednak tylko ciemność, tak czarną jak jej skóra albo żyzna gleba oczekująca na świeże, zdrowe ziarno.

„Proszę, Boże, Panie mój. Mój Boże...”

I nagle ujrzała drogę, wąską bitą drogę pośród morza kukurydzy. Szła nią kobieta z workiem pełnym świeżo zabitych kurcząt. Wnet pojawiły się łasice. Rzuciły się naprzód i zaczęły szarpać worek. Wyczuły woń krwi, starą krew grzechu i świeżą krew ofiary.

Usłyszała, jak stara kobieta wznosi głos do Boga, lecz jej ton brzmiał słabo i piskliwie, był pełen rozdrażnienia. Ta kobieta nie błagała Boga pokornie, by stała się Jego wola, jakakolwiek miała by ona być, lecz domagała się, aby Bóg ją ocalił i dał możliwość dokończenia dzieła... jej dzieła... jak gdyby potrafiła przejrzeć umysł Pana i nakłonić Go do spełnienia jej woli. Łasice stały się jeszcze bardziej zajadłe, worek zaczął pękać, gdy szarpały go ostrymi zębiskami. Jej palce były zbyt stare i słabe. A kiedy pożrą już kurczaki, lecz wciąż będą głodne, łasice rzucą się na nią. Tak. Zaatakują...

Nagle łasice, popiskując, rozpięzchły się w noc. Pozostawiły zawartość worka nie dojeżdżoną, a ona z uniesieniem pomyślała: „Więc jednak Bóg mnie ocalił! Niech będzie pochwalone Imię Jego!

Bóg ocalił swoją wierną i prawą służebnicę!”

„Nie Bóg, stara kobieto. Ja”.

W swojej wizji odwróciła się, czując w gardle strach i ciepły, miedziany smak krwi. A potem ujrzała wyłaniającego się spomiędzy łąnów kukurydzy, przypominającego strzępiaste srebrne widmo, wielkiego górskiego szarego wilka o rozdziawionych, jakby w sardonicznym uśmiechu, szczękach i gorejących ślepiach. Na grubej szyi nosił srebrną obrozę, istne cacko, nieco barbarzyńskie w wyglądzie; zwiślał z niej zaś mały, czarny jak smoła gagat... pośrodku którego widniała czerwona skaza przypominająca oko. Albo klucz. Przeżegnała się i uniosła w stronę zjawy dłoń ułożoną w geście chroniącym przed urokami, lecz wilk tylko uśmiechnął się szerzej, wywalając z paszczy długi, różowy, mięsisty jęzor.

„Idę po ciebie, Matko. Jeszcze nie teraz, ale już niedługo. Osaczymy cię jak ogary łanię. Jestem wszystkim, o czym myślisz, ale jestem również czymś więcej. Jestem człowiekiem magii. Jestem tym, który wieszczy dni ostatnie. Twoi ludzie znają mnie najlepiej. Zwią mnie Janem Zdobywcą”.

„Odejdź. Przepadnij, w imię Pana Boga Ojca Wszechmogącego!”

Tak bardzo się bała! Nie o ludzi wokół niej, przedstawionych we śnie pod postacią kurcząt w worku, lecz o siebie samą. Bała się całą duszą, lękała się o własną duszę.

„Twój Bóg nie ma nade mną władzy. Jego naczynie jest słabe”.

„Nie! To nieprawda! Mam siły za dziesięciu, wzbiję się pod niebo na skrzydłach orłów...”

Lecz wilk tylko się uśmiechnął i podszedł do niej. Cofnęła się, gdy poczuła jego tchnienie, ciężkie, dzikie i przeraźliwe. To była zgroza dopadająca człowieka za dnia i wszystkie trwogi dręczące ludzi po zmierzchu. Bała się. Była przerażona. Umierała ze strachu. Wilk, wciąż uśmiechając się, zaczął przemawiać dwoma głosami, zadając pytania i odpowiadając na nie.

„Kto wydobyl wodę ze skały, gdy byliśmy spragnieni?”

„Ja” – odparł basior rozdrażnionym, na poły ochrypłym, na poły drżącym głosem.

„Któż nas ocalił, kiedy osłabiliśmy?” – zapytał uśmiechający się wilk, jego pysk znajdował się ledwie o kilka cali od niej, oddech przesycony był wonią rzeźni.

„Ja – odparł przeciągle wilk, podchodząc jeszcze bliżej, wciąż szczerzył do niej w uśmiechu swe ostre, mordercze kły, a jego ślepia błyszczały zabójczą czerwienią. – Och, padnij na kolana i wychwalaj me imię, jam jest wiernym i prawym sługą, który odnajduje wodę na pustyni, a imię moje jest również imieniem mego Pana...”

Paszczka wilka rozwarła się szeroko, by ją pożreć.

– ... moje imię – wyszeptała. – Wychwalaj moje imię, chwal Boga, który zsyła na ludzi łaskę błogosławieństwa, niechaj chwałą Go wszelkie stworzenia Jego...

Uniosła głowę i jakby w sennym odrętwieniu rozejrzała się po pokoju. Jej Pismo Święte leżało na podłodze. Przez okno do pomieszczenia wpływały promienie wschodzącego słońca.

– Boże mój! – zawołała gromkim, choć drżącym głosem.

„Kto wydobył wodę ze skały, gdy byliśmy spragnieni?”

Czy o to chodziło? Boże drogi, czy to właśnie to? Czy dlatego łuski przesłoniły jej oczy czyniąc ją ślepą na rzeczy, które powinna dostrzec?

Gorzkie łzy popłynęły z jej oczu. Wolno, z trudem podniosła się z klęczek i podeszła do okna. Artretyzm wbijał tępe igły bólu w jej stawy biodrowe i kolana.

Wyjrzała na zewnątrz i wiedziała już, co musi uczynić.

Podeszła do szyby i zdjęła przez głowę białą, bawełnianą koszulę nocną. Upuściła ją na podłogę. Stała naga, a jej czarne, okrutnie pomarszczone ciało przypominało koryto wielkiej rzeki czasu.

– Bądź wola Twoja – rzekła i zaczęła się ubierać.

W godzinę później szła już wolnym krokiem na zachód, wzdłuż Mapleton Avenue, ku znajdującym się za miastem wąskim przełęczom i mrocznym ostępom leśnym.

Stu był z Nickiem w elektrowni, gdy jak burza wpadł tam Glen.

– Matka Abigail – rzucił bez owijania w bawełnę. – Zniknęła!

Nick spojrzał na niego przenikliwie.

– O czym ty mówisz? – zapytał Stu, odprowadzając jednocześnie Glена na stronę, z dala od zespołu nawijającego miedziany drut na jedną z uszkodzonych turbin.

Glen pokiwiał głową. Przejechał pięć mil dzielące elektrownię od Boulder na rowerze i wciąż jeszcze próbował złapać oddech.

– Odwiedziłem ją, by opowiedzieć o naszym wczorajszym spotkaniu i puścić jej taśmę, gdyby zechciała ją przesłuchać. Chciałem, by dowiedziała się o Tomie, bo jeśli o niego chodzi, sam nie jestem do końca przekonany. To, co powiedziała Fran dotarło do mnie z pewnym opóźnieniem. Poszedłem do niej z rana, bo Ralph powiedział, że do miasta dotrą dziś dwie kolejne grupy nowych ludzi, a sami wiecie, jak ona lubi ich witać. Zjawiłem się tam około wpół do dziewiątej. Nie odpowiedziała na moje pukanie, więc wszedłem. Gdyby spała, postanowiłem, że nie będę jej budził, tylko zaraz sobie pójdę... ale chciałem się upewnić, że nie... umarła, i że nic się jej nie stało... jest przecież taka STARA.

Nick nie odrywał wzroku od ust Glена.

– Okazało się jednak, że w ogóle nie ma jej w domu. A to znalazłem na jej łóżku, na poduszce.

Podał im papierowy ręcznik. Było na nim napisane wielkimi, koślawymi literami:

*Muszę opuścić was na jakiś czas. Zgrzeszyłam, sądząc, że potrafię
przeniknąć Umysł Boży. Moim grzechem była PYCHA. Pan pragnie, bym
znów odnalazła swoje miejsce w Jego wielkim dziele.*

Jeśli Bóg pozwoli, niedługo znów będę z wami.

Abby Freemantle

– Niech mnie wszyscy diabli – rzucił Stu. – I co teraz zrobimy? Co o tym myślisz, Nick?

Nick wziął od niego kartkę i raz jeszcze przeczytał. Potem oddał ją Glenowi. Jego oblicze nie było już dzikie, wydawało się raczej smutne.

– Wydaje mi się, że będziemy musieli przenieść zebranie na dzisiejszy wieczór – rzekł Glen.

Nick pokręcił głową. Wyjął bloczek, napisał coś, wyrwał kartkę i podał Glenowi. Stu nad jego ramieniem przeczytał, co było napisane na kartce.

„Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Matka A. bardzo lubiła to powiedzenie i często je cytowała. Glen, sam powiedziałeś, że była kierowana przez obcą siłę, Boga, jej umysł, urojenia lub może jeszcze coś innego. Cóż poradzić? Nie ma jej. Nie możemy tego zmienić”.

– Ale ludzie zaczną gadać – wtrącił Stu.

– Oczywiście, że zaczną – odparł Glen. – Nick, czy nie powinniśmy przynajmniej zarządzić zebrania komisji, aby przedyskutować tę sprawę?

„Po co? – napisał Nick. – Po co zwoływać zebranie, które i tak niczego nie zmieni?”

– Moglibyśmy zorganizować grupę poszukiwawczą. Na pewno nie odeszła daleko.

Nick zakreślił podwójnym kółkiem słowa: „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”. Poniżej napisał: „Gdybyście ją nawet znaleźli, jak sprowadzilibyście ją z powrotem? W kajdanach?”

– Jezu, nie! – wykrzyknął Stu. – Ale przecież nie możemy pozwolić, by błąkała się gdzieś po lesie! Ubzdurała sobie, że w jakiś sposób obraziła Boga! A jeśli, jak ci goście ze Starego Testamentu, wbije sobie do głowy, że powinna pójść na pustynię albo do puszczy?

Nick napisał: „Jestem prawie pewien, że tak właśnie uczyniła”.

– No, proszę!

Glen położył rękę na ramieniu Stu.

– Przystopuj trochę, Teksasńczyku. Zastanówmy się, co z tego wynika.

– Do licha z tym! Co, waszym zdaniem, może wynikać z tego, że pozostawiamy starą kobietę gdzieś w gruszy, samą, aby umarła tam z głodu i wycieńczenia?

– Ona nie jest pierwszą lepszą starą kobietą. To Matka Abigail, tutejszy odpowiednik Papieża. Gdyby Papież postanowił udać się na pielgrzymkę do Jerozolimy, czy ty, jako dobry katolik, próbowałbyś mu w tym przeszkodzić?

– Do licha, to nie to samo i wiesz o tym doskonale!

– To JEST to samo. Naprawdę. A przynajmniej tak uważają obywatele Wolnej Strefy. Stu, czy jesteś gotów przysiąc, że wiesz na pewno, iż to nie Bóg kazał jej udać się do puszczy?

– N-n-nie... ale...

Nick pisał coś, a teraz pokazał kartkę Stu, który z trudem odczytał widniejący na niej tekst. Nick zwykle pisał bardzo wyraźnie, ale tym razem musiał się spieszyć, wydawał się zniecierpliwiony.

„Stu, to niczego nie zmienia, może jedynie osłabić morale Wolnej Strefy, choć w gruncie rzeczy wątpię, by do tego doszło. Ludzie nie rozpierzną się na cztery strony świata tylko dlatego, że Matka A. odeszła. Oznacza to jedynie, że nie musimy teraz dzielić się z nią informacjami o naszych planach. Może tak będzie najlepiej”.

– Chyba tracę zmysły – rzekł Stu. – Czasami mówimy o niej jak o przeszkodzie, którą należy obejść, jakby była blokadą na drodze. Innym razem słyszę, że jest odpowiednikiem Papieża i nawet gdyby chciała, nie mogłaby uczynić nic złego. Tak się składa, że JA JĄ LUBIĘ. Czego ty chcesz, Nicky? Aby ktoś natknął się tej jesieni na jej zwłoki w jednym z tych jarów na zachód od miasta? Chcesz, byśmy zostawili ją tam, samiuteńką, aby kruki i inne obrzydliwe ptaszyska mogły urządzać sobie świętą ucztę, żerując na jej ciele?

– Stu – rzekł łagodnie Glen. – Taka była jej decyzja. Postanowiła odejść i zrobiła to.

– Cholera, ale się porobiło – jęknął Stu.

Jeszcze przed południem wieści o odejściu Matki Abigail rozeszły się po całym mieście. Zgodnie z przewidywaniami Nicka, zamiast z trwogą i przygnębieniem, ludzie przyjęli to raczej spokojnie i bez większych emocji. Wszyscy zgodnie uznali, że musiała odejść, by „modlić się o wskazówki i Boże wsparcie”, by mogła podczas walnego zgromadzenia wskazać im właściwą drogę, którą powinni podążać.

– Nie chcę bluźnić, nazywając ją Bogiem – rzekł Glen podczas szybkiego lunchu w parku – ale z pewnością można uznać ją za Boskiego pełnomocnika. Potęgę społeczności możesz poznać po tym, jak osłabia się jej wiara, gdy traci ona swego przywódcę duchowego.

– Nie bardzo rozumiem.

– Kiedy Mojżesz rozbił złotego cielca, Izraelici przestali oddawać mu cześć. Kiedy wody potopu obróciły w perzynę świątynię Baala, jego wyznawcy odwrócili się od Niego. Jezus jednak czczony jest już od blisko dwóch tysięcy lat, a ludzie nie tylko wciąż wyznają Jego nauki, lecz żyją i umierają w wierze, że On któregoś dnia powróci, gdy zaś to nastąpi, uporządkuje cały ten bałagan. Takie są odczucia Wolnej Strefy wobec Matki Abigail. Ci ludzie są przekonani, że ona wróci. Rozmawiałeś z nimi?

– Tak – odparł Stu. – Nie mogę w to uwierzyć. Gdzieś tam błąka się samotna stara kobieta, a tu wszyscy mówią ze spokojem: „Uhm-hm, ciekawe, czy jak wróci, przyniesie ze sobą tablice z Dziesięciorgiem Przykazań i czy zdąży z tym na walne zgromadzenie”.

– Może zdąży – rzekł z powagą Glen. – Tak czy inaczej nie wszyscy uznali jej odejście za coś zgoła normalnego. Ralph Brentner niemal rwie sobie włosy z głowy.

– Przynajmniej on jeden. – Spojrzał z ukosa na Glena. – A co z tobą, łysy? Jakie jest twoje zdanie na ten temat?

– Nie nazywaj mnie tak. Nie lubię tego. Ale wiesz co, wygląda na to, że Nasz Dobry Tekszańczyk okazał się odporniejszy na Boży Wpływ, który Matka Abigail roztoczyła nad Boulder i jego mieszkańcami, ode mnie, starego agnostyka i socjologa. Myślę, że ona wróci. Po prostu tak czuję. A co o tym myśli Frannie?

– Nie wiem. Nie widziałem jej od rana. Całkiem możliwe, że jest teraz gdzieś tam, z Matką Abigail, żywiąc się miodem leśnym i szarańczą. – Spojrzał w kierunku Flatirons, wznoszących się wysoko w niebieskiej, popołudniowej mgle. – Jezu, Glen, mam nadzieję, że naszej staruszce nic się nie stało.

Fran nie wiedziała nawet, że Matka Abigail odeszła. Spędziła rano w bibliotece, przeglądając książki o ogrodnictwie. Nie była tu sama. Zauważyła dwie lub trzy osoby zaaferowane lekturą o uprawie roli, dwudziestopięcioletni mężczyzna w okularach wertował książkę zatytułowaną *Siedem niezależnych źródeł zasilania dla twojego domu*, a ładna blondynka, na oko czternastoletnia, pochylała się nad broszurowym wydaniem *600 prostych przepisów kulinarnych*.

Fran wyszła z biblioteki około południa i wybrała się na spacer wzdłuż Walnut Street. W pół drogi do domu spotkała Shirley Hammett, starszą kobietę, która podróżowała wraz z Dayną, Susan i Patty Kroger. Shirley wyglądała teraz o niebo lepiej. Doszła do siebie. Zmieniła się w stateczną, elegancką kobietę w średnim wieku.

Przystanąła i przywitała się z Fran.

– Jak myślisz, czy ona wróci? Pytam o to wszystkich. Gdyby w tym mieście wychodziła gazeta, zaraz napisałabym stosowny artykuł.

– O kogo pytasz?

– O Matkę Abigail, naturalnie. Gdzieś ty się podziewała, śpiąca królowo?

– Co się stało? – zapytała Fran, zaniepokojona. – O co chodzi?

– W tym właśnie sęk. Nikt nic nie wie na pewno. – Shirley opowiedziała Fran o tym, co zaszło, kiedy ta przebywała w bibliotece.

– Ona tak po prostu... odeszła? – spytała Frannie, marszcząc brwi.

– Tak. Ale oczywiście wróci – dodała Shirley z przekonaniem. – Wspomniała o tym w liście.

– Jeśli taka będzie wola Boża?

– Nie brałabym tego tak dosłownie – rzekła Shirley i zmierzyła Fran lodowatym spojrzeniem.

– Cóż... sama nie wiem. Ale dzięki, Shirley, że mi o tym powiedziałaś. Wciąż jeszcze miewasz te migreny?

– Nie. Już mi przeszło. Będę na ciebie głosować, Fran.

– Hmm? – Błądziła myślami gdzieś daleko, przetrawiając nowe informacje, i przez chwilę nie słuchała, co do niej mówiła Shirley.

– Do komisji stałej!

– Ach, tak. Dzięki. Wiesz, nie jestem do końca przekonana, czy naprawdę tego chcę.

– Na pewno sobie poradzicie. Ty i Susy. Muszę już lecieć, Fran. Na razie.

Poszły każda w swoją stronę. Fran czym prędzej wróciła do swego mieszkania, pragnąc wy badać, czy Stu wie coś więcej na ten temat. Zniknięcie staruszki niemal zaraz po ich pierwszym spotkaniu, przepełniło jej serce prymitywną, pierwotną trwogą. Nie chciała, by tak ważne decyzje, w rodzaju wysłania na zachód zwiadowców, podejmowane były bez wiedzy i akceptacji Matki Abigail. Z jej odejściem Fran poczuła, że brzemień odpowiedzialności spoczywające na jej barkach znacznie przybrało na wadze.

W mieszkaniu nie zastała nikogo. Rozminęła się ze Stu o kwadrans. Pod cukiernicą włożona była kartka z informacją: „Będę o wpół do dziesiątej. Jestem z Ralphem i Haroldem. Nie martw się. Stu”.

„Z Ralphem i Haroldem? – pomyślała i poczuła całkiem inny lęk, nie związany z Matką Abigail. – Dlaczego miałabym obawiać się o Stu? Boże, gdyby Harold próbował... wyciąć mu jakiś numer... zrobić mu coś... złego... Stu rozerwałby go na strzępy. Chyba że Harold zaatakowałby znienacka, na przykład zaszedł go od tyłu i...”

Splotła ramiona na piersiach, czując ogarniający ją chłód i zastanawiając się, co też Stu może robić w towarzystwie Ralpa i Harolda.

„Będę o wpół do dziesiątej”.

Boże, to jeszcze tyle czasu.

Stała w kuchni jeszcze przez dłuższą chwilę, wpatrując się z marsową miną w swój plecak leżący na stole.

„Jestem z Ralphem i Haroldem”.

Zatem do wpół do dziesiątej wieczorem w małym domku Harolda przy Arapahoe nie będzie żywego ducha. Chyba żeby oni tam byli, a jeżeli tak, przyłączy się do nich, zaspokajając swoją ciekawość. Na rowerze dotrze tam bardzo szybko. Jeśli nikogo nie zastanie, może zdoła w jakiś sposób uspokoić swe skołatane nerwy... albo... o tym jednak wolą nawet nie myśleć.

„Uspokoić skołatane nerwy? – rozległ się głos w jej myślach. – A może jeszcze bardziej je zszargać? A jeśli odnajdziesz tam coś naprawdę ZABAWNEGO? Co wtedy? Co z tym zrobisz?”

Nie wiedziała. Nie miała zielonego pojęcia.

„Nie martw się. Stu”.

Ale ona martwiła się. Odcisk kciuka w jej pamiętniku świadczył, że miała po temu powody. Człowiek bowiem, który wykrada twój pamiętnik i podkrada twoje myśli, musiał być do cna wyzuty z wszelkich skrupułów i zasad. Taki człowiek mógł zakraść się do kogoś, kogo nienawidził, od tyłu i na przykład zepchnąć go ze skały. Albo użyć kamienia. Albo noża. Albo pistoletu.

„Nie martw się. Stu”.

„Gdyby Harold zrobił coś takiego, byłby w Boulder skończony. Jak by się wówczas zachował?”

Fran знаła odpowiedź. Nie wiedziała, czy Harold rzeczywiście był aż tak zły, jak go sobie wyobrażała, chyba jeszcze nie, w każdym razie nie na pewno, lecz w głębi serca czuła, że dla takich jak on istniało teraz wręcz wymarzone miejsce. O, tak. Co do tego nie miała wątpliwości.

Pospiesznie zarzuciła plecak i wyszła z mieszkania. W trzy minuty później pędziła już w blasku popołudniowego słońca na rowerze wzdłuż Broadway w stronę Arapahoe, myśląc: „Zastanę ich w salonie, w domu Harolda, popijających kawę, rozmawiających o Matce Abigail i wszystko będzie w porządku. Wszystko będzie w porządku”.

W małym domku Harolda było jednak ciemno, nie zastała w nim nikogo, a drzwi okazały się zamknięte na klucz. Już sam ten fakt wydawał się w Boulder czymś niezwykłym. Dawniej, wychodząc z domu, zamykała drzwi na klucz, by nikt nie ukradł ci telewizora, wieży stereo albo błyskotek twojej żony. Teraz jednak zestawy stereo i telewizory nie miały żadnej wartości, gdyż z braku prądu i tak były bezużyteczne, a co do świecidełek, wystarczyło pojechać do Denver i wybrać ile dusza zapragnie z pierwszego lepszego salonu jubilerskiego.

„Dlaczego zamykasz drzwi na klucz, Haroldzie, skoro wszystko jest za darmo? Ponieważ nikt tak bardzo jak złodziej nie obawia się kradzieży? Czy tak brzmi odpowiedź?”

Nie była włamywaczką. Już miała zrezygnować i wrócić do domu, gdy coś ją tknęło, by sprawdzić okna od piwnicy. Znajdowały się tuż nad ziemią i były tak brudne, że prawie nieprzezroczyste. Pierwsze, które spróbowała otworzyć, przesunęło się z lekkim oporem w bok, wzdłuż prowadnic, a na podłogę piwnicy posypały się grudki ziemi.

Fran rozejrzała się wokoło, lecz prócz niej na ulicy nie było nikogo. Nikt, za wyjątkiem Harolda, nie osiedlił się tak daleko od centrum miasta. To również wydawało się dziwne. Harold mógł uśmiechać się od ucha do ucha, poklepywać ludzi po plecach i całymi dniami przebywać wśród nich; mógł (i robił to chętnie) oferować swoją pomoc, gdy go o nią proszono, a czasami nawet czynić to z własnej inicjatywy; mógł sprawiać (i sprawiał), że ludzie go lubili i nie ulegało wątpliwości, że cieszył się w Boulder dużym poważaniem. Ale miejsce, w którym zdecydował się osiedlić... to coś zgoła innego, czyż nie? Możliwe, że ujawniało do pewnego stopnia, w jaki sposób Harold rozumiał pojęcie społeczności oraz swego w nim miejsca. A może Harold po prostu lubił ciszę i spokój.

Przecisnęła się przez okno, brudząc sobie przy tym bluzkę i zeskoczyła na podłogę. Piwniczne okno miała teraz na wysokości oczu. Nie była lepszą akrobatką niż włamywaczką i aby się stąd wydostać, będzie musiała na czymś stanąć.

Rozejrzała się dokoła. W piwnicy urządzono pokój zabaw, bądź też graciarnię. Jej tato zawsze wspominał o czymś takim, nigdy jednak nie zdołał zrealizować swoich planów, pomyślała ze smutkiem. Na ścianach wyłożonych sosnową boazerią zamontowano kwadrofoniczne głośniki, pod sufitem znajdował się pawlacz, a na nim wielkie pudło z układankami, książkami, kolejką elektryczną i torem wyścigowym. Był tu również stół do minihokeja, na którym Harold postawił zgrzewkę z puszkami coli. To był pokój dziecięcy, ściany obwieszono plakatami, a największy z nich, stary i wystrzępiony ukazywał George'a Busha wychodzącego z kościoła w Harlemie, z rękoma uniesionymi wysoko i szerokim uśmiechem na twarzy. Czerwone litery poniżej układały się w napis: KRÓLA ROCK AND ROLLA NIE ZADOWOLI BYLE BOOGIE-WOOGIE!

Nagle poczuła smutek. Sięgnęła pamięcią wstecz, usiłując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio czuła się równie przygnębiona. Bezskutecznie. Przeżyła ostatnio wiele głębokich wstrząsów, lęku i dojmującej zgrozy, żal wywołujący uczucie otępienia również nie był jej obcy, jednak tak głębokiego, bolesnego smutku doświadczyła po raz pierwszy. Wraz z nim nawiedziła ją fala tęsknoty za Ogunquit, za oceanem, za wzgórzami i sosnowymi lasami Maine. Pomyślała nagle o Gusie, parkingowym z plaży publicznej w Ogunquit. Równocześnie przepełniło ją tak głębokie uczucie smutku i straty, że omal nie pękło jej serce. Co robiła w tym mieście leżącym pomiędzy równinami i górami przecinającymi na pół cały kraj?

To nie było jej miejsce. Nie należała do niego.

Z jej ust dobył się cichy szloch. Zabrział tak przerażająco i samotnie, że po raz drugi tego dnia przyłożyła obie dłonie do ust.

„Dość tego, Frannie, ty znowu swoje. Z czymś tak ogromnym nie sposób szybko się uporać. Powolutku. To wymaga czasu. Jeśli już masz się rozpłakać, zrób to później, nie tu, nie w piwnicy domu Harolda Laudera. Zrób najpierw, co masz do zrobienia”.

Minęła plakat na ścianie i dotarła do schodów. Zerkając na uśmiechnięte, niezłomnie radosne oblicze George'a Busha, ona również lekko się uśmiechnęła. „Wygląda na to, że już swoje odtańczyłeś – pomyślała. – Tylko kto przygrywał do tańca?”

Gdy dotarła do szczytu piwnicznych schodów, była prawie pewna, że drzwi będą zamknięte, lecz otworzyły się z łatwością. Kuchnia wyglądała schludnie i czysto, umyte po obiedzie talerze suszyły się na suszarce, mała kuchenka gazowa była tak wypucowana, że aż lśniła... lecz w powietrzu wciąż unosił się zapach smażonego tłuszczu, jak widmo tego starego, dawnego Harolda, który zjawił się w jej życiu, zajeżdżając pod dom cadillakiem Roya Brannigana, podczas gdy ona grzebała swojego ojca.

„Ale byłby numer, gdyby Harold wrócił teraz do domu” pomyślała. To sprawiło, że mimo woli obejrzała się przez ramię. Niemal spodziewała się ujrzeć Harolda stojącego przy drzwiach do pokoju, szczerzącego do niej zęby. Nie było tam nikogo, lecz serce nieprzyjemnie zaczęło tłuc się w jej piersi.

Ponieważ w kuchni nie było nic, weszła do pokoju.

Było w nim ciemno, tak ciemno, że poczuła się nieswojo. Harold nie tylko zamykał drzwi na klucz, ale również opuszczał żaluzje. Raz jeszcze poczuła się, jakby obserwowała podświadome, fizyczne odzwierciedlenie osobowości Harolda. Dlaczego ktoś miałby opuszczać żaluzje w małym miasteczku, gdzie w taki właśnie sposób oznaczano domy umarłych?

Pokój, podobnie jak kuchnia, był utrzymany wyjątkowo schludnie, meble jednak wydawały się toporne i nieco podniszczone. Najlepiej prezentował się tu masywny kamienny kominek z paleniskiem tak dużym, że można by w nim usiąść. Przycupnęła tam na chwilę, rozglądając się z zamyśleniem po pokoju. Gdy się poruszyła, poczuła, że płyta, na której siedziała uniosła się lekko. Już miała wstać i przyjrzeć się jej uważnie, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Ogarnął ją paralizujący, mrozący krew w żyłach strach. Zaparło jej dech w piersiach i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że lekko popuściła.

Pukanie rozległo się ponownie, pół tuzina szybkich, energicznych uderzeń.

„Mój Boże – pomyślała. – Przynajmniej żaluzje są opuszczone”. Ale zaraz, z niezmaconym przekonaniem pomyślała, że przecież musiała zostawić na zewnątrz swój rower. Na pewno ten nieoczekiwany gość zobaczy go. Czy aby na pewno? Zastanawiała się gorączkowo, ale przez dłuższą chwilę nie mogła zebrać myśli, słyszała jedynie głos powtarzający na okrągło tak prawdziwe i znane jej słowa: „Dlaczego to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz?”

Znów rozległo się pukanie, a potem głos kobiety:

– Jest tam kto?

Fran zamarła w bezruchu. Nagle przypomniała sobie, że zaparkowała rower za domem, przy sznurze na bieliznę. Od frontu był zatem niewidoczny. Gdyby jednak ta kobieta spróbowała dostać się do domu od tyłu...

Klamka u drzwi wejściowych – Frannie widziała ją kątem oka – zaczęła poruszać się energicznie w górę i w dół.

„Mam nadzieję, że ten ktoś, kimkolwiek jest, nie jest lepszym włamywaczem ode mnie” – pomyślała Frannie i zaraz przyłożyła obie ręce do ust, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Wtedy też spuściła wzrok na swoje bawełniane spodnie i zorientowała się, jak bardzo była przerażona. „Dobrze przynajmniej, że się ze strachu nie sfajdałam – pomyślała z ulgą. – To znaczy, na razie”. Śmiech wciąż w niej wzbierał, podnosił się jak fala przyływu.

I nagle usłyszała dźwięk oddalających się kroków. Ogarnęła ją niewysłowiona ulga.

To, co zrobiła później, uczyniła zgoła nieświadomie. Podbiegła szybko do drzwi frontowych i przytknęła oko do małej szczeliny pomiędzy listewką żaluzji a krawędzią okna. Ujrzała kobietę o długich, ciemnych, lecz przyprószonych siwizną włosach. Kobieta wsiadła na mały skuter Vespa stojący przy krawężniku. Gdy rozległo się pyrkotanie silnika, odgarnęła włosy do tyłu i spięła je.

„To ta Cross, ta kobieta, która przyszła tu z Larrym Underwoodem. Czyżby знаła Harolda?”

Nadine wrzuciła bieg. Ruszając z miejsca skuterem, szarpnęło ją lekko i po chwili już jej nie było. Fran westchnęła głośno, a jej nogi zrobiły się jak z gumy. Otworzyła usta, by wybuchnąć śmiechem, który wzbierał w niej od dobrych paru chwil, wiedziała, że w dźwięku tym, drżącym i nerwowym zabrzmie również nuta ulgi. Zamiast tego rozplakała się.

Pięć minut później, zbyt zdenerwowana by kontynuować poszukiwania, podciągnęła się w górę i wypęzła przez piwniczne okienko, stając na siedzeniu trzciniowego fotela, który przystawiła pod ścianę. Gdy znalazła się na zewnątrz, stopą odsunęła fotel najdalej, jak tylko mogła, by nikt na pierwszy rzut oka nie domyślił się, że ostatnio ktoś z niego korzystał. Nie zdołała ustawić go na poprzednim miejscu, ale ludzie raczej rzadko zwracają uwagę na takie drobiazgi... a nic nie wskazywało, że Harold korzystał z piwnicy, pomijając fakt, że przechowywał w niej colę.

Zamknęła okno i poszła po swój rower. Wciąż czuła się osłabiona, oszołomiona i ze strachu zbierało się jej na wymioty. „Przynajmniej spodnie już mi wysychają – pomyślała. – Następnym razem wybierając się na włam, moja droga Frances Rebecca, nie zapomnij zabrać ze sobą spodni i bielizny na zmianę”.

Najszybciej jak tylko potrafiła wyjechała z podwórka za domem Harolda i opuściła ulicę Arapahoe, wracając do swego mieszkania przy Canyon Boulevard w śródmieściu. W piętnaście minut później była już na miejscu.

W mieszkaniu panowała całkowita cisza.

Otworzyła swój pamiętnik, spojrzała na rozmazany czekoladowy ślad po kciuku i zaczęła zastanawiać się, gdzie był teraz Stu.

I czy był z nim Harold.

„Och, Stu, proszę, wróć do domu. Potrzebuję cię”.

Po lunchu Stu rozstał się z Glenem i wrócił do domu. Siedział właśnie w pokoju, zastanawiając się, dokąd poszła Matka Abigail i czy Nick z Glenem mieli rację, chcąc pozostawić tę sprawę jej własnemu biegowi, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Stu? – zawołał Ralph Brentner. – Hej, Stu, jesteś w domu?

Towarzyszył mu Harold Lauder. Uśmiech Harolda był dziś nieco przygaszony, ale nie zniknął zupełnie; chłopak wyglądał jak wesóły karawaniarz usiłujący zachować kamienną powagę podczas ceremonii pogrzebowej.

Ralph, przejęty do żywego odejściem Matki Abigail, spotkał Harolda przed półgodziną. Lauder wracał właśnie do domu z Boulder Creek, gdzie pomagał ekipie usiłującej przywrócić w mieście dostawę wody. Ralph lubił Harolda, który sprawiał wrażenie jakby zawsze miał czas, by wysłuchać każdej z opowiadanych mu smutnych historii, co więcej, znajdował zwykle kilka ciepłych słów pocieszenia dla osoby, która mu się akurat zwierzała i najwyraźniej nigdy nie oczekiwał niczego w zamian.

Ralph zrelacjonował mu historię zniknięcia Matki Abigail, wyjawiając również swoje obawy, że mogła doznać ataku serca, groźnego złamania (miała takie kruche kości!) albo, gdyby przyszło jej spędzić noc gdzieś w lesie, umrzeć wskutek wychłodzenia organizmu.

– Wiesz, że teraz prawie codziennie po południu leje jak z cebra – dokończył Ralph, gdy Stu poczęstował ich kawą. – Jeśli przemoknie, ani chybi się przeziębii, a stąd już prosta droga do zapalenia płuc.

– Co możemy na to poradzić? – zwrócił się do nich Stu. – Jeżeli tego nie chce, nie możemy zmusić jej na siłę do powrotu.

– No, nie – potaknął Ralph. – Ale Harold wpadł na całkiem niezły pomysł.

Stu spojrzał na niego.

– Co u ciebie, Haroldzie?

– Świetnie. A u ciebie?

– Dziękuję, dobrze.

– A Fran? Opiekujesz się nią?

Harold nie odrywał wzroku od Stu, w jego oczach igrały wesołe iskierki, ale Stu te uśmiechnięte oczy skojarzyły się nagle z refleksami słońca migoczącymi na powierzchni wody w Brakeman's Quarry, w jego rodzinnym mieście. Woda wyglądała wspaniale i nęcąco, ale w głębinie, tam gdzie nie docierało słońce, była czarna jak asfalt i w ostatnich latach utonęło w niej czterech chłopców.

– Najlepiej jak potrafię – odparł. – Co takiego wymyśliłeś, Haroldzie?

– Posłuchaj. Rozumiem stanowisko Nicka. Glena również. Uważają, że dla całej Wolnej Strefy Matka Abigail jest kimś w rodzaju teokratycznego symbolu... a bądź co bądź są już bliscy otwartego wypowiedzenia się w imieniu całej społeczności, prawda?

Stu wypił łyk kawy.

– Co masz na myśli, mówiąc o „teokratycznym symbolu”?

– Określiłbym to mianem ziemskiego symbolu zawartego z Bogiem przymierza – odparł Harold, a jego oczy lekko spochmurniały. – Coś takiego, jak komunია święta albo w Indiach święte krowy.

Stu nieco się ożywił.

– Tak, to całkiem niezłe. Pozwalają tym krowom chodzić po ulicach, nie wolno ich przeganiać, stąd na drogach tworzą się korki, czyż nie tak? Mogą wchodzić gdzie im się żywnie podoba, a jeśli tego zechcą, nawet opuścić miasto.

– Właśnie – potaknął Harold. – Ale zapewne nie wiesz, Stu, że większość tych krów jest chora. Są wynędzniałe, chude, niemal bliskie śmierci głodowej. Niektóre cierpią na gruźlicę. A wszystko dlatego, że uczyniono z nich przesadnie znaczący symbol. Ludzie są przekonani, że Bóg opiekuje się nimi, tak jak nasi tutaj wierzą, że Bóg zajmie się Matką Abigail. Ja jednak mam co do tego pewne wątpliwości, nie zawierzyłbym Bogu, który uważa za normalne, wręcz słuszne, pozwalać głupim, biednym krowom cierpieć i błąkać się z miejsca na miejsce.

Ralph słysząc te słowa, wyraźnie się skrzywił. Stu wiedział, co było tego przyczyną. Jego również to ubodło i w ten sposób uświadomił sobie zarazem, co sam czuł względem Matki Abigail.

Odniosł wrażenie, że Harold niebezpiecznie balansował na granicy bluźnierstwa.

– Tak czy inaczej – Harold pospiesznie odszedł od tematu świętych krów – nie możemy wpłynąć na to, co ludzie czują względem niej...

– I nawet byśmy tego nie chcieli – dorzucił natychmiast Ralph.

– Racja! – wykrzyknął Harold. – Przecież sprowadziła tutaj nas wszystkich i uczyniła to w dość niekonwencjonalny sposób. Nawet nie potrzebowała do tego radiostacji. Mój pomysł przedstawia się następująco. Wsiądziemy na nasze wierne motory i przez całe popołudnie będziemy penetrować tereny na zachód od Boulder. Jeżeli będziemy trzymać się w miarę blisko, możemy utrzymywać łączność za pośrednictwem krótkofalówek.

Stu pokiwał głową. To było to, co chciał zrobić, odkąd usłyszał o zniknięciu Matki Abigail. Niezależnie czy zrobiła to z woli Stwórcy, czy też nie. Czy można ją było przyrównać do świętej krowy, czy też nie, nie powinni pozwolić jej, by błąkała się samotnie gdzieś poza miastem. To nie miało nic wspólnego z religią, było po prostu przejawem rażącej lekkomyślności.

– Jeśli ją odnajdziemy – rzekł Harold – zapytamy, czy czegoś nie potrzebuje.

– Na przykład podwiezienia z powrotem do miasta – wtrącił Ralph.

– Moglibyśmy jej przynajmniej pilnować – dodał Harold.

– W porządku – mruknął Stu. – Tak, uważam, że to cholernie dobry pomysł, Haroldzie. Zaraz ruszamy, zostawię tylko wiadomość dla Fran.

Kiedy jednak pochylił się nad kartką, by skreślić na niej kilka słów, przez cały czas miał nieprzepartą chęć obejrzeć się przez ramię i spojrzeć na Harolda, sprawdzić, co robił, kiedy Stu na niego nie patrzył i jak wyglądały wówczas jego oczy.

Harold wybrał do spenetrowania kręty odcinek drogi pomiędzy Boulder a Nederland, ponieważ, jak domniemywał, byłoby to ostatnie miejsce, w którym mogłaby się znaleźć. Nawet ON nie zdołałby dotrzeć w ciągu jednego dnia do Nederland, a co dopiero ta porąbana starucha. Niemniej przejażdżka była przyjemna i miał dostatecznie dużo czasu na rozmyślanie.

Teraz, za kwadrans siódma, powoli zbierał się do powrotu. Jego honda stała na parkingu przydrożnym, a on sam siedział przy stoliku piknikowym, popijając colę i pogryzając slim jimy. Z krótkofalówki wiszącej z wysuniętą anteną na kierownicy motocykla dobiegały trzaski i cichy głos Ralpa Brentnera. Miały krótki zasięg, a Ralph znajdował się gdzieś na górze Flagstaff.

– ...Amfiteatr Sunrise... ani śladu... szaleje tu burza.

Potem usłyszał głos Stu, silniejszy i dochodzący z mniejszej odległości. Redman znajdował się w parku Chautauqua, cztery mile od Harolda.

– Powtórz, Ralph.

Rozległ się głos Ralpa, facet niemal krzyczał. Może dostanie zawału. Byłoby to cudownym zakończeniem mijającego dnia.

– Nie ma jej tutaj! Schodzę na dół, zanim się ściemni! Odbiór!

– Zrozumiałem – rzekł Stu bez entuzjazmu. – Haroldzie, jesteś tam?

Harold wstał, ocierając tłuste od slim jimów dłonie o spodnie.

– Haroldzie? Zgłoś się, Haroldzie! Słyszysz mnie?

Harold pokazał krótkofalówce środkowy palec – „palec-grzebalec”, jak go nazywały prymitywne osobniki z liceum w Ogunquit. Po chwili nacisnął przycisk nadawania i łagodnie, choć z nutą dezaprobaty w głosie rzekł:

– Jestem, jestem. Oddaliłem się na chwilę... wydawało mi się, że zauważyłem coś w pobliskim rowie, ale to tylko stara kurtka. Odbiór.

– Jasne, w porządku. Może podjedziesz do Chautauqua? Zaczekamy tu na Ralpa.

„Lubisz wydawać rozkazy, co, skurwielu? Może to kiedyś obróci się przeciwko tobie. O, tak, mógłbyś się śmiertelnie zdziwić”.

– Słyszysz mnie, Haroldzie?

– Tak. Przepraszam, zamyśliłem się. Będę za piętnaście minut.

– Słyszysz, Ralph? – ryknął Stu tak głośno, że Harold aż się skrzywił. Ponownie pokazał mu palec, uśmiechając się krzywo. „Żeby cię pokręciło, pieprzony Teksańczyku”.

– Zrozumiałem, spotkamy się w parku Chautauqua – dobiegł tłumiony przez trzaski głos Ralpa. – Już jadę. Bez odbioru.

– Ja też jadę – oznajmił Harold. – Bez odbioru.

Wyłączył krótkofalówkę, złożył antenę i znów odwiesił radio na kierownicy, po czym usiadł na siodełku, lecz jeszcze przez chwilę nie uruchomił motoru. Miał na sobie grubą wojskową kurtkę, ocieplaną, najlepszą na jazdę motocyklem na wysokości sześciu tysięcy stóp nad poziomem morza, nawet teraz, w sierpniu. Kurtka miała jednak jeszcze inne zastosowanie. W jednej z jej licznych, zapinanych na suwaki kieszeni tkwił rewolwer, Smith & Wesson kaliber .38. Harold wyjął go i długo obracał w dłoniach. Broń była naładowana i wydawała się ciężka, jakby wiedziała, że jej zasadniczym celem jest zadawanie bólu, cierpienia i śmierci.

Dziś wieczorem?

Dlaczego nie?

Zorganizował tę wyprawę w nadziei, że w którymś momencie pozostanie z Redmanem sam na sam. Wyglądało na to, że będzie miał po temu okazję już za niecały kwadrans, w parku Chautauqua. Podróż ta miała jeszcze jeden cel.

Nie zamierzał dotrzeć aż do Nederland, żalostnej, zapadłej dziury, leżącej powyżej Boulder, miejsciny słynącej wyłącznie z tego, jakoby przebywała tu niegdyś Patty Hearst podczas swojej ucieczki. Kiedy jednak posuwał się coraz wyżej i wyżej na swym pomrukującym z cicha, gładko chodzącym motorze, a jego twarz omiatało zimne jak ostrze tępej brzytwy powietrze, coś się wydarzyło.

Jeżeli położysz na jednym końcu stołu magnes, a na drugim stalową kulkę, nic się nie wydarzy. Jeśli przesuniesz kulkę bliżej, powoli i regularnie zmniejszając odległość między nią a magnesem (przez chwilę wyobrażał to sobie w myślach, sycąc się tą wizją i upominając samego siebie, by zapisać to dziś wieczorem w Rejestrze), nadejdzie taki moment, kiedy popychając kulkę wyda ci się, że przesunęła się dalej niż powinna. A potem zatrzyma się, lecz jakby z wahaniem, jak gdyby ożyła i była mocno zawzięta na fizyczne prawo bezwładności. Jeszcze jedno, dwa pchnięcia i możesz zobaczyć, że kulka zaczyna wpadać na stole w lekkie drżenie, porusza się lekko, wibruje, jak jedna z tych meksykańskich skaczących fasolek, które mogłeś kupić w niektórych ekscentrycznych sklepach. Jedna z tych fasolek wielkości kłykcia, wyglądających jak sęk z drzewa, wewnątrz której jednak znajdował się żywy robak. Jeszcze jedno pchnięcie i równowaga między tarciem/energiami a siłą przyciągania magnesu zaczyna się chwiać. Kulka, teraz już całkiem ożywiona, porusza się sama, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu uderza w magnes i szczepia się z nim.

Przerażający, fascynujący proces.

Kiedy w czerwcu tego roku świat, jaki znaliśmy przestał istnieć, wciąż nie pojmowano jeszcze fenomenu siły magnetycznej, chociaż Harold domyślał się (nigdy nie należał do ludzi wyznających racjonalistyczne poglądy), że naukowcy, którzy się nim zajmowali łączyli go w nierozzerwalny sposób ze zjawiskiem przyciągania ziemskiego, grawitacja zaś była podstawą wszechświata.

W drodze do Nederland, posuwając się na zachód coraz wyżej i wyżej, oraz czując jak robi się coraz chłodniej, widział jak na niebie za strzelistymi turniami, hen, poza Netherlands, gromadzą się czarne, burzowe chmury. Harold odniósł wrażenie, że identyczny proces rozpoczął się w nim samym. Zbliżał się do punktu równowagi... gdy go przekroczy, nie będzie już odwrotu. Był stalową kulką oddaloną od magnesu na tyle, że nawet lekkie pchnięcie przesuwało ją dalej, niż mogłoby to wynikać z włożonej w ten ruch siły. Czuł przenikające go, lekkie jeszcze drżenie.

W jego przypadku było to niczym doznanie religijne, doświadczenie świętości. Chłopak odrzucał świętość, gdyż przyjęcie jej oznaczałoby konieczność pogodzenia się z rychłą

śmiercią wszystkich przedmiotów empirycznych, w tym przypadku przywódców duchowych, a to Harold również negował. „Stara kobieta musiała być kimś w rodzaju medium – rozmyślał – podobnie jak mroczny mężczyzna, Flagg. Oboje nie byli niczym innym, jak ludzkimi radiostacjami. Ich prawdziwa potęga tkwiła w społecznościach, formujących się wokół emitowanych przez nich przeciwstawnych sygnałów”. Tak w każdym razie uważał Harold Lauder.

Gdy tak siedział na swoim motorze, na końcu pełnej dziur głównej ulicy Nederland, a reflektor hondy błyszczał w zapadających ciemnościach niczym kocie oko, i nasłuchiwał zawodzenia wiatru pośród sosen i osik, poczuł coś więcej niż tylko magnetyczne przyciąganie. Poczuł moc, wielką, irracjonalną potęgę napływającą z zachodu, siłę tak nieodpartą i ogromną, że gdyby próbował ją rozważyć, zgłębić choć ułamek jej bezmiaru, niechybnie popadłby w obłąd. Zdał sobie sprawę, że gdyby podążył dalej tym torem przekraczając punkt równowagi, utraciłby resztki wolnej woli. Na nic zdałby się wówczas upór. I dotarłby na miejsce z pustymi rękami.

A gdyby tak się stało, mroczny mężczyzna z pewnością by go zabił.

Zawrócił więc z chłodną, orzeźwiającą ulgą, jak niedoszły samobójca schodzący z dachu po kilku godzinach wpatrywania się w płyty chodnika poniżej. Gdyby jednak zechciał, jeszcze tego wieczoru mógłby wyruszyć w podróż. Tak, mógłby wpakować Redmanowi kulę w głowę. W tył głowy. Z przyłożenia. A potem zjechałby aż zjawi się ten frajer z Oklahomy. Temu strzeliłby w skroń. Odgłos strzałów nie wzbudziłby niczyich podejrzeń; zwierzyny było pod dostatkiem, wielu ludzi z lubością polowało na jelenie zapuszczające się coraz częściej na ulice miast.

Była za dziesięć siódma. Do wpół do ósmej powinien sprzątnąć ich obu. Fran nie zacznie wszczynać alarmu do wpół do jedenastej, a może nawet jeszcze później, a on do tej pory będzie już daleko, prując na swej hondzie na zachód, z Rejestrem w plecaku. Nic jednak nie wyjdzie z jego planów, jeśli zamiast brać się do dzieła będzie tak tylko siedział i dumiał.

Silnik hondy zaskoczył za drugim kopnięciem startera. To była dobra maszyna. Harold uśmiechnął się. Wręcz promieniał ze szczęścia.

Nie zwlekając, ruszył w kierunku parku Chautauqua.

Zapadał zmierzch, kiedy Stu usłyszał warkot wjeżdżającego na teren parku motocykla Harolda. W chwilę potem ujrzał światło pomiędzy drzewami, okalającymi stromiznę łukowato wyprofilowanego podjazdu. Zaraz potem dostrzegł przyobleczoną w hełm głowę Harolda, obracającą się w prawo i w lewo, usiłującą go wypatrzeć.

Stu, który siedział na skraju otoczonego kamieniami kręgu na ognisko, pomachał i zawołał do niego. Po chwili Harold spostrzegł go, odmachał i podjechał na dwójce.

Po spędzonym we trójkę popołudniu opinia Stu na temat Harolda była nieco bardziej pochlebna... jak nigdy dotąd. Pomysł Harolda wydawał się całkiem niezły, choć nie wypalił.

Poza tym Harold sam zgłosił się na ochotnika do spenetrowania odcinka między Boulder a Netherlands... pomimo że miał ciepłą kurtkę, musiał nieźle zmarznąć. Gdy podjechał bliżej, stwierdził, że nieodłączny uśmiech Harolda przerodził się w coś w rodzaju grymasu, jego twarz wyglądała na spiętą i była biała jak ściana. „Pewnie jest rozczarowany, że się nam nie udało” – pomyślał Stu. I nagle zrobiło mu się głupio, że oboje z Fran traktowali Harolda, jakby jego wieczny uśmiech i bratanie się z ludźmi były jedynie przykrywką, kamuflażem dla prawdziwych odczuć. Czy kiedykolwiek przyszło im do głowy, że chłopak po prostu się zmienił, a zachowuje się trochę dziwnie, gdyż jeszcze nie przywykł do swego nowego wizerunku? Stu uznał, że raczej nie.

– Ani śladu, co? – zwrócił się do Harolda, podrywając się z kamienia.

– *De nada* – odparł Harold. Jego uśmiech powrócił, automatycznie, bez odrobiny wysiłku, jak wykrzywiający usta skurcz. Twarz wciąż miał śmiertelnie bladą, przepelnioną dziwnym wyrazem. Obie dłonie wetknął do kieszeni kurtki.

– Nieważne. To był dobry pomysł. Całkiem możliwe, że Matka wróciła już do Boulder. Jeśli okaże się, że nie, możemy ponowić poszukiwania jutro z rana.

– Wtedy możemy już szukać zwłok.

Stu westchnął.

– Tak, to prawda... to możliwe. Może wrócisz ze mną, Haroldzie. Zapraszam cię na kolację.

– Co? – Harold jakby się wzdrygnął i cofnął nieznacznie, stając w cieniu drzew. Jego uśmiech wydawał się jeszcze bardziej sztuczny niż kiedykolwiek do tej pory.

– Zapraszam cię na kolację – powtórzył cierpliwie Stu. – Frannie też na pewno ucieszy się z twojej wizyty. Mówię poważnie. To żaden kit.

– No, cóż, może – mruknął niepewnie Harold. Wydawał się skrupowany. – Tylko, widzisz... kiedyś... próbowałem z nią... no, wiesz... Może byłoby lepiej, gdybyśmy przez jakiś czas się nie widywali. To nic osobistego. Pasujecie do siebie, oboje. Jestem o tym przekonany. – Jego uśmiech nabrał nowej mocy. I był zaraźliwy. Stu również się uśmiechnął.

– Jak chcesz, Haroldzie, ale oferta jest nadal aktualna.

– Dzięki.

– Nie, to ja TOBIE dziękuję – rzekł z powagą Stu.

Harold zamrugnął.

– Mnie? A za co?

– Za pomoc w poszukiwaniach, podczas gdy wszyscy inni uznali, że należy pozostawić tę sprawę, by rozwiązała się sama. I choć nic z tego nie wyszło, jestem ci wdzięczny. Mogę uściskać twoją dłoń? – Stu wyciągnął rękę.

Harold patrzył na nią przez chwilę otępiąłym wzrokiem i Stu zaczął już wątpić, że jego gest zostanie zaakceptowany. Wtem Harold wyjął prawą rękę z kieszeni kurtki – wyglądało

na to, że o coś zahaczył, możliwe że o suwak, trudno powiedzieć – i krótko, energicznie uściskał dłoń Stu. Ręka Harolda była ciepła i lekko spocona.

Stu stanął na wprost niego, spoglądając w dół podjazdu.

– Ralph powinien już tu być. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało podczas zejścia z tej parszywej góry. O... już jest.

Stu zszedł na pobocze. Na podjeździe pojawił się drugi snop światła, to znikający, to pojawiający się pośród gęsto rosnących drzew.

– Tak, to on – rzucił chłodnym, beznamiętnym tonem Harold z za pleców Stu.

– Jest z nim ktoś jeszcze.

– Ż-że co?

– Spójrz tam – Stu wskazał na światła drugiego motocykla, które pojawiły się tuż za pierwszym.

– Och. – Znów ten dziwny, pusty głos. Na jego dźwięk Stu odwrócił się.

– Wszystko w porządku, Haroldzie?

– Jestem tylko trochę zmęczony.

Drugi pojazd należał do Glena Batemana, był to moped, który sprawiał, że vespa Nadine wyglądała przy nim jak harley. Na siodelku za Ralphem siedział Nick Andros. Nick zaprosił ich wszystkich do domu, który dzielił z Ralphem, na filiżankę kawy i kropelkę brandy. Stu przyjął propozycję, ale Harold podziękował; wciąż wyglądał na zmęczonego i rozgoryczonego.

„Wydaje się głęboko rozczarowany” – pomyślał Stu i stwierdził, że ta odrobina współczucia, którą poczuł wobec Laudera była, niestety, co przyznawał z żalem, mocno spóźniona. Powtórzył zaproszenie Nicka, ale Harold tylko pokręcił głową i wyjaśnił Stu, że ma już dość wrażeń jak na jeden dzień. Zamierzał wrócić do domu i porządnie się wyspać.

Zanim wrócił do domu, Harold był tak roztrzęsiony, że ledwie zdołał otworzyć kluczem frontowe drzwi. Kiedy mu się to udało, wpadł do środka tak szybko, jakby obawiał się, że tuż za nim podąża uzbrojony w wielki rzeźnicki nóż psychopata. Zatrzasnął drzwi, przekręcił zasuwkę i zaciągnął rygiel. Potem stał przez chwilę oparty plecami o drzwi, z głową odchyłoną do tyłu i zamkniętymi oczami. Był bliski płaczu. Kiedy znów wziął się w garść, udał się do pokoju i zapalił wszystkie trzy lampy gazowe. W pokoju zrobiło się jaśniej. Światło poprawiło mu nastrój.

Usiadł w swoim ulubionym fotelu i zamknął oczy. Kiedy jego tętno zwolniło tempo, podszedł do kominka, uniósł płytę i wyjął swój Rejestr. To przyniosło mu ukojenie. W rejestrach ludzie zapisywali wszystkie swoje rachunki i rozliczenia. W jego przypadku było podobnie.

Usiadł w fotelu, otworzył dziennik na stronie, na której skończył pisać, zastanawiał się przez chwilę, po czym napisał: „14 sierpnia 1990 roku”. Pisał przez prawie półtorej godziny,

jego pióro kreśliło jedną linijkę za drugą, strona po stronie. Na twarzy Harolda widniał wówczas grymas dzikiego rozbawienia i niewzruszonej pewności, przerażenia i wesołości, bólu i zadowolenia. Kiedy skończył, przeczytał wszystko od początku („To moje listy do świata, który nigdy do mnie nie napisał...”), rozmasowując beznamiętnie swoją bolącą prawą rękę.

Odłożył Rejestr na miejsce i przykrył kamieniem. Był spokojny; przelał na papier wszystkie swoje emocje, przeobraził w słowa cały swój gniew i strach, zachowując przy tym niewzruszoną pewność o słuszności własnych poczynań. To dobrze. Czasami pisanie wywoływało w nim uczucie rozchwiania, wiedział wtedy, że jego słowa nie były do końca prawdziwe albo nie włożył w tę pracę dość wysiłku, wymagającego, by wyostrzyć stępione ostrze prawdy na tyle, by mogło przeciąć każdą materię aż do krwi. Dziś wieczorem jednak odkładał Rejestr ze spokojnym, pogodnym umysłem. Gniew, strach i frustracje zostały bezpiecznie przeniesione na stronicie dziennika i dla pewności przywalone ciężkim kamieniem.

Harold uniósł jedną z żaluzji, po czym wyjrzał na cichą, wyludnioną ulicę. Spoglądając na widoczne w oddali Flatirons, pomyślał ze spokojem, jak niewiele brakowało, aby jeszcze dziś wyruszył w drogę. Wystarczyło, że wyjąłby z kieszeni swoją .38-kę i spróbował sprzątnąć tamtych czterech mężczyzn. Położyłoby to kres tej ich świętojeblowej komisji. Gdyby ich załatwił, ci, którzy pozostali, nie zdołaliby nawet uzyskać quorum.

Jednak w ostatniej chwili powstrzymał się. Odezwały się w nim chyba resztki zdrowego rozsądku. Co więcej, zdołał nawet puścić kolbę broni i ucisnąć dłoń tego parszywego, dwulicowego łajdaka. Nie wiedział, jakim cudem to się stało, ale dzięki Bogu dokonał tego. Cierpliwość jest cechą geniuszy.

Był śpiący, miał za sobą długi, pełen wrażeń dzień.

Rozpinając guziki koszuli, Harold zgasił dwie z trzech lamp, a z ostatnią udał się do sypialni. Przechodząc przez kuchnię, zamarł w bezruchu.

Drzwi do piwnicy były otwarte na oścież.

Podszedł do nich, unosząc lampę w dłoni i zszedł trzy stopnie w dół. W jego sercu pojawił się strach.

– Kto tu jest? – zawołał.

Bez odpowiedzi. Widział stół do minihokeja, plakaty i stojący pod przeciwległą ścianą zestaw kolorowych młotków do krykieta.

Zszedł trzy stopnie niżej.

– Jest tu kto?

Nie; czuł, że w piwnicy nie było nikogo. To go jednak nie uspokoiło. Zszedł po schodach, trzymając lampę nad głową. Po drugiej stronie pokoju monstualny Harold – cień, wielki i czarny jak małpa z Rue Morgue, zrobił to samo.

Czy coś było na podłodze, tam, pod ścianą? Tak. Rzeczywiście. Podeszedł do okna, przez które Fran dostała się do piwnicy. Na podłodze widać było ślad rozsypanej ziemi.

Harold postawił lampę obok. W warstewce ziemi i kurzu odbity był odcisk tenisówki lub może trampka; na podeszwie widniał wzór w kształcie prostych linii i kółek. Przyjrzał mu się z uwagą, starając się zapamiętać, po czym szurnął stopą i zniszczył ślad. W świetle lampy jego twarz wyglądała jak woskowy odlew.

– Zapłacisz za to! – rzucił półgłosem Harold. – Ktokolwiek to zrobił, popamięta! Dostanę was! Jak Boga kocham, dostanę!

Wszedł po schodach i spenetrował cały dom, wypatrując innych oznak obecności intruza. Nie znalazł niczego. Na koniec trafił do pokoju. Już nie był śpiący. Uznał, że ktoś – może jakiś dzieciak – włamał się tu z czystej ciekawości, i nagle jak flara nocą, w jego umyśle zapłonęło słowo: REJESTR. Powód włamania był tak jasny, tak przerażający, że niemal zupełnie go przeoczył.

Podbiegł do kominka, uniósł kamień i wyjął spod niego swój Rejestr. Po raz pierwszy pojął, jak niebezpieczny był w rzeczywistości jego dziennik. Gdyby ktoś go znalazł, byłoby po wszystkim. Akurat on powinien wiedzieć to najlepiej – czy to wszystko nie zaczęło się od pamiętnika Fran?

Rejestr. Odcisk podeszwy. Czy to oznaczało, że odnalazła dziennik? Oczywiście, że nie. Skąd jednak miał mieć pewność? Nie potrafił tego stwierdzić. Ta niepewność była najgorsza.

Położył płytę na miejsce, a Rejestr zabrał z sobą do sypialni. Wsunął go pod poduszkę wraz z bronią. Wiedział, że powinien spalić dziennik, choć zdawał sobie sprawę, że nigdy się do tego nie posunie. Na tych stronicach powstawały jego najlepsze zapiski. Były tak dobre dlatego, że wierzył w to, co pisał i włożył w nie całe swoje serce.

Położył się, ale czuł, że jeszcze długo nie zaśnie. Zastanawiał się nad najlepszym potencjalnym schowkiem dla swego skarbu. Może pod obluzowaną deską podłogową? Albo za kredensem? A może, jak w przypadku słynnego „skradzionego” listu, powinien pozostawić go na widocznym miejscu, postawić na półce między książkami, tomikiem prozy „Reader’s Digest” z jednej, a *Kobietą co się zowie* z drugiej strony? Nie, to byłoby zbyt zuchwałe, wychodząc za każdym razem z domu byłby niespokojny. A co powiesz na skrytkę w banku? Nie, to kiepska myśl, powinien mieć go przy sobie, zawsze blisko, aby móc, kiedy tylko zechce, dokonywać kolejnych wpisów.

Wreszcie zaczął odpływać w sen. Jego umysł, uwolniony przez pogłębiającą się drzemkę, zachowywał się jak kulka flippera poruszająca się w zwolnionym tempie. Pomyślał: „Trzeba gdzieś go ukryć... to podstawa... gdyby Frannie schowała swój pamiętnik lepiej... gdybym nie przeczytał, co naprawdę o mnie myślała... gdybym nie dowiedział się o jej hipokryzji... gdyby... gdyby...”

Harold usiadł na łóżku z rozszerzonymi oczami i zdławionym szlochem w gardle.

Siedział tak długo i po chwili zaczął dygotać jak osika. „Czy ona wiedziała? Czy to był odcisk buta Frannie? Dzienniki... pamiętniki... rejestry...”

Wreszcie znów się położył, ale upłynęło sporo czasu, zanim usnął. Zastanawiał się, czy Fran Goldsmith nosiła na co dzień tenisówki lub trampki. A jeżeli tak, jaki miały wzór na podeszwie?

Wzory na podeszwie. Wzory na podeszwie. Usnął i przez sen co chwilę krzychał żałośnie, dręczony upiornymi koszmarami, jakby usiłował odegnać od siebie coś, co sam zaprosił i co weszło w niego, by pozostać już tam na zawsze.

Stu wrócił do domu piętnaście po dziewiątej. Fran leżała na podwójnym łóżku, ubrana w jedną z jego koszul (sięgała jej prawie do kolan), czytając książkę zatytułowaną *Pięćdziesiąt przyjaznych roślin*. Kiedy wszedł, natychmiast wstała.

– Gdzieś ty się podziewał? Tak się martwiłam!

Stu opowiedział jej o pomysłach Harolda, aby odszukali Matkę Abigail, choćby tylko po to, by mieć ją na oku. Nie wspomniał o świętych krowach. Rozpinając koszulę, dokończył:

– Wzięlibyśmy cię z sobą, dziecino, ale nie wiedziałem, gdzie jesteś.

– Byłam w bibliotece – odparła, patrząc jak zdejmuje koszulę i wkładając do wiszącego na drzwiach worka na brudną bieliznę. Był dość mocno owłosiony, na piersiach i plecach. Fran przyszło na myśl, że dopóki nie poznała Stu, tak owłosieni mężczyźni zwykle budzili w niej wstręt. Skonstatowała, że jego powrót wprowadził ją w lekkie oszołomienie.

Teraz wiedziała już, że Harold czytał jej pamiętnik. Bała się śmiertelnie, że mógł wpaść na pomysł, by wywabić Stu gdzieś na odludzie i... coś mu zrobić. Ale dlaczego właśnie dziś, kiedy się o wszystkim dowiedziała? Skoro zwlekał aż do tej pory, czy istniała możliwość, że w ogóle zrezygnował z zemsty? Może przeczytawszy pamiętnik zrozumiał, że nie ma u niej żadnych szans, że na próżno smali do niej cholewki? Zważywszy obecną sytuację, związaną ze zniknięciem Matki Abigail, Fran była w takim nastroju, że mogła pokusić się o przepowiadanie przyszłości z kurzych flaków, ale bądź co bądź Harold tylko przeczytał jej pamiętnik, a nie przyznanie się do popełnionych przez nią wszystkich zbrodni tego świata. Gdyby powiedziała Stu, czego się dowiedziała, wyszłaby na idiotkę i nastawiła go przeciwko Haroldowi... zdenerwowałby i siebie i jego, a tego przecież nie chciała.

– I co, zniknęła bez śladu?

– Jak kamień w wodę.

– A jak tam Harold?

Stu zdjął spodnie.

– Mocno roztrzęsiony. Nie mógł sobie wybaczyć, że jego plan nie wypalił. Zaprosiłem go na kolację, nie podając bliższego terminu. Jak zechce, to przyjdzie. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Wiesz co, chyba nawet mógłbym polubić tego gnojka. Nigdy bym nie

przypuszczał, że do tego dojdzie. Zwłaszcza gdybyś zapytała mnie o to tamtego dnia, w New Hampshire, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Czy źle zrobiłem, zapraszając go do nas?

– Nie – odparła po namyśle. – Nie chciałabym tracić z nim kontaktu.

„Siedzę tu, martwiąc się, że Harold może próbować go zamordować, a on zaprasza go na kolację. I jak tu nie mówić, że kobieta w ciąży miewa dziwne nastroje!”

– Jeśli Matka Abigail do rana nie wróci – ciągnął Stu – poproszę Harolda, aby wybrał się ze mną na dalsze poszukiwania.

– Ja też chciałabym pojechać z wami – rzuciła pospiesznie Fran. – Poza tym jest tu jeszcze kilka osób, które nie są do końca przekonane o nieomyślności poczynań Matki Abigail. Na przykład Dick Vollman, czy Larry Underwood.

– To świetnie – mruknął i położył się przy niej. – Powiedz co masz pod tą koszulą?

– Taki duży, silny mężczyzna powinien domyślić się tego bez mojej pomocy – odparła z uśmiechem Fran.

Okazało się, że pod spodem nie miała nic.

Następnego dnia poszukiwania rozpoczęto już o ósmej rano. Grupa liczyła sześć osób: Stu, Fran, Harold, Dick Vollman, Larry Underwood i Lucy Swann. W południe zespół rozrósł się do dwudziestu osób, przed zmierzchem zaś (kiedy jak zwykle zaczęło padać, a nad górami rozpełtała się burza) ponad pięćdziesięcioro ludzi przeczesywało ostępy na zachód od Boulder, brodziło w strumieniach, przepatrywało parowy i wchodziło sobie wzajemnie na kanały radia CB.

Wczorajszą nadzieję i stoicki spokój stopniowo zaczęły zastępować rezygnacja i niepokój. Pomimo potężnej mocy snów, które w strefie przydały Matce Abigail niemal półboskiego charakteru, większość ludzi w kwestii przetrwania pozostawała realistami: staruszka miała już dobrze ponad sto lat i przez całą noc przebywała poza miastem. Nieuchronnie zaś zbliżała się druga noc.

Mężczyzna, który dotarł z Luizjany do Boulder z dwunastką innych osób podsumował to doskonale. Zjawił się ze swoimi ludźmi w południe dnia poprzedniego. Kiedy powiedziano mu, że Matka Abigail odeszła, mężczyzna nazwiskiem Norman Kellogg, cisnął na ziemię swoją baseballową czapeczkę z logo Astros i rzekł: „Ja to mam pecha... kto ją będzie szukał?”

Charlie Impening, który w Strefie zyskał sobie opinię głównego siewcy niepokoju (to on radośnie rozpowszechniał wieści o śnieżycach pojawiających się w tych stronach już we wrześniu) zasugerował, że skoro Matka Abigail odeszła, może jest to sygnałem dla nich wszystkich, że powinni opuścić miasto. Bądź co bądź Boulder było tak cholernie blisko, zbyt blisko. Zbyt blisko czego? Nieważne, wiadomo o co chodzi, a dla syna Mavis Impening znacznie bezpieczniejsze wydawały się na przykład Nowy Jork lub Boston. Nie znalazł jednak poparcia. Ludzie byli zmęczeni i chcieli wreszcie gdzieś osiąść. Jeśli jednak nadejdą chłody, a w mieście wciąż nie będzie ogrzewania, wtedy odejdą. Dopiero wtedy, nie

wcześniej. Lizali rany. Dochodzili do siebie. Impening zapytał uprzejmie, czy ma ruszyć w drogę sam. W końcu stwierdził, że zaczeka aż znajdą się inni, którzy tak jak on przejrzą na oczy. Glen Bateman powiedział, że z Charliego Impeniga będzie raczej kiepski Mojżesz.

Niepokój i rezygnacja pojawiły się, zdaniem Batemana, ponieważ ludzie mimo swoich snów nadal w duchu pozostawali racjonalistami, nie odmienił ich nawet głęboko zakorzeniony lęk związany z tym wszystkim, co mogło dziać się teraz po drugiej stronie Gór Skalistych. Zabobony, tak jak prawdziwa miłość, potrzebują czasu, by urosnąć i zacząć się na siebie nakładać.

– Kiedy kończysz stawiać szopę – rzekł do Nicka, Stu i Fran, gdy zmierzch położył kres ich dzisiejszym poszukiwaniom – wieszasz nad drzwiami odwróconą podkowę, aby zatrzymać szczęście wewnątrz pomieszczenia. Jeśli jednak jeden z gwoździ odpadnie i podkowa obróci się, nie rezygnujesz z szopy.

Może jednak nadejść dzień, kiedy my lub nasze dzieci zostawią szopę, w której podkowa odwróci się, wypuszczając z niej szczęście, lecz nim to nastąpi miną jeszcze całe lata. Obecnie czujemy się jedynie trochę dziwnie i jesteśmy ogólnie zagubieni. Wydaje mi się jednak, że to minie. Jeśli Matka Abigail nie żyje – Bóg mi świadkiem, że nie chciałbym, aby tak się stało – nie wpłynie to budująco na naszą społeczność.

Nick napisał: „Ale skoro miała być przeciwnikiem dla mrocznego mężczyzny, jego antytezą, kimś, dzięki komu szale wagi pozostaną w równowadze...”

– Tak, wiem – rzekł pośpiesznie Glen. – Wiem. Bardzo możliwe, że dni, kiedy podkowa nie znaczyła, wkrótce przeminą... a może już minęły. Uwierzcie mi, ja to wiem.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że nasze wnuki będą przesądnymi, zabobonnymi dzikusami, co, Glen? Palenie czarownic, odczynianie uroków i spluwanie na szczęście? – zapytała Fran.

– Fran, nie potrzebuję przewidywać przyszłości – powiedział Glen. W świetle lampy jego twarz wyglądała na starą i wyniszczoną, przypominał czarodzieja, który poniósł wielką życiową porażkę. – Prawdę mówiąc, nie zdawałem sobie do końca sprawy, jaki wpływ miała na naszą społeczność Matka Abigail, dopóki Stu nie uświadomił mi tego na górze Flagstaff. Wiem jedno: jesteśmy w tym mieście wszyscy z dwóch powodów. Epidemii supergrypy możemy przypisać ludzkiej głupocie. Nie jest ważne, kto upuścił fiolkę, przestaje to mieć znaczenie w obliczu wielkiej, niepodważalnej prawdy, która brzmi: „Gdzie kończy się racjonalizm, zaczyna się masowy grób”. Prawa fizyki, biologii, matematyczne aksjomaty, wszystko to jest częścią podróży ku śmierci, ponieważ jesteśmy tym, kim jesteśmy. Gdyby nie Kapitan Trips, wydarzyłoby się coś innego. Była taka tendencja, by zwałać wszystko na technologię, lecz technologia jest pniem, nie zaś korzeniem tego drzewa. Korzenie to racjonalizm i mógłbym niniejszym ogłosić, że „racjonalizm to idea mówiąca, że potrafimy kiedyś pojąć całą prawdę o istnieniu”. To podróż ku śmierci. Zawsze tak było. Jeśli chcecie, możecie przypisać supergrypę racjonalizmowi. Drugim jednak powodem naszego przybycia

tutaj są sny, a sny są irracjonalne. Zgodziliśmy się, że nie będziemy o tym rozmawiać podczas zebrania komisji, ale nie jesteśmy teraz na zebraniu. Powiem więc, że wszystko to, co wiemy, jest prawdą. Znaleźliśmy się tu z mocy sił, których nie rozumiemy. Dla mnie oznacza to, że możemy zacząć wkrótce akceptować – choćby tylko podświadomie i z częstymi nawrotami do przyzwyczajęń kulturowych – do innej definicji istnienia. Do idei, że możemy nigdy nie pojąć niczego na temat istnienia. Jeśli zaś racjonalizm jest podróżą ku śmierci, zatem irracjonalizm może być podróżą ku życiu... chyba że okaże się inaczej.

Stu bardzo powoli powiedział:

– Cóż, jeżeli o mnie chodzi, przyznaję, jestem przesądny. Mogę się wyśmiewać z zabobonów, ale mam pewne swoje nawyki. Wiem, że to bez różnicy, czy facet zapala od jednej zapalki dwa papierosy, czy trzy; dwa to dla mnie coś zgoła normalnego, ale trzeci doprowadza mnie do białej gorączki. Nie przechodzę pod drabiną i wściekam się, gdy czarny kot przebiegnie mi drogę. Ale wiesz co, łysy, gdy sobie pomyślę, że miałbym żyć bez nauki, oddawać cześć słońcu... albo wierzyć, że kiedy grzmi to znak, że gdzieś w niebie grają w kręgle... to jakoś nie napawa mnie to szczególnym optymizmem. Nie bawi mnie, i tyle. Powiedziałbym wręcz, że trąci to niewolnictwem.

– Ale gdyby to była prawda? – zapytał półgłosem Glen.

– Co takiego?

– Hipoteza, że era racjonalizmu przeminęła. Ja jestem tego prawie pewny. To zdarzało się już wcześniej, niewiele brakowało, a doszłoby do tego w latach sześćdziesiątych, w tak zwanej Erze Wodnika i w średniowieczu, kiedy racjonalizm urządził sobie dłuższe wakacje. I podejrzewam... mam takie przeczucie, że kiedy odejdzie na dobre, będzie tak, jakby nasze oczy przestał nagle oślepić silny blask i ujrzymy... – urwał, pogrążając się w zamyśleniu.

– Co ujrzymy? – zapytała Fran.

Spojrzał jej w oczy; jego były szare i dziwne, zdawały się pałać osobliwym, wewnętrznym światłem.

– Ciemną magię – odparł cicho. – Wszechświat cudów, gdzie woda płynie pod górę, w ostępach leśnych żyją trolle, a w pieczarach górskich gnieźdzą się smoki. Wielkie cuda, biała magia. Ożywianie umarłych. Przemiana wody w wino. I kto wie, może również... wypędzanie diabłów. – Przerwał, po czym uśmiechnął się. – Podróż ku życiu.

– A mroczny mężczyzna? – naciskała Fran.

Glen wzruszył ramionami.

– Matka Abigail nazywa go Sługą Diabła. Może to ostatni mag racjonalizmu, gromadzący przeciwko nam zdobycze ludzkiej technologii. A może jest kimś więcej, kimś... MROCZNIEJSZYM. Wiem tylko, że istnieje, i że socjologia, psychologia ani żadna inna nauka nie zdoła go pokonać. Sądzę, że unicestwić go może jedynie biała magia... a nasza biała czarodziejka jest gdzieś tam, zbłąkana i samotna... – Głos Glena zaczął się łamać, mężczyzna pospiesznie opuścił wzrok.

Na zewnątrz był tylko mrok, a wiatr wiejący od gór przyniósł ze sobą kolejną ulewę; krople deszczu bębniły o szyby pokoju w mieszkaniu Frannie i Stu. Glen zapalił fajkę. Stu wyjął z kieszeni garść drobnych i, potrząsając, zaczął mieszać je w dłoniach, po czym rozwarł palce, by przekonać się, ile wypadło orłów, a ile reszek. Nick bazgrał coś artystycznie na kartce swojego bloczku. Oczyma duszy widział puste ulice Shoyo i usłyszał – tak, usłyszał – czyjś głos szepczący złowrogo: „On idzie po ciebie, niemowo. Jest coraz bliżej”.

Niebawem Glen i Stu rozpalili w kominku, po czym wszyscy niemal w kompletnym milczeniu zaczęli wpatrywać się w płomienie.

Kiedy zostali sami, Fran ogarnął smutek i przygnębienie. Stu również był w minorowym nastroju. „Wygłąda na zmęczonego – pomyślała. – Powinniśmy zostać jutro w domu, zostać w domu, rozmawiać, a po południu uciąć sobie krótką drzemkę. Powinniśmy przyjąć to ze spokojem”. Spojrzała na lampę gazową i żałowała, że w mieście nie ma prądu, tęskniła za jasnym elektrycznym światłem, pojawiającym się za jednym naciśnięciem włącznika.

Do oczu napłynęły jej łzy. Próbowwała powstrzymać się od płaczu, nie chciała jeszcze pogarszać ich i tak już nie najlepszej sytuacji, ale ta jej część, która kontrolowała śluzę w oczach okazała się niewzruszona.

Nagle Stu rozpromienił się.

– Niech to, niewiele brakowało, a zupełnie bym zapomniał!

– O czym?

– Pokażę ci. Zaczekaj tu! – Wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach.

Podeszła do drzwi i po chwili usłyszała, jak wraca. Trzymał coś pod pachą. To była...

– Stuarcie Redman, skąd to wytrzasnąłeś? – zapytała wesoło.

– Ze sklepu z ludowymi artykułami muzycznymi – odparł z uśmiechem.

Wzięła od niego tarę, przekrzywiając ją z boku na bok. Fałdowana, ocynkowana powierzchnia połyskiwała srebrzyście.

– Ze sklepu...?

– Przy Walnut Street, niedaleko.

– W sklepie mieli tarę?

– Tak. I całkiem niezłą balię, ale ktoś wywiercił w jej dnie otwór i przerobił na basetkę.

Wybuchnęła śmiechem. Odłożyła tarę na bok, podeszła do niego i mocno objęła. Uniósł dłonie do jej piersi, a ona przytuliła go jeszcze mocniej.

– Doktor powiedział, że powinien słuchać muzyki.

– Słucham?

Przytuliła policzek do jego szyi:

– Podobno muzyka dobrze wpływa na dzieci. Tak przynajmniej mówią słowa piosenki.

Czy mógłbyś dać mi trochę ciepła, Stu?

Uśmiechając się, podniósł ją w górę.

– Cóż – mruknął. – Nie zaszkodzi spróbować.

Kwadrans po drugiej następnego popołudnia Glen Bateman bez pukania wpadł do ich mieszkania. Fran była u Lucy Swann, gdzie we dwie miały upiec biszkopt. Stu czytał westernową powieść Maxa Branda. Uniósł wzrok, a gdy ujrzał Glena, wyraźnie wstrząśniętego, z pobladłą twarzą i rozszerzonymi oczami, upuścił książkę na podłogę.

– Stu – rzekł Glen. – Och, Stu. Tak się cieszę, że tu jesteś.

– Co się stało? – zwrócił się ostro do Glena. – Czy... ktoś ją znalazł?

– Nie – odparł Glen. Usiadł ciężko, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. – To nie jest zła, lecz dobra wiadomość. Ale przyznam, że bardzo dziwna.

– Ale o co chodzi?

– O Kojaka. Po lunchu uciałem sobie drzemkę, a kiedy się obudziłem, zobaczyłem Kojaka śpiącego na werandzie. Jest w okropnym stanie, wygląda jakby przeciągnięto go przez wyżymaczkę, ale to on.

– Masz na myśli PSA? Tego Kojaka?

– Jak najbardziej.

– Jesteś pewien?

– Ma na szyi tę samą czerwoną obrożę z napisem Woodsville N. H. Jest bardzo wychudzony i najwyraźniej niedawno stoczył z czymś zajadłą walkę. Dick Ellis, który, nawiasem mówiąc, bardzo się ucieszył, że może dla odmiany zająć się nie człowiekiem, lecz zwierzęciem, twierdzi, że na dobre stracił jedno oko. Ma paskudnie rozszarpane boki i zadrapania na brzuchu, niektóre z nich się paprzą, ale Dick zajął się nimi jak trzeba. Dick twierdzi, że nasza psina musiała walczyć z wilkiem, a może nawet z całą sforą. Na szczęście nie ma wścieklizny. Jest czysty. – Glen wolno pokiwał głową, dwie łzy spłynęły mu po policzkach. – Ten cholerny pies do mnie wrócił. Tak żałuję, że go wtedy zostawiłem. Okropnie się przez to czuję.

– Glen, nie można było inaczej. Mieliśmy tylko motocykle.

– Tak, ale... Stu... on przyszedł tu za mną. Szedł moim tropem. O takich przypadkach piszą zwykle w szmatławych brukowcach: WIERNY PIES POKONUJE DWA TYSIĄCE MIL ŚLADEM SWEGO PANA. Jak to możliwe, by tego dokonał? Jakim cudem?

– Może tak samo jak my. Przecież wiesz, że psy również miewają sny. Widziałeś, jak śpiąc na podłodze w kuchni, przebierał przez sen łapami? W Arnette był pewien stary facet, niejaki Vic Palfrey, który twierdził, że psy miewają sny dwojakiemu rodzaju, dobre i złe. Podczas dobrego snu drgają im łapy. Podczas złego warczą. Jeśli obudzisz psa, któremu śni się coś złego, może cię odruchowo ugryźć.

Glen pokręcił głową, oszołomiony.

– Chcesz powiedzieć, że przyśniło mu się...

– Nie jest to nic bardziej niezwykłego niż to, o czym rozmawialiśmy zeszłej nocy – odrzekł Stu.

Glen uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Och, na takie tematy mogę dyskutować godzinami. Jestem okropnym gadułą. Gorzej gdy to, o czym mówię, zaczyna działać się naprawdę.

– Ciężko pogodzić teorię z praktyką, co?

– Chrzań się, Teksańczyku. Chcesz wpaść do mnie i rzucić okiem na Kojaka?

– Jasne, że chcę.

Dom Glena stał przy Spruce Street, dwie przecznice od hotelu Boulderado. Bluszcz na ścianie ganku prawie zupełnie usechł, podobnie jak większość trawników i klombów w Boulder; bez codziennego podlewania upalny klimat nieodmiennie triumfował.

Na ganku stał mały stolik ze szklaneczką ginu z tonikiem („Nie uważasz, że bez lodu to okropne świństwo?” – zapytał Stu, a Glen odparł: „Po trzeciej szklaneczce przestajesz zwracać uwagę na takie drobiazgi”). Obok drinka leżała popielniczka z pięcioma fajkami oraz otwarte w różnych miejscach egzemplarze – *Zen i sztuki obsługi motocykla*, *Bili numer 4* i *Śmiertelnego pocałunku*. Leżała tam również otwarta paczka chipsów serowych.

Kojak leżał na werandzie, opierając pokiereszowany pysk na przednich łapach. Pies był chudy jak szczapa i potwornie poraniony, ale Stu rozpoznał go od razu. Przykucnął i zaczął głaskać Kojaka po łbie. Kojak obudził się i spojrzał z uradowaniem na Stu. Sprawiał wrażenie, jakby się uśmiechał.

– Dobra psinka – rzekł Stu, czując w gardle dławiącą kulę. Nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ujrzał wszystkie swoje psy, począwszy od Starego Spike, którego dostał od matki, kiedy miał pięć lat. Może nie było ich aż tak dużo, ale na pewno kilka. Dobrze było mieć psa, a o ile wiedział, Kojak był w Boulder jedynym przedstawicielem swego gatunku. Spojrzał na Glena, po czym momentalnie spuścił wzrok. Sądził, że nawet stary, łysy socjolog czytający trzy książki na raz nie lubił, by przyłapywano go płaczącego.

– Dobra psinka – powtórzył, a Kojak zaczął uderzać ogonem o deski ganku jakby potwierdzał, że rzeczywiście był dobrym psem.

– Zaraz wracam – rzekł ochryplym głosem Glen. – Muszę skorzystać z toalety.

– Tak – mruknął Stu, nie unosząc wzroku. – Dobra psinka, dobry Kojak, no powiedz, mały, jesteś dobry czy nie?

Kojak poruszył ogonem.

– A przewróć się na grzbiet. Zrób „zdechł pies”.

Kojak posłusznie przewrócił się na grzbiet, wyciągając przednie łapy do góry, a tylne opierając o deski ganku. Na twarzy Stu pojawił się wyraz zatroskania, kiedy delikatnie powiódł dłonią po sztywnej białej harmonijce bandaża, założonego psu przez Dicka Ellisa. Nieco wyżej widział czerwone, nabrzmiałe zadrapania, które pod bandażami były zapewne

znacznie głębsze i groźniejsze. Kojak rzeczywiście musiał stoczyć zażartą walkę i jego przeciwnikiem nie był zdziczały pies. Psy rzucają się do gardła albo atakują pysk. Kojaka zaatakowało coś stojącego niżej od psa. Coś podstępne. Możliwe, że wilki, choć Stu wątpił, czy pies przeżyłby spotkanie z całą watahą. Tak czy inaczej miał szczęście, że nie wypruto mu flaków.

Trzasnęły otwierane siatkowe drzwi, gdy Glen wrócił na ganek.

– Cokolwiek go zaatakowało, o mało nie uszkodziło mu najistotniejszych organów – zauważył Stu.

– Rany były głębokie, stracił sporo krwi – przyznał Glen. – Nie mogę sobie darować, że w dużym stopniu stało się to przeze mnie.

– A Dick powiedział, że to były wilki.

– Wilki, a może kojoty... choć w gruncie rzeczy wątpił, by kojoty mogły zrobić coś takiego i tu się z nim zgadzam.

Stu poklepał Kojaka po zadzie, a pies natychmiast przewrócił się na brzuch.

– Jak to jest, że prawie wszystkie psy wyzdychały, a wilków wciąż jest tyle – na dodatek na wschód od Gór Skalistych – że mogą zrobić z biednym psem coś tak strasznego?

– Chyba nigdy się nie dowiemy – powiedział Glen. – Tak jak nie dowiemy się, dlaczego ta cholerna plaga wybiła wszystkie konie, a krowy oszczędziła, albo dlaczego pomór zabrał większość ludzi, nas jednak pozostawił przy życiu. Wolę nawet o tym nie myśleć. Skombinuję dla niego coś do żarcia i odkarmię go trochę.

– Tak – Stu spojrzał na Kojaka, którego ślepia zaczęły się zamykać. – Jest mocno pokiereszowany, ale ogólnie sprawny, jak zauważyłem, kiedy przewrócił się na grzbiet. Nie zaszkodzi rozejrzeć się dla niego za jakąś piękną suczką, co ty na to?

– Owszem, nie zaszkodzi – mruknął z zamyśleniem Glen. – Masz ochotę na ciepły gin z tonikiem?

– Dzięki, ale nie. Może i zbywa mi na wykształceniu, ale, do licha, nie jestem przecież barbarzyńcą. Masz piwo?

– Chyba znajdzie się gdzieś puszka coorsa. Niestety, piwo też jest ciepłe.

– Niech będzie. – Już miał wejść za Glenem do domu, gdy w progu przystanął, przytrzymując dłońią siatkowe drzwi i obejrzał się przez ramię na śpiącego psa. – Śpij dobrze, staruszkę – rzekł do niego. – Fajnie, że jesteś.

Stu i Glen weszli do domu.

Kojak nie spał.

Znajdował się gdzieś pomiędzy jawą a snem, w miejscu, w którym spędza większość czasu mnóstwo żywych istot, kiedy są ciężko ranne, nie na tyle jednak, by padł na nie mroczny cień śmierci. Swędział go brzuch. Palił żywym ogniem. To swędzenie było oznaką gojenia się ran. Glen przez wiele godzin będzie musiał go pilnować, by pies nie drapał tych

miejsce, nie zerwał bandażu, nie otworzył sobie ran i nie doprowadził do ich ponownego zainfekowania. Ale to później. Teraz Kojak (który wciąż myślał czasem o sobie jako o Wielkim Steve, gdyż tak naprawdę się wabił) z zadowoleniem odpłynął do krainy pomiędzy światami. Wilki przybyły po niego w Nebrasce, gdy węszył zdeprymowany wokół chatki na podnośnikach, w małym miasteczku Hemingford Home. Woń MEŹCZYZNY, jego OBECNOŚĆ doprowadziły go do tego miejsca i nagle się rozwiały. Gdzie on przepadł? Kojak nie wiedział. I wtedy z kukurydzy wyłoniły się, jak duchy zmarłych, cztery wielkie basiory. Ich łypiące ślepie odnalazły Kojaka, a spomiędzy ich obnażonych gniewnie kłów dobył się niski, gardłowy warkot. Kojak przycisnął się i sam również zawarczał, orząc przednimi łapami ziemię podwórka przed chatką Matki Abigail. Po lewej stronie wisiała opona, rzucając okrągły, pusty jak ciastko z dziurką, cień. Przewodnik watahy zaatakował pierwszy, gdy zadnie łapy Kojaka znalazły się w cieniu ganku. Skoczył nisko, atakując brzuch. Pozostałe zrobiły to samo. Kojak dał susa, przeskakując nad pyskiem pierwszego basiora i odsłaniając przed nim brzuch, w który tamten natychmiast zaczął się wgryzać i rozszarpywać. Kojak zacisnął szczęki na jego gardle i jego kły wbiły się głęboko, aż do krwi. Wilk zawył i zaczął się szamotać, usiłując wyswobodzić się z morderczego uchwytu. Nagle stracił całą swoją odwagę. Gdy odskakiwał w bok, szczęki Kojaka z przerażającą szybkością zacisnęły się na czułym wilczym nosie, rozszarpując go na całej długości. Wilk, z pyska którego zwieszały się teraz krwawe strzępy, zaskowyczał żałośnie i potrząsnął wściekle łbem, rozbryzgując wokół fontannę szkarłatnych kropel, a za sprawą prymitywnego zmysłu telepatycznego, który posiadają wszystkie zwierzęta tego gatunku, Kojak usłyszał pod czaszką powtarzający się raz po raz, przepelniony okrutnym cierpieniem lament: „Osy mam je w sobie osy osy w mojej głowie osy są w mojej głowie o...”

I wtedy dopadły go pozostałe, jeden z lewej, a drugi z prawej, skoczyły na niego jak wielkie, tępe pociski, ostatni zaatakował z tyłu, mierząc w brzuch i uśmiechając się, kłapał szczękami, gotowy wypruć mu wnętrzności. Kojak ujadając ochryple, uskoczył w prawo. Z wilkiem po tej stronie chciał rozprawić się najpierw, by móc się wczłochać pod ganek. Gdyby się tam dostał, całkiem możliwe, że mógłby odpierać ich ataki w nieskończoność. Teraz, leżąc na ganku, przeżywał tę walkę raz jeszcze, w zwolnionym tempie, słyszał warkot i skowyt, widział ataki i rejterady, czuł woń krwi, docierającą do mózgu i przemieniającą go stopniowo w maszynę do zabijania, która dopiero gdy jest już po wszystkim, zaczyna zauważać własne rany. Z wilkiem po prawej stronie rozprawił się tak jak z pierwszym, rozszarpując mu oczodół i pozostawiając w gardle wielką, buchającą krwią, być może śmiertelną, ranę. Basior nie pozostał mu jednak dłużny, większość ran, jakie mu zadał, były w zasadzie powierzchowne, dwie okazały się jednak głębsze od pozostałych, będą goić się długo i z powikłaniami, a gdy to wreszcie nastąpi, pozostanie mu po nich brzydka, wypukła blizna w kształcie małego t. Nawet będąc już bardzo, bardzo starym psem (a Kojak przeżył jeszcze szesnaście lat, zdechł długo po śmierci Glena Batemana), w deszczowe dni rany te wciąż

dawały mu znać o sobie tęnym, pulsującym bólem. Wyrwał się napastnikom, wczołgał pod ganek, a kiedy jeden z dwóch pozostałych basiorów próbował wcisnąć się za nim, Kojak rzucił się na niego, przygniótł do ziemi i rozerwał mu gardło. Ostatni wilk zrejterował niemal na skraj pola kukurydzy, skamłając niepewnie. Gdyby Kojak wypełzł spod ganku i stanął do walki, ten basior uciekłby z podkulonym pod siebie ogonem. Tylko że Kojak nie wyszedł wtedy ze swej kryjówki. Jeszcze nie. Był wykończony. Mógł jedynie leżeć na boku, oddychając płytko i spazmatycznie, liżąc rany i powarkując groźnie, gdy dostrzegał cień zbliżającego się ku niemu wilka. A potem zapadł zmierzch i na niebie nad Nebraska pojawił się zamglony półksiężyc. Za każdym razem, gdy ostatni wilk słyszał, że Kojak jeszcze żyje i najprawdopodobniej jest gotów do walki, pierzchał w popłochu między łany kukurydzy, skamłając i ujadając żałośnie. Krótco po północy odszedł na dobre, pozostawiając Kojaka jego losowi. Nad ranem wyczuł obecność jakiegoś innego zwierzęcia, tak go to przeraziło, że mimowolnie zaczął popiskiwać cichutko. To była istota krążąca między łanami, istota kryjąca się w kukurydzy. Bardzo możliwe, że szukała właśnie jego. Kojak leżał rozdygotany, czekając w przerażającej niepewności, czy stwór go odnajdzie. Stwór, ta straszliwa istota, którą wyczuwał jednocześnie jako człowieka, wilka i Oko, mroczne stworzenie, krążyła niczym pradawny krokodyl wędrujący wśród łanów. Jakiś czas później, kiedy księżyc już zaszedł, Kojak poczuł, że istota odeszła. I zasnął. Przeleżał pod gankiem trzy dni, wychodząc tylko wtedy, gdy zmuszały go do tego głód oraz pragnienie. Pod wylotem pompy na podwórzu zawsze stała kałuża wody, w chatce zaś nie brakowało smakowitych kąsków, głównie pozostałości po posiłku przygotowanym przez Matkę Abigail dla Nicka i jego gromadki. Gdy poczuł, że może iść dalej, Kojak nie zawahał się. Wiedział, dokąd ma się udać. Nie zdradził mu tego zapach. Wyraźnie poczuł żar, silne ciepło, które pamiętał jeszcze z własnej, człowieczej przeszłości; źródło tego żaru leżało gdzieś na zachód stąd. Ruszył więc w drogę, pokonując większość ostatniego, pięćsetmilowego odcinka swej wędrówki na trzech łapach. Przez cały czas jego brzuch rozdzierał potworny, dojmujący ból. Od czasu do czasu wyczuwał zapach MĘŻCZYZNY i to upewniało go, że był na właściwym tropie. I wreszcie dotarł do celu. MĘŻCZYŻNA był tutaj. I nie było tu wilków. Było natomiast jedzenie. Nie wyczuwał tu owej mrocznej istoty... człowieka będącego zarazem jak wilk albo jak Oko, które jeśli akurat spojrzy w twoim kierunku, mogło dostrzec cię z odległości wielu mil. Jak na razie wszystko układało się pomyślnie. I z tą myślą (jeżeli można tak powiedzieć, gdyż psy odbierają świat za pośrednictwem wrażeń) Kojak zapadł w znacznie głębszy sen. To był dobry sen. Przyśniło mu się, że gonił króliki po łące porośniętej tymotką i koniczyną, a trawa była tu naprawdę wysoka, sięgała mu aż do brzucha, i wilgotna od świeżej rosy. Wabił się Wielki Steve. Był u siebie. I tego szarego, nie mającego końca poranka królików było całe mnóstwo...

Łapy śpiącego psa drżały i poruszały się leciutko.

ROZDZIAŁ 53

Wyjątki z protokołu spotkania komisji tymczasowej z dnia 17 sierpnia 1990 roku

Spotkanie odbyło się w domu Larry' ego Underwooda przy South 42 w Table Mesa. Obecni byli wszyscy członkowie komisji...

Pierwszym punktem dnia było ustalenie wyboru członków komisji tymczasowej do komisji stałej. Głos zabrała Fran Goldsmith.

Fran: Stu i ja zgadzamy się, że najlepszym, najłatwiejszym sposobem na przejście całej naszej grupy w wyborach byłoby uzyskanie poparcia ze strony Matki Abigail. Oszczędziłoby to nam problemu w rodzaju zgłoszenia dwudziestu osób przez ich znajomych i bliskich, co niewątpliwie pomieszałoby nam szyki. Będziemy musieli zrobić to w inny sposób. Nie zamierzam sugerować niczego, co nie byłoby w pełni demokratyczne, a poza tym wszyscy i tak znacie plan, pragnę jednak podkreślić, że każdy z nas musi mieć przynajmniej jedną osobę, która ją zgłosi i drugą, aby poparła wniosek. Nie możemy zgłaszać siebie nawzajem, zbytnio przypominałoby to ciche, mafijne układy. Jeśli któreś z was nie ma takich osób, lepiej niech od razu zrezygnuje.

Sue: Rany! Przecież to oszustwo!

Fran: Ale bardzo malutkie.

Glen: Powracamy do tematu moralności komisji, i choć nie wątpię, że jest to dla nas wszystkich temat nieodmiennie fascynujący, wolałbym odłożyć go na następne kilka miesięcy. Powinniśmy chyba zgodnie przyznać, że działamy w jak najlepszym interesie Wolnej Strefy i na tym zakończyć tę sprawę.

Ralph: Glen, wydajesz się trochę zdenerwowany.

Glen: Bo jestem zdenerwowany. Już samo to, że tyle czasu poświęcamy kwestii moralności powinno świadczyć o naszych dobrych intencjach.

Sue: Dobrymi intencjami...

Glen: Piekło wybrukowane, wiem, wiem, ale ponieważ tak bardzo się nimi przejmujemy, ani chybi aniołowie zabiorą nas żywcem do nieba.

Następnie Glen powiedział, że miał zamiar przedyskutować z komisją temat zwiadowców, szpiegów, czy jak ich nazywać, ale obecnie poprzestaje tylko na zgłoszeniu wniosku, by dyskusje na ten temat odłożyć na dziewiętnastego sierpnia.

Stu zapytał, dlaczego.

Glen: Ponieważ tego dnia może nas tu nie być. Ktoś z nas może zostać przegłosowany. Prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie, jest nieduże, ale nigdy nie wiadomo co się wydarzy, kiedy tak duża grupa ludzi zbierze się w jednym miejscu. Musimy zachować szczególną ostrożność.

Nastała chwila ciszy, po czym stosunkiem głosów siedem do zera komisja przegłosowała spotkanie dziewiętnastego sierpnia, na którym miała zostać podjęta sprawa szpiegów, zwiadowców... czy jak ich nazywać.

Z kolei, w sprawie Matki Abigail głos zabrał Stu.

Stu: Jak zapewne wiecie, odeszła z siebie tylko znanych przyczyn. W pozostawionym liście stwierdza, że opuszcza nas „na pewien czas” i wróci „jeśli Bóg pozwoli”. To niezbyt zachęcające. Od trzech dni poszukują jej wieloosobowe zespoły mieszkańców Boulder, jak dotąd bez rezultatu. Nie chcemy ściągać jej na siłę z powrotem, zwłaszcza jeśli byłoby to wbrew jej woli, ale gdyby okazało się, że leży gdzieś ze złamaną nogą albo nieprzytomna, sprawa wyglądałaby zgoła inaczej. Problem w tym, że jest nas zbyt mało, by przeszukać leśne ostępy wokół miasta. Po drugie, nasze poczynania spowalniają prace w elektrowni. Brak nam organizacji. Chodzi mi o uzyskanie pozwolenia, by wnieść organizację poszukiwań Matki Abigail do planu dnia naszego jutrzejszego spotkania, obok komisji energetyki i służby pogrzebowej. Chciałbym, aby patronat nad nią sprawował Harold Lauder, ponieważ to był w gruncie rzeczy jego pomysł.

Glen uznał, że jego zdaniem po tygodniu prowadzenie poszukiwań staruszki miało się z celem. Bądź co bądź Matka Abigail miała już sto osiem lat. Komisja przyjęła wniosek o zorganizowanie wieloosobowych grup poszukiwawczych stosunkiem głosów siedem do zera. Gwoli ścisłości dodać należy, że kilka osób miało pewne wątpliwości co do przydzielenia patronatu nad poszukiwaniami Haroldowi... ale jak stwierdził Stu, był to jego pomysł i pozbawienie go tej funkcji byłoby dla Laudera niczym policzek.

Nick napisał: „Wycofuję swój sprzeciw wobec Harolda, ale wciąż jestem pełen obaw. Nie przepadam za nim”.

Ralph Brentner zapytał, czy Stu albo Glen mogliby sformułować wniosek o organizacji akcji poszukiwawczej na piśmie, aby mógł dołączyć go do drukowanej ulotki z porządkiem obrad, którą miał nazajutrz powielić w liceum. Stu odparł, że z przyjemnością.

Następnie Larry Underwood zgłosił wniosek o zamknięcie spotkania. Ralph poparł go. Wniosek przeszedł stosunkiem głosów siedem do zera.

Frances Goldsmith, sekretarz komisji

Na walne zgromadzenie następnego wieczoru przybyli prawie wszyscy i po raz pierwszy Larry Underwood, przebywający w Strefie od zaledwie tygodnia, mógł przekonać się jak liczna stała się ich społeczność. Co innego widzieć ludzi na ulicach, chodzących samotnie lub dwójkami, a zupełnie co innego ujrzyć ich wszystkich zebranych w jednym miejscu, w Audytorium Chautauqua. Sala pękała w szwach, wszystkie miejsca były zajęte. Ludzie siedzieli również w przejściach i stali pod ścianą na końcu sali. Tłum był dziwnie opanowany, ludzie szeptali i rozmawiali między sobą, ale wyjątkowo spokojnie, bez nadmiernego ożywienia. Po raz pierwszy odkąd znalazł się w Boulder, padało przez cały dzień, deszcz siąpił tak, że jego krople zdawały się zawisać w powietrzu, bardziej jak mgła niż mżawka, i mimo obecności w sali blisko sześciuset osób, słychać było delikatne, kojące bębnienie ciepłego kapuśniaczku o dach budynku. Najgłośniejszym dźwiękiem w pomieszczeniu był ciągły szelest kartek papieru, gdy mieszkańcy Boulder odbierali i przeglądali odbity na powielaczu plan spotkania, którego egzemplarze leżały na dwóch stołach, przy wejściu do sali.

Treść ulotki brzmiała następująco:

WOLNA STREFA BOULDER

Program zebrania otwartego

18 sierpnia 1990 roku

1. Potwierdzenie, czy Wolna Strefa zgodzi się odczytać i ratyfikować konstytucję Stanów Zjednoczonych Ameryki.
2. Potwierdzenie, czy Wolna Strefa zgodzi się odczytać i ratyfikować Kartę Praw do Konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki.
3. Potwierdzenie, czy Wolna Strefa nominuje i dokona wyboru siedmiorga członków, reprezentantów Wolnej Strefy, by utworzyli oni radę zarządzającą miasta.
4. Potwierdzenie, czy Wolna Strefa zgodzi się przyznać Matce Abigail prawo weta wobec wszystkich i każdej z osobna spraw uzgadnianych przez reprezentantów Wolnej Strefy.
5. Potwierdzenie, czy Wolna Strefa zaaprobuje utworzenie służby pogrzebowej, złożonej z co najmniej dwudziestu członków, aby zapewnić mieszkańcom Boulder, którzy padli ofiarą supergrypy, należy im pochówek.
6. Potwierdzenie, czy Wolna Strefa zaaprobuje utworzenie komisji energetyki, złożonej z co najmniej sześćdziesięciu członków, której celem

będzie przywrócenie w mieście zasilania przed nadejściem jesiennych chłódów.

7. Potwierdzenie, czy Wolna Strefa zaaprobuje utworzenie grupy poszukiwawczej, złożonej z co najmniej piętnastu osób, której celem będzie ustalenie, jeśli to możliwe, obecnego miejsca pobytu Matki Abigail.

Larry zorientował się, że ze zdenerwowania, aby zabić czas, prawie nieświadomie zrobił z jednego egzemplarza ulotki (której treść znał na pamięć) papierowy samolocik. Członkostwo w komisji tymczasowej było swego rodzaju zabawą, czuł się jak dziecko, które wraz ze swymi rówieśnikami bawi się w parlament, popijając colę, pałaszując ciasto upieczone przez Fran i dyskutując na rozmaite tematy z przyjaciółmi. Nawet pomysł z wysłaniem szpiegów na zachód, wprost w paszczę lwa, a raczej w tym przypadku na terytorium mrocznego mężczyzny, kojarzył mu się z czymś w rodzaju gry, po części dlatego, że nie wyobrażał sobie, by mógł to zrobić w pojedynkę. Aby stawić czoła takiemu koszmarowi musiałeś mieć nie po kolei w głowie. Na zamkniętych spotkaniach jednak, w pokoju jasno oświetlonym gazowymi lampami, wydawało się to całkiem normalne. Gdyby nawet Sędzia, Dayna Jurgens albo Tom Cullen zostali schwytani, na tych zamkniętych spotkaniach nie wydawało się to istotniejsze niż utrata pionka lub laufra podczas partyjki szachów.

Teraz jednakże, siedząc z Lucy po jednej i Leo po drugiej stronie, zrozumiał całą prawdę tkwiącą w tym, co robił i jakaś niewidzialna pięść wyrznęła go w dołek z siłą kamiennego kafara. (Przez cały dzień nie widział Nadine, Leo również nie miał pojęcia, gdzie się podziała. „Po prostu wyszła” – odparł krótko.) To nie była gra. W tej sali zebrało się pięćset osiemdziesiąt osób i większość z nich nie zdawała sobie sprawy, że Larry Underwood wcale nie był porządnym facetem, ani że pierwsza osoba, którą próbował się zaopiekować po ustaniu plagi zmarła wskutek przedawkowania środków nasennych.

Dłonie miał wilgotne i chłodne. Znow zaczęły składać z ulotki papierowy samolocik, lecz tym razem je powstrzymał. Lucy ujęła go za jedną rękę, ścisnęła i uśmiechnęła się do niego. Skrzywił się w odpowiedzi, a w myślach usłyszał głos swojej matki: „Czegoś ci ubyło, Larry”.

Ta myśl niemal wprawiła go w panikę. Czy mógł się jeszcze z tego wypisać, czy też sprawy zaszły za daleko? Nie chciał brać na siebie tego brzemienia. Podczas zamkniętego spotkania zgłosił już przecież wniosek, który mógł okazać się wyrokiem śmierci dla Sędziego Farrisa. Gdyby nie uzyskał poparcia i na jego miejsce wybrano by kogoś innego, musieliby przeprowadzić powtórne głosowanie co do kandydatury Sędziego na udział w akcji zwiadowczej, czyż nie? Oczywiście, że tak. A może wybraliby kogoś zupełnie innego. „Kiedy Laurie Constable zgłosi moją kandydaturę, wstanę i powiem, że rezygnuję. Przecież

nie mogą mnie zmusić, prawda? To jasne jak słońce. Decyzja należy do mnie, a komu potrzebny taki paszтет? Na pewno nie mnie”.

Wayne Stukey mówiący do niego na plaży: „Masz w sobie coś, co jest jak ugryzienie cynfolii”.

– Dasz sobie radę – szepnęła Lucy.

Drgnął.

– Że co?

– Powiedziałaś, że dasz sobie radę. Prawda, Leo?

– Jasne – mruknął Leo, kołysząc głową. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od sali, jakby nie mógł pojąć, ilu ludzi zebrało się naraz w tym szczególnym miejscu.

– Dasz radę.

„Nic nie rozumiesz, głupia babo – pomyślał Larry. – Trzymasz mnie za rękę, a nie zdajesz sobie sprawy, że mogę podjąć błędną decyzję, która zabije was oboje. Jestem o włos od zabicia Sędziego Farrisa, a on ma poprzeć moją kandydaturę. Ale się porobiło, nie ma co”. Z jego gardła dobył się cichy dźwięk.

– Coś mówiłeś? – spytała Lucy.

– Nie.

Stu wszedł na podium, jego czerwony sweter i dżinsy wydawały się bardzo jasne i wyraziste w silnym blasku lamp awaryjnych podłączonych do generatora hondy, przywiezionego przez Brada Kitchnera oraz jego zespół z elektrowni i z niemałym trudem uruchomionego. Brawa rozległy się z początku gdzieś pośrodku sali, Larry nie wiedział gdzie, ale tkwiący w nim cynik podpowiadał, że mogła to być sytuacja, zaaranżowana przez Glena Batemana, miejscowego eksperta w dziedzinie, czy też sztuce manipulowania ludźmi. Tak czy inaczej było to bez znaczenia. Kilka niemrawych klaśnień zmieniło się w burzę braw. Stu, stając na podium, przez chwilę nie ukrywał swego zdumienia.

Brawom towarzyszyły głośne, radosne okrzyki i przeciągłe gwizdy.

Naraz wszyscy zebrani wstali z miejsc, oklaski przybrały na sile, a ludzie zaczęli krzyczeć w głos: „Brawo! Brawo!”. Stu uniósł obie ręce w górę, ale nie odniosło to skutku, wręcz przeciwnie, oklaski stały się jeszcze głośniejsze. Larry kątem oka spojrzał na Lucy i stwierdził, że kobieta klaskała w ręce jak oszalała, wpatrywała się w Stu z napięciem, a jej usta wykrzywił drżący, choć triumfalny uśmiech. Płakała. Stojący tuż przy nim Leo również klaskał w dłonie i to z taką siłą, że mogło się wydawać, iż lada chwila mu poodpadają. Przepelniony radością Leo znów na chwilę stracił głos, jak to czasami przydarza się osobom, dla których angielski jest drugim językiem. Chłopiec pohukiwał entuzjastycznie i pokrzykiwał nieartykułowanie na całe gardło.

Brad i Ralph podłączyli też do generatora mikrofon. Stu dmuchnął weń i przemówił:

– Panie i panowie...

Aplauz nie cichł ani na chwilę.

– Panie i panowie, proszę o zajęcie miejsc...

Nie zamierzali go usłuchać. Brawom nie było końca. Larry spuścił wzrok i stwierdził, że on również klaskał w dłonie równie energicznie jak pozostali.

– Panie i panowie...

Oklaski grzmiały i odbijały się gromkim echem, od ścian. Wysoko pod sklepieniem rodzina jaskółek, która zagnieździła się w tej wspaniałej, przytulnej budowli, po wybuchu wrzawy, spłoszona dziwnymi odgłosami zaczęła fruwać niespokojnie w tę i z powrotem, usiłując wydostać się z budynku i przenieść gdzieś, gdzie nie było ludzi.

„Bijemy brawo sami sobie – pomyślał Larry. – Oklaskujemy to, że żyjemy, jesteśmy tutaj i jesteśmy razem. A może znów witamy zbiorowość ludzką. Nie wiem. Witaj, Boulder. Nareszcie. Dobrze, że tu jesteśmy, życie jest wspaniałe”.

– Panie i panowie, proszę o zajęcie miejsc. Byłbym wdzięczny, gdybyście państwo zastosowali się do mojej prośby.

Oklaski zaczęły słabnąć. Słysząc było jak kobiety – i niektórzy z mężczyzn – pociągają nosami. W wielu dłoniach pojawiły się chusteczki. Rozległy się prowadzone szeptem rozmowy. Słysząc było głośne siąkanie, a potem ludzie zaczęli zajmować swoje miejsca.

– Cieszę się, że jesteście tutaj wszyscy – powiedział Stu. – Ja również cieszę się, że tu jestem. – Dał się słyszeć wizg sprzężenia zwrotnego. Stu mruknął: „Diabli nadali”, a że powiedział to do mikrofonu, wszyscy zdołali go usłyszeć. Rozległ się głośny śmiech, a Stu pokraśniał.

– Chyba znów będziemy musieli przywyknąć do tego szmelcu – powiedział i nagrodzono go kolejną falą braw.

Kiedy zrobiło się cicho, Stu oznajmił:

– Dla tych, którzy mnie nie znają, jestem Stuart Redman z Arnette w Teksasie, choć może się to wydawać na drugim końcu świata. Rzeczywiście, to kawał drogi stąd, ale jestem teraz tutaj, z wami. – Chrząknął, znów coś głośno zapiszczało.

Stu nieznacznie odsunął się od mikrofonu.

– Jestem trochę zdenerwowany, stojąc tutaj, więc nie miejcie mi za złe...

– Jesteśmy z tobą, Stu! – zawołał radośnie Harry Dumbarton, a sala zareagowała gromkim, pogodnym śmiechem.

„To jak spotkanie na obozie – pomyślał Larry. – Teraz zaczniemy śpiewać hymny. Gdyby była tu Matka Abigail, już byśmy to robili”.

– Ostatni raz oglądało mnie tyle osób, kiedy moja licealna drużyna zakwalifikowała się do rozgrywek playoff, ale prócz mnie było tam jeszcze dwudziestu jeden innych facetów, na których można się było pogapić, nie mówiąc o dziewczętach z drużyny dopingującej, w bardzo kusych spódniczkach.

Głośny wybuch śmiechu.

Lucy przyciągnęła do siebie Larry’ego i wyszeptała mu wprost do ucha

– O co on się martwił? Przecież ma wrodzony talent.

Larry skinął głową.

– Jeśli jednak będziecie ze mną, jakoś sobie poradzę – dokończył Stu.

„Kolejne oklaski. Ci ludzie biliby brawo nawet Nixonowi podczas jego ostatniego wystąpienia i domagaliby się, żeby na dokładkę po złożeniu rezygnacji zagrał jakiś chwytliwy kawałek na pianinie” – pomyślał Larry.

– Po pierwsze powinienem wyjaśnić, czym jest komisja tymczasowa i jak doszło do tego, że się tu dziś zgromadziliśmy – rzekł Stu. – Siedmioro z nas spotkało się wspólnie i zaplanowało to spotkanie, byśmy mogli się jakoś zorganizować. Jest mnóstwo do zrobienia, teraz natomiast chciałbym przedstawić wszystkich członków naszej komisji i mam nadzieję, że zdołacie przywitać ich jeszcze paroma brawami, gdyż to właśnie im zawdzięczacie plan, który widzicie na swoich ulotkach. Jako pierwsza, panna Frances Goldsmith. Wstań, Frannie, niech zobaczą jak ślicznie wyglądasz w sukience.

Fran wstała. Miała na sobie piękną, seledynową sukienkę i do tego skromny sznur pereł, który w dawnych czasach musiał kosztować jakieś dwa tysiące dolarów. Powitano ją gromkimi brawami i przyjaznymi „wilczymi” gwizdami.

Fran usiadła zapłoniona, a zanim oklaski ucichły Stu oznajmił:

– Pan Glen Bateman z Woodsville w New Hampshire.

Glen wstał. Zebrani nagrodzili go oklaskami. Glen uniósł w górę obie ręce, układając palce wskazujące i środkowe w kształcie litery V, a tłum wydał głośny okrzyk aprobaty.

Jako przedostatniego Stu przedstawił Larry’ego. Underwood wstał, czując na sobie wzrok uśmiechającej się Lucy i utonął w fali braw. Kiedyś, na koncercie usłyszałby takie brawa po odśpiewaniu ostatniej piosenki, krótkiego, nic nie znaczącego kawałka zatytułowanego *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?* To było lepsze. Stał tylko przez chwilę, choć zdawało mu się, że znacznie dłużej. Wiedział, że nie zrezygnuje.

Jako ostatniego Stu przedstawił Nicka, który otrzymał najdłuższe i najgłośniejsze brawa.

Gdy zapadła cisza, Stu powiedział:

– Nie było tego w planie, ale zastanawiam się, czy moglibyśmy zacząć od odśpiewania hymnu narodowego. Podejrzewam, że wszyscy znacie słowa i melodię.

Rozległ się szelest i szuranie. Ludzie wstawali z miejsc. Nastąpiła kolejna chwila ciszy, gdy wszyscy czekali aż któreś z nich zacznie. Wtem rozległ się donośny, słodki kobiecy głos, rozpoczynający pieśń: *Oh, say, can*. Był to głos Frannie, ale Larry’emu przez chwilę wydawało się, że nakłada się na niego inny, jego własny i że nie znajduje się w Boulder, lecz w Vermont i jest dzień czwartego lipca, Republika miała dwieście czternaście lat, a w namiocie poza nim leżała martwa Rita, z ustami pełnymi zielonych rzygowin i buteleczką po pigułkach zaciśniętą w zeszywniałej dłoni. Przeszył go dreszcz i nagle odniósł wrażenie, że ktoś ich obserwował, ktoś lub coś, jak z tej starej piosenki zespołu The Who, co potrafi widzieć z odległości wielu mil. Coś złego, mrocznego i obcego.

Przez chwilę miał ochotę uciec z tego miejsca, wybiec stąd i nigdy się nie zatrzymać. To, co się tu działo, nie było grą ani zabawą. To była poważna sprawa. Śmiertelnie poważna. A może nawet gorzej.

Włączyły się inne głosy... *Can you see, by the dawn's early light*. Lucy również śpiewała, trzymając go za rękę; płakała, podobnie jak większość z nich, oplakiwała to, co przeminęło, co zostało bezpowrotnie utracone, odchodzący w przeszłość amerykański sen i nagle oczyma duszy ujrzał nie Rite, leżącą martwą w ich namiocie, lecz samego siebie i swoją matkę na stadionie Jankesów, dwudziestego dziewiątego września. Jankesi byli tylko o półtorej meczu za Red Soxami i wciąż jeszcze wszystko mogło się zdarzyć. Na stadionie było pięćdziesiąt pięć tysięcy ludzi, wszyscy wstali z miejsc, gracze stali na murawie, z czapeczkami przyciśniętymi do piersi, Guidry stał na pagórku, Rickey Henderson na zapolu (*...by the twilight's last gleaming...*), włączono oświetlenie stadionu i ćmy oraz inne nocne owady objęły się o jasno świecące lampy. A wokół nich był Nowy Jork, tętniące życiem miasto nocy i światła.

Larry także włączył się do chóru, a kiedy skończyli i znów rozległy się oklaski, z oczu pociekły mu łzy. Po części oplakiwał także siebie. Rita odeszła. Alice Underwood odeszła. Nowy Jork odszedł. Ameryka odeszła. Nawet gdyby zdołali pokonać Randalla Flagga, cokolwiek nastąpi później, nie uda im się ożywić tamtego, starego, dobrego świata mrocznych ulic i świetlistych snów.

Pocąc się obficie w blasku światel, Stu odczytał punkt pierwszy programu spotkania – odczytanie i ratyfikację konstytucji oraz Karty Praw. Odśpiewanie hymnu mocno nim wstrząsnęło. I nie tylko nim. Ponad połowa zebranych nie mogła powstrzymać się od łez.

Nikt nie zażądał odczytania wspomnianych dokumentów – choć było to zgodne z prawem – i Stu był z tego powodu bardzo zadowolony. Nie był najlepszym lektorem. Obywatele Wolnej Strefy przyjęli fragment o odczytaniu wzmiankowanych dokumentów przez aklamację. Glen Bateman wstał i zgłosił wniosek, by oba dokumenty zostały przyjęte jako podstawy prawne obowiązujące w Wolnej Strefie Boulder.

Głos z końca sali:

– Popieram!

– Wniosek zgłoszony i poparty – oznajmił Stu. – Ci, którzy są za, niech powiedzą TAK.

– TAK! – zagrzmiął głos z setek gardeł.

Kojak, który spał przy krześle Glena uniósł łeb, zamrugał, po czym znów oparł łeb na przednich łapach. W chwilę później ponownie się ożywił, gdy tłum przyjął swoją decyzję burzą braw.

„Lubią głosować – pomyślał Stu. – Dzięki temu czują, że znów mają nad czymś kontrolę. Bóg jeden wie, jak tego potrzebują. Wszystkim nam tego potrzeba”.

Po dokonaniu czynności wstępnych, Stu poczuł narastające w mięśniach napięcie. Teraz się okaże, czy czekają nas jakieś paskudne niespodzianki.

– Trzecim punktem naszego programu jest... – zaczął i odchrząknął głośno. Wizg sprzężenia zwrotnego wycisnął na jego czole nowe kropelki potu. Fran spojrzała na niego ze spokojem i skinęła głową, by kontynuował. – Jest... potwierdzenie, czy Wolna Strefa nominuje i dokona wyboru siedmiorga członków reprezentantów Wolnej Strefy, by utworzyli oni radę zarządzającą miasta. To oznacza...

– Panie przewodniczący? Panie przewodniczący!

Stu uniósł wzrok znad swoich notatek i poczuł pod sercem ukłucie strachu, któremu towarzyszyło coś w rodzaju przecucia. To był Harold Lauder. Harold miał na sobie garnitur i krawat, był też elegancko uczesany. Stał w połowie środkowego przejścia. Glen powiedział, że jego zdaniem wokół Harolda Laudera może zacząć gromadzić się opozycja. Ale czy to możliwe, żeby już zaczął działać? Miał nadzieję, że nie. Przez chwilę wahał się, czy udzielić mu głosu, ale obaj, Nick i Glen, ostrzegli go, by nie zdradzał się, że cała sprawa z komisją jest od początku do końca ustawiona. Zastanawiał się, czy nie pomylił się w swojej ocenie Harolda. Najwyraźniej zaraz się o tym przekona.

– Oddaję głos Haroldowi Lauderowi.

Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na Harolda.

– Zgłaszam wniosek, abyśmy przyjęli członków obecnej komisji tymczasowej *in toto* w skład komisji stałej, naturalnie jeśli nie mają oni nic przeciwko temu – rzekł Harold i usiadł.

Nastąpiła chwila ciszy.

„Toto? – pomyślał gorączkowo Stu. – Toto? Czy nie tak wabił się ten pies z *Czarnoksiężnika z Oz*?”

Sala znów rozbrzmiała oklaskami. Kilkanaście osób wrzasnęło głośno: „Popieram!”. Harold wrócił na swoje miejsce i zaczął rozmawiać z paroma osobami, które serdecznie poklepywały go po plecach.

Stu tuzin razy uderzył młotkiem w pulpit, by uciszyć zebranych.

„Zaplanował to – pomyślał Stu. – Ci ludzie wybiorą nas, ale zapamiętaj Harolda. Niemniej trzeba powiedzieć, że dotarł do sedna sprawy, zrobił coś, o czym nawet Glen nie pomyślał. To było genialne. Dlaczego więc tak się denerwował? Czyżby był zazdrosny? Czy jego opinia na temat Harolda była trafna?”

– Proszę o spokój – rzucił do mikrofonu, tym razem ignorując wizg sprzężenia zwrotnego. – Proszę o spokój! – Uderzył młotkiem w pulpit i uciszył zebranych. – Wniosek o przyjęcie członków komisji tymczasowej w skład komisji stałej został zgłoszony i poparty. Zanim przejdziemy do dyskusji na temat wniosku albo do głosowania, zapytam teraz wszystkich członków komisji, czy nie mają nic przeciwko temu. Może ktoś chciałby się wycofać.

Cisza.

– Doskonale – rzekł Stu. – Czy ktoś chciałby przedyskutować wniosek?

– To nie jest konieczne, Stu – odezwał się Dick Ellis. – Pomysł jest doskonały! Głosujmy!

Znów rozległy się oklaski. Stu nie potrzebował dalszej zachęty. Charlie Impening, machnął ręką, chcąc zabrać głos, lecz Stu zignorował go, Glen Bateman nazwałby to doskonałym przykładem percepcji selektywnej – i przeszedł do głosowania.

– Ci, którzy są za poparciem wniosku Harolda Laudera niech to potwierdzą mówiąc „tak”.

– TAK! – wykrzyknęli gromko, jaskółki znów zaczęły kołować wściekle pod sklepieniem sali.

– Kto jest przeciw?

Sprzeciwu nie było, nawet Charlie Impening się nie wyłamał. Nikt nie powiedział „nie”. Stu przeszedł zatem do kolejnego punktu porządku dziennego. Czuł się dziwnie otępiąły, jakby ktoś, ściślej mówiąc Harold Lauder, podszedł do niego od tyłu i walnął go w potylicę gumowym młotkiem.

– Zsiądźmy i popchajmy je trochę, dobrze? – zapytała Fran. Wydawała się zmęczona.

– Jasne. – Zeskoczył z roweru i zaczął iść obok niej. – Wszystko w porządku, Fran? Maleństwo daje ci w kość?

– Nie. Jestem po prostu zmęczona. Jest za kwadrans pierwsza nad ranem, a może nie zauważyłeś?

– Tak, tak, już późno – potaknął Stu.

Pchali rowery w milczeniu. Spotkanie skończyło się przed godziną, większość rozmów zogniskowała się wokół powołania grupy poszukiwawczej Matki Abigail. Pozostałe punkty porządku dziennego przeszły właściwie bez dyskusji, choć Sędzia Farris podzielił się z nimi fascynującą informacją, tłumaczącą, dlaczego Boulder było praktycznie wyludnione. Jak napisano w ostatnich czterech numerach „Camery”, tutejszej gazety codziennej, w mieście pojawiły się plotki, jakoby supergrypa została wyhodowana w zakładach badań nad powietrzem mieszczących się przy Broadway. Rzecznik zakładów – w tamtych dniach nie wszyscy jeszcze wymarli – zaprotestował, twierdząc, iż jest to wierutna, wyszana z palca bzdura i każdy, kto wątpi w prawdziwość tych słów może wejść na teren ośrodka i na własne oczy przekonać się, że nie ma tu żadnych niebezpiecznych urządzeń, a jedynie mierniki skażenia powietrza i wskaźniki określające wektory i kierunki wiatru. Mimo to plotki wciąż się pojawiały, prawdopodobnie podsycaly je historyczne nastroje owych przerażających dni w końcu czerwca. Zakłady zostały podpalone lub wysadzone w powietrze, a większość mieszkańców Boulder uciekła z miasta.

Organizacja służby pogrzebowej i komisji energetyki przeszła gładko z drobnymi poprawkami Harolda Laudera, który wydawał się wręcz idealnie przygotowany do

dzisiejszego spotkania i w efekcie liczebność każdej z powoływanych grup została podwojona.

Zespół poszukiwawczy również powołano bez sprzeciwów, ale dyskusja na temat zniknięcia Matki Abigail zdawała się nie mieć końca. Glen doradził Stu jeszcze przed spotkaniem, by nie ograniczał czasu trwania tej dyskusji, chyba że będzie to absolutnie konieczne, to nie dawało spokoju im wszystkim. Martwiło ich szczególnie to, że ich duchowa przywódczyni wierzyła, iż popełniła jakiś bardzo poważny grzech. Lepiej niech zrzucą z siebie ten ciężar.

Na odwrocie swego krótkiego listu staruszka pozostawiła notatkę odnoszącą się do dwóch cytatów z Pisma Świętego: Księgi Przysłów 11:1-3 i Księgi Przysłów 21:28-31. Sędzia Farris wyszukał te fragmenty z pieczołowitością adwokata przygotowującego mowę obronną, po czym wstał i odczytał je łamiącym się, pełnym apokaliptycznej grozy głosem.

Oto pierwszy cytat z Księgi Przysłów:

*Obrzydła dla Pana waga fałszywa, upodobaniem Jego – ciężarek uczciwy.
Przyszła wyniosłość – przyszła i hańba, u ludzi skromnych jest mądrość.
Uczciwość kieruje prawymi, a wiarołomnych zgubi ich nieprawość.*

Cytat z rozdziału 21 był w podobnym tonie:

*Zginie świadek fałszywy kto (umie) słuchać, może ciągle mówić.
Niewierny ma upór na twarzy, a prawy umacnia swe drogi.
Nie ma mądrości ani rozumu, ni rady przeciwko Panu.
Na dzień bitwy osiodła się konia, ale zwycięstwo zależy od Pana.*

Dyskusja, która rozgorzała po oratorskim występie Sędziego (nie sposób jej określić inaczej) miała dość szeroki zasięg i niejednokrotnie komiczny charakter. Jakiś mężczyzna oznajmił, że jeśli dodać numery rozdziałów, otrzymamy 31, liczbę rozdziałów Apokalipsy według Świętego Jana. Sędzia Farris wstał i spokojnie oświadczył, że Apokalipsa liczy sobie tylko dwadzieścia dwa rozdziały, a przynajmniej ma tyle w JEGO egzemplarzu Biblii, a poza tym jeśli 21 dodać do 11 wychodzi liczba 32 a nie 31. Numerolog amator mamrotał jeszcze coś pod nosem, ale nie zabrał już głosu.

Inny mężczyzna stwierdził, że w noc poprzedzającą zniknięcie Matki Abigail widział na niebie światła, a przecież sam prorok Izajasz potwierdził istnienie latających talerzy... niech więc wrzucą to wszystko do jednej zbiorczej fai i wspólnie ją wypalą, no nie? Sędzia Farris wstał raz jeszcze, by nadmienić, że młodzieniec musiał pomylić Izajasza z Ezechielem, a ten ostatni nie mówił nic o latających talerzach, lecz raczej o „kręgu wewnątrz kręgu”, a nawiasem mówiąc, jego zdaniem, jedyne latające talerze ujrzyć można podczas co zacieklej

szych kłótni małżeńskich. Pozostała część dyskusji była poświęcona snom, które ustały na dobre i wszystkim zebranych wydawały się teraz czymś bardzo niejasnym i nierzeczywistym. Jeden po drugim, mieszkańcy Boulder zaprzeczali, że Matka Abigail zgrzeszyła pychą. Mówili o jej dobroci, życzliwości i o tym, że kilka jej słów wystarczyło, by przynieść wątpięcym i strapionym nadzieję oraz ukojenie. Ralph Brentner, który wydawał się tak przerażony tłumami zebranymi w sali, że nie mógł wydobyć z siebie głosu, zdobył się w końcu na odwagę, wstał i przemawiał w podobnym tonie przez całe pięć minut, dodając na koniec, że nie spotkał równie prawej, dobrej i szlachetnej kobiety odkąd umarła jego matka. Kiedy w końcu usiadł, wydawał się bliski łez.

Ogólnie rzecz biorąc, cała dalsza dyskusja przypominała Stu stypę. To wcale mu się nie podobało. Czuł, że w głębi serca większość z nich pogodziła się już ze śmiercią starej Murzynki. Gdyby teraz wróciła, oczywiście powitali by ją gorąco i życzliwie, przychodzili do niej po poradę i w ogóle... ale, i Stu był tego pewien, okazałoby się, że pozycja Abby Freemantle nieco się zmieniła. Nieznacznie, ale jednak. I gdyby doszło do starcia pomiędzy nią a komisją Wolnej Strefy, mimo przyznanego jej prawa weta, wcale nie byłoby powiedziane, że to ona odniosłaby zwycięstwo. Odeszła, a społeczność musiała istnieć dalej. Społeczność nie wybaczy jej dezercji i zaczęła już powoli zapominać o mocy snów, które jeszcze niedawno miały nad nimi tak ogromną władzę.

Po spotkaniu ponad dwa tuziny osób rozsiadły się na chwilę na trawniku za Audytorium Chautauqua, deszcz ustał, chmury rozwiewały się, wieczór był przyjemnie chłodny. Stu i Fran usiedli wraz z Larry, Lucy, Leo i Haroldem.

– Aleś dał czadu dziś wieczorem – rzekł Larry do Harolda. Szturchnął Frannie łokciem. – Mówiłem ci, że on jest genialny.

Harold tylko się uśmiechnął i skromnie wzruszył ramionami.

– Miałem po prostu parę pomysłów i tyle. Wasza siódemka ponownie uruchomiła całą tę maszynę. Powiniście mieć przynajmniej przywilej ujrzeć na własne oczy, jak kończy się to, co zaczęliście.

Teraz, piętnaście minut po rozstaniu się z przyjaciółmi i wciąż o dziesięć minut od domu, Stu zapytał ponownie:

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak. Nogi mnie bolą, i to wszystko.

– Musisz z tym trochę przystopować, Frances.

– Nie nazywaj mnie tak, nie znoszę tego.

– Przepraszam, już tego więcej nie zrobię, Frances.

– Mężczyźni to świnię.

– Postaram się poprawić, Frances, obiecuję.

Pokazała mu język, co stanowiło niezłą ripostę, ale Stu zorientował się, że nie miała ochoty się przekomarzać i dał sobie spokój. Wydawała się blada i raczej niespokojna, dziwnie

kontrastowało to z Frannie, która jeszcze kilka godzin temu z przejęciem zaintonowała hymn narodowy.

– Coś cię martwi, kochanie?

Zaprzeczyła ruchem głowy, ale dostrzegł w jej oczach łzy.

– O co chodzi? Powiedz mi.

– To nic. W tym właśnie rzecz. Niepokoi mnie to nic. To koniec, już po wszystkim i wreszcie to sobie uświadomiłam. Ot, i cała filozofia. Niecałe sześćset osób śpiewające Gwiazdzisty Sztandar. Gdy to do mnie doszło, poczułam się, jakby ktoś zdzielił mnie pałą po głowie. Nie ma już budek z hot dogami. Na Coney Island nie obraca się diabelski młyn, nie działają karuzele ani fala. Nikt nie ogląda meczu koszykówki w hali w Seattle. Ktoś znalazł wreszcie sposób, aby oczyścić z narkotyków Bostońską Strefę Wojny i Times Square z dziwek. To były okropne rzeczy, ale wydaje mi się, że lekarstwo jest o całe niebo gorsze od choroby. Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak, wiem.

– Miałam w moim pamiętniku taki dział: „Zapamiętaj, to dla dziecka, żeby wiedziało o tym, czego nigdy nie zobaczy”. To wprawiło mnie w cholerną chandrę. Samo myślenie o tym wszystkim. Powinnam nazwać ten dział „To, czego już nie ma”. – Zachlipała cichutko, zatrzymując rower, aby przyłożyć dłoń do ust i stłumić to w sobie.

– Wszyscy przeżywają teraz to samo – powiedział Stu, obejmując ją ramieniem. – Dziś wieczorem wiele osób będzie zasypiać z mokrymi od łez policzkami. Możesz mi wierzyć.

– Nie pojmuję, jak można opłakiwać cały kraj – wychlipiała – ale to jest możliwe. Wciąż przychodzą mi na myśl wspomnienia tego, czego już nie ma, drobiazgi, które tak bardzo bołą. Sprzedawcy samochodów. Frank Sinatra. Plaża Old Orchard w lipcu, kiedy zjeżdżały się tam tłumy turystów, głównie z Quebecu. Ten głupek z MTV, Randy jak-mu-tam. O, Boże, czuję się, jakbym cytowała jeden z wierszy pieprzonego Roda M-M-McKuen!

Przytulił ją, poklepując lekko po plecach. Wspominał jak kiedyś jego ciotka Betty rozczuliła się nad chlebem, który nie urósł – ciotka była wtedy w siódmym miesiącu ciąży. Stu pamiętał, jak ocierała oczy rożkiem ścierki, powtarzając, że to nic takiego, że każda kobieta w ciąży balansuje na granicy rozstroju nerwowego z powodu wrzących w niej hormonów.

– Już dobrze – powiedziała po chwili Frannie. – Już dobrze. Już lepiej. Puść mnie.

– Kocham cię, Frannie – wyszeptał. Znów zaczęli pchać rowery.

– Co pamiętasz najbardziej? Jakąś jedną, konkretną rzecz – zapytała Fran.

– No, wiesz... – zaczął, i nagle zachichotał.

– Nie wiem.

– To głupie.

– Opowiedz mi.

– Nie wiem, czy tego chcę. To porąbana historia. Jeśli ci ją opowiem, naślesz na mnie paru silnych facetów w fartuchach zaopatrzonych w kaftan bezpieczeństwa.

– Opowiedz mi! – Widziała Stu w różnych nastrojach, ale nigdy jeszcze tak zakłopotanego, dziwnego i niespokojnego. To było dla niej czymś nowym.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem – zaczął – ale myślałem o tym przez ostatnich parę tygodni. W 1982 roku przydarzyło mi się coś naprawdę dziwnego. Pracowałem wtedy na stacji benzynowej Billa Hapscomba. Najmował mnie, gdy tylko mógł, jak miałem przestoje w moim zakładzie produkcji kalkulatorów. Robiłem u niego na pół etatu od godziny dwudziestej trzeciej do zamknięcia, czyli do trzeciej nad ranem. Po skończonej szychcie w pobliskiej papierni, gdzie druga pracowała od piętnastej do dwudziestej trzeciej, kiedy ostatni klienci przyjeżdżali po benzynę, na stacji prawie nie było ruchu. Wiele było takich nocy, kiedy na całej zmianie nie miałem ani jednego klienta. Siedziałem tam sobie, czytając książkę albo jakieś pismo i często po prostu drzemałem. Dziwisz mi się?

– Nie. – Wyobrażała go sobie, mężczyznę, który zostanie kiedyś jej mężczyzną, siedzącego na plastikowym krześle z wytłoczek, z otwartą książką na podołku. Widziała go śpiącego na wysepce białego światła otoczonej wielkim kontynentalnym morzem teksańskiej nocy. Ten obraz bardzo się jej spodobał. Kochała go, tak jak inne związane z nim wizje, podpowiadane jej przez umysł.

– Tamtej nocy, było chyba piętnaście po drugiej, siedziałem na krześle z nogami na biurku Hapa i czytałem jakąś nową powieść Louisa L'Amoura, o ile dobrze pamiętam, a może Elmore Leonarda, kiedy nagle na stację wjeżdża wielki, stary pontiac z opuszczonymi szybami i włączoną na cały regulator kasetą Hanka Williama. Pamiętam tę piosenkę – to była *Movin' On*. W wozie siedzi tylko jeden facet, nie jest ani młody ani stary. Przystojny, ale w dziwny, niepokojący, powiedziałbym nawet odrobinę przerażający sposób. Sprawiał wrażenie, jakby bez większego zastanowienia mógł zrobić coś naprawdę okropnego. Miał gęste, kręcone, ciemne włosy. Spomiędzy ud wystawała mu butelka wina, a ze wstecznego lusterka zwieszały się dwie styropianowe kostki. „Do pełna” – mówi, ja na to: „Już się robi”, ale przez chwilę stałem w kompletnym bezruchu i po prostu się na niego gapiłem, ponieważ wydał mi się znajomy. Tylko nie mogłem skojarzyć, kto to był.

Dotarli do rogu ulicy, po drugiej stronie stał dom, gdzie mieszkali. Przystanęli. Frannie bacznie mu się przyjrzała.

– „Czy ja pana skądś znam? – zapytałem. – Nie pochodzi pan czasem z Corbett albo Maxin?” Wiedziałem jednak, że to nie stąd go znam. On mi na to: „Nie. Przejeżdżałem przez Corbett tylko raz, z rodziną, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Wygląda na to, że w dzieciństwie zjeździłem całą Amerykę. Mój tato służył w lotnictwie”.

Nalałem benzyny do baku jego auta i przez cały czas się zastanawiałem, skąd znam tę twarz, aż w pewnej chwili sobie skojarzyłem. To było jak nagłe olśnienie. I o mało nie zlałem się w gacie, gdyż facet siedzący za kółkiem tego pontiaca rzekomo miał już nie żyć.

– Kim on był, Stuart? Kto to był?

– Nie, Frannie, pozwól, że opowiem to po swojemu. Wiem, że to porąbana historia, ale trzeba ją opowiedzieć jak należy. Wróciłem do kanciapy i mówię przez okienko: „Należy się sześć dolarów i trzydzieści centów”.

On daje mi dwa banknoty pięciodolarowe i mówi, że reszty nie trzeba. Ja na to: „Chyba już wiem, skąd pana znam”.

„To możliwe” – on na to i wybucha dziwnym, mrozącym krew w żyłach śmiechem, podczas gdy Hank Williams przez cały czas śpiewa, że pora ruszać do miasta. Mówię facetowi: „Jeśli jest pan tym, kim myślę, że jest, to podobno pan nie żyje”.

„Nie wierz we wszystko, co czytasz, stary” – odpowiada. „Lubi pan Hanka Williamsa?” – pytam; to jedyne, co mi wtedy przyszło do głowy. Widzisz, Frannie, wtedy zrozumiałem, że jeśli czegoś nie powiem, on podniesie to automatycznie otwierane okno i odjedzie w siną dal... a ja z jednej strony pragnąłem, żeby już sobie pojechał, a z drugiej chciałem, żeby jeszcze trochę został. Jeszcze trochę. Aż nabiorę pewności. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że człowiek nigdy nie ma stuprocentowej pewności w wielu sprawach, niezależnie jak bardzo by tego pragnął.

„Hank Williams jest jednym z najlepszych – odpowiada. – Lubię barową amerykańską muzykę. – I dodaje: – Wybieram się do Nowego Orleanu, będę jechał przez całą noc, spał przez cały dzień, a potem balował do białego rana. Czy Nowy Orlean jest wciąż taki sam?”

„Taki sam jak co?” – pytam. A on na to: „No, wiesz”. Ja wtedy: „Cóż, to przecież Południe, jedyne, czego możesz być pewien to tego, że jest tam o niebo więcej drzew”. Słyszac to, wybucha śmiechem. „Może jeszcze się spotkamy” – mówi. Ale wiesz co, Frannie, nie chciałbym już nigdy go spotkać. On miał oczy człowieka, który zbyt długo usiłował wpatrywać się w mrok i być może zdołał dostrzec, co się w nim skrywa. Wydaje mi się, że jeśli kiedykolwiek spotkam tego faceta, Flagga, jego oczy mogą wyglądać podobnie.

Stu pokręcił głową, gdy przepchali rowery przez ulicę i zaparkowali pod domem.

– Sporo o tym myślałem. Chciałem nawet potem kupić parę jego płyt, ale w końcu sobie odpuściłem. Jego głos... to bardzo dobry głos, ale gdy go słyszę, przechodzą mnie ciarki.

– Stuart, o kim ty mówisz?

– Pamiętasz rock and rollową kapelę The Doors? Facetem, który tamtej nocy zatrzymał się na stacji w Arnette aby zatankować był Jim Morrison. Jestem tego pewien.

Otworzyła usta ze zdumienia.

– Ale przecież on nie żyje! Umarł we Francji! On... – I nagle zamilkła. Czy ze śmiercią Jima Morrisona nie wiązała się jakaś tajemnica? Czy nie było w niej nic dziwnego?

– Jesteś pewna? – zapytał Stu. – Ja mam co do tego pewne wątpliwości. A zresztą może on rzeczywiście umarł, a ten, którego widziałem był po prostu do niego bardzo podobny, jednak...

– Naprawdę tak uważasz? – rzuciła z przejęciem.

Siedzieli teraz na stopniach przed wejściem do budynku, tuląc się do siebie jak małe dzieci, aż matka zawołała je na kolację.

– Tak – odparł. – Naprawdę tak uważam. I do czerwca tego roku sądziłem, że to będzie najdziwniejsza rzecz, jaka przytrafiła mi się w życiu. Rany, ale się pomyliłem.

– I nigdy nikomu o tym nie powiedziałeś? – zdumiała się. – Spotkałeś Jima Morrisona dobrych kilka lat po jego rzekomej śmierci i nikomu nawet o tym nie wspomniałeś. Wysyłając cię na ten świat, Bóg powinien dać ci zamiast ust zamek szyfrowy.

Stu uśmiechnął się.

– Cóż, jak to się mówi, lata mijały, a ja, zastanawiając się nad wydarzeniami tamtej nocy, coraz częściej dochodziłem do wniosku, że to nie mógł być on i nabrałem co do tego większej pewności. Odpuściłem sobie tę sprawę. Przestałem zaprzętać sobie nią głowę. Dopiero w ostatnich tygodniach znów zacząłem wracać myślami do tamtego zdarzenia i zastanawiać się nad nim. Teraz wcale nie jestem pewien, czy to naprawdę nie był on. Wręcz przeciwnie. Coraz bardziej upewniam się, że to jednak był Jim Morrison. I kto wie, może nadal żyje. To by dopiero było, no nie?

– Jeżeli nawet żyje – powiedziała – to nie ma go tu, z nami.

– Rzeczywiście – przytaknął Stu. – Ale wcale nie spodziewałem się ujrzeć go tutaj. Pamiętaj, że widziałem jego oczy. Wiesz, co w nich dostrzegłem.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

– To ci dopiero historia.

– Tak, w tym kraju znalazłoby się jeszcze ze dwadzieścia milionów ludzi, którzy przeżyli coś podobnego... tylko że oni widzieli Elvisa albo Howarda Hughesa.

– Teraz już nie.

– Tak, teraz już nie. Harold był dziś naprawdę niesamowity, nie uważasz?

– Uważam, że próbujesz zmienić temat.

– Słusznie uważasz.

– Tak – szepnęła. – Był niesamowity.

Uśmiechnął się, słysząc zmartwiony ton głosu Fran i widząc zmarszczki zatroskania na jej czole.

– Przejęłaś się tym trochę, prawda?

– Tak, ale nie o to chodzi. Wygląda na to, że jesteś teraz po jego stronie.

– Przestań, Fran. Mnie też to zmartwiło. Mieliśmy za sobą dwa wstępne spotkania, ustaliliśmy wszystko, co się tylko dało... a przynajmniej tak sądziliśmy... aż tu nagle Harold wyskakuje jak diablik z pudełka. Zabiera głos raz i drugi, i ani się obejrzymy, jak jest po wszystkim, a on pyta: „Czy nie o to wam właśnie chodziło?” My mu na to: „Tak, o to, Haroldzie. Dziękujemy”. – Stu pokręcił głową. – Przegłosowanie za jednym zamachem całej komisji. Jak to możliwe, że o tym nie pomyśleliśmy? To było genialne, Fran. Jednak nawet nie wspomnieliśmy o tym słowem. W ogóle nie przyszło nam to na myśl.

– Cóż, nikt z nas nie wiedział, w jakim nastroju będą uczestnicy zebrania. Wydawało mi się, że po odejściu Matki Abigail wszyscy będą przygnębieni, może nawet wściekli jak rozjuszone osy. Zwłaszcza że ten Impening przez cały czas mącił i jątrzył...

– Zastanawiam się, czy nie powinno się go jakoś uciszyć – wtrącił z zamyśleniem Stu.

– Ale wcale tak nie było. Wszyscy wydawali się tacy życzliwi i wylewni, że udało im się zebrać wspólnie w jednym miejscu. Czułeś to?

– Tak. Oczywiście.

– To było jak przeżycie religijne. Nie sądzę, by Harold mógł to zaplanować. Po prostu wykorzystał odpowiedni moment.

– Nie wiem, co o nim myśleć – mruknął Stu. – Tamtej nocy, kiedy wybraliśmy się na poszukiwanie Matki Abigail wydał mi się bardzo podejrzany; kiedy zjawili się Ralph i Glen wyglądał po prostu koszmarnie, jakby miał zaraz zemdleć albo Bóg wie, co jeszcze. Ale kiedy niedawno rozmawialiśmy na trawniku przed Audytorium Chautauqua i wszyscy mu gratulowali, wydawał się nadęty jak ropuch. Uśmiechał się, ale odniosłem wrażenie, że w duchu myśli: „Spójrzcie, ile jest warta wasza komisja, kretyni. Jesteście bandą nic nie wartych, tępych matolów”. Harold jest jak łamigłówka, której, będąc dzieckiem, nigdy nie potrafiłem rozgryźć. Jak chińskie zaciski na kciuki albo te trzy stalowe kółka, które rozłączają się, jeśli je pociągniesz w odpowiedni sposób.

Fran wyciągnęła nogi i spojrzała na swoje stopy.

– A skoro o Haroldzie mowa, Stu, czy moje stopy wyglądają jakoś dziwnie albo nietypowo?

Stu przyjrzał się im z uwagą.

– Nie. Pomijając fakt, że nosisz te zabawne buty Earth Shoes ze sklepu z końca ulicy. Są potwornie duże, ale nie widzę w nich nic dziwnego.

Klepnęła go dłonią w udo.

– Te buty są bardzo wygodne i zdrowe dla stóp. Tak pisali we wszystkich najlepszych pismach. A dla twojej wiadomości noszę siódemkę. To bardzo mały rozmiar.

– Ale o co właściwie chodzi? Dlaczego zaczęłaś mówić o swoich stopach? Jest już późno, kochanie. – Znow zaczął pchać rower.

Fran zrównała się z nim.

– To chyba nic takiego. Tylko że Harold przez cały czas gapił się na moje stopy. Po spotkaniu, kiedy siedzieliśmy na trawniku i rozmawialiśmy... – Potrząsnęła głową i lekko zmarszczyła brwi: – Dlaczego Harolda Laudera miałyby interesować moje stopy? Nie mam pojęcia!

Larry i Lucy wrócili do domu sami, trzymając się za ręce. Jakiś czas wcześniej Leo odłączył się od nich, by udać się do domu, gdzie mieszkał z mamą-Nadine. Teraz, podchodząc do drzwi, Lucy powiedziała:

– To było wspaniałe spotkanie, nigdy nie przypuszczałam... – Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy z cieni ganku wyłoniła się nagle mroczna postać.

Larry poczuł oblewającą go gorącą falę przerażenia. „To on – pomyślał dziko. – Przyszedł po mnie... i zaraz ujrzę jego twarz”.

Zaraz się jednak zreflektował, gdyż zbliżającą się do nich osobą okazała się Nadine. Miała na sobie niebiesko-szarą sukienkę z delikatnego miękkiego materiału i rozpuściła włosy, te długie do ramion, jedwabiste ciemne włosy, poprzetykane pasemkami najczystszej bieli.

„Przy niej Lucy wygląda jak stary kapeć” – pomyślał i zaraz skarcił się w duchu za tę myśl. Znów doszedł do głosu ten dawny Larry... dawny Larry? Równie dobrze mógł powiedzieć: „Stary Adam”.

– Nadine – powiedziała drżącym głosem Lucy, przyciskając jedną dłoń do piersi. – Ale mnie przestraszyłaś. Myślałam... nie, sama już nie wiem, co myślałam.

Nadine w ogóle nie zwracała na nią uwagi.

– Czy możemy porozmawiać? – zwróciła się do Larry’ego.

– Co? Teraz? – Spojrzał na Lucy, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie potrafił później powiedzieć, jak Lucy wyglądała w tamtej chwili. Zupełnie jakby coś ją zaćmiło, przesłoniło, ale nie jasna, lecz raczej ciemna gwiazda.

– Teraz. To musi się stać teraz.

– Wolałbym rano...

– Teraz. Albo nigdy, Larry.

Znów spojrział na Lucy i tym razem ją ujrzał, dostrzegł rezygnację na jej twarzy, kiedy wodziła wzrokiem od Larry’ego do Nadine i z powrotem.

Ujrzał ból. I cierpienie.

– Zaraz wrócę, Lucy.

– Nie. Nie wrócisz – rzuciła bezbarwnym głosem. W jej oczach zabłyśły łzy. – Wątpię, żebyś wrócił.

– Dziesięć minut.

– Dziesięć minut, dziesięć lat – rzekła Lucy. – Ona przyszła, by mi cię zabrać. Przyniosłaś smycz i kaganiec?

Dla Nadine Lucy Swann nie istniała. Wpatrywała się w Larry’ego tymi ciemnymi, rozszerzonymi oczami. Dla Larry’ego będą to zawsze najdziwniejsze, najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział, oczy, które powracają w snach, spokojne i głębokie, kiedy coś cię trapi, boli albo po prostu gnębi dojmujący, nie dający chwili wytchnienia smutek.

– Zaraz wrócę, Lucy – rzekł machinalnie.

– Ona...

– Idź do domu.

– Tak. Chyba tak. Ona się pojawiła. Ja mogę odejść.

Wbiegła po schodach, potykając się na ostatnim stopniu. Odzyskała równowagę, otworzyła drzwi i zatrzasnęła je za sobą z hukiem, zagłuszając odgłos swego szlochu zanim jeszcze rozbrzmiał na dobre.

Nadine i Larry długo patrzyli na siebie jak urzeczeni.

„Tak to już jest – pomyślał. – Tak to bywa, kiedy wychwycisz czyjś wzrok z drugiego końca sali i nigdy już nie możesz zapomnieć widoku tych oczu, dostrzeżasz na zatłoczonym peronie metra osobę bliźniaczo do ciebie podobną albo na ulicy dobiega cię czyjś śmiech i okazuje się, że ta kobieta będzie pierwszą, z którą kiedykolwiek pójdziesz do łóżka...”

Tylko że on miał w ustach dziwną gorycz.

– Przejdźmy się do rogu ulicy i z powrotem – zaproponowała Nadine. – Co ty na to?

– Lepiej już pójde. Wybrałaś sobie kiepski moment na odwiedzin.

– Proszę... Tylko do rogu i z powrotem. Jeśli chcesz, będę cię błagać na kolanach. Chcesz tego? To patrz. Klękam przed tobą i proszę.

Ku jego przerażeniu rzeczywiście uklękła, podciągając lekko spódnicę. Ujrzał jej gołe nogi i przez chwilę zastanawiał się, czy w ogóle miała coś pod spodem. Skąd wzięły się u niego takie myśli? Nie wiedział. Patrzyła na niego tak intensywnie, że aż zakręciło mu się w głowie, poczuł moc, nieznaną siłę ingerującą w to, co się tu działo. Miała ona jakiś związek z tym, że klęczała teraz przed nim na kolanach z ustami na wysokości...

– Wstań! – rzucił oschle.

Ujął ją za ramiona i podźwignął na nogi, usiłując nie patrzeć na jej spódnicę, która, nim opadła, uniosła się jeszcze wyżej. Jej uda miały kremową barwę, ten odcień bieli, który nie jest ani bładny ani martwy, lecz zdrowy, żywy i ponętny.

– Chodź – powiedział z zakłopotaniem w głosie.

Ruszyli na zachód, w stronę gór odcinających się negatywowo daleko przed nimi, trójkątne spłachcie mroku przełamujące gwiazdy, które ukazały się po deszczu na niebie. Wędrowanie nocą w stronę gór zawsze przepełniało go niepokojem, ale i w pewnym sensie podniecało. A teraz, gdy szła przy nim Nadine, trzymając go delikatnie za rękę, wrażenia te jeszcze bardziej przybrały na sile. Zawsze miał wyraziste sny, a trzy lub cztery noce temu śnił o tych właśnie górach, śnił, że gnieździły się w nich trolle, odrażające istoty o jasnozielonych oczach, ogromnych czerepach jak u chorych na wodogłowie debili i krótkopalcych, silnych dłoniach. Dłoniach dusicieli. Debilne trolle strzegły górskich przełęczy. Czekwały aż nadejdzie jego czas, czas mrocznego mężczyzny.

Powiał lekki wietrzyk, unosząc strzępy papierów w głąb ulicy. Minęli supermarket, na parkingu którego, jak martwi strażnicy stało kilka sklepowych wózków. Ich widok przywiódł mu na myśl tunel Lincolna. W tunelu Lincolna też były trolle. Tamte były martwe, ale to nie oznaczało, że wszystkie trolle w ich nowym świecie nie żyły.

– To trudne – powiedziała półgłosem Nadine. – To jest trudne przez nią, bo ona ma rację. Pragnę cię. Teraz naprawdę cię chcę. I obawiam się, że zdecydowałam się trochę za późno. Chciałabym tu zostać.

– Nadine...

– Nie! – krzyknęła gniewnie. – Pozwól mi dokończyć. Chcę tu zostać, nie rozumiesz tego? Uda mi się to, jeśli będziemy ze sobą. Jesteś moją ostatnią szansą – dorzuciła łamiącym się głosem. – Joe odszedł.

– Nieprawda – rzekł Larry zdezorientowany, ogłupiały i zaskoczony. – Odstawiliśmy go w drodze powrotnej do twego domu. Nie ma go tam?

– Nie. W jego łóżku śpi chłopiec nazwiskiem Leo Rockway.

– O czym ty...

– Posłuchaj – ucięła bezceremonialnie. – Nie możesz mnie choć przez chwilę posłuchać? Dopóki miałam Joe, byłam bezpieczna. Byłam... tak silna, jak to było konieczne. Ale on już mnie nie potrzebuje. A ja muszę być komuś potrzebna. Ktoś musi mnie pragnąć!

– On cię potrzebuje!

– Oczywiście – przytaknęła Nadine, a Larry znów poczuł ten osobliwy niepokój. Nie miała już na myśli Leo; nie wiedział, o kogo jej chodziło. – On mnie pragnie. Tego się właśnie obawiam. Dlatego przyszedłam do ciebie. – Stała przed nim i uniosła wzrok, wysuwając dumnie podbródek.

Czuł jej sekretny zapach i pragnął jej. A jednak jakaś jego część pomyślała w tej chwili o Lucy. To była ta jego część, której potrzebował, jeśli miał się tu jakoś urządzić. Gdyby sobie pofolgował i odszedł z Nadine, równie dobrze jeszcze dziś oboje mogliby wyjechać z miasta. To byłby jego koniec. Dawny Larry odniósłby kolejny sukces.

– Muszę wracać do domu – powiedział. – Przykro mi, Nadine. Będziesz musiała sama jakoś sobie z tym poradzić.

„Będziesz musiała sama sobie z tym poradzić” – czy to nie te same słowa, których używał przez całe swoje życie w stosunku do innych ludzi? Dlaczego musiał użyć akurat ich, właśnie teraz, kiedy czuł, że to co powiedział było słuszne. Te słowa sprawiły, że zaczął w to wątpić, coś w jego wnętrzu pękło.

– Kochaj się ze mną – powiedziała i objęła go ramionami za szyję.

Przywarła do niego całym ciałem, a on, czując jej ciepło, gibkość i gładkość, zdał sobie sprawę, że pod sukienką nie miała nic. „Ona jest goła jak święty turecki” – pomyślał i to jeszcze bardziej go podnieciło.

– W porządku, czuję cię – powiedziała i zaczęła się o niego ocierać, bokiem, w górę i w dół, powodując rozkoszne sensacje. – Kochaj się ze mną, a położysz temu kres. Będę bezpieczna. Będę w końcu bezpieczna.

Uniósł ręce, później nie będzie potrafił powiedzieć, jak zdołał tego dokonać, skoro trzema szybkimi ruchami i jednym energicznym pchnięciem mógł znaleźć się w jej rozpalonym

pożądaniem wnętrzu, a jednak uniósł ręce, zdjął jej ramiona ze swojej szyi i odepchnął z taką siłą, że potknęła się i o mało nie upadła. Z jej ust dobył się cichy jęk.

– Larry, gdybyś wiedział...

– Ale nie wiem. Dlaczego mi tego nie powiesz, zamiast... próbować mnie zgwałcić?

– Zgwałcić cię? – powtórzyła i zaśmiała się ochryple. – To dopiero zabawne! Co ty w ogóle mówisz? Ja? Miałabym próbować cię zgwałcić? Och, Larry!

– Mogłaś mieć wszystko, co mógłbym ci dać. Mogłaś to mieć dwa tygodnie, a nawet tydzień temu. Sam ci to proponowałem. Sam tego chciałem.

– Za wcześnie – wyszeptała.

– A teraz jest już za późno – rzucił oschle, nienawidząc siebie, że powiedział to w tak bezceremonialny sposób. Wciąż był cały roztrzęsiony z pożądania. Jak mógł to powiedzieć inaczej? – I co zamierzasz zrobić?

– W porządku. Dam sobie radę. Żegnaj, Larry.

Odwróciła się. W tym momencie była kimś więcej, niż tylko odwracającą się od niego Nadine. Była oralną higienistką. Była Yvonne, z którą dzielił mieszkanie w Los Angeles; wkurzyła go, więc nie namyślając się długo, spakował manatki i odszedł. Była Ritą Blakemoor.

A najgorsze ze wszystkiego, była jego matką...

– Nadine?

Nie odwróciła się. Była czarnym kształtem pośród innych czarnych kształtów, widocznym tylko kiedy przechodziła przez ulicę. A potem znikła zupełnie, stapiając się z czarnym tłem gór. Zawołał ją raz jeszcze, ale nie odpowiedziała. Było coś przerażającego w sposobie, w jaki odeszła i w jaki stopiła się z mrokiem tła.

Stał przed supermarketem z zaciśniętymi w pięści dłońmi i czołem zroszonym kropelkami potu, choć noc była chłodna. Znowu powróciły do niego jego upiory, wiedział już, jaka zapłata czeka faceta za to, że nie jest porządny, ciągły brak pewności co do słuszności własnych motywacji, konieczność wybierania zgodnie z regułą kciuka pomiędzy bólem a pomocą innym, a także ten okropny, gorzki smak w ustach...

Gwałtownie uniósł głowę. Wiatr znów przybrał na sile i zawodził przejmująco, wlatując w pobliską bramę, ale Larry był gotów przysiąc, że usłyszał rozlegający się pośród nocy odgłos zdartych obcasów kowbojskich butów, dobiegający od podnóża gór wraz z chłodnym podmuchem wczesnoporannej bryzy.

Zakurzone kowbojki o zdartych obcasach, stukocząc oddalały się ku grobowi zachodu.

Lucy usłyszała, jak wszedł do domu i serce zatrzepotało jej w piersi. Próbowała uspokoić samą siebie, przekonana, że wrócił tylko po swoje rzeczy, ale bezskutecznie. „Wybrał mnie – rozległ się cichy, jeszcze niepewny głos w jej umyśle, podsycany gwałtownym biciem serca. – Wybrał mnie...”

Pomimo podniecenia i nadziei, której nie potrafiła kontrolować, leżała na wznak na łóżku, sztywna i nieruchoma, i czekała, wpatrując się w sufit. Nie kłamała, kiedy powiedziała, że jej winą, i dziewcząt takich jak jej przyjaciółka Joline, jest to, że za bardzo pragną kochać. A ona zawsze była wierna. Nie zdradzała swoich mężczyzn. Nie przyprawiła rogów mężowi ani nie zdradziła Larry'ego, a jeśli w przeszłości nie wiodła żywota zakonnicy... cóż, było, minęło. Nie da się naprawić tego, co już się wydarzyło. Bogowie mogliby tego zapewne dokonać, ale nie ludzie i chyba dobrze, że tak było. Gdyby było inaczej, ludzie prawdopodobnie umieraliby ze starości, wciąż próbując naprawiać swe młodzieńcze błędy.

„Wiedząc, że przeszłość jest poza tobą na tyle, że nie zdoła cię dogonić, może mogłabyś wybaczyć sobie samej”.

Po jej policzkach spłynęły strużki łez.

Trzasnęły otwierane drzwi i ujrzała go, rozmazaną sylwetkę mężczyzny.

– Lucy? Nie śpisz?

– Nie.

– Mogę zapalić lampę?

– Jeśli chcesz.

Usłyszała cichy syk gazu, a potem ujrzała go w świetle zapalanej lampy. Wydawał się roztrzęsiony i blady.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie, nie musisz. Po prostu chodź do łóżka.

– Muszę to powiedzieć. Ja... – Przyłożył dłoń do czoła i przeczesał palcami włosy.

– Larry? – Usiadła. – Wszystko w porządku?

Zaczął mówić tak jakby jej nie usłyszał i w ogóle na nią nie patrzył.

– Kocham cię. Jeśli mnie chcesz, jestem twój. Tylko że nie wiem, czy potrafię ci wiele dać. Nie jestem dobrym materiałem na partnera, Lucy.

– Zaryzykuję. Chodź do łóżka.

Położył się przy niej. Kochali się. Kiedy skończyli, ona również powiedziała, że go kocha i była to szczerza prawda. Larry sprawiał wrażenie, jakby pragnął głęboko, potrzebował usłyszeć to od niej. Jednak również tej nocy spał krótko i niespokojnie. W którymś momencie, w nocy obudziła się (lub przyśniło się jej, że się obudziła) i odniosła wrażenie, że Larry stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz, z przekrzywioną głową, jakby czegoś nasłuchiwał, a światłocienie nadawały jego twarzy wyglądu przerażająco wyniszczonej, posępnej maski. Gdy nadszedł dzień uznała, że to wszystko musiało się jej przyśnić. Za dnia Larry znów był sobą, jak zawsze.

Dopiero trzy dni później dowiedzieli się od Ralpa Brentnera, że Nadine wprowadziła się do Harolda Laudera. Gdy to usłyszała, oblicze Larry'ego stężało na ułamek sekundy. I choć wydało się to jej podłe, wiadomość Ralpa przyniosła Lucy sporą ulgę i odrobinę tak pożądanego przez nią spokoju. Odetchnęła głęboko. Wyglądało na to, że kryzys minął.

Po spotkaniu z Larrym na chwilę zajrzała do domu. Weszła do środka i zapaliła lampę w pokoju. Unosząc ją w ręce, przeszła przez cały dom, przystając na chwilę przy pokoju chłopca. Musiała upewnić się, że to, co powiedziała Larry'emu było prawdą. Okazało się, że tak.

Leo leżał w dziko skotłowanej pościeli, ubrany tylko w slipki... ale zadrapania i ranki na jego ciele już się zagoiły, w wielu miejscach w ogóle nie było po nich śladu, przybladła również opalenizna, którą miał na całym ciele, gdyż przez ostatnie tygodnie chodził przecież praktycznie całkiem nago. Ale to nie wszystko, skonstatowała. Zmieniło się coś w jego twarzy – dostrzegła tę zmianę nawet kiedy spał.

Wyraz niemej, pełnej żądz dzikości zniknął z jego oblicza. Nie był już Joe.

Był zwyczajnym małym chłopcem śpiącym po długim, męczącym dniu.

Pomyślała o tamtej nocy, kiedy zdrzemnęła się i po przebudzeniu stwierdziła, że nie ma go przy niej. Było to w North Berwick w Maine, prawie na drugim końcu kraju. Udała się za nim do domu, na ganku którego spał Larry. Joe stał na zewnątrz, wymachując nożem z niemą, dziką zawziętością. Dzielili ich tylko cienka powłoka łatwych do przecięcia, siatkowych drzwi. Zmusiła go wtedy, żeby z nią wrócił.

Nienawiść przepełniła ją gwałtowną, nieprzepatą falą, krzesząc skry jak zderzające się krzemień i stal. Lampa zadrzała w jej dłoni, cienie na ścianie ruszyły w obłądny, szalony tan. Mogła mu pozwolić, aby to zrobił! Mogła nawet przytrzymać mu drzwi, wpuszczając Joe do środka, aby zaczął dźgać, kłuć, ciąć, rozrywać i rozpruwać. Mogła...

Chłopiec odwrócił się i jęknął gardłowo, jakby się budził. Uniósł obie ręce w górę i zaczął uderzać nimi, jak gdyby we śnie odganiał od siebie jakiś zły, czarny kształt. Nadine wycofała się, czując silne, dudniące pulsowanie w skroniach. W tym chłopcu wciąż było coś dziwnego. To, co teraz robił ani trochę jej się nie podobało. Zupełnie jakby odbierał jej myśli.

Musiała iść dalej. Musiała się spieszyć.

Weszła do swojego pokoju. Na podłodze leżał dywan. W kącie stało jednoosobowe łóżko, łóżko starej panny. I to wszystko. Nie było nawet obrazu na ścianie. Pokój nie miał za grosz charakteru. Otworzyła drzwi szafy i zaczęła odgarniać na bok wiszące w niej rzeczy. Sięgała coraz dalej w głąb. Klęczała, pot ściekał jej po twarzy. Po chwili wyjęła leżące na samym dnie szafy jaskrawe pudełko, którego wieko zdobiło zdjęcie kilku uśmiechniętych dorosłych osób, osób grających w grę towarzyską. W grę, która liczyła sobie co najmniej trzy tysiące lat.

Znalazła ją w sklepie z różnymi dziwnymi drobiazgami, ale nie odważyła się użyć jej w domu, zwłaszcza gdy był w nim chłopiec. Właściwie w ogóle nie odważyła się jej użyć... aż do teraz. Coś podpowiedziało jej, by zajrzała do tego sklepu, a kiedy ujrzała planszetę w tym kolorowym, krzykliwym pudełku, w jej wnętrzu rozgorzała zawzięta walka. Taki rodzaj walki psychologowie określają mianem „awersji kompulsywnej”. Poczuli się tak jak teraz, pragnąc dwóch sprzecznych rzeczy naraz – wyjść jak najszybciej ze sklepu, nie oglądając się

za siebie i zabrać to przerażająco krzykliwe pudełko z sobą, do domu. To drugie pragnienie przeraziło ją znacznie bardziej, gdyż miała wrażenie, że nie pochodziło od niej. Ostatecznie zabrała pudełko do domu.

Zdarzenie miało miejsce przed czterema dniami. Każdej nocy pragnienie zrobienia użytku z planszety przybierało na sile, aż w końcu na wpół oszalała ze strachu, którego natury nie pojmowała do końca, pobiegła do Larry'ego, ubrana tylko w cieką szaro-niebieską sukienkę. Nie założyła bielizny. Chciała raz na zawsze wyzbyć się swoich lęków. Czekając na ganku, aż Lucy i Larry wrócą z zebrania była pewna, że nareszcie postępuje właściwie. Dręczyło ją poczucie, że od owej upojnej nocy pod gwiazdami, kiedy uciekała po wilgotnej od rosy łące ścigana przez chłopca, nie wykonała ani jednego właściwego posunięcia. Ale tym razem chłopiec ją dogoni. Pozwoli mu na to. I to będzie koniec. Tylko że kiedy pozwoliła mu się dogonić okazało się, że chłopiec jej nie chce.

Nadine wstała, przyciskając pudełko do piersi i zgasła lampę. Wzgardził nią, a czegoś takiego nie sposób wybaczyć. Wzgardzona kobieta gotowa jest dla zemsty sprzymierzyć się z diabłem... lub jego sługą.

Ze stolika we frontowym holu zabrała dużą latarkę. Z głębi domu dobiegł ją krzyk chłopca, ten dźwięk na chwilę ją sparaliżował, sprawił, że po plecach przeszły jej lodowate ciarki.

Ale już po chwili wyszła z domu.

Jej vespa stała przy ulicy, ten sam skuter, którym kilka dni temu pojechała do domu Harolda Laudera. Dlaczego postanowiła go odwiedzić? Odkąd dotarła do Boulder zamieniła z nim ledwie kilka słów. Jednak mimo swego niepokoju związanego z planszetą, lęku wywołanego snami, które nawiedzały ją nadal, choć inni najwyraźniej zdołali się już od nich uwolnić, coś podpowiadało jej, że powinna porozmawiać o tym z Haroldem. Bała się również tego impulsu, upominała samą siebie, wkładając kluczyk do stacyjki skutera. Podobnie jak nagle pragnienie wzięcia planszety („Zadziw przyjaciół! Rozbaw rówieśników!” – brzmiał napis na pudełku), ten pomysł również zdawał się nie pochodzić od niej. Może to były JEJO myśli. Kiedy w końcu przemogła się i pojechała do Harolda, okazało się, że nie było go w domu. Drzwi były zamknięte na klucz, żaluzje zaciągnięte. Chyba nie było w Boulder drugiego domu, jak ten, zamkniętego na klucz. To się jej spodobało i przez chwilę przeżywała gorycz rozczarowania z powodu nieobecności Harolda. Gdyby był, mógłby ją wpuścić, a potem zamknąć za nią drzwi na zasuwkę. Potem poszliby do pokoju, rozmawiali, być może również kochali się albo robili razem inne niewypowiedziane rzeczy i nikt by o tym nie wiedział.

Dom Harolda był twierdzą intymności.

– Co się ze mną dzieje? – wyszeptała w mrok, lecz ten nie odpowiedział.

Odgłos silnika vespy jak nóż rozciął ciszę nocy. Wrzuciła bieg i ruszyła na zachód. Gdy chłód nocy omiół jej twarz, nareszcie poczuła się lepiej. Nocny wiatr omiatał pajęczyny.

Chyba to wiesz, prawda? Co robisz, gdy brak ci alternatyw? Wybierasz to, co pozostało. Wybierasz pisaną ci mroczną przygodę. Pozwalasz Larry'emu pozostać z tą jego przygłupią nimfomanką o ilorazie inteligencji tostera. Zostawiasz ich ze sobą. Rzykujesz... to, co masz do zaryzykowania.

Głównie siebie samą.

Widziała drogę rozpościerającą się przed nią w blasku przedniego światła skutera. Musiała wrzucić dwójkę, gdy wjechała na coraz bardziej pochyłą stromiznę; znajdowała się teraz na Baseline Road i wspinała się wciąż wyżej i wyżej na stok czarnej góry. Niech sobie mają te swoje spotkania.

Interesowało ich jedynie przywrócenie w całym mieście zasilania, jej kochanka interesował cały świat.

Silnik vespy kaszał, rząził i zawodził przeciągle, ale jakimś cudem nie gasł.

Nadine poczuła, że powoli ogarnia ją przerażająca, a zarazem nader zmysłowa trwoga, wibrujące siodełko skutera sprawiło, iż poczuła tam w dole rozlewające się w górę i w dół rozkoszne ciepło. („No, no, moja mała Nadine, jesteś napalona – pomyślała z coraz większym rozbawieniem. – Nieładnie, oj, nieładnie, niegrzeczna z ciebie dziewczynka”). Po prawej stronie miała pionową jak uciętą nożem stromiznę stoku. Tam, w dole nie mogło jej czekać nic innego prócz śmierci. A co ją czekało tam, wysoko, na samej górze?

Cóż, to się okaże.

Teraz było już za późno na zmianę decyzji. Nie mogła zawrócić i ta myśl przepełniła ją paradoksalnym w sumie i dojmująco rozkosznym wrażeniem bezgranicznej, nieujarzmionej wolności.

W godzinę później była już w Amfiteatrze Sunrise, ale do wschodu słońca pozostały jeszcze trzy godziny z okładem. Amfiteatr znajdował się w pobliżu wierzchołka góry Flagstaff i niemal wszyscy przybywający do Boulder prędzej czy później odwiedzali to miejsce. W słoneczny dzień, czyli w Boulder prawie codziennie, a przynajmniej w sezonie letnim – mogłeś ujrzeć stamtąd Boulder oraz I-25 biegnącą na południe do Denver i do oddalonego o dwieście mil Nowego Meksyku. Na wschodzie znajdowały się równiny ciągnące się aż do Nebraski, nieco bliżej zaś kanion Boulder, wąwóz prosty jak cięcie od noża, biegnący pomiędzy górami porośniętymi świerkami i sosnami. Latem nad Amfiteatrem Sunrise, na ciepłych prądach powietrznych niczym ptaki unosiły się szybowce.

Obecnie Nadine widziała tylko to, co ukazywał jej promień sześcibaterijnej latarki, którą położyła na piknikowym stoliku opodal krawędzi stoku. Leżał tam otwarty blok rysunkowy, a na czystej kartce jak trójkątny pająk spoczywała planszeta. U dołu wystawał z niej przywodzący na myśl pajęcze żądło ołówek, delikatnie dotykający kartki papieru. Nadine była z jednej strony bliska euforii, z drugiej zaś umierała ze strachu. Docierając tu na swojej dychawicznej vespie, poczuła to samo, co Harold w Nederland. Poczuła JEGO. Podczas

jednak gdy Harold odbierał to raczej w precyzyjny, wręcz technologiczny sposób, jako przyciąganie przez magnes stalowej kulki, przyciąganie ku czemuś, Nadine doświadczyła bardziej mistycznego doznania, wrażenie to przywodziło jej na myśl przekraczanie granicy. Zupełnie jakby te góry, u podnóża których się znajdowała, były strefą niczyją pomiędzy dwiema sferami wpływów – Flagga na zachodzie i starej kobiety na wschodzie.

Tu magia przepływała w obu kierunkach, mieszając się i tworząc własny porządek, który nie był ani Boski ani diabelski, lecz jak najbardziej pogański. Miała wrażenie, że znalazła się w miejscu nawiedzonym.

A wskaźnik...

Wyrzuciła barwne, krzykliwe pudełko z nadrukiem Made in Taiwan, aby odtąd zajął się nim wiatr. Sama planszeta była tandetnie wykonanym, trójkątnym wskaźnikiem z drewna, a może gipsu. To nie miało znaczenia. Użyje go tylko raz – tak jak już raz odważyła się kiedyś to zrobić – ale nawet tandetnie wykonany przyrząd mógł spełnić swoją funkcję – wyważyć drzwi, zamknąć okno, napisać imię.

Hasła na pudełku brzmiały: „Zadziw przyjaciół! Zabaw rówieśników!”

Jak brzmiały słowa tej piosenki, którą Larry śpiewał czasem podczas ich wspólnej podróży?

„Halo, centrala, co się dzieje z tą linią? Chciałbym rozmawiać z...”

Z kim? To jest właśnie owo najważniejsze pytanie, czyż nie?

Przypomniała sobie tamten wieczór w college’u, kiedy po raz pierwszy i jedyne użyła planszety. Było to ponad dwanaście lat temu... a jednak wydawało się, jakby stało się to wczoraj. Weszła na górę, aby zapytać dziewczynę mieszkającą na drugim piętrze ich akademika, Rachel Timms, o zadanie z fakultetu, na który wspólnie uczęszczały. W pokoju było kilka dziewcząt, sześć, a może osiem i wszystkie śmiały się lub chichotały. Nadine przypomniała sobie, że sprawiały wrażenie, jakby były naćpane, paliły trawkę albo jeszcze coś gorszego.

– Przestańcie! – powiedziała Rachel, ale ona także się śmiała. – Jak chcecie, żeby duchy nawiązały z wami kontakt, skoro rzycie jak stado oślic.

To porównanie wydało się im szczególnie zabawne i przez chwilę cały pokój rozbrzmiewał dźwięcznym, dziewczęcym śmiechem. Planszeta stała tak jak teraz, trójkątny pająk na trzech grubych nóżkach, z ołówkiem skierowanym ku dołowi. Podczas gdy dziewczęta chichotały, Nadine wzięła do ręki plik kartek z bloku rysunkowego i zaczęła przeglądać odebrane do tej pory przekazy z zaświatów.

„Tommy mówi, że znów zaczęłaś używać truskawkowego mydła do kąpieli”.

„Mama mówi, że czuje się świetnie”.

„Czunga! Czunga!”

„John mówi, że jeśli przestaniesz jeść tę okropną fasolę, to w końcu przestaniesz pierdzić!”

I inne, równie idiotyczne bzdety.

Wreszcie uspokoiły się na tyle, że móc zacząć raz jeszcze. Trzy dziewczęta usiadły na łóżku, dotykając koniuszkami palców planszety, każda z innego boku. Przez chwilę nie działo się nic. Wreszcie wskaźnik drgnął.

– Ty to zrobiłaś, Sandy – rzuciła oskarżycielskim tonem Rachel.

– Wcale nie!

– Ciii!

Wskaźnik znowu zadrżał. Dziewczęta umilkły. Wskaźnik poruszył się i znieruchomiał. Ołówek napisał literę O.

– O, kurczę – powiedziała dziewczyna imieniem Sandy.

– O, rany – zawtórowała druga i obie zachichotały.

– Ciii – rzuciła gniewnie Rachel.

Planszeta zaczęła poruszać się szybciej, kreśląc litery J-C-I-E-C.

– Ojciec nasz... – rzuciła Patty jak-jej-tam i wybuchnęła śmiechem. – To na pewno mój stary, zmarł na serce, gdy miałam trzy latka.

– To nie koniec – powiedziała Sandy.

M-Ó-W-I – napisała mozolnie planszeta.

– Co się dzieje? – wyszeptła Nadine do wysokiej, nieznajomej dziewczyny o końskiej twarzy. Dziewczyna trzymała obie dłonie w kieszeniach i wyglądała na zdegustowaną.

– Banda idiotek zabawia się czymś, czego nie rozumie – odparła dziewczyna. – Oto, co się dzieje – dodała jeszcze ciszej.

– OJCIEC MÓWI ŻE PATTY – przeczytała Sandy. – Tak, Pats, to rzeczywiście twój stary.

Kolejny wybuch śmiechu.

Dziewczyna o końskiej twarzy nosiła okulary. Wyjęła dłonie z kieszeni ogrodniczek, które nosiła i zdjęła okulary. Zaczęła czyścić szklę, tłumacząc jednocześnie Nadine na czym polegało posługiwanie się planszeta.

Mówiła szeptem.

– Planszeta to narzędzie używane przez media i osoby o zdolnościach paranormalnych. Kinetolodzy...

– Kto taki?

– Naukowcy zajmujący się badaniem ruchu oraz współzależności pomiędzy mięśniami i nerwami.

– Och.

– Twierdzą oni, że planszeta w rzeczywistości reaguje na drobne ruchy mięśniowe, najprawdopodobniej sterowane nie przez świadomy umysł ludzki, lecz przez podświadomość. Naturalnie media i osoby o zdolnościach parapsychicznych twierdzą, że planszeta poruszają istoty z planu astralnego...

Dziewczęta nachylone nad wskaźnikiem znów zaczęły chichotać. Nadine spojrzała ponad ramieniem dziewczyny o końskiej twarzy i przeczytała wiadomość, która jak dotąd brzmiała **OJCIEC MÓWI ŻE PATTY POWINNA PRZESTAĆ CHODZIĆ**

– ...tak często do kibla – dokończyła jedna z dziewcząt, przyglądających się temu widowisku, i cała reszta znów wybuchnęła śmiechem.

– Tak czy inaczej, nie traktują tego poważnie – rzuciła z pogardą w głosie wysoka dziewczyna. – Bawią się tym. To bardzo nierozsądne. Zarówno media jak i naukowcy zgodnie przyznają, że pismo automatyczne może być niebezpieczne.

– Uważasz, że duchy są dzisiaj nieprzyjazne? – zapytała pogodnie Nadine.

– Możliwe, że **ZAWSZE** są nieprzyjazne – odparła tamta, obrzucając ją przenikliwym spojrzeniem. – Lub też podświadomość może przekazać ci informację, na przyjęcie której nie będziesz przygotowana. Znane są udokumentowane przypadki, kiedy seans z pismem automatycznym zupełnie wydostał się spod kontroli. Ludzie tracili zmysły. Po prostu oszaleli.

– Chyba trochę przesadzasz. Przecież to tylko zabawa. Gra.

– Nawet gry i zabawy mogą niekiedy stać się śmiertelnie poważne.

Zanim Nadine zdążyła coś powiedzieć, przerwał jej najgłośniejszy jak dotąd wybuch śmiechu rozbawionych dziewcząt. Patty jak-jej-tam spadła z łóżka i pokładała się na podłodze, wyjąc ze śmiechu, trzymając się za brzuch i wierzgając nogami. Pełen przekaz brzmiał następująco: **OJCIEC MÓWI ŻE PATTY POWINNA PRZESTAĆ CHODZIĆ Z LEONARDEM KATZEM DO KINA SAMOCHODOWEGO.**

– To twoja sprawka! – rzuciła Patty do Sandy, kiedy w końcu znów usiadła na łóżku.

– Wcale nie, Patty, naprawdę!

– To był twój ojciec. Nadawał z Tamtej Strony! Z zaświatów! – powiedziała jedna z dziewcząt, naśladując, skądinąd całkiem udanie, głos Borisa Karloffa.

– Nie zapomnij, że stary wciąż cię obserwuje, gdy następnym razem będziesz ściągać majtki na tylnym siedzeniu dodge'a Leonarda.

Znów salwa śmiechu. Gdy dziewczęta się uspokoiły, Nadine podeszła i dotknęła ramienia Rachel. Zamierzała zapytać ją o zadanie i cicho się ulotnić.

– Nadine! – zawołała Rachel. Oczy miała błyszczące i rozbawione. Policzki nabiegłe rumieńcem. – Usiądź, zobaczymy, czy duchy mają jakąś wiadomość dla ciebie!

– Nie, lepiej nie. Chciałam cię tylko spytać o zadanie...

– Do diabła z zadaniami! To naprawdę ważne, Nadine. To wielka rzecz. Musisz spróbować. Usiądź tu przy mnie. Janey, ty siądź z drugiej strony.

Janey usiadła naprzeciw Nadine, a na usilną prośbę Rachel Timms Nadine z pewnym wahaniem przyłożyła delikatnie osiem palców do jednego z boków planszety. Z jakiegoś powodu obejrzała się przez ramię na dziewczynę o końskiej twarzy. Ta jeden jedyny raz wyraźnie potrząsnęła głową, a odbicie światła od szkieł okularów zmienił jej oczy w dwa oślepiająco białe błyski.

W pierwszej chwili ogarnął ją strach; przypomniawszy sobie teraz, gdy stała, patrząc na drugą planszetę w świetle solidnej latarki i znów usłyszała w myślach swoje słowa: „Przecież to tylko zabawa, gra, na miłość boską, co mogło się jej stać w pokoju pełnym rozchichotanych dziewcząt?” Jeśli istniała atmosfera bardziej nie sprzyjająca pojawieniu się złych duchów czy demonów, to Nadine nie potrafiła jej sobie wyobrazić.

– A teraz bądźcie wszystkie cicho – poleciła Rachel. – Duchy, czy macie jakąś wiadomość dla naszej siostry i przyjaciółki na dobre i złe, Nadine Cross?

Planszeta ani drgnęła. Nadine poczuła lekkie zakłopotanie.

– *Ene due rike bam* – odezwała się naśladowczyni Borisa Karloffa, tym razem głosem Królika Bugsa. – Mówcie duchy, każę wam!

Znów chichot.

– Ciii! – rzuciła Rachel.

Nadine uznała, że jeśli któraś z dziewcząt nie zacznie zaraz poruszać planszetą, aby sprokurować dla niej jakąś kretyńską „wiadomość”, zrobi to sama, wymyśli coś szybkiego i krótkiego, choćby zwykłe BUUU!, żeby dały jej wreszcie spokój.

Miała właśnie wprowadzić swój pomysł w czyn, kiedy planszetą drgnęła gwałtownie pod jej palcami. Ołówek pozostawił na czystej kartce długą, ukośną kreskę.

– Hej, duchy, nie tak ostro! – zawołała Rachel z odrobiną niepewności w głosie.

– Czy to ty zrobiłaś, Nadine?

– Nie.

– Janey?

– Uhm-hm. Naprawdę.

Planszeta znowu drgnęła, niemal wrywając się im z rąk, i przesunęła się w lewy górny róg kartki papieru.

– Kurczę – szepnęła Nadine. – Poczuliście to...?

Poczuly to, każda z nich, choć później ani Rachel ani Jane Fargood nie chciały o tym mówić. Od tego wieczoru zaczęły unikać Nadine, a i ona przestała je odwiedzać. Zupełnie jakby bały się z nią przyjaźnić.

Planszeta zaczęła drzeć pod ich palcami, jej dotyk przywodził na myśl dotknięcie zderzaka samochodu pracującego na jałowym biegu. Wibracja był jednostajna i niepokojąca. Takich drgań nie sposób było wywołać nieświadomie. Dziewczęta ucichły. Na ich twarzach pojawił się osobliwy wyraz, wyraz, który można dostrzec na twarzach uczestników seansu spirytystycznego, na którym dochodzi do prawdziwej, zgoła nieoczekiwanej manifestacji parapsychicznej: wirowania stolika, stukania w ściany albo pojawienia się ektoplazmy wpływającej z ciała pogrążonego w transie medium. To wyraz swoistego, pełnego niepewności wyczekiwania, gdy z jednej strony wszyscy pragną, aby przerwać to, co się dzieje, a z drugiej chcą zobaczyć, co będzie dalej. To wyraz podszytego trwogą, jedyne w

swoim rodzaju podniecenia... a gdy ma się taki wyraz twarzy, ludzkie oblicze wygląda jakby kości czaszki znajdowały się dobre pół cala pod powłoką skóry.

– Przestańcie! – zawołała nagle dziewczyna o końskiej twarzy. – Przestańcie albo pożałujecie!

Na to Jane Fargood wykrzyknęła głosem pełnym przerażenia:

– Nie mogę oderwać palców od wskaźnika!

Ktoś krzyknął gardłowo. Jednocześnie Nadine uświadomiła sobie, że również jej palce były jak przyklejone do drewnianej ścianki planszety. Mięśnie jej ramion napięły się, gdy próbowała uwolnić dłonie, jednak wszystkie jej wysiłki spełzły na niczym.

– W porządku, koniec żartu – powiedziała Rachel zduszonym, wystraszonego głosem. – Kto...

I nagle planszeta zaczęła pisać.

Poruszała się z oszalamiającą prędkością pociągając za sobą ich palce, zmuszając, by ich ręce przesuwały się to w górę, to w dół, to w bok i mogłoby to nawet wydawać się zabawne, gdyby nie wyraz twarzy trzech pochylonych nad kartką papieru dziewcząt. Nadine pomyślała później, że wyglądało to tak, jakby jej ręce uwięzione zostały w automatycznej maszynie do ćwiczeń ruchowych. Wcześniejsze „przekazy” tworzyły wielkie, koślawe litery przywodzące na myśl pismo siedmiolatka.

To pismo było wyraźne, gładkie i zgrabne... duże, lekko pochylone litery, kreślone jedna za drugą na białej kartce papieru. Było w nich coś drapieżnego i złowrogiego.

NADINE NADINE NADINE JAKŻE CIĘ KOCHAM NADINE BĄDŹ MOJA KOCHAJ MNIE NADINE BĄDŹ MOJĄ KRÓLOWĄ BĘDZIESZ NIĄ JEŚLI TYLKO JEŚLI TYLKO ZACHOWASZ DLA MNIE CZYSTOŚĆ JEŚLI ZACHOWASZ CZYSTOŚĆ JEŚLI DLA MNIE UMRZESZ UMRZESZ DLA MNIE JEŚLI UMRZESZ – napisała gwałtownie poruszająca się planszeta.

Planszeta przesunęła się nieco niżej, kreśląc kolejne słowa.

JUŻ NIE ŻYJESZ TY I ONE CAŁA RESZTA TWOJE IMIĘ I ICH WSZYSTKICH ZNAJDUJE SIĘ W KSIĘDZE UMARŁYCH NADINE JEST MARTWA WRAZ Z NIMI WSZYSTKIMI NADINE ZGNIJE WRAZ Z NIMI CHYBA ŻE ŻE

Planszeta zatrzymała się. Wciąż pulsowała. „Koniec, to koniec, nareszcie koniec” – pomyślała Nadine, ale przyrząd zaraz znów przesunął się na brzeg kartki i zaczął pisać dalej. Jane krzyknęła przeraźliwie. Usta pozostałych dziewcząt były otwarte w wyrazie konsternacji i bezgranicznego zdumienia.

ŚWIAT JUŻ WKRÓTCE ŚWIAT JUŻ WKRÓTCE UMRZE CAŁY ŚWIAT UMRZE A MY MY MY NADINE JA JA JA MY MY MY JESTEŚMY

Litery na białej kartce papieru zdawały się krzyknąć:

JESTEŚMY W DOMU MARTWEJ NADINE

Ostatnie słowo napisane zostało wysokimi na całą, wielkimi literami, a potem planszeta śmignęła przez całą długość tablicy pozostawiając na niej jak krzyk długi, zamazany ślad grafitu. Wskaźnik spadł z podkładki i uderzając o podłogę, pękł na pół.

Nastąpiła długa chwila absolutnej ciszy, aż wreszcie Jane Fargood wybuchnęła głośnym, histerycznym szlochem. Skończyło się tym, że do pokoju wpadła kierowniczka bursy, aby sprawdzić, co się stało. Nadine przypomniała sobie, że musiano wezwać do Jane pogotowie i dopiero wtedy ta biedna dziewczyna doszła nieco do siebie.

Rachel Timms przez cały czas siedziała na swoim łóżku spokojna i blada. Kiedy kierowniczka bursy i większość dziewcząt (w tym również ta z końską twarzą) udały się do swoich pokoi, beznamiętnym dziwnym głosem zapytała Nadine:

– Nadine, kto to był?

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą. Nie miała pojęcia. W każdym razie jeszcze nie wtedy.

– Nie rozpoznałaś charakteru pisma?

– Nie.

– Cóż, może powinnaś zabrać ten... przekaz z zaświatów, czy Bóg wie skąd... i wrócić do swojego pokoju.

– Sama mnie zaprosiłaś, abym wzięła w tym udział! – rzuciła gniewnie Nadine. – Skąd mogłam wiedzieć, że... że zdarzy się... coś takiego? Do cholery, zrobiłam to, żeby ci sprawić przyjemność!

Rachel miała w sobie dość przyzwoitości, by usłyszawszy te słowa, oblać się rumieńcem. Nawet przeprosiła Nadine. Jednak od tej pory starała się jej unikać, a dodać należy, że Rachel Timms nigdy nie zaliczała się do grona jej bliskich koleżanek.

Od tego czasu ani razu nawet nie dotknęła trójkątnego drewnianego przedmiotu przypominającego wyglądem pająka o trzech nogach.

Nadszedł jednak czas, aby powtórzyć to doświadczenie. Czyż nie?

Tak. Bez wątplenia.

Jej serce biło przyspieszonym rytmem. Nadine usiadła na ławie, dotykając delikatnie opuszkami palców dwóch z trzech boków drewnianej planszety. Poczuli, jak przedmiot powoli zaczyna się poruszać i znów skojarzyło się jej to z samochodem na jałowym biegu. Ale kto nim kierował? Kim był kierowca? Kim był NAPRAWDĘ? Kto wsiądzie, trzaśnie drzwiczkami i położy pocerniałe od słońca dłonie na kierownicy? Czyja stopa, brutalna i ciężka, obuta w stary, zakurzony kowbojski but ze ściętym obcasem nadeptnie na pedał gazu i zabierze ją... dokąd?

„Kierowco, dokąd nas zabierasz?”

Nadine, która nie mogła już liczyć na żadną pomoc, czy choćby nawet wsparcie, wyprostowała się, siedząc na ławce na szczycie góry Flagstaff, pośród mroków mijającej nocy i raz jeszcze ogarnęło ją uczucie, jakby znalazła się na granicy dwóch przeciwstawnych

potęg. Wzrok miała skierowany ku wschodowi, ale czuła napływającą zza niej JEGO obecność, napierającą na nią z całej siły, ściągającą w dół niczym odważniki przywiązane do stóp martwej kobiety: mroczną obecność Flagga, docierającą do niej regularnymi, nieprzepartymi falami.

Mroczny mężczyzna był gdzieś tam, pośród ciemności nocy, a Nadine, jeszcze samotna wyszeptała dwa krótkie słowa, niczym inkantację do wszystkich demonów i duchów nocy, jakie kiedykolwiek istniały – była to zarazem inkantacja i zaproszenie.

– Powiedz mi.

Planszeta pod jej palcami zaczęła się przesuwać.

ROZDZIAŁ 54

Wyjątki z protokołu spotkania komisji stałej Wolnej Strefy, 19 sierpnia 1990 roku

Spotkanie odbyło się w mieszkaniu Stu Redmana i Fran Goldsmith. Obecni byli wszyscy członkowie komisji Wolnej Strefy.

Stu Redman pogratulował wszystkim, w tym także sobie, wyboru do komisji stałej. Złożył wniosek o sporządzenie listu z podziękowaniem dla Harolda Laudera, pod którym mieliby podpisać się wszyscy członkowie nowej rady. Wniosek przeszedł jednogłośnie.

Stu: Gdy skończymy ze starymi tematami Glen Bateman przedstawi kilka swoich wniosków. Nie wiem o nich nic, podobnie jak wy, ale podejrzewam, że jeden z nich dotyczy następnego spotkania otwartego. Zgadza się, Glen?

Glen: Zaczekam na swoją kolejkę.

Stu: Jak miło z twojej strony, łysy. Zasadnicza różnica między starym pijakiem a starym łysym profesorkiem z college'u polega a tym, że ten ostatni czeka na swoją kolejkę, zanim zacznie truć ci do głowy.

Glen: Dzięki, Teksańczyku, że byłeś łaskaw podzielić się ze mną tą perełką wiedzy z twojej skarbnicy mądrości.

Fran stwierdziła, że cieszy się, iż Stu i Glen doskonale się bawią, ale może już przeszliby do tematu, bo o dziesiątej zaczyna się jej ulubiony serial w telewizji.

Salwa śmiechu, jaka wtedy wybuchła, wydawała się głośniejsza niż można by się spodziewać.

Pierwszym punktem programu było wysłanie przez nas na zachód zwiadowców. Gwoli przypomnienia, komisja zdecydowała, że poproszą, by zadania tego podjęli się Sędzia Farris, Tom Cullen i Dayna Jurgens. Stu zaproponował, by z kandydatami rozmawiali ci sami ludzie, którzy ich nominowali, to znaczy Larry Underwood uda się do Sędziego, Nick z pomocą Ralpha Brentnera porozmawia z Tomem, a Sue z Dayną.

Nick nadmienił, że dogadanie się z Tomem może zająć kilka dni, na co Stu wtrącił, że w związku z tym należałoby ustalić, kiedy każde z nich wyruszy w drogę.

Larry powiedział, że nie mogą wyruszyć wspólnie, aby nie schwytali ich wszystkich razem. Rozwijając ten temat, doszedł do wniosku, że Sędzia i Dayna domyśla się zapewne, iż wysyłamy więcej niż jednego szpiega, dopóki jednak nie dowiedzą się, kim oni są, nie będą mogli się wygadać. Fran powiedziała, że „wygadanie się” nie jest odpowiednim określeniem tego, co może ich spotkać z rąk mrocznego mężczyzny, gdyby udało mu się ich pojmać.

Glen: Fran, na twoim miejscu nie malowałabym tego wszystkiego w tak ciemnych barwach. Jeśli przyjmiemy, że nasz Adwersarz dysponuje choćby szczątkową inteligencją, na pewno będzie on zdawał sobie sprawę, że nie udostępni naszym... agentom terenowym informacji, które mogłyby mieć kluczowe znaczenie dla społeczności Boulder. Powinien pojąć, że nawet na torturach nie powiedzą mu czegoś, czego nie mogą wiedzieć.

Fran: A co, poklepie ich po głowach i powie, żeby więcej tego nie robili? Obawiam się, że może ich poddać torturom, dla samej tylko przyjemności zadawania ludziom cierpienia. On to lubi. Co ty na to?

Glen: Cóż mogę powiedzieć, Fran?

Stu: Frannie, decyzja zapadła. Zgodziliśmy się, że wyślemy naszych ludzi na terytorium wroga, wiemy, że to niebezpieczna misja i dla każdego z nas podjęcie tej decyzji naprawdę nie było łatwe.

Glen zasugerował, żebyśmy przyjęli wstępny harmonogram, a mianowicie: Sędzia wyruszy dwudziestego szóstego sierpnia, Dayna dwudziestego siódmego sierpnia, a Tom dwudziestego ósmego; udadzą się na zachód różnymi drogami, nie wiedząc o sobie nawzajem. „W ten sposób zyskamy czas potrzebny na pracę z Tomem” – dorzucił.

Nick wyjaśnił, że za wyjątkiem Toma Cullena, któremu wpoi się, kiedy ma wrócić do Boulder w ramach sugestii posthipnotycznej, pozostałą dwójkę należy powiadomić, by wróciła, kiedy uzna to za stosowne. Będą musieli się jednak dostosować do warunków pogodowych, pierwsze śnieżyce w górach powinny nadejść z początkiem października. Nick zasugerował, że należy doradzić każdemu z nich, by nie zabawili na zachodzie dłużej niż trzy tygodnie.

Fran wtrąciła, że w razie gwałtownych śnieżyc w górach zawsze mogliby udać się na południe, lecz Larry zaoponował, zwracając uwagę, że mieliby na swojej drodze łańcuch Sangre de Christo, chyba że dotarliby aż do Meksyku. A gdyby tak postąpili, nie ujrzelibyśmy ich aż do wiosny.

Larry zauważył, że w tej sytuacji powinni pozwolić Sędziemu na jak najszybsze wyruszenie w drogę. zaproponował, by nastąpiło to dwudziestego pierwszego sierpnia, czyli pojutrze.

To zamknęło temat zwiadowców... albo szpiegów, jak kto woli.

Udzielono głosu Glenowi, oto treść jego wypowiedzi tak jak została nagrana na taśmie:

Glen: Chcę zgłosić wniosek, by następne zgromadzenie publiczne odbyło się dwudziestego piątego sierpnia i zasugerować kilka tematów, które należałoby na nim podjąć.

Na początek coś, co może was zdziwić i zaskoczyć. Podejrzewaliśmy, że mamy w strefie około sześćset osób, a Ralph prowadził dokładne rachunki, zliczając ludzi zjawiających się w Boulder dużymi grupami, skutkiem czego nasze szacunki opieraliśmy na tych właśnie liczbach, zdarza się jednak, że do Boulder docierają pojedyncze osoby i niewielkie grupki, powiedziałbym, że przybywa ich do dziesięciu dziennie. Wraz z Leo Rockway udałem się dziś wcześniej do Audytorium Chautauqua i policzyliśmy fotele w sali. Jest ich sześćset siedem. Czy to coś wam mówi?

Sue Stern powiedziała, że to niemożliwe, bo przecież wszystkie miejsca były zajęte, a ludzie i tak siedzieli w przejściach i stali pod ścianą na końcu sali. I naraz wszyscy zrozumieliśmy, do czego zmierzał Glen i chyba śmiało można powiedzieć, że cała komisja wręcz osłupiała z wrażenia.

Glen: Nie wiemy, ile dokładnie osób stało, a ile siedziało na podłodze, ale o ile przypominam sobie to spotkanie, powiedziałbym, że była ich co najmniej setka. Tak więc, jak sami widzicie, mamy obecnie w Strefie ponad siedemset osób. W rezultacie mojego i Leo odkrycia zgłaszam wniosek o powołanie komisji do spraw spisu ludności. Chciałbym, aby był on jednym z podstawowych punktów planu dnia kolejnego spotkania.

Ralph: Niech mnie kule biją! W ogóle o tym nie pomyślałem.

Glen: Nic w tym dziwnego, Ralph. Masz na głowie tuzin różnych spraw i, jak chyba wszyscy zgodnie przyznają, radzisz sobie z nimi znakomicie...

Larry: Jeszcze jak!

Glen:...ale nawet gdybyśmy przyjęli, że dziennie dociera tu tylko czwórka samotników, to i tak wychodzi nam prawie trzydzieści osób tygodniowo. Jeżeli o mnie chodzi, uważam, że każdego dnia trafia tu od dwunastu do czternastu osób. Żadna z nich nie zgłasza się do nas i nie powiadamia o swoim przybyciu, a teraz, kiedy Matka Abigail odeszła, nie ma takiego miejsca, gdzie po dotarciu do Boulder można by je policzyć.

Fran Goldsmith poparła wniosek Glena o umieszczenie w programie następnego walnego zebrania punktu o utworzeniu komisji do spraw spisu ludności, który to organ będzie odpowiedzialny za policzenie i zebranie danych wszystkich osób przybywających do Wolnej Strefy.

Larry: Jestem za tym wszystkim, co niezbędne i konieczne, ale...

Nick: „Ale co?”

Larry: Czy nie mamy teraz na głowie innych, o niebo ważniejszych spraw, niż bawienie się w nudną i beznadziejną biurokrację?

Fran: Przemawia za tym co najmniej jeden istotny powód...

Larry: To znaczy?

Fran: Jeśli Glen ma rację, oznacza to, że następne zebranie będziemy musieli urządzić w innej, dużo większej sali. To po pierwsze. Osiemset osób z okładem nie pomieści się w Audytorium Chautauqua.

Ralph: Jezu, w ogóle o tym nie pomyślałem. Mówiłem wam, że nie nadaję się do tej roboty.

Stu: Wyluzuj się, Ralph, świetnie ci idzie.

Sue: Gdzie wobec tego ma się odbyć to cholerne zebranie?

Glen: Chwileczkę, chwileczkę. Wszystko po kolei. Jeszcze nie skończyliśmy poprzedniego punktu programu!

Stosunkiem głosów siedem do zera ustalono, że podczas kolejnego zebrania podjęta zostanie kwestia utworzenia komisji do spraw spisu ludności.

Z kolei Stu zgłosił wniosek, by spotkanie dwudziestego piątego sierpnia odbyło się w Audytorium Munzingera na tutejszym uniwersytecie, która to sala liczyła sobie ponad tysiąc miejsc.

Glen ponownie poprosił o głos.

Glen: Zanim będziemy kontynuować, chciałbym wyjaśnić, że jest jeszcze jeden powód utworzenia tej komisji, znacznie poważniejszy niż to, ile butelek napojów chłodzących i ile paczek chipsów trzeba będzie dla nich przygotować. Powinniśmy wiedzieć, kto do nas przybywa... ale musimy również mieć świadomość, kto odchodzi. Wiecie, mam wrażenie, że kilka osób już nas opuściło. Może to tylko paranoja, ale przysięgam, że byli tu z nami ludzie, których twarzy od pewnego czasu nie widuję. Po wizycie w Audytorium Chautauqua udaliśmy się z Leo do domu Charliego Impeniga. I zgadnijcie, co tam zastaliśmy? Dom jest pusty, rzeczy Charliego zniknęły, podobnie jak jego samochód.

Komisja zareagowała głośnymi okrzykami i siarczystymi przekleństwami, których tu jednak nie przytaczam.

Z kolei Ralph zapytał, co nam to da, że będziemy wiedzieć, kto nas opuścił. Zwrócił uwagę, że jeżeli ludzie tacy jak Impening chcą odejść do mrocznego mężczyzny, to tym lepiej dla nas, niech idą, krzyżyk na drogę.

Kilka osób przyjęło słowa Ralpha oklaskami, na co ten zapłonił się jak ucniak.

Sue: A ja rozumiem, o co chodzi Glenowi. W ten sposób będziemy mieć stały przepływ informacji.

Ralph: Ale co niby mielibyśmy robić? Wsadzać ich za kratki?

Glen: To może wydawać się okrutne, ale chyba należy liczyć się z taką ewentualnością.

Fran: O, nie. Z wysyłaniem szpiegów mogę się jeszcze pogodzić. Ale zamykanie ludzi w więzieniu, ludzi, którzy tu przyszli, i to tylko dlatego, że nie podoba im się nasz styl działania? Jezu, Glen! To jest tworzenie państwa policyjnego!

Glen: Owszem, to może tak wyglądać. I kto wie, czy się tak nie skończy. Niemniej jednak znajdujemy się w bardzo niebezpiecznym położeniu. Nasza sytuacja nie przedstawia się najlepiej. Mówisz, że jestem zwolennikiem represji; to nie w porządku z twojej strony. Musisz wziąć pod uwagę, że nasze postępowanie jest warunkowane obecnością Adwersarza. Nie zapominaj o nim i raz jeszcze rozważ swoje słowa.

Fran: W dalszym ciągu uważam, że to poroniony pomysł. W latach pięćdziesiątych Joe McCarthy miał straszak w postaci komunizmu. My mamy mrocznego mężczyznę. Świetnie, po prostu świetnie.

Glen: Fran, czy jesteś gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co mogłoby się stać, gdyby z tego miasta wyjechał ktoś dysponujący naprawdę istotnymi informacjami – na przykład o zniknięciu Matki Abigail?

Fran: On może się o tym dowiedzieć od Charliego Impeniga. Jakimi jeszcze kluczowymi informacjami dysponujemy? Może tą, że w znacznej mierze błądzimy bez celu niczym dzieci we mgle?

Glen: Chciałabyś, żeby dowiedział się, ilu ludzi przebywa w Boulder? Lub jak nam idzie od strony technologicznej? Albo że, wciąż nie mamy prawdziwego lekarza.

Fran odparła, że lepiej zaryzykować ujawnienie takich informacji, niż wsadzać ludzi za kratki tylko dlatego, że mają odmienne zdanie na temat organizacji władzy w mieście.

Stu zaproponował, aby wniosek o aresztowaniu ludzi mających odmienne poglądy odłożyć na czas nieokreślony i poddał to pod głosowanie. Wniosek przeszedł przy jednym głosie sprzeciwu, Glena.

Glen: Lepiej pogódźcie się, że prędzej czy później przyjdzie wam zmierzyć się z tym problemem. Podejrzewam, że będzie to raczej prędzej niż później. Charlie Impening mówiący Flaggowi o wszystkim, co wie, to poważny problem. Wiecie, jak on wszystko potrafił wyolbrzymić. Jeżeli chcecie wyobrazić sobie, co mu powiedział, spróbujcie oszacować, ile mógł wiedzieć i pomnóżcie to przez teoretyczny czynnik x. Zresztą nieważne, zagłosowaliście, żeby odłożyć ten temat na później. Ale... jest jeszcze coś. Zostaliśmy wybrani na czas nieokreślony... czy ktokolwiek z was zastanawiał się nad tym? Nie wiemy, czy będziemy pełnić swoje funkcje przez sześć tygodni, sześć miesięcy czy sześć lat. Sugerowałbym dwanaście miesięcy, jeden rok kalendarzowy... w ten sposób moglibyśmy ujrzeć koniec początku, jak to barwnie określił Harold. Chciałbym, by w programie następnego spotkania znalazł się punkt o naszej rocznej kadencji.

Jeszcze jeden wniosek i już kończę. Sprawowanie rządów na bazie rady miejskiej – czyli to, co wprowadzamy w Boulder – jako reprezentanci miasta, będzie się sprawdzać przez pewien czas, dopóki nie zbierze się tu ze trzy tysiące osób. Kiedy zacznie brakować miejsc, gdzie moglibyśmy przeprowadzić walne zgromadzenie, zaczną się tworzyć najróżniejsze kliki i opozycje, pragnące wcisnąć kij w tryby naszej maszyny. Pojawiają się propozycje w rodzaju utworzenia własnej flagi i tym podobne. Sugeruję, byśmy już teraz zaczęli bardzo mocno zastanawiać się, jak przeistoczyć Boulder w republikę, co powinno nastąpić z końcem zimy lub wczesną wiosną następnego roku.

Po ostatnim wniosku Glena Batemana wywiązała się nieformalna dyskusja, ale na tym spotkaniu nie podjęto żadnych konkretnych działań. Nick zgłosił chęć zabrania głosu i dał Ralphowi kartkę, by przeczytał wszystkim jej treść.

Nick: „Piszę te słowa dziewiętnastego sierpnia rano, w dniu, w którym ma się odbyć kolejne nasze spotkanie i poproszę Ralpa, by przeczytał to pod sam koniec zebrania. Czasami trudno jest być głuchoniemym, ale starałem się przemyśleć wszelkie możliwe ograniczenia mojego wniosku. Chciałbym, aby został on zgłoszony w ramach kolejnego walnego zgromadzenia. Potwierdzenie, czy Wolna Strefa zgodzi się na utworzenie Departamentu Prawa i Porządku Publicznego ze Stu Redmanem na czele”.

Stu: Aleś mnie tym zaskoczył, Nick.

Glen: To ciekawe. Znowu wracamy do tego, o czym przed chwilą mówiliśmy. Pozwól mu skończyć, Stuart, potem będziesz mógł zabrać głos.

Nick: „Centrala Departamentu Prawa i Porządku Publicznego powinna mieścić się w gmachu sądu okręgu Boulder. Stu powinien uzyskać prawo samodzielnego mianowania zastępców – do trzydziestu osób, powyżej trzydziestu zaś w drodze głosowania, uzyskawszy większość głosów członków komisji Wolnej Strefy, powyżej siedemdziesięciu natomiast większością głosów obywateli Wolnej Strefy podczas walnego zgromadzenia. To rezolucja, którą chciałbym zgłosić do programu dnia kolejnego zgromadzenia. Oczywiście mój wniosek spełni na niczym, jeśli Stu nie wyrazi zgody na objęcie tego stanowiska”.

Stu: Otóż to!

Nick: „Jest nas w mieście tylu, że naprawdę potrzebujemy stróżów prawa, bez nich zacznie się bałagan. Choćby ta sprawa z chłopakiem Gehringerów, który jeździł jak szalony autem w tę i z powrotem po Pearl. W końcu go rozwalił i miał szczęście, że wyszedł z tego tylko z paskudnie rozciętym czołem. Mógł zabić nie tylko siebie. Wszyscy, którzy go wtedy widzieli, zdawali sobie sprawę, że chłopak robi źle, że może narobić niezłego bigosu; «to znaczy K-S-I-E-Ż-Y-C» – jakby powiedział Tom, ale nikt go nie powstrzymał, bo nie miał po temu uprawnień. To po pierwsze. Po drugie, przypadek Richiego Moffata. Może niektórzy z was go znają, ale dla wiadomości tych, którzy słyszą to nazwisko po raz pierwszy powiem, iż jest to najprawdopodobniej jedyny praktykujący alkoholik w całej Strefie. Kiedy jest trzeźwy, facet jest całkiem porządny, ale jak sobie popije, staje się nieobliczalny, a pije niemal na okrągło. Trzy lub cztery dni temu upił się i postanowił wytłuc wszystkie okna wystawowe wzdłuż Arapahoe. Pogadałem z nim o tym, kiedy już wytrzeźwiał, to znaczy na mój sposób, pisząc na kartkach i nieźle go zawstydziłem. Pokazał ręką w stronę ulicy, na której szalał i rzekł: «Spójrz na to. Zobacz, co narobiłem. Cały chodnik zasypany szkłem. A jeżeli poharacze się nim jakiś dzieciak? To będzie moja wina»,.

Ralph: Ani trochę mu nie współczuję. Bynajmniej.

Fran: Daj spokój, Ralph. Wszyscy wiedzą, że alkoholizm to choroba.

Ralph: Choroba, akurat! Powiedziałbym raczej postępująca degeneracja. W ten sposób wszystko można usprawiedliwić.

Stu: Proszę o ciszę. Nie udzieliłem wam głosu. Uciszcie się natychmiast!

Ralph: Przepraszam, Stu. Już czytam dalej.

Fran: A ja obiecuję, że będę milczeć przez co najmniej dwie godziny, panie przewodniczący. Bardzo przepraszam.

Nick: „Ostatecznie znalazłem dla Richiego porządną miotłę i facet najlepiej jak umiał posprzątał cały ten bałagan. Muszę przyznać, że spisał się całkiem nieźle. W pewnej chwili zapytał jednak, dlaczego nikt go nie powstrzymał. W dawnych czasach facet taki jak Rich nie mógł sobie pozwolić na wysokogatunkowe, mocne alkohole, pijał wyłącznie tanie wino. Teraz jednak w sklepach pełno jest najróżniejszych wódek, wystarczy zgarnąć je z półek. Co więcej, uważam, że Richiego ktoś powinien zatrzymać najdalej po tym, jak rozbił drugą wystawę, a jednak on wytlukł wszystkie szyby w południowej części ulicy na długości trzech przecznic. Przerwał swoją niszczycielską działalność, ponieważ zwyczajnie się zmęczył. I jeszcze jeden przykład. Mieliśmy ostatnio przypadek, kiedy to mężczyzna, którego nazwiska nie wymienię dowiedział się, że jego kobieta, jej tożsamość również pominę, spędziła popołudnie w niedwuznaczny sposób z innym mężczyzną. Podejrzewam, że wszyscy wiedzą, o kim mowa”.

Sue: Tak, chyba tak. Facet lubi używać pięści.

Nick: „Mężczyzna ten pobił swego rywala oraz, niejako przy okazji, kobietę. Nie jest tu istotne, kto miał rację, a kto nie...”

Glen: I tu się mylisz, Nick...

Stu: Glen, pozwól mu dokończyć.

Glen: Oczywiście, ale chciałbym jeszcze później do tego wrócić.

Stu: Dobrze. Czytaj dalej, Ralph.

Ralph: To już prawie koniec.

Nick: „Ponieważ najistotniejsze jest, że mężczyzna ów popełnił przestępstwo, dopuścił się napaści z pobiciem, a wciąż przebywa na wolności. Spośród tych trzech przypadków ten ostatni najbardziej niepokoi wszystkich obywateli. Nasza społeczność jest bardzo różnorodna, to jedyna w swoim rodzaju mieszanina ras, charakterów i osobowości, toteż zatargi i spięcia są nieuchronne. Nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał, aby w Boulder zapanowały prawa rodem z Dzikiego Zachodu. Pomyślcie, co by było, gdyby wspomniany mężczyzna włamał się do sklepu z bronią, zabrał stamtąd .45-kę i zamiast pobić, zastrzelił na miejscu kobietę i jej kochanka. Wówczas mielibyśmy mordercę na wolności”.

Sue: Nick, co to ma być? Zadanie do przemyślenia na dziś?

Larry: Tak, to nic przyjemnego, ale on ma rację. Jest takie powiedzenie, chyba z wojska czy z marynarki, które brzmi: „Jeśli coś może się nie udać, to się nie uda”.

Nick: „Stu pełni obecnie funkcję przewodniczącego naszych posiedzeń, zarówno jawnych jak i tajnych, co oznacza, że ludzie darzą go wielkim szacunkiem. Poza tym osobiście uważam, że Stu jest po prostu porządnym facetem”.

Stu: Dzięki za te miłe słowa, Nick. Chyba nie zauważyłeś, że noszę buty na specjalnej podeszwie, żebym wydawał się wyższy niż jestem w rzeczywistości. A tak na poważnie, jeśli

tego sobie życzyście, jestem gotów przyjąć tę nominację. Nie żebym naprawdę chciał tej roboty, z tego, co widziałem w Teksasie gliny zajmują się wyłącznie ścieraniem rzygowin z koszul, gdy faceci w rodzaju Richiego Moffata puszcza na nich pawia albo zdrapują szufelką z asfaltu półgłówek takich jak chłopak od Gehringerów. Proszę jedynie, by na zgromadzeniu, gdy ten temat zostanie podjęty, ustalono czas trwania mojej kadencji na jeden rok, jak w przypadku naszej komisji. I chcę powiedzieć jeszcze, że gdy ten rok dobiegnie końca, zrezygnuję z pełnienia tej funkcji. Jeżeli się zgadzacie, to w porządku.

Glen: Wydaje mi się, że to, co teraz powiem będzie wyrazem opinii nas wszystkich. Chcę podziękować Nickowi za wniosek, który przedłożył i nadmienić, do protokołu, że był to wniosek genialny. Popieram.

Stu: Wniosek przyjęty i poparty. Czy ktoś chce coś dodać?

Fran: Owszem, ja. Mam jedno pytanie. Co będzie, jeśli ktoś odstrzeli ci głowę?

Stu: Nie myślę...

Fran: Właśnie, NIE MYŚLISZ. Nie sądzisz, że może do tego dojść. A jeśli się mylisz? Co wtedy, Nick? Co wtedy napiszesz? „Bardzo mi przykro, Fran?” Czy to usłyszę od Ralpha? Czy przeczyta, że: „Twój facet zginął, leży martwy z dziurą od kuli w głowie. Chyba się pomyliliśmy”. Jezus, Maria, niedługo urodzę dziecko, a wy chcecie, żeby mój mężczyzna bawił się w Pata Garretta!

Dyskusja trwała jeszcze przez dziesięć minut, ale nie wniosła niczego nowego do sprawy, dodam jedynie, że Fran, wasza wierna protokółantka, spłakała się jak bóbr, ale w końcu wzięła się w garść. Głosowanie w związku z nominowaniem Stu na szeryfa Wolnej Strefy zakończyło się przyjęciem wniosku stosunkiem głosów sześć do jednego i tym razem Fran nie zmieniła swojej decyzji. Glen przed zamknięciem spotkania poprosił raz jeszcze o udzielenie mu głosu.

Glen: Nie traktujcie tego jak wniosku do przegłosowania, raczej jak problem, który wymaga głębokiego przemyślenia. Wracam tu do trzeciego przypadku łamania prawa, wspomnianego przez Nicka. Opowiedział nam o całej sprawie i na koniec stwierdził, że nie jest istotne, kto miał rację a kto nie. Moim zdaniem Nick się myli. Wierzę, że Stu jest jednym z najuczciwszych, najbardziej prawych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałem. Tyle tylko, że egzekwowanie prawa bez systemu sądowego nie jest sprawiedliwe. To samozwańcze wymierzanie sprawiedliwości, sprawowanie władzy wedle prawa pięści. Przyjmijmy, że ten facet, wiecie kto, zdobyłby skądś pistolet i kropnął zarówno swoją kobietę jak i jej kochanka. Pójdźmy dalej tym tropem, założmy, że Stu jako nasz szeryf dopadnie mordercę i wsadzi go za kratki. I co dalej? Jak długo ma go trzymać w areszcie? Zgodnie z prawem w ogóle nie możemy go zamknąć, jest to sprzeczne z przyjętą przez nas wczoraj konstytucją, która stanowi, że każdy człowiek jest niewinny, dopóki jego wina nie zostanie bezspornie udowodniona w sądzie. Ale my wiemy, że ten mężczyzna powinien znaleźć się za kratkami! Nie chcemy, by przebywał na wolności. Uważamy, że jest niebezpieczny! I dlatego facet

pójdzie siedzieć, nawet gdyby to miało oznaczać konieczność nagięcia przez nas konstytucji; w sytuacji takiej jak ta bezpieczeństwo społeczności zawsze postawione będzie na pierwszym miejscu. Musimy jednak najszybciej jak to tylko możliwe uczynić zgodność z konstytucją oraz nasze bezpieczeństwo pojęciami – synonimami. Musimy pomyśleć o utworzeniu systemu sądowego.

Fran: To bardzo ciekawe i przyznaję, że powinniśmy się nad tym zastanowić, ale póki co zgłaszam wniosek o zakończenie dzisiejszego spotkania. Późno już i jestem bardzo zmęczona.

Ralph: Popieram wniosek. O systemie sądowym pomówimy następnym razem. Od tego, o czym dziś dyskutowaliśmy, mam już i tak wielką głowę. Postawienie tego kraju na nogi jest o wiele trudniejsze niż mogło się początkowo wydawać.

Larry: Amen.

Stu: Zgłoszono i poparto wniosek o zakończenie dzisiejszych obrad. Co wy na to?

Wniosek przeszedł stosunkiem głosów siedem do zera.

Frances Goldsmith, sekretarz komisji

– Dlaczego się zatrzymałaś? – zapytała Fran, gdy Stu powoli podjechał do krawężnika i zdjął stopy z pedałów. – Jeszcze tylko jedna przecznica.

Oczy wciąż miała zaczerwienione od łez, a Stu uznał, że nigdy jeszcze nie widział jej tak zmęczonej.

– Jeżeli chodzi o moją nową funkcję... – zaczął.

– Stu, nie chcę o tym rozmawiać.

– Ktoś musi, kochanie. Nick ma rację. Logicznie rzecz biorąc, jestem najlepszym kandydatem.

– Mam gdzieś logikę. A co ze mną i dzieckiem? Tego już logika nie podpowiada.

– Wydaje mi się, że wiem, czego pragniesz dla dziecka – rzekł półgłosem. – Przecież mówiłaś mi o tym wielokrotnie. Chcesz, aby urodziło się w świecie, który nie będzie stał na głowie, w którym nie będzie panować chaos i szaleństwo. Pragniesz dla niego – lub dla niej – przede wszystkim bezpieczeństwa. Ja również, ale nie powiem im tego wprost. Nie zdradzę tego pozostałym. To musi pozostać tylko między nami. Ty i dziecko to dwa powody, dla których zgodziłem się objąć w Boulder funkcję szeryfa.

– Wiem – wyszeptała łamiącym się głosem.

Ujął ją palcami pod brodę i delikatnie uniósł głowę. Stu uśmiechnął się do niej. Fran odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Dostrzec w nim można było zmęczenie, a po jej policzkach ściekały łzy, jednak bez wątpienia uśmiechała się szczerze. Lepsze to niż nic.

– Będzie dobrze – zapewnił. – Wszystko będzie dobrze.

Powoli pokiwała głową. Kilka kropel łez uleciało w ciepłą, letnią noc.

– Nie sądzę – odparła. – Nie sądzę, żeby było dobrze, Stu.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Rozmyślała o żarze, który płynie z buchającego ognia – tego samego, którego kradzież Prometeusz przyplacił zakuciem w kajdany i wyżeraniem przez sępa wątroby – i o miłości, z którą nieodłącznie związana jest krew.

Ogarnęło ją osobliwe przekonanie, wywołujące niezwykle odrętwienie, niczym wolno działająca narkoza, że gdy to wszystko się skończy, przyjdzie im brodzić po kostki we krwi. Myśl ta sprawiła, że obronnym gestem przyłożyła obie ręce do brzucha i po raz pierwszy od wielu tygodni przypomniała sobie nękający ją koszmar: złowrogo uśmiechniętego mrocznego mężczyznę... i tkwiący w jego dłoni poskręcany druciany wieszak.

Poza poszukiwaniem Matki Abigail, w wolnym czasie, wraz z grupką ochotników, Harold Lauder działał w służbie pogrzebowej. Dwudziestego pierwszego sierpnia znajdował się wraz z piątką ludzi na pace śmieciarki; wszyscy mężczyźni nosili wysokie buty, odzież ochronną i grube rękawice playtex. Szef służby pogrzebowej, Chad Norris, przebywał obecnie w miejscu, które z posępnym spokojem określał mianem Cmentarzyska numer jeden. Znajdowało się ono dziesięć mil na południowy zachód od Boulder, na terenie, gdzie niegdyś wydobywano węgiel. Skąpane w żarze sierpniowego słońca wyglądało równie nago i surowo jak góry na Księżycu. Chad z pewnym wahaniem przyjął funkcję szefa służby pogrzebowej, gdyż był kiedyś, w Morristown w New Jersey, pomocnikiem właściciela zakładu pogrzebowego.

– Robota jak każda inna – rzekł tego ranka przy stanowisku linii Greyhound na dworcu autobusowym, między Arapahoe a Walnut, gdzie znajdowała się ich baza operacyjna. Zapalił winstona i uśmiechnął się do dwudziestu siedzących przed nim mężczyzn. – To znaczy, niezupełnie taka jak każda inna, ale jednak robota. I trzeba ją wykonać, no nie?

Kilku mężczyzn uśmiechnęło się bez większego przekonania. Harold wyszczerzył zęby. Kiszki grały mu marsza, gdyż nie odważył się zjeść rano śniadania. Zważywszy na naturę ich pracy nie był pewien, czy zdołałby utrzymać je w żołądku. Mógł rzecz jasna nadal prowadzić poszukiwania Matki Abigail i nikt nie miałby mu tego za złe, mimo że dla każdego myślącego obywatela Strefy nie ulegało wątpliwości (i to bynajmniej Harolda nie dziwiło), że poszukiwanie staruszki z piętnastką ludzi na terytorium wokół Boulder, gdzie tysiące mil kwadratowych zajmowały gęste lasy i wyżyny, wydawało się niedorzecznością i wszelkie ich wysiłki z góry skazane były na niepowodzenie. Poza tym Murzynka mogła równie dobrze znajdować się teraz w którymś z domów poza centrum miasta i nie znaleziono by jej bez gruntownego przeszukania jednego po drugim wszystkich budynków. Redman i Andros nie zaprotestowali, kiedy Harold zasugerował, że działania grupy poszukiwawczej powinny zostać ograniczone do weekendów i wolnego czasu wieczorami, i po ich reakcji zorientował się, że oni również traktowali tę sprawę jako zamkniętą.

Mógłby ciągnąć to dalej, ale kto cieszy się powszechną sympatią w całej społeczności? Komu najbardziej się ufa? Jak to komu? Temu, kto odważa najgorszą, brudną robotę i na

dodatek robi to za uśmiech. Facetowi, który bierze się za coś, czego ty sam nigdy byś się nie tknął.

– To będzie jak grzebanie drewek opałowych – wyjaśnił Chad. – Jeśli będziecie o tym myśleć w taki sposób, na pewno dacie radę. Z początku niektórzy z was mogą wymiotować. To nie wstydliwego, tylko idźcie z tym na stronę, żeby nie widzieli was pozostali. Jak już się porządnie wyrzygacie okaże się, że myślenie o tym jako o drewnie opałowym przyjdzie wam znacznie łatwiej. Pamiętajcie, drewno opałowe. To tylko drewno opałowe.

Mężczyźni wymienili między sobą pełne konsternacji spojrzenia.

Chad podzielił ich na trzy sześciuosobowe zespoły. On i dwóch innych udali się, by przygotować miejsce dla tych, których już przywieziono. Każdemu z zespołów przydzielono inną część miasta do oczyszczenia. Ciężarówka Harolda przez cały dzień krążyła po Table Mesa, przesuając się powoli na zachód od rampy wyjazdowej Denver-Boulder, wzdłuż Martin Drive do skrzyżowania z Broadway. W głąb 39 Street i z powrotem 40 Street, przy której po obu stronach stały trzydziestoletnie domki, pochodzące z czasów, gdy Boulder zaczęło się gwałtownie rozrastać, parterowe wille z rozbudowanymi pomieszczeniami piwnicznymi, w których urządzono wystawne pokoje i saloniki rekreacyjne.

Chad załatwił dla nich maski przeciwgazowe, pobrane ze zbrojowni miejscowego oddziału Gwardii Narodowej, ale nie musieli ich używać aż do chwili, gdy po lunchu (Lunchu? Harold zjadł jedynie kilka kawałków jabłek z puszki, na nic więcej się nie zdobył) weszli do kościoła pod wezwaniem Świętych Dni Ostatnich przy Table Mesa Drive. Wewnątrz było ponad siedemdziesiąt trupów; chorzy, trawieni zarazą dotarli tam by umrzeć. Smród był potworny.

– Drewno opałowe – rzekł wysokim, dziwnym, jakby rozbawionym głosem jeden z towarzyszy Harolda, a Lauder natychmiast odwrócił się i minął go szybkim krokiem.

Poszedł za róg niebrzydkiego ceglanego budynku, gdzie w czasach wyborów mieścił się lokal wyborczy i – kiedy już zwymiotował – stwierdził, że Norris miał rację. Z pustym żołądkiem to naprawdę wydawało się łatwiejsze.

Oczyszczenie kościoła zabrało im dwa kursy i prawie całe popołudnie. „Dwudziestu ludzi – pomyślał Harold – aby oczyścić z trupów całe Boulder. To niemal zabawne. Popłoch wywołany plotkami o zakładach badania powietrza sprawia, że większość mieszkańców na łeb na szyję wyjeżdża z miasta, a mimo to...” Harold podejrzewał, że kiedy liczebność służby pogrzebowej zacznie wzrastać wraz z populacją nowych mieszkańców Boulder, uda im się złożyć do ziemi większość ciał jeszcze przed pierwszymi śniegami (on rzecz jasna nie zamierzał zabawić tu tak długo) i obywatele Wolnej Strefy zapewne nigdy nie dowiedzą się, jak realne było zagrożenie nowej epidemii, na którą NIE BYLI uodpornieni.

Komisja Wolnej Strefy miała mnóstwo błyskotliwych pomysłów, stwierdził z pogardą. I powinna radzić sobie niezgorzej... przynajmniej dopóty, dopóki stary, dobry Harold Lauder będzie czuwał i sprawdzał co pewien czas, czy mają zawiązane jak trzeba sznurowadła.

Dobry, stary Harold Lauder był na to dostatecznie dobry, nie na tyle jednak, by zaliczyli go w skład swojej pieprzonej komisji stałej. O, nie. Co to, to nie. Za cholere. Nigdy nie był na to dość dobry, nie mógł nawet znaleźć sobie partnerki na szkolną potańcówkę. Najgorszy pasztet go nie chciał. Harold? Nie, dziękuję. Owszem, jeśli chcesz możesz nam pomóc, ale potem zabieraj swoje zabawki i idź do innej piaskownicy. My tu już mamy komplet. Tworzymy zgrany zespół. Ty się dla nas nie nadajesz.

Można by pomyśleć, że każde takie zdarzenie rychło zostanie zapomniane.

Nieprawda. Ktoś o tym pamięta. Ktoś prowadzi dokładne rozliczenia i nie zapomina o niczym.

„Kim jest ten ktoś?” – zapytacie. To oczywiste – maestro, proszę o fanfary! – oto on, Harold Emery Lauder.

Wrócił do kościoła, ocierając usta i uśmiechając się najszerzej jak potrafił. Skinął głową, dając znak, że jest gotów kontynuować. Ktoś poklepał go po plecach, a Harold uśmiechnął się szerzej i pomyślał: „Któregoś dnia stracisz za to rękę, dupku”.

O godzinie szesnastej piętnaście odbyli ostatni kurs, na pace ciężarówki spoczywały ostatnie trupy wyniesione z nawy kościoła. W mieście ciężarówka musiała mozolnie wymijać stojące na ulicach, utrudniające przejazd samochody, ale na Colorado 119 przez cały dzień trzy wozy pomocy drogowej usuwały blokujące szosę auta do rowów po obu jej stronach. Leżały tam niczym poprzewracane zabawki jakiegoś dziecka-olbrzyma.

Na cmentarzysku stały już dwie pozostałe pomarańczowe ciężarówki. Wokół nich widać było mężczyzn ze zdjętymi rękawicami; ich dłonie i palce były białe jak brzuchy śniętych ryb po całym dniu pocenia się pod warstwą grubej gumy. Palili i rozmawiali o tym i owym. Większość z mężczyzn była bardzo blada.

Norris i jego dwaj pomocnicy skorzystali teraz z pomocy nauki. Rozłożyli na kamienistym gruncie wielką płachtę grubego plastiku. Norman Kellogg, facet z Luizjany, kierowca ciężarówki Harolda, podjechał tyłem do brzegu przezroczystego prostokąta. Tylne klapy opadły z hukiem i pierwsze ciała posypały się na plastik jak na wpuł zeszywniałe, szmaciane lalki. Harold chciał się odwrócić, ale obawiał się, że inni mogliby to odebrać jako przejaw słabości. Nie przejmował się zbytnio widokiem walących się na ziemię ciał, mierzył go tylko towarzyszący temu dźwięk. Odgłos, jaki wydawały uderzając w plastik, który miał stać się ich całunem. Brzmienie silnika śmieciarki pogłębiło się, dał się słyszeć jęk podnośników hydraulicznych i tylna część ciężarówki zaczęła unosić się w górę. Ciała wysypywały się z niej jak groteskowy, ludzki deszcz. Harold poczuł dojmujący żal, uczucie tak głębokie, że aż bolało.

„Drewno opałowe – pomyślał. – Święta racja. Nic innego nie pozostało. Tylko drewno opałowe”.

– Ho! – zawołał Chad Norris, a Kellogg odjechał nieco do przodu, zatrzymał ciężarówkę i zgasił silnik.

Teraz na plastik weszli z grabiami Chad i jego pomocnicy. Harold odwrócił się, udając, że spogląda na niebo, aby sprawdzić, czy zanoszą się na deszcz (i nie był w tym odosobniony), ale i tak usłyszał dźwięk, który będzie odtąd nawiedzał go w snach; brzęk monet, drobnych wysypujących się z kieszeni mężczyzn i kobiet, których Chad i jego pomocnicy układali równo grabiami na półprzezroczystej grubej płachcie. Dźwięk monet sypiących się na plastik kojarzył się Haroldowi z brzękiem małych, mosiężnych dzwoneczków. W ciepłym powietrzu rozszedł się mdlący fetor rozkładu.

Kiedy znów się odwrócił, trzech mężczyźni ściągałi razem brzegi plastikowego całunu, pomrukując z wysiłku, a mięśnie ich ramion napięły się jak postronki. Z pomocą pospieszyło im jeszcze kilku mężczyzn, w tym również Harold. Chad Norris wyjął wielką, przemysłową zszywarkę. Dwadzieścia minut później ta część ich pracy została zakończona, a plastikowy kokon spoczywający na ziemi przypominał wielką żelatynową kapsułkę. Norris zasiadł w kabinie kanarkowożółtego buldożera i uruchomił silnik. Porysowany, ciężki lemiesz opadł z głuchym łoskotem. Buldożer potoczył się naprzód. Mężczyzna nazwiskiem Weizak, również z ekipy Harolda, oddalił się od miejsca pochówku mechanicznym, nierównym krokiem niewprawnie poruszanej marionetki. Papieros drżał mu pomiędzy palcami.

– Człowieku, nie mogę na to patrzeć – rzekł, mijając Harolda. – To naprawdę dziwne. Aż do dziś nie zdawałem sobie sprawy, że jestem Żydem.

Buldożer popchnął i stoczył wielki plastikowy kokon do wykopanego w ziemi głębokiego, podłużnego dołu. Chad wycofał maszynę, wyłączył silnik i opuścił szoferkę. Przywołując do siebie całą ekipę, podszedł do jednej z ciężarówek i postawił jedną nogę na stopniu poniżej drzwiczek.

– Nie wiem, czy jest to powód do świętowania – oznajmił – ale spisaliście się na medal. Wydaje mi się, że zebraliśmy dziś około tysiąca sztuk.

„Sztuk” – pomyślał Harold.

– Wiem, że ta robota sprawia, że człowiek traci jakąś część siebie. Komisja obiecała nam, że przed końcem tygodnia dołączą do nas jeszcze dwaj mężczyźni, ale zdaję sobie sprawę, że to nie zmienia ani waszych, ani moich odczuć względem tego, co robimy. Jeżeli więc czujecie, że macie już dość, że nie zniesiecie kolejnego dnia tej harówki, nie musicie się przejmować i unikać mnie na ulicy. Po prostu odpuśćcie sobie, znajdźcie tylko kogoś, kto was jutro zastąpi. Moim skromnym zdaniem to najważniejsza z prac, jakie obecnie wykonuje się w Strefie. Na razie nie jest jeszcze źle, ale jeśli w przyszłym miesiącu wciąż będziemy mieć w Boulder dwadzieścia tysięcy nie pogrzebanych truposzów i przyjdą pierwsze sloty, ludzie mogą zacząć chorować. Jeżeli uważacie, że dacie radę, spotkamy się jutro rano na dworcu autobusowym.

– Ja przyjdę – rzekł ktoś.

– Ja też – powiedział Norman Kellogg. – Ale dziś wieczorem urządzę sobie sześciogodzinną kąpiel. – Rozległ się gorzki śmiech.

– Na mnie możesz liczyć – odezwał się Weizak.

– Na mnie również – rzucił półgłosem Harold.

– To brudna robota – powiedział Norris cichym, pełnym emocji głosem. – A wy jesteście porządnymi facetami. Wątpię, czy ktokolwiek z tamtych zdoła was kiedykolwiek docenić, tak jak na to zasługujecie.

Harold poczuł dziwną więź łączącą go z tymi ludźmi, niemal rodzinną zażyłość i natychmiast zaczął ją w sobie zwalczać. Wraz z nią do jego serca wkradł się lęk. To nie należało do jego planu.

– Do jutra, Hawk – powiedział Weizak i ścisnął go za ramię.

Na ustach Harolda pojawił się obronny uśmiech. Słowa tamtego zbiły go z tropu. Hawk? To jakiś żart? Na pewno, i do tego kiepski. Tani sarkazm. Nazwać grubego, pryszczatego Harolda Laudera Jastrzębiem. Hawk. Dobrze sobie. Poczul, że wzbiera w nim stara, tak dobrze mu znana nienawiść, skierowana tym razem przeciwko Weizakowi, ale zaraz ją w sobie stłumił. Nie był już gruby, można wręcz powiedzieć, że wydawał się smukły. W ciągu ostatnich siedmiu tygodni z jego twarzy znikły też szpetne pryszcze. Weizak nie wiedział, że Harold był w swojej szkole pośmiewiskiem. Nie wiedział również, że ojciec Harolda podejrzewał go kiedyś o homoseksualizm. Podobnie jak nie wiedział, że Harold był prawdziwym krzyżem pańskim dla swojej o wiele bardziej popularnej i lubianej siostrzyczki. A nawet gdyby wiedział, Weizak zapewne w ogóle by się tym nie przejął. Harold wsiadł na pakę jednej z ciężarówek. W jego umyśle panował chaos. Ni stąd ni zowąd wszystkie stare urazy, minione krzywdy i nie spłacone długi wydały mu się pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, jak banknoty zalegające w kasach sklepów i banków, jak Ameryka długa i szeroka. Czy to mogło być prawdą? Czy naprawdę mogło tak być? Ogarnęła go panika. Czuł się samotny, zagubiony i przerażony. Nie, uznał w końcu. To nie mogło być prawdą. A dlaczego? Zastanów się. Jeżeli miałeś dość silnej woli i wytrwałości, by poradzić sobie z najgorszymi opiniami na swój temat, rozpowszechnianymi przez nieżyczliwych ci ludzi, którzy uważali cię za niedojdę, ciapę, dupka, nieudacznika, a nawet pedała, to mogłeś równie dobrze zaprzeć się... czego?

Ich pozytywnej opinii o tobie?

Czy ta logika nie była przypadkiem trochę... szalona?

W jego wzburzonym umyśle pojawił się nagle stary cytat, słowa jednego z generałów, odpowiedzialnego za internowanie amerykańskich Japończyków podczas drugiej wojny światowej. Ktoś w rozmowie z generałem zauważył, że na zachodnim wybrzeżu, gdzie naturalizowanych Japończyków było najwięcej nie wydarzył się jak dotąd ani jeden przypadek sabotażu. Generał odpowiedział: „Już sam ten fakt wydaje mi się wielce podejrzany”.

Czy z nim było podobnie?

Czy aby na pewno?

Ich ciężarówka zajęła na parking przy dworcu autobusowym. Harold zeskoczył na ziemię, stwierdzając, że również jego koordynacja poprawiła się o dobre tysiąc procent. Zapewne było to skutkiem utraty wagi, stale wykonywanych prac fizycznych, a może jednego i drugiego.

Do jego umysłu powróciła ta uporczywa, nie dająca mu spokoju myśl, której nijak nie potrafił się wyzbyc: „Mógłbym okazać się bardzo przydatny dla tej społeczności”.

Ale oni go nie chcieli. Nie przyjęli go do siebie.

„To nieistotne. Jestem dość bystry, by móc znaleźć wytrych do drzwi, które przede mną zatrzasnęły. I chyba nie brak mi teraz ikry, aby otworzyć drzwi, kiedy już sforsuję w nich zamek”.

Ale...

„Przestań! Przestań! Równie dobrze mógłbyś nosić kajdanki i okowy na kostki z wrytym na nich tym jednym słowem Ale! Ale! Ale! Nie mógłbyś przestać? Daj sobie wreszcie spokój. Zsiądź z tego konia, zanim skręcisz sobie kark!”

– Ej, stary, wszystko w porządku?

Harold drgnął. To był Norris, wyszedł z biura dyspozytora, które właśnie zajął. Wyglądał na zmęczonego.

– Ja? Czuję się świetnie. Zamyśliłem się.

– Nie przeszkadzaj sobie. Wydaje mi się, że za każdym razem gdy to robisz, zyskuje na tym całe miasto.

Harold pokręcił głową.

– Nieprawda.

– Nie? – Chad zmienił temat. – Podrzucić cię gdzieś?

– Hhm-hm. Mam swojego choppera.

– Wiesz co, Hawk? Wydaje mi się, że większość tych facetów rzeczywiście tu jutro wróci.

– Też tak uważam. – Harold podszedł do swojego motocykla i usiadł na siodełku. Jakby wbrew sobie rozkoszował się swoim nowym przydomkiem.

Norris pokręcił głową.

– Nigdy bym w to nie uwierzył. Sądziłem, że gdy zorientują się, na czym polega ta robota, zaraz znajdą sobie tysiąc innych zajęć.

– Powiem ci coś – mruknął Harold. – Wydaje mi się, że łatwiej jest odwalić brudną robotę dla siebie, niż dla kogoś innego. Większość tych facetów pierwszy raz w życiu robiło coś z myślą o sobie samych.

– Tak. Chyba coś w tym jest. Do jutra, Hawk.

– O ósmej – potwierdził Harold i pomknął wzdłuż Arapahoe w kierunku Broadway. Po jego prawej stronie ekipa złożona głównie z kobiet za pomocą wozu holowniczego i dźwigu

podnosiła ciężarówkę z przyczepą, która przewróciła się i złożyła jak scyzoryk, blokując większą część ulicy. Wokoło zebrała się gromadka gapiów.

„Miasto się rozrasta – pomyślał Harold. – Połowy z tych ludzi nie widziałem wcześniej na oczy”.

Pojechał dalej, debatując nad nie dającym mu spokoju problemem, który uważał dotąd za rozwiązany. Kiedy dotarł do domu, ujrzał stojącą przy chodniku małą, białą vespe. I kobietę siedzącą na schodach pod drzwiami jego domu.

Kiedy Harold zaczął iść w jej stronę wstała i wyciągnęła rękę na powitanie. Była jedną z najatrakcyjniejszych kobiet, jakie Harold kiedykolwiek widział, naturalnie spotkał ją już wcześniej, ale rzadko miał okazję oglądać ją z tak bliska.

– Jestem Nadine Cross – oznajmiła.

Mówiła cichym głosem, niemal szeptem. Uścisk dłoni miała zdecydowany i chłodny. Harold swoim zwyczajem otaksował ją wzrokiem. Robił to zgoła mimowolnie. Dziewczeta tego nie znosiły, ale to było od niego silniejsze. Ta kobieta najwyraźniej nie miała nic przeciw temu.

Miała na sobie jasne bawełniane spodnie, opinające miękko jej długie nogi, bluzkę bez rękawów z jakiegoś jasnoniebieskiego jedwabistego materiału. Nie nosiła stanika. Ile miała lat? Trzydzieści? Trzydzieści pięć? Może mniej. Przedwcześnie posiwała.

„Czy wszędzie?” – zapytał głos tkwiącego w nim zepsutego chłopca (prawiczka) i serce w jego piersi zabiło żywiej.

– Harold Lauder – powiedział z uśmiechem. – Przyszłaś z grupą Underwooda, zgadza się?

– Tak. Dokładnie.

– Podążaliście za mną, Stu i Frannie przez Wielkie Pustkowia, o ile dobrze zrozumiałem. Larry odwiedził mnie w zeszłym tygodniu, przyniósł butelkę wina i parę batoników. – W jego głosie pobrzmiwała wyraźnie fałszywa nuta i nagle zorientował się, iż ona doskonale zdawała sobie sprawę, że myślał zupełnie o czymś innym, rozbierał ją wzrokiem, zastanawiał się, jak wyglądała bez ubrania. Próbował zwalczyć w sobie chęć oblizania spierzchniętych warg...

I udało mu się, przynajmniej na pewien czas.

– To cholernie miły facet.

– Larry? – Roześmiała się lekko dziwnym, odrobinę tajemniczym śmiechem. – Tak, Larry jest naprawdę wielki.

Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem. Harold nigdy jeszcze nie spotkał kobiety o tak szczerym i przenikliwym spojrzeniu. Znów poczuł przyływ podniecenia i ciepłą nerwowość w żołądku.

– Cóż... – chrząknął. – Co mogę dla pani zrobić, panno Cross?

– Na początek zacząć mi mówić Nadine. I zaprosić mnie na kolację. Potem pomyślimy, co dalej.

Uczucie nerwowości i ciepła w jego wnętrzu zaczęło się rozprzestrzeniać.

– Nadine, czy chciałabyś zostać i zjeść ze mną kolację?

– Bardzo – odparła i uśmiechnęła się. Kiedy położyła mu dłoń na przedramieniu, poczuł mrowienie jakby przeszył go prąd. Przez cały czas ani na chwilę nie spuściła z niego wzroku.

– Dziękuję.

Włożył klucz do dziurki zamka i pomyślał: „Zaraz zapyta, dlaczego zamykam drzwi mojego domu na klucz, a ja zacznę się plątać, miotać i bełkotać, aż zrobię z siebie błazna”.

Ale Nadine o nic nie zapytała.

To ona przygotowała kolację.

Harold osiągnął taki stan, w którym nie potrafił już przyrządzić jakiegokolwiek zjadliwego dania z puszek, ale Nadine poradziła sobie doskonale. Z zatrwającą wyrazistością uświadomił sobie, czym zajmował się przez cały dzień. Zapytał, czy może opuścić ją na dwadzieścia minut (zapewne zjawiała się tu w jakiejś banalnej sprawie, upominał się w duchu), po czym poszedł się umyć. Użył w tym celu dwa wiadra ciepłej wody.

Kiedy wrócił, Nadine krzątała się w kuchni. Na gazowej kuchence gotowała się woda. Gdy wszedł do kuchni, wrzuciła do garnka pół filiżanki makaronu „kolanka”. Na drugim palniku w rondelku coś dusiło się na wolnym ogniu. Harold poczuł połączony aromat francuskiej zupy cebulowej, czerwonego wina i grzybów. Kiszki zagrały mu marsza. Apetyt wzięł w nim górę nad wspomnieniami upiornej pracy.

– Pachnie smakowicie – powiedział. – Nie powinnaś tego robić, ale nie zamierzam się skarżyć.

– To potrawka Stroganoff – wyjaśniła, odwracając się do niego z uśmiechem. – Niestety dość marna namiastka. Wołowina z puszek nie jest tym, czego używano do przyrządzenia tej potrawy w najlepszych restauracjach na świecie, ale... – wzruszyła ramionami; ograniczenia, które dotknęły ich wszystkich były nie do przewyciężenia.

– Miło z twojej strony, że zechciałaś coś przyrządzić.

– Drobiazg. – Znów przyjrzała mu się badawczo i odwróciła się lekko w jego stronę; jedwabisty materiał bluzki naprężył się z boku, ukazując wyraźniej zarys jej lewej piersi. Poczuł, że się rumieni i rozpaczliwie próbował powstrzymać coraz silniejszą erekcję. Podejrzewał jednak, że nie ma dość silnej woli, by ją przewyciężyć.

– Zostaniemy dobrymi przyjaciółmi – powiedziała.

– N-n-naprawdę?

– Tak. – Odwróciła się w stronę kuchenki, pozostawiając Harolda jego domysłom.

Później ich rozmowa zesłała na zgoła trywialne tematy, głównie miejscowe plotki. Tych nigdy nie brakowało. W połowie posiłku znów spróbował dowiedzieć się, co właściwie ją tu sprowadziło, ale Nadine tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową.

– Lubię patrzeć, jak mężczyzna je.

Przez chwilę Harold sądził, że mówiła o kimś innym i nagle zorientował się, iż miała na myśli jego. Rzeczywiście jadł aż mu się uszy trzęsły, spałaszował trzy porcje Stroganoffa i, zdaniem Harolda, mięso z puszki wcale nie ujęło potrawie smaku. Rozmowa się nie kleiła, Harold mógł zatem, już najedzony i spokojny, przyrzeć się swemu gościowi. Była naprawdę piękna, pomyślał. Olśniewająca. Dojrzała i urodziwa. Długie włosy, które ułożyła w koński ogon aby nie przeszkadzały jej podczas pichcenia w kuchni nie były, jak początkowo przypuszczał, poprządkane pasemkami siwizny, lecz czystej, śnieżnej bieli. Oczy miała poważne i ciemne, a kiedy zuchwale spojrzała na niego, Harold poczuł się odrobinę nieswojo. Mówiła niskim, zdecydowanym głosem. Dźwięk ten wydał mu się zarazem nieprzyjemny i niemal boleśnie rozkoszny.

Po posiłku chciał wstać i pójść do kuchni, lecz Nadine uprzedziła go.

– Kawa czy herbata?

– Naprawdę, mógłbym...

– Mógłbyś, ale tego nie zrobisz. To, co ma być: kawa, herbata... czy ja?

Uśmiechnęła się, lecz bez mrugnięcia okiem, które mogło zwykle towarzyszyć tego typu żarcikom słownym, jeśli nie powinno się brać ich poważnie. Jej uśmiech wydawał się lubieżny i słodki jak lukrowe przybranie na torcie albo odrobina bitej śmietany na wierzchu pysznej galaretki. I znów to badawcze spojrzenie.

Kompletnie zdezorientowany, czując pod czaszką obłądne wirowanie, Harold z niewzruszonym spokojem odparł:

– Dwa ostatnie poproszę.

Z wielkim trudem opanował chichot, który zaczął narastać w jego wnętrzu.

– Dobrze. Zaczniemy od herbaty dla dwojga – rzekła Nadine i podeszła do kuchenki.

Krew uderzyła Haroldowi do głowy, gdy tylko odwróciła się od niego, bez wątpienia był teraz czerwony jak burak. „To ci dopiero pan Przyjemniaczek! – skarcił się srodze w duchu. – Ona to powiedziała żartem, a ty przyjąłeś jej słowa jako niedwuznaczną propozycję i ani chybi wszystko popsuleś! Dobrze ci tak! Nie zasłużyłeś na nic innego! Dobrze ci tak!”

Zanim postawiła na stole parujące kubki z herbatą, rumieniec prawie zupełnie znikł z twarzy Harolda, a on sam zdołał się już opanować. Uczucie roztrzepania zastąpiła w nim rozpacz i nie po raz pierwszy odniósł wrażenie, jakby jego ciało i umysł czyjaś niewidzialna ręka umieściła w wagoniku wielkiej kolejki górskiej, utworzonej z czystych emocji. Nie cierpiał tego, ale nie potrafił przerwać szaleńczej jazdy. „Jeżeli naprawdę była mną zainteresowana – pomyślał («Choć Bóg jeden wie, dlaczego miałyby się tak zdarzyć» – dodał

posepnie w duchu.) – niewątpliwie wybiłem jej to z głowy moimi beznadziejnymi sztubackimi odzywkami”.

Cóż, nie pierwszy i nie ostatni raz. Tak już z nim bywało. Powinien zacząć się przyzwyczajać.

Spojrzała na niego znad krawędzi kubka swoimi szczerymi aż do bólu oczami i znowu się uśmiechnęła, a on natychmiast odegnał od siebie niepokojące myśli o kolejnej, nieuchronnej porażce. Spokój, który zdołał osiągnąć, prysnął w jednej chwili.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytał. Zabrzmiało to dość sztywno, ale przecież musiał coś powiedzieć, bądź co bądź nie przyszła tu bez powodu. Na jego ustach wykwitł maskujący zakłopotanie uśmiech.

– Tak – odparła i odstawiła kubek. – Tak, możesz. Możliwe, że możemy pomóc sobie nawzajem. Wejdziemy do pokoju?

– Jasne. Dlaczego nie. – Jego dłoń drżała i, odstawiając kubek, rozlał odrobinę herbaty na stół.

Gdy wszedł za nią do pokoju, zwrócił uwagę na gładkość, z jaką materiał spodni przywierał do jej pośladków. U większości kobiet pod spodniami dostrzec można było odcinający się wyraźnie zarys majteczek; w jakimś piśmie przeczytał, że aby tego uniknąć kobiety powinny nosić figi typu g-string, złożone z cienkiego paska materiału połączonego gumkami, albo w ogóle nie nosić bielizny.

Przełknął ślinę, w każdym razie, przynajmniej próbował. W jego gardle zagnieżdżyła się jakaś wielka kula.

W pokoju panował półmrok, jedyna poświata docierała do środka przez opuszczone żaluzje. Było wpół do siódmej, zapadał zmierzch. Harold podszedł do jednego z okien, aby podciągnąć żaluzje i wpuścić nieco więcej światła, ale powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się do niej. Miał sucho w ustach.

– Nie. Niech zostaną opuszczone. Zapewniają nam odrobinę intymności.

– Intymności – wychrypiął Harold. Skrzeczał jak papuga cierpiąca na zapalenie krtani.

– Abym mogła zrobić... to – powiedziała i nagle znalazła się w jego ramionach. Przyłgnęła do niego mocno całym ciałem. Coś takiego przydarzyło mu się po raz pierwszy w życiu, zaskoczenie było całkowite. Poczul miękkość i nacisk jej piersi na swoim torsie poprzez białą bawełnianą koszulę i niebieską bluzkę Nadine. Jej brzuch, miękki lecz sprężysty, nie cofnął się przed jego erekcją. Poczul jej zapach, zapach perfum, a może ciała, tę sekretną woń, która pojawia się nagle, przyćmiewając zmysły i skupiając myśli tylko na jednym. Dłońmi odnalazł jej włosy i wplótł w nie palce.

Wreszcie pocałunek dobiegł końca, lecz Nadine nie odsunęła się. Przywarła do niego niczym miękki, delikatny płomień. Była o jakieś trzy cale niższa i spoglądała na niego, unosząc twarz ku górze. To, co się wydarzyło Harold traktował z pewną ironią, z przymrużeniem oka. Kiedy w końcu odnalazł miłość, a przynajmniej jakąś jej drobną

namiastkę, odniósł wrażenie, że jest jednym z bohaterów historii miłosnych opisywanych w którymś z tych barwnych kobiecych czasopism. Autorzy tych opowiadań, jak napisał niegdyś Harold w nie opublikowanym liście do pisma „Redbook” stanowili jeden z bardziej przekonujących argumentów na ostateczne przeforsowanie i wprowadzenie eugeniki.

Teraz jednak, gdy patrzył na jej uniesioną ku górze twarz, ujrzał wilgotne, na wpół rozchylone usta i błyszczące oczy, rozjaśnione... tak... jakimś dziwnym wewnętrznym blaskiem. Jedynym szczegółem, o którym pismo „Redbook” nie wspomniało był jego, doprawdy zdumiewający, wzwód.

– Teraz – powiedziała. – Na kanapie.

Dotarli tam jakoś i już po chwili splekli się na niej w miłosnym uścisku. Rozpuściła włosy, gęsta czarno-biała kaskada spłynęła na jej ramiona, jej zapach wydawał się być wszędzie. Odnalazł dłońmi piersi Nadine, a ona nie zaoponowała, wręcz przeciwnie, zaczęła wyginać się i prężyć, by miał do nich lepszy dostęp. Nie pieścił jej ogarnięty nieprzepartą żądzą, chciał ją jedynie posiąść. Wejść w nią.

– Jesteś prawiczkim – rzekła Nadine. Nie było sensu oponować... ani kłamać. Skinął głową. – Wobec tego najpierw zrobimy to szybko. Następnie razem będzie wolniej. I lepiej.

Rozpięła guzik jego dzinsów, odsłaniając rozporek. Następnie zaczęła wodzić palcem wskazującym po brzuchu, tuż poniżej pępka. Czując jej dotyk, Harold zadrżał i zaczął się pocić.

– Nadine...

– Ciii – Kaskada włosów przesłoniła twarz Nadine, nie sposób było teraz dostrzec jej wyrazu.

Rozpięła mu rozporek i Absurdalny Organ, tym bardziej absurdalny, że przyobleczony w białą bawełnę slipek (dzięki Bogu, że po wzięciu prysznicą zmienił bieliznę) wyskoczył jak diablik z pudełka. Absurdalny Organ nie zdawał sobie sprawy ze swego komicznego wyglądu, gdyż przeznaczony był do śmiertelnie poważnych zadań. Tak to już jest z prawiczkami, zawsze są śmiertelnie poważni, nie chodzi im o rozkosz, lecz o nabranie doświadczenia.

– Moja bluzka...

– Mogę...?

– Tak. Właśnie tego chcę. A potem zajmę się tobą.

„Zajmę się tobą”. Te słowa rozbrzmiały echem w jego umyśle jak plusk kamieni wpadających do studni, po czym Harold zaczął ssać łapczywie jej pierś, smakując jej słodko-słony smak.

Westchnęła ciężko.

– Tak, cudownie, Haroldzie.

„Zajmę się tobą” – powtarzał pod jego czaszką rozkoszny, zmysłowy głos.

Wetknęła palce pod gumkę jego slipek i dżinsy zsunęły mu się do kostek przy wtórze cichego metalicznego brzęku kluczy.

– Podnieś się – szepnęła.

Zrobił to.

Trwało to niecałą minutę. Szczytując, krzyknął przeciągle. Nie mógł się powstrzymać. Miał wrażenie, jakby ktoś przytknął zapalnik do całej sieci zakończeń nerwowych znajdującej się tuż pod skórą, nerwów sięgających daleko w głąb jego ciała aż do końca i tworzących tam jedyną w swoim rodzaju żywą pajęczynę.

Teraz wiedział już, dlaczego tak wielu pisarzy porównywało orgazm do umierania. A potem leżał w półmroku, z głową na poduszce, unosząc się ciężko piersią i otwartymi ustami. Bał się spuścić wzrok. Miał wrażenie, że wszędzie będzie rozbryźnięta sperma. Wydawało mu się, że wypłynęły z niego całe litry nasienia.

„Ropa, młody człowieku, odkryliśmy całe złoża ropy!”

Spojrzał na nią z zawstydzeniem, zażenowany gwałtownym wytryskiem. Ale ona tylko uśmiechnęła się do niego tymi spokojnymi, ciemnymi, wszystko wiedzącymi oczami, za sprawą których wyglądała jak młodziutka dziewczyna, która wie o kimś zbyt wiele... możliwe, że tym kimś był jej własny ojciec.

– Przepraszam – wykrztusił niepewnie.

– Dlaczego? Za co? – Nie odrywała od niego wzroku.

– Nie miałas z tego za wiele przyjemności.

– *Au contraire*. Całą masę. – Harold podejrzewał, że akurat w tym przypadku nie była wobec niego szczerą. Zanim zdążył zastanowić się nad tym dłużej, dodała: – Jesteś młody. Możemy to robić tyle razy, ile tylko zechcesz.

Spojrzał na nią bez słowa. Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Ale musisz wiedzieć o jednym. – Musnęła go leciuteńko koniuszkami palców. – Pamiętasz, jak przyznałeś się, że jesteś prawiczkim? Ja też muszę ci coś wyznać. Jestem dziewicą.

– Jesteś... – Wyraz zdumienia na jego twarzy musiał wyglądać komicznie, bo nagle wybuchnęła śmiechem.

– Czy w twojej filozofii, Horacy, nie istnieje pojęcie dziewictwa?

– Nie... tak... ale...

– Jestem dziewicą. I pozostanę nią, gdyż zachowuję je dla... dla kogoś innego.

– Dla kogo?

– Przecież wiesz.

Spojrzał na nią. Nagle zrobiło mu się zimno. Nadine odnalazła jego wzrok. Wydawała się w pełni opanowana i spokojna.

– Dla Niego?

Odwróciła lekko głowę i potaknęła.

– Ale mogę ci wiele pokazać – dodała, nie patrząc na niego. – Możemy robić różne rzeczy. Rzeczy, o których nawet... Nie. Rzeczy, o których marzyłeś, ale nigdy nie przypuszczałeś, że będziesz miał okazję spróbować. Możemy grać i udawać. Upajać się tym. Możemy... – urwała, po czym rzuciła mu tak lubieżne i zmysłowe spojrzenie, że cały zadygotał. – Możemy robić wszystko ze wszystkim, co tylko zechcesz, za wyjątkiem tej jednej, małej rzeczy. A ona przecież nie jest aż tak istotna, prawda?

W jego umyśle pojawił się kalejdoskop barwnych obrazów. Jedwabne szale... długie buty... skóra... guma... O, Jezu. „Uczniowskie fantazje”. Dziwaczna odmiana seksualnego pasjansa. Ale przecież to wszystko było tylko snem, czyż nie? Fantazją zrodzoną z fantazji, dzieckiem mrocznego snu. Chciał tego wszystkiego i chciał jej, ale pragnął również czegoś więcej. Pytanie brzmiało, jak daleko zdoła się posunąć? Jak wiele może go zadowolić?

– Możesz powiedzieć mi wszystko – stwierdziła. – Będę dla ciebie matką, siostrą, dziwką i niewolnicą. Musisz mi tylko powiedzieć, Haroldzie.

Te słowa rozbrzmiewały głośnym echem w jego umyśle. Przenikały go na wskroś. Otworzył usta, a głos, który z nich popłynął brzmiał głucho i matowo jak brzmienie pękniętego dzwonu.

– Ale muszę za to zapłacić, prawda? Jaką cenę? Przecież nie ma nic za darmo. Nawet teraz, kiedy wokół nas wszystko leży i czeka, by je wziąć.

„Jaką cenę przyjdzie mi zapłacić?”

– Chcę tego samego, co ty – odparła. – Wiem, co kryje się w twoim sercu.

– Nikt tego nie wie.

– To, co kryje twoje serce jest zapisane w Rejestrze. W twoim dzienniku. Mogłabym go przeczytać – wiem, gdzie go schowałeś – ale nie muszę.

Drgnął instynktownie i spojrział na nią z zażenowaniem.

– Kiedyś chowałeś go pod płytą w palenisku kominka – powiedziała, pokazując ręką na drugi koniec pokoju – ale ostatnio go przenieśli. Obecnie jest ukryty na poddaszu, pod warstwą materiału izolacyjnego.

– Skąd wiesz? Skąd to wiesz?

– Od Niego. To On mi powiedział. A raczej powinienem powiedzieć, że napisał do mnie list. Ale, co ważniejsze, Haroldzie, opowiedział mi o tobie. O tym, jak ten kowboj odebrał ci kobietę, a potem pozbawił cię członkostwa w komisji Wolnej Strefy. On chce, żebyśmy byli razem. I jest naprawdę szczodry. Od tej pory aż do dnia, kiedy stąd wyjedziemy, mamy wolne. Potraktuj to jako... wakacje. Porę relaksu i odpoczynku, dla nas obojga. – Dotknęła go i uśmiechnęła się. – Od tej chwili aż do naszego wyjazdu możemy cieszyć się sobą i wzajemnie dawać sobie rozkosz. Rozumiesz?

– Ja...

– Nie – odparła. – Nie rozumiesz. Jeszcze nie teraz. Ale zrozumiesz, Haroldzie. Możesz być pewien, że to zrozumiesz.

Przyszło mu nagle na myśl, aby poprosić ją, by od tej pory nazywała go Hawk.

– A później, Nadine? Czego zażąda od nas później? Czego sobie zażyczył

– Tego samego, czego pragniemy oboje. Ty i ja. Tego, co niemal zrobiłeś Redmanowi tamtej nocy, gdy po raz pierwszy wyruszyliście na poszukiwanie tej czarnej staruchy... tyle że na znacznie większą skalę. A gdy już tego dokonamy, gdy zrobimy to, czego On od nas oczekuje, udamy się na zachód. Udamy się do Niego, Haroldzie. Będziemy mogli być z nim. Zostać z Nim. – Zmrużyła powieki z rozmarzeniem.

Paradoksalnie fakt, że kochała Tamtego, a oddawała się jemu, i być może nawet sprawiało jej to przyjemność, wywołało w nim nową, zaślepiającą falę pożądania.

– A jeśli odmówię? – Usta miał zimne i gorzkie jak popiół.

Wzruszyła ramionami. Jej piersi zakołysały się zmysłowo.

– Co wtedy, Haroldzie? Cóż, życie potoczy się dalej swoim torem. Ja spróbuję znaleźć jakiś inny sposób, by dokonać tego, co muszę zrobić. A ty będziesz żył dalej, tak jak do tej pory. Prędzej czy później znajdziesz dziewczynę, która zechce... zrobić z tobą tę małą, nieistotną rzecz. Ale po pewnym czasie ta mała rzecz traci na atrakcyjności. Staje się nudna. Nużąca. Rutynowa.

– A niby skąd ty to wiesz? – zapytał, uśmiechając się do niej krzywo.

– Wiem, bo seks to życie w pigułce, a życie jest nudne, nużące i rutynowe, jak spędzanie czasu w kolejnych poczekalniach. Możesz doczekać się tu swoich piętnastu minut, Haroldzie, ale jak będą one wyglądać w ostatecznym rozrachunku całego twojego życia? Jak je podsumujesz na koniec? Zawsze będziesz mnie pamiętał, półnagą, bez bluzki i zastanawiał się, jak mogłam wyglądać, nie mając na sobie zupełnie niczego. Będziesz zastanawiać się jakby to było, gdybym zaczęła szeptać ci do ucha najwymyślniejsze sprośności... albo gdybym połała cię... całego... miodem... i zaczęła go zlizywać... a potem...

– Przestań! – rzucił oschle. Był cały rozdygotany.

Ale ona nie przestała.

– Będziesz również zastanawiał się, jak wygląda świat po Jego stronie – ciągnęła. – I właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, nie da ci spokoju.

– Ja...

– Zdecyduj się, Haroldzie. Czy mam założyć bluzkę czy zdjąć resztę tego, co mam na sobie?

Jak długo się zastanawiał? Nie wiedział. Później nie był nawet pewien, czy namyślał się choćby przez chwilę. Kiedy się w końcu odezwał, słowa płynące z jego ust zabrzmiały posępnie i głucho jak wyrok śmierci.

– Chodźmy do sypialni. Chcę to zrobić w sypialni.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, triumfalnie i tak zmysłowo, że aż zadrżał; ta reakcja zaskoczyła go. Nie spodziewał się, że miała na niego tak ogromny wpływ.

Ujęła go za rękę.

A Harold Lauder poddał się swemu przeznaczeniu.

ROZDZIAŁ 55

Z okien domu Sędziego widać było cmentarz.

Po kolacji Sędzia i Larry siedzieli na ganku za domem, paląc cygara i obserwując, jak zachodzące za górami słońce nadaje niebu coraz bledszego, pomarańczowego odcienia.

– Kiedy byłem małym chłopcem – rzekł Sędzia – mieszkaliśmy niedaleko najwspanialszego cmentarza w całym Illinois. Nosił nazwę Góra Nadziei. Każdego wieczora, po kolacji, mój ojciec, wtedy już dobrze po sześćdziesiątce, wybierał się na spacer. Czasami mu towarzyszyłem. Gdy zdarzyło się nam przechodzić obok tej cudownie utrzymanej nekropolii, ojciec pytał mnie: „Jak sądzisz, Teddy? Czy jest jeszcze nadzieja?” A ja na to odpowiadałem: „Cała Góra Nadziei”, na co tato nieodmiennie wybuchał śmiechem, jakby słyszał te słowa po raz pierwszy. Czasami przechodziliśmy obok cmentarza tylko po to, by mieć pretekst do powtórzenia naszego małego żarciku. Mój tato był bogatym człowiekiem, ale ten żart należał do najzabawniejszych, jakie znał.

Sędzia, paląc cygaro, opuścił podbródek, zgarbił się i uniósł lekko ramiona.

– Umarł w 1937 roku, gdy byłem zaledwie nastolatkiem – ciągnął. – Bardzo mi go odtąd brakowało. Chłopakowi nie potrzeba ojca, chyba żeby miał to być dobry ojciec, bo dobry ojciec jest zwykle niezastąpiony. Tak jak z nadzieją, jest jej cała Góra. Ależ go to bawiło! Zmarł mając siedemdziesiąt osiem lat. Umarł jak król. Na tronie. Z gazetą na podolku.

Larry nie wiedział, co ma powiedzieć usłyszawszy ten raczej osobliwy przykład nostalgicznych wspomnień, toteż roztropnie milczał.

Sędzia westchnął:

– Już niedługo Boulder znów na dobre zacznie tętnić życiem. To znaczy jeśli uda się wam przywrócić w całym mieście wodę i prąd. Jeżeli tego nie zrobicie, ludzie zaczną się denerwować i wyjeżdżać na południe, z obawy przed nadciągającymi chłodami.

– Ralph i Brad mówią, że się uda. A ja im ufam.

– Miejmy nadzieję, że cię nie zawiodą. Może to dobrze, że nasza staruszka odeszła. Zapewne czuła, że tak będzie lepiej. Może ludzie powinni sami móc ocenić, czym są światła widoczne na niebie, a jeśli na pniu drzewa pojawi się coś dziwnego, rozstrzygnąć w zgodzie z

własnym sumieniem, czy naprawdę widać tam twarz, czy może jest to tylko szczególna gra światła i cieni. Rozumiesz, o co mi chodzi, Larry?

– Nie – odparł szczerze Larry. – Raczej nie.

– Zastanawiam się, czy zanim zaczniemy ponownie uruchamiać tak proste i banalne urządzenia, jak choćby spłuczka w toalecie, nie powinniśmy najpierw zrewidować naszych poglądów na temat bogów, zbawicieli i życia wiecznego w przyszłym świecie. To trudny i uciążliwy temat, ale chyba musimy go wreszcie podjąć. Zastanawiam się, czy mamy teraz dobre czasy dla bogów.

– Uważasz, że ona nie żyje?

– Nie ma jej od sześciu dni. Grupa poszukiwawcza nic nie znalazła. Zupełnie jakby starsza pani rozplynęła się w powietrzu. Tak. Uważam, że ona nie żyje, ale nawet teraz nie mam stuprocentowej pewności. To zdumiewająca kobieta, nie ma drugiej takiej jak ona. Być może jednym z powodów, dlaczego cieszy mnie jej odejście, jest mój niezłomny, uporczywy racjonalizm. Lubię codziennie wykonywać ściśle określone, wymagane czynności: podlewać ogródek – widziałeś, jak pięknie wyrosły moje begonie? jestem z nich bardzo dumny – poświęcać się lekturze i sporządzać notatki do mojej książki na temat pomoru. Lubię robić to wszystko, a potem wypić przed położeniem się do łóżka kieliszek wina i zasnąć z niezmaconym, spokojnym umysłem. O, tak. Nikt z nas nie ma ochoty dostrzegać znaków i omenów, niezależnie od tego, jak bardzo lubimy czytać horrory i oglądać filmy grozy. Nikt z nas nie chciałby NAPRAWDE ujrzeć Gwiazdy na Wschodzie ani słupa ognia pośród nocy. Pragniemy spokoju, racjonalności i rutyny. Jeśli musimy postrzegać oblicze Boga w twarzy starej Murzynki, przypomina to nam równocześnie o istnieniu Szatana, a nasz diabeł może znajdować się bliżej niż się nam wszystkim wydaje.

– Właśnie dlatego tu jestem – wykrztusił niepewnie Larry.

Żałował, że Sędzia wspomniał w swoim monologu o ogrodzie, o książkach, notatkach i kieliszku wina przed zaśnięciem. Zjawił się tu, zamierzając zrobić to, co musiał podczas luźnej, niezobowiązującej przyjacielskiej rozmowy. Teraz natomiast zastanawiał się, czy było to w ogóle możliwe i czy miał szansę wypełnić swoje zadanie, nie wychodząc przy tym na okrutnego, kretyńskiego oportunistę.

– Wiem, po co przyszedłeś. I zgadzam się.

Larry drgnął, a trzciny fotel, na którym siedział skrzypnął i jęknął donośnie.

– Kto ci o tym powiedział? Mieliśmy to zrobić po cichu, bez rozgłosu. Jeżeli ktoś z komisji ma za długi język, możemy mieć nieliczne problemy.

Sędzia uniósł dłoń upstrzoną brązowymi plamami wątrobowymi, uciszając go. Twarz miał zmęczoną, pooraną głębokimi zmarszczkami, ale jego oczy były błyszczące i żywe.

– Spokojnie, mój chłopcze. Opanuj się. Nikt z waszej komisji nie zaczął mleć ozorem, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, choć staram się być możliwie na bieżąco i wyłapywać wszelkie pojawiające się w mieście nowe plotki. Nie. Sam na to wpadłem.

Zadałem sobie pytanie, co cię może do mnie sprowadzać, Larry. Rozwiązanie tej zagadki było diabelnie proste. Twoja twarz jest jak otwarta księga, Larry. Mam nadzieję, że nie grywasz w pokera. Kiedy opowiadałem o moich drobnych codziennych przyjemnościach, ujrzałem, że mięśnie twojej twarzy zwiótzczały... i pojawił się na niej raczej dość zabawny grymas.

– Czy to takie zabawne? A niby jak powinienem wyglądać? Być zadowolony? Cieszyć się z tego, że...

– Wysyłasz mnie na zachód – dokończył półgłosem Sędzia. – Na przeszeptegi. Czy nie o to chodzi?

– Dokładnie.

– Zastanawiałem się, kiedy ktoś wpadnie na ten pomysł. To doprawdy bardzo ważna, wręcz kluczowa sprawa. Należy uczynić wszystko co tylko możliwe, aby zapewnić Wolnej Strefie jak największe szansę przetrwania. Nie wiemy przecież, co On tam kombinuje. Równie dobrze mógłby znajdować się teraz po ciemnej stronie księżycy.

– Jeżeli rzeczywiście tam jest.

– O, jest, na pewno tam jest. Tak czy inaczej, w tej czy innej formie, ale JEST. Co do tego nie ma wątpliwości. – Wyjął z kieszeni spodni cążki i zaczął przycinać paznokcie. Cichy metaliczny szcęk raz po raz akcentował jego słowa. – Powiedz mi, czy komisja zastanawiała się, co może się wydarzyć, gdybyśmy uznali, że bardziej podoba się nam po TAMTEJ STRONIE? Gdybyśmy zdecydowali się zostać tam?

Ta myśl wprawiła Larry'ego w głębokie zakłopotanie. Odparł, że jak dotąd nikomu z komisji nie przyszło to do głowy.

– Podejrzewam, że on ma już prąd – ciągnął Sędzia ze zwodniczym rozleniwieniem. – A sam wiesz, że to pokusa nie do odparcia. Impening przekonał się o tym na własnej skórze.

– I krzyżyk na drogę. To nawet lepiej, że pozbyliśmy się tego wichrzyciela – mruknął posępnie Larry, a Sędzia wybuchnął gromkim, serdecznym śmiechem. Kiedy się wreszcie opanował, oznajmił: – Wyruszę jutro. Land-roverem. Tak. Chyba land-roverem. Najpierw na północ, do Wyoming, a stamtąd na zachód. Dzięki Bogu, że wciąż nieźle prowadzę! Pojadę przez Idaho w stronę północnej Kalifornii. W jedną stronę zajmie mi to jakieś dwa tygodnie, powrót nieco dłużej. W drodze powrotnej mogą mnie zaskoczyć pierwsze śnieżyce.

– Tak. Rozmawialiśmy o tym.

– Poza tym jestem już stary. Taki stary piernik jak ja może nabawić się ataku serca, wpakować w jakąś kabałę albo po prostu zgłupieć ze sklerozy. Podejrzewam, że wysyłacie jeszcze innych?

– No, cóż...

– Nie, nie powinieneś o tym mówić. Cofam pytanie.

– Posłuchaj, możesz przecież odmówić – wykrztusił Larry. – Nikt cię do tego nie zmusza...

– Czy próbujesz w ten sposób oczyścić się od odpowiedzialności za mój los? – zapytał oschle Sędzia.

– Może. To całkiem możliwe. Może doszedłem do wniosku, że twoje szanse na powrót do Boulder są jak jeden do dziesięciu, a szanse na powrót tutaj z jakimikolwiek istotnymi dla nas informacjami są jak jeden do dwudziestu. Może chcę w ten sposób dać do zrozumienia, że się pomyliłem. Że popełniłem błąd. Że jesteś na to za stary.

– Jestem za stary na szukanie przygód – mruknął Sędzia odkładając cążki – ale mam nadzieję, że nie aż tak stary, by nie móc zrobić tego, co uważam za słusne. Gdzieś tam błąka się stara kobieta, która, być może z własnej woli, skazała się na powolną śmierć, ponieważ uznała, że właśnie tak trzeba. Zrobiła to, co uznała za stosowne, niezależnie od ceny, jaką przyjdzie jej za to zapłacić. Bez wątpienia popchnęła ją do tego kroku mania religijna. Zwykle tak bywa, że ludzie usiłujący za wszelką cenę uczynić to, co uznają za konieczne, sprawiają wrażenie obłąkanych albo nawiedzonych. Pojadę tam. Będę cierpieł chłód i głód. Zniosę kłopoty z żołądkiem. Wytrzymam, pomimo dojmującej, bolesnej samotności. Będzie mi brakować moich begonii. – Nagle jego oczy rozbłysły w ciemnościach. Spojrzał na Larry’ego. – Ale nie zabraknie mi sprytu.

– Z pewnością – powiedział Larry i poczuł łzy napływające do kącików oczu.

– A jak tam Lucy? – zapytał Sędzia, najwyraźniej kończąc temat wyjazdu.

– Świetnie – odrzekł Larry. – Obojgu nam jest świetnie.

– Żadnych problemów?

– Nie – odparł Larry i pomyślał o Nadine. W jej desperackim wystąpieniu, kiedy widział tę kobietę po raz ostatni, było coś, co głęboko go poruszyło. „Jesteś moją ostatnią szansą” – powiedziała. Dziwne słowa, jak pożegnanie samobójczyni. Jakiej pomocy mógł jej udzielić? Wezwać psychiatrę? Dobrze sobie, zwłaszcza że jedynym lekarzem w całym Boulder był przepracowany konował. Nawet telefon zaufania już nie działał.

– Dobrze, że jesteś z Lucy – powiedział Sędzia – ale podejrzewam, że martwi cię ta druga kobieta.

– Owszem. To prawda. – Trudno mu było wyrzucić z siebie to, co potem powiedział, ale gdy to uczynił, wyznał drugiej osobie to, co głęboko leżało mu na sercu, poczuł się znacznie lepiej. – Wydaje mi się, że ona może próbować targnąć się na życie. To nie jest tylko moja prywatna opinia, nie myśl sobie, że mogę podejrzewać każdą dziewczynę, której nie uda się zdobyć starego seksownego, bardzo męskiego Larry’ego Underwooda, że z tego powodu postanowi popełnić samobójstwo. Chłopak, którym się zajmowała, doszedł niedawno do siebie, otrząsnął się z głębokiego szoku, a ona w związku z tym czuje się bardzo samotna, brak jej drugiej osoby, kogoś, kto mógłby być od niej zależny.

– Jeśli jej depresja pogłębi się i pojawią się nawroty, rzeczywiście może spróbować targnąć się na życie – potwierdził Sędzia z lodowatą obojętnością.

Larry, wyraźnie wstrząśnięty spojrzał na niego.

– Ale możesz być mężczyzną tylko jednej kobiety – ciągnął Sędzia. – Czyż nie?

– Zgadza się.

– Czy dokonałeś wyboru?

– Tak.

– Na pewno?

– Tak. Na pewno. Już się zdecydowałem.

– Wobec tego żyj zgodnie ze swoim wyborem – dokończył Sędzia. – Na litość Boską, Larry, dorośnij wreszcie. Nabierz odrobinę pewności siebie. Nie należy mieć jej zbyt wiele, można wówczas popaść w egoizm i samozachwyty, ale odrobina jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Jest dla duszy tym, czym krem z filtrem UV dla skóry w upalny dzień na nadmorskiej plaży. Możesz być panem wyłącznie własnej duszy, a i tę zdolność od czasu do czasu będzie starał się zakwestionować co bardziej cwany psycholog. Dorośnij! Twoja Lucy to wspaniała kobieta. Prosisz o zbyt wiele, próbując wziąć na swoje barki odpowiedzialność za Lucy, siebie i kogoś jeszcze. W ten sposób sam prosisz się o kłopoty. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Historia ludzkości pełna jest podobnych przypadków.

– Lubię z tobą rozmawiać – rzekł Larry, a jawna szczerość zawarta w tych kilku słowach zdumiała i rozbawiła ich obu.

– Prawdopodobnie dlatego, że zawsze mówię to, co chciałbyś usłyszeć – powiedział ze spokojem Sędzia. – Wiesz, Larry, samobójstwo można popełnić na wiele sposobów – dodał po chwili.

Już niebawem Larry miał przypomnieć sobie jego słowa w znacznie bardziej gorzkich i posępnych okolicznościach.

Kwadrans po ósmej następnego ranka ciężarówka Harolda opuszczała dworzec autobusowy linii Greyhound, by udać się ponownie do Table Mesa. Harold, Weizak i dwóch innych mężczyzn siedziało na pace. Norman Kellogg z jeszcze jednym mężczyzną zajmowali miejsca w szoferce.

Stali przy skrzyżowaniu Arapahoe i Broadway, kiedy wolniutko podjechał do nich fabrycznie nowy land-rover.

Weizak pomachał i zawołał:

– A dokąd to się wybierasz, panie Sędzio?

Sędzia wyglądający raczej komicznie w wełnianej koszuli i kamizelce, zatrzymał auto.

– Pomyślałem sobie, że wpadnę na jeden dzień do Denver – odparł z uśmiechem.

– Dojedziesz tam tym gruchotem? – spytał Weizak.

– Raczej tak, jeśli tylko będę trzymał się z dala od głównych dróg.

– Może gdybyś natknął się gdzieś po drodze na sexshop, przywiózłbyś ze dwie paczki „świerszczyków”?

Na te słowa wszyscy (Sędzia również) wybuchnęli głośnym śmiechem. Jedyne Haroldowi nie udzieliła się ich rubaszna wesołość. Lauder wydawał się zmęczony i zmizerowany, jakby tej nocy ani na chwilę nie zmrużył oka. I rzeczywiście tak było. Nadine nie skłamała, tej nocy rzeczywiście zdołał zrealizować niektóre ze swych najskrytszych marzeń. Ze swych sekretnych, wilgotnych marzeń. Nie mógł już doczekać się wieczoru, a żartobliwa uwaga Weizaka o „świerszczykach” wywołała na jego wargach jedynie cień uśmiechu. Czy oglądanie kolorowych pisemek mogło się równać z prawdziwym, ostrym seksem, którego właśnie posmakował? Kiedy wychodził, Nadine spała. Zanim skończyli, około drugiej w nocy, powiedziała, że chciałaby przeczytać jego dziennik. Pozwolił jej. Właściwie dlaczego miałby jej odmówić? Może zdawał się w ten sposób na jej łaskę i niełaskę, ale był zbyt zdezorientowany, aby to sobie uświadomić. Poza tym nigdy w życiu nie napisał nic lepszego, a chciał – nie, MUSIAŁ – podzielić się z kimś swoimi dokonaniem. Pragnął, by ktoś jeszcze przeczytał jego sekretne wyznania i doświadczył tego samego, co on. Aby ktoś docenił jego dokonania i pochwalił za dobrze wykonaną pracę.

Kellogg wychylił się z szoferki i zawołał do Sędziego:

– Tylko bądź ostrożny, papciu, dobra? Uważaj na siebie. Ostatnimi czasy na drogach można spotkać bardzo dziwnych ludzi.

– To fakt – potaknął Sędzia z osobliwym uśmiechem. – Bez obawy, będę bardzo ostrożny. Życzę miłego dnia, panowie. Panu również, panie Weizak.

Mężczyźni raz jeszcze wybuchnęli śmiechem, a potem ciężarówka pojechała w jedną, land-rover zaś w drugą stronę.

Sędzia nie udał się w kierunku Denver. Dotarłszy do szosy numer 36, minął ją i pojechał dalej drogą numer 7. Słońce świeciło jasno, dzień był pogodny, a drugorzędna droga, którą wybrał, okazała się przejezdna. Gorzej było w Brighton, gdzie w którymś momencie aby ominąć gigantyczny korek musiał zjechać z drogi i przejechać przez boisko przy jednym z liceów. Podążał dalej na wschód aż do I-25. Gdyby teraz skręcił w prawo, dotarłby do Denver. Sędzia skręcił w lewo na północ, na zjazd. W połowie pochyłości zatrzymał wóz i znów spojrzał w lewo, na zachód, gdzie na tle błękitnego nieba wznosił się majestatyczny masyw Gór Skalistych, a u ich podnóża rozciągało się Boulder.

Powiedział Larry’emu, że jest już za stary na szukanie przygód i, niech mu Bóg wybaczy, skłamał okrutnie. Od dwudziestu lat jego serce nie biło żywszym rytmem, powietrze nie smakowało tak słodko, barwy zaś nie wydawały się tak jaskrawe. Uda się wzdłuż I-25 do Cheyenne, a stamtąd na zachód, za góry, ku swemu przeznaczeniu. Na tę myśl aż ścierpła mu skóra. I-80 na zachód, do Salt Lake City, potem przez Nevade do Reno. Stamtąd znów skieruje się na północ, ale to już nie miało znaczenia. A to dlatego, że gdzieś pomiędzy Salt Lake a Reno, a może jeszcze wcześniej, zostanie zatrzymany, przesłuchany i

najprawdopodobniej odesłany gdzieś indziej na kolejne przesłuchanie. I może w którymś z tych miejsc ktoś złoży mu intratną propozycję.

Nie było wcale wykluczone, że w niedalekiej przyszłości przyjdzie mu spotkać się osobiście z mrocznym mężczyzną.

– Ruszaj, stary – mruknął pod nosem.

Wrzucił bieg i wolno zjechał ze zjazdu. Na północ prowadziły trzy względnie przejezdne pasma autostrady. Tak jak przypuszczał, korki i liczne wypadki w Denver skutecznie zatamowały wyjazd z miasta. Po drugiej stronie autostrady sytuacja nie przedstawiała się inaczej, jak okiem sięgnąć ciągnęły się tam sznury samochodów, których martwi dziś pasażerowie, jeszcze niedawno w swej szczerzej naiwności wierzyli, iż, udając się na południe, zdołają umknąć przed pomorem. Szosa w kierunku, którym zmierzał stary Sędzia, była przynajmniej na razie przejezdna.

Sędzia Farris, jadąc przed siebie, cieszył się, że wyrusza w tę podróż. Zeszłej nocy prawie nie zmrzył oka. Dziś będzie mu się spało znacznie lepiej, pod rozgwieżdżonym niebem, gdy opatuli swe stare kości w dwa grube, ciepłe śpiwory. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś zobaczy Boulder i doszedł do wniosku, że było to raczej mało prawdopodobne. Mimo to cieszył się. Jego podniecenie rosło.

Był to jeden z najwspanialszych dni w jego życiu.

Wcześniej tego popołudnia Nick, Ralph i Stu wybrali się do północnej części Boulder do niewielkiego, zdobionego stiukami domku, w którym mieszkał samotnie Tom Cullen. Jego dom stał się punktem orientacyjnym dla „starych” mieszkańców Boulder. Stan Nogotny powiedział, że wyglądał on tak, jakby katolicy, baptyści i Adwentyści Dnia Siódmego dogadali się tam z demokratami i wyznawcami Moona, by stworzyć jedyny w swoim rodzaju religijno-polityczny Disneyland.

Na frontowym trawniku można było ujrzeć całą gamę rozmaitych figurek. Była tu Matka Boska w dwunastu różnych pozach, a niektóre z nich zdawały się teraz karmić stadka ozdobnych różowych, plastikowych flamingów. Największe flamingi były większe od Toma; stały na jednej nodze, wbitej w ziemię i zakończonej długim, trójkątnym szpikulcem. Znajdowała się tu również sporych rozmiarów fosforyzująca figura Chrystusa z rozłożonymi szeroko rękami, jakby Zbawiciel błogosławił różowym flamingom. Obok brodzika dla ptaków znalazła sobie miejsce ogromna gipsowa krowa.

Siatkowe drzwi otwały się na oścież i na powitanie gości wyszedł obnażony do pasa Tom Cullen. Patrząc na niego z daleka, pomyślał Nick, sądząc po jego niebieskich oczach i gęstej rudoblond brodzie można by go uznać za niezwykle męskiego malarza lub może pisarza. Z bliska jednak Tom nie wyglądał już na przystojnego intelektualistę, a bardziej na rzemieślnika, kontrkulturowego twórcę produkującego kicz zamiast czegoś naprawdę oryginalnego. Z bardzo bliska zaś, gdy zaczynał się uśmiechać i mówić z prędkością karabinu

maszynowego, dochodziłeś do wniosku, że z klepkami Toma Cullena musi być chyba coś nie tak.

Nick wiedział, że jednym z powodów, dla którego odczuwał tak silną empatię względem Toma było to, iż w pewnym sensie on sam uważał się za opóźnionego w rozwoju. Bądź co bądź poprzez swoją ułomność nie nauczył się w normalnym trybie pisać i czytać, a poza tym ludzie powszechnie przypuszczali, że ktoś, kto jest równocześnie głuchy i niemy musi być zarazem upośledzony umysłowo. Niejeden raz słyszał bardziej lub mniej złośliwe określenia wymyślane dla takich jak on. Tępak. Półgłówek. Debil. Brak mu piątej klepki. Ma nierówno pod sufitem. Głupek. Śliniący się świrus. Ma poprzestawiane pod kopułą. Pamiętał tamten wieczór, gdy na rogatek Shoyo zajrzał do baru Zacka na parę piw, wieczór, kiedy napadł go Ray Booth ze swymi koleśkami. Barman stał przy drugim końcu kontuaru i konfidencko rozmawiał z jednym z klientów. Przesłaniał dłonią usta, tak więc Nick zdołał wychwycić tylko fragmenty jego wypowiedzi: „Głuchoniemy... zapewne opóźniony... oni wszyscy są trochę nie tego, no... upośledzeni”.

Wśród wszystkich tych określeń, bardziej lub mniej obraźliwych, jedno niemal idealnie pasowało do Toma Cullena. Nick często powtarzał je w myślach, wkładając w te słowa tak wiele współczucia, jak tylko potrafił. Określenie to brzmiało: „Facet nie gra pełną talią”. To właśnie było zasadniczym problemem Toma. Do tego się to sprowadzało. W przypadku Toma najsmutniejsze było, że kilka z jego kart zostało gdzieś bezpowrotnie zagubionych, nie były to żadne wysokie karty, raczej blotki, dwójki karo, trójki trefl, nic wielkiego. Bez nich jednak nie mogłeś rozegrać żadnej gry. Nawet ułożenie pasjansa okazywało się niemożliwe.

– Nicky! – zawołał Tom. – Tak się cieszę, że cię widzę! Słowo daję! Tom Cullen bardzo się cieszy!

Objął Nicka ramionami za szyję i mocno uściskał. Nick poczuł, że chore oko, ukryte jak zawsze w taki dzień jak dziś, pod czarną skórzaną łatką, zaczyna go swędzieć od napływających łez.

– I Ralph też! I ten drugi. Ty jesteś... chwileczkę...

– Nazywam się... – zaczął Stu, ale Nick uciszył go zdecydowanym ruchem lewej dłoni. Ćwiczył z Tomem mnemonikę i miał nawet pewne sukcesy. Jeżeli umiał przyporządkować coś imieniu, które miało zostać zapamiętane, zwykle się to udawało. Tego także wiele lat temu nauczył go Rudy. Wyjął z kieszeni bloczek i napisał coś, po czym podał kartkę Ralphowi. Ralph zmarszczył brwi i przeczytał:

– „Przedwczoraj zjawilo się w Boulder pięćdziesiąt nowych i wczoraj znów przybyło pięćdziesiąt osób. Ile osób dotarło do Boulder przez ostatnie dwa dni?”

Tom zastygł w bezruchu. Jego oblicze stało się beznamiętne, jak gipsowa maska. Usta rozchyliły się lekko. Wyglądał jak śliniący się kretyn.

Stu skrzywił się niepewnie.

– Nick, czy nie sądzisz, że powinniśmy... – zaczął.

Nick uciszył go, przykładając palec do ust i w tej samej chwili Tom znowu ożył.

– Stu! – wykrzyknął, chichocząc. – Ty jesteś Stu!

Spojrzał na Nicka, domagając się potwierdzenia, a Nick pokazał mu połączony kciuk i palec wskazujący.

– K-S-I-E-Ż-Y-C, to znaczy Stu, Tom Cullen to wie, wszyscy to wiedzą!

Nick wskazał na drzwi wejściowe jego domu.

– Chcecie wejść? Słowo daję, tak! Wszyscy wejdziemy do środka. Tom ostatnio dekorował dom. Tom pokaże.

Ralph i Stu wymienili rozbawione spojrzenia, wchodząc za Nickiem i Tomem na ganek. Tom zawsze tylko „dekorował”. Nie „urządzał” ani nie „meblował”. Nie robił tego, bo w domu były już wszystkie niezbędne sprzęty. Przekraczając próg, odnieśli wrażenie, jakby znaleźli się w jakimś tajemniczym, baśniowym świecie.

Za progiem nad drzwiami wisiała wielka złocona klatka dla ptaków. Aby się z nią nie zderzyć, Nick musiał pochylić głowę. Sęk w tym, pomyślał, że dekoracje Toma nie wydawały się przypadkowe. W tym szaleństwie tkwiła pewna metoda. Gdyby nie ona dom przypominałby szopę, w której zgromadzono najrozmaitsze starocie i drobiazgi przed zbliżającą się wielką wyprzedażą. A jednak było w tym wszystkim coś więcej, co zwyczajny, przeciętny umysł mógłby określić mianem wzorca. Nad kominkiem w pokoju ułożony był wielki prostokąt, składający się ze starannie ponaklejanych haseł reklamowych kart kredytowych. HONORUJEMY KARTĘ VISA. POWIEDZ TAK MASTERCARDOWI. ZAPRASZAMY WŁAŚCICIELI KART AMERICAN EXPRESS. DINER’S CLUB. Tu nasuwało się pytanie: „Skąd Tom wiedział, że wszystkie te reklamy dotyczyły jednego i tego samego?”

Nie umiał czytać, ale w jakiś sposób wylapywał najprostsze wzorce.

Na stoliku do kart stał wielki styropianowy hydrant, a na parapecie, gdzie dosięgały go promienie słońca i odbijały się w nim błękitnymi, rzucanymi na ścianę refleksami, spoczywał okrągły policyjny „kogut”.

Tom oprowadził ich po całym domu.

W bawialni na dole pełno było wypchanych ptaków i zwierząt, które Tom odkrył w pobliskim warsztacie taksydermistycznym. Powiesił ptaki na niemal niewidocznych strunach, tak, że wyglądały jakby unosiły się w powietrzu – były tu sowy, jastrzębie, a nawet jeden orzeł z nadzartymi przez mole piórami i brakującym szklanym okiem. W jednym kącie stał słupka świstak, w drugim suseł, w trzecim skunks, w czwartym natomiast łasica. Pośrodku pokoju znalazło się miejsce dla kojota i to na nim zdawały się skupiać uwagę mniejsze zwierzaki. Barierki przy schodach owinięto czerwono białą krepiną, dzięki czemu wyglądały jak maszt flagowy. Na podeście piętra, również na strunach, wisiały samoloty myśliwskie – fokkery, spady, stukasy, spitfire, zero, messerschmitty. Podłoga łazienki pomalowana była na jasnoniebiesko. Po tym płytkowym morzu żeglowała wielka flotylla okrętów Toma,

odbywając rejsy dokoła czterech białych, porcelanowych wysepek i jednego białego, porcelanowego kontynentu – nóżek wanny i podstawy sedesu.

Wreszcie Tom ponownie sprowadził ich na dół. Usiedli pod planszą z hasel kart kredytowych i obejrzeni trójwymiarowe zdjęcie Johna i Roberta Kennedych na tle rozjaśnionych blaskiem słońca chmur. Napis poniżej brzmiał: BRACIA RAZEM W NIEBIE.

– Podobają się wam dekoracje Toma? Co myślicie? Ładne?

– Bardzo ładne – powiedział Stu. – Ale powiedz, czy te ptaki na dole nie działają ci czasem na nerwy?

– Nie! Słowo daję! – rzucił Tom, wyraźnie zaskoczony. – One są wypełnione trocinami!

Nick podał Ralphowi kartkę.

– Tom, Nick chciałby wiedzieć, czy nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy cię znowu zahipnotyzowali. Jak poprzednim razem, kiedy to zrobił Stan. To już nie jest zabawa. Tym razem to bardzo ważne. Nick mówi, że potem ci wszystko wytłumaczy.

– To jazda – rzekł Tom. – Jesteś... baaardzo... śpiąący... tak?

– Właśnie – odparł Ralph.

– Chcecie, żebym znów patrzył na zegarek? Nie ma sprawy. Wiecie, o co mi chodzi, jak on się dynda tak z boku na bok? Baaardzo... śpiąący... – Tom spojrzał na nich z powątpiewaniem. – Tylko że mnie wcale nie chce się spać. Słowo daję, ani trochę. Wczoraj wcześniej się położyłem. Tom Cullen zawsze kładzie się wcześniej, bo nie ma telewizji, żeby można coś obejrzeć.

– Tom, czy chciałbyś zobaczyć słonia? – zapytał półgłosem Stu.

Oczy Toma zamknęły się natychmiast. Głowa opadła mu miękko na piersi. Jego oddech wydłużył się i pogłębił. Stu obserwował to, nie ukrywając swego zdumienia. Nick podał mu krzesło, ale Stu nie wiedział, czy słowa klucze spełnią swoje zadanie. Nie do końca w to wierzył. I nie spodziewał się, że może to stać się tak szybko.

– To jak włożenie kurczakowi łebka pod skrzydło – dziwił się Ralph.

Nick podał Stu wcześniej przygotowany tekst. Napisał go specjalnie na tę okazję. Stu przez dłuższą chwilę przyglądał się Nickowi. Nick odpowiedział spojrzeniem i skinął głową, nakazując mu, aby zaczynał.

– Tom, słyszysz mnie? – zapytał Stu.

– Tak, słyszę cię – odrzekł Tom, a ton jego głosu sprawił, że Stu mimowolnie uniósł wzrok.

Nie przypominał normalnego głosu Toma, choć Stu nie potrafił określić, na czym właściwie polegała różnica. Przypominało mu to pewne zdarzenie, które miało miejsce, kiedy jako osiemnastolatek kończył ostatnią klasę liceum. Było to przed wręczeniem dyplomów. Znajdował się w szatni wraz z kolegami, chłopakami, z którymi znał się od pierwszego dnia szkoły, od pierwszej klasy liceum, od samego początku. No, może nie ze wszystkimi zaprzyjaźnił się od razu, ale z czterema z nich na pewno. Przez moment widział, jak bardzo

zmieniły się ich twarze od tamtych, minionych dni sprzed lat do chwili, kiedy stali wszyscy w szatni, ze starannie złożonymi togami w dłoniach. Ta wizja wywołała w nim gwałtowny dreszcz, zarówno wtedy, jak i teraz. Twarze, na które patrzył, nie były już twarzami dzieci... ale i nie nabrały jeszcze typowo męskich, dojrzałych rysów. Były zawieszane w próżni, uwięzione idealnie pomiędzy dwoma, dobrze zdefiniowanymi stanami istnienia. Ten głos, dobiegający z cienistej krainy podświadomości Toma Cullena przywiódł mu na myśl tamte twarze, ale był nieskończenie bardziej od nich smutniejszy. Stu przyszło na myśl, że był to głos Toma-mężczyzny, którym nigdy nie dane mu było się stać.

Jego przyjaciele czekali, chcieli, by kontynuował, niecierpliwili się, nie mógł dłużej zwlekać.

– Tom, to ja, Stu Redman.

– Tak. Stu Redman.

– Jest tutaj Nick.

– Tak. Nick tu jest.

– Ralph Brentner także tu jest.

– Tak. Ralph też.

– Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

– Wiem.

– Tom, chcielibyśmy, abys coś zrobił. Dla Strefy. To niebezpieczne.

– Niebezpieczne...

Oblicze Toma zmarsowiało, jakby na pole kukurydzy w upalny letni dzień padł nagle cień burzowej chmury.

– Czy będę się musiał bić? Czy będę musiał... – Tom urwał i westchnął.

Stu spojrział z zakłopotaniem na Nicka.

Nick poruszył wargami.

– Tak.

– Chodzi o Niego – rzekł Tom i ciężko westchnął. Dźwięk ten przywodził na myśl zawodzenie smętnego, listopadowego wiatru w dębowym zagajniku.

Stu znów się wzdrygnął. Ralph pobladał.

– O kogo, Tom? – zapytał łagodnie Stu.

– O Flagga. On się nazywa Randy Flagg. Mroczny mężczyzna. Chcecie, żebym... – Znów to westchnienie, przeciągłe, smutne, ostateczne.

– Skąd go znasz, Tom? – Tego nie było na kartce.

– Sny... widzę w snach jego twarz.

„Widzę w snach jego twarz”. Ale przecież żadne z nich nigdy nie widziało jego twarzy. Zawsze była ukryta w cieniu.

– Widziałeś go?

– Tak...

– Tom, jak on wygląda?

Tom nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Stu uznał, że nie doczeka się odpowiedzi i już miał przeczytać kolejny fragment tekstu z kartki Nicka, kiedy Tom nagle przemówił.

– Wygląda jak przeciętny facet, którego można spotkać na ulicy. Jest nijaki, ale kiedy się uśmiechnie, z drutów telegraficznych sypie się grad martwych ptaków. A kiedy spojrzy na ciebie w pewien szczególnie sposób, zaczynasz mieć kłopoty z prostatą i czujesz pieczenie podczas oddawania moczu. Tam, gdzie splunie, trawa żółknie i więdnie. Zawsze jest na zewnątrz. Przybył spoza czasu. Nie zna siebie. Nie wie nic o sobie. Nosi imię tysiąca demonów. Kiedyś, dawno temu, Jezus uwięził go w stadzie świń. Jego imię brzmi Legion. Boi się nas. Ponieważ my jesteśmy wewnątrz. Zna się na czarach. Wie wiele o magii. Potrafi przywoływać wilki i żyć w ciałach kruków. Jest królem nicości, ale lęka się nas. Boi się... wewnętrznej strony.

Tom zamilkł.

Cała trójka wymieniła zdumione spojrzenia. Nick, Stu i Ralph byli bladzi jak płótno. Ralph zdjął kapelusz i miał go machinalnie w dłoniach. Nick zakrył oczy dłonią. Gardło Stu wyszło na wiór.

„Jego imię brzmi Legion. Jest królem nicości”.

– Czy możesz powiedzieć o nim coś więcej? – zapytał prawie szeptem Stu.

– Tylko to, że ja także się go boję. Ale zrobię to, czego chcecie. Zrobię. Tylko że... Tom... bardzo się boi. – Znów to przerażające westchnienie.

– Tom – odezwał się nagle Ralph. – Wiesz może... czy Matka Abigail... jeszcze żyje? – Twarz Ralpa była pełna napięcia jak oblicze pokerzysty, który postawił wszystko na jedną kartę.

– Żyje.

Ralph westchnął ciężko i usiadł wygodniej na swoim krześle.

– Ale jeszcze nie pojednała się z Bogiem – dodał Tom.

– Nie pojednała się z Bogiem? Ale dlaczego, Tommy?

– Jest jak wołający na puszczy, Matka Abigail musiała udać się na odludzie, by tam usłyszeć głos Pana. I Bóg odpowiedział jej i zaopiekował się nią. Nie musi już lękać się ani grozy czyhającej w biały dzień, ani koszmarów czających się w mrokach nocy ani żmii, która jej nie ukąsi, ani pszczoły, która jej nie użądli... ale wciąż jeszcze nie zdołała pojednać się z Bogiem. To nie dłoń Mojżesza wydobyla wodę ze skały. To nie ręka Matki Abigail zmusiła łasice do odwrotu o pustych żołądkach. Jest godna współczucia. Przejrzy na oczy, lecz będzie już za późno. Nadejdzie śmierć. Śmierć od Niego. Abigail umrze po niewłaściwej stronie rzeki. Ona...

– Każ mu przestać – jęknął Ralph. – Nie możesz go uciszyć?

– Tom – powiedział Stu.

– Tak.

– Czy jesteś tym samym Tomem, którego Nick spotkał w Oklahomie? Czy jesteś tym samym Tomem, którego znamy, gdy nie jesteś w transie?

– Tak. Ale jestem również kimś więcej niż tamtym Tomem.

– Nie rozumiem.

Poruszył się lekko, na jego twarzy malował się spokój.

– Jestem Bożym Tomem.

Stu, zupełnie zdezorientowany, omal nie upuścił bloczku Nicka.

– Powiedziałeś, że zrobisz to, czego chcemy.

– Tak.

– Czy widzisz... czy sądzisz, że wrócisz tu do nas?

– Nie mnie o tym decydować, ani mówić. Dokąd mam wyruszyć?

– Na zachód.

Tom jęknął. Na ten dźwięk wszystkie włoski na karku Stu jak na komendę stanęły dęba. „Dokąd my go posyłamy? Kto wie, może on wiedział, dokąd. Może on również tam był, tyle tylko, że w Vermont, w labiryncie korytarzy, gdzie głośnie echo sprawiało wrażenie, jakby ktoś za nim szedł. I wolno lecz nieuchronnie go doganiał. Te kroki. Zbliżający się odgłos kroków. A może tylko echo?”

– Na zachód – rzekł Tom. – Tak. Na zachód.

– Wysyłamy cię tam, żebyś się rozejrzył. Abyś poobserwował, co się tam dzieje. A potem wrócił tu do nas.

– Wrócił i opowiedział.

– Możesz to zrobić?

– Tak. Chyba, że mnie złapią i zabiją.

Stu skrzywił się, zresztą nie on jeden.

– Tom, wyruszysz na zachód sam. W pojedynkę. Będziesz podążał przez cały czas na zachód. Wiesz, jak rozpoznać zachód?

– To tam, gdzie zachodzi słońce.

– Tak. A gdyby cię ktoś zapytał, skąd się wzięłeś i dlaczego się tu zjawiłeś, odpowiesz, że wyrzucono cię z Wolnej Strefy. Przegnano cię stamtąd.

– Wygnano mnie. Tom został wygnany. Zmuszony do opuszczenia Strefy.

– ...bo jesteś upośledzony umysłowo. Bo jesteś półgłówkiem.

– Wypędzili Toma, bo jest półgłówkiem.

– ...w Strefie obawiano się, że mógłbyś znaleźć sobie kobietę i mieć z nią debilowate dzieci.

– Debilowate dzieci, takie jak Tom.

Żołądek Stu zaczął nagle wyprawiać dzikie harce. Stu nic na to nie mógł poradzić. Na dodatek zaczął się obficie pocić. Słone strużki ściekały mu po czole. Miał wrażenie, jakby

dopiero co obudził się po upojnej nocy z potwornym kacem i nieprzyjemną suchością w ustach.

– A teraz powtórz to wszystko, co powiesz, gdyby ktoś zapytał cię, dlaczego przybyłeś na zachód.

– Wygnali Toma, bo jest półgłówkiem. Przepędzili go, słowo daję. Bali się, że znajdę sobie kobietę i zrobię jej dziecko. Że zrobię jej dużo debilowatych dzieci.

– Doskonale, Tom. To by było...

– Wypędzili mnie – rzekł Tom cichym, pełnym smutku głosem. – Wyrzucili Toma z jego pięknego, małego domku i kazali się wynosić. Ruszać w drogę kazali.

Stu przesłonił drżącą dłonią oczy. Spojrzał na Nicka. Widział go podwójnie, a może nawet potrójnie.

– Nick nie wiem, jak mam to skończyć – rzucił bezradnym głosem.

Nick spojrział na Ralpha. Ten, blady jak ściana, mógł jedynie pokręcić głową.

– Skończyć – rzekł niespodziewanie Tom. – Nie zostawiać mnie tu, w ciemnościach.

Stu zmusił się, by czytać dalej to, co wcześniej na kartce napisał Nick Andros.

– Tom, czy wiesz, jak wygląda księżyc w pełni?

– Tak... duży i okrągły.

– Nie półksiężyc, ani niepełny księżyc.

– Nie.

– Kiedy zobaczysz ten wielki, okrągły, pełny księżyc, wrócisz na wschód. Wrócisz do nas, Tom. Do swojego domu.

– Tak. Kiedy go zobaczę, wrócę – potaknął Tom. – Wrócę do domu.

– W drodze powrotnej będziesz szedł nocą, a spał za dnia.

– Szedł nocą, spał za dnia.

– Właśnie tak. I jeśli to tylko możliwe, postarasz się, by nikt cię nie zauważył.

– Nie.

– Ale, Tom, ktoś jednak może cię zauważyć.

– Tak, ktoś może.

– Jeśli to będzie tylko jeden człowiek, Tom, zabijesz go.

– Zabiję go – rzekł bez przekonania Tom.

– Jeśli będzie ich więcej niż jeden, uciekaj.

– Uciekaj – rzekł Tom nieco pewniejszym głosem.

– Ale staraj się, by nikt cię nie zobaczył. Czy możesz teraz powtórzyć to wszystko?

– Tak. Mam wrócić, gdy księżyc będzie w pełni. Nie półksiężyc ani ćwierćksiężyc, tylko księżyc w pełni. Iść nocą, spać za dnia. Żeby nikt mnie nie zauważył. Jeśli zobaczy mnie jeden człowiek, mam go zabić. Jeśli więcej niż jeden człowiek, mam uciekać. Ale starać się, by nikt mnie nie zobaczył.

– Doskonale. Chciałbym, żebyś za kilka sekund się obudził, dobrze?

- Dobrze.
- Kiedy zapytam cię o słonia, obudzisz się, zgoda?
- Zgoda.

Stu usiadł wygodniej i wydał z siebie przeciągłe, drżące westchnienie.

- Dzięki Bogu, już po wszystkim.
- Nick mrugnął powiekami.
- Wiedziałaś, że może się wydarzyć coś takiego?

Nick pokręcił głową przecząco.

- Skąd on mógł to wszystko wiedzieć? – zastanawiał się Stu.

Nick gestem dłoni poprosił go o bloczek. Stu oddał mu notes zadowolony, że może się go wreszcie pozbyć. Kartka z napisanym przez Nicka tekstem była tak przesiąknięta jego potem, że prawie przezroczyta. Nick napisał coś i podał kartkę Ralphowi. Ralph przeczytał powoli i oddał kartkę Stu.

„Na przestrzeni wieków wiele ludów uważało osoby obłąkane i upośledzone za boskich pomazańców. Nie sądzę, by w obecnej sytuacji dawało nam to jakieś praktyczne korzyści, ale to, co się stało przed chwilą, napędziło mi niezłego stracha. Padła tu wzmianka o magii. Jak u licha mamy walczyć z czarami?”

- To nie na moją głowę – stęknął ciężko Ralph. – I to, co powiedział o Matce Abigail. Nawet nie chcę o tym myśleć. Obudź go, Stu i wynośmy się stąd tak szybko, jak to możliwe.
- Ralph był bliski łez.

Stu znów wychylił się na krześle.

- Tom?
- Tak.
- Czy chciałbyś zobaczyć słonia?

Tom natychmiast otworzył oczy i rozejrzał się wokoło.

- Mówiłem, że się nie uda – powiedział. – Słowo daję. Tom nie sypia w dzień. Nie chce mu się spać.

Nick oddał kartkę Stu. Ten spojrział na nią i zwrócił się do Toma.

- Nick uważa, że spisałeś się całkiem niezle.
- Naprawdę? Czy tak jak wcześniej stanąłem na głowie?

Nick z głębokim zawstydzeniem pomyślał: „Nie, Tom, tym razem zaprezentowałaś nam parę o wiele ciekawszych sztuczek”.

- Nie – odrzekł Stu. – Tom, przyszliśmy, aby poprosić cię o pomoc w pewnej sprawie.
- Ja? Pomóc wam? Jasne. Uwielbiam pomagać!
- Tom, to niebezpieczne. Chcielibyśmy, żebyś wyruszył na zachód, a potem wrócił i opowiedział nam, co zobaczyłeś.

– W porządku. Oczywiście – odparł Tom bez chwili wahania, ale Stu wydawało się, że jego oblicze zasnuł na moment mroczny cień i zaległ na dłużej za gałkami jego niewinnych, niebieskich oczu.

– Kiedy?

Stu delikatnie dotknął szyi Toma i przez chwilę zastanawiał się, co tu w ogóle robił. Jak mógł brać się za coś tak poważnego, nie będąc Matką Abigail i nie posiadając bezpośredniego połączenia z Najwyższym?

– Wkrótce, Tom – odparł łagodnym tonem. – Wkrótce.

Kiedy Stu wrócił do mieszkania, Fran właśnie przygotowywała kolację.

– Harold zajrzał na chwilę – powiedziała. – Zaprosiłam go, żeby został na kolacji, ale podziękował i poszedł sobie.

– Och.

Przyjrzała mu się z uwagą.

– Stuarcie Redman, co ci się stało? Wyglądasz jakby ktoś zabił ci niezłego ćwieka. Kto to zrobił?

– Nasz dobry znajomy, Tom Cullen – odrzekł Stu i opowiedział jej o wszystkim.

Zasiedli do kolacji.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytała Fran. Była blada i prawie nic nie zjadła, gmerała tylko widelcem w talerzu.

– Skąd mogę wiedzieć, do cholery? – warknął Stu. – To wyglądało... jakby Tom miał wizję, czy coś w tym rodzaju. Nie pojmuję, dlaczego mielibyśmy wykluczyć takie wytłumaczenie. Przecież to całkiem prawdopodobne, że Tom Cullen w stanie hipnozy może miewać wizje. Zwłaszcza że przecież wszyscy w drodze tutaj mieliśmy prorocze sny. Moim zdaniem to wizje. Nie potrafię tego inaczej nazwać i nawet nie będę próbował tłumaczyć.

– Ale teraz te sny wydają się tak... odległe. W każdym razie ja mam takie wrażenie.

– Tak, ja również – przytaknął Stu, uświadamiając sobie, że on również prawie nie tknął posiłku.

– Posłuchaj, Stu, zgodziliśmy się, że nie będziemy rozmawiać o sprawach komisji poza oficjalnymi zebraniem, chyba że wydarzy się coś naprawdę wyjątkowego. Powiedziałeś, że klócilibyśmy się przez cały czas i chyba miałaś rację. Czy od dwudziestego piątego wspomniałam ci choć słowem o twoim wyborze na szeryfa?

– Nie, Frannie – odparł z uśmiechem.

– Ale muszę cię zapytać, czy nadal uważasz, że wysłanie Toma Cullena na zachód jest według ciebie dobrym pomysłem. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się dziś po południu.

– Nie wiem – odrzekł Stu. Odsunął od siebie talerz. Zjadł bardzo mało, tyle co nic. Stu wstał, podszedł do kredensu i wyjął z niego paczkę papierosów. Ograniczył się do trzech, czterech papierosów dziennie. Zapalił jednego i zaciągnął się głęboko dymem zatęchłego,

mocnego tytoniu, po czym wydmuchnął go ustami. – Na plus można zaliczyć to, że jego historyjka jest dość prosta i całkiem wiarygodna. Wypędziliśmy go, bo jest półgłówkiem. Nikt nie zdoła zmusić go do zmiany tej wersji wydarzeń. Jeżeli wróci cały i zdrowy, znów będziemy go mogli zahipnotyzować – wchodzi w trans szybciej niż trwa pstryknięcie palcami – a wtedy opowie nam o wszystkim, co tam zobaczył, o rzeczach istotnych i błahych. Całkiem możliwe, że okaże się lepszym obserwatorem niż pozostali. Właściwie jestem tego niemal pewien.

– Tak, JEŻELI wróci.

– Właśnie. JEŻELI. Nakazaliśmy mu, aby w drodze powrotnej wędrował tylko nocą, a za dnia ukrywał się i spał. Jeśli zobaczy więcej niż jedną osobę, ma uciekać. Gdyby zaś został dostrzeżony przez jednego tylko człowieka, ma przykazane go zabić.

– Stu, nie zrobiliście tego!

– Oczywiście że zrobiliśmy – odrzekł gniewnie – Frannie, to nie jest zabawa! My tu nie gramy w dwa ognie! Musisz zdawać sobie sprawę, co się stanie z Tomem... z Sędzią... albo z Dayną... jeżeli ich tam schwytają! Przecież między innymi dlatego byłeś przeciwna całej tej wyprawie!

– W porządku – rzekła półgłosem. – W porządku, Stu.

– Nie, nic nie jest w porządku – wykrzyknął z impetem, po czym zdusił świeżo zapalonego papierosa w porcelanowej popielniczce aż posypały się iskry. Kilka wylądowało na wierzchu jego dłoni, strącił je szybkim, brutalnym gestem. – Nie jest w porządku wysyłać upośledzonego dzieciaka, aby robił to, co należy do nas, aby za nas walczył, nie jest w porządku traktować ludzi jak pionki na pieprzonej szachownicy, ani nie jest w porządku wydawać rozkazy mordowania ludzi, jakbyś był jakimś cholernym mafijnym bossem. Tyle tylko, że nie wiem, co innego moglibyśmy uczynić. Po prostu nie wiem. Jeżeli nie dowiemy się, co ten człowiek szykuje, może się okazać, że któregoś wiosennego dnia w przyszłym roku po naszej Wolnej Strefie pozostanie tylko wielki krater w ziemi i rozwiewająca się szybko chmura w kształcie wielkiego grzyba.

– Dobrze, już dobrze. Wystarczy.

Zacisnął dłonie w pięści.

– Przepraszam, że podniosłem na ciebie głos. Nie powinienem tego robić. Nie mam do tego prawa.

– Nic się nie stało. To nie ty otworzyłeś puszkę Pandory.

– Wydaje mi się, że wszyscy ją otworzyliśmy – mruknął beznamiętnie i wyjął z paczki kolejnego papierosa. – Wracając do tematu... Kiedy go... jak to nazwać... kiedy poleciłem mu, że ma zabić każdą pojedynczą osobę, która mu wejdzie w drogę, jego twarz dziwnie zmarsowiała. Trwało to nie dłużej niż mgnienie oka. Nie wiem, czy Nick lub Ralph to dostrzegli. Ja zauważyłem. Zupełnie jakby pomyślał sobie wtedy: „Dobra, rozumiem, o co ci chodzi, ale gdy nadejdzie taka chwila, sam zadecyduję, jak mam rozwiązać ten problem”.

– Czytałam gdzieś, że nawet gdy kogoś hipnotyzujesz, nie zdołasz zmusić go, by po wyjściu z transu zrobił coś, co przeczy jego przekonaniom moralnym.

Stu pokiwał głową.

– Tak. Myślałem o tym. Ale co się stanie, jeśli ten Flagg, czy jak mu tam, wystawił posterunki wzdłuż całej wschodniej granicy? Ja, będąc na jego miejscu, tak właśnie bym zrobił. Jeśli Tom natknie się na taki posterunek, zmierzając na zachód, powinien się gładko wyłgać, bo jego historyjka brzmi dość przekonująco. Gdyby jednak natknął się na ludzi Flagga w drodze powrotnej, sprawa będzie jasna, wóz albo przewóz. Jeśli Tom nie przezwycięży swoich skrupułów i nie odważy się zabić, umrze.

– Myślę, że zanedbano się tym przejmujesz – rzekła Frannie. – Czy nie sądzisz, że posterunki, jeśli rzeczywiście je tam rozmieszczono, będą znajdować się w sporej odległości jeden od drugiego?

– Tak. Podejrzewam, że jeden człowiek co pięćdziesiąt mil, mniej więcej. Chyba że zgromadził pięć razy więcej ludzi niż my.

– Tak więc możemy przyjąć, że jeżeli nie zdołali uruchomić jakiegoś wielce specjalistycznego sprzętu, radarów, czujników na podczerwień i wszystkich tych niesamowitych rzeczy rodem z filmów o Jamesie Bondzie, Tom ma szansę przemknąć się pomiędzy nimi niepostrzeżenie?

– Na to właśnie liczymy. Mamy taką nadzieję, ale...

– Ale wciąż dręczą cię wyrzuty sumienia – dokończyła półgłosem.

– Czy do tego się to wszystko sprowadza? Cóż... może i tak. A czego chciał Harold, kochanie?

– Zostawił cały plik map okolic Boulder. Obszarów, na których jego grupa szukała Matki Abigail. Harold dwoi się i troi, działając równocześnie w służbie pogrzebowej i nadzorując działania grupy poszukiwawczej. Wydawał się bardzo zmęczony, i nie tylko z powodu swoich obowiązków w Wolnej Strefie. Najwyraźniej znalazł sobie jeszcze jedno zajęcie.

– To znaczy?

– Harold ma kobietę.

Stu uniósł brwi.

– Właśnie dlatego podziękował za kolację. Domyślasz się, kto jest jego wybranką? Zgadnij.

Stu lekko zmarszczył powieki i wbił wzrok w sufit.

– Kogo też może dymać nasz Harold. Niech się zastanowię...

– Przestań. Jak możesz tak mówić? – Zamachnęła się, udając, że chce wymierzyć mu siarczysty policzek, a on z uśmiechem cofnął się o krok.

– Zabawne, prawda? Poddaję się. Kim jest ta kobieta?

– To Nadine Cross.

– Ta z pasemkami siwizny we włosach?

– Dokładnie.

– Rany, musi być od niego ze dwa razy starsza.

Fran uśmiechnęła się.

– Wątpię, aby na tym etapie ich znajomości Haroldowi robiło to jakąś różnicę.

– Czy Larry o tym wie?

– Nie mam pojęcia i niewiele mnie to obchodzi. Nadine Cross nie jest teraz jego kobietą, jeżeli w ogóle kiedykolwiek nią była.

– Tak – mruknął Stu. Był zadowolony, że Harold znalazł sobie obiekt miłosnych westchnień, ale nie zamierzał zaprzętać sobie tą sprawą głowy.

– Co Harold sądzi o grupie poszukiwawczej? Jakie są według niego ich szanse?

– Cóż... znasz Harolda. Często się uśmiecha, ale ze smutkiem... bez przekonania. Jakby utracił resztki nadziei. Chyba dlatego większość czasu poświęca na pracę w służbie pogrzebowej. Wiesz, że nadali mu nowy przydomek? Teraz nazywają go Hawk.

– Naprawdę?

– Właśnie się tego dowiedziałam. Usłyszałam, że o kimś rozmawiają, ale nie wiedziałam, o kogo chodzi, więc zapytałam. – Zamyśliła się przez chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał Stu.

Wyciągnęła nogi do przodu. Stopy miała obute w niskie trampki, których podeszwy zdobił wzór z układających się naprzemiennie kółek i linii prostych.

– Powiedział, że podobają mu się moje trampki – wyjaśniła po chwili. – Czyste wariactwo, no nie?

– Sama jesteś wariatka – odrzekł z uśmiechem Stu.

Harold obudził się tuż przed świtem z tępy, lecz nie całkiem nieprzyjemnym bólem w kroczu. Gdy wstawał, przeszył go lekki dreszcz. Ranki wyraźnie zrobiły się chłodniejsze, choć był dopiero dwudziesty drugi sierpnia i do kalendarzowej jesieni pozostał jeszcze cały miesiąc.

Jednak poniżej jego pępka panował prawdziwy żar. O, tak. Wystarczyło, że spojrzał na te rozkoszne krągłości jej pośladków przyobleczonych w skąpe, przejrzyste majteczki, kiedy spała i od razu robiło mu się gorąco. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby ją obudził... a jeżeli nawet, nie powiedziałyby mu tego. Wciąż nie potrafił odgadnąć, co się kryło za tymi ciemnymi oczami i musiał przyznać, że trochę się jej bał.

Zamiast ją obudzić, pospiesznie się ubrał. Nie chciał zbyt często pokazywać się z Nadine publicznie, wolał intymne spotkania w cztery oczy.

Teraz pragnął tylko odrobiny samotności. Miał wiele spraw do przemyślenia. Zastanawiał się, dokąd pójść.

Przy drzwiach, już w pełni ubrany, przystanął. Trzymał buty w lewej dłoni. Nie odczuwał już pożądania. Prysło gdzieś, przegnane chłodem poranka i tak prozaiczną czynnością, jaką jest ubieranie się. Czuł zapach unoszący się w pokoju i woń ta wcale nie wydała mu się przyjemna.

To tylko mała rzecz, jak sama powiedziała, coś, bez czego mogli się obejść. Możliwe, że to prawda. Ustami i dłońmi potrafiła niemal dokonywać cudów. Skoro jednak była to tak mała, nieistotna rzecz, dlaczego unosząca się w tym pokoju kwaśna woń nieodparcie przywodziła mu na myśl tamte złe lata i odór towarzyszący jego samotnym poszukiwaniom rozkoszy? „Może chciałeś, aby były złe”.

Niepokojąca myśl. Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Gdy się zatrasnęły, Nadine powoli otworzyła oczy. Usiadła, spojrzała z zamyśleniem na drzwi, po czym znowu się położyła. Jej ciało przeszywał nie słabnący ból nie zaspokojonego pożądania. Był silny, prawie jak bóle menstruacyjne. Skoro to taka mała rzecz, skonstatowała (nie zdając sobie sprawy, że myślała teraz dokładnie o tym samym, co Harold), to dlaczego tak się czuła? Ubiegłej nocy w którymś momencie musiała mocno zacisnąć wargi, by nie krzyknąć: „Przestań się wreszcie zabawiać i włóż mi go! Słyszysz? Włóż mi go, wejdź we mnie, wypełnij mnie całą! Sądzisz, że robiąc to, sprawiasz mi przyjemność? Że coś z tego mam? Wsadź mi go, na miłość Boską, albo przynajmniej dla mojego świętego spokoju i skończmy wreszcie tę szaloną zabawę!”

Leżał z głową wciśniętą między jej uda, wydając dziwne odgłosy pożądania, odgłosy, które mogłyby wydawać się komiczne, gdyby nie zawierały w sobie gorączkowej, niemal dzikiej gwałtowności. Uniosła wzrok, jej wargi zadrżały i już miała wypowiedzieć tych kilka przełomowych słów, kiedy nagle ujrzała w oknie (a może tylko się jej wydawało) twarz mężczyzny. W okamgnieniu gorejący w niej płomień pożądania wygasł, pozostały po nim tylko zimne popioły.

To była Jego twarz; mroczny mężczyzna uśmiechał się do niej diabolicznie.

W gardle Nadine zaczął rodzić się krzyk... i nagle twarz znikła, nie pozostało po niej nic, za wyjątkiem poruszających się cieni na tafli pociemniałego szkła upstrzonej drobinami kurzu. To, co się jej przytrafiło nie różniło się niczym od fantazji dziecka, które wyobraża sobie, że w ciemnej szafie czai się Czarny Lud, a pod łóżkiem wygłodniały, pragnący je pożreć potwór.

Fantazja. Przywidzenie. Nic więcej.

Ale to było coś więcej i nawet teraz, w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, nie potrafiła temu zaprzeczyć. Gdyby spróbowała, mogłaby srodze tego pożałować. To było niebezpieczne. Bądź co bądź to był On. Ostrzegł ją, czego nie wolno jej robić. Jako przyszły małżonek czuwał nad swoją oblubienicą. I nie przyjąłby jej, gdyby nie była dziewicą. Gdyby nie zachowała dla niego czystości.

Wbiła wzrok w sufit i pomyślała: „Obciążam mu, ale to nie czyni mnie nieczystą. Daję się zerznąć w tyłek, lecz to również mnie nie dyskwalifikuje. Ubieram się dla niego jak tania dziwka i to jest także dozwolone”. Biorąc to wszystko pod uwagę, można by się zastanawiać, jakim człowiekiem był przyobiecany jej pan młody.

Nadine długo, bardzo długo wpatrywała się w sufit.

Harold zrobił sobie kawę rozpuszczalną; wypił ją, krzywiąc się, po czym wyszedł przed dom z dwoma czerstwymi pączkami w dłoni. Usiadł i zaczął jeść, podczas gdy wschodzące słońce zaczęło piąć się na nieboskłon.

Z perspektywy mijającego czasu ostatnie dni wydawały mu się jedną, długą, nie kończącą się szaloną przejażdżką. Rozmyte, niewyraźne pomarańczowe ciężarówki, Weizak poklepujący go po ramieniu i zwracający się do niego imieniem Hawk (teraz już wszyscy tak go nazywali), trupy, dziesiątki, setki i tysiące trupów, i późniejsze powroty do domu, gdzie oddawał się najbardziej wyuzdanym odmianom perwersyjnego seksu. Od tego mogło zakręcić się w głowie.

Teraz jednak, siedząc na progu, zimnym i twardym niczym marmurowy nagrobek, popijając ohydną kawą niezbyt smaczne pączki, mógł spokojnie rozmyślać. Miał jasny umysł, odzyskał rozum po krótkim okresie przerażającego obłądzenia. Przyszło mu na myśl, że jak na kogoś, kto określał siebie jako człowieka z Cro-Magnon wśród Neandertalczyków, w ostatnich dniach nie poświęcał zbyt wiele czasu na myślenie.

Myślał nie głową, lecz członkiem.

Spoglądając w kierunku Flatirons, skupił się na osobie Frannie Goldsmith. Teraz już wiedział na pewno, że to ona była w jego domu tamtego dnia. Odwiedził ją w mieszkaniu, które dzieliła z Redmanem, wymyślając gładki pretekst, lecz tak naprawdę chciał jedynie przyjrzeć się jej obuwiu. Jak się okazało nosiła trampki o wzorze podeszwy idealnie pasującym do śladu odkrytego przez Harolda na podłodze piwnicy. Kółka i kreski. To była ona. Nie ulegało wątpliwości.

Wyjaśnienie, jak do tego doszło, nie sprawiło mu większych problemów. Musiała w jakiś sposób zorientować się, że przeczytał jej pamiętnik. Zapewne zostawił na jednej ze stron jakiś odcisk lub ślad... może nawet niejeden. Dlatego przyszła do jego domu, aby poznać odczucia Harolda na temat tego, o czym przeczytał. Szukała jego przelanych na papier myśli i wrażeń.

Naturalnie miał swój Rejestr, ale był pewien, że nie zdołała go znaleźć. Na jego kartach czarno na białym było napisane, że zamierzał zabić Stu Redmana. Gdyby poznała jego najskrytsze plany, opowiedziałyby o tym Stu. A jeżeli nawet zachowałyby to dla siebie, nie byłaby wczoraj wobec niego tak naturalna i miła.

Dojadł pączka, krzywiąc się, gdyż nie smakowały mu ani lukier, ani marmolada w środku czerstwego ciastka. Postanowił, że zamiast pojechać na dworzec autobusowy motocyklem,

pójdzie tam dzisiaj pieszo. W drodze powrotnej Teddy Weizak albo Norris podrzuca go do domu.

Ruszył przed siebie, zapinając suwak wiatrówki aż po szyję, gdyż o tej porze wciąż jeszcze było dość chłodno. Mijał puste domy z opuszczonymi żaluzjami, na wysokości szóstej przecznicy przy Arapahoe ujrzał pierwsze, wielkie, nakreślone kredą na drzwiach iksy. To także był jego pomysł. X oznaczał, że pracownicy służby pogrzebowej wynieśli już z tego domu wszystkie zwłoki i budynek był pusty. X oznaczało oczyszczenie. Ludzie, którzy mieszkali w domach, gdzie pojawiły się kredowe znaki, odeszli na zawsze. Jeszcze miesiąc i znak X będzie widnieć na drzwiach wszystkich domów w Boulder, sygnalizując koniec pewnej epoki.

Pora, by ruszyć głową. Było wiele spraw wymagających gruntownego przemyślenia. Wyglądało na to, że odkąd spotkał Nadine, naprawdę przestał myśleć... a może stało się to znacznie wcześniej.

„Przeczytałem jej pamiętnik, gdyż byłem rozżalony i zazdrosny – pomyślał. – A potem ona włamała się do mojego domu, zapewne w poszukiwaniu dziennika, który ja pisałem, ale go nie znalazła. Szok wywołany świadomością, iż ktoś, jakiś złodziej złożył ci nieoczekiwaną wizytę, jest chyba sam w sobie wystarczającą zemstą”. Na Harolda podziałało to jak kuracja wstrząsowa. Może już byli kwita, wyrównali rachunki i na tym powinni zakończyć...

Przecież Frannie już go nie interesowała, czyż nie? CZYŻ NIE?

W jego wnętrzu zaczęło narastać głębokie oburzenie. Może nie. Ale to nie zmieniało faktu, że go odrzuciła. Chociaż Nadine nie wyjawiała, co było powodem, że zdecydowała się z nim zamieszkać, Harold podejrzewał, iż ona również musiała zostać w jakiś sposób zraniona, urażona i odrzucona. Byli parą wyrzutek, ludźmi, których brutalnie odepchnięto, byli outsiderami. Może właśnie to jedno pozwalało im zachować zdrowe zmysły. („Nie zapomnij wpisać tego do Rejestru” – pomyślał Harold... był już prawie w śródmieściu.)

Po drugiej stronie gór wyrzutek takich jak oni było całe mnóstwo. A kiedy zbierze się ich dość w jednym miejscu, zachodzi szczególny proces, mistyczna osmoza i w jednej chwili znajdujesz się wewnątrz. W środku, gdzie jest ciepło. Pozornie może się wydawać, że to niewiele, po prostu być w środku, gdzie jest ciepło, lecz w rzeczywistości jest to bardzo ważne.

Może nawet najważniejsze na świecie.

Może wcale nie chciał być kwita z kimkolwiek, może nie miał ochoty wyrównywać rachunków. Może nie uśmiechało mu się czekać cierpliwie na dalszy rozwój kariery w tym martwym tworze rodem ze świata, który odszedł na zawsze, odbierać bezsensowne, nic nie znaczące listy z podziękowaniami za błyskotliwe pomysły i liczyć, że za pięć lat, kiedy Bateman odejdzie z komisji, on wreszcie będzie mógł zająć jego miejsce... A jeśli znów go pominą? To całkiem możliwe i w grę nie wchodzi tu bynajmniej jego młody wiek. Bądź co bądź przyjęli do komisji głuchoniemego, a on był starszy od Harolda zaledwie o kilka lat.

Płomień gniewu rozpałił się w nim jeszcze bardziej. „Myśl, jasne, myśl, łatwo powiedzieć, a czasami nawet łatwo zrobić... ale cóż ci po myśleniu, skoro jedyną rzeczą otrzymaną od tych rządzących światem Neandertalczyków są kpiące docinki, albo, pożał się Boże, list z podziękowaniem?”

Dotarł do dworca autobusowego. Wciąż jeszcze było wczesnie i na przystanku nie było nikogo. Na drzwiach dworca naklejono ulotkę z zawiadomieniem, że kolejne walne zgromadzenie odbędzie się dwudziestego piątego sierpnia. Walne zgromadzenie? Dobre sobie. Raczej gromadne walenie konia.

Poczekalnia udekorowana była plakatami reklamowymi turystycznej linii Greyhound i zdjęciami ukazującymi wielkie, srebrzyste autokary mknące przez Atlantę, Nowy Orlean, San Francisco czy Nashville. Usiadł, tępym wzrokiem wpatrując się w nieczynne, wygaszone flippery, automat z coca-colą i automat z kawą, gdzie można było również dostać kubek cuchnącej rybą szybkiej zupki firmy Lipton. Zapalił papierosa i upuścił zapalną na podłogę.

„Przyjęli konstytucję. Suuper! Jakie to amerykańskie. Nawet, cholera, odśpiewali *Gwiazdzisty Sztandar*”.

Gdyby jednak zdarzyło się, że Harold Lauder zabierając głos podczas zgromadzenia, nie zechciał udzielić im kilku konstruktywnych podpowiedzi, lecz zamiast tego zwrócił uwagę na kilka istotnych prawd o życiu w pierwszym roku po nadejściu zarazy?

„Panie i panowie, nazywam się Harold Emery Lauder i parafrazując słowa starej piosenki, jestem tu, by przypomnieć wam, że wokoło zachodzą fundamentalne zmiany, a czas przemija. Jak Darwin. Kiedy następnym razem wstaniecie z miejsc, by odśpiewać hymn narodowy, raczcie, drodzy przyjaciele i sąsiedzi, nie zapomnieć o kilku kluczowych sprawach. Przemyślcie je sobie: Ameryka nie żyje, jest martwa i pogrzebana, jak Jacob Marley, Buddy Holly, Big Bopper i Harry S. Truman, lecz zasady wyłożone przez Karola Darwina nadal żyją i mają się świetnie jak duch Marleya, kiedy ukazał się Ebenezerowi Scrooge’owi. Rozmyślając nad urokami rządów konstytucyjnych, raczcie poświęcić również krótką chwilę Człowiekowi z Zachodu, Randallowi Flaggowi. Szczerze wątpię, czy ma on dość wolnego czasu, by trwonić go na bzdety w rodzaju walnych zgromadzeń, głosowań i nic nie wnoszących debat, utrzymanych w szeroko pojętym tonie pełnego liberalizmu. Zamiast tego skupia się on na rzeczach istotnych, na podstawach, na swoim darwinizmie, szykując się, by wytrzeć wielki błat stołu wszechświata waszymi martwymi ciałami. Pozwolę tu sobie skromnie zauważyć, że podczas gdy my staramy się przywrócić miastu prąd i wodę, i czekamy aż do naszego szczęśliwego małego kolektywu zawita pierwszy lekarz z prawdziwego zdarzenia, on może tymczasem z niezłomną gorliwością poszukiwać kogoś z uprawnieniami pilota, aby rozpocząć szpiegowskie przeloty nad Boulder zgodnie z najlepszą tradycją Francisca Gary’ego Powersa. Podczas gdy my rozpatrujemy palącą kwestię, kto wejdzie w skład wydziału oczyszczania miasta, on zapewne zaczął już formować wydział czyszczenia broni palnej, że nie wspomnę już o mózdzierzach, silosach raketowych, a może nawet

fabrykach broni biologicznej. Oczywiście wszyscy doskonale wiemy, że w naszym kraju nie ma fabryk broni biologicznej – między innymi to czyni go tak wspaniałym – ha! ha! Ale powinniście uświadomić sobie wreszcie, że podczas gdy my ustawiamy nasze wozy w koło, on...”

– Hej, Hawk, co jest, wyrabiasz nadgodziny?

Harold uniósł powieki i uśmiechnął się.

– Tak. Pomyślałem sobie, że trochę podgonię z robotą – zwrócił się do Weizaka. – Twoją kartę też już podbiłem. Zarobiłeś jak dotąd całe sześć dolarów.

Weizak wybuchnął śmiechem.

– Prawdziwy z ciebie as, Hawk, słowo daję!

– Nie, nie as – poprawił Harold, uśmiechając się przez cały czas. Pochylił się, aby mocniej zawiązać sznurówki. – Raczej joker.

ROZDZIAŁ 56

Stu przez cały następny dzień pracował w elektrowni przy naprawie generatorów, pod wieczór zaś wsiadł na motocykl i ruszył w drogę powrotną do domu. Przy niedużym parku naprzeciw gmachu Pierwszego Banku w Boulder zatrzymał go Ralph Brentner. Stu zaparkował motocykl i podszedł do muszli koncertowej, gdzie siedział Ralph.

– Właśnie cię szukałem, Stu. Masz chwilę?

– Tylko chwilę. Jestem już spóźniony na kolację. Frannie będzie się martwić.

– Tak, sądząc po tym, jak wyglądają twoje dłonie, byłeś w elektrowni i nawijałeś druty – Ralph wydawał się głęboko zatroskany i nieobecny.

– Tak. Nawet grube robocze rękawice niewiele dają. Moje ręce są w fatalnym stanie.

Ralph pokiwał głową. W parku oprócz nich było jeszcze jakieś pół tuzina innych osób, kilkoro z nich oglądało kolejkę wąskotorową, która kursowała kiedyś pomiędzy Boulder a Denver. Trzy młode kobiety urządziły sobie piknik na trawniku. Stu uznał, że dobrze jest posiedzieć tu przez chwilę, opierając poranione dłonie na podołku. „Może szeryfowanie nie będzie wcale takie złe – pomyślał. – Przynajmniej oderwę się od tej cholernej linii produkcyjnej w Boulder”.

– Jak im idzie? – zapytał Ralph.

– Nie znam się na tym, więc trudno mi to powiedzieć. Jestem tylko najemną siłą roboczą, jak pozostali. Brad Kitchner twierdzi, że idzie jak po maśle. Jego zdaniem zasilanie w mieście zostanie przywrócone już pod koniec pierwszego tygodnia września, a może nawet wcześniej, a ogrzewanie w połowie miesiąca. Oczywiście jest trochę za młody, by można brać jego słowa za pewnik, ale...

– Stawiam na Brada – rzekł Ralph. – Ufam mu. Ma spore doświadczenie. – Ralph roześmiał się, ale jego śmiech przerodził się w długie, ciężkie westchnienie.

– Coś cię gryzie, Ralph. Może wreszcie powiedziałbyś, co ci leży na wątrobie?

– Mam nowe wiadomości – odparł Ralph. – Jedne dobre, inne... nie za bardzo. Chciałem, abyś się o tym dowiedział, bo i tak nie da się tego utrzymać w sekrecie. Dowiedziałem się tego dzięki mojej radiostacji, a w Wolnej Strefie wielu ludzi ma radia CB. Podejrzewam, że co najmniej kilka osób słuchało mojej rozmowy z tymi nowymi, którzy tu do nas idą.

– Ilu ich jest?

– Ponad czterdzieści osób. Jest wśród nich lekarz, niejaki George Richardson. Wydaje się być w porządku. To rozsądny, zrównoważony facet.

– Świetnie! To wspaniała wiadomość!

– Pochodzi z Derbyshire w Tennessee. Większość ludzi w tej grupie to Południowcy. Była z nimi również kobieta w ciąży. Dziesięć dni temu, trzynastego zaczęła rodzić. Doktor odebrał poród, przyszły na świat bliźniaki. Były zdrowe. A przynajmniej urodziły się zdrowe.

– Ralph umilkł, jego wargi poruszały się bezgłośnie.

Stu ścisnął go za ramię.

– Umarły? Dzieci umarły? Gadaj, do cholery!

– Umarły – odparł niemal szeptem Ralph. – Pierwsze po dwunastu godzinach. Wyglądało tak, jakby zadławiło się na śmierć. Drugie zmarło dwa dni później. Richardson nic nie mógł zrobić, aby je uratować. Matka tych bliźniąt oszalała. Zaczęła bredzić o śmierci, zagładzie i o tym, że nie będzie już więcej dzieci. Stu, dopilnuj, żeby Fran nie było w pobliżu, gdy zjawi się nowa grupa. Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Uważam, że ty powinieneś powiadomić o tym Frannie. I to niezwłocznie. Bo jeżeli ty tego nie zrobisz, zrobi to ktoś inny.

Stu powoli puścił rękę Ralpa.

– Ten Richardson chciał wiedzieć, ile mamy w Boulder ciężarnych kobiet, więc mu powiedziałem, że chyba tylko jedną. Kiedy zapytał, w którym jest miesiącu, odparłem, że w czwartym. Zgadza się?

– Fran jest w piątym miesiącu. Ralph, czy to pewne, że te dzieci zabiła supergrypa? Czy doktor jakoś to sprawdził?

– Niestety nie, i to również powinieneś powiedzieć Fran, aby dobrze wszystko rozumiała. Richardson powiedział, że przyczyn śmierci mogło być wiele... odżywianie się matki... choroba dziedziczna... infekcja oddechowa... a może po prostu, no wiesz... dzieci miały jakieś wady wrodzone. Jego zdaniem mógł być za to również odpowiedzialny jakiś czynnik Rh, choć nie wiem, co to takiego. Nie mógł stwierdzić przyczyny zgonu, gdyż dzieci urodziły się na polu przy I-70. Powiedział, że wraz z trzema innymi, którzy dowodzili grupą, do późnej nocy rozmawiali o tej sprawie. Richardson uznał, że powinni za wszelką cenę dowiedzieć się, czy to właśnie Kapitan Trips zabił oboje niemowląt i że miało to kolosalne znaczenie, nie tylko dla nich, ale dla wszystkich ludzi, którzy ocalili z pomoru.

– Rozmawiałem o tym z Glenem – rzekł grobowym głosem Stu – tego dnia, kiedy go spotkałem. Czwartego lipca. Mam wrażenie, że to było tak dawno... Co tu dużo gadać, jeśli te bliźniaki rzeczywiście zmarły z powodu supergrypy, znaczy to, że za jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu lat oddamy cały ten bajzel szczurom, muchom i wróblom. To one odziedziczą Ziemię.

– Podejrzewam, że Richardson powiedział im mniej więcej to samo. Znajdowali się wtedy o czterdzieści mil na zachód od Chicago. Richardson przekonał ich, by następnego dnia

udali się do miasta, gdzie w najbliższym szpitalu zamierzał dokonać autopsji obu ciał. Jak stwierdził, nie miał całkowitej pewności, czy zabiła je supergrypa, ale potrafi to sprawdzić. Sporo się tego naoglądał pod koniec czerwca. Jak większość lekarzy, a przynajmniej tak mi się wydaje.

– No tak.

– Rankiem jednak okazało się, że niemowlęta zniknęły. Ich matka pochowała je i nie chciała powiedzieć gdzie. Przez dwa dni przekopywali całą okolicę przekonani, że nie mogła odejść zbyt daleko od grupy ani pogrzebać ich głęboko. W końcu była świeżo po porodzie, i w ogóle. A jednak nie udało im się odnaleźć niemowląt, mimo iż usilnie próbowali wyjaśnić kobiecie, jakie to dla nich wszystkich ważne. Biedna matka z rozpaczycy zupełnie straciła rozum.

– Potrafię to zrozumieć – rzekł Stu, myśląc o Fran i o tym, jak bardzo pragnęła dziecka.

– Doktor powiedział, że jeśli nawet to była supergrypa, może dwoje uodpornionych ludzi zdoła spłodzić uodpornione dziecko – dokończył Ralph z nadzieją w głosie.

– Szansa, że naturalny ojciec dziecka Fran był uodporniony, jest moim zdaniem jedna na miliard – mruknął Stu. – Tak czy inaczej, tu go nie ma.

– Cóż... chyba masz rację. Przykro mi, Stu, że musiałem obarczyć cię tym cholernym brzemieniem. Ale chciałem, żebyś o tym wiedział i żebyś to ty powiedział o tym Fran.

– Wprost nie mogę się doczekać – ponuro odparł Stu.

Kiedy jednak dotarł do domu, okazało się, że ktoś go w tym ubiegł.

– Frannie?

Żadnej odpowiedzi. Na kuchence stała przypalona kolacja, ale w mieszkaniu było ciemno i cicho.

Stu wszedł i rozejrzał się po pokoju. Na stole, w popielniczce leżały dwa niedopałki, jednakże Fran nie paliła, a on lubił papierosy innej marki.

– Maleńka?

Wszedł do sypialni i tam ją odnalazł. Leżała w półmroku na łóżku i wpatrywała się w sufit. Twarz miała nabrzmiąłą i wilgotną od łez.

– Cześć, Stu.

– Kto ci powiedział? – spytał gniewnie. – Kto nie mógł się doczekać, by przekazać ci tę dobrą wiadomość? Ktokolwiek to był, połamię mu wszystkie kości.

– Sue Stern. Dowiedziała się od Jacka Jacksona. On ma radio CB i usłyszał rozmowę Ralpha z doktorem. Uznała, że lepiej będzie, jeśli ona mi to powie, niż gdyby miał to zrobić ktoś inny. „Biedna mała Frannie. Obchodźcie się z nią jak z jajkiem. Ostrożnie, łatwo ją uszkodzić”. – Zachichotała nieśmiało. W dźwięku tym zabrzmiała nuta żalu tak głębokiego, że Stu poczuł łzy napływające do oczu.

Podszedł, położył się na łóżku obok niej i delikatnie odgarnął jej włosy z czoła.

– To nic pewnego, kochanie. Nie ma pewności, że...

– Wiem. A poza tym może moglibyśmy mieć własne dzieci. – Odwróciła się do niego. Oczy miała smutne, podpuchnięte i zaczerwienione. – Ale ja chcę tego dziecka. Czy to coś złego?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Leżę tu, czekając, by znowu się poruszyło, dało mi jakikolwiek znak, i nic. Nie poczułam, żeby choć drgnęło od tamtej nocy, kiedy zjawił się Larry, pragnąc odwiedzić Harolda. Pamiętasz?

– Tak.

– Poczułam, że dziecko się poruszyło, ale cię nie obudziłam. A teraz tego żałuję. Tak bardzo bym chciała, żebyś i ty to poczuł... – Znowu się rozplakała i zakryła oczy przedramionami; nie chciała, by oglądał ją taką.

Stu zdjął jej rękę z twarzy, wyciągnął się wygodnie obok i pocałował w usta. Objęła go mocno, a potem przytuliła się do niego. Kiedy się odezwała, jej słowa były mocno stłumione, gdyż niemal przywierała wargami do jego szyi.

– Niewiedza jeszcze bardziej to wszystko pogarsza. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak czekać na rozwiązanie. To takie straszne... ta świadomość, że musisz czekać jeszcze tyle miesięcy, by przekonać się, czy twoje dziecko w ciągu paru godzin po porodzie zachoruje i umrze...

– Nie będziesz czekać samotnie – powiedział Stu.

Gdy to powiedział, ponownie go przytuliła i tak objęci, leżeli bardzo długo w całkowitym milczeniu i bezruchu.

Nadine Cross od pięciu minut przebywała w pokoju swego starego domu, pakując się, zanim go spostrzegła siedzącego w kącie, na krześle, z kciukiem w ustach, ubranego tylko w slipki i obserwującego ją tymi dziwnymi szaro-zielonymi, skośnymi oczami. Była tak zaskoczona – nie tyle samym jego widokiem, ile świadomością, że przez cały ten czas na nią patrzył – że serce podeszło jej do gardła. Krzyknęła. Książki w broszurowym wydaniu, które miała włożyć do plecaka, posypały się na podłogę.

– Joe... to znaczy... Leo...

Przyłożyła dłoń do piersi, jakby chciała tym gestem uspokoić rozkołatanę serce. Ale ono uparcie nie zwalniało tempa. To, w jaki sposób się zachowywał, kiedy go ujrzała, nie mogło wróżyć nic dobrego, tym gorzej, że był ubrany tak jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy w New Hampshire. Nazbyt kojarzyło się jej to z powrotem do przeszłości, jak gdyby jakiś złośliwy bóg przeniósł ją w czasie, by ponownie mogła przeżyć ostatnie sześć tygodni.

– Śmiertelnie mnie wystraszyłeś – wykrztusiła drżąco.

Joe milczał.

Podeszła do niego powoli, była prawie pewna, że ujrzy w dłoni Joe, czy też Leo długi, rzeźnicki nóż, tak jak wtedy, parę tygodni temu, ale chłopak miał ręce złożone na podołku i

nic w nich nie trzymał. Zauważyła, że jego brązowa opalenizna prawie zupełnie znikła, podobnie jak stare zadrapania i stłuczenia. Oczy jednak pozostały nie zmienione... te oczy mogły nawiedzać cię we snach. Cokolwiek w nich było, a z każdym dniem to narastało, odkąd chłopiec zjawił się przy ognisku, aby posłuchać, jak Larry gra na gitarze, znikło bez śladu. Jego oczy wyglądały jak wtedy, gdy spotkała go po raz pierwszy i widok ten przepełnił ją głęboką trwogą.

– Co tutaj robisz?

Joe nie odpowiedział.

– Dlaczego nie jesteś z Larrym i mamą-Lucy?

Bez odpowiedzi.

– Nie możesz tu zostać – powiedziała, usiłując przemówić mu do rozsądku, ale zanim dodała coś więcej, zaczęła się zastanawiać, od jak dawna Joe znajdował się w tym pokoju. Jak długo tak tu siedział.

Był ranek, dwudziestego czwartego sierpnia. Dwie poprzednie noce spędziła u Harolda. Nagle przyszło jej na myśl, że mógł spędzić na tym krześle, ssąc kciuk, ostatnie czterdzieści osiem godzin. Naturalnie była to absurdalna myśl, miał przecież co jeść i pić (a może nie?), ale ilustrująca ją posępna wizja, którą ujrzała oczyma duszy okazała się silniejsza niż się jej wydawało. Znow zaczął ją ogarniać dziwny, niewytłumaczalny niepokój i z niejakim smutkiem uświadomiła sobie, w jak wielkim stopniu zmieniła się ona sama: jeszcze niedawno sypiała bez lęku obok tego małego dzikusia i to w dniach, kiedy był uzbrojony i naprawdę niebezpieczny. Teraz nie miał nawet noża, a jednak lękała się go. Sądziła, że (Joe? Leo?) jego poprzednie „ja” odeszło na dobre.

Ale on wrócił. I był tutaj.

– Nie możesz tu zostać – powiedziała. – Wróciłam tylko po swoje rzeczy. Wyprowadzam się. Przenoszę się do innego domu. Zamieszkam z... pewnym mężczyzną.

„Czy to określenie na pewno pasuje do Harolda? – zapytał drżący głos w jej myślach. – Wydawało mi się, że jest tylko narzędziem, sposobem na zakończenie tego wszystkiego”.

– Leo, posłuchaj...

Pokręcił głową, słabo, ale wystarczająco wyraźnie. Jego srogie, błyszczące oczy skupiły wzrok na jej twarzy.

– Nie jesteś Leo?

Znow ten lekki przeczący ruch głową.

– Jesteś Joe?

Delikatne skinienie.

– No, dobrze. Ale musisz zrozumieć, że nie obchodzi mnie już, kim jesteś – powiedziała, usiłując zachować spokój. Wciąż dręczyło ją to osobliwe uczucie przeniesienia w czasie o kilka tygodni wstecz. Bała się i czuła się nieswojo. – Ten etap naszego życia, kiedy byliśmy

razem, tylko we dwoje, bezpowrotnie dobiegł końca. Zmieniliśmy się, i ja i ty. Nie możemy tego odwrócić.

Wpatrywał się w nią z taką intensywnością, jakby chciał powiedzieć coś dokładnie przeciwnego.

– Przystań się na mnie gapić – ucięła gniewnie. – Tak nie wolno. To bardzo nieuprzejmie.

W jego wzroku pojawił się nagle oskarżycielski wyraz. Szaro-zielone, dziwne skośne oczy zdawały się mówić, że nie wolno również pozostawiać ludzi samym sobie i pozbawiać ich miłości, której nadal pragną i od której są uzależnieni.

– Przecież nie zostajesz sam – mruknęła, odwracając się, by pozbierać upuszczone książki. Uklękła niezdarnie, bez odrobiny gracji, przy wtórze głośnego trzasku kolan, przypominającego strzelające chińskie petardy. Zaczęła wrzucać książki na chybił trafił do plecaka, na leżące tam już dwie paczki chusteczek higienicznych, fiolkę z aspiryną i jej bieliznę, proste bawełniane figi, jakże różne od tych, które nosiła ku uciesze Harolda. – Masz Larry’ego i Lucy. Ty chcesz ich, a oni ciebie. No, w każdym razie na pewno Larry cię chce, a przecież to jest najważniejsze. Lucy zazwyczaj chce tego samego, co on. Jest niczym kalka. Widzisz, Joe, moja sytuacja bardzo się zmieniła. To nie moja wina, że się tak stało. Naprawdę. Przystań patrzeć na mnie z takim wyrzutem.

Zaczęła zapinać paski plecaka, ale mocno trzęsące się ręce utrudniały jej tę czynność. Cisza wokół Nadine i chłopca zaczęła się pogłębiać i była coraz bardziej nieprzyjemna.

Wreszcie Nadine wstała i założyła plecak.

– Leo – próbowała nadać głosowi spokojny, zrównoważony ton, taki, jakiego używała w klasie wobec niegrzecznych dzieci. Bezskutecznie. Głos jej się łamał, a lekkie potrząśnięcie głowy, jakim Leo zbył jej wymęczoną tyradę jeszcze pogorszyło całą sprawę. – Nie chodzi o Larry’ego i Lucy – syknęła złowieszczo Nadine. – Gdyby tak było, potrafiłabym to jeszcze jakoś zrozumieć. Tylko że tak naprawdę ty zdradziłeś mnie dla tej starej, czarnej ropuchy, mam rację? Dla tej głupiej staruchy w jej bujanym fotelu, szczerzącej w uśmiechu do całego świata sztuczne zęby. Ale teraz już jej nie ma, więc postanowiłeś wrócić do mnie. Co to, to nie, nie ma tak dobrze, słyszysz? Nic z tego! Wybij to sobie z głowy!

Joe milczał.

– A Larry... błagałam go... padłam przed nim na kolana... błagałam go... lecz on pozostał nieprzejednany. Był zbyt zajęty odgrywaniem wielkiego mężczyzny. Sam widzisz, że nie ma w tym wszystkim mojej winy. Ani trochę. W ogóle. Null. Zero.

Chłopiec patrzył na nią beznamiętnie.

Znów poczuła powracający strach, powoli lecz nieuchronnie zabijający gniew, który ją trawił. Podeszła tyłem do drzwi i sięgnawszy za siebie, namacała dłonią klamkę. W końcu ją odnalazła, przekręciła i energicznym pchnięciem otworzyła drzwi na oścież. Powiew chłodnego powietrza, który omiótł jej ramiona, podziałał na Nadine kojąco i odrobinę ją uspokoił.

– Idź do Larry’ego – mruknęła pospiesznie. – Żegnaj, mały.

Wyszła na ganek i przez chwilę stała na najwyższym stopniu schodów, usiłując się opanować. Nagle przyszło jej na myśl, że to wszystko mogło być tylko złudzeniem, wywołanym trawiącymi ją wyrzutami sumienia, poczuciem winy, że opuszczała chłopca, że kazała Larry’emu zbyt długo na siebie czekać oraz wstydem z powodu rzeczy, jakich dopuściła się z Haroldem, a przecież to był dopiero początek... w niedalekiej przyszłości czekały ją znacznie gorsze rzeczy. Może w domu w ogóle nie było żadnego chłopca. Może był tylko duchem, zjawą jak z opowiadań Poe’go, gdzie martwe kobiety nawiedzają po śmierci swych oblubieńców, a na posągu Pallas Ateny można dostrzec złowróżbną sylwetkę wielkiego, czarnego kruka.

– *Noc już była, północ zgoła...* – wyszeptała bez namysłu i wybuchnęła ochryplym, gardłowym śmiechem, niewiele chyba różniącym się od krakania wspomnianego przed chwilą kruka.

A jednak musiała mieć pewność. Musiała to sprawdzić.

Podeszła do okna i zajrzała do dużego pokoju domu, który jeszcze niedawno należał do niej. Mieszkała w nim, ale nigdy na dobre się tu nie zadomowiła. Czyż jednak mogło być inaczej, skoro w każdej chwili mogła go opuścić, nie zabierając ze sobą więcej rzeczy niż mieściło się w jej plecaku? Zaglądając do środka, ujrzała zasłony, tapety i dywan jakiejś nieżyjącej kobiety, stojak do fajek jej nieżyjącego męża oraz plik jego czasopism sportowych rozsypany na blacie stolika do kawy. Fotografie nieżyjących dzieci stojące na obramowaniu kominka. A na krześle w kącie siedział chłopiec, syn jakiejś nieżyjącej matki. Ubrany był tylko w slipki; siedział w bezruchu, tak jak wcześniej, jak wtedy, gdy...

Nadine rzuciła się do ucieczki, potykając się i niemal upadając, gdy zahaczyła stopą o niskie ogrodzenie z drutu rozciągnięte wokół klombu, pod oknem, z lewej strony. Wskoczyła na siodło vespy i uruchomiła skuter. Pierwszych kilka przecznic pokonała w iście zawrotnym tempie, wykonując karkołomny slalom między samochodami, których na wąskich, drugorzędnych uliczkach wciąż jeszcze stało sporo, lecz już po chwili zaczęła, powoli się uspokajać. Zanim dotarła do domu Harolda, w pełni odzyskała nad sobą kontrolę.

Wiedziała jednak, że przyjdzie jej, i to już niebawem, opuścić Wolną Strefę Boulder. Jeżeli nie chce paść w obłąd, musi stąd wyjechać.

I to jak najszybciej.

Spotkanie w Audytorium Munzingera było udane. Na początek odśpiewano ponownie hymn narodowy, ale tym razem większość oczu pozostała sucha; był to po prostu element czegoś, co niebawem stanie się rytuałem. Powołano komisję do spraw spisu ludności, pod przewodnictwem Sandy Du Chiens. Wraz z czwórką pomocników Sandy natychmiast zaczęła wędrować po sali, zliczając obecnych i odnotowując nazwiska. Pod koniec zebrania, przy wtórze radosnych okrzyków i braw oznajmiła, że w Strefie przebywało obecnie osiemset

czternaście osób i obiecała (jak się okazało, nieco zbyt pochopnie), że na następne walne zgromadzenie przygotowuje pełny spis ludności wraz z niezbędnymi danymi, które miała nadzieję uaktualniać z tygodnia na tydzień, umieszczając w nim w porządku alfabetycznym nazwiska, wiek, adresy obecne i wcześniejsze oraz zawody mieszkańców Boulder. Jak się okazało, napływ nowych osób do miasta był tak duży i tak trudny do opanowania, że zawsze miała dwa lub trzy tygodnie opóźnienia.

Z kolei zajęto się sprawą kadencji komisji Wolnej Strefy. Po kilku dość osobliwych propozycjach (ktoś zaproponował dziesięć lat, ktoś inny dożywocie, Larry zaś zaprowadził porządek na sali stwierdzając, że jego zdaniem brzmi to jak wyrok, a nie okres sprawowania władzy przez radę miejską) przegłosowano kadencję jednoroczną. Harry Dunbarton siedzący na końcu sali uniósł dłoń, a Stu udzielił mu głosu.

Wołając na całe gardło, by go usłyszano, Harry rzucił:

– Może okazać się, że nawet rok to za długo. Nie mam nic przeciwko osobom z komisji, uważam, że robicie cholernie dobrą robotę – głośnie okrzyki i przeciągłe gwizdy – ale jeśli nasza populacja będzie rozrastać się w tym tempie, to wszystko już niebawem wydostanie się spod kontroli.

Glen uniósł rękę. Stu udzielił mu głosu.

– Panie przewodniczący, nie było tego w programie naszego dzisiejszego zebrania, ale uważam, że pan Dunbarton poczynił tu wielce trafne spostrzeżenie.

„Jeszcze jak, łysy – pomyślał Stu – przecież sam zwróciłeś na to uwagę zaledwie tydzień temu”.

– Chciałbym zgłosić wniosek o powołanie Rządowej Komisji Reprezentantów, abyśmy mogli wreszcie przywrócić do działania postanowienia konstytucji. Uważam, że szefem tej komisji powinien zostać Harry Dunbarton. Ja również chętnie do niej przystąpię, jeżeli nikt nie uzna, że byłoby to sprzeczne z prawem.

Oklaski.

Siedzący w ostatnim rzędzie Harold odwrócił się do Nadine i wyszeptał jej do ucha:

– Panie i panowie, rozpoczynamy naszą publiczną sesję wzajemnej adoracji.

Uśmiechnęła się do niego lubieżnie, z wyuzdaniem, aż mimowolnie zadygotał.

Przy wtórze gromkich braw Stu został wybrany szeryfem Wolnej Strefy.

– Będę próbował dać z siebie wszystko – powiedział. – Niektórzy z was, przyjmując dziś tak radośnie moją nominację, mogą któregoś dnia tego pożałować, gdy przyłapię ich na jakichś ciemnych sprawkach. Słyszysz mnie, Richie Moffat?

Gromki śmiech. Richie, który miał już mocno w czubie, zarechotał gardłowo.

– Nie widzę jednak powodu, dlaczego mielibyśmy mieć w Boulder jakiegokolwiek problemy z przestrzeganiem prawa. Głównym zadaniem szeryfa jest powstrzymywanie ludzi przed wzajemnym czynieniem sobie krzywdy, a przecież nikt z nas tego nie pragnie. Ludzie dość się już nacierpieli. To chyba wszystko, co miałbym teraz do powiedzenia.

Zebrani urządzili mu długą owację.

– Przechodzimy do kolejnego punktu porządku dziennego – oznajmił Stu. – Jest on poniekąd związany z poprzednim. Potrzebujemy około pięciu ludzi, którzy utworzą wydział ochrony prawa, w przeciwnym razie czułbym się trochę nieswojo, gdyby przyszło mi kiedykolwiek posłać kogoś za kratki. Czy ktoś chciałby zgłosić czyjąś kandydaturę?

– Może Sędziego? – dobiegło z końca sali.

– Tak, tak, Sędziego! – rozległy się kolejne głosy.

Ludzie zaczęli odwracać głowy, spodziewając się ujrzeć, jak Sędzia wstaje i w typowy dla siebie, barwny sposób przyjmuje nominację; ten i ów szeptem przypomniał sąsiadowi o tym, jak Sędzia trafną uwagą o latających talerzach dociął na jednym ze spotkań pewnemu nadętemu bufonowi. Odkładano ulotki z programem zebrania, ludzie chcieli mieć wolne ręce, by móc nagrodzić Sędziego oklaskami.

Stu ze smutkiem spojrział na posępnego Glena, ktoś z komisji powinien to przewidzieć.

– Nie ma go na sali – powiedział ktoś.

– Kto go widział? – zapytała zdenerwowana Lucy Swann.

Larry zerknął na nią z ukosa, lecz ona wciąż rozglądała się po sali, wypatrując Sędziego.

– Ja.

Tłum zaczął szemrać, gdy Teddy Weizak wstał ze swojego fotela, nerwowo czyszcząc bandaną szkła okularów w stalowych oprawkach.

– Gdzie?

– Gdzie go widziałeś, Teddy?

– Czy był w mieście?

– Co robił?

Teddy Weizak skulił się, jakby próbując bronić się fizycznie przed lawiną pytań.

Stu walnął młotkiem w pulpit i krzyknął:

– Cisza na sali! Proszę o spokój!

– Widziałem go dwa dni temu – odparł Teddy. – Siedział za kółkiem land-rovera. Powiedział, że wybiera się na jeden dzień do Denver. Nie mówił, po co. Trochę z tej okazji pożartowaliśmy. Wydawał się być w wyśmienitym nastroju. To wszystko, co wiem. – Usiadł zaczerwieniony jak burak, przez cały czas zaciekle czyszcząc szkła okularów.

Stu znów poprosił o ciszę.

– Przykro mi, Sędzia jest nieobecny. Sądzę, że byłby idealnym kandydatem, ale skoro go nie ma, proszę o inne nominacje. Czekam.

– Nie, przecież nie możemy tak tego zostawić! – zaprotestowała Lucy, podrywając się z miejsca. Miała na sobie obcisły, dżinsowy kombinezon, który skupił na sobie wzrok większości obecnych na sali mężczyzn. – Sędzia Farris to przecież starszy. A jeśli w Denver zachorował i nie może wrócić?

– Lucy – rzekł Stu. – Denver to wielkie miasto.

Na sali zapadła cisza. Lucy usiadła. Była blada jak płótno. Larry objął ją ramieniem. Lucy spojrzała mu w oczy, a Larry natychmiast odwrócił wzrok.

Zgłoszono nieśmiały wniosek, by powołanie wydziału ochrony prawa odłożyć do powrotu Sędziego, ale po dwudziestominutowej dyskusji został obalony.

W grupie doktora Richardsona dotarł do Boulder jeszcze jeden prawnik, dwudziestosześcioletek nazwiskiem Al Bundell. Kiedy zgłoszono jego kandydaturę na szefa wydziału, przyjął ją skwapliwie, wyrażając cichą nadzieję, że jeszcze co najmniej przez miesiąc nikt w mieście nie popełni żadnego poważniejszego przestępstwa, tyle bowiem Al potrzebował czasu na zorganizowanie sprawnego systemu sądowego. Sędzia Farris jednogłośnie został powołany na członka komisji *in absentia*.

Brad Kitchner wyglądał na mocno zdenerwowanego, gdy błady i spocony, w idiotycznym garniturze i pod krawatem podchodził do podium. W pewnym momencie upuścił kartki z przygotowaną treścią swojego wystąpienia, pozbierał je w niewłaściwej kolejności i koniec końców powiedział tylko, że najprawdopodobniej drugiego lub trzeciego września uda się im przywrócić w Boulder zasilanie. A przynajmniej taką mieli nadzieję.

Jego słowa nagrodzono istną burzą oklasków i okrzyków radości, które dodały mu otuchy i pozwoliły zejść z podium z godnością, a nawet z odrobiną dumy.

Następny był Chad Norris. Stu wyjaśnił później Frannie, że Chad podszedł do sprawy we właściwy sposób. Grzebali zmarłych z czystej przyzwoitości, bo tak było trzeba, nikt z mieszkańców Boulder nie czułby się naprawdę dobrze i spokojnie, dopóki ten ponury obowiązek nie został należycie wypełniony. Dopiero wtedy życie będzie mogło potoczyć się dalej, a jeżeli uda się im skończyć przed nadejściem jesiennej słoty, to tym lepiej. Poprosił o kilku nowych ochotników. Zgłosiło się trzy tuziny mężczyzn. Na koniec Chad poprosił wszystkich członków swojego zespołu „kopaczy” (jak ich nazywał), aby wstali i uklonili się.

Harold Lauder podniósł się z fotela tylko na moment i zaraz znowu usiadł, po zakończeniu zebrania zaś wiele osób w rozmowach chwaliło go za inteligencję, pracowitość, oddanie i niezwykłą skromność. Harold chciał jak najszybciej usiąść na fotelu, ponieważ Nadine przez cały czas szeptała mu do ucha i jedyną rozsądną rzeczą, jaka nasuwał mu się w tej sytuacji, to wstać, uklonąć się energicznie i wrócić na miejsce. W kroczu jego spodni pojawiła się bardzo wyraźna wypukłość.

Kiedy Norris zszedł z podium, jego miejsce zajął Ralph Brentner. Oznajmił wszystkim, że wreszcie mają prawdziwego lekarza. George Richardson wstał (powitano go brawami; Richardson uniósł obie ręce w górę z palcami wskazującymi i środkowymi ułożonymi na kształt litery V, co spotkało się z jeszcze gorętszą owacją tłumu) i gromkim głosem oświadczył, że w najbliższych dniach spodziewa się przybycia do miasta kolejnych sześćdziesięciu osób.

– Wracamy do porządku dziennego – rzekł Stu. Powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. – Chciałbym, aby znów do podium podeszła Sandy Du Chiens i powiedziała, ile

dokładnie mamy osób na sali, wpierw jednak pragnę zapytać, czy są jeszcze jakieś sprawy, które powinniśmy omówić na dzisiejszym zgromadzeniu?

Czekał. W tłumie dostrzegł twarze Glena, Sue Stern, Larry'ego, Nicka i oczywiście Frannie. Wyglądali na podenerwowanych. Jeśli ktoś miałby podjąć temat Flagga i tego, co komisja powinna uczynić w związku z nim, to właśnie teraz. Ale nikt się nie odezwał. Na sali panowała głucha cisza. Po piętnastu sekundach Stu oddał głos Sandy, która, jak zawsze pełna klasy, ze swadą zakończyła zebranie. Gdy ludzie zaczęli opuszczać audytorium, Stu pomyślał: „Cóż, znowu się nam udało”.

Po zebraniu podeszło do niego kilka osób, by mu pogratulować, wśród nich był nowy doktor.

– Świetnie się pan spisał, szeryfie – rzekł Richardson, a Stu przez moment miał chęć obejrzeć się przez ramię, aby sprawdzić, do kogo lekarz skierował te słowa. I nagle sobie przypomniał. Wraz z tą świadomością poczuł ogarniający go lęk. On stróżem prawa? Przecież był oszustem.

„Rok – powiedział sobie w duchu. – Rok i ani dnia dłużej”. Mimo to nadal był przerażony.

Stu, Fran, Sue Stern i Nick wracali wspólnie do centrum, słychać było wyraźny odgłos ich kroków na betonowym chodniku, kiedy przechodzili przez uniwersytecki kampus w stronę Broadway. Mijały ich pojedyncze osoby i grupki rozmawiających między sobą ludzi wracających do domu. Dochodziło wół do dwunastej.

– Chłodno dziś – powiedziała Fran. – Żałuję, że oprócz swetra nie wzięłam jeszcze kurtki.

Nick pokiwał głową. Jemu również było zimno. Wieczory w Boulder zawsze należały do chłodnych, dziś jednak nie było więcej niż pięćdziesiąt stopni Fahrenheita. Jeszcze jedno wyraźne przypomnienie, że to dziwne i przerażające lato zbliżało się ku końcowi. Nie po raz pierwszy pożałował, że Bóg Matki Abigail, czy kimkolwiek była ta istota, nie wybrała dla nich innego miejsca zbiórki, jak choćby Miami czy Nowy Orlean. Choć, jeżeli się nad tym zastanowić, wcale nie musiało tam być tak wspaniale. Duża wilgotność... spore opady... i wiele ciał. W Boulder było przynajmniej sucho.

– Omal nie wpadłem w panikę, gdy nominowali Sędziego do wydziału ochrony prawa – powiedział Stu. – Należało się tego spodziewać. Powinniśmy to przewidzieć.

Frannie pokiwała głową, a Nick pospiesznie napisał na jednej z kartek: „Jasne. Zniknięcie Toma i Dayny też zauważą. Trzeba o tym pamiętać”.

– Sądzisz, że zaczną coś podejrzywać? – zapytał Stu.

Nick skinął głową. „Będą się zastanawiać, czy w rzeczywistości nie udali się na zachód, czy nie wybrali Jego”.

Zastanawiali się nad tym przez chwilę, podczas gdy Nick wyrwał zapisaną kartkę z bloczku i spalił, używając butanowej zapalniczki.

– Niedobrze – mruknął Stu. – A co wy o tym myślicie?

– On ma rację – potaknęła posepnie Sue. – Ale co ludzie mieliby sobie pomyśleć w takiej sytuacji? Że Sędzia Farris wybrał się do Far Rockaway żeby pojeździć na diabelskim młynie?

– Mieliśmy szczęście, że uniknęliśmy dzisiejszego wieczoru zagorzałej dyskusji o tym, co dzieje się obecnie na zachodzie – odezwała się Fran.

„To fakt – napisał Nick. – Następnym razem chyba już się od tego nie wymigamy. Właśnie dlatego chciałbym odroczyć kolejne walne zgromadzenie na tak długo, jak to możliwe. Powiedzmy, że odbyłoby się za trzy tygodnie. Może piętnastego września?”

– Zdołamy je odroczyć, jeśli Brad przywróci w mieście zasilanie – odrzekła Sue.

– Chyba mu się to uda – powiedział Stu.

– Idę do domu – oznajmiła Sue. – Jutro wielki dzień. Dayna wyjeżdża. Będę jej towarzyszyć aż do Colorado Springs.

– Sue, czy uważasz, że to bezpieczne? – spytała Fran.

Wzruszyła ramionami.

– Na pewno bezpieczniejsze dla niej niż dla mnie.

– Jak to przyjęła? – zapytała Fran.

– Cóż, to dość niezwykła dziewczyna. W college’u bardzo interesowała się sportem. Najbardziej lubiła tenis i pływanie, choć próbowała praktycznie wszystkiego. Uczęszczała do college’u w Georgii, gdzie mieszkała na kampusie, ale przez pierwsze dwa lata kręciła ze swoim chłopakiem z liceum.

To był wielki mięśniak, chodzący na co dzień w ramonesce, znacie ten typ: „Ja-Tarzan, ty-Jane, więc szoruj do kuchni, bo twoje miejsce jest przy garach”. W końcu jednak koleżanka z pokoju, dziewczyna rzec by można dość popularna i frywolna, zaciągnęła ją na parę spotkań grupy kobiet wyzwolonych.

– Podejrzewam, że Dayna okazała się jeszcze bardziej wyzwolona od swojej koleżanki – odezwała się Fran.

– Najpierw została libertynką, a potem lesbijką – dodała Sue.

Stu osłupiał. Frannie spojrzała na niego z wyrazem rozbawienia na twarzy.

– Chodź do mnie, złotko – powiedziała. – Szczeka ci opadła, trzeba przykręcić śrubkę.

Stu zamknął usta tak energicznie, że aż zgrzytnął zębami.

Sue mówiła dalej:

– Jednocześnie puściła w trąbę swojego chłopaka-troglodytę. Zerwała z nim, ale on nie mógł się z tym pogodzić. Któregoś dnia cały w nerwach zjawił się u niej z pistoletem w dłoni. Dayna rozbroiła go błyskawicznie. Twierdzi, że to był największy punkt zwrotny w całym jej życiu. Wyznała mi, że zawsze zdawała sobie sprawę, iż była od niego silniejsza i zręczniejsza – czuła to INSTYNKTOWNIE – ale przekonała się o tym dopiero, gdy to zrobiła.

– Chcesz powiedzieć, że ona nienawidzi facetów – zapytał Stu, bacznie przyglądając się Susan Stern.

Sue pokręciła głową.

– Jest teraz bi.

– Bi? – mruknął z powątpiewaniem Stu.

– Lubi to robić zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami, Stuarcie. Mam jednak nadzieję, że po tym, co usłyszałeś, nie zechcesz dodać do ogólnie przyjętego dekalogu związanego z tym, jeszcze jednego, jedenastego przykazania.

– Zmartwień mi nie brakuje, nie muszę na dokładkę zawracać sobie głowy tym, kto z kim sypia – odburknął i wszyscy wybuchnęli śmiechem. – Zadałem to pytanie, gdyż nie chcę, by którakolwiek z wysyłanych na zachód osób potraktowała to jako krucjatę. Oni mają iść na przeszpiegi, a nie walczyć. Mają być obserwatorami, nie partyzantami. To zadanie nie dla lwa, lecz dla lisa.

– Dayna wie o tym doskonale – odrzekła Susan. – Fran zapytała, jaka była jej reakcja, gdy dowiedziała się, że podałam jej kandydaturę do udziału w tej misji. Uważam, że przyjęła to bardzo dobrze. Po pierwsze przypomniała mi, że gdybyśmy zostały z tamtymi mężczyznami... pamiętasz ich, Stu?

Redman pokiwał głową.

– Gdybyśmy z nimi zostały, albo by nas pozabijali albo wywieźli na zachód, ponieważ tam właśnie jechali... w każdym razie, gdy byli na tyle trzeźwi, że mogli odczytywać znaki drogowe. Dodała, że już od pewnego czasu zastanawiała się nad swoją pozycją w Strefie i że najwyraźniej jej czas tutaj dobiegł końca. Poza tym powiedziała...

– Tak? – wtrąciła Fran.

– ...że postara się wrócić – dokończyła z pewnym wahaniem Sue.

Co jeszcze powiedziała Dayna Jurgens, pozostało tylko pomiędzy nimi i nie było przeznaczone nawet do wiadomości członków komisji. Dayna wybierała się na zachód z dziesięciocalowym sprężynowcem przypiętym do przedramienia w specjalnej pochwie. Jeden szybki ruch nadgarstkiem i automat wyzwał nóż, a jej dłoń zyskiwała szósty, długi, obosieczny, stalowy palec. Czowała, że większość z nich (to znaczy mężczyźni) nie zdołałaby tego zrozumieć.

„Jeżeli jest naprawdę wielkim dyktatorem, to zapewne trzyma wszystko żelazną ręką. Gdyby go zabrakło, prawie na pewno tamci zaczęliby walczyć i spierać się między sobą. Gdyby umarł, mogłoby to stanowić początek końca dla nich wszystkich. A jeśli uda mi się do niego zbliżyć, Susie, lepiej żeby miał przy sobie swojego Diabła Stróża”.

„Dayna, oni cię zabiją”.

„Może tak. A może nie. Kto, wie, może warto zapłacić taką cenę za możliwość zobaczenia, jak jego flaki wylewają się na podłogę”.

Susan mogłaby ją zapewne powstrzymać, ale nawet nie próbowała. Zadowolili się tylko zapewnieniem ze strony Dayny, że będzie trzymać się oryginalnego planu, chyba że nadarzy się jej idealna, jedyna w swoim rodzaju okazja.

Dayna Jurgens powiedziała, że nie zrobi nic nierozsądnego, a Sue odetchnęła przekonana, że jej przyjaciółka raczej nie zdoła zrobić użytku ze swego sprzętnowca. Flagg na pewno będzie dobrze strzeżony. Mimo to po trzech dniach, odkąd w rozmowie z Dayna zaproponowała jej udanie się na zachód na przeszpiegi, wciąż jeszcze miała kłopoty z zaśnięciem.

– No, cóż – powiedziała do pozostałych. – Idę do domu. Pora się zdrzemnąć. Dobranoc wszystkim.

Odeszła z dłońmi wciśniętymi w kieszenie grubej, wojskowej kurtki.

– Mam wrażenie, że się postarzała – powiedział Stu.

Nick napisał coś na kartce, po czym odwrócił bloczek, aby wszyscy mogli przeczytać.

Na białej kartce widniały cztery krótkie słowa: „Tak jak my wszyscy”.

Następnego dnia, w drodze do elektrowni, Stu ujrzał Susan i Daynę jadące na motocyklach wzdłuż Canyon Boulevard. Pomachał do nich i obie przystanęły. Stwierdził, że jeszcze nigdy Dayna nie wyglądała tak uroczo. Włosy miała szesane do tyłu i przewiązane jasnozieloną, jedwabną wstążką. Nosiła skórzaną kurtkę, dzinsy i bawełnianą koszulę w kratę. Do siodełka z tyłu miała przytroczoną karimatę.

– Stuart! – zawołała i pomachała do niego z uśmiechem.

„Lesbijka?” – pomyślał z powątpiewaniem.

– Jak rozumiem wybierasz się na małą przejażdżkę – powiedział półgłosem.

– Owszem. I w ogóle mnie nie widziałeś.

– To się wie – mruknął Stu. – Zapalisz?

Dayna wzięła jednego marlboro i osłoniła dłońmi zapalkę, gdy podał jej ogień.

– Uważaj na siebie, maleńka.

– Nie ma sprawy.

– I wróc.

– Mam nadzieję.

Spojrzeli na siebie nawzajem w ten słoneczny poranek, pod sam koniec lata.

– Opiekuj się Frannie, wielkoludzie.

– Na pewno.

– I jako szeryf nie rób z siebie kowboja za bardzo.

– O to możesz być spokojna.

Wyrzuciła papierosa:

– I co powiesz, Sue?

Susan skinęła głową, wrzuciła bieg i uśmiechnęła się z wymuszeniem.

– Dayna?

Spojrzała na niego. Stu pocałował ją delikatnie w usta.

– Powodzenia.

Uśmiechnęła się.

– Nie wiesz, że aby podziałało, musisz to zrobić dwa razy?

Pocałował ją jeszcze raz, tym razem wolniej i z uczuciem. „Lesbijka?” – pomyślał ponownie.

– Frannie to ma szczęście – rzekła Dayna. – I możesz mnie zacytować.

Uśmiechając się z lekkim zażenowaniem, Stu cofnął się kilka kroków, nie wiedział, co odpowiedzieć. Dwie przecznice dalej przez skrzyżowanie przetoczyła się z łoskotem jedna z wielkich, pomarańczowych ciężarówek służby pogrzebowej. Było to niczym zły omen i przełamało czar tej nostalgicznej chwili.

– Ruszajmy, mała – zdecydowała stanowczo Dayna. – Pora się zabawić.

Odjechały, a Stuart Redman stał na chodniku, odprowadzając je wzrokiem.

Sue Stern wróciła dwa dni później. Powiedziała, że obserwowała jak Dayna odjeżdża z Colorado Springs na zachód, dopóki całkiem nie straciła jej z oczu. Potem trochę płakała. Sue pierwszą noc spędziła w Monument i nad ranem obudziło ją ciche popiskiwanie dochodzące, jak wszystko wskazywało, z przepustu pod wiejską drogą, gdzie obozowała.

Wreszcie zdobyła się na odwagę i poświęciła latarką w głąb karbowanej rury, gdzie ujrzała wychudzone i całkiem rozdygotane szczenię. Mogło mieć jakieś pół roku. Cofnęło się, gdy chciała go dotknąć, a rura była zbyt wąska, by Sue mogła do niej wpełznąć. Ostatecznie pojechała do Monument, włamała się do tamtejszego sklepu spożywczego i wróciła przed świtem z plecakiem pełnym psich smakołyków. Spełniły swoje zadanie. Teraz szczenię jechało tuż przy niej, siedząc wygodnie w jednej ze skórzanych toreb zamocowanych przy siodełku BSA.

Dick Ellis na widok szczenięcia omal nie wpadł w ekstazę. Okazało się, że była to suka rasy seter irlandzki, czystej krwi lub z lekką domieszką, co jednak nie miało teraz większego znaczenia. Kiedy podrośnie Kojak z pewnością zechce bliżej się z nią zaprzyjaźnić. Wiadomości rozeszły się po Strefie lotem błyskawicy i tego dnia ekscytujący temat psiego Adama i Ewy skutecznie wyparł z umysłów wszystkich mieszkańców niepokojące myśli o losie Matki Abigail. Susan Stern z dnia na dzień stała się niemal bohaterką, nikt jednak nie zapytał ani nie zastanawiał się, co mogła robić owej nocy w Monument, o dzień drogi na południe od Boulder.

Stu pamiętał jednak przede wszystkim tamten poranek, kiedy dwie kobiety wyjechały z Boulder i kiedy on sam długo, z przejęciem odprowadzał je wzrokiem ku zjazdowi Denver-Boulder. Nikt bowiem w Strefie nie ujrzał już więcej Dayny Jurgens.

Dwudziestego siódmego sierpnia, prawie zmierzch, na niebie błyszczą planeta Wenus.

Nick, Ralph, Larry i Stu siedzieli na stopniach przed domem Toma Cullena. Tom bawił się na trawniku, z entuzjazmem i gromkim pohukiwaniem rozgrywając mocno uproszczoną partyjkę krykieta.

„Już czas” – napisał Nick.

Stu zapytał półgłosem, czy będą musieli znowu go zahipnotyzować, na co Nick tylko pokręcił głową.

– To dobrze – mruknął Ralph. – Chyba już bym się tego nie podjął. Tom! – zawołał donośnie. – Hej, Tommy! Podejdź tu! Chodź do nas!

Tom natychmiast przybiegł, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Tommy, czas na ciebie – rzekł Ralph. – Pora, żebyś ruszył w drogę.

Uśmiech Toma przygasł. Dopiero teraz zauważył, że zrobiło się już ciemno.

– Iść? Teraz? Słowo daję, nic z tego! Kiedy robi się ciemno, Tom idzie spać. K-S-I-Ę-Ż-Y-C, to znaczy tyle, co spać. Do łóżka. Tom nie lubi być po zmroku poza domem. Z powodu Czarnego Luda. Tom... Tom...

Zamilkł. Pozostali spojrzeli na niego niepewnie. Milczenie Toma przedłużało się. Wreszcie przemówił... wyrwał się z chwilowego odrętwienia, ale nie w taki sposób jak zazwyczaj. To nie była gwałtowna reanimacja, życiodajny strumień wpływający do żył, lecz powolny proces pełen wahania i bolesnego smutku.

– Na zachód? – zapytał. – Już pora, żebyś wyruszył na zachód, tak? To ta pora?

Stu położył mu rękę na ramieniu.

– Tak, Tom. Oczywiście, jeżeli możesz to zrobić.

– Wyruszyć w drogę.

Ralph wydał z siebie zduszony dźwięk przypominający szloch i zniknął za domem. Tom najwyraźniej w ogóle tego nie zauważył. Wodził wzrokiem pomiędzy Stu a Nickiem.

– Iść nocą. Spać w dzień. I zobaczyć słońca – dodał powoli w blasku zachodzącego słońca.

Nick skinął głową.

Larry przyniósł plecak Tomależący dotąd obok schodów. Tom wolno, jak we śnie, nałożył go i poprawił paski na ramionach.

– Musisz na siebie uważać, Tom – rzekł ochryple Larry, czując, jak coś ściska go w gardle.

– Uważać, tak. Słowo daję, tak.

Stu zastanawiał się przez chwilę, czy powinni dać również Tomowi namiot „jedynek”, ale ostatecznie uznał, że nie. Tom Cullen i tak nie umiałby go rozbić.

– Nick – wyszeptał Tom. – Czy naprawdę muszę to zrobić?

Nick objął go ramieniem i powoli skinął głową.

– W porządku.

– Trzymaj się tej wielkiej czteropasmowej autostrady, Tom – powiedział Stu. – Tej z liczbą 70. Ralph podwiezie cię motorem do miejsca, skąd wyruszysz.

– Tak, Ralph. – Przerwał.

Ralph właśnie wrócił z domu. Ocierał oczy bandaną.

– Jesteś gotów, Tom? – zapytał łamiącym się głosem.

– Nick? Czy to nadal będzie mój dom, kiedy wrócę?

Nick energicznie pokiwał głową.

– Tom kocha swój dom. Słowo daję. Tak.

– Wiemy, Tommy.

Stu poczuł, że i jemu zbiera się na płacz. W gardle miał wielką, gorzką kulę.

– W porządku. Jestem gotów. Z kim mam jechać?

– Ze mną – powiedział Ralph. – Do I-70, pamiętasz?

Tom skinął głową i ruszył w stronę motocykla Ralpa. Po chwili Ralph podążył za nim. Szedł zgarbiony, z obwisłymi ramionami, jakby spoczywał na nich ogromny ciężar. Nawet piórko przy jego kapeluszu smętnie obwisło. Wsiadł na motocykl i uruchomił silnik. W chwilę później maszyna wyjechała na Broadway i skierowała się na wschód. Nick, Stu i Larry stali na stopniach, patrząc jak motocykl staje się coraz mniejszą, rozmytą, szybko poruszającą się plamą pośród fioletowego zmierzchu, rozjaśnioną promieniem światła z przedniego reflektora.

Wreszcie światło znikło, gdy motocykl skręcił w ulicę przy kinie dla zmotoryzowanych Holiday Twin i tyle go widzieli.

Nick odszedł ze spuszczoną głową i dłońmi w kieszeniach. Stu chciał do niego podejść, ale Nick niemal gniewnie pokręcił głową i odprawił go zdecydowanym ruchem ręki. Stu wrócił do Larry'ego.

– I to by było na tyle – mruknął Larry, a Stu ponuro pokiwał głową.

– Jak sądzisz, Larry, czy go jeszcze kiedyś zobaczymy?

– Jeżeli nie, to z powodu tej decyzji całą naszą siódmkę – a raczej szóstkę, bo Fran od początku była przeciwna jego kandydaturze – do końca życia będą dręczyć wyrzuty sumienia. Nigdy już nie zaznamy spokoju.

– Zwłaszcza Nick – dorzucił Stu.

– Tak. Zwłaszcza on.

Patrzyli, jak Nick odchodzi wolno wzdłuż Broadway, niknąc pośród mroczniejących dokoła niego cieni. A potem przez długą chwilę, w milczeniu spoglądali na tonący w ciemnościach dom Toma Cullena.

– Zabierajmy się stąd – powiedział nagle Larry. – Na samą myśl o tych wszystkich wypchanych zwierzakach... przechodzą mnie ciarki.

Odeszli, ale Nick wciąż jeszcze stał przy trawniku pod domem Toma Cullena z dłońmi w kieszeniach i smętnie spuszczoną głową.

George Richardson, nowy lekarz, rozlokował się w Centrum Medycyny Dakota Ridge, skąd niedaleko było do głównego szpitala miejskiego z całym niezbędnym wyposażeniem, dużym zapasem lekarstw i salami operacyjnymi.

Dwudziestego ósmego sierpnia miał sporo pracy, asystowali mu Laurie Constable i Dick Ellis. Dick poprosił o zwolnienie go z funkcji lekarza, ale spotkał się ze zdecydowaną odmową.

– Świetnie ci idzie – rzekł Richardson. – Wiele się nauczyłeś i nauczysz się jeszcze więcej. Poza tym sam nie dam sobie rady. Pracy jest zbyt wiele. Jeżeli za miesiąc lub dwa nie zjawi się tu jeszcze jeden lekarz, może się okazać, że nawet we dwóch nie damy rady sprostać wszystkim obowiązkom. Gratuluję, Dick, jesteś pierwszym lekarzem w Boulder. Daj mu buzi, Laurie.

Laurie zrobiła to.

Okolo godziny jedenastej tego sierpniowego poranka, Fran weszła do poczekalni i rozejrzała się wokoło z zaciekawieniem i lekkim zdenerwowaniem. Laurie siedziała za stołem recepcyjnym pogrążona w lekturze starego egzemplarza „Ladies Home Journal”.

– Cześć, Fran – powiedziała, podrywając się z miejsca. – Wiedziałam, że prędzej czy później się tu zjawisz. George przyjmuje teraz Candy Jones, ale zaraz się tobą zajmie. Jak się czujesz?

– Całkiem nieźle, dziękuję – odparła Fran. – Tak sędzę...

Drzwi jednego z gabinetów otworzyły się i z pokoju wyszła Candy Jones, a za nią wysoki, przygarbiony mężczyzna w sztruksowych spodniach i bawełnianej koszulce z wizerunkiem aligatorka wyhaftowanym na piersi. Candy z powątpiewaniem spojrzała na trzymaną w dłoni buteleczkę z różową substancją.

– Jest pan pewien, że to właśnie to? – zwróciła się do Richardsona. – Nigdy dotąd tego nie złapałam, sądziłam, że jestem uodporniona.

– Cóż, teraz złapałaś, a więc nici z uodpornienia – odrzekł z uśmiechem George. – Nie zapomnij używać tego podczas kąpieli i odtąd trzymaj się z dala od wysokich traw.

Uśmiechnęła się smutno.

– Jack też się tego nabawił. Mam go przysłać?

– Nie, ale zalecam wspólne kąpiele.

Candy pokiwała głową i nagle dostrzegła Fran.

– Cześć, Fran, jak się masz?

– Świetnie. A ty?

– Okropnie. – Candy pokazała jej buteleczkę; Frannie odczytała napis na etykiecie: CALADRYL. – Trujący bluszcz. Nie domyśliłabyś się, gdzie mnie gryzie. – Rozpromieniła się. – Ale założę się, że wiesz, gdzie gryzie Jacka.

Odeszła. Fran i doktor odprowadzili ją wzrokiem, wyraźnie rozbawieni. Wreszcie George odezwał się:

– Panna Goldsmith, czyż nie? Komisja Wolnej Strefy. Miło mi panią poznać.

Podąła mu rękę na powitanie.

– Proszę mi mówić Fran. Albo Frannie.

– W porządku, Frannie. W czym mamy problem?

– Jestem w ciąży – odparła Fran. – I cholernie się boję.

To rzekłszy, ni stąd ni zowąd rozplakała się.

George objął ją ramieniem.

– Laurie, będziesz mi potrzebna za pięć minut.

– W porządku, doktorze.

Wprowadził ją do gabinetu i kazał usiąść na obitym czarnym skajem łóżku do badań.

– No, już. Dlaczego płaczesz? Chodzi o bliźnięta pani Wentworth?

Frannie ze smutkiem pokiwała głową.

– To był ciężki poród. Matka bardzo dużo paliła. Dzieciaki, nawet jak na bliźnięta, miały sporą niedowagę. Poród nastąpił nagle, późnym wieczorem. Nie miałem możliwości przeprowadzenia autopsji. Regina Wentworth jest pod stałą opieką kilku kobiet z naszej grupy. Wierzę i mam nadzieję, że wyjdzie ze stanu katatonii, w jakim się obecnie znajduje. Teraz jednak mogę śmiało powiedzieć, że te małeństwa już na starcie miały przeciw sobie dwa zasadnicze czynniki. Przyczyn śmierci mogło być wiele.

– Supergrypa również.

– Tak. Ona także.

– Zatem, poczekamy, zobaczymy.

– O, nie, co to, to nie. Zaraz przeprowadzimy pełen zestaw badań prenatalnych. Zamierzam kontrolować przebieg twojej ciąży oraz ciąży każdej innej kobiety w Strefie, dzień po dniu, krok po kroku, aż do rozwiązania. General Electric miała slogan reklamowy, który brzmiał: „Dla nas najważniejszy jest postęp”. Tu, w Strefie, dla nas najważniejsze są dzieci i tak też będziemy je traktować.

– Ale przecież tak naprawdę nie wiemy, czy...

– Owszem, nie wiemy, ale bądź dobrej myśli, Fran.

– Tak. Jasne. Nie ma sprawy. Spróbuję.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszła Laurie. Podąła George’owi zaopatrzonej w drewnianą podkładkę formularz, po czym lekarz zaczął zadawać Fran szczegółowe pytania na temat przebiegu jej ciąży.

Po zakończeniu badań George zostawił ją i na chwilę wyszedł do sąsiedniego pokoju. Laurie została z Fran, podczas gdy ona powoli się ubrała.

Gdy zapinała guziki bluzki, Laurie powiedziała półgłosem:

– Wiesz co, Fran, naprawdę ci zazdrozczę. Ta niepewność, i w ogóle. Dick i ja staraliśmy się o dziecko jak wariaci. To naprawdę ironia losu... ja, która jeszcze nie tak dawno nosiłam plaketkę z napisem POPULACJA ZEROWA. Naturalnie chodziło o WZROST populacji, ale kiedy pomyślę teraz o tym znaczku, natychmiast cierpnie mi skóra. Och, Frannie, twoje maleństwo będzie PIERWSZE. I wiem, że wszystko z nim będzie dobrze. Po prostu MUSI być dobrze.

Fran uśmiechnęła się tylko i pokiwała głową, nie chcąc przypominać Laurie, że jej dziecko wcale nie będzie pierwszym.

Pierwsze były bliźniaki pani Wentworth.

Ale one umarły.

– Świetnie – oznajmił George pół godziny później.

Fran na dźwięk jego głosu zaskoczona uniosła brwi w pytającym geście.

– Mam na myśli dziecko. Wszystko jest świetnie.

Fran sięgnęła po chusteczkę higieniczną i mocno ścisnęła ją w dłoni.

– Poczułam, że się poruszyło... ale to było już dość dawno temu. Od tamtej pory nic. Obawiałam się...

– Dziecko żyje i ma się dobrze, ale wątpię, byś naprawdę poczuła, że się poruszyło. Prawdopodobnie to tylko gazy... Cóż, tak czy inaczej już niedługo ten mały brzdąc będzie brykał jak nakręcony. Rozwiązanie według moich obliczeń przypada na połowę stycznia. Co ty na to?

– Doskonale.

– Dobrze się odżywasz?

– Tak, chyba tak... w każdym razie bardzo się staram.

– To dobrze. Nie masz już mdłości?

– Miałam je w początkowym okresie, ale teraz już mi przeszło.

– Świetnie. Dużo ćwiczysz?

Przez ułamek sekundy oczyma duszy zobaczyła upiorną wizję: siebie samą kopiącą grób dla ojca. Zamrugła powiekami, aby się od niej uwolnić. Tamto zdarzenie należało do innych czasów, do innego życia.

– Tak. Sporo.

– Przybrałaś na wadze?

– Jakieś pięć funtów.

– To dobrze. Pozwalam ci przytyć jeszcze dwanaście, dziś jestem szczodry.

Uśmiechnęła się.

– To pan jest lekarzem.

– O, tak i byłem położnikiem, więc trafiłaś we właściwe miejsce. Słuchaj rad swego lekarza prowadzącego, a daleko zajdziesz. Co się tyczy motocykli, motorowerów i skuterów,

nie wolno ci nawet zbliżyć się do nich, nie mówiąc już o wsiadaniu czy przejazdach od... powiedzmy... piętnastego listopada. Zresztą wtedy i tak nikt już nie będzie na nich jeździł. Za zimno. Nie nadużywasz alkoholu ani papierosów?

– Nie.

– Jeśli od czasu do czasu masz ochotę na kieliszek wina przed snem, proszę bardzo. Uważam, że to jak najbardziej dozwolone. Przepiszę ci kurację witaminową, znajdziesz je w każdej aptece...

Frannie wybuchnęła śmiechem, a George spojrzał na nią z niepewną miną.

– Powiedziałem coś zabawnego?

– Nie. Po prostu to zabrzmiało zabawnie, zważywszy na naszą obecną sytuację.

– Ach, tak. Już rozumiem. Cóż, przynajmniej nie będzie już więcej skarg na wysokie ceny lekarstw, czyż nie? Jeszcze jedno, Fran. Czy miałaś kiedykolwiek zakładany kapturek domaciczny? Spiralkę?

– Nie, dlaczego pan pyta? – rzuciła Fran i w tej samej chwili przypomniała sobie tamten sen: mrocznego mężczyznę z drucianym wieszakiem. Wzdrygnęła się. – Nie – powtórzyła.

– Dobrze. To by było wszystko. – Wstał. – Nie mówię ci, żebyś się nie martwiła...

– Otóż to – powiedziała Fran. Jej oczy spoważniały, a z ust zniknął uśmiech. – Proszę tego nie robić.

– Proszę jednak, byś ograniczyła swoje zatroskanie do minimum. Nadmierne lęki matki mogą prowadzić do zachwiania równowagi hormonalnej. A to nie wyszłoby dziecku na zdrowie. Nie lubię przepisywać kobietom w ciąży środków na uspokojenie, gdybyś jednak uznała, że...

– Nie. To nie będzie konieczne – odrzekła Fran, lecz wychodząc z budynku na rozpaloną słońcem ulicę, nie miała złudzeń, że aż do dnia rozwiązania nie dadzą jej spokoju posępne myśli o niedawnej śmierci bliźniąt pani Wentworth.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia do Boulder zawitały aż trzy grupy ocalonych, jedna dwudziestodwu-, jedna szesnasto- i jedna dwudziestopięciosobowa. Sandy Du Chiens spisała dane nowo przybyłych, po czym po kolei odwiedziła w ich domach siedmioro członków komisji, by poinformować ich, że Wolna Strefa liczy sobie odtąd ponad tysiąc mieszkańców.

Boulder przestało wreszcie przypominać wymarłe miasto.

Trzydziestego sierpnia wieczorem Nadine Cross stała w piwnicy domu Harolda i obserwowała go z niepokojem. Kiedy Harold zajmował się czymś, co nie było związane z uprawianiem z Nadine dzikiego, wyuzdanego seksu, zamykał się w sobie niczym w pustelni, gdzie nie miała nad nim absolutnie żadnej kontroli. Kiedy znajdował się w tej pustelni, wydawał się zimny i beznamiętny, ba, gardził nią, a nawet samym sobą. Jedyne, co nie uległo

zmianie, to jego nienawiść do Stuarta Redmana i pozostałych członków komisji Wolnej Strefy. W piwnicy stał stół do minihokeja i to na jego blacie pracował obecnie Harold. Obok niego leżała otwarta książka. Na jednej ze stron widniał rysunek techniczny, schemat pewnego urządzenia. Harold przez chwilę przyglądał się rysunkowi, po czym przeniósł wzrok na urządzenie, nad którym pracował i wykonywał kolejną czynność. Tuż obok jego prawej ręki spoczywał elegancko rozłożony zestaw narzędzi do naprawy motocykla. Błat stołu do minihokeja usłany był krótkimi kawałkami przewodów.

– Wiesz co – rzekł mimochodem. – Chyba powinnaś pójść na spacer.

– Dlaczego? – zapytała odrobinę urażona.

Oblicze Harolda było spięte i poważne. Nadine wiedziała już, dlaczego Lauder prawie przez cały czas się uśmiechał; kiedy bowiem uśmiech zniknął z jego ust, Harold przypominał szaleńca, którego oczy przepełniała żądza mordu. Podejrzewała, że Harold był niespełna rozumu lub niebezpiecznie balansował na granicy utraty zmysłów.

– Ponieważ nie wiem, jak stary jest ten dynamit – odrzekł Harold.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Moja droga. Stary dynamit się poci – wyjaśnił uprzejmie Lauder i spojrzał na nią.

Nadine stwierdziła, że cała twarz Harolda lśniła od potu, jakby na potwierdzenie wypowiedzianych przez niego przed chwilą słów.

– A ściślej mówiąc, wycieka z niego zawartość. WYSĄCZA SIĘ. Płynem, który wypływa na zewnątrz jest czysta nitrogliceryna, jedna z najbardziej niestabilnych substancji na świecie. Jeśli więc dynamit jest stary, istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, że nasz mały eksperyment zakończy się wielkim BUM! i my w tempie przyspieszonym zostaniemy przerzuceni nad Flagstaff Mountain, wprost do Krainy Oz.

– Wszystko dobrze, ale czy musisz być przy tym taki zgryźliwy? – zapytała Nadine.

– Nadine? *Ma chere?*

– Co?

Harold spojrzał na nią z powagą i spokojem.

– Stul dziób.

Usłuchała, ale nie poszła się przejść, choć miała na to wielką ochotę. Naturalnie jeśli to wszystko działo się z woli Flagga (a planszeta powiedziała jej wyraźnie, że Flagg życzy sobie, by to właśnie Harold rozprawił się z członkami komisji), dynamit nie mógł być stary. A gdyby nawet, to i tak nie wybuchnie, dopóki nie zostanie umieszczony we właściwym miejscu, nieprawdaż?

Nawiasem mówiąc, w jakim stopniu Flagg mógł kontrolować bieg wydarzeń? Jak duży miał na nie wpływ?

„Dostatecznie duży – powiedziała sobie w duchu. – Dostatecznie duży”. Mimo to nie miała pewności i coraz bardziej się niepokoiła. Kiedy wróciła do swego domu, Joe już nie było i tym razem odszedł na dobre. Odwiedziła Lucy, gdzie spotkała się z wyjątkowo

chłodnym przyjęciem i dowiedziała się, że odkąd zamieszkała z Haroldem stan Joe (Lucy naturalnie nazywała go Leo) „trochę się pogorszył”. Najwyraźniej Lucy obwiniła za to Nadine... gdyby z Flagstaff Mountain zeszła lawina albo trzęsienie ziemi i obróciło w perzynę Pearl Street, Lucy zapewne również ją obarczyłaby winą za te kataklizmy. Niebawem nie będzie musiała wysuwać przeciwko niej i Haroldowi fałszywych oskarżeń. Nadine i Harold Lauder zatroszczą się, by nie zabrakło prawdziwych zarzutów przeciwko nim. Mimo to była mocno rozczarowana, nie mogąc raz jeszcze zobaczyć Joe... ani ucałować go na pożegnanie. Ani ona, ani Harold nie zabawią już długo w Wolnej Strefie.

„Nieważne, zostaw go, robisz swoje, to rób, a jemu daj spokój, widać tak ma być. Mogłabyś co najwyżej skrzywdzić jego... i siebie... bo Joe... on widzi różne rzeczy i wie o wielu rzeczach. Pozwól mu przestać być Joe, a ty przestań być mamą-Nadine. Niech znów będzie Leo i niech nim już zostanie”.

I tu nieodparcie nasuwał się paradoks. Nie mogła uwierzyć, że któremukolwiek z mieszkańców Strefy, w tym także chłopcu, pozostało więcej niż rok życia.

„On wcale nie chciał zostawić ich przy życiu, nie taka była jego wola... a zatem powiedz to, powiedz prawdę. Nie tylko Harold jest jego narzędziem, ty również, Nadine. Ty, która kiedyś twierdziłaś, że w świecie po pomorze jedynym niewybaczalnym grzechem jest morderstwo, odebranie życia jednemu choćby człowiekowi...”

Nagle zapragnęła, by dynamit jednak okazał się stary, by eksplodował i uśmiercił ich oboje. To byłby dla nich obojga litościwy koniec. Nagle Nadine zaczęła rozmyślać o tym, co ją czekało po drugiej stronie gór, gdy już znajdą się na zachodzie i poczuła ten rozkoszny, nieprzeparty żar w dolnej części brzucha.

– I po robocie – rzekł łagodnym tonem Harold. Włożył urządzenie do pudełka po butach i odstawił na bok.

– Skończyłeś?

– Tak. Gotowe.

– Zadziała?

– Chcesz sprawdzić? – W jego słowach pobrzmiwał gorzki sarkazm, ale wcale się tym nie przejęła. Otaksowywał jej ciało wzrokiem, jak łaknący miłości mały chłopiec, którym był w głębi serca. Powrócił z odległego miejsca, z samotni, w której dokonywał wszystkich wpisów w swojej księdze; przeczytała jego dziennik od deski do deski i beztróska umieściła pod płytą w kominku, gdzie był ukryty poprzednio. Teraz znów mogła nim kierować. Teraz jego słowa były tylko słowami.

– Czy chciałbyś najpierw popatrzeć, jak robię to sama ze sobą? – zapytała. – Tak jak wczorajszej nocy?

– Tak – odpowiedział. – Tak. Świetnie. Wspaniale.

– Wobec tego chodźmy na górę. – Zatrzepotała rękami. – Ja pierwsza.

– Dobrze – rzucił ochryple. Na jego czole zaperlił się pot, ale nie był to efekt strachu, lecz gwałtownego pożądania. – Idź pierwsza.

Weszła na górę, czując na sobie jego wzrok, gdy zaglądał pod kusą spódniczkę marynarskiego kostiumu, który miała na sobie.

Nie nosiła bielizny.

Drzwi zamknęły się, urządzenie wykonane przez Harolda leżało w półmroku, wewnątrz otwartego pudełka po butach. Była to krótkofalówka na baterie, którą wyniósł z pobliskiego sklepu z artykułami radiowo-telewizyjnymi.

Jej tylna ścianka została zdjęta. Do krótkofalówki z tyłu przymocowanych zostało osiem lasek dynamitu. Książka wciąż była otwarta. Pochodziła z biblioteki publicznej Boulder i nosiła tytuł *Sześćdziesięciu pięciu zwycięzców w ogólnokrajowym konkursie na najlepszy projekt naukowy*.

Rysunek przedstawiał dzwonek podłączony do krótkofalówki, identycznej jak ta, która znajdowała się w pudełku. Podpis pod rysunkiem brzmiał: „Trzecia nagroda w konkursie ogólnokrajowym na najlepszy projekt naukowy za rok 1977. Urządzenie wykonał Brian Ball z Rutland w Vermont.

Wymów słowo, a dwanaście mil dalej niechaj zabrmi dźwięk dzwonka!”

Kilka godzin później, już po zmierzchu, Harold zszedł do piwnicy, zakrył pudełko i ostrożnie zaniósł na górę.

Postawił je na górnej półce kuchennego kredensu. Dziś po południu Ralph Brentner powiedział mu, że komisja Wolnej Strefy zaprosiła Chada Norrisa, aby zabrał głos podczas ich następnego zebrania.

„To znaczy kiedy?” – zapytał niejako mimochodem Harold.

„Drugiego września” – odparł Ralph.

DRUGIEGO WRZEŚNIA.

ROZDZIAŁ 57

Larry i Leo siedzieli na chodniku przed domem. Larry popijał ciepłe piwo a Leo oranżadę. W Boulder mogłeś znaleźć do picia wszystko, na co miałeś ochotę, naturalnie ciepłe. Zza domu dobiegał warkot kosiarki. Lucy kosiła trawę. Larry zaoferował się, że to zrobi, ale Lucy tylko pokręciła głową.

– Jeżeli możesz, dowiedz się, co się dzieje z Leo.

Był ostatni dzień sierpnia.

Następnego dnia po tym, jak Nadine wprowadziła się do Harolda, Leo nie pojawił się na śniadanie. Larry zastał chłopaka w jego pokoju, ubranego tylko w slipki i ssącego kciuk. Zachowywał się wrogo i nie sposób było nawiązać z nim kontaktu. Larry przeraził się bardziej niż Lucy, ona bowiem nie widziała, jak Leo zachowywał się wcześniej, przed zaledwie kilkoma dniami. Nazywał się wtedy Joe i wymachiwał jak szalony wielkim, rzeźnickim nożem. To było prawie przed tygodniem i Leo poczuł się nieco lepiej, ale nie doszedł całkiem do siebie i wciąż nie chciał mówić o tym, co się wydarzyło.

– Ma z tym coś wspólnego ta kobieta – powiedziała Lucy, dokręcając nakrętkę na zbiorniku z paliwem przy kosiarce.

– Nadine? Skąd to przypuszczenie?

– Nie chciałam ci o tym mówić, ale była tu tego dnia, gdy poszliśmy z Leo na ryby nad Cold Creek. Chciała zobaczyć się z chłopcem. Cieszyłam się, że was nie ma.

– Lucy...

Pocałowała go, a on wsunął dłoń pod jej kusą koszulkę i mocno uściskał.

– Źle cię wcześniej oceniłam – powiedziała. – Chyba nigdy sobie tego nie daruję. Nigdy nie będę taka jak Nadine Cross. Coś jest z nią nie tak.

Larry nie odpowiedział, ale uznał osąd Lucy za całkiem trafny. Owej nocy przy supermarkecie zachowywała się jak niespełna rozumu.

– I jeszcze jedno... kiedy tu przyszła, nie mówiła o nim Leo tylko Joe.

Spojrzał na nią ostro, a Lucy uruchomiła kosiarkę i ponownie wzięła się do pracy.

Obecnie, pół godziny po tej rozmowie dopił swoje piwo i patrzył, jak Leo odbija piłeczkę ping-pongową znaną dwa dni temu podczas wizyty u Harolda, gdzie obecnie mieszkała

Nadine. Mała biała piłeczka była brudna, ale jak dotąd cała. Pok... pok... pok... – odbijała się od chodnika. W górę, w dół, w górę, w dół.

Leo (teraz nazywał się Leo, czyż nie?) nie chciał wejść tamtego dnia do domu Harolda. Do domu, w którym obecnie mieszkała mama-Nadine.

– Chcesz iść na ryby, mały? – zapytał Larry.

– Nie, ryby nie – odrzekł Leo, spoglądając na Larry’ego swymi dziwnymi oczami o barwie wody morskiej. – Znasz pana Ellisa?

– Jasne.

– On mówi, że będziemy mogli pić wodę, kiedy ryby powrócą. Będziemy mogli ją pić bez... – Zahukał jak sowa i pomachał dłońmi przed oczami. – No, wiesz.

– Bez przegotowania?

– Tak.

Pok... pok... pok...

– Lubię Dicka. Jego i Laurie. Zawsze dają mi coś do jedzenia. On się boi, że nie będą mogli, ale ja sędzę, że mogą. I że będą mieli.

– Co będą mieli?

– Dziecko. Dick myśli, że jest już na to za stary. Ale ja tak nie uważam.

Larry chciał już zapytać, kiedy Leo i Dick rozmawiali na ten temat, lecz zreflektował się. To oczywiste, że o tym nie rozmawiali. Dick nie dzieliłby się z małym chłopcem tak osobistymi problemami jak kwestia spłodzenia dziecka.

Leo... po prostu wiedział.

Pok... pok... pok...

Tak, Leo wiedział o wielu rzeczach... lub wyczuwał je intuicyjnie. Nie chciał wejść do domu Harolda i powiedział coś o Nadine... Larry nie pamiętał dokładnie co... ale przypomniał sobie tę rozmowę i poczuł się nieswojo, gdy dowiedział się, iż Nadine zamieszkała z Haroldem. Zupełnie jakby chłopiec był w transie, jakby...

...pok... pok... pok...

Larry patrzył na odbijającą się w górę i w dół piłeczkę, po czym przeniósł wzrok na twarz Leo. Oczy chłopca były ciemne i odległe. W tle słychać było senny, kojący odgłos pracującej kosiarki. Dzień był ciepły i przyjemny. A Leo znowu był w transie, jakby czytał w myślach Larry’ego i odpowiadał na nie.

Leo poszedł zobaczyć słonia.

– Tak, myślę, że mogą mieć dzieci – rzekł półgłosem Larry. – Dick nie ma więcej niż pięćdziesiąt pięć lat. O ile się nie mylę, Gary Grant spłodził dziecko mając siedemdziesiątkę na karku.

– Kim jest Gary Grant? – zapytał Leo. Piłeczka odbijała się w górę i w dół.

(Notorious, Północ-północny zachód)

– Nie wiesz? – zwrócił się do Leo.

– Był aktorem – rzekł Leo. – Grał w *Notorious* i *Północny zachód*.

(*Północ-północny zachód*)

– To znaczy *Północ-północny zachód* – poprawił się Leo. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od piłeczki ping-pongowej.

– Zgadza się – powiedział. – A jak tam mama-Nadine, Leo?

– Ona mówi na mnie Joe. Dla niej jestem Joe.

– Och – Larry znów poczuł na plecach lodowate ciarki.

– Nie jest dobrze.

– Z czym?

– Z nimi. Nie jest dobrze z nimi obojgiem.

– Z Nadine i...

(„Z Haroldem?”)

– Tak, z nim.

– On ich oszukał. Sądzą, że są mu potrzebni. Że on ich chce.

– On?

– ON.

Słowo zawisło posepnie w nieruchomym, letnim powietrzu.

Pok... pok... pok...

– Udadzą się na zachód – rzekł Leo.

– Jezu... – mruknął Larry. Było mu zimno. Ciarki przechodziły po jego plecach. Ogarnął go ten stary, dobrze znany lęk. Czy naprawdę chciał tego słuchać? Czy chciał dowiedzieć się więcej? Czuł się, jakby patrzył na uchylające się powoli drzwi starego grobowca na pradawnym, zapomnianym cmentarzu i z mrocznej czeluści krypty zaczęła właśnie wyłaniać się dłoń...

„Nie, nie chcę tego słuchać, nie chcę o tym wiedzieć”.

– Mama-Nadine chce abyś myślał, że to twoja wina – powiedział Leo. – Chce abyś myślał, że to przez ciebie związała się z Haroldem. Ale ona to zrobiła celowo. Specjalnie tak długo zwlekała. Czekala aż zbyt mocno pokochasz mamę-Lucy. Czekala aż nabierze pewności. Zupełnie jakby On wymazywał tę część jej umysłu, która odpowiada za odróżnianie dobra od zła. A kiedy skończy i usunie ją zupełnie, mama-Nadine będzie równie szalona jak wszyscy inni na zachodzie. Kto wie, może nawet bardziej.

– Leo... – wyszeptał Larry, a Leo odpowiedział natychmiast.

– Ona mówi na mnie Joe. Dla niej jestem Joe.

– Czy ja też mam ci mówić Joe? – zapytał Larry z powątpiewaniem.

– Nie. – W głosie chłopca brzmiała błagalna nuta. – Nie, proszę, nie.

– Brakuje ci mamy-Nadine, prawda, Leo? Tęsknisz za nią?

– Ona umarła – odparł krótko i zwięźle Leo.

– Czy dlatego tamtej nocy tak długo czuwałeś?

– Tak.

– I dlatego nie chciałeś mówić?

– Tak.

– Ale teraz mówisz.

– Mam ciebie i mamę-Lucy. Mam z kim rozmawiać.

– Tak, oczywiście...

– Ale nie na zawsze! – rzucił gwałtownie chłopiec. – Nie na zawsze, chyba że porozmawiasz z Frannie! Porozmawiaj z Frannie! POROZMAWIAJ Z FRANNIE!

– O Nadine?

– Nie!

– Więc o czym? O tobie?

Leo nieomal krzyczał, głos miał schrypnięty, dziwnie piskliwy:

– Wszystko jest zapisane! Ty wiesz! Frannie wie! Porozmawiaj z Frannie!

– Komisja...

– Nie, komisja nie! Komisja ci nie pomoże, nie pomoże nikomu, komisja należy do starych czasów, on śmieje się z waszej komisji, bo ona należy do starych czasów, a stare czasy to jego czasy i wszystko co się z nimi wiąże należy do niego. Ty wiesz, Frannie wie, jeżeli porozmawiacie, będziecie mogli...

Leo mocniej odbił piłeczkę od chodnika. POK! Wyskoczyła w górę, przeleciała ponad jego głową i odturlała się w bok. Larry patrzył na nią, czując w ustach suchość, a serce w jego piersi tłukło się jak szalone.

– Upuściłem moją piłeczkę – rzekł Leo i pobiegł, by ją podnieść.

Larry siedział na chodniku, przyglądając się chłopcu.

„Frannie” – pomyślał.

Siedzieli we dwoje w muszli koncertowej na skraju sceny, z nogami zwieszonymi poza krawędź. Do zmroku pozostała godzina, kilkoro osób spacerowało po parku, wśród nich były trzymające się za ręce pary. „Godzina dzieci jest również godziną zakochanych” – pomyślała mimochodem Fran. Larry skończył właśnie opowiadać jej, co usłyszał od pogrążonego w transie Leo i słowa te mocno ją poruszyły.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Larry.

– Nie wiem, co o tym myśleć – odparła półgłosem – ale to co się dzieje, ani trochę mi się nie podoba. Prorocze sny. Wizje. Stara kobieta przez pewien czas będąca głosem Boga, a potem udająca się do puszczy. A teraz ten mały chłopiec, ewidentnie telepata. To niczym życie w okrutnej baśni. Czasami wydaje mi się, że supergrypa pozostawiła nas przy życiu, ale doprowadziła wszystkich do obłądu.

– Powiedział, że powinienem z tobą porozmawiać. I oto jestem.

Nie odpowiedziała.

– Cóż... – mruknął Larry – jeśli coś przyjdzie ci do głowy...

– Wszystko jest zapisane – rzekła półgłosem Frannie. – Ten dzieciak ma rację. To sedno całego problemu. Tak mi się przynajmniej wydaje. Gdybym nie była tak głupia, tak próżna, tak zarozumiała, że zapragnęłam to wszystko zapisać... Och, ależ ze mnie idiotka!

Larry spojrział na nią ze zdumieniem.

– O czym ty mówisz?

– Chodzi o Harolda – odparła. – Muszę przyznać, że się trochę boję. Nie powiedziałam o tym Stu. Wstydziałam się. Pomysł z prowadzeniem pamiętnika był taki głupi... a teraz Stu... naprawdę polubił Harolda... wszyscy w Strefie lubią Harolda, ty również. – Wybuchnęła śmiechem, ale widać było, że jest bliska łez. – W końcu to po jego śladach dotarłeś aż do Boulder, czyż nie? Harold był dla ciebie kimś w rodzaju anioła stróża albo duchowego przewodnika... Mam rację?

– Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi? – rzekł powoli Larry. – Czy mogłabyś powiedzieć, czego właściwie się boisz?

– W tym sęk, że sama nie wiem. – Spojrzała na niego oczami pełnymi łez. – Chyba lepiej będzie, jeśli opowiem ci wszystko. Muszę to komuś opowiedzieć. Bóg mi świadkiem, nie mogę dłużej tłumić tego w sobie, a Stu... nie wiem, czy Stu powinien to usłyszeć. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– W porządku, Frannie. Wal.

Opowiedziała mu wszystko, począwszy od tamtego czerwcowego dnia, w Ogunquit, kiedy Harold zajechał pod jej dom cadillakiem Roya Brannigana. Fran mówiła, a niebo ponad ich głowami zaczęło nabiegać purpurą. Kochankowie powoli wymykali się z parku. Na niebie pojawił się wąski sierp księżyca. W dzielnicy willowej na drugim końcu Canyon Boulevard zapaliło się kilka gazowych latarni. Fran opowiedziała Larry'emu o napisie na stodole i o tym jak Harold, podczas gdy ona spała, umieścił jej nazwisko na samym brzegu dachu. Opowiedziała o spotkaniu ze Stu w Fabyan i o wrogiej reakcji Harolda na niego. Opowiedziała mu o pamiętniku i o odcisku kciuka na jednej ze stron. Zanim skończyła było już po dziewiątej, słychać było kojące granie świerszczy. Zapadła nieprzyjemna chwila ciszy, Fran czekała z niepokojem, by przerwał ją Larry Underwood. On jednak wydawał się być pogrążony w głębokim zamyśleniu.

Wreszcie się odezwał:

– Jaką masz pewność, że to ślad jego palca? Skąd wiesz, że to jego odcisk?

– Wiedziałam, że to on go zostawił w pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam – odparła prawie bez wahania.

– Ta stodola z napisem na dachu – rzekł Larry. – Pamiętasz jak tamtej nocy, kiedy się spotkaliśmy powiedziałem ci, że wszedłem na górę? I o tym, że Harold wyrył na belce swoje inicjały?

– Tak.

– To nie były tylko jego inicjały. Twoje również. I serce. Podobne rysunki zakochani chłopcy wycinają w szkole scyzorykiem na blacie swojej ławki.

Otarła dłońmi oczy.

– Ale się porobiło – mruknęła ochryplym głosem.

– Nie jesteś w żaden sposób odpowiedzialna za poczynania Harolda, maleńka. – Ujął jej dłoń w swoje i delikatnie ścisnął. – Możesz mi wierzyć. Wiem, co mówię. Mam w tym względzie spore doświadczenie. Nie możesz brać tego do siebie. Ponieważ jeśli już zaczniesz... – Wzmocnił uścisk, sprawiając jej ból, ale jego oblicze pozostało spokojne i łagodne. – Jeżeli już zaczniesz, możesz dostać świra. Człowiekowi jest trudno być odpowiedzialnym za samego siebie, a co dopiero za kogoś innego.

Puścił jej dłoń. Przez chwilę milczeli oboje.

– Uważasz, że Harold wciąż tak nienawidzi Stu, że może chcieć go zabić? – zapytał w końcu. – Naprawdę sądzisz, że jest na niego aż tak wściekły?

– Tak – odparła. – To całkiem możliwe. Zresztą nie tylko na niego. Ma żal do całej komisji. Nie wiem jednak, co...

Położył jej dłoń na ramieniu i mocno ścisnął, zmuszając, by zamilkła. W ciemności jego postawa zmieniła się, a oczy rozszerzyły. Usta poruszały się bezgłośnie.

– Larry? Co się...

– Kiedy zszedł na dół... – mruknął Larry – zszedł na dół po korkociąg czy coś takiego.

– Co?

Odwrócił się do niej wolno, jakby jego głowa zamocowana była na zardzewiałych zawiasach.

– Wiesz – powiedział – może istnieje sposób, aby to wszystko rozwiązać. Nie zaglądałem do tego dziennika, ale... to brzmi całkiem sensownie... Harold przeczytał pamiętnik i nie tylko poznał twoje najgłębsze sekrety, ale również podsunęło mu to pewien pomysł. Może nawet był zazdrosny, że ty wpadłaś na to pierwsza. Czy nie jest powszechnie wiadome, że wszyscy wielcy pisarze piszą pamiętniki?

– Chcesz powiedzieć, że Harold pisze pamiętnik?

– Tamtego dnia, kiedy przyniosłem wino, Harold zszedł do piwnicy, a ja miałem chwilę, żeby rozejrzeć się po pokoju. Harold powiedział, że zamierza wymienić meble na chromowane i skórzane, więc zacząłem się zastanawiać jak by to wyglądało. I zwróciłem uwagę na obluzowaną płytę w kominku...

– Tak! – zawołała tak głośno, że Larry drgnął mimowolnie. – Tamtego dnia, gdy zakradłam się do jego domu... i nagle zjawiała się Nadine Cross... usiadłam w palenisku... i pamiętam, że też zwróciłam uwagę, iż jedna z płyt była obluzowana. – Spojrzała na Larry'ego. – Znowu to samo. Jakby coś nas prowadziło... jak po sznurku... wprost do tego miejsca...

– Zbieg okoliczności – mruknął, ale bez większego przekonania.

– Czyżby? Oboje byliśmy w domu Harolda. Oboje zwróciliśmy uwagę na obluzowaną płytę. A teraz oboje jesteśmy tutaj. Czy to zbieg okoliczności?

– Nie wiem.

– Co pod nią było?

– Rejestr – odparł powoli. – A przynajmniej takie słowo widniało na okładce. Nie zaglądałem do środka. Uznałem, że musiał on należeć do poprzedniego właściciela domu. Wtedy wydawało mi się to całkiem sensowne. Skoro jednak tak, to czy Harold nie powinien go odnaleźć? Oboje zwróciliśmy uwagę na obluzowaną płytę. Przyjmijmy więc, że go znalazł.

Nawet jeśli facet, który mieszkał w tym domu wcześniej, zanim pojawiła się supergrypa, zapisał na stronicach tego rejestru swoje najmroczniejsze sekrety – oszustwa podatkowe, seksualne fantazje, w których zabawiał się ze swoją córką, czy Bóg wie co jeszcze, te tajemnice nie byłyby tajemnicami Harolda. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak, ale...

– Nie przerywaj, gdy Inspektor Underwood prowadzi swój wywód, niemądra, roztrzępana dziewczyno. Skoro więc tajemnice zawarte w rejestrze nie były tajemnicami Harolda, dlaczego miałby chować go pod płytą w kominku? Ponieważ to były JEGO sekrety. To był dziennik Harolda.

– Sądzisz, że nadal tam jest?

– Może. Uważam, że powinniśmy pójść tam i sprawdzić.

– Teraz?

– Jutro. Harold będzie pracował przy grzebaniu zmarłych, a Nadine popołudniami pomaga w elektrowni.

– W porządku – powiedziała Fran. – Jak sądzisz, czy powinnam powiedzieć o tym Stu?

– Może jeszcze się z tym wstrzymaj. Nie ma potrzeby niepokoić innych, dopóki nie dowiemy się czegoś naprawdę istotnego. Kto wie, czy znajdziemy ten dziennik. Poza tym może się okazać, że nie zawiera niczego ważnego, ot choćby listę sprawunków, rzeczy do zapamiętania i takie tam, całkiem niewinne drobnostki. Albo manifest polityczny Harolda Laudera. Jego plan dojścia do władzy zapisany punkt po punkcie. Gorzej, jeśli okaże się, że Harold zapisał to wszystko sobie tylko znanym szyfrem.

– O tym nie pomyślałam. Co zrobimy, jeśli okaże się, że to... coś ważnego?

– Chyba trzeba będzie opowiedzieć o tym pozostałym członkom komisji. To jeszcze jeden powód przemawiający za tym, abyśmy zrobili to jak najszybciej. Zebranie ma się odbyć drugiego września. Komisja zajmie się tą sprawą.

– Jesteś pewien?

– Tak. Chyba tak – rzekł Larry, lecz wciąż słyszał w myślach słowa Leo na temat komisji. Fran ześlizgnęła się ze sceny na ziemię.

– Już mi lepiej. Dziękuję, że chciałeś mnie wysłuchać, Larry.

– Gdzie się spotkamy?

– W tym małym parku naprzeciw domu Harolda. Powiedzmy o pierwszej po południu.
Co ty na to?

– Świetnie – odrzekł Larry. – No, to na razie.

Frannie wracała do domu z lekkim sercem. Nigdy jeszcze nie czuła się równie spokojna i odprężona. Zgodnie z tym co powiedział Larry, sprawa była jasna. Jutro wszystko się okaże... w ten albo inny sposób. Dziennik mógł zawierać zgoła niewinne wpisy. W tej sytuacji ich obawy okazałyby się bezpodstawne. W innym jednak wypadku...

Wówczas niech zadecyduje komisja. Larry przypomniał jej, że zebranie było zaplanowane na drugiego września w domu Nick'a i Ralpa przy końcu Baseline Road.

Gdy dotarła do domu, Stu siedział w sypialni z markerem w jednej i grubym, oprawnym w skórę woluminem w drugiej ręce. W złotym liściu na okładce widniał napis: *Wstęp do kodeksu postępowania karnego stanu Kolorado*.

– Ciężka lektura – powiedziała i pocałowała go w usta.

– Uch! – Cisnął książką na drugi koniec pokoju, gdzie z głuchym łupnięciem wylądowała na komódce. – Przyniósł mi ją Al Bundell. On i jego wydział ochrony prawa naprawdę zabrali się ostro do roboty. Al chce pomówić o tym z komisją podczas naszego najbliższego spotkania, pojutrze. A co ty porabiałaś, moja piękna?

– Rozmawiałam z Larry'm Underwoodem.

Przez chwilę przyglądał się jej z uwagą.

– Fran... czy ty płakałaś?

– Tak – odparła ze spokojem, odnajdując jego spojrzenie – ale już mi lepiej. Znacznie lepiej. Naprawdę.

– Czy chodzi o dziecko?

– Nie.

– Wobec tego o co?

– Powiem ci jutro wieczorem. Powiem ci wszystko, co kołatało mi się po tej durnej głowie. Ale póki co o nic nie pytaj. Zaczekaj z tym do jutra, dobrze?

– Czy to coś poważnego?

– Nie wiem, Stu.

Patrzył na nią długo, bardzo długo.

– W porządku, Frannie – rzekł krótko. – Kocham cię.

– Wiem. Ja ciebie też.

– Kładziesz się do łóżka?

Uśmiechnęła się.

– Natychmiast.

Pierwszy wrzesnia był pochmurny i deszczowy. Takich dni raczej się nie pamięta, jednak w Boulder żaden z mieszkańców nigdy go nie zapomni. Tego dnia, aczkolwiek na krótko, w Północnym Boulder przywrócono zasilanie.

Dziesięć minut przed dwunastą w południe, w pomieszczeniu kontrolnym siłowni Brad Kitchner spojrzał na Stu, Nicka, Ralpa i Jacka Jacksona, którzy stali tuż za nim. Brad uśmiechnął się i powiedział: „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, pomóż mi zwyciężyć w tym wyścigu psich zaprzęgów”.

Mówiąc to, energicznie opuścił dwie wielkie dźwignie. W ogromnym, przestronnym pomieszczeniu poniżej uruchomione zostały na próbę dwa generatory. Pięciu mężczyzn podeszło do zajmującego całą ścianę okna z polaryzowanego szkła i spojrzęło w dół, gdzie stało prawie sto kobiet i mężczyzn noszących, zgodnie z zaleceniem Brada, specjalne gogle ochronne.

„Jeśli coś schrzanimy, wolę stracić raczej te dwa niż pięćdziesiąt dwa” – powiedział im wcześniej Brad.

Jęk generatorów przybrał na sile.

Nick szturchnął Stu łokciem i wskazał na sufit pomieszczenia; Stu uniósł wzrok i zaczął się uśmiechać. Umieszczone w półprzezroczystych panelach jarzeniówki zaczęły roztaczać słaby blask. Generatory rozgrzewały się coraz bardziej, ich odgłos stał się rytmiczny i regularny, jękliwe zawodzenie maszyn ustało, dźwięk ustabilizował się. Poniżej grupa robotników zaczęła gromko bić brawo, niektórzy podczas tej czynności mocno się krzywili, gdyż ich dłonie były poranione do żywego po wielogodzinnym, żmudnym nawijaniu miedzianego drutu.

Świetlówki świeciły jasno i normalnie.

Nick poczuł coś dokładnie przeciwnego niż wtedy, w Shoyo, nie było to wrażenie złożenia do grobu, lecz raczej zmartwychwstania.

Dwa generatory dostarczały prąd do niewielkiego sektora Północnego Boulder, w rejonie North Street. Znajdowali się tam ludzie, którzy nie wiedzieli o próbie mającej nastąpić tego ranka i wielu z nich pierzchnęło w popłochu, jakby sam diabeł deptał im po piętach. Na ekranach odbiorników telewizyjnych pojawił się śnieg. W domu przy Spruce Street włączył się mikser usiłujący rozbić mieszaninę z sera i jajek, która do tego czasu zastygła już niemal na kamień. W opustoszałym garażu zawyła uruchomiona pilarka, wyrzucając w powietrze chmurę trocin.

Zapaliły się kuchenki i piecyki elektryczne. Z głośników sklepu ze starymi płytami, o nazwie Muzeum Figur Woskowych, dobiegł głos Marviną Gaye śpiewającego szlagier sprzed lat, mogło się wydawać, że oto ziścił się sen o przeszłości... *Zatańczmy na raz, zakrzyczmy na dwa, funky to zabawa, która wiecznie trwa...*

Przy Mapie Street eksplodował transformator, snop fioletowych iskier spłynął na wilgotną trawę i zgasł.

W elektrowni jeden z generatorów zaczął nagle zawodzić na nieco wyższą, bardziej rozpaczliwą nutę. I dymić.

Ludzie zaczęli się cofać. Widać było, że są bliscy paniki. W powietrzu rozeszła się mdląca, słodka woń ozonu. Dał się słyszeć jęk syreny alarmowej.

– Za duży pobór! – ryknął Brad. – Skurwiel nie wytrzyma! Przeciążenie!

Przebiegł przez pomieszczenie i szybkim ruchem podniósł obie dźwignie w górę. Jęk generatorów zaczął cichnąć, wcześniej jednak dał się słyszeć dobiegający z dołu głośny trzask i krzyki, znacznie jednak wytłumione przez warstwę grubego szkła.

– Niech to szlag – warknął Ralph. – Jeden się zepsuł.

Światłówki nad ich głowami ściemniały, a potem zgasły zupełnie. Brad szarpnięciem otworzył drzwi pomieszczenia kontrolnego i wyszedł na podest, na zewnątrz. Jego słowa rozbrzmiały wątłym echem w wielkim, otwartym pomieszczeniu.

– Ugaście go, do cholery! Użyjcie gaśnic pianowych! Ruszać się!

W chwili potem strugi piany z kilku gaśnic spowiły płonące generatory, w mgnieniu oka zduszając ogień.

W powietrzu wciąż unosiła się woń ozonu. Pozostali wyszli na podest, by stanąć obok Brada.

Stu położył mu rękę na ramieniu.

– Przykro mi, że tak to się skończyło, stary.

Brad odwrócił się do niego i uśmiechnął szeroko.

– Przykro ci? Ale dlaczego?

– No, cóż... generatory zaczęły się palić... no nie? – rzucił niepewnie Jack.

– Tak, niech to cholera! Pewno, że tak! I gdzieś przy North Street wywaliło pieprzony transformator. Zapomnieliśmy, cholera, zapomnieliśmy! Ludzie w Boulder zapadali na grypę i umierali jeden po drugim, ale przed śmiercią nikt z nich nie pokwapił się, by wyłączyć wszelkie urządzenia elektryczne. W całym Boulder jest mnóstwo włączonych telewizorów, kuchenek, piecyków i kocy elektrycznych. To ciągnie prąd jak jasna cholera. Te generatory są zbudowane tak, by się przełączać, kiedy pobór mocy w jednym miejscu jest duży, a w innym mały. Generatory, które padły, próbowały rozłożyć pobór mocy na pozostałe, ale one były wyłączone, kapujecie?

Brad wręcz nie posiadał się z radości.

– Gary! Pamiętacie Gary w Indianie, to miasto, które doszczętnie spłonęło?

Pokiwali głowami.

– Nie mam pewności, bo nikt jej nie może mieć, ale bardzo możliwe, że wydarzyło się tam to samo co tutaj. Całkiem możliwe, że zasilanie nie zostało tam wyłączone tak szybko jak w innych miastach. Jedno krótkie spięcie w czymś kocu elektrycznym i po sprawie. Tak jak było z krową O’Leary’ego, która przewróciła tamtą lampę w Chicago. Generatory chciały

rozładować pobór mocy, ale nie miały na co. I dlatego się spaliły. Mamy szczęście, że się tak stało, tak mi się przynajmniej wydaje i mówię to całkiem serio.

– Skoro tak twierdzisz – odparł z powątpiewaniem Ralph.

– Znów mamy przez to trochę roboty, ale to przecież tylko jeden silnik. Przywrócimy miastu prąd. Ale... – Brad zaczął pstrykać palcami w mimowolnym geście ekscytacji. – Nie uruchomimy zasilania ponownie, dopóki nie będziemy mieli pewności. Czy moglibyśmy powołać jeszcze jedną grupę roboczą? Potrzeba nam, powiedzmy, dwunastu ludzi.

– Jasne, dlaczego nie – odparł Stu. – Tylko po co?

– Do wyłączenia urządzeń elektrycznych. Ich zadaniem będzie wyłączenie w całym Boulder wszystkiego, co jest podłączone do kontaktu. Nie uruchomimy zasilania, dopóki się z tym nie uporają. Nie mamy straży pożarnej. – Brad zaśmiał się, a w jego głosie zabrzmiała nutka szaleństwa.

– Jutro wieczorem odbędzie się zebranie komisji – powiedział Stu. – Przyjdź i wyjaśnij, o co chodzi, a z pewnością przydzielą ci tylu ludzi, ilu potrzebujesz. Tylko... czy jesteś pewien, że nie dojdzie do kolejnego przeciążenia?

– Prawie. Powiedzmy na dziewięćdziesiąt procent. Nawet dziś by do tego nie doszło, gdyby nie te wszystkie włączone sprzęty w całym sektorze. A skoro o tym mowa... przydałoby się, żeby ktoś pofatygował się do Północnego Boulder i sprawdził, czy jeszcze stoi. A może już się spaliło?

Nikt nie wiedział, czy Brad żartował, czy powiedział to zupełnie serio. Jak się okazało, w Północnym Boulder rzeczywiście miało miejsce kilka niezbyt groźnych pożarów. Żaden z nich nie zdołał się rozprzestrzenić, dzięki padającej przez cały czas mżawce. Później natomiast, jeżeli chodzi o dzień pierwszego września 1990 roku, mieszkańcy Boulder pamiętali jedynie, iż tego właśnie dnia w mieście przywrócono zasilanie – nawet jeśli nie trwało to dłużej niż pół minuty.

Godzinę później Fran zajęła na swoim rowerze do parku imienia Ebena G. Fine znajdującego się naprzeciw domu Harolda. Przy północnym krańcu parku, opodal stolików piknikowych szumiał, tocząc wartko swe wody potok Boulder. Poranny deszcz zmienił się w lekką mżawkę.

Zaczęła wypatrywać Larry'ego, nie dostrzegła go jednak i postawiła rower na stopce. Ruszyła po mokrej trawie w stronę huśtawek, kiedy usłyszała:

– Tutaj, Frannie.

Zaskoczona odwróciła się w stronę budynku szaletu miejskiego i przez moment ogarnął ją niewysłowiony lęk. W cieniu krótkiego korytarzyka wewnątrz budynku ujrzała wysoką postać i przez chwilę wydawało się jej, że to...

I wtedy postać wyszła z budynku. To był Larry, ubrany w koszulę khaki i sprane dżinsy. Fran odetchnęła z ulgą.

– Przestraszyłem cię? – zapytał.

– Tak, trochę. – Usiadła na huśtawce, serce w jej piersi zwolniło rytm. – Ujrzałam tylko twoją sylwetkę w ciemnościach...

– Przepraszam. Sądziłem, że tak będzie bezpieczniej, mimo że tego miejsca nie widać z domu Harolda. Widziałem cię, jak wjeżdżałaś na rowerze do parku.

Skinęła głową.

– To cichszy środek lokomocji.

– Ja swój wstawiłem pod tamtą wiatę. – Wskazał na pozbawioną ścian, osłoniętą niskim dachem konstrukcję w pobliżu placu zabaw.

Fran przeszła z rowerem pomiędzy huśtawkami i zjeżdżalnią, i również postawiła go pod wiatą. „To musiało być wymarzone miejsce spotkań dla dzieciaków zbyt młodych, lub zbyt naćpanych, aby mogły prowadzić wóz?” – pomyślała. Na ziemi było mnóstwo niedopałków i pustych butelek po piwie. W kącie leżały zmięte, damskie majteczki, a nieco bliżej można było ujrzeć pozostałości małego ogniska. Postawiła swój rower obok roweru Larry’ego i szybko wyszła na zewnątrz. Pośród tych cieni i drażniącej nozdrza woni piżma, pozostałości zapomnianego seksu, nietrudno jej było wyobrazić sobie mrocznego mężczyznę stojącego tuż za nią z poskręcany drucianym wieszakiem w dłoni.

– Prawdziwy Holiday Inn, no nie? – rzucił oschle Larry.

– Nie w moim guście – odparła Fran, wzdrygając się lekko. – Larry, niezależnie od wyniku naszej dzisiejszej wyprawy zamierzam wieczorem opowiedzieć Stuartowi o wszystkim.

Larry pokiwał głową.

– Tak. I nie tylko dlatego, że jest w Komitecie. Bądź co bądź pełni przecież funkcję szeryfa.

Fran spojrzała na niego z zakłopotaniem. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że w efekcie ich wyprawy Harold może znaleźć się za kratkami. A przecież zamierzali włamać się do jego domu bez nakazu i przetrząsnąć go od piwnicy aż po dach.

– A niech to – jęknęła.

– Nie jest dobrze, co? – mruknął pod nosem. – Chcesz, żebyśmy to sobie odpuścili?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, po czym pokręciła głową.

– Dobrze. Chyba powinniśmy poznać prawdę, jakakolwiek by ona nie była.

– Jesteś pewien, że w domu nie ma żadnego z nich?

– Tak. Widziałem jak Harold wczesnym rankiem odjeżdża wywrotką służby pogrzebowej. A wszyscy członkowie komisji energetyki zostali zaproszeni na próbę uruchomienia generatorów.

– Jesteś pewien, że pojechała do elektrowni?

– Dziwnie by wyglądało, gdyby się tam nie pojawiła, nie uważasz?

Fran po chwili namysłu pokiwała głową.

– Chyba tak. Nawiasem mówiąc, Stu ma nadzieję, że do szóstego września uda się przywrócić zasilanie w większej części miasta.

– To będzie wielki dzień – powiedział Larry i pomyślał, jak miło byłoby usiąść w Shannon albo Broken Drum z potężnym fenderem na podołku i jeszcze większym wzmacniaczem u stóp, a potem zagrać coś, cokolwiek, jakiś prosty, dobrze znany i mocny kawałek – daj my na to *Glorię* albo *Walkin' the dog*. Wszystko, byle nie *Mała*, czy *możesz polubić swojego faceta*?

– Może powinniśmy wymyślić jakąś historyjkę, aby usprawiedliwić naszą wizytę u Harolda – zaproponowała Fran. – Tak na wszelki wypadek.

Larry uśmiechnął się krzywo.

– Gdyby któreś z nich wróciło, możemy powiedzieć, że sprzedajemy subskrypcję na nowe czasopisma, co ty na to?

– Ha, ha. Ale śmieszne, Larry.

– Cóż, gdyby okazało się, że Nadine jest w domu, zawsze możemy powiedzieć jej to, co przed chwilą usłyszałem od ciebie, o tym, że na dniach w niemal całym mieście zostanie przywrócone zasilanie.

Fran skinęła głową.

– Tak, to chyba całkiem przekonująca wymówka.

– Nie pochlebiaj sobie, Fran. Żywiłaby wobec nas podejrzenia nawet gdybyśmy powiedzieli, że przychodzimy bo właśnie objawił się Jezus Chrystus i spaceruje obecnie po stawie w parku miejskim.

– Oczywiście, jeżeli ma coś na sumieniu.

– Tak. Jeżeli ma coś na sumieniu.

– Chodź – rzekła Fran po krótkim namyśle. – Idziemy.

Historyjka dla zamydlenia oczu okazała się niepotrzebna. Po kilku chwilach pukania do frontowych, a potem tylnych drzwi, doszli do przekonania, że w domu rzeczywiście nie ma nikogo. „No i dobrze” – pomyślała Fran. Im dłużej o niej myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że ich historyjka-wymówka była nader kiepska.

– Jak weszłaś do środka? – zapytał Larry.

– Przez okno do piwnicy.

Obeszli dom z boku, po czym Fran przyglądała się, jak Larry bezskutecznie próbował otworzyć okienko piwniczne.

– Może kiedyś było otwarte – powiedział. – Teraz jest zamknięte.

– Nie. Zapewne tylko się zacięło. Pozwól, że ja spróbuję.

Jej również się nie udało. Najwyraźniej w którymś momencie po jej nie zapowiedzianej wizycie Harold musiał na dobre zamknąć i zablokować okienko do piwnicy.

– I co teraz? – zapytała.

– Włamiemy się. Wybijemy szybę.

– Przecież on to zobaczy.

– No i co z tego. Jeżeli nie ma nic do ukrycia pomyśli, że to pewnie jakieś dzieciaki wybijające szyby w pustych domach. W końcu ten dom z opuszczonymi żaluzjami wygląda na pusty. Gdyby zaś miał coś do ukrycia, damy mu powód do zmartwienia, czyli dokładnie to, na co sobie zasłużył. Zgadza się?

Wydawało się, że niezbyt przypadło jej to do gustu, ale nie próbowała go powstrzymać, gdy zdjął koszulę, owinął nią pięść i przedramię, a następnie zbił szybę w piwnicznym oknie. Szkło posypało się do wnętrza piwnicy, a Larry zaczął gmerać przy framudze w poszukiwaniu zasuwki.

– O, już mam. – Otworzył zasuwkę i przesunął okno. Po chwili Larry wślizgnął się zwinnie do piwnicy i odwrócił się, aby pomóc Fran. – Uważaj, mała. Żadnych przedwczesnych porodów w domu Harolda Laudera.

Złapał ją pod ramię i powoli opuścił. W minutę później oboje zaczęli rozglądać się po mrocznym pomieszczeniu. Jego strażnikami zdawały się być młotki do krykieta. Na blacie stołu do minihokeja dostrzec można było krótkie kawałki barwnych przewodów elektrycznych.

– Co to takiego? – zapytała, biorąc do ręki jeden z nich. – Wcześniej tu tego nie było.

Wzruszył ramionami.

– Może Harold pracuje nad ulepszoną pułapką na myszy.

Pod stołem stało pudełko. Larry podniósł je. Widniał na nim napis LUKSUSOWY ZESTAW DWÓCH KRÓTKOFALÓWEK. BATERIE NIE SĄ WLICZONE DO ZESTAWU.

Larry otworzył pudełko, ale już po ciężarze zorientował się, że było puste.

– Nie pracuje nad pułapką na myszy, tylko nad krótkofalówkami – powiedziała Fran.

– Nie. To nie model do składania. Krótkofalówki w takich zestawach są sprawne i gotowe do działania. Potrzebne są do nich tylko baterie. Może próbował je w jakiś sposób zmodyfikować. To w jego stylu. Pamiętasz, jak Stu skarżył się na marny odbiór, kiedy on, Harold i Ralph posługiwali się krótkofalówkami podczas poszukiwań Matki Abigail?

Skinęła głową, ale mimo wszystko te pocięte przewody wprawiły ją w niewytłumaczalną konsternację. Ogarnął ją niepokój.

Larry postawił pudełko na podłodze i wypowiedział słowa, które uzna odtąd za najferalniejsze stwierdzenie w całym swoim życiu.

– To nic takiego – rzekł. – Chodźmy dalej!

Weszli po schodach, ale tym razem drzwi do piwnicy były zamknięte. Spojrzała na Larry'ego, ten wzruszył ramionami.

– Skoro dotarliśmy aż tutaj...

Fran skinęła głową.

Larry kilkakrotnie napał barkiem na drzwi, aby oszacować na jakiej wysokości znajdowała się zasuwka, po czym wyrzwał w nie z całej siły. Rozległ się metaliczny trzask, brzęk i drzwi otwały się szeroko. Larry pochylił się i podniósł z wyłożonej linoleum podłogi w kuchni wyrwaną zasuwkę.

– Mógłbym ją przykręcić z powrotem i Harold nawet by się nie zorientował. Naturalnie, jeśli znajdę gdzieś tutaj śrubokręt.

– Niby po co. Przecież i tak zauważy wybitą szybę.

– To fakt. Ale jeśli przykręcę zasuwkę... dlaczego się śmiejesz?

– Załóżmy, że przykręcisz tę cholerną zasuwkę, ale jak masz zamiar zamknąć drzwi od wewnątrz, to znaczy, od piwnicy?

Zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł z przekąsem:

– Rany, jak ja nie cierpię przemądrzałych kobiet! – Rzucił zasuwkę na metalowy blat w kuchni. – Zajrzyjmy pod tę płytę w kominku.

Weszli do mrocznego pokoju, a Fran poczuła na plecach lodowate ciarki. Ostatnim razem Nadine nie miała klucza. Tym razem, gdyby wróciła, na pewno będzie miała klucz. A gdyby się niespodziewanie zjawiała, przyłapałaby ich na gorącym uczynku. „To ci dopiero ironia losu – pomyślała z goryczą – gdyby pierwszą osobą posłaną przez Stu za kratki miała być jego kobieta przyłapana na włamaniu z wtargnięciem”.

– To tu, prawda? – zapytał Larry, wskazując na kominek.

– Tak. Ale błagam, pospiesz się.

– Całkiem możliwe, że przeniósł go gdzieś indziej. – I rzeczywiście, Harold przeniósł swój rejestr. To Nadine umieściła go ponownie pod obluzowaną płytą kominka. Larry i Fran nie mieli o tym pojęcia, ale po odsunięciu przez Underwooda kamiennej płyty w niszy poniżej ujrzeli grubą księgę ze złoconym napisem REJESTR na okładce. Przez chwilę patrzyli na nią oboje. W pokoju nagle zrobiło się parniej, goręcej i mroczniej.

– To co? – rzekł Larry. – Będziemy się tak gapić, czy zabieramy się do czytania?

– Ty to zrób – odparła Fran. – Ja nawet tego nie dotknę.

Larry wyjął księgę z niszy i automatycznie ręką wytarł biały kurz z okładki. Zaczął przerzucać strony na chybił trafił. Wpisów w dzienniku dokonano cienkopisem lub flamastrem. Pismo było gęste, zwarte i schludne. Było to pismo człowieka skrupulatnego, być może nawet do przesady skrzętnego. Człowieka kierowanego wewnętrznymi pobudkami. Zapis był jednolity, gęsty, bez akapitów. Po prawej i lewej zostawiono wąskie marginesy, równe jakby wykreślono je pod linijką.

– Przeczytanie całości zajmie mi ze trzy dni – rzekł Larry, kartkując rejestr.

– Zaczekaj – powiedziała Fran i sięgnęła ponad jego ramieniem, by przekręcić kilka stron. Parę kartek wcześniej na jednej ze stron pośród gęsto zapisanych wersów znajdowało się kilka linijek tekstu wziętych w cienką ramkę. Jej treść zdawała się być swoistym mottem autora dziennika.

Podążać za czyjąś gwiazdą to znaczy potwierdzić istnienie mocy jakiejś większej Potęgi, jakiejś Opatrzności, czyż jednak nie jest możliwe, że samo podążanie za nią nie jest źródłem jeszcze większej siły? Wasz Bóg i wasz Szatan są w posiadaniu kluczy do oświecenia. Przez ostatnie dwa miesiące długo i usilnie borykałem się z tą kwestią i z tą świadomością, każdemu z nas jednakże dana jest wolność wyboru i możliwości obrania kierunku, w którym chce podążać – swoboda NAWIGACJI.

HAROLD EMERY LAUDER

– Przepraszam – rzekł Larry. – To ostatnie dodałem od siebie.

Fran wolno pokręciła głową.

– Podejrzewam, że w ten sposób Harold chce powiedzieć, iż podążanie za kimś lub za czymś może być równie zaszczytne jak przewodzenie. Nie sądzę, żeby te słowa mogły zagrozić starym, dobrym dziesięciu przykazaniom.

Larry wciąż kartkował rejestr, natykając się na dalsze cztery lub pięć sentencji wziętych w ramki i przeczytał je na głos, dodając zawsze na koniec imiona i nazwisko autora.

– Ho-ho-ho! – rzekł Larry. – Posłuchaj tego, Frannie!

Mówi się, że dwoma wielkimi grzechami ludzkimi są pycha i nienawiść. Czy aby na pewno? Ja uważam je za dwie wielkie cnoty. Odrzucenie pychy i nienawiści oznacza, że próbujesz zmienić siebie dla dobra świata. Bardziej szlachetnym jest przyjąć jedno i drugie, a co za tym idzie, zmusić świat by zmienił się dla dobra ciebie. Czeka mnie wielka przygoda.

HAROLD EMERY LAUDER

– To wytwór poważnie zaburzonego umysłu – powiedziała Fran. Zrobiło się jej zimno.

– Można powiedzieć, że właśnie przez taki sposób myślenia wpakowaliśmy się w całe to szambo – potaknął Larry. Wrócił na początek księgi. – Szkoda czasu. Zobaczmy, czego jeszcze możemy się dowiedzieć z tego dziennika.

Żadne z nich nie wiedziało, czego się właściwie spodziewać. Przeczytali jedynie sentencje w ramach i kilka wyrwykowych zdań, których treść z uwagi na wyjątkowo kwiecisty i niejasny styl pisarski Laudera znaczyła dla nich mało lub tyle co nic.

Jednak to co napotkali na samym początku rejestru było dla nich prawdziwym wstrząsem.

Zapis w rejestrze zaczynał się od samej góry pierwszej strony. Była ona oznaczona wziętą w kółko cyfrą jeden. Na stronie tej widniał również oddzielny akapit, jedyny w całym dzienniku, jeśli nie liczyć sentencji w ramkach. Przeczytali podkreślone zdanie, trzymając rejestr pomiędzy sobą, jak dwójka dzieci podczas próby chóru, a gdy skończyli, Fran jęknęła „Och!” cichym, zduszonym głosem i cofnęła się o kilka kroków, zasłaniając usta dłońmi.

– Fran, musimy zabrać ten dziennik ze sobą – rzekł Larry.

– Tak...

– I pokazać go Stu. Nie wiem, czy Leo ma rację twierdząc, że oni oboje są po stronie mrocznego mężczyzny, ale z całą pewnością Harold jest bardzo poważnie chory. Umysłowo chory. Mamy tego jawny przykład.

– Tak – powtórzyła.

Źle się czuła, było jej słabo. A więc tak kończy się sprawa z dziennikami. Zupełnie jakby wiedziała o tym od samego początku, jakby przeczuwała to od chwili, gdy ujrzała na kartce swego pamiętnika rozmazany ślad upapranego w czekoladzie kciuka i w głębi ducha powtarzała sobie: „Tylko nie zemdlej, tylko nie zemdlej”.

– Fran? Frannie? Nic ci nie jest?

Głos Larry’ego. Dochodził z daleka.

Pierwsze zdanie w rejestrze Harolda brzmiało: „Największą rozkosz tego cudownego, postapokaliptycznego lata sprawi mi zabicie pana Stuarta job jego mać Redmana, a kto wie, być może wykończę również i JA”.

– Ralph? Ralph Brentner, jesteś w domu? U-huuu, jest ktoś w domu?

Stała na schodach, patrząc na dom. Na podwórzu nie było motocykli, pod ścianą zaparkowane były tylko dwa rowery. Ralph usłyszałby ją, ale pozostawał jeszcze ten głuchoniemy. Mogła zedrzeć sobie gardło od krzyku, a i tak by jej nie usłyszał, nawet jeżeli BYŁ w domu.

Przełożyła torbę na drugie ramię i nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Weszła do środka z ulicy spowitej oparami mgieł i znalazła się w niedużym holu.

Wspiąwszy się po czterech stopniach można było dostać się do kuchni, a schodząc po całej kondygnacji schodów, do pomieszczeń piwnicznych, gdzie, jak powiedział jej Harold, mieszkał Nick Andros. Z promiennym, sztucznym uśmiechem na ustach Nadine zeszła po schodach, przygotowując w myślach jakąś solidną wymówkę tłumaczącą jej pojawienie się u Brentnera. „Weszłam do środka, bo nie wiedziałam, czy ktoś usłyszy moje pukanie. Ludzie pytają, czy generatory, które się przepaliły mają być reperowane na nocnej zmianie. Czy Brad wspominał coś na ten temat?”

Na dole były tylko dwa pokoje. Jeden z nich okazał się sypialnią umeblowaną skąpo jak mnisia cela. Drugim była pracownia. Znajdowało się w niej biurko, fotel, kosz na śmieci i etażerka. Błat biurka zaścierały zmięte kawałki papieru, przejrzała je pobieżnie. W większości

nie znalazła w nich niczego sensownego, podejrzewała, że to odpowiedzi Nicka podczas prowadzonej z kimś rozmowy („Chyba tak, ale czy nie moglibyśmy zapytać go, czy nie dałoby się zrobić tego prościej?” – brzmiał napis na jednej z kartek). Poza tym były tu również notatki, osobiste zapiski, przemyślenia, rzeczy do zapamiętania. Niektóre z tych zdań przywodziły jej na myśl sentencje w ramach z rejestru Harolda, które z sarkastycznym uśmiechem nazywał „Drogowskazami ku lepszemu życiu”.

Na jednej z kartek przeczytała: „Porozmawiać z Glenem o handlu. Czy ktokolwiek z nas wie, jak zaczyna się handel? Od niedostatku dóbr, czyż nie? A może od zmodyfikowania dziedziny jakiejś gałęzi rynku?”

„Umiejętności. Oto słowo-klucz. Co będzie, jeśli Brad Kitchner zdecyduje się sprzedawać zamiast oddawać za darmo? Albo doktor. Czym mielibyśmy płacić? Hmmm”.

Na innej zaś: „Ochrona społeczności to ulica dwukierunkowa”.

Na jeszcze innej: „Za każdym razem, gdy rozmawiamy o ochronie prawa, nocami miewam koszmary o Shoyo. Znow widzę jak umierają. Obserwuję ich konanie. Patrzę, jak Childress rozrzuca jedzenie z miski po całej celi. Prawo, prawo, co u licha mamy zrobić w kwestii ochrony prawa? Albo sprawa kary śmierci. To jest dopiero problem. Ile czasu upłynie od ponownego włączenia przez Brada prądu w całym mieście, zanim ktoś zleci mu przywrócenie do stanu użyteczności krzesła elektrycznego?”

Z pewnym wahaniem odwróciła się od tych notatek. To było takie fascynujące, przeglądać zapiski człowieka, który potrafił myśleć w pełni tylko podczas pisania (jeden z jej wykładowców w college’u z dumą twierdził, że proces myślenia nigdy nie będzie kompletny bez artykulacji słownej), ale nie miała już tu na dole czego szukać. Miała przekonać się, czy w domu nie ma nikogo i spełniła swoje zadanie. Nie zastała ani Ralpa ani Nicka. Przedłużanie pobytu w tym domu byłoby zbędnym ryzykiem, na które nie mogła sobie pozwolić.

Wróciła na górę. Harold powiedział jej, że spotkanie najprawdopodobniej odbędzie się w salonie. Był to duży pokój wyłożony grubym, mechatym dywanem koloru wina, dominował w nim wolno stojący kominek z potężnym, kamiennym, wystającym dumnie ponad płaszczyznę dachu kominem. Cała zachodnia ściana zrobiona była ze szkła, rozciągała się za nią urzekająca panorama odległych Flatirons. Patrząc na nią, poczuła się równie widoczna i bezbronna jak karaluch na ścianie. Wiedziała, że zewnętrzna powierzchnia szyby była specjalnie spreparowana i każdy stojący na ulicy mógł dostrzec w niej jedynie swoje odbicie, ale i tak czuła się nieswojo. Chciała jak najszybciej skończyć sprawę, z którą tu przyszła.

Na południowej ścianie pokoju odkryła to, czego szukała, głęboką szafę, której Ralph nie uprzątnął.

Wisiały w niej płaszcze i kurtki, a w kącie leżała gruba na trzy stopy sterta butów, mitenek i zimowych wełnianych rękawic.

Pospiesznie wyjęła ze swojej torby warstwę artykułów spożywczych. Stanowiły kamuflaż i było ich w sumie niewiele. Pod puszkami sardynek i przecieru pomidorowego znajdowało się pudełko po butach, zawierające krótkofalówkę z przyłączonym do niej ładunkiem dynamitu.

„Czy jeśli włożę pudło na dno szafy, bomba zadziała tak jak powinna? Czy dodatkowa ściana nie wytlumi siły wybuchu?” zapytała wcześniej.

„Nadine – odparł Harold – jeśli bomba eksploduje, a nie mam powodu by nawet przypuszczać, że mogłaby w jakiś sposób zawieść, obróci w perzynę dom, o który nam chodzi i może jeszcze parę innych stojących w pobliżu na dokładkę.

Włóż ją, gdzie zechcesz, postaraj się tylko ukryć ją tak, by nie odkryli jej do czasu spotkania. Szafa to doskonałe miejsce. Dodatkowa ściana zostanie rozerwana na strzępy siłą eksplozji, a jej odłamki zadziałają jak szrapnel. Ufam twojemu osądowi, kochanie. Tak jak zadecydujesz będzie dobrze. Przypomina mi się ta stara baśń o krawczyku i muchach. Siedem za jednym zamachem. Tylko w tym przypadku mamy do czynienia z bandą politycznych gnid”.

Nadine odsunęła na bok stertę butów i szalików, zrobiła za nimi miejsce i w tak powstałą niszę wsunęła pudło po butach. Następnie starannie je przykryła, maskując starymi, zimowymi rzeczami i zamknęła szafę. To wszystko. Po sprawie. Tak czy inaczej zrobiła swoje. Jak to się skończy, czas pokaże.

Pospiesznie wyszła z domu, nie oglądając się za siebie i ignorując głos, który nie chciał umilknąć w jej głowie, głos, który nakazywał jej, aby natychmiast zawróciła i wyrwała przewody biegnące od słonek do krótkofalówki, aby położyła kres temu szaleństwu, zanim przypłaci swój czyn utratą zmysłów. Czyż nie to bowiem czekało ją w niedalekiej przyszłości, za niecałe dwa tygodnie, a może nawet krócej? Czyż obłęd nie był ostatecznym, logicznym zakończeniem tego wszystkiego?

Włożyła torbę z artykułami spożywczymi do koszyka vespy i uruchomiła skuter. Nawet gdy odjeżdżała, wciąż słyszała ten uporczywy głos powtarzający: „Chyba jej tam nie zostawisz, prawda? Nie zostawisz tam tej bomby, no nie?”

W świecie, gdzie umarło tylu ludzi...”

Weszła w zakręt, ledwie widząc drogę przed sobą. Łzy zamglily jej wzrok.

„Odebranie życia choćby jednemu człowiekowi jest grzechem śmiertelnym”.

Siedem istnień ludzkich w tym jednym domu. A może nawet więcej, gdyż członkowie komisji mieli wysłuchać sprawozdań szefów kilku podkomisji.

Zatrzymała się na rogu Baseline i Broadway, rozważając swój ewentualny powrót do domu Ralpa. Cała była roztrzęsiona. Wahala się. Nie będzie później potrafiła wyjaśnić Haroldowi, co się właściwie wydarzyło, w gruncie rzeczy nawet nie spróbuje. To co się stało, było zaledwie preludium do koszmaru, który miał dopiero nastąpić.

Osobliwa czerń zaczęła nagle przyćmiewać jej wzrok.

Przypominała czarną, powoli zasuwaną kurtynę falującą delikatnie na wietrze. Od czasu do czasu zrywał się silniejszy wiatr i kurtyna trzepotała nieco silniej, a ona dostrzegła wyzierające spod jej skraju światło dnia i fragment opustoszałego skrzyżowania.

Kurtyna jednak na dobre przesłoniła jej oczy ścianą żyjącej czerni i Nadine bez reszty się w niej zagubiła. Była ślepa i głucha, straciła również zmysł dotyku. Istota myśląca, ego-Nadine unosiła się w ciepłym, czarnym kokonie jak batyskaf w morskich odmętach albo płód w płynie owodniowym.

I poczuła Jego obecność wdzierającą się do jej wnętrza.

Zaczął narastać w niej krzyk, ale nie miała ust, aby móc krzyczeć.

„Penetracja i entropia”.

Nie wiedziała, co znaczą te słowa i dlaczego znalazły się akurat w takim układzie. Wiedziała jedynie, że były właściwe.

Nigdy jeszcze nie czuła czegoś podobnego. Później aby opisać to doznanie zaczęły przychodzić jej do głowy rozmaite porównania, lecz ona odrzucała je jedno po drugim.

Pływasz w płytkiej ciepłej wodzie i nagle natrafiasz na głębię, gdzie woda jest tak lodowata, że łapią cię kurcze.

Dostałaś nowokainę i dentysta wrywa ci ząb. Ząb wychodzi bez trudu. Wypluwasz krew do białej, emaliowanej spluwaczki. Masz w sobie dziurę, czegoś cię pozbawiono. Możesz dotknąć końcem języka otworu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się część ciebie.

Patrzysz na swoje odbicie w lustrze. Przyglądasz mu się długo. Pięć, dziesięć, piętnaście minut. Starasz się nie mrugać powiekami. Patrzysz z zaciekawieniem i ze zgrozą, jak twoja twarz zaczyna się zmieniać niczym oblicze Lona Chaneya juniora w tym starym horrorze o wilkołaku. Stajesz się obca dla siebie samej, zmieniasz się w śniadoskórego doppelgngera, psychotyczną Lady Vampire o bladej skórze i oczach jak czarne, beznamiętne szparki.

To wrażenie nie było porównywalne z żadnym z powyższych, niemniej w każdym z nich zawierała się jakaś jego część.

Mroczny mężczyzna wszedł w nią i był naprawdę zimny jak lód.

Kiedy Nadine otworzyła oczy, w pierwszej chwili pomyślała, że znalazła się w piekle.

Piekło było białą, tezą dla antytezy mrocznego mężczyzny. Ujrzała białą jak kość słoniowa, bezkresną pustkę. Biała biel pośród bieli. Piekło było barwy śniegu i rozciągało się daleko jak okiem sięgnąć.

Patrzyła na tę biel (nie sposób było W NIAŁ WEJRZEĆ) z bólem i fascynacją przez wiele minut, aż w końcu uświadomiła sobie, że czuje pod pośladkami siodełko vespy, na obrzeżach pola widzenia zaś pojawił się inny kolor – zieleń. Gwałtownie, wręcz nerwowo oderwała wzrok od pustki, w którą się wpatrywała. Rozejrzała się dookoła. Jej wargi drżały, oczy wydawały się mętne, niewidzące i zaślepienie niezgłębioną grozą. Mroczny mężczyzna był w niej. Flagg był w niej, a kiedy to się stało pozbawił ją wszystkich pięciu zmysłów, jej punktów stycznych z rzeczywistością. Odciał ją od nich jak srogi rodzic może odciać

knąbrne dziecko od telewizora, wyłączając prąd w całym domu. I przyprowadził ją... właśnie, dokąd ją przywiódł?

Spojrzała w stronę ściany bieli i ujrzała, że był to wielki ekran kina samochodowego na tle białego, późnopołudniowego, lekko pochmurnego nieba. Odwróciła się i zobaczyła bar szybkiej obsługi z frontonem pomalowanym na rażący, cielisty róż. Przy wejściu widniał wielki napis: WITAMY W KINIE DLA ZMOTORYZOWANYCH „HOLIDAY TWIN”. ŻYCZYMY WIELU PRZYJEMNYCH WRAŻEŃ POD GWIAZDAMI!

Ciemność naszała ją przy skrzyżowaniu Baseline i Broadway. Obecnie znajdowała się przy 28 Street niemal prawie w... Longmont, czyż nie?

Wciąż czuła w sobie jego smak, hen w głębi umysłu niczym ślad zimnego śluzu na podłodze.

Otaczały ją słupy, stalowe słupy niczym wartownicy. Każdy z nich mierzył pięć stóp wysokości i na każdym zamontowany był głośnik. Pod stopami miała żwir, lecz spomiędzy kamyków tu i ówdzie wyrastały żdzbla trawy i mlecze. Domyślała się, że mniej więcej od czerwca w kinie samochodowym trwał martwy sezon. Można by rzec, że cały przemysł rozrywkowy tego lata umarł śmiercią tragiczną.

– Dlaczego tu jestem? – wyszeptwała.

Powiedziała to do siebie, nie spodziewała się usłyszeć odpowiedzi. Kiedy więc ją usłyszała, spomiędzy jej warg dobył się przeciągły krzyk zgrozy.

Wszystkie głośniki pospadały ze swoich słupków na poprzetykany żdzblami trawy żwirowy podjazd. Towarzyszył temu potężny, wzmocniony odgłos – ŁUP – jak dźwięk martwego ciała osuwającego się na ziemię.

– NADINE! – dobiegł ją z głośników JEGO głos, silny i dźwięczny, tak wyraźny, że znów zaczęła krzyczeć.

Zatkała dłońmi uszy, ale Jego głos płynął z wszystkich głośników równocześnie i nie sposób było się przed nim skryć. Był wszędzie, pełen przeraźliwej wesołości i upiornie zabawnego pożądania.

– NADINE NADINE OCH JAK KOCHAM KOCHAĆ NADINE MOJĄ MAŁĄ MOJĄ ŚLICZNĄ...

– Przestań! – odwrzasnęła na całe gardło, niemal zdzierając sobie struny głosowe, ale i tak jej głos był niczym w porównaniu z Jego potężnym brzmieniem.

A jednak umilkł na chwilę. Zapadła cisza. Leżące na ziemi głośniki łypały na nią niczym wylupiaste oczy wielkich owadów.

Nadine powoli odjęła dłoń od uszu.

– Popadasz w obłąd – uspokajała samą siebie. – Ot, i całe wytłumaczenie. Napięcie i stres wywołane oczekiwaniem... do tego te gierki Harolda... podłożenie bomby... Pora, moja droga, byś spojrzała prawdzie w oczy, straciłaś zmysły, balansowałaś na granicy szaleństwa i w

końcu ją przekroczyłaś. Zrobiłaś o jeden krok za daleko i masz, czego chciałaś. Zresztą może tak będzie lepiej.

Ale ona nie zwariowała i doskonale o tym wiedziała.

To było gorsze niż obłąd.

Jakby dla potwierdzenia z głośników popłynął surowy, lecz niemal ostentacyjny głos, niczym dobiegający przez interkom głos dyrektora udzielającego wszystkim uczniom na raz reprimendy za jakiś szkolny wybryk, w którym wspólnie brali udział.

– ONI WIEDZA, NADINE.

– Oni wiedzą – powtórzyła drwiąco. Nie miała pewności o kogo konkretnie chodziło ani o czym ów ktoś miałby wiedzieć, ale podejrzewała, iż nie sposób było tego uniknąć.

– ZACHOWALIŚCIE SIĘ GŁUPIO. BÓG MOŻE KOCHAĆ GŁUPOTĘ, JA JEJ NIE TOLERUJĘ.

Słowa rozbrzmiały i rozpląnęły się w ciszy późnego popołudnia. Nadine była spocona, ubranie przywierało do jej wilgotnej skóry, pozlepiane w strąki włosy spadły na czoło i policzki, całe ciało przeszywały dreszcze.

„Głupio – pomyślała. – Głupio, głupio. Wiem, co oznacza to słowo. Tak mi się wydaje. Sądzę, że to... wyrok śmierci”.

– ONI WIEDZA PRAWIE WSZYSTKO... NIE WIEDZĄ JEDYNIEMO O PUDEŁKU PO BUTACH. I O DYNAMICIE.

Głośniki. Wszędzie głośniki gapiące się na nią z białego żwirowego podjazdu, łypiące na nią spoza kępek mleczy, które złożyły swe płatki przed deszczem.

– JEDŹCIE DO AMFITEATRU SUNRISE. ZOSTAŃCIE TAM. DO JUTRA WIECZOREM. DO ICH SPOTKANIA. A POTEM TY I HAROLD BĘDZIECIE MOGLI PRZYBYĆ. BĘDZIECIE MOGLI PRZYJECHAĆ DO MNIE.

Nadine przepełniło uczucie bezgranicznej, nieprzepartej, wszechogarniającej wdzięczności. Zachowali się głupio... ale dano im drugą szansę. Byli na tyle ważni, że On zdecydował się osobiście zainterweniować. I niedługo, o tak, już wkrótce połączy się z nim... a potem oszaleje, co do tego nie miała wątpliwości, i wszystko to przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Amfiteatr Sunrise może być za daleko – powiedziała. Było coś nie tak z jej strunami głosowymi, potwornie chrypiała. – Amfiteatr może być za daleko jak na... – Na co? Zastanawiała się przez chwilę A, tak. Jak na krótkofalówkę. – Amfiteatr może być za daleko jak na słabą krótkofalówkę. Sygnał może okazać się za słaby.

Bez odpowiedzi.

Głośniki leżały na żwirze, gapiąc się na nią. Setki czarnych, pękających głośników.

Uruchomiła vespe, niewielki silnik ożył z głuchym kaszlnięciem. Echo tego dźwięku sprawiło, że aż się skrzywiła. Przypominał wystrzał z karabinu. Chciała opuścić to przerażające miejsce, znaleźć się jak najdalej od tych przyglądających się jej głośników.

MUSIAŁA stąd odjechać.

Wymijając budkę z łakociami, straciła równowagę. Zapewne zdołałaby ją zachować, gdyby jechała po asfaltowej nawierzchni, jednak tylne koło vespy zabuksowało na żwirze i Nadine z głuchym łupnięciem wylądowała na ziemi, przygryzając do krwi dolną wargę i rozbijając sobie policzek. Wstała z rozszerzonymi, przepelnionymi strachem oczami i pojechała dalej. Trzęsła się cała jak osika.

Znalazła się na podjeździe, którym samochody docierały do kas i stamtąd na plac przed ekranem. Musiała stąd wyjechać. Musiała się wydostać. I wydostanie się. Na jej twarzy widniał wyraz głębokiej wdzięczności.

Z tyłu za nią setki głośników ponownie ożyły i Nadine raz jeszcze usłyszała Jego głos, tym razem śpiewający przerażającą, atonalną piosenkę, na dźwięk której krew zastygała w żyłach.

– JESZCZE SIĘ SPOTKAMY... W MIEJSCU, KTÓRE DOBRZE ZNASZ... JEST W NIM CZĄSTKA MEGO SERCA... I TO CO MI Z SIEBIE DASZ...

Nadine zawyła przeraźliwie swoim nowym, ochrypłym głosem.

I wtedy dobiegł ją potworny śmiech, mroczny, zimny chichot, który zdawał się przepelniać ziemię.

– SPISZ SIĘ DOBRZE, NADINE – zagrzmiał głos. – SPISZ SIĘ DOBRZE, MOJA ZŁOTA, MOJA CUDOWNNA, MOJA NAJDROŻSZA.

Dodała gazu i pomknęła z powrotem do Boulder najszybciej jak tylko mogła, pozostawiając bezcielesny głos i wścibskie głośniki daleko w tyle... lecz wspomnienie ich już zawsze będzie nosić w swoim sercu... do końca swoich dni.

Czekała na Harolda za rogiem, przy dworcu autobusowym. Na jej widok Lauder zamarł w bezruchu i zbladł jak ściana.

– Nadine – wyszeptał. Koszyk obiadowy wysunął mu się z ręki i spadł na chodnik.

– Haroldzie – powiedziała. – Oni już wiedzą. Musimy...

– Nadine, twoje WŁOSY, o Boże, TWOJE WŁOSY... – Patrzył na nią kompletnie osłupiały.

– Posłuchaj!

Najwyraźniej w końcu zdołał się opanować.

– D-d-dobrze. O co chodzi?

– Byli w twoim domu i znaleźli dziennik. Zabrali go.

Na twarzy Harolda przez chwilę trwała zażarta walka przeciwstawnych emocji – gniewu, zgrozy, niepewności i wstydu. Stopniowo jednak zaczęły odchodzić w cień, a na wargach Harolda niczym przeraźliwy trup wypływający na powierzchnię z mrocznej głębinie pojawił się lodowaty uśmiezek.

– Kto? Kto to był? Kto to zrobił?

– Nie znam wszystkich szczegółów, ale to i tak już teraz nie ma znaczenia. Prawie na pewno jedną z tych osób była Fran Goldsmith. Kto jeszcze? Może Bateman. Albo Underwood. Nie mam pojęcia. Ale oni przyjdą po ciebie, Haroldzie.

– Skąd wiesz? – Schwycił ją brutalnie za ramiona, przypominając sobie, że to ona umieściła jego Rejestr na starym miejscu, pod płytą w palenisku kominka.

Potrząsnął nią jak szmacianą lalką, lecz Nadine patrzyła na niego bez lęku. Tego długiego, bardzo długiego dnia widziała o wiele straszniejsze rzeczy i Harold Lauder ze swym patetycznym gniewem nie mógł wyrzucić na niej wrażenia.

– Skąd to wiesz, suko?

– On mi powiedział.

Harold puścił ją.

– Flagg? – wyszeptał. – On ci powiedział? Rozmawiał z tobą? I zrobił ci to? – Uśmiech Harolda był doprawdy upiorny jak uśmiech Śmierci, jednego z Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

– O czym ty mówisz?

Stali przy witrynie sklepowej. Ponownie ujmując ją za ramiona, Harold odwrócił Nadine, aby mogła przejrzeć się w szybie. Nadine długo przyglądała się swemu odbiciu.

Jej włosy zupełnie zbiały. Były śnieżnobiałe. Nie pozostało w nich choćby jedno ciemne pasemko. Ani jeden czarny włos.

OCH JAK JA KOCHAM KOCHAĆ NADINE.

– Chodź – rzuciła zdecydowanym tonem. – Musimy wyjechać z miasta.

– Teraz?

– Po zmierzchu. Do tego czasu ukryjemy się, a niezbędny sprzęt turystyczny zdobędziemy przy wyjeździe z Boulder.

– Jedziemy na zachód?

– Jeszcze nie. Dopiero jutro. Późnym wieczorem. Nie wcześniej.

– A może zmieniłem zdanie – wyszeptał Harold. – Może już wcale nie chcę jechać na zachód... – Wciąż patrzył na jej włosy.

Ujęła jego dłoń i przyłożyła do swoich śnieżnobiałych loków.

– Za późno, Haroldzie – powiedziała. – Nie możesz się już wycofać.

ROZDZIAŁ 58

Fran i Larry siedzieli w kuchni przy stole, popijając kawę. Na dole Leo wiosłował na swojej gitarze, którą Larry pomógł mu wybrać ze sklepu Earthly Sounds. To był gibson za sześćset dolarów, naprawdę wspaniały model, z wykończeniem z wiśniowego drewna. Jakby po namyśle Larry wziął jeszcze dla chłopaka adapter na baterie i tuzin płyt z muzyką bluesową i folkową. Teraz była z nim Lucy i do ich uszu dobiegły dźwięki zdumiewająco dobrego wykonania *Backwater Blues* Dave'a van Ronka.

*Leje już odpięciu dni
Niebo jak noc czarne jest
Jak nic kroi się tu coś,
Na bayou dzieje się źle*

Przez łukowato sklepione przejście do saloniku Fran widziała Stu siedzącego w swym ulubionym fotelu z otwartą księgą Harolda na podolku. Siedział tak od czwartej po południu. Teraz była już dziewiąta i na dworze zrobiło się ciemno. Stu podziękował za kolację. Frannie patrzyła, jak przewraca kolejną kartkę.

Na dole Leo skończył grać *Backwater Blues*. Zapadła cisza.

– Dobrze mu idzie, no nie? – zapytała Fran.

– Gra lepiej ode mnie, nigdy nie będę tak dobry – powiedział Larry, upijając łyk kawy.

Nagle z dołu dobiegł go znajomy, rockowy riff. Na ten dźwięk Larry zastygł w bezruchu z uniesioną do ust filiżanką.

Zaraz potem do powolnej, chwytliwej melodii dołączył niski, dwuznaczny głos Leo:

*Wiem, czasami między nami było bardzo źle
Wiem, nie dałem ci znać, że znów jestem w mieście
Nikt inny tylko ty najlepiej to wie
A więc powiedz mi, powiedz, proszę cię
Mała, czy możesz polubić swojego faceta?*

To porządny gość

Powiedz mi mała, czy możesz polubić swojego faceta?

Larry rozlał kawę.

– Ups – mruknęła Fran i poszła po ścierkę.

– Ja to zrobię – powiedział. – Niezdara ze mnie.

– Nie, siedź. – Przyniosła ścierkę i szybko wytarła plamę. – Pamiętam ten kawałek. To był wielki przebój tuż przed wybuchem epidemii. Musiał znaleźć tego singla w sklepie muzycznym, w śródmieściu.

– Pewnie tak.

– Jak się nazywał ten facet? Ten, który napisał tę piosenkę?

– Nie pamiętam – odrzekł Larry. – W muzyce pop stale pojawiały się nowe twarze, które równie szybko znikwały.

– Tak, ale jest w tym coś znajomego – powiedziała wyzymając ścierkę nad zlewem. – To zabawne, mam to nazwisko na końcu języka, ale nie mogę go sobie przypomnieć. Znasz to uczucie?

– Tak – odparł Larry.

Stu zamknął dziennik Harolda, a Larry odetchnął z ulgą, gdy Fran spojrzała na wchodzącego do kuchni Redmana. Jej wzrok zatrzymał się na kaburze z rewolwerem, którą nosił u pasa. Nosił broń od dnia, gdy wybrano go szeryfem i często żartował, że gdyby miał jej użyć, najprawdopodobniej sam postrzeliłby się w stopę. Fran stwierdziła, że nie wszystkie spośród tych dowcipów były zabawne.

– No i...? – zapytał Larry.

Na twarzy Stu malowało się głębokie zatroskanie. Odłożył rejestr na stół i usiadł. Fran chciała zaparzyć mu kawę, ale on tylko pokręcił głową i położył dłoń na jej przedramieniu.

– Nie, dziękuję kochanie.

Spojrzał na Larry'ego dziwnym, jakby nieobecny wzrokiem.

– Przeczytałem dziennik Harolda od deski do deski i rozboleła mnie od tego głowa. Nie przywykłem do tak długiego ślęczenia nad lekturą. Ostatnią książką, którą przeczytałem była ta opowieść o królikach. *Wodnikowe wzgórze*. Kupiłem ją na prezent dla mojego bratanka, a gdy zacząłem czytać...

Urwał, na chwilę pogrążając się w zamyśleniu.

– Czytałem – rzekł Larry. – Świetna książka.

– Było sobie stado królików – powiedział Stu. – I wiodło im się wspaniale. Były wielkie, dobrze odżywione i zawsze żyły w jednym i tym samym miejscu. Ale coś było nie tak, choć żaden z królików nie potrafił stwierdzić, co. Zupełnie jakby nie chciały tego wiedzieć. Ale... widzicie... był tam pewien farmer...

– Zostawiał królikarnię w spokoju i tylko od czasu do czasu odławiał jakiegoś królika, kiedy miał ochotę na pasztet lub gulasz. A może je sprzedawał. Tak czy inaczej miał swoją małą króliczą fermę – dodał Larry.

– Tak. I był tam jeden królik, Srebrzynek, który układał wiersze o lśniącym drucie; podejrzewam, że chodziło o sidła, w które farmer łąpał króliki. Sidła, w które wpadały i które je dusiły. Srebrzynek układał o nich wiersze. – Pokręcił głową wolno, z zadumą i niedowierzaniem. – I właśnie z nim kojarzy mi się Harold. Przypomina mi tego królika, Srebrzynka.

– Harold jest chory – powiedziała Fran.

– Tak. – Stu zapalił papierosa. – I niebezpieczny.

– Co powinniśmy zrobić? Aresztować go?

Stu uderzył otwartą dłońią w gruby wolumin.

– Harold i Nadine Cross planują coś, dzięki czemu mieliby zostać powitani na zachodzie z otwartymi ramionami. Niestety rejestr nie precyzuje, co konkretnie zamierzają.

– Są tu wzmianki o wielu ludziach, za którymi nie przepada – wtrącił Larry.

– I co, zaaresztujemy go? – zapytała Fran.

– Jeszcze nie wiem. Chcę najpierw omówić tę sprawę z resztą komisji. Larry, co mamy w programie naszego jutrzejszego spotkania?

– Zebranie będzie podzielone na dwie części, pierwszą obejmującą sprawy publiczne i drugą, dotyczącą spraw prywatnych. Brad chce podjąć temat swojej grupy, która będzie wyłączać cały sprzęt elektryczny w Boulder. Al Bundell ma przedstawić wstępny raport wydziału ochrony prawa. Do tego jeszcze George Richardson chce pomówić o godzinach pracy kliniki w Dakota Ridge, a potem Chad Norris. Potem reszta wychodzi i zostajemy już tylko my.

– Czy gdybyśmy poprosili Ala Bundella, aby został z nami i opowiedzieli mu o aferze z Haroldem, możemy mieć pewność, że nikomu nie piśnie o tym ani słowa?

– Na pewno – odezwała się Fran.

– Szkoda, że nie ma tu z nami Sędziego – rzucił smętnie Stu. – Z nim nie byłoby żadnych problemów. To bystry facet.

Przez chwilę milczeli, rozmyślając o Farrisie i o tym, gdzie mógł znajdować się tego wieczoru. Z dołu dobiegły dźwięki gitary, Leo grał *Sister Kate* jak Tom Rush.

– Skoro jednak nie mamy wyboru, musimy zadowolić się Alem. Alternatywy są dwie. Musimy wycofać tę dwójkę z obiegu. Tylko, niech to szlag, nie chciałbym posyłać ich za kratki.

– Jaki jeszcze mamy wybór? – zapytał Larry.

– Wygnanie – odrzekła Fran.

Larry odwrócił się do niej. Stu wolno pokiwał głową, wpatrując się w swojego papierosa.

– Mamy tak po prostu go wygnąć? – spytał Larry.

– Jego i ją. Oboje – poprawił Stu.

– Tylko czy Flagg zechce ich w tej sytuacji przyjąć do siebie? – powątpiewała Fran.

– Kochanie, to już nie nasz problem – rzekł Stu, przenosząc na nią wzrok.

Pokiwała głową i pomyślała: „Och, Haroldzie, nie chciałam, żeby tak się to skończyło. Nigdy, przenigdy nie chciałam, żeby tak się to skończyło”.

– Czy któreś z was domyśla się, co mogą planować? – rzucił Stu.

Larry wzruszył ramionami.

– Akurat o to powinienes zapytać wszystkich członków komisji. Ale mam pewne podejrzenia.

– To znaczy?

– Elektrownia. Sabotaż. Próba zamachu na ciebie i Fran. Usiłowanie zabójstwa. To pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

Fran pobladła. Wyglądała na skonsternowaną.

– Choć nigdy się z tym nie zdradził – ciągnął Larry – wydaje mi się, że wybrał się z tobą i Ralphem na poszukiwanie Matki Abigail w nadziei, że będzie mógł gdzieś, w jakimś ustronnym miejscu w głuszy obu was zamordować.

– Miał swoją szansę – powiedział Stu.

– Może tchórz go obleciał.

– Przestańcie już, dobrze? – poprosiła zbolalym głosem Frannie. – Proszę.

Stu wstał i wrócił do saloniku. Stało tam radio CB podłączone do akumulatora Die-Hard. Po dłuższej chwili udało mu się połączyć z Bradem Kitchnerem.

– Brad, ty kundlu zapchlony! Stu Redman z tej strony. Mógłbyś ściągnąć paru chłopaków, żeby pełnili dziś w nocy straż w elektrowni?

– Jasne – rozległ się głos Brada. – Tylko po co, stary?

– To dość delikatna sprawa, Bradley. Doszły mnie słuchy, że ktoś może próbować tam nieźle namieszać. Mówi się o planowanej próbie sabotażu.

Brad odpowiedział kwiecistą wiązką najwymyślniejszych przekleństw.

Stu skinął na mikrofon i uśmiechnął się lekko.

– Wiem, co czujesz. To kwestia jednej, może dwóch nocy. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin powinniśmy uporać się z tym problemem.

Brad powiedział, że zdoła ściągnąć do siłowni tuzin mężczyzn, oddalając się najwyżej dwie przecznice od elektrowni. Dodał, że każdy z tych facetów byłby rad, dostając w swoje ręce potencjalnego sabotażystę.

– Rich Moffat mógłby zdobyć się na coś takiego?

– Nie o niego tu chodzi. Jeszcze pogadamy, dobra?

– Jasne, Stu. Nie przejmuj się. Zaraz ściągnę chłopaków.

Stu wyłączył CB radio i wrócił do kuchni.

– Ludzie w ogóle nie przejmują się tym, że mamy wobec nich jakieś sekrety. I wiecie co, to mnie przeraża. Ten stary, łysy socjolog miał rację. Gdybyśmy tylko zechcieli, moglibyśmy zostać królami.

Fran ujęła jego dłoń w swoją.

– Chciałabym, abyście coś mi obiecali. Obaj. Obiecacie mi, że jutro podczas wieczornego zebrania załatwimy tę sprawę raz na zawsze. Chcę to wreszcie skończyć.

Larry pokiwał głową.

– Tak. Wygnanie. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy, ale podejrzewam, że może to być najlepsze z możliwych rozwiązań. Cóż, chyba pójdę już po Lucy i Leo. Najwyższy czas wracać do domu.

– Do jutra – powiedział Stu.

– Tak, do jutra – rzekł Larry i wyszedł.

Drugiego września na godzinę przed świtem Harold stał na skraju Amfiteatru Sunrise, spoglądając w dół. Miasto tonęło pośród nieprzeniknionej czerni. Nadine spała nieco dalej za nim, w małym namiocie „dwójce”, który zabrali przy wyjeździe z miasta wraz z innymi sprzętami turystycznymi.

„Jeszcze tu wrócimy. Na ognistych rydwanach”.

W głębi serca Harold mocno w to wątpił. Ciemność dosięgła go na wiele sposobów. Ci podli łajdacy odebrali mu wszystko: jego Frannie, szacunek do samego siebie, Rejestr, a teraz również nadzieję. Czuł, że spada w otchłań.

Silny wiatr zmierwił mu włosy i łopotał mocno naprężonym płótnem namiotowym przy wtórze dźwięku przypominającego terkot wystrzałów z pistoletu maszynowego. Nadine pojękiwała przez sen. To był przerażający dźwięk. Harold uznał, że musiała być zagubiona tak samo jak on, a może nawet bardziej. Dźwięki, jakie wydawała przez sen nie były odgłosami osoby mającej miłe i przyjemne sny.

„Muszę jednak zachować zdrowe zmysły. Mogę to zrobić. Jeżeli wyruszę na spotkanie mojego mrocznego przeznaczenia, normalny, zachowując do samego końca trzeźwy umysł, to będzie naprawdę coś. Tak, to będzie coś”.

Zastanawiał się, czy byli teraz tam, na dole, Stu i jego kolesie, czatujący wokół jego domu. Być może czekają na powrót Harolda, by móc go aresztować i wtrącić za kratki. Przeszedłby do historii, pisano by o nim później w książkach historycznych (jeśli został jeszcze przy życiu choć jeden żaloszny matoł zajmujący się takimi bzdurami), że był pierwszym mieszkańcem Wolnej Strefy, który trafił do więzienia.

Witajcie w ciężkich czasach. HAWK W PUDLE. Harold poszedł garować. Lauder w pierdlu. Gazety miałyby używanie, oczywiście gdyby się jeszcze ukazywały.

Cóż, poczekają sobie i to raczej dość długo. On wyruszał ku wielkiej przygodzie. Doskonale pamiętał, jak Nadine położyła sobie na włosach jego dłoń i powiedziała: „Za

późno, Haroldzie. Nie możesz się już wycofać”. I pamiętał jej oczy, mętne, niewidzące jak oczy trupa.

– W porządku – wyszeptał Harold. – Zrobimy to.

Przybierający na sile, mroczny, wrześniey wiatr zawodził posępnie pośród drzew.

Spotkanie komisji Wolnej Strefy rozpoczęło się jakieś czternaście godzin później, w salonie domu Ralpa Brentnera i Nicka Androsa. Stu siedział w fotelu, stukając w kant stołu puszką piwa.

– W porządku, może zaczniemy?

Glen i Larry siedzieli na półokrągłym brzegu wolno stojącego kominka, plecami do rozpalonego w nim przez Ralpa, skromnego ognia.

Nick, Susan Stern i Ralph zajęli miejsca na kanapie. Nick jak zawsze trzymał w dłoniach bloczek i pióro. Brad Kitchner stał w progu z puszką coorsa w dłoni, rozmawiając z Alem Bundellem przyrządzającym sobie drinka: rozrobiona napojem gazowanym szkocka. George Richardson i Chad Norris siedzieli przy panoramicznym oknie, obserwując zachód słońca nad Flatirons.

Frannie oparła się wygodnie plecami o drzwi szafy, w której Nadine ukryła ładunek wybuchowy. Plecak z dziennikiem Harolda trzymała pomiędzy skrzyżowanymi nogami.

– Cisza, proszę o ciszę! – rzucił Stu, głośniejsz tłukąc puszką w blat stołu. – Jak tam, łysy, magnetofon działa?

– Oczywiście – odrzekł Glen. – Jak widzę twoja jadaczka również, Teksasńczyku.

– Jedyne czego jej potrzeba to drobnego przesmarowania – rzekł z uśmiechem Stu.

Przyjrzał się po kolei jedenastu osobom zajmującym miejsca w tym przestronnym pomieszczeniu pełniącym funkcje salonu i jadalni zarazem.

– W porządku... mamy sporo spraw do omówienia, na początek jednak pragnąłbym podziękować Ralpowi za udostępnienie nam swojego domu na dzisiejsze spotkanie, a także za alkohol i drobne przekąski...

„Naprawdę jest w tym coraz lepszy” – pomyślała Frannie. Usiłowała oszacować, jak bardzo Stu zmienił się, odkąd po raz pierwszy go ujrzała, będąc jeszcze wtedy z Haroldem i doszła do wniosku, że nie potrafi. Człowiek przestaje być obiektywny, kiedy ocenia zachowanie bliskiej mu osoby. Wiedziała jednak, że kiedy go poznała, Stu nie zdołałby poprowadzić spotkania niemal tuzina osób... zżarłby go strach i trema...iż całą pewnością uciekłby gdzie pieprz rośnie na myśl o przewodniczeniu walnemu zgromadzeniu Wolnej Strefy, w którym miałyby uczestniczyć tysiąc osób, albo i więcej. Miała przed sobą Stu, jakim nigdy by się nie stał, gdyby nie supergrypa.

„To cię wyzwoliło, kochanie – pomyślała. – Mogę oplakiwać innych, ale mimo to nadal będę z ciebie dumna i tak bardzo, tak bardzo cię kocham...”

Poruszyła się lekko, opierając się mocniej o drzwi szafy.

– Najpierw wysłuchamy naszych gości – oznajmił Stu – a potem odbędzie się krótkie, zamknięte zebranie. Czy ktoś chce zgłosić sprzeciw wobec takiego porządku spotkania?

Nikt się nie odezwał.

– W porządku – powiedział Stu. – Udzielam głosu Bradowi Kitchnerowi i słuchajcie uważnie, co ma do powiedzenia, bo to dzięki niemu nie dalej jak za trzy dni będziecie mogli schłodzić waszego burbona kostkami lodu.

Słowa Stu spotkały się z gromkim, spontanicznym aplauzem.

Brad, czerwony jak burak, poluzowując pod szyją węzeł krawata, wyszedł na środek pokoju. Po drodze potknął się o pufę i omal się nie przewrócił.

– Jestem. Naprawdę. Szczęśliwy. Że. Mogę. Tu. Być. – Zaczął drżącym, monotonnym głosem. Sprawiał wrażenie, że byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby znalazł się teraz w jakimkolwiek innym miejscu, choćby nawet na Biegunie Południowym, gdzie jego jedynymi słuchaczami byłaby kolonia pingwinów. – Prąd... eee... – Przerwał, zajrzał do notatek i nagle się rozpromienił. – Prąd! – wykrzyknął jakby dokonał nagle epokowego odkrycia. – Już niedługo w mieście znów będzie prąd. Tak właśnie. Tak.

Przez chwilę szperał w swoich notatkach, po czym podjął przerwany wywód.

– Uruchomiliśmy wczoraj dwa generatory i jak zapewne wiecie, jeden z nich uległ przeciążeniu i spalił się. Ale to nic. Dzięki temu wyszło na jaw coś, co przeoczyliśmy. Można by rzec, też byliśmy przeciążeni. Rozumiecie, o co mi chodzi.

Zebrani zachichotali, a Brad nieco się rozluźnił.

– Stało się tak, ponieważ kiedy wybuchła zaraza nie powyłączano większości urządzeń elektrycznych, które były wówczas w użyciu, a my uruchomiliśmy tylko dwa generatory i nie miały one możliwości rozłożyć olbrzymiego poboru mocy na generatory wspomagające. Aby zapobiec awarii, mogliśmy uruchomić kolejne generatory, wystarczyłyby, jak sądzę, trzy... no, powiedzmy cztery, ale to nie rozwiązałyby kwestii zagrożenia pożarowego. Dlatego musimy najpierw wyłączyć urządzenia, które nadal są podłączone do prądu: kuchenki elektryczne, koce grzewcze, telewizory, cały ten szajs. Tak sobie pomyślałem, że najszybciej będzie zająć po kolei do wszystkich, nie zamieszkałych domów i wykręcić korki albo odciąć główne zasilanie. Ot, i wszystko. Ale jest jeszcze coś. Teraz, kiedy jesteśmy gotowi do ponownego uruchomienia zasilania w niemal całym Boulder, powinniśmy podjąć niezbędne kroki i zabezpieczyć się na wypadek pożaru. Otóż, pozwoliłem sobie zajrzeć do komendy straży pożarnej we Wschodnim Boulder i...

„Trzask ognia brzmiał tak kojąco. Wszystko będzie dobrze – pomyślała Fran. – Harold i Nadine sami, z własnej woli opuścili Boulder i może dobrze, że się tak stało. Mamy problem z głowy, a Stu jest bezpieczny. Biedny Harold, żal mi cię, ale w gruncie rzeczy gdy myślę o tobie, odczuwam bardziej lęk niż współczucie. Owszem, żal mi ciebie i boję się, co może się z tobą stać, ale cieszę się, że twój dom stoi pusty i że oboje z Nadine wyjechaliście z miasta. Cieszę się, że odeszliście w pokój i zostawiliście w spokoju nas wszystkich”.

Harold siedział na pokrytym barwnym graffiti blacie piknikowego stolika, w pozycji kwiatu lotosu niczym jakiś oszalały jogin. Wzrok miał odległy, zamglony, skupiony. Pogrążył się w kontemplacji. Dotarł do owego zimnego, obcego miejsca, dokąd Nadine nie ośmieliła się podążyć, gdyż na samą myśl ogarniało ją przerażenie. W dłoniach trzymał krótkofalówkę, identyczną jak ta, która znajdowała się w pudełku po butach. Góry rozstępowały się przed nim, ukazując kamieniste półki i ścieżki, których nawet sam widok zapierał dech w piersiach. Obnażały również porośnięte gęsto sosnami parowy. Kilka, a może kilkanaście mil na wschód rozpościerała się prosta jak stół gładź amerykańskiego Środkowego Zachodu, ciągnąca się aż po ciemnoniebieski horyzont. Nad tamtą częścią świata znikala hen, za górami, obrysowując ich wierzchołki gasnąca szybko, złocista poświata.

– Kiedy? – zapytała Nadine. Była bardzo podekscytowana i musiała iść do toalety.

– Już niedługo – odparł Harold. Uśmiech na jego ustach stał się ciut łagodniejszy.

Nie potrafiła nazwać tego, co przed chwilą ujrzała, ponieważ nigdy wcześniej nie widziała takiego wyrazu twarzy u Harolda. Zorientowała się dopiero po kilku minutach. Harold wydawał się szczęśliwy; wręcz tryskał radością.

Komisja stosunkiem głosów siedem do zera przyznała Bradowi prawo do utworzenia dwudziestoosobowej grupy złożonej z mężczyzn i kobiet, których zadaniem będzie wyłączenie urządzeń elektrycznych we wszystkich pustych domach w całym mieście. Ralph Brentner zgodził się napełnić wodą ze zbiornika w Boulder dwie stare strażackie cysterny i postawić je do elektrowni, gdy Brad znów uruchomi generatory.

Jako następny głos zabrał Chad Norris. Mówił szybko, nie wyjmując dłoni z kieszeni spodni. Opowiedział o dokonaniach służby pogrzebowej z ostatnich trzech tygodni. Stwierdził, że jego ludzie pochowali łącznie ponad dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. To ogromna liczba, ponad osiem tysięcy ludzi na tydzień i że zgodnie z jego przypuszczeniami najgorsze mieli już za sobą.

– Albo to sprawa szczęścia albo Palec Boży – powiedział. – Ten masowy exodus – nie potrafię inaczej nazwać tego, co się tu stało – wykonał za nas lwią część roboty. W innym mieście wielkości Boulder tego typu prace zajęłyby nam co najmniej rok. Spodziewamy się pogrzebać do pierwszego października kolejne dwadzieścia tysięcy ofiar pomoru i podejrzewam, że potem jeszcze przez długi czas będziemy natykać się na pojedyncze zwłoki, ale chciałem, żebyście wiedzieli, iż nasza praca niemal dobiegła końca i chyba nie musimy już obawiać się wybuchu epidemii wywołanej chorobami gnieżdżącymi się w nie pogrzebanych zwłokach.

Fran zmieniła pozycję, aby móc oglądać zachód słońca. Złocista poświata wokół szczytów gór zaczęła blaknąć, przybierając mniej spektakularny, cytrynowy kolor. Nagle,

zgoła niespodziewanie, Fran zatęskniła za domem, uczucie to było tak silne, że natychmiast wycisnęło z jej oczu łzy.

Była za pięć ósma.

Jeżeli nie pójdzie w krzaki, zmoczy się w spodnie. Wybrała dogodną kępę krzewów, weszła za nią, zsunęła spodnie, ukucnęła i ulżyła sobie. Kiedy wróciła, Harold wciąż siedział na blacie stolika, luźno trzymając w dłoni krótkofalówkę. Jej antena była już wyciągnięta.

– Haroldzie – powiedziała Nadine. – Minęła ósma.

Spojrzał na nią obojętnym wzrokiem.

– Na pewno posiedzą tam do północy, uśmiechając się i poklepując wzajemnie po plecach. Nie martw się. Gdy nadejdzie właściwy moment, naciśnę guzik.

– Kiedy?

Uśmiech Harolda poszerzył się.

– Kiedy tylko się ściemni.

Fran ziewnęła, przesłaniając dłonią usta, gdy Al Bundell podszedł pewnym krokiem i stanął obok Stu. Zaczęło się robić późno. Fran zapragnęła nagle znaleźć się znów w ich mieszkaniu, tylko ona i Stu, tylko oni oboje. To nie było tylko zmęczenie i niezupełnie tęsknota za domem. Po prostu nagle zapragnęła opuścić to miejsce, ten dom, znaleźć się jak najdalej od niego. Uczucie to, zgoła bezpodstawne, okazało się niezwykle silne. Chciała stąd wyjść. Więcej nawet, chciała, aby oni wszyscy wyszli z tego domu. „Wygląda na to, że mój dobry humor prysnął – pomyślała – i nie ma co marzyć o udanym wieczorze. Huśtawka nastrojów, znak rozpoznawczy kobiety w ciąży, ot co”.

– Wydział ochrony prawa odbył w ubiegłym tygodniu cztery spotkania – mówił Al. – Postaram się w możliwie jak największym skrócie przedstawić, co podczas nich ustalono. Cały system opierać się będzie na bazie trybunału. Jego członków wybierać się będzie drogą losowania, tak jak niegdyś młodzi ludzie wybierani byli do poboru...

– Ene, due... – powiedziała na cały głos Susan i wszyscy zebrani wybuchnęli śmiechem.

Al uśmiechnął się.

– Dodam tu, że przynajmniej w moim mniemaniu, służba w naszym trybunale będzie o wiele bardziej przyjemna dla wylosowanych „delikwentów”. Trybunał składać się będzie z trojga dorosłych osób (powyżej osiemnastego roku życia), którzy będą pełnić w nim służbę przez okres sześciu miesięcy. Ich nazwiska wylosowane zostaną ze specjalnego bębna, w którym umieszczone zostaną kartki z nazwiskami wszystkich dorosłych osób w całym Boulder.

Larry uniósł rękę.

– Czy w uzasadnionych przypadkach istnieje możliwość wyboru innego kandydata?

Al zmarszczył brwi, najwyraźniej niezadowolony, że mu przerwano, po czym rzekł:

– Właśnie chciałem do tego dojść. Należy wziąć pod uwagę, że...

Fran zaczęła wiercić się niespokojnie, a Sue Stern mrugnęła do niej porozumiewawczo. Fran nie odmrugnęła. Bała się, trawiący ją, nieuzasadniony, zgoła bezpodstawny lęk napawał ją dojmującą zgrozą, jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe. Skąd brało się to dławiące w gardle, klaustrofobiczne odczucie? Wiedziała, że takie nieuzasadnione lęki należało z miejsca ignorować... przynajmniej tak było w starych, dobrych czasach. Ale co z transem Toma Cullena? Co z Leo?

„Zabieraj się stąd! – rozległ się nagle w jej wnętrzu rozpaczliwy, przejęty głos. – Wyprowadź ich stąd. Wyprowadź ich wszystkich!”

To szaleństwo. Znów zmieniła pozycję i postanowiła, że nie wspomni nawet słowem o swoich dziwnych przecuciach.

– ...osoba taka winna złożyć krótkie uzasadnienie, dlaczego miałyby zostać zwolniona...

– Ktoś najeżdża – powiedziała nagle Fran, podnosząc się z podłogi.

Nastąpiła chwila ciszy. Wszyscy wyraźnie usłyszeli odgłos silników motocyklowych zbliżający się bardzo szybko od strony Baseline. Rozległo się buczenie klaksonów.

– Posłuchajcie wszyscy! – rzuciła Frannie.

Wszyscy zebrani spojrzeli na nią ze zdumieniem, przejęciem i konsternacją.

– Frannie, co się... – Stu wstał z fotela i ruszył w jej stronę.

Przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że na jej piersi spoczywa jakiś wielki, niewidzialny ciężar pozbawiając ją tchu.

– Musimy stąd wyjść. Już... teraz... NATYCHMIAST.

Było dwadzieścia pięć po ósmej. Niebo przybrało ciemnogrnatową, niemal czarną barwę. Nadszedł czas. Harold, wciąż siedzący na blacie stolika, lekko się wyprostował i przyłożył krótkofalówkę do ust. Kciukiem dotknął klawisza z napisem NADAWANIE. Naciśnie go i pośle ich wszystkich wprost do piekła, mówiąc...

– Co to?

Nadine położyła mu dłoń na ramieniu, a drugą ręką wskazała coś daleko w dole. Podążył wzrokiem w tym kierunku. Poniżej, wzdłuż Baseline ciągnął się długi sznur maszyn jadących z włączonymi światłami, jedna za drugą. Pośród głębokiej ciszy dobiegł ich słaby z tej odległości warkot silników motocyklowych.

– Zostaw mnie – powiedział. – Już czas.

Zdjęła dłoń z jego ramienia. W ciemnościach jej twarz wyglądała jak rozmyta biała plama. Harold wdusił kciukiem klawisz nadawania.

Nigdy nie dowiedziała się, czy to motocykle, czy może jej słowa zmusiły ich do opuszczenia domu. Nie byli jednak dostatecznie szybcy. Ta świadomość nie opuści jej już nigdy. Nie byli dostatecznie szybcy.

Stu wybiegł z budynku pierwszy, ryk motocykli był ogłuszający. Maszyny przejeżdżały właśnie z włączonymi światłami po moście łączącym dwa brzegi wyschniętego potoku ciągnącego się poniżej domu Ralpa. Stu instynktownie położył dłoń na kolbie swego rewolweru.

Siatkowe drzwi otworzyły się. Stu obrócił się na pięcie spodziewając się ujrzeć Fran, ale zamiast niej zobaczył Larry'ego.

– Co jest grane, Stu?

– Nie wiem. Ale lepiej wyprowadźmy stamtąd wszystkich.

Motocykle tymczasem zaczęły wjeżdżać na podjazd, a Stu nieznacznie się uspokoił. Dostrzegł Dicka Vollmana, młodego Gehringera, Teddy'ego Weizaka i inne znajome twarze. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, czego się w głębi duszy obawiał: że silne światła i ryk motocyklowych silników zwiastowały nadejście awangardy sił Flagga i, co za tym idzie, rozpoczęcie wojny.

– Dick – rzucił Stu. – Co się dzieje, u licha?

– MATKA ABAGAIL! – zawołał Dick, przekrzykując warkot silników.

Na podwórze wjeżdżały następne maszyny, podczas gdy z domu zaczęły wychodzić kolejni członkowie komisji. Przed budynkiem rozpoczęło się wielkie widowisko w niemal całym już zapomnianym stylu „światło i dźwięk”.

– Co? – zapytał z przejęciem Larry. Z tyłu za nim tłoczyli się Stu, Glen, Ralph i Chad Norris, zmuszając Larry'ego i Stu, aby zeszli do podnóża schodów.

– Wróciła! – zawołał na całe gardło Dick, aby mogli go usłyszeć w tym rozdzierającym, przeraźliwym hałasie. – Ale jest w strasznym stanie! Potrzebujemy lekarza... Chryste, potrzebujemy cudu!

George Richardson precyzyjnie się pomógł między nimi.

– Ta staruszka? Gdzie ona jest?

– Wsiadaj, doktorze! – zakrzyknął do niego Dick. – O nic nie pytaj! Pospiesz się, na miłość boską, nie ma chwili do stracenia!

Richardson wsiadł na siodełko za Dickiem Vollmanem. Dick wykręcił i zaczął wprawnie lawirować pomiędzy stojącymi na podwórzu maszynami.

Stu spojrzął na Larry'ego. Underwood wydawał się równie zdezorientowany jak Redman... ale w umyśle Stu zaczęły gromadzić się czarne, burzowe chmury, jego serce zaś przepełniło przerażające, nieodparte uczucie nadciągającej, nieuchronnej zguby.

– Nick, pospiesz się! Chodź wreszcie! – zawołała Fran, chwytając go za ramię.

Nick stał pośrodku pokoju z nieruchomym, beznamiętnym obliczem.

Nie mógł mówić, ale nagle wiedział. Po prostu WIEDZIAŁ. To pojawiło się znikąd i zewsząd równocześnie.

„Coś było w szafie”.

Odepchnął Frannie z całej siły.

– Nick!

„ODEJDŹ!” – machnął ręką, dając znak, aby natychmiast opuściła budynek.

Usłuchała. Nick odwrócił się do szafy, energicznie otworzył drzwi i jak szalony zaczął przerzucać znajdującą się na jej dnie stertę rzeczy, modląc się do Boga, aby wystarczyło mu czasu.

Nagle Frannie znalazła się tuż obok Stu, twarz miała białą jak kreda, oczy rozszerzone.

Przytuliła się do niego.

– Stu... Nick wciąż jeszcze tam jest... coś... coś...

– Frannie, o czym ty mówisz?

– O ŚMIERCI! – wrzasnęła mu prosto w twarz. – MÓWIĘ O ŚMIERCI, A NICK WCIĄŻ JESZCZE TAM JEST!

Odgarnął na bok stertę szalików i rękawiczek i nagle jego palce napotkały kanciasty kształt. Pudełko po butach. Wyjął je z szafy i w tej samej chwili, jak za sprawą jakichś złowrogich, diabelskich czarów, z wnętrza pudła dobiegł głos Harolda Laudera.

– Co z Nickiem? – zawołał Stu, chwytając ją za ramiona.

– Musimy go stamtąd wyprowadzić, Stu... coś się wydarzy... coś złego.

– Co się tu dzieje, do cholery? – zapytał Al Bundell.

– Nie wiem – odrzekł Stu.

– STU, PROSZĘ, MUSIMY WYPROWADZIĆ STAMTĄD NICKA! – krzyknęła Fran.

I w tej samej chwili dom z tyłu, za nimi, eksplodował.

Po wciśnięciu klawisza nadawania statyczny szum ucichł; zastąpiła go gładka, mroczna cisza. Pustka czekająca, by ją wypełnił. Harold siedział po turecku na blacie piknikowego stołu, zbierając się w sobie.

W pewnej chwili podniósł rękę z wyprostowanym jednym palcem i w tym momencie wyglądał jak Babe Ruth, stary i wymizerowany Babe Ruth pokazujący wała wszystkim, którzy w niego nie wierzyli, a których raz jeszcze zadziwił swoim niezwykłym talentem. Niezbyt głośno, ale wyraźnie i spokojnie powiedział do głośnika krótkofalówki:

– Mówi Harold Emery Lauder. Robię to z własnej i nieprzymuszonej woli.

Przy słowie „mówi” pojawiła się niebiesko-biała iskra. Na dźwięk „Harold Emery Lauder” buchnął jęzor pomarańczowo-czerwonego ognia. Słowom „robię to” towarzyszył głuchy huk jak wystrzał puszek wypełnionej karbidem, a zanim rozległo się „z własnej i nieprzymuszonej woli” Lauder cisnął krótkofalówkę. Urządzenie spełniło już swoje zadanie. U podnóża Góry Flagstaff wykwitła wielka ognista róża.

– Tak jest. Zrozumiałem. Wyłączam się. Bez odbioru – dokończył półgłosem Harold.

Nadine przytuliła się do niego niemal równie mocno jak przed kilkoma sekundami Fran do Stu.

– Powinniśmy to sprawdzić. Powinniśmy upewnić się, że ich załatwiliśmy.

Harold spojrział na nią, po czym wskazał widoczną w dole rozkwitającą różę zniszczenia.

– Uważasz, że ktokolwiek mógłby przeżyć coś takiego?

– N-n-no nie wiem H-H-Haroldzie, chyba... – Nadine odwróciła się, przycisnęła obie ręce do brzucha i przy wtórze głośnych, gardłowych dźwięków zaczęła wymiotować. Harold przyglądał się jej z odrobiną pogardy. Wreszcie znów odwróciła się ku niemu, zasapana i blada ocierała usta chusteczką higieniczną. Dokładnie wytarła wilgotne, błyszczące wargi.

– I co teraz?

– Cóż, wyruszmy na zachód – odrzekł Harold. – Chyba że masz zamiar pójść do miasta i przekonać się na własnej skórze, jakie są obecnie nastroje tamtejszej społeczności.

Nadine wzdrygnęła się.

Harold zszedł z blatu stolika piknikowego i skrzywił się, gdy dotknąwszy stopami ziemi, poczuł w udach i łydkach nieprzyjemne mrowienie. Od długiego siedzenia w jednej pozycji ścierpły mu nogi.

– Haroldzie... – Nadine próbowała go dotknąć, ale Lauder cofnął się o krok.

Nie czekając na nią, zaczął składać namiot.

– Sądziłam, że zaczekamy do rana... – zaczęła nieśmiało – ...że spędzimy tu noc.

– Jasne – mruknął z przekąsem. – Będziemy czekać, aż złożą nam wizytę silną i zwartą grupą, bo któremuś z nich przyjdzie na myśl, że jeżeli bombę odpalono drogą radiową, to musimy znajdować się niedaleko, a to jest przecież idealne miejsce. I wtedy zjawią się tu na motorach, dwudziestu albo trzydziestu mężczyzn. Wiesz, co się stało z Mussolinim?

Skrzywiła się. Harold zrolował namiot i mocno go związał.

– I odtąd z nami koniec. Żadnego seksu. Nie waż się mnie nawet dotknąć. Flagg dostał to, czego chciał. Załatwiliśmy ich komisję. Już po nich. Mogą przywrócić w mieście zasilanie, ale jako zwarta, funkcjonująca grupa są skończeni. On da mi kobietę, przy której ty, Nadine, będziesz wyglądać jak stara pudernica. A ty... ty dostaniesz Jego. Nie możesz się już doczekać, co? Umierasz ze szczęścia? Cóż, na twoim miejscu zastanawiałbym się, czy to nie byłoby dla ciebie o niebo lepsze.

– Haroldzie... proszę... – Była zdruzgotana, płakała.

Widział jej twarz w słabym blasku ogniska i nagle zrobiło mu się jej żal. Zmusił się, by przepędzić to uczucie ze swego serca, tak jak niechcianego pijaka przepędza się z małej knajpki na przedmieściu, w której wszyscy klienci i obsługa wzajemnie się znają.

Świadomość dokonanego przed chwilą nieodwracalnego kroku, jakim jest morderstwo, już na zawsze pozostanie w jej sercu... to było widać wyraźnie w jej szklistych, błyszczących

oczach. No i, co z tego? To było widoczne również w jego oczach. Niewidzialne brzemie spoczywało zarówno w ich wnętrzach, jak i na ich barkach.

– Przywyknij do tego – rzucił oschle Harold. Cisnął zrolowany namiot na bagażnik motocykla i zaczął go przytracać. – To koniec, zarówno dla nich, tam na dole, dla nas obojga i dla wszystkich, którzy umarli podczas pomoru. Bóg wybrał się na ryby i wszystko wskazuje, że jeszcze długo nie wróci. Ciemności spowiły Ziemię. Wszędzie panuje mrok. Teraz wszystkimi rządzi mroczny mężczyzna. On. I wreszcie do tego przywyknij.

Z jej gardła dobył się cichy, zduszony jęk.

– Daj spokój, Nadine. Konkurs piękności skończył się dwie minuty temu. Pomóż mi spakować cały ten szajs. Chciałbym jeszcze przed świtem zrobić ze sto mil.

Po chwili odwróciła się plecami do panoramy śmierci i zniszczenia, która z tej odległości nie robiła na nich zbyt wielkiego wrażenia i pomogła mu spakować resztę rzeczy, umieszczając je w koszu swojej vespy lub na bagażniku jego motocykla. Piętnaście minut później pozostawili płomienną różę daleko w tyle i pomknęli poprzez chłodny, wietrzny mrok ku zachodowi.

Dla Fran Goldsmith zakończenie tego dnia było proste i bezbolesne. Poczowała podmuch gorącego powietrza uderzający ją w plecy i nagle poszybowała w noc. Siła podmuchu była tak duża, że sandały spadły jej z nóg.

„Co jest, kurwa?” – pomyślała. Wylądowała na boku, ciężko, jak worek kartofli, ale w dalszym ciągu nie czuła bólu. Znalazła się w parowie ciągnącym się z północy na południe przy podwórzu za domem Ralpha.

Tuż przed nią spadło (na cztery nogi) proste, drewniane krzesło. Poduszka na siedzeniu była cała poczerniała i dymiła.

„Co jest, kurwa?”

Na siedzeniu krzesła wylądowało coś długiego i czarnego, by po chwili stoczyć się na ziemię. Owo coś wydawało się wilgotne i ociekało jakimś płynem. Fran, choć oszołomiona, z przerażeniem stwierdziła, że była to ludzka ręka.

„Stu? Stu! Co się dzieje?”

Zalała ją narastająca, coraz głośniejsza fala przeraźliwego huku i wokół niej jak deszcz zaczęły się sypać lecące z nieba odłamki. Kamienie. Kawałki drewna. Cegły. Szklana płyta poprzecinana pajęczyną cieniutkich pęknięć. (Czy etażerka w salonie Ralpha nie była wykonana z takich właśnie szklanych płyt?) Kask motocyklowy z ziejącą w jego tylnej części zabójczą, przeraźliwą dziurą. Widziała wszystko wyraźnie... zbyt wyraźnie. A jeszcze kilka sekund temu było zupełnie ciemno...

„Stu, och, Stu, mój Boże, gdzie jesteś? Co się dzieje? Nick? Larry?”

Ludzie krzyczeli. Rozdzierający, głuchy ryk zdawał się nie mieć końca.

Było teraz jaśniej niż w południe. Każdy, nawet najmniejszy kamyk rzucał cień. Wokół niej wciąż sypały się kaskady gruzu. Tuż przed nosem Fran wylądowała deska z wystającym z niej sześciocalowym gwoździem.

„Dziecko!...”

I zaraz po tej myśli w jej mózgu zaświtała kolejna, podzwonne jej niedawnego przeczucia: „To sprawka Harolda, to jego dzieło, on to zrobił, Harold...”

Coś uderzyło ją w głowę, plecy i kark. Coś wielkiego, co wylądowało na niej niczym miękko wyściełana trumna.

„Boże, mój Boże, dziecko...”

A potem ciemność wessała ją w otchłań zapomnienia, gdzie nawet mroczny mężczyzna nie potrafił jej dosięgnąć.

ROZDZIAŁ 59

Ptaki.

Słyszała ptaki.

Fran leżała w ciemnościach przez dłuższy czas, nasłuchując ptaków, zanim uświadomiła sobie, że mrok nie był w rzeczywistości mroczny. Był czerwonawy, poruszający się, spokojny. Przywodził jej na myśl dzieciństwo, sobotni poranek, gdy nie musiała iść do szkoły ani do kościoła, gdy mogła spać dłużej niż zwykle. Tego dnia mogła budzić się powoli, bez pośpiechu. Mogła leżeć z zamkniętymi oczami, nie widząc niczego prócz czerwonego mroku, który był promieniami sobotniego słońca przesączającymi się przez delikatny parawan naczyń włoskowatych w opuszczonych powiekach. Słuchała ptaków w koronach starych dębów na zewnątrz i czuła w nozdrzach słony zapach morskiego powietrza, bo przecież nazywała się Frances Goldsmith, miała jedenaście lat i był właśnie spokojny, sobotni poranek w Ogunquit...

Ptaki. Słyszała ptaki.

Ale to nie było Ogunquit; to było...

(„Boulder”)

Głowiła się nad tym przez dłuższą chwilę, pośród czerwonej ciemności i nagle przypomniała sobie eksplozję.

(„Eksplozję”)

(„Stu!”)

Otworzyła oczy. Ogarnęło ją przerażenie.

„Stu!”

Stu siedział przy jej łóżku z czystym, białym opatrunkiem na przedramieniu, paskudnie wyglądającym, zaschniętym już zadrapaniem na policzku i spalonymi z jednej strony włosami. Ale to był Stu, jej Stu, żył, był przy niej, a kiedy otworzyła oczy, odetchnął z ulgą i powiedział:

– Frances. Dzięki Bogu.

– Dziecko – rzuciła krótko. Miała sucho w gardle. Jej głos brzmiał jak szept.

Wyglądał na skonsternowanego i znowu do jej serca zakradł się nieprzeparty lęk. Był zimny i paraliżujący.

– Dziecko – powiedziała, z trudem wydobywając ze ściśniętego gardła kolejne słowa. – Czy straciłam dziecko?

Dopiero teraz zrozumiał. Było to widoczne na jego twarzy. Objął ją niezdarnie jedną ręką.

– Nie, Frannie, nie. Nie straciłaś dziecka.

Wówczas rozplakała się, a gorące łzy spłynęły jej po policzkach. Objęła go z całej siły, nie zważając, że niemal każdy mięsień w jej ciele zdawał się wyć z bólu. Uściskała go. Przyszłość będzie później. Teraz wszystko, czego pragnęła najbardziej, znajdowało się w tym nasłonecznionym pokoju.

Przez otwarte okno dochodził śpiew ptaków.

– Powiedz mi – poprosiła jakiś czas później. – Powiedz mi wszystko. Ile osób zginęło?

Jego posępna twarz przepelniał smutek i niechęć.

– Fran...

– Nick? – wyszeptała. Przełknęła z trudem ślinę. – Widziałam rękę, urwaną rękę...

– Może lepiej z tym zaczekajmy...

– Nie. Muszę wiedzieć. Ile osób zginęło?

– Siedmioro zabitych – odparł cichym, ochryplym głosem. – Podejrzewam, że mieliśmy szczęście. Mogło być znacznie gorzej.

– Kto zginął?

Niezgrabnie ujął jej dłoń w swoje.

– Między innymi Nick. Wiesz, w domu Ralpa jedna ze ścian była ze szkła... z grubego, specjalnego szkła i... i... – Przerwał na chwilę, wpatrując się w swoje dłonie, po czym znów przeniósł wzrok na nią. – On... my... zidentyfikowaliśmy ciało na podstawie... pewnych charakterystycznych blizn...

Na chwilę odwrócił się do niej plecami. Fran westchnęła ciężko.

Wreszcie Stu doszedł do siebie na tyle, że mógł mówić dalej.

– I Sue. Sue Stern. Była nadal w domu, gdy nastąpił wybuch.

– To niemożliwe... to po prostu niemożliwe – powiedziała Fran. Była jak otępiała, oszołomiona. Zdegustowana.

– To prawda.

– Kto jeszcze?

– Chad Norris – powiedział krótko, a Fran znów ciężko westchnęła. Z kącika jej oka wypłynęła pojedyncza łza, Fran wytarła ją niemal odruchowo.

– Tylko tych troje było w chwili eksplozji w budynku. To prawie cud. Brad mówi, że w szafie musiał znajdować się ładunek wybuchowy złożony z ośmiu, a może nawet dziewięciu

lasek dynamitu. A Nick... jego prawie... Kiedy pomyślę sobie, że mógł trzymać to pudło w dłoniach...

– Przystań – rzuciła Fran. – Nie mogliśmy tego wiedzieć.

– To niewiele zmienia.

Pozostała czwórka to byli ludzie, którzy przyjechali do miasta tuż przed eksplozją. Andrea Terminello, Dean Wykoff, Dale Pedersen i młoda dziewczyna, Patsy Stone. Stu nie powiedział Fran, że Patsy, która uczyła Leo gry na flecie, została trafiona i niemal skrócona o głowę przez odłamek roztrzaskanego magnetofonu Glena Batemana.

Fran pokiwała głową i zabołała ją od tego szyja. Nawet gdy nieznacznie zmieniała pozycję, całe jej plecy przeszywał palący ból.

Dwadzieścia osób zostało rannych w wyniku eksplozji, a szanse na przeżycie jednego z nich, Teddy'ego Weizaka ze służby pogrzebowej były niemal zerowe. Stan dwóch innych osób był krytyczny. Mężczyzna nazwiskiem Lewis Deschamps stracił oko. Ralphowi Brentnerowi urwało trzeci i czwarty palec u lewej ręki.

– A co ze mną? Poważnie oberwałam? – zapytała Frannie.

– Powiedziałbym, że nie. Doznałaś lekkiego wstrząsu, masz nadwerżzone plecy i złamaną kość stopy – odparł Stu. – Tyle powiedział mi George Richardson. Podmuch cisnął cię na drugi koniec podwórza, a potem spadła na ciebie kanapa.

– Kanapa?

– Nie pamiętasz?

– Pamiętam coś jakby trumnę... miękko wyściełaną trumnę...

– To była kanapa. Sam ją z ciebie zwlokłem. Zachowywałem się jak szalony... byłem bliski hysterii. Larry podszedł, by mi pomóc, a ja uderzyłem go w twarz. Do tego już doszło. – Musnęła palcami jego policzek, a on dotknął jej dłoni. – Myślałem, że nie żyjesz. Pamiętam, że bardzo się tego bałem. Nie wiem, co by się wówczas ze mną stało. Chyba bym oszalał.

– Kocham cię – powiedziała.

Objął ją delikatnie z powodu jej pleców i przez chwilę tulili się do siebie w milczeniu.

– Czy to Harold? – zapytała w końcu.

– I Nadine Cross – potwierdził. – Zadali nam zdradziecki cios. Niezwykle bolesny cios. Ale nie udało się im dokonać tego, co planowali. Nie w takim stopniu, jak to sobie obmyślili. A jeśli ich dopadniemy zanim zdołają przedrzeć się przez góry... – Wyciągnął przed siebie obie ręce pokryte strupami i świeżymi zadrapaniami i zacisnął dłonie w pięści tak energicznie, że aż strzeliły mu kostki. Po wewnętrznej stronie nadgarstków ukazały się naprężone ścięgna. Na ustach Stu pojawił się nagle lodowaty uśmiech, na widok którego Fran gwałtownie się wzdrygnęła. Wydał się jej aż nadto znajomy.

– Nie uśmiechaj się tak – rzekła. – Nigdy.

Uśmiech Stu przygasł.

– Szukają ich od samego rana. Przetrzęsają okoliczne wzgórza – ciągnął już z poważną miną. – Wątpię, aby ich odnaleźli. Poleciłem im, aby pod żadnym pozorem nie oddalali się na więcej niż pięćdziesiąt mil na zachód od Boulder, a podejrzewam, że Harold był na tyle sprytny, aby do tego czasu pokonać znacznie większy dystans. Wiemy jednak jak to zrobili. Podłożyli ładunek wybuchowy podłączony do krótkofalówki...

Fran wstrzymała oddech, a Stu spojrział na nią z przejęciem.

– Co się stało, mała? Plecy?

– Nie – nagle zrozumiała, co miał na myśli Stu, mówiąc, że Nick w chwili eksplozji trzymał w dłoniach pudełko po butach. Nagle zrozumiała wszystko.

Powoli, z rozwągał opowiedziała mu o maleńkich skrawkach przewodów i pudle po zestawie krótkofalówek pod stołem do minihokeja w piwnicy domu Laudera.

– Gdybyśmy przeszukali cały dom, zamiast tylko zabrać stamtąd jego cholerny dziennik, moglibyśmy znaleźć tę bombę – stwierdziła łamiącym się głosem. – N-N-Nick i Sue żyliby t-t-teraz a...

Stu objął ją.

– To dlatego Larry jest dziś od rana taki przygaszony. Sądziłem, że jest na mnie zły, bo go uderzyłem. Zrozum, Frannie, skąd mogliście wiedzieć? Skąd mogliście to wiedzieć?

– Powinniśmy! Powinniśmy się zorientować! – Wtuliła twarz w jego ramię. Znów poczuła gorące, gorzkie łzy ściekające strużkami po policzkach.

Objął ją, nachylając się niezgrabnie, gdyż elektryczne szpitalne łóżko nie działało z powodu braku prądu.

– Nie powinnaś obwiniać o to siebie, Frannie. To się po prostu stało. I tyle. Zapewniam cię, że nikt – może za wyjątkiem gliny z wydziału antyterrorystycznego – nie domyśliłby się ujrzawszy kilka kawałków przewodów i puste pudełko po krótkofalówkach, że kroi się coś równie poważnego. Gdyby zostawili na widocznym miejscu kilka lasek dynamitu albo splonkę, to co innego. Ale nie zrobili tego. Ani ja ani nikt inny w całej Strefie nie będzie obwinał kóregokolwiek z was za to, co się stało.

Podczas gdy to mówił, ona wolno zaczęła kojarzyć pewne fakty.

„Tylko tych dwoje było w chwili wybuchu w budynku... to prawie cud. Matka Abigail... wróciła... Ale jest w strasznym stanie... potrzebujemy cudu!”

Sycząc z bólu, podniosła się nieznacznie, aby móc spojrzeć Stu prosto w oczy.

– Matka Abigail – powiedziała. – Gdyby tamci nie przyjechali, w momencie wybuchu wszyscy bylibyśmy jeszcze w środku...

– To prawie jak cud – powtórzył Stu. – Ocaliła nam życie. Nawet jeśli sama... – Nie dokończył.

– Stu?

– Wracając do Boulder, ocaliła nas wszystkich. Ocaliła nas.

– Czy ona umarła? – zapytała Fran. Ujęła go za rękę i ścisnęła kurczowo. – Stu, czy ona także nie żyje?

– Wróciła do miasta mniej więcej za kwadrans ósma. Prowadził ją za rękę chłopak Larry’ego Underwooda. Nic nie mówił, sama wiesz, że kiedy coś bardzo go poruszy, przestaje się odzywać, ale przyprowadził ją do Lucy. A ona potem po prostu upadła. – Stu pokręcił głową. – Boże, nie pojmuję, jakim cudem w ogóle tam dotarła... Co robiła, czym się odżywiała przez te wszystkie dni... ale coś ci powiem, Fran. Na tym świecie... i poza nim... są rzeczy, o których nawet mi się nie śniło, kiedy jeszcze mieszkałem w Arnette. Myślę, że ta kobieta jest posłanniczką Boga. A raczej była nią.

Fran zamknęła oczy.

– Ona nie żyje, prawda? Odeszła w nocy. Wróciła, aby umrzeć.

– Jeszcze nie umarła. Niemniej jej chwile są już policzone. George Richardson mówi, że to się stanie niebawem, ale póki co nasza staruszka jeszcze się trzyma. – Spojrzał na nią otwarcie i bez skrzepowania – Muszę przyznać, że zaczynam się bać. Wracając tu, ocaliła nam życie, ale powiem szczerze, boję się jej i boję się powodu, dla którego wróciła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Matka Abigail nigdy nie skrzywdziłaby...

– Matka Abigail robi to, co nakáže jej Bóg – odparł oschle. – I o ile mi wiadomo, jest to ten sam Bóg, który skazał na śmierć swego umiłowanego, jedyne Syna.

– Stu!

Ogień w jego oczach wygasł.

– Nie wiem dlaczego wróciła ani czy ma nam jeszcze coś do powiedzenia. Po prostu nie wiem. Może umrze, nie odzyskując świadomości. George uważa, że to całkiem prawdopodobne. Wiem tylko, że ten wybuch... śmierć Nicka... i jej powrót... otworzył oczy wszystkim mieszkańcom Boulder. Zaczynają rozmawiać na temat mrocznego mężczyzny. Wiedzą, że ładunek został odpalony przez Harolda, ale podejrzewają, że to tamten zmusił go do tego. Cholera, nawet ja tak uważam. Wielu ludzi twierdzi, że to Flagg jest odpowiedzialny za stan, w jakim Matka Abigail wróciła do miasta. Jeżeli mnie o to zapytasz, odpowiem krótko – nie wiem. Wydaje się, że nic już nie wiem, ale bardzo się boję. Boję się, że to wszystko może się źle skończyć. Wcześniej nie miałem takich przeczuc, ale teraz już mam.

– Jesteśmy jeszcze my – rzekła niemal błagalnym tonem. – Mamy siebie nawzajem i dziecko. Zgadza się? ZGADZA SIĘ?

Milczał przez dłuższą chwilę. Była prawie pewna, że nie odpowie. Lecz w końcu odpowiedział.

– Tak – odrzekł krótko. – Ale na jak długo?

Przed zmierzchem, trzeciego września ludzie zaczęli wolno migrować – jak się wydawało bez celu – w stronę domu Larry’ego i Lucy przy Table Mesa Drive. Siadali na schodach domów oznaczonych na drzwiach iksem, na chodnikach i trawnikach, gdzie trawa po tym

długim upalnym lecie była zbrązowiała i uschnięta. Rozmawiali półgłosem. Palili fajki i papierosy. Był wśród nich Brad Kitchner z grubo obandażowaną ręką na temblaku. Była tu Candy Jones i Rich Moffat z dwoma butelkami black velvet w chlebaku. Obok Tommy'ego Gehringera siedział Norman Kellogg z podwiniętymi rękawami, ukazując opalone, obsypane piegami bicepsy. Chłopak Gehringera również zakasał rękawy. Harry Dunbarton i Sandy Du Chiens siedzieli na jednym kocu trzymając się za ręce. Dick Vollman, Chip Hobart i szesnastolatek, Tony Donahue siedzieli w krytym pasażu pomiędzy budynkami pół przecznicy od domu Larry'ego, przekazując sobie z rąk do rąk butelkę Canadian club i zapijając 7-Up. Patty Kroger była tu wraz z Shirley Hammett. Pomiędzy nimi stał koszyk piknikowy. Był wypełniony po brzegi, ale one prawie nie tknęły jedzenia. O godzinie ósmej na ulicy zaroilo się od ludzi, wszyscy spoglądali na dom. Przed wejściem stał motocykl Larry'ego i kawasaki 650 George'a Richardsona.

Larry obserwował ich z okna sypialni. Za jego plecami, w jego i Lucy łóżku leżała nieprzytomna Matka Abigail. Czuł w nozdrzach bijący od niej suchy, mdlący odór i zebrało mu się na wymioty – choć tego nie znosił – a jednak nie ruszył się z miejsca. To była jego pokuta za ucieczkę, podczas gdy Nick i Sue zginęli. Larry słyszał rozlegające się w ich pokoju ciche głosy. Nad łóżkiem umierającej trwało bezustanne czuwanie. Wkrótce George uda się do szpitala, gdzie czekali na niego inni pacjenci. Było ich obecnie szesnaścioro. Troje zwolniono do domu. Teddy Weizak zmarł.

A Larry wyszedł z tego bez szwanku.

Ten sam stary Larry, nawet włos mu z głowy nie spadnie, podczas gdy inni wokół niego tracą życie. Podmuch cisnął go przez cały podjazd na klomb naprzeciwko, ale nie odniósł przy tym najmniejszego skaleczenia. Wokół niego sypał się grad śmiercionośnych odłamków, lecz ani jeden nawet go nie drasnął. Nick zginął i Susan też, a on przeżył. I nawet nie był ranny. Tak, ten sam stary Larry Underwood.

Czuwanie trwało w sypialni, jak i na zewnątrz, wzdłuż całej ulicy. Zebrało się tam z sześćset osób, jeśli nie więcej. „Powinieneś tu wrócić, Haroldzie, z tuzinem granatów i dokończyć dzieła”. HAROLD. Podążał za Haroldem przez cały kraj, szedł śladem pozostawianych przez niego opakowań po balonikach i sprytnie pomyślanych improwizacji. Larry, chcąc zdobyć w Wells benzynę, omal nie stracił palców. Harold po prostu znalazł otwór wiodący do zbiornika i za pomocą gumowej rurki odciągnął paliwo. To Harold zaproponował, by liczebność poszczególnych komisji wzrastała wprost proporcjonalnie do powiększania się ich populacji. To Harold zaproponował, by członków komisji tymczasowej przyjąć w skład komisji stałej. Harold spryciarz. Harold z jego dziennikiem. Harold z jego uśmiechem.

Stu z niezłomnym przekonaniem powiedział, że nikt na podstawie kilku kawałków przewodu i pustego pudełka nie mógł zorientować się, co oni zamierzali. Larry nie potrafił pogodzić się z takim usprawiedliwieniem. To do niego nie docierało. Widział już wcześniej

błyskotliwe improwizacje będące dziełem Harolda. Choćby ten wielki napis na dachu stodoły. Powinien się domyślić. Inspektor Underwood był wspaniały w szukaniu opakowań po słodyczach, jednak z dynamitem nie szło mu już tak dobrze. Właściwie można by rzec, że Inspektor Underwood okazał się skończonym durniem.

„Larry, gdybyś wiedział...”

Głos Nadine.

„Jeżeli chcesz, padnę przed tobą na kolana i będę błagać”.

Jeszcze jedna szansa zapobieżenia morderstwu i zniszczeniom... lecz nigdy nie ośmieli się nikomu o tym opowiedzieć. Czy już wtedy machina zniszczenia była w ruchu? Zapewne tak. Jeżeli nawet nie szczegóły konstrukcji dynamitowej bomby podłączonej do krótkofalówki, to przynajmniej plan w jego ogólnych zarysach.

„Plan Flagga”.

Tak, w tle zawsze był Flagg, mroczny władca marionetek pociągający za sznurki Harolda, Nadine, Charlie’go Impeniga i Bóg wie ilu innych. Ludzie ze Strefy z dziką rozkoszą zlinczowali Harolda, gdyby tylko zdołali go dopaść, lecz w rzeczywistości to, co się stało, było dziełem Flagga... i Nadine.

A kto wysłał ją do Harolda, jeśli nie Flagg? Zanim jednak udała się do Harolda, przyszła do Larry’ego. A on ją odesłał. Odrzucił.

Jak mógłby się zgodzić? Jak miałby przyjąć jej propozycję? Miał swoje zobowiązania wobec Lucy. To było najważniejsze, nie tylko ze względu na nią, lecz również z uwagi na niego... Czuł, że jeszcze jeden lub dwa numery jak za starych czasów i przestanie liczyć się jako mężczyzna, będzie nikim, przepadnie na zawsze. Dlatego zdecydował się ją odrzucić. Domyślał się, że Flagg (jeśli rzeczywiście tak się nazywał) był zadowolony z wyniku wczorajszego zamachu...

Co prawda Stu nadal żył i przemawiał w imieniu komisji, był głosem ich wszystkich, zwłaszcza Nicka, który w ogóle go nie miał.

Żył również Glen, zdaniem Larry’ego obecnie „mózg” ich komisji, ale jej „sercem” zawsze był Nick, a Sue i Frannie pełniły w niej funkcję głosu sumienia i moralności. „Tak – pomyślał z goryczą – jak na jeden wieczór roboty skurwielowi nielecho się udało. Powinien sownie nagrodzić Harolda i Nadine, gdy już do niego dotrą”.

Odwrócił się od okna, czując w głowie tępe, nieprzyjemne pulsowanie. Richardson mierzył puls Matce Abigail. Laurie manipulowała przy butelkach z kroplówką zawieszonych na stojaku obok łóżka staruszki, Dick Ellis stał nieopodal. Lucy siedziała przy drzwiach i patrzyła na Larry’ego.

– Co z nią? – Larry zwrócił się do George’a.

– Bez zmian – odparł Richardson.

– Przeżyje noc?

– Nie potrafię powiedzieć, Larry.

Kobieta na łóżku wyglądała jak kościotrup obciążony cienką, mocno naprężoną, szarą jak popiół skórą. Wydawała się zupełnie bezpłciowa. Straciła większość włosów, nie miała już także piersi, oddychała płytko i chrapliwie przez otwarte usta. Larry'emu przywodziła na myśl mumię, którą kiedyś widział na zdjęciu w kolorowym czasopiśmie – pomarszczone, wysuszone ciało, pozbawione choćby odrobiny wody, ponadczasowe, wieczne.

Tak, tym właśnie była, żyjącą mumią. Słysząc było jedynie ciche, ochryple brzmienie jej oddechu jak szum wiatru wśród trzciny. „Jak to możliwe, że jeszcze żyła? – zastanawiał się Larry. – Jakież Bóg mógłby poddać ją tak okrutnym katuszom? W jakim celu? To musiał być jakiś żart, wielki, kosmiczny dowcip. George powiedział, że słyszał o podobnych przypadkach, ale nigdy tak ekstremalnych jak ten i nie spodziewał się ujrzeć czegoś takiego na własne oczy. Ona, w jakiś sposób... żywiła się samą sobą. Jej ciało funkcjonowało, a przecież już dawno powinno się poddać z powodu ogólnego niedożywienia i wycieńczenia organizmu. Żywiła się częściami siebie, bez których teoretycznie nie powinna przeżyć. Lucy, która przenosiła ją na łóżko powiedziała mu, nie kryjąc zdumienia, że staruszka była lekka jak piórko albo jak latawiec, który tylko czeka, aby gwałtowniejszy podmuch wiatru uniósł go hen, w dal”.

Lucy siedząca przy drzwiach ni stąd ni zowąd odezwała się, zwracając na siebie uwagę ich wszystkich.

– Ona chce coś powiedzieć.

– Lucy, ona jest pogrążona w głębokiej śpiączce – powiedziała niepewnie Laurie. – Całkiem możliwe, że już nigdy nie odzyska świadomości.

– Wróciła, aby coś nam powiedzieć. I Bóg nie pozwoli jej odejść, dopóki tego nie zrobi.

– Jak sądzisz, Lucy, co mogłaby chcieć nam powiedzieć? – zapytał Dick Ellis.

– Nie wiem – odparła Lucy. – Ale lękam się tego. Boję się usłyszeć, co ona ma nam do powiedzenia. Ja to wiem. Po prostu wiem. Umieranie wcale się nie skończyło. Wręcz przeciwnie. Dopiero się zaczęło. I tego się właśnie obawiam.

Zapadła długa cisza, którą przerwał dopiero George Richardson.

– Muszę jechać do szpitala. Laurie, Dick, będziecie mi potrzebni oboje.

Larry o mało nie zapytał na głos: „Chyba nie zostawicie nas tutaj samych z tą żyjącą mumią?”

Dwaj mężczyźni i kobieta podeszli do drzwi. Lucy podała im ich kurtki. Tej nocy było zaledwie sześćdziesiąt stopni Fahrenheita i przejażdżka motocyklem w koszuli z krótkimi rękawami nie należała do najprzyjemniejszych.

– Czy możemy coś dla niej zrobić? – Larry zwrócił się półgłosem do George'a.

– Lucy wie jak kontrolować kroplówkę – odrzekł George. – Nie ma nic innego. Widzicie... – Urwał. Oczywiście, że widzieli. Przecież leżała na łóżku, wystarczyło spojrzeć i wszystko było jasne.

– Dobranoc Larry, dobranoc Lucy – powiedział Dick.

Wyszli. Larry wrócił do okna. Na zewnątrz wszyscy wstali i patrzyli z przejęciem. „Czy Matka Abigail żyje? Czy umarła? Czy umiera? A może Bóg uzdrowił ją swoją mocą? Czy coś powiedziała? Cokolwiek?”

Lucy objęła Larry'ego w pasie tak niespodziewanie, że aż się wzdrygnął.

– Kocham cię – powiedziała.

Wyciągnął rękę i przytulił ją do siebie. A potem pochylił głowę i całym jego ciałem wstrząsnęły gwałtowne dreszcze.

– Kocham cię – rzekła ze spokojem. – Już dobrze. Wyrzuć to z siebie, Larry. Wyrzuć to z siebie.

Zapłakał. Łzy były gorące i twarde niczym kule.

– Lucy...

– Ciii... – Oplotła rękoma jego szyję, dotyk jej dłoni był taki przyjemny, taki kojący...

– Och, Lucy, Boże, Boże Wszechmogący, co to wszystko ma znaczyć? – zawołał przez łzy, wtulając twarz w jej szyję, a ona objęła go najmocniej jak potrafiła i przywarła do niego całym ciałem, gdyż nie wiedziała, co ma powiedzieć, nie знаła odpowiedzi, jeszcze nie. Na łóżku za nimi Matka Abigail oddychała płytko i chrapliwie, pogrążona w głębokiej śpiączce.

George jechał ulicą z prędkością galopującego zółwia, raz po raz przekazując tę samą informację: „Tak, nadal żyje. Rokowania są kiepskie. Nie, nic jak dotąd nie powiedziała i raczej nie można na to liczyć. Idźcie lepiej do domu. Gdyby coś się wydarzyło, damy wam znać”.

Kiedy dotarli do zakrętu, przyspieszyli, by następnie skrócić stronę szpitala. Warkot motocykli jeszcze przez dłuższą chwilę w odbijał się echem pośród ulic, aż w końcu ucichł zupełnie.

Ludzie nie rozeszli się do domów. Jeszcze przez chwilę stali, po czym podjęli przerwane rozmowy, debatując nad każdym wypowiedzianym przez George'a słowem. Rokowania, co to mogło oznaczać? Śpiączka. Śmierć mózgu. Jeśli jej mózg umarł, to było po wszystkim. Równie dobrze mogliby czekać aż przemówi do nich puszka z mielonką. Oczywiście, w normalnych okolicznościach, ale od jakiegoś czasu nic nie wydawało się normalne, nieprawdaz?

Znowu usiedli. Zapadł zmrok. W domu, gdzie leżała stara kobieta zapalono lampy. W końcu jakiś czas później ludzie rozejdą się do domów i będą czuwać, bezskutecznie oczekując na sen. Rozmowy niepewnie zeszyły na temat mrocznego mężczyzny.

„Czy gdyby Matka Abigail umarła, oznacza to, że ON jest silniejszy?”

„Co to znaczy «niekoniecznie»?”

„Moim zdaniem to Szatan, sprawa jest jasna i prosta”.

„Antychryst, oto co o nim myślę. To co się dzieje, jako żywo przypomina fragment objawienia Świętego Jana: «I ujrzałem na niebie znak inny – wielki i godzien podziwu:

siedmiu aniołów trzymających siedem plag, tych ostatecznych. Mnie się to jak nic kojarzy z supergrypą”.

„Ee tam, gadanie. Mówili, że Antychrystem był Hitler”.

„Jeśli te koszmary powrócą, zabiję się”.

„W moim śnie byłem na stacji metra, a on siedział w budce sprzedawcy biletów, ale nie widziałem jego twarzy. Bałem się. Wbiegłem do tunelu. A potem usłyszałem go, jak za mną biegnie. I zaczyna doganiać”.

„Ja w moim byłem w piwnicy, przyszedłem tam po słoik z kawałkami peklowanego arbuza i ujrzałem, że ktoś stoi przy piecu... tylko samą sylwetkę. Wiedziała jednak, że to był mroczny mężczyzna”.

Świerszcze zaczęły swój nocny koncert. Na niebie pojawiły się gwiazdy. Ktoś zaczął rozmawiać o pogodzie, o tym, że noce są coraz chłodniejsze. Pociągnęto z butelki, w mroku jarzyły się koniuszki papierosów i tytoń w lulkach fajek.

„Słyszałem, że ludzie od wyłączenia urządzeń elektrycznych są już na półmetku. I bardzo dobrze. Jeśli już wkrótce nie będzie w mieście światła i ogrzewania, znajdziemy się w nielichych kłopotach”.

Cichy szmer głosów, w ciemnościach trudno było rozpoznać twarze.

„Podejrzewam, że tej zimy jeszcze jesteśmy bezpieczni. Tak, to prawie pewne. Nie ma mowy, żeby przedostał się przez przełęcz. Za dużo aut i śniegu. Jednakże wiosną...”

„A jeśli zdobędzie kilka atomówek?”

„Pieprzyć atomówki, gorzej gdyby znalazł gdzieś kilka tych cholernych bomb neutronowych. Albo pozostałe sześć z tych siedmiu plag, o których wspominała Sally”.

„A samoloty?”

„Co robić?”

„Nie wiem”.

„Nie mam pojęcia”.

„Ni cholery, nie wiem”.

Około dziesiątej Stu Redman, Glen Bateman i Ralph Brentner wyszli do nich, by porozmawiać, rozdać ulotki i poprosić, by obecni przekazali informacje tym, których tu dziś nie było. Glen lekko utykał, gdyż odłamek pokręta od kuchenki wyrwał mu w chwili wybuchu fragment mięśnia z prawej łydki.

Treść ulotki odbitej na powielaczu była krótka: „WALNE ZGROMADZENIE WOLNEJ STREFY AUDYTORIUM MUNZINGERA 4 WRZEŚNIA GODZ. 20:00”.

Wydawało się, iż było to dla wszystkich sygnałem do rozejścia się. Ludzie bez słowa zaczęli odchodzić w mrok. Większość z nich zabrała ulotki ze sobą, byli jednak tacy, którzy po przeczytaniu zmięli kartki w dłoniach i rzucili na ziemię. Mieszkańcy Boulder udali się do swoich domów w nadziei, że będą tej nocy spać spokojnie.

Nadzieje okazały się płonne.

Audytoryum pękało w szwach, ale panowała w nim cisza, gdy Stu rozpoczął zebranie następnego wieczoru. Za nim siedzieli Larry, Ralph i Glen. Fran próbowała wstać z łóżka, ale wciąż jeszcze nazbyt dokuczają jej plecy. Ralph dał jej krótkofalówkę, by mogła śledzić przebieg zebrania.

– Jest kilka spraw wymagających omówienia – powiedział Stu z delikatnym, zamierzonym niedomówieniem. Jego głos, choć tylko trochę wzmocniony niósł się po sali. – Podejrzewam, że wszyscy obecni na tej sali wiedzą o eksplozji, w której zginęli Nick, Sue i inni, jak również o tym, że powróciła do nas Matka Abigail. Musimy o tym wszystkim porozmawiać, najpierw jednak chciałbym przekazać wam dobre wieści. Zrobi to Brad Kitchner. Brad?

Brad podszedł do podium. Nie wydawał się tak zdenerwowany jak ostatnim razem. Powitano go głośnymi oklaskami. Odwrócił się do zebranych, zacisnął obie dłonie na krawędziach pulpitu i rzekł krótko:

– Jutro będzie prąd.

Tym razem oklaski były o wiele głośniejsze. Brad uniósł obie ręce do góry, lecz brawom nie było końca. Później Stu wyjawiał Frannie, że gdyby nie wydarzenia ostatnich dwóch dni, zebrani prawdopodobnie poderwaliby się z miejsc i zaczęli obnosić Brada na ramionach jak piłkarza, strzelca decydującej bramki w finałach mistrzostw. Tego lata ów niepozorny człowieczek urósł do rangi prawdziwego bohatera.

W końcu oklaski ucichły.

– Włączymy prąd w południe i chciałbym, aby wszyscy byli wówczas w domu i przygotowali się. Na co, zapytacie? Na cztery rzeczy. Słuchajcie, ponieważ to bardzo ważne. Po pierwsze, wyłączcie wszystkie światła i urządzenia elektryczne, z których nie korzystacie. Po drugie, jeżeli poczujecie gaz, starajcie się dotrzeć do źródła, skąd się on ulatnia i jeśli to możliwe wyłączcie je. Po trzecie, zróbcie to samo w opuszczonych domach obok waszych. Po czwarte, jeśli usłyszycie syrenę strażacką, udajcie się na miejsce, skąd dobiega jej sygnał, ale zróbcie to z głową i bez niepotrzebnej bohaterszczyzny. Nie chcemy, by ktoś skrzył sobie kark w wypadku motocyklowym. A teraz... czy są jakieś pytania?

Było kilka nawiązujących do spraw, o których mówił Brad. Odpowiedział na wszystkie cierpliwie, a jedyną oznaką zdenerwowania było wyginanie to w jedną to w drugą stronę małego, czarnego notesu, który trzymał w dłoniach.

Kiedy źródło pytań zaczęło wysychać Brad dodał:

– Chciałbym z tego miejsca podziękować wszystkim, którzy nie szczędzili sił, aby nasze miasto mogło znów funkcjonować. I chcę przypomnieć, że komisja energetyki nie zostaje wcale rozwiązana. Nasze problemy się nie kończą. Przed nami są jeszcze inne, jak na przykład zwalone słupy elektryczne, zerwane przewody, przeciążenia, ponadto musimy odnaleźć w Denver zapasy ropy i przetransportować ją tutaj. Mam nadzieję, że mnie teraz nie

opuścicie. Glen Bateman mówi, że zanim spadnie pierwszy śnieg, może być nas tutaj dziesięć tysięcy, a wiosną ta liczba jeszcze się powiększy. Należy uruchomić elektrownie w Longmont oraz w Denver i musimy uporać się z tym przed końcem przyszłego roku...

– Nic z tego nie wyjdzie, jeśli tamten wyruszy przeciwko nam! – zawołał ktoś ochryplym głosem z końca sali.

Zapadła cisza. Brad stał, zaciskając kurczowo palce na brzegach pulpitu, jego twarz była blada jak płótno. „Nie pozwolę mu skończyć” – pomyślał Stu i w tej samej chwili Brad z niewzruszoną miną zaczął mówić dalej.

– Ja jestem tylko prostym elektrykiem – nie pamiętam, kto powiedział to pierwszy – mam jednak wrażenie, że będziemy tu jeszcze długo po tym, jak tamten wyzionie ducha, zgnije w grobie i wszyscy o nim zapomną. Gdybym uważał inaczej, naprawiałbym generatory po drugiej stronie gór. Kto by się nim w ogóle przejmował?

Brad zszedł z podium, a ktoś inny zawołał:

– Święta racja!

Tym razem oklaski były długie i rzęsiste, niemal dzikie, lecz pobrzmiwała w nich nuta, która ani trochę nie przypadła Redmanowi do gustu. Musiał kilkakrotnie uderzyć młotkiem w pulpit, aby uciszyć zebranych.

– Następnym punktem porządku dziennego...

– Pieprzyć porządek dzienny! – zawołała zuchwale młoda kobieta. – Pomówmy o mrocznym mężczyźnie! Pogadajmy o Flaggu! Uważam, że już od dawna powinniśmy to zrobić!

Okrzyki aprobaty. Wołania o zaprowadzenie porządku na sali. Pełne dezaprobaty komentarze na temat doboru słów, którymi posłużyła się kobieta. Ciche rozmowy „na boku”.

Stu uderzył młotkiem w pulpit tak silnie, że został mu w ręku sam trzonek.

– Mamy tu WALNE ZEBRANIE! – zakrzyknął. – Będziecie mieli okazję podyskutować na interesujący was temat, ale dopóki ja przewodniczę temu zgromadzeniu, na sali BĘDZIE... PANOWAĆ... PORZĄDEK.

Ostatnie słowo wykrzyczał tak głośno, że echo wzmocnionego przez mikrofon głosu niczym bumerang przemknęło po całej sali i wszyscy w jednej chwili umilkli.

– Obecnie – rzekł Stu cichym, opanowanym głosem – przedstawione zostanie sprawozdanie z wydarzeń, jakie miały miejsce w domu Ralphi i wygląda na to, że obowiązek ten przypadł w udziale mnie, jako że piastuję przecież stanowisko szeryfa.

Umilkł na chwilę i tak jak w przypadku oklasków, którymi nagrodzono słowa Brada, również ta cisza wydała mu się podejrzana. Ludzie wysuwali się do przodu na swoich fotelach, sprawiali wrażenie złaźnionych i niezaspokojonych. To wprawiało go w zakłopotanie i niepokój, zupełnie jakby Wolna Strefa zmieniła się tak radykalnie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, że Redman nie potrafił określić, czym się stała. Czuł się tak jak wtedy, gdy szukał wyjścia z centrum epidemiologicznego w Stovington, niczym

mucha pochwycona i szamocząca się w niewidzialnej pajęczej sieci. Tak wiele było tu nieznanych mu twarzy... tak wielu obcych...

Nie czas teraz jednak, by się nad tym zastanawiać.

Krótko opisał wydarzenia poprzedzające eksplozję, pomijając przecucie Fran. Zważywszy na to, w jakim byli obecnie nastroju, lepiej aby o tym nie wiedzieli.

– Wczoraj rano Brad, Ralph i ja przez ponad trzy godziny przeszukiwaliśmy ruiny. Znaleźliśmy wśród nich szczątki czegoś, co wydaje się być dynamitową bombą podłączoną do krótkofalówki. Najwyraźniej podłożono ją w szafie, w salonie. Bill Scanlon i Ted Frampton odkryli drugą krótkofalówkę w Amfiteatrze Sunrise. Podejrzewamy, że bombę odpalono właśnie stamtąd. Stało się...

– Podejrzenia, przypuszczenia! – zakrzyknął siedzący w trzecim rzędzie Ted Frampton. – To robota tego skurwiela Laudera i jego dziwki!

Tłum zaczął szemrać.

„To mają być ci dobrzy ludzie? Nic ich nie obchodzi śmierć Nicka, Sue, Chada i reszty. Są spragnieni krwi. Jak żadna linczu tłuszcza, chcą jedynie dopaść Harolda i Nadine, a potem powiesiliby ich na pierwszym drzewie... w charakterze talizmanów chroniących przed mrocznym mężczyzną”.

Niemal przypadkiem wychwycił spojrzenie Glena, który cynicznie wzruszył ramionami.

– Od tej chwili jeśli ktokolwiek na tej sali zabierze głos bez mojego oficjalnego pozwolenia, natychmiast zamknę zebranie i będziecie mogli dyskutować między sobą – oznajmił Stu. – Porządek musi być. Kim się staniemy, jeśli nie będziemy przestrzegać pewnych podstawowych zasad?

Ted Frampton posłał mu gniewne spojrzenie, Stu spojrzał mu w oczy. Po dłuższej chwili Ted spuścił wzrok.

– Podejrzewamy Harolda Laudera i Nadine Cross. Mamy pewne uzasadnione podejrzenia i dysponujemy dość przekonującym materiałem dowodowym. Nie posiadamy jednak, przynajmniej na razie, dowodów, które niezbicie potwierdziłyby ich winę i mam nadzieję, że dobrze zakonotujecie to sobie w pamięci.

Gwar rozmów rozbrzmiał i niemal zaraz ucichł.

– Wspomniałem o tym ze względu na to, co chcę powiedzieć teraz – ciągnął Stu. – Gdyby zdarzyło się, że tych dwoje znów pojawi się w Strefie, chcę, by niezwłocznie przyprawiono ich do mnie. Zamknę ich w areszcie, zaś Al Bundell dopilnuje, by zostali sprawiedliwie osądzeni, co oznacza, że dane im będzie prawo do obrony. My... mamy być rzekomo tymi dobrymi ludźmi. Chyba wszyscy wiemy, gdzie są ci źli. Bycie dobrymi oznacza, że musimy postępować, jak przystało na ludzi cywilizowanych.

Spojrzał na nich z nadzieją, ale w odpowiedzi dostrzegł tylko zdumienie i oburzenie. Ich wzrok mówił: „Stuart Redman widział na własne oczy straszną śmierć dwojga przyjaciół i

jaka jest jego reakcja? Bierze stronę tych, którzy są za nią odpowiedzialni! Jak śmie ich w ogóle bronić?”

– Jeżeli chcecie wiedzieć, myślę, że rzeczywiście oni to zrobili – mruknął ochryplym głosem. – Ale trzeba to zrobić jak należy. I jestem tu po to, by wam powiedzieć, że tak właśnie się stanie.

Świdrowali go wzrokiem. Ponad tysiąc par oczu przeszywało go spojrzeniami i czuł, że w każdym z nich zawierało się pytanie: „O czym ty mówisz, do cholery? Oni odeszli. Nie ma ich. Pojechali na zachód. Zachowujesz się tak, jakby wybrali się na dwudniowy biwak”.

Nalał sobie szklankę wody i upił kilka łyków, aby przepłukać gardło. Smak ciepłej, przegotowanej wody wywołał grymas na jego ustach.

– To tyle w tej sprawie – dokończył. – Następną sprawą jest, jak sądzę, powołanie do komisji nowych członków. Nie zrobimy tego dziś wieczorem, ale powinniście się zastanowić, kogo chcielibyście widzieć na...

Ktoś podniósł rękę. Stu udzielił mu głosu.

– Mów, tylko przedstaw się, aby wszyscy wiedzieli kim jesteś.

– Sheldon Jones – przedstawił się postawny mężczyzna w kraciatej, wełnianej koszuli. – Dlaczego nie mielibyśmy wybrać tych dwóch nowych członków jeszcze dzisiaj? Zgłaszam kandydaturę tu obecnego Teda Framptona.

– Popieram! – wrzasnął Bill Scanlon. – Świetnie!

Ted Frampton zaklaskał w dłonie i uniósł je w górę, spodziewając się braw. Stu natomiast poczuł, że ponownie ogarnia go owo dojmujące, nieodparte uczucie dezorientacji i przygnębienia. Zamierzali zastąpić Nicka Androsa Tedem Framptonem? To brzmiało jak niesmaczny żart. Ted próbował szczęścia w komisji energetyki i stwierdził, że to dla niego zbyt duży wysiłek. Przeniósł się do służby pogrzebowej i tam szło mu nieco lepiej, choć Chad wspomniał któregoś razu w rozmowie ze Stu, iż Ted należy do tych facetów, którzy lubią przedłużyć sobie kwadrans na kawę do godziny, a godzinę lunchu do kilku godzin niczym nie uzasadnionej beczynności. Wczoraj jako jeden z pierwszych zgłosił się do udziału w poszukiwaniach Harolda i Nadine, widać obecna praca też już mu się znudziła. On i Bill Scanlon przypadkiem natknęli się w Amfiteatrze Sunrise na porzuconą krótkofalówkę (gwoździści przyznać należy, że Ted nie omieszkał o tym wspomnieć), ale od tej pory zaczął się wyraźnie puszyć, co bynajmniej nie spodobało się Redmanowi.

Stu znów wychwycił spojrzenie Glena i w jego cynicznym wzroku, uśmiechu oraz geście wyczytał wyraźnie: „Może powinniśmy wykorzystać Harolda, aby sprzątnął również tego bufona”.

W umyśle Stu pojawiło się nagle słowo, którego często używał Nixon i gdy to sobie uświadomił, pojął, co było źródłem jego dezorientacji i przygnębienia. Słowo to brzmiało MANDAT. Stracili go. Utracili swój mandat. Stało się to z hukiem, dwie noce temu.

– Może wiesz, Sheldon, kogo TY chciałbyś widzieć w komisji, ale podejrzewam, że inni potrzebują trochę czasu do namysłu. Postawmy sprawę jasno. Ci, którzy chcą wybrać dwóch reprezentantów podczas dzisiejszego zebrania niech powiedzą „tak”.

Rozległo się kilka nieśmiałych „tak”.

– Ci, którzy chcieliby mieć, powiedzmy, tydzień na zastanowienie, niech powiedzą „nie”.

„Nie” zabrzmiało głośniejsze, ale nie na tyle, jak można by oczekiwać. Wielu ludzi w ogóle nie zabrało głosu, jakby ten temat ich nie interesował.

– W porządku – powiedział Stu. – Spotkamy się w tej sprawie w Audytorium Munzingera ponownie za tydzień, jedenastego września, i wówczas dokonamy nominacji oraz zatwierdzimy kandydatów na dwa wakaty w komisji.

„Kiepskie to epitafium, Nick, przykro mi”.

– Doktor Richardson jest dzisiaj z nami, by powiedzieć wam o stanie zdrowia Matki Abigail i osób, które zostały ranne w wyniku eksplozji. Doktorze?

Richardson wystąpił naprzód, czyszcząc szkła okularów. Powitano go burzą braw. Wyjaśnił, że wskutek wybuchu zginęło łącznie dziewięć osób, troje znajdowało się nadal w stanie krytycznym, dwie w poważnym, stan ośmiu natomiast wydawał się zadowolający.

– Zważywszy na moc wybuchu sądzę, że dopisało nam szczęście. A teraz przejdźmy do sprawy Matki Abigail.

Ludzie wyczekiwali z przejęciem.

– Wydaje mi się, że powinno tu wystarczyć krótkie oświadczenie poparte nieco dłuższym wyjaśnieniem. Oświadczenie brzmi następująco: „Nie mogę nic dla niej zrobić”.

Tłum zaszemrał i umilkł. Stu dostrzegł na twarzach smutek, ale nikt nie wyglądał na zdziwionego czy zaskoczonego.

– Powiedziano mi, że ta kobieta ma sto osiem lat. Sama tak nas poinformowała. Nie mogę tego potwierdzić, ale z całą pewnością jest to najstarsza istota ludzka, jaką kiedykolwiek widziałem i którą się zajmowałem. Mówiono mi, że przepadła na dwa tygodnie i wedle moich ocen, a raczej przypuszczeń – jej dieta w tym okresie składała się z tego, co staruszka znalazła w lesie, czyli korzonków, ziół, trawy i temu podobnych. – Przerwał. – Odkąd wróciła, wypróżniła się tylko raz. W jej kale znajdowały się małe gałązki i patyki.

– Boże – jęknął ktoś, nie sposób było stwierdzić, kobieta czy mężczyzna.

– Jedną rękę ma od góry do dołu poparzoną trującym bluszczem. Nogi pokryte wrzodami, z których sączyłyby się ropa, gdyby tylko jej stan nie był tak...

– Może już wystarczy? – zawołał Jack Jackson, wstając z miejsca. Twarz miał bladą, zagniewaną, zasmuconą. – Nie masz pan za grosz przyzwoitości?

– Przyzwoitość to nie moja działka, Jack. Ja po prostu relacjonuję suche fakty dotyczące jej zdrowia. Matka Abigail jest w stanie śpiączki, wycieńczenia wywołanego niedożywieniem, a przede wszystkim jest już bardzo, bardzo stara. Sądzę, że ona umrze.

Gdyby była kimkolwiek innym powiedziałbym, że to pewne jak amen w pacierzu. Jednak... podobnie jak wy wszyscy, śniłem o niej. O niej i o tamtym.

Znów zaczęły się szmery, delikatne jak poszum wiatru, Stu poczuł, że jeżą mu się włoski na karku i zaczął uspokajać zebranych.

– Dla mnie sny tak silne i tak diametralnie różniące się od siebie, wręcz przeciwstawne, mają mistyczne znaczenie – powiedział George. – To, że wszyscy je podzielaliśmy zdaje się, w najgorszym razie, wskazywać na zdolności telepatyczne. Nie będę się tu jednak rozwodził nad parapsychologią, teologią, podobnie jak pominąłem wcześniej kwestię przyzwoitości. Dlaczego? To proste. Bo to nie moja działka. Jeśli Bóg ma tę kobietę w swej pieczy, być może zechce ją uzdrowić. Ja tego nie potrafię. W gruncie rzeczy już samo to, że ona wciąż żyje, w moim odczuciu graniczy z cudem. To wszystko co miałem do powiedzenia. Jakieś pytania?

Nie było. Patrzyli na niego zdezorientowani, kilka osób płakało.

– Dziękuję – rzekł George i pośród grobowej ciszy wrócił na swoje miejsce.

– W porządku – wyszeptał Stu do Glena. – Teraz ty.

Glen bez uprzedniej zapowiedzi podszedł do pulpitu i oparł się o blat.

– Rozmawialiśmy o wszystkim za wyjątkiem mrocznego mężczyzny – powiedział.

Znów stłumione rozmowy. Kilka osób przeżegnało się instynktownie. Starsza kobieta z lewej strony szybkim ruchem dotknęła dłońmi oczu, uszu i ust, jakby osobliwie naśladując Nicka Androsa, po czym zacisnęła ręce na czarnej torebce, którą trzymała na podolku.

– Rozmawialiśmy o nim trochę podczas naszych zamkniętych zebrań – ciągnął Glen spokojnym, gawędziarskim tonem. – Pojawiło się pytanie, czy powinniśmy podjąć ten temat na walnym zgromadzeniu Wolnej Strefy. Padło stwierdzenie, że nikt z nas tak naprawdę nie chce o tym rozmawiać, zwłaszcza po upiornych koszmarach, których wszyscy doświadczaliśmy w drodze tutaj. Być może potrzebujemy czasu, by do tego przywyknąć. Wydaje mi się jednak, że nadeszła właśnie chwila, by zająć się tym tematem. Wydobyć go na światło dzienne. Używając żargonu policyjnego, powinniśmy niniejszym stworzyć portret pamięciowy człowieka nazywanego powszechnie mrocznym mężczyzną. W naszym przypadku nie może być o tym mowy, gdyż nikt z nas nie widział jego twarzy, ale spróbujmy przynajmniej stworzyć pewien profil naszego Adwersarza. Rozmawiałem o nim z kilkoma ludźmi i oto garść informacji, które udało mi się zebrać na jego temat.

Człowiek ten nazywa się ponoć Randall Flagg, choć niektórzy podają również inne jego nazwiska: Richard Frye, Robert Freemont i Richard Freemantle. Inicjały R.F. mogą mieć jakieś sekretne znaczenie, ale jeśli nawet, to nikt z nas, tu, w Wolnej Strefie nie wie jakie. Jego obecność, przynajmniej w snach, wywołuje uczucia lęku, niepokoju, zgrozy i przerażenia. We wszystkich przypadkach jego pojawieniu się towarzyszyło „potworne zimno”.

Ludzie zaczęli kiwać głowami i dyskutować z ożywieniem między sobą. Stu pomyślał, że wyglądali jak chłopcy, którzy właśnie odkryli seks i porównywali swoje doświadczenia, by ze zdumieniem stwierdzić, iż, ogólnie rzecz biorąc, wszystko sprowadza się do jednego i tego samego. Uśmiechnął się i zasłonił usta dłonią. W duchu stwierdził, że powinien zachować choć jeden uśmiech na później, dla Fran.

– Ów Flagg znajduje się na zachodzie – ciągnął Glen. – Mniej więcej równa liczba osób „widziała” go w Las Vegas, Los Angeles, San Francisco i Portland. Niektórzy, wśród nich Matka Abigail, twierdzą, że tych, którzy coś przeszkobią, Flagg skazuje na śmierć przez ukrzyżowanie. Wszyscy zgodnie wierzą, że szykuje się coś w rodzaju ostatecznej konfrontacji pomiędzy nami a tym mężczyzną i że ów Flagg nie zawaha się przed niczym, aby tylko nas unicestwić. „Nie zawaha się przed niczym”, czyli użyje wszelkich dostępnych środków. Lotnictwa. Sił pancernych. Broni nuklearnej. A może nawet... broni bakteriologicznej... plagi.

– Chciałbym dostać tego skurwiela w swoje ręce! – zawołał piskliwie Richie Moffat. – Tak dałbym mu popalić, że odechciałoby mu się wszystkich plag!

Wypowiedź Moffata spotkała się z gwałtownym wybuchem śmiechu i braw. Glen uśmiechnął się ze spokojem. Nauczył Richiego, co i kiedy ma powiedzieć na pół godziny przed zebraniem i Moffat spisał się na medal. Stary Łysol, zdaniem Stu, miał rację przynajmniej co do jednego – socjologia bywała bardzo pomocna przy prowadzeniu dużych zgromadzeń.

– W porządku, powiedziałem wam wszystko, co wiem na jego temat – dodał Glen. – Zanim przejdziemy do otwartej dyskusji, chciałbym powiedzieć jeszcze jedno. Moim zdaniem Stu ma rację, twierdząc, że w razie pojmania Harolda i Nadine powinniśmy potraktować ich jak przystało na cywilizowanych ludzi, choć podobnie jak on wątpię, by do tego doszło. I tak jak on wierzę, że zrobili to z rozkazu Flagga.

Jego słowa wywołały gwałtowny oddźwięk wśród zebranych.

– Musimy rozprawić się z tym człowiekiem. George Richardson powiedział, że mistycyzm to nie jego działka. Nie jest również moją, ale wiecie co? Uważam, że podobnie jak Flagg uosabia siły zła, ta umierająca stara kobieta reprezentuje sobą siły dobra. I sądzę, że moc, która nią kieruje, czymkolwiek by nie była, wykorzystwała ją, by sprowadzić nas wszystkich właśnie tu, do tego miejsca. Nie wydaje mi się, by ta moc miała nas teraz porzucić i pozostawić samym sobie. Może musimy przedyskutować to wszystko i odebrać tym koszmarom część ich mocy. Może powinniśmy zacząć zastanawiać się, co z nim zrobić. Na pewno nie uda mu się dotrzeć tu następnej wiosny i przejąć naszego miasta, jeśli tylko my wszyscy będziemy czujni, zwarci i gotowi. A teraz chciałbym oddać głos Stu, który poprowadzi dalszą dyskusję.

Jego ostatnie słowa zagłuszyła burza oklasków. Glen z zadowoloną miną wrócił na swoje miejsce. Jak to się mówi: „zagrał na nich jak na skrzypcach...”, a może „tańczyli tak jak im zagrał”?

Nieważne. Gniew przemógł trawiące ich lęki, teraz byli gotowi do walki, mogli przyjąć rzucone im wyzwanie (choć nie był pewien, czy okażą się równie gorliwi w kwietniu przyszłego roku, kiedy po długiej zimie nadejdzie odwilż), ale przede wszystkim byli gotowi do dyskusji.

I rozmawiali przez kolejne trzy godziny. O północy kilka osób opuściło salę, ale była ich garstka. Zgodnie z przewidywaniami Larry'ego dyskusja nie zaowocowała konkretnymi planami, nie określono ich nawet w zarysie. Pojawiło się kilka dość szalonych propozycji – aby wysłać na zachód bombowiec z odpowiednio silnym ładunkiem, zgromadzić własny arsenał nuklearny, zwołać konferencję na szczycie lub nawet posłać przeciwko Flaggowi grupę wyszkolonych zabójców. Rzeczywiście przydatnych pomysłów było jak na lekarstwo.

Przez ostatnią godzinę jedna osoba po drugiej wstawiała i opowiadała swój sen, ku zdawałoby się, nie mającej końca fascynacji pozostałych. To znów przywiodło Redmanowi na myśl spotkania i rozmowy o seksie, w których uczestniczył (głównie jako słuchacz), będąc nastolatkiem.

Glena zdumiała i podbudowała ich narastająca chęć do rozmowy oraz elektryzująca atmosfera ekscytacji i podniecenia, która zastąpiła panujące na początku spotkania znużenie i marazm. Ogromne katharsis, z dawna przez wszystkich oczekiwane, zaczęło się i trwało w najlepsze. Glenowi również przypominało to rozmowy o seksie, choć na nieco inny sposób. Wszyscy oni, skonstatował, zachowywali się jak ludzie, którzy skrywając przez dłuższy czas swoje grzechy i ułomności, kiedy decydują się w końcu wyjawic je na forum publicznym, stwierdzają, iż są one pospolite i znacznie przesadzone. Gdy wewnętrzne lęki zasiane w snach dojrzały wreszcie do żniw podczas tego maratonu otwartej publicznej dyskusji, zgroza stawała się łatwiejsza do zniesienia, a może nawet udałoby się ją pokonać.

Zebranie skończyło się o wpół do drugiej w nocy. Glen wyszedł z sali wraz ze Stu. Po raz pierwszy od śmierci Nicka czuł się naprawdę dobrze. Miał wrażenie, że wszyscy wykonali pierwszy wielki krok ku miejscu, gdzie w bliżej nieokreślonej przyszłości miała rozegrać się ich ostatnia bitwa. Przepelniała go nadzieja.

Piątego września, dokładnie w samo południe, zgodnie z obietnicą Brada w mieście znów włączono prąd.

Syrena przeciwlotnicza na gmachu sądu zawyła przeciągle, a wiele osób, które znajdowały się wówczas na ulicach z sercem w gardle zaczęło unosić wzrok i wypatrywać na niebie samolotów Adwersarza. Niektórzy schronili się w piwnicach, gdzie pozostali aż Brad odnalazł odpowiedni przycisk i wyłączył syrenę. Wówczas zawstydzeni, z rumieńcami na twarzach opuścili swoje kryjówki.

Na Willow wybuchł pożar, lecz tuzin ochotników, członków nowo powstałej straży pożarnej szybko ugasił ogień. Na skrzyżowaniu Broadway i Walnut pokrywa od studzienki

ściekowej wystrzeliła na niemal pięćdziesiąt stóp w górę i wylądowała na dachu sklepu z zabawkami „Kraina Oz” niczym wielka, zardzewiała moneta.

Tego dnia, który odtąd będzie nazywany w Strefie „Dniem Włączenia Prądu”, wydarzył się tylko jeden śmiertelny wypadek. Z bliżej nieokreślonego powodu eksplodował warsztat z częściami samochodowymi znajdujący się na końcu Pearl Street. Rich Moffat siedział akurat w bramie, po drugiej stronie ulicy z butelką Jacka Danielsa w chlebaku, gdy wyrzucony potężnym wybuchem arkusz blachy falistej uderzył w niego, zabijając na miejscu. Richie Moffat nie wybiję już nigdy więcej żadnej szyby.

Stu był z Fran, kiedy świetlówki w izbie szpitalnej, gdzie leżała, rozjarzyły się łagodnym, mlecznym blaskiem. Redman patrzył jak neonówki mrugają raz po raz, aż w końcu przestają gasnąć. Oderwał od nich wzrok dopiero po jakichś trzech minutach, gdy stwierdził, że chyba już nie zgasną. Spojrzał na Frannie. W jej oczach lśniły łzy.

– Fran? Co się stało? Boli cię?

– Pomyślałam o Nicku – odparła. – To niesprawiedliwe, że tego nie doczekał. Że nie może być teraz z nami i oglądać tego wszystkiego. Przytul mnie, Stu. Chcę pomodlić się za niego, choć nie wiem, czy zdołam. Chcę spróbować.

Objął ją i przytulił, ale nie wiedział, czy się modliła tak jak tego chciała. Nagle również jemu zaczęło bardzo brakować Nicka i bardziej niż kiedykolwiek zaczął nienawidzić Harolda Laudera. Fran miała rację. Harold nie tylko zabił Nicka i Sue; pozbawił ich również światła.

– Ciii – powiedział. – Ciii, Frannie.

Płakała. Płakała długo. Kiedy łzy wreszcie wyschły, wcisnęła guzik umożliwiający zmianę położenia łóżka i włączyła lampkę nocną, aby mogła czytać przy jej świetle.

Stu poczuł, że ktoś gwałtownie nim potrząsa, ale upłynęło sporo czasu zanim się obudził. W myślach zaczął powoli przepatrywać długą, zdawałoby się nie mającą końca listę osób, które mogłyby próbować ukraść mu kilka godzin snu. Jego matka mówiąca mu, że pora wstawać, rozpaść ogień pod kuchnią i szykować się do szkoły. Manuel, wykidajło, w tym taniem, parszywym burdelu w Nuevo Laredo oznajmiający, że wykorzystał już swoje dwadzieścia dolców i jeśli chce zostać na resztę nocy, musi zapłacić jeszcze dwadzieścia. Pielęgniarka w białym kombinezonie, który chciał pobrać mu krew i wymaz z gardła. Frannie.

Randall Flagg.

Ostatnie nazwisko podziało na niego jak kubeł zimnej wody. To nie był nikt z nich. Obudził go Glen Bateman. Przy jego nodze warował Kojak.

– Ciężko cię obudzić, Teksaszczyku – rzekł Glen. – Masz kamienny sen.

Mężczyzna był prawie niewidoczny w panujących w pokoju ciemnościach.

– Cóż, mogłeś przynajmniej zapalić światło.

– Wiesz co, zupełnie zapomniałem.

Stu zapalił lampkę, zmrużył oczy w silnym, żółtym świetle, po czym zerknął na stojący na stoliku budzik. Była za kwadrans trzecia.

– Co ty tu robisz, Glen? Gdybyś przez przypadek nie zauważył, właśnie smacznie spałem.

Odstawił budzik i dopiero teraz przyjrzał się uważnej twarzy Glena. Mężczyzna był blady, wydawał się przerażony i... wyglądał staro. Na jego twarzy widniały głębokie zmarszczki, oczy miał podkrążone i zapadnięte.

– O co chodzi?

– Matka Abigail – rzekł półgłosem Glen.

– Nie żyje?

– Boże dopomóż, niemal żałuję, że tak się nie stało. Ocknęła się. Chce nas widzieć.

– Nas dwóch?

– Naszą piątkę. Ona... – Jego głos stał się ochrypły, gardłowy. – Wiedziała o śmierci Nicka i Susan, i że Frannie jest w szpitalu. Nie wiem skąd, ale wiedziała.

– I chce się spotkać z komisją?

– Z tymi, którzy z niej pozostali. Matka Abigail umiera i twierdzi, że ma nam coś ważnego do powiedzenia. Nie wiem, Stu, czy chcę to usłyszeć.

Noc była zimna, nie chłodna, lecz właśnie zimna. Stu cieszył się, że wyjął z szafy kurtkę, założył ją, a teraz zapiął pod samą szyję. Na niebie wisiał mroźny księżyc, którego widok przypomniał mu o Tomie mającym z nadejściem pełni wrócić do Strefy, aby złożyć im raport. Księżyc był tuż po pierwszej kwadrze. Bóg jeden wiedział, gdzie ów księżyc odnajdywał tej nocy Toma Cullena, Daynę Jurgens i Sędziego Farrisa. Bóg jeden wiedział, jakie osobliwe przygotowania toczyły się na zachodzie przy blasku tego księżycyca.

– Najpierw powiadomiłem Ralpha – rzekł Glen. – Powiedziałem mu, żeby pojechał do szpitala i przywiózł Fran.

– Gdyby lekarz chciał, żeby wstała z łóżka albo szwendła się po nocy, odesłałby ją do domu – warknął gniewnie Stu.

– To szczególny przypadek, Stu.

– Jak na kogoś, kto nie ma ochoty usłyszeć, co ma nam do powiedzenia nasza staruszka, dziwnie ci do niej spieszo.

– Boję się, co mogłoby się stać, gdybym zachowywał się opieszale – odparł Glen.

Jeep zatrzymał się pod domem Larry'ego dokładnie dziesięć po trzeciej. W domu paliło się światło, nie lampy naftowe, tylko zwykłe, elektryczne. Działała również co druga latarnia uliczna, nie tylko tutaj, lecz w całym mieście. Stu jadący autem Glena, przez całą drogę przyglądał się im z nie skrywaną fascynacją. Ostatnie letnie owady, ociążałe z zimna, objęły się afektowaniem o klosze sodowych latarni.

Wysiedli z jeepa i w tej samej chwili zza rogu wyjechał samochód z włączonymi światłami. Była to stara, rozklekotana ciężarówka Ralpha. Wóz zatrzymał się tuż obok jeepa. Ralph wysiadł z szoferki, a Stu szybko podszedł do kabiny z drugiej strony, gdzie Frannie siedziała, opierając się plecami o kraciastą, miękką poduszkę.

– Cześć, maleńka – rzekł łagodnym tonem.

Ujęła go za rękę. Jej twarz była w ciemnościach białą, rozmytą plamą.

– Bardzo boli? – zapytał Stu.

– Nie bardzo. Łyknęłam kilka tabletek advil. Tylko nie każ mi czasem robić mostka albo tańczyć hula.

Pomógł jej wysiąść z szoferki. Ralph ujął ją za drugą rękę. Obaj zauważyli, że Fran, wysiadając, wyraźnie się skrzywiła.

– Mam cię wziąć na ręce?

– Dam radę. Obejmij mnie tylko, dobrze?

– Jasne. Z wielką chęcią.

– I nie idź zbyt szybko. My, starsze panie, chodzimy powolutku.

Wolno obeszlili ciężarówkę Ralpha. Gdy znaleźli się przy chodniku, Stu ujrzał stojących w progu i obserwujących ich Glena oraz Larry’ego. Na tle oświetlonego pomieszczenia wyglądali jak sylwetki wycięte z czarnego kartonu.

– Jak sądzisz, o co może chodzić? – zapytała Frannie.

– Nie wiem – odparł Stu, kręcąc głową.

Ruszyli w stronę domu. Fran bardzo cierpiała, Ralph pomógł Stu ją odprowadzić.

Larry, tak jak Glen wydawał się pobladły i zatroskany. Nosił sprane dzinsy, wyłożoną na spodnie wełnianą koszulę, którą źle zapiął u dołu, a na bosych stopach drogie mokasyny.

– Cholernie mi przykro, że wyrwałem was z łóżek – powiedział. – Byłem przy niej, siedziałem w sypialni, przysypiając od czasu do czasu. Czuwanie. Wiecie, o co mi chodzi?

– Tak. Wiemy – odparła Frannie. Z jakiejś przyczyny „czuwanie” skojarzyło się jej z salonikiem matki... choć w znacznie łagodniejszym, bardziej pobłażliwym świetle niż kiedykolwiek dotąd.

– Lucy położyła się jakąś godzinę wcześniej. Nagle przebudziłem się i... Fran, mogę ci jakoś pomóc?

Fran pokręciła głową i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Nie. Nic mi nie jest. Mów dalej.

– ...i ona na mnie patrzyła. Mówi jedynie szeptem, ale bez trudu można ją zrozumieć. – Larry przełknął ślinę. Cała piątka stała teraz w korytarzu. – Powiedziała, że Pan zabierze ją do siebie o wschodzie słońca. Najpierw jednak musi porozmawiać z tymi spośród nas, których Bóg nie przywołał do siebie wcześniej. Zapytałem, co chce przez to powiedzieć, a ona odrzekła, że Bóg zabrał do siebie Nicka i Susan. WIEDZIAŁA o tym. – Westchnął przeciągle i przeczesał palcami długie włosy.

Na końcu korytarza pojawiła się Lucy.

– Zaparzyłam kawę. Powiedzcie, kiedy będziecie chcieli.

– Dziękuję, kochanie – rzekł Larry.

– Czy mogę wejść tam z wami? A może to prywatne spotkanie, jak te wasze wcześniejsze tajne zebrania? – Na twarzy Lucy malowała się niepewność.

Larry spojrział na Stu, a ten odrzekł półgłosem:

– Chodź z nami. Wydaje mi się, że to i tak już niczego nie zmieni.

Przeszli wzdłuż korytarza do sypialni. Szli wolno, aby Fran się nie przemęczała.

– Ona nam powie – rzekł nagle Ralph. – Matka nam powie. Nie ma potrzeby się bać.

Weszli do sypialni i poczuli na sobie pogodny wzrok rozpromienionej, konającej Matki Abigail.

Fran wiedziała o stanie, w jakim była obecnie staruszka, ale i tak na jej widok niemal przeżyła szok. Z Murzynki nie zostało nic, za wyjątkiem twardej jak pemmikan membrany skóry i mięśni opinających jej kości. W pokoju nie czuć było nawet smrodu zepsucia i zbliżającej się śmierci, powietrze przesycone było jedynie suchą wonią poddasza... nie, SALONIKU. Z jej ciała wystawała połowa igły do kroplówki, gdyż po prostu nie miała się w czym zagłębić.

A jednak oczy kobiety pozostały nie zmienione. Wciąż były łagodne, ludzkie i promieniały ciepłem. To mogło stanowić pewną ulgę, ale Fran mimo to czuła pewien niepokój, nie zgrozę, lecz raczej coś bardziej podniosłego i głębszego, świątobliwy strach. Czy to był strach? Uczucie nadciągającego zagrożenia. To nie było zagubienie, a jedynie jakaś potworna odpowiedzialność wisząca nad ich głowami niczym wielki głaz.

„Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”.

– Usiądź, mała dziewczynko – wyszeptwała Matka Abigail. – Ty cierpisz.

Larry podprowadził ją do fotela, Fran usiadła odetchnąwszy przy tym z ulgą, choć wiedziała, że po pewnym czasie nawet siedzenie zacznie jej sprawiać ból.

Matka Abigail wciąż przyglądała się jej swymi żywymi, błyszczącymi oczami.

– Jesteś brzemienna – wyszeptwała.

– Tak... skąd...

– Ciii...

W pokoju zapadła głęboka cisza. Fran z fascynacją jak zahipnotyzowana spoglądała na kobietę, która pojawiła się w ich snach na długo przed tym, nim ujrzeli ją na jawie.

– Wyjrzyj przez okno, mała dziewczynko.

Fran odwróciła się do okna, przy którym dwa dni temu stał Larry i patrzył na zgromadzonych na ulicy ludzi. Nie ujrzała napierającej na szybę ciemności, lecz spokojne, delikatne światło. Patrzyła na słabe, lekko zniekształcone odbicie pokoju; był dzień. Poranek. Miała przed sobą odbicie słonecznego, szpitalnego pokoju dziecięcego z poruszonymi

wiatrem, kraciastymi zasłonami. Było tam łóżeczko – puste. I kojec – również pusty. Obrotowymi, plastikowymi motylami poruszał wiatr. Lęk zacisnął swe zimne dłonie wokół jej serca. Inni dostrzegli to na jej twarzy, choć nie wiedzieli, co było tego przyczyną. Za oknem widzieli jedynie fragment trawnika oświetlony blaskiem latarni.

– Gdzie jest dziecko? – zapytała ochryple Fran.

– Stuart nie jest ojcem dziecka, mała dziewczynko. Ale jego życie jest w rękach Stuarta i Boga. Ten koleś będzie miał czterech ojców. Oczywiście jeśli Bóg pozwoli mu w ogóle zaczerpnąć tchu.

– Jeśli pozwoli...

– Bóg nie pozwolił mi tego dojrzeć – wyszeptwała.

Pusta sala noworodków zniknęła. Fran ujrzała tylko ciemność. Lęk zacisnął swe dłonie w pięści, pomiędzy nimi zaś biło jej serce.

Matka Abigail wyszeptwała:

– Posłaniec złego wezwał swą oblubienicę i zamierza ją zapłodnić. Czy pozwoli twemu dziecku żyć?

– Przestań – jęknęła Frannie. Ukryła twarz w dłoniach.

W pokoju zapadła cisza. Oblicze Glena wyrażało głęboką konsternację i zamyślenie. Prawą ręką Lucy wodziła w górę i w dół po kołnierzu szlafroka. Ralph trzymał w dłoniach kapelusz, skubiąc od niechcenia zatknięte za wstążkę piórko. Stu spojrzał na Frannie, ale nie podszedł do niej. Nie teraz. Pomyślał o kobiecie, która podczas zebrania na wzmiankę o mrocznym mężczyźnie przyłożyła dłonie do ust, oczu i uszu.

– Matka, ojciec, żona, mąż – wyszeptwała Matka Abigail. – Mają przeciwko sobie Księcia Wysokości, władcę mrocznych poranków. Zgrzeszyłam pychą. Podobnie jak i wy wszyscy. Czy nie mówiono wam, byście nie pokładali wiary we władców i książęta tego świata?

Patrzyli na nią w milczeniu.

– Stu, prąd, światło elektryczne to nie jest odpowiedź. Ralph, powinieneś wiedzieć, że nie jest nią również radio CB. Socjologia nie położy temu kresu, Glen. Larry, nic nie wskórasz, czyniąc pokutę za życie, które jest już od dawna zamkniętą księgą. Twój chłopiec także tego nie powstrzyma, Fran. Wszedł zły księżyc. W oczach Boga nie działaliście nic. Zupełnie.

– Spojrzała na nich, przenosząc wzrok od jednej twarzy do drugiej. – Bóg postąpi tak jak uzna za stosowne. Nie jesteście garncarzami, lecz gliną. Może człowiek z zachodu jest kołem garncarskim, na którym zostaniecie złamani. Nie mnie o tym sądzić. Nie mogę tego wiedzieć.

Z jej lewego oka wypłynęła łza, zdumiewająca na tej dogorywającej pustyni, i spłynęła po policzku.

– Co powinniśmy zrobić, Matko? – zapytał Ralph.

– Przybliżcie się wszyscy. Mój czas dobiega końca. Idę do domu Pana mego i nigdy żaden człowiek nie był tak przygotowany na tę chwilę, jak ja teraz. Podejdźcie do mnie.

Ralph usiadł na brzegu łóżka. Larry i Glen stanęli w jego nogach. Fran wstała, krzywiąc się, a Stu przystawił jej krzesło, by usiadła obok Ralpa. Ponownie usadowiła się na krześle i ujęła jego dłoń swoimi zimnymi palcami.

– Bóg nie przywiódł tutaj was wszystkich, abyście formowali komisje ani tworzyli społeczności – powiedziała. – Sprowadził was tu, by posłać was dalej, na dalszą wędrówkę. Pragnie, byście podjęli próbę i unicestwili Mrocznego Księcia, Człowieka Odległych Mil.

Przedłużająca się cisza. I szept, cichy szept Matki Abigail.

– Sądziłam, że to Nick ma was poprowadzić, ale On zabrał go do siebie... chociaż nie całkiem; wydaje mi się, że Nick jeszcze nie odszedł zupełnie. Zatem ty musisz ich poprowadzić, Stuart. A jeśli Jego wolą będzie, aby przywołać i ciebie, ty będziesz musiał przejąć prowadzenie, Larry. A gdyby zabrał Larry'go, jego funkcję przejmie Ralph.

– Chyba nie bardzo rozumiem – rzucił Glen. – O co tu...?

– Poprowadzić ich? – zapytała lodowatym tonem Fran. – Poprowadzić? Ale dokąd?

– Jak to dokąd? Na zachód, mała dziewczynko – odparła Matka Abigail. – Na zachód. Ale ty nie pójdziesz z nimi. Tylko oni czterej.

– Nie! – Mimo bólu zerwała się z miejsca. – O czym ty mówisz? Że oni czterej mają oddać się w jego ręce? Serce, dusza i kręgosłup Wolnej Strefy? – Jej oczy płonęły ogniem. – Aby mógł ich ukrzyżować, a następnego lata zjawić się tu i wyróżnić nas wszystkich? Nie pozwolę, aby mój mężczyzna poświęcił się na ofiarę dla twojego morderczego Boga. Pieprzę Go.

– Frannie! – zawołał Stu.

– Zabójczy Bóg! ZABÓJCZY BÓG! – wybuchnęła. – Miliony, może nawet MILIARDY zginęły podczas pomoru. I kolejne miliony już po ustaniu plagi. Nie wiemy nawet, czy nasze dzieci przeżyją. Czy On jeszcze nie skończył? Ma zamiar mordować dalej, dopóki Ziemi nie odziedziczą szczury i karaluchy? To nie Bóg. To demon, a ty jesteś Jego wiedźmą.

– Przestań, Frannie.

– Nie ma sprawy, już skończyłam. Chcę stąd wyjść. Zabierz mnie do domu, Stu. Nie do szpitala, tylko do naszego domu.

– Najpierw wysłuchamy, co Matka ma nam do powiedzenia.

– Świetnie. Wysłuchaj jej za nas oboje, ja wychodzę.

– Mała dziewczynko.

– NIE NAZYWAJ MNIE TAK!

Jej dłoń wyprysnęła nagle do przodu, chwytając Frannie za nadgarstek. Fran zeszytywniała. Zamknęła oczy. Odchyliła głowę do tyłu.

– Nie. N-n-n-nie... O, BOŻE... STU...

– Ejże! Ejże! – zawołał Stu. – Co ty jej robisz?

Matka Abigail nie odpowiedziała. Chwila przeminęła, choć zdawała się trwać całą wieczność. Staruszka puściła rękę Fran.

Powoli, jakby lekko oszołomiona, Frannie zaczęła rozmasowywać nadgarstek ściśnięty przez Matkę Abigail, choć na skórze nie pozostał nawet najlżejszy ślad. Nagle jej oczy rozszerzyły się ze zdumieniem.

– Zniknął – wymamrotała Fran.

– O czym... ona mówi? – Stu rozejrzał się dokoła, wodząc wzrokiem po twarzach pozostałych. Był zupełnie zbity z tropu.

Glen tylko pokręcił głową; Twarz miał pobladłą z przejęcia, ale wyraz niedowierzania, który zwykle się na niej malował, zniknął.

– Ból... Ból w plecach, w całym ciele. Nie ma go. – Spojrzała na Stu zdezorientowana. – Już nic mnie nie boli. Zupełnie. Zobacz. – Pochyliła się i delikatnie raz i drugi dotknęła palców stóp. A potem schyliła się po raz trzeci i, nie zginając kolan, dotknęła podłogi całymi dłońmi.

Wyprostowała się i spojrzała Matce Abigail prosto w oczy.

– Czy w ten sposób twój Bóg chce mnie przekupić? Bo jeśli tak, jeśli chce w ten sposób zrekompensować mi utratę Stu, wołę żeby zesłał na mnie wszystkie ból tego świata. Niech mi odda mój ból, nie dam się przekupić.

– Bóg nie posługuje się przekupstwem, dziecino – wyszeptała Matka Abigail. – On po prostu daje znak i pozwala ludziom, by sami zdecydowali, co mają z tym robić dalej. Mają wolną wolę i sami mogą decydować.

– Stu nie pójdzie na zachód – powiedziała Fran, ale wydawała się mocno zdeprymowana i wystraszona.

– Usiądź – rzekł Stu. – Wysłuchamy, co Matka chce nam powiedzieć.

Fran usiadła wstrząśnięta, pełna niedowierzania, zagubiona. Delikatnie dotknęła dłońmi jeszcze niedawno bolących pleców.

– Pójdziecie na zachód – wyszeptała Matka Abigail. – Nie zabierzecie ze sobą jedzenia ani wody. Pójdziecie jeszcze dziś, tak jak tu stoicie. Pójdziecie pieszo. Wyjawiono mi, że jeden z was nie dotrze do celu, ale nie wiem, który. Nie wiem, kto z was upadnie. Wiem natomiast, że pozostali trafią przed oblicze tego, którego nazywają mrocznym człowiekiem, Randalla Flagga, choć w rzeczywistości nie jest on człowiekiem lecz istotą nadprzyrodzoną. Nie wiem, czy wołę Boga jest byście go pokonali. Nie wiem, czy wołę Boga jest, byście jeszcze kiedykolwiek ujrzeli Boulder. Nie mnie o tym rozsądzać. Te rzeczy nie zostały mi wyjawione. Adwersarz jest obecnie w Las Vegas i tam właśnie musicie się udać i tam też przyjdzie wam się z nim zmierzyć. Wyruszyście w drogę i będziecie niezłomni niczym Bastion, ponieważ ramieniem swoim wspierać was będzie Pan Nasz, Bóg Wszechmogący. Z Bożą pomocą stawicie czoła Złemu. Jesteście naszym Bastionem. – Pokiwała głową. – To wszystko. Powiedziałam, co miałam powiedzieć.

– Nie – wyszeptała Fran. – To niemożliwe.

– Matko – wychrypiał Glen. Odchrząknął. – Matko, nie bardzo to wszystko rozumiemy, jeśli wiesz o co nam chodzi. Nie otrzymaliśmy jak ty... łaski błogosławieństwa i bliskości z istotą, która to wszystko kontroluje, czymkolwiek by ona nie była. To dla nas niepojęte. Nie wiemy, co z tym począć. Fran ma rację. Najprawdopodobniej jeśli podążymy na zachód, zostaniemy zabici przez pierwszy napotkany po drodze oddział straży Flagga.

– Czyżbyś był tak ślepy? Nie widziałeś, jak Bóg za moim pośrednictwem uleczył Fran z jej dolegliwości? Czy sądzisz, że jest Jego zamiarem, byście zginęli z rąk któregoś z pomniejszych sług Mrocznego Księcia?

– Ale, Matko...

– Nie. – Uniosła dłoń w górę, uciszając go. – Nie jest moim zadaniem sprzeczać się z tobą czy próbować przekonywać, mam jedynie przekazać ci szczegóły Bożego Planu byś mógł go zrozumieć. Posłuchaj, Glen.

Nagle z ust Matki Abigail popłynął głos Glena, to przeraziło ich wszystkich i sprawiło, że Fran z cichym, stłumionym krzykiem przytuliła się do Stu.

– Matka Abigail nazywa go Sługą Szatana – oznajmił ten mocny, męski głos rodzący się gdzieś w zapadniętej piersi staruszki i wypływający z jej bezzębnych ust. – Może jest on po prostu ostatnim magiem racjonalnego myślenia, gromadzącym przeciwko nam wytwory współczesnej technologii. Może jest czymś więcej, czymś znacznie mroczniejszym. Wiem tylko, że on istnieje. I nie uważam już, by socjologia, psychologia czy jakakolwiek inna nauka mogła go powstrzymać. Sądzę, że może tego dokonać jedynie biała magia.

Glen otworzył ze zdumienia usta.

– Czy to prawda czy jedynie stek kłamstw? – spytała Matka Abigail.

– Nie wiem, czy to prawda, wiem tylko, że to mój głos – odparł drżąco Glen.

– Ufajcie Bogu. Wy wszyscy: Larry... Ralph... Stu... Glen... Frannie. Zwłaszcza ty, Frannie. Ufajcie Bogu... i bądźcie posłuszni Jego słowu.

– A mamy jakiś wybór? – zapytał Larry z goryczą w głosie.

Odwróciła się zaskoczona, by na niego spojrzeć.

– Wybór? On jest zawsze. Taka jest wola Boża, by w każdej sytuacji istniała alternatywa. Zawsze tak było i zawsze będzie. Wszyscy posiadamy wolną wolę. Możecie postępować jak zechcecie. Nie jesteście spętani kajdanami. Ale... tego właśnie chce od was Bóg.

Znów zapadła głęboka cisza. W końcu to Ralph ją przerwał.

– W Biblii napisane jest, że Dawid pokonał Goliata – rzekł z przejęciem. – Matko, skoro mówisz, że tak powinno być i że to jest słuszne, to ja się zgadzam.

Ujęła go za rękę.

– Ja też – powiedział Larry. – Niech będzie. Zgadzam się. – Westchnął i przyłożył dłoń do czoła, jakby nagle rozboleła go głowa.

Glen otworzył usta, aby coś powiedzieć i w tej samej chwili z kąta pokoju dobiegł głuchy łomot.

To Lucy, o której wszyscy zapomnieli. Lucy Swann zemdląca.

Świt dotknął krawędzi świata.

Siedzieli w domu Larry'ego przy stole kuchennym, popijając kawę. Za dziesięć piąta Fran stanęła w drzwiach. Twarz miała napuchniętą od łez, ale szła, nie utykając. Została rzeczywiście wyleczona.

– Sądzę, że to już – powiedziała. – Ona umiera.

Weszli do sypialni. Larry obejmował ramieniem Lucy.

Oddech Matki Abigail brzmiał teraz ciężko, głucho i ochryple jak oddech chorego na supergrypę. Zebrali się bez słowa wokół jej łóżka, przejęci i przerażeni. Ralph był pewien, że koniec końców tuż przed jej odejściem wydarzy się coś niezwykłego, jakiś cud, który unaocznia im wszechpotężną moc Stwórcy. Matka Abigail odejdzie w błysku światła, zostanie wzięta do Nieba. Albo zobaczą jej duszę w postaci świetlistej sylwetki pod wpływającej do okna i unoszącej się bezgłośnie w niebiosach.

Ale okazało się, że Matka umarła całkiem zwyczajnie. Nie było w tym nic niezwykłego.

Zaczerpnęła oddech jak czyniła to miliony razy, lecz było to jej ostatnie tchnienie. Pierś staruszki już się więcej nie uniosła.

– Umarła – wymamrotał Stu.

– Boże, ulituj się nad jej duszą – powiedział już bez lęku Ralph.

Skrzyżował jej dłonie na wychudłym, zapadniętym łonie i zrosił je gorącymi łzami.

– Pójdę z wami – rzekł nagle Glen. – Ona miała rację. Biała magia. To wszystko, co pozostało.

– Stu – wyszeptała Frannie. – Proszę, Stu, powiedz, że nie pójdziesz.

Wszyscy spojrzeli na niego.

„Teraz ty musisz ich poprowadzić, Stuarcie”.

Pomyślał o Arnette, o starym aucie z Charlesem D. Campionem i jego zabójczym ładunkiem w środku, uderzającym w dystrybutory na stacji benzynowej Billa Hapscomba niczym podstępna puszcza Pandory. Pomyślał o Denningerze, Deitzu i o tym, jak w myślach kojarzył ich z uśmiechniętymi lekarzami, którzy oszukiwali go w sprawie stanu zdrowia jego żony i może również oszukiwali samych siebie. Przede wszystkim jednak pomyślał o Frannie. I o słowach Matki Abigail mówiącej: „Tego właśnie chce od was Bóg”.

– Frannie – powiedział. – Muszę iść. Po prostu muszę.

– I umrzeć. – Spojrzała na niego gniewnie, niemal z nienawiścią, a potem na Lucy, jakby oczekiwała z jej strony poparcia. Lucy jednak wydawała się nieobecna, zamyślona. Nie mogła jej pomóc.

– Jeśli my nie pójdziemy, umrzemy wszyscy – rzekł Stu, poszukując w myślach odpowiednich słów. – Ona miała rację. Jeśli będziemy zwlekać, miną kolejne dni i miesiące, a potem przyjdzie wiosna. I co wtedy? Jak mielibyśmy go pokonać? Nie mamy pojęcia. Po

prostu nie wiemy. Nigdy tego nie wiedzieliśmy. My również chowaliśmy głowy w piasek. Nie możemy go pokonać innym sposobem niż ten, o którym wspomniał Glen. Z pomocą białej magii. Albo mocy Bożej.

Zapłakała gorzkimi łzami.

– Nie, Frannie, przestań – powiedział, usiłując wziąć ją za rękę.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła mu prosto w twarz. – Jesteś już trupem, już nie żyjesz, więc nawet nie waż się mnie dotykać!

Stali w milczeniu wokół łóżka, podczas gdy za oknem słońce wolno pięło się na nieboskłon.

Okolo godziny jedenastej Stu i Frannie udali się na Flagstaff Mountain. Zaparkowali w połowie stoku. Stu przywiózł kosz piknikowy, a Frannie obrus i butelkę blue nun. Pomysł z piknikiem pochodził od niej, ale zarówno on jak i ona od chwili wyjazdu z miasta byli małomówni i przygaszeni.

– Pomóż mi rozłożyć obrus – powiedziała. – Uważaj, żeby nie nasypało się gałązek i szpilek.

Znajdowali się na małej, lekko pochyłej łączce, tysiąc stóp poniżej Amfiteatru Sunrise. Daleko w dole rozciągało się Boulder, spowite oparami niebieskawej mgły. Lato powróciło. Dzień znów był ciepły. Słońce prażyło, w trawie cykały świerszcze. Pasikonik wyskoczył w górę, a Stu pochwyił go zwinnym ruchem prawej ręki. Czuł jak owad porusza się pomiędzy jego palcami, wystraszony i zdezorientowany.

– Spluń, a pozwolę ci odejść – powiedział słowa, których nauczył się w dzieciństwie i uniósł wzrok, by ujrzeć Fran uśmiechającą się smętnie do niego. Odwróciła się z gracją i splunęła. Na ten widok coś ukłuło go pod sercem.

– Fran...

– Nie, Stu. Nie mówmy o tym. Nie teraz.

Rozłożyli czysty, biały obrus zabrany przez Fran z hotelu Boulderado (Stu nie mógł nadziwić się, z jaką zwinnością i lekkością się poruszała, a przecież jeszcze niedawno nawet nie mogła się schylić, tak bardzo bolał ją krzyż), po czym Frannie ułożyła na nim ich piknikowy lunch: miskę sałatki, kanapki z szynką, butelkę wina i szarlotkę na deser.

– Dziękujemy ci, Panie, za te dary, które dziś wspólnie spożywać będziemy, amen – powiedziała.

Usiadł obok niej. Wziął do ręki kanapkę, skosztował również sałatki. Nie był głodny. Czuł się wewnętrznie rozdarty. Ból był potworny, lecz pomimo tego zabrał się do jedzenia.

Kiedy oboje zjedli kanapki i spałaszowali prawie całą sałatkę – świeże warzywa były wprost przepyszne – na deser mieli jeszcze szarlotkę, którą zjedli po kawałku.

– Kiedy wyruszacie? – spytała jakiś czas później Frannie.

– W południe – odparł. Zapalił papierosa, osłaniając płomyk zapalniczki złożonymi dłońmi.

– Ile wam zajmie dotarcie na miejsce?

Wzruszył ramionami.

– Pieszo? Nie wiem. Glen nie jest już najmłodszy. Podobnie zresztą jak Ralph. Jeśli będziemy pokonywać średnio trzydzieści mil dziennie, powinniśmy być u celu mniej więcej pierwszego października.

– A jeśli w górach wcześniej spadnie śnieg? Albo w Utah?

Wzruszył ramionami, nie odrywając od niej wzroku.

– Jeszcze wina? – zapytał.

– Nie. Mam od tego zgagę. Zawsze.

Fran nałapała sobie do kieliszka i wypła duszkiem.

– Czy ona była Głosem Boga? Jak myślisz, Stu?

– Nie wiem, Frannie.

– Śniliśmy o niej i okazało się, że ona istnieje. Wiesz co, Stu, to wszystko jest częścią jakiejś beznadziejnie głupiej gry. Znasz Księgę Hioba?

– Nigdy nie przepadałem za Biblią. Raczej rzadko do niej zaglądałem.

– Moja matka odwrotnie. Uważała, że to bardzo ważne, byśmy ja z moim bratem Fredem byli wychowani w duchu religijności i umiłowania Boga. Nigdy nie powiedziała, dlaczego. Zawsze umiałam odpowiedzieć na wszystkie pytania z tematów religijnych w teleturnieju „Va Banque”. Pamiętasz „Va Banque”, Stu?

Uśmiechając się krzywo, zanucił melodyjkę ze wspomnianego teleturnieju.

– Właśnie. Tylko że w tym teleturnieju wszystko było na odwrót. Do odpowiedzi trzeba było przypasować pytanie. Jeżeli chodzi o Boga, znałam je wszystkie. Hiob był obiektem zainteresowania Boga i Szatana. Uczynili oni zakład. Szatan rzekł: „Oczywiście, że oddaje Ci cześć, ale to mięczak. Gdybym dał mu w kość dostatecznie mocno, nadejdzie taki dzień, gdy w końcu odwróci się od Ciebie”. Bóg przyjął zakład. I wygrał. – Uśmiechnęła się smętnie. – Bóg zawsze wygrywa. Założę się, że jest fanem Boston Celtics.

– Może to i jest zakład – odparł Stu – ale tu chodzi o życie tych wszystkich ludzi, tam, w dole. I tego małego, który jest w tobie. Jak ona o nim powiedziała? „Koleś”?

– Nawet mi nie obiecała, że on przeżyje – jęknęła Fran. – Myślę, że gdyby to zrobiła... byłoby mi łatwiej... choć trochę... pozwolić ci odejść.

Stu nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Cóż, już prawie południe – powiedziała Fran. – Pomóż mi się spakować.

Niedojezdzony lunch trafił do koszyka piknikowego wraz z obrusem i resztką wina. Stu spojrzął na miejsce, gdzie przed chwilą siedzieli, na garść okruchów świadczących o ich pobycie tutaj i pomyślał, że niedługo, kiedy zajmą się nimi ptaki, nie pozostanie po nich nawet ślad. Kiedy uniósł wzrok, stwierdził, że Frannie patrzy na niego i płacze. Podszedł do niej.

– Już dobrze. To tylko cięża. Stale tak się rozklejam. Nic na to nie poradzę.

- Nie szkodzi.
- Stu, kochaj się ze mną.
- Teraz? Tutaj?
- Pokiwała głową i lekko się uśmiechnęła.
- Będzie dobrze. Musimy tylko uważać na gałązki i szpilki.
- Znów rozłożyli obrus.

Przy Baseline kazała mu zatrzymać się przy ruinach domu, gdzie jeszcze cztery dni temu mieszkali Ralph i Nick. Cała tylna ściana budynku przestała istnieć. Podwórze za domem usłane było gruzami. Na zniszczonym żywopłocie wisiał fragment roztrzaskanego zegara. Opoдал leżała kanapa, która przygniotła Frannie. Na schodach przy tylnym wejściu widać było ślady zakrzepłej krwi. Spojrzała na nie ze zgrozą.

- Czy to krew Nicka? – zapytała. – Czy to możliwe?
- Frannie, o co ci chodzi? Dlaczego o to pytasz? – rzucił niepewnie Stu.
- Czy to jego krew?
- Jezu, nie wiem. Być może.
- Dotknij jej, Stu. Połóż dłoń na tej plamie.
- Frannie, czyś ty oszalała?

Na jej czole pojawiła się cienka pionowa kreska oznaczająca głęboką determinację. Stu zauważył ją po raz pierwszy w New Hampshire.

- Połóż na niej rękę!

Stu z pewnym wahaniem przyłożył dłoń do brązowego śladu. Nie wiedział, czy była to krew Nicka (podejrzewał, że raczej nie), ale gdy to uczynił, ogarnęło go osobliwe, niewytłumaczalne uczucie lęku. Ciarki przeszły mu po plecach.

- A teraz przysięgnij, że wrócisz.

Stopień był w tym miejscu jakby trochę za ciepły, i Stu chciał oderwać od niego rękę.

- Fran, jak mogę...

- Bóg nie może kontrolować tego wszystkiego! – syknęła. – Wiele, ale nie wszystko.

Przysięgnij, Stu, przysięgnij i to już!

- Przysięgam, że spróbuję, Frannie.
- To chyba będzie nam musiało wystarczyć, prawda?
- Musimy teraz wpaść jeszcze po Larry'ego.
- Wiem. – Przytuliła go najmocniej jak mogła. – Powiedz, że mnie kochasz.
- Wiesz, że cię kocham.
- Wiem, ale powiedz to. Chcę to usłyszeć.

Ujął ją za ramię.

- Kocham cię, Fran.

– Dziękuję – powiedziała i przytuliła policzek do jego ramienia. – Chyba teraz mogę się już z tobą pożegnać. I pozwolić ci odejść.

Jeszcze przez dłuższą chwilę stali przytuleni na podwórzu, za ruinami starego domu.

ROZDZIAŁ 60

Fran i Lucy obserwowały pozbawiony dramatyzmu początek ich wyprawy ze schodów przed domem Larry'ego. Czterej mężczyźni stali przez kilka minut na chodniku, bez plecaków, śpiworów i ekwipunku... dokładnie tak jak im poleciła Matka Abigail. Wszyscy mieli na nogach grube buty do pieszych wędrówek.

- Żegnaj, Larry – powiedziała Lucy. Była śmiertelnie blada.
- Pamiętaj, Stuart – odezwała się Fran. – Pamiętaj, co obiecałeś.
- Będę pamiętał.

Glen zagwizdał na palcach. Po chwili podbiegł do niego Kojak. Pies do tej pory węszył zawzięcie przy pobliskiej studziencie ściekowej.

– No, to w drogę – rzekł Larry. On również był blady jak Lucy i miał dziwnie rozszerzone, niemal błyszczące oczy. – Zanim się całkiem rozkleję.

Stu posłał Fran całusa. Ostatni raz robił to, będąc jeszcze w podstawówce, gdy matka odprowadzała go do autobusu. Fran pomachała do niego. Łzy znów zaczęły napływać jej do oczu i choć piekły żywym ogniem, nie pozwoliła im wypłynąć. Ruszyli. Po prostu odeszli. Tak zwyczajnie. Byli już w połowie ulicy. Gdzieś nieopodal zaświergotał ptak. Słońce świeciło przyjemnie. Był ciepły, zdawałoby się spokojny, sielski dzień. Dotarli do końca ulicy. Stu odwrócił się i pomachał raz jeszcze. Larry również. Fran i Lucy odmachwały im. Przeszli przez ulicę. Po chwili zniknęli im z oczu. Już nie było ich widać. Lucy była prawie chora z żalu, strachu i przygnębienia.

- Boże kochany – powiedziała.
- Wejdźmy do środka – zaproponowała Fran. – Mam ochotę na herbatę.

Weszły do domu. Fran wstawiła wodę na herbatę. Rozpoczęło się czekanie.

Czterej mężczyźni wędrowali przez resztę popołudnia na południowy zachód w niemal całkowitym milczeniu. Szli w stronę Golden, gdzie mieli spędzić dzisiejszą noc. Minęli zbiorowe mogiły – już trzy – a około czwartej, kiedy cienie poczęły się za nimi wydłużać, a upał słonecznego dnia zaczął nieśmiało słabnąć, dotarli do tablicy oznaczającej granicę miasta na południowym skraju Boulder. Przez chwilę Stu czuł, że każdy z nich miał ochotę obrócić

się na pięcie i wrócić do miasta. On również był tego bliski. Przed nimi czyhały mrok i śmierć. Za sobą pozostawiali odrobinę ciepła i miłości.

Glen wyjął z tylnej kieszeni spodni bandanę, złożył ją i zawiązał sobie wokół czoła.

– Rozdział czterdziesty trzeci. Łysy socjolog zakłada na czerep opaskę – rzekł pustym, beznamiętnym głosem.

Kojak był już poza granicą Golden i radośnie biegał po łące pośród polnych kwiatów.

– Wiecie co – westchnął Larry prawie ze smutkiem. – Mam wrażenie, jakby to był koniec wszystkiego.

– Tak – mruknął Ralph. – Też to czuję.

– Czy ktoś chciałby się wycofać? – zapytał Glen bez większego przekonania.

– Dajcie spokój, chłopaki – rzekł Stu, wysilając się na słaby uśmiech. – Chcecie żyć wiecznie?

Pomaszerowali dalej, zostawiając za sobą Boulder. O dziewiątej wieczorem zatrzymali się w Golden, o pół mili od miejsca, gdzie szosa numer 6 zaczyna swój kręty bieg wzdłuż Clear Creek i wdziera się w kamieniste serce Gór Skalistych.

Owej pierwszej nocy żaden z czterech mężczyzn nie spał spokojnie. Mieli wrażenie, że już teraz znajdowali się z dala od domu i na każdego z nich padł mroczny, posępny cień śmierci.

KSIĘGA TRZECIA

BASTION

7 WRZEŚNIA 1990 – 10 STYCZNIA, 1991

*Ten kraj, to mój kraj
Ta ziemia to moja ziemia
Od Kalifornii
Po wyspę Nowy Jork
Od leśnych ostępów
Po wybrzeża oceanów
Ta ziemia została stworzona dla ciebie i dla mnie*

Woody Guthrie

*– Hej, Śmieciarzu, co powiedziała stara pani
Semple, gdy spaliła jej czek z emeryturą?*

Carley Yates

*Kiedy nadchodzi noc
I kraj spowija mrok
Na niebie zaś księżycą rąbek lśni*

*Nie lękam się
Ani trochę, o nie
Tak długo, póki przy mnie jesteś ty.*

Ben E. King

ROZDZIAŁ 61

Mroczny mężczyzna wystawił posterunki strażnicze wzdłuż całej wschodniej granicy Oregonu. Największy z nich znajdował się w Ontario przy I-80 wiodącej z Idaho; było tam sześciu mężczyzn kwaterujących w wielkiej przyczepie kempingowej. Mieszkali w niej od ponad tydzień, grając przez cały czas w pokera na pieniądze. W tym celu używali wyłącznie banknotów dwudziesto – i pięćdziesięciodolarowych. Jeden z mężczyzn był niemal sześćdziesiąt tysięcy dolarów do przodu, a drugi, który przed pomorem wyciągał ledwie dziesięć tysięcy rocznie, przegrał na korzyść swego kompana blisko czterdzieści kawałków.

Padło prawie przez cały tydzień i nastroje w przyczepie były raczej smętne, atmosfera zaś bardzo napięta. Mężczyźni opuścili Portland i chcieli tam wrócić. W Portland były kobiety. Na gwoździu wisiała krótkofalówka o dalekim zasięgu, z głośnika której płynął statyczny szum. Mężczyźni czekali, aż z radia dobiegną ich trzy krótkie słowa: „Wracajcie do domu”. Oznaczałoby to, że mężczyzna, na którego czatowali został schwytany gdzie indziej.

Ten, którego wypatrywali miał około siedemdziesięciu lat, mocną budowę ciała i łysinę. Nosił okulary i prowadził biało-granatowy wóz terenowy o napędzie na cztery koła, jeepa albo international harvester. Zgodnie z ogólnym zaleceniem po schwytaniu mieli go zabić na miejscu.

Strażnicy byli coraz bardziej sfrustrowani, gra na pieniądze, nawet na wysokie stawki, znudziła się im już przed dwoma dniami, żaden z nich jednak nie był znużony na tyle, by na własną rękę wrócić do Portland. Rozkazy otrzymali od samego Wędrowca i nawet mimo wywołanej deszczem „gorączki klaustrofobicznej”, lęk przed Nim okazał się silniejszy. Gdyby schrzanili robotę i On dowiedziałby się o tym, ich życie nie byłoby warte funta kłaków.

Siedzieli więc, grali w karty i czuwali na zmianę przy wyrżniętej w metalowej ścianie przyczepy szczeliny obserwacyjnej. Autostrada I-80 tonęła w strugach deszczu, ale nic nią nie nadjeżdżało. Gdyby jednak pojawił się na niej wóz terenowy, z pewnością go dostrzegą... i zatrzymają.

– To szpieg z tamtej strony – poinformował ich Wędrowiec z upiornym uśmiechem. Żaden z nich nie potrafił powiedzieć, dlaczego wydawał się on upiorny, kiedy jednak wzrok

Wędrowca padał na człowieka, krew w jego żyłach gęstniała, zamieniając się w gorący ketchup. – To szpieg i moglibyśmy powitać go z otwartymi ramionami, pokazać mu wszystko, a następnie odesłać całego i zdrowego z powrotem. A jednak chcę go. Chcę ich obojga. A potem, zanim spadnie śnieg, odeślemy ich głowy na tamtą stronę gór. Niech się tym gryzą przez całą zimę.

Wybuchnął głośnym, rechotliwym śmiechem, wpatrując się w mężczyzn zebranych w jednej z sal konferencyjnych gmachu Portland Civic Center. Odpowiedzieli uśmiechami, lecz były one chłodne i niepewne. Na głos mogli gratulować sobie nawzajem wyboru do realizacji tak odpowiedzialnego zadania, jednak w głębi ducha pragnęli, by te wesołe, przeraźliwe oczy przypominające ślepią łasicy spojrzały na kogokolwiek innego, tylko nie na nich.

Drugi równie duży posterunek znajdował się daleko na południe od Ontario, w Sheaville. Czterej mężczyźni pełnili straż w niedużym domku przy I-95 ciągnącej się ku pustyni Alvord, z jej osobliwymi formacjami skalnymi i mrocznymi, leniwie płynącymi strumieniami.

Po dwóch mężczyzn znajdowało się na każdym z kolejnych sześciu posterunków rozmieszczonych od niewielkiego miasteczka Flora przy szosie numer 3, leżącego o niecałe sześćdziesiąt mil od granicy stanu Waszyngton, aż do McDermitt na granicy pomiędzy Oregonem a Nevada.

Stary mężczyzna za kierownicą biało-granatowego wozu terenowego z napędem na cztery koła. Wszyscy wartownicy otrzymali jedno i to samo zalecenie: „Zabijcie go, ale jego głowę pozostawcie nietkniętą”.

Szyja powyżej jabłka Adama i cała głowa nie mogła być posiniaczona ani pokryta choćby najdrobniejszymi śladami krwi.

– Nie chcę odsyłać im wybrakowanych ani uszkodzonych towarów – wyjaśnił Randy Flagg, po czym wybuchnął przerażającym, gardłowym śmiechem.

Północną granicę pomiędzy Oregon i Idaho wyznacza rzeka Snake. Gdybyś wyruszył na północ, wzdłuż brzegu rzeki Snake z Ontario, gdzie w przyczepie siedziało sześciu mężczyzn rżnących w pokera na pieniądze, które teraz i tak zdały się psu na budę, dotarłbyś w końcu o rzut kamieniem od Copperfield. Rzeka Snake wchodzi tu w skręt zwany przez geologów „bawół”. W pobliżu Copperfield zaś Snake przegrodzona jest tamą o nazwie Bawoli Róg.

Siódmego września, kiedy Stu Redman i jego grupa maszerowała wzdłuż autostrady Colorado 6, ponad tysiąc mil na południowy wschód od tego miejsca, Bobby Terry siedział w sklepiku w Copperfield z plikiem komiksów obok siebie i zastanawiał się, w jakim stanie była tama i czy jej śluzy były otwarte czy zamknięte. Przed sklepem ciągnęła się autostrada Oregon.

On i jego partner, Dave Roberts (który spał teraz w mieszkaniu na piętrze) wiele razy rozmawiali na temat tamy. Padało przez cały dzień. Poziom rzeki był wysoki. A gdyby stara tama jednak puściła? Nie wyniknęłoby z tego nic dobrego. Potężna fala zalałaby całe Copperfield, a oni obaj, Bobby Terry i Dave Roberts zostaliby zapewne zmyci aż do

Pacyfiku. Mężczyźni mieli zamiar wybrać się na tamę i sprawdzić, czy nie widać w niej pęknięć, ale ostatecznie zabrakło im odwagi.

Dave stwierdził, że Flagg może być gdziekolwiek. Wiele podróżował i mówiono o tym, że potrafił, zupełnie nieoczekiwanie, pojawić się w małej zapuszczonej miejscinie, gdzie znajdowało się zaledwie kilkanaście osób naprawiających linie wysokiego napięcia albo wywożących broń z magazynów jednostki wojskowej. Pojawiał się nagle, niemal MATERIALIZOWAŁ SIĘ niczym duch. Tyle że ten czarny duch uśmiechał się złowrogo i nosił zakurzone kowbojki o pościnanych obcasach. Czasami był sam, niekiedy zaś towarzyszył mu Lloyd Henreid za kierownicą wielkiego daimlera, czarnego i długiego jak karawan. Niekiedy zjawiał się pieszo. W jednej chwili go nie było, a w następnej pojawiał się znikąd. Jednego dnia mógł być w Los Angeles (a przynajmniej tak głośiły plotki), a dzień później... pieszo... pojawiał się w Boise.

Jednak, jak zauważył Dave, nawet Flagg nie mógł pojawić się w sześciu miejscach naraz. Jeden z nich mógłby cichcem wybrać się na tamę, aby sprawdzić czy wszystko z nią w porządku, a potem zaraz wrócić. Szanse, że On nie dowiedziałby się o tym były jak tysiąc do jednego.

„Świetnie, więc zrób to – powiedział mu Bobby Terry. – Masz moje pozwolenie”. Dave tylko uśmiechnął się krzywo, gdyż Flagg posiadał zdolność dowiadywania się o różnych sprawach, nawet jeśli nie było go w okolicy. Niektórzy powiadali, że miał nadnaturalną władzę nad drapieżnikami z królestwa zwierząt. Niejaka Rose Kingman twierdziła, że widziała, jakoby Flagg pstryknął któregoś razu palcami, spoglądając na stado kruków siedzących na drutach telefonicznych. W tej samej chwili ptaki sfrunęły, by usiąść mu na ramionach, kracząc ponoć przy tym: „Flagg, Flagg, Flagg...”

To było absurdalne i doskonale o tym wiedział. Może byli kretyni, którzy wierzyli w podobne brednie, ale Dolores, matka Bobby’ego Terry z pewnością nie urodziła ani nie wychowała idioty. Bobby wiedział, jakie rozmiary potrafi przyjąć plotka i jak bardzo zmienia się ona przekazywana między kolejnymi osobami. Wiedział przy tym, iż podobne historyjki mile łechtają wygórowane ego mrocznego mężczyzny.

Mimo to opowieści te wzbudzały w nim atawistyczny lęk, jak gdyby w każdej z nich tkwiło ziarenko prawdy. Niektórzy mówili, że Flagg potrafił przywoływać wilki lub wcielać się w postać kota. Pewien mężczyzna w Portland zaklinał się, że mroczny mężczyzna, udając się na wędrówkę, zabierał ze sobą w starym, postrzępionym plecaku łasicę, kunę lub jeszcze inne, nie nazwane zwierzę.

Wszystko to bzdury, stek bzdur i nic więcej. A jednak... gdyby przyjąć, że Wędrowiec umiał rozmawiać ze zwierzętami niczym jakiś satanistyczny doktor Doolittle? I gdyby przyjąć, że wypad jego lub Dave’a na tamę, będący wszak jawnym pogwałceniem wydanego im rozkazu, zostanie zauważony?

Karą za nieposłuszeństwo było ukrzyżowanie.

Bobby Terry konstatował, że stara tama mimo wszystko wytrzyma. Wyłuskał z paczki papierosa, zapalił i skrzywił się, czując w ustach suchy, ostry smak. Za pół roku ani jeden papieros nie będzie nadawać się do palenia. Może to i lepiej. Przecież od tego świństwa można nabawić się raka.

Westchnął i zdjął ze stojaka kolejny komiks. Totalną bzdurę zatytułowaną *Wojownicze żółwie ninja*. Zielonoskórzy bohaterowie w skorupach. Cisnął komiks jak najdalej od siebie. Zeszyt o przygodach Donatella, Rafaela i ich porąbanych kumpli, trzepocząc kartkami w locie, wylądował na kasie. „Przez takie bzdety jak wojownicze żółwie ninja – pomyślał Bobby – dochodzę czasami do wniosku, że to dobrze, iż cały ten świat wziął wreszcie w łeb”.

Wybrał kolejny komiks – Batman, tu przynajmniej miał do czynienia z wiarygodnym, dobrze nakreślonym wizerunkiem psychologicznym bohatera. Już chciał zabrać się do lektury, gdy ujrzał granatowy wóz terenowy, który przemknął tuż przed sklepem, kierując się na zachód. Spod kół samochodu wytryskiwały strugi rozprysniętej wody z błotnistych kałuż.

Bobby Terry jeszcze przez chwilę wpatrywał się z otwartymi ustami w pustą przestrzeń. Nie mógł uwierzyć, że wóz, na który czekali, właśnie minął jego posterunek. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wierzył, że kiedykolwiek się pojawi. Sądził, iż Flagg wystawił posterunki strażnicze „na wszelki wypadek” i nie spodziewał się, że szpiedzy, o których mu mówiono istnieją naprawdę.

Podbiegł do frontowych drzwi i otworzył je na oścież. Wybiegł na chodnik, wciąż trzymając w dłoni Batmana. Może to była tylko halucynacja. Może tylko mu się zdawało. Myśląc o Flaggu nietrudno mieć zwidy. Ale to nie było przywidzenie. Dostrzegł dach terenowca zjeżdżającego z sąsiedniego wzgórza i wyjeżdżającego z miasta. W chwilę potem wrócił biegiem do wnętrza sklepiku i, wrzeszcząc na całe gardło, zaczął nawoływać Dave’a.

Sędzia z posępną miną ścisnął kierownicę, udając, że coś takiego jak artretyzm nie istnieje, a gdyby nawet, jego to nie dotyczy, nie będzie się nim przejmował w ten słotny dzień. Nie próbował rozwijać tego tematu dalej, gdyż lało jak z cebra. „To fakt autentyczny” – jak by powiedział jego ojciec, który na pytanie o nadzieję dowiadywał się, że jest jej cała góra.

Fantazjowanie ogólnie mu nie wychodziło.

Przez ostatnie trzy dni prowadził w deszczu. Czasami tylko mżyło, zwykle jednak lało jak z cebra. I to także był „fakt autentyczny”. W niektórych miejscach drogi były rozmyte, a wiosną przyszłego roku wiele z nich będzie zwyczajnie nieprzejezdnych. Sędzia wielokrotnie dziękował Bogu, że podczas tej małej wyprawy dane mu było prowadzić terenowego land-rovera.

Przez pierwsze trzy dni, brnąc mozolnie wzdłuż I-80, doszedł do wniosku, że nie dotrze do Zachodniego Wybrzeża przed rokiem 2000, jeśli nie zjedzie na mniej uczęszczane, drugorzędne drogi. Autostrada międzystanowa była na długich odcinkach całkowicie

opustoszała, miejscami zaś udało się Sędziemu precyzyjnie przycisnąć pomiędzy luźno stojącymi pojazdami, zdarzały się jednak – i to dość często – sytuacje, kiedy zmuszony był przymocowywać hak z liną z wyciągarki terenowca do zderzaka jakiegoś wozu i odholowywać go, aby móc się wcisnąć w ten sposób powstałą lukę.

W okolicy Rawlins stwierdził, że ma już dość. Skręcił w I-287 na północny zachód i dwa dni później obozował w położonym najdalej na północny zachód zakątku Wyoming, na wschód od Yellowstone. Na tym terenie drogi były prawie zupełnie puste. Przejazd przez Wyoming i wschodnie Idaho wydawał się być przerażającym, złym snem. Nie podejrzewał, że wrażenie śmierci może odcisnąć się równie mocno na pustym terytorium, podobnie jak na jego własnej duszy. A jednak tak właśnie było – w miejscach, gdzie niegdyś roilo się od zwierzyny łownej i przyczep kempingowych, królowała wszechobecna pustka i śmiertelna cisza. Wiele słupów telefonicznych w tym zakątku było powywracanych, linie zerwane i nie było nikogo, kto mógłby je naprawić. Toteż pośród grobowej ciszy mijał kolejne, mroczne, wymarłe miasteczka: Lamont, Muddy Gap, Jeffrey City, Lander, Crowheart.

Świadomość tej pustki i śmierci wzbudziła w nim uczucie coraz głębszej samotności i ostateczności. Był prawie pewien, że już nigdy nie ujrzy Wolnej Strefy ani ludzi, którzy tam mieszkali: Frannie, Lucy, młodego Laudera, Nicka Androsa. Uznał, że tak zapewne musiał się czuć Kain, kiedy Bóg wygnał go do krainy Nod.

Tylko że kraina owa leżała na wschód od Edenu.

A Sędzia znajdował się obecnie na zachodzie.

Poczuł to wyjątkowo silnie przekraczając granicę pomiędzy Wyoming i Idaho. Dotarł do Idaho przez przełęcz Targhee i zatrzymał się przy drodze na lekki lunch. Słychać było tylko szum leniwie płynącej wody w pobliskim strumyku i dziwny skrzyp, który przywiódł mu na myśl dźwięk, jaki wydają nie naoliwione zawiasy. Błękit nieba powyżej zaczął powoli nabiegać szarością. Nadchodziły deszcze, a wraz z nimi artretyzm. Jak dotąd artretyzm nie przypominał mu o sobie, pomimo wysiłku fizycznego, długich godzin jazdy i...

„... co to za skrzypienie?”

Skończył lunch, wyjął z szoferki swojego garanda i zszedł na teren piknikowy przy potoku... przy lepszej pogodzie byłoby to wspaniałe miejsce na odpoczynek i wrzucenie czegoś na żab. Był tam nieduży zagajnik, wśród nich zaś stało kilka stolików.

Na jednym z drzew wisi mężczyzna, butami prawie dotykał ziemi, głowę miał groteskowo przekrzywioną w bok; ptaki niemal do kości obrały ze skóry i tkanek każdy cal jego odsłoniętego ciała. Skrzypienie wywoływał sznur ocierający się o gałąź, na której był związany. Lina prawie zupełnie się przetała.

Tak oto Sędzia uświadomił sobie, że znalazł się na zachodzie.

Tego popołudnia, około czwartej, o przednią szybę samochodu zabębniły pierwsze, nieśmiało jeszcze krople deszczu. Od tej pory padało bez przerwy.

Dwa dni później dotarł do Butte. Ból w jego palcach i kolanach stał się tak silny, że zatrzymał się na cały dzień i spędził go w jednym z pokoi miejscowego motelu. Wyciągnięty na motelowym łóżku, pogrążony w całkowitej ciszy, z gorącymi ręcznikami owiniętymi wokół dłoni i kolan, czytał *Prawo a klasy społeczne* Laphama. Sędzia wyglądał jak osobliwe skrzyżowanie Starego Żeglarza i szczęśliwca, który wyszedł cało z jakiejś wielkiej katastrofy.

Nafaszerowany aspiryną i brandy, z pokaźnym zapasem obu powyższych specyfików, ruszył dalej, cierpliwie brnąc na zachód drugorzędnymi drogami, starając się możliwie jak najrzadziej odholowywać taranujące drogę pojazdy i omijać blokady, przejeżdżając nawet po bardzo już rozmytym poboczu lub pasach środkowych szosy. Piątego września, przed dwoma dniami, docierając do Salmon River Mountains zmuszony został przymocować hak do zderzaka wielkiej ciężarówki firmy telefonicznej ConTel i odholować ją pół mili na wstecznym biegu, zanim dotarł do miejsca, gdzie po jednej stronie szosy brakowało barierki ochronnej i z ponurą satysfakcją zepchnął wielkiego skurwysyna do nie znanej mu z nazwy rzeki.

W nocy, czwartego września, na dzień przed odholowaniem ciężarówki ConTelu i trzy dni przed tym, jak Bobby Terry dostrzeże go przejeżdżającego przez Copperfield, gdy obozował w New Meadows, przydarzyło mu się coś niewytłumaczalnego i niepokojącego. Zamieszkał w motelu Ranchhand, odnalazł w recepcji klucz do jednego z domków, a w charakterze premii grzejnik akumulatorowy, który ustawił w nogach łóżka.

Zmierzch zastał go, po raz pierwszy od tygodnia, zadowolonego, leżącego wygodnie na łóżku w przyjemnie nagrzanym pokoju. Grzejnik jarzył się ciepłą, pomarańczową poświatą. Sędzia rozebrał się do szortów, rozparł na poduszkach i zaczął czytać o sprawie, w której pewna czarnoskóra kobieta, analfabeta z Brixton w Mississippi, została skazana za pospolitą kradzież w sklepie na dziesięć lat więzienia. Zastępca prokuratora okręgowego oraz troje ławników było czarnoskórych, Lapham zaś dowodził, że...

Puk, puk, puk do okna.

Sędziemu serce zatrzepotało w piersi. Książka wypadła mu z ręki. Sięgnął po garanda stojącego obok krzesła przy łóżku i odwrócił się do okna, gotów na wszystko.

Historyjka mająca uwiarygodnić jego pobyt tutaj przemknęła mu przez myśl niczym żdźbła słomy niesione na wietrze. To było to, będą chcieli wiedzieć, kim był, skąd pochodził...

To kruk.

Sędzia powoli zaczął się rozluźniać, na jego wargach pojawił się nieśmiały uśmiech.

To tylko kruk.

Siedział w strugach deszczu na parapecie, a jego czarne, błyszczące pióra wydawały się pozlepiane. Wyglądał dość komicznie: ptak gapił się małymi ślepkami przez ociekającą deszczem szybę na pewnego twardego, starego prawnika i najstarszego na świecie szpiega-amatora, leżącego na motelowym łóżku w zachodnim Idaho, ubranego jedynie w bokserki z

fioletowo-złotym logo Los Angeles Lakers i przewróconą okładką do góry grubą książką o tematyce prawniczej na podolku. Na ten widok kruk jakby się uśmiechnął. Sędzia rozluźnił się zupełnie i odpowiedział uśmiechem. Święta racja, trudno się nie śmiać, skoro robię z siebie durnia. Jednakże po dwóch tygodniach samotnej jazdy przez wymarłe stany miał prawo być odrobinę niespokojny i podenerwowany.

Puk, puk, puk.

Kruk stukał dziobem w szybę. Raz po raz.

Uśmiech Sędziego przygasł. W sposobie, w jaki kruk mu się przyglądał, było coś, co ani trochę mu się nie spodobało. Ptak wciąż sprawiał wrażenie, jakby się uśmiechał, ale był to uśmiech drwiący, jakby ironiczny.

Puk, puk, puk.

Jak tamten kruk, który usiadł na popiersiu Pallas Ateny. Kiedy wróci do Wolnej Strefy z informacjami, na które czekają? Do Wolnej Strefy, która wydaje się tak diabelnie odległa?

NIGDY JUŻ.

Czy zdołam dostrzec słabe punkty w „pancerzu” mrocznego mężczyzny, a jeśli tak, to kiedy?

NIGDY JUŻ.

Czy uda mi się powrócić bezpiecznie?

NIGDY JUŻ.

Puk, puk, puk.

Kruk łypiąc na niego jednym okiem, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

I nagle z niezłomną, mrozącą krew w żyłach i wywołującą kurczenie jąder pewnością zdał sobie sprawę, że ma przed sobą mrocznego mężczyznę, jego duszę, jego Ka, przeniesioną jakimś sposobem do ciała tego mokrego od deszczu, uśmiechniętego kruka, który przyglądał mu się i szpiegował go.

Patrzył na niego z fascynacją.

Oczy kruka jakby się nieco rozszerzyły. Sędzia zauważył, że miały czerwone obwódki, ciemnoczerwone, niemal rubinowe. Krople deszczu uderzały w szybę i ściekały w dół, uderzały i ściekały po szkle. Kruk wychylił się do przodu i jakby z rozmysłem zastukał w okno.

„Mam wrażenie, jakby próbował mnie zahipnotyzować – pomyślał Sędzia. – I chyba przynajmniej do pewnego stopnia to mu się udało. Ale kto wie, może jestem już za stary na takie rzeczy. Przyjmijmy... oczywiście to głupie, ale załóżmy, że to jednak on. Dajmy na to, że udałoby mi się złożyć do strzału jednym szybkim, płynnym ruchem? Co wtedy? Nie strzelałem już od dobrych czterech lat, ale przecież byłem mistrzem klubowym w 1976 i 1979 roku, a i w 1986 spisywałem się całkiem nieźle. Rzuciłem to, gdyż nie zająłem wtedy pierwszego miejsca, duma przyćmiła mi wzrok, ale na dwudziestu dwóch uczestników zawodów byłem przecież piąty. Poza tym odległość do okna jest mniejsza niż przy strzelaniu

w zawodach. Jeżeli to on, czy miałbym szansę go zabić? Uwięzić jego Ka – jeśli coś takiego w ogóle istnieje – w ciele tego umierającego kruka? Czy byłoby nie na miejscu, gdyby taki stary piernik jak ja położył kres temu wszystkiemu, jednym strzałem zabijając wielkiego, czarnego ptaka gdzieś w zachodnim Idaho? Gdzie tu dramatyzm, gdzie napięcie?”

Kruk uśmiechnął się do niego. Sędzia nie wątpił już, że ptak naprawdę się uśmiechał.

Farris usiadł gwałtownie, unosząc szybkim, pewnym ruchem strzelbę do ramienia – zrobił to znacznie szybciej i sprawniej niż sobie wyobrażał. Kruk jakby się przeraził. Zatrzepotał mokrymi skrzydłami, rozpryskując dokoła krople wody. Jego oczy roziskrzyły się z przerażenia. Sędzia usłyszał zdławione: „Kraa” i ogarnęło go triumfalne, graniczące z pewnością przekonanie, że to był mroczny mężczyzna i jak się okazało nie docenił on Sędziego, za co przyjdzie mu zapłacić swoim nędznym, parszywym życiem...

– Nażryj się ołowiu! – zagrział Sędzia i ściągnął spust.

Ale spust nie ugiął się, gdyż broń była zabezpieczona. W chwilę potem parapet był już pusty i tylko krople deszczu wciąż bębniły o szyby. Sędzia opuścił strzelbę na podolek. Czuł się otępiały i przybity. Było mu głupio. Wmawiał sobie, że to był tylko zwyczajny kruk, rodzaj atrakcji mającej ożywić nudny, niedzielny wieczór. Gdyby rozwalił okno i deszcz zaczął wlewać mu się do sypialni, miałby przed sobą niezbyt przyjemną perspektywę zamiany pokoi. O, tak. Miał szczęście, że to go ominęło.

Tej nocy nie spał najlepiej, kilkakrotnie budził się, spoglądając w okno, przekonany, że znów usłyszał to upiorne stukanie w szybę. Gdyby zaś zdarzyło się, że kruk ponownie wylądował na parapecie jego okna, już by mu nie umknął. Sędzia zwolnił bezpiecznik garanda.

Kruk jednak już się nie pokazał.

Następnego ranka znów podążył na zachód. Jego artretyzm nie pogłębił się, ale i nie osłabł; parę minut po godzinie jedenastej Sędzia zatrzymał się na lunch w niewielkiej kafejce. Gdy zjadł kanapkę i popił kawą z termosu, ujrzał wielkiego, czarnego kruka, który przysiadł na drucie telefonicznym, pół ulicy dalej. Sędzia przyglądał mu się z fascynacją, zatrzymując dłoń z czerwonym kubkiem od termosu w pół drogi do ust. To nie był ten sam kruk, oczywiście że nie. Musiały ich być miliony, miliony tłustych i wypasionych padlinożerców. Ten świat należał teraz do nich. Do kruków, gawronów i wron. Mimo to czuł, że to był TEN SAM kruk i ogarnęła go osobliwa rezygnacja, jakby przeczuwał, iż jego chwile są już policzone.

Nagle stracił apetyt.

Ruszył dalej. Parę dni później, kwadrans po dwunastej, kiedy na terytorium Oregonu, podążał niezmiennie na zachód wzdłuż autostrady numer 86, przejechał przez miasteczko Copperfield, nie dostrzegłszy nawet sklepiku, z którego Bobby Terry obserwował go, osłupiały, z otwartymi ustami. Na siedzeniu obok Sędziego leżała odbezpieczona strzelba i

pudełko z nabojami. Sędzia postanowił, że zabije każdego kruka, którego zobaczy; każdego który znajdzie się w zasięgu jego strzału.

Ot tak, na wszelki wypadek.

– Szybciej! Nie możesz, kurwa, jechać szybciej?

– Odpierdol się. To ty spałeś na warcie, więc bądź łaskaw odpieprzyć się ode mnie.

Dave Roberts siedział za kółkiem willysa internationala, który stał wcześniej w alejce za sklepem. Zanim Bobby Terry zdołał obudzić Dave'a, a ten ubrał się i zszedł na dół, staruszek w wozie terenowym zyskał nad nimi dziesięć minut przewagi. Padał ulewny deszcz, widoczność była słaba. Bobby Terry miał na podołku winchestera, a za paskiem colta kaliber .45.

Dave, ubrany w buty kowbojskie, dżinsy i żółty sztormiak, spojrzał na niego

– Uważaj, Bobby, jeśli przez przypadek naciśniesz spust karabinu, wywalisz dziurę w drzwiach po swojej stronie.

– Nie marudź tylko dodaj gazu – uciął Bobby Terry. – W brzuch – mruknął pod nosem. – Trzeba mu strzelić w brzuch. Głowa ma zostać nie tknięta. W porządku.

– Przestań gadać do siebie. Ci co gadają do siebie, zwykle również zabawiają się sami z sobą. Tak przynajmniej uważam.

– Gdzie on jest? – rzucił Bobby Terry.

– Dopadniemy go. Chyba że to wszystko tylko ci się przyśniło. A jeżeli tak, to nie chciałbym znaleźć się w twojej skórze, brachu.

– Nie zmyśliłem tego. Widziałem tego land-rovera. A jeżeli gdzieś skręcił?

– Niby gdzie? – warknął Dave. – Nie ma tu żadnych innych dróg, oprócz dojazdówek do pobliskich farm. Nawet mając brykę z napędem na cztery koła, już po pierwszych dwudziestu jardach zapadłby się na nich aż po zderzaki. Wyluzuj się, Bobby.

– Nie mogę – odparł tamten. – Wciąż się zastanawiam jak to jest, gdy powieszą cię jak pranie na słupie telefonicznym, w upalny dzień, pośrodku pieprzonej pustyni.

– Możesz! Spójrz tylko... Widzisz go? Mamy go, siedzimy mu, kurwa, na ogonie.

W oddali przed nimi od dobrych paru miesięcy stały pośrodku szosy dwa rozbite auta, Chevrolet i buick. Zderzyły się i tak już pozostały. Teraz zaś rdzewiały w strugach deszczu, blokując całą szerokość szosy niczym niszczące kości nie pogrzebanych mastodontów. Po prawej, na poboczu szosy widać było głębokie, świeże ślady opon.

– To on – rzekł Dave. – Te ślady nie mają nawet pięciu minut.

Wprowadził willysa w silny skręt i gładko wyminął blokadę, wpadając na pobocze. Wyjeżdżając na szosę obaj, Bobby i Dave, zobaczyli wyraźne, błotniste ślady opon. Na szczycie następnego wzgórza ujrzeli samochód znikający za sąsiednim pagórkem, jakieś dwie mile dalej.

– Hej, stary – zawołał Dave Roberts. – Już po ciebie jedziemy!

Docisnął do deski pedału gazu, willys przyspieszył do sześćdziesiątki. Przednia szyba była rozszerebrzona deszczem, z którego strugami nijak nie mogły sobie poradzić pracujące bez wytchnienia wycieraczki. Na szczycie pagórka znów dostrzegli wóz, tym razem znacznie bliżej. Dave wygasił długie światła i przełączył na krótkie. Po kilku chwilach mężczyźni ujrzeli rozbłyskające światła stopu terenowca.

– W porządku – rzekł Dave. – Będziemy zachowywać się przyjaźnie. Skłonimy go, aby wyszedł z auta. Niech ci się palec za szybko nie zgina na spuszcie, Bobby. Jeśli zrobimy to jak trzeba, w nagrodę dostaniemy parę przytulnych apartamentów w MGM Grand Hotel w Vegas. Spieprzysz sprawę i obaj będziemy mieli przesrane. Więc nie schrzaj tego. Zmusz go, żeby wysiadł z wozu.

– Boże, dlaczego nie mógł przejeżdżać przez Robinette? – jęknął Bobby Terry, zaciskając dłonie na kolbie i łożysku winchestera.

Dave uderzył go po ręce.

– I zostaw tę giwerę w samochodzie.

– Ale...

– Zamknij się. I uśmiechnij się, do cholery!

Bobby wysilił się na uśmiech. Był równie sztuczny jak uśmiech mechanicznego kłowna.

– Marnie ci to wychodzi – warknął Dave. – Ja to zrobię. Zostań w wozie.

Podjechali i zatrzymali się równolegle do land-rovera, który z silnikiem chodzącym na jałowym biegu stał dwoma kołami na szosie, a dwoma na ziemistym poboczu. Dave wysiadł, uśmiechając się szeroko. Obie ręce trzymał w kieszeniach żółtego sztormiaka. W lewej kieszeni miał rewolwer, policyjną .38-kę.

Sędzia wolno wysiadł z samochodu. On również nosił żółty sztormiak. Szedł powoli, ostrożnie jak ktoś, kto dźwiga delikatną, kruchą wagę. Artretyzm szalał w jego wnętrzu jak stado głodnych, gotowych do ataku tygrysów. W lewej dłoni niósł swoją strzelbę.

– Ej, chyba nie masz pan zamiaru mnie kropnąć? – rzucił, uśmiechając się przyjaźnie mężczyzna z willysa.

– Chyba nie – odrzekł Sędzia. Rozmawiali pośród strug deszczu. – Wy chyba byliście w Copperfield.

– Stamtąd właśnie jedziemy. Jestem Dave Roberts – wyciągnął dłoń, by się przywitać.

– Nazywam się Farris – odrzekł Sędzia, również podając mu dłoń. Spojrzał w stronę willysa i ujrzął siedzącego na fotelu pasażera Bobby'ego, mierzącego w niego przez otwarte okno z trzymanej oburącz broni.

Deszcz ściekał po lufie. Trupio blada twarz Bobby'ego nadal wykrzywiona była szaleńczym, przerażającym, jakby mechanicznym uśmiechem.

– O, cholera – jęknął Sędzia i w chwili, gdy wyrwał dłoń z mokrej od deszczu ręki Dave'a, Roberts strzelił do niego przez materiał sztormiaka.

Kula trafiła Sędziego w brzuch, poniżej splotu słonecznego, spłaszczyła się i wwierciła w ciało grzybkując, by ostatecznie wyjść na prawo od kręgosłupa, pozostawiając otwór wylotowy wielkości spodka. Strzelba wypadła z dłoni staruszka, a impet trafienia cisnął go przez otwarte drzwiczki z powrotem do wnętrza wozu.

Żaden z mężczyzn nie zauważył kruka, który, trzepocząc skrzydłami, przysiadł na drucie telefonicznym, po drugiej stronie szosy.

Dave Roberts postąpił krok do przodu, aby dokończyć dzieła. W tej samej chwili Bobby Terry wypalił przez otwarte okno willysa. Jego kula trafiła Roberta w szyję, rozdzierając ją na strzępy. Kaskada krwi zalała przód sztormiaka Roberta, mieszając się z deszczem. Dave odwrócił się w stronę Bobby'ego, jego wargi poruszały się bezgłośnie w przedśmiertnym, niepojętym zdumieniu. Posuwając stopami, zrobił jeszcze dwa kroki, a potem wyraz zdumienia odpląnął z jego oblicza. Pozostało ono puste, beznamiętne i wyprane z wszelkich emocji. Martwy mężczyzna runął twarzą w dół na szosę. Strugi deszczu bębniły o gruby materiał jego sztormiaka.

– Cholera, popatrz tylko! – zawołał Bobby Terry.

„Mój artretyzm minął – pomyślał Sędzia. – Gdybym przeżył, mógłbym wprawić w zakłopotanie wszystkich lekarzy świata. Lekarstwem na artretyzm jest kula w brzuch. Boże święty, zaczęli się na mnie. Czekali na mnie. Czy to Flagg ich przysłał? Zapewne tak. Jezus, miej w opiece wszystkich, których komisja przysłała tu oprócz mnie...”

Garand leżał na drodze. Sięgnął po strzelbę, czując, że wnętrzności przelewają się w nim, usiłując wydostać się na zewnątrz. Dziwne uczucie. Nieprzyjemne. Nieważne. Zaciśnął palce na broni. Czy była odbezpieczona? Tak. Zaczął ją podnosić. Miał wrażenie, że waży tysiąc funtów.

Bobby Terry zdezorientowany, wreszcie oderwał wzrok od Dave'a i ujrzał Sędziego unoszącego strzelbę do strzału. Sędzia siedział na szosie. Jego sztormiak był czerwony od krwi od pasa w dół. Oparł lufę garanda na kolanie.

Bobby wypalił i chybił. Natomiast garand bluznął ogniem przy wtórze głośnego huku i ostre odłamki szkła obsypały twarz Bobby'ego. Mężczyzna krzyknął przekonany, że już po nim. Nagle spostrzegł, że w lewej połowie przedniej szyby auta ziele strzępiasta dziura i zrozumiał, że jego egzekucja została, przynajmniej chwilowo, odroczone.

Sędzia wymierzył ponownie, lekko przesuwając kolano, o które opierał lufę strzelby. Bobby Terry, którego nerwy były napięte jak postronki, wypalił trzykrotnie, raz za razem. Pierwsza kula wybiła dziurę w bocznej ścianie szoferki land-rovera. Druga trafiła Sędziego nad prawym okiem. Colt kaliber .45 to potężna broń i z bliskiej odległości potrafi wyrządzić potworne spustoszenie. Kula oderwała Sędziemu niemal cały wierzchołek czaszki, ciskając go do wnętrza samochodu. Głowa Sędziego odchyliła się konwulsyjnie do tyłu i trzecia kula Bobby'ego dosięgła Sędziego ćwierć cala poniżej dolnej wargi, gruchocząc żuchwę i wybijając zęby, które umierający mężczyzna połknął wraz z ostatnim oddechem. Jego dolna

szczęka i podbródek przestały istnieć. Palec zaciśnięty na spuście garanda ściągnął cyngiel w konwulsyjnym, przedśmiertnym skurczu, ale kula poszybowała wysoko, w białe, deszczowe niebo.

Zapadła cisza.

Deszcz bębnił o dachy land-rovera i willysa. Krople rozpryskiwały się na sztormiakach dwóch martwych mężczyzn. Był to jedyny słyszalny dźwięk, aż w pewnej chwili kruk poderwał się z drutu telefonicznego, kracząc ochryple. Ten odgłos i trzepot ptasich skrzydeł wyrwał Bobby'ego z odrętwienia. Podniósł się powoli ze swojego siedzenia, wciąż ściskając w dłoniach dymiącą .45-kę.

– Zrobiłem to – wyznał strugom deszczu. – Rozpieprzyłem go. Rozwaliłem go jak podczas strzelaniny w O.K. Korralu. Bach, bach i już, po wszystkim. Stary Bobby Terry załatwił gościa na cacy. Bez mydła.

I wtem z narastającą zgrozą uświadomił sobie, że to nie Sędziego załatwił bez mydła i na cacy.

Sędzia umarł, opierając się plecami o drzwiczki swojego wozu. Bobby Terry złapał mężczyznę za kołnierz pod szyją i podźwignął w górę, chcąc przyjrzeć się temu, co zostało z twarzy mężczyzny.

Jedynie, co ocalało to nos, a i on nie był w najlepszym stanie.

To mógł być każdy. Ktokolwiek.

Ogarnięty zgrozą Terry znów usłyszał w myślach głos Flagga mówiącego: „Chcę odesłać go im nienaruszonego”.

Boże Świąty, to mógł być ktokolwiek. Zupełnie jakby celowo chciał postąpić wbrew wyraźnym zaleceniom Wędrowca.

Dwie kule, prosto w twarz. Facet nie miał już nawet zębów. Deszcz bębniący o karoserie aut, sztormiaki dwóch martwych mężczyzn i asfalt szosy.

W tym miejscu był już skończony. Nie miał tu już czego szukać. Sprawa była jasna. Nie miał odwagi wyruszyć na wschód, ale nie ośmielił się również zostać tu, na zachodzie. Skończyłby na słupie telefonicznym albo... spotkałoby go coś jeszcze gorszego.

Tylko czy mogło być coś gorszego?

Mając w charakterze przywódcy tego szczerzącego się upiornie dziwoląga, Bobby Terry nie wątpił, że tak. Co mu wobec tego pozostawało?

Przesuwając dłońmi po włosach, wciąż wpatrując się w zmasakrowane oblicze Sędziego, gorączkowo się zastanawiał.

Południe. Tak, to jedyne wyjście. Na południe. Nie było już przecież żadnych granic. Na południe, do Meksyku, a jeśli okazałoby się, że to za blisko, uda się jeszcze dalej, do Gwatemali, Panamy, a może nawet do pieprzonej Brazylii. Sprawa jest jasna. Ani wschód, ani zachód, tylko południe. I on, Bobby Terry, bezpieczny, znajdujący się możliwie jak najdalej

od Wędrowca w jego znoszonych, zakurzonych kowbojkach z pościeranymi obcasami. Umknie na południe, tak daleko, jak go nogi po...

Nowy dźwięk pośród deszczowego popołudnia.

Bobby Terry energicznie uniósł głowę.

Deszcz bębniący o szoferki dwóch aut terenowych, pomruk dwóch silników pracujących na jałowym biegu i...

Osobliwy stukot, jakby pościanych obcasów kowbojskich butów rażno maszerujących po asfaltowej szosie.

– Nie – wyszeptał Bobby Terry.

Zaczął się odwracać.

Stukot przyspieszył tempa. Szybki chód, trucht, bieg, sprint, Bobby Terry odwrócił się, lecz było już za późno. Flagg zbliżał się, gnał ku niemu niczym przeraźliwy potwór z najokropniejszego horroru, jaki kiedykolwiek nakręcono. Policzki mrocznego mężczyzny nabiegły czerwienią, w jego oczach błyszczały wesołe iskierki, a rozchylone w szerokim, promiennym uśmiechu wargi ukazywały nienaturalnie duże zęby, zęby rekina. Dłonie miał wyciągnięte do przodu, palce zakrzywione w szpony, we włosach zaś trzepotały lśniące, czarne kucze pióra.

„Nie” – próbował zawołać Bobby Terry, lecz głos uwiązł mu w gardle.

– SPIERDOLIŁEŚ SPRAWĘ, BOBBY TEEERRYYYY! – ryknął na całe gardło mroczny mężczyzna, rzucając się na bezradnego Bobby’ego.

Okazało się, że istnieją rzeczy gorsze niż słup telefoniczny.

Na przykład zęby.

I rodzaj śmierci gorszy od ukrzyżowania.

Choćby rozdarcie na strzępy.

ROZDZIAŁ 62

Dayna Jurgens leżała naga na dwuosobowym łóżku, wsłuchując się w regularny szum wody płynącej z prysznicza. Wpatrywała się we własne odbicie w ogromnym, okrągłym sufitowym lustrze wielkości i kształtu łóżka, które ukazywało.

Uznała, że kobiece ciało zawsze wygląda najlepiej, kiedy leży na wznak z wyciągniętymi, wyprostowanymi nogami, zwartymi pośladkami i piersiami sterczącymi naturalnie ku górze, a nie obwisłymi wskutek działania siły grawitacji. Było wpół do dziesiątej rano, ósmego września. Sędzia nie żył od osiemnastu godzin, Bobby Terry nieco krócej – ze stratą dla niego.

Z prysznicza wciąż lała się woda.

„Ten facet ma bzika na punkcie czystości – pomyślała. – Ciekawe, co takiego mu się przydarzyło, że za każdym razem bierze prysznic przez pół godziny”.

Powróciła myślami do Sędziego. Kto by się domyślił? W gruncie rzeczy pomysł był genialny. Kto podejrzewałby starszka? No cóż, wydaje się, że Flagg... W jakiś sposób dowiedział się o nim i wiedział również, którędy Sędzia będzie podróżował. Wzdłuż całej długości granicy pomiędzy Idaho i Oregonem wystawiono posterunki; rozkazy były jasne, mężczyzna miał zginąć na miejscu.

A jednak coś nie wyszło. Od kolacji wczorajszego wieczoru wszyscy słudzy Flagga w Las Vegas chodzili ze smętnymi obliczami, nosami na kwintę i wzrokiem utkwionym w ziemię. Whitney Horgan, skądinąd doskonały kucharz, podał coś, co wyglądało jak karma dla psów, na dodatek przypalone do tego stopnia, iż utraciło wszelki smak. Sędzia zginął, ale coś poszło nie tak.

Wstała, podeszła do okna i zlustrowała wzrokiem pustynię. Ujrzała dwa wielkie szkolne autobusy sunące na zachód wzdłuż I-95 w palących promieniach słońca; jechały do bazy lotniczej Indian Springs, gdzie, jak wiedziała, codziennie odbywały się ćwiczenia w oblatywaniu wojskowych samolotów odrzutowych. Na zachodzie było ponad tuzin mężczyzn, którzy znali się na lataniu, lecz na szczęście dla całej Wolnej Strefy żaden z nich nie rozpoczął jeszcze treningów na znajdujących się w Indian Springs myśliwcach i bombowcach Gwardii Narodowej.

A jednak trenowali. Uczyli się. Boże. Ćwiczyli. O, tak.

Dla niej ze śmierci Sędziego wynikało niezbitie jedno – wiedzieli o czymś, o czym nie powinni wiedzieć. Czyżby w Wolnej Strefie znajdował się szpieg z zachodu? Uznała, że to całkiem możliwe, skoro Wolna Strefa wysłała swoich agentów na drugą stronę gór, równie dobrze Flagg mógł uczynić to samo. Tyle tylko, że Sue Stern powiedziała jej, iż decyzja o wysłaniu szpiegów na zachód została podjęta wyłącznie przez członków komisji, a było raczej niemożliwe, aby ktokolwiek z ich siódemki działał na obie strony. Gdyby wśród nich znajdował się człowiek Flagga, Matka Abigail natychmiast by się zorientowała. Dayna była o tym przekonana.

Pozostawała jeszcze tylko jedna, niezbyt przyjemna alternatywa. Po prostu wiedział o tym SAM Flagg.

Dayna przebywała w Las Vegas od ośmiu dni i na ile zdołała się zorientować, przyjęto ją tu jak swoją. Zdążyła przez tych kilka dni zgromadzić dość informacji o prowadzonych tutaj działaniach, by na śmierć wystraszyć każdego mieszkańca Boulder. Zresztą wystarczyłaby do tego jedna, jedyna informacja o programie treningowym pilotów samolotów odrzutowych. Jednak ją najbardziej przerażał sposób, w jaki ludzie odwracali się od niej, gdy wypowiadała na głos imię Flagga. Zbywali ją, odchodzili lub udawali, że nie dosłyszeli, co powiedziała. Niektórzy krzyżowali palce, przyklękali lub układali palce w znak chroniący przed „złym okiem” i urokami.

Flagg był w całym Vegas Wielkim Obecym-Nieobecnym.

Tak sprawy się miały za dnia.

Nocą, siedząc w Cubie Grandzie albo Silver Slipper Room w Cashbox, można było usłyszeć opowieści na jego temat, dające początek mitowi. Rozmowy toczyły się niespiesznie, nerwowo, ludzie nie patrzyli sobie wzajemnie w oczy i koncentrowali się głównie na popijaniu piwa z butelek. Nie należy pić zbyt mocnych trunków, gdyż wtedy można stracić nad sobą kontrolę i powiedzieć o jedno zdanie za dużo, a to groziło śmiertelnie poważnymi konsekwencjami. Dayna wiedziała, że nie wszystko z tego, co tu mówiono było prawdą, lecz nie sposób było oddzielić jej od gładkich, zgrabnych kłamstewek. Dowiedziała się, że Flagg był zmiennokształtnym, wilkołakiem, że to on zapoczątkował pomór i że był Antychrystem, którego przyjście Święty Jan zapowiada w swojej Apokalipsie. Usłyszała opowieść o ukrzyżowaniu Hectora Drogana i o tym, że On w jakiś sposób dowiedział się o jego machinacjach... najwyraźniej w ten sam sposób przewidział również przybycie Sędziego.

Podczas tych nocnych dyskusji nikt nigdy nie wymówił imienia Flagga, jak gdyby wszyscy wierzyli, że czyniąc to, przywołaliby go niczym dzina z butelki. Nazywali go mrocznym mężczyzną. Wędrowcem. Wysokim facetem. Szczurek Erwins zaś nazywał go Starym Okropnym Judaszem. Skoro wiedział o Sędzi, czy wiedział również o niej? Logika podpowiadała jej, że to całkiem prawdopodobne.

Odgłos pryszniczycy ucichł.

„Trzymaj się, złotko, On lubi, gdy przypisuje mu się Bóg wie jakie nadnaturalne zdolności. Wydaje się dzięki temu potężniejszy. Całkiem możliwe, że rzeczywiście ma swojego szpiega w Wolnej Strefie, to niekoniecznie musi być ktoś z komisji, wystarczy że powiedział, iż Sędzia Farris nie jest typem zdrajcy czy dezertera”.

– Nie powinnaś kręcić się taka goluteńka po całym mieszkaniu. Od razu nabieram na ciebie ochoty.

Odwróciła się do niego, kusząco kręcąc biodrami. W głębi duszy zaś miała ochotę zaciągnąć go na dół, do kuchni i wcisnąć jego małego, z którego był tak dumny, do wielkiej maszyny do mięsa Whitneya Horgana.

– A jak sądzisz, dlaczego to robię?

Spojrzał na zegarek.

Cóż, mamy jakieś czterdzieści minut.

„Jego członek zaczął już lekko drgać jak różdżka radiestezyjna” – pomyślała z gorzkim rozbawieniem Dayna.

– No, to chodź. – Podeszedł do niej, a Dayna wskazała ręką na jego pierś. – Ale zdejmij to. Na sam widok przechodzą mnie ciarki.

Lloyd Henreid spojrzał na swój amulet, ciemną łzę naznaczoną czerwoną, pojedynczą skazą i zdjął go z szyi. Położył go na nocnym stoliku. Delikatny łańcuszek zachrząścił cicho na drewnianym blacie.

– Lepiej?

– Jeszcze jak.

Wyciągnęła do niego ręce. W chwilę później już leżał na niej. Zaraz potem w nią wszedł.

– Lubisz to? – wysapał. – Podoba ci się, złotko?

– Uwielbiam – jęknęła. – Boże, jak cudownie – a w myślach wciąż widziała maszynkę do mięsa, białą emalię i błyszczącą stal.

– Co?

– Powiedziałam, że to UWIELBIAM! – wykrzyknęła. Wkrótce potem udała orgazm, dziko wyrzucając biodra w górę i krzycząc zdyszczonym głosem. Doszedł w chwilę później (dzieliła łóżko z Lloydem od czterech dni i знаła jego upodobania, umiała dostosować się do jego rytmu), poczuła strużkę nasienia ściekającą po udzie i niemal przypadkiem zerknęła na nocny stolik.

Czarny kamień.

Czerwona skaza.

Zdawał się patrzeć na nią.

Nagle ogarnęło ją przerażające odczucie, że kamień RZECZYWIŚCIE się jej przyglądał, że to było Jego oko, pozbawione ludzkiej soczewki kontaktowej, łypiące na nią jak Oko Saurona łypało na Froda z mrocznej twierdzy Barad-Dur w krainie Mordor, gdzie zaległy cienie.

„To mnie widzi – pomyślała, czując ogarniającą ją dojmującą zgrozę, w krótkiej chwili absolutnej bezbronności i bezradności zarazem, zanim do głosu doszła jej druga, racjonalna strona natury. – Co więcej, to potrafi przejrzeć mnie na wskroś”.

Później, tak jak przypuszczała, Lloyd zaczął się jej zwierzać. To także było częścią rytuału. Obejmował ramieniem jej nagie barki, palił papierosa i, wpatrując się w ich odbicia w lustrze, opowiadał o wydarzeniach minionego dnia.

– Cieszę się, że nie byłem w skórze tego Bobby’ego – rzekł. – I to jak jeszcze. Szef powiedział, że chce głowę tego starego piernika i że ma być nie uszkodzona. Zamierzał odesłać ją na drugą stronę gór. I spójrz, co się stało. Ten palant wpakował staremu dwie kule z .45-ki prosto w twarz. Z bliskiej odległości. Przypuszczam, że dostał to, na co zasłużył, ale cieszę się, że mnie tam nie było.

– Co się z nim stało?

– Nie pytaj, złotko.

– Skąd wiedział? On, Wielki facet.

– Był tam.

Przeszedł ją dreszcz.

– Tak po prostu, był tam?

– Owszem. Tak się składa, że jest zawsze tam, gdzie mamy jakieś kłopoty. Chryste Panie, kiedy pomyślę o tym, co zrobił z Erikiem Strellertonem, tym przemądrzałym gościem, z którym ja i Śmieciarz przybyliśmy do Los Angeles...

– A co z nim zrobił?

Przez długą chwilę była pewna, że nie odpowie. Zwykle potrafiła nakierować go delikatnie na pożądaną tematykę, zadając serię taktownych pytań. Sprawiała, że czuł się dzięki temu (jak mówiła jej niezapomniana młodsza siostra) Gnojowym Królem z Łajnowic. Tym razem jednak odniosła wrażenie, że posunęła się odrobinę za daleko. I kiedy już miała sobie odpuścić, Lloyd dziwnym, ściśniętym głosem powiedział:

– On po prostu na niego SPOJRZAŁ. Eric pieprzył jak najęty, truł o tym, że chciałby zobaczyć, jak całe Vegas wraca wreszcie do życia... że powinniśmy zrobić to czy tamto. Biedny, stary Śmieciarz, nie jest całkiem normalny, to już chyba wiesz, patrzył na niego jak na aktora z telewizji, czy coś w tym rodzaju. Eric kroczył raz w jedną, raz w drugą stronę jakby zwracał się do ławy przysięgłych podczas mowy końcowej. I nagle On, bardzo delikatnym głosem powiedział: „Eric”. Nic więcej tylko: „Eric”. A Eric spojrzał na niego. Niczego nie zauważyłem. Eric jednak patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Nie wiem, jak długo. Pięć minut, może mniej. Jego oczy robiły się coraz większe i większe... a potem zaczął się ślinić... i chichotać... a On chichotał wraz z Erikiem i to mnie przeraziło. Kiedy Flagga zaczyna się śmiać, ogarnia cię strach. Eric nie przestawał chichotać, aż w końcu On powiedział: „W drodze powrotnej zostawcie go na pustyni”. I tak właśnie zrobiliśmy.

Zostawiliśmy go na Mojave. Bardzo możliwe, że Eric po dziś dzień gdzieś tam się błąka. Tego nie wiem, ale wiem jedno: On przez pięć minut patrzył na Erica i przyprawił go o utratę zmysłów. – Zaciągnął się głęboko, wydmuchnął dym i zgasił papierosa. A potem objął Daynę ramieniem. – Dlaczego rozmawiamy o takich okropnych rzeczach?

– Nie wiem... a jak wyglądają sprawy w Indian Springs?

Lloyd rozpromienił się. Pomysł z Indian Springs wyszedł od niego.

– Świetnie. Naprawdę świetnie. Do pierwszego października, a może nawet wcześniej, będziemy mieli trzech pilotów przeszkolonych do latania na skyhawkach. Hank Rawson zapowiada się wspaniale. A ten Śmieciarz to pieprzony geniusz. W pewnych sprawach nie jest zbyt szybki, ale jeżeli chodzi o broń, jest wręcz niesamowity.

Dayne spotkała Śmieciarza dwukrotnie. Za każdym razem gdy padło na nią spojrzenie jego dziwnych, mętnych oczu, przechodził ją dreszcz i wzdychała z ulgą, gdy mężczyzna mijał ją obojętnie. Nie ulegało wątpliwości, że wielu innych – Lloyd, Hank Rawson, Ronnie Sykes czy Szczurek – uważało go za swoistą maskotkę, amulet przynoszący szczęście. Jedną rękę pokrytą miał potwornymi, świeżo zagojonymi bliznami po oparzeniach. Dayna przypomniała sobie coś dziwnego, co wydarzyło się dwa wieczory temu. Hank Rawson mówił coś. Włożył papieros do ust, zapalił zapalniczkę, dokończył co miał do powiedzenia, zapalił papierosa i zgasił zapalniczkę. Dayna zauważyła, w jaki sposób Śmieciarz patrzył na płomyk zapalniczki. Wydawało się, że na tych kilka sekund mężczyzna wstrzymał oddech. Zupełnie jakby całą swą istotą skupił się na tym małym ogniu. W taki sposób mógłby patrzeć głodny mężczyzna na stół, na którym przygotowano suty obiad złożony z dziesięciu dań.

Hank zgasił zapalniczkę i wrzucił poczerniały niedopałek do popielniczki.

Chwila dobiegła końca.

– Ma talent do broni? – zwróciła się do Lloyda.

– Olbrzymi. Jest po prostu świetny. Skyhawkki mają montowane pod skrzydłami pociski rakietowe klasy powietrze-ziemia. Noszą nazwę Shrike. Dziwne, że cały ten szajs ma zawsze jakąś nazwę, no nie? Nikt z nas nie wie jak się je montuje. Nikt nie umie uzbrajać tego żelastwa, ani tym bardziej zabezpieczać. Chryste, zmitrężyliśmy prawie cały dzień, zanim udało się nam wyjąć je ze stojaków. W pewnej chwili Hank powiedział: „Lepiej ściągajmy tu Śmieciarza. Kiedy wróci, niech on to obejrzy, może coś z tego skapuje”.

– Kiedy wróci?

– Tak, to zabawny gość. Jest w Vegas prawie od tygodnia, ale wkrótce znów rusza w drogę.

– Dokąd?

– Na pustynię. Bierze land-rovera i jedzie w siną dal. Tak po prostu. Mówię ci, to dziwny facet. Na swój sposób jest prawie tak samo dziwny jak Szefer. Na zachód stąd nie ma nic prócz sprażonej słońcem pustyni i pieprzonego pustkowia. Coś o tym wiem. Garowałem w zapadłej

dziurze o nazwie Brownsville Station. Nie wiem, jak mu się udaje przeżyć, ale jakoś mu to wychodzi. Szuka nowych zabawek i zawsze wraca z kilkoma. W tydzień po moim i jego przybyciu tutaj z Los Angeles, ściągnął cały stos wojskowych karabinów maszynowych z celownikami laserowymi, takich, o których Hank mówi, że nigdy nie chybają. Ostatnio przywiózł miny, miny tellera, kontaktowe, odłamkowe i kanister parathionu. Powiedział, że znalazł spory jego zapas. A także dostatecznie dużą ilość defoliantów, by obrócić całe Kolorado w pustynię.

– Gdzie on to wszystko znajduje?

– Wszędzie – odrzekł krótko Lloyd. – Potrafi to wyniuchać, złotko. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego. Większa część zachodniej Nevady i wschodniej Kalifornii była własnością starych dobrych Stanów Zjednoczonych. Tam wojsko testowało wszystkie swoje zabawki, od najprostszych po bombę atomową. Może któregoś dnia przywlecze tu również atomówkę.

Roześmiał się. A Daynie nagle zrobiło się strasznie zimno.

– Gdzieś tu, niedaleko, produkowano także supergrypę. To stąd zaczęła się rozprzestrzeniać epidemia. Mogę postawić na to ciężkie pieniądze. Może Śmieciarz zdoła odnaleźć te laboratoria. Powiadam ci, ma do tego smykałkę i węch jak myśliwski ogar. Szef daje mu pod tym względem wolną rękę, a on zwyczajnie robi swoje. Wiesz, co jest obecnie jego ulubioną zabawką?

– Nie – odparła Dayna. Nie była pewna, czy chciała się dowiedzieć... ale przecież po to tu przybyła, czyż nie?

– Bomby zapalające.

– Co to takiego?

– Wyglądają jak zwyczajne bomby rozpryskowe. Śmieciarz znalazł pięć z nich i ustawił przy barakach w Indian Springs jak samochody wyścigowe Formuły Pierwszej. – Lloyd wybuchnął śmiechem. – Używano ich w Wietnamie. Wojskowi nazywali je zippo. Są wypełnione napalmem. Śmieciarz je uwielbia.

– Niezłe – mruknęła cicho.

– Kiedy Śmieciarz wrócił z ostatniej wyprawy, zabraliśmy go do Springs. Kręcił się wokół shrike'ów mamrocząc coś pod nosem, ale w końcu uzbroił je i zamontował pod skrzydłami samolotów i nie zajęło mu to więcej niż sześć godzin. Uwierzyłabyś? A oni w lotnictwie uczyli tego swoich techników całymi latami. Cóż, nie mieli u siebie takich ludzi jak Śmieciarz. To pieprzony geniusz.

„Chciałeś powiedzieć genialny debil. Założę się, że wiem, skąd wzięły się u niego te oparzenia”.

Lloyd spojrział na zegarek i wstał.

– A skoro o Indian Springs mowa, właśnie się tam wybieram. Zdążę jeszcze wziąć prysznic. Przyłączysz się?

– Nie tym razem.

Kiedy znów usłyszała szum wody, zaczęła się ubierać. Jak dotąd udawało się jej ubierać i rozbierać, gdy zostawała w pokoju sama i nie chciała tego zmieniać.

Przypięła sprężynową pochwę do przedramienia i włożyła nóż do specjalnego uchwytu. Jeden szybki ruch nadgarstka i lśniące, dziesięciocalowe ostrze znajdzie się w jej dłoni.

„Cóż – pomyślała, nakładając bluzkę – dziewczyna musi mieć swoje małe sekrety”.

Popołudniami pracowała w zespole zajmującym się naprawą latarni ulicznych. Jej zadaniem było sprawdzać żarówki za pomocą prostego urządzenia i wymieniać je, gdy okazywały się spalone lub potłuczone przez wandalów, których w Las Vegas podczas epidemii supergrypy nie brakowało. W zespole było ich czworo, a do dyspozycji mieli ciężarówkę z koszem i wysięgnikiem, którą przesuwali się z jednej ulicy na drugą.

Później tego popołudnia Dayna siedziała w koszu, zdejmując pleksiglasową osłonę jednej z latarni i rozmyślając, jak bardzo polubiła ludzi, z którymi pracowała, zwłaszcza Jenny Engstrom, twardą, urodziwą byłą tancerkę z nocnego klubu, która teraz obsługiwała podnośnik. Była typem dziewczyny, którą Dayna wybrałaby na swoją najlepszą przyjaciółkę i zdziwiło ją, że znajdowała się akurat tu, po stronie mrocznego mężczyzny. Zdumiało ją to i zaskoczyło do tego stopnia, że nie odważyła się poprosić Jenny o wyjaśnienie.

Inni również byli w porządku. Uznała, że w Vegas było może więcej świrów niż w Strefie, jednak żaden z nich nie miał wampirzych kłów ani nie zmieniał się o wschodzie księżyca w nietoperza. Ludzie ci pracowali znacznie ciężiej niż w Strefie. W Boulder mogłeś zobaczyć wielu szwendających się przez cały Boży dzień po parku albo przedłużających sobie przerwę na lunch od dwunastej do drugiej. Tu tak nie było. Od ósmej rano do piątej po południu pracowali WSZYSCY, czy to w Indian Springs, czy w Vegas przy pracach naprawczych. Uruchomiono również szkołę. W mieście było około dwudziestu dzieci w wieku od czterech (to Daniel McCarthy, pupilek i ulubieniec wszystkich, nazywany powszechnie Dinny) do piętnastu lat. Znalazło się dwoje ludzi posiadających dyplomy nauczycielskie i przez pięć dni w tygodniu, po kilka godzin dziennie prowadzili oni na zmianę zajęcia. Lloyd, który rzucił szkołę, gdy po raz trzeci przyszło mu powtarzać pierwszy rok liceum był bardzo dumny, że tutaj dzieciom zapewniono należytą edukację. Apteki były otwarte i nie strzeżone. Ludzie odwiedzali je często... ale pobierali zwykle tylko aspirynę i gelusil. Wszyscy wiedzieli, co spotkało Hectora Drogana i zdawali sobie sprawę, jaka kara czeka narko- i lekomanów.

Nie było tu również pijaków w rodzaju Richa Moffata. Wszyscy zachowywali się otwarcie i przyjaźnie. I rozsądnie było nie pić nic mocniejszego od piwa.

„Jak w Niemczech w 1938 roku – pomyślała. – Naziści? Och, to czarujący ludzie. Atleci. Uwielbiają sport. Nie chadzają do nocnych klubów. One są dla turystów. Czym się zajmują? Robią zegary”.

„Czy to właściwe porównanie” – zastanawiała się niepewnie Dayna, myśląc o Jenny Engstrom, którą tak bardzo lubiła. Nie miała pewności, ale podejrzewała, że tak.

Sprawdziła kolejną żarówkę. Była przepalona. Wyjęła ją, położyła ostrożnie na podłodze kosza, pomiędzy stopami i wzięła ostatnią dobrą. Świetnie, już niedługo koniec pracy. To był męczący...

Spojrzała w dół i zamarła.

Na przystanku autobusowym zatrzymał się wielki żółty pojazd. Z Indian Springs przyjechali robotnicy i właśnie rozchodzili się do domów. Wszyscy niejako mimochodem spoglądali w górę, tak jak zwykle zachowują się ludzie, gdy widzą kogoś pracującego na wysokości. Syndrom cyrku za darmo.

Ta twarz, oczy patrzące na nią.

Ta szeroka, uśmiechnięta, zdumiona twarz.

„Słodki Jezu, Boże Przenajświętszy, czy to Tom Cullen?”

Strużka słonego potu spłynęła jej do kącika oka sprawiając, że zaczęła widzieć wszystko podwójnie. Ludzie z przystanku autobusowego znajdowali się w połowie ulicy, kołysali trzymanymi w rękach koszykami piknikowymi, rozmawiali i dowcipkowali. Dayna spojrzała na mężczyznę, który mógł być Tomem, choć z tyłu trudno jej było to stwierdzić...

„Tom? Czy to możliwe, żeby wysłali tu Toma?”

Jasne, że nie. To tak szalone, że prawie...

Prawie oczywiście”.

Ale wciąż nie mogła w to uwierzyć.

– Ej, Jurgens! – zawołała donośnie Jenny. – Śpisz tam na górze czy zabawiasz się sama ze sobą?

Dayna wychyliła się poza burtę kosza, spojrzała na uniesioną ku górze twarz Jenny i pokazała jej wyprostowany środkowy palec. Jenny wybuchnęła śmiechem. Dayna ponownie zajęła się latarnią, po dłuższej chwili umieściła dobrą żarówkę w obsadce i nałożyła obudowę z pleksi. Uporała się z tym i stwierdziła, że już pora na fajrant.

W drodze powrotnej Dayna była dziwnie milcząca i zamyślona... nawet Jenny zwróciła na to uwagę.

– Po prostu nie mam nic do powiedzenia, i tyle – odparła Dayna, uśmiechając się półgębkiem.

„To nie mógł być Tom. Ale czy na pewno?”

– Obudź się! Obudź się! Do cholery, zbudź się, ty dziwko!

Zaczęła uwalniać się z mętnych objęć snu, gdy otrzymała silne kopnięcie w plecy na wysokości nerek spadła z wielkiego, okrągłego łóżka na podłogę. Obudziła się natychmiast i, zdezorientowana, zamrugała powiekami.

W sypialni znajdował się Lloyd łypiący na nią lodowatym, gniewnym spojrzeniem. Oprócz niego Whitney Horgan, Ken De Mott, As i Jenny. Szczere i zwykle pogodne oblicze Jenny wydawało się beznamiętne i chłodne.

– Jen...?

Bez odpowiedzi. Dayna podniosła się na klęczki, niemal nieświadoma własnej nagości, bardziej przejmowała się zimnym kręgiem przyglądających się jej twarzy. Lloyd wyglądał jak zdradzony mężczyzna, który dowiedział się właśnie, że został wystawiony do wiatru.

„Czy to sen?”

– Ubieraj się, ty kłamliwa, szpiegowska dziwko!

W porządku, to nie sen. W jej żołądku załęgło się ziarno strachu, choć w głębi duszy spodziewała się, że tak właśnie będzie. Wiedzieli o Sędzim, a teraz o niej. Była za kwadrans czwarta nad ranem. „Godzina Tajnej Policji” – pomyślała z goryczą.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– W pobliżu – odrzekł pewnym głosem Lloyd. Twarz miał bladą i błyszczącą. Spod rozpiętego kołnierzyka na jego szyi wyzierał czarny kamyk. – Już niedługo pożałujesz, że się tu zjawiłaś.

– Lloyd?

– Co?

– Złapałeś ode mnie syfa, Lloyd. Mam nadzieję, że ci kuśka odpadnie.

Kopnął ją poniżej żeber, przewracając na plecy.

– Mam nadzieję, że ci odpadnie, Lloyd.

– Stul dziób i ubierz się.

– Wypieprzaj stąd. Nie zamierzam ubierać się przy facetach.

Lloyd kopnął ją ponownie, tym razem w prawy biceps. Ból był potworny i choć zadrżały jej wargi, nawet nie pisnęła.

– Zrobiło ci się gorąco koło tyłka, Lloyd? Spałeś z Matą Hari?

Uśmiechnęła się, choć w oczach miała łzy.

– Daj spokój, Lloyd – powiedział Whitney Morgan. Dostrzegł żądzę mordy w jego oczach, podszedł zważym krokiem i położył mu rękę na ramieniu. – Przejdziemy do salonu. Jenny może z nią zostać i pilnować, kiedy będzie się ubierała.

– A jeżeli zechce wyskoczyć przez okno?

– Nie ma szans – odrzekła Jenny.

Jej szerokie oblicze było zupełnie puste i dopiero teraz Dayna dostrzegła, że tamta nosiła na biodrze kaburę z pistoletem.

– To i tak by się jej nie udało – wtrącił As. – Tu okna są tylko dla picu, nie wiedzieliście o tym? Zdarzało się, że frajerzy po straceniu w karty lub ruletkę dużej gotówki mieli ochotę urządzić sobie ostatni w życiu lot, ale coś takiego rzecz jasna nie przysłużyłoby się reputacji

hotelu. Tak więc żadne z okien po prostu się nie otwiera. – Spojrzał na Daynę ze współczuciem. – A ty, dziecino, przegrałaś wszystko, co miałaś do przegrania.

– Daj spokój, Lloyd – powtórzył Whitney. – Zrobisz coś, czego będziesz potem żałować. Kopniesz ją w głowę, czy coś takiego. Wyjdźmy stąd, zanim stanie się coś złego.

– Dobra. – Podeszli do drzwi. Lloyd obejrzał się przez ramię. – Dostaniesz to, na co zasłużyłaś, dziwko. Już On się o to postara.

– Wiesz co, Lloyd, jako kochanek jesteś naprawdę żaloszny – odparła słodko.

Lloyd chciał znów rzucić się na nią, ale Whitney i Ken De Mott przytrzymali go i wyprowadzili z pokoju. Podwójne drzwi zamknęły się z cichym, metalicznym trzaskiem.

– Ubieraj się, Dayna – poleciła Jenny.

Dayna wstała, wciąż rozmasowując ciemniejący siniak na ramieniu.

– Czy wy naprawdę to lubicie? – zapytała. – To dlatego tu jesteście? Wszyscy jesteście tacy jak Lloyd?

– To ty z nim spałaś, nie ja. – Na jej twarzy pojawił się pierwszy cień emocji, gniewnego rozżalenia. – Uważasz, że to w porządku zjawiać się tu na przespiegi? Spotka cię zasłużona kara. I wiesz co, siostrzyczko, będzie naprawdę surowa.

– Spałam z nim z określonych względów. – Wciągnęła majteczki. – I szpiegowałam również z określonych względów.

– Zamknij się, dobra?

Dayna odwróciła się i spojrzała na Jenny.

– Jak sądzisz, co oni tu robią? Jak ci się zdaje, dlaczego w Indian Springs trenują pilotów myśliwców odrzutowych? Czy wydaje ci się, że pociski shrike zamontowano na tych maszynach, aby Flagg mógł wygrać szmacianą laleczkę na dorocznym festynie?

Jenny zacisnęła usta.

– To nie moja sprawa.

– Czy również nie będzie nią, kiedy na wiosnę przyszłego roku wylecą tymi uzbrojonymi w rakiety samolotami na drugą stronę Gór Skalistych, aby zgładzić wszystkich, którzy się tam znajdują?

– Mam nadzieję, że tak właśnie się stanie. Sprawa jest prosta. Albo oni albo my. W każdym razie On tak twierdzi. A ja mu wierzę.

– Hitlerowi również wierzyli. Ale ty mu nie wierzysz. Ty, i wy wszyscy, po prostu śmiertelnie się go boicie.

– Ubieraj się.

Dayna wciągnęła spodnie, zapięła guzik i suwak. Nagle przyłożyła dłoń do ust.

– Ja... ee... chyba się porzygam... o Boże!...

Sięgnęła po swoją bluzkę z długimi rękawami i odwróciła się. Pobiegła do łazienki i zamknęła drzwi na zasuwkę. A potem zaczęła wydawać głośne, gardłowe chrząknięcia.

– Dayna, otwórz drzwi! Otwórz albo przestrelę zamek!

– Niedobrze mi... – Znów czknęła głośno. Stając na palcach przesunęła dłonią po wierzchu apteczki, dziękując Bogu, że właśnie tu zostawiła swój nóż i sprężynową pochewkę, modliła się o dwadzieścia sekund, tyle czasu potrzebowała, aby przypiąć broń do przedramienia.

Włożyła nóż do uchwytu. Przypięła pochwę do przedramienia. Z sypialni dobiegły ją inne głosy.

Lewą ręką odkręciła kurek w umywalce, puszczając silny strumień wody.

– Jeszcze minutkę, dajcie mi się wyrzygać, do cholery, jest mi niedobrze!

Nie dali jej nawet pół minuty. Ktoś kopnął w drzwi tak silnie, że zadrżały we framudze. Dayna poprawiła nóż w uchwycie. Spoczywał na jej przedramieniu niczym zabójcza strzała. Włożyła bluzkę i zaczęła najszybciej jak potrafiła zapinać guziki. Pierwsze były rękawy. Gdy się z tym uporała, spryskała sobie twarz i przepłukała usta wodą. Spuściła także wodę w toalecie.

Kolejne kopnięcie w drzwi. Dayna przekręciła klamkę i do łazienki wpadli jak burza Lloyd o rozbieganych, dzikich oczach, Ken De Mott, As i stojąca za nimi z pistoletem w dłoni Jenny.

– Musiałam puścić pawia – odparła chłodno Dayna. – Szkoda, że tego nie widzieliście, no nie?

Lloyd schwycił ją za ramię i wypchnął do sypialni.

– Powiniem ci skrócić kark, suko.

– Nie zapomnijcie o głosie swego pana. – Zapięła ostatni guzik i powiodła wzrokiem po ich twarzach. – On jest waszym panem i bogiem, czyż nie? Staje się nim, gdy tylko ucałujecie go w tyłek. Od tej pory należycie do niego.

– Stul mordę – warknął Whitney. – Pogarszasz tylko przez to swoją sytuację.

Spojrzała na Jenny, nie pojmując, jak ta pogodna i uśmiechnięta za dnia dziewczyna mogła zmienić się w tę beznamiętną, zimną istotę nocy.

– Nie rozumiecie, że on szykuje się, aby zacząć to wszystko od nowa? – zapytała rozpaczliwym tonem. – Zabijanie, ludobójstwo... Pomór?

– On jest największy i najpotężniejszy – powiedział Whitney z osobliwą łagodnością w głosie. – Zetrze całą tę waszą hałastę z powierzchni ziemi.

– Dość gadania – uciął Lloyd. – Idziemy.

Podeszli, by ująć ją za ręce, ale Dayna cofnęła się, skrzyżowała ramiona na piersiach i pokręciła głową.

– Sama pójdę – powiedziała ze spokojem.

Kasyno świeciło pustkami, jeśli nie liczyć kilku mężczyzn z karabinami, którzy stali lub siedzieli przy wejściu. Gdy z windy wyszła Dayna ze swoją eskortą, każdy z nich znalazł sobie jakieś frapujące zajęcie: gapili się w ścianę, sufit lub puste stoły do gry. Zaprowadzono

ją do wejścia za rzędem okienek kasowych. Lloyd otworzył drzwi niedużym kluczykiem i weszli do środka. Przeprowadzono ją pospiesznie przez pomieszczenia wyglądające jak sale bankowe, w których stały maszynki do liczenia, kosze na śmieci pełne wstęp papieru oraz pojemnik z gumkami recepturkami oraz spinaczami do papieru.

Ekrany komputerów były szare i puste. Szuflady z pieniędzmi powysuwane. Z niektórych z nich wysypały się pieniądze i leżały rozrzucone bezładnie po podłodze. Wśród banknotów przeważały pięćdziesiątki i setki.

Za pomieszczeniami kasjerskimi znajdowały się kolejne drzwi. Whitney otworzył je i Dayna, korytarzem wyłożonym miękkim dywanem doprowadzona została do pustego sekretariatu. Był on urządzony niezwykle wytwornie. Za białym, nowoczesnym biurkiem siedziała zapewne jeszcze nie tak dawno pojętna sekretarka, po której jednak zaginął dziś wszelki ślad. Jak większość ludzkości ona również zachorowała na supergrypę i dokonała żywota dobrych parę miesięcy temu, krztusząc się zgęstniałą zielonkawą flegmą, z poczerwiałymi pęcherzami opuchlizny na szyi. Obraz na ścianie wyglądał na jedno z płócien Klee. Na podłodze miękki, puchaty, jasnobrązowy dywan. Przedsiónek domeny władzy.

Strach wypełnił puste miejsca w jej ciele niczym lodowata woda, usztywniając stawy i sprawiając, iż czuła się nieswojo. Lloyd nachylił się ponad biurkiem i nacisnął jeden z przełączników, które się tam znajdowały. Dayna zauważyła, że nieznacznie się spocił.

– R.F., mamy ją.

Poczuła narastający w niej histeryczny śmiech i nie potrafiła go powstrzymać, zresztą wcale nie zamierzała.

– R.F.! R.F.! Tak, to naprawdę dobre! Jeśli jesteś gotów, C.B. to i ja też! – Zachichotała.

Jenny wymierzyła jej siarczasty policzek.

– Zamknij się! – syknęła. – Nie wiesz, po co cię tu przyprowadziliśmy.

– Wiem doskonale – odrzekła Dayna, patrząc na nią z niewzruszonym spokojem. – To wy nie wiecie. Ty i cała reszta.

Z interkomu dobiegł ciepły, pogodny i miły dla ucha głos.

– Doskonale, Lloyd. Dzięki. Przyślij ją, proszę.

– Samą?

– Oczywiście. – Z interkomu dobiegł zduszony chichot, po czym urządzenie zostało wyłączone. Na ten dźwięk Daynie zaschło w ustach.

Lloyd odwrócił się. Na jego czole Dayna zauważyła teraz wielkie, lśniące krople potu i cienkie strużki spływające niczym łzy po jego zapadniętych policzkach.

– Słyszałaś. Idź.

Skrzyżowała ręce poniżej piersi, starając się trzymać nóż przy ciele.

– A jeżeli odmówię?

– Osobiście zaciągnę cię do środka.

– Spójrz na siebie, Lloyd. Jesteś tak przerażony, że nie zaciągnąłbyś tam nawet małego szczeniaka. – Powiodła wzrokiem po twarzach pozostałych. – Wszyscy się boicie. Ty, Jenny, niemal robisz w spodnie. To szkodzi na cerę, kochanie, że już nie wspomnę o spodniach.

– Przestań, parszywa suko – wyszeptała Jenny.

– Ja w Wolnej Strefie nigdy się tak niczego nie bałam – ciągnęła Dayna. – Było mi tam dobrze. Przybyłam tu, ponieważ chciałam, by to przyjemne uczucie zaczęło szerzyć się także tutaj. Nie ma w tym żadnej głębszej polityki. Powinniście to przemyśleć. Może on kupczy strachem, ponieważ nie ma wam nic innego do zaoferowania.

– Droga pani – rzekł przepaszającym tonem Whitney. – Z przyjemnością wysłuchałbym tego kazania do końca, ale nasz Szef już na panią czeka. Bardzo mi przykro, ale albo zaraz powie pani amen i wejdzie do tego pokoju albo OSOBIŚCIE tam panią zaciągnę. A tam, w środku, będzie pani mogła opowiadać co tylko zechce... jeśli nie zaschnie pani w ustach. Teraz jednak musimy zrobić to, co do nas należy.

„To dziwne – pomyślała – ale on chyba mówi szczerze. Wygląda na to, że naprawdę mu przykro. Szkoda, że jest równie szczerze przerażony”.

– To nie będzie konieczne.

Zmusiła się, by uczynić pierwszy krok, potem poszło już gładko. Szła na spotkanie swojej śmierci, co do tego nie miała wątpliwości. Cóż, skoro tak ma być, to niech będzie. Miała swój nóż. Najpierw użyje go przeciw niemu, a później przeciwko sobie, jeśli to będzie konieczne.

„Nazywam się Dayna Roberta Jurgens – powiedziała w myślach. – I bardzo się boję, ale zdarzały się już w moim życiu chwile, kiedy byłam przerażona równie mocno jak teraz. On może mi odebrać jedynie to, z czym i tak któregoś dnia przyszedłoby mi się rozstać – czyli życie. Nie dam mu się złamać. Nie pozwolę na to. Nie dopuszczę, by uczynił mnie kimś gorszym niż jestem, póki starczy sił uczynię wszystko, by do tego nie doszło. Pragnę umrzeć dobrą śmiercią... i, jak mi Bóg miły, dopnę swego. Dostanę to, czego chcę”.

Przekręciła klamkę i weszła do gabinetu, by stanąć przed obliczem Randalla Flagga.

Pokój był ogromny i urządzonego po spartańsku. Pod ścianą stało biurko z wciśniętym za nie obrotowym fotelem. Obrazy były zasłonięte. Światła zgaszone.

Odsunięta kotara po drugiej stronie pokoju ukazywała szerokie na całą ścianę okno z widokiem na pustynię: Dayna uznała, że jeszcze nigdy dotąd nie widziała równie odpychającego i jałowego krajobrazu. Wysoko na niebie wisiał księżyc wyglądający jak mała, dobrze wypolerowana srebrna moneta.

Zbliżała się pełnia.

Przy oknie, wyglądając na zewnątrz stała wysoka postać.

Mężczyzna jeszcze przez dłuższy czas lustrował wzrokiem pustynię, ignorując kobietę, która weszła do gabinetu i bezceremonialnie pokazując jej plecy. Wreszcie się odwrócił. Ile czasu potrzeba mężczyźnie, aby się odwrócił? Dwie, najwyżej trzy sekundy. Dayna miała

jednak wrażenie, że trwało to całą wieczność, odwracał się ku niej, ukazując coraz więcej i więcej siebie niczym księżyc, któremu się przyglądała. Znowu stała się dzieckiem, osłupiałym i oszołomionym mrozącą krew w żyłach ciekawością i nieodpartą zgrozą. Przez chwilę urzekł ją bez reszty, dała się zahipnotyzować jego czarem i była pewna, że kiedy obrót się dopełni, po kolejnych niezliczonych eonach, ujrzy przed sobą twarz ze snów, mnicha w kapturze rodem ze średniowiecza, lecz otwór w materiale ział będzie lodowatą, niezgłębianą czernią. Człowiek-negatyw, bez twarzy. Ujrzy go i straci rozum.

I wtedy on spojrział na nią, podszedł bliżej, uśmiechając się ciepło, a jej pierwszą bulwersującą myślą było: „Rany, on jest w moim wieku!”

Randy Flag miał długie, zmierzwiłe włosy. Jego oblicze, skądinąd całkiem przystojne, było rumiane, jakby ogorzałe od pustynnego wiatru. Rysy miał delikatne i wrażliwe, a oczy pełne wesołych ogników, oczy dziecka znającego jakiś sekret, pragnącego zrobić komuś miłą niespodziankę.

– Cześć, Dayna! – powiedział.

– W-w-witaj.

Nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Sądziła, że jest gotowa na wszystko, ale to zupełnie zbiło ją z tropu. W jej umyśle zapanował chaos. Uśmiechnął się, widząc jej zażenowanie. A potem, jakby w przepaszającym geście, rozłożył szeroko ramiona. Nosił spraną kraciatą koszulę z postrzępionym kołnierzem, dzinsy wypchane na kolanach i bardzo stare kowbojki z poćcinanymi obcasami.

– Spodziewałaś się kogoś innego? Może wampira? – Jego uśmiech poszerzył się, niemal domagając się podobnej reakcji z jej strony. – Zmiennokształtnego? Co ci o mnie NAOPOWIADALI?

– Oni... są śmiertelnie przerażeni – odparła. – Lloyd poci się jak wieprz.

Jego uśmiech wciąż domagał się od niej uśmiechu i jedynie resztkami sił zdołała się przed tym powstrzymać. Nie chciała dać mu tej satysfakcji. Na jego rozkaz zerwano ją z łóżka o tak wczesnej porze. Sprowadzono ją tutaj... ale w jakim celu?

Aby się przyznała? Opowiedziała wszystko co wie o Wolnej Strefie? Nie mogła uwierzyć, że on czegoś jeszcze na ten temat nie wiedział.

– Lloyd – rzekł ze smutkiem. – Lloyd miał w Phoenix podczas epidemii supergrypy pewne, rzekłbym dość gorzkie i traumatyczne przeżycia. Nie lubi o tym rozmawiać. Ocalałem go od śmierci – jego uśmiech stał się, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej rozbijający – oraz, jak to się mówi, od losu znacznie gorszego od śmierci. W znacznym stopniu łączy moją osobę z owymi przeżyciami, choć muszę przyznać, że nie miałem z nimi nic wspólnego. Wierzysz mi?

Wolno pokiwała głową. Uwierzyła mu i zaczęła się zastanawiać, czy częste, długotrwałe prysznicie Lloyd'a miały coś wspólnego z jego „dość gorzkimi i traumatycznymi przeżyciami”.

I choć nie sądziła, że to w ogóle możliwe, przez chwilę było jej żal Lloyda Henreida. Współczuła mu.

– Świetnie. Usiądź, moja droga.

Rozejrzała się dokoła z powątpiewaniem.

– Na podłodze. Tak będzie dobrze. Musimy porozmawiać i ma to być szczerą rozmową. Krzesła są dla kłamców, więc do licha z nimi. Usiądziemy jak dwójka przyjaciół po przeciwnych stronach ogniska. Siadaj, dziewczyno.

Jego oczy błyszczały tłumioną radością, a boki zdawały się nadymać od ledwie powstrzymanego śmiechu. Usiadł i skrzyżował nogi, a potem spojrzał na nią kusząco, zdając się mówić: „Chyba nie pozwolisz mi siedzieć samemu na podłodze tego kretyńskiego gabinetu, no nie?”

Po chwili zastanowienia usiadła. Skrzyżowała nogi i oparła dłonie na kolanach. Czują przynoszący ukojenie ciężar noża w sprężynowym zacisku.

– Zostałaś tu przysłana na przeszpiegi, czy nie tak, moja droga? – zapytał z uśmiechem.

– Tak. – Nie było sensu zaprzeczać.

– Wiesz, jaki los czeka zwykle szpiegów w czasie wojny?

– Tak.

Rozpromienił się.

– Wobec tego czy to nie wspaniałe, że twoi ludzie i moi nie są w stanie wojny?

Spojrzała na niego zdumiona.

– No, bo przecież nie są, prawda? – powiedział z niezłomną szczerością w głosie.

– Ale... ty... – W jej głowie zakłębiły się tysiące myśli. Indian Springs, pociski shrike. Śmieciarz z jego defoliantami i zippo. Sposób, w jaki ludzie reagowali na Jego imię albo obecność. I ten prawnik, Eric Strellerton – facet błakający się po pustyni Mojave z wypalonym mózgiem.

„A on tylko na niego spojrzał”.

– Czy zaatakowaliśmy waszą, tak zwaną. Wolną Strefę? Czy przeprowadziliśmy jakiegokolwiek działania wojenne przeciwko waszym ludziom?

– Nie... ale...

– A czy wy nas zaatakowaliście?

– Oczywiście że nie!

– Nie. A my wcale nie zamierzamy was atakować. Spójrz! – gwałtownym ruchem uniósł prawą rękę i ułożył dłoń w kształt lunety. Patrząc przez otwór pomiędzy palcami mogła dostrzec rozciągającą się za ogromnym oknem pustynię.

– Wielka Pustynia Zachodnia! – zawołał. – Wielkie Nic! Nevada! Arizona! Nowy Meksyk! Kalifornia! Grupki moich ludzi znajdują się w Waszyngtonie, na obszarach wokół Seattle i w Portland w Oregonie. Do tego garstka w Idaho i Nowym Meksyku. Jesteśmy zbyt rozproszeni, aby móc nawet myśleć o spisie ludności i o wiele słabiej zorganizowani niż

wasza Strefa. Wy działacie na podobieństwo roju albo ściśle uporządkowanej społeczności. My jesteśmy jedynie konfederacją ze mną w charakterze przywódcy tytularnego. Na tym świecie jest dość miejsca dla nas i dla was. Nie powinno go zabraknąć nawet za dwieście lat. To znaczy, jeżeli dzieci przeżyją. Ale o tym przekonamy się dopiero za jakieś pięć miesięcy. Jeżeli noworodki przeżyją i ludzkość będzie trwać dalej, niech nasi dziadowie rozstrzygną ten spór jeśli uznają, że jest się o co spierać. Albo ich dziadowie. Ale o co, w imię Boga Jedyne, mielibyśmy walczyć?

– O nic – mruknęła pod nosem. W gardle miała sucho. Była zdezorientowana. I przepełniało ją ulotne uczucie... nadziei? Spojrzała mu w oczy. Nie potrafiła oderwać od nich wzroku i wcale nie chciała. Nie straci zmysłów! On przecież wcale nie zamierzał doprowadzić jej do obłądu. Był bardzo rzeczowym, rozsądnym facetem.

– Nie istnieją przyczyny ekonomiczne ani technologiczne, dla których mielibyśmy ze sobą walczyć. Różnimy się, co prawda, pod względem prowadzonej polityki, ale to przecież drobiazgi, zważywszy, że dzieli nas łańcuch Gór Skalistych...

On próbuje mnie zahipnotyzować.

Z ogromnym wysiłkiem oderwała wzrok od jego oczu i ponad ramieniem Flagga spojrzała na księżyc. Uśmiech mężczyzny nieznacznie przygasł, a na jego twarzy pojawił się cień irytacji. A może tylko się jej zdawało? Kiedy znów na niego spojrzała (tym razem o wiele czujniej) uśmiechnął się do niej szeroko.

– Zleciłeś zabicie Sędziego – rzuciła oschle. – Chcesz czegoś ode mnie, a gdy już to dostaniesz, mnie również każesz zlikwidować.

Spojrzał na nią z przejęciem.

– Prawdą jest, że kazałem wystawić posterunki wzdłuż granicy Idaho i Oregonu, i że moi ludzie oczekiwali przybycia Sędziego Farrisa, ale wcale nie mieli go zabijać! Poleciałem im, by przyprowadzili go do mnie. Do wczoraj przebywałem w Portland. Chciałem porozmawiać z nim, tak jak teraz rozmawiam z tobą, moja droga, spokojnie, rozważnie i bez uprzedzeń. Dwóch moich ludzi wypatrzyło go w Copperfield w Oregonie. Sędzia zaczął się ostrzeliwać, raniąc śmiertelnie jednego i zabijając na miejscu drugiego z moich ludzi. Ranny, zanim skonał, zdążył jeszcze zastrzelić Sędziego. Przykro mi, że tak się to skończyło. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak bardzo jest mi przykro. – Jego oczy pociemniały i rzeczywiście mu uwierzyła, choć niekoniecznie w taki sposób, w jaki by sobie tego życzył. Znów poczuła ten mrozący do szpiku kości chłód.

– Tu mówią na ten temat coś zupełnie innego.

– Moja droga, możesz uwierzyć mnie lub im, wybór należy do ciebie. Zapamiętaj jednak, że wydałem w tej sprawie konkretne rozkazy.

Był przekonujący... cholernie przekonujący. Wydawał się niemal niegroźny, lecz to było jedynie złudzenie, nieprawdaż? Wrażenie to brało się z tego, że był człowiekiem... lub czymś, co wyglądało jak człowiek. To właśnie czyniło ją w jego rękach podatną i miękką jak

plastelina. Miał prezencję i swadę polityka, który potrafił na każdy zarzut znaleźć pięć kontrargumentów, jednakże czynił to w deprymujący sposób.

– Skoro nie szykujesz się do wojny to po co ci samoloty i cały ten sprzęt bojowy gromadzony w Indian Springs?

– Dla obrony – odrzekł krótko. – Podobne działania prowadzimy w Searles Lake w Kalifornii i w bazie lotniczej Edwards. Kolejna grupa pracuje przy uruchomieniu reaktora atomowego w Yakima Ridge w Waszyngtonie. Wasi ludzie na pewno będą robić to samo... jeżeli jeszcze się za to nie zabrali.

Dayna bardzo wolno pokręciła głową.

– Kiedy opuszczaliśmy Strefę wciąż jeszcze usiłowali przywrócić w mieście zasilanie.

– Z przyjemnością wysłałbym do nich dwóch lub trzech techników, wiem jednak, że wasz spec, Brad Kitchner doskonale poradził sobie ze wszystkim. Mieli co prawda wczoraj krótkie spięcie, ale bardzo szybko uporali się z usterką. Na Arapahoe miało miejsce przeciążenie.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Mam swoje sposoby – odrzekł z jowialnym uśmiechem Flagg. – Nawiasem mówiąc, ta staruszka wróciła. Słodka kobiecina.

– Matka Abigail?

– Tak. – Wzrok miał odległy i mętny, może odrobinę zasmucony. – Ona nie żyje. Szkoda. Naprawdę bardzo liczyłem, że kiedyś spotkamy się z nią twarzą w twarz.

– Nie żyje? Matka Abigail nie żyje?

Mętne spojrzenie Flagga rozjaśniło się, na ustach znów wykwitł uśmiech.

– Czy naprawdę aż tak cię to dziwi?

– Nie. Natomiast dziwi mnie, że wróciła. A jeszcze bardziej zdumiało mnie, że o tym wiesz.

– Wróciła, aby umrzeć.

– Powiedziała coś?

Na chwilę z twarzy Flagga znikła maska jowialności, ukazując gniew i posępne zakłopotanie.

– Nie – odparł. – Choć myślałem, że... może jednak coś powie. Umarła w śpiączce.

– Jesteś pewien?

Znów się uśmiechnął, promiennie, od ucha do ucha.

– Nie mówmy już o niej. Porozmawiajmy o przyjemniejszych sprawach, jak choćby twój powrót do Strefy. Z pewnością wolisz być tam niż tutaj. Mam coś, co chciałbym abyś zabrała ze sobą. – Sięgnął za pazuchę, wyciągnął irchowy woreczek i wyjął z niego trzy mapy samochodowe. Podał je Daynie, która obejrzała je z narastającym zakłopotaniem. Mapy przedstawiały siedem zachodnich stanów. Pewne obszary zakreślone były na czerwono. Napisana odręcznie legenda u dołu każdej z map wyjaśniała, że oznaczone obszary to tereny, gdzie znów zaczęły odradzać się skupiska ludzkie.

– Mam je wziąć?

– Tak. Wiem, gdzie są twoi ludzie i chciałbym, abyście wy wiedzieli, gdzie znajdują się moi. Potraktuj to jako gest przyjaźni i dobrej woli. A kiedy wrócisz do swoich, powiedz im, że Flagg wcale nie zamierza ich skrzywdzić, ani on ani jego ludzie. Powiedz, żeby nie wysyłali już do nas więcej szpiegów. Jeśli chcą przysyłać tu ludzi, niech to zrobią otwarcie, nazwą to misją dyplomatyczną, wymianą studentów czy czymś takim... Ale niech przybywają jawnie. Powiesz im to?

Była zdezorientowana i zagubiona.

– Jasne. Powiem im. Ale...

– To wszystko. – Znow uniósł w górę obie dłonie. Coś zwróciło jej uwagę i zaniepokojona wychyliła się do przodu.

– Na co tak patrzysz? – zapytał z lekkim zdenerwowaniem w głosie.

– Na nic.

A jednak zauważyła to i, sądząc po jego spiętej twarzy, wiedział, że to dostrzegła. Na dłoniach Flagga nie było linii papilarnych. Wnętrze dłoni miał gładkie jak skóra niemowlaka. Ani jednej bruzdy, linii życia, miłości ani żadnej innej, zero spiral, łuków i parabol. Po prostu... czysta, gładka skóra.

Spoglądali na siebie przez, zdawałoby się, bardzo długą chwilę.

Nagle Flagg podniósł się z podłogi i podszedł do biurka. Dayna również wstała. Właściwie zaczynała wierzyć, że rzeczywiście pozwoli jej odejść. Mężczyzna usiadł na brzegu biurka i przysunął do siebie interkom.

– Polecę Lloydowi, aby zatankował twój motocykl do pełna i wymienił w nim olej oraz świece. Teraz nie musimy się już przejmować niedoborami oleju albo benzyny, no nie? Jest ich dość dla wszystkich. Choć był taki czas, pamiętam go dobrze i ty zapewne również, kiedy wydawało się, że cały świat może pograć się w ogień wybuchów atomowych wskutek braku zwykłej bezołowiowej. – Pokręcił głową – Ludzie są naprawdę cholernie głupi. – Wdusił guzik interkomu. – Lloyd?

– Tak, jestem.

– Czy mógłbyś dopilnować, aby motocykl Dayny został sprawdzony i po zatankowaniu podstawiony przed wejściem do hotelu? Pani nas opuszcza.

– Tak.

Flagg wyłączył urządzenie.

– I to by było na tyle, moja droga.

– Mogę odejść... tak po prostu?

– Oczywiście. Cała przyjemność po mojej stronie. – Wskazał dłonią drzwi... trzymając ją wnętrzem do dołu.

Podeszła do drzwi. Ledwie dotknęła dłonią klamki, kiedy znow się odezwał.

– Jeszcze tylko jedno. Taka drobnostka.

Dayna odwróciła się, by na niego spojrzeć. Uśmiechał się do niej i był to przyjazny uśmiech, lecz przez ułamek sekundy mężczyzna skojarzył się jej z wielkim, czarnym mastiffem z jęzorem wywalonym na rząd białych, spiczastych kłów, które mogły urwać człowiekowi rękę za jednym kłapnięciem potężnych szczęk.

– To znaczy?

– Jest tu jeszcze jeden z waszych ludzi – powiedział Flagg. Jego uśmiech poszerzył się. – Kto to jest?

– A niby skąd JA miałabym to wiedzieć? – zapytała Dayna, a w jej myślach rozległ się głos: „Tom Cullen!... Czy to możliwe, żeby to był on?”

– Och, moja droga, dajże spokój. Wydawało mi się, że wszystko już między nami ustaliliśmy.

– Mówię poważnie – odparła. – Niby dlaczego miałabym coś przed tobą ukrywać? Komisja wysłała mnie... Sędziego... i Bóg wie ilu jeszcze innych oprócz nas... ale działała bardzo ostrożnie. Nie wiedzieliśmy o sobie nawzajem, aby, no wiesz, jedno nie zdradziło drugiego... gdyby coś się stało.

– A gdybyśmy postanowili trochę cię przycisnąć? Wyrwać parę paznokci lub coś w tym rodzaju?

– No, dobrze. Powiem, co wiem. Moją kandydaturę podała Susan Stern. Larry Underwood, on też jest w komisji...

– Wiem kim jest pan Underwood.

– Tak, świetnie. Przypuszczam, że to on zgłosił Sędziego. Ale co się tyczy innych... – Pokręciła głową. – To może być każdy. Jedna lub więcej osób. Może się okazać, że każdy z członków komisji zgłosił jednego kandydata na szpiega.

– Owszem, to możliwe, ale tak się nie stało. Został jeszcze tylko ten jeden i ty wiesz, kto to jest.

Jego uśmiech poszerzył się jeszcze bardziej i obecnie zaczął ją naprawdę przerażać. To nie było normalne. Kojarzył się jej ze śniętymi rybami, skażoną wodą albo powierzchnią Księżyca oglądaną przez teleskop. Poczwała gwałtowne parcie na pęcherz.

– Ty WIESZ – powtórzył Flagg.

– Nie. Ja...

Flagg znów pochylił się nad interkomem.

– Czy Lloyd już wyszedł?

– Nie, jeszcze tu jestem. – Drogi interkom, dobry odbiór.

– Wstrzymaj się jeszcze z podstawieniem motocykla dla Dayny – powiedział. – Mamy jeszcze do omówienia – jego oczy zabłyśły badawczo – pewną drobną kwestię – dokończył.

– W porządku.

Interkom ucichł z lekkim metalicznym szczękiem. Flagg spojrzał na nią i uśmiechnął się, składając dłonie na podolku. Patrzył na nią bardzo długo. Dayna zaczęła się pocić. Jego oczy

zdawały się powiększać i coraz bardziej ciemnieć. Miała wrażenie, jakby wpatrywała się w bliźniacze, bardzo stare i bardzo głębokie studnie. Tym razem kiedy spróbowała odwrócić wzrok, okazało się, że to niemożliwe.

– Powiedz mi – rzekł łagodnym tonem. – Oszczędźmy sobie nawzajem przykrości, moja droga.

Jakby z oddali usłyszała swój własny głos.

– To wszystko było nagrane, zgadza się? Jak w scenariuszu? Krótka jednoaktówka i kurtyna.

– Moja droga, nie rozumiem, o czym mówisz.

– Wiesz doskonale. Błąd polegał na tym, że Lloyd natychmiast się zgłosił, gdy włączyłeś interkom. Tu w Vegas twoje słowo to świętość, tańczą tak jak im zagrasz. Lloyd powinien być już do tej pory w połowie Stripu, prowadząc mój motocykl. Tyle tylko, że ty kazałeś mu czekać przy interkomie, ponieważ w gruncie rzeczy nigdy nie zamierzałeś puścić mnie wolno.

– Moja droga, cierpisz chyba na nieuleczalną paranoję i boli mnie to tym bardziej, że nie masz podstaw, by mnie o cokolwiek podejrzewać. Przypuszczam, że to skutek przebywania z tamtymi ludźmi. Tymi z wędrownym zoo. To musiało być dla ciebie okropnym przeżyciem. To również może się takim stać, ale przecież żadne z nas tego nie chce, prawda?

Traciła siły, zdawały się wypływać z niej przez nogi regularnymi, potężnymi falami. Resztką woli zacisnęła prawą dłoń w pięść i uderzyła się nią w czoło nad prawym okiem. Pod jej czaszką eksplodowała kaskada bólu i wzrok się jej zamglił. Odchyliła głowę w tył i uderzyła nią o drzwi. Rozległ się głuchy dźwięk. Oderwała wzrok od jego oczu i poczuła, że odzyskuje nad sobą kontrolę. A także siły, by móc stawić mu opór.

– Och, jesteś naprawdę DOBRY – rzekła z wysiłkiem.

– Wiesz, kto to jest – powiedział. Wstał z biurka i ruszył w jej stronę. – Wiesz i powiesz mi. Okładanie się po głowie nic ci nie pomoże, moja droga.

– Jak to możliwe, że tego nie wiesz? – zakrzyknęła na całe gardło. – Wiedziałeś o Sędzim i o mnie. Jak możesz nie wiedzieć o...

Z przerażającą siłą zacisnął dłonie na jej ramionach, ręce miał zimne jak marmur.

– O kim?

– Nie wiem.

Potrząsnął nią jak szmacianą lalką, twarz miał uśmiechniętą, dziką i przerażającą. Jego dłonie były zimne, lecz z oblicza buchał palący, pustynny żar.

– Ty to wiesz. Powiedz mi. Kto to jest?

– Dlaczego tego nie wiesz?

– Ponieważ nie potrafię go ujrzyć! – ryknął i cisnął ją na drugi koniec pokoju.

Upadła ciężko i potoczyła się bezwładnie po podłodze, a kiedy ujrzała jego gorejące oblicze jarzące się w półmroku, poszukujące jej i zbliżające się bezlitośnie, jej pęcherz puścił i nogi zalała jej struga gorącego moczu. Łagodne, przyjazne oblicze rozsądnego mężczyzny

znikło bezpowrotnie. Podobnie jak Randy Flagg. Teraz był tu z nią Wędrowiec, Szef, Wielki Człowiek i niechaj Bóg mają w swojej opiece.

– Powiesz mi – mruknął. – Powiesz, co chcę wiedzieć.

Spojrzała na niego, a potem wolno podniosła się z podłogi. Czuła ciężar noża spoczywającego na jej przedramieniu.

– Tak. Powiem ci – szepnęła. – Podejdź bliżej.

Uśmiechając się, postąpił krok w jej stronę.

– Nie, zbliż się jeszcze bardziej. Chcę wyszeptać ci to wprost do ucha.

Podszedł do niej. Czuła palący żar i mrozący do szpiku kości chłód. W jej uszach rozbrzmiewał wysoki atonalny zaśpiew. Czuła woń zgnilizny, silną, słodkawą, dławiącą, przyprawiającą ją o mdłości. Czuła smród szaleństwa jak woń zepsutych warzyw w ciemnej, wilgotnej piwniczce.

– Bliżej – wydyszała.

Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę i w tej samej chwili wykonała energiczny ruch nadgarstkiem. Usłyszała szczęk sprężyny. Ciężki przedmiot znalazł się w jej dłoni.

– A masz! – wrzasnęła histerycznie, szerokim łukiem unosząc rękę ku górze z zamiarem wyprucia mu wnętrzości. Chciała widzieć go jak błąka się po gabinecie z wylewającymi się z otwartego nożem brzucha i ciągnącymi za nim zwojami parujących, nabrzmiąłych jelit. Ale on tylko się roześmiał, opierając dłonie na biodrach. Na jego ustach widniał szeroki, buńczuczny, triumfalny uśmiech.

– Ależ moja droga! – Flagg ponownie zaniósł się śmiechem.

Zdezorientowana spuściła wzrok. W dłoni trzymała żółtego banana z niebiesko-białą nalepką Chiquita. Upuściła go na dywan przerażona. Banan wyglądał teraz jak szalony, żółty uśmiech naśladowujący uśmiech Flagga.

– Powiesz mi – wyszeptał. – O, tak, powiesz.

Dayna wiedziała, że tak się stanie.

Obróciła się na pięcie tak szybko, że udało się jej zaskoczyć nawet mrocznego mężczyznę. Czarna dłoń przecięła powietrze, ale schwyciła tylko za rękaw jedwabnej bluzki i wyrwała z niej długi strzęp.

Dayna dała susa w stronę wielkiego, zajmującego całą ścianę okna.

– Nie! – krzyknął Wędrowiec i poczuła, że podążył w ślad za nią niczym czarny wicher.

Wybiła się z obu nóg, wkładając w to całą swoją siłę i czubkiem głowy uderzyła w szybę. Rozległ się głuchy, niezbyt głośny trzask, a potem ujrzała zdumiewająco grube odłamki szkła sypiące się w dół, na parking dla pracowników hotelu. Po jej uderzeniu w szybę powstała spora dziura najeżona ostrymi, spiczastymi odłamkami. Impet skoku sprawił, że połową ciała znalazła się po drugiej stronie szyby i utkwiała tak, obficie krwawiąc.

Poczuła jego dłonie na swoich ramionach. Zastanawiała się, jak długo potrwa, zanim wyśpiewa mu wszystko. Godzinę? Dwie?

Podejrzewała, że umiera, ale to jej nie wystarczało.

„To był Tom, widziałam Toma, a ty nie możesz go wyczuć ani wykryć, bo jest inny, bo jest...”

Wciągał ją z powrotem do pokoju.

Zabiła się w prosty sposób, energicznym ruchem targnąwszy głową w prawo. Ostry jak brzytwa odłamek szyby wbił się głęboko w jej gardło. Drugi przebił jej oko. Ciało Dayny na chwilę zeszytniało, a jej dłonie przez kilka sekund uderzały konwulsyjnie w szybę. Potem zwiotczało. To co mroczny mężczyzna wciągnął z powrotem do swego gabinetu było już tylko krwawiącym truchłem.

Odeszła. Umarła, być może w glorii chwały.

Flagg, rycząc wściekle, kopnął stygnące zwłoki. Ich wiotkość, obojętność i martwy ciężar rozsierdziły go jeszcze bardziej. Zaczął kopać je z wszystkich sił po całym pokoju, rycząc, wyjąc i warcząc. Z włosów posypały mu się skry, jakby gdzieś w jego wnętrzu włączył się cyklotron wytwarzając pole elektryczne i przemieniając go w akumulator. W oczach mrocznego mężczyzny płonął czarny ogień. Flagg wył i kopał, kopał i wył.

Lloyd i pozostali na zewnątrz pobledli. Zaczęli wymieniać trwożliwe spojrzenia. W końcu uznali, że nie zniosą tego dłużej. Jenny, Ken i Whitney ulotnili się, a na ich białych jak płótna twarzach widniał osobliwy grymas – wyglądali jak ludzie, którzy absolutnie niczego nie słyszeli i chcieli, aby tak pozostało.

Przed gabinetem pozostał już tylko Lloyd, nie dlatego, że chciał, ale dlatego, iż wiedział, że tego po nim oczekiwano. I w końcu Flagg wezwał go do siebie.

Siedział na szerokim biurku ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi na kolanach. Spoglądał ponad głową Lloyda, gdzieś w przestrzeń. Zrobił się przeciąg, a Lloyd ujrzał ziejącą pośrodku panoramicznego okna dziurę. Ostre odłamki szkła wewnątrz otworu były czerwone od krwi.

Na podłodze leżało coś niedużego i owiniętego w grubą zasłonę, co z grubsza przypominało człowieka.

– Pozbądź się tego – rozkazał Flagg.

– W porządku – odpowiedział niemal szeptem Lloyd. – Czy mam zatrzymać głowę?

– Wywieź to wszystko tak jak tu widzisz na wschodni kraniec miasta, oblej porządnie benzyną i spal. Słyszysz, co mówię? Spal to! SPAL TO CHOLERSTWO!

– Tak jest.

– Dobrze. – Flagg uśmiechnął się dobrotliwie.

Rozdygotany, bełkoczący niewyraźnie pod nosem i niemal pojękujący z przerażenia Lloyd pochylił się, by podnieść leżące na podłodze ciało. Zasłona od spodu zdążyła już przesiąknąć krwią. Materiał był wilgotny i lepki. Ciało w rękach Lloyda wygięło się w pałąk i wyslizgnąwszy się uderzyło z hukiem na podłogę. Henreid z przerażeniem spojrzał na Flagga, lecz ten wciąż trwał w pozycji lotosu, spoglądając w dal.

Lloyd schylił się, raz jeszcze dźwignął zawinięte w zasłonę zwłoki i na chwiejnych nogach pomaszerował ku drzwiom.

– Lloyd?

Przystanął. Obejrzał się. Spomiędzy jego ust dobył się zduszony jęk.

Flagg wciąż trwał w pozycji lotosu, teraz jednak unosił się dziesięć cali nad blatem biurka, patrząc tak jak do tej pory przed siebie.

– C-c-co?

– Nadal masz klucz, który dałem ci w Phoenix?

– Tak.

– Miej go pod ręką. Chwila jest bliska.

– W p-p-porządku.

Odczekał jeszcze chwilę, ale Flagg już się nie odezwał. Wisiał w ciemnościach niczym mroczny hinduski fakir i, gapiąc się w przestrzeń, uśmiechał się łagodnie.

Lloyd pospiesznie opuścił gabinet, jak zawsze rad, że udało mu się zachować życie i pozostać przy zdrowych zmysłach.

To był jeden z cichych dni w Vegas. Lloyd wrócił o drugiej po południu, cuchnąc benzyną. Około piątej zerwał się silny wiatr i zaczął hulać wzdłuż Stripu oraz zawodzić jękliwie w alejkach pomiędzy hotelami. Palmy, które w lipcu i sierpniu zaczęły usychać z braku wody, trzepotały na wietrze niczym postrzępione bitewne sztandary.

Na niebie zaczęły gromadzić się chmury o dziwnych kształtach. W Cub Bar Whitney Horgan i Ken De Mott popijali butelkowe piwo i zajadali kanapki z pastą jajeczną. Trzy starsze kobiety (wszyscy nazywali je Trzema Wiedźmami) miały na przedmieściach Vegas kurzą fermę i choć jaj było w bród, wszyscy pałaszowali je z apetytem. W kasynie mały Dinny McCarthy bawił się żołnierzkami na stole do black jacka.

– Spójrz na tego malca – powiedział Ken z radością w głosie. – Mógłbym na niego patrzeć całymi godzinami. Całymi dniami. Chciałbym, aby to był mój syn. Moja żona miała tylko jedno dziecko, wcześniaka, urodził się dwa miesiące przed terminem. Zmarł trzeciego dnia w inkubatorze. – Ken uniósł wzrok, gdy do pomieszczenia wszedł Lloyd Henreid.

– Hej, Dinny! – zawołał Lloyd.

– Jojd! Jojd! – krzyknął Dinny. Zeskoczył ze stołu i podbiegł do niego.

Lloyd dźwignął go w górę, okręcił się z nim dookoła osi i mocno przytulił.

– Dasz Lloydowi buziaka? – zapytał.

Dinny cmokając głośno, zasypał go buziakami.

– Mam coś dla ciebie – rzekł Lloyd i wyjął z kieszonki na piersi kilka czekoladowych „całusków” Hershey.

Dinny zagrychał uradowany i ścisnął je w rączkach.

– Jojd?

– Co, Dinny?

– Dlaczego śmierdzisz benzyną?

Lloyd uśmiechnął się.

– Palilem śmieci, słonko. Idź się pobaw. Kto jest teraz twoją mamą?

– Angelina. – Wymówił imię „Angejina”. – A potem znów Bonnie. Ale Angelinę też lubię.

– Nie mów jej, że dostałeś od Lloyd’a słodycze. Angelina sprząła Lloyd’a na kwaśne jabłko.

Dinny obiecał, że nie pisnie o tym ani słowem i oddalił się, chichocząc, gdyż wyobraził sobie Angelinę piorącą Lloyd’a na kwaśne jabłko. Po kilku minutach z ustami pełnymi czekoladek znów siedział na stole do black jacka, bawiąc się plastikowymi żołnierzkami.

Pojawił się Whitney w swoim białym fartuchu. Przyniósł dwie kanapki i butelkę zimnego hamma dla Lloyd’a.

– Dzięki – rzekł Lloyd. – Wygląda wspaniale.

– To oryginalny syryjski chlebek – rzekł z dumą Whitney.

Lloyd przez chwilę jadł w milczeniu.

– Czy ktoś go widział? – odezwał się w końcu.

Ken pokręcił głową.

– Chyba znów gdzieś wybył.

Lloyd zamyślił się. Na zewnątrz hulał silniejszy niż zwykle wiatr, zawodząc tęsknie i żalostnie pośród mrocznej pustyni. Dinny na moment niepewnie uniośł głowę, ale zaraz wrócił do zabawy.

– Jest gdzieś w pobliżu – mruknął Lloyd. – Nie wiem skąd to wiem, ale wiem. Jest w pobliżu i na coś czeka. Coś ma się wydarzyć, jednak nie bardzo wiem co.

– Sądzisz, że zdołał to z niej wydobyć? – zapytał półgłosem Whitney.

– Nie – odparł Lloyd, obserwując Dinny’ego. – Raczej nie. Coś mu nie wyszło. Coś się nie udało. Albo miała szczęście... albo jakoś go przechytryła, a to nie zdarza się często.

– Na dłuższą metę to i tak bez znaczenia – burknął Ken, ale wyglądał na zakłopotanego.

– Owszem, na dłuższą metę tak. – Lloyd przez chwilę wsłuchiwał się w szum wiatru. – Może wrócił do Los Angeles. – Sam w to jednak nie wierzył i było to widać po jego wyrazie twarzy.

Whitney wrócił do kuchni po następną kolejkę piwa. Pili w milczeniu, a w ich głowach kłębiły się niepokojące myśli. Najpierw staruszek, teraz ta kobieta. Oboje nie żyli. I żadne z nich niczego nie wyjawilo. Co więcej, żadne z ciał nie pozostało nietknięte, jak On sobie tego życzył. Zupełnie jakby stara dobra drużyna Jankesów Mantle’a, Marisa i Forda przegrała dwa pierwsze spotkania w rozgrywkach World Series; trudno im było w to uwierzyć i napawało ich to przerażeniem.

Wichura szalała przez całą noc.

ROZDZIAŁ 63

Późnym popołudniem dziesiątego września Dinny bawił się w niedużym parku na północ od dzielnicy hoteli i kasyn. Jego „mama” na ten tydzień, Angelina Hirschfield, siedziała na ławce i rozmawiała z młodą dziewczyną, która zjawiała się w Vegas mniej więcej pięć tygodni temu, jakieś dziesięć dni po Angelinie.

Angie Hirschfield miała dwadzieścia siedem lat. Dziewczyna była o dziesięć lat młodsza, nosiła tego dnia obcisłe dżinsowe szorty i kusą, opiętą, trykotową bluzeczkę, która nie pozostawiała absolutnie niczego grze wyobraźni. Było coś obscenicznego w kontraście pomiędzy lubieżną ponętnością jej jędrnego, młodego ciała, a dziecięcą zaciętością i niemal pustym wyrazem twarzy. Rozmowa z nią była nudna i zdawała się nie mieć końca, mówiła na okrągło o gwiazdach rocka, seksie, pierścionku z brylantem, seksie, programach telewizyjnych, których bardzo jej brakowało i o seksie.

Angie życzyła jej w duchu, żeby ktoś w końcu zdrowo ją zerznął i żeby wreszcie się od niej odczepiła. Miała nadzieję, że Dinny skończy trzydziestkę zanim ta dziewczyna zostanie jego kolejną przybraną matką.

Naraz Dinny uniósł wzrok, uśmiechnął się i zawołał.

– Tom! Hej, Tom!

Z przeciwka, powłócząc nogami, szedł wolno potężny mężczyzna o włosach koloru słomy, kołysząc sporych rozmiarów koszykiem piknikowym, który raz po raz obijał mu się o nogę.

– Powiedziałabym, że jest pijany – rzekła dziewczyna do Angie.

Angie uśmiechnęła się.

– Nie. To Tom. On jest tylko...

Dinny zerwał się i pobiegł ku niemu, wołając na cały głos:

– Tom! Zaczekaj, Tom!

Tom odwrócił się, po czym uśmiechnął się i zawołał:

– Dinny! Hej, hej, Dinny!

Chłopiec skoczył. Tom upuścił koszyk i schwycił chłopca, po czym zakręcił się dokoła, unosząc go w górę.

– Samolot, Tom! Zrób samolot!

Tom złapał Dinny'ego za nadgarstki i zaczął obracać go coraz szybciej i szybciej. Siła odśrodkowa uniosła ciało chłopca tak, że po kilku obrotach znalazło się niemal równolegle do ziemi.

Dinny śmiał się w głos. Po kilku kolejnych obrotach Tom delikatnie postawił chłopca na ziemi.

Dinny chichotał i, chwiejąc się na nogach, usiłował odzyskać równowagę.

– Jeszcze raz, Tom! Jeszcze trochę!

– Nie, bo zwymiotujesz. Poza tym Tom musi już iść do domu. Słowo daję, tak.

– Dobra, Tom. To cześć!

– Wydaje mi się, że Dinny najbardziej ze wszystkich w całym mieście uwielbia Lloyda Henreida i Toma Cullena. Tom jest co prawda upośledzony, ale... – Spojrzała na dziewczynę i umilkła. Tamta z przejęciem, uważnie przyglądała się Tomowi.

– Czy przybył tu z drugim mężczyzną? – zapytała.

– Kto? Tom? Nie, o ile wiem zjawił się sam, jakieś półtora tygodnia temu. Mieszkał w Strefie z tamtymi, ale w końcu go przegnali. Cóż, powiedziałabym: ich strata, nasz zysk.

– Nie towarzyszył mu taki młody chłopak? Głuchoniemy?

– Głuchoniemy? Nie. Jestem pewna, że przybył tu w pojedynkę. Dinny go uwielbia.

Dziewczyna odprowadzała Toma wzrokiem, dopóki nie zniknął jej z oczu. Pomyślała o butelce pepto-bismolu. I o kartce z napisem „Nie potrzebujemy cię”. To było w Kansas, zdawałoby się tysiąc lat temu. Strzelała do nich. I z całego serca chciała ich pozabijać, zwłaszcza tego głupka.

– Julie? Dobrze się czujesz?

Julie nie odpowiedziała. Spoglądała w stronę, w którą odszedł Tom Cullen. Po krótkiej chwili na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

ROZDZIAŁ 64

Umierający mężczyzna otworzył notatnik permacover, zdjął nasadkę z pióra, odczekał chwilę, po czym zaczął pisać.

To dziwne, wcześniej gdy tylko pióro dotykało kartki, natychmiast, jak za sprawą czarów, zapisywało je od góry do dołu, jedna po drugiej. Teraz słowa przychodziły do niego z trudem, chaotyczne i nieśmiałe, litery wielkie i koślawe, jakby cofnął się do pierwszych klas podstawówki w swoim prywatnym wehikule czasu.

W tamtych czasach rodzice wciąż go kochali. Amy jeszcze nie rozkwitła, a jego przeszłość jako Zdumiewającego Tłuszciocha z Ogunquit i potencjalnego homoseksualisty póki co nie skryształizowała się. Pamiętał, jak siedział za skąpanym w słońcu kuchennym stołem, słowo po słowie przepisując jedną z ksiązek Toma Swifta. Zawsze miał wtedy pod ręką szklaneczkę z colą. Słyszał płynący z pokoju głos matki: „To tylko dziecięcy tłuszcz, tak mówi lekarz. Dzięki Bogu z jego gruczołami wszystko w porządku. I jest taki bystry!”

Patrzył jak słowa pojawiają się, litera po literze. Jak słowo po słowie tworzą się zdania. Patrzył jak powstają kolejne akapity, każdy z nich niczym kolejna cegła w wielkim murze Bastionu Ludzkiego Języka.

„To będzie mój największy wynalazek – rzekł z wymuszeniem Tom. – Spójrzcie, co się stanie, kiedy wyjmę talerz, tylko na miłość Boską nie zapomnijcie zasłonić oczu!”

Cegły języka. Kamień, liść, nie odkryte drzwi. Słowa. ŚWIATY. Magia. Życie i nieśmiertelność. Potęga i władza.

„Nie wiem, skąd on to ma, Rito. Może po dziadku. Był wyświęconym kapłanem i powiadają, że jego kazania brzmiały niczym natchnione”.

Patrzył jak litery w miarę upływu czasu stawały się coraz ładniejsze. Patrzył jak łączą się ze sobą, słowa pisane, drukowane pojawią się później. Łączące się myśli i wątki. Bądź co bądź tym właśnie był cały świat, myślami i wątkami. W końcu dostał maszynę do pisania (i właściwie to wszystko, co miał kiedykolwiek otrzymać; Amy w tym czasie chodziła do liceum, należała do National Honor Society, kółka teatralnego, drużyny dopingującej, koła dyskusyjnego, miała same szóstki, nie nosiła już aparatu korekcyjnego na zębach, a jej najlepszą przyjaciółką była Frannie Goldsmith... Jej brat, choć już trzynastolatek, wciąż miał

całkiem pokaźny brzuszek, zaczynał bronić się przed atakami słownymi, używając brzydkich wyrazów i z przerażeniem, powoli dochodził do wniosku, że życie to wielki, buzujący pogański kocioł; w jego wnętrzu zaś tkwił, gotując się na wolnym ogniu, on sam w zastępstwie misjonarza). Maszyna do pisania pozwoliła mu usunąć ostatnie bariery i otworzyć się bez reszty. Początkowo szło mu to wolno, bardzo wolno, zaś błędy jakie wciąż robił przyprawiały go o głęboką frustrację. Zupełnie jakby maszyna złośliwie i świadomie sprzeciwiała się jego woli. Gdy nabrał wprawy w pisaniu, zaczął pojmować, czym było naprawdę to urządzenie – osobliwym, magicznym przekąźnikiem pomiędzy jego mózgiem a pustą stroną, którą chciał podbić. Zanim wybuchła epidemia supergrypy, potrafił wystukać ponad sto słów na minutę i nareszcie nauczył się wychwytywać, a następnie przelewać na papier najbardziej ulotne myśli. Nigdy jednak nie zerwał na stałe z pisaniem odręcznym, pamiętając, że tak właśnie powstały *Moby Dick*, *Szkarłatna litera* czy *Raj utracony*.

Dzięki wieloletniej praktyce osiągnął charakter pisma, który Frannie mogła ujrzyć w jego rejestrze – żadnych akapitów, przerw czy odpoczynku dla oka. Było to dzieło przeraźliwie męczące i potwornie wyczerpujące dla ręki, ale zrodziło się z miłości. Chętnie i z przyjemnością używał maszyny do pisania, jednak to co najlepsze zawsze zapisywał odręcznie.

A teraz w ten właśnie sposób zapisze ostatnią kartę swojego życia.

Uniósł wzrok i ujrzał krążące powoli na niebie ścierwojady, ciemne kształty jak z horroru z Randolphem Scottem albo z powieści Maxa Branda.

Pomyślał, jak mogłoby to wyglądać w powieści: „Harold ujrzał krążące po niebie, wyczekujące ścierwojady. Przez chwilę patrzył na nie ze spokojem, po czym znów nachylił się nad swoim dziennikiem”.

Pochylił się nad swoim dziennikiem.

Pod sam koniec zmuszony został do powrotu do koślawych, niezgrabnych liter, które wychodziły spod jego pióra na początku kariery pisarskiej. Z boleścią w sercu powrócił wspomnieniami do tamtej nasłonecznionej kuchni, zimnej szklaneczki coli i starych, cuchnących wilgocią i pleśnią książek Toma Swifta. Teraz, w końcu, pomyślał (i napisał), jego rodzice mieliby powód do zadowolenia. Nie był już gruby, pozbył się „dziecięcego tłuszczu”. I choć zasadniczo wciąż pozostawał prawiczkim, był święcie przekonany, że nie jest homoseksualistą.

Otworzył usta i wychrypiął:

– Jestem na szczycie świata, mamó.

Jego zapiski zajęły już połowę strony. Spojrzał na to, co napisał, a potem na swoją skręconą i złamaną nogę. Złamaną? To mało powiedziane. Noga była zgruchotana. Już od pięciu dni siedział w cieniu tej skały. Skończyło mu się jedzenie. Gdyby nie dwie silne ulewy umarłby z pragnienia już wczoraj, a może nawet przedwczoraj. Jego noga gniła. Miała

zielonkawą barwę i wydzielala słodkawo-mdlący smród, a jakby tego było mało, potwornie napuchła i w nogawce spodni khaki wyglądała jak wielka parówka.

Nadine odjechała dawno temu.

Harold sięgnął po pistolet leżący u jego boku i sprawdził magazynek. Robił to tego dnia chyba po raz setny. Podczas ulewnych deszczów starał się zabezpieczyć broń, aby naboje nie zamokły. Wciąż miał jeszcze trzy. Dwa strzały oddał do Nadine, kiedy spojrzała na niego z góry i powiedziała, że rusza w dalszą drogę sama.

Zbliżali się do ostrego zakrętu, Nadine po wewnętrznej, a Harold na swoim triumfie po zewnętrznej. Znajdowali się na Colorado Western Slope, jakieś siedemdziesiąt mil od granicy z Utah. Na szosie po zewnętrznej znajdowała się wielka plama oleju. Harold przez ostatnich parę dni dużo się nad tym zastanawiał. To wszystko wydawało mu się nazbyt perfekcyjne. Plama oleju? Skąd? Z jakiego powodu? Jakim sposobem się tam znalazła? Z całą pewnością tą drogą od dobrych dwóch miesięcy nie przejeżdżał żaden pojazd. To dość czasu, aby po każdej, nawet największej plamie oleju, zniknął wszelki ślad. Zupełnie jakby Jego czerwone oko obserwowało ich przez całą drogę, czekając na właściwy moment, by spowodować powstanie na szosie wielkiej plamy oleju i usunąć Harolda z gry. Niech towarzyszy jej na wszelki wypadek w drodze przez góry, a potem... już temu panu dziękujemy.

Usunięto go perfekcyjnie. Jak to się mówi: „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”.

Triumph poszorował po asfalcie i zatrzymał się na barierce, a Harold wyrzucony jak z procy przeleciał ponad nią i runął w dół. Poczłł dojmujący ból w prawej nodze. Usłyszał trzask i chrupnięcie łamiącej się kości. Krzyknął. A potem ziemia wyleciała mu na spotkanie, kamienisty stok o dużym kącie nachylenia, zbocze głębokiego parowu, na dnie którego, jak można było sądzić po odgłosach, płynął wartki potok.

Uderzył w ziemię, wyrzuciło go ponownie w powietrze, przekoziółkował, znowu krzyknął, jeszcze raz wylądował na prawej nodze, usłyszał jak pękła w innym miejscu, podrzuciło go w górę, spadł, poturlał się i nagle zatrzymał z impetem na pniu starego drzewa, zwalonego wiele lat temu podczas silnej burzy. Gdyby go tu nie było, runąłby w głąb parowu i jego ciałem pożywiłyby się nie ptaki, lecz pstrągi w potoku.

W swoim notatniku, wciąż dziwiąc się koślawym, jak kreślonym rączką dziecka literom, zapisał: „Nie winie za to Nadine”. I rzeczywiście tak było. Choć kilka dni temu miał inne zdanie na ten temat.

Wstrząśnięty, poobijany, w szoku, z prawą nogą płonąącą żywym ogniem, zdołał się podnieść i podczołgać kawałek w górę stoku. Wysoko nad sobą ujrzał Nadine patrzącą na niego sponad barierki. Jej twarz była mała i blada jak buzia lalki.

– Nadine! – zawołał. Jego głos zabrzmiał jak ochrypy jęk. – Rzuć mi linę! Jest w torbie po lewej stronie.

Ale ona tylko na niego patrzyła. Pomyślał, że go nie usłyszała i był gotów zawołać jeszcze raz, gdy ujrzał jak jej głowa powoli obraca się w lewo, w prawo i jeszcze raz w lewo.

Wolno. Bardzo wolno. Przeczący ruch głową.

– Nadine! Bez liny nie dostanę się na górę! Mam złamaną nogę!

Nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na niego, nawet już nie kręciła głową. Miał wrażenie, jakby wpadł do bardzo głębokiego dołu, a Nadine stała na jego krawędzi i gapiała się na niego.

– Nadine, rzuć mi linę!

Znów ten powolny, przeczący ruch głową, przerażający jak skrzyp wrót krypty zamykających się powoli, choć znajdujący się wewnątrz niej człowiek nie był martwy, a jedynie pogrążony w głębokiej katalepsji.

– NADINE, NA MIŁOŚĆ BOSKA!

W końcu usłyszał jej głos, niezbyt donośny, ale dobrze słyszalny pośród panującej dokoła ciszy. Powiedziała tylko:

– Haroldzie, to wszystko zostało zaaranżowane. Muszę już ruszać w dalszą drogę. Przykro mi.

Mimo to wciąż stała przy barierce, patrząc na niego, leżącego jakieś dwieście stóp niżej. Pojawiły się już muchy, krążyły wokół plam krwi na wystających ze stoku kamieniach, o które uderzył, spadając, i na których pozostawił strzępy skóry i tkanek.

Harold zaczął pełznąć pod górę, ciągnąc za sobą pogruchotaną nogę. Początkowo nie odczuwał nienawiści, nie pragnął wpakować w Nadine paru kul. Chciał jedynie podpełznąć bliżej, aby ujrzeć wyraz jej twarzy.

Niedawno minęło południe. Było gorąco. Pot ściekał mu po twarzy i skapywał na ostre kamyki i żwir, po którym się wspinał. Posuwał się naprzód, podciągając się na łokciach i odpychając lewą nogą niczym okaleczony owad. Oddech ze świstem wpływał i wypływał spomiędzy jego warg. Nie miał pojęcia, jak długo trwała ta mordęga ale raz czy dwa uderzył zranioną nogą w kamienny występ i fala bólu, jaka temu towarzyszyła, w okamgnieniu pozbawiła go przytomności. Kilkakrotnie osuwał się w dół, jęcząc bezradnie. W końcu zdał sobie sprawę, że wyżej już się nie wdrapie. Cienie się zmieniły. Upłynęły trzy godziny. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni spoglądał w górę, ku barierce i szosie, z pewnością było to ponad godzinę temu. Cierpiał potworne katusze i wspinaczka pochłaniała go bez reszty. Nadine zapewne odjechała już dawno temu.

A jednak nie. Wciąż tam była i choć pokonał zaledwie dwadzieścia pięć stóp pod górę, jej twarz była przeraźliwie wyraźna. Widniał na niej smutek i żal, lecz wzrok Nadine wydawał się mętny, niewidzący, odległy. Wzrokiem była PRZY NIM. A raczej Z NIM. Właśnie wtedy zaczął jej nienawidzić i sięgnął do kabury pod ramieniem. Pistolet wciąż w niej tkwił przytrzymywany mocno skórzanym paskiem opinającym kolbę i zakończonym zatrzaskiem. Odpiął go, kuląc się najbardziej jak tylko zdołał, by nie zauważyła, co robił.

– Nadine...

– Haroldzie, uwierz, tak będzie dla ciebie lepiej, bo z Jego strony mógłbyś spodziewać się czegoś znacznie gorszego. Chyba to rozumiesz, prawda? Nie chciałbyś spotkać się z Nim

twarzą w twarz. On uważa, że ktoś kto zdradza swoich, może równie dobrze zdradzić tych, do których właśnie przystąpił. Zabiłby cię, wpierw jednak odebrałby ci rozum. Ma taką moc. Pozwolił mi dokonać wyboru. W ten sposób... albo w Jego sposób. Wybrałam to rozwiązanie. Możesz położyć temu kres bardzo szybko, jeśli tylko nie zabraknie ci odwagi. Wiesz, o czym myślę.

Wtedy po raz pierwszy (z setek, a może tysięcy) sprawdził czy ma załadowaną broń, zasłaniając ją pokrwawioną i mocno podrapaną ręką.

– A co z tobą? – zawołał do niej. – Czy i ty nie jesteś zdrajczynią?

– W głębi serca nigdy go nie zdradziłam – odparła ze smutkiem.

– Wydaje mi się, że właśnie sercem go zdradziłaś – odrzyknął Harold.

Usiłował nadać swemu obliczu szczeremu i naturalnego wyrazu, choć przez cały czas oszacowywał odległość od celu. Miał czas na oddanie zaledwie dwóch strzałów, nie więcej, a broń krótka bywała zawodna i niecelna na taki dystans.

– Sądzę, że on również o tym wie.

– On potrzebuje mnie – odrzekła – a ja jego. Nigdy tak naprawdę w to nie wszedłeś, Haroldzie. Gdybyśmy pojechali dalej razem, mogłabym... pozwolić ci, abyś coś mi zrobił. Tę drobną, nic nie znaczącą rzecz. I w ten sposób zniszczyłbyś wszystko. Nie mogłam pozwolić sobie nawet na najmniejsze ryzyko, po tych wszystkich ofiarach, rozlewie krwi i potwornościach. Oboje zapredaliśmy nasze dusze, ale ja przynajmniej mam jeszcze w sobie dość godności, by uzyskać za moją należną cenę.

– Zapłacę ci zawiązką – rzekł Harold, podnosząc się na kolana.

Słońce świeciło oślepiająco, przez co przez chwilę zakręciło mu się w głowie. Wydawało mu się, że usłyszał głosy – GŁOS – krzyczący w pełnym zdumienia proteście.

Pociągnął za spust. Rozległ się strzał, echo ogłuszającego huku jeszcze przez dłuższą chwilę odbijało się od skalnych ścian, słabnąc coraz bardziej, aż w końcu ucichło zupełnie. Na twarzy Nadine pojawił się wyraz niemal komicznego zdziwienia.

„Nie sądziła, że jestem do tego zdolny!” – pomyślał Harold w przyływie upojnego triumfu. Otworzyła usta, zupełnie zaskoczona. Jej oczy rozszerzyły się, palce dłoni naprężyły i uniosły. Wyglądała teraz jak pianistka zamierzająca zagrać jakiś wyjątkowo trudny akord. Chwila była tak cudowna, że Harold sycił się nią przez sekundę lub dwie, nieświadom, że chybił. Gdy zdał sobie z tego sprawę, ponownie uniosł broń do strzału, obejmując prawy nadgarstek palcami lewej dłoni.

– Haroldzie! Nie! Nie możesz!

„Nie mogę? To taka drobnostka, naciśnięć spust. Oczywiście, że mogę”.

Wydawała się zbyt wstrząśnięta, aby mogła się poruszyć i kiedy lufa pistoletu wycelowana została idealnie na wysokości jej szyi, poczuł niezbitą, nieodpartą pewność, że to właśnie tak miało się zakończyć, krótkim, krwawym i kompletnie bezsensownym wybuchem przemocy.

Miał ją.

Kiedy jednak zaczął ściągać spust, wydarzyły się dwie rzeczy.

Pot spłynął mu do oczu, zaćmiewając wzrok. Widział teraz podwójnie. Na dodatek zaczął zsuwać się w dół stoku. Później tłumaczył sobie, że musiała osunąć się pod nim warstwa żwiru, że ugięła się pod nim zgruchotana noga, a może jedno i drugie naraz. Być może rzeczywiście tak było. A jednak czuł... jakby ktoś – lub coś – go popchnęło i w ciągu długich nocy jakie minęły od tamtej pory nie potrafił przekonać samego siebie, że stało się inaczej. Za dnia Harolda cechował niezłomny racjonalizm, nocą jednak ogarniało go głębokie przekonanie, że to sam mroczny mężczyzna wtrącił się, by pomieszać mu szyki. Kula, która miała przeszyć szyję Nadine, chybiła celu i poszybowała wysoko w czyste, obojętne, błękitne niebo. Harold sturlał się z powrotem na sam dół do spróchniałego, zwałonego drzewa, jeszcze bardziej uszkadzając potrzaskaną prawą nogę. Od pachwiny po kostkę przeszła Harolda fala białego oślepiającego bólu.

Uderzył w drzewo i zemdlał. Gdy znów się ocknął, było już po zmierzchu, a na niebie nad parowem wisiał księżyc w trzeciej kwadrze. Nadine zniknęła.

Pierwszą noc spędził trawiony paraliżującą zgrozą, że nie zdoła wyczołgać się z powrotem na szosę. Był pewien, że przyjdzie mu umrzeć tu, w głębi parowu. Rankiem zaś mimo wszystko zaczął znów pełznąć po stoku, choć cały oblewał się potem, a jego ciałem wstrząsały spazmy bólu.

Zaczął swoją wędrówkę około siódmej rano, kiedy w Boulder z dworca autobusowego zaczęły wyruszać wielkie pomarańczowe ciężarówki służby pogrzebowej. O piątej po południu zdołał w końcu zacisnąć palce jednej z pokrytych pęcherzami, poranionej dłoni na barierce na skraju szosy. Jego motocykl wciąż tam leżał. Na ten widok Harold niemal się rozplakał. W pośpiechu wydobyl z torby przy siodełku maszyny kilka puszek oraz otwieracz, otworzył jedną i zaczął palcami wpychać sobie do ust zimną mielonkę. Smakowała obrzydliwie i po długiej walce z samym sobą zwrócił wszystko.

Wówczas uświadomił sobie, że jego godziny są już policzone. Zapłakał, opierając się plecami o koło triumpha, z uszkodzoną nogą wciśniętą pod siebie. Potem trochę się przespał.

Następnego dnia przyszła potężna ulewa i przemoczyła go do suchej nitki. Jego noga zaczęła cuchnąć, wdała się gangrena, na dodatek Harold sporo się wycierpiał, osłaniając cenną broń całym swoim ciałem, by nie zamokła. Tego wieczora znów zaczął pisać w swoim notatniku i po raz pierwszy, na podstawie charakteru pisma stwierdził, że przeżywa regres. Przypomniało mu się opowiadanie *Kwiaty dla Algernona* Daniela Keyesa. Opowiadało ono o upośledzonym umysłowo dozorczy, którego zespół naukowców zdołał – przynajmniej na jakiś czas – przemienić w pewien sposób w geniusza. Ale ostatecznie człowiek ten zaczął powracać do poprzedniego stanu. Jak on się nazywał? Charley jakiś tam? Tak, właśnie tak. Charly. Na podstawie tego opowiadania, a potem powieści, nakręcili nawet film fabularny pod takim właśnie tytułem. To był całkiem niezły film. Nie dorównywał co prawda

literackiemu pierwowzorowi, roilo się w nim od psychodelicznych scenek, jak to w latach sześćdziesiątych, ale w sumie nie był zły. Przedtem Harold często chodził do kina, lubił także oglądać filmy na video. Przedtem, w czasach kiedy ten świat, choćby tylko w cudzysłowie, nadawał się do życia. Większość filmów oglądał samotnie.

Z koślawych liter powoli powstawały kolejne słowa. Harold napisał w swoim notatniku:

Zastanawiam się, czy oni wszyscy nie żyją? Cała komisja? Jeżeli tak, wybaczenie. Zostałem oszukany. Wiem, że to marne wytłumaczenie tego, co uczyniłem, ale dla mnie jedyne, jakie jeszcze się liczy. Mroczny mężczyzna jest realny jak supergrypa czy rakiety z, głowicami atomowymi, które wciąż spoczywają gdzieś tam, w swoich ołowiano-betonowych silosach. A gdy nadejdzie kres i będzie rzeczywiście tak straszny, jak spodziewali się tego wszyscy prawi ludzie tego świata, zbliżając się do Tronu Pańskiego na sąd ostateczny pozostanie wykrztusić z siebie tylko to jedno jedyne, szczere wyznanie: „Zostałem oszukany”.

Harold przeczytał to, co napisał i przetarł czoło drżącą dłonią. To nie było dobre wytłumaczenie, raczej kiepska wymówka. Nic nie mogło tego odmienić. Ktoś kto przeczyta ten akapit po wcześniejszej lekturze Rejestru, musi uznać go za skończonego hipokrytę. Postrzegał siebie jako króla anarchii, ale mroczny mężczyzna zdołał go przejrzeć na wskroś i zredukować – skądinąd bez większego wysiłku – do roli worka kości dogorywającego w cierpieniach przy szosie. Jego noga napuchła niczym balon i wydzielala cuchnącą woń jakby przezrzątych bananów. Siedział tak, usiłując racjonalizować to co niewypowiedziane, a wysoko w górze krążyły wygłodniałe ścierwojady. Padł ofiarą własnego, przedłużonego wieku dojrzewania, ot i wszystko. Zabiły go jego mordercze wizje.

Umierając, miał wrażenie jakby odzyskał choć odrobinę godności i zdrowych zmysłów. Nie chciał pozbawiać się tego, wypisując kolejne kulawe usprawiedliwienia czy wymówki.

– W Boulder mogłem być kimś – rzekł półgłosem i ta prosta, smutna prawda wycisnęła mu z oczu łzy, gdyby nie był tak zmęczony i tak odwodniony. Spojrzał na koślawe litery na kolejnej ze stron swego notatnika, po czym przeniósł wzrok na broń.

Nagle zapragnął, aby to wszystko wreszcie się skończyło i zaczął zastanawiać się, jak najprościej i najbardziej prawdziwie mógłby podsumować całe swoje życie. Zapisanie tych kilku ostatnich zdań i pozostawienie ich, by ktoś kiedyś, za rok, dwa, a może dziesięć odkrył je przy jego zwłokach wydawało mu się nie tyle konieczne, co wręcz nieodzowne.

Sięgnął po pióro. Zamyślił się i napisał:

Przepraszam za całe zło, jakie wyrządziłem, lecz nie będę zaprzeczał, iż uczyniłem to wszystko z własnej i nieprzymuszonej woli. W szkole, na moich pracach zawsze podpisywałem się pełnym imieniem i nazwiskiem – Harold Emery Lauder.

Podpisywałem w ten sam sposób swoje rękopisy – choć przyznaję, że były fatalne. Raz zdarzyło mi się nawet podpisać na dachu stodoły wielkimi na trzy stopy literami. Chcę podpisać się teraz pod tym imieniem, które nadano mi w Boulder. Wówczas nie potrafiłem go przyjąć, teraz jednak czynię to świadomie i bez oporów.

Zamierzam umrzeć z własnej ręki i w pełni władz umysłowych.

U dołu kartki złożył wyraźny, staranny, krótki podpis: Hawk.

Włożył notatnik do skórzanej torby przy siodełku triumpha. Nałożył nasadkę na pióro i wsunął je do kieszeni. Włożył lufę pistoletu do ust, po czym uniósł wzrok, wpatrując się w czyste, błękitne niebo. Pomyślał o grze, w którą bawili się jego koledzy będąc dziećmi, o grze, w której chciał uczestniczyć, ale nigdy nie miał w sobie dość odwagi, by się do nich przyłączyć. Za miastem znajdowało się spore żwirowisko. Gra poległa na tym, by stanąć na brzegu dołu i skoczyć. Serce podchodziło ci do gardła, gdy leciałeś w dół, zdawało ci się, że zawisłeś w powietrzu, ale w końcu lądowałeś na piaszczystym zboczu i turlałeś się na sam dół, by, gdy już się tam znalazłeś, ze zwycięskim uśmiechem podnieść się z ziemi, wbiec z powrotem na górę i skoczyć raz jeszcze.

Wszystkie dzieciaki to robiły. Wszystkie, z wyjątkiem Harolda. Harold tak jak inni stawał na skraju żwirowego dołu, odliczając głośno „JEDEN... DWA... TRZY!”, ale magiczna inkantacja zawsze okazywała się nieskuteczna. Nie potrafił ruszyć się z miejsca. Nogi miał jak wrośnięte w ziemię. Nie zdołał zebrać się na odwagę i skoczyć. Inne dzieciaki miały z niego wtedy niezły ubaw. Zdarzało się, że biegły za nim aż do domu, przedrzeźniając Harolda i przezywając go „Harold Tchórz” albo „Harold Ciota”.

„Gdybym choć raz odważył się skoczyć... – pomyślał – jeden jedyny raz... możliwe, że nie byłbym teraz tutaj. Cóż, lepiej późno niż wcale”.

„Jeden... Dwa... Trzy!...” – odliczał w myślach.

Pociągnął za spust.

Broń wypaliła.

Harold skoczył.

ROZDZIAŁ 65

Na północ od Las Vegas leży Emigrant Valley i tej nocy pośród pustynnej głuszy płonęła w niej maleńka iskierka ogniska. Siedział przy nim Randall Flagg, z ponurą miną podsmażając na ogniu korpus małego królika. Obracał go wolno i dokładnie na sporządzonym przez siebie prymitywnym rożnie. Patrzył jak tłuszcz skwierczy i wielkimi syczącymi kroplami spada w ogień. Wiał lekki wietrzyk, niosąc aromat pieczystego w głąb pustyni i przywabiając wilki. Siedziały dwa wzniesienia od ogniska, wyjął do księżyca zbliżającego się do pełni. Czują woń pieczonego mięsiwa. Od czasu do czasu spoglądał w ich stronę i dwa lub trzy basiory zaczynały walczyć między sobą, gryząc, drapiąc i kopiąc silnymi tylnymi łapami, aż najslabszy z nich zmuszony był do ucieczki. Wówczas pozostałe znów zaczynały wyć ze spiczastymi pyskami uniesionymi ku nabrzmiałemu księżycowi osnutemu w czerwień.

Wilki jednak zaczynały go już nudzić.

Miał na sobie sprane, wyświechtane dżinsy, zakurzone kowbojki i kubrak z owczej wełny z dwoma plakietkami na piersi, „uśmiezkciem” i gliną-wieprzem opatrzonym podpisem: I JAK TAM TWOJA ŚWINIA? Nocny wiatr smagał postawiony kołnierz grubego kubraka.

Flagg był nie w sosie. Nie podobało mu się to, co wydarzyło się w ostatnich dniach. Sprawy zaczynały wymykać się spod kontroli.

Znaki nie wróżyły mu najlepiej, a było ich sporo, złe znaki jak nietoperze gnieźdzące się na mrocznym stryszku opuszczonej stodoły. Stara kobieta umarła i początkowo był z tego bardzo zadowolony. Wbrew wszystkiemu bał się tej starej Murzynki. Ale ona umarła, a on powiedział Daynie Jurgens, że kobieta odeszła nie ocknąwszy się ze śpiączki... tylko czy rzeczywiście tak było? Nie miał pewności. Już nie.

Czy zdążyła coś powiedzieć przed śmiercią? A jeżeli tak, to co?

Co oni planowali?

Wytworzył w sobie coś w rodzaju trzeciego oka. Było to jak umiejętność lewitacji, coś co umiał i z czym się godził, choć nie potrafił do końca zrozumieć. Umiał wysyłać je na duże odległości, aby obserwować, co działo się w terenie... Choć nie zawsze to mu się udawało. Czasami oko w tajemniczy sposób ślepo. Potrafił wejrzeć do pokoju, gdzie konała staruszka, widział TAMTYCH zebranych wokół jej łóżka, wciąż jeszcze noszących ślady po

niespodzianie, jaką urządzili im Harold z Nadine... i nagle obraz zaczął się rozmywać i ściemniał zupełnie, a on sam ocknął się tu, na pustyni otulony pledem i wpatrujący się w rozgwieżdżone niebo powyżej.

I jakiś głos w jego wnętrzu powiedział: „Ona umarła. Tamci czekali, aby do nich przemówiła, ale tak się nie stało. Nie obudziła się ze śpiączki”.

Tyle tylko, że on nie ufał już temu głosowi.

I ta kłopotliwa sprawa ze szpiegami.

Staruszek, któremu niemal odstrzelono głowę.

Dziewczyna, która w ostatniej chwili zdołała wywieść go w pole. I ona wiedziała, niech to szlag, WIEDZIAŁA!

Spojrzał gniewnie na wilka i niemal pół tuzina z nich zaczęło walczyć między sobą. Gardłowe warczenie drapieżników pośród nocnej ciszy przypominało odgłos dartego płótna.

Znał wszystkie ich sekrety, za wyjątkiem jednego: kto był trzecim? Kto to był? Raz po raz wysyłał oko na poszukiwania, ale postrzegало ono jedynie tajemniczą tarczę księżycą w pełni. K-S-I-E-Ż-Y-C, i to znaczy księżyc.

Kto był trzecim?

Jakim cudem ta dziewczyna zdołała mu się wymknąć? Zupełnie go zaskoczyła, został mu w dłoni tylko strzyp jej bluzki. Wiedział o nożu, to była fraszka, ale za nic nie spodziewał się, że mogłaby nagle rzucić się w stronę okna. I zimna krew, z jaką odebrała sobie życie, bez chwili wahania. Kilka sekund i po wszystkim.

Myśli w jego głowie ścigały jedna drugą niczym łasice pośród nocy.

Sprawy nie szły tak, jak sobie zaplanował. Szwy zaczęły pękać.

To ani trochę mu się nie podobało.

Choćby Lauder. Właśnie, ta sprawa z Lauderem.

Dawał się prowadzić wręcz idealnie, działał z mechaniczną precyzją nakręcanej kluczykiem zabawki. Idź tu. Idź tam. Zrób to. Zrób tamto. A jednak bomba zabiła tylko dwoje z nich... tyle planowania, tyle wysiłku, by cały ich trud poszedł na marne za sprawą nagłego powrotu konającej starej Murzynki. A potem... Kiedy Harold został już... usunięty... kiedy się go pozbył, niewiele brakowało, a zastrzeliliby Nadine! Na samą myśl o tym ogarniało go nieprzeparte zdziwienie i bezgraniczna wściekłość. A ta głupia kobieta stała jak wryta, z rozdziawioną gębą i czekała aż znów do niej wypali, zupełnie jakby chciała, aby ją kropnął. A gdyby Nadine umarła, kto, delikatnie mówiąc, wyszedłby na tym najgorzej?

Kto jeśli nie jego syn?

Królik nadawał się już do jedzenia. Flagg zsunął go z rożna na foliową tackę.

– W porządku, zapchlone łachudry, żreć!

Uśmiechnął się szeroko. Czy był kiedyś w piechocie morskiej? Chyba tak. Miał w sobie coś z twardego komandosa. Pamiętał dzieciaka, przygłupa, nazwiskiem Boo Dinkway. Zrobili mu...

Co?

Flagg zmarszczył brwi i spojrzął na tackę. Co właściwie zrobili temu biednemu Boo? Zglanowali go? Zrobili mu kocówę? A może zwyczajnie skręcili mu kark? Chyba przypominał sobie, że użyli benzyny. Ale do czego konkretnie?

W nagłym przypływie wściekłości omal nie cisnął świeżo upieczonego królika do ogniska. „Cholera, przecież powinienem pamiętać takie rzeczy!”

– Koty, do koryta, zreć! – wyszeptał, ale tym razem nie przywołało to nowych wspomnień.

Zatracał siebie. Niegdyś potrafił wejrzeć w przeszłość, w lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i osiemdziesiąte jak ktoś, kto stojąc na podeście schodów zagląda do znajdujących się na piętrze mrocznych pokoi. Teraz wyraźnie pamiętał jedynie wypadki, które miały miejsce po wybuchu epidemii supergrypy. Wszystko co zdarzyło się wcześniej, tonęło w mgłach niepamięci, które niekiedy odrobinę się przerzedzały, ukazując mu przebliski jakichś enigmatycznych wspomnień lub osób (na przykład Boo Dinkwaya... jeśli ktoś taki w ogóle kiedykolwiek istniał), by zaraz zgęstnieć na nowo.

Najwcześniejsze wspomnienie, którego był pewien, ukazywało jego samego maszerującego na południe wzdłuż autostrady US 51, ku Mountain City i domowi Kita Bradentona.

Wspomnienie narodzin. Ponownych narodzin.

Nie był już człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, naturalnie, jeśli w ogóle był kiedykolwiek istotą ludzką. Przypominał wolno obieraną cebulę, warstwa po warstwie, lecz w jego przypadku odzierany był z przejawów człowieczeństwa, pozbawiono go umiejętności swobodnego myślenia, wspomnień, a może nawet wolnej woli... jeśli coś takiego istniało.

Zaczął jeść królika.

Kiedyś – i tego był akurat pewien – gdy sytuacja zaczynała wyglądać nieciekawie, natychmiast się ulatniał, rozpływał się w powietrzu niczym mgła. Ale nie tym razem. To było jego miejsce, jego czas i jego bastion. Nie miało znaczenia, że nie zdołał jak dotąd zidentyfikować trzeciego szpiega, ani, że zanim umarł Harold wyrwał mu się spod kontroli i próbował zabić przyrzeczoną mu oblubienicę, kobietę mającą urodzić mu syna.

Gdzieś tam, po pustyni błąkał się ten dziwak, Śmieciarz, poszukując broni, z pomocą której już niebawem raz na zawsze rozwiążą problem tej jakże uciążliwej i kłopotliwej Wolnej Strefy. Jego oko nie potrafiło śledzić poczynań Śmieciarza, a Flagg skonstatował, że pod pewnymi względami ten człowiek przewyższał dziwacznością nawet jego samego. Przypominał ludzkiego psa gończego, który bezbłędnie potrafił zwietrzyć woń kordytu, gelinitu i napalmu, i docierał do ukrytych magazynów jakby posługiwał się wewnętrznym radarem.

Za miesiąc, a może nawet wcześniej, odrzutowce Gwardii Narodowej wzbiją się w powietrze z morderczym ładunkiem rakiet shrike pod skrzydłami. A gdy upewni się, że jego oblubienica jest w stanie błogosławionym, samoloty skierują się na wschód.

Spojrzał z rozmarzeniem na wielką tarczę niemal pełnego księżyca i uśmiechnął się.

Była jeszcze jedna możliwość. Uznał, że Oko pokaże mu to w swoim czasie. Mógł tam dotrzeć pod postacią kruka, wilka lub niedużego owada, choćby modliszki, czegoś, co zdołałoby przedostać się przez ciasny, starannie zamaskowany otwór wentylacyjny wkomponowany z pietyzmem w surowy, pustynny krajobraz. Wpełźnie lub wskoczy do mrocznego przewodu wentylacyjnego, a potem prześlizgnie się przez siatkę klimatyzatora lub nieczynnego wentylatora..

Miejsce to znajdowało się pod ziemią. Na pograniczu Kalifornii.

Były tam próbki i zlewki oznaczone nalepkami z napisami: „supercholera”, „superkarbunkuł”, „nowa, usprawniona odmiana dżumy dymienicznej”, a wszystkie one oparte na bazie zmiennych antygenów, zdolności, która uczyniła supergrypę chorobą niemal w stu procentach zabójczą. W miejscu tym znajdowały się setki takich naczyń laboratoryjnych, było tu wszystko, czego dusza zapagnie, do wyboru, do koloru, jak w reklamie.

A gdyby tak domieszać zawartość którejś ze zlewek do ujęć wody pitnej w Wolnej Strefie?

Albo rozpylić w powietrzu, nisko nad ziemią?

Miły prezent pod choinkę, choroba legionistów albo może nowa, ulepszona odmiana świńskiej grypy?

Randy Flagg, mroczny Nieświęty Mikołaj w saniach z kontyngentu Gwardii Narodowej, wrzucający do komina każdego z domów małego wirusa?

Zaczeka na odpowiednią chwilę. Gdy nadejdzie ten moment, będzie wiedział...

Coś mu powie.

Na pewno się zorientuje, że to już czas.

Będzie dobrze. Tym razem obejdzie się bez pospiesznej ewakuacji i rozplywania się w powietrzu. Znalazł się na samym szczycie i nie zamierzał opuszczać tego miejsca. Zostanie tu.

Pieczyste się skończyło. Nasycony gorącym mięsem znów poczuł się sobą. Wstał z tacką w dłoni i cisnął kości w noc. Wilki błyskawicznie rzuciły się na nie i zaczęły walczyć między sobą o resztki. Warczały i rzucały się sobie do gardeł, tocząc dziko ślepiami w srebrzystym blasku księżyca.

Flagg stał z rękoma na biodrach i śmiał się w głos, rozbawiony rozgrywającym się na jego oczach spektaklem.

Głośny, gardłowy śmiech mrocznego mężczyzny niósł się po zalanej księżycową poświatą pustyni.

Wczesnym rankiem Nadine opuściła miasteczko Glendale i ruszyła na swojej vespie wzdłuż I-15. Śnieżnobiałe, rozpuszczone włosy unosiły się za nią niczym tren panny młodej.

Żał jej było skutera, który tak długo i wiernie jej służył, a teraz powoli dokonywał żywota. Pokonane mile i pustynny żar, mozolna przeprawa przez Góry Skaliste i bezlitosna eksploatacja w znacznym stopniu skróciły „życie” maszyny. Silnik rzeził i kasłał astmatycznie. Igła obrotomierza zamiast trwać nieruchomo wskazując 5x1000, podrygiwała nerwowo. To nie miało znaczenia. Nawet gdyby skuter nie dotrzymał do końca tej podróży, to nic. Nadine pójdzie dalej pieszo. Nikt jej teraz nie ścigał. Harold nie żył. Gdyby zaś musiała ruszyć dalej pieszo, On z pewnością dowie się o tym i przyśle kogoś po nią.

Harold strzelał do niej! Próbował ją zabić!

Wciąż do tego wracała, choć uparcie starała się o tym zapomnieć.

Gryzła ją to. Nie powinno do tego dojść. Pierwszej nocy po wybuchu, kiedy Harold zgodził się wreszcie, by zatrzymali się na nocleg, Flagg przyszedł do niej we śnie. Powiedział, że pozwoli, by Harold towarzyszył jej dopóki nie znajdą się na Western Slope, czyli niemal w Utah. A potem pan Lauder zostanie usunięty w błyskawicznym, bezbolesnym wypadku. Plama oleju na szosie. Poślizg. Krótki lot za barierkę, trzask, prask i po wszystkim.

Ale to nie było ani błyskawiczne ani bezbolesne i niewiele brakowało, a Harold zabiłby ją. Kula świsnęła zaledwie o cal od jej policzka, a Nadine mimo to nie potrafiła się ruszyć. Szok całkiem ją sparaliżował. Zastanawiała się, jak Harold mógł zrobić coś takiego, jak śmiał w ogóle spróbować. I dlaczego Flagg na to pozwolił.

Później próbowała jakoś to sobie wytłumaczyć i doszła do wniosku, że w ten sposób Flagg chciał wzbudzić w niej strach, przypomnieć jej, do kogo należała. Ale przecież to nie miało sensu! To czysty obłąd! A jeśli nawet był w tym jakiś sens, pełen przekonania niewzruszony głos w jej wnętrzu stwierdzał, że Flagg nie był przygotowany na incydent z bronią i zaskoczyło go to mniej więcej tak samo jak ją.

Usiłowała uciszyć w sobie ten głos, zamknąć przed nim drzwi i zabarykadować je, tak jak zachowałby się normalny człowiek, widząc na progu swego domu dziwnego osobnika z nożem rzeźnickim w dłoni i żądzą mordu w oczach. A jednak nie potrafiła się na to zdobyć. Głos powiedział jej, że przeżyła wyłącznie dzięki ślepemu trafowi; kula Harolda również dobrze mogła ją trafić między oczy i z tym również Flagg nie miałby nic wspólnego.

Zarzuciła głosowi kłamstwo. Flagg wiedział wszystko, wiedział, gdzie i kiedy padał trupem najmniejszy wróbelek...

„Nie, to cecha Boga – odparł niewzruszenie głos. – A On nie jest Bogiem. Żyjesz dzięki ślepemu trafowi, co oznacza, że wszystkie zakłady zostają wstrzymane. Niczego mu nie zawdzięczasz, nic mu nie jesteś winna. Możesz teraz w każdej chwili zawrócić, jeśli tylko zechcesz”.

„Zawrócić, dobre sobie. Niby dokąd?”

W tej kwestii głos miał niewiele do powiedzenia, a Nadine zdziwiłaby się, gdyby było inaczej. Jeśli nawet stopy mrocznego mężczyzny zrobione były z gliny, odkryła ów fakt odrobinę za późno.

Próbowała skoncentrować się, zamiast na głosie, na chłodnym pięknie pustynnego poranka. Ale głos nie umilkł, przycichł, a mimo to wciąż słyszała go bardzo wyraźnie: „Skoro nie wiedział, że Harold zdoła przeciwstawić się mu i spróbować cię zabić, to czego jeszcze nie wie? I czy następnym razem też zdołasz się wywinąć?

Boże, o Boże, przecież na to już było za późno. Za późno o całe dni, tygodnie, a może nawet lata. Dlaczego ten głos tak długo zwlekał i odzywał się dopiero, gdy jego słowa nie miały już większego znaczenia?”

Jakby na potwierdzenie tego faktu głos wreszcie umilkł i Nadine miała cały poranek tylko dla siebie. Jechała przed siebie, nie myśląc o niczym, ze wzrokiem utkwionym w rozwijającą się przed nią wstęgę szosy. Drogę wiodącą do Las Vegas. Drogę, która wiodła do Niego.

Vespa odmówiła posłuszeństwa jeszcze tego popołudnia. Coś zachrząściło głęboko w jej trzewiach, silnik zakrztusił się i skuter zaczął wytracać szybkość. Poczwała gorącą, niezwykle woń jakby spalonej gumy, buchającą z bloku silnika. Jeszcze przez jakiś czas jechała czterdziestką, potem coraz wolniej i wolniej, dopóki prędkość nie spadła do marszowej. Zjechała na pas rozdzielający jezdnie i kilkakrotnie obróciła starter, choć wiedziała, że to nic nie da. Zabiła swój skuter. W drodze do swojego małżonka zabijała wielokrotnie. Była odpowiedzialna za zgładzenie komisji Wolnej Strefy i wszystkich jej zaproszonych gości obecnych podczas ostatniego, „bombowego” spotkania. No i do tego jeszcze Harold. Nie zapomnij również o nie narodzonym dziecku Fran Goldsmith.

Na tę myśl zrobiło się jej niedobrze. Podeszła do barierek i zwróciła zjedzony niedawno lekki posiłek. Była rozpalona i bardzo chora, majaczyła. Jedyna żyjąca istota pośród sprażonego słońcem pustynnego koszmaru.

Było gorąco... tak bardzo gorąco.

Odwróciła się w stronę szosy, ocierając wilgotne wargi. Vespa leżała na boku jak padłe zwierzę. Nadine patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, po czym pomaszzerowała przed siebie. Minęła już Dry Lake. Oznaczało to, że tej nocy, jeśli nikt się po nią nie zjawi, będzie musiała spać na poboczu drogi. Przy odrobinie szczęścia rankiem dotrze do Vegas. I nagle ogarnęła ją niezłomna pewność, że mroczny mężczyzna pozwoli jej przebyć resztę drogi na piechotę. Dotarłaby do Las Vegas głodna, spragniona, rozpalona pustynnym żarem, wyzuta do cna z resztek tamtego, dawnego życia. Kobieta, która uczyła małe dzieci w prywatnej szkole w Nowej Anglii przestałaby istnieć, byłaby martwa jak Napoleon. Biorąc pod uwagę jej szczęście, ów cichy głos, który tak bardzo ją gnębił i dokuczał, ostatni fragment starej, dawnej Nadine wyzionie ducha na samym końcu. Ale tak czy inaczej on również odejdzie na zawsze.

Maszerowała przed siebie pośród upalnego popołudnia. Pot spływał jej po twarzy. Powietrze na horyzoncie, gdzie asfalt szosy stapiał się z bladobłękitnym niebem, skrzyło się i falowało. Rozpięła guziki bluzki i zdjęła ją, idąc dalej tylko w swoim białym, bawełnianym biustonoszu. „Oparzenia słoneczne? No i co z tego? Szczerze mówiąc, ani trochę się tym nie przejmuję”.

Przed zmierzchem jej skóra nabrała okropnego, czerwonego odcienia, który na wypukłych kościach obojczykowych wydawał się niemal fioletowy. Wieczorny chłód nadszedł nagle, wywołując u Nadine dreszcze i przypominając jej, że cały sprzęt turystyczny pozostawiła przy vespie.

Rozejrzała się z powątpiewaniem dokoła. Dostrzegła tu i ówdzie samochody, niektóre z nich aż po dach zasypane nanoszonym przez wiatr piaskiem. Myśl o schronieniu się w którymś z nich przepełniła ją przerażeniem i odrazą, jeszcze większą nawet niż potwornie piekące oparzenia od słońca.

„Majacze” – pomyślała.

To nie miało znaczenia. Uznała, że prędzej będzie maszerować przez całą noc aż do rana, niż wsiądnąć do któregoś z tych aut. Żałowała, że to nie Środkowy Zachód. Mogłaby znaleźć sobie jakąś stodołę, stóg siana albo pole koniczyny. Jakieś czyste, miękkie miejsce. Tu była tylko szosa, piasek i spalona słońcem, wyschnięta ziemia.

Odgarnęła włosy z twarzy i ze stoickim spokojem uświadomiła sobie, że chciała umrzeć.

Słońce zaszło już za horyzont, znajdowała się na granicy dnia i nocy, światła i mroku. Wiatr, który omiatał jej czoło, był wręcz lodowaty. Obejrzała się dokoła. Nagle ogarnął ją strach. Było zbyt zimno.

Pagórki stały się mrocznymi monolitami. Piaskowe wydmy przypominały złowrogich, przewróconych gigantów. Kępy wysmukłych saguaro przywodziły jej na myśl uniesione w oskarżycielskim geście kości palców zmarłych ludzi, wyłaniające się z ich piaszczystych, płytkich grobów.

W górze, wysoko, kosmiczne koło niebios.

Przypomniała sobie fragment piosenki Dylana, zimny i nie przynoszący ukojenia: *Ścigana niczym krokodyl... pochwycona wśród łąk kukurydzy...*

I zaraz potem inny fragment piosenki, tym razem zespołu The Eagles, który niemal zmroził jej krew w żyłach: *Chciałbym spać tej nocy z tobą, na pustyni... gdy nad nami świecić będzie milion gwiazd...*

I nagle wiedziała, że był tutaj.

Wiedziała, zanim się jeszcze odezwał.

– Nadine. – Jego ciepły, delikatny głos płynący z pogłębiających się ciemności. Nieskończenie łagodny, ostatnia, wszechogarniająca groza, która była niczym powrót do domu.

– NADINE NADINE... JAK JA KOCHAM KOCHAĆ NADINE...

Odwróciła się, a on tam był, dokładnie tak jak to sobie zawsze wyobrażała, tak po prostu, zwyczajnie. Siedział na masce starego chevroleta sedana ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi opartymi na kolanach spranych, wyświechtanych dżinsów. (Czy był tam jeszcze przed chwilą? Nie miała pewności, ale chyba raczej nie.) Patrzył na nią i uśmiechał się łagodnie. W jego oczach nie było jednak łagodności. Te oczy zadawały kłam myśli, że człowiek ten mógł mieć cokolwiek wspólnego z łagodnością. Dostrzegła w nich czarne ogniki radości, tańczące bez końca niczym podrygujące w powietrzu nogi wisielca, pod którym otwarła się właśnie kłapa zapadni.

– Witaj – powiedziała. – Już jestem.

– Tak. Nareszcie jesteś. Jak było obiecanie. – Jego uśmiech poszerzył się. Wyciągnął ku niej rękę.

Ujęła je, a gdy ich dotknęła, poczuła jego palący żar. Emanował bardzo silnym ciepłem, buchało z niego jak z otwartego pieca. Jego gładkie, pozbawione linii papilarnych dłonie zamknęły się wokół jej dłoni, palce zacisnęły niczym obręcze kajdanek.

– Och, Nadine – wyszeptał i nachylił się, by ją pocałować.

Odwróciła nieznacznie głowę, unosząc wzrok ku zimnym ognikom gwiazd i zamiast w usta pocałował ją w szyję, poniżej żuchwy.

Nie dał się oszukać. Poczuła, że dotykające jej ciała wargi wykrzywił drwiący uśmiešek.

„On mnie mierzi” – pomyślała.

Odraza jednak maskowała coś o wiele gorszego – dojrzała, z dawna skrywaną żądzę, która kielkowała w niej niczym nasienie, a teraz owo nasienie zaczęło rosnąć na potęgę i już wkrótce miało wydać owoce. Jego dłonie pieszczące jej plecy były gorętsze niż oparzenia słoneczne. Przyłgnęła do niego całym ciałem i nagle wąskie sklepienie pomiędzy jej udami wydało się jej pełniejsze, bardziej pulchne i czułe, bardziej wrażliwe i świadome. Materiał spodni i szew ocierały ją w delikatnie obsceniczny sposób, sprawiając, że chciała zacząć pieścić się tam, pozbyć się tego swędzenia, uwolnić się od niego raz na zawsze.

– Powiedz mi tylko jedno – poprosiła.

– Cokolwiek zechcesz.

– Powiedziałeś: „Jak było obiecanie”. Kto ci mnie obiecał? Dlaczego właśnie mnie? Jak mam się do ciebie zwracać? Nie wiem nawet tego. Wiedziałam o tobie prawie przez całe moje życie, a nie mam pojęcia, jak się nazywasz.

– Mów mi Richard. To moje prawdziwe imię. Tak się do mnie zwracaj.

– Tak masz naprawdę na imię? Richard? – rzuciła z powątpiewaniem, a on zachichotał z ustami przy jej szyi. Poczuła lodowate ciarki odrazy i pożądania. – A kto ci mnie obiecał?

– Nadine – powiedział. – Nie pamiętam. Chodź.

Ześlizgnął się z maski samochodu, wciąż trzymając ją za ręce. Miała ochotę wyrwać mu się i uciec... ale co by przez to osiągnęła? Puściłby się za nią w pogoń, dogoniłby ją i zgwałcił.

– Księżyc – powiedział. – Jest w pełni. I ja również. – Sięgnął dłonią do gładkiego, wyblakłego krocza dzinsów i było tam coś przerażającego, co pulsowało własnym życiem pod chłodnymi, metalicznymi ząbkami suwaka.

– Nie – wyszeptała i próbowała cofnąć dłoń, myśląc jak odległa wydawała się jej teraz tamta poprzednia, księżycowa noc. Zupełnie jakby znajdowała się na drugim końcu tęczy czasu.

Przytrzymał jej dłoń przy swoim ciele.

– Pójdź ze mną na pustynię i zostań moją żoną – oświadczył.

– Nie!

– Nie możesz odmówić, kochanie. Już za późno.

Jednak poszła z nim. Na pustyni, w blasku księżyca, przy poczeriałych szczątkach ogniska, rozłożone było posłanie. Materac i pled.

Położył ją na nim.

– W porządku – wyszeptał. – Już dobrze. W porządku. – Rozpiął sprzączkę paska, guzik, a potem suwak.

Ujrzała, co dla niej miał i zaczęła krzyczeć.

Na ten dźwięk na ustach mrocznego mężczyzny wykwitł szeroki, promienny, obsceniczny uśmiech, a księżyc patrzył z góry na nich oboje, nabrzmiały i żółty niczym ser.

Nadine krzyczała raz po raz, próbowała odczołgać się z posłania, ale On schwycił ją i przytrzymał z całej siły, a kiedy próbowała zacisnąć uda, wsunął pomiędzy nie jedną ze swych gładkich dłoni i rozchylił je zupełnie bez trudu, pomyślała: „Uniosę wzrok... spojrzę w górę, na księżyc... będę patrzeć na księżyc... nic nie poczuje i zaraz będzie po wszystkim... zaraz będzie po wszystkim... nic nie poczuje...”

A kiedy wszedł w nią jego lodowaty, trupi organ, zaczęła wyć, wrzeszczała jak szalona bez końca, i choć stawiała opór, choć próbowała walczyć, jej wysiłki spełzyły na niczym. Wdarł się w nią niczym najeźdźca i niszczyciel, zimna krew zalała jej uda, a on wszedł w nią cały, zagłębił się w nią. Nadine miała w oczach księżyc: zimny, srebrzysty ogień, a kiedy doszedł, poczuła żar, palący niczym roztopione żelazo, płynne żelazo do znakowania, płynny mosiądz, i również zaczęła szczytować. Doszła, krzycząc, wyjąc na całe gardło w niewysłowionej rozkoszy, szczytowała z przerażeniem i zgrozą przechodząc przez bramy z żelaza do znakowania bydła i mosiądzu, do opustoszałej, pustynnej krainy szaleństwa; zagnano ją tam, wdmuchnięto jak liść potężną siłą jego śmiechu, widokiem jego rozpływającej się twarzy, zmieniającego się teraz w kosmate oblicze demona, oddalone zaledwie kilka cali od jej twarzy. Demona, którego ślepią lśniły jak wielkie żółte lampy lub okna do samego piekła, za którymi rozgrywały się Bóg wie jakie potworności. Jednak wciąż

można w nich było dostrzec pogodne, wesołe iskierki, te oczy musiały oglądać niezliczone, ciemne zaułki w tysiącach spowitych mrokiem nocy, posępnych miasteczek, te oczy pały, błyszczały i wyglądały dość głupio. Doszedł ponownie... i jeszcze raz... i jeszcze. Wydawało się, że to nigdy się nie skończy. Że nigdy nie będzie miał dość. Zimny. Był lodowato zimny. Zimny jak trup. I stary. Starszy niż ludzkość, starszy niż sama Ziemia. Raz po raz wypełniał ją swoim nasieniem nocy z przeraźliwym, gardłowym rechotem. Ziemia. Światło. Szczytowanie. Dochodzenie. Znowu. I znowu.

Ostatni krzyk, jaki wyrwał się z jej ust stłumił pustynny wiatr, którego podmuchy zanosły go hen, w najdalsze zakątki nocnej domeny, tam gdzie najrozmaitsze rodzaje broni czekały na swego nowego właściciela, aby zjawił się i zrobił z nich użytek. Kosmaty łeb demona, rozwidlony jak u węża język wysuwający się spomiędzy mięsistych warg. Trupi oddech omiatający jej twarz.

Znalazła się w krainie szaleństwa. W domenie obłądu.

Żelazne wrota zamknęły się za nią.

„Księżyc...!”

Księżyc już prawie zaszedł.

Złapał kolejnego królika, schwytał drżące zwierzątko gołymi rękami i skręcił mu kark. Z kości poprzedniego ułożył nowe ognisko, a teraz królik już powoli się obsmażał, roztaczając smakowity aromat pieczystego. Wilków już nie było. Tej nocy trzymały się z daleka, tak jak być powinno. Bądź co bądź była to ich noc poślubna, a oszołomiona, otepiała, apatyczny istota siedząca sztywno po drugiej stronie ogniska była jego zarumienioną panną młodą.

Nachylił się i uniósł jej dłoń z podółka. Puścił ją, a ona zawisła w powietrzu, na wysokości ust. Przez chwilę przyglądał się kobiecie ze zdumieniem, po czym opuścił jej rękę. Palce kobiety zaczęły poruszać się nerwowymi, spazmatycznymi ruchami jak dogorywające węże. Przyłożył jej do oczu dwa palce, ale nawet nie zamrugła. Patrzyła tępo przed siebie, mętym, niewidzącym wzrokiem.

Był szczerze zaskoczony.

Co jej takiego zrobił?

Nie pamiętał.

Ale to nie miało znaczenia. Była w ciąży. I co z tego, że, niejako przy okazji, zapadła w katatonię? Była doskonałym naczyniem. Urodzi mu syna, a gdy wyda go na świat i spełni tym samym swoje zadanie, umrze. Przecież po to się tu właśnie znalazła.

Tylko po to.

Królik nadawał się już do jedzenia. Przełamał go na pół. Jej część porozrywał na małe kawałki tak jak rozdrabnia się jedzenie dla dziecka. Zaczął ją karmić wkładając pasemka mięsa do ust. Kilka kawałków wypadło, na wpół przeżutych, na podółek, ale większość

zjadła. Jeśli pozostanie w tym stanie, będzie jej potrzebna pielęgniarka. Może Jenny Engstrom.

– To było wspaniałe, kochanie – rzekł półgłosem.

Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w tarczę księżyca. Flagg uśmiechnął się do niej łagodnie i dokończył weselną wieczerzę. Po dobrym seksie był zawsze głodny.

Obudził się późną nocą i usiadł na posłaniu, zdezorientowany i wylękony... wystraszony w ten zwierzęcy, instynktowny, bliżej nieokreślony sposób, jak drapieżnik wyczuwający, że sam stał się ofiarą. Świadomość, że jest się śledzonym.

Czy to był sen? A może wizja?

„Oni nadchodzą”.

Usiłował zrozumieć tę myśl, nadać jej jakiś kontekst. Nie potrafił. Okazała się uparta i żyła własnym życiem niczym zły czar.

„Zbliżają się”.

Kto? Kto się zbliżał?

Powiał nocny wiatr, zdając się przynosić ze sobą czyjś zapach. Ktoś nadchodził i...

„Ktoś idzie”.

Kiedy spał, ktoś minął jego obozowisko, kierując się na wschód. Ten niewidzialny trzeci? Nie wiedział. Była noc pełni. Czy trzeci zdołał uciec? Wraz z tą myślą ogarnęła go panika.

„Tak, ale kto nadchodzi?”

Spojrzał na Nadine. Spała skulona do pozycji płodowej, pozycji, którą już za kilka miesięcy przyjmie w jej łonie jego syn.

„Czy ma aż tyle czasu? Kilka miesięcy?”

Znów to wrażenie pękających szwów.

Położył się na posłaniu, choć wątpił, czy zdoła jeszcze tej nocy zasnąć.

A jednak usnął.

I kiedy następnego ranka wjechał do Vegas, znów się uśmiechał. Niemal zapomniał już o panice, która niespodziewanie ogarnęła go minionej nocy. Nadine siedziała potulnie na fotelu obok niego, wielka lalka z nasieniem ukrytym starannie i głęboko wewnątrz łona.

Wrócił do hotelu i tam dowiedział się o wszystkim, co wydarzyło się nocą, kiedy spał. Ujrzał w ich oczach coś, czego dotąd nie oglądał, niepewność, ostrożność i powątpiewanie, a potem znów doświadczył tego osobliwego lęku, który musnął go swym delikatnym skrzydłem, niczym ćma.

ROZDZIAŁ 66

Mniej więcej w tym samym czasie kiedy Nadine Cross zaczęła uświadamiać sobie pewne prawdy, które same w sobie powinny być oczywiste, Lloyd Henreid siedział samotnie w Cub Barze, układając pasjansa i perfidnie przy tym oszukując. Niemal wychodził z siebie. Tego dnia w Indian Springs miał miejsce wielki pożar, jeden człowiek zginął na miejscu, trzech było rannych, w tym jeden z tak poważnymi poparzeniami, że jego dni były policzone. W Vegas nikt nie potrafił opatrywać ani zajmować się ofiarami tak silnych poparzeń.

Wiadomość tę przekazał mu Carl Hough. Wydawał się straszliwie wzburzony, a nie należał do ludzi, których łatwo zdenerwować. Przed pomorem pracował jako pilot dla Ozark Airlines i jako były komandos z piechoty morskiej mógłby, gdyby chciał, złamać Lloyda na pół jedną ręką, drugą tymczasem przyrządzał by sobie daiquiri. Według Carla podczas swej długiej i barwnej kariery zabił kilku ludzi, w co Lloyd skwapliwie uwierzył. Nie obawiał się Carla Hougha, pilot choć twardy i postawny jak wszyscy inni na całym zachodzie, czuł respekt i w głębi serca obawiał się Wędrowca, a Lloyd nosił przecież amulet Flagga. Tamten był jednak pilotem, a tych wciąż brakowało i właśnie dlatego należało go traktować dyplomatycznie.

Może to dziwne, ale Lloyd miał w sobie coś z dyplomaty. Jego doświadczenie w tej dziedzinie nie trwało długo, lecz gwarantowało pożądaną efekt. W końcu Lloyd spędził kilka tygodni w towarzystwie szaleńca, niejakiego Freemana zwanego „Dziurawcem” i przeżył, podczas gdy tamten od dłuższego już czasu wachał kwiatki od spodu. Od paru miesięcy pełnił funkcję zaufanego i wiernego podwładnego Randalla Flagga i nie tylko nadal oddychał, ale również zdołał zachować zdrowe zmysły.

Carl zjawił się dwunastego września około drugiej, trzymając pod pachą swój kask motocyklowy. Lewy policzek miał okropnie poparzony, a na jednej ręce wielkie, nabrzmiałe pęcherze. Miał miejsce pożar. Wielki, ale przecież mogło być gorzej. Ekspłodowała cysterna z paliwem, rozbryzgując płonąca ropę po całym polu startowym.

– W porządku – powiedział Lloyd. – Dopilnuję, by Szef dowiedział się o tym. Czy ranni są już w szpitalu?

– Tak. Oczywiście. Choć nie sądzę, aby Freddy Campanari zdołał doczekać zmierzchu. Tym samym zostaje nam dwóch pilotów, ja i Andy. Powiedz mu to i powiedz mu coś jeszcze, kiedy wróci. Chcę, żeby ten pojeb, Śmieciarz, ZNIKNAŁ. To mój warunek pozostania tutaj.

Lloyd spojrział na Carla Hougha.

– Naprawdę?

– Czy wygląda, że żartuję?

– Wiesz co, Carl – mruknął Lloyd. – Nie przekażę mu tego, co przed chwilą powiedziałeś. Jeśli chcesz stawiać Mu warunki albo wydawać rozkazy, będziesz musiał zrobić to osobiście.

Carl wydawał się zdezorientowany i odrobinę wylękniony. Strach osobiście wykrzywił jego szerokie, twarde, zwykle nieustępliwe oblicze.

– Tak, rozumiem. Przepraszam, Lloyd, jestem po prostu zmęczony i wkurwiony jak jasna cholera. Piekielnie boli mnie gęba. Nie chciałem wylądowywać się na tobie.

– Nie ma sprawy, stary. Po to tu jestem. – Czasami żałował, że tak było. Właśnie rozboleła go głowa.

– Powiniennem już iść – rzucił Carl. – Jeżeli muszę mu to powiedzieć osobiście, zrobię to. Wiem, że Śmieciarz ma jeden z tych czarnych kamyków. Podejrzewam, że nasz Wielki facet pokłada w nim ogromne nadzieje. Tylko, widzisz – Carl usiadł i położył kask na stole do bakarata. – To Śmieciarz jest odpowiedzialny za ten pożar. Chryste Panie, jak mamy poderwać te cholerne maszyny w powietrze, skoro jeden z ludzi Szefa pali żywcem pierdolonych pilotów?

Kilka osób przechodzących przez hol hotelu niepewnie spojrzęło w stronę stołu, przy którym siedzieli Lloyd i Carl.

– Mów ciszej, Carl.

– W porządku. Ale rozumiesz w czym problem, prawda?

– Jesteś pewien, że to robota Śmieciarza?

– Posłuchaj – rzekł Carl, nachylając się ku niemu. – Śmieciarz przebywał w parku maszyn, zgadza się? Spędził tam mnóstwo czasu. Widziało go wielu ludzi, nie tylko ja.

– Sądziłem, że nie ma go w Springs. Że znów wyruszył na pustynię. No, wiesz, w poszukiwaniu sprzętu.

– Ale wrócił, kapujesz? Przywiózł tą swoją terenówką całą masę najróżniejszego żelastwa. Bóg jeden wie, skąd je wziął, ja nie mam pojęcia. Podczas przerwy na kawę poprzytykał się z jednym facetem. Wiesz, jaki on jest. Dla niego broń jest tym, czym dla dzieciaka cukierki.

– To fakt.

– Ostatnią rzeczą, jaką nam pokazał był zapalnik fosforowy. Odbezpieczyłaś go i nic, tylko lekki biały błysk, a potem spokój. W zależności od rozmiarów zapalnika opóźnienie

czasowe waha się od czterech minut do pół godziny. Odbezpieczasz, zostawiasz i chodu. Proste, no nie? A potem następuje wybuch. I pożar. Mały, ale bardzo intensywny...

– Tak.

– Świetnie. Śmieciarz pokazuje nam to cudeńko, niemal ślini się nad nim, aż tu nagle Freddy Campanari mówi: „Hej, Śmieciarzu, nie wiesz, że kto bawi się ogniem, zwykle się nocą moczy?” A Steve Tobin, znasz go, on ma dowcip ciężki jak worek kartofli: „Lepiej schowajcie zapalki, chłopaki, Śmieciarz jest znowu w mieście”.

I wtedy Śmieciarz zrobił się jakiś dziwny. Rozejrzał się dokoła, zlustrował nas wzrokiem i wymamrotał coś pod nosem. Siedziałem tuż obok niego i wydawało mi się, że powiedział coś jakby: „Tylko nie pytajcie mnie już o czek emerytalny starej pani Semple”. Czy to ci coś mówi?

Lloyd pokręcił głową. Nie miał pojęcia o niczym, co wiązało się ze Śmieciarzem.

– A potem po prostu się zmył. Zgarnął swoje zabawki, które nam pokazywał i odjechał w siną dal. Muszę przyznać, że wszystkim nam zrobiło się wtedy głupio. Nie chcieliśmy go urazić. Większość chłopaków naprawdę lubi Śmieciarza. A raczej lubiła. No wiesz, on jest jak małe dziecko.

Lloyd pokiwał głową.

– W godzinę później ta cholerna cysterna eksplodowała jak pieprzona bomba. Kiedy zbieraliśmy jej szczątki, właściwie całkiem przypadkowo ujrzałem Śmieciarza w jego pustynnym łaziku stojącego przy barakach i obserwującego nas przez lornetkę.

– To wszystko, co masz na ten temat do powiedzenia? – zapytał Lloyd, odetchnąwszy z ulgą.

– Nie. To nie wszystko. Gdyby tak było, w ogóle bym się do ciebie nie pofatygował, Lloyd. Zacząłem się zastanawiać nad przyczyną wybuchu tej cysterny. I sposobem, w jaki eksplodowała. Właśnie w tym celu używane są zapalniki fosforowe. W Wietnamie partyzanci Vietkongu wysadzili w ten sposób wiele składów z amunicją i użyli do tego naszych zapalników. Wkładali je pod ciężarówkę albo do rury wydechowej. Jeśli nikt nie uruchomił ciężarówki, zapalnik eksplodował po upływie określonego czasu, ustawionego na „opóźniaczu”. Po uruchomieniu ciężarówki wybuch następował w chwili nagrzania się rury wydechowej. Tak czy inaczej BUM i po ciężarówce. Jedyne co mi nie pasowało, to to, że w parku maszyn stoi zawsze tuzin cystern i korzystamy z nich na chybił trafił – bez żadnego ustalonego porządku. Dlatego też po przewiezieniu biednego starego Freddy’ego do szpitala, razem z Johnem Waite wróciliśmy do parku maszyn. John jest szefem parku maszyn i gdy dojechaliśmy na miejsce niemal szał po nogach. Powiedział mi, że widział tam wcześniej Śmieciarza.

– Jest pewien, że to Śmieciarz?

– Biorąc pod uwagę, że jego ręka wygląda jak niedopieczony stek, trudno go z kimś pomylić, nie uważasz? Wszystko jasne? Wtedy nikt o tym nie pomyślał. Facet po prostu kręcił się między maszynami, ale na tym również polega jego praca, czyż nie?

– Tak. Chyba można to tak określić.

– John i ja zaczęliśmy sprawdzać pozostałe cysterny. I niech to szlag, przy każdej z nich znaleźliśmy zamontowany zapalnik fosforowy. Podłożył je na rurach wydechowych, tuż pod zbiornikami z paliwem. Ta pierwsza cysterna eksplodowała, jak się zapewne domyślasz, wskutek rozgrzania rury wydechowej. Inne jednak również miały wybuchnąć. Dwie lub trzy zaczęły już dymić. Większość cystern była pusta, lecz pięć czy sześć spośród nich pełne były paliwa do samolotów. Jeszcze dziesięć minut i połowę tej pierdolonej bazy diabli by wzięli.

„O Jezu – pomyślał Lloyd. – Jest naprawdę niedobrze. Jest tak źle, że chyba gorzej już być nie może”.

Carl uniósł pokrytą pęcherzami dłoń.

– Dorobiłem się tego, wydobywając „gorące” zapalniki. Teraz już rozumiesz, dlaczego on musi odejść?

– Może ktoś wykradł te zapalniki z jego łazika, podczas gdy Śmieciarz poszedł się odlać, czy coś w tym rodzaju – rzekł niepewnie Lloyd.

– To nie tak – zaoponował spokojnie Carl. – Ktoś go obraził, kiedy prezentował nam swoje zabawki i gość próbował nas wszystkich spalić. Niewiele brakowało a udałoby mu się. Trzeba coś z tym zrobić, Lloyd.

– W porządku, Carl.

Przez resztę popołudnia wypytywał o Śmieciarza, czy ktoś go widział albo gdzie mógł obecnie przebywać. Ostrożne spojrzenia, wymijające odpowiedzi. Zaczęły pojawiać się plotki. Może to dobrze. Każdy, kto go ujrzy, natychmiast zechce o tym donieść w nadziei na zyskanie sobie przychylności Szefa. Tyle że Lloyd nie spodziewał się, by ktokolwiek jeszcze kiedyś zobaczył Śmieciarza. Narobił nieco zamieszania, a potem czmychnął swoim łazikiem z powrotem na pustynię.

Spojrzał na rozłożone na blacie stołu karty pasjansa. Z trudem pohamował się, przed zamaszystym ruchem by zrzucić je wszystkie na podłogę. Zamiast tego raz jeszcze oszukał sam siebie, podkładając asa, po czym podjął przerwana grę. To nie miało znaczenia. Jeżeli Flagg zechce się nim zająć, nie będzie się zastanawiać, tylko to zrobi. Na swój sposób. Stary Śmieciarz skończy na krzyżu jak Heck Drogan. Pech, kolego. Tak to już bywa w tym parszywym życiu.

Ale w głębi serca miał pewne wątpliwości.

Ostatnimi czasy wydarzyło się kilka dość dziwnych incydentów, które dały mu do myślenia. Na przykład ta sprawa z Dayną. Flagg wiedział o niej, to prawda, ale dziewczyna nie wygadała się. W jakiś sposób zdołała go oszukać, wołała wybrać śmierć niż „sypnąć” trzeciego szpiega. I jeszcze jedno. Dlaczego Flagg nie zdołał zidentyfikować tego trzeciego?

Jak to możliwe, że go nie zobaczył? Przecież wiedział o tym staruszku, a kiedy wrócił z pustyni wiedział również o Daynie i wyjawiał im ze szczegółami, w jaki sposób zamierzał ją rozpracować. A jednak jego starannie opracowany plan nie wypalił. Coś się nie udało.

I teraz jeszcze Śmieciarz.

Śmieciarz nie był zerem. Kiedyś może tak, ale teraz już nie. Tak jak Lloyd, nosił czarny kamyk mrocznego mężczyzny. Po tym jak Flagg wypalił mózg tamtemu pyskatemu prawnikowi w Los Angeles, położył obie dłonie na ramionach Śmieciarza (Lloyd widział to na własne oczy) i powiedział łagodnym tonem, że wszystkie sny były jak najbardziej prawdziwe. A Śmieciarz wyszeptał: „Oddam za ciebie życie”.

Lloyd nie wiedział, jakie jeszcze były między nimi układy, ale wszystko wskazywało, że piroman wędrował po pustyni z błogosławieństwem Flagga. Teraz natomiast coś mu odbiło i zwrócił się przeciwko swoim.

To nasuwało wiele poważnych pytań.

I między innymi dlatego Lloyd siedział samotnie w kasynie, o dziewiątej wieczorem, oszukując przy stawianiu pasjansa i żalując, że nie jest pijany.

– Panie Henreid?

Jeszcze coś? Co tym razem? Uniósł wzrok i ujrzał dziewczynę o miłej, nieco hardej twarzyczce. Nosila obcisłe białe szorty i kusy trykot, który nie całkiem zasłaniał aureole jej sutków. Typ łatwej dajki, ale wyglądała na zdenerwowaną. Była blada i rozgorączkowana. Przygryzała nerwowo paznokieć jednego z kciuków, a Lloyd niejako mimochodem dojrzał, że wszystkie paznokcie miała postrzępione i obgryzione.

– Co?

– Ja... muszę się widzieć z panem Flaggiem – oznajmiła. Jej głos momentalnie stracił na sile i ostatnie słowo wymówiła niemal szeptem.

– Musisz, co? Czy ja wyglądam na sekretarkę?

– Ale... oni powiedzieli... żebym przyszła właśnie do pana.

– Jacy oni?

– Właściwie to ona, Angie Hirschfield. Ona mi tak poradziła.

– Jak się nazywasz?

– Ee... Julie. – Zachichotała, ale był to wymuszony śmiech. Wciąż wyglądała na mocno wystraszoną, a Lloyd ostentacyjnie zastanawiał się, co tym razem mogło się popieprzyć. Dziewczyna taka jak ta nie przychodziła by spotkać się z Flaggiem, chyba że chodziło o coś naprawdę poważnego. – Julie Lawry.

– Cóż, Julie Lawry, Flagga nie ma obecnie w Vegas.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem. Przychodzi i odchodzi, a nie nosi przy sobie przywoływacza. I po powrocie bynajmniej wcale mi się nie tłumaczy. Jeśli masz dla niego jakąś wiadomość, przekaż mi ją, a ja dopilnuję, aby dotarła gdzie trzeba.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, a Lloyd powtórzył to, co powiedział popołudniu Carlowi Houghowi:

– Po to tu jestem, Julie.

– W porządku. – I pospiesznie dodała: – Jeżeli to naprawdę ważne, powiedz mu proszę, że ja ci o tym powiedziałam, Julie Lawry.

– Nie ma sprawy.

– Nie zapomnisz?

– Nie, na miłość Boską! Gadaj wreszcie, o co ci chodzi!

Wydeła wargi:

– I po co się tak pieklić?

Westchnął, po czym odłożył na stół trzymaną w dłoni talię kart.

– Właśnie – mruknął. – Po co? Dobra, więc o co konkretnie ci chodzi?

– O tego niemowę. Jeśli tu jest, podejrzewam, że zjawił się na przespiegi. Uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć. – W jej oczach rozbłysły złowrogie ogniki. – Ten skurwiol wyciągnął broń i chciał mnie kropnąć.

– Jaki znowu niemowa?

– Cóż... zobaczyłam tamtego głupka, więc domyślam się, że musi mu towarzyszyć ten głuchy niemowa. A oni obaj kompletnie do nas nie pasują. Nie ten typ. Sądzę, że musieli przybyć zza gór. Z tamtej strony.

– Tak uważasz, co?

– Tak.

– Wiesz co, ni cholery nie mam pojęcia, o czym mówisz. Mam za sobą długi dzień i jestem zmęczony. Wybacz, Julie, ale albo zaraz zaczniesz mówić z sensem albo idę do łóżka.

Julie usiadła, założyła nogę na nogę i opowiedziała Lloydowi o swoim spotkaniu z Nickiem Androsem i Tomem Cullenem w Pratt w Kansas, w jej rodzinnym miasteczku. O pepto-bismolu („Chciałam po prostu trochę się zabawić z tym wielkim matołkiem, a ten głuchoniemy kretyn wymierzył we mnie broń!”). Opowiedziała nawet jak ostrzelała ich, gdy wyjeżdżali z miasta.

– I niby czego to wszystko dowodzi? – zapytał Lloyd, kiedy skończyła. Wzmianka o „szpiegu” nieco go zaintrygowała, ale w miarę upływu czasu był coraz bardziej znudzony tą historią. Zaczynał przysypiać.

Julie znów wydeła wargi i zapaliła papierosa.

– Przecież powiedziałam. Ten głupek znajduje się teraz tu, w Vegas. Założę się, że to ich szpieg.

– Tom Cullen, tak się nazywa?

– Tak.

Pamiętał go jak przez mgłę. Cullen był postawnym, jasnowłosym mężczyzną i choć z pewnością w jego talii brakowało paru kart, nie był taki zły jak go odmalowała ta tandetna,

szmatława zdzira. Wytężył pamięć, lecz bezskutecznie. Ludzie wciąż ściągali do Vegas całymi gromadami. Każdego dnia przybywało od sześćdziesięciu do stu nowych. Nie sposób było ich wszystkich zapamiętać, a Flagg twierdził, że zanim strumień imigrantów zacznie słabnąć, powinni spodziewać się nadejścia nowej, większej niż do tej pory fali. Lloyd postanowił odwiedzić Paula Burlsona, który prowadził spis rezydentów Vegas i dowiedzieć się czegoś na temat tego Cullena.

– Aresztujesz go? – zapytała Julie.

Lloyd spojrział na nią.

– Przymknę ciębie, jeśli się ode mnie nie odczepisz.

– Ale z ciebie, kurwa, przyjemniaczek! – zawołała z wyrzutem Julie Lawry.

Poderwała się na nogi i spiorunowała Henreida wzrokiem. W białych obcisłych szortach jej nogi wydawały się niezwykle długie.

– Chciałam ci wyświadczyć przysługę!

– Sprawdzę to.

– Tak, jasne. Już to widzę. Znam takie teksty na pamięć.

Odeszła stanowczym, pełnym oburzenia krokiem, energicznie kręcąc swym zmysłowym kuperkiem.

Lloyd odprowadził ją wzrokiem, na przekór zmęczeniu czując lekkie rozbawienie. Był pewien, że takich łatwych, żądnych seksu, niezaspokojonych dziwek, nawet mimo supergrypy, sporo jeszcze pozostało na świecie. Łatwo je było urazić, a za każdy otrzymany policzek rzucały się do oczu z pazurami. Musiały być w jakiś sposób spokrewnione z pajęczycami, które mają zwyczaj po stosunku pożerać swoich partnerów.

Minęły dwa miesiące, a ona wciąż nie potrafiła zapomnieć niemowle urazy.

„Jak on się nazywał? Andros? Tak, chyba tak go nazwała”.

Lloyd wyjął z tylnej kieszeni pogięty, czarny notes, poślinił palec i otworzył go na czystej stronie. To była jego księga pamięci, pełna najrozmaitszych notatek i zapisków, poczynawszy od przypomnienia, że przed spotkaniem z Flaggiem powinien się ogolić, aż po wzięte w ramki zalecenie mówiące, że należy dokonać inwentaryzacji zasobów wszystkich aptek z Vegas, zanim z magazynów zaczną znikać morfina i kodeina. Niedługo będzie musiał założyć drugi notes.

Niezbyt starannym pismem uczniaka z podstawówki napisał na kartce: „Nick Andros a może Androtes – niemowa. Czy przebywa w mieście?” I poniżej: „Tom Cullen, sprawdzić u Paula”. Włożył notes do kieszeni.

Czterdzieści mil na północny wschód mroczny mężczyzna skonsumował swój z dawna oczekiwany związek z Nadine Cross pod baldachimem nocnego nieba, rozświetlonym zimnym światłem gwiazd. Bardzo by się przejął, gdyby dowiedział się, że w Las Vegas przebywał przyjaciel Nicka Androsa.

Ale Randall Flagg spał.

Lloyd spojrział na rozłożone na stole karty, zapominając o Julie Lawry, jej urazach i drobnym, jędrnym tyłeczku. Oszukał, dokładając kolejnego asa i powrócił myślami do kontrowersyjnej postaci Śmieciarza oraz tego, co może powiedzieć – lub zrobić – Flagg, kiedy dowie się o ostatnim wyczynie nieobliczalnego piromana.

W tym samym czasie, kiedy Julie Lawry opuszczała Cub Bar czując się oszukana i splawiona, choć przecież starała się tylko spełnić swój obywatelski obowiązek, Tom Cullen stał przy panoramicznym oknie swego mieszkania w innej części miasta. Wpatrywał się z rozmarzeniem w tarczę księżyca w pełni.

Pora ruszać w drogę.

Czas wracać.

To mieszkanie nie było takie jak jego dom w Boulder. Było umeblowane, ale nie udekorowane. Nie zawiesił w nim ani jednego plakatu czy wypchanego ptaka na drucie. To było jedynie przejściowe lokum i właśnie nadeszła pora, aby wrócić do domu. Cieszył się, że odchodzi. Nie znosił tego miejsca. Czuło się tu dziwną woń, suchy smród, fetor zgnilizny, którego nie sposób bliżej zidentyfikować. Ludzie byli w większości mili, a niektórych z nich polubił jak tamtych w Boulder, choćby Angie i tego chłopca, Dinny'ego. Nikt nie drwił sobie z jego ociężałości umysłowej. Dali mu pracę i żartowali wraz z nim, a podczas przerwy na lunch wymieniali się często zawartością swoich pudełek z posiłkami. To byli mili ludzie, w jego mniemaniu nie różnili się wiele od tamtych w Boulder, ale...

Ale czuł tę otaczającą ich woń.

Wszyscy oni zdawali się czekać i obserwować. Czasami w dziwny sposób milkli, a ich oczy stawały się szkliste i niewidzące, jakby wszyscy razem dzielili ten sam niepokojący sen.

Robili, co im nakazywano, nie prosząc o jakiegokolwiek wyjaśnienia, nie interesując się dlaczego właśnie ich wybrano do tego konkretnego zadania, ani też czemu ma ono służyć. Z pozoru wyglądali na zwyczajnych, szczęśliwych, często utrudzonych i mocno zapracowanych ludzi, lecz pod tymi maskami normalności kryły się twarze potworów. Ich prawdziwe oblicza. Ten gatunek potworów nazywano wilkołakami.

Na niebie nad pustynią wisiał księżyc, upiorny, srebrny, wolno przesuwany się po niebie.

Tom widział Daynę z Wolnej Strefy. Widział ją tylko jeden raz. Co się z nią stało? Czy ona również szpiegowła? Czy zdołała wrócić?

Nie wiedział. Ale bał się.

Na fotelu ustawionym na wprost nieczynnego kolorowego telewizora leżał nieduży plecak, wypełniony paczkami pakowanych próżniowo plastrów szynki, slim jimami i saltinesami. Podniósł plecak i zarzucił go sobie na plecy.

„Podróżuj nocą, śpij za dnia”.

Wyszedł na dziedziniec przed budynkiem, ani razu nie obejrzawszy się za siebie. Księżyc świecił tak jasno, że Tom rzucał cień na popękany beton, gdzie amatorzy hazardu i niedoszli bogacze w jednej osobie parkowali niegdyś swoje samochody z tablicami rejestracyjnymi z innych stanów.

Spojrzał na wiszącą na niebie upiorną monetę.

„K-S-I-E-Ż-Y-C, to znaczy księżyc – wyszeptał. – Słowo daję. Tak. Tom Cullen wie, co to oznacza”.

Jego rower stał oparty o pokrytą różowym stiukiem ścianę kamienicy. Przystanął na chwilę, aby poprawić plecak, po czym wskoczył na siodełko i popedałował w kierunku autostrady międzystanowej. O godzinie dwudziestej trzeciej opuścił Las Vegas i pomknął na wschód wzdłuż I-15.

Nikt go nie zauważył. Nikt nie wszczął alarmu.

Jego umysł przeszedł na bieg jałowy, jak zawsze, kiedy robił coś konkretnego i nie wymagającego zastanowienia.

Pedałował rażno, świadom jedynie lekkiego, chłodnego nocnego wietrzyku omiatającego przyjemnie jego spoconą twarz. Od czasu do czasu musiał ominąć piaszczystą wydmy, która napęzła z pustyni, kładąc białe jak kość ramię w poprzek szosy, kiedy zaś oddalił się już dostatecznie daleko od miasta, zaczął napotykać na drodze pierwsze blokujące ją samochody i ciężarówki. „Spójrz, o potężny, oto moje dzieła, patrz na nie i płacz” – tak mógłby w typowy dla siebie ironiczny sposób skwitować ów fakt Glen Bateman.

O drugiej nad ranem zatrzymał się na lekki posiłek złożony ze slim jimów, krakersów i oranżady z termosu, który miał przytroczone z tyłu do siodełka. Pokrzepiwszy się nieco, ruszył dalej. Księżyc zaszedł. Z każdym obrotem kół roweru coraz bardziej oddalał się od Las Vegas. Ta świadomość dodawała mu otuchy.

Wtem, kwadrans po czwartej, rankiem trzynastego września, ogarnął go paniczny lęk. Był tym bardziej dojmujący, że pojawił się całkiem niespodziewanie i wydawał się zgoła nieuzasadniony, wręcz irracjonalny.

Tom krzyknąłby przeraźliwie, lecz jego struny głosowe wydawały się jak skute lodem, strach zupełnie je sparaliżował. Mięśnie nóg Toma zwiotczały i jeszcze przez chwilę mężczyzna jechał samą siłą rozpędu, rower toczył się gładko po szosie pod gwiazdami. Czarno-biały negatyw pustyni przesuwiał się coraz wolniej dokoła niego.

On był blisko.

Człowiek bez twarzy, demon, który stąpał teraz po ziemi.

Flagg.

Tamci nazywali go wysokim mężczyzną. Tom w głębi serca nazywał go uśmiechniętym mężczyzną. Tyle tylko, że kiedy on uśmiechał się do ciebie, krew w twoich żyłach zaczynała krzepnąć, a całe ciało stygło i nabierało szarawego odcienia. Jedno spojrzenie tego człowieka na kota wystarczało, by zwierzak zaczął wypluwać z siebie kulki sierści. Gdyby zjawił się na

placu budowy, robotnicy natychmiast zaczęliby trafiać młotkami we własne palce zamiast w gwoździe, nakładać dachówki na odwrót i urządzać sobie lunatyczne spacerunki po dźwigarach, aż w końcu...

„Boże, o Boże, obudził się!”

Z gardła Toma dobył się zduszony jęk. Poczłł, że gdzieś tam, w mroku, uśmiechnięty mężczyzna właśnie się przebudził. Zobaczył, czy też poczuł Oko otwierające się w ciemnościach przedświtu, owo upiorne czerwone Oko, wciąż jeszcze lekko zamglone i zaspane po niedawnej drzemce. Obracało się pośród ciemności. Wypatrywało. Szukało go. Wiedziało, że Tom Cullen był gdzieś niedaleko, ale nie wyczuwało gdzie.

Mimo odrętwienia odnalazł stopami pedały i pojechał dalej, coraz bardziej przyspieszając. Pochylił się nad kierownicę, aby zmniejszyć opór powietrza i gnał coraz szybciej przed siebie, mknął jak wiatr, niemal frunął. Gdyby na jego drodze znalazł się jakiś samochód, wpadłby na niego z pełną prędkością i kto wie, czy nie przypląciłby tego wypadku życiem.

Stopniowo jednak ta mroczna, paląca obecność zaczęła słabnąć, zostawała coraz bardziej w tyle. A najdziwniejsze było w tym wszystkim to, że owo straszne, czerwone Oko spojrzęło w stronę Toma i omiotło go wzrokiem, lecz go nie dostrzegło („Może dlatego, że mocno nachyliłem się nad kierownicę „ – zastanawiał się mimochodem Tom Cullen)... a potem znowu się zamknęło.

Mroczny mężczyzna ponownie zapadł w sen.

Co czuje królik, kiedy pada na niego czarny, wyglądający jak krucyfiks cień jastrzębia... i znika w oddali nie zatrzymując się, ani nawet nie zwalniając? Co czuje mysz, kiedy kot czatujący cierpliwie przez cały dzień przed jej dziurą zostaje schwycony przez jego pana za kark i bezceremonialnie wyrzucony za drzwi? Co czuje jelen, mijając cichcem sławnego myśliwego, odsypiającego na ambonie trzy wypite do obiadu piwa? Być może nic, a może to samo co Tom Cullen, opuszczając tę czarną i niebezpieczną strefę wpływu: ogromną, niemal niezmierną ulgę i wrażenie jakby narodził się na nowo. Przede wszystkim zaś odczucie nie do końca zasłużonego bezpieczeństwa i świadomość, że tak wielkie szczęście musi być ani chybi znakiem z niebios, przejawem Boskiej Opatrzności.

Pedałował wytrwale aż do piątej nad ranem. Niebo przed nim pojaśniało, granat i czerń powoli nabiegały złocistym blaskiem promieni wschodzącego słońca.

Gwiazdy zaczęły blednąć.

Tom czuł, że dobrze wykorzystał tę noc. Przejechał jeszcze kawałek i jakieś siedemdziesiąt jardów na prawo od autostrady wypatrzył głęboki uskoki. Podprowadził tam rower, po czym za radą instynktu zamaskował go najlepiej jak mógł suchą trawą i mesquite. Jakies dziesięć jardów od jego roweru znajdowały się dwie, wspierające się jedna na drugiej skały. Wpełził w splachetek cienia pod nimi, podłożył sobie pod głowę zrolowaną kurtkę i niemal natychmiast usnął.

ROZDZIAŁ 67

Wędrowiec wrócił do Vegas.

Zjawił się około wpół do dziesiątej rano. Lloyd był świadkiem jego przybycia. Flagg również zobaczył Lloyda, ale nie zwrócił na niego uwagi. Przeszedł przez hol hotelu, prowadząc ze sobą kobietę. Pomimo powszechnej niechęci do patrzenia na mrocznego mężczyznę, głowy wszystkich odwróciły się, by na nią spojrzeć. Włosy miała białe jak śnieg, a oparzenia słoneczne na jej ciele przywodziły Lloydowi na myśl ofiary wybuchu cysterny z paliwem w Indian Springs. Białe włosy, straszliwe oparzenia i zupełnie pusty wzrok. Jej oczy oglądały świat bez jakiegokolwiek wyrazu, emanowały czymś więcej niż łagodnością i spokojem, i z pewnością nie były to oczy osoby upośledzonej umysłowo. Lloyd widział już wcześniej takie oczy. W Los Angeles, kiedy mroczny mężczyzna „zajął się” Erikiem Strellertonem, prawnikiem pragnącym pouczyć Flagga, jak ma kierować Las Vegas.

Flagg, wchodząc do hotelu, nie spojrzał na nikogo. Uśmiechnął się. Poprowadził kobietę do windy i wszedł z nią do kabiny. Drzwi zamknęły się za nimi, kabina wjechała na piąte piętro.

Przez następne sześć godzin Lloyd zajmował się organizacją, aby, gdy zostanie wezwany przez Flagga, być do tego odpowiednio przygotowanym. Uznał, że wszystko było pod kontrolą. Musiał jedynie dopaść Paula Burlsona i dowiedzieć się możliwie jak najwięcej na temat tego Toma Cullena, na wypadek gdyby Julie Lawry podsunęła mu jednak dobry trop. Lloyd uznał, że to mało prawdopodobne, ale gdy miało się do czynienia z Flaggiem, lepiej było się zabezpieczyć niż poniewczasie żałować. O wiele lepiej.

Podniósł słuchawkę telefonu i cierpliwie czekał. Po paru sekundach usłyszał kliknięcie, a zaraz potem głos Shirley Dunbar z akcentem Tennessee.

– Centrala.

– Cześć, Shirley, tu Lloyd.

– Lloyd Henreid! Co u ciebie?

– Jakoś leci. Możesz mnie połączyć z 6214?

– Z Paulem? Nie ma go w domu. Jest w Indian Springs. Spróbuję go złapać w bazie operacyjnej.

– Postaraj się.

– Jasne. Powiedz, Lloyd, kiedy zajrzysz do mnie na kawałek świeżutkiego ciasta kawowego? Piekę je co dwa, trzy dni.

– Niedługo, Shirley – odrzekł Lloyd, krzywiąc się. Shirley skończyła czterdzieści lat, ważyła prawie sto osiemdziesiąt funtów i miała wielką chrapkę na Lloyd'a.

Chłopaki, zwłaszcza Whitney i Ronnie Sykes, często żartowali sobie z jej zakusów wobec niego. Była jednak dobrą operatorką centrali i potrafiła czynić cuda, jeżeli chodziło o system telefoniczny w Las Vegas. Po przywróceniu zasilania ich najważniejszym celem stało się ponowne uruchomienie sieci telefonicznej, ale większość automatycznych central uległa spaleni, wrócili zatem do odpowiednika blaszanych puszek i dużych ilości nawoskowanego sznurka. Shirley posługiwała się tym, co było dostępne z niewiarygodną wprawą i cierpliwie przyuczała trzy lub cztery młode telefonistki do zawodu.

Poza tym rzeczywiście piekła bardzo dobre ciasto kawowe.

– NAPRAWDĘ niedługo – dorzucił i pomyślał, jak byłoby miło połączyć zgrabne, krągłe ciało Julie Lawry z umiejętnościami Shirley Dunbar i jej łagodną, spolegliwą naturą.

To ją najwyraźniej usatysfakcjonowało. Na linii rozległy się trzaski, a potem przeciągły wizz, po którym Lloyd na chwilę, krzywiąc się, odsunął słuchawkę od ucha. Wreszcie dał się słyszeć sygnał wolnej linii, po drugiej stronie łącza zaczął dzwonić telefon.

– Baza, Bailey przy telefonie – słabo słyszalny głos po drugiej stronie.

– Mówi Lloyd – ryknął do słuchawki. – Jest tam Paul?

– Jakie pole? – zapytał Bailey.

– Nie pole tylko Paul! Paul Burlson!

– A, on. Tak, jest, popija colę.

Nastąpiła krótka przerwa, Lloyd sądził już, że słabe połączenie zostało przerwane i nagle usłyszał głos Paula.

– Będziemy musieli krzyczeć, żeby się wzajemnie usłyszeć, Paul. Połączenie jest do luzu. – Lloyd nie był pewien, czy Paul Burlson zdoła w ogóle wydobyć z siebie krzyk. Był to mały, chudy facecik w okularach ze szklami jak denka od butelek. Niektórzy nazywali go Elegancikiem, bo mimo panujących w Vegas upałów zawsze nosił świetnie skrojony trzyczęściowy garnitur. Był jednak kompetentny, gdy chodziło o informacje na temat rezydentów miasta, Flagg natomiast w trakcie jednego ze swych chimerycznych nastrojów wyznał Lloydowi, że za rok Burlson zostanie szefem nowo tworzonej tajnej policji. „I będzie w tym bardzo dobry, wręcz WYŚMIENITY!” – dodał Flagg z ciepłym, pełnym lubości uśmiechem.

Paul wysilił się, by mówić nieco głośniejsze.

– Masz ze sobą swój rejestr? – zapytał Lloyd.

– Tak. Razem ze Stanem Baileyem opracowujemy program pracy zmianowej.

– Sprawdź, proszę, czy masz coś na temat faceta nazwiskiem Tom Cullen. Cokolwiek.

– Chwileczkę! – Potrwało to jakieś dwie, najwyżej trzy minuty, ale Lloyd znów zaczął się zastanawiać, czy ich nie rozłączono. Wreszcie Paul powiedział: – Tom Cullen, powiadasz... Lloyd, jesteś tam?

– Jestem, jestem.

– Z tymi telefonami nigdy nie wiadomo. Facet ma od dwudziestu dwóch do trzydziestu pięciu lat, nie wie dokładnie. Lekkie upośledzenie umysłowe. Nadaje się do niektórych prac. Przydzieliliśmy go do zespołu sprzątającego.

– Od jak dawna jest w Vegas?

– Niecałe trzy tygodnie.

– Przybył z Kolorado?

– Tak, ale mamy u nas w sumie tuzin osób, które próbowały się tam zadomowić i stwierdziły, że to im nie odpowiada. Tom Cullen został wypędzony z miasta. Uprawiał seks z normalną kobietą i chyba tamci zaczęli się niepokoić o swoje geny. – Paul wybuchnął śmiechem.

– Masz jego adres?

Paul podał mu, a Lloyd zapisał adres w swoim notesie.

– To wszystko, Lloyd?

– Jeszcze jedno nazwisko, jeśli masz chwilę czasu.

Paul zaśmiał się drwiąco:

– Jasne, to tylko moja przerwa na kawę.

– Facet nazywa się Nick Andros.

– Mam to nazwisko na mojej czerwonej liście – odrzekł natychmiast Paul.

– Tak? – Lloyd zastanawiał się intensywnie, ale nie szło mu to najlepiej. Nie miał pojęcia, czym była „czerwona lista” Paula. – Kto podał ci jego nazwisko?

– A jak ci się wydaje? – odparł Paul z rozdrażnieniem. – Ta sama osoba, która podała mi wszystkie nazwiska z czerwonej listy.

– Och. Tak, w porządku. – Pożegnał się i odwiesił słuchawkę. Przy tak fatalnych połączeniach pogawędki nie wchodziły w grę, a poza tym Lloyd nie miał na nie ochoty. Zbyt wiele spraw wymagało gruntownego przemyślenia.

Czerwona lista zawiera nazwiska, które Flagg podał Paulowi i tylko jemu, choć Burlson przypuszczał, że Lloyd wiedział o nich wszystko.

Czerwona lista, co to mogło oznaczać? Czerwone oznacza „stój”.

Czerwone oznacza „niebezpieczeństwo”.

Lloyd znów uniósł słuchawkę.

– Centrala.

– To znowu ja, Lloyd, Shirley.

– Czyżbyś zdecydował się...

– Nie mam czasu na pogawędki. Bardzo możliwe, że wpadłem na trop czegoś naprawdę wielkiego.

– W porządku, Lloyd. – Głos Shirley przestał być uwodzicielski i stał się oschły, rzeczowy i całkowicie beznamiętny.

– Kto jest dostępny w ochronie?

– Barry Dorgan.

– Łącz mnie z nim. I w ogóle do ciebie nie dzwoniłem. Tej rozmowy nie było...

– Jasne, Lloyd. – W jej głosie pobrzmiwała nuta strachu.

Lloyd również się bał, lecz równocześnie przepełniało go radosne podniecenie.

W chwilę potem połączono go z Dorganem. Facet był w porządku i Lloyd bardzo się z tego cieszył. Do policji trafiło zbyt wielu facetów pokroju „Dziurawca” Freemana.

– Chcę, abyś zgarnął kogoś dla mnie – powiedział Lloyd. – Masz go wziąć żywcem. Nazywa się Tom Cullen. Najprawdopodobniej złapiesz go w domu. Sprowadź go do hotelu. – Podał Barry’emu adres Toma i poprosił, by tamten go powtórzył.

– To coś ważnego, Lloyd?

– Nawet bardzo. Zrób to jak trzeba i ktoś ważniejszy ode mnie będzie z ciebie bardzo zadowolony.

– W porządku – Barry odłożył słuchawkę.

Lloyd również. Był pewien, że Barry zrozumiał ukrytą w tych słowach groźbę: „Spieprz tę sprawę, a ktoś bardzo się na ciebie wścieknie”.

Barry zadzwonił w godzinę później, by powiedzieć, że jego zdaniem Tom Cullen dał nogę z miasta.

– Ale to przecież debil – ciągnął Barry – nie umie prowadzić wozu, ba, nawet skutera. Jeśli zmierza na wschód, nie powinien dotrzeć dalej niż do Dry Lake. Możemy go dopaść, Lloyd. Wiem, że możemy. Daj mi zielone światło. – Barry był cały rozgorączkowany. Był jedną z czterech czy pięciu osób w Vegas, które wiedziały o szpiegach i potrafił czytać w myślach Lloyd.

– Pozwól, że się nad tym zastanowię – odrzekł Lloyd i odłożył słuchawkę, zanim tamten zdążył zaprotestować. W główkowaniu osiągnął poziom, o którym przed pomorem nawet mu się nie śniło, ale wiedział, że ta sprawa ewidentnie go przerasta. Poza tym niepokoiła go enigmatyczna czerwona lista.

Dlaczego nic mu o niej nie powiedziano?

Po raz pierwszy odkąd spotkał Flagga w Phoenix, Lloyd z niepokojem uświadomił sobie, że nie był człowiekiem niezastąpionym i jego pozycja również mogła zostać zakwestionowana. Były tajemnice, których mu nie ujawniono. Tego Cullena najprawdopodobniej uda się dogonić i schwytać, zarówno Carl Hough jak i Bill Jamieson potrafili pilotować wojskowe śmigłowce stacjonujące w bazie lotniczej w Indian Springs, a gdyby okazało się to konieczne, mogli spenetrować każdą szosę wiodącą z Nevady na

wschód. Poza tym ten facet nie był Kubą Rozpruwaczem ani doktorem Octopusem, a jedynie uciekającym półgłówkiem. Niech to szlag! Gdyby wiedział o tym Androsie, kiedy zjawiała się u niego Julie Lawry, mogliby dopaść głupka w jego małym mieszkanku w północnym Vegas.

Gdzieś w jego wnętrzu otworzyły się drzwi, wpuszczając chłodny powiew strachu.

Flagg pokpił sprawę. I nie dowierzał Henreidowi. A to niedobrze.

O, tak. Baaaardzo niedobrze.

Mimo to będzie musiał mu o tym powiedzieć. Nie mógł sam podjąć decyzji o wszczęciu pościgu za zbiegiem. Nie po tym, co stało się z Sędzią.

Wstał, aby podejść do interkomu, kiedy ujrzał idącego ku niemu Whitneya Horgana.

– Lloyd, Szef chce się z tobą widzieć – oznajmił bez ogródek. – Natychmiast.

– W porządku – odparł, zdziwiony spokojem własnego głosu. Wewnętrznie był cały roztrzęsiony i śmiertelnie przerażony. Nie mógł zapomnieć, że gdyby nie Flagg, do tej pory już dawno skonałby z głodu w swojej celi w Phoenix. Nie było sensu się oszukiwać, należał do mrocznego mężczyzny całym ciałem, sercem i duszą.

„Tylko jak mam wypełniać swoje obowiązki, skoro nie mam dostępu do wszystkich informacji” – zastanawiał się, zмирzając w stronę windy. Nacisnął guzik piątego piętra i kabina szybko uniosła się w górę. Znow zaczęło dręczyć go dziwne, niepokojące uczucie: „Flagg nie wiedział. Trzeci szpieg przez cały czas był w mieście, a Flagg o nim nie wiedział”.

– Wejdz, Lloyd – Flagg ubrany w zwyczajny, niebieski szlafrok uśmiechnął się życzliwie.

Lloyd wszedł do apartamentu. Klimatyzacja włączona była na pełny regulator i w pomieszczeniu panował ziąb jak na Grenlandii. Mimo to, przechodząc obok mrocznego mężczyzny, Henreid wyraźnie poczuł bijący z jego ciała żar, jak z niedużego lecz bardzo silnego grzejnika. W kącie, na fotelu siedziała kobieta, która tego ranka przyszła z Flaggiem do hotelu. Włosy miała starannie upięte i nosiła szyfonową suknię. Jej twarz pozbawiona była wyrazu, a mętny wzrok zmroził Lloyda do szpiku kości. Będąc jeszcze nastolatkiem, często wraz z kolegami podkradał dynamit z kamieniołomów, po czym wrzucał do jeziora Harrisona, gdzie ładunki wybuchały. Śnięte ryby, które po każdej eksplozji wypływały na powierzchnię, miały identycznie mętny wzrok i tępe, niewidzące oczy, jak ta kobieta.

– Poznaj Nadine Cross – rzekł miękko, stojący za nim Flagg, a Lloyd aż się wzdrygnął. – Moją żonę.

Zaskoczony, Lloyd spojrział na Flagga, lecz tamten tylko uśmiechnął się drwiąco i ewidentnie unikał jego wzroku.

– Moja droga, to Lloyd Henreid, moja prawa ręka. Lloyd i ja poznaliśmy się w Phoenix, gdzie Lloyd siedział w więzieniu i rozważał przyrządzenie sutej kolacji z kolegi z sąsiedniej celi. Zresztą, jeśli mnie pamięć nie myli, zdążył już skosztować przystawki. Czy nie tak, Lloyd?

Henreid zaczerwienił się i nie odpowiedział, choć kobieta wyglądała jak woskowa kukła lub ćpunka na mocnym haju.

– Wyciągnij rękę, kochanie – rzekł mroczny mężczyzna.

Nadine jak automat wyciągnęła przed siebie jedną rękę. Wciąż beznamiętnie wpatrywała się w jakiś punkt w przestrzeni, ponad ramieniem Lloyd'a.

„Jezu, to jakiś koszmar” – pomyślał Lloyd. Mimo panującego w mieszkaniu chłodu całe jego ciało oblało się zimnym potem.

– Miło mi cię poznać – powiedział i uściśnął miękką, ciepłą, wiotką dłoń. Z trudem pohamował się, by nie otrzeć potem dłoni o spodnie. Dłoń Nadine wciąż wisiała luźno w powietrzu.

– Możesz już opuścić rękę, kochanie – rzekł Flagg.

Nadine opuściła dłoń i ułożyła na podolku, gdzie natychmiast zaczęła drgać i poruszać się energicznie. Lloyd z przerażeniem skonstatował, że kobieta masturbowała się.

– Moja żona jest niedysponowana – powiedział Flagg i zachichotał. – Jest również w stanie błogosławionym, jak to się zwykło mówić. Pogratuluj mi, Lloyd. Będę tatusiem. – Znów ten chichot jak szuranie łapek szczurów w starych murach.

– Gratuluję – wykrztusił Lloyd przez odrętwiałe, jakby zziębnięte wargi.

– Możemy swobodnie rozmawiać przy Nadine o wszystkich naszych sprawach, nieprawdaż? Moja żonka umie milczeć jak grób. Gra słów jak najbardziej zamierzona. Co nowego w Indian Springs?

Lloyd zamrugał, usiłując zmienić mentalne biegi, czuł się nagi i zmuszony do obrony.

– Idzie nieźle – wybąkał w końcu.

– Idzie nieźle? – Mroczny mężczyzna nachylił się ku niemu i przez chwilę Lloyd był pewien, że tamten szeroko rozdziawi usta, by odgryźć mu głowę jak lizaka. Cofnął się. – Nie nazwałbym tego rzeczowym i dokładnym sprawozdaniem, Lloyd.

– Są pewne inne sprawy...

– Gdybym chciał pomówić o pewnych innych sprawach, zapytałbym cię o nie. – Głos Flagga przybierał na sile, urastając niemal do krzyku. Lloyd nigdy jeszcze nie widział równie radykalnej zmiany nastrojów i to przeraziło go. – Na razie chcę usłyszeć rzetelny raport o postępach w Indian Springs, stanie samolotów i ich uzbrojeniu.

Flagg znów zaczął się rozluźniać, choć w jego przypadku trudno było cokolwiek wyrokować. Gdy w grę wchodził mroczny mężczyzna nic nie było pewne.

– Sądziysz, że zdołają za dwa tygodnie odbyć pierwszy lot do Boulder? Powiedzmy... pierwszego października?

– Carl raczej tak – rzekł z powątpiewaniem Lloyd. – Nie wiem, jak dwaj pozostali.

– Chcę, żeby byli gotowi – mruknął Flagg. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. – Chcę, by ci ludzie na wiosnę przyszłego roku zaczęli chować się po rozmaitych dziurach i kanałach. Chcę uderzyć na nich nocą, kiedy będą spali. Chcę obrócić całe ich miasto w

perzynę. Chcę, aby wyglądało jak Hamburg i Drezno w czasie drugiej wojny światowej razem wzięte.

Odwrócił się do Lloyd'a. Jego twarz była biała jak pergamin, a ciemne oczy pałały szalonym ogniem. Uśmiechnięte wargi przywodziły na myśl scimitar.

– Już ja ich nauczę przysyłać do mnie szpiegów. Gdy nadejdzie wiosna, zamieszkają w jaskiniach. A potem wybierzemy się tam i urządzimy sobie polowanie na wieprze.

Lloyd w końcu odzyskał głos.

– Trzeci szpieg...

– Znajdziemy go, Lloyd. Nie przejmuj się tym. Dostaniemy drania.

Znów się uśmiechał, pośępnie, czarująco. Lloyd jednak dostrzegł przez moment na jego obliczu wyraz gniewu i wywołanego zakłopotaniem niepokoju. A niepokój był emocją, której nie spodziewał się u niego ujrzeć.

– Wydaje mi się, że wiemy kim on jest – rzekł półgłosem Lloyd.

Flagg obracał w palcach nefrytową figurkę, przyglądając się jej. Naraz jego dłonie znieruchomiały. Zastygł w bezruchu, a na jego twarzy pojawił się wyraz osobliwego skupienia. Nadine Cross po raz pierwszy się ożywiła, spojrzała na Flagga, po czym szybko odwróciła wzrok. Atmosfera w apartamencie zgęstniała.

– Co? Coś ty powiedział?

– Trzeci szpieg...

– Nie – uciął bezceremonialnie Flagg. – Nie, Lloyd. Strzelasz w ciemno.

– O ile mi wiadomo to przyjaciel Nicka Androsa.

Nefrytowa figurka wypadła Flaggowi z rąk i roztrzaskała się.

W chwilę potem mroczny mężczyzna schwycił Lloyd'a za przód koszuli i jednym ruchem podźwignął z krzesła. Flagg przemknął przez pokój tak szybko, że Henreid nawet go nie zauważył. Zaraz potem ujrzał tuż przed sobą oblicze Flagga i poczuł jego palący żar.

– I ty tu siedzisz i opowiadasz mi o Indian Springs? Powinienem cię za to wyrzucić przez okno! – wrzasnął Flagg.

Coś, być może świadomość, że również mroczny mężczyzna miał swoje słabe punkty, a może przekonanie, że Flagg nie zabije go dopóki nie usłyszy, co miał mu do powiedzenia, pozwoliły Lloydowi wypowiedzieć kilka słów na swoją obronę.

– Przecież próbowałem ci powiedzieć! – zakrzyknął. – Uciszyłeś mnie! I nie powiedziałeś mi ani słowa o czerwonej liście, czymkolwiek ona jest! Gdybym o niej wiedział, jeszcze wczorajszej nocy mógłbym dopaść tego cholernego debila!

W następnej chwili został ciśnięty przez całą szerokość pokoju i uderzył plecami o ścianę. Pod jego czaszką eksplodowały gwiazdy. Lloyd upadł na ziemię oszołomiony. Potrząsnął głową, usiłując dojść do siebie. W uszach mu szumiało.

Flagg wyglądał jakby stracił rozum. Krążył nerwowo po pokoju z twarzą przepehioną wściekłością. Nadine skuliła się na fotelu. Flagg stanął przy szafce, na której ustawione były

mlecznozielone, nefrytowe zwierzątka. Patrzył na nie przez chwilę jakby zdziwiony ich widokiem, po czym jednym ruchem strącił wszystkie na podłogę. Rozprysły się w drobny mak niczym małe granaty. Zaczął kopać większe kawałki, rozrzucając je po całym pokoju. Kosmyki ciemnych włosów opadły mu na czoło. Odgarnął je energicznym ruchem głowy, po czym odwrócił się w stronę Lloyda. Na jego twarzy malowała się groteskowa mieszanina współczucia i sympatii. „Jedno i drugie równie prawdziwe jak trzydolarowy banknot” pomyślał Lloyd. Flagg podszedł, by pomóc Lloydowi wstać i, jak zauważył Henreid, choć nastąpił na kilka ostrych odłamków figurek, nie wywołało to u niego grymasu bólu... ani nie spowodowało krwawienia.

– Przepraszam – powiedział. – Napijmy się. – Podał mu rękę i pomógł wstać.

„Jak dziecko podczas napadu złości” – skostatował Lloyd.

– Ty pijasz bourbona bez dodatków, zgadza się?

– Może być.

Flagg podszedł do barku i przyrządził hojne drinki. Lloyd jednym łykiem opróżnił swoją szklaneczkę do połowy. Gdy ją odstawiał, szklanki na końcu kontuaru zabrzęczały cichutko. Mimo to poczuł się nieco lepiej.

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek będziesz zmuszony korzystać z czerwonej listy – rzekł Flagg. – Było na niej osiem nazwisk, obecnie już tylko pięć. To nazwiska członków ich rady i tej starej kobiety. Andros był jednym z nich, ale on już nie żyje. Tak, jestem tego pewien. Andros nie żyje. – Flagg posłał Lloydowi piorunujące spojrzenie.

Lloyd opowiedział mu o wszystkim, od czasu do czasu posiłkując się swoim notesem. Nie był mu co prawda potrzebny, ale dobrze było choć na chwilę oderwać wzrok od tych gorejących, ciemnych, złowrogich oczu. Zaczął od Julie Lawry i skończył na rozmowie z Barry Dorganem.

– Mówiłeś, że jest upośledzony – wtrącił Flagg.

– Tak.

Na ustach Flagga wykwitł szeroki uśmiech. Mężczyzna pokiwał głową.

– Tak... – mruknął, lecz nie zwracał się do Lloyda. – To dlatego nie mogłem zobaczyć...

Urwał i podszedł do telefonu. Krótco potem rozmawiał już z Barry Dorganem.

– Śmigłowce. Jednym polecicie ty i Carl, a drugim Bill Jamieson. Bądźcie w stałym kontakcie radiowym. Wyślijcie sześćdziesięciu... nie, stu ludzi. Zamknijcie każdą drogę wyjazdową na obrzeżu wschodniej i południowej Nevady. Upewnijcie się, że wszyscy będą mieć dokładny rysopis tego Cullena. Raporty macie zgłaszać mi co godzinę. – Odłożył słuchawkę i z lubością zatarł ręce. – Dostaniemy go. Żałuję tylko, że nie możemy odesłać jego głowy cichemu koleśowi, Androsowi. Ale Andros nie żyje. Czy nie tak, Nadine?

Nadine patrzyła tępo przed siebie.

– Śmigłowce dużo dziś nie zwojują – odezwał się Lloyd. – Za trzy godziny zrobi się ciemno.

– Bez obawy, Lloyd – rzucił pogodnie mroczny mężczyzna. – Jutro będą miały dostatecznie dużo czasu. On jest niedaleko. O tak, całkiem niedaleko.

Lloyd nerwowo zginał w dłoniach swój notes. Chciał znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu, byle tylko nie tutaj. Flagg był w dobrym nastroju, ale Lloyd zamierzał popsuć mu go doniesieniami na temat Śmieciarza.

– Jest jeszcze coś – rzekł z wahaniem. – Chodzi o Śmieciarza. – Zastanawiał się, czy wywoła to u Flagga kolejny napad złości, jak wtedy gdy potłukł nefrytowe figurki.

– Kochany Śmieciarz. Wyruszył w kolejną podróż po skarby?

– Nie wiem, gdzie się podziewa. Zanim zniknął, wyciął nam w Indian Springs niezły numer.

Lloyd zrelacjonował całe zdarzenie, tak jak je usłyszał od Carla. Oblicze Flagga spochmurniało, gdy usłyszał, że Freddy Campinari jest w stanie krytycznym, ale kiedy Lloyd skończył, znowu się rozpromienił. Zamiast wpaść we wściekłość, Flagg tylko niecierpliwie machnął ręką.

– W porządku. Kiedy wróci, ma zostać niezwłocznie zlikwidowany. Ale niech to się stanie szybko i możliwie bezboleśnie. Nie chcę, żeby cierpiał. Miałem nadzieję, że... wytrzyma nieco dłużej. Ty, Lloyd, zapewne tego nie rozumiesz, lecz odczuwam pewną więź... swoiste pokrewieństwo łączące mnie z tym chłopakiem. Sądziłem, że będę mógł go wykorzystać – i udało mi się to – ale nigdy nie miałem absolutnej pewności. Nawet mistrz rzeźbiarski wie, że nóż, który obraca się w jego dłoni, raniąc go, jest narzędziem wadliwym. Mam rację, Lloyd?

Lloyd, który nie miał zielonego pojęcia o rzeźbach i nożach rzeźbiarskich (sądził, że rzeźbiarze używają zwykle dłut oraz młotków) tylko pokiwał głową.

– Oczywiście.

– Poza tym wyświadczył nam wielką przysługę, uzbrajając pociski shrike. Przecież to jego dzieło, czy nie tak?

– Zgadza się.

– On wróci. Powiedz Barry’emu, że Śmieciarz musi zostać... uwolniony od dalszych cierpień. Niech to się stanie możliwie w najłagodniejszy sposób. Póki co bardziej przejmuję się tym tępakiem, który kieruje się na wschód. Mógłbym pozwolić mu odejść, ale takie panują u nas zwyczaje. Może uda się nam zakończyć tę sprawę jeszcze przed zmierzchem. Jak sądzisz, kochanie?

Flagg ukucnął przy fotelu Nadine i dotknął jej policzka. Jednak kobieta cofnęła się, jakby muśnięto ją rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem.

Flagg uśmiechnął się i dotknął jej twarzy raz jeszcze. Tym razem tylko lekko zdrząła.

– Księżyc – rzekł wyraźnie zadowolony Flagg. Poderwał się na nogi. – Jeśli śmigłowce nie odnajdą go przed zmierzchem, będą mogły kontynuować poszukiwania nocą. Mamy pełnię księżyca. Jestem pewien, że nasz uciekinier pedałuje teraz co sił środkiem I-15, jak w

biały dzień. Liczy na to, że Bóg starej kobiety będzie go chronił. Ale stara kobieta już nie żyje, czy nie tak, kochanie? – Flagg roześmiał się w głos jak zadowolone dziecko. – Podejrzewam, że jej Bóg także. Wszystko pójdzie zgodnie z planem. Będzie dobrze. A Randy Flagg zostanie tatusiem.

Znów dotknął jej policzka. Jęknęła jak zranione zwierzę.

Lloyd oblizwał spierzchnięte wargi.

– Pójdę już, jeśli nie masz nic przeciw temu.

– Dobrze, Lloyd, dobrze. – Mroczny mężczyzna nie obejrzał się za siebie, wpatrywał się w beznamiętne oblicze Nadine. – Wszystko idzie dobrze. Świetnie. Wręcz doskonale.

Lloyd najszybciej jak mógł, prawie biegiem opuścił apartament Flagga. Dopiero w windzie dopadły go tak długo hamowane emocje i musiał nacisnąć guzik STOP, aby przeczekać gwałtowny atak hysterii. Śmiał się i płakał przez prawie pięć minut. Kiedy burza minęła, poczuł się nieco lepiej.

„On nie rozpada się w szwach – powiedział sobie w duchu. – Mamy parę problemów, ale On z pewnością sobie z nimi poradzi. Pierwszego, a najpóźniej piętnastego października będzie już po sprawie. Wszystko idzie jak po maśle, jest dobrze, tak jak mówi, nieważne, że o mało mnie nie zabił... nieważne, że wydaje się dziwniejszy niż kiedykolwiek... to wszystko jest bez znaczenia..

Kwadrans później Lloyd odebrał telefon z Indian Springs. Stan był bliski hysterii. Wściekał się na Śmieciarza i umierał ze strachu przed mrocznym mężczyzną jednocześnie.

Carl Hough i Bill Jamieson odlecieli ze Springs dziesięć minut po szóstej wieczorem, aby przeprowadzić zwiad na wschód od Vegas. W charakterze obserwatora z Carlem poleciał jeden z uczących się dopiero pilotów, Cliff Benson.

Dwanaście minut po szóstej obie maszyny eksplodowały w powietrzu. Stan, mimo wywołanego tym faktem oszołomienia, wysłał pięciu ludzi do hangaru numer 9, gdzie stały dwie pozostałe maszyny zwiadowcze i trzy większe hueye. W każdej z maszyn znaleźli zamontowane ładunki wybuchowe i detonatory z opóźniaczami sporządzonymi ze zwykłych kuchennych liczników zegarowych. Zapalniki nie były takie same jak przy cysternach, ale podobne. O wątpliwościach nie mogło być mowy.

– To robota Śmieciarza – powiedział Stan. – Zupełnie ześwirował. Bóg jeden wie, co jeszcze tu podminował.

– Sprawdźcie wszystko – polecił Lloyd. Ze strachu serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Adrenalina wypełniła jego ciało, a oczy niemal wychodziły z orbit. – Sprawdźcie WSZYSTKO! Weź wszystkich ludzi, których masz w bazie i przetrząśnijcie ją od jednego końca do drugiego. Czy to jasne, Stan?

– Ale po co?

– Jak to, PO CO? – wrzasnął Lloyd. – Mam ci to wytłumaczyć wielkimi literami, półgłówku? Co by powiedział Szef, gdyby cała baza...

– Wszyscy nasi piloci nie żyją – powiedział Stan. – Nie kapujesz, Lloyd? Straciliśmy nawet Cliffa, a z niego był taki pilot, jak ze mnie cesarz chiński. Mamy sześciu ludzi, którzy nie nadają się by samemu zasiąść za sterami jakiegokolwiek maszyny i ani jednego instruktora. Wobec tego może mi wyjaśnisz: po cholere nam teraz te odrzutowce?

I odłożył słuchawkę, pozwalając, by Lloyd, kompletnie zdruzgotany tym co przed chwilą usłyszał, pojął inną, znacznie głębszą prawdę ukrytą w jego słowach.

Tom Cullen obudził się po wpół do dziesiątej wieczorem, spragniony i skostniały. Napił się wody z manierki, wypełził spod dwóch opierających się o siebie skał i wbił wzrok w pociemniałe niebo. Pora ruszać w drogę.

Musiał jednak zachować ostrożność.

„O, tak. Ostrożność. Słowo daję. Tak”.

Wiedział, że go ścigali.

Miał sen. We śnie przyszedł do niego Nick i mówił do niego, choć to dziwne, bo przecież Nick nie mógł mówić. Był K-S-I-E-Ż-Y-C, to znaczy głuchoniemy. Musiał wszystko zapisywać, a Tom czytał bardzo słabo. Sny jednak bywają bardzo dziwne, w nich wszystko się może wydarzyć, a we śnie Toma Nick potrafił mówić.

„Tom, oni już wiedzą o tobie – powiedział mu Nick. – Ale to nie twoja wina. Ty spisałeś się na medal. Tak czasem bywa. Po prostu zwykły pech. Musisz więc odtąd być bardzo ostrożny. Nie wolno ci iść dalej szosą, Tom, ale wciąż musisz podążać na wschód”.

Tom wiedział, że musi iść na wschód, ale nie miał pojęcia jak ma znaleźć na pustyni odpowiedni kierunek. Przecież tam nietrudno się zgubić. Równie dobrze mógłby się kręcić w kółko.

„Będziesz wiedział – oznajmił Nick. – Najpierw musisz odnaleźć Palec Boży...”

Tom przytroczył manierkę do pasa i poprawił plecak. Wrócił do zjazdu, pozostawiając swój rower tam, gdzie go ukrył. Wspiął się po nasypie na drogę i rozejrzał się w prawo i w lewo. Przemknął przez pas środkowy, a potem, raz jeszcze obejrzawszy się dokoła, przeciął biegnące na zachód pasma autostrady I-15.

„Tom, oni już wiedzą o tobie”.

Przełazł przez barierkę po drugiej stronie i na wpół zsunął się, na wpół sturlał z nasypu po przeciwnej stronie autostrady. Przez chwilę leżał na ziemi z rozkołatanim mocno sercem. Słychać było tylko cichy szum wiatru zawodzącego nad bezkresną połącią pustyni.

Tom wstał i zaczął lustrować wzrokiem horyzont. Wzrok miał wyostrzony, a pustynne powietrze było krystalicznie czyste. Niebawem dostrzegł to, o czym mówił Nick. Palec Boży odcinał się na tle rozgwieżdżonego nieba niczym wielki wykrzyknik. Gdy patrzył ku wschodowi, kamienny monolit miał na godzinie dziesiątej. Tom uznał, że powinien dojechać do

niego w ciągu dwóch godzin. Jednakże walory pustynnej aury zwiodły już niejednego wędrowca, a co dopiero mówić o Tomie Cullenie. Mimo iż szedł różnym krokiem, ze zdumieniem stwierdził, iż kamienny palec ani trochę się do niego nie przybliżył, jakby odległość między nim a obeliskiem pozostawała wciąż taka sama. Minęła północ, potem pierwsza i druga. Wielki zegar gwiazd na niebie tykał nieubłaganie. Tom zaczął zastanawiać się, czy skała przypominająca wykrzyknik nie była czasami złudzeniem. Przetarł oczy, ale monolit nie zniknął. Z tyłu za nim szosa i zjazd stopiły się w jedno z czernią nocy.

Kiedy znów spojrzął na Palec, odniósł wrażenie, że nieznacznie się do niego zbliżył, a około godziny czwartej nad ranem, gdy wewnętrzny głos zaczął podpowiadać mu, że pora zaleźć sobie dogodną kryjówkę na nadchodzący dzień, nie miał już co do tego wątpliwości. Wielki kamienny monolit wydawał się o wiele bliższy niż przed północą. Nie zdoła jednak dotrzeć do niego przed świtem.

A kiedy już do niego dojdzie (zakładając, naturalnie, że za dnia nie odnajdą go tamci), co wtedy...

Nieważne.

Nick mu powie. Dobry, stary Nick.

Tom nie mógł się już doczekać, kiedy wróci do Boulder i znów się z nim spotka. „Słowo daję, tak”.

Znalazł sobie w miarę wygodne miejsce w cieniu wysokiej formacji skalnej i prawie natychmiast zasnął. Tej nocy, kierując się na północny wschód, pokonał blisko trzydzieści mil i zbliżał się do łańcucha Mormon Mountains.

Po południu przypelzł wielki grzechotnik, by w cieniu skał przeczekać upalny dzień. Zwinął się na ziemi obok Toma, uciął sobie krótką drzemkę, po czym powędrował dalej.

Tego popołudnia Flagg stał na skraju tarasu widokowego spoglądając ku wschodowi. Słońce zajdzie za cztery godziny, a wtedy przygłup ruszy w dalszą drogę.

Silny, porywisty pustynny wiatr odgarnął kosmyki ciemnych włosów z jego czoła. Miasto kończyło się nagle, oddając pola pustyni. Kilka billboardów na skraju pustki i to wszystko. Pustynia była taka ogromna i tyle na niej kryjówek. Nieraz już zdarzało się, że ludzie odchodzili na pustynię i już ich nie widziano.

– Ale nie tym razem – wyszeptał. – Dostanę go. Dopadnę go.

Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego ten opóźniony w rozwoju mężczyzna był tak ważny i dlaczego tak desperacko pragnął go schwytać, ta kwestia i jej racjonalność pozostawały dla niego niepojęte. Coraz bardziej odczuwał zwykłą potrzebę działania, robienia czegoś, czegokolwiek. Niszczenia.

Ubiegłego wieczoru, kiedy Lloyd poinformował go o zniszczeniu śmigłowców i śmierci trzech pilotów, musiał wykorzystać całą swą wewnętrzną energię by nie dać się ponieść ślepemu, niszczycielskiemu szałowi. W pierwszej chwili chciał wydać rozkaz, by natychmiast

przygotowano do drogi kolumnę pancerną – czołgi, transportery opancerzone, terenowe pojazdy bojowe, cały ten ciężki szmelc. Mogliby dotrzeć do Boulder w pięć dni. Półtorej tygodnia i miałby z głowy tę cholerną zadę, która tak boleśnie go uwierała!

Jasne.

A gdyby w górach wcześniej spadł śnieg, oznaczałoby to koniec wielkiej potęgi militarnej. Nie należało zapominać, że była już połowa września. Nie ma co liczyć na dobrą pogodę. Jak to możliwe, u licha, że zrobiło się już tak późno? Był najpotężniejszym człowiekiem na Ziemi, czyż nie? Może był jeszcze jeden taki jak on w Rosji, Chinach lub Iranie, ale nad tym problemem będzie się głowić za dziesięć lat, na pewno nie wcześniej. Teraz liczyło się tylko to, że miał przewagę, wiedział o tym, CZUŁ to. Był potężny, to wszystko, co mógł powiedzieć im ten przygłup... naturalnie jeśli nie zabłądzi na pustyni i nie zamrznie podczas przejścia przez góry. Powie im, że ludzie Flagga żyją w panicznym strachu przed Wędrowcem i bez wahania wypełniają każdy jego rozkaz. Te rewelacje mogły co najwyżej jeszcze bardziej osłabić ich i tak już mocno nadwątlone morale. Skąd zatem brało się to silne, nieprzeparte odczucie, że Cullen musi zostać schwytyany i zabity, zanim zdoła przedrzeć się na wschód?

„Bo tego właśnie chcę i tak się stanie, to równie dobry powód jak każdy inny, a może nawet istotniejszy”.

I ten Śmieciarz. Sądził, że ma go już z głowy; że może skreślić go z ewidencji i przestać zaprzętać sobie nim głowę. Był pewien, że może wyrzucić Śmieciarza jak wadliwe narzędzie. A jednak udało mu się to, czego nie dokonali wszyscy mieszkańcy Wolnej Strefy razem wzięci. Wrzucił garść piachu w tryby niezniszczalnej maszyny podboju mrocznego mężczyzny.

„Pomyliłem się...”

Ta myśl mierziała go i nie chciał zastanawiać się nad jej dalszymi skutkami. Wyrzucił szklaneczkę za niski murek otaczający dach i patrzył jak, obracając się wokół osi, spada w dół. Złośliwie rozbawiony głos pod jego czaszką zachichotał i wysyczał zjadliwie: „Mam nadzieję, że walnie kogoś w głowę!”

Szklaneczka spadła na parking, daleko w dole, tak daleko, że mroczny mężczyzna nie usłyszał brzęku, z jakim roztrzaskała się w drobny mak.

W Indian Springs nie odnaleziono więcej bomb, choć bazę przeszukano bardzo dokładnie od jednego jej krańca po drugi. Najwyraźniej Śmieciarz zaminował pierwsze rzeczy, na jakie się natknął, śmigłowce w hangarze numer 9 i cysterny w parku maszyn tuż obok.

Flagg wydał wyraźny rozkaz, zgodnie z którym Śmieciarz miał zostać zastrzelony na miejscu, gdy tylko znów pojawi się w Vegas. Myśl o Śmieciarzu szwendającym się, Bóg wie gdzie, po terytorium państwowym, gdzie składowano niewyobrażalne wręcz typy broni, przyprawiła go o dokuczliwy ból głowy. Był zdenerwowany.

Bardzo zdenerwowany.

Tak. Zaczynało mu brakować pewności siebie. Kiedy to się zaczęło? Nie potrafił tego powiedzieć, nie był pewien. Lloyd także to zauważył. To było widać po sposobie, w jaki na niego patrzył. Może nie byłoby głupie, gdyby Lloydowi jeszcze przed końcem zimy przydarzył się jakiś tragiczny w skutkach wypadek. Za dużo dyskutował i miał zbyt wielu kumpi wśród ludzi z gwardii pałacowej w rodzaju Whitneya Horgana czy Kena De Motta. Nawet Burlson wypaplał mu tajemnicę czerwonej listy. Flagg zastanawiał się leniwie, czy za ten jawny przykład niesubordynacji nie powinien skazać Burlsona na obdarcie żywcem ze skóry.

„Gdyby jednak Lloyd wiedział o czerwonej liście, to wszystko by się nie...”

– Zamknij się – mruknął gniewnie. – Stul dziób. Koniec gadania.

Myśl okazała się bardziej uporczywa niż przypuszczał. Dlaczego nie podał Lloydowi nazwisk grubych ryb z obszaru Wolnej Strefy? Nie wiedział, nie pamiętał. Wtedy wydawało mu się, że miał po temu istotny powód, ale im bardziej się nad nim zastanawiał, tym bardziej stawał się on ulotny. Może po prostu podjął taką a nie inną decyzję, gdyż uznał, że z tajemnicami jak z jajkami, nie należy wkładać ich za wiele do jednego koszyka i jednej osobie nie powinno się powierzać zbyt wielu sekretów, nawet jeśli jest to ktoś tak oddany i lojalny jak Lloyd Henreid?

Na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego zdumienia. Czy od początku popełniał tak kretyńskie błędy? Czy podjął więcej równie mylnych decyzji?

A właściwie jak lojalny był Henreid? Ten wyraz w jego oczach...

Nagle postanowił przestać zwracać sobie tym wszystkim głowę i trochę polewitować. Po tym zawsze czuł się lepiej. Czuł się potężniejszy, spokojniejszy i miał czysty umysł. Wbił wzrok w niebo nad pustynią.

(„Jestem, jestem, jestem, JESTEM...”)

Podeszwy jego wyświechtanych kowbojek oderwały się od powierzchni tarasu widokowego, zakołysały się i uniosły o kolejny cal. Potem jeszcze o dwa. Ogarnął go spokój i nagle pojął, że pozna odpowiedzi. Wszystko wydało mu się bardziej wyraziste, jaśniejsze.

– Wiesz, że oni idą po ciebie.

Ten głos, który rozległ się tak niespodziewanie, wytrącił go z równowagi i sprawił, że stukając obcasami, opadł z powrotem na powierzchnię tarasu. Silny wstrząs przeszył całe jego ciało od stóp, poprzez kolana, uda i kręgosłup, aż do głowy. Flagg zgrzytnął zębami i odwrócił się miękko jak kot. Na widok Nadine uśmiechnął się szeroko. Miała na sobie białą koszulę nocną, całe jardy półprzezroczystego materiału, który miękko otaczał jej ciało. Wiatr rozwiewał jej białe, gęste włosy jak delikatny materiał koszuli. Wyglądała niczym blada, obłąkana wieszczka i Flagg, niemal wbrew sobie, na jej widok poczuł niewytłumaczalny lęk. Postąpiła krok w jego stronę. Miała bose stopy.

– Oni nadchodzą. Stu Redman, Glen Bateman, Ralph Brentner i Larry Underwood. Nadchodzą i zabiją cię jak łasicę podkradającą kurczaki.

– Oni są w Boulder – odparował – chowają się pod łózkami i oplakują śmierć tej starej Murzynki.

– Nie – rzuciła krótko. – Są już prawie w Utah. Niedługo tu dotrą. I zmiążdżą cię jak robaka.

– Zamknij się. Spadaj na dół.

– Już lecę – szepnęła, podchodząc do niego i teraz to ona się uśmiechała. Ten uśmiech przepełnił Flagga dojmującą zgrozą. Rumieńce znikły z jego policzków, a wraz z nią jego dziwna, gorąca witalność. Przez chwilę wydawał się stary i słaby. – Ja runę w dół... a ty upadniesz wraz ze mną.

– Wynoś się.

– Oboje upadniemy – rzuciła śpiewnie, uśmiechając się. To było potworne. – Na dół... na sam dół...

– Oni są w Boulder!

– Są już niedaleko.

– SPADAJ NA DÓŁ!

– Wszystko co tu dokonałeś, zaczyna się walić, właściwie, dlaczego miałabym się dziwić? Zło zawsze ma względnie krótki żywot. Ludzie zaczynają plotkować na twój temat. Mówią, że pozwoliłeś uciec Tomowi Cullenowi, prostemu, ograniczonemu umysłowo chłopakowi, który jednak okazał się dostatecznie cwany, by okpić Randalla Flagga. – Mówiła coraz szybciej i szybciej, uśmiechając się drwiąco. – Powiadają, że twój ekspert od uzbrojenia dostał świra, a ty nie zdołałeś przewidzieć, iż tak się stanie. Obawiają się, że to co przytarga z pustyni następnym razem może być przeznaczone nie dla tamtych ze wschodu, ale dla nich samych. I zaczynają odchodzić. Wiedziałeś o tym?

– Kłamiesz – wyszeptał. Twarz miał trupio bladą, oczy wytrzeszczone. – Nie odważyliby się. A gdyby nawet, wiedziałbym o tym.

Tępy, niewidzącym wzrokiem patrzyła ponad jego ramieniem ku wschodowi.

– Ja ich widzę – wyszeptwała. – Opuszczają swoje posterunki w środku nocy, a twoje Oko ich nie dostrzega. Opuszczają je i cichcem odchodzą. Zespół wyrusza do pracy w liczbie dwudziestu osób, ale wraca już tylko osiemnastu. Wartownicy na granicy dezertują. Obawiają się zachwiania równowagi sił i tego, co może ono oznaczać. A wiedzą, że to nadchodzi. Czują to. I opuszczają cię jeden po drugim. Ci zaś, którzy pozostaną, nawet nie kiwną palcem kiedy ludzie ze wschodu przyjdą, aby cię zgładzić raz na zawsze...

Pękło. Cokolwiek w nim tkwiło, nagle po prostu pękło.

– KŁAMIESZ! – ryknął.

Zacisnęła dłonie na jej ramionach z takim impetem, że oba obojczyki pękły niczym ołówki. Uniósł jej ciało wysoko nad głowę ku błękitnemu, pustynnemu niebu i obróciwszy się, jednym gładkim ruchem cisnął ją do przodu, ponad murkiem, tak jak wcześniej szklaneczkę. Ujrzał wyraz ulgi na jej twarzy, usta wykrzywione szerokim, triumfalnym

uśmiechem, błyszczące, żywe oczy. I wtedy zrozumiał. Zwiodła go, oszukała, sprowokowała by to zrobił, gdyż pojęła, że tylko w ten sposób mogła się uwolnić...

A przecież nosiła jego dziecko.

Nachylił się nad murkiem, omal nie tracąc przy tym równowagi, usiłując odwrócić to co nieodwracalne. Jej koszula nocna zatrzepotała na wietrze. Dłoń Flagga zacisnęła się na delikatnym materiale i rozerwała go; tkanina pękła, a jemu pozostał tylko strzęp tak cienki, że widział przez niego swoje palce. Z takiej materii utkane są nasze sny tuż przed przebudzeniem.

I nagle już jej nie było, runęła pionowo w dół z palcami stóp skierowanymi w dół, do ziemi i koszulą nocną uniesioną w górę tak, iż swymi zwojami zasłaniała jej twarz. Nawet nie krzyknęła.

Poleciała w dół bezgłośnie jak wadliwa rakietka.

Kiedy usłyszał niemożliwy do opisania dźwięk towarzyszący jej twardemu lądowaniu, Flagg odchylił głowę, uniosł twarz ku niebu i zawył przeciągle.

„To niczego nie zmienia, absolutnie niczego”.

Nadal miał wszystko w ręku. Ponownie wychylił się ponad krawędzią muru i patrzył jak ludzie zaczynają się zbiegać niczym opiłki żelaza do magnesu. Albo robaki do łajna. Wydawali się tacy mali, a on znajdował się tak wysoko ponad nimi.

Uznał, że jeszcze trochę polewituje. Musiał odzyskać wewnętrzny spokój. Minęło jednak sporo czasu zanim podeszwy jego kowbojek o pościnanych obcasach oderwały się od powierzchni tarasu widokowego i uniosły się w powietrze zaledwie na ćwierć cala. Nie zdołały wzbić się ani odrobinę wyżej.

Tom obudził się tego wieczora o dwudziestej, ale wciąż było zbyt jasno, by mógł ruszyć w dalszą drogę. Czekał. Nick znów odwiedził go we śnie i rozmawiał z nim. Tak dobrze było rozmawiać z Nickiem.

Leżał w cieniu wielkiej skały i obserwował jak ciemnieje niebo. Pojawiły się pierwsze gwiazdy. Nabral apetytu na chipsy ziemniaczane i żałował, że nie ma przy sobie choćby jednej paczki. Postanowił, że kiedy wróci do Strefy – JEŻELI wróci – naje się chipsów do woli. Będzie zajadać się nimi aż będą mu się uszy trzęsły. Tęsknił także za przyjaciółmi. Ich obecnością i miłością również pragnął się nacieszyć po powrocie. „Tego właśnie brakowało w Las Vegas – skonstatował – zwykłej miłości. Ludzie byli całkiem mili i w ogóle, lecz brakowało w nich najzwyczajniejszej miłości. Byli za bardzo przerażeni. Na gruncie do cna przesyconym strachem nasienie miłości nie ma szans wykiełkować, podobnie jest z roślinami, które nie rozwijają się w miejscach, gdzie przez cały czas panują ciemność i chłód.

W mroku potrafią pnieć się i rozwijać tylko grzyby i muchomory, nawet Tom to wiedział, o tak”.

– Kocham Nicka, Frannie, Dicka Ellisa i Lucy – wyszeptał Tom. To była jego modlitwa.
– Kocham także Larry’ego Underwooda i Glena Batemana. Kocham Stana i Ronę. Kocham
Ralpha. Kocham Stu. Kocham...

To dziwne, z jaką łatwością przychodziły do niego ich nazwiska. A przecież w Strefie nie pamiętał nawet imienia Stu. Był pochłonięty swoimi zabawkami: garażem, samochodzikami i kolejką. Mógł bawić się nimi całymi godzinami. Zastanawiał się jednak, czy będzie bawił się nimi równie ochoczo kiedy... jeżeli wróci do Strefy. Nic już nie będzie takie samo. To smutne, ale może tak właśnie powinno być. Tak będzie dobrze.

– Pan jest moim pasterzem – powiedział półgłosem – nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Namaszcza moją głowę olejkiem. Wobec przeciwników wypełnia mnie znajomością kung fu. Amen.

Zrobiło się już dostatecznie ciemno. Mógł ruszyć w drogę. O wpół do dwunastej w nocy dotarł do Palca Bożego i zrobił sobie krótką przerwę na lunch. Teren był tu wyżynny i, patrząc w stronę skąd przyszedł, widział poruszające się w oddali światła. „Są na szosie, przy zjeździe – pomyślał. – Szukają mnie”.

Ponownie skierował wzrok na północny wschód. Daleko przed nim znajdowała się ledwie widoczna w mroku (pełnia była dwie noce temu i księżyc o tej porze zaczął już zachodzić) wielka, zaokrąglona, granitowa kopuła. To do niej miał teraz dotrzeć.

– Tom ma poranione stopy – wyszeptał do siebie, choć nie bez odrobiny wesołości w głosie. Mogło go spotkać coś znacznie gorszego od poodparzanych stóp. – K-S-I-E-Ż-Y-C, to znaczy poranione stopy.

Pomaszerował dalej. Nocne stworzenia trwożliwie schodziły mu z drogi, a kiedy o świcie ułożył się na spoczynek, miał za sobą pokonanych czterdzieści kolejnych mil. Niedaleko stąd, na wschód od niego, przebiegała granica pomiędzy Nevada a Utah. O ósmej rano pogrążony był w głębokim śnie. Spał z podłożoną pod głowę zrolowaną kurtką. Jego gałki oczne pod opuszczonymi powiekami zaczęły poruszać się raptownie w górę i w dół.

Nick znów go odwiedził i Tom rozmawiał z nim.

Wtem czoło śpiącego zmarszczyło się posępnie. Tom wyznał Nickowi jak bardzo za nim tęsknił i że nie mógł się już doczekać, kiedy ponownie go ujrzy.

Lecz z jakiegoś powodu, którego nie pojmował, Nick odwrócił się do niego plecami.

ROZDZIAŁ 68

Historia lubi się powtarzać, Śmieciarz znów był podsmażany żywcem na diabelskiej patelni, tym razem jednak nie mógł liczyć, że ukojenie przyniosą mu fontanny Ciboli.

„Na to właśnie zasługuję, na nic więcej”.

Jego skóra sprazona słońcem łuszczyła się, opalała i ponownie odpadała płatami, aż w końcu była nie tyle spalona na brąz, co raczej podpieczona na węgiel. Śmieciarz stanowił żywy dowód, że człowiek zawsze na koniec przypomina to czym był w istocie. Wyglądał teraz, jakby ktoś oblał go benzyną i podpalił. Jego błękitne oczy zmętniały od silnego pustynnego blasku, a wejrzenie w nie było jak spojrzenie w głąb dziwacznych, ponadwymiarowych dziur w przestrzeni. Ubiorem przypominał trochę mrocznego mężczyznę; nosił rozpiętą pod szyją czerwoną, kraciatą koszulę, sprane dżinsy i mocno już wyświechtane wysokie, sznurowane buty pustynne. Amulet, czarny kamyczek z czerwoną skazą, wyrzucił, opuszczając Indian Springs. Nie zasługiwał, by go nosić. Okazał się niegodny. I jak wszystkie niedoskonałe istoty ciemności został wygnany.

Zatrzymał się w skwarze upalnego popołudnia i przesłonił chudą, drżącą dłońią pociemniałe od opalenizny czoło. To było jego miejsce i czas, dla nich właśnie został stworzony, całe jego życie było jednym nie kończącym się pasmem przygotowań. Aby się tu dostać przebył gorejące korytarze samego piekła. Znosił koszmar szeryfa ojcobójcy, zamknięcia w zakładzie Terre Haute i Carleya Yatesa. Po całym tym dziwnym i samotnym życiu odnalazł wreszcie przyjaciół. Lloyd. Kena. Whitney Horgana.

I, Boże Święty, wszystko dokumentnie spieprzył. Zasługiwał, aby spłonąć tu, na tej diabelskiej patelni. Czy istniało dla niego jakiegokolwiek odkupienie? Mroczny mężczyzna mógł znać odpowiedź na to pytanie. Śmieciarz nie.

Prawie nie pamiętał już, co się właściwie wydarzyło, być może dlatego, że jego udręczony umysł NIE CHCIAŁ tego pamiętać. Przed swym ostatnim, fatalnym w skutkach powrotem do Indian Springs przebywał przez tydzień na pustyni. Skorpion użądlił go w środkowy palec lewej ręki („palec-grzebalec”, jak by go nazwał kiedyś, dawno temu, w Powtanville Carley Yates), dłoń spuchła mu jak wypełniona wodą gumowa rękawica. Nieziemski ogień rozpałił się pod jego czaszką. A on mimo to jechał dalej.

W końcu powrócił do Indain Springs, choć w dalszym ciągu czuł się jak wytwór czyjejs wyobraźni. Ludzie zaczęli oglądać znalezione przez niego skarby. Zapalniki fosforowe, kontaktowe miny lądowe, w gruncie rzeczy nic wielkiego, ale komentowali z ożywieniem każdą ze sztuk broni i rozmawiali z nim przyjaźnie. Śmieciarz po raz pierwszy, odkąd został użądłony przez skorpiona, poczuł się naprawdę dobrze.

I nagle, bez ostrzeżenia, cofną się w czasie, znowu był w Powtanville. Ktoś powiedział: „Nie wiesz, Śmieciarzu, że kto bawi się ogniem, zwykle moczy się w nocy?” Uniósł wzrok, spodziewając się ujrzeć Billy’ego Jamiesona, ale to nie był Bill, lecz Rich Groudemore z Powtanville, uśmiechający się i dłubiący zapałką w zębach, z palcami brudnymi od smaru, gdyż podczas przerwy w pracy na stacji benzynowej wpadł akurat na małą partyjkę bilarda do knajpki za rogiem. Ktoś inny powiedział: „Lepiej to schowaj, Richie, Śmieciarz wrócił do miasta”. Początkowo sądził, że to Steve Tobin, ale to nie był on. Słowa te padły z ust Carleya Yatesa, który siedział obok w starej, grubej, mocno zniszczonej kurtce motocyklowej. Z narastającą zgrozą stwierdził, że byli tu ONI WSZYSCY, niespokojne trupy, które powróciły do życia. Richie Groudemore, Carley, Norm Morrisette i Hatch Cunningham, ten, który wyłysiał już w wieku osiemnastu lat i wszyscy nazywali go Hatch „Łysa Pała”.

Śmiali się z niego. Drwili. Szydzili. Przypomniawszy sobie, jak z niego dworowali, pamiętał te słowa, nawet pomimo upływu czasu.

„Hej, Śmieciarzu, dlaczego nie sfajczyłeś szkoły? Hej, Śmieciarzu, nie przypal sobie czasami małego! Śmieciarz, czy to prawda, że nie kichasz smarkami tylko płynem do zapalniczek?”

I Carley Yates: „Hej, Śmieciarzu, co powiedziała stara pani Semple, kiedy spaliłeś jej czek emerytalny?”

Chciał na nich wrzasnąć, ale zdołał wyszeptać jedynie: „Tylko nie pytajcie mnie już o czek emerytalny starej pani Semple”.

I uciekł.

Reszta wyglądała jak sen. Przyniósł zapalniki fosforowe i zamontował je na cysternach w parku maszyn. Jego dłonie wykonywały swoją pracę, podczas gdy on myślami błądził gdzieś daleko. W głowie miał mętlik. Ludzie widzieli go jak krążył pomiędzy parkiem maszyn i swoim pustynnym łazikiem z wielkimi balonowymi oponami. Niektórzy nawet do niego machali, nikt jednak nie odważył się podejść i zapytać, co właściwie robił.

W końcu nosił amulet Flagga.

Śmieciarz robił swoje, myśląc o Terre Haute.

W zakładzie zmuszali go, by zagryzał kauczukowy knebel, kiedy poddawali go terapii wstrząsowej, a facet przy urządzeniach kontrolnych wyglądał czasami jak szeryf ojcobójca, czasami jak Carley Yates, niekiedy zaś jak Hatch „Łysa Pała”. A on zawsze, histerycznie zaklinał się, że tym razem już się nie zmoczy. I za każdym razem to robił.

Uporawszy się z cysternami udał się do najbliższego hangaru i zajął się stojącymi tam śmigłowcami. Potrzebował kuchennych liczników zegarowych, aby zrobić to, co zamierzał, toteż wybrał się do kasyna w bazie i znalazł tam tuzin odpowiadających jego celom urządzeń. Nastawiasz je na opóźnienie od kwadransa do pół godziny, a kiedy usłyszysz głośnie PING! wiesz, że już czas, aby wyjąć ciasto z piekarnika. „Tyle tylko, że kiedy tym razem zrobią PING! – pomyślał Śmieciarz – rozlegnie się wielkie BUM!” Podobało mu się to. To było naprawdę dobre. Gdyby Carley Yates albo Richie Groudemore zdecydowali się polecieć gdzieś którymś ze śmigłowców, czekała ich bombowa niespodzianka. Śmieciarz podłączył po prostu kuchenne liczniki do zapłonu maszyny.

Kiedy skończył, przez chwilę miał przeblysłk zdrowego rozsądku. Moment normalności. Możliwość dokonania wyboru. Ze zdumieniem zlustrował wzrokiem śmigłowce stojące w przestronnym hangarze, po czym przyjrzał się swoim dłoniom. Cuchnęły jak spalone spłonki. Ale to nie było Powtanville. W Powtanville nie było śmigłowców. Słońce Indiany nie paliło tak bezlitośnie jak to, tutaj. Był w Nevadzie. Carley i jego kumple od bilarda nie żyli. Zabiła ich supergrypa.

Śmieciarz obrócił się na pięcie i przyjrzał z powątpiewaniem swojemu dziełu. Co robił, sabotując sprzęt mrocznego mężczyzny? To było szalone, obłąkane.

Musi rozbroić ładunki i to jak najszybciej.

Och, ale te cudowne eksplozje.

Ten wspaniały OGIENŃ.

Jęzory płomieni buchające na wszystkie strony. Eksplozje cystern wypełnionych paliwem lotniczym. Śmigłowce zmieniające się w locie w pomarańczowo-czerwone kule ognia. To takie piękne.

I nagle, zgoła nieoczekiwanie, odrzucił od siebie to nowe życie. Wrócił pospiesznie do swojego pustynnego łazika z tajemniczym uśmiechem na pocerniałej od słońca twarzy. Usiadł za kierownicą i ruszył... ale nie ujechał daleko. Czekał i niebawem z parku maszyn wyjechała cysterna z paliwem, przetaczając się po pasie startowym niczym wielki oliwkowozielony chrabąszcz. A kiedy wybuchła, rozbryzgując dokoła strugi płonącego paliwa, Śmieciarz upuścił lornetkę i unosząc głowę ku niebu, wrzasnął przeciągle. W wyrazie niewypowiedzianej radości, zaczął wymachiwać pięściami. Jego wesołość nie trwała jednak długo. Zastąpił ją śmiertelny strach i wywołujący mdłości, ściskający gardło smutek.

Ruszył na pustynię, obierając kierunek na północny zachód. Jechał z karkołomną prędkością, wyciskając z łazika pełną moc. Jak dawno temu to było? Nie wiedział. Gdyby ktoś powiedział mu, że jest szesnastego września, pokiwałby tylko głową, nie pojmując sensu tych słów.

Myślał o samobójstwie, w gruncie rzeczy nic mu już innego nie pozostało, wszyscy odwrócili się od niego, skądinąd zresztą trudno im się było dziwić. Kiedy kąsas dłoń, która cię karmi, powinieneś spodziewać się, że zaciśnie się ona w pięść. To było coś więcej niż

samo życie, to była sprawiedliwość. Z tyłu łazika miał trzy wielkie kanistry z benzyną. Obleje się nią, a potem zapali zapałkę. To wszystko, na co zasługiwał.

A jednak nie zrobił tego. Nie wiedział, dlaczego. Jakaś siła, potężniejsza niż trawiące go wyrzuty sumienia i samotność, powstrzymała go przed podjęciem tego ostatecznego kroku. Wyglądało na to, iż nawet samospalenie, jak to czynią niekiedy buddyjscy mnisi, nie było dla niego dostateczną pokutą. Zasnął. Kiedy zaś się obudził, odkrył, że we śnie w jego umyśle zakiełkowała nowa myśl.

Brzmiała następująco: „Odkupienie”.

Czy to możliwe? Nie wiedział. Gdyby jednak znalazł coś... coś naprawdę WIELKIEGO... i przywiózł to mrocznemu mężczyźnie do Las Vegas, może zasłużyłby sobie na nie. A jeśli nawet nie na ODKUPIENIE, to może przynajmniej na POKUTĘ. To nie mogły być miny ładowe, bomby zapalające, granaty czy broń automatyczna. Żadna z tych rzeczy nie była dość znacząca. To musiało być coś Wielkiego, przez duże „W”. Wiedział, gdzie znajdowały się dwa duże eksperymentalne bombowce (zbudowano je bez wiedzy Kongresu i opłacono z tajnych funduszy obrony), ale nie mógł sprowadzić ich do Vegas, a gdyby nawet, nie było tam już nikogo, kto potrafiłby je pilotować. Sądząc po ich wielkości i wyglądzie, załoga musiała składać się z dziesięciu, a może nawet więcej osób.

Był jak czujnik na podczerwień wychwytyjący w ciemnościach źródła ciepła i przedstawiający je w kształcie rozmytych, niewyraźnych, czerwonych, diabelskich sylwetek. W pewien zgoła osobliwy sposób potrafił wyczuwać rzeczy pozostawione na tym pustkowiu, gdzie prowadzonych było wiele wojskowych projektów badawczo-rozwojowych. Mógł udać się na zachód, do Projektu Blue, gdzie się to wszystko zaczęło. Jednakże broń bakteriologiczna, wirusy supergrypy i wszystkie inne nie były w jego stylu i jak przypuszczał na swój obłąkany, choć nie całkiem nielogiczny sposób, Flagg również za nimi nie przepadał. Pładze było obojętne, kogo zabijała. Zapewne byłoby lepiej dla całej ludzkości, gdyby pierwotni założyciele Projektu Blue nie zapomnieli o tej prostej prawdzie.

Wybrał się zatem na północny zachód od Indian Springs, w głąb pustynnych bezdroży poligonu raketowego bazy lotnictwa Nellis, zatrzymując swój łazik, gdy zmuszony był przecinać siatki z drutem kolczastym i tabliczkami zaopatrzonymi w napisy: TEREN RZĄDOWY NIE WCHODZIĆ, PLACÓWKA CHRONIONA, UWAGA ZŁE PSY i OGRODZENIE POD NAPIĘCIEM. Ale prądu już nie było, podobnie jak złych psów czy uzbrojonych straży, toteż Śmieciarz parł niezłomnie naprzód, od czasu do czasu nieznacznie tylko zmieniając kurs. Był przyciągany. Coś go przyciągało. Nie wiedział, co to było, ale czuł, że jest to coś wielkiego. Coś dostatecznie wielkiego.

Balonowe opony marki Goodyear w jego łaziku spisywały się doskonale pokonując wyschnięte koryta rzek i zbrocza tak kamieniste, że sterczące z ziemi skały wyglądały jak kolce grzbietowe na wpół pogrzebanego stegozaura. Powietrze było suche i nieruchome.

Temperatura nieco powyżej stu stopni Fahrenheita. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem był jednostajny warkot zmodyfikowanego silnika studebakera, w jaki zaopatrzone był łązik.

Wjechał na pagórek, ujrzał, co znajdowało się w dole i na chwilę przystanął, by lepiej się przyjrzeć.

Poniżej stał zbity w ciasną gromadkę kompleks budynków, nieco niewyraźnych i rozmytych w falującym od upału powietrzu. Baraki i niskie budynki. Tu i ówdzie na pylistych uliczkach stały porzucone pojazdy. Cały teren otaczały trzy rzędy zasieków z drutu kolczastego. Widział również porcelanowe przewodniki rozmieszczone w różnych odstępach wzdłuż drutów. To nie były małe przewodniki wielkości kciuka przewodzące słaby prąd, mający jedynie odstraszyć potencjalnych intruzów. Te miały wielkość zaciśniętej pięści.

Od wschodu asfaltowa, dwupasmowa szosa prowadziła do budki strażniczej, która wyglądała jak potężny betonowy schron. Nie było tu tabliczek z napisami w rodzaju: ODDAJ APARAT FOTOGRAFICZNY PEŁNIĄCEMU SŁUŻBĘ WARTOWNIKOWI PRZY WJEŹDZIE DO BAZY. JEŚLI CI SIĘ U NAS PODOBAŁO, POWIEDZ TO SWEMU KONGRESMENOWI. Jedyna tabliczka miała czerwono-żółtą barwę, barwę niebezpieczeństwa, a napis na niej brzmiał: DOKUMENTY OKAZUJEMY BEZ WEZWANIA.

– Dziękuję – wyszeptał Śmieciarz. Nie miał pojęcia, komu dziękuję. – Och, dziękuję... dziękuję... – Jego szczególny zmysł przywiódł go w to miejsce, ale Śmieciarz od zawsze wiedział o jego istnieniu. Nie znał tylko konkretnego położenia tego miejsca. Aż do teraz.

Wrzucił bieg w swoim łąziku i wolno zjechał po zboczu. W dziesięć minut potem sunął już szosą w kierunku budki wartowniczej. Na drodze stały pomalowane w czarno-białe pasy zapory. Śmieciarz wysiadł, aby się im przyjrzeć. W takich miejscach jak to znajdowały się potężne generatory zapewniające bazie odpowiednie zasilanie. Wątpił co prawda, aby jakkolwiek generator mógł działać na zasilaniu awaryjnym, niemniej postanowił zachować szczególną ostrożność i upewnić się zanim wjedzie do środka, że w bazie nie pracowały żadne urządzenia elektryczne.

To, o co mu chodziło, było blisko, niemal w zasięgu ręki. Nie mógł sobie pozwolić na choćby najmniejszą utratę czujności i usmażyć się jak stek w mikrofalówce, znalazłszy się o krok od celu.

Mumia w wojskowym mundurze siedząca za taflą sześciocalowego kuloodpornego szkła gapiła się tępo gdzieś w przestrzeń.

Śmieciarz schylił się, przeszedł pod barierką i podszedł do budki wartowniczej. Nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się. To dobrze. Gdyby działało zasilanie awaryjne, drzwi automatycznie by się zablokowały. Jeśli akurat znalazłeś się wówczas w toalecie, byłeś zmuszony przeczekać aż do zakończenia sytuacji kryzysowej. Kiedy jednak zasilanie awaryjne przestawało działać, wszystko znowu się odblokowywało.

Martwy wartownik wydzieliał suchą, słodkawą, cuchnącą woń przywodzącą na myśl zmieszany z cukrem cynamon. Nie spuchł ani nie zgnił, po prostu wysechł na wiór. Na jego szyi wciąż widać było czarne przebarwienia, znak firmowy Kapitana Tripsa. W kącie za żołnierzem stał karabinek automatyczny browninga. Śmieciarz wziął go i wyszedł na zewnątrz.

Przełączył go na ogień pojedynczy, przez chwilę manipulował przy celowniku, po czym uniósł broń do swego chudego, prawego ramienia, wymierzył w jeden z porcelanowych przewodników i ściągnął spust. Rozległ się głośny, przypominający klaśnięcie dźwięk, a powietrze przesyciła ostra, drażniąca woń kordytu. Przewodnik rozleciał się na kawałki, lecz nie towarzyszył temu fioletowo-biały błysk wyładowania elektrycznego. Śmieciarz uśmiechnął się.

Nucąc pod nosem, podszedł do bramy i przyjrzał się jej. Podobnie jak drzwi budki strażniczej, ona również była otwarta. Pchnął ją lekko i nagle przykucnął. Przy wjeździe zamontowana była mina naciskowa. Nie miał pojęcia, skąd o tym wie, po prostu wiedział.

Mogła być uzbrojona, albo i nie.

Wrócił do łazika, uruchomił go i skierował wprost na zaporę. Bariera pękła z głośnym trzaskiem i zgrzytem, a wielkie balonowe opony łazika przetoczyły się po szczątkach drewnianego kozła. Pustynne słońce prażyło bezlitośnie. W niezwykłych oczach Śmieciarza zabłyśły wesole iskierki. Przed bramą wysiadł z pojazdu, po czym znów go uruchomił. Ciężka terenówka potoczyła się naprzód, uderzyła w bramę i otworzyła ją na oścież. Śmieciarz wbiegł do budki wartowniczej i skulił się pod ścianą.

Zmrużył powieki, ale wybuch nie nastąpił. To dobrze, a więc rzeczywiście nic tu już nie działało. Systemy awaryjne pracowały może jeszcze przez miesiąc lub dwa, lecz koniec końców upał i brak regularnej konserwacji wyłączyły je wszystkie.

Mimo to musiał zachować ostrożność.

Jego łazik toczył się tymczasem w stronę długiego baraku o ścianach z blachy falistej. Śmieciarz truchtem wbiegł na teren bazy i dogonił swój pojazd, który wjeżdżał właśnie na chodnik przy rogu (jak głosiła stosowna tabliczka) Illinois Street. Przełączył bieg na jałowy i łazik zatrzymał się. Śmieciarz wskoczył za kółko i objechał kompleks blaszanych chat. To były baraki. Ich mroczne wnętrza wypełniała cukrowocynamonowa woń. Wśród pięćdziesięciu połówek znajdowały się ciała około dwudziestu żołnierzy. Śmieciarz przeszedł pomiędzy wojskowymi połówkami, zastanawiając się, dokąd właściwie zmierza. Przecież tu nie było dla niego nic ciekawego, ale któż to wie? Ci ludzie też kiedyś byli śmiercionośną bronią, ale zneutralizowała ich inna, bardziej zabójcza, supergrypa.

Na tyłach budynku dostrzegł coś, co go zaintrygowało. Tabliczkę. Podszedł, aby przeczytać co na niej napisano. Upał był tutaj wręcz nie do zniesienia. Zaczęła go boleć głowa i potwornie łupało mu w skroniach. Kiedy jednak stanął przed tabliczką, zaczął się uśmiechać. Tak, to było tutaj. Gdzieś na terenie tej bazy znajdowało się to, o co mu chodziło.

Na tabliczce namalowany był rysunkowy ludzik pod rysunkowym prysznicem. Ludzik zawzięcie mył swoje rysunkowe genitalia, niemal całe krocze miał wypełnione rysunkową mydlaną pianą. Podpis pod rysunkiem brzmiał: PAMIĘTAJ! W TWOIM WŁASNYM INTERESIE JEST ABYŚ CODZIENNIE BRAŁ PRYSZNIC!

Poniżej widniał żółto-czarny symbol przedstawiający trzy skierowane ku dołowi trójkąty. Symbol promieniowania radioaktywnego.

Śmieciarz roześmiał się w głos jak dziecko i energicznie zaklaskał w dłonie.

ROZDZIAŁ 69

Whitney Morgan odnalazł Lloyda w jego pokoju, leżącego na wielkim, okrągłym łóżku, które jeszcze niedawno dzielił z Dayną Jurgens. Na jego nagim torsie stała szklaneczka z hojną porcją dżinu z tonikiem. Mężczyzna wpatrywał się ponuro we własne odbicie w podsufitowym lustrze.

– Wejź, wejź – rzekł na widok Whitneya. – Bez takich ceregieli, stary. Opuść sobie pukanie. Sukinsyn. – Wymówił to ostatnie słowo jak „suchissyn”.

– Upiłeś się, Lloyd? – spytał ostrożnie Whitney.

– Nie. Jeszcze nie. Ale mocno nad tym pracuję.

– Czy on tu jest?

– Kto? Nasz Nieustraszony Wódz? – Lloyd usiadł. – Jest gdzieś w pobliżu. Włóczęga Północy. – Wybuchnął śmiechem i znowu się położył.

– Lepiej licz się ze słowami – wyszeptał Whitney. – Wiesz, że pewnych rzeczy nie należy mówić...

– Pieprzę to.

– Nie zapomnij, co się stało z Hectorem Droganem. I Strellertonem.

Lloyd pokiwał głową.

– Masz rację. Ściany mają uszy. Te pieprzone ściany mają uszy. Słyszałeś kiedyś to powiedzenie?

– Tak, raz czy dwa. I pasuje tutaj jak ulał.

– Jeszcze jak – Lloyd usiadł gwałtownie i cisnął szklanką przed siebie. Uderzyła w ścianę i pękła z hukiem. – Sprzątaczką zrobi z tym porządek, no nie, Whitney?

– Wszystko w porządku, Lloyd?

– Nic mi nie jest. Masz ochotę na dżin z tonikiem?

Whitney zawahał się przez chwilę.

– Nie. Dzięki. Nie pijam dżinu bez limony.

– Chyba mi nie odmówisz z powodu takiego drobiazgu! Zresztą limona też się znajdzie. Mam tu gdzieś sok z limony, w małej, plastikowej butelce. – Lloyd podszedł do barku z

pokazał Whitney'owi butelkę ReaLime. – Wygląda jak lewe jajo Zielonego Giganta. Zabawne, nie?

– A ma smak limonów?

– Jasne – odparł z przekonaniem Lloyd. – A niby jak miałyby smakować? Jak pieprzone płatki śniadaniowe? To co? Bądź mężczyzną i napij się ze mną.

– No... dobra.

– Strzelimy sobie po jednym przy oknie, podziwiając widoki.

– Nie – rzucił oschle i gwałtownie Whitney.

Lloyd podchodząc do barku, przystanął nagle i zbladł. Odwrócił się i odnalazł spojrzenie Whitneya.

– Tak, już dobrze. W porządku – mruknął Lloyd. – Przepraszam, stary. To było głupie z mojej strony.

– Nie ma sprawy. Nic się nie stało.

A jednak stało się i obaj o tym wiedzieli. Dzień wcześniej kobieta, którą Flagg przedstawił jako swoją „małżonkę” rzuciła się z dachu. Lloyd pamiętał słowa Asa, że Dayna nie może wyskoczyć z balkonu, ponieważ żadne z okien w hotelu się nie otwierało. W apartamencie znajdował się jednak taras widokowy. Zapewne sądzono, że żadna z mieszkających tam grubych ryb, miłośników hazardu, głównie Arabów, nie zechce pokusić się o samobójczy skok. Sporo o nich wiedzieli.

Przyrzędził drinka dla Whitneya, po czym usiedli i przez chwilę popijali w milczeniu. Wreszcie Whitney niemal niesłyszalnym szeptem powiedział:

– Naprawdę uważasz, że to było samobójstwo?

Lloyd wzruszył ramionami.

– Czy to ważne? Jasne. Tak właśnie uważam. Ty byś tego nie zrobił, gdybyś został mu poślubiony? Jeszcze po jednym?

Whitney ujrzał dno w swojej szklaneczce i z pewnym zdumieniem stwierdził, że ma ochotę na jeszcze jednego drinka. Podał Lloydowi szklankę, a ten podszedł z nią do barku. Nalał sobie i Whitney'owi, któremu tymczasem zaczęło przyjemnie szumieć w głowie.

Znów przez chwilę sączyli drinki, w milczeniu obserwując zachód słońca.

– Co słyhać na temat tego przygłupa Cullena? – zapytał w końcu Whitney.

– Nic. Zero. Null. Ani ja nic nie słyszałem, ani Barry, zero informacji z autostrad numer 40, 30, 2, 74 i I-5. Na podrzędnych trasach też nikt go nie widział. Zablokowali wszystkie drogi i ciągle nic. Facet jest gdzieś na pustyni, a jeśli wędruje wyłącznie nocą i potrafi w jakiś sposób odnaleźć na tym pustkowiu strony świata, a przynajmniej wie, gdzie jest wschód, to moim zdaniem powinno mu się udać. Przemknie się przez blokady. Zresztą jakie to ma znaczenie? Co może im powiedzieć?

– Nie wiem.

– Ja też nie. Powiedziałbym: dajmy mu spokój, niech wraca do swoich.

Whitney'owi zrobiło się nieswojo. Lloyd znów wkraczał na niebezpieczne terytorium, niewiele brakowało a ponownie zaczęłby krytykować Szefa. W głowie szumiało mu coraz mocniej i bardzo się z tego cieszył. Może wkrótce znajdzie w sobie dość ikry, by powiedzieć to, z czym tu przyszedł.

– Coś ci powiem – rzucił Lloyd, wychylając się do przodu. – On się kończy. Sprawy wymykają mu się z rąk. Słyszałeś to powiedzenie? Jego mały teatrzyk wojenny zaczyna rozchodzić się w szwach.

– Lloyd, ja...

– Jeszcze po jednym?

– Jasne, dlaczego nie.

Lloyd przygotował dwa nowe drinki. Jeden podał Whitney'owi, a kiedy ten upił łyk, aż się wzdrygnął. Toniku było w szklaneczce jak na lekarstwo. Prawie sam dzin.

– Gość zaczyna się sypać – ciągnął Lloyd, wracając do przerwane go tematu. – Najpierw Dayna, teraz ten Cullen. A jego żona, jeśli rzeczywiście nią była – rzuca się z dachu. Sądzi się, że ten numer pod tytułem „Spadająca gwiazda” stanowił część jego planu?

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać.

– A Śmieciarz? Spójrz tylko, co ten facet narobił i to w pojedynkę. Mając takich sprzymierzeńców, po co nam wrogowie? Oto pytanie, na które bardzo chciałbym usłyszeć odpowiedź.

– Lloyd...

Henreid pokręcił głową.

– Ni cholery, nic z tego nie kapuję. Wszystko szło jak po maśle, aż do tamtej nocy, kiedy On zjawił się i oznajmił, że stara Murzynka z Wolnej Strefy wyciągnęła kopyta. Stwierdził, że ostatnia przeszkoda dla jego planu została usunięta. I wtedy właśnie wszystko zaczęło się walić. Jedno po drugim, jak kostki domina.

– Lloyd, naprawdę nie powinniśmy...

– A teraz po prostu sam już nie wiem. Podejrzewam, że na wiosnę przyszłego roku możemy poprowadzić przeciwko nim zmasowany atak lądowy. Na pewno nie wcześniej. To wykluczone. Ale Bóg jeden wie, co do wiosny oni mogą tam wyręchtować. Szykowaliśmy się, aby zadać im pierwsze uderzenie zanim zdążą przygotować dla nas jakiegokolwiek sprytnie niespodzianki, a teraz musimy czekać. Cały cholerny plan wziął w łeb! I, niech to szlag, nie wolno nam jeszcze zapominać o Śmieciarzu. Kto wie, co on tam szykuje. Jest teraz gdzieś na pustyni, węsząc jak to ma w zwyczaju, i jestem świecie przekonany, że...

– Lloyd – rzekł Whitney cichym, zduszonym głosem. – Posłuchaj...

Lloyd zatroskany wychylił się do przodu.

– Co jest? Co cię gnębi, stary?

– Nigdy nie sądziłem, że będę miał dość odwagi, by cię o to zapytać – rzekł Whitney. Nerwowo ścisnął szklaneczkę w dłoni. – Ja, As, Ronnie Sykes i Jenny Engstrom dajemy nogę. Chcesz pójść z nami? Chyba mi odbiło, że ci to mówię, skoro jesteś tak blisko Niego.

– Dajecie nogę? A dokąd się wybieracie?

– Przypuszczam, że do Ameryki Południowej. Do Brazylii. To chyba dostatecznie daleko. – Przerwał, przez chwilę toczył wewnętrzną walkę, po czym podjął przerwany wątek. – Mnóstwo ludzi stąd zwiewa. No, może nie mnóstwo, ale sporo. I każdego dnia jest ich coraz więcej. Zwątpili we Flagga. Niektórzy udają się na północ, do Kanady. Tam jest jednak dla mnie za zimno. Mimo to nie zamierzam tu zostać. Spadam stąd. Udałbym się na wschód, gdyby mnie tam zechcieli. I gdybym miał pewność, że zdołam się przebić. – Whitney umilkł nagle i spojrzał ze smutkiem na Lloyda. To była twarz człowieka, który uważał, że posunął się o jeden krok za daleko.

– Masz rację, stary – rzekł Lloyd. – Nie doniosę na was.

– Widzisz... to dlatego, że wszystko zaczyna się tu chrzanić – mruknął posepnie Whitney.

– Kiedy zamierzacie się ulotnić?

Whitney obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Ee, zapomnij, że o to pytałem – uciął Lloyd. – Jeszcze po jednym?

– Jeszcze nie wypilem – odparł Whitney, zaglądając do swojej szklaneczki.

– A ja już. – Podszedł do barku. Stojąc plecami do Whitneya, powiedział: – Nie mógłbym tego zrobić.

– Że co?

– NIE MÓGŁBYM TEGO ZROBIĆ! – warknął gniewnie Lloyd, odwracając się do Whitneya. – Jestem mu coś winien. Sporo mu zawdzięczam. W Phoenix wyciągnął mnie z nieliczej kabały i jestem z nim od tej pory. Wydaje mi się, że to było całe wieki temu. Czasami mam wrażenie, że to trwa całą wieczność.

– Nie wątpię.

– Ale to nie wszystko. Jest jeszcze coś. On coś ze mną zrobił, uczynił mnie bystrzejszym, czy coś takiego. Nie wiem jakim cudem, Whitney, ale nie jestem już tym samym facetem, co kiedyś. Zmieniłem się. Zanim... On się pojawił... byłem nikim, zerem, facetem bez żadnych aspiracji, tanim draniem. Teraz dzięki Niemu jestem tu grubą rybą i chyba całkiem nieźle sobie radzę. Kombinuję i w ogóle. Tak, On z pewnością uczynił mnie bystrzejszym.

Lloyd uniósł w palcach swój czarny kamyczek z czerwoną skazą, przyglądał mu się przez chwilę, po czym wypuścił z ręki. Otarł dłoń o nogawkę spodni jakby dotknął czegoś tłustego i ohydneho.

– Wiem, że nie jestem geniuszem. Wszystko co mam zrobić muszę zapisywać, aby nie zapomnieć. Kiedy jednak mam jego poparcie, mogę wydawać rozkazy i zazwyczaj wszystko mi się udaje. Wcześniej to ja przyjmowałem rozkazy i pakowałem się w rozmaite tarapaty.

Zmieniłem się... On mnie zmienił. Tak, mam wrażenie, że to trwa o wiele dłużej niż w rzeczywistości.

Kiedy dotarliśmy do Vegas było tu tylko szesnaście osób. Między innymi Ronnie, Jenny i biedny stary Hector Drogan. Czekali na niego. Kiedy zjawiliśmy się w mieście, Jenny Engstrom upadła na te swoje śliczne kolana i ucałowała jego buty. Założę się, że w łóżku nigdy ci tego nie wyznała. – Uśmiechnął się krzywo do Whitneya. – A teraz ona chce się stąd ulotnić. Cóż, nie potępiam jej za to. Ciebie zresztą także nie. Mimo to niewiele trzeba, żeby spieprzyć dobry plan, nie uważasz?

– Przyłączysz się do nas?

– Zostaję, Whitney. Do samego końca. Mojego lub Jego. Jestem mu to winien.

Nie dodał, że wciąż w głębi serca wierzył w mrocznego mężczyznę i podejrzewał, iż Whitney wraz z pozostałymi skończą najprawdopodobniej ukrzyżowani na słupach telefonicznych. Ale to nie wszystko. Tu, w Vegas był prawą ręką Flagga. Kim mógłby zostać w Brazylii?

Whitney i Ronnie byli inteligentniejsi od niego. On i As spadliby do drugiej ligi, a na to Lloyd bynajmniej nie miał ochoty. Kiedyś nie miałby nic przeciw temu, ale przez ten czas wiele się zmieniło. A kiedy zmienia się twój sposób myślenia, wraz z nim nieodmiennie zmienia się cała reszta.

– Kto wie, może uda się nam wszystkim – rzekł bez przekonania Whitney.

– Jasne – mruknął Lloyd i pomyślał: „Ale nie chciałbym być w twojej skórze, gdyby jednak okazało się, że to Flagg wyjdzie z tej rywalizacji zwycięsko. I nie chciałbym być na twoim miejscu, kiedy was w końcu odnajdzie w Brazylii, czy gdziekolwiek indziej. Wówczas ukrzyżowanie może być najmniej istotnym z waszych zmartwień...”

Lloyd uniósł swoją szklankę.

– Oby nikt nie ucierpiał – rzekł Lloyd. – Tak brzmi mój toast. Oby nikt nie ucierpiał.

– I ja za to wypiję, stary – mruknął z przejęciem Whitney, po czym obaj wypili do dna.

Wkrótce potem Whitney wyszedł. Lloyd pił dalej. Około wpół do dziesiątej urwał mu się film. Zasnął na swoim okrągłym łóżku. Nic mu się nie przyśniło i była to niewygodna cena potwornego kaca, z którym obudził się następnego dnia.

Siedemnastego września o świcie Tom Cullen zatrzymał się po całonocnej wędrówce kilka mil na północ od Gunlock w Utah. Było tak chłodno, że mógł zobaczyć swój oddech w postaci małych obłoczków pary. Poza tym bardzo zmarzły mu uszy. Mimo to czuł się dobrze. Poprzedniej nocy przechodził niedaleko zapuszczonej wiejskiej drogi i ujrzał trzech mężczyzn siedzących przy niedużym ognisku. Wszyscy byli uzbrojeni.

Próbując ich ominąć, przechodził pośród potężnych głazów (znajdował się obecnie na zachodnim skraju Utah) i wywołał zwirową lawinę, która zeszła do koryta wyschniętej rzeki.

Tom zamarł w bezruchu. Ciepła strużka moczu spłynęła mu po nogach, ale to, że się zmoczył jak małe dziecko, uświadomił sobie dopiero blisko godzinę później.

Trzej mężczyźni odwrócili się, dwaj z nich unieśli do strzału karabiny. Osłona, za którą skrył się Tom była kiepska, nie wystarczająca. Był cieniem pośród cieni. Księżyc skrył się za chmurami. Gdyby właśnie teraz się wyłonił...

Jeden z mężczyzn rozluźnił się i powiedział: „To tylko jeleń. Jest ich tu całe mnóstwo”.

„Myślę, że powinniśmy to sprawdzić” – rzucił drugi.

„Sam sprawdź” – warknął trzeci i na tym sprawa się skończyła.

Znów zasiedli wokół ogniska, wpatrując się w ogień, a Tom krok za krokiem zaczął przesuwać się naprzód, wiele razy zerkając na ognisko, które z przerażającą powolnością zaczęło się zmniejszać, pozostając w tyle za nim.

W godzinę później widać już było tylko małą iskierkę na zboczu poniżej. W końcu znikło zupełnie, a z barków Toma spadło ciężkie brzemie. Poczul się bezpieczny. Wiedział, że wciąż jeszcze znajduje się na zachodzie i musi zachować szczególną ostrożność, jak najbardziej, ale zagrożenie nie było już tak wielkie, wokół niego nie roilo się już od złych ludzi dybiących na jego życie.

Teraz, kiedy słońce wspięło się wysoko na niebo, Tom zwinął się w kłębek wśród gęstwiny niskich krzewów. Szykował się do snu. „Muszę znaleźć gdzieś kilka koców – pomyślał. – Zaczyna się robić zimno”. I zasnął gwałtownie i głęboko jak zawsze.

Również tym razem przyśnił mu się Nick.

ROZDZIAŁ 70

Śmieciarz odnalazł to, czego szukał.

Jechał wzdłuż podziemnego korytarza, w którym było ciemno jak w chodniku kopalni. W lewej dłoni trzymał latarkę. W prawej pistolet, gdyż tu, na dole było raczej straszno. Prowadził wózek elektryczny, który niemal bezgłośnie toczył się w głąb ciemnego korytarza. Jedyne dźwiękiem jaki wydawał był niski, prawie niesłyszalny szum. Wózek miał miejsce dla kierowcy i sporą pakę ładunkową. Na pace za fotelem kierowcy spoczywała głowica atomowa.

Była ciężka.

Śmieciarz nie potrafił bliżej określić jej ciężaru, ponieważ sam nie potrafił jej nawet poruszyć. Głowica była długa i miała cylindryczny kształt. Była też zimna. Wodząc dłonią po obłej powierzchni, nie potrafił uwierzyć, że tak zimna, martwa bryła metalu mogła zawierać w sobie tak wielki potencjał ognia i żaru.

Odnalazł ją o czwartej nad ranem. Wrócił do parku maszyn i zabrał stamtąd wyciągarkę łańcuchową. Następnie, mocując dokładnie łańcuch wokół głowicy, zabrał się do pracy. Półtorej godziny później głowica z nosem skierowanym ku górze spoczywała bezpiecznie na pace wózka akumulatorowego. Na nosie głowicy widniał napis A161410USAF. Wykonane z twardej, grubej gumy opony wózka ugięły się wyraźnie, gdy odpiął łańcuchy z długiego, lśniącego cylindra.

Dotarł do końca korytarza. Na wprost niego znajdowała się olbrzymia winda towarowa z zapraszająco otwartymi drzwiami. Kabina wydawała się dostatecznie duża by pomieścić wózek, ale rzecz jasna w bazie nie było prądu. Śmieciarz dostał się na dół po schodach. W ten sam sposób przytaszczył tutaj wyciągarkę. Ta, w porównaniu z głowicą, była lekka jak piórko – ważyła nie więcej niż sto pięćdziesiąt funtów – jednak mimo to nieźle się zmordował by znieść ją pięć kondygnacji schodów niżej.

Jak miał wtaszczyć głowicę po tych schodach NA GÓRĘ?

„Przydałaby się wyciągarka elektryczna” – odpowiedział głos w jego myślach. Siedząc na fotelu kierowcy i świecąc latarką to tu, to tam, Śmieciarz pokiwał głową. Jasne, to było

rozwiązanie. Musiał ją jakoś WYCIĄGNAĆ na górę. Zamontować tam silnik i powoli, jeśli będzie trzeba z jednego stopnia na drugi, wyciągnąć głowicę na powierzchnię.

Tylko gdzie znajdzie łańcuch długości pięciuset stóp?

Cóż, prawdopodobnie nikt tu nie miał tak długiego łańcucha. Mógłby jednak zespawać razem kilka krótszych, a takie powinny się w bazie znaleźć. Tylko czy spawy wytrzymają? Czy to mogło się udać? Trudno powiedzieć. A jeżeli nawet, co z zakrętami na schodach?

Zeskoczył z wózka i w mrocznej ciszy przesunął dłonią po gładkiej, zabójczej powierzchni głowicy.

Jeśli kocha to sobie poradzi. Miłość zawsze zwycięża.

Pozostawiając głowicę na wózku, zaczął wspinać się po schodach, aby sprawdzić, co właściwie miał do swojej dyspozycji. W bazie takiej jak ta powinno być wszystkiego po trosze. Znajdzie to, co było mu potrzebne.

Wszedł na drugi podest i przystanął by zaczerpnąć tchu. Nagle zaczął się zastanawiać: „Czy zostałem napromieniowany?” Wiedział, że głowice są odpowiednio zabezpieczone, osłaniane grubymi ołowianymi płytami. W filmach, które pokazywano w telewizji, ludzie zajmujący się materiałami promieniotwórczymi zawsze nosili kombinezony ochronne i kliszowe plakietki, które w przypadku napromieniowania zmieniały barwę, gdyż promieniowanie było jak cichy zabójca. Uderzało, choć nie było go widać. Wdzierało się w głąb ciała i kości. I nawet nie zdawałeś sobie sprawy, że jesteś chory, dopóki nie zacząłeś rzygać jak kot, tracić włosów całymi garściami i co pięć minut biegać do toalety.

Czy to samo czekało również jego?

Stwierdził, że jest mu to obojętne. Wyciągnie tę bombę na górę. Jeszcze nie wiedział jak, ale zrobi to. Da radę. I znajdzie sposób by przewieźć głowicę do Las Vegas. Musiał odpokutować za straszliwy czyn, jakiego dopuścił się w Indian Springs. Jeśli pokutą za ten grzech miała być śmierć, to umrze.

– Oddam za ciebie życie – wyszeptał w ciemność i znów zaczął wspinać się po schodach.

ROZDZIAŁ 71

Dochodziła północ, siedemnastego września. Randall Flagg znajdował się na pustyni owinięty od stóp do podbródka trzema grubymi kocami. Czwarty koc zarzucił sobie na głowę niczym burnus, tak więc widać było tylko jego oczy i nos.

Stopniowo odpłynęły od niego wszystkie myśli. Flagg znieruchomiał. Gwiazdy wyglądały jak maleńkie iskierki zimnego ognia, wiedźmie światła.

Wysłał Oko w teren.

Poczuł jak oddziela się od niego przy wtórze słabego, bezbolesnego szarpnięcia. Uleciało w dal bezszelestnie jak jastrząb, unosząc się na mrocznych prądach powietrznych. Zjednoczył się z nocą. Był okiem kruka, wilka, łasicy i kota. Był skorpionem i pająkiem podkopnikiem. Był zabójcą, zatrutą strzałą przecinającą bezgłośnie przestrzeń nad pustynią. Niezależnie od wszystkiego co się wydarzyło, wciąż miał Oko do swojej dyspozycji.

Płynął bez najmniejszego wysiłku przed siebie, a w dole pod nim rozciągała się domena marnych, ziemskich istot.

„Oni nadchodzą... są już prawie w Utah...” Unosił się wysoko i w kompletnej ciszy ponad wymarłym światem. Poniżej rozległa połać pustyni wyglądała jak bielony grób przecięty ciemną nitką autostrady między stanowej. Poszybował na wschód, przeciął granicę, zostawiając swoje ciało daleko w tyle. Jego błyszczące oczy wywróciły się w oczodołach, tak że widać było teraz tylko białka. Krajobraz zaczął się zmieniać. Ujrzał samotne formy skalne, dziwne, rzeźbione przez wiatr kolumny i nieduże gładkie jak stół płaskowyże. Pośród tego terytorium wiodła prosta jak strzełił wstęga autostrady międzystanowej. Na północ stąd leżały Słone Równiny Bonneville. Na zachód stąd Dolina Czaszek. Dźwięk wiatru wydawał się martwy i odległy... Orzeł przyczajony na najwyższym konarze pradawnej, rozłupanej przez piorun sosny, gdzieś na południe od Richfield poczuł, że tuż obok niego przemknął cień obcego – jakaś zabójczo wyglądająca istota, pławiąca się w mrokach nocy – i nieustraszony rzucił się do ataku, lecz potężne, przeszywające do szpiku kości zimno uderzyło w niego niczym niewidzialna pięść. Orzeł, oszołomiony, runął w dół jak kamień i niemal w ostatniej chwili, tuż nad ziemią, zdołał dojść do siebie by wyjść cało z tej nierównej walki.

Oko mrocznego mężczyzny podążyło dalej na wschód.

Poniżej miał teraz I-70. W małych miasteczkach, gdzie domy stały zwarcie, blisko siebie, nie było żywego ducha, jeśli nie liczyć szczurów, kotów i jeleni, które, kiedy w całej okolicy wywietrzała woń człowieka, zaczęły coraz liczniej zapuszczać się z leśnych ostępów na te tereny. Miasteczka o nazwach Freemont, Green River, Sego, Thompson, Harley Dome. I jeszcze jedno, równie wymarłe – Grand Junction w Kolorado.

A za nim...

Na wschód od Junction zauważył falujący płomyk ogniska.

Oko spiralnie opadło w dół.

Ognisko dogasało. Wokół niego spały cztery osoby.

A więc to prawda.

Oko przyjrzało się im chłodno. Nadchodzili. Z jakichś powodów, których nie potrafił pojąć, naprawdę wyruszyli w drogę.

Nadine mówiła prawdę.

Rozległ się cichy warkot i Oko zwróciło się w inną stronę. Po drugiej stronie ogniska był pies. Opuścił łeb, ogon podkulił pod siebie, jego ślepia lśniły niczym złowrózne, bursztynowe klejnoty. Pies warczał bez przerwy, dźwięk ten przywodził na myśl trzask pękającej tkaniny. Oko łypnęło na niego, a pies wyraźnie się go nie bojąc, odpowiedział hardym spojrzeniem. Wargi psa rozchyliły się ukazując groźne, spiczaste, poźółkłe zębiska.

Jedna z osób przy ognisku podniosła się z posłania.

– Kojak! – wymamrotała. – Zamkniesz się wreszcie, do cholery?

Kojak zjeżył się i ani na chwilę nie przestawał warczeć.

Mężczyzna, który się obudził – Glen Bateman – rozejrzał się wokoło wyraźnie zaniepokojony.

– Kto tam jest, mały? – zwrócił się do psa. – Zauważyłeś coś?

Kojak wciąż warczał.

– Stu! – Glen potrząsnął ramieniem leżącego obok niego mężczyzny.

Ten wybełkotał coś niezrozumiale i zaraz potem umilkł.

Mroczny mężczyzna, który był teraz mrocznym Okiem, ujrzał wystarczająco dużo. Wzbił się w górę, dostrzegając jeszcze jak pies unosi łeb, podążając za nim wzrokiem. Niski warkot przerodził się w ostre szczekanie, początkowo głośne, potem coraz słabsze, aż w końcu umilkło zupełnie. Cisza.

Cisza i przepływająca wokoło ciemność.

W jakiś czas później zatrzymał się nad powierzchnią pustyni, spoglądając w dół na samego siebie. Opadał powoli, coraz niżej i niżej zbliżając się do swego ciała, po czym stopił się z nim. Przez chwilę jeszcze miał silne zawroty głowy, osobliwe uczucie towarzyszące zlewaniu się dwóch istot w jedną. Zaraz potem Oko zniknęło i pozostała mu tylko para własnych, wpatrzonych w zimne, roziskrzane gwiazdy.

Tak, oni nadchodzili.

Flagg uśmiechnął się. Czy to ta stara Murzynka kazała im wyruszyć w drogę? Czy usłuchaliby jej, gdyby na łożu śmierci poleciła im popełnić samobójstwo w ten, jakże oryginalny skądinąd, sposób? Podejrzywał, że najprawdopodobniej tak.

To, o czym zapomniał, było tak diabelnie proste, że aż oczywiste: oni również mieli swoje problemy, oni także się bali... i w rezultacie popełnili kolosalny błąd.

Czy miał szansę nakłonić ich do zmiany obozu?

Ta myśl wydawała mu się niezwykle kusząca, ale mało prawdopodobna. Nie, to raczej nie wchodziło w rachubę. Przybywali tu z własnego wyboru. Nadchodzili przyobleczeni w habity prawości jak grupa misjonarzy zbliżających się do wioski kanibali.

Och, to cudowne!

Koniec z wątpliwościami. Koniec z obawami. Stanie się to, kiedy głowy tych czterech zostaną zatknięte na tyczkach przed fontanną u wejścia do MGM Grand Hotel. Zbierze na placu wszystkich mieszkańców Vegas, po czym każe im przedefilować przed tyczkami i dobrze przyjrzeć się nabitym na nie głowom. Każe je dokładnie obfotografować, zrobić całą masę odbitek, wydrukuje ulotki, a potem roześle je do Los Angeles, San Francisco, Spokane i Portland.

Pięć głów. Łeb tego kundla też zatknie na tyczce.

– Dobry piesek – powiedział Flagg i roześmiał się w głos, po raz pierwszy odkąd Nadine swoim nikczemnym zachowaniem sprowokowała go, by zrzucił ją z dachu. – Dobry piesek – powtórzył z uśmiechem.

Spał dobrze tej nocy, raniem zaś rozkazał, by na wszystkich drogach pomiędzy Utah i Nevada potrojono strażę. Nie szukali już jednego mężczyzny udającego się na wschód, lecz zmierzających na zachód czterech mężczyzn z psem. I wszyscy oni mieli zostać schwytani żywcem.

Za wszelką cenę.

O, tak.

ROZDZIAŁ 72

– Wiecie – rzekł Glen Bateman, spoglądając w blasku wschodzącego słońca w stronę Grand Junction. – Wielokrotnie w swoim życiu słyszałem powiedzenie, że coś jest „do powietrza”, ale dopiero teraz wiem naprawdę, co ono znaczy. – Spojrzał na swoje śniadanie złożone z syntetycznych kiełbasek i skrzywił się.

– Nie, to jest całkiem dobre – zaprotestował żywo Ralph. – Powinieneś skosztować wojskowego żarcia.

Siedzieli przy ognisku, które Larry ponownie rozpalił przed godziną. Wszyscy mieli na sobie ciepłe kurtki i rękawice, i wszyscy pili drugi kubek kawy. Temperatura wahała się w granicach trzydziestu pięciu stopni Fahrenheita, niebo było pochmurne i szare. Kojak spał najbliżej ogniska jak tylko mógł, nie przysmażając sobie sierści.

– Ja się już najadłem – rzekł Glen, wstając. – Teraz mogę pogadać z głodnymi. Albo lepiej zakopię śmieci.

Stu podał mu papierową tackę i kubek.

– Niezły ten marsz, co? Założę się, łysy, że odkąd skończyłeś dwadzieścia lat nie byłeś w równie dobrej formie.

– Tak, siedemdziesiąt lat temu – dorzucił Larry i wybuchnął śmiechem.

– Stu, ja jeszcze nigdy nie byłem w tak dobrej formie – odparł posępnie Glen, zbierając śmieci i wrzucając do plastikowego worka, który zamierzał zakopać. – Nigdy NIE CHCIAŁEM być w takiej formie. Zresztą to nieistotne. Po pięćdziesięciu latach zadeklarowanego agnostycyzmu moim przeznaczeniem jest wędrówka ku niechybnej śmierci, a – co najzabawniejsze – w drogę wysłał mnie Bóg tej starej Murzynki. Cóż, jeśli tak ma być, niech będzie. Koniec pieśni. Skoro jednak już o tym mowa, wolę iść niż jechać. Marsz trwa znacznie dłużej, a to przedłuży moje życie... choćby tylko o kilka dni. Wybaczcie, panowie, muszę urządzić uroczysty pogrzeb tym doczesnym śmieciom.

Patrzyli jak z saperką w dłoni odchodzi na skraj obozowiska. Ta, jak ją nazwał Glen, „piesza wędrówka po Kolorado, ze wskazaniem na zachód”, okazała się najtrudniejsza właśnie dla niego. Był z nich najstarszy; był o dwanaście lat starszy od Ralpha Brentnera. Znosił to jednak zdumiewająco dobrze, z niemal stoickim spokojem. Wciąż nie stronił od

delikatnej ironii, ale wyglądało na to, że pojednał się z sobą. Fakt, że dzień po dniu potrafił maszerować w równym tempie z pozostałymi, wywierał na nich olbrzymie wrażenie i w pewnym sensie był również dla nich inspiracją. Glen miał pięćdziesiąt siedem lat i Stu trzy czy cztery razy, zwłaszcza rankiem, widział go jak rozmasowywał zdeformowane artretyzmem palce, krzywiąc się przy tym z bólu.

– Bardzo boli? – zapytał go poprzedniego dnia Stu, w godzinę po tym, jak wyruszyli w drogę.

– Aspiryna jakoś sobie z tym radzi. To artretyzm, ale na dobre mógłby mi zacząć doskwierać za jakieś pięć, sześć lat, a szczerze mówiąc, Teksasczyku, nie wybiegam myślami tak daleko w przyszłość.

– Naprawdę uważasz, że On nas dorwie?

Na te słowa Glen Bateman powiedział coś doprawdy osobliwego:

– Zła się nie ulękne.

I rozmowa nagle się urwała.

Usłyszeli jak zaczyna kopać w zmarzniętej ziemi i klnie pod nosem.

– To ci dopiero facet, co? – rzucił Ralph.

– Taa... – odparł krótko Larry.

– Zawsze uważałem, że wykładowcy z college’u to frajerzy, ale on jest inny. Wiesz co powiedział, kiedy go zapytałem, dlaczego po prostu nie wyrzuci śmieci na pobocze przy drodze? Odparł, że „nie musimy zaczynać od nowa jeszcze i tego szajsu”. Jego zdaniem popełniliśmy już dostatecznie dużo starych błędów.

Kojak wstał i podszedł do Glena. Po chwili dobiegł ich jego głos.

– Aa, tu jesteś, ty wielki, zapchlony kundlu. Już zacząłem się zastanawiać, gdzie się podział. Chcesz, żebym i ciebie tu zakopał?

Larry uśmiechnął się i odpiął od pasa milomierz. Zabrał go z jednego ze sklepów sportowych. Ustawiało się go na długość własnego kroku, a potem przypinało do paska jak ciesielski liniał. Każdego wieczoru Larry spisywał na pomiętej kartce z oślimi rogami przebytą odległość.

– Mogę zerknąć? – zapytał Stu.

– Jasne – odparł Larry i podał mu kartkę.

U góry kartki Larry napisał drukowanymi literami:

Z BOULDER DO VEGAS 771 MIL

A poniżej:

Data	Przebyte mile	Mile w sumie
6 września	28.1	28.1

7 września	27.0	55.1
8 września	26.5	81.6
9 września	28.2	109.8
10 września	27.9	137.7
11 września	29.1	166.8
12 września	28.8	195.6
13 września	29.5	225.1
14 września	32.0	257.1
15 września	32.6	289.7
16 września	35.5	325.2
17 września	37.2	362.4

Stu wyjął z portfela kawałek kartki i przez chwilę coś na niej liczył.

– Cóż, idzie nam z dnia na dzień coraz lepiej, ale wciąż mamy do przejścia ponad czterysta mil. Cholera, nie jesteśmy nawet w połowie drogi.

Larry pokiwał głową.

– Ale to dobry znak. Teraz już będzie z górki. Poza tym Glen ma rację. Po co mamy się spieszyć? Przecież ten facet tylko czeka, żeby nas rozwalić. Zabije nas, gdy tylko dotrzemy na miejsce.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć – wtrącił Ralph. – To znaczy, może rzeczywiście umrzemy, ale to nie będzie ani tak proste ani tak oczywiste, jak nam się wydaje. Matka Abigail nie wysłałaby nas tylko po to, byśmy zginęli i by nic z tego nie wynikło. Nie zrobiłaby tego.

– Nie wierzę, że to ona wysłała nas w drogę – dorzucił cicho Stu.

Milomierz Larry’ego wydał cztery ciche szczęknięcia, kiedy ten ustawił go na kolejny dzień i wyzerował: 000.0. Stu przysypał ziemią resztki ogniska. Drobne poranne rytuały trwały w najlepsze.

Znajdowali się w drodze od dwunastu dni. Stu miał wrażenie, że te dni będą trwać w nieskończoność: Glen skarżący się na jedzenie, Larry zapisujący przebytą odległość na kartce jak psu z gardła wyjętej, dwa kubki kawy, ktoś zakupuje śmieci, ktoś inny dogasza ognisko. To były rutynowe czynności. Dobre rutynowe czynności. Zapominało się o celu, ku któremu zdążali i to było dobre. Rankiem Fran wydawała mu się bardzo odległa, bardzo wyrazista ale i odległa, niczym zdjęcie ukryte w medalioniku. Wieczorem jednak, gdy nadchodził zmierzch, a na niebie pojawiał się księżyc, czuł ją bardzo blisko. Niemal tak blisko, że mógłby ją dotknąć... i to rzecz jasna przysparzało mu największych cierpień. W takich chwilach jego wiara w Matkę Abigail słabła, pojawiały się pierwsze, gorzkie wątpliwości. Miał wówczas chęć powiedzieć im wszystkim, że to co robią graniczy z szaleństwem, że za pomocą gumowych lanc chcą walczyć z zabójczym wiatrakiem, że powinni w najbliższym miasteczku

zrobić dłuższy postój, zdobyć kilka motocykli i zawrócić do Boulder. Że powinni nacieszyć się daną im odrobiną światła i miłości, póki jeszcze mogli, gdyż ta odrobina będzie wszystkim, na co pozwoli im Flagg.

Tak jednak było nocą. Rankiem znów nabierali ochoty do dalszego marszu. Stu spojrzął badawczo na Larry'ego, zastanawiając się, czy jego przyjaciel marzył nocami o Lucy. Czy śnił o niej i pragnął...

Glen z towarzyszącym mu przy nodze Kojakiem wrócili do obozu. Glen kuśtykał i lekko się krzywił.

– W drogę, panowie – rzucił krótko. – No nie, Kojak?

Kojak pomachał ogonem.

– On mówi, Las Vegas albo śmierć – powiedział Glen. – Ruszajmy.

Wspięli się na nasyp przy I-70, autostrada schodziła teraz w dół, ku Grand Junction i rozpoczęli kolejny, dzienny etap swojej wędrówki.

Później, tego popołudnia zaczął padać lodowaty deszcz, uciszając rozmowy i sprawiając, że wszystkim im zrobiło się zimno. Larry szedł sam, z dłońmi w kieszeniach. Początkowo myślał o Haroldzie Lauderze, którego zwłoki odnaleźli przed dwoma dniami – wydawało się, że za sprawą jakiejś nieoficjalnej umowy milczenia żaden z nich nie chciał podjąć w rozmowie tematu Harolda – koniec końców jednak skoncentrował się na mężczyźnie, któremu nadał przydomek Człowiek-Wilk.

Natknęli się na niego na wschód od tunelu Eisenhowera. Przed wyjazdem do tunelu był wielki korek, powietrze przesycone silną wonią śmierci i rozkładu. Człowiek-Wilk spoczywający częściowo na zewnątrz austina, miał na sobie wyświechtane dzinsy i jedwabną kowbojską koszulę z cekinami. Wokół austina leżały truchła kilku wilków. Sam Człowiek-Wilk leżał na siedzeniu pasażera, częściowo wystając na zewnątrz auta. Na jego piersiach spoczywał zdechły basior. Dłonie Człowieka-Wilka zaciśnięte były na szyi zwierzęcia, a okrwawiony pysk wilka uniesiony w górę do gardła mężczyzny. Można się było domyślać, że sfora wilków, która zeszła z gór wypatrzyła tego samotnego mężczyznę i zaatakowała go. Człowiek-Wilk miał broń. Powalił kilka wilków zanim zrejterował do austina.

Jak długo trwało zanim głód zmusił go do opuszczenia kryjówki?

Tego Larry nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Sądząc po tym jak wyglądał, około tygodnia. Był bardzo chudy. Kimkolwiek był, zmierzał na zachód, aby przyłączyć się do mrocznego mężczyzny, Larry jednak nikomu nie życzył równie strasznego końca. Rozmawiał o tym ze Stu jeden jedyny raz, dwa dni po tym, jak wyszli z tunelu, zostawiając Człowieka-Wilka daleko w tyle.

– Jak sądzisz, Stu, dlaczego sfora wilków miałaby tak długo czekać na swoją ofiarę?

– Nie wiem.

– Nie uważasz, że gdyby naprawdę były głodne, bez trudu mogłyby znaleźć sobie coś innego?

– Tak, chyba tak.

Było to dla niego przerażającą zagadką i choć głowił się nad nią, wiedział, że nigdy nie pozna odpowiedzi. Kimkolwiek był Człowiek-Wilk, z pewnością odwagi mu nie brakowało. Kiedy głód i pragnienie okazały się nie do zniesienia, otworzył drzwiczki samochodu. Jeden z wilków rzucił się i przegryzł mu gardło, ale Człowiek-Wilk zdołał jeszcze, zanim umarł, zadusić zwierzę.

Cała czwórka przeszła przez tunel Eisenhowera związana razem sznurem i w tych przerażających ciemnościach Larry raz po raz wracał myślami do swej niedawnej wędrówki przez tunel Lincolna. Teraz jednak to nie twarz Rity Blakemoor nawiedzała go w mroku, lecz oblicze tajemniczego mężczyzny, zastygłe w gniewnym, przedśmiertnym grymasie, gdy on i wilk zabijali się wzajemnie.

„Czy wilki zostały wysłane, aby zabić tego człowieka?”

Wolał nawet o tym nie myśleć. Usiłował zapomnieć o całym zdarzeniu i po prostu skoncentrować się na marszu, lecz okazało się to trudniejsze niż przypuszczał.

Tej nocy obozowali za Loma, niedaleko granicy Utah. Na kolację zjedli to co zdołali znaleźć i popili przegotowaną wodą. Jak zawsze zresztą wykonywali polecenia Matki Abigail bardzo skrupulatnie, a ona powiedziała przecież: „Pójdziecie, tak jak stoicie. Niczego ze sobą nie weźmiecie”.

– W Utah będzie naprawdę kiepsko – zauważył Ralph. – Chyba to właśnie tam przekonamy się, czy Bóg rzeczywiście nad nami czuwa. Jest tam ponad stumilowy odcinek prostej jak strzelił szosy, gdzie po drodze nie ma ani jednego miasteczka, choćby najmniejszej kafejki ani stacji benzynowej.

Ta myśl jednak nie wydawała mu się szczególnie deprymująca.

– A woda? – zapytał Stu.

Ralph wzruszył ramionami.

– Z nią też będzie problem. Chyba lepiej się zdrzemnę.

Larry zrobił to samo. Glen w spokoju palił fajkę. Stu miał papierosy i postanowił zapalić jednego. Przez chwilę palili w milczeniu.

– Kawał drogi stąd do New Hampshire, prawda, łusy? – odezwał się w końcu Stu.

– Do Teksasu też dobrych parę rzutów kamieniem.

Stu uśmiechnął się.

– Fakt.

– Chyba bardzo tęsknisz za Frannie.

– Tak. Brak mi jej i martwię się o nią. O Fran i o dziecko. Po zmierzchu jest jeszcze gorzej.

Glen wydmuchnął kłęb dymu.

– To niczego nie zmieni, Stu.

– Wiem. Ale i tak się martwię.

– Jasne. – Glen, stukając o skałę, wytrząsnął popiół z fajki. – Wiesz, Stu, ubiegłej nocy wydarzyło się coś dziwnego. Przez cały dzień zastanawiałem się, czy to stało się naprawdę, czy może tylko mi się przyśniło.

– To znaczy?

– Obudziłem się w nocy, gdyż Kojak zaczął na coś warczeć. Musiało być dobrze po północy, ognisko już prawie wygasło. Kojak stał po jego drugiej stronie ze zjeżoną sierścią na grzbiecie. Kazałem mu się zamknąć, ale on nawet na mnie nie spojrział. Gapił się gdzieś w prawo. Pomyślałem sobie: „A jeśli to wilki?” Odkąd ujrzeliśmy tego faceta, którego Larry nazywa Człowiekiem-Wilkiem...

– Tak, to było rzeczywiście okropne...

– Tylko że tam nic nie było. Zupełnie. Noc była piękna, wszystko widziałem wyraźnie. Kojak warczał w ciemność. W mrok, gdzie niczego nie było.

– Może po prostu coś zwęszył.

– Tak, ale to nie wszystko. Jest jeszcze coś i to znacznie bardziej osobliwego. Po kilku minutach zacząłem się czuć... no, powiedzmy, dziwnie. Odniosłem wrażenie, że przy nasypie wiaduktu coś było i bezczelnie mi się przyglądało. Obserwowało nas wszystkich. Wydawało mi się, że gdybym tylko zmrużył oczy w odpowiedni sposób, zdołałbym to ujrzeć. Ale nie chciałem, ponieważ miałem wrażenie, że to był On. Czułem, że to Flagg.

– Prawdopodobnie to nic takiego – odrzekł po chwili Stu.

– Ja mam na ten temat zgoła odmienne zdanie. Kojak zresztą również.

– No, dobrze, przyjmijmy, że On nas w jakiś sposób obserwował. Co możemy na to poradzić?

– Nic, ale nie podoba mi się to. Nie podoba mi się, że On może nas obserwować... jeżeli rzeczywiście tak było. I bardzo się boję.

Stu dopalił papierosa, zgasił go starannie o skałę, ale nie ruszył w stronę swego śpiwora. Jeszcze nie. Spojrzał na Kojaka, który leżał przy ognisku z łbem wspartym na łapach i bacznie ich obserwował.

– A więc Harold nie żyje – powiedział w końcu Stu.

– Tak.

– Szkoda. Wielka szkoda. Sue. Nicka. I jego chyba też.

– Racja.

Nic więcej nie pozostało do powiedzenia. Na Harolda i jego żalosne przedśmiertne wyznanie natknęli się w dzień po przejściu tunelu Eisenhowera. On i Nadine musieli wybrać drogę przez Przełęcz Lovelanda, ponieważ Harold wciąż miał swego triumpha – a przynajmniej to, co z niego zostało. Przez tunel, zdaniem Ralpha, nie przecisnęłoby się nic większego od hulajnogi. Ścierwojady już zajęły się trupem, ale Harold wciąż ścisnął w jednej z zeszytniałych dłoni grubą notatnik. Pistolet wystawał z jego ust niczym groteskowy lizak i

choć nie urządzili Haroldowi pogrzebu, Stu wyjął lufę broni spomiędzy jego warg. Zrobił to delikatnie. Skuteczność, z jaką mroczny mężczyzna zniszczył Harolda i obojętność, z jaką go porzucił, kiedy wypełnił już swoje zadanie sprawiła, że Stu znienawidził Flagga jeszcze bardziej. Miał wrażenie jakby byli członkami szalonej dziecięcej krucjaty i choć czuł, że muszą iść dalej, wciąż nie dawały mu spokoju upiorne wspomnienia trupa Harolda z potwornie strzaskaną nogą i grymas zaciśniętych w przedśmiertnym skurczu zębów oraz warg Człowieka-Wilka. Stu doszedł do wniosku, że oprócz Nicka i Susan pragnie również odpłacić Flaggowi za Harolda... choć był coraz bardziej pewien, że najprawdopodobniej nigdy nie będzie mu to dane.

„Ale uważaj – pomyślał posępnie. – Uważaj, pieprzony dziwolągu, żebyś przez przypadek nie znalazł się w zasięgu moich rąk, bo jak mi Bóg miły, skręcę ci kark”.

Glen wstał, krzywiąc się lekko.

– Kładę się już, Teksańczyku. Nie każ mi tu dłużej siedzieć. Robi się coraz bardziej ponuro i nudno.

– Jak tam twój artretyzm?

– Nieźle – odparł Glen i uśmiechnął się. A jednak podchodząc do swojego śpiwora, wyraźnie utykał.

Stu miał już zrezygnować z wypalenia kolejnego papierosa – pozwalając sobie na dwa lub trzy dziennie, zapas, który posiadał, powinien wystarczyć mu do końca tygodnia – ale ostatecznie pofolgował sobie. Wieczór nie był zbyt chłodny, lecz bez wątplenia tu, na wyżynie, lato już się skończyło. Zrobiło mu się smutno, gdyż w głębi serca czuł, że było to ostatnie lato w jego życiu. Kiedy się zaczęło, pracował, choć bez stałego etatu, w wytwórni kalkulatorów kieszonkowych. Mieszkał w niedużej miejscowości o nazwie Arnette i sporo czasu spędzał na stacji benzynowej Billa Hapscomba, gdzie jego koledzy spotykali się, by podyskutować o gospodarce, rządzie i ciężkich czasach. Stu podejrzewał, że żaden z nich nie wiedział, czym naprawdę są ciężkie czasy. Dopalił papierosa i wrzucił do ogniska.

– Trzymaj się, Frannie – wyszeptał w noc i uśmiechnął się do swojego śpiwora.

We śnie wydawało mu się, że coś zbliżyło się do ich obozowiska. Coś złego czujnie im się przyglądało. Mógł to być wilk o ludzkim umyśle. Albo kruk, lub może łasica pełznąca nisko nad ziemią pośród gęstwiny krzewów. Równie dobrze mogła to być zgoła bezcielesna obecność, wszystko widzące Oko.

„Zła się nie ulękne – wymamrotał przez sen. – Tak, choćbym kroczył ciemną doliną, zła się nie ulękne. Żadnego zła”.

W końcu sen skończył się, a Stu usnął jak zabity.

Następnego ranka znów rażno wyruszyli w drogę. Urządzenie Larry’ego kliknięciami odmierzało mile, podczas gdy szosa łagodnymi zakrętami opadała w dół Western Slope w kierunku Utah. Wkrótce po południu zostawili za sobą Kolorado. Tego wieczoru obozowali na zachód od Harley Dome w Utah. Po raz pierwszy panująca dokoła cisza zaczęła wydawać

im się złowroga, nieprzyjemna i drażniąca. Ralph Brentner zasnął tej nocy z myślą: „A więc jesteśmy na zachodzie. Opuściliśmy nasze podwórko i weszliśmy na jego teren”.

Tej nocy Ralph śnił o wilku z pojedynczym czerwonym ślepiem, który nadszedł od strony pustkowi, aby ich obserwować. „ODEJDŹ – rzucił do niego Ralph. – Odejdź, nie boimy się ciebie. Nie boimy się ciebie ani trochę”.

O drugiej po południu, dwudziestego pierwszego września minęli Sego. Zgodnie z mapą, którą posiadał Stu, następnym dużym miastem było Green River. Po nim przez długi, bardzo długi czas nie mieli napotkać po drodze żadnych miejscowości. Wtedy, tak jak powiedział Ralph, najprawdopodobniej przekonają się, czy Bóg im sprzyjał, czy też nie.

– Właściwie nie martwię się tyle o jedzenie, co o wodę – rzekł do Glena Larry. – Większość ludzi wybierających się w podróż ma w samochodzie coś do przegryzienia, chipsy, orzeszki, cokolwiek.

Glen uśmiechnął się.

– Może Pan ześle na nas deszcz swych błogosławieństw.

Larry uniósł wzrok ku bezchmurnemu, błękitnemu niebu i skrzywił się.

– Czasami wydaje mi się, że pod sam koniec Matka Abigail nie była całkiem normalna.

– Może i tak – odparł łagodnie Glen. – Z Biblii wynika, że Bóg często przemawiał ustami szaleńców i konających. I wiecie co, wydaje mi się – tu wychodzi ze mnie kryptojezuita – że są po temu całkiem uzasadnione przyczyny natury psychologicznej. Szaleniec lub człowiek umierający ma diametralnie odmienną psychikę. Osoba zdrowa mogłaby świadomie lub nieświadomie próbować zmienić treść Boskiego przekazu, by pasowało to do jej osobowości. Innymi słowy, z osoby zdrowej byłby taki prorok jak z koziej dupy trąba.

– Działania Boże – mruknął Larry. – Wiem, wiem. Spoglądamy przez mroczne zwierciadło. Dla mnie jest ono naprawdę bardzo mroczne. Nie potrafię pojąć, dlaczego zdecydowaliśmy się iść pieszo, skoro jadąc, dotarlibyśmy na miejsce w tydzień. Skoro jednak mamy zrobić coś szalonego, to chyba możemy zachowywać się jak nienormalni.

– To co robimy nie jest niczym nowym. Historia zna podobne przypadki – powiedział Glen. – A ja w naszym marszu dostrzegam powody natury psychologicznej i socjologicznej. Nie wiem, czy są one Bożymi powodami, czy też nie, ale wydają mi się całkiem sensowne.

– Na przykład? – Stu i Ralph również podeszli, aby tego posłuchać.

– Niektóre plemiona Indian amerykańskich czyniły „wizje” nieodłącznym elementem rytuału wchodzenia w wiek męski. Gdy nadchodził czas i miałeś stać się mężczyzną, odchodziłeś nieuzbrojony do puszczy. Twoim zadaniem było upolowanie dzikiego zwierza i ułożenie dwóch pieśni, jednej o Wielkim Duchu, drugiej o własnych uzdolnieniach jako jeźdźca, wojownika oraz kochanka, a także doświadczenie wizji. Musiałeś odbyć rytualną głodówkę. Osiągnąć stan uniesienia ponadzmysłowego, zarówno fizycznego jak i duchowego,

i czekać na pojawienie się wizji. Prędzej czy później pojawiała się – zachichotał, – Głodówka to doskonały halucynogen.

– Sądzisz, że Matka wysłała nas tu, abyśmy doznali wizji? – zapytał Ralph.

– Raczej by zdobyć siłę i świętość wskutek procesu całkowitego oczyszczenia – odparł Glen. – Odrzucenie rzeczy ma, jak wiecie, znaczenie symboliczne. Działa jak talizman. Kiedy odrzuca się rzeczy, odrzuca się równocześnie wszystko to, co niejako symbolicznie się z nimi łączy. Rozpoczyna się proces oczyszczania. Naczynie opróżnia się.

Larry wolno pokręcił głową.

– Nie kapuję.

– Cóż, weźmy na przykład inteligentnego człowieka sprzed pomoru. Rozwał mu telewizor, co zacznie robić wieczorami?

– Czytać książki – odrzekł Ralph.

– Pójdzie się spotkać z kumplami – dodał Stu.

– Będzie słuchać płyt – dorzucił z uśmiechem Larry.

– Oczywiście – rzekł Glen. – Ale równocześnie będzie tęsknił za telewizją. W jego życiu, w miejscu, które zajmował telewizor powstanie dziura. W głębi duszy wciąż będzie myślał: „O dziewiątej siądę z piwkiem w dłoni przed telewizorem i obejrzę mecz Soxow”. A kiedy wróci do domu i ujrzy pustą półkę, ogarnie go głębokie rozczarowanie. Wraz z telewizorem wypłynie z niego jakaś część jego życia, nieprawdaż?

– Tak – mruknął Ralph. – Nasz telewizor też się kiedyś spieprzył i przez dwa tygodnie, dopóki go nie zreperowali, czułem się nie w sosie.

– Dziura jest tym większa, im większą rolę odgrywał telewizor w jego życiu. Tak czy inaczej, coś odeszło. Odbierz mu teraz wszystkie książki, przyjaciół i zestaw stereo. Nie daj mu nic do jedzenia, za wyjątkiem tego, co zdoła znaleźć po drodze. To proces opróżniania, a zarazem umniejszania ludzkiego ego. Wasze jaźnie, panowie, stają się okiennymi szybami, a raczej – i to porównanie będzie o wiele trafniejsze – pustymi szklankami.

– Ale jaki jest tego sens? – dopytywał się Ralph. – Po co zadawać sobie tyle trudu?

– Jeśli czytałeś Biblię – odrzekł Glen – wiesz z pewnością, że ówcześni prorocy mieli w zwyczaju udawać się „do puszczy”, aby doznawać tam iluminacji. Zwykle trwało to czterdzieści dni i czterdzieści nocy, tak przynajmniej podaje Pismo Święte, ja jednak uważam, że to taki hebrajski idiom oznaczający w istocie, iż „nikt nie wie, ile naprawdę go nie było, ale trwało to jakiś czas”. Czy to z niczym się wam nie kojarzy?

– Jasne. Matka – rzekł Ralph.

– Pomyślcie o sobie teraz jak o akumulatorze, bo przecież jest nim każdy z nas. Nasze mózgi działają na bazie chemicznie przetwarzanego prądu elektrycznego. Nasze mięśnie funkcjonują dzięki drobnym impulsom elektrycznym, substancja chemiczna zwana acetylocholiną pozwala na przewodzenie tych impulsów, kiedy na przykład masz wykonać jakiś ruch, kiedy zaś chcesz się zatrzymać, wytwarzana jest inna substancja o nazwie

cholinesteraza. Niszczy ona acetylocholinę i twoje nerwy znów stają się kiepskimi przewodnikami. I dobrze, że tak się dzieje. W przeciwnym razie, gdybyś zaczął drapać się w nos, już nigdy nie mógłbyś przestać. Sens jest taki: wszystko o czym myślisz, wszystko co robisz powoduje wyładowanie akumulatora. Tak jak z urządzeniami w samochodzie.

Słuchali go z uwagą.

– Oglądanie telewizji, czytanie książek, rozmowy z przyjaciółmi, zjedzenie sutego obiadu... to wszystko powoduje wyładowanie akumulatora. Normalne życie, przynajmniej w kategoriach cywilizacji zachodu, było jak prowadzenie samochodu o automatycznie opuszczanych szybach, automatycznych hamulcach, automatycznie regulowanych siedzeniach i czym tam sobie jeszcze wymarzysz. Tylko że każda z tych rzeczy pożera prąd i im jest ich więcej, tym szybciej wyładowuje się akumulator. Mam rację?

– Tak – odrzekł Ralph. – W cadillacu nawet wielki delco nie jest za mały.

– Ta podróż ma na celu wykorzenie z nas nawyków przeszłości. Pozbycie się tego wszystkiego, co jest nam zbędne. Naładowanie się od nowa.

– Jeśli zbyt długo będzie się ładować akumulator, to eksploduje – rzekł niepewnie Ralph.

– Tak – przyznał Glen. – Z ludźmi jest tam samo. Biblia mówi nam o Izajaszu, Hiobie i innych, ale nie zdradza, ilu proroków powróciło „z puszczy” z mózgiami wypalonymi do cna przez niebezpieczne wizje. Podejrzewam, że było ich wielu. Żywię zdrowy szacunek dla ludzkiej inteligencji i duszy, a tu obecny Teksasczyk może być potraktowany jako wyjątek potwierdzający regułę...

– Zejdź ze mnie, łysy – warknął Stu.

– Pojemność ludzkiego umysłu jest znacznie większa niż największego nawet akumulatora delco. Sądzę, że może się on ładować prawie w nieskończoność. W niektórych przypadkach może nawet poza tę ostateczną granicę.

Przez chwilę szli w milczeniu, rozmyślając nad słowami socjologa.

– Zmieniamy się? – zapytał półgłosem Stu.

– Tak – odparł Glen. – Chyba tak.

– Straciliśmy nieco na wadze – powiedział Ralph. – Wystarczy na was spojrzeć. Ja miałem kiedyś całkiem solidny mięsień piwny, a teraz proszę, mogę zobaczyć swoje palce u stóp. Co tam! Mogę ujrzyć całe swoje stopy.

– To stan umysłu – odezwał się nagle Larry. Kiedy na niego spojrzeli, trochę się zawahał, ale zaraz podjął przerwany wywód. – Miałem takie odczucie od zeszłego tygodnia, ale nie potrafiłem go zrozumieć. Teraz już chyba rozumiem. To jak być na haju. Jakbym przypalił naprawdę mocnego skręta, albo wciągnął kreskę koki dającej gigantycznego kopa. Tylko że w tym przypadku, w przeciwieństwie do haju po narkotykach, nie masz uczucia totalnej dezorientacji. Po nich masz wrażenie, że nie potrafisz normalnie myśleć, a mnie teraz nie tylko myśli się całkiem dobrze, ale nawet LEPIEJ niż kiedykolwiek. A mimo to wciąż jestem jakby „na odlocie” – Larry wybuchnął śmiechem. – Może to z głodu.

– Głód jest jednym z elementów – przyznał Glen – ale to nie wszystko.

– Ja tam jestem stale głodny – przyznał Ralph – ale nie wydaje mi się to zbyt istotne. Czuję się dobrze.

– Ja też – powiedział Stu. – Fizycznie nie czułem się tak dobrze od lat.

– Opróżniając naczynie, wyzbywacie się również wszystkich śmieci, które w nim się nazbierały – oświadczył Glen. – Uzależnień. Nieczystości. Oczywiście, że czujecie się dobrze. To jak obejmująca całe ciało i umysł lewatywa.

– Zabawnie to wszystko wykładasz, łysy.

– Może i nie wyrażam się elegancko, ale porównania mam trafne.

– Czy to pomoże nam w konfrontacji z nim? – zapytał Ralph.

– Po to właśnie jest – odrzekł Glen. – Nie mam co do tego wątpliwości. Ale by się o tym przekonać, musimy poczekać aż to nastąpi, nieprawdaż?

Szli dalej. Kojak wyłonił się spomiędzy krzewów i przez chwilę szedł z nimi, zgrzytając pazurami o nawierzchnię I-70. Larry nachylił się i pogłaskał psa.

– Stary dobry Kojak – powiedział. – Wiedziałeś, że jesteś akumulatorem? Żywym, chodzącym delco z dożywotnią gwarancją?

Kojak chyba o tym nie wiedział, albo niewiele sobie z tego robił, ale pomachał ogonem aby pokazać Larry’emu, że jest po jego stronie.

Tej nocy obozowali piętnaście mil na zachód od Segó i jakby dla podkreślenia, o czym rozmawiali przez całe popołudnie, po raz pierwszy odkąd opuścili Boulder nie mieli nic do jedzenia. Glen przygotował resztkę kawy rozpuszczalnej (starczyło na jeden kubek) i mężczyźni wypili, przekazując sobie kubek z rąk do rąk. Przez ostatnie piętnaście mil nie natknęli się na ani jeden samochód.

Następnego ranka, dwudziestego drugiego, napotkali przewrócony furgon fordą z czterema ciałami w środku, dwa z nich należały do dzieci. W samochodzie znaleźli dwa pudełka herbatników w kształcie zwierzątek i dużą paczkę zleżałych chipsów. Rozdzielili wszystko na pięć części.

– Nie żryj jak świnia, Kojak! – upomniał go Glen. – Niedobry pies! Gdzie twoje maniery? A jeśli nawet nie masz manier, do czego powoli zaczynam się przyzwyczajać, gdzie twoje *savoir faire*!

Kojak uderzył ogonem w ziemię, lustrując głodnym wzrokiem herbatniki; widać było, że nie ma za grosz nie tylko manier, ale i *savoir faire*.

– A co tam, napchaj się – powiedział Glen i rzucił psu ostatni swój herbatnik, tygryska.

Kojak zjadł go łapczywie i oddalił się wężąc z ożywieniem.

Larry postanowił zjeść na raz całą swoją menażerię, czyli około dziesięciu zwierzątek. Zrobił to powoli i z rozmarzeniem.

– Zwróciliście uwagę – rzekł półgłosem – że herbatniki zwierzaki mają lekki cytrynowy posmak? Nigdy wcześniej nie zauważyłem tego. Aż do teraz.

Ralph przerzucał dwa ostatnie herbatniki z ręki do ręki, aż w końcu zjadł jeden.

– Tak. Masz rację. Wyraźny, jakby cytrynowy posmak. Szkoda, że nie ma tu z nami Nicka. Nie miałbym nic przeciw temu, aby rozdzielić te herbatniki na sześciu, a nie na pięciu, jak teraz.

Stu pokiwał głową. Zjedli krakersy i ruszyli dalej. Tego popołudnia natknęli się na ciężarówkę dostawczą Great Western Markets, zmierzającą zapewne do Green River. Stała przy poboczu. Kierowca nadal siedział za kółkiem, przypięty pasami do fotela i martwy jak poleć gnijącego mięsa. Zjedli po kilka plasterów szynki z puszki, ale żaden z nich nie miał większego apetytu. Glen powiedział, że skurczyły się im żołądki. Stu wyjaśnił, że mięso czymś zachodziło, nie było zepsute, ale wyraźnie zachodziło. Od tej woni zbierało mu się na mdłości. Wmusił w siebie tylko jeden plaster. Ralph powiedział, że z chęcią zjadłby ze trzy pudełka herbatników-zwierzątek, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nawet Kojak zjadł bardzo mało, zanim nie oddalił się by sprawdzić jakiś zwiędzony przez siebie zapach.

Tej nocy obozowali w Green River, a wczesnym rankiem zaczął padać pierwszy, lekki jeszcze śnieg.

Kilka minut po południu dwudziestego trzeciego września dotarli do zarwanego odcinka szosy. Niebo od rana było zachmurzone i zrobiło się zimno. „Jest dość zimno, aby spadł śnieg – pomyślał Stu – i to nie taki, który topi się po paru godzinach”.

Stali na skraju wyrwy, Kojak warował przy nodze Glena, patrzyli w dół i na sąsiedni brzeg. Gdzieś na północ stąd musiała zostać zerwana tama, a może był to efekt wyjątkowo ulewnych, letnich deszczów. Tak czy inaczej miała tu miejsce gwałtowna powódź i koryto wyschniętej od lat rzeki San Rafael wypełniła rwąca woda, która wezbrała na tyle, że wkrótce wystąpiła z brzegów. Nieujarzmiony żywioł zerwał trzydziestostopowej długości pas autostrady I-70. Żleb miał pięćdziesiąt stóp głębokości, jego ściany zaś ze zbitej w grudy ziemi i skał osadowych wyglądały na niezwykle kruche. Na dnie żlebu leniwie płynęła woda.

– A niech to – rzucił Ralph. – Ktoś powinien powiadomić o tym wydział drogowy stanu Utah.

Larry wskazał na coś ręką.

– Spójrzcie tam – powiedział.

Przenieśli wzrok we wskazanym kierunku, w pustkę najeżoną dziwnymi, wyczelowanymi przez wiatr kolumnami i monolitami. Jakieś sto jardów od brzegów San Rafael ujrzeli płataninę barier, kabli i olbrzymich pokruszonych brył asfaltowej nawierzchni. Jedna z nich sterczała w górę, uniesiona ku chmurnemu niebu niczym apokaliptyczny palec przecięty pośrodku białą, przerywaną linią.

Glen spoglądał w dół na usłane gruzami wnętrze parowu, obie dłonie miał w kieszeniach, a na twarzy nieobecny, jakby rozmarzony wyraz.

– Dasz radę, Glen? – zapytał Stu.

– Tak. Chyba tak.

– Jak tam twój artretyzm?

– Bywało gorzej. – Wysilił się na uśmiech. – Choć nie przeczę, że bywało również lepiej.

Nie mieli liny, aby mogli się nawzajem asekurować. Stu zszedł na dół pierwszy, posuwał się bardzo ostrożnie. Od czasu do czasu ziemia osypywała mu się spod nóg kaskadami kamyków i gleby, a serce wtedy momentalnie podchodziło mu do gardła. Raz był niemal pewien, że zaraz się przewróci i zjedzie na tyłku na sam dół żlebu. Sięgając rozpaczliwie dłonią na oślep, uchwycił wystający z ziemi kamienny występ i złapał się go z całych sił, próbując równocześnie znaleźć bardziej solidne oparcie dla stóp. Nagle tuż obok niego przebiegł Kojak, wzbijając małe chmurki kurzu i wywołując niewielkie lawiny żwiru. Krótco potem pies był już na dole, machając ogonem i poszczekując wesoło do Stu.

– I co się popisujesz? – warknął Stu, po czym ostrożnie zszedł na sam dół żlebu.

– Drugi! – zawołał Glen. – Słyszałem, co powiedziałaś o moim psie!

– Uważaj, łysy! Musisz być bardzo ostrożny! Ziemia dosłownie usuwa się tu spod nóg!

Glen zszedł wolno na dno parowu, poruszając się z wielką rozwagą i starannie wyszukując dogodne oparcie dla rąk i nóg. Stu zamierał w bezruchu za każdym razem, gdy widział jak spod znoszonych butów Glena zaczyna osypywać się ziemia. Wiatr rozwiewał mu włosy, a ich kosmyki wokół uszu lśniły niczym czyste srebro. Stu przypomniał sobie, że kiedy po raz pierwszy spotkał Glena malującego lichego landszaft przy szosie w New Hampshire, mężczyzna wciąż był jeszcze szpakowaty.

Aż do chwili, gdy socjolog stanął twardo obiema stopami na dnie żlebu, Stu był pewien, że mężczyzna obsunie się i rozpadnie na dwoje. Westchnął z ulgą i poklepał Glena po ramieniu.

– To pestka, Teksaszczyku – mruknął Glen i pochylił się, by pogłaskać Kojaka po grzbiecie.

– Nawet pestką można się udławić – upomniał go Stu.

Następny dołączył do nich Ralph, on również schodził bardzo ostrożnie, a ostatnie osiem stóp pokonał jednym, zwinnym susem.

– Chłopie – mruknął pod nosem. – Podłoże jest tu ruchome jak lotne piaski. Byłoby zabawnie, gdyby nie udało się nam wejść na sąsiednie zbocze i musielibyśmy przemaszerować cztery czy pięć mil w górę rzeki, aby znaleźć łagodniejszy stok, no nie?

– Jeszcze zabawniej byłoby, gdyby właśnie teraz ponownie rzeka wylała – mruknął Stu.

Larry zwinnie zszedł na dół i przyłączył się do nich w niecałe trzy minuty po Stu.

– Kto wchodzi pierwszy? – zapytał Larry.

– Może ten kto pyta? – odciął się Glen.

– Jasne.

Wejście zajęło mu zdecydowanie więcej czasu, dwukrotnie zdradziecki grunt usuwał mu się spod nóg i omal nie runął w dół. W końcu dotarł jednak na szczyt i pomachał do nich.

– Kto następny? – zapytał Ralph.

– Ja – odrzekł Glen i podszedł do przeciwległego zbocza.

Stu złapał go za ramię.

– Posłuchaj – rzucił ochryple. – Tak jak powiedział Ralph, możemy pójść w górę rzeki i znaleźć dogodniejszy stok.

– Mielibyśmy stracić na to resztę dnia? W dzieciństwie wspiąłbym się na górę w czterdzieści sekund i nawet nie dostałbym zadyszki!

– Nie jesteś już młodzieniaszkiem, Glen.

– Nie. Ale wciąż mam w sobie coś z dziecka.

Zanim Stu zdążył powiedzieć coś więcej, Glen zaczął się wspinać. Zatrzymał się pokonawszy jedną trzecią drogi, po czym ruszył dalej. Mniej więcej w połowie złapał się łupkowego grzebienia, który ukruszył się i został mu w rękach, a Stu był pewien, że artretyczny senior lada moment sturla się w dół.

– O, cholera – jęknął Ralph.

Glen zamachał rękoma i zdołał jakoś utrzymać równowagę. Odbił w prawo i pokonał kolejne dwadzieścia stóp stoku, odpoczął przez chwilę i podjął wspinaczkę. Gdy był prawie u szczytu, kamienny występ, na którym stanął, usunął mu się spod nóg, lecz Larry już na niego czekał. Złapał go za rękę i wyciągnął na górę.

– To nic takiego! – zawołał Glen.

Stu uśmiechnął się z ulgą.

– A jak tam zadyszka?

– Do prawdziwej zadyszki jeszcze mi daleko – odkrzyknął Glen.

Ralph wspiął się na stok niczym górską kozica, sprawdzając bacznie każde oparcie i przenosząc ciężar ciała z jednego występu na drugi z ogromną rozważą. Gdy znalazł się na szczycie, Stu zaczął piąć się w górę.

Aż do chwili kiedy runął, Stu był pewien, że wejście jest łatwiejsze od zejścia. Na tym stoku, skądinąd nie tak stromym jak poprzedni, oparcia dla rąk i nóg były o wiele lepsze, a kąt nachylenia łagodniejszy. Grunt jednak był tu kredowy, a tkwiące w nim kamienie obluzowane przez warunki pogodowe. Stu czuł, że nie jest to najlepsze podłoże, dlatego bardzo wolno posuwał się pod górę. Połowę ciała znalazł się na szczycie, kiedy występ, na którym postawił lewą stopę po prostu zniknął. Poczul, że zaczyna się obsuwać. Larry próbował go złapać, lecz jego palce ześlizgnęły się po nadgarstku Stu. Redman zacisnął dłoń na wystającym fragmencie wiaduktu, ale ten został mu w rękach. Patrzył na niego przez chwilę z przerażeniem, podczas gdy szybkość z jaką spadał zaczęła wzrastać. Puścił go, czując się

niczym Wile E. Coyote. „Tylko tego brakuje, żeby ktoś zapiszczał jak Struś Pędziwiatr, kiedy walnę z hukiem o dno żlebu”.

Uderzył w coś kolanem i poczuł dojmujący ból. Próbował się uchwycić kleistej powierzchni stoku, który śmigał tuż obok niego z zastraszającą prędkością, ale w rękach zostały mu tylko grudy kruchej ziemi.

Uderzył w głaz wystający z rumowiska niczym wielki tępy grot strzały i przekościłował. Uderzenie wysało resztki powietrza z jego płuc. Spadał swobodnie przez kolejne dziesięć stóp i wylądował pod kątem na tej nodze, która znajdowała się pod nim. Usłyszał jej trzask. Ból pojawił się natychmiast i był potworny. Krzyknął. Wywinął salto w tył. W ustach miał grudy ziemi. Ostre kamyki wyorały krwawe bruzdy na jego twarzy i ramionach. Znow spadł na uszkodzoną nogę i poczuł, że złamała się w zupełnie innym miejscu. Tym razem nie krzyknął. Tym razem zawył.

Ostatnie piętnaście stóp pokonał na brzuchu niczym dzieciak na zjeżdżalni na basenie. Znieruchomiał na dnie żlebu ze spodniami pełnymi błota, walącym mocno sercem i krwią szumiącą w uszach. Noga piekła go żywym ogniem. Kurtkę i koszulę miał zadartą aż pod brodę.

„Złamana. Ale jak mocno? Raczej bardzo, sądząc po tym, co teraz czuję. Kość pękła w dwóch, a może nawet więcej miejscach. I mam nadwerżone kolano”.

Larry zaczął schodzić po zboczu, posuwając się długimi, sprężystymi skokami, wyglądało to niemal na parodię tego, co przed chwilą spotkało Stu. Po chwili ukląkł przy nim, zadając te same pytania, które Stu właśnie postawił sobie w myślach.

– Co z tobą, Stu? Czy to coś poważnego?

Stu podźwignął się na łokciach i spojrzał na Larry’ego, twarz miał bladą wskutek szoku i pobrudzoną ziemią.

– Sądzę, że za jakieś trzy miesiące znow będę mógł chodzić – powiedział. Miał wrażenie, że zaraz się porzyga. Uniósł wzrok w górę, zacisnął obie dłonie w pięści i pogroził gniewnie zachmurzonemu niebu. – NIECH TO SZLAG! – wrzasnął na cały głos.

Ralph i Larry założyli mu na nogę łubki. Glen wyjął buteleczkę „pigulek na artretyzm” i podał jedną Stu. Redman nie wiedział, co zawierały pigułki, a Glen nie chciał mu powiedzieć, ale ból w nodze zelżał, przeradzając się w lekkie ćmienie. Czuł się bardzo spokojny i pogodny. Doszedł do wniosku, że wszyscy oni żyli na kredyt, nie dlatego, że szli na spotkanie z Flaggiem, ale dlatego, że przeżyli epidemię Kapitana Tripsa. Tak czy inaczej wiedział co należało uczynić... i dopilnuje, by się tak stało.

Larry właśnie skończył mówić. Wszyscy spojrzeli na niego niepewnie, czekając co powie.

Jego odpowiedź była krótka i prosta:

– Nie.

– Stu – rzekł łagodnie Glen. – Chyba nie rozumiesz...

– Rozumiem. I mówię „nie”. Żadnego powrotu do Green River. Żadnego sznura, żadnego auta. To wbrew regułom gry.

– To nie jest żadna cholerna gra! – krzyknął Larry. – Przecież ty tutaj umrzesz!

– A wy prawie na pewno zginiecie w Nevadzie. Idźcie już. Macie jeszcze cztery godziny do zmierzchu. Nie zmarnujcie ich.

– Nie zostawimy cię – zaproponował Larry.

– Przykro mi, ale musicie to zrobić, gdyż tak wam każe.

– Nie. Teraz ja tu dowodzę. Matka powiedziała, że gdyby coś ci się stało...

– Macie iść dalej.

– Nie. – Larry spojrzął na Glena i Ralpha, oczekując wsparcia z ich strony. Jednak oni wyglądali na zakłopotanych. Kojak siedział opodal z podkulonym ogonem, przyglądając się bacznie całej czwórce.

– Posłuchaj, Larry – rzekł Stu. – Cała ta wyprawa zasadza się na przekonaniu, że nasza staruszka wiedziała o czym mówi. Jeśli zaczniesz poddawać to w wątpliwość...

– Tak, racja – powiedział Ralph.

– Nie, wcale nie, do cholery – warknął gniewnie Larry, naśladowując oklahomski akcent Ralpha. – To nie z woli Boga Stu odpadł od ściany, nie była to również sprawka mrocznego mężczyzny. Po prostu usunął mu się grunt spod nóg, ziemia się obsunęła! Nie zostawię cię, Stu. Zbyt wielu już zostawiłem. Koniec z tym.

– Ale tak właśnie będzie. Musimy go zostawić – rzekł półgłosem Glen.

Larry rozejrzał się wokoło z niedowierzaniem, jakby został zdradzony.

– A ja myślałem, że jesteś jego przyjacielem!

– Jestem, lecz to niczego nie zmienia.

Larry roześmiał się histerycznie i wszedł w głąb żlebu.

– Jesteś szalony! Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie. Nie jestem. Zawarliśmy umowę. Stojąc przy łóżku umierającej Matki Abigail, podjęliśmy pewne zobowiązanie. Wiemy wszyscy, że być może przyjdzie nam zapłacić życiem za tę decyzję. Zgodziliśmy się na to i świadomie przyjęliśmy warunki umowy. A teraz musimy ją wypełnić.

– Ale ja CHCĘ tego, do jasnej cholery. Przecież wcale nie musimy wracać do Green River, możemy zdobyć gdzieś furgonetkę, wsadzimy go do środka i...

– Mamy iść pieszo – powiedział Ralph. Wskazał na Stu i dodał: – A on nie może chodzić.

– Racja. Świetnie. Ma złamaną nogę. Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Zastrzelić go jak konia?

– Larry... – zaczął Stu.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, Glen schwycił go za koszulę i przyciągnął do siebie.

– Kogo próbujesz ocalić? – rzucił zimnym, srogim głosem. – Stu czy samego siebie?

Larry spojrział na niego bez słowa.

– To bardzo proste – dorzucił Glen. – Nie możemy tu zostać... a on nie może iść dalej.

– Nie zgadzam się – wyszeptał Larry. Był blady jak trup.

– To sprawdzian – odezwał się nagle Ralph. – Tak. Właśnie tak.

– Test zdrowego rozsądku – burknął Larry.

– Głosujmy – rzekł Stu. – Ja głosuję, żebyście poszli dalej.

– Ja również – powiedział Ralph. – Przykro mi, Stu. Jeśli jednak Bóg czuwa nad nami, może zadba również i o ciebie...

– Nie, nie zrobię tego – zaoponował Larry.

– Nie myślisz teraz o Stu – rzekł Glen. – Wydaje mi się, że próbujesz ocalić jakąś część siebie. Tym razem jednak pójście dalej jest słusznym rozwiązaniem. Uświadom to sobie, Larry. Musimy iść.

Larry powoli potarł podbródek wierzchem dłoni.

– Zostańmy tu dziś na noc – powiedział. – Przemyślmy to jeszcze.

– Nie – uciął Stu.

Ralph skinął głową. Wymienili z Glenem spojrzenia, po czym Bateman wyjął z kieszeni buteleczkę „pigulek na artretyzm” i podał ją Redmanowi.

– Zawierają morfinę – powiedział. – Przypuszczam, że wzięcie więcej niż trzech lub czterech naraz mogłoby się okazać śmiertelnie niebezpieczne. – Spojrzął Stu prosto w oczy. – Rozumiesz, co mam na myśli, Teksasczyku?

– Tak, kapuję.

– O czym ty mówisz? – krzyknął Larry. – Co ty mu, kurde, sugerujesz?

– Nie wiesz? – rzucił Ralph z tak wielką pogardą w głosie, że Larry’emu na chwilę odjęło mowę. I nagle przed jego oczami roztańczyły się barwne, sugestywne wizje, pigułki na podładowanie, zdołowanie, podtrzymanie. Rita. Jego dłoń odwracająca ją ku sobie w jej śpiworze i wyraz jego twarzy, kiedy ujrzał, że była już martwa, zimna i sztywna, z zielonymi wymiocinami wypływającymi z ust gęstą, krzepnącą strugą.

– Nie! – krzyknął, usiłując wyrwać buteleczkę z dłoni Stu.

Ralph schwycił go za ramiona. Larry zaczął się wrywać.

– Puść go – powiedział Stu. – Chcę z nim porozmawiać. – Ralph, wciąż przytrzymując Larry’ego, spojrział niepewnie na Redmana. – No, dalej, puść go już.

Ralph wypełnił polecenie, ale przez cały czas był spięty i gotowy do ponownego działania.

– Podejź tu, Larry – poprosił Stu. – Nachyl się.

Larry podszedł i pochylił się nad nim. Spojrzął mu w oczy. Miał żalostną minę.

– To nie jest w porządku, stary. Kiedy ktoś upada i łamie nogę nie powinieneś... tak po prostu odchodzić, skazując go na pewną śmierć. Nie wiesz o tym? Ej, stary... – Dotknął twarzy Stu. – Proszę. ZASTANÓW SIĘ.

Stu ujął dłoń Larry'ego i mocno ścisnął.

– Sądzisz, że mi odbiło?

– Nie. Nie, ale...

– Czy uważasz, że ludzie będący przy zdrowych zmysłach mają prawo o sobie decydować?

– Ale... stary... – wykrztusił Larry i rozplakał się.

– Larry, nic tu po was. Macie zadanie do wykonania. Chcę, żebyście poszli dalej. Jeżeli wydostaniecie się z Vegas, wracajcie tą samą drogą. Może Bóg ześle kruka, aby mnie karmił. Nigdy nic nie wiadomo. Czytałem kiedyś, że człowiek, jeśli tylko ma wodę, może wytrzymać bez jedzenia do siedemdziesięciu dni.

– Nie masz aż tyle czasu. Niedługo spadnie śnieg. Nadchodzi zima. Za trzy dni umrzesz z wychłodzenia, nawet jeśli nie zrobisz użytku z tych pigułek.

– Nie tobie o tym sądzić. To nie twoja rzecz.

– Nie każ mi odchodzić, Stu.

– Odejdź. Każę ci – rzekł posępnie i z powagą Stu.

– Niech to szlag – mruknął Larry, wstając. – Co powie Frannie? Jak zareaguje, kiedy dowie się, że zostawiliśmy cię na pastwę gryzoni i ścierwojadów?

– Nic nikomu nie powie, jeśli nie pójdziecie tam i nie zrobicie tego, co do was należy. Ani ona. Ani Lucy. Ani Dick Ellis, czy Brad. Nikt.

– Dobrze – rzucił Larry. – Pójdziemy. Ale jutro. Dziś zostaniemy tu na noc i może będziemy mieli sen... lub wizję...

– Żadnych snów – odparował łagodnie Stu. – Żadnych wizji czy znaków. To nie działa w ten sposób. Zostaniecie tu na jedną noc, nic się wam nie przyśni i zechcecie zostać na następną... Musicie iść już teraz, zaraz.

Larry oddalił się od nich ze spuszczoną głową i obwisłymi ramionami.

– W porządku – odezwał się w końcu tak cicho, że ledwie go usłyszeli. – Zrobimy to po twojemu. Niechaj Bóg ulituje się nad naszymi duszami.

Ralph podszedł i przyklęknął obok Stu.

– Czy możemy ci jakoś pomóc?

Stu uśmiechnął się.

– Jasne. Przynies mi dzieła wszystkie Gore Vidala, no wiesz, o Lincolnie, Aaronie Burr i w ogóle. Zawsze chciałem je przeczytać i wygląda na to, że wreszcie nadarza się okazja.

Ralph uśmiechnął się krzywo.

– Przykro mi, Stu. Akurat są w czytaniu.

Stu ścisnął go za ramię i Ralph odszedł. Jego miejsce zajął Glen. On również płakał, a kiedy usiadł obok Stu, łzy znów pociekły mu z oczu.

– Daj spokój, chłopie – rzekł Stu. – Nic mi nie będzie.

– Larry ma rację. To nie jest w porządku. Jakbyś nie był człowiekiem, lecz koniem.

– Wiesz, że tak trzeba. Musi tak być i basta.

– Chyba tak, ale któż to wie na pewno? Jak noga?

– Nie boli, przynajmniej na razie.

– W porządku, masz pigułki. – Glen otarł dłonią oczy. – Żegnaj, Teksaszczyku. Cholernie się cieszę, że cię poznałem.

Stu odwrócił głowę.

– Nie mów tak, Glen. Takie pożegnanie zawsze wydaje się smutne, samotne i ostateczne. Lepiej powiedz „bywaj”, albo „do zobaczenia”. Zresztą pewnie i tak zaraz odpadniesz, jak ja, od tej pieprzonej ściany i przyjdzie nam przez całą zimę rznąć w karty w tej cholernej dziurze.

– Chyba jednak pozostanę przy poprzednim pożegnaniu – powiedział Glen. – Mam przecucie, że już się nie zobaczymy. A ty nie?

Ponieważ i on miał takie wrażenie, Stu odwrócił głowę, aby spojrzeć na Glena.

– Owszem, tak – odparł i uśmiechnął się nieśmiało. – Ale tak czy inaczej „zła się nie ulękne”, zgadza się?

– Jasne, że tak! – rzekł Glen. Jego głos zmienił się w cichy szept. – Stuart, jeśli będziesz musiał, nie wahaj się, tylko zrób to. Nie zawahasz się?

– Nie.

– No, to żegnaj.

– Żegnaj, Glen.

Trzej mężczyźni podeszli do zachodniej ściany żlebu i Glen, raz jeszcze obejrzawszy się przez ramię, zaczął piąć się pod górę. Stu z narastającym niepokojem obserwował jego wspinaczkę. Socjolog robił to nonszalancko, niemal beztrąsko, prawie nie patrząc gdzie stawia stopy. Ziemia raz i drugi osunęła mu się spod nóg. Za każdym razem mężczyzna sięgał ręką w bok jakby od niechcienia i jakimś dziwnym zrzędzeniem losu natrafiał tam na skalny występ. Gdy dotarł na sam szczyt, Stu odetchnął z ulgą.

Potem przyszła kolej na Ralpha, a gdy stanął obok Glena, Stu po raz ostatni przywołał do siebie Larry’ego. Spojrzał na niego i stwierdził, że oblicze Larry’ego w dziwny sposób przywodziło mu na myśl twarz zmarłego Harolda Laudera, było zdumiewająco nieruchome, oczy czujne i jakby odrobinę niespokojne. Ta twarz zdradzała tylko tyle, ile chciała zdradzić.

– Teraz ty dowodzisz – powiedział Stu. – Dasz radę?

– Nie wiem. Postaram się.

– Będziesz musiał podejmować decyzje.

– Naprawdę? Wygląda na to, że pierwszą skutecznie storpedowano.

Spojrzał na Stu z wyrzutem.

– Tak, ale tylko tę jedną i to się już więcej nie powtórzy. Posłuchaj, jego ludzie dopadną was prędzej z później.

– Tak. Domyślam się, że tak właśnie będzie. Schwytają nas albo zastrzelą z zasadzki jak wściekłe psy.

– Nie. Przypuszczam, że pojmą was i zabiorą do niego. Wydaje mi się, że stanie się to w ciągu kilku najbliższych dni. Kiedy dotrzecie do Vegas, miejcie oczy szeroko otwarte. Czekać. To nadejdzie.

– Co, Stu? Co nadejdzie?

– Nie wiem. To, po co nas tu przysłano. Bądźcie gotowi. Kiedy to nadejdzie, będziecie wiedzieli.

– Jeśli tylko będziemy mogli, wrócimy po ciebie. Wiesz o tym.

– Tak. W porządku.

Larry szybko wspiął się na stok i dołączył do dwóch pozostałych mężczyzn. Przez chwilę stali na szczycie, spoglądając w dół, i pomachali do niego. Stu w odpowiedzi uniósł prawą rękę. Po chwili już ich nie było. I nigdy więcej nie ujrzeli Stuarta Redmana.

ROZDZIAŁ 73

Trzej mężczyźni obozowali szesnaście mil od miejsca, gdzie pozostawili Stu. Dotarli do kolejnego osuwiska, tym razem mniejszego. Prawdziwą przyczyną tego, że pokonali w ten dzień tak niewielki dystans, było trawiące ich przygnębienie i smutek. Jakby utracili część serca. Trudno było powiedzieć, czy je odzyskają. Stopy mieli jak z ołowiu. Prawie między sobą nie rozmawiali. Nie chcieli spoglądać jeden drugiemu w oczy, obawiając się ujrzeć w nich jak w zwierciadle własne poczucie winy.

O zmierzchu rozbili obóz i rozpalili ognisko. Mieli wodę, ale nic do jedzenia. Glen nabił fajkę resztką tytoniu i przez chwilę jakby mimochodem zastanawiał się, czy Stu miał jeszcze papierosy. Ta myśl odebrała mu chęć na pykanie z fajeczki, wytrząsnął ją więc, stukając o kamień, i stopą rozrzucił resztki borkum riff po ziemi. Kiedy kilka minut później w ciemnościach odezwała się sowa, rozejrzał się dookoła.

– Słuchajcie, gdzie jest Kojak? – zapytał.

– To dość dziwne, no nie? – rzucił Ralph. – Nie przypominam sobie, abym go widział w ciągu ostatnich paru godzin.

Glen wstał.

– Kojak! – zawołał. – Heej, Kojak! KOJAK! – Jego głos poniósł się tęsknym echem poprzez pustkowia. W odpowiedzi nie rozległo się znajome szczeknięcie. Socjolog westchnął przeciągle. Kojak podążał za nim niemal przez cały kraj, a teraz gdzieś przepadł. To było niczym zły omen.

– Sądysz, że coś go dopadło? – zapytał półgłosem Ralph.

– Może został ze Stu – powiedział z zamyśleniem Larry

– Może. – Glen, nieco zdezorientowany, uniósł wzrok. – Kto wie, może tak się stało.

Larry przerzucał z ręki do ręki mały kamyk.

– Stu miał nadzieję, że Bóg ześle mu kruka, aby go karmił. Wątpię, czy znalazłby się tu choć jeden, toteż kto wie, może postanowił zesłać do niego psa.

W ognisku coś głośno strzeliło, kaskada iskier buchnęła pod niebo, na moment rozjaśniając gęstniejącą czerń nocy, po czym ogień przygasł ponownie.

Ujrawszy czarny kształt wylaniający się z parowu i sunący w jego stronę, Stu podczołgał się do najbliższego głazu i opierając się o niego plecami, z uszkodzoną nogą sterczącą przed nim bezwładnie, zdrętwiałą dłonią odnalazł na ziemi poręczny, okrągły kamień. Był cały zziębnięty. Larry miał rację. Dwa lub trzy dni leżenia na tym chłodzie uśmierciło by go. Wyglądało jednak, że coś nie zamierzało czekać tak długo i ewidentnie szło, aby go dobić.

Kojak pozostał przy nim do zmierzchu, a potem odszedł, z łatwością wydostając się z parowu. Stu nie próbował go przywoływać. Pies odnajdzie drogę do Glena i pójdzie z nim dalej. Może on również miał do odegrania swoją rolę. Stu żałował jednak, że Kojak nie został z nim dłużej.

Pigułki to jedno, ale nie uśmiechało mu się wcale zostać rozdartym na strzępy przez jednego z basiorów mrocznego mężczyzny.

Mocniej ścisnął kamień w dłoni i ciemny kształt przystanął o jakieś dwadzieścia jardów od dna parowu. Po chwili znów zaczął schodzić, czarny cień pośród czerni nocy.

– No, chodź – rzucił ochryple Stu.

Czarny cień pomachał ogonem i podszedł bliżej.

– Kojak?

To był on. I miał coś w pysku, co upuścił teraz do stóp Redmana. A potem usiadł, uderzając ogonem o ziemię i czekając na pochwałę.

– Dobry piesek! – rzekł ze zdumieniem Stu. – Bardzo dobry!

Kojak przyniósł mu królika.

Stu wyjął scyzoryk, otworzył i trzema szybkimi ruchami wypatroszył królika. Wyjął stertę parujących wnętrzności i rzucił psu.

– Chcesz?

Kojak chciał. Stu oskórował królika. Myśl o zjedzeniu królika na surowo przyprawiała go, mimo wszystko, o mdłości.

– Drewno? – zwrócił się do Kojaka, choć bez szczególnego przekonania. Na stokach parowu było mnóstwo gałęzi i patyków przyniesionych przez powódź, wszystkie one jednak znajdowały się poza jego zasięgiem.

Kojak pomachał ogonem, ale nie ruszył się z miejsca.

– Aport. A...

Kojaka już przy nim nie było. Obrócił się jak fryga, pomknął ku wschodniemu stokowi żlebu i po chwili wrócił, niosąc w pysku grubą, suchą gałąź. Upuścił ją obok Stu i zaszczekał. Jego ogon poruszał się miarowo z boku na bok.

– Dobry piesek – powtórzył Stu. – Niech mnie drzwi ścisną! Aport, Kojak!

Kojak, ujadając wesoło, znów pobiegł w stronę zbocza. Po dwudziestu minutach przyniósł dostatecznie dużo drewna, by można było ułożyć z nich spore ognisko. Stu starannie wybrał te najmniejsze i najbardziej suche na rozpałkę. Sprawdził i okazało się, że ma półtorej paczki zapalek. Chrust na rozpałkę zajął się już przy drugiej zapałce, potem zaś

Stu zaczął starannie podsycać ogień. Niebawem ognisko rozpało się na dobre, Stu usiadł przy nim najbliżej jak mógł, a Kojak ułożył się po przeciwnej stronie opierając pysk na przednich łapach.

Kiedy ogień nieco przygasł, Stu nabił królika na rożen i zaczął go piec. Już wkrótce rozeszła się aromatyczna woń pieczeni, tak silna i kusząca, że aż coś ścisnęło go w dołku. Kojak podniósł się i czujnie przyglądał się królikowi.

– Pół dla ciebie, pół dla mnie, stary, w porządku?

Kwadrans później wyjął mięso z ognia i rozerwał na pół, nie oparzając sobie przy tym zbyt palców obu rąk. Mięso było miejscami przypalone, miejscami niedopieczone, ale smakowało wyśmienicie w porównaniu z szynką z puszki. Obaj, Stu i Kojak, zjedli swoje porcje z apetytem... gdy w pewnej chwili wewnątrz parowu przeszył mrozący krew w żyłach skowyt.

– Chryste! – rzekł Stu z ustami pełnymi mięsa.

Kojak poderwał się, sierść na jego grzbiecie zjeżyła się, z gardzieli dobył się ochrypły warkot. Obszedł na sztywnych łapach ognisko i ponownie zawarczał. Cokolwiek wydało ów przeciągły skowyt, w okamgnieniu zamilkło.

Stu położył się z kamieniem przy jednej i otwartym scyzorykiem przy drugiej dłoni. Gwiazdy wydawały się zimne, odległe i obojętne. Stu myślał o Fran, ale niezbyt długo. Odegnął od siebie te myśli. Wywoływały zbyt wiele bólu, niezależnie czy miał pusty, czy pełny żołądek. „Nie zasną dziś – pomyślał. – Jeszcze długo nie”.

A jednak zasnął z pomocą jednej z pigulek Glena. Kiedy zaś ognisko wygasło i pozostał w nim już tylko żar, Kojak podszedł i ułożył się przy nim, ogrzewając Stu własnym ciałem, i tak to właśnie było tego pierwszego dnia po rozpadzie ich małej grupki, Stu najadł się, podczas gdy oni byli głodni. Spał smacznie, natomiast ich sen przetykany był upiornymi koszmarami i niepokojącym przecuciem nadciągającej zguby.

Dwudziestego czwartego września trzyosobowa grupka pielgrzymów pod wodzą Larry’ego Underwooda pokonała trzydzieści mil i obozowała na północny wschód od wzgórza San Rafael. Tej nocy temperatura spadła do dwudziestu kilku stopni. Mężczyźni przygotowali ognisko i usnęli przy nim. Kojak jak dotąd do nich nie dołączył.

– Jak sądzisz, co dzisiaj robi Stu? – Ralph zwrócił się do Larry’ego.

– Umiera – odparł krótko Larry i zaraz pożałował swoich słów ujrawszy na prostym, szczerym obliczu Ralpha grymas bólu; nie wiedział jednak jak miałby cofnąć to, co przed chwilą powiedział. Czuł, że tak właśnie było.

Znów położył się przy ognisku z osobliwym przekonaniem, że to się stanie nazajutrz. Byli już prawie u celu. Cokolwiek ich czekało, wkrótce się wydarzy.

Tej nocy Larry’ego dręczyły koszmarny. We śnie, który zdołał zapamiętać, był w trasie z kapelą o nazwie Shady Blues Connection. Mieli występować w Madison Square Garden.

Wszystkie miejsca były wyprzedane. Weszli na scenę przy wtórze gromkich braw. Larry podszedł, by ustawić mikrofon, wyregulować jego wysokość i tym podobne, ale nie potrafił go poruszyć. Podszedł do mikrofonu gitarzysty prowadzącego i okazało się, że on również jest jak w cementowany w podest sceny. Podobnie z mikrofonami gitarzysty basowego i klawiszowca. Tłum zaczął gwizdać i pohukiwać. Jeden po drugim członkowie kapeli zaczęli wycofywać się chyłkiem ze sceny, uśmiechając się ukradkiem w wysokie, psychodeliczne kołnierze swoich koszul, identyczne jak te, które nosili The Byrds w 1966 roku, kiedy Roger McGuinn miał wciąż całe życie przed sobą. Larry krążył od jednego mikrofonu do drugiego, szukając choćby jednego, który dałoby się wyregulować. Wszystkie miały jednak dziewięć stóp wysokości i były wpuszczone w scenę. Wyglądały jak stalowe kobry. Ktoś z tłumu zaczął domagać się *Mała, czy możesz polubić swojego faceta?* Chciał odpowiedzieć: „Nie gram już tego kawałka. Przestałem go grać wraz z nadejściem końca świata”. Nie słyszeli go i po chwili cały tłum, począwszy od najdalszych rzędów, zaczął skandować coraz donośniej i żwawiej. *Mała, czy możesz polubić swojego faceta! Mała, czy możesz polubić swojego faceta! Mała, czy możesz polubić swojego faceta!*”

Obudził się, słysząc te słowa. Cały był zlany zimnym potem.

Nie musiał pytać Glena by wiedzieć, jaki to był sen i co oznaczał. Sen, w którym nie możesz dosięgnąć do mikrofonu lub wyregulować go, jest popularny wśród muzyków, podobnie jak ten, w którym stajesz na scenie i nie potrafisz przypomnieć sobie słów piosenki. Larry przypuszczał, że wszyscy muzycy miewali podobnego typu koszmary przed...

„Przed występem”.

To był sen o niemożności.

Przejawiał się w nim jeden zasadniczy lęk, zawierający się w pytaniach: „A jeśli nie zdołasz tego zrobić? Co, jeżeli będziesz chciał, a okaże się, że nie możesz?” Lęk przed niemożnością do wykrzesania z siebie iskierki wiary, od której zaczynają wszyscy artyści, czy to muzycy, piosenkarze, malarze czy pisarze.

„Bądź miły dla ludzi, Larry”.

Czyj to był głos? Jego matki?

„Umiesz tylko brać, Larry”.

„Nie, mam, to nieprawda. Już nie jestem taki. Już nie gram tego kawałka. Przestałem go grać wraz z nadejściem końca świata. Mówię szczerze”.

Położył się przy ognisku i ponownie zapadł w sen. Jego ostatnią myślą było, że Stu miał jednak rację: mroczny mężczyzna pojmie ich. „Jutro – pomyślał. – Cokolwiek ma się stać, stanie się już wkrótce. Jesteśmy prawie u celu”.

Dwudziestego piątego nie napotkali, mimo swoich przeczuć, nikogo. Cała trójka szła rażno pod lazurowym baldachimem nieba i choć widzieli po drodze wiele ptaków i zwierząt, nie ujrzeli ani jednego człowieka.

– To zdumiewające, jak szybko powróciły dzikie zwierzęta – rzekł Glen. – Wiedziałem, że to będzie dość gwałtowny proces, i rzecz jasna zima nieco je przetrzebi, ale mimo wszystko jestem zdziwiony. A przecież od pierwszych zachorowań minęło zaledwie sto dni.

– Owszem, ale psów i koni już nie ma – wtrącił Ralph. – To wydaje mi się nie w porządku, a wam? Wymyślili wirusa, który wyrznął w pień niemal całą ludzkość, ale to nie wystarczyło. Musiał jeszcze wybić dwa gatunki ulubionych przez ludzi zwierząt. Zabrał człowieka i jego najlepszych przyjaciół.

– A koty zostawił – mruknął w zadumie Larry.

Ralph rozpromienił się.

– Cóż, jest jeszcze Kojak.

– BYŁ.

Na tym rozmowa się urwała. Wielkie skały przyglądały się im posępnie, dogodne kryjówki dla tuzinów mężczyzn z karabinami snajperskimi. Przeczucie, że to co ma się stać wydarzy się właśnie dziś, nie opuściło Larry'ego. Za każdym razem gdy docierali na szczyt wzniesienia, spodziewał się ujrzeć na szosie poniżej blokadę i uzbrojonych, czekających na nich ludzi. Za każdym razem gdy okazało się, że na drodze nie ma blokad, Larry zaczynał myśleć o zasadzce.

Rozmawiali o koniach, psach i bizonach. „Bizony powróciły – oznajmił Ralph – widzieli je Nick i Tom Cullen”. Kto wie, może już w niedalekiej przyszłości, jeszcze za ich życia, na równinach znów pojawią się stada dzikich bawołów. Larry wiedział, że to prawda, ale co do jednego miał wątpliwości. Nie dałby obecnie złamanego grosza za życie żadnego z nich, kto wie, czy potrwa ono jeszcze dziesięć minut.

Zaczynało zmierzchać, najwyższy czas, by rozejrzeć się za dogodnym miejscem na obozowisko. Weszli na ostatnie wzniesienie, a Larry pomyślał: „Teraz. Spojrzę w dół i zobaczę blokadę”.

Ale na szosie nie było żywego ducha.

Obozowali przy zielonej odblaskowej tablicy z napisem LAS VEGAS 260 MIL. Tego dnia nawet co nieco przekazali: tacos, dwa slim jimy, które podzielili po równo i po kilka łyków oranżady dla każdego.

„Jutro” – pomyślał znowu Larry i zasnął.

Tej nocy przyśniło mu się, że wraz z Barrym Griegiem i Tattered Remnants grali w Madison Square Garden. To była ich wielka szansa, grali jako support dla pewnej supergrupy, której nazwa wzięła się od nazwy jednego z wielkich miast. Boston, a może Chicago. I znów stojaki mikrofonów miały po dziewięć stóp, a on nerwowo krążył od jednego do drugiego, podczas gdy publiczność gromko klaskała i, skandując, domagała się piosenki *Mata, czy możesz polubić swojego faceta?*

Zlustrował wzrokiem pierwszy rząd i oblał się lodowatym strachem. Był tam Charles Manson z iksem na czole i zagojoną, białą ukośną blizną; klaskał i głośno pokrzykiwał. A

także Richard Speck gapiący się zuchwale na Larry'ego, z papierosem bez filtra sterczącym zawadiacko z kącika ust. Siedzieli po obu stronach mrocznego mężczyzny. Za nimi zajmował miejsce John Wayne Gacy. Flagg skandował najgłośniej.

„Jutro” – pomyślał znów Larry, chwiejnym krokiem wędrując od jednego gigantycznego mikrofonu do drugiego, w palącym blasku jupiterów Madison Square Garden.

„Zobaczymy się jutro”.

Nie stało się to jednak nazajutrz, ani nawet pojutrze. Wieczorem dwudziestego siódmego września obozowali we Freemont Junction i jedzenia mieli pod dostatkiem.

– Wciąż mi się wydaje, że koniec jest już bliski – rzekł Larry do Glena tego wieczoru. – I każdego kolejnego dnia, kiedy okazuje się, że to jeszcze nie teraz, jest coraz gorzej.

Glen pokiwał głową.

– Ze mną jest to samo. Byłoby zabawnie, gdyby się okazało, że On jest tylko złudzeniem, prawda? Niczym więcej jak tylko koszmarem w naszej zbiorowej podświadomości.

Larry spojrzał na niego z niejakim zdziwieniem, po czym wolno pokręcił głową.

– Nie, nie sądzę, aby to był tylko sen.

– Ja również, młodzieńcze. – Glen uśmiechnął się. – Ja również.

Następnego dnia doszło do spotkania.

Tuż po dziesiątej rano wspięli się na kolejne wzniesienie i w dole, o pięć mil na zachód od nich ujrzeli blokującą autostradę, stojące maska w maskę samochody. Wyglądało to dokładnie tak, jak sobie wyobrażał Larry.

– Wypadek? – zapytał Glen.

Ralph osłonił oczy dłonią.

– Nie sądzę. Nie stałyby w ten sposób.

– To jego ludzie – rzekł Larry.

– Tak. Chyba tak – mruknął Ralph. – I co teraz, Larry?

Larry wyjął z tylnej kieszeni spodni bandanę i otarł nią twarz.

Albo wróciło lato, albo zaczęli odczuwać upalny klimat południowo-zachodniej pustyni. Temperatura wahała się w granicach osiemdziesięciu stopni Fahrenheita.

„Ale powietrze jest bardzo suche – pomyślał ze spokojem. – Prawie się nie pocę. Tylko troszeczkę”. Włożył bandanę z powrotem do kieszeni. Teraz, kiedy TO zaczęło się na dobre, czuł się wręcz wyśmienicie. Znów ogarnęło go osobliwe poczucie, że to wszystko było jak występ, jak show, który należało odegrać.

– Zejdziemy tam i przekonamy się, czy Bóg rzeczywiście jest przy nas. Co ty na to, Glen?

– Ty tu dowodzisz.

Ruszyli dalej. Po pół godzinie marszu mogli już wyraźnie dostrzec, że stojące maska w maskę wozy należały niegdyś do policji stanowej Utah. Obok pojazdów stało, czekając na nich, kilku uzbrojonych mężczyzn.

– Zastrzelą nas? – zapytał Ralph.

– Nie wiem – odrzekł Larry.

– Mają karabinki snajperskie. Takie z lunetami. Widzę jak słońce odbija się w ich szklach. Gdyby nas chcieli kropnąć, lada moment będą mieli okazję – jak tylko znajdziemy się w zasięgu rażenia.

Szli dalej. Mężczyźni przy blokadzie rozdzielili się na dwie grupki, pięciu z przodu z bronią wymierzoną w trzech nadchodzących pielgrzymów, i trzech z tyłu, ukrytych za samochodami.

– Jest ich ośmiu, Larry? – zapytał Glen.

– Ja zauważyłem ośmiu. A nawiasem mówiąc, jak się czujesz, Glen?

– Świetnie – odparł socjolog.

– Ralph?

– W porządku, obyśmy tylko wiedzieli co robić, kiedy przyjdzie czas – mruknął Ralph. – Niczego więcej nie pragnę.

Larry ujął go za rękę i lekko uścisnął.

Po chwili to samo zrobił z dłonią Glena. Znajdowali się o niecałą milę od radiowozów.

– Nie kropną nas od razu – powiedział Ralph. – Gdyby mieli to zrobić, już byśmy nie żyli.

Mogli już dostrzec twarze tamtych. Larry przyjrzał się im z uwagą. Jeden z mężczyzn miał gęstą brodę. Drugi był młody, ale prawie całkiem łysy. „Musiało go to przygnębiać, że jeszcze będąc w szkole, zaczął łysieć” – pomyślał Larry. Kolejny miał na sobie żółtą sportową koszulkę z wizerunkiem uśmiechniętego wielbłąda, a stylizowane litery poniżej układały się w napis TEŻ BYM SIĘ NAPIŁ. Czwarty z mężczyzn wyglądał na księgowego. Manipulował trzymanym w dłoni magnum .357 i sprawiał wrażenie trzykrotnie bardziej zdenerwowanego niż Larry. Wydawało się, że jeśli nie przestanie bawić się bronią, lada moment może zrobić krzywdę samemu sobie.

– Wyglądają prawie jak nasi – mruknął Ralph.

– Jasne że tak – odparł Glen. – Są uzbrojeni po zęby.

Podeszli na odległość dwudziestu stóp od blokujących szosę policyjnych radiowozów. Larry przystanął. Pozostali zrobili to samo. Nastąpiła krótka chwila ciszy, podczas gdy ludzie Flagg'a i pielgrzymi Larry'ego przyglądali się sobie nawzajem. W końcu Larry łagodnym tonem rzucił:

– Witajcie.

Mały facecik o wyglądzie księgowego wystąpił naprzód. Wciąż bawił się rewolwerem.

– Czy wy jesteście Glendon Bateman, Lawson Underwood, Stuart Redman i Ralph Brentner?

– Coś ty, niemota? – rzucił Ralph. – Liczyć nie umiesz, czy jak?

Ktoś zachichotał. Urzędniczyna zaczerwienił się.

– Kogo brakuje?

– Stu miał po drodze wypadek – wyjaśnił Larry. – I wydaje mi się, że panu również zaraz coś się przytrafi, jeśli nie przestanie pan tak machać tym kopytem.

Znów cichy chichot. Urzędniczyna zatknął rewolwer za pasek szarych spodni, dzięki czemu wyglądał jeszcze zabawniej i absurdalniej niż dotychczas. Jak wyjęty spod prawa buchalter.

– Nazywam się Paul Burlson – powiedział. – I z mocy mego urzędu aresztuję was i rozkazuję, abyście poszli ze mną.

– W czym imieniu? – rzucił Glen.

Burlson spojrzał na niego z pogardą, z którą mieszało się coś jeszcze.

– Wiecie, w czym mówię imieniu.

– To powiedz to.

Ale Burlson milczał.

– Boisz się? – spytał Glen. Powiódł spojrzeniem po twarzach ośmiu mężczyzn. – Wszyscy tak bardzo się go boicie, że nie odważycie się nawet wymówić jego imienia? W porządku, zrobię to za was. On nazywa się Randall Flag, znany jest również jako mroczny mężczyzna, Wędrowiec albo Wysoki facet. Czy niektórzy z was tak go właśnie nie nazywają? – W jego czystym, podniesionym głosie słychać było wyraźną, gniewną nutę. Kilku mężczyzn wymieniło niepewne spojrzenia, a Burlson cofnął się o krok. – Nazwijcie go Belzebubem, gdyż to także jest jego imię. Możecie go nazywać Nyarlathotepem, Ahazem i Astarothem. Nazywajcie go R'lyehem, Seti i Anubisem. Imię jego brzmi Legion, jest on bowiem sługą Piekiła, a wy, jego poddani, usłużnie ucałowaliście jego tyłek. – Znów zniżył głos i uśmiechnął się rozbrajająco. – Pomyślałem sobie, że dobrze będzie wyjaśnić sobie to i owo na początek.

– Brać ich – rzekł Burlson. – Brać ich, a pierwszy, który się ruszy, dostanie kulę w łeb.

Przez jedną, krótką, niezwykle sekundę nikt nawet nie drgnął, a Larry pomyślał: „Oni tego nie zrobią, boją się nas tak samo jak my ich, a nawet bardziej, mimo iż mają broń...”

Spojrzał na Burlsona i rzekł:

– Co ty, wypierdku, zebrało ci się na dowcipy? Z byka spadłeś, czy jak? Przecież my CHCEMY pójść z wami. Po to tu przyszliśmy.

Dopiero wtedy zabrali się do dzieła, zupełnie jakby Larry wydał im zakamuflowany rozkaz. Larry i Ralph zostali wepchnięci na tylne siedzenie pierwszego z radiowozów, Glen trafił do drugiego. Od przednich foteli dzieliła ich gęsta stalowa siatka. Na drzwiczkach od wewnątrz nie było klamek.

„Zostaliśmy aresztowani” – pomyślał Larry. Ta myśl wyraźnie go rozbawiła.

Czterej mężczyźni zajęli miejsca z przodu. Radiowóz zawrócił i skierował się na zachód.

Ralph westchnął.

– Boisz się? – zapytał niemal szeptem Larry.

– Żebym to ja wiedział. Tak się cieszę, że nie muszę dalej iść na piechotę, że póki co nic mnie więcej nie obchodzi.

Jeden z mężczyzn z przodu zapytał:

– Ten wyszczekany staruch... Czy to on jest przywódcą?

– Nie. Ja nim jestem.

– Jak się nazywasz?

– Larry Underwood. To Ralph Brentner. Tamten w drugim wozie nazywa się Glen Bateman.

Wyrzął przez tylną szybę. Drugi radiowóz jechał w pewnej odległości za nimi.

– Co się stało z czwartym?

– Złamał nogę. Musieliśmy go zostawić.

– Ciężka sprawa. Jestem Barry Dorgan, szef ochrony Vegas.

Larry miał ochotę palnąć: „Miło mi cię poznać”, ale zreflektował się. Na jego wargach pojawił się lekki uśmiezek.

– Ile potrwa jazda stąd do Vegas?

– Cóż, nie możemy jechać zbyt szybko z powodu blokad na drogach. Staramy się oczyszczać drogi prowadzące do miasta, ale idzie to nam jak krew z nosa. Dotrzemy na miejsce za jakieś pięć godzin.

– Czyż to nie wspaniale – rzekł Ralph, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Jesteśmy w drodze od trzech tygodni, a tu trzask prask, samochodem dowiozą nas na miejsce w pięć godzin.

Dorgan odwrócił się na siedzeniu, aby na nich spojrzeć.

– Nie pojmuję, dlaczego szliście pieszo. Właściwie nie rozumiem, dlaczego w ogóle tu przyszliście. Chyba zdajecie sobie sprawę jak to się dla was skończy.

– Przesłano nas – odrzekł Larry – po to, aby zabić Flagga, jak przypuszczam.

– Nie będziecie mieli po temu okazji, stary. Ty i twoi kolesie idziecie z miejsca za kratki. Żadnych ulg. Żadnych forów. On bardzo się wami interesuje. Szykuje dla was coś specjalnego. Wiedział, że nadchodzicie. – Przerwał. – Możecie mieć co najwyżej nadzieję, że koniec, jaki dla was przygotował, będzie szybki i w miarę bezbolesny. Ja jednak nie liczyłbym na to. Ostatnimi czasy On nie jest w najlepszym nastroju.

– A to dlaczego? – spytał Larry.

Dorgan jednak musiał dojść do wniosku, że powiedział wystarczająco dużo, a może nawet za wiele. Odwrócił się bez słowa, a Larry i Ralph zaczęli w milczeniu obserwować

przesuwającą się za oknami radiowozu pustynię. Po trzech tygodniach marszu szybka jazda była dla nich czymś nowym i zgoła pasjonującym.

Dotarcie do Vegas zajęło im nie pięć, jak przypuszczali, a sześć godzin. Miasto leżało pośrodku pustyni niczym wielki klejnot. Na ulicach było wielu ludzi, praca bowiem dobiegła końca. Siedzieli na trawnikach, ławeczkach na przystankach autobusowych i na schodach przed nieczynnymi urzędami, radując się przyjemnym chłodem wieczoru. Na widok nadjeżdżających radiowozów niemal wszyscy odwrócili głowy, by się im przyjrzeć, ale gdy znikły im z oczu, natychmiast powrócili do przerwanych rozmów.

Larry rozglądał się dokoła z zamyśleniem. W mieście znów był prąd, ulice oczyszczone, znikły też ślady działalności szabrowników.

– Glen miał rację – powiedział. – Jego pociągi kursują punktualnie. Wciąż mnie jednak zastanawia, czy to dobry sposób na zarządzanie koleją. Wszyscy twoi ludzie, Dorgan, wyglądają na mocno zastraszonych i znerwicowanych.

Dorgan nie odpowiedział.

Dotarli do gmachu więzienia i zajechali pod budynek od tyłu. Radiowozy zaparkowały na betonowym dziedzińcu. Kiedy Larry wysiadł, krzywiąc się z bólu wywołanego zeszywnieniem mięśni, ujrzał w dłoni Dorgana dwie pary kajdanek.

– Daj spokój – powiedział. – To nie będzie konieczne.

– Przykro mi. Takie mam polecenia.

– Nigdy w życiu nie byłem skuty kajdankami – rzekł Ralph. – Przed ślubem kilka razy zdarzyło mi się, że ciut za dużo wypilem i wylądowałem na komisariacie, ale nikt nigdy nie założył mi bransoletek. – Ralph mówił wolno, z coraz wyraźniejszym akcentem z Oklahomy, a Larry uświadomił sobie, że jego przyjaciel z trudem pohamowuje ogarniającą go wściekłość.

– Mam wyraźne rozkazy – stwierdził Dorgan. – Nie utrudniajcie mi roboty, ona i tak jest dostatecznie ciężka.

– Masz rozkazy – powiedział Ralph. – Wiem, kto ci je wydaje. On zamordował mojego przyjaciela, Nicka. Co ci odbiło, żeś się spiknął z tym czartem z piekła rodem? Wydajesz się być całkiem porządnym facetem.

Patrzył na Dorgana w tak przejmujący sposób, że ten mimo woli pokręcił głową i odwrócił wzrok.

– To moja praca – odpowiedział. – I wykonuje ją tak, jak potrafię. Koniec dyskusji. Wyciągnijcie ręce przed siebie, albo ktoś was do tego zmusi.

Larry wyciągnął ręce, a Dorgan założył mu kajdanki.

– Kim byłeś? – zapytał z ciekawością. – Przedtem, znaczy się.

– Detektywem w policji w Santa Monica.

– I jesteś tu... z nim. Wybacz, że to mówię, ale... wydaje mi się to co najmniej dziwne.

Jeden z mężczyzn silnie pchnął Glena w plecy, zmuszając, aby podszedł do dwójki więźniów.

– Dlaczego go tak popychasz? – rzucił gniewnie Dorgan.

– Gdybyś musiał wysłuchiwać przez sześć godzin jego głędzenia, nie zadawałbyś takich pytań, tylko sam byś go popchnął – odparł mężczyzna.

– Nic mnie nie obchodzi, czym cię wyprowadził z równowagi, ostrzegam tylko: trzymaj ręce przy sobie – warknął Dorgan i spojrzał na Larry’ego. – Dlaczego to takie dziwne, że jestem tutaj z Nim? Byłem gliną przez dziesięć lat, przed wybuchem epidemii. Widziałem, co się dzieje, kiedy u władzy znajdują się ludzie twojego pokroju.

– Młody człowieku – rzekł łagodnym tonem Glen – twoje doświadczenia z garstką maltretowanych dzieciaków i narkomanów nie usprawiedliwiają tego, że postanowiłeś sprzymierzyć się z potworem.

– Wyprowadźcie ich stąd – rozkazał donośnym głosem Dorgan. – Zamknąć ich w osobnych celach w oddzielnych skrzydłach.

– Nie wydaje mi się, młody człowieku, abyś potrafił żyć z konsekwencjami swego wyboru – powiedział Glen. – Masz w sobie zbyt mało z nazisty.

Tym razem Dorgan sam silnie popchnął Glena.

Larry został oddzielony od dwóch przyjaciół i poprowadzony pustym korytarzem ozdobionym napisami w rodzaju: **PLUCIE WZBRONIONE, DO PRYSZNICÓW I ODWSZAWIALNI** oraz **NIE JESTEŚ TU GOŚCIEM**.

– Nie miałbym nic przeciwko prysznicowi – powiedział.

– Może – mruknął Dorgan. – Zobaczymy.

– Co zobaczymy?

– Jeśli będziesz skłonny do współpracy.

Dorgan otworzył celę na końcu korytarza i wepchnął do niej Larry’ego.

– A bransoletki? – zapytał Larry, wyciągając ręce przed siebie.

– Jasne – Dorgan otworzył i zdjął mu kajdanki. – Lepiej?

– Zdecydowanie.

– Wciąż chciałbyś pod prysznic?

– Oczywiście. – Bardziej niż cegokolwiek Larry nie chciał zostać sam, by wsłuchiwać się w cichnący w głębi korytarza odgłos kroków. Gdyby pozostawiono go samego, mógłby powrócić do niego strach.

Dorgan wyjął nieduży notes.

– Ilu was jest? W Strefie, ma się rozumieć.

– Sześć tysięcy – odrzekł Larry. – W każdy czwartek wieczorem gramy w bingo, a nagrodą za superbingo zakumulowany jest dwudziestofuntowy indyk.

– Chcesz pod prysznic czy nie?

– Chcę. – Larry wątpił jednak, by było mu to dane.

– Ilu was jest?

– Dwadzieścia pięć tysięcy, w tym cztery tysiące poniżej dwunastego roku życia i mogą wchodzić za darmo do kina samochodowego. Z ekonomicznego punktu widzenia to cała masa bezproduktywnych próżniaków.

Dorgan zatrzasnął notes i spojrział na niego.

– Nie mogę, stary – odrzekł Larry. – Postaw się w moim położeniu.

Dorgan pokręcił głową.

– Nie mogę, bo nie zwariowałem. Po co tu przyszliście? Co wam to da? Przecież to jasne jak słońce, że jutro lub pojutrze On każe was wszystkich wykończyć. A jeśli zechce, abyście wyśpiewali mu wszystko, co wiecie, zrobicie to. Gdyby zapragnął, byście równocześnie stepowali i trzepali kapucyna, to tak właśnie się stanie. Musieliście chyba postradać rozum.

– Przysłała nas tutaj pewna stara kobieta. Matka Abigail. Przypuszczalnie śniłeś o niej.

Dorgan pokręcił głową, lecz od tej chwili wyraźnie zaczął unikać wzroku Larry'ego.

– Nie wiem, o kim mówisz.

– Wobec tego tak to zostawmy.

– Na pewno nie chcesz ze mną pogadać? Nie chcesz iść pod prysznic?

Larry roześmiał się.

– Miałbym się sprzedać tak tanio? Wyślijcie do nas swojego szpiega. Oczywiście jeśli znajdzie się wśród was choć jeden, który na dźwięk imienia Matki Abigail nie pierzcha jak spłoszona łasica.

– Jak sobie chcesz – burknął Dorgan, po czym rażno ruszył w głąb oświetlonego blaskiem jarzeniówek korytarza. Na drugim jego końcu przeszedł przez okratowaną bramę, która zamknęła się za nim z metalicznym brzękiem.

Larry rozejrzał się dokoła. Podobnie jak Ralph on również był kilka razy w celi, raz za awanturowanie się w stanie nietrzeźwym i drugi za posiadanie przy sobie uncji marihuany. Grzeszki młodości.

– Nie jest to Ritz – wymamrotał pod nosem.

Materac na łóżku wyglądał na mocno zapleśniały i Larry zaczął zastanawiać się przez chwilę, czy pod koniec czerwca lub na początku lipca ktoś wyzionął na nim ducha. Toaleta działała, ale kiedy spuścił ją po raz pierwszy, woda miała rdzawy kolor – wyraźny znak, że od dawna nikt z sedesu nie korzystał. Ktoś zostawił w celi książkę, broszurowy western. Larry sięgnął po książkę, ale zaraz ją odłożył. Usiadł na pryczy i nasłuchiwał w ciszy. Nie znosił samotności, choć w pewnym sensie zawsze był sam, dopóki nie trafił do Wolnej Strefy. Bał się przyjscia tutaj, ale okazało się, że nie jest tak źle, jak się tego spodziewał. Nie było najlepiej, ale uznał, że sobie poradzi.

„Przecież to jasne jak słońce, że jutro lub pojutrze On każe was wszystkich wykończyć”.

Tyle tylko, że Larry w to nie wierzył. Nie tak się to stanie.

– Zła się nie ulękne – wyrecytował w martwej ciszy pustego więziennego skrzydła i dźwięk własnych słów dodał mu otuchy.

Powtórzył je. Położył się i nagle przyszło mu na myśl, że mimo wszystko wrócił na Zachodnie Wybrzeże. Podróż ta była jednak dłuższa i dziwniejsza niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. I jego wędrówka jeszcze się nie zakończyła.

– Zła się nie ulękne – powiedział raz jeszcze.

Po chwili zasnął. Na jego twarzy, gdy spał, odmalował się wyraz głębokiego spokoju.

Tej nocy nic mu się nie przyśniło.

Następnego dnia o godzinie dziesiątej, dobę po tym, jak po raz pierwszy ujrzeni w oddali blokadę drogową, Randall Flagg i Lloyd Henreid odwiedzili Glena Batemana.

Glen siedział po turecku na podłodze swojej celi. Pod pryczą znalazł kawałek węgla i pośród obscenicznym rysunków przedstawiających męskie i żeńskie genitalia oraz numerów telefonów, przekleństw i krótkich, sprośnych wierszyków, skończył pisać na ścianie swoje epitafium: „Nie jestem garncarzem, ni kołem garncarskim, jeno bryłą gliny; czyż o jej przysłym kształcie nie decydują pospołu wrodzone cechy gliny jako takiej, koło, na którym spoczywa i zdolności mistrza, który ją wyrabia?” Glen przyglądał się temu powiedzeniu – a może był to aforyzm? – gdy nagle temperatura w celi spadła o dobrych dziesięć stopni. Drzwi na końcu korytarza odsunęły się z trzaskiem. W jednej chwili Glen poczuł suchość w ustach, a węgiel wypadł pomiędzy jego zeszywniałych palców.

Odgłos zbliżających się kroków w korytarzu.

I drugi, cichszy, mniej znaczący, tworzący kontrapunkt dla pierwszego dźwięku, usiłujący dotrzymać mu kroku.

„To on. Zaraz ujrzę jego twarz”.

Nagle artretyzm dał o sobie znać ze zdwojoną siłą. Był wręcz nie do zniesienia. Jakby jego kości opróżniono nagle ze szpiku i wypełniono tłuczonym szkłem. Mimo to odwrócił się z pełnym zainteresowania i wyczekiwania uśmiechem na twarzy, gdy stukające obcasami kowbojki zatrzymały się na wprost jego celi.

– Jesteś więc – powiedział Glen. – I, jak widzę, nie taki diabeł straszny jak go malują.

Po drugiej stronie krat stało dwóch mężczyzn. Flagg z prawej strony. Miał na sobie dżinsy i białą jedwabną koszulę, która w słabym świetle leciutko połyskiwała. Uśmiechał się do Glena. Z tyłu za nim stał niższy mężczyzna, który w ogóle się nie uśmiechał. Miał wystający podbródek i oczy jakby nieco za duże w stosunku do reszty twarzy. Dla jego cery tutejszy pustynny klimat nigdy nie był łaskawy, opalał się, skóra mu się łuszczyła i opalał się ponownie. Na szyi nosił czarny kamyk z czerwoną skazą. Wyglądał jak lepka bryłka żywicy.

– Chciałbym przedstawić ci mojego współpracownika – powiedział Flagg, chichocząc. – To Lloyd Henreid. Lloyd, poznaj socjologa Glena Batemana, członka komisji Wolnej Strefy i jej jedyny żyjący mózg teraz, kiedy Nick Andros zginął śmiercią tragiczną.

– Miło mi – wykrztusił Lloyd.

– Jak tam twój artretyzm, Glen? – zapytał Flagg.

W jego głosie słyhać było nutę współczucia, ale w oczach mężczyzny błyskały wesołe iskierki. Glen raz po raz rozwarł i zacisnął dłonie, uśmiechając się do Flagga. Nikt nigdy nie domyśliłby się, ile wysiłku kosztowało go zachowanie tej nonszalanckiej pozy.

„Wrodzone cechy gliny jako takiej!”

– Świetnie – odparł. – To znacznie lepsze od spania pod chmurką, dziękuję.

Uśmiech Flagga nieznacznie przygasał. Glen dostrzegł w jego obliczu przebłysk gwałtownego zdziwienia i gniewu. A może strachu?

– Postanowiłem puścić cię wolno – rzucił krótko. Promienny uśmiech znów wykwitł na jego ustach. Lloyd aż westchnął ze zdumienia, a Flagg odwrócił się do niego. – Czyż nie tak, Lloyd?

– Ee... jasne – odparł Lloyd. – Jasne, że tak.

– To świetnie – powiedział spokojnym tonem Glen.

Czuł, że artretyzm wnika coraz głębiej i głębiej w jego stawy, to zmrażając je jak lodem, to rozpalając do białości.

– Otrzymasz nieduży skuter i kiedy tylko zechcesz będziesz mógł wyruszyć w drogę powrotną.

– Oczywiście nie odjadę bez moich przyjaciół.

– Oczywiście, że nie. Jedyne, co musisz uczynić, to poprosić. Padnij przede mną na kolana i poproś.

Glen wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo i głośno. Jednocześnie ból w jego stawach zaczął słabnąć. Poczul się lepiej, był silniejszy i znów nad sobą panował.

– Dobry dowcip – rzucił krótko. – Chcesz usłyszeć moją odpowiedź? Nazbieraj wór trocin i każ się nimi wypchać.

Oblicze Flagga spochmurniało. Uśmiech zgasł. Oczy, dotąd równie czarne jak kamyk na szyi Lloyd'a, zdawały się teraz emanować żółtym blaskiem. Wyciągnął rękę w stronę zamka i zacisnął na nim palce. Rozległo się głośne, jakby elektryczne buczenie. Spomiędzy jego palców buchnęły płomienie, a powietrze przesyciło się wonią ozonu. Zamek, dymiący i szerniały, spadł z brzękiem na podłogę. Lloyd Henreid krzyknął. Mroczny mężczyzna schwycił dłonią za kraty i energicznym szarpnięciem otworzył drzwi do celi.

– Przestań się śmiać.

Glen zaśmiał się jeszcze głośnie.

– Przestań się ze mnie śmiać!

– Jesteś NICZYM! – rzucił Glen, ocierając łzawiące oczy i nie przestając chichotać. – Och... wybacz... tak bardzo się tobą przejmowaliśmy... śmieję się raczej z naszej własnej głupoty niż z ciebie, choć jesteś zerem...

– Lloyd, zastrzel go – Flagg odwrócił się do swego towarzysza. Mięśnie jego twarzy drgały nerwowo. Palce zacisnęły się w pięść.

– Skoro już musisz mnie zabić, zrób to sam – powiedział Glen. – Z pewnością jesteś do tego zdolny. Dotknij mnie jednym palcem i zatrzymaj akcję serca. Wykonaj znak odwróconego krzyża i spraw, bym doznał wylewu. Uczyń tak, że z żarówki w suficie wystrzeli piorun i przetnie mnie na pół. O, Boże... Boże... a niech to...

Glen osunął się na pryczę i, kołysząc się w przód i w tył, wciąż zanosił się śmiechem.

– ZASTRZEL GO! – ryknął na Lloyda mroczny mężczyzna.

Poblady i rozdygotany z przerażenia, Lloyd wyciągnął zza pasa pistolet, omal go nie upuszczając, po czym nieudolnie wymierzył broń w Glena. Musiał trzymać pistolet obiema rękami.

Glen, wciąż rozbawiony spojrzał na Lloyda. Równie dobrze mógł znajdować się teraz w Brain Ghetto w Woodsville, w New Hampshire, i po dojściu do siebie po wyjątkowo zabawnym dowcipie skierować rozmowę na bardziej intelektualne tory.

– Panie Henreid, jeśli już musi pan kogoś zastrzelić, niech pan zastrzeli jego.

– Zrób to, Lloyd.

Lloyd zamknął oczy i pociągnął za spust. Huk wystrzału w ciasnym pomieszczeniu był wręcz ogłuszający. Echo jeszcze przez dłuższą chwilę odbijało się wściekle od grubych ścian. Kula jednak odłupała tylko kawałek betonu o dwa cale od prawego ramienia Glena, zrykoszetowała, trafiła w coś innego i uleciała z wizgiem.

– Niczego nie potrafisz zrobić jak należy? – ryknął Flagg. – Zastrzel go, durniu! Zastrzel go! Przecież jest tuż przed tobą!

– Próbuję...

Glen nie przestał się uśmiechać, a na odgłos wystrzału jedynie lekko się wzdrygnął.

– Powtarzam, panie Henreid, jeśli już musi pan kogoś zastrzelić, niech pan kropnie jego. Przecież pan wie, że tak naprawdę to wcale nie jest człowiek. Któregoś razu w rozmowie z przyjaciółmi nazwałem go „ostatnim magiem racjonalnego myślenia”. To określenie jest trafniejsze niż sądziłem. Tyle tylko, że jego magia zaczyna powoli słabnąć. On o tym wie. Pan zresztą również. Niech go pan zastrzeli i uchroni nas wszystkich od Bóg wie jak okrutnego rozlewu krwi i zabijania.

Oblicze Flagga stężało.

– Właśnie tak, Lloyd, zastrzel któregoś z nas – rzekł ze spokojem. – Wydostałem cię z więzienia, gdy za kratami zdychałeś z głodu. To na takich ludziach jak on chciałeś się odegrać. Na nic nie wartych, wyszczekanych frajerach, którzy umieją tylko dużo mówić.

– Nie oszuka mnie pan – rzekł Lloyd. – Jest dokładnie tak jak mówi Randy Flagg.

– Ale przecież on kłamie. Dobrze wiesz, że on kłamie.

– Usłyszałem z jego ust więcej prawdy, niż od kogokolwiek innego w całym moim parszywym życiu – powiedział Lloyd i wpackował Glenowi trzy kule. Glen został ciśnięty w

tył i obrócony w locie jak szmaciana lalka. Trysnęła krew. Mężczyzna runął na pryczę, odbił się od niej i spadł na podłogę. Zdołał jednak unieść się na łokciu.

– Nic nie szkodzi, panie Henreid – wyszeptał. – Przecież nie mógł pan tego wiedzieć.

– ZAMKNIJ SIĘ, TY STARY, GADATLIWY SKURWIELU! – wrzasnął Lloyd. Wypalił raz jeszcze i Glen Bateman został pozbawiony twarzy. Ponownie ściągnął spust i ciało mężczyzny, już martwe, targnęło się jeden jedyny raz. Mimo to Lloyd wpakował mu jeszcze jedną kulę. Płakał. Łzy ściekały po jego mocno opalonych, zaczerwienionych policzkach. Przypomniawszy sobie o króliku, który wypadł mu z pamięci i który z głodu zaczął zjadać własne łapy. Przypomniawszy sobie Dziurawca, ludzi z białego connie i Wspaniałego George'a. Przypomniawszy sobie więzienie w Phoenix, szczura i to, jak nie potrafił wmusić w siebie wyściółki z materaca. Przypomniawszy sobie Traska i to, jak jego noga po pewnym czasie wydała mu się apetyczna niczym udko kurczaka z KFC. Znowu pociągnął za spust, ale broń wydała tylko pusty, metaliczny szczęk.

– W porządku – rzekł półgłosem Flagg. – W porządku. Dobra robota. Dobra robota, Lloyd.

Henreid upuścił broń na podłogę i gwałtownie odsunął się od Flagga.

– Nie dotykaj mnie! – zawołał. – Nie zrobiłem tego dla ciebie!

– Owszem, zrobiłeś – odparł z uczuciem Flagg. – Może jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale to prawda. – Wyciągnął rękę i dotknął czarnego kamyczka zawieszzonego na szyi Lloyd'a. Zacisnął palce, a gdy ponownie je rozwarł, kamyczek zniknął. W jego miejsce pojawił się mały, srebrny kluczyk.

– Wydaje mi się, że obiecałem ci to – rzekł mroczny mężczyzna. – W innym więzieniu. On się mylił... Ja zawsze dotrzymuję obietnic. Czy nie tak, Lloyd?

– Tak.

– Inni odchodzą albo zamierzają odejść. Wiem, kim oni są. Whitney. Ken... Jenny... znam nazwiska ich wszystkich.

– Wobec tego dlaczego nie...

– Dlaczego ich nie powstrzymam? Nie wiem. Może będzie dla nas lepiej, jeśli odejdą. Wszyscy, oprócz ciebie. Ponieważ ty jesteś moim wiernym i oddanym sługą, czyż nie?

– T-tak – wyszeptał Lloyd. Ostateczne wyznanie. – Tak. Chyba tak.

– Beze mnie, nawet gdybyś przeżył pobyt w tym więzieniu, byłbyś jedynie płótką. Zgadza się?

– Tak.

– Młody Lauder o tym wiedział. Wiedział, że mógłbym uczynić go kimś większym, potężniejszym. Dlatego postanowił przyjechać. Niestety za wiele myślał... był zbyt... – Nagle Flagg wydał się Lloydowi dziwnie stary i zakłopotany. W pewnej chwili machnął ręką, a na jego ustach znowu pojawił się uśmiech. – Powiem ci coś, Lloyd. Może rzeczywiście z każdym dniem jest coraz gorzej, może wszystko zaczyna pękać w szwach... ale stary czarodziej nadal

ma w rękawie kilka asów... i wciąż zna parę sztuczek. A teraz mnie posłuchaj. Mamy niewiele czasu, jeśli chcemy zażegnać ten... kryzys zaufania. Musimy go, że tak powiem, zdusić w zarodku. Jutro trzeba będzie zakończyć sprawę z Underwoodem i Brentnerem. Słuchaj uważnie, co powiem...

Lloyd położył się do łóżka dopiero po północy i zasnął tuż nad ranem. Rozmawiał ze Szczurem, z Paulem Burlsonem i Barrym Dorganem. Ten ostatni zgodził się, że to, o co chodziło mrocznemu mężczyźnie, mogło i prawdopodobnie będzie zrobione jeszcze przed świtem. Budowa rozpoczęła się na trawniku przed hotelem o dziesiątej wieczorem, dwudziestego dziewiątego września. W pracy uczestniczyło dziesięciu mężczyzn zaopatrzonych w spawarki, młoty, nity i spory zapas długich, stalowych rur. Łączyli oni rury ze sobą na ustawionych przed fontanną platformach dwóch ciężarówek. Płomienie spawarek wkrótce ściągnęły w to miejsce tłumy ludzi.

– Spójrz, mam – Angie – zawołał Dinny. – Fajerwerki!

– Tak, ale o tej porze wszyscy grzeczni chłopcy już śpią.

Angie Hirschfield odprowadziła chłopca do domu, czując pod sercem lodowate ukłucie strachu i przeczucie, iż działo się tu coś złego, coś naprawdę bardzo złego, choć nie potrafiła określić, co.

– Chcę to zobaczyć! Chcę widzieć ISKRY! – jęknął przejmująco Dinny, lecz Angie okazała się nieustępliwa.

Julie Lawry podeszła do Szczura, jedyne naprawdę okropnego faceta w Vegas, z którym nie poszłaby do łóżka (no, chyba że w ostateczności). Jego czarna skóra lśniła w błękitno-białym blasku spawarek. Wyglądał jak etiopski pirat, nosił szerokie, jedwabne spodnie, czerwony pas, a na chudej szyi naszyjnik ze srebrnych dolarówek.

– Co to takiego, Szczurku? – zapytała.

– Szczur nie wie, kochanie, ale chyba się domyśla. Tak. W rzeczy samej. Szykuje się jutro mokra robota. Bardzo mokra. I bardzo czarna. Nie miałabyś ochoty na szybkie bara bara ze Szczurkiem?

– Może – odparła Julie. – Jeżeli wiesz, co z tego powstanie.

– Jutro dowie się całe Vegas – powiedział Szczur. – Możesz się założyć o te swoje śliczne krągłości, kochanie. Chodź ze Szczurkiem, moja droga, a pokaże ci dziewięć tysięcy imion Boga.

Julie jednak, ku głębokiemu rozczarowaniu Szczura, już się ulotniła.

Zanim Lloyd wreszcie usnął, praca została zakończona, a ludzie rozeszli się. Na dwóch platformach ciężarówek stały teraz dwie wielkie klatki. Po ich prawej i lewej stronie znajdowały się kwadratowe otwory. Opodal stały cztery samochody, każdy zaopatrzony z tyłu w hak holowniczy. Do haków tych przymocowane były grube, ciężkie łańcuchy, które

ciągnęły się niczym tłuste węże po trawniku przed hotelem i znikwały w kanciastych otworach w ścianach klatek.

Na końcu każdego z łańcuchów przymocowana była pojedyncza obręcz kajdanek.

Trzydziestego września, o świcie, Larry usłyszał szcęk odsuwanych drzwi na końcu więziennego korytarza. Potem dały się słyszeć szybkie, energiczne kroki. Larry leżał na swojej pryczy z dłońmi podłożonymi pod głowę. Tej nocy nie zmrużył oka.

Przez cały czas...

(Rozmyślał? Modlił się?)

To było jedno i to samo. Niezależnie od wszystkiego tkwiąca w nim stara rana wreszcie się zamknęła, przynosząc mu upragniony spokój. Poczul, że dwaj mężczyźni, którymi był przez całe swoje życie – ten prawdziwy i ten idealny – stopili się wreszcie w jedną, żyjącą i nierozłączną całość. Jego matka polubiłaby tego Larry'ego. Rita Blakemoor także. Temu Larry'emu Wayne Stukey nie musiałby prawić kazań, ani tłumaczyć podstawowych faktów. Kto wie, może nawet polubiłaby go tamta oralna higienistka.

„Niedługo umrę. Jeśli Bóg istnieje – a obecnie wierzę, że musi istnieć – to widać taka jest Jego wola. Wszyscy umrzemy i w jakiś sposób za sprawą naszej śmierci cały ten koszmar się zakończy”.

Przypuszczał, że Glen Bateman już nie żyje. Poprzedniego dnia słyszał odgłosy strzałów dobiegające z sąsiedniego skrzydła, było ich kilka. Pamiętał, że w tamtą stronę odprowadzono nie Ralpa, lecz właśnie Glena. Cóż, był już stary, mocno mu doskwierał artretyzm, a to, co szykował na dzisiaj dla nich Randy Flag zapowiadało się wyjątkowo nieprzyjemnie.

Kroki zbliżyły się do jego celi.

– Wstawaj, przyjemniaczku – dał się słyszeć radosny głos. – Szczurek przyszedł po twoją bladą dupę.

Larry rozejrzał się dokoła. Przy drzwiach celi stał wyszczerzony czarnoskóry pirat z naszyjnikiem ze srebrnych dolarówek i szablą w prawej dłoni. Z tyłu za nim Larry dostrzegł urzędniczynę w garniturku. Facet nazywał się Burlson.

– Co to ma być? – spytał Larry i wstał.

– Jak to co, mój drogi – odparł pirat. – To koniec, twój koniec, ma się rozumieć.

– W porządku – powiedział Larry, wstając z pryczy.

– Chcę, abys wiedział, że to nie był mój pomysł – rzucił pospiesznie Burlson, a Larry zdał sobie sprawę, że tamten był śmiertelnie przerażony.

– Jak wszystko tutaj, jeżeli dobrze zdołałem się zorientować – odparł Larry. – Kto został wczoraj zabity?

– Bateman – odparł Burlson, spuszczać wzrok. – Podczas próby ucieczki.

– Podczas próby ucieczki – mruknął Larry. A potem wybuchnął śmiechem. Szczur także zarechotał, przedrzeźniając go. Śmiali się obaj.

Drzwi celi otwały się. Burlson podszedł do Larry'ego z kajdankami w dłoniach. Larry nie stawiał oporu, po prostu wyciągnął ręce. Burlson zatrzasnął mu na przegubach obręcze kajdanek.

– Podczas próby ucieczki – rzekł Larry. – Któregoś dnia i ty, Burlson, zostaniesz zastrzelony w takich samych okolicznościach. I ty, Szczurku, też, próbując ucieczki, dostaniesz ostrzegawczy strzał w tył głowy. – Znów się roześmiał i tym razem Szczur nie próbował go naśladować. Spojrzał na Larry'ego i zaczął unosić swoją wielką szablę.

– Opuść to, ty ośle – syknął Burlson.

Szli w następującej kolejności – Burlson, Larry i na końcu Szczur. Gdy minęli bramę na końcu skrzydła, dołączyło do nich jeszcze pięciu mężczyzn. Był wśród nich, również skuty, Ralph Brentner.

– Hej, Larry – rzekł Ralph ze smutkiem w głosie. – Słyszałeś już? Powiedzieli ci?

– Tak. Słyszałem.

– Dranie. Już jest prawie po nich, prawda?

– Tak. Już prawie.

– Cicho tam! – warknął jeden ze strażników. – To wasze chwile są już policzone. Zaczekajcie aż zobaczycie, co dla was przygotował. To będzie niezłe widowisko.

– Nie, to koniec – rzucił z naciskiem Larry. – Nie widzisz tego? Nie czujesz?

Szczur popchnął Ralpa tak mocno, że ten aż się potknął.

– Zamknij się! – krzyknął. – Szczur nie chce więcej słyszeć tej szamańskiej gadki, żadnych voodoo, żadnych prorocत्व. Ani słowa!

– Coś strasznie pobladłeś, Szczurku – rzekł z uśmiechem Larry. – Okropnie wyglądasz. I teraz twoja dupa jest blada, czyż nie?

Szczur ponownie zamachnął się szablą, ale gest ten nie wyglądał wcale groźnie. Czarnoskóry mężczyzna wydawał się śmiertelnie przerażony, jak oni wszyscy. To było czuć, w powietrzu wisiała jakaś dziwna aura, wrażenie jakby każdy z nich znalazł się w cieniu wielkiej, naddciągającej z ogromną szybkością istoty.

Na rozświetlonym dziedzińcu przed więzieniem stała oliwkowa furgonetka z napisem WIEZIENIE OKRĘGOWE W LAS VEGAS. Larry i Ralph zostali wepchnięci do środka. Zatrzaśnięto drzwi, włączono silnik i wóz ruszył.

Siedzieli na twardych, drewnianych ławkach, trzymając skute w nadgarstkach ręce pomiędzy kolanami.

– Słyszałem, jak jeden z nich mówił, że mają tam być wszyscy mieszkańcy Vegas – rzekł półgłosem Ralph. – Jak sądzisz, Larry, co z nami zrobią? Ukrzyżują?

– Albo to, albo coś w tym rodzaju. – Spojrzał na postawnego mężczyznę. Ralph wciąż miał na głowie swój przeпоcony kapelusz. Za opaską nadal tkwiło zawadiacko piórko, choć było teraz mocno postrzępione i zwichrowane. – Boisz się, Ralph?

– Jeszcze jak – odparł Ralph. – Boję się bólu. Od dziecka miałem z tym problemy. Nie znosiłem zastrzyków. Jeśli mi się uda, spróbuję ich jakoś przechytryć. A ty?

– Też się boję. Mógłbyś tu podejść i usiąść przy mnie?

Ralph wstał, pobrzękując łańcuchem kajdanek i usiadł obok Larry’ego. Przez chwilę obaj milczeli, aż w końcu Ralph niemal szeptem powiedział:

– Wkopaliśmy się.

– To fakt.

– Żebyśmy choć jeszcze wiedział, po co to wszystko. Jedno jest jasne – Flagg chce urządzić wielki pokaz, aby wszyscy zobaczyli, jaki z niego wspaniały chojrak. Czy tylko po to tu przyszliśmy?

– Nie wiem.

Wóz toczył się gładko przed siebie. Larry i Ralph, trzymając się za ręce, w milczeniu siedzieli na ławce. Larry bał się, ale pod tą warstwą lęku tkwiło znacznie silniejsze i niezachwiane uczucie głębokiego spokoju. Był pewien, że sobie poradzi.

– Zła się nie ulękne – mruknął pod nosem, choć przecież się bał. Zamknął oczy i pomyślał o Lucy. Pomyślał o swojej matce. Myślał o różnych sprawach, ważniejszych i błażych. O tym jak w chłodne poranki wstawał do szkoły. O tym jak puścił pawia w kościele. O tym jak mając dziewięć lat znalazł kiedyś „świerszczyka” na ulicy i później oglądał go wspólnie z Rudym. Jak pierwszej jesieni w Los Angeles oglądał World Series z Yvonne Wetterlin. Nie chciał umierać, bał się śmierci, ale najlepiej jak potrafił pogodził się z sobą samym. Bądź co bądź wybór w tej kwestii nigdy nie należał do niego i powoli zaczynał wierzyć, że śmierć jest kulisami, poczekalnią albo pokojem, w którym oczekujesz na swoje wyjście na scenę i rozpoczęcie występu.

Na tyle, na ile potrafił, odpoczywał, próbując przygotować się do tego, co miało nastąpić.

Furgonetka zatrzymała się, drzwi zostały otwarte. Struga słonecznego światła wdarła się do środka, na chwilę oślepiając Larry’ego i Ralpa. Szczur i Burlson wskoczyli do wnętrza furgonetki. Oprócz światła do wnętrza wozu wpłynęły także dźwięki, cichy szmer, na odgłos którego Ralph przekrzywił głowę. Larry wiedział, co oznacza ów szmer.

W 1986 roku Tattered Remnants grali największy koncert w całej swojej karierze, jako support dla Van Halen w Chavez Ravine. Przed wyjściem na scenę usłyszeli taki sam odgłos. Kiedy wysiedli z furgonu, wiedział czego ma się spodziewać i wyraz jego twarzy nie zmienił się, podczas gdy Ralph aż westchnął ze zdumienia.

Znajdowali się na trawniku przed wielkim hotelem-kasynem. Po obu stronach jego wejścia stały złote piramidy. Na trawniku ustawiono dwie ciężarówki z platformami, a na nich znajdowały się potężne, wykonane ze stalowych prętów klatki.

Otaczało ich morze ludzi.

Stali nierównym okręgiem wokół trawnika. Stali na parkingu przy kasynie i na schodach u wejścia do budynku, a także na podjeździe, gdzie niegdyś parkowali przyjeżdżający goście, podczas gdy odźwierny dźwiękiem gwizdka przyzywał boya hotelowego. Zajmowali również sporą część ulicy. Młodszy mężczyźni dźwigali na barkach swoje dziewczyny, aby lepiej mogły widzieć owo niecodzienne widowisko. Odgłos, który usłyszeli więźniowie, był szmerem wyczekującego tłumu.

Larry powiódł po nich spojrzeniem i każdy, na kogo spojrzał, odwracał wzrok. Twarze zebranych ludzi wydawały się blade, odległe, naznaczone śmiercią i świadome tego faktu. A jednak tu byli.

Popchnięto ich brutalnie w kierunku klatek, a gdy zaczęli iść, Larry zauważył czekające opodal samochody z łańcuchami zamocowanymi do haków holowniczych. To jednak Ralph zorientował się, czemu miały one służyć. Bądź co bądź Brentner przez całe życie pracował przy rozmaitych maszynach.

– Larry! – rzucił ochryple. – Oni zamierzają rozerwać nas na kawałki!

– Dalej, jazda – burknął Szczur, zionąc mu w twarz wonią nie przetrawionego czosnku. – Właż na górę, przyjemniaczku. Ty i twój koleś zaraz się trochę rozerwiecie.

Larry wspiął się na platformę.

– Zdejmij koszulę.

Larry wykonał polecenie i, półnagi, wyprostował się; poranny wietrzyk przyjemnie chłodził mu skórę. Ralph także zdjął koszulę. Tłum zaszemrał, ale rozmowy zaraz się urwały. Obaj mężczyźni po długiej wędrówce byli potwornie wychudzeni, widać im było wszystkie żebra..

– Wchodź do klatki, blada dupo.

Larry wszedł do środka.

Teraz rozkazy zaczął wydawać Barry Dorgan. Krążył od jednego punktu do drugiego, sprawdzając, czy wszystko było odpowiednio przygotowane. Jednak na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zdegustowania.

Czterej kierowcy wsiedli do samochodów i uruchomili silniki. Ralph stał przez chwilę jak otępiały, po czym schwyciwszy obręcz kajdanek przyspawaną do końca ciężkiego łańcucha zwisającego wewnątrz klatki, wyrzucił ją na zewnątrz przez otwór w ścianie. Bransoleta uderzyła Paula Burlsona w głowę, a cały tłum zachichotał nerwowo.

– Więcej tego nie rób, kolego – ostrzegł Dorgan. – Bo każę moim ludziom, aby cię przytrzymali.

– Niech robią swoje – rzekł do Ralphi Larry. Spojrzał na Dorgana. – Hej, Barry? Nauczyci cię tego na komendzie w Santa Monica?

Tłum znowu zareagował śmiechem.

– Policja to brutalne świny! – wrzasnął ktoś odważniejszy.

Dorgan zaczerwienił się, ale nie powiedział ani słowa. Przyciągnął łańcuch i wsunął głębiej do klatki Larry'ego. Ten spojrzął na łańcuch i splunął na niego, dziwiąc się, skąd zdołało się w jego ustach zebrać tyle śliny. Z tyłu tłumu dobiegły nieśmiało, radosne okrzyki, a Larry pomyślał: „Może to o to chodzi, może dojdzie tu do rozruchów, do powstania...”

W głębi serca jednak ani trochę w to nie wierzył. Ich twarze były zbyt blade, a oni zbyt skryci. Zuchwałe pokrzykiwania z tłumu nie miały znaczenia. To była dziecinada, nic więcej. Wyczuwał jednakże wśród nich głębokie powątpiewanie i niezadowolenie. Mimo to Flagg wciąż panował nad tymi ludźmi. Nie ulegało wątpliwości, że będą uciekać, wymykać się z Vegas pod osłoną nocy, przemierzając cichaczem wielką, wymarłą przestrzeń, którą stał się świat. Wędrowiec pozwoli im odejść, świadom, że musi zatrzymać przy sobie tylko tych najtwardszych, jak Dorgan i Burlson. Uciekinierów i nieposłusznych dopadnie kiedy indziej, odłoży to na później, niemniej nadejdzie taki dzień, kiedy każdy z nich zapłaci – i to słono – za utratę wiary. Tu i teraz nie było mowy o jawnym wszczęciu powstania.

Dorgan, Szczur i jeszcze jeden mężczyzna weszli do jego klatki. Szczur otworzył obręcze kajdanek przyspawanych do dwóch łańcuchów, aby zatrzaskać je na nadgarstkach Larry'ego.

– Rozłóż ręce – rozkazał Dorgan.

– Nie uważasz, Barry, że prawo i porządek to cudowna rzecz?

– Rozłóż ręce, do cholery!

– Kiepsko wyglądasz, Dorgan. Jak tam twoje serce?

– Mówię to po raz ostatni, kolego. Rozłóż ręce i przełóż je przez otwory w klatce!

Larry zrobił to. Obręcze kajdanek nałożono i zatrzasknięto na jego nadgarstkach. Dorgan i pozostali wyszli z klatki. Drzwi zostały zamknięte. Larry spojrzął w prawo i ujrzał Ralpha stojącego ze spuszczoną głową i rękami wzdłuż boków. Również jemu założono kajdanki.

– Ludzie, przecież wiecie, że to jest złe! – zawołał Larry, a głos, który wyrwał się z jego piersi, szkolony przez lata śpiewania w kapeli, zabrzmiał naprawdę donośnie. – Nie oczekuję, że to przerwiecie, ale spodziewam się, że przynajmniej to zapamiętacie. Zostaliśmy skazani na śmierć, ponieważ Randall Flagg boi się nas! Lęka się nas i ludzi, od których przychodzimy!

Tłum zaczął szemrać.

– Zapamiętajcie, w jaki sposób umarliśmy! I pamiętajcie, że wy możecie być następni. Będziecie umierać tak jak my, bez odrobiny godności, niczym zwierzęta w klatce!

Znów ten cichy szmer, narastający i gniewny... a potem cisza.

– Larry! – zawołał Ralph.

Po schodach wejściowych do hotelu schodził Randall Flagg w towarzystwie Lloyda Henreida. Mroczny mężczyzna miał na sobie dzinsy, kraciatą koszulę, dzinsową kurtkę z dwoma znaczkami wpiętymi w kieszonkę na piersi i swoje stare, znoszone kowbojki z pościeranymi obcasami. W nagłej ciszy jaka nagle zapadła, odgłos tych obcasów stukających o betonowe stopnie brzmiał niczym dźwięk spoza czasu.

Wędrowiec uśmiechał się.

Larry spojrział na niego. Flagg przystanął pomiędzy klatkami. Podniósł na nich wzrok. Jego uśmiech miał w sobie jakiś mroczny czar. Flagg w pełni nad wszystkim panował, a Larry zrozumiał nagle, że oto nadeszła jego wiekopomna chwila, jego piętnaście minut, apoteoza całego życia.

Flagg odwrócił się od nich i zlustrował swoich ludzi. Powiódł spojrzeniem po ich twarzach, ale żaden z zebranych nie odważył się unieść głowy.

– Lloyd – rzekł półgłosem, a Lloyd, pobladły, roztrzęsiony i dziwnie nieobecny podał Flaggowi zwój papieru.

Mroczny mężczyzna rozwinął go, uniósł w obu dłoniach i zaczął mówić. Głos miał głęboki, doniosły i przyjemny, rozchodził się w panującej wokół ciszy niczym pojedyncze, srebrne zmarszczki na tafli czarnego stawu.

– Niniejszym pragnę ogłosić treść wyroku, który prawdziwie i sprawiedliwie po rozważeniu całej sprawy ja, Randall Flagg, wydałem, podpisując moim nazwiskiem trzydziestego dnia września 1990 roku, znanego obecnie jako Rok Pierwszy albo Rok Plagi.

– Wcale nie nazywasz się Flagg! – zawołał Ralph. Tłum zaszemrał niepewnie. – Dlaczego nie wyjawisz im swego prawdziwego imienia?

Flagg w ogóle nie zwrócił na niego uwagi.

– Ludzie, których tu widzicie, Lawson Underwood i Ralph Brentner są szpiegami. Przybyli do Las Vegas potajemnie, pod osłoną nocy, z niecnymi zamiarami...

– To ci dopiero! – rzekł Larry. – Przecież szliśmy I-70 w biały dzień. Złapali nas na autostradzie międzystanowej w samo południe! – zawołał. – Czy to oznacza potajemnie i pod osłoną nocy?

Flagg niewzruszenie czytał dalej, jak gdyby czuł, że Larry i Ralph mają pełne prawo odpowiadać na oskarżenia... choć i tak nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Kohorty tych ludzi są odpowiedzialne za sabotaż i podłożenie bomb w śmigłowcach w Indian Springs, a co za tym idzie, ponoszą winę za śmierć Carla Hougha, Billa Jamiesona i Cliffa Bensa. Są winni morderstwa.

Wzrok Larry'ego spoczął na mężczyźnie stojącym na czele tłumu. Choć Larry tego nie wiedział, był to Stan Bailey, szef operacji w Indian Springs. Ujrzał wyraz zdumienia i konsternacji na twarzy tamtego i jego wargi poruszające się na tyle wyraźnie, że odczytał wypowiedziane przez niego słowo, brzmiące dość absurdalnie: „Śmieć”.

– Oświadczam niniejszym, że ci ludzie – wysłali przeciwko nam jeszcze innych szpiegów i zostali oni zabici. Wyrok może być tylko jeden, śmierć, i to zadana w sposób adekwatny do rangi ich plugawego czynu. Skazuję ich zatem na rozdarcie na sztuki. Wyrok zostanie wykonany niezwłocznie po jego ogłoszeniu. Obowiązkiem i powinnością każdego z was jest być świadkiem wymierzania tej kary, abyście to zapamiętali i opowiedzieli innym o tym, co tu dziś zobaczyliście.

Flagg uśmiechnął się szeroko, ale szczerząc zęby, bardziej niż człowieka przypominał raczej wygłodniałego rekina.

– Osoby z dziećmi mogą opuścić plac.

Odwrócił się w stronę samochodów, których silniki pracowały na jałowym biegu, a z rur wydechowych wypływały wąskie smużki spalin. W tej samej chwili wśród tłumu zebranych zrobiło się zamieszanie. Jakiś mężczyzna zaczął przeciskać się między nimi i po chwili wydostał się na otwartą przestrzeń. Był potężny, twarz miał równie bladą jak swój kucharski fartuch. Mroczny mężczyzna oddał zwój Lloydowi. Dłonie Henreida drgnęły konwulsyjnie, kiedy ujrzał wyłaniającego się z tłumu Horgana. Z cichym trzaskiem zwój został rozdarty na pół.

– Hej, ludzie! – zakrzyknął Whitney.

Tłum zaszemrał z przejęciem i wyraźnym zdumieniem. Whitney cały się trząsał. Raz po raz to spoglądał ku mrocznemu mężczyźnie, to odwracał wzrok. Flagg posłał Whitney'owi zjadliwy uśmiech. Dorgan ruszył w kierunku kucharza, ale Flagg powstrzymał go ruchem dłoni.

– To wszystko nieprawda! – zawołał Whitney. – Wiesz, że to nieprawda!

Tłum zamilkł. Zapadła grobowa cisza.

Na szyi Whitneya pojawiły się nabrzmiałe żyły. Jego jabłko Adama unosiło się i opadało jak małpka na patyku.

– Byliśmy kiedyś Amerykanami! – zakrzyknął w końcu Whitney. – Amerykanie tak nie postępują. Nie byłem nikim szczególnym, przyznaję, zaledwie kucharzem, ale wiem, że to nie po amerykańsku, byśmy tak stali i wysłuchiwali jakiegoś żądnego krwi dziwołaga w kowbojskich butach...

Z ust nowych mieszkańców Las Vegas dobył się zduszony okrzyk przerażenia i niepewności. Larry i Ralph wymienili spojrzenia. Oni również byli zaskoczeni tym, co się stało.

– Tym właśnie jest! – rzucił z naciskiem Whitney – Żądnym krwi dziwołagiem w kowbojskich butach. – Pot ściekał mu po twarzy niczym łzy. – Chcecie zobaczyć jak tych dwóch mężczyzn na waszych oczach zostanie rozerwanych na kawałki? Sądycie, że to dobry sposób na rozpoczęcie nowego życia? Wydaje się wam, że coś takiego kiedykolwiek może być słuszne i właściwe? Powiem wam coś, koszmar tej egzekucji będzie was dręczyć po kres waszych dni!

Tłum jednogłośnie przytaknął jego słowom.

– Musimy to przerwać – rzekł Whitney. – Zdajecie sobie z tego sprawę? Potrzebujemy czasu, by zastanowić się, o co... o co...

– Whitney.

Ten głos, miękki jak jedwab, nieco głośniejszy od szeptu, ale wystarczający by kucharzowi odjęło mowę. Mężczyzna odwrócił się w stronę Flagga, jego wargi wciąż

poruszały się bezgłośnie, oczy miał jednak martwe jak u śniętej ryby. Pot lał się z jego czoła strumieniami.

– Nie powinieneś się wychylać, Whitney. – Głos był cichy, ale wszyscy usłyszeli go bardzo wyraźnie. – Pozwoliłbym ci odejść... Po co mi ktoś taki jak ty?

Usta Whitneya poruszały się, lecz nie wydobywał się spomiędzy nich żaden dźwięk.

– Podejdź tu, Whitney.

– Nie – wyszeptał, ale nikt tego nie usłyszał poza Lloydem, Ralphem, Larrym i może również Barrym Dorganem. Stopy Whitneya poruszyły się jakby z własnej woli. Szurając podszwami czarnych trampek po gęstej trawie, mężczyzna jak duch zaczął przesuwać się w kierunku Wędrowca.

Zebrani obserwowali to widowisko z otwartymi ustami i osłupiałym wzrokiem.

– Wiedziałem o twoich planach – rzekł mroczny mężczyzna. – Wiedziałem, co zamierzasz, zanim jeszcze myśl ta zaświtała ci w głowie. Pozwoliłbym ci odejść i żyć gdzieś tam, na drugim końcu świata, dopóki nie byłbym gotowy upomnieć się o ciebie. Może stałoby się to za rok, a może za dziesięć lat. Ale teraz to już bez znaczenia, Whitney. Uwierz mi.

Whitney po raz ostatni wydobył z siebie głos i wrzasnął przeciągle:

– TY W OGÓLE NIE JESTEŚ CZŁOWIEKIEM! JESTEŚ JAKIMŚ CZARTEM Z PIEKŁA RODEM!

Flagg wyprostował palec wskazujący lewej ręki, niemal dotykając nim podbródka Horgana.

– Tak. To prawda – rzekł tak cicho, że usłyszeli go tylko Lloyd i Larry Underwood. – Jestem nim.

Z koniuszka palca Flagga, przy wtórze cichego trzasku wyładowania elektrycznego, wypłynęła niebieska kula ognia, nie większa od piłeczki ping-pongowej, którą tak lubił odbijać Leo.

Zebrani na placu westchnęli przeciągle; zabrzmiało to niczym jęk jesiennego wiatru.

Whitney krzyknął, lecz nie poruszył się. Kiedy ognista kula rozświetliła jego podbródek pojawił się nagle dławiący fetor palonego ciała. Kula przesunęła się po ustach mężczyzny, łącząc razem jego wargi i zamykając w ten sposób za nimi krzyk Whitneya. Przecięła jeden policzek, złościąc w nim czarną jak węgiel i natychmiast skauteryzowaną ranę.

Zamknęła mu oczy.

Zatrzymała się nad jego czołem, a Larry usłyszał, jak Ralph powtarza raz po raz bez końca te same słowa i natychmiast przyłączył się do niego szepcząc z przejęciem:

– Zła się nie ulękne... zła się nie ulękne... zła się nie ulękne...

Kula ognia przesunęła się po czole Whitneya w górę i po chwili czuć było swąd spalonych włosów. Pozostawiając po sobie groteskowy, łysy pas zwęglonej skóry, kula przetoczyła się na potylicę mężczyzny. Whitney przez chwilę zachwiał się na nogach, a potem runął, na szczęście upadając twarzą do ziemi.

Tłum wydał z siebie przeciągłe, podniosłe „Aaaaach!” Tak zwykle reagowali ludzie podczas wyjątkowo udanych pokazów fajerwerków na Święto Czwartego Lipca. Ognista kula zawisła w powietrzu, była teraz większa i zbyt jasna, by można na nią patrzeć bez zmruczenia powiek. Mroczny mężczyzna wskazał na nią i kula wolno popłynęła w powietrzu w stronę tłumu. Ci, którzy stali z przodu, w tym również Jenny Engstrom, cofnęli się trwożliwie.

Flagg grzącym głosem rzucił im wyzwanie.

– CZY JEST TU JESZCZE KTOŚ, KTO ŚMIE KWESTIONOWAĆ MÓJ WYROK? JEŻELI TAK, NIECHAJ SIĘ TERAZ ODEZWIE!

Jego słowa powitała głęboka cisza.

Flagg wyglądał na zadowolonego.

– Wobec tego zacznijmy...

Nagle ludzie jeden po drugim, nerwowo zaczęli odwracać głowy. Przez tłum przeszedł pomruk zdumienia, który błyskawicznie przerodził się w gwar. Flagg wydawał się kompletnie zbity z tropu. Ludzie zaczęli głośno krzyczeć i choć nie sposób było zrozumieć słów, w ich tonie wyczuwało się zaskoczenie i zdziwienie. Ognista kula wirowała nisko nad ziemią.

Larry usłyszał nagle dźwięk silnika elektrycznego. I znów wychwycił to zdumiewające imię, które chyba tylko jemu i Ralphowi nic nie mówiło, a dla wszystkich wiązało się z konkretną, szczególną osobą.

– Śmieć... Śmieciarz... Śmieć... Śmieciarz...

Jakby w odpowiedzi na wyzwanie mrocznego mężczyzny ktoś zaczął przebijać się przez tłum.

Flagg poczuł falę strachu wsączającą się do jego serca. Był to lęk przed nieznanym i nieoczekiwanym. Przewidział wszystko, nawet to kretyńskie, spontaniczne wystąpienie Whitneya. Przewidział wszystko z wyjątkiem tego. Tłum ludzi – jego ludzi – rozstępował się, usuwał z drogi. Rozległ się krzyk, wysoki, wyraźny i mrozący krew w żyłach. Ktoś nie wytrzymał napięcia i rzucił się do ucieczki. Jedna osoba, później druga. Wreszcie cały tłum, z trudem hamujący wybuch emocji, utracił kontrolę i dał się ponieść panice.

– Nie ruszać się! – zakrzyknął Flagg na całe gardło, lecz nic to nie dało.

Tłum stał się wichurą, a nawet mroczny mężczyzna nie mógł powstrzymać wiatru. Zaczął narastać w nim przerażający, bezsilny gniew, łącząc się z lękiem i tworząc nową, wybuchową mieszankę. Znów coś poszło nie tak. Znów w ostatniej chwili coś się nie udało, jak w przypadku tego starego prawnika w Oregonie, dziewczyny, która poderznęła sobie gardło kawałkiem szyby... i Nadine... Nadine, która spadła...

Rozpierzchli się na wszystkie strony, gnając jak króliki przez trawnik przed MGM Grand Hotel, biegnąc przez ulicę w kierunku Strip. Ujrzeni ostatniego z gości, który wreszcie raczył się pojawić niczym koszarne widmo rodem z najstraszliwszego horroru. A może zobaczyli

oblicze jakiejś srogiej, bezlitosnej, ostatecznej zemsty. I z pewnością ujrzeni, co przywiózł ze sobą powracający wędrowiec.

Kiedy tłum stopniał, Randall Flagg również to zobaczył, podobnie jak Larry, Ralph i zastygły w bezruchu Lloyd Henreid, wciąż trzymający w dłoniach przedarty na pół zwój.

Przybyłym okazał się Donald Merwin Elbert, znany teraz jako Śmieciarz, teraz i na zawsze, i na wieki wieków amen. Siedział za kierownicą długiego, zakurzonego wózka elektrycznego. Akumulatory wózka, choć niegdyś silne i pojemne, były niemal na wyczerpaniu. Wózek buczał, brzęczał i telepał się z boku na bok. Śmieciarz kołysał się w tył i w przód na swoim siedzeniu niczym oszalała marionetka.

Mężczyzna był w ostatnim stadium choroby popromiennej. Wypadły mu wszystkie włosy. Ręce widoczne spod strzępów koszuli, pokryte były otwartymi, owrzodzonymi ranami. Jego twarz przypominała poraną kraterami powierzchnię Marsa, z jednego z nich zaś wyzierało nieco wyblakłe, lecz wciąż niebieskie i przepelnione porażającą, żalną inteligencją oko. Stracił wszystkie zęby i paznokcie. Jego powieki były jak postrzępione płatki skóry.

Wyglądał jakby wyprowadził ten wózek z mrocznych i gorejących czeluści samego Piekła.

Flagg zastygły w bezruchu obserwował nadjeżdżającego. Nie uśmiechał się już. Znikły zdobiące jego policzki rumieńce, cera poszarzała. Jego twarz przywodziła na myśl okno z taflą czystego, przejrzystego szkła.

Z zapadniętej piersi Śmieciarza dobył się bulgoczący głos:

– Przywiozłem to... przywiozłem ci ogień... proszę... wybacz mi...

Lloyd zareagował pierwszy. Postąpił krok naprzód, potem drugi.

– Śmieciarzu... hej, Śmieciarzu... – Jego głos brzmiał gardłowo i ochryple.

Jedyne oko poruszyło się, z wyraźnym bólem odszukując Henreida.

– Lloyd? To ty?

– To ja, Śmieciarzu. – Lloyd był cały rozdygotany, podobnie jak jeszcze niedawno Whitney. – Hej, stary, co ty tam masz? Czy to...

– To Wielka Rzecz – odparł radośnie Śmieciarz. – Atomówka. – Zaczął kołysać się w przód i w tył na siedzeniu elektrycznego wózka niczym wierny na mszy z muzyką gospel. – To Wielka Rzecz. Bomba atomowa. Wielki ogień. Oddam za ciebie życie!

– Zabierz ja stąd, Śmieciarzu – wyszeptał Lloyd. – Ona jest niebezpieczna... Radioaktywna... Wywieź ją stąd i to zaraz...

– Lloyd, każ mu się tego pozbyć – wyszeptał niegdyś mroczny, a teraz raczej blady mężczyzna. – Niech ją odwiezie tam, gdzie ją znalazł. Niech...

Jedyne sprawne oko Śmieciarza zwęziło się w geście zakłopotania.

– Gdzie on jest? – zapytał i nagle jego głos przerodził się w agonalny skowyt. – Gdzie on jest? Nie ma go! GDZIE ON JEST? CO Z NIM ZROBILIŚCIE?

Lloyd zmusił się do jeszcze jednego, rozpaczliwego wysiłku.

– Śmieciarzu, musisz się pozbyć tej bomby. Zabierz...

Nagle Ralph wrzasnął na całe gardło:

– LARRY! LARRY! TO RĘKA BOGA! – Oblicze Ralpa przepełniło się nieprzepartą radością. Jego oczy lśniły. Spoglądał w górę, ku niebu.

Larry uniósł wzrok. Ujrzał kulę energii elektrycznej, którą Flagg wydobył ze swego palca. Urosła ona do gigantycznych rozmiarów. Wisiała w powietrzu, zniżając się coraz bardziej ku Śmieciarzowi, i sypiąc obficie iskrami. Larry niemal mimowolnie uświadomił sobie, że powietrze było tak przesycone ładunkami elektrycznymi, że wszystkie włosy na całym jego ciele stanęły dęba.

„A na niebie wisiało coś co wyglądało jak ręka...”

– NIEEE! – zawył mroczny mężczyzna przeciągle.

Larry spojrzał na niego... ale Flagga już tam nie było. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega coś strasznego... jakąś potworną istotę stojącą PRZED miejscem, gdzie znajdował się Flagg. Było to coś bryłowatego, zwalistego, mocno przygarbionego i prawie pozbawionego wyraźnego kształtu... coś co miało ogromne żółte ślepia przecięte ciemnymi, pionowymi kocimi źrenicami.

I po chwili zniknęło.

Larry ujrzał ubranie Flagga, kurtkę, dżinsy i buty stojące sztywno, choć nic już w nich nie było. Jeszcze przez mgnienie oka utrzymywały one kształt ciała, które dotąd się w nich znajdowało, po czym opadły na ziemię.

Sypiąca dokoła iskrami kula ognia unosząca się w powietrzu, pomknęła w kierunku żółtego wózka elektrycznego, na którym Śmieciarz jakimś cudem zdołał dotrzeć do Vegas aż z poligonu raketowego Nellis. Mężczyzna stracił włosy, wymiotował krwią, a nawet własnymi zębami, w miarę jak choroba popromienna wbijała w niego coraz głębiej swe niewidzialne pazury, a jednak nigdy, ani przez chwilę nie ogarnęło go zwątpienie, nie osłabło w nim również głębokie pragnienie dostarczenia bomby mrocznemu mężczyźnie. Był dla niego gotów na wszystko, mógł nawet oddać życie. Błękitna kula ognia nadpłynęła w stronę platformy wózka, szukając tego, co się na niej znajdowało, co ją przyciągało.

– Cholera, już po nas! – krzyknął przeraźliwie Lloyd Henreid. Osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

„O Boże, dzięki Bogu – pomyślał Larry. – Zła się nie ulękne. Zła się nie...”

Świat wypełnił się białym, cichym światłem.

I tak oto prawych razem z niegodnymi pochłonął święty ogień.

ROZDZIAŁ 74

Stu obudził się o świcie po nieprzespanej, ciężkiej nocy i leżał drżący, mimo że Kojak przez cały ten czas ogrzewał go swoim ciałem. Chłodne poranne niebo było czyste i błękitne, jednak Stu był cały rozpalony i miał silną gorączkę.

– Jestem chory – wykrztusił, a Kojak spojrział na niego. Pomachał ogonem, po czym potruchtał w głąb żlebu. Przyniósł suchą gałąź i położył przed Stu.

– Nie mówiłem „aport”, ale niech będzie – powiedział Stu.

Wysłał psa, aby przyniósł więcej patyków. Wkrótce zapłonęło ognisko. Nawet siedzenie przy nim nie pokonało dreszczy, choć pot ściekał mu strużkami po twarzy. Było to jak ostateczna ironia. Złapał grypę lub coś w tym rodzaju. Zachorował w dwa dni po odejściu Larry’ego, Ralpa i Glana. Przez dwa kolejne dni grypa jakby się zastanawiała, czy był wart, aby go zabrać. Najwyraźniej tak. Jego stan stopniowo się pogarszał. Tego ranka czuł się naprawdę fatalnie.

Wśród wielu rozmaitych drobiazgów Stu znalazł w jednej z kieszeni ogryzek ołówka, notes (wszystkie sprawy organizacyjne Wolnej Strefy, niegdyś wręcz kluczowe, wydawały mu się teraz trywialne i śmieszne) oraz kółko z kluczami. Długo przyglądał się temu ostatniemu, nieodmiennie dziwiąc się wywoływanym jego widokiem uczuciem smutku i nostalgii. Ten klucz był od mieszkania, a ten od szafki w pracy. Ten zapasowy od samochodu, mocno podrdzewiałego dodge’a rocznik 77, który, jeśli nic się nie zmieniło, stał nadal pod jego domem przy Thompson Street 31 w Arnette.

Przy kluczyku znajdowała się zafoliowana plakietka z nazwiskiem i adresem. STU REDMAN – THOMPSON STREET 31 TELEFON (713) 555-6283. Zdjął kluczyki z kółka, przez chwilę z zamyśleniem podrzucał je na dłoni, po czym cisnął daleko od siebie. Resztki człowieka, którym był, zniknęły z brzękiem w głębi parowu, gdzieś w kępach szalwii, gdzie jak podejrzewał pozostaną już na zawsze. Wyjął z folii swoją wizytówkę, po czym wyrwał z notesika czystą kartkę.

„Kochana Frannie” – napisał u samej góry.

Opowiedział jej o wszystkim, co się wydarzyło aż do dnia, kiedy złamał nogę. Napisał, że miał nadzieję zobaczyć się z nią ponownie, ale wątpił, by było mu to dane. Mógł jedynie

liczyć, że Kojak zdoła jakoś sam wrócić do Strefy. Odruchowo otarł wierzchem dłoni zażawione oczy i napisał, że bardzo ją kocha. „Spodziewam się, że przez jakiś czas będziesz mnie oplakiwać i wspominać, a potem jakoś ułożysz sobie życie. Ty i dziecko musicie żyć dalej. To teraz najważniejsze” – dokończył. Podpisał się, starannie złożył kartkę i włożył ją do plastikowej plakietki. Następnie przypiął kółko do obroży Kojaka.

– Dobry piesek – powiedział, gdy już się z tym uporał. – Chciałbyś się trochę rozejrzeć? Może znalazłbyś królika albo coś innego?

Kojak wbiegł na stok, z którego spadając, Stu złamał nogę, i zniknął. Stu odprowadził go wzrokiem z mieszaniną rozgoryczenia i rozbawienia, po czym sięgnął po puszkę 7-Up, którą Kojak przyniósł mu wczoraj zamiast kolejnego patyka. Napełnił ją błotnistą wodą z kałuży. Kiedy woda się ustała, muł osiadł na dnie. Co prawda była niesmaczna i stale coś zgrzytało mu w zębach, ale lepsze to niż nic. Pił powoli, łyk po łyku zabijając pragnienie. Przełykanie sprawiało mu ból.

– Życie jest okrutne – mruknął pod nosem, po czym zaśmiał się posępnie. Przez chwilę dotykał dłońmi opuchlizny na szyi, poniżej zuchwy, po czym znów się położył, wyciągając przed siebie uszkodzoną, obłożoną łubkami nogę i zapadł w płytki, niespokojny sen.

Obudził się gwałtownie w godzinę później, wbijając palce w piaszczysty grunt w przypływie nagłej paniki. Czy coś mu się przyśniło? Jakiś koszmar? Jeżeli tak, to trwał on nadal. Ziemia drgała pod jego dłońmi.

„Trzęsienie ziemi? Czy to trzęsienie ziemi?”

Przez chwilę starał się wmówić sobie, że mający, że kiedy spał, znów dostał silnej gorączki. Kiedy jednak spojrział w stronę parowu, ujrzał osypujące się ze stoku kaskady ziemi. Spadające w dół kamyki rzucały w jego przepelnione zdumieniem oczy świetlne refleksy, odbicia promieni słońca od odłamków miki i kwarcu. I wtedy rozległ się słaby, głuchy łoskot, który brutalnie wdarł się do jego uszu. Krótco potem Stu zaczął oddychać raptownie jakby z wnętrza parowu, pozostałości po niedawnej powodzi, odessano całe powietrze.

Z góry dobiegło ciche skomlenie. Kojak stał na krawędzi żlebu z podkulonym ogonem, spoglądając ku zachodowi, ku Nevadzie.

– Kojak! – zakrzyknął z przerażeniem Stu.

Ten głuchy łoskot nielecho go przeraził, zupełnie jakby Bóg tupnął nogą, gdzieś niedaleko stąd, na pustyni. Kojak zbiegł po stoku i, skomląc, podbiegł do niego. Kiedy Stu pogłaskał go po grzbiecie, poczuł, że pies cały dygocze. Musiał to zobaczyć, po prostu MUSIAŁ. I nagle ogarnęło go przekonanie graniczące z pewnością, że to, co miało się stać, właśnie się stało. TERAZ.

– Muszę wgramolić się na górę, stary – wykrztusił Stu.

Podczołgał się do podnóża wschodniego stoku. Był on nieco bardziej stromy, ale oferował lepsze oparcie dla rąk i nóg. Stu już od trzech dni rozważał perspektywę wspięcia się na szczyt, ale choć czuł, że może tego dokonać, nie widział w tym większego sensu. Tu, na dole, był doskonale osłonięty przed wiatrem i miał wodę. Teraz jednak musiał dostać się na górę. Musiał to zobaczyć. Złamaną i bezwładną nogę ciągnął za sobą jak maczugę. Podniósł się na rękach i uniósł głowę, aby dojrzeć szczyt stoku. Wydawał się bardzo odległy, wręcz niedostępny.

– Nie uda mi się, stary – mruknął do Kojaka, ale mimo to spróbował.

U podnóża zbocza zebrała się świeża sterta żwiru i ziemi osypanej podczas trzęsienia ziemi... czy cokolwiek to było. Stu przepelzł po niej i cał po cału, podciągając się rękoma i pomagając sobie lewym kolanem, rozpoczął wspinaczkę. Pokonał dwanaście jardów i obsunął się o sześć zanim, uchwyciwszy się kwarcowego występu skalnego, w końcu się zatrzymał.

– Nic z tego, nie mam szans – wysapał i odpoczywał przez chwilę.

W dziesięć minut później ruszył dalej i przebył kolejne dziesięć jardów. Znowu odpoczywał. Kiedy trochę odsapnął, podjął przerwana wspinaczkę. Dotarł do miejsca, gdzie nie miał się już czego uchwycić i musiał odbić w lewo, aż w końcu znalazł dogodnie dla siebie oparcie. Kojak przez cały czas mu towarzyszył, bez wątpienia zastanawiając się, co kombinował ten skończony kretyn porzucając wodę i przyjemne, ciepłe ognisko.

„Ciepło, zbyt ciepło”.

Znowu miał nawrót gorączki, ale przynajmniej dreszcze ustąpiły. Pot spływał mu strużkami po twarzy i ramionach. Włosy, tłuste i zakurzone, wpadały do oczu.

„Boże, cały płonę. Mam pewnie ponad sto stopni gorączki”.

Spojrzał na Kojaka. Zrozumienie sensu tego, co zobaczył, zajęło mu dobrą minutę. Kojak ziajał. To nie była gorączka, a przynajmniej nie tylko gorączka. Kojakowi też było za ciepło.

Pod niebo wzbilo się stado ptaków, latały bez żadnego widocznego celu, skrzecząc ochryple.

„One także to czują. Czymkolwiek to jest, ptaki to czują”.

Znowu zaczął pełznąć pod górę, a strach dodał mu sił. Minęła godzina, potem druga. Walczył o każdą stopę, każdy kolejny cał zbocza. O pierwszej po południu znajdował się jedynie sześć stóp poniżej krawędzi stoku. Widział nad sobą postrzępiony kraniec zarwanej szosy.

Tylko sześć stóp, ale zbocze było na tym odcinku wyjątkowo gładkie i strome. Próbował wpełznąć wyżej jak wąż, ale wywołał tylko lawinę małych kamyków, żwirowego podkładu autostrady międzystanowej i obawiał się teraz wykonać choćby jeden gwałtowniejszy ruch, by nie runąć z powrotem na dno parowu i nie wylądować tam z być może złamaną również drugą nogą.

– Utknąłem – wymamrotał. – I co teraz, u licha?

Odpowiedź pojawiła się nagle i była wręcz oczywista. Mimo że się nie ruszał, ziemia pod nim zaczęła się osypywać. Ześlizgnął się o cal i wbił obie dłonie w ziemię, aby nie spaść niżej. Złamana noga pulsowała tępym bólem, a on nie pomyślał, by włożyć do kieszeni pigułki Glena.

Zsunął się jeszcze o dwa cale. I o kolejnych pięć. Jego lewa stopa zawisła w próżni. Wisiał tylko na rękach, ale wciąż się obsuwał, orząc w wilgotnej glebie dziesięć wąskich, płytkich bruzd.

– Kojak! – krzyknął przejmująco, choć nie oczekiwał niczego. I nagle Kojak znalazł się tuż przy nim. Stu niemal na oślep zarzucił psu ramiona na szyję, nie spodziewając się ocalenia lecz działając odruchowo jak tonący, który chwytą się tego, co wpadnie mu w ręce. Kojak nie próbował uwolnić się z jego uścisku. Zaparł się mocno. Przez chwilę wyglądali jak zastygła w bezruchu, żywa rzeźba. I nagle Kojak poruszył się, zapierając się przednimi łapami i cal po calu przesuwając się pod górę. Pazury psa zgrzytały na małych kamykach i kawałkach żwiru. Grudy ziemi prysnęły prosto w twarz Stu i mężczyzna zamknął oczy. Kojak zaczął wlec go ku krawędzi stoku, dysząc mu wprost do ucha.

Stu lekko otworzył oczy i ujrzał, że byli prawie u szczytu. Kojak schylił łeb. Jego tylne łapy pracowały bez wytchnienia. Jeszcze cztery cale i było po wszystkim. Z rozpaczliwym okrzykiem Stu puścił szyję Kojaka i obiema dłońmi złapał się krawędzi zarwanej szosy. Ostry występ trzasnął i został mu w rękach. Stu schwycił się sąsiedniego. Zdarł sobie przy tym dwa paznokcie i krzyknął przeraźliwie. Ból był dojmujący i elektryzujący zarazem. Stu podciągnął się w górę, podparł się zdrową nogą i nareszcie jakimś cudem wczołgał się na autostradę. Położył się na wznak na asfalcie i przez dłuższą chwilę leżał z zamkniętymi oczami, sapiąc jak lokomotywa. Obok niego pojawił się Kojak. Pies zaskomlał i polizał Stu po twarzy. Mężczyzna usiadł powoli i przeniósł wzrok ku zachodowi. Patrzył przez dłuższą chwilę, nie zwracając uwagi na żar, który wciąż omiatał jego twarz ciepłymi, kojącymi falami.

– O Boże – wykrztusił po chwili słabym, łamiącym się głosem. – Spójrz tylko, Kojak. Larry. Glen. Już po nich. Nie ma ich. Boże. Nic już nie ma. Nic nie pozostało. Wszystko odeszło.

Na horyzoncie widać było wyraźnie wielką grzybiastą chmurę, przywodzącą na myśl zaciśniętą pięść na końcu długiego, pylistego przedramienia. Gigantyczny grzyb, postrzępiony i wirujący na krańcach, powoli zaczynał się rozwiewać. Miał pomarańczowo-czerwoną, stonowaną barwę, jakby słońce postanowiło zejść tego dnia o kilka godzin wcześniej niż powinno.

„Ognista burza” – pomyślał.

Wszyscy, którzy znajdowali się w Las Vegas, zginęli. Ktoś bawił się ogniem w niebezpieczny sposób i najwyraźniej doprowadził do detonacji bomby atomowej... bomby o olbrzymiej mocy, sądząc po wyglądzie grzyba i odczuwalnych efektach wybuchu. Może doszło do eksplozji całego arsenału nuklearnego w którejś z baz. Glen, Larry, Ralph... nawet

jeśli nie dotarli jeszcze do Vegas, musieli być dostatecznie blisko, aby usmażyć się żywcem w atomowym ogniu.

Siedzący przy nim Kojak zapiszczał żałośnie.

„Opad radioaktywny. W którą stronę powieje wiatr?”

Czy to ważne?

Przypomniawszy sobie o kartce do Fran. Było bardzo ważne, aby dopisał na niej, co się wydarzyło. Jeśli wiatr skieruje radioaktywną chmurę na wschód, może to przysporzyć im wielu problemów... ważniejsze jednak było powiadomienie wszystkich mieszkańców Wolnej Strefy, że Las Vegas, uznawane przez nich za bazę mrocznego mężczyzny, przestało istnieć. Znajdujący się tam ludzie wyparowali wraz ze swymi zabójczymi zabawkami, które tylko czekały, aby ktoś je zebrał. Postanowił dopisać na kartce tych kilka arcyważnych dla nich informacji.

Ale nie teraz. Był zbyt zmęczony. Wspinaczka niezwykle go wyczerpała, a porażający widok rozwiewającej się gigantycznej chmury atomowej w kształcie grzyba pozbawił Stu resztek sił. Nie czuł radości ani uniesienia, a jedynie tępe, przygniatające zmęczenie. Położył się na asfalcie i ostatnią świadomą myślą, która zaświtała mu w głowie zanim zapadł w sen, było: „Ile miała megaton?” Nie sądził, aby ktokolwiek mógł albo chciał to wiedzieć.

Obudził się po szóstej. Wielka chmara w kształcie grzyba zniknęła, ale niebo na zachodzie miało wściekle różowoczerwoną barwę jak świeży ślad po uderzeniu lub oparzeniu. Stu doczołgał się do środkowego pasa autostrady i położył się na nim ponownie wyczerpany. Dreszcze powróciły. Podobnie jak gorączka. Dotknął nadgarstkiem czoła, usiłując oszacować temperaturę. Musiał mieć dobrze ponad sto stopni Fahrenheita.

Kojak zjawił się wczesnym wieczorem, niosąc upolowanego królika. Położył go przed Stu i zamachał ogonem, oczekując pochwały.

– Dobry piesek – powiedział zmęczonym głosem Stu. – Bardzo dobry.

Kojak pomachał ogonem nieco szybciej, jakby potakiwał. „Tak, to prawda, jestem dobrym psem”. Wciąż jednak wpatrywał się w Stu, jakby na coś czekał. Rytuał nie został zakończony, czegoś w nim brakowało. Stu zastanawiał się, czego. Jego umysł pracował bardzo wolno, jak gdyby, kiedy spał, ktoś nalał w tryby tej skomplikowanej maszyny gęstej melasy.

– Dobry piesek – powtórzył i spojrzał na zabitego królika. Wreszcie sobie przypomniał, choć nie wiedział, czy ma jeszcze zapalki. – Aport, Kojak. Aport – powiedział, głównie po to, by sprawić przyjemność psu.

Kojak pognał na dół i niebawem wrócił z solidnym kawałkiem suchego drewna.

Miał zapalki, ale zerwał się silny wiatr, a na dodatek Stu trzęsły się ręce. Rozpalenie ogniska zajęło mu dużo czasu. Chrust zapalił się dopiero przy dziesiątej zapalce, a w chwilę później silniejszy podmuch wiatru zgasił wąty ogienek. Stu starannie rozpoczął cały rytuał od nowa, osłaniając płomyk ciałem i dłońmi. Zostało mu jeszcze osiem zapalek. Upiekł królika,

oddał Kojakowi jego połowę, ale sam zjadł bardzo niewiele. To co zostało, rzucił psu. Kojak nie tknął mięsa. Spojrzał na nie, a potem na Stu i pisnął niepewnie.

– Jedz śmiało, stary, ja nie mogę.

Kojak zjadł porcję Stu. Ten spojrzał na psa i zadygotał. Dwa koce, które miał, zostały rzecz jasna na dole.

Zaszło słońce, ale niebo na zachodzie wciąż miało dziwną barwę. Był to najbardziej widowiskowy zachód słońca, jaki Stu oglądał w swoim życiu... i na dodatek zabójczy. Pamiętał jak narrator z *Movie Tone* w początkach lat sześćdziesiątych entuzjastycznie opisywał niezwykle zachody słońca występujące jeszcze wiele dni po dokonaniu próby z bombą jądrową. I, ma się rozumieć, po trzęsieniu ziemi.

Kojak wyłonił się z parowu, wlokąc coś w pysku, jeden z koców Stu. Upuścił koc na podolek mężczyzny.

– Wiesz co – rzekł Stu, pieszczotliwie gładząc psa po grzbiecie drżącymi dłońmi. – Niezwykły z ciebie pies. Słowo daję.

Kojak pomachał ogonem, dając mu do zrozumienia, że wie o tym doskonale. Stu otulił się kocem i przyczołgał bliżej ogniska. Kojak położył się przy nim i wkrótce obaj usnęli. Stu spał jednak niespokojnie i przez sen majaczył. Kilka minut po północy obudził Kojaka głośnym krzykiem.

– Hap! – zawołał Stu. – Lepiej wyłącz pompy. On nadchodzi. Czarny człowiek idzie po ciebie! Lepiej wyłącz pompy! Jest w tamtym starym samochodzie!

Kojak zaskomlał niepewnie. Mężczyzna był chory. Czuł woń choroby i jeszcze jedną, całkiem nową, która się z nią mieszała. Czarną woń. Taką samą wydzielaly króliki, kiedy się na nie rzucał. I tamten wilk, któremu wypruł flaki pod chatką Matki Abigail w Hemingford Home. Czuł tę woń w miasteczkach, które mijał w drodze do Boulder i Glena Batemana. To była woń śmierci. Gdyby mógł ją zaatakować i wypędzić z tego człowieka, zrobiłby to. Ale ona była w nim, w środku. Mężczyzna wciągał powietrze i wydychał woń nadchodzącej śmierci, a on nie mógł nic na to poradzić. Mógł jedynie czekać i obserwować to aż do samego końca. Kojak ponownie zaskomlał, tym razem znacznie ciszej i usnął.

Następnego ranka Stu obudził się z większą niż kiedykolwiek dotąd gorączką. Opuchlizna poniżej żuchwy miała wielkość piłek do golfa. Jego oczy przypominały rozpalone węgle.

„Umieram... tak, to pewne”.

Stu przywołał Kojaka i zdjął z jego obroży kółko do kluczy z plakietką adresową. Wyjął kartkę z folii, dopisał starannie to, co widział, i włożył ją z powrotem. Następnie położył się i zasnął. A potem, gdy się obudził, znów było już prawie ciemno. W zachodniej części nieba rozpalili się przerażający ognisty zmierzch. Tego wieczoru Kojak przyniósł na kolację susła.

– To wszystko, na co cię stać?

Kojak pomachał ogonem, jakby z zawstydzeniem.

Stu upiekł susła, podzielił i zdołał zjeść całą swoją połowę. Mięso było twarde i miało obrzydliwy posmak. Po jego zjedzeniu Stu rozboleł brzuch.

– Chciałbym, żebyś, jak umrę, wrócił do Boulder – zwrócił się do psa. – Wróc tam i znajdź Fran. Znajdź Frannie. W porządku, ty wielki, głupi kundlu?

Kojak jakby z powątpiewaniem zamachał ogonem.

W godzinę później Stu znów poczuł silny ból żołądka. To było ostrzeżenie. Zdążył się tylko odwrócić i unieść na łokciu, ale to wystarczyło, aby się nie ubrudził, kiedy w tempie ekspresowym zwrócił zjedzoną niedawno kolację.

– Cholera – mruknął ze smutkiem i zapadł w lekką drzemkę.

Obudził się nad ranem. Uniósł się na łokciach, w głowie szumiało mu z gorączki. Ognisko wygasło, ale to nie miało już większego znaczenia dla niego. Czuł, że to już koniec.

Obudził go jakiś dźwięk dochodzący z ciemności. Grzechot kamieni i żwiru. To pewnie tylko Kojak wspinający się na zbocze po nocnej wyprawie...

Ale Kojak spał obok niego.

Kiedy Stu na niego spojrział, pies obudził się. Uniósł łeb z przednich łap i po chwili stał już, czujnie gapiąc się w kierunku parowu i gardłowo powarkując.

Grzechot żwiru i kamieni. Ktoś... lub coś... wspinało się pod górę.

Stu mozolnie podniósł się do pozycji siedzącej. „To On – pomyślał. – Był tam, ale w jakiś sposób zdołał uciec. A teraz jest tutaj i ma zamiar załatwić mnie zanim zrobi to grypa”.

Warkot Kojaka wzmógł się. Pies zjeżył sierść i opuścił łeb. Szuranie i grzechot przybliżyły się. Stu usłyszał czyjś zadyszany oddech. Przez chwilę było kompletnie cicho. Stu dłonią otarł spocone czoło. Potem na skraju zbocza pojawił się ciemny kształt, głowa i ramiona przesłoniły gwiazdy.

Kojak ruszył w jego stronę na sztywnych łapach. Przez cały czas warczał.

– Hej! – rozległ się zdumiony, choć znajomy głos. – Kojak, to ty? Czy to ty, Kojak?

Warkot w okamgnieniu ucichł. Kojak radośnie popędził naprzód, wymachując ogonem.

– Nie! – wychrypiał Stu. – To jakaś podstępna sztuczka! KOJAK!...

Ale Kojak już podskakiwał wesoło wokół postaci, która wgramoliła się wreszcie na zarwaną autostradę. I ta sylwetka... ona również miała w sobie coś znajomego. Ruszyła w jego stronę z psem idącym tuż przy nodze. Kojak poszczekiwał wesoło. Stu oblizał wargi, gotów stoczyć swą ostatnią walkę, gdyby zaszła taka potrzeba. Był pewien, że potrafiłby jeszcze raz czy dwa mocno uderzyć.

– Kto tam? – zawołał. – Kto idzie?

Mroczna postać przystanęła, po czym znowu się odezwała.

– Jak to kto? To ja, Tom Cullen, K-S-I-E-Ż-Y-C, to znaczy Tom Cullen. A kto pyta?

– Stu – odparł ochryplym, dziwnie odległym głosem. Wszystko wydawało mu się odległe. – Cześć, Tom, miło cię znowu widzieć.

Ale nie zobaczył go. Nie tej nocy. Stu stracił przytomność.

Doszedł do siebie o dziesiątej rano, drugiego października, choć ani on ani Tom nie wiedzieli, jaki jest dzień. Tom zbudował wielkie ognisko i otulił Stu swoimi kocami oraz śpiworem. Tom siedział obecnie przy ognisku i piekł królika. Kojak, wyraźnie zadowolony, leżał pomiędzy nimi na ziemi.

– Tom – wychrypiał Stu.

Tom podszedł do niego. Stu zauważył, że tamten miał brodę i prawie nie przypominał już mężczyzny, który przed pięcioma tygodniami opuścił Boulder, udając się na zachód. Jego niebieskie oczy promieniały radością.

– Stu Redman! Obudziłeś się, słowo daję, tak! Cieszę się. Chłopie, jak się cieszę, że cię widzę! Co z twoją nogą? Chyba uszkodzona, co? Tak sędzę. Ja też miałem kiedyś uszkodzoną nogę. Złamaną, znaczy się. Skoczyłem ze stogu siana i złamałem ją sobie. Tata bardzo mnie wtedy zbił. Słowo daję, tak! Był na mnie zły. To się stało jeszcze zanim uciekł z DeeDee Packalotte...

– Ja też mam złamaną nogę. To poważne złamanie, Tom. Bardzo chce mi się pić...

– Przecież jest woda. Jest dużo wody. Ile tylko chcesz. Proszę.

Podał Stu plastikową butelkę, w której kiedyś mogło znajdować się mleko. Woda była czysta i smaczna. Bez odrobiny mułu. Stu wypił łączywie i zaraz wszystko wymiotował.

– Powoli i spokojnie, tak trzeba – powiedział Tom. – To podstawa. Powoli i spokojnie. Chłopie, jak się cieszę, że ciebie widzę. Zraniłeś się w nogę, prawda?

– Tak. Złamałem. Jakiś tydzień temu, może trochę więcej. – Wypił kilka łyków wody i tym razem żołądek przyjął ją spokojnie. – Ale nie chodzi tylko o moją nogę, Tom. Jestem chory. Bardzo chory, Tom. Mam gorączkę. Posłuchaj mnie.

– Jasne. Tom słucha. Powiedz tylko, co mam zrobić.

Tom nachylił się ku niemu, a Stu pomyślał: „Rany, on wydaje się znacznie bystrzejszy niż przedtem. Czy to możliwe? Gdzie się podziewał przez ten czas? Czy wiedział, co się stało z Sędzią albo z Dayną?” Było tyle spraw, o których chciał z nim porozmawiać, ale nie miał na to teraz czasu. Jego stan się pogarszał. W piersiach mu grzechotało jakby miał zamiast płuc dwa zwoje otulonego warstwą waty łańcucha. Symptomy przypominały nieco supergrypę. To mogło nawet wydawać się zabawne.

– Muszę zbić tę gorączkę – powiedział do Toma. – To po pierwsze. Potrzebuję aspiryny. Wiesz, co to jest aspiryna?

– Jasne. Aspiryna. Przynosi szybką ulgę.

– Właśnie tak. Idź wzdłuż tej szosy, Tom. Zajrzyj do schowka na drobiazgi w każdym napotkanym po drodze samochodzie. Szukaj apteczki samochodowej, to będzie takie nieduże pudełko z czerwonym krzyżykiem w białym kółku. Kiedy znajdziesz w którymś z tych pudełek aspirynę, przynieś mi. A jeśli natkniesz się na samochód ze sprzętem turystycznym, przynieś również namiot. W porządku?

– Jasne. – Tom wstał. – Aspiryna i namiot, a wtedy ty wyzdrowiejesz, tak?

– Cóż, od czegoś trzeba zacząć.

– Powiedz mi – rzekł Tom – co z Nickiem? Wciąż mi się śni. W snach mówi mi, dokąd mam iść, bo w snach może mówić. Sny bywają zabawne, prawda? Ale kiedy ja próbuję coś mu powiedzieć, zaraz odwraca się i odchodzi. Nic mu nie jest, prawda? – Tom spojrzał na Stu z niepokojem.

– Nie teraz – mruknął Stu. – Ja... nie mogę teraz mówić. W każdym razie nie o tym. Przynieś tę aspirynę. Potem pogadamy.

– Dobrze... – Jednak oblicze Toma wyraźnie spochmurniało, jakby zasnuła je wielka szara chmura. – Kojak, chcesz pójść z Tomem?

Chciał. Odeszli razem, kierując się na wschód. Stu położył się na asfalcie i przesłonił oczy przedramieniem.

Kiedy Stu znów powrócił do rzeczywistości, zapadał zmrok. Tom potrząsał nim.

– Stu! Obudź się! Obudź się, Stu!

Przerażało go, w jaki sposób umykały mu z życia całe długie godziny – jakby tryby jego prywatnej rzeczywistości zaczęły się zacierać. Tom pomógł mu usiąść, a gdy już usiadł, Stu musiał pochylić nisko głowę i zakasać. Kaszłał tak długo i mocno, że niemal znów stracił przytomność. Tom obserwował go z niepokojem. Stopniowo Stu doszedł jakoś do siebie. Otulił się szczelniej kocem. Znów dygotał.

– Co znalazłeś, Tom?

Tom pokazał mu apteczkę. Wewnątrz znajdowały się plastry z opatrunkiem, gencjana i duża butelka anacinu. Stu z przerażeniem stwierdził, że nie potrafi poradzić sobie z nakrętką mającą zabezpieczenie przed dziećmi. Musiał oddać butelkę Tomowi, by ten w końcu ją otworzył. Stu połknął trzy tabletki anacinu, popijając je wodą z plastikowej butelki.

– Znalazłem również to – powiedział Tom. – W tamtym wozie było sporo sprzętu turystycznego, ale ani jednego namiotu. – Był to wielki, puchaty, podwójny śpiwór, z zewnątrz krzykliwie pomarańczowy, od środka zaś z wzorem w gwiazdy i pasy.

– Tak. Świetnie. Prawie tak dobry jak namiot. Świetnie się spisałeś, Tom.

– I mam jeszcze to. Były w tym samym aucie. – Tom sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął pół tuzina foliowych pakietów.

Stu niemal nie wierzył własnym oczom. Mrożono-suszone koncentraty. Jajka, groszek. Dynia. Suszona wołowina.

– To jedzenie, prawda, Stu? Są na nich zdjęcia jedzenia, słowo daję, tak.

– To JEST jedzenie – potaknął Stu z wdzięcznością w głosie. – Chyba jedyne, które mogę przełknąć. – Szumiało mu w głowie, a gdzieś w głębi jego umysłu przez cały czas rozbrzmiewało to mdląco-słodkie wysokie C. – Czy możemy zagotować trochę wody? Nie mamy garnka ani rondla.

– Poszukam.

– Świetnie.

– Stu...

Stu spojrział w to zakłopotane, przepelnione smutkiem oblicze, twarz dziecka, pomimo gęstej brody i wolno pokręcił głową.

– On nie żyje, Tom – rzekł łagodnie. – Nick nie żyje. To się stało prawie miesiąc temu. Przykra sprawa... polityczna. Był zamach. Tak to chyba można określić. Przykro mi.

Tom spuścił głowę i w blasku niedawno rozpalonego ogniska Stu ujrzał wielkie krople łez skapujące na jego podolek. Spadały jak srebrny deszcz; Tom milczał. Kiedy w końcu uniósł wzrok, jego niebieskie oczy wydawały się żywsze niż kiedykolwiek. Otarł je wierzchem dłoni.

– Wiedziałem, że tak się stało – wyszeptał. – Nie chciałem tego do siebie dopuścić, ale wiedziałem. Słowo daję, tak. On stale się ode mnie odwracał i odchodził. Bardzo go lubiłem Stu, najbardziej ze wszystkich, wiedziałeś o tym?

Stu dotknął jego wielkiej dłoni.

– Wiedziałem, Tom.

– Tak, właśnie jego lubiłem najbardziej. Słowo daję, tak. Bardzo za nim tęsknię. Brakuje mi go. Ale zobaczę się z nim znowu w niebie. Tom Cullen spotka się tam z nim. On będzie mógł mówić, a ja będę lepszy w główkowaniu. Czy tak?

– Wcale by mnie to nie zdziwiło, Tom.

– To zły człowiek zabił Nicka. Tom wie. Bóg jednak zajął się złym człowiekiem. Wiedziałem to. Z nieba spłynęła ręka Boga. – Nad pustkowiem Utah wiał lodowaty wiatr i Stu, czując jego podmuchy, gwałtownie zadygotał. – Ukarzał go za to, co zrobił z Nickiem i z tym biednym Sędzią, słowo daję.

– Co wiesz o Sędzim, Tom?

– Zginął! W Oregonie! Zastrzelony!

Stu ze znużeniem pokiwał głową.

– A Dayna? Wiesz coś o niej?

– Tom ją widział, ale nic więcej nie wie. Dali mi robotę. Sprzątanie. Kiedy wracałem któregoś dnia, widziałem ją przy pracy. Zmieniała żarówki w latarni ulicznej. Spojrzała na mnie i... – Zamilkł na chwilę, a kiedy znów się odezwał, mówił bardziej do siebie niż do Stu. – Czy zauważyła Toma? Czy go rozpoznała? Tom nie wie. Myśli... że chyba tak. Ale Tom już nigdy jej nie widział.

Niedługo potem Tom znów wybrał się na łowy, zabierając ze sobą Kojaka, a Stu zapadł w drzemkę. Kiedy wrócił, nie miał przy sobie, na co liczył Stu, wielkiej blaszanej puszkii, lecz brytfannę, dostatecznie dużą, by można w niej upiec świątecznego indyka. Najwyraźniej na pustyni można było znaleźć niejednego skarbu. Stu uśmiechnął się pomimo bolących pęcherzy na wargach. Tom powiedział, że wziął brytfannę z wielkiej pomarańczowej ciężarówki z „U” na

skrzyni. „Najwyraźniej ktoś starał się uciec przed supergrypą z całym swoim doczesnym dobytkiem – skonstatował Stu. – Jak widać, nie na wiele mu się to zdało”.

Pół godziny później posiłek był gotowy. Stu jadł ostrożnie, głównie warzywa, rozcieńczając koncentraty wodą w cienki grysik. Nie zwymiotował i przynajmniej na pewien czas poczuł się lepiej. Wkrótce po kolacji Stu i Tom położyli się spać; Kojak znalazł sobie dogodne miejsce pomiędzy nimi.

– Tom, posłuchaj mnie.

Tom nachylił się nad wielkim, puchatym śpiworem Stu. Był ranek dnia następnego. Stu zjadł skromne śniadanie, gardło miał obolałe i mocno opuchnięte, stawy paliły żywym ogniem. Coraz bardziej kasłał, zaś anacin nie zdołał zbić gorączki.

– Muszę dotrzeć do miasta, położyć się w jakimś domu i zacząć przyjmować silniejsze lekarstwa, albo umrę. To musi się stać jeszcze dziś. Najbliższe miasto to Green River, sześćdziesiąt mil na wschód stąd. Będziemy musieli zdobyć jakiś samochód, aby się tam dostać.

– Tom Cullen nie umie prowadzić samochodu, Stu. Słowo daję, nie!

– Tak, wiem. To będzie dla mnie nie lada zadanie, gdyż jestem w fatalnym stanie i na dodatek złamałem niewłaściwą nogę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Cóż... nieważne. To zbyt trudne do wytłumaczenia. Nie będziemy się tym przejmować, ponieważ akurat nie to jest najważniejsze. Podstawowy problem to uruchomienie samochodu. Większość z nich stoi tu od trzech miesięcy, albo nawet dłużej. Ich akumulatory muszą być zupełnie wyładowane. Potrzeba nam odrobiny szczęścia. Musimy znaleźć na jednym z tych wznieśnię samochód ze standardową dźwignią zmiany biegów. To się może udać. Okolice jest pełna pagórków. – Nie dodał, że wóz powinien być na chodzie, mieć zapas paliwa i kluczyk w stacyjce; wszyscy bohaterowie filmów telewizyjnych umieli zapalać samochód, łącząc ze sobą dwa styki, ale Stu nie miał o tym zielonego pojęcia. Wbił wzrok w zachmurzone niebo. – Teraz wiele zależy od ciebie, Tom. Będziesz moimi nogami.

– W porządku, Stu. Czy kiedy znajdziemy samochód, wrócimy do Boulder? Tom chce wrócić do Boulder, a ty?

– Bardziej niż cokolwiek innego, Tom.

Spojrzał w kierunku Gór Skalistych, gdzie horyzont zasnuty był posępnyymi cieniami. Czy na tamtejszych przełęczach zaczął już padać śnieg? Prawie na pewno tak. A jeżeli nie, to już niedługo spadnie. Tu, na tej wysokości i odludziu, zima przychodziła szybko.

– To może trochę potrwać – powiedział. – Od czego zaczniemy?

– Od wykonania włóków.

– Włó... czego?

Stu dał Tomowi swój scyzoryk.

– Musisz wyciąć dziury w dolnej części tego śpiwora. Z obu stron.

Zrobienie włóków zajęło im godzinę. Tom znalazł dwie niemal zupełnie proste tyczki, aby przepchnąć je przez śpiwór i wycięte otwory. Następnie z samochodu, w którym znalazł brytfannę, zabrał spory zwój sznura, a Stu za jego pomocą przymocował tyczki do śpiwora. Kiedy skończył, to co powstało bardziej przypominało Stu szaloną riksę niż włoki używane przez Indian z wyżyn.

Tom dźwignął tyczki i z powątpiewaniem obejrzał się przez ramię.

– Jesteś tam, Stu?

– Tak, Tom. – Zastanawiał się, jak długo wytrzymają szwy śpiwora. – I jak, Tom, jestem bardzo ciężki?

– Nie jest źle. Mogę cię ciągnąć bardzo długo. Wista, wio!

Ruszyli. Parów, w którym Stu złamał nogę – i gdzie był pewien, że przyjdzie mu pożegnać się z życiem – powoli zostawał w tyle, za nimi. Stu mimo osłabienia poczuł w sobie przypływ gwałtownej radości i uniesienia. A więc nie umrze. W każdym razie nie w tym miejscu. Stanie się to gdzieś indziej i prawdopodobnie niebawem, ale przynajmniej nie wyzionie ducha samotnie na dnie błotnistej uskoku po zerwanym odcinku autostrady. Śpiwór kołysał się w tę i z powrotem, przynosząc mu chwilowe ukojenie. Zapadł w drzemkę. Tom ciągnął go niewzruszenie pod osłoną zasnutego ciemnymi chmurami nieba. Obok nich wolno truchtał Kojak.

Stu obudził się, kiedy Tom położył włoki na ziemi.

– Przepraszam – powiedział. – Musiałem dać odpocząć rękom.

Przez chwilę rozluźniał ramiona.

– Odpoczywaj, ile chcesz – powiedział Stu. – Gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy. – Czuł potworne łupanie pod czaszką. Znalazł buteleczkę anacinu i bez popijania połknął dwie tabletki. Gardło miał wyschnięte na wiór i czuł jakby jakiś sadystyczny Szawel przypalał je zapalkami. Obejrzał sznury śpiwora. Pękały, tak jak się spodziewał, ale póki co sytuacja nie była jeszcze krytyczna. Pięli się pod górę wysokiego, łagodnego zbocza, dokładnie takiego, jakiego szukali. Na takim stoku, długości ponad dwóch mil, toczący się w dół samochód „na luzie” mógł nabrać całkiem niezłej prędkości. Potem można było próbować wrzucić od razu drugi bieg, a może nawet trójkę.

Spojrzał tęsknie w lewo, gdzie w poprzek szosy stał śliwkowy triumph. Za kierownicą siedziało coś, co wyglądało jak kościotrup w jasnym, wełnianym swetrze. Triumph z pewnością miał ręczną dźwignię zmiany biegów, ale nie było mowy, aby ze złamaną nogą wcisnęła się do tak ciasnego wozu.

– Jak daleko dotarliśmy? – zapytał Toma, lecz ten tylko wzruszył ramionami.

Stu uznał, że musieli pokonać niezły kawałek drogi. Tom ciągnął go co najmniej trzy godziny bez odpoczynku. To świadczyło o jego niezwykłej sile i wytrzymałości. Stare punkty

orientacyjne zostały daleko w tyle. Tom zbudowany jak młody byczek musiał przejść z nim od sześciu do ośmiu mil.

– Odpoczywaj, ile chcesz – powtórzył. – Żebyś się nie przemęczył.

– Tom jest O.K. O i K to znaczy okay, słowo daję, wszyscy to wiedzą.

Tom pochłoniął suty lunch, podczas gdy Stu zjadł bardzo niewiele. Potem ruszyli dalej. Droga pięła się łukiem pod górę, a Stu zaczął nabierać przekonania, że to musiało być to wzgórze. Gdyby nie znaleźli na jego szczycie odpowiedniego samochodu, dotarcie do następnego zajęłoby im przynajmniej dwie godziny. A potem nadszedłby zmierzch. Śnieżny lub słotny, sądząc po wyglądzie nieba. Kolejna miła noc na otwartej przestrzeni. Dla niego ostatnia. I żegnaj, Stuarcie Redmanie.

Dotarli do chevroleta sedana.

– Stój – wychrypiał, a Tom położył włóki na szosie. – Idź i zajrzyj do tamtego samochodu. Policz pedały na podłodze. Powiedz, czy są dwa, czy trzy.

Tom podszedł i otworzył drzwiczki auta. Jak w niesmacznym żarcie ze środka wypadła na niego mumia w sukience w kwiatki. Jej torebka spadła na ziemię i otworzyła się. Wysypały się z niej kosmetyki, chusteczki higieniczne i pieniądze.

– Dwa – odkrzyknął Tom do Stu.

– W porządku. Musimy iść dalej.

Tom wrócił, wziął głęboki oddech i ujął tyczki włóków. Ćwierć mili dalej napotkali furgonetkę volkswagena.

– Mam policzyć pedały? – zapytał Tom.

– Nie. Nie tym razem.

Furgonetka stała na trzech kapciach. Stu zaczął wątpić, czy znajdą właściwy wóz. Jak dotąd szczęście im nie dopisywało. Następnym samochodem, na jaki się natknęli, był furgon z jedną przebitą oponą – mogli ją wymienić, ale jak w przypadku sedana, miał on tylko dwa pedały. To oznaczało, że skrzynia biegów była automatyczna, a co za tym idzie, wóz kompletnie dla nich nieprzydatny. Ruszyli dalej. Zbliżali się do szczytu wzgórza. Stu ujrzał przed nimi jeszcze jeden samochód, ostatnia szansa. Serce zamarło mu w piersi. To był bardzo stary plymouth, rocznik co najmniej 70. Co dziwne, nie miał ani jednej sflaczałej opony, ale wyglądał na mocno poobijany i nadzarty przez rdzę. Najwyraźniej jego użytkownik nie dbał zbyt wiele o swoje cztery kółka, Stu znał takie przypadki jeszcze z Arnette. Akumulator będzie stary i najprawdopodobniej pęknięty, olej czarniejszy niż noc w kopalnianym szybie, ale kierownica będzie mieć futrzaną, miękką okładzinę, a na tylnej półce Stu ujrzy plastikowo-mechatego pudełka ze ślepiami z kryształu górskiego i ruchomym łebkiem.

– Mam sprawdzić? – zapytał Tom.

– Tak. Chyba tak. Raczej nie mamy wyboru, prawda?

W powietrzu pojawiła się, rzadka jeszcze, mlecznobiała chłodna mgielka.

Tom przeszedł przez szosę i zajrzał do samochodu, który był pusty. Stu leżał, dygocząc w swoim śpiworze. W końcu Tom wrócił.

– Trzy pedały – oznajmił.

Stu zastanawiał się przez chwilę. Przeszkadzało mu w tym uporczywe, mdlące brzęczenie pod czaszką.

Stary plymouth był z pewnością do niczego. Mogli przejść na drugą stronę wzgórza, tam jednak wszystkie samochody ustawione będą w przeciwnym kierunku, czyli pod górę, chyba że pokonają środkowy pas rozdzielający, który był w tym miejscu kamienisty i miał szerokość pół mili. Może po drugiej stronie znajdą auto z normalną skrzynią biegów... ale zanim to się stanie, będzie już ciemno.

– Tom, pomóż mi wstać.

Jakimś cudem Tom pomógł mu podnieść się, nie uszkadzając przy tym jego złamanej nogi. W głowie wciąż mu szumiało i łupało. Czarne mroczki przelatowały przed oczami, a raz zrobiło mu się słabo i o mało nie zemdlął. W końcu jednak objął Toma ramionami za szyję.

– Odpocznij – wymamrotał. – Odpocznij.

Nie miał pojęcia, jak długo tak stali, Tom podtrzymywał go cierpliwie, podczas gdy Stu balansował na granicy omdlenia. Kiedy świat przed jego oczami znowu nabrał kolorów, Tom wciąż był przy nim, podpierając go. Mgiełka zgęstniała w zimną, lekką mżawkę.

– Tom, pomóż mi tam dojść.

Tom objął go w pasie i wspólnie doczłapali do stojącego przy środkowym pasie plymoutha.

– Otwieranie maski – mruknął Stu, gmerając w kratownicy plymoutha. Pot lał się z niego strumieniami. Wstrząsały nim dreszcze. Znalazł zaczep, ale nie zdołał go unieść. Nakierował dłonie Toma i dopiero jemu udało się podnieść maskę.

Silnik był taki, jakiego Stu się spodziewał, brudny i kiepsko utrzymany V8. Akumulator okazał się jednak być w całkiem niezłym stanie. Produkcji Searsa, nie z tych najlepszych, ale gwarancja wygasła dopiero w lutym 1991 roku. Walcząc z zaćmiewającą jego umysł gorączką, Stu odliczał wstecz i stwierdził, że akumulator wyprodukowano w maju tego roku.

– Naciśnij klakson – zwrócił się do Toma i oparł się o samochód, podczas gdy Tom nachylił się, by wykonać polecenie. Jego ostatnią szansą przeżycia była ta stara kupa złomu.

Klakson zawył przeciągle. A więc w porządku. Jeśli kluczyk tkwił w stacyjce, spróbują. Powinien poprosić Toma, aby to sprawdził najpierw, ale po namyśle stwierdził, że nie miało to większego znaczenia. Jeśli w stacyjce nie było kluczyka, byliby załatwieni, niezależnie od całej reszty.

Opuścił maskę i zatrzaskał ją, napierając całym ciężarem ciała. Następnie na jednej nodze pokicał w stronę drzwiczek kierowcy i zajrzał do samochodu, spodziewając się ujrzeć pusty otwór zamka. A jednak kluczyki tkwiły w nim zaopatrzone w skórzane etui z inicjałami A.C. Nachylając się ostrożnie, lekko przekręcił kluczyk. Igła wskaźnika paliwa wolno przesunęła

się w prawo, bak był w jednej czwartej pełen. Oto zagadka. Dlaczego właściciel tego samochodu, ów tajemniczy A.C., zatrzymał wóz, aby ruszyć pieszo gdzieś w siną dal, skoro mógł przecież jechać.

Mimo lekkiego oszołomienia wywołanego gorączką, Stu pomyślał o dogorywającym Campionie tarasującym dystrybutory paliwa na stacji Hapa. Stary A.C. też musiał się zarazić supergrypą. Jego stan był poważny. Ostatnie stadium. Gość zatrzymuje samochód, wyłącza silnik, nie tyle z rozmysłem, co raczej z przyzwyczajenia – i wysiada. Majaczy, może ma halucynacje. I odchodzi gdzieś na pustkowie, śmiejąc się, mamrocząc pod nosem, pokrzykując i jęcząc, a potem tam umiera. Cztery miesiące później Stu Redman i Tom Cullen napotykają jego wóz z kluczami w stacyjce, względnie nowym akumulatorem i zapasem paliwa w baku...

„Ręka Boga”.

„Czy nie to powiedział Tom o Vegas? „Z nieba spłynęła ręka Boga”. Możliwe, że Bóg zostawił również dla niego tego starego, rozklekotanego plymoutha rocznik 70 niczym mannę na pustyni. Myśl ta była szalona, ale nie bardziej niż to, że stuośmioletnia staruszka miała doprowadzić garstkę pozostałych przy życiu ludzi do ziemi obiecanej.

– I wciąż miała trzeźwy umysł – wychrypiał. – Aż do samego końca.

– Co, Stu?

– Nieważne. Wsiadaj, Tom.

– Pojedziemy? – z nadzieją zapytał Tom, gdy znalazł się w aucie.

Stu opuścił oparcie fotela kierowcy, aby Kojak mógł wskoczyć do środka, co uczynił, starannie wcześniej obwąchując samochód.

– Nie wiem. Módl się, aby ta kupa złomu odpaliła.

– W porządku – powiedział Tom.

Usadowienie się za kółkiem zajęło Stu pięć minut. Usiadł na ukos, w miejscu, gdzie mógł zmieścić się trzeci pasażer. Kojak rozłożył się na tylnym siedzeniu i głośno ziajał. W wozie pełno było pustych pudełek od McDonald'sa i opakowań z Taco Bell. Wnętrze przesyciła silna woń starej kukurydzy.

Stu przekręcił klucz. Silnik plymoutha zagrał równym rytmem, utrzymując go przez jakieś dwadzieścia sekund, po czym zaczął gasnąć. Stu nacisnął klakson i tym razem usłyszał tylko słaby, rżący jęk. Oblicze Toma spochmurniało.

– To jeszcze nie koniec – rzekł Stu. Nie stracił nadziei, akumulator wciąż był sprawny. Wdusił sprzęgło i wrzucił dwójkę. – Otwórz drzwi, mocno nas popchnij i szybko wskakuj z powrotem.

– Czy samochód nie jest odwrócony w niewłaściwą stronę? – spytał z powątpiewaniem Tom.

– Owszem, tak, ale tylko na razie. Jeśli tylko uda się nam ruszyć tę kupę żelastwa, szybko to naprawimy.

Tom wysiadł i zaczął pchać z całych sił. Plymouth ruszył z miejsca. Kiedy igła prędkościomierza zatrzymała się na pięciu milach na godzinę, Stu powiedział

– Wskakuj, Tom.

Tom wsiadł do auta i zatrzaskał drzwiczki. Stu przekręcił kluczyk do pozycji gotowości i czekał. Kluczową sprawą było dla niego teraz utrzymanie właściwego kierunku jazdy, aby samochód nie zaczął zbaczać z szosy, czynność ta pochłaniała wątle resztki jego sił. Igła prędkościomierza pięła się wolno w górę od dziesięciu do dwudziestu. Staczali się bezgłośnie po zboczu, na które Tom przez cały dzisiejszy ranek z mozołem wciągał włóki ze Stu. Redman zbyt późno uświadomił sobie, że nie zabrali zniszczonego śpiwora. Dwadzieścia pięć mil.

– Nie jedziemy, Stu – rzekł z niepokojem Tom.

Trzydzieści mil na godzinę. Powinno wystarczyć.

– Boże, dopomóż nam – wyszeptał Stu i zwolnił sprzęgło.

Plymouthem mocno szarpnęło. Silnik ożył, zakasłał, zarzęził i zgasł. Stu wydał z siebie jęk zawodu i bólu.

– Cholera jasna! – wrzasnął, ponownie wciskając sprzęgło. – Dociśnij ten pedał gazu, Tom! Mocno! Rękami!

– Ale który to? – zakrzyknął Tom z przerażeniem w głosie.

– Ten długi!

Tom osunął się na podłogę i dwukrotnie docisnął mocno pedał gazu. Wóz znowu przyspieszył. Stu czekał z przejęciem i niepokojem. Znajdowali się już w połowie stoku.

– Teraz! – krzyknął i ponownie zwolnił sprzęgło.

Silnik plymoutha ożył z głośnym rykiem. Kojak zaszczekał. Z zardzewiałej rury wydechowej buchnął kłęb czarnego dymu, a potem niebieskiego. Wóz jechał, wolno bo wolno i z szarpnięciami, ale naprawdę toczył się naprzód. Stu wrzucił trójkę i ponownie puścił sprzęgło, kierując lewą stopą wszystkimi pedałami.

– Jedziemy, Tom! – zawołał. – Mamy swój samochód!

Tom wydał głośny okrzyk radości. Kojak zaszczekał i pomerdał ogonem. W poprzednim życiu, przed Kapitanem Tripsem, kiedy jeszcze wabił się Wielki Steve, często jeździł samochodem ze swoim panem. Wspaniale było móc znowu jechać w samochodzie z dwoma nowymi panami.

Cztery mile dalej dotarli do ostrego zakrętu pomiędzy zachodnimi i wschodnimi pasmami autostrady. TYLKO DLA POJAZDÓW UPRZYWILEJOWANYCH, głosił srogi napis na tabliczce. Stu manipulował sprzęgłem na tyle wprawnie, że niemal bez przygód wprowadził wóz na autostradę wiodącą na wschód. Raz tylko miał trudny moment, kiedy starym

samochodem targnęło gwałtownie i Stu był niemal pewien, że zaraz staną. Teraz jednak silnik był już rozgrzany i mógł jechać spokojniej. Zmniejszył bieg do trójki i nieco się rozluźnił; oddychał ciężko, usiłując uspokoić rozkołatane serce. Znów zaczęło robić mu się szaro przed oczami, ale zwalczył to w sobie. W kilka minut później Tom spostrzegł jasnopomarańczowy śpiwór przerobiony przez Stu na włóki.

– Pa-pa! – zawołał wesoło. – Pa-pa, jedziemy do Boulder, słowo daję, tak!

„Dziś wieczorem zadowolę się Green River” – pomyślał Stu.

Dotarli tam wkrótce po zmierzchu. Stu wolno i ostrożnie prowadził plymoutha poprzez mroczne uliczki, w których ciasno było od porzuconych tam aut. Zatrzymał wóz na głównej ulicy, przed budynkiem z wielkim, dumnym, nieczynnym neonem „Hotel Utah”. Budynek miał dwa piętra, a Stu uznał, że póki co przynajmniej na razie Waldorf-Astoria nie musiał obawiać się konkurencji. Znów bolała go głowa i zaczął mieć przywidzenia. Przez ostatnie dwadzieścia mil miał wrażenie, że w samochodzie znajdowało się wielu ludzi. Fran. Nick Andros. Norm Bruett. Raz, obejrzawszy się przez ramię, odniósł wrażenie, że na sąsiednim fotelu siedzi barman z Indian Head, Chris Ortega.

Był zmęczony. Czy kiedykolwiek był równie zmęczony?

– Tu się zatrzymamy – wymamrotał. – Musimy zostać tu na noc, Nicky. Jestem wykończony.

– To ja, Stu, Tom. Tom Cullen. Słowo daję, tak.

– Tom, tak. Musimy się zatrzymać. Czy możesz mi pomóc?

– Jasne. Uruchomienie tego starego grata to był świetny numer. Naprawdę pierwsza klasa.

– Napiję się jeszcze piwa – rzekł Stu. – Nie masz czasem papierosa? Umieram z tęsknoty za fajkami. – I osunął się twarzą na kierownicę.

Tom wysiadł i wniósł go do hotelu. W holu panował mrok i wilgoć, ale był w nim kominek i wysoka sterta drewna opałowego. Tom położył Stu na starej, podniszczonej sofie, ponad którą na ścianie wisiał wypchany łeb łosia, po czym zaczął znosić drewno do kominka. Kojak w tym czasie krążył to tu, to tam, obwąchując wszystkie kąty. Oddech Stu stał się powolny i ochrypliwy. Od czasu do czasu mruczał coś pod nosem, albo wydawał z siebie nieartykułowany okrzyk, który mroził Tomowi krew w żyłach.

Tom rozpałił w kominku – ogień był naprawdę wielki – po czym rozejrzał się po pomieszczeniu. Znalazł poduszki i koce dla siebie oraz Stu. Przysunął sofę Stu bliżej kominka i umościł sobie posłanie obok niego. Kojak ułożył się z drugiej strony, tak więc obaj, mężczyzna i pies, ogrzewali chorego ciepłem swoich ciał.

Tom leżał, wpatrując się w sufit, w rogach którego widać było gęste pajęczyny. Stu był bardzo chory. To niepokoiło Toma. Jeśli Stu znów się obudzi, Tom zapyta go, co ma zrobić w związku z jego chorobą.

A jeżeli... jeżeli się nie obudzi?

Na zewnątrz zerwał się gwałtowny wiatr, jego podmuchy przetaczały się z głośnym wyciem obok gmachu hotelu. Strugi deszczu chłostały szyby okien. O północy, kiedy Tom już zasnął, temperatura obniżyła się o kolejne cztery stopnie i zaczął padać deszcz ze śniegiem. Daleko na zachód stąd granica frontu burzowego spychała ogromną chmurę radioaktywnego pyłu w stronę Kalifornii, gdzie pochłonie ona kolejne ofiary. Umrze więcej ludzi.

Kilka minut po drugiej Kojak uniósł łeb i zaskomlał niepewnie. Tom Cullen podniósł się z posłania. Oczy miał rozszerzone i niewidzące. Kojak ponownie zapiszczał, ale Tom nie zwrócił na niego uwagi. Podeszedł do drzwi i wyszedł w rozszalałą noc. Kojak podbiegł do okna w holu i, opierając przednie łapy o szybę, wyjrzał na zewnątrz. Przez dłuższą chwilę wypatrywał czegoś uważnie, popiskując z cicha. W końcu wrócił i znów położył się przy Stu.

Na zewnątrz przeraźliwie jęczał i wył wiatr.

ROZDZIAŁ 75

– Wiesz, ja omal nie umarłem – powiedział Nick.

Wspólnie z Tomem szedł po chodniku wymarłej ulicy. Wiatr hulał nieprzerwanie niczym przetaczający się po czarnym niebie pociąg widmo, wydając osobliwe, jęklive odgłosy.

Gdyby Tom nie spał, zawołałby: „Zgiń, przepadnij, maro nieczysta”. I dałby nogę. Ale Tom spał – przynajmniej w pewnym sensie – i towarzyszył mu Nick. Deszcz ze śniegiem chłostał jego policzki.

– Naprawdę? – zapytał Tom. – Słowo daję!

Nick wybuchnął śmiechem. Głos miał niski i dźwięczny, to był dobry głos. Tom uwielbiał go słuchać.

– Jak najbardziej. Nie zabiła mnie supergrypa, ale niewielkie zadrapanie na nodze niemal wysłało mnie na tamten świat. O, tu. Zobacz.

Nie zwracając uwagi na chłód, Nick rozpiął pasek i guziki džinsów, po czym zsunął spodnie. Tom z zaciekawieniem nachylił się do przodu jak mały chłopiec, któremu pokazuje się coś nader interesującego: brodawkę z wyrastającymi z niej włosami, zadrapanie albo siniaka. W dół nogi Nicka biegła szpetna, ledwie zaleczona blizna. Zaczynała się poniżej krocza i ciągnęła się krętą linią do połowy łydki, gdzie się kończyła.

– To cię prawie zabiło?

Nick podciągnął i zapiął džinsy.

– Rana nie była głęboka, ale złapałem infekcję. To znaczy, że do skaleczonego miejsca dostały się złe bakterie. Infekcje są naprawdę bardzo groźne, Tom. To właśnie infekcja sprawiła, że wirus supergrypy zabił tych wszystkich ludzi. I to infekcja sprawiła, że ludzie w ogóle postanowili wyprodukować tak zabójczego wirusa. Infekcja umysłu.

– Infekcja – wyszeptał z przejęciem Tom.

Ruszyli dalej. Mogło się wydawać, że nie tyle idą ulicą, lecz raczej płyną w powietrzu tuż nad ziemią.

– Tom. Stu ma infekcję.

– Nie. Nie mów tego, Nick... Tom Cullen się boi, tak, słowo daję, tak!

– Wiem, Tom, że się boisz i bardzo mi przykro. Ale po prostu musisz to wiedzieć. Stu ma obustronne zapalenie płuc. Przez blisko dwa tygodnie spał na świeżym powietrzu. Musisz coś dla niego zrobić. Wiedz jednak, że nawet mimo twoich starań on może umrzeć. Musisz być na to przygotowany.

– Nie, nie...

– Tom. – Nick położył rękę na ramieniu towarzysza, ale ten nic nie poczuł... jakby jego dłoń była niematerialna. – Jeśli Stu umrze, ty i Kojak musicie iść dalej. Musicie wrócić do Boulder i powiedzieć wszystkim, że widzieliście na pustyni rękę Boga. Jeśli wołą Boga jest, aby Stu z tobą wędrował, stanie się tak... w odpowiednim czasie. Jeśli zaś wołą Boga będzie, aby umarł, to tak właśnie się stanie. Podobnie jak w moim przypadku.

– Nick – rzucił błagalnie Tom. – Proszę...

– Nie bez powodu pokazałem ci moją nogę. Są pigułki przeciwko infekcjom. W miejscach takich jak to.

Tom rozejrzał się dokoła i ze zdumieniem stwierdził, że nie znajdowali się już na ulicy, lecz w mrocznym pomieszczeniu. W aptece. Z sufitu niczym mechaniczny trup zwieszał się na strunie fortepianowej wózek inwalidzki. Na tabliczce po prawej stronie widniał napis ŚRODKI CZYSTOŚCI.

– Słucham pana? Czym mogę służyć?

Tom odwrócił się. Za kontuarem stał Nick w białym, czystym fartuchu.

– Nick?

– Tak jest. – Nick zaczął stawiać przed Tomem nieduże buteleczki. – To penicylina. Bardzo przydatna przy zapaleniu płuc. To ampicylina, a to amoksycyklina. Również doskonała. To zaś jest V-cylina, daje się ją głównie dzieciom, może poskutkować tam, gdzie nie radzą sobie inne leki. Stu musi pić dużo wody i soków, ale jeżeli chodzi o te ostatnie, mogą być pewne kłopoty. Daj mu zatem to. Witamina C w tabletkach. Poza tym musi chodzić, przez cały czas musi...

– Nie zdołam zapamiętać tego wszystkiego! – jęknął Tom.

– Obawiam się, że będziesz musiał. Nie ma nikogo innego. Jesteś zdany tylko na siebie.

Tom rozplakał się.

Nick nachylił się ku niemu i zamachnął szeroko. Bezgłośnie. Bezcieleśnie. Tom ponownie odniósł wrażenie, że Nick był jak dym, który opływał go i być może przechodził również przez niego na wskroś. Choć nie usłyszał odgłosu wymierzanego policzka, głowę i tak odrzuciło mu do tyłu. Poczuł, że coś w jego wnętrzu jakby pękło.

– Przestań! Nie możesz się mazać, Tom! Nie wolno ci się rozklejać. Musisz być mężczyzną! Na miłość Boską, bądź mężczyzną, Tom!

Tom przyłożył dłoń do policzka i rozszerzonymi oczami spojrzał na Nicka.

– Musisz z nim spacerować – rzekł Nick. – Podtrzymywać, żeby mógł poruszać się na zdrowej nodze. Wlecz go i ciągnij, jeśli będziesz musiał, ale nie wolno mu leżeć, bo się udusi. Utopi się.

– On nie jest sobą – powiedział Tom. – Krzyczy... nawołuje ludzi, których przy nim nie ma.

– Majaczy. Mimo to musisz z nim spacerować. Tak długo, jak będziesz mógł. Zmusz go, aby przyjął penicylinę. Dawaj mu po jednej pastylce naraz. I aspirynę. Dopilnuj, aby zawsze miał ciepło. Módl się. To wszystko, co możesz zrobić.

– W porządku, Nick. W porządku. Postaram się być mężczyzną. Spróbuję to zapamiętać. Ale bardzo chciałbym, abys tu był, słowo daję, tak!

– Zrób, co w twojej mocy, Tom. To wszystko.

Nick zniknął. Tom obudził się i stwierdził, że stoi w opuszczonej aptece przy kontuarze. Na blacie stały cztery buteleczki pigułek. Tom wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę, po czym zabrał je i wrócił do hotelu.

Tom zjawił się ponownie w hotelu o czwartej nad ranem. Ramiona miał pokryte skorupą mokrego, zmarzniętego śniegu. Na zewnątrz trochę się uspokoiło, niebo na wschodzie pojaśniało; zbliżał się świt. Kojak powitał Toma radosnym szczekaniem, a Stu jęknął i obudził się. Tom ukląkł przy nim.

– Stu?

– Tom? Mam trudności z oddychaniem.

– Przyniosłem lekarstwa, Stu. Nick mi pokazał. Będziesz je brał i pozbędziesz się tej infekcji. Musisz zaraz wziąć jedną. – Tom wyjął z torby, którą miał ze sobą, cztery buteleczki z pigułkami i dużą butlę gatorady. Nick mylił się, mówiąc o sokach. W pobliskim supermarkecie soków w butelkach było pod dostatkiem.

Stu spojrział na fiołki z lekarstwami i, mrużąc lekko powieki, przeczytał, co zawierała każda z nich.

– Tom, skąd je masz?

– Z apteki. Nick mi je dał.

– Nie, pytam poważnie.

– A ja odpowiadam poważnie. Poważnie, poważnie! Najpierw musisz wziąć penicylinę, żeby sprawdzić, czy działa. Która to penicylina?

– Ta tutaj... ale, Tom...

– Nie. Musisz. Nick tak powiedział. I musisz spacerować.

– Przecież nie mogę chodzić. Mam rozwaloną nogę. I jestem chory.

Głos Stu był posępny i rozdrażniony. Typowy głos chorego.

– Musisz. W przeciwnym razie będę cię nosił.

Stu stracił kontakt z rzeczywistością. Tom włożył mu do ust kapsułkę penicyliny, a Stu połknął ją odruchowo i popił łykiem soku. Mimo to i tak nie uchronił się przed atakiem kaszlu. Tom kilkakrotnie poklepał go po plecach, czekając, aż mu się odbije jak małemu dziecku. Następnie siłą podniósł i zmusił Stu, by ten, przesuając się do przodu na zdrowej nodze, zaczął spacerować z nim po hotelowym holu. Kojak przyglądał się temu z niepokojem.

– Proszę, Boże – powiedział Tom. – Proszę, Boże, proszę, Boże.

– Wiem, gdzie mogę znaleźć dla niej tarę, Glen! – wykrzyknął Stu. – W sklepie muzycznym za rogiem. Widziałem ją na wystawie!

– Proszę, Boże – wysapał Tom.

Głowa Stu opadła mu na ramię. Mężczyzna był cały rozpalony. Złamana noga wlokła się za nim bezwładnie po podłodze.

Boulder nigdy nie wydawało się równie odległe, jak tamtego posępnego ranka.

Walka Stu z zapaleniem płuc trwała dwa tygodnie. Przez ten czas chory wypił całe morze gatorady, V-8, soku z winogron oraz soku pomarańczowego różnych firm. Rzadko miał świadomość, co pije. Jego mocz był ciemny, cuchnący i kwaśny. Jak dziecko brudził się, a jego stolce miały żółtą barwę i rzadką konsystencję. Tom mył go i przebierał. Spacerował z nim po holu hotelu Utah i z niepokojem oczekiwał nocy, kiedy obudzi się nie po to, by stwierdzić, iż Stu znowu majaczy, lecz że nie oddycha.

Po dwóch dniach od zażycia penicyliny Stu dostał silnej wysypki i Tom w zamian zaczął podawać mu na ampicylinę. Ta podziałała lepiej. Siódmego października Tom obudził się rano i stwierdził, że Stu już od wielu dni nie spał równie głęboko i spokojnie. Jego ciało pokrywał pot, lecz czoło miał chłodne. W nocy gorączka spadła. Przez następne dwa dni Stu prawie w ogóle się nie budził. Tom doprowadzał go na krótko do przytomności, aby wmusić kolejne tabletki i kostki cukru przyniesione z hotelowej restauracji.

Jedenastego października nastąpił nawrót choroby i Tom poważnie obawiał się, że to już koniec. Gorączka nie była jednak równie wysoka jak przedtem, ani oddech tak mozolny, ciężki i świszczący, jak w te upiorne poranki piątego i szóstego października.

Trzynastego października Tom obudził się z drzemki w jednym z foteli w holu, by ujrzeć Stu siedzącego na sofie i rozglądającego się wokół.

– Tom – wyszeptał. – Ja żyję.

– Tak – wykrzyknął radośnie Tom. – Słowo daję, tak!

– Jestem głodny. Czy mógłbyś ugotować zupę? Najlepiej taką z kluskami.

Osiemnastego Redman zaczął nieznacznie odzyskiwać siły. Zdołał nawet przez pięć minut samemu spacerować po holu, posługując się kulami, które Tom przyniósł mu z apteki. W złamanej nodze czuł drażniące swędzenie, które towarzyszyło procesowi ponownego łączenia się kości. Dwudziestego października Stu po raz pierwszy wyszedł na zewnątrz, mając na sobie grubą, ciepłą bieliznę i długi płaszcz z owczej wełny.

Dzień był słoneczny i ciepły, ale wyczuwało się w nim chłodniejszą aurę. W Boulder wciąż mogła trwać jesień i liście osiki nabierały złocistej barwy, ale tu niemal namacalnie czuło się nadchodzącą zimę. Stu widział małe spłachetki zmarzniętego, gruzłowatego śniegu w zacienionych miejscach, dokąd nie docierały promienie słońca.

– No nie wiem, Tom – powiedział. – Myślę, że uda się nam dotrzeć do Grand Junction, ale co dalej, tego po prostu nie wiem. W górach będzie mnóstwo śniegu. Poza tym jeszcze przez jakiś czas nie odważę się wyruszyć w drogę. Muszę na dobre dojść do siebie.

– Ile potrwa, zanim tam dojdiesz, Stu?

– Nie wiem, Tom. Poczekamy, zobaczymy.

Stu nie chciał wyruszać w dalszą drogę zbyt wcześnie, bał się kusić los. Otarł się o śmierć i pragnął nacieszyć się swoim wyzdrowieniem. Poza tym musiał najpierw odzyskać formę. Przeprowadzili się z hotelowego holu do dwóch połączonych drzwiami przejściowymi pokoi na parterze. Pokój naprzeciwko stał się tymczasowo psiarnią dla Kojaka. Kość w nodze Stu rzeczywiście zaczęła się zrastać, ale ponieważ nie została prawidłowo nastawiona, nie będzie jak dawniej prosta, chyba że George Richardson ponownie ją złamie i nastawi. Redman doskonale wiedział, iż kiedy już przestanie używać kuli, będzie mocno utykać. Mimo to zaczął ćwiczyć chorą nogę, aby odzyskać w niej maksymalną sprawność. Wiedział, że przywrócenie jej nawet siedemdziesięciu pięciu procent sprawności będzie żmudnym i bolesnym zadaniem, ale co tam, miał na to całą zimę.

Dwudziestego ósmego października w Green River spadł śnieg.

– Jeżeli wkrótce nie wyruszymy w drogę – rzekł Stu do Toma, patrząc przez okno na wirujące w powietrzu białe płatki – przyjdzie nam spędzić całą zimę w tym hotelu.

Następnego dnia pojechali plymouthem na stację benzynową na skraju miasta. Często odpoczywając i wykorzystując Toma do najcięższych prac, wymienili łyse tylne opony na zimowe. Stu zastanawiał się, czy nie wymienić auta na inne, o napędzie na cztery koła, ale zgoła irracjonalnie uznał, że powinni pozostać przy samochodzie, który przyniósł im szczęście. Tom zakończył przygotowania, ładując do bagażnika plymoutha cztery pięćdziesięciofuntowe worki z piaskiem. W Halloween opuścili Green River, kierując się na wschód.

Drugiego listopada w południe dotarli do Grand Junction i, jak się okazało, mieli niewiele ponad trzy godziny czasu do zabicia.

Niebo przez całe przedpołudnie było pochmurne, a kiedy skręcili w główną ulicę, na masce plymoutha pojawiły się pierwsze płatki śniegu. Po drodze kilkakrotnie natknęli się na śnieżne zadymki, tym razem jednak zapowiadała się śnieżycą z prawdziwego zdarzenia. Tak przynajmniej zdawało się zwiastować zachmurzone niebo.

– Wybierz miejsce – rzekł Stu. – Może przyjdzie nam tu zabawić jakiś czas.

Tom wskazał ręką.

– Tam. Ten motel z gwiazdką!

Był to, jak się okazało, motel Holiday Inn. Poniżej napisu i kuszącej gwiazdy znajdowała się markiza, na której czerwone litery układały się w częściowo już nieczytelny napis: ITAMY NA LE NIM EST NIE W GAND JUNC ON 12 CZERWCA 4 LI CA 1990!

– W porządku – stwierdził Stu. – Niech będzie Holiday Inn.

Podjechał pod wejście i wyłączył silnik plymoutha, który, jeśli się dobrze zorientowali, już nigdy nie zapali. O drugiej tego popołudnia sypiący śnieg utkał gęstą białą zasłonę, która opadała bezgłośnie i, jak wszystko na to wskazywało, bez końca. O czwartej po południu lekki wietrzyk przerodził się w wicher, której podmuchy niosły ze sobą tumany śniegu i tworzyły zasy rosnące z niewiarygodną szybkością. Sypało przez całą noc. Kiedy Stu i Tom wstali następnego ranka, napotkali Kojaka siedzącego przed wielkimi podwójnymi drzwiami w holu, wpatrującego się w prawie zupełnie nieruchomy świat bieli. Jedyne, co się na zewnątrz poruszało, to samotna sójka drepcząca w tę i z powrotem po połamanych resztkach letniej markizy po przeciwnej stronie ulicy.

– Kurcze – wyszeptał Tom. – Zasypało nas, prawda, Stu?

Stu pokiwał głową.

– Jak wobec tego wrócimy do Boulder?

– Zaczekamy do wiosny – odrzekł Stu.

– Tak długo? – Tom wydawał się przygnębiony, a Stu objął potężnego chłopca-mężczyznę ramieniem.

– Czas płynie szybko – powiedział, lecz w głębi serca nie był pewien, czy którykolwiek z nich zdoła czekać aż tak długo.

Od jakiegoś czasu Stu jęczał i stękał w ciemnościach. Wreszcie krzyknął tak głośno, że aż się obudził. Podpierając się na łokciach, otworzył oczy, wlepiając wzrok w pustkę. Westchnął przeciągle, po czym sięgnął w stronę nocnego stolika, na którym stała lampka. Dwukrotnie nacisnął przełącznik, zanim wszystko sobie przypomniał. To zabawne, z jakim trudem umierała w nim wiara w elektryczność. Na podłodze znalazł lampę turystyczną i zapalił ją. Skorzystał z nocnika. Później usiadł na krześle przy biurku. Spojrzał na zegarek. Było kwadrans po trzeciej nad ranem.

Znowu ten sen. Sen o Frannie. Koszmar.

Zawsze taki sam. Fran, cierpiąca, z twarzą zlaną potem. Pomiędzy jej rozłożonymi nogami stoi Richardson, obok asystująca mu Laurie Constable. Nogi Frannie spoczywają w stalowych strzemionach...

„Przyj, Frannie. Jeszcze trochę. Dobrze ci idzie”.

Jednak widząc sposepniałe oczy George'a nad maską, Stu wiedział, że wcale nie było tak dobrze, jak mówił. Coś było nie tak. Laurie otarła spoconą twarz Frannie i odgarnęła włosy z jej czoła.

„Poród pośladowy”.

Kto to powiedział? Ten złowieszczy, bezcielesny głos, niski i przeciągły jak głos z płyty na czterdzieści pięć obrotów puszczonej na trzydziestu trzech obrotach.

„Poród pośladowy”.

Głos George'a: „Lepiej wezwij Dicka. Powiedz mu, że będziemy musieli...”

Głos Laurie: „Doktorze, ona bardzo krwawi...”

Stu zapalił papierosa. Mimo wstrętnego smaku po tak okropnym śnie smakował całkiem nieźle. „Ten lęk wyraża tylko trawiący mnie niepokój. To wszystko. Jak na typowego macho przystało, obawiasz się, że jeśli cię tam nie będzie, coś może się nie udać. Odpuść sobie, Stuart, nic jej nie jest. Czuje się dobrze. Nie wszystkie sny się sprawdzają”.

Lecz w ciągu ostatniego półrocza spełniło się ich aż nadto. Wciąż nie opuszczało go przeświadczenie, że to, co widział we śnie, było sceną z mającego nastąpić w niedalekiej przyszłości rozwiązania Frannie.

Zduślił w połowie wypalonego papierosa w popielniczce i wbił wzrok w rzucany przez lampę krąg złocistego światła. Był dwudziesty dziewiąty listopada, mieszkali w motelu Holiday Inn w Grand Junction od blisko czterech tygodni. Czas płynął powoli, ale mając całe miasto do swojej dyspozycji, bynajmniej się nie nudzili.

Stu odnalazł w magazynie przy Grand Avenue średniej wielkości generator elektryczny marki Honda, po czym wspólnie z Tomem za pomocą wciągarki łańcuchowej przenieśli go na sanie, do nich zaś w formie środka pociągowego podczepili dwa śnieżne skutery, postępując innymi słowy w ten sam sposób, w jaki Śmieciarz poradził sobie z ostatnim prezentem dla Randalla Flagga. Przewieźli generator do budynku Convention Hall, znajdującego się po drugiej stronie ulicy, przy której mieścił się Holiday Inn.

– Co z tym zrobimy? – zapytał Tom. – Przywrócimy prąd w całym mieście?

– Jest na to zbyt mały – odparł Stu.

– Wobec tego co? Po co nam on? – Tom był wyraźnie zniecierpliwiony.

– Zobaczysz – odrzekł Stu.

Wstawili generator do szafki elektrycznej w Convention Hall. Tom wkrótce o nim zapomniał i na to Stu właśnie liczył. Następnego dnia skuterem śnieżnym udał się do multipleksu w Grand Junction i, tym razem w pojedynkę, używając sań i wciągarki, opuścił przez okno magazynu na piętrze stary projektor na filmy trzydzieści pięć milimetrów, na który natknął się podczas jednej ze swoich wypraw. Urządzenie było nakryte folią... i najwyraźniej zupełnie o nim zapomniano, sądząc po warstwie kurzu, jaka zgromadziła się na pokrowcu.

Noga Stu goiła się nieźle, ale i tak prawie trzy godziny zajęło mu przeciągnięcie projektora od wejścia na środek Convention Hall. Wykorzystał do tego celu trzy dołki i spodziewał się, że lada moment może się zjawić Tom, szukając go. Gdyby się pojawił, na pewno praca poszłaby im szybciej, ale zepsułoby to niespodziankę, którą Stu szykował dla Toma. Ten jednak najwyraźniej wybrał się do miasta w sobie tylko znanym celu, gdyż Stu nie widział go od rana. Kiedy około siedemnastej wrócił do motelu z rumianymi policzkami i z grubym szalikiem na szyi, niespodzianka była już gotowa.

Stu przyniósł wszystkie sześć filmów, które wyświetlano w multipleksie. Tego wieczoru po kolacji, niejako mimochodem, poprosił:

– Tom, chodź ze mną na chwilę do Convention Hall.

– Po co?

– Zobaczysz.

Convention Hall znajdował się dokładnie naprzeciwko Holiday Inn. Przy wejściu Stu wręczył Tomowi pudełko prażonej kukurydzy.

– A to po co? – spytał Tom.

– Przecież nie można oglądać filmu bez popcornu, ty wielki tłumoku. – Stu uśmiechnął się.

– Filmu?

– Właśnie tak.

Tom wbiegł do Convention Hall. Ujrzał podłączony do generatora projektor, który tylko czekał, by go uruchomić. Zazwyczaj ciasno zwinięty i wiszący pod sufitem wielki ekran był rozpostarty na ścianie naprzeciwko. A dwa składane krzesła ustawione były na środku wielkiej, pustej sali.

– Jejku – wyszeptał Tom z tym szczególnym wyrazem twarzy, który Stu miał nadzieję ujrzeć.

– W sezonie letnim przez trzy lata z rzędu pracowałem w kinie dla zmotoryzowanych Starlite w Braintree – wyjaśnił Redman. – Mam nadzieję, że nie zapomniałem, jak się to cholerstwo naprawia w razie zerwania taśmy.

– Jejku – powtórzył Tom.

– Przy zmianie szpul będziemy musieli robić krótkie przerwy. Nie miałem czasu wrócić do kina po drugi projektor. – Stu przestąpił płątaninę kabli biegnących od projektora do generatora i pociągnął za sznur startera. Generator zamruczał radośnie. Stu przytknął drzwi najbardziej jak mógł, aby wytłumić dźwięk silnika i zgasił światła. W pięć minut później, siedząc jeden obok drugiego, oglądali Sylwestra Stallone wyrzynającego setkami handlarzy narkotyków w *Rambo IV: Próbie ognia*. Z szesnastu głośników płynęły dźwięki w systemie dolby-stereo, nieraz tak dudniące, że nie słyhać było dialogów (o ile się już zdarzały)... ale obaj mężczyźni byli zachwyceni.

Teraz, kiedy o tym myślał, Stu uśmiechnął się. Ktoś inny mógłby go nazwać głupcem, mógł przecież podłączyć magnetowid do znacznie mniejszego generatora i w ten sposób obejrzeliby setki filmów, nie wystawiając nosa za próg Holiday Inn. Tyle tylko, że jego zdaniem filmy na ekranie telewizora to coś zupełnie innego. Zresztą nie tylko o to chodziło. Mieli sporo wolnego czasu... „czasu do zabicia”, a niektóre z godzin „umierały” wyjątkowo opornie.

Jeden z filmów był odnowioną wersją ostatniego chyba filmu rysunkowego przy którym osobiście pracował Walt Disney Oliver i spółka. Nigdy nie wydano go na kasecie wideo. Tom oglądał go wielokrotnie, zaśmiewając się jak dziecko z przygód Olivera i jego przyjaciół mieszkających w Nowym Jorku na barce i sypiających w skradzionym samolotowym fotelu.

Oprócz wznowienia działalności kina, Stu zajmował się również budową modeli. Złożył ich ponad dwadzieścia, w tym rolls royce, który miał dwieście czterdzieści części i przed epidemią supergrypy sprzedawany był po sześćdziesiąt pięć dolarów. Tom wykonał dziwną, choć w pewien sposób urzekającą makietę terenową, która zajęła niemal połowę podłogi w sali bankietowej motelu Holiday Inn. Wykorzystał do tego papier mache, gips i rozmaite barwniki. Nazwał swoje dzieło „Bazą księżycową Alfa”.

Tak, to prawda, mieli zajęcie, ale...

„To, o czym myślisz, jest szalone”.

Rozprostował nogę. Była w lepszym stanie niż się spodziewał, głównie dzięki znajdującej się w motelu siłowni i tamtejszym urządzeniom treningowym. Wciąż była dość sztywna i czasami go bolała, ale potrafił już chodzić bez pomocy kul. Mogli to zrobić powoli i spokojnie. Był pewien, że zdoła nauczyć Toma, jak się prowadzi skuter śnieżny, który posiadała w swoim garażu niemal każda rodzina w tym mieście. Pokonując dziennie po dwadzieścia mil, zaopatrzeni w odpowiedni sprzęt, namioty, grube ciepłe śpiwory oraz dużą ilość foliowanych koncentratów żywnościowych...

„Jasne, a kiedy na przełęcz Vail spadnie na nas lawina, obaj z Tomem pomachamy jej paczkami mrożonej marchewki i rozkażemy, aby skręciła w drugą stronę! To czysty obłęd!”

A jednak...

Zgasił papierosa i lampę gazową, minęło jednak sporo czasu, zanim zasnął.

– Tom, czy bardzo tęsknisz za Boulder? Chciałbyś tam jak najszybciej wrócić? – zapytał Stu przy śniadaniu.

– I zobaczyć Fran? Dicka? Sandy? Słowo daję, Stu, chcę tego bardziej niż czegokolwiek. Jak sądzisz, chyba nie oddali nikomu mojego małego domku, co?

– Jestem pewien, że nie oddali. Chodzi mi o to, czy twoim zdaniem warto zaryzykować?

Tom spojrział na niego z zakłopotaniem. Stu już miał wytłumaczyć mu dokładniej, o co mu chodziło, kiedy Tom odparł:

– Przecież stale ryzykujemy. Ryzyko jest związane ze wszystkim, czy nie tak?

Klamka zapadła. Tak zwyczajnie, po prostu. Ostatniego dnia listopada opuścili Grand Junction.

Okazało się, że nie ma potrzeby uczyć Toma podstaw kierowania skuterem śnieżnym. W szopie należącej do wydziału drogowego Kolorado, o niecałą milę od Holiday Inn, Stu odkrył skuter gigant. Miał on ogromny silnik, owiewkę chroniącą przed wiatrem, a co najważniejsze, duży otwarty bagażnik. Niegdyś bez wątplenia wożono w nim najróżniejszy sprzęt ratowniczy. Przedział bagażowy był dostatecznie duży, by zmieścić się w nim wygodnie pies. Dzięki licznym sklepom w mieście oferującym asortyment do prac terenowych, bez trudu zdobyli dla siebie niezbędny do podróży ekwipunek, mimo iż epidemia wybuchła z początkiem lata. Wybrali lekki składany namiot i grube, ciepłe śpiwory, a także dwie pary nart biegówek (choć na samą myśl o uczeniu Toma podstaw poruszania się na nartach Stu cierpła skóra i krew zastygała w żyłach), wielką kuchenkę gazową, lampy, butle, zapasowe akumulatory, koncentraty żywnościowe i potężny sztucer garanda z lunetą.

O godzinie drugiej pierwszego dnia Stu przekonał się, że jego obawy, iż zostaną odcięci przez śniegi na którejs z przełęczy i umrą z głodu, były bezpodstawne. W lasach wręcz roiło się od zwierzyny; nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego. Później, tego samego popołudnia, ustrzelił jelenia, pierwszego jakiego upolował, odkąd chodził do IX klasy, kiedy to urywał się często ze szkoły, aby pójść na polowanie z wujkiem Dale'em. Upolowana wówczas łania była chuda, a jej mięso okazało się łykowate i miało nieco gorzki posmak... „To od jedzenia pokrzyw” – jak wyjaśnił mu wujek Dale. Jednak jelen, którego Stu teraz upolował, był zdrowy, duży i ciężki, o szerokim kłębie. Ale bądź co bądź zima dopiero się zaczęła, pomyślał Stu, patrosząc zwierzę za pomocą długiego noża, który zabrał ze sklepu z artykułami myśliwskimi. Natura miała swoje sposoby na rozprawienie się z problemem nadmiernej populacji. Tom przygotował ognisko, a Stu opracił jelenia najlepiej jak potrafił; rękawy jego grubego, długiego płaszcza, zanim skończył, były całe sztywne i lepkie od krwi. Było już ciemno; uporanie się z jeleniem zajęło mu trzy godziny, po których mógłby zacząć śpiewać *Ave Maria* z bólu w jego uszkodzonej nodze. Łania, którą ustrzelił z wujkiem Dale'em, trafiła do staruszka nazwiskiem Schoey mieszkającego w chatce na obrzeżach Braintree. Mężczyzna oskórował i opracił zwierzę za trzy dolary i dziesięć funtów dziczyzny.

– Szkoda, że nie ma tu dziś z nami pana Schoeya – powiedział, wzdychając przeciągle.

– Kogo? – zapytał Tom, budząc się z lekkiej drzemki.

– Nikogo, Tom. Mówiłem do siebie.

Jak się okazało, dziczyzna warta była wysiłku. Mięso okazało się słodkie i pyszne. Kiedy już najedli się do syta, Stu upiekł około trzydziestu funtów mięsa na zapas i następnego ranka umieścił je w mniejszym schowku śniegołaza. Pierwszego dnia przejechali zaledwie szesnaście mil.

Tej nocy sen się zmienił. Znów znalazł się na sali porodowej. Wszędzie była krew, rękawy białego fartucha, który nosił, były sztywne i lepkie. Prześcieradło, którym nakryta była Frannie, również barwiła krew. A Frannie mimo to wciąż krzyczała.

„Już wychodzi – wysapał George. – Jego czas nadszedł, Frannie, ono czeka i chce się urodzić, więc przyj, PRZYJ!”

I urodziło się, przyszło na świat wraz z ostatnią strugą szkarłatnej krwi. George wyciągnął maleństwo, chwytając za bioderka, gdyż urodziło się nóżkami do przodu.

Laurie zaczęła krzyczeć. Stalowe, lśniące instrumenty medyczne posypały się na wszystkie strony...

Tym, co się urodziło, był wilk z uśmiechniętą ludzką twarzą! Jego twarzą! To był Flagg, krąg się zamknął i znów nadszedł jego czas, on nie zginął, nie umarł, jeszcze nie, nadal wędrował po świecie, Frannie urodziła Randalla Flagga...

Stu obudził się, słysząc głośny dźwięk własnego oddechu. Czy krzyczał?

Tom wciąż spał zagrzebany tak głęboko w swoim śpiworze, że Stu widział tylko sterczące kosmyki jego włosów. Kojak ułożył się obok Stu. Wszystko było w porządku, to tylko zły sen, nic więcej...

I nagle pośród nocy dał się słyszeć przybierający na sile pojedynczy skowyt; falujący, srebrzysty, dźwięczny ton rozpaczliwej zgrozy... wycie wilka, a może zew ducha zabójcy.

Kojak uniósł łeb.

Stu ścierpła skóra.

Skowyt nie powtórzył się.

Stu zasnął. Rankiem spakowali się i ruszyli dalej. W pewnej chwili Tom zauważył, że zniknęły gdzieś wszystkie wnętrzości upolowanego jelenia, i zwrócił na to uwagę Stu. W miejscu gdzie leżały znajdowały się ślady, a plama krwi na śniegu wokół zwierzęcia wyblakła, przybierając jasnorożowy kolor... i to wszystko.

Po pięciu dniach dobrej pogody dotarli do Rifle. Następnego ranka zerwała się gwałtowna burza śnieżna. Stu orzekł, że powinni przeczekać ją tutaj. Wybrali lokalny motel. Tom przytrzymał drzwi, a Stu wprowadził śniegołaz do holu. Jak powiedział później Tomowi, było to całkiem niezłe miejsce na garaż, choć ciężkie gąsienice śniegołaza mocno podniszczyły gruby, miękki dywan, którym wyłożono podłogę w holu.

Śnieżyca hulała przez trzy dni. Gdy się obudzili, rankiem dziesiątego grudnia, i zanim odśnieżyli wejście do motelu, słońce wzeszło wysoko i zrobił się naprawdę przyjemny, ciepły dzień. Temperatura wzrosła powyżej trzydziestu stopni. Śniegu nasypało dość sporo i coraz trudniej było odnajdywać w nim meandry i zakręty I-70. To nie stan drogi jednak martwił Stu tego słonecznego, ciepłego, jasnego dnia. Późnym popołudniem, gdy błękitne cienie zaczęły

się wydłużać, Stu zmniejszył obroty, a potem zgasił zupełnie silnik śniegołaza i, przekrzywiwszy głowę, zaczął nasłuchiwać.

– O co chodzi, Stu? Co się... – I wtedy Tom również to usłyszał.

Cichy, dudniący odgłos mający swe źródło gdzieś przed nimi, po lewej stronie. Dźwięk przybrał na sile, przywodząc na myśl ryk ekspresowego pociągu, po czym ucichł. Znow zapadła cisza.

– Stu? – zapytał Tom z niepokojem.

– Nie przejmuj się – odparł tamten i pomyślał: „Ja będę martwić się za nas obu”.

Kolejne dni również były ciepłe. Trzynastego grudnia zbliżyli się do Shoshone i wciąż pięli się nieugięcie ku szczytom Gór Skalistych. Najwyższym punktem, po pokonaniu którego rozpoczęła mozolne schodzenie w dół, będzie przełęcz Lovelanda.

Od czasu do czasu słyszeli odgłosy schodzących lawin, niekiedy odległe, innym razem tak bliskie, że mimowolnie unosili wzrok, czekając i żywiąc nadzieję, iż nie ujrzą sunącej ku nim, przesłaniającej niebo ściany białej śmierci. O dwunastej w południe lawina przeszła przez miejsce, w którym obozowali zaledwie przed półgodziną, przysypując ślady śniegołaza tonami zbitego śniegu. Stu coraz poważniej obawiał się, że wibracje wywołane odgłosami silnika śniegołaza w końcu ich zabiją, wywołując lawinę, która pogrzebie ich pod czterdziestoma stopami śniegu, zanim zorientują się, co się wydarzyło. Teraz jednak nie mieli innego wyboru, jak tylko przeć naprzód i mieć nadzieję, że im się uda.

Potem temperatura znów spadła i zagrożenie nieznacznie się zmniejszyło. Rozszalała się kolejna śnieżycyca, zmuszając wędrowców do dwudniowego postoju. Kiedy burza ustała, utorowali sobie drogę i ruszyli dalej... nocą zaś usłyszeli skowyt wilków. Czasami rozbrzmiewał daleko, niekiedy zaś tak blisko, że Kojak zrywał się z posłania, groźnie powarkując i jeżąc sierść. Wciąż było chłodno i lawiny spadały coraz rzadziej, choć osiemnastego niemal o włos uniknęły tragedii.

Dwudziestego drugiego grudnia pod Avon Stu zjechał śniegołazem z nasypu autostrady. Jechali przed siebie ze stałą prędkością dziesięciu mil na godzinę, spokojni i bezpieczni, pozostawiając za sobą chmurę wzbijanego spod gąsienic śniegu. Tom wskazywał właśnie nieduże miasteczko poniżej, piękne jak z obrazka, z pojedynczą białą wieżą kościelną i różnorodnymi, barwnymi, a teraz mocno ośnieżonymi dachami domów, gdy przód śniegołaza przechylił się ostro w dół.

– Co, u diabła... – wymamrotał Redman, i tylko na tyle wystarczyło mu czasu.

Pojazd wciąż sunął do przodu. Stu próbował zatrzymać śniegołaz, ale było już za późno. Ogarnęło ich osobliwe uczucie bezcielesności, jak w chwili, gdy wybijasz się z trampoliny i siła grawitacji zostaje zrównoważona przez moc twojego wyskoku. Obaj wylecieli na łeb na szyję z siodelka maszyny. Stu stracił z oczu Toma i Kojaka. Zimny śnieg wdarł mu się do nosa. Kiedy otworzył usta, aby krzyknąć, śnieg wpadł mu do gardła. Dostał mu się również za

kołnier. Stu spadał. Koziołkował. W końcu jednak zatrzymał się w miękkim, zimnym i głębokim białym puchu.

Jak pływak wybił się w górę, czując w gardle palący ogień. Śnieg boleśnie podrażnił mu krtań.

– Tom! – krzyknął, przedzierając się przez śnieg. To dziwne, patrząc pod tym kątem bardzo wyraźnie widział nasyp autostrady i miejsce, gdzie z niego zjechał, wywołując przy tym niedużą lawinę. Jakies pięćdziesiąt stóp poniżej krawędzi zbocza ze śniegu wystawała tylna część śniegołaza. Wyglądała jak pomarańczowa boja. Zadziwiające, że akurat w tej sytuacji wszystko kojarzyło mu się z wodą... a nawiasem mówiąc, co z Tomem? Czy to możliwe, że się topił?

– Tom! TOMMY!

Kojak uniósł łeb. Wyglądał jakby od koniuszka nosa po ogon obsypany był cukrem pudrem; zaczął przedzierać się przez śnieg w stronę Stu.

– Kojak! – zawołał Stu. – Znajdź Toma! ZNAJDŹ TOMA!

Kojak zaszczekał i mozolnie próbował się odwrócić. Popędził w kierunku nasypu i wielkiej dziury w śniegu. Stu raz po raz potykając się, upadając i łykając śnieg, pokuśtykał w tę stronę i nerwowo rozejrzał się dokoła. Jedna z jego dłoni natknęła się na kurtkę Toma. Stu zacisnął na niej palce i szarpnął wściekle. Tom poderwał się w górę, parszkając, prychając i z trudem łapiąc powietrze. Obaj mężczyźni runęli na wznak w śnieg. Tom głośno sapał i jęczał.

– Moje gardło! Bardzo piecze! Słowo daję, ale boli...

– Nałykałeś się śniegu, Tom. To przejdzie.

– Dusilem się...

– Już dobrze, Tom. Będzie dobrze.

Leżeli na śniegu, powoli dochodząc do siebie. Stu objął Toma ramieniem, aby stłumić dreszcze wstrząsające jego potężnym ciałem. W oddali słychać było, mrozący krew w żyłach, przybierający na sile i powoli cichnący łoskot kolejnej, schodzącej gdzieś przed nimi lawiny.

Przebycie trzech czwartych mili od miejsca gdzie zjechali z drogi do Avon zajęło im resztę dnia. Nie było mowy o wydostaniu śniegołaza na drogę czy ocaleniu znajdującego się w pojeździe sprzętu, znajdował się zbyt nisko na stoku. Zostanie tam co najmniej do wiosny, a sądząc po tym, jak ostatnio przedstawiały się sprawy, raczej już na zawsze.

Do miasta dotarli pół godziny po zachodzie słońca, zbyt zziębnięci i zmęczeni, by pokusić się o coś więcej niż rozpalenie ognia i znalezienie w miarę ciepłego miejsca, gdzie mogliby się przespać. Tej nocy Stu nic się nie przyśniło; wskutek wyczerpania, niemal zaraz po tym jak zamknął oczy, zapadł w czarną otchłań zapomnienia.

Rankiem ponownie zaczęli kompletować ekwipunek dla siebie. W Avon, mniejszym miasteczku niż Grand Junction, było to zadanie znacznie trudniejsze. Stu znów zastanawiał się, czy nie powinni zatrzymać się tu na dłużej i przeczekać zimę. Tom z pewnością nie

zaoponowałyby, a zaledwie dzień wcześniej przekonali się na własnej skórze, że szczęście bywa kruche i złudne. Ostatecznie jednak odrzucił tę myśl. Dziecko miało się urodzić z początkiem stycznia. Chciał tam wtedy być. Chciał się na własne oczy przekonać, że wszystko będzie w porządku.

Na końcu krótkiej głównej ulicy Avon natknęli się na salon dealerski Johna Deere. W jego garażu na tyłach odkryli dwa używane śniegołazy marki Deere. Żaden z pojazdów nie dorównywał wielkiej maszynie, którą poruszali się do tej pory, ale jeden z nich miał specjalnie poszerzane gąsienice i Stu uznał, że powinien się nadać. Nie znaleźli koncentratów żywnościowych i musieli zdecydować się na puszki. Przez resztę dnia obchodzili domy w poszukiwaniu sprzętu turystycznego, co dla nich obu było nader stresującą czynnością. Niemal wszędzie napotykali ofiary pomoru wyglądające jak groteskowo wysuszone mumie, eksponaty z epoki lodowcowej.

Pod koniec dnia w jednej z kamienic z pokojami do wynajęcia, mieszczącej się niedaleko głównej ulicy, znaleźli prawie wszystko, co było im potrzebne. Najwyraźniej przed wybuchem epidemii mieszkało tu wielu młodych ludzi przybywających do Kolorado, by robić wszystkie te rzeczy, o których śpiewał John Denver. W niszy pod schodami Tom znalazł nawet wielki plastikowy worek na śmieci wypełniony bardzo mocną odmianą Rocky Mountain High.

– Co to jest, Stu? Czy to tytoń?

Stu uśmiechnął się.

– Cóż, niektórzy tak pewnie myśleli. To trawa, Tom. Odlóż tam, gdzie ją znalazłeś.

Starannie załadowali cały ekwipunek do śniegołaza, wkładając żywność w puszkach do schowka i przytracając z tyłu pojazdu nowy namiot oraz śpiwory. Zanim skończyli, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy i po krótkim namyśle postanowili spędzić tę noc w Avon.

Jadąc wolno po ubitym, stwardniałym śniegu, do domu, gdzie zamierzali przenocować, Stu uświadomił sobie nagle, że przecież już jutro będzie wigilia. Nie mógł uwierzyć, że czas płynął tak szybko, ale miał na to dowód w postaci kalendarza w swoim ręcznym zegarku. Opuścili Grand Junction ponad trzy tygodnie temu.

Gdy dotarli do domu, Stu powiedział:

– Wejdźcie z Kojakiem do domu i rozpalcie ogień. Ja muszę jeszcze coś załatwić.

– Co takiego, Stu?

– To niespodzianka.

– Niespodzianka? Ale dowiem się, co to takiego?

– Tak.

– Kiedy? – Oczy Toma rozblęły.

– Za parę dni.

– Tom Cullen nie może czekać parę dni, żeby poznać niespodziankę, słowo daję, nie.

– Tom Cullen będzie musiał – oświadczył Stu i uśmiechnął się. – Wrócę za godzinę. Zajmij się wszystkim.

– No dobra...

Stu wrócił dopiero po półtorej godzinie, ale znalazł wszystko, czego szukał. Tom jeszcze przez dwie lub trzy godziny nagabywał go, usiłując nakłonić do zdradzenia sekretu. Stu okazał się jednak niewzruszony i w końcu Tom o wszystkim zapomniał. Gdy leżeli po ciemku, Stu zapytał:

– Założę się, Tom, że żałujesz, iż nie zostaliśmy w Grand Junction, co?

– Słowo daję, nie – odparł sennie Tom. – Chcę najszybciej jak to możliwe wrócić do mojego małego domku. Mam tylko nadzieję, że już więcej nie zjedziemy z drogi i nie wpadniemy w śnieg. Tom Cullen o mało się nie udusił!

– Będziemy musieli jechać wolniej i bardziej uważać – mruknął Stu, nie wspominając, co niechybnie stałoby się z nimi, gdyby znów mieli wypadek, a w pobliżu nie byłoby miejsca, gdzie mogliby się schronić.

– Jak myślisz, Stu, kiedy tam dotrzemy?

– Jeszcze trochę to potrwa, kolego. Ale grunt, żeby tam dojechać. Póki co, prześpijmy się trochę. To dobrze zrobi nam obu.

– Tak. Chyba tak.

Stu zgasił lampę.

Tej nocy śniło mu się, że oboje, Frannie i jej przerażające wilcze dziecko zmarli przy porodzie. Usłyszał płynący jakby z oddali głos George'a Richardsona: „To grypa. Z powodu grypy nie będzie już więcej dzieci. Z powodu grypy ciąża oznacza śmierć. Kurczak w każdym garnku i wilk w każdym łonie. Z powodu grypy. Już po nas. Całą ludzkość czeka zagłada”.

I wtedy gdzieś niedaleko dał się słyszeć przybierający na sile, przybliżający się, przeciągły niczym skowyt, śmiech mrocznego mężczyzny.

W Wigilię zaczęła się ich dobra passa, jeżeli chodzi o podróż i trwać miała prawie do Nowego Roku. Śnieg na drodze z powodu zimna stwardniał, a tworzone przez wiatr zaspy z kruchego, krystalicznego śniegu pojazd, którym jechali, rozbijał bez najmniejszego trudu. Obaj nosili okulary przeciwsłoneczne, by uchronić się przed śnieżną ślepotą.

Obozowali w górach przy drodze, dwadzieścia cztery mile na wschód od Avon, niedaleko Silverthorne. Znajdowali się w gardzieli przełęczy Lovelanda; zablokowany i zasypany tunel Eisenhowera został gdzieś w dole, na wschód od nich. Gdy czekali, aż podgrzeje się ich kolacja, Stu odkrył pewną zdumiewającą rzecz. Rozłupując leniwie ostrzem toporka zestalony śnieg i przesypując w palcach znajdujący się pod zewnętrzną twardą skorupą biały puch, stwierdził, że zaledwie o wyciągnięcie ręki poniżej miejsca, gdzie siedzieli, tkwi coś niebieskiego i metalowego. Już miał powiedzieć Tomowi o swoim odkryciu, lecz w ostatniej

chwili zmienił zamiar. Na myśl o tym, że niecałe dwie stopy pod nimi znajduje się uwięziony w skutym lodem drogowym korku sznur samochodów z Bóg wie iloma trupami w środku, zrobiło mu się nieswojo.

Kiedy Tom obudził się rankiem dwudziestego piątego grudnia, za kwadrans siódma, zastał Stu już ubranego i przygotowującego śniadanie. Już to samo w sobie było rzeczą niezwykłą, zwykle bowiem Tom wstawał pierwszy. Nad ogniem wisiała parująca puszka z zupą jarzynową campbella. Kojak przyglądał się jej z wielkim entuzjazmem.

– Dzień dobry, Stu – rzekł Tom, zapinając suwak kurtki i wyczołgując się ze swojego śpiwora i z namiotu. Miał straszne parcie na pęcherz.

– Dzień dobry – odparł krótko Stu. – I Wesołych Świąt.

– Świąt? – Tom spojrzał na niego i zapomniał o swojej pilnej potrzebie, – Powiedziałeś „świąt”?

– Dziś Boże Narodzenie. – Redman wskazał kciukiem w lewo. – To wszystko, co mogłem przygotować.

Ze zmarzniętej ziemi wystawał wysoki na dwie stopy czubek świerka. Ozdobiony był srebrnymi bombkami w kształcie sopli, które Stu znalazł na zapleczu jednego ze sklepów w Avon.

– Choinka – wyszeptał z przejęciem Tom. – I prezenty. To są prezenty, prawda Stu?

Pod choinką na śniegu leżały trzy paczuski owinięte w jasnoniebieski papier ze srebrnymi weselnymi dzwoneczkami. Stu nie udało się znaleźć w sklepie innego, bardziej odpowiedniego na świąteczną okazję, ale niespecjalnie się tym przejął.

– Tak, to prezenty – potwierdził Stu. – Dla ciebie. Podejrzewam, że przyniósł je Święty Mikołaj.

Tom spojrzał na niego z wyrzutem.

– Tom Cullen wie, że nie ma żadnego Świętego Mikołaja! Słowo daję, nie ma i już! One są od ciebie. – Tom nagle poczuł się zakłopotany. – A ja nic dla ciebie nie mam. Żadnego prezentu... nie wiedziałem, że dziś Boże Narodzenie. Jestem głupi!... Głupi!

Zacisnął prawą dłoń w pięść i zdzielił się nią w czoło. Był bliski płaczu. Stu ukucnął na śniegu, obok niego.

– Tom – powiedział. – Niedawno dałeś mi najwspanialszy prezent gwiazdkowy, jaki można sobie wyobrazić.

– Nie. Nic ode mnie nie dostałeś. Zapomniałem o Gwiazdce. Tom Cullen jest głupi, K-S-I-Ę-Ż-Y-C, to znaczy głupi.

– Ależ dałeś mi prezent. I to jaki. Najlepszy z możliwych. Przecież wciąż żyję. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj.

Tom spojrzał na niego, nie pojmując, o co chodzi Stu.

– Gdybyś się tam wtedy nie zjawił, umarłbym w tej dolince, na zachód od Green River. I gdyby nie ty, Tom, zabiłaby mnie grypa, zapalenie płuc, czy jakaś inna choroba, która dopadła mnie później w hotelu Utah. Nie wiem, jakim cudem wybrałeś właściwe pigułki... czy to dzięki Nickowi, woli Bożej czy też był to zwyczajny fart, ale dokonałeś tego. Nie wolno ci nazywać siebie głupcem. Gdyby nie ty, nie dożyłbym tych świąt. Jestem twoim dłużnikiem.

– Ee, to nie to samo – jęknął Tom, ale widać było, że nie posiada się z radości.

– To JEST to samo – rzekł z powagą Stu.

– Cóż...

– No dalej, otwórz swoje prezenty. Zobacz, co ci przyniósł. Wydawało mi się, że słyszałem nocą dzwonki jego sań. Najwyraźniej supergrypa nie dotarła aż do Bieguna Północnego.

– Słyszałeś go? – Tom spojrzał badawczo na Stu, aby upewnić się, że nie żartuje.

– Coś słyszałem.

Tom sięgnął po pierwszą paczuszkę i zaczął ją starannie rozpakowywać. Był to minibilard, nowy gadżet, który chciały mieć na poprzednią Gwiazdkę wszystkie dzieciaki w całym kraju, z dołączonymi bateriami. Na widok zabawki Tomowi zabłyśły oczy.

– Włącz – powiedział Stu.

– Nie, chcę zobaczyć, co jeszcze dostałem.

Drugim prezentem była bluza dresowa z wizerunkiem zmęczonego narciarza stojącego na skrzyżowanych nartach i podpierającego się kijkami.

– Tu jest napisane: WSZEDŁEM NA PRZEŁĘCZ LOVELANDA – wyjaśnił Stu. – My jeszcze na nią nie weszliśmy, ale jesteśmy już blisko. To tylko kwestia czasu. Tak sądzę.

Tom pospiesznie zdjął parkę, wciągnął bluzę i ponownie nałożył kurtkę.

– Świetnie! Świetnie, Stu!

Okazało się, że ostatni prezent, najmniejszy, to prosty srebrny medalionik zawieszony na cienkim srebrnym łańcuszku. Tomowi kojarzył się on z leżącą na boku ósemką. Uniósł go w dłoni, urzeczony i zakłopotany.

– Stu, co to takiego?

– Grecki symbol. Pamiętam go jeszcze z dawnych lat z pewnego programu popularnonaukowego w telewizji. Oznacza nieskończoność, Tom. Wieczność. – Stu ujął dłoń, w której Tom trzymał medalion. – Myślę, Tommy, że może jednak uda się nam wrócić do Boulder. Sądzę, że od początku było nam to pisane. Chciałbym, abyś zawsze to nosił, oczywiście jeśli się zgodzisz. A gdybyś kiedykolwiek potrzebował czyjejś pomocy i zastanawiał się, kogo o nią poprosić, spójrz na ten maleńki symbol i przypomnij sobie Stuarta Redmana. W porządku?

– Nieskończoność – powtórzył Tom, obracając srebrny medalionik w dłoniach. – Wieczność.

Założył łańcuszek na szyję.

– Zapamiętam – powiedział. – Tom Cullen zapamięta.

– Cholera. Omal nie zapomniałem! – Stu sięgnął do namiotu i wyjął jeszcze jeden prezent. – Wesołych Świąt, Kojak! Pozwól, że otworzę za ciebie. – Rozerwał opakowanie i wyjął ze środka pudełko psiego przysmaku. Wysypał garść karmy na śnieg, a Kojak błyskawicznie ją spałaszował. Po chwili podszedł do Stu, merdając z nadzieją ogonem.

– Później dostaniesz więcej – oświadczył Redman, chowając pudełko do kieszeni. – Pamiętaj o manierach... jak powiedziałaby... nasz stary, dobry łysol. – Nagle głos Stu zaczął się łamać, a do jego oczu napłynęły łzy. Zażęknął za Glenem, Larrym i Ralphem w kapeluszu na bakier.

Brakowało mu ich wszystkich, tych, którzy odeszli, bardzo było mu ich brak. Matka Abigail powiedziała, że zanim to się skończy, będą brodzić we krwi i miała rację. W głębi serca Stu Redman przeklinał ją i błogosławił równocześnie.

– Stu? Wszystko w porządku?

– Tak, Tommy. W porządku. – Uściskał Toma z całych sił. Ten odwzajemnił uścisk. – Wesołych Świąt, stary.

– Czy zanim ruszymy dalej, mogę coś zaśpiewać?

– Jasne, jeżeli chcesz.

Stu spodziewał się usłyszeć *Dzwonią dzwonki sań* albo *Nasz bałwanek mały* w potwornie fałszowanej wersji, odśpiewaną na dziecięcą modłę, czyli głośno i piskliwie. Zamiast tego Tom wykonał fragment *Wśród nocnej ciszy* zdumiewająco czystym, dźwięcznym tenorem.

– „Wśród nocnej ciszy... – głos Toma niósł się pośród białego pustkowia, powracając do nich miłym, słodkim echem – głos się rozchodzi... wstańcie pasterze... Bóg się wam rodzi... czym prędzej się wybierajcie... do Betlejem pospieszajcie... powitać Pana...”

Stu przyłączył się do chóru, jego głos nie brzmiał tak dobrze jak Toma, ale ich duet, jak na pierwszy raz, radził sobie całkiem niezłe; stara Bożonarodzeniowa pieśń wypełniła głęboką, pełną uniesienia ciszę świątecznego poranka.

– „Powitać Pana... Poszli, znaleźli, dzieciątko w żłobie... wszystkimi znakami danymi sobie...” Tylko tyle pamiętam – powiedział Tom, jakby nieco zawstydzony, kiedy wreszcie przebrzmiało echo ich głosów.

– Było wspaniale – odparł Stu. Znów był bliski łez. Niewiele brakowało, by się rozkleił, a to na pewno zdenerwowałoby Toma. Przełknął ślinę i zebrał się w sobie. – Powinniśmy już ruszać. Szkoda dnia.

– Jasne. – Tom spojrział na Stu, który zabrał się za składanie namiotu. – To najpiękniejsze święta w moim życiu, Stu.

– Cieszę się, Tommy.

Wkrótce znów ruszyli w drogę, kierując się na wschód w zimnym blasku Bożonarodzeniowego słońca.

Tej nocy obozowali pod szczytem przełęczy Lovelanda, niemal dwanaście tysięcy stóp nad poziomem morza. Spali w namiocie we trójkę, a temperatura na zewnątrz spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. Wiatr wiał bez przerwy, zimny i ostry jak kuchenny nóż, a dokoła, pośród długich cieni skalnych turni, otulonych zimowym niebem, na którym bezładnie rozrzucone gwiazdy zdawały się odległe na wyciągnięcie ręki, rozlegało się przejmujące, posępne wycie wilków. Cały świat poniżej, zarówno na wschodzie jak i na zachodzie, sprawiał wrażenie całkowicie wymarłego.

Następnego ranka, tuż po świcie, Kojak obudził ich głośnym szczekaniem. Stu podpełzł w stronę wejścia do namiotu, trzymając w dłoni karabin. Po raz pierwszy mógł zobaczyć wilki. Opuściły swoje mroczne kryjówki i usiadły nierównym kręgiem wokół obozowiska; nie wyły już, po prostu patrzyły. W ich ślepiach zdawały się płonąć zielonkawe ognie, a pyski szczyrzyły się w okrutnych uśmiechach.

Stu oddał sześć strzałów, przepłaszając je. Jeden z wilków wyskoczył w górę i padł jak ścięty na śnieg. Kojak potruchtał w jego stronę, obwąchał, po czym uniósł tylną nogę i oddał na niego mocz.

– Wilki wciąż należą do niego – rzekł Tom. – Zawsze tak będzie.

Tom wydawał się na wpół zaspany. Oczywiście miał senne, mętne i rozmarzone. Stu bez trudu rozpoznał symptomy: „Tom ponownie zapadł w ten swój dziwaczny niby-trans”.

– Tom... czy on nie żyje? Znasz odpowiedź na to pytanie?

– On nigdy nie umiera – odrzekł Tom. – Jest w wilkach, słowo daję, tak. I w krukach. I w grzechotnikach. Jest cieniem sowy o północy i skorpionem w upalny dzień. Wisi głową w dół wraz ze stadem nietoperzy. Jest ślepy, tak jak one.

– Czy on wróci? – zapytał Stu ponagląjącym tonem. Nagle zrobiło mu się zimno.

Tom nie odpowiedział.

– Tommy...

– Tom śpiący. Poszedł zobaczyć słońca.

– Tom, czy widzisz Boulder?

Na zewnątrz, na niebie, poza postrzępioną, sterylną linią turni pojawiła się biała linia świtu.

– Tak. Oni czekają. Czekają na jakąś wiadomość. I na wiosnę. W Boulder jest spokojnie.

– Widzisz Frannie?

Oblicze Toma pojaśniało.

– Frannie, tak. Jest gruba. Chyba będzie miała dziecko. Jest z Lucy Swann. Lucy też jest w ciąży. Ale Frannie będzie mieć dziecko pierwsza. Chyba że... – Przez twarz Toma jakby przemknął cień.

– Chyba że co, Tom?

– Dziecko...

– Co z dzieckiem?

Tom niepewnie rozejrzał się dokoła.

– Strzelaliśmy do wilków, zgadza się? Stu, czy ja zasnąłem?

– Tylko na chwilę, Tom – odparł Stu z wymuszonym uśmiechem.

– Śnił mi się słoń. Zabawne, prawda?

– Tak.

„Co z dzieckiem? Co z Fran?”

Stu zaczął podejrzewać, że nie zdążą na czas, a to co widział Tom, wydarzy się, zanim dotrą do Boulder.

Pogoda popsuła się trzy dni przed Nowym Rokiem i zatrzymali się w Kittredge. Znajdowali się już tak blisko Boulder, że aż żal im było robić kolejną przerwę w podróży, nawet Kojak wydawał się niespokojny i przejęty.

– Czy już wkrótce ruszymy dalej? – zapytał Tom.

– Nie wiem – odrzekł Stu. – Mam nadzieję, że tak. Gdybyśmy jeszcze mieli ze dwa pogodne dni. Podejrzewam, że więcej nam nie potrzeba. Niech to szlag! – Westchnął i wrzucił ramionami. – Cóż, może to tylko lekka zadymka.

Nadciągnęła jednak najgorsza i najgwałtowniejsza z dotychczasowych śnieżyc tej zimy. Sypało przez pięć dni, powstałe zasy miały w niektórych miejscach po czternaście stóp wysokości. Kiedy drugiego stycznia zabrali się za odsnieżanie namiotu i ujrzeli słońce, płaskie i małe niczym miedziana moneta, okazało się, że wszystkie punkty orientacyjne zniknęły. Większa część dzielnicy małych sklepików w miasteczku nie tyle została zasypana, co raczej pogrzebana pod śniegiem. Wiatr nadał zaspom i śnieżnym wydmom osobliwe, pofalowane kształty. Równie dobrze mogłyby znaleźć się na innej planecie.

Ruszyli dalej, ale nigdy jeszcze nie podróżowali w tak powolnym tempie. Odnajdywanie drogi przerodziło się z niedogodnej uciążliwości w poważny problem. Śniegołaz grzązł w zaspach i musieli go wielokrotnie odkopywać.

Dzień po Nowym Roku usłyszeli ponownie odległy huk, przywodzący na myśl przejeżdżający pociąg towarowy. Ów znany już im odgłos zwiastował schodzące z gór lawiny; to właśnie one sprawiały najwięcej kłopotów.

Czwartego stycznia dotarli do zjazdu z autostrady US 6 prowadzącego do Golden – i choć żaden z nich o tym nie wiedział – nie mieli żadnych proroczych snów ani przeczuc, właśnie tego dnia Frannie Goldsmith zaczęła rodzić.

– W porządku – mruknął Stu, kiedy zatrzymali się na chwilę. – Przynajmniej nie będziemy już mieli problemów ze znalezieniem drogi. Wiedzie przez litą skałę. Mieliśmy cholerne szczęście, że znaleźliśmy ten zjazd.

Pokonanie zjazdu było banalnie proste, gorzej z przedostaniem się przez tunele. Aby odnaleźć do nich wejścia, musieli kilkakrotnie przebijać się przez hałdy nagromadzonego

śniegu, a także parę razy przez pozostałości starych lawin. Jadąc po gładkiej szosie wewnątrz tunelu Śniegołaz, pomijając ryk silnika, wydawał osobliwe dźwięki zdające się zdradzać nieprzystosowanie maszyny do tego typu powierzchni. Co gorsza, w tunelach było naprawdę straszno, o czym z pewnością mogliby zaświadczyć Śmieciarz albo Larry. Panowały w nich isticie egipskie ciemności rozproszone jedynie snopem światła z reflektora śniegołaza, przy wylotach bowiem zalegały hałdy śniegu. Po wjechaniu do wewnątrz, czuli się jak zamknięci w starej, ciemnej lodówce. Podróż okropnie się ślimaczyła, a wydostawanie się z każdego z tuneli stanowiło za każdym razem trudne wyzwanie. Stu obawiał się, że dotrą w końcu do takiego tunelu, który niezależnie od ich wysiłków i zawziętości przy przestawianiu zalegających w nim wraków okaże się nie do przebycia. Gdyby tak się stało, musieliby zawrócić na autostradę międzystanową. Straciliby w ten sposób co najmniej tydzień. Porzucenie śniegołaza nie wchodziło w rachubę – byłoby bardziej bolesną formą samobójstwa.

A Boulder było tak blisko, tak okrutnie blisko.

Siódmego stycznia, jakieś dwie godziny po tym, jak utorowali sobie drogę i wydostali się z kolejnego tunelu, Tom stanął na siedzeniu śniegołaza i wskazując ręką, zapytał:

– Co to takiego, Stu?

Redman był zmęczony, zdenerwowany i całkiem nie w sosie. Nie miewał już snów, ale, co niezwykle, ich brak bardziej go przerażał niż same koszmary.

– Nie wstawaj z miejsca podczas jazdy, Tom! Ile razy mam ci powtarzać? Fikniesz do tyłu, wpadniesz głową w śnieg i...

– Tak, ale co to jest? Wygląda jak most. Czy dojechaliśmy do jakiejś rzeki?

Stu spojrział we wskazanym kierunku, przyhamował i zatrzymał pojazd.

– Co to takiego? – powtórzył z niepokojem Tom.

– Wiadukt – wymamrotał Stu. – Nie wierzę, po prostu nie wierzę...

– Wiadukt? Wiadukt?

Stu odwrócił się i schwycił Toma za ramiona.

– To wiadukt w Golden! Tom, to szosa numer 119! 119! Droga do Boulder! Jesteśmy dwadzieścia mil od miasta! Może nawet mniej!

Tom wreszcie zrozumiał. Otworzył usta, a komiczny wyraz jego twarzy sprawił, że Stu wybuchnął śmiechem i poklepał przyjaciela po plecach. Nie przejmował się już nawet tęnym, świdrującym bólem w gojącej się nodze.

– Czy to znaczy, że już prawie jesteśmy w domu?

– Tak, tak, taaaaaaak!

Uściskali się serdecznie, po czym zaczęli tańczyć z radości wokół śniegołaza, wzbijając w powietrze tumany białego pyłu i obsypując się nim od stóp do głów. Kojak obserwował obu mężczyzn ze zdumieniem, ale po chwili on również zaczął podskakiwać wesoło wokół nich, szczekając ochryple i merdając ogonem.

Spędzili noc w Golden, a następnego dnia, wczesnym rankiem, ruszyli wzdłuż szosy numer 119 w kierunku Boulder. Żaden z nich nie spał dobrze tej nocy. Stu nigdy jeszcze nie czuł takiego podniecenia, wymieszanego z nerwowym oczekiwaniem oraz niepokojem o los Frannie i jej dziecka.

Okolo pierwszej po południu silnik śniegołaza zaczął kasłać i przerywać. Redman zgasił go i sięgnął po zapasowy kanister przytroczony obok niedużej kabiny Kojaka.

– Chryste! – jęknął z przejęciem.

– O co chodzi, Stu! Co się stało?

– Wpadliśmy. Oto co się stało. Wiedziałem, że kanister jest pusty i zapomniałem go napełnić. Byłem za bardzo przejęty tym wszystkim. Głupiec ze mnie, no nie?

– Nie mamy benzyny?

Stu wyrzucił pusty kanister.

– Otóż to. Jak mogłem być tak głupi?

– Pewnie dlatego, że za dużo myślałeś o Frannie. I co teraz zrobimy?

– Pójdziemy pieszo, a przynajmniej spróbujemy. Musisz wziąć swój śpiwór. Rozdzielimy prowiant i zapakujemy do śpiworów. Namiot trzeba będzie zostawić. Przykro mi, Tom. To moja wina.

– Nic się nie stało. To co z namiotem?

– Chyba lepiej go zostawmy.

Nie dotarli tego dnia do Boulder. O zmierzchu zatrzymali się na nocleg, wymęczeni po marszu przez syпки śnieg, co pozornie wydawało się proste, a w rzeczywistości znacznie spowolniło ich marsz. Tej nocy nie rozpalili ogniska. W zasięgu wzroku nie było drewna, a cała trójka była zbyt wyczerpana, aby szukać opału gdzieś dalej. Otaczały ich wysokie, pofalowane śnieżne zaspasy. Nawet po zmierzchu na horyzoncie od północy nie było widać najsłabszej poświaty, choć Stu usilnie jej wypatrywał. Zjedli zimną kolację, po czym Tom zniknął w swoim śpiworze i zaraz zasnął, nie mówiąc nawet „dobranoc”. Stu był zmęczony i potwornie bolała go noga.

„Będę miał szczęście, jeśli nie uszkodzę jej sobie na stałe” – pomyślał.

Niemniej już jutro wieczorem będą w Boulder i spędzą noc w prawdziwych łóżkach – to brzmiało nader obiecująco.

Nagle przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. Stało się to, kiedy wpełził do swego śpiwora. Wyobraził sobie, że dochodzą do Boulder... i Boulder okazuje się puste, tak samo puste jak Grand Junction, Avon i Kittredge. Puste sklepy, puste domy, budynki o dachach zapadniętych pod ciężarem śniegu. Ulice zablokowane wysokimi zaspami. I cisza, przetykana jedynie odgłosami topiącego się śniegu podczas jednej z krótkotrwałych odwilży – czytał gdzieś, że w Boulder zdarzały się nawet w środku zimy gwałtowne skoki temperatury, sięgające nawet siedemdziesięciu stopni Fahrenheita. A jeśli w mieście nie będzie żywego

ducha, jak po przebudzeniu ze snu, w którym przewijało się wiele osób, a na jawie okazuje się, że jesteś w pokoju sam jak palec? Jeśli w mieście nie będzie nikogo, gdyż na całym świecie zostało już tylko dwóch ludzi, Stu Redman i Tom Cullen?

Myśl była obłądana, ale nie potrafił jej od siebie odegnąć. Wyczołgał się ze śpiwora i ponownie spojrzął ku północy w nadziei, że dostrzeże na horyzoncie słaby blask, który zawsze można ujrzeć w okolicy każdej większej zamieszkałej osady. Przecież bez wątplenia powinien coś dostrzec. Próbował sobie przypomnieć, ilu ludzi, według Glena Batemana, miało znaleźć się w Wolnej Strefie przed nadejściem zimy. Nie potrafił określić liczby. Osiem tysięcy? Może. Osiem tysięcy to niedużo i nawet jeśli w mieście znów był prąd, poświata nie będzie zbyt silna. Może...

„Może powinieneś się przespać i zapomnieć o tych kretyńskich bzdurach. Odbija ci. Przestań zamartwiać się wymysłami. Co będzie, to będzie”.

Położył się i po kilku minutach przewracania się z boku na bok wyczerpanie wzięło górę. Zasnął. Śniło mu się, że znalazł się w Boulder, w samym środku lata, gdzie wszystkie trawniki były żółte i wyschnięte z upału i braku wody. W całym mieście panowała grobowa cisza, jeśli nie liczyć trzasku poruszanych podmuchami wiatru, nie zamkniętych drzwi któregoś z domów. Wszyscy mieszkańcy zniknęli. Nie było nawet Toma.

„Frannie!” – zawołał, ale odpowiedział mu tylko wiatr i suchy trzask kołyszących się w tę i z powrotem drzwi.

Następnego dnia do godziny drugiej pokonali kolejne kilka mil. Torowali szlak na przemian. Stu powoli dopuszczał do siebie myśl, że mają przed sobą jeszcze jeden dzień marszu. To on z nich dwóch był wolniejszy. Noga dokuczała mu coraz bardziej. „Niedługo zacznę pełznąć” – pomyślał. Od jakiegoś czasu Tom stale szedł na przedzie, przecierając drogę.

Kiedy zatrzymali się, by zjeść kolejny zimny posiłek z puszek, Stu uświadomił sobie, że nie widział Frannie, kiedy naprawdę stała się już gruba. „Może jeszcze zdążę”. W głębi duszy jednak w to nie wierzył. Nabierał coraz większego przekonania, że wszystko wydarzy się bez jego udziału... tak czy inaczej. W godzinę po posiłku wciąż był jeszcze tak głęboko zamyślony, że omal nie wpadł na Toma, który niespodziewanie przystanął.

– Co się stało? – zapytał, rozmasowując nogę.

– Szosa – powiedział Tom, a Stu obszedł go, żeby móc lepiej się przyjrzeć.

– A niech mnie gęś kopnie – rzekł Stu, otrząsnąwszy się po dłuższej chwili z zaskoczenia.

Znajdowali się na szczycie wysokiej niemal na dziewięć stóp śnieżnej zasy. Strone z boczne z twardego, zmarzniętego śniegu opadało w dół do wstęgi szosy poniżej, przy której po prawej stronie stała tablica z napisem GRANICA MIASTA BOULDER.

Stu zaczął się śmiać. Usiadł na śniegu i ryczał ze śmiechu, unosząc twarz ku niebu, nie zważając na pytające spojrzenia rzucane przez Toma. W końcu się odezwał:

– Odsnieżyli szosę pługami. Widzisz? Udało się nam, Tom! Udało się nam! Kojak! Chodź tu!

Stu wysypał na śnieg resztę psiego przysmaku, a Kojak natychmiast zabrał się do jedzenia. Stu zapalił papierosa. Tom gapił się na drogę, która pośród bezkresnych połaci śniegu wydawała się być fatamorganą lub majakami szaleńca.

– Znów jesteśmy w Boulder – rzucił półgłosem Tom. – Naprawdę. G-R-A-N-I-C-A-M-I-A-S-T-A, to znaczy Boulder, słowo daję, tak.

Stu poklepał go po ramieniu i wyrzucił niedopałek papierosa.

– Chodź, Tommy. Pora, by synowie marnotrawni wrócili do domu.

Okolo czwartej po południu znów zaczęło sypać. O szóstej zrobiło się ciemno, a czarny asfalt stał się pod ich stopami upiornie biały. Stu mocno utykał, niemal powłóczył nogami. Tom zapytał w pewnej chwili, czy nie chciałby odpocząć, ale Redman tylko pokręcił przecząco głową.

O ósmej zaczął padać gęstszy śnieg i na dodatek zerwał się wiatr. Raz czy dwa pobłądzili i zanim odzyskali orientację w terenie, weszli w zasy na poboczu drogi. Nawierzchnia, po której stąpali, zrobiła się śliska i zwodnicza. Tom poślizgnął się dwukrotnie, a kwadrans po ósmej Stu przewrócił się i upadł na kaleką nogę. Aby nie jęknąć z bólu, mocno zacisnął zęby. Tom podbiegł, żeby pomóc mu wstać.

– Nic mi nie jest – uspokoił go Stu, podnosząc się z mozołem.

Dwadzieścia minut później z ciemności dobiegł ich młody, zdenerwowany głos, na dźwięk którego natychmiast zamarli w bezruchu.

– S-s-stać. Kto idzie?

Kojak zaczął warczeć i zjeżył sierść. Tom wstrzymał oddech. Pomimo nie cichnącego zawodzenia wiatru, Stu usłyszał coś, co zmroziło mu krew w żyłach: szcęk zamka ryglowego karabinu.

„Wartownicy. Wystawili strażę na drogach. Byłoby zabawne, gdyby okazało się, że przeszliśmy cały ten szmat drogi tylko po to, by kropnął nas wartownik z posterunku przy domu towarowym Table Mesa. Tak, to byłoby naprawdę śmieszne. Nawet Randall Flagg musiałby docenić zawartą w tej sytuacji ironię”.

– Stu Redman! – odkrzyknął w ciemność. – To ja. Stu Redman! – Nerwowo przełknął ślinę. – A kto pyta?

„Co za bzdura. To na pewno nikt, kogo znasz...”

Tyle że ów dochodzący z mroku głos wydawał mu się znajomy.

– Stu? Stu REDMAN?

– Jest ze mną Tom Cullen... na miłość Boską, nie strzelajcie!

– Czy to jakaś sztuczka? – Głos zdawał się debatować sam z sobą.

– To nie żadna sztuczka. Tom, odezwij się. Powiedz coś.

– Cześć! – powiedział posłusznie Tom.

Nastała chwila ciszy. Wokół nich hulał śnieg i wiatr. W końcu wartownik (tak, głos brzmiał bez wątplenia znajomo) odkrzyknął:

– Stu miał w swoim starym mieszkaniu na ścianie pewien obraz. Jaki?

Stu zastanawiał się gorączkowo. Przeszkadzał mu w tym rozlegający się wciąż w jego uszach metaliczny szcęk przeładowywanego karabinu.

„Mój Boże – pomyślał. – Stoję tu pośród śnieżnej zawiei, zastanawiając się, jaki obraz wisiał na ścianie mojego mieszkania, na dodatek «starego» mieszkania. Fran musiała przeprowadzić się do Lucy. Lucy żartowała sobie z tego obrazu, mówiła, że na tych Indian za najbliższym zakrętem czeka John Wayne, tylko że stąd go nie widać...”

– *Na wojennej ścieżce* Frederica Remingtona! – wykrzyknął na całe gardło.

– Stu! – zawołał wartownik. Z mroku i płatków śniegu wyłonił się czarny kształt i ruszył w ich stronę, ślizgając się na oblodzonej nawierzchni szosy. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć...

I nagle znalazł się tuż przy nich, a Stu stwierdził, że to chłopak Gehringerów, ten sam, który jazdą „na bańce” sprawił im ubiegłego lata tak wiele problemów.

– Stu! Tom! I Kojak! Chryste Panie! A gdzie Glen Bateman i Larry? Gdzie Ralph?

Stu wolno pokręcił głową.

– Nie wiem. Chodźmy gdzieś, gdzie będzie ciepło. Jesteśmy cali przemarznięci.

– Jasne. Choćby do supermarketu nieopodal. Zadzwońię do Norma Kellogga... Harry’ego Dunbartona... Dicka Ellisa... Niech to szlag, obudzę całe miasto! To wspaniałe. Wprost nie mogę uwierzyć...

– Billy... – Chłopak odwrócił się w ich stronę, a Stu pokuśtykał do niego. – Billy, Fran miała w tych dniach urodzić dziecko...

Billy znieruchomiał.

– O, cholera, całkiem o tym zapomniałem – wyszeptał po chwili.

– Urodziła?

– George, Stu, George Richardson wszystko ci opowie. Albo Dan Lathrop. To nasz nowy lekarz, jest z nami od jakichś czterech tygodni. Zjawił się już po waszym odejściu. Był laryngologiem, ale jest całkiem...

Stu potrząsnął Billym gwałtownie, w jednej chwili uciszając chłopaka.

– Co się stało? – zapytał Tom. – Coś nie tak z Frannie?

– Powiedz mi, Billy – zażądał Stu. – Proszę.

– Fran nic nie jest – odparł Billy. – Wszystko będzie dobrze.

– Tak ci mówili?

– Widziałem się z nią. Wraz z Tony Donahue poszliśmy do niej z kwiatami z naszej cieplarni. Ta cieplarnia to pomysł Tony’ego, hoduje tam różne rozmaitości, nie tylko kwiaty.

Powodem dla którego do tej pory nie wstała z łóżka jest to, że musieli jej zrobić... no, jak się to nazywa, ten no... rzymski poród...

– Cesarskie cięcie?

– Właśnie, bo dziecko nie przybrało takiej pozycji, jak powinno. Ale to pestka. Poszliśmy do niej w trzy dni po tym, jak urodziła, siódmego stycznia, dwa dni temu. Przynieśliśmy jej bukiet róż. Sądziliśmy, że się ucieszy i choć trochę rozweseli po tym, co...

– Dziecko zmarło? – zapytał grobowym głosem Stu.

– Nie. Nie umarło – odparł Billy. Po chwili z wyraźnym wahaniem dodał: – Jeszcze nie.

Stu poczuł nagle, że znalazł się bardzo daleko, jakby wpadł w otchłań bezdennej pustki. Usłyszał śmiech... i skowyt wilków...

– Złapało gripę – wyjaśnił pospiesznie Billy. – Kapitana Tripsa. Ludzie mówią, że to koniec dla nas wszystkich. Frannie urodziła czwartego stycznia chłopca, sześć funtów dziewięć uncji. Z początku wszystko było w porządku i ludzie ze Strefy z tej okazji balowali. Dick Ellis powiedział, że to jest jak wszystkie święta państwowe razem wzięte, aż tu ni z tego ni z owego, szóstego stycznia... mały po prostu zachorował. To wszystko – dokończył Billy dziwnie ochrypłym, jakby łamiącym się głosem. – Po prostu zachorował. Niech to szlag, niezbyt radosne to powitanie, nie tak powinno być, nie to powinienes usłyszeć, cholera, Stu, tak bardzo mi przykro...

Stu zacisnął palce prawej ręki na ramieniu Billy'ego i przyciągnął go do siebie, a młody Gehringer opowiadał dalej:

– Z początku wszyscy mówili, że może wyzdrowieje, że może to zwyczajna grypa... bronchit... albo krup... ale lekarze powiedzieli, że noworodki prawie nigdy nie zarażają się takimi chorobami. To coś w rodzaju naturalnej odporności, bo są takie małe i bezbronne. A oni obaj, George i Dan... w ubiegłym roku zetknęli się z całą masą przypadków zachorowań na supergrypę...

– Raczej trudno byłoby się im pomylić – dokończył za Billy'ego Stu.

– Właśnie – wyszeptał chłopak. – Wiesz, o co mi chodzi.

– Niech to szlag – wymamrotał pod nosem Stu. Odwrócił się i, kuśtykając, ruszył przed siebie.

– Stu, dokąd się wybierasz?

– Do szpitala – odrzekł Stu. – Muszę się zobaczyć z moją kobietą.

ROZDZIAŁ 76

Fran nie spała; lampka przy jej łóżku była włączona. Rzuciła ona krąg jasnego światła na lewą stronę białej pościeli, w której leżała Frannie. Pośrodku żółtego kręgu spoczywała rozłożona okładką do góry powieść Agaty Christie. Frannie nie spała, lecz powoli zaczynała odpływać w stan, w którym wspomnienia klarują się w czarodziejski sposób, by nie wiadomo kiedy przeistoczyć się w sny. Zamierzała pochować własnego ojca. To, co się stało później, nie miało znaczenia, ale by tego dokonać, musiała otrząsnąć się z szoku, a zajęło jej to sporo czasu. To był akt miłości. Kiedy skończy, ukroi sobie kawałek truskawkowo-rabarbarowego placka. Będzie duży, soczysty, i bardzo, bardzo gorzki.

Pół godziny temu zajrzała do niej Marcy, aby sprawdzić, jak się czuje, a Fran zapytała:

– Czy Peter już umarł?

Gdy wypowiedziała te słowa czas jakby się wydłużył, nie miała już pewności, czy chodziło jej o Petera-noworodka, czy Petera-dziadka dziecka, obecnie już nieżyjącego.

– Ciii, dziecko czuje się dobrze – odparła Marcy, ale Frannie dostrzegła prawdę w jej oczach. Dziecko, które poczęła z Jessem Riderem umierało gdzieś pośród czterech szklanych ścian. Może dziecko Lucy będzie miało więcej szczęścia; oboje rodzice byli uodpornieni na Kapitana Tripsa. Strefa spisała już jej Petera na straty i liczyła przede wszystkim na kobiety, które zaszły w ciążę po pierwszym lipca ubiegłego roku. Było to może brutalne, ale zupełnie zrozumiałe.

Błądziła myślami gdzieś daleko, balansując na pograniczu snu, wędrując ścieżkami przeszłości i bezdrożami ukrytymi na dnie jej serca. Rozmyślała o saloniku swojej matki, gdzie pory roku zlały się w jedną, nie kończącą się suchą porę. Myślała o oczach Stu, o tym, jak po raz pierwszy ujrzała swoje dziecko, Petera Goldmista-Redmana. Śniło się jej, że Stu był z nią, tu, w tym pokoju.

– Fran?

Nic nie poszło tak, jak się spodziewali. Nadzieje okazały się płonne, fałszywe jak mechaniczne zwierzaki w Disney World, zero życia, tylko sprężyny i trybiki, jedno wielkie oszustwo, ciąża urojona...

– Hej, Frannie...

We śnie ujrzała Stu, który właśnie do niej wrócił. Stał w drzwiach, okutany w grubą, futrzaną parkę. Jeszcze jedno kłamstwo. Zwróciła jednak uwagę, że Stu w jej śnie miał brodę. Czy to nie zabawne? Zaczęła zastanawiać się, czy to sen, gdy ujrzała stojącego tuż za nim Toma Cullena. I... czy to nie Kojak warował przy nodze Stu?

Gwałtownie uniosła dłoń i uszczypnęła się w policzek tak mocno, że do oczu napłynęły jej łzy. Nic się nie zmieniło.

– Stu – wyszeptała. – Mój Boże, Stu, czy to naprawdę ty?

Twarz miał mocno opaloną, za wyjątkiem skóry wokół oczu, zapewne zasłoniętej przez okulary przeciwsłoneczne. We śnie raczej nie zwraca się uwagi na takie szczegóły...

Uszczypnęła się raz jeszcze.

– To ja – rzekł Stu, wchodząc do pokoju. – Nie szczyp się tak, kochanie. – Utykał tak mocno, że w pewnej chwili omal się nie przewrócił. – Frannie, wróciłem do domu.

– Stu! – zawołała. – Czy to prawda? Jeśli to prawda, jeśli NAPRAWDĘ tu jesteś, podejdź do mnie!

I podszedł do niej, a potem wziął ją w ramiona i przytulił. Mocno, bardzo mocno.

ROZDZIAŁ 77

Stu siedział na krześle przy łóżku Frannie, kiedy do pokoju weszli George Richardson i Dan Lathrop. Fran natychmiast niemal do bólu ścisnęła dłoń Stu. Jej oblicze stężało i przez chwilę Stu zobaczył ją taką, jak będzie wyglądać, gdy się zestarzeje – była podobna do Matki Abigail.

– Stu – rzekł George. – Słyszałem, że wróciłeś. To cud. Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że cię widzę. My wszyscy.

George uścisnął jego dłoń, po czym przedstawił Dana Lathropa, który zapytał:

– Słyszeliśmy, że w Las Vegas miał miejsce wielki wybuch. Widziałeś go?

– Tak.

– Ludzie mówią, że to ponoć była eksplozja atomowa. Czy to prawda?

– Tak.

George pokiwał głową, po czym bez słowa odwrócił się do Fran.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Cieszę się, że mój mężczyzna wrócił. A co z dzieckiem?

– W zasadzie – mruknął Lathrop – jesteśmy tu właśnie z jego powodu.

– Czy ono nie żyje? – zapytała Fran.

George i Dan wymienili spojrzenia.

– Fran, chcę abyś wysłuchała bardzo uważnie tego, co mam ci do powiedzenia i staraj się nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków...

Fran, z trudem tłumiąc w sobie narastającą histerię, rzuciła:

– Jeśli on umarł, to po prostu mi powiedz!

– Fran – poprosił Stu.

– Wygląda na to, że Peter powraca do zdrowia – oznajmił łagodnie Dan Lathrop.

W pokoju przez chwilę panowała cisza wywołana tym szokującym stwierdzeniem. Fran, o twarzy przypominającej w tej chwili błądy owal poniżej ciemnokasztanowej kaskady włosów rozrzuconych na poduszce, spojrziała na Dana, jakby zaczął nagle bredzić bez ładu i składu. Ktoś, Laurie Constable albo Marcy Spruce, zajrzał do pokoju, po czym poszły dalej. Stu nigdy nie zapomni tej chwili.

– Co? – wyszeptała w końcu Fran.

– Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei – dokończył George.

– Powiedziałeś... że powraca do zdrowia – rzuciła Fran. Na jej twarzy malowało się skrajne oszołomienie. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że i ona niemal postawiła już na swoim dziecku krzyżyk.

George zabrał głos.

– Obaj z Danem widzieliśmy podczas epidemii tysiące podobnych przypadków... zauważ, że nie mówię „leczyliśmy”, gdyż jak sądzę, żadnemu z nas nie udało się ani razu doprowadzić do remisji choroby. Zgadza się, Dan?

– Jak najbardziej.

Na czole Fran pojawiła się bruzda oznaczająca zdecydowanie i nieugiętość, którą Stu po raz pierwszy zauważył u niej w New Hampshire.

– Czy możecie wreszcie przejść do rzeczy?

– Staram się, ale muszę zachować niezbędną ostrożność i ZAMIERZAM być bardzo ostrożny – powiedział George. – Rozmawiamy tu o życiu twojego dziecka i proszę, nie naciskaj, pozwól bym powiedział, co chcę powiedzieć, po swojemu. Musisz pojąć nasz sposób rozumowania, a wtedy pojmiesz do czego zmierzam. Sądzimy, że Kapitan Trips był odmianą grypy o zmiennym antygenie. Każdy rodzaj grypy – starej grypy, miał inne antygeny, dlatego mimo szczepionek ochronnych powracała ona co dwa lub trzy lata. Miały miejsce epidemie grypy typu A, na przykład grypa Hongkong – zaszczepiałeś się przeciw niej, a w dwa lata później pojawiał się szczep typu B i zaczynałaś chorować, dopóki nie przyjęłaś odpowiedniej, nowej szczepionki.

– Ale w końcu powracałaś do zdrowia – wtrącił Dan – gdyż twój organizm prędzej czy później wytwarzał własne przeciwciała. Twoje ciało zmieniało się, by pokonać chorobę. W przypadku Kapitana Tripsa to SAMA grypa zmieniała się za każdym razem, gdy organizm zaczynał przechodzić do defensywy. Pod tym względem przypominał bardziej wirusa AIDS niż zwykłą grypę, do której byliśmy dotąd przyzwyczajeni. Wirus grypy zmieniał się raz za razem, aż organizm wyczerpywał możliwości obrony. Rezultat był nieodmiennie taki sam – śmierć.

– Dlaczego więc my wszyscy przeżyliśmy? – zapytał Stu.

– Nie wiemy – odrzekł George. – I nie wiadomo, czy kiedykolwiek się dowiemy. Jediną pewną rzeczą jest, że uodpornieni nie chorują, odrzucają od siebie chorobę, nie dopuszczając do jej rozwinięcia się w ich organizmach. Tu znów powracamy do sprawy Petera. Dan?

– Tak. W przypadku Kapitana Tripsa następuje taki etap, kiedy chorzy NIEMAL zaczynają zdrowieć, ale nigdy NAPRAWDĘ nie powracają do zdrowia. Nasz noworodek, Peter, zachorował w czterdzieści osiem godzin po przyjściu na świat. Nie ulega wątpliwości, że złapał Kapitana Tripsa, symptomy są wzorcowe. Niemniej czarne sińce pod żuchwą, które

moim i George'a zdaniem towarzyszą czwartemu i ostatniemu stadium supergrypy, NIE POJAWIŁY SIĘ. Z drugiej strony okresy remisji coraz bardziej się wydłużają.

– Nie rozumiem – powiedziała wyraźnie zdezorientowana Fran. – Co...

– Za każdym razem, kiedy grypa się zmienia, zmienia się również Peter – odrzekł George. – Wciąż istnieje pewne prawdopodobieństwo, że mały tego nie przetrzyma, ale jak dotąd nie wykazuje symptomów ostatniej, krytycznej fazy. Wygląda na to, że nie zamierza poddać się bez walki. Może mu się uda.

Nastąpiła chwila absolutnej ciszy.

– Przekazałaś dziecku połowę swej odporności, Fran – oznajmił Dan. – Zaraziło się, ale jest szansa, że się z tego wyliże. Podejrzewamy, że bliźnięta pani Wentworth miały podobną szansę, ale okoliczności sprzysięgły się przeciwko nim i moim zdaniem to nie supergrypa, lecz wynikające z niej komplikacje były przyczyną ich śmierci. To bardzo niewielka różnica, lecz w ich przypadku różnica decydująca o życiu lub śmierci.

– A inne kobiety, które zaszły w ciążę z nieuodpornionymi mężczyznami? – zapytał Stu.

– Podejrzewam, że ich dzieci także czeka podobna, bolesna próba – odparł George. – Niektóre zapewne nie przeżyją. Peter też był przez pewien czas w stanie krytycznym i w każdej chwili możemy spodziewać się nawrotu. Niebawem jednak nadejdzie dzień, gdy wszystkie dzieci rodzące się w Wolnej Strefie i na całym świecie będą pochodzić od dwojga uodpornionych rodziców. I choć nie mnie o tym sądzić, śmiem twierdzić, iż z chwilą gdy to nastąpi, wszyscy będziemy już mieli z górki. Póki co pozostaje nam tylko bacznie obserwować Petera.

– I nie tylko nam, jeśli to może być dla ciebie jakimkolwiek pocieszeniem – dorzucił Dan.

– Bądź co bądź Peter należy teraz do całej Wolnej Strefy.

– Chcę, aby żył, bo jest mój i bardzo go kocham – wyszeptała Fran. Spojrzała na Stu. – Stanowi dla mnie jedyną więź łączącą mnie ze starym światem. Jest bardziej podobny do Jesse niż do mnie i bardzo mnie to cieszy. Tak powinno być. Rozumiesz, najdroższy?

Stu pokiwał głową i nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl. Miał ogromną ochotę spotkać się z Hapem, Normem Bruettem i Vicem Palfreyem. Wypiliby kilka piw, Vic jak zawsze paliłby te swoje cuchnące skręty, a on, Stu, opowiadałby im, jak się to wszystko skończyło. Stary dobry Stu, Stu Milczek, jak go nazywali, nigdy nie przeklinał, prędzej odgryzłby sobie język niż zaczął bluźnić, ale mógłby zagadać cię na śmierć. Potrafił mówić dzień i noc bez przerwy. Nie patrząc na Fran, po omacku odnalazł jej dłoń. Czuł napływające do oczu łzy.

– Mamy innych chorych, do których musimy zajrzeć – oświadczył George, wstając – ale będziemy uważnie kontrolować stan Petera. Gdy będziemy już mieć pewność, powiadomimy cię.

– Kiedy mogłabym wziąć go do siebie? Jeżeli... jeżeli nie...?

– Za tydzień – odrzekł Dan.

– To strasznie długo!

– Nie tylko dla ciebie. Dla nas również. Mamy w Strefie sześćdziesiąt jeden ciężarnych kobiet, w tym dziewięć, które zaszły w ciążę przed pomorem. Dla nich ten czas będzie się dłużył w nieskończoność. Stu, miło mi było cię poznać. – Dan wyciągnął rękę, którą Stu uścisnęła. Potem młody lekarz wyszedł szybko jak ktoś, kto ma mnóstwo roboty i nie znosi próżnowania.

George także uścisnął dłoń Stu i rzekł:

– Zobaczymy się najdalej jutro po południu, co ty na to? Powiedz Laurie, kiedy będzie dla ciebie najwygodniej.

– Ale po co?

– Chodzi o twoją nogę – powiedział George. – Nie jest z nią najlepiej, prawda?

– Nie jest tak źle.

– Stu? – Frannie usiadła na łóżku. – Co jest z twoją nogą?

– Złamana, źle złożona, przeforsowana – odparł George. – Fatalna sprawa, ale da się to naprawić.

– No, cóż... – mruknął Stu.

– Żadnych „ale”, Stu – ucięła Fran. Na jej czole znów pojawiła się znamionująca upór zmarszczka.

– Później – rzekł Stu.

– Załatw to z Laurie, dobrze? – George wstał. – Umów się z nią.

– Zrobi to – powiedziała Frannie.

Stu uśmiechnął się.

– Dobrze, zrobię to. Szefowa każe.

– Dobrze, że wróciłeś – mruknął George. Wydawało się, że na usta ciśnie mu się tysiące pytań, lecz mężczyzna tylko pokręcił głową i wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

– Chcę zobaczyć, jak chodzisz – oznajmiła Frannie. Jej czoło znów zmarsowiło.

– Ej, Frannie...

– No dalej, pospaceruj troszkę.

Zrobił to dla niej. Przywodził na myśl marynarza usiłującego przejść po pokładzie kołyszącym się pod naporem silnego wiatru. Kiedy znów odwrócił się do niej, ujrzał w jej oczach łzy.

– Frannie, daj spokój, nie płacz, kochanie.

– Muszę – wychlipiała, ukrywając twarz w dłoniach.

Usiadł przy niej i odjął jej ręce od twarzy.

– Nie, nie musisz.

Spojrzała na niego z przejęciem, choć łzy wciąż ciekły jej po policzkach.

– Tylu ludzi zginęło... Harold, Nick, Susan... a co z Larrym? Co z Glenem i Ralphem?

– Nie wiem.

– Co powie Lucy? Zjawi się tu za godzinę. Przychodzi codziennie. Ona również jest w ciąży. W czwartym miesiącu. Stu, kiedy zapyta cię...

– Oni nie żyją – rzekł Stu, mówiąc bardziej do siebie niż do niej. – Poszli tam i zginęli. Tak właśnie uważam. I tak właśnie czuję w głębi serca.

– Nie mów tego w ten sposób – poprosiła Fran. – Nie, kiedy Lucy tu przyjdzie. Złamałbyś jej serce.

– Sądzę, że oni zostali złożeni w ofierze. Bóg zawsze domaga się ofiar. Jego dłonie są unurzane w ich krwi. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Nie jestem tak bystry. Może sami to na siebie sprowadziliśmy. Jedno wiem na pewno; bomba eksplodowała tam zamiast tutaj, i na razie, na pewien czas, jesteśmy bezpieczni. Ale na krótko.

– Czy Flagg zginął? Czy odszedł na zawsze? Czy już go nie ma?

– Nie wiem. Sądzę, że... musimy zachować czujność i stale go wypatrywać. A kiedyś, któregoś dnia, ktoś będzie musiał odnaleźć miejsce, gdzie hodowano wirusy w rodzaju Kapitana Tripsa i starannie je zasypać, a ziemię posypać grubą warstwą soli i odmówić na tym miejscu długą modlitwę. Modlitwę za nas wszystkich.

Późnym wieczorem, tuż przed północą, Stu wiozł Frannie na wózku inwalidzkim przez cichy, długi, szpitalny korytarz. Obok nich szła Laurie Constable. Fran dopilnowała, by Stu umówił się na zabieg.

– Sądząc po twoim wyglądzie, Stu, to ty powinieneś znajdować się na wózku – powiedziała Laurie.

– Póki co, ani trochę się tym nie przejmuję – odrzekł Stu.

Dotarli do wielkiego okna, za którym znajdowało się pomieszczenie o różowo-niebieskich ścianach. Z sufitu zwieszała się duża obrotowa karuzela. Tylko jedno z łóżeczek, stojące w pierwszym rzędzie, było zajęte.

Stu zajrzał do niego z przejęciem.

Na ścianie łóżeczka wisiała kartka z napisem GOLDSMITH-REDMAN, PETER. CHŁ. W.P.U. 6F9U. M. FRANCES GOLDSMITH, RM 209 O. JESSE RIDER (Ś.P.)

Peter płakał.

Zacisnął małe piąstki. Buzia mu poczerwieniała. Miał zdumiewająco gęste jak na noworodka, ciemne, prawie czarne włoski. Niebieskie oczy zdawały się wpatrywać w Stu, jakby postrzegały w nim sprawcę wszystkich doskwierających mu nieszczęść. Na jego czole widniała głęboka, pionowa bruzda znamionująca upór.

Frannie znowu szlochała.

– Co się stało, kochanie?

– Te wszystkie puste łóżeczka – odparła i głos się jej załamał. – To się stało. On jest tam całkiem sam. Nic dziwnego, że płacze, Stu. Czuje się samotny. I jest mu bardzo źle z tego powodu. Te wszystkie puste łóżeczka, o Boże, o Boże...

– Już niedługo nie będzie samotny – odparł Stu, obejmując ją ramieniem. – I sądząc po jego zachowaniu, śmiem twierdzić, że malec da sobie radę. A ty jak sądzisz, Laurie?

Ale Laurie odeszła, zostawiając ich oboje przy oknie sali dla noworodków. Krzywiąc się z bólu przeszywającego nogę, Stu ukląkł obok Frannie i objął ją niezdarnie, a potem oboje jednakowo urzeczeni patrzyli na Petera, jakby to dziecko było pierwszą żyjącą istotą na ziemi. Po jakimś czasie malec usnął, składając dłonie, wciąż zaciśnięte w pięstki, na piersi, a oni wciąż na niego patrzyli, dziwiąc się, że w ogóle tam jest.

ROZDZIAŁ 78

1 MAJA

Wreszcie mieli zimę za sobą.

Była długa, a zdaniem Stu, wychowanego w gorącym klimacie wschodniego Teksasu, wręcz niewiarygodnie długa. Dwa dni po powrocie do Boulder jego prawą nogę powtórnie złamano i tym razem włożono w gruby gips, który zostanie zdjęty dopiero na początku kwietnia. Do tej pory opatrunek zaczął wyglądać jak niezwykle skomplikowana mapa samochodowa; chyba wszyscy mieszkańcy Strefy złożyli na niej swoje autografy, choć wydawało się to fizycznie niemożliwe. Na początku marca do Boulder znów zaczęli ściągać kolejni pielgrzymi, a z końcem terminu rozliczeń podatkowych obowiązującego za starych dobrych czasów, wedle Sandy Du Chiens Wolna Strefa liczyła już jedenaście tysięcy rezydentów. Biuro do spraw ewidencji ludności prowadzone przez Sandy miało teraz dwunastoosobowy personel i dysponowało własnym komputerem w gmachu Pierwszego Banku w Boulder.

Stu i Fran stali właśnie wraz z Lucy Swann na tarasie piknikowym w połowie stoku Flagstaff Mountain, obserwując „Majową Gonitwę”. Brały w niej udział wszystkie dzieciaki (i kilkoro dorosłych). Koszyk z łakociami, owocami i zabawkami, ozdobiony barwnymi wstążkami zawieszono na początku na Tomie Cullenie. To był pomysł Fran.

Tom zaklepał Billa Gehringera (choć Billy zarzekał się, że jest już za stary na takie gierki, z radością przyłączył się do zabawy) i wspólnie zakleпали chłopaka Upshawów, a może Upsonów? Stu miał kłopoty z zapamiętaniem wszystkich nazwisk. Potem we trzech dogonili Leo Rockwaya ukrywającego się za Skałą Brentnera. Tom osobiście zaklepał Leo.

Gonitwa trwała w całym zachodnim Boulder, gromadka dzieciaków i młodzieży uganiały się w tę i z powrotem po opustoszałych ulicach. Tom, dźwigając swój koszyk, pokrzykiwał donośnie. W końcu dotarli na górę, gdzie było gorąco i wiał przyjemny, ciepły wiatr. Zaklepane dzieciaki w liczbie około dwustu ścigały ostatnie pół tuzina, które wciąż skutecznie się przed nimi chowały. Przy okazji wypłoszyły też tuziny jeleni, które jakoś nie chciały brać udziału, w ich zabawie.

Dwie mile wyżej, w Amfiteatrze Sunrise, gdzie Harold Lauder czekał niegdyś na właściwą chwilę, by przemówić przez swoją krótkofalówkę, przygotowywano wielki piknikowy posiłek. W południe dwa lub trzy tysiące osób usiadzie wspólnie i, spoglądając na wschód w stronę Denver, będzie zajadać dziczyznę, jajka sadzone i kanapki z masłem orzechowym i marmoladą, a na deser ciasto. Mogło to być ostatnie masowe zgromadzenie mieszkańców Boulder, chyba że wybraliby się wszyscy do Denver i urządzili spotkanie na tamtejszym stadionie piłkarskim. Na początku wiosny nieśmiały strumyk imigrantów obecnie wezbrał, wywołując istną powódź. Od piętnastego kwietnia przybyło ich ponad osiem tysięcy i teraz w Strefie przebywało około dziewiętnastu tysięcy osób, stąd, przynajmniej tymczasowo, biuro ewidencji ludności Sandy Du Chiens nie dawało sobie rady z ich rejestrowaniem. Dzień, gdy przybywało ich zaledwie pięćset należał do rzadkości.

W kojcu, który Stu przywiózł na górę i nakrył kocem, Peter zaczął głośno popłakiwać. Fran podeszła do niego, lecz Lucy, bardzo już gruba i w ósmym miesiącu ciąży, uprzedziła ją.

– Ostrzegam cię – powiedziała Fran. – Ma mokro. Poznaję po głosie.

– Brudna pielucha to coś, do czego chyba będę się musiała przyzwyczaić. – Lucy wyjęła płaczącego wniebogłosy Petera z kojca i, delikatnie unosząc w górę, zakołysała nim w przód i w tył. – Cześć, mały. Jak ci tam? Nie najlepiej, co?

Peter beczał dalej.

Lucy położyła go na drugim kocu, przeznaczonym do przebierania malca. Peter, wciąż płacząc, usiłował odpełznąć z kocyka. Lucy odwróciła go i zaczęła rozpinąć zatrzaski u jego niebieskich, sztruksowych spodenek. Peter machał nóżkami w powietrzu.

– Może pójdziecie na mały spacer? – zaproponowała Lucy. Uśmiechnęła się do Fran, ale Stu dostrzegł przebijający z tego uśmiechu smutek.

– Dlaczego nie? – zgodziła się Fran i ujęła Stu za rękę.

Stu nie protestował i pozwolił zabrać się na spacer. Przeszli przez szosę i weszli na rozłożystą, zieloną łąkę ciągnącą się w górę stoku i odcinającą się wyraźnie na tle jasnoniebieskiego nieba, po którym przepływały kłębiaste, białe chmury.

– Co to miało znaczyć? – zapytał Stu.

– Co takiego? – Fran miała jednak zbyt niewinną minkę.

– To spojrzenie.

– Jakie znowu spojrzenie?

– Wiesz jakie – odparł Stu. – Może nie wiem, co ono oznacza, ale wychwytyję je bez pudła.

– Usiądź przy mnie, Stu.

– Tutaj, tak po prostu?

Usiedli i skierowali wzrok na wschód, gdzie za niewielkimi wzniesieniami rozciągały się rozległe równiny tonące w delikatnej, niebieskawej mgiełce. Gdzieś pośród tych mgieł leżała Nebraska.

- To poważna sprawa. Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, Stuart.
- Po prostu zacznij najlepiej jak potrafisz – powiedział, ujmując ją za rękę.

Za Fran przemówiło jej oblicze. Łza spłynęła jej po policzku, drżące wargi wygięły się w podkówkę.

– Fran...

– Nie, nie będę PŁAKAĆ! – rzuciła gniewnie, ale to tylko pogorszyło sprawę i wbrew sobie rozplakała się.

Stu, zbity z tropu, objął ją ramieniem i czekał.

Kiedy uznał, że najgorsze minęło, odezwał się do niej łagodnym tonem:

– A teraz powiedz mi o co chodzi.

– Tęsknię za domem, Stu. Chciałbym wrócić do Maine.

Z tyłu, za nimi dzieciaki śmiały się i pokrzykiwały donośnie. Stu spojrzał na nią zdumiony. I nagle uśmiechnął się jakby z odrobiną niepewności.

– Tylko o to chodziło? Sądziłem, że co najmniej chcesz się ze mną rozwieść. Choć, muszę przyznać, że nasz związek nie ma oficjalnego błogosławieństwa kościoła.

– Bez ciebie nigdzie nie pojadę – powiedziała. Wyjęła z kieszonki chusteczkę i wytarła załzawione oczy. – Jeszcze tego nie wiesz?

– Chyba wiem.

– Ale bardzo chciałabym wrócić do Maine. Śnię o tym. A ty, Stu?

– Nie – odparł krótko. – Mógłbym dożyć swoich dni nie ujrawszy ponownie Arnette i umarłbym szczęśliwy. A ty, Fran, chciałabyś wrócić do Ogunquit, tak?

– Nie od razu. Kiedyś może tak, ale jeszcze nie teraz. Chciałabym wybrać się na Pojezierze, do zachodniego Maine. To niedaleko od New Hampshire, gdzie się po raz pierwszy spotkaliśmy, ty, ja i Harold. Są tam piękne miejsca. Bridgton... Sweden... Castle Rock. Podejrzewam, że w jeziorach roi się od ryb. Może kiedyś zamieszkamy na wybrzeżu, kto wie. Nie przypuszczam jednak, abym mogła zdobyć się na to już pierwszego roku. Zbyt wiele wspomnień. Zbyt duży szok. Wszystko byłoby zbyt wielkie... Ocean... – Wbiła wzrok w swe poruszające się nerwowo dłonie. – Jeśli chcesz tu zostać... pomóc im w przywracaniu tego wszystkiego do życia... zrozumiam to. Góry też są piękne, ale... to miejsce nie wygląda jak moje rodzinne strony. To nie jest mój dom.

Spojrzał na wschód i odkrył, że w końcu potrafi nazwać odczucie, które trawiło go od niedawnych roztopów. To była potrzeba ruchu, potrzeba przemieszczania się. Impuls nakazujący mu wyruszyć w drogę. Było tu zbyt wielu ludzi, nie na tyle, by zaczynali wchodzić sobie wzajemnie w drogę, a w każdym razie jeszcze nie teraz, ale ich liczba powoli wprawiała go w zdenerwowanie. Niektórzy ze Strefowców (tak siebie teraz bowiem nazywali) radzili sobie z tym całkiem nieźle, wręcz tego potrzebowali. Jack Jackson, który przewodniczył nowej komisji Wolnej Strefy (powiększonej obecnie do dziewięciu członków) był jednym z nich. Drugim był Brad Kitchner. Brad miał w głowie setki projektów i wielu

ludzi chcących je zrealizować. Jednym z jego pomysłów było uruchomienie stacji telewizyjnej w Denver. Obecnie każdego wieczoru od osiemnastej do pierwszej w nocy puszczano stare filmy, a o dziewiętej wieczorem krótkie, dziesięciminutowe wiadomości.

Poza tym facet, który pod nieobecność Stu przejął po nim obowiązki szeryfa, niejaki Hugh Petrella, nie należał do ludzi, z którymi Stu lubił się zadawać. Już sam fakt, że Hugh przeprowadził własną kampanię na ten urząd sprawił, iż Stu poczuł się nieswojo. Był to twardy, purytański mężczyzna o twarzy, której rysy wyglądały jak wyciosane toporem. Miał siedemnastu zastępców i na każdym ze spotkań komisji Wolnej Strefy domagał się powiększenia ich liczby. „Gdyby tu był Glen – pomyślał Stu – powiedziałby, że nie kończąca się amerykańska walka pomiędzy prawem a wolnością jednostki rozpoczęła się na nowo”. Petrella nie był złym facetem, ale był człowiekiem twardym... i Stu podejrzewał, że ze swą niezłomną wiarą, iż prawo było ostateczną odpowiedzią na każdy problem, Hugh będzie znacznie lepszym szeryfem od niego.

– Wiem, że proponowano ci miejsce w komisji – rzekła z wahaniem Fran.

– Odniosłem wrażenie, że potraktowali to jako funkcję honorową, a ty nie?

Fran odetchnęła z ulgą.

– Cóż...

– Wydaje mi się, że byliby równie zadowoleni, gdybym odrzucił ich propozycję. Jestem ostatnim członkiem starej komisji. Byliśmy przecież radą kryzysową. Teraz nie ma już sytuacji kryzysowej. A co z Peterem, Frannie?

– Wydaje mi się, że w czerwcu będzie już na tyle duży, by móc podróżować – odparła. – Poza tym chciałabym zaczekać, aż Lucy urodzi.

Odkąd czwartego stycznia na świat przyszedł Peter, w Strefie urodziło się osiemnaście dzieci. Czworo zmarło, reszta miała się dobrze. Niebawem miały zacząć się rodzić dzieci obojga uodpornionych rodziców i było całkiem możliwe, że pierwszym z nich będzie dziecko Lucy. Miała termin na czternastego czerwca.

– Fran, co byś powiedziała na wyjazd pierwszego lipca? – zapytał.

Fran rozpromieniła się.

– Zrobiłbyś to? Chciałbyś?

– Jasne.

– Nie mówisz tego tylko po to, by mi sprawić przyjemność?

– Nie – odrzekł. – Inni też niedługo wyjadą. Niewielu, to fakt i jeszcze trochę to potrwa. Ale zaczną wyjeżdżać.

Objęła go ramionami za szyję i przytuliła.

– Może to będzie jak wakacje – powiedziała. – A może... może naprawdę się nam spodoba – spojrzała na niego niepewnie – i zapagniemy tam pozostać.

– Może. – Pokiwał głową.

Zastanawiał się jednak, czy którekolwiek z nich zdoła się zakotwiczyć w jakimkolwiek miejscu na dłużej, choćby nawet na kilka lat. Przeniósł wzrok na Lucy i Petera. Lucy siedziała na kocu i bawiła się z chłopcem, który chichotał i próbował złapać ją za nos.

– Nie przyszło ci do głowy, że on może zachorować? Albo ty? A jeżeli znów zajdziesz w ciążę?

Uśmiechnęła się.

– Od tego są odpowiednie książki. Możemy je czytać oboje. Chyba nie możemy przeżyć całego naszego życia, bojąc się. Co ty na to?

– Nie. Chyba nie.

– Książki i dobre lekarstwa. Możemy nauczyć się z nich korzystać, a co się tyczy lekarstw, których kiedyś zabraknie... możemy się nauczyć produkować je od nowa. A jeżeli chodzi o choroby i umieranie... – Przeniosła wzrok w stronę wielkiej łąki, gdzie ostatnie dzieci, zgrzane i zziębnięte maszerowały na piknik. – Tutaj też się to dzieje. Pamiętasz Richiego Moffata? – Pokiwał głową. – A Shirley Hammett?

– Tak.

Shirley w lutym zmarła na zawał.

Frannie ujęła go za rękę. Oczy miała błyszczące i pełne niezłomnej determinacji.

– Proponuję, byśmy zaryzykowali i przeżyli nasze życie tak, jak chcemy.

– W porządku. To brzmi całkiem nieźle. Powiem więcej, to brzmi jak należy.

– Kocham cię, Teksasczyku.

– I nawzajem, moja pani.

Peter znów się rozplakał.

– Chodźmy zobaczyć, co znów przytrafiło się naszemu małemu księciu – powiedziała Fran, wstając i otrzepując spodnie z trawy.

– Próbował raczkować i uderzył się w nos – odparła Lucy, podając malca Frannie. – Biedactwo.

Chłopiec oparł miękko główkę o szyję matki, spojrzał na Stu i uśmiechnął się. Stu odpowiedział uśmiechem.

– Hej, malutki – powiedział, a Peter roześmiał się w głos.

Lucy powiodła wzrokiem od Fran do Stu i z powrotem do Fran.

– Wyjeżdżacie, zgadza się? Przekonałaś go.

– Chyba jej się udało – mruknął Stu. – Ale zostaniemy tu jeszcze trochę, aby przekonać się, czy twój maluch to będzie chłopiec czy może dziewczynka.

– Cieszę się – odrzekła Lucy.

Z oddali dobiegł ich czysty, przejmujący i melodyjny dźwięk dzwonka.

– Lunch – oznajmiła Lucy, podnosząc się z koca. Poklepała się po wielkim brzuchu. – Słyszysz, junior? Idziemy coś przekąsić. Au, nie kop mnie, przecież już idziemy.

Stu i Fran również wstali.

– Weź małego – powiedziała Fran.

Peter zasnął. Cała trójka ruszyła razem pod górę w kierunku Amfiteatru Sunrise.

ZMIERZCH, LETNI WIECZÓR

Po zachodzie słońca siedzieli na ganku, obserwując małego Petera raczkującego entuzjastycznie po pylistym podwórzu. Stu rozparł się na fotelu o trzciniowym siedzeniu; było mocno wgięte po latach częstego używania. Fran wybrała bujak. Na ziemi, po lewej stronie Petera, w ostatnich promieniach gasnącego dnia odcinał się czarny cień zawieszony na sznurze huśtawki zrobionej ze starej opony.

– Długo tu mieszkała, prawda? – zapytała półgłosem Fran.

– Bardzo długo – potaknął Stu, wskazując na Petera. – Cały się zakurzy.

– Przecież mamy wodę. Jest tu pompa. Trzeba tylko trochę nią pomachać. Mamy wszystko, czego nam potrzeba, Stu.

Pokiwał głową i umilkł. Zapalił fajkę i pykał w milczeniu. Peter odwrócił się, aby sprawdzić, że wciąż tam byli.

– Hej, mały – powiedział Stu i pomachał do niego.

Peter przewrócił się. Zaraz jednak znów podniósł się na czworaka i zaczął raczkować w kółko. Na końcu pylistej drogi biegnącej wśród pola dzikiej kukurydzy stał nieduży furgon winnebago z wyciągarką z przodu. Aby tu dotrzeć poruszali się głównie drugorzędnymi drogami, ale wyciągarka nieraz okazała się bardzo pomocna.

– Czujesz się samotny? – zapytała Fran.

– Może kiedyś, jeszcze nie teraz.

– Boisz się o dziecko? – Poklepała się po brzuchu, który wciąż był idealnie płaski.

– Nie.

– Peter będzie miał podrapany nosek.

– Zagoi się. A Lucy urodziła bliźniaki. – Uśmiechnął się. – Wyobrazasz sobie?

– Widziałam je. Mówią, że zobaczyć, znaczy uwierzyć. Jak sądzisz, kiedy dotrzemy do Maine?

Wzruszył ramionami.

– Pod koniec lipca. Będziemy mieć dość czasu, by przygotować się do zimy. Martwisz się?

– Nie – odparła, przedrzeźniając go, po czym wstała. – Spójrz na niego, cały się zakurzy.

– Przecież ci mówiłem.

Patrzył, jak schodzi po schodach ganku i bierze małego na ręce. Siedział w tym samym miejscu, gdzie tak często i długo przesiadywała Matka Abigail, rozmyślając o życiu, które mieli przed sobą. Uznał, że będzie dobre. Kiedyś powrócą do Boulder, choćby tylko po to, by

ich dzieci poznały swoich rówieśników, znalazły partnerów, pożeniły się i spłodziły kolejnych potomków. A może część Boulder przybędzie do nich. Niektórzy ludzie krytykowali ich plany, wręcz próbowali je storpedować, ale w ich oczach, zamiast pogardy czy gniewu, zawierała się nieukożona tęsknota. Najwyraźniej nie tylko Stu i Fran zostali dotknięci żądzą wędrówki. Harry Dunbarton, były sprzedawca okularów, zamierzał wybrać się do Minnesoty. Mark Zellman mówił o Hawajach. Uczył się pilotażu, aby tam polecieć.

„Mark, zabijesz się!” – skomentowała gniewnie jego decyzję Fran.

Mark tylko uśmiechnął się zawadiacko i odparł: „I kto to mówi, Frannie!”

Stan Nogotny z zadumą mówił o wyprawie na południe, zamierzał na kilka lat zatrzymać się w Acapulco, a potem wyruszyć stamtąd dalej, może do Peru.

„Coś ci powiem, Stu – rzekł którego dnia. – Denerwują mnie ci wszyscy ludzie. Czuję się jak jednonogi na konkursie kopania w tyłek. Na tuzin osób zdarza się, że nie znam ani jednej. Ludzie wieczorami zamykają się w swoich domach... nie patrz tak na mnie, to FAKT. Słuchając mnie, nigdy byś nie przypuszczał, że przez szesnaście lat mieszkalem w Miami i skrzętnie zamykałem na noc drzwi na zasuwę. Ale niech to szlag. Z przyjemnością zrezygnowałem z tego nawyku. Sporo myślę o Acapulco. Gdyby tylko udało mi się przekonać Janey...”

„To nie byłoby takie głupie – pomyślał Stu, patrząc jak Fran nabiera wody – gdyby Wolna Strefa się rozpadła. Glen Bateman na pewno byłby tego samego zdania. Powiedziałby, że spełniła już swoje zadanie. Lepiej ją rozwiązać, zanim...”

Zanim co?

Na ostatnim zgromadzeniu komisji Wolnej Strefy, na którym uczestniczyli przed swoim wyjazdem, Hugh Petrella poprosił i uzyskał zgodę na uzbrojenie swoich zastępców. Sprawa była paląca i kontrowersyjna. Na początku czerwca pijany mężczyzna pobił jednego z zastępców i wyrzucił go przez okno baru przy Pearl. Zastępcy trzeba było zrobić transfuzję krwi i założyć ponad trzydzieści szwów. Petrella argumentował, że nie doszłoby do tego, gdyby stróż prawa dysponował bronią i wymierzył ją w awanturnika. To wywołało zaciekle spory. Wielu ludzi (w tym Stu, choć nie afiszował się ze swoją opinią) uważało, że gdyby zastępca miał broń, incydent mógł zakończyć się, zamiast zranieniem stróża prawa, zabiciem pijaka.

„Co się stanie, kiedy uzbroicie zastępców szeryfa?” – zapytywał sam siebie. Co podpowiadała mu logika? W odpowiedzi usłyszał uczone, nieco oschły głos Glena Batemana: „Dacie im potężniejszą broń. I samochody policyjne. A kiedy odkryte zostaną inne Wolne Strefy w Chile albo w Kanadzie, wybierzecie Hugh'a Petrellę na ministra obrony. Ot, tak, na wszelki wypadek, i być może zaczniecie również wysyłać zwiadowców, bo przecież... Cały ten system leży i tylko czeka, aby ktoś go sobie wziął...”

– Połóżmy go do łóżka – powiedziała Fran, wchodząc na ganek.

– W porządku.

– Dlaczego się tak zasępiłeś?

– Naprawdę tak wyglądam?

– Jeszcze jak.

Włożył palce wskazujące w kąciaki ust i rozchylił w uśmiechu.

– Lepiej?

– Znacznie. Pomóż mi z małym.

– Z przyjemnością.

Gdy wszedł za nią do chatki Matki Abigail, uznał, że naprawdę lepiej, o wiele lepiej byłoby, gdyby Wolna Strefa rozpadła się, a ludzie rozjechali się po całym kraju. Należało najdłużej jak to możliwe odwlekać organizację społeczności. To organizacja była przyczyną największych problemów. Kiedy komórki zaczynały łączyć się razem i stawały się coraz bardziej złośliwe. Nie musiałeś dawać glinom broni, dopóki stróże prawa znali wszystkie nazwiska... i twarze...

Fran zapaliła lampę naftową. Peter spojrzał na nich oboje, był cichy i śpiący. Bardzo zmęczył się zabawą.

Fran przebrała go w nocną koszulkę.

„Jedyne co może zrobić każdy z nas, to zyskać trochę czasu – pomyślał Stu. – Życie Petera, życie jego dzieci i być może również jego wnuków. Powiedzmy tych sto parę lat do roku 2100, nie dłużej, na pewno nie dłużej. Może nawet nie aż tyle. Czas potrzebny naszej starej biednej Matce Ziemi, aby doszła nieco do siebie. Okres spokoju. Czas odpoczynku”.

– Co? – zapytała i zrozumiał, że mamrotał pod nosem.

– Czas odpoczynku – powtórzył.

– Co to ma oznaczać?

– Wszystko – powiedział i wziął ją za rękę.

„Może jeśli opowiemy mu, co się wydarzyło, przekaże to swoim dzieciom – pomyślał Stu, patrząc na Petera. – Ostrzeże ich. «Kochane dzieci, zabawki niosą śmierć, powodują oparzenia, chorobę popromienną i czarną, duszącą zarazę. Te zabawki są niebezpieczne; diabeł w ludzkich umysłach kierował rękoma Boga, kiedy je produkowano. Kochane dzieci, nie bawcie się tymi zabawkami, proszę was, nie róbcie tego. Nigdy. Przenigdy. Nigdy więcej. Błagam... niech ta lekcja czegoś was nauczy. Niechaj ten wymarły świat będzie dla was przestrogą”.

– Frannie – rzekł i odwrócił ją ku sobie, aby mogła mu spojrzeć w oczy.

– Co, Stuart?

– Czy uważasz... czy uważasz, że ludzie mogą kiedykolwiek wyciągnąć wnioski z tej lekcji? Że zdołają się czegoś nauczyć?

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale w końcu nie odezwała się ani słowem. Lampa naftowa migotała ciepłym, złocistym blaskiem. Oczy Fran wydawały się niewiarygodnie niebieskie.

– Nie wiem – odparła w końcu. Ta odpowiedź najwyraźniej jej nie zadowoliła, chciała powiedzieć coś więcej, wyprowadzić jakiś głębszy wywód, ale ostatecznie powtórzyła tylko:
– NIE WIEM.

KRĄG SIĘ ZAMYKA

Potrzebujemy pomocy, zauważył Poeta

Edward Dorn

Obudził się o świcie.

Usiadł i rozejrzył się dokoła. Znajdował się na białej niczym kość, rozległej plaży. Ponad nim rozpościerał się nie zmieniony przestwór bezchmurnego, błękitnego nieba. Z tyłu za nim fale turkusowego morza rozбивały się o grzebień rafy i, łagodnie szumiąc, docierały do brzegu, pomiędzy dziwnymi łodziami, które były...

(„czołnami, dłubankami, czołnami”)

Wiedział to... ale skąd?

Wstał i omal nie upadł. Był cały rozdygotany. Roztrzęsiony. W bardzo kiepskim stanie. Czuł się, jak przeżuty, a następnie wypluty.

Rozejrzył się dookoła. Zieleń dżungli uderzyła go po oczach – mroczna, oplatana lianami gęstwina pełna drzew o rozłożystych, liściastych koronach i wielkich, rozkwitających kwiatach...

(„różowych niczym sutki tancerki z baletu”)

Znowu się zdziwił.

Co to takiego „tancerka z baletu”?

I, gwoli ścisłości, czym były sutki?

Na jego widok papuga ara rozskrzeczała się donośnie i, pierzchając w popłochu na oślep, uderzyła w gruby pień figowca, zabijając się na miejscu. Mały ptak spadł u podnóża potężnego drzewa z uniesionymi w górę, zeszywniałymi łapkami.

(„położyła go na stole, nogi wzniosła w górę”)

Mangusta spojrzała na jego zarumienione, pokryte szorstkim zarostem oblicze i padła martwa, gdy w jej mózgu wytworzył się zabójczy zator.

(„gdy siostrzyczka ostro do roboty się zabrała”)

Żuk, który piął się mozolnie po pniu palmy nipa szerniał i skurczył się, sprażony na skwarę, gdy przez chwilę pomiędzy jego czułkami tańczyły błękitne łuki wyładowań elektrycznych.

(„już po chwili filizanki pół śmietany miała”)

„Kim jestem?”

Nie wiedział.

„Gdzie jestem?”

Cóż to miało za znaczenie?

Powłócząc nogami, zaczął iść, a raczej brnąć w kierunku skraju dżungli. Z głodu kręciło mu się w głowie. Odgłos przypływu dudnił w jego uszach niczym szum oszalałej krwi. Umysł miał pusty jak u nowo narodzonego dziecka.

Znajdował się w połowie drogi do skraju zielonej gęstwiny, gdy spomiędzy drzew wyszło trzech ludzi. Potem jeszcze jeden. Po chwili było ich już pół tuzina.

Mieli gładką, śniadą skórę.

Spojrzeli na niego.

Odpowiedział spojrzeniem.

Sprawy toczyły się teraz w szybszym tempie. Zaczął sobie przypominać. Z sześciu mężczyzn zrobiło się ośmiu. Z ośmiu tuzin. Wszyscy byli uzbrojeni we włócznie. Zaczęli je unosić w groźnym i jednoznacznym geście. Mężczyzna o twarzy pokrytej zarostem spojrzał na nich. Miał na sobie tylko dzinsy i stare kowbojki o pościnanych obcasach. Górna połowa jego ciała była biała niczym brzuch karpia. Był też potwornie wychudzony.

Włócznie uniosły się wysoko. Wówczas jeden ze śniadoskórych mężczyzn – ich wódz – zaczął wypluwać z siebie raz po raz gardłowo i ochryple pojedyncze słowo, brzmiące jak: „Yun-nah!”

Tak, powoli sobie przypominał.

Świetnie.

Na początek to, jak się nazywał.

Uśmiechnął się.

Jego uśmiech był niczym czerwone słońce przezierające przez czarną chmurę. Podkreślał niesamowitą biel jego zębów i gorejące, żywe oczy. Odwrócił swe pozbawione linii papilarnych dłonie wnętrzami w ich stronę w uniwersalnym geście pokoju.

Wobec mocy jego uśmiechu okazali się zupełnie bezbronni. Włócznie spadły na piasek, jedna z nich wbiła się ostrzem w ziemię i drżąc lekko, po chwili znieruchomiła przekrzywiona.

– Mówicie po angielsku?

Tamci tylko na niego patrzyli.

– *Habla espanol?*

Nie, po hiszpańsku też nie. Ni cholery.

Co z tego wynikało?

Gdzie się znajdował?

Cóż, w swoim czasie się dowie. Nie od razu Rzym zbudowano, ani, skoro już o tym mowa, również Akron w Ohio. Miejsce nie miało znaczenia. Miejsce, w którym zaczynałeś tworzyć swój bastion, nigdy się nie liczyło. Jedynie to, że tam byłeś... i że wciąż trzymałeś się na nogach.

– *Parlez-vous francais?*

Bez odpowiedzi. Patrzyli na niego zafascynowani.

Spróbował zagadać po niemiecku i wybuchnął śmiechem ujrzawszy ich potulne, głupkowate miny. Jeden z nich zaczął pochlipywać bezradnie jak dziecko.

„To prosty ludek. Prymitywny, niepiśmienny. Ale mogę ich wykorzystać. Tak, mogę ich wykorzystać. Nadadzą się wręcz idealnie”.

Podszedł do nich, wciąż unosząc odwrócone wnętrzami w ich stronę, pozbawione linii papilarnych dłonie i nadal się uśmiechał. Jego oczy skrzyły się ciepłem i szaleńczą wesołością.

– Nazywam się Russell Faraday – powiedział powoli spokojnym, wyraźnym głosem. – Mam do spełnienia misję.

Patrzyli na niego pełni fascynacji, konsternacji i zdumienia.

Obserwowali go, chłonąc każdy ruch.

– Przybyłem, aby wam pomóc.

Jeden po drugim osunęli się na kolana i pochyłili głowy, a kiedy padł na nich jego mroczny, bardzo mroczny cień, uśmiech mężczyzny poszerzył się.

– Przybyłem, aby nauczyć was, jak być cywilizowanymi!

– *Yun-nah!* – zaszlochał wódz, przepelniony radością i zgrozą. A kiedy ucałował stopy Russella Faradaya, mroczny mężczyzna wybuchnął śmiechem.

I śmiał się długo. Bardzo długo. Bez końca.

Życie było niczym obracające się koło, na którym żaden człowiek nie potrafił się długo utrzymać.

I koniec końców, po kolejnym pełnym obrocie, powracało do punktu wyjścia.

Luty 1975 – Grudzień 1988